WŁODZIMIERZ KALICKI

ZDARZYŁO SIĘ

HORYZONT znak

Biblioteka Gazety Wyborczej

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

WŁODZIMIERZ KALICKI

ZDARZYŁO SIĘ

Projekt okładki
Witold Siemaszkiewicz

Fotografie na okładce
Marilyn Monroe – Donaldson Collection/Michael Ochs Archives/Getty Images
„The Journal" – danielbrady.blogspot.com
Eksplozja Hindenburga – Popperfoto/Getty Images
Paolo Uccello, *Bitwa pod San Romano* – World History Archive/East News

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Fotoedycja
Rafał Szczepankowski

Korekta
Rafał Idzik
Barbara Gąsiorowska

Opracowanie typograficzne
Michał Pawłowski / Kreska i Kropka

Copyright © for this edition by Agora S.A. 2014
Copyright © for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2014

ISBN: 978-83-268-1687-1 (epub)
ISBN: 978-83-268-1688-8 (mobi)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Spis treści

Może bezpieczniej wziąć urlop?

Styczeń

1 stycznia 1962 ▪ Mamy grać? ▪ The Beatles

2 stycznia 1979 ▪ Nareszcie jest klęska! ▪ Zima stulecia w Polsce

3 stycznia 1661 ▪ Nasz pierwszy deadline ▪ Pierwsza polska gazeta

4 stycznia 1960 ▪ Kto tu się spieszy, przyjacielu? ▪ Śmierć Alberta Camusa

5 stycznia 1919 ▪ Zamachnęli się ▪ Nieudany pucz Januszajtisa

6 stycznia 1928 ▪ Posługa duchowo-handlowa ▪ Hrabia Pusłowski w szponach hochsztaplera

7 stycznia 1997 ▪ Jawnogrzesznica zręcznie skruszona ▪ Proces Heidi Lynne Fleiss

8 stycznia 1815 ▪ Nokaut po gongu ▪ Bitwa pod Nowym Orleanem

9 stycznia 1924 ▪ Złoty – duch ▪ Narodziny złotówki

10 stycznia 49 p.n.e. ▪ Za rzekę, w zgiełk oręża ▪ Przekroczenie Rubikonu

11 stycznia 1944 ▪ Rzeźnia w Weronie ▪ Egzekucja Galeazza Ciana

12 stycznia 1948 ▪ Sowieckie rozwiązanie ▪ Antysemityzm w ZSRR

13 stycznia 1883 ▪ Wychodzimy z mamą! ▪ Pożar cyrku w Berdyczowie
14 stycznia 1858 ▪ Suknia biało-czerwona ▪ Nieudany zamach na Napoleona III
15 stycznia 1919 ▪ Pożegnanie z Faustem ▪ Zabójstwo Róży Luksemburg
16 stycznia 1991 ▪ Koniec Tarczy, początek Burzy ▪ Operacja „Pustynna Burza”
17 stycznia 1807 ▪ Ich pierwszy bal ▪ Napoleon Bonaparte poznaje panią Walewską
18 stycznia 1385 ▪ Zapytamy się mamy ▪ Zaręczyny Jadwigi Andegaweńskiej i Władysława Jagiełły
19 stycznia 1929 ▪ Uciekł i zabili go ▪ Tajemniczy napad na kantor w Warszawie
20 stycznia 1949 ▪ Dwóch zamiast rozdwojonego ▪ IV Zjazd Literatów Polskich w Szczecinie
21 stycznia 1793 ▪ Żądam kapelusza! ▪ Ścięcie Ludwika XVI
22 stycznia 1905 ▪ Przyszedł lud do cara ▪ Krwawa niedziela rewolucji 1905 r.
23 stycznia 1863 ▪ Stolicy nie będzie! ▪ Wybuch powstania styczniowego
24 stycznia 41 ▪ Bucik i but ▪ Zamach na Kaligulę
25 stycznia 1930 ▪ Po blaszce do Częstochowy ▪ Wielka obława na kasiarzy
26 stycznia 1905 ▪ Jednak to nie żart ▪ Wydobycie największego diamentu świata
27 stycznia 1945 ▪ Czy można już wracać do Berlina? ▪ Wyzwolenie Auschwitz
28 stycznia 1986 ▪ Czerwone jabłko ▪ Katastrofa promu „Challenger”

29 stycznia 1910 ▪ Miłość agentki ▪ Proces Janiny Borowskiej

30 stycznia 1968 ▪ Marzec w styczniu ▪ Ostatnie wystawienie Dziadów Kazimierza Dejmka

31 stycznia 1943 ▪ Feldmarszałek spod lady ▪ Kapitulacja pod Stalingradem

Luty

1 lutego 1968 ▪ Strzał ▪ Ofensywa Tet w Wietnamie

2 lutego 1709 ▪ Wracamy do domu, Alex ▪ Podróże Williama Dampiera

3 lutego 1558 ▪ Gwałtem dać nic nie możesz ▪ Ruch egzekucyjny za Zygmunta Augusta

4 lutego 1930 ▪ Przebieranki bandytów ▪ Zaginięcie gen. Aleksandra Kutiepowa

5 lutego 1869 ▪ Witaj Nieznajomy! ▪ Gorączka złota w Australii

6 lutego 1989 ▪ Dookoła stołu ▪ Obrady Okrągłego Stołu

7 lutego 1925 ▪ Cherubin strzela... z miłości ▪ Proces Stanisławy Umińskiej

8 lutego 1923 ▪ Mroczny Szmaragd ▪ Zabójstwo arcybiskupa Jurija Jaroszewskija

9 lutego 1904 ▪ Wieloryb idzie na dno ▪ Atak na Port Arthur

10 lutego 1976 ▪ Tylko jedna ręka ▪ Sprzeciw Stanisława Stommy

11 lutego 1858 ▪ Próba kija ▪ Objawienie w Lourdes

12 lutego 1967 ▪ Wenus z tripu ▪ Keith Richards, Mick Jagger i narkotyki

13 lutego 1945 ▪ Burza piekielna ▪ Bombardowanie Drezna

14 lutego 1929 ▪ Pies nie podpadł ▪ Masakra w Dniu Świętego Walentego

15 lutego 1898 ▪ Mówię ci, będzie wojna! ▪ Eksplozja USS „Maine”

16 lutego 1937 ▪ Wielki sen ▪ Samobójstwo małżeństwa Grzeszolskich

17 lutego 1904 ▪ Nigdy więcej! ▪ Premiera Madame Butterfly

18 lutego 1943 ▪ Do dna ▪ Donos na Sophie Scholl

19 lutego 1929 ▪ Wojna zimowa ▪ Zima stulecia w Europie

20 lutego 1846 ▪ Krew na śniegu ▪ Rabacja galicyjska

21 lutego 1994 ▪ Czy będę mógł zapalić? ▪ Aresztowanie Aldricha Amesa

22 lutego 1900 ▪ Wot wam i Gutienberg! ▪ Aresztowania w drukarni „Robotnika”

23 lutego 1981 ▪ No to golpe ▪ Zamach na Kortezy Antonia Tejera Moliny

24 lutego 1920 ▪ Wódz wyłania się z piany ▪ Powstanie NSDAP

25 lutego 1831 ▪ Lew przebudzony ▪ Bitwa pod Olszynką Grochowską

26 lutego 1936 ▪ Incydent na śniegu ▪ Próba zamachu stanu w Japonii

27 lutego 1957 ▪ Robimy „Politykę”! ▪ Powstanie tygodnika „Polityka”

28 lutego 1943 ▪ Czwartą zapałką ▪ Wysadzenie Norsk Hydro

29 lutego 1504 ▪ Żywność za Księżyc ▪ Zaćmienie Księżyca na Jamajce

Marzec

1 marca 1921 ▪ Piętnaście postulatów ▪ Bunt w Kronsztadzie

2 marca 1962 ▪ Sto i starczy ▪ Rekord Wilta Chamberlaina z NBA
3 marca 1945 ▪ Odwet ▪ Masakra w Pawłokomie
4 marca 1766 ▪ Honor cudzoziemca ▪ Giacomo Casanova w Warszawie
5 marca 1953 ▪ Na Kreml, szybko! ▪ Śmierć Józefa Stalina
6 marca 1940 ▪ „Biała śmierć" nie umiera ▪ Snajper Simo Hayha „Biała śmierć"
7 marca 1941 ▪ Uprzejmy do końca ▪ Likwidacja Igo Syma
8 marca 1968 ▪ Wolności słowa nie usuwać! ▪ Aresztowania „komandosów"
9 marca 1862 ▪ Tylko nie po oczach! ▪ Bitwa USS „Monitor" z CSS „Virginia"
10 marca 1876 ▪ Czy pan mnie rozumie? ▪ Telefon Aleksandra Grahama Bella
11 marca 1801 ▪ Najpierw coś przekąsimy i wypijemy ▪ Zabójstwo cara Pawła I
12 marca 1917 ▪ Ostatnia godzina ▪ Upadek caratu
13 marca 1938 ▪ Koniec Austrii ▪ Anschluss Austrii
14 marca 1757 ▪ Dwie chusteczki ▪ Egzekucja Johna Bynga
15 marca 44 p.n.e. ▪ Sześćdziesiąt sztyletów i rysik ▪ Idy marcowe
16 marca 1901 ▪ Tylko nie po nazwiskach! ▪ Prapremiera Wesela
17 marca 1938 ▪ Wodzu, prowadź na Kowno! ▪ Antylitewska manifestacja OZN
18 marca 1967 ▪ Kontrolnie w skały ▪ Katastrofa tankowca „Torrey Canyon"
19 marca 1981 ▪ Ci odlatują, ci zostają ▪ Prowokacja bydgoska

20 marca 1968 ▪ Góra popłynęła ▪ Lawina w Białym Jarze
21 marca 1960 ▪ Lekcja dla czarnych ▪ Masakra w Sharpeville
22 marca 1832 ▪ Więcej światła ▪ Śmierć Johanna Wolfganga von Goethego
23 marca 1965 ▪ Żartownisie na orbicie ▪ Początek misji „Gemini 3”
24 marca 1794 ▪ Mam iść? ▪ Powstanie kościuszkowskie
25 marca 1975 ▪ Kula zamiast pocałunku ▪ Zastrzelenie Fajsala ibn Abd al-Aziz Al Su’ud
26 marca 1905 ▪ Łapy ode mnie precz! ▪ Zamach Stefana Okrzei
27 marca 1942 ▪ Rydwan piekielny ▪ Rajd na Saint-Nazaire
28 marca 1947 ▪ Zamiast chleba – generał ▪ Śmierć gen. Karola Świerczewskiego
29 marca 1912 ▪ Listy spod śniegu ▪ Śmierć Roberta Falcona Scotta na Antarktydzie
30 marca 1940 ▪ Zajrzeć do Baku ▪ Niezrealizowany plan bombardowania Baku
31 marca 1146 ▪ Bierzcie i szyjcie! ▪ Kazanie Bernarda z Clairvaux

Kwiecień

1 kwietnia 1656 ▪ Najświętszej Pannie królestwo, a chłopu ogarek ▪ Śluby lwowskie
2 kwietnia 1939 ▪ Stary browning ▪ Samobójstwo Walerego Sławka
3 kwietnia 1996 ▪ Kaczynski wreszcie aresztowany! ▪ Aresztowanie Theodora Kaczynskiego
4 kwietnia 1968 ▪ Pantofel na balkonie ▪ Zamordowanie Martina Luthera Kinga

5 kwietnia 1794 ▪ Głowa dla ludu ▪ Ścięcie Georgesa Dantona
6 kwietnia 1896 ▪ Ciągle ci Amerykanie! ▪ Pierwsze nowożytne igrzyska olimpijskie
7 kwietnia 1977 ▪ Druga faza rewolucji ▪ Zamach na Siegfrieda Bubacka
8 kwietnia 1990 ▪ Już czas, Ryan ▪ Śmierć Ryana White'a
9 kwietnia 1938 ▪ Honor obwarzanka ▪ Proces Stanisława Cywińskiego i Aleksandra Zwierzyńskiego
10 kwietnia 1525 ▪ Płaszcze bez krzyży ▪ Hołd pruski
11 kwietnia 1967 ▪ Teatr za mszę ▪ Zwolnienie Mieczysława Kotlarczyka
12 kwietnia 1961 ▪ Wszyscy w Kosmos! ▪ Jurij Gagarin w kosmosie
13 kwietnia 1931 ▪ Spalone na panewce ▪ Proces Jana Polańskiego
14 kwietnia 1865 ▪ Już jutro zwyciężymy ▪ Zamach na Abrahama Lincolna
15 kwietnia 1912 ▪ Koniec w starym dobrym stylu ▪ Zatonięcie „Titanica"
16 kwietnia 1925 ▪ Komunistyczny Samson ▪ Zamach bombowy w cerkwi Sweta Nedelja
17 kwietnia 1794 ▪ Szewska pasja ▪ Wybuch insurekcji warszawskiej
18 kwietnia 1518 ▪ Królewski teatr ▪ Ślub Bony Sforzy i Zygmunta Starego
19 kwietnia 1993 ▪ Z dymem pożarów ▪ Masakra w Waco
20 kwietnia 1587 ▪ Wpadłem coś zrabować i podpalić ▪ Angielski atak na Kadyks

21 kwietnia 1918 ▪ Czerwony Baron we krwi ▪ Śmierć Czerwonego Barona
22 kwietnia 1915 ▪ Doświadczenie w plenerze ▪ Bitwa pod Ypres
23 kwietnia 997 ▪ Kielich wina w puszczy ▪ Męczeństwo św. Wojciecha
24 kwietnia 1975 ▪ Egzekucja w ambasadzie ▪ Okupacja ambasady RFN w Sztokholmie
25 kwietnia 1980 ▪ Szpon w piasku ▪ Operacja „Eagle Claw" w Iranie
26 kwietnia 1986 ▪ Eksperymentatorzy ▪ Katastrofa w Czarnobylu
27 kwietnia 1960 ▪ Z krzyża zdjęci ▪ Walki o krzyż w Nowej Hucie
28 kwietnia 1945 ▪ Kochance nie darujemy ▪ Śmierć Benita Mussoliniego
29 kwietnia 1945 ▪ W bunkrze wesele ▪ Ślub Evy Braun i Adolfa Hitlera
30 kwietnia 1940 ▪ Polowanie na „Huballę" ▪ Śmierć „Hubala"

Maj

1 maja 1960 ▪ Komar wreszcie spadł! ▪ Zestrzelenie Lockheeda U-2
2 maja 1921 ▪ Wojtek, powiedz be ▪ Wybuch III powstania śląskiego
3 maja 1791 ▪ Jestem przeciw, a nawet za! ▪ Konstytucja 3 maja
4 maja 1187 ▪ Królestwo przepadło! ▪ Bitwa pod Hattin
5 maja 1980 ▪ Bez przebaczenia ▪ Operacja „Nimrod"

6 maja 1937 ▪ Niebo w płomieniach ▪ Katastrofa „Hindenburga”

7 maja 1915 ▪ Przynęta z błękitną wstęgą ▪ Zatopienie „Lusitanii”

8 maja 1987 ▪ Gary tam był ▪ Konferencja prasowa Gary’ego Harta

9 maja 1671 ▪ Korona? Nie, pensja ▪ Kradzież klejnotów koronnych z Tower

10 maja 1941 ▪ Skoczę do Szkocji, zaraz wracam ▪ Wizyta Rudolfa Hessa w Szkocji

11 maja 1891 ▪ Kataną i laską ▪ Nieudany zamach na carewicza Mikołaja w Japonii

12 maja 1935 ▪ Nie ma Ziuka ▪ Śmierć Józefa Piłsudskiego

13 maja 1910 ▪ Mord w garsonierze ▪ Morderstwo Stanisława Chrzanowskiego

14 maja 1610 ▪ Wdowa, ale w koronie ▪ Zamach na Henryka IV

15 maja 1860 ▪ Tysiąc czerwonych koszul w winnicy ▪ Wyprawa Tysiąca Czerwonych Koszul

16 maja 1657 ▪ Męczeństwo „duszochwata” ▪ Śmierć Andrzeja Boboli

17 maja 1907 ▪ Rosjanin, oficer, człowiek ▪ Atak PPS na carski furgon

18 maja 1944 ▪ No to gramy! ▪ Zdobycie Monte Cassino

19 maja 1905 ▪ Kamikadze na Miodowej ▪ Zamach na Konstantina Maksymowicza

20 maja 1960 ▪ Miami pod Rzeszowem ▪ Huragan na Podkarpaciu

21 maja 1927 ▪ Z deszczu pod dach Wuja Sama ▪ Pierwszy samotny lot transatlantycki

22 maja 1960 ▪ Świat ruszył z posad ▪ Trzęsienie ziemi w Chile

23 maja 1871 ▪ Na atłasie ▪ Śmierć gen. Jarosława Dąbrowskiego

24 maja 1977 ▪ Przyzwoicie, o wodzie ▪ Strajk głodowy w kościele św. Marcina w Warszawie

25 maja 1913 ▪ Wolno panu poprosić o broń ▪ Zdemaskowanie i samobójstwo Alfreda Redla

26 maja 1828 ▪ Obcy ▪ Historia Kaspara Hausera

27 maja 1606 ▪ Ktoś ty taki? ▪ Śmierć Dymitra I Samozwańca

28 maja 1905 ▪ Honor marynarza ▪ Bitwa pod Cuszimą

29 maja 1985 ▪ Płot i mur ▪ Zamieszki na stadionie Haysel

30 maja 1960 ▪ Czyste serca, brudne ręce ▪ Obrona Domu Katolickiego w Zielonej Górze

31 maja 1669 ▪ Ostatni tajny akapit ▪ Dziennik Samuela Pepysa

Czerwiec

1 czerwca 1987 ▪ My jesteśmy krasnoludki! ▪ Pomarańczowa Alternatywa

2 czerwca 1652 ▪ Los Rzeczypospolitej u stóp Rozandy ▪ Powstanie Chmielnickiego

3 czerwca 1968 ▪ Z kogutem czy bez? ▪ Zamach na Andy'ego Warhola

4 czerwca 1989 ▪ Dzień krwi i chwały ▪ Protesty na placu Tiananmen

5 czerwca 1942 ▪ Skorpiony na dnie ▪ Bitwa o Midway

6 czerwca 1867 ▪ Cesarstwo za konia! ▪ Zamach na Aleksandra II

7 czerwca 1982 ▪ Podziemiem do podziemia ▪ Ucieczka Jana Narożniaka
8 czerwca 1967 ▪ Przyjacielska masakra ▪ Atak na USS „Liberty”
9 czerwca 1927 ▪ Dwudziestu białych za jednego czerwonego ▪ Pogrzeb Piotra Wojkowa
10 czerwca 1930 ▪ Na wolność ze scyzorykiem ▪ Historia dyplomaty Grigorija Biesiedowskiego
11 czerwca 1977 ▪ Biegunka antyterrorystyczna ▪ Ataki terrorystyczne Molukańczyków
12 czerwca 1979 ▪ Pedałując nad falami ▪ Mięśniolot Paula MacCready’ego
13 czerwca 1982 ▪ Rozmowy przy zaprowadzaniu porządku ▪ Zamieszki we Wrocławiu
14 czerwca 1956 ▪ Do komuny, ale z maszyną ▪ Powrót Stanisława Cat-Mackiewicza
15 czerwca 1934 ▪ Czerezwyczajka, ale na rok ▪ Zabójstwo Bronisława Pierackiego
16 czerwca 1904 ▪ W stronę Ringsend ▪ James Joyce i Norah Barnacle
17 czerwca 1885 ▪ Pomnik niezamożnych ▪ Francuski dar. Statua Wolności
18 czerwca 1969 ▪ Uchylone drzwi ▪ Śmierć Andrzeja Zawieyskiego
19 czerwca 1574 ▪ Śmieszny golas ▪ Ucieczka Henryka Walezego
20 czerwca 1945 ▪ Potworny polonez ▪ Proces szesnastu
21 czerwca 1982 ▪ Zrobili wariata ▪ Proces Johna Hincleya
22 czerwca 1933 ▪ Na wsi strzelają ▪ Zamieszki w Grodzisku Dolnym

23 czerwca 1936 ▪ Czyn narodowy ▪ Doboszyński zdobywa Myślenice

24 czerwca 972 ▪ Bagnem i mieczem ▪ Bitwa pod Cedynią

25 czerwca 1937 ▪ Oddaj Wawel! ▪ Konflikt o grób Piłsudskiego

26 czerwca 1948 ▪ Uciekający pościg ▪ Aresztowanie „Łupaszki”

27 czerwca 1978 ▪ Po twarożku do gwiazd ▪ Mirosław Hermaszewski w kosmosie

28 czerwca 1914 ▪ Smok znieruchomiał ▪ Zamach na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda

29 czerwca 1936 ▪ Generał zmyka przed ludem ▪ Wizyta gen. Edwarda Śmigłego-Rydza w Nowosielcach

30 czerwca 1934 ▪ Po prostu zastrzel ich! ▪ Noc Długich Noży

Lipiec

1 lipca 1916 ▪ Mecz wspaniały, choć przegrany ▪ Bitwa nad Sommą

2 lipca 1961 ▪ Tylko strzelba ▪ Samobójstwo Ernesta Hemingwaya

3 lipca 1863 ▪ Bardzo smutny dzień ▪ Bitwa pod Gettysburgiem

4 lipca 1941 ▪ Ojcowie i synowie ▪ Mord profesorów lwowskich

5 lipca 1982 ▪ A niech pan szuka! ▪ Aresztowanie Joanny Szczęsnej

6 lipca 1885 ▪ Wierny Józef ▪ Szczepionka Ludwika Pasteura przeciw wściekliźnie

7 lipca 1938 ▪ Tu będzie trawa ▪ Walka o posesję Stanisława Snitko

8 lipca 1936 ▪ Zabić dyrektora ▪ Zamach na Wiktora Gosiewskiego
9 lipca 1982 ▪ Wizyta u starszej pani ▪ Incydent w Buckingham Palace
10 lipca 1873 ▪ Na mnie, na ciebie, na cały świat! ▪ Burzliwy związek Paula Verlaine'a
11 lipca 1931 ▪ Przejechał się ▪ Aresztowanie Piotra Demkowskiego
12 lipca 1704 ▪ Do koronacji – wystąp! ▪ Elekcja Stanisława Leszczyńskiego
13 lipca 1900 ▪ Ocalony dla Nobla ▪ Katastrofa kolejowa z Władysławem Reymontem
14 lipca 1789 ▪ Nic ▪ Zburzenie Bastylii
15 lipca 1410 ▪ Ach, gdybyż Jagiełło zjawił się pod Grunwaldem ▪ Bitwa pod Grunwaldem
16 lipca 1945 ▪ Portret zbiorowy fizyków z Trójcą w tle ▪ Projekt „Manhattan"
17 lipca 1925 ▪ Czerwone Chicago ▪ Zamach na Józefa Cechnowskiego
18 lipca 1937 ▪ Z panem Biegankiem w Świdrach Małych ▪ Nieudany zamach na Adama Koca
19 lipca 1937 ▪ Pożegnanie ze sztuką ▪ Wystawa sztuki zdegenerowanej w Monachium
20 lipca 1934 ▪ Wielka woda ▪ Największa powódź II RP
21 lipca 1944 ▪ Z myśliwego zwierzę łowne ▪ Zamach Stauffenberga na Hitlera
22 lipca 1955 ▪ Tańcz, ludu, tańcz ▪ 11. rocznica ogłoszenia Manifestu PKWN
23 lipca 1792 ▪ Pozwól książę, że będę twym kasjerem ▪ Konfederacja targowicka

24 lipca 1969 ▪ Gdzie ci Obcy? ▪ Lądowanie „Apollo 11”

25 lipca 1909 ▪ Do spółki z deszczem ▪ Pierwszy przelot nad Kanałem La Manche

26 lipca 1953 ▪ Pierwszy krok – Moncada ▪ Fidel Castro atakuje koszary

27 lipca 1841 ▪ Poeta umiera w deszczu ▪ Śmierć Michaiła Lermontowa

28 lipca 1794 ▪ Tylko krzyk ▪ Śmierć Robespierre’a

29 lipca 1890 ▪ Żegnaj, smutku ▪ Samobójstwo van Gogha

30 lipca 1936 ▪ Ikar nad Oksywiem ▪ Katastrofa balonu pod Gdynią

31 lipca 1914 ▪ Trochę ołowiu do głowy ▪ Zabójstwo Jeana Jaurèsa

Sierpień

1 sierpnia 1966 ▪ Ból głowy ▪ „Snajper z Teksasu”. Charles Whitman

2 sierpnia 1990 ▪ Saddamie, na pomoc! ▪ Inwazja na Kuwejt

3 sierpnia 1914 ▪ Wyszła piechota, wróciła kawaleria ▪ I. Kompania Kadrowa

4 sierpnia 1936 ▪ Panowie uciekają paniom? ▪ Biegacze na igrzyskach olimpijskich w Berlinie

5 sierpnia 1962 ▪ Wszystko zostało wyprane ▪ Śmierć Marilyn Monroe

6 sierpnia 1910 ▪ Trzeba iść ▪ Śmierć Klimka Bachledy

7 sierpnia 1947 ▪ Norweg w raju ▪ Wyprawa „Kon-Tiki”

8 sierpnia 1963 ▪ Wielki skok ▪ Brytyjski napad stulecia

9 sierpnia 1945 ▪ Cel zapasowy ▪ Atak atomowy na Nagasaki

10 sierpnia 1628 ▪ Najkrótszy rejs ▪ Zatonięcie okrętu „Vasa”

11 sierpnia 1956 ▪ Zbyt wielki ciężar ▪ Śmierć Jacksona Pollocka

12 sierpnia 1794 ▪ Okazać prymasa! ▪ Śmierć prymasa Michała Poniatowskiego
13 sierpnia 1911 ▪ Pirat nad Marszałkowską ▪ Przelot del Campo nad Warszawą
14 sierpnia 1994 ▪ Zgubne pragnienie whisky i ojcostwa ▪ „Szakal" w potrzasku
15 sierpnia 1831 ▪ Ucho szpiega ▪ Manifestacja Towarzystwa Patriotycznego
16 sierpnia 1936 ▪ Dwie minuty złota ▪ Rotmistrz Zdzisław Kawecki na igrzyskach
17 sierpnia 1969 ▪ Drinkujący z Camille ▪ Huragan Camille
18 sierpnia 1906 ▪ Trzy damy z bombą ▪ Zamach na Gieorgija Skałona
19 sierpnia 1981 ▪ Major Maeena zwycięża sześć razy ▪ Zestrzelenie libijskich Su-22
20 sierpnia 1940 ▪ Wykończ go, synku ▪ Śmierć Lwa Trockiego
21 sierpnia 1968 ▪ Bratnia pomoc ▪ Polska interwencja w Czechosłowacji
22 sierpnia 1831 ▪ Wolność we krwi ▪ Powstanie niewolników w Wirginii
23 sierpnia 1927 ▪ Tą samą ręką ▪ Egzekucje Ferdinanda „Nicoli" Sacca i Bartolomea Vanzettiego
24 sierpnia 79 ▪ Gorący śnieg ▪ Wybuch Wezuwiusza
25 sierpnia 1968 ▪ Posiedzieć w Moskwie ▪ Aresztowanie Natalii Gorbaniewskiej
26 sierpnia 1928 ▪ Włościanie zlani ▪ Dożynki w Spale
27 sierpnia 1939 ▪ Uśmiech rudego ▪ Mecz Polska – Węgry
28 sierpnia 1935 ▪ Król sportu ▪ Wypadek Leopolda III

29 sierpnia 1931 ▪ Morderstwo podczas burzy ▪ Morderstwo Tadeusza Hołówki w Truskawcu

30 sierpnia 1918 ▪ Ślepa strzela celnie ▪ Zamach na Włodzimierza Lenina

31 sierpnia 1939 ▪ Babcia umarła bez komunikatu ▪ Prowokacja gliwicka

Wrzesień

1 września 1972 ▪ Chce mi się spać ▪ Mistrzostwa świata w grze w szachy

2 września 31 p.n.e. ▪ Patrzący na fale ▪ Bitwa pod Akcjum

3 września 1967 ▪ Łoś spojrzał w drugą stronę ▪ Zmiana organizacji ruchu drogowego w Szwecji

4 września 1929 ▪ Pętla pod gazem ▪ Lot Zeppelina dookoła świata

5 września 1972 ▪ Zajączek do ataku ▪ Masakra w Monachium

6 września 1831 ▪ Dwie reduty ▪ Obrona Woli

7 września 1936 ▪ Ostatnia ▪ Śmierć ostatniego wilka workowatego

8 września 1514 ▪ Ja to wam namaluję! ▪ Bitwa pod Orszą

9 września 1901 ▪ Polowanie na muchy ▪ Śmierć Henriego de Toulouse-Lautreka

10 września 1930 ▪ Droga do Brześcia ▪ Proces brzeski

11 września 1933 ▪ Fatalny lot ▪ Katastrofa Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury

12 września 1943 ▪ We trzech w przepaść ▪ Uwolnienie Benita Mussoliniego

13 września 1982 ▪ Z córką w przepaść ▪ Śmierć Grace Kelly

14 września 1927 ▪ Szal z niebieskimi astrami ▪ Śmierć Isadory Duncan

15 września 1830 ▪ Ofiara postępu ▪ Pierwsza ofiara wypadku kolejowego

16 września 1979 ▪ Czy to Zachód? ▪ Balonem do RFN

17 września 1939 ▪ Weszli! ▪ Atak ZSRR na Polskę

18 września 1970 ▪ W czerwonym winie ▪ Śmierć Jimiego Hendrixa

19 września 1454 ▪ Zabieramy króla i w nogi! ▪ Bitwa pod Chojnicami

20 września 1926 ▪ Polski zajazd w Chicago ▪ Zamach na Ala Capone

21 września 1976 ▪ Nogi ministra. I asystentka też ▪ Zamach na Orlando Leteliera

22 września 1937 ▪ Przesyłka dyplomatyczna ▪ Porwanie Jewgienija Millera

23 września 1934 ▪ „Toruń" ucieka do Rembertowa ▪ Puchar Gordona Bennetta

24 września 1976 ▪ Potraktowałem panią jak dorosłą ▪ Proces Patricii Hearst

25 września 1953 ▪ Internowanie ▪ Internowanie kardynała Wyszyńskiego

26 września 1908 ▪ Nocny eks płk. Dąbka ▪ Akcja pod Bezdanami

27 września 1605 ▪ Jestem, jestem i już mnie nie ma ▪ Bitwa pod Kircholmem

28 września 480 p.n.e. ▪ Będzie Grecja, będzie Europa! ▪ Bitwa pod Salaminą

29 września 1938 ▪ Pusty kałamarz ▪ Układ Monachijski

30 września 1955 ▪ Pierwszeństwo dla bękarta ▪ Śmierć Jamesa Deana

Październik

1 października 1975 ▪ Nieudana kolacja ▪ Walka Muhammada Alego z Joem Frazierem
2 października 1944 ▪ Kapitulacja ▪ Kapitulacja powstania warszawskiego
3 października 1963 ▪ Na koniec organistów – dzwony ▪ Likwidacja Salezjańskiej Szkoły Organistowskiej w Przemyślu
4 października 1957 ▪ Biip, biip, biip! ▪ Wystrzelenie Sputnika
5 października 1930 ▪ Sen w płomieniach ▪ Katastrofa sterowca R 101
6 października 1933 ▪ W hołdzie prochom króla ▪ Obchody 250-lecia odsieczy wiedeńskiej
7 października 1571 ▪ Z kurą zamiast ręki ▪ Bitwa pod Lepanto
8 października 1943 ▪ Kubek z czekoladą ▪ Zatopienie ORP „Orkan”
9 października 1967 ▪ Pożegnanie z katem ▪ Śmierć Che Guevary
10 października 1794 ▪ Po bitwie noc ▪ Bitwa pod Maciejowicami
11 października 1830 ▪ Pożegnanie przed burzą ▪ Koncert Fryderyka Chopina w Warszawie
12 października 1960 ▪ Obcasem i młotkiem ▪ Chruszczow w ONZ
13 października 1917 ▪ Objawienie ▪ Objawienie w Fatimie
14 października 1943 ▪ Dzień siekier ▪ Powstanie w Sobiborze
15 października 1930 ▪ Rewizor mazowiecki ▪ Aresztowanie Bolesława Pilicha

16 października 1906 ▪ Kładę areszt na tę kasę ▪ Kapitan z Köpenick

17 października 1948 ▪ Nietoperz ▪ Inscenizacje Andrzeja Pronaszki

18 października 1977 ▪ Och, Gaby! ▪ Porwanie boeinga 737

19 października 1813 ▪ Ostatni brzeg ▪ Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego

20 października 1957 ▪ Jeszcze Polska! ▪ Mecz Polska – ZSRR

21 października 1963 ▪ Ostatni ▪ Śmierć Józefa Franczaka

22 października 1930 ▪ Przedsionek piekieł ▪ Katastrofa w kopalni „Anna II”

23 października 1956 ▪ Stalin bez butów ▪ Powstanie węgierskie

24 października 1956 ▪ Wiec ▪ Przemówienie Gomułki

25 października 1854 ▪ Cienka czerwona wstęga ▪ Bitwa pod Bałakławą

26 października 1881 ▪ Trzech pchniętych w wieczność ▪ Strzelanina w Tombstone

27 października 1962 ▪ Obciąć misiowi jaja? ▪ Kryzys kubański

28 października 1950 ▪ Na pociechę schabowy i piwo ▪ Reforma walutowa w PRL

29 października 1931 ▪ Do śmierci najukochańsza ▪ Zapomniane groby królewskie w Wilnie

30 października 1938 ▪ Nalot ośmiornic ▪ Słuchowisko Wojna światów

31 października 1984 ▪ Zabójczy ochroniarze ▪ Zamach na Indirę Gandhi

Listopad

1 listopada 1950 ▪ My strzelamy, a on śpi ▪ Próba zamachu na Harry'ego Trumana
2 listopada 1925 ▪ Dwa razy pochowani ▪ Złożenie zwłok Nieznanego Żołnierza w Warszawie
3 listopada 1771 ▪ Porwali króla? I cóż z tego... ▪ Porwanie Stanisława Augusta Poniatowskiego
4 listopada 1794 ▪ O jeden most za mało ▪ Obrona i rzeź Pragi
5 listopada 1901 ▪ Wznieśliśmy pomnik! ▪ Inauguracja Filharmonii Warszawskiej
6 listopada 1923 ▪ Na krakowskim bruku ▪ Zrewoltowany Kraków
7 listopada 1917 ▪ Pudła z „Aurory" ▪ Przewrót bolszewicki
8 listopada 1923 ▪ Fatalny unik ▪ Pucz monachijski
9 listopada 1888 ▪ Piekło pod trzynastym ▪ Morderstwa Kuby Rozpruwacza
10 listopada 1871 ▪ Doctor Livingstone, I presume? ▪ Poszukiwanie Davida Livingstone'a
11 listopada 1918 ▪ Pierwszy dzień wolności ▪ Odzyskanie niepodległości
12 listopada 1931 ▪ Wstęp do pogrzebu ▪ Protesty studenckie w Wilnie
13 listopada 1904 ▪ Słowo oberpolicmajstra ▪ Manifestacja na pl. Grzybowskim
14 listopada 1945 ▪ Sądny dzień ▪ Proces norymberski
15 listopada 1969 ▪ Czarne baloniki ▪ Manifestacje antywojenne w Waszyngtonie
16 listopada 1532 ▪ Imperium upada w pół godziny ▪ Francisco Pizarro w Ekwadorze

17 listopada 1869 ▪ Płyniemy przez piaski! ▪ Otwarcie Kanału Sueskiego
18 listopada 1956 ▪ Kino akcji ▪ Zamieszki w Bydgoszczy
19 listopada 1942 ▪ Zabiłem twojego Żyda ▪ Śmierć Brunona Schulza
20 listopada 1910 ▪ Milczeć! ▪ Śmierć Lwa Tołstoja
21 listopada 1934 ▪ Apollo i Ella ▪ Narodziny gwiazdy. Ella Fitzgerald
22 listopada 1963 ▪ Obrączka ▪ Zamach na J.F. Kennedy'ego
23 listopada 1928 ▪ Pierścionek został ▪ Zamordowanie Stanisławy Anczewskiej
24 listopada 1971 ▪ Dan Cooper ▪ Porwanie boeinga 727
25 listopada 1970 ▪ Długi cień bushido ▪ Protest i seppuku Mishimy Yukio
26 listopada 1796 ▪ Jak pół-Polak z Polakiem ▪ Uwolnienie Tadeusza Kościuszki
27 listopada 1942 ▪ Z resztką honoru na dnie lec ▪ Samozatopienie floty francuskiej w Tulonie
28 listopada 1626 ▪ Na jednym pokładzie ▪ Bitwa pod Oliwą
29 listopada 1830 ▪ Już krótki nos nie żyje! ▪ Wybuch powstania listopadowego
30 listopada 1938 ▪ W pętli ▪ Zamordowanie przywódców Żelaznej Gwardii

Grudzień

1 grudnia 1934 ▪ Charlotta Corday strzela do Kirowa ▪ Zabicie Siergieja Kirowa
2 grudnia 1789 ▪ Faceci w czerni ▪ Czarna procesja w Warszawie

3 grudnia 1917 ▪ Tym włosom mówię: nie! ▪ Wystawa twórczości Modiglianiego
4 grudnia 1872 ▪ Nie ostał się choćby kot ▪ Zaginięcie statku „Mary Celeste”
5 grudnia 1953 ▪ Niedokończone zakupy ▪ Ucieczka Józefa Światły
6 grudnia 1933 ▪ Czaszka predestynowana do idei komunistycznej ▪ Proces oskarżonych o podpalenie Reichstagu
7 grudnia 1724 ▪ I jeszcze rękę ▪ Zamieszki w Toruniu
8 grudnia 1980 ▪ Właśnie zastrzeliłem Lennona ▪ Zabójstwo Johna Lennona
9 grudnia 1922 ▪ Jak fala ▪ Gabriel Narutowicz prezydentem
10 grudnia 1956 ▪ Za co? ▪ Antysowieckie zamieszki w Szczecinie
11 grudnia 1913 ▪ To u nas nie wisiało ▪ Mona Lisa odnaleziona
12 grudnia 1970 ▪ Rajstopy dla wszystkich ▪ Polski Grudzień
13 grudnia 1981 ▪ Prosimy z nami ▪ Ogłoszenie stanu wojennego
14 grudnia 1911 ▪ Triumf w brudzie ▪ Pierwsi ludzie na Biegunie Południowym
15 grudnia 1899 ▪ Zatopiony lot ▪ Wojny burskie
16 grudnia 1922 ▪ Zawada usunięta ▪ Zabójstwo Gabriela Narutowicza
17 grudnia 1903 ▪ Zawsze pod wiatr ▪ Pierwszy lot braci Wright
18 grudnia 1976 ▪ Wymiana ▪ Uwolnienie Władimira Bukowskiego

19 grudnia 1806 ▪ Serdecznie witamy ▪ Wyjście Prusaków z Warszawy
20 grudnia 1989 ▪ Dorwać ananasową gębę! ▪ Obalenie Noriegi w Panamie
21 grudnia 1927 ▪ Pamięć w płomieniach ▪ Pożar zamku Tarnowskich w Dzikowie
22 grudnia 1894 ▪ Wyrok w kopercie ▪ Sprawa Dreyfusa
23 grudnia 1953 ▪ Ponieśli i wilka ▪ Śmierć Ławrientija Berii
24 grudnia 1938 ▪ Atom pęka na śniegu ▪ Odkrycie zjawiska rozszczepienia jądra atomowego
25 grudnia 1926 ▪ Po drabinie na święta ▪ Ucieczka Mirosława Zdziarskiego i Leona Purmana
26 grudnia 1825 ▪ Powstanie ▪ Powstanie dekabrystów
27 grudnia 1979 ▪ Ostatnia wieczerza ▪ Radziecka interwencja w Afganistanie
28 grudnia 1944 ▪ Z sąsiedzką wizytą ▪ Zbrodnia UPA w Łozowej
29 grudnia 1890 ▪ Rewanż kawalerzystów ▪ Masakra Indian nad Wounded Knee
30 grudnia 1905 ▪ Jak Francuzi ▪ Egzekucje po krwawej niedzieli w Peterburgu
31 grudnia 1943 ▪ Zabawa parlamentarna ▪ Powstanie Krajowej Rady Narodowej

Podziękowanie

Źródła ilustracji

Moim Rodzicom

Może bezpieczniej wziąć urlop?

Chyba każdy wydawca ma wymarzoną „księgę swego życia" – dzieło, które za wszelką cenę chciałby opublikować, z którego byłby dumny, mając przeświadczenie, że przyłożył rękę do czegoś wyjątkowego i ważnego. Miałem szczęście wydać kilka takich książek – patrzę z dumą, jak pięknie prezentują się na półce, mam nadzieję, że dostarczyły czytelnikom wzruszeń i radości, przekazały mądrość autorów. Pielęgnuję myśl o dwóch, trzech takich dziełach, do których powstania chciałbym jeszcze doprowadzić, by móc przejść na emeryturę jako człowiek spełniony i usatysfakcjonowany. Nie będę ujawniał tutaj ich tytułów, żeby nie zapeszyć. Mogę jednak z głębokim przekonaniem wyznać, że jedna z takich ksiąg leży w tej chwili przede mną w postaci szpalt korektorskich, niebawem zaś będzie ją miał w ręku czytelnik.

Na ogół emocje podobne towarzyszą marzeniom o dziełach niemalże nieosiągalnych, które z różnych względów wydają się niewykonalne, przekraczające możliwości autora bądź warunki, jakie może mu zapewnić wydawca. Czeka się na takie książki latami, podczas których pokonać trzeba rozmaite przeszkody, liczne chwile zwątpienia, wiszące nad autorem klątwy albo całkiem prozaiczne ograniczenia. Trudno opisać uczucie radości towarzyszące chwili, w której dzieło domyka się, osiąga upragniony kształt, kiedy – dopieszczone edytorsko, wyposażone w zdjęcia, indeksy, starannie dobraną okładkę – wędruje do drukarni, by potem trafić do księgarń i księgozbiorów czekających na nie czytelników.

Taki właśnie obiekt marzeń wydawcy – oraz owoc licznych talentów autora i wielu lat jego detektywistycznych dociekań – leży teraz przed nami. Wiem, że wraz ze mną oczekiwało na ten tom wielu czytelników. Przeszło dwanaście lat temu na łamach najpierw „Magazynu", a potem „Dużego Formatu" – reporterskich dodatków „Gazety Wyborczej" – zaczął się ukazywać cykl tekstów Włodzimierza Kalickiego, których tytuł zmieniał się na przestrzeni tych lat: najpierw było *Zdarzyło się dzisiaj*, potem *Zdarzyło się wczoraj*. Każdy „odcinek" był autonomiczną całostką, opisywał jakieś niezwykłe wydarzenie mające miejsce tego właśnie dnia – kilka, kilkadziesiąt, kilkaset, a nawet kilka tysięcy lat temu. Autor wybierał zdarzenia najróżniejsze: katastrofę zeppelina „Hindenburg" i promu „Challenger", wypadek kolejowy Władysława Reymonta, męczeństwo św. Wojciecha, nagranie pierwszej płyty przez Beatlesów i premierę *Madamy Butterfly* Pucciniego, bitwę pod Hastings i rabację galicyjską Szeli, pogrzeb literatury polskiej na zjeździe pisarzy w Szczecinie w 1949 roku i ostatnie przedstawienie *Dziadów* Dejmka w roku 1968, zamach na prezydenta Kennedy'ego i arcyksięcia Ferdynanda, zabójstwo Róży Luksemburg i Johna Lennona, śmierć Juliusza Cezara, Marilyn Monroe, marszałka Piłsudskiego, Brunona Schulza, Jimiego Hendrixa... Porządek tekstów wyznaczał kalendarz – ten kalejdoskop różnych epok, postaci historycznych, najrozmaitszych wydarzeń był czymś nieprzewidywalnym i fascynującym. Niby każdy słyszał o procesie Dreyfusa czy zamordowaniu Rasputina, ale na ogół nie ma się pojęcia, jak wydarzenia te wyglądały. Teksty Kalickiego – zwięzłe, pozbawione zbędnej sylaby, a zarazem niesłychanie obrazowe – pozwalały czytelnikowi stać się naocznym świadkiem opisywanych wydarzeń, oglądać te historyczne epizody – wszystko jedno, czy sprzed kilku miesięcy, czy sprzed wielu stuleci – w epickim

powiększeniu, zupełnie jak gdyby najeżdżała na nie kamera, precyzyjnie rejestrująca każdy detal: dynamikę dramatycznej akcji, wygląd, a nawet mimikę bohatera, jego emocje i stan ducha. Mało tego: w tym kadrze drobiazgowo odtworzone były także szczegóły scenografii, panująca „na planie" temperatura, oświetlenie, kolory, zapachy.

Na kolejne „odcinki" tego historycznego antyserialu oczekiwało się z niecierpliwością – lekturę „Magazynu" i „Dużego Formatu" wielu czytelników – ja także – zaczynało od przedostatniej strony, licząc na odkrycie jeszcze jednego nieznanego lądu, cotygodniową pasjonującą wyprawę w czasy mniej lub bardziej odległe, na pola bitew i ślub Bony Sforzy, pokład „Titanica" albo „Kon-Tiki", za kulisy wielkiej polityki lub rockowej sceny. W taki sposób nikt o historii nie pisał. Zamiast suchego podręcznikowego wykładu, ogólnych ujęć „z lotu ptaka", akademickich syntez bądź historiozoficznych analiz – czytelnik miał wrażenie rozdarcia kurtyny czasu, obcowania z żywą tkanką historii: ludzkimi dramatami, namiętnościami, heroicznymi zrywami, osiągnięciami i przegranymi.

Podziw budzi nie tylko porywający sposób prowadzenia narracji, ale także erudycja autora, ogrom wiedzy i studiów, jakich wymagało tak szczegółowe opisanie odległych epok i kultur. A przecież autor nie jest zawodowym historykiem (może dlatego jego opowieści są tak fascynujące?) – z wykształcenia jest inżynierem cybernetykiem, ukończył wydział elektroniki. Jednak dla czytelników „Gazety Wyborczej", a także jego wcześniejszych książek takich jak *W domu smoka*, *Ostatni jeniec wielkiej wojny* czy *Powrót do Sulejówka*, nie jest żadną niespodzianką to, że od tekstów Kalickiego nie sposób się oderwać – przeciwnie, jego nazwisko daje gwarancję rzetelnej wiedzy, kompetencji,

intrygujących tematów i świetnego warsztatu reporterskiego. Włodzimierz Kalicki debiutujący w latach 70. jako dziennikarz w pismach studenckich – od powstania w 1989 roku „Gazety Wyborczej" jedna z najważniejszych twarzy pisma – sławę zyskał przede wszystkim jako dociekliwy tropiciel dzieł sztuki zrabowanych przez nazistów w czasie drugiej wojny światowej. Za osobiste zasługi w odnalezieniu wielu bezcennych zabytków odznaczony został m.in. nagrodą Grand Press w kategorii dziennikarstwo śledcze oraz Nagrodą im. Dariusza Fikusa za cykl artykułów, które przyczyniły się do odzyskania starodruków skradzionych z Biblioteki Jagiellońskiej.

Zdarzyło się dojrzewało długo. Łatwo policzyć, że aby co tydzień zaprezentować wydarzenie mające miejsce w dniu (albo w przeddzień) ukazania się „Dużego Formatu", tak by wypełnić „kalendarz" obejmujący wszystkie dni w roku, potrzeba byłoby przeszło siedmiu lat. Cykl Kalickiego powstawał dłużej – niektóre daty doczekały się dwóch, a nawet trzech tekstów, rzecz jasna, mówiących o różnych wydarzeniach. Sytuację komplikowało też to, że zmieniały się dni, w których ukazywał się „Magazyn" i „Duży Format", dodatkowym utrudnieniem były lata przestępne. Pamiętać trzeba również, że w czasie pisania swego cyklu autor zajęty był innymi pracami, pojednaniem polsko-niemieckim, podróżami do Chin, śledztwami ustalającymi losy i tajemnice słynnych obrazów czy – przy okazji – wpadaniem pod koła pędzącego samochodu w Amsterdamie, gdzie wybrał się specjalnie, by studiować sekrety płótna van Gogha *Jedzący kartofle*. Im mniej dat pozostawało do opisania, tym trudniej było znaleźć wydarzenia, które je „wypełnią". Warto dodać, iż część tekstów napisana została już specjalnie do tej książki, część „odcinków" publikowanych wcześniej w „Gazecie Wyborczej" została poprawiona i rozszerzona. W rezultacie marzenie

o tym, że historie z 366 dni uda się pomieścić między okładkami jednego tomu, odsuwało się w czasie. Ale opłaciło się czekać: przed nami kalendarz wszechczasów – dzieło, jakiego nie było.

Niezwykły „kalendarz totalny" Włodzimierza Kalickiego czytać można na różne sposoby. Można otwierać ten tom na dacie bieżącej, by sprawdzić, co wydarzyło się tego właśnie dnia, można – kierując się indeksem – wyszukiwać w nim interesujące postaci, a także – korzystając ze spisu treści – odnajdywać ciekawe wydarzenia, okoliczności powstania znanych dzieł, sukcesy sportowe, odkrycia geograficzne i naukowe. Można otwierać tę księgę na chybił trafił i w dowolnym miejscu zatapiać się w lekturze, odbywając podróż w czasie i tracąc kontakt z otaczającą rzeczywistością. Można wreszcie czytać ją „po bożemu", przewracając strony od pierwszej po ostatnią. Wszystko jedno, jaką metodę wybierzemy, jedno mogę zagwarantować: na pewno od lektury tej trudno będzie się oderwać. Może zatem bezpieczniej będzie zaraz po wyjściu z księgarni wziąć dłuższy urlop, by nie ryzykować, że nieprzespane noce odbiją się spóźnieniami, absencjami i spadkiem wydajności pracy?

Jerzy Illg

STYCZEŃ

1 stycznia 1962 ▪ poniedziałek

Mamy grać?

Sylwestrową zabawę diabli wzięli. Wystarczyć musiało trochę piw w nieprzytomnie zatłoczonych długich salach klubu The Cavern w Liverpoolu. Przed północą pod The Cavern podjeżdża wysłużona furgonetka. Czterech młodych ludzi w czarnych skórzanych kurtkach pomaga kierowcy zapakować instrumenty muzyczne i sprzęt nagłaśniający. W końcu ford rusza w drogę. Do rana musi dotrzeć do Londynu. Niby nie tak daleko, trochę ponad 300 km, ale tej nocy pogoda jest wyjątkowo podła. Sypie śnieg, za Liverpoolem zaczynają się zadymka i zaspy.

Kierowca ma przed sobą mapę z wyrysowaną trasą, ale nad ranem myli drogę. Traci sporo czasu i w fordzie robi się trochę nerwowo. Czterej pasażerowie nie mogą się przecież spóźnić do Londynu. Od dzisiejszego nagrania może zależeć ich przyszła kariera. Ich, czyli The Beatles.

Czterech chłopaków w skórach to jedna z trzech najpopularniejszych kapel bigbitowych w Liverpoolu. Zaczęli parę lat temu jako amatorska grupa *skiffle*'owa The Quarry Men założona przez uczniów szkoły Quarry Bank – Johna Lennona i Pete"a Shottona. Przewinął się przez nią z tuzin uczniaków i w końcu z pierwszego składu kapeli został tylko jej lider – Lennon.

Ostatecznie przy jego boku ostali się Paul McCartney, George Harrison i Stuart Sutcliffe. Zmienił się styl The Quarry Men. Moda na *skiffle* mijała, Wyspy zdobywał rock'n'roll. Zmieniła się też nazwa zespołu. Najpierw na The Rainbows, potem na Johnny and The Moondogs. Grający na basie Stuart Sutcliffe zaproponował kiedyś dla żartu, by nazywali się The Beetles (Chrząszcze). Uwielbiający zabawy ze słowami Lennon natychmiast przekręcił nazwę na The Beatles. Reszta kapeli uznała, że to zupełna beznadzieja. Stanęło na The Silver Beetles. Ale do czasu. W przeddzień wyjazdu do Niemiec do zespołu dołączył perkusista Pete Best, syn właścicielki klubu muzycznego, a piątka wróciła do nazwy wymyślonej przez Lennona.

Szkołą życia i grania stał się dla nich w 1960 roku trzymiesięczny kontrakt w nocnym klubie w Hamburgu. Grali co noc w dzikiej spelunie, w której bijatyki marynarzy przeplatały się z nalotami policji. Niemieccy gangsterzy z pistoletami za pasem zamawiali u nich wolne numery i nagradzali za nie skrzynkami podrabianego szampana. Ich dieta z czasem ograniczyła się do piwa i pigułek pobudzających preludin, dzięki którym mogli grać bez zmęczenia. A grali coraz sprawniej. Lennon i McCartney ciągle próbowali pisać własne kawałki. W końcu niemiecka policja deportowała ich do Wielkiej Brytanii. Po hamburskiej przygodzie odszedł od nich Stuart Sutcliffe. W Liverpoolu szybko wspięli się na szczyt młodzieżowej sceny muzycznej. Neil Aspinall, kumpel Pete'a Besta, woził ich swą furgonetką do klubów i sal muzycznych pod Liverpoolem. Inne duże miasta, nie mówiąc o Londynie, były jednak poza ich zasięgiem.

Do czasu. Przed trzema miesiącami 27-letni Brian Epstein, właściciel sklepu muzycznego koło klubu The Cavern, w którym grywali najczęściej, zaproponował, że zostanie ich menedżerem.

Zażądał ogromnego honorarium – 25 proc. – ale to był dla nich złoty interes. Uporządkował trasy koncertowe, wynegocjował dwukrotną podwyżkę stawek, do 15 funtów za noc, i załatwił próbne nagranie w londyńskim studiu firmy Decca, jednej z najważniejszych na brytyjskim rynku fonograficznym. Z Mike'em Smithem, asystentem dyrektora artystycznego Dekki, uzgodnił, że nagranie odbędzie się 1 stycznia. Tego dnia studia stały puste.

Nad ranem, po 10 godzinach jazdy, ford dociera do Londynu. Neil Aspinall jedzie wyrysowaną przez Epsteina trasą. Znajduje tani hotel w West Hampstead, w którym Epstein wynajął pokój. W rozklekotanym fordzie hula wiatr, wszyscy są okropnie zmarznięci.

Po śniadaniu jadą na Broadhurst Gardens. Tu, pod nr. 165, są studia nagraniowe Decca Records. Mike Smith zjawia się mocno spóźniony i lekko skacowany. Chłopcy z Liverpoolu są onieśmieleni i zagubieni – po raz pierwszy weszli do profesjonalnego studia nagraniowego. Technicy nagraniowi nie mogą się powstrzymać od dowcipów na widok zdezelowanych wzmacniaczy. Smith poleca grać, a sam z inżynierem dźwięku ustawia na wyczucie poziom nagrywania i włącza szpulowy magnetofon. To wszystko.

Grają więc. Wyboru piosenek dokonał Epstein. Nie protestowali, choć wybrał je od Sasa do lasa. Sensownej płyty nie da się z tego ułożyć. 12 kawałków to aranżacje popularnych przebojów z ostatnich 10 lat. Paul McCartney śpiewa *Besame mucho* Consuelo Velázquez – swój ulubiony utwór, potem *Searchin*, piosenkę zespołu The Coasters, *September in the Rain* z filmu *Melody for Two*, stary przebój jazzującego George Sharing Quintet, *Sure to Fall* Carla Perkinsa, *Till There Was You* z amerykańskiego musicalu *The Music Man*, jeszcze jeden jego ukochany kawałek.

John Lennon zaczyna swoje śpiewanie od *Memphis, Tennessee* z repertuaru Chucka Berry'ego, potem idzie *Money*, jeden ze standardów murzyńskiej firmy nagraniowej Motown, *To Know Her Is To Love Her* Phila Spectora.

George Harrison zabiera się do *Crying, Waiting, Hoping* Buddy Holly'ego, *Three Cool Cats* kapeli The Coasters, *Take Good Care of My Baby*, przeboju Bobby'ego Vee, i do swingującej przeróbki tematu *The Sheik of Araby*, w której wspomagają go wokalnie Lennon i McCartney. Ambicje The Beatles sięgają dalej niż wykonywanie przeróbek przebojów zza oceanu. Piosenki: *Like Dreamers Do*, *Hello, Little Girl* i *Love of the Loved*, są autorstwa Lennona i McCartneya.

Beatlesi grają jak na koncertach w The Cavern: bez przerw i prób technicznych. Po dwóch godzinach kończą nagranie. Nie są zbyt zadowoleni, zwłaszcza początek był nerwowy. Mike Smith nie wygląda jednak na rozczarowanego. Ich gra jest miejscami chropawa, ale czuje drzemiące w nich możliwości. No i podoba mu się, że śpiewa, i to całkiem nieźle, aż trzech chłopaków. To coś nowego. Inne kapele mają tylko jednego wokalistę, który na scenie zawsze stoi trzy kroki przed resztą.

Smith pogania muzyków, by szybko zwijali sprzęt. Zaraz po nich ma przesłuchać zespół Brian Poole and The Tremeloes, który już czeka w korytarzu.

Beatlesi włóczą się po ulicach. Sypie śnieg, jest zimno. Na Shaftesbury Avenue przed witrynami luksusowych sklepów marzą, co by sobie kupili, gdyby mieli pieniądze. W luksusowym sklepie Anello & Davide z wypiekami na zmarzniętych policzkach oglądają buty na wysokim obcasie, z niskimi cholewkami i wąskimi, długimi szpicami, zszyte z dwóch gatunków skóry. Cholernie drogie. Idą

dalej. Za parę lat młodzi ludzie w Europie i Stanach zwariują na punkcie takich butów, które wtedy nazywać się będą bitelsówkami.

John, Paul, George, Pete i Neil zaglądają jeszcze do sklepu z ubraniami Cecil Gee. Są zmarznięci i bardzo głodni. Wchodzą do restauracji. Kelnerzy się jednak orientują, że tych gości stać najwyżej na zupę, i wyrzucają Beatlesów na zaśnieżoną ulicę. Zrezygnowani, idą szukać taniego baru w Soho.

Pierwszy skład The Beatles. Od lewej: Paul McCartney, Pete Best, George Harrison, John Lennon

2 stycznia 1979 ▪ wtorek

Nareszcie jest klęska!

Nad ranem w Gdańsku temperatura spada do −20 stopni. Całą noc szaleje wichura. Sypie nieprzerwanie od sylwestrowego ranka. 4 doby śnieżyc i tęgich mrozów paraliżują Trójmiasto i Wybrzeże. 5-metrowej wysokości zaspy na torach zatrzymują pociągi wiozące węgiel ze Śląska. W elektrociepłowniach zamarzły hałdy węgla i koksu, zastygły taśmociągi. Klęski dopełniają awarie rur – pękają w przemarzającej głęboko ziemi. W części mieszkań Trójmiasta kaloryfery wystygły już w sylwestra. Dogrzewanie piecykami elektrycznymi kończy się awariami sieci energetycznej. Wojewoda gdański ogłasza stan klęski żywiołowej.

Eleganckie restauracje mają obowiązek wydawania tanich posiłków i gorącej herbaty.

Zamarzły przełączniki elektryczne w tramwajach i olej napędowy w autobusach, władze apelują o nieużywanie samochodów osobowych. W CPN brakuje paliwa. Pozostaje mozolny marsz w sięgającym kolan śniegu.

Jeszcze gorzej jest za rogatkami Trójmiasta. Pod Swarzewem całkiem zasypało pociąg osobowy. 100 pasażerów ewakuowano saniami. Na jedynej drodze na Półwyspie Helskim tkwi pod śniegiem kilkadziesiąt samochodów. Nawet anten i dachów nie widać. Hel, Władysławowo, Puck, Wejherowo odcięte są od świata. Okoliczni chłopi zbijają prymitywne sanie i rozwożą po wsiach jedzenie.

Na Bałtyku kolejną dobę szaleje sztorm, jakiego dawno tu nie widziano. W porcie gdyńskim gigantyczne fale walą na pokład cumującego przy falochronie masowca PLO „Władysław Broniewski” i natychmiast zamarzają. Pokład pokrywa kilkudziesięciocentymetrowa warstwa lodu. Skorupa waży ponad 1000 t i statek przechyla się o 33 stopnie. Jeszcze trochę i przewróci się stępką do góry – na szczęście w ostatniej chwili „Broniewski”

przymarza do falochronu. Marynarze, wisząc na linach, przez cały dzień próbują skuć narastający lód. Pod burtą „Broniewskiego" stoi holownik ratowniczy „Światowid" i strumieniami pary podtapia skorupę na pokładzie. Bez efektu.

4 doby śnieżyc i mrozów zamieniły kraj w pobojowisko. W Warszawie poeta Mieczysław Jastrun notuje w dzienniku: „W domu zimno, kaloryfery nie działają. Ratujemy się, siedząc przy grzejniku elektrycznym, ale to również nie pomaga; drżymy z chłodu. Nie ma mowy o jakiejkolwiek pracy".

Ulice w miastach zasypane. Samochody wydrążyły koleiny tak głębokie, że podwoziami trą o śnieg. Małe fiaty, za wąskie, by zmieścić się w obu koleinach, jeżdżą z pijackim, niebezpiecznym przechyłem, jedną stroną w dołku.

Kłopoty ma nie tylko Polska. W Wielkiej Brytanii rano temperatura spada do −17 stopni. Wyspy spowija kilkunastocentymetrowy całun śniegu, zaspy sięgają 6 m. Po południu jest już 15 ofiar śmiertelnych. W Szwecji wojsko ciągle odkopuje samochody balowiczów, którzy utknęli w śniegu, wracając z sylwestra. W Sztokholmie jest najzimniej od 100 lat. Danię odcięło od świata, Czechy sparaliżowane. We Francji, RFN, NRD, Włoszech wojsko ratuje ludność cywilną. Po południu w Belgradzie temperatura spada w ciągu paru godzin z plus 15 do minus 15 stopni. Śnieżyce paraliżują Sycylię i Stany Zjednoczone. Pomarańczowe drzewka w Kalifornii i w Teksasie łamią się pod ciężarem śniegu.

Telewizja i prasa wzywają Polaków do wspólnego usuwania skutków „nagłego ataku zimy". Opisują poświęcenie robotników, żołnierzy. W południe obraduje Rada Ministrów. Uchwala, że nazajutrz wszystkie zamarznięte, zasypane, pozbawione surowców fabryki mają – ot tak, po prostu – rozpocząć normalną pracę.

Członek Biura Politycznego Józef Tejchma zapisuje: „nasz premier nareszcie doczekał się klęski żywiołowej, w której utopić można wiele naszych błędów i zaniedbań oraz wezwać ludzi do wyrzeczeń". W Warszawie zmarznięci ludzie na zasypanych śniegiem przystankach powtarzają odgrzewany dowcip: „Jaka jest najgorsza pora roku dla komunizmu? Wiosna, lato, jesień, zima".

Krakowskie Przedmieście zasypane śniegiem

3 stycznia 1661 ▪ poniedziałek

Nasz pierwszy deadline

W Krakowie, przy Wendecie, czyli placu, na którym handluje się rzeczami używanymi, w kamienicy Szoberowskiej, paru mężczyzn krząta się obok drukarskiej tłoczni. Kamienica Szoberowska, 2-piętrowa, z obrazem Matki Boskiej na fasadzie, jest dość marną ruderą. Mieszkają tu: krawiec Carol Swed, niejaki Wawrzyniec Szikorski, bednarz Jakub Kazimierz, cieśla Stanisław i spadkobiercy gdańskiego bibliopoli, czyli wydawcy i księgarza w jednej osobie, M.P. Foerstera. Połowa domu jest własnością Hieronima Pinocciego, spolonizowanego Włocha ożenionego z córką krakowskiego kupca Hieronima Szobera, od którego kamienica wzięła nazwę.

Imć Jan Aleksander Gorczyn wyciąga spod tłoczni, leżący na matrycy drukarskiej, arkusz papieru z wydrukowanymi 4 stronami tekstu formatu *quarto*, o wymiarach 17,3 × 20,7 cm. Pochyla się nad nim zażywny mężczyzna z długimi do ramion, trefionymi włosami, z zaczesanymi do góry wąsami i wąziutką bródką przyciętą na szwedzką modłę. To Hieronim Pinocci, właściciel tej drukarni. Każda z czterech świeżo wydrukowanych stron obramowana jest liniami, składającymi się na podwójny prostokąt. Dłuższe boki prostokątów sąsiednich stron są wspólne. Mężczyźni uważnie oglądają pierwszą stronę druku. Zaczyna się u góry ozdobnym szlaczkiem. Pod nim tytuł: „Merkuriusz Polski, Dźieie wszytkiego świata w sobie zamykaiący dla Informa'cyey pospolitey". Pod tytułem data: „W Krakowie 3. Ianuarij 1661". Tekst poniżej zaczyna się od pięknego inicjału z literą T: pośród wiązanek gałązek i owoców 2 fauny dmą w trąby, z których wykwitają wielkie liście. Strona kończy się, jak to jest w drukarstwie przyjęte, powtórzeniem, tuż pod tekstem,

w prawym dolnym roku, pierwszych liter tekstu z następnej strony – a to dla ułatwienia składania zadrukowanego po obu stronach arkusza drukarskiego tak, by po złożeniu zachowana została prawidłowa kolejność stron. Tak złożonego arkusza drukarze nie rozcinają – tym niech się zajmuje czytelnik.

Panowie Pinocci i Gorczyn są zadowoleni. Na 4 pierwszych stronach błędów nie ma. Odbijają zatem kolejne arkusze ze stronami „Merkuriusza", pierwszej gazety drukowanej w Polsce.

Na pomysł regularnego wydawania gazety wpadli przed paroma tygodniami król Jan Kazimierz i jego żona królowa Ludwika Maria. Monarsza para przed dwoma miesiącami zjechała do Krakowa, by tu przygotować zasadnicze reformy gnijącego systemu politycznego Rzeczypospolitej. Plany króla i królowej są rozległe: wprowadzenie elekcji *vivente rege*, czyli wyboru następcy na polskim tronie jeszcze za życia Jana Kazimierza, zaprowadzenie zasady dziedziczności tronu, wzmocnienie władzy królewskiej kosztem ukrócenia samowoli senatorów, przyznanie królowi prawa mianowania części senatorów, poprawienie sytuacji chłopów. Ludwika Maria marzy o włożeniu polskiej korony na skronie księcia z francuskiego domu panującego, Henryka Juliusza d'Enghien – pod warunkiem że poślubi jej siostrzenicę.

Dwór świetnie zdaje sobie sprawę, że to ostatni dzwonek, by ratować Rzeczpospolitą. Kraj jest straszliwie zdewastowany wojnami z Kozakami Bohdana Chmielnickiego, potopem szwedzkim, najazdem siedmiogrodzkiego księcia Rakoczego, ciągnącą się od 6 lat wojną z Moskwą, popierającą szukających u niej protekcji Kozaków. I właśnie teraz, po latach straszliwych klęsk, szczęście uśmiechnęło się do Polaków i ich króla. Pół roku temu podpisany pokój w Oliwie zakończył wojnę ze Szwecją i Brandenburgią. Miesiąc później lwi pazur pokazało polskie

wojsko: pod Lachowiczami i Połonką zadało klęskę armii moskiewskiej. Po przegranej bitwie pod Cudnowem moskiewski wódz Szeremietiew podpisał kapitulację. W polskie ręce wydać musiał wszelką broń, w tym i armaty. Przerażeni słabością kremlowskiego protektora Kozacy czym prędzej podpisali umowę czudnowską, na mocy której wrócili pod polskie panowanie.

Jan Kazimierz nie ma jednak wątpliwości, że to początek odrodzenia Rzeczypospolitej. Nie dalej jak przed 8 laty pojedynczy poseł swoim *liberum veto* uniemożliwił obrady Sejmu. Od tego czasu praktyka zrywania sejmów rozpleniła się jak zaraza. Sparaliżowany parlament, pusty skarb, buntujący się chłopi, czyhający na okazję do ataku wrodzy sąsiedzi – bez reform musi się to skończyć katastrofą. Król jest bystrym politykiem. Nie żywi złudzeń i nie ukrywa tego, że pozostawienie spraw po staremu skończy się rozbiorem Polski.

Ale reformy przeprowadzić można tylko na Sejmie. Stronnictwo królewskie od kilku tygodni rozsyła zaufanych ludzi, by namawiali szlachtę na sejmikach do wyboru posłów sprzyjających zasadzie *vivente rege*. Przekonywanie prowincjonalnej szlachty idzie jednak opornie. Królewska para decyduje się wydawać gazetę cotygodniową, która informowałaby polityczne elity o przebiegu wydarzeń w kraju i na świecie, a przede wszystkim umacniała autorytet Jana Kazimierza.

Pismo zorganizować miał marsz. Łukasz Opaliński. Z wyborem redaktora i wydawcy Opaliński nie miał kłopotu. Hieronim Pinocci, bardzo bogaty włoski kupiec z Lukki, od 20 lat obywatel Rzeczypospolitej, zaufany człowiek królowej i sekretarz króla, od 15 lat wydawał w Krakowie ręcznie przepisywaną gazetkę cotygodniową. Nie miała tytułu, początkowo pisana była po włosku, ale stanowiła ważne źródło informacji politycznych. Pinocci

spisywał w niej ważniejsze listy polityczne, dokumenty, dodawał też depesze z kraju i z zagranicy. Zdobywał je wszelkimi możliwymi sposobami: z listów, awizów zagranicznych i od własnych korespondentów.

Do pomocy wziął Pinocci bibliopolę Jana Aleksandra Gorczyna. Jego ojciec Piotr także był krakowskim bibliopolą. Jan Aleksander, choć uniwersytetu nie ukończył, był wszechstronnie wykształcony. Napisał i wydał kilka książek, w tym popularne wśród szlachty dewocyjne *Kwiatki liliowe*, niezbyt udany podręcznik pedagogiki, podręcznik arytmetyki. Z pisania ksiąg dało się wtedy niezgorzej wyżyć. Dochód z tych 3 dzieł starczył Gorczynowi na kupno w Krakowie kamienicy przy Mikołajskiej za 1800 zł. Sławę przyniosła mu księga kolejna, wydany przed 12 laty panegiryk o zmarłym królu Władysławie IV. Opisy zwycięstw króla nad Moskwą zirytowały cara Aleksieja Michajłowicza, uważającego, że naruszają one postanowienia traktatu w Polanowie, w którym Rzeczpospolita i Rosja gwarantowały sobie wieczystą przyjaźń. Car wysłał poselstwo domagające się ukarania Gorczyna. Po miesiącu rokowań w Warszawie senatorowie zgodzili się, by z wydrukowanych tomów wyrwać kartki z obraźliwymi sformułowaniami i oddać je katu do uroczystego spalenia.

Pinocci ledwie przed 3 dniami dostał przywilej drukarski, a już cały pierwszy numer „Merkuriusza", przeczytany i zatwierdzony przez marsz. Opalińskiego, wchodzi pod tłocznię. Tytuł gazety wymyślił sam Pinocci. Zapożyczył go z angielskiej gazety „Mercurius Britannicus Communicating the affaires of great Britaine: For the better Information of the People", którą czytywał przed 2 laty wysłany przez Jana Kazimierza z misją do Londynu.

Pierwszy polski artykuł wstępny Pinocci tak zaczyna: „Ten jest, że tak rzekę, jedyny pokarm dowcipu ludzkiego, umieć i wiedzieć jak

najwięcej: tym się karmi, tym się cieszy, tym się tentuje". Na końcu wstępniaka zapowiada: „Zaczynam to tedy, daj Boże szczęśliwie, od początku roku tego 1661, a zaczynam słusznie od potrzebnej barzo informacyjej de presenti rerum omnium statu [o obecnym stanie wszystkich spraw – W.K.], aby czytelnik, który by tego był minus peritus [mniej doświadczony], na samym wstępie przeźrzał się in Europae politia [w stanie politycznym Europy] i stąd brał objaśnienie dalszych wiadomości, które co tydzień continuare [kontynuować] zechcę". Jak redaktor zapowiada, tak i czyni: pierwszy numer „Merkuriusza" wypełniają informacje o rodach panujących, wojnach, traktatach, politycznych planach i wszelkich ciekawych sprawach z całego świata – od Chin po Jamajkę. Numer kończy się adresem wydawniczym: „W Krakowie, w kamienicy szoberowskiej na Wendecie, dnia 3 januaru A.1661. Cum Privilegio S.M.R.". Ostatni zwrot oznacza, że Pinocci otrzymał przywilej królewski chroniący jego prawa autorskie. „Merkuriusza" nie wolno przedrukowywać bez jego zgody pod groźbą wysokiej kary: od 100 do nawet 300 zł.

100 wydrukowanych, złożonych egzemplarzy Gorczyn oddaje Foersterowi, który będzie je rozsyłał i sprzedawał. Pinocci liczy sobie po 10 gr od egzemplarza. Słono.

4 stycznia 1960 ▪ poniedziałek

Kto tu się spieszy, przyjacielu?

Albert Camus budzi się późnym rankiem w zajeździe Chapon Fin w niewielkiej miejscowości Thoissey. Jego towarzysze podróży, Michel Gallimard z paryskiego klanu wydawców, żona Michela

Janine i ich córka Anne, także śpią dłużej niż zwykle. W świetnych humorach spotykają się na śniadaniu. O 10.00 znoszą bagaże do samochodu facel vega Gallimarda. Pani Gallimard z córką wsiadają pierwsze. Obok nich na tylnym siedzeniu mości się skyterrier Gallimardów Floc. Zrelaksowani, ruszają w drogę. Jazdę z Riwiery do Paryża zaplanowali jako przyjemną wycieczkę gastronomiczną.

46-letni Camus jest w świetnej formie. Od czasu gdy przed 3 laty otrzymał literacką Nagrodę Nobla, we Francji traktowany jest przez elity i zwykłych czytelników jak gwiazda pierwszej wielkości. Pisarz przełamał wreszcie ostatni okres twórczej niemocy. Z wielką energią szykuje się do pracy w swym Nouveau Theatre, podczas tego wyjazdu do miejscowości Lourmarin na Riwierze napisał sporą część powieści *Le Premier Homme* (Pierwszy człowiek), o dorastającym algierskim Francuzie.

W Lourmarin do Camusa dołączyli jego przyjaciele Gallimardowie, którzy bawili na zimowych wakacjach w Cannes. Nowy Rok spędzili wszyscy razem w Lourmarin. Michel Gallimard namówił Camusa, by wracał wraz z nimi samochodem. Długą drogę do Paryża postanowili rozłożyć na 2 dni, zaliczając po drodze najlepsze restauracje.

Michel Gallimard słynie z zamiłowania do szybkości, a jego facel vega, wielkie, luksusowe, wykończone skórą *coupé*, pod względem osiągnięć i komfortu prowadzenia porównywane z mercedesem, prowokuje do sportowej jazdy. Teraz jednak trójka pasażerów hamuje jego rajdowe zapędy. Siedzące niewygodnie na małych, tylnych fotelach żona i córka co chwilę proszą, by zwolnił. Gdy mimo to zdarza mu się pognać bardzo szybko, z delikatną przyganą odzywa się Camus:

– Hej, mały przyjacielu, kto tu się śpieszy?

Gallimard nie ma dziś zbytniej ochoty na mocne deptanie pedału gazu. Sportowej jeździe zwykł oddawać się w samotności, a teraz ma u boku przyjaciela. Obu panom nie zamykają się usta. Michel Gallimard, gdy jest w dobrym humorze, uwielbia rozprawiać o śmierci. Teraz zauważa, że chciałby się ubezpieczyć na życie. Camus, tak jak i Gallimard nałogowy palacz, z wisielczym humorem zapewnia go, że dla nich obu droga do ubezpieczenia na życie jest zamknięta, gdyż najpewniej ich płuca są pełne dziur. Michel opowiada o planie szczodrego zaopatrzenia żony w swoim testamencie. Prowadzona pół żartem, pół serio rozmowa schodzi na spadkowe pożytki z praw autorskich. Camus całkiem serio obrusza się na myśl, że spadkobiercy jeszcze długo po śmierci pisarzy będą mogli żyć z praw do ich utworów.

Ale to tylko chwila powagi w ich dialogach o śmierci. Michel prowokuje żonę, tłumacząc Albertowi, że chce umrzeć przed Janine, gdyż nie byłby w stanie żyć bez niej. Janine podejmuje grę i lekkim tonem rzuca, że ona mogłaby dalej żyć zarówno z Michelem, jak i bez niego. Panowie jednak łatwo się nie poddają. Ze śmiertelną powagą uzgadniają, że gdyby któryś z nich umarł, to chciałby zostać zabalsamowany i ustawiony w salonie apartamentu Janine, tak by mogła ona codziennie oglądać drogiego nieboszczyka i mówić do niego.

– Brrr, co za horror, w takiej sytuacji chyba bym się wyprowadziła – wzdryga się Janine.

Dojeżdżają do Sens. To kultowe miasto, usytuowane przy drodze narodowej nr 6, prowadzącej z Paryża na Riwierę. Zna je każdy zmotoryzowany paryżanin, bo niemal każdy jechał kiedyś „szóstką” na południe i zatrzymał się tu na popas. Miasto żyje z automobilistów ciągnących na Riwierę, prawie w każdym budynku jest hotel i restauracja. Gallimardowie przed wyjazdem do

Paryża zapobiegliwie zamówili miejsce w restauracji Hôtel de Paris et de la Poste, która w biblii gourmandów, przewodniku Michelina, opatrzona jest wielce obiecującymi dwiema gwiazdkami. Właściciel z daleka poznaje Camusa, który kiedyś był jego gościem, ceremonialnie wita w drzwiach znakomitego pisarza i prowadzi wraz z towarzystwem do sali urządzonej w stylu burgundzkim, z dużym kamiennym kominkiem i stołami nakrytymi czerwonymi haftowanymi obrusami. Goście nie mają ochoty na eksperymenty – biorą specjalność zakładu, kaszankę z jabłkami, do tego butelkę fleurie.

Z Sens do Paryża prowadzi droga narodowa nr 5. Po obiedzie rozleniwiony Gallimard jedzie wolniej, zresztą zajmuje go rozmowa z Camusem. Facel vega wjeżdża do wsi Petit Villeblevin. Petit Villeblevin to tylko kilka rozrzuconych z rzadka domostw. Gdyby nie znak drogowy, kierowcom trudno byłoby się zorientować, że przejeżdżają przez wioskę.

Teren jest płaski, droga prosta, wytyczona pod linijkę. Ma 3 pasy, po jednym w każdym kierunku i środkowy, przeznaczony do wyprzedzania. Po obu stronach drogi rosną szpalery drzew. Ruch prawie żaden.

Mimo leciutkiej mżawki Michel Gallimard ciśnie pedał gazu. Wyprzedza jadący z prędkością 150 km/h samochód osobowy. Obserwuje to tutejszy motocyklista, który na poboczu czeka, aż oba samochody przejadą. Nagle wzrok motocyklisty przykuwa dziwny manewr vegi. Samochód Gallimarda z wielką prędkością zaczyna pędzić zygzakami, środkiem drogi. Pękła przednia oś.

Jest 13.55. Siedząca z tyłu Janine nagle czuje, jakby samochód zapadł się w dół. Siła odśrodkowa wciska ją w bok karoserii, potem rzuca w przeciwną stronę, na córkę i psa. Vega uderza w potężne przydrożne drzewo, odbija się i ze straszliwym hukiem owija się

wokół następnego drzewa. Części i odłamki fruną nad asfaltem na odległość 150 m. Wyrwany silnik przelatuje na drugą stronę drogi.

Uderzenie o pierwsze drzewo wyrzuca Anne przez szybę. Dziewczyna leci ponad 20 m i upada na chłopskie pole. Zaorana, nasiąknięta wodą ziemia jest miękka. Utytłana błotem Anne leży w dziwnej pozycji, jak porzucona lalka, ale żyje. Nie odnosi nawet poważniejszych obrażeń.

Jej matka podczas uderzenia o pierwsze drzewo także wylatuje przez wybitą szybę vegi. Ląduje w polu, nieopodal Anne. Pani Gallimard żyje. Jest w szoku, ma złamaną kość twarzy. Szarpie pustą smycz i nawołuje swojego psa.

Michel Gallimard podczas kraksy również wypada z samochodu. Leży bliżej wraku niż jego żona i córka. Silnie krwawi. Wylatując z uderzającej o drzewo vegi, zawadził ciałem o kolumnę kierownicy. Ma rozerwaną śledzionę, rozlegle krwotoki w jamie brzusznej i silne stłuczenia mózgu.

Camus nie zapiął pasów podczas jazdy. Ze złamanym karkiem, zmasakrowaną tchawicą i uszkodzoną czaszką grzęźnie w tylnej szybie vegi, przygnieciony zmiażdżonym dachem samochodu.

Policja drogowa i pogotowie ratunkowe zjawiają się błyskawicznie. Michel Galimard podczas przenoszenia go do ambulansu odzyskuje przytomność. Jest w szoku. Pyta żonę:

– Czy to ja prowadziłem?

Sanitariusze przewożą Michela Gallimarda, Janine i Anne do szpitala w pobliskim Montereau. Gdy Janine pyta, gdzie jest Albert, odpowiadają, że przewieziono go do innego szpitala.

Z Villeneuve-la-Guyard, następnej miejscowości na północ od Petit Villeblevin, przyjeżdża tamtejszy lekarz. Traf chce, że nazywa się także Camus, doktor Marcel Camus. Nie może już pomóc

pisarzowi. Stwierdza śmierć Alberta Camusa. Dodaje, że pisarz zginął natychmiast i na pewno nie cierpiał.

Żandarmi badają wrak vegi. Zegar zatrzymał się na godz. 13.55, wskazówka prędkościomierza zablokowana została na 145 km/h.

Potem próbują wyciągnąć z plątaniny blachy ciało Camusa. Ale to nie takie proste. Żandarmi nie mają sprzętu, odginają blachy rękoma.

Obok wraku zatrzymuje się samochód z reporterem lokalnej gazety. Dziennikarz podchodzi do rozbitego samochodu, robi zdjęcia. Przygląda się dłużej twarzy zabitego i poznaje go – to przecież pisarz Camus! Czym prędzej informuje o tym żandarmów i pędzi z sensacyjną wiadomością do redakcji.

Żandarmi dopiero po 2 godzinach ostrożnie wydobywają ciało Camusa z vegi. Przewożą je do leżącego kilkaset metrów w bok od drogi narodowej Villeblevin. Składają je w niewielkim pomieszczeniu przy rue de la Mortellerie. Po chwili jednak burmistrz decyduje, by ciało wielkiego pisarza przenieść do głównej sali ratusza. Urzędnicy rozkładają polowe łóżko pod ścianą z oficjalną fotografią prezydenta republiki gen. Charles'a de Gaulle'a. Nakrywają je prześcieradłem. Po złożeniu na nim zwłok przykrywają ciało drugim prześcieradłem. Potem któryś z radnych kładzie na prześcieradle kryjącym ciało Camusa bukiet kwiatów. Inni drapują ściany sali kirem.

Żandarmi zawiadamiają Paryż. Georges Loubet, szef gabinetu wpływowego ministra kultury André Malraux, wzywa wysokiego urzędnika ministerialnego Paula Maillota, poleca mu niezwłocznie jechać na miejsce śmierci pisarza i oficjalnie reprezentować tam rząd. Tuż przed wyruszeniem Maillota w drogę Malraux wzywa go i daje mu osobistą instrukcję:

„Camus odmawiał wszelkich ceremonii religijnych, więc jeżeli ktokolwiek zasugeruje jakikolwiek rytuał religijny, na przykład pobłogosławienie ciała, musi się pan temu sprzeciwić".

W Paryżu dziennikarz Pierre Berger dzwoni do Susane Agnely, siostry Francine Camus, żony Alberta. Berger przed chwilą zobaczył na pasku depesz AFP wiadomość: „uwaga flesz flesz pisarz albert camus zabity w wypadku samochodowym w yonne koło sens". Susanne Agnely zawiadamia Francine o śmierci męża.

Tymczasem minister André Malraux decyduje się, by wysłać na miejsce wypadku także rodzinę zmarłego. Na jej samochód będzie czekać w Fontainebleau eskorta żandarmów na motocyklach. Ba, ale nikt z najbliższych Camusa nie ma samochodu. Mąż Suzanne Agnely pośpiesznie wynajmuje auto i wdowa z siostrą, szwagrem oraz sekretarką zmarłego pisarza przy akompaniamencie policyjnych syren jadą do Villeblevin.

Paul Maillot tuż po przyjeździe na miejsce wypadku poleca żandarmom, by strzegli terenu przed łowcami pamiątek. Żąda, by za wszelką cenę odszukali osobisty bagaż pisarza. Słysząc to, burmistrz pokazuje mu uwalaną błotem czarną skórzaną walizeczkę podręczną Camusa. Maillot otwiera ją. W środku jest paszport pisarza, jego fotografia, 145 nietypowych, powiększonego formatu kartek rękopisu *Le Premiere Homme*, dziennik Camusa, kilka książek, w tym francuskie wydania Nietzschego i *Otella* Szekspira.

Gdy przed ratusz przyjeżdża samochód z najbliższymi Camusa, Maillot bierze sekretarkę pisarza na stronę i prosi, by dyskretnie przejrzała osobiste rzeczy zmarłego. Sekretarka w lot chwyta, o co chodzi – minister Malraux najwyraźniej chce usunąć wszelkie kompromitujące papiery, o ile takie byłyby w rzeczach zmarłego, by chronić publiczny wizerunek pisarza. Ale minister obawia się na

wyrost – w portfelu i walizeczce nie ma niczego, co mogłoby rzucić cień na pamięć o autorze *Obcego* i *Dżumy*.

5 stycznia 1919 ▪ niedziela

Zamachnęli się

Dochodzi 2.00, Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wstaje z fotela. To znak, że nocna narada skończona. Goście, prezes ministrów Jędrzej Moraczewski i minister Leon Wasilewski, żegnają się. Z antyszambru telefonują do garażu Belwederu po służbowy samochód. Wsiadają do niego na placyku przed głównym wejściem. Za bramą oficer siedzący obok kierowcy odwraca się i oświadcza, że obaj są aresztowani. Samochód jedzie na Żórawią. Moraczewski i Wasilewski zostają uwięzieni w prywatnym mieszkaniu.

Zaczyna się zamach stanu, o którym od kilku tygodni plotkowała cała Warszawa, ale w który, prawdę mówiąc, mało kto wierzył. Rząd Tymczasowy Jędrzeja Moraczewskiego ma przecież zakończyć swą misję już za 2 tygodnie, po pierwszych wyborach do Sejmu zapowiedzianych na 26 stycznia 1919 roku. Wielu radykalnych zwolenników endecji nie chciało jednak czekać. Endecki poseł Tadeusz Dymowski, dyrektor towarzystwa „Rozwój", przed kilkoma tygodniami zaplanował nietypowy zamach stanu: porwanie najważniejszych ministrów, ukrycie ich i wyszantażowanie, w zamian za uwolnienie zakładników, dymisji rządu Moraczewskiego. Swoim podwładnym z „Rozwoju" polecił inwigilację premiera Moraczewskiego oraz ministrów Wasilewskiego i Thugutta. I – niespodzianka! Ludzie Dymowskiego

natknęli się na nieznanych prawicowych spiskowców, śledzących tych samych polityków. To inna konspiracja prawicowa, kierowana przez Ludomira Czerniewskiego, niezależnie od ekipy posła Dymowskiego szykowała się do zamachu stanu. Czerniewski planował obalenie rządu w porozumieniu z monarchistą ks. Eustachym Sapiehą, byłym prezesem wojennej Rady Głównej Opiekuńczej, wpływowym działaczem endeckim Marianem Zdziechowskim i zaledwie 30-letnim płk. Marianem Januszajtisem, przed wojną organizatorem i komendantem Drużyn Strzeleckich. Obie grupy spiskowców połączyły się i dalszymi przygotowaniami kierował odtąd płk Januszajtis. Zamachowców dręczył zasadniczy problem – nie mieli kandydata na premiera. Planowali, że rząd obejmą Roman Dmowski i Józef Haller, ci jednak byli w Paryżu. Ale przed 4 dniami do Warszawy tryumfalnie zjechał Ignacy Paderewski. Spiskowców czekał jednak zawód. Paderewski rozmawiał z naczelnikiem Piłsudskim o powołaniu rządu koalicyjnego z sobą na czele, ale zamachu stanu firmować nie zamierzał. Z negocjacji z Piłsudskim nic nie wyszło i wczoraj, o 22.30, na 3,5 godziny przed ruszeniem konspiratorów do akcji, Paderewski wsiadł do pociągu i pojechał do Krakowa.

Zamach jest więc raczej prywatną imprezą płk. Mariana Januszajtisa i ks. Eustachego Sapiehy. W pewnym sensie jest nawet imprezą rodzinną klanu Januszajtisów.

O 3.00 przez pl. Saski dziarsko maszeruje kompania piechoty garnizonu warszawskiego. Żołnierze poszli do nielegalnej akcji za swoim dowódcą por. Wiesławem Januszajtisem. Jednym z plutonów tej kompanii dowodzi sierż. Andrzej Januszajtis. Oddział zajmuje Komendę Miasta. Po chwili wkracza tam płk Marian Januszajtis ze swym adiutantem i szwagrem w jednej osobie, pchor. Dąbrowskim. Za nimi – ks. Sapieha, Dymowski,

Zdziechowski. Januszajtis oznajmia oficerom Komendy, że rząd Moraczewskiego został obalony, powstał nowy rząd Romana Dmowskiego, a władzę nad wojskiem objął gen. Józef Haller. Zamachowcy słuchają jego górnolotnego przemówienia i nie zauważają, że komendant miasta płk Zawadzki powoli, niepostrzeżenie przesuwa się do bocznych drzwi i znika w ciemnościach. Pułkownik pędzi pieszo przez miasto i alarmuje oddziały wierne rządowi.

Tuż po 3.00 do akcji wkraczają bojówki prawicowej Straży Narodowej. Aresztują premiera Moraczewskiego, ministra Wasilewskiego, wiceministra spraw zagranicznych Witolda Jodko-Narkiewicza. Komendanta Milicji Ludowej kpt. Ignacego Boernera pojmują fortelem. Bojówkarz przebrany za oficera budzi go w mieszkaniu i zawiadamia, że musi natychmiast jechać do Komendy Miasta. Tam zamachowcy rozbrajają Boernera i odwożą do garażu-więzienia w Alejach Jerozolimskich 79.

Do drzwi komendanta Milicji Miejskiej płk. Jana Jur-Gorzechowskiego, wsławionego zorganizowaniem przed wojną słynnej ucieczki 10 więźniów z carskiego więzienia na Pawiaku, puka kilku mężczyzn. Gorzechowski uchyla drzwi. Jeden z przybyłych wdziera się do przedpokoju i wyciąga spod palta rewolwer. Gorzechowski podbija wycelowaną w siebie broń i potężnym ciosem obala napastnika. Ale reszta uzbrojonych w karabiny zamachowców bije go kolbami i nieprzytomnego zwleka do samochodu. I jego dowożą do garażu w Alejach Jerozolimskich 79.

Do Stanisława Thugutta zamachowcy przychodzą dobrze po 3.00. Udają listonoszy z telegramem. Thugutt uchyla drzwi. Przybysze strzelają dwa razy z rewolweru i uciekają. Na szczęście chybiają. Zdenerwowany Thugutt dzwoni do Komendy Miasta i wzywa

pomocy. Nie wie, że Komenda jest w rękach spiskowców. Jeden z nich pomoc uprzejmie obiecuje i prosi, by Thugutt nigdzie nie wychodził. Po półgodzinie zjawia się zamachowiec por. Mieczysław Skrudlik z tuzinem żandarmów i odwozi kompletnie zszokowanego Thugutta do garażu w Jerozolimskich.

Po 4.00 szczęście zamachowców kończy się. Na dziedziniec Belwederu wkracza kilkunastu uzbrojonych zamachowców, w mundurach i po cywilnemu. Niedoświadczony wartownik wpuszcza ich, bo na czele kroczy rotmistrz w mundurze galowym. Podejrzaną ekipę dostrzega jednak z okna na piętrze adiutant Piłsudskiego por. Stamirowski. Zbiega i pyta, o co chodzi. Gdy dowiaduje się, że przybyli aresztować naczelnika Piłsudskiego, wpada we wściekłość, ruga ich najgorszymi słowami i – osłupiałych – aresztuje. Po chwili intruzów zabierają nadbiegający wartownicy.

Mija kwadrans. Dowódca 7. Pułku Ułanów, który ochrania Belweder, wpada do gabinetu Naczelnika po rozkazy. Piłsudski odpowiada flegmatycznie: „Odbywa się zamach stanu, ale to szopka, nie zamach".

Kilku spiskowców po cywilnemu przychodzi w tym czasie do hotelu Bristol, w którym mieszka szef sztabu głównego gen. Stanisław Szeptycki. Ten wybitny dowódca nie cierpi lewicy, ale jeszcze bardziej nie cierpi bezprawia hańbiącego mundur oficerski. Obudzony w swoim apartamencie, ubiera się pod lufami rewolwerów i wychodzi z zamachowcami na Krakowskie Przedmieście. Tam natykają się na patrol garnizonu zaalarmowany przez zbiegłego z gmachu Komendy jej szefa płk. Zawadzkiego. Role odwracają się. Szeptycki aresztuje teraz tych, którzy go aresztowali, i zapowiada im: „Ja wam ten cały zamach zlikwiduję bez strzału". Jak zapowiada, tak czyni. Pieszo idzie z patrolem do Komendy i tam

wzywa przed swe oblicze płk. Januszajtisa. Zamachowcom oświadcza, że są aresztowani. Potulnie oddają broń.

O 7.00 do Komendy Miasta przyjeżdża Piłsudski. Bez ceremonii ruga spiskowców, ale po chwili zwalnia ich z aresztu. Żąda tylko słowa honoru, że zgłoszą się na wezwanie. O 10.00 Piłsudski wzywa płk. Januszajtisa, siada z nim i płk. Berbeckim do samochodu. Jadą do garażu w Jerozolimskich uwolnić porwanych ministrów. Ale garaż jest pusty. Piłsudski odsyła Januszajtisa do domu, a Berbeckiemu poleca szukać dalej. W południe jego podwładni zauważają wartę narodowców przed lokalem „Rozwoju" w śródmieściu. To tu zamachowcy zorganizowali swoje prywatne więzienie! Berbecki odwozi 7 ponurych, na wpół ubranych ministrów do Belwederu. Gdy wychodzi z gabinetu Piłsudskiego, słyszy, jak Naczelnik Państwa krzyczy na nich, że dali się wyłapać zupełnym amatorom jak ryby z saka.

Ppłk Marian Januszajtis

6 stycznia 1928 ▪ piątek

Posługa duchowo-handlowa

Aleksander Zaniewski, podprokurator w Prużanach, sennym, powiatowym miasteczku na Polesiu, od kilku godzin nieustannie konferuje przez telefon. Sprawa, w której musi podjąć decyzję, jest nader delikatna, więc podprokurator nieformalnie konsultuje się z władzami wojewódzkimi w Brześciu nad Bugiem, a nawet z kurią biskupią w Pińsku. W końcu skandal, jaki niewątpliwie musi wybuchnąć, gdyby podprokurator zarządził aresztowanie podejrzanych, dotknie także jednej z najzacniejszych rodzin ziemiańskich na Kresach. Ale decyzji dłużej odwlekać się nie da – naciski dalszej rodziny poszkodowanych, obawa, że lata chwila ponieść mogą oni kolejne, dotkliwe straty psychiczne i finansowe, a także skargi i doniesienia chłopstwa z niemal połowy powiatu nie pozostawiają prokuraturze pola do manewru. Jest już dobrze po północy, gdy Zaniewski zawiadamia telefonicznie przodownika policji w Prużanach, że nad ranem policjanci mają aresztować ks. Pawła Stępka i Marię Krzyżowską.

Oboje podejrzani zjawili się jesienią 1927 roku w pałacu hrabiów Pusłowskich w Piaskach. Ks. Stępek, niepozorny mężczyzna przed sześćdziesiątką, ukrył przed Pusłowskimi, że w Słonimiu miał poważne kłopoty z władzami kościelnymi. Wytłumaczył hrabiom, że musi wędrować i szukać ustronnej kryjówki, gdyż ochrzcił swego czasu Żydówkę Marię Kramerównę i teraz ucieka wraz z nią, chcąc ochronić konwertytkę przed krwawą zemstą dawnych żydowskich współwyznawców.

Tą opowieścią ks. Stępek i Maria Kramerówna, używająca teraz nazwiska Krzyżewska, z miejsca zdobyli zaufanie Pusłowskich.

Nietrudno było to zresztą zawczasu przewidzieć. Właściciele Piasków słynęli z wyjątkowej pobożności, graniczącej wręcz z dewocją. Zarówno starsi, hrabiostwo Władysław i Krystyna, jak i ich 25-letni syn Franciszek i jego młodziutka żona Irena z domu Mohl od lat mnóstwo czasu spędzali na modlitwach, uroczystym obchodzeniu wszystkich kościelnych świąt i surowym przestrzeganiu postów. Goście pałacu w Piaskach relacjonowali zgodnie, że daje się tam wyczuć „mistyczny nastrój religijny".

Rodzina hrabiów Pusłowskich posiada w powiecie kosowskim, a po części i w powiatach sąsiednich, wielkie, przekraczające 40 tys. ha dobra. Ich posiadłości sięgają aż po Słonim. Przy tym wszystkim są ziemianami nadzwyczaj – nawet jak na stosunki kresowe – lubianymi i szanowanymi przez pałacową służbę i mieszkańców tamtejszych wsi. Podczas najazdu bolszewickiego pracownicy folwarczni i okoliczni chłopi sami ukryli wyposażenie pałacu i uchronili cenne meble, wielki księgozbiór i kolekcję dzieł sztuki przed pewnym zniszczeniem.

Życzliwość i chęć niesienia pomocy pozostającym w potrzebie hrabiostwo Pusłowscy przenieśli na ks. Stępka i Marię Krzyżewską. Gdy przybysze opowiedzieli o swej fatalnej sytuacji materialnej, o tułaczce o głodzie i chłodzie, z miejsca dostali pokój w oficynie i utrzymanie z pałacowej kuchni. Gospodarze traktowali ich po trosze jako osoby ciemiężone za wiarę.

Nic w zachowaniu przybyłych nie wzbudzało zresztą najmniejszych podejrzeń. Krzyżewska, kobieta po czterdziestce, bardzo nieatrakcyjna fizycznie, i starszy już ksiądz nie dawali najmniejszego powodu do podejrzeń, że łączą ich pasje inne niż religijne. Bardzo dużo czasu spędzali na modlitwach w pałacowej kaplicy, mimo widocznego zabiedzenia często pościli. Właśnie w kaplicy, podczas wspólnych modlitw, ks. Stępek i Krzyżewska

zdobyli pełne zaufanie rodziny Pusłowskich. Po paru miesiącach pobytu ks. Stępek zaczął wygłaszać w kaplicy do obu rodzin gospodarzy kazania i odprawiał specjalne pokuty. Jego wpływy na rodzinę Pusłowskich rosły z dnia na dzień dzięki umiejętnemu wykorzystaniu nieszczęść, jakie na nią spadły. Senior, hrabia Władysław, niemal całkowicie stracił wzrok, zaś młodzi państwo Pusłowscy, choć zakochani w sobie, nie mogli doczekać się upragnionego potomka.

Wykorzystał to zręcznie ks. Stępek. Wmówił Pusłowskim, iż ślepota hrabiego Władysława i bezdzietność młodych są karą boską za grzechy, jakich się dopuścili, i jedynie pokutując i postępując w życiu ściśle wedle jego wskazówek, będą mogli odwrócić od siebie nieszczęścia. Współczucie, uznanie, podziw Pusłowskich seniorów i juniorów zdobyła też Maria Krzyżewska, opowiadając niestworzone historie o prześladowaniach za wiarę katolicką, jakich rzekomo doznała od Żydów.

Hrabiostwo Pusłowscy pod wpływem sugestii przybyszy przeznaczyli dla nich jeden ze swoich folwarków, Minicze.

Gdy za radą ks. Stępka hrabia Władysław wraz z żoną wyjechał do Francji, para hochsztaplerów zdobyła niczym już niemiarkowany wpływ na młodego hrabiego Franciszka i jego żonę Irenę. Ks. Stępek nakłonił oboje do porzucenia rodowego pałacu w Piaskach i do zamieszkania pod swym bokiem, w skromnej leśniczówce w Miniczach. Na polecenie ks. Stępka oboje zerwali wszelkie kontakty ze światem i oddali się aplikowanym przez niego praktykom pokutnym. Pościli, modlili się, a Irena Pusłowska dodatkowo zmuszana była do najcięższych posług, w rodzaju czyszczenia garnków, prania bielizny, noszenia wody i drewna na opał, rozpalania w piecach. Pełna życia, wesoła, elegancka dama pod

kuratelą przybyszów zmieniła się w przedwcześnie postarzałą, opuchniętą od płaczu kobietę.

Ekscesom tym ze zdumieniem, w końcu ze zgrozą, przyglądali się oddana Pusłowskim służba i okoliczni włościanie. Na wszelkie uwagi krytyczne ks. Stępek i Krzyżewska, niepodzielnie rządzący teraz w Miniczach, reagowali wyrzuceniem ze służby. Pracę tracili ludzie zatrudniani przez Pusłowskich nieprzerwanie od ponad 20 lat. Co gorsza, całkowicie omotany przez przybyszów hrabia Franciszek na polecenie ks. Stępka wyrzucał z pracy także służących od lat jego rodowi w majątku w Piaskach.

Wyrzucani – ciemni polescy chłopi – długo nie śmieli poskarżyć się komukolwiek na los swój i hrabiów. Miarka przebrała się, gdy po okolicy rozeszły się plotki o całonocnych dziwnych mszach w kaplicy, w których udział brali tylko młodzi hrabiostwo Pusłowscy oraz ks. Stępek i Krzyżewska. Podejrzenie, że może chodzić o czarne msze i praktyki magiczne, zmobilizowało włościan, którzy zawiadomili policję w Prużanach i dalszą rodzinę Pusłowskich.

Policja przeprowadziła dyskretne rozpoznanie. Wywiadowców o wiele bardziej od tajemniczych nocnych mszy zainteresowały operacje finansowe hrabiostwa Pusłowskich z ostatnich miesięcy. We wszystkich maczali palce ks. Stępek i Krzyżewska – już to jako doradcy, już to jako skryci pośrednicy. Najbardziej niepokojącą z tych transakcji okazała się sprzedaż olbrzymiego majątku Planta Hacka z klucza piaseckiego. Kupił go wskazany przez ks. Stępka i Krzyżewską kupiec drzewny Rabinowicz za mniej niż pół rynkowej ceny.

Skoro świt policjanci ruszają saniami z Prużan do Minicz. W leśniczówce zaskoczeni ks. Stępek i Maria Krzyżewska stanowczo zaprzeczają, by winni byli jakimkolwiek niegodziwościom. Oboje

twierdzą, że zbolałych, niepotrafiących znaleźć sensu w życiu Pusłowskich otoczyli opieką duchową, za co ofiarowano im gościnę.

Rewizja w leśniczówce daje jednak zaskakujące rezultaty.

Najpierw policjanci znajdują w piwnicy jednego z gajowych. Przed kilkoma dniami ks. Stępek zamknął go w tym prywatnym areszcie i więził o chlebie i wodzie, bo gajowy krytykował rządy obojga uzurpatorów.

Po uwolnieniu nieszczęśnika funkcjonariusze znajdują skrytkę, a w niej 70 tys. zł, dolary, mnóstwo złotej biżuterii oraz luksusową złotą papierośnicę. Ks. Stępek i Krzyżewska oświadczają, że zawartość skrytki jest ich własnością. Pytani przez policjantów, jakim cudem dysponują takimi bogactwami, skoro przybywając do Piasków, nie mieli grosza przy duszy, tłumaczą pokrętnie, że to oszczędności ich życia. Jak jednak mogli wzbogacić się tak bardzo podczas zaledwie paru lat tułaczki, nie potrafią wyjaśnić.

Policjanci wsadzają aresztowanych do sań i ruszają w drogę powrotną do Prużan. Na miejscu są późnym popołudniem. Krzyżewska trafia do miejscowego aresztu, ks. Stępka jednak, by nie drażnić biskupa, policjanci zamykają w areszcie domowym na miejscowej plebanii. Jeden z funkcjonariuszy pozostaje na straży przed drzwiami.

Wieczorem podprokurator Zaniewski ma chwilę satysfakcji. Do urzędu zgłasza się kilku włościan z podziękowaniem za wyrwanie hrabiostwa Pusłowskich ze szponów oszustów.

Ale podprokurator ma też nielichy zgryz – indagowany w sprawie ks. Stępka i Krzyżewskiej hrabia Franciszek oświadcza, że ufa obojgu bez zastrzeżeń, że wszystko, co czynili, robili za jego zgodą i na dobitkę deklaruje, iż gotów jest złożyć za nich poręczenie.

Niezły pasztet! Prokurator Zaniewski w desperacji zaczyna podejrzewać, że hrabia Franciszek mógł zostać trwale

zahipnotyzowany.

7 stycznia 1997 ▪ wtorek

Jawnogrzesznica zręcznie skruszona

Prawie 4 lata śledztwa i procesów zmieniły podsądną nie do poznania. Heidi Lynne Fleiss, najsłynniejsza luksusowa prostytutka i burdelmama Hollywood, na pierwszej rozprawie przed Sądem Miejskim Los Angeles w sierpniu 1993 roku zjawiła się mocno, seksownie umalowana, w luksusowej sukni z głębokim dekoltem od Normy Karmali. Zza lustrzanych okularów zalotnie rzucała oczkiem na reporterów i chętnie, ze śmiechem, odpowiadała na ich pytania. Teraz na twarzy 31-letniej Fleiss nie ma śladu po makijażu. Na sobie ma niebieską więzienną koszulę roboczą i zbyt wielkie spodnie – strój codzienny w miejskim areszcie Los Angeles.

Śledztwo i proces Fleiss uniosły nieco zasłonę nad ciemną stroną erotycznego życia elit Hollywood. W końcu lat 80. niezbyt piękna, trochę chuda, ale pełna seksapilu i entuzjazmu do swej pracy Heidi Fleiss była gwiazdą w stajni luksusowych prostytutek prowadzonej przez Elisabeth Adams, „Madame Alex", wpływową burdelmamę starszej generacji rezydującą w Beverly Hills, która w praktyce zmonopolizowała rynek luksusowych *call girls* w Hollywood. Z czasem Heidi postanowiła przejąć interes „Madame Alex". Ukradła jej kamień filozoficzny tego interesu – czarny notes z nazwiskami i telefonami najsławniejszych, najbogatszych i najbardziej wpływowych amatorów płatnego seksu na Zachodnim Wybrzeżu. Przejęła kontrolę nad dziewczętami „Madame Alex", przechwyciła jej klientów. Dawna szefowa oskarżyła Heidi Fleiss także o kradzież

walizki klejnotów – dorobku 60 lat życia Elisabeth Adams. W końcu jednak za kradzież klejnotów skazane zostały całkiem inne osoby z kalifornijskiego półświatka.

Fleiss okazała się zdolną organizatorką seksbiznesu. Od każdej z kilkudziesięciu pracujących dla niej dziewczyn brała 40 proc. ich zarobków. Ale jej panienkom zostawało całkiem niemało. Za jedno spotkanie inkasowały 1500 dolarów plus zwrot wszelkich wydatków. Jeśli do klienta musiały pofatygować się za miasto, brały już 2 tys. Obsługa zlecenia za granicą to 3 tys. za każdy dzień wyjazdu. Dziewczęta ze stajni Fleiss latały dookoła globu, od Ameryki Południowej i Kanady po arabskie monarchie i Japonię. Z jednej delegacji służbowej przywoziły nawet po kilkanaście tysięcy dolarów. Stać je było na eleganckie apartamenty i kabriolety porsche, a jak z niejaką dumą same przyznawały w trakcie śledztwa, ich uniformami służbowymi były kostiumy od Chanel.

Sprężyście zarządzany interes Fleiss przynosił świetne zyski. Z pomocą w ukrywaniu nielegalnych, nieopodatkowanych dochodów ze stręczycielstwa i praniu brudnych pieniędzy pośpieszyli Heidi jej rozwiedzeni rodzice, matka Elissa i ojciec Paul, ceniony lekarz pediatra. To na ich konta Fleiss wpłacała gotówkę, to na ich nazwiska klienci wypisywali część czeków wręczanych panienkom nad ranem. Dochody córki z seksbiznesu ojciec księgował jako profity z własnej praktyki pediatrycznej. Firmował także zakup za pieniądze córki luksusowej willi aktora Michaela Douglasa w Benedict Canyon, prestiżowym osiedlu między górami Santa Monica i Beverly Hills. Heidi wydała na nią 1,6 mln dolarów.

Przedsiębiorcza panna Fleiss miała tylko jedną słabość, dość zresztą w Hollywood powszechną – żądzę sławy i rozgłosu. W odróżnieniu od „Madame Alex" nie stroniła od kontaktów

z prasą. W grudniu 1992 roku udzieliła wywiadu o blaskach i trudach swego zawodu dziennikarzom „Los Angeles Times". Wywiad był anonimowy, ale zwrócił uwagę policji Los Angeles i FBI. Śledztwo rozwijało się sprawnie, bo Fleiss właściwie przestała dbać o dyskrecję. W kwietniu 1993 roku wraz ze swą przyjaciółką, osobiście zresztą dorabiającą w branży, Victorią Sellers, córką sławnej pary aktorów Petera Sellersa i Britt Eklund, oraz z kilkunastu innymi panienkami ze swej stajni Fleiss zjawiła się w luksusowym hotelu w meksykańskim uzdrowisku Cancun. Cała ta wesoła gromadka oficjalnie była ekipą modelek na sesji zdjęciowej do filmów reklamowych. Żadnych kamer w pobliżu ślicznotek Heidi nikt jednak nie widział; całymi dniami półnago wylegiwały się przy basenie, a nocami pilnie pracowały. Gdy dyrektor hotelu Gaston Alegre zażądał wyjaśnień, Fleiss bez żenady oznajmiła, że jest luksusową burdelmamą. Alegre wyrzucił jej ekipę.

Prawo Kalifornii stanowi, że oskarżenie o stręczycielstwo tylko wtedy może być skuteczne, gdy świadkiem dostarczania nielegalnych usług seksualnych jest funkcjonariusz policji. Dlatego latem 1993 roku do Fleiss zadzwonił detektyw policji Beverly Hills Sammy Lee. Przedstawił się jako biznesmen z Hawajów i poprosił o pomoc w zorganizowaniu wesołych wieczorów podczas przyjazdów do Los Angeles. Heidi dała mu numer swojego prywatnego telefonu. Dwa miesiące później Lee zadzwonił jeszcze raz. Na spotkanie z Heidi w hotelu Beverly Hilton Lee przyjechał wynajętym porsche. Heidi ustaliła standardowe warunki kontraktu: jedna noc w hotelu kosztuje 1,5 tys. dolarów od panienki, nie ma seksu grupowego, płatność tylko w dolarach amerykańskich, wszystkie zabawy z prezerwatywami.

Niedługo po tym do jej domu w Benedict Canyon załomotali policjanci i agenci FBI.

Spragniona skandalicznych sensacji prasa i publiczność czekała na nazwiska grubych ryb Hollywood ze sławnego czarnego notesu – ongiś własności „Madame Alex", teraz Heidi. Ale Fleiss, która tuż po aresztowaniu butnie odgrażała się, że ujawni jego zawartość, szybko zrozumiała, że to niebezpieczne przechwałki. W końcu nie podała żadnego nazwiska.

W Hollywood od 4 lat aż huczy od plotek, czyje nazwiska są w czarnym notesie. Szepce się o 20 zagrożonych małżeństwach filmowych gwiazd, w tym niekwestionowanego asa kina akcji oraz aktora, który zasłynął rolami zimnego, bezwzględnego detektywa. Niektórym z gwiazd nie wytrzymały nerwy. Gwiazdor rocka Billy Idol ni z gruszki, ni z pietruszki oświadczył prasie, że jest przyjacielem Heidi, i dodał: „Nigdy nie musiałem płacić za seks, i dzięki Bogu". W jeszcze większe osłupienie wprawił filmowy światek wiceprezes wytwórni Columbia Pictures 37-letni Michael Natanson, którego nikt nie łączył z aferą Fleiss, dopóki nie oznajmił dziennikarzom: „Nigdy na żadnym poziomie nie robiłem interesów z Heidi i nigdy nie robiłem niczego, co mogłoby zaszkodzić Columbii". Szaloną radość reporterów wywołał adwokat Natansona, który złożył mało fortunne oświadczenie: „Czas już stawić czoło plotkom, położyć je do łóżka i kontynuować normalne życie".

W końcu jednak publiczność dostała sławne nazwiska. Sidney Shlenker, bogaty deweloper, który był właścicielem drużyny koszykówki Denver Nuggets, przyznał, że za usługi dziwek zapłacił Fleiss czekami wartymi ponad 10 tys. dolarów. Do korzystania z usług panienek Heidi przyznali się australijski magnat przemysłowy Kerry Packard i producent filmu *Top Gun* Don Simpson. W sądzie Los Angeles odtworzono taśmę z nagranym przesłuchaniem aktora Charliego Sheena. Gwiazdor filmów *Pluton* i *Trzej muszkieterowie* zeznał, że dziewczęta Heidi zamawiał między

grudniem 1991 roku a lutym roku 1993 co najmniej 27 razy, w tym raz na Wigilię. Co więcej, przyznał, że co najmniej 10 razy oszukał wtedy Fleiss, dzwoniąc do panienek bezpośrednio i płacąc im bez prowizji dla burdelmamy.

FBI dotarło do meksykańskiego magnata Manuela Santosa, który zeznał, że tylko w 1992 roku wiele razy wysyłał z Meksyku po dziewczęta swój prywatny odrzutowiec. FBI dotarło do wystawionych przez Santosa czeków dla panienek Heidi na łączną sumę ponad 40 tys. dolarów, ale on sam oświadczył, że tylko w tamtym roku wydał na nie dużo więcej.

Przed dwoma laty ojciec Heidi został skazany na 3 lata więzienia w zawieszeniu, 50 tys. dolarów grzywny i 625 godzin prac społecznych za oszustwa podatkowe i pranie brudnych pieniędzy. Przed sądem protestowało przeciw wyrokowi ponad 100 kobiet z małymi dziećmi na rękach, które skutecznie leczył dr Fleiss.

Sama Heidi sądzona jest w dwóch procesach: stanowym (oskarżona o stręczycielstwo i handel kokainą) i federalnym (oskarżona o unikanie płacenia podatków, pranie brudnych pieniędzy i matactwa w śledztwie). Sąd stanowy uznał ją przed 3 laty za winną w przypadku 3 zarzutów stręczycielstwa, ale uwolnił od zarzutu dostarczenia oficerowi policji kokainy. Sędziowie złamali jednak formalny zakaz ustalania wyroku poza salą sądu. Rozprawę i wyrok unieważniono i teraz Heidi czeka na drugi proces.

Wyrok w procesie federalnym zapadnie za chwilę. Adwokat Heidi Anthony Brooklier starannie przygotował się do tej batalii. Za jego radą Fleiss w zeszłym miesiącu, po odbyciu nakazanej wcześniej przez sąd przymusowej kuracji odwykowej, zdecydowała się dobrowolnie pozostać w miejskim areszcie Los Angeles – aż do dzisiejszej rozprawy. Napisała też list do sądu, który teraz leży przed

panią sędzią, czarnoskórą 59-letnią Consuelo Bland Marshall. „Byłam młoda, głupia i postępowałam źle [...]. Będę do końca życia płacić za zbrodnie, które popełniłam" – kaja się z nim Heidi. Niezbyt wiarygodnie, gdyż tuż po aresztowaniu otworzyła w Beverly Hills luksusowy butik Heidi Wear, w którym oferuje m.in. seksowną bieliznę.

Przed sędzią Marshall leży też zarządzona na wniosek obrony ekspertyza psychologiczna pani psycholog Nancy Kasser-Boyd. Wedle niej dzieciństwo Heidi upłynęło w dostatniej i kochającej rodzinie, ale dziewczynkę dotknął syndrom braku uwagi zapracowanych rodziców, który położył się cieniem na całym jej życiu. Szczególnie ciężko zaważyły na drodze życiowej Heidi rozwód rodziców i krótko potem wypadek samochodowy, w którym jej młodsza siostra została inwalidką. Ostatecznie na złą drogę – wyrokuje pani psycholog – sprowadziły młodą Heidi związki z dużo starszymi mężczyznami, którzy ją krzywdzili emocjonalnie.

Pani sędzia Marshall życzliwie wysłuchuje ekspertyzy.

Oskarżyciel Alejandro Majorkas gwałtownie protestuje przeciw nazywaniu Heidi ofiarą starszych mężczyzn. Wedle niego Heidi w niczym nie przypomina steranych życiem, zniszczonych prostytutek pozostających na łasce sutenerów. Sędzia Marshall dużo uważniej niż wywodów zastępcy prokuratora słucha łkającej podsądnej: „Gdybym tylko, chlip, chlip, znała słowa, jak bardzo, chlip, chlip, jest mi, chlip, chlip, przykro... Jestem teraz, chlip, chlip, inną osobą...".

Sędzina Marshall wydaje wyrok: 37 miesięcy federalnego więzienia, 400 dolarów grzywny, 300 godzin pracy społecznej. Prócz tego Heidi musi zwrócić 400 tys. dolarów z zarządzonej przymusowej sprzedaży domu w Benedict Canyon.

To szokująco łagodny wyrok. Federalne wytyczne sugerują w takich wypadkach od 78 do 97 miesięcy więzienia. Sędzia Marshall w uzasadnieniu wyjaśnia, że sprawa Heidi jest „atypowa", i nawet najniższy zalecany wyrok byłby zbyt surowy.

Pani sędzia nieoczekiwanie wtrąca wątek czysto polityczny: Heidi jest ofiarą dyskryminacji płciowej, bo na ławie oskarżonych zabrakło jej klientów.

„Wierzę, że będziesz pozytywnym wzorcem dla innych kobiet ze względu na doświadczenia, które przeszłaś" – kończy zadziwiającą konkluzją Consuelo Marshall.

8 stycznia 1815 ▪ niedziela

Nokaut po gongu

Ruszają o 4.00 Dwie długie kolumny żołnierzy brną przez podmokłe łąki. W egipskich ciemnościach słychać tylko mlaskanie błota, chlupot wody i przekleństwa. Każdy z żołnierzy w charakterystycznych czerwonych kurtkach dźwiga ważący 15 kg tornister i ciężki karabin z bagnetem. Pod tym ciężarem nogi zapadają się głęboko w bagnistą łąkę. Przez błoto skrada się elita angielskiej armii: najlepsze pułki piechoty, strzelców i szkockich górali, zahartowane w Europie w wieloletnich bojach z wojskami Napoleona. Najstarsze pułki istnieją już od ponad 100 lat – i nie zwykły zawodzić w obliczu wroga.

Przed 6.00 parę tysięcy żołnierzy nieruchomieje w ciemnościach. Stąd do linii obronnej wroga jest nie więcej niż 700 m. 5 mil dalej zaczyna się Nowy Orlean.

Angielska wyprawa na Nowy Orlean to kolejna odsłona trwającej od 3 lat dziwacznej wojny między Stanami Zjednoczonymi i Anglią. Wypowiedzieli ją w 1812 roku Amerykanie. Dlaczego – sami nie byli pewni. Jedni politycy amerykańscy oburzali się, że Londyn nie traktuje swoich byłych kolonii, które od 30 lat są niepodległym państwem, z należytą powagą. Wielu politykom nieobca była myśl, że zwycięska wojna przyda młodemu państwu międzynarodowego szacunku należnego mocarstwu. Od 1803 roku, gdy Stany kupiły od Napoleona Luizjanę i Nowy Orlean, waszyngtońscy politycy uważali swój kraj za równy największym potęgom świata.

Ale brak szacunku to nie wszystko. Stany południowe uważały, że Anglia doprowadza je do ruiny gospodarczej, stany północne zaś – że angielska Kanada szczuje na nie tamtejszych Indian. W Waszyngtonie marzono o odebraniu Anglikom Kanady, a Hiszpanom – Florydy.

Kłopot w tym, że zaślepieni wspomnieniami zwycięskiej wojny o niepodległość Amerykanie do kolejnego starcia z Anglią, nawet uwikłaną w zmagania z Napoleonem, byli kompletnie nieprzygotowani. Na północy zamiast amerykańskiej flagi nad Montrealem czekał ich widok znienawidzonych czerwonych mundurów angielskiej piechoty w Waszyngtonie, uciekającego ze stolicy prezydenta Madisona, płonącego Kapitolu i Białego Domu.

A przed paru tygodniami angielska flota pojawiła się u ujścia Missisipi. To nie były przelewki: Nowy Orlean w rękach Anglików oznacza zablokowanie handlu na Missisipi, czyli gospodarczy paraliż połowy kraju.

Tyle tylko że walka o Nowy Orlean nie ma dziś krzty sensu. Szykujący się do bitwy nie wiedzą jeszcze, że przed 3 tygodniami Anglia i Stany Zjednoczone podpisały w Europie, we flandryjskiej

Gandawie, układ pokojowy, kończący tę bezsensowną wojnę. W myśl jego postanowień granice obu walczących państw pozostaną niezmienione. Dzisiejszej nocy żołnierze będą ginąć na wiwat.

Dowodzący angielską ekspedycją gen. Edward Pakenham po wielu wahaniach zdecydował się szturmować pozycje amerykańskich obrońców Nowego Orleanu na wprost, niczym taran.

Amerykański dowódca gen. Andrew Jackson ma pod rozkazami 4,5 tys. ludzi, prawie o 1000 mniej niż gen. Pakenham, i w dodatku jest to przedziwna zbieranina oddziałów regularnej armii, milicji z Luizjany i Tennessee oraz Indian ze szczepu Choctaw. Jego podkomendni nawet nie umywają się do doborowych oddziałów angielskich – są mniej karni, nieostrzelani w bitwach, marnie uzbrojeni. Ale w ciągu tych kilku tygodni, które upłynęły od wyokrętowania angielskiej ekspedycji, na rozkaz gen. Jacksona Amerykanie zamienili rów odwadniający, szumnie zwany kanałem Rodrigueza, w solidną fortyfikację. Teraz kanał ma szerokość 5 m, głębokość – 2 m, a 3,5 tys. jego obrońców chroni usypany tuż nad brzegiem wysoki wał z ziemi wzmocnionej drewnianymi belkami. A co najważniejsze, Amerykanie mają dużo więcej armat.

Chcąc wzmocnić swą artylerię, gen. Jackson zaprosił nawet do obrony Nowego Orleanu piratów.

Przed trzema tygodniami spotkał się w nowoorleańskim zajeździe z Jeanem Lafitte, ostatnim wielkim piratem Karaibów. Lafitte, z pochodzenia Francuz, jest piratem nowoczesnym, godnym XIX wieku, w eleganckim fraku i śnieżnobiałej koszuli, a nie rozchełstanym rzezimieszkiem z czarną opaską na oku. Zaczynał jako nastolatek na francuskich okrętach korsarskich. Po latach stworzył z pomocą swych 3 braci nowoczesne, sprawnie zarządzane

przedsiębiorstwo pirackie. Jego okręty, posługujące się francuskimi, a później wenezuelskimi listami kaperskimi, łupiły angielskie statki na Karaibach. Zdobycz zwożono na wyspę Grand Terre w płytkiej, trudno dostępnej zatoce Barataria na zachód od Nowego Orleanu. Tam odkarmiano zdobytych na morzu niewolników, których potem sprzedawano luizjańskim plantatorom. Zagrabione towary Lafitte sprzedawał na aukcjach w swoim nielegalnym składzie towarów na wyspie Temple, w połowie drogi z Baratarii do Nowego Orleanu. W Nowym Orleanie kupił sobie dom przy Bourbon Street i kuźnię, do której pod pozorem składania zamówień mogli zaglądać szacowni obywatele i prowadzić z piratem mętne interesy. Wszystko szło świetnie – Lafitte zainwestował w dom towarowy w Nowym Orleanie, w pierwszy parowy bocznokołowiec na Missisipi – aż do czasu, gdy podpadł gubernatorowi Luizjany. Pół roku temu gubernator Clairborne doprowadził do aresztowania Pierre'a Lafitte'a, brata Jeana, a przed 4 miesiącami amerykańska korweta i kilka kanonierek spaliły piracką bazę na Grand Terre, zajęły ponad 20 statków i pojmały You, kolejnego brata Jeana, oraz cały korsarski garnizon.

Zapobiegliwy Jean Lafitte potajemnie lokował jednak nie tylko zrabowane kapitały – w swoim czasie jego ludzie na brzegach Baratarii zakopali sporo armat, kul i beczułek prochu. Przed 3 tygodniami Lafitte zaproponował gen. Jacksonowi prosty układ: armaty od piratów za wolność dla piratów. Jackson wezwał gubernatora i 3 dżentelmeni dobili targu. Teraz armaty Lafitte'a stoją za wałem wzdłuż kanału Rodrigueza, a obsługujący je piraci wypatrują w ciemnościach angielskich piechurów.

Angielscy żołnierze tymczasem błąkają się w ciemnościach. Na czele silniejszej kolumny piechoty, dowodzonej przez gen. Gibbsa, ma iść 44. Pułk. Jego żołnierze, wyposażeni w drabiny i wiązki

faszyny, powinni zasypać rów z wodą i pomóc wspiąć się żołnierzom innych pułków na wał. Ale dowódca 44. Pułku płk Mullens jest wyjątkowo tchórzliwy i nieudolny. Nie wie, gdzie są schowane drabiny i wiklina. Pułk błąka się w poszukiwaniu sprzętu.

O 6.00, w całkowitych ciemnościach, nagle wzbijają się w niebo angielskie rakiety odpalone przez kompanię rakietników. To nowa broń, nowa także dla angielskich piechurów. Zaskoczeni fajerwerkami nad ich głowami, zamiast iść do ataku, gapią się w niebo. Amerykanie tymczasem, zbudzeni rakietowym widowiskiem, spokojnie biorą ich na cel.

Przed rowem z wodą dzieją się sceny jak ze złego snu. Amerykańskie armaty masakrują angielskie kolumny, reszty dopełniają salwy strzelców kryjących się za wałem. W ciemnościach i kłębach dymu prochowego gubią się kolejne oddziały. Gdy jedni żołnierze bezradnie stoją nad kanałem Rodrigueza pod gradem kul Amerykanów, 44. Pułk z drabinami pęta się z tyłu, powiększając tylko chaos. Płk Mullens kryje się gdzieś w bezpiecznym miejscu. Wściekły gen. Gibbs krzyczy w ciemnościach: „Mullens, jeżeli przeżyję do jutra, zostaniesz powieszony!". Nie udaje mu się jednak ani przeżyć, ani powiesić Mullensa. Ginie, próbując zebrać resztki swoich oddziałów do kolejnego szturmu. Płk Mullens zaś rankiem wyłazi z jakiejś dziury cały i zdrowy.

Dwa razy Anglicy są o krok od przełamania linii Amerykanów, ale w obu przypadkach błędy dowódców zaprzepaszczają szansę na sukces. Koszmar przeżywa najlepszy pułk angielskiej armii, 93. Pułk Szkockich Górali. Kilkadziesiąt metrów przed wałem obronnym Amerykanów ginie dowódca Szkotów. Jego zastępca nie wie, czy ma atakować, czy wycofywać się, i na wszelki wypadek rozkazuje swoim wiarusom stać bez ruchu, na baczność. Amerykanie strzelają

do nich jak na strzelnicy. Gdy już co drugi piechur w czarnej futrzanej czapie i kraciastym kilcie leży zakrwawiony w błocie, reszta Szkotów idzie po rozum do głowy i wreszcie zmyka spod luf wroga.

Miary klęski Anglików dopełnia śmierć gen. Pakenhama. Ginie dzielnie, usiłując poprowadzić rozproszonych piechurów do ataku.

O świcie nieduży angielski desant na drugim brzegu Missisipi, po początkowych sukcesach, wycofuje się. Klęska Anglików jest zupełna. Amerykanie tryumfują: ciągle nie mają pojęcia, że wojna dawno się skończyła, a Nowy Orlean, tak czy siak, pozostaje w ich rękach.

Tej nocy tak naprawdę sukces odnosi 2 ludzi.

Jean Lafitte ujrzy wkrótce podpisany przez prezydenta Madisona akt amnestii dla siebie i swoich kompanów.

W Nowym Orleanie gen. Andrew Jackson pod pośpiesznie zbudowanym łukiem tryumfalnym otrzyma od wdzięcznych mieszkańców wieniec laurowy.

Za 15 lat gen. Jackson będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych, a Jean Lafitte – piratem.

Bitwa pod Nowym Orleanem

9 stycznia 1924 ▪ środa

Złoty – duch

Stanie czy nie stanie? Optymistów prawie już nie ma. Nie, dziś kurs dolara nie stanie, będzie rósł i rósł, coraz szybciej i szybciej. Przed tygodniem, w ostatnim dniu 1923 roku, jeden dolar kosztował 6375 mln marek polskich. W stosunku do dnia odzyskania niepodległości, 11 listopada 1918 roku, jego cena wzrosła o ponad 1,5 mln proc. Finanse państwa legły w gruzach. Z podatków bezpośrednich uzyskuje się śmiesznie małe przychody. Równo trzy

czwarte wydatków budżetu Skarb Państwa finansuje z dochodów płynących z coraz szybszego druku banknotów bez pokrycia.

Zaczęło się w lutym 1919 roku od emisji banknotów o nominałach od 1 do 1000 marek, z portretami Tadeusza Kościuszki i Wojciecha Bartosza Głowackiego. W 1923 roku inflacja przerodziła się w hiperinflację i w końcu Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa doszła do druku banknotów o nominale 10 mln. Zakończono przygotowania do druku banknotów 50-milionowych, zgrzebnych, bo pozbawionych wizerunku narodowych bohaterów albo choćby kościoła, jak na 10-milionówce. Druk ma się rozpocząć w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Polskie marki właściwie przestały spełniać funkcję pieniądza. Duże firmy rozliczają się w walutach obcych, najczęściej w dolarach, rzadziej w złotych frankach szwajcarskich. Przedsiębiorstwa nagminnie zwlekają z opłatą – w ekspresowo taniejących markach – zobowiązań podatkowych. Już tydzień opóźnienia sprawia, że tak naprawdę wpłaca się połowę należnego podatku. Pracownicy coraz częściej przychodzą po wypłaty z torbami i workami – w obiegu są nadal banknoty sprzed 3–4 lat, o niewielkich nominałach.

Ostatnia nadzieja w nowym rządzie Władysława Grabskiego. Latem 1923 roku Grabski, jako minister skarbu w gabinetach Władysława Sikorskiego i Wincentego Witosa, opracował radykalny plan sanacji finansów, m.in. inflacyjną waloryzację podatków i wysoki, powszechny podatek majątkowy, obciążający przede wszystkim zamożnych obywateli. Latem Sejm na plan Grabskiego się nie zgodził i minister ustąpił z rządu. Później jednak ustawy jego pomysłu uchwalono. Od 19 grudnia 1923 roku Grabski jest premierem i energicznie przygotowuje się do reformy walutowej. Najpierw musi ustabilizować kurs marki, potem wprowadzić zamierza nową walutę – złotego (co prawda w lutym

1919 roku naczelnik państwa Józef Piłsudski wydał dekret wprowadzający nową walutę o nazwie „lech", ale Sejm zbuntował się, po dzikiej awanturze dekret anulował i przyszłą walutę polską nazwał złotym).

Premier Grabski nie ma armat. W państwowej kasie zostało zaledwie 2,5 mln dolarów, ale wczoraj, 8 stycznia, zdecydował się na pierwszą interwencję na giełdzie. Sprzedaż dolarów z państwowych zapasów ma zatrzymać spadek kursu marki.

Ranek 9 stycznia, pierwszy dzień po rozpoczęciu interwencji stabilizacyjnej. Wczoraj kolejny raz zmieniono urzędowe ceny obowiązujące na wszystkie artykuły pierwszej potrzeby – przez kilka dni nie będzie konieczności podwyższania ich. A zwyżki cen urzędowych goniących inflację są dotkliwe: wczoraj, 4 dni po poprzedniej podwyżce, trzeba było podnieść cenę kilograma słoniny z 4,4 mln marek do 4,8 mln, boczku z 3,8 mln do 5,3 mln, żeberek z 1,8 mln do 2,5 mln. Oficjalne, rządowe ceny mają żywność, odzież, zapałki, papierosy, alkohol, węgiel, nawet szklanka herbaty w kawiarni (200 tys. marek) i plasterek cytryny do niej (40 tys.).

Inspektorat do walki ze spekulacją i sądy zwalczają dziś zawyżanie cen ze szczególną zajadłością.

Właścicielka budki na Kercelaku Anna Polott sprzedaje słoninę za drogo i trafia do aresztu. Słoninę zarekwirowano. Jakób Wiśniewski, właściciel piekarni przy Wilczej 47, za poranny wypiek żąda więcej, niż dopuszczają ceny urzędowe. Idzie na 2 miesiące do ciupy, płaci 200 mln grzywny i jeszcze opłaca ogłoszenie o swej nikczemności w 2 warszawskich pismach codziennych. Na dobitkę, na drzwiach wejściowych do piekarni przez 2 tygodnie wisieć ma obwieszczenie o ukaraniu właściciela. Ekspedientka u Wiśniewskiego za sprzedaż chleba po wygórowanej cenie płaci z własnej kieszeni 50 mln marek. Właścicielka sklepu na Pańskiej za podniesienie ceny chleba

dostaje kary identyczne jak Wiśniewski, Moszek Rotlewi za zawyżanie cen butów idzie za kratki na miesiąc. Za podnoszenie ceny bielidła do koszul właścicielka sklepu na Szpitalnej dostaje 2 tygodnie odsiadki. Skonfiskowane worki bielidła inspektorzy od razu rozsprzedają na ulicy po cenie hurtowej. Do więzienia trafiają 3 rzeźnicy oskarżeni o przetrzymywanie zapasu słoniny (nikomu nie wolno robić zapasów żywności), nierzetelni uliczni sprzedawcy papierosów i zapałek, handlarz chrustem na opał (też obowiązuje nań cena urzędowa!), cztery sprzedawczynie nabiału.

Mija południe. Finansiści i politycy niespokojnie wyczekują wieści z giełdy. Co z kursem? Spadł? Nie, nie spadł. Jeszcze nie dziś. Wczoraj za franka w złocie płacono 1 440 000 marek, dziś już 1 580 000. Ale premier Grabski i rząd nie tracą animuszu. Po sesji na giełdzie rozchodzą się pogłoski, że wielcy spekulanci stracili wiarę w grę na dalsze osłabianie marki. Pojutrze Sejm ma przyznać rządowi nadzwyczajne, dyktatorskie niemal uprawnienia do walki z inflacją i kryzysem finansów państwa. Niemal wszyscy w Polsce marzą o solidnej, opartej na kruszcu złotówce, wartości równej – jak głoszą nieoficjalne zapowiedzi – szwajcarskiemu frankowi. Marzą tak bardzo, że gazety donoszą o wystawianiu w hotelach i firmach rachunków w nieistniejącej jeszcze walucie. Wieczorem dziennikarz „Kuriera Porannego" wyśmiewa w felietonie te marzenia: „złoty polski zawdzięcza swojej niematerialnej formie zalety, jakich nie posiada żaden inny pieniądz. Każdy pieniądz ściera się z biegiem czasu – złoty polski nie ściera się nigdy. Każdy pieniądz można sfałszować, złotego polskiego nikt nie sfałszuje". Felietonista nie wie, że złoty istnieje jak najbardziej materialnie. Właśnie dotarły z francuskich i brytyjskich drukarni do kraju ostatnie utajnione transporty 5-złotówek z wizerunkiem księcia Józefa Poniatowskiego oraz banknotów 10, 20, 50, 100 i 500 zł – wszystkich z Kościuszką.

10 stycznia 49 p.n.e.

Za rzekę, w zgiełk oręża

Złe wieści nadchodzą rankiem. Posłaniec z Rzymu pretor Lucjusz Roscjusz Sabatus przekracza granicę Italii i pośpiesznie zmierza do leżącego już w Galii Przedalpejskiej miasta Rawenna.

Namiestnik Rzymu w Galii Gajusz Juliusz Cezar z kamienną twarzą wysłuchuje fatalnej nowiny – przed 3 dniami rzymski senat pozbawił go namiestnictwa Galii. Co więcej, senat mianował następcę – osobistego, zaprzysięgłego wroga Cezara, Lucjusza Domicjusza Ahenobarbusa. Senatorowie uchwalili także, że Cezar, jeśli zamierza ubiegać się o konsulat na przyszły rok, winien stawić się w Rzymie osobiście. Dla wszystkich jest jasne, że pozbawiony ochrony wiernych żołnierzy z legionów stacjonujących w Galii, które nie miały prawa przekraczać granic Italii, łatwo mógłby stać się ofiarą swoich przeciwników.

A ma ich w Rzymie niemało, i to bardzo wpływowych. Zdaje się, że do bezpowrotnej przeszłości należą niedawne lata jego świetnych sukcesów: triumwirat zawarty przezeń z Pompejuszem i Krassusem, umocniony wydaniem córki Julii za Pompejusza, podbicie całej Galii Zaalpejskiej, wyprawa do Brytanii, oparcie granic rzymskich na Renie i ostatni z tryumfów wojennych – stłumienie w Galii wielkiego powstania pod wodzą Wercyngetoryksa.

Przed 5 laty zmarła Julia, potem Krassus. Pompejusz, zaniepokojony rosnącą potęgą polityczną i wojskową Cezara, zawarł cichy pakt z niechętną Cezarowi większością w senacie. Od wielu miesięcy zwolennicy Pompejusza usiłowali pozbawić Cezara namiestnictwa Galii i szans otrzymania konsulatu. Pojedynczy stronnicy Cezara, przekupieni przezeń wielkimi sumami, długo

potrafili paraliżować te zakusy. Ale przed 3 dniami stało się – senat przegłosował wreszcie uchwały oznaczające polityczną śmierć potężnego namiestnika Galii.

Cezar pojmuje, że gra na zwłokę, intrygi, przekupstwo nie zdadzą się już na nic. Nadeszła pora działania. Przygotowuje się do zbrojnej konfrontacji z senatem rozważnie i ostrożnie. Jego jedyną szansą jest zaskoczenie przeciwników. Za żadne skarby zatem nie może zdradzić swych zamiarów.

Późnym przedpołudniem wydaje pierwsze rozkazy. 2 kohorty piechoty i nieco jazdy mają wyruszyć z Rawenny na południe, w stronę granicy z Italią. Tuż przed graniczną rzeką Rubikon oddziały te mają stanąć na popas. Teraz Cezar zwołuje najbardziej zaufanych centurionów i setników. Poleca im wybrać z żołnierskich szeregów najwierniejszych legionistów. Tak sformowany doborowy oddział szturmowy ma skrycie przedostać się do Ariminum, jednego z kluczowych miast italskich przy granicy z Galią. Oficerowie i legioniści przebierają się w cywilne stroje, ukrywają w nich krótkie, masywne miecze i pojedynczo lub w niewielkich grupkach ruszają w stronę granicy. W Ariminum mają udawać, że się nie znają – aż do chwili gdy zjawi się tam ich wódz.

Cezar wczesnym popołudniem zaczyna odgrywać rolę człowieka beztroskiego, w świetnym nastroju, niemającego zielonego pojęcia o tym, co zaszło w Rzymie. Najpierw odwiedza znajomych w mieście. Potem ogląda walki gladiatorów. Wraz ze swoją świtą żywo dyskutuje o ich wyszkoleniu, a w końcu idzie na budowę szkoły dla młodych gladiatorów i starannie, nieśpiesznie ją wizytuje. Wczesnym wieczorem w licznym towarzystwie oficerów i miejscowych notabli zasiada do wystawnej uczty. W połowie biesiady udaje, że jest niedysponowany. Przeprasza gości, że ich na parę chwil opuszcza, ale koniecznie musi nieco odpocząć. Lekko

zgięty, wyraźnie trapiony przez jakąś dolegliwość, powoli opuszcza salę.

Za drzwiami Cezar prostuje się. Energicznym krokiem wychodzi na tyły domu. Tam czeka już wynajęty przez jego oficerów wóz piekarza z sąsiedztwa. Dla niepoznaki kazali piekarzowi zaprząc zamiast koni powolne muły. Gdyby nawet ktoś w półmroku dostrzegł wyjeżdżającego byłego namiestnika Galii, nie pomyślałby przecież, że rusza on na Rzym w wózku ciągnionym przez muły!

Cezar wsiada, woźnica rusza czym prędzej. Z miasta wyjeżdżają jedną z dróg wiodących w głąb Galii. Dopiero gdy nikną światła Rawenny, woźnica zawraca inną drogą na południe.

Na południe ruszają też najwierniejsi towarzysze broni Cezara. Idą pojedynczo, rozmaitymi drogami, skrywając broń. Wszyscy mają się spotkać nad graniczną rzeką Rubikon, tam gdzie już czekają wysłane rano kohorty XIII Legionu.

Zimowa noc zapada szybko. W ciemnościach wóz błądzi po bezdrożach. Cezar nie ryzykuje. Zatrzymuje woźnicę. Dygocąc z zimna, tylko troszkę podsypiając, przeczekuje noc. O pierwszym brzasku poleca woźnicy zostawić w krzakach wóz. Dalej idą pieszo. Przypadkowo spotkany wędrowiec zgadza się poprowadzić ich nad rzekę. To już blisko. Cezar poleca iść bocznymi, krętymi ścieżkami. I oto kończą się chaszcze – przed nimi Rubikon!

Na nadrzecznym błoniu czekają w luźnym szyku wysłani wcześniej piechurzy i jeźdźcy XIII Legionu.

Wodza otaczają zaufani oficerowie. Nagle Cezara opadają wątpliwości. A może wstrzymać miecz, zaniechać wojny domowej? Hamletyzuje: „Jeśli wstrzymam się, przyjaciele, od przekroczenia tej rzeki, zaczną się dla mnie nieszczęścia, jeśli ją przekroczę, nieszczęścia spadną na wszystkich". Nikt z jego świty nie może być pewien, czy to chwila prawdziwej słabości, czy raczej test wierności

i zdecydowania dla oficerów. Nikt też wątpliwości wodza nie podtrzymuje. W końcu Cezar woła: „Idźmy tam, dokąd nas wzywa znak i wieszcze bogów oraz niesprawiedliwość wrogów. Kości zostały rzucone!".

W otoczeniu centurionów i setników wkracza między szeregi legionistów.

Cezar, który zawsze znakomicie, jakby szóstym zmysłem, wyczuwał nastroje swoich żołnierzy, w mig orientuje się, że trawi ich niepokój i lęk. To prości ludzie, wierzący w bogów i we wpajane im od lat rzymskie ideały. Przekroczenie rzeki granicznej i wejście z bronią w ręku na ziemię ojczystą to dla nich więcej niż ciężkie złamanie prawa – to świętokradztwo! Cezar przemawia do żołnierzy. Mówi wiele o ich dzielności, o wielkich trudach i tryumfach w kampanii galijskiej. Grzmi, że wrogowie w Rzymie chcą zaprzepaścić ich ciężko wywalczone sukcesy. Mętnie zapewnia, że trzeba upomnieć się o swe prawa, ale rzeczy najważniejsze zataja. Ani słowa o zerwaniu z Pompejuszem, o nieuchronności bratobójczego przelewu krwi.

Jest świetnym mówcą, ale tym razem czuje, że nie wszystkich żołnierzy przekonał. Natychmiast rozkazuje wypuścić kilka koni jazdy na wolność, jako ofiarę dla bóstwa rzeki Rubikon. Legioniści patrzą na galopujące na wolności wierzchowce i w ich serca wstępuje nieco otuchy.

Cezar nie traci ani chwili – chce jak najszybciej wkroczyć do italskiego Ariminum. Ostatnie dni były dość ciepłe i wody Rubikonu znacznie wezbrały. Piechurzy nie są w stanie bezpiecznie przemaszerować przez nurt na drugi brzeg. Nie ma czasu na budowanie mostu, w czym zresztą legioniści Cezara są mistrzami. Cezar zna jednak dowcipny, choć ryzykowny sposób forsowania bystrych, niezbyt głębokich rzek. Wypraktykował go w czasie walk

w Galii, gdy musiał natychmiast sforsować rzekę Allier. Jazda na koniach wkracza w nurt i tworzy rodzaj tamy powstrzymującej silny prąd wody. Pod osłoną koni piechurzy, trzymając się za ręce, powoli przekraczają Rubikon. Na italskim brzegu nikt nie próbuje nawet suszyć odzieży. W przejmującym zimnie, w szarości mgły ledwie prześwietlonej wczesnym brzaskiem, kolumna mokrych żołnierzy w ponurym milczeniu szybkim krokiem maszeruje na Ariminum.

11 stycznia 1944 ▪ wtorek

Rzeźnia w Weronie

Gdy mija północ, Galeazzo Ciano, były minister spraw zagranicznych faszystowskich Włoch, a ciągle jeszcze zięć *duce*, wodza włoskiego faszyzmu, Benito Mussoliniego w celi więzienia w Weronie wyciąga z ukrycia fiolkę z cyjankiem potasu. Zgryza szkło fiolki, połyka truciznę. Po półgodzinie Ciano rozczarowany pojawia się na więziennym korytarzu – cyjanek nie zadziałał. Niedoszły samobójca nie zdaje sobie sprawy, że Hildegard Burkhardt Beetz, młoda, piękna Niemka, żona lotnika Luftwaffe walczącego na froncie wschodnim, podmieniła przekazaną jej przez włoskiego lekarza truciznę i wręczyła mu nieszkodliwy roztwór chloranu potasu. Beetz, agentka Służby Bezpieczeństwa SS, została niedawno skierowana przez swych zwierzchników do inwigilowania Ciana. Generałowie SS nie przewidzieli tylko jednego – że przystojny kobieciarz Ciano uwiedzie Beetz, która zacznie walczyć o jego życie, a także o życie żony Ciana Eddy. Ale uczucia Beetz mają też nieoczekiwany skutek. Agentka podmieniła

fiolki, by przedłużyć życie ukochanego choć o te parę godzin. Rankiem Ciano zostanie rozstrzelany.

Droga Galeazza Ciana, hrabiego di Cortellazzo, syna sławnego dowódcy włoskiej marynarki wojennej z lat wojny światowej admirała Constanza Ciana, do celi śmierci zaczęła się na początku lat 20. Jeszcze jako nastolatek przystąpił do raczkującego ruchu faszystowskiego, w którym od razu zajął uprzywilejowaną pozycję – jednym z założycieli włoskiej partii faszystowskiej był bowiem jego ojciec. W wieku lat 19 Galeazzo wziął udział w słynnym marszu na Rzym Mussoliniego, a jako 22-latek, po krótkiej przygodzie jako dziennikarz prasy faszystowskiej, dostał nominację na konsula faszystowskich Włoch w Rio de Janeiro. Potem były placówki dyplomatyczne w Pekinie i Szanghaju. Przepustką do wielkiej faszystowskiej polityki stało się małżeństwo hrabiego Ciana z Eddą Mussolini, córką *duce*. Zięć Mussoliniego w wieku 33 lat został ministrem spraw zagranicznych. Inteligentny, cyniczny, żądny władzy Ciano zrazu optował za sojuszem teścia z Hitlerem i imperialną ekspansją Włoch – we włoskiej inwazji na Etiopię w latach 1935–1936 Galeazzo wziął osobisty udział jako dowódca eskadry bombowców (ta wyprawa była zresztą w znacznej mierze propagandową hecą). Ciano ochoczo poparł zajęcie Albanii i atak na Grecję, ale już po podbiciu przez III Rzeszę Francji zaczął potajemnie dystansować się od polityki Hitlera. I od wiernego Führerowi swego teścia. W 1942 roku Ciano podjął próby tajnych rokowań pokojowych z aliantami, m.in. z pomocą polskich książąt Sapiehów. W lipcu zeszłego roku, podczas posiedzenia Wielkiej Rady Faszystowskiej, Ciano poparł wniosek Dino Grandiego, by odsunąć Mussoliniego od władzy. Uwięzionego Mussoliniego uwolnili jednak niemieccy spadochroniarze, zaś Ciano, który nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest we Włoszech znienawidzony,

zagrożony aresztowaniem przez nowy włoski rząd marsz. Badoglia, uciekł z rodziną do III Rzeszy. Hitler jednak zgodził się wydać Ciana włoskim faszystom rządzącym jeszcze z łaski Niemiec na północy Włoch.

Poprzedniego dnia, po pokazowym procesie, Ciano i 4 inni byli faszystowscy hierarchowie, sędziwy De Bono, Marinelli, Gottardi i Pareschi, oskarżeni przez swych dawnych kamratów o zdradę, zostali skazani na śmierć.

Krótko po 9.00 na korytarzu pojawia się kilku włoskich cywilów i funkcjonariuszy policji. Policjanci skuwają kajdankami ręce skazanych. Idą gęsiego, za spowiednikiem Wielkiej Rady Faszystowskiej *don* Chiotem, w stronę bramy wyjazdowej.

Jest zimo, mglisto, na bruku leży gruba warstwa szronu. Ulice Werony są puste. Ciężarówka wyjeżdża przez starą miejską bramę Porta Catena i zatrzymuje się przy strzelnicy fortu Procolo. Spomiędzy resztek śniegu sterczą badyle zeschłych chwastów. Pierwszy schodzi z paki marsz. De Bono. Jest tylko w garniturze i czarnym kapeluszu, lekko drży z chłodu. Jako drugi zeskakuje na trawę Ciano. W długim jasnobeżowym płaszczu i jasnym kapeluszu wygląda bardzo elegancko. Po nim wysiada pozostałych 3 skazańców. Marinelli nie jest w stanie opanować się, z nerwów dygoce, nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Policjanci wloką go za ręce na miejsce egzekucji.

W obniżeniu terenu, przed niewysokim ziemnym wałem pełniącym funkcję kulochwytu, za którym stoi mur strzelnicy, ustawiono stare, chybocące się krzesła – oparciami w stronę muru.

Kilkanaście kroków przed krzesłami stoi 30 włoskich policjantów w krótkich zimowych zielonych kurtkach i czarnych czapkach. Dowodzi nimi szef faszystowskiej policji w Weronie Nicola Furlotti. Tuż po I wojnie światowej był jednym z założycieli Czarnych

Koszul, paramilitarnych bojówek Mussoliniego, ale potem, w latach 20., popadł w niełaskę i powrócił do gry dopiero teraz, w dniach rozpadu faszystowskiego reżymu. Tuż obok stoi kilkunastu włoskich oficjeli oraz drugie tyle Niemców – większość to oficerowie SS, jest też paru hitlerowskich dyplomatów, wojskowy fotoreporter. Ten ostatni nerwowo kręci się wokół krzeseł, mierzy coś światłomierzem i wyraźnie jest niezadowolony. Niskie chmury i mgliste powietrze źle wróżą jakości zdjęć z egzekucji.

Ciano zachowuje zimną krew.

Zamienia parę słów z odmawiającym modlitwę marsz. De Bono. Obaj proszą dowodzącego egzekucją Furlottiego, by pozwolił im stanąć twarzą w twarz z plutonem egzekucyjnym. Furlotti odmawia.

– Wedle prawa to pańskie krzesło, marszałku – mówi Ciano do De Bono, wskazując krzesło pierwsze z prawej.

De Bono całkiem serio odpowiada, że nie wierzy, by w podróży, w którą za chwilę skazańcy zostaną wyprawieni, prestiżowe pierwszeństwo miało jakiekolwiek znaczenie. Ale zajmuje miejsce na krześle na prawym skraju, plecami do plutonu egzekucyjnego i widzów. Obok niego energicznie siada Ciano. Stare, koślawe krzesło skrzypi, przechyla się i Ciano ląduje w oszronionej trawie. Podnosi się sam, ustawia krzesło i siada, tym razem ostrożnie.

Policjanci przywiązują ręce skazańców do oparć krzeseł. Ciano wykrzykuje:

– No i kto by to przypuszczał!

Nie chce, by założono mu opaskę na oczy. *Don* Chiot w długiej czarnej pelerynie obchodzi unieruchomionych skazańców i szepce im słowa absolucji *in articulo mortis*. Ciano dziękuje mu i prosi, by duchowny zadbał o trójkę jego dzieci.

Gdy wiążą Marinellego, Ciano krzyczy, by tego nie robili, bo to zbrodnia. Robi się nerwowy, bez przerwy obraca się do tyłu, kołysze na krześle.

– Uspokój się, stary, zobaczysz, że to nic takiego – mówi do niego szyderczo jeden z policjantów z plutonu egzekucyjnego.

Na rozkaz Furlottiego policjanci z karabinkami Carcano małego kalibru ustawiają się mniej więcej 10 m za plecami siedzących skazańców, w 2 rzędach. Ci z pierwszego rzędu klękają. Policjanci podzieleni są na 5 szóstek – każda ma strzelać do jednego skazanego. Jest 9.20. Gdy Furlotti daje komendę, by odbezpieczyć broń, z krzesła zrywa się Gottardi i krzyczy:

– Niech żyje *duce*! Niech żyją Włochy!

– Niech żyją Włochy! – wołają też Pareschi i De Bono.

Ciano, gdy tylko słyszy komendę: „Ognia!", przez prawe ramię odwraca twarz w stronę plutonu egzekucyjnego. Policjanci strzelają niecelnie, małokalibrowe pociski, nawet trafiając, nie zadają śmiertelnych ran. 4 skazańców pada wraz z krzesłami na trawę, Pareschi siedzi na krześle nieporuszony. Część policjantów repetuje karabinki i chaotycznie strzela dalej do Pareschiego i leżących.

Ciano dostaje 5 postrzałów, ale żyje i jest przytomny.

– Pomocy! Pomocy! – chrypi.

Furlotti wyciąga z kabury pistolet. Na jego znak kilku policjantów także sięga po broń krótką. Furlotti podbiega do Ciana i z bardzo bliska strzela mu w skroń. Inni dobijają 4 pozostałych.

3 niemieccy oficerowie podchodzą i z bliska przyglądają się twarzy martwego Ciana – chcą mieć pewność, że to on.

Don Chiot przykrywa jego ciało płaszczem. Więzienny lekarz bada ciała skazańców i woła, że niektórzy z nich żyją – można wyczuć puls. Furlotti wraca pod nasyp i każdemu strzela jeszcze raz w głowę.

Oficerowie SS patrzą na to wszystko z niesmakiem. To ma być egzekucja!? Cóż to za chaotyczna rzeźnia! Typowo włoska niekompetencja!

Guiseppe Chiot obok ciała Galeazza Ciana

12 stycznia 1948 ▪ poniedziałek

Sowieckie rozwiązanie

Jest ciemno, mroźnie, porywisty wiatr przenika do kości nielicznych przechodniów. Ulice Mińska białoruskiego są zasypane śniegiem. Samochód osobowy z kolumny transportowej ministerstwa

bezpieczeństwa państwowego Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, na cywilnych numerach, zatrzymuje się w ustronnym zaułku, obok 2 czekających mężczyzn. Auto prowadzi po cywilnemu st. lejtn. białoruskiego bezpieczeństwa Borys Aleksiejewicz Krugłow, obok niego siedzi zastępca szefa II Głównego Zarządu MGB płk Fiodor Grigoriewicz Szubnikow. Stojący w śniegu mężczyźni to dyrektor artystyczny Państwowego Teatru Żydowskiego, narodowy artysta ZSRR i przewodniczący Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego Sołomon Michoels oraz Władimir Gołubow-Potapow, teatrolog, członek moskiewskiej organizacji sowieckiego Związku Pisarzy. Obaj mężczyźni wsiadają do auta. Gołubow-Potapow przedstawia Michoelsowi płk. Szubnikowa jako swego przyjaciela inż. Siergiejewa. Szubnikow wylewnie ściska dłoń Michoelsa. Krugłow rusza. Jadą dość długo, poza miasto, czego nieznający Mińska, zabawiany rozmową Michoels nie dostrzega przez oblodzone szyby. Wreszcie auto wjeżdża na obszerną posesję dużej podmiejskiej daczy. „No, jesteśmy na miejscu" – stwierdza Krugłow. Są na miejscu. Nie jest to jednak wiejski dom inż. Siergiejewa, lecz służbowa dacza szefa bezpieczeństwa państwowego Białorusi Ławrientija Fomicza Canawy.

Michoels, urodzony jako Szlojme Wowsi w Dźwińsku na Łotwie, studiował za młodu prawo na uniwersytecie w Piotrogrodzie, ale w 1918 roku porzucił uczelnię i wstąpił do żydowskich warsztatów teatralnych prowadzonych przez Aleksandra Granowskiego, który próbował w sowieckiej Rosji stworzyć narodowy teatr żydowski w języku jidysz. 2 lata później warsztat przeniesiony został do Moskwy, gdzie stał się zaczynem Państwowego Teatru Żydowskiego. Polityka Lenina wspierania mniejszości narodowych w ZSRR pozwoliła w latach 20. na rozwój kultury żydowskiej,

w tym i teatru. Michoels w kilka lat stał się gwiazdą teatru w języku jidysz, a jedną z jego ówczesnych najgłośniejszych kreacji była rola mleczarza Tewje w scenicznej adaptacji prozy Szolema Alejchema. W 1928 roku Michoelsa mianowano dyrektorem Teatru Żydowskiego. Jako szef teatru dbał o wystawianie nieznanych dzieł klasyki kultury jidysz i wybitnych przekładów światowych arcydzieł na jidysz.

W drugiej połowie lat 30. kariera i życie Michoelsa były zagrożone. Z jednej strony utrzymywał on bliskie stosunki towarzyskie z wybitnymi przedstawicielami sowieckiej inteligencji – zwłaszcza z Izaakiem Bablem – którzy padli ofiarą wielkiego terroru lat 30. Z drugiej zaś, dwie najwybitniejsze interpretacje sceniczne Szekspira autorstwa Micholsa, *Król Lear* i *Ryszard III*, tylko bardzo prymitywne umysłowości mogły interpretować jako apoteozę stalinizmu. W istocie były to przenikliwe studia absolutnej tyranii. Stalin zaś z pewnością nie był dyktatorem prymitywnym, a do sztuki przywiązywał wielkie znaczenie. Wystawiania sztuk Szekspira zabronił.

Michoels przetrwał lata terroru, być może także dlatego że jego brat prof. Wowsi był osobistym lekarzem Stalina.

W latach II wojny światowej Michoels poparł Stalina w walce z faszystowskimi Niemcami; nie miał złudzeń co do losu Żydów pod rządami III Rzeszy. W 1942 roku przyjął nominację na przewodniczącego Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Nie przeszkadzało mu, że sekretarzem i szarą eminencją Komitetu został Szachne Epszetejn, funkcjonariusz sowieckiego wywiadu.

W czasie II wojny światowej Komitet wydawał w jidysz gazetę „Ejnikajt", firmował wydawnictwo żydowskie, zalewał prasę prokomunistyczną na Zachodzie tonami propagandowych artykułów.

W 1943 roku Michoels i jeden z jego zastępców, Fefer, wyjechali w wielką podróż propagandową na Zachód. Odwiedzili Stany Zjednoczone, Meksyk, Kanadę, Wielką Brytanię i Palestynę. Spotkali się z Albertem Einsteinem, Tomaszem Mannem, liderem ruchu syjonistycznego Chaimem Weizmannem.

Złożyli świadectwo o eksterminacji Żydów przez III Rzeszę, przekonując zarazem, że w ZSRR antysemityzm został zupełnie wykorzeniony.

Z tej formy ich aktywności władze sowieckie były zadowolone.

Podświadome wrażenie

Gorzej wypadła ocena działalności Komitetu w samym ZSRR. Michoels dążył bowiem do przekształcenia go w reprezentację społeczności żydowskiej w miejsce zlikwidowanego w latach 30. Jewkomu – komisariatu ds. żydowskich, i Jewsekcii – sekcji żydowskiej partii komunistycznej. Sygnałem, że zaczynają się problemy, stał się zakaz publikacji w Moskwie sztandarowego wydawnictwa Komitetu – *Czarnej księgi* zbrodni nazistowskich na ludności żydowskiej. Amerykańskie wydanie *Czarnej księgi* ukazało się w 1946 roku, lecz bez przedmowy Einsteina i mocno ocenzurowane. Wydanie sowieckie, którego redaktorami byli Ilja Erenburg i Wasilij Grossman, nie ukazało się nigdy. Zarzut główny brzmiał: „Czytelnik podświadomie odnosi wrażenie, że Niemcy prowadzili wojnę z ZSRR wyłącznie po to, by zniszczyć Żydów".

Nie przeszkodziło to jednak w wykorzystywaniu publikacji przez prokuraturę sowiecką podczas procesu norymberskiego.

Innym problemem w relacjach z władzami stała się idea powołania na Krymie autonomicznej republiki żydowskiej. Z błogosławieństwa Mołotowa Michoels i Fefer rozmawiali z przywódcami Żydów amerykańskich. Uzyskali deklarację wsparcia

ze strony szefa organizacji pomocowej Joint Jamesa N. Rosenberga, który upatrywał w tym projekcie alternatywę wobec osadnictwa żydowskiego w Palestynie. W połowie lutego 1944 roku Komitet wystąpił do Stalina o utworzenie Żydowskiej SRR na Krymie. Sprawa nie wyszła poza rozmowy gabinetowe, chociaż, jak później zeznawali uczestnicy narad, rozdzielono już stanowiska we władzach republiki. Stalin traktował jednak problem instrumentalnie – chciał pomocy od diaspory żydowskiej. „Memoriał krymski" miał natomiast fatalne skutki dla jego autorów – w 1952 roku stał się głównym dowodem na „agenturalną działalność" działaczy Komitetu.

Niezadowolenie władz wywołała również aktywność Michoelsa w sprawie przejawów antysemityzmu na wyzwolonych terenach ZSRR, głównie na Ukrainie i Krymie. Chodziło o politykę kadrową władz oraz sprawę mieszkań. We wrześniu 1945 roku w Kijowie pracownik ministerstwa bezpieczeństwa Ukraińskiej SRR Josif Rozensztejn zastrzelił 2 pijanych czerwonoarmistów, którzy wcześniej go pobili. Jeden z żołnierzy usiłował odzyskać mieszkanie, które jego matka zasiedliła po ewakuowanych na początku wojny mieszkańcach narodowości żydowskiej. Złość wyładował na przypadkowej osobie „o fizjonomii Żyda".

Zajścia wywołały oburzenie wielu osób narodowości żydowskiej. W piśmie do Stalina i Berii kilku byłych żołnierzy frontowych oskarżyło miejscowe władze partyjne o wzniecanie nastrojów antysemickich i realizację polityki usuwania osób narodowości żydowskiej z urzędów. Ówczesny I sekretarz partii na Ukrainie Nikita Chruszczow tłumaczył się, że nie jest nacjonalistą ukraińskim i nie realizuje antysemickiej polityki. Stalin mu nie uwierzył. W marcu 1947 roku szefem komunistów ukraińskich został Łazar Kaganowicz, który pełnił tę funkcję w czasie Wielkiego Głodu.

Teraz miał zająć się walką z burżuazyjnymi nacjonalistami nie tylko ukraińskimi, lecz również żydowskimi.

Zlecenie

Na przełomie listopada i grudnia zeszłego roku Stalin wezwał do siebie ministra bezpieczeństwa państwowego Związku Radzieckiego Wiktora Abakumowa i jego pierwszego zastępcę Siergieja Iwanowicza Ogolcowa. Pod koniec rozmowy Stalin nieoczekiwanie polecił Abakumowowi, by w stosunku do przewodniczącego Michoelsa przeprowadzić koniecznie specjalne działania, i w tym celu należy zainscenizować wypadek samochodowy. Samego Michoelsa gensek określił jako przywódcę żydowskiej konspiracji nacjonalistycznej, prowadzącej w Związku Radzieckim wrażą robotę pod dyktando Amerykanów. Na początku stycznia tego roku Michoels wyjeżdżał służbowo do Mińska. Jest przecież członkiem Komitetu Nagród Stalinowskich, zaś w tym roku przegląd zgłoszonych do tego wielkiego w ZSRR wyróżnienia zespołów teatralnych odbywa się w Mińsku. Abakumow zdecydował, że likwidacja Michoelsa ma się odbyć właśnie w Mińsku.

W nocy z 6 na 7 stycznia wyjechała samochodem z Moskwy do Mińska grupa funkcjonariuszy mających zorganizować likwidację: Fiodor Grigoriewicz Szubnikow, płk organów transportowych MGB Wasyl Jewgieniewicz Lebiediew i st. lejtn. Krugłow. Wszyscy trzej są byłymi współpracownikami Pawła Anatoliewicza Sudopłatowa, szefa I Biura Specjalnego ds. Dywersji i Wywiadu w MGB. Podwładni Sudopłatowa nie tylko organizowali w czasie wojny partyzantkę i dywersję przeciw hitlerowskim Niemcom i Japonii, ale rozwijali też nowe techniki uśmiercania przeciwników, zwłaszcza za pomocą nietypowych bomb, trucizn i aparatów do ich aplikowania.

Szczegółowy plan zamordowania Michoelsa ułożyli w Mińsku Szubnikow, Lebiediew, Ogolcow i szef białoruskich organów Canawa. Aby wykluczyć możliwość ujrzenia jakiegokolwiek fragmentu tej operacji przez osoby postronne, urzędowi zamachowcy ustalili, że Michoelsa trzeba zaprosić, za pośrednictwem agentury MGB, na nocne spotkanie z jakimś znajomym, podstawić samochód z kierowcą MGB do hotelu, w którym aktor się zatrzymał – po to by wyeliminować udział świadka, szofera urzędowej limuzyny oddanej w Mińsku do dyspozycji Michoelsa. Samochodem MGB należy przewieźć go do podmiejskiej daczy Canawy. Tam Michoelsa zlikwidować, a zwłoki wywieźć nocą na jakąś mało uczęszczaną, dochodzącą do hotelu ul. Mińska, tam rozjechać je ciężarówką i porzucić. Taki scenariusz miał uprawdopodobnić wrażenie, że nocą pijany Michoels, znużony całodniowymi bankietami, wyszedł przejść się i wpadł pod ciężarówkę, a jej przerażony kierowca uciekł.

Zaproszenie Michoelsa na nocne spotkanie za pośrednictwem agentury oznaczało jedno – zaproszenie go przez Gołubowa-Potapowa, który od dłuższego już czasu nie odstępował wielkiego aktora o krok. Michoels jest bardzo osamotniony w dżungli stalinowskich rozgrywek i chętnie toleruje Gołubowa-Potapowa u swego boku, zwłaszcza że krytyk jest Żydem. Aktor nie jest świadom, że Gołubow-Potapow to tajny współpracownik MGB i na polecenie organów rozpracowuje go.

Ba, ale likwidacja Michoelsa oznacza automatycznie zdekonspirowanie zabójstwa przed Gołubowem-Potapowem, który wie bardzo dużo o wzmożonej ostatnio inwigilacji aktora. Naradzający się u Canawy funkcjonariusze zadzwonili do Abakumowa i poprosili o zgodę na likwidację także krytyka,

w ramach tego samego wypadku drogowego. Abakumow zgodę wyraził.

Samochód z Michoelsem i Gołubowem-Potapowem wjeżdża na teren daczy Canawy. Szubnikow udający inż. Siergiejewa prowadzi gości do salonu.

Gdy tylko goście zasiadają do stołu, Szubnikow wychodzi do sąsiedniego pokoju i dzwoni ze specjalnego, bezpiecznego telefonu do dyżurującego w siedzibie MGB w Mińsku Ogolcowa z meldunkiem, że ofiary są w daczy. Ogolcow zaraz dzwoni przez chroniony telefon WeCze do Moskwy, do Abakumowa, ten zaś natychmiast łączy się przez speclinię ATS z Kremlem, ze Stalinem.

Abakumow po chwili wydaje przez telefon rozkaz, by przystąpić do likwidacji obu gości.

Szubnikow inscenizuje serdeczne powitanie toastem szklanką wódki. To część planu MGB – ofiary mają sprawiać wrażenie, że pod koła ciężarówki wpadły po pijanemu. Rozpuszczony w alkoholu środek oszałamiający obezwładnia Gołubowa-Potapowa, jednak Michoels, pijący skromniej, pozostaje w miarę przytomny. Gdy do saloniku wchodzi ukryty w sąsiednim pokoju Lebiediew, zaś Gołubow-Potapow zdradza objawy odurzenia, Michoels pojmuje, że zbliża się jego koniec. Usiłuje wstać, jakoś bronić się, ale cios kolbą pistoletu w czoło tuż przy skroni kończy niezborne próby ratunku. Oprawcy wyprowadzają pod ręce Gołubowa-Potapowa i Michoelsa na drogę do daczy, uruchamiają stojącą tam ciężarówkę z taboru białoruskiego MGB. Najpierw pod koła porządnie rozpędzonej ciężarówki wrzucają ciągle żywego Gołubowa-Potapowa, potem tak samo rozjeżdżają Michoelsa. Zmasakrowane trupy wrzucają na ciężarówkę i jadą do Mińska. Szubnikow znów dzwoni z meldunkiem do Ogolcowa, ten zaś łączy się z Abakumowem, który chwilę później melduje o postępach akcji Stalinowi. Na

drodze obok budowy nowej linii tramwajowej, między ul. Swierdłowa i Garbarnia, tuż obok zbombardowanego i ciągle nieodbudowanego stadionu „Dynama", niedaleko hotelu, w którym zatrzymał się Michoels, agenci układają zwłoki obu ofiar tak, jakby uderzyła w nie rozpędzona ciężarówka. Potem wracają do garaży białoruskiego ministerstwa bezpieczeństwa, zmywają pakę samochodu.

O 7.10 idący do pracy mińszczanie trafiają na leżące twarzami do ziemi, lekko przyprószone śniegiem trupy 2 mężczyzn. Wokół nich jest mnóstwo krwi. Wezwani milicjanci stwierdzają, że zwłoki nie zostały obrabowane – znajdują przy nich portfele z dokumentami i sporą gotówką oraz zegarki na rękach. Michoels ma ciągle drogi złoty zegarek. Gdy funkcjonariusze stwierdzają tożsamość zmarłych, natychmiast zawiadamiają zwierzchność. Na miejscu zbrodni błyskawicznie zjawiają się dygnitarze z białoruskich władz, republikańskiego ministerstwa bezpieczeństwa i mińskiego zarządu milicji. Wezwani anatomopatolodzy stwierdzają, że Michoels i Gołubow-Potapow mają połamane żebra, a krytyk dodatkowo ma złamaną w łokciu prawą rękę.

Ślady opon według śledczych nie pozostawiają wątpliwości – obu uderzyła jadąca z dużą prędkością ciężarówka.

13 stycznia 1883 ▪ sobota

Wychodzimy z mamą!

– Dzieci muszą mieć trochę rozrywki! – nalega pani Datkowska.

Jej mąż, znany berdyczowski kupiec, waha się. Na dworze jest już ciemno, trzyma tęgi, 15-stopniowy mróz. No i najważniejsze – do

państwa Datkowskich przyszło dziś na karty kilku znajomych. Pan domu nie może zostawić ich samych, nie wypada też, by jego żona wychodziła w trakcie wizyty. Jednak pan Datkowski nie chce irytować żony swym sprzeciwem. W zeszłym roku Datkowskim zmarły na błonicę dwie dorastające córki. Matka po ich śmierci wpadła w ciężką depresję, z której lekarze wyciągnęli ją całkiem niedawno.

Datkowski macha ręką. Niech idą! W końcu dziś na występy wędrownego cyrku Ferroniego i Luetgensa idą tłumy.

Trzej synowie w wieku od 9 do 14 lat wychodzą pod opieką starszej, 17-letniej siostry.

Kupiec zbożowy Leopold Grüner usilnie namawia swojego gościa, handlowca Grzymałę z Warszawy, do wspólnego obejrzenia występów cyrku Ferroniego i Luetgensa. Trupa ta, znana raczej z niezłych akrobatów niż z uwielbianej przez kresową publiczność tresury koni, występuje w Berdyczowie w tutejszym budynku cyrkowym. Grzymała, który przyjechał o 16.00 pociągiem z Brześcia, a wracać zamierza pociągiem kijowskim nad ranem, wymawia się zmęczeniem. Prosi, by państwo Grünerowie wraz ze swymi dwiema dorastającymi córkami poszli na spektakl bez niego; on raczej zdrzemnie się w ich salonie, a gdy wrócą, będzie się zbierał na dworzec. Gdy gospodarze wychodzą do odległego raptem o 150 m budynku cyrkowego, Grzymała zasypia na kanapce.

Student uniwersytetu kijowskiego Małecki święta spędza na wsi, w rodzinnym majątku pod Berdyczowem, ale dziś od rana bawi w mieście. Po południu decyduje się pozostać w Berdyczowie do następnego dnia. Pod wieczór z nudów postanawia pójść na przedstawienie cyrku Ferroniego. Nie jest miłośnikiem takich rozrywek, trochę go mierżą tłok i duchota w prowincjonalnych cyrkowych rotundach. Z zajazdu wychodzi spóźniony. Gdy dociera

do budynku cyrkowego, przedstawienie trwa w najlepsze. Jest już po popisach woltyżerskich i tresury psów – zaczyna się czwarta część niezbyt bogatego programu. Na widowni panuje tłok i Małecki nie chce przepychać się w półmroku wokół areny, deptać ludziom po palcach, wysłuchiwać przekleństw. Prosi woźnego o składane krzesełko i przysiada w korytarzyku obok drzwi wejściowych.

Dziś spektakl ogląda ponad 600 widzów. Z powodu silnego mrozu dwoje z trojga drzwi wejściowych jest zamknięte na stałe i starannie ogacone słomą i szmatami. Tak samo zabezpieczono okna. Z tego powodu na widowni jest wyjątkowo duszno. Żona obywatela ziemskiego Malinowskiego ma zawroty głowy i chce wracać do hotelu. Pan Malinowski przykazuje trójce dzieci, by siedziały na swoich miejscach i nigdzie się nie ruszały, on zaś odprowadzi mamę i przed końcem widowiska do nich wróci. Ale dzieciaki nie chcą zostać same i wychodzą z rodzicami.

W tym momencie wynajęta przez Ferroniego 18-osobowa orkiestra pułkowa gra tusz i zaczyna się część piąta spektaklu – występy akrobatów przerywane gagami klownów.

Na tyłach budynku jeden z cyrkowych stajennych kończy papierosa, niedopałek rzuca na zasłaną słomianymi źdźbłami podłogę. Gdy odwraca się, płonie bela prasowanego siana. Niezbyt rozgarnięty stajenny wybiega tylnymi drzwiami na dwór, po wodę. W 2 beczkach przy wyjściu zamiast wody stoi lód – bo i cóż może tam być po wielu dniach solidnych mrozów?

Otwarte przez stajennego drzwi wywołują przeciąg. Ogień zaczyna buzować jak w piecu. Płomienie błyskawicznie ogarniają całą stajnię. Stajenny pędzi przez zakamarki zaplecza do Ferroniego, który właśnie szykuje się do swego występu.

Na słowa: „Pali się!”, dyrektor martwieje z przerażenia. Od czasu wielkiego pożaru w wiedeńskim Ringtheater żyje w lęku przed

pożarem.

Przed 2 laty tuż przed rozpoczęciem przedstawienia *Opowieści Hoffmana* Jakuba Offenbacha na scenie nowego Ringtheater w Wiedniu zapalacz lamp na zapleczu sceny przypadkowo musnął płomieniem podwieszane, malowane tła. Gdy pożar trawił zaplecze teatru, 2 tys. widzów były przekonane, że to próba nowego oświetlenia sceny. Aktorzy i obsługa sceny wpadli w panikę i uciekli; nie było komu opuścić żelaznej kurtyny odcinającej ogień od widowni ani włączyć 5 zraszaczy sceny. Gdy ozdobna kurtyna w końcu stanęła w płomieniach i runęła na widownię, tłumy w panice rzuciły się do ucieczki. Ale wtedy właśnie ktoś wyłączył gazowe lampy, by zapobiec eksplozji instalacji. W ciemnościach rozświetlanych płomieniami pożaru setki oszalałych ze strachu ludzi tratowały się wzajem na śmierć. Gdy ogień odciął widzów od wyjść, skakali na ulice nawet z najwyższych pięter gmachu. Wielu zginęło uduszonych dymem. Po pożarze doliczono się co najmniej 850 ofiar śmiertelnych.

Dyrektor Ferroni w mgnieniu oka pojmuje, że tragedia jest nieuchronna. Tuż po przyjeździe ze swoją trupą do Berdyczowa stwierdził, że w trakcie budowy tutejszy właściciel budynku cyrkowego zmienił plany architekta: zamiast zaplanowanych 6 wejść powstały tylko 3. A z powodu mrozów właściciel zablokował i ogacił 2 z nich. Jakby tego było mało, w budynku nikt nie dbał o ochronę przed pożarem. W bufecie, garderobach, stajni wszyscy palili papierosy, niedopałki rzucali na drewniane podłogi. Przed 3 dniami w garderobie klownów od papierosowego peta zapaliła się słomiana mata; ogień z trudem ugaszono. Budynek ma konstrukcję stosu ofiarnego: mury z obu stron obłożone są ścianami z grubych, wysuszonych na wiór desek, pod które upchano, jako cieplną izolację, grubą warstwę wysuszonego końskiego nawozu.

I w takim budynku puszcza się ognie bengalskie i fajerwerki! Nic dziwnego, że już w zeszłym roku rada miejska chciała ten przybytek zamknąć, ale właściciel wykpił się łapówką.

Ferroni i Luetgens zaraz po przyjeździe napisali pismo do berdyczowskiego policmajstra, w którym opisali zastraszający stan bezpieczeństwa w budynku cyrkowym i poprosili o policyjny zakaz palenia papierosów wewnątrz oraz o przydzielenie na stałe kilku strażaków z sikawką. Policmajster pismo bez odpowiedzi odłożył do akt.

Zaplecze areny trawi już w najlepsze ogień, ale na widowni jeszcze nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Na arenę wybiega jeden z klownów. Łamiącym się głosem zawiadamia, że w cyrku wybuchł groźny pożar, i prosi o opuszczenie widowni. Odpowiada mu huragan śmiechu – niezły dowcip!

Na arenę wybiega inny pracownik cyrku i wykrzykuje ostrzeżenie. W tej samej chwili płomienie przeskakują na sieć lin rozwieszonych pod sufitem. To królestwo linoskoczków. Mają oni swoje metody i sztuczki. Z niewiadomych powodów codziennie smarują liny, na których występują, naftą. Teraz nasączone naftą sznury w mgnieniu oka zajmują się ogniem. Chwilę później płonie cały drewniany sufit nad areną i widownią.

600 osób na widowni wpada w dziką panikę. Ale nie ma jak uciekać – zapasowe drzwi są zablokowane.

Siedzący na składanym krzesełku przy wyjściu student Małecki zrazu nie ma pojęcia, o co chodzi w poruszeniu na widowni. Potem ponad głowami dostrzega płomienie obejmujące sieć lin i belki stropu. Choć stoi blisko wyjścia, błyskawicznie ogarnia go gęsty, gryzący w płuca dym – tak pali się koński nawóz. Od dymu robi mu się słabo, traci przytomność. Trzeźwieje z zimna. Leży,

przemoczony do bielizny, na śniegu. Ktoś wyniósł go, nieprzytomnego, na zewnątrz i oblał lodowatą wodą.

Stojący na zewnątrz budynku słyszą w środku straszliwy krzyk palących się żywcem, duszących się 600 ludzi. Po kilku minutach zapada straszliwa cisza, w której huczą płomienie. Przed płonącym cyrkiem stoi oniemiała rodzina Malinowskich. Wyszli dosłownie 2–3 minuty przed wybuchem pożaru.

Wezwani do pożaru berdyczowscy strażacy pędzą co sił. By nie tracić czasu, przejeżdżają sikawką z zaprzęgiem przez zamarzniętą rzekę Hnyłopiat. Ale skrót wybierają fatalnie. Lód łamie się pod nimi. Pozostałe zaprzęgi z sikawkami muszą jechać przez most.

Państwo Datkowscy grają z gośćmi w preferansa, gdy służący przybiega z wieścią o pożarze. Oboje wypadają w mrok i pędzą w stronę słupa ognia. Policjanci i strażacy odsuwają od płonącego budynku rannych i poparzonych. Przed północą strażacy wreszcie gaszą pożar, polewają wodą pogorzelisko. Kręci się po nim, pod pozorem niesienia pomocy, mnóstwo złodziejaszków obszukujących dymiące jeszcze trupy. Strażacy ustawiają kordon i nie wpuszczają postronnych. Zwłoki wynoszą za kordon i układają na śniegu. Czworo dzieci Datkowskich zginęło w płomieniach.

Paniczne krzyki na ulicach budzą Grzymałę śpiącego na kanapce w domu Grünerów. Biegnie czym prędzej do pożaru. Nic nie może jednak pomóc. Długo ogląda zwłoki wynoszone na śnieg. Nagle dostrzega wśród nich ciało pani Grünerowej. Suknię ma poszarpaną, ale nienadpaloną. Nie ma uszkodzeń ciała. Ale nawet w nocy, w świetle pochodni, widać, że skórę twarzy ma ciemnobrązową. Udusił ją dym z płonącego nawozu. Grünera ani dwóch jego córek nie ma na śniegu – spłonęli w środku.

Na śniegu obok pogorzeliska policjanci wypytują cyrkowego kasjera. Urzędował tuż przy wejściu, zdążył więc uciec i nawet

zabrał ze sobą kasę. Wyjaśnia teraz, że sprzedał dokładnie 620 biletów. Znakomita większość widzów to berdyczowscy Żydzi, ale była też wycieczka 80 żołnierzy tutejszego pułku. Żaden nie ocalał.

Berdyczowscy lekarze Dynowski i Postawski w samych tylko surdutach uwijają się na śniegu jak w ukropie: opatrują rannych i ekspediują ich do szpitala i na kwatery. Rannych i poważnie zatrutych dymem jest już ponad 100. Przez całą noc ciemności co i rusz przeszywa rozdzierający krzyk i płacz: to ktoś z bliskich rozpoznaje ofiarę pośród ciągle wynoszonych ze zgliszcz zwłok. O świcie policja szacuje wstępnie, że zginęło ponad 400 osób. Dokładnej liczby ustalić się nie da. Wiele ciał płomienie zamieniły w popiół.

Scena z pożaru cyrku w Berdyczowie

14 stycznia 1858 ▪ czwartek

Suknia biało-czerwona

Poranne paryskie gazety donoszą, że dziś wieczorem galowe przedstawienie *Wilhelma Tella* w operze zaszczycą cesarz Napoleon III i jego małżonka cesarzowa Eugenia. Wczesnym wieczorem przed odświętnie udekorowanym gmachem opery zjawia się honorowa asysta: oddział doboszów gwardii oraz szwadron kawalerii w galowych mundurach. Przed wejściem rozwinięto reprezentacyjny czerwony dywan. Pogoda jest piękna, niemal wiosenna i krótko po 19.00 przed operą gęstnieje potężny tłum gapiów. Wśród czekających na przybycie cesarskiej pary jest mnóstwo kobiet i dzieci. Porządku pilnują dziesiątki strażników miejskich. W tłumie uwija się też mnóstwo agentów tajnej policji po cywilnemu, którymi dyskretnie dyryguje komisarz Hyrvoix, dobroduszny, zażywny jegomość wyglądający na karczmarza.

Potężna obstawa policyjna towarzyszy każdemu publicznemu pojawieniu się cesarza, gdyż od 10 lat z okładem rozmaici rewolucjoniści uporczywie organizują nań zamachy. Osobliwie zaś rewolucjoniści włoscy, obwiniający Napoleona III o lekceważenie, wręcz zdradę, włoskich dążeń do wyzwolenia spod dominacji austriackiej i zjednoczenia podzielonego kraju. Polityczni emigranci z Włoch od dawna gromadzili się w Londynie. Tam też powstawały kolejne plany zamachu, jeszcze w czasach gdy dzisiejszy cesarz był prezydentem Francji. Po tzw. spisku Białej Królowej z 1852 roku, rozbitym przez francuską policję, która aresztowała aż 19 zamachowców, przyszedł czas na spisek marsylski: 2 niedoszłych zamachowców ze stowarzyszenia Niewidzialnych skonstruowało z 250 strzelb machinę szybkostrzelną. Francuska policja rozprawiła

się na czas z konspiracją marsylską i z kolejnym spiskiem grupy zwanej Hipodromem, która zamierzała zastrzelić cesarza w trakcie wyjazdu na wyścigi konne; skazano później 21 niedoszłych zamachowców.

Przed 2 laty Napoleon III z trudem uniknął śmierci. Niepozorny, 32-letni Włoch Giovanni Pianori, obwiniający cesarza o zdradę włoskich marzeń o niepodległości i zjednoczeniu, starannie przygotował się do zamachu. Porządnie przestudiował tryb życia Napoleona III i odkrył, że codziennie po 16.00 jeździ on konno w towarzystwie adiutanta i stajennego po Polach Elizejskich. Pianori pod obszernym płaszczem ukrył kurtkę innego koloru, a pod kapeluszem kaszkiet i ostrą brzytwę. Po zastrzeleniu cesarza zamierzał podczas ucieczki porzucić płaszcz, kapelusz, błyskawicznie ściąć swą długą brodę i tak zmieniony, zmylić pościg. Strzelił do cesarza 2 razy z pistoletów, ale chybił. Gdy celował z trzeciego pistoletu, obalił go na ziemię agent policji Alessandri, dla swej nieustępliwości zwany Buldogiem. Pianori został zgilotynowany, ale zaraz potem wykryto potężną bombę w wagonie kolejowym, którym cesarz miał pojechać do Tournai. A pół roku temu policja aresztowała Paolo Tibaldiego, Włocha zarabiającego na życie jako optyk. U niego i jego wspólników znaleziono skrzynię pełną sztyletów i pistoletów.

Mimo tych doświadczeń cesarz Napoleon III ostentacyjnie lekceważy zamachowców. Uważa, że ci z bombami i pistoletami nie są groźni, niebezpieczni mogą być tylko ci, którzy atakują sztyletem.

Ale w Anglii kolejny zamachowiec, Felice Orsini, zaprojektował bomby o straszliwej sile rażenia. 39-letni, niezwykle przystojny włoski rewolucjonista, przyjaciel Hercena, nieustraszony, bezwzględny bojownik o wolność swojego kraju, jest znany w całej Europie. Jego życie to pasmo spisków, walk, odsiadek

w więzieniach i zuchwałych ucieczek. Walczył w obronie Republiki Rzymskiej. Aresztowany przez Austriaków i uwięziony w twierdzy w Mantui, uciekł dzięki zakochanej w nim damie, która dostarczyła pilnik do przepiłowania krat w oknie celi. Linę długości 30 m, niezbędną do opuszczenia się z więziennej wieży, sam uplótł z prześcieradeł.

Orsini uwierzył, że zabicie Napoleona III wywoła rewolucję we Francji. Rewolucyjny Paryż zaś wedle jego marzeń będzie musiał poprzeć włoską niepodległościową rewolucję. W Londynie Orsini zwerbował Giuseppe Pieriego, byłego żołnierza Legii Cudzoziemskiej i znanego anarchistę w jednej osobie, który dla potrzeb spisku przybrał nazwisko d'Andreas i podawał się odtąd za poddanego niemieckiego. Kolejnego kompana, francuskiego chirurga i dziennikarza Bernarda, karanego w Paryżu za przestępstwa polityczne, znalazł Orsini w jednej z londyńskich kawiarni. Czwarty spiskowiec, Włoch Gomez, też był ongiś żołnierzem Legii Cudzoziemskiej. Teraz w spisku udaje Anglika o nazwisku Swiney. Carlo di Rudio, z patrycjuszowskiej rodziny wydalonej za spiskowanie z Wenecji, przyłączył się do zamachowców z braku pieniędzy. Orsini kupił mu ubranie i kapelusz. Di Rudio przybrał nazwisko Da Silva i podaje się za komiwojażera.

Pewien Anglik nazwiskiem Allsop skontaktował Orsiniego z angielskim inżynierem w Birmingham, który wyprodukował dla niego 10 połówek korpusów bomb. Po skręceniu śrubami i napełnieniu prochem 5 bomb różnych rozmiarów było gotowych do użycia.

Tydzień temu spiskowcy przewieźli swój arsenał przez Brukselę do Francji. Celnikom wyjaśniono, że korpusy bomb to części do prototypowego aparatu gazowego. Policja belgijska rozpoznała

jednak Pieriego i zaalarmowała francuską ambasadę, że ten znany anarchista zmierza do Paryża.

W Paryżu Orsini, podając się za angielskiego kupca Thomasa Allsopa, wynajął mieszkanie w domu nr 10 przy ulicy Mont Thabor. Pieri i Di Rudio zatrzymali się w hotelu France et Champagne, Gomez zaś – w hotelu Saxe-Cobourg. W następnych dniach Orsini wysuszył proch, zmontował bomby i ułożył precyzyjny plan zamachu.

Zegar na wieży wybija wpół do dziewiątej. Coraz wyraźniej słychać stukot kopyt. Podniecony tłum faluje, ludzie przeciskają się na siłę w stronę jezdni. Jako pierwsi skręcają w ulicę Le Pelletier konni gwardziści. Prezentują się wspaniale w galowych mundurach, z obnażonymi szablami lśniącymi w blasku iluminacji na gmachu opery i gazowych latarń na chodniku. Za gwardzistami jedzie otwarty powóz z oficerami gwardii, za nim zaś, otoczony przez pluton lansjerów i resztę gwardzistów, zamknięty powóz z parą cesarską.

Napoleon III, wyraźnie zmęczony i senny, milcząc, patrzy na wiwatujące tłumy usiłujące przecisnąć się bliżej powozu. Cesarzowa Eugenia, w białej sukni, z diademem na swych wspaniałych włosach, wygląda prześlicznie. Siedzi wyprostowana, na lewo i na prawo rozdaje skinienia głowy. Cesarskiej parze towarzyszy w powozie gen. Roguet.

Agent tajnej policji Hebert nagle zauważa w tłumie twarz opisaną w tajnym raporcie francuskiego ambasadora w Belgii. Podchodzi do Giuseppe Pieriego, chwyta go i wyciąga z ciżby gapiów. Pieri ma przy sobie pakiet owinięty czarną szmatą. W środku agenci policji znajdują bombę. Z kieszeni Pieriego wyciągają pistolet i sztylet. Jeden z zamachowców jest unieszkodliwiony.

Ani strażnicy, ani też tajni agenci Hyrvoix nie zauważają jednak 3 młodych ludzi, którzy energicznie przepychają się przez tłum w stronę orszaku. Pozostali spiskowcy zajmują miejsca wyznaczone im przez Orsiniego. Obecność kobiet i dzieci na chodniku ich nie wzrusza.

Pierwszy rzuca bombę Antonio Gomez. Jeden z dwóch największych pocisków konstrukcji Orsiniego eksploduje przed cesarskim powozem w chwili, gdy orszak skręca ku wejściu do opery. Potężny wybuch zrywa ze ścian opery iluminację, gasi uliczne lampy gazowe. W ciemnościach słychać przeraźliwe krzyki rannych i kwiczenie koni.

Druga bomba, ciśnięta przez Carla Rudio, eksploduje po lewej stronie powozu. Chwilę później wybucha trzeci pocisk, z tych najmniejszych, rzucony przez Orsiniego pod powóz. Brygadier Alessandri (ten sam, który jako Buldog przed dwoma laty uratował cesarza na Polach Elizejskich) w ciemnościach woła: „*Sire! Sire!*". Szarpie drzwiczki cesarskiego powozu. Uszkodzone odłamkami zawiasy rozpadają się i drzwiczki lecą na trotuar. Napoleon III siedzi w dziwnej pozycji, odchylony w tył, w generalskim kapeluszu wciśniętym głęboko na oczy. Nie jest ranny, ma tylko drobne skaleczenie na policzku i na nosie, ale spory odłamek przeszył jego kapelusz na wylot. Cesarzowa jest śmiertelnie blada, białą suknię ma zachlapaną krwią, ale także nie odniosła obrażeń. Na jej sukni jest krew zmasakrowanych lansjerów z eskorty. Gen. Roguet, który siedzi naprzeciw cesarza, broczy z rany szyi.

Po dłuższej chwili ktoś zapala latarnie gazowe. W ich świetle widać, jak straszliwą hekatombę sprawiły bomby Orsiniego. W operze i sąsiednich budynkach wyleciały wszystkie szyby. Wokół powozu leży 8 zabitych. Rannych jest kilkudziesięciu cywilów, w tym 21 kobiet i dzieci, oraz 13 lansjerów, 11 strażników

miejskich i 21 policjantów. Przeraźliwie rżą 24 poharatane konie. Jednemu z rumaków zaprzężonych do powozu cesarskiego wybuch urwał łeb.

Brygadier Alessandri, brocząc obficie z 3 ciężkich ran, pomaga wysiąść z powozu cesarzowi, potem Eugenii. Cesarzowa prosi go, by kazał się opatrzyć, ale brygadier odmawia i odprowadza ją w stronę reprezentacyjnego czerwonego dywanu przed wejściem do opery. Ranni i poturbowani lansjerzy, chwiejąc się, tworzą szpaler, by zaoszczędzić Eugenii widoku krwi i zmasakrowanych ciał. Któryś z wojskowych dopytuje się głośno, czy cesarzowa nie jest ranna. „Nie zajmujcie się nami, to jest nasz zawód. Myślcie o rannych" – odpowiada Eugenia. Napoleon spokojnie wydaje rozkazy, by w pierwszej kolejności zbierano rannych.

Nadbiegają pierwsi lekarze. Właściciele pobliskich aptek otwierają je i wydają bandaże. Szefowie policji obawiają się, że w tłumie mogą czaić się kolejni zamachowcy, i nalegają, by cesarska para schroniła się w gmachu opery. Gdy Napoleon III z Eugenią wchodzą do sali, publiczność wstaje z miejsc i wita ich niekończącą się owacją. Cesarzowa w białej sukni poplamionej żołnierską krwią wygląda olśniewająco. Spektakl tak bardzo podoba się parze cesarskiej, że wraca ona do pałacu tuileryjskiego dopiero pół godziny przed północą.

Eksplozje ogłuszają także zamachowców. Odłamek rani Orsiniego w głowę. W ciemnościach, w kłębach prochowego dymu i ogólnym zamęcie nikt nie zauważa, że broczący krwią młody mężczyzna przed chwilą rzucił bombę. Orsini dyskretnie upuszcza na chodnik zawiniątko z drugą bombą i swój zakrwawiony rewolwer. Pełni współczucia gapie odprowadzają rannego do pobliskiej apteki. Po opatrzeniu rany konsekwentnie udający Anglika Orsini każe fiakrowi wieźć się do mieszkania przy ulicy Mont Thabor.

Ogłuszony wybuchem, przerażony potworną masakrą niewinnych gapiów Gomez chowa się do restauracji Broggiego przy operze, znanej z bankietów po spektaklach. Jest w szoku: śmiertelnie blady, przeraźliwie trzęsie się i wygaduje coś bez sensu. Z włoskim akcentem. To budzi podejrzenia obecnych w restauracji, którzy wzywają policjantów. Gomez chowa swój rewolwer pod półką, ale ktoś dostrzega to. Policjanci aresztują go.

Przesłuchiwany tuż po zamachu Pieri szybko przyznaje się, że mieszkał z Rudiem w hotelu France et Champagne. Pół godziny po eksplozjach bomb policja wkracza do hotelu. Do swego pokoju wkrótce potem wraca Rudio, który nie ma pojęcia o wpadce Pieriego. Policja ma w rękach trzeciego zamachowca.

Intensywnie przesłuchiwany jest także Gomez. Utrzymuje, że nazywa się Swiney i jest uczciwym angielskim kupcem handlującym piwem. Aby się uwiarygodnić, podaje nazwę hotelu, w którym się zatrzymał: Saxe-Cobourg. Policja udaje się tam. Ktoś z obsługi przypomina sobie, że pana Swineya niedawno odwoził do hotelu pan Morand, mąż konsjerżki z kamienicy nr 10 przy ulicy Mont Thabor.

Coraz bardziej osaczany podczas przesłuchania Gomez znów usiłuje się uwiarygodnić i znów popełnia błąd. Zeznaje, że jego angielski pryncypał nazywa się Allsop. A właśnie niejaki Allsop wynajmuje mieszkanie w kamienicy Morandów!

O 4.00 policjanci w towarzystwie Moranda wdzierają się do mieszkania wynajmowanego przez owego Allsopa. Wyrwany ze snu, ranny w głowę Orsini przytomnie obstaje, że jest poddanym angielskiej królowej i uczciwym kupcem. Ale komisarze policji są pewni, że mają w ręku zamachowca. Orsini, choć zdaje sobie sprawę, że najpewniej czeka go gilotyna, jest spokojny. Z godnością wychodzi z mieszkania wraz z policjantami.

15 stycznia 1919 ▪ środa

Pożegnanie z Faustem

Niewielki oddział cywilów z karabinami na ramieniu zatrzymuje się przed reprezentacyjną, zwieńczoną neogotyckimi sterczynami bramą kamienicy przy Mannheimerstrasse 43 w Wilmersdorf, zamożnej, mieszczańskiej dzielnicy Berlina. To członkowie dzielnicowej straży obywatelskiej. Przed kilkoma godzinami któryś z mieszkańców Wilmersdorfu rozpoznał wchodzącego do kamienicy przywódcę niemieckich komunistów dr. Karola Liebknechta.

Dochodzi godz. 21.00, gdy patrol rozpoczyna przeszukanie kamienicy. Po sprawdzeniu parteru żołnierze pukają do mieszkania kupca Markussona na I piętrze. Żądają dokumentów wszystkich obecnych. Fałszywe papiery, które przed chwilą przyniósł komunista Wilhelm Pieck, na nic się dr. Liebknechtowi nie przydają. Strażnicy rozpoznają go i aresztują. Zatrzymują także Piecka.

W innym pokoju zastają ciemnowłosą kobietę. Jej ciemne oczy są podkrążone, ściągnięta twarz zdradza wielkie zmęczenie. Kobieta leży w łóżku i czyta *Fausta* Goethego. Strażnicy rozpoznają w niej Różę Luksemburg. Kobieta zaprzecza, podaje dokumenty na inne nazwisko. Strażnicy polecają jej ubrać się.

Gdy Róża Luksemburg ubiera się, część strażników wyprowadza dr. Liebknechta z mieszkania i prowadzi go do hotelu Eden, kwatery rządowej Gwardyjskiej Dywizji Kawalerii, która przed tygodniem pacyfikowała robotnicze powstanie w Berlinie.

Przed Edenem strażnicy przekazują dr. Liebknechta wartownikom w stalowych hełmach. Żołnierze prowadzą go do kpt. Waldemara Pabsta, który pyta o nazwisko. Zatrzymany stwierdza stanowczo, że

nie jest dr. Karolem Liebknechtem, ale na stole przed Pabstem leży fotografia. Oficerowie nie mają wątpliwości, kto przed nim stoi.

O 9.30 ochotnicy straży dzielnicowej wyprowadzają z mieszkania przy Mannheimerstrasse Różę Luksemburg. Aresztowana zabiera ze sobą małą damską torebkę i kilka książek zawiniętych w papier. Wśród nich jest *Faust*.

Mieszkanie kupca Markussona było ostatnią kryjówką dwojga sławnych rewolucjonistów. Róża Luksemburg, córka zamożnego żydowskiego kupca drzewnego z Zamościa, już jako uczennica warszawskiego gimnazjum należała do nielegalnego kółka socjalistycznego związanego z partią Proletariat. Potem, jako najważniejszy ideolog Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, zasłynęła zaciekłymi polemikami z niepodległościową orientacją PPS. Dla niej walka o wolną Polskę mogła jedynie odciągnąć polskiego robotnika od udziału w powszechnej rewolucji proletariackiej. Od przełomu wieków związała się z niemieckim ruchem robotniczym. W Socjaldemokratycznej Partii Niemiec uważano ją za jednego z najlepszych mówców politycznych. Ciągle na lewym, rewolucyjnym skrzydle SPD, ciągle w sporze z partyjną prawicą, pisała artykuły, rozprawy teoretyczne, przemawiała. Po wybuchu wojny światowej została skazana na więzienie za propagandę antymilitarystyczną. Wtedy politycznie zbliżyła się do wybitnego działacza lewicy SPD Karola Liebknechta, który jako jedyny poseł w Reichstagu miał odwagę głosować przeciw kredytom wojennym dla cesarskiego rządu.

Przed dwoma miesiącami koniec wojny i upadek cesarstwa otworzył przed Luksemburg i Liebknechtem bramy więzień. Oboje natychmiast zjawili się w Berlinie, oboje rzucili się w wir przygotowań do rewolucji. Ale gdy w Kilonii wybuchła rewolucja marynarzy, w Berlinie prawicowi socjaldemokraci opanowali rady

robotnicze i żołnierskie i zapobiegli walkom. Przed dwoma tygodniami Luksemburg i Liebknecht założyli Komunistyczną Partię Niemiec. Tydzień później komuniści próbowali wywołać w Berlinie powstanie, ale socjaldemokratyczny rząd wezwał wojsko, które je szybko i krwawo stłumiło.

Ostatni tydzień Róża Luksemburg i Karol Liebknecht spędzili, ukrywając się w mieszkaniach przyjaciół i pisząc artykuły do komunistycznej „Rote Fahne". Odrzucili propozycje ucieczki za granicę, choć wywiadowcy policji deptali im po piętach. Nie mieli złudzeń co do swego losu. Na berlińskich murach od kilku dni pojawiały się plakaty podpisane „żołnierze frontowi", wzywające do rozprawy z komunistami: „Zabijcie ich przywódców! Zabijcie Karola Liebknechta! Wtedy zdobędziecie spokój, pracę i chleb".

Krótko po 21.30 kpt Pabst melduje swoim zwierzchnikom z dowództwa Gwardyjskiego Korpusu Gwardii o aresztowaniu Liebknechta. Potem wzywa kapitana marynarki Horsta von Plugk-Harttunga, jednego z oficerów pełniących nocną służbę w sztabie dywizji kawalerii. Poleca mu odwieźć dr. Liebknechta do więzienia śledczego w Moabicie i dodaje, że gdyby, co jest właściwie pewne, aresztowany próbował rzucić się do ucieczki, należy go zastrzelić. Kpt. Plugk-Harttung rozkazuje wyznaczyć kilku żołnierzy eskorty i podstawić samochód pod boczne wejście do Edenu, od Kurfuerstendamm. Wraca do pokoju, w którym oficerowie kawalerii przesłuchują Liebknechta. Gdy poleca aresztowanemu, by wyszedł wraz z nim, kpt. Pabst mówi z naciskiem: „Zatem wiecie, jaki to ważny transport. Znacie wasze obowiązki i waszą odpowiedzialność".

Na parterze gromadzą się hotelowi goście. Wszyscy już wiedzą o aresztowaniu Liebknechta. Tłumek ok. 30 podekscytowanych członków straży dzielnicowej tkwi przed głównym wejściem do

hotelu. Eskorta żołnierzy wyprowadza Liebknechta z Edenu wejściem bocznym. Przed drzwiami stoi jedynie szpaler żołnierzy w hełmach i z karabinami. Dr Liebknecht przechodzi przez ten szpaler do samochodu osobowego. Gdy schyla się i zamierza wsiąść, jeden z żołnierzy, strzelec Runge, uderza go kolbą w głowę. Żołnierze wciągają oszołomionego Liebknechta do samochodu. Wsiadają też 3 oficerowie i jeden ze strzelców. Auto natychmiast rusza, ale na stopień wskakuje odziany w długi futrzany płaszcz jeden z ochotników straży Wilmersdorfu, Edwin von Rzewuski. Z całej siły uderza pięścią zakrwawioną głowę dr. Liebknechta i z okrzykiem tryumfu zeskakuje w biegu. Potem z dumą pokazuje zakrwawioną rękę innym ochotnikom straży.

Szofer nie jedzie w kierunku Moabitu, lecz w przeciwnym kierunku, potem zaś skręca w lewo, w nieoświetloną uliczkę Der Grosse Weg nad Neue See, Jeziorem Nowym, w parku Tiergarten. Tam samochód zatrzymuje się. Kierowca twierdzi, że auto zepsuło się. Oficerowie polecają Liebknechtowi wysiąść. Wysiada z trudem, powoli. Kpt. Pflugk-Harttung pyta Liebknechta, czy dojdzie pieszo do nieodległej Charlottenburger Chaussee. Zakrwawiony dr Liebknecht odpowiada, że da radę. Po 20 krokach Pflugk-Harttung strzela mu w głowę z bliskiej odległości. Potem do leżącego oddają po jednym strzale pozostali oficerowie. Kpt. Pflugk-Harttung odwozi zwłoki do kostnicy pogotowia ratunkowego i stwierdza, że to zwłoki nieznanej ofiary znalezionej przez żołnierzy na mieście. Mordercy wracają do Edenu.

Gdy żołnierze wyprowadzają Karola Liebknechta bocznym wyjściem z hotelu, wejściem głównym kilku ochotników straży obywatelskiej wchodzi, prowadząc Różę Luksemburg. Przesłuchuje ją także kpt. Pabst. Na pytanie, czy jest Różą Luksemburg, zatrzymana odpowiada: „Proszę, niech pan sam rozstrzygnie”. Pabst

stwierdza, że sądząc z fotografii, Róża Luksemburg to właśnie ona. Luksemburg odpowiada obojętnie: „Jeśli pan tak uważa". Kpt. Pabst wzywa por. Vogla i chwilę z nim konferuje. Róża Luksemburg nie ma złudzeń, jaki czeka ją los. Ze swojej paczki książek wyjmuje *Fausta* i zaczyna czytać II część.

Po dłuższej chwili Pabst z wymownym spojrzeniem przekazuje aresztowaną por. Voglowi. Róża Luksemburg kończy lekturę, zabiera torebkę, paczkę książek i schodzi otoczona kilkoma żołnierzami prowadzonymi przez Vogla. Na parterze jeden z oficerów sztabu dywizji kawalerii kpt. Petri krzyczy na jej widok: „Zatłuczcie tę świnię!". Róża Luksemburg wychodzi przez obrotowe główne drzwi Edenu. Na warcie przed wejściem nadal stoi strzelec Runge, ten sam, który uderzył kolbą Liebknechta. Tłumek ochotników straży obywatelskiej Wilmersdorfu obrzuca aresztowaną wyzwiskami. Runge wyjmuje magazynek, obraca karabin i z pełnego rozmachu uderza Różę Luksemburg w tył głowy. Drugi raz uderza z całej siły w czoło leżącej. Zamierza się trzeci raz, ale strzelec Dreger mówi: „Przestań, wystarczy". 2 żołnierze wloką bezwładne ciało do samochodu i sadzają na tylnym siedzeniu. Z tłumu strażników obywatelskich znów wyskakuje von Rzewuski w futrzanym płaszczu i znów wskakuje na stopień jadącego samochodu. Tym razem bije pięścią w bezwładną głowę Róży Luksemburg. Po przejechaniu 100 m por. Vogel, który stoi na lewym progu samochodu, wyjmuje pistolet i usiłuje strzelić w głowę Róży Luksemburg. Pistolet jest zabezpieczony i strzał nie pada. Vogel miota się, odbezpiecza broń i strzela ofierze w skroń.

Nad Kanałem Landwehry por. Vogel poleca kierowcy zatrzymać się: „Tu tę Luksemburg wyładujemy". Z pomocą żołnierza przenosi zwłoki w krzaki. W tym momencie w ciemnościach rozlega się okrzyk: „Stać, bo strzelam!". Na moście jest wojskowy patrol. Vogel

podchodzi do mostu, coś wyjaśnia. Po powrocie poleca 2 swoim żołnierzom wrzucić ciało Róży Luksemburg do kanału.

Gdy druga ekipa morderców wraca do hotelu, oficerowie dyżurni wesoło opijają, jak mówią, załatwienie tych „czerwonych świń". Z rąk do rąk podają sobie trofeum: pantofel Róży Luksemburg, który zsunął się ze stopy, gdy wleczono ją do samochodu.

Mordercy Karola Liebknechta. W centrum siedzi strzelec Runge (z wąsami)

16 stycznia 1991 ▪ środa

Koniec Tarczy, początek Burzy

Żołnierze budzą się z trudem, zmaltretowani. Noc na pustyni nie należy do przyjemnych. Zimno. Piasek wciska się do gardła, pod powieki. Dla półmilionowej armii żołnierzy amerykańskich, brytyjskich, francuskich, włoskich i innych państw, rozlokowanej w Arabii Saudyjskiej wzdłuż granicy z Irakiem i Kuwejtem, zaczyna się kolejny dzień operacji „Pustynna Tarcza". Siły koalicji 29 państw od jesieni 1990 roku chronią saudyjską monarchię przed atakiem armii irackiej. Po zajęciu przez Irakijczyków 2 sierpnia 1990 roku Kuwejtu świat obawia się, że następnym celem Saddama Husajna będzie Arabia Saudyjska.

Na papierze wojna zaczyna się o 6.00 czasu warszawskiego. W piaskach pustyni jest wtedy 8.00, a w Nowym Jorku mija właśnie północ 15 stycznia – ostateczny, wyznaczony przez rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, termin wycofania przez Saddama Husajna wojsk z Kuwejtu. Od tej chwili armia sprzymierzonych ma prawo zaatakować Irak.

Ale czy zaatakuje? Nie wygląda na to. W wojskowych obozach koalicji nie widać charakterystycznego podniecenia przed bitwą. Amerykańscy żołnierze krzątają się spokojnie. Są pewni, że prawdziwa wojna wybuchnie później, że dyplomaci dadzą Stanowi – tak nazywają Husajna – jeszcze jedną szansę na wycofanie się.

Tylko kilku najwyższych oficerów w sztabie głównodowodzącego wojskami w Zatoce Perskiej amerykańskiego generała Normana

Schwarzkopfa wie, że prezydent Bush wydał rozkaz do ataku – dziś w nocy.

Termin rozpoczęcia zmasowanego nalotu jest w USA najpilniej strzeżoną tajemnicą, o której nie mają pojęcia nawet bardzo ważni politycy i wojskowi. Waszyngton powiadamia o swej decyzji przywódców wszystkich państw, których siły zbrojne szykowały się do ataku. Najwcześniej – Londyn i Tel Awiw Brytyjski premier John Major informuje o rychłym ataku przywódcę opozycji Neila Kinnocka, przywódcę liberalnych demokratów Paddy'ego Ashdowna i byłego premiera Edwarda Heatha. Potem zawiadamia królową.

Amerykanie boją się pałacowych niedyskrecji i nie informują o ataku króla Su'uda. Wiadomość o terminie rozpoczęcia ofensywy powietrznej przekazują ambasadorowi Arabii Saudyjskiej w USA księciu Bandarowi. Książę telefonuje do króla i pyta: „Jak miewa się mój najczcigodniejszy wuj?". To umówiony sygnał, że sprzymierzeni ruszą lada moment.

We francuskim Zgromadzeniu Narodowym deputowani rozstrzygają kwestię udziału francuskich żołnierzy w ofensywie przeciw Irakowi. Aż 574 jest za, przeciw – tylko 43.

Po południu żołnierze w piaskach pustyni zaczynają się domyślać, że zacznie się jeszcze dziś. Żaden z pilotów ani „pingwinów", czyli żołnierzy obsługi lotnisk, nie puścił pary, ale wystarczy tylko popatrzeć. Lotnicy nagle, jak jeden mąż, zabrali się do pisania listów.

Zapada zmrok i przygotowania do ataku ruszają pełną parą. Na okrętach pływających po Zatoce Perskiej i Morzu Czerwonym specjaliści rozpoczynają procedurę wprowadzania współrzędnych celów w Iraku do komputerów pocisków samosterujących Tomahawk.

Piloci amerykańskiego 37. Taktycznego Skrzydła Myśliwskiego z trudem, wspomagani przez kolegów, wciągają się do kabin cudu amerykańskiej techniki wojskowej – niewykrywalnych przez radary samolotów F-117 A. Świat zna je pod nazwą „Stealth", załogi mówią o nich pieszczotliwie: „Batmany". Niezgrabne kanciaste maszyny rzeczywiście przypominają gigantyczne nietoperze. Dziś w nocy pierwsze wyruszają nad Bagdad.

Ogromny samolot-cysterna KC-135 krąży wysoko nad Arabią Saudyjską, poza zasięgiem irackich radarów. Nieustannie tankuje samoloty, które wystartowały jako pierwsze i najdłużej utrzymują się w powietrzu w oczekiwaniu na start ostatnich maszyn i sformowanie szyków bojowych.

W Bagdadzie tymczasem nie czuje się wojennego napięcia ani podniecenia. Co prawda, rano Saddam Husajn ogłosił, że osobiście obejmuje dowodzenie iracką armią, ale wieczorem bagdadzkie ulice skrzą się feerią świateł.

O godz. 22.15 czasu warszawskiego (nad Zatoką Perską minęła właśnie północ) gen. Schwarzkopf wydaje ostatnie rozkazy operacyjne i postanawia zrobić to, co zawsze robią wodzowie przed bitwą – napisać list do rodziny. I jak prawie wszyscy wodzowie w takiej chwili Schwarzkopf (z racji 195 cm wzrostu i 109 kg żywej wagi nazywany przez podwładnych Niedźwiedziem) tak naprawdę pisze do 3 adresatów naraz: do najbliższych, do swego przyszłego biografa i do Historii:

„Kochana żono i najukochańsze dzieci! Wojenne chmury zebrały się na niebie i właśnie wydałem straszliwe rozkazy, które wypuszczą bestię na swobodę. Każda cząsteczka mego ciała, każdy nerw przepełniony jest pragnieniem, bym nigdy nie musiał wydawać takich poleceń. Chcę was zapewnić, że jako żołnierz, który już trzy razy wyruszał na wojnę, nie odczuwam lęku...".

„Niedźwiedź" zakleja kopertę, oddaje adiutantowi i schodzi do polowej sali wojennej. Czeka już tam ponad 30 generałów i pułkowników. Schwarzkopf odczytuje rozkaz rozpoczęcia operacji „Pustynna Burza" – ataku na wojska irackie. Kapelan zmawia modlitwę, jeden z pułkowników puszcza taśmę z nagraniem pieśni *Boże, pobłogosław Stany Zjednoczone*. „No dobra, bierzmy się do roboty" – kończy „Niedźwiedź". Ale sztabowcy tak naprawdę swoją robotę zakończyli. Dzisiejsza noc to czas pilotów.

Zaczynają jednak marynarze. Jako pierwszy wystrzeliwuje na Bagdad rakietę Tomahawk krążownik „San Jacinto", pływający po Morzu Czerwonym. Chwilę później 9 innych okrętów odpala ponad 50 tomahawków. Wycelowane w irackie cele rakiety wystrzeliwują też amerykańskie okręty podwodne zanurzone na Morzu Śródziemnym, gdzieś między Cyprem a Izraelem.

Zbliża się północ (nad Zatoką to 2.00), gdy z polowego lotniska podrywa się 8 szturmowych śmigłowców AH-64 Apache ze słynnej amerykańskiej 101. Dywizji Powietrzno-Desantowej. Mają do spełnienia bodaj najważniejszą i najtrudniejszą misję tej nocy – zniszczenie 2 największych irackich stacji radiolokacyjnych zagrażających wszystkim – może z wyjątkiem F-117 A – samolotom sprzymierzonych. Śmigłowce mkną na maksymalnej prędkości, bez świateł, parę metrów nad pustynią. Szaleńczy rajd udaje się. Helikoptery niewykryte docierają o godz. 00.38 (2.38 czasu lokalnego) do stacji, odpalają rakiety Hellfire i Hydra. Obie stacje płoną. Droga nad Bagdad stoi dla samolotów koalicji otworem.

Jako pierwsze nadlatują niezauważone F-117 A. Za nimi nadciąga armada ponad 700 samolotów bojowych.

Różnica czasu sprawia, że w Waszyngtonie dochodzi dopiero godz. 19.00. W CNN David French prowadzi właśnie wywiad z sekretarzem obrony Casparem Weinbergerem i rutynowo

w trakcie rozmowy łączy się przez telefon satelitarny z korespondentem w Bagdadzie Bernardem Shawem. Jak wszyscy zagraniczni dziennikarze mieszka on w reprezentacyjnym hotelu Al Rashid. French zagaduje go, co słychać. Nagle Shaw przerywa: „Coś się dzieje na zewnątrz. Arnett, włącz się".

Jego kolega reporter Peter Arnett wychodzi na zewnątrz i relacjonuje: „Ogień dział artylerii przeciwlotniczej idzie w niebo. Słyszymy dźwięk samolotów. Przelatują nad naszym hotelem. Jednak nie słychać dotychczas wybuchów bomb. Ale teraz ogromna błyskawica na niebie!!".

To pierwszy z trzydziestu F-117 A zrzucił ważącą tonę, laserowo kierowaną bombę. Zniszczyła gmach bagdadzkiej poczty, w którym znajdowało się centrum łączności irackiej armii.

W Białym Domu, w bibliotece obok Gabinetu Owalnego, prezydent Bush ogląda relację CNN. Wbiega jego rzecznik prasowy Marlin Fitzwater, który nie zna dokładnego terminu ataku, i woła od progu: „Chyba już się zaczęło".

„Tak, to miało zacząć się w taki sposób" – odpowiada Bush.

17 stycznia 1807 ▪ sobota

Ich pierwszy bal

Dawno już pierwszego balu karnawału nie oczekiwano w Warszawie z takim podnieceniem. Wystarczyło kilkanaście lat pruskiego zaboru, by stolica zamieniła się w miasto brudne, ponure, prowincjonalne. Ale miesiąc temu na czele swych oddziałów przybył pogromca Prusaków Napoleon Bonaparte i Warszawę ogarnęło istne szaleństwo. Rozentuzjazmowani Polacy

przemianowali Zamek Królewski, w którym zatrzymał się cesarz, na Zamek Cesarski. Nieustannie suną tam wiernopoddańcze delegacje wszystkich stanów. Miasto skrzy się od dekoracji i iluminacji. Polacy spełniają każde życzenie „Bohatera Dwóch Wieków, Prawodawcy Ludów, Pogromcy Uciemiężycielów". Administracja organizowana jest na francuską modłę, mimo skrajnego wyczerpania kraju powstaje 40-tysięczna armia, która trafi pod cesarskie rozkazy, mimo pustek w magazynach, zapowiadających głód na przednówku, resztki ziarna i mąki oddawane są armii francuskiej.

Wszystko po to by Napoleon pobił zaborcze armie i łaskawie raczył odbudować niepodległą Polskę.

Pozyskaniu łaskawości cesarza służyć ma też pyszna inauguracja karnawału. Kamienica Tepperów na Miodowej jest wspaniale iluminowana, przed wejściem straż pełnią żołnierze w galowych mundurach. Powszechnie oczekiwano, że pierwszy karnawałowy bal wyprawi w swoim Pałacu pod Blachą książę Józef Poniatowski, od hucznych i frywolnych bali wielki specjalista, ale książę wymówił się, skrępowany ponoć sąsiedztwem cesarza zajmującego główny korpus Zamku Królewskiego. Gospodarzem balu jest zatem napoleoński minister spraw zagranicznych Talleyrand, który na czas pobytu cesarza w Warszawie zajął kamienicę Tepperów. Salony wypełnione są przez pary i grupki konwersujących gości. Oczy wszystkich dyskretnie zwrócone są na cesarza. Napoleon przechadza się z dość zasadniczą miną, przystaje na chwilę tylko. Wreszcie niby od niechcenia przysiada między Anną z Tyszkiewiczów Potocką, stryjeczną wnuczką ostatniego króla Stanisława Augusta, a drobną blondynką olśniewającej urody. Dwornie rozmawia przez chwilę z panią Potocką, po czym pyta ją, kim jest jego druga sąsiadka. Usłyszawszy, że to szambelanowa Maria Walewska, cesarz odwraca

się i rozmawia odtąd już tylko z nią. Pani Potocka odnosi wrażenie, że cesarz świetnie wiedział, kim jest pani Walewska. I ma rację.

Miesiąc temu w pałacu w Walewicach pod Łowiczem zainstalował się sztab armii francuskiej. Właściciel, szambelan Anastazy Colonna-Walewski, starosta warecki, ze swą piękną, niemal czterokrotnie młodszą żoną Marią, z domu Łączyńską, oraz mnóstwem rodziny bliższej i dalszej, musiał przenieść się do skromnego domku dzierżawcy majątku. Odwilż sprawiła, że domek ów otaczało głębokie błoto. Pewnego dnia adiutant marsz. Murata hrabia Karol August Józef Flahaut de la Billarderie ujrzał na progu domku dzierżawcy młodą damę wielkiej urody. Wahała się, czy wkroczyć w grzęzawisko. Hrabia wziął Marię Walewską na ręce i przeniósł na suchą ziemię.

Hrabia Flahaut cieszył się sławą największego uwodziciela w skądinąd ogromnej armii francuskiej – m.in. był kochankiem królowej Hortensji de Beauharnais – i od razu docenił niezwykłą urodę 20-letniej szambelanowej.

Flahaut jest nieślubnym synem Talleyranda. O pięknej pani w domku pod Łowiczem czym prędzej doniósł ojcu. A że minister spraw zagranicznych cesarstwa zajmował się także sprawami łóżkowymi cesarza, wkrótce o niezwykłej urodzie szambelanowej Walewskiej dowiedział się Napoleon.

Wieści o urodziwych paniach cesarz zbiera równie gorliwie co informacje o dywizjach wroga. To już nie ten nieśmiały, zakompleksiony generał republiki, niepotrafiący zachować się w towarzystwie dystyngowanych dam. Od czasu gdy odkrywa, że jego żona Józefina romansuje z dość nijakim kpt. Hippolyte'em Charles'em, noce coraz częściej spędzał w ramionach kochanek. Z większością z nich spotkał się tylko raz. W pałacu miał dyskretny pokoik do schadzek, w którym zawsze stały świeże kwiaty.

Swój czas cenił także w łóżku. Po pierwszej schadzce jego wybranki miały oczekiwać nago, aż znuży go praca za biurkiem i wpadnie do sekretnego pokoiku na godzinkę miłości. Ba, pannie Weimer, aktorce, podarował elastyczne podwiązki, które można było zdejmować szybciej niż podwiązki ze sprzączką.

Po umizgach francuskich pań i panien, po podbojach wszelkiego autoramentu we Włoszech, po nocach wypełnionych wizytami austriackich i pruskich wielkich dam Napoleon uważa za naturalne, że teraz, gdy zajął Warszawę, należy mu się szybki romans z jakąś piękną polską arystokratką. Talleyrand wytropił smakowity kąsek? Znakomicie. W tych sprawach cesarz ma do swego ministra pełne zaufanie, nie bez kozery mawia przecież, że „Talleyrand zawsze ma kieszenie pełne pięknych kobiet". Cesarz zażądał pokazania mu urodziwej szambelanowej. Okazja nadarzyła się przed 10 dniami: uroczysta prezentacja na Zamku Królewskim dam ze stołecznego towarzystwa.

Prowincjuszka spod Łowicza, rzadko bywająca w stolicy, nie ma szans, by dostać się na taką uroczystość. Ale Talleyrand działa. Wśród pań z arystokratycznych rodów nieoczekiwanie pojawiła się Maria Walewska. Napoleon w wyraźnie złym nastroju wszedł do sali wypełnionej urodziwymi damami w świetnych toaletach. Maszerował szybkim krokiem, z rękami założonymi do tyłu, rzucając na boki zdawkowe spojrzenia – tak jak na lustracji batalionów przed bitwą. Dopiero gdy ktoś ze świty zwrócił mu uwagę na stojącą obok Anny Nakwaskiej panią Walewską, cesarz zwolnił, przyjrzał się jej, wyraźnie rozchmurzył i powiedział głośno: „*Oh, qu'il y a de jolies femmes à Varsovie*" (O, jakież mnóstwo pięknych kobiet w Warszawie).

Talleyrand dołożył starań i na inauguracyjnym balu karnawału znów pojawia się Maria Walewska – i znów bez męża.

Wygląda olśniewająco. Ubrana jest w dopasowaną suknię z białego atlasu z wielkim dekoltem na plecach. Na sukni ma zwiewną tunikę z haftowanego tiulu. Strój podkreśla jej zgrabną, ponętną sylwetkę. Nie ma klejnotów, jedynie wianek mirtowy we włosach.

Młoda dama rozmawia z cesarzem po francusku, z wdziękiem, dowcipnie. Napoleon jest zachwycony jej urodą i jej osobliwą melancholią. Poinformowany przez Talleyranda o sytuacji domowej pani Walewskiej, dostrzega w niej kobietę poświęcającą się w niechcianym małżeństwie ze starym, brzydkim, niekochającym mężem. Cesarz rad by rozmawiać jak najdłużej, ale etykieta nie pozwala. Przeprasza panie Potocką i Walewską, przechodzi dalej. Ciągle jednak obserwuje panią Walewską. Obserwuje z rosnącą irytacją. Oto gen. Bertrand oraz Ludwik de Périgord, adiutant księcia Neuchâtel, olśnieni urodą szambelanowej, emablują ją bezwstydnie. Cesarza niepokoi zwłaszcza młody, przystojny de Périgord. Szambelanowa rozmawia z nim z wyraźną przyjemnością. Napoleon wzywa do siebie gen. Berthiera i poleca mu wysłać natychmiast de Périgorda hen, nad rzekę Pasargę, po informacje o sytuacji w VI korpusie armii. Oszołomiony adiutant nic nie rozumie – jak to, po jakiejś niejasne informacje ma jechać prosto z balu, tuż przed kolacją? Berthier popędza go jednak. De Périgord przeprasza panią Walewską, wychodzi, siada na konia i pędzi w noc, nad Pasargę.

Cesarz ma nadzieję, że gen. Bertrand zrozumie, o co poszło, i odstąpi od pięknej Polki. Ale generał całkiem zadurzył się w jej prześlicznych oczach. Przy kolacji opuszcza swe miejsce, staje za krzesłem pani Walewskiej, nachyla się nad nią i w tej osobliwej pozie bawi szambelanową. Generalskie epolety muskają śnieżnobiałe plecy pani Walewskiej. Nie, tego cesarz już nie może

wytrzymać. Podchodzi do stołu, bierze Bertranda za rękę, odciąga do okna i wydaje mu rozkaz, by natychmiast, nie tracąc sekundy, ruszał do głównej kwatery ks. Hieronima pod Wrocławiem i rozeznał się w postępach prac oblężniczych. Generał rozumie z tego rozkazu równie mało, co nieco wcześniej pojął de Périgord – ale karnie wybiega z balu i rusza na Dolny Śląsk.

Teraz cesarz może spokojnie poprosić panią Walewską do kontredansa. Wszyscy patrzą na nich. Uwadze bystrych dam, nawykłych do sekretnych schadzek, nie uchodzi fakt, że po tańcu cesarz wymownie uścisnął jej dłoń. To zaproszenie do zniknięcia na kilka słodkich chwil w jednym z dyskretnych apartamentów kamienicy Tepperowskiej. Pani Walewska nie reaguje. Cesarz dwornie żegna ją.

Rankiem kamerdyner Constant nie może poznać Napoleona. Cesarz, zamiast jak co dzień spokojnie poddać się toalecie, co i rusz zrywa się, chodzi po pokoju, siada, znów wstaje. Śniadanie pochłania pośpiesznie, jakby się paliło, i zaraz sięga po papier. List jest zwięzły, jak rozkaz do bitwy: „Widziałem tylko Panią, podziwiałem tylko Panią, pragnę tylko Pani. Niech szybka odpowiedź ukoi niecierpliwy żar... N.”

Maria Walewska – kochanka Napoleona I

18 stycznia 1385 ▪ wtorek

Zapytamy się mamy

Przez zaśnieżony dziedziniec Wawelu dostojnie kroczy grupa kilkudziesięciu mężczyzn odzianych w długie, podszyte suknem futra, futrzane szuby i takież czapy. To poselstwo wielkiego księcia litewskiego Jagiełły. Przewodzi mu Skirgiełło, starszy brat Jagiełły, od wielu lat jego zaufany poplecznik i doradca. W dżungli sprzecznych interesów i nieustannie zmienianych sojuszy,

dzielących władców litewskich księstw i ksiąstewek, Skirgiełło i Jagiełło są przykładem wyjątkowej lojalności braterskiej i rodowej. Jagiełło przed 8 laty usunął swojego brata przyrodniego Andrzeja z księstwa połockiego i powierzył je Skirgielle. Gdy połoccy Rusini zbuntowali się przeciw pogańskiemu wtedy jeszcze Skirgielle, Jagiełło oddał bratu na karną ekspedycję przeciw Połocczanom wszystkie swoje wojska. Przed 3 laty Skirgiełło objął po stryju Kiejstucie, za śmierć którego był odpowiedzialny, księstwo trockie i został drugą po Jagielle osobą na Litwie. Trochę koniunkturalnie, by obłaskawić Połocczan, ochrzcił się w obrządku wschodnim i otrzymał imię Iwan. Jagiełło, który pozostał poganinem, ufa starszemu bratu bez zastrzeżeń, wtajemnicza w swoje sekretne plany, powierza trudne, poufne misje.

Misja, z którą Skirgiełło przybył na Wawel, jest bodaj najtrudniejszą ze zleconych przez wielkiego księcia. Brat ma zdobyć dla ponad 30-letniego Jagiełły rękę 11-letniej królowej Polski Jadwigi Andegaweńskiej.

Kroczącemu po śniegu wawelskiego dziedzińca Skirgielle towarzyszą Iwan Borys Olgimuntowicz, książę Holszan i wielkorządca wileński Hanko. To najlepsi, najzręczniejsi i najbardziej zaufani wysłannicy, jakich Jagiełło mógł znaleźć. Wszyscy są chrześcijanami, cóż, że obrządku prawosławnego, każdy z nich ma niemałą ogładę dworską nabytą w wielu podróżach i wielkie doświadczenie dyplomatyczne. Hanko na przykład nieraz pośredniczył w rokowaniach Jagiełły z zakonem krzyżackim.

3 posłów otacza orszak bojarów i dworzan wielkoksiążęcych. Uginają się pod ciężarem skrzynek i koszy z darami dla oblubienicy Jagiełłowej i dla możnych panów polskich.

Wspaniałe dary dla Jadwigi to nie tylko próba zjednania sympatii dziewczynki – one należą się Jadwidze jako monarchini.

Przed 3 miesiącami Andegawenówna została na Wawelu koronowana na króla Polski.

Poselstwo zmierza wśród szpalerów pomniejszych polskich dworzan do sali, w której oczekuje go siedząca na tronie królowa Jadwiga w otoczeniu najważniejszych panów i urzędników koronnych. Są wśród nich biskup krakowski Jan Radlica, kasztelan krakowski Dobiesław z Kurozwęk, młody wojewoda Spytek z Melsztyna, podskarbi koronny Dymitr z Goraja, wielkorządca Sędziwój, kasztelanowie, ludzie Kościoła, najznaczniejsi, dzierżący grody rycerze.

Jadwiga, dziewczynka nad wiek poważna i roztropna, z godnym spokojem czeka na wysłanników Jagiełły. Zna cel ich misji, ale zabiegów posłów pogańskiego księcia nie ma zamiaru traktować poważnie. Mniejsza już o to, że dla 11-letniej dziewczynki mężczyzna z okładem 30-letni wydawać się może nieledwie starcem; w rodzie Jadwigi mężczyźni umierają bardzo młodo i dla Andegawenówny litewski książę bardziej wydać się może kimś stojącym nad grobem niż u progu życia.

Królowa Polski dziewosłębów litewskich nie traktuje serio, bo czuje się żoną innego.

Przed 7 laty, w czerwcu 1378 roku, przed ołtarzem w kościele w Hainburgu na pograniczu austriacko-węgierskim stanął 8-letni Wilhelm, najstarszy syn księcia austriackiego Leopolda III, i 4-letnia Jadwiga, córka Ludwika Andegaweńskiego, króla Węgier i Polski. To był sukces Leopolda – ród Habsburgów nie mógł się równać powagą i wpływami z domem Andegawenów.

Małżeństwa dynastyczne paroletnich dzieci, małżeństwa *pro futuro*, nie są w Europie rzadkością. I rodzice, i Kościół widzą w nich raczej rodzaj zobowiązujących zaręczyn. Pełnoprawnymi małżonkami poślubione dzieci stają się dopiero po nocy poślubnej,

do której, w zgodnej opinii, zdolni są chłopcy 14-letni, dziewczęta zaś o 2 lata młodsze. Kościół w małżeństwie dzieci nie widzi prawdziwie świętego sakramentu – jego zerwanie pociąga za sobą tylko lekką pokutę.

No i wypłatę odszkodowań, niemal zawsze zapisanych w kontrakcie małżeńskim.

Ojcowie Jadwigi i Wilhelma zobowiązali się wypłacić małżonkom po 200 tys. złotych florenów. To bardzo poważne sumy.

Jadwiga traktuje swój dziecięcy ślub z wielką powagą nie tylko dlatego, że później rodzice obojga nieraz go uroczyście potwierdzali. I nie tylko z racji swej pobożności. Przed przybyciem do Polski spotykała się często z Wilhelmem, bawiła się z nim, polubiła chłopczyka i przywykła do jego towarzystwa.

Heroldowie wprowadzają posłów litewskich. Przybysze zbliżają się do tronu. Zamiast jednak, europejskim zwyczajem, przyklęknąć w geście powitania osoby królewskiej, na modłę wschodnią padają na kolana i chylą czoła ku podłodze. Jadwiga pozostaje nieporuszona.

Ale Skirgiełło i jego towarzysze poruszeni są bardzo. 11-letnia królowa w niczym nie przypomina dziecka, to raczej rozkwitająca już piękność. Jest smukła, wysoka, wyższa od litewskich książąt i bojarów. Przepiękne, regularne rysy, ciut ciemniejsza, śródziemnomorska karnacja przyciągają oczy zachwyconych mężczyzn.

Litwini uroczyście składają dary. Lśni złota bizantyjska biżuteria i ozdoby, skrzą się szlachetne kamienie. Jagiełło gra o wielką stawkę i nie oszczędzał na darach.

Jego sytuacja jako władcy jest nie do pozazdroszczenia. Wielkie Księstwo Litewskie to federacja kilkudziesięciu mniejszych księstw,

których władcy, nie bacząc na łączące ich – często bliskie – więzy pokrewieństwa, intrygują przeciw sobie, walczą ze sobą, ba, na pomoc wzywają wrogów Litwy, z Krzyżakami na czele. Przed 3 laty sam Jagiełło, przyciśnięty przez zakon, musiał zawrzeć z nim upokarzający rozejm, w którym zrzekał się części Żmudzi i obiecał rychło przyjąć chrzest. W domyśle – z rąk Krzyżaków. Sytuacja otoczonych przez wrogów Litwinów jest tak rozpaczliwa, że poważnie przemyśliwują o porzuceniu ziemi ojców i przeniesieniu całego ludu w dogodniejsze, bezpieczniejsze miejsce.

Połączenie Litwy z Polską w jednej chwili przemieniłoby Litwę ze zwierzyny łownej w łowczego. Dla Jagiełły to gra o wszystko. Gra z dodatkową nagrodą – młodziutką żoną z wielkiego zachodniego rodu, o której urodzie krążą entuzjastyczne opowieści.

Królowa ceremonialnie przyjmuje podarunki. Teraz Litwini wręczają dary najważniejszym polskim wielmożom. Z większością z nich wysłannicy Jagiełły w ciągu ostatnich 2 lat prowadzili sekretne rozmowy i wiedzą, że małopolscy panowie żywo sprzyjają pomysłowi ochrzczenia Jagiełły, ślubu z Jadwigą i przyłączenia jego Litwy do Królestwa Polskiego, ale w polityce darów i upominków nigdy za mało. Znów błyszczą złote ozdoby, mienią się cenne, rzadkie futra.

Czas na przemówienie Skirgiełły:

„Już to wielu cesarzów, królów i książąt chrześcijańskich starało się i pragnęło zawrzeć sojusz dozgonnego pokrewieństwa z wielkim książęciem Litwy, Jagiełłą Olgierdowicem. Wszakże dopiero osobie waszego królewskiego majestatu zachował Bóg wszechmogący osiągnienie tego zamiaru. Przeto ze względu na tak zbawienne zrządzenie tajnych wyroków Bożych racz Wasza Miłość Królewska przyjąć pomienionego wielkiego księcia Litwy za małżonka swojego. Co gdy pożądanym uwieńczone zostanie skutkiem,

urośnie stąd obficie chwała Boża, korzyść duszna, cześć ludzka i potęga królewska. Wielki książę Jagiełło wraz ze wszystkimi braćmi swoimi, jeszcze dotąd nieochrzczonymi, tudzież z wszystką szlachtą i ziemianami swych krajów od najwyższego do najmniejszego, chce, pragnie i życzy sobie przyjąć wiarę katolicką w św. Kościele rzymskim. Nad którym to dziełem, jak powiedziano, pracowało wielu cesarzów i książąt przeróżnych, lecz nie mogło po dziś dzień zdążyć do celu. Aż dopiero Waszej Królewskiej Miłości zachował Bóg wszechmogący tę sławę. Zaczem tym większą jawność i pewność swoich oświadczyn przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło użyć wszystkich swoich skarbów ku odzyskaniu uszczerbków państw obojga, tak Polski, jako i Litwy, jeżeli Wasza Królewska Mość oddasz mu swoją rękę. Podobnież przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło wypłacić sumę dwakroć stu tysięcy florenów, umówioną tytułem zakładu między najjaśniejszą królową węgierską, matką Waszego Królewskiego Majestatu z jednej, a książęciem rakuskim z drugiej strony. Przyrzeka też i obowiązuje się wielki książę Jagiełło odzyskać własnym kosztem i trudem wszelkie straty i uszczerbki Korony Polskiej, przez kogokolwiek oderwane i zagarnięte. Dalej przyrzeka wielki książę uwolnić wszystkich chrześcijan, w szczególności ludzi obojej płci, uprowadzonych zwyczajem wojennym z ziemi polskiej, tak iżby każdy i każda z nich mógł i mogła dokądkolwiek powrócić z Litwy. Na koniec przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło wcielić swoje litewskie i ruskie ziemie na wieczne czasy do Korony Państwa Polskiego".

Panowie małopolscy otaczający tron królowej słuchają Skirgiełły z widocznym zadowoleniem. Warunki zamęścia dyskretnie wynegocjowano już wcześniej, ale miło je usłyszeć raz jeszcze w oficjalnej mowie przed majestatem monarchini.

Jadwiga pozostaje nieporuszona. Odpowiedź ułożyła zawczasu z pomocą swych doradców, życzliwych osobie Wilhelma. Królowa poważnie oznajmia, iż będąc zaślubioną z księciem Wilhelmem, winna dochować mu wiary. Ale nawet gdyby chciała przychylić się do życzenia wielkiego księcia, nie uzyska na to zgody swej matki królowej Elżbiety, związanej dawnymi paktami z domem Habsburgów. Ślub z Jagiełłą postawiłby królową Elżbietę w sytuacji wiarołomcy. Tego zaś Jadwiga uczynić matce nie może i nie chce. Zatem – konkluduje dyplomatycznie 11-letnia monarchini – rozmowy o ewentualnym zamęściu winni litewscy posłowie prowadzić z matką, królową Elżbietą.

Jadwiga jest wielce zadowolona ze swej przebiegłej odpowiedzi. Pewna jest, że matka odprawi posłów litewskich i dotrzyma zobowiązań.

Jeszcze bardziej zadowolony jest Skirgiełło. Europejskie dwory nie doceniają litewskich elit, ich operatywności, zręczności i energii. Skirgiełło przez swych informatorów już się zwiedział, że węgierscy wielmożowie i królowa Elżbieta popadli w konflikt z jej drugim zięciem Zygmuntem Luksemburskim, zaręczonym z siostrą polskiej królowej węgierską królową Marią. Zygmunt musiał opuścić Węgry. Królowa matka Elżbieta poczuła się zwolniona ze zobowiązań wobec Habsburgów i nawet poczęła szukać nowego męża dla Marii. W tej sytuacji Elżbieta chętnie daje ucha opowieściom o wielkich korzyściach z zamęścia Jadwigi za wielkiego księcia litewskiego. Jadwiga jest samodzielną monarchinią, małżeństwo nie ujmie jej znaczenia ani powagi. Za to przyłączenie wielkiego księstwa do jej państwa to wielka gratka. A już ochrzczenie za sprawą ożenku i władcy, i licznego pogańskiego ludu tuż za granicami chrześcijańskiego świata opromieni sławą nie tylko Jadwigę, ale i cały dom Andegawenów.

Z posłuchania litewskich posłów wszyscy w wawelskiej sali są bardzo zadowoleni. Tylko Jadwiga nie wie, że sama wpadła w uszykowaną przez siebie pułapkę.

19 stycznia 1929 ▪ sobota

Uciekł i zabili go

Dochodzi godz. 18.30. W kantorze wymiany walut Salomona Korngolda przy ul. Bielańskiej 7 w Warszawie kasjer Aleksander Lect przelicza banknoty i papierowe akcje. Salomon Korngold stoi za ladą. Atmosfera jest senna. Choć Bielańska to jedno z najruchliwszych miejsc w stolicy, w którym zwykle pełno jest klientów okolicznych eleganckich sklepów i banków, to w sobotę o tej porze trudno spodziewać się kogokolwiek.

A jednak. Skromnie, wręcz ubogo ubrany młody mężczyzna podchodzi do lady i pyta właściciela, jaki jest aktualny kurs dolara. Nie czekając na odpowiedź, wyciąga z kieszeni browninga, mierzy w pierś Korngolda i krzyczy:

– Stać! Nie ruszać się z miejsca, bo palnę w łeb. Twarzą do ściany!

Napastnik lewą ręką łapie właściciela kantoru za dłoń i silnym szarpnięciem zrywa mu zegarek. Trochę dziwny to sposób rabowania kantoru walutowego, ale Salomon Korngold nie ma czasu na rozmyślania. Drzwi wejściowe znów otwierają się i do kantoru wpada drugi młody mężczyzna z rewolwerem w ręku. Tego napastnika nie interesuje obezwładniony już właściciel. Wbiega do pokoju kasowego, w którym kasjer Lect liczy gotówkę. Kasjer przytomnie odwraca się w stronę rabusia, jednocześnie zasłaniając nogawkami spodni stojącą pod biurkiem teczkę wypchaną

banknotami i akcjami wartymi w sumie ponad 30 tys. zł. Napastnik nie zauważa teczki. Jednym ruchem wysuwa szufladę biurka i pełnymi garściami pakuje znalezione w niej banknoty do bocznej kieszeni spodni. Zgarnia jeszcze kupkę złotych monet i wybiega z kantoru. W ślad za nim wypada jego wspólnik, który trzymał na muszce Korngolda.

Cały napad nie trwał nawet minuty.

Samuel Korngold wybiega za rabusiami na ulicę. Woła: „Trzymać bandytów!". W tym samym momencie nieznany mężczyzna, stojący tuż przy drzwiach kantoru, kopie go z całej siły w brzuch. Korngold pada na bruk jak ścięty. Napastnik ucieka w ślad za swymi dwoma wspólnikami.

Kasjer Lect chwilę po napadzie wybiega tylnymi drzwiami i pędzi za bandytami, wołając o pomoc. Wie co robi. Naprzeciwko kantoru jest przecież Bank Polski, obstawiony kilkoma posterunkami policji.

Ale zuchwali bandyci dobrze obmyślili swój plan. Policjanci stojący na Bielańskiej mają przykazane, by przede wszystkim strzec bezpieczeństwa Banku Polskiego. Żaden z nich nie rusza w pościg. 3 bandytów ucieka w stronę pl. Teatralnego. Kasjer Lect nie odpuszcza. Biegnie za napastnikiem, który zrabował pieniądze z szuflady kasowego biurka. Dogania go przed cukiernią Bracia Studnia i chwyta za kołnierz palta. Bandyta w biegu odwraca się i uderza kasjera kolbą rewolweru. Lect pada na zaśnieżony chodnik i woła o pomoc.

Bandyta z bronią w ręku zawraca w stronę Długiej.

Uwaga przechodniów skupia się na nim. Obaj wspólnicy złoczyńcy nieniepokojeni znikają w tłumie.

Na rogu Bielańskiej i Tłomackiego do bandyty doskakuje przechodzień, 18-letni Szlama Rozenowicz. Młodzieniec ten nie zważa, że ścigany opryszek trzyma w ręku broń. Rozenowicz usiłuje

złapać i obezwładnić złoczyńcę. Bandyta bez namysłu strzela kilka razy, niemal z przyłożenia. Jeden pocisk trafia Rozenowicza w twarz, 3 pociski w nogi. Dzielny przechodzień ciężko ranny pada na chodnik.

Strzały słyszy posterunkowy policji Marian Sobczyński, pełniący służbę na rogu Długiej i Bielańskiej. Policjant wyciąga z kabury służbowego nagana, wychodzi na środek skrzyżowania. Uciekający bandyta nie zastanawia się ani chwili – strzela w biegu do Sobczyńskiego i pędzi dalej w Długą. Biegnie chodnikiem, roztrąca licznych przechodniów.

Bandyta chybił. Sobczyński rusza w pościg środkiem jezdni, ale nie zamierza biec zbyt długo. Nie bacząc na tłum na chodniku, zwalnia i celując pomiędzy przechodniami, strzela z nagana do uciekającego. Przechodnie ze strachu padają na chodnik, odskakują pod mur. Jeden ze strzałów jest celny. Uciekający bandyta pada jak ścięty przed kamienicą nr 43 na Długiej. Posterunkowy Sobczyński nie ma zamiaru cackać się z nim – przeskakuje stertę śniegu przy krawężniku chodnika i z odległości kilku kroków strzela w plecy leżącego. Gdy bębenek nagana jest już pusty, policjant ostrożnie podchodzi do zabitego i wyrywa mu rewolwer z zaciśniętej dłoni.

Po dłuższej chwili nadbiegają jacyś 2 wojskowi. Posterunkowy Sobczyński prosi ich, by pilnowali trupa. Wokół ciała bandyty szybko zbiera się pokaźny tłum gapiów. Wśród nich są też 2 agenci policji po cywilnemu, którzy na miejsce strzelaniny dotarli dopiero teraz. Wywiadowcy policji nie dekonspirują się, udają zwykłych przechodniów.

Pilnujący zwłok wojskowi nie dają sobie rady z napierającymi gapiami. Agenci policji zwracają uwagę na 2 młodych mężczyzn biegnących w stronę zbiegowiska. Obaj energicznie przeciskają się między gapiami. Jeden z nich odwraca uwagę pilnujących zabitego

wojskowych, drugi w tym momencie schyla się i myszkuje po kieszeniach zastrzelonego bandyty. Wywiadowcy policji dają znak posterunkowemu Zapałowskiemu, który przed chwilą wbiegł w tłum wokół zabitego. Zapałowski chwyta za rękę mężczyznę, który obszukuje trupa. Zatrzymany woła: „O co chodzi! Myślałem, że to mój brat! Chciałem go tylko zobaczyć!".

Posterunkowy Zapałowski zatrzymuje także kompana mężczyzny, który obszukiwał zabitego. Ten jest zdrowo zawiany.

Gdy posterunkowy odprowadza zatrzymanych do komisariatu policji, obaj wyrywają się i rzucają do ucieczki. Jeden strzał policjanta osadza ich jednak w miejscu.

Na miejsce zastrzelenia bandyty nadbiega właściciel kantoru Salomon Korngold. W tłumie zauważa twarz mężczyzny, który kopnął go w drzwiach kantoru. Dyskretnie wskazuje go policjantom, których pojawia się coraz więcej.

Mężczyzna czuje, że jest obserwowany. Wchodzi do kamienicy przy Długiej 43, przed którą na bruku leży zastrzelony bandyta. Policjanci wpadają tam za nim i aresztują go.

Wszystkich 3 zatrzymanych policjanci przewożą dorożką do urzędu śledczego.

Przeszukujący ubranie zabitego bandyty wywiadowcy znajdują w lewej kieszeni spodni 1300 franków szwajcarskich, 35 złotych rosyjskich czerwońców, 25 dolarów amerykańskich, jednego dolara kanadyjskiego, 285 marek niemieckich, kilkanaście peset argentyńskich, korony czechosłowackie, austriackie szylingi, sporo polskich banknotów obiegowych. Łup bandyty okazał się pokaźny, wart był ponad 8 tys. zł.

Prócz zrabowanych pieniędzy policjanci znajdują przy zastrzelonym zaproszenie związku harcerzy na nazwisko Jana Kamińskiego, 5 niewypełnionych deklaracji członkowskich Klubu

Monarchistycznego, garść odezw monarchistycznych, notes z adresami najrozmaitszych firm i instytucji, 3 blankiety zamówień firmy węglowej Piotr Kulicki i S-ka, ulotki chiromantki Lothony Rhei oraz kartkę z portretem króla Władysława Jagiełły.

Niezły rebus dla śledczych.

Policjanci migiem sprawdzają, że zabity nie nazywa się Jan Kamiński i z harcerstwem nie ma nic wspólnego.

Czyżby polscy monarchiści w tak niecny sposób próbowali podreperować swe wątłe finanse? Nonsens. Cokolwiek złego by o monarchistach powiedzieć, to na pewno nie napadają z rewolwerem w ręku na kantory i nie paradują w starych łachach, z kieszeniami pełnymi monarchistycznych papierów.

A może to pracownik lub agent firmy Kulicki i S-ka? Piotr Kulicki wyjaśnia jednak, że blankiety zamówień może u niego otrzymać każdy. Wielu bezrobotnych, szukając okazji do zarobku, stara się pośredniczyć w dostawie węgla do prywatnych mieszkań.

Mnóstwo adresów firm w notatniku sugeruje, że zastrzelony bandyta próbował utrzymywać się z pośrednictwa i akwizycji.

Gdy policjanci bezskutecznie starają się rozwikłać zagadkę tożsamości zabitego, śledczy maglują zatrzymanych przy zwłokach mężczyzn. Wszyscy trzej to robotnicy z zakładów stolarskich M. i M. Szymborski, mieszczących się w pasażu Simonsa: Władysław Włostowski, Henryk Morawski i Piotr Trzepietowski. O dziwo, dwaj z nich, Włostowski i Trzepietowski, mieszkają w kamienicy przy Długiej 43, przed którą został zastrzelony bandyta. Wszyscy trzej tłumaczą się, że nic nie pamiętają, bo kilka bram dalej od miejsca zabicia nieznanego bandyty, w warsztacie przy Dzielnej pod nr. 50, wypili tego dnia kilka flaszek monopolowej, by uczcić imieniny Henryka Morawskiego.

Wszyscy trzej utrzymują też, że z napadem nie mają nic wspólnego, a zabitego bandyty nie znają.

Policjanci sprawdzają, że zastrzelony nigdy nie pracował w zakładach stolarskich M. i M. Szymborski, w których zatrudnieni są 3 podejrzani.

Na domiar wszystkiego właściciel kantoru Salomon Korngold podczas konfrontacji z zatrzymanymi w urzędzie śledczym nie rozpoznaje żadnego z nich. Nie jest pewien nawet tego, czy Trzepietowski, którego sam wskazał policji, to ten obwieś, który kopnął go w drzwiach kantoru. Zatrzymanych uczestników niebywale zuchwałego napadu nie potrafi jednoznacznie rozpoznać także dzielny kasjer Lect.

Jakby ta łamigłówka była zbyt prosta, podczas rewizji policjanci znajdują przy Włostowskim pistolet-straszak, imitujący browninga. A właśnie browningiem zastraszył pierwszy z napastników Salomona Goldkorna.

Późno w nocy śledczych ogarnia rezygnacja. Czują już, że w tej sprawie wyjaśnić cokolwiek będzie wyjątkowo trudno.

20 stycznia 1949 ▪ czwartek

Dwóch zamiast rozdwojonego

Odświętnie udekorowaną wielką salę posiedzeń Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie wypełnia tłum pisarzy, poetów, działaczy kulturalnych, dziennikarzy. Za chwilę rozpocznie się ogólnopolski zjazd literatów. Obrady otwiera w imieniu ustępującego zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich dotychczasowy prezes Jarosław Iwaszkiewicz. Od razu proponuje

skład prezydium zjazdu: Ewa Szelburg-Zarembina jako przewodnicząca, Jerzy Andrzejewski, Jan Brzechwa, Stefan Flukowski, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk. Głosowanie jest formalnością.

Skoro jest już prezydium, pora na odczytanie zza stołu prezydialnego depesz do zjazdu. „Prastary słowiański port Szczecin wywalczony krwią żołnierza polskiego i radzieckiego niech będzie bodźcem w waszej twórczości literackiej. Stop. Niech praca bezimiennych bohaterów, marynarzy, rybaków, robotników portowych i stoczniowych, budowniczych naszych osiągnięć na morzu i wybrzeżu, znajdzie wyraz w waszej twórczości. Stop. Prezydium Zarządu Głównego Ligi Morskiej".

Nie przypadkiem Szczecin jest miejscem zjazdu pisarzy, na którym komunistyczne władze zamierzają nałożyć ideologiczne wędzidła środowisku literackiemu. Wielkie imprezy kulturalne na tzw. Ziemiach Odzyskanych, tak jak i osiedlanie tam literatów (w Szczecinie eleganckie wille dostali Jerzy Andrzejewski, Witold Woroszylski, Witold Wirpsza), mają pokazać, że poniemieckie miasta zostały w pełni zintegrowane z resztą kraju.

Zjazd literatów planowany był na jesień zeszłego roku, ale termin trzeba było przesunąć, bo miesiąc temu odbył się Kongres Zjednoczeniowy Partii Robotniczych. Powstała na nim PZPR od razu zabrała się do glajchszachtowania polskiej kultury. Obrady w Szczecinie mają być pierwszym krokiem w podporządkowywaniu środowiska literackiego.

Za mikrofonem pojawia się wiceminister kultury Włodzimierz Sokorski. To on ma zaprezentować polskim literatom ich przyszłość – realizm socjalistyczny.

Sokorski zaczyna od scharakteryzowania moralnej nędzy ginącego kapitalizmu.

„Ginący kapitalizm nie jest już w stanie oddziaływać na społeczeństwo pozytywami życia, tym skwapliwiej więc wykorzystuje wszystkie elementy rozkładu, moralnego upadku, dla tym łatwiejszego ideologicznego obezwładniania drobnomieszczaństwa, inteligencji, a nawet pewnych odłamów klasy robotniczej, dla posiania w społeczeństwie nihilizmu, światopoglądowego katastrofizmu, atrofii społecznej, niewiary w człowieka, w jakiekolwiek zasady etyczne, dla apoteozowania zdrady interesów narodowych własnego kraju".

Tak jak sam kapitalizm, tak i jego sztuka moralnie się rozkłada:

„Nie mogąc przeciwstawić, idącej od zwycięstwa do zwycięstwa klasie robotniczej żadnej twórczej myśli, sztuka schyłkowego kapitalizmu usiłuje bronić się na pozycjach rozpadu moralnego, kultu podłości, zdeptania ludzkiej godności, odebrania człowiekowi nadziei na lepsze życie, zwłaszcza wydarcia mu wiary, że można ten rzekomo podły z przyrodzenia świat w jakikolwiek sposób zmienić, przetworzyć, że można osobistą tragedię mieszczucha przekształcić w zwycięstwo nowego życia".

A co z postępowymi pisarzami zachodnimi? Nie ma się co łudzić, grzmi Sokorski, choć ich twórczość staje politycznie po stronie postępu i czasami jest politycznie użyteczna, to i tak nie ma przyszłości, stanowi ona tylko etap przejściowy w walce świata pracy o twórczość prawdziwą, twórczość realizmu socjalistycznego.

Realizm socjalistyczny nie pojawi się w Polsce w kulturalnej próżni, ma on swoich, nieśmiałych, niekonsekwentnych, czasem nieświadomych antenatów, objaśnia mówca. „Chociaż Adam Mickiewicz nie był socjalistą w nowoczesnym tego słowa pojęciu, poszukiwał zawsze nowych sił w społeczeństwie i znajdował je w ludzie, więcej nawet, bo w latach 1848–1849 znajdował je w nowoczesnym proletariacie".

Sokorski przemawia już niemal pół godziny, a ciągle nie wyjaśnił, czym ten socjalistyczny realizm jest.

Wreszcie wiceminister przechodzi do rzeczy:

„Marksizm nie jest dogmatem, lecz wytyczną działania – pisał Lenin. Realizm socjalistyczny nie jest dogmatem, lecz wytyczną pojmowania własnego dzieła jako świadomego wyrazu procesów rozwojowych życia, przełożonych na język wyobrażeń artystycznych".

Z definicji tej, logicznie rzecz biorąc, nie wynika nic konkretnego, ale pisarze partyjni już wiedzą, co realizm socjalistyczny dla nich będzie oznaczał. Tydzień temu zostali wezwani na naradę do KC. Odpowiedzialny w Biurze Politycznym za kulturę Jakub Berman wyjaśnił im, czego władza oczekuje od twórców. Realizm socjalistyczny oznacza odzwierciedlanie w utworach dążeń mas ludowych, prymat treści nad ambicjami warsztatowymi twórców, walkę z kosmopolityzmem i czołobitnością wobec Zachodu.

Twórcy krytyczni, a są przecież na sali reprezentujący nurt katolicki Jerzy Zawieyski i Jerzy Turowicz, czy poeta, prozaik, tłumacz Paweł Hertz albo poeta, dramatopisarz i plastyk Artur Marya Swinarski nie mają wątpliwości, że wymóg respektowania mgławicowego realizmu socjalistycznego oznacza brutalną inwazję polityki w świat sztuki, podporządkowanie twórczości politycznym potrzebom komunistycznej władzy.

Włodzimierz Sokorski nie pozostawia złudzeń, że nastąpi to szybciej, niż można się było spodziewać:

„Należy w pierwszym rzędzie stanowczo przezwyciężyć niesłuszne przekonanie, że literatura realizmu socjalistycznego może powstać dopiero w warunkach pełnego socjalizmu".

No dobrze, ale czym konkretnie ten realizm socjalistyczny ma być?

Na koniec Sokorski wreszcie nieco uchyla rąbka tajemnicy: „Czy może odegrać pozytywną rolę w sensie społecznym i artystycznym sztuka czy powieść, w której postaciom społecznie szkodliwym nie zostanie przeciwstawiona postać pozytywna, twórcza, rosnąca w walce i pracy? Niewątpliwie nie".

„Czy zgodna jest z założeniami prawdy artystycznej, a więc z założeniami realizmu socjalistycznego, postać w sztuce czy książce, która ma zagubione pojęcie zła czy dobra, poczucie słuszności czy niesłuszności, prawdy czy kłamstwa, etyki czy postawy ideologicznej, słowem – rozdwojona psychicznie sylwetka na pograniczu bohatera pozytywnego i negatywnego?"

Nie, nie jest zgodna, odpowiada sobie Sokorski.

Wiadomo choć tyle: bohater ma być jednoznaczny, a jeśli jest on jednoznacznym szkodnikiem, to zaraz obok niego pojawić się musi jednoznaczny bohater pozytywny.

Sokorski daje do zrozumienia, że droga do realizmu socjalistycznego będzie długa i mozolna – z 600 sztuk teatralnych, nadesłanych w ciągu ostatnich 3 lat do Ministerstwa Kultury, kryteria nowej metody twórczej spełnia, nawet oceniając z taryfą ulgową, zaledwie kilka utworów. I zapowiada, że każde odstępstwo od nowego kursu w twórczości literackiej będzie przez władze wyprostowywane i naprawiane.

W przerwie obrad najmłodszy delegat na zjazd Tadeusz Borowski je obiad z Jerzym Andrzejewskim. Borowski jest już daleko od swoich opowiadań oświęcimskich, teraz to zdeklarowany, bojowy komunista, ze szczerą nienawiścią atakujący wrogów ideologii i partii. A przy tym raptus nieliczący się ze słowami. Do stolika podchodzi Sokorski:

– Nic się nie przejmujcie tym, co mówię oficjalnie, i tak lubię was czytać.

– Odpierdolcie się, towarzyszu – odpala Borowski.

Paweł Hertz wpada w kuluarach na Artura Maryę Swinarskiego.

– A czemu to pan w ciemnym ubraniu, panie Pawle?

– Bo jestem na pogrzebie literatury polskiej.

– Nie wiedziałem, że jest pan tak bliskim jej krewnym, by nosić po niej żałobę.

Wieczorem goście zjazdu udają się do nowo otwartego szczecińskiego teatru na inauguracyjną premierę komedii Szekspira *Wiele hałasu o nic*. W ostatniej chwili organizatorów zjazdu dopadł strach – uświadomili sobie, że tytuł może być odebrany jako aluzja do debat nad realizmem socjalistycznym. Któryś z organizatorów zaproponował, by w ostatniej chwili zmienić repertuar. Ale jak? Innej premiery zespół nie zdążył przygotować. Może więc chociaż zmienić tytuł Szekspirowi? Ale choć, jak groźnie zapowiedział ze zjazdowej trybuny Włodzimierz Sokorski, w okresie przejściowym przełamuje się stare i nowe, do przełamania starego Szekspirowskiego tytułu nie dochodzi.

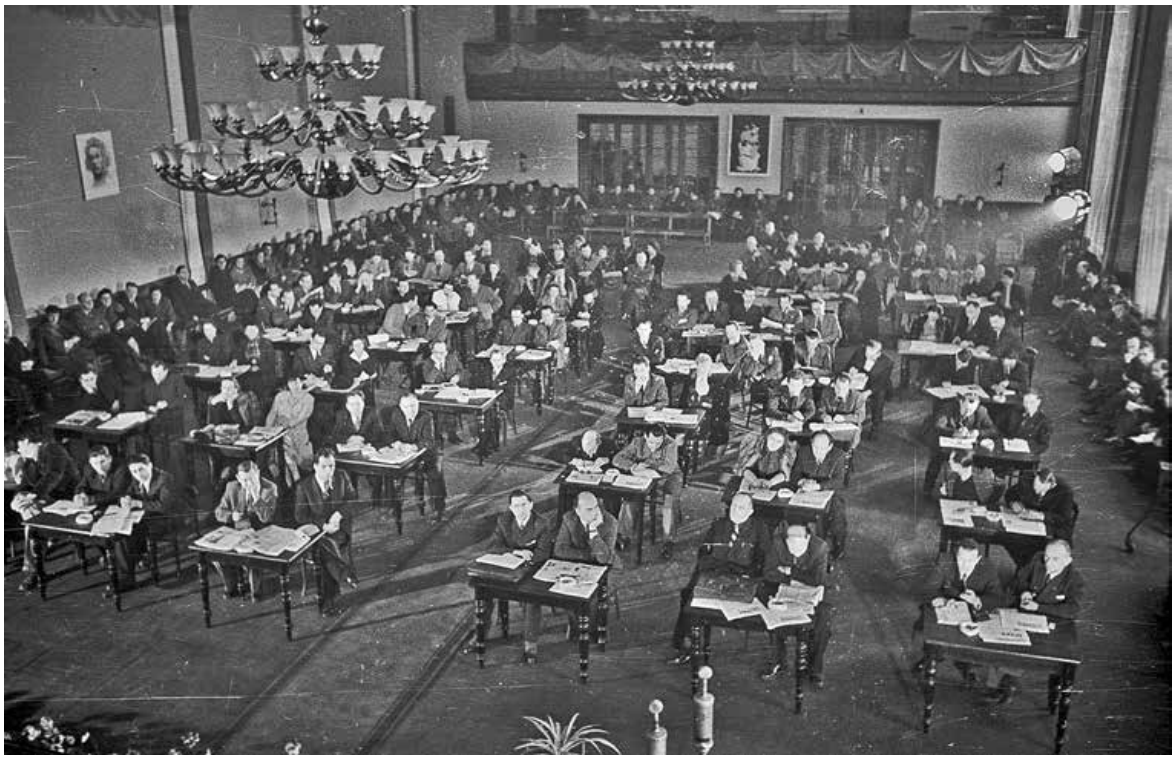

Zjazd Związku Literatów Polskich w Szczecinie

21 stycznia 1793 ▪ poniedziałek

Żądam kapelusza!

O 5.00 kamerdyner Jean-Baptiste Cléry budzi Ludwika Kapeta, byłego króla Francji. Rewolucyjne władze Francji 21 września ubiegłego roku zniosły monarchię i wtedy Ludwik XVI stał się obywatelem Kapetem. Przed 4 dniami do Ludwika, uwięzionego w gotyckiej wieży Temple dawnego klasztoru Templariuszy w St. Martin, plebejskiej, zrewoltowanej dzielnicy Paryża, przybiegł z obrad Konwentu jego obrońca Chrétien-Guillaume de Lamoignon de Malesherbes. „*Sire*, przegłosowali śmierć" – powiedział bez wstępów de Malesherbes, ongiś dwukrotnie minister Ludwika XVI.

Zdetronizowany monarcha był dużo mniej poruszony niż jego obrońca: „*Eh bien*, panie de Malesherbes, przysięgam panu w szczerości mego serca, jako człowiek, który wnet stanie przed Bogiem, że zawsze chciałem szczęścia ludu i nigdy nie wyraziłem żadnego życzenia, które by mu było przeciwne".

Wyrok Konwentu kończy wieloletnią drogę francuskiego monarchy ku przepaści. Mizernego intelektu, niewielkich talentów politycznych, chwiejnego charakteru, był Ludwik XVI raczej marionetką konserwatywnych dworzan i swej żony Marii Antoniny. Nieraz mógł zapobiec radykalizacji nastrojów w kraju i spacyfikować rodzącą się rewolucję. Niemal zawsze jednak działał chwiejnie, bez krzty wyczucia i sprytu. Po wymuszonej przeprowadzce do Paryża usiłował, przekupując deputowanych, nie dopuścić do uchwalenia konstytucji. By przywrócić władzę absolutną, szukał pomocy u wrogów Francji, u emigrantów, spiskował. Nieudolnie. Często znajdowano kompromitujące króla papiery. Kiedy próbował uciec, pochwycono go w Varennes. Przekonany o zdradzie Ludwika XVI na rzecz Austrii paryski lud uderzył na Tuileries; król z rodziną trafił w końcu do więziennej wieży Temple.

Na drugim, środkowym piętrze wieży obudzony przez Cléry'ego Ludwik XVI jak co dzień rano klęka w nocnej bieliźnie i żarliwie się modli. W ostatnich miesiącach tylko wiara podtrzymuje go na duchu. Cléry przygotowuje odzież Ludwika: frak, kamizelkę, koszulę, krawat, szare sukienne spodnie i szare jedwabne pończochy. Wkrótce zjawia się spowiednik króla, ks. Henri-Essex Edgeworth de Firmont, syn irlandzkiego pastora nawróconego na katolicyzm. Ksiądz przychodzi po cywilnemu, bez sutanny i kościelnych utensyliów. Prosi komisarzy Komuny, nieustannie pilnujących Ludwika, by zezwolili na przyniesienie wszystkiego, co niezbędne,

z pobliskiego kościoła Kapucynów. O 6.00 Edgeworth de Firmont odprawia dla króla mszę.

Poprzedniego wieczoru, podczas spotkania z żoną i dziećmi, monarcha obiecał im, że o 7.00 spotkają się ostatni raz przed egzekucją. Po porannej mszy ks. Edgeworth de Firmont przekonuje jednak Ludwika, że takie spotkanie byłoby zbyt ciężkie dla wszystkich.

Zwykle uwięziony w Temple król modlił się od 7.00 do 8.00, potem przez godzinę ubierał się z pomocą kamerdynera i ok. 9.00 wchodził na trzecie piętro, gdzie uwięzieni byli królowa, następca tronu i jego siostra, by wspólnie z rodziną zjeść śniadanie. Teraz rozmyśla w swej więziennej sali, czasem zamieni kilka zdań ze spowiednikiem.

O 9.00 do pokoju Ludwika wkracza komendant Gwardii Narodowej Antoine-Joseph Santerre z grupą delegatów Komuny, w otoczeniu 10 uzbrojonych gwardzistów. Król spostrzega, że wszyscy mają kapelusze, i natychmiast żąda, by podano mu jego własny kapelusz. Człowiek bez nakrycia głowy w otoczeniu eskorty w kapeluszach – to byłoby poniżające.

Przed wyjściem Ludwik XVI próbuje wręczyć swój testament delegatowi Komuny Jacques'owi Roux. Ten odpowiada brutalnie: „Nie jestem tu, by wykonywać twoje polecenia, lecz by cię doprowadzić na szafot". Testament zgadza się wziąć inny delegat Komuny. Król prosi go, by oddał dokument jego żonie.

Na dziedzińcu czeka zakryty powóz mera Paryża. Król wsiada wraz z ks. Edgeworth de Firmont. Miejsca obok nich zajmują oficer Gwardii Narodowej i żandarm. Drzwiczki zatrzaskują się, powóz rusza w silnej eskorcie kawalerzystów.

W czasie jazdy król prosi spowiednika o brewiarz i czyta psalmy. Nie bez trudności. Na nierównym bruku powóz trzęsie się tak

mocno, że pasażerom mocno podskakują głowy.

Wzdłuż trasy przejazdu stoją spragnione sensacji tłumy. Od ulic odgradza je gęsty szpaler gwardzistów. Władze Komuny obawiają się prób uwolnienia byłego monarchy. I rzeczywiście, na wzniesieniu obok bulwaru Bonne Nouvelle pojawia się grupa ludzi wzywająca gapiów do ratowania Ludwika XVI. To rojalista Jean baron de Batz wraz z garstką przyjaciół rozpaczliwie próbuje poderwać paryski lud. Zanim gwardziści dopadną spiskowców, de Batz z towarzyszami bezpiecznie znika w zaułkach.

Po godzinie konwój dociera na pl. Rewolucji. Wysoki drewniany szafot ustawiono na środku placu, niedaleko od postumentu obalonego pomnika dziadka dzisiejszego skazańca, króla Ludwika XV. W sporej odległości od szafotu czworobok gwardzistów powstrzymuje napierające nieprzebrane tłumy. Przestrzeń za plecami gwardzistów ze stojącą pośrodku gilotyną jest pusta.

Choć od pierwszej egzekucji za pomocą gilotyny minęło dopiero 9 miesięcy, paryski plebs, namiętnie asystujący każdej kaźni, ma już swoje upodobania i rytuały. Bywalcy wcześniej zajmują najlepsze miejsca, znajdujące się na końcu Jardin des Tuileries. W tłumie widzów jest mnóstwo kobiet i dzieci, pośród których uwijają się sprzedawcy łakoci i pamiątek; wiele z nich to miniaturki szubienicy. Gawiedź traktuje egzekucję jak widowisko teatralne. Tak było zawsze, teraz jednak najbardziej fascynującym elementem spektaklu nie są długotrwałe męki ofiar, lecz błyskawiczna śmierć. Im szybsza, tym większy budzi podziw widzów. Po zainstalowaniu na pl. Rewolucji gilotyny aktorem równie ważnym podczas egzekucji jak skazaniec stał się kat. Teraz tłumy gapiów komentują nie tylko odwagę i opanowanie ofiary, ale także biegłość oprawcy.

Kat już czeka na szafocie. Charles-Henri Sanson jak zawsze ubrany jest z wyszukaną elegancją: ciemny redingot, prążkowane spodnie,

trójgraniasty kapelusz.

Powóz z królem zatrzymuje się pod szafotem. Gdy Ludwik XVI wysiada, eskortujący go w powozie gwardzista i żandarm przekazują go Sansonowi. Ludwik bez cienia trwogi patrzy na szafot. Na żądanie kata sam zdejmuje kapelusz, frak i krawat; zostaje jedynie w koszuli i w pikowanej kamizelce ze zwykłej białej wełny. Sanson przystępuje do monarchy. Chce obciąć mu włosy z tyłu głowy, wysoko, by nie przeszkadzały ostrzu gilotyny. Król protestuje. Ks. Edgeworth de Firmont przekonuje go, by poddał się woli oprawców.

Sanson strzyże skazańcowi tył głowy. Królewskie włosy chowa do kieszeni.

To niemal zawsze najtrudniejszy moment dla skazańców – dotyk zimnego ostrza katowskich nożyczek na karku potrafi załamać najtwardszych z nich. Ale król poddaje się tej przerażającej i upokarzającej ceremonii z pełnym rezygnacji spokojem. Protestuje jednak przeciw wiązaniu mu rąk na plecach. Edgeworth de Firmont znów przekonuje go, by poddał się katu: „*Sire*, w tej nowej zniewadze dostrzegam tylko ostatni rys podobieństwa między Waszą Królewską Mością i Bogiem, który będzie Waszą nagrodą". Ludwik odpowiada, że wypije ów kielich aż do dna.

Król wstępuje na szafot. Towarzyszą mu 2 pomocnicy kata – jednym z nich jest jego najstarszy syn Gabriel – i adiutant generała Gwardii Narodowej, dowodzącego czworobokiem chroniącej szafot piechoty. Dobosze bębnią z całych sił. Na szafocie skazaniec skręca nieco w lewo, zatrzymuje się i przez dłuższą chwilę przypatruje się tłumom. Ma mocno zaczerwienioną twarz. Wykonuje głową gest, jakby chciał coś powiedzieć. Dobosze cichną, ale w tłumie rozlegają się okrzyki, by kat jak najszybciej przystąpił do dzieła. Adiutant dowodzącego na placu generała Gwardii daje doboszom znak, by

uderzyli w bębny. Ludwik XVI drepce wokół gilotyny i mówi donośnym, spokojnym głosem: „Umieram niewinny wszystkich zbrodni, które mi zarzucano. Wybaczam sprawcom mej śmierci i proszę Boga, by krew, którą rozlejecie, nie spadła nigdy na Francję". Werble zagłuszają jego słowa. 2 pomocnicy kata rzucają się do króla i błyskawicznie przywiązują do stojącej pionowo deski. Potem przechylają deskę do pozycji poziomej i wsuwają pod nóż gilotyny. Głowę króla unieruchamia teraz niewielki półkolisty uchwyt zwany lunetą. Jeden z pomocników chwyta Ludwika XVI za resztkę włosów i przygina jego głowę ku stojącemu pod nią niewielkiemu wiklinowemu koszowi. Sanson zwalnia ostrze gilotyny.

Jest 10.22.

Sanson wyjmuje z kosza głowę monarchy i trzymając ją za włosy, pokazuje tłumom.

Werble cichną. Po chwili zrywają się okrzyki: „Niech żyje Naród!". Najgłośniej krzyczą kawalerzyści, którzy eskortowali Ludwika XVI na miejsce kaźni. Zdejmują z głów hełmy i w geście triumfu podnoszą je zatknięte na ostrzach szabel. Tłum rozrywa kordon gwardzistów i pędzi w stronę szafotu. Mnóstwo osób macza we krwi monarchy, która obficie zalała szafot, chusteczki, strzępy papieru, nawet rękawy i poły surdutów.

W tym czasie pomocnicy kata szybko odwiązują ciało i wrzucają je do drewnianej trumny bez wieka. Sanson kładzie głowę między nogami króla. Oddział żandarmów eskortuje wóz z koszem ze zwłokami na ulicę Anjou-Saint-Honoré, na tamtejszy cmentarz parafii Madeleine. Pod nadzorem 2 delegatów Komuny robotnicy wsypują do trumny palone wapno i pośpiesznie zakopują ją. Miejsca pochówku nie oznaczają.

Dekapitacja Ludwika XVI

22 stycznia 1905 ▪ niedziela

Przyszedł lud do cara

Tej nocy w mieszkaniu robotnika Zakładów Putiłowskich Smirnowa w Petersburgu śpi kilkunastu gości. To pop Gieorgij Gapon i aktywiści kierowanego przez niego robotniczego ruchu Stowarzyszenie Rosyjskich Robotników Fabrycznych Miasta Petersburga. Gdy robotnicy dowiedzieli się, że Gapona poszukuje policja, przebrali go w kobiecy strój i przyprowadzili na nocleg do Smirnowa.

Po śniadaniu Gapon wraz z grupą robotników idzie do siedziby narewskiego oddziału Stowarzyszenia. W niedużym pomieszczeniu ścisk jest ogromny. Gapon pyta zebranych, czy żaden z nich nie ma broni. Robotnicy zapewniają, że nie. Pop odpowiada: „Ano to i dobrze, nieuzbrojeni pójdziemy do naszego cara". Potem dodaje: „Jeżeli car nie spełni naszej prośby, to znaczy, że nie ma u nas cara".

Tego ranka przed siedzibami dzielnicowych oddziałów Stowarzyszenia w Petersburgu zbierają się tysiące robotników. Wszędzie panuje nastrój podniecenia, nawet egzaltacji. Setki mężczyzn klęczą w śniegu, modlą się.

Przed oddziałem wasylewskim lokalni przywódcy ruchu przemawiają do zebranych: „Słuchajcie tylko nas. Być może idziemy na spotkanie śmierci. Matki i żony, nie odradzajcie marszu waszym synom i mężom, i braciom". Jakieś kobiety zaczynają rozdawać opaski z prawosławnym krzyżem. W robotników wstępuje otucha. Powtarzają: „Nie może być, żeby nas nie przyjął".

Nawzajem wypytują się, czy aby na pewno nikt nie wziął ze sobą choćby noża. Wszyscy pocieszają się, że bezbronnych władza przecież nie skrzywdzi: „Żołnierze to nasi bracia, nie będą strzelać".

O 10.00 pochody robotników ruszają sprzed oddziałów Stowarzyszenia. Zmierzają przed Pałac Zimowy. W pochodzie oddziału newskiego, najliczniejszego w organizacji Gapona, maszeruje blisko 10 tys. ludzi. Robotnicy niosą cerkiewne chorągwie, ikony i portrety cara.

Gieorgij Gapon, kapelan więzienia przejściowego w Petersburgu, przed 2 laty zdecydował się rozpocząć działalność społeczną wśród petersburskich robotników. Miał ambicję stworzenia legalnej, akceptowanej przez władze organizacji starającej się oświecić robotników i ulżyć ich doli, ale niemającej nic wspólnego z agitacją socjalistyczną. W listopadzie 1903 roku przedstawił administracji

carskiej statut Stowarzyszenia Rosyjskich Robotników Fabrycznych Miasta Petersburga, który minister spraw wewnętrznych Plehwe zatwierdził. W maju zeszłego roku Gapon uroczyście otworzył pierwszy oddział Stowarzyszenia za rogatką narewską. Otwarcie każdego z kolejnych oddziałów uświetniał komendant petersburskiego garnizonu gen. Fułłon. Gapon zręcznie wykorzystywał autorytet generała. Gdy na zebraniach zjawiali się umundurowani policjanci, grzecznie wypraszał ich, powołując się na patronat Fułłona. Gdy zaś rozpoznano jakiegoś tajnego agenta ochrany, Gapon rozkazywał wyrzucić go na ulicę.

Jesienią zeszłego roku Gapon zaczął zakładać kółka dla kobiet. Jego autorytet wśród petersburskich robotników był ogromny. W Stowarzyszeniu działało już 8 tys. członków płacących składki.

Ale wewnątrz organizacji od wielu miesięcy narastało napięcie. Wojna rosyjsko-japońska skompromitowała nieudolne carskie władze. W Rosji coraz powszechniej żądano reform politycznych. Najbliżsi współpracownicy Gapona domagali się, by Stowarzyszenie przestało iść na pasku władz, by śmielej występowało o prawa robotników i demokratyczne swobody. Gapon zręcznie te żądania zbywał.

Przed 2 tygodniami załogę wielkich Zakładów Putiłowskich zelektryzowała wiadomość o wyrzuceniu z pracy 4 robotników. Gapon, który był tam bardzo popularny, musiał więc zareagować. Jego interwencje u dyrektora fabryki, potem u gen. Fułłona, spełzły na niczym. Oddział putiłowski Stowarzyszenia ogłosił wówczas, że jeśli 4 wyrzuconych nie zostanie przyjętych z powrotem do pracy, fabryka zastrajkuje. Dyrekcja żądania odrzuciła i przed 4 dniami robotnicy Zakładów Putiłowskich zatrzymali maszyny.

Ruszyła lawina. Przed dwoma dniami w Petersburgu strajkowało już 130 tys. robotników z 382 fabryk. Żądali 8-godzinnego dnia

pracy, podwyżki płac, prawa do niezależnych komisji robotniczych. Przerażony Gapon, czując, że sytuacja wymyka mu się z rąk, rzucił hasło przedstawienia carowi petycji od robotników Petersburga. Wielkie pokojowe pochody nieuzbrojonych robotników mają spotkać się na placu przed Pałacem Zimowym, a sam Gapon w szatach liturgicznych osobiście wręczy list władcy.

Pomysł bardzo się strajkującym spodobał.

Przedwczoraj Gapon z pomocą kilku współpracowników pośpiesznie napisał tekst petycji. Zaczyna się od przedstawienia niedoli robotników i usprawiedliwienia strajku: „My, robotnicy, mieszkańcy Sankt Petersburga, przybyliśmy do Waszej Wysokości. Jesteśmy nieszczęśliwymi niewolnikami, przygniecionymi ciężarem despotyzmu i tyranii. Nasza cierpliwość wyczerpała się. Zaprzestaliśmy pracy i błagaliśmy naszych panów, by dali nam tylko to, bez czego życie jest torturą. Ale tego nam odmówiono". Petycja zawiera żądania amnestii, wolności obywatelskich, uczciwych płac, reformy rolnej, równych i powszechnych wyborów do Zgromadzenia Konstytucyjnego.

Kończy się błagalnym wezwaniem: „Panie, nie odmawiaj pomocy swemu ludowi! Zburz mur, który oddziela Cię od Twojego ludu! Rozkaż i obiecaj, że nasze prośby zostaną wysłuchane, a uczynisz Rosję szczęśliwą; jeśli nie, jesteśmy gotowi umrzeć tak, jak tu stoimy. Mamy tylko dwie drogi: wolność i szczęście albo grób".

Idący w stronę Pałacu Zimowego robotnicy nie wiedzą, że wczoraj car wyjechał z Petersburga, zaś do miasta pośpiesznie ściągnięto silne posiłki wojskowe. Piechocie wydano dodatkowy zapas ostrej amunicji.

W południe kordon wojska przegradza drogę pochodowi robotników z narewskiego oddziału Stowarzyszenia. Demonstranci nie reagują na wezwania do rozejścia się. Żołnierze oddają 3 salwy

do tłumu, potem strzelają do uciekających. Na śniegu pozostaje kilkadziesiąt zakrwawionych osób.

Robotników idących z oddziału newskiego wojsko zatrzymuje koło szlisselburskiej jednostki straży pożarnej. Sołdaci oddają 3 salwy w powietrze, a potem w tłum wjeżdżają Kozacy. Płazują. Robotnicy rozpraszają się. Ofiar na szczęście nie ma.

Dwa inne pochody zwolenników Gapona idą w stronę mostu Troickiego. O 12.30 szarżują na nie sotnie kozackie. Część demonstrantów rozbiega się, ale wielotysięczny potok ludzi tuż przed godz. 13.00 dociera do pl. Troickiego. Na placu stoi długi kordon piechoty w zimowych płaszczach i futrzanych czapach. Bez słowa ostrzeżenia żołnierze oddają 3 salwy. Śnieg barwi się na czerwono. Znów szarżują Kozacy, którzy teraz tną na ostro; dobijają rannych, masakrują uciekających.

Na Wyspie Wasilewskiej Kozacy szarżują na robotników, piechota strzela. Pada kilkudziesięciu zabitych i rannych. Dziesiątki tysięcy robotników ogarnia wściekłość i żądza rewanżu. Wołają o broń. Ale broni nie ma. Na żądanie Gapona nie zabrali ze sobą nawet noży.

Gdy cywile wynoszą spod kul zabitych, tłumy nieruchomieją przy akompaniamencie okrzyków: „Zdjąć czapki, on zginął za wszystkich!". Na Wyspie Wasilewskiej robotnicy wznoszą kilka barykad i wywieszają czerwone flagi.

Ok. 13.30 niektóre z pochodów docierają jednak na plac przed Pałacem Zimowym. Jest tu też Gapon w asyście 2 duchownych. O godz. 14.00 kilkudziesięciotysięczny tłum na pl. Pałacowym wznosi okrzyki: „Mordercy!", „Precz z samodzierżawiem!". Żołnierze ładują broń. Robotnicy stoją jednak nieporuszeni. Szarżujący Kozacy nie są w stanie ich rozpędzić. Wojsko strzela salwami z odległości kilkudziesięciu kroków. Przed pierwszą salwą Gapon, tak jak wielu

otaczających go robotników, rzuca się na ziemię. Wokół padają setki zabitych i rannych. Gdy strzały milkną, robotnicy ukradkiem wyprowadzają Gapona w zaułki, gubią pościg policjantów. Agenci ochrany aresztują jednego z towarzyszących mu popów przekonani, że schwytali przywódcę Stowarzyszenia. Drugi z duchownych jest ciężko ranny. Na pl. Pałacowym leży niemal 200 zabitych i prawie 1000 rannych.

O 16.00 tłumy zszokowanych robotników zbierają się w rozmaitych miejscach Petersburga. Kozacy szarżują, ale nie strzelają. Na zakrwawionym śniegu pl. Pałacowego polowe kuchnie wydają obiad dla żołnierzy.

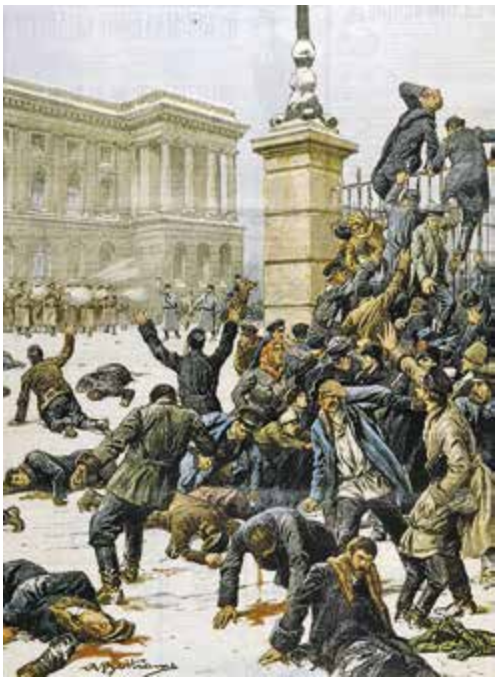

Tłumienie demonstracji przed Pałacem Zimowym

23 stycznia 1863 ▪ piątek

Stolicy nie będzie!

Kart nie rozdał kierujący radykalną patriotyczną konspiracją Komitet Centralny Narodowy, lecz z carskiej łaski naczelnik rządu Królestwa Polskiego hrabia Aleksander Wielopolski. Chcąc rozbić szykującą powstanie organizację „Czerwonych", jesienią 1862 roku ogłosił rychłą brankę do moskiewskiej armii. Zagarnąć miano – wedle zestawianych przez policję list: 8 tys. niepewnych politycznie Polaków. Zaskoczeni, nieprzygotowani na taki bieg wydarzeń konspiratorzy zdecydowali się odpowiedzieć wybuchem zaimprowizowanego powstania.

Władze rosyjskie w najściślejszej tajemnicy wyznaczyły brankę w Warszawie na noc z 14 na 15 stycznia 1863 roku. „Czerwoni" spodziewali się jej później, ale już od wieczora 12 stycznia zagrożeni warszawiacy małymi grupami uciekali do Puszczy Kampinoskiej i do lasów w okolicach Serocka. W dniu branki Komitet Centralny Narodowy rozesłał do spiskowców w terenie zawiadomienia o wybuchu powstania o północy z 22 na 23 stycznia. Teoretycznie w konspiracji zaprzysiężono około 25 tys. ludzi, ale w pośpiechu zmobilizować udało się tylko kilkanaście tysięcy. Insurgenci nie są przeszkoleni wojskowo, nie mają broni. Znacznej części powstańców starczyć muszą kosy, toporki, pałki i kije.

Carskie wojska w Królestwie tymczasem liczą niemal 100 tys. żołnierzy, mają 176 dział, a wspierane są przez liczne załogi forteczne, oddziały żandarmerii, straży granicznej, komend inwalidzkich.

Konspiracja „Czerwonych", całkiem do walki nieprzygotowana, postawiła sobie ambitne cele. Na powstańczą stolicę zaplanowano zdobyć Płock. Prócz tego w planie ogólnym powstania przewidziano zdobycie za wszelką cenę Siedlec, Łukowa, Międzyrzecza i Białej, czyli opanowanie szosy brzeskiej, a tym samym odcięcie Warszawy i Płocka od Rosji. A w dodatku

powstańczy planiści zakładają zaopatrzenie powstańców w sprzęt wojskowy ze składów znajdujących się w zdobytych rosyjskich garnizonach.

Uciekinierzy przed branką w Warszawie, marnie odziani, bez broni, bez żywności, mieli dużo szczęścia. Zima była tego roku wyjątkowo ciepła. W marnej kondycji, ale jednak dotrwali w lasach do popołudnia 22 stycznia.

Choć z miast wyszły tysiące zagrożonych branką, choć wiedzą o tym dziesiątki tysięcy członków ich rodzin, choć konspiracyjni kurierzy telepią się po całym zaborze z tysiącami rozkazów o powstaniu, nikt nie zdradza zaborcy tajemnic insurekcji.

Józef Kajetan Janowski, od ostatnich dni grudnia 1862 członek KCN, 20 stycznia wieczorem poszedł z żoną do matki. Zastał tam już swego brata Władysława. Obaj powiadomili matkę, że nagle z ważnych powodów ruszają w drogę. Choć o udziale w konspiracji jej nie opowiadali, nie była zaskoczona. Z kantorka wyjęła pudełeczko: „Dzieci moje, przeczuwałam od dawna, że będziemy musieli się rozstać, że wy będziecie musieli iść za głosem obowiązku i sumienia, tam gdzie was Ojczyzna powoła. Ze ślubnych pierścionków dziadków waszych kazałam zrobić krzyżyki, które niech was strzegą i wspomagają w pracach waszych".

Wczoraj o 17.00 Józef Kajetan Janowski wraz żoną i z przywódcami konspiracji Awejdem, Majkowskim, Mikoszewskim i braćmi Kesslerami wyjechali pociągiem do Kutna, by tam czekać na zdobycie Płocka. W wyzwolonym mieście mają niezwłocznie ujawnić się jako przedstawiciele Rządu Narodowego i wydać proklamacje powstańcze.

Atakiem na przyszłą stolicę powstańczej Polski dowodzi Konrad Błaszczyński-Bończa. Dzięki energicznym zabiegom Edwarda Rolskiego, niegdyś członka KCN, teraz konspiracyjnego komisarza

w Płockiem, miasto otoczyło wczoraj wieczorem kilka grup powstańczych. Z zewnątrz uderzyć ma 6 oddziałów. Siódmy, pod wodzą obywatela ziemskiego Kowalewskiego, stanie u rogatki bielskiej jako rezerwa. W sumie siły Bończy liczą 1000 ludzi, choć w planach mowa była o 14 tys.

Zdobycie przyszłej powstańczej stolicy w Płocku wesprzeć miały 2 duże oddziały insurgentów z Warszawy. Od Kampinosu maszeruje kolumna kosynierów. Po przejściu Wisły dowództwo nad nią objął Aleksander Rogaliński. Pod Ciołkowem, zaledwie 12 km od Płocka, kolumnie Rogalińskiego zastąpiła drogę kompania pułku muromskiego, wysłana z Płocka na zwiady. Komendant carskiego garnizonu w Płocku gen. Mengen polecił dowódcy tej kompanii płk. Kozlaninowowi zgarnianie wszystkich niedoszłych powstańców żywcem. Płk Kozlaninow zabronił zatem strzelać do warszawiaków. Podwładnym Rogalińskiego tylko tego było trzeba. Ruszyli do walki wręcz i kosami wycięli Rosjan w pień. Płk. Kozlaninowa zarąbali także.

Tyle że ani ranny w bitwie Rogaliński, ani członek Komitetu Centralnego Narodowego Zygmunt Padlewski, który zjawił się pod Ciołkowem już po walce, nie zebrali rozproszonych po bitwie kosynierów i nie poprowadzili ich na Płock.

Drugą kolumnę warszawiaków, maszerującą na Płock spod Serocka, carska jazda rozpędziła niedaleko Nasielska.

Płock musi się wybić na powstańczą stołeczność bez wsparcia Warszawy.

Gen. Mengen po południu dowiedział się, że wysłany przezeń w teren silny zwiad został pod Ciołkowem wycięty w pień przez maszerujący od Warszawy oddział zbiegów przed branką. O 17.00 Mengen zarządził w Płocku godzinę policyjną: nie wolno palić światła w domach i obejściach, wszelkie bramy i drzwi trzeba

zamknąć. Za to na ulicach nie wolno poruszać się bez latarki. Żołnierze chodzą po domach i aresztują, bez rozkazu, obywateli co bardziej znanych z patriotycznych poglądów.

Chmury stoją wyjątkowo nisko, jest ciemno choć oko wykol. O 21.00 policjant Munkierski zauważa na dziedzińcu pałacu pobiskupiego, w którym mieścił się trybunał cywilny, sporą grupę mężczyzn bez obowiązkowych latarek. W ciemnościach przybliża się i podsłuchuje ich ciche rozmowy: generalny szturm powstańców zacznie się o północy. Natychmiast donosi o tym gen. Mengenowi. Carski komendant ma w mieście pod bronią zaledwie 400 żołnierzy, ale jest dowódcą zdecydowanym i nieustępliwym.

Wysłani przezeń sołdaci w egipskich ciemnościach, po cichu, niezauważeni, dochodzą do pałacu i aresztują spiskowców.

Chwilę później zrywa się potężna ulewa. Mija północ, patrole co i rusz aresztują przechodniów bez latarek. Wielu z zatrzymanych ma broń. Zgodnie z planem o 1.00 bije kościelny dzwon. Ale spiskowcy, przerażeni aresztowaniami i godziną policyjną, nie pojawiają się na ulicach. Po kwadransie biją dzwony w innych kościołach i na mieście wreszcie zaczyna się ruch. Mężczyźni biegają, pukają do bram, krzyczą: „Panowie, do broni! Do broni!".

Głos dzwonów, mimo ulewy, niesie się daleko i Bończa, czekający na wieści o walkach o Płock pod miastem, na drodze Dobrzyńskiej, sam jeden na białym koniu rusza, by się rozeznać w sytuacji. Wjeżdża do centrum i nagle pojawia się na placu przed odwachem. W ciemnościach rozpaczliwie miota się na tym białym koniu, aż wreszcie zjawia się konspiracyjny komendant Płocka Marian Zegrzda z garścią sprzysiężonych, głównie kleryków miejscowego seminarium. Powstańcy ruszają pod ratusz. Wtem z domu naprzeciwko odwachu ktoś strzela z dubeltówki i zabija

wartownika. Z odwachu wybiega rosyjska straż pod dowództwem płk. Poźniaka i otwiera ogień do powstańców.

W mroku wszystkie strzały chybiają. Ktoś odpala rakietę, która sypiąc skrami, wzlatuje i wybucha. Insurgenci, nieotrzaskani z ogniem, mimo wysiłków Bończy, by utrzymać porządek, rzucają się do ucieczki.

Bończa biegnie za nimi, w ciemnościach zbiera uciekinierów, czeka na wsparcie innych oddziałów. Ale silna grupa z Wyszogrodu, do której jej dowódca okręgowy Przybyszewski w ogóle nie dotarł, bez walki błąka się po nocy nad Wisłą. Powstańcy gubią się, dezerterują. Rano z oddziału zostaje już tylko czterech ludzi.

Partia powstańców, idąca od Raciąża, dochodzi do Bielska i niespodzianie, bez walki, cofa się. Grupę z Dobrzynia nad Wisłą spotykają pod Sikorzem Kozacy i rozpędzają. Partia z Soczewki zastaje most na Wiśle rozebrany i do Płocka się nie dostaje.

Cała nadzieja w oddziale Kowalewskiego, czekającym na podwodach za płocką rogatką Bielską. Na nieszczęście jedna z rakiet ciągle wystrzeliwanych przez Poźniaka zbacza z toru i przypadkowo spada pomiędzy szeregi Kowalewskiego. Powstańcy wpadają w popłoch i rozbiegają się we wszystkie strony. Gdy nad ranem po ciemku i ulewie energiczny Kowalewski zbiera wreszcie część ludzi, wpada na niego silny zwiad rosyjski mjr. Rodionowa. Sołdaci chwytają większość insurgentów, w tym i Kowalewskiego.

Rosjanie rozpalają wielkie ogniska na placach i ulicach. Z miasta nie ucieknie teraz nawet mysz. O świcie sołdaci wyłamują drzwi do domów. Zaczynają się areszty, rewizje. W klasztorze Reformatów Rosjanie odkrywają ukrytych 36 powstańców. Po obfitych śladach krwi odszukują ciężko rannego, niedoszłego komendanta powstańczej stolicy Zegrzdę, ale ten w ostatniej chwili strzela sobie

w skroń. Aż do popołudnia żołdacy biją kolbami wszystkich przechodniów. Miasto zamiera.

Nie udają się nocne ataki na Płońsk, Wysokie Mazowieckie, Mężenin, a co ważniejsze – na garnizony wzdłuż traktu brzeskiego. Najbliższy sukcesu jest oddział ks. Stanisława Brzóski atakujący Łuków. Zdobywa miasto, a w nim sporo broni i amunicji, ale rankiem musi się wycofać.

Świtaniem Janowski i inni delegaci KC, którzy o północy dotarli koleją do Kutna, przenoszą się z tamtejszego zajazdu do domu lokalnego dowódcy „Czerwonych". Powoli dociera do nich prawda o – jak mówi się już w konspiracji – „nocy strasznej". Zaatakowano raptem 17 ze 140 carskich garnizonów w Królestwie. Nigdzie nie odniesiono sukcesu. W 4 spośród 8 województw nikt zbrojnie nie wystąpił. Ale Janowski ducha nie traci. Powstańczej stolicy w Płocku nie będzie? Za parę dni zaatakujemy i zdobędziemy Kutno. Powstanie musi trwać.

Drzeworyt *Powstańcy ze starostwa kaliskiego opanowują miasto Kazimierz*

24 stycznia 41 n.e. ▪

Bucik i but

Mrok okrywa jeszcze Rzym, gdy wysoki oficer gwardii pretoriańskiej, trybun Kasjusz Cherea, przywdziewa swój rynsztunek. O pierwszym brzasku Cherea zjawia się w pałacu cesarza Gajusza Juliusza Cezara Germanikusa, powszechnie zwanego Kaligulą, Bucikiem. Cesarz przydomek otrzymał od nazwy żołnierskich butów, których pomniejszone, dziecięce wersje nosił w młodości. Kasjusz Cherea czeka na cesarza, by ten przekazał mu hasło dnia. Zgodnie ze zwyczajem, codziennie o świcie u władcy melduje się jeden z dowódców pretorianów, by otrzymać hasło, które następnie obowiązany jest przekazać niższym oficerom. Dla Kasjusza Cherei ten zaszczytny obowiązek nieodmiennie jest źródłem upokorzeń. Cherea, atletycznie zbudowany, niemłody już oficer, jest człowiekiem twardym i odważnym do szaleństwa. Ale obdarzony jest cieniutkim, piskliwym głosem, jako żywo przypominającym głos eunuchów. Dla Kaliguli to pretekst do niewybrednych żartów. Zawsze wtedy gdy Cherea pełnił wartę, cesarz podawał hasła w rodzaju „Priap" czy „Wenus", a żołnierze, słuchając dowódcy przekazującego im te hasła piskliwym głosikiem, ryczeli ze śmiechu.

Ale dziś cesarz nieskory jest do upokarzania trybuna.

Kaligula śpiesznie wychodzi do pobliskiego amfiteatru zbitego z bali drewna. Za chwilę zaczyna się trzeci, ostatni dzień Igrzysk Palatyńskich. Ponieważ na jego polecenie nie wyznaczono tym razem osobnych miejsc dla senatorów i ekwitów, wszyscy przyszli jeszcze przed świtem. Na trybunach kłębi się tłum. Kaligula z rozbawieniem patrzy na senatorów przepychających się z plebsem

i niewolnikami. Żołnierze gwardii germańskiej tworzą w ciżbie szpaler dla cesarza. Kaligula schodzi na scenę amfiteatru i składa ofiarę. Krew zarzynanego zwierzęcia ofiarnego pada na togę senatora Asprenasa. Cesarz wybucha perlistym śmiechem i wraca do swej loży na trybunach.

Słudzy rozrzucają pośród tłumów owoce i wypuszczają z klatek przepiórki i egzotyczne ptaki. Cesarz znów śmieje się do rozpuku, obserwując, jak widzowie podskakują, by schwycić ptactwo, okładają się kułakami i wyrywają sobie z rąk złapane przepiórki.

Wreszcie czas na przedstawienie. Aktorzy odtwarzają dwie sceny pantomimiczne. W pierwszej zostaje ukrzyżowany przywódca bandy rozbójników, druga przedstawia tragedię Kinyrasa, zabijającego się wraz ze swoją córką Myrrą. Słudzy dyskretnie leją pod krzyż z wiszącym na nim złoczyńcą i pod Kinyrasa świeżą krew.

Widzowie są zachwyceni spektaklem. Cesarz zastanawia się, czy czasem, jak wczoraj i przedwczoraj, nie zrobić sobie przerwy na kąpiel i posiłek. Pozostający cały czas w najbliższym otoczeniu Kaliguli Kasjusz Cherea wychodzi i zmierza do jednego z dwóch wyjść z amfiteatru – prowadzącego do krużganka, którym można wchodzić i wychodzić, nie stykając się z tłumem widzów. Trybun wymienia z kilkoma mężczyznami spojrzenia i wszyscy rozstawiają się co parę kroków u wyjścia. Cherea czeka na cesarza Kaligulę, by go zabić.

Zgładzenie cesarza planuje wielu senatorów, w tym wpływowy Waleriusz Azjatyk, właściciel słynnych w Rzymie ogrodów Lukullusa, najbardziej wpływowy człowiek z otoczenia Kaliguli wyzwoleniec Kallist oraz 2 prefektów pretorium, dowodzących największą i najważniejszą siłą zbrojną w Rzymie – gwardią

pretoriańską. To już czwarty, za panowania Kaliguli, spisek na jego życie.

Gdy przed 4 laty, po śmierci Tyberiusza, 25-letni Kaligula został obwołany cesarzem, powszechne były nadzieje na długi czas dobrych, sprawiedliwych rządów. Zaczął obiecująco, zaskarbiając sobie życzliwość senatu i sympatię ludu. Po paru miesiącach ciężko zachorował. Gdy ozdrowiał, zamienił się w krwiożerczego potwora. Rządził despotycznie, wznowił zaniechane już procesy o obrazę majestatu, skazał na śmierć wielu wybitnych Rzymian, w tym prefekta pretorianów Makrona, któremu zawdzięczał władzę, dalej adoptowanego brata Tyberiusza Gemellusa i swego kuzyna Ptolemeusza, króla Mauretanii. Roztrwonił skarb. Zwoływał wielkie wyprawy wojenne i odwoływał przed pierwszą bitwą. Sypiał z własnymi siostrami i utrzymywał domy publiczne, skrupulatnie doglądając ich i egzekwując zyski. Ogłosił się żywym bogiem, a swemu ulubionemu koniowi Incitatusowi zbudował dom wyposażony w stosowne meble i wierną służbę, podającą siano na złotych półmiskach.

Konspiracyjne debaty senatorów o konieczności usunięcia potwora skończyły się, gdy spiskowcy wciągnęli w swe szeregi wyższych oficerów gwardii – Papiniusza i Kasjusza Chereę. To właśnie poniżany przez Kaligulę Cherea narzucił wahającym się spiskowcom termin zamachu w trzeci dzień igrzysk.

Dochodzi już 9.00, a cesarz nie ma zamiaru opuścić amfiteatru. Zdenerwowany Cherea zmienia plan: chce wrócić i znienacka, na oczach tysięcy widzów, zarąbać Kaligulę. Nie zważa na to, że chwilę później nie odstępująca Kaliguli na krok gwardia germańska rozsiekałaby go na strzępy. Wtem podbiega wtajemniczony umyślny i daje znać, że jeden ze spiskowców nakłonił cesarza do zażycia kąpieli. Kaligula wychodzi przed amfiteatr. Poprzedzają go

jego stryj Klaudiusz, szwagier Marek Winicjusz i Waleriusz Azjatyk. Kaligula nie dostrzega, że za jego plecami nie ma ochrony gwardii germańskiej, zatrzymanej na chwilę w amfiteatrze przez wciągniętego do spisku dowódcę.

Cesarz wchodzi na dziedziniec pałacu. Jego świta zmierza w stronę grupy niewolników czekających, by zająć się znużonymi rozrywką oficjelami. Kaligula samotnie skręca w stronę pałacowej łaźni. Chce zobaczyć przybyłych z Azji młodziutkich aktorów. Gdy rusza w stronę łaźni, drogę zastępuje mu Kasjusz Cherea i zadaje mieczem potężny cios między bark a szyję. Ostrze zatrzymuje się na obojczyku. Kaligula żyje, ale w szoku nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Jęczy tylko i rzuca się do ucieczki. Drogę zabiega mu inny spiskowiec i uderzeniem miecza powala na kolana. Pozostali spiskowcy dopadają cesarza i krzycząc przeraźliwie, dźgają go mieczami.

Trup Kaliguli leży cały we krwi i pyle. Zziajani zamachowcy uciekają do miasta. O zbrodni rychło dowiadują się Germanie z gwardii. Żądni zemsty, przebiegają komnaty pałacu w poszukiwaniu morderców. Zabijają napotkanego tam Asprenasa, tego samego, któremu krew ofiarna zbryzgała rano togę, i innych notabli. Wreszcie otaczają amfiteatr i szykują się do rzezi tysięcy widzów. Sytuację ratuje jeden z nich, Ewarestus Aruncjusz, z zawodu herold ogłaszający na mieście sprzedaż towarów. Potężnym głosem przekrzykuje wrzawę. Oznajmia śmierć cesarza i wzywa gwardię germańską, by schowała miecze. Napięcie opada, Germanie wycofują się.

Senat czym prędzej zbiera się na Kapitolu. Tymczasem lud schodzi się na Forum. Coraz bardziej wzburzony tłum gorączkowo debatuje, kto jest zabójcą cesarza. Senatorowie wysyłają tam Waleriusza

Azjatyka, by uspokoił nastroje. Zasypywany pytaniami, kto mógł dokonać zbrodni, rzecze: „Obym to ja nim był”.

Senatorowie tymczasem oddają się orgii krasomówstwa, ale nie są w stanie podjąć żadnej decyzji. Odrzucają zgłoszony w pompatycznej formie wniosek Gneusa Saturninusa o przywrócenie republiki, nie potrafią jednak zgodnie wybrać nowego władcy i narzucić go cesarstwu.

W tej samej chwili gdy Saturninus kwieciście wzywa do restytucji republiki, po pałacu cesarskim buszują pretorianie. Choć przy boku Kaliguli zastąpiła ich gwardia germańska, pretorianie zachowali mnóstwo przywilejów. Przywrócenie republiki to przywilejów tych koniec. Jeden z pretorianów zauważa wystającą spod kotary but – to skrywa się przerażony Klaudiusz, stryj Kaliguli. Prosty żołnierz w przebłysku geniuszu pojmuje, że oto ma przed sobą człowieka, który obwołany przez pretorianów cesarzem pozwoli im zachować wpływy i dalej wieść jedwabne życie. Pretorianie biorą Klaudiusza pod pachy i jak kłodę drewna unoszą do swego obozu.

25 stycznia 1930 ▪ sobota

Po blaszce do Częstochowy

Nad ranem wywiadowcy i mundurowi policjanci ruszają w Warszawę. To już piąty dzień wielkiej obławy policji w całej Polsce na elitę świata przestępczego – kasiarzy.

Przed 6 dniami, w senny niedzielny poranek, dozorca posesji Nowy Świat 61 zauważył, że w sklepie znanego warszawskiego jubilera Jagodzińskiego, zajmującym parter budynku, brakuje kraty

żelaznej, zakładanej od wewnątrz na drzwi frontowe, całe zaś wnętrze wypełnia gęsty biały dym. Dozorca pewien, że wybuchł pożar, zaalarmował posterunkowego. Policjant stwierdził, że drzwi do jubilera od strony zaplecza są otwarte, w środku panuje ogromny nieład, zaś kasa ogniotrwała jest rozpruta. Właściciel zawiadomiony o włamaniu wpadł w szok i śledczy długo musieli czekać, aż będzie w stanie oszacować straty. Ostatecznie okazało się, że z rozprutej kasy znikło 10 tys. zł w gotówce i biżuteria wartości ponad 160 tys. zł.

Prowadzący oględziny na miejscu włamania policjanci nie kryli zdumienia – to była robota prawdziwych zawodowców, przeprowadzona z wielkim rozmachem i perfekcyjnie. Ślady w zamku drzwi na zapleczu sklepu zdradziły, że przestępcy weszli do wnętrza na tzw. pasówkę, dorobiony klucz. W środku policjanci znaleźli porzucony sprzęt kasiarzy – najnowszy typ aparatu tlenowo-acetylenowego, butle z tlenem i acetylenem oraz dwie walizki pełne wyrafinowanych narzędzi. Kasa ogniotrwała, którą rozpruto palnikiem, znajdowała się wewnątrz wielkiego namiotu z ceraty, rozbitego przez złodziei w pokoju. Nigdzie nie można było znaleźć odcisków palców. Przestępcy pracowali w rękawiczkach.

Doświadczeni policjanci szybko odtworzyli przebieg włamania. Nad ranem przestępcy weszli od zaplecza, otwierając tylne drzwi sklepu pasówką. Potem wspólnik kasiarzy zamknął ich w sklepie od zewnątrz. Złodzieje rozbili ceratowy namiot nad kasą, by przez okna od strony ruchliwego Nowego Światu jakiś poranny przechodzień nie zauważył płomienia palnika. Kasę rozpruli palnikiem. Porzucony sprzęt świadczył, że coś ich przestraszyło – musieli pośpiesznie spakować łupy, sprzęt zaś porzucili. Jak uciekli? Jeszcze na początku akcji odcięli kłódki na kracie od drzwi frontowych i potem wybiegli, niezauważeni, prosto na Nowy Świat.

Policja potraktowała włamanie na Nowym Świecie jak wyzwanie rzucone przez świat przestępczy. Zamiast prowadzenia rutynowego, dyskretnego rozpoznania warszawskiego półświatka, zmobilizowane natychmiast wszystkie siły stołecznej policji ruszyły na dansingi, do kabaretów, domów publicznych i złodziejskich melin. Nieoczekiwane uderzenie przyniosło nadzwyczajne rezultaty. W warszawskich metach policjanci zatrzymali elitę europejskich kasiarzy: Stefana Wyrzykowskiego, Stanisława Szczechowicza, Bolesława Laskowskiego, Karola Czajkowskiego, Leona Szydłowskiego, Nutę Loginiaka, Stefana Matuszewskiego, Nutę Sołowieja. Większość z nich od dawna była bezskutecznie poszukiwana przez policję. Co więcej, w ich melinach policjanci znaleźli ogromną ilość najnowocześniejszego sprzętu kasiarskiego – dowód, że wkrótce włamania takie jak na Nowym Świecie miały posypać się niczym z rozprutego worka.

W mieszkaniu Kazimiery Kozłowskiej przy Pańskiej wywiadowcy aresztowali kolejnych asów kasiarskiego fachu: Stanisława Cichockiego „Szpicbródkę", Wacława Piórkowskiego oraz Mariana Brzezińskiego „Mańka Buca", nieformalnego męża gospodyni.

Cichocki, dla przyciętej w klin bródki zwany „Szpicbródką", w Warszawie zasłynął głośnymi akcjami na kasę Banku Dyskontowego i skarbiec Banku Przemysłowców przy ul. Zgoda, a zwłaszcza dokonanym przed niespełna 3 laty podkopem pod Państwowe Zakłady Graficzne w Alejach Jerozolimskich, gdzie drukowano banknoty. Choć żadna z tych akcji nie zakończyła się sukcesem, graniczącą z bezczelnością śmiałość i błyskotliwe, drobiazgowe planowanie przysporzyły „Szpicbródce" wielkiej sławy i poważania w przestępczym światku. Odtąd zatrudniany był przez polskich kasiarzy jako planista i konsultant przy poważniejszych skokach.

Marian Brzeziński stał się sławny w półświatku w zeszłym roku, gdy wziął w obronę młodego krakowskiego złodzieja Mariana Zwolińskiego, okradzionego przez złodziei warszawskich. Spór o to, czy postąpił słusznie, podzielił stołeczny półświatek. Konflikty szybko przerodziły się w porachunki, zabito kilku przestępców. Rada warszawskiego świata przestępczego, zwana Din Tojrą, wydała na „Mańka Buca" wyrok śmierci, ale 2 egzekutorów, którzy dopadli go w szpitalu, niedoszła ofiara zastrzeliła na oczach tłumu pacjentów. Dopiero wielki okup zapewnił „Mańkowi" cofnięcie podziemnego wyroku i przywrócenie pełni przestępczych praw.

Z zatrzymanych w mieszkaniu Kozłowskiej złodziei, najskromniej prezentuje się Marian Piórkowski. Tylko wtajemniczeni wiedzą, że ten początkujący przestępca cieszy się wśród kasiarzy opinią prawdziwego artysty palnika acetylenowego, potrafiącego rozpruć najgrubsze ściany kas ogniotrwałych i nawet nie osmalić leżących tuż za nimi banknotów.

Podczas rewizji osobistej u Brzezińskiego znaleziono 8 fragmentów planów przedstawiających urządzenia alarmowe stosowane w bankach. W kieszeni „Szpicbródki" policjanci natrafili na niewielką blaszkę z nieznanego metalu, dość osobliwego kształtu. Wydała się im podejrzana i zatrzymali ją.

Policjanci przypuszczali, że 3 kasiarzy łączy coś z włamaniem na Nowym Świecie, ale nie byli w stanie ustalić, co konkretnie. Wtedy przypomnieli sobie mgliste pogłoski, krążące ostatnio po warszawskim półświatku, o mającym rychło nastąpić jakimś wielkim skoku na bank. Wobec braku postępu w śledztwie, 3 zatrzymanym kasiarzom odebrano ubrania i przeszukano je drobiazgowo, prując szwy i podszewki. Opłaciło się. W marynarce „Mańka Buca" znaleziono zaszyty kwit z firmy Perun na Grochowskiej, specjalizującej się w dostawach tlenu i acetylenu.

Kwit wystawiony na fałszywe nazwisko ziemianina Mariana Bielańskiego spod Pułtuska potwierdzał opłacenie z góry nabicia wielkiej stalowej butli aż 1000 l acetylenu.

W tym czasie inna ekipa policyjna szybko wyjaśniała tajemnice skoku na Nowym Świecie. Najpierw wywiadowcy ustalili, że od dnia włamania nikt nie widział kasiarza Daszkiewicza „Kwadratowego". 2 doby zajęło wywiadowcom wyśledzenie „Kwadratowego" w dotąd nieznanej policji melinie na Bagnie. 3 ekipy policyjne przeprowadziły rewizje w mieszkaniach „Kwadratowego", jego kochanki i jego rodziców. Pod podłogą piwnicy rodziców znaleziono zakopaną część łupu z Nowego Światu. Wczoraj postawiony wobec takich dowodów „Kwadratowy" załamał się i zaczął sypać. Wyjawił, że szefem skoku na jubilera Jagodzińskiego był Adam Stempel, członek międzynarodowej grupy kasiarzy, który niedawno uciekł z gmachu sądu w Poznaniu, dosłownie chwilę po skazaniu go na 8 lat ciężkiego więzienia. „Kwadratowy" opowiedział też, że sprzęt do prucia kasy – aparat acetylenowy, manometry – kupił na polecenie Stempela w firmie Spawotechnika przy Królewskiej, zaś butle z tlenem i acetylenem sprowadził z Katowic. Policjanci jeszcze wczoraj sprawdzili jego zeznania i wybuchła sensacja. „Kwadratowy" kupił w Spawotechnice 2 aparaty – ten większy, nowocześniejszy, dużo wydajniejszy, przekazał Stemplowi.

Śledczy nie mają wątpliwości – aparat acetylenowy i wielka 1000-litrowa butla acetylenu, kwit na nabicie której znaleziono zaszyty w marynarce kompana „Szpicbródki", miały posłużyć do napadu na bank. Układanka domyka się: „Szpicbródka", „Maniek Buc" i Piórkowski zorganizowali skok na któryś z banków. Przygotowania do takiej akcji są bardzo kosztowne, zatem „Szpicbródka" zorganizował nieco wcześniej skok na jubilera

Jagodzińskiego, z którego zysk miał sfinansować włamanie do banku.

„Szpicbródka" i jego dwaj wspólnicy to raczej szefowie, planiści wielkiego skoku. Wykonawcy pewnie są gotowi i lada chwila mogą uderzyć. Ale na który bank?

Liczy się każda minuta. Jeszcze przed południem wywiadowcy z fragmentami planów znalezionych przy „Mańku Bucu" ruszają do ekspertów od alarmów i biur projektujących bankowe systemy alarmowe. W biurze projektowym na Chmielnej inż. Malicki rozpoznaje plany instalacji znalezione przy „Mańku Bucu". To systemy alarmowe zainstalowane w Banku Polskim w Częstochowie. A dziwna blaszka znaleziona w kieszeni „Szpicbródki"? Inż. Malicki przez chwilę studiuje plany i oznajmia z zaskoczeniem, że najwyraźniej blaszka ta jest w stanie bezgłośnie wyłączyć cały system alarmowy częstochowskiego banku. Malicki przypomina sobie, że niedawno zgłosił się do niego jakiś mężczyzna, powołał się elektrotechnika Dąbrowskiego z częstochowskiego Banku Polskiego, który opiekuje się tamtejszymi systemami alarmowymi, i poprosił o obszerne wyjaśnienie ich konstrukcji, bo, jak powiedział, systemy ustawicznie się psują. Inż. Malicki żądanych wyjaśnień udzielił.

Jest już sobotnie popołudnie – a noc z soboty na niedzielę to najlepsza pora do skoku na bank. Warszawska Komenda Policji wysyła do policji częstochowskiej szyfrowaną depeszę z ostrzeżeniem. Najbliższy pociąg do Częstochowy odchodzi dopiero za parę godzin. Policjanci dzwonią do dyrektora warszawskiej centrali Banku Polskiego, który natychmiast oddaje im do dyspozycji swą luksusową limuzynę. Oficer śledczy wraz z kilkoma wywiadowcami bez zwłoki ruszają w drogę.

Częstochowscy policjanci dokonują w tym czasie sensacyjnych ustaleń. Oddział Banku Polskiego znajduje się w wybudowanym w czasach carskich budynku przy ul. Panny Marii. Z boku do bankowej posesji przylega jednopiętrowy budynek nr 36. Policja błyskawicznie sprawdza na planach, że jedna z oficyn posesji bezpośrednio sąsiaduje z budynkiem banku, zaś jednopokojowe mieszkanie na jej piętrze dzieli tylko ściana od bankowego skarbca. Policjanci próbują odszukać właściciela tego mieszkania. I kolejna niespodzianka. Latem zeszłego roku jego właściciel, niejaki Rosenstein, otrzymał od Jankla Zylbermana propozycję kupienia klitki. Rosenstein sprzedać jej nie chciał, ale Zylberman tydzień po tygodniu podwyższał ofertę – aż do 10 tys. zł. Rosenstein w końcu zgodził się, za 6 tys. kupił 3 razy większe mieszkanie w lepszym punkcie Częstochowy i wyprowadził się. Zylberman nie wprowadził się, wniósł tylko 3 wielkie skrzynie.

Pod podanym w dokumentach sprzedaży adresem nikt nie zna żadnego Jankla Zylbermana.

Wczesnym wieczorem warszawscy i częstochowscy policjanci wkraczają do mieszkania rzekomego Zylbermana. Jest puste. Zdemolowana kuchnia cuchnie jak ustęp. Jedyny pokój zamknięto na potężną kłódkę. Po jej przecięciu policjanci wchodzą do środka. Jest zwyczajnie: nowe tapety, otomana, szafa, 3 skrzynie. Ale w otomanie policjanci znajdują ogromną butlę stalową z 2 tys. l acetylenu. Wszystkie skrzynie wypełnione są gruzem. Ale skąd ten gruz? Policjanci opukują ściany. Tuż pod sufitem, nad szafą, tapeta wydaje głuchy odgłos. Pod nią w metrowej grubości murze banku wykuto spory otwór o średnicy 80 cm i takiejże głębokości. Pozostała do wybicia już tylko jedna warstwa cegieł od strony banku. Za nią znajduje się archiwum, skąd wewnętrznymi schodkami można zejść do skarbca.

Zgłasza się dyrektor częstochowskiego Banku Polskiego. Drżącym głosem oznajmia, że w kasie leży rekordowo wielki majątek – 30 mln zł w gotówce.

To byłby największy skok na bank w Europie.

26 stycznia 1905 ▪ czwartek

Jednak to nie żart

Popołudniowe słońce sięga dna gigantycznej dziury w ziemi o powierzchni 30 ha, głębokiej na 10 m, na dnie której uwija się ponad 1000 czarnoskórych robotników. W środku wielkiej dziury wybranej w stepie podbitego przed 2 laty przez Brytyjczyków boerskiego Transwalu na południu Afryki wyrąbano drugą, ogromną jamę, o średnicy kilkakrotnie mniejszej od całej kopalnianej dziury i płytszą o połowę.

Gigantyczną jamę powoli obchodzi niski biały mężczyzna w zniszczonym, zakurzonym garniturze. Filcowy kapelusz skrywa jego krótkie, gęste, leciutko szpakowate włosy. Mimo szerokiego ronda kapelusza jego twarz jest spalona słońcem, a wydatny ciemnobrązowy nos kontrastuje z bielą króciutkiej brody. Mężczyzna idzie nieśpiesznie, wodnistobłękitnymi oczami uważnie ogląda strome ściany wielkiej dziury.

Niedawno potężna eksplozja rozerwała skały i grunt na dnie. Górnicy pakują teraz urobek na wagoniki przemysłowej kolejki, stojące na dnie dziury, które wywiozą go po stromo ułożonych torach na powierzchnię do zakładu przeróbki. Tam urobek zostanie zrzucony na wielkie hałdy, potem rozdrobniony i przejrzany przez

robotników w poszukiwaniu białych przezroczystych kamyczków – surowych diamentów.

Jeszcze parę lat temu była tu zaciszna farma starego Boera Joachima Prinsloo, sławnego wśród poszukiwaczy złota i diamentów.

W 1886 roku, gdy w Transwalu wybuchła gorączka złota, Prinsloo mieszkał na farmie Madderfontein i wszystkim powtarzał, że na tej farmie chce spokojnie umrzeć. Ale poszukiwacze złota podejrzewali, że Prinsloo mieszka na żyle złota, i w końcu nakłonili go do sprzedaży Madderfontein ogromnymi pieniędzmi. Bogaty Prinsloo kupił sobie – kawał drogi od starej farmy – nową, zwaną Kaalfontein. Nowi właściciele Madderfontein odkryli pod chałupą starego Joachima nadzwyczajnie bogate złoża złota.

Prinsloo z dorosłą córką szybko zadomowił się w Kaalfontein i znów powtarzał sąsiadom, że już się stąd nie ruszy. Do czasu gdy w pobliżu znaleziono kominy kimberlitowe, formacje geologiczne zawierające diamenty. Poszukiwacze diamentów ogromnymi pieniędzmi skusili Prinsloo, który sprzedał Kaalfontein i przeprowadził się na trzecią farmę. W Kaalfontein powstała świetnie prosperująca kopalnia diamentów.

Ostatnią już farmę Joachima Prinsloo upatrzył sobie Thomas Cullinan. Urodzony w południowoafrykańskiej Cap Colony w prostej rodzinie Cullinan od młodości ciężko harował w Johannesburgu jako murarz i odkładał każdy grosz. Przed paru laty Cullinan usłyszał w barze, dokąd czasem zachodził, opowieść poszukiwacza diamentów, któremu trafił się dziwny przypadek: szmat drogi od Johannesburga, w Transwalu, niedaleko Pretorii, w okolicy farmy starego dziwaka Prinsloo, w terenie, który wykluczał występowanie złóż diamentonośnych, znalazł, ot tak, na wpół zakopany w ziemi spory diament. Ale potem, mimo

poszukiwań, nie trafił na najmniejszy choć diamentowy okruszek. Cullinan zabrał oszczędności, żonę i ruszył do Transwalu. Teren opisany przez poszukiwacza rzeczywiście nie wyglądał obiecująco, z wyjątkiem samotnego niewielkiego wzgórka w stepie, zwanego w Afryce *kopje*. Z tego *kopje* w porze deszczowej spływają strumienie, które mogły wypłukać tamten pojedynczy diament na powierzchnię. Ale wypłukać musiałyby z... podziemnego złoża!

Cullinan zaproponował Prinsloo sprzedaż farmy. Stary Joachim wyrzucił murarza za drzwi.

Cullinan wysłał do starego Joachima agenta nieruchomości. Prinsloo przegnał go, celując ze strzelby.

Cullinan postanowił czekać. Gdy Prinsloo zmarł, Cullinan kupił farmę od jego córki za 52 tys. funtów. Sporo, ale śmiesznie mało, gdyby popatrzeć na to miejsce 2 lata później. Zamiast starej chałupy Prinsloo rozpościerała się ogromna dziura w ziemi – serce Premier Diamond Mining Company w Cullinan.

Pierwsza (w Transwalu) Diamentowa Kompania Górnicza jest własnością Thomasa Cullinana. Miasteczko, które Cullinan wybudował dla rodzin 2 tys. swoich robotników, nie dość, że jest jego własnością, to jeszcze nosi jego imię.

Niski, spalony słońcem mężczyzna w kapeluszu uważnie patrzy na czarnoskórych kopaczy ładujących urobek na wózki, co chwila rzuca okiem na ściany wielkiej kopalnianej dziury. To jego praca – Frederick Wells jest szefem robót i menedżerem powierzchniowym kopalni. O tej porze, wczesnym popołudniem, ukośne światło słońca pozwała łatwiej zauważyć błyski diamentowych kamyczków, leżących akurat na powierzchni wyrobiska.

Nagle Wells dostrzega w ścianie wyrobiska, wysoko nad głową, 9 m od powierzchni gruntu, jaskrawy błysk. Bez namysłu wspina się po ścianie w górę. Nie zważa, że ziemia brudzi mu garnitur. Już

jest mniej więcej tam, gdzie dostrzegł błyśnięcie światła. Wpatruje się w zwietrzałą skałę – o, jest! Matowobiały skrzący się kamyczek. Wells zapiera się butami i lewą ręką o grunt, drugą wyciąga z kieszeni scyzoryk i rozkłada go. Dziobie ostrzem skalisty grunt wokół źródła lśnienia. Robota idzie mu powoli, ale wreszcie go ma – duży, podłużny, acz nieregularnego kształtu, białawy ni to kawał szkła, ni to przezroczystego kamienia, oblepiony resztkami zwykłej skały. Ten dziwny przedmiot jest tak duży, że Wells nie ma szans, by schować go w obu swych potężnych dłoniach.

Dobra, dobra, nie z Frederickiem Wellsem takie numery! Niejeden raz koledzy z kopalnianego nadzoru robili mu takie kawały – nieregularne, malutkie, potłuczone bryłki szkła wbijali w ziemię w miejscach, które zwykł kontrolować, i potem przy piwie pękali ze śmiechu, opowiadając sobie, jak Wells na kolanach wygrzebywał bezwartościowe szkiełka.

No tak, ale tym razem kumple naprawdę przesadzili. Każde dziecko w Pretorii wie, że diamenty długości 12 cm nie istnieją!

Coś jednak każe Wellsowi nie wyrzucić tego kawałka szkła precz. Wells mocno dziabie ostrzem scyzoryka w powierzchnię znaleziska, odłupuje resztki materiału skalnego. Nagle ręka ze scyzorykiem zastyga w powietrzu. A jeśli to jednak...

Wells chowa scyzoryk i ostrożnie trzymając kamień, pędzi co sił do swego laboratorium na powierzchni kopalni.

Tam pod lampą i lupą uważnie ogląda znalezisko. Kryształ jest absolutnie przezroczysty, dosłownie jak woda, z wyjątkiem kilku inkluzji grafitowych oraz kolorowych plamek blisko powierzchni. Wiązka spolaryzowanego światła przechodzi przezeń we wszystkich kierunkach, ale najżywsza staje się, gdy przechodzi przez największą średnicę, długości ponad 12 cm. Wtedy Wells dostrzega znakomite, harmonijne kolory. Serce bije mu coraz mocniej. To nie może być

szkło, takich szkieł po prostu nie ma. Wewnątrz kryształu dostrzega czarną plamkę, wokół której kolory stają się bardzo żywe, zmienne, wręcz rotują wokół plamki, gdy Wells obraca analizator. Dla tak doświadczonego eksperta od diamentów to wskazówka, że w tym miejscu kamienia występuje silne naprężenie.

Wells waży diament: 3025 karatów! Boże, czy to w ogóle możliwe!? Najsłynniejsze, największe brylanty świata, prawda, że już oszlifowane, zatem po znacznej utracie wagi w stosunku do wagi surowego diamentu, z którego powstały, ani się mogą równać. Nizam Hajdarabadu – 279 karatów. Koh-i-noor, po pierwszym szlifie – 279 karatów. Orłow – 194 karaty. Gwiazda Południa – 124 karaty. Książę Toskanii – 133 karaty.

Wells powraca do analizy kamienia.

Na jego powierzchni struktury krystaliczne są bardzo dobrze zaznaczone, krawędzie są częściowo zaokrąglone, ale częściowo – bardzo ostre. W analizatorze dostrzega 4 płaszczyzny rozszczepienia o wielkiej regularności. Nawet nie chce myśleć, że ten, do tej pory niewyobrażalnej wielkości, diament gigant mógł być w naturze dużo, dużo większy i podczas odstrzeliwania skał został rozłupany na części. Reszta, być może nawet większa od kamienia, który Wells trzyma w ręku, rozłupana eksplozją dynamitu na drobnicę, została odnaleziona przez robotników w urobku. Albo i nie – może wielki kamień, oblepiony resztkami skały, tkwi niezauważony gdzieś w gigantycznych hałdach wokół kopalni?

Górnik trzymający diament Cullinan

27 stycznia 1945 ▪ sobota ▪

Czy można już wracać do Berlina?

Lejtn. Jurij Ilinski dostrzega przy zaśnieżonej drodze tablicę z napisem „Auschwitz". Dalej widać zabudowania miasta.

Jego kompania wchodzi w skład 100. Lwowskiej Dywizji Piechoty dowodzonej przez gen. mjr. Fiedora Krasawina. Dywizja od wschodu naciera na Oświęcim. Dowódca uderzającej od Krakowa na Górny Śląsk 60. Armii I Frontu Ukraińskiego gen. płk Paweł Kuroczkin zamierza w rejonie Oświęcimia otoczyć w dużym kotle wycofujące się siły niemieckie. Sowieckie dywizje nacierają na miasto od północy i od południowego wschodu.

19-letni Ilinski nie ma pojęcia, czy to jeszcze Polska, czy już Niemcy. Dla jego żołnierzy to ważna różnica – żaden z nich nie ma wątpliwości, że w „*prokljatoj Germanii*" wreszcie będzie im więcej wolno. Gdy sowieccy żołnierze wchodzą do miasta, wszystko staje się jasne. Na domach pojawiają się biało-czerwone flagi, wszędzie pełno rozradowanych polskich mieszkańców. Polacy co rusz przywołują czerwonoarmistów i pokazują im wmieszanych w tłum, poprzebieranych w cywilne ubrania hitlerowskich funkcjonariuszy.

Niemcy nie bronią Oświęcimia i kompania Ilinskiego, która liczy najwyżej połowę etatowego stanu, ok. godz. 14.00 dociera do stacji kolejowej. W otwartym terenie czerwonoarmistów wciska w śnieg ogień karabinów maszynowych. Niemcy siedzą w kilku bunkrach usytuowanych przy stacji, między torami. Są dobrze wstrzelani.

Sowieccy żołnierze niemal pół godziny pełzną w kopnym śniegu, zanim wreszcie jeden z nich obezwładnia wiązką granatów najbliższy z bunkrów. Chwilę potem za plecami czerwonoarmistów rozlega się ryk silników. Na odsiecz kompanii Ilinskiego przybywają czołgi. Huk armatnich wystrzałów i już drugi bunkier rozbity. Niemieckie karabiny maszynowe milkną. Lejtnant na czele swoich piechurów dopada stacji, przeskakuje przez tory. Dalej widać strażnicze wieżyczki i mnóstwo gęsto stojących baraków. Sowieci łapią w lot – to musi być obóz.

Czerwonoarmiści podchodzą bliżej, dostrzegają druty kolczaste. Przez dziury w ogrodzeniu wślizgują się między baraki. Idą ostrożnie – w pobliżu ciągle słychać strzały. Pod ścianą baraku dostrzegają stos straszliwie wychudzonych ciał. Pod kolejnym barakiem – gromadę rozstrzelanych kobiet i mężczyzn. I w końcu trafiają na barak z zagłodzonymi, obdartymi, chorymi dziećmi. Najmłodsze mają po 2–3 lata. Sołdaci rozpinają plecaki i rozdają im wszystko, co tylko nadaje się do jedzenia. 6-letni chłopczyk łapie Ilinskiego za rękę i już nie puszcza. Oprowadza go po obozie, pokazuje: tu było krematorium, a to łaźnia, tam palili ludzi na stosach. Lejtnant bierze ze stosu nadpalonych kości kawałek ludzkiej szczęki i chowa do plecaka. Na pytanie, gdzie rodzice, chłopczyk odpowiada spokojnie, że Niemcy ich zabili. Ilinski w jednej sekundzie postanawia zabrać dziecko ze sobą, do swojego batalionu. Odchucha się je, odkarmi, ubierze. Przy armii zawsze będzie mu lepiej, dostatniej niż wśród cywilów. Ale kombat, dowódca batalionu, każe chłopczyka odprowadzić z powrotem. Dziecko płacze. Ilinskiemu też zbiera się na płacz. W końcu daje chłopczykowi na pożegnanie to, co ma najcenniejszego: maleńki niklowany damski pistolecik kaliber 5 mm.

SS już od lipca 1944 roku, od momentu oswobodzenia obozu na Majdanku, systematycznie likwidowało akta i zmniejszało liczbę więźniów w obozach w Auschwitz i Birkenau. Od początku grudnia 1944 roku do 15 stycznia 1945 wywieziono z obozowych magazynów do Rzeszy ponad 0,5 mln sztuk ubrań po zamordowanych w komorach gazowych. Od jesieni 1944 więźniowie zmuszani byli do zacierania śladów zbrodni: demontowali wyposażenie komór gazowych i krematoriów, rozbierali drewniane baraki, palili akta (w styczniu 1945 palili je w stosach na obozowych ulicach), wykopywali prochy spalonych ofiar i wysypywali do rzeki Soły,

plantowali grunt, sadzili drzewa. Tydzień temu Niemcy wysadzili krematoria II i III, a wczoraj o 1.00 ostatnie – krematorium V.

Ostatnie apele w obozie Auschwitz-Birkenau odbyły się 10 dni temu. Nazajutrz zaczęła się ewakuacja 58 tys. więźniów w 500-osobowych kolumnach marszowych, w śniegach i ponad 20-stopniowym mrozie. Słabnących mordowali esesmani. Zginęły tysiące więźniów.

W obozie Auschwitz pozostało ok. 1200 więźniów, chorych i niezdolnych do marszu; w Birkenau – 5800 więźniów, w większości kobiet. Straże SS znikły przed 6 dniami, ale teren obozu nadal przeczesywały patrole SS i Wehrmachtu. Jeszcze przedwczoraj do Birkenau wpadł oddział SD, który zebrał 150 Żydów, wyprowadził za bramę i część z nich rozstrzelał. W tym czasie w obozie Auschwitz esesmani przeszukali baraki, spędzili więźniów w jedno miejsce i szykowali się do egzekucji, gdy nadjechali gestapowcy z wiadomością, że Rosjanie w każdej chwili mogą domknąć kocioł. Wtedy Niemcy w pośpiechu opuścili obóz.

W Birkenau chorzy i skrajnie osłabieni więźniowie pochowali się w barakach. Po godz. 14.00 słychać okrzyki: „Idą! Idą!".

Więzień Alfred Fiderkiewicz na głównej drodze obozu dostrzega sowieckiego żołnierza. Idzie po śniegu miękkim krokiem, z kolbą przy ramieniu. Fiderkiewiczowi wyzwoliciel kojarzy się z myśliwym na polowaniu. Wychodzi mu naprzeciw:

– *Zdrawstwujtie!*

Rosjanin z uśmiechem pyta, czy są tu Niemcy, i czujnym krokiem rusza dalej.

Po południu na teren obozu macierzystego Auschwitz i do Birkenau wkraczają pozostałe sowieckie oddziały. Na widok wychudzonych trupów i zagłodzonych, ważących po 30 kg więźniów z najwyższym trudem idących przez śnieg ku

wyzwolicielom, wielu zahartowanych czerwonoarmistów płacze jak dzieci. Rosjanie oddają ludziom w pasiakach cały swój prowiant. Niestety, żołnierze zaopatrzeni są wyśmienicie: prócz sucharów mają konserwy z tłustą wieprzowiną, połcie solonego wędzonego boczku. Mięso jest dla wygłodzonych więźniów śmiertelnym zagrożeniem, ale tylko nieliczni potrafią się ograniczyć do sucharów. Nie mija kwadrans i pierwsi nieszczęśnicy w pasiakach zwijają się z bólu i znaczą śnieg krwawą biegunką. Wielu umiera. Wśród nich znany przedwojenny prawnik z Wiednia, nadprokurator dr Wachsman.

Późnym popołudniem na terenie obozu zjawiają się sowieccy lekarze wojskowi. Natychmiast rozkazują odebrać byłym więźniom wszystko, co mają do jedzenia – z wyjątkiem sucharów – i zabierają się do badania chorych.

Do bloku chorych w Birkenau sowieccy żołnierze docierają późno, już po zmroku. Gdy drzwi wielkiego baraku powoli się otwierają, dziesiątki leżących w ubraniach chorych więźniarek zamiera z przerażenia. Podczas ewakuacji esesmani nie zdążyli zlikwidować szpitala kobiecego – czyżby teraz wrócili, by chore więźniarki zabić? Do tonącego w ciemnościach baraku wchodzą gęsiego czerwonoarmiści. Każdy trzyma w ręku świecę. Pierwszy, wysoki Rosjanin, idzie ostrożnie, rozgląda się. Za nim maszeruje straszliwie brzydki Mongoł. Na jego ręku siedzi obozowe dziecko – wychudzone, brudne. Malec przytula się, majstruje koło twarzy sołdata, który z uśmiechem odsuwa głowę, gdy paluszek trafia go w oko.

Chore więźniarki z płaczem czołgają się do żołnierzy, obejmują ich za nogi, całują po rękach. Rosjanie trochę przerażeni głaszczą ich ogolone głowy, podnoszą wychudłe jak szczapy ciała.

– Czy do Budapesztu można wracać? – woła któraś.

– Można – odpowiada najwyższy z żołnierzy.

– A do Belgradu?

– Można, można.

– A do Łodzi? – woła zza pleców towarzyszek niedoli 16-letnia Julia Temerson, Żydówka z Łodzi.

– Można!

Ciężko chora niemiecka więźniarka przepycha się do Rosjanina:

– Berlin? Berlin?

– Berlin jeszcze nie, ale już niedługo.

W okolicach Oświęcimia i Brzezinki wieczorem i w nocy toczą się dość intensywne walki. Sowieccy żołnierze, którzy parę godzin wcześniej przemaszerowali przez teren obu obozów, żadnych jeńców teraz nie biorą.

Wyzwolenie obozu Auschwitz

28 stycznia 1986 ▪ wtorek

Czerwone jabłko

Późno w nocy inż. Roger Boisjoly z firmy Morton Thiokol kończy pisać notatkę służbową dla wiceprezesa koncernu R.K. Lunda. Prosi o wstrzymanie porannego startu wahadłowca „Challenger" z Ośrodka Kosmicznego im Kennedy'ego na Florydzie. Powód? Boisjoly obawia się o główne pierścienie uszczelniające w dwóch silnikach wspomagających na paliwo stałe.

Wyprodukowane przez Morton Thiokol silniki są w istocie ogromnymi rakietami wypełnionymi mieszaniną 16 proc. proszku aluminiowego, 70 proc. nadchloranu amonowego, niewielkiej ilości sproszkowanego tlenku żelaza oraz 14 proc. tworzyw syntetycznych, spajających paliwo i nadających mu konsystencję uczniowskiej gumki do wymazywania śladów ołówka. Gdy rakiety wspomagające zostaną odpalone, nie ma możliwości regulowania siły ich ciągu, wyłączenia ich ani awaryjnego odrzucenia. Nawet gdyby któraś z nich uległa awarii, nawet gdyby awarii uległ sam wahadłowiec, rakiety muszą pracować aż do całkowitego wypalenia paliwa, i tym samym coraz bardziej rozpędzać prom kosmiczny. Dużo bardziej bezpieczny byłby system 2 członów napędzających na paliwo ciekłe (po zużyciu paliwa dolny byłby odrzucany), których ciąg można regulować, ale z powodu braku funduszy NASA przed 14 laty wybrała ryzykowny system rakiet na paliwo stałe. W razie ich awarii nic nie uratowałoby promu i astronautów. Dlatego konstruktorzy NASA i produkujący rakiety wspomagające koncern Morton Thiokol długo testowali ich niezawodność. Podczas prób w roku 1979 na poligonie rakietowym w Utah w jednej z rakiet, po wypaleniu połowy paliwa, wystąpiły

rytmiczne drgania w rozgrzanym do temperatury 3 tys. stopni Celsjusza strumieniu gazów wylotowych. Przeciążały one dodatkowo korpus rakiety, ale – ponieważ w kolejnych testach i w lotach próbnych zjawisko to nie wystąpiło – rezultat próby w Utah zignorowano.

Dotychczas wahadłowce odbyły 24 loty – sam „Challenger" latał już 9 razy – i silniki wspomagające nie sprawiały kłopotów.

Ale inż. Boisjoly nie podoba się materiał, z którego wykonane są główne pierścienie uszczelniające rakiet wspomagających. Od roku wysyła do szefów wnioski o uruchomienie produkcji bezpieczniejszych pierścieni. Bez skutku.

Inż. Boisjoly niepokoi się tym bardziej, że „Challenger" stoi na stanowisku startowym, pod gołym niebem, w sumie już 38 dni. Tego jeszcze w historii lotów wahadłowców nie było. Tylko w ciągu ostatniego tygodnia z powodu awarii i drobnych usterek lot odwoływano 5 razy. Uszczelnienia zalewane były przez deszcze, schły na wietrze, słońce solidnie rozgrzewało je za dnia, a nocami wychładzały się do kilku stopni Celsjusza. A dziś meteorolodzy przestrzegają plantatorów pomarańczy, że nad ranem na Florydzie będą 2 stopnie mrozu. Jak pierścienie uszczelniające zniosą taką ekstremalną temperaturę?

Wczesnym rankiem załoga wahadłowca podjeżdża pod stanowisko startowe. Winda wynosi 7 astronautów w srebrzystych kombinezonach NASA na platformę na wysokości kabiny „Challengera". Pierwszy wchodzi do środka dowódca promu 47-letni Francis D. Scobee. Jako pilot wojskowy walczył w Wietnamie, w sumie latał na 45 różnych typach samolotów. Także jako astronauta na spore doświadczenie – w 1984 roku brał udział w locie testowym wcześniejszej wersji promu kosmicznego, podczas której

naprawiono i przywrócono na orbitę uszkodzonego satelitę „Solar Maximum". Był to spory sukces NASA.

Scobee zajmuje miejsce w górnej części kabiny, nad wydłużonym nosem promu kosmicznego, w pierwszym rzędzie, leżących w tym położeniu wahadłowca foteli. Za Scobee do kabiny wchodzi pilot wahadłowca Michael J. Smith, 41-letni były instruktor lotnictwa floty. To jego pierwszy lot w kosmos. Smith sadowi się po prawej ręce Scobee.

W fotelach za nimi układają się specjaliści NASA, mający prowadzić na orbicie programy badawcze. Za Francisem Scobee zajmuje miejsce neuropsycholog Judith Resnick. To nie jest jej pierwszy lot orbitalny – w 1984 roku była drugą Amerykanką, która poleciała w kosmos. Po prawej ręce Resnick układa się Ronald E. Mcnair, specjalista od elektroniki kwantowej i technologii laserowej. McNair, który dziś wystartuje w kosmos po raz drugi, ma doktorat i czarny pas karate, podczas lotu zaś ma obsługiwać sztuczne ramię do przemieszczania ładunków w przestrzeni. Na przemieszczenie czeka w ładowni „Challengera" nie byle jaki ładunek: satelita telekomunikacyjny TDRS-B – waży 18,5 t. To najcięższe spośród wszystkich wysłanych przez Amerykanów na orbitę sztucznych ciał niebieskich.

Ostatnia trójka zajmuje fotele w dolnej części dziobu wahadłowca, wysuniętej przed górną część kabiny. Ellison S. Onizuka układa się nieco z tyłu, po lewej. To trzeci z naukowców, specjalistów NASA. Z przodu zajmują miejsca 2 uczestnicy lotu, którzy w ogóle nie są pracownikami federalnymi. Gregory B. Jarvis jest naukowcem biorącej udział w realizacji amerykańskiego programu kosmicznego prywatnej korporacji Hughes Aircraft. 1,5 roku temu wygrał konkurs na astronautę, w którym brało udział przeszło 600 pracowników Hughes Aircraft. Podczas lotu

„Challengera" ma zbierać informacje o pracy napędzanych paliwem ciekłym głównych silników promu, ale wtajemniczeni zdają sobie sprawę, że jego udział w locie to trochę turystyczny bonus.

Medialną gwiazdą tego lotu jest Sharon Christa McAuliffe, 37-letnia nauczycielka, matka 2 dzieci. W 1984 roku została wybrana spośród ponad 11 tys. nauczycieli z całych Stanów, by polecieć w kosmos i w kabinie wahadłowca przeprowadzić lekcję fizyki, transmitowaną przez telewizje do wszystkich amerykańskich szkół. Media w Stanach opisują ją i jej życie od wielu tygodni. Dla milionów Amerykanów McAuliffe stała się już dobrą znajomą, wręcz kimś bliskim. Przeciętni Amerykanie są dumni, że wreszcie w kosmos poleci ktoś taki jak oni, zwykła „hokejowa mama" z sąsiedztwa, po południu dowożąca dzieciaki na zajęcia dodatkowe, a nie zawodowcy przygotowywani do misji przez wiele lat.

Promiennie uśmiechnięta McAulife z grzywą ciemnych włosów nad czołem energicznie wkracza na pokład „Challengera". Jest w niej tyle radości, że pracownicy obsługi uśmiechają się do niej i machają rękami. Jeden z pracowników NASA wręcza jej błyszczące czerwone jabłko – w Stanach tradycyjny symbol szkoły.

Dla NASA i prezydenta Ronalda Reagana ten lot ma szczególne znaczenie propagandowe, nie tylko z powodu debiutującej w roli astronautki zwyczajnej Amerykanki. Skład reszty załogi nie jest przypadkowy; ma symbolizować wielokulturowość i wieloetniczność amerykańskiego społeczeństwa, a przy tym pokazywać, że każdy Amerykanin, niezależnie od pochodzenia, może sięgnąć gwiazd. Judith Resnick urodziła się i wychowała w rodzinie żydowskich ortodoksów, Ronald McNair jest Afroamerykaninem, a urodzony na Hawajach Ellison Onizuka pochodzi z rodziny japońskich osadników.

Misja o kodzie 51-L zaczyna się z 2-godzinnym opóźnieniem. Kierownictwo lotu woli zaczekać, aż nietypowy na Florydzie mróz ustąpi i kadłub wahadłowca, osadzony na dużo od niego większym zbiorniku, zawierającym ciekły tlen i ciekły wodór dla 3 silników promu, nagrzeją się w promieniach słońca. Silniki wspomagające na paliwo stałe przymocowane są do wielkiego zbiornika z wodorem i tlenem.

Na 2 minuty przed startem Judith Resnick pyta dowódcę:

– Mógłbyś mi to oddać? – Chodzi o jej ulubioną maskotkę.

– 2 minuty do startu, lepiej obserwuj odliczanie – odpowiada Scobee.

13 sekund później pilot Smith zauważa:

– OK, idzie ramię LOX. – To ramię zasilające zbiornika tlenu.

– Nie powinno ono iść inaczej? – pyta Onizuka.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Nie mogłem zobaczyć ruchu, ramię było za głównym monitorem – tłumaczy się po chwili Onizuka.

Na 1,5 minuty przed startem Resnick pyta:

– Macie zapięte pasy?

– Po co? – odpowiada pytaniem pilot.

– Swoich nie zapinam, mogę potrzebować sięgnąć po coś później – dodaje z dezynwolturą Scobee.

Gdy do startu brakuje 40 sekund, Smith niepokoi się, że w zewnętrznym zbiorniku paliwa zaskakująco spada ciśnienie.

– Wczoraj było to samo – pociesza go Scobee.

O 11.28 odpalone zostają główne silniki „Challengera" na paliwo płynne.

– W porządkuuu! – woła Resnick.

Scobee dodaje mocy. Prom nadal jest przymocowany do wieży startowej. Statek wypina się do góry. W tym momencie naprężenia

w jego konstrukcji są największe. W ogromnych kłębach białego dymu pojawiają się dodatkowe płomienie – odpalone zostały oba silniki wspomagające na paliwo stałe. Zwolniony w tym momencie „Challenger" wolno rusza do góry.

– Start, start do dwudziestej piątej misji wahadłowca kosmicznego! Wahadłowiec opuścił wieżę! – krzyczy jeden z kontrolerów lotu.

Sala obserwacyjna jest wypełniona po brzegi. Większość obecnych siedzi na podłodze. Z tyłu stoi inż. Roger Boisjoly z Morton Thiokol.

W kabinie promu nastrój jest doskonały.

– Idź, mamuśko! – woła pilot Smith.

Ani załoga „Challengera", ani rodziny astronautów, obserwujące start z platformy widokowej – są na niej m.in. mąż, dzieci i rodzice Christy McAuliffe – ani widzowie nadającej na żywo stacji CNN (loty wahadłowców tak już spowszedniały, ze inne stacje telewizyjne dawno zaniechały nadawania transmisji z ich startów), ani nawet kontrolerzy lotu nie mają pojęcia, że coś idzie jednak nie tak. Rejestrują to tylko ultraszybkie kamery NASA. W 0,678 sekundy po starcie z miejsca łączenia prawej rakiety wspomagającej na paliwo stałe z rufą zbiornika na paliwo ciekłe wydobywa się potężny kłąb szarego dymu. W ciągu 1,5 sekundy z tego miejsca wytryska 8 kłębów dymu. Biją w górę, przed rozpędzony do wielkiej prędkości prom kosmiczny. To znak, że wydostają się na zewnątrz pod gigantycznym ciśnieniem. Każda z erupcji dymu jest coraz ciemniejsza, a to znaczy, że płonie nieszczelny gumowy pierścień uszczelniający silnika wspomagającego. Tego właśnie obawiał się inż. Boisjoly.

W 62. sekundzie lotu pilot melduje:

– 35 tys. stóp, 1,5 Macha.

– Przyspieszaj – rozkazuje w 70. sekundzie Scobee.

Płomień przepala główny zbiornik ciekłego wodoru. W 73. sekundzie lotu pilot Smith krzyczy z zaskoczeniem:

– Uhoh!

W tej samej chwili na pomarańczowo eksplodują niemal 2 mln l paliwa. Niebo zasłania ogromna biała chmura w kształcie skorpiona. W ośrodku kontroli lotu na wszystkich ekranach obraz „Challengera" zastępują rozbłyskujące gwiazdeczki i przebijająca je litera „S" – znak, że transmisja została przerwana.

29 stycznia 1910 ▪ sobota

Miłość agentki

Sala i galeria krakowskiego sądu od wczesnego ranka wypełnione są publicznością – do ostatniego miejsca. O 9.45 rozpoczyna się ostatni, 14. dzień procesu Janiny Borowskiej oskarżonej o zamordowanie adwokata dr. Włodzimierza Lewickiego. Rozprawa ma niecodzienny przebieg: skarżąca się na osłabienie, wskutek pobytu w areszcie śledczym, oskarżona leży w czarnej sukni i woalce na wygodnym fotelu z obniżonym oparciem. Na stoliku obok fotela woźny sądowy, jak każdego dnia rozprawy, stawia butelkę wina i szklankę. Zdaniem sądu trunek ma wzmacniać osłabłą oskarżoną. Niezależnie od jej prawdziwej czy wyimaginowanej słabości przy fotelu podsądnej stoi żołnierz z bagnetem na lufie karabinu.

Przemawia obrońca Borowskiej dr Szalay: „*Panem et circenses* – wołały głodne tłumy do swoich cezarów, a dziś hasło to w innych słowach rozbrzmiewa po całej kuli ziemskiej. Przed znajomością

faktów, przed usłyszeniem słowa obrony, przed oskarżeniem, przed rozprawą opinia osądziła i zasądziła Borowską. Oskarżenie przyznaje, że nie można tu mówić o pewnikach i nie mając realnych podstaw, szuka w krainie ducha dowodów winy oskarżonej, bo opiera się głównie i niemal jedynie na bardzo trudnych zagadnieniach psychologicznych. Niezwykła oskarżona, kobieta inteligentna, niezwykłego umysłu, wyniszczona fizycznie aresztem śledczym, brakiem pokarmu, widmo półtrupa, którą sztucznymi, podniecającymi środkami utrzymuje się w możności nie do myślenia i mówienia, ale wprost do zachowania sił fizycznych, potrzebnych dla obecności na sali. Niezwykła rozprawa, gdzie przewodniczący sądu oskarża, świadkowie nie zeznają faktów, lecz wyjawiają swoje zdanie i opinie, wnoszą formalne oskarżenia".

W jednym adwokat ma niewątpliwie rację: ustalenia poczynione w śledztwie i na sali sądowej sprawiły, że lwia część opinii publicznej przekonana jest o jej winie. Stronę oskarżonej trzymają przede wszystkim kobiety, zwłaszcza te sympatyzujące z ruchem emancypacyjnym.

Janina Borowska już przed 2 laty stała się bohaterką głośnego skandalu. Socjalistyczny dziennik krakowski „Naprzód" oskarżył ją, że jest tajną agentką carskiej ochrany. Borowska pozwała redaktora „Naprzodu" Emila Häckera o zniesławienie. Do reprezentowania jej przed sądem zgłosił się z własnej ochoty młody krakowski adwokat dr Włodzimierz Lewicki. Miał w tym, jak się z czasem okazało, ukryty cel. Udział w głośnym procesie miał odwrócić uwagę opinii publicznej od skandalu, w jaki wcześniej uwikłał się Lewicki, zachowując się niehonorowowo wobec redaktora „Nowin" Ludwika Szczepańskiego. Borowska ofertę Lewickiego przyjęła, licząc, że przystojny, charyzmatyczny obrońca uratuje jej skórę. 2 inteligentnych, przebiegłych manipulatorów rozpoczęło grę.

Rychło przewagę uzyskał dr Lewicki: sprawę ze Szczepańskim przed sądem honorowym zaczął w tym samym czasie co proces Borowska-Häcker, którym Kraków interesował się niepomiernie żywiej. W czasie rozpraw z zimną krwią dopuścił do kompromitujących Borowską zeznań, byle tylko odwrócić uwagę krakowskiej opinii od sprawy ze Szczepańskim. W końcu wygrał: w zeszłym roku sąd uznał red. Häckera za oszczercę, co zresztą znaczyło tylko tyle, że pozwany nie miał w ręku niezbitych dowodów, a nie że Borowska tajną agentką nie była.

W czasie procesu pozostający w separacji Lewicki zaczął romans z Borowską, której mąż i dziecko pozostali we Lwowie. Gdy tylko Lewicki uporał się ze swoimi kłopotami, często gęsto wysługując się Borowską, rychło zaczął jej unikać. Zraniona kochanka szybko wytropiła, że mecenas związał się z Ireną hrabiną Tyszkiewiczową, planuje unieważnienie swego małżeństwa i ślub z hrabiną. Borowska tygodniami tropiła i nachodziła Lewickiego, domagając się już to odnowienia związku, już to zwrotu kompromitujących listów. Tych jednak Lewicki oddać nie chciał.

5 czerwca 1909 roku o północy w mieszkaniu Lewickiego przy Sławkowskiej lekarz pogotowia zastał konającego adwokata i Janinę Borowską. Lewicki miał przestrzeloną prawą skroń, wysadzone oko, nieprzytomny rzęził w agonii. Leżał na podłodze, tylko w koszuli, zakryty kocem. Czujność śledczych od razu obudził fakt, że Borowska, studentka medycyny, wezwała pogotowie co najmniej pół godziny po fatalnym strzale. W śledztwie co i rusz zmieniała zeznania: powtarzała się tylko opowieść, że Lewicki, siedząc z nią na szezlongu, najpierw, by dowieść potęgi swej do Borowskiej miłości, strzelił sobie z browninga w łeb, a potem, z przestrzeloną głową, jeszcze pół godziny z nią dwornie konwersował i całował po rękach. Niedokładnie usunięte ślady

krwi i wymiocin oraz położenie pistoletowej łuski dowiodły jednak, że Lewicki zastrzelony został, leżąc na łóżku. Browning samobójcy znalazł się dopiero kilka godzin po zatrzymaniu Borowskiej ukryty w jej gorsecie. W mieszkaniu policja znalazła liczne ślady po spalonych listach, ale także nieodnalezioną przez Borowską, kompromitującą ją korespondencję.

Oskarżona jednak w śledztwie twardo zaprzeczała oczywistym dowodom. Na sali sądowej zaś od pierwszego dnia odgrywała rolę udręczonej nieomal na śmierć ofiary ślepego wymiaru sprawiedliwości.

Mecenas Szalay w swym wystąpieniu chwyta się każdej okazji, by w ławie przysięgłych wzbudzić współczucie dla oskarżonej i zasiać wątpliwości do jej winy: „Przypomnijcie sobie panowie zeznanie męża Borowskiej, gdy tu opowiadał, jak u nóg jego się wiła, obuwie jego całowała, prosząc, by nie wysyłał jej na medycynę, by zostawił ją w roli żony i matki. Nie usłuchał, nie zrozumiał kobiety, zabił w niej najwznioślejsze ideały życia kobiecego, popchnął ją w szranki tych licznych dziś walczących o inne ideały, o inne stanowisko kobiety w społeczeństwie".

Dr Szalay zgadza się, że oskarżona mogła mieć słuszny żal do mecenasa Lewickiego, że uwiódł ją, że potraktował jak jedną z wielu miłostek. Mimo to uważa, że Borowska nie miała interesu w zastrzeleniu Lewickiego, i to uznaje za koronny dowód jej niewinności.

W wystąpieniu adwokata próżno by szukać logicznego wywodu, uzasadniającego niewinność oskarżonej. Mecenas Szalay jawnie gra na uczuciach przysięgłych, pomija niewygodne dla obrony ustalenia przewodu sądowego, z rzadka odwołuje się do konkretnych faktów; wiele mówi za to o wyjątkowej inteligencji Borowskiej, o jej

udrękach psychicznych ostatniego roku, o niegodziwości ferowania ciężkiego wyroku, gdy brak bezapelacyjnej pewności.

Wystąpienie obrońcy kończy się o 12.30. W porównaniu z wygłoszonym poprzedniego dnia przemówieniem prokuratora Marowskiego, logicznie, krok po kroku wykazującym winę oskarżonej, sprawia wrażenie chaotycznej impresji. Przewodniczący rozprawie nadradca Błonarowicz zarządza półgodzinną przerwę. Po wznowieniu rozprawy publiczność, oczekująca na polemiki oskarżycieli i dramatyczne ostatnie słowo oskarżonej, jest rozczarowana. Prokurator Marowski i oskarżyciel posiłkowy mecenas Kłębkowski, reprezentujący żonę i siostrę zamordowanego, rezygnują z prawa do polemiki. Janina Borowska także zrzeka się prawa do głosu. Przewodniczący przerywa rozprawę do 15.30.

Już na godzinę przed tym terminem przed sądem zbierają się ogromne tłumy. W sali i na galerii panuje straszliwy tłok; szacowne damy z krakowskiego towarzystwa przepychają się i strofują jak przekupki. Przewodniczący Błonarowicz przez 1,5 godziny wygłasza *résumé* postępowania sądowego: przypomina przysięgłym najistotniejsze ustalenia śledztwa i procesu. Nadradca Błonarowicz przemawia spokojnie, obiektywnie, ale przywoływane przez niego fakty stawiają oskarżoną w coraz mniej korzystnym świetle. Janina Borowska przerywa przewodniczącemu trybunału i usiłuje z nim polemizować.

– Proszę mi nie przerywać, bo panią w tej chwili wynieść każą! – irytuje się Błonarowicz.

– Właśnie o to chciałam prosić, bo jestem tak osłabiona, że takich rzeczy słuchać nie mogę – wyjaśnia niespeszona Borowska.

– I owszem – ripostuje przewodniczący.

– Proszę mnie kazać wynieść z sali w drodze karnej – domaga się Borowska.

– Nie! Tylko jeśli pani słaba, każę panią wynieść! – odprawia ją Błonarowicz.

Na salę wchodzą aresztanci, których adwokat zdążył przywołać celem wyniesienia oskarżonej.

Przewodniczący trybunału pyta Borowską, czy mają ją wynieść.

– Proszę – szepce omdlewającym, scenicznym głosem oskarżona.

Nadradca pyta ją, czy jest słaba. Borowska skwapliwie potwierdza. Ale Błonarowicz zwraca się do więziennego lekarza dr. Smolarskiego: „Proszę oskarżoną zbadać, bo ja tego nie widzę". Lekarz bada puls Borowskiej i orzeka, że może pozostać na sali. Przewodniczący decyduje, by oskarżonej nie wynosić, i wreszcie kończy swe *résumé*: „Spełniłem swój obowiązek, nie bacząc na różne pogróżki, które otrzymywałem w listach bezimiennych, nie zważając na obelgi, które mnie tutaj spotykały, bo wiedziałem, że z wypełnieniem obowiązku łączą się i przykrości. Macie panowie wydać wyrok sprawiedliwy, tego domaga się od was społeczeństwo; bo jacy sędziowie, takie społeczeństwo". Po tych słowach publiczność wstaje z miejsc i długo bije brawo.

Przysięgli wychodzą o 17.35 na naradę. Po godzinie jednak wracają. Przewodniczący ławy, urzędnik towarzystwa ubezpieczeniowego Adam Świderski oświadcza, że przysięgli domagają się, by prócz odpowiedzi na pytania sądu, czy oskarżona winna jest umyślnego, zaplanowanego na zimno morderstwa (wyrok: kara śmierci) czy też nieumyślnego, nieplanowanego zabójstwa (wyrok: ciężka twierdza), mogli odpowiedzieć na pytanie trzecie: czy Borowska doprowadziła do śmierci Lewickiego przez nieostrożne obchodzenie się z bronią? W takim wypadku groziłby jej zaledwie rok aresztu. Prokurator gwałtownie sprzeciwia się wnioskowi przysięgłych. Polemizuje z nim adwokat, ale przewodniczący Błonarowski rozstrzyga, że dodatkowej furtki do

złagodzenia kary oskarżonej nie będzie. Przysięgli wychodzą na naradę. O 19.15 wracają na salę. Adam Świderski odczytuje wyrok. Na pytanie, czy Borowska popełniła morderstwo, wszystkich 12 przysięgłych odpowiedziało: nie. Na pytanie, czy winna jest zabójstwa, 6 przysięgłych odpowiedziało: tak, 6: nie.

Na sali rozlegają się głośne oklaski i okrzyki protestu. Cieszą się głównie kobiety, oburzają – mężczyźni.

Na podstawie tego werdyktu trybunał wydaje wyrok uniewinniający. Do Borowskiej podchodzi aktorka Irena Solska i gratuluje uniewinnienia. Prokurator natychmiast zgłasza zażalenie nieważności wyroku. Wobec tego Borowską żołnierz wyprowadza do aresztu. Ulica przed sądem aż huczy od krzyków protestu i oburzenia.

30 stycznia 1968 ▪ wtorek

Marzec w styczniu

W Teatrze Narodowym w Warszawie pojawiają się pierwsi widzowie. Stoją cierpliwie w hallu, mimo że jest dopiero godz. 16.00, od rozpoczęcia spektaklu dzielą ich jeszcze całe 4 godziny.

Ale jakiego spektaklu!

Dziady Adama Mickiewicza w inscenizacji Kazimierza Dejmka są w Warszawie polityczną sensacją ostatnich tygodni.

Od premiery 25 listopada zeszłego roku wystawiono ledwie 10 przedstawień. Dzisiejsze ma być 11. I ostatnie. Od 2 tygodni po mieście krążą plotki, że partia zdejmuje Dejmkowskie *Dziady* z afisza. Od kilku dni po bilety dobijały się w kasach tłumy.

W środowisku opozycyjnej inteligencji i zbuntowanych studentów wycofanie *Dziadów* ze sceny wzbudza oburzenie. Od tygodnia do protestów w obronie spektaklu sposobią się studenci warszawskiej PWST. Małgorzata Dziewulska na starym prześcieradle wypisała plakatowymi farbami hasło: „Żądamy dalszych przedstawień *Dziadów*!". Andrzej Seweryn i Ryszard Peryt obdzwonili znajomych, namawiając do przyjścia na spektakl i – oczywiście – wzięcia udziału w proteście.

Także politycznie rozbudzeni studenci innych uczelni szykowali się do manifestacji na widowni podczas dzisiejszego przedstawienia. Spodziewali się efektownej rozróby kompromitującej władze, jednak żaden z nich nie przewidywał poważniejszych konsekwencji dla organizatorów i uczestników protestu.

Kłopot mieli jednak poważny – bilety na dzisiejsze przedstawienie dawno już wyprzedano. Dlatego pierwsi studenci pojawili się w teatrze już na 4 godziny przed spektaklem w nadziei, że bilety uda się odkupić od niewtajemniczonych widzów.

Dobrze po 18.00 w hallu teatru zjawia się wycieczka całej klasy licealnej z Lublina. Studenci proponują licealistkom naprawdę duże pieniądze za bilety, ale one odpowiadają niezmiennie:

– Pani nauczycielka powiedziała, że musimy to koniecznie obejrzeć.

Studenci PWST wiedzą, że w spektaklu bierze udział chór Towarzystwa Śpiewaczego „Harfa". Chórzystek i chórzystów jest tylu, że kontrolującym bilety nie sposób ich zapamiętać. Od pierwszego spektaklu chórzyści wchodzą na hasło: „Harfa". Teraz co chwilę jakiś wtajemniczony student rzuca niedbale: „Harfa", i już jest w wymarzonym teatralnym *foyer*.

Kwadrans po 19.00 wianuszek stłoczonych chętnych bez biletów uniemożliwia wejście na widownię widzom z biletami. Dyrektor

teatru dzwoni do komendy stołecznej milicji z prośbą o interwencję. Szybko zjawia się kapitan MO i ku zaskoczeniu personelu poleca wpuścić wszystkich chętnych bez biletów, blokujących drzwi.

Dziewulska, Seweryn i Peryt chowają kije od transparentu w zaułku przed wejściem do teatru. Prześcieradło z wypisanym wezwaniem do władz Dziewulska wnosi pod płaszczem.

Studenci rozpoznają na widowni twarze kilkunastu znajomych esbeków, ale nie przejmują się tym.

Na sali jest straszliwie ciasno – bez biletów weszło niemal 200 widzów. Szybko robi się duszno.

Spektakl zaczyna się z półgodzinnym opóźnieniem.

Dejmek postanowił odpowiedzieć *Dziadami* na obstalunek najwyższych władz – wszystkie teatry mają tego roku przynajmniej jednym przedstawieniem uczcić 50. rocznicę rewolucji październikowej. Gdy o swym pomyśle zawiadomił Ministerstwo Kultury, dyrektor generalny w ministerstwie Witold Balicki, odpowiedzialny za realizację polityki kulturalnej w teatrach, wpadł w panikę. Rocznicowy spektakl w Teatrze Narodowym zapewne obejrzy ktoś z radzieckiej ambasady, dopatrzy się w nim treści antyrosyjskich i będzie skandal. Tak jak skandalem skończyła się przed 2 laty w Narodowym premiera *Kordiana* Słowackiego, także w reżyserii Dejmka. Towarzysze radzieccy mieli wielkie pretensje, że Teatr Narodowy czci swoje 200-lecie sztuką antyrosyjską.

Dejmek miał jednak argumenty i dar przekonywania. Caratu nienawidził nie tylko Mickiewicz, tłumaczył dyrektorowi Balickiemu, ale też Lenin i reszta bolszewików. *Dziady* to sztuka rewolucyjna, wymierzona w tyranię, i takim właśnie spektaklem najlepiej jest uczcić rocznicę rewolucji, o ile traktuje się rewolucję tę serio, a nie na kolanach, po lizusowsku.

Dejmek ostatecznie uzyskał od Balickiego nie tylko zgodę na wystawienie *Dziadów* w ramach obchodów rocznicy Wielkiego Października, ale i 5 mln zł specjalnej dotacji.

Jako dyrektor Teatru Narodowego, Dejmek wiedział, że i tak nie ma odwrotu – wielki repertuar romantyczny, a *Dziady* w pierwszym rzędzie, musi prędzej czy później trafić na tę scenę. Jako reżyser – *Dziadów* bał się. *Kordian*, pierwszy wielki dramat romantyczny w jego inscenizacji w Narodowym, okazał się artystyczną porażką. Publiczność przyjęła *Kordiana* chłodno, recenzje w prasie były dalekie od entuzjazmu. Dejmek, który do wielkiej literatury podchodzi nader poważnie, z respektem iście nabożnym, choć skłonny jest traktować ją jako plastyczny budulec swoich wizji, podzielił tekst na 3 akty – w pierwszym pomieścił skróconą część II i sceny więzienne z części III, też skrócone, za to z całą *Wielką Improwizacją*. W akcie II – egzorcyzmy i proroctwo księdza Piotra, w III zaś – *Sen Senatora*, *Salon Warszawski*, bal u Senatora.

Scenografię przygotował Andrzej Stopka, najbliższy współpracownik Dejmka, a prywatnie – jego najlepszy przyjaciel. Budując wraz z reżyserem wizję spektaklu, odwołał się do ich wspólnych doświadczeń w scenicznym interpretowaniu staropolskich misteriów ludowych. Scenograf obmyślił każdy szczegół, nawet łańcuchy Konrada spreparował z gumy, bo obawiał się, że z prawdziwymi, żelaznymi, Gustaw Holoubek nie da sobie na scenie rady.

Kształt spektaklu ważył się do ostatniej chwili. Jeszcze na próbach generalnych Dejmek testował rozmaite warianty zakończenia. Rozważał taki, w którym Konrad powoli idzie przez całkiem pustą scenę ku proscenium i gdy od widowni dzieli go tylko kilka kroków, nagle spada przed nim kurtyna. Potem próbował tę scenę

w identycznym układzie, ale z Konradem w kajdanach. Jeszcze innym sprawdzonym wariantem zakończenia był Konrad mówiący wiersz *Do przyjaciół Moskali*. Gdy grający Konrada Gustaw Holoubek wygłosił go, dźwigając kajdany, Dejmek od razu zaprotestował: „Nie! Bez tego!!!". Wiersz i kajdany wywoływały straszliwe wrażenie.

Podczas prób ostatecznie zapadła też decyzja o rezygnacji z ostatniej sceny, w której Konrad w kajdanach idzie na zsyłkę.

Spektakl zaczyna się z półgodzinnym opóźnieniem.

Pierwszy plan sceny jest pusty. Za nim wznosi się wysoki sześciokątny podest. W głębi stoją wysokie szare wrota zwieńczone 3 parami krzyży. Stylistyczne akcenty niedwuznacznie kojarzą zamknięte wrota z drzwiami cerkwi. Po obu stronach wrót wznoszą się na pomoście piętrowe dzwonnice, nakryte niewielkimi dachami z gontów. Ich ażurowa konstrukcja w ciemności panującej na scenie jest ledwo widoczna na tle czarnej kotary. Scenografia Andrzeja Stopki jest ostentacyjnie ascetyczna.

Obrzęd dziadów. „Harfa" pod dyrekcją Jerzego Kołaczkowskiego i chór dziecięcy pod kierownictwem Tadeusza Miazgi śpiewają tekst Mickiewicza w tonacji pieśni cerkiewnych. Na widowni napięcie nie do zniesienia. Grający Guślarza Kazimierz Opaliński recytuje *Dedykację*: „Świętej pamięci Janowi Sobolewskiemu, Cyprianowi Daszkiewiczowi, Feliksowi Kółakowskiemu spółuczniom, spółwięźniom, spółwygnańcom za miłość ku ojczyźnie prześladowanym, z tęsknoty ku ojczyźnie umarłym w Archangielu, na Moskwie, w Petersburgu narodowej sprawy męczennikom poświęca autor".

Pojawienie się Gustawa Holoubka-Konrada na scenie wywołuje huraganowe oklaski.

Studenci skandują: „Dej-mek! Dej-mek!".

Kazimierz Dejmek siedzi na balkonie, na miejscu reżyserskim. Gdy skandowanie jego nazwiska przybiera na sile – ulatnia się z balkonu.

Studenci podchwytują hasło wznoszone przez siedzącego na widowni Karola Modzelewskiego, który niedawno wyszedł z więzienia na warunkowe zwolnienie: „Nie-pod-leg-łość bez cen-zu-ry!".

Po opowiadaniu Sobolewskiego, podanym przez Tadeusza Borowskiego, *Mała* i *Wielka Improwizacja*.

Widownia zamiera.

Na widowni zrywają się huraganowe brawa po kwestiach: „Wszak to już mija wiek / Jak z Moskwy w Polskę nasyłają / Samych łajdaków stek", „Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha; / Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha" czy „Pławajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi".

Przy scenach z *Salonu Warszawskiego* publiczność, klaszcząc, wstaje z miejsc.

Przeciągające się oklaski i okrzyki widowni sprawiają, że aktorzy są wyraźnie stropieni, grają powściągliwie, by do reszty nie rozhuśtać i tak już rozentuzjazmowanej widowni.

Publiczność wychodzi z Narodowego na pl. Teatralny dobrze po 23.00. Jest odwilż, zacina deszcz.

Małgorzata Dziewulska wyciąga spod płaszcza transparent, rozwija go. Seweryn i Peryt dokładają schowane przed spektaklem drążki. Podchodzą jej znajomi, studenci. Wszyscy podchodzą pod wyjście dla aktorów, by okazać im poparcie. Ale aktorzy boją się esbeckiej prowokacji, nie wychodzą.

– Nigdy nie będziemy mieli tylu ludzi, musimy coś z tym zrobić – mówi Jan Lityński do Seweryna Blumsztajna.

200 studentów rusza więc pochodem ul. Wierzbową, z transparentem Dziewulskiej na czele. Jest zimno, przeraźliwie pusto. Jedynymi widzami manifestacji są milicjanci. Na widok Zdzisława Mrożewskiego, grającego Senatora, stojącego w oknie gmachu teatru, studenci skandują: „Mic-kie-wicz! Mic-kie-wicz!".

Milicjanci otaczają pochód, jakiś oficer MO nawołuje, by się rozejść.

Manifestanci podchodzą Trębacką pod pomnik Mickiewicza. Jan Lityński przeskakuje ogrodzenie, składa pod pomnikiem wiązankę kwiatów, której ktoś nie wręczył w teatrze aktorom. Część studentów idzie w stronę Żoliborza, część skręca w Świętokrzyską i natrafia na blokadę milicyjnych nysek. Funkcjonariusze zatrzymują 30 manifestantów.

Dziady w reżyserii Kazimierza Dejmka

31 stycznia 1943 ▪ niedziela

Feldmarszałek spod lady

To już koniec. W ciemnościach zmarznięci na kość niemieccy żołnierze głośno zastanawiają się, co czeka ich w radzieckiej niewoli. Oficerowie nie mają złudzeń, są pewni, że zostaną rozstrzelani. Niektórzy ukradkiem odpruwają oficerskie naszywki. Inni w przypływie desperacji zapowiadają walkę do ostatniego człowieka, ostatniego naboju, grożą rozstrzeliwaniem defetystów. Tej nocy Rosjanie nie robią przerwy w atakach – nad morzem ruin Stalingradu jaśnieje łuna od eksplozji.

W ocalałych piwnicach, w okopach i norach wygrzebanych w zwałach gruzu tkwi niemal 100 tys. żołnierzy niemieckiej 6. Armii. Szturmowali Stalingrad od 13 września zeszłego roku. Ostatni wielki atak przypuścili przed 11 tygodniami. Ale zaciekłego oporu radzieckich obrońców nie zdołali przełamać. Rosjanie utrzymali wąski pas miasta wzdłuż rzeki. Pod koniec listopada, po wielkim uderzeniu armii radzieckich na tyły wojsk niemieckich, 6. Armia została okrążona, a potem zepchnięta w ruiny Stalingradu. Przed 3 dniami niemieckie zgrupowanie w Stalingradzie Rosjanie rozcięli na 2 części. Dowódca 6. Armii gen. Friedrich Paulus został w części południowej. Swoje stanowisko dowodzenia przeniósł do podziemi zrujnowanego uniwermagu, stalingradzkiego centralnego domu towarowego.

Po utracie ostatniego z 4 lotnisk polowych obrona 6. Armii zamieniła się w agonię. Niemieccy żołnierze wyglądają upiornie. Jedni w łachmanach skomponowanych z mundurów i jakichś szmat, inni w obszarpanych letnich drelichach i cienkich płaszczach, wszyscy wychudzeni jak szkielety, zarośnięci, brudni. Od wielu dni

szeregowcy dostają dziennie tylko 50 g chleba, oficerowie – 150. Ponad 20-stopniowy mróz, brak zimowego umundurowania i głód sprawiły, że większość ma rozległe odmrożenia. Ale walczą. Wiedzą, co niemiecka armia robiła w tej wojnie z Rosjanami, wiedzą, że teraz czerwonoarmiści biorą okrutny odwet za niemieckie zbrodnie.

Walki do ostatniego żołnierza domaga się od okrążonych Hitler. Za cenę życia 250 tys. żołnierzy chce mieć propagandowy symbol poświęcenia się dla III Rzeszy. A posłuszny gen. Paulus, choć sytuacja 6. Armii od wielu dni jest beznadziejna, o kapitulacji nie chce słyszeć. Co ważniejsze, poddać się nie ma zamiaru gen. Schmidt, szef sztabu 6. Armii. Gen. Paulus, dręczony przez biegunki, ogarnięty depresją, wyręcza się swoim szefem sztabu. To Schmidt w imieniu gen. Paulusa redaguje rozkazy i depesze do Berlina, Schmidt składa gen. Paulusowi meldunki sytuacyjne i podpowiada, co robić.

Przesłuchiwani przez NKWD niemieccy jeńcy zeznają, że sztab Paulusa znajduje się w piwnicy uniwermagu. Dowódca radzieckiej 64. Armii gen. Szumiłow rozkazuje okrążyć w nocy dom towarowy. Grupa szturmowa złożona z czołgów, piechoty i saperów o północy rusza do ataku. Rosjanie za wszelką cenę chcą wziąć do niewoli dowódcę 6. Armii. Wiedzą, że już im nie ucieknie – w ruinach Stalingradu nie może wylądować żaden samolot.

W środku nocy w kwaterze Frontu Dońskiego budzi się zlany zimnym potem marsz. Woronow. Przyśniło mu się, że gen. Paulus w ciemnościach przekrada się przez radzieckie okopy do zamarzniętej Wołgi, na której ląduje niemiecki samolot i uwozi go do Hitlera. Woronow natychmiast telefonuje do dowódcy artylerii pod Stalingradem gen. Kazakowa i rozkazuje, by wszystkie armaty wycelowano tej nocy w Wołgę. Uspokojony swym absurdalnym rozkazem, zasypia.

Radziecka grupa szturmowa przełamuje obronę niemiecką i jest coraz bliżej ruin uniwermagu. Niemiecka radiostacja w domu towarowym nadaje: „Słuchamy po raz ostatni hymnu narodowego z ramionami wzniesionymi w górę w niemieckim pozdrowieniu". Pompatyczny tekst napisał gen. Schmidt.

O 6.00 Rosjanie otaczają uniwermag. Radzieccy saperzy przecinają wszystkie przewody telefoniczne. Sztab 6. Armii nie ma już łączności ze swoimi oddziałami. Broniący uniwermagu grenadierzy pancerni po krótkiej walce przerywają ogień.

Radiostacja w podziemiach domu towarowego odbiera komunikat z Berlina: Hitler właśnie mianował gen. Paulusa feldmarszałkiem.

O 7.00 z podziemi uniwermagu wychodzi osobisty adiutant Paulusa płk Adam. Drepcze przez zaspy i gruzy do Rosjan. Radzieccy żołnierze prowadzą go do swego dowódcy st. lejtn. Ilczenki. Płk Adam oznajmia mu, że dowództwo 6. Armii chce rozpocząć rokowania.

W tym czasie gen. Schmidt budzi Paulusa i wręcza mu kartkę z radiogramem:

– Gratuluję panu awansu na feldmarszałka! Radiogram w tej sprawie nadszedł nad ranem jako ostatni.

Feldmarsz. Paulus, choć osłabiony i wyrwany ze snu, myśli zadziwiająco trzeźwo i samodzielnie:

– To wygląda jak zaproszenie do samobójstwa, ale nie mam zamiaru zrobić mu tej przyjemności.

Nie myli się w ocenie intencji Führera. Hitler, podpisując awans, zauważył, że jeszcze nigdy żaden niemiecki feldmarszałek nie został wzięty żywcem do niewoli.

Gen. Schmidt ma jeszcze gorsze wieści:

– Jednocześnie muszę panu zameldować, że za drzwiami są Rosjanie.

Lejtn. Ilczenko wchodzi z płk. Adamem do piwnic domu towarowego. Straszliwy smród brudu, gnijących ran i fekaliów zatyka oddech.

Radiotelegrafista nadaje z podziemi uniwermagu: „Składamy broń". Gen. Schmidt i gen. Roske, dowodzący grenadierami broniącymi domu towarowego, oświadczają lejtn. Ilczence, że pertraktować w sprawie kapitulacji będą jedynie z gen. Rokossowskim albo oficerami jego sztabu.

Gen. Szumiłow ze swej kwatery w miejscowości Bekietowka wysyła do ruin domu towarowego oficerów swojego sztabu. W piwnicy zamienionej w pomieszczenie sztabowe płk Adam domaga się od Rosjan pisemnych pełnomocnictw. Ci odmawiają. Do największej piwnicy schodzą się niemieccy grenadierzy, obrońcy uniwermagu. Krzyczą, wymachują bronią. Harmider opanowuje płk Adam i przeprowadza Rosjan do piwnicy sztabowej. Radzieccy oficerowie chcą rozmawiać z gen. Paulusem, ale gen. Schmidt odmawia. Tłumaczy, że Paulus jest chory i już nie dowodzi. Negocjacje trwają krótko. Niemcy przyjmują warunki radzieckie. Na żądanie gen. Schmidta Rosjanie zgadzają się pozostawić feldmarszałkowi w niewoli jego szefa sztabu, adiutanta, 2 oficerów ordynansowych, lekarza i bagaże osobiste. Teraz wreszcie gen. Schmidt wpuszcza Rosjan do piwnicy Paulusa. Dowódca 6. Armii siedzi w mundurze na łóżku. Jest wychudzony, nieogolony. Powieki drżą mu w nerwowym tiku. Na widok Rosjan wstaje i wysłuchuje warunków kapitulacji.

O 12.00 Rosjanie przewożą Paulusa i osoby towarzyszące mercedesem feldmarszałka do sztabu 64. Armii w Bekietowce. Witając się z gen. Szumiłowem, Paulus najpierw podnosi rękę

w hitlerowskim pozdrowieniu, ale szybko reflektuje się i mówi: „*Guten Tag!*". Szumiłow prosi o dokumenty. Paulus wyciąga portfel i oddaje legitymację żołnierza. Gen. Schmidt wtrąca, że jest nieaktualna:

– Wczoraj z rozkazu Führera gen. von Paulus otrzymał najwyższy stopień wojskowy w Rzeszy – feldmarszałka.

W ruinach Stalingradu Rosjanie godzina po godzinie biorą do niewoli kolejne grupy jeńców. Rannych i chorych, którzy nie mogą chodzić, dobijają. Polują na esesmanów, gestapowców, żandarmów, żołnierzy wojsk pancernych, którzy w tej wojnie szczególnie dali się Czerwonej Armii we znaki, oraz na Rosjan z niemieckich oddziałów pomocniczych. Wszystkich rozstrzeliwują na miejscu.

Rosjanie wiozą Paulusa i towarzyszy, ciągle jego mercedesem i drugim samochodem sztabowym niemieckiej 6. Armii, do sztabu Frontu Dońskiego w Zawarykinie. Paulusa pilnuje por. wywiadu Lew Bezymienski. Jeńcy zakwaterowani zostają w chłopskich chatach. Sowiecki generał rekwiruje mercedesa Paulusa dla siebie.

Wieczorem do kwatery Paulusa wkraczają gen. Malinin i płk Jakimowicz. Tłumaczą, że mają sprawdzić, czy w rzeczach osobistych jeńców nie ma ostrych przedmiotów. Gen. Schmidt unosi się:

– Niemiecki feldmarszałek nie popełnia samobójstwa za pomocą nożyczek!

Paulus macha ręką, żeby dał spokój. Rosjanie zabierają im maszynki do golenia.

Tuż przed północą enkawudziści informują Paulusa, że zaraz ma jechać na rozmowę z dowódcami Armii Czerwonej. Zdenerwowany Paulus, wkładając płaszcz, pyta szeptem gen. Schmidta:

– Co mam im powiedzieć?

Podsłuchujący ich lejtn. Torbin z NKWD z niedowierzaniem słucha bezceremonialnej odpowiedzi Schmidta:

– Nie zapominaj, że jesteś niemieckim marszałkiem.

Generał strofujący po imieniu swego przełożonego, w dodatku – marszałka? Enkawudzistę Torbina mniej zdziwiłoby dwugłowe cielę za progiem.

W domu marsz. Woronowa, któremu w nocy przyśnił się Paulus ulatujący z Wołgi do Berlina, siedzą za stołem gospodarz i gen. Rokossowski. Sławny radziecki korespondent wojenny Roman Karmen robi zdjęcia. Woronow częstuje Paulusa papierosami, ale ten odmawia. Przyjmuje propozycję wypicia herbaty.

Radzieccy dowódcy mają tylko jedną sprawę – chcą, by Paulus podpisał rozkaz kapitulacji skierowany do północnego zgrupowania resztek 6. Armii w Stalingradzie, które nadal zaciekle stawia opór. Feldmarszałek wykręca się od tego, tłumaczy, że grupa północna ma swojego dowódcę, a wydawanie przez niego rozkazu kapitulacji byłoby niegodne honoru żołnierza. Rosjanie zapędzają go w kozi róg:

– Dlaczego ratowanie życia pańskich żołnierzy miałoby być niegodne, skoro pan sam się poddał?

Paulus kręci jak dziecko złapane na kłamstwie:

– Ja się nie poddałem, lecz zostałem zaskoczony.

Woronow i Rokossowski są wściekli, ale grzecznie pytają feldmarszałka o dietę, jakiej sobie życzy.

Paulus prosi o ratowanie rannych i chorych jeńców niemieckich. Woronow odpowiada, że Armia Czerwona zawsze traktuje jeńców humanitarnie, ale w tak trudnych warunkach nie może gwarantować za skuteczność swych starań. Paulus w milczeniu wstaje, wysoko podnosi prawą rękę w hitlerowskich pozdrowieniu i wychodzi.

Friedrich Paulus – kapitulacja pod Stalingradem

Luty

1 lutego 1968 ▪ czwartek

Strzał

Nad Sajgonem wiszą słupy dymu. Płoną pojedyncze budynki w centrum i na przedmieściach. Zewsząd niesie się trzask strzałów karabinowych. To drugi dzień walk o stolicę Wietnamu Południowego, drugi dzień ofensywy Tet prowadzonej przez Ludowe Zbrojne Siły Wyzwoleńcze – komunistycznych partyzantów, których świat zna jako Wietkong.

Poprzedniej nocy w całym Wietnamie ponad 80 tys. komunistycznych partyzantów i przemyconych z północy żołnierzy regularnej armii północnowietnamskiej zaatakowało 32 spośród 44 największych miast Wietnamu Południowego. Celem ofensywy jest rozbicie armii południowowietnamskiej i wspierających ją oddziałów amerykańskich. W Sajgonie oddziały szturmowe Wietkongu uderzyły na najważniejsze cele wojskowe, na budynek radia i telewizji, Pałac Niepodległości – siedzibę prezydenta Thieu – oraz na ambasadę amerykańską. Doborowy pluton 19. Wietcongu „Ochotników śmierci" uzbrojonych w wyrzutnie rakiet i karabiny maszynowe wdarł się za wysoki mur otaczający teren ambasady amerykańskiej i zastrzelił 7 pełniących służbę na zewnątrz budynku *marines*. Ambasadę obroniło zaledwie 2 ocalałych *marines* wewnątrz budynku.

„Ochotnicy śmierci", otoczeni przez amerykańskie posiłki, bronili się do ostatniego żołnierza. Po 6-godzinnej bitwie ambasada była bezpieczna, ale w Sajgonie co i rusz wybuchają gwałtowne strzelaniny.

W sajgońskim biurze Associated Press fotoreporter Eddie Adams zastanawia się, gdzie tego ranka mogą wybuchnąć najcięższe walki. Cały poprzedni dzień spędził kilka przecznic od biura AP, w pobliżu amerykańskiej ambasady. Mimo iż walki na terenie ambasady były bardzo zaciekłe, Adams nie jest zadowolony ze swoich fotografii. Wszystko, co najważniejsze, działo się za wysokim murem okalającym ambasadę i cały jego dorobek to zdjęcia dokumentujące potyczki i chaos na pobliskich ulicach.

Adams ma znacznie większe ambicje niż większość zachodnich fotoreporterów polujących na możliwie dużo efektownych ujęć. On jest starym wojennym wyjadaczem. Jako fotoreporter wojenny wsławił się jeszcze podczas wojny koreańskiej, gdy towarzyszył w walkach amerykańskim *marines*. Do Wietnamu po raz pierwszy przybył przed 3 laty. Przed kilkoma tygodniami przyleciał na misję do Sajgonu po raz 3. Nadal uważany jest przez amerykańskich *marines* za swojego chłopa, w gruncie rzeczy za nadwornego fotografa tej elitarnej formacji. Dowódca wielkiej bazy piechoty morskiej w Da Nang gen. Lewis William Walt jest jego osobistym przyjacielem jeszcze z czasów walk 1. Dywizji Marines w Korei.

Eddiego Adamsa nie interesuje już codzienna, fotoreporterska młócka: szybkie fotki amerykańskich i południowowietnamskich żołnierzy jadących transporterami M-113 na pole walki, przeczesujących tyralierą pola ryżowe czy nawet żołnierzy wyskakujących z helikopterów i ruszających do akcji na terenie opanowanym przez Wietkong. Nie ukrywa pogardy dla panoszącej się praktyki wynajmowania przez zachodnich fotoreporterów za

parę dolarów wietnamskich kilkunastoletnich chłopców, którzy na skuterach pędzą w miejsca walk, narażając życie, trzaskają byle jakie zdjęcia i oddają urobek swym protektorom, którzy wybierają najlepsze z nich i często sprzedają agencjom jako swoje.

Adams ciągle poluje na wielkie zdjęcie, zdjęcie-metaforę, które w jednym kadrze pokaże oblicze tej bezwzględnej wojny.

Tego zdjęcia ciągle nie udało mu się zrobić. Od pierwszych dni w Sajgonie Adams jest przybity, wręcz depresyjny. Wieczorami ponuro sączy w dziennikarskim barze drinki. „To wszystko nie to" – mówi kolegom o swoich fotografiach, choć akurat szefowie AP, którzy trochę już nawet żartują z perfekcjonistycznej obsesji Eddiego, są z jego pracy bardzo zadowoleni.

Do biura AP przyjeżdża na rowerze 14-letni fotograf Lo Hung. Oddaje zdjęcia i opowiada, gdzie teraz w mieście toczą się walki. W biurze agencji zjawia się też inny młodociany Wietnamczyk z aparatem fotograficznym, 18-letni Huynh Cong Ut. Adams nazywa go Nick Ut.

Z rozmów z Wietnamczykami i kolegami po fachu powoli wyłania się obraz sytuacji w 2. dniu ofensywy Wietkongu. Ciężkie walki nadal toczą się w miejscu, gdzie zaczyna się Cholon, kiedyś chińskie miasto, teraz chińska dzielnica Sajgonu. Gdy nadchodzi wiadomość, że żołnierze Wietkongu zostali otoczeniu przez siły rządowe i zabarykadowali się w słynnym historycznym zabytku pagodzie Quan Am, której mnisi są znani z opozycji wobec rządu południowowietnamskiego, Adams decyduje się – tam trzeba być! By nie jechać w rejon strzelaniny sam, proponuje Vo Suu, wietnamskiemu kamerzyście telewizji NBC, która ma biura po sąsiedzku, wspólną wyprawę.

Obaj dziennikarze dojeżdżają w pobliże Cholon samochodem. Potem idą pieszo. Jest piękna, słoneczna pogoda, ale ulice są puste.

Na jezdniach i chodnikach porozrzucane są jakieś drobne przedmioty, gdzieniegdzie leżą puste łuski. Tu była bitwa.

Nagle zrywa się gwałtowna, krótka strzelanina. Adams i Vo idą w jej stronę szeroką ulicą z elegancką, niewysoką zabudową. Strzelanina cichnie, za to na ulicy pojawiają się południowowietnamscy *marines*. Nie widać po nich napięcia. Wyjaśniają Vo, że pagoda została odbita z rąk Wietkongu i w tym rejonie panuje już spokój.

Adams i Vo podchodzą do małej grupki wietnamskich *marines* i policjantów. Wśród nich uwagę zwraca chudy mężczyzna z wysokim czołem, w mundurze polowym z niedbale podwiniętymi rękawami. Żołnierze odnoszą się do niego z widocznym respektem. To płk Nguyen Ngoc Loan, szef południowowietnamskiej policji, dowodzący w tym rejonie oddziałami walczącymi z Wietkongiem.

Z bramy domu przy końcu ulicy 2 południowowietnamscy żołnierze wyprowadzają mężczyznę w kraciastej koszuli, bez spodni, bez butów. Mężczyzna ma związane na plecach ręce. Żołnierze ciągną go w stronę grupki wojskowych i 2 dziennikarzy. To wzięty do niewoli oficer Wietkongu Nguyen Van Lem. Widać wyraźnie, że został pobity przez żołnierzy. Adams odruchowo unosi swój 35-milimetrowy aparat i robi zdjęcie. Potem drugie. 2 m przed płk. Loan eskortujący jeńca żołnierze zatrzymują się i odstępują od niego.

Suu włącza trzymaną pod pachą kamerę. Adams trzyma w pogotowiu swój aparat. Jest pewien, że płk Loan przesłucha na gorąco jeńca. To może być niezłe ujęcie.

Płk Loan beznamiętnie podchodzi do jeńca i wyjmuje z kabury rewolwer. Twarz jeńca wykrzywia grymas trwogi, jego głowa lekko odchyla się od lufy. Płk Loan strzela mu z przyłożenia w skroń.

W tej samej chwili Adams naciska spust migawki. Stojący z boku Vo nie przestaje filmować.

Ciało zastrzelonego leży na jezdni. Z czaszki wypływa wielka kałuża ciemnej krwi. Adams nachyla się i robi jeszcze parę zdjęć zabitemu. Zauważa to płk Loan.

Podchodzi do fotoreportera i mówi: „Oni zabili wielu moich ludzi i twoich też". Potem, obojętny, odchodzi.

Adams dostarcza przez kierowcę samochodu rolkę z tuzinem fotografii egzekucji do biura Associated Press. Sam idzie do hotelu, potem z hotelowego baru wolno wędruje w stronę biura.

Gdy w biurze AP pierwsze fotografie trafiają z ciemni na ścianę, milkną maszyny do pisania. Wojenni wyjadacze w milczeniu patrzą na egzekucję jeńca.

Reporter Peter Arnett, widząc zdjęcia, porzuca pisanie i czeka na Adamsa, by zrobić z nim wywiad. Arnett ma do opisania inną wstrząsającą historię. Właśnie wrócił z prowincjonalnego miasta Ben Tre, które poprzedniego dnia zostało opanowane przez partyzantów Wietkongu. Nie mając sił, by ich z miasta wyprzeć, Amerykanie zbombardowali Ben Tre z powietrza i ostrzelali z ciężkiej artylerii. Co czwarty dom legł z gruzach, zginęły i odniosły rany tysiące cywili. Amerykański major powiedział zaraz po tym Arnettowi: „Musieliśmy zniszczyć to miasto, żeby je ocalić".

Adams wkracza do biura AP. Wygląda na zmęczonego i znudzonego, ale to tylko poza.

– Mam to, po co przyjechałem do Wietnamu – mówi jednemu z kolegów.

Fotoedytor Horst Faas wybrał 4 zdjęcia. Adams jest zły, domaga się, by wysłać w świat wszystkie. Ale transmiter radiowy jest już wyłączony. Następna transmisja – nad ranem.

Gen. Nguyen Ngọc Loan wykonujący wyrok na oficerze Wietkongu

2 lutego 1709 ▪ czwartek

Wracamy do domu, Alex

Pierwszy oficer Thomas Dover gromkim głosem wykrzykuje w ciemnościach komendy. Opadają kolejne żagle, wreszcie z łoskotem idzie za burtę kotwica. Piękny okręt „Duke", mający 320 t wyporności i niosący 30 dział, zatrzymuje się u wejścia do jednej z zatoczek wyspy Mas a Tierra. Za nim zatrzymują się mniejszy, 260-tonowy „Duchess", uzbrojony w 26 dział, i bryg

„Marquis". „Duke" jest okrętem flagowym brytyjskiej wyprawy korsarskiej dowodzonej przez kpt. Woodesa Rogersa.

Kpt. Rogers w zeszłym roku otrzymał list kaperski od Pierwszego Lorda Admiralicji, zezwalający mu na atakowanie okrętów Hiszpanii i Francji. Z tymi państwami Anglia toczy właśnie wojnę. Oba korsarskie okręty ufundowane zostały przez spółkę akcyjną prywatnych angielskich inwestorów. Połowę łupów dostaną finansiści, drugą połowę będą mogły podzielić między siebie załogi.

Woodes Rogers to znany żeglarz i korsarz, ale najsłynniejszym w morskim światku uczestnikiem wyprawy jest nawigator William Dampier. Korsarstwem trudni się od 30 lat, lecz nieobce są mu pasje naukowe i literackie. W czasie korsarskich rejsów, prócz polowania na wielki łup, lubił zapuszczać się na nieznane morza w poszukiwaniu nieodkrytych lądów; nawet w najtrudniejszych warunkach systematycznie prowadził osobisty dziennik podróży. W 1683 roku w składzie korsarskiej załogi opłynął przylądek Horn i brał potem udział w napadach na hiszpańskie porty w Peru, Panamie i Meksyku. Potem popłynął na Ocean Spokojny i przez Mariany, Filipiny i Moluki w roku 1688 dotarł do północno-zachodnich wybrzeży Australii. Skłócony z załogą, został w końcu wysadzony przez kamratów na wyspach Nikobarach. Stamtąd przedostał się do Azji, gdzie wiódł bajkowe życie awanturnika. W końcu wrócił do Anglii, gdzie swe przygody opisał w pamiętnikach *New Voyage the World*. Bardzo poczytnych pamiętnikach. Tak bardzo, że angielska Admiralicja w 1699 roku powierzyła mu misję poszukiwania nieznanego jeszcze, wielkiego lądu na Morzach Południowych. Na statku „Roebuck" opłynął Przylądek Dobrej Nadziei, dopłynął do wybrzeży Australii, odkrył tam Zatokę Rekinią i grupę wysp, którą nazwał, oczywiście, Archipelagiem Dampiera. Potem popłynął wzdłuż wybrzeży Nowej

Gwinei i stwierdził, jako pierwszy zachodni żeglarz, że Nowa Brytania oddzielona jest od niej cieśniną. Cały czas, rzecz jasna, prowadził osobisty dziennik podróży. Wrócił do Londynu po 4 latach i zaraz zasiadł do spisywania dzieła V*oyage to New Holland*. Odniosło jeszcze większy sukces. Dampier wezwany został przed oblicze królowej Anny. Pierwszy Lord Admiralicji przedstawił go jako najwybitniejszego współczesnego żeglarza i nawigatora. Najjaśniejsza Pani przez kilka godzin słuchała opowieści Dampiera o nieznanych morzach i lądach. Oba jego dzieła, pełne fascynujących informacji o nieznanej zamorskiej faunie, florze i minerałach, cieszyły się wielką poczytnością.

Nic więc dziwnego, że kapitan Woodes Rogers powierzył mu funkcję pilota i kartografa swej kolejnej korsarskiej wyprawy.

Brytyjscy korsarze wyruszyli latem zeszłego roku z Anglii na „Duke" i „Duchess", by na wodach Pacyfiku łupić hiszpańskie statki przewożące cenne metale z kopalń w Chile, Peru i Meksyku. Świadectwem ich pierwszego sukcesu jest bryg „Marquis" – niedawno korsarze zdobyli go od Hiszpanów.

Wyspa Mas a Tierra to jedna z 3 niedużych wysp Juan Fernandez, leżących samotnie na Pacyfiku, ok. 640 km na zachód od portu Valparaiso w środkowym Chile. Odkrył je przed 1,5 wiekiem hiszpański żeglarz Juan Fernandez, ale do dziś nie są zamieszkane. Od stulecia te 3 wyspy są ulubionym schronieniem piratów i korsarzy. W zacisznych zatokach można bezpiecznie, w samotności odpocząć i naprawić uszkodzone okręty. W lasach jest dość dobrego drewna na naprawy kadłubów i masztów, dość świeżej wody i dość świeżego mięsa. Pełno tu ptactwa i dzikich kóz, potomstwa zwierząt pozostawionych ongiś przez marynarzy.

Ale dzisiejszej nocy kpt. Rogers, pierwszy oficer Dover i nawigator William Dampier patrzą na Mas a Tierra z niepokojem.

Na bezludnej wyspie płonie w ciemnościach ognisko. To mogą być tylko wrodzy Hiszpanie albo konkurencyjna wyprawa piratów. Tak źle, i tak niedobrze. Szczupły, żylasty kpt. Rogers decyduje się pozostać na kotwicy do rana. Gdy wstaną poranne mgły, „Duke" i „Duchess" będą miały sporą przewagę nad okrętami cumującymi w głębi zatoczki. Korsarskie załogi dostają zakaz używania ognia, by do świtu przeciwnik nie zdołał się przygotować do walki.

W kapitańskiej kajucie Rogers, Dover i Dampier nad szklaneczką grogu deliberują, kto może palić ognisko na bezludnej wyspie. Dampier jest pewien, że nikt tu nie mieszka na stałe. Wyspę Mas a Tierra zna dobrze – jest tu już 2. raz. Przed 4 laty z okładem, w 1704 roku, dowodził statkiem korsarskim „Cinque Ports". Z Anglii płynął dookoła Przylądka Horn na Pacyfik, by tam łupić bogate statki Hiszpanów. Ale Horn to trudny orzech do zgryzienia nawet dla doświadczonych żeglarzy. „Cinque Ports" 3 razy usiłował opłynąć straszliwy, smagany huraganami przylądek i 3 razy wichury spychały poturbowany okręt na Atlantyk. Co trzeci marynarz rozchorował się wtedy na szkorbut, jeden zmarł. 28-letni pierwszy oficer Aleksander Selkirk ostrzegał Dampiera przed buntem, ale ten, żądny łupów, zaatakował drogę na Pacyfik raz jeszcze. I udało się. Pokiereszowany „Cinque Ports" dowlókł się do wysp Juan Fernandez. Wszyscy oczekiwali paru tygodni odpoczynku i przeprowadzenia remontu pokiereszowanego okrętu. Niespodziewanie Dampier zarządził wyjście w morze. Doświadczony, choć młody żeglarz Selkirk obawiał się, że w takim stanie rejs skończy się katastrofą. Zażądał, by wysadzono go na bezludnej wyspie Mas a Tierra. Sprawę postawił jasno: woli poczekać na kolejnych angielskich korsarzy, nawet i parę tygodni, i zabrać się z nimi, niż z Dampierem iść na dno Pacyfiku. Dampier nie lubił Selkirka, więc z ulgą zgodził się. Selkirk zabrał rusznicę,

trochę prochu, kul, maczetę, nóż, woreczek tytoniu, kociołek, swoje instrumenty nawigacyjne, Biblię i trochę książek. Od tego czasu, opowiada kpt. Rogersowi nad szklanką grogu William Dampier, na pewno dawno już ktoś Selkirka stąd zabrał.

Wstaje świt. Aleksander Selkirk czujnie budzi się w swej chacie na Mas a Tierra. Zbudował ją przed 4 laty i 4 miesiącami, tuż po zejściu na ląd z pokładu „Cinque Ports", z pni drzewa pieprzowego. Pokrył ją długą suchą trawą, wytrzymującą najtęższe burze. Selkirk zrzuca z siebie tuzin kotów, wstaje z posłania. Gdy zaczął poznawać wyspę, okazało się, że prócz zdziczałych kóz żyją tu inni zdziczali zbiegowie z hiszpańskich statków: szczury i koty. Selkirk wyścielił chatę skórami upolowanych kóz, ale nie mógł spać. Nocą szczury obgryzały mu palce u nóg. Zwabił więc kozim mięsem i oswoił tuzin kotów – odtąd miał ze szczurami spokój. I wreszcie miał jakieś towarzystwo. By nie oszaleć z samotności, ze swoimi kotami i oswojonymi później kozami prowadził rozmowy, a nawet nocne tańce w świetle księżyca.

Selkirk pałaszuje śniadanie: owoce i kozie mleko. Dzięki tej diecie przez 4 lata schudł, nabrał siły i wulkanicznej energii. Nigdy nie zachorował. Wychodzi na brzeg i zamiera. Po raz pierwszy od 4 lat i 4 miesięcy widzi na morzu statek. Wpatruje się i dostrzega angielską flagę. Jak szalony biegnie na wzgórze i wymachuje rękami. Na widok człowieka na brzegu kpt. Rogers poleca spuścić na wodę szalupę. Marynarze dopływają do brzegu, niepewnie wychodzą na ląd. Są wstrząśnięci widokiem odzianego w skóry dzikusa powiewającego półmetrowej długości brodą i włosami. A jeszcze bardziej szokuje ich powitanie przez tego barbarzyńcę: mówi trochę nieskładnie, niezdarnie, ale po angielsku! Oficerowie i marynarze oglądają ze zdumieniem gospodarstwo Selkirka, wysłuchują jego nieporadnych opowieści. Przez te lata zapomniał

wielu słów. Kapitan chce uzupełnić zapasy i zarządza polowanie na dzikie kozy. Niespodzianka: Selkirk biegnie za nimi w laskach tak szybko, że marynarze i ich psy łowcze padają ze zmęczenia.

Wieczorem Selkirk i Dampier, otoczeni rojem korsarzy, wspominają dzieje sprzed 4, z okładem, lat. Selkirk odwykł od rumu i po pierwszej szklance język całkiem się mu plącze. Żeglarze kiwają głowami: dziwna historia, ale piratom i korsarzom nie takie się przecież dziwy przydarzają. Nikomu nie przechodzi nawet przez myśl, że po powrocie do Anglii przygody Selkirka opisze zawodowy literat.

3 lutego 1558 ▪ poniedziałek

Gwałtem dać nic nie możesz

Rankiem do posłów na sejm zwołany do Piotrkowa przychodzą wojewoda sandomierski Wawrzyniec Spytek Jordan i kanclerz wielki koronny Jan Ocieski w towarzystwie wojewody poznańskiego Marcina Zborowskiego. Ocieski i Jordan to zaufani doradcy króla Zygmunta Augusta, szczodrze nagradzani przez monarchę licznymi nadaniami i przywilejami. Kanclerz przemawia do posłów w imieniu króla: przekonuje, iż główne postulaty posłów, jako to zacieśnienie unii z Litwą wedle żądań strony polskiej, kwestia respektowania swobód religijnych, wreszcie rewindykacja dóbr i przywilejów królewskich znajdujących się w nieprawnym posiadaniu osób prywatnych, muszą być odłożone do następnego sejmu. Reformatorsko nastawiona część szlachty od dawna już domaga się wykonania, czyli egzekucji, dawnych praw dotyczących tych kwestii. Król nie jest zainteresowany

wykonaniem programu egzekucjonistów. Monarcha oparł się na nowej elicie władzy, którą przywiązuje do siebie licznymi nadaniami królewszczyzn. Nadawał je zresztą licznie i swym przeciwnikom, by ich przekupić, zwłaszcza w czasach swej walki o małżeństwo z Barbarą Radziwiłłówną.

Kanclerz Ocieski w imieniu monarchy wzywa posłów do zajęcia się raczej uchwaleniem podatku na wojsko niż roztrząsaniem, kto i jakie beneficja królewskie nieprawnie dzierży.

Odpowiada mu poseł ziemi sandomierskiej Kietliński. Twardo mówi on, że z takich przemówień jak kanclerza nie wyniknie nic dla Rzeczypospolitej dobrego, i wzywa ogół posłów: „Aby nas obwiniać [o szukanie bezprawnych majątków u innych, gdy samemu nie jest się bez winy] nie można było, dajmy im asumpt, czyniąc tak: jeśli jest między nami ktoś, kto wbrew prawu trzyma jakie majątki, chodźmy wszyscy z tym do króla, pana naszego, i oddajmy mu wszystko nieprawnie trzymane. I wezwijmy też panów z rady, aby uczynili to samo. Wszak nam obiecują i przysięgają, że nie chcą w tej sprawie szkodzić Rzeczypospolitej ani usprawiedliwiać swej nieprawości. Ujrzyjmy zatem, jak czynią to, co obiecali. A jeśli tak istotnie uczynią, egzekucja może się dokonać w kilka dni raptem".

Na koniec Kietliński deklaruje: „A jeśli uczynią, jak powinni i obiecywali, wtedy o obronie granic radzić będziemy".

Nikt nawet nie zamierza głosować nad wnioskiem Kietlińskiego. Posłowie wołają: „Tak! Tak! Zgoda! Chodźmy!", wstają hurmą i idą do swych stancji po dawne nadania ziem dziś przez nich nieprawnie trzymanych. Nie mija czasu wiele, gdy tłum posłów wkracza do sali rady. Za stołem, w otoczeniu rady i senatorów, siedzi Zygmunt August. W imieniu posłów przemawia do monarchy Mikołaj Sienicki:

„Nic innego w rządzeniu Rzecząpospolitą nie przeszkadza bardziej niźli łakomstwo tych, którzy dobra Rzeczypospolitej zabrali, choć wszędzie oni, także w radzie Waszej Królewskiej Mości, oświadczają, że dla dobra Rzeczypospolitej zwrócić je są gotowi. I oto my, osądziwszy się sami, co kto z nas wbrew prawu trzyma, przyszliśmy do Waszej Królewskiej Mości i zwracamy Rzeczypospolitej nieprawne przywileje jakie kto ma, składamy je u stóp Waszej Królewskiej Mości. A radzi jesteśmy, że to czynimy, bo wiemy, że w tym przypadku najtrudniej było o pierwszy krok. A mamy tę nadzieję, że inni, czy to z rady Waszej Królewskiej Mości, czy też ci, co tu prywatnie są obecni, kimkolwiek by byli, uczynią to co i my, zaraz, nie dając się w tym dziele napominać".

Sienicki kończy przemowę zawoalowaną groźbą pod adresem tych obecnych na sali możnych, którzy by pójść w ślady posłów nie chcieli – czeka ich infamia.

Teraz po kolei posłowie podchodzą do stołu królewskiego. W ciszy jak makiem zasiał każdy głośno oświadcza, jakież to dobra ziemskie czy też myta, od przeprawy przez rzekę, grobli, mostu, z rogatek, ciągle nieprawnie dzierży. Poczem nieważne już nadanie składa na stole przed królem.

Na stole rośnie góra papierów. A wszystko odbywa się w ciszy, w niemym zadziwieniu tłumu świadków.

Przed królewskim stołem stają kasztelan krzywieński Marcin Zborowski, pan Herbutt, kasztelan lubaczowski i podkomorzy łęczycki Stanisław Lasocki. Zwracając swe kasztelanie i podkomorstwo, zgodnie trzej oświadczają, iż dobra, jakie teraz oddają, nie są bynajmniej trzymane bezprawnie, bo ich przodkowie otrzymali je za wielkie dla Rzeczypospolitej zasługi i krew dla niej przelaną. Wolą je wszakże oddać, gdy wolność Rzeczypospolitej tego wymaga.

Gdy już wszyscy posłowie swe papiery rzucili na stół i przyległe doń ławy, wstaje jeden z możnych panów, członek królewskiej rady, podskarbi koronny Stanisław Tarnowski. W ręku trzyma papiery z nadaniami, które do dziś dzierży. Tarnowski grzecznie dziękuje monarsze za wszystkie dobra i tyczące się ich dokumenty kładzie na stos podobnych im, choć wartością o wiele skromniejszych, papierów rzuconych przez posłów. Podskarbi dodaje jeszcze, że Bogu dziękuje, iż doczekał się takiego dnia, a posłom dziękuje za to, że dali asumpt do tak szlachetnych czynów.

Ledwie Tarnowski kończy, wstają inni z wielkich panów: senatorowie, arcybiskup, biskupi, wojewodowie, kasztelanowie. Każdy objaśnia wszem i wobec, jakie to dobra trzymane nieprawnie oddaje, po czym rzuca papier na stół przed królem. Wielu z możnych panów, czując już podczas wystąpień posłów niezwykłą podniosłość chwili, posłało sługi swe do kwater po stosowne dokumenty. Ci, którzy dokumentów z nadaniami na sejm nie przywieźli, wszem i wobec opowiadają o swych nieprawnie dzierżonych dobrach i przywilejach i deklarują, że niezwłocznie je zwrócą.

Wojewoda podolski i marszałek wielki koronny Jan Mielecki zwraca ogromnej wartości nadania otrzymane od siedzącego na sali Zygmunta Augusta – królewszczyzny i kilkanaście wiosek w województwach ruskim i podolskim. Król nigdy Mieleckiemu nie ufał – wyniesienie go na urząd marszałka wielkiego koronnego i nadania te były typowym posunięciem Zygmunta Augusta, mającym zneutralizować niezbyt chętnych mu wielkich panów.

Jan Mielecki, oddawszy teraz nienależne dobra królowi, prosi monarchę, by ten odebrał mu i województwo, i marszałkostwo, jeśli tylko uzna, że dzierży je niezgodnie z prawem. Potem Mielecki stawia przed obliczem Stanisława Augusta swego syna, który

publicznie zwraca ekspektatywę, czyli obietnicę objęcia w przyszłości, na starostwo grodzkie.

Ale niejeden z możnych rzuca na ofiarny stos przed królem dokumenty pomniejszej wagi, skrzętnie pomijając najintratniejsze z dóbr, które winien oddać.

Gdy panowie z rady kończą zwracać swe nadania, dokumenty piętrzą się na stole przed królem, na sąsiednich ławach, a na podłodze ścielą się na kształt grubego dywanu.

Stanisław August siedzi nieporuszony. Gdy wystąpienia kończą się, wstaje i usuwa się z radą królewską radzić na stronie.

Po zakończeniu narady wolę Zygmunta Augusta oznajmia posłom kanclerz Jan Ocieski, jeden z większych beneficjentów wątpliwych nadań królewskich (jest on też kasztelanem bieckim, starostą generalnym krakowskim, starostą grodowym sądeckim, dzierżawcą tenuty olsztyńskiej i ziem w Samborskiem, nadto dzierży on miasteczka Dobczyce i Czarnogórę wraz z 15 przyległymi wioskami), a zarazem jeden z zagorzalszych przeciwników ruchu egzekucyjnego.

Kanclerz najpierw oznajmia, iż król wdzięczny jest posłom, że nie bacząc na osobiste i przodków swych zasługi, oddali swe przywileje, a przykładem swym do podobnego czynu panów z królewskiej rady przywiedli. Znak to, że odtąd posłowie i panowie zgodnie będą się starać o dobro Rzeczypospolitej, o zaniechanie czego jedni drugich wcześniej obwiniali, mówi w imieniu monarchy Ocieski. Ale – przechodzi do rzeczy kanclerz – mówi się już o zakończeniu tego sejmu, więc rzecz tak poważna na tym sejmie załatwiona być nie może. Zatem z polecenia króla dotychczasowi posiadacze niechaj swe dokumenty wezmą z powrotem.

Zachęceni przez króla możni panowie podchodzą do stosu dokumentów i żywo bobrują w papierach, szukając swoich nadań, dopiero co dumnie zwróconych. Co i rusz któryś z nich odchodzi

uradowany z odzyskanymi drogocennymi a bezprawnymi darowiznami.

Ale posłowie są oburzeni.

– Nie potośmy listy te przed Waszą Królewską Mość przynieśli, aby z nich tylko taka komedia być miała – grzmią.

Wielu posłów głośno woła, że zwróconych listów z przywilejami brać z powrotem nie będzie. Na to król sam pochyla się nad stosem papierów, przegląda je i wtyka do ręki byłym już właścicielom.

Gorący zwolennik egzekucji praw Ożarowski, który zwrócił przywilej na wieś Przybysławice, protestuje:

– Wziąć mi, panie mój, gwałtem co możesz, ale dać mi gwałtem nic nie możesz.

Zygmunt II August

4 lutego 1930 ▪ wtorek

Przebieranki bandytów

Paryscy roznosiciele prasy mają pełne ręce roboty. Wielu przechodniów kupuje naraz po 2 i po 3 różne tytuły. Od dawna już żadna sprawa nie wywoływała w Paryżu takich emocji jak tajemnicze zniknięcie gen. Kutiepowa. Został porwany przez czekistów czy może jednak wyruszył w tajnej misji do Związku Radzieckiego, by tam stanąć na czele antykomunistycznego powstania? Żyje czy został zamordowany?

Aleksander Pawłowicz Kutiepow był jedną z kluczowych postaci rosyjskiej emigracji politycznej na Zachodzie – kierował Rosyjskim Związkiem Ogólnowojskowym (ROWS), centralą jednoczącą rozmaite organizacje białogwardzistów marzących o obaleniu reżymu bolszewików.

Jako młody oficer brał udział w wojnie z Japonią w 1905 roku, podczas wojny światowej dosłużył się dowództwa pułku piechoty. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej od razu wstąpił w szeregi kontrrewolucyjnej Armii Ochotniczej. Najpierw dowodził dywizją piechoty, a latem 1918 roku, gdy biali Rosjanie zajęli port Noworosyjsk, mianowany został gubernatorem generalnym obszaru Morza Czarnego. Potem dowodził korpusem w armii Denikina i bił się z bolszewikami na południu Rosji, w szeregach armii gen. Wrangla. Zasłynął osobistą odwagą; o jego talentach dowódczych mawiano już różnie. Po klęsce i ucieczce białych Rosjan Wrangla z Krymu gen. Kutiepow, wraz ze swoimi oddziałami, ewakuowany został w zimie 1920 roku do Turcji, na półwysep Gallipoli. W końcu, przez Bułgarię, trafił do Francji.

W Paryżu Kutiepow zorganizował i stanął na czele kombatanckiej organizacji „gallipolijczyków”, swoich byłych żołnierzy, którzy po

klęsce Wrangla przeszli przez obóz na Gallipoli. Przed 2 laty, po śmierci gen. Wrangla, Kutiepow został szefem ROWS.

W liczącej 300 tys. białych Rosjan emigracji we Francji energiczny, przystojny, z posiwiałymi skroniami i przyczernioną brodą Kutiepow cieszył się opinią „żelaznego generała", zdecydowanego na wszystko, przebiegłego konspiratora. W rzeczywistości był niepoważnym nieudacznikiem, żyjącym w świecie złudzeń. Gen. Korniłow mawiał o nim szyderczo, lecz trafnie, że był „człowiekiem o lwim sercu i baranim mózgu". Reputację generała nadszarpnęła operacja „Trust", gigantyczne przedsięwzięcie bolszewickich tajnych służb, nadzorowane przez Biuro ds. Dezinformacji OGPU (następcy osławionej Czeka), w którym zaangażowano ponad 5 tys. funkcjonariuszy i agentów. Zorganizowali oni fikcyjną Monarchistyczną Organizację Rosji Środkowej, rzekomo kierującą antybolszewickim podziemiem w Związku Radzieckim. Nawiązała ona kontakt z organizacjami białych Rosjan na Zachodzie i łudziła je informacjami o rychłym wybuchu powstania przeciw czerwonej władzy. Agenci „Trustu" przeniknęli do organizacji emigracyjnych i zdołali zwabić do ZSRR, w fikcyjnych tajnych misjach, wielu ich działaczy. W taki sposób ujęto w ZSRR i zamordowano najsłynniejszych tajnych agentów lat 20.: Borysa Sawinkowa i agenta brytyjskiego Sidneya Reilly'ego. Zwabiono także gen. Kutiepowa, który przed 4 laty potajemnie wyruszył z Paryża do ZSRR, by zreorganizować rzekomo istniejące tam rozległe podziemie zbrojne. Przestrzeżony tuż przed przekroczeniem sowieckiej granicy Kutiepow szczęśliwie wrócił do Francji.

Ani ta przygoda, ani ujawnienie przed 3 laty operacji „Trust" przez Moskwę i skompromitowanie w ten sposób nieudolnej, naiwnej, przeżartej przez agenturę OGPU białej emigracji niczego gen.

Kutiepowa nie nauczyły. Owszem, nie krył obaw przed zamachem agentów Kremla na swoje życie i nie rozstawał się z ochroniarzami, wiernymi mu „gallipolijczykami". Nie wierzył jednak, by sowieckie tajne służby mogły spenetrować jego otoczenie. Tymczasem OGPU zdołało zwerbować m.in. adm. Kryłowa, gen. Monksjewicza – którego następnie sowieccy agenci zamordowali – a nawet byłego szefa sztabu gen. Kutiepowa z lat wojny domowej, zaprzyjaźnionego z nim gen. Steifona.

Na nieszczęście dla Kutiepowa Moskwa widziała w nim groźnego przeciwnika, a nie bezsilnego, nieudolnego emigranta, jakim był w rzeczywistości. Rozkaz porwania i dostarczenia go na Łubiankę osobiście wydał Stalin. Plan akcji przygotował Jakow Izaakowowicz Sieriebrianski, szef Oddziału I Zarządu Zagranicznego OGPU, zwanego w czekistowskim żargonie „administracją zadań specjalnych", czyli organizacją zabójstw za granicami ZSRR. Na miejscu, w Paryżu, akcję przygotował doświadczony oficer OGPU Siergiej Puzicki, który wcześniej brał udział w operacji „Trust". Porwanie poszło jak z płatka. Przed 9 dniami zdradziecki gen. Steifon o 10.30 wywabił generała bez asysty ochroniarzy z domu przy ul. Rousselet. Steifon skłamał, że w rosyjskiej cerkwi niedaleko od domu Kutiepowa czeka na posłuchanie 2 emisariuszy antysowieckiego podziemia, którzy świeżo przybyli z Rosji. W rzeczywistości w szarej limuzynie czaili się rezydent OGPU w Paryżu Nikołaj Kuźmin i nielegał OGPU we Francji Andriej Fichner. Pomagał im autentyczny paryski policjant w mundurze, potajemny członek partii komunistycznej. Użycie do pomocy policjanta było pomysłem Sieriebrianskiego – w ten sposób przypadkowi świadkowie porwania byliby pewni, że obserwują aresztowanie w majestacie prawa przez francuską policję.

Akcja przebiegła sprawnie. Na ulicy Oudinot idącemu pieszo Kutiepowowi zajechały drogę duża szara limuzyna i mniejszy czerwony samochód. Generała po krótkiej szamotaninie obezwładniono i przewieziono do sowieckiej ambasady przy ulicy Grenelle. Stamtąd natychmiast wyruszono samochodem z uprowadzonym do portu w Breście, gdzie czekał już sowiecki statek handlowy. By zyskać na czasie i umożliwić bezpieczną podróż agentów, po południu Steifon zatelefonował do zaniepokojonej żony gen. Kutiepowa i obiecał, że dowie się, gdzie jest mąż – pod warunkiem że zachowa ona w tej sprawie całkowitą dyskrecję.

Szczęście opuściło porywaczy już na pokładzie statku. Zamroczony eterem gen. Kutiepow dostał zawału serca i zmarł.

Nie wie o tym prowadzący śledztwo najlepszy komisarz francuskiej policji politycznej François Bidet. Ale i tak do dziś zdołał zgromadzić imponującą wiedzę o przebiegu porwania. Sklepik z tytoniem, założony przed paroma miesiącami w pobliżu domu, gdzie mieszkał Kutiepow, przez nieznanych nikomu rosyjskich emigrantów, w dniu porwania został zlikwidowany. Właściciele znikli. Posługacz szpitalny Alzatczyk Steinmetz, trzepiąc dywan w oknie Szpitala św. Jana, zauważył, że przy brodatym mężczyźnie w kapeluszu, idącym ulicą Oudinot w stronę rosyjskiej cerkwi, zatrzymała się szara limuzyna. 2 pasażerowie z pomocą francuskiego policjanta ujęli mężczyznę, wepchnęli go do samochodu i wszyscy razem odjechali. Steinmetz zrazu nie zgłosił tego na policję, gdyż był przekonany, że aresztowania nieznajomego dokonała właśnie paryska policja.

Podobnie zareagował agent policji Chaveau, gdy krótko po 11.00 zobaczył w pobliżu pl. Vauban duży szary samochód prowadzony przez szofera, a w nim czterech gwałtownie szamoczących się mężczyzn. Jeden z nich, po cywilnemu, zatykał ręką usta mężczyźnie

z czarną brodą. Chaveau nie zareagował, gdyż jednym z pasażerów przytrzymujących szarpiącego się brodacza był umundurowany francuski policjant. Tuż za limuzyną pędziło małe czerwone auto.

Chaveau dopiero dziś zgłasza się do komisarza Bidet i składa zeznania. Komisarz nie ma już cienia wątpliwości, że porwania dokonała jaczejka sowieckich agentów.

Wątpliwości w tej sprawie nie ma też prasa. Tylko komunistyczna „L'Humanité" drukuje sowieckie oświadczenia, próbuje zacierać ślady. Reporterzy pism „Echo de Paris", „Ami du Peuple" i „Paris-Midi" prowadzą niezależne śledztwo dziennikarskie i ujawniają kolejnych agentów OGPU śledzących w ostatnich dniach Kutiepowa oraz świadków, którzy widzieli duży szary samochód z 4 pasażerami i małe czerwone auto jadące pośpiesznie w stronę północnego wybrzeża Francji.

Deputowani francuscy Taitenger i Scapri od rana domagają się w parlamencie, by rząd uchylił eksterytorialność sowieckiej ambasady przy ulicy Grenelle i dokonał tam rewizji. Emigracyjne pismo rosyjskie „Wozrożdienije" publikuje oświadczenie: „A więc władza sowiecka czyni gen. Kutiepowa swym zakładnikiem, a tym samym niejako oświadcza nam, że możemy wszystkich jej agentów zagranicznych również uważać za swych zakładników".

Deklaracja „Wozrożdienija" wzbudza panikę przy ulicy Grenelle. Sowiecki ambasador Dowgalewski czym prędzej jedzie do premiera Tardieu i domaga się otoczenia gmachu ambasady kordonem uzbrojonej francuskiej policji. Na wieść o tej interwencji słynący ze zjadliwości prawicowy publicysta Léon Daudet oświadcza: „Jeżeli istnieją bandyci przebrani w mundury policjantów, to na ulicy Grenelle znajduje się przywódca tych bandytów, przebrany w mundur ambasadora". Po tej ripoście panika przy ulicy Grenelle sięga zenitu. W oknach ambasady jej pracownicy z rewolwerami

i latarkami w ręku wypatrują napastników. O zmroku gmach otaczają bojówki uzbrojonych członków francuskiej partii komunistycznej. Ale z wyjątkiem francuskiej prasy nikt ambasady nie atakuje.

Gen. Aleksander Kutiepow

5 lutego 1869 ▪ piątek

Witaj, Nieznajomy!

Uderzający w twardą ziemię niedużym kilofem mężczyzna przypomina nieco bajkowego trolla: nieforemny kapelusz z opadającym, niezbyt szerokim rondem spoczywa na zbyt dużej, jak na dość szczupłe ciało, głowie. Dysproporcję tę podkreśla jeszcze zmierzwiona siwa broda. Mężczyzna ma na sobie sfatygowaną koszulę z odpiętym kołnierzykiem, a na niej nosi złachaną kamizelkę. Zwyczajne czarne spodnie opadają na zniszczone buty z mocnymi podeszwami.

John Deason od późnego ranka kopie kilofem między korzeniami drzewa eukaliptusowego. Po ostatnich burzach zazwyczaj suchy jak pieprz grunt w okolicach Czarnej Rafy, na złotonośnym polu Moliagul w dystrykcie Dunolly, w australijskiej prowincji Wictoria, 200 km na północny zachód od Melbourne, jest wilgotny, a liczne zagłębienia i doły wykopane przez poszukiwaczy złota pełne są wody. To dobry czas na wymywanie na wielkich sitach złotych okruszków z ziemi. Deason właśnie spulchnia ilastą czerwoną ziemię, by potem rzucać ją łopatą na sito i wymywać złoty urobek. 32-latek Deason jest Kornwalijczykiem, podobnie jak jego wspólnik i przyjaciel, o 3 lata starszy Richard Oates. Obaj przypłynęli do Australii przed 7 laty zwabieni sławą bogatych złóż złotonośnych Victorian Gold Fields w dystrykcie Dunolly. Gorączka złota zaczęła się na tych terenach już na początku lat 50. XIX wieku i trwała, nie słabnąc, przez całe lata 60. W tym czasie z pól Wiktorii wydobyto ogromną ilość – 1100 t – czystego złota. Tajemnicą poliszynela było jednak to, że wielu poszukiwaczy wolało nie zgłaszać władzom wydobytego przez siebie kruszcu i nie sprzedawać go po cenach oficjalnych działającym w hrabstwie Dunolly bankom. Brytyjska administracja kolonialna szacuje, że

przynajmniej drugie tyle wydobytego złota poszukiwacze zataili przed nią. A to znaczy, że w ciągu 20 lat z aluwialnych gruntów Pól Wiktorii wydobyto grubo ponad 2 tys. t kruszcu. Nie ogólna masa pozyskiwanego w Dunolly złota jednak najbardziej rozpalała i ciągle rozpala wyobraźnię poszukiwaczy, lecz liczba znalezionych tam samorodków. Ponad 1300 samorodków o wadze przynajmniej 600 g każdy – to rekord wśród aluwialnych pól złotonośnych na świecie. Wśród nich aż 400 samorodków ważyło przynajmniej 3 kg! Największy znaleziony na świecie samorodek wykopano 9 czerwca 1858 roku w Ballarat, w połowie drogi z Moliagul do Melbourne. Ważył 70 kg 30 dkg.

Na polach Wiktorii już od blisko 30 lat znalezienie wielkiego samorodka nie jest sensacją, lecz wydarzeniem na tyle częstym, że część poszukiwaczy w szczycie gorączki złota ograniczała się do polowania na wielkie kęsy żółtego metalu, zaniedbując mozolne przepłukiwanie ton ilastej gleby w poszukiwaniu złotego piasku.

Najlepsze czasy Pola Wiktorii mają jednak za sobą. Wydobycie kruszcu spada z roku na rok, znalezienie samorodków zgłaszane jest coraz rzadziej, a te wykopane bryłki kruszcu są coraz mniejsze. W dystrykcie Dunolly pozostało już niewielu z ponad 500 poszukiwaczy, którzy pracowali tu kilkanaście lat temu, w szczycie gorączki złota. Mimo to większość działek złotonośnych na polu Moliagul, które ma 3 mile długości i mniej więcej milę szerokości, jest ciągle obsadzona przez kilku, jak ich tu nazywają, prawdziwych twardzieli. Zwykle zarabiają na znalezionym złocie wystarczająco dużo, by wieść pracowite, ale wygodne życie. W latach 50. XIX wieku wszyscy poszukiwacze mieszkali w namiotach, ale teraz spora część z nich pobudowała na swoich działkach domy, niektóre całkiem spore; wielu założyło rodziny. Także Deason ma rodzinę – żonę i małego syna.

Murowany domek Deasona stoi na działce o powierzchni 300 stóp kwadratowych – to aż 3 połączone standardowe, 100-stopowe działki z czasów złotej gorączki. Teraz na większość z nich nie ma już chętnych. Oates ma działkę po sąsiedzku. Przez ich ziemie przechodzą tuż pod powierzchnią gruntu złotonośne żyły czerwonych iłów. Deason i Oates, gdy tylko padały deszcze, wypłukiwali złoto na swych gruntach. Gdy gdzieś w Dunolly znaleziono większy samorodek, ruszali tam do pracy w poszukiwaniu szczęścia. Podczas suszy, z pomocą żony Deasona, uprawiali warzywa na 80-akrowej działce rolnej Deasona niedaleko Moliagul.

Deason z rozmachem uderza kilofem w miękką ziemię.

Wraz ze wspólnikiem ma teraz chude miesiące. Od dawna nie znalazł choćby niewielkiego samorodka, ich oszczędności dawno się skończyły. Tydzień temu handlarz odmówił mu worka mąki na kredyt, a wczoraj inny handlarz odwiedził go w domu – tylko po to, by przypomnieć, że minął termin oddania mu kilku szylingów.

Wzruszywszy kilofem ilastą ziemię, Deason wybiera ją łopatą z bardzo długim styliskiem z dna głębokiej na mniej więcej 10 cali jamy. Potem płucze urobek na wielkim sicie prymitywnej maszyny płuczącej.

Deason pracuje w miejscu niezbyt obiecującym – od lat rozbijają tu namioty poszukiwacze złota.

Teraz Deason kopie pod wielkim eukaliptusem, dokładnie tam gdzie kilka lat temu jeden z poszukiwaczy próbował rozbić namiot, ale natrafił na coś twardego bardzo płytko w ziemi i uznawszy, że to kamień, przeniósł się z noclegiem parę metrów dalej.

Deason bierze zamach. Ostrze trafia – nie więcej niż 2 cale pod powierzchnią – na opór. Za drugim razem znów uderza w coś twardego. Trzecie uderzenie kilofem tuż obok kończy się tak samo.

– Cholera, chciałbym, żeby to był samorodek – wzdycha Deason.

Potem klęka, ostrożnie rozgarnia tłustawą, wilgotną ziemię. Jego zgrubiałe od ciężkiej pracy dłonie ledwo wyczuwają jakieś ostre krawędzie. Między grudami iłu mocno błyska czyste złoto.

Deason sięga po kilof i wbija go w ziemię. Próbuje podważyć samorodek, ale nie ma siły. Zapiera się, wreszcie trzonek pęka z trzaskiem. Deason bierze solidny łom. Wbija go w grunt obok złotych błysków, rękami obkopuje bryłę złota. Gdy stwierdza, że ma ona co najmniej kilkanaście cali długości, robi mu się gorąco z wrażenia. W końcu zapiera się i wyrywa łomem samorodek na powierzchnię.

Jest ogromny, na oko ma z 0,5 m długości. Złoto jest gęsto przerośnięte kwarcem.

Deason woła syna, kręcącego się obok odległego o niespełna 70 m domu. Chłopak gapi się jak zahipnotyzowany na wielką bryłę. Ojciec wysyła go po wspólnika. Oates kopie ziemię do wypłukiwania kruszcu nieopodal, na swojej działce, nieco poniżej płuczki urobku. Przychodzi niezwłocznie. W milczeniu kontempluje wielkość i urodę znaleziska.

– Co o tym sądzisz, Dick, jest to warte 5 tys. funtów? – pyta z nadzieją w głosie Deason.

– Och, chyba bardziej z 2 tys. – odpowiada Oates, któremu wydaje się, że w bryle samorodka zdecydowanie przeważa kwarc.

Przybiega żona Deasona. Zachwyty trwają krótko. Znalezisko trzeba szybko ukryć. Na tych terenach jest mnóstwo facetów, którzy zrobiliby wszystko, by posiąść taki skarb. Parę strzałów ze strzelby załatwiłoby sprawę. Obaj wspólnicy jeszcze bardziej boją się licznych w tych stronach biednych robotników chińskich.

Po krótkiej naradzie Deason przyprowadza z domu ręczny wózek. Obaj mężczyźni z wysiłkiem dźwigają samorodek na wózek.

Przykryte starą kurtką znalezisko wiozą do pobliskiego domku Deasona. Tam ustawiają przepiękny samorodek na palenisku, obkładają go suchym drewnem i rozpalają wielki ogień.

Dzień upływa im na dokładaniu drewna i popijaniu podłego lokalnego piwa – oszczędnie, bo z braku kredytu mają go niewiele, a za nic nie chcą zdradzić nikomu, co znalazł Deason.

Dochodzi 20.00, niebo powoli szarzeje. Obaj mężczyźni wygaszają ogień. Czekają jeszcze 2 godziny, by rozpalony samorodek wystygł. Potem obaj młotkiem i obuchem siekiery obtłukują zeń kwarc. Na spodzie samorodka tkwi w kwarcu kawał litego złota o wadze 58 kg. Obłupany kwarc zawiera mnóstwo sporych kęsów kruszcu. Wspólnicy przewożą nocą złotonośny kwarc samorodka do tzw. Baterii Udeya, gdzie wytapiają mnóstwo złota.

Jakimś cudem o znalezisku dowiadują się znajomi i sąsiedzi Deasona i Oatesa. Nocą przychodzą do domku kolejni goście. Upojeni sukcesem – bo nie odrobiną piwa – wspólnicy hojnie obdarowują przybyszów kawałkami złota z nieistniejącego już samorodka. Ktoś – właściwie nie wiadomo kto – mówi o nim *Welcome Stranger*: Witaj, Nieznajomy. Do rana nikt już nie nazywa znaleziska inaczej.

W końcu także Deason odkłada sobie na pamiątkę kawałek samorodka.

Gdy nazajutrz obaj sprzedają w banku wytopione złoto, okazuje się, że jest go 70 kg i 680 gramów – o 380 gramów więcej, niż zawierał złota *Welcome* znaleziony w Ballarat.

Największy znaleziony na świecie samorodek widziały tylko 4 osoby: John Deason, jego żona, John Oates i mały synek Deasonów.

Odkrywcy bryły złota, którą nazwano *Welcome Stranger*

6 lutego 1989 ▪ poniedziałek

Dookoła stołu

Przewodniczący Zarządu Regionu Dolny Śląsk nielegalnej NSZZ „Solidarność” Władysław Frasyniuk zatrzymał się w Warszawie u Anny i Piotra Bikontów, dziennikarzy podziemnego „Tygodnika Mazowsze”. Rozmawiają jeszcze długo po północy. Jest o czym. Dziś o 14.00 komunistyczne władze rozpoczynają z solidarnościową opozycją rozmowy Okrągłego Stołu. Frasyniuk ma zasiąść za nim jako jeden z dwudziestukilku przedstawicieli strony społecznej.

Rano do Bikontów wpada zaprzyjaźniona z nimi działaczka „S”, doradczyni podziemnej Tymczasowej Komisji Krajowej Barbara Labuda. Po śniadaniu obie panie krytycznie przyglądają się gotowemu do wyjścia Frasyniukowi. Zgodnie uznają, że na

historyczne obrady nie może iść w popielatej marynarce w wielką kratę i koszuli w kratę, trochę drobniejszą, ale za to czerwono-niebieską. Zamieniają ją na jasną popelinową koszulę dziennikarza podziemnej prasy Piotra Pacewicza.

Solidarnościowi uczestnicy obrad Okrągłego Stołu umówili się na zbiórkę tuż przed 12.00, na Wydziale Socjologii UW przy Karowej. Do Pałacu Namiestnikowskiego jest stąd bardzo blisko. Mają zamiar wkroczyć zwartą, silną grupą.

W zapyziałej salce wykładowej zebrała się śmietanka społeczeństwa, intelektualiści i przywódcy nielegalnego ruchu związkowego, ale atmosfera jest jak w podstawówce. Henryk Wujec sprawdza listę obecności, wyczytani zrywają się z ławek i radośnie krzyczą: „Obecny!", „Jestem tutaj!", „Gotowy do walki!". Potem wszyscy gawędzą w małych grupkach. Adam Michnik nieustannie opowiada żarty. Po którejś z uwag Lecha Wałęsy Michnik, wymownie patrząc na niego, mówi: „Chcę przypomnieć, że jeśli będzie zwycięstwo, to jednoosobowe. A jeśli porażka – to nas wszystkich". Salka trzęsie się od śmiechu.

Przed bramą Pałacu Namiestnikowskiego rośnie tymczasem tłum. Jest parę flag ze znakami „S", widać sporo solidarnościowych znaczków w klapach. O 13.40 na dziedziniec pałacu wjeżdża małym czerwonym peugeotem 205 gospodarz obrad minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. Minister szybko lustruje salę ze słynnym już w kraju okrągłym meblem, sprawdza, czy wszystko przygotowano wedle planu. Scenariusz uroczystości otwarcia obrad opracowała grupa jego podwładnych, kierowana przez płk. Ryszarda Iwanciowa, zresztą dalekiego krewnego gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego, w latach wojny pierwszego szefa konspiracyjnej Służby Zwycięstwa Polski.

Na dziedziniec zajeżdżają samochody z reprezentantami władzy. W sali ze stołem od dawna kłębią się ekipy telewizyjne i fotoreporterzy. Punktualnie o 14.00 za stołem zasiada kilkunastu przedstawicieli strony partyjnej, ale nie ma nikogo z ekipy solidarnościowej.

Zebrani w salce na Karowej umyślnie wychodzą spóźnieni. Jest ciepło, mży deszcz. Na czele idą Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki. Wałęsa jako jedyny niesie – niczym sztandar – wielki parasol. Do pałacu wkraczają już dobrze po 14.00. Sala Kolumnowa z okrągłym stołem jest na piętrze. Zwarta grupa reprezentantów „S" wkracza na wyłożone dywanem schody i nagle zwalnia. Na końcu schodów stoi uśmiechnięty gen. Kiszczak, w nienagannym tenisowym garniturze, z białą chusteczką w butonierce. Tego się nie spodziewali. Szybkie spojrzenia na kolegów, pospieszny rachunek w myślach: „Podać mu rękę, nie podać?". Idący na czele nie chcą wywoływać skandalu i witają się ze swoim najgroźniejszym przeciwnikiem. Zbigniew Bujak, którego podwładni gen. Kiszczaka aresztowali dopiero po 4,5 roku ukrywania się, kilka stopni przed uśmiechniętym ministrem decyduje się: „Trzeba zachować się w cywilizowany sposób", i podaje rękę. Generał uprzejmie mówi, że byli przeciwnikami od czasu stanu wojennego, ale teraz wspólnie rozmawiać będą dla dobra kraju. Ludwika Wujec z obsługi technicznej grupy solidarnościowej udaje, że ministra nie zauważyła, i sztywno przechodzi obok niego, patrząc w inną stronę. Idący na końcu umyślnie marudzą. Jedni poprawiają sznurowadła, inni zaaferowani, nagle coś omawiają. Ruszają na górę dopiero wtedy, gdy gen. Kiszczak oddala się.

Obrady zaczynają się o 14.23. Sala Kolumnowa z okrągłym stołem wygląda imponująco. Bujak, z zamiłowania stolarz, ukradkiem zagląda pod blat i stwierdza, że to bardzo porządnie zmajstrowany

mebel. Jako pierwszy przemawia Czesław Kiszczak. Nie owija w bawełnę: „Pragniemy, by przestano nas uważać za »chorego człowieka Europy«, ognisko zapalne, stanowiące potencjalne zagrożenie dla siebie i innych". Potem przemawiają Lech Wałesa, Alfred Miodowicz, Jerzy Turowicz. Redaktor „Tygodnika Powszechnego" mówi: „Na siedzibie rządzącej w naszym kraju partii czytaliśmy niedawno hasło: »Nie ma wolności bez odpowiedzialności«. Sądzę, że to hasło zostało błędnie sformułowane. Bardziej słuszna byłaby formuła: »Nie ma odpowiedzialności bez wolności«". Potem następują kolejne, zaplanowane przemówienia. Wtem nieoczekiwanie zabiera głos mecenas Władysław Siła-Nowicki. Gwałtownie krytykuje fakt, że jego zdaniem brakuje przy stole przedstawicieli wszystkich nurtów solidarnościowych. Polemizuje z nim prof. Przecławska reprezentująca władze: nie tylko w „S" są nurty nieskłonne do uczestniczenia w narodowym kompromisie i porozumieniu.

Znanego z cywilnej odwagi i niepokorności mecenasa Siłę-Nowickiego, w latach 1980–1981 doradcę Solidarności, zgłosiła do obrad strona rządowa, która później jednak przy każdej okazji dawała do zrozumienia, że uważa go za reprezentanta Solidarności. Trochę bez przydziału, mecenas siedzi przy stole w miejscu, w którym nikt nie chciał siedzieć: na styku grupy rządowej i społecznej (na drugim styku siedzą księża Alojzy Orszulik i Bronisław Dembowski). Podczas pierwszych przemówień po stronie solidarnościowej stołu pojawia się dowcip: „Nasza jest Siła, a ich jest Nowicki".

Późnym popołudniem kończą się przemówienia i uzgodnienia na następne dni obrad. Pora na bankiet. Mimo wzajemnych uprzejmości obie strony trzymają się raczej osobno.

Wieczorem zaczyna się szaleństwo konferencji prasowych, oświadczeń, wywiadów. Wydany z okazji Okrągłego Stołu dodatek nadzwyczajny „Trybuny Ludu" rozchodzi się jak ciepłe bułki. Cała Polska z zapartym tchem ogląda relację z obrad w telewizji. Nikt nie zauważa, że rano władze podwyższyły cenę wódki.

Obrady Okrągłego Stołu

7 lutego 1925 ▪ sobota

Cherubin strzela... z miłości

W wielkiej sali paryskiego sądu, w której rozgrywały się największe, najgłośniejsze procesy we Francji, już ok. południa brakuje miejsc siedzących. O godz. 13.00, gdy rozpoczyna się ostatni

dzień procesu polskiej aktorki Stanisławy Umińskiej, sala wypełniona jest publicznością po brzegi. Do sądu przyszli nie tylko rodacy oskarżonej z licznej polskiej kolonii artystycznej w Paryżu. Na sali jest wielu Francuzów, są dziennikarze większości popularnych, paryskich gazet. Proces Stanisławy Umińskiej ekscytuje stolicę Francji – w tej sprawie są wielka miłość, wielkie cierpienie, zbrodnia z miłości i jest jeszcze sztuka.

Stanisława Umińska już od scenicznego debiutu w 1919 roku uchodziła za objawienie i nadzieję polskiego teatru. Tuż po swym pierwszym występie na scenie półamatorskiego teatru Promenada dostała angaż w warszawskim Teatrze Polskim. Po jej wybitnej roli Orcia w *Nie-Boskiej komedii* Krasińskiego w roku 1920 krytycy uznali Umińską za jedną z najzdolniejszych aktorek młodego pokolenia.

Rok później zagrała w filmie *Major Barbara*.

Jej role Cherubina w *Weselu Figara* i elfa Puka w Szekspirowskim *Śnie nocy letniej* na długo zapadły w pamięci krytyków. Nieprzeciętny talent komediowy i dramatyczny potwierdziła w ponad 20 rolach. Ostatnią teatralną kreację stworzyła w kwietniu ubiegłego roku.

Przed 2 laty Stanisława Umińska poznała na jednym z wernisaży Jana Żyznowskiego. Przystojny 34-letni znany malarz, krytyk i pisarz był zasłużonym kombatantem walk o niepodległość. Przed I wojną światową studiował w Paryżu malarstwo i literaturę, należał do Towarzystwa Artystów Polskich w Paryżu. Po wybuchu wojny wstąpił do formowanych już od sierpnia 1914 roku polskich sił zbrojnych nad Sekwaną. Wskutek protestów Rosji zamiast planowanego polskiego Legionu zdołano sformować w miasteczku Bayonne oddział niespełna 200 ochotników. Po przeszkoleniu

pionierski oddział Polaków wcielili Francuzi do swej Legii Cudzoziemskiej, jako 2. Kompanię 1. Pułku Legii.

W szeregach bajońskiej kompanii walczyło wielu wybitnych Polaków, także artystów. Dwóch z nich, Xawery Dunikowski i właśnie Jan Żyznowski, zaprojektowało sztandar kompanii wręczony żołnierzom pod koniec września 1914 roku przez mera Bayonne.

W niesłychanie ciężkich walkach na froncie zachodnim, w Szampanii, w których polscy ochotnicy swym bohaterstwem zdobyli szacunek i podziw francuskich towarzyszy broni, w ciągu paru miesięcy z liczącej ponad 180 żołnierzy kompanii przeżyło ledwie 50. Także i Jan Żyznowski.

Po zlikwidowaniu przez francuskie dowództwo, na skutek protestów ambasady rosyjskiej, odrębnego oddziału polskich ochotników Żyznowski wyjechał w 1915 roku do Petersburga. Tam przez dłuższy wojenny czas współpracował z redakcją dziennika „Głos Polski".

Swe walki w Legii Cudzoziemskiej już w roku 1916 spożytkował literacko, we wspomnieniach *Do Polski z Joffre'em*. Jeszcze w tym samym roku wydał zbiór nowel.

Pod koniec wojny światowej Żyznowski pojawił się w Warszawie. Jego zgeometryzowanymi, pełnymi ekspresji, o zgaszonej, mrocznej tonacji barw kompozycjami w roku 1919 ozdobiono Klub Futurystów Polskich w Hotelu Europejskim.

Żyznowski podczas wojny polsko-bolszewickiej jeszcze raz ruszył, jako ochotnik, na pola bitew.

Po zwycięstwie okazało się, że jest on artystą utalentowanym wszechstronnie. Szybko zrobił karierę jako wzięty, wpływowy publicysta i krytyk sztuki w „Rzeczpospolitej", „Tygodniku Ilustrowanym", „Wiadomościach Literackich". Opublikował 3 tomy

prozy, opartej na wspomnieniach z walk 1914 i 1920 roku. Zwłaszcza *Krwawy strzęp*, wydany przed 2 laty, czytelnicy uznali za prawdziwe świadectwo czasów wojny. Autentyczność realiów, mimo młodopolskiej maniery *Krwawego strzępu*, zachwyciła także krytykę.

Płomienny romans tak popularnych artystów budził w Warszawie powszechne zainteresowanie. Żarliwe uczucie obojga jednały im powszechną, w środowisku artystycznym, sympatię.

Przed półtora rokiem lekarze zdiagnozowali u Żyznowskiego nieuleczalnego raka.

Straszliwie cierpiący malarz zdecydował się szukać pomocy u lekarzy w Paryżu. Jego żona bez wahania porzuciła Teatr Mały, w którym święciła sukcesy w *Świerszczu za kominem* Charlesa Dickensa i wyjechała z Żyznowskim do Francji.

Paryscy specjaliści byli jednak bezradni. Umińska nieustannie opiekowała się udręczonym bólami mężem, wszelkimi sposobami zdobywała coraz więcej morfiny, by stłumić jego cierpienia. W krótkich chwilach lepszego samopoczucia chorego zapisywała dyktowaną przez niego powieść *Z podglebia*.

15 lipca zeszłego roku uległa prośbom Żyznowskiego o skrócenie jego cierpień. Po południu zrobiła mu zastrzyk morfiny, a gdy zasnął – strzeliła mu z pistoletu w skroń.

W tej samej chwili zemdlała.

Przed procesem pomoc oskarżonej zadeklarowały tuzy palestry polskiej i francuskiej. Z Warszawy przyjechał wybitny adwokat Gustaw Beylin.

Już przed procesem było jasne, że sympatia nie tylko publiczności, nie tylko obrońców, ale nawet oskarżyciela jest po stronie podsądnej. Prokurator Donnat Guigne przygotował akt oskarżenia bardzo powściągliwy, w istocie będący

zakamuflowanym usprawiedliwieniem czynu polskiej aktorki. Guigne podkreślił w nim, że Umińska była osobą nieprzeciętnie wrażliwą i udręczoną męką ukochanego, zaś stan zdrowia Żyznowskiego nie rokował żadnych nadziei na poprawę. Prokurator wspomniał też w akcie oskarżenia, iż 12 lipca ubiegłego roku Umińska samorzutnie zaofiarowała lekarzom swą krew dla ratowania Żyznowskiego.

Przewodniczący sądu przysięgłych sędzia Mouton przesłuchania świadków prowadził wręcz z ostentacyjną sympatią dla oskarżonej.

Pielęgniarki ze szpitala i przyjaciółka podsądnej pani Gottlieb zeznały, iż były świadkami, jak Żyznowski błagał Umińską, by oszczędziła mu cierpień i zabiła go. Naczelny lekarz szpitala, w którym doszło do tragedii, dr Roussy z emfazą opowiedział, z jak wielkim poświęceniem aktorka opiekowała się ukochanym. Po zeznaniach dr. Roussy Umińska na sali sądowej podziękowała mu za wszystko, co uczynił i dla niej, i dla jej ukochanego. Pod koniec jej wystąpienia damska część publiczności zaczęła pochlipywać ze wzruszenia.

Sędzia Mouton zgodził się, by odczytano list nieobecnego w sądzie, wybitnego polskiego rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego. Czyn Umińskiej był świadectwem jej poświęcenia dla Żyznowskiego i zarazem świadectwem jej posłuszeństwa wobec ukochanego, który miał na aktorkę wielki wpływ, napisał Zamoyski.

Wielkie wrażenie na publiczności wywarło zeznanie eksperta medycznego. Dr Paul oświadczył, że wedle jego wiedzy Żyznowski mógłby żyć jeszcze, naturalnie, w mękach, najwyżej 8 dni.

Umińska podczas tych zeznań wyglądała na nieobecną. Milcząca, pogrążona w apatii, zachowywała się tak, jakby postępowanie nie jej dotyczyło.

Dziś, w ostatnim dniu rozprawy, jako pierwszy głos zabiera prokurator. Donnat Guigne zaczyna od stwierdzenia, że w tej sprawie wolałby być obrońcą niż oskarżycielem, bo sprawa Umińskiej to nie historia zbrodni, ale legenda wielkiej, pięknej miłości.

Panie na sali płaczą.

Prokurator przypomina koleje życia i związku Umińskiej i Żyznowskiego. Gdy opowiada o zastrzeleniu śmiertelnie chorego, dobiera takie słowa i frazy, że aktorka zdaje się, wedle niego, raczej wybawicielką, niż zabójczynią. Donnat Guigne napomina przysięgłych, że oskarżona jest cudzoziemką, zatem jej psychika ma wiele tajemnic nie do ogarnięcia przez francuski umysł. Miejcie to panowie na względzie, gdy wydawać będziecie wyrok, grzmi oskarżyciel.

Na koniec prokurator przytomnie zauważa, iż problemem prawdziwym w sprawie Umińskiej nie jest wyrok – tu daje on do zrozumienia, iż oskarżenie w istocie oczekuje uniewinnienia – ale obawa, że wyjątkowość tej historii, powszechna sympatia dla podsądnej mogłyby pozwolić publiczności przypuszczać, że zabójstwo dla ukrócenia cierpień jest dopuszczalne.

– Umierający wierzą w życie, tak jak galernicy wierzą w wolność! Nikt nie ma prawa zabijać ani z nadmiaru nienawiści, ani z nadmiaru miłości. Dzisiaj prawo musi skłonić się przed miłością i współczuciem. Lecz jeśli wyjdzie stąd wolna, niech jej nie towarzyszą świętokradcze oklaski. Pozwólcie jej oddalić się w skupieniu i ciszy, w niewoli sumienia – woła prokurator Guigne.

W istocie wystąpienie oskarżyciela jest świetną mową obrończą. Prawdziwi adwokaci podsądnej, Rudenko i dziekan paryskiej palestry Henri Robert, wypadają w swych przemowach końcowych o wiele słabiej.

Rudenko opowiada o życiu aktorki, potem odczytuje szereg fragmentów z ostatniej powieści Żyznowskiego, w których – zdaniem obrońcy – pisarz przewidywał swój tragiczny koniec. Wzruszona, rozegzaltowana publiczność nie zauważa, że powieść zabitego jest co najmniej słabym argumentem za uniewinnieniem Umińskiej, czego oczywiście jej obrońca stanowczo się domaga.

Henri Robert podkreśla, że oskarżona od pierwszych chwil po poznaniu Żyznowskiego uległa wpływowi jego wyższego umysłu i talentu. Adwokat wnosi, by przysięgli uznali, że podsądna działała pod przymusem, bo jej ukochany mężczyzna Jan Żyznowski pozbawił ją władzy nad swoimi czynami, czyniąc tej delikatnej kobiecie wymówki, że nie zabija go szybciej. Potem obrońca odczytuje depeszę artystów warszawskich teatrów z prośbą o łagodne potraktowanie nieszczęsnej koleżanki. Na koniec – as z rękawa. Mecenas Robert odczytuje list matki zastrzelonego do Stanisławy Umińskiej, w którym pani Żyznowska przebacza jej i daje swe błogosławieństwo.

Na sali słychać głośne płacze.

Ostatnie słowo oskarżonej budzi rozczarowanie oczekującej mocnych wrażeń publiczności. Umińska słabo mówi po francusku, więc pomaga jej tłumacz pan Smólski, przysłany przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Aktorka deklaruje, że Żyznowskiego kochała do szaleństwa i gotowa była oddać dla niego całą swą krew. I tylko tyle.

Sędziowie wychodzą na naradę. Po 5 minutach wracają:

– Niewinna!

Publiczność cieszy się jak dzieciarnia, bije brawo, wiwatuje. Panie znów płaczą. Tym razem z radości. Umińska w objęciach przyjaciółki bez słowa opuszcza salę.

Aktorka Stanisława Umińska na sali rozpraw

8 lutego 1923 ▪ czwartek

Mroczny Szmaragd

Dochodzi 11.00, gdy przed budynkiem domu zakrystialnego cerkwi prawosławnej przy ul. Zygmuntowskiej nr 13 na warszawskiej Pradze wysiada z dorożki brodaty mężczyzna w średnim wieku. Przed bramą zatrzymuje go policjant – w tym domu mieszka prawosławny metropolita warszawski abp Jerzy, który obawiając się zamachu na swe życie, poprosił władze państwowe o ochronę. Odźwierny kiwa głową, że to swój, archimandryta Smaragd, i policjant wpuszcza przybysza do gmachu.

Archimandryta idzie od razu do sekretariatu i prosi o posłuchanie u arcybiskupa. Metropolita przed południem jest zajęty. Smaragd prosi więc o audiencję o 15.00 lub najwyżej 16.00, bo później nie zdąży na pociąg, Jerzy twardo odpowiada jednak, że to niemożliwe, że najwcześniej może przyjąć niezapowiedzianego gościa o 18.00. Smaragd zgadza się i wychodzi. Przysłuchujący się tej rozmowie 2 sekretarze abp. Jerzego diakon Szatecki oraz świecki sekretarz Kostecki oddychają z ulgą. Rozmowa była bardzo poprawna, wręcz grzeczna, a przecież wszyscy kapłani w polskiej Cerkwi wiedzą o konflikcie między metropolitą i archimandrytą.

Abp Jerzy – Jurij Jaroszewskij – jest z pochodzenia Ukraińcem, urodził się 51 lat temu w guberni podolskiej w rodzinie proboszcza parafii prawosławnej. Już w najmłodszych latach zdecydował się na życie kapłańskie. Kolejne szczeble w hierarchii rosyjskiej Cerkwi osiągał bardzo szybko – w wieku 31 lat został rektorem seminarium duchownego w Tule, a już 3 lata później odbyła się jego chirotonia, czyli udzielenie święceń, na biskupa kaszyrskiego. W 1910 roku został rektorem Petersburskiej Akademii Duchownej, obronił doktorat z homiletyki, pracował w komisji Cerkwi ds. dialogu z anglikanami.

W czasie I wojny światowej został biskupem mińskim i turowskim.

Po rewolucji lutowej wcale nie wykazywał entuzjazmu z obalenia caratu. Przez młodszych księży prawosławnych uznawany za stetryczałego biurokratę, nienadążającego za zmianami porewolucyjnego świata, latem 1917 roku wyjechał z Mińska na sobór rosyjskiej Cerkwi i już nie wrócił do swych rozgorączkowanych wiernych i kapłanów. Tuż po rewolucji bolszewickiej został wyniesiony do godności arcybiskupiej i wkrótce potem wyjechał na Chalki, najmniejszą, zamieszkiwaną

zaledwie przez niespełna 200 osób wysepkę greckiego archipelagu Dodekanez na Morzu Śródziemnym. Tam w ciągu niespełna roku napisał po grecku kilka szkiców o najnowszych dziejach rosyjskiej Cerkwi.

Ale w 1919 roku znienacka wyruszył w pole. Dosłownie w pole – dołączył bowiem do wojsk białych i został biskupem eparchii charkowskiej, w granicach obszaru kontrolowanego przez oddziały kontrrewolucyjne.

Po zwycięstwie bolszewików zdołał ewakuować się z grupą księży prawosławnych z portu w Noworosyjsku. Przez Stambuł, Saloniki dotarł do Włoch, gdzie przyjął obowiązek zarządzania rosyjskimi parafiami prawosławnymi.

I właśnie we Włoszech wypatrzyła go dyplomacja odrodzonego państwa polskiego. Dla rządów II RP wyszukanie odpowiedniego kandydata na zwierzchnika Cerkwi w Polsce, kandydata, który przeprowadziłby uniezależnienie jej od Cerkwi rosyjskiej, miało pierwszorzędne znaczenie polityczne. Abp Jerzy zaś podczas sondażowych rozmów we Włoszech z wysłannikami polskiego rządu zadeklarował, że doprowadzi do usamodzielnienia prawosławia w Polsce od patriarchy moskiewskiego.

Zaraz po przyjeździe do Polski władze państwowe odsunęły od zarządzania diecezją chełmsko-warszawską biskupa grodzieńskiego Włodzimierza; tymczasowym biskupem chełmsko-warszawskim został Jerzy. W sprawie autokefalii abp Jerzy zrazu kluczył, ale w końcu, już po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, w rozmowach w Moskwie z patriarchą moskiewskim i Wszechrusi Tichonem wystąpił o przyznanie polskiej cerkwi niezależności. Przekonywał Tichona, że tylko autokefalia Cerkwi w Polsce zapobiegnie konfliktom prawosławnych wiernych z państwem.

Patriarcha Tichon zgody na autokefalię nie dał, zatwierdził jednak Jerzego na diecezji chełmsko-warszawskiej. Arcybiskup krok po kroku, ze wsparciem rządu, parł do ustanowienia autokefalii. Część prawosławnych biskupów i duchownych uważała jednak, że usamodzielnienie Cerkwi w Polsce byłoby sprzeczne z prawem kanonicznym. Abp Jerzy przeciwników autokefalii zignorował, pośpiesznie wyświęcił na biskupa zwolennika autokefalii archimandrytę Aleksandra i zwoławszy sobór biskupów (w liczbie 3 zwolenników uniezależnienia Cerkwi w Polsce), doprowadził do formalnego złożenia wniosku o ustanowienie autokefalii w patriarchacie w Konstantynopolu.

Wśród prawosławnych księży w Polsce nie brakuje przeciwników polityki abp. Jerzego. Jednym z nich jest archimandryta Smaragd, Rosjanin Paweł Łatyszenkow, który otwarcie występuje przeciw arcybiskupowi. W zeszłym roku Smaragd miał zostać biskupem słuckim, ale chirotonię zablokował abp Jerzy. Pod pozorem porzucenia eparchii przez Smaragda metropolita suspendował archimandrytę. Smaragd później udowodnił, że mieszkał wtedy u chorego ojca, ale Jerzy swej decyzji nie zmienił.

O 19.00 archimandryta Smaragd znów zjawia się przed bramą domu przy Zygmuntowskiej. W sekretariacie abp. Jerzego Smaragd rozmawia dłuższą chwilę z oboma sekretarzami metropolity. Ze swego gabinetu wychodzi metropolita, prosi Smaragda do środka, zamyka drzwi na klucz. Zaniepokojeni sekretarze decydują się podsłuchać rozmowę przez drzwi, ale glosy metropolity i archimandryty są spokojne.

Mija godzina. W sekretariacie zjawia się metropolita wołyńsko-krzemieniecki abp Dionizy i pyta sekretarzy, czy mógłby rozmawiać z Jerzym. Kostecki puka i usiłuje wejść, ale drzwi są nadal

zamknięte. Pyta więc przez nie, czy gość będzie przyjęty. Abp Jerzy także przez drzwi odpowiada, by Dionizy zaczekał w saloniku.

Sekretarz odprowadza abp. Dionizego do salonu gościnnego, sam zaś wraca do sekretariatu. Ledwie zaczyna przerwaną rozmowę z Szateckim, gdy za drzwiami gabinetu Jerzego rozlega się strzał. Po nim drugi. I jeszcze trzeci. Kostecki z diakonem Szateckim zrywają się na nogi. Drzwi gabinetu metropolity otwierają się. Z czerwoną jak burak twarzą wybiega z nich archimandryta Smaragd. Najwyraźniej z emocji traci orientację i wbiega do saloniku, w którym na rozmowę oczekuje abp Dionizy. Nie widzi drzwi wyjściowych i wraca do sekretariatu. Dostrzega Szateckiego i nagle ostro pyta:

– A ty kto!?

I nie czekając na odpowiedź, woła:

– Zabiłem metropolitę!

Smaragd robi jeszcze 2 kroki ku wyjściu, po czym opada na krzesło. Sekretarze i metropolita Dionizy wpadają do gabinetu gospodarza. Metropolita leży na podłodze, na boku. Z rany na skroni sączy się wąski strumyczek krwi.

Policjant sprzed bramy alarmuje pobliski posterunek na Wileńskiej 11. Niemal natychmiast przyjeżdżają zastępca komendanta warszawskiej policji Henryk Charlemagne i naczelnicy wydziału śledczego Sonneberg oraz Kurnatowski. Sędzia śledczy Jerzy Luksemburg zjawia się parę minut po policjantach. Podczas rewizji funkcjonariusze znajdują w kieszeni Smaragda potężny pistolet Steyr-Hahn. Zabójca strzelał 3 razy, trafił raz – w skroń.

Podczas przesłuchania Łatyszenko zeznaje, że zabił, bo metropolita go skrzywdził, suspendował na podstawie niesprawdzonych, fałszywych donosów. Skrzywdził też 4 archijerejów – dwóch z nich za drobne wykroczenia zmusił do wyjazdu z Polski.

O głównym sporze z ofiarą, o autokefalię Cerkwi w Polsce, zabójca wobec przedstawicieli władz państwowych przytomnie nawet się nie zająkuje.

9 lutego 1904 ▪ wtorek

Wieloryb idzie na dno

Jest północ 8 lutego. Przyjęcie wydane w Port Arthur przez wiceadm. Starka, dowódcę rosyjskiej Eskadry Oceanu Spokojnego, rozwija się wspaniale. Leją się strumienie szampana i wódki, goście pochłaniają ogromne ilości kawioru i przekąsek. Świetnego nastroju wiceadm. Starka nic nie jest w stanie zepsuć. Ani to, że kilkuletni spór Japonii z Rosją o wpływy w Mandżurii i Korei w opinii światowej dyplomacji wkrótce musi skończyć się wojną. Ani to, że wczoraj po południu Tokio zerwało negocjacje z Petersburgiem. Ani to wreszcie, że w Port Arthur od paru dni brakuje golibrodów; niemal wszyscy tutejsi mistrzowie brzytwy byli Japończykami, a od paru dni Japończycy pośpiesznie ewakuują się poza granice rosyjskiego imperium.

Rosyjskie pancerniki i krążowniki stoją na redzie niestrzeżone. Całe przygotowania wojenne ograniczyły się do przemalowania dziś krążowników z pokojowej białej barwy na oliwkową, wojenną.

Kwiat korpusu oficerskiego potężnej floty rosyjskiej stojącej na redzie pije, śpiewa, tańczy; do redy Port Arthur zaś skrycie zbliża się równie silna japońska Połączona Flota pod dowództwem adm. Heihahiro Togo. Japoński rząd i Admiralicja zdecydowały się zaatakować flotę rosyjską z zaskoczenia, bez wypowiadania wojny.

Japońskie niszczyciele skradają się w ciemnościach, zręcznie omijają rosyjskie okręty patrolujące. O 23.30 wystrzeliły pierwsze torpedy. Wybuchy targnęły potężnymi kadłubami pancerników „Retwizana", „Cesariewicza" oraz krążownika „Pałłada". Balujące dowództwo eskadry i wyżsi oficerowie w ogóle nie przejmują się eksplozjami na redzie – to na pewno jakieś manewry!

Atak torpedowców kończy się dopiero po północy, 9 lutego. Rosjanom dopisało szczęście – uszkodzenia 2 najnowszych pancerników i krążownika da się usunąć w ciągu kilkunastu tygodni.

Wiceadm. Togo nie daje za wygraną. Czeka tylko, aż wstanie świt. O 10.55, na czele swych pancerników podchodzi do redy Port Arthur i rozpoczyna morderczy ostrzał. Ale wiceadm. Stark już wytrzeźwiał po nocnym balu. Rusza w morze na czele swoich ciężkich okrętów. Zaciekła bitwa trwa niemal godzinę. Rosjanie uzyskują 38 trafień, Japończycy zaledwie 11. Wiceadm. Togo jak niepyszny wycofuje się spod Port Arthur.

Ale w koreańskim porcie Czemulpo, niedaleko od Seulu, Rosjanie nie mają szans. Koreański rząd ogłosił miasto i port strefą neutralną. Stacjonują tu, oprócz rosyjskiego krążownika „Wariag" i kanonierki „Koriejec", także brytyjski krążownik HMS „Talbot", francuski „Pascal", włoski „Etna" oraz amerykańska kanonierka USS „Vicksburg". Jeszcze wczoraj, 8 lutego, silny zespół japońskich krążowników i torpedowców pod dowództwem kontradm. Sotokichi Uriu wraz ze statkami wyładowanymi piechotą zbliżył się do redy Czemulpo. Łamiąc neutralność miasta i portu, wieczorem i nocą japońscy żołnierze wylądowali pod miastem.

O 8.30 japońskie statki transportowe i okręty zespołu kontradm. Uriu odchodzą z redy Czemulpo na morze. Desant 2,5 tys. żołnierzy piechoty, po zajęciu portu i pozostawieniu tam niewielkich sił, rusza

na Seul. Kontradm. Uriu wysyła ultimatum skierowane do rosyjskiego dowódcy kmdr. Rudniewa. Wysyła je dziwną drogą. Najpierw ultimatum otrzymuje japoński konsul w Czemulpo, który następnie zjawia się z nim u konsula rosyjskiego. Carski dyplomata o 9.30 przekazuje je wreszcie na pokład rosyjskiego krążownika. Kontradm. Uriu oficjalnie zawiadamia o rozpoczęciu wojny i żąda, by „Wariag" i „Koriejec" do godz. 12.00 wyszły w morze. W przeciwnym razie eskadra japońska zaatakuje je na kotwicowisku o godz. 16.00. Pisma od japońskiego dowódcy otrzymują także dowódcy okrętów państw neutralnych. Kontradm. Uriu domaga się, by ich jednostki do godz.16.00 opuściły neutralny port, gdyż o tej porze zacznie się japoński atak.

Jest to niesłychane naruszenie prawa międzynarodowego. Dowódca brytyjskiego krążownika HMS „Talbot" kmdr Lewis Bayly znajduje się w niezbyt zręcznym położeniu. Z jednej strony Wielka Brytania jest w formalnym sojuszu z Japonią i brytyjski oficer nie powinien przysparzać kłopotów japońskiemu kontradmirałowi. Z drugiej jednak kmdr Bayly, któremu przysługuje tzw. starszeństwo wśród dowódców wszystkich okrętów stojących na redzie Czemulpo, nie może nie zareagować na łamanie prawa przez Japończyków. Znajduje jednak salomonowe wyjście. Zaprasza dowódców stacjonujących tu okrętów na naradę. Kmdr Marshall z amerykańskiego USS „Vicksburg" odmawia przybycia. Twierdzi, że musi ściśle przestrzegać zasad neutralności.

Narada okazuje się potulnym przyjęciem warunków japońskich. Wszyscy zgodnie oświadczają kmdr. Rudniewowi, że jeśli „Wariag" i „Koriejec" nie wypłyną w ciągu 2 godzin, krążowniki państw neutralnych opuszczą redę Czemulpo. Rosyjski dowódca prosi, by wobec łamania prawa międzynarodowego przez Japończyków okręty państw neutralnych eskortowały jednostki rosyjskie do

granicy koreańskich wód terytorialnych, ale brytyjski oficer sprzeciwia się. Spotkanie kończy się uchwaleniem formalnego protestu, bez znaczenia dla schwytanych w potrzask okrętów rosyjskich.

Krążowniki japońskie dysponują 4 działami kalibru 203 mm, jednostki rosyjskie – tylko 2. Japończycy mają na pokładach 38 armat 152 mm, Rosjanie – zaledwie 13. Kmdr Rudniew nie ma ani jednego torpedowca, wiceadm. Uriu dysponuje aż 7. Co więcej, jego zespół ma kolosalną przewagę manewrową nad okrętami rosyjskimi, muszącymi przebijać się na otwarte morze wąskim torem wodnym.

Kmdr Rudniew wraca na pokład krążownika. Zwołuje naradę wojenną. Oficerowie są w bardzo bojowych nastrojach. Mimo miażdżącej przewagi wroga chcą siłą przebijać się do Port Arthur. A gdy nie uda się przebić – sami zatopią oba okręty. Załogi, gdy dowiadują się o decyzji oficerów, wiwatują z entuzjazmu. Wszyscy chcą się bić – aż do końca. Na przestarzałym „Koriejcu", który ma jeszcze pomocnicze żagle, marynarze rąbią i zrzucają wysokie stengi i gafle masztów, by utrudnić Japończykom celowanie.

O 11.20 „Wariag" i „Koriejec" podnoszą kotwice i ruszają do boju. Na ich pokładach orkiestry grają marsze. Przepiękny widok płynących po honorową śmierć marynarzy porywa załogi okrętów włoskiego, francuskiego, amerykańskiego i nawet brytyjskiego. Marynarze za nic mają wcześniejsze kunktatorstwo swoich oficerów. Stają wzdłuż burt i żegnają Rosjan gromkimi „hurrraaa!". Na włoskim krążowniku orkiestra zaczyna grać hymn rosyjski.

Z równym entuzjazmem szykują się do boju załogi okrętów japońskich. Wczoraj, w drodze do Czemulpo, krążownik „Takachiho" staranował wynurzającego się wieloryba. Marynarze biorą incydent

za dobrą wróżbę. Krwawiący, zapadający się w otchłań pod dziobem japońskiego okrętu olbrzym symbolizuje dla nich Rosję.

Wiceadm. Uriu na widok ruszających do boju Rosjan podnosi na rejach swojego krążownika „Naniwa" sygnał „Proponuję poddać się bez walki". Kmdr Rudniew nie reaguje. O 11.45 odległość między okrętami maleje do 8300 m. Jako pierwsze odzywają się działa krążownika „Asama". Po 55 minutach walki „Wariag" płonie. Japońskie pociski rozbijają połowę jego artylerii, pomost bojowy, dalmierze, uszkadzają ster, przebijają kadłub poniżej linii wodnej. Ginie 32 marynarzy, niemal 200 jest rannych. „Koriejec" wysuwa się przed krążownik i ogniem dział osłania jego powrót do portu Czemulpo. Kmdr Rudniew, choć ranny w głowę, zarządza natychmiastowe gaszenie pożaru, naprawę uszkodzonych armat i urządzeń. Chce jak najszybciej znów wyjść w morze i wznowić walkę. Ale krążownik nabiera coraz więcej wody przez dziury po japońskich pociskach. Rośnie przechył na lewą burtę. Nie ma już mowy o drugiej bitwie. Kmdr Rudniew rozkazuje wysadzenie swych okrętów. O 15.55 potężny wybuch rozrywa przednią część kadłuba „Koriejca". Odłamki lecą w głąb zatoki. Kmdr Bayly interweniuje u rosyjskiego dowódcy, by nie wysadzać krążownika; obawia się, że wybuch uszkodzi jego okręt. Rosjanie otwierają więc zawory w dnie. O 18.00 „Wariag" przewraca się na lewą burtę i osiada na dnie.

Okręty francuski, włoski i brytyjski przyjmują na pokład rosyjskich marynarzy. Amerykanin kmdr Marshall odmawia udzielenia pomocy – obsesyjnie zasłania się wymogami przestrzegania neutralności.

Dochodzi 20.00. Z pokładów obcych krążowników bohaterscy rosyjscy marynarze patrzą, jak tonie podpalony przez załogę rosyjski statek transportowy „Sungari". Rozpaleni walką, oszołomieni

przegraną, nawet nie przeczuwają, że dziś koniec caratu przybliżył się na wyciągnięcie ręki, a Japonia wkroczyła na drogę do mocarstwowości. Nie przypuszczają, że wkrótce obsypie ich deszcz Krzyży św. Jerzego, a oni sami przejdą do rosyjskiego panteonu.

Atak na Port Arthur

10 lutego 1976 ▪ wtorek

Tylko jedna ręka

Nieprzyjemny ranek. Mglisto, silny wiatr zacina mokrym śniegiem. Stanisław Stomma w niewesołym nastroju wchodzi do gmachu Sejmu. Dziś ma się odbyć głosowanie nad poprawkami do konstytucji PRL. Stomma wie, że wszyscy zagłosują za zmianami. Wszyscy, z wyjątkiem jego samego.

Stanisław Stomma jest katolickim działaczem społecznym z przedwojennym jeszcze stażem. Pod koniec lat 30. pracował w redakcji wydawanego przez krakowską kurię metropolitalną „Głosie Narodu". Po wojnie współzakładał miesięcznik katolicki „Znak", którego redaktorem był do roku 1953, od 1945 roku był też członkiem redakcji „Tygodnika Powszechnego".

Stanisław Stomma, przedwojenny doktor praw, jest przenikliwym umysłem politycznym. Zaraz po klęsce wrześniowej zrozumiał, że kresy wschodnie są dla Polski stracone i nie pozostaje nic, jak tylko się z tym pogodzić. Od 1945 roku niezmiennie stoi na stanowisku, że realizm wymaga zaakceptowania dominacji komunistów w kraju, ale zarazem właśnie realizm wzywa do pracy u podstaw, by próbować ratować to, co najważniejsze: prawa wiernych i Kościoła oraz dorobek chrześcijańskiej cywilizacji i kultury.

W 1957 roku, na fali politycznej odwilży, Stomma wraz z kilkoma innymi działaczami katolickimi wszedł do Sejmu. Koło poselskie „Znak" przez 19 lat, pod kierownictwem Stommy, na ile to było możliwe, pełniło rolę konstruktywnej, acz z definicji symbolicznej opozycji w komunistycznym Sejmie. Gdy jednak trzeba było twardo protestować, posłowie „Znaku" nie wahali się ani chwili; w 1961 roku głosowali przeciw przejęciu przez państwo majątku kościelnego na Ziemiach Zachodnich, w 1968 roku z sejmowej trybuny sprzeciwili się antysemickiej i antyinteligenckiej nagonce władz PRL-u. Oni i tylko oni.

To posłowie „Znaku" – Konstanty Łubieński, Tadeusz Mazowiecki, Stanisław Stomma, Janusz Zabłocki i Jerzy Zawieyski pytali na Sali Sejmowej 10 kwietnia 1968 roku: „Co zamierza uczynić Rząd, aby powściągnąć brutalną akcję milicji i ORMO wobec młodzieży akademickiej i ustalić odpowiedzialność za brutalne potraktowanie tej młodzieży? Co zamierza Rząd uczynić, aby merytorycznie

odpowiedzieć młodzieży na stawiane przez nią palące pytania, które nurtują też szeroką opinię społeczną, a dotyczą demokratycznych swobód obywatelskich i polityki kulturalnej rządu?".

Rozpoczęła się bezlitosna napaść na posłów „Znaku". Posunięto się do obelg, zniewag, pogróżek. Na tę napaść z godnością odpowiadał Jerzy Zawieyski, bronił aresztowanych studentów, opluwanych pisarzy, zmuszanych do emigracji Żydów.

W swoim dzienniku odnotował powściągliwie: „Mówiło mi się dobrze, mimo szmerów i przerywań galerii, na której siedzieli aktywiści partyjni".

Tak naprawdę jednak na sali sejmowej tupano, śmiano się, gwizdano i walono w pulpity. Ten seans nienawiści trwał i trwał. A Jerzy Zawieyski trwał na trybunie i mówił, póki nie skończył. Trzeba go było podtrzymywać, gdy schodził z trybuny sejmowej.

Nigdy się już z tego nie podźwignął. Rok później dostał wylewu krwi do mózgu. Niemy, na wpół sparaliżowany, wydostał się ze szpitalnego łóżka, dowlókł do balkonu i runął z 4. piętra na bruk.

Ale dziś koło „Znak" to całkiem inna ekipa, niż przed laty. Bolesną pamięć o Zawieyskim, który od razu zyskał miano polskiego Rejtana, wsparł mocą swej poezji Wiktor Woroszylski:

Pan Rejtan
wsłuchany w sen wszystkiego
wstaje z niemocy Powstaje
nad nią Idzie przez labirynt
nocy ojczystej Staje nad krawędzią
której nazajutrz nie odgadnie nikt
i słucha drugich kurów i koszulę
po raz drugi rozdziera pan Rejtan umarły

Dziś czasy są jednak nie na rozdzieranie szat.

Stanisław Stomma, choć kołu przewodniczy, jest w nim osamotniony. 4 pozostałych posłów – Janusz Zabłocki, Konstanty Łubieński, Tadeusz Myślik i Wacław Auleytner – skłania się do bliższej współpracy z PZPR.

Gdy przed kilkoma tygodniami kierownictwo partii zapowiedziało rychłe wprowadzenie do konstytucji zmian, w tym zapisów, że PZPR jest kierowniczą siłą narodu, Polska jest państwem socjalistycznym, związanym sojuszem z ZSRR, zaś prawa obywateli mają być uzależnione od wypełniania przez nich obowiązków wobec socjalistycznego państwa, zaprotestował Episkopat oraz środowiska opozycyjnej inteligencji. Kluby Inteligencji Katolickiej domagały się od posłów „Znaku" głosowania przeciw poprawkom.

Pod wpływem krytyki władze wycofały się z najbardziej drastycznych zapisów zmian, m.in. zrezygnowały z uzależniania praw obywatelskich od wypełniania obowiązków.

Poza Stommą posłowie „Znaku" zdecydowali się ostatecznie głosować za poprawkami. Konstanty Łubieński postanowił nawet – mimo iż przed paru dniami Stomma przestrzegł go w liście, by tego nie czynił – poprzeć poprawki z sejmowej mównicy.

Posiedzenie Sejmu zaczyna się o 10.00 od sprawozdania Komisji Nadzwyczajnej dla przygotowania poprawek do konstytucji. Składa je przewodniczący komisji, a zarazem przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński.

Teraz czas na przemówienia w imieniu klubów poselskich oraz dyskusję.

Do głosu zapisało się 27 posłów. Przemówienie w tak ważnej dla władz partyjnych sprawie, i to pod okiem samego I sekretarza Edwarda Gierka, to wyborna okazja do popisania się wazeliniarską erudycją. Jedni posłowie, jak Stanisława Świderska z PZPR, dukają z kartki bełkotliwe komunały: „Polska Ludowa przyniosła kobiecie

poczucie dumy narodowej, sprawiedliwość społeczno-klasową, stabilizację rodziny wolną od troski o niepewne jutro oraz pełnię praw obywatelskich". Niektórzy, jak poseł Przyłuski z ZSL, bez żenady po prostu plotą od rzeczy: „Wiele problemów do rozwiązania stawia też przyspieszona mechanizacja i chemizacja rolnictwa, nowoczesna gospodarka wodna, weterynaria, wiejskie budownictwo i racjonalna gospodarka paszami. Rozwój gospodarki żywnościowej wymaga stałego dopływu fachowców. Sprawy te znajdują właściwe odzwierciedlenie w projekcie zmian konstytucyjnych". Elita partyjnych posłów prześciga się w wychwalaniu osiągnięć Polski Ludowej i podkreślaniu, że zmiany w konstytucji, same w sobie wspaniałe, odzwierciedlają w istocie ogrom postępu w realnym budownictwie socjalizmu.

Stomma siedzi nieporuszony.

Gdy na mównicę proszony jest poseł Konstanty Łubieński z koła „Znak", Stanisław Stomma wychodzi z sali na korytarz.

Po powrocie na salę, znużony wysłuchiwaniem partyjnej mowy-trawy Stomma zauważa, że I sekretarz Edward Gierek z ożywieniem rozmawia z sekretarzem KC PZPR, a zarazem posłem Stanisławem Kanią. Parę minut później do Stommy podchodzi jeden z urzędników administracji Sejmu i prosi go na korytarz – z katolickim posłem chce rozmawiać sekretarz Kania. Stomma natychmiast kojarzy zauważoną przez siebie rozmowę Kani z Gierkiem. Domyśla się, że sekretarz KC ma mu coś arcyważnego do zakomunikowania.

Na korytarzu Stanisław Kania nie owija niczego w bawełnę:

– Słyszę głosy, że nie będzie pan głosował na zmianą konstytucji. Jeśli to prawda, sądzę, że byłoby dobrze, aby zechciał pan opuścić gmach Sejmu nie biorąc udziału w głosowaniu.

Sekretarz KC przekonuje Stommę, że opuszczenie Sejmu pozwoli mu zachować, jak stwierdza z lekkim przekąsem, „niezłomność przekonań", a zarazem pozwoli uchwalić zmiany w konstytucji jednomyślnie, na czym władzom bardzo zależy.

Stomma odpowiada z rozwagą. Wyjaśnia, że nieprzerwanie od 19 lat jest w Sejmie i jego wyborcy mają pełne prawo wiedzieć, jakie stanowisko zajął on w tak ważnej kwestii. Nie może zatem przyjąć sugestii, by po prostu opuścić głosowanie. Nieobecność byłaby w jego przypadku aktem tchórzliwej ucieczki.

– A zresztą, sprzeciw opinii jest tak szeroki i masowy, że niech przynajmniej jeden poseł będzie jego rzecznikiem – kończy Stomma.

Kania słucha ze spokojem.

– No cóż, jak pan widzi, presji na nikogo nie wywieramy. Postąpi pan, jak sam uzna za słuszne. Ale chyba jest zrozumiałe, że krok pański będzie miał konsekwencje polityczne – kończy rozmowę.

Stomma doskonale rozumie, jakie to będą konsekwencje. Po dzisiejszym głosowaniu kończy się VIII kadencja Sejmu i tym samym skończy się jego działalność poselska. Nie ma co liczyć, że władze dopuszczą jego kandydaturę do wyborów.

Marszałek Sejmu Stanisław Gucwa poddaje pod głosowanie projekt zmian w konstytucji.

– Kto jest za?

W górze las rąk.

– Kto jest przeciw?

Nie widać ani jednej ręki.

– Kto się wstrzymał?

Stanisław Stomma, z leciutko pochyloną, siwą głową, wysoko unosi prawą rękę. W niebywałej ciszy trzyma ją w górze przez dłuższą chwilę.

Jedna, jedyna ręka.

Posłowie siedzący w pobliżu Stanisława Stommy tkwią nieruchomo w fotelach. Żaden nie patrzy w stronę szczupłej postaci z podniesioną ręką.

Marszałek Sejmu ogłasza wynik głosowania.

Jest 16.25. Posłowie PZPR nieoczekiwanie wstają z miejsc i intonują „Mazurka Dąbrowskiego". Po chwili przyłącza się do nich cała sala i galerie pełne zaproszonych gości. Śpiewa nawet obsługa techniczna Sejmu.

Marszałek Gucwa podsumowuje 4-letnią kadencję sejmową. W końcu Sejm podejmuje uchwałę o zamknięciu sesji w dniu dzisiejszym.

Mieczysław Rakowski, redaktor naczelny tygodnika „Polityka", członek KC PZPR i poseł, głosował za poprawkami. Wieczorem Rakowski notuje w swoim dzienniku: „Posiedzenie Sejmu, na którym przyjęliśmy poprawki do konstytucji. Jabłoński, jako przewodniczący Komisji Nadzwyczajnej, złożył sprawozdanie. Kłamał jak pies, mówiąc, że dyskusja nad wprowadzonymi zmianami trwała 4 lata. Ciekawe gdzie? W prasie nie wolno było pisnąć ani jednego słowa na ten temat. Wszyscy, z wyjątkiem Stommy, który wstrzymał się od głosu, głosowali za przyjęciem poprawek. Podziwiam jego odwagę, tym bardziej, że został zaskoczony hymnem narodowym, który zaintonowali posłowie PZPR. Żeby pokazać, jacy jesteśmy patriotyczni. Ciekaw jestem, czy Stomma znajdzie się w nowym Sejmie. Znając tych moich demokratów, obawiam się, że nie raczą go zaakceptować. Jeśli do tego dojdzie, to z Sejmu zniknie ostatni człowiek, który w niektórych przypadkach miał odwagę powiedzenia NIE. Nie muszę dodawać, że gdy opuszczałem gmach Sejmu, to poza wielkim kacem moralnym niczego innego nie czułem. Polska dokonała

dzisiaj kolejnego wielkiego kroku w kierunku umocnienia autorytarnych rządów. Żeby tylko to się kiedyś na nas nie zemściło".

Głosowanie nad zmianami w Konstytucji PRL

11 lutego 1858 ▪ czwartek

Próba kija

Dziś tłusty czwartek, dzień wolny od nauki. W ciemnej, wilgotnej izbie rodziny Soubirous w 4-tysięcznej mieścinie Lourdes we francuskich Wysokich Pirenejach rozrabia gromadka dzieciaków. Najstarsza Bernadetta ma 14 lat, najmłodszy Justin niespełna roczek. Trudno z nimi wszystkimi wytrzymać w ciasnocie – izba ma wymiary 4 na 5 m, prócz kufra i skrzyni, pełniącej także funkcję stołu, są tu 3 nędzne łóżka: rodziców, chłopców i dziewczynek. Choć

to już 11.00, ojciec dziatwy François Subirous leży w małżeńskim łóżku. Dziś nie znalazł żadnej pracy. Jest głodny i nie chce tracić sił ruszaniem się po próżnicy. Na leżąco zresztą w pustym żołądku nie ssie tak dotkliwie.

Jeszcze parę lat temu François Soubirous prosperował całkiem nieźle: dzierżawił niewielkie młyny w okolicy, dochody pozwalały wynajmować skromne, ale schludne mieszkania. Po serii niepowodzeń finansowych Soubirous stoczyli się w otchłań wyrobniczej nędzy. Żyją z dorywczego pomagania rolnikom i komu tylko się da, mieszkają w ponurej, wilgotnej izbie na parterze dawnego lokalnego więzienia. Wynajmowane przez nich mieszkanie jest oddzielone od pracowni kamieniarskiej jedynie przepierzeniem z desek.

14-letnia Bernadetta jest grzeczną, pogodną dziewczynką. Opiekuje się własnym rodzeństwem, wysyłana jest przez matkę do pracy jako służąca i do opieki nad innymi dziećmi. Do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne chadza rzadko. Z całej edukacji wyniosła raptem umiejętność zmówienia „Ojcze nasz", „Zdrowaś Mario" i „Wierzę w Boga", ale jest bardzo pobożna. Uwielbia budować miniaturowe ołtarzyki.

Jeśli już coś zwraca uwagę w tej dziewczynce, to osobliwa w jej wieku powaga, skłonność do zamykania się w sobie, częste milczenie.

Żona François Subirous Ludwika zbiera się do wyjścia po chrust, lecz wcześniej w progu zjawia się koleżanka jej córki Antoniny z klasy u sióstr zakonnych – Joanna Abadie. Dzieciaki przezywają ją w miejscowym narzeczu Baloum. Nad wiek silna i rozgarnięta Joanna pyta Ludwikę, dokąd idzie. Gdy dowiaduje się, że po chrust, natychmiast decyduje, że to ona wraz z obiema córkami Ludwiki, Antoniną i Bernadettą, przyniesie opał. Obie przytakują z radością –

to okazja do wyrwania się z ciemnej i wilgotnej nory, co z tego, że na zimowe chłody. Matka przez chwilę oponuje – jest mglisto i zimno, Bernadetta, która cierpi na chroniczną astmę, od kilku dni ma katar, a żadne z dzieci nie ma ciepłej odzieży. W domu Soubirous jest jeden tylko połatany biały dziewczęcy kapturek i jedna para wełnianych pończoch.

Przeziębiona Bernadetta wkłada pończochy, wsuwa stopy w drewniane saboty, wdziewa kapturek. Jej siostra wkłada saboty na bose stopy. Bernadetta zabiera koszyk na stare walające się po polach kości. Skupują je okoliczni szmaciarze.

3 dziewczynki ruszają w stronę lasu. Mijają cmentarz, idą przez pola. Nad rzeką Gava spotykają staruszkę, mimo ziąbu piorącą jakieś łachmany. Kobieta radzi im, by poszły do posiadłości pana de Laffitte'a, który niedawno ścinał drzewa; na ziemi musiało zostać sporo gałązek. Obsadzoną topolami i bukami posiadłość otaczają wody Gavy i kanału młyńskiego zwanego Savy.

Dziewczynki nie znają tego terenu. Przy mostku zauważa je młynarz Nicolau, który jednak macha ręką na ich wyprawę. Dzieci nie są w stanie wynieść dużo chrustu. Wszędzie leżą suche gałązki. Antonina i Baloum zbierają je, ale Bernadetta chce iść dalej, w stronę wyniosłej skały zwanej w miejscowym dialekcie Massabielle. Niezbyt interesują ją gałązki, które pilnie podnoszą z ziemi siostra i jej koleżanka. Dziewczynki stają na brzegu kanału młyńskiego. Po jego drugiej stronie piętrzy się wielka, pokryta siatką głębokich rys i spękań Massabielle. W lecie skała porośnięta jest jeżyną, bluszczem i bukszpanem. Teraz, gdy krzaki nie mają liści, dobrze widać dużą, szeroką na 12 m grotę. Między grotą głęboką na 8 m a odległym o kilka metrów brzegiem kanału wystaje z piasku wielki płaski kamień.

Grota fascynuje dziewczynki. Młyn jest zepsuty i w kanale woda sięga zaledwie do kolan. Anotnina i Baloum zdejmują buty i przechodzą na drugi brzeg. Woda jest tak zimna, że płaczą. Bernadetta nie chce wejść do kanału. Pamięta, że mama zabroniła się jej przeziębić. Prosi Baloum, by ją przeniosła na ramionach. Baloum klnie jak szewc i odmawia. Bernadetta zwraca jej uwagę, by zachowywała się przyzwoicie zdejmuje saboty, pończochy i wchodzi do lodowatej wody. Na drugim brzegu, dygocąc cała z zimna, ubiera się.

Antonina i Baloum zaglądają do groty, po czym ruszają dalej brzegiem kanału w poszukiwaniu starych kości i gałązek. Bernadetta siada samotnie przed grotą. Obok groty znajduje się w skale owalna nisza porośnięta dużym krzakiem dzikiej róży. Dziewczynka już ma ruszać dalej, w ślad za siostrą i Baloum, gdy słyszy za sobą potężne uderzenie wiatru. Czyżby zbierało się na burzę? Obraca się i widzi, że gałęzie drzew są nieruchome. Gdy obraca się z powrotem w stronę groty, wydaje się jej, że poruszają się pędy jeżyn u jej wejścia. Ale tylko tam.

Bernadetta zdejmuje pończochy i szykuje się do przeprawy przez kanał z powrotem. Znów słyszy szum wiatru targającego gałązki. Zwraca się w stronę groty. Widzi, że gałązki krzaków i pędy jeżyn w skale powyżej groty poruszają się gwałtownie. Ale wokoło panuje idealny spokój.

Za gałązkami Bernadetta dostrzega nagle postać dziewczyny w długiej białej sukni, wyciągającej przed siebie ręce. Bernadetta przeciera oczy, ale zjawa nie znika. Przeciwnie, pozdrawia ją lekkim skinieniem głowy i rozkłada ramiona. Jak Najświętsza Maria Panna, której wizerunki Bernadetta tyle razy widziała na obrazkach w szkole u zakonnic.

Co się dzieje? Bernadetta boi się, chce zawołać siostrę i Baloum, ale w tym momencie wydaje się jej, że postać przed niszą uśmiecha się. Dziewczynka wyciąga z kieszeni różaniec i chce się przeżegnać, nie ma jednak siły. Ręka opada jej.

Postać spływa sprzed skalnej niszy i staje tuż obok Bernadetty. Dziewczynce wreszcie udaje się przeżegnać. Odmawia różaniec, ale co i rusz bystro przypatruje się postaci obok, tak bardzo przypominającej jej Najświętszą Pannę. Jej włosy zakrywa biały welon, tak długi, że sięga niemal do stóp. Pod szyją suknia ściągnięta jest sznureczkiem. Jego koniec zwisa wolno. Końce niebieskiego pasa sukni zwisają aż poza kolana. Na stopach niebieskookiej zjawy leżą żółte róże, a otacza ją złotawa chmura.

Bernadetta widzi, jak zjawa zdejmuje wiszący na jej prawym ramieniu wielki różaniec. Przesuwa paciorki koronki w tym samym rytmie, w jakim czyni to Bernadetta, ale jej usta pozostają nieruchome. Łańcuszek koronki jest żółty, paciorki zaś białe, wielkie. Jest cicho jak makiem zasiał.

Bernadetta kończy różaniec. Przeniknięta łagodnym światłem postać uśmiecha się do niej i znika.

Antonina i Baloum taszczą naręcza suchych gałęzi w stronę groty. Przez bezlistne krzaki dostrzegają sylwetkę klęczącej przed skalną niszą Bernadetty. Wołają do niej, ale dziewczynka nie reaguje. Jest jak skamieniała. Zirytowana Antonina rzuca w starszą siostrę kamykiem. Trafia ją w ramię. Musi boleć, ale Bernadetta nie porusza się. Dziewczynki są już przy niej. Ogarnia je przerażenie. Twarz Bernadetty jest woskowobiała, jak twarze zmarłych. Antonina boi się, że jej siostra umarła. Zaczyna płakać. Bystra Baloum rzuca jednak: „Gdyby była nieżywa, to by leżała".

Antonina chce przejść przez kanał i pędzić do domu po pomoc. Już, już ma wejść do lodowatej wody, gdy Bernadetta jak gdyby

nigdy nic wstaje z kolan.

– Co ty robisz? – pyta ją siostra.

– Nic.

– Jakaś ty głupia! Modlić się tutaj?

– Modlitwy są dobre wszędzie – odpowiada rezolutnie Bernadetta i nie czekając na dziewczynki, wchodzi do kanału. Tym razem wcale nie dygoce z zimna.

Po drugiej stronie kanału Baloum wyprzedza siostry i sama szybko idzie do swego domu. Bernadetta nie wytrzymuje i po drodze opowiada Antoninie o tym, co przeżyła.

Dziewczynki składają w korytarzyku chrust. Matka czesze Antoninę, która po cichu opowiada jej, co usłyszała od Bernadetty. Matka wpada w gniew, chwyta solidny kij, którym zwykle rozkłada kołdry przy ścieleniu łóżek, i sprawia każdej z dziewczynek potężne lanie. To najlepsze lekarstwo na jakieś tam zjawy! Antonina płacze, Bernadetta zacięcie milczy. Zrezygnowana matka tłumaczy jej, że musiała zobaczyć biały kamień. Bernadetta zaprzecza: „Nie, ona jest piękna".

Ojciec przyłącza się awantury – a cóż to za głupstwa dzieciak zaczyna wymyślać?!

Na szczęście o 15.30 w mieszkaniu Soubirous pojawia się znów Baloum. Wszystkie 3 dziewczynki wychodzą, by sprzedać zebrane dziś kości szmaciarce Letchinie de Barraou. Dostają za nie 30 centymów, za które kupują funt chleba.

Podczas wieczornej modlitwy z oczu Bernadetty kapią łzy. Matka żąda, by przyrzekła jej, że już nigdy nie pójdzie do groty w skale Massabielle. Dziewczynka przyrzeka, ale czuje, że popędzi tam tak szybko, jak tylko możliwe. Już wie, że widzenie w skalnej niszy odmieniło jej życie. Następne widzenia odmienią oblicze Lourdes.

Modląca się Bernadetta Soubirous

12 lutego 1967 ▪ niedziela

Wenus z tripu

O północy Acid King David (Kwasowy Król Dawid) z groteskowym namaszczeniem rozdaje bibułki nasączone LSD. Wygłasza przy tym pompatyczne pouczenie: „To jest Tao dwuetylowego kwasu lizergowego, kochani. Pozwólcie mu przemówić, niech was nauczy, jak wędrować przez Kosmos". Nikt z częstowanych narkotykiem nie

śmieje się jednak z tej napuszonej celebry – w końcu to Acid King rozdaje „kwas", teraz to on jest tu najważniejszy.

W saloniku wiejskiej posiadłości Redlands w Sussex, niedawno kupionej przez Keitha Richardsa, gitarzysty zespołu The Rolling Stones, grupa młodych ludzi rozpoczyna trip, narkotykową podróż po zażyciu LSD. Oprócz gospodarza i Acid King Davida, czyli Kanadyjczyka Davida Schneidermanna, jest wokalista Rolling Stones Mick Jagger, jego dziewczyna Marianne Faithfull, przyjaciele Stonesów: Christopher Gibbs, Michael Cooper, Nicky Kramer i Robert Fraser. I jeszcze Mohammed, marokański służący Roberta Frasera. Parę godzin wcześniej Jagger i Richards skończyli nagranie w londyńskich Olimpic Studios, cała ta ekipa zapakowała się do pożyczonego mikrobusa i po 2 godzinach jazdy dotarła do Redlands. Plany na weekend były ambitne: degustacja prochów przywiezionych prosto z Kalifornii przez Schneidermanna oraz zwiedzanie turystycznych atrakcji, kamiennego kręgu w Stonehenge i rozmaitych ruin starych budowli.

Trip po kwasie serwowanym przez Schneidermanna kończy się po 5.00 nad ranem. Goście idą spać do 4 sypialni na piętrze. Keith Richards zasypia w fotelu w salonie.

O 9.00 budzą się Mick Jagger i Marianne Faithfull. Schneidermann podaje im herbatę i białą błyskawicę, wedle niego świetny gatunek „kwasu" robiący furorę w Stanach. Po zażyciu jej Marianne robi się trochę niedobrze. Jagger początkowo też nie czuje się po białej błyskawicy najlepiej. Schneidermann częstuje kolejnych chętnych. O 11.00 budzi się Keith Richards. W kuchni zastaje Schneidermanna i Mohameda. Reszta zasnęła po porannej dawce narkotyku. Richards wypija herbatę, bierze białą błyskawicę i wychodzi do ogrodu. Nieco później całe towarzystwo budzi się. Nastrój jest świetny – ani śladu po mdłościach, wszyscy czują się

dobrze. Trip trwa. Tylko Michael Cooper jest ciut męczący. Gada bez sensu jak nakręcony.

W końcu wszyscy zbierają siły i ruszają na zaplanowaną wcześniej wycieczkę. Cel – dom Edwarda Jonesa w West Dean, w latach 30. milionera i mecenasa surrealistów, słynący z odjazdowego, surrealistycznego wyposażenia wnętrz. Za kierownicą mikrobusa siada Mohammed.

Na miejscu wycieczkę czeka wielkie rozczarowanie. Dom Jonesa jest zamknięty, nigdzie żywej duszy. Mohammed w poszukiwaniu atrakcji jeździ bez końca po okolicy. Pasażerów przeżywających trip niewiele to wzrusza. Wreszcie docierają nad morze. Wszyscy, jeszcze solidnie nakręceni, wybiegają na plażę. Jak dzieci cieszą się z widoku mew, krabów i muszelek, przewracają się, tarzają w piasku. Jest bardzo przyjemnie.

Do Redlands wracają dopiero o 18.00. Działanie narkotyku słabnie, zaczyna się łagodna faza kwasowego tripu. Mohammed przygotowuje na obiad jakąś marokańską potrawę. Niektórzy palą po obiedzie jointy. Keith Richards bierze kąpiel, przebiera się w świeżą koszulę. Kąpie się także Marianne Faithfull. Nie ma pod ręką czystej bielizny, owija się więc naga w futrzany dywanik i wraca do towarzystwa.

W salonie palą się kadzidełka. Telewizor jest ściszony; zanurzone w narkotycznym rauszu towarzystwo słucha muzyki z płyt The Who i Boba Dylana.

O 20.30 ktoś dobija się do wejściowych drzwi. Keith Richards otwiera i oczom nie wierzy: przed progiem kłębi się tłumek małych, śmiesznych ludzików w mundurach i płaszczach przeciwdeszczowych. Ale to nie są jednak stworki z głębin kwasowego tripu. Jeden z nich, w długim, jasnym płaszczu, robi krok do przodu. Z bliska okazuje się, że ma jednak normalne

rozmiary, mało tego, jest nadinspektorem policji, nazywa się Gordon Dinley, a w ręku trzyma nakaz przeprowadzenia rewizji w Redlands.

Rozbawiony Richards otwiera szeroko drzwi. Do wnętrza wkracza 15 policjantów i 3 policjantki. Marianne Faithfull mocno zaciska powieki przekonana, że tupiący ogromniastymi buciorami intruzi to kreatury z narkotycznego snu, które – zignorowane – same znikną.

Ale policjanci nie znikają. Przeciwnie, stanowczo żądają, by wyłączyć adapter. Siedzący w salonie idą na kompromis: trochę ściszają muzykę. Mundurowi zaczynają myszkować za wszystkim, co przypomina narkotyki. Każdy pet, okruch popiołu i sprasowanego tytoniu, każdą fifkę pakują do foliowych torebek. Do znarkotyzowanego towarzystwa w saloniku z wolna dociera, co się tu dzieje. Sierż. John Challen w sypialni na piętrze znajduje zieloną aksamitną marynarkę, a w kieszeni trochę haszyszu i fiolkę z 4 pigułkami speedu. Schodzi do salonu i pyta, kto jest właścicielem marynarki i fiolki. Mick Jagger oświadcza, że to jego własność. Policjant nie ma pojęcia, jak wygląda haszysz, i kęs narkotyku z obrzydzeniem chowa z powrotem do kieszeni marynarki. Interesują go tylko pigułki. Jagger wyjaśnia, że przepisał mu je lekarz. Challen pyta o nazwisko. „Dr Dixon Firth, ale nie jestem pewien, czy to on dał mi receptę" – odpowiada wykrętnie Jagger i tłumaczy, że pozwalają one nie spać i długo pracować.

W kieszeni Roberta Frasera policjanci znajdują małe pudełeczko z 24 pigułkami farmaceutycznej heroiny brytyjskiej produkcji. Charakterystyczny akcent Frasera, absolwenta Eton, budzi u przeszukujących respekt. „Ależ proszę pana, czy naprawdę uważa pan to za konieczne?" – pyta Fraser policjanta, który znalazł pudełeczko i pakuje je do folii. „Bardzo pana przepraszam, *sir*. Na pewno wszystko się wyjaśni" – odpowiada stropiony policjant.

Fraser tłumaczy, że to tabletki na cukrzycę. Mundurowi przepraszają go, ale zatrzymują jedną fiolkę: „*Sir*, to zwykła formalność".

Z ramion Marianne ciągle zsuwa się futrzak. Policjantka Fuller prosi ją na górę. Chce przeprowadzić rewizję. Na schodach Marianne zrzuca futrzaka. Posągowo piękna blondynka z fantastycznym biustem woła do przyjaciół: „Oni chcą mnie zrewidować!". Odpowiedzią jest wybuch śmiechu.

Na końcu policjanci obszukują Schneidermanna. Acid King David nie ma szans na ratunek – w jego marynarkę zawinięta jest nieduża aluminiowa walizeczka. Po otwarciu policjantom ukazuje się mnóstwo owiniętych alufolią paczuszek. Typowy neseser dealera narkotyków. Schneidermann tłumaczy idiotycznie, że jest filmowcem, a w alufolii są niewywołane rolki najnowszego filmu. I policjanci oddają mu nietkniętą walizeczkę!

Keith Richards włącza płytę Dylana *Blonde on Blonde*. Rewizja kończy się przy akompaniamencie zaśpiewu z głośnika: „*Everybody must get stoned!*" (Wszyscy muszą się najarać!).

Gdy za funkcjonariuszami zamykają się drzwi, goście Richardsa przytomnieją. Nastrój w salonie zrazu jest całkiem niezły. Nikt nie ma wątpliwości, że rewizja była bardzo pobieżna, a już pozostawienie walizeczki Schneidermanna wyglądało na numer z kiepskiej komedii.

Znarkotyzowani muzycy i przyjaciele Rolling Stones zrazu nie zdają sobie sprawy, że tego wieczoru nic nie było przypadkowe. Brytyjski establishment ruszył do generalnego starcia z kulturową rewolucją młodego pokolenia. Na początek: rozprawa z idolami młodzieży, gwiazdorami muzyki pop. Powód: narkotyki. Brukowiec „News of the World" o nakładzie 16 mln egzemplarzy parę tygodni temu rozpoczął cykl artykułów *Pop Stars and Drugs* (Gwiazdy popu i narkotyki). Przed tygodniem, w drugim tekście cyklu, opisano

narkotykowe ekscesy kapeli The Moody Blues oraz muzyków grup Cream i The Who. I – Micka Jaggera. „News of the World" podał, że Jagger w trakcie rozmowy z dziennikarzami łykał tabletki z benzydyną, a potem poszedł zapalić haszysz. To była nieprawda i Jagger podał brukowiec do sądu o zniesławienie. W odpowiedzi redakcja błyskawicznie zmontowała prowokację. Wśród przyjaciół Jaggera i Richardsa *deus ex machina* zjawił się z walizeczką narkotyków Acid King Schneidermann i wyruszył z nimi do Redlands. Redakcja sama zawiadomiła policję o narkotykowej sesji w posiadłości Richardsa, a policja w czasie rewizji pod byle pozorem oszczędziła Acid Kinga.

O północy goście Richardsa zdają już sobie sprawę z powagi sytuacji. Pokazowy proces jest nieuchronny. Nikt się tylko nie domyśla, że szacownych sędziów od wszelkich narkotyków o wiele bardziej poruszy wizja pięknej, nagiej Marianne Faithfull na schodach.

Mick Jagger i Keith Richards

13 lutego 1945 ▪ wtorek

Burza piekielna

Na lotniskach południowej Anglii od rana trwa gorączkowa krzątanina. Obsługi techniczne tankują ciężkie 4-motorowe bombowce Lancaster. Mechanicy pośpiesznie sprawdzają silniki, zbrojmistrze wciągają do wieżyczek długie taśmy z nabojami. Do

luków ładuje się, prócz bomb burzących, setki malutkich, ważących tylko 2 kg zapalających bombek fosforowych.

To oznacza tylko jedno – nalot na duże niemieckie miasto. Ale jakie?

Po południu piloci dowiadują się, że dziś w nocy polecą nad Drezno.

Wieczorem startują pierwsze z 1407 przeznaczonych do tej operacji maszyn. Ale kolejne, z postrzelanych w poprzednich nalotach nad Niemcy, bombowce odmawiają posłuszeństwa. Ostatecznie na kanałem La Manche tylko 1281 samolotów formuje bojowy szyk – długi, zwarty potok bombowców nawzajem ubezpieczających się przed atakami myśliwców Luftwaffe. Masowe naloty w wykonaniu aliantów stały się w tej wojnie operacjami skomplikowanymi i technicznie wyrafinowanymi. Główny nurt bombowców poprzedzają lecące w rozmaitych kierunkach samoloty wyrzucające w powietrze ogromne ilości drobno przyciętych pasków z folii aluminiowej. Chmury metalowych ścinków dają na niemieckich radarach sygnał identyczny jak wielka armada samolotów. To dezorganizuje obronę, myśliwce Luftwaffe nie wiedzą, gdzie naprawdę szukać lancasterów.

Na czele flotylli bombowców lecą lekkie, bardzo szybkie bombowce Mosquito z najbardziej doświadczonymi, długo przygotowywanymi do tego zadania załogami „oświetlaczy", „wyszukiwaczy celów" i „zaznaczaczy". To oni muszą, mimo obowiązującego w III Rzeszy totalnego zaciemnienia, wyszukać miasto, które ma zostać zniszczone, następnie oświetlić je na chwilę flarami na spadochronach, i bombami zapalającymi wzniecić w śródmieściu pożary, które staną się nieomylnym drogowskazem dla głównego strumienia ciężkich bombowców.

Gdy w Anglii startują pierwsze bombowce, w drukarni organu drezdeńskiej partii hitlerowskiej Der Freiheitskampf zaczyna się produkcja broszury *Taktyka dla gospodyń domowych*. Oczywiście – taktyka na czas nalotów: „Nie podniecaj się, kochana mieszkanko Drezna! Środki obrony uspokoiły nas nad Renem i umożliwiły nam życie w bezpieczeństwie przed wrogiem. Nie pozwól sobie na to, byś z powodu niecnej roboty radiopajęczarzy, strachajłów i plotkarzy miała się łatwo pocić ze strachu".

Rzeczywiście, w ostatnich bombardowaniach niemieckich miast nad Renem alianckie lotnictwo, dzięki skutecznej organizacji niemieckiej obrony przeciwlotniczej, poniosło dotkliwe straty.

O 21.00 wszystkie maszyny RAF są już nad III Rzeszą. Hitlerowscy sztabowcy o tym, rzecz jasna, wiedzą, ale nie mają pojęcia, dokąd zmierza atak. Mniejsze grupy bombowców lecą w 8 rozmaitych kierunkach, od Dortmundu, przez Getyngę po Mannheim, sypią chmury staniolowych pasków, rozpoczynają bombardowania rozmaitych miast, mające odwrócić uwagę Luftwaffe od prawdziwego celu – Drezna. I udaje się. Niemieckie myśliwce nie atakują głównej wyprawy.

A Drezno czuje się bezpieczne. Tu nie ma produkcji zbrojeniowej. Jedyny strategiczny obiekt to wielki, długi na 2 km, szeroki na 100 m węzeł kolejowy. Wśród mieszkańców od tygodni rozchodzą się krzepiące plotki: że alianci nie zaatakują miasta ze względu na bezcenne zabytki kultury, że Londyn zawarł z Berlinem potajemny układ gwarantujący oszczędzenie Drezna. Miasto puchnie od uchodźców, robotników przymusowych, jeńców wszystkich narodowości, jest tu dobrze ponad milion ludzi. Jeden z amerykańskich jeńców nazywa się Kurt Vonnegut.

O 21.39 ogłasza się w mieście alarm lotniczy. 15-letni członek Hitlerjugend Gerhard Kuehnemund powinien tej nocy być w domu

w Lipsku, ale uciekł mu pociąg i został w Dreźnie u krewnych przy Serrestrasse. Gdy syreny cichną, ciotka stwierdza: „Chociaż Drezno znów będzie oszczędzone, dla zasady musimy zejść do piwnicy". W schronie jest już 10 kobiet, 4 dzieci, starszy pan i młody pilot z odznakami asa lotniczego na mundurze.

O 22.03 nad miasto nadlatują pierwsze bombowce. „Oświetlacze" zrzucają ogromne flary na spadochronach i na ulicach robi się jasno jak w dzień. „Wyszukiwacze" celów zrzucają pierwsze płonące na czerwono ładunki znakujące na boisko piłki nożnej w centrum miasta. „Zaznaczacze" dokładają w tym miejscu kolejne bomby. Na wysokości kilometra w lekkim mosquito krąży już nad miastem *masterbomber* (mistrz bombardowania) kierujący nalotem. Nawołuje: „Bombardujcie według planu czerwone światło naprowadzaczy". Pierwsze bomby burzące spadają na miasto o 22.13. Brytyjska machina powietrzna działa z niesamowitą precyzją; wedle planu bomby te miały spaść 2 minuty później.

Masterbomber nie dostrzega ani niemieckich myśliwców, ani strzałów artylerii przeciwlotniczej, ani reflektorów, poleca więc bombowcom z głównej grupy zejść aż poniżej średniej warstwy chmur. Zachęca załogi lancasterów: „To jest bardzo przyjemne bombardowanie!".

15 minut później ostatnie maszyny zrzucają bomby.

Do schronu, w którym ukrywa się Gerhard Kuehnemund, wbiegają jacyś ludzie. Krzyczą: „Uciekajcie, cała Serrestrasse w ogniu!". Młody pilot pyta Gerharda: „Jesteś mężczyzną?", a gdy 15-latek kiwa głową, zabiera go na dach. Mają 2 worki z piaskiem i gaśnicę. Na dachu, sycząc i pryskając płynnym fosforem, płoną 2 małe bomby. Obaj zaczynają je gasić, wtem jedna eksploduje. Lotnikowi odłamek przebija brzuch, Kuehnemund jest ranny w nogę. Pilot, mimo bólu, ściąga chłopaka na dół, na ulicę. W tej

chwili płonący dom zawala się. Wszystkie domy wzdłuż Serrestrasse stoją w ogniu, na jezdni kłębi się tłum. Kuehnemund przez chwilę widzi ciotkę. Po chwili tłum z ulicy znika w płomieniach. Zaczyna się prawdziwe piekło na ziemi – burza ogniowa. Grupa płonących w tym samym czasie domów wyrzuca na wieleset metrów w górę słup ognia, dymu i potwornie rozgrzanego powietrza. Dołem zaś z niesamowitą siłą zasysa z sąsiedztwa chłodne powietrze. Zaczyna ono krążyć wokół pożaru z ogromną prędkością, niczym tornado. Porywa wszystko. Ludzie wzlatują w powietrze i nikną w gigantycznym słupie ognia.

Ranny lotnik i Kuehnemund przedzierają się cudem do głównego bunkra w centrum. Płoną całe kwartały domów w śródmieściu, płonie drukarnia z uspokajającą broszurą dla drezdeńskich kobiet. Płoną tysiące ludzi. Nieśmiertelne jest tylko kumoterstwo. O 23.00 oddział strażaków usiłujący powstrzymać ogień przy Adolf Hitler Platz zostaje odwołany nagłym rozkazem: „Koniecznie ocalić mieszkanie burmistrza!".

O 1.30 w nocy nadlatuje druga wyprawa bombowa – 529 ciężkich maszyn. Miasto schowane jest pod gigantyczną czapą dymu. Brytyjczycy zrzucają bomby na oślep, ale skutecznie. To już pandemonium. Lokalne burze ogniowe łączą się, powstaje gigantyczna nawałnica ognia. Wsysa tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi. Miasto zamienia się w pochodnię wysoką na 4 km. Nieuszkodzony jest tylko strategiczny węzeł kolejowy, formalny powód bombardowania.

Drezno po zbombardowaniu

14 lutego 1929 ▪ czwartek

Pies nie podpadł

Po 10.00 z hotelu Parkway w dzielnicy Chicago North Side wychodzi 2 mężczyzn. W długich miękkich płaszczach, drogich kapeluszach wyglądają bardzo elegancko. Można by ich wziąć za

nieźle prosperujących biznesmenów, ale obaj są świetnie prosperującymi gangsterami. Zażywny, uśmiechnięty mężczyzna z szeroką, niemal kwadratową twarzą to George Clarence Moran, w mafijnych kręgach zwany Bugs, czyli wariat, kompletny wariat. Towarzyszy mu jako ochroniarz jeden z ludzi jego gangu, Ted Newberry. Uśmiech na twarzy Bugsa jest całkiem uzasadniony – idą na spotkanie w magazynie w garażach SMC Cartage przy 2122 North Clark Street, niedaleko Lincoln Park, gdzie mają spotkać się z kilkoma innymi ludźmi Morana, a tam przejąć, przeładować na własną ciężarówkę i wywieźć do swoich mafijnych dziupli transport przemyconej z Kanady whiskey. Teraz, w czasach prohibicji, nawet jedna ciężarówka zdobytej za grosze gorzałki przynosi po sprzedaniu w konspiracyjnych knajpach wielki zysk. Tymczasem Purple Gang, Purpurowy Gang, z Detroit zaoferował Moranowi aż 2 ciężarówki skradzionej innej grupie gangsterów whiskey.

Moran pochodzi z porządnej katolickiej rodziny francuskiego emigranta ożenionego z Kanadyjką. Już w dzieciństwie doszedł do wniosku, że uczciwą pracą może dojść tylko do odcisków na rękach. W wieku 19 lat wyjechał do Chicago, a rok później miał już zaliczone 3 odsiadki. Moran wysługiwał się rozmaitym, drobnym chicagowskim gangom, aż wreszcie na stale związał się z kontrolującym już od wielu lat dzielnicę North Side gangiem Deana O'Baniona, w którym pierwsze skrzypce grali zabijacy irlandzkiego pochodzenia. Szybko stał się prawą ręką O'Baniona. Tymczasem w dzielnicy South Side na początku epoki prohibicji pojawiła się mafia włoska – gang Johnny'ego Torrio i jego prawej ręki Ala „Scarface" (Blizna) Capone'a. Torrio z usposobienia bardziej był człowiekiem interesu niż krwawym zabijaką. Porozumiał się z O'Banionem, podzielił z nim strefy wpływów. Ale

podporządkowany Torrio drobny gang braci Genna ciągle łamał porozumienie i prowokował gang O'Baniona, przemycając na jego terytorium whiskey i sprzedając na własny rachunek. O'Banion wystawił Torrio policji, ale ten zdołał wywinąć się z pułapki. W rewanżu ludzie Torrio zastrzelili O'Baniona w jego własnej kwiaciarni, gdy osobiście wybierał kwiaty na pogrzeb jednego z szefów amerykańskiej mafii – Mike'a Merlo.

Bossem osłabionego North Side Gang został Moran. Wtedy już zwano go Bugs, gdyż podejmował najbardziej nawet szalone akcje. To Bugs wymyślił nową metodę atakowania przeciwników – samochód z jego ludźmi uzbrojonymi w pistolety maszynowe Thompson o wielkiej sile rażenia podjeżdżał do samochodu wroga i gangsterzy North Side bez ostrzeżenia zasypywali ofiarę gradem pocisków, nie dbając wcale o los przypadkowych przechodniów. Wkrótce po śmierci swego poprzednika O'Baniona tak właśnie Bugs zaatakował Capone'a. Moran i jego ludzie – Drucci i Weiss – tak długo krążyli po ulicach Chicago, aż wreszcie wypatrzyli stojące przy krawężniku jednej z głównych ulic auto Capone'a. Wtedy bez namysłu otworzyli ogień. Capone w ostatniej chwili wyskoczył z samochodu i schował się za zbawczym kołem. Po tym zamachu sprawił sobie opancerzoną limuzynę.

Potem Moran zabił szefa jego ochrony osobistej. A przed 3 laty na dziedziniec należącego do Capone'a hotelu w Cicero, w stanie Illinois, wjechała kawalkada aut Morana. Jego ludzie otworzyli ogień z dziesiątek thompsonów. Pijący w lobby drinka Capone cudem ocalał, ale nie dało się tego powiedzieć o jego hotelu, zamienionym w największy durszlak na świecie.

Naprawdę przerażony Capone zaproponował rozejm. Konferencja chicagowskich bossów mafii zatwierdziła warunki zawieszenia broni i wydawało się, że spokój wrócił na ulice miasta. Tylko

pozornie. Moran ciągle porywał transporty lewego alkoholu Capone'a. Ten w końcu odwdzięczył się spaleniem ukochanej (i wielce dochodowej) zabawki Bugsa – toru psich wyścigów. Ludzie Bugsa w odwecie zabili 2 serdecznych przyjaciół Capone'a, gangsterów Antonia Lombarda oraz Pasqualina Lolorda, i nasilili akcje porywania transportów whiskey należących do włoskiego gangu.

Capone poprzysiągł krwawy, ostateczny odwet.

Spóźnieni Bugs Moran w jasnym płaszczu i jego kompan Newberry szybkim krokiem maszerują w stronę garaży przy North Clark Street. W magazynie garaży czeka już na nich 4 kompanów, którzy przyjechali ciężarówką po odbiór alkoholu. To Peter Gusenberg, główny spec od mokrej roboty w gangu Bugsa, jego brat Frank Gusenberg, także mafijny pistolet Morana, Adam Heyer, księgowy i mózg operacyjny gangu North Side, oraz Albert Weinshank, menedżer kilku pralni i farbiarni Morana, naczelny spec Bugsa od prania brudnych pieniędzy. Pod ścianą zaparkowana jest ciężarówka współpracującego z gangiem Morana mechanika samochodowego Johna Maya. Nie jest gangsterem, ale ludzie Morana zabierają go na większe akcje jako kierowcę i mechanika – niezbędnego w razie awarii niepewnych samochodów.

Obok Maya w garażu, przy grupce gangsterów, stoją też Albert Kallechek, zaufany człowiek Morana, emeryt, który choć nie należy do gangu, jest doradcą Bugsa, oraz Reinhard Schwimmer, były optyk, który po tym jak stracił majątek na wyścigach konnych, przystał jako pomocnik do gangu North Side.

Wszyscy mężczyźni, choć czeka ich fizyczna praca przy rozładowywaniu 2 ciężarówek whiskey, ubrani są wyzywająco elegancko. Taki gangsterski sznyt. Tylko May jest w kombinezonie

mechanika. Swego psa, wilczura imieniem Highball, May przywiązał do ciężarówki.

Tuż przed 10.30 przed garażami zatrzymuje się czarny cadillac, jakich używa chicagowska policja. Na burtach ma znaki policji i boczny służbowy numer. Wysiada z niego 2 policjantów i 2 ubranych bardzo elegancko mężczyzn. Chwilę później kierowca ciężarówki Elmer Lewis skręca na rogu tuż obok garaży SMC Cartage. Zauważa stojący przed garażem policyjny wóz i odruchowo zatrzymuje się do kontroli. Jeden z funkcjonariuszy pokazuje mu ręką, że ma jechać dalej. Przed garażem przejeżdża też swą limuzyną Wallace Caldwell, szef Rady Edukacji w Chicago. Gdy zwalnia, jeden z policjantów mówi mu, by nie zatrzymywał się. Caldwell zauważa dziwną rzecz: policjant nie ma przedniego zęba.

Bo też i nie jest to policjant. Rzekomy szczerbaty stróż prawa to Fred Burke ksywa „Killer", spec od mokrej roboty, były członek Egan's Rats (Szczurów Egana), starego gangu z St. Louis w Missouri, rozbitego przed 4 laty przez policję. Jest teraz poszukiwany za napad i zabójstwo w Ohio. Drugiego z rzekomych policjantów udaje kompan Burke'a – James Ray. Obaj słyną w półświatku z upodobania do przebierania się w policyjne uniformy podczas napadów rabunkowych.

Burke'a i Raya wynajął Al Capone – mają zlikwidować Bugsa Morana. Do pomocy wzięli sobie 2 gangsterów spoza Chicago, luźno współpracujących z gangiem Capone'a, których ludzie Bugsa Morana nie znają.

A sprzedaż Bugsowi kradzionego alkoholu to tylko przynęta, by zwabić Morana do garaży przy North Clark Street.

Celem głównym pułapki jest Moran. Gdy zabójcy na żołdzie Capone'a, z dala obserwujący garaże, dostrzegli wchodzącego do magazynu Alberta Weinshanka, który nie dość, że z wyglądu bardzo

przypomina Morana, to jeszcze ubrał dziś jasny płaszcz, identyczny jak ulubiony płaszcz Bugsa, uznali, że pułapka zatrzasnęła się, i podjechali pod garaże.

Moran i Newberry dochodzą do garaży i dostrzegają zatrzymujący się przed nimi wóz policji. Odwracają się na pięcie i idą do najbliższej kawiarni. Po drodze spotykają spóźnionego członka ich gangu Henry'ego Gusenberga, którego także zawracają. Kolejny spóźnialski, gangster Willie Marks, też zauważa policyjny samochód na parkingu. Szybko zapisuje jego boczny numer i zmyka gdzie pieprz rośnie.

Dwaj niby-policjanci i ich kumple udający detektywów po cywilnemu wchodzą do magazynu i siódemce obecnych każą ustawić się twarzą do ściany. Wtedy na znak „Killera" Burke'a obaj cywile wyciągają spod płaszczy pistolety maszynowe Thompson i z bliska rozstrzeliwują długimi seriami stojących pod ścianą ludzi Morana. Na koniec Burke i Ray strzelają z rewolwerów prosto w twarze Maya i Kachelleka. Highball szczeka jak oszalały, ale zabójcy oszczędzają pasa – nie są przecież takimi zwyrodnialcami, żeby krzywdzić zwierzęta.

Po egzekucji cywile wychodzą z garażu z podniesionymi rękami. Ma to sugerować przypadkowym świadkom, że policja aresztowała jakichś przestępców i nie ma powodu do niepokojenia się strzelaniną.

Mordercy odjeżdżają. Pani Landesman, prowadząca pensjonat po drugiej stronie ulicy, prosi jednego z gości, by zorientował się, co zaszło w garażach. Gdy przyjeżdża prawdziwa policja, żyje tylko, mimo 14 ran postrzałowych, Frank Gusenberg.

2 godziny później lekarze w szpitalu, do którego trafił ranny, zezwalają policji na przesłuchanie.

–Strzelanina? Jaka strzelanina? Nikt do mnie nie strzelał – odpowiada Gusenberg i umiera niecałą godzinę później.

15 lutego 1898 ▪ wtorek

Mówię ci, będzie wojna!

W ciemnościach zapadających nad portem w Hawanie na Kubie jaśnieje potężny kadłub amerykańskiego pancernika USS „Maine". Okręt ma nietypowe barwy: na białym kadłubie jest tylko kilka niezbyt wielkich plam maskujących. „Maine" ze swymi działami kalibru 254 mm artylerii głównej i świetnie wyszkoloną, zdyscyplinowaną załogą jest dumą amerykańskiej floty. W pobliżu amerykańskiego pancernika, 200 m od jego prawej burty, kotwiczą hiszpański krążownik „Alfonso XII" i hiszpański statek „Lagazpi". Niespełna 200 m za rufą „Maine" stoi amerykański statek handlowy „City of Washington".

Pancernika strzeże pływająca wokół kadłuba łódka z uzbrojonymi marynarzami, na pokładzie rozmieszczone są silne warty. Grupa marynarzy na pokładzie „Maine" tęsknie wsłuchuje się w nadchodzące od nabrzeża dźwięki muzyki. Hawana pogrążona jest w szalonej zabawie karnawałowej. Ulicami ciągną korowody roztańczonych biesiadników w barwnych kostiumach i zabawnych maskach, w barach strumieniami leje się alkohol.

Dowódca „Maine" kmdr Charles Sigsbee siedzi w swojej kabinie i głowi się nad listem do żony. Przed wypłynięciem w morze znajoma żony wręczyła mu list od niej i poprosiła o przekazanie. Sigsbee wsadził kopertę do kieszeni i całkiem o niej zapomniał. List odkrył dopiero tu, w Hawanie. Uczciwy, prostolinijny komandor

męczy się, wymyślając jakiś wiarygodny wykręt. Wreszcie zirytowany odkłada pióro, podchodzi do otwartego bulaja i słucha szalonej muzyki na nabrzeżu.

Tam, w barach i knajpkach, bawią się też ci, którzy spowodowali przybycie „Maine" do Hawany – amerykańscy dziennikarze.

Kuba jest od wieków kolonią hiszpańską, jednak ucisk kolonialnej administracji spowodował w ciągu ostatnich 20 lat falę buntów, poważnych zamieszek i dwa powstania zbrojne – w latach 1868 i 1895. Oba nieudane.

Stany Zjednoczone z uwagą śledzą sytuację na Kubie. Znaczna część plantacji i hoteli jest własnością amerykańską, ponadto obowiązująca w Stanach doktryna Monroe'a skłania Waszyngton do wyrwania spod władzy Hiszpanii wyspy odległej tylko o 90 km od Florydy. Powstanie sprzed 3 lat spowodowało na Kubie falę brutalnych represji. Hiszpański generał Valeriano Weyler zarządził „rekoncentrację", czyli więzienie ludności wiejskiej, sprzyjającej powstańcom, w obozach koncentracyjnych. Okrucieństwa władzy kolonialnej są wodą na młyn 2, zaciekle ze sobą rywalizujących, wielkich amerykańskich wydawców prasy: Williama Randolpha Hearsta i Josepha Pulitzera. Obaj już od wielu miesięcy dążą do sprowokowania amerykańskiej interwencji na Kubie, ale to bardziej bezwzględny Hearst, który swoim pionierskim „Journal" wypromował nowy typ prasy brukowej, pozbawionej wszelkich zasad, gra pierwsze skrzypce w podżeganiu do wojny. Jego reporterzy wykreowali uwięzioną w hiszpańskim więzieniu, w niezłych warunkach, w wygodnej, dwupokojowej celi, 17-letnią rebeliantkę Evangelinę Cisneros na ofiarę udręczoną torturami, nieustannie zagrożoną brutalnymi gwałtami hiszpańskich żołdaków. Sprokurowaną przez Hearsta petycję o uwolnienie panny Cisneros podpisało ponad 200 tys. Amerykanek. W końcu jego

reporterzy porwali ją z hawańskiego więzienia i zadbaną, świetnie prezentującą się dziewczynę tryumfalnie obwieźli w roli załamanej ofiary hiszpańskiego terroru po całych Stanach – wzywając, rzecz jasna, do interwencji zbrojnej na Kubie.

Hearst najgłośniej wzywał też do wysłania do Hawany amerykańskiego okrętu wojennego, by chronił tam amerykańskich obywateli i ich interesy. Prezydent McKinley wyekspediował tam pod koniec stycznia najlepszy okręt U.S. Navy: USS „Maine".

George Rea i Harry Scovel ze swoją żoną Frances popijają drinki w barze przy parku Centralnym. Obaj są dziennikarzami znanymi ze skłonności do skrajnego ryzyka. Rea pracuje dla „New York Herald", Scovel dla Pulitzerowskiego „Worlda". Rea jest wytrawnym reporterem. Jako jeden z nielicznych z obecnych na Kubie amerykańskich dziennikarzy nie jest skrajnie cyniczny i stronniczy. W swej niedawno wydanej książce o Kubie i w bieżących korespondencjach broni Hiszpanów przed zarzutami popełniania masowych zbrodni na cywilnych Kubańczykach, choć i on nie pozostawia suchej nitki na hiszpańskiej polityce „rekoncentracji" ludności wiejskiej.

Scovel wraz z powstańcami przemierzył Kubę wzdłuż i wszerz, przez pół roku towarzyszył w dżungli oddziałowi gen. Maximo Gomeza i opisywał na łamach „Worlda" jego powstańczą epopeję. Rozwścieczone hiszpańskie władze wyrzuciły go z wyspy. Potem nielegalnie przedostał się na Kubę, ale został schwytany przez hiszpańskich żołnierzy w chwili, gdy w biurze telegraficznym próbował nadać swoją korespondencję. Trafił do więzienia. Pulitzer wyczuł szansę na wielki skandal – „World" zorganizował ogromną kampanię, by uwolnić Scovela. Ochotnicy pikietowali biura amerykańskiego Senatu, dziennikarze redagowali listy otwarte do polityków – a wszystko skrupulatnie relacjonował na pierwszej

stronie „World". W końcu pod naciskiem Waszyngtonu hiszpańskie władze na Kubie uwolniły Scovela i nawet pozwoliły mu pozostać na wyspie.

O 10.00 inny z amerykańskich dziennikarzy relacjonujących sytuację na Kubie, emerytowany oficer marynarki wojennej Walter Meriwether, wychodzi z baru i idzie do pałacu rządowego, gdzie mieści się biuro telegrafu. Znudzony, nadaje, jak w każdy wieczór bez sensacyjnych wydarzeń, telegram z jednym tylko słowem: „*Tranquilo*" (spokojnie).

Potem zapala cygaro i gapi się na piękną sylwetkę „Maine" majaczącą na czarnych wodach portu.

Kmdr Sigsbee o 21.40 z westchnieniem ulgi kończy wreszcie list do żony. Gdy wkłada go do koperty, silne szarpnięcie okrętem nieomal przewraca go na podłogę. Lekko oszołomiony, rusza do drzwi. Wtedy ogłusza go potężna eksplozja. Gaśnie światło, kapitańską kabinę wypełnia gęsty, gryzący dym. Wstrząs rzuca komandorem o ścianę. Sigsbee zrywa się w dzikiej, zwierzęcej panice. Po chwili jednak wraca mu zimna krew. Jest przecież oficerem, dowódcą, odpowiada za okręt i za ludzi na nim. Gdy wychodzi z kajuty na korytarz, okręt przechyla się na dziób. Dowódca „Maine" w ciemnościach dociera pochylonym korytarzem do dużego, wybitego przez eksplozję bulaja. Już chce nim wypełznąć za burtę, gdy dochodzi do wniosku, że opuszczenie okrętu w takim stylu jest poniżej godności oficera amerykańskiej marynarki wojennej. Po omacku trafia na błądzącego w ciemnościach marynarza i obaj znajdują drogę na pokład. Stoi tu już grupa zszokowanych oficerów. Okrętowy kapelan o. John Chidwick krzyczy do spanikowanych marynarzy na pokładzie, by wzywali Jezusa. Po chwili stentorowym głosem pośród huku

eksplodujących pocisków z komór amunicyjnych „Maine" woła: „Rozgrzeszam cię! Rozgrzeszam cię!".

Większość marynarzy miała swoje koje w dziobowej części okrętu, którą eksplozje zamieniły w ziejący ogniem i dymem krater. Ponad 200 z nich zginęło na miejscu. Wielu, ciężko poparzonych i rannych, zaplątało się w siatki hamaków, w których spali. Teraz, spętani, bezradni, czując, jak poziom wody w tonącym okręcie podnosi się, straszliwie krzyczą. Po chwili krzyki cichną.

Oficer dyżurny melduje dowódcy, że płonie znajdujący się w dziobowej części kadłuba magazyn najcięższych pocisków artyleryjskich kalibru 254 mm. Jakby na potwierdzenie jego słów kilka z nich kolejno eksploduje wewnątrz kadłuba. Potem eksplozje wyrzucają w powietrze, prócz metalowych i drewnianych części okrętu, także płonące pociski rozmaitych kalibrów. Eksplodują one w powietrzu, ponad wysokim na 50 m grzybem dymu i ognia wyrosłym nad pancernikiem.

Z brzegu wygląda to niemal jak karnawałowa iluminacja. Resztka załogi na pokładzie „Maine" zasypywana jest gradem odłamków. Nie działa system przeciwpożarowy, okręt szybko nabiera wody. Kmdr Sigsbee nakazuje opuszczenie „Maine". Łodzie ratunkowe poszatkowane są odłamkami. Tylko 3 z nich nadają się do użytku. Z obu sąsiednich statków i z hiszpańskiego krążownika już płyną szalupy na ratunek. Hiszpańscy marynarze, nie bacząc, że ryzykują życiem, podpływają do płonącego wraka, wyciągają z wody zmasakrowane ciała Amerykanów.

Eksplozja wstrząsnęła miastem. W Hawanie gaśnie światło, na głowy bawiących się lecą płaty tynku z murów. Rea i Scovel najpierw rzucili się pod barowy stolik, potem pognali do portu. Przed bramą stoją hiszpańscy strażnicy, obaj dziennikarze kłamią, że są oficerami z „Maine" i już po chwili maszerują po nabrzeżu. Tylko

jak dostać się w pobliże płonącego okrętu? Scovel dostrzega w doku łódkę z wioślarzami, do której wsiada szef hawańskiej policji płk José Paglieri. Obaj rozpoznają się w mgnieniu oka – niedawno Paglieri osobiście aresztował Scovela. Teraz jednak, w obliczu katastrofy, hiszpański pułkownik od razu zgadza się, oby obaj dziennikarze weszli do jego łodzi. Niedaleko od „Maine" odłamki eksplodującej w powietrzu amunicji stają się tak niebezpieczne, że hiszpańscy wioślarze odmawiają płynięcia. Paglieri bije ich po głowie laską, Scovel okłada innego kawałkiem liny okrętowej. Płyną dalej. Gdy wreszcie włącza się jakiś reflektor, obaj Amerykanie i hiszpański policjant dostrzegają, że dryfują w dywanie poszarpanych ludzkich ciał.

Kmdr Sigsbee jest przybity, ale zadziwiająco opanowany. Opuszcza okręt jako ostatni. „Maine" zanurzył się tak bardzo, że jego pokład zrównał się z lustrem wody. Dowódca robi tylko jeden krok, i już jest w szalupie.

Na brzegu najpierw idzie do swoich rannych marynarzy, układanych prowizorycznie jeden obok drugiego. Dodaje im otuchy. Hiszpanie dwoją się i troją, by ulżyć ich cierpieniom. Sigsbee płynie łódką na pokład „City of Washington" i tam, w kajucie kapitana, ołówkiem pisze depeszę do Waszyngtonu. Po chwili dopływa też łódka z płk. Paglierim i dwoma reporterami. Paglieri składa kmdr. Sigsbee kondolencje. Komandor kończy depeszę i wręcza ją Scovelowi, by ten wysłał ją do sekretarza amerykańskiej floty Johna Longa. Gdy reporter wychodzi z kabiny, Sigsbee zawraca go, odbiera depeszę i dopisuje jeszcze kilka zdań o heroicznej akcji ratunkowej hiszpańskich marynarzy. Dodaje też uwagę, by na stronę hiszpańską nie rzucać pochopnych oskarżeń o spowodowanie eksplozji.

Scovel i Rea pędzą do biura telegrafu w pałacu rządowym. Ustawiła się przed nim długa kolejka amerykańskich dziennikarzy chcących nadać swoje korespondencje, ale depesza kmdr. Sigsbee jest najlepszą przepustką. Scovel nadaje ją do Waszyngtonu, potem wysyła swoją korespondencję nabazgraną dosłownie w biegu. Hiszpański cenzor w Hawanie już dostał polecenie od przełożonych, by nie zezwalać na wysyłanie depesz z drastycznymi szczegółami katastrofy, ale sprytny Scovel przed kilku tygodniami załatwił sobie na lewo czysty blankiet telegraficzny z pieczątką cenzora. Trzymał ten skarb na wielką okazję, taką, jaka się właśnie nadarzyła. Nieocenzurowany tekst Scovela trafia do jego redakcji.

Następny nadaje ocenzurowaną depeszę Rea. Po nim reporter Associated Press. A potem hiszpańscy żołnierze zamykają biuro telegrafu.

O 1.30 w nocy posłaniec z depeszą budzi w Waszyngtonie sekretarza floty Longa. Natychmiast wydaje on polecenie, by pracownicy latarni morskiej na Florydzie bez zwłoki popłynęli do Hawany. Po chwili żąda, by zbudzono prezydenta McKinleya. Potem ubiera się i czeka w fotelu na dziennikarzy. Nie myli się. Pierwsi reporterzy dobijają się do drzwi jego domu w środku nocy.

Prezydent zostaje wyrwany ze snu przed 2.00 w nocy. Jest oszołomiony, ale szybko dochodzi do siebie. Od razu postanawia, że trzeba jakoś powstrzymać eskalację zarzutów pod adresem Hiszpanii, spacyfikować nieuchronną w Stanach żądzę odwetu i gorączkę wojenną.

Łatwo to planować, gorzej zrealizować. O 2.10 depesza o katastrofie trafia do redakcji „New York World". Godzinę później gazeciarze już biegają po ciemnych ulicach Nowego Jorku z wydaniem nadzwyczajnym z nagłówkiem na 4 kolumny: „USS »Maine« eksplodował w porcie w Hawanie". W ciągu tej godziny

reporterzy zdążyli jeszcze napisać artykuł o samym okręcie i tekst o przebiegu jego służby pod amerykańską banderą.

Pulitzer wygrywa z Hearstem. Ale nie na długo.

Hearst wyjechał z redakcji do domu w nocy, przed dotarciem depeszy o katastrofie. Gdy ląduje ona na biurku redaktora wydania, ten natychmiast dzwoni do Hearsta. Boss pyta, co, prócz sprawy „Maine", jest na pierwszej stronie. „Tylko inne ważne wiadomości" – odpowiada redaktor. „Nie ma żadnych innych wiadomości. Proszę umieścić tekst o »Maine« na całej pierwszej stronie. To będzie wojna!".

I ma rację.

16 lutego 1937 ▪ wtorek

Wielki sen

Dziś powinna się obudzić. Lekarze krakowskiego Szpitala św. Łazarza zapowiedzieli wczoraj, że najsłynniejsza w Polsce, od 3 dni, pacjentka następnego dnia będzie na tyle przytomna, by móc rozmawiać. I rzeczywiście. Wczesnym rankiem pielęgniarka wizytująca salę nr 4 dostrzega przytomny wzrok Pelagii Grzeszolskiej. Zbiega się personel medyczny. Pacjentka jest wymizerowana po ciężkim zatruciu luminalem i trzydniowej śpiączce, ale myśli logicznie i z każdym pytaniem lekarzy przypomina sobie coraz więcej. Opowiada, że swego męża Pawła kochała tak bardzo, iż postanowiła umrzeć razem z nim. Mgliście przypomina sobie ostatni dzień spędzony z mężem. Przed kilkoma dniami oboje przyjechali do Krakowa i zatrzymali się w Hotelu Polskim przy ul. Floriańskiej. Wypełniając hotelowy meldunek, Grzeszolski podał się za Antoniego Woźniaka, brata swej żony Pelagii, a ją samą, dużo od siebie młodszą, przedstawił jako swą córkę. Przed 3 dniami mąż przyniósł do hotelowego pokoju 6 fiolek luminalu. W każdej było 10 tabletek. Wyliczył, że jako dorosły mężczyzna, dwukrotnie starszy od 24-letniej Pelagii, powinien brać porcje po 3,5 tabletki, a ona – po 2,5. Siedli na łóżkach i co pewien czas zażywali je naprzemian.

„Gdy po kolejnej porcji mąż stracił przytomność, szybko połknęłam resztę pigułek i natychmiast zasnęłam” – kończy opowiadać Pelagia Grzeszolska i w tym samym momencie nagle

zasypia. Lekarze czekają, aż sama się ocknie. Budzi się wkrótce. Płacze. Przez łzy mówi o mężu. Kilka razy powtarza:

– Za co go wtrącili do więzienia, przecież on jest niewinny i swoje dzieci kochał!

Lekarze orientują się w tym momencie, że ich pacjentka jest przekonana, iż skoro uratowano ją, to i jej mąż żyje. Następuje chwila konsternacji, ale nikt nie daje po sobie poznać, że jest inaczej. Grzeszolska znów nagle zasypia.

Gdy budzi się, czeka na nią lekkie śniadanie. Pokrzepiona, dopytuje się o matkę i swoje siostry. Powtarza, że matkę bardzo kocha. Ktoś z personelu pyta ją, dlaczego wobec tego przysporzyła jej tak wielkiego zmartwienia. Pelagia Grzeszolska odpowiada bez namysłu:

– Bo męża swego kocham jeszcze bardziej!

Ich związek zaczął się przed 7 laty w Krakowie. Dobrze sytuowany handlowiec sosnowieckiej spółki akcyjnej rur i wodociągów, a przy tym właściciel niewielkiego przedsiębiorstwa spawania rur, stateczny mąż i ojciec dwojga 12-letnich bliźniąt, zakochał się bez pamięci w urodziwej 17-latce Pelagii Staciwińskiej. Z wzajemnością. Jego żona rychło dowiedziała się o romansie. Za wszelką cenę usiłowała zatrzymać męża i wybić mu z głowy przelotną, jak uważała, miłostkę. Ale Grzeszolski nie widział życia poza piękną Pelagią. Na ukradkowych spotkaniach z ukochaną w Krakowie i awanturach w domu minęły mu ponad 2 lata. Nieoczekiwanie w styczniu 1933 roku jego żona zmarła. Tuż przed śmiercią silnie wymiotowała i skarżyła się na bóle brzucha. Lekarz bez oporów podał jako przyczynę zgonu podpowiedziane przez męża otłuszczenie serca – kobieta przy wzroście nieco mniejszym niż przeciętny ważyła ponad 100 kg.

Grzeszolski przestał ukrywać swój związek z Pelagią Staciwińską. Miał nadzieję, że jego dzieci zaakceptują ją i wszyscy zamieszkają razem. Ale Jurek i Lucyna nie szczędzili ojcu i jego ukochanej wymówek. Z czasem awantury obojga z ojcem były coraz częstsze.

W grudniu 1933 roku, po zjedzeniu obiadu, Jurek i Lucyna poczuli się bardzo źle. Męczyły ich bóle brzucha, wymioty i dotkliwe kłucie w skórze twarzy. Ich ciotka stwierdziła wieczorem, że użyta do zupy śmietana była bardzo dziwna – na jej dnie znajdowały się podejrzane grudki. Paweł Grzeszolski stanowczo sprzeciwił się jednak oddaniu zupy do zbadania przez lekarza.

Napady wymiotów i kłucia w skórze twarzy po posiłkach powtórzyły się w rodzinie Grzeszolskich jeszcze kilka razy. Rozchorowała się także służąca. Tylko sam Grzeszolski cieszył się niezmiennie dobrym zdrowiem. W lutym Jurek Grzeszolski zaczął narzekać na bóle nóg, bezsenność i ból w piersiach. Po kilku dniach z powodu okropnych bólów w stopach poprosił o zwolnienie z gimnastyki w szkole. Chłopiec marniał w oczach. Pojawiła się żółtaczka. Czuł się bardzo źle, ale mimo cierpień chodził o lasce do szkoły. Podobne objawy wystąpiły u jego siostry. Oboje zaczęli łysieć. Ojciec niechętnie zgodził się na wizytę lekarza, a potem zaczął leczyć syna wyłącznie u znachora. W marcu Jerzy zmarł. Po śmierci brata Lucyna przestała kryć się z wrogością do ojca. Wyprowadziła się do krewnych matki. Ale Paweł Grzeszolski codziennie donosił tam posiłki dla córki, które krewni – ludzie niezamożni – podawali chorej dziewczynce. Zmarła w maju.

Ocalała tylko służąca Maria. Gdy po którymś z posiłków poczuła się bardzo źle, natychmiast wyjechała do rodziny na wieś. Chorowała długo i nigdy nie wróciła do pełni zdrowia.

W Sosnowcu aż huczało od plotek o tajemniczych zgonach w rodzinie Grzeszolskich. Także lekarze stykający się z obojgiem

bliźniaków mieli wątpliwości co do przyczyny ich śmierci. Władze nakazały ekshumację. Zbadanie przyczyn zgonów zlecono najsłynniejszemu polskiemu ekspertowi medycyny sądowej prof. Janowi Stanisławowi Olbrychtowi. Badania zwłok obojga dzieci wykazały obecność śmiertelnych dawek związków talu.

Paweł Grzeszolski został aresztowany. Sędziemu śledczemu wyjaśnił, że powodem śmierci Jurka i Lucyny były dziedziczne obciążenia po ich matce, które spowodowały zapalenia rdzenia kręgowego i zapalenia wielonerwowe. Nie wykluczył, że do ich upośledzenia przyczyniła się także przebyta przezeń w młodości choroba weneryczna.

Prof. Olbrycht przyjął rewelacje Grzeszolskiego sceptycznie. Z policyjnego wywiadu wynikało niezbicie, iż Jurek był chłopcem bardzo inteligentnym, mimo trudnych warunków domowych do końca świetnie uczącym się w szkole. Ani on, ani Lucyna, aż do czasu śmiertelnej choroby, nie mieli kłopotów ze zdrowiem. Ale z udowodnieniem, że padli ofiarą zabójstwa, prof. Olbrycht miał spory kłopot. Tal był trucizną rzadką, niespotykaną dotąd w medycynie sądowej. Profesor odkrył, że w literaturze fachowej pierwszy raz opisano przypadek śmierci wskutek zatrucia talem raptem przed 5 laty. Po skrupulatnych badaniach i konsultacjach ze sławami światowej kryminalistyki prof. Olbrycht ustalił, że śmierć Jurka i Lucyny nastąpiła wyłącznie wskutek zatrucia talem (w zwłokach ich matki trucizny nie znaleziono, w organizmie dochodzącej do siebie na wsi służącej Marii – i owszem, całkiem niemało). Niemożliwe okazało się ustalenie, jaką dawkę trucizny podano dzieciom, i rozstrzygnięcie, czy było to otrucie jednorazowe czy też trucie rozciągnięte w czasie.

Z dwóch dostępnych na rynku źródeł związków talu ekspert wskazał jako narzędzie zbrodni trujące ziarna przeciw gryzoniom

marki Zelio, wykluczył zaś maść depilacyjną dla pań Koremlu.

Los Pawła Grzeszolskiego wydawał się przesądzony, mimo iż jego obrony podjął się słynny – i bardzo drogi – warszawski obrońca dr Hofmokl-Ostrowski. Wzburzona opinia publiczna w Sosnowcu nie doceniła głośnego adwokata. Co prawda, nie obronił swego klienta przed wyrokiem skazującym na śmierć, ale w sądzie II instancji przekonał sędziów, że w Sosnowcu skazano go pod naciskiem wzburzonej opinii publicznej. Grzeszolski został uniewinniony.

2 miesiące później poślubił swą ukochaną. Szczęścia jednak nie zaznał. Wrogość sosnowiczan była tak wielka i powszechna, że oboje wychodzili z mieszkania tylko nocą. Spółka wodociągowa wymówiła mu posadę i utrzymywał się z żoną z zasiłku dla bezrobotnego. Co więcej, wielki dług 2 tys. zł wobec adwokata zmusił go do sprzedaży fabryczki rur grubo poniżej realnej wartości.

Nie to jednak było najgorsze. Jego sprawa trafiła do Sądu Najwyższego w Warszawie. Sąd Najwyższy uchylił uniewinniający Grzeszolskiego wyrok apelacyjny i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia w Sosnowcu, tyle że przez inny skład sędziowski. Policja otrzymała nakaz aresztowania.

Małżonkowie Grzeszolscy jednak wcześniej znikli.

Ukrywali się w pensjonacie w Krynicy, potem u rodziny Pelagii. W końcu zimna krew i niebywała odporność psychiczna opuściły Pawła Grzeszolskiego. Przed tygodniem, zdecydowany popełnić samobójstwo, przyjechał z Pelagią do Krakowa. W pokoju nr 7 Hotelu Polskiego spisał 3 listy: do rodziny żony, do adwokata i do władz sądowych. Nie przyznał się do winy: „Odchodzimy stąd dlatego: 1 – mamy już dosyć widowiska, które z nami urządzono. To, cośmy przeszli, żadne serce ludzkie przejść by nie było w stanie...". Późnym wieczorem otworzył pierwszą fiolkę luminalu.

Ok. 15.00 przed Szpitalem św. Łukasza kłębi się tłum rodzin chorych. Jest też sporo dziennikarzy. Prasa szczegółowo relacjonuje stan zdrowia niedoszłej samobójczyni. Punktualnie o 15.00 brama szpitalna zostaje otwarta dla odwiedzających. Przed izolatką, w której pod opieką pielęgniarki leży Pelagia Grzeszolska, zjawiają się jej brat i szwagier. Lekarze zobowiązują obu, by nie zdradzili chorej, że jej mąż nie żyje. Pacjentka nie zważa na obecność szpitalnego personelu w jej pokoiku. Serdecznie wita się z gośćmi, pyta o matkę. Płacze, gdy przypomina sobie, ile przysporzyła jej zgryzot, ale zaraz przypomina sobie o mężu. Na pytanie o stan jego zdrowia brat tłumaczy coś mętnie. Na szczęście Pelagia ciągle jest niezbyt przytomna (ma też jeszcze kłopoty ze wzrokiem i z oddychaniem). Wyjaśnień brata słucha nieuważnie. Nagle rozmarzona, oświadcza, że przed laty o jej rękę starało się kilku atrakcyjnych młodzieńców, którzy niewątpliwie daliby jej dużo szczęścia, ale nie tak wiele przecież, jak dało jej małżeństwo z Pawłem Grzeszolskim:

– Choć wszyscy są przeciw memu mężowi, ja jedna stoję przy nim i jestem najgłębiej przekonana, że on dzieci nie otruł. Jakże ja jestem z nim szczęśliwa!

17 lutego 1904 ▪ środa

Nigdy więcej!

Kompozytor Giacomo Puccini od rana jest radośnie podniecony. Wieczorem prapremiera jego najnowszej opery *Madame Butterfly*. Po wielkich sukcesach *Manon Lescaut*, *Cyganerii*, *Toski* jego sława

wielkiego kompozytora, następcy Verdiego, zostanie bezapelacyjnie ugruntowana!

Gwiazdą wieczoru ma być młoda, 28-letnia śpiewaczka Rosina Storchio. Urodzona w Wenecji, ukończyła konserwatorium w Mediolanie. Debiutowała przed 12 laty na scenie mediolańskiego Teatro dal Verme w *Carmen* Georges'a Bizeta. Do roli tytułowej w *Madame Butterfly* wybrał ją rządzący w Teatro alla Scala, wespół z Giuliem Gatti-Casazza, legendarny Arturo Toscanini. Storchio jest jego kochanką.

Puccini, zawsze czuły na wdzięki dam, uwielbia śliczną, delikatną Rosinę. Przede wszystkim jednak wierzy w jej wspaniały sopran i aktorski kunszt. Storchio z prawdziwym poświęceniem przygotowywała się do tytułowej roli japońskiej gejszy Cho Cho San. Godzinami, a czasem przez całe noce, ćwiczyła pod okiem Pucciniego charakterystyczny drobny krok wytwornej Japonki, jej teatralne gesty, pokorę i posłuszeństwo wobec kochanego mężczyzny – ale i dumę. Muzyka Pucciniego od razu porwała młodą śpiewaczkę, Storchio jest jednak osobą egzaltowaną i łatwo poddającą się nastrojowi chwili. Podczas prób nieraz śpiewała arie, płacząc ze wzruszenia. Czasem rozpływała się przed Puccinim nad urodą muzyki *Madame Butterfly*, to znów załamywała ręce i przepowiadała swą artystyczną klęskę w prapremierowym spektaklu.

– Położę pańskie arcydzieło, *maestro* – prowokowała los.

Puccini nieodmiennie traktował ją z wielką wyrozumiałością, jak nadwrażliwe dziecko, a takiego typu artystów na operowych scenach nie brakuje przecież – pocieszał, dodawał ducha, nie zwracał uwagi na jej depresje.

Po śniadaniu *maestro* nie zapomina o psychicznej dyspozycji gwiazdy wieczoru. Zasiada do pisania listu:

„Kochana Rosino.

To całkiem zbędne, abym życzył Pani szczęścia. Sztuka Pani jest tak prawdziwa, tak subtelna, tak porywająca, że publiczność na pewno odda Jej pokłon.

Mam nadzieję, że z Pani pomocą wywalczymy zwycięstwo.

A więc do widzenia wieczorem! Pozdrawiam Panią, najdroższa przyjaciółko, ze spokojnym sercem i największą przyjaźnią. Oddany pani Puccini".

Kompozytor nie udaje optymizmu. Tym razem rzeczywiście jest pewien sukcesu.

Nad *Madame Butterfly* pracował zapamiętale przez wiele miesięcy. Poznana przez niego na przedstawieniu w operze żona posła Japonii w Rzymie pani Oyama na życzenie swego męża przeprowadziła się do Viareggio, gdzie mieszkał Puccini, by móc pomagać mu w pracy. Poseł Oyama od razu pojął, że nic tak nie poprawi wizerunku cesarstwa w Europie jak oparta na japońskich motywach opera *maestro* Pucciniego. Pani Oyama tłumaczyła Pucciniemu japońskie obyczaje, śpiewała tradycyjne pieśni miłosne, wyjaśniała tajniki stroju i ceremonii.

Sceptykiem pozostał jedynie dobrodziej Pucciniego, król włoskich wydawców muzycznych Giulio Ricordi. Nie podobało mu się ryzykowne zredukowanie liczby aktów do dwóch i rozdęcie ich przez kompozytora do rozmiarów trudnych do zniesienia dla widza. Ale Puccini pozostał głuchy na jego perswazje.

Do Teatro alla Scala widzowie napływają już grubo przed 20.00. W loży honorowej zasiada Puccini z żoną Elwirą i synem Tonio. Na widowni są też wszyscy ci, którzy przyczynili się do powstania opery: wydawcy Giulio i Tito Ricordi z rodzinami, autorzy libretta – poeci Luigi Illica i Giuseppe Giacosa, jest mnóstwo przyjaciół

z kolonii artystów w Torre del Lago, gdzie Puccini z Elwirą i Toniem spędzili wiele miesięcy.

W loży na parterze, dokładnie naprzeciw loży Pucciniego, siedzą pani Oyama i jej mąż. Wśród widzów jest sporo Japończyków. To dyplomaci, biznesmeni, studenci. Na wieść, iż dzieło włoskiego kompozytora rozsławić ma na Starym Kontynencie ich ojczyznę, ściągnęli do La Scali z całej Europy.

Ale przede wszystkim na widowni jest artystyczna śmietanka muzycznych Włoch. Prapremiera najnowszej opery Pucciniego to przecież wielkie światowe wydarzenie. Jest więc kompozytor Pietro Mascagni i gwiazdy młodego pokolenia kompozytorów, wśród nich Francesco Cilea, Alberto Franchetti, Umberto Giordano. Starsi mistrzowie, konkurujący z Puccinim, dyplomatycznie zostali w domu.

Okazji do ujrzenia nowego dzieła mistrza – i ewentualnego zakontraktowania go do swego repertuaru – nie mogli pominąć dyrektorzy największych europejskich oper. Tego wieczoru są na widowni niemal w komplecie, z dyrektorem paryskiej Opera Comique André Messagerem na czele.

O 20.30, na pół godziny przed rozpoczęciem spektaklu, za kulisami wszystko zapięte jest na ostatni guzik. Reżyserujący *Madame Butterfly* syn wydawcy Giulia Ricordiego, Tito, poleca zawołać wszystkich artystów na zasłoniętą kurtyną scenę. Ricordi uważnie lustruje stroje – wszystko jest w porządku.

No, nie wszystko. Widownia jest tego wieczoru dziwnie niespokojna, wręcz rozdrażniona. Puccini nie przejmuje się, nerwowy gwar na sali bierze za ożywienie publiczności przed premierą. Za to Rosina Storchio jest pełna najgorszych przeczuć.

Skąd ta dziwna nieobecność jej kochanka Toscaniniego, który bez słowa czmychnął z La Scali akurat w dniu prapremiery?!

Maestro Toscanini wiedział, co robi. Nietypowa, dwuaktowa konstrukcja *Madame Butterfly* jest ciężkim wyzwaniem dla wyrobionej, ale i konserwatywnej widowni w Mediolanie. Akty są za długie, przeładowane epizodami, intryga przez to staje się niezbyt logiczna. Co ważniejsze, do Toscaniniego doszły słuchy, że Sonzogno, wielki rywal wydawcy Giulia Ricordiego, dowiedział się od swych szpiegów na próbach *Madame Butterfly*, że najnowsze dzieło protegowanego Ricordiego nie jest wolne od poważnych usterek. Sonzogno ponoć zmobilizował i opłacił klakierów na widowni, by wywołać skandal i ośmieszyć konkurenta. A na dobitkę Giulio Ricordi nie przepada za Toscaninim i publicznie daje mu to odczuć...

O 21.00 dyrygent Cleofonte Campanini staje za pulpitem. Gwar na widowni nie cichnie. Puccini zachodzi za kulisy, zbliża się do Storchio:

–Zaczynamy. Campanini już zszedł do orkiestry.

Storchio podchodzi do kurtyny. Zza grubej tkaniny dochodzi dziwny, nerwowy gwar. Zdenerwowana Storchio lewą rękę kładzie na sercu, prawą żegna się 3 razy.

Puccini, choć nie podejrzewa niczego złego, uchodzi na stronę, by również po trzykroć przeżegnać się.

Zaczyna się. Tenor Giovanni Zenatello w roli porucznika amerykańskiej marynarki, nudzącego się w japońskim porcie Nagasaki, żąda od tenora Gaetano Pini-Corsiego, grającego japońskiego stręczyciela Goro, by za opłatą ułatwił mu znajomość z młodziutką gejszą Cio-Cio-san, zwaną także Butterfly. Dalej akcja wikła się w kolejnych epizodach. Publiczność, zwykle wysłuchująca nieznanych oper z zapartym tchem, nieustannie kaszle, chrząka, wierci się.

Za kulisy wpada jeden ze śpiewaków:

– Psiakrew, co za publiczność, nic nie robi, tylko kaszle!

Przerażonej Rosinie Storchio zimny pot zmywa biały makijaż z czoła.

Na scenę wychodzą służące Cio-Cio-san, zaraz po nich zjawia się na deskach sama Storchio jako gejsza Butterfly. Rosina śpiewa arię *Idzie od morza* i *od lądu radosny powiew wiosny*. Widownia milczy złowrogo. Nagle jakiś mężczyzna drze się z galerii:

„*Cyganeria*! *Cyganeria*!".

Odpowiada mu mnóstwo innych głosów: „*Cyganeria*, *Cyganeria*! Już to słyszeliśmy!".

Zarzut autoplagiatu Pucciniego na jego operze *Cyganeria* nie mógł zrodzić się w tylu głowach w trakcie pierwszego słuchania *Madame Butterfly*. To zorganizowana nagonka. Świetnie rozumie to część widowni życzliwa Pucciniemu i klaszcze co sił. Rozjuszeni klakierzy opłaceni przez Sonzogna drą się jeszcze głośniej.

Przydługi pierwszy akt kończy się przy akompaniamencie wrogich okrzyków i nielicznych oklasków. Śpiewacy zachowują zimną krew. Jak każe obyczaj, wychodzą z kompozytorem przed kurtynę i kłaniają się publiczności. Puccini nie chce się pokazywać, artyści ciągną go za połę fraka.

Innym powszechnym zwyczajem operowym jest odwiedzanie śpiewaków za kulisami po pierwszym akcie przez możnych miłośników opery, przyjaciół, dziennikarzy. Tego wieczoru za kulisami nie zjawia się nikt. Śpiewacy są przerażeni, oszołomieni. Puccini, z twarzą pokrytą purpurowymi plamami, pali papierosa za papierosem, niedopałki ciska na drewnianą podłogę. Strażacy patrzą na to bez słowa albo udają, że nie widzą. Wielki kompozytor wygląda jak skazaniec na chwilę przed egzekucją.

Tylko jedna osoba za kulisami zachowuje zimną krew. Tito Ricordi przechadza się nieporuszony. Poklepuje śpiewaków po

ramieniu, pociesza: „Już się wyładowali. W drugim akcie przełamią się. Zobaczycie, zwyciężymy".

Ale w drugim akcie agresja widowni wzmaga się. Do klakierów dołączają neutralni widzowie. To już zbiorowa histeria. Gdy Cio-Cio-san układa do snu dziecko jej i porucznika Pinkertona, który z zimną krwią porzucił biedną, kochająca gejszę, przeciąg nieoczekiwanie wzdyma suknię Rosiny Storchio.

– Butterfly jest jeszcze brzemienna po Pinkertonie – wrzeszczy po chamsku któryś z klakierów.

Storchio płacze. Gdy śpiewa arię *Un bel di vedremo*, głos jej się łamie. To oczywiście powód do kolejnych gwizdów i krzyków. Przejmująca scena przygotowywania przez Butterfly samobójstwa wywołuje tylko grubiańskie śmiechy i gwizdy.

Gdy kurtyna opada, żaden z artystów nie wychodzi, by zebrać oklaski nielicznych na widowni przyjaciół. Śpiewacy milczą, nie patrzą sobie w oczy. Takiej klęski, takiego skandalu nikt w Mediolanie nie pamięta. Nagle za kulisy wbiega syn Pucciniego Tonio, rzuca się ojcu na szyję i płacze: „Och papo, mój papo!".

Senior wydawniczego rodu Ricordich Giulio, tak jak wcześniej reżyserujący spektakl jego syn Tito, nie traci opanowania. Nie zwlekając, prosi na stronę Pucciniego i obu librecistów i proponuje, że zwróci dyrekcji La Scali niemałą sumę 20 tys. lirów zainkasowaną już z tytułu praw autorskich i wynajmu zapisów nutowych, po czym natychmiast wycofa operę z repertuaru.

Puccini zgadza się ochoczo. O nie, za jego życia La Scala nawet nie powącha *Madame Butterfly*!

Rosina Storchio w *Madame Butterfly*

18 lutego 1943 ▪ czwartek

Do dna

O 11.00 do gmachu uniwersytetu w Monachium wchodzi 2 młodych ludzi. Ciemnowłosej dziewczynie o szczupłej, ściągniętej zmęczeniem twarzy towarzyszy przystojny chłopak w mundurze

szeregowca Wehrmachtu. Żołnierz niesie niewielki, podróżny kuferek. Na uniwersytecie jest cicho i spokojnie, korytarze są puste. Trwają wykłady. Oboje pewnym krokiem idą na najwyższe piętro. Znają tu każdy zakątek – Sophie Scholl i jej brat Hans są studentami uniwersytetu. Rozglądają się uważnie, czy nikt ich nie widzi. Z kuferka wyjmują po kilkanaście, kilkadziesiąt ulotek i rzucają pod drzwi kolejnych sal wykładowych. Rozkładając kartki, docierają na parter, wychodzą na ulicę. Nikt ich nie zauważył. Są bezpieczni. Sophie przekonuje jednak brata, że musi wrócić. Na dnie kuferka zostało trochę ulotek. I oboje wracają. Z drugiego piętra krużganka, otaczającego przeszklony dziedziniec uniwersytetu, Sophie rzuca tę resztę. Gruby plik rozsypuje się, kartki wirują w powietrzu.

Z dołu dostrzega to uniwersytecki woźny Jakob Schmid. Gorliwy służbista i przekonany hitlerowiec wbiega na górę. Na korytarzu zastaje Hansa i Sophie. Wykrzykuje, że są aresztowani. Nie stawiają oporu, nie próbują uciekać. Schmid sprowadza ich na parter i telefonuje po Gestapo.

Policja zjawia się błyskawicznie. Funkcjonariusze przede wszystkim blokują wszystkie wejścia do uniwersytetu. Hitlerowskie tajne służby od wielu miesięcy wychodzą ze skóry, by dopaść nieuchwytnych konspiratorów rozrzucających w niemieckich miastach ulotki przeciwko narodowemu socjalizmowi i wojnie.

Pierwsza ulotka, zaczynająca się słowami: „Nie ma nic podlejszego i bardziej niegodnego dla cywilizowanego narodu niż poddanie się bez oporu rządom nieodpowiedzialnej kliki panujących”, pojawiła się w skrzynkach pocztowych kilkuset monachijskich domów w maju 1942 roku. Napisali ją na maszynie Hans Scholl i jego przyjaciel Aleksander Schmorell. Niezgoda na zło nazizmu brała się z ich głębokiej wiary. Hans, Sophie i wielu ich przyjaciół spotykali się w domu wybitnego katolickiego

intelektualisty prof. Karla Mutha, krytycznie nastawionego do ugodowej wobec nazizmu linii niemieckiego Kościoła. U prof. Mutha rozmawiali o konieczności czynnego przeciwstawienia się Hitlerowi.

Scholl i Schmorell podpisali swą pierwszą ulotkę jako Biała Róża. Kolejne ulotki powielali w setkach, potem tysiącach egzemplarzy. Wysyłali je w zwykłych kopertach na nazwiska i adresy znalezione w książkach telefonicznych. Pół roku po wysłaniu pierwszej ulotki w konspiracji Białej Róży działało – także poza Monachium – kilkudziesięciu młodych Niemców, w większości studentów.

Gestapo obserwowało w Monachium skrzynki pocztowe i sklepy z papeterią, ale spiskowcom dopisywało niezwykłe szczęście i przez ponad pół roku żaden z nich nie wpadł. Przed paru tygodniami młodzi konspiratorzy Białej Róży wycięli z kartonu szablony i nocą namalowali smolistą farbą na ścianach domów monachijskiej starówki hasła: „Wolność" i „Precz z Hitlerem!". Po tej akcji Gestapo nazwało grupę Białej Róży „malarzami".

Na pozór wszystko szło świetnie – o kolejnych akcjach Białej Róży mówiło całe Monachium, wiedzieli o nich nawet więźniowie w obozie koncentracyjnym w Dachau. Gestapo było bezradne. Ale hitlerowska tajna policja jest coraz bliżej; na swych listach podejrzanych ma od kilku tygodni – wśród wielu setek przypadkowych nazwisk – także nazwiska konspiratorów. Brakuje tylko dowodów. Aktywiści Białej Róży, zmęczeni, przepracowani, psychicznie wypaleni, podejmują się coraz bardziej ryzykanckich akcji, popełniają coraz więcej nieostrożności i błędów. Rozkładanie w biały dzień ulotek na uniwersytecie jest jednym z nich. A powrót z ulicy, by rozrzucić resztę na dziedzińcu – to już wręcz wyzywanie losu.

Gestapowcy przesłuchują zatrzymanych na dziedzińcu uczelni. Sophie i Hans są spokojni, logicznie i rzeczowo odpowiadają na pytania. Są nawet trochę oburzeni: z ulotkami nie mają nic wspólnego, po prostu przyszli na uczelnię i znienacka, bez żadnego powodu zostali zatrzymani przez woźnego, a tymczasem prawdziwi sprawcy zdołali uciec. Ulotki widzą pierwszy raz w życiu.

Gestapowcy sprawdzają ich dokumenty – są w porządku. Sophie Scholl studiuje tu psychologię i biologię, Hans – medycynę. W czasie wojny wielu młodych żołnierzy Wehrmachtu studiuje podczas krótkich przerw w służbie frontowej. Spokój zatrzymanych, nutka oburzenia w ich głosach, trochę też mundur Hansa robią swoje; przesłuchujący ich oficer zaczyna wątpić, czy to nie pomyłka, czy prawdziwi sprawcy nie zdołali się jednak wymknąć.

Studenci wychodzą z sal. Jedni podnoszą i czytają ulotki, inni przyglądają się z krużganków scenie przesłuchania na dziedzińcu. Na rozkaz prowadzącego akcję gestapowca hitlerowscy szefowie grup studenckich ustawiają się obok sal wykładowych. Studenci, którzy podnieśli ulotki, muszą je teraz oddać. Po chwili aktywiści wręczają gestapowcom pliki kartek. Ci starannie układają je w stosiki i wkładają do kuferka odebranego Hansowi Schollowi.

Jeden z funkcjonariuszy telefonuje z sekretariatu kanclerza uczelni do siedziby monachijskiego Gestapo w pałacu Wittelsbachów. „Złapaliśmy »malarzy«!" – melduje tryumfalnie.

Gestapowcy wyprowadzają Sophie i Hansa pośród gęstego szpalerów studentów. Oboje idą spokojnie, nieporuszeni.

W siedzibie Gestapo przesłuchiwani więźniowie trzymani są w celach w piwnicach. Niektórych z nich gestapowcy wykorzystują do prac pomocniczych: sprzątania korytarzy, pracy w kuchni, roznoszenia posiłków. Więźniarka Else Gebel pracuje w sali przyjęć.

Pod okiem gestapowca ma obowiązek jeszcze raz zrewidować nowych więźniów, odebrać im zakazane przedmioty, wydać miskę i sztućce.

Krótko po południu podnieceni czymś gestapowcy przenoszą więźniów z celi do celi. Ale dlaczego? Else Gebel pyta nadzorującego ją funkcjonariusza, kto trafi dziś to zwalnianych cel. „Malarze" – odpowiada z tryumfem.

Po południu Gebel zostaje wezwana do izby przyjęć. Ma zrewidować i wpisać do ksiąg więzienia Sophie Scholl. Podczas rewizji Else Gebel szepce jej do ucha: „Jeśli masz przy sobie ulotkę, zniszcz ją teraz". Ale Sophie nie ma przy sobie nic kompromitującego. Jest opanowana, prawie pogodna. Else pyta ją, dlaczego została aresztowana. Sophie nie odpowiada wprost, wyjaśnia tylko, że jej przypadek jest bardzo ciężki i powinna spodziewać się najgorszego. Obie doskonale wiedzą, że za konspirację przeciw Hitlerowi droga z kazamatów Gestapo prowadzi tylko na szafot. Else szepce do ucha Sophie, żeby nie załamywała się podczas przesłuchania i nie przyznawała się do niczego, na co Gestapo nie ma niepodważalnych dowodów – choćby nawet zaprzeczenia brzmiały niezbyt wiarygodnie. Sophie martwi się, że gestapowcy mogą jeszcze znaleźć przeciw niej jakieś poważne dowody.

Na razie jednak nic nie mają. Po południu podczas pośpiesznej rewizji w mieszkaniu Sophie przy ulicy Franza Josepha niczego kompromitującego nie udało się im znaleźć.

W pałacu Wittelsbachów rodzeństwo przesłuchiwane jest w sąsiednich pokojach. Sophie przesłuchuje Robert Mohr, przed wojną funkcjonariusz policji kryminalnej. Jest rzeczowy, spokojny, wręcz kulturalny. Uważnie słucha wyjaśnień Sophie. Wieczorem nawet częstuje ją prawdziwą kawą, w wojennych Niemczech

nadzwyczajnym rarytasem. W pewnym momencie Mohr, który zaczyna wątpić w winę tej spokojnej dziewczyny, zapowiada, że najwyraźniej prawdziwi sprawcy zdołali się wymknąć i w tej sytuacji Sophie wkrótce będzie zwolniona.

W nocy ton rozmowy zmienia się. Gestapowcy przeprowadzili drugą rewizję w mieszkaniu Hansa. Mohr pokazuje Sophie znaleziony w skrytce w pokoju brata zapas kilkuset ośmiofenigowych znaczków. Takich, jakie naklejane były na koperty z ulotkami. Co gorsza, gestapowcy rewidując Hansa, znaleźli starannie podartą kartkę z odręcznie spisanym przez Christopha Probsta projektem jednej z ulotek, złożyli skrawki papieru i odczytali tekst.

To katastrofa. O 4.00 Hans decyduje się zeznawać, by osłonić siostrę i resztę konspiratorów. Bierze całą winę na siebie, ale doświadczeni funkcjonariusze Gestapo orientują się już, że w konspiracji Białej Róży musiało aktywnie uczestniczyć dużo więcej osób.

Sophie, mimo pokazanych jej znaczków i notatki Probsta, twardo powtarza, że jest niewinna, a aresztowanie jej to zwykłe nieporozumienie. Przesłuchanie kończy się o 8.00. Zmęczona Sophie wraca do celi, którą dzieli z Else Gebel. Już wie, że jej los jest przesądzony. Opowiada o przesłuchaniu. Twarz Sophie rozjaśnia się tylko wtedy, gdy mówi współwięźniarce, że najdalej za 8 tygodni w Europie powinni wylądować alianci.

Działacze Białej Róży. Od lewej: Hans Scholl, Sophie Scholl I Christoph Probst

19 lutego 1929 ▪ wtorek

Wojna zimowa

Natura oszalała. Fala mrozów dotarła znad Europy nad Saharę. W nocy nad Pustynią Libijską między Marsa Matruh i oazą Siwe padał deszcz, który natychmiast zamarzał. Od rana osłupiali Beduini wpatrują się w piaski pustyni po horyzont skute grubą, lśniącą jak stal warstwą lodu.

W Grecji – którą od dwóch tygodni paraliżowały mrozy i śnieżyce – od 4 dni jest odwilż. Zaspy śniegu znikły z Akropolu. Od 3 dni jednak bez przerwy padają ulewne deszcze. Wezbrane rzeki

w Macedonii zalały ogromne obszary. Ociepliło się także w południowych Włoszech, na Sycylii i w Hiszpanii. Spod zwałów śniegu wyłaniają się tam winnice, zdemolowane gaje oliwne, połamane drzewka pomarańczowe.

Rząd węgierski oświadcza rano, że dzięki akcji wojska przejezdne są już wszystkie główne linie kolejowe w kraju. Od dziś pociągi docierają do wszystkich kopalni węgla.

Na Bałkanach zima przypuszcza kolejny, 4. już atak. Po 2 dniach spokoju burze śnieżne atakują Jugosławię. Belgrad znów jest całkowicie odcięty od świata.

W Paryżu po 2-dniowej odwilży rankiem słupek rtęci znów spadł poniżej zera. To nic w porównaniu z 11 stopniami mrozu sprzed 3 dni, ale miasto jest praktycznie sparaliżowane: ulice puste, zaopatrzenie fatalne. Co odważniejsi z mieszkańców ślizgają się na łyżwach po zamarzniętej Sekwanie. Od dziś w Paryżu obowiązuje zarządzenie władz miejskich, by lombardy niezwłocznie zwracały biedakom zastawioną ciepłą odzież o wartości nieprzekraczającej 50 franków od sztuki. Koszty poniesie miasto. Od rana do południa lombardy zwracają grubo ponad 1000 sztuk palt i płaszczy. Trzykrotnie zwiększono ilość wydawanej ubogim darmowej gorącej zupy. Niestety, po tej nocy znów znaleziono zwłoki kilku kloszardów zamarzniętych pod mostami i w śmietnikach.

W Irlandii szaleją śnieżyce. W Londynie rano wrócił siarczysty mróz. Zwały utworzone na morzu przez potrzaskane tafle lodu, ogromne zaspy na drogach i torach kolejowych i huraganowe wichury całkowicie odcięły od świata Danię. W Kopenhadze przedwczoraj skończyły się zapasy drożdży i z tego powodu brakuje chleba. Rankiem z lotniska w Hamburgu startuje samolot z 650 kg drożdży piekarskich na pokładzie. Z najwyższym trudem ląduje na kopenhaskim lotnisku, na którym ruchome zaspy osiągają ponad

metr wysokości. Skandynawia od wielu dni odcięta jest od reszty Europy.

Zamarzły północny Bałtyk i Zatoka Ryska. Huraganowe wiatry wschodnie od wielu dni pędzą masy lodu na zachód, w stronę Danii. W polach lodowych u wybrzeży Danii i Niemiec ugrzęzło 5 statków, w tym polski SS „Tczew". Jednostkom tym z powodu uszkodzeń kadłuba może grozić zatonięcie. W szczególnie ciężkim położeniu jest „Tczew", który od rana nabiera wody. Niepowodzeniem zakończyła się próba uwolnienia statków z lodowej pułapki przez 2 niemieckie pancerniki. „Schlezwig Holstein" z uszkodzeniami powrócił do Świnoujścia, a „Elsass" ugrzązł na dobre w polu lodowym.

Dobre wiadomości napływają za to od rana z Gdańska i z Gdyni. Wynajęty w Finlandii wielki lodołamacz „Sampo", który przed 3 dniami wyrąbał w lodach skuwających Zatokę Gdańską kanał z Gdańska na pełne morze, od rana wyprowadza statki na Bałtyk. Władze Gdyni zaś wynajęły w Szwecji lodołamacz „Balder", który od 3 dni z powodzeniem utrzymuje połączenie portu z pełnym morzem.

Warszawa od rana cieszy się z przywrócenia połączeń telefonicznych z resztą kraju. Podczas niemal 30-stopniowych mrozów przewody telefoniczne kurczyły się tak bardzo, że nagminnie wyrywały 4-calowe haki, którymi były mocowane do słupów telegraficznych.

Na ulicach ruch jest minimalny. Jedynie przed składami węgla kłębią się tłumy zdesperowanych mieszkańców. Od 3 tygodni w Warszawie, tak jak i niemal w całym kraju, dramatycznie brakuje opału. W mieszkaniach biedoty od wielu dni temperatura nie przekracza zera. Od tygodnia, zgodnie z zarządzeniem władz, stołeczne składy opałowe są otwarte przez 24 godziny na dobę –

nawet wtedy gdy nie ma w nich choćby kilograma węgla. Chodzi o to, by każdy mógł sprawdzić, że właściciele nie chowają opału i nie spekulują nim. Przed składami węglowymi od świtu dyżurują policjanci. To reakcja na wczorajsze rozruchy przed składem węglowym przy ul. Dzielnej 27. Tłum, zniecierpliwiony kilkugodzinnym, daremnym oczekiwaniem na węgiel, zaczął demolować skład. Wezwany przez właścicieli posterunkowy policji Machlewski usiłował uspokoić wzburzonych biedaków, ale ci rzucili się na niego. Posterunkowy otworzył z pistoletu ogień w tłum. Ciężko ranił Szmula Seporowicza i Joska Czosnka. Przed zlinczowaniem uchroniła Machlewskiego interwencja przechodzącego w pobliżu silnego patrolu policyjnego.

W okolicach Stanisławowa 5200 zmobilizowanych robotników i 1300 żołnierzy od świtu usiłuje oczyścić tory kolejowe z zasp śnieżnych. Na razie bez powodzenia – ten rejon Polski od 3 tygodni odcięty jest od świata.

Zima stulecia zaatakowała Europę w początkach grudnia zeszłego roku. Takiej fali mrozów nie pamiętali najstarsi ludzie; lód pojawił się na Tybrze, Sekwanie i na Tamizie. Pl. św. Marka w Wenecji zablokowały 1,5-metrowe zaspy śniegu. Od niemal 3 miesięcy zima atakuje nieustannie – gdy tylko słabły mrozy, zaczynały się śnieżne nawałnice, po których natychmiast wracały rekordowo niskie temperatury. W Polsce już kilka tygodni temu mrozy i śniegi sparaliżowały komunikację i łączność. Temperatura w Katowicach spadła do –39 stopni C, w Wilnie do –41. W Rabce zanotowano –45 stopni C. Zaspy na drogach Wileńszczyzny osiągnęły 4 m wysokości, w okolicach Stanisławowa – 7 m. Zasypywane przez zadymki tory i zamarzająca oliwa w lokomotywach sprawiły, że większość pociągów przez wiele dni nie wyruszała na trasy. Opóźnienia na kolei sięgały 700 minut. W odciętym od świata

Żyrardowie, po całkowitym wyczerpaniu zapasów węgla, rada miejska uchwaliła porąbanie płotów publicznych i prywatnych na opał – koszt odbudowy pokryć ma kasa miejska na wiosnę.

Przed 10 dniami, gdy mróz w Warszawie sięgnął 25 stopni, redakcja „Kuriera Porannego" ogłosiła zbiórkę gotówki, ciepłych ubrań i talonów na węgiel celem ratowania zamarzających najbiedniejszych dzieci. Dziś po południu redaktorzy podliczają gotówkę – w sumie ofiarowano niemal 60 tys. zł. Niemało.

Nie wszędzie w Warszawie jest zimno. W Sejmie – wręcz gorąco. O 16.30 premier Kazimierz Bartel oświadcza z trybuny, że zapowiadany przez opozycję wniosek o pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej ministra skarbu Gabriela Czechowicza za przekroczenie budżetu 1927/1928 roku i nieprzedstawienie Sejmowi ustawy o dodatkowych kredytach traktować będzie jako obrazę całego rządu. To jawny szantaż, bo w tym wypadku prezydent może rozwiązać Sejm. Ale opozycja nie poddaje się: prezes PSL „Wyzwolenie" składa w imieniu swej partii oraz PPS i Stronnictwa Chłopskiego wniosek o postawienie Czechowicza przed Trybunałem Stanu.

O 18.00 w Colosseum zaczyna się uroczysta premiera filmu według dramatu Żeromskiego *Ponad śnieg bielszy się stanę*.

20 lutego 1846 ▪ piątek

Krew na śniegu

Śniadanie w zasypanym śniegiem dworze Wiktoryna Bogusza w Siedliskach, w Tarnowskiem, przeciąga się. Jest bardzo miło. Gospodarz i liczni goście wiedzą, rzecz jasna, że jeszcze w tym

miesiącu wybuchnąć ma w Galicji powstanie przeciw austriackiemu zaborcy. Wiedzą też, że kierownictwo konspiracji przyspieszyło o kilka dni wybuch insurekcji – nocny szturm Tarnowa miał się zacząć przedwczoraj. Ale ziemianie zebrani od dwóch tygodni na rodzinnym zjeździe w Siedliskach nie czują się zagrożeni, bo dociera do nich wieść o odwołaniu przez konspiratorów akcji zbrojnej.

Wiktoryn Bogusz nie wie jednak, że austriackie władze w Tarnowskiem postanowiły rozprawić się z patriotycznym polskim ziemiaństwem rękami polskich chłopów. Przed 4 dniami do należącego do Feliksa Bogusza, brata Wiktoryna, sąsiedzkiego majątku w Smarzowej potajemnie przyszedł austriacki żołnierz i zabrał do Tarnowa tamtejszego cieślę Jakuba Szelę. Niepiśmienny Szela jest przywódcą okolicznych chłopów. Wybrali go nawet swym plenipotentem. Buntuje poddanych obu panów Boguszów, wyszukuje sporne kwestie między wsią a dworem, wszczyna procesy przeciw dziedzicom. A przede wszystkim domaga się zwolnienia z pańszczyzny. Kiedyś zabił swego parobka, podejrzewany jest też o zabójstwo i obrabowanie majętnego Żyda Maślanki, ale władze austriackie chronią go i popierają. Szela od wielu lat donosi na spiskujących ziemian, denuncjuje patriotów z Kongresówki szukających schronienia w Galicji.

Wiktoryn Bogusz nie ma pojęcia, że Szela przed 2 dniami wrócił z Tarnowa, zwołał chłopów na potajemną naradę, a dziś od rana rozsyła po wsiach umyślnych. Nie wie, że wczoraj tutejszy wikary ks. Mazurkiewicz, przestrzeżony przez wieśniaków, tak jak stał, nie mówiąc nawet słowa proboszczowi ks. Jurczakowi, uciekł do Tarnowa.

Pan Wiktoryn każe furmanowi zaprzęgać sanie i odwozi 2 kilkuletnich synów brata Feliksa do Smarzowej. Po drodze zabiera znajomego, pana Zabierzewskiego. Urocza sanna kończy się we wsi

Kamienica. Z obejść wypadają uzbrojeni w kije chłopi. Zatrzymują sanie. Podróżnych prowadzą do pobliskiej karczmy Hersza Tintenfassa, w której siedzi już kilku związanych rzemieniami ziemian pochwyconych wcześniej w pobliskiej Gorzejowej. Chłopi zamawiają gorzałkę i nagle biją drągami więźniów. Leje się krew, maltretowani krzyczą wniebogłosy. Arendarz Tintenfass nawołuje do litości i opamiętania, ale nikt go nie słucha. Potajemnie posyła więc konnego posłańca do sąsiedniej wsi o pomoc. Bijący chłopi, zmęczeni, wychodzą na dwór. Tintenfass wespół z miejscowym Cyganem Antonim Siwkiem okłada rany Wiktoryna Bogusza lodem, tamuje krew. Chłopi uspokajają się, już nie biją, już tylko pilnują swych więźniów. Mija parę godzin. Pomocy nie widać, nadciąga za to następna grupa chłopów. Na jej czele kroczy Jakub Szela. Na widok pokrwawionego dziedzica Szela mówi szyderczo: „Jeszcze żyjesz, Wiktorku, zawsze mi groziłeś kryminałem, lecz teraz na ciebie kolej przyszła. Chłopcy, do roboty!".

Ale chłopi nie kwapią się do mordu. Wreszcie jeden z nich zamierza się na Bogusza siekierą. Przypada doń Tintenfass, łapie za rękę, krzyczy: „Zapomniałeś, że ci pan darował drzewa na chałupę?!". Chłop odstępuje, arendarz wzywa resztę do opamiętania, ale Szela wrzeszczy: „Bijcie i zabijcie, bo mi go na funty zapłacą!", i żelaznym prętem uderza Bogusza w głowę. Inni dobijają dziedzica drągami. Potem mordują związanego dzierżawcę Gorzejowej, ciężko ranią ziemian Zabierzewskiego i Pohoreckiego. Nadjeżdża wreszcie wzywany przez Tintenfassa austriacki urzędnik, poleca odwieźć rannych do domu i wyjeżdża. Wtedy chłopi, z Szelą na czele, mordują rannego Pohoreckiego i pozostałych związanych w karczmie.

Rozlana krew odurza Szelę. Krzyczy, by zabijać jak najwięcej ziemian, a nie brać w łyka, bo za trupy władze więcej zapłacą.

Banda rusza do Gorzejowej. Tam morduje dzierżawcę. Właściciela majątku Feliksa Gumińskiego, od kilku lat całkiem sparaliżowanego, mimo błagań żony, chłopi powoli duszą.

Z Gorzejowej idą do Siedlisk. Chłopi oblegają dwór. Nestora rodu, 86-letniego Stanisława Bogusza, ojca zamordowanego w karczmie Wiktoryna, synowa chowa na strychu, pod słomą. Odkrywa go syn Szeli Staszek. Strzela do Bogusza z dubeltówki, ale chybia. Synowa ściąga starca na dół, błaga o litość, rozdaje pieniądze. Chłopi biorą gotówkę i biżuterię, po czym wywlekają starego Bogusza na śnieg. Jakub Szela mówi do swej ofiary: „Jak się masz, Stasiu? Już mnie więcej do aresztu nie będziesz wsadzać ani pieniędzy za Wisłę buntownikom wozić nie będziesz". Na jego znak chłopi rozcinają Stanisławowi Boguszowi głowę. Starzec kona w męczarniach parę godzin. Napastnicy wywlekają na śnieg i zabijają cepami obecnych we dworze sędziego Kalitę, ekonoma Stradomskiego i jego 18-letniego siostrzeńca oraz 2 krewnych gospodarzy.

Stary Szela wysyła grupkę chłopów do siedliskiego kościoła. Od dawna ma na pieńku z proboszczem Jurczakiem. Ksiądz, widząc, co się święci, w ostatniej chwili wystawia Najświętszy Sakrament i intonuje suplikacje. Napastnicy odkładają cepy i kosy, klękają i śpiewają *Święty Boże*. Gdy proboszcz kończy, wstają, zarzucają księdzu na szyję sznur i zaczynają go dusić. Od śmierci ratuje proboszcza tylko przytomna uwaga jednej z parafianek, że jak księdza uduszą, to nie będzie komu odprawiać mszy. Napad kończy się rabunkiem plebanii.

Teraz Szela rozsyła bandy do kolejnych dworów. Chłopi mordują ziemian w Głobikowej, Grudnej, Kamienicy Górnej.

Wieczorem Szela z synem zatrzymuje się w karczmie Żyda Semka. Skąpo raczy się gorzałką, przyjmuje meldunki o kolejnych mordach. W końcu dolicza się 23 ofiar. Gdy pyta, kto zabił posesora Kleina

z folwarku Kopaliny, chłopi wyjaśniają, że Kleina nie zabili, bo to Niemiec. Szela złości się – Niemiec, nie Niemiec, ale pan, a każda głowa pańska to sowita wypłata. Paru chłopów jedzie na oklep do Kopalina i morduje Kleina widłami i cepami.

Dochodzi północ, gdy Szela wydaje chłopom w karczmie Semka ostatnie polecenia. Jutro pójdą na następne dwory. Po drodze mają zabić i obciąć głowę każdemu, kto nosi surdut.

21 lutego 1994 ▪ poniedziałek

Czy będę mógł zapalić?

O 8.30 na parking supermarketu Saveway przy Lee Highway w Arlington, pod Waszyngtonem, zatrzymuje się kolumna samochodów. 2 furgonetki to nieoznakowane karetki więzienne, kolejne dwie to także nieoznakowane wozy drużyn szturmowych SWAT. Funkcjonariusze SWAT w czarnych mundurach, kamizelkach kuloodpornych i charakterystycznych hełmach nie powinni mieć dziś czegokolwiek do roboty, ale federalne przepisy wymagają ich obecności. W chevrolecie siedzi 3 mężczyzn. Agenci FBI Rudy Guerin, Mike Donner i Dell Spry odegrali kluczową rolę w śledztwie, które teraz ma zostać zakończone aresztowaniem przestępcy. Wyjątkowego przestępcy.

Aldrich Ames, syn oficera CIA, pracę w agencji rozpoczął już w szkole średniej. Inteligentny nieudacznik, alkoholik, dzięki kumoterstwu powoli awansował w strukturach CIA. Przed 12 laty poznał w Meksyku Marię del Rosario, *attaché* kulturalnego kolumbijskiej ambasady w Ciudad Mexico. Rozwiódł się, ożenił

z Kolumbijką i popadł w kłopoty. Nowa żona żądała coraz więcej seksu i pieniędzy – czyli akurat tego, czego dać jej nie mógł.

Pigułki na męskość jeszcze nie wynaleziono, ale z brakiem pieniędzy Ames poradził sobie. Przed 9 laty zaczął sprzedawać Sowietom najtajniejsze sekrety amerykańskiego wywiadu – z czasem wydał m.in. wszystkich amerykańskich informatorów w KGB, GRU i tajnych służbach bloku komunistycznego. Paru z nich zostało straconych. Za 2,7 mln dolarów Ames całkowicie zniszczył dorobek 40 lat pracy CIA.

Misternie ułożony i dziesiątki razy analizowany w FBI plan aresztowania Amesa wymaga oddzielenia go od żony, a ich oboje – od znerwicowanego synka.

Szef wydziału do walki z narkotykami w CIA dzwoni do domu podejrzanego i prosi go, by wpadł do kwatery agencji w Langley, bo przyszła jakaś depesza w sprawie wyjazdu Amesa do Moskwy. Ames odpowiada, że wyjedzie za kwadrans.

Agenci federalni w samochodach na parkingu Safeway słyszą na podsłuchu tę rozmowę i natychmiast ruszają w stronę odległego o parę przecznic domu Amesa. Podejrzany musi jechać Quebec Street. Obie furgonetki SWAT zajmują pozycje na Nellie Custis Street, na rogu z Quebec Street; gdyby jechały tuż przed nim, Ames mógłby zacząć coś podejrzewać. Chevrolet prowadzony przez agenta Donnera parkuje przy Quebec Street. Gdy Donner dostrzega jaguara Amesa, włącza się do ruchu i jedzie za nim. Furgonetki SWAT przejeżdżają przez skrzyżowanie tuż przed nosem Amesa. W tym momencie Donner włącza przenośnego czerwonego koguta i syrenę. Druga furgonetka staje. Ames hamuje tuż przed jej burtą. Donner zatrzymuje się za jego jaguarem zderzak w zderzak. Szpieg jest w pułapce.

Donner i Spry z pistoletami w ręku wyskakują z chevroleta i rzucają się do obu przednich drzwi jaguara. Ames, ćmiąc papierosa, opuszcza szybę. Donner wyrywa mu peta spomiędzy warg, rzuca za siebie i wyjmuje znaczek służbowy FBI.

– FBI, jest pan aresztowany!

Donner otwiera drzwi jaguara i wywleka Amesa na zewnątrz. Nie obala go jednak na asfalt. Agenci oszczędzają szpiegowi filmowego, brutalnego aresztowania, bo nie chcą go zbytnio denerwować – mają zamiar rozegrać z nim dziś jeszcze ostatnią partię swej gry.

– Za co!? Za co!? – krzyczy Ames.

– Za szpiegostwo. Proszę położyć ręce na dachu samochodu.

– To nieprawdopodobne! Nieprawdopodobne! – krzyczy zatrzymany.

Podczas rewizji agenci znajdują w kieszeni Amesa tylko portfel od Gucciego. Skutego szpiega wiozą w kierunku Tysons Corner, gdzie znajdują się biura FBI. Agent Guerin nieustannie odczytuje przez radio kolejne przejechane mile i punkty orientacyjne na trasie. Wszystko po to, by w sądzie oskarżony nie mógł kłamać, że po aresztowaniu wożono go w nieznane miejsca, wywierano nań presję, a nawet bito.

Gdy tylko kajdanki zatrzasnęły się na rękach Amesa, do akcji wkraczają agenci mający aresztować jego żonę: John Hosinski i Yolanda Larson. Agentkę Larson wybrano do tej akcji, bo jest w zaawansowanej, widocznej ciąży – ma to zmniejszyć u aresztowanej stres i ułatwić skłonienie jej do zeznań. Drzwi domu Amesa otwiera służąca. W przedpokoju Hosinski oznajmia Rosario Ames, że jest aresztowana pod zarzutem szpiegostwa.

Z piętra schodzi synek Amesów. Agent Hosinski przytomnie odwraca uwagę chłopca, zagaduje go o szkołę, o ulubione programy telewizyjne. Agentka Larson korzysta z faktu, że chłopiec jest zajęty,

i prowadzi Rosario Ames do sypialni na piętrze, gdzie leży jej matka, która niedawno przyleciała z Bogoty w odwiedziny. Rosario opowiada matce, że ma kłopoty w pracy i musi na chwilę wyjechać, i wychodzi z agentami do ich samochodu. Larson zakłada jej kajdanki dopiero na tylnym siedzeniu auta.

W kwaterze FBI tymczasem agenci prowadzą Amesa do pomieszczenia, w którym zainscenizowano salę dowodzenia operacji aresztowania go. Na ścianach rozwieszono powiększone zdjęcia Amesa zrobione z ukrycia przez agentów, ogromne, wymyślone na tę okazję szkice i plany, przyszpilono kartki z wymyślonymi poleceniami do wymyślonych agentów. Wszystko po to by stworzyć u aresztowanego wrażenie, że FBI wie o nim wszystko, ma w ręku miażdżące dowody i sprawa jest bezapelacyjnie przesądzona.

Agent Donner zdejmuje Amesowi kajdanki. Aresztowany pyta, czy może zapalić.

Nie.

Agent Guerin przystępuje do najważniejszej części operacji. Łagodnym głosem informuje aresztowanego o jego prawach, po czym proponuje mu podpisanie formularza o zrzeczeniu się tych praw. Po twarzy starego wygi Amesa przemyka uśmiech. Zimno odmawia zrzeczenia się praw i żąda adwokata. To porażka agentów – odtąd nie wolno im przesłuchiwać podejrzanego bez udziału jego prawnika.

Ames z wyraźnym niepokojem pyta, czy w więzieniu będzie mógł palić. Guerin nie bez satysfakcji oznajmia mu, że nie. Ames pyta, czy może zapalić teraz. Guerin uświadamia sobie, że od paru godzin Amesa interesuje tylko jedno. Nie los synka, nie los żony, o których nie zapytał ani razu, ale czy będzie mógł palić w więzieniu.

W tym samym budynku FBI agenci Hosinski i Larson przesłuchują panią Ames. I od razu odnoszą sukces – Rosario Ames zrzeka się swych praw. Plan przesłuchania Rosario Ames agenci układali przez wiele godzin. Z podsłuchów wiedzą już, że to chciwa, uwielbiająca pławienie się w luksusie egoistka, za wszelką cenę chcąca kontrolować sytuację. Spełniają jej prośby o kawę i papierosy, co chwila zapewniają, że w każdej chwili może przerwać przesłuchanie i poprosić o adwokata. Rosario Ames odpowiada chętnie na pytania, ale kluczy, kłamie. Tak, wie, że ich tryb życia kosztował dużo więcej, niż wynosi pensja męża, ale sądziła, że ma on ulokowane korzystnie kapitały, z których dokłada na ekstrawydatki. Nie, nie wie, za co kupił jej samochód.

Mija godzina, druga, trzecia. Rosario ani razu nie pyta o los męża. Tuż przed 15.00 decyduje się sypać męża. Oświadcza, że nie mówiła podczas przesłuchania całej prawdy: wiedziała, że Rick Ames sprzedaje tajne informacje Rosjanom.

Agenci prowadzący rewizję w domu Amesa są w szoku: w garderobie jego żony znajdują ocean eleganckich kreacji (w sporej części nieużywanych, jeszcze z metkami), 165 par nierozpakowanych rajstop, 60 portfeli (połowa w oryginalnych opakowaniach) i ponad 500 par luksusowych butów.

Aresztowanie Aldricha Hazen Amesa

22 lutego 1900 ▪ czwartek

Wot wam i Gutienberg!

Mija północ, ul. Wschodnia w Łodzi tonie już w ciemnościach, ale w wychodzących na malutki balkonik szybach okna na pierwszym piętrze kamienicy nr 19 ciągle widać światło. W sporym pokoju krzątają się 3 mężczyźni. Gospodarz, szczupły, średniego wzrostu trzydziestoparolatek, z wymizerowaną twarzą ozdobioną krótko przystrzyżoną bródką z długimi, zwisającymi wąsami, to Józef Piłsudski, redaktor „Robotnika", nielegalnego organu Polskiej Partii Socjalistycznej. 2 jego goście właśnie zbierają się do wyjścia. Kazimierz Rożnowski „Karol" jest zecerem „Robotnika". Zecerskiego fachu nauczył się przed 2 laty w Londynie wysłany tam przez

partię. „Karol” w ślad za tajną drukarnią „Robotnika” przeniósł się z Wilna do Łodzi i teraz wynajmuje mieszkanie przy ul. Zawackiej.

Drugim gościem Piłsudskiego jest Aleksander Malinowski „Władek”, członek Centralnego Komitetu Robotniczego PPS. Przed 2 dniami przyjechał z Warszawy, by omówić z Piłsudskim kwestie organizacyjne i redakcyjne „Robotnika”. „Władek” zjawił się potężnie przeziębiony i przez 2 dni nie wychodził z mieszkania. Większość czasu przesiedział w tym pokoju, czyli w podziemnej drukarni „Robotnika”.

Już 6 lat carska policja poluje na nieuchwytną tajną drukarnię organu PPS. Niewiele krócej redaktorem, głównym autorem, a i drukarzem „Robotnika” jest Józef Piłsudski. Przed niedawną przeprowadzką do Łodzi, do wynajętego mieszkania przy Wschodniej, drukarnia z powodzeniem pracowała w Wilnie. W Wilnie też Piłsudski wciągnął do współpracy Marię z Koplewskich Juszkiewiczową, córkę wileńskiego lekarza, rozwiedzioną z mężem inż. Juszkiewiczem. Maria za współpracę z konspiracyjną grupą „Głosu” była wcześniej aresztowana, w konspiracji socjalistycznej pełniła funkcję „dromaderki”, łączniczki roznoszącej bibułę. Z powodu wielkiej urody Marię Juszkiewiczową nazywano w PPS „Piękną Panią”, w skrócie „PP”, albo, żartobliwie, „PPS bez S”. Piłsudski romans z Piękną Panią i wspólne z nią drukowanie bibuły zakończył kilka miesięcy temu małżeństwem. Nie bez pewnego wyrachowania – wedle carskiego prawa żona mogła bezkarnie odmówić zeznawania na niekorzyść męża.

W Łodzi Piłsudscy wynajęli mieszkanie na Wschodniej i na pozór prowadzili życie przeciętnych, niezbyt zamożnych burżujów. By nie wypaść z roli, wbrew konspiracyjnemu abecadłu przyjęli na stałe niezorientowaną w ich prawdziwej działalności służącą. Konspirować się musieli zatem podwójnie – przed ochraną, a we

własnym mieszkaniu – przed służącą. Pierwszą pannę musieli zwolnić, gdyż usiłowała uwieść zecera Rożnowskiego. Dopiero druga, Kazimiera Drzewiecka, zwana Władzią, przyjęła się na dobre i bardzo polubiła panią Marię.

Krótko po północy Malinowski i Rożnowski wychodzą od Piłsudskiego. Rożnowski wraca do mieszkania na Zawackiej, Malinowski śpieszy na dworzec, by złapać nocny pociąg do Warszawy. Gdy wychodzą z solidnych, dębowych, zdobnych snycerką drzwi wejściowych kamienicy na kocie łby Wschodniej, z konspiracyjnego przyzwyczajenia uważnie rozglądają się po ulicy. Nie widać niczego niepokojącego. Carscy szpicle znają swój fach. Schowani daleko od bramy, w załomkach murów, śledzą wzrokiem 2 konspiratorów. Gdy „Karol" i „Władek" żegnają się, szpicel rusza w ślad za „Władkiem". Obserwowany od niemal 2 tygodni „Karol" codziennie wieczorem wracał do swego mieszkania na Zawackiej i teraz też kieruje się w tę stronę. Jego będzie można bez problemu aresztować później.

Piłsudski, choć ogromnie zmęczony, nie kładzie się spać. Siada przy stojącym na środku pokoju biurku i kończy swój artykuł wstępny *Tryumf swobody słowa* – o zmianach zasad wydawania prasy w Austrii. Wstępniak przeznaczony jest do drukowanego właśnie 36. numeru „Robotnika" i jutro, po porannej herbacie, „Karol" powinien zacząć składać go w kaszcie. Piłsudski nie ma pojęcia, że szpicle i żandarmi obstawili już oba wejścia do tego skrzydła kamienicy – frontowe, od Wschodniej, i boczne, od ul. Średniej. Teraz pilnie wpatrują się w światełko migające w oknie za balkonikiem.

Na ślad drukarni ochrana trafiła podczas najbardziej ryzykownego dla każdego podziemnego wydawnictwa przedsięwzięcia – zaopatrywania się w wielką ilość papieru. Przed 2 tygodniami

Aleksander Malinowski kupił większą partię ryz papieru w składzie wyrobów papierniczych Tybera na rogu Piotrkowskiej i Zielnej. Sprzedawcy jak zwykle opowiedział historyjkę o swojej firmie, w której zużywa mnóstwo papieru. Kupcy zwykle przymykali oczy na nawet całkiem niewiarygodne opowieści – w końcu chodziło o sprzedaż papieru w ilości niemal hurtowej, za to w cenie detalicznej. Malinowski nie przewidział jednak, że szpicle łódzkiej ochrany rutynowo obstawili wszystkie sklepy z papierem, i przywlókł do drukarni na Wschodniej policyjny „ogon".

Na dworcu śledzący Malinowskiego szpicel przywołuje policyjny patrol, który aresztuje „Władka".

O 2.30 Piłsudski kończy wstępniaka, gasi światło i kładzie się spać. Reszta domowników dawno już śpi. Żona Maria – w sypialni po lewej stronie korytarza wejściowego, służąca Władzia – w kuchni na końcu korytarza.

Ochrana przywiązuje tak wielką wagę do nalotu na drukarnię „Robotnika", że akcją dowodzi osobiście wysoki stopniem oficer żandarmerii – ppłk Gnoiński.

O 3.00 w nocy ppłk Gnoiński daje znak. Rewirowy prowadzi żandarmów schodami kuchennymi na piętro. Do drzwi puka niezbyt głośno, tak by nie zbudzić domowników, lecz tylko służącą. Zerwana ze snu Władzia słyszy przez drzwi głos rewirowego, domagającego się, by otworzyła natychmiast. Przekręca klucz. Kuchnia i korytarz w mgnieniu oka wypełniają się żandarmami. Wpadają do jadalni, saloniku i sypialni. Piłsudskiego budzi hałas. Otwiera oczy i widzi pochylających się nad nim rewirowego i żandarma. Nie ma szans, by cokolwiek zniszczyć. O jakimkolwiek oporze nie może być nawet mowy.

Żandarmi zakuwają w kajdanki Piłsudskiego i jego żonę. Władzia na ten widok głośno płacze:

– Pana, jak pana, ale po co panią zabierać?

Piłsudski, zapytany o nazwisko, przytomnie podaje fikcyjne, na które wynajął mieszkanie. Korzystając z chwili nieuwagi obstawy, szepce do żony, by nie przyznawała się do swego prawdziwego nazwiska.

Żandarmi wchodzą przez salonik do ostatniego pokoju, z balkonem. Wszędzie walają się zapisane i zadrukowane kartki papieru. Ppłk Gnoiński poleca przyprowadzić Piłsudskiego. Zaczyna się rewizja.

W szufladach biurka żandarmi znajdują obfity łup. Wyciągają stos korespondencji. Przeglądają 2 listy podpisane Baj – jeden do Wiktora, drugi do Kazimierza. Nie mają pojęcia, że Baj to działacz socjalistyczny Bolesław Antoni Jędrzejowski, Wiktor to Piłsudski, zaś Kazimierz to jeden z partyjnych pseudonimów Aleksandra Malinowskiego. Indagują Piłsudskiego o ich imiona i nazwiska. Piłsudski z zimną krwią odpowiada, że ich nie zna.

Po przejrzeniu kolejnych listów, wszystkich podpisanych pseudonimami lub fikcyjnymi nazwiskami, padają kolejne pytania o autorów, adresatów i osoby w korespondencji wzmiankowane: Tytusa Filipowicza, Stanisława Wojciechowskiego, Witolda Jodko, Bolesława Limanowskiego i samego Piłsudskiego. Gospodarz zaprzecza, by ich znał osobiście.

Łup w biurku jest nader obfity. Żandarmi wyciągają spis adresów w Lipsku i w Anglii, służących do bezpiecznego wysyłania z Królestwa zaszyfrowanej korespondencji, pokwitowania za kupiony papier, kilka relacji z terenu, w tym z warszawskiej fabryki Frageta i z Kolei Dąbrowskiej, które nie zostały jeszcze wydrukowane w „Robotniku”, rękopisy jeszcze niepublikowanych artykułów, partyjne broszury, kilka więziennych kartek z Pawiaka,

parę wierszy, mnóstwo książek, z czego większość zakazana przez carską cenzurę.

Żandarmi otwierają otomanę. W środku znajdują istny skład hurtowy czystego, niezadrukowanego papieru oraz stosy wydrukowanych już 9 stron 36. numeru. Przeglądają wielki kosz na śmieci. Wypełniony jest po brzegi ścinkami drukarskimi i zmiętymi kartkami z wadliwie odbitymi stronami 36. numeru „Robotnika".

Otwierają stojącą przy ścianie szafkę. Jest! Maszyna drukarska systemu Model-Press firmy Boston, przez konspiratorów pieszczotliwie nazywana bostonką. Każdego wieczoru, po skończeniu drukowania, Piłsudski z Rożnowskim chowali ją do szafki. Teraz żandarmi wyciągają ją, ciężko sapiąc. Tylko żeliwna podstawa waży 53 kg, mechanizmy ruchome niemal drugie tyle. Ppłk Gnoiński z radosnym uśmiechem, jak urzeczony wpatruje się w osobliwy kształt bostonki, przypominającej wysokiego na 60 cm słonia z podwójnym ogonem i wielką metalową tarczą zamiast głowy. Policja całego Priwislinskiego Kraju od kilku lat dosłownie stawała na głowie, by ją znaleźć, a wpadła w ręce pułkownika z prowincjonalnej Łodzi!

Ten typ niedużych maszyn drukarskich przeznaczony jest do odbijania niewielkich ogłoszeń i kart wizytowych, ale w rękach dwóch pepeesowskich fachowców bostonka biła rekordy wydajności. Piłsudski z Rożnowskim potrafili wydrukować na niej w ciągu godziny od 300 do 400 stron „Robotnika". Przy nakładzie 1900 egzemplarzy pisma wydrukowanie w całości tylko jednej strony zajmowało im 8 godzin morderczej pracy.

Tajniacy z podziwem dotykają mechanizmów maszyny. W ramce tkwi jeszcze pierwsza strona 36. numeru. Ppłk Gnoiński poleca odbić ją. Potem bierze świeżutką odbitkę i dyktuje do protokołu rewizji:

–Trzydziesty szósty numer „Robotnika”, data dwudziesty piąty lutego. Artykuł wstępny *Tryumf swobody słowa*.

Potem, już tylko z ciekawości, pułkownik czyta na głos: „Orłow, szef żandarmów »żandarma Europy«, Mikołaja I, odprowadzając razu pewnego swego znajomego odjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie tam małego interesu, Gdy będziesz pan w Norymberdze – mówił mu – zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i pluń mu pan ode mnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi!”.

– *Wot wam i Gutienberg! Da, kak widitie, ot niewo wsio zło!* – rzuca na koniec w stronę Piłsudskiego.

Żandarmi wyciągają z szafki kasztę z polskimi czcionkami petitowymi i garmondowymi oraz pewną ilością czcionek żydowskich.

Są tak zaaferowani łupami, że nie zauważają, jak Maria Piłsudska szepce do służącej Władzi, by skoczyła do mieszkania pana Rożnowskiego i zawiadomiła o najściu żandarmów. Władzia wymyka się niepostrzeżenie.

Wstępne przesłuchanie Piłsudskiego i jego żony przeciąga się. Ppłk Gnoiński jest dość uprzejmy, nie podnosi głosu ani nawet zbytnio nie naciska na przesłuchiwanego. Piłsudski umyślnie przedłuża rozmowę – chce, by wyprowadzono go za dnia, na oczach przechodniów. I udaje mu się. Żandarmi wyprowadzają go z Marią w samo południe. Sadzają małżonków osobno do dwóch dorożek i odwożą do więzienia przy ul. Długiej.

23 lutego 1981 ▪ poniedziałek

No to golpe!

„Do Kortezów! Hiszpania w niebezpieczeństwie!" – wykrzykuje kpt. Muniecas Aguilar z komendantury służby transportowej madryckiej Guardia Civil. Szeregowcy hiszpańskiej gwardii narodowej w charakterystycznych czarnych skrzydlatych kapeluszach nie zadają żadnych pytań, karnie ładują się do służbowych samochodów. Wszyscy z blisko 300 gwardzistów mają broń. Część z nich wsiada do 5 autobusów. Niedawno, pod pozorem zakładania firmy transportowej, kupiła je żona podpułkownika Guardia Civil Antonio Tejero Moliny. Kolumna rusza w stronę centrum Madrytu, do gmachu parlamentu. Na jej czele jedzie płk Antonio Tejero Molina.

Zna go cała Hiszpania. To zagorzały frankista. W 1978 roku, 3 lata po śmierci gen. Franco i przejęciu władzy przez pierwszy, od czasów wojny domowej, demokratycznie wybrany rząd, współorganizował wojskowy zamach stanu. Spiskowców aresztowano, zanim zdążyli uderzyć. Sąd wojskowy skazał Tejero na niepoważnie niską karę 7 miesięcy więzienia.

Od tego czasu sytuacja w Hiszpanii nie ustabilizowała się. Przeciwnie, demokratyczna władza od kilku miesięcy przeżywa kryzys. Społeczeństwo nękają podwyżki cen i rosnące bezrobocie. Separatyści baskijskiej ETA i drobne bojówki prawicowe podkładają bomby i strzelają do funkcjonariuszy państwowych. Policja odpłaca działaczom baskijskim brutalnością i okrucieństwem. Przed miesiącem ustąpił centrowy premier Adolfo Suarez. Kandydat na szefa rządu, dotychczasowy wicepremier Calvo Sotelo, w pierwszym głosowaniu w Kortezach nie otrzymał dostatecznej liczby głosów. Madrycka ulica coraz częściej szepce o konieczności zaprowadzenia rządów silnej ręki.

Jest 18.20. W Kortezach trwa drugie głosowanie nad kandydaturą Calvo Sotela. Deputowani w porządku alfabetycznym podnoszą się z ław i mówią krótko: „tak" lub „nie". Wstaje 75. z kolei poseł,

socjalista: „nie". W tym momencie na korytarzu przyległym do sali obrad plenarnych rozlegają się krzyki. Potem strzały. Policjanci z ochrony parlamentu wyrywają z kabur pistolety, ale po chwili opuszczają je. Korytarzem pędzi i strzela na postrach grupa oficerów i podoficerów Guardia Civil w skrzydlatych kapeluszach. Obezwładniają policjantów, zabierają im broń i każą leżeć bez ruchu. Jeden z policjantów ma skurcz w łydce i usiłuje ją rozmasować. „Nie ruszać się, bo strzelam!" – ryczy jeden z napastników.

Gwardziści wpadają na salę obrad. Strzelają z pistoletów maszynowych na postrach, w sufit. Spada zestrzelony kandelabr, kaleczy jednego z deputowanych. Kilka pań dostaje histerii. Ppłk Tejero z pistoletem w dłoni wchodzi na mównicę i krzykiem domaga się, by deputowani położyli się obok foteli. Niepotrzebnie – prawie wszyscy zrobili to po pierwszych strzałach. Tylko dwaj, ustępujący premier Adolfo Suarez i sekretarz partii komunistycznej Santiago Carillo, ani myślą rzucać się na podłogę.

Gen. Gutierrez Mellado, wicepremier ustępującego rządu Suareza, domaga się od zamachowców, by podporządkowali się jego generalskiej randze. Gwardziści przewracają go na podłogę, tarmoszą. Adolfo Suarez rzuca się swemu wicepremierowi na pomoc, ale zostaje brutalnie odepchnięty.

Napastnicy wyprowadzają gen. Mellado do bocznego skrzydła gmachu Kortezów. Z sali głównej wyprowadzają też szefa rządzącej partii UCD Agustina Sahaguna, przywódcę socjalistów Felipe Gonzalesa, jego przyjaciela Antonio Guerrę i szefa partii komunistycznej Santiago Carilla. W bocznym salonie usadzają na środku Sahaguna, pozostałych rozstawiają po kątach. Strażnicy patrzą na każdy ich ruch.

Gwardziści aresztują też obsługę parlamentarnego baru. 30 deputowanych i dziennikarzy leży na podłodze pospołu z kelnerami pod lufą pistoletu sierżanta Guardia Civil. Po paru minutach któryś z leżących prosi o herbatę. Sierżant zezwala kelnerowi podać ją, ale pić wolno tylko na leżąco. Teraz każdy chce pić. Sierżant zezwala na serwowanie trunków, byle nikt z pijących nie wstawał – rozkazano mu trzymać jeńców na dywanie, ale o zamknięciu baru nie było przecież mowy. Kelnerzy uwijają się na czworakach z pełnymi kieliszkami. Wpadają gwardziści. Ci siadają przy barze i – zdenerwowani – też zdrowo popijają. Wreszcie zagląda tu na jednego głębszego jakiś porucznik. Szepce z sierżantem, coś mu klaruje. Sierżant blednie i woła: „Mój Boże, a tośmy się władowali!".

Deputowani w sali głównej, którym w końcu pozwolono usiąść, słyszą przez głośniki komunikat zamachowców: „Za kwadrans, może za pół godziny, a może troszkę później zostanie odczytane.... no, oświadczenie kompetentnej władzy... Hm, oczywiście wojskowej".

A więc to klasyczne *golpe*, wojskowy zamach stanu.

Czas płynie, oświadczenia jednak nie ma. Przy barze tłoczy się coraz więcej zamachowców. Popijają ostro. Telewizja nie nadaje programu, w radiu leci tylko muzyka poważna.

Zajazd na Kortezy to nie wyskok pojedynczego pułkownika Guardia Civil. 3 szwadrony wojsk pancernych słynnej dywizji „Brunete" pod dowództwem płk. Joaquina Valencii zajmują gmach telewizji. Dowódca okręgu wojskowego Walencji, znany z prawicowych poglądów gen. Jaime Milans del Bosch, ogłasza stan wyjątkowy. W Walencji, trzecim mieście Hiszpanii, gen. Milans del Bosch wyprowadza na ulice 1800 żołnierzy i 40 czołgów, ustanawia godzinę policyjną. Dowódcy innych okręgów wojskowych czekają na rozwój sytuacji.

Cały kraj czeka, co zrobi król.

43-letni Juan Carlos nie traci głowy. Sekretarz generalny Domu Królewskiego oraz dowódca madryckiego okręgu wojskowego gen. Guillermo Quintana Lacaci na 4 ręce wydzwaniają do dowódców okręgów. W bezpośredniej rozmowie z monarchą wojskowi deklarują lojalność. Wyjątkiem jest gen. Milans del Bosch.

2 nadzwyczajni królewscy telefoniści odnajdują na poligonie dowódcę dywizji „Brunete", który szybko przywraca w niej porządek. Żołnierze płk. Valencii opuszczają gmach telewizji.

Ale sytuacja ciągle jest niejasna. Juan Carlos nie ma pojęcia, jak bardzo rozgałęziony jest spisek. O 21.00 król wydaje polecenie, by sekretarze wszystkich ministerstw ustępującego rządu udali się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i utworzyli tam gabinet kryzysowy. Hiszpania ma rząd.

Oddziały wierne legalnej władzy otaczają opanowane przez puczystów Kortezy. Sztab sił wiernych królowi ulokował się naprzeciw parlamentu, w luksusowym hotelu Palace. Królewscy generałowie wpadają czasem przez ulicę do Kortezów i namawiają płk. Tejero do kapitulacji, ale on jest nieugięty.

Po długiej nieobecności wreszcie pojawia się u króla gen. Alfonso Armada, mąż zaufania Juana Carlosa w armii. Nakłania monarchę, by poparł zamach, i oferuje się na szefa wojskowego rządu. Juan Carlos na zdradę zaufanego wojskowego reaguje wściekłością, ale opanowuje się i działa rozważnie. Kolejne telefoniczne negocjacje upewniają go, że generalicja raczej trzyma stronę legalnych władz lub jest chwiejna. O 1.15 w nocy król w galowym mundurze występuje w telewizji. W krótkich, żołnierskich słowach wzywa, jako szef armii, do poszanowania konstytucji i powrotu do koszar. Wystąpienie monarchy robi wielkie wrażenie. 2,5 godziny później

gen. Milans del Bosch anuluje ogłoszenie stanu wyjątkowego w Walencji.

O 3.00 nad ranem zamachowcy wypuszczają z gmachu Kortezów grupkę dziennikarzy. Ci potwierdzają, że większość puczystów zdążyła się już zdrowo zaprawić w parlamentarnym barze. Nikt nie ma wątpliwości, że jest już po zamachu *golpe*, nikt z wyjątkiem płk. Tejero. Szef zamachowców do bladego świtu domaga się osobistej rozmowy z królem. W końcu stawia warunki kapitulacji: żadnych fotoreporterów, szeregowcy Guardia Civil nie poniosą kary, a oficerów aresztują ich przełożeni. O 11.00 potężnie skacowani gwardziści wychodzą z parlamentu. Płk. Tejero aresztuje osobiście jego przełożony gen. Jose Aramburu Topete.

Radość hiszpańskiej klasy politycznej podszyta jest zażenowaniem. Nie ma wątpliwości, że gdyby Hiszpania była republiką, a nie monarchią, gdyby Juan Carlos nie miał tyle zimnej krwi, zdecydowania, autorytetu i politycznej zręczności, wojskowi wzięliby władzę. Demokrację uratował król.

Zamach stanu Antonia Tejera Moliny

24 lutego 1920 ▪ wtorek

Wódz wyłania się z piany

Monachium ogarnięte jest polityczną gorączką. Dopiero niedawno, przed niespełna 2 miesiącami, zniesiony został w Bawarii obowiązujący od 1914 roku stan wojenny. Słupy ogłoszeniowe i mury oblepione są plakatami. Wśród tej pstrokacizny wyróżniają się jaskrawymi kolorami i grafiką plakaty zawiadamiające o dzisiejszym spotkaniu członków i sympatyków Deutsche Arbeiterpartei, Niemieckiej Partii Robotników.

Mityng ma się odbyć o 19.00 w Festsaal, sali bankietowej w Hofbrauhaus, popularnej piwiarni w centrum Monachium. Program partii ma przedstawić jeden z członków komitetu wykonawczego liczącej niewiele ponad 200 osób Deutsche Arbeiterpartei – Adolf Hitler.

Ten 31-letni niespełniony artysta malarz ma za sobą ładną kartę wojenną. Walczył na froncie zachodnim – sam wziął do niewoli 4 żołnierzy francuskich, został dwukrotnie odznaczony Krzyżem Żelaznym.

Po wojnie odważny gefrajter z dnia na dzień zamienił się w społecznego wyrzutka – bez pracy, bez dachu nad głową. Od głodu i zupełnego upadku uratowała go armia. Pod koniec listopada 1918 roku został wcielony do batalionu rezerwy w Monachium. Gefrajter Hitler pełnił służbę wartowniczą.

Po wybuchu rewolucji w Bawarii, 2 dni po utworzeniu Republiki Rad, wybrany został na Vertrauensmanna, męża zaufania swojego batalionu. Na rękawie, jak wszyscy w koszarach, nosił czerwoną opaskę i pilnie uczęszczał na zajęcia polityczne, na których zrewoltowani żołnierze dyskutowali o zaletach rad ludowych i parlamentaryzmu. W zimie i na wiosnę 1919 roku, w czasie rewolucyjnego chaosu i przemocy w Monachium, Hitler nie wychylał się, przeciwnie, skrycie sympatyzował z prawicą.

Gdy armia Rzeszy zdławiła resztki bawarskiej rewolty, widmo życiowego krachu znów zajrzało w oczy gefrajtra. Uratował go kpt. Karl Mayr, oficer nowo utworzonej Reichswehry, spadkobierczyni armii cesarskiej.

Mayr zatrudnił Hitlera w sekcji wychowawczej. Latem 1919 roku Hitler poprowadził zajęcia dla niemieckich żołnierzy wracających z niewoli. Zabłysnął jako porywający słuchaczy orator. Nie krył

swego zajadłego antysemityzmu, ale w Reichswehrze nikt z tego powodu nie robił mu najmniejszych wyrzutów.

We wrześniu zeszłego roku kpt. Mayr – który od czasu zatrudnienia Hitlera codziennie się z nim spotyka, instruuje go i rozlicza z zadań politycznych i wywiadowczych – polecił mu udać się do piwiarni Sterneckerbrau, w której miało odbyć się zebranie malutkiej Deutsche Arbeiterpartei. Założyli ją w styczniu 1919 roku 2 monachijczycy: ślusarz kolejowy Anton Drexler i dziennikarz sportowy Karl Harrer.

DAP propagowała socjalizm narodowy, chaotyczną ideologię dystansującą się zarówno od kapitalizmu, jak i marksizmu, usiłującą skleić hasła nacjonalistyczne z socjalistycznymi.

Hitler miał rozejrzeć się w sytuacji. W piwiarni zjawiło się zaledwie 40 zwolenników DAP. Zebranie było nudne, dopiero pod koniec wybuchł żywszy spór. Hitler nie wytrzymał i wdał się w dyskusję. W nagrodę dostał od Drexlera polityczną broszurę jego autorstwa.

Po przeczytaniu raportu Hitlera kpt. Mayr polecił swemu podwładnemu wstąpić do DAP i infiltrować ją. Hitler, zachwycony broszurą Drexlera, zadanie wypełnił z nawiązką. Błyskawicznie awansował do 7-osobowego zarządu, w którym odpowiadał za propagandę i werbunek. W ciągu paru miesięcy stał się czołowym mówcą partii, potrafiącym utrzymać w monachijskich piwiarniach uwagę ponad 300 słuchaczy. W końcu wdał się w zasadniczy spór z Harrerem o przyszłość DAP. Próbą sił stał się pomysł Hitlera zorganizowania dzisiejszego mityngu – pierwszego masowego mityngu w krótkiej historii DAP. Harrer na masówkę nie chciał się zgodzić i 5 stycznia odszedł z partii.

Hitler od rana martwi się o frekwencję. Górna sala w Hofbrauhaus liczy 2 tys. miejsc. Jeśli przyjdzie 200, 300 słuchaczy

– a tylu do tej pory zjawiało się na piwnych spotkaniach DAP – pomysłodawca masowego mityngu zostanie skompromitowany. Sala jednak powoli wypełnia się. Kelnerki roznoszą na wąskich tacach wielkie litrowe kufle piwa.

Gdy Hitler otwiera mityng, na sali są wymarzone 2 tys. słuchaczy. Nie przeszkadza mu fakt, że co najmniej 400 z nich to socjaliści i komuniści, którzy przyszli, by zakłócić i rozbić mityng swych politycznych przeciwników. Awantura, nawet bijatyka z socjalistami jest lepsza od sennego picia piwa grupki starych bywalców w wielkiej, pustej sali.

Pierwszy przemawia dr Johannes Dingfelder. Monotonnym głosem ubolewa nad upadkiem moralności i religii, nad ekspansją egoizmu i chciwości. Nikt go nie słucha. Goście piją piwo, palą, pogadują. Ot, festyn prawicy.

Wszystko zmienia się, gdy głos zabiera Hitler. Niski, chudy, z dziwacznym kosmykiem włosów spadającym na oczy i szczotkowatym wąsikiem sprawia wręcz odstręczające wrażenie. Jego agresywny ton i żywa gestykulacja powodują jednak, że gwar na sali cichnie. Hitler obrzuca wyzwiskami czołowe postacie sceny politycznej. Najwięcej żółci wylewa na Matthiasa Erzbergera, ministra finansów Rzeszy, który w 1918 roku podpisał zawieszenie broni z aliantami i poparł przyjęcie przez Niemcy traktatu wersalskiego. To się podoba bawarskim piwoszom, na sali zrywają się okrzyki aprobaty i oklaski. Teraz mówca napada na monachijskiego finansistę żydowskiego pochodzenia Isidora Bacha. Na sali wybucha entuzjazm. Z pasją wykrzykuje kolejne oskarżenia i obelgi pod adresem Żydów. Sala odpowiada entuzjastycznym rykiem.

Teraz czas na spekulantów. Wyzwiska i pogróżki Hitlera słuchacze kwitują okrzykami: „Wychłostać ich! Powiesić ich!”.

Gdy atmosfera jest dostatecznie rozgrzana, Hitler oznajmia, że tego wieczoru Deutsche Arbeiterpartei przekształca się w Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei, NSDAP, Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników, i przystępuje do odczytywania jej programu. Pierwsze 3 punkty to żądanie powstania wielkich Niemiec, równego traktowania Niemców w ich stosunkach handlowych z innymi narodami i kolonii dla wyżywienia narodu. Potem mówca domaga się zarezerwowania obywatelstwa wyłącznie dla tych, w których żyłach płynie niemiecka krew, ale nie fatyguje się, by uściślić, co przez tę krew rozumie. Kolejny punkt – państwo ma obowiązek zapewnienia obywatelom środków do życia. Bardzo się to słuchaczom podoba. Potem Hitler recytuje kolejne postulaty: obywatele mają obowiązek pracować, a ci, którzy nie pracują, muszą być pozbawieni dochodów, dochody z wojny mają być skonfiskowane, przedsiębiorstwa wielkich trustów – znacjonalizowane, robotnicy mają mieć udział w zyskach przedsiębiorstw, gminy mają przejąć nieruchomości wykorzystywane do handlu hurtowego.

Słuchacze nie mają pojęcia, co oznaczają żądania „zniesienia niewoli procentu", zastąpienia prawa rzymskiego – niemieckim, stworzenia „zdrowej klasy średniej", ale i tak biją brawo. Biją brawo, gdy Hitler odczytuje punkt, w którym domaga się powszechnego obowiązku uprawiania gimnastyki i sportu, biją i wówczas, gdy proponuje stosowanie bezwzględnych środków wobec tych, których działalność jest sprzeczna z interesem społecznym, i gdy domaga się stworzenia armii narodowej.

Zmiana nazwy partii i lwia część programu są autorstwa Antona Drexlera. Postulaty programowe Drexler zapożyczył od różnych autorów, Hitler zaś spisał je tylko, nadając im agresywną stylistykę.

To wszystko nie ma jednak znaczenia. Liczy się fakt, że 25 punktów programu nowo powstałej NSDAP odczytuje, pośród siorbania piwa i entuzjastycznych okrzyków monachijskich piwoszy, Adolf Hitler. Od tej chwili to w nim partyjne doły widzą przywódcę NSDAP.

Pod koniec jego przemówienia socjalistyczni oponenci wszczynają wrzawę. Krzyki zagłuszają mówcę, ale Hitler na chwilę odzyskuje uwagę sali, gdy protestuje przeciwko rzekomej decyzji władz dostarczenia gminie żydowskiej 40 tys. cetnarów mąki. Oburzeni słuchacze włażą na krzesła, na stoły, wrzeszczą ile sił.

W dyskusji po wystąpieniu Hitlera najpierw zabierają głos 2 zwolennicy NSDAP, potem 2 oponenci. Gdy drugi z nich, socjalista, wykrzykuje, że dyktatura prawicy spotka się z dyktaturą lewicy, w sali wybucha dziki tumult. Nikt nie słucha Hitlera zamykającego zebranie. Sympatycy NSDAP szarpią się z niezależnymi socjalistami i komunistami, prócz wyzwisk w twarze oponentów lecą strugi piwa i piany. Awantura wylewa się z piwiarni na ulicę. Przed wejściem 100 komunistów wiwatuje na cześć Międzynarodówki i Republiki Rad, lży nacjonalistycznych bohaterów wojennych Hindenburga i Ludendorffa.

Zwolennicy NSDAP przezornie zostają wewnątrz i piją do późnej nocy.

Adolf Hitler i Joseph Goebbels podczas wizyty w Sterneckerbraü Tavern

25 lutego 1831 ▪ piątek

Lew przebudzony

Rada wojenna kończy się późną nocą. Mróz, skrzypiący śnieg, jak okiem sięgnąć – łuny żołnierskich ognisk. Na równinie pod warszawską Pragą biwakują naprzeciw siebie armie polska i rosyjska. Front ciągnie się bez mała 6-kilometrowym półkolem od lasu tarchomińskiego i Białołęki do bagien Gocławia. O świcie zacznie się walna bitwa powstania listopadowego. Siły polskie liczą 23 tys. piechoty, 9,5 tys. jazdy i 120 armat. Rosjanie mają prawie dwukrotną przewagę liczebną: 60 tys. żołnierzy i 200 armat.

Gen. Józef Chłopicki wychodzi z zajętego przez sztab domku, przedziera się przez chaszcze w stronę ognisk wroga. Towarzyszy mu tylko paru adiutantów. Generał dociera do ostatniej linii polskich czat, staje w odsłoniętym miejscu i pykając z fajeczki, długo wpatruje się w ognie obozowisk nieprzyjaciela. To już czwarta z rzędu noc, gdy Chłopicki zakrada się jak najdalej w stronę linii rosyjskich, by z ułożenia i intensywności ognisk dociec, czy jego przeciwnik feldmarsz. Iwan Dybicz Zabałkański nie zmienił skrycie ustawienia swych wojsk.

Jest już dobrze po północy, gdy gen. Chłopicki wraca na tyły, na biwak dywizji gen. Szembeka. Owija się płaszczem i nierozpoznany przez żołnierzy, kładzie się obok jednego z ognisk. Tu, w środku nocy, między śpiącymi na śniegu piechurami, 60-letni generał wreszcie czuje się na swoim miejscu.

Bo Chłopicki jest zawodowym żołnierzem. Bił się przez całe życie, pod tyloma sztandarami, że złośliwi towarzysze broni po cichu nazywają go kondotierem. Miał 14 lat, gdy uciekł ze szkoły bazylianów i zaciągnął się jako ochotnik do polskiego wojska. Po 3 latach porzucił służbę i zaciągnął się do armii rosyjskiej, potem jednak wrócił do armii polskiej i w wojnie roku 1792 dzielnie bił się z Rosjanami pod Zieleńcami. Po insurekcji kościuszkowskiej wyjechał do Włoch, gdzie zaraz znalazł się w szeregach pierwszej legii polsko-włoskiej. Na Półwyspie Apenińskim walczył przez 9 lat: z Austriakami, Anglikami, wojskami rosyjskimi, neapolitańskimi, milicjami kalabryjskimi, partyzantami. Z Włoch wysłał Napoleon Chłopickiego do Hiszpanii – tam generał na czele legii nadwiślańskiej bił się krwawo przez 4 lata. Podczas wyprawy na Moskwę został ranny i już pod sztandary Napoleona nie wrócił.

Lata nieustannych walk zrobiły swoje. Chłopicki stał się świetnym dowódcą liniowym, ale zarazem człowiekiem twardym,

wręcz okrutnym, wierzącym w swą nieomylność, niebywale drażliwym.

Pogodził się ze zwycięstwem cara Aleksandra i przyjął dowództwo dywizji wojsk polskich tworzonych przez wielkiego księcia Konstantego. Z wielkim księciem był w dobrych stosunkach, ale w 1817 roku podczas rewii wojskowej na pl. Saskim gwałtownie się z nim pokłócił. Car i wielki książę Konstanty chcieli zajście załagodzić, lecz urażony Chłopicki zażądał dymisji.

Przez 12 lat był osobą prywatną.

Wybuch powstania listopadowego zaskoczył go na widowni Teatru Rozmaitości. Jeszcze w teatrze odmówił oficerom przyłączenia się do ich akcji. Dla polityków konserwatywnych, chcących spacyfikować powstanie, stał się mężem opatrznościowym. W ciągu tygodnia awansowali go na naczelnika sił zbrojnych, a na koniec sam ogłosił się dyktatorem. Przez następnych 5 tygodni jako polityk zrobił wszystko, by powstanie zdławić i jakoś ułożyć się z carem. Dopuścił do wymknięcia się wielkiego księcia Konstantego i jego korpusu gwardii, opóźniał organizację powstańczego wojska, obsesyjnie sabotował wyśmienite plany działań zaczepnych przeciw Rosjanom przygotowane przez wybitnych oficerów jego sztabu: Chrzanowskiego i Prądzyńskiego.

Kompromitacja Chłopickiego jako polityka nastąpiła przed 5 tygodniami, gdy okazało się, że car Mikołaj żąda bezwarunkowej kapitulacji, a na Warszawę zmierza potężna armia felmarsz. Dybicza. Po zmarnowaniu czasu i powstańczego zapału Polaków Chłopicki złożył władzę dyktatorską. I natychmiast zapragnął władzy nad wojskiem.

Wodzem naczelnym jednak mianowano wcześniej księcia Radziwiłła. Ale Chłopicki wziął dowództwo kuchennymi drzwiami.

Poproszony przez księcia Radziwiłła, by mu tylko doradzał w sprawach wojskowych, błyskawicznie przejął faktyczne dowodzenie. Przed 2 dniami książę Radziwiłł wydał osobliwy rozkaz – gen. Chłopicki zostaje dowódcą wojsk pierwszej linii. Prości żołnierze na pierwszej linii na wieść o tym wiwatowali tak ochoczo, że trzeba było wydać rozkaz kolejny, zabraniający wiwatowania w obliczu wroga. Ale generałowie, zwłaszcza dowódca dywizji kawalerii gen. Łubieński i dowódca dywizji piechoty gen. Krukowiecki, nie akceptują Chłopickiego w roli dowódcy, za przełożonego uważają księcia Radziwiłła.

Na długo przed świtem Chłopicki budzi się. Przemarznięci na kość żołnierze wstają i ustawiają się w szyku bojowym.

Rosjanie jednak nie atakują. O świcie żołnierze rozpalają ogniska, gotują strawę. Chłopicki wraca do domku swego sztabu. Właśnie podjeżdża konno gen. Prądzyński z meldunkiem, że na pierwszej linii spokój, gdy 12-funtowa kula rosyjskiej armaty uderza w ścianę domku, tuż obok nieporuszonego tą niespodzianką Chłopickiego. Huk 200 dział Dybicza ogłasza początek bitwy.

Zręczny plan ułożony przez Chłopickiego wymaga utrzymania możliwie skąpymi siłami Olszynki Grochowskiej, lasku będącego kluczową pozycją polskich linii. Na bronioną początkowo przez 2 pułki dywizji gen. Żymirskiego Olszynkę ruszają rosyjskie kolumny. Wkrótce lasek i jego przedpole spowija dym wystrzałów.

Chłopicki ze sztabem idzie pieszo w stronę pierwszej linii. Kilkunastu jego oficerów chowa się przez rosyjskimi granatami do rowu. Chłopicki stoi wyprostowany, z cygarem w zębach. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów uśmiecha się. Świst odłamków, zapach prochu wprawiają go w znakomity nastrój. Rozkazy wydaje klarowne.

Godzina po godzinie Polacy w Olszynce odpierają szturmy coraz silniejszych sił wroga. Żołnierze 4. Pułku stoją w obronie jak skała. W końcu jednak trzykrotna przewaga Rosjan robi swoje. Chłopicki zauważa, że piechurzy zaczynają ustępować z lasku. Podjeżdża do oddziałów odwodowych i osobiście prowadzi je do kontrataku. Grają werble, adiutanci intonują „Jeszcze Polska nie zginęła". Generał jedzie na czele kolumny z cygarem w zębach. Wyprostowany, z błyszczącym wzrokiem, wygląda, jakby ubyło mu 12 lat. Kilka pocisków przeszywa jego surdut, jedna kula rani w nogę. Adiutanci podają mu drugiego wierzchowca. 6,5 tys. żołnierzy Chłopickiego wypiera z lasku 16,5 tys. rosyjskich jegrów.

Dybicz rzuca na Olszynkę 22,5 tys. bagnetów.

Chłopicki odzyskuje wigor napoleońskiego weterana. Szóstym zmysłem wyczuwa, że przechodzące przez bagno, ścieśnione kolumny rosyjskie można zmiażdżyć uderzeniem rezerw i całkiem pobić Dybicza. Jest szansa na wielkie zwycięstwo, ale teraz mści się niejasny status Chłopickiego jako dowódcy „pierwszej linii". Generał śle adiutantów z rozkazem ataku do dywizji gen. Łubieńskiego i gen. Krukowieckiego. Łubieński odpowiada, że Chłopicki jest dla niego niczym, i zostaje na miejscu. Krukowiecki stwierdza, że rozkazów Chłopickiego nie przyjmuje. Obaj za wodza uważają księcia Radziwiłła.

Rosyjskie bataliony wypierają obrońców Olszynki, obchodzą lasek.

Gen. Chłopicki podjeżdża bliżej, bezskutecznie wypatruje wezwanych odwodów. Rosyjski granat wybucha pod jego koniem. Generał ma nogi całkiem poszarpane odłamkami. Kosynierzy odnoszą go do powozu. Wielki sen o wielkim zwycięstwie skończył się.

26 lutego 1936 ▪ środa

Incydent na śniegu

Na ulicach leży śnieg. W Tokio to wielka rzadkość. Mieszkańcy stolicy Japonii wierzą, że w mroźne i śnieżne dni musi zdarzyć się coś niezwykłego. Tej nocy 3. Pułk Piechoty miał załadować się do wagonów i ruszyć w drogę na kontynent, do Mandżurii. Kontrolę nad pułkiem przejmują nad ranem młodzi oficerowie. Żołnierze pobierają na ich rozkaz ostrą amunicję i w ciemnościach ruszają w stronę centrum Tokio. Oprócz 3. Pułku Piechoty zmierzają tam oddziały 1. Pułku Piechoty i elitarnej 1. Dywizji Straży Przybocznej. W sumie pod dowództwem 21 zbuntowanych młodych oficerów maszeruje ok. 1400 żołnierzy.

O 5.00 300 szeregowców pod dowództwem niespełna 30-letniego por. Kurihary Yasuhide otacza oficjalną rezydencję premiera Okady Keisuke. Strzegą jej uzbrojeni policjanci. Po krótkiej strzelaninie część rebeliantów wdziera się do rezydencji. Premier Okada, zaalarmowany strzałami, przytomnie ucieka z domu do ogrodowej szopy. Żołnierze nie znają twarzy Okady i jego charakterystycznego, malutkiego wąsika. Gdy natrafiają w domu na szwagra premiera płk. Matsuo Denzo biorą go za Okadę i strzelają doń bez namysłu. Płk Matsuo ginie na miejscu. Napastnicy – przekonani, że zabili premiera – wycofują się zadowoleni z rezydencji. Premier Okada pozostaje ukryty w szopie; patrole rebeliantów ciągle krążą przed jego rezydencją.

Inna grupa buntowników, licząca ponad 120 żołnierzy z 3. Pułku Straży Przybocznej pod dowództwem por. Nakahashiego Motoakiego, w dzielnicy Asakusa wdziera się w tym czasie do rezydencji 82-letniego, siwobrodego ministra finansów

Takahashiego Korekiyo. Gdy napastnicy wbiegają do sypialni, sędziwy minister jeszcze śpi. Por. Nakahashi strzela do śpiącego, a chwilę później por. Nakajima Kanji z okrzykiem „*tenchu!*" (kara niebios!) zadaje starcowi cios samurajskim mieczem.

O 5.05 grupa 150 żołnierzy z 3. Pułku Piechoty prowadzona przez por. Sakai Tadashiego zjawia się przed domem hrabiego Saito Makoto, Strażnika Tajnej Pieczęci. Ochrona rezydencji nie stawia żadnego oporu. Część żołnierzy pozostaje przed domem na straży, część wpada do wnętrza. Dostępu do sypialni sędziwego osobistego doradcy cesarza broni jego żona. Napastnicy nie zważają na nią. Kilku z nich wpada do sypialni i z bliska oddaje do hrabiego śmiertelne strzały.

Punktualnie o 5.00 inna grupa, 150 buntowników z 3. Pułku, otacza rezydencję marszałka dworu cesarskiego barona Suzukiego Kantaro. Kilku oficerów strzela do barona i rani go. Gdy dowódca napastników kpt. Ando Teruzo dobywa samurajskiego miecza, by dobić rannego, żona barona prosi go, by pozwolił jej honorowo zadać mężowi śmiertelny cios łaski. Kpt. Ando nieraz bywał towarzysko w domu Suzukiego, jego żonę zna bardzo dobrze. Zgadza się, by to ona pozbawiła męża życia, i rozkazuje żołnierzom opuścić rezydencję. Tymczasem żona opatruje mężowi rany i ukrywa go w głębi domu.

W mieście Yugawara kpt. Kono Hisashi prowadzi ośnieżonymi ulicami 6 cywilnych spiskowców w stronę hotelu Itoya. Zatrzymał się tu były Strażnik Tajnej Pieczęci Makino Nobuaki. Policjanci pilnujący hotelu nie chcą ich wpuścić. Wybucha krótka strzelanina, w której ranny zostaje kpt. Kono. Napastnicy łamią opór policjantów i wdzierają się do hotelu. Tymczasem zaalarmowany strzałami Makino opuszcza swój pokój i ukrywa się w jakimś hotelowym zakamarku. Rebelianci nie potrafią go znaleźć. W tej

sytuacji podpalają cały hotel – co prawda, spalą się postronni goście, ale spłonie także i Makino. Cesarski dygnitarz wymyka się jednak z pułapki i ucieka oprawcom.

Dopiero o 6.00 zamachowcy docierają do prywatnego domu generalnego inspektora oświaty wojskowej gen. Watanabe Jotaro. Wysocy rangą wojskowi i politycy w Tokio już wiedzą o licznych zabójstwach popełnianych przez zbuntowanych żołnierzy, ale nikomu nie przyszło do głowy zaalarmować gen. Watanabego. Por. Yasuda Masaru bez przeszkód wdziera się do domu generała. Zabija Watanabego strzałem z pistoletu.

Jeszcze inna grupa buntowników w mundurach napada na redakcję wielkiego dziennika „Asahi Shimbun".

Bunt jest dziełem ruchu młodych oficerów nazywanych oficerami-reformistami. W większości pochodzą ze wsi, nie mają szans na ukończenie elitarnej Wyższej Szkoły Wojskowej i awanse. Sfrustrowanych młodych wojskowych ożywia skrajnie nacjonalistyczna ideologia tzw. japonizmu. Marzą, by wzorem samurajów, uczestniczących w dziewiętnastowiecznym przewrocie Meiji, przywrócić cesarzowi pełnię władzy, odbudować *kokutai*, narodowy charakter Japonii, i wypełnić dziejową misję Japonii, czyli dokonać wojennej ekspansji – na początek w Azji. Marzą także o rozprawie ze zdrajcami, do których zaliczają zwolenników systemu kapitalistycznego: wielką finansjerę i posiadaczy ziemskich, cywilnych polityków, niektórych wyższych oficerów. Za zdrajców uważają, rzecz jasna, wszystkich zaatakowanych tego ranka dygnitarzy. W ciągu ostatnich lat młodzi oficerowie przeprowadzili szereg zamachów na osobistości, które uznali za zdrajców. Zamachy te japońscy nacjonaliści enigmatycznie nazywali „incydentami".

Młodzi oficerowie nie są w armii osamotnieni. Patronują im wysocy oficerowie armii lądowej, zaliczający się to Kodoha,

Ugrupowania Cesarskiej Drogi. Rozpoczęty tego ranka zamach stanu i młodzi oficerowie, i sprzyjający im generałowie, traktują jako ostatni „incydent”: finałowy akord walki o wpływ na cesarza i o nacjonalistyczną przebudowę kraju.

Po dokonaniu o świcie serii zabójstw wysokich rangą wojskowych i polityków zamachowcy przegrupowują swoje siły. O 10.00 zajmują rozległy teren na południowy wschód od pałacu cesarskiego, na którym znajdują się gmachy kluczowych instytucji cesarstwa. Zbuntowani żołnierze pod wodzą młodych oficerów zajmują budynek parlamentu, gmach Ministerstwa Armii, sztabu generalnego, otaczają kordonami ambasady i rezydencje najważniejszych japońskich osobistości. Rebelianci nie napotykają żadnego oporu. Policja, która o 5.00 broniła rezydencji premiera Okady, teraz zachowuje się całkiem biernie. Dowódca tokijskiego garnizonu gen. Kashii Kohei przekazuje buntownikom gratulacje z powodu sprawnie przeprowadzonej akcji. Nic w tym jednak dziwnego – gen. Kashii należy do Kodohy. Na bunt swoich żołnierzy nie reagują dowódcy 1. i 3. Pułku Piechoty. Dowódca 1. Dywizji Piechoty gen. Hori poleca im zignorować udział podwładnych w rebelii i morderstwach. Co więcej, pułkowe kuchnie na rozkaz zwierzchników wydają buntownikom regulaminowe posiłki. Armia milcząco sprzyja rebelii.

Ale nie wszyscy czekają biernie na rozwój wypadków. Akcję przeciw zamachowcom podejmuje dowództwo floty wojennej. Wieloletni konflikt między japońską armią i cesarską marynarką wojenną jest tajemnicą poliszynela. 2 główne rodzaje sił zbrojnych mają odmienne poglądy na kierunki przyszłej ekspansji Japonii, rywalizują o prestiż, o fundusze na zbrojenia, o wpływy na dworze. Na dobitkę zamordowany rankiem hrabia Saito Makoto był admirałem. Admirałami są także dwaj dygnitarze, którym cudem

udało się unieść głowy z porannych zamachów: premier Okada i marszałek dworu baron Suzuki. Już wczesnym rankiem dowództwo marynarki wojennej sprowadza z Jokosuki oddział piechoty morskiej, który obsadza gmach ministerstwa marynarki. Dowództwo floty wydaje rozkaz przybycia na redę Tokio dla części floty wojennej.

Nikt nie ma jednak wątpliwości, że o losach zamachu zadecyduje sam cesarz. Jaką decyzję podejmie, nie jest wcale jasne. Z jednej strony rebelianci dopuścili się zamachu stanu, kilku zabójstw wysokich dostojników. Z drugiej jednak – zrobili to w imię wzmocnienia władzy cesarskiej i nieustannie deklarują wierność cesarzowi. Młodzi oficerowie od początku zdają sobie sprawę, że klucz do powodzenia ich akcji jest w rękach władcy. Zaplanowali, że przedstawią mu swoje racje i plany osobiście, gdyż nie ufają otoczeniu cesarza, uważają, że dworzanie i doradcy oszukują go i izolują. Wkroczenie siłą na teren pałacu cesarskiego jest wykluczone. Silne oddziały straży przybocznej stawiłyby opór i strzelanina oznaczałaby podniesienie ręki na cesarski majestat. Ale dziś służbę w pałacu pełni jeden ze spiskujących młodych oficerów, porucznik straży przybocznej Nakahashi Motoaki. Ma on otworzyć bramę grupie rebeliantów i umożliwić im dotarcie aż do tronu. Por. Motoaki nie jest jednak w stanie przekonać podległych mu żołnierzy do wpuszczenia rebeliantów. Brama pozostaje zamknięta. Los zamachu jest od tej chwili przesądzony.

Młodzi oficerowie nie tracą jednak nadziei. Po południu ich delegacja udaje się do sympatyzującego z ruchem zamachowców ministra armii lądowej gen. Yoshiyukiego Kawashimy. Oficerowie wręczają mu 2 dokumenty. W manifeście *Idea powstania* wykładają zasady swojej ideologii. Przypominają, że są wiernymi żołnierzami cesarza, postulują odbudowę *kokutai*, żądają

przywrócenia cesarzowi pełni władzy. W *Liście żądań skierowanych do ministra armii* domagają się, by nie użyto wobec nich siły, zaś główni oponenci ich ruchu w armii zostali usunięci ze stanowisk lub aresztowani. Gen. Yoshiyuki gra na zwłokę: obiecuje życzliwie rozpatrzyć żądania rebeliantów. Młodzi oficerowie, nieświadomi, że czas pracuje na ich niekorzyść, zadowoleni wracają do swoich oddziałów.

W starej szopie w ogrodzie swej rezydencji nadal ukrywa się premier Okada. Nie ma zamiaru ujawnić się, zanim rebelia nie zostanie stłumiona. Japonia i świat przekonane są, że premier został zamordowany. Prawdę znają tylko Okada i jego służący, który ukradkiem donosi mu pożywienie.

Premier Japonii adm. Okada Keisuke

27 lutego 1957 ▪ środa

Robimy „Politykę”!

Bladym rankiem przed kioskami stoją kolejki. Warszawiacy czekają na dostawę prasy. Warto. Kilka miesięcy po Październiku w gazetach jest coraz ciekawiej. Dziś stojący przed kioskami „Ruchu”

chcą przede wszystkim przestudiować zaproponowany na wczorajszym posiedzeniu Sejmu przez desygnowanego na premiera Józefa Cyrankiewicza skład nowego rządu. Dla żądnych rozrywki i sensacji w dzisiejszych gazetach też się coś znajdzie. Czasy teraz takie, że nawet „Trybuna Ludu" częstuje czytelników redakcyjnymi doniesieniami. Dziś – o medycznej sensacji na podrzeszowskiej wsi. Właśnie zmarła 47-letnia Paulina Rybka, która w 1935 roku zasnęła, a po 22 latach snu obudziła się parę tygodni przed śmiercią; po przebudzeniu rozpoznała najbliższych. Śpiącą karmiono przez te lata bułką moczoną w mleku – informuje z powagą organ KC PZPR.

Kolejkowicze nie zwracają uwagi na wyłożony w każdym kiosku nowy tygodnik. Czarny, ponury tytuł „Polityka" wybity na czerwonym tle nie wygląda zachęcająco. Wielkie gazetowe kolumny wypełnione są przez długie, monotonnie złamane teksty. No i te tytuły: *Spór o granice swobód politycznych*, *Trzeba kontynuować*, *Postulaty wolnomyślicielstwa*, *Zły celownik, nieskuteczna taktyka*, *Rolnictwo* i *socjalizm*...

Nowy tygodnik został namaszczony przez najwyższe czynniki w partii. Już kilka tygodni po Październiku I sekretarz KC Władysław Gomułka zorientował się, że ma kłopot z prasą. Irytowali go tzw. wściekli – dziennikarze i publicyści z „Nowej Kultury" (pod wodzą Wiktora Woroszylskiego), „Po Prostu", także z „Życia Warszawy", „Sztandaru Młodych", domagający się, jak sami głosili, pogłębienia, dokończenia politycznych zmian Października. Gomułka, przez wielu członków partii i sporą część społeczeństwa postrzegany jako radykalny reformator systemu, nieledwie polityczny patron „wściekłych", w istocie rzeczy widział w nich rewizjonistycznego wroga, groźniejszego nawet niż stalinowscy dogmatycy. I sekretarz potrzebował tygodnika dla inteligenckiego aktywu PZPR – pisma posłusznego, na wiarę akceptującego jego

polityczne posunięcia, opowiadającego się zarówno przeciw „wściekłym", jak i przeciw dogmatykom. W listopadzie 1956 roku, zainspirowany przez sekretarza KC Jerzego Morawskiego i kierownika Biura Prasy KC Artura Starewicza, przystał na powołanie nowego pisma. Gomułka zgodził się też, by redaktorem naczelnym został Stefan Żółkiewski, marksistowski literaturoznawca, po wojnie redaktor naczelny tygodnika „Kuźnica", w latach 50. zaś trybun marksizmu w środowisku akademickim.

Żółkiewski jest ministrem szkolnictwa wyższego, ale uznaje, że obie te funkcje z powodzeniem może połączyć. Istotnie, na przełomie lat 1956/1957 zebrania redakcyjne odbywają się w jego gabinecie ministerialnym na Miodowej. Wraz z nominacją Żółkiewski dostaje z KC w posagu działaczy partyjnych jako pierwszych redaktorów. Na robocie redaktorskiej nie znają się, mają raczej pilnować linii ideologicznej. Do tworzącego się zespołu trafia grupa bardzo młodych działaczy partyjnych z KC: Stanisław Kuziński, Mieczysław F. Rakowski, Andrzej Werblan. Rakowski, który odszedł z Biura Prasy KC, w wieku 31 lat dostaje nominację na zastępcę Żółkiewskiego. Werblan pozostaje w aparacie partyjnym. Gomułka cieszy się, że szef Wydziału Propagandy i Agitacji KC będzie pisywał do nowego tygodnika.

Ambicją Żółkiewskiego jest przyciągnięcie młodych, utalentowanych dziennikarzy. Ale z tym są kłopoty. Środowisko dziennikarskie obawia się, że nowe pismo będzie nieformalnym organem partyjnej konserwy, czyli – jak wówczas mawiano – zamordystów. Za oczywistość uznaje się, iż jest to inicjatywa wymierzona w coraz bardziej radykalne politycznie i coraz bardziej popularne „Po Prostu". Zespół zebrany przez Żółkiewskiego jest przez „wściekłych" nazywany „pierwszą Kadarową brygadą"; János Kádár z nadania Kremla pomagał Sowietom w dławieniu węgierskiego

powstania, a teraz firmuje terror we własnym kraju. Michał Radgowski, młody pracownik naukowy, marzy, by być dziennikarzem, ale na pierwszą propozycję sekretarza redakcji Leona Cieślika odpowiada odmownie. Nie chce pracować w piśmie partyjnego betonu. Dopiero zaproszony po raz drugi, zgadza się. Podobne wątpliwości miał zaproszony do recenzowania filmów Zygmunt Kałużyński.

Partyjni protektorzy pisma i sam naczelny pragną, by firmowały je poważne nazwiska związanych z partią intelektualistów. Tak trafiają do zespołu Władysław Broniewski, Leon Kruczkowski, Adam Schaff. Do Oskara Langego z misją pozyskania go dla tygodnika udaje się Andrzej Werblan. Lange wyjmuje notes, coś podlicza i mówi, że to już 37. impreza, jaką ma firmować, ale nie uchyla się. „Na nazwisko możecie liczyć, na współpracę – nie" – stwierdza bez ogródek. W zespole tylko 3 osoby mają pojęcie o dziennikarstwie – to Józef Kuśmierek, Kazimierz Koźniewski i recenzent Zygmunt Kałużyński. Redagować tak naprawdę potrafi jedynie sekretarz Cieślik.

Na parę tygodni przed wydaniem pierwszego numeru partia wnosi w wianie lokal redakcyjny z prawdziwego zdarzenia – 3 pokoje na 11. piętrze Pałacu Kultury i Nauki. Do tego dorzuca 2 samochody – wysłużoną, gigantyczną jak karawan sowiecką limuzynę zim oraz warszawę. Pismo dostaje budżet. Nakład – 26 tys. egzemplarzy. Planowany deficyt – 50 mln zł rocznie. Redaktorzy żartują, że inaczej być nie może, skoro na tej wysokości – w Pałacu Kultury – spłukanie toalety kosztuje 10 zł (równowartość 20 egzemplarzy „Trybuny Ludu").

Putrament domaga się, by pismo nazwać „Październik", ale Michał Radgowski protestuje: „A jaki Październik, polski czy

radziecki?". „»Polski Październik« – to nie brzmi dobrze, więc będzie »Polityka«".

Organizowaniem redakcji i jej pracy zajmują się Rakowski z Cieślikiem. O teksty do pierwszego numeru zajadle wykłócają się zwłaszcza Żółkiewski, Putrament, Granas, Werblan. Żółkiewski zdejmuje felieton ośmieszający jednego z biskupów, który publicznie wypowiedział się przeciwko okrucieństwom systemu stalinowskiego; tekścik piętnuje biskupa jako reakcjonistę inspirowanego przez USA.

I wreszcie jest! Do redakcji schodzą się od rana twórcy nowego pisma. Przeglądają pierwszy numer. Na czołówce wita czytelników redakcyjny tekst *Nasza polityka* oraz solenna publicystyka polityczna Andrzeja Werblana. I uroczo dwuznaczny rysunek ściągniętego przez Żółkiewskiego rysownika Szymona Kobylińskiego. A dalej potężne artykuły – ideologia, polityka, polityka gospodarcza. Czasami włamany w tekst cytat – a to z Lenina, a to ze Steinbecka. Delikatne wrażenie pewnej przypadkowości tekstów pogłębia ilustracja do artykułu Żółkiewskiego. Wywody redaktora o teorii i praktyce budowy socjalizmu ilustrowane są rysunkiem Tadeusza Kulisiewicza przedstawiającym grupę dam prężących soczyste, obnażone biusty.

Ale twórcy „Polityki" są dziś zadowoleni. Pismo, mimo wszelkich kryzysów organizacyjnych, ukazało się i jest – w ich zgodnej ocenie – nie gorsze od konkurencyjnej „Nowej Kultury". Nikomu nie przychodzi do głowy żadna bibka, żadne toasty. To pewna ostentacja, ostatnie echo komunistycznej surowości obyczajów, ale i konieczność – KC zakwalifikowało „Politykę" do tzw. III grupy, co oznacza, że pensje są tu marne.

28 lutego 1943 ▪ niedziela

Czwartą zapałką

3 minuty przed północą norwescy komandosi w brytyjskich mundurach wpatrują się w baraki na podwórzu fabryki. W jednym z nich otwierają się drzwi i wychodzi 2 niemieckich żołnierzy z mauzerami na ramionach. Niemcy schodzą w dół wzgórza, w stronę wiszącego mostu. To zmiennicy wartowników z posterunku na moście. Ci, którzy skończyli służbę, wracają do baraków. Niemieccy żołnierze są spokojni, beztroscy nawet. Świetnie wiedzą, że do doliny obok miejscowości Vemork, w której znajdują się pilnowane przez nich zakłady Norsk Hydro, nie ma szansy wcisnąć się choćby mysz. Wszystkie kanały, doprowadzające do fabryki wodę, są gęsto zaminowane i strzeżone przez wzmocnione straże. Gniazda karabinów maszynowych blokują każdą dróżkę prowadzącą w rejon fabryki. Strażnicy są wszędzie. Tylko pionowa, niemal idealnie gładka ściana skalna zwieszająca się nad doliną nie jest obstawiona przez niemieckich żołnierzy, ale też nikt nie jest w stanie jej sforsować.

Norwescy komandosi dokonali jednak rzeczy niemożliwej. Przed paroma kwadransami, w całkowitych ciemnościach, bez sprzętu alpinistycznego, niepostrzeżenie zeszli tą ścianą w dolinę.

Jest cicho, pada mokry śnieg. Niemców nie widać, ale dowodzący komandosami ppor. Joachim Roenneberg daje im jeszcze pół godziny na odpoczynek po straszliwym wysiłku podczas forsowania skalnej ściany. Norwescy żołnierze leżą w śniegu i wsłuchują się w niosący się aż tutaj rytmiczny łoskot urządzeń fabryki.

Punktualnie o 0.30 komandosi ruszają w stronę magazynów przy torze kolejowym. Kryją się pod murem, gdy sierż. Arne Kjelstrup

podpełza pod bramę przegradzającą tor i wielkimi nożycami przecina zamykający ją gruby łańcuch. Grupa ubezpieczająca atakujących komandosów zajmuje pozycje za bramą. Teraz do przodu przesuwają się komandosi z grupy uderzeniowej objuczeni jak wielbłądy materiałami wybuchowymi. W świetle księżyca dostrzegają nagle obiekt ataku – gigantyczny, wielopiętrowy budynek elektrolizy. Szyby wszystkich okien są zamalowane na czarno. Komandosi przecinają łańcuchy kolejnej bramy i ostrożnie idą w stronę wyznaczonych wcześniej pozycji. Kjestrup – w lewo, by mieć na celowniku niemieckiego wartownika, strzegącego kanałów zasilających fabrykę w wodę, biegnących mniej więcej 300 m nad gmachem elektroliz. Haukelid i Poulsson przebiegają podwórze i zajmują stanowisko naprzeciw drzwi baraku Niemców. Gdyby któryś z nich usiłował interweniować, wyjdzie prosto pod lufę tomigana Poulssona. Ale to ostateczność. Plan akcji zakłada wysadzenie wielkiej fabryki bez zabijania choć jednego Niemca, by okupanci nie mieli pretekstu do egzekucji ludności cywilnej.

Grupa uderzeniowa dociera do budynku elektroliz. Drzwi do sutereny budynku są zamknięte. Na szkoleniu w Szkocji brytyjscy oficerowie SOE radzili, by do wnętrza budynku dostać się kanałem z kablami energetycznymi. Roenneberg znajduje w jednym z okien parteru niezamalowany kawałek szyby wielkości paznokcia. Zagląda do środka i twarz rozjaśnia mu uśmiech. W środku wielkiej sali jakiś cywil siedzi przy stole i notuje coś w zeszycie. Stół stoi pomiędzy 2 rzędami komór koncentracji ciężkiej wody, wysokości niespełna 1,5 m, gęsto oplecionych przewodami elektrycznymi wysokiego napięcia, tubami kondensacyjnymi, elektrodami, azbestowymi diafragmami. To cel wyprawy norweskich komandosów. To jedyne komory wytwarzające ciężką wodę w Europie. A w nich – największy zapas ciężkiej wody na świecie.

Na krótko przed wybuchem wojny najwybitniejsi fizycy jądrowi zorientowali się, jakie są konsekwencje odkrytej pod koniec 1938 roku reakcji rozszczepienia jądra uranu. Przewidywali możliwość budowy reaktora uranowego i broni atomowej o straszliwej sile niszczenia. Część świetnych naukowców niemieckich wyemigrowała na Zachód, ale ci, którzy pozostali, lojalnie pracują dla nazistów. Gdy krótko po zajęciu przez Niemców Norwegii Jonaer Brun, główny inżynier jedynej w Europie fabryki ciężkiej wody, zakładów Norsk Hydro, zawiadomił konspiracyjnie Londyn, że naziści przejęli fabrykę i za wszelką cenę usiłują powiększyć jej produkcję, dla aliantów wszystko stało się jasne. Niemcy budują reaktor uranowy, do którego jako spowalniacza neutronów chcą użyć ciężkiej wody (a nie grafitu, jak Amerykanie w projekcie „Manhattan") – związku ciężkiego izotopu wodoru z tlenem, występującego w mikroskopijnym stężeniu w zwykłej wodzie. Brytyjski premier Churchill nazywa ciężką wodę „złowieszczym terminem". Przywódcy aliantów obawiają się, że Niemcy są równie zaawansowani z budową bomby atomowej jak Amerykanie. Jedyna nadzieja w zniszczeniu zakładów Norsk Hydro i zapasów ciężkiej wody.

Brytyjczycy przeszkolili kilka ekip norweskich komandosów. 4 sabotażystów zrzucili na spadochronach na bezludny płaskowyż Hardanger już pod koniec października zeszłego roku. Miesiąc później 2 kolejne ekipy rozbiły się przy lądowaniu. Część komandosów zginęła, reszta wpadła w ręce Niemców. 4 komandosów z pierwszej grupy przezimowało w straszliwych warunkach, o głodzie i w zimnie, na płaskowyżu Hardanger. Przed miesiącem Brytyjczycy zrzucili – jako wsparcie – kolejnych 7 Norwegów. Tych 11 ludzi ma ocalić świat.

Roenneberg i Kasper Idland z malutką latarką badają ściany gmachu fabryki. Po wschodniej stronie znajduje pod śniegiem lekko

owalny otwór o średnicy niewiele ponad 0,5 m. Nie ma już czasu na wzywanie kolegów. „Jeśli znajdą otwór, dołączą do nas, jeśli nie, atakujemy we dwóch" – decyduje Roenneberg. Objuczony ładunkami wybuchowymi, wpycha się do malutkiej szczeliny nad kablami. Za nim, jak wąż, przeciska się Idland. Parę razy Roenneberg klinuje się w ciasnej szczelinie, ale w końcu obaj docierają do otworu kontrolnego. Z najwyższym trudem wypełzają z kanału. Są w pomieszczeniu przylegającym do sali komór koncentracyjnych ciężkiej wody. Pozostali komandosi najwyraźniej nie odnaleźli wejścia do kanału z kablami i Roenneberg decyduje się działać we dwóch.

Wkraczają do sali komór. Idland celuje w technika z colta 45, ale Norweg nie reaguje. Dopiero gdy podchodzą bliżej, technik zauważa ich. Ma bardzo kiepski wzrok. Musi zdjąć swoje okulary. Wtedy dostrzega rewolwer i zastyga z przerażenia.

Idland bierze go pod ścianę. „Gdzie jest klucz do drzwi na zewnątrz?" – pyta. Technik podaje mu klucz. „Nic ci się nie stanie, jeśli będziesz robił, co ci każemy. Jesteśmy brytyjskimi żołnierzami" – mówi Roenneberg i pokazuje na swój kompletny brytyjski mundur z odznakami. To po to by przesłuchiwany przez Niemców technik zeznał, że ataku nie dokonali norwescy partyzanci. „Nazwisko?" – pyta jeszcze. „Gustaw Johansen".

Roenneberg wkłada grube gumowe rękawice, mające chronić przed porażeniem prądem. Do każdej z komór przylepia niemal półmetrową kiełbasę z nitrocelulozy, przyczepnego materiału wybuchowego. Johansen, ciągle trzymający ręce nad głową, zauważa uprzejmie: „Sądzę, że powinien pan wiedzieć, że w tamtej komorze jest wyciek ługu. Niech pan będzie ostrożny i nie poplami rąk ani ubrania".

Roenneberg oblepił już jeden rząd komór, gdy nagle pryska z hukiem wybita szyba. Idland chce strzelić w okno, ale zacina się mu broń. Na szczęście. To 2 pozostali komandosi, nie mogąc znaleźć zasypanego śniegiem otworu kanału kablowego, zdecydowali się wybić szybę. Teraz 4 Norwegów szybko zakłada resztę ładunków, dolepia do nich lonty. Roenneberg rozrzuca w sąsiednim pomieszczeniu brytyjskie odznaki spadochronowe jako swoiste karty wizytowe.

Roenneberg śpieszy się. Ciągle nie widać żadnego Niemca – to szczęście nie może trwać dłużej. Na wyższych piętrach budynku jest kilkudziesięciu żołnierzy Wehrmachtu. Zapala zapałkę, zbliża do lontu. „Zaczekaj, na stole zostały moje okulary. Dzisiaj nie dostanę drugiej pary" – prosi technik Johansen. Komandos kręci głową, ale gasi zapałkę i wraca do stołu. Przynosi etui. „Tysięczne dzięki". Roenneberg zapala drugą zapałkę. „Nie, błagam, poczekaj! Tu nie ma okularów" – krzyczy Johansen. Etui jest puste. Roenneberga trafia szlag. Każda sekunda jest droga. Gasi jednak zapałkę i wraca do stołu. Ale tu ich nie ma. Przewraca papiery i okulary wypadają spośród kart zeszytu ze służbowymi zapiskami. Roenneberg zapala trzecią zapałkę i w tym momencie na betonowych schodach rozlega się stukot podkutych butów. Podpalać? Czekać na Niemca, zabić go i dopiero wtedy podpalać? Roenneberg gasi zapałkę. Po chwili przed lufami komandosów pojawia się norweski cywil, nocny stróż. Na widok angielskich mundurów w najbardziej strzeżonym przez Niemców miejscu w Norwegii baranieje zupełnie. Roenneberg poleca obu cywilom uciekać tak szybko, jak tylko mogą, na drugie piętro i zapala czwartą zapałkę. Lonty syczą. Komandosi wybiegają przez stalowe drzwi i kluczem Johansena zamykają je od zewnątrz. Krótki uścisk dłoni z ubezpieczającymi ich pod murem kolegami i już wspinają się w stronę toru kolejowego.

Wybuch jest zadziwiająco cichy, to raczej głuche stęknięcie. Niemcy nie reagują. Żadnego alarmu, żadnych strzałów. Komandosi dobiegają już do torów, gdy drzwi baraku otwierają się. Niemiecki żołnierz bez broni wychodzi, idzie do stalowych drzwi, którymi napastnicy przed chwilą wybiegli z budynku, sprawdza, że są zamknięte, i spokojnie wraca do baraku. Zdumieni komandosi nie wiedzą, że głuche wybuchy zdarzają się w budynku fabryki niemal codziennie – znajdujące się na wyższych piętrach wielkie palniki, służące do odzyskiwania wodoru, przy najmniejszym zakłóceniu dopływu gazu reagują głośnymi detonacjami. Niemcy w budynku nie mają co prawda wątpliwości, że to nie detonacja palnika, ale zanim w ogólnym zamęcie włączą syreny, komandosi wspinają się już po skalnej ścianie. Maskują drogę odwrotu, w ciemnościach pokonują skalną ścianę i na nartach uciekają na południe smaganym przez wichurę płaskowyżem.

Wczesnym rankiem z Oslo przyjeżdża specjalny pociąg z ponad 100 gestapowców i esesmanów. Śledztwem kieruje gen. Rediess. Szkody są dla III Rzeszy prawdziwą katastrofą. Wszystkie komory koncentracyjne są zniszczone. 1000 litrów ciężkiej wody z rozbitych komór zmyła do rur kanalizacyjnych zwykła woda z przezornie wysadzonych przez Roenneberga rur zasilających. Niemiecki program budowy reaktora uranowego jest unieruchomiony na wiele miesięcy, do końca wojny.

29 lutego 1504 ▪ wtorek

Żywność za Księżyc

Na plaży w zatoce Santa Gloria na północnym wybrzeżu Jamajki spoczywają obok siebie 3 niewielkie hiszpańskie karawele: „Santa Maria", „Santiago de Palos" i „Viscayna". Ich 18-metrowej długości kadłuby podparte są solidnymi drągami. Gładkie, stykowe poszycia kadłubów wyglądają, jakby je pokąsały chmary morskich potworów: to ślady po robactwie atakującym drewno podczas długich rejsów – znak, że wszystkie 3 karawele mają za sobą wiele miesięcy nieprzerwanej żeglugi. Na plaży snuje się kilkudziesięciu rozmaicie odzianych, w większości brodatych mężczyzn; niemal wszyscy są przy mieczach i rapierach. Nie widać namiotów: żeglarze mieszkają na karawelach.

Tak wygląda czwarta wyprawa Krzysztofa Kolumba przez Ocean Atlantycki w poszukiwaniu drogi do Azji.

Niespełna 2 lata temu z Kadyksu wypłynęły 4 karawele pod jego dowództwem. Wedle pisemnych instrukcji królewskiej pary hiszpańskiej Ferdynanda i Izabeli Kastylijskiej Kolumb miał prostą drogą zmierzać do Indii i odkryć najkrótszy do nich szlak. Ta wyprawa to podróż ostatniej szansy dla odkrywcy Ameryki, który ciągle jest przekonany, że przez ocean dotarł do wschodnich krańców Azji. Ze sławy odkrywcy nie pozostało mu niemal nic, prócz honorowego tytułu admirała: zachodniej drogi do Indii ciągle nie odnalazł, popadł za to w niełaskę u pary królewskiej.

Podczas tej podróży karawele Kolumba dopłynęły do wybrzeży Hondurasu i – wzdłuż wybrzeży – do Nikaragui i dalej do Panamy. W końcu udręczona sztormami i walkami z tubylcami wyprawa dotarła w czerwcu zeszłego roku do Jamajki. Karawele nie nadawały się do dalszej żeglugi, wyciągnięto je więc na brzeg. Jeden z uczestników wyprawy, Diego Mendez, zorganizował zaopatrzenie ekspedycji u lokalnych plemion. Za placek z kassawy, mąki maniokowej, Hiszpanie płacili 2 szklane kulki, za jedno szydło

dostawali 2 hutias, małe, podobne do królików gryzonie, a za koszyk ziarna kukurydzianego kosztował ich jeden dzwoneczek. Ta idylla nie trwała długo – po paru miesiącach Indianom zaczęło brakować żywności, zresztą nabrali podejrzeń, czy kuleczki i dzwoneczki naprawdę są tak cenne, jak opowiadali biali przybysze. W oczy ekspedycji zajrzał głód. Diego Mendez z paroma towarzyszami i porwanymi Indianami wypłynął w stronę Santo Domingo po pomoc, ale na razie nie wrócił.

Na początku stycznia uczestnicy wyprawy bracia Porras zbuntowali część załóg karawel i usiłowali odpłynąć na Santo Domingo, ale w końcu wrócili na Jamajkę i teraz żyją z rabunku odleglejszych osad Indian. Na dobitkę Kolumba, wycieńczonego przez malarię, powalił atak artretyzmu.

Brak wieści o Mendezie, bunt Porrasów i głód, straszny głód – w oczy Kolumba zajrzała ostateczna klęska.

Przed 3 dniami admirał, gdy leżał bezsilny w swej malutkiej kajucie i rozmyślał o rozpaczliwym położeniu wyprawy, sięgnął po swój skarb: *Ephemerides sive almanach perpetuus* Johanna Müllera Regiomontanusa, wydane przed 6 laty przez Petrusa Liechtensteina dzieło zawierające tabele astronomiczne dla lat 1475–1506, ze szczegółowymi informacjami o Słońcu, Księżycu, planetach i ważniejszych gwiazdach, a także ich konstelacjach. To biblia każdego żeglarza, dzięki której można przemierzać nieznane akweny. Wertując nieocenione w nawigacji *Ephemerides...*, Kolumb zauważył, że wieczorem w czwartek 29 lutego tego roku, tuż po wschodzie Księżyca, nastąpić ma jego całkowite zaćmienie przez Ziemię.

Kolumb natychmiast wysłał porwanego z wyspy Hispanioli Indianina, którego używał za tłumacza, z zaproszeniem do

okolicznych indiańskich kacyków. Gdy wczoraj zjawili się, admirał wygłosił groźne przemówienie.

Jesteśmy chrześcijanami, mówił Kolumb, a porwany Indianin tłumaczył, nasz Bóg mieszka w niebie i troszczy się o dobrych ludzi, a karze złych. I tak, gdy zbuntowali się moi ludzie, chrześcijanie, mówił admirał, sprawiedliwy Bóg nie zezwolił, by przepłynęli na Hispaniolę, tak jak wcześniej dozwolił dobremu chrześcijaninowi Diego Mendezowi.

Co się zaś Indian tyczy, grzmiał admirał, to Bóg, widząc, jak marnie opiekują się chrześcijanami, jak mało przynoszą jedzenia w zamian za ich rzeczy, wpadł w straszny gniew i postanowił zesłać na nich głód i zarazę morową. Ażeby zaś nie mieli wątpliwości, iż jest to kara boża, umyślił Bóg uczynić na niebie widomy znak swego gniewu. Jutro wszyscy zobaczą księżyc płonący, rozpalony gniewem Boga – zakończył Kolumb przemowę.

Kacykowie bynajmniej się nie przejęli, beztrosko odeszli do swoich wiosek.

Jest wieczór, słońce chyli się ku zachodowi. Krzysztof Kolumb stoi na pokładzie „Santa Marii" i z góry spogląda to na nieboskłon, to znów w stronę dżungli.

Wreszcie wschodzi Księżyc i nawet uprzedzeni przez Kolumba o astronomicznym fenomenie Hiszpanie nie mogą powstrzymać okrzyków zaskoczenia. Gdy już Księżyc pojawia się nad horyzontem, staje się jasne, że znikła jego dolna część! Po godzinie zaćmienie widoczne jest w całej, imponującej grozie: zamiast srebrzystej tarczy, jaka zawsze o tej porze świeciła nad głowami, tym razem ciemnoczerwony Księżyc na wschodzie nieba wygląda, jakby zarazem zbryzgany był krwią i płonął.

W dżungli zaczyna się jakiś ruch. Spomiędzy drzew wybiegają grupki tubylców niosących placki z kassawy, pieczone hutias,

koszyki z ziarnem kukurydzianym, owoce. Indianie z płaczem i zawodzeniem składają dary na piasku obok kadłuba karaweli, błagają admirała, by zechciał wstawić się u swego Boga, by go uprosił, żeby odwrócił swój gniew, gdyż przyrzekają przynosić wszystko, co tylko Hiszpanom potrzebne.

Kolumb patrzy na nich z góry, po czym oznajmia, że musi na osobności porozmawiać z Bogiem, by dowiedzieć się, co da się zrobić w sprawie Księżyca. Odwraca się i wchodzi do wysokiego kasztelu „Santa Marii". Tam przewraca trzyminutową klepsydrę i liczy upływający czas. Z tablic Regiomontanusa wie, jak długo trwać będą poszczególne fazy zaćmienia. Po 50 minutach admirał wychodzi na pokład. Oznajmia, że modlił się i obiecał Bogu, że od tej pory Indianie będą dobrze traktować chrześcijan, bez zwłoki przynosić będą żywność i wszystko, czego ci zażądają. Bóg dał się ubłagać i odpuszcza Indianom ich winy, a na dowód uśmierzenia swego gniewu zaraz zgasi płomienie na Księżycu, tak aby nie zgorzał on całkiem na nieboskłonie.

Wyliczenia Regiomontanusa są bezbłędne. Ledwie Kolumb kończy przemowę, krwawa purpura Księżyca blednie, znika i znów na niebie wisi tak dobrze znajomy srebrny krąg. Indianie z okrzykami radości pędzą do swych wiosek po następną dostawę jedzenia.

Rdzenni mieszkańcy Jamajki przyglądający się zaćmieniu Księżyca

Marzec

1 marca 1921 ▪ wtorek

Piętnaście postulatów

Mróz nie odpuszcza. Lód skuł wody Zatoki Fińskiej. Do Kronsztadu, bazy sowieckiej marynarki wojennej na wyspie Kotlin, strzegącej dostępu do Piotrogrodu, można swobodnie dojechać po lodzie z lądu. Lód unieruchomił w kronsztadzkim porcie dumę sowieckiej floty bałtyckiej, okręty liniowe „Pietropawłowsk" i „Sewastopol". Śnieg grubą czapą okrywa umocnienia twierdzy i domy Kronsztadu.

Tuż po obiedzie marynarz Żukow zapisuje w swoim notatniku: „Niespokojnie, od samego rana w mieście zauważało się podniecenie. Rozchodziły się niejasne, póki co, pogłoski o czymś nieznanym, lecz nieuniknionym, i jak wszystko, co nieuniknione, strasznym. Nikt niczego nie wiedział, ale wszyscy czuli, że »coś« się wydarzy". Żukow przerywa pisanie i śpieszy na największy w Kronsztadzie pl. Kotwiczny. O 15.00 zaczyna się wiec mieszkańców i marynarzy.

Nie od dziś wszyscy czują, że coś strasznego musi się wydarzyć. 2 lata z okładem po wzięciu władzy w Rosji przez bolszewików brakuje żywności, opału, odzieży, leków. W Piotrogrodzie robotnicy mają dosyć. Tydzień temu stanęły największe fabryki zbrojeniowe: Laferm, Trubocznyj, Patronnyj, Bałtijskij. Robotnicy domagają się zniesienia kartek, wolnego handlu i, coraz częściej, wolności słowa,

wolnych wyborów do rad, zniesienia stanu wojennego. Władza bolszewicka powołała specjalny komitet do walki z oddolnym ruchem robotniczym w Piotrogrodzie. Na jego czele stanął członek Biura Politycznego KC partii bolszewickiej Grigorij Zinowiew. Czekiści i oddziały wiernych bolszewikom elewów dokonują tysięcy aresztowań. Władza straszy strajkujących, że jeśli nie wrócą do pracy, to krwawo rozprawią się z nimi marynarze z Kronsztadu. W Piotrogrodzie wszyscy pamiętają, jak brutalnie i krwawo marynarze przed 2 laty stłumili bunty przeciw władzy bolszewickiej, w leżących na lądzie fortach Krasnaja Gorka i Sieraja Łoszad.

Ale czas gdy marynarze byli wierną gwardią bolszewików, minął. Mimo cenzury, mimo zakazu udzielania urlopów załogi okrętów wiedzą o głodzie i chaosie w kraju. Niepokorni, pyskaci marynarze Floty Bałtyckiej sami zdążyli już doświadczyć represji wszechobecnej Czeka.

Przedwczoraj, na wieść o aresztowaniach i egzekucjach w Piotrogrodzie, załogi okrętów „Pietropawłowsk" i „Sewastopol" zażądały wyborów niezależnych, bezpartyjnych delegatów, którzy mieliby pojechać do Piotrogrodu i zorientować się w sytuacji. Komisarz Floty Bałtyckiej Kuzmin oponował, ale w końcu musiał ustąpić. 32 reprezentantów marynarzy z Kronsztadu dotarło do Piotrogrodu jeszcze przedwczoraj. Bolszewickie władze najpierw usiłowały nie dopuścić ich do fabryk. W końcu zezwoliły na spotkania – ale pod czujnym okiem czekistów. Dziwne to były wiece. Rozognieni delegaci floty pytali o strajki, o postulaty. Robotnicy, ze zwieszonymi głowami, milczeli. Bystrzy marynarze zorientowali się, że boją się mówić – i zaprosili ich przedstawicieli na rozmowy do Kronsztadu.

Wczoraj przez cały dzień tam wiecowano. Na każdym z okrętów delegaci zdawali sprawozdania z wyprawy do Piotrogrodu. Rozeźlone załogi, jedna po drugiej, uchwalały rezolucje domagające się natychmiastowych, tajnych wyborów do rad i zwołania jutro po południu ogólnego wiecu na pl. Kotwicznym.

Dochodzi godz. 15.00. Na placu ogromny tłum, ponad 16 tys. marynarzy i mieszkańców Kronsztadu. Krążą najdziksze pogłoski. Ponoć w tłumie przekrada się przebrany za prostego marynarza Zinowiew i spisuje, co kto mówi. Ponoć z Moskwy zmierza już do Kronsztadu cała armia, by krwawo zaprowadzić dyscyplinę.

Orkiestra gra marsza. To organizatorzy wiecu witają Michaiła Kalinina, przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego, czyli – formalną głowę sowieckiej Rosji. Władza komunistyczna na wieść o niepokojach we flocie reaguje błyskawicznie.

Gość w towarzystwie komisarza floty Kuzmina i przewodniczącego kronsztadzkiej Rady Delegatów Wasiljewa wchodzi na podwyższenie. Po oficjalnym powitaniu Kalinin zabiera głos. Gniewnie tłumaczy, że wiec jest nielegalny, że trzeba spokojnie, odpowiedzialnie, że nie wolno dać się sprowokować eserowcom, mieńszewikom i białogwardzistom. Tłum buczy gniewnie. Kalinin żąda, by przenieść zgromadzenie do budynku Maneżu Morskiego. Rzecz jasna, zmieści się tam tylko niewielka część uczestników wiecu. Tłum buczy, Kalinin milknie. Teraz delegaci wysłani do Piotrogrodu opowiadają o represjach wobec robotników. Marynarz Pietriczenko z okrętu „Pietropawłowsk" odczytuje projekt rezolucji uchwalony przez załogę pancernika. Marynarze „Pietropawłowska" żądają realizacji 15 postulatów:

„Wobec tego, że obecne sowiety nie wyrażają woli robotników i włościan, dokonać natychmiastowych nowych wyborów do sowietów przez głosowanie tajne [...]. Wolność słowa i prasy dla

robotników i włościan [...]. Wolność zebrań i związków zawodowych oraz zrzeszeń włościańskich [...]. Uwolnić wszystkich więźniów politycznych [...]. Zrównać rację żywnościową dla wszystkich pracujących [...]. Dać włościanom całkowite prawo rozporządzania wszystką ziemią wedle własnej woli [...]".

Głosowanie.

Za: 16 tys.

Przeciw: 3. Kalinin, Kuzmin i Wasiljew.

Wściekły Kalinin oświadcza: „Kronsztad nie reprezentuje całej Rosji i dlatego my, bolszewicy, liczyć się z wami nie będziemy".

Marynarze burzą się. Wykrzykują, że dotąd władza bolszewicka uważała Kronsztad za centrum rewolucji i jej opokę.

Już po 17.00. Ciemno, zimno. Wiec kończy się. Marynarze rozchodzą się w nie najlepszych nastrojach. Kalinin wyjeżdża do Piotrogrodu. Nikt nie usiłuje go zatrzymać.

Po godz. 20.00 komisarz sztabu Floty Bałtyckiej wysyła z Piotrogrodu do Moskwy alarmujący meldunek: „Od komisarza twierdzy Kronsztad tow. Nowikowa dowiedziałem się, że załogi okrętów liniowych przyjęły rezolucje: rozwiązać Czeka, wypuścić wszystkich więźniów politycznych i wolność prasy".

O 22.15 Zinowiew śle do Lenina telegram z informacją, że w wypadku wybuchu powstania w Kronsztadzie władza bolszewicka w Piotrogrodzie może liczyć jedynie na 5 tys. uczniów szkół wojskowych i pewnych członków partii. I to wszystko. Ale Zinowiew jeszcze ma nadzieję, że to nie powstanie, tylko bunt, który można będzie spacyfikować bez walki.

„W Kronsztadzie wszystko jest jeszcze niejasne" – łudzi wodza bolszewików.

W samym Kronsztadzie nikt nie ma złudzeń. Rezolucja przyjęta na wiecu na pl. Kotwicznym to praktycznie ogłoszenie powstania

przeciw władzy bolszewickiej. W nocy na okrętach poszeptuje się, że jutro trzeba będzie ruszyć do walki z komuną. Marynarz Jurin zapomina, że poza Kronsztadem działa bolszewicka cenzura. Późną nocą zasiada nad listem do ojca: „Przegnaliśmy komunę, nie ma u nas komuny".

A jego kolega Sziłow do swego ojca pisze po prostu: „U nas w Kronsztadzie powstali wszyscy marynarze".

2 marca 1962 ▪ piątek

Sto, i starczy

Potężny, liczący ponad 210 cm wzrostu Murzyn, o 8.00 wskakuje na nowojorskim dworcu do pociągu do Filadelfii. Jest zmęczony. Przez pół nocy baraszkował w swoim luksusowym apartamencie na rogu 97 Ulicy i Zachodniej Central Park z jedną z chmary ładnych dziewcząt, które nieustannie przewijają się przez jego łóżko, przez resztę nocy zaś pilnował się, by nie zasnąć i nie spóźnić się na pociąg. Wilt Chamberlain, choć ma 26 lat, jest zawodowcem – jak na gwiazdę amerykańskiej ligi koszykówki NBA przystało. Mieszka w Nowym Jorku i na mecze oraz treningi dojeżdża do Filadelfii pociągiem. Nawet skacowany i zmaltretowany po całonocnych igraszkach z jedną, a czasem i dwiema dziewczętami, nigdy nie spóźnia się na trening ani tym bardziej na mecz. A dziś o 21.30 w odległym o 150 km od Filadelfii Hershey jego Philadelphia Warriors grają z New York Knickerbockers.

Wilt, a właściwie Wilton Norman, urodził się w rodzinie ciężko pracującego sprzątacza filadelfijskich biurowców.

W dzieciństwie nic nie zapowiadało, że Wilt stanie się wielkoludem spoglądającym z góry na koszykarzy NBA. Jego rodzice byli wzrostu tylko nieco ponad przeciętną, on sam jako noworodek wcale nie wyróżniał się ani wagą, ani wielkością.

Ale w podstawówce zaczął rosnąć jak na drożdżach. W 4. klasie był już o 10 cm wyższy od rówieśników. Wyglądał nad wiek poważnie i rzeczywiście był taki i nad wyraz odpowiedzialny. Jako 5-latek wstawał przed świtem, by pomagać mleczarzowi. Gdy był nieco starszy, czyścił rynny, przycinał trawniki, pomagał w sklepie. Zarobione grosze oddawał matce.

Już w szkole zwracał uwagę swoim osobliwym wyglądem. Niebywale wysoki, rozbudowany w barach, miał niezwykle, wręcz chorobliwie chude nogi. Lubił biegać i w szkolnych zawodach lekkoatletycznych odniósł kilka zwycięstw. Koszykówką wtedy gardził, uważał ją za grę dla maminsynków. Tak naprawdę zainteresował się nią dopiero w liceum.

Grając w szkolnej drużynie, bał się o piszczele swoich chudych łydek. Zakładał na nie ochraniacze i wysokie aż do kolan skarpety. Żeby nie opadały, podtrzymywał je gumowymi ściągaczami. Te gumowe opaski podczas gry często pękały, więc zakładał na nadgarstek całą wiązkę zapasowych. Teraz, jako gwiazda NBA, nadal gra w białych podkolanówkach i na ręku nosi wiązkę gumowych opasek. To jego znak firmowy, który zaczynają naśladować inni koszykarze.

Jak burza przeszedł przez drużyny uniwersyteckie, grał sezon w Harlem Globetrotters. W 1959 roku Eddie Gottlieb, jeden z założycieli NBA i właściciel Philadelphia Warriors, nagiął przepisy NBA, by móc ściągnąć Wilta do swego klubu.

Wilt, który już w Globetrotters miał gwiazdorski kontrakt, zarabia w Warriors fantastyczne pieniądze. Stać go na drogi apartament

w Nowym Jorku i kupno bajecznie drogiego bentleya. Ale Gottlieb zrobił świetny interes. Z roku na rok Wilt gra coraz skuteczniej. W tym sezonie uzyskuje fenomenalną średnią ponad 50 punktów w każdym meczu. Jest koszykarską gwiazdą pierwszej wielkości.

Choć Wilt jest już porządnie zmęczony, w pociągu walczy ze snem. Boi się, że prześpi Filadelfię i obudzi się gdzieś w Wirginii. Przed dworcem w Filadelfii na zawodników i ekipę techniczną Warriors czeka już wynajęty autobus.

NBA nie narzeka na nadmiar popularności. Dlatego czołowe drużyny koszykówki część meczów, które powinny rozegrać we własnych halach, rozgrywają w mniejszych miejscowościach, zwykle w swoim stanie. To sposób na spopularyzowanie koszykówki w ogóle, a klubu i jego gwiazd w szczególności.

Wieczorny mecz nie ma praktycznie żadnego znaczenia dla układu tabeli. Do końca sezonu pozostało tylko 5 kolejek i już nic nie może odebrać pierwszego miejsca Boston Celtics. Na drugim miejscu jest niezagrożona drużyna Wilta Chamberlaina, Philadelphia Warriors.

W czasie jazdy autobusem Wilt jest coraz bardziej senny. Gra z kolegami z drużyny w pokera. Pokaźna wygrana wyraźnie go ożywia. Chamberlain ma skłonność do hazardu. Namiętnie grywa w karty na pieniądze, zakłada się o byle co, wyżywa się godzinami na flipperach.

O 17.00 autobus zatrzymuje się przed Hershey Sports Arena. Jak niemal wszystko w Hershey tutejsza hala sportowa sponsorowana jest przez słynną wytwórnię popularnych w całych Stanach batoników Hershey.

Do imprezy pozostały jeszcze 3 godziny. Wilt i koledzy idą do flipperów ustawionych w hallu. Chamberlain gra jak wirtuoz i ogrywa prawnika swojej drużyny Ike'a Richmana na ładnych parę

dolarów. Zwycięstwo nakręca go. Zmęczenie znika i Wilt czuje, że to jeszcze nie koniec sukcesów tego wieczoru.

Krótko przed 20.00 4124 widzów zasiada na liczącej 7200 miejsc hali. Koszykarski wieczór w Hershey składa się z 2 meczów. Najpierw, na przekąskę, Harlem Globetrotters grają spotkanie towarzyskie z drużyną skomponowaną na tę okazję z graczy w futbol amerykański zaproszonych z drużyn Philadelphia Eagles i Baltimore Colts.

O 21.30 zaczyna się prawdziwe wydarzenie wieczoru – Warriors kontra Knicks.

Warriors zaczynają z impetem. Po kilku minutach prowadzą 19:3. Gracze Knicks opanowują jednak sytuację i powoli odrabiają straty. Nie potrafią jednak zatrzymać Chamberlaina. W pierwszej kwarcie zdobywa 22 punkty.

Pierwsza połowa kończy się rezultatem 79:68 dla Warriors. Wilt zdobywa w tym czasie 41 punktów. Wspaniałe osiągnięcie, ale widowni wcale ono nie porywa. W tym sezonie Chamberlain miał już nieraz zbliżone rezultaty na półmetku o wiele ważniejszych meczów.

W trzeciej kwarcie Wilt zdobywa 28 punktów. Tego wieczoru jest piekielnie skuteczny. Wychodzą mu wszystkie zagrania. Rzuca pod rząd 10 osobistych.

Gdy kończy się trzecia kwarta i Chamberlain ma już na koncie 69 punktów, widownię i szatnię Warriors ogarnia podniecenie – Wilt może poprawić swój rekord liczby punktów zdobytych w jednym meczu! Przed 2 miesiącami, w meczu przeciwko Chicago, Chamberlain ustanowił rekord liczby punktów zdobytych przez jednego zawodnika w regulaminowym czasie gry – 73. Jeszcze więcej, bo 78, punktów zdobył w grudniu ubiegłego roku

w przegranym przez Philadelphia Warriors meczu z potrójną dogrywką z Los Angeles Lakers.

Do końca gry brakuje 10 min 25 s, gdy Wilt zdobywa 73. punkt i wyrównuje swój rekord. 0,5 minuty później ma na koncie już 75 punktów. Jego koledzy klubowi skaczą z radości po ławce rezerwowych. Każdy kolejny celny rzut Chamberlaina to nowy rekord NBA. Sala skanduje: „Podaj Wiltowi! Podaj Big Fella Wielkiemu Kolesiowi!".

Guy Rodgers podaje piłkę do Wilta, który rzuca z linii faulu.

Chamberlain ma na koncie 79 punktów i przed sobą jeszcze 8 minut gry. Niecałe 2 minuty później konto Wilta rośnie do 84 punktów. Reporter Bill Campbell, relacjonujący na żywo mecz dla jednej z filadelfijskich rozgłośni radiowych, woła do mikrofonu: „Jeśli znacie kogoś, kto teraz tego nie słucha, zawołajcie go przed głośniki! Jesteśmy świadkami kawałka historii!".

Kibice i koledzy Chamberlaina z drużyny myślą już tylko o jednym – czy Wilt zdobędzie 100 punktów?

O tym samym myślą jego przeciwnicy z Nowego Jorku. Tu już nie chodzi o to, że filadelfijczycy wyraźnie prowadzą i z pewnością wygrają ten mecz. Zawodnicy Knicks za wszelką cenę chcą uniemożliwić Chamberlainowi ustanowienie symbolicznego rekordu NBA, który kompromitowałby przecież ich drużynę. Gdy tylko któryś z zawodników Warriors dotknie piłki, natychmiast faulują go, by nie zdążył podać jej Wiltowi. Gdy zaś sami dostają piłkę, przetrzymują ją za wszelką cenę, rezygnując z rzutów nawet w 100-procentowo pewnych sytuacjach.

Piłkę dostaje Al Attles, podaje do Wilta, który wsadza ją do kosza. 89. punkt! I tylko 3,5 minuty do końcowego gwizdka sędziego!

Darrall Imhoff i Cleveland Bickner z Knicks, którzy mieli blokować grę Wilta, od początku meczu nie dają sobie rady.

Kolejny faul Imhoffa eliminuje go z gry. Zastępuje go Green. Warriors zmieniają taktykę. Liczy się teraz tylko wynik Wilta. Ted Luckenbill wchodzi za Toma Meschery'ego, Joe Ruklick za Eda Conina, York Larese za Ala Attlesa. Atutem wchodzących na parkiet jest mała liczba popełnionych fauli. Ich zadaniem – faulowanie graczy Knicks, by Warriors mogli przejąć piłkę. Dla Chamberlaina.

Na 2 min 28 s przed końcem gry Wilt rzutem z odskoku zdobywa 91. i 92. punkt. Widownia szaleje. Kolejne 2 punkty zalicza 16 sekund później. Wszyscy wstają z miejsc. I jest 96!

Larese wystawia Wiltowi piłkę, a ten pięknym wsadem zdobywa 98. punkt.

Została 1 min. 19 sekund.

Luckenbill fauluje gracza Knicks Richie Guerina. Ten zdobywa punkty z wolnego. Napięcie sięga szczytu. Wilt przechwytuje rzut Knicks do kosza i sam strzela z linii faulu. Pudło!

Knicks kontratakują i też pudłują. Teraz Warriors zbliżają się do ich kosza. Ruklick podaje piłkę Wiltowi. Ten rzuca – i pudłuje. Przechwytuje ją jednak, dobija. Pudło! Piłkę chwyta Luckenbill i podaje do Ruklicka. Ten dostrzega Wilta pod koszem i wysoko lobuje piłkę w stronę obręczy Knicks. Chamberlain chwyta ją oburącz w locie i wpycha do kosza.

„Zrobił to! »Dipper« wsadził z czapy! Udało mu się!" – krzyczy do mikrofonu Campbell. »Dipper«, czyli pluszcz, amerykański ptak nurkujący, to ulubiona ksywka Wilta. Tłum widzów wbiega na parkiet. Gra jest wstrzymana. Kibice poklepują Wilta, skaczą z radości jak dzieci. Ktoś z drużyny Warriors oddaje piłkę, którą Wilt zdobył 100. punkt, szefowi wyposażenia Warriors Jeffowi Millmanowi, który zamyka ją w szafce Chamberlaina.

Zostało jeszcze 46 sekund meczu. Kibice schodzą z parkietu i sędziowie wznawiają grę. Knicks zdobywają punkty po faulach

przeciwników. Chamberlain stoi na środku boiska, patrzy na biegających kolegów i przeciwników. Nie rusza się. Nie chce zdobyć jeszcze jednego punktu. Wystarczy okrągłe 100. Warriors wygrywają 169:147.

Po meczu Harvey Pollack, szef *public relations* Warriors, wyrywa skądś kawałek papieru i bazgrze na nim wielkie „100". Potem wręcza papier Wiltowi i wypycha go z powrotem na parkiet.

Po meczu oszołomiony Wilt wraca do szatni. Tego wieczoru ustanowił 9 rekordów NBA, w tym ten najważniejszy – 100 punktów w meczu. Gdy w nocy drzemie w autobusie do Nowego Jorku, nawet mu się nie śni, że z tą setką nigdy nie uporają się najwięksi giganci NBA.

Zawodnik Philadephia Warriors Wilt Chamberlain

3 marca 1945 ▪ sobota

Odwet

Jest 4.00, ciemno, gdy ze wsi Siennica wymaszerowuje oddział partyzancki, do niedawna oddział AK, dowodzony przez por. Józefa Bissa „Wacława". Oddział ten składa się z 2 plutonów, których dowódcami są Zdzisław Żypowski „Syrokomla" oraz Tadeusz Kowal

„Szary". Z oddziałem „Wacława" maszerują oddziałki lokalnej samoobrony ze wsi Pawłokoma, z miasteczka Dynów i z okolicznych wsi zamieszkanych przez ludność polską – Dylągowej, Sielnicy, Bartkówki. W sumie to ponad 250 uzbrojonych mężczyzn.

O świcie oddziały otaczają Pawłokomę.

Ta duża, licząca przed wojną niemal 1200 mieszkańców, wieś nad Sanem zamieszkana jest w przytłaczającej większości przez ludność ukraińską. Otaczają ją jednak wioski, w których przeważają Polacy. W miarę zgodne współżycie 2 nacji – oraz 2 wyznań, greckokatolickiego i katolickiego – zaczęło się wyraźnie załamywać u progu niepodległości Polski. Niektórzy z pawłokomian pochodzenia ukraińskiego brali udział w wojnie polsko-ukraińskiej po stronie swych rodaków. Poważnym zarzewiem konfliktu była parcelacja pobliskiego majątku Skrzyńskich, w wyniku której większość ziemi otrzymali polscy gospodarze z Pawłokomy i okolicznych wsi. A głód ziemi był w Pawłokomie zawsze wielki – na niemal 1200 mieszkańców przypadało jej niespełna 1000 ha. W latach międzywojennych Pawłokoma stała się lokalnym matecznikiem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Spory i niechęć między obu nacjami rosły, tym bardziej że polska administracja popierała polski żywioł, a utrudniała życie społeczności ukraińskiej.

Po wybuchu wojny Ukraińcy poczuli, że nastał ich czas. Czas rewanżu, czas budowy własnego państwa. Już we wrześniu zdarzały się na tych terenach zabójstwa wycofujących się polskich żołnierzy. Niemców traktowali Ukraińcy jako wyzwolicieli. Zdarzały się wypadki denuncjowania Polaków podejrzewanych o udział w konspiracji; pod koniec okupacji zaczęły mnożyć się zabójstwa polskich gospodarzy. Polacy obawiali się na tym terenie swych

sąsiadów tak bardzo, że zdarzyło się, iż w pobliskiej Dylągowej o ochronę przed nimi poprosili niemieckich oficerów dowodzących ekspedycją pacyfikacyjną.

Ale najgorsze przyszło wraz z wieściami o straszliwych, masowych zbrodniach Ukraińców na Polakach na Wołyniu. Pod koniec okupacji mnożyły się wzajemne podejrzenia o donosy do Niemców, uprowadzenia, zabójstwa, nakręcała się spirala przemocy i odwetu.

Po wyzwoleniu we wsi przez jakiś czas stacjonował silny oddział sowiecki. Pod jego bokiem sytuacja uspokoiła się. Ale czerwonoarmiści w końcu odeszli. Przed dwoma tygodniami we wsi pojawił się oddział 60 umundurowanych mężczyzn, którzy uprowadzili 7 Polaków oraz sympatyzującą z nimi młodą Ukrainkę. Uprowadzonych nikt więcej nie zobaczył.

Polscy mieszkańcy są przekonani, że porwania i mordu dokonał oddział UPA. W lokalnych strukturach partyzanckich dawnej AK zapadła decyzja o akcji odwetowej – otoczeniu wsi i rozstrzelaniu wszystkich ukraińskich mężczyzn. Polscy mieszkańcy pod przysięgą, że nie pisną słówka nikomu, nawet ukraińskim współmałżonkom, jeśli ich mają, zostali zobowiązani do nagłego opuszczenia wsi i pozostawienia dobytku. I wszyscy wyszli wczoraj z Pawłokomy. W pobliżu wsi skoncentrowane zostały oddziały por. „Wacława" oraz lokalnej samoobrony.

Licząca 12 ludzi drużyna Czesława Sputy „Żelaznego" szybko przechodzi przez pacyfikowaną wieś i otacza cerkiew. Por. „Wacław" spodziewa się, że w cerkwi znajduje się magazyn broni i amunicji UPA, i właśnie murowana cerkiew stanie się głównym punktem ukraińskiego oporu. Polecił nawet zaopatrzyć pluton „Jerzego" w 5 kg trotylu, na wypadek gdyby opór w cerkwi był tak silny, że trzeba by ją wysadzić. Ale cerkwi nikt nie broni.

Podwładni „Żelaznego” zajmują świątynię. Inni z napastników sukcesywnie, w miarę przeczesywania zabudowań, w miarę odkrywania kolejnych schowków, doprowadzają ukraińskich mieszkańców. Cerkiew szybko zapełnia się, na oko jest w niej dobrze ponad 300 osób.

Wczesnym rankiem ludzie „Jerzego” prowadzą na cmentarz sporą grupę Ukraińców. Po drodze zatrzymani muszą zabierać z opuszczonych domostw łopaty. Na miejscu, pod północnym ogrodzeniem, wieśniacy z trudem kopią pod lufami pistoletów maszynowych niezbyt głęboki grób o wymiarach 6 na 8 m. Jest zimno, leży śnieg, ziemia jest zamarznięta. Po ukończeniu pracy zostają w nim rozstrzelani jako pierwsze ofiary.

Pod dom Anny Radoń podchodzi grupa kilkudziesięciu partyzantów. Część z nich ma na sobie polskie mundury, większość – rogatywki. Kilku z nich wyprowadza gospodynię wraz z 3 dzieci przed dom. Jeden z partyzantów chce zastrzelić ją na miejscu. Repetuje broń, ale w ostatniej chwili inny partyzant nie pozwala na zastrzelenie Anny. Odprowadza ją z dziećmi do cerkwi.

Tam miejscowi Polacy wybierają grupki Ukraińców, które odprowadzane są pod eskortą na stary, nieczynny już cmentarz greckokatolicki i tam rozstrzeliwane.

Anna jest z pochodzenia Ukrainką, z domu Wasarab, ale wyszła za mąż za Polaka Radonia i jej dzieci uznane zostają za Polaków. Przy okazji pilnujący cerkwi partyzanci pozwalają także jej samej wrócić do domu.

Zaraz po zajęciu cerkwi Roman Tworzydło „Jerzy” zaczyna przesłuchiwać miejscowego księdza greckokatolickiego Wołodymyra Łemcia. Miejscowi Polacy wiedzą, że był on zaangażowany w lokalną ukraińską konspirację, i są przekonani, że doskonale wie, gdzie zamordowano niedawno uprowadzonych ze

wsi 7 Polaków. Pop Łemcio, mimo bicia po głowie przez „Jerzego", nie przyznaje się do niczego, powtarza, że w cerkwi nie ma ukrytej żadnej broni. Partyzanci biją go kijami i w końcu dołączają do jednej z grup prowadzonych na cmentarz. Matkę popa, jego żonę i jego dzieci napastnicy zostawiają w spokoju.

Członkowie samoobrony z Pawłokomy wyprowadzają z cerkwi małe grupki ukraińskich sąsiadów. Biorą mężczyzn i chłopców od 12. roku życia. Czasem dołączane są do nich kobiety. Gdy wyprowadzani mają na sobie ubrania w dobrym gatunku, przed wyjściem muszą je zdjąć i zostawić w cerkwi. Na zapleczu sortują je 2 łączniczki oddziału „Wacława".

Na cmentarzu grupy pawłokomian pochodzenia ukraińskiego są rozstrzeliwane na skraju grobu. Egzekucji dokonuje pluton Tadeusza Kowala „Szarego" z oddziału por. „Wacława". Większość ofiar zabijana jest strzałem w tył głowy. Od czasu do czasu do strzelających dołączają członkowie innych plutonów, także wiejskich samoobron. Wtedy słychać serie pistoletów maszynowych.

Członek samoobrony w Dynowie Antoni Gerula, krewny uprowadzonych niedawno ze wsi i zamordowanych Aleksandra Geruli, jego brata oraz ich szwagra Jana Gąseckiego, na wieść o akcji podziemia w Pawłokomie wydobywa z ukrycia karabin Mauser, który przed kilkoma dniami dostał od swego znajomego Bronisława Gąseckiego, i rusza w stronę pacyfikowanej wsi. Na miejscu orientuje się w sytuacji i idzie na cmentarz. Nad wykopanym grobem dostrzega kilku Ukraińców, do których strzelają członkowie oddziału por. „Wacława". W pobliżu zauważa także samego porucznika. Na dnie zbiorowego grobu leżą już ciała kilkunastu zabitych. Gerula odchodzi na bok, ale po chwili na cmentarz wchodzi 10 Ukraińców prowadzonych przez ludzi

„Wacława". Na ich wezwanie Gerula dołącza się do egzekucji. Na skraju grobu strzela do ukraińskich mieszkańców Pawłokomy: Dziwika i Aftanasa. W egzekucji biorą udział, oprócz członków oddziału „Wacława", liczni członkowie polskiej samoobrony z Pawłokomy i z sąsiednich wsi.

Gdy zbiorowy grób wypełniają już ciała zabitych, kolejna grupa Ukraińców kopie pod bocznym ogrodzeniem cmentarza drugi, mniejszy dół. Kolejne ofiary rozstrzeliwane są nad drugim grobem.

Z upływem godzin w Pawłokomie pojawia się coraz więcej mieszkańców okolicznych wiosek. Egzekucjami nie interesują się. Rabują opuszczone domy Ukraińców.

Dowodzący akcją odwetową por. „Wacław" kręci się po całej wsi. Raz jest w cerkwi, to znów pojawia się na cmentarzu. Z biegiem godzin traci jednak kontrolę nad akcją. Coraz więcej zależy od członków samoobrony z Pawłokomy i z okolicznych wsi. Rosną okrucieństwo i brutalność napastników. Do grup wyprowadzanych na egzekucje coraz częściej dołącza się kobiety, nawet małe dzieci.

Po południu do wsi przyjeżdżają samochodem dowódcy miejscowej organizacji AK – formalnie rozwiązanej już w tym czasie: por. „Wraża" i por. „Rózga". Pytają partyzanta z oddziału „Wacława", gdzie jest dowódca. Chwilę później spotykają go. Po paru zdaniach między „Wacławem" a przybyłymi oficerami wybucha gwałtowna kłótnia. Straszliwie zdenerwowani por. „Wraża" i por. „Rózga" wyjeżdżają z Pawłokomy. Wygląda na to, że oficerowie interweniowali oburzeni wieściami o masowych rozstrzeliwaniach cywilów.

Por. „Wacław" zarządza uwolnienie przetrzymywanych w cerkwi kobiet i dzieci. Wiele z nich wychodzi bez wierzchnich ubrań, zarekwirowanych w cerkwi.

Na rozkaz por. „Wacława” uczestnicy akcji kopią na starym cmentarzu trzeci grób zbiorowy. Znoszą do niego ciała mieszkańców zastrzelonych w domach i obejściach podczas porannej obławy.

Po zasypaniu grobów na cmentarzu sterczą 3 pryzmy świeżej ziemi.

O 16.00 akcja odwetowa kończy się. Oddziały wycofują się.

4 marca 1766 ▪ wtorek

Honor cudzoziemca

Giacomo Casanova, jak zwykle w ostatnich dniach, stawia się rankiem na Zamku Królewskim w Warszawie, by asystować przy porannej toalecie króla Stanisława Augusta. Casanova zabawia go rozmową: polski monarcha świetnie rozumie po włosku, choć mówi słabo i niechętnie. Przywilej asystowania przy królewskiej toalecie to spory sukces towarzyski weneckiego podróżnika, awanturnika i intelektualisty w jednej osobie. Casanovie, ustawicznie tonącemu w długach, ostatnio wiodło się wyjątkowo kiepsko. Napisał list do króla Fryderyka Wielkiego z prośbą o audiencję. Uzyskał ją w parku Sans-Souci, ale pruski monarcha nie chciał słyszeć o zorganizowaniu przez Włocha loterii państwowej w Berlinie. Zamiast tego zaoferowano mu posadę wykładowcy w pruskiej szkole kadetów. Casanova rozsądnie podziękował i w poszukiwaniu szczęścia ruszył do Petersburga. Okazał się mistrzem uzyskiwania audiencji w parkach. Rozmawiając na spacerze z carycą Katarzyną II, wywarł na niej dobre wrażenie, ale żadnej lukratywnej posady nie uzyskał. Wyjechał zatem do Polski.

Do Warszawy przybył przed 5 miesiącami. Z listami polecającymi od ambasadora angielskiego w Petersburgu zjawił się u księcia Adama Czartoryskiego, który przedstawił go Stanisławowi Augustowi. Król od razu polubił Casanovę i swoją sympatię okazał w najbardziej pożądany przez niego sposób – podarował mu 200 złotych dukatów. Starczyło na spłatę najpilniejszych karcianych długów. Czarujący, elokwentny Włoch, zaproszony do królewskich apartamentów na poranną rozmowę o literaturze, zaczął odtąd regularnie bywać u Stanisława Augusta.

Casanova od pewnego czasu odnosi wrażenie, że król nie odmówi mu lukratywnej posady sekretarza. Wenecjanin jest w siódmym niebie i pilnie wystrzega się skandali, które perspektywę sekretarzowania mogłyby oddalić. Casanova zrezygnował ze swych ulubionych rozrywek: snucia intryg i gry w karty, stara się także spełniać wszelkie oczekiwania monarchy.

Dziś po porannej rozmowie przy czesaniu Stanisława Augusta zjawia się u króla na obiedzie.

Po miłej dwornej rozmowie król, już wstając od stołu, zwraca się do Casanovy: „Proszę, przyjdź pan na przedstawienie".

Wieczorem w warszawskiej operalni wystawione będzie premierowe przedstawienie komedii *Małżeństwo z kalendarza* Franciszka Bohomolca. Spektakl ten ma uświetnić dworską galę z okazji imienin brata króla, Kazimierza, ale król wiąże z nim przede wszystkim poważne nadzieje polityczne. Stanisław August i skupiony wokół niego, oraz redakcji „Monitora", krąg reformatorów wydał walkę rodzimemu sarmackiemu obskurantyzmowi. Formą rozprawy z obyczajowym, społecznym i politycznym zacofaniem ma być, wedle koncepcji króla, obrona i nobilitacja doświadczeń państw Europy Zachodniej. „Monitor" opublikował niedawno cykl artykułów demonstrujących

cywilizacyjne zapóźnienie Polski. Na scenie głosem w obronie zalet i honoru cudzoziemców ma być komedia Bohomolca.

Casanova świetnie wie, że królowi bardzo zależy na sukcesie przedstawienia, ale wymawia się grzecznie, bo komedia ma być grana po polsku. Stanisław August nalega jednak. Włoch obiecuje przybyć do loży królewskiej, jednak bez entuzjazmu, gdyż na premierze niewątpliwie musi zetknąć się z kobietami, z którymi kontakt oznacza dlań kłopoty.

W warszawskiej operalni występują bowiem 2 sławne włoskie tancerki: Anna Binetti i Teresa Casacci. Casanova poznał obie jeszcze przed przybyciem do Polski. Panie wzajem szczerze się nie cierpią i zawzięcie intrygują, by zaszkodzić jedna drugiej. Stołeczna widownia podzieliła się w głośno manifestowanej sympatii dla tancerek, także wśród możnych i na dworze powstały 2 frakcje zawzięcie kibicujące każdej z artystek. Casanova sympatyzuje z Binetti, ale nie afiszuje się z tym, gdyż nie chce ściągnąć na siebie gniewu wpływowego stronnictwa Czartoryskich, którzy namiętnie kibicują Casacci. Frakcji Binetti przewodzi szambelan królewski Ksawery Branicki, niespełna 30-letni, przystojny pułkownik jazdy, który uchodzi za kochanka Teresy. Swą ostrożność przed wpadnięciem w sieć intryg tancerek posuwa Casanova aż do nietaktu – by nie sprowokować kłopotów, podczas pobytu w Warszawie unikał do tej pory spotkania z Casacci.

Wenecjanin nudzi się podczas przedstawienia *Małżeństwa z kalendarza* jak mops. Cóż go obchodzą zaloty niemieckiego szlachcica płk. Ernesta oraz polskiego szlachcica, łowcy posagów Marnotrawskiego, o względy Elizy, córki imć Staruszkiewicza? Casanova ożywia się, gdy na scenie pojawia się włoski balet, ale potem znów nuda: Agata, służąca Elizy, sprowadza kupca Anzelmowicza, wierzyciela Marnotrawskiego, który demaskuje

i kompromituje swego dłużnika, cudzoziemiec Ernest zaś zachowuje się honorowo i zdobywa rękę Elizy.

Na szczęście balet po raz wtóry pojawia się na scenie.

Król wychodzi z loży. Casanova także. Wenecjanin idzie do Casacci, której występ bardzo podobał się Stanisławowi Augustowi, by złożyć jej gratulacje. Po drodze zauważa otwarte drzwi do loży Binetti i składa jej kurtuazyjną wizytę. Wita się, zamienia parę zdań. Do loży nieoczekiwanie wpada szambelan Ksawery Branicki. Casanova składa mu powściągliwy ukłon i natychmiast wychodzi. Branicki nie dość, że jest kochankiem Binetti, to jeszcze gwałtownikiem niecofającym się przed najdzikszymi awanturami.

Casanova idzie teraz do loży Casacci. Tancerka zrazu wypomina mu nietakt, jakim było unikanie jej, ale rozpromienia się, gdy słyszy komplementy wenecjanina.

W czasie tej uroczej rozmowy do loży w ślad za Włochem wbiega, rozwścieczony jego chłodnym ukłonem w loży Binetti, Ksawery Branicki w towarzystwie oficera swojego pułku ppłk. Arnolda Byszewskiego.

– Przyznaj pan, panie Casanova, że przychodzę jak najbardziej nie w czas. Zdaje się, że pan się kochasz w tej damie – syczy Branicki. To ordynarna zaczepka, gdyż faworytą Branickiego jest rywalka Casacci – Anna Binetti.

– Ależ panie hrabio, czy nie uważasz, że jest czarująca? – odpowiada Casanova.

– Tak bardzo, że oświadczam ci tutaj, iż się w niej kocham na zabój i nie zniosę żadnego rywala – odwarkuje Branicki.

– Skoro tak, nie roszczę sobie najmniejszych praw – ucina sprawę Casanova.

Ale Branicki prowokuje dalej:

– Przezorny z pana człowiek, panie Casanova. A zatem schodzisz mi z drogi?

– Natychmiast, panie hrabio! Znalazłbyż się taki gbur, co by się ważył iść w paragon z człowiekiem o twoich zaletach? – odpowiada z ironicznym uśmiechem Włoch.

Wściekły Branicki odpala:

– Za tchórza mam tego, co przy pierwszej groźbie ustępuje z pola.

Na takie *dictum* Casanova chwyta za gardę szpady, ale po chwili uspokaja się. Walka z szambelanem króla w loży Casacci, wobec tłumu widzów, skompromitowałaby go nieodwołalnie w oczach Stanisława Augusta. Posada królewskiego sekretarza stałaby się jedynie wspomnieniem. Włoch wzrusza pogardliwie ramionami i wychodzi. Na korytarzu słyszy okrzyk Branickiego:

– Tchórz wenecki!

Tego już za wiele:

– Panie hrabio, dowiodę ci o każdej godzinie i w każdym miejscu, że wenecki tchórz nie boi się polskiego magnata.

Casanova czeka w ciemnościach na ulicy przed teatrem, licząc, że zmusi tu Branickiego do walki. Ale szambelan nie wychodzi. Zrezygnowany Casanova idzie na kolację do wojewody kijowskiego księcia Stanisława Lubomirskiego. Gospodarz proponuje przed kolacją partię kart. Casanova przegrywa bez sensu kolejne rozdania. Książę Lubomirski pyta Włocha, gdzie bawi myślami. Włoch odpowiada, że o 10 mil dalej, i wyjawia awanturę z Branickim. Gospodarz jest zirytowany, w czasie kolacji nie odzywa się do Casanovy. Po kolacji Lubomirski przyznaje jednak, że awanturę sprowokował Branicki. Zdesperowanemu, przestraszonemu Casanovie daje radę, by postępował zgodnie z własnym rozumem. To zawoalowana, ale czytelna zachęta do pojedynku.

Casanova długo w nocy rozmyśla o swej sytuacji. Uchylenie się od pojedynku skompromitowałoby go w Warszawie ostatecznie. Zabicie Branickiego w pojedynku – tym bardziej. W obu wypadkach – nici z wymarzonego sekretarzowania Stanisławowi Augustowi. Właściwie tylko podłożenie się Branickiemu w pojedynku i pozwolenie, by go zabił, byłoby wyjściem honorowym i nieprzysparzającym kłopotów. Tyle że także odsuwającym w niebyt miraż bycia królewskim sekretarzem.

O świcie Włoch wysyła Branickiemu list, w którym podejmuje wyzwanie, zgadza się na pojedynek i prosi o przysłanie karety. Po godzinie nadchodzi odpowiedź Branickiego: „Przyjmuję Pańską propozycję. Wskaż jeno godzinę, w której Cię zastanę. Proszę, wybierz broń i skończmy z tym co prędzej".

O 15.00 po Casanovę zajeżdża berlinka z Branickim. Pojedynkowicze z sekundantami udają się do jednego z warszawskich parków. Casanova i Branicki strzelają niemal jednocześnie. Kula hrabiego rani Włocha w lewą rękę. Kula Casanovy przebija prawe płuco hrabiego. Branicki, pewien, że umiera, zachowuje się z klasą: „Zabiłeś mnie pan, ratuj teraz własną głowę. Znajdujesz się w starostwie, a ja jestem oficerem króla. Maszże tu moją wstęgę Orła Białego na glejt i sakiewkę, gdybyś jej potrzebował".

Giacomo Casanova

5 marca 1953 ▪ czwartek

Na Kreml, szybko!

Jadalnię daczy w podmoskiewskim Kuncewie zamieniono na salę szpitalną. Józef Stalin leży bez ruchu na szerokiej kanapie. Jest nieprzytomny. Nieopodal stoi aparat rentgenowski. Tuż obok – wielkie pudło aparatu do sztucznego oddychania. Na dużym, ozdobnym kredensie, na którym podczas nocnych kolacji Stalina z najbardziej zaufanymi członkami politbiura służba rozstawiała srebrną zastawę i potrawy, teraz stoją metalowe pojemniki

z wyposażeniem medycznym i lekarstwami. Obok nich – słój z pijawkami i dziennik choroby. Przy chorym krzątа się kilkunastu profesorów medycyny ściągniętych z najlepszych moskiewskich klinik.

Po północy lekarski areopag zasiada do redagowania oficjalnego komunikatu o stanie zdrowia chorego. Profesorowie nie mają złudzeń: po wylewie wódz jest w agonii. Piszą o ostrej niewydolności układu krążenia, o zmianach w tylnej ściance serca, o ciężkiej zapaści pacjenta. Gdy kończą pracę nad komunikatem, jest 2.00.

Ostatni raz ochrona daczy Stalina widziała go w dobrej formie przed 4 dniami, 1 marca, o 4.00 nad ranem, gdy skończyło się jego nocne spotkanie z członkami politbiura Gieorgijem Malenkowem, Ławrentijem Berią, Nikitą Chruszczowem i Nikołajem Bułganinem – przy kolacji i lekkim winie Madżari. Gdy goście odjechali, wódz wrócił do pracy nad papierami. Spać chodził krótko przed świtem. Wstawał zwykle o 10.00, 11.00. Dopóki nie zadzwonił, nikt z obsługi nie miał prawa wejść do jego pokoi.

Nazajutrz jednak Stalin przez cały dzień nie dawał znaku życia. Dopiero o 18.30 w gabinecie zapaliło się światło. Dzwonek jednak milczał. O 23.00 oficer ochrony Paweł Łozgaczow przełamał strach i pod pozorem dostarczenia świeżej poczty, nieproszony, wszedł do prywatnych pokoi wodza. Stalina zastał w małej jadalni. Generalissimus leżał na podłodze. Z trudem podniósł lewą rękę, ale nie był w stanie mówić. Wymamrotał jedynie: „Dz... dz...". Obok niego leżał egzemplarz „Prawdy". Gdy przerażony Łozgaczow dopytywał się, co zaszło, Stalin zsiusiał się w spodnie i stracił przytomność.

Ochrona przeniosła sparaliżowanego wodza na kanapę i przed wezwaniem lekarzy zaalarmowała ministra spraw wewnętrznych

Siemiona Ignatiewa. Ten poradził, by zawiadomić Berię i Gieorgija Malenkowa. Berię znaleziono późno w nocy, pijanego, w trakcie erotycznej orgietki w jednej z rządowych willi.

Dopiero o 3.00 obaj dygnitarze zjawili się w Kuncewie. Malenkow zdjął buty, by nie skrzypiały, i do Stalina podszedł w skarpetkach. Beria zaś nawrzeszczał na oficerów ochrony, że wódz tylko mocno śpi, nie pozwolił wzywać lekarzy, i w ogóle telefonować dokądkolwiek, by nie wzbudzać paniki. Protesty ochroniarza Łozgaczowa zignorował.

Po raz wtóry Beria i Malenkow, wraz z Chruszczowem, zjawili się przed 9.00. Lekarze dotarli do Kuncewa jeszcze później. Beria sprawił, że powalony przez wylew Stalin pozostawał bez opieki medycznej przez wiele godzin.

Strach tak sparaliżował profesorów medycyny zwiezionych do Kuncewa, że nie byli w stanie rozebrać generalissimusa i zmierzyć mu ciśnienia. Aż nadto wymowną przestrogą była dla nich tzw. sprawa lekarzy-trucicieli. W zeszłym roku osobisty lekarz Stalina prof. Władimir Winogradow podczas badania wodza stwierdził pogorszenie stanu zdrowia i zalecił mu przejście na emeryturę. Podejrzliwy Stalin uznał swego lekarza za agenta obcych mocarstw. Wkrótce prof. Winogradow został aresztowany, a przed niespełna 2 miesiącami TASS opublikował *Komunikat* o *wykryciu terrorystycznej grupy lekarzy-trucicieli*. Wielu wybitnych lekarzy aresztowano i oskarżono o mordowanie – pod pozorem leczenia – wybitnych sowieckich działaczy partyjnych.

Przed 3 dniami członkowie politbiura zorganizowali dyżury w jadalni daczy. Umierającego Stalina pilnowali dwójkami: Beria z Malenkowem, Kaganowicz z Woroszyłowem i Chruszczow z Bułganinem. Przyjeżdżali też mniej ważni członkowie prezydium KC, niektórzy ministrowie. W obszernej jadalni czasami

robił się tłok. Choć niejeden z partyjnych dygnitarzy domyślał się, że ciężka choroba wodza zapobiegła kolejnej krwawej czystce na szczytach władzy i zapewne uratowała im życie, większość z obecnych nie mogła powstrzymać się od płaczu. Jedynie Beria, rozluźniony, pewny siebie, nie skrywał doskonałego humoru. Od dawna był w niełasce u wodza, toczył z nim podjazdową wojnę i świetnie wiedział, że w nadchodzącej czystce miał dać głowę jako jeden z pierwszych. Tylko raz Berii puściły nerwy. Gdy Stalin otworzył oczy i usiłował coś powiedzieć, przerażony rzucił się do ręki wodza i zaczął ją całować. Przekonawszy się jednak, że chory nie odzyskuje przytomności, ostentacyjnie rzucił jego rękę na pościel.

Do Kuncewa przyjechały także dorosłe dzieci Stalina: Wasilij i Swietłana. Wasilij, nieudacznik, alkoholik, playboy i generał lotnictwa w jednej osobie, u łoża śmierci zjawił się pijany. Chwilę pokrzyczał: „Dranie, zgubili ojca!", po czym poszedł pić z ochroną daczy.

Przez ostatnie 4 dni generalissimus nie odzyskał przytomności.

Po północy, w tym samym czasie gdy w Kuncewie lekarze redagują komunikat medyczny, na Kremlu obraduje biuro Prezydium Komitetu Centralnego. Obecni są m.in. Beria, Bułganin, Woroszyłow, Kaganowicz, Malenkow, Chruszczow.

Powołane parę miesięcy temu nieformalne biuro Prezydium KC jest prywatnym pomysłem Stalina, jednym ze wstępnych posunięć w planowanej przez niego wielkiej czystce. W statucie KPZR twór taki nie występuje, ale oczywiście nikt pomysłu wodza nie śmiał oprotestować.

Teraz biuro postanawia się samo zlikwidować i przywrócić statutowe władze partii. Jego członkowie dzielą między siebie

władzę po ciągle jeszcze żyjącym Stalinie i ustalają oficjalną wersję jego śmierci: wódz zmarł na Kremlu, a nie w daczy w Kuncewie.

Od wczesnego ranka do Kuncewa zjeżdżają członkowie Biura Politycznego. Przy łożu śmierci Stalina ściśle przestrzegają partyjnej hierarchii. Najbliżej stoją Malenkow i Beria, trochę dalej Woroszyłow, Kaganowicz, Bułganin i Mikojan. Chruszczow stoi przy drzwiach do jadalni. Działacze niższej rangi tylko zaglądają przez drzwi. Po południu zaczyna się agonia.

O 20.00 rozpoczyna się wspólne posiedzenie KC KPZR, Rady Ministrów i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, mające zatwierdzić ustalenia nocnej narady nieistniejącego już biura Prezydium KC. O 20.40 jest już po naradzie – najważniejsi dygnitarze sowieccy podzielili się władzą i wpływami.

Nieprzytomny Stalin dusi się. Twarz mu ciemnieje, puchnie. Nagle unosi powieki i obrzuca stojących nad nim dygnitarzy straszliwym, pełnym gniewu i grozy spojrzeniem. Jego lewa ręka nieoczekiwanie unosi się. Po chwili opada na pościel. Oddech ustaje. Jest 21.50.

W ciszy jak makiem zasiał rozlega się radosny, tryumfalny okrzyk Berii: „Chrustalow, samochód!". Beria pędzi na Kreml dopilnować, by wytargowany przezeń podczas nocnej narady zakres władzy nie wymknął mu się z rąk. Wala Istomina, prosta kobieta, która od 20 lat prowadziła domowe gospodarstwo Stalina, pada na kolana przy kanapie, przytula się do zwłok i przenikliwie zawodzi. Członkowie politbiura z szacunkiem stoją nad zmarłym, po chwili jednak wybiegają do swoich limuzyn. Czarne zisy-110 pędzą jeden za drugim na Kreml. Żałoba żałobą, ale przede wszystkim trzeba pilnować swoich interesów. Oficerowie ochrony wynoszą ciało Stalina do samochodu i ukradkiem wywożą na Kreml. W trakcie

nocnej narady partyjni dygnitarze uchwalili przecież, że Stalin umarł na Kremlu.

Pracownicy fabryki słuchający komunikatu o śmierci Stalina

6 marca 1940 ▪ środa

„Biała Śmierć” nie umiera

W ciemnościach, o 4.30, w lesie nieopodal rzeki Kollaa w fińskiej Karelii z kilkudziesięciu nietypowych, spiczastych zasp zaczyna osypywać się śnieg. Odziani w białe stroje maskujące żołnierze wysuwają się z tekturowych namiotów w lodowaty mrok resztek nocy; jest teraz dobrze poniżej 20 stopni C. W jednym z namiotów drobniutki, niski, liczący zaledwie 160 cm wzrostu mężczyzna w świetle lampki starannie przegląda swój karabin. To Simo Hayha, najlepszy strzelec wyborowy na świecie.

Na pierwszy rzut oka jego karabin wygląda na rosyjskiego mosina kaliber 7,62 mm, ale to produkowany seryjnie w Finlandii karabin M28-30, udoskonalona wersja mosina. Fińscy żołnierze

z powodu przypominającej psie uszy osłony muszki nazywają M28-30 „szpicem".

Król snajperów jest synem farmera z Karelii. Na rodzinnym, 50-hektarowym gospodarstwie, nazywanym Mattila, od paru lat wspólnie pracują 3 bracia, w tym i Simo, oraz siostra. Simo ukończył 4 klasy szkoły elementarnej i od dzieciństwa tak naprawdę dobrze potrafił jedynie zajmować się gospodarstwem. No i jeszcze polował. W Karelii to nic wyjątkowego, tu raczej ktoś, kto nie poluje, zwraca na siebie uwagę, ale Simo zawsze miał wielki, wrodzony talent do podchodzenia zwierzyny, do maskowania się w lesie. No i cudownie strzelał.

Po zakończeniu w latach 20. obowiązkowej służby wojskowej Hayha na ochotnika wstąpił do oddziałów samoobrony. Zapamiętale trenujący strzelanie Simo osiągał liczące się wyniki w wojskowych zawodach strzeleckich.

Gdy 30 listopada 1939 roku Armia Czerwona zaatakowała Finlandię, Hayha był tylko jednym z wielu bardzo dobrych strzelców w skierowanych na front oddziałach samoobrony. Dopiero gdy przez kilka dni z rzędu trafiał powyżej 10 sowieckich żołnierzy, koledzy i zwierzchnicy Simo zaczęli liczyć jego ofiary. 21 grudnia zeszłego roku ustanowił snajperski rekord: 25 czerwonoarmistów trafionych jednego dnia. Do dziś zabił ze swego „szpica" niemal 500 wrogów. Ale to nie wszystko. Hayha, który potrafi niepostrzeżenie skradać się przez zawalony śniegiem las, uwielbia jeszcze inny sposób atakowania Rosjan. Z pistoletem maszynowym Suomi wyposażonym w tarczowy magazynek liczący aż 71 naboi Hayha zakradał się sam pod bunkry i namioty wroga i z zimną krwią wybijał wszystkich czerwonoarmistów. Tak zabił równo 200 wrogów.

Hayha jest rasowym snajperem. Najpierw strzela do oficerów, saperów, artylerzystów, w drugiej kolejności do sołdatów obsługujących karabiny maszynowe, a na końcu – do zwykłych piechurów. Rosjanie nie mają nart, nie mają porządnego zimowego wyposażenia, są marnie wyszkoleni, nie potrafią atakować przez zasypany śniegiem las. Atakują wzdłuż dróg. Nawet niewielkie oddziałki świetnie wyszkolonych Finów potrafią zablokować na leśnych drogach ogromne kolumny sowieckich czołgów i piechoty. A wtedy na polowanie rusza Simo Hayha.

Ale Hayha jest równie groźny, gdy front jest w miarę ustabilizowany i czerwonoarmiści tkwią w prowizorycznych okopach. Jest mistrzem kamuflażu. Potrafi skryć się w zaspie śnieżnej tak, że nie wypatrzy go żaden Rosjanin. Lubi niepostrzeżenie usypać na skraju zaspy wał ze śniegu, który skrywa płomień wylotowy z lufy jego karabinu i doskonale tłumi odgłos wystrzału. Jest w stanie wiele godzin leżeć bez ruchu w śniegu, przy mrozie przekraczającym 30 stopni C. Wie, że na takim mrozie ciepłe, wydychane przez strzelca powietrze swym drganiem może zdradzić jego pozycję, dlatego w zasadzce, mimo straszliwego mrozu, nieustannie trzyma w ustach śnieg. A co najważniejsze, nigdy nie używa celownika optycznego – strzela jak zwykły, prosty szeregowiec, posługując się jedynie mechanicznymi przyrządami celowniczymi. Hayha uważa, że nagły promień słońca odbity w szkle celownika mógłby zdradzić jego kryjówkę. Poza tym używanie celownika optycznego wymaga wychylenia się o parę centymetrów bardziej z zaspy lub zza pniaka.

Sowieccy żołnierze wiedzą, że ich szeregi dziesiątkuje wybitny snajper. Nazywają go „Białą Śmiercią". Sowieckie dowództwo nieraz organizowało nagle naloty bombowców i huraganowy ostrzał artylerii odcinka frontu, na którym pojawił się „Biała Śmierć". Na

próżno. Nic też nie dało sprowadzenie najlepszych sowieckich snajperów – wszystkich wystrzelał Hayha.

Simo powoli przeżuwa kilka kęsów suchego prowiantu. Na koniec, jak zawsze przed walką, bierze do ust parę kawałków cukru.

Fiński atak zaczyna się o 5.30 od krótkiej kanonady artylerii i moździerzy. Sowieci mają tu ogromną przewagę liczebną, ale atak kompanii Hayhy przez rozległą dolinę jest skuteczny.

Straty wśród atakujących Finów są jednak ogromne.

Pociski i odłamki omijają Hayhę. Simo biegnie przez śnieg razem z towarzyszami broni. Gdy tylko widzi cel, przyklęka w biegu i strzela. Rzadko kiedy musi poprawić strzał. Uciekającego Rosjanina trafia w prawe ramię. Uderzenie pocisku jest tak silne, że mosin czerwonoarmisty wpada w zaspę kilka metrów od trafionego. Ranny czołga się w stronę swoich okopów, ale drugi strzał powala go w śnieg.

Po 10.00 atakujący fińscy piechurzy przedzierają się przez zamarznięte bagno i dobiegają do linii sowieckiego okopu. Rosjanie starają się nie wychylać i strzelają mało celnie. Hayha ostrożnie czołga się w śniegu i już jest parę metrów od okopu. Strzela raz za razem i każdy pocisk jest celny. Simo w ukropie walki na minimalny dystans liczy każdego zabitego przez siebie Rosjanina. Gdy w końcu przedziera się przez okop, niewiele już brakuje mu do 40 zabitych tego dnia wrogów.

Dochodzi 14.00, gdy czerwonoarmiści ruszają do kontrataku. Tylko tego trzeba snajperowi. Hayha klęka w śniegu.

Strzela raz po raz 4 razy. Czterech zabitych wrogów pada na śnieg. Ale dziesiątki innych brną przez zaspy, są coraz bliżej. Jakiś fiński oficer krzyczy, by się wycofywać. Simo woła do niego, że będzie osłaniał odwrót. Odwraca się i widzi Rosjan w odległości kilkunastu metrów. Hayha strzela z podrzutu i trafia sowieckiego

oficera w czoło. Zygzakiem brnie przez śnieg do tyłu. A śnieg wygląda, jakby się gotował od uderzeń sowieckich pocisków. Hayha odwraca się, by strzelić z podrzutu, i 10 m od siebie widzi wylot lufy rosyjskiego mosina. Sowiecki pocisk eksplodujący, zakazany przez prawo międzynarodowe, uderza w lewą dolną szczękę Simo i rozrywa ją. Snajper odruchowo strzela i zabija swą ostatnią, 705. ofiarę i zarazem swego pogromcę.

W armii fińskiej obowiązuje zasada, że rannych i ciała poległych trzeba odzyskać za wszelką cenę. Koledzy Simo ruszają przez śniegi do kontrataku. 2 piechurzy łapią go za nadgarstki i wywlekają po śniegu na tyły. Hayha jest półprzytomny, ale mimo bólu unosi i przechyla głowę, by krew nie zalała mu płuc. Koledzy kładą go na sanie. Hayha podpiera się rękami. Krew wypływa przez dziurę w twarzy i leje się po śniegu.

W punkcie opatrunkowym sanitariusze niewesoło kręcą głowami – Hayha wygląda tak, jakby nie miał połowy twarzy. Po takim postrzale przeżyć nie sposób. Ale Simo Hayha to naprawdę twardy żołnierz. W pociągu sanitarnym wkładają mu do krtani rurkę do oddychania. Żyje. Ciągle żyje.

Najlepszy snajper świata Simo Häyhä „Biała Śmierć”

7 marca 1941 ▪ piątek

Uprzejmy do końca

Trzej młodzi, wysportowani mężczyźni wchodzą do warszawskiej kamienicy przy Mazowieckiej 10. Bogdan Rogoliński „Szary” zostaje jako ubezpieczenie na parterze. Roman Rozmiłowski „Roman” i Wiktor Klimaszewski „Mały” szybkim krokiem wchodzą na

4. piętro. Skręcają w długi korytarz z szeregiem drzwi do jednopokojowych mieszkań. Do jednych z tych drzwi dzwoni „Roman". Jest 7.10.

Otwiera młoda kobieta.

– Czy pana dyrektora Syma możemy prosić?

– Zaraz poproszę – odpowiada i odwraca się, nie zamykając drzwi.

„Roman" i „Mały" wślizgują się za nią. Z pokoju wychodzi do korytarzyka przystojny mężczyzna. Jest zaspany, w szlafroku.

– Czy pan Igo Sym?

– Tak. Czym mogę panom służyć? – pyta uprzejmie Igo Sym.

Gdy „Mały" zaczyna recytować formułkę wyroku: „W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...", „Roman" wyciąga visa i z okrzykiem: „Masz łotrze za Polskę!", z odległości 1,5 m strzela do Syma. Trafia w serce. Sym pada na twarz, tuż pod nogi strzelającego. Młoda kobieta, która otworzyła drzwi, jak skamieniała patrzy na śmierć szwagra.

„Szary", „Roman" i „Mały" są żołnierzami ZOM (Zakładu Oczyszczania Miasta), grupy likwidacyjnej kontrwywiadu Związku Walki Zbrojnej. Rozmiłowski, przedwojenny podporucznik artylerii, w kampanii wrześniowej walczył w szeregach 6. Dywizjonu Artylerii Ciężkiej. Po nieudanej próbie przedostania się przez Słowację do Francji wrócił do Warszawy i natychmiast włączył się do czynnej konspiracji wojskowej w szeregach Służby Zwycięstwu Polski, a następnie ZWZ. Zastrzelenie Syma nie jest pierwszą akcją likwidacyjną młodego oficera, który przed tygodniem obchodził 26. urodziny. Pod koniec stycznia brał udział w wykonaniu wyroku na niebezpiecznym agencie niemieckim, oficerze Wojska Polskiego zwolnionym przed wojną za nadużycia.

Igo Syma znała cała Warszawa. Przed wojną był gwiazdą kina i estrady. Urodził się w 1896 roku w Innsbrucku w rodzinie polsko-

austriackiej. Ojciec Antoni Sym był Polakiem, leśniczym z okolic Żywca. Młody Julian – tak brzmiało prawdziwe imię Igo Syma – ukończył szkoły w Austrii. Po I wojnie światowej jego owdowiała matka, Julia z Seppich Symowa, z 3 synami przyjechała do Żywca i przyjęła polskie obywatelstwo.

Wybitnie przystojny, inteligentny, wysportowany, z dobrym głosem szkolonym podczas 3 lat nauki w wiedeńskim konserwatorium, młody Sym nie zrobił w Żywcu kariery. Szybko zrezygnował z posady w Banku Gospodarstwa Krajowego, jego małżeństwo z córką wybitnego malarza Juliana Fałata rozpadło się. Po sławę i majątek ruszył w 1923 roku do Warszawy.

Zadebiutował w filmie już 2 dwa lata później. W latach 30., po krótkim pobycie w Wiedniu i po kilku rolach w filmach austriackich, w Warszawie stał się wielką gwiazdą. W filmach grywał role demonicznych typów spod ciemnej gwiazdy albo zakochanych amantów. W stołecznych teatrach rewiowych śpiewał, grał na stalowej pile, inscenizował cieszące się wielką popularnością sceniczne skecze. Publiczność uwielbiała go, teksty piosenek pisali dla niego Julian Tuwim, Marian Hemar, Andrzej Własť. Był powszechnie lubiany w środowisku filmowym i estradowym, jego dobre wychowanie i uprzejmość chwalił na ogół złośliwy w swych recenzjach Antoni Słonimski.

Pod koniec sierpnia 1939 roku „Express Lubelski" opublikował fotografię Syma ochotniczo kopiącego wraz z innymi polskimi aktorami rowy przeciwlotnicze. Rok później Igo Sym był już Reichdeutschem i prominentnym funkcjonariuszem hitlerowskim: dyrektorem Theather der Stadt Warschau, właścicielem zyskownej koncesji na niemieckie kino Helgoland przy ul. Złotej, w dawnym kinie Palladium. Organizował tzw. polskie życie kulturalne, mające,

wedle zaleceń szefa propagandy GG Wilhelma Ohlenbuscha, zaspokoić „prymitywne dążenie Polaków do zabawy".

Sym nakłonił kilku polskich aktorów do gry w hitlerowskim filmie *Heimkehr* (Powrót), szkalującym Polskę i Polaków. Konspiracyjny kontrwywiad zidentyfikował go jako niemieckiego szpiega jeszcze sprzed wojny oraz konfidenta Gestapo.

Przed 2 miesiącami wywiad ZWZ otrzymał informacje, że jest on także autorem wyświetlanego w niektórych kinach niemieckiego tygodnika dźwiękowego.

Wyrok śmierci wydany przez Wojskowy Sąd Specjalny zatwierdził gen. Grot-Rowecki.

Szefem grupy likwidacyjnej ZOM mianowano Romana Niewiarowicza, aktora, reżysera i autora sztuk teatralnych, który za zgodą podziemia podjął pracę w Teatrze Komedia i miewał częste kontakty z Symem. Najpierw Niewiarowicz zaplanował zamach na ul. Obożnej, ale Sym nieoczekiwanie na krótko wyjechał tego dnia do Wiednia.

Konspiracyjni zwierzchnicy odrzucili pomysł Niewiarowicza, by Syma otruć. Egzekucja miała być dokonana z wojskowej broni kalibru 9 mm. Zastraszona, pozbawiona nadziei po klęsce Francji Polska powinna przekonać się, że podziemne państwo potrafi karać zdrajców i odstępców.

Gdy grupa Niewiarowicza otrzymała informację, że Sym zamierza 8 marca wyjechać na stałe do Wiednia, zamach w pośpiechu wyznaczono na 7 marca. Jedynym miejscem, gdzie z pewnością można było go zastać, było skromne, jednopokojowe mieszkanie na Mazowieckiej 10. Sym przeprowadził się tam wraz z matką po zburzeniu we wrześniu 1939 roku domu na Krakowskim Przedmieściu, w którym miał apartament.

„Roman” i „Mały” zbiegają po schodach. Nikt nie próbuje ich zatrzymać.

Na Mazowieckiej 3 zamachowcy rozdzielają się i spokojnym krokiem odchodzą.

Strzał budzi w sąsiednim, jednopokojowym mieszkaniu Anielę Lawińską. Instynktownie wyczuwa ona, że to zamach na Syma. Natychmiast budzi swego syna Tadeusza i jego kolegę Tadeusza Karczewskiego, przedwojennego oficera. Nie ma chwili do stracenia – obaj nie są u niej zameldowani, a zaraz zjawi się Gestapo. Aniela Lawińska wybiega na korytarz. Przez otwarte drzwi mieszkania zajętego przez Symów widzi zwłoki Igo i pochyloną nad nimi, lamentującą matkę. Staje w drzwiach, by zasłonić sobą przemykających korytarzem syna i jego kolegę.

Gestapo zjawia się na Mazowieckiej kilkanaście minut po zamachu. Matka Igo Syma oświadcza gestapowcom, że jej syna na pewno nie zabił nikt mieszkający w tym domu. Niemcy przeszukują wszystkie mieszkania. W pokoju Anieli Lawińskiej znajdują przedwojenną fotografię Igo Syma z dedykacją dla jej męża, aktora: „Kochanemu koledze Ludwikowi Lawińskiemu – Igo Sym”. Zdjęcie chroni ją przed szczegółowym śledztwem.

O 11.00 uliczne megafony, tzw. szczekaczki, nadają jako komunikat specjalny rozporządzenie gubernatora Ludwiga Fischera:

„Dnia 7 marca 1941 roku, rano, w mieszkaniu własnym zastrzelony został przez Polaka Niemiec Igo Sym, kierownik Teatru Miasta Warszawy. W związku z tą ohydną zbrodnią zarządzam dla obszaru miasta Warszawy co następuje:

1 – aresztowanie większej liczby zakładników;

2 – natychmiastowy zakaz wykonywania produkcji artystycznych w polskich teatrach, rewiach i zakładach gastronomicznych

i wszystkich innych lokalach rozrywkowych do dnia 7 kwietnia bieżącego roku włącznie;

3 – ustala się godzinę policyjną dla Polaków aż do odwołania na godzinę 20.00 do godz. 5.00.

Jeżeli w ciągu 3 dni nazwisko zbrodniarza nie będzie ujawnione władzom niemieckim, zakładnicy będą rozstrzelani.

Rozporządzenie wchodzi w życie z chwilą ogłoszenia. Warszawa dnia 7 marca 1941 roku".

Miasto zamiera sparaliżowane lękiem przed niemieckimi represjami.

Wczesnym popołudniem jeden ze współtwórców i przywódców podziemnej Polskiej Partii Socjalistycznej PPS-WRN Zygmunt Zaremba wychodzi z konspiracyjnego zebrania w mieszkaniu na Rakowieckiej i przez Pola Mokotowskie idzie do swego mieszkania na Łęczyckiej. Uderza go widok wymarłych ulic. Między Rakowiecką a Wawelską nie spotyka dosłownie nikogo. Do mieszkania dochodzi z poczuciem, że miasto przyczaiło się i czeka na jakieś uderzenie okupanta. Dopiero na Łęczyckiej Zaremba dowiaduje się, że przed paru godzinami zabito Syma.

Niemcy działają błyskawicznie. Odczytane przez szczekaczki rozporządzenie gubernatora Fischera już parę godzin później jest rozplakatowane na mieście. Fischer powołuje komisję śledczą nazwaną Mordkommission Sym. W nocy następują pierwsze aresztowania. Na listach Gestapo jest ponad 100 osób, wśród nich wybitni ludzie teatru: Stefan Jaracz, Leon Schiller, Zbigniew Sawan, Tadeusz Kański, Elżbieta Barszczewska, Lidia Wysocka.

Aktor i kolaborant Igo Sym

8 marca 1968 ▪ piątek

Wolności słowa nie usuwać!

6.00 Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa zjawiają się w mieszkaniu Seweryna Blumsztajna na Żoliborzu. Poprzedniego dnia wieczorem Blumsztajn z Janem Lityńskim i Mirosławem Sawickim byli w kinie Wars na westernie. Ponieważ przez cały

dzień tajniacy, nie kryjąc się nawet, deptali im po piętach, Blumsztajn zaproponował Lityńskiemu, by dla bezpieczeństwa nocował u niego.

Teraz esbecy aresztują obu. Lityńskiego wiozą do Komendy Dzielnicowej MO w Śródmieściu, Blumsztajna – do komendy żoliborskiej na Żeromskiego.

Inna ekipa SB wkracza do mieszkania Henryka Szlajfera i aresztuje go.

Przed 4 dniami Szlajfer i Adam Michnik decyzją ministra oświaty i szkolnictwa wyższego zostali relegowani z Uniwersytetu Warszawskiego. To kolejna represja władz wobec opozycyjnie nastawionych studentów – potocznie nazywanych „komandosami". Krąg kilkudziesięciu krytycznie myślących, zbuntowanych wobec gomułkowskiej rzeczywistości studentów, którym ton nadają Seweryn Blumsztajn, Teresa Bogucka, Józef Dajczgewand, Wiktor Górecki, Jan Gross, Irena Grudzińska, Irena Lasota, Jan Lityński, Adam Michnik, Eugeniusz Smolar, Henryk Szlajfer, Barbara Toruńczyk, nazwano tak, gdyż niczym prawdziwi komandosi, lądujący z zaskoczenia na tyłach wroga, zjawiali się oni na zebraniach dyskusyjnych organizowanych przez ZMS – zatem na terenie ideologicznego przeciwnika – i wszczynali polemiki z przedstawicielami władz. Przed 2 miesiącami „komandosi" zorganizowali protest przeciw zdjęciu przez władze ze sceny Teatru Narodowego *Dziadów* Mickiewicza w inscenizacji Kazimierza Dejmka. Na ostatnim przedstawieniu studenci zgotowali aktorom ostentacyjną owację, a po spektaklu ruszyli z transparentem i kwiatami pod pomnik Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Pochód zaatakowała milicja, aresztowano ponad 30 osób.

Nazajutrz Adam Michnik i Henryk Szlajfer spotkali się z korespondentem „Le Monde" Bernardem Margueritte.

Opowiedzieli mu o manifestacji przed pomnikiem Mickiewicza oraz o wystąpieniu z PZPR 2 znanych naukowców: Włodzimierza Brusa i Zygmunta Baumana. Rozmawiając z Margueritte'em Michnik i Szlajfer przełamali polityczne tabu gomułkowskiej Polski – przekazywanie zachodnim dziennikarzom informacji niewygodnych dla władzy komuniści traktowali jak zdradę państwa.

Styczeń i luty upłynęły „komandosom" na zbieraniu podpisów pod protestem przeciw zdjęciu *Dziadów*.

Po usunięciu z uczelni Michnika i Szlajfera – pod zarzutem kontaktów z zagranicznym korespondentem – „komandosi" zwołali na dzisiaj, w samo południe, wiec protestacyjny przed gmachem Biblioteki UW.

Przed 8.00 trzej funkcjonariusze dzwonią do mieszkania Adama Michnika. Przynoszą wezwanie na przesłuchanie. Ale Michnik nie traci głowy. Oświadcza, że jest chory, leży w łóżku i nigdzie nie pójdzie. Zaskoczeni milicjanci wychodzą. Michnik aż do wieczora zostaje w domu. Wie, że esbecy czyhają na niego przed wejściem do kamienicy.

„Komandosi" boją się, że władze, chcąc zapobiec wiecowi, zamkną przed 12.00 dziedziniec UW. Mirosław Sawicki przychodzi więc na uniwersytet już o 9.00. Idzie do biblioteki. W BUW-ie, jak co dzień, uczy się kilkuset studentów. Sawicki wypożycza komedie Fredry. Czyta dla odprężenia.

O 9.00 zjawiają się na dziedzińcu uniwersyteckim studentka III roku socjologii Teresa Bogucka i Irena Lasota z V roku filozofii. Czekają. Boją się, że studenci zignorowali ulotki rozrzucane od paru dni przez „komandosów" – do godz. 12.00 brakuje zaledwie paru minut, a na dziedzińcu nic nie zapowiada wiecu. Nagle zewsząd zjawiają się studenci. Śpieszą z Krakowskiego Przedmieścia, nadchodzą z uniwersyteckich budynków. W ciągu 10 minut przed

wejściem do biblioteki stoi ok. 1000 osób. Niektóre z dziewcząt mają w rękach kwiaty – dziś przecież Święto Kobiet, pilnie celebrowane przez władze i większość społeczeństwa.

Irena Lasota zamierza odczytać projekt rezolucji studenckiej, stojąc na murku od strony Instytutu Historii. Przed czterema laty w tym miejscu miał się odbyć nielegalny studencki wiec poparcia dla sygnatariuszy *Listu 34*. Zjawiło się wtedy aż 1000 studentów. Na murek wyszedł Józef Jankowski i opowiedział o *Liście 34*. Gdy krzyknął: „My, studenci, popieramy pisarzy!", na murek wskoczył rektor Stanisław Turski i wezwał zebranych do rozejścia się. Niestety, skutecznie.

Ale teraz Irenę Lasotę i Teresę Bogucką oddziela od historycznego murku zwarty szereg aktywistów uczelnianego ZMS, zawczasu zmobilizowanych przez władze uniwersytetu.

O 12.00 Irena Lasota wchodzi więc na ławkę przed budynkiem biblioteki, niższą od murku, i odczytuje projekt rezolucji. Studenci sprzeciwiają się w niej naruszaniu Konstytucji PRL, represjonowaniu kolegów, którzy protestowali przeciw zdjęciu z afisza *Dziadów*, żądają unieważnienia decyzji o relegowaniu z uczelni Michnika i Szlajfera. Domagają się też odpowiedzi na swe żądania od ministra oświaty i szkolnictwa wyższego oraz od rektora UW najpóźniej za 2 tygodnie.

Głos Ireny Lasoty słychać słabo, bo z boku zagłuszają ją chóralnymi okrzykami zetemesowcy. Na ławkę wchodzi Mirosław Sawicki i rezolucję odczytuje jeszcze raz. Potem czyta drugą rezolucję „komandosów", popierającą oświadczenie nadzwyczajnego zebrania warszawskiego oddziału ZLP. Literaci potępili w niej zaostrzenie cenzury i aferę ze zdjęciem ze sceny *Dziadów*.

Tłum studentów przyjmuje obie rezolucje przez aklamację. Wiec kończy się, ale studentów ciągle przybywa. Wtem z Krakowskiego

Przedmieścia wjeżdża na dziedziniec 7 autokarów z napisami „Wycieczka". Zatrzymują się między bramą a Instytutem Historii. Wysiadają z nich zmobilizowani przez władze partyjni aktywiści z zakładów pracy: jesionki w jodełkę, kapelusze z wąskim rondem i ostatni krzyk partyjnej mody, barankowe czapki szyte na podobieństwo furażerek. W rękawach chowają kawałki grubych, powleczonych gumą kabli. Ormowcy spychają studentów pod budynek rektoratu. Niektórzy wyciągają gumowane pręty, biją studentów, ciągną do autobusów. Atakowani rzucają w ormowców monety i krzyczą: „Płatne pachołki!" „Gestapo!", „Wolności!". Wiktor Górecki z IV roku filozofii wskakuje na postument na tyłach biblioteki. Woła: „Nie ma chleba bez wolności!". Tłum podchwytuje hasło i skanduje na przemian z: „Rektor! Rektor!".

Wreszcie na balkon wychodzi prorektor Zygmunt Rybicki. Odziany jest ceremonialnie, w birecie i z łańcuchem na piersi. Oznajmia, że studenci w ciągu kwadransa mają opuścić teren uczelni. Do ormowców zaś woła: „Dziękuję wam, towarzysze!". Ale studenci nie rozchodzą się, żądają przyjęcia przez rektora swojej delegacji. Rybicki zgadza się. Do jego gabinetu idą studenci i związani z opozycją młodzi asystenci: Irena Lasota, Barbara Toruńczyk, Michał Osóbka-Morawski, Ryszard Bugaj, Marcin Król i Jadwiga Staniszkis. Domagają się od Rybickiego wycofania z terenu uniwersytetu ormowców, uwolnienia kolegów zawleczonych do autokarów.

Profesorowie Czesław Bobrowski i Stanisław Herbst chcą zapobiec biciu i aresztowaniom. Z łańcuchami dziekańskimi na piersiach wychodzą na dziedziniec. Towarzyszą im socjolog Jan Strzelecki i historyk dr Andrzej Garlicki. Przekonują młodzież, że dzisiejszy wiec spełnił swe zadanie, a następny wiec, już legalny, odbędzie się za 3 dni, w Auditorium Maximum.

Prof. Bobrowski w ceremonialnym stroju podchodzi do autobusu, do którego ormowcy, na rozkaz dowodzących akcją oficerów, wrzucają odebrane uczestnikom wiecu legitymacje studenckie. Potem mają być one podstawą do postępowań dyscyplinarnych. Prof. Bobrowski z kamienną twarzą zbiera z podłogi autobusu dziesiątki legitymacji i chowa za pazuchę. Oniemiałym ormowcom profesor tłumaczy, że to on i prof. Herbst przeprowadzą postępowania dyscyplinarne wobec studentów.

Uczestnicy wiecu rozchodzą się już, gdy na teren UW wkracza od Oboźnej 400 ormowców i brutalnie bije pałkami osaczonych studentów. Pół godziny później pojawiają się zwarte oddziały milicji w hełmach, goglach, z długimi pałkami.

Aktywiści, milicjanci i ormowcy ze szczególną zajadłością atakują ciemnowłose dziewczęta i brunetów – to efekt antysemickich szkoleń prowadzonych od pewnego czasu w milicji i zakładowych organizacjach partyjnych. Prof. Bobrowski próbuje osłaniać i wyprowadzić z dziedzińca grupkę studentów. W zamieszaniu dostaje pałką przez plecy. Uniwersyteckie urzędniczki wciągają profesora przez okno Pałacu Kazimierzowskiego.

Dziedziniec uniwersytecki pustoszeje. Milicjanci ścigają, biją i aresztują studentów przed kościołem św. Krzyża, na Nowym Świecie, na Karowej, przed Pałacem Staszica. Masakrowani krzyczą nieodmiennie: „Gestapo!". Jedna z grup manifestantów dociera aż do pl. Konstytucji.

Po południu milicjanci przewożą Seweryna Blumsztajna z komendy na Żoliborzu do komendy stołecznej w Pałacu Mostowskich. Na korytarzu milicjant prowadzi chłopca, który na płaszczu napisał białą farbą hasło „Wolność słowa!" i przez pół dnia paradował tak po Warszawie. Z gabinetu wyskakuje oficer milicji. Wrzeszczy na chłopca: „Zmaż to, gnoju!". Eskortujący milicjant

tłumaczy zakłopotany: „Obywatelu kapitanie, nie można, to jest dowód rzeczowy".

Po 16.00 także protestujący studenci politechniki usiłują ruszyć pochodem w miasto. Milicja bije ich i rozprasza na pl. Jedności Robotniczej. Ostatnie demonstracje milicjanci rozbijają późnym wieczorem.

9 marca 1862 ▪ niedziela

Tylko nie po oczach!

W ciemnościach nocy po wodach Hampton Roads, rozległego zlewiska kilku żeglownych rzek, w tym rzeki Elisabeth, przy której ujściu leży Norfolk, główny port wojenny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, płynie okrągła stalowa buda, wysoka na 3,5 m. Uważny obserwator mógłby dostrzec, że kilkanaście metrów za okrągłą budą dziarsko pruje fale coś w rodzaju spłaszczonej jak naleśnik piramidy, wysokości niewiele większej od metra. Ki diabeł? To najnowocześniejszy okręt wojenny marynarki Unii stanów północnych – „Monitor".

Wojna secesyjna między północną Unią i Konfederacją zbuntowanych stanów południowych toczy się w najlepsze. Północ ma przewagę – 22 mln mieszkańców i praktycznie cały amerykański przemysł ciężki na swym terytorium. Południe liczy ledwie 9 mln ludzi, w tym 3,5 mln niewolników. Na lądzie zaciekle walczą 100-tysięczne armie, ale równie ważne są zmagania na morzu. Konfederatom brakuje broni, sprzętu wojskowego, amunicji. Wojska Południa zależne są od zamorskich dostaw wyposażenia. Flota Unii blokuje jednak wybrzeża stanów Konfederacji. Tylko nielicznym

szybkim statkom konfederatów, wyspecjalizowanym w łamaniu blokady Północy, udaje się dowieźć zaopatrzenie do portów Południa. Mniej liczna flota Konfederacji w końcu musi siłą przełamać blokadę – w przeciwnym razie wojna będzie nieuchronnie przegrana.

Konfederaci znaleźli sposób na rozgromienie silniejszej floty Północy. Przed rokiem nagłym atakiem zdobyli wielkie zakłady zbrojeniowe floty w Norfolk w stanie Wirginia. W ręce wpadło im artyleryjskie eldorado: 1200 ciężkich dział okrętowych, w tym 300 najnowocześniejszych armat systemu Dahlgrena. Ze stojącymi na redzie zbrojowni statkami poszło południowcom znacznie gorzej. Komodor McCauley polecił podpalić wszystkie 4 okręty, w tym najnowocześniejszą, napędzaną śrubą fregatę parową „Merrimack". Drewniane jednostki spłonęły jak pochodnie.

Południowcy podnieśli jednak z dna niespalone resztki kadłuba „Merrimacka" i zamiast odbudowywać drewnianą górną partię kadłuba, wznieśli potężną kazamatę z bali dębowych grubości 10 cm. Ściany długiej na 61 m konstrukcji budowniczowie nachylili pod kątem 35°, przez co zgrabna ongiś fregata zamieniła się w gigantyczną, pokraczną stodołę. Dębowy dach konstruktorzy Południa pokryli płytami pancernymi grubości 50 mm, a na wierzchu poukładali jeszcze szyny kolejowe. Dziób przemianowanej na „Virginię" pokraki zaopatrzono tradycyjnie w potężny żelazny taran, na pokładzie dziobowym zaś ustawiono 3 ciężkie działa kalibru 230 mm. Na burtach umieszczono artylerię lżejszą.

Tak powstał pierwszy w dziejach okręt opancerzony.

„Virginia" nie jest ani piękna, ani szybka (rozwija prędkość zaledwie 5 węzłów), ale jest odporna na ogień znakomitej większości armat okrętowych.

Wywiad Unii wcześnie dowiedział się o budowie „Virginii". Rzutki minister marynarki Północy Gideon Welles doprowadził do przyspieszenia budowy 3 okrętów pancernych, pod które stępki położono we wrześniu zeszłego roku. Dwa z nich, fregata i kanonierka, to konwencjonalne drewniane okręty wojenne, które miały być jedynie obłożone płytami pancernymi. Największe emocje wśród specjalistów wzbudziła od początku trzecia jednostka – „Monitor".

Jej konstruktor inż. John Ericsson postanowił stworzyć okręt, jakiego jeszcze świat nie widział. Ponieważ w okrętach parowych najbardziej narażoną na ostrzał częścią jest kadłub, Ericsson schował go pod wodę. Nieduży kadłub „Monitora", o długości 35 m, szeroki na 12,5 m, wystaje nad lustro wody zaledwie na 20 cm. Gdzie zatem ustawić armaty? Gdzie umieścić dowódcę i sternika? Ericsson znalazł wyjście. Na pustym, gładkim jak stół pokładzie umieścił okrągłą wieżę pancerną, w której zmieścił 2 ciężkie działa systemu Dahlgrena kalibru 280 mm i kilku artylerzystów. By zaś nie trzeba było celować za pomocą manewrowania kadłubem, konstruktor Unii wprowadził trzeci rewolucyjny wynalazek – wieża obraca się, i to o 360 stopni. Ericsson w środku wieży zaprojektował potężny podnośnik. Gdy wieża ma się obrócić, podnośnik unosi ją nieznacznie w powietrze i obraca, nakierowując 2 działa na cel. Potem maszyneria opuszcza wieżę w jej łoże i armaty mogą strzelać.

Ericsson obudował pokład „Monitora" płytami stalowymi o grubości 50 mm, zanurzone burty zaś – pancerzem 114 mm. Najpotężniejszy pancerz chroni sterczącą wysoko wieżę artyleryjską: 8 warstw stalowej blachy, o grubości 25 mm każda, połączonych jest wielkimi, gęsto bitymi nitami.

„Monitor" napędzany jest maszyną parową i śrubą. Kominy paleniska sterczą nad jego pancerną wieżą.

Dowódcę i sternika umieścił Ericsson na rufie, w spłaszczonej opancerzonej sterówce w kształcie piramidy.

Konfederaci od dawna wiedzieli o budowie „Monitora". Tak zemściła się na Unii wolność prasy – dziennikarze gazet z Północy od dawna rozpisywali się o nowatorskiej konstrukcji, mającej rzucić na kolana flotę zbuntowanych stanów południowych. Kilka miesięcy temu w stoczniach obu stron ruszył szaleńczy wyścig budowniczych. Było jasne, że kto pierwszy ukończy pionierski okręt pancerny, ten rozniesie drewniane okręty przeciwnika.

Wyścig wygrali o jeden dzień konfederaci. Gdy dowódca Virginii kmdr Franklin Buchanan i załoga wkroczyli wczoraj na jej pokład, stoczniowcy jeszcze pośpiesznie kończyli ostatnie roboty. Oficerowie i załoga nie znali się wzajem, nie znali też mechanizmów ani zachowania się na wodzie swego dziwacznego okrętu, ale kmdr Buchanan, świadom wyścigu z budowniczymi „Monitora", postanowił nie tracić ani minuty. 2 holowniki wyprowadziły okręt z portu w Norfolk. Robotnicy pracowali na pokładzie do ostatniej chwili. Przesiedli się na holowniki dopiero wtedy, gdy „Virginia" wyszła na otwarte wody Hampton Roads. Nie tracąc ani minuty, pancernik ruszył pełną parą, choć tylko z prędkością 5 węzłów, w stronę okrętów Eskadry Blokady Północnego Atlantyku kmdr. Louisa Goldsborougha. Załoga przeprowadziła pierwsze próby. Wypadły fatalnie: zawodziły maszyny parowe i urządzenie sterownicze. W takiej sytuacji, w obliczu silnej eskadry wroga, każdy dowódca zawróciłby do macierzystego portu. Ale nie kmdr Buchanan i jego ogarnięci patriotycznym zapałem podkomendni.

„Virginia" podpłynęła do fregaty unionistów „Congress" i otworzyła ogień z odległości 1300 m. Jej ciężkie pociski wchodziły w drewniany kadłub jak w masło, zaś granaty „Congressa" odbijały

się od silnie nachylonych pancernych płyt i szyn pływającego dziwoląga południowców.

„Virginia" ominęła płonący „Congress" i skierowała się w stronę żaglowej fregaty „Cumberland". Zanim pozbawiony własnego napędu żaglowiec zdołał wykonać jakikolwiek manewr, żelazny taran „Virginii" głęboko wbił się w jego burtę. Fregata szybko nabrała wody i poszła na dno. O mało nie pociągnęła w odmęty swego pogromcy, lecz w ostatniej chwili końcówka tarana pękła i „Virginia" oswobodziła się. „Cumberland" przewrócił się na burtę. Na jego pokładzie zginęło 129 marynarzy.

Po rozprawieniu się z fregatą kmdr Buchanan postanowił przypieczętować los „Congressa". Jego dowódca, widząc, że nie ma szans, wyrzucił okręt na brzeg w pobliżu nadbrzeżnych baterii Unii. „Virginia" podpłynęła na odległość 130 m, nic sobie nie robiąc z ostrzału baterii. Po kilku salwach „Congress" zapłonął jak pochodnia. Wtedy jednak odłamek pocisku baterii nadbrzeżnej ranił w nogę kmdr. Buchanana. Dowództwo pancernika musiał objąć kpt. Thomas Jones.

„Virginia" ruszyła jeszcze na kolejne 3 okręty Północy. Dwóm udało się uciec, ale „Minnestota" wpadła na mieliznę. Przed losem „Congressa" uratował ją odpływ.

Kpt. Jones postanowił wrócić na noc na redę pobliskiego portu Unii Sewell's Point i rozprawić się z Minnesotą następnego ranka, gdy wody w Hampton Roads podniosą się.

Wieść o pogromie floty Północy błyskawicznie rozeszła się w Unii i w Konfederacji. Południe świętuje długo w nocy – niezwyciężona, pancerna „Virginia" jest dla niego światełkiem nadziei.

Dowódca „Monitora" kpt. John L. Worden nie ma kłopotów z nawigowaniem w ciemnościach po wodach Hampton Roads –

zmasakrowany przez „Virginię” „Congress” ciągle płonie jak gigantyczna pochodnia. O północy ogień dochodzi do komór amunicyjnych i fregata wylatuje w powietrze. Wkrótce potem „Monitor” rzuca kotwicę w pobliżu unieruchomionej na mieliźnie „Minnesoty”.

O 6.30 kpt. Jones daje rozkaz wypłynięcia „Virginii” z Sewell’s Point i rozprawienia się z „Minnesotą”. Pancernik południowców jest już blisko swej ofiary, gdy „Monitor” rusza mu naprzeciw. Marynarze „Virginii” z osłupieniem wpatrują się w osobliwe kształty przeciwnika.

Kpt. Jones nie wytrzymuje nerwowo i rozkazuje strzelać już z dalszej odległości. Żadna z salw nie trafia Monitora.

Kpt. Worden czeka, aż jego okręt zbliży się do Virginii. Dopiero wtedy dwie krótkolufowe armaty „Monitora” rozpoczynają ostrzał. Z minimalnej odległości trudno nie trafić. Pociski „Monitora” co rusz uderzają w pancerz „Virginii”, a jej granaty eksplodują na wieży okrętu Unii. Pancerze obu jednostek są jednak silniejsze – bitwa przypomina obrzucanie się kamieniami przez ciężkozbrojnych rycerzy. Zwinny „Monitor” bez trudu unika prób staranowania przez „Virginię”.

Kpt. Jones postanawia zatem rozprawić się z ciągle sterczącą na mieliźnie „Minnesotą”. Już pierwsze pociski „Virginii” wywołują na „Minnesocie” gwałtowny pożar. Widząc, że za chwilę będzie po niej, kpt. Worden kieruje „Monitora” między fregatę a pancernik południowców. Ostrzał z najbliższej odległości jest skuteczny. Pociski „Monitora” trafiają w sumie „Virginię” 41 razy: wywołują pożar, urywają kotwicę, zwalają komin i rozbijają dwa działa. Zabitych i rannych jest 27 marynarzy. Uszkodzona „Virginia” osiada na mieliźnie nieopodal „Minnesoty”.

Jej los wydaje się przesądzony, ale jej pociski też są teraz skuteczne. W sumie 20 razy uderzają w wieżę „Monitora". Eksplozje wybijają z pancerza wieży nity, które wpadają do środka i poważnie ranią 3 marynarzy. Na domiar złego jeden z granatów trafia w rufową piramidkę, w której znajdują się dowódca okrętu, nawigator i sternik. Wybuch granatu na pancerzu, blisko szczeliny obserwacyjnej, oślepia kpt. Wordena. Przekazuje on komendę pierwszemu oficerowi Samuelowi Greene'owi. Ale Greene siedzi w wieży artyleryjskiej i pod ostrzałem nie może przedostać się do piramidki na rufie. Komendę przejmuje sternik i na wszelki wypadek odpływa z pola walki na wschód.

„Virginia" jest uratowana. Załoga ściąga okręt z mielizny, ale zniszczenia na pokładzie są tak wielkie, że nikt nie myśli o dobiciu ciągle unieruchomionej „Minnesoty". Pancernik południowców z trudem wlecze się do portu.

Pierwsza w historii bitwa okrętów pancernych tylko na pozór kończy się remisem. Wieczorem w portach Konfederacji nad Hampton Roads nastrój jest ponury. „Virginia" nie będzie stalową maczugą na drewnianą flotę Północy. Od dziś ma silniejszego od siebie przeciwnika. O likwidacji blokady w zwycięskiej bitwie nie ma co marzyć.

10 marca 1876 ▪ piątek

Czy pan mnie rozumie?

Alexander Graham Bell wstaje z łóżka późno, ok. południa. Jest zmęczony. Od 2,5 roku prowadzi wyniszczający tryb życia. Mieszka w domu przy Exeter Place w Bostonie. Jego wspólnik Gardiner

Greene Hubbard wynajmuje dlań na piętrze, nad knajpą, jeden pokój na mieszkanie i drugi z przeznaczeniem na laboratorium. Bell pracuje na bostońskim uniwersytecie. Za dnia prowadzi zajęcia ze studentami, wieczorami wraz ze swym współpracownikiem Thomasem Watsonem udoskonala telegraf i pracuje nad skonstruowaniem pierwszego w świecie telefonu. Do łóżka kładzie się zwykle koło 4.00. Knajpa, jej zapachy i gwar klientów nie przeszkadzają mu, przeciwnie, gdy podczas pracy zgłodnieje, zbiega na dół i stojąc przy barze, zjada cokolwiek, byle szybko. Przez ostatnie dwa lata nieustannie śpieszył się. Grał o wielką stawkę – sławę, bogactwo, rękę ukochanej kobiety, a konkurenci jeszcze przed 2 tygodniami deptali mu po piętach. Teraz może już zwolnić – od 10 dni ma w kieszeni patent na urządzenie do przekazywaniu ludzkiego głosu na odległość.

Choć pracuje w Ameryce, Alexander jest Szkotem. Urodził się w Edynburgu, w rodzinie nauczyciela dykcji i wymowy. To rodowa profesja, zajmował się nią już dziadek Alexandra. Ojciec, także Alexander, osiągnął wielkie sukcesy w przywracaniu społeczeństwu ludzi głuchych. Wynalazł język migowy, zwany mową widzialną, w którym każdą z liter alfabetu reprezentuje inny układ dłoni i palców mówiącego. Alexander Graham pod wpływem apodyktycznego ojca także zajął się kształceniem głuchoniemych. Profesja ta wymagała dobrego rozumienia zasady powstawania dźwięków mowy i w tej dziedzinie, zresztą w ogóle w sprawach akustyki, młody Bell od dawna jest ekspertem.

W Anglii system mowy Bella seniora – wbrew jego nadziejom na edukacyjny, ale także komercyjny sukces – przyjmował się nad wyraz opornie, więc w roku 1870 zdecydował się on wyemigrować do kraju wielkich możliwości – Ameryki. Alexander Graham miał wtedy 23 lata, studiował na londyńskim uniwersytecie,

z powodzeniem uczył w szkole dla głuchych, wykorzystując system mowy wynaleziony przez ojca, zabiegał o rękę ówczesnej ukochanej. Nie chciał jednak rozstać się, być może na zawsze, z rodzicami. Rzucił wszystko, także swą wybrankę, i popłynął z nimi do Kanady. Za oceanem ostatecznie osiadł w Bostonie, mieście jak na Amerykę europejskim i kulturalnym (właśnie przed 4 laty założono tu nową uczelnię techniczną – Massachussets Institute of Technology). Alexander Graham z powodzeniem zaczął uczyć w szkole dla głuchych. O dziwo, choć udręczony przez ojca, sam nie nasiąkł jego autorytarnym stylem bycia. Zasłynął jako pedagog miły w obejściu, cierpliwy i nadzwyczaj skuteczny. To dlatego rzutki bostoński przedsiębiorca Gardiner Greene Hubbard, który majątek zbił na dostarczaniu miastu usług komunalnych, powierzył młodemu profesorowi wymowy opiekę nad swą jedyną córką Mabel (2 jej siostrzyczki zmarły w niemowlęctwie). Śliczna Mabel straciła słuch, gdy chorowała na szkarlatynę. Wysoki, uchodzący za przystojnego Alexander zakochał się w głuchej 15-latce na zabój. Choć panna była niesłycząca, nie przestawała jednak być znakomitą partią, nieosiągalną dla ubogiego profesora wymowy. Ani rodzice, ani córka nie chcieli nawet słyszeć o małżeńskich marzeniach Alexandra.

Pierwsza przekonała się do niego pani Hubbard, gdy odkryła, że Alexander jest mężczyzną ciepłym, życzliwym ludziom, zawsze skłonnym do pomagania pozostającym w potrzebie.

Jako drugi przekonał się do niego pan Hubbard, gdy dowiedział się, że niewątpliwie uzdolniony i pracowity nauczyciel jego córki po nocach eksperymentuje z udoskonaleniem telegrafu – tak by zamiast wysyłania zakodowanych alfabetem Morse'a wiadomości jedna po drugiej można było ekspediować ich kilka lub nawet kilkanaście naraz, wykorzystując różne pasma wysokości dźwięku.

Gardiner Hubbard był bardzo bystrym biznesmenem i w mig zrozumiał, że patent na taki telegraf, nazwany przez Alexandra harmonicznym, wydrze monopol na przesyłanie informacji z rąk wielkich amerykańskich kompanii telegraficznych, umożliwi stworzenie konkurencyjnej, o wiele wydajniejszej sieci telegraficznej i uczyni go krezusem. Za udział w przyszłych zyskach bez zwłoki wynajął Bellowi pokoje na laboratorium z sypialnią i opłacił mu pomocnika, Thomasa Watsona, który świetnie zna się na elektryczności, naukowej pięcie achillesowej Alexandra.

Jako ostatnia do miłego, nieskończenie cierpliwego adoratora przekonała się sama Mabel.

Przesyłanie ludzkiego głosu na znaczne odległości od dawna pasjonowało naukowców i wynalazców. Już w roku 1667 Anglik Robert Hook eksperymentował z ekspediowaniem dźwięków za pomocą drgającej nitki. Skończyło się jednak na dowcipnych zabawkach.

Przełomem w badaniach nad przesyłaniem głosu okazało się odkrycie dokonane przez Amerykanina prof. Page'a – pręcik metalowy, poddawany szybko po sobie następującym magnetyzowaniu i odmagnetyzowaniu, wytwarzał dźwięk. Rozmaici fizycy badali później to zjawisko. Sullivan odkrył, iż drgania drutu wykonanego z dwóch różnych metali wytwarzają prąd elektryczny, który płynie przez cały czas drgania. A w roku 1855 drukarz z Martinville Leon Scott skonstruował urządzenie nazwane przezeń fonautografem: naprężona na niewielkiej obręczy skóra pod wpływem głosu drgała, zaś umocowany na niej rysik kreślił na kartce papieru graficzne przedstawienie ludzkiego głosu.

Gdy Alexander Graham Bell wespół z Thomasem Watsonem eksperymentowali w swoim laboratorium, konkurenci nie spali. Utalentowany wynalazca Elisha Gray pośpiesznie kroczył tą samą

drogą, wykorzystując te same pomysły, na które wpadali Bell z Watsonem. Od 1,5 roku Alexander pracuje ze świadomością, że Gray idzie z nim łeb w łeb. A co gorsza, zagrożona rewolucyjnym wynalazkiem przesyłania na odległość ludzkiego głosu wielka kompania telegraficzna Western Union wynajęła i zaopatrzyła w środki, o jakich Bell mógł tylko marzyć, sławnego wynalazcę Thomasa Alvę Edisona.

Jakby tego wszystkiego było mało, wyobraźnia w końcu opuściła Gardinera Hubbarda. Domagał się on kontynuowania przede wszystkim pracy nad wielopasmowym telegrafem, uznając telefon za li tylko ciekawostkę. Co gorsza, chcąc przymusić Alexandra do pracy nad telegrafem, przyszły teść zaszantażował go zgodą na ożenek Mabel.

Ale Bell, pracując z Watsonem nad trzypasmowym telegrafem harmonicznym, wskutek przypadkowej awarii odkrył 2 czerwca zeszłego roku efekt przedłużonego stanu namagnesowania elektromagnesu, już po wyłączeniu zmiennego prądu elektrycznego – efekt pozwalający drgać włączonemu w obwód rezonatorowi, który z kolei generował dźwięk. To był milowy krok w pracy nad telefonem. Obaj wynalazcy rzucili wtedy prace nad telegrafem w kąt.

Przed 2 tygodniami wniosek patentowy opisujący zasadę działania telefonu był gotów. Bell i Watson, świadomi, że Gray depcze im po piętach, nawet nie próbowali zbudować prototypu. Gardiner Hubbard bez chwili zwłoki pojechał z ich wnioskiem do Federalnego Urzędu Patentowego w Waszyngtonie. Z Waszyngtonu przysłał jednak – telegrafem, a jakże by inaczej – hiobową wieść: tego samego dnia, w którym złożył wniosek w urzędzie, swoje wnioski patentowe złożyli też Gray i Edison!

Bell był pełen najczarniejszych myśli – Waszyngton słynął z korupcji. Ale wtedy jego wspólnik i przyszły teść pokazał lwi pazur. Dopilnował, by niczego nie załatwiano poza prawem. Eksperci najpierw odrzucili wniosek Edisona, jako najmniej zaawansowany technicznie. W końcu, po długich debatach, patent przyznali Alexandrowi Bellowi.

Od kilku dni obaj wynalazcy, Bell i Watson, z uczuciem ogromnej ulgi pracują nad ukończeniem prototypu telefonu.

Thomas Watson sadowi się na łóżku w pokoju sypialnym Bella i pochyla się nad odbiornikiem. Podłączone do baterii druty łączą odbiornik z urządzeniem nadawczym w pokoju laboratoryjnym. Bell nachyla się nad otworem w górnej części niewielkiej drewnianej skrzynki. Zamiast dna ma ona cienką, napiętą membranę, do środka której eksperymentatorzy przykleili korek z wystającym zeń sztywnym drucikiem. Drucik zanurzony jest w szklanym naczyniu wypełnionym wodą, w której zanurzona jest także delikatna mosiężna taśma włączona do obwodu elektrycznego. To urządzenie powinno przekształcać głos Bella na zmiany prądu w obwodzie, które skonstruowany na tej samej zasadzie odbiornik przetworzyć ma z powrotem w głos.

Alexander powoli, wyraźnie wykrzykuje do dziurki w skrzynce:

„Panie Watson, proszę tu przyjść. Chcę pana zobaczyć!".

Watson słyszy w pokoju sypialnym jego głos i natychmiast przybiega. Zrozumiał wszystko. Teraz Alexander przechodzi do swej sypialni, a Thomas ma mówić. Watson czyta fragment książki. Bell w sypialni kręci głową z udręką. Zdania są zniekształcone, raczej domyśla się, niż rozumie, co czyta jego kolega.

Ale ostatnie zdanie słyszy zupełnie wyraźnie:

„Panie Bell, czy rozumie pan, co mówię?".

Pierwsza w historii rozmowa telefoniczna kończy się. Bell pędzi jak na skrzydłach do Gardinera Hubbarda. I do Mabel.

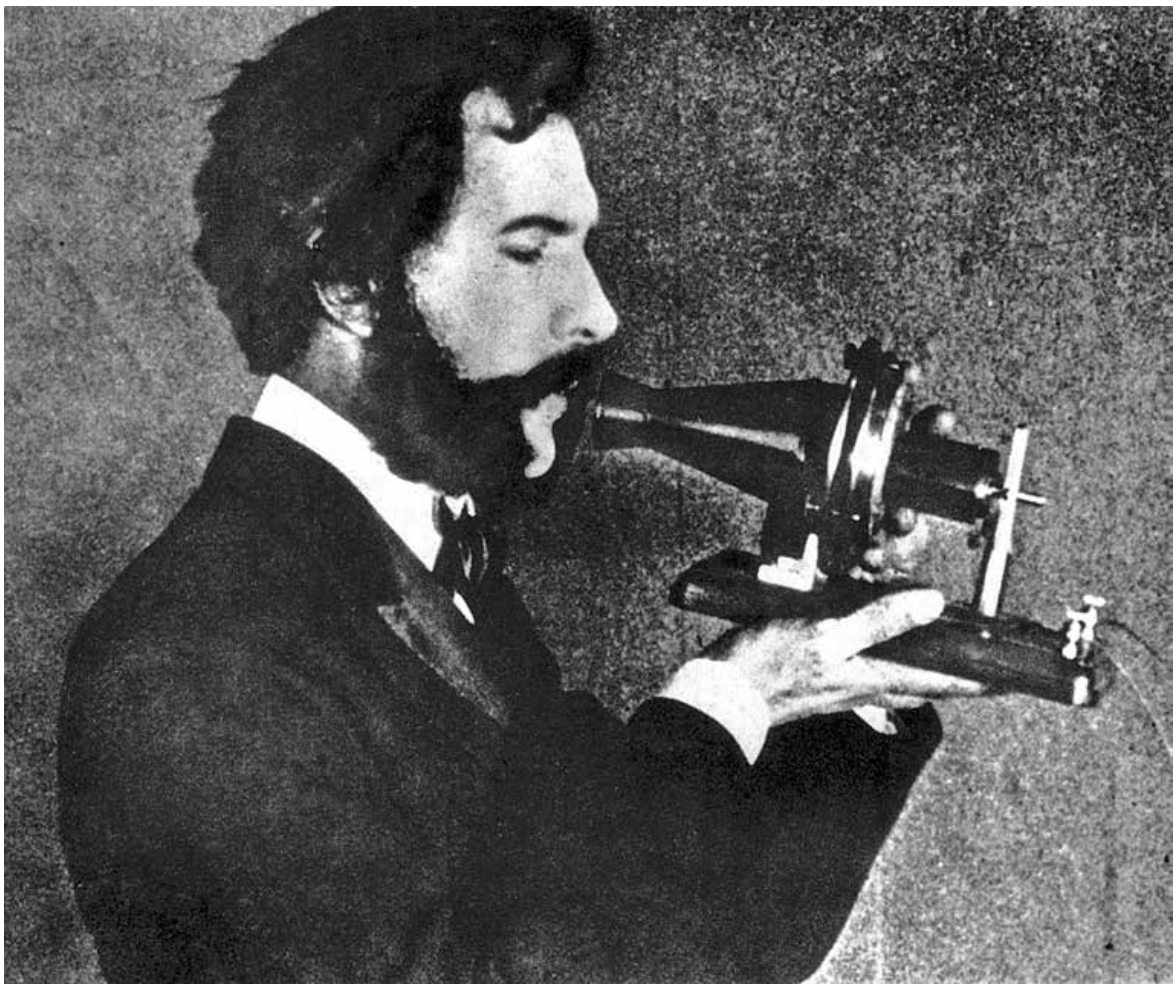

Alexander Graham Bell

11 marca 1801 ▪ środa

Najpierw coś przekąsimy i wypijemy

Car Paweł I budzi się o 4.00 w świetnym humorze, ale przez resztę dnia jest rozdrażniony i zły. Przy różnych okazjach napomyka, że

nadeszła pora rozprawy z zagrażającym mu spiskiem.

Intuicja go nie zawodzi. Spisek istnieje. Od roku konspiracja wśród wojskowych i dworzan zatacza coraz szersze kręgi, sięga najwyższych sfer. Kieruje nią gubernator Petersburga Piotr Pahlen, praktycznie druga osoba w cesarstwie rosyjskim. Przeciw monarsze spiskują wpływowi bracia Płaton, Mikołaj i Walerian książęta Zubowowie oraz dowódcy i oficerowie elitarnych pułków stacjonujących w Petersburgu. Z konspiratorami kontaktuje się i popiera ich plany zdetronizowania cara jego syn, następca tronu Aleksander.

Spisek rozrósł się błyskawicznie, gdyż powszechne jest niezadowolenie z cara. Przed 4 laty Paweł I objął tron wbrew woli matki, Katarzyny II, która chciała, by władzę przejął nie jej syn, lecz jej wnuk Aleksander. Cesarz Paweł I natychmiast zanegował dziedzictwo rządów matki. Ogłosił amnestię, zwolnił z więzienia Tadeusza Kościuszkę oraz więźniów stanu. Szybko jednak okazał się bezlitosnym tyranem, obsesyjnie usiłującym kontrolować każdy drobiazg w 42-milionowym państwie. Zakazał noszenia fryzur opuszczonych na czoło, bokobrodów, niemieckich surdutów z kolorowymi kołnierzami, białych spódnic, okrągłych kapeluszy, tańczenia walca, bicia braw, noszenia przez kobiety różnobarwnych wstążek przez ramię. Popadających za byle co w niełaskę kazał okrutnie karać; nawet szlachetnie urodzeni karani są chłostą. Oficerowie idący w Petersburgu na służbę zawsze biorą z sobą większą ilość pieniędzy – w każdej chwili, bez powodu, mogą być zesłani na Syberię. W całym kraju lawinowo rośnie liczba śledztw i represji przeciw – najczęściej wyimaginowanej – obrazie majestatu. W strachu przed uwięzieniem żyją nawet synowie cara i jego żona.

W tej atmosferze hrabia Piotr Pahlen nie miał kłopotu z pozyskaniem kolejnych spiskowców. Nie wyjawił im jednak

szczegółowych planów – wiedzą oni tylko tyle, że władzę powinien objąć Aleksander. Szczegółowo obmyślany scenariusz zamachu stanu hrabia Pahlen zamierza wyjawić dopiero tej nocy, podczas zaplanowanych przez siebie wielu kolacji i bankietów, na jakie wzywa spiskowców i tych, którzy rokują na przystąpienie do spisku.

Po zmroku hrabia Pahlen rusza saniami w mrok zaśnieżonego Petersburga. Objeżdża zaaranżowane przez siebie kolacje, wyjawia plany akcji, rozdaje role, wznosi toasty i pędzi saniami na następne przyjęcie.

Wieczorem w mieszkaniu księcia Płatona Zubowa zbiera się na kolacji 30 uczestniczących w spisku wyższych oficerów. Wszyscy są w mundurach galowych, z wstęgami orderowymi i krzyżami. Wiele z nich otrzymali od cara Pawła, ale tej nocy wstęgi są znakami rozpoznawczymi zamachowców. O 22.00 u księcia Zubowa zjawia się gen. Leoncjusz Bennigsen. Zubow informuje go, że przewrót ma być dokonany o północy, i wyjawia szczegóły planu. Bennigsen pyta, kto stoi na czele spisku. Gdy słyszy, że następca tronu Aleksander, wyciąga dłoń do Zubowa i mówi: „Na śmierć i życie". Po 23.00 wszyscy ruszają do mieszkającego w Pałacu Zimowym szefa Pułku Preobrażenskiego gen. Piotra Tałyzina. Bankietuje tam tłum ponad 60 oficerów i podoficerów. Sprowadziły ich odręcznie pisane przez hrabiego Pahlena liściki z zaproszeniami. Zaufany oficer policji sprawdza je przy drzwiach i dopiero wtedy daje znać lokajowi, by gościa prowadził do środka.

Co rusz przybywają następne grupki spiskowców, które spotykały się na inscenizowanych przez hrabiego Pahlena, solennie zakrapianych kolacjach w restauracjach i prywatnych domach. W sali u gen. Tałyzina robi się tłoczno. Pułkownicy i chorążowie,

tęgo już podchmieleni, siedzą pospołu przy długich stołach, spełniają szampanem kolejne toasty.

Dobrze po 23.00 hrabia Pahlen odkrywa karty. Wznosi toast za zdrowie nowego cesarza. Zapada cisza. Płaton Zubow wyjaśnia, że za wiedzą i zgodą następcy tronu Aleksandra wkrótce Paweł I zostanie obalony. Pijący składają przysięgę na wierność Aleksandrowi.

Kilku oficerów, przekrzykując gwar biesiady, pyta, co będzie z Pawłem I.

Hrabia Pahlen odpowiada: „Żeby zrobić jajecznicę, trzeba rozbić jajko".

Po 23.00 w Zamku Michajłowskim car Paweł I kładzie się spać.

Aleksander także idzie spać w swym apartamencie w zamku. Damę dworu swej żony prosi jednak, by natychmiast zbudziła go, gdy zjawi się hrabia Pahlen.

O północy Pahlen prowadzi mocno podpitych uczestników biesiady u Tałyzina do sąsiedniego pokoju. Jest tu pełno broni. Pahlen poleca spiskowcom uzbroić się. Potem dzieli ich na 2, liczące po kilkudziesięciu oficerów, grupy. Pierwszą sam prowadzi do Zamku Michajłowskiego. Na czele drugiej, mającej zamordować cara, idą Płaton Zubow i Bennigsen.

Grupa Bennigsena i Zubowa przemierza korytarze Zamku Michajłowskiego. Co bardziej pijani oficerowie gubią się w zakamarkach. Do drzwi przedpokoju przed sypialną cara dociera 10 spiskowców. Zubow tnie szablą w kark stojącego tam na warcie szer. Agapiewa, który zlany krwią, wali się na podłogę. Któryś z zamachowców puka do sypialni Pawła I. Kamerdyner cara budzi się i pyta, o co chodzi. Jeden ze spiskowców przydzielonych Bennigsenowi, adiutant Pułku Preobrażeńskiego Aleksander Argamakow, ma o 6.00 złożyć carowi raport. Argamakow udaje oburzonego: przedstawia się i wyjaśnia, że skoro jest już 6.00,

przyszedł złożyć raport carowi. „Jaka 6.00, przecież nie ma jeszcze północy" – dziwi się kamerdyner. „Myli się pan, pański zegarek musiał stanąć" – przekonuje Argamakow. Kamerdyner otwiera masywne drzwi, spiskowcy wbiegają do przedpokoju, wyłamują drzwi do sypialni cara. Paweł I, zbudzony hałasami w przedpokoju, zrywa się z łóżka i chowa za kotarą. Oficerowie znajdują go i sadzają na krześle. Przed dygocącym ze strachu carem, przyodzianym tylko w koszulę nocną, stoi Bennigsen i mierzy w monarchę ostrzem szabli. Reszta spiskowców nieco trzeźwieje i – przerażona swym czynem – wybiega z sypialni. Bennigsen nieoczekiwanie zostaje sam na sam z Pawłem. Nie wpada w panikę, przytrzymuje szablą cara przez kilka minut, do chwili, gdy zamachowcy wracają. Płaton Zubow wyciąga z kieszeni przygotowany zawczasu akt abdykacji i żąda od Pawła I złożenia podpisu. Paweł gwałtownie odmawia, trąca Płatona w rękę. Mikołaj Zubow łapie ze stolika masywną złotą tabakierkę i uderza silnie cara w lewą skroń. Paweł upada na ziemię. Bennigsen i Zubowowie wychodzą z sypialni. Kilkunastu pijanych spiskowców rzuca się na leżącego Pawła, okłada go pięściami. Kpt. Jakow Skariatin zdejmuje ze swego ramienia szarfę orderową i dusi cara.

12 marca 1917 ▪ poniedziałek

Ostatnia godzina

Żołnierze batalionu zapasowego Wołyńskiego Pułku Gwardii śpią jak zabici w pułkowych koszarach w Piotrogrodzie. Do wieczora brali udział w akcji rozpędzania zrewoltowanej ludności na pl. Znamieńskim. Na rozkaz oficerów oddali do tłumów kilka salw

ostrą amunicją. Byli zabici i ranni. Bezpośrednio po powrocie batalionu do koszar dowództwo wydało rozkaz: „Natychmiast spać!". Sołdaci karnie położyli się na pryczach, ale podoficerowie, wbrew rozkazowi, po północy ukradkiem zbierają się w jednej z sal. Długo szepcą o sytuacji na mieście. W końcu postanawiają, że odmówią wykonania rozkazów tłumienia protestów ludności.

Rewolta mieszkańców Piotrogrodu zaczęła się przed 4 dniami, 8 marca, dość niewinnie: z okazji Międzynarodowego Święta Kobiet działaczki robotnicze zorganizowały nielegalne manifestacje antywojenne. Nieoczekiwanie przyszło ponad 100 tys. robotnic i robotników – wszyscy mieli dość wojny, klęsk na frontach, korupcji, drożyzny, braku chleba. Policja i żandarmi rozproszyli demonstracje, ale odtąd z każdym dniem na ulicach protestowało coraz więcej ludzi. I coraz więcej piotrogrodzkich fabryk ogłaszało strajk. Władze jednak nie okazywały niepokoju: dopóki wojsko pozostaje lojalne wobec rządu i cara, dopóty żadnej rewolucji nie będzie. Car Mikołaj II w ogóle niczym się nie przejmował i nad niczym nie panował. W kwaterze głównej armii w Mohylewie zajmował się głównie celebrowaniem śniadań, kolacji i długimi spacerami.

O 4.20 w gmachu rosyjskiego rządu w Piotrogrodzie telegrafista kończy wystukiwać tekst depeszy carskiego ministra spraw wewnętrznych Aleksandra Protopopowa do gen. Władimira Wojejkowa, komendanta pałacu carskiego i zaufanego Mikołaja II: „Dziś porządek w mieście utrzymywał się do godz. 16.00, kiedy na Newskim Prospekcie zaczęły się zbierać tłumy niereagujące na rozkaz rozejścia się. Wobec czego oddział wojska, znajdujący się w pobliżu Rady Miejskiej, oddał 3 salwy ślepymi nabojami, rozpraszając zbiegowisko. W tym samym czasie na ul. Ligowskiej zgromadziły się wielkie tłumy, podobnie jak na pl. Znamieńskim

oraz na skrzyżowaniu Newskiego Prospektu z Prospektem Władimirowskim i ul. Sadową. We wszystkich wymienionych punktach tłum zachowywał się agresywnie, obrzucając wojsko kamieniami i kawałami lodu. Dlatego kiedy strzały na postrach nie odniosły skutku, wywołując jedynie kpiny z żołnierzy, wojsko, by położyć kres zamieszkom, musiało uciec się do strzelania ostrymi nabojami, w wyniku czego padło kilku zabitych i rannych, którzy przeważnie zostali zabrani przez uciekających".

O 6.00 w koszarach Wołyńskiego Pułku Gwardii zbuntowani w nocy podoficerowie robią żołnierzom pobudkę i namawiają ich do buntu.

Ale na rozkaz dowódcy batalionu żołnierze karnie fasują ostrą amunicję i wychodzą na plac apelowy. Tam, przed frontem oddziału, odczytany zostaje rozkaz dzienny wyższego dowództwa: znów tłumienie demonstracji i zamieszek na ulicach Piotrogrodu. Sołdaci łamią szyk, protestują. Kpt. Łaszkiewicz wzywa ich do posłuchu. Kilku żołnierzy strzela doń z paru kroków. Kapitan ginie na miejscu.

Zbuntowany batalion wychodzi na ulicę. Na wieść o tym buntują się stacjonujące po sąsiedzku pułki Litewski i Wołyński. Potężny tłum uzbrojonych żołnierzy i rozgorączkowanych cywilów skręca w prospekt Litejny.

O 7.00 dowódca zapasowego batalionu Wołyńskiego Pułku Gwardii telefonuje do dowódcy Piotrogrodzkiego Okręgu Wojskowego gen. Sergiusza Chabałowa z informacją, że zbuntowała się część jego batalionu. Całkowicie nieudolny gen. Chabałow nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji – beztrosko poleca zamknąć zbuntowany oddział w koszarach.

Tymczasem część zrewoltowanych żołnierzy wdziera się do gmachu sądu okręgowego na prospekcie Litejnym. Plądrują

budynek i podpalają go.

O 11.12 carowa Aleksandra, przebywająca wraz z dziećmi w pałacu w nieopodal Piotrogrodu Carskim Siole, telegrafuje do Mikołaja II: „Rewolucja przybrała wczoraj groźne rozmiary. Wiem, że przyłączyły się do niej jednostki wojskowe. Takich złych wiadomości dotychczas jeszcze nie było".

Car telegramem żony nie przejmuje się.

O 12.40 telegrafuje z Piotrogrodu do Mikołaja II Michaił Rodzianko, przewodniczący Dumy Państwowej, rosyjskiego parlamentu: „Sytuacja pogarsza się. Trzeba natychmiast podjąć środki zaradcze, bo jutro będzie za późno. Nadeszła ostatnia godzina, w której rozstrzygają się losy ojczyzny i dynastii". Car czyta depeszę i z irytacją zauważa: „Ten tłuścioch Rodzianko znów pisze do mnie jakieś nonsensy, na które nawet nie mam zamiaru odpowiadać".

Przed 2 dniami car wydał dekret o przerwaniu obrad Dumy. Część deputowanych nie ma pojęcia o dekrecie i jak zwykle przybywa późnym rankiem do Pałacu Taurydzkiego. Przewodniczący Rodzianko odczytuje im tekst dekretu. Deputowani zawieszonej Dumy postanawiają jednak, że odbędą zebranie prywatne. Rodzianko zostaje z nimi. Po krótkiej naradzie powołują Tymczasowy Komitet Dumy Państwowej, z Michaiłem Rodzianką na czele. W jego skład wchodzą znani politycy: Paweł Milukow, książę Lwow, Aleksander Kiereński. Komitet wydaje oświadczenie, w którym stwierdza, że zmuszony jest samodzielnie przywrócić porządek w państwie. To w istocie deklaracja przejęcia władzy w Rosji.

Ani z carem, ani z rządem, który chaotycznie obraduje w piotrogrodzkim Pałacu Maryjskim, nikt się już nie liczy.

Tłum zrewoltowanych żołnierzy i cywilów, po spaleniu gmachu sądu na prospekcie Litejnym, rozbija Zamek Litewski, w którym

mieszczą się więzienia wojskowe i kobiece, podpala pałac ministra dworu Fredericksa, willę dworskiego lekarza Badmajewa, budynki komisariatów policji. Uwolnieni z więzień kryminaliści rabują sklepy i podpalają prywatne domy. W mieście szerzy się chaos.

W dzielnicy Wyborskiej bolszewicy od początku strajków przygotowywali się do przeciągnięcia na swą stronę oddziałów wojskowych i rozpalenia rewolucji. Od rana rozrzucają ulotki głoszące, że na Dworcu Finlandzkim urzęduje sztab rewolucyjny. Ale zrewoltowany tłum żołnierzy i cywilów nie zastaje tam żadnego sztabu, ba, żadnego bolszewika. Bolszewicy są za słabi, by pokierować rodzącą się rewolucją. Spóźniony Michaił Kalinin, widząc na dworcu fiasko planów swoich towarzyszy, rzuca tylko hasło: „Rozbić więzienia, uwolnić politycznych!". Tłumy spontanicznie ruszają w miasto.

Wszelkie szanse opanowania sytuacji grzebie swą nieudolnością gen. Chabałow. Najpierw zbiera raptem 6 kompanii piechoty i wysyła je, by spacyfikowały batalion zapasowy Wołyńskiego Pułku Gwardii. Gdy zaś dowiaduje się, że zbuntowały się 3 pułki, w sumie 10 tys. żołnierzy, wpada w panikę i rozkazuje wszystkim oddziałom garnizonu piotrogrodzkiego pozostanie w koszarach. Naiwnie liczy, że to najlepszy sposób uchronienia wojska przed rewolucyjną agitacją. Na jego rozkaz ponad 170 tys. doskonale uzbrojonych sołdatów, wyposażonych w artylerię, samochody pancerne, nowoczesne środki łączności, zostawia stolicę na łasce losu.

O 16.00 Piotrogród, z wyjątkiem Twierdzy Pietropawłowskiej, Pałacu Zimowego, gmachu Admiralicji, jest już w rękach zrewoltowanych, uzbrojonych tłumów.

Jednym z nielicznych wojskowych wysokiej rangi, którzy nie tracą tego dnia głowy, jest minister spraw wojskowych gen.

Michaił Bielajew. Po południu poleca gen. Michaiłowi Zankiewiczowi przejęcie obowiązków od nieudolnego, spanikowanego gen. Chabałowa i wydaje rozkaz wprowadzenia w Piotrogrodzie stanu oblężenia. Niewiele już jednak może zrobić. O godz. 23.53 wysyła do kwatery głównej w Mohylewie depeszę, w której przyznaje się do bezsilności: z żołnierzy z pułków zapasowych w Carskim Siole udało się zorganizować tylko niewielkie oddziały, zapasowa bateria artylerii odmówiła załadowania się do wagonów, artyleria szkół wojskowych nie ma amunicji.

O północy gen. Bielajew poleca swojemu sekretarzowi telefonować do Pałacu Maryjskiego, siedziby rządu, i wezwać do aparatu ministra Krieger-Wojnowskiego. Sekretarz dzwoni, przedstawia się i prosi o połączenie z ministrem. Po dłuższej chwili słyszy w słuchawce stłumione głosy jakichś osób znajdujących się w pobliżu telefonu. Jedna z nich woła, żeby być ostrożnym i zachować ciszę, bo telefonuje minister spraw wojskowych. Wreszcie ktoś bierze słuchawkę i przedstawia się jako minister Krieger-Wojnowski. Sekretarz zdaje sobie jednak sprawę, że to nie jest znajomy głos Kriegera. Cicho uprzedza o tym gen. Bielajewa i oddaje mu słuchawkę. Generał nie odzywa się, czeka. Po dłuższej chwili słyszy stłumione głosy: „Tamtą paczkę już sprawdziłem, zabierz te dokumenty!". Generał rozłącza się i zabrania odtąd telefonować do Pałacu Maryjskiego. Carski rząd przestał istnieć.

13 marca 1938 ▪ niedziela

Koniec Austrii

Północ dawno minęła, ale w położonym nad brzegiem Dunaju hotelu Weizinger w austriackim Linzu palą się wszystkie światła. Cały hotel zajęty jest przez świtę Hitlera, który wczoraj o godz. 15.50, w ślad za oddziałami Wehrmachtu, przekroczył granicę niemiecko-austriacką. Führer przejechał przez most w Braunau, mieścinie, w której się urodził. Kanclerz III Rzeszy urzęduje w najlepszym apartamencie, wyposażonym w jedyny w hotelu aparat telefoniczny. Jest w euforii. Do Austrii wkroczył siłą, po wielu latach nieobecności. Wysłuchuje meldunków o zajmowaniu kraju przez niemiecką armię, o reakcjach światowej prasy, to znów wygłasza do współpracowników tyrady o wypełnieniu przezeń dziejowej misji połączenia obu niemieckich krajów.

Dziś, 13 marca, miało się odbyć w Austrii referendum kładące tamę systematycznemu podminowywaniu państwa przez zwolenników Hitlera. Celem nazistów było doprowadzenie niepodległej Austrii do unii z III Rzeszą. Wrogi hitlerowcom austriacki kanclerz Kurt Schuschnigg przed 4 dniami zupełnie nieoczekiwanie ogłosił referendum, którego pytania sformułował tak zręcznie, iż odrzucenie unii z Berlinem przez Austriaków było właściwie pewne. Ale Schuschnigg przeliczył się z własnymi siłami. W Europie nie ma komu bronić niepodległości jego kraju. Trawiona przesileniem politycznym Francja nie ma rządu. Mussolini zmienił front i Włochy pogodziły się z podporządkowaniem Austrii Hitlerowi. W Londynie nikt nie chce umierać za Wiedeń; błagania kanclerza Schusnigga o obronę przed Hitlerem lord Halifax kwituje chłodno: „Rząd Jego Królewskiej Mości nie jest w stanie zagwarantować ochrony". Hitler stawia osamotnionemu Schuschniggowi ultimatum. Żąda jego dymisji, powołania austriackiego nazisty Artura Seyss-Inquarta na stanowisko kanclerza

i odroczenia referendum. Schuschnigg boi się wzniecenia przez hitlerowców wojny domowej i ustępuje. Kanclerzem zostaje Seyss-Inquart. Wiedeń spełnia więc wszystkie żądania Hitlera, ale ten wyczuwa słabość europejskich mocarstw i wydaje rozkaz wkroczenia Wehrmachtu do Austrii. Inwazję nazywa „przyjacielską wizytą" oddziałów niemieckich.

Rano przed hotelem Weizinger gromadzą się tłumy Austriaków z chorągiewkami ze swastyką. Nie milkną okrzyki „*Ein Volk, ein Reich, ein Führer*" (Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz). Tak jest w całej Austrii – jak spod ziemi pojawiają się bojówki nazistów, na ulicach tłumy świętują objęcie władzy przez hitlerowców. W Wiedniu pod flagami ze swastyką manifestuje 300 tys. mieszkańców. W południe odbywa się tryumfalna defilada cywilnych samochodów i motocykli wiedeńczyków, nieco później wielka manifestacja młodzieży, popierająca podporządkowanie kraju III Rzeszy. Po południu na wiedeńskim rynku defiluje świeżo przybyły do stolicy batalion niemieckiej piechoty wraz z wojskową orkiestrą (pierwsze samochody pancerne Wehrmachtu, w niełądzie, zdziesiątkowane po drodze awariami, zjawiły się w Wiedniu wczoraj o 22.00). Ledwo kończy się przemarsz piechoty, rozpoczyna się przejazd ulicami miasta kolumn 2. Dywizji Pancernej Wehrmachtu, także tęgo przetrzebionych awariami na szosie z Linzu do Wiednia. Witają je z entuzjazmem tłumy publiczności. O 19.00 na rynku rozpoczyna się defilada policji wiedeńskiej. Odbiera ją oddział utworzony z funkcjonariuszy zwolnionych wcześniej z policji austriackiej za przynależność do partii narodowosocjalistycznej. Teraz policjanci-naziści stoją dumnie pod transparentem: „Nielegalni w latach 1933–1938".

Radio wiedeńskie ogłasza oficjalny komunikat: „Hitler do Wiednia dziś nie przyjedzie. Oficjalna iluminacja miasta zostaje

przełożona, natomiast obowiązuje wywieszanie flag hitlerowskich".

Hitler rzeczywiście zmienia swój pierwotny plan i zamiast ruszać rankiem do Wiednia, zostaje w hotelu Weizinger w Linzu. O 10.00 jedzie do pobliskiego Leonding, gdzie składa kwiaty na grobie rodziców i odwiedza dom, w którym mieszkała jego rodzina. Biją kościelne dzwony, mercedes kanclerza III Rzeszy z trudem przeciska się przez tłumy rozentuzjazmowanych mieszkańców. Potem Hitler wraca do hotelu i przez jedyny telefon zamawia rozmowę z Mussolinim. Chce jeszcze raz, osobiście, upewnić się, że Duce zaakceptował zajęcie Austrii. Mussolini potwierdza, że zgadza się na przyłączenie jej do Rzeszy. Rozradowany Hitler zaraz po odłożeniu słuchawki dyktuje telegram: „Mussolini, nigdy panu tego nie zapomnę!".

Krótko po południu kanclerz III Rzeszy podejmuje jeszcze jedną pokerową zagrywkę. Powściągliwe reakcje europejskiej prasy na zajęcie Wiednia i entuzjastyczne przywitanie Wehrmachtu przez ludność skłaniają go do porzucenia zamiaru stworzenia unii Austrii i III Rzeszy, z zachowaniem jednak formalnej odrębności państwa austriackiego. Wezwany w nagłym trybie do hotelu Weizinger sekretarz stanu niemieckiego ministerstwa spraw wewnętrznych pośpiesznie szkicuje Ustawę o zjednoczeniu Austrii z Rzeszą Niemiecką. Najbliższe otoczenie Hitlera, całkowicie zaskoczone, ogarnia entuzjazm. O godz. 15.00, na obiedzie w hotelowej restauracji, na który zaproszeni są przywódcy austriackich nazistów, Hitler zapowiada, że wkrótce ogłoszona zostanie ważna ustawa o inkorporacji Austrii. Seyss-Inquart jest niemile zaskoczony. Witając przed 2 dniami wkraczającego Hitlera, nie ukrywał, że liczy na zachowanie państwowości austriackiej i fotela kanclerskiego dla siebie. 2 godziny później, o 17.00, kadłubowy, przetrzebiony wymuszonymi dymisjami rząd austriacki jednogłośnie przyjmuje

ustawę spisaną w hotelu Weizinger. Całe posiedzenie trwa 5 minut, a kończy się podniesieniem przez głosujących rąk w hitlerowskim pozdrowieniu. Ustawa spisana jest na jednej kartce papieru. Artykuł 1. głosi: „Austria jest krajem Rzeszy Niemieckiej".

Prezydent Austrii Wilhelm Miklas odmawia jednak podpisania ustawy zjednoczeniowej i składa dymisję. Pełnię władzy przekazuje hitlerowskiemu kanclerzowi Austrii Seyss-Inquartowi. Ten natychmiast karnie wsiada do samochodu i pędzi z Wiednia do hotelu Weizinger w Linzu po polecenia od Hitlera. Kanclerz III Rzeszy jeszcze przed kolacją formalnie potwierdza ustawę o likwidacji Austrii jako państwa – od tej pory jest to już tylko niemiecka prowincja. Dodatkowo zarządza natychmiastowe wcielenie armii austriackiej do Wehrmachtu. Seyss-Inquart, który przyjechał do hotelu Weizinger jako premier niepodległego kraju, wraca jako jeden z wielu funkcjonariuszy partii nazistowskiej.

Likwidację państwa austriackiego oficjalnie ogłasza o 20.40 szef prasowy wiedeńskiego rządu Joseph Hans Lazar. Tłumy Austriaków jak szalone fetują na ulicach koniec swojego państwa. Austriacki Kościół ewangelicki wydaje deklarację, że w historycznej chwili włączenia narodu austriackiego do jednej niemieckiej wspólnoty Kościół ten staje w jednym szeregu z macierzystym Kościołem niemieckim w służbie wiary i narodu. Wiedeńscy policjanci nakładają na rękawy opaski ze swastykami.

Wieczorem na wiedeńskim dworcu setki Żydów, obywateli polskich od 1918 roku mieszkających w Wiedniu, oblegają pociągi wyjeżdżające do Polski (w stolicy Austrii mieszka ok. 30 tys. obywateli RP pochodzenia żydowskiego). Pikiety SA dokonują na peronach rewizji osobistych w poszukiwaniu dewiz. Od rana Żydów w Austrii obowiązuje zakaz otwierania własnych sejfów i skrytek w bankach.

14 marca 1757 ▪ poniedziałek

Dwie chusteczki

Ok. 11.00 od wszystkich brytyjskich okrętów wojennych zakotwiczonych na redzie portu Portsmouth i nieco dalej, w cieśninie Solent, odbijają szalupy. W każdej z nich siedzą w mundurach galowych kapitan i pierwszy oficer okrętu. Wszyscy bez wyjątku, z rozkazu Admiralicji, mają stawić się przed południem na pokładzie 74-działowego okrętu liniowego HMS „Monarch" (dawnego francuskiego liniowca „Monarque", zdobytego przez Brytyjczyków w 1747 roku, w drugiej bitwie pod Cape Finisterre, i wcielonego do Royal Navy). Wczoraj jednak kapitanowie jednostek kotwiczących na redzie Portsmouth uznali na naradzie, że jest ich zbyt wielu i na pokładzie HMS „Monarch" ich obecność spowodowałaby tłok i bałagan. Kapitanowie postanowili, iż pozostaną w swoich szalupach ustawionych w równym rzędzie u burt HMS „Monarch", w których na znak szacunku wszyscy marynarze uniosą wiosła pionowo do góry. Kapitanom nie jest spieszno na pokład okrętu liniowego także dlatego, że mają być świadkami egzekucji brytyjskiego admirała Johna Bynga. Niejeden z nich zna Bynga i lubi go; niemal wszyscy uważają wyrok śmierci dla niego za zbrodnię sądową.

John Byng urodził się w 1704 roku w Bedfordshire jako czwarty syn z 15 dzieci, adm. *sir* George'a Bynga, zasłużonego i docenianego przez brytyjskich monarchów dowódcy floty, którego król Jerzy I mianował I wicehrabią Torrington, a król Jerzy II powołał na stanowisko Pierwszego Lorda Admiralicji.

John poszedł w ślady ojca i wstąpił do Królewskiej Marynarki Wojennej jako kadet w wieku 14 lat. Dostał przydział na Morze

Śródziemne, do floty dowodzonej przez jego ojca. Parę miesięcy później John wziął udział – na pokładzie okrętu liniowego HMS „Superb" – w bitwie koło przylądka Passero, w której flota dowodzona przez jego ojca odniosła wielki sukces.

Po kolejnych awansach kpt. John Byng objął w 1931 roku dowództwo HMS „Gibraltar" we Flocie Śródziemnomorskiej. Miał wówczas 27 lat i był to we flocie brytyjskiej awans wręcz błyskawiczny. Ojciec – wtedy już Pierwszy Lord Admiralicji – ciągle czuwał nad karierą syna.

Kolejne 14 lat służby Johna Bynga upłynęło bez bitew, nawet bez szczególnych wydarzeń. W 1745 roku został mianowany kontradmirałem. Był to wypadek bez precedensu, że do tak wysokiej rangi awansowano stosunkowo młodego oficera, który nigdy nie dowodził w bitwie ani flotą, ani choćby eskadrą. Co tam zresztą dowodził – Byng junior proch bitewny powąchał tylko jako nastoletni kadet!

Niewątpliwie awans ten John Byng zawdzięczał wpływowym przyjaciołom nieżyjącego już ojca.

W 1746 roku Byng został sędzią sądu wojskowego orzekającego w sprawie nieudanej akcji brytyjskiej eskadry w czasie bitwy z flotą francusko-hiszpańską pod Tulonem w roku 1744. W czasie trwającego 3 dni pościgu szyk floty brytyjskiej uległ rozluźnieniu, straż tylna wiceadm. Lestocka została w tyle, ale agresywny adm. Matthews nie chciał tracić okazji i regulaminowo formować szyk – zaatakował bez chwili zwłoki. Wiceadm. Lestock trzymał się jednak kurczowo regulaminu i zamiast wspomóc walczące okręty Matthewsa, pracowicie równał linię swej eskadry. Francuzom i Hiszpanom udało się uciec.

Sąd wojenny uznał, że Matthews winien trzymać się regulaminu, i mimo śmiałego ataku na wroga wyrzucił go z armii. Lestocka

natomiast uniewinnił – regulamin miał być ważniejszy od szansy na zwycięstwo.

Pod wyrokiem tym bez zastrzeżeń podpisał się kontradm. John Byng.

Ironia losu sprawiła, że 10 lat później wyrok ten miał przyczynić się do jego zguby.

John Byng tymczasem służył nadal w Royal Navy. Omijały go bitwy, ale nie awanse. W 1756 roku był już wiceadmirałem.

W marcu 1756 roku brytyjski wywiad doniósł, że w Tulonie Francuzi sposobią silną flotę i korpus wojsk ekspedycyjnych, by zaatakować i zająć należącą do Korony wyspę Minorkę na Morzu Śródziemnym. Admiralicja nieoczekiwanie mianowała Johna Bynga admirałem, poleciła mu sformować z obecnych w Portsmouth okrętów eskadrę i ruszyć na odsiecz siłom brytyjskim na Minorce. W Portsmouth Bynga ogarnęło przerażenie – przeznaczone pod jego rozkazy 13 okrętów liniowych było w fatalnym stanie: źle konserwowane liny przegniły, kadłuby przeciekały, załogi były niekompletne, niezdyscyplinowane i źle wyszkolone. Brakowało prochu do dział. Byng zaalarmował w listach Admiralicję i prosił o czas na ogarnięcie zaniedbanych jednostek, ale w odpowiedzi dostał rozkaz przyspieszenia wyjścia w morze o 5 dni. Flota Bynga dopłynęła do Gibraltaru 2 maja. Tam admirał dowiedział się, że Francuzi wylądowali już na Minorce i oblegają ostatni punkt oporu Brytyjczyków – cytadelę San Felipe. Wskutek niedbalstwa Admiralicji garnizon San Felipe był osłabiony i nie miał szans na długie stawianie oporu.

Byng na czele swej kiepskiej floty ruszył na odsiecz.

Jego eskadra spotkała liczącą 12 okrętów liniowych eskadrę francuską adm. de la Galissounière'a niedaleko Minorki. Wskutek trudności w utrzymaniu łączności 3 czołowe okręty angielskie

oderwały się od szyku i dostały pod skoncentrowany ogień z lewej burty całej eskadry francuskiej. Oficerowie sztabu Bynga namawiali go, by łamiąc szyk, rzucił choć parę okrętów na pomoc nieszczęsnej czołowej trójce, ale admirał, pomny podpisanego przez siebie przed 10 laty wyroku w podobnej sprawie Matthewsa i Lestocka, odmówił. HMS „Intrepid" ze zdemolowanym takielunkiem stanął na drodze reszcie eskadry brytyjskiej i omijając go, trzeba było złamać szyk – wedle regulaminu Royal Navy rzecz świętą.

Francuzi odpłynęli. Żaden z okrętów Bynga nie zatonął, ale ledwie trzymały się na wodzie. Eskadra wróciła do Gibraltaru. Byng ogarnął nieco swe okręty i chciał ruszyć w stronę Minorki, ale bombardowany przez Francuzów garnizon brytyjski w San Felipe poddał się.

John Byng został wezwany do Wielkiej Brytanii i postawiony przed sądem wojennym.

Oskarżony został o naruszenie *Articles of War*, regulaminów szczegółowo i z drakońską surowością regulujących działania marynarki wojennej. W gruncie rzeczy oskarżano go o to samo, za co sąd wojenny z jego udziałem 10 lat wcześniej uniewinnił wiceadm. Lestocka. Ale tym razem szło nie o porażkę w bitwie morskiej, ale o utratę dużej wyspy i bardzo ważnej bazy morskiej. Sąd uznał Bynga za winnego złamania zapisów *Articles of War* (w szczególności winnego tchórzostwa i unikania walki, co było jawną nieprawdą), które za tę przewinę przewidywały karę śmierci. Sami sędziowie uznali, że kara śmierci byłaby w przypadku Bynga nadużyciem, i od razu wnioskowali o jej zamianę na karę łagodniejszą. Ale w sprawę adm. Bynga wmieszała się polityka – Admiralicja za nic nie chce przyznać, że sama skandalicznie zaniedbała sprawę obrony Minorki. Wyrok sądu wojennego został

więc nieoczekiwanie zatwierdzony. Jeszcze większym szokiem było nieskorzystanie przez króla z prawa łaski.

Na pokładzie HMS „Monarch" żołnierze piechoty morskiej ustawiają się równiutkimi szeregami po obu burtach, od dziobu po rufę. Tylko po jednej stronie rufy jest pusto. W tym miejscu marynarze wysypali gruby, parometrowej średnicy krąg trocin. Na środku położyli ozdobną poduszkę. Obok stoi wysoki, zażywny mężczyzna we fraku i eleganckiej peruce. To skazaniec – adm. John Byng. Podczas procesu i dziś, w dzień egzekucji, trzyma się nad wyraz dzielnie.

Na rufie ustawia się liczący 9 żołnierzy pluton egzekucyjny korpusu piechoty morskiej. Żołnierze stają w 3 rzędach, po trzech.

Tuż przed 12.00 Byng schodzi do swej byłej kajuty. Modli się, obchodzi ją i powoli, z godnością wraca na pokład. Mijając stojącego w grupie oficerów sekretarza Admiralicji, mówi doń: „Chodźmy, mój przyjacielu".

Już na pokładzie wręcza sekretarzowi list z dokładnym usprawiedliwieniem swoich działań w bitwie pod Minorką. Wielu mijanych oficerów jawnie okazuje mu sympatię – wyrok uznają za zbrodnię sądową, motywowaną politycznie.

Byng przechodzi na rufę, klęka na poduszce. Jeden ze współczujących oficerów okrętu ofiaruje się zawiązać mu oczy, ale admirał sam zawiązuje sobie chustkę. Jego przywilejem jako admirała jest wydanie samemu komendy do egzekucji. Byng podnosi rękę z drugą białą chusteczką. To znak, by strzelać. Huk wystrzałów, dym. Strzeliło 6 żołnierzy. Jeden chybił, 4 kule raniły skazańca nieznacznie, jedna przeszyła jego serce.

Marynarze w takt werbli składają ciało admirała do trumny i znoszą do szalupy. Na brzegu czeka już powóz, który odwiezie trumnę do rodzinnego grobowca.

Egzekucja adm. Johna Bynga

15 marca 44 p.n.e. ▪

Sześćdziesiąt sztyletów i rysik

To jest niedobra noc. Gajusz Juliusz Cezar nie może zasnąć. Rankiem czuje się bardzo kiepsko. Jego żonę Kalpurnię dręczyły straszne sny. Widziała w nich, jak nagle otwierają się wszystkie drzwi i okna w ich sypialni, jak wali się fronton ich domu. I widziała Cezara: leżącego na jej kolanach, martwego.

Cezar ma dziś udać się na posiedzenie senatu. Kalpurnia błaga go, by pozostał w domu. Popiera ją lekarz przyboczny. Cezar, dla którego obowiązek ma pierwszeństwo przed własną słabością, tym razem skłonny jest ulec namowom żony. Tym bardziej że przypomina sobie niedawne ostrzeżenie haruspika, czyli urzędowego wróżbity, Spurinny, który przepowiedział mu nieszczęście w idy marcowe. Idy marcowe, czyli dziś.

Spurinna nie rzuca słów na wiatr. W Rzymie zawiązał się spisek na życie Cezara. Spiskowców jest ponad 60.

Marek Juniusz Brutus wcześniej walczył przeciw Cezarowi w wojnie domowej po stronie Pompejusza, ale zwycięski Gajusz Juliusz wybaczył mu. Mało tego, nadał wysokie godności. Nienawiść Brutusa wzmaga jego niepewność, czy Cezar nie jest aby jego nieślubnym ojcem. Serwilia, matka Brutusa, była ongiś kochanką Cezara.

Gajusz Kasjusz Longinus też walczył w armii Pompejusza. I jemu Cezar wybaczył, i jego obdarzył godnościami.

Kwintus Ligarius to kolejny weteran armii Pompejusza, któremu Cezar po zwycięstwie wybaczył winy.

Decymus Juniusz Brutus był oficerem Cezara w Galii. Podobnie jak Gajusz Treboniusz, Serwiusz Sulpicjusz Galba, Lucjusz Minucjusz Basylus. Ich wszystkich Cezar nagradzał wysokimi urzędami i nadaniami majątków. Tak jak kolejnych spiskowców – swoich politycznych stronników – Publiusza Serwiliusza Kaskę i Lucjusza Tiliusza Cymbra.

Chcą zabić Cezara, bo uważają, że wkrótce ogłosi się królem Rzymu i zlikwiduje ich ukochaną republikę. Plotkuje o tym od pewnego czasu cały Rzym. Spiskowców do zamachu skłaniają wydarzenia ostatniego miesiąca. W połowie lutego Cezar oficjalnie przyjął tytuł dożywotniego dyktatora, *dictator perpetuo*. W swoim ręku skupił ogromną władzę. Ba, nie zachowywał nawet pozorów, irytując arogancją wobec republikańskiego mitu. 15 lutego, w dniu Luperkaliów, święta płodności, młodzi mężczyźni wybiegli na ulice Rzymu okryci jedynie przepaskami na biodrach i zgodnie ze starożytnym obyczajem smagali młode kobiety rzemykami z koźlęcej skóry. Cezar obserwował później ich uroczystą defiladę przybrany w królewską szatę, siedząc na zdobnym krześle na

honorowej trybunie. Nieoczekiwanie jego stronnik Licyniusz na oczach tłumu nałożył na jego czoło królewski diadem. Gest był oczywisty – oto dyktatorowi ofiarowuje się władzę królewską. Nagle jednak Kasjusz diadem zerwał ze skroni Cezara i położył na kolanach. Sytuację próbował ratować stronnik Cezara – Marek Antoniusz. Podbiegł, chwycił diadem i włożył ponownie na głowę dyktatora. Ale zirytowany Cezar sam zerwał go i odrzucił. Tłum nagrodził ten gest entuzjastyczną owacją.

Spiskowcy chcą zabić Cezara nie tylko z powodów ideowych, z obawy, że zasiądzie na tronie. Nie potrafią pogodzić się z faktem, że opływają w dostatki (a niektórzy – że po prostu żyją) tylko dzięki jego łasce. Nazwali siebie „wyzwolicielami", zaprzysięgli sobie lojalność i ustalili, że zaatakują w idy marcowe podczas obrad senatu. Każdy z zamachowców ma uderzyć dyktatora sztyletem.

Senat obraduje dziś w budynku wzniesionym przez Pompejusza przy jego teatrze. Przed budynkiem zbierają się konspiratorzy. W szatach ukryli sztylety. Wtem dociera do nich wieść, że Cezar nie ma zamiaru przybyć. Decydują się szybko. Do domu Cezara rusza Decymus Brutus. Przekonuje gospodarza, że nie powinien opuszczać posiedzenia – wszak senat zwołał je na jego osobiste życzenie. Brutus bierze Cezara za rękę i wyciąga z domu. Dyktator zmierza do senatu całkiem bezbronny. Niedawno oddalił swą osobistą ochronę złożoną z wiernych weteranów. Droga dłuży się. Na ulicach do lektyki cisną się liczni petenci, którzy wtykają podania i memoriały. Znudzony dyktator jak zwykle odkłada takie pisma na bok. Do lektyki dociska się wreszcie Grek Artemidoros z Knidos, agent Cezara, który biegł za nią aż od domu dyktatora. Od przyjaciół Brutusa usłyszał o spisku i czym prędzej spisał ostrzeżenie na papirusie. Artemidoros wręcza rulon i z naciskiem prosi, by go niezwłocznie przeczytać. Cezar rozwija go, ale oto już gmach senatu.

Wysiada więc i wchodzi na schody, trzymając zrolowane pismo w ręku.

Zauważa z boku haruspika Spurinnę, który przepowiadał mu nieszczęście.

– Oto nadeszły idy marcowe – mówi doń drwiąco.

– Ale jeszcze nie minęły, Cezarze – odpowiada wróżbita.

Jak jest w zwyczaju, przed wkroczeniem Cezara do senatu Spurinna bada ptaki ofiarne. Pierwsza ofiara ma nieprawidłowo ukształtowane wnętrzności. Cezar poleca zbadać następne zwierzę. Ta wróżba też jest zła. Czas płynie, świta Cezara niecierpliwi się, dogaduje, że stał się zabobonny. Cezar macha ręką, zostawia haruspika z wypatroszonymi ptakami i rusza do senatu.

Nie zauważa, że Treboniusz, Decymus Brutus i kilku senatorów zatrzymują w przedsionku towarzyszącego mu Marka Antoniusza. Brutus od początku spisku upierał się, by Antoniusza oszczędzić. Poza tym zamachowcy boją się tego wiernego, dzielnego żołnierza.

Cezar wkracza na salę senatu. Wszyscy powstają z miejsc. Gość siada na pozłacanym krześle. Nieoczekiwanie powstaje zamęt. Cezara otacza kilkudziesięciu senatorów. Jeden z nich, Tiliusz Cymber, zaczyna gorąco prosić o zgodę na powrót jego brata z wygnania. Dyktator odmawia. Reszta senatorów popiera błagania kolegi, całuje Cezara po rękach, chwyta jego togę. Dyktator jest zirytowany. Usiłuje wstać z krzesła, ale w tym momencie Tiliusz Cymber mocnym szarpnięciem zrywa mu togę z ramion. To umówiony sygnał do ataku. Rozwścieczony Cezar krzyczy: „To jest gwałt!". W tej chwili stojący za nim Serwiliusz Kaska uderza go sztyletem w szyję. Cezar odwraca się z okrzykiem „Co czynisz, przeklęty Kasko!?", i przebija mu rękę jedyną bronią, jaką ma przy sobie – niedużym rysikiem do pisania. Szamoce się, usiłuje wyrwać. Ale ze wszystkich stron godzą weń sztylety. Jako drugi zadaje cios

Kasjusz. Kolejne uderzenia. Po ciosie Brutusa Cezar zasłania głowę togą i osuwa się na ziemię. Zamachowcy tłoczą się nad leżącym – zaprzysięgli przecież, że każdy z nich zada mu cios – wymachują na oślep sztyletami, raniąc Cezara i współspiskowców. Krew tryska na wszystkie strony. Cezar straszliwie krzyczy.

Senatorowie niemający o spisku pojęcia patrzą na tę rzeź skamieniali ze zgrozy.

Pokrwawione zwłoki leżą pod statuą Pompejusza – najpierw zięcia Cezara, potem sojusznika w triumwiracie, ostatecznie zażartego przeciwnika w wojnie domowej.

Brutus, cały powalany krwią, staje przed senatorami i usiłuje wygłosić jakieś podniosłe przemówienie. Ale w tym momencie osłupienie przedstawicieli Rzymu mija i wszyscy rzucają się do ucieczki. Zamachowcy nie mają żadnych planów na tę chwilę, gdy już nie będzie dyktatora. Zamierzali jedynie wyrzucić jego zwłoki do Tybru, unieważnić jego rozporządzenia, a majątek skonfiskować. Teraz trochę deliberują, wreszcie składają podziękę bogom i uciekają z miejsca zbrodni. Wszyscy ukrywają się u znajomych. Antoniusz, na wieść o zbrodni, zrzuca togę konsula i ucieka w te pędy. Gdy wieść o zbrodni trafia w miasto, przerażony lud barykaduje się w domach. Wszyscy oczekują jakichś strasznych zdarzeń – zemsty, kary, mordów, rozruchów, buntu gladiatorów. Ale nie dzieje się nic. Gdzieniegdzie tylko motłoch rabuje sklepy.

Broczące krwią ciało Cezara leży pod statuą Pompejusza aż do późnego popołudnia. Wreszcie przybywa 3 niewolników. Wkładają zwłoki do lektyki. Idą nieśpiesznie przez wymarłe ulice miasta. Spod zasłony zwisa bezwładna ręka.

Do domu Cezara docierają wieczorem. Kalpurnia, której stosunki z mężem dalekie były od ciepła i serdeczności, teraz rozdzierająco

krzyczy z rozpaczy. Przyboczny lekarz Antystiusz obmywa ciało, ogląda 23 rany. Tylko jedna, jego zdaniem, jest śmiertelna.

Vincenzo Camuccini, *Śmierć Juliusza Cezara*

16 marca 1901 ▪ sobota

Tylko nie po nazwiskach!

Choć północ już dawno minęła, w drukarni „Czasu” w Krakowie uwijają się zecerzy i metrampaże. Pospiesznie składają plakat o wieczornej prapremierze *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego w Teatrze Miejskim. Co prawda, plakaty zapowiadające prapremierowe przedstawienie wiszą na krakowskich słupach ogłoszeniowych już od 2 dni, ale pani Helena Rydlowa, matka Anny oraz Lucjana, poety, przyjaciela Wyspiańskiego, na własną rękę zarządziła druk nowych, a właściwie poprawionych plakatów.

Miała ku temu ważny powód.

Przed 4 miesiącami w kościele Mariackim odbył się ślub Lucjana Rydla z córką gospodarza z podkrakowskich Bronowic Jadwigą Mikołajczykówną. Wyspiański wraz z chłopem Błażejem Czepcem byli na nim świadkami. Nazajutrz wieczorem, w 2 chatach w Bronowicach, u poety i malarza Włodzimierza Tetmajera i w pobliskim domu rodziców panny młodej, odbyły się oczepiny, czyli uroczyste zdjęcie wieńca i włożenie jej na głowę małżeńskiego czepca. Prócz bronowickich chłopów przybyła śmietanka artystycznej cyganerii Krakowa, malarze, poeci, dziennikarze. Huczna zabawa trwała do białego rana. Tylko Wyspiański, ciężko chory, na twarzy bladozielony, z białym fularem zawiązanym wysoko na szyi, w ściśle zapiętym czarnym surducie *anglaise*, milcząc, stał w drzwiach do izby, w której tańczono. Słuchał hipnotycznego rytmu oberków i kujawiaków, strzępów rozmów gości wychodzących na chwilę, by nieco odzipnąć. Nazajutrz

Wyspiański starannie przepytał swą żonę ze wszystkiego, co widziała na weselu i zapamiętała, a po 3 miesiącach skończył pisać dramat *Wesele*. Miesiąc temu Wyspiański przeczytał swój utwór w salonie pani Lucyny Kotarbińskiej. Gospodyni, jej mężowi Józefowi Kotarbińskiemu, dyrektorowi Teatru Miejskiego, oraz gościom salonu *Wesele* pana Wyspiańskiego spodobało się i 10 dni temu przeprowadzono pierwszą, czytaną próbę dramatu. Już 4 dni później miała się odbyć prapremiera, ale reżyser Adolf Walewski oraz aktorzy uprosili dyrektora, by dał im na próby jeszcze tydzień.

Na wesele w Bronowicach, prócz krakowskich artystów, zaproszone były i 3 młodziutkie panny z zacnych domów: siostra pana młodego 17-letnia Hania Rydlówna oraz 2 śliczne córki profesora medycyny UJ Stanisława Pareńskiego i jego żony Elizy, prowadzącej wpływowy salon literacki, w którym bywa także Wyspiański. Starsza z panien Pareńskich, Maria, jest rówieśnicą Hani Rydlówny, Zosia Pareńska ma 15 lat. Wyspiański, pisząc *Wesele*, wcale nie miał zamiaru traktować zabawy w Bronowicach jako luźnej tylko inspiracji; przeciwnie, w tekście dramatu zachował jego bohaterom prawdziwe imiona. Znany dziennikarz „Czasu" Rudolf Starzewski, zaprzyjaźniony zresztą z Wyspiańskim, przez bliskich zwany „Dolciem", na kartach *Wesela* pojawił się jako Dolcio właśnie. Panna młoda i jej siostry znalazły się w tekście dramatu pod swymi imionami, a bronowicki wójt i jego żona zachowali nawet swe prawdziwe nazwisko. Także 3 małoletnie panny, Hania Rydlówna, Maria, zwana przez bliskich Maryną, oraz Zosia Pareńskie, trafiły do tekstu *Wesela* pod swymi prawdziwymi imionami.

Po wpływem perswazji dyrektora Kotarbińskiego poeta zmienił Dolcia w postać Dziennikarza. Ale o zmianie imion dziewcząt nie chciał słyszeć.

Wieść, że najnowszy dramat Wyspiańskiego naszpikowany jest prawdziwymi postaciami i smakowitymi ploteczkami, rozeszła się po Krakowie zaraz po pierwszej próbie czytanej. Gdy pani Helena Rydlowa dowiedziała się, że przyjaciel jej syna Staś Wyspiański, którego lubi i szanuje, który tyle razy bywał u niej w domu, sportretował jej córkę i córki pani Pareńskiej, poprosiła go, by przynajmniej postać Hani usunął z tekstu dramatu. Wyspiański jednak hardo odparł, że sztuki za nic nie zmieni, może ją tylko, gdyby pani Rydlowa tego zażądała, w ogóle usunąć z repertuaru Teatru Miejskiego. Helena Rydlowa doskonale wie, że Wyspiański jest bardzo chory, że cierpi z rodziną straszliwą biedę i najnowszy jego dramat jest jedyną szansą, by mógł zdobyć dla siebie i dzieci nieco grosza. Jako osoba honorowa i szlachetna nie zażądała zdjęcia sztuki z afisza – postanowiła na swój koszt, za plecami Wyspiańskiego, zmienić afisz.

Nad ranem nowy afisz schodzi z maszyn drukarskich. Maryna zamieniła się na nim w Klarę, Zosia – w Anielę, a Haneczka – w Krzysię. Imiona fredrowskie, taki koncept miała pani Rydlowa. Gońcy odbierają plakat z poprawkami jej autorstwa i pędzą w miasto naklejać nową wersję na stare plakaty.

Prapremierowy spektakl ma się rozpocząć o 19.00, ale *foyer* Teatru Miejskiego jest wypełnione grubo wcześniej. W teatralnej kasie można kupić plakat w wersji poprawionej przez panią Rydlową. Na prapremierę sprzedano 720 biletów – jak na widownię liczącą 906 miejsc, wynik to znakomity, bo dbały o dobre układy w Krakowie dyrektor Kotarbiński rozdał lekką ręką oficjelom i osobom, na których życzliwości mu zależy, dobrze ponad 200 darmowych wejściówek. Jest cały Kraków, artystyczny, naukowy, urzędniczy, Kraków zwabiony stugębną plotką, że sztuka pana Wyspiańskiego to w rzeczy samej zabawny, złośliwy nawet portret tutejszej

cyganerii i paru powszechnie znanych osób z towarzystwa. Na prapremierę pofatygowała się znakomita większość gości zaproszonych na wesele przez Lucjana Rydla. Sam Rydel jest także. Panie na widowni wzdychają, popatrując na zgrabną postać pogromcy niewieścich serc w krakowskich salonach, redaktora Rudolfa Starzewskiego. W jednej z lóż zasiada krytyk literacki i historyk literatury, współautor *Teki Stańczyka*, prezes Akademii Umiejętności prof. Stanisław Tarnowski. Siedzi z przodu loży, znad oparcia uważnie lustruje publiczność.

Krótko przed wyjściem do teatru zadowolona ze swej intrygi z afiszem Helena Rydlowa na wszelki wypadek pyta jednak profesorową Elizę Pareńską, której obu córkom zdołała zmienić imiona, czy aby na pewno w sztuce Wyspiańskiego nie ma nic niestosownego, nic, co mogłoby postawić ją w kłopotliwej sytuacji. Pani Pareńska zna tekst *Wesela*, wszak była w salonie pani Kotarbińskiej, gdy Wyspiański odczytał tam swój dramat. Pani Eliza zapewniła matkę Lucjana Rydla, że nic niepokojącego w sztuce nie ma. No i pani Rydlowa zasiada na widowni razem z córką Hanusią, której imię wymazała z afisza.

Mało tego, pani Rydlowa zachęciła też do przyjścia swą stryjeczną siostrę Antoninę Domańską. Pani Antonina, żona profesora neuropatologii UJ Stanisława Domańskiego, sportretowana została w *Weselu* jako Radczyni, ale uspokojona przez panią Rydlową, także nie spodziewa się niczego niemiłego.

Na prapremierę przybyła także pani Eliza Pareńska z obiema córkami.

Unosi się ogromna kurtyna Siemiradzkiego. Widzom ukazuje się obszerna izba, wybielona, w siwobłękitnawym odcieniu. Pośrodku stoi spory, okrągły stół nakryty białym obrusem, otoczony 10 krzesłami. Na stole suta weselna zastawa, którą rozjaśniają

świece 2 żydowskich świeczników. Pod lewą ścianą biurko i stary fotel z oparciem, na imitacji okna zaś muślinowa firanka i wieniec z kłosów. Sporą część ściany naprzeciw widowni zajmuje sofa, nad którą wiszą 2 skrzyżowane szable, 2 dubeltówki, 2 pistolety, myśliwska torba i pas podróżny z trzosem i kordelasem. Obok drzwi prowadzących do alkierza, w którym widać zarys dziecięcej kołyski, stoi empirowy stolik z zegarem. Na prawej ścianie, za narożnym, bielonym piecem i za drzwiami, wysunięta ku widowni, stoi chłopska wyprawna skrzynia. Autorem scenografii jest sam Wyspiański, który zresztą brał udział we wszystkich próbach. Ci z widzów, którzy byli na weselu w Bronowicach, rozpoznają wiernie odtworzoną na scenie weselną izbę z dworku Włodzimierza Tetmajera.

Na scenie pojawiają się Józef Kotarbiński grający postać Błażeja Czepca i Józef Sosnowski w roli Dziennikarza. Kotarbiński ma na sobie kaftan przepasany szerokim, nabijanym mosiężnymi ćwiekami pasem, białą sukmanę i prążkowane spodnie. Na głowie zaś – charakterystyczny, spłaszczony kapelusz, zwany celenderem. Sosnowski jest we fraku.

„Cóż tam, panie, w polityce? / Chińcyki trzymają się mocno!?" – zaczyna rozmowę sceniczny Czepiec.

W scenie drugiej Dziennikarz flirtuje z Zosią – na plakacie już Anielą – graną przez pannę Jutkiewiczównę, a w scenie trzeciej pojawiają się Radczyni, Haneczka i Zosia. Antonina Domańska purpurowieje w ciemnościach na widowni – jak on, ten Wyspiański, śmiał ją, profesorową uniwersytetu, przedstawić jako jakąś radczynię?!!!

Sądząc po pierwszym akcie, *Wesele* zapowiada się jako obyczajowa komedia. Część publiczności jest tym wyraźnie znudzona, pojedyncze osoby wychodzą z teatru. W drugim akcie

atmosfera na widowni całkiem się zmienia. Jest jasne, że to żadna komedia, tu idzie o sprawy serio, sprawy wielkie. Widzowie poddają się monotonnej w swej żywości muzyce ludowej kapeli przygrywającej do spektaklu, poddają się dziwnemu, hipnotycznemu rytmowi tekstu, podkreślonemu jeszcze przez deklamatorską manierę aktorów.

Część widzów nic z tego jednak nie rozumie. W antrakcie żona kupca Fenza mówi: „Ach, jakież to nudne!". Właśnie mija ją uwielbiający Wyspiańskiego początkujący dziennikarz Adolf Nowaczyński. „Małpa!" – krzyczy na całe gardło i znika w tłumie.

Im bardziej rozwija się dramat, im bardziej na widowni rośnie napięcie, tym więcej skandali. Stanisław Tarnowski po scenie z Hetmanem, o którym wszyscy wiedzą, że to w istocie łotr Franciszek Ksawery Branicki, dziadek żony Tarnowskiego, cofa się w głąb loży, a po chwili wychodzi z teatru, trzaskając drzwiami. Ciężkie chwile przeżywa Lucjan Rydel. Już mniejsza o to, jak go sportretował przyjaciel od serca Staś Wyspiański, ale jak on mógł tak skrzywdzić jego żonę! Jadwiga jest szczupłą, subtelną, wyciszoną blondynką, tymczasem Panna Młoda, zwłaszcza w interpretacji Wandy Siemaszkowej, to ordynarny babiszon. Po nocnym tryumfie w drukarni ciężkie chwile przeżywa pani Rydlowa. Gdy słyszy, jak ze sceny podchmieleni parobcy mówią między sobą o 3 podlotkach, którym zapobiegliwie zamieniła na afiszu imiona: „Te panny z miasta tak się do nas biorą, iż widocznie nas chcą", ze wstydu chce zapaść się pod ziemię. Boże, cały Kraków to słyszy! A jeśli kto nie wie, że idzie w tym też o jej córkę, wszystko rozjaśnia Pan Młody, biegnąc na scenie za panną, i wołając wedle niepoprawionej przez panią Rydlową wersji: „Tylko ostrożnie z całusami, Haniu...".

Taki wstyd!!!

Ale publiczności już nie obchodzą towarzyskie sensacje i despekty. Wielki narodowy dramat paraliżuje widzów. „Miałeś, chamie, złoty róg" – zawodzi Chochoł. Koniec. Publiczność zamarła. Nie ma braw. Dopiero po dłuższej chwili ludzie wstają z miejsc, jak oszaleli klaszczą. Na scenę wychodzą aktorzy, widzowie wołają: „Autor! Autor!". Ba, ale autor ucieka do garderoby i ani myśli się pokazać.

Elizie Pareńskiej *Wesele* podoba się bardzo i wcale o literacki portret córek się nie obraża. Gdy cichną brawa, przesyła Wyspiańskiemu do garderoby pudełko czekoladek i bukiecik fiołków.

Widzowie jeszcze długo po 22.00 stoją przed teatrem i dyskutują o dramacie. Malarz Jan Stanisławski, patrząc na nich, powtarza sobie: „Nadzwyczajne, szalone, ale genialne!".

17 marca 1938 ▪ czwartek

Wodzu, prowadź na Kowno!

Zmierzcha już, gdy w okolicach Pl. Józefa Piłsudskiego w Warszawie pojawiają się grupy manifestantów. Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem, Marszałkowską maszerują pod biało-czerwonymi flagami delegacje organizacji społecznych, wojskowych, młodzieżowych, partii politycznych i wszelkiego rodzaju stowarzyszeń. Dziarsko kroczące kolumny poprzedzane są przez orkiestry wojskowe. Nad idącymi kołyszą się dziesiątki transparentów.

„Serce Polski to Wilno!"

„Ukarać zbrodniarzy litewskich!"

„Marszałku Śmigły – prowadź na Kowno!”

„Wodzu – Marszałku prowadź nas na Kowno!”

„Zająć Kowno!”

Na pl. Piłsudskiego ma się odbyć manifestacja społeczeństwa w hołdzie, obchodzącemu nazajutrz imieniny, naczelnemu wodzowi, marsz. Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi. Tak naprawdę jednak nie o imieniny tu chodzi, ale o konflikt z rządem Litwy.

Ten konflikt trwa od roku 1920, kiedy to fikcyjnie zbuntowane oddziały polskiego wojska, pod dowództwem gen. Lucjana Żeligowskiego, na rozkaz Piłsudskiego zajęły Wilno (2 lata później formalnie wcielone do Polski). Od tego czasu Litwa uznawała, że jest w stanie wojny z Polską. Dziwaczny i niebezpieczny dla stabilności Europy stan ni to wojny, ni pokoju przerwał dopiero w grudniu 1927 roku Józef Piłsudski, który w Genewie wymusił na litewskim premierze Augustinasie Voldemarasie deklarację, że stan wojny między obu państwami nie istnieje. Nawiązania stosunków dyplomatycznych Piłsudski się jednak nie domagał.

Powodowany pretensjami Litwy do Wilna brak normalnych stosunków międzypaństwowych od paru lat stał się poważnym problemem w polskiej polityce. Choć utrzymywane są poufne kontakty obu stron, mnożą się jednak incydenty graniczne, giną litewscy i polscy żołnierze straży granicznej, Warszawa i Kowno dyskredytują się nawzajem na forum międzynarodowym. Minister spraw zagranicznych Józef Beck przyjął twardy kurs: Litwę objęła polska blokada. Zakaz Becka objął wymianę handlową, ruch turystyczny i tranzytowy, nawet kontakty sportowe. W tej napiętej atmosferze przed tygodniem, 11 marca o 5.00, żołnierz KOP Stanisław Serafin przekroczył graniczną linię administracyjną i strzelił do litewskiego policjanta granicznego Justyna Lukoseviciusa. Litwin odpowiedział ogniem i ranił Serafina. Litwini

założyli opatrunek Polakowi, lecz zanim o 9.00 przybył litewski lekarz, Serafin wykrwawił się na śmierć.

Pod nieobecność przebywającego we Włoszech ministra Becka wiceminister Jan Szembek ułożył ostry komunikat oficjalny na temat incydentu. Marsz. Śmigły-Rydz przytomnie polecił zmienić najbardziej agresywne sformułowania oświadczenia, ale minister Szembek wcześniej dał je w pierwotnej wersji prasie.

W Polsce gazety rozdmuchały nastroje rewanżu.

Na Litwie dominuje obawa przed inwazją polskiej armii, której Litwini nie są w stanie stawić czoła. W nocy z 14 na 15 marca poseł litewski w Tallinie Bronisław Dailide przekazał posłowi polskiemu na Łotwie Wacławowi Przesmyckiemu poufną notę z propozycją rozpoczęcia rozmów, które wyjaśniłyby okoliczności śmierci Serafina oraz zapobiegły podobnym incydentom w przyszłości.

Ale w Warszawie zwyciężyła opcja ministra Becka – śmierć polskiego żołnierza to najlepszy moment, by zmusić Litwę do nawiązania z Polską stosunków dyplomatycznych.

Na pl. Piłsudskiego ciągną tłumy warszawiaków. O zmroku na placu i przyległych ulicach tłoczy się ponad 200 tys. ludzi.

Przed tymczasową trybuną stoją przedstawiciele organizacji byłych wojskowych, zrzeszonych w Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Miejsca pod trybuną zajmują szef Federacji PZOO gen. Roman Górecki, Szef Obozu Zjednoczenia Narodowego gen. Stanisław Skwarczyński i szef sztabu OZN płk Zygmunt Wenda.

Wiec zaczyna się o 19.15. Na trybunie pojawia się gen. Górecki. Najpierw składa życzenia imieninowe marsz. Śmigłemu-Rydzowi. Przemówienie co rusz przerywają okrzyki tłumów na cześć wodza naczelnego. Gdy gen. Górecki przypomina śmierć strzelca Stanisława Serafina i przebieg konfliktu z Litwą, tłumy na pl. Piłsudskiego skandują: „Żądamy położenia kresu prowokacjom litewskim!”,

„Żądamy znormalizowania wzajemnych stosunków sąsiedzkich!". Na zakończenie przemówienia gen. Górecki wznosi okrzyk: „Marszałek Śmigły-Rydz, naczelny wódz, niech żyje!". Ogromny tłum odpowiada tym samym okrzykiem.

Przy akompaniamencie skandowanych haseł na cześć armii i marsz. Śmigłego-Rydza aktywiści Strzelca formują pochód. Z gigantycznego tłumu jako pierwsi wychodzą kombatanci I Brygady, niosący ogromny transparent „Niech żyje Wódz Naczelny!". Za nimi kołysze się las sztandarów wszystkich organizacji zawezwanych na wiec. Uczestnicy pochodu maszerują równymi czwórkami. W pierwszej idą generałowie Skwarczyński i Górecki, płk Wenda, wiceprezydent miasta stołecznego Warszawy Józef Ołpiński. Za długą kolumną kombatantów wychodzi z placu na Krakowskie Przedmieście jeszcze dłuższa kolumna kilkunastu tysięcy pracowników miejskich. Prowadzi ją komisaryczny prezydent Warszawy Stefan Starzyński. Każdy pracownik komunalny musiał się stawić na wiec pod groźbą utraty pracy. Potem na Krakowskie wkraczają czwórkami hufce junackie, organizacje przysposobienia wojskowego, strażacy w galowych mundurach. Kilka orkiestr wojskowych i strażackich nieustannie gra marsze wojskowe.

Gapie przyłączają się do pochodu. Regularny szyk maszerujących łamie się, całą szerokością Krakowskiego Przedmieścia płyną tłumy.

Na pl. Trzech Krzyży dołącza się tylu przechodniów, że pochód zwalnia. W Alejach Ujazdowskich jego uczestnicy idą gęstą ciżbą, zajmują jezdnię i chodniki.

Wśród idących jest wiele młodzieży. Nie ma atmosfery wojennej nienawiści, raczej duma z własnej potęgi, podniecenie wielką hecą. Wielu idących jest roześmianych, młodzi co rusz wyskakują na chodnik, by ogarnąć okiem ogrom manifestacji.

Na pl. Na Rozdrożu pochód zatrzymuje się. Czekają tam kompanie strzeleckie, które odtąd poprzedzają tłum idących. Strzelcy niosą nad głowami setki płonących pochodni.

Gdy czoło pochodu dociera do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, zapalają się rozstawione wokół gmachu reflektory. Wszystkie oświetlają udekorowany biało-czerwonymi flagami balkon na pierwszym piętrze; reszta fasady budynku pozostaje w półmroku. W tej samej chwili na balkonie pojawia się naczelny wódz marsz. Edward Śmigły-Rydz. Jest w mundurze polowym, tak jakby za chwilę miał stanąć na czele wyprawy wojennej. Na piersiach ma jedynie Krzyż Virtuti Militari. Na jego widok tłumy skandują: „Niech żyje marszałek Śmigły-Rydz!", „Niech żyje armia i jej wódz!".

Wojskowe orkiestry grają hymn. Uśmiechnięty marszałek salutuje, pozdrawia tłumy. Nagle jakiś zapiewajło z pierwszych szeregów pochodu mocnym głosem woła: „Wodzu, prowadź nas na Kowno!". Wielotysięczny tłum odpowiada tym samym, potężnym okrzykiem. Orkiestry wojskowe milkną, czoło pochodu zatrzymuje się. Z tyłu napierają jednak rzesze idących i pod balkonem inspektoratu gęstnieje morze ludzkich głów. Tłum skanduje: „Niech żyje marszałek Śmigły-Rydz!", „Zabrać Kowno!", „My chcemy Litwy!"...

Marszałek znika w gmachu, ale po chwili znów pojawia się na balkonie.

Tłum skanduje: „Przemów, wodzu!". „Czy chcecie, żebym do was przemówił?" – pyta przez mikrofon Śmigły-Rydz. „Taaaak!!!".

„Nazywacie mnie wodzem, a wiecie, że przemawiać nie jest rzeczą wodza. Chcę tylko stwierdzić przed wami, że serdeczną radością przejmuje mnie fakt, że są takie chwile, kiedy tyle polskich serc potężnie i tak jednolicie bije jednym wspólnym rytmem. Fakt

ten musi cały naród przepoić wiarą, że Polska potrafi zrealizować swoje wielkie przeznaczenia. Niech żyje Polska!"

Tłumy wiwatują, ale część manifestantów jest zawiedziona oględną wypowiedzią marszałka.

O 22.00, gdy w Warszawie trwa jeszcze manifestacja przed gmachem GISZ, w Tallinie, do litewskiego poselstwa w Estonii, wkracza polski poseł Wacław Przesmycki. W salonie wita go litewski poseł Bronisław Dailide i prosi do swego gabinetu. Mimo napiętych stosunków między Litwą i Polską obaj dyplomaci są osobiście dobrymi znajomymi. Zanim jeszcze gospodarz zdążył poprosić, by usiedli, polski dyplomata na stojąco stwierdza, że ma zaszczyt wręczyć w imieniu rządu RP odpowiedź na propozycję rządu litewskiego, otrzymaną od posła Dailide w nocy z 14 na 15 marca. Bronisław Dailide blednie, bez słowa przyjmuje notę i studiuje ją na stojąco. Nie zdradza swych emocji najmniejszym nawet gestem, gdy czyta, że rząd polski uważa, iż jedynym załatwieniem sytuacji między obu państwami będzie nawiązanie stosunków dyplomatycznych bez żadnych warunków wstępnych, przy czym faktyczne akredytowanie przedstawicieli dyplomatycznych musi nastąpić do 31 marca, ani gdy czyta, że rząd litewski ma 48 godzin na przyjęcie polskich żądań, ani gdy jego wzrok dochodzi do czwartego, ostatniego punktu noty: „Powyższa propozycja nie może być przedmiotem dyskusji ani co do treści, ani co do formy – jest propozycją *ne varietur*. Brak odpowiedzi lub jakiekolwiek dodatki czy zastrzeżenia będą przez rząd polski uważane za odmowę. W tym negatywnym wypadku rząd polski własnymi środkami zabezpieczy słuszne interesy swego państwa".

To wręcz groźba wojny. Poseł Dailide patrzy na kalendarz i z wymuszonym uśmiechem zauważa: „Bardzo mało czasu do

31 marca". Poseł Przesmycki nie odwzajemnia uśmiechu. Milczy. Poseł Dailide prosi, by mógł notę przeczytać jeszcze raz.

„Jak pan sobie życzy, panie ministrze" – odpowiada Przesmycki. Na prośbę Litwina obaj dyplomaci siadają w fotelach. Gdy Dailide kończy czytać, Przesmycki wstaje. „W razie gdy odmówimy, czy to oznacza wojnę?" – pyta Dailide. Przesmycki odpowiada, że tekst noty jest wyraźny i że on sam nie jest upoważniony ani do dalszych wyjaśnień, ani komentarzy.

Dailide kwituje godzinę odbioru noty. Powodowany impulsem osobistym Przesmycki stwierdza, że w tej chwili kończy się jego misja oficjalna, zatem już całkiem prywatnie może powiedzieć, że ma nadzieję, iż wkrótce obaj spotkają się w innych okolicznościach, i że jest dumny z tego, iż w tak trudnej sytuacji jako przedstawiciel narodu polskiego nie zażądał od narodu litewskiego niczego, co by mogło przynieść mu uszczerbek honoru, suwerenności czy też prestiżu.

18 marca 1967 ▪ sobota

Kontrolnie w skały

O 6.30 pierwszy oficer tankowca „Torrey Canyon" Silveno Bonefiglio dostrzega na górnej części pokładowego radaru jasną plamkę. Nie musi patrzyć na mapę, by wiedzieć, że to wyspy Scilly, leżące na zachód od zachodniego krańca brytyjskiej Kornwalii – przylądka Land End. Bonefiglio łączy się przez pokładowy telefon z kabiną kpt. Pastrengo Rugiati. Informuje go, że ma kontakt radarowy z odległymi o 24 mile Scilly Islands. Rugiati dziękuje i znów zapada w drzemkę. Bonefiglio przypomina sobie, że przed

4 dniami, w pobliżu Wysp Kanaryjskich na Atlantyku, kpt. Rugiati zarządził, że „Torrey Canyon" ma minąć wyspy Scilly prawą burtą w odległości mniej więcej niż 5 mil. Wtedy też kapitan położył statek na kurs 018 stopni, którym „Torrey Canyon" podąża niezmiennie do dziś sterowany przez automatycznego pilota.

Pierwszy oficer postanawia skorygować kurs tak, by wyspy Scilly minąć z prawej burty. Podchodzi do kolumny sterowej. Jej dźwignia może znajdować się w 3 położeniach. Pozycje skrajne to *hand*, pozwalające na sterowanie ręczne, i *automatic* – w tym położeniu utrzymaniem zadanego kursu zajmuje się automatyczne urządzenie sterujące. Pozycja środkowa dźwigni oznaczona jest *control* – w takim położeniu testowane są układy sterujące. Pierwszy oficer przekłada dźwignię z pozycji *automatic* na *hand*, obraca zgrabne koło sterowe. „Torrey Canyon" powoli skręca w lewo, na kurs 006 stopnia. Bonefiglio zapisuje zmianę kursu w dzienniku pokładowym i znów melduje telefonicznie kpt. Rugiati:

– Kapitanie, zmieniłem kurs na 006, żeby minąć Scilly po prawej burcie.

– Dziękuję. Przyjąłem. A czy na poprzednim kursie miniemy Scilly?

– Miniemy, ale z lewej burty – wyjaśnia oficer.

– Proszę zmienić kurs na poprzedni. Mamy minąć Scilly z lewej burty – dysponuje kapitan.

Bonefiglio jest tak zaskoczony, że prosi o powtórzenie polecenia. Ale nie ma wątpliwości – kapitan nakazał położenie tankowca na poprzedni kurs. Pierwszy oficer wykonuje rozkaz.

O 7.00 na mostku zjawia się kpt. Rugiati. Jak zwykle na głowie ma baskijski beret. W nasuniętym na czoło berecie i flanelowej koszuli wygląda na mechanika samochodowego, a nie kapitana supertankowca. Pyta pierwszego oficera o kurs, dopytuje się, czy

dostrzeżono już latarnię Bishop Rock na południowo-zachodnim skraju wysp Scilly. Ani pierwszy oficer, ani młody włoski marynarz, ze skrzydła mostku lustrujący przez lornetkę morze przed statkiem, latarni jednak nie dostrzegli. Zagadnięty przez pierwszego oficera o rozkaz przywrócenia kursu 018 Rugiati wyjaśnia, że w ten sposób zaoszczędzi ponad pół godziny, a chciałby zdążyć do portu docelowego Milford na zachodnim wybrzeżu Walii, gdy zacznie się tam przypływ. Bonefiglio oponuje, że wysoka woda w rejonie Milford zaczyna się dopiero o godz. 23.00, zatem nie ma się po co tak śpieszyć. Kapitan ignoruje uwagę swego pierwszego oficera.

O 8.00 na mostku pojawia się trzeci oficer Alfonso Coccio. „Torrey Canyon" pływa pod tzw. tanią banderą, zarejestrowany jest w towarzystwie żeglugowym Barracuda Tanker Corporation na Bermudach, ale jego załogę stanowią Włosi.

Wyspany, odświeżony Coccio grzecznie pyta pierwszego oficera o sytuację. Bonefiglia podaje mu kurs i wyjaśnia, że kapitan postanowił minąć wyspy Scilly z lewej burty. Coccio dziwi się – z lewej burty? A dlaczego, skoro prościej i bezpieczniej jest skręcić nieco na zachód i wyspy zostawić po prawej burcie? Pierwszy oficer z rezygnacją opowiada o dziwacznym pomyśle kapitana: iść nietypowym kursem celem zaoszczędzenia czasu tylko po to, by później dłużej czekać na przypływ. Ale to już nie jest zmartwienie Bonefiglii – pierwszy oficer po nocnej wachcie schodzi z mostka i idzie spać.

O 8.13 kapitan przestawia automatycznego pilota, zmienia nieco kurs na bardziej zachodni i wyjaśnia trzeciemu oficerowi, że zamierza przejść między wyspami Scilly a leżącymi na północny wschód od nich, niebezpiecznymi skałami podwodnymi Seven Stones. To wąskie, kilkumilowe przejście nieco niepokoi trzeciego oficera. W tej ciasnocie trudno manewrować ogromnym, niemal

300-metrowym, wyładowanym 120 tys. t ropy tankowcem. Niespełna pół godziny później kpt. Rugiati przełącza ster z pozycji *automatic* na *hand* i własnoręcznie zmienia kurs – na jeszcze bardziej zachodni.

Trzeci oficer Coccio zapisuje w dzienniku pokładowym zmianę i wychodzi na odkryte skrzydło pomostu, by określić położenie statku na podstawie obserwacji optycznych. W szczelinie namiernika dostrzega statek latarniowy „Seven Stones", zakotwiczony nieopodal niebezpiecznych skał. Latarniowiec nadaje w kierunku „Torrey Canyon" jakieś sygnały świetlne. Coccio melduje kapitanowi, że tankowiec jest w odległości niespełna 3 mil od latarniowca.

– Do diabła! Jesteśmy za blisko tych skał! – woła kapitan i rozkazuje sternikowi natychmiast kłaść ster lewo na burt.

Marynarz stojący na skrzydle mostka pędzi do kolumny sterowej, odruchowo przekłada dźwignię sterowania – na pełnym morzu bowiem statek płynie kierowany przez automatyczne urządzenie sterowe i nieczęste podczas rejsu zmiany kursu wymagają przełączenia urządzenia na sterowanie ręczne – a potem gwałtownie, do oporu przekręca koło sterowe w lewo. Ale rozpędzony do prędkości niemal 16 węzłów „Torrey Canyon" płynie przed siebie, nie zmieniając kursu. Przerażony marynarz krzyczy:

– Kapitanie! Statek nie słucha steru!

Rugiati dopada do kolumny sterowej i w jednej sekundzie spostrzega, że dźwignia sterowania zamiast w położeniu *hand* znajduje się na pozycji *control*! Ktoś – albo przed chwilą marynarz przy sterze, albo przed 10 minutami sam kapitan – popełnił katastrofalny błąd i przekładając dźwignię przy zmianie kursu, nie dociągnął jej do końca, do położenia *automatic*. Rugiati nie ma czasu na roztrząsanie kwestii winy – przekłada dźwignię na tryb

ręczny. Tankowiec powoli, ociężale zaczyna skręcać w lewo. Kapitan oddycha z ulgą i w tym momencie potężne uderzenie zwala go z nóg. Pada też trzeci oficer Coccio i marynarz na mostku. Powietrze przeszywa straszliwy zgrzyt prutych stalowych blach. Kapitan zrywa się i nadaje przez telegraf polecenie wstrzymania maszyn. Za chwilę rozkazuje włączyć całą wstecz. Nic z tego – „Torrey Canyon" ani drgnie. Osiadł na skałach Pollard Rock z grupy skał Seven Stones.

Kapitan zarządza sprawdzanie uszkodzeń. Po godzinie już wiadomo, że ostre jak brzytwa skały rozpruły 6 wielkich zbiorników z ropą. Co gorsza, maksymalnie wysoka woda wystąpiła na tym akwenie pół godziny przed katastrofą – nie ma więc co liczyć na to, że przypływ uniesie ze skał zakleszczony tankowiec.

I najgorsze – „Torrey Canyon" nie jest zwykłym tankowcem. Zbudowano go przed 8 laty jako statek o nośności 67 000 DWT. Armator szybko jednak zorientował się, że koszty eksploatacji dwukrotnie większych supertankowców są tylko minimalnie wyższe od wydatków ponoszonych na mniejsze statki i zdecydował się na ryzykowną, pionierską przebudowę „Torrey Canyon". W japońskiej stoczni w Sasebo obcięto część dziobową tankowca i przyspawano w to miejsce nową, dłuższą o 60 m i szerszą o 6 m. Japońscy stoczniowcy odcięli od pokładu nadbudówkę, przesunęli ją na nową część kadłuba i tam przyspawali. Tak powiększony „Torrey Canyon" mógł teraz pomieścić w swych zbiornikach 119 000 t ropy – z dnia na dzień stał się superzbiornikowcem. Bardzo zyskownym, ale i bardzo kruchym.

Po południu długa smuga ropy z rozprutych zbiorników ciągnie się na morzu aż po horyzont. Do uszkodzonego statku zbliżają się już holenderskie jednostki ratownicze, nad miejscem katastrofy krąży brytyjski helikopter. Nikt z załogi „Torrey Canyon" nie ma jednak złudzeń – tego tankowca nie da się uratować. Na morze

musi wypłynąć 120 tys. t ropy. Za parę dni Wielką Brytanię i Francję czeka największa w historii katastrofa ekologiczna.

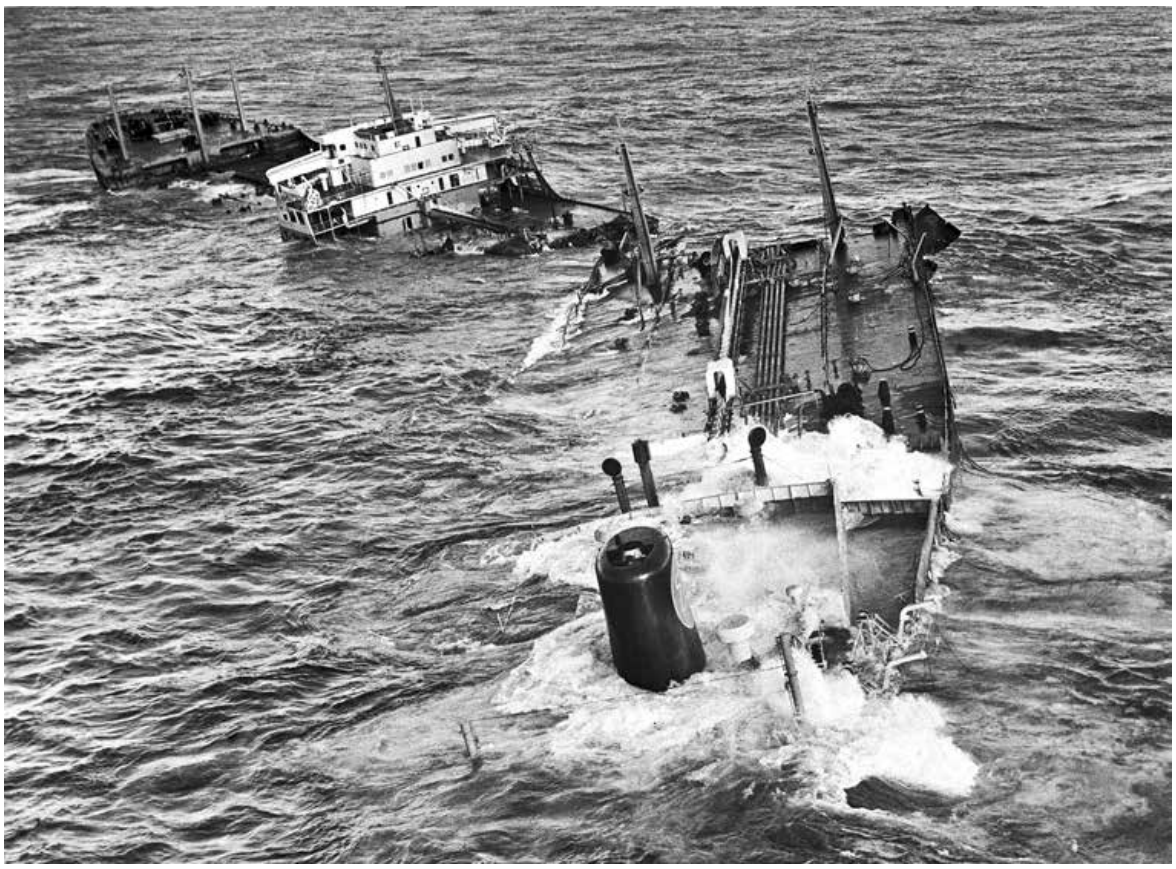

Katastrofa tankowca „Torrey Canyon”

19 marca 1981 ▪ czwartek

Ci odlatują, ci zostają

Sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy zaczyna się o 10.00. Porządek obrad: zatwierdzenie planu budżetu, interpelacje oraz rozmowa o niezależnym ruchu chłopskim z zaproszonymi przez radnych działaczami bydgoskiej Solidarności. Od 3 dni w siedzibie wojewódzkiego związku kółek rolniczych działacze Solidarności

Rolników Indywidualnych prowadzą strajk okupacyjny. Domagają się reform kółek rolniczych i prawnego uznania rolniczej „S", której władze nie chcą zarejestrować.

Atmosfera w sali konferencyjnej WRN jest ciężka.

Na terytorium Polski, ZSRR, CSRS i NRD toczą się wielkie manewry wojskowe Układu Warszawskiego „Sojuz-81". A w Warszawie władze – widać wyraźnie – za wszelką cenę nie chcą dopuścić do rejestracji Solidarności wiejskiej. W samej Bydgoszczy powodów do obaw też nie brakuje. Od 3 dni miasto żyje plotkami o koncentracji sił milicyjnych na wielką skalę. Cały parking przed gmachem WRN zastawiony jest milicyjnymi samochodami. W drzwiach siedziby WRN stoją jacyś dziwni porządkowi, po cywilnemu, z biało-czerwonymi opaskami, i sprawdzają dokumenty – nigdy tego wcześniej nie było.

30-osobowa delegacja Solidarności zjawia się, trochę spóźniona, parę minut po 10.00.

O 13.00, po interpelacjach radnych, zaczyna się dyskusja o projekcie planu społeczno-gospodarczego. Radni są kiepsko przygotowani, nie orientują się w szczegółach. Dyskusja kuleje.

O 14.30 prowadzący ją radny Andrzej Młodecki proponuje, by debatę o planie odłożyć do następnej sesji, a teraz zrobić krótką przerwę w obradach. Radni głosują: niemal wszyscy są za. To wtedy, nieoczekiwanie, przewodniczący WRN Edward Berger ogłasza koniec całego posiedzenia. Oficjalny gość sesji wicepremier Mach i członkowie prezydium WRN zrywają się z miejsc i w wielkim pośpiechu wychodzą z sali. Po nich ulatnia się też większość radnych. W sali pozostaje tylko 45 radnych oraz delegaci MKZ „Solidarność".

– Co jest, do cholery!? Przyrzeczono nam głos! Radni, nie dajcie sobą manipulować! – krzyczy przewodniczący Regionu Bydgoskiego

NSZZ „Solidarność” Jan Rulewski. Goście z „S” skandują: „Radni, nie bądźcie bezradni!”.

Ktoś wyłącza jednak aparaturę nagłaśniającą salę.

Radni, którzy nie wyszli, czują się ośmieszeni przez władze, ale nie są bezradni. Uświadamiają sobie, że jest ich 45 – wystarczająco dużo, by w trybie nagłym zwołać nadzwyczajne posiedzenie WRN. Spisują więc wniosek o zwołanie sesji już za tydzień. W programie umieszczają wystąpienie przedstawiciela „S”. Działacze Solidarności pomysł ten popierają, ale nie ukrywają, że za tydzień będą się domagać rozwiązania WRN i nowych wyborów. Rozmowy i spisywanie wspólnego komunikatu grupy radnych i działaczy MKZ przeciągają się. Zbuntowani radni zapraszają gości z „S” do bufetu, potem wracają z nimi na salę obrad. Nerwowo zaglądają tam bydgoscy wicewojewodowie Bąk, Przybylski i Warczak. Namawiają obecnych do rozejścia się. Po kątach sali obrad snują się nieznani nikomu cywile. Gdy działacze „S” głośno stroją sobie z nich żarty, cywile wychodzą, ale po paru minutach, pojedynczo, wracają.

O 16.00 do sali wkracza wicewojewoda Bąk w asyście szefów zespołów radnych PZPR i ZSL. Wzywa wszystkich zbuntowanych radnych do pokoju nr 145 na rozmowę. Jan Rulewski prosi, by mógł w niej uczestniczyć ktoś z MKZ. Bąk odmawia. Rulewski, widząc że sytuacja robi się niebezpieczna, prosi, by część radnych pozostała ze związkowcami. 5 młodych radnych decyduje się zostać. Jeden z nich mówi wojewodzie:

–Skoro władza nie chciała rozmawiać z nami przez 4 godziny, to niech teraz nie przeszkadza nam w pracy.

Ale wicewojewoda swoje osiągnął – znakomita większość zbuntowanych radnych wyszła z sali konferencyjnej.

Po chwili znów pojawia się w niej towarzysz Bąk. Teraz żąda, by działacze Solidarności i 5 radnych opuścili salę. Po chwili zjawia się prokurator rejonowy Janusz Pejka. Na wyjście daje obecnym 10 minut.

Radni i działacze „S" nie przejmują się i dalej redagują wspólny komunikat. Nagle drzwi otwierają się i na salę obrad wlewa się 100 milicjantów dowodzonych przez oficera w mundurze majora MO. Nie są uzbrojeni. 2 funkcjonariuszy nieustannie filmuje kamerą zachowanie działaczy MKZ i radnych. Kolejny raz zjawia się wicewojewoda Bąk. Major MO ostentacyjnie pyta go, czy wzywał milicję na salę. Wojewoda głośno potwierdza. Major zwraca się do Jana Rulewskiego:

– Ja apeluję ponownie, aby panowie opuścili ten lokal dobrowolnie.

– Pan to nazywa dobrowolnością? – pyta Rulewski.

– Bez oporu. Podkreślam, bez oporu. Bo sami widzicie, że mamy nad wami przewagę – mówi oficer.

– Nad kim ma pan przewagę? Nad ludem, z którego sam pan pochodzi? – woła przewodniczący Rulewski wedle najlepszych wzorów rewolucyjnej agitacji. Po chwili znów bierze oficera pod włos:

– Pan nie jest policjantem, tym zachodnim, który bije i tłucze na polecenie burżuazji. Pan jest milicjantem. A mnie dziś rano pański przełożony powiedział, że nie użyje milicji przeciw robotnikom.

Majora nie obchodzi jednak, że 5 radnych, towarzyszących działaczom MKZ, jest w gmachu WRN gospodarzami, a do ukończenia wspólnego komunikatu brakuje bardzo mało:

– Szanowni panowie, macie pięć minut.

– Piętnaście! – woła Rulewski.

– Piętnaście minut to było, a dziesięć już minęło – ripostuje oficer.

Wreszcie wracają radni wywołani do sali nr 145. Oburzeni żądają, by milicjanci natychmiast wyszli z sali obrad. Funkcjonariusze wycofują się.

Zaniepokojony Jan Rulewski dzwoni do Gdańska, do przewodniczącego „S" Lecha Wałęsy. Wałęsa radzi mu, by zabrał ze sobą radnych i przeniósł się tam, gdzie bezpieczniej – do MKZ lub do strajkujących chłopów. Nagle połączenia telefoniczne z gmachem WRN zostają przerwane.

Działacze MKZ i radni pośpiesznie kończą wspólny komunikat. Znów wkraczają dziesiątki milicjantów. Ten sam major MO ogłasza:

– Panowie i panie, proszę o opuszczenie sali.

Któryś z radnych prosi:

– Obywatelu majorze, na razie jeszcze kończymy, już podpisujemy.

Zdenerwowany Rulewski protestuje:

– Niech się pan zastanowi do końca.

– Zastanawiałem się do końca i rozkaz wykonam – odpowiada major i daje znak podwładnym.

Falanga milicjantów rusza w stronę obradujących. Słychać krzyki zaatakowanych: „Kobiety do środka, Rulewskiego osłaniać!". Działacze „S" chwytają się mocno za ręce, tworzą krąg z kobietami i Janem Rulewskim w środku, śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła...". Wszystko na nic. Milicjanci rozrywają krąg, łapią przedstawicieli MKZ za ręce i nogi, wyrzucają ich za drzwi. Nad tumultem rozlegają się okrzyki atakujących: „Brać Rulewskiego!", i przeraźliwy krzyk maltretowanego Antoniego Tokarczuka z bydgoskiego MKZ. Jeden z milicjantów kopie w nogę działacza „S" Rolników Indywidualnych Michała Bartoszcze, a gdy ten upada, drugi napastnik zatyka mu pięścią usta. Potem zadają ciosy w skroń tak długo, aż Bartoszcze traci przytomność.

Radni proszą wicewojewodę Bąka, beznamiętnie przyglądającego się biciu, o przerwanie akcji milicji. Bąk milczy.

Milicjanci wyprowadzają działaczy „S" bocznymi drzwiami na dziedziniec. Tam okazuje się, że nie ma kluczy do bramy z dziedzińca na zewnątrz, na boczną ulicę. Na dziedzińcu zza kordonu mundurowych co chwila wyskakują esbecy po cywilnemu i masakrują delegatów „S". Krzyk bitych elektryzuje tłum stojący za bramą, na ulicy. Ludzie z zewnątrz dobijają się do bramy. Bez skutku.

Jan Rulewski i działacz Solidarności Mariusz Łabentowicz pod ciosami osuwają się na ziemię. Cywilni esbecy łapią obu za ręce i nogi, niosą z powrotem do budynku, do sali obrad. Obu rzucają jak kłody na podwyższenie dla gości. Po kwadransie zabierają ich i niosą na dziedziniec, pod bramę. Bezwładnego Jana Rulewskiego rzucają na bruk. Rzecznik prasowy bydgoskiej „S" Stefan Pastuszewski w ostatniej chwili jak piłkarz wysuwa nogę i amortyzuje uderzenie głowy Rulewskiego o bruk. Po krótkim przepychaniu się w bramie ludzie z ulicy biorą 3 pobitych na ramiona i niosą do siedziby MKS. Po chwili przyjeżdża pogotowie i zabiera ich do szpitala. Jan Rulewski ma wstrząśnienie mózgu, rany twarzy i jamy ustnej. Mariusz Łabentowicz – uraz głowy i rany twarzy zadane kastetem. Michał Bartoszcze, który ma uraz głowy i złamaną żuchwę, wieczorem traci przytomność i długo jej nie odzyskuje.

Bydgoszcz patrolują silne oddziały ZOMO. Informacje o pobiciu elektryzują miasto. Przed siedzibą „S" gromadzą się wzburzeni mieszkańcy. Z głośników zainstalowanych na murach MKZ słychać wezwania do obrony Solidarności. Wszyscy mówią o prowokacji milicji i jedynej możliwej odpowiedzi – strajku powszechnym. Niewielu tylko zdaje sobie sprawę, że to najkrótsza droga do

ostatecznej, fizycznej konfrontacji związku z władzą. Na której zależy właśnie władzy.

Prowokacja bydgoska – pobicie delegatów NSZZ „S”

20 marca 1968 ▪ środa

Góra popłynęła

Jest 10.00. Niebo bezchmurne. Promienie słoneczne skrzą się na świeżym śnieżnym puchu, pokrywającym zaspy na poboczach ulic. W drugiej połowie marca to nieczęsty widok w Karpaczu, ale przed tygodniem spadło w Karkonoszach wyjątkowo dużo śniegu.

Z Domu Zagranicznej Turystyki Młodzieżowej wychodzi kilkunastu turystów. To młodzi przodownicy pracy z okręgu kujbyszewskiego w Związku Radzieckim, robotnicy i nauczyciele. Wyjazd na 2 tygodnie do Polski jest nagrodą za wybitne wyniki w pracy. Cała grupa z ZSRR liczy 28 osób, w tym 19 dziewcząt. W Karpaczu są od 2 dni. Dziś radziecka wycieczka podzieliła się na 2 grupy – jedna wybrała zwiedzanie miasta, druga, nieco większa, postanowiła iść w góry.

Prosto z Domu Turystyki Zagranicznej radzieccy turyści idą w stronę wyciągu krzesełkowego na Kopę. Prowadzi ich opiekun z Warszawy Stefan Wawryniuk. Na wycieczkę w góry mogą przeznaczyć zaledwie 4 godziny, o 14.00 czeka na nich obiad. Cała ta wyprawa, w zamierzeniu nieobeznanych z górami młodych Rosjan i ich warszawskiego przewodnika, ma być jedynie spacerkiem do wyciągu, wjazdem na Kopę i po chwili podziwiania widoków zjazdem w dół. Dziewczęta mają na sobie lekkie płaszczyki, wiosenne pantofelki, niektóre nawet eleganckie pantofelki na wysokich obcasach.

Słońce przygrzewa, jest ciepło, humory dopisują. Gdy jednak wycieczkowicze dochodzą do dolnej stacji wyciągu, czeka ich niemiła niespodzianka – w górze wieje silny wiatr i obsługa wyłączyła wyciąg ze względów bezpieczeństwa.

Radzieccy przodownicy pracy decydują się iść w góry na piechotę. Gdy ruszają spod stacji wyciągu, dołącza do nich wycieczka turystów z NRD. Z grupą niemiecką idzie nauczycielka Helga Husserow z Melhof; do Polski przyjechała sama, ale gdy przy stacji wyciągu usłyszała język niemiecki, podeszła i przyłączyła się do enerdowskiej wycieczki – razem z rodakami spacerować w górach jest raźniej i przyjemniej. Co prawda, pracownicy wyciągu przed chwilą ostrzegali turystów z NRD, że chodzenie po górach jest

niebezpieczne, bo po opadach śniegu sprzed tygodnia pojawiło się niebezpieczeństwo lawin, skoro jednak towarzysze radzieccy idą w góry, znaczy to przecież, że niebezpieczeństwa nie ma.

Jest pięknie, ciepło, wiosennie. 24-osobowa radziecko-enerdowska grupa czarnym szlakiem zwanym „Śląską Drogą" dziarsko maszeruje w stronę Białego Jaru. Zagraniczni turyści doganiają na rozstajach szlaków grupę polskich turystów z Domu Wczasowego Hanka: kilku mężczyzn, małżeństwo z dzieckiem i panią z jeszcze jednym dzieckiem. Polacy idą wolno, bo dzieci są już zmęczone, narzekają. Rodzice decydują się wracać. Dołącza do nich paru mężczyzn. Trzej, 50-letni ekonomista z Warszawy Władysław Subocz i jego znajomi z turnusu, panowie Henryk i Bolesław, decydują się iść dalej.

Lekko, po miejsku ubrane dziewczęta z grupy radzieckiej idą coraz wolniej.

Rosjanie mijają pomalowaną we wzór szachownicy tablicę ostrzegawczą z napisem: „Uwaga lawiny!". Nie zwracają na nią uwagi. Ich przewodnik też – nie ma on obycia w górach.

Czarnym szlakiem idą w stronę początkowego żlebu Białego Jaru także narciarze z NRD oraz polscy turyści. Dźwigający narty Niemcy, chcący dostać się na popularną trasę narciarską „Złotówkę", idą bardzo wolno. Polacy wyprzedzają ich.

Im głębiej wchodzi się w jar, tym jest on węższy i szlak turystyczny coraz bardziej zbliża się do płynącego dnem jaru Złotego Potoku. W południe grupa radziecko-enerdowska dociera do miejsca, w którym szlak turystyczny prowadzi niemal nad łożyskiem strumienia. Niedaleko stąd szlak się rozwidla: trasa w lewo prowadzi do górnej stacji wyciągu na Kopę, trasa w prawo prowadzi do schroniska Strzecha Akademicka. Nad rozwidleniem szlaku dominuje strome wcięcie żlebu domknięte wysoko w górze

równie stromymi urwiskami, na których piętrzą się potężne zwały śniegu. Wieje coraz silniejszy wiatr, ale radzieccy turyści starają się iść dziarsko. Na prośbę koleżanki jeden z Rosjan śpiewa na całe gardło jakąś piosenkę, ale wiatr całkiem go zagłusza. Rosjanie dochodzą do 2 polskich turystek z domu wczasowego Leśny Zamek 3 w Bierutowicach. Polki, siostry, schodzą ze szlaku, ustępują drogi grupie radziecko-enerdowskiej. Na dnie Białego Jaru, 20 m niżej, widać Złoty Potok. Po chwili większość turystów z NRD rezygnuje i zawraca. Helga Kusserow z poznaną przed 2 godzinami Ingeborg Ringel idą dalej.

Wiatr robi się teraz tak silny, że Rosjanie i paru Niemców idą niemal zgięci wpół. Jeden z Niemców pozostał kilkadziesiąt kroków z tyłu – rozwiązał mu się but i właśnie zmaga się z oblodzonymi sznurówkami.

Nagle Niemiec przeraźliwie krzyczy. Nad żlebem robi się biało, jakby buchnęły ogromne kłęby dymu. Wydaje się, jakby całe zbocze ruszyło w dół. Ściana śniegu wysokości 20 m pędzi z prędkością 100 km/h.

Lawina!

Rosjanie nie rozumieją krzyków Niemca, są zresztą za blisko czoła lawiny. Dwie siostry, które przyszły z Leśnego Zamku w Bierutowicach, przytomnie skaczą w górę zbocza, między drzewa. Łapią się gałęzi. Przerażone, patrzą za siebie – 20-metrowej głębokości jar zniknął, wypełniony jest gigantyczną masą śniegu.

Lawina zwalnia, teraz po prostu bardzo szybko sunie w dół. Obie turystki widzą, że po przeciwnej stronie płynącej śnieżnej rzeki wyłania się z białych odmętów jakiś człowiek. Najwyraźniej oszołomiony, rusza się chaotycznie. Turystki i jeszcze 2 młode dziewczęta, które dopiero zbliżały się do podnóża żlebu, wołają na

niego: „W górę!!! W górę!!!”. Ale mężczyzna niczego w huku lawiny nie słyszy, znika za drzewami.

28-letni Włodzimierz Fadiejew, działacz Komsomołu z Kujbyszewa, stoi kilka metrów za koleżankami i kolegami, deliberującymi, czy iść w lewo czy w prawo. Potężne uderzenie w plecy i w tył głowy rzuca nim jak piłką. Zwały śniegu wloką go ponad 150 m. Fadiejew nie traci głowy: pływackimi ruchami żabki stara się wydobywać na powierzchnię lawiny, czepia się gałęzi. Gdy lawina staje, Fadiejew jest na powierzchni. Nie ma butów. W skarpetkach brnie przez śnieg. Gdy dochodzi do 2 sióstr z wczasów w Bierutowicach, Polki krzyczą do niego: „Gdzie reszta?!”. „*Ja adin!!! Ja adin!!!*” – odpowiada z rozpaczą i w szoku brnie przez śnieg w dół lawiny.

Władysław Subocz idzie za swoim znajomym panem Henrykiem; jako ostatni maszeruje trzeci wczasowicz, Bolesław Korolewicz. Lawina uderza w nich tak nagle, że Subocz traci przytomność, nie wiedząc, co się dzieje. Ból przywraca mu świadomość. Leży oparty o drzewo. Lawina pędzi tuż obok niego. Chce złapać pień, ale nie jest w stanie – ma złamane przedramię i obojczyk. Krzyczy. Gdy lawina zatrzymuje się, odnajduje go pan Henryk. Bolesław Korolewicz ginie pod śniegiem.

Ingeborg Ringel, idąca tuż przed Helgą Kusserow, nagle znika w białym kurzu. Kusserow walczy z lawiną; gdy czuje, że śnieg przepływa nad nią, rozpaczliwie wyrywa się ku górze. Udaje się jej wydostać na wierzch. Jej znajoma ginie pod śniegiem.

Pierwsi do akcji ratunkowej ruszają polscy sportowcy, biegnący zaraz za grupą z ZSRR. Błyskawicznie zjawiają się ratownicy GOPR. Z każdą godziną przybywa ratowników: Czesi z Horskiej Služby z psem lawinowym, wytresowanym do odszukiwania ciał pod śniegiem, żołnierze WOP, podchorążowie z Jeleniej Góry. Do

szpitala w Cieplicach trafia 5 rannych. Co chwila ratownicy wydobywają kolejne ciała. Wieczorem jest już jasne, że zginęło 19 osób – 13 Rosjan, 4 obywateli NRD i 2 Polaków. Mimo to ratownicy w nocy, w świetle reflektorów, dalej przekopują długie na ponad 600 m lawinisko.

Akcja ratownicza po lawinie w Karkonoszach

21 marca 1960 ▪ poniedziałek

Lekcja dla czarnych

Wczoraj, późnym wieczorem, nieznani sprawcy przecięli linie telefoniczne między południowoafrykańskim miastem Vereeniging a Sharpeville, tzw. townshipem, czyli rozległym miasteczkiem satelickim zamieszkanym przez czarnych. Od kilku dni w townshipach Vereeniging–Sharpeville, Bophelong, Boipatong, Evaton rozpowszechniane są ulotki i broszura wzywające czarnych do niestawienia się dziś w pracy. Dziś nad ranem działacze PAC, Kongresu Panafrykańskiego, zatrzymują kierowców autobusów, którymi czarni mieszkańcy Sharpeville wyjeżdżają do pracy, namawiają jadących już autobusami oraz czekających na przystankach robotników, by pozostali w swoich domach. Ale wielu z nich chce jechać do pracy. Działacze PAC starają się powstrzymać ich krzykiem i groźbami. Podobne sceny rozgrywają się w pozostałych townshipach wokół Vereeniging.

Kongres Panafrykański zaplanował na dziś początek 5-dniowej, nieprzerwanej akcji protestacyjnej przeciwko *Pass Laws*, apartheidowym ustawom, zmuszającym czarnych mieszkańców Związku Południowej Afryki do nieustannego noszenia przy sobie dowodów osobistych i zabraniającym im pozostawia poza miejscem zamieszkania dłużej niż 12 godzin.

Pass Laws to kolejny rozdział ustawowej segregacji rasowej w Afryce Południowej. Pierwszą ustawę dyskryminującą czarnych biali Afrykanerzy uchwalili już w 1911 roku, rok po powstaniu ich państwa – Związku Południowej Afryki. Po II wojnie światowej uprzywilejowani biali konsekwentnie rozbudowywali Wielki Apartheid, system izolujący od siebie 4 grupy rasowe, na jakie biali Afrykanerzy podzielili społeczeństwo. Władze zakazały utrzymywania stosunków seksualnych między przedstawicielami różnych ras, rozgrywania zawodów sportowych z udziałem sportowców o innym kolorze skóry, nakazały w miejscach

publicznych budowę osobnych wejść. Czarna większość pozbawiona została podstawowych praw obywatelskich. Także prawa do ziemi, której 90 proc. przeznaczono włącznie dla białych.

Czarni walczą o swe prawa od pierwszych miesięcy po powstaniu Związku Południowej Afryki. W styczniu 1912 roku powołali Południowoafrykański Narodowy Kongres Tubylczy, po paru latach przemianowany na Afrykański Kongres Narodowy (The African National Congress – ANC). Kongres od początku zabiega o poprawę losu Afrykanów wyłącznie metodami pokojowymi. Organizuje manifestacje, petycje, zgłasza władzom projekty prawne.

Ale Południową Afryką od dwóch lat rządzi zagorzały zwolennik apartheidu Hendrik Vervoerd. Dyskryminacja czarnych pogłębia się. Część działaczy ANC uznała, że pokojowe metody prowadzą donikąd, i w zeszłym roku założyła Kongres Panafrykański (Pan Africanist Congress – PAC). Jego lider Robert Mangaliso Sobukwe nie chce współpracy z ANC. Gdy władze wprowadziły *Pass Laws*, ANC zapowiedział na 30 marca manifestacje protestacyjne. W odpowiedzi Sobukwe natychmiast ogłosił, że PAC zacznie swą kampanię protestu tydzień wcześniej, właśnie dziś.

Przed 5 dniami Sobukwe oficjalnie zawiadomił szefa policji Rademeyera o planowanych pokojowych manifestacjach. Ale nie skrywał, że liczy się z aktami przemocy władz. Więcej, dał do zrozumienia, że przemoc policji będzie na rękę PAC. Przed 3 dniami na konferencji prasowej powiedział wprost: „Jeśli druga strona tak bardzo sobie tego życzy, damy jej szansę do zademonstrowania światu, jak może być brutalna".

O 10.00 w centrum Sharpeville zbiera się ponad 5 tys. demonstrantów. W Bophelong i Boipatong działaczom PAC udaje się zebrać w sumie ok. 4 tys. ludzi. Najwięcej, bo aż 20 tys., zgromadziło się w pobliżu posterunku policji w Evaton.

Manifestanci z Bophelong i z Boipatong ruszają w stronę posterunku policji w pobliskim Vanderbijlpark. Policjanci wystrzeliwują granaty z gazem łzawiącym, biją czarnych ciężkimi drewnianymi pałkami. Tłum rozprasza się i wtedy kilku policjantów otwiera ogień do ostatnich uciekających. Zabijają jedną osobę, ranią kilka.

Biali policjanci z Evaton wzywają na pomoc lotnictwo. Jednosilnikowe odrzutowce myśliwskie Sabre przelatują nad tłumem na wysokości zaledwie 30–40 m. Przerażeni demonstranci, w sporej części kobiety i dzieci, rozbiegają się i chronią w swych domach.

Ale w Sharpeville nisko przelatujące sabre nie wzbudzają popłochu. Tu w tłumie demonstrantów jest wielu działaczy PAC. Uspokajają przestraszonych, dodają odwagi, intonują pieśni. Manifestacja rusza w stronę posterunku policji.

Otoczony drucianym ogrodzeniem posterunek znajduje się na rozległym placu, do którego z dwóch stron przylegają pola uprawne. Budynek otaczają uzbrojeni po zęby policjanci. Co chwila wojskowe samochody dowożą kolejnych. Przed ogrodzeniem stoi 5 samochodów pancernych Saracen. Na ich pancerzach stoją policjanci z przewieszonymi przez ramię pistoletami maszynowymi.

Część czarnych demonstrantów otacza płot, reszta w małych grupkach pozostaje na placu. Są pogodni, wręcz radośni. Na przemian śpiewają i wznoszą okrzyki „*Izwe Lethu!*" (Nasz kraj!).

Kilkunastu działaczy PAC podchodzi do policjantów i oświadcza, że nie mają przy sobie dokumentów. Demonstracyjnie żądają, by aresztowano ich za złamanie *Pass Laws*. Oficerowie policji odmawiają.

Mija druga godzina demonstracji. Manifestanci są już trochę zmęczeni. Połowa z nich wraca do domów. Kilkunastu działaczy

PAC prosi demonstrantów, by odsunęli się od ogrodzenia posterunku. Przy płocie pozostaje ok. 300 czarnych. Czekają na odczytanie oświadczenia Kongresu Panafrykańskiego.

Biały fotoreporter magazynu „Drum" Ian Berry słyszy w swoim domu przez radio, że ktoś został zabity przez policję podczas demonstracji przeciw *Pass Laws*. Natychmiast idzie do redakcji magazynu. Zastaje tylko zastępcę redaktora Humphreya Tylera. Pożyczają samochód i jadą do Sharpeville. Z daleka widzą latające nisko samoloty odrzutowe. Na przedmieściu spotykają kilkanaście samochodów z żołnierzami. Policja zatrzymuje obu dziennikarzy i grozi im, że zostaną aresztowani, gdyż jako biali nie mają prawa wjechać do zamieszkanego przez czarnych townshipu. Mimo to Berry i Tyler wjeżdżają do Sharpeville w ślad za pomalowanymi na szaro samochodami policji. Berry ukradkiem przemyka na plac.

Demonstrujące kobiety, znudzone, zmęczone upałem, o 13.15 wznoszą okrzyk „*Izwe Lethu!*" i tanecznym korowodem, ze śmiechem i zaśpiewami, z rękami uniesionymi do góry, otaczają jeden z samochodów pancernych. Nieoczekiwanie rozlega się seria z karabinu maszynowego, do której dołączają kolejne. Demonstranci śmieją się, machają rękami. Wydaje im się, że policjanci rzucają petardy. Ci, którzy z bliska widzą strzelające karabiny maszynowe, uważają, że policja strzela na postrach ślepymi nabojami. Ale wokół padają ludzie. W nagłym wybuchu paniki demonstranci rzucają się do tyłu. Policjanci nie przerywają ognia. Ci stojący na wieżyczkach saracenów strzelają jak na filmach – z biodra, zataczając bronią szerokie łuki niczym żniwiarze kosami. Policjanci za ogrodzeniem zachowują się jak na strzelnicy. Stoją ramię w ramię i starannie celując, strzelają do uciekających.

Ian Berry jest w odległości 50 m od najbliższego saracena, gdy rozpoczyna się kanonada. Pada na ziemię. Demonstranci uciekają

w panice. Obok Berry'ego pada zastrzelona kobieta. W stronę leżącego fotoreportera biegnie przerażony mały chłopczyk. Od pocisków zasłania się kawałkiem tkaniny. Berry, leżąc, naciska migawkę.

Strzały cichną. Z pobojowiska powoli podnoszą się ci, którzy zamiast uciekać, rzucili się na ziemię. I wtedy policjanci znów zaczynają strzelać. W plecy uciekających niedobitków. Na placu leży 69 zabitych, w tym 8 kobiet i 10 dzieci. Spośród 180 rannych aż 150 demonstrantów postrzelono od tyłu.

Linie telefoniczne są przecięte, nie ma jak wezwać pomocy. Karetki pogotowia przyjeżdżają po dłuższej chwili. Policjanci zatrzymują je na skraju placu, nie dopuszczają do rannych. Zewsząd słychać błagania o pomoc.

Berry ukrywa swój mały aparat fotograficzny i wycofuje się do samochodu. Jest wstrząśnięty bezsensem tej masakry, która stanie się przełomowym momentem w dziejach Południowej Afryki, symbolem walki z apartheidem.

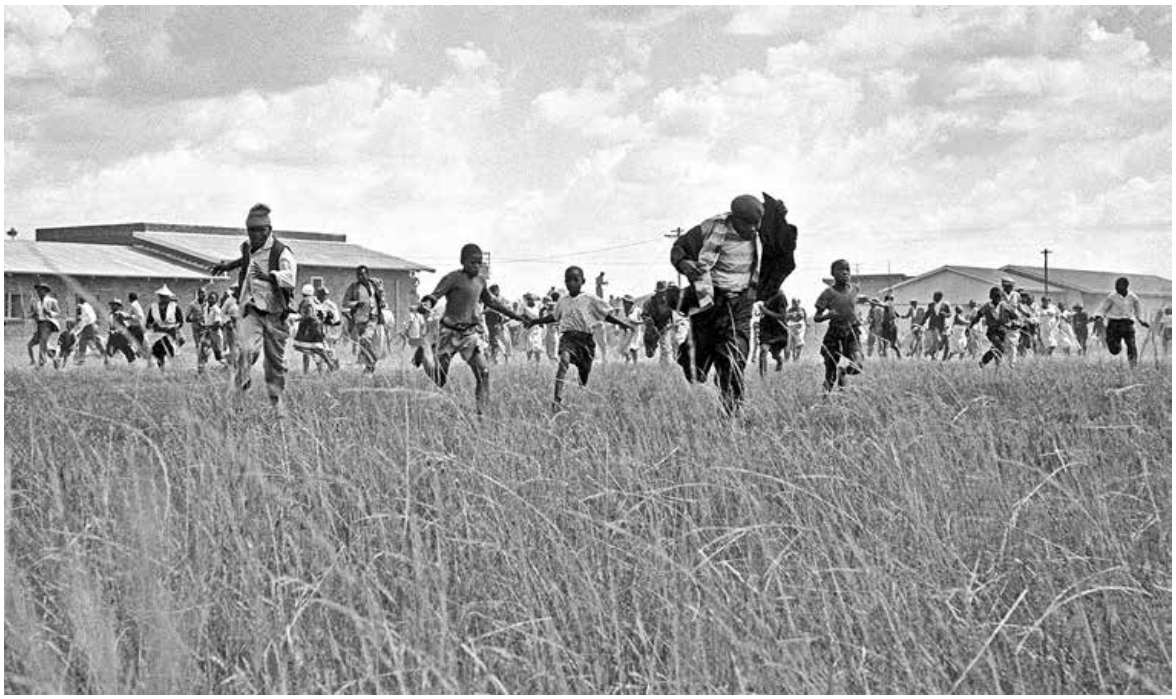

22 marca 1832 ▪ czwartek

Więcej światła

Johann Wolfgang Goethe budzi się, jak zwykle, o 7.00. Słaby, znużony, dłuższą chwilę siedzi w pościeli. Jeszcze 2–3 lata temu po prostu wstałby z prostego drewnianego łóżka, na którym sypia od pół wieku, podszedłby do niewielkiego zydla z małą białą misą, nalałby do niej zimnej wody z dzbana stojącego pod zydlem i swoją ulubioną gąbką przemyłby twarz, szyję i ręce. Po porannej toalecie, nie tracąc czasu, przeszedłby z malutkiej, z jednym tylko, niezbyt wielkim oknem, sypialni na piętrze swego domu do przylegającej do niej pracowni. Wszedłby tam przez drzwi, na których wisi przybity przed laty spory arkusz papieru przeznaczony na bieżące notatki do dziejów najnowszych. W pracowni, niskim i dość ciasnym pokoju, pod jedną ścianą stoi długi stół z półkami na słowniki i podręczniki, na środku owalny stół i twarde krzesła z ozdobnymi oparciami, ale Goethe, jak zawsze, od razu siadłby przy prostym, długim stole z surowego drewna pod drugą ze ścian i natychmiast zabrałby się do pracy nad papierami rozłożonymi obok jego ulubionego popiersia Napoleona. Biust cesarza wykonany jest z mlecznego szkła, które delikatnie prześwieca na błękitno i czerwono. Goethe, autor uczonej rozprawy o kolorach, często używał rozszczepiającego światło słoneczne popiersia Napoleona do objaśniania swej teorii barw.

Ach, jakże jeszcze niedawno wydawać się mogło, że czas nie ima się mistrza z Weimaru.

2,5 roku temu 80-letni Goethe wybrał się na letnią wilegiaturę do swego tzw. domku ogrodowego na przedmieściach Weimaru. Tam przyjął 2 gości z Polski, panów Adama Mickiewicza i Edwarda Odyńca. Obaj byli pod wrażeniem imponującej powierzchowności gospodarza: wysokiego, mocno zbudowanego, z włosem co prawda rzedniejącym nad czołem, ale ledwie co przyprószonym siwizną. Prosta sylwetka, gładka cera, żywe oczy, energiczne ruchy i niczym niezmącona jasność umysłu przywodziły na myśl raczej mężczyznę w sile wielu, co najmniej o 20 lat młodszego.

I Goethe żył tak, jakby był o ćwierć wieku młodszy.

Toż zaledwie przed 9 laty 74-letni poeta bez pamięci zakochał się w młodziutkiej panience Ulryce von Levetzow i prosił swego przyjaciela i protektora, w którego włościach leży Weimar, wielkiego księcia Karola Augusta, o pośredniczenie w rozmowach o rękę pannicy. Dopiero odmowa księcia, gorzkie wyrzuty jedynego syna Goethego i synowej zmusiły go do rezygnacji z tej miłości.

Ale nic nie było w stanie zmusić go do rezygnacji z pracy, biesiad z przyjaciółmi, poznawania wciąż i wciąż, z nieodmienną ciekawością i przyjemnością, nowych ludzi.

Jeszcze przed 2 laty, wiosną 1839 roku, rzucił się do pracy nad drugą częścią *Fausta*, w przerwach pisał przedmowę do *The Life of Friedrich Schiller* (Żywota Schillera) – pióra Carlyle'a – i z zapałem wczytywał się w naukowy spór Cuviera z Geoffroy St. Hilairem, dotyczący systematyki świata zwierząt. Codziennie pisał, bez króciutkiej choćby przerwy, od 7.00 do 11.00. Wtedy to wypijał filiżankę czekolady, po czym wracał do swego długiego stołu pod ścianą pracowni na kolejne 2 godziny. O 14.00 zasiadał do obiadu, w swoim ulubionym pokoiku biesiadnym na piętrze, schowanym za reprezentacyjnym pokojem Junony, zwanym tak od wielkiego popiersia bogini, i za kolejnym pokojem z popiersiami, zdobnym

biustami Schillera, Herdera, Byrona, Jacobiego, Vossa. Przy stole spędzał kilka godzin, pochłaniał ogromne ilości potraw, popijał je 2–3 butelkami wina, czytał współbiesiadnikom rzeczy własne i książki innych autorów, słuchał, gdy czytali je inni. Gdy jego towarzyszom brakło już sił, Goethe, wielki łasuch, dopiero zaczynał rozkoszować się puddingami, ciastami, cukrami.

Nigdy nie czuł znużenia, gdy mógł pochwalić się swymi zbiorami. Gromadzone od dziesięcioleci kolekcje i weimarski dom to wielka radość poety. Dom przy Frauenplan podarował mu przed 40 laty wielki książę Karol August. U schyłku XVIII wieku w zniszczonym, zabiedzonym Weimarze uchodził za niemalże pałac. Zwłaszcza że Goethe rychło przebudował go i zaaranżował wielkie, zbyt wielkie nawet w stosunku do wielkości domu, reprezentacyjne schody w stylu włoskim. Miały mu przypominać szczęśliwe, beztroskie dni młodości spędzone w Italii.

Dziś dom przy Frauenplan już nie wydaje się tak imponujący, ale jego urządzone ze smakiem wnętrza nadal robią wielkie wrażenie na gościach. Zwłaszcza sień z popiersiami bogów Olimpu, ze ścianami pełnymi sztychów z widokami Rzymu.

Prawdziwą dumą gospodarza jest gabinet ze zbiorami sztuki i minerałów. Goethego od lat trawi pasja kolekcjonerska. Dla uzupełnienia swych wspaniałych zbiorów gotów był na wszystko. Gdy rosyjski car przysłał w podarku na dwór księcia Karola Augusta sztabę platyny, Goethe czym prędzej pożyczył ją – i już nie oddał. Ze sztuką bywało podobnie. Przed laty pożyczył z kolekcji Knebla setkę rycin Dürera, by spokojnie przyjrzeć się im w domowym zaciszu. One też zostały już przy Frauenplan.

Jeszcze przed 2 laty poeta pojechał z wnukami do Lasu Turyńskiego, do Ilmenau. Nazajutrz po przyjeździe, w dzień 82. urodzin, wraz z radcą górniczym Mahrem wspiął się na całkiem

solidny, niemal 900-metrowy szczyt Kickelhahn. Jako młodzieniec napisał tam kilka ze swych najlepszych wierszy, pracował nad dramatem o Ifigenii, polował wraz z towarzyszami. Sędziwy Goethe znów spoglądał, z tak dobrze sobie znanego szczytu, na wzniesienia Lasu Turyńskiego, znów zaszedł do domku myśliwskiego, w którym pół wieku temu nocował. Na ścianie odszukał wiersz *Über allen Gipfeln*, jeden ze swoich najpiękniejszych, który zapisał tam o zmierzchu 6 września 1780 roku:

„Wierzchołki wzgórz
Spowite w ciszę;
Drzew żaden już
Wiew nie kołysze;
Śpi las
I ptactwo w gęstwinie
I tobie ninie
Spocząć już czas".

Wtedy poeta zrozumiał, że czasu nie da się oszukiwać w nieskończoność. Trzeba spocząć. Już wkrótce.

Został sam. Już dawno temu odeszli jego przyjaciele Schiller, Herder, Wieland, odeszła matka. Nie ma już zawsze życzliwej mu wielkiej księżny Amalii, nie ma żony Christany Vulpius, którą poznał jako młodziutką, dużo młodszą od niego robotnicę manufaktury wyrabiającej sztuczne kwiaty, z którą przeżył kilkanaście lat bez ślubu, powodując powszechne zgorszenie, która po ślubie żyła obok niego własnym życiem, pełnym wina i zabaw, ale którą stary poeta wiernie kochał.

Przed 5 laty zmarł wielki książę Karol August, któremu zawdzięczał pół wieku dostatniego, spokojnego, pełnego zaszczytów życia w Weimarze.

Niedawno odszedł jego jedyny syn August.

Sędziwemu mistrzowi pozostała tylko jedna prawdziwie bliska osoba – owdowiała synowa Otylia z domu von Pogwisch, weimarska piękność, słynąca z dowcipu i uroczego usposobienia. To ona zajęła się domem Goethego, przyjmowała jego licznych gości, towarzyszyła poecie w biesiadach, ona czytuje mu książki, gdy jest znużony.

Tej zimy Goethe skapitulował przed starością.

Zakazał otwierać okna, wietrzyć dom, a służbę nieustannie popędzał, by dokładała więcej drew do ognia. W przegrzanych wnętrzach domownicy dyszeli jak ryby wyrzucone na piasek. Goethe na to nie zważał, nie zważał także na coraz częstsze przeziębienia i katary, wynikłe z wychodzenia na dwór z domowego gorąca.

I wreszcie stało się, co nieuchronnie stać się musiało. Tydzień temu Goethe, przechodząc z rozgrzanej pracowni do ogrodu, zaziębił się. Następnego dnia rano Wolfgang, jeden z trojga jego wnuków, zastał dziadka w łóżku. Goethego trawiła gorączka.

Leki zaaplikowane przez zaprzyjaźnionego doktora pomogły. Wieczorem chory podyktował długi list do Wilhelma Humboldta. W nocy jednak obudził się, czując przenikliwy chłód w dłoniach i stopach. Skarżył się na ból w piersiach i duszność.

Przedwczoraj rankiem lekarz zastał go w bardzo złym stanie. Goethe rzucał się w pościeli, każda pozycja była niewygodna. Twarz miał siną, oczy zapadnięte. Dopiero gdy przeniesiono go na wygodne krzesło, poczuł się lepiej. Wieczorem przyjął wielu weimarskich przyjaciół zaniepokojonych jego chorobą. Gości uderzyło, że dużo i troskliwie myślał o innych. Goethe, który współpracownikom zawsze płacił marnie i nie interesował się ich problemami, który na list Ludwiga van Beethovena z prośbą

o pomoc nawet nie raczył odpisać, tego wieczoru cieszył się, że jego wstawiennictwo u dworu książęcego za pewnym artystą odniosło skutek. Mało tego, drżącą ręką podpisał papier zabezpieczający stałą pensję dla młodej artystki z Weimaru, której obiecał roztoczenie nad nią opieki. Gawędził miło z gośćmi, tryskał optymizmem i wiarą w rychły powrót do zdrowia.

Ale dziś przejście paru kroków z sypialni do pracowni jest wyczynem ponad jego siły. Goethe drepce przez chwilę obok łóżka, w końcu siada na szezlongu. Otylia, która przez całą noc siedziała u jego wezgłowia, zabawia go miłą pogwarką. Goethe rozmawia z nią o nadchodzącej wiośnie. Cieszy się, że lepsza pogoda przywróci mu zdrowie.

Sypialnia wypełnia się domownikami, zjawiają się też weimarscy przyjaciele i znajomi. Nagle Goethe zaczyna bredzić: „Popatrz, popatrz na tę głowę niewieścią, tak uroczą, z pierścieniami czarnych włosów, jaki śliczny mają kolor, jak pięknie odbijają się na ciemnym tle!".

Nikt mu nie przerywa.

Goethe łapie oddech. Po chwili dostrzega skrawek papieru na podłodze i łaja domowników, że pozwalają, by listy Schillera walały się po ziemi. W końcu usypia.

Gdy budzi się, całkiem przytomnie pyta stojących przy jego łóżku o szkice. Dopiero po chwili słuchający domyślają się, że szkice te przyśniły mu się tuż przed przebudzeniem.

Goethe mówi coraz mniej wyraźnie. Woła do swego kopisty: „Otwórz jeszcze drugą okiennicę, wpuść więcej światła".

Więcej nie ma już sił mówić. W milczeniu kreśli wskazującym palcem w powietrzu litery, słowa, linijki całe. Nikt nie potrafi ich odczytać. Dłoń poety słabnie. Goethe coraz wolniej wodzi palcem

po otulającym go pledzie. O 11.30 pochyla się w bok. Jego spokojna twarz łudzi stojących wokół, że to tylko sen.

23 marca 1965 ▪ wtorek

Żartownisie na orbicie

Ogromna rakieta, stojąca na wyrzutni nr 19 na przylądku Canaveral, skrzy się w promieniach ostrego, porannego słońca. „Titan 2", najnowsza, największa amerykańska rakieta nośna, ma ponad 31 m wysokości i nieco ponad 3 m średnicy. Zaprojektowano ją, by przenosiła najpotężniejsze amerykańskie głowice wodorowe o sile 9 Mt; gdyby jedna z nich eksplodowała nad Moskwą, stolica ZSRR przestałaby istnieć. Ale dziś na szczycie „Titana 2" znajduje się statek kosmiczny „Gemini 3".

Długi na 5,7 m, wysmukły dzwon jest następcą Mercurych, pierwszych amerykańskich statków kosmicznych – jednoosobowych, niemal o połowę od Gemini mniejszych.

W środku, w katapultowanych fotelach, siedzą astronauci: dowódca Gus Grissom i pilot John Young. Przed sobą mają okna kapsuły kosmicznej i panele sterowania. Wewnątrz „Gemini 3" jest tak ciasno, że astronauci poruszają się z trudem.

Obaj mają na sobie skafandry kosmiczne. W ich obszernych kieszeniach poupychali rozmaite drobiazgi, które po powrocie na Ziemię stać się mają wyjątkowymi pamiątkami i prezentami dla najbliższych. Grissom ma 2 zegarki dla swoich synów Scotta i Marka. Na każdym z nich wygrawerowane są okolicznościowe napisy. Na szyi zawiesił, na zwykłym sznurku, pierścień z brylantem dla swojej żony Betty.

Na rusztowaniach krzątają się technicy NASA, kończący przygotowania do startu.

Od pionierskiego lotu Jurija Gagarina przed czterema laty Sowieci raz za razem nokautują program NASA. Gdy Stany Zjednoczone zmniejszyły dystans, wysyłając na orbitę Johna Glenna, Moskwa wyprawiła przed 3 laty w kosmos dwa statki Wostok jednocześnie, na niemal identyczne orbity. Statki zbliżyły się do siebie na odległość zaledwie 5 km. Ten ogromny sukces Sowieci przypieczętowali rok później, wystrzeliwując kolejną parę statków kosmicznych. W jednym z nich znajdowała się kobieta – Walentyna Tierieszkowa.

Astronauci amerykańscy latali w kosmos na statkach kosmicznych Mercury pojedynczo, na orbicie wokółziemskiej przebywali krócej od Rosjan.

Kilka dni temu ZSRR znów podniósł poprzeczkę w kosmicznym wyścigu. Aleksiej Leonow i Paweł Bielajew polecieli na statku „Woschod 2" wyposażonym w śluzę powietrzną. Na orbicie Leonow jako pierwszy człowiek w historii wyszedł w przestrzeń kosmiczną.

To ogromny sukces – w oczach Amerykanów tym większy, że nie znają w szczegółach dramatycznych kulis tego lotu. W przestrzeni kosmicznej skafander Leonowa został rozdęty przez wewnętrzne ciśnienie tak mocno, że nie mógł zmieścić się w ciasnej, przypominającej przyspawany do statku kosmicznego kawałek rury, śluzie. Leonow przytomnie uratował się – upuścił nieco powietrza ze skafandra i zdołał przebrnąć przez śluzę. W drodze powrotnej na Ziemię zepsuł się jednak automatyczny pilot i „Woschod 2" wylądował w dziewiczym lesie w górach Ural, 2 tys. km od miejsca, w którym go oczekiwano. Zamarzający na mrozie Leonow i Bielajew rozpalili ognisko i niechcący przywabili watahę

wygłodniałych wilków. W ostatniej chwili zdążyli czmychnąć przed nimi do kosmicznej kapsuły.

Odpowiedzią Amerykanów na wyjście w przestrzeń kosmiczną Leonowa jest dzisiejszy lot. Statki serii Gemini to wielka nadzieja Stanów Zjednoczonych. Wyposażone w niewielki silnik rakietowy, mają być zdolne do swobodnego manewrowania w kosmosie. Tego sowieckie statki jeszcze nie potrafią.

Po 2 lotach bezzałogowych dziś w kosmos polecą na pokładzie „Gemini 3" 2 astronauci. Do tego pierwszego, decydującego o powodzeniu całego programu „Gemini" lotu NASA wyznaczyła Alana Sheparda i Toma Stafforda. Rezerwowymi zostali Gus Grissom i John Young.

Ale po kilku tygodniach przygotowań Alana Sheparda zaczęły prześladować omdlenia i wymioty. Lekarze zdiagnozowali rzadką chorobę Méničre'a. W kosmos polecieć musi załoga rezerwowa.

W NASA mało kogo to cieszy. Gus Grissom był uczestnikiem niewyjaśnionego incydentu w trakcie najbardziej pechowej, do tej pory, amerykańskiej misji kosmicznej – lotu statku „Liberty Bell Seven".

Wyposażono go w powiększone okno widokowe i nafaszerowany materiałami wybuchowymi właz ewakuacyjny. „Liberty Bell Seven" (nazwę tę nadał statkowi, zgodnie z niepisaną tradycją, jego dowódca, czyli sam Grissom) wodował na oceanie w pobliżu Bahamów. Grissom wykonał wszystkie czynności procedury ewakuacyjnej, zdjął hełm, z trudem odpiął pasy. Gdy nadleciał helikopter, właz ewakuacyjny nieoczekiwanie zdetonował. Woda wlała się do wnętrza. Grissom z trudem zdołał wydostać się z zalanej kapsuły. Tonącego, z przebitą kamizelką ratunkową, w ostatniej chwili uratował helikopter. „Liberty Bell Seven" poszedł na dno. Grissom utrzymywał później, że nie ma

pojęcia, dlaczego nastąpił wybuch. Stanowczo odrzucał zarzuty ekspertów NASA, że przez pomyłkę lub w chwili paniki nacisnął przycisk detonujący.

W trakcie wyścigu z Sowietami NASA nie mogła pozwolić sobie na prestiżową porażkę. Misję Grissoma oficjalnie uznano więc za sukces, a jego samego mianowano rezerwowym dowódcą „Gemini 3".

Po tamtej historii Grissom powinien siedzieć cicho, ale okazał się rogatą duszą. Najpierw chciał ochrzcić „Gemini 3" nazwą indiańskiego szczepu Wapasha z jego rodzinnego stanu Indiana, ale inni astronauci pomysł ten skutecznie wyśmiali. Potem zainspirował go wystawiany na Broadwayu musical *Niezatapialna Molly Brown*, opowieść o kobiecie, która na pokładzie tonącego „Titanica" z poświęceniem uratowała wielu pasażerów, zyskując przydomek „Niezatapialna". I Grissom nazwał statek „Gemini 3" „Molly Brown".

W ten sposób zażartował sobie z pechowego zatonięcia jego „Liberty Bell Seven".

Przełożonym ten żart nie spodobał się, i to bardzo, ale Grissom zagroził, że albo „Gemini 3" będzie się nazywało „Molly Brown", albo na konferencji prasowej nada statkowi nazwę „Titanic".

I teraz siedzi on na pokładzie „Molly Brown".

Technicy zamykają właz.

Start przebiega bez żadnych trudności. Na orbicie astronauci niezwłocznie zabierają się do przeprowadzania zaplanowanych eksperymentów. Najważniejsze z nich to sprawdziany głównych systemów operacyjnych oraz testy manewrowania statkiem w przestrzeni kosmicznej. Bez możliwości kontrolowanej zmiany orbity nie ma co marzyć o najważniejszym celu amerykańskiego programu kosmicznego – lądowaniu człowieka na Księżycu.

Gus Grissom zabiera się do eksperymentów biologicznych.

Ma przekręcić pokrętło, które uruchomi mechanizm mający doprowadzić do zapłodnienia jaj jeżowca. Ten test ma wyjaśnić, jak brak grawitacji oddziałuje na żywe komórki. Przejęty Grissom przekręca pokrętło tak energicznie, że urywa je.

W tym czasie w laboratorium na Ziemi kontroler lotu przekręca identyczne pokrętło w identycznym urządzeniu. On też jest bardzo przejęty i też urywa pokrętło.

Od startu minęła już godzina i 52 minuty.

Pora na testowanie liofilizowanych zestawów odżywczych przygotowanych w laboratoriach NASA.

John Young sięga do kieszeni i wyjmuje spore zawiniątko.

– Co to jest? – pyta Grissom.

– Sandwicz z wołowiną – odpowiada z kamiennym spokojem Young.

Kanapki z peklowaną wołowiną z knajpy Wolfie's w Cocoa Beach to przysmak Grissoma. Young postanowił przed startem zrobić koledze miłą niespodziankę i przemycić sandwicza na pokład „Molly Brown". Przygotowane przez dietetyków NASA liofilizowane pożywienie w zgodnej opinii astronautów nie nadawało się do niczego, a już na pewno nie do jedzenia.

Wczoraj na żądanie astronauty kucharz z Wolfie's, który sandwicze z peklowaną wołowiną przyrządził, musiał wejść na drabinę i po kolei rzucać je na ziemię. Do lotu w kosmos została zakwalifikowana kanapka, która przetrwała test niepokruszona.

– Skąd się tu wziął? – pyta Grissom.

– Wziąłem go ze sobą. Zobaczmy, jak smakuje. Pachnie, co? – zachęca Young.

Grissom ze smakiem odgryza kilka kęsów, ale zauważa okruszki unoszące się wokół twarzy.

– On się kruszy. Włożę go sobie do kieszeni – decyduje się dowódca „Molly Brown".

– Tak? – dziwi się Young. – W każdym razie miałem taki pomysł – usprawiedliwia się po chwili.

– Taaa – kwituje to dowódca.

– No, nie był zbyt dobry – rzuca pojednawczo Young.

– Całkiem dobry, gdyby sandwicz trzymał się kupy – pociesza go Grissom.

Po dłuższej chwili milczenia Young pyta Grissoma, czy chce liofilizowaną nogę kurczaka, dzieło ekspertów NASA.

– Nie, zostawiam ją tobie – odpowiada dowódca statku.

Reszta eksperymentów z manewrowaniem „Molly Brown" nie sprawia astronautom żadnych trudności. Po locie trwającym 4 godziny, 52 minuty i 31 sekund, po trzykrotnym okrążeniu Ziemi, statek woduje na Atlantyku 100 km od planowanego miejsca. Grissom samowolnie zmienia teraz plan misji. Pomny katastrofy „Liberty Bell Seven" odmawia otwarcia włazu „Molly Brown", zanim zrzuceni z helikopterów płetwonurkowie nie przymocują do niej niezatapialnego kołnierza. Taka operacja musi trochę trwać. Fale bujają „Molly Brown" tak mocno, że Grissom dostaje choroby morskiej. Wnętrze statku już nie pachnie sandwiczem z Wolfie's.

– To coś jednak nie jest łodzią – mówi Grissom do płetwonurków po otwarciu włazu.

Astronauci Virgil Grissom i John W. Young na pokładzie „Gemini 3”

24 marca 1794 ▪ poniedziałek

Mam iść?

Północ już dawno minęła, ale w głównym salonie na parterze pałacyku Wodzickich na Piaskach, przedmieściu Krakowa, kandelabry biją żółtawym blaskiem świec. Jasno jest na całym parterze: i w obu gabinetach gospodarza gen. Wodzickiego, i w tuzinie pozostałych pomieszczeń. W salonie obecna jest śmietanka patriotycznej krakowskiej konspiracji – ziemianie Józef Gabriel Taszycki i Jan Maj, ks. Franciszek Dmochowski, kasztelan czchowski Stefan Dembowski, bibliofil Tadeusz Czacki, Aleksander Linowski, zbiegły przed rosyjskimi represjami z Warszawy Joachim

Moszyński, wicebrygadier Jan Ludwik Manget, oficerowie stacjonującego w Krakowie 2. Regimentu Piechoty: mjr Konstanty Lucke, mjr Jan Kalk, kpt. Jan Krzycki, kpt. Usielski. Wszyscy z uwagą słuchają młodego, szczupłego mężczyzny bez zarostu, z długimi, prostymi włosami, wydatnym, orlim nosem, odzianego w szarą czamarę w wąskie zielone paski. To Tadeusz Kościuszko, który za kilka godzin stanąć ma na czele insurekcji.

Przed 2 laty gen. Kościuszko świetnie zasłużył się w wojnie w obronie Konstytucji 3 maja. Po kapitulacji króla Stanisława Augusta wyjechał na emigrację i przyłączył się do spisku insurekcyjnego kierowanego przez Ignacego Potockiego i Hugona Kołłątaja. Brutalne rządy carskiego posła Igelströma i targowiczan sprzyjają wybuchowi powstania.

Insurekcja tak naprawdę rozpoczęła się nieformalnie przed 12 dniami – gen. Antoni Madaliński odrzucił rosyjski rozkaz zredukowania stanu Wielkopolskiej Brygady Kawalerii Narodowej i na jej czele ruszył z Ostrołęki na Kraków. Ciągle jednak jest to bunt wojskowego oddziału, a nie ogólnonarodowe powstanie.

Nocne godziny płyną; Kościuszko i spiskowcy gorączkowo naradzają się nad szczegółami porannej inauguracji powstania. Ustalono je już dawno, ale nieoczekiwanie zmieniły się istotne okoliczności. Zamiar ogłoszenia insurekcji 23 marca na Wawelu jest już nieaktualny. Kościuszkę mocno poruszyło wyjście rosyjskiego oddziału płk. Łykoszyna z Krakowa. Skoro miasto jest w rękach polskich, nie ma sensu konspiracyjnie zaprzysięgać *Aktu powstania...* na Wawelu, lecz uczynić to trzeba na Rynku, w obliczu krakowskiego ludu, decyduje Kościuszko. Przyszły naczelnik insurekcji dezawuuje potajemnie wydrukowany już, przez obecnego w salonie Jana Maja, *Akt powstania obywatelów mieszkańców województwa krakowskiego 1794 r. marca 23 w Krakowie na zamku.*

Kościuszko wprowadza poprawki do tekstu przygotowanego wcześniej przez Ignacego Potockiego i Hugona Kołłątaja. Dla mniej uważnych uczestników nocnej narady w pałacyku Wodzickich zmiany te są jedynie stylistyczną kosmetyką, ale Kościuszko wie, co robi. Zmiany w istocie oznaczają wyraźne wzmocnienie władzy Naczelnika. Oto w paragrafie pierwszym stwierdzenia o mianowaniu Kościuszki najwyższym i jedynym naczelnikiem zastąpione zostają frazą: „Obieramy i uznajemy Tadeusza Kościuszkę za Najwyższego i jedynego Naczelnika [...]". W dyspozycji, iż organizowanie siły zbrojnej należeć ma do władzy jedynej Naczelnika, Kościuszko zmienia grzecznościowe w istocie słówko „jedynej" na: „jedynie".

Praca nad tekstem *Aktu powstania...* przeciąga się aż do godzin porannych.

Skoro świt, zaczyna się odprawa oficerów oddziałów stacjonujących w Krakowie. Oficerowie ci po raz pierwszy słyszą o insurekcji. Wieść tę przyjmują z entuzjazmem i ochoczo deklarują chęć walki w narodowych barwach. Inna sprawa, że dla zachęty konspiratorzy opowiadają oficerom, iż insurekcja jest częścią wielkiego europejskiego rewolucyjnego zrywu przeciw tyranom; w tym samym czasie co polscy insurgenci powstać mają przeciw gnębiącym ich despotom Węgrzy, Szwedzi, Duńczycy.

Oficerowie otrzymują pierwsze powstańcze rozkazy: obsadzić wojskiem poczty i kasy pieniężne, nie wypuszczać nikogo z miasta, dla przyjezdnych otworzyć jedynie Bramę Floriańską. Zaraz też pędzą do swoich oddziałów.

Dochodzi 6.00. Dnieje. Z pałacyku Wodzickich rusza umyślny do klasztoru oo. Kapucynów i zawiadamia gwardiana o. Tadeusza, że wielmożny pan Kościuszko przybył do Krakowa i lada chwila stanie na czele insurekcji narodowej, nasamprzód jednak chciałby ze

swymi oficerami poświęcić ostrza mające bronić ojczyzny. O. Tadeusz w mig zjawia się u furty ogrodowej pałacyku Wodzickich i cierpliwie, mimo przejmującego chłodu, czeka. Jakoż zjawia się Kościuszko w towarzystwie gen. Wodzickiego i kilku oficerów, dla których na nocnej naradzie pilnych zadań nie było. Gwardian prowadzi ich do kaplicy Loretańskiej kościoła Kapucynów. Tam, przed ołtarzem zbudowanym z biurka wielkiego wojownika króla Jana III Sobieskiego, o. Tadeusz odprawia mszę św. Na stopniach ołtarza konspiratorzy składają swe szable. Po mszy kapłan błogosławi broń. Kościuszko bierze swoją szablę, za nim podnoszą broń pozostali oficerowie. Wszyscy składają przysięgę, że w walce za wiarę i ojczyznę życia swego szczędzić nie będą. O. Tadeusz, wzruszony, przemawia:

„Jak niegdyś jeden z kapucynów, wielebny ojciec Marek d'Aviano, błogosławił Przesławnemu Królowi Polskiemu Sobieskiemu, tak ja wam błogosławię". Spiskowcy całują krzyż, a kapłan kropi ich wodą święconą.

Kapucyn brat Antoni odprowadza konspiratorów do pałacyku Wodzickich. Kościuszko zagłębia się w lekturze raportów.

Rozesłani przed świtem z pałacyku Wodzickich oficerowie nie zasypiają gruszek w popiele. Skoro świt żołnierze obsadzają miejskie bramy, nikogo z Krakowa nie wypuszczają. Miejscy strażnicy zawiadamiają o tym prezydenta Krakowa Filipa Lichockiego. Człek to marnego charakteru. Wybrany ledwie przed 3 tygodniami na prezydenta, nominację swą ostro oblewał z dowódcą rosyjskiego kontyngentu ppłk. Łykoszynem, zresztą w tym samym klasztorze Kapucynów, w którym teraz święcił ostrze swej szabli Kościuszko. Lichocki za sprawą narodową słabo obstaje, przy tym wielkie ma o sobie mniemanie. Zerwany ze snu, wysyła strażnika do dowódcy piechoty garnizonu krakowskiego płk.

Adama Kczewskiego (a przy tym jednego z filarów kościuszkowskiej konspiracji, o czym Lichocki nie ma pojęcia) z żądaniem wyjaśnień. Pułkownik odpowiada przez posłańca dyplomatycznie, iż wykonuje tylko rozkazy zwierzchności, a same niedogodności trwać będą niedługo, parę godzin raptem.

Jakiej znowu zwierzchności?

Lichocki kilkanaście godzin wcześniej osobiście asystował wsadzaniu przez rosyjskiego ppłk. Łykoszyna jego żony do kolaski i pośpiesznemu wymarszowi carskich jegrów z miasta. Jaka zatem zwierzchność?

Lichocki wzywa do siebie radnego Ignacego Laszkiewicza i zaczyna się ubierać. Laszkiewicz radzi prezydentowi, by raczej się ukrył, bo sytuacja wygląda na mocno niepewną. Lichocki nie jest pewien, co ma czynić.

O 8.00 do mieszkania Lichockiego przybywa por. Biegański, świeżo upieczony adiutant Kościuszki, z poleceniem od gen. Wodzickiego, by już na 9.00 prezydent zwołał do ratusza miejskich rajców i urzędników, zaś kongregację kupiecką i cechy rzemieślnicze na Rynek. Prezydent pyta, co się dzieje, porucznik jednak nie potrafi składnie odpowiedzieć. Lichocki nie ma czasu na zastanowienie, bo chwilę później do drzwi jego mieszkania puka kolejny adiutant Kościuszki, kpt. Józef Wasilewski, i pyta, czy zarządzenia już wydane. Po czym wydaje polecenie następne: prezydent ma zaraz stawić się w pałacyku Wodzickich przed obliczem Kościuszki.

Skonsternowany Lichocki zamiast do Kościuszki idzie do ratusza. Tam pyta przybyłych już 8 rajców, co ma czynić: iść do Wodzickich czy raczej pozostać w ratuszu, czekać na wezwanie Kościuszki? W końcu cóż ten Kościuszko, żaden to urzędnik koronny, raptem taki sam on szlachcic, jak i Lichocki!

Rajcowie w końcu jednak postanawiają, że iść trzeba. Na wypadek zamieszek magistrat decyduje się wypłacić urzędnikom z góry miesięczną pensję.

Gdy Lichocki na czele 3 przydanych mu rajców wkracza do pałacyku Wodzickich, Kościuszko rozmawia z austriackim komendantem kordonu granicznego na Podgórzu kpt. Weberem. Kościuszko zaprosił go na kurtuazyjną rozmowę, by zapewnić, że insurekcja respektować będzie neutralność Austrii.

Gdy Weber wychodzi, Kościuszko zbliża się do Lichockiego. Szybszy jest jednak gospodarz. Gen. Wodzicki dopada prezydenta i ruga go jak rekruta – Lichocki już poprzedniego dnia wiedział, że ppłk Łykoszyn z wojskiem wychodzi z Krakowa, lecz nikomu z polskich wojskowych o tym nie powiedział. Lichocki tłumaczy mętnie, że rosyjski pułkownik chciał jedynie oddać pożyczone książki, co tylko wzbudza w gen. Wodzickim kolejny atak złości. Interweniuje Kościuszko – nieważne, jakim Lichocki był prezydentem wobec Moskali, ważne, by teraz był lojalny wobec Naczelnika insurekcji.

Dochodzi 10.00. Obecni w pałacyku Wodzickich ruszają w stronę Rynku. Najpierw idą Lichocki i 3 rajcowie, potem Kościuszko w towarzystwie szambelana Dembowskiego, za nimi generałowie Wodzicki, Taszycki, ks. Dmochowski, poseł Linowski, a potem pozostali.

W Rynku stoi już w dwuszeregu I. Batalion 3. Regimentu Czapskiego. W ostrym słońcu pięknie wyglądają granatowe mundury z czerwonymi wypustkami i srebrnymi guzikami. Na czele – ppłk Kczewski na koniu. Obok stoi półkompania artylerzystów Małachowskiego w ciemnozielonych uniformach z czarnymi wypustkami i guzikami złotymi. Za dwuszeregami stoją tłumy tak wielkie, że wypełniają cały Rynek. Na widok Kościuszki zrywa się

wrzawa. Gdy jedni krzyczą: „Niech żyje Polska!” „Wiwat Kościuszko!”, „Równość i wolność!”, „Wolność lub śmierć!”, inni trwożliwie spoglądają na szczupłą, wyprostowaną sylwetkę Kościuszki i rozognione tłumy.

Kościuszko krótko przemawia do wojska, po czym poseł Linowski odczytuje *Akt powstania...* Kościuszko powtarza za Linowskim słowa przysięgi:

„Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie dla ochrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego”.

W tłumie krakowian rajca Florkowski nic nie słyszy. I nic nie rozumie. Pyta jakiegoś plebejusza, co się stało. „Albo zginiemy i zagrzebiemy się w ruinach własnego kraju, albo oswobodzimy ziemię naszą! A kto nie z nami, ten przeciw nam!” – drze się obdartus na całe gardło.

25 marca 1975 ▪ wtorek

Kula zamiast pocałunku

Arabia Saudyjska świętuje rocznicę narodzin Mahometa. Dla króla Fajsala to bardzo pracowity dzień. Monarcha od wczesnego ranka tradycyjnie przyjmuje w swym pałacu w Rijadzie przedstawicieli ludności na posłuchaniu. Teoretycznie każdy poddany ma prawo wejść tego dnia do reprezentacyjnej sali i zadać swemu królowi pytanie. W praktyce godziny poranne zarezerwowane są na

spotkania z najważniejszymi gośćmi, także dla delegacji zagranicznych; wybrani mieszkańcy królestwa będą mogli pojawić się później.

Panujący od 11 lat Fajsal, syn twórcy królestwa Arabii Saudyjskiej króla Su'ud Ibn Abd al-Aziza, jest u szczytu swej potęgi. Zwiększone wydobycie ropy naftowej i znaczne podwyżki jej cen na rynku światowym przysporzyły jego państwu, jednej z ostatnich już prawdziwych monarchii absolutnych, ogromnych bogactw. Pomimo opozycji części książąt z królewskiego rodu Saudów Fajsal dokonał pewnej modernizacji tradycyjnego społeczeństwa: wprowadził szkoły dla dziewcząt, założył telewizję, zwalczaną przez ortodoksów, gdyż rygorystyczne prawo islamskie zabrania pokazywania w jakikolwiek sposób postaci ludzkich.

W 1973 roku król nagle wycofał saudyjską ropę z rynków światowych i stał się jednym z głównych animatorów światowego kryzysu energetycznego. Mimo tej akcji i mimo żywej niechęci do Izraela – Fajsal jest zagorzałym czytelnikiem *Protokołów mędrców Syjonu*, których szerokie rozpowszechnienie w królestwie sfinansował z państwowej kasy – pozostał cenionym przez Waszyngton sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. W zeszłym roku „Time" wybrał go Człowiekiem Roku.

W świecie arabskim Fajsal od czasu kryzysu energetycznego cieszy się wielkim autorytetem.

O 9.45 w królewskim pałacu pojawia się delegacja sąsiedniego Kuwejtu z ministrem ds. ropy naftowej Abdel Muttaleb-al-Kazimi. Audiencję ma wyznaczoną na 10.00. Na Al-Kazimiego czeka w antyszambrze 26-letni bratanek króla Fajsala książę Fajsal ibn Musaed. Młodemu bratankowi króla nieprzypadkowo powierzono misję powitania gościa. Minister Kazimi i książę Musaed od lat świetnie się znają i pogawędka sprawia im widoczną przyjemność.

W tym czasie w sali audiencjonalnej saudyjski minister ds. ropy naftowej szejk Ahmed Zaki Jamani przygotowuje króla Fajsala do rozmowy z gościem z Kuwejtu. Po kwadransie szejk Jamani kończy swój briefing i punktualnie o 10.00. wychodzi do ministra Kazimiego, by poprowadzić go ze świtą do króla.

Książę Musaed powinien pozostać w przedpokoju, ale wbrew etykiecie zręcznie podtrzymuje rozmowę z ministrem Kazimim i zmierza wraz z nim do sali audiencjonalnej. Dla szejka Jamaniego to bardzo niezręczna sytuacja. Zatrzymanie i tym samym ośmieszenie bratanka króla przy ministrze obcego państwa nie wchodzi w rachubę. Szejk Jamani nie interweniuje i książę także wchodzi do sali.

Pod ścianami stoją gwardziści króla uzbrojeni w złocone szable i pistolety maszynowe.

Fajsal w uroczystych szatach wstaje na powitanie gościa. Gdy odwraca się od Kazimiego w stronę księcia Musaeda i nachyla, by go ucałować, ten wyciąga z fałdów swej szaty rewolwer i strzela z bliska, niemal przykładając lufę do podbródka Fajsala. Drugi strzał – w skroń – pada niemal natychmiast, gdy król osuwa się na podłogę. Trzeci strzał oddany do leżącego już Fajsala chybia.

Strażnicy rzucają się w stronę księcia. Musaed odrzuca broń. Stojący obok niego szejk Jamani krzyczy, by nie zabijali zamachowca. Jeden ze strażników uderza Musaeda w głowę ozdobną pochwą z mieczem. Ogłuszony książę pada obok swojej ofiary.

Ochroniarze natychmiast przewożą króla do najbliższego szpitala. Fajsal jest nieprzytomny, ale żyje. Lekarze próbują podtrzymać funkcje życiowe rannego, jednak mimo masażu serca i sztucznego oddychania monarcha szybko umiera.

W tym czasie oficerowie bezpieczeństwa przesłuchują w pałacu zamachowca. Książę Musaed jest zadziwiająco spokojny. Zaprzecza, by ktokolwiek namawiał go do zabójstwa monarchy lub pomagał mu w przeprowadzeniu zamachu.

Oficerowie śledczy i najbliżsi zmarłemu królowi książęta z rodu Saudów głowią się nad rozwikłaniem tajemnicy zamachu. Wygląda na to, że książę Musaed rzeczywiście działał sam. Ale dlaczego?

Na dworze nie jest tajemnicą, że między monarchą i jego bratankiem zdarzały się napięcia. Książę Musaed studiował w Stanach Zjednoczonych. Na uczelniach w Kalifornii i Kolorado nie ujawnił jednak ani talentów, ani zamiłowania do nauki. Przeciwnie, wyraźnie zakosztował w uciechach życia amerykańskich kampusów. Związał się z Christine Surma, młodą, ambitną blondynką, której kariera w Hollywood zakończyła się na roli w trzeciorzędnym filmie *Ugryzienie kobry*, popijał i ostro się bawił. W Boulder był nawet aresztowany za sprzedaż LSD i haszyszu.

Pod koniec pobytu w Stanach książę Musaed poprosił króla Fajsala o zgodę na zamieszkanie za granicą na stałe. Król, z uwagi na jego naganne prowadzenie się podczas studiów, odmówił. Sfrustrowany królewski bratanek musiał wrócić do Rijadu.

Czy to jednak powód, by mordować monarchę?

Śledczy mają jednak i poważniejsze tropy do wyjaśnienia. W Rijadzie od pewnego czasu krążą uporczywe plotki, że podczas studiów w Stanach Zjednoczonych bratanek króla interesował się radykalnymi lewicowymi ruchami arabskimi.

Jest jeszcze jedna hipoteza, o której natychmiast po zamachu szepce się w królewskim pałacu. Przed 9 laty starszy brat zamachowca książę Chalid, znany z ortodoksyjnych poglądów religijnych, przewodził demonstracji przeciwko uruchomieniu w Rijadzie stacji telewizyjnej. W czasie starcia manifestantów

z policją książę Chalid został zastrzelony przez agenta służb specjalnych. Czyżby strzały do króla miały być rodową zemstą za przelanie krwi brata? Ale dlaczego dopiero teraz, tyle lat po tamtej śmierci?

Po południu najbardziej wpływowi książęta z rządzącego państwem królewskiego rodu Saudów, liczącego ponad 3 tys. książąt i ok. 2 tys. kobiet, których mężowie i synowie mają książęce przywileje, uzgadniają treść oficjalnego komunikatu o zamachu. Spiker Radia Rijad, łkając z żalu, ogłasza, że król Fajsal nie żyje. Zgromadzone na ulicach Rijadu z okazji rocznicy urodzin Mahometa tłumy żywiołowo demonstrują rozpacz. Brodaci Beduini płaczą jak dzieci. W strategicznych punktach miasta pojawiają się silne patrole policji i wojska.

Oficjalny komunikat stwierdza, że zamachowiec był chory psychicznie i działał sam. Niewielu mieszkańców Rijadu daje temu wiarę. Wszyscy pamiętają przecież, że zaledwie przed 6 laty król zdemaskował rozległy spisek w swoich siłach powietrznych. Aresztowano wtedy 60 oficerów i lotnictwo wojskowe Arabii Saudyjskiej zostało sparaliżowane na dłuższy czas.

Spekulacje, że zamach był częścią konspiracji mającej obalić monarchię Saudów, cichną po następnym, wieczornym komunikacie Radia Rijad: zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Fajsala i najważniejszych dostojników z jego rodu, jeszcze tego wieczoru nowym monarchą zostaje oficjalny następca tronu, brat zamordowanego króla, książę Chalid Ibn Abd al-Aziz. Książę Chalid nie przepadał dotychczas za polityką. Jego pasją są wielka hodowla sokołów – ponoć najlepsza na świecie – oraz ceremonialne wizyty u plemion beduińskich na pustyni, kończące się udziałem mającego już sześćdziesiątkę na karku księcia w tradycyjnych zawodach zręcznościowych koczowników. Właśnie dlatego nowy monarcha

cieszy się wśród mieszkańców Arabii wielką popularnością. Zwolnione miejsce następcy tronu zajmuje ambitny minister spraw wewnętrznych książę Fahd.

W nocy przybywają do Rijadu tłumy poddanych zabitego króla. Zasady islamskiej doktryny wahabitów, którą wyznawał Fajsal, nakazują jak najszybsze pochowanie ciała zmarłego. Ze względu na żałobników z zagranicy dwór przenosi ceremonię pogrzebową z wieczora na następny dzień.

Wczesnym rankiem w wielkim, ciągle okadzanym hallu pałacu w Rijadzie książęta rodu Saudów i przywódcy klanów beduińskich zbierają się na ceremonii *mubaya*: każdy z nich całuje twarz nowego króla Chalida, jego ramię i przysięga mu wierność.

Obmyte mydłem i gorącą wodą, owinięte w śnieżnobiały całun ciało Fajsala czeka na rozpoczęcie uroczystości pogrzebowych. Trumnę niesie 6 braci zabitego króla. Podczas *fatihy*, wprowadzającej inwokacji, i potem, podczas modlitwy za umarłych, arabscy dygnitarze rzucają się na ziemię. Kondukt z trumną dociera na cmentarz na przedmieściach Rijadu, na którym chowani są zarówno zwykli ludzie, jak i królowie. Ciało Fajsala zostaje złożone w prostym, nieoznaczonym grobie niedaleko grobu jego ojca.

26 marca 1905 ▪ niedziela

Łapy ode mnie precz!

Niewysoki, przystojny młodzieniec w koszuli ze schludnym, białym kołnierzykiem i pod ciemnym krawatem, wystających nad kołnierz zimowego palta, z paczką pod pachą, wraz z czterema młodymi mężczyznami spaceruje pod XII cyrkułem carskiej policji na

warszawskiej Pradze. To bojowiec PPS Stefan Okrzeja i jego podkomendni z tzw. dziesiątki bojowej, która w rzeczywistości liczy tylko 5 spiskowców. Są nimi Szloma Eksztajn „Chłop", Stanisław Zieliński „Sewer", Kazimierz Dobrowolski „Kazik" i jeszcze jeden pepeesowiec.

Niski i dość krępy Stefan Okrzeja ma szlachetną, budzącą szacunek i posłuch powierzchowność. No i jest odważny. Do szaleństwa, do samozatraty.

Pochodzi z ludu, z rodziny zwykłego robotnika kolejowego Walentego Okrzei. Dzięki troskliwości obojga rodziców Stefan, bodaj najbardziej uzdolniony z kilkorga rodzeństwa Okrzejów, ukończył 2 klasy szkoły miejskiej. Na więcej nie starczyły nędzne dochody ojca. Okrzeja podjął pracę w firmie Labor. Malował na naczyniach emaliowanych kwiaty i wzory roślinne. Pieniędzmi wspierał matkę. Teraz pracuje jako robotnik w fabryce Wulkan.

Jako chorąży niejeden raz niósł czerwony sztandar bojowy PPS na socjalistycznych manifestacjach.

Prowadził demonstracje na Lesznie – kilkakrotnie ranili go szablami Kozacy. Był 13 listopada na pl. Grzybowskim podczas wielkiej demonstracji PPS. Jest jednym z najbardziej zaufanych socjalistycznych bojowców.

W paczce Okrzei ukryta jest bomba, przypominająca kształtem i rozmiarami cegłę; jego piątka ma dziś dokonać zamachu na XII cyrkuł carskiej policji na Pradze.

Dzisiejszy zamach to tylko fragment większej zamachowej układanki. Druga z bojowych „dziesiątek" (licząca naprawdę 8 członków) warszawskiej PPS, dowodzona przez Bronisława Żukowskiego pseudonim „Harakiri", ostatnio aż 4 razy próbowała zlikwidować oberpolicmajstra Nolkena – bez skutku.

Oberpolicmajster często zmieniał trasy przejazdu, w urzędzie pojawiał się nieregularnie.

Żukowski zauważył jednak, że po każdym zamachu bojowców PPS Nolken z ochroną przyjeżdża na miejsce zamachu. Stąd wziął się pomysł piętrowego zamachu: najpierw atak na cyrkuł na Pradze, potem – na jadącego tam Nolkena.

Plan pierwszego ataku jest prosty: gdy tylko z XII cyrkułu wyjdzie komisarz policji albo jego pomocnicy, Szlomo Eksztajn „Chłop" rzuca w nich bombę i pod osłoną reszty zamachowców wycofuje się.

Gdy jednak Okrzeja wręcza mu bombę, „Chłop" zaczyna marudzić, mnoży zastrzeżenia. Okrzeja sam bierze paczkę z bombą.

Pod bramą cyrkułu spiskowcy spacerują kwadrans, pół godziny. Nikt z cyrkułu nie wychodzi. Wreszcie Okrzeja zauważa stójkowego Szarapa zmierzającego ulicą do bramy.

Niedawno grupa Okrzei dokonała zamachu na Szarapa na terenie fabryki Labor. Nie powiódł się. Postrzelony w skroń z odległości paru kroków przez „Sewera" i „Kazika" Szarap przeżył i już po 10 dniach wrócił do służby.

Okrzeja błyskawicznie rozstawia swoich towarzyszy. Szlomo Eksztajnowi, do którego ma największe zaufanie, poleca iść za sobą do cyrkułowej bramy i bezpośrednio ubezpieczać zamach. Okrzeja nie wie, że Eksztajn to policyjny prowokator.

„Sewer", „Kazik" i trzeci z bojowców mają ubezpieczać Okrzeję i „Chłopa" z ulicznego trotuaru naprzeciw bramy.

Okrzeja spokojnym, pewnym krokiem idzie za Szarapem, wchodzi na pierwsze piętro, otwiera drzwi do pokoju warty. Szarap siedzi już przy stole na środku pokoju. Okrzeja z zimną krwią rzuca bombę Szarapowi pod nogi. Niestety, zawodzi opóźniacz zapalnika i bomba detonuje już w chwili, gdy uderza o podłogę. Odłamek rani Okrzeję

w lewą łopatkę, podmuch eksplozji wyrzuca go przez drzwi na korytarz.

Nieprzytomny zamachowiec po paru sekundach przychodzi do siebie. Zrywa się na nogi, zbiega na asfaltowane podwórze cyrkułu. Ciągle jest jednak ogłuszony – zamiast w lewą stronę, do bramy prowadzącej na zbawczą ulicę, rzuca się w stronę prawą, do ślepego wyjścia na ścianę poprzecznej oficyny. Zamachowiec w biegu uderza twarzą w ścianę oficyny i zatrzymuje się oszołomiony.

Eksztajn – „Chłop", słysząc huk bomby, nie czeka na zamachowca – wychodzi z bramy i woła do obstawy na chodniku, że Okrzeja już uciekł.

Z pomieszczenia obok pokoju wartowników, w którym wybuchła bomba, wybiega z rewolwerem w ręku stójkowy Czepielewicz. Gdy w kłębach dymu dostrzega Okrzeję, bez namysłu strzela do niego. Opróżnia magazynek, ale tylko jeden pocisk trafia bojowca pod pachą. Ból trzeźwi Okrzeję. Wyciąga z kieszeni browninga i 3 strzałami kładzie stójkowego trupem. Całkiem już przytomny, rzuca się do ucieczki we właściwą bramę, tę prowadzącą na ulicę.

Wchodzący do cyrkułu zaraz po Okrzei i „Chłopie" komisarz policji kpt. Chwoszczyński i stójkowy Kamiński na huk bomby schowali się za skrzydłami bramy wejściowej. Gdy Okrzeja, nie widząc ich, wybiega przez bramę, Kamiński podstawia mu nogę. Obaj policjanci rzucają się na leżącego i łapią za ręce. Obezwładniony Okrzeja nie może strzelać. Z cyrkułu wybiegają policjanci – szarpią Okrzeję za włosy, kopią, okładają kułakami. Kpt. Chwoszczyński chwyta jego zakrwawioną czuprynę, tłucze głową o ziemię.

– Jeszcze raz mnie pan dotkniesz, a rozbiję sobie głowę o mur! – krzyczy z zajadłością Okrzeja.

Chwoszczyński puszcza jego włosy. Samobójstwo pochwyconego już zamachowca byłoby dla oficera policji zupełną kompromitacją.

Na ul. Zjazd tymczasem uczestnicy zasadzki na Nolkena czekają na sygnał do akcji – eksplozję bomby Okrzei. Bronisław Żukowski, „Zagłoba", „Kowal", „Kmicic" spacerują po trotuarze Zjazdu od strony Wisły. Nieco powyżej na Zjeździe, jakieś 50 kroków od grupy Żukowskiego, stoją „Kostek" z bombą oraz „Bohun", który ma dać znak, gdy nadjedzie powóz z Nolkenem. „Bohun" na co dzień jest praktykantem ogrodniczym w Łazienkach i z tego powodu zna z widzenia wszystkich carskich dygnitarzy rezydujących w Warszawie, którzy w Łazienkach regularnie odbywają niedzielne przejażdżki.

Po półgodzinie jałowego czatowania na Zjeździe robi się niebezpiecznie. Nie ma tu knajp, cukierni, sklepów i długie spacery grupki młodych mężczyzn mogą wydać się podejrzane. Do Żukowskiego podjeżdża dorożką „Katajama" i potwierdza, że na Pradze grupa Okrzei nie dokonała jeszcze zamachu. Najwyraźniej bojowcy za Wisłą nie znaleźli godnego celu dla swej bomby. Poirytowany Żukowski poleca „Katajamie", żeby pojechał dorożką do Okrzei i polecił mu, by po prostu rzucił bombę w bramę XII cyrkułu. To nie efektowny zamach Okrzei jest teraz najważniejszy, lecz zwabienie na Pragę, przez Zjazd, Nolkena.

„Katajamę" dzieli od cyrkułu ledwie kilkadziesiąt metrów, gdy rozlega się potężny huk bomby Okrzei.

„Katajama" każe dorożkarzowi zawracać. Przed mostem Aleksandrowskim dla zmylenia tropów przesiada się do tramwaju i dojeżdża do Zjazdu.

Huk bomby Okrzei tonie w rozgwarze miasta i spiskowcy na Zjeździe nie mają pojęcia, że XII cyrkuł został już zaatakowany.

Nagle słyszą trąbki nadjeżdżających wozów konnych pogotowia ratunkowego. Czyli jednak Okrzeja zaatakował.

„Kostek" odbezpiecza bombę i wpatruje się z napięciem w swojego sygnałowego „Bohuna". Gdy tylko w Zjazd skręca jakiś powóz, „Kostek" pytająco kiwa głową do „Bohuna". Raz za razem „Bohun" kręci głową przecząco. Gdy po karetkach pogotowia na Zjazd skręcają z Senatorskiej 2 powozy z rosyjskimi oficerami, „Kostek" już nie pyta gestami „Bohuna", ale od razu bierze solidny zamach. „Bohun" wręcz krzyczy: „N-i-e! N-i-e!". Na szczęście Rosjanie nie rozumieją go, bo „Bohun" strasznie się jąka.

Po powozach z oficerami na Zjeździe pojawia się odkryty parokonny powóz, na widok którego „Bohun" woła: „My! My! My!". „Kostek" bierze rozmach i ponad końskimi głowami rzuca ciężką, parokilową bombę w rozpędzony powóz. Siedzi w nim, oprócz woźnicy, dwóch carskich dygnitarzy: Nolken i oficer żandarmerii, asystent naczelnika warszawskiej ochrany. Rzut „Bohuna" jest niemal doskonały – bomba leci prosto w pierś Nolkena. Niestety, Nolken odbija pocisk pięścią w rękawiczce. Wybita, niczym futbolowa piłka przez goalkipera, bomba eksploduje tuż za burtą powozu. Zmasakrowane konie padają na bruk, Nolken, drugi oficer i woźnica wylatują jak szmaciane lalki na bruk. Oficera żandarmerii od eksplodującego pocisku dzielił Nolken, którego ciężko ranią odłamki. Oficer ma tylko popękane bębenki w uszach, ale przez dłuższą chwilę jest nieprzytomny. Dobicie carskiego satrapy byłoby dziecinnie łatwe, ale żaden z zamachowców nie przewidział takiego obrotu sprawy i nikt z osłony zamachu nie czai się w pobliżu wybuchu z browningiem.

Żandarm przytomnieje, zatrzymuje przejeżdżającą dorożkę i z pomocą stójkowego ładuje do niej ciężko rannego Nolkena. Wykonawcy zamachu nie mogą temu zapobiec. „Kostek", ranny

odłamkiem w czoło, z zalanymi krwią oczami, ogłuszony, zamiast uciekać w stronę towarzyszy, biegnie w stronę zamku. Zatrzymuje się ledwie parę kroków od stojącego przed bramą wartownika. Ociera chustką twarz z krwi. Żołnierz nie zwraca nań uwagi – jest ogłuszony eksplozją bomby. „Kostek" przytomnieje i biegnie w ul. Mariensztat. Stamtąd dochodzą strzały rewolwerowe. To walczy „Bohun", który nie zauważył 2 tajniaków jadących na rowerach za powozem Nolkena.

Dostrzegli oni, że dawał jakieś znaki mężczyźnie, który rzucił bombę. Tuż po eksplozji zeskoczyli przy „Bohunie" z rowerów, zrzucili na środku jezdni palta. Bliższy, st. stójkowy Gawryłow, na którego PPS już wydała wyrok śmierci, łapie „Bohuna" wpół i wzywa policyjnym gwizdkiem na pomoc stójkowych. „Bohun" szarpie się raz i drugi, wreszcie wyrywa z objęć Gawryłowa i przez oporowy murek skacze w dół, na Mariensztat. Gawryłow dobywa rewolweru Bulldog i z góry wystrzeliwuje do „Bohuna" cały bębenek. Bojowiec PPS nie pozostaje dłużny – klucząc zygzakami, strzela do stupajki 7 razy ze swego browninga. Na rogu Sowiej zamachowiec łapie oddech, zmienia magazynek. I wtedy jak spod ziemi wyrasta Gawryłow, i z okrzykiem: „*Stoj*! *Tiepier' uże nie ujdiosz!*", chwyta chłopaka od tyłu za łokcie. „Bohun" mocno szarpie się, uwalnia prawą rękę i niemal z przyłożenia strzela tajniakowi w oko. Potem obojętnie mija trupa i spokojnie, przez nikogo już nieniepokojony, odchodzi do swego mieszkania na ul. Przemysłowej.

Gdy lekarze ratują życie ciężko rannemu Nolkenowi, w XII cyrkule żandarmi masakrują Okrzeję. Bojowiec PPS do niczego się nie przyznaje, ale jeden z rewirowych poznaje go po urwanym ongiś podczas pracy w fabryce palcu.

Komisarz ochrany, widząc, że bicie czarnego od sińców Okrzei niczego nie da, stawia przed udręczonym młodzieńcem filiżankę kawy z mlekiem.

– Niech się pan napije kawy, będzie panu lepiej – kusi uprzejmie.

– *Ach ty, podlec, paszoł won ot mienia!* [Odejdź ode mnie, podły człowieku!] – odpowiada z wysiłkiem Okrzeja.

27 marca 1942 ▪ piątek

Rydwan piekielny

Dochodzi właśnie północ, gdy kmdr Robert Ryder rozkazuje wykonać zwrot w stronę wybrzeży okupowanej Francji. 3 brytyjskie niszczyciele i 18 malutkich ścigaczy porzuca kurs na Atlantyk i skręca w kierunku Zatoki Biskajskiej. W pierwszych minutach nowego dnia, 27 marca, na każdym okręcie tego osobliwego zespołu zaczyna się odprawa załogi. Nieliczni wtajemniczeni oficerowie łamią pieczęcie na kopertach, wyciągają tajne mapy i plany z kryptonimem „Rydwan". 250 marynarzy i oficerów oraz 275 zaokrętowanych komandosów i saperów ze zdumieniem dowiaduje się, że bierze udział w iście szaleńczej operacji zniszczenia największego suchego doku, jakim hitlerowska flota dysponuje nad Atlantykiem.

Suchy dok w St. Nazaire wybudowali Francuzi w latach 30., by móc ukończyć konstruowanie największego wtedy transatlantyku świata – SS „Normandie". Dok jest gigantycznym, głębokim na ponad 16 m, prostokątnym betonowym basenem długości 350 m i szerokości 50 m. By dokonać remontu części podwodnej wielkiego okrętu, musi on wpłynąć do doku przez jego południową bramę.

Następnie zasuwa się gigantyczne skrzydła bramy – 2 ruchome kesony o długości 50 m, szerokości 10 m i wysokości 16 m. Po wypompowaniu z basenu wody podwodne części kadłuba są już łatwo dostępne dla robotników.

Brytyjscy wojskowi uważają, że zniszczenie doku w St. Nazaire ma kluczowe znaczenie dla przebiegu wojny. Londyn boi się, że następca zatopionego pancernika „Bismarck", równie potężny „Tirpitz", wraz z 3 pozostałymi ciężkimi okrętami Kriegsmarine przedostanie się na Atlantyk i sparaliżuje dostawy morskie ze Stanów Zjednoczonych. Dla brytyjskiej gospodarki byłaby to katastrofa. Ale taką operację Niemcy mogą przeprowadzić wyłącznie wtedy, gdyby mieli szansę naprawienia uszkodzonego w boju „Tirpitza". We Francji jeden jedyny suchy dok jest na tyle wielki, by pomieścić hitlerowskiego kolosa – dok w St. Nazaire.

Tak wielkiego obiektu zniszczyć się nie da. Brytyjscy komandosi mają za zadanie wysadzić jedynie gigantyczne wrota doku. Żadna bomba lotnicza, żaden ładunek wybuchowy podłożony przez agentów nie dadzą rady 2 ogromnym, ruchomym kesonom. Royal Navy przebudowała zatem niszczyciel HMS „Campbeltown" na gigantyczną pływającą bombę. W jego dnie zabetonowano 24 bomby głębinowe, w sumie 5 t materiałów wybuchowych, i zaopatrzono je w zapalniki czasowe. „Campbeltown" ma w pełnym pędzie uderzyć we wrota doku. Brytyjscy specjaliści obliczyli, że jego dziób ulegnie częściowemu zmiażdżeniu, a częściowo wypiętrzy się nad wrota. Po zatopieniu rufy i wycofaniu się załogi i komandosów ładunek ukryty w dnie eksploduje i powinien rozerwać bramę gigant.

Komandosi zaokrętowani na ścigaczach mają zniszczyć mechanizmy napędowe wrót oraz urządzenia portowe w St. Nazaire. Po akcji załoga „Campbeltowna" i komandosi powinni

wycofać się na ścigaczach i na 2 niszczycielach, „Tynedale" i „Atherstone", wrócić do Wielkiej Brytanii.

Przez wiele tygodni komandosi ćwiczyli fragmenty jakiejś tajemniczej akcji, ale nie mieli pojęcia, gdzie uderzą. Teraz oszołomieni, słuchają swoich oficerów, którzy z typowo brytyjską dezynwolturą informują ich, że szanse na przeżycie i powrót są minimalne. Ale po chwili żołnierzom wraca dobry nastrój. Są przecież elitą armii. Szaleńcza trudność operacji „Rydwan" wprawia ich wręcz w świetny humor. Sypią dowcipami.

Komandosi z „Campbeltowna" nie mają pojęcia, że mogli stać teraz pośród polskich marynarzy na pokładzie niszczyciela ORP „Burza". Zbudowany we Francji dla Polski okręt ma nietypowe uzbrojenie i – choć to bardzo nowoczesna jednostka – z tego powodu wyznaczony został przez brytyjską Admiralicję do samobójczej misji. Nie zgodziło się na to jednak dowództwo Polskiej Marynarki Wojennej na Zachodzie.

Na okrętach jeszcze trwają odprawy, gdy wachta na „Tynedale" dostrzega niemiecki okręt podwodny. Niszczyciele atakują go, ale U-Boot zanurza się i ucieka. Czy widział maleńką armadę kutrów, zdradzającą, że Brytyjczycy prowadzą jakąś operację specjalną? Ryder uznaje, że Niemcy dostrzegli tylko niszczyciele, których obecność na tym akwenie nie powinna budzić podejrzeń, i rozkazuje nie przerywać misji. Ale dowódca U-593 kapitan Kelbling ma świetny wzrok. Zauważa zalewane przez fale kutry i przez radio zawiadamia o nich swoją bazę. Na szczęście dla Anglików na jego depeszę nikt nie zwraca uwagi.

Jest już dobrze po południu, gdy okręty operacji „Rydwan" natykają się na 2 francuskie kutry z Brestu. Nie ma rady, trzeba zachować tajemnicę. Niszczyciele zabierają na pokład francuskich

rybaków, którzy cieszą się z tego jak dzieci, i posyłają oba kutry na dno.

O 22.15 wyprawa w ciemnościach dociera do ujścia Loary. Kilka mil w górę rzeki leży St. Nazaire.

Niemcy wiedzą, jakim skarbem jest suchy dok. Brzegi Loary naszpikowane są bateriami ciężkich armat i wielkimi reflektorami. Ujście rzeki to udręka dla marynarzy – mnóstwo tu niebezpiecznych płycizn i łach. Ale dziś, 27 marca, krótko przed północą zaczyna się przypływ, który na 2 godziny podniesie poziom wody do maksimum. Zaciemnione okręty brytyjskie płyną w górę ujścia Loary. O północy zaczyna się nalot angielskich bombowców, mający odwrócić uwagę Niemców od rzeki. Jest jednak źle przygotowany, zamiast planowanych 350 bombowców nad St. Nazaire nadlatuje ich niespełna 60. Nalot jest tak niemrawy, że Niemcy domyślają się, iż ma on tylko odwrócić uwagę od Loary. Mija jednak 5 kwadransów i nikt nie odkrywa angielskich okrętów.

Wtem z obu brzegów rozbłyskują reflektory, wyszukują w mroku „Campbeltowna". Rozlega się huk dział i przed jego dziobem wykwita ostrzegawcza salwa. Kmdr Ryder nie traci zimnej krwi. Niemieckim kodem zdobytym przez brytyjski wywiad każe sygnaliście nadać tekst: „Pilne. Dwie jednostki uszkodzone przez nieprzyjaciela, proszę o pozwolenie natychmiastowego wejścia do portu". Zaskoczeni Niemcy przestają strzelać, wyłączają reflektory. „Campbeltown" przyspiesza. Gdy niemieckie baterie wreszcie rozpoczynają ostrzał Brytyjczyków, „Campbeltown" jest już dużo bliżej doku. Pociski rozbijają przednie działo, uszkadzają maszyny, masakrują załogę, ale niszczyciel pędzi dalej. Z prędkością 18 węzłów uderza we wrota doku i zgodnie z planem wspina się nad nie z częściowo zmiażdżonym dziobem. Marynarze uruchamiają zapalniki czasowe i zatapiają rufę okrętu. Komandosi ruszają na ląd.

Po ciężkiej walce wysadzają stację pomp śluzy i mechanizmy przesuwania bramy. Na rzece tymczasem trwa masakra. Niemieckie działa rozbijają niewielkie drewniane kutry. Dziesiątki marynarzy i żołnierzy giną, kolejne jednostki zamieniają się w pochodnie. 80 komandosów z „Campbeltowna" pod dowództwem ppłk. Newmana nie ma czym się ewakuować. Postanawiają przebić się z bronią w ręku do odległej o ponad 500 km Hiszpanii. Do 12.00 niemal wszyscy zostają zabici w walkach na krętych uliczkach St. Nazaire lub dostają się do niewoli. Tylko pięciu cudem przedziera się za miasto i dzięki pomocy francuskich chłopów rozpoczyna mozolną wędrówkę na południe.

Do świtu na dno idzie aż 15 angielskich ścigaczy. Ginie lub dostaje się do niewoli 359 marynarzy i komandosów.

Po zlikwidowaniu niedobitków komandosów ppłk. Newmana Niemcy tłumnie zbierają się przy wbitym we wrota doku niszczycielu. Przeszukują wrak, ale zabetonowanych bomb nie znajdują. Późnym rankiem coraz więcej niemieckich marynarzy i żołnierzy wdrapuje się na niezwykle wypiętrzony nad bramą doku kadłub „Campbeltowna" – w porcie krąży plotka, że na jego pokładzie jest sporo dobrej szkockiej whisky.

O 12.35 potworna eksplozja rozrywa „Campbeltowna" i ogromne wrota doku. Ginie 320 niemieckich żołnierzy i 62 oficerów, są setki rannych. Fragmenty ciał zabitych wiszą na portowych kranach ponad 100 m od doku. Niemieckie pancerniki tracą swe jedyne oparcie nad Atlantykiem.

28 marca 1947 ▪ piątek

Zamiast chleba – generał

Skoro świt w Baligrodzie w Bieszczadach zatrzymują się dwa ciężkie ciągniko-ciężarówki Dodge i ciężarówka Zis. Wyładowane są żołnierzami i oficerami. To inspekcja wiceministra obrony gen. Karola Świerczewskiego. Generałowi towarzyszą dowódca Okręgu Wojskowego Kraków gen. Mikołaj Prus-Więckowski, dowódca 8. Dywizji Piechoty płk Józef Bielecki, dowódca 34. Pułku Piechoty stacjonującego w Lesku ppłk Jan Gerhard i kpt. Aleksander Cesarski. Świerczewski, ongiś żołnierz Armii Czerwonej, w 1920 roku w jej szeregach atakujący Warszawę, potem – jako legendarny gen. Walter, bohater wojny domowej w Hiszpanii – w cieniu swych frontowych osiągnięć organizujący krwawe stalinowskie czystki w szeregach republikańskich, w czasie wojny światowej – nieudolny, z powodu alkoholizmu, generał Armii Czerwonej oraz dowódca 2. Armii Wojska Polskiego, a teraz poseł, członek KC PPR, człowiek zaufania Moskwy, ma z bliska przyjrzeć się ostatniemu niespacyfikowanemu skrawkowi Polski, na którym wojsko i UB od niemal 2 lat nie potrafią zniszczyć oddziałów UPA.

O świcie gen. Świerczewski wizytował Lesko, skąd ruszył do Baligrodu. Inspekcja dobiega końca. Gen. Świerczewski wyraża jednak życzenie odwiedzenia także garnizonu w Cisnej. Płk Bielecki, ppłk Gerhard i kpt. Karczewski zniechęcają go, ale miękko, bez przekonania. Droga do Cisnej prześlizguje się tuż pod matecznikiem UPA – masywem Chryszczata. To w tym miejscu sotnie UPA regularnie urządzają zasadzki na wojskowe konwoje z zaopatrzeniem.

Gen. Świerczewski nie dyskutuje – wydaje rozkaz wyjazdu. Jako pierwszy jedzie ciężki dodge z zamkniętą budą, a na nim 18 szeregowców z 2 erkaemami oraz podpułkownicy Szpakowski i Gerhard. Za nim, na drugim, otwartym dodge'u, siedzi gen. Świerczewski, obok kierowcy, kpr. Stefana Strzelczyka; z tyłu

usadowili się gen. Prus-Więckowski, płk Bielecki, kpt. Cesarski, ppor. Łucznik i 4 szeregowców z 2 karabinami maszynowymi. Na końcu jedzie ciężarowy zis z 19 elewami szkoły podoficerskiej.

Zaraz po wyjeździe z Baligrodu zaczyna szwankować czołowy dodge. Już od wczesnego ranka dwa z sześciu cylindrów nie pracują, silnik grzeje się i w czasie jazdy trzeba robić postoje, chłodzić go. Ale Świerczewski irytuje się, popędza. W końcu rozkazuje oficerom przesiąść się na jego otwartego dodge'a, a felernej maszynie przesunąć się na koniec malutkiej kolumny. Po 2 km grzejący się dodge całkiem traci moc – gen. Świerczewski odsyła go do Baligrodu, a część jego załogi przesiada się na zisa. Obie sprawne ciężarówki ruszają dalej do Cisnej. Gdy dojeżdżają do podnóża masywu Chryszczata, w rejon spalonej podczas wojny wsi Jabłonka, w chaszczach na grzbiecie po prawej stronie szosy pośpiesznie zajmują stanowiska bojowe sotnie UPA – „Chrina" i „Stacha". „Chrin" zaplanował zasadzkę na transport żywności dla garnizonu w Cisnej, ale jego ludzie spóźnili się z powodu roztopów w lasach; marzec tego roku jest wyjątkowo ciepły. Gdy ukraińscy erkaemiści otwierają ogień, większość podwładnych „Chrina" jeszcze przedziera się w stronę swoich stanowisk.

Pierwsze pociski uderzają w burty czołowego dodge'a. Gen. Świerczewski poleca kierowcy przyspieszyć. Ciężarówka przejeżdża mostek na strumieniu Jabłonka. Dalej jednak jechać niepodobna – na otwartej przestrzeni Ukraińcy roznieśliby dodge'a i jego załogę ogniem swych strzelających amunicją zapalającą MG 42. Zis staje kilkadziesiąt metrów przed mostkiem. Kpr. Strzelczyk ginie, próbując pod ostrzałem zawrócić dodge'a. Żołnierze i oficerowie wyskakują z obu ciężarówek na prawo, w stronę strzelających upowców.

Gen. Świerczewski, świadom, że to on wplątał podwładnych w pułapkę, sam obejmuje dowodzenie. Staje wyprostowany na

lewym brzegu strumienia i wydaje rozkaz: atakować pod górę! Żołnierze z dodge'a przebiegają przez strumień i wspinają się na wzgórze, z którego ostrzeliwuje ich dobrze ponad 100 napastników.

Elewi szkoły podoficerskiej w czarnych beretach, pod ogniem, ale spokojnie, jak na manewrach, zeskakują z zisa i na znak dany zza strumienia przez Świerczewskiego rozwijają się w niewielką tyralierę, która zaczyna się wspinać na obsadzone przez Ukraińców wzgórze z drugiej strony. To zręczny manewr Świerczewskiego: 2 malutkie tyraliery krzyżowym ogniem są w stanie powstrzymać czołowy atak o wiele silniejszego wroga. Po paru krokach ginie ppor. Krysiński, ale elewi dalej wdzierają się na wzgórze.

„Chrin" to doświadczony dowódca. Część swych ludzi rzuca do ataku na lewym skrzydle. Gdyby udało mu się oskrzydlić i otoczyć polskich żołnierzy, ich los byłby przesądzony. Rozumie to Świerczewski, który właśnie przeszedł strumień, przedostał się pod mostkiem i wyszedł na drogę w miejscu jako tako osłoniętym przed ostrzałem krzywizną zbocza wzgórza.

– Gerhard, zostaw tu małą grupę jako osłonę, a sam przeskocz z resztą na linię strumienia – woła do ppłk. Gerharda.

To rozkaz do wycofywania się.

Żołnierze cofają się ze zbocza wzgórza, pod ogniem, skokami.

Ukraiński erkaemista dostrzega grubego oficera w płaszczu, z odkrytą głową, stojącego na drodze i wydającego rozkazy. Bierze go na cel.

Gen. Świerczewski chwieje się, ale nie pada. Rozpina płaszcz i mundur, ogląda koszulę. Jest lekko ranny. Płk Bielecki i kpt. Cesarski podbiegają do niego, podtrzymują. Z pomocą ppor. Łucznika prowadzą rannego z powrotem do strumienia, na którego brzegu żołnierze odtwarzają linię obrony. Odwrót rannego Świerczewskiego osłania erkaem Diegtiariew ustawiony na skarpie

brzegu Jabłonki. Ale teren jest całkiem odkryty – tuż nad strumieniem kolejny pocisk trafia Świerczewskiego w plecy. Generał zatacza się, wchodzi do strumienia, przewraca, z trudem podnosi się i znów pada w wodę. Kpt. Cesarski i ppor. Łucznik oraz 2 żołnierze przenoszą Świerczewskiego ok. 30 m dalej. Kładą go za stanowiskiem erkaemu, w płytkiej wodzie, za wysokim brzegiem Jabłonki osłaniającym od pocisków. Bez przekonania próbują opatrzyć rany – generał jest w agonii i nic go nie może uratować.

Oskrzydlający atak upowców dociera do szosy. Strzelcy „Antypko" i „Kohut" doskakują do zisa, ale gdy widzą, że nie ma w nim żywności, nawet nie zadają sobie trudu, by ciężarówkę podpalić, i wracają biegiem do swoich.

Gen. Karol Świerczewski, pseudonim „Walter"

29 marca 1912 ▪ piątek

Listy spod śniegu

Są poza czasem, poza realnym światem. Pogodzeni ze śmiercią, pogodzeni ze sobą. W niezbyt wielkim ciemnozielonym namiocie ze specjalnie, bardzo grubo tkanego płótna leży w śpiworach 3 mężczyzn. Ubrani są w kompletne stroje polarników, ale to wszystko nie chroni przed zimnem. W namiocie jest –30 stopni C. Na zewnątrz – jeszcze gorzej. Od tygodnia szaleje straszliwa wichura, z północy i północnego zachodu, temperatura wynosi –40 stopni C.

3 mężczyźni to członkowie brytyjskiej ekspedycji, mającej zdobyć biegun południowy. Zdobyli go, a teraz, niemal w połowie drogi powrotnej, wyczerpani, głodni, poodmrażani, leżą 10. dzień w lodowatym namiocie i czekają na śmierć.

W środkowym śpiworze leży szef ekspedycji, kapitan brytyjskiej marynarki wojennej Robert Falcon Scott. Tuż przy nim – zoolog z Cambridge, szef zespołu naukowego ekspedycji Edward Adrian Wilson i porucznik piechoty morskiej Henry R. Bowers.

Przegrali życie. Przegrali wyścig o sławę. Wyścig, którym pasjonował się cały świat.

Dla Scotta to już 3. wyprawa na Antarktydę. W latach 1901–1904 kierował ekspedycją antarktyczną statku „Discovery". W roku 1902 przezimował na lodowcu w pobliżu cieśniny McMurdo, a wiosną wraz z Ernestem Shackletonem i Edwardem Wilsonem ruszył w stronę bieguna południowego. Do przejścia mieli 1350 km. Straszliwe mrozy i wichury zatrzymały wyprawę pod koniec grudnia 1902 roku w odległości 850 km od bieguna. Shackleton był ciężko chory na szkorbut, Wilson cierpiał na śnieżną ślepotę. Z bazy na wybrzeżu Scott odesłał Shackletona do Anglii, sam zaś postanowił spróbować jeszcze raz. Przezimował i wiosną

1903 roku znów ruszył do bieguna. Jego grupa przeszła tylko 500 km i musiała zawrócić.

Żywiący ukrytą urazę do Scotta Shackleton w 1908 roku sam zorganizował wyprawę. W styczniu 1909 roku doszedł aż do 88o23'S – od bieguna dzieliło go już tylko niespełna 180 km. Ale musiał zawrócić, by ratować życie.

Sukces ongiś towarzysza wypraw, teraz skrytego rywala zdopingował Scotta. Zaplanował swą trzecią wielką wyprawę na biegun południowy. Przy powszechnym entuzjazmie Anglików brytyjski rząd dofinansował przygotowania.

Lada miesiąc 2 wielkich podróżników i odkrywców zdobyć miało 2 symboliczne, ciągle nietknięte stopą człowieka miejsca na ziemi. W tym samym czasie kończył przygotowania do wyprawy na biegun północny Roald Amundsen, sławny polarnik, który jako pierwszy człowiek przepłynął tzw. przejściem północno-zachodnim, czyli północną drogę morską między Atlantykiem a Pacyfikiem.

Ale we wrześniu nieoczekiwanie dla wszystkich na biegun północny dotarł Amerykanin Robert Peary. Amundsen stracił cel. W jednej chwili zdecydował się popłynąć na antypody i zdobyć biegun południowy, zanim dokona tego Scott. Aby rząd norweski, który sfinansował przygotowania do wyprawy na biegun północny, nie postawił weta, Amundsen nikogo nie poinformował o zmianie planu. W sierpniu 1910 roku wypłynął z Christianii na statku „Fram" z całą ekspedycją rzekomo w stronę bieguna północnego. Dopiero w porcie Funchal na Maderze oznajmił zaszokowanej załodze, że płynie na Antarktydę. Nikt nie zaprotestował. Amundsen publicznie, symbolicznie rzucił kapitanowi Scottowi rękawicę. Po wyjściu z Funchal nadał doń depeszę: „Pragnę poinformować, że zmierzam ku Antarktydzie. Amundsen".

Wyprawa Scotta już od 2 miesięcy płynęła na południe na pokładzie „Terra Nova".

Scott podjął wyzwanie. Wielkim wyścigiem pasjonowała się prasa całego świata.

Obie ekspedycje założyły obozy po dwóch stronach Morza Rossa. Pierwsze miesiące zajęły im krótkie wyprawy w kierunku bieguna i zakładanie coraz bardziej odległych składów z zapasami żywności i nafty. Po przezimowaniu pierwsi ruszyli do szturmu na biegun Norwegowie. 10 dni po nich, 1 listopada 1911 roku, uczyniła to 12-osobowa ekspedycja Scotta.

Norwegom od początku szło doskonale. Zaprzęgi eskimoskich psów sprawnie ciągnęły ciężkie sanie. Polarnicy na wąziutkich, za to długich na 2,5 m nartach sprawnie pokonywali dziennie 30 km śniegów. Bardzo długie narty ułatwiały bezpieczne przejście szczelin w lodowcach. 20 października 1911 roku Amundsen stanął jako pierwszy na biegunie. Zacięty Norweg nawet wtedy nie oszczędził Scottowi upokorzenia. W skórzanym woreczku zostawił 2 listy. Jeden do Scotta: „Czy byłby Pan uprzejmy zabrać ten list dla Jego Wysokości króla Haakona w Norwegii?".

Przeciw wyprawie brytyjskiej sprzysięgło się wszystko. Scott zaplanował ją źle. Zrażony podczas poprzednich ekspedycji do psów, zabrał ich za mało. Szybko zresztą zabrakło dla nich żywności.

Scott postawił na syberyjskie koniki. Ale 10 kuców nie dawało sobie rady. Wichura wbijała im śnieg pod futro. Blisko ciała topniał i wychładzał biednie zwierzęta. Scott wydał rozkaz zastrzelenia ich. Całkiem zawiodła jego tajna broń – sanie motorowe. Na mrozie szybko popękały cylindry silników.

Wkrótce Anglicy musieli sami ciągnąć przez głębokie śniegi ciężkie sanie. Na ich szlaku doszło do zaskakująco długiego załamania pogody – przez cały czas wiały silne, przeciwne wiatry,

padał śnieg. Z trudem pokonywali po kilkanaście kilometrów dziennie. Scott dwukrotnie odsyłał po kilku ludzi z trasy – zaczynało brakować paliwa i żywności.

Najgorsze czekało go 18 stycznia 1912 roku na biegunie – flaga norweska, namiot, a w nim oświadczenie Norwegów o ich tryumfie i perfidny list Amundsena z prośbą o oddanie go norweskiemu królowi. Scott jest dżentelmenem – list Amundsena do Haakona zabrał ze sobą.

Powrót 5 Anglików zamienił się w piekło. Wygłodzeni, przemarznięci, z najwyższym trudem przeciągali sanie o kilkanaście, czasem tylko o kilka kilometrów dziennie. W lutym zmarł z wycieńczenia i od potłuczeń por. Edward R.G.R. Evans. Przed 2 tygodniami kapitan 6. Pułku Dragonów Inniskilling Lawrence E.G. Oates oświadczył, że nie może iść dalej na swych całkowicie odmrożonych nogach. Prosił, by towarzysze pozostawili go. Nie zgodzili się. Następnego dnia rano powiedział: „Wychodzę. Być może zabawię jakiś czas", i żegnany milczeniem, zniknął na zawsze w śnieżnej zadymce. A 3 dni później pozostali przy życiu 3 polarnicy na dobre utknęli w śnieżnej wichurze. Zaledwie 20 km od najlepiej zaopatrzonego Składu Jednej Tony, magazynu żywności i nafty założonego wcześniej przez towarzyszy Scotta.

Tydzień temu skrajnie wyczerpani Anglicy wypalili ostatnie naparstki nafty. Od tego czasu dręczy ich straszliwe pragnienie, bo nie mają jak stopić lodu. Przed 4 dniami przełknęli ostatnie kęsy pemmikanu, wymyślonej przez amerykańskich Indian potrawy składającej się z suszonego, sproszkowanego mięsa ugniecionego ze zwierzęcym łojem i zmieszanego z suszonymi owocami. Wilson i Bowers nasunęli śpiwory na głowy. Może mimo bólu, odmrożeń, pragnienia i głodu uda się zasnąć i odejść we śnie?

Scott rozpina śpiwór i sięga po małą torbę z notatnikami i listami. Od początku wyprawy prowadzi systematyczne zapiski. Od kilku dni, dziś również, pisał w namiocie także listy pożegnalne.

Do pani Wilson: „Droga Pani Wilson. Jeśli dotrze do Pani ten list, będzie to znaczyło, że Bill i ja nie żyjemy. Jesteśmy bardzo bliscy śmierci i chciałbym, aby Pani wiedziała, jak wspaniały był on aż do końca – zawsze w pogodnym nastroju i gotów poświęcić się dla innych; nigdy nie usłyszałem od niego ani jednego słowa wymówki za wciągnięcie go w tę historię [...]".

Do pani Bowers: „Piszę w momencie, gdy zbliżamy się do kresu naszej wędrówki, którą kończę wraz z dwoma dzielnymi i szlachetnymi dżentelmenami. Jednym z nich jest Pani syn.".

Do *sir* J.M. Barriego: „Jesteśmy bardzo bliscy końca, nie straciliśmy jednak i nie chcemy stracić dobrego nastroju [...]. Mój drogi przyjacielu, bądź dobry dla mej żony i dziecka – to prośba umierającego człowieka. Daj chłopcu szansę w życiu, jeśli państwo tego nie uczyni [...]".

Do żony: „Postanowiliśmy nie odbierać sobie życia, lecz walczyć do końca, starając się dojść do składu, gdyż w walce nastąpi bezbolesny koniec. Jeśli potrafisz, rozbudź w chłopcu zainteresowanie do historii naturalnej; to lepsze niż gry. Wiem, że będziesz go chowała na otwartym powietrzu. Przede wszystkim niech się strzeże, a i Ty musisz go strzec, od bezczynności [...]".

Zdrętwiały Scott wyjmuje notatnik i z wielkim trudem wsuwa torbę pod plecy. Mimo straszliwego mrozu zdejmuje rękawice, ujmuje ołówek i walcząc z bólem zamarzających palców, zaczyna pisać:

„Czwartek, 29 marca. Od 21 szaleje nieustannie sztorm z WSW i SW. 20 mieliśmy paliwa na dwie filiżanki herbaty dla każdego i żywności zaledwie na 2 dni. Codziennie byliśmy gotowi wyruszyć

do naszego składu odległego o 11 mil, lecz poza progiem namiotu szalała wściekła zadymka. Nie sądzę, byśmy mogli mieć jeszcze nadzieję na poprawę naszego położenia. Wytrwamy do końca, lecz oczywiście stajemy się coraz słabsi i koniec nie może być daleki.

Szkoda, nie myślę jednak, bym mógł jeszcze pisać.

R. Scott".

Pismo jest eleganckie, zamaszyste.

Scott wpada w drzemkę, budzi się, znów sięga po ołówek. Tym razem litery są nieco większe, troszkę mniej wyraźne:

„*Last entry. For God's sake look after our people*" (Ostatni zapis. Na Boga, zajmijcie się naszymi bliskimi).

Kpt. Scott chowa notatnik do torby, wsuwa ją pod plecy. Śpiwory Wilsona i Owersa nie poruszają się. Scott rozpina swój śpiwór, odrzuca poły. Rozpina kurtkę. Tak szybciej wychłodzi się organizm. Kładzie rękę na ramionach nieruchomego Wilsona.

30 marca 1940 ▪ sobota

Zajrzeć do Baku

Wczesnym rankiem w brytyjskiej bazie lotniczej w al-Habbanijja leżącej w Iraku, na zachód od Bagdadu, 5 mężczyzn w cywilnych ubraniach zajmuje miejsca w dwusilnikowym samolocie pasażerskim Lockheed 14 Super Electra. Pogoda jest doskonała – na niebie nie ma najmniejszej choćby chmurki. Zaraz po starcie maszyna bierze kurs na północ i zaczyna powoli nabierać wysokości. Gdy osiąga bardzo wysoki pułap 5 tys. m, załoga wkłada maski i włącza instalację tlenową. Lockheed przelatuje nad szczytami górskimi południowo-wschodniego Kurdystanu i skręca na

północny wschód. Przelatuje nad granicą iracką i narusza przestrzeń powietrzną Iranu. Gdy jego załoga dostrzega wybrzeże Morza Kaspijskiego, super electra wdrapuje się na pułap 6000 m. Nad morzem, w odległości 25 km od brzegu, pilot obiera kurs na północ i leci wzdłuż wybrzeży należącego do Związku Radzieckiego półwyspu Apszeron.

O 11.45 samolot w pobliżu Baku wdziera się w sowiecką przestrzeń powietrzną. Najtajniejsza misja wywiadowcza toczącej się od pół roku II wojny światowej wchodzi w decydującą fazę.

Dla brytyjskich polityków i wojskowych podpisanie paktu Ribbentrop–Mołotow, niemiecko-sowiecki rozbiór Polski i strategiczny sojusz Stalina z Hitlerem są potężnym szokiem. Konstruowane w Londynie przed sierpniem 1939 roku scenariusze zastopowania niemieckiej agresji wzięły w łeb. Brytyjski rząd liczył przede wszystkim na skuteczność blokady ekonomicznej III Rzeszy. Niemieckiej machinie wojennej chronicznie brakowało paliw silnikowych. Brytyjska blokada miała przede wszystkim odciąć wszelkie dostawy ropy naftowej do Niemiec i sparaliżować hitlerowskie lotnictwo, flotę wojenną, wojska pancerne i zmotoryzowane. Tymczasem od kilku miesięcy z sowieckich pól naftowych w rejonie Baku płyną do Niemiec ogromne dostawy ropy.

Gdyby jednak pola te zniszczyć, udałoby się za jednym zamachem poważnie osłabić potencjał wojskowy III Rzeszy oraz ZSRR. Sowiecka agresja na Finlandię w grudniu 1939 roku sprawiła, że w Londynie zaczęto serio rozważać możliwość uderzenia na Związek Radziecki. W pierwszej kolejności – możliwość zbombardowania pól naftowych w rejonie Baku. Parę tygodni temu brytyjskie Ministerstwo Wojny zatwierdziło projekt budowy nowych lotnisk na terenie Turcji. To z nich miałyby startować

eskadry bombowców do nalotów na sowieckie pola naftowe. Dość nieoczekiwanie okazało się jednak, że Londyn nie ma dokładnych map rejonu Baku. Ale dzięki pewnemu Australijczykowi RAF i wywiad MI-6 potrafią już ten problem rozwiązać.

Niedawno australijski pilot cywilny Frederick Sydney Cotton opracował oryginalną metodę prowadzenia wywiadu lotniczego. Do tej pory samoloty RAF przelatywały nad terytorium przeciwnika i zamocowaną pionowo kamerą fotografowały jego obszar. Cotton wymyślił system 3 sprzężonych aparatów fotograficznych, jednego ustawionego tradycyjnie, pionowo, i dwóch, po bokach kadłuba samolotu zwiadowczego, ustawionych pod kątem 40 stopni. Ten system był o wiele skuteczniejszy od dotychczasowego rozwiązania stosowanego przez RAF, ale brytyjskie dowództwo długo wzdragało się przed wykorzystaniem go w praktyce. W końcu Cotton sam zasiadł za sterami przebudowanego dwusilnikowego lockheeda 12 A, wyposażonego w dodatkowe zbiorniki paliwa, i na własną rękę rozpoczął systematyczne, tajne loty szpiegowskie nad III Rzeszą. Za każdym przelotem fotografował szeroki na 17,5 km pas niemieckiego terytorium. Rezultaty misji Cottona były rewelacyjne i dowództwo RAF szybko sformowało lotniczą jednostkę wywiadu. Stacjonuje ona na lotnisku w Heston w rejonie Londynu. Wyposażono ją w nowoczesne, produkowane dopiero od 3 lat amerykańskie samoloty pasażerskie Lockheed 14 Super Electra. Napędzane gwiazdowymi silnikami Wright super electry osiągają bardzo dużą prędkość 365 km/h i pułap 6500 m. Na tej wysokości niewielkiej super electry, której kadłub mierzy 13,5 m, a skrzydła mają niespełna 20 m rozpiętości, praktycznie nie sposób dostrzec z ziemi bez pomocy przyrządów optycznych. Zwłaszcza że Frederick Cotton opracował nowatorski, bardzo skuteczny sposób malowania

kamuflującego. Atutem lockheeda 14 super electra w służbie wywiadu jest też potężny zasięg – 3100 km.

Do supertajnej misji sfotografowania sowieckich pól naftowych na Kaukazie wyznaczono załogę mjr. pilota Hugo Macphaila. Jego podwładni, por. pilot Frederick Burton, operatorzy sprzętu fotograficznego, starsi szeregowi Bissett i Alan Dixon, swego zaadoptowanego do misji wywiadowczych lockheeda 14 super electra nazwali „Cloudy Joe" (Mętny Józio).

Tydzień temu „Cloudy Joe" w barwach brytyjskiego lotnictwa wojskowego wystartował z Heston. Do załogi na czas misji dokooptowano cywilnego radiooperatora Norringtona. Na pokładzie znajdował się też oficer wywiadu kmdr por. Cuthbert Bowlby.

„Cloudy Joe" przez Francję i Maltę doleciał do bazy RAF Helwan pod Kairem. Tam mjr. Macphaila czekała pierwsza niemiła niespodzianka w tej zaimprowizowanej, słabo przygotowanej misji. Pilot por. Burton, szykując się do lądowania, zauważył z powietrza, że pas startowy w Helwan jest za krótki, by wyładowany sprzętem „Cloudy Joe" był w stanie poderwać się nazajutrz w powietrze. Macphail zdecydował się lądować na innym lotnisku pod Kairem, Heliopolis. W Egipcie wysiadł kmdr Bowlby, zaś „Cloudy Joe" nad Palestyną i Transjordanią, brytyjskimi terytoriami mandatowymi, doleciał do bazy RAF w al-Habbanijja w Iraku. Mjr Macphail zaplanował lot tak, by lądowanie wypadło na porę lunchu. Liczył na to, że w południowym upale nikomu z tubylców ani z załogi bazy nie będzie chciało się przyglądać, kto przyleciał. Macphail nie przewidział jednak, że nuda w prowincjonalnej bazie lotniczej będzie silniejsza od poobiedniej drzemki. Lockheeda w nietypowym jasnozielonym malowaniu maskującym po wylądowaniu otoczył tłum gapiów.

Ale najgorsze zdarzyło się nazajutrz. Załoga zdjęła ze skrzydeł i z burt oznaki RAF i namalowała cywilne oznaczenie G-AGAR. A wszystko na oczach osłupiałych brytyjskich pilotów stacjonujących w al-Habbaniji. Wieczorem cała baza plotkowała o tajemniczym przemianowaniu samolotu. Jakby tego było mało, okazało się, że instalacja tlenowa samolotu uległa uszkodzeniu. Załodze udało się jednak ją naprawić.

Teraz tlen bardzo się przydaje. „Cloudy Joe" leci nad Baku na wysokości 6100 m. Jest spokojnie. Sowieccy obserwatorzy baterii przeciwlotniczych nie zauważają niedużego lockheeda. „Cloudy Joe" ze względów konspiracyjnych ma zdemontowane zewnętrzne, fotografujące pod kątem kamery. Zdjęcia z ukosa musi zrobić osobiście jeden z członków załogi. St. szer. Dixon odłącza się od aparatury tlenowej, otwiera awaryjny właz, wychyla się i fotografuje Baku. Brak tlenu i huraganowy, lodowaty wiatr we włazie powodują, że po paru minutach Dixon ledwie żyje, ale twardo kończy całą serię zdjęć. Samolot robi nad Baku 6 nawrotów i niezauważony przez Rosjan, o 12.45 zawraca na południe.

O 17.00 „Cloudy Joe" ląduje w al-Habbanijji. Wszyscy członkowie załogi prosto z samolotu pędzą do ciemni fotograficznej. Tam radośnie podnieconych podniebnych szpiegów czeka zimny prysznic – zdjęcia Baku są nieostre. Co gorsza, niektóre nie zachodzą na siebie. Trzeba będzie lecieć jeszcze raz.

31 marca 1146 ▪ niedziela

Bierzcie i szyjcie!

W porannym słońcu jaśnieją mury potężnej bazyliki pw. św. Marii Magdaleny wzniesionej na wzgórzu w Vezelay, miasteczku leżącym niespełna 200 km na południowy wschód od Paryża. Bazylika wygląda, jakby szturmowała ją wielka armia; wokół jej murów zgęstniał wielobarwny tłum tysięcy rycerstwa. Błyszczą pancerze i szyszaki, kołysze się las chorągwi. Pierścień rycerzy wokół bazyliki przypomina kwietną łąkę, co rusz przetykaną burawymi plamami – to stoją zwarte grupy duchownych. Im niżej na stoku wzgórza, tym ciżba staje się bardziej zwarta, ale i mniej pstrokata. Mieszczan, a tym bardziej pospólstwa, nie stać na wymyślne, kolorowe szaty. Zebrani wspinają się na palce, kręcą głowami – tak ogromnych rzesz ludzi nie widzieli nigdy w życiu.

Największe tłumy zgromadziły się na północnym stoku wzgórza, na którym, tuż pod murami bazyliki, niedawno cieśle zbudowali wysoką mównicę.

Nikt nie ma jednak zamiaru szturmować wyniosłej bazyliki. Przeciwnie, rycerstwo, duchowni, a i zwykli, prości ludzie z całej Francji pociągnęli do Vezelay na wieść, że w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego, w przytomności króla Ludwika VII, sławny jak Europa długa i szeroka Bernard, opat zakonu cystersów w Clairvaux, wygłosi arcyważne kazanie.

Bernard jest synem Tescelina z Fontaine koło Dijon, światłego francuskiego wielmoży. Matka Bernarda, Aleth de Montbard, była kuzynką króla Francji. Bernard odebrał bardzo dobre wykształcenie, już za młodu opanował kilka obcych języków. Ojciec przeznaczył go do kariery na dworze królewskim, ale młody rycerz nad dworską karierę przedkładał baraszkowanie z pannami i paniami najrozmaitszego autoramentu. Z tej pasji stał się wnet szeroko znany. Tym większy był szok jego kompanów od kielicha i kiecek,

gdy 22-letni rozpustnik nagle wstąpił do zakonu cystersów w pobliskim Citeaux.

Niemal natychmiast zasłynął ze wspaniałych zdolności oratorskich. Dość powiedzieć, że wbrew początkowemu oporowi przekonał, jeden po drugim, swoich 5 braci, by także wstąpili do zakonu cystersów. Oznaczało to koniec wspaniałego rodu panów na Fontaine. Namowom Bernarda uległa także jedyna siostra i przywdziała szaty zakonne, a nawet załamany końcem rodu ojciec, który wybrał jednak inny klasztor cystersów niż ten pozostający pod władzą Bernarda. W Burgundii, na wieść o jego przybyciu, matki zamykały pod kluczem swych synów, z obawy, że swą wymową przekona ich do wstąpienia do zakonu. Z braku synów złotousty cysters skutecznie namawiał do przywdziania mnisich szat mężów i ojców rodzin.

Bernard okazał się genialnym organizatorem. Na jałowej ziemi, w dolinie porośniętej jedynie piołunem, zbudował klasztor nazwany Clairvaux, Czysta Woda, otoczony kwitnącymi gospodarstwami i manufakturami zakonnymi. Cystersów z Clairvaux obowiązuje zasada: módl się, pracuj, ucz się i nauczaj innych. I cystersi bezinteresownie uczą rycerstwo i chłopów nowych sposobów pracy na roli, często podpatrzonych przez krzyżowców u muzułmanów na Wschodzie. Bernard uczynił z zakonu cystersów pierwszorzędną potęgę Europy.

Sam od lat wiele czasu poświęca na studiowanie odpisów dzieł greckich filozofów i starych ksiąg hebrajskich przywiezionych ze Wschodu przez krzyżowców.

W studiach i dysputach teologicznych Bernard słynie z otwartości i jasności myślenia. Z czasem duchowe i polityczne wpływy opata Clairvaux stały się ogromne. Dziś to przyjaciel papieży i królów, niestroniący od łajania Watykanu i europejskich władców, gdy ich

działania uznaje za błędne. I połajanki te przyjmowane są zazwyczaj w milczeniu.

Z zakonnego matecznika w Clairvaux wyciągnęła Bernarda klęska chrześcijan na Wschodzie. Upadek Edessy, stolicy hrabstwa krzyżowców, rozciągającego się daleko na Wschodzie, nad Eufratem, wstrząsnął Europą. Papież Eugeniusz III postanowił wyekspediować do Palestyny nową, wielką wyprawę krzyżową, by pomóc zagrożonym państwom krzyżowców. Zorganizowanie jej powierzył królowi Francji Ludwikowi VII. Monarcha, zanim jeszcze otrzymał bullę papieską w sprawie krucjaty, zwołał na święta Bożego Narodzenia do Bourges naradę wielmożów królestwa. Gdy jednak wyjawił wielkim panom, że zdecydował się wziąć krzyż, czyli ruszyć na wyprawę krzyżową, wszyscy byli przeciw. Króla poparł tylko jeden jedyny biskup Langres.

Ludwik ze swego niepowodzenia wyciągnął wnioski. Zwołał drugą wielką naradę do Vezelay – na Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego, gdy religijne uczucia wiernych ulegają wzmożeniu – a o zachęcenie rycerstwa i możnych poprosił największego kaznodzieję Francji, a może i Europy, Bernarda z Clairvaux.

Dzwonnicy chwytają za liny, biją katedralne dzwony. Na zboczach pod bazyliką ustaje gwar i ruch. W katedrze rozpoczyna się msza św. Zgromadzeni na łąkach, modląc się, patrzą na najważniejszą tego dnia osobę. Pod murem bazyliki, obok króla Ludwika VII i jego żony Eleonory, Bernard stoi w białej kukulli, rodzaju szkaplerza z bardzo długim kapturem. Zatopiony w modlitwie, nie zwraca uwagi na tysiące wpatrujących się weń oczu.

Wreszcie nadchodzi czas kazania. Bernard powoli wchodzi na wysoką mównicę z potężnych bali, tak wysoką, by mogło go usłyszeć jak najwięcej ze zgromadzonych.

Tłumy wstrzymują oddech.

Bernard najpierw mocnym głosem odczytuje bullę papieża Eugeniusza III o konieczności zorganizowania nowej wyprawy krzyżowej:

„Niezwykłe niebezpieczeństwo zagraża Kościołowi i całemu chrześcijaństwu. Ze Wschodu nadeszły wieści nadzwyczaj bolesne: Edessa wpadła w ręce nieprzyjaciół Krzyża, innym miastom grozi podobne niebezpieczeństwo. Nasi bracia na Wschodzie są prześladowani albo stają się niewolnikami wrogów Krzyża świętego. Arcybiskup i kapłani Edessy zostali zamordowani, relikwie świętych sprofanowano i rozrzucono. Dlatego też prosimy was, a raczej zachęcamy, abyście silni i odważni stanęli z bronią w ręku i powstrzymali hordy niewiernych atakujących chrześcijańskie miasta Palestyny. Abyście zaś mogli udać się tam bezpiecznie, gdzie wzywa was Chrystus, zobowiążemy biskupów i wszelkie władze kościelne, by wzięły w swoją szczególną opiekę, jak tego godność i nietykalność wymaga, żony, dzieci i dobra wszystkich, którzy zaciągną się pod znak Krzyża świętego. Ponadto, korzystając z naszej władzy apostolskiej, udzielamy odpustu zupełnego tym wszystkim, którzy odbędą pielgrzymkę świętą i odprawią ze skruchą i pokorą spowiedź świętą".

Bulla odczytana. Bernard chwilę milczy, bierze głęboki oddech. W morzu ludzkich głów pod jego amboną jest cicho, jak makiem zasiał.

„Edessa!!!" – woła potężnym głosem. „Edessa wzywa jękiem konających braci! Jakżeż nie ratować ich, nie ratować zarazem honoru Francji i Kościoła? Jakżeż nie korzystać ze wspaniałej okazji do pokuty i odpuszczenia grzechów? W tej szlachetnej wyprawie zabłyśnie i rozkwitnie część rycerstwa chrześcijańskiego na wieki!..."

Oczy słuchaczy płoną, dłonie zaciskają się.

„Wszyscy zatem mają podążać tam w pokorze ducha, w pokucie, w ubóstwie, jak przystoi prawdziwym pielgrzymom. Nie należy więc zabierać żadnych rzeczy zbytkownych, kosztownych szat i klejnotów. Celem wyprawy jest wszakże Golgota, grób Chrystusowy, wybłaganie wolności wiary" – kończy Bernard.

„*Deus le volt!*" [Bóg tak chce]! – potężny okrzyk wyrywa się z tysięcy gardeł.

„Dajcie nam krzyże!"

Znakiem ślubowania udziału w krucjacie od czasów pierwszej wielkiej wyprawy krzyżowej jest krzyż z tkaniny naszyty na szatę. Bernard, organizator wybitny, o wszystkim pomyślał zawczasu. Pod jego polową kazalnicą piętrzą się dwa stosy krzyży. Te z płótna przeznaczone są dla rycerstwa, te z sukna – dla wielmożnych panów i biskupów.

Pierwszy po krzyż zgłasza się król Ludwik XII. Po nim, niepomni niedawno okazanej przez siebie obojętności dla sprawy krucjaty, porwani przemową Bernarda, wzruszeni, podchodzą do niego wielcy panowie królestwa: Robert z Dreux, Alfons-Jordan hrabia Tuluzy, Archambaud hrabia Bourbon, Wilhelm hrabia Nevers, Henryk z Szampanii, Teodoryk z Flandrii, wuj króla Ludwika VII Amadeusz z Sabaudii, dalej biskupi Arras, Langres, Lisieux. Z entuzjazmem biorą sukienne krzyże, które rychło przyszyją do swych szat. Za plecami wielkich panów tłoczy się tłum pomniejszych, ogarniętych religijnym zapałem wasali, za nim zaś ogromna rzesza prostych ludzi. Histeryczny entuzjazm jest powszechny. Liczba chętnych do wzięcia krzyża przechodzi najśmielsze oczekiwania Bernarda. Płócienne krzyże kończą się już, a chętnych czekają całe błonia.

Bernard czym prędzej rozsyła sługi po tkaniny, jakie bądź, byle szybko.

W końcu zdejmuje swą białą kukullę i oddaje do pocięcia na krzyże. Widząc to, rycerze rzucają się po krzyż z szaty duchownej wielkiego opata, w zamęcie drą kukullę na drobne strzępy, które unoszą z dumą i entuzjazmem.

Słudzy znoszą ofiarowane przez mieszczan i dokupione zwoje tkanin. Bernard i pomocnicy pod amboną pracowicie wycinają z nich niewielkie krzyże, wręczają je czekającym cierpliwie przyszłym krzyżowcom.

Mija dzień, zapada zmrok. W ciemniejącej szarówce Bernard i słudzy ciągle wycinają krzyże.

Bernard z Clairvaux

Kwiecień

1 kwietnia 1656 ▪ sobota

Najświętszej Pannie królestwo, a chłopu ogarek

Od wczesnego ranka wokół lwowskiej katedry Najświętszej Marii Panny gromadzą się tłumy mieszczan, szlachty i pospólstwa. Król Jan Kazimierz Waza obwieścił ostatnio swym dworzanom i senatorom, że tego dnia złoży w katedrze ważne ślubowanie, i nowina ta szybko rozeszła się po mieście.

Trzyma lekki mróz, prószy śnieg. Porządku przed świątynią strzegą długie szpalery piechoty łanowej lwowskiej i powiatu żydaczowskiego, wystrojonej w błękitne, lamowane złotem półszuby, oraz pół regimentu piechoty węgierskiej. Pomiędzy szpalerami do świątyni płyną tłumy lwowian.

Wreszcie przed katedrę zajeżdża orszak królewski. W pierwszej karecie przybywa Jan Kazimierz z nuncjuszem apostolskim Piotrem Vidonim. Z kolejnych karet wysiadają arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny oraz biskup przemyski i podkanclerzy koronny Andrzej Trzebicki, dalej wojewodowie, kasztelanowie. Obecni są wszyscy dostojnicy Rzeczypospolitej przebywający we Lwowie. Bocznymi drzwiami, znajdującymi się blisko ołtarza, dygnitarze wchodzą do katedry.

Tam, pośród natłoku wiernych, czeka już duchowieństwo katedralne i wszystkich kościołów Lwowa oraz przedstawiciele zakonów. Lwowscy rajcowie stoją z pozłacanymi łańcuchami na szyjach, ze świecami w rękach; na ich czele burmistrz w uroczystej czarnej todze i birecie. Jest też delegacja licznej we Lwowie społeczności ormiańskiej, w barwnych wschodnich chałatach i zielonych myckach ma głowach. Choć Ormianie należą do osobnego obrządku, zaproszono ich na dzisiejszą uroczystość.

W katedrze aż gęsto od chorągwi cechowych. Obok delegacji rzemieślników są też przedstawiciele wszystkich bractw.

Król zasiada na fotelu ustawionym przed wielkim ołtarzem. Między ołtarzem i stallami urządzono dla monarchy klęcznik, przed którym rozpostarto turecki dywan.

Po chwili król na czele uroczystej procesji opuszcza katedrę. Wespół z duchownymi i najprzedniejszymi panami królestwa Jan Kazimierz uroczystym krokiem zmierza w stronę przykatedralnego cmentarza na tyłach katedry. Procesja zatrzymuje się przed małą, przytuloną do muru katedry kapliczką Najświętszej Marii Panny, tzw. kapliczką Domagaliczowską. Zbudował ją przed 21 laty z poparciem króla Władysława IV Jan Domagalicz, aby pomieścić słynący z cudów obraz Matki Boskiej Łaskawej.

19 czerwca 1598 roku umarła we Lwowie 15-letnia Katarzyna, córka ławnika miejskiego Wojciecha Domagalicza i jego żony Katarzyny z Wolfowiczów. Dziadek zmarłej Kasi lwowski geometra Józef Szolc-Wolfowicz namalował temperą na desce obraz Matki Boskiej jako epitafium na grób wnuczki. Matka Boska na jego obrazie ma pociągłą twarz, wysokie czoło, małe, wąskie usta. Odziana w czerwoną suknię, siedzi na tronie pośród obłoków. Na jej prawym kolanie stoi nagie Dzieciątko, ledwo tylko przysłonięte pieluszką. Matka Boska nie zwraca uwagi na otaczające ją

skrzydlate główki anielskie i anioły w ekstazie. Jej opuszczony wzrok pada na rozpościerającą się u stóp tronu panoramę Lwowa i modlącą się w dolnym rogu obrazu Kasię Domagaliczównę.

Zrazu obraz umieszczono na zewnątrz katedry, obok grobu Kasi. Rychło jednak zasłynął cudami i stał się przedmiotem uwielbienia, kultu nawet. W 1644 roku obraz przeniesiono zatem do wnętrza katedry, do kaplicy lwowskich rajców. Wkrótce jednak zaczęły się przed nią modlić takie tłumy, że do obrazu docisnąć się było nie sposób. Mąż siostry zmarłej Kasi, lekarz Jakub Gidelczyk, uzyskał przywilej zbudowania nowej kaplicy przy murze katedry od strony rynku. W tej tzw. kaplicy Wolfowiczowskiej szybko jednak zrobiło się zbyt ciasno dla tłumów wiernych i brat Kasi prawnik króla Władysława IV Jan Domagalicz zbudował większą kaplicę – Domagaliczowską.

Jan Kazimierz bywał w niej niejeden raz. Król od dawna gorąco wierzy w cudowną moc obrazu Szolc-Wolfowicza. Modlił się przed nim w 1649 roku, kiedy to w drodze na odsiecz oblężonemu Zbarażowi zatrzymał się we Lwowie. Po zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem chory monarcha nakazał śpiewanie przed obrazem *Te Deum*.

I teraz znów stoi przed skromną kaplicą. Dwaj diakoni w złocistych dalmatykach wynoszą obraz. Procesja wraca do katedry. Diakoni umieszczają obraz w głównym ołtarzu i nuncjusz Vidoni przystępuje do odprawiania mszy wotywnej.

Po kazaniu nuncjusza król przyjmuje komunię św. Potem klęka na klęczniku. Sekretarz podaje mu kartę z tekstem. W katedrze zapada cisza jak makiem zasiał. Jan Kazimierz uroczyście odczytuje łaciński tekst:

„*Magna Dei Hominis Mater et Virgo. Ego Joannes Casimirus, Tui Filii, Regis Regum ac Domini mei, Tuaque miseratione Rex* [...]”.

(Wielka Boga-Człowieka Matko, Panno Najświętsza. Ja, Jan Kazimierz, z łaski Syna Twego, Króla Królów i Pana Mego, upadłszy do stóp Twoich Najświętszych, Ciebie dziś za Opiekunkę moją i za Królową Królestwa mojego obieram [...]).

Król deklaruje oddanie w opiekę Najświętszej Pannie wszystkich swoich państw i szczególnie poleca jej opiece lud oraz wojsko obojga narodów. Zobowiązuje się, że po zwycięstwie nad Szwedami wyjedna w Stolicy Apostolskiej ustanowienie po wsze czasy nowego święta 1 kwietnia.

„A ponieważ z wielkim bólem serca mego oczywiście widzę, że za łzy i uciśnienie ludzi wiejskiego stanu w Królestwie moim, Syn Twój sprawiedliwy, sędzia świata, od siedmiu już lat dopuszcza na królestwo moje kary powietrza, wojen i innych nieszczęść, przeto obiecuję i przyrzekam oprócz tego, iż ze wszystkimi moimi stanami po przywróceniu pokoju użyję troskliwie wszelkich środków dla odwrócenia tych nieszczęść i postaram się, aby lud królestwa mojego od uciemiężenia i niesprawiedliwych ciężarów był oswobodzony" – kończy ślubowanie klęczący monarcha.

Tłum w katedrze ogarnia egzaltacja. Okrzyki „*Amen*!" mieszają się z wiwatami, wierni płaczą i rzucają się sobie w ramiona.

Pomysł ślubowania podsunął monarsze papież Aleksander VII. Ma ono być wyrazem wdzięczności monarchy za pierwsze – po kilku latach klęsk szwedzkiego potopu – uśmiechy fortuny. Oto do zdradzonego przez swe wojska i poddanych króla, który musiał uciekać za granice Rzeczypospolitej, na Śląsk, gdzie był o krok od abdykacji, zgłosił się z niewielkim oddziałem wiernych żołnierzy Stefan Czarniecki. W kraju lud i szlachta coraz chętniej dawały posłuch uniwersałom Jana Kazimierza – łączyły się w zbrojne oddziały i napadały na okupacyjne wojska Karola Gustawa. Przed 3 miesiącami król przedostał się ze Śląska do Lwowa, a przed

tygodniem Czarniecki pobił Szwedów pod Jarosławiem i zmusił do zaprzestania ofensywy na Przemyśl i Lwów.

Królewska obietnica ulżenia doli chłopów zaś ma ich zachęcić do jeszcze żywszego i skuteczniejszego udziału w antyszwedzkim powstaniu. Wobec szczupłości regularnych wojsk, jakimi dysponuje Jan Kazimierz, ogromnego znaczenia nabierają dywersyjne ataki chłopskiej partyzantki na szwedzkie linie zaopatrzeniowe. To dlatego przed tygodniem regimentarz królewski Stefan Czarniecki wydał w Grochowcach niebywały uniwersał, wzywający chłopów do walki i grożący szlachcie karą śmierci, gdyby zabraniała swym poddanym chwytania za broń przeciw Szwedom. Do nieposłuszeństwa zakazującym udziału w walce panom wzywał chłopów przed paru dniami w swym uniwersale także marszałek wielki koronny Jerzy Lubomirski.

Jan Kazimierz powraca na swój fotel. W imieniu senatu i dostojników kościelnych śluby króla powtarzają biskup przemyski, podkanclerzy koronny Andrzej Trzebicki, a za nim senatorowie, zmieniając jedynie słowa odnoszące się do osoby króla. Tym samym ślubowanie staje się oficjalnym aktem państwowym.

Pośród ogólnego entuzjazmu niewielu ma świadomość, że Jan Kazimierz serio traktuje tylko pierwszą cześć ślubowania – tę o oddaniu Rzeczypospolitej w opiekę Marii Panny. Po zwycięstwie nad Szwedami o ulżenie doli chłopów nikt się przecież nie upomni.

2 kwietnia 1939 ▪ niedziela

Stary browning

Chociaż to niedziela, w skromnie, wręcz ascetycznie urządzonym mieszkaniu płk. Walerego Sławka przy alei Szucha 16 od rana dzwoni telefon. Gospodarz umawia się z kilkoma osobami na spotkania w nieodległej przyszłości. Ze swoim przyjacielem, byłym sekretarzem generalnym Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Michałem Brzęk-Osińskim uzgadnia, że nazajutrz wspólnie wyjadą do wsi Racławice, gdzie Sławek ma niewielki dworek. Pułkownik niedawno kupił prostą bryczkę i konia. Teraz uzgadnia z zaprzyjaźnionym ziemianinem Wacławem Karwackim, u którego pozostawił zaprząg, że odbierze go nazajutrz.

Wczoraj płk Sławek zrobił na swoich znajomych nie najlepsze wrażenie. Wyglądało, jakby był w lekkiej depresji. Żadnego z przyjaciół to nie zaniepokoiło. W końcu każdy, kto znalazłby się w takiej sytuacji jak Walery Sławek, miałby prawo do kiepskiego samopoczucia.

Już w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku, jako uczeń gimnazjum, zaangażował się w konspirację niepodległościową. W 1900 roku wstąpił do PPS. Tam poznał Piłsudskiego, który szybko stał się dla Sławka „Gustawa" najwyższym autorytetem w polityce. W 1904 roku Sławek był jednym z organizatorów słynnej manifestacji na pl. Grzybowskim w Warszawie. To on dostarczył broń bojowcom osłaniającym manifestację, która przerodziła się w pierwszą, od czasu powstania styczniowego, walkę zbrojną przeciw carskiemu zaborcy. W rewolucji 1905 roku planował akcje ekspropriacyjne – napady na kasy, celem zdobycia gotówki dla podziemnej PPS. Nieraz aresztowany, siedział za kratkami więzień i aresztów we wszystkich 3 zaborach.

Bardzo wysoki, niezwykle przystojny, uwielbiał życie towarzyskie i piękne kobiety. A kobiety uwielbiały Sławka, mimo rzucającej się w oczy niestałości jego uczuć.

Kres jego życiu towarzyskiemu przyniósł wypadek podczas zamachu bojówki PPS na pociąg pocztowy pod Milanówkiem. Eksplodowała montowana przez niego bomba karbonitowa. Stracił wtedy lewe oko i ogłuchł na lewe ucho. Zmasakrowane miał obie ręce, twarz i klatkę piersiową. Od tej pory nosił brodę, by choć trochę zamaskować paskudne blizny. I odsunął się od kobiet, od znajomych. Skończył z koleżeńskimi bibkami. Odtąd jedynym bliskim dlań człowiekiem pozostał Józef Piłsudski.

W czasie wojny od pierwszych dni walczył jako oficer I Brygady Legionów. Po 1918 roku długo pozostawał w szeregach armii. Do wielkiej polityki wciągnął go Piłsudski po zamachu majowym. Sławek zrazu był wykonawcą poufnych, ryzykownych politycznie misji zlecanych przez Marszałka, pełnił też ważne funkcje państwowe: był wieloletnim posłem na Sejm i jego marszałkiem, trzykrotnie pełnił funkcję premiera. Wraz ze Stanisławem Carem tworzył zapisy konstytucji z kwietnia 1935 roku. Polityczne zadania zlecane przez Piłsudskiego wykonywał bez wahania, czasem wręcz brutalnie. Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, który na polecenie Marszałka stworzył i którym kierował, wszelkimi, godziwymi i niegodziwymi metodami dążył do zdominowania sceny politycznej.

Katastrofę osobistą i polityczną przyniosła mu śmierć Marszałka. Do dziś się z niej nie otrząsnął. Gdy zabrakło Piłsudskiego, obóz sanacyjny podzielił się, a do walki o władzę ruszyli prezydent Mościcki i generalny inspektor sił zbrojnych gen. Edward Śmigły-Rydz. Płk Sławek uważał, że zgodnie z ostatnią wolą Piłsudskiego Mościcki powinien ustąpić i przekazać urząd właśnie jemu. Prezydent jednak odmówił. Później zawarł poufny sojusz z gen. Śmigłym-Rydzem i wypchnął Sławka z polityki. BBWR został

rozwiązany. Płk Sławek kolejno tracił wszystkie stanowiska, mające realne znaczenie polityczne.

Teraz jest sfrustrowanym emerytem, snującym mało realne, wręcz naiwne marzenia o radykalnej, opartej na etycznych zasadach przebudowie społeczeństwa. W depresję wpędza go świadomość, że nie potrafił zrealizować testamentu Piłsudskiego. Nasilają się u niego obawy, że rządząca klika zechce go ostatecznie zniszczyć, na przykład montując pokazowy proces polityczny.

Płk Sławek przyjechał do Warszawy ze swego dworku w Racławicach, który nazywa żartobliwie „zagrodą", przed 2 dniami. I tylko na 2 dni. Zarządzającej racławickim dworkiem pani Łąckiej powiedział, że do stolicy wyjeżdża w gruncie rzeczy tylko po to, by w swoim mieszkaniu odebrać bardzo ważny telegram.

Czeka więc.

Goniec przynosi ten telegram przed 12.00. Pułkownik czyta go. Potem wyjmuje z szafy ciemny wizytowy garnitur z przymocowanymi wstążkami orderowymi, białą koszulę, krawat. Ubiera się starannie i zasiada przy biurku. Wyciąga wszystkie stare listy, dokumenty, notatki. Starannie przegląda je, niektóre czyta. Część papierów odkłada na bok.

Przed 13.00 płk. Sławka odwiedza jego przyjaciel, zasłużony działacz niepodległościowy, były wicemarszałek Sejmu płk Tadeusz Schätzel. Po jego wizycie zjawia się Bohdan Podoski, bliski współpracownik polityczny Walerego Sławka, także były wicemarszałek Sejmu. Gospodarz nie daje po sobie poznać, że ma jakiekolwiek strapienia. Rzeczowo wypytuje o przebieg akcji na rzecz pożyczki lotniczej. Podoski informuje go o sukcesie pożyczki – wedle wstępnych szacunków zgromadzono już, w znacznej części z darów społeczeństwa, pokaźną sumę 120 mln zł.

Gdy Podoski wychodzi, płk Sławek wraca do przeglądania swoich papierów. O 17.00 wzywa swoją starą gosposię i poleca napalić w piecu. Odłożone na bok papiery wrzuca do paleniska.

Po zmroku zasiada do pisania listów. Pisze szybko, trochę niestarannie: „Odbieram sobie życie. Nikogo proszę nie winić. 2/IV. 1939. W. Sławek"

Pod spodem dopisuje: „Spaliłem papiery o charakterze prywatnym, a także wręczone mi w zaufaniu. Jeśli nie wszystkie, to proszę pokrzywdzonych o wybaczenie. Bóg Wszystkowidzący może mi wybaczy moje grzechy i ten ostatni".

Potem pisze list do prezydenta Ignacego Mościckiego.

List do Mościckiego zakleja w kopercie i pozostawia na biurku. Kartkę z oświadczeniem kładzie na blacie bez koperty.

Walery Sławek wyjmuje z szuflady biurka stary pistolet Browning, którego używał jeszcze w czasach niepodległościowej konspiracji, przed 30 laty. Nabija broń, odbezpiecza. Pułkownik wstaje zza biurka, kładzie się na otomanie, nad którą wisi sztych przedstawiający śmierć księcia Józefa Poniatowskiego w nurtach Elstery. Z trudem ujmuje kolbę pistoletu obiema dłońmi – po eksplozji bomby pod Milanówkiem w prawej ręce brakuje mu 3 palców, a kciuk i środkowy są znacznie skrócone. Dłoń lewa pozbawiona jest 2 palców środkowych. Leżąc na wznak, wkłada lufę do ust i pociąga za spust. Jest godz. 20.45. Dokładnie o tej godzinie 12 maja 1935 roku zmarł marszałek Piłsudski.

Gosposia jest na końcu mieszkania, nie słyszy huku wystrzału. Kwadrans później jednak, gdy przechodzi obok drzwi gabinetu, do jej uszu dochodzi kilka ciężkich westchnień. Nie śmie jednak ani wejść, ani zapukać.

Krótko przed 22.00 znów słyszy jęki i rzężenie. Tym razem puka i w końcu odważa się uchylić drzwi. Zakrwawiony Walery Sławek

leży na otomanie. Na podłodze gospodyni dostrzega pistolet.

Natychmiast podnosi słuchawkę i wykręca numer alarmowy pogotowia: 875 75. Karetka zjawia się błyskawicznie. Lekarz Jan Majewski jest zaskoczony. Strzał z pistoletu kalibru 7,65 mm w usta właściwie nieuchronnie powoduje śmierć, ale Walery Sławek żyje! Jest nieprzytomny, ma silny krwotok z ust, dr Majewski wyczuwa jednak słabiutkie tętno. Czym prędzej robi nieprzytomnemu zastrzyk podtrzymujący akcję serca.

Karetka przewozi rannego do Szpitala Wojskowego im. Józefa Piłsudskiego. W Instytucie Chirurgii Urazowej chirurg płk Sokołowski bada ranę. Aż trudno uwierzyć: pocisk przebił podniebienie i utkwił w czaszce od wewnętrznej strony. Najwyraźniej pamiątkowy browning był stary i bardzo zużyty, a sam strzał, ze względu na kalectwo pułkownika, oddany był nieco z ukosa i pocisk nie zdołał przebić kości czaszki.

Policja zabiera z mieszkania list do prezydenta Mościckiego. Kartkę z oświadczeniem władze przed północą przekazują Polskiej Agencji Telegraficznej. O liście nie wspominają – dziennikarze dowiadują się o nim na własną rękę.

Lekarze próbują ustabilizować tętno i oddech rannego. Ok. północy, po dużej transfuzji krwi, płk Sokołowski ocenia stan płk. Sławka na wystarczająco dobry, by móc rozpocząć operację. Jest ona trudna i niebezpieczna, trwa 2 godziny. Płk Sokołowski wydobywa spłaszczony pocisk, który wbił się w czaszkę od wewnętrznej strony. Zaraz po zakończeniu operacji lekarze rozpoczynają drugą transfuzję krwi. O 4.00 nad ranem wydaje się, że stan operowanego wyraźnie się poprawia. 2 godziny później jednak zaczyna się agonia. Ksiądz udziela choremu ostatniego namaszczenia. Do sali operacyjnej wchodzi kilkudziesięciu przyjaciół i towarzyszy broni Walerego Sławka. Do tej pory stali na korytarzu. Są wśród nich płk Wacław

Lipiński, płk Schaetzel, byli premierzy Aleksander Prystor, Kazimierz Świtalski, Leon Kozłowski. Walery Sławek, nie odzyskawszy przytomności, umiera o 6.45.

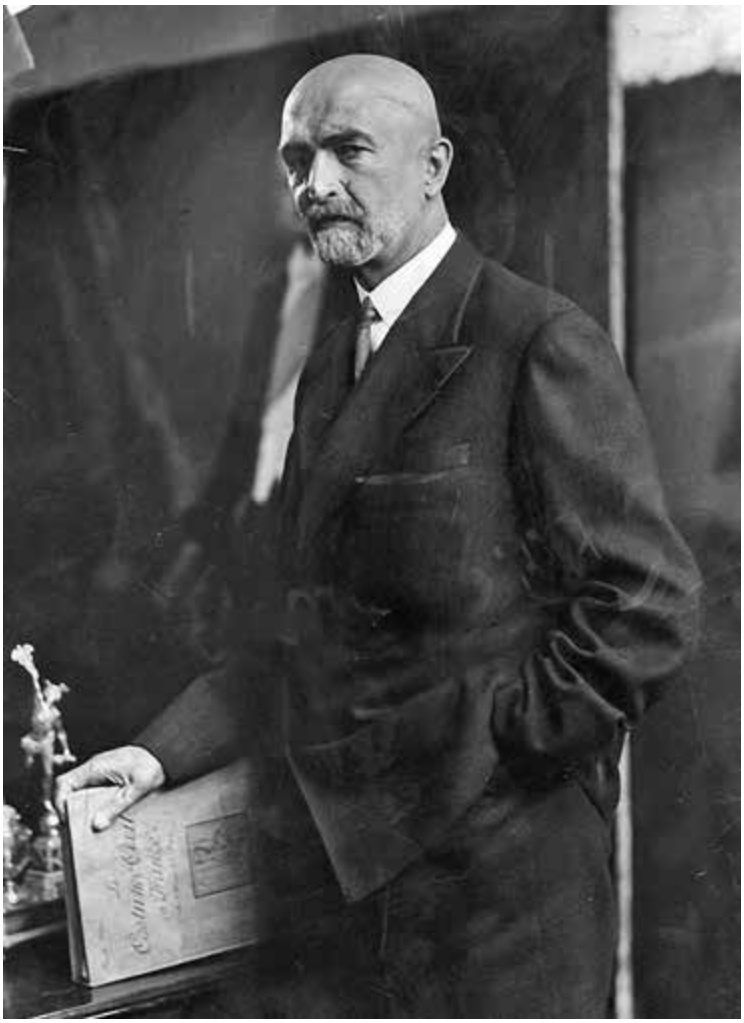

Walery Sławek

3 kwietnia 1996 ▪ środa

Kaczynski wreszcie aresztowany!

Spora grupa mężczyzn i kobiet ostrożnie przedziera się przez gęsty, niemal dziewiczy las w hrabstwie Lewis i Clark w stanie Montana. Część ma na sobie czarne nieprzemakalne kurtki z wielkimi żółtymi literami FBI na plecach. Część – kurtki ciemnoniebieskie, z napisem „ATF Agent"; to agenci Federalnego Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni i Materiałów Wybuchowych. Jest też kilku agentów Służby Pocztowej Stanów Zjednoczonych. Wszyscy mają w ręku odbezpieczoną broń. Wreszcie dostrzegają skrytą w puszczy malutką chatkę w wymiarach nieco ponad 3 na 4 m, zbitą z nieheblowanych dech, z drewnianym 2-spadowym dachem. Bardziej przypomina kurnik niż miejsce, w którym mieszkają ludzie. Ściany chatki pstrzą wielkie, ciemne plamy mchu i porostów.

Agenci starannie kryją się w chaszczach, mierzą z broni w chatkę. Nie ma żartów – w tej leśnej budzie prawdopodobnie mieszka najgroźniejszy terrorysta w Stanach Zjednoczonych.

Od 1978 roku nieznany terrorysta wysyła pocztą lub podkłada bomby w ręcznie wykonanych drewnianych pudełkach. Niektóre z pudełek opatruje inicjałami „FC". Celem jego ataków były zrazu amerykańskie wyższe uczelnie i linie lotnicze, stąd FBI nadała mu kryptonim „Unabomber" („Un" od *university*, „a" od *airline*). Potem atakował także ludzi związanych z przemysłem drzewnym. Jego bomby zabiły 3 ludzi, raniły i okaleczyły 29.

Zamachowiec był bardzo ostrożny, starannie planował każdy ruch i nie popełniał błędów. Najdłuższe, najszerzej zakrojone w historii FBI śledztwo spełzło na niczym. Jedynym jego efektem był portret pamięciowy zamachowca jako mężczyzny w średnim wieku, w ciemnych okularach i w bluzie z kapturem. Dopiero gdy terrorysta wysłał do prasy swój pseudofilozoficzny elaborat przeciwko dominacji technologii w życiu człowieka, brat Teodora

Kaczynskiego przypomniał sobie, że podobny tekst dostał od niego przed wielu laty, i zawiadomił FBI.

Śledztwo potwierdziło, że mający polskie korzenie Theodore Kaczynski, syn Amerykanina prowadzącego w Chicago wytwórnię polskich kiełbas, pasuje do sylwetki samotnego terrorysty. Od najmłodszych lat był uznawany za geniusza. Ukończył Uniwersytet Harvarda (przyjęto go tam w wieku 16 lat), jako doktor matematyki został zatrudniony na prestiżowym uniwersytecie Berkeley, ale nagle rzucił pracę, w 1971 roku wyjechał do lasów Montany, kupił tam działkę, w puszczy, zbudował prymitywną chatę i pędził życie samotnika. Od czasu do czasu, właśnie wtedy gdy Unabomber dokonywał zamachów, Kaczynski wyruszał na krótko ze swej chaty do cywilizowanego świata.

Po namierzeniu leśnego domku Kaczynskiego agenci FBI i ATF rozpoczęli powolne, metodyczne przygotowania do aresztowania go. Chata znalazła się pod stałą obserwacją. Nie było to proste. Z jednej strony gęsta puszcza ułatwiała podkradanie się pod ściany chaty, z drugiej jednak, dzikość tego miejsca sprawiała sporo kłopotów. Kiedyś, w odległości 15 m od ukrytego w chaszczach agenta wielka puma z zasadzki zabiła dorosłego jelenia.

Tydzień po tygodniu agenci federalni faszerowali otoczenie domku Kaczynskiego elektronicznymi czujnikami, mikrofonami i mikroskopijnymi kamerami ukrytymi na drzewach. Do obserwacji otoczenia chaty użyto nawet satelitów. Rzesze agentów od kilku miesięcy snują się też po dalszej okolicy. Miejscowi dawno już zwęszyli, że dzieje się coś dziwnego. W miejscu gdzie zawsze diabeł mówił dobranoc, nagle zaroiło się od urzędników poczty i kurierów FedExu, DHL-u i UPS-u, szukających nie wiadomo czego, od drwali w nowiutkich uniformach i od turystów holujących za swymi autami lśniące, najwyraźniej nigdy nieużywane skutery śnieżne.

O dziwnych przybyszach plotkowali wszyscy, tylko nie Kaczynski. Na szczęście dla agentów federalnych nie utrzymuje on dosłownie żadnych kontaktów z miejscowymi i o niczym nie ma pojęcia.

FBI zaplanowało najpierw, że poczeka, aż Kaczynski wybierze się do sklepu lub na pocztę, i wtedy, izolowanego, aresztuje go. Ale podejrzany solennie zasłużył sobie na przydomek pustelnika: od tygodni nie oddala się od chaty na więcej niż kilkadziesiąt kroków, żywi się byle czym, nawet korzonkami wygrzebanymi z leśnego runa. FBI postanowiło czekać, aż nadarzy się sposobna okazja do zatrzymania, ale czas płynął, śniegi stopniały, a Kaczynski nadal tkwił w swojej gawrze. Prowadzący akcję agenci obawiali się, że pewnego dnia może wymknąć się niepostrzeżenie ze swej samotni, przekroczyć otaczającą ją strefę urządzeń alarmowych i ruszyć, jak już bywało kilkanaście razy, w świat, by wysłać lub zainstalować kolejną bombę.

Nie było wyjścia – funkcjonariusze postanowili skontaktować się z jednym z mieszkańców, o którym wiedziano, że przypadkowo kilka razy rozmawiał z Kaczynskim. Butch Ghering okazał się nieocenionym informatorem. Powiedział federalnym, że Kaczynski jest w najwyższym stopniu zaniepokojony możliwością, iż granica jego posiadłości może, wskutek błędnych pomiarów geodezyjnych w przeszłości, znajdować się na terenie, który jest własnością rządu.

To nasunęło agentom plan obezwładnienia odludka.

2 agenci federalni podkradają się pod chatkę i kryją za pniami rosnących obok drzwi starych drzew. Tutejszy leśniczy Jerry Burns, którego Kaczynski zna, podchodzi do drzwi chatki i woła na niego. Kaczynski ostrożnie wygląda. Burns tłumaczy mu, że chce wyjaśnić kwestie związane z przebiegiem granicy działki Kaczynskiego. Samotnik wychodzi, by porozmawiać. 2 agenci FBI znienacka rzucają się na niego, obezwładniają i natychmiast zakuwają

w kajdanki. Na malutkiej polance przed chatą nagle robi się gęsto od agentów ukrytych dotąd w okolicznych chaszczach. Funkcjonariusze FBI odprowadzają skutego Kaczynskiego do innej, nieodległej leśnej chaty, zajętej na czas operacji przez służby specjalne. Tam sadzają skutego aresztowanego na zydlu i pozostawiają go pod okiem agentki Candice DeLong. Nieoczekiwanie okazuje się to dla niej bardzo trudnym zadaniem. Kaczynski nie mył się od wielu miesięcy i potwornie cuchnie. DeLong z trudem powstrzymuje się, by nie zatkać ostentacyjnie nosa. Z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia wpatruje się w niesamowite jasnoniebieskie oczy Kaczynskiego, nad którymi zwieszają się rzęsy ociekające tłustym brudem. Dziko zmierzwione włosy i broda lepią się od ciemnego brudu. DeLong przypomina sobie, że w psychologicznym portrecie podejrzanego eksperci FBI podali, że jest mężczyzną starannie, schludnie ubranym, wręcz eleganckim.

Ludzie z FBI trochę obawiają się wkroczenia do chatki mistrza w konstruowaniu podstępnych bomb. Agent specjalny FBI Donald J. Sachtleben, ekspert od bomb i śmiercionośnych pułapek, na wszelki wypadek pyta skutego Kaczynskiego, czy można bezpiecznie wejść do jego chatki. Zatrzymany coś tam niejasno mamrocze.

Gdy Sachtleben wychodzi, Kaczynski nieoczekiwanie wygłasza zupełnie składną kwestię: „No cóż, to wygląda całkiem poważnie, a mówi się, że jeśli jesteś w poważnych kłopotach, nie powinieneś rozmawiać bez prawnika. Tak więc myślę, że zaczekam, aż będę miał adwokata".

Ale DeLong nie daje za wygraną. Zagaduje skutego o całkiem neutralne sprawy. Kaczynski mówi, że chce mu się pić. DeLong otwiera puszkę wody sodowej i przytyka do ust zatrzymanego,

który powoli sączy płyn. Po tej przysłudze Kaczynski jest już rozmowniejszy. Gawędzi z DeLong o pogodzie, o życiu w puszczy. Z ożywieniem opowiada jej, jak trudno jest bez sprzętów kuchennych ugotować w lesie rzepę i marchewki. Agentce FBI przemyka przez myśl, że to jest tak, jakby była na jakiejś upiornej randce ze skautem-sztubakiem.

Ale ten brudny skaut jest podejrzany o dokonanie 3 morderstw.

Agent Sachtleben decyduje się wkroczyć do chatki zatrzymanego. Musi natychmiast zdobyć dowody, które pozwolą aresztować Kaczynskiego i postawić go przed ławą przysięgłych.

Razem z Sachtlebenem do wnętrza chaty wchodzą agenci z przenośnym aparatem rentgenowskim. Przed poruszeniem każdego przedmiotu sprawdzają, czy nie jest to aby mina-pułapka. Chatka nie jest zaminowana.

Pod łóżkiem Sachtleben znajduje na wpół wykończoną bombę rurową. Wygląda na to, że FBI ma właściwego człowieka. Na półce znajduje pojemniki opisane jako „KC 103" i „NaC 103", zawierające sproszkowane substancje. To chlorek potasu i chlorek sodu, stosowane jako utleniacze w materiałach wybuchowych domowego wyrobu. Kolejne pojemniki, zawierające sproszkowane substancje, oznaczone są jako: „Cukier", „Cynk", „Ołów" i „Tlenek Srebra". To z kolei typowe materiały szybko spalające się, stosowane w domowego wyrobu substancjach wybuchowych.

Do tego agent FBI znajduje masywną sztabę aluminium, które po rozdrobnieniu wykorzystywane jest także jako paliwo i katalizator w improwizowanych mieszankach wybuchowych. Na podłodze Sachtleben dostrzega liczne aluminiowe wiórki, ślad skrawania sztaby na drobne płatki.

Jeszcze bardziej obciążające materiały znajduje w kilku kołonotatnikach. Starannie wykonane wykresy i notatki opisują

konstrukcje bomb rurowych i schematy elektrycznych urządzeń odpalających. Kawałek rury z galwanizowanego metalu, do którego przyspawano już jedno denko, dokładnie odpowiada opisowi bomby rurowej w kołonotatniku.

Sachtleben na wszelki wypadek sprawdza, czy w chatce są jakiekolwiek instalacje hydrauliczne. Nie ma nawet kanalizacji. Odpada zatem ewentualna linia obrony zatrzymanego, że próbował reperować urządzenia hydrauliczne. Kolejne znalezisko, liczne kable elektryczne oraz mnóstwo silnych baterii elektrycznych, domyka łańcuch poszlak. Ale najciekawszą rzecz znajdują agenci w 3 zwiniętych tutkach papieru – mnóstwo mniej i bardziej osmalonych klocków. Dopiero po dłuższej chwili do Sachtlebena dociera, że służyły one – rozstawione w coraz większe kręgi wokół próbnych bomb – do eksperymentalnego badania siły i skuteczności eksplozji. Kaczynski także w planowaniu zbrodni okazał się geniuszem z naukowym warsztatem.

Znaleziska przesądzają sprawę. Kaczynski trafia do aresztu. Agenci zostają na miejscu na noc, by nazajutrz kontynuować przeszukanie.

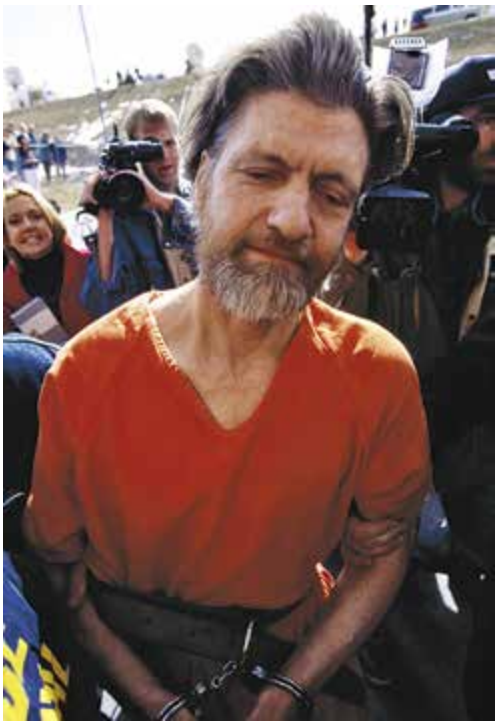

Zamachowiec Theodor Kaczynski, znany jako Unabomber

4 kwietnia 1968 ▪ czwartek

Pantofel na balkonie

Pastor kościoła baptystów Martin Luther King budzi się wczesnym rankiem. Mieszka w dwupokojowym apartamencie nr 306 motelu Lorraine w Memphis. Właścicielka motelu Loree Catherine Bailey zwykle wynajmuje go za 13 dolarów tygodniowo, ale sławny obrońca praw obywatelskich czarnych Amerykanów dostał klucze za darmo. Pani Bailey jest Murzynką.

Jeszcze przed śniadaniem w pokoju Martina Kinga zamienionym w prowizoryczne biuro zjawiają się pierwsi goście. Przychodzą współpracownicy Kinga: James Biwell i Ralph D. Abernathy.

Później pojawia się murzyński pastor Jesse Jackson. Andrew Young, asystent dr. Kinga, przyprowadza paru czarnych pastorów i obrońców praw obywatelskich z Memphis. Rozmowy są nerwowe, pełne napięcia. Martin Luther King dawno już nie był w tak trudnej sytuacji.

Wiele się zmieniło od czasu jego słynnej mowy wygłoszonej w sierpniu 1963 roku na zakończenie pokojowego marszu 250 tys. czarnych i białych Amerykanów do Waszyngtonu. Miliony Amerykanów słuchały w telewizji słów: „Mam takie marzenie, że pewnego dnia czworo moich dzieci będzie żyło w społeczeństwie, które będzie je oceniało nie według koloru skóry, ale z przymiotów ich charakteru". Po tym marszu, i po tych słowach, procesu emancypacji czarnych już nie można było zatrzymać. W 1964 roku prezydent Lyndon B. Johnson wydał *Ustawę o prawach obywatelskich*, delegalizującą segregację rasową w miejscach użyteczności publicznej i w miejscu pracy. W grudniu tego roku Martin Luther King otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Nie zaprzestał jednak politycznej walki – mimo zmian w prawie federalnym do rzeczywistego równouprawnienia czarnych było daleko.

Już parę miesięcy później pojawiły się kłopoty. W czasie marszu protestacyjnego w Selma w Alabamie dr King powstrzymał fizyczną konfrontację czarnych demonstrantów z Gwardią Narodową. Po tej decyzji wielu młodych, radykalnych działaczy murzyńskich publicznie odmówiło mu poparcia. Latem 1965 roku w wielu miastach amerykańskich wybuchły gwałtowne zamieszki rasowe. W murzyńskich dzielnicach narastały gniew i żądza zemsty. Dla wielu czarnych pokojowe metody Kinga i jego taktyka wymuszania powolnych zmian były już nie do przyjęcia. Martin King odpowiedział wielką akcją przeciw dyskryminacji rasowej

w sprawach mieszkaniowych w Chicago. Spaliła na panewce. King wybrał ucieczkę do przodu. Przed rokiem nagle wypowiedział się przeciw wojnie w Wietnamie. Publiczna krytyka ze strony prezydenta Johnsona nie pozostawiła złudzeń – King stał się wrogiem zaangażowanej w wojnę administracji rządowej. Usiłując rozszerzyć swe kurczące się polityczne zaplecze, King wezwał do drugiego gigantycznego marszu na Waszyngton, Marszu Biednych – teraz już nie w sprawie praw dla czarnych, ale praw dla wszystkich wypchniętych na margines społeczeństwa.

Marsz ma się rozpocząć za niespełna miesiąc, ale teraz uwagę Martina Kinga przyciąga sytuacja w Memphis w stanie Tennessee. Od lutego strajkują tu pracownicy służb oczyszczania miasta. Po rozpędzeniu ich demonstracji przez policję strajk poparli czarni pastorzy w Memphis – wezwali Murzynów do bojkotu sklepów białych i poprosili dr. Kinga o przybycie. Przed tygodniem Martin King wziął udział w pokojowej demonstracji w Memphis, która zakończyła się katastrofą. Uczestnicy marszu nagle rzucili się rabować sklepy, policja użyła broni palnej. Zginął 16-letni chłopiec. Czarni przywódcy ruchu praw obywatelskich publicznie zdezawuowali dr. Kinga. Wedle nich przestał panować nad organizowanymi przez siebie demonstracjami.

Martin Luther King znalazł się w potrzasku. Porażka w Memphis postawiłaby pod wielkim znakiem zapytania Marsz Biednych za miesiąc, zaś fiasko marszu na Waszyngton oznaczałoby zakwestionowanie jego politycznej filozofii. King zrozumiał, że musi stawić czoła kryzysowi w Memphis. Wczoraj przyleciał tu jeszcze raz, z liczną grupą współpracowników, by poprowadzić planowany na jutro marsz pokojowy. W ślad za Kingiem w Memphis pojawiły się tłumy reporterów. Niektórzy zamieszkali w motelu Lorraine.

W pokoju 306 dr King nieustannie naradza się ze współpracownikami i działaczami murzyńskimi z Memphis. Po lunchu podejmuje decyzję: demonstracja zostanie przesunięta o 3 dni.

Z Louisville przyjeżdża brat Martina Kinga. Po rozmowie z nim dr King rozmawia przez telefon ze swoją matką.

Wczesnym popołudniem przed tanim pensjonatem Jim's Grill przy 422 South Main Street parkuje sportowy biały ford mustang model 1966. Wysoki, szczupły biały mężczyzna w okularach wynajmuje jednoosobowy pokój. Podaje nazwisko John Willard. W rzeczywistości nazywa się James Earl Ray. Ma 40 lat i bogatą kartotekę policyjną. Już w wojsku skazano go na 3 miesiące aresztu za pijaństwo i niesubordynację. Potem były areszty i wyroki za kradzieże, włóczęgostwo, napad z bronią w ręku na taksówkarza, włamanie do banku i napad z bronią na dom towarowy. W tej chwili powinien w celi ciężkiego więzienia w Jefferson City odsiadywać 14 lat brakujących do końca 20-letniego wyroku. Ale przed rokiem, po wielu nieudanych próbach ucieczki, Rayowi wreszcie udało się zbiec. Służba więzienna nie potrafiła ustalić, w jaki sposób Ray wyfrunął za mury. Na wolności Ray, dotąd biedny, zaniedbany pijaczyna, zamienił się w wielkiego pana. Nie targując się, kupił za 2 tys. dolarów sportowego mustanga, 465 dolarów zapłacił z góry za 50 lekcji tańca, niewiele mniej kosztował go kurs dla barmanów. Rozjeżdżał się mustangiem po Stanach, wpadł do Meksyku, szastał pieniędzmi na kobiety i drogie lokale, nie omijał żadnego kasyna gry. Przed 6 dniami Ray, przedstawiając się jako Eric Starvo Galt, kupił w Birmingham karabin snajperski. Nazajutrz wrócił, zamienił go na wyższej jakości karabin snajperski Remington. Wyjaśnił, że brat doradził mu zamianę na lepszy model.

Ray idzie na piętro, do swego pokoju. Niesie duży tekturowy futerał.

Parę osób zauważa, że przed Jim's Grill parkują w oddaleniu 2 identyczne białe mustangi.

W Lorraine Martin King zasiada do pisania kazania, które ma wygłosić za 3 dni, w niedzielę. Jest w kiepskim nastroju. Obawia się o swoje życie. Niedawno powiedział przyjaciołom: „Chcą mnie zabić ci z prawicy, ci z lewicy i ci z centrum". Wczoraj, podczas kazania w tutejszym kościele Baptystów, powiedział: „Bóg pozwolił mi wejść na szczyt wysokiej góry. A gdy spojrzałem dookoła, ujrzałem Ziemię Obiecaną. Tak daleko i wysoko chyba już jednak z wami nie dojdę". King wie, co mówi. Wie, że kierowana przez Edgara Hoovera FBI od dawna śledzi każdy jego krok. Nieznani sprawcy podrzucili żonie Kinga taśmę z nagraniami z jego łóżkowych podbojów. Cóż, pastor King ma słabość do kobiet, ma też słabość do luksusu. Młodzi działacze murzyńscy wypominają mu zamiłowanie do butów z krokodylej skóry.

Motel Lorraine od przyjazdu Kinga otacza chmara kilkudziesięciu policjantów i tajniaków.

Pastor King zaczyna pisać kazanie z pasją i agresją, która zupełnie nie przystaje do wizerunku laureata pokojowego Nobla. Tytuł kazania: *Dlaczego Ameryka przypuszczalnie zmierza do piekła*.

Dochodzi 18.00. Billy Kyles, pastor kościoła Baptystów z Memphis, podjeżdża samochodem pod Lorraine. Chce zabrać Kinga i jego przyjaciół na kolację. Czeka na nich w samochodzie. King pospiesznie kończy kazanie. O 17.57 wychodzi z Abernathym i Biwellem na niewielki taras przed pokojem. Na papierosa. Ma na sobie czarny garnitur, białą koszulę, wzorzysty krawat. Wychyla się przez żelazną balustradę, gawędzi z czekającymi nań przed motelem przyjaciółmi.

W pensjonacie Jim's Grill biały mężczyzna z dużym tekturowym futerałem i niebieską torbą wchodzi do wspólnej łazienki na pierwszym piętrze. Okno wychodzi na motel Lorraine. Tarasy pokoi Lorraine są niecałe 70 m od Jim's Grill.

O 18.01 rozlega się potężny huk wystrzału karabinowego. Pocisk trafia w głowę. Martin King pada na plecy. Ma rozerwaną prawą szczękę. Leciutko oddycha, silnie krwawi. Dłoń zacisnęła się na pogniecionym papierosie. Stopa w czarnej skarpetce opiera się o barierkę. Skórzany pantofel leży obok.

Solomon Jones, kierowca pastora Kinga, oraz Earl Caldwell, reporter „New York Timesa", dostrzegają w tym momencie mężczyznę podnoszącego się w krzakach naprzeciw motelu.

W Jim's Grill z łazienki na piętrze wychodzi niski, drobny, mocno szpakowaty 50-letni mężczyzna z tekturowym pudłem, mija Elisabeth Stevens. Na parterze zaczepia go lokator pensjonatu Willie Anschutz: „Tak jakby ktoś strzelił?". „Tak jakby" – odpowiada nieznajomy i przyspiesza kroku. Przed pensjonatem upuszcza na chodnik futerał z karabinem Remington i torbę. Wsiada do białego mustanga i pośpiesznie odjeżdża. Drugi biały mustang znikł sprzed Jim's Grill przed niecałą półgodziną.

Wokół Lorraine nagle robi się gęsto od policjantów. W ciągu minuty wyrośli jak spod ziemi. Jest ich ponad 50, biegają po piętrach, dookoła motelu. Ale nikt nimi nie dowodzi. Policjanci nie zabezpieczają terenu wokół motelu. Parę minut po 18.00 miejscowy agent FBI dzwoni do Waszyngtonu, zawiadamiając o morderstwie. W tym momencie przyjeżdża ambulans. Godzinę później Szpital św. Józefa podaje oficjalnie, że Martin Luther King nie żyje. Miał 39 lat.

Krótko po 20.00 wstrząśnięta Loree Bailey, właścicielka Lorraine, pada porażona wylewem krwi do mózgu. Umiera w szpitalu przed

północą.

O północy FBI melduje z Memphis do centrali: podejrzany nazywa się John Willard, jest średniego wzrostu, ma kasztanowe włosy.

Późnym wieczorem w Indianapolis Robert Kennedy przemawia do wzburzonego tłumu: „Ci z was, którzy są czarni, mają prawo do nienawiści, goryczy i żądzy zemsty. Możemy iść w stronę jeszcze większych podziałów, ale możemy też postarać się, jak starał się dr King, wzajemnie zrozumieć się i pojednać". Czarni w Stanach wybierają to pierwsze. W dziesiątkach miast wybuchają tej nocy zamieszki. Zanim zostaną stłumione, w 125 miastach Stanów zginie 45 ludzi, policja doliczy się 2600 podpaleń, aresztuje ponad 20 tys. osób.

5 kwietnia 1794 ▪ sobota

Głowa dla ludu

W paryskim Pałacu Sprawiedliwości sędziowie i publiczność zjawiają się już o 8.00. Poprzednie 3 sesje procesu Georges'a Dantona, Kamila Desmoulins i 14 innych oskarżonych rozpoczynały się o 10.00. Ale też dziś rewolucyjny aparat sprawiedliwości, a raczej terroru, czeka dużo pracy: trzeba wydać wyrok, uzasadnić go i przed zachodem słońca dokonać egzekucji. Nawet oskarżeni nie mają wątpliwości, że to się skończy gilotyną.

Danton, jeden z organizatorów i przywódców francuskiej rewolucji, przegrał walkę o wszystko z Maksymilianem Robespierre'em. Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się, że pomiędzy nimi możliwy jest kompromis. Ale Danton zaczął

domagać się złagodzenia rewolucyjnego kursu, wołał z trybuny Konwentu Narodowego: „Oszczędzajmy ludzką krew". Inspirowany przezeń Desmoulins w artykułach żądał zwolnienia 200 tys. uwięzionych obywateli. Kampania łagodności, jak ją nazywano, została jednak źle przyjęta przez sporą część posłów Konwentu. Jawnie służyła obronie bohaterów skandali korupcyjnych, protegowanych i osłanianych przez Dantona. Wszystko to wyglądało na próbę demontażu systemu rewolucyjnej represji i obalenia rządu.

Dantona i jego towarzyszy, wśród nich Desmoulinsa i Jean-François Delacroix, aresztowano 31 marca. By ich skompromitować, do ławy oskarżonych dosadzono grupę głośnych aferzystów: łapówkarza i fałszerza Philippe'a Fabre d'Eglantine'a, François Chabota, Siegmunda i Emmanuela Freyów, ich pomocnika Duńczyka Hansa Frederika Deideriksena, pochodzącego z Hiszpanii działacza rewolucyjnego Andresa Marię Guzmana. Część z nich pochodzi z zagranicy – ma to dodatkowo kompromitować ich jako agentów wrogich rewolucyjnej Francji potęg.

Pierwsze 3 dni procesu były – ze strony oskarżyciela Antoine'a Quentin Fouquier-Tinville'a i przewodniczącego trybunału Martial-Josepha Hermana – popisem lekceważenia procedur prawnych. Danton i Desmoulins bronili się wspaniale, ale przewodniczący Herman przerwał ich wystąpienia i do dziś nie udzielił głosu.

O 9.30 przewodniczący Herman rozpoczyna 4. dzień procesu.

Danton i Delacroix domagają się respektowania prawa do wezwania wskazanych przez nich świadków. Oskarżyciel bezczelnie odpowiada, że oskarżenie ma cały tłum świadków przeciwko obu podsądnym, ale zgodnie z otrzymanymi rozkazami powstrzyma się od ich przesłuchania. Zatem świadków obrony też nie będzie.

Trybunał rozpatruje sprawę ostatnich dwóch oskarżonych – braci Siegmunda i Emmanuela Freyów. Obaj są bankierami, poddanymi austriackimi, którzy we Francji, w zamęcie rewolucji, na ogromną skalę rozwinęli interesy spekulacyjne. Sędziowie nie poświęcają Freyom nazbyt wiele czasu – w ich oczach dla uznania braci za winnych wystarcza już tylko oddanie przez nich ręki siostry Leopoldine Frey wraz z 200-tysięcznym posagiem aferzyście François Chabotowi. Siedzący dziś wraz z Freyami, Dantonem i resztą na ławie oskarżonych Chabot, były członek Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, zasłynął jako organizator wielkiej afery sfałszowania dekretu likwidacyjnego Kompanii Indyjskiej w zamian za ogromną łapówkę od jej akcjonariuszy.

Trybunał kończy przesłuchanie braci Freyów. Danton i Desmoulins żądają, by zezwolono im kontynuować mowy obrończe. Oskarżyciel ich żądania ignoruje; prosi sędziów, by ocenili, czy są już wystarczająco poinformowani, by wydać wyrok. Ten przepis prawny, pozwalający sędziom wydawać wyrok już po 3 dniach procesu, bez zakończenia postępowania dowodowego, to jeden z wynalazków rewolucyjnej sprawiedliwości.

Danton, Desmoulins i ich towarzysze wpadają we wściekłość. „Osądzą nas, nie wysłuchawszy do końca!" – krzyczy Danton. Desmoulins lepi z zabranej z więzienia kromki chleba kulki i ciska nimi w sędziów.

Prezydent trybunału ma w zanadrzu jeszcze jedną broń – Konwencja właśnie uchwaliła dekret dopuszczający wyłączenie podsądnych z dalszych rozpraw i natychmiastowe osądzenie, jeśli opierają się lub znieważają sprawiedliwość. Prezydent trybunału zarządza wyprowadzenie oskarżonych z sali. Rozwścieczony Desmoulins rwie kartki swej niewygłoszonej mowy obrończej,

ugniata je i rzuca w sędziów. Szarpie się, z sali musi go wywlekać 3 strażników.

Oskarżeni pod silną eskortą wracają do sąsiadującego z Pałacem Sprawiedliwości więzienia Conciergerie.

Tymczasem sędziowie przysięgli wychodzą, by naradzić się, czy czują się dostatecznie poinformowani co do postępowania dowodowego. 7. sędziów przysięgłych nie jest w pełni przekonanych o winie głównych oskarżonych, a zwłaszcza Dantona. Proces jest prawniczą farsą, Dantonowi, niezależnie od jego rzeczywistych korupcyjnych przewin, na tej sali niczego nie udowodniono. Oskarżyciel Fouquier-Tinville i przewodniczący trybunału Herman, lękając się o werdykt, wkraczają do pokoju narad przysięgłych. Pokazują im list z Anglii do bankiera Perregaux, znajomego Dantona, z informacjami o wypłatach dla zaszyfrowanych agentów politycznych Londynu. List ten został znaleziony podczas rewizji w papierach Dantona, ale utajniono go i nie stał się przedmiotem postępowania.

Po tym pokazie przysięgli zgodnie odpowiadają: winny.

Danton długo nie może się uspokoić po wywleczeniu go z sali trybunału. W więzieniu zasiada na swoim ulubionym krześle obitym zielonym materiałem i podniecony, nieustannie peroruje, popijając z butelki burgunda.

Wkrótce Danton i pozostali oskarżeni wzywani są do osobnego pokoju, w którym poznają wyrok. Danton krzyczy, że nie po to spowodował ustanowienie Trybunału Rewolucyjnego (który właśnie skazał go na śmierć), by ten stał się plagą dla ludzkości. Użala się, że lepiej być biednym rybakiem, niż rządzić ludźmi, by po chwili wpaść w dziką wściekłość na myśl o drodze na szafot: „Te bydlęta będą wołać: »Niech żyje Republika!«, kiedy będę przejeżdżał".

Danton w końcu uspokaja się i stara się pocieszyć załamanego Desmoulinsa. Reszta skazanych jest opanowana.

Po południu przychodzą pomocnicy kata, by obciąć włosy, podgolić karki skazanych i obciąć kołnierzyki ich koszul. Zimne ostrze nożyczek dotykające karku wzmaga grozę. Desmoulins broni się. Pomocnicy kata krępują mu ręce i przywiązują go do krzesła.

Skrępowany Desmoulins prosi Dantona, by z jego kieszeni wyjął kosmyk jasnych włosów żony, który w trakcie procesu dostarczono mu do więzienia, i włożył do jego dłoni.

O 16.30 strażnicy wyprowadzają więźniów. Ręce związano im na plecach. Przy bramie czekają na nich 2 pomalowane na czerwono wózki, jakimi przewozi się skazańców na miejsce kaźni. Otacza je wyjątkowo silna eskorta jeźdźców.

Skazańcy mogą sami wybrać miejsce w wózku. Desmoulins, Danton, Fabre d'Eglantine, Delacroix, Hérault de Séchelles wchodzą jako ostatni na drugi wózek. Danton stoi obok Desmoulinsa. Za nimi siedzi ze zwieszoną głową chory d'Eglantine.

Dzień jest ciepły, bezchmurny. Gdy jednak wózki wjeżdżają w cień i chłód wąskich paryskich uliczek, odzianymi w koszule skazańcami wstrząsają dreszcze. Ale trzymają się dobrze. Gęstniejący na ulicach tłum gapiów wznosi okrzyki, śpiewa rewolucyjne piosenki. Danton stoi na kołyszącym się wózku niczym kapitan na mostku. Dumnie patrzy na tłum.

Desmoulins jest osowiały, zobojętniały. Nagle podrywa się, krzyczy z wściekłością: „Ludu, biedny ludu!". Danton uspokaja go, na próżno. Desmoulins szarpie więzy. W końcu, w podartej w trakcie szamotaniny koszuli, uspokaja się.

Reszta stoi na wózkach w milczeniu.

Na tarasie kawiarni De la Régence Danton dostrzega malarza Davida, poplecznika Robespierre'a. Rzucając szybkie spojrzenia,

David pospiesznie szkicuje przejeżdżających skazańców.

Gdy wózki z eskortą mijają dom, w którym za zamkniętymi okiennicami skrywa się Robespierre, skazańcom puszczają nerwy. „Robespierre, pójdziesz za mną!" – wrzeszczy na całe gardło Danton.

Pl. Rewolucji, na którym stoi szafot z gilotyną, wypełnia tłum. Gdy wózki zbliżają się do szafotu, Desmoulins zauważa gorzko: „Oto i zapłata dla pierwszego apostoła wolności".

Ten pierwszy apostoł, Danton, jest nieporuszony. Dowcipkuje, stara się uspokoić Desmoulinsa. Pyta kata Sansona, czy wolno mu pod szafotem zaśpiewać. Kat odpowiada, że o ile mu wiadomo, nie jest to zabronione. Danton oznajmia, że ułożył właśnie parę wersów, i wyśpiewuje kuplet o nieuchronnym upadku Robespierre'a.

Jako pierwsi idą po śmierć pasażerowie pierwszego wózka. Skazańcy słyszą świst opadającego ostrza i głuche uderzenia ściętych głów o dno wiklinowego koszyka.

Egzekucje następują po sobie błyskawicznie. Kolejni skazańcy po wstąpieniu na szafot są szybko przywiązywani do stojącej deski, potem pomocnik kata deskę opuszcza, tak że ofiara leży na niej, zamyka szyję w drewnianych dybach ze stosownym wycięciem i już Sanson zwalnia ostrze. Gdy kat pokazuje tłumowi ściętą głowę, pomocnik odwiązuje zesztywniałe ciało i wrzuca je do trumny.

Wspierany przez Dantona Desmoulins w ostatnich chwilach trzyma się dobrze. Wręcza Sansonowi trzymany przez drogę w dłoni pukiel włosów żony i prosi, by oddał go jej matce.

Danton ma iść na szafot ostatni. Gdy mija go Desmoulins, Danton usiłuje wymienić z nim pożegnalny pocałunek. Żandarm brutalnie odpycha go.

„Nie przeszkodzisz przynajmniej, by nasze głowy pocałowały się w koszu” – mówi Danton ze straszliwym uśmiechem.

Szafot jest zalany krwią, stąpać trzeba ostrożnie, by się nie poślizgnąć. Potężną, wyprostowaną sylwetkę Dantona oświetlają promienie chowającego się za dachami słońca.

„Nie zapomnij pokazać mojej głowy ludowi, warta jest tego” – mówi do kata.

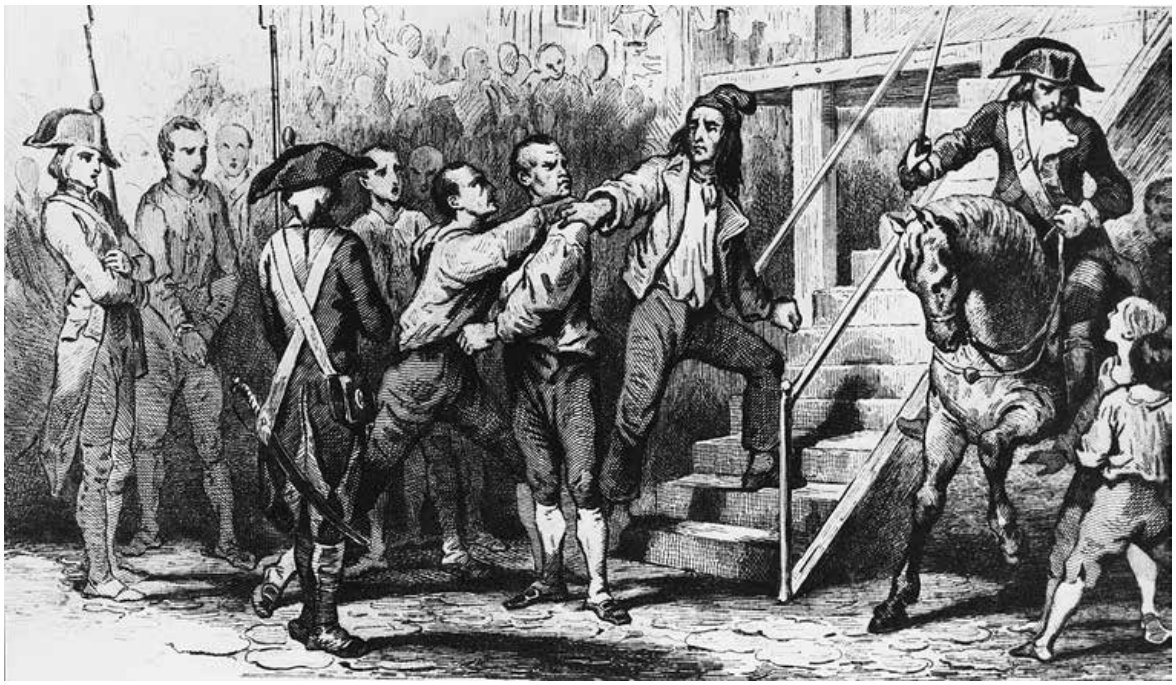

Egzekucja Dantona, akwaforta autorstwa Tony’ego Johannota

6 kwietnia 1896 ▪ poniedziałek

Ciągle ci Amerykanie!

Ateny od rana ogarnięte są radosną gorączką. Na większych ulicach ludowe i wojskowe orkiestry grają skoczne melodie. Orkiestry towarzystw filharmonicznych z miast Zante, St. Maure, Laurium,

Patras i innych zgromadziły się na pl. Konstytucji. Wielki, darmowy koncert filharmoników przerywa pojawienie się powozów z grecką rodziną królewską i dziesiątkami oficjalnych gości, jadących do katedry na uroczyste nabożeństwo dziękczynne z okazji pomyślnego ukończenia przygotowań do pierwszych nowożytnych igrzysk olimpijskich.

Igrzysk greckich, z ich 1170-letnią tradycją, zakazał przed 1502 laty cesarz Teodozjusz Wielki. Do wznowienia igrzysk w Atenach, ale w nowym kształcie, jako zawodów międzynarodowych, doprowadził francuski działacz sportowy baron Pierre de Coubertin. On także zorganizował powszechną zbiórkę pieniędzy na sfinansowanie igrzysk. Nie przyniosła ona jednak wystarczających rezultatów. Igrzyska uratował jeden z najbogatszych greckich kupców Georgios Averoff, ofiarowując na budowę stadionu fantastyczną kwotę miliona drachm w złocie.

I stadion został zbudowany – wedle antycznych wzorców, z pantelitu, białego marmuru.

Na start przybyło ponad 340 zawodników z 13 krajów. Najliczniejszą, ponad 230-osobową ekipą są Grecy. Niemal wszyscy olimpijczycy są studentami. Reprezentują w Atenach swoje kluby i stowarzyszenia sportowe, a nie państwa. Większość sportowców miała kłopot ze sfinansowaniem przyjazdu. Rosjanie musieli przerwać podróż, bo skończyły im się pieniądze. Brytyjscy szermierze przypłynęli na jachcie „Bronsween", a podróż zafundował im kolega z drużyny lord Howard de Walden. Amerykanie wypłynęli do Grecji dzięki składkom publicznym i pomocy gubernatora stanu Massachusets.

Otaczające stadion wzgórza już w nocy obsiedli widzowie, których nie stać na bilety. Jest ich tak wielu, zwłaszcza na wzgórzu

leżącym na zachód od stadionu, że z dołu wydaje się, iż wzniesienia pokrywa dywan ludzkich głów.

Wzdłuż drogi prowadzącej do stadionu stoją uliczni sprzedawcy biletów. Rozporządzenia rządu pod grozą surowych kar zakazują spekulacji wejściówkami. Policjanci starają się patrzyć sprzedawcom na ręce, ale ceny biletów rosną z godziny na godzinę.

Przed stadionem czekają ogromne tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci. Większość panów nosi eleganckie ciemne ubrania, ale wielu jest też w barwnych strojach narodowych. Wreszcie w południe drewniane wrota przed olimpijską areną zostają otwarte. Kilkudziesięciotysięczna rzeka ludzi płynie w spokoju i porządku. Posiadacze biletów do pierwszych rzędów przechodzą przez drewnianą bramę, którą chroni kordon greckiej piechoty w malowniczych mundurach. Na płycie stadionu liczni strażnicy sprawdzają bilety, prowadzą każdego widza do odpowiedniego sektora i wskazują mu miejsce. Na miejsca górne prowadzą schody po obu stronach wejścia. Każde z marmurowych siedzisk przykryte jest miękką poduszką.

Konni policjanci patrolują drogi dojazdowe i zatrzymują powozy bez zezwoleń komitetu organizacyjnego – tylko oznakowane powozy służbowe i wyróżnionych gości mają prawo dojeżdżać tuż pod sam stadion. System ten, wymyślony przez płk. Metaksasa, funkcjonuje bez zarzutu i już o 14.00 widownia jest szczelnie wypełniona kibicami.

Po obu stronach stadionu stoją delfickie trójnogi. Powiewają flagi państw uczestniczących przed 2 laty w paryskim kongresie olimpijskim.

Na arenę wychodzą członkowie komitetu organizacyjnego – wszyscy w galowych mundurach wojskowych lub frakach. Potem na płytę stadionu wkracza jedna po drugiej 9 orkiestr

symfonicznych i chór 150 śpiewaków. I wreszcie pojawiają się sportowcy. Ponad 300 zawodników ustawia się na arenie w równym szeregu. Na widowni rozlegają się oklaski i wiwaty.

O 15.00 na płycie stadionu zjawia się rodzina królewska. Król Grecji Jerzy w mundurze generała piechoty prowadzi żonę Olgę w śnieżnobiałej sukni i następczynię tronu księżniczkę Marię z jej narzeczonym, wielkim księciem Jerzym Michajłowiczem. Za nimi idą członkowie dalszej rodziny królewskiej i dwór. 9 orkiestr gra hymn państwowy Grecji. Ok. 80 tys. widzów ogarnia nieopisany entuzjazm. Po powitaniu rodzina królewska zajmuje honorowe miejsca na widowni. Resztę miejsc w sektorze honorowym okupują członkowie greckiego rządu, członkowie prawosławnego synodu, liczni duchowni Kościołów zagranicznych – jest wśród nich sławny duszpasterz francuski o. Didon – członkowie misji dyplomatycznych, reprezentacji zagranicznych komitetów sportowych, dworu. W sumie gości honorowych jest na tych igrzyskach niewielu mniej niż zawodników.

Na środek stadionu występuje następca tronu w otoczeniu kilkudziesięciu członków komitetu organizacyjnego. Wszyscy widzowie wstają z miejsc. Na trybunach zapada cisza jak makiem zasiał, ale i tak tylko nieliczni kibice słyszą przemówienie księcia Jerzego, w którym wyraża on nadzieję, że wznowione igrzyska olimpijskie zacieśnią więzy przyjaźni między narodami, a dzięki sportowemu współzawodnictwu nowe pokolenia Greków staną się godne sławy ich przodków. Na koniec książę prosi monarchę o oficjalne otwarcie igrzysk. Król donośnym głosem wygłasza ustaloną formułę: „Niniejszym proklamuję otwarcie Pierwszych Międzynarodowych Igrzysk Olimpijskich w Atenach!". Teraz 150 chórzystów przy akompaniamencie 9 orkiestr śpiewa oficjalną

kantatę olimpijską, zamówioną u poety Kostisa Kalamasa, skomponowaną zaś przez Spirosa Saramasa:

„Nieśmiertelny duchu starożytności,
Ojcze piękna, prawdy i dobra,
Spłyń, ukaż się, rozlej na nas światło,
Na tę ziemię, pod tym niebem,
Które pierwsze było świadkiem nieprzemijającej sławy [...]".

Kantata ogromnie podoba się widowni, brawa i entuzjastyczne krzyki nie milkną. Król po dłuższej chwili daje znak, że zgadza się na bis, i chór śpiewa olimpijski hymn jeszcze raz.

Dźwięk pojedynczej trąbki oznajmia, że czas zacząć pierwszą konkurencję. Orkiestry zasiadają w zarezerwowanym dla nich sektorze widowni. Odtąd podczas każdej przerwy między konkurencjami muzycy mają wstawać i umilać widzom czas graniem przyjemnych melodii.

Zawody zaczynają się od eliminacyjnych biegów na 100 m. Sprinterzy mają na sobie flanelowe koszulki z numerami startowymi, długie szorty i lekkie płócienne obuwie. 21 zawodników podzielono na 3 grupy eliminacyjne. Do finału, który odbędzie się za kilka dni, wejdzie po 2 pierwszych sprinterów z każdego biegu.

Wzdłuż bieżni gromadzą się oficjele pod wodzą greckiego następcy tronu. To komisja sędziowska. Starter Grek Arvanitis ustawia się z wojskowym rewolwerem obok linii startu, zaś szef sędziów mierzących czasy, Anglik Charles Perry ze stoperem w ręku pochyla się nad linią mety.

Pierwszych 7 sprinterów staje na bieżni. Każdy ma inną technikę startu. Jedni stoją lekko pochyleni, inni opierają dłonie na udach, niektórzy kucają w głębokim przysiadzie, z barkiem mniej lub bardziej podanym ku przodowi.

Rozlega się strzał! Atleci pędzą razem, różnice są minimalne. Pierwszy wpada na metę Amerykanin Lane, tuż za nim Węgier Szokolyi. Zwycięzcy zmierzono czas – 12 i 1/5 sekundy, drugiemu na mecie – 12 i 3/4 sekundy.

Drugi bieg eliminacyjny stawia stadion na nogi. Faworytem widowni jest Grek Chalcocondylis, gwiazda ateńskiego Athletic Clubu. Po biegu rozlega się jęk zawodu. Grek wchodzi do finału, przegrywa jednak z biegaczem amerykańskim, który osiąga 12 i 1/5 sekundy. Start do trzeciego biegu na setkę wywołuje powszechną wesołość na widowni. Kolejny z Amerykanów, Thomas Burke, przyklęka na jedno kolano i układa dłonie na bieżni, tuż przed linią startu. To pozycja tak niepoważna, że niektórzy z widzów pokazują sobie dziwaka zza oceanu palcami. A jednak Burke wygrywa i osiąga najlepszy czas w eliminacjach – równe 12 sekund.

Muzycy 9 orkiestr wstają z miejsc i przygrywają, podczas gdy do startu sposobi się 10 zawodników pierwszego finału: trójskoku. Faworytami widowni są 2 Grecy, Persakis i Zoumis, oraz młody Francuz Toufferis, trenujący w Atenach. Skaczący z nieopisaną gracją Toufferis osiąga wspaniały wynik 12,7 m. Niestety, wyraźnie silniejszy fizycznie Amerykanin James Connolly skacze o metr dalej i tym samym staje się pierwszym zwycięzcą olimpiady nowożytnej. Persakis jest trzeci z wynikiem 12,52 m. Mimo to widownia żywo oklaskuje zwycięzcę. Marynarze greckiej Królewskiej Marynarki Wojennej podnoszą flagę amerykańską na niewysokim maszcie na środku sportowej areny.

2 biegi eliminacyjne na 800 m przechodzą bez większych emocji. Biegnący w pierwszym półfinale Australijczyk Edwin Flack wygrywa w pięknym stylu i zostaje faworytem finału.

Widownia wstaje z miejsc, gdy zaczyna się rzut dyskiem. Ta piękna antyczna dyscyplina jest symbolem wkładu Hellenów

w dziedzictwo kultury fizycznej. 11 dyskoboli rozgrzewa się w płaszczach – robi się późno, jest coraz chłodniej. Faworytami są 2 świetni Grecy, Versis i Paraskevopoulos. Versis rzuca wspaniale technicznie i od razu w pierwszej próbie osiąga 27,78 m. Obejmuje prowadzenie. Niestety, podczas kolejnego rzutu odnosi kontuzję i wycofuje się. W ostatniej próbie Paraskevopoulos rzuca dysk na odległość 28 m 95,5 cm. Widzowie krzyczą i tańczą z radości na trybunach. Tymczasem w swym ostatnim rzucie Amerykanin Robert Garret osiąga 29,15 m. Greccy kibice nie kryją rozczarowania, ale nagradzają zwycięzcę mocnymi brawami. Trenując w Stanach przez igrzyskami, Garrett nie wiedział, ile powinien ważyć przepisowy dysk i ćwiczył dyskiem dwa razy cięższym. Dzięki temu zwyciężył.

Ostatnie zawody, eliminacje biegu na 400 m, budzą już niewielkie zainteresowanie. Jest zimno, no i oba biegi wygrywają znów Amerykanie.

Tłumy wychodzą ze stadionu i idą do miasta. Grecy prześcigają się w uprzejmości wobec obcokrajowców, często ustępują im miejsca w zatłoczonych knajpkach. Do każdego lokalu co jakiś czas zagląda jednak policjant, by sprawdzić, czy karczmarze nie zawyżają cen.

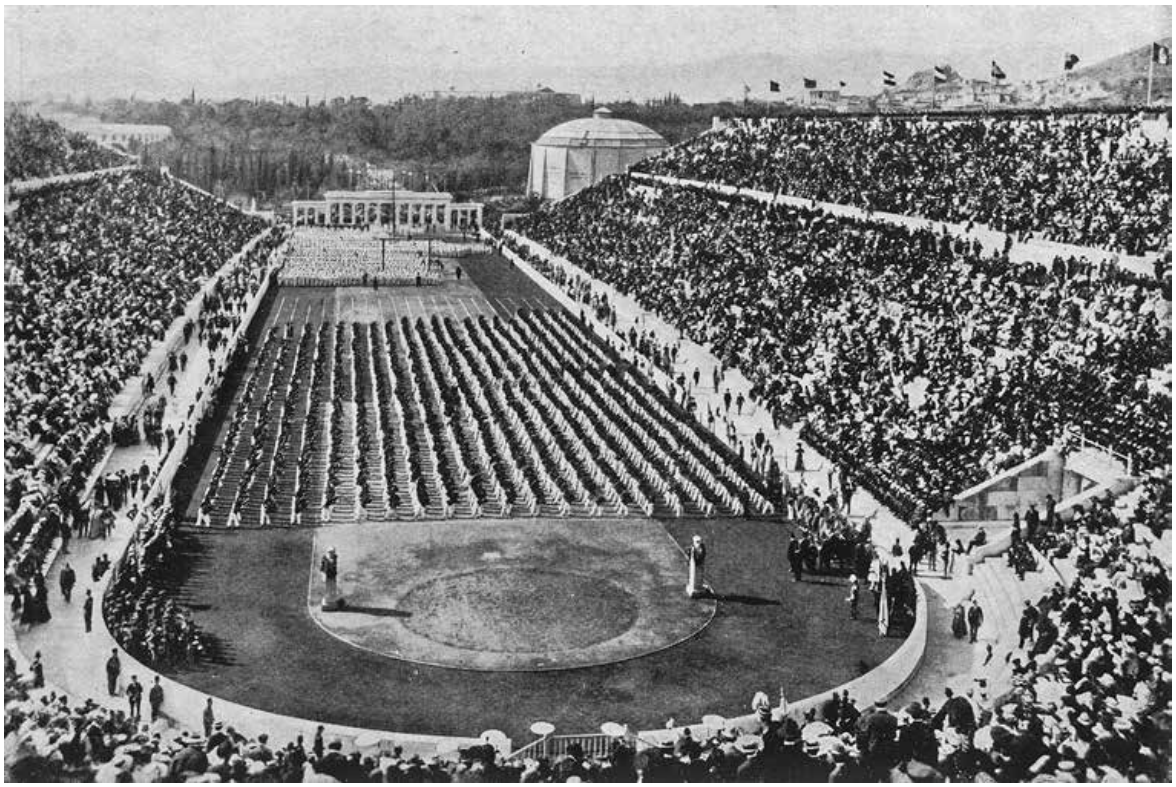

Pierwsze nowożytne igrzyska olimpijskie

7 kwietnia 1977 ▪ czwartek

Druga faza rewolucji

Przed willą w Neureut, przedmieściu Karlsruhe, zatrzymuje się granatowy mercedes. Jest późny ranek Wielkiego Czwartku. Z domu wychodzi łysawy, ubrany w ciemny garnitur mężczyzna w średnim wieku. To prokurator generalny Republiki Federalnej Niemiec Siegfried Buback. Zwykle zabiera go z domu do pracy jego osobisty kierowca 30-letni Bernd Jacobi. Dziś jednak służbowego mercedesa prowadzi inny kierowca prokuratury, Wolfgang Göbel. Na tylnym

siedzeniu limuzyny siedzi szef kolumny samochodowej Prokuratury Generalnej Georg Wurster.

Buback siada obok Göbla.

Zwykle ostentacyjnie okazujący pogodę ducha i życzliwość, znany ze skłonności do cieszenia się urokami życia, jest Buback w rzeczywistości twardym, bardzo zręcznym graczem, skupionym na swojej urzędniczej karierze. Pierwszy prawniczy egzamin państwowy 20-letni Buback zdał w roku 1941. Potem trafił do wojska. Pod koniec wojny został wzięty do niewoli. Dość długo mościł się w prawniczych strukturach zachodnich stref okupacyjnych Niemiec. W wieku 33 lat został wreszcie prokuratorem w Badenii-Wirtembergii. Już 10 lat później awansował na krajowego prokuratora Badenii-Wirtembergii i został oddelegowany do prokuratury federalnej w Karlsruhe. Buback awansował bardzo szybko, bo od początku swej pracy jako prokurator nie uchylał się od trudnych spraw, wręcz zabiegał o nie. W Karlsruhe wyspecjalizował się w oskarżeniach o zdradę stanu i w skomplikowanych procesach rewizyjnych.

Wśród prawników i polityków zyskał opinię prokuratora od najtrudniejszych przypadków.

To właśnie Buback kierował w roku 1962 skandaliczną akcją prokuratury i policji – za którymi stali kanclerz Konrad Adenauer i minister obrony Franz Josef Strauss – przeciw redakcji tygodnika „Der Spiegel" i osobiście przeciw jego redaktorowi naczelnemu i wydawcy Rudolfowi Augsteinowi. „Spiegel" piętnował kumoterstwo i nepotyzm Straussa, które zachodnioniemieckich podatników kosztowały miliony marek. Prokurator Siegfried Buback, który oskarżać miał Augsteina i jego współpracowników o zdradę stanu, osobiście wertował hałdy dokumentów w redakcji „Spiegla", przeszukiwał sejf Augsteina.

Afera „Spiegla” skończyła się kompromitacją władzy – do procesu wydawców i dziennikarzy tygodnika nigdy nie doszło. Była to także prawnicza porażka ambitnego prokuratora Bubacka, ale władza zauważyła, że można na niego liczyć nawet w beznadziejnych sprawach.

Szybko zresztą odniósł on spektakularne sukcesy. W roku 1967 Wolf-Diethard Knoppe, niemiecki pilot wojskowy, latający na amerykańskich myśliwcach Starfighter, pomógł Manfredowi Rommingerowi i Josefowi Linowskiemu w kradzieży z lotniska wojskowego Neuburg najnowszej amerykańskiej rakiety powietrze-powietrze. Rakietę tę, wraz z osprzętem, Romminger sprzedał sowieckiemu szpiegowi. Buback doprowadził do wykrycia sprawców i posadzenia ich za kratkami.

Równie spektakularnym sukcesem prokuratora Bubacka było rozwiązanie zagadki mordu niemieckich żołnierzy w Lebach w 1969 roku. W tamtejszych koszarach 261. Batalionu Spadochronowego zostali zastrzeleni podczas snu 4 wartownicy. Piąty cudem przeżył. Buback zorganizował wówczas olbrzymią akcję poszukiwawczą. Wykorzystał w niej telewizję, co zresztą doprowadziło do ujęcia sprawców – 3 młodych mężczyzn. Dzięki Bubackowi 2 główni sprawcy zostali skazani na dożywocie.

Przed 3 laty „prokurator od trudnych spraw” awansował na stanowisko prokuratora generalnego RFN. Od razu też swój wzrok zwrócił na lewackich buntowników i terrorystów.

W tym czasie założyciele Rote Armee Fraktion (Frakcji Czerwonej Armii) byli już wyeliminowani z terrorystycznej gry. Andreas Baader, Gudrun Ensslin, Carl Raspe, odpowiedzialni za podpalenia, zamachy bombowe, napady na banki, strzelaniny z policją, zabójstwa, ataki na sztaby armii amerykańskiej stacjonującej w RFN, odsiadywali dożywocie w umocnionym więzieniu

specjalnym Stammheim pod Stuttgartem. Aresztowana w 1972 roku, skazana na dożywocie za poczwórne morderstwo Ulrike Meinhof także trafiła do tego więzienia. Niespełna rok temu powiesiła się w celi.

Siegfried Buback jednak od czasu swej nominacji na prokuratora generalnego nieustannie wieszczy, że to nie koniec wojny z lewackimi terrorystami RAF, ostrzega przed głoszoną przez lewackich teoretyków „drugą fazą walki rewolucyjnej". Mało kto chce słuchać jego alarmów – niemal wszystkim politykom wydaje się, że płomień zbrojnego buntu Baadera, Meinhof i ich towarzyszy bezapelacyjnie zgasł.

Wiarygodności ostrzeżeniom Bubacka nie przydaje jego tryb życia. Choć dla zbuntowanych radykalnych lewaków jest on personifikacją opresywnego, burżuazyjnego państwa, choć to on kieruje krucjatą przeciw lewicowym ekstremistom, nie korzysta z policyjnej ochrony, często bywa w restauracjach i miejscach publicznych. Nawet jego służbowy mercedes nie jest opancerzony. Indagowany w kwestii swej niefrasobliwości Buback wyjaśnia, że nie może tak przemeblować swego życia, by z góry wykluczyć zamach na siebie. Chętnie prezentuje się jako twardziel: „Nie pozwalam sobie nigdy na strach".

Buback ma dobrą intuicję – druga generacja terrorystów RAF od wielu miesięcy szykuje się w podziemiu do uwolnienia Andreasa Baadera. Planowane zamachy na wysokich urzędników mają sterroryzować, sparaliżować władze, zaś porwania dostarczyć powinny prominentnych zakładników do wymiany na Baadera.

Jako pierwszego terroryści nazywający się Kommando Ulrike Meinhof wzięli na celownik prokuratora generalnego.

Granatowy mercedes rusza spod domu Bubacka. Na skrzyżowaniu Höhe Moltkestrasse i Linkenheimer Landstrasse

zapalają się czerwone światła. Kierowca Göbel zatrzymuje limuzynę. Na pobliskiej stacji benzynowej Esso dwaj motocykliści w pełnych oliwkowozielonych hełmach, zasłaniających ich głowy i twarze, siedzą na wynajętym w Düsseldorfie na fałszywe papiery suzuki 750 GS, najszybszym na świecie, seryjnie produkowanym motocyklu. Ich hełmy oryginalnie miały barwy białą i czerwoną, ale niedawno obaj motocykliści przemalowali je na kolor oliwkowy farbą w sprayu z puszki. Chwilę wcześniej kierujący suzuki machnięciem ręki odprawił pracownika stacji, który chciał im pomóc w tankowaniu. Motocyklista dodaje gazu, pojazd wytacza się na ulicę, podjeżdża z prawej strony do mercedesa Bubacka, który właśnie rusza z miejsca. Pasażer suzuki wyjmuje z brązowej torby na ramię karabinek automatyczny Heckler & Koch HK 43, mierzący zaledwie 92 cm, i z tylnego siedzenia strzela podczas jazdy. Pociski dziurawią szyby z odległości niespełna metra. Mężczyzna z tylnego siedzenia motocykla oddaje 15 strzałów. Prawie wszystkie trafiają 3 siedzących w mercedesie mężczyzn – skośnie w plecy lub w prawy bok.

Na pozór nic się nie dzieje. Na pustawej ulicy ciche strzały z karabinka kalibru 5,56 mm nie zwróciły niczyjej uwagi. Granatowy mercedes powoli toczy się po jezdni. Suzuki zwalnia, objeżdża od tyłu mercedesa, zbliża się do niego od lewej strony. Motocyklista jedzie z taką samą prędkością jak limuzyna, kilkadziesiąt centymetrów od niej. Wspólnik motocyklisty wychyla się w stronę mercedesa, spokojnie zagląda przez szyby. Sprawdza, czy zamach był skuteczny. Po chwili suzuki odjeżdża. Zamachowcy uciekają w kierunku Innenstadt. Mercedes wolno toczy się dalej, zjeżdża na chodnik, uderza w słupek i zatrzymuje się.

Przejeżdżający akurat policyjny patrol spostrzega mercedesa z prawym przednim kołem na chodniku, ze zderzakiem wbitym

w metalowy słupek. Policjanci są pewni, że mają do czynienia ze stłuczką, której sprawca uciekł z miejsca zdarzenia. Wzywają patrol drogówki.

Dopiero policjanci z drogówki zauważają w szybach otwory po pociskach. Otwierają drzwi mercedesa. Siegfried Buback i kierowca Göbel są martwi. Zbryzgany krwią Bernd Jacobi kona.

O 9.17 policja organizuje blokadę dróg i wielką akcję poszukiwawczą.

Na moście na autostradzie zamachowcy ukrywają motocykl i hełmy za jednym z filarów. Wsiadają do alfy romeo super giulia, w której, za kierownicą, czeka na nich wspólnik. Odjeżdżają bezpiecznie.

8 kwietnia 1990 ▪ niedziela

Już czas, Ryan

Elton John wysiada na lotnisku w Indianapolis po całodniowym locie z Los Angeles. Natychmiast jedzie do Szpitala im. Jamesa Withcomba Rileya. Przed wejściem głównym szpitala stoi tłumek reporterów. Dyrekcja zakazała im wstępu. Elton John wślizguje się do środka, nierozpoznany, bocznymi drzwiami. Szybko idzie do pokoju A-460. Obok jedynego łóżka stoi kobieta. 42-letnia Jeanne White ma szarą wymęczoną twarz, udręczone oczy. Na przywitanie mocno przytula się do gwiazdora rocka. Cicho szlocha. Oboje zwracają się ku łóżku. Wychudzony, niski nastolatek leży w szpitalnej pościeli dla dzieci ozdobionej mnóstwem wesołych Kaczorów Donaldów i słoni Dumbo. Jego skóra silnie zżółkła – to skutek zaburzeń pracy nerek, tak jak i silna opuchlizna. Dłonie

i stopy chłopca są ciemnopurpurowe. To objaw niewydolności krążenia. 18-letni Ryan, syn Jeanne White, od tygodnia jest nieprzytomny, ale rano matka nałożyła mu na włosy piankę i zaczesała je na sztorc. Tak jak lubił.

Teraz pochyla się nad synem, gładzi go po zadziornie nastroszonych kosmykach i szepce:

– Ryan, to jest Elton.

A piosenkarzowi wyjaśnia:

– Chciałam, żeby dobrze wyglądał.

Nad łóżkiem chłopca pochyla się Elton John. Umęczona robotnica z fabryki w prowincjonalnym Kokomo i gwiazdor rocka, w czarnej czapce baseballowej z napisem „Boy Africa" na głowie i długim wisiorkiem w prawym uchu, wpatrują się w zakrytą maską tlenową twarz Ryana. Żadnej reakcji chorego. Tylko respirator szumi monotonnie, popiskuje aparatura monitorująca pracę serca.

John gładzi czoło chłopca:

– Ryan, Michael Jackson dzwonił, żeby się dowiedzieć, jak się masz. Hej, ocknij się. Nie możesz lekceważyć takiej supergwiazdy. Ja jestem klasą B w porównaniu z Michaelem. Ryan, wszyscy z Los Angeles przekazują ci swoją miłość. Potrzebujemy cię i kochamy cię, Ryan.

Elton John nie przesadza. Gwiazdy amerykańskiej estrady, sportu, politycy modlą się dziś, w sobotę 7 kwietnia, za drobnego, gasnącego chłopca. Za sumienie i wzór światłych Amerykanów.

15 lat temu lekarz w prowincjonalnym Kokomo, w Indianie, stwierdził u 3-letniego Ryana White'a hemofilię. Kilkadziesiąt lat wcześniej byłby to dla chłopca wyrok śmierci – brak krzepliwości krwi powodował u chorych coraz groźniejsze, coraz trudniejsze do zatamowania krwotoki. Ale w połowie lat 70. hemofilię leczono już skutecznie wytwarzanym z krwi zdrowych ludzi lekiem

zawierającym tzw. czynnik VIII. Dzieciństwo Ryana było małym piekłem wspólnym wszystkim chorym na hemofilię – nieustanna ostrożność, by się nie skaleczyć ani nie uderzyć, nieustannie nawracające krwotoki, nieustanna słabość. I ciągle zastrzyki.

Mały chłopiec okazał się bardzo twardym człowiekiem. Dzielnie znosił cierpienie. Był dobrym, pilnym uczniem. Nie tracił optymizmu.

W grudniu 1984 roku, po ciężkim zapaleniu płuc, trafił na operację usunięcia części lewego płuca. 2 godziny po operacji lekarze poinformowali Jeanne White, że jej syn jest zakażony AIDS. Wtedy o chorobie tej wiedziano niewiele – z wyjątkiem pewności, że nieodmiennie skończyć musi się śmiercią. Lecząc hemofilię, przetoczono Ryanowi zakażony preparat krwiopochodny.

Lekarze dawali chłopcu 0,5 roku życia.

Na amerykańskiej prowincji wiedza o AIDS ograniczała się do 2 pewników – że jest chorobą zboczeńców, którą zarazić można się nawet przez podanie ręki. Kierownictwo jego szkoły w Kokomo zabroniło mu przychodzić na zajęcia. Ale Ryan chciał się uczyć. Wraz z matką skierował pozew przeciw szkole. Po negocjacjach prawników ustalono kompromis: Ryan otrzymał osobną toaletę, zaś w szkolnym barze samoobsługowym zawsze miały na niego czekać naczynia i sztućce jednorazowego użytku. W praktyce często bywało podle. Uczniowie wypisywali na jego szafce: „ciota". Wyzywali go od najgorszych, obrzucali wszystkim, co mieli pod ręką. Niszczono jego jednorazowe naczynia. Ktoś ostrzelał w nocy dom White'ów.

Ryan znosił to z niesamowitą godnością. Nie tracił optymizmu, nie wpadał we wściekłość. Wiele czytał o AIDS i każdemu, kto chciał z nim rozmawiać, cierpliwie tłumaczył, na czym choroba polega.

Ale w końcu matka, siostra Andrea i sam Ryan nie wytrzymali – przeprowadzili się do Cicero, też w stanie Indiana. Tam był inny świat. Chłopiec bez problemów dostał zgodę na naukę w szkole, znalazł w niej kolegów i przyjaciół. Mimo nieustannych powrotów do szpitala, mimo stert pigułek do łyknięcia był szczęśliwy. Także dlatego że w Cicero chciano go słuchać. Opowiadał o chorobie, o sobie. Tłumaczył, przekonywał, że AIDS nie jest tajemniczym biczem bożym na homoseksualistów i rozpustników, że chorzy na AIDS nie są niebezpieczni, że mają prawo do normalnego życia, do godności, do szczęścia.

Telewizja ABC nakręciła o nim film. Ryan na krótko stał się aktorem; zagrał swojego przyjaciela z Cicero Chada. Stał się sławny w całych Stanach. Niewysoki (choroba zahamowała wzrost), czarujący, skazany na śmierć chłopiec przekonał więcej prostych Amerykanów, że chorzy na AIDS są ludźmi jak wszyscy, niż całe stada uczonych i lekarzy gadających z ekranów telewizorów. Nagle wielcy i sławni zaczęli zabiegać o spotkanie z Ryanem. Liz Taylor i jej znajome gwiazdy estrady odbyły sesję fotograficzną z Ryanem. Elton John zorganizował w Los Angeles dobroczynny koncert dla dzieci – z gwiazdami sportu, estrady i z Ryanem. 5 razy zaproszono go do programu *Dzień dobry Ameryko*, 4 razy – do wiadomości porannych CBS. Był gościem *talk-shows*, udzielał wywiadów. Zawsze skromnie uśmiechnięty, zawsze pogodny, zawsze konkretny. Jego optymizm i godność wywierały piorunujące wrażenie na każdym, kto go bliżej poznał. Megagwiazda estrady Michael Jackson wspomagał rodzinę White'ów finansowo, wielokrotnie zapraszał ją na wakacje do swego rancho w Kalifornii. W końcu przed rokiem sprezentował Ryanowi, swojemu przyjacielowi, jak publicznie podkreślał, czerwonego mustanga.

Najbliższy Ryanowi ze świata ludzi wielkich i sławnych był Elton John. Poznał Ryana krótko po feralnej operacji płuc. Był pierwszą sławną osobą wspierającą rodzinę White'ów. By móc spotykać się z chłopcem, ostatnimi czasy prowadził walkę podjazdową ze swoim agentem; co 2–3 tygodnie wyrywał z wypełnionego nagraniami i koncertami kalendarza choć jeden dzień i leciał do Indiany. Rodzina White'ów traktowała go jako namiastkę ojca. Przed rokiem, na koncercie w Detroit, na który Elton zaprosił też Ryana, piosenkarz nieoczekiwanie zawołał chłopca na scenę, posadził na fortepianie i zaśpiewał swój wielki dawny przebój poświęcony Marylin Monroe, *Candle in the Wind* (Świecę na wietrze):

„Wydaje mi się, że przeżyłeś swoje życie
Jak świeca na wietrze
Nigdy nie wiedząc do kogo przylgnąć
Kiedy rozpadał się deszcz...".

Publiczne obowiązki w końcu stały się przyczyną katastrofy. Przed niespełna 2 tygodniami Ryan wraz z matką i siostrą Andreą brał udział w rozdaniu Oscarów w Los Angeles. Występował tam u boku Nancy i Ronalda Reaganów. Zaraz po wyczerpującej uroczystości Ryan poskarżył się matce na silny ból gardła i poprosił o natychmiastowy powrót do Indianapolis, do leczącego go od dawna dr. Martina Kleimana. Ale stan chłopca mimo wysiłku lekarzy pogarszał się. Trzeciego dnia dr Kleiman oświadczył matce, że szanse Ryana nie przekraczają 10 proc. I tylko dlatego szacuje je na 10 proc., bo pacjentem jest ten mały, ale wielki duchem człowiek.

Na prośbę chłopca dr Kleiman zawsze wyjaśniał mu szczegółowo jego stan zdrowia, potrzebę i działanie kolejnych etapów kuracji. Ryan, wiedząc to wszystko, zawsze miał wybór – zgodzić się na propozycję lekarza albo z niej zrezygnować. Przed tygodniem,

trzeciego dnia po powrocie z wręczania Oscarów, Ryan też sam podjął decyzję sugerowaną przez dr. Kleimana; podłączono go do respiratora. Wkrótce potem zaczęły się wewnętrzne krwotoki, ustała praca nerek i chłopiec zapadł w śpiączkę. Nikt z najbliższych, nawet matka Jeanne, nie zdążył się z nim pożegnać.

Do pokoju A-460 wchodzą pielęgniarki – w długich kitlach, z maskami ochronnymi na twarzach, w ochronnych goglach. Zaczynają swoją zwykłą krzątaninę. Elton John wychodzi na korytarz. Pod ścianą stoją najbliżsi. Młodsza siostra Andrea. Ojciec, który odszedł z domu wkrótce po urodzeniu się Ryana i od tego czasu tylko sporadycznie widywał syna. Dziadkowie Ryana, Gloria i Tom Hale, wujek Tom, ciotka Janet. Przyjaciółki matki Ryana – Mary Bacher i Betty Steward. Są kumple ze szkoły. Jest Bud Probasco, pastor metodystów, który rodzinę Ryana zna od 14 lat. Przyjechał natychmiast, gdy tylko Jeanne zawiadomiła go, że konający Ryan życzył sobie kiedyś, by to właśnie on celebrował jego pogrzeb.

Teraz cicho rozmawia z rodziną. Martwi się, że najbliższe hotele są drogie. Nie bardzo stać go na takie wydatki przez najbliższe dni.

Elton John przez chwilę rozmawia z dziadkiem Tomem Hale. Krótko przed 20.00 wychodzi, by zaśpiewać kilka piosenek na koncercie dobroczynnym, odbywającym się kilka bloków dalej. Kiedy wkracza na scenę, wita go burzliwa owacja 45 tys. słuchaczy. „Teraz śpiewam dla Ryana" – przekrzykuje widownię. Jeszcze gorętsza owacja.

Po godzinie jest już z powrotem w szpitalu. Dr Kleiman jest zmartwiony. Nieprzytomnego Ryana dopada ciężki kryzys. Ciśnienie krwi spada, leki nie działają. Wszyscy są przy łóżku chłopca.

O północy jest już pusto. Jeanne wyjmuje iluminowaną figurkę anioła stróża, którą kupiła przed 5 laty, gdy dowiedziała się, że jej syn zachorował na AIDS. Teraz ustawia ją obok Ryana i wkłada do gniazdka.

Jest 1.00 w nocy. To już 8 kwietnia, Niedziela Palmowa. Przy łóżku chłopca dzwoni telefon. Odbiera Jeanne. Michael Jackson pociesza ją. Mówi, że jest w Atlantic City i zaraz wylatuje do Indianapolis, do Ryana. Jeanne pyta go, za ile może tu być. Potem patrzy pytająco na pielęgniarkę:

– Dwie godziny?

Pielęgniarka, w masce i goglach, ponuro kręci głową.

Jeanne mówi do słuchawki:

– Michael, nie przyjeżdżaj, Ryan nie przeżyje dwóch godzin.

Jackson odpowiada, że przyleci rano.

Ryan ostatni raz za nic ma proroctwa medyków. Ciśnienie krwi ciągle spada, ale jego organizm godzina po godzinie walczy o życie. O świcie wszyscy bliscy są znów w jego pokoju. Są też lekarze i kosmicznie wyposażone pielęgniarki. Cicho słychać piosenki z płyt Eltona Johna. Chłopiec oddycha coraz słabiej. Jeanne szepce:

– Teraz idź, Ryan, już pora, kochanie. Już pora iść.

O 7.11 monitor zaczyna alarmująco piszczeć. Wszystkie krzywe prostują się. Pielęgniarki nagle ściągają gogle, maski i grube gumowe rękawice. Płaczą.

Ryan White, Jason Robertson i piosenkarz Elton John

9 kwietnia 1938 ▪ sobota

Honor obwarzanka

Nieczęsty to widok w warszawskim sądzie okręgowym: już o 8.30, na pół godziny przed początkiem rozprawy, sala kolumnowa zapełnia się publicznością. Na klatce schodowej i w korytarzach stoją policjanci i skrupulatnie sprawdzają zaproszenia. Tuż przed godz. 9.00 zatrzymują mężczyznę bez zaproszenia. Przedstawia się jako Aleksander Zwierzyński i usiłuje sforsować posterunek, wyjaśniając, że jako oskarżony zaproszenia nie potrzebuje. Nic z tego jednak. Skoro zaproszenia nie ma, policjanci go nie wpuszczają. Dopiero interwencja asesora sądowego pozwala wejść oskarżonemu na salę rozpraw.

Chwilę później karetka więzienna przywozi z aresztu do gmachu sądu drugiego z oskarżonych. Policjanci prowadzą niskiego mężczyznę około pięćdziesiątki. Ma bladą, zmęczoną twarz i potargane włosy. To doktor filozofii Stanisław Cywiński, docent Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Miejsca po prawej stronie sali zajmuje z ostentacją grupa oficerów garnizonu wileńskiego. Rezydujący w Wilnie inspektor armii gen. Stefan Dąb-Biernacki polecił, by z każdego pułku stacjonujących na Wileńszczyźnie 1. Dywizji Piechoty Legionów, 19. Dywizji Piechoty i Wileńskiej Brygady Kawalerii oddelegowano oficerów na rozprawę w Warszawie. Siedzi ich zatem kilkunastu, w tym ppłk Szeligowski, ppłk Prafianowicz, mjr Skimina.

Na sali są obecni wybitni intelektualiści, m.in. były rektor uniwersytetu wileńskiego prof. Marian Zdziechowski, historyk literatury prof. Stanisław Pigoń, redaktor wileńskiego dziennika „Słowo" Stanisław Cat-Mackiewicz.

Obaj podsądni oskarżeni są o zelżenie narodu polskiego.

Przed 5 tygodniami, 30 stycznia 1938 roku, „Dziennik Wileński. Głos Wileński" opublikował recenzję Stanisława Cywińskiego z książki Melchiora Wańkowicza *COP – ognisko siły*.

Wańkowicz przywołał w tym reportażu o budowie Centralnego Okręgu Przemysłowego określenie Józefa Piłsudskiego, że „Polska jest jak obwarzanek, to warte, co po brzegach". Cywiński w swej recenzji napisał, że Wańkowicz „zadaje kłam słowom pewnego kabotyna, który mawiał o Polsce, że jest jak obwarzanek: to tylko warte, co po brzegach, a w środku pustka (cyt. na str. 20)". W dalszej części recenzji ganił Wańkowicza za asekuranctwo w krytykowaniu rządów sanacji: „dlaczego to właśnie brak samorządów wybrał Wańkowicz dla zilustrowania swej tezy o poniewieraniu człowieka

w Polsce pomajowej? Przecież znalazłyby się o wiele jaskrawsze braki".

Ani otwarta krytyka rządów sanacyjnych, ani nazwanie autora bon motu o Polsce-obwarzanku kabotynem, nie zwróciły uwagi naczelnika Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego w Wilnie Mariana Jasińskiego, który kontrolował artykuły prasowe przed drukiem. Recenzji doc. Cywińskiego nie skonfiskowano. W ogóle nikt nie zwrócił na nią uwagi. „Dziennik Wileński" miał nakład niespełna 1500 egzemplarzy i nie był gazetą opiniotwórczą.

Wszystko zmieniło się 2 tygodnie później. „Państwo i Naród", organ prasowy Związku Naprawy Rzeczypospolitej, opublikował artykuł *Plugastwo słowa*. Anonimowy autor ujawnił, że autorem słów o obwarzanku był marszałek Piłsudski, i wytoczył przeciw Cywińskiemu najcięższe działa: „pozwala sobie na doczepianie do Wielkiej Postaci błazeńskich epitetów, czyniąc to w podstępny i ukryty sposób, mający zapewnić bezkarność popełnianego w ten sposób wykroczenia przeciw duchowi poszanowania Historii własnego Państwa i Narodu".

Egzemplarz „Państwa i Narodu" z napaścią na doc. Cywińskiego, zaznaczoną czerwonym ołówkiem, redakcja przesłała gen. Stefanowi Dąb-Biernackiemu. Ten natychmiast zwołał odprawę wyższych oficerów wszystkich pułków stacjonujących na Wileńszczyźnie i polecił im wydelegować kolegów, którzy, jak się wyraził, mają w obronie honoru marszałka Pilsudskiego obić red. Zwierzyńskiego i doc. Cywińskiego. Każdy pułk miał wyznaczyć 2 młodych i silnych oficerów. Zwierzchnicy podzielili ich na 2 grupy. Jedna ekipa napadła na mieszkanie doc. Cywińskiego. Oficerowie zmasakrowali go na oczach żony i 14-letniej córki. Druga ekipa zdemolowała redakcję „Dziennika Wileńskiego" i pobiła

redaktorów Zwierzyńskiego i Zygmunta Fedorowicza. Wtedy w redakcji pojawił się doc. Cywiński, który miał zamiar napisać do najbliższego wydania list otwarty w sprawie napaści. Oficerowie, którzy demolowali redakcję, pobili go po raz drugi.

Jeszcze tego samego dnia gen. Dąb-Biernacki wezwał naczelnika Jasińskiego z Urzędu Wojewódzkiego. Zrugał go brutalnie za dopuszczenie do druku artykułu Cywińskiego. Generał zażądał natychmiastowego aresztowania docenta i redaktora Zwierzyńskiego, osadzenia ich w obozie w Berezie Kartuskiej oraz zlikwidowania redakcji „Dziennika Wileńskiego". Gdy naczelnik Jasiński odmówił, wyjaśniając, że do Berezy można trafić tylko na podstawie decyzji ministra spraw wewnętrznych, a gazetę zamknąć może wyłącznie sąd, generał zaczął wykrzykiwać, że to on, Dąb-Biernacki, jest w Wilnie władzą najwyższą i wszyscy cywile mają go słuchać.

Po awanturze u gen. Dąb-Biernackiego naczelnik Jasiński przygotował oficjalny komunikat dla prasy, w którym wyraźnie stwierdził, że napaści na naukowca i redakcję dokonali oficerowie na polecenie inspektora armii. MSW zmieniło komunikat: „grupa oficerów odznaczonych Virtuti Militari, oburzona artykułem p. Cywińskiego, dokonała skarcenia winnych".

Władze nie zrobiły nic, by ukarać biorących udział w napadzie oficerów, ani tym bardziej gen. Dąb-Biernackiego. Stanisław Cywiński został aresztowany. Protesty studentów uczelni wileńskich spacyfikowano, a 3 przywódcy młodzieży narodowej z Wilna trafili do Berezy.

Przedwczoraj zaś władze w trybie pilnym wydały ustawę *O ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski*.

Rozprawa rozpoczyna się z opóźnieniem, o 9.35. Obrońcy doc. Cywińskiego – prof. Glaser z Warszawy i mecenas Jasiński z Wilna,

oraz obrońcy Zwierzyńskiego – wybitny adwokat polityczny Leon Nowodworski, mecenasi Engel z Wilna i Pieracki ze Lwowa, zgłaszają wniosek o przesłuchanie 6 świadków, w tym profesorów Zdziechowskiego, Pigonia, Kościałkowskiego i redaktora Mackiewicza. Mają nakreślić sylwetkę moralną oskarżonego Cywińskiego. Prokurator Żeleński protestuje. Sąd wniosek odrzuca.

Zostaje odczytany akt oskarżenia. Podsądni obwinieni są o zelżenie narodu polskiego w ten sposób, że dopuścili do użycia „obelżywego wyrazu dla określenia osoby marszałka Polski Józefa Piłsudskiego".

Stanisław Cywiński nie przyznaje się do winy. Wyjaśnia, że pisząc o kabotynie, nie miał na myśli Piłsudskiego.

– Byłem przekonany, że słowa te pochodzą od redaktora „Słowa" Stanisława Mackiewicza, który w swym czasie w polemice ze mną pisał, że Małopolska dała Polsce wojsko, Wielkopolska pracę, Litwa rozmach, a Kongresówka wraz z Warszawą Messalkę i Kawecką – mówi Stanisław Cywiński. Lucyna Messal i Wiktoria Kawecka to popularne divy polskich scen. Na dowód oskarżony zwraca uwagę, że w swoich notatkach z lektury książki Wańkowicza, na podstawie których później pisał recenzję, poczynił adnotację: „Polska – obwarzanek, Cat str. 20".

Oskarżony wywodzi dalej, iż słowa „kabotyn" w ogóle nie uważa za obraźliwe, bo ma ono takie samo znaczenie uczuciowe jak „filister" albo „snob".

Tego już za wiele dla przewodniczącego sądu, który napomina oskarżonego, że jest w sądzie, a nie na seminarium literackim.

– Kiedy zostałem napadnięty przez cztery osoby, które miały mundury... – zaczyna Cywiński.

Sędzia natychmiast przerywa:

– O tym nie będzie pan mówił. To sprawa należy do innej jurysdykcji, tutaj nie pozwolę jej mieszać.

I tak już będzie do końca rozprawy – każde napomknienie adwokatów o pobiciu podsądnych przez jaczejkę oficerów kończy się interwencją sędziego.

Przesłuchanie Aleksandra Zwierzyńskiego niewiele wnosi do sprawy. Znacznie więcej wyjaśnia jeden z kilkorga świadków, Dagmara Dworakowska. Zeznaje, iż jeszcze przed publikacją artykułu w „Gazecie Wileńskiej" rozmawiała z doc. Cywińskim o redaktorze Mackiewiczu. Cywiński oburzał się na ów polemiczny artykuł Mackiewicza, w którym redaktor „Słowa" napisał, że wszystko, co w Polsce wartościowe, pochodzi z Kresów.

Prokurator wnioskuje, by jako ważny dowód w sprawie przyjąć tekst tajnej uchwały Sądu Oficerskiego w Grodnie, stwierdzającej konieczność odmawiania satysfakcji honorowej członkom redakcji „Dziennika Wileńskiego" oraz rozkaz gen. Dąb-Biernackiego, zakazujący wojskowym prenumeraty tego pisma. Sąd zgadza się.

Mowę końcową rozpoczyna prokurator Żeleński późno w nocy. Uznaje, że doc. Cywiński świetnie wiedział, kto był autorem bon motu o obwarzanku. Nieodpartym dowodem winy jest dla oskarżyciela krótka analiza stylistyczna. „Jakże to się stało, że zwrot zapamiętano, a zapomniano autora? W Mackiewicza artykułach na podobny temat przeważa pierwiastek paradoksów, w powiedzeniu Marszałka pierwiastek obrazowości, dlatego zdaniem prokuratora pomyłka była niemożliwa" – wywodzi z tryumfem prok. Żeleński. Swe długie wystąpienie kończy tuż przed północą: „Ja wnoszę, ażeby wobec Zwierzyńskiego, którego wina jest stwierdzona, była orzeczona kara bardzo surowa, a żeby wobec Cywińskiego orzeczono karę najwyższą".

W tym wypadku najwyższa kara to 3 lata więzienia. Sprawozdawcy sądowi kilkunastu gazet plotkują na korytarzu. Żaden nie ma wątpliwości, że pojutrze Stanisław Cywiński za „obwarzanek pewnego kabotyna" te 3 lata dostanie.

10 kwietnia 1525 ▪ piątek

Płaszcze bez krzyży

Szacowni krakowscy mieszczanie śpią tej nocy krótko. O samym brzasku gromada cieśli z wielkim hałasem zaczyna wznosić w Rynku, tuż obok ratusza, obszerne podwyższenie. Ledwo cichną siekiery, słudzy kryją podium czerwonymi kobiercami. Najlepsze kobierce, złotolite, kładą w miejscu zwanym majestatem, w którym zasiądzie polski król Zygmunt I z synem królewiczem Zygmuntem Augustem. Skoro świt w Rynku i w przyległych ulicach pojawiają się pierwsi gapie. Dziś przecież ukorzy się odwieczny wróg Polski – zakon krzyżacki; jego wielki mistrz złoży polskiemu królowi hołd lenny. Wieść o tym rozeszła się szeroko. Od paru dni do Krakowa zjeżdżają możni panowie i drobna szlachta, kupcy i włóczędzy, duchowni i kuglarze – wszyscy żądni obejrzenia wielkiej uroczystości. Karczmy i zajazdy pękają w szwach.

Wielki mistrz Albrecht von Hohenzollern przybył ze świtą do Krakowa przed paru dniami. Zatrzymał się w jednej z gospód. Traktat hołdowniczy uzgodnili z polskim dworem pełnomocnicy wielkiego mistrza książę Fryderyk legnicki i margrabia Jerzy Hohenzollern przed 2 miesiącami, ale w Krakowie niemal do ostatniej chwili trwały rokowania. Delegaci zakonu twardo negocjowali szczegółowe warunki przemiany wielkiego mistrza

w świeckiego księcia. Wreszcie przedwczoraj król i wielki mistrz podpisali traktat. Stanowi on, że zakon krzyżacki ulega likwidacji, a jego zsekularyzowane ziemie król Zygmunt I nadaje w lenno Albrechtowi i jego męskim potomkom, z prawem sukcesji 3 braci wielkiego mistrza i ich legalnych synów. Ziemie zajęte przez oba kraje w czasie ostatniej wojny mają być wzajem zwrócone. Za rezygnację z Nowego Miasta, Braniewa, Tolkmicka Albrecht, teraz już książę, otrzymać ma sowitą, dożywotnią pensję.

Wczoraj zaś klamka zapadła ostatecznie: układ uroczyście potwierdził Albrecht, potwierdzili też, nie bez oporów, delegaci zakonu i przedstawiciele stanów pruskich.

Wczesnym rankiem słońce stoi jeszcze nisko, jest zimno, lecz Rynek i okolice wypełniają już nieprzebrane tłumy gapiów. Każdy wystrojony w co miał w skrzyniach najlepszego. W uliczkach dochodzących do Rynku pojawiają się orszaki zbrojnych rycerzy; to znak, że uroczystości zaczną się rychło.

Tłum na Rynku kołysze się. Od strony Wawelu zbrojni i słudzy torują drogę orszakowi królewskiemu. Na czele, za rycerskim pocztem, konno jadą książęta i panowie z królewskiej rady. Potem dworzanie niosą nową, przepiękną chorągiew z herbem – czarnym orłem uwieńczonym na piersiach literą „S” w koronie. Za nimi jedzie król. Monarsze towarzyszą: poseł króla Węgier Ludwika Statilius, proboszcz Vesprem, oraz obaj przedstawiciele wielkiego mistrza w rokowaniach – książę Fryderyk i margrabia Jerzy. Za królem jedzie w karocy królowa Bona Sforza i 5-letni królewicz Zygmunt August. Orszak zamyka długi sznur karet z wielkimi paniami królestwa i z wawelskim fraucymerem.

Na Rynku Zygmunt I z małym synkiem wkracza ze świtą do ratusza, Bona zaś z damami przechodzi do kamienicy stojącej naprzeciwko ozdobnego wzniesienia. Stamtąd obserwować będzie

przebieg hołdu. Książę Fryderyk i margrabia Jerzy jadą do karczmy, zajętej przez delegację zakonu, po wielkiego mistrza. W ratuszu król przywdziewa strój koronacyjny: sandały, tunikę, albę, dalmatykę, płaszcz zwany kapą i koronę. Szaty te nawiązują do przyodziewku Chrystusa, gdy ten wydany został na pośmiewisko przed kaźnią.

Wreszcie orszak królewski wychodzi z ratusza. Na czele najwyżsi świeccy panowie królestwa niosą insygnia władzy: berło, jabłko i miecz. Tuż za nimi idą pozostali dostojnicy. Potem prymas Jan Łaski i biskup krakowski Piotr Tomicki prowadzą króla. Za nimi postępują królewscy sekretarze i biskupi. Zygmunt I wkracza na podwyższenie, zasiada na tronie. W pokornej postawie zbliża się Erhard von Queiss, znany teolog, którego wielki mistrz Albrecht samowolnie mianował biskupem pomezańskim, oraz liczni zakonni dostojnicy i znamienici poddani zakonu. Zbroje zakonnych rycerzy okryte są białymi płaszczami z czarnymi krzyżami. W kwiecistej mowie delegaci wielkiego mistrza dziękują Bogu za zakończenie nieustannych wojen toczonych w Prusach między zakonem i królestwem i proszą króla, aby raczył przyjąć do swych łask księcia Albrechta, skądinąd siostrzeńca Zygmunta I, oddać mu i nadać w lenno ziemie i dobra ustalone w podpisanym przedwczoraj układzie.

Teraz do tronu zbliża się konno sam Albrecht von Hohenzollern, uroczyście prowadzony przez księcia Fryderyka i margrabiego Jerzego. Znany jest jako wyśmienity mówca i nie zawodzi oczekiwań. Przemawia po niemiecku, barwnie, ozdobnie, kwieciście. Zapewnia o swej pokorze, uniżoności i wierności wobec króla. Odpowiada mu po łacinie bp Tomicki, który też słynie z daru wymowy. W imieniu króla stwierdza, że skoro Albrecht zapewnia tak gorąco i szczerze o swej wierności, to król puszcza w niepamięć

wszystkie dawne obrazy jego uczuć i majestatu i zgadza się na wszystko, o co proszą go książę i jego poddani.

Albrecht w pełnej zbroi klęka u stóp Zygmunta I i przyjmuje z jego rąk chorągiew ze swym nowym herbem; litera „S" na piersiach czarnego orła to znak królewski (od *Sigismundus*, Zygmunt). Albrecht dzierży drzewce chorągwi i składa przysięgę na ewangelię: „Ja Albrecht, margrabia brandenburski, książę w Prusiech, szczeciński, pomorski, wendejski i kaszubski, władca Rugii i burgrabia norymberski, obiecuję i przysięgam, że najjaśniejszemu Władcy i Panu, panu Zygmuntowi, królowi Polski, wielkiemu księciu Litwy, Rusi i wszystkich ziem pruskich panu i dziedzicowi, jako memu przyrodzonemu panu dziedzicznemu, oraz dziedzicom i następcom Jego Królewskiej Mości, królom i Królestwu Polskiemu będę wierny i powolny, będę się starał o dobro Jego Królewskiej Mości, dobro dziedziców jego i Królestwa Polskiego, a złu będę zapobiegał i wszystko to będę czynił, co jest powinnością wiernego wasala. Tak mi dopomóż Bóg i ta święta Jego Ewangelia".

Król ujmuje miecz i trzykrotnie uderza Albrechta po ramieniu, pasując na swego nowego wasala. Wręcza mu piękny, kosztowny pas rycerski. W zupełnej ciszy towarzyszący Albrechtowi Krzyżacy na znak likwidacji pruskiej odnogi zakonu zrywają z białych płaszczy znaki krzyża. Pośród wiwatów i radosnej wrzawy gawiedzi orszaki króla i jego wasala ruszają na Wawel, do katedry. Dziękczynne nabożeństwo kończy się całowaniem tamtejszych relikwii. Nikogo jakoś nie dziwi katolicka msza dziękczynna, kwitująca triumf protestantyzmu w arcykatolickich dotąd, zakonnych Prusach.

W królewskich komnatach Zygmunt I wydaje wspaniałą ucztę. Wszyscy zaproszeni otrzymują od monarchy kosztowne podarunki.

Pod murami Wawelu bawią się tłumy pospólstwa. Opilstwo i tańce trwają niemal do rana.

11 kwietnia 1967 ▪ wtorek

Teatr za mszę

2 najważniejsze dziś wiadomości na pierwszej stronie „Gazety Krakowskiej” to wizyta we Włoszech przewodniczącego Rady Państwa PRL Edwarda Ochaba oraz podsumowanie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego w krakowskiej dzielnicy Stare Miasto. Dyrektora Teatru Rapsodycznego dr. Mieczysława Kotlarczyka obchodzi tylko ten drugi artykuł. Organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR informuje, że w Teatrze Słowackiego wręczono wczoraj Odznaki Tysiąclecia Państwa Polskiego zasłużonym instytucjom kultury, mającym siedzibę na terenie krakowskiego Starego Miasta. Kogo uhonorowały władze? Pośród 9 wyróżnionych jest Biblioteka Jagiellońska, muzeum na Wawelu, Teatr im. Słowackiego – to oczywiste. Ale jest też i zespół teatru lalek Groteska. Dla Mieczysława Kotlarczyka to zła wiadomość. Jego Teatr Rapsodyczny zajmuje wspólnie z Groteską budynek teatralny przy ul. Skarbowej 2. Wyróżnienie teatru lalek odznaką ustanowioną z okazji Millenium przy jednoczesnym pominięciu Teatru Rapsodycznego, wystawiającego największe dzieła narodowego dramatu i poezji, nie zapowiada niczego dobrego w ciągnącym się od wielu miesięcy konflikcie Kotlarczyka z partyjnymi nadzorcami kultury.

Ale może nie jest tak źle? W środku numeru, w dziale „Mozaika Kulturalna”, „Gazeta Krakowska” informuje: „Teatr Rapsodyczny,

jego działalność oraz wpływ na teatr polski w ogóle, będzie tematem pracy magisterskiej jednej ze studentek uniwersytetu toruńskiego. Pracą tą kieruje prof. Edward Csato, kierownik Katedry Historii Teatru".

Wszystko zaczęło się przed 27 laty, podczas okupacji, w Krakowie. Mieczysław Kotlarczyk, doktor polonistyki, przed wojną nauczyciel gimnazjalny, krytyk i animator teatralny, zachęcony przez działaczy katolickiej organizacji podziemnej Unia, założył konspiracyjny teatr. Na pierwszym spotkaniu 22 sierpnia 1941 roku w prywatnym mieszkaniu państwa Dębowskich zjawili się członkowie przedwojennej Konfraterni Teatralnej. Wśród nich student polonistyki UJ Karol Wojtyła, pracujący wtedy w kamieniołomach pod Krakowem. Konspiracyjna premiera odbyła się 1 listopada 1941 roku. *Król-Duch* Słowackiego okazał się spektaklem niezwykłym. W mieszkaniu państwa Dębowskich nie było sceny, widowni. Jedynie ciemna kotara, na niej maska poety, fortepian, świecznik, egzemplarz *Króla-Ducha*. I żywe słowo, wypowiadane przez aktorów bezpośrednio obcujących ze słuchaczami, głoszone w podniosłym, misteryjnym nastroju. Wojtyła, który zna Kotlarczyka i przyjaźni się z nim, interpretował partię Bolesława Śmiałego i zarazem, jako Król-Duch, prowadził w pierwszej osobie narrację. Młodziutki student polonistyki nie był jedynie wykonawcą koncepcji twórcy teatru. W następnych przedstawieniach zmienił interpretację króla Bolesława, potraktował tekst mniej dramatycznie, bardziej kameralnie, refleksyjnie. Kotlarczyk i zespół stanowczo domagali się od niego powrotu do pierwotnej koncepcji, ale Wojtyła nie ustąpił.

W czasie okupacji konspiracyjny zespół Kotlarczyka, który przyjął nazwę Teatru Rapsodycznego, zrealizował 7 premier. Wojtyła od jesieni 1942 roku zaczął studia na tajnych kompletach Wydziału

Teologicznego UJ, ale grał nadal. Gdy w mieszkaniu państwa Góreckich przy pl. Kleparskim recytował spowiedź ks. Robaka z *Pana Tadeusza*, na ulicy rozszczekały się niemieckie głośniki. Wojtyła nie przerwał, nie podniósł głosu. Zagłuszany przez komunikat okupanta, cicho recytował Mickiewicza – jakby zło za oknami w ogóle nie istniało. Ostatnią premierą, w której wystąpił, był *Samuel Zborowski* Słowackiego. Latem 1943 roku Wojtyła odszedł z zespołu, ale jego zainteresowanie pracami rapsodyków i przyjaźń z Mieczysławem Kotlarczykiem przetrwały. Po 1945 roku, gdy TR zyskał status teatru państwowego, ks. Wojtyła bywał na spektaklach, pisywał o rapsodykach do „Tygodnika Powszechnego".

A duchowego wsparcia bardzo potrzebowali. Krytycy byli podzieleni w ocenach metody twórczej Kotlarczyka. Jego idea teatru antynaturalistycznego, klasycznie umownego, rezygnującego z akcji scenicznej, z aktorskiego gestu, zamieniającego aktora w żywą rzeźbę, teatru operującego jedynie słowem w oprawie najskromniejszej scenografii i muzyki, jednych zachwycała, innych irytowała. Komunistycznym władzom TR szybko przestał się podobać – nic doprawdy nie miał wspólnego z obowiązkowym realizmem socjalistycznym. Zlikwidowany w 1953 roku, reaktywowany 3 lata później, nieodmiennie budził nieufność, z czasem podejrzenia władz swym idealistycznym przesłaniem.

W 25. rocznicę powstania TR, 22 sierpnia 1966 roku, abp Karol Wojtyła zaprosił zespół rapsodyków do katedry wawelskiej. Przed trumną św. Stanisława odprawił nabożeństwo. Już żegnając się, zapowiedział, że przyjdzie na najnowszy spektakl *Akropolis*.

Władze, uwikłane w walkę z kościelnymi obchodami Tysiąclecia Chrztu Polski, zareagowały natychmiast. Kotlarczyka przesłuchiwał osobiście pułkownik MO. Czy to prawda, że wszystkich pracowników teatru dyrektor wzywał do bezwarunkowego udziału

w mszy? Czy groził pozbawieniem pracy w wypadku nieobecności na Wawelu? Czy zmusił I sekretarza POP przy Teatrze Rapsodycznym, by pocałował arcybiskupa w pierścień?

Potem były szykany, podburzanie członków zespołu przeciw dyrektorowi.

W październiku zeszłego roku Kotlarczyk miał zawał serca. Ale podniósł się, przygotował premierę *Odysei* Homera.

Przedpołudniową próbę generalną *Odysei* przerywa nieoczekiwany telefon z miejskiej rady narodowej. Mieczysław Kotlarczyk ma się natychmiast stawić w Wydziale Kultury MRN. Naczelnik wydziału Franciszek Kuduk czeka w gabinecie w asyście swojego zastępcy Tadeusza Starca. Oschle informuje Kotlarczyka, że prezydium miejskiej rady narodowej podjęło decyzję o zdymisjonowaniu go ze stanowiska dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Rapsodycznego od następnego sezonu. Stosowną uchwałę prezydium podejmie po formalnej konsultacji z Ministerstwem Kultury i powiadomi o niej odrębnym pismem, kończy Kuduk.

Mieczysław Kotlarczyk siedzi jak rażony gromem. Po długiej chwili krępującej ciszy pyta:

– Czy to już wszystko?

Towarzysz Kuduk rzuca okiem na towarzysza Starca i z nieukrywaną satysfakcją odpowiada:

– Tak, to wszystko.

Kotlarczyk spodziewał się od władz rozmaitych złośliwości i szykan, ale nie wyrzucenia z teatru. Przez głowę przelatują mu rozpaczliwe myśli. Jak to, po tylu latach pracy, bez słowa „dziękuję", wyrzucić na bruk? A co z moją rodziną? To przecież bezprawie!

W końcu opanowuje się. Z trudem podnosi się i nieznacznie skinąwszy głową, bez podania ręki, wychodzi. Wraca na Skarbową.

Nie daje po sobie niczego poznać i dalej prowadzi próbę *Odysei*.

Natychmiast po zakończeniu próby siada do pisania memoriału do władz:

„[...] nie podano mi żadnych uzasadnień likwidacyjnych. Dlatego skazany raczej na domysły pozwalam sobie ująć moje przypuszczenia w kilka punktów:

1. Nie sądzę, żeby powodem mógł być brak kwalifikacji z mojej strony. [...]

3. Nie przypuszczam, żeby względy finansowe odegrać tu mogły jakąś zasadniczą rolę. Teatr Rapsodyczny jest najniżej dotowanym, a należy do tych nielicznych, które plan usługowo-finansowy wykonują od lat wielu ku zadowoleniu czynników kontrolnych. Ja sam zaś pełnię funkcję dyrektora przedsiębiorstwa, kierownika artystycznego i kierownika literackiego za łącznym wynagrodzeniem poniżej stawki najniższej. [...]

9. A może dymisja spotyka mnie za niezmienny od 1941 roku pogląd, że fundamentem teatru polskiego powinny być najwyższe teksty narodu, teksty: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida i Wyspiańskiego. [...]

10. A może jest to dyskryminacja za moje poglądy chrześcijańskie i za to, że w 25. rocznicę powstania Teatru Rapsodycznego odbyło się na Wawelu nabożeństwo, odprawione przez byłego aktora tego teatru (z czasów okupacji hitlerowskiej), a obecnego metropolitę krakowskiego, ks. arcybiskupa Karola Wojtyłę".

Mieczysław Kotlarczyk przepisuje memoriał w kilku egzemplarzach. Pakuje pisma do kopert i adresuje: I Sekretarz KW PZPR w Krakowie Czesław Domagała, minister kultury i sztuki Lucjan Motyka, sekretarz KC PZPR Zenon Kliszko. Łudzi się, że dymisja jest tylko zemstą lokalnych aparatczyków, że światli działacze partyjni najwyższego szczebla wejrzą w sprawę, że

właściwie ocenią intrygę Kuduka i spółki, że pozwolą mu kontynuować odyseję Teatru Rapsodycznego. Nawet nie przychodzi mu do głowy, że odpowiedzią władz na memoriał przypominający mszę dla aktorów odprawioną u grobu św. Stanisława może być zlikwidowanie samego teatru.

12 kwietnia 1961 ▪ środa

Wszyscy w kosmos!

O 3.00 w nocy do tzw. domku gościnnego niedaleko od kosmodromu Bajkonur zachodzi Siergiej Pawłowicz Korolow, główny konstruktor radzieckiego programu lotów kosmicznych, genialny inżynier i organizator. Zaplanowany na dziś lot pierwszego człowieka w kosmos to w dużym stopniu jego osobisty sukces. Korolow cichutko, na palcach, wchodzi do domku, na widok obsługi kładzie palec na ustach, na końcu korytarza otwiera drzwi do niedużego pokoju i patrzy na 2 mężczyzn śpiących smacznie w łóżkach pod ścianami. To Jurij Gagarin i jego dubler German Titow. Śpią już 5. godzinę.

Korolow cicho wychodzi i jedzie gazikiem na wyrzutnię rakietową, gdzie technicy zaczęli właśnie sprawdzanie urządzeń rakiety nośnej i statku „Wostok-1".

O świcie do domku kosmonautów wchodzi sprzątaczka ośrodka kosmicznego Kławdia Akimowna i zostawia dla kosmonauty bukiet dzikich polnych tulipanów. Obsługa domku zanosi kwiatki do pokoju kosmonautów i stawia na stoliku Gagarina.

O 5.30 lekarz Jewgienij Karpow budzi Gagarina i Titowa.

– Jak się spało? – pyta Karpow.

– Tak jak nas uczyli – odpowiada Gagarin, który boi się, że najdrobniejsze odstępstwo od regulaminu, najmniejszy brak entuzjazmu może spowodować, że jego miejsce w ostatniej chwili zajmie Titow.

Tak samo Gagarin zachowuje się przy śniadaniu. Na stół podano Gagarinowi i Titowowi wyłącznie kosmiczne papki w tubkach. Titow, który uwielbia mięso, ostentacyjnie krzywi się i pyta, czy nie ma czegoś normalnego do jedzenia.

Gagarin zachwyca się śniadaniem.

– Dawno nie jadłem czegoś tak smacznego! Cudo, nie pasztet. Ech, do domu by wziąć z dziesiątkę takich tubek, Wala by się ucieszyła – mówi przesadnie głośno.

Wala to żona Gagarina.

Po śniadaniu główny konstruktor bierze Gagarina na stronę. Widać, że Korolow jest straszliwie zmęczony, ledwie trzyma się na nogach. Powoli tłumaczy Gagarinowi, co ma robić w razie rozmaitych awarii i nieprzewidzianych sytuacji. Tych rad nie ma w oficjalnych procedurach, których na pamięć uczyli się kandydaci na kosmonautów – stary lis Korolow wolał nie zostawiać na papierze zbyt wielu śladów, że dziewiczy lot człowieka w kosmos jest tak naprawdę obarczony dużo większym ryzykiem, niż oficjalnie podano władzom.

Gdy w radzieckim kierownictwie politycznym zapadła decyzja o włączeniu się ZSRR w wyścig ze Stanami Zjednoczonymi w eksplorowanie kosmosu, spośród najlepszych pilotów myśliwskich wybrano 20 spełniających warunki podane przez głównego konstruktora Korolewa: wiek 25–30 lat, wzrost nie więcej niż 170 cm, waga do 72 kg, no i legitymacja partyjna, o właściwym pochodzeniu społecznym nie mówiąc (to były już wymogi najwyższych władz). Potem z tych 20 wybrano 6 najlepszych.

O tym, że poleci Gagarin (który do partii komunistycznej wstąpił pospiesznie latem zeszłego roku), a German Titow zostanie jego dublerem, gotowym zastąpić go w razie niedyspozycji, komisja państwowa zadecydowała dopiero przed 4 dniami.
O pierwszeństwie Gagarina zadecydowało m.in. jego pochodzenie – ojciec był stolarzem, matka – dojarką w kołchozie, zaś Titow pochodził z rodziny nauczycielskiej.

Radziecki wywiad poinformował głównego konstruktora, że Amerykanie planują swój lot załogowy w kosmos na 20 kwietnia. Pod naciskiem najwyższych czynników Korolow zdecydował się wysłać pierwszego kosmonautę na orbitę okołoziemską między 11 a 17 kwietnia; w końcu stanęło na 14.

Z powodu pośpiechu mnóstwa urządzeń i wyposażenia statku „Wostok-1" nie zdołano zbudować. Korolow z zimną krwią zrezygnował z systemu ratunkowego, umożliwiającego ocalenie kosmonauty w razie poważnej awarii podczas startu, oraz z systemu miękkiego lądowania statku kosmicznego (kosmonauta musi zatem skakać ze spadochronem z pędzącej kapsuły statku na wysokości 7 km). A na koniec na polecenie Korolowa usunięto zamontowany już w statku kosmicznym drugi, na wypadek awarii pierwszego, system hamowania na orbicie. Z obliczeń wyszło bowiem, że bez hamowania „Wostok-1" i tak po upływie 10 dób pod wpływem siły grawitacji wejdzie w gęste warstwy atmosfery i zostanie wyhamowany.

Także najwyższe władze partyjne ZSRR przygotowały się do lotu. Agencja TASS otrzymała 3 przygotowane zawczasu oświadczenia radzieckich władz. Pierwsze z nich zawiadamiało o wysłaniu przez ZSRR statku kosmicznego na orbitę okołoziemską z człowiekiem na pokładzie. Ogłoszone ma być ono tuż po pomyślnym starcie „Wostoka-1" i ma ułatwić organizację ewentualnej późniejszej akcji

ratunkowej („Wostok-1” ma przecież lecieć nie tylko nad terytorium ZSRR, ale także nad centralną Afryką i Turcją) oraz zapobiec oskarżeniom pod adresem Kremla o wysłanie na orbitę kosmonauty w celach wojskowych, wywiadowczych. Drugie z oświadczeń zawiadamia o pomyślnym powrocie kosmonauty na Ziemię. Trzecie oświadczenie przygotowano na wypadek nieosiągnięcia przez rakietę nośną przewidywanej mocy i wynikłego stąd przymusowego wodowania statku kosmicznego w Pacyfiku – ono także, podobnie jak pierwsze oświadczenie, ma ułatwić ewentualną akcję ratunkową. Potencjalna katastrofa i śmierć Gagarina mają pozostać tajemnicą państwową.

Teksty tych oświadczeń zaaprobowało wczoraj Prezydium KC KPZR.

Technicy ubierają kosmonautów. Pierwszego odziewają Titowa. Urządzenia klimatyzacyjne wewnątrz skafandra można podłączyć dopiero w autobusie jadącym na wyrzutnię, więc Gagarin ma być ubrany tak późno, jak tylko to możliwe – żeby się nie spocił. Ale w końcu nadchodzi jego czas. Najpierw – jasnobłękitna bielizna z włókien sztucznych. Na wierzch – jaskrawopomarańczowy kombinezon, pozwalający kosmonaucie żyć i pracować w próżni. Na głowę – wielki biały hełm z wielkimi czerwonymi literami: „CCCP”.

W autobusie Gagarin zajmuje miejsce kosmonauty. Zawiedziony, ponury Titow siada z tyłu. Urządzenia podające im do skafandrów tlen i energię elektryczną działają bez zarzutu.

Na kosmodromie autobus zatrzymuje się, kosmonauci zdejmują hełmy – znów przez pewien czas będą odłączeni od zasilania i klimatyzacji.

Na płycie startowej, przed rakietą, Gagarin odwraca się.

– Do zobaczenia, Ziemio! Do zobaczenia, przyjaciele! – woła i macha ręką.

Potem wjeżdża windą na wysokość luku okrągłej kabiny.

– No i jak? – inżynier startowy pyta technika montażystę.

– Wszystko w porządku, w pierwszym gatunku – odpowiada montażysta.

– No to siadamy – mówi inżynier i wpycha Gagarina do kabiny.

Kosmonauta ze zdziwieniem stwierdza, że w środku pachnie wiosennym stepem, a nie, jak zwykle, zaduchem smarów, tworzyw sztucznych, metali. Technicy otworzyli luk na dłużej, niż przewidywała instrukcja.

Technicy podłączają skafander do klimatyzacji i interkomu. O 7.10 Gagarin, który ma w eterze kryptonim „Kiedr" (Cedr), po raz pierwszy łączy się z centrum kontroli lotu „Zaria" (Jutrzenka). Centrum kontroli lotu tak naprawdę jest centrum sterowania. Radzieccy naukowcy nie mają pojęcia, czy w stanie nieważkości kosmonauta nie straci przytomności, ani czy nie opadną go jakieś halucynacje – loty testowe zwierząt, z suczką Zwiezdoczką (Gwiazdką) na czele, tego problemu nie rozstrzygnęły. Na wszelki wypadek „Wostok-1" jest całkowicie sterowany z Ziemi. Kosmonauta, by przejąć stery, musi rozerwać zapieczętowaną kopertę z kodem i wstukać go w klawiaturę na panelu. Część kodu musi otrzymać przez radio z ośrodka kierowania.

Gagarin sprawdza systemy skafandra. „Zaria" uprzejmie puszcza mu w tym czasie na drugim kanale relaksującą muzykę.

– Juriju Aleksiejewiczu, chcę wam tylko przypomnieć, że po ogłoszeniu gotowości minie jeszcze sześć minutek, zanim zacznie się lot. Tak że nie denerwujcie się – napomina przez mikrofon „Zarii" główny konstruktor Korolow.

Mijają kwadranse, zbliża się start. O 9.07 Korolow mówi do Gagarina:

– „Cedr", dajemy zapłon.

– Rozumiem, dajecie zapłon – odpowiada Gagarin.

– Stopień wstępny... pośredni... główny... wznoszenie! – krzyczy Korolow.

– *Pajechali!* [Ruszamy!]. Szum w kabinie słychać słabo. Wszystko idzie normalnie, samopoczucie dobre – melduje Gagarin.

Ale po chwili już nie jest normalnie. Radiowe sterowanie statkiem z Ziemi zawodzi i silniki trzeciego stopnia rakiety nośnej pracują za długo. Statek kosmiczny osiąga orbitę, której apogeum jest wyższe o 100 km od apogeum zaplanowanej trajektorii lotu. W razie awarii silników hamujących naturalne zejście z orbity do gęstszych warstw powietrza, zdolnych wyhamować statek, może potrwać od 20 do 50 dni, a Gagarin ma zapas żywności w tubkach i wody na 7 dni. „Zaria" nie zawiadamia kosmonauty o kłopocie.

Na orbicie Gagarin je z tubek, pije, wygląda przez luk i usiłuje zapisywać wrażenia ołówkiem w notatniku. Ołówek szybko wymyka się mu z palców i dziarsko płynie przez kabinę. Gagarin przechodzi na nagrywanie wrażeń na szpulowy magnetofon.

W zaplanowanym momencie włączają się silniki hamujące projektu inż. Isajewa. Ale działają zbyt słabo. W rezultacie „Wostok-1" zaczyna wirować wokół osi z prędkością jednego obrotu na sekundę. Gagarin jest dobrze przygotowany fizycznie, wytrzymuje to. Ale, co gorsza, zbyt słabe działanie silnika hamującego nie uruchamia prymitywnej automatyki statku i uniemożliwia oddzielenie okrągłej kapsuły lądującej od reszty statku. Na szczęście po wejściu w gęstsze warstwy atmosfery wirowanie ustaje, a fatalny przewód ulega przepaleniu i oba człony odłączają się. Kapsuła lądująca straszliwie nagrzewa się, Gagarin widzi, jak po iluminatorze płyną strużki stopionego metalu z zewnętrznej powłoki kapsuły, ale w środku temperatura jest znośna.

Na wysokości 7 km nad Ziemią Gagarin odpala system katapultujący – statek nie ma przecież możliwości miękkiego lądowania. Kapsuła i kosmonauta opadają oddzielnie, na spadochronach. Ale w kombinezonie Gagarina zacina się zawór, który teraz, pod odłączeniu od pokładowej klimatyzacji, ma wpuszczać do kombinezonu świeże powietrze. Kosmonauta dusi się, zaczyna tracić przytomność. Na szczęście na niższej wysokości, gdzie ciśnienie atmosferyczne jest wyższe, zawór uruchamia się.

To nie koniec kłopotów. Zmiana trajektorii lotu spowodowała, że Gagarin zamiast wylądować 110 km od Stalingradu, opada niedaleko miasta Engels w obwodzie saratowskim. Co gorsza, leci prosto w wody Wołgi. Jeśli spadnie do rzeki, utonie. Na szczęście Gagarin jest doskonale wyszkolonym spadochroniarzem i manipulując linkami sterującymi, oddala się o 1,5 km od Wołgi.

108 minut po starcie opada na ziemię.

Odpina spadochron, zdejmuje hełm. Widzi biegnącą ku niemu kobietę z małą dziewczynką. To żona tutejszego leśnika Anna Timofiejewna Tachtarowa ze swoją 6-letnią wnuczką Ritą. Kobieta biegnie coraz wolniej, wreszcie na widok dziwnego jaskrawopomarańczowgo kombinezonu staje w miejscu i najwyraźniej chce uciekać.

– Swój, towarzyszko, swój – woła Gagarin.

Wczesnym wieczorem ulicami Moskwy idą rozentuzjazmowane tłumy. Nad ich głowami powiewa mnóstwo zaimprowizowanych plakatów i transparentów – na przygotowanie oficjalnych, zatwierdzonych przez władze, zabrakło czasu.

Jeden z moskwian dźwiga wielki plakat z dykty: „*Wsie w kosmos!*" (Wszyscy w Kosmos!).

Nikt się nie dziwi.

Jurij Gagarin przed wylotem w kosmos

13 kwietnia 1931 ▪ poniedziałek

Spalone na panewce

Krótko przed 11.00 w drzwiach wypełnionej szczelnie publicznością największej sali rozpraw VIII Wydziału Karnego Sądu Okręgowego w Warszawie pojawiają się policjanci. Funkcjonariusze prowadzą łysawego mężczyznę koło czterdziestki. Podsądny wygląda odstręczająco: przerzedzone blond włosy ma zaczesane w dziwaczny ząbek, nalana, niesympatyczna twarz nieustannie wykrzywiona jest w osobliwym grymasie ni to pogardy, ni to oburzenia. Ale najbardziej niesamowite są jego oczy: jedno nieruchome, jakby martwe, patrzy na wprost, drugie zaś, skierowane w bok, co chwila

kurczy się w nerwowych tikach. Prowadzony przez policjantów mężczyzna odziany jest w niechlujny tabaczkowy garnitur i niepasujcy do niego granatowy krawat.

To Jan Polański, sprawca zamachu bombowego na sowieckie poselstwo w Warszawie.

26 kwietnia zeszłego roku na 11. komisariacie policji państwowej zjawił się Wincenty Kaczyński, pomocnik dozorcy domu przy Poznańskiej 17. Kaczyński poinformował policjantów o osobliwym odkryciu – z 4. piętra klatki schodowej jego kamienicy biegnie drut do wnętrza jednego z kominów przyległego budynku nr 15, w którym mieści się poselstwo Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Na Poznańską niezwłocznie udali się nadkomisarz Jan Androchowicz, starszy przodownik Skrzypkowski i przodownik Słomczyński. Gdy przed kamienicę dotarli także sędzia śledczy, prokurator i komisarz rządu – rzecz przecież dotyczyła przedstawicielstwa obcego państwa – policjanci wkroczyli do kamienicy nr 17. Na ostatnim półpiętrze odkryli leżący tuż obok wejścia na strych zwój przewodu elektrycznego. Jeden jego koniec przerzucony był przez barierkę schodów, drugi zaś biegł do dymnika i dalej, na dach. Gdy policjanci weszli na dach, za dymnikiem odkryli drewnianą skrzynkę stojącą na desce. Przewód niknął w skrzynce, wychodził z jej drugiego końca i niknął w jednym z kominów kamienicy nr 15. Z komina tego wystawał także koniec mocnego konopnego sznura.

We wnętrzu skrzynki policjanci odkryli mechanizm zegarowy.

Podejrzewając, że w środku komina może znajdować się bomba, nadkomisarz Androchowicz wezwał pirotechnika ze szkoły zbrojmistrzów w warszawskiej Cytadeli.

Pirotechnik wyciągnął parę metrów sznura i poczuł, że na końcu znajduje się duży ciężar. Jednak po chwili sznur zerwał się

i tajemniczy ciężar runął na dno przewodu kominowego.

Policjanci przestudiowali plan kamienicy nr 15 i w kotłowni sowieckiego poselstwa rozkuli ścianę, za którą powinno znajdować się dno przewodu kominowego. Trafili bezbłędnie – na dnie znaleźli cylindryczną stalową butlę ważącą 15 kg. W jej wnętrzu pirotechnik znalazł czarny proch strzelniczy i zapalnik elektryczny zbudowany z 2 porcelanowych rurek.

Dalsze badania pirotechniczne wykazały, że bombę skonstruowano tak nieudolnie, że nie mogła eksplodować.

Śledztwo początkowo tkwiło w miejscu. Nikt nie widział sprawców. W ogóle mieszkańcy kamienicy nr 17 nie dostrzegli w kwietniu niczego niepokojącego ani osobliwego. Przełomem okazał się niepozorny dębowy kijek znaleziony na dachu oficyny budynku nr 17. Mógł go tam rzucić każdy, ale policjantów zainteresował jego nietypowy kształt – kijek miał przekrój kwadratu. Takich kijków używają introligatorzy; nazywają je szpaltami. Wywiadowcy przesłuchujący właścicieli zakładów introligatorskich ustalili, że krótko przed Wielkanocą do pracowni introligatora Rudolfa Zallbacha przy Pięknej zgłosił się jakiś mężczyzna, który prosił o wynajęcie mu pokoju. W nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę nieznajomy wrócił do pracowni ze zwojem drutu elektrycznego i poprosił o jakiś kijek, by drut nań nawinąć. Zallbach dał mu starą szpaltę introligatorską. Przy nawijaniu drutu mężczyźnie pomagał sublokator introligatora.

W Niedzielę Wielkanocną o 9.00 nieznajomy wyszedł ze sporą walizką i więcej się u Zallbacha nie pojawił.

Śledztwo ruszyło z kopyta. Policja szybko ustaliła, że nieznajomym lokatorem był Jan Polański, ostatnio zamieszkały w Grodnie. Był tam nauczycielem języka niemieckiego i agronomii, ale życiorys miał dużo barwniejszy. W czasie I wojny światowej

dosłużył się w armii austriackiej stopnia kapitana artylerii. Walczył pod gen. Tadeuszem Rozwadowskim. W 1918 roku zdezerterował wraz z dowodzoną przez siebie baterią i przeszedł na stronę bolszewików. W walkach przeciw oddziałom austriackim został wzięty do niewoli. Jako dezerter osadzony został w twierdzy. Koniec wojny przyniósł mu wolność. Polański ożenił się z poznaną w Grazu Polką, katoliczką, którą po ślubie nakłonił do przyjęcia prawosławia. O żonę ani o dziecko nie troszczył się jednak. Po otwarciu sowieckiego poselstwa we Wiedniu Polański nieoczekiwanie objawił się w nim jako *attaché* wojskowy ZSRR. Jego status dyplomatyczny musiał być jednak niejasny, gdyż w 1923 roku władze austriackie na mocy dekretu repatriacyjnego odesłały Polańskich do sowieckiej Rosji. Stamtąd dwukrotnie przedostawali się oni przez zieloną granicę do Polski. W marcu 1924 roku polskie władze aresztowały Polańskiego pod zarzutem działalności szpiegowskiej. Niewiele jednak mogły mu udowodnić i po odsiedzeniu 13 miesięcy za kratkami, lecz bez wyroku, wyszedł na wolność.

W trakcie śledztwa policja ustaliła, w których sklepach w Grodnie Polański kupował skrzynkę drewnianą znalezioną na dachu sowieckiego poselstwa, kabel elektryczny, mechanizm zegarowy. Tylko samego zamachowca nie można było odszukać.

Wytropiono go w końcu w Jugosławii. Sąd w Belgradzie przychylił się do wniosku ekstradycyjnego polskiego sędziego śledczego ds. szczególnej wagi. Polański został odesłany do Warszawy i stanął przed sądem.

Prokurator domaga się zastosowania w jego przypadku artykułu 15 przepisów przechodnich, który w wypadkach szczególnych pozwala sądowi na wymierzenie kary śmierci.

Oskarżony od pierwszego dnia procesu zachowywał się dziwnie. Najpierw usiłował zebrać do swej obrony zespół 12 najlepszych polskich adwokatów. Nikt nie miał pojęcia, po co mu – w skądinąd dowodowo nieskomplikowanej sprawie – aż tak wielki zespół obrońców ani co ciekawsze, kto miałby zapłacić honoraria tuzina adwokackich sław. Bo chyba nie prowincjonalny nauczyciel ze swej głodowej pensji?

Ostatecznie oskarżony zdecydował się skorzystać z usług znanych obrońców, braci Ostrowskich. Plotka niosła, że obiecali go bronić za darmo.

Sensacją pierwszego dnia procesu był wniosek obrońców o umorzenie sprawy. Dowodzili oni, że Polański nie jest obywatelem polskim, zaś wniosek ekstradycyjny wyraźnie stwierdzał, że nim jest. Zatem urzędowy wniosek zawierał nieprawdę, nie mówiąc już o tym, że żądanie polskich władz, by wydano im obywatela państwa trzeciego, jest po prostu nieporozumieniem.

Oskarżyciel wiceprokurator sądu apelacyjnego Jerzy Nisenson dowodził jednak, że niezawisły sąd jugosłowiański zgodził się z argumentacją strony polskiej, a poza tym sam oskarżony aż do rozpoczęcia procesu nie zgłaszał żadnych formalnych zastrzeżeń ani protestów. Sąd wniosek obrony odrzucił.

3 dni procesu nie zanudziły publiczności. Zadbał o to sam oskarżony. Na pytania oskarżyciela dawał odpowiedzi mętne i zazwyczaj sprzeczne. Nie potrafił wyjaśnić, skąd wziął pieniądze na nielegalny zakup czarnego prochu użytego w bombie, z czego zapłacił za zrobienie metalowego korpusu bomby, za kupno kabla, mechanizmu zegarowego i innych sprzętów. Plątał się w zeznaniach, gdy przyszło mu odpowiedzieć na pytanie, jakiego jest wyznania. Zaprzeczył, by był sowieckim *attaché* wojskowym w Wiedniu –

utrzymywał, że jedynie prowadził sprawy prasowe poselstwa ZSRR.

W długich tyradach przekonywał, że do ZSRR wyjechał, chcąc jedynie przeprowadzić naoczne studia nad komunizmem. Przebywając krótko w ZSRR, przejrzał na oczy i pojął, że jest to ideologia zbrodnicza. Zamach miał być wedle niego tylko demonstracją, protestem przeciw zbrodniom bolszewików.

– Jako chrześcijanin nie mógłbym swą bombą zabić ludzi, w ten sposób stałbym się taki jak komuniści – deklarował Polański.

Najczęściej jednak, obładowany grubymi plikami notatek, odczytywał z nich długie, niezborne tyrady o wartościach humanistycznych i komunistycznym nihilizmie. Ani sędzia, ani obrońcy nie byli w stanie przywołać go do porządku. Nieraz zresztą Polański, ku uciesze sali, głośno rugał swych adwokatów.

Teraz też publiczność z rozbawieniem obserwuje, jak oskarżony rozkłada przed sobą pliki kartek. Zapowiada się niezły spektakl.

Wchodzi trybunał: przewodniczący Jan Kozakowski oraz sędziowie Posemkiewicz i Rykaczewski.

O 11.00 przemówienie zaczyna prokurator Nisenson. Precyzyjnie obala wyjaśnienia oskarżonego. Zamach nie był – jak chce Polański – demonstracją wyższości kultury chrześcijańskiej nad bolszewicką, bo każdy, kto bombę znalazłby, musiał pomyśleć, iż nie wybuchła ona wskutek usterki technicznej, a nie z powodu moralnego przesłania zamachowca, dowodzi Nisenson. Prokurator domaga się najwyższej kary.

Widzowie na sali szepcą, że zamach z użyciem niewybuchającej bomby mógł być prowokacją sowiecką obliczoną na skompromitowanie rosyjskiej emigracji w Polsce. Nikt bowiem nie potrafi wiarygodnie wyjaśnić, jakim cudem kapitan artylerii nie był w stanie skonstruować sprawnej technicznie bomby.

Teraz czas na adwokatów. Obaj obrońcy przekonują, że oskarżony chciał jedynie wstrząsnąć sumieniem świata, obojętnego, że w moskiewskich piwnicach giną niewinne ofiary komunistycznego terroru. Publiczność ziewa.

Po replikach stron do głosu dochodzi oskarżony. W swoim ostatnim słowie, jak było do przewidzenia, krytykuje biegłych sądowych, prokuratora, sędziów, w końcu nawet swoich obrońców. Opowiada o sowieckim terrorze, o wartościach chrześcijańskich, o duchach, życiu pozagrobowym, przedstawia się jako patriota całej ludzkości, cytuje księgi święte i całkiem zwyczajne, nikomu na sali nieznane rozprawy. Sędzia Kozakowski, ratując się przed zaśnięciem zarządza przerwę. Ale potem niestrudzony Polański nadal opowiada swoje koszałki-opałki. Ani sąd, ani obrona nie są w stanie mu przerwać. Dopiero gdy oskarżony nieuważnym ruchem rozsypuje na podłodze stos swoich notatek, milknie i schyla się po kartki, sędzia Kozakowski przytomnie ogłasza koniec jego wystąpienia. Protesty Polańskiego nie zdają się na nic.

Po króciutkiej naradzie sąd ogłasza wyrok: 10 lat ciężkiego więzienia.

Sędzia jeszcze czyta uzasadnienie, gdy Polański nieoczekiwanie wyrywa zza poły marynarki spory drewniany krzyż. Błogosławi nim sąd i publiczność, krzycząc:

– Oby Pan Bóg strzegł was i świat cały od krwawych katów!

Osłupiali widzowie czym prędzej zmykają z sali.

14 kwietnia 1865 ▪ piątek

Już jutro zwyciężymy

Prezydent Stanów Zjednoczonych Abraham Lincoln budzi się w swej sypialni w Białym Domu grubo przed 6.00. Jest Wielki Piątek. Lincoln wstaje z łóżka w doskonałym humorze – tej nocy wreszcie przestały dręczyć go koszmary senne, nie zamęczał się też sam myślami o uporządkowaniu kraju po zakończeniu wojny domowej. Śniło mu się, że stoi na pokładzie widmowego statku, który płynie szybko ku nieznanemu lądowi. Ta wizja przychodziła doń nocami już kilkakrotnie – za każdym razem w przeddzień ważnych wydarzeń związanych z wojną.

Lincoln schodzi na parter. Dzień zapowiada się piękny, ale o tej porze jest chłodno. Prezydent rozpala ogień w kominku, przegląda papiery, wydaje pełniącemu obowiązki sekretarza stanu Frederickowi Sewardowi polecenie zwołania posiedzenia rządu na godzinę 11.00.

O 8.00 Lincoln siada do śniadania z żoną Mary. Jak zawsze w domu Lincolnów jest ono skromne. W trakcie posiłku do Białego Domu przybywa syn prezydenta Robert. Służy na froncie w sztabie gen. Granta. Robert z zapałem opowiada rodzicom, że przed paru dniami stał na ganku domu, w którym najlepszy dowódca konfederatów gen. Lee podpisywał akt kapitulacji. Lincoln jest wniebowzięty. Wojna secesyjna wybuchła przed 5 laty po wybraniu go na prezydenta. Stany południowe wyboru tego nie uznały i ogłosiły secesję. Teraz, bo bezprecedensowo bezwzględnych, krwawych zmaganiach, Północ lada dzień osiągnie ostateczne, bezwarunkowe zwycięstwo.

Prezydent gawędzi z synem o przyszłości po wojnie. Nalega, by Robert ukończył prawo na Harvardzie i odbył aplikację.

–Wtedy będziemy mogli wspólnie stwierdzić, czy będzie z ciebie prawnik czy nie – oznajmia patriarchalnie ojciec. Sam jest wybitnym prawnikiem.

Po śniadaniu Lincoln przyjmuje w Białym Domu interesantów. Przychodzą jak chcą, rezydencji prezydenta bowiem nie strzeże nikt. Dopiero od niedawna sekretarz wojny Edwin Stanton, który uporczywie przestrzega Lincolna przed możliwością zamachu na jego życie, postawił na warcie przed Białym Domem 2 żołnierzy i powołał 4 cywilnych agentów ochrony prezydenta. Ale i tak do Białego Domu wchodzi każdy, kto chce.

Po 10.00 prezydent idzie spacerkiem do Ministerstwa Wojny. Ma nadzieję, że nadeszły tam wreszcie depesze o kapitulacji gen. Josepha Johnstone'a, dowódcy ostatniej już armii Południa walczącej w Karolinie Północnej. Ale dobrych wieści w ministerstwie ciągle nie ma.

Lincoln jest straszliwie wyczerpany fizycznie intensywną pracą w latach wojny. Zdarzało mu się już z powodu znużenia zwoływać poranne narady gabinetu u swego łóżka w Białym Domu. Teraz korzysta z okazji do złapania oddechu i wolnym krokiem wraca do prezydenckiej rezydencji. Rozkoszuje się widokiem kwitnących dereni.

O 11.00 zaczyna się posiedzenie gabinetu. Na początku gen. Grant przedstawia swe ostatnie walki z armią konfederatów gen. Lee. Opisuje przebieg kapitulacji gen. Lee i zapowiada, że gen. Johnston musi skapitulować lata dzień. Lincoln jest w doskonałym nastroju, opowiada gen. Grantowi o swym śnie ze statkiem i wyjaśnia, że już parę razy poprzedzał on wyjątkowo pomyślne wieści.

Wreszcie zaczyna się to, co w tych dniach najważniejsze – dyskusja, jak potraktować pokonane Południe. Członkowie gabinetu mają w tej sprawie wyrobioną opinię, dali jej zresztą wyraz w nieformalnych rozmowach przed posiedzeniem, gdy Lincoln spacerkiem wracał z Ministerstwa Wojny. Wedle niewielkiej części z nich Południe powinno być poddane surowej

kontroli Północy, trzeba złamać jego ducha oporu, nieledwie upokorzyć. Nawet większość z obecnych, która opowiada się za przyjazną współpracą z południowcami, chce jednak osądzić przywódców Konfederacji. Ale Lincoln samotnie stawia czoła nastrojom swych współpracowników. Nieoczekiwanie wygłasza pochwałę głównego, pokonanego przeciwnika – gen. Lee. Chwali także jego żołnierzy, że dzielnie walczyli za sprawę, w którą wierzyli.

– Mam nadzieję, że nie będzie prześladowania i krwawych rozpraw po zakończeniu wojny. Niech nikt nie oczekuje ode mnie brania udziału w wieszaniu i zabijaniu, nawet najgorszych z tych ludzi. Wystraszcie ich z kraju, otwórzcie bramy, wypłoszcie ich – wzywa prezydent, machając przy tym mocno rękami, jak farmer przeganiający w obejściu domowe ptactwo.

Sekretarz Stanton przedstawia projekt rozciągnięcia restrykcyjnej władzy nad pokonanymi stanami Południa. Lincoln, który uważa, że tylko pod osłoną wojskowej okupacji można wprowadzić i utrwalić na Południu nowy, zgodny z wartościami zwycięskiej Północy porządek, omawia każdy punkt projektu Stantona, mogący niepotrzebnie zadrażniać stosunki z mieszkaniami stanów dawnej Konfederacji.

Wreszcie dochodzi do trudnej rozmowy z gen. Grantem. Lincoln wybiera się dziś wieczorem z żoną Mary do teatru Forda na spektakl angielskiej komedii *Our American Cousin* (Nasz amerykański kuzyn), ze słynną brytyjską aktorką Laurą Keene. Do prezydenckiej loży zaprosił gen. Granta i jego żonę Julię. Poinformowały o tym już waszyngtońskie gazety. Tymczasem niedawno Mary Lincoln ciężko obraziła panią Grant. W City Point, w obecności licznych oficerów, krzyczała na żonę wybitnego dowódcy, że ta zamierza podstępnie zamieszkać w Białym Domu.

Mary Lincoln nie chodziło przy tym o prezydenckie ambicje gen. Granta, ale o wyimaginowany romans Julii Grant ze swym mężem. Lincolnowie stracili na froncie syna Williama; od tego czasu Mary ma ogromne kłopoty emocjonalne: popada w depresję, ulega atakom chorobliwej zazdrości. Abraham znosi to wszystko z wielką wyrozumiałością i pogodą ducha.

Gen. Grant też stara się zachować dystans. Po posiedzeniu przeprasza prezydenta, ale zamierzał z żoną odwiedzić mieszkających w New Jersey synów, zatem musi wyjechać jeszcze dziś, wczesnym popołudniem. Lincoln z kamienną twarzą przyjmuje tę dyplomatyczną wymówkę.

Przy lunchu jednak, trochę już do pomysłu z teatrem zniechęcony, namawia żonę, by zostali w Białym Domu. Mary upiera się, że skoro ogłoszono ich wizytę w gazetach, trzeba jechać. Oboje zastanawiają się, kogo zaprosić do towarzystwa. W końcu wybierają znanego im wojskowego mjr. Henry'ego Rathbone'a i jego śliczną narzeczoną Clarę Harris, córkę senatora z Nowego Jorku.

Prezydent wraca do gabinetu. Podpisuje akty łaski, odroczenia wyroków więzienia. Do gabinetu wciskają się liczni interesanci. Wreszcie Lincoln wychodzi do Mary. Na korytarzu spotyka żonę dyrektora teatru Groovera, która zaprasza go dziś wieczorem na spektakl *Aladyna*. Prezydent wyjaśnia, że już zaplanował wyjście do Teatru Forda.

O 17.00 Abraham i Mary wyjeżdżają powozem na przejażdżkę. Mimo nawału pracy Lincoln stara się poświęcać żonie jak najwięcej czasu, by wróciła do równowagi. Jadą przytuleni. Rozmawiają o czekających ich jeszcze ponad 3 latach prezydentury. Lincoln opowiada jej o swych marzeniach na czas po wojnie: o podróży do Europy, do Jerozolimy, potem do Kalifornii, wreszcie o przyszłym

powrocie do praktyki adwokackiej w Springfield albo w Chicago. Na kolację wracają do Białego Domu.

Wieczorem prezydent w towarzystwie przydzielonego mu do ochrony detektywa Crooka idzie do Ministerstwa Wojny. Ale wieści o kapitulacji gen. Jacksona ciągle nie ma. Oficerowie pocieszają Lincolna – zwycięstwo jest tuż-tuż, może to będzie nawet jutro. Gdy obaj wracają do Białego Domu, Crook prosi prezydenta, by nie szedł dziś do teatru. To zbyt niebezpieczne. Lincoln zbywa go. Crook proponuje, że pójdzie z państwem Lincolnami i będzie ich strzegł w loży teatralnej. Prezydent dziękuje, ale odmawia.

– Miał pan ciężki dzień i musi pan iść do domu – mówi.

W tym czasie, w leżącym blisko Teatru Forda pensjonacie Mary Surratt, aktor John Wilkes Booth, zagorzały zwolennik Konfederacji, spotyka się z kilkoma uczestnikami założonego przez siebie spisku. Do niedawna planował porwanie Lincolna, wywiezienie go na Południe i wymianę za wszystkich jeńców wojennych wziętych przez wojska Unii, teraz jednak zamierza prezydenta zabić. Booth rozdziela zadania swoim towarzyszom – mają oni zlikwidować dwóch wysokich urzędników Unii, w tym sekretarza stanu Sewarda, sam zaś zamierza w teatrze zastrzelić Lincolna, a nożem pchnąć śmiertelnie gen. Granta. Już wcześniej potajemnie wywiercił w drzwiach loży prezydenckiej malutki otwór do podpatrywania z korytarza, czy nie ma w niej ochrony.

Państwo Lincoln docierają do Teatru Forda z opóźnieniem, o 20.30. Wyruszyli zbyt późno, a musieli jeszcze pojechać po mjr. Rathbone'a i pannę Harris. Abraham ma na sobie czarny płaszcz i białe skórkowe rękawiczki, Mary – szarą jedwabną suknię i szary czepek. Woźnica i lokaj zostają w prezydenckim powozie.

Państwo Lincoln i towarzysząca im para wkraczają do rzęsiście oświetlonego gmachu teatru, krętymi schodami wchodzą na piętro

i pojawiają się w loży prezydenckiej. Przed lożą czeka na nich przydzielony do ochrony policjant John Parker. Waszyngtońska policja chciała się go pozbyć z powodu pijaństwa i zaniedbywania obowiązków. Bałagan w biurokracji policyjnej i prezydenckiej sprawił, że Parker zamiast na bruk trafił do ochrony Lincolna. Już fakt, że przyszedł prosto do teatru, zamiast jechać z prezydentem z Białego Domu, jest poważnym zaniedbaniem.

Gdy prezydent zjawia się na balkonie, aktorzy przerywają spektakl, widownia – waszyngtońska elita i generalicja Unii – wstaje z miejsc, a orkiestra gra *Hail to the Chief*. Prezydent i reszta jego towarzystwa za tylnym rzędem krzeseł przechodzą do loży prezydenckiej, której balustrada znajduje się zaledwie 3 nad skrajem sceny. Lincoln zasiada w fotelu bujanym, specjalnie dostarczonym dlań przez dyrekcję teatru. Spektakl rusza dalej. Grający główną rolę męską aktor Harry Hawk improwizuje:

–To przypomina mi pewną historię, jak powiedziałby pan Lincoln.

Widzowie biją brawo.

Angielska farsa podoba się państwu Lincolnom. Abraham nie bije braw, ale co rusz wybucha śmiechem. Mary, odprężona, zadowolona, wspiera się na jego kolanie, coś szepce mu o sztuce do ucha.

Na korytarzyku na piętrze pojawia się John Booth. Konia zostawił w uliczce obok teatru. Ma buty do jazdy z ostrogami, na głowie wielki czarny kapelusz. Agenta Parkera nie ma przed drzwiami loży – słysząc śmiechy na widowni, zszedł na parter, by też zobaczyć tak zabawną komedię. Nieopodal drzwi siedzi tylko stangret prezydenta Forbes. Ale to prosty człowiek, gdy Booth wręcza mu swą wizytówkę aktora, przepuszcza go bez słowa. Booth dyskretnie zagląda do loży przez wywierconą dziurkę. Gdy na

scenie grany przez Hawka tytułowy amerykański kuzyn, a przy tym zalotnik, zostaje zdemaskowany jako osoba niezamożna, widownia zamiera w napięciu. Booth, który czekał na ten moment, wślizguje się do loży. Do tyłu głowy prezydenta, tuż za lewym uchem, niemal przykłada jednostrzałowy pistolet Philadelphia Deringer. Huk wystrzału, kłąb dymu. Trafienie w głowę rzuca Lincolna na balustradę. Mjr Rathbone rzuca się na Bootha, ale ten wyciąga myśliwski nóż i tnie oficera w ramię, aż do kości. Potem zamachowiec wspina się na barierkę i skacze na scenę. To jego plan, tak właśnie ma uniknąć ryzyka zablokowania w wąskim korytarzyku i schodach przez kogoś z widowni na parterze. Booth jest fantastycznie sprawny fizycznie, taki sus to dla niego nic, ale skacząc, zawadza ostrogą o jedną z flag, jakimi udekorowana jest loża prezydencka. Łamie lewą nogę, przewraca się na scenie. Mimo bólu zrywa się z nożem w ręku i woła histerycznie:

– *Sic semper tyrannis!* [Taki los zawsze czeka tyranów!] – to oficjalne hasło stanu Wirginia.

Widownia zna Bootha, to bardzo popularny aktor. Jego dziwaczny strój i ten skok sprawiają, że wszyscy są przekonani, iż wszystko to, łącznie ze strzałem, to część spektaklu, improwizacja na cześć prezydenta. Dopiero histeryczny krzyk panny Harris i rannego mjr. Rathbone'a alarmuje widzów.

Booth, utykając, wybiega z teatru, wsiada na konia i odjeżdża.

„Prezydent został postrzelony!" Na ten krzyk widownia wpada w panikę i rzuca się do ucieczki. Tylko nieliczni zachowują zimną krew. Ze sceny Laura Keene z brytyjskim opanowaniem woła:

– Na miłość boską, zachowajcie przytomność umysłu, zostańcie na miejscach!

Młody lekarz wojskowy Charles Leale wpada do loży prezydenckiej. Układa nieprzytomnego, niedającego znaku życia

Lincolna na podłodze. Kula przeszła przez mózg i utkwiła nad prawym okiem. Leale usuwa z rany skrzep krwi, by zmniejszyć obrzęk mózgu. Lekarz nie wyczuwa pulsu, otwiera usta Lincolna i zaczyna sztuczne oddychanie. Do loży wbiega jeszcze jeden lekarz, Charles Taft. Leale poleca mu podnosić i opuszczać ramiona rannego, sam rytmicznie ugniata mostek. Ranny zaczyna oddychać, ale puls ma niemiarowy. Jest nieprzytomny.

Dr Leale sprzeciwia się przewiezieniu rannego do szpitala – to mogłoby go zabić. Obecni w loży przenoszą prezydenta przez ulicę do skromnego domu Petersona naprzeciw teatru. Układają go w skromniutkim, sublokatorskim pokoiku, na łóżku z baldachimem. Na wieść o zamachu do domu Petersona przybywają coraz liczniej urzędnicy i oficerowie. W mieście zaczyna się panika, szerzą się plotki o zamordowaniu gen. Granta i rychłych zamachach na resztę wybitnych polityków Unii. Obecni w pokoju u łoża konającego Lincolna dygnitarze tracą głowy, szlochają. Tylko sekretarz wojny Stanton, który tak usilnie ostrzegał Lincolna przed groźbą zamachu, zachowuje zimną krew. W sąsiednim pokoju, w asyście sędziego federalnego, osobiście przesłuchuje świadków zamachu. Wszyscy rozpoznali w zamachowcu Bootha. Stanton natychmiast zarządza stan wyjątkowy w Waszyngtonie i wielką obławę na Bootha.

Lekarze co 0,5 godziny wydają komunikaty o stanie zdrowia prezydenta. Odczytywane są wielkiemu tłumowi czuwającemu przed domem Petersona.

O 7.22 nad ranem Abraham Lincoln umiera.

Zamach na Abrahama Lincolna

15 kwietnia 1912 ▪ poniedziałek

Koniec w starym dobrym stylu

20 minut przed północą delikatny wstrząs, potem krótki, niezbyt głośny dźwięk, przypominający piłowanie metalu, uświadamiają 2 marynarzom na stanowiskach obserwacyjnych, że „Titanic", jeden z największych, a na pewno najbardziej luksusowy transatlantyk z 1320 pasażerami i 890 członkami załogi na pokładzie, zderzył się z górą lodową. Gigantyczna góra z 2 szczytami rozpruła bok statku na długości kilkudziesięciu metrów. Żaden z będących na służbie

oficerów i marynarzy nie podejrzewa nawet, że „Titanicowi" mogłoby grozić coś poważniejszego.

Kapelmistrz orkiestry pokładowej 33-letni skrzypek Wallace Hartley orientuje się, że zdarzyło się coś niezwykłego. 8-osobowa orkiestra nie jest częścią załogi liniowca. Na zamówienie armatora „Titanica" skompletowała ją firma Black z Liverpoolu z najlepszych muzyków, grających na innych wielkich statkach pasażerskich i w brytyjskich pubach. Każdy z muzyków zna na pamięć 350 utworów z oficjalnego śpiewnika *White Star Line*. Na „Titanicu" orkiestra rzadko grywa w pełnym składzie. Zwykle występowała podzielona na kwintet pod batutą Hartleya i na trio w składzie: fortepian, wiolonczela i skrzypce. Kwintet grywał w porze podwieczorku, po kolacji i podczas nabożeństwa w pomieszczeniach I klasy, zaś do obowiązków tria należało występowanie w salonie obok Café Parisien oraz w jadalni II klasy. Wieczorami muzycy zamieniali marynarki niebieskie na białe i w rozmaitych składach dawali recitale w palmiarni i w salonach.

Hartley, szykujący się wraz z innymi muzykami do snu w nieoznakowanej kabinie w rufowej części pokładu E, w której zakwaterowana jest orkiestra, wychodzi na wyższe pokłady, by rozeznać się w sytuacji. Stewardzi, pukający do drzwi kabin i wzywający do wyjścia na pokład, nie pozostawiają wątpliwości, że stało się coś niepokojącego. Kapelmistrz pamięta o swoich obowiązkach – ma dbać o dobry nastrój pasażerów. Wraca pędem na dół, do kabiny muzyków. Po chwili wszyscy, w wizytowych marynarkach, wybiegają z instrumentami na korytarz pokładu E i biegną na górę.

20 minut po północy kpt. Edward John Smith kończy inspekcję statku. Już wie, że „Titanic" musi zatonąć. Stary, doświadczony kapitan jest załamany. Podobnie jak konstruktorzy statku, jego

budowniczowie, cała załoga i wszyscy pasażerowie, był przekonany, że „Titanic" jest niezatapialny. Wie, że miejsc w szalupach nie starczy nawet dla połowy ludzi na pokładzie. Gdy zawiodła najnowsza technika, kapitanowi pozostaje liczyć na poczucie honoru i obowiązku oficerów i marynarzy. I na zdolność do poświęceń oraz stoicki spokój w obliczu śmierci pasażerów wychowanych w ideałach epoki edwardiańskiej.

Mjr Arthur Peuchen, przedsiębiorca z Toronto, po krótkim rekonesansie przeprowadzonym na górnych pokładach wraca do swej kabiny. Ubiera się starannie, wciągając kilka warstw ciepłych ubrań. Ostatni raz rzuca okiem na małą cynową szkatułkę leżącą na stoliku. Spoczywa w niej bajeczna fortuna: 200 tys. dolarów w obligacjach i 100 tys. w uprzywilejowanych akcjach. Major szkatułkę zostawia na stoliku; zabiera ze sobą 3 pomarańcze.

Najbogatszy pasażer na pokładzie „Titanica", 48-letni płk John Jacob Astor, którego osobisty majątek szacowany jest na 100 mln dolarów, nie opuszcza swej 18-letniej ciężarnej żony. Zabiera ją z lodowatego zimna pokładu szalupowego do sali gimnastycznej. Oboje siadają na koniu gimnastycznym. By odwrócić jej uwagę od niepokojących przygotowań do opuszczenia statku, wyjmuje z kieszeni scyzoryk, rozcina swoją kamizelkę ratunkową i pokazuje, co jest w środku.

Na pokładzie szalupowym pani Vera Dick z ociąganiem wkłada kamizelkę. Widząc to, nieznajomy dżentelmen z uprzejmym uśmiechem zachęca ją: „Proszę, niech pani przymierzy – to ostatni krzyk mody! Wszyscy to noszą". Potem pomaga wiązać taśmy.

Kpt. Smith wydaje rozkaz, by w eter wysłać wezwanie pomocy. Parę minut później, na żądanie II oficera Charlesa Lightollera, zezwala na załadowanie kobiet i dzieci do łodzi ratunkowych i opuszczenie ich na wodę. Ale nikt nie kwapi się do zimnych,

odkrytych łodzi – rzęsiście oświetlony „Titanic" stoi spokojnie na gładkim jak stół oceanie i tłumy pasażerów na górnych pokładach nie wierzą, że coś serio mogłoby mu zagrażać.

Muzycy pod wodzą Wallace'a Hartleya rozkładają instrumenty w salonie I klasy. Hartley podaje numer melodii – to żywy, wesoły *ragtime*. Ponad pokładami niosą się takty standardów: *Great Big Beauty Doll*, *Can't You Hear Me, Caroline?*, *Moonlight Bay*.

Po prawej stronie pokładu szalupowego ktoś z tłumu patrzącego na wchodzące do łodzi kobiety woła: „W pierwszej kolejności bierzcie nowożeńców!". Odtąd do kolejnych szalup wpuszczani są także młodzi, którym katastrofa przerwała miodowy miesiąc.

Na dole, w zalewanych w coraz szybszym tempie kotłowniach i maszynowni, trwa zajadła walka o utrzymanie w akcji najważniejszych urządzeń statku. Żaden z palaczy i mechaników nie próbuje uciekać. Z poświęceniem rozrzucają, gaszą paleniska, by zbliżająca się do nich woda nie spowodowała eksplozji, uruchamiają prądnice awaryjne, pompy, wyłączają niepotrzebne już ogromne wentylatory. Marynarze świetnie rozumieją, że gdyby prądnice przestały działać i statek pogrążył się w ciemnościach, wśród pasażerów wybuchłaby katastrofalna w skutkach panika. Gdy wreszcie pęka jedna z grodzi i do kotłowni wdziera się ściana wody, mechanik Harvey woła do kolegów, by uciekali, a sam wraca po drugiego mechanika, Shepherda, który parę chwil wcześniej złamał nogę. Obaj giną w odmętach.

Statek przechyla się na prawą burtę, na dziób. Sternik Rowe wystrzeliwuje białe rakiety – wezwanie pomocy. Teraz pasażerowie pojmują wreszcie, że „Titanic" jest zagrożony. Przy łodziach robi się tłoczno. Mężowie odprowadzają żony do szalup, żegnają je i znikają w tłumie pasażerów na pokładzie. W każdej z opuszczanych łodzi jest jeszcze wiele miejsca, ale mężczyźni pozostają na statku. Pani

Douglas woła z szalupy: „Walter, musisz pójść ze mną!". Mąż odpowiada jej: „Nie, muszę być dżentelmenem", i wraca na pokład.

Chłopcy w wieku szkolnym traktowani są jak mężczyźni – zostają na pokładzie. Kiedy małoletni Alexander Compton słyszy, jak jego matka odmawia wejścia do łodzi z córką Sarą, ale bez niego, prowadzi ją do szalupy nr 14 i strofuje: „Mamo, nie szalej! Ty i Sara wsiadacie do łodzi, ja będę się o siebie martwił sam".

Panowie w najdziwniejszych strojach, w piżamach albo we frakach i kapciach, z galanterią odprowadzają swe żony i znajome do szalup. Ustępują sobie przy tym wzajem miejsca, przepraszają za tłok. Mjr Archibald Butt, doradca wojskowy amerykańskiego prezydenta Tafta, odprowadza do łodzi panią Marie Young, przed laty nauczycielkę muzyki prezydenta Theodora Roosevelta. Usadowiwszy ją, starannie otula kocem, uchyla kapelusza, życzy powodzenia i wraca w tłum na pokładzie.

Dziób „Titanica" pogrąża się coraz głębiej w morzu, powiększa się złowrogi przechył. Wśród tłumów na górnych pokładach narasta niepokój. Kapelmistrz Hartley wyprowadza orkiestrę na pokład, przed salę gimnastyczną, by podnieść pasażerów na duchu. Dalej gra *ragtime*'y, dołącza fokstroty i walce. Pianiści Taylor i Brailey, pozbawieni swoich instrumentów, wybijają obcasami rytm.

Do szalupy nr 8 wchodzi pani Ida Straus. Po chwili rozmyśla się i mówi do stojącego na pokładzie męża Isidora: „Przeżyliśmy razem tyle lat, zostanę z tobą". Ich znajomi, płk Archibald Gracie i Hugh Woolner, namawiają ją, by została w łodzi, ale pani Straus nie zmienia decyzji. Woolner namawia pana Strausa: „Jestem pewien, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że do łodzi wsiądzie jeden starszy dżentelmen". Straus odpowiada z niesmakiem: „Nie wejdę przed innymi mężczyznami". Państwo Straus wracają na

pokład i siadają na leżakach. Trzymając się za ręce, czekają na koniec.

O 1.30 na pokład szalupowy wychodzi amerykański magnat stalowy Benjamin Guggenheim. Po raz pierwszy tej nocy pojawił się tam godzinę temu, w ciepłych swetrach i kamizelce ratunkowej. Na włożenie ich namówił go jeden ze stewardów. Teraz Guggenheim i jego osobisty sekretarz Victor Giglio ubrani są na powrót we fraki, wizytowe koszule, nienagannie zawiązane muszki. Całkowicie spokojny Guggenheim wzywa stewarda Johnsona i prosi o przekazanie wiadomości żonie, która jest już w jednej z szalup: „Skoro w łodziach brak jest miejsc dla kobiet i dzieci, chcę tu zostać i zachować się, jak na mężczyznę przystało. Nie chcę umierać jak bydlę. Żadna kobieta nie może zostać na pokładzie tego statku tylko dlatego, że Ben Guggenheim okazał się tchórzem. Włożyliśmy to, co mamy najlepszego, i jesteśmy przygotowani, aby pójść na dno jak dżentelmeni".

Załoga „Titanica" z zimną krwią wykonuje swoje obowiązki pośród narastającego chaosu. 5 urzędników pocztowych, 2 Anglików i 3 Amerykanów, zalewanych przez wodę przenosi 45-kilogramowe worki z pocztą do kolejnych pomieszczeń. Mimo wezwań do ratowania się przez 2,5 godziny heroicznie walczą o uratowanie poczty i idą na dno razem ze statkiem.

Niektórym z pasażerów puszczają w końcu nerwy: próbują wdzierać się do łodzi. Pilnujący porządku oficerowie brutalnie wywlekają ich na pokład.

O 2.00 w nocy kapelmistrz Hartley zarządza, by członkowie orkiestry włożyli kamizelki i przeszli do wejścia na wielką klatkę schodową. Po odegraniu kilku melodii mówi kolegom, że spełnili obowiązek i mogą już zająć się sobą. Muzycy zostają i grają dalej. Obaj pianiści nie opuszczają ich.

Dziób transatlantyku zanurza się coraz głębiej. 1,5 tys. zdesperowanych ludzi, dla których zabrakło miejsca w łodziach, przesuwa się w stronę rufy. Muzycy wdrapują się na dach sali klubowej I klasy. Hartley stuka smyczkiem w pudło skrzypiec. Orkiestra gra hymn *Nearer My God to Thee* (Bliżej do Ciebie, mój Boże). Jego dźwięki słychać coraz słabiej w huku pękających pod naporem wody grodzi idącego na dno statku.

Katastrofa transatlantyku „Titanic”

16 kwietnia 1925 ▪ czwartek

Komunistyczny Samson

Dochodzi 5.30. W centrum Sofii, stolicy Carstwa Bułgarii, komunista Nikoła Petrow „Wasko” spotyka się z młodym mężczyzną. To Żiwko Dinow, także członek nielegalnej Bułgarskiej Partii Komunistycznej, a przy tym bojowiec komunistycznej Organizacji Wojskowej. Obaj czekają 2 godziny z okładem i wreszcie o 8.00 zjawiają się przed drzwiami prawosławnej katedry Sveta Nedelja (Święta Niedziela). Dzwonnik Petyr Zadgorski czeka na „Waska” już od 7.00. Uchyla drzwi. Przybysze wślizgują się do cerkwi. Zadgorski prowadzi Nikołę Petrowa na strych katedry. Tam, w podstawie zwieńczenia centralnej kolumny cerkwi, podtrzymującej wielką główną kopułę katedry, wzniesioną nad świątynią podczas zaprojektowanej przez architekta Nikołę Łazarowa przebudowy w latach 1898–1901, komunistyczni spiskowcy w ciągu ostatnich 5 miesięcy wykuli otwór, w którym umieścili ładunek wybuchowy o wymiarach 40 na 50 na 60 cm, skomponowany z trotylu i melinitu. Do ładunku wybuchowego prowadzi 5 wolnotlących lontów saperskich o długości 1,5 m każdy. Końce lontów zanurzone są w niewielkim, pustym naczyniu.

Dzwonnik Zadgorski wpuszcza „Waska” na strych. Zamyka za nim drzwi. Potem Zadgorski wyprowadza Żiwko Dinowa na ulicę. Tuż przed eksplozją w katedrze Zadgorski i Petrow mają wybiec ze świątyni, a zadaniem Dinowa jest ukrycie ich w pobliskim konspiracyjnym lokalu partii.

Wszystko gotowe jest do największego zamachu terrorystycznego w historii Europy; zamachu wymyślonego przez dzwonnika Zadgorskiego i przygotowanego z jego udziałem.

Młodość spędził Zadgorski w Rosji – pracował tam przez pierwszych 12 lat XX wieku. Po wybuchu I wojny bałkańskiej w roku 1912 powrócił do Bułgarii i wstąpił ochotniczo do wojska. Po II wojnie bałkańskiej, wywołanej przez Bułgarię i sromotnie przez nią przegranej, sfrustrowany Zadgorski wstąpił do Bułgarskiej Partii Komunistycznej oraz do Cerkwi prawosławnej. Jakoś godził służbę rewolucji proletariackiej i Panu Bogu zarazem, i to przez lata.

Bułgarski doktor Jekyll i pan Hyde skończył ze swą podwójną tożsamością polityczną przed 2 laty, po upadku powstania wrześniowego.

Na początku roku 1923 krajem niepodzielnie rządził Bułgarski Ludowy Związek Chłopski, który popierali drobni rolnicy i dość wątła klasa średnia. Przywódca Związku Chłopskiego, tzw. zemeldelców, Aleksandyr Stambolijski ogłosił agraryzm oficjalną ideologią Bułgarii. Jego rząd zadekretował i bezwzględnie wprowadził w życie radykalną reformę rolną i uprzywilejował chłopstwo. Na wsi budowano na potęgę szkoły, biblioteki, ośrodki ludowej kultury. Przed 2 laty, w kwietniu, zemeldelcy uzyskali w wyborach do Zgromadzenia Narodowego niemal 53 proc. głosów. Ich dominacja na scenie politycznej Bułgarii była tym większa, że prócz nich liczyli się jeszcze tylko komuniści z niespełna 20 proc. głosów – reszta ugrupowań była nic nieznaczącym politycznym planktonem. Oszałamiający sukces wyborczy zemeldelców stał się początkiem ich końca. Bułgarska prawica i armia, z poparciem cara Borysa III, dokonały w czerwcu 1923 roku przewrotu. Partia komunistyczna zachowała wobec przewrotu neutralność, interpretując go karkołomnie jako starcie burżuazji miejskiej

z burżuazją wiejską. Nowy rząd profesora ekonomii Aleksandra Cankowa zrazu tolerował działalność zemeldelców i komunistów, ale w końcu zdelegalizował kompartię. Podżegana przez III Międzynarodówkę – w tym przez personę nr 2 Kominternu, Bułgara Wasyla Kołarowa – Bułgarska Partia Komunistyczna we wrześniu zeszłego roku wywołała wespół z zemeldelcami i anarchistami powstanie antyrządowe. Armia utopiła je we krwi – już po jego upadku żołnierze zamordowali ponad 4 tys. powstańców. Przywódcy powstania – Wasyl Kołarow, Gawrił Genow i Georgi Dymitrow – jeszcze przed jego upadkiem dali nogę do Jugosławii.

Po upadku powstania Petyr Zadgorski oficjalnie opuścił Bułgarską Partię Komunistyczną i oddał się wyłącznie służbie Bogu. Wytrzymał niespełna rok i zaczął spotykać się z partyjnymi kompanami, i gadać o polityce. W grudniu zeszłego roku Zadgorski, wysłuchując żali działacza Frakcji Rewolucyjnej bułgarskiej kompartii Dymitra Hadżidimitrowa „Mitreto", że coraz trudniej jest znaleźć kryjówkę na broń i materiały wybuchowe, zaproponował mu, by partyjny trotyl ukryć na strychu katedry, której jest dzwonnikiem.

Z takim pomysłem nie mógł trafić lepiej.

Po klęsce powstania wrześniowego represje rządu prof. Cankowa rozgromiły Bułgarską Partię Komunistyczną – liczba jej członków spadła z 38 tys. przed wybuchem walk do 25 tys. po upadku powstania. Ale nawet te pozostałe 25 tys. jest w większości zdezorientowane, zastraszone, nastawione na przetrwanie tylko. Ton w nielegalnym ruchu komunistycznym narzuca w tej sytuacji Frakcja Rewolucyjna bułgarskiej partii, także dlatego że kieruje nią charyzmatyczny konspirator o wielkim autorytecie w podziemiu Kosta Jankow. Jego matka była siostrą Rainy Popgeorgijewej z Panagiuriszte, która w kwietniu 1876 roku uszyła legendarny

sztandar powstańcom bułgarskim, walczącym przeciw władzy tureckiej – a powstanie to, choć bestialsko utopione we krwi przez Turków, stało się początkiem odrodzenia państwowości bułgarskiej. Ojciec Kosty Jankowa zginął jako wojewoda macedoński; sam Kosta zaś jest chrześniakiem Dymitra Błagojewa, legendarnego twórcy bułgarskiej partii socjaldemokratycznej, która przed 6 laty przeobraziła się w partię komunistyczną.

Frakcja Rewolucyjna Kosty Jankowa działa bezwzględnie – do lasów wysyła tworzone z członków partii oddziały partyzanckie, w zeszłym zaś roku stworzyła bułgarską wersję sowieckiej Czeka. Bułgarscy czekiści działają w podziemiu, ale równie krwawo jak ich bolszewiccy koledzy u steru sowieckiej władzy. Jaczejka Kosty Jankowa zaczęła od wykonywania, drogą zamachów, rzecz jasna, wyroków sądów partyjnych, ale szybko zajęła się terrorem bez choćby formalnej pieczątki konspiracyjnych komunistycznych sądów.

Jesienią zeszłego roku szefostwo Frakcji Rewolucyjnej postanowiło zadać władzom państwa wielki, decydujący cios – wysadzić elitarny, francuskojęzyczny Union Club w Sofii, miejsce spotkań ministrów, członków Ligi Wojennej, która wsparła prawicowy zamach stanu i rządy prof. Cankowa, generalicji, kulturalnej elity stolicy Bułgarii. Jeden z pracowników personelu klubu był członkiem Frakcji Rewolucyjnej – gdy jednak został zwolniony, sprawa wniesienia materiałów wybuchowych do Union Clubu zaczęła się ślimaczyć, bez widoków na pomyślne zakończenie. W tej sytuacji kierownictwo Frakcji zajęło się planowaniem wysadzenia gmachu parlamentu, w czasie gdy będzie w nim obradować większość parlamentarna popierająca rząd Cankowa. Ale znów – nie ma komu wnieść wielkiej bomby z opóźnionym zapłonem do dobrze strzeżonego budynku.

O wielkim zamachu, likwidującym w potężnej eksplozji całe kierownictwo państwowe Bułgarii, a najlepiej, przy okazji, także kulturalne elity kraju, marzą także odsunięci od władzy ludowcy zamordowanego Aleksandra Stambolijskiego. Ludowcy zamierzają wysadzić świątynię-pomnik: cerkiew św. Aleksandra Newskiego.

Dymitr Hadżidimitrowow „Mitreto", któremu pod koniec ubiegłego roku dzwonnik Zadgorski zaproponował przechowanie trotylu na strychu bazyliki Sveta Nedelja, wie o tajnych przygotowaniach Frakcji Rewolucyjnej do zamachu na Union Club. Z kartezjańską precyzją „Mitreto" dochodzi do wniosku, że skoro trotyl znajdzie się już na strychu cerkwi, to odpalenie go nie powinno być wielkim problemem. A skoro cerkiewny strych jest strychem samej bazyliki, to wyczekanie na moment, w którym na nabożeństwie pojawi się cała elita kraju, nie zajmie wiele czasu. Ot, i przepis na wielki, przełomowy zamach gotowy!

„Mitreto" pod byle pretekstem przekonuje dzwonnika Zadgorskiego, by pokazał strych także koledze. Kolega „Mitreto" to w rzeczywistości szef sofijskiej komórki terrorystycznej Frakcji Rewolucyjnej Petyr Abadżijew.

Po lustracji strychu Abadżijew wydał rozkaz, by natychmiast rozpocząć przygotowania do wielkiego wybuchu.

Przez 4 miesiące, od grudnia zeszłego roku do marca, i Zadgorski, i pomagający mu we wnoszeniu do cerkwi materiałów wybuchowych Asen Pawłow oraz Petyr Abadżijew dźwigają na strych cerkwi trotyl i melinit – w malutkich, niezwracających niczyjej uwagi pakunkach przygotowywanych w zakonspirowanym lokalu partyjnym w pobliżu Swetoj Nedelji. Bułgarska kompartia wyznaje zdrową zasadę, że prócz miłości do proletariatu konspiratorów nieźle motywuje gotówka. Za każdą wniesioną na strych paczuszkę Zadgorski otrzymywał niemałe wynagrodzenie –

1000 lewa. W sumie, za wnoszenie trotylu i melinitu, zarobił 11 tys. lewa. Gotówkę wypłacał mu Marko Fridman, jeden z kasjerów Frakcji Rewolucyjnej. Fridman opłacał, wedle wskazówek Kosty Jankowa, także partyjnych konspiratorów przygotowujących zamach w cerkwi – w sumie wyszło, że każdy z nich, kawalerów, dostał po 3 tys. lewa; żonaci dostawali wypłaty wedle liczby osób w rodzinie. Sam Fridman wypłacał sobie 5 tys. lewa miesięcznie – umiarkowanie, jeśli zważyć, że miesięcznie wydawał konspiratorom przygotowującym zamach 400 tys. Pieniądze te szły ze Związku Radzieckiego do Wiednia, gdzie mieściło się emigracyjne kierownictwo Bułgarskiej Partii Komunistycznej, a stamtąd, przez zieloną granicę, do Sofii.

Terrorysta Abadżijew wyznaje zasadę, że równie skutecznie jak miłość do proletariatu i pieniądze do konspiracji motywuje strach. Dlatego zagroził dzwonnikowi Zadgorskiemu, że jeśli w sprawie zamachu się rozmyśli – zginie. Nie były to czcze pogróżki – Abadżijew od początku przygotowań zamierzał bezpośrednio po wybuchu zlikwidować Zadgorskiego. Żiwko Dinow, który oficjalnie ma ubezpieczać Zadgorskiego i Petrowa „Wasko" po zamachu i ukryć ich w konspiracyjnym lokalu partii, w rzeczywistości ma w tym lokalu zastrzelić naiwnego dzwonnika.

Kierowanie przygotowaniami do wielkiego zamachu szybko przejął z rąk Petyra Abadżijewa sam Kosta Jankow. I to on wymyślił, że nie ma sensu czekać, aż ofiary zechcą się zejść w cerkwi, lecz trzeba je tam wszystkie naraz zwabić.

Jak?

Jankow znalazł odpowiedź. Jeśli zabić odpowiednio ważną osobistość państwową, to jej pogrzeb na pewno odbędzie się w cerkwi Sweta Nedelja, do której musi manifestacyjnie przybyć śmietanka polityczna państwa.

Pod koniec grudnia zeszłego roku Kosta Jankow zawiadomił o wnoszeniu materiału wybuchowego, i o pomyśle wielkiego zamachu, 2 członków Biura Wykonawczego KC partii – sekretarza ds. organizacyjnych KC Iwana Manewa i sekretarza politycznego KC Stanke Dimitrowa.

Politruk Dimitrow natychmiast zapalił się, że wielki zamach mógłby stać się początkiem wielkiego ludowego powstania przeciw władzy Cankowa. Trzeźwiejszy odeń organizator Manew w wybuch powstania mocno powątpiewał, ale za wybuchem w cerkwi był jak najbardziej.

Ostatnia paczuszka materiału wybuchowego wylądowała na strychu Svetoj Nedelji miesiąc temu, 15 marca. Tego dnia Petyr Abadżijew i jego pomocnik Asen Pawłow dokonali oględzin strychu cerkwi. Potem Abadzijew spotkał się z członkami sztabu bojowego Frakcji Rewolucyjnej: Iwanem Minkowem, bratem znanego pisarza, i Dymitrem Złatarewem. Minkow jest kapitanem saperów i z podręcznikiem saperów w ręku zaplanował zamach: bomba musi powalić główną kolumnę cerkwi, podtrzymującą wielką cerkiewną kopułę, gdyż to pod nią odbędzie się nabożeństwo żałobne; pod nią stać muszą i trumna, i honorowi żałobnicy. Żeby zaś główną kolumnę powalić, trzeba na strychu wydrążyć w niej jamę i wypełnić ją materiałem wybuchowym. Skoro zaś melinitu i trotylu jest tak dużo, eksplozja jednego zapalnika mogłaby rozrzucić ładunek wybuchowy i wielokrotnie osłabić eksplozję. Minkow zaprojektował więc aż 5 zapalników i 5 mających je odpalić lontów. By zaś wszystkie lonty dopaliły się dokładnie w tym samym momencie i nie rozrzuciły głównej miny, wszystkie mają mieć dokładnie po 1,5 m długości, a ich końce powinny być zanurzone w naczyniu ze spirytusem. Podpalenie spirytusu

spowoduje podpalenie, idealnie w tym samym momencie, końcówek lontów.

Na podpalającego spirytus szefowie Frakcji Rewolucyjnej wyznaczyli Nikołę Petrowa „Wasko". Przed kilkoma dniami „Wasko" przedstawiony został dzwonnikowi Zadgorskiemu w sofijskiej piwiarni Radość.

Ofiarę, która ma spocząć w trumnie obok głównej kolumny cerkwi, wybrał Kosta Jankow. Wybór padł na Władimira Naczewa, naczelnika Społecznego Bezpieczeństwa – policji politycznej rządu Cankowa.

Jankow, zdając sobie sprawę ze skutków udanego zamachu, przezornie zgłosił jego projekt do akceptacji przez Biuro Polityczne KC kompartii. Większość z 11 członków Biura była za, kilku dyplomatycznie kluczyło z jasną odpowiedzią – żaden nie był przeciw.

Przed 3 tygodniami wydawało się, że wielki zamach wziął w łeb. Policja polityczna odkryła partyjny lokal w mieszkaniu na ul. Rusałki 3. W kotle aresztowano 2 działaczy komunistycznych – jednym z nich był przygotowujący wybuch w cerkwi Asen Pawłow. Nie wysypał on, w ciężkim śledztwie z torturami, sprawy wielkiego zamachu, ale policja dowiedziała się o przygotowaniach do zamachu na naczelnika Społecznego Bezpieczeństwa. Władimir Naczew otrzymał ochronę policyjną, która wykluczała skuteczny zamach.

Sztab Frakcji Rewolucyjnej wybrał na przynętę gen. Konstantina Georgijewa, przewodniczącego sofijskiej organizacji koalicji rządowej Porozumienie Demokratyczne. Zamachu dokonać mieli Atanas Todowiczin i Żiwko Dinow. Szefowie Frakcji Rewolucyjnej zapowiedzieli im, że liczy się każda godzina – gen. Georgijew musi zginąć najpóźniej wieczorem we wtorek przed Wielkanocą. Jeśli ten

termin przeżyje, obaj zamachowcy muszą koniecznie, rankiem w Wielką Środę, zabić prof. Kulewa.

Ale ofiara rezerwowa ma szczęście: Todowiczin i Dinow oddali śmiertelne strzały do gen. Georgijewa we wtorek o 20.00, po nabożeństwie w cerkwi Svetoj Siedmoczislenicy. Bojowcy Frakcji natychmiast zawiadomili o sukcesie swego szefa Kostę Jankowa. Akurat rozmawiał on w tym momencie z działaczami zdelegalizowanej partii ludowej Nikołajem Petrini i Iwanem Perczemlijewem, z którymi komuniści utrzymują podziemne kontakty. Petrini wiedział o planowanym zamachu, więc Jankow nie musiał mu wiele tłumaczyć – wystarczyła rada, by czołowi ludowcy co najmniej przez najbliższe 10 dni nie wychylali nosa ze swych konspiracyjnych kryjówek.

Ale tego samego dnia kiedy bojowcy Frakcji zastrzelili ofiarę-przynętę gen. Georgijewa, na przełęczy Arabakonak, w masywie zachodniej Starej Planiny, bułgarscy anarchiści dokonali zamachu na przejeżdżającego tą strategiczną drogą cara Borysa III. 2 funkcjonariuszy z otoczenia cara zginęło, lecz sam monarcha ocalał, nie odniósł nawet poważniejszych obrażeń. Władze nie odwołały co prawda uroczystości żałobnych w cerkwi Sveta Nedelja, ale było jasne, że sam car na nich się już nie pojawi.

Kosta Jankow nie ma jednak zamiaru się cofać.

Dziś rano ludzie Frakcji Rewolucyjnej roznoszą do domów sofijskich oficjeli pięknie wydrukowane (w konspiracji) zaproszenia nieistniejącego Towarzystwa Oficerów Rezerwy na popołudniową panichidę.

Na strychu, obok bomby w głównej kolumnie, czai się Nikoła Petrow „Wasko" z pudełkiem zapałek i butelką spirytusu w kieszeni.

W porze obiadowej w Svetoj Nedelji zjawia się ekipa sofijskiej policji, by sprawdzić, czy w cerkwi jest bezpiecznie. Agent Ilija Angełow chce wejść na górę i przeszukać strych, ale drogę zastępuje mu Zadgorski i mówi, że strych sam już sprawdził. Dzwonnik bazyliki to persona poważna – agent Angełow wraca do reszty policjantów.

O 15.00 żałobnicy wnoszą do cerkwi otwartą trumnę z okadzonymi już zwłokami gen. Georgijewa. Stawiają ją pod główną kolumną. Trumnę obok głównej kolumny otacza gęsty tłum najważniejszych dygnitarzy państwowych – są ministrowie rządu, jest premier Cankow, są posłowie stronnictwa rządowego, generalicja, oficerowie garnizonu sofijskiego. I tłum wiernych, ciekawskich, pchających się do trumny i szerokiego kręgu najwyższych dostojników. Cerkiew otacza podwójny kordon żołnierzy.

Dzwonnik Zadgorski daje sygnał ukrytemu na strychu Nikole Petrowowi „Wasko", że już czas. „Wasko" otwiera butelkę, wlewa spirytus do naczynia, zapala zapałkę i rzuca w spirytus.

Tymczasem ścisk dygnitarzy wokół trumny pod główną kolumną jest tak wielki, tłum wiernych napierający na główne drzwi do cerkwi tak zdeterminowany, że prowadzący nabożeństwo żałobne prawosławny władyka Stefan każe przesunąć trumnę spod głównej kolumny bliżej ołtarza. Ministrowie i dygnitarze w ślad za trumną także znacznie odsuwają się od podstawy głównej kolumny.

Żałobnicy w skupieniu odmawiają Psalm 91., opisujący szczęście duszy żyjącej zgodnie z przykazaniami Bożymi.

„Wasko" dość spiesznie schodzi ze strychu. Widząc to, do bocznych drzwi rusza za nim także Zadgorski. Na bulwarze Klementina obaj skręcają ku ul. Ławele, gdzie ma na nich czekać samochód. Ale żadnego samochodu nie ma. Zdezorientowany

Zadgorski idzie dalej, aż do rogu bulwaru Klementina i ulicy Car Samuił. Wtedy dochodzi doń potężny, głuchy huk eksplozji.

O 15.23 bomba eksploduje. Metropolita Stefan jest pewien, że to trzęsienie ziemi – cebula głównej kopuły cerkwi po prostu wzlatuje nad jego głową w niebo. Fala uderzeniowa przewraca kordon żołnierzy otaczających świątynię. Kopuła unosi się nad głową metropolity, ale po chwili opada w dół, do wnętrza zatłoczonej katedry. Przygniata stłoczone tłumy wiernych, wyrzuca w niebo ogromny obłok białego pyłu. Pod gruzami ginie od razu 134 żałobników, w tym 3 posłów, 10 generałów, 26 oficerów. Ranne są 343 osoby, w tym premier Cankow, minister spraw wewnętrznych Rusew, zastępca przewodniczącego parlamentu Boris Wazow, metropolita Stefan, przewodniczący prorządowej większości parlamentarnej Andriej Liapczew, minister spraw wojskowych gen. Wyłkow.

W ciągu godzin po zamachu umiera ponad 100 rannych.

Prof. Cankow spotyka się ze swoimi ministrami w gmachu Rady Ministrów. Ogłaszają, od północy, stan wojenny. Ale policja i armia nie czekają na papierowe ukazy. Już wieczorem zaczynają się aresztowania działaczy lewicy i postępowych intelektualistów, tortury, egzekucje. Trzeba ledwie 2 dni, by liczba zamordowanych przeciwników reżymu Cankowa przekroczyła liczbę ofiar wielkiego zamachu.

Dzwonnik Zadgorski skręca w ul. Car Samuił i tam, niespodziewanie, wpada na Petyra Abadżijewa. Szef sofijskiej organizacji Frakcji Rewolucyjnej odprowadza dzwonnika do mieszkania konspiracyjnego, w którym ukrywają się komuniści Dimiter Daskałow i Błagoj Kamburow. Abadżijew wychodzi, obiecując rozdygotanemu dzwonnikowi, że za parę godzin wróci z zagranicznym paszportem dla niego.

W powszechnym bałaganie jaczejka Frakcji Rewolucyjnej zapomina o planie natychmiastowego zastrzelenia Zadgorskiego zaraz po zamachu. Wieczorem Abadżijew nie zjawia się, Daskałow i Kamburow wychodzą. Opuszczony przez wspólników Zadgorski rano idzie do siostry i w asyście szwagra oddaje się w ręce policji.

17 kwietnia 1794 ▪ czwartek

Szewska pasja

Dochodzi 3.00 w nocy, gdy w kamieniczce przy ul. Dunaj pod nr. 145 rozbłyskują światła ogarków i ręcznych latarni. To dom szewca Jana Kilińskiego, w wyższych warszawskich sferach znanego i popularnego – zwłaszcza wśród dam. Kiliński przed 14 laty przybył do Warszawy z Wielkopolski i w 2 lata stał się najbardziej wziętym szewcem zamożnych i wysoko urodzonych pań. Nie dość, że kroił i szył nieprzeciętnie zgrabne damskie trzewiki, i zawsze dobrze wiedział, co staje się modne w zachodnich metropoliach, to jeszcze ujmował magnackie klientki wyglądem i zachowaniem: przystojny, zawsze starannie ubrany w strój narodowy polski, nad wyraz ugrzeczniony, potrafił zabawić damy podczas brania miary stosowną anegdotką, a nawet okolicznościowym, zaimprowizowanym wierszykiem. Powodzenie miał tak wielkie, że szybko uzbierał dość pieniędzy, by kupić 2 kamieniczki na Dunaju – w jednej z nich urządził sobie warsztat i zamieszkał z rodziną.

I właśnie w tej kamieniczce zebrało się wieczorem ponad 200 spiskowców. Kiliński bowiem jest członkiem Związku Rewolucyjnego, tajnego sprzysiężenia polskich wojskowych i cywilów przygotowujących insurekcję w Warszawie. Związek

założony został w marcu zeszłego roku przez Tomasza Maruszewskiego – emisariusza Tadeusza Kościuszki, wolnomularza uszlachconego w 1790 roku przez Sejm Czteroletni. We władzach sprzysiężenia, prócz Kilińskiego, są 2 kawalerowie Orderu Virtuti Militari, były adiutant księcia Józefa Poniatowskiego płk Michał Chomentowski (odznaczony za udział w bitwie pod Zieleńcami) oraz jakobin, sztabskpt. Grzegorz Ropp, ale też popularni wśród warszawskiego plebsu kowal Jan Mariański i rzeźnik Józef Sierakowski.

I właśnie w imieniu Związku Rewolucyjnego Kiliński poprzedniego dnia zawezwał na wieczór do siebie 200 warszawskich rzemieślników, wśród których jest też i trochę stateczniejszych mieszczan – na świtanie w Wielki Czwartek spiskowcy wyznaczyli wybuch insurekcji w Warszawie. O zmierzchu insurgenci ułożyli się w domu Kilińskiego do snu – jak leci, na podłogach, schodach, pod stołami, rzecz jasna, ubrani, w butach na nogach, ze strzelbami i pałaszami pod ręką.

Lud warszawski i wojskowi świetnie wiedzą o niedawnym przybyciu do kraju Tadeusza Kościuszki, insurekcji krakowskiej i zwycięskiej bitwie wojsk Kościuszki, przed 2 tygodniami, pod Racławicami – i aż palą się do walki.

Dziś w Warszawie i na Pradze znaczenie decydujące mieć będzie polskie wojsko stacjonujące pod dowództwem gen. Jana Augusta Cichockiego. Liczy to wojsko niespełna 4 tys. żołnierzy, formalnie podległe jest królowi Stanisławowi Augustowi i Radzie Nieustającej, powołanemu pod naciskiem carycy Katarzyny II i powolnemu Petersburgowi najwyższemu organowi władzy administracyjnej. Rosyjskich wojsk jest w Warszawie ponad 2 razy tyle co polskich, a pod Łomiankami stacjonuje jeszcze 1650 żołnierzy króla Prus. Uwadze rosyjskich szpiegów i polskich

zdrajców nie uszły, rzecz jasna, insurekcyjna agitacja i przygotowania do wystąpienia zbrojnego, ale carski garnizon, dowodzony przez ambasadora Osipa Igelströma, przed prewencyjnym uderzeniem na polskie oddziały powstrzymywany jest przez sprytną grę gen. Cichockiego. Wykształcony w Dreźnie gen. Cichocki, spec od taktyki artylerii, jest przeciętnym oficerem polowym, ale na parkietach władzy porusza się bardzo zręcznie. Wobec Rosjan, a zwłaszcza ambasadora Igelströma, zawsze nadzwyczaj gładki, układny, wręcz usłużny, stworzył iluzję całkowitego podporządkowania się Petersburgowi. W rzeczywistości, wraz z komendantem warszawskiego Arsenału, także artylerzystą wykształconym w Dreźnie, płk. Krystianem Godfrydem Deybelem de Hammerau kierował przygotowaniami do wystąpienia zbrojnego.

Kiliński po obudzeniu zalegających wszędzie spiskowców zawija w jedną serwetkę naboje karabinowe, w drugą – skałki, czyli obłupane na ostro krzemienne kamyczki, które zamocowane w szczękach kurka, po uderzeniu o krzesiwo, czyli płytkę metalową z prawej strony broni, krzeszą iskry zapalające proch na panewce. Mistrz szewski po ciemku maszeruje do siedziby straży miejskiej. Na wymuszone przez Igelströma polecenie władz Warszawy żołnierze straży miejskiej mają w zamkach karabinów bezużyteczne, wystrugane z drewna atrapy krzemiennych skałek; nabojów, zwanych ładunkami, nie mają w ogóle. Kiliński wręcza strażnikom skałki i naboje – teraz mogą się bić z Moskalami. Potem idzie w ciemnościach do dowództwa straży marszałkowskiej przy bramie Nowomiejskiej i zawiadamia je o wybuchu insurekcji – już za pół godziny. Nikt nie dyskutuje, nikt nie ma wątpliwości. Kiliński rozdaje żołnierzom marszałkowskim ładunki do karabinów – także oni pozbawieni są amunicji. Potem instruuje ich, że od tej pory,

gdyby jacykolwiek Moskale próbowali przejść przez bramę, strażnicy mają do nich strzelać bez ostrzeżenia.

Kiliński wraca do domu i wysyła 2 umyślnych do kościołów Bernardynów, Dominikanów, Paulinów i farnego, by natychmiast zaczęli bić w dzwony – na powstanie!

Niebo szarzeje, gdy mistrz Kiliński wraca wreszcie do domu. Tu insurekcja, a on bez broni! Kiliński bez ceregieli zabiera pałasz znanemu z jakobińskich sympatii ks. Franciszkowi Mejerowi, który z resztą spiskowców także nocował w jego domu. I akurat wtedy do kamienicy wkracza rosyjski oficer i oznajmia, że Kiliński jest aresztowany. Szewc bez namysłu tnie go przez łeb i znad skrwawionego trupa woła do reszty obecnych, by szli za jego przykładem i Moskali nie żałowali.

Tymczasem pułk gwardii konnej zakwaterowany w koszarach mirowskich zdążył, o 4.00, zmasakrować wartę rosyjską przy Żelaznej Bramie i rozpoczął walki z 3 rotami grenadierów syberyjskich. Jeden ze szwadronów gwardii konnej wychodzi z miasta przez rogatki wolskie i obsadza prochownię. Inne polskie oddziały koncentrują się pod Arsenałem na ul. Długiej.

Rosjanie nie mają pojęcia, co się dzieje. Ich oficerowie i gońcy z meldunkami wyłapywani są przez mieszczan zmobilizowanych przez Kilińskiego i bez litości zabijani. Mimo to Igelströmowi udaje się skoncentrować na Miodowej kilka kompanii. 3 bataliony Rosjan z armatami, zaciekle atakują Arsenał – od Tłomackiego, z Miodowej i z Franciszkańskiej – ale zostają odparte.

Kiliński rzuca warszawskich szewców i krawców na pomoc żołnierzom blokującym Rosjan Igelströma na Miodowej, sam zaś z kilkuset ludźmi z pospólstwa pędzi na Muranów, gdzie z asystą piechoty stoi 5 armat z pełnymi jaszczami. Rosjanie nie strzelają i podwładni szewca biorą ich do niewoli, a sami z armatami

wracają na ul. Kozią. Tu pospólstwo Kilińskiego sprawia Rosjanom krwawą łaźnię i zdobywa 2 kolejne armaty. Teraz ludzie Kilińskiego, tęgo wsparci ogniem dział, spychają rosyjską piechotę w stronę Starego Miasta, na Podwale.

Szewski mistrz działa jak w gorączce, ale trzeźwo i bezbłędnie. Pędzi do siedziby cechów rzemieślniczych. Opowiada o sukcesie i wzięciu przez lud 7 armat. Porwani tą przemową rzemieślnicy maszerują za Kilińskim okrężną drogą do obsadzonego przez insurgentów Arsenału. Biorą tam tyle broni, że ledwie ją dźwigają.

Teraz Kiliński pcha swych ludzi na początek Krakowskiego Przedmieścia, gdzie obok kościoła św. Krzyża rosyjski gen. Miłaszewicz z 600 ludźmi i 5 armatami broni się przed atakiem liczącego 800 żołnierzy Regimentu Działyńskiego dowodzonego przez płk. Haumana, który naciera z Nowego Światu.

Wzięty w 2 ognie oddział gen. Miłaszewicza zostaje niemal całkowicie wyrżnięty. Regiment Działyński maszeruje dalej, aż do Zamku Królewskiego, i wchodzi do walk na Starym Mieście.

O 15.00, po wycofaniu się z pl. Saskiego potężnej, 4-tysięcznej kolumny sołdatów pod całkiem nieudolnym carskim gen. Nowickim, w Warszawie trzymają się tylko 4 ogniska oporu Rosjan: w pałacu Krasińskich, w pałacu ambasadora Igelströma na Miodowej, w kościele Kapucynów i w ogrodzie Gdańskim.

Rosjanie bronią się twardo, ale atakować nie mają już sił. Zostaną zniszczeni jak nie dziś, to najdalej jutro.

Szewc Kiliński uznaje, że nadeszła pora politykowania, i zwołuje zebranie obywatelskie do Ratusza.

18 kwietnia 1518 ▪ czwartek

Królewski teatr

Niebiosa sprzyjają dzisiejszej uroczystości: jest chłodno, ale słonecznie. Rankiem w korytarzu zamku wawelskiego gromadzą się duchowni i senatorowie, którzy uczestniczyć mają w pochodzie koronacyjnym do katedry. O 10.00 pochód rusza. Na czele kroczy wojewoda krakowski Krzysztof Szydłowiecki. Niesie królewskie berło. Za nim idzie Mikołaj Lubrański, wojewoda poznański, z monarszym jabłkiem. Jako trzeci postępuje król. Za nim księżniczka Bona Maria Sforza, która za chwilę zostanie jego żoną i polską królową.

Zygmunt I ma już 51 lat, ale dziś prezentuje się wyśmienicie. Przystojny, w ceremonialnym szkarłatnym płaszczu z sobolowym kołnierzem, z koroną na skroniach, uśmiecha się dumnie i radośnie. Ma powody do zadowolenia. Małżeństwo z Boną układane było przez pośredników. Król wyraził na nie zgodę, widząc jedynie portret włoskiej księżniczki, który przed rokiem przywieźli do Wilna poseł cesarski Zygmunt Herberstein i wychowawca Bony, włoski poeta, ks. Cristosomo Colonna. Obraz zachwycił monarchę, ale czyż można ufać nadwornemu artyście, u którego portret zamówiła księżna Izabela Sforza, matka panny młodej? Stanisław Ostroróg i biskup krakowski Jan Konarski, wysłani przed 4 miesiącami do Bari po Bonę, tak raportowali swemu władcy o jego wybrance: „Najpiękniejsze jasne włosy, rzęsy i brwi czarne, oczy bardziej anielskie jak ludzkie, czoło gładkie i pogodne, nos prosty, lice wrodzonym wstydem zarumienione, usta podobne najżywszemu koralowi, zęby równe i białe, wyniosła szyja, piersi okrągłe i białe, nadobne ramiona, ręka, jakiej piękniejszej widzieć nie można, słowem, czyli się patrzeć na całą kibić osoby, czyli na część jej z osobna, nic piękniejszego i bardziej zachwycającego widzieć nie

można". Pięknie pisali, ale przecież nie oni mieli dzielić z Włoszką łożnicę.

Po raz pierwszy Zygmunt ujrzał Bonę przed 3 dniami, gdy wyjechał pod Kraków naprzeciw jej orszakowi. Ani malarz, ani posłowie nie przesadzali – była uderzająco piękna.

A teraz, gdy prowadzona przez wicekróla Neapolu Prospera Colonnę i cesarskiego posła margrabiego brandenburskiego Kazimierza Hohenzollerna, kroczy za Zygmuntem w błękitnej, przetykanej złotem sukni z weneckiego atlasu, naszywanej złotymi blaszkami w kształcie uli, sukni, która kosztowała fantastyczną kwotę 7 tys. dukatów, wygląda po prostu olśniewająco.

Orszak opuszcza zamek. Od schodów zamkowych do drzwi katedry rozłożono czerwony chodnik, który przed gawiedzią osłania gęsty szpaler odświętnie przystrojonych Tatarów wybranych ze straży przybocznych panów senatorów. Wieść o urodzie Bony natychmiast rozchodzi się w tłumie i gapie napierają coraz silniej, spychając szpaler na czerwień chodnika. Tatarzy tłuką pospólstwo nahajkami. Rozeźleni studenci krakowskiego uniwersytetu rzucają w Tatarów kamieniami. Trafiają też czcigodnych uczestników pochodu koronacyjnego. W zamieszaniu gapie szarpią i rozrywają ceremonialny chodnik rozciągnięty na zewnątrz murów. Na szczęście obywa się bez skandalu. Zygmunt z Boną wkraczają już do katedry.

W połowie chóru, przed ołtarzem, na podium pokrytym czerwonym aksamitem, stoją 2 krzesła tronowe obite tym samym materiałem, a przed nimi – 2 klęczniki wyłożone zielonym aksamitem przetykanym złotem. Dla wygody dodano do nich poduszki z brokatu. Zygmunt i Bona zasiadają na krzesłach. Choć do katedry wejść mogli jedynie najznakomitsi goście i najwyżsi dostojnicy polscy, ścisk jest straszliwy. Mszę celebruje prymas Jan

Łaski w asyście biskupa krakowskiego Jana Konarskiego i poznańskiego Jana Lubrańskiego. Prymas dopełnia aktu zaślubin i król zasiada z powrotem na krześle. Biskupi tymczasem namaszczają Bonę i wkładają koronę na jej skronie. Już jako królową Polski odprowadzają ją do króla margrabia Kazimierz i Prosper Colonna. Dźwięk trąb oznajmia pospólstwu zgromadzonemu na dziedzińcu przed katedrą, że królewskie małżeństwo zostało zawarte. Teraz Zygmunt I pasuje na rycerzy kilku szlachciców polskich i włoskich. Zarazem nadaje im godność *eques aureatus Sancti Romani Imperii*, czyli Kawalera Złotej Ostrogi. Tak europejscy monarchowie od 3 wieków zwykli honorować szczególnie zasłużonych rycerzy i dworzan.

Ceremonialny orszak z królem i królową Polski wraca na zamek. Słudzy pośpiesznie usiłują otrzepać i ułożyć potargane przez gawiedź resztki czerwonego chodnika. Bona, idąca u boku małżonka, jest radosna i promienna. To nic, że jej posag w wysokości 100 tys. dukatów to jeden z największych posagów w Europie. Ma wreszcie męża. I będzie królową.

Nie było łatwo do tego doprowadzić. Jej ojciec książę Giangaleazzo Sforza nigdy nie objął należącego mu się tronu książąt mediolańskich. Wraz z matką Izabelą Aragońską i rodzeństwem Bona żyła dostatnio. Jako dziedziczka księstwa Bari, blisko spokrewniona z wieloma rodami panującymi w Europie, była pożądaną partią, ale jej matka księżna Izabela oraz papież Leon X przez 5 lat szukali jak najkorzystniejszego kandydata na męża. Gdy wreszcie księżna Izabela intrygami i przekupstwem dopięła swego i przed 5 miesiącami w Neapolu *per procura*, w obecności polskich posłów, jej córka poślubiła Zygmunta I, Bona liczyła sobie już 24 lata. Niemało.

Królowa Bona udaje się teraz do swoich komnat na drugim piętrze zamku. Wszystkie obite są złotem tkanymi obiciami. Na przystrojenie wawelskich komnat kupiono aż 1400 łokci złotogłowiu. Po dłuższym czasie w komnacie zjawia się jeden z wielkich panów, by zaprosić ją na ucztę weselną. Ze schodów na pierwsze piętro uroczyście sprowadzają królową Prosper Colonna i Kazimierz Brandenburski. Król czeka na Bonę na piętrze, bierze pod rękę i wiedzie do największej sali na pierwszym piętrze zamku wawelskiego. Na tę okazję ściany obito złotogłowiem. Wzrok gości przyciąga stojący nieopodal wejścia ogromny, wspaniale rzeźbiony kredens gdański z ciemnego drewna, mieszczący 1300 pucharów, mis, czasz, talerzy złotych i srebrnych, wysadzanych szlachetnymi kamieniami, zdobionych misternymi ornamentami. Najcenniejszą ozdobą królewskiej zastawy jest czara z szafiru bez skazy, ważąca 6 uncji, a osadzona na szczerozłotej nóżce. Zygmunt i Bona podczas uczty mają korony na skroniach. Po lewej ręce króla zasiada królowa, po prawej – margrabia Kazimierz. Przy stole królewskim są najważniejsi goście, w tym dwóch Włochów: Colonna siedzi obok księżnej Anny Mazowieckiej, a Julian Capranica z włoskiego orszaku królowej, obok starosty brzesko-litewskiego. Przy osobnym stole jest duchowieństwo z prymasem, przy dalszych zaś pomniejsi polscy i zagraniczni goście.

Co rusz zmieniają się wykwintne potrawy z rozmaitych mięs, dziczyzny, drobiu, ryb, leją się najprzedniejsze wina. Dyskretnie przygrywają lutniści. Słudzy wnoszą misy z wodą do obmycia rąk. To znak, że nadszedł czas składania darów dla małżonków. Słudzy wnoszą klejnoty od cesarza, od króla Ludwika Węgierskiego, synowca Zygmunta I, od polskich książąt. Miasta ofiarowują drogocenne puchary. Potem następują wymiany podarunków, recytacje poetów, występy grajków, tancerzy, facecje błaznów.

Tańców dziś nie ma ze względu na powagę dnia, w którym nastąpiła koronacja Bony. Uczta kończy się po 8 godzinach, późną nocą. Ale jeszcze nie pora na ostatecznie dopełnienie królewskiego małżeństwa. To dopiero nazajutrz, po drugiej wystawnej uczcie i wieczorze tańców, na przemian włoskich, polskich i niemieckich, małżonkowie udają się do łożnicy w komnacie wybitej na tę okazję złotogłowiem i jedwabiami, wyścielonej czerwonym suknem, z sufitem przystrojonym złoconymi różami. Kilkudziesięciu najznakomitszych panów polskich i gości niemieckich zasiada w miękkich krzesłach rozstawionych wokół królewskiej łożnicy. Król wchodzi do łoża z prawej strony, królowa z lewej. Słudzy roznoszą obserwatorom słodycze i wina. Goście opowiadają sobie cokolwiek sprośne dykteryjki, co rusz wybuchają śmiechem. Wychodzą późną nocą, a król dalej konsumuje małżeństwo.

19 kwietnia 1993 ▪ poniedziałek

Z dymem pożarów

Dzień wstaje pochmurny, wietrzny. Na maszcie obok kompleksu zabudowań na niewielkim wzgórzu zwanym Mt. Carmel, na obrzeżach miasta Waco w Teksasie, wiatr szarpie dużą amerykańską flagę. Budynek główny i przyległe doń mniejsze zabudowania wyglądają jak wymarłe. Nieopodal posiadłości rozciąga się wielkie obozowisko: dziesiątki przyczep samochodowych, namiotów, zaparkowanych jeden obok drugiego autobusów, czołgi, helikoptery. Między namiotami i przyczepami przebiegają dziesiątki mężczyzn w czarnych mundurach, czarnych hełmach, kamizelkach kuloodpornych, z karabinami szturmowymi w ręku. Na plecach

mają wielkie białe litery FBI lub ATF. 2 czołgi odpalają silniki. Wiatr porywa ciemne kłęby spalin, szarpie kolorowymi proporczykami na antenach górujących nad wieżyczkami. Uzbrojeni mężczyźni w czarnych mundurach zajmują stanowiska ogniowe, celują w stronę kompleksu zabudowań. Z dala, za linią uzbrojonych po zęby agentów, moszczą się ekipy telewizyjne z kamerami. To wygląda jak wojna, jak ostatnie przygotowania do bitwy.

I rzeczywiście – to jest wojna, którą Federalne Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni i Materiałów Wybuchowych (ATF) oraz Federalne Biuro Śledcze wydały sekcie Davidian Branch (Gałąź Dawidowa), ulokowanej w Waco, 100-tysięcznym mieście w teksańskim hrabstwie McLennan.

Gałąź Dawidowa powstała w roku 1955 podczas rozłamu w radykalnym protestanckim Kościele Dawidowym. Gdy grupa powiększyła się o nowych wyznawców, jej przywódca Victor Houteff przeniósł ją na szczyt niewielkiego wzgórza parę mil od Waco, które nazwał Mt. Carmel (Górą Karmel). Dalsze dzieje grupy obfitowały w niespodziewane zwroty akcji. Najpierw wdowa po Houteffie Florence ogłosiła rychłe powtórne nadejście Jezusa Chrystusa i poleciła wszystkim wyznawcom sprzedać cały majątek, a potem oczekiwać pod Mt. Carmel na koniec dziejów. Termin minął, lecz jedynym przybyszem zainteresowanym losem znużonych dawidian okazał się poborca podatkowy. Wdowę Florence przegnano i władzę nad sektą objął kolejny prorok, Benjamin Roden. Po jego śmierci kontrolę nad Mt. Carmel przejęła kolejna wdowa, tym razem po Rodenie. Usynowiła swego przystojnego kochanka Vernona Howella i jemu, a nie swemu synowi George'owi, przekazała władzę nad sporą posiadłością i ciągle rosnącą wspólnotą wiernych.

Konflikt Howella z Rodenem juniorem o władzę był, nawet jak zwyczaje w sekcie, dość gwałtowny. Najpierw Roden junior wykopał z grobu szczątki jednej ze współwyznawczyń i wyzwał Howella na pojedynek, który z nich szybciej spowoduje jej zmartwychwstanie. Howell zawiadomił szeryfa, że Roden molestuje seksualnie zwłoki, a Roden junior ostrzelał z uzi interweniujących przedstawicieli władz. W końcu Roden junior uciął siekierą głowę jednemu z nieposłusznych współwyznawców i wylądował w domu wariatów. Władzę nad dawidianami objął Howell.

Nowe porządki zaczął od zmiany nazwiska na David Koresh (w sądzie podał, że czyni to z powodów biznesowych). Potem rozbudował posiadłość i ogłosił, że Bóg żąda od niego, by zapładniał wszystkie kobiety w sekcie, małych dziewczynek nie wyłączając. Na koniec zaczął intensywnie zbroić sektę.

I to zwróciło nań uwagę agentów ATF. Po długim, nieudolnym śledztwie ciągle jednak nie potrafili wykazać, że choć jedna z ponad 150 sztuk broni dawidian jest kupiona nielegalnie. Agenci ATF nadużyli władzy. Przekonali sędziego pokoju, że legalne karabiny AR-15 łatwo można przerobić na nielegalne karabiny automatyczne M16, więc dranie, jakimi są dawidianie, na pewno już to zrobili. Potem ATF sfałszowała dowody, że Koresh ma w Waco fabryczkę metamfetaminy – po to by siły ATF mogły być przeszkolone w bazie sił specjalnych w Fort Hood w prowadzeniu szturmu na umocnione budynki.

Szturm żądnej spektakularnego sukcesu ATF odbył się 28 lutego. Nieudolnie przeprowadzona operacja (jeden z dziennikarzy dostał o niej cynk, w drodze zabłądził i dopytywał się przed atakiem o adres listonosza, który, cóż za pech, jest szwagrem Koresha – i z zaskoczenia były nici) zakończyła się pogromem potężnych sił szturmowych ATF. W wielogodzinnej strzelaninie zginęło 5

dawidian i 4 agentów ATF. Wśród 16 rannych był też postrzelony w biodro Koresh.

Po tej klęsce dowództwo operacji objęło FBI. Aż do dziś trwa oblężenie Mt. Carmel. Telefoniczne rozmowy rozmiękczające prowadzone z dawidianami przez grupę 25 negocjatorów FBI nie dały rezultatu.

Nieudolni lokalni dowódcy FBI przygotowali więc szturm z udziałem 2 czołgów. Plan jest prosty – czołgi staranują budynki sekty, wtłoczą do nich gaz łzawiący, a dawidianie prędzej czy później wypełzną na świeże powietrze i poddadzą się. Kłopotów ani komplikacji dumni szturmowcy FBI nie przewidują, choć wiedzą, że Koresh zmagazynował w budynkach mnóstwo kanistrów z materiałami łatwopalnymi.

O 5.55 agenci FBI telefonują pod jedyny niezablokowany numer w budynku dawidian. Członkowi sekty, który podnosi słuchawkę, jeden z negocjatorów FBI tłumaczy, że za chwilę rozpocznie się przeciw oblężonym akcja z użyciem czołgów, więc członkowie sekty powinni schronić się w bezpiecznym miejscu, a najlepiej – opuścić Mt. Carmel i oddać się w ręce agentów federalnych.

W odpowiedzi dawidianin wyrzuca aparat telefoniczny za drzwi wejściowe.

5 minut później do akcji przystępuje elitarna jednostka szturmowa FBI – Zespół Ratownictwa Zakładników. 2 czołgi z rykiem silników ruszają w stronę zabudowań. Jeden skręca na lewe skrzydło zabudowań, drugi na prawe.

FBI udało się potajemnie zainstalować na murach zewnętrznych budynku Mt. Carmel zdalne mikrofony podsłuchowe. W sprzyjających okolicznościach można za ich pomocą podsłuchiwać rozmowy prowadzone wewnątrz budynku przez osoby znajdujące się w pobliżu ścian zewnętrznych.

Agent prowadzący podsłuch w budynku słyszy, jak niezidentyfikowany członek sekty mówi: „Wszyscy wstawać, zaczynamy się modlić. Pablo, czy już to wylałeś w hollu? Wszystko już wylałeś?".

O 6.04 jeden z czołgów taranuje z impetem zewnętrzną ścianę budynku, w której wybija otwór o wysokości niemal 2,5 m i szerokości 3 m. Zainstalowana na czołgu pompa tłoczy do wnętrza budynku gaz łzawiący CS z wielkiej stalowej butli. W oknach budynku pojawiają się sylwetki kilku mężczyzn, którzy ostrzeliwują z karabinków taranujący czołg. Bez efektu.

Agent FBI prowadzący podsłuch rejestruje rozmowę w budynku: „Nie wylewaj wszystkiego, może nam się przyda później".

A chwilę później słyszy rozpaczliwe głosy:

„Zabiją nas!".

„Oni nie chcą nas zabić!"

Oba czołgi kontynuują akcję. Wybijają dziury w murach i pompują gaz CS. O 6.30 cały budynek jest już zagazowany. Agenci FBI wiedzą jednak, że dawidianie dysponują maskami przeciwgazowymi, a w centralnej części budynku, z dala od ścian szczytowych, wybudowali spore pomieszczenie o ścianach z grubego betonu, które służy im za schron.

Agenci FBI kontynuują zagazowywanie budynku – wstrzeliwują z ręcznych granatników kaliber 40 mm pociski z gazem CS w okna na piętrze.

Rachuby szefów akcji, że gaz wykurzy członków sekty z kryjówki, nie sprawdzają się. Od początku ataku minęło już 1,5 godziny, a żaden z dawidian nie poddał się. Agent prowadzący podsłuch rejestruje kolejną rozmowę w budynku: „Paliwo musi być wszędzie naokoło, żeby to poszło...". Ktoś mu odpowiada: „No cóż, mam 2 kanistry i jeśli to będzie szybko rozlane...".

Jeden z czołgów znów taranuje budynek i wstrzeliwuje do wybitej w murze dziury pojemniki z gazem. Dawidianie z okien ostrzeliwują pojazd ogniem karabinów.

Krótko przed 7.00 agenci FBI proszą zwierzchników o pozwolenie na użycie nie jak dotychczas policyjnej amunicji gazowej, lecz wojskowej, o dużej sile przebicia i rażenia przeciwnika. Chcą przestrzelić ściany bunkra w budynku. Dostają zgodę i czołgi wystrzeliwują 2 pociski armatnie. Potem oba znów wybijają dziury w murach. Tym razem powodują poważne uszkodzenia – mur w miejscu uderzenia wali się aż do wysokości piętra domu. Potem czołgi odjeżdżają i strzelają z dział wojskową amunicją do innego ośrodka oporu dawidian, znajdującego się na zewnątrz głównego budynku – do betonowych fundamentów nieukończonej budowli sekty. Ściany fundamentów są jednak tak solidne, że pociski odbijają się od nich.

O 9.00 dawidianie oblężeni w budynku głównym wywieszają z okiem pospiesznie nabazgrany na prześcieradle baner: „Chcemy naprawić telefon". Agenci FBI ogłaszają przez megafony zgodę na naprawę telefonu, ale wśród huku wystrzałów i ryku silników czołgów oraz wiszących nad miejscem akcji helikopterów niewiele słychać.

Po kwadransie czołgi znów ruszają do akcji. Jeden z nich taranuje główne drzwi do budynku i wstrzeliwuje do wnętrza kolejne pojemniki z CS.

O 10.00 na południowo-wschodniej ścianie zabudowań pojawia się mężczyzna. Macha białą flagą. Agenci wołają do niego przez megafon, że jeśli poddaje się, to może wyjść bez broni. Ale mężczyzna znika we wnętrzu. Za to przed frontem pojawia się inny dawidianin, który zabiera z ziemi jakimś cudem ocalały aparat telefoniczny, wyrzucony na zewnątrz na początku szturmu FBI.

Mężczyzna sprawdza i naprawia przerwany przewód telefoniczny. Agenci federalni nie strzelają do niego. Mają nadzieję, że to wstęp do zbiorowego poddania się dawidian.

Ale nic się nie dzieje. Telefon milczy, czas płynie.

O 11.30 czołgi znów ruszają do akcji. Działający na prawym skrzydle wóz bojowy ulega uszkodzeniu – zrywa się linka sterująca taranem. Pod osłoną strzelców wyborowych agenci FBI donoszą zapasową linkę i naprawiają czołg, który utkwił w wyrwie w murze budynku głównego. Kwadrans później rozpędzony czołg z wielką siłą taranuje mury i wbija się na wiele metrów w głąb budynku. FBI próbuje w ten sposób rozbić betonowy bunkier wewnątrz zabudowań, w którym członkowie sekty, w większości kobiety i dzieci, schronili się przed gazem. Chwilę później zawala się wielki fragment ściany zewnętrznej z tyłu budowli. Jej struktura została poważnie uszkodzona przez taranujące czołgi.

Ale ich ataki trwają nadal. W południe jeden z nich utrąca swą wieżą rozległy kawał muru po prawej stronie. Agenci FBI meldują przez radio o smudze dymu po lewej stronie od wyłamanych przez czołg drzwi frontowych. Niebawem pojawia się tam błysk ognia, a potem jeszcze płomienie w 3 miejscach z tyłu zabudowań. Agenci federalni z pierwszej linii meldują, że widzą mężczyzn rozniecających w budynku ogień.

W ogólnym chaosie z głównego budynku wymyka się członkini sekty Ruth Riddle i nieniepokojona, dociera do linii strzelców FBI. Pod kurtką unosi skarb – dysk komputerowy, na którym zapisane są teksty objawień Koresha dotyczące tajemnic Siedmiu Pieczęci.

To ostatni moment, by umknąć z ciężko pokiereszowanych zabudowań. Wiatr błyskawicznie podsyca pożar, płomienie obejmują większą część zabudowań. Z Waco przyjeżdżają 2 wozy strażackie, ale FBI zatrzymuje je i nie dopuszcza do płonącego jak

pochodnia budynku. Agenci FBI obserwują pożar i nie podejmują teraz żadnej akcji. Wewnątrz słychać strzały. To członkowie sekty, do końca wierni Koreshowi, zabijają współwyznawców – kobiety, dzieci, mężczyzn. Większość z nich ginie od kul, część zabija mieszanka dymu i gazu CS. Jeden z dawidian przykłada lufę do czoła Koresha i pociąga za spust. Chwilę później eksploduje wielki zbiornik z propanem-butanem i zabudowania Mt. Carmel zamieniają się w jedną wielką całopalną pochodnię.

20 kwietnia 1587 ▪ poniedziałek

Wpadłem coś zrabować i podpalić

Do Kadyksu, najpotężniejszego atlantyckiego portu Hiszpanii, zbliża się armada ponad 30 żaglowców. To potężna flotylla, ale na wartownikach na murach wznoszącego się nad wodami portu zamku nie robi ona wrażenia. Kadyks uchodzi za miejsce nie do zdobycia. Port przypomina wydłużoną gruszkę: od strony morza jest to wąski kanał poszatkowany niebezpiecznymi mieliznami. Nad nim, na wyspie połączonej ze stałym lądem masywnym mostem, wznosi się miasto Kadyks. Tuż nad wąskim kanałem wejściowym przed 50 laty hiszpańscy władcy zbudowali potężny zamek. Miał chronić port przed potężnym i zuchwałym korsarzem algierskim Barbarossą. Teraz wszystkie statki wchodzące do portu muszą przepłynąć pod lufami jego armat.

Dopiero po przepłynięciu wąskiego przejścia przed statkami otwiera się rozległy, szeroki na 4 mile akwen portu wewnętrznego. Naprzeciw miasta i zamku, w osłoniętej ławicą mielizn pomniejszej

zatoce portu wewnętrznego, Hiszpanie zbudowali niewielki, dobrze umocniony Port św. Marii.

Strażnicy na zamku zachowują spokój także z powodu francuskich i flamandzkich flag powiewających na masztach nadpływających żaglowców – to na pewno dostawy zboża, płótna żaglowego, lin okrętowych i wszelkiego innego morskiego ekwipunku z Francji i z Niderlandów. Od miesięcy w hiszpańskich portach panuje wielki ruch. Za parę dni do Kadyksu mają przypłynąć z Włoch ogromne transporty okrętowych armat, prochu i kul. Król Hiszpanii Filip II szykuje się do gigantycznego morskiego desantu i podbicia Anglii. W portach Hiszpanii i niedawno zajętej przez Filipa II Portugalii szkutnicy od miesięcy szykują największą flotę, jaką widział świat. Wkrótce 95 tys. Hiszpanów na pokładach 196 okrętów i 360 mniejszych statków transportowych ma pożeglować w stronę Anglii i desantować się u ujścia Tamizy.

O 16.00 żaglowce pod francuskimi i flamandzkimi flagami ostrożnie wpływają do kanału wejściowego. Nieśpiesznie manewrują między łachami mielizn nieopodal wyniosłych murów zamku. Na ich czele płynie duży żaglowiec ze sporą ilością dział na pokładzie.

W Porcie św. Marii cumuje eskadra 12 galer pod dowództwem doświadczonego oficera don Pedra de Acuna. Galery te miały wyjść wczoraj w rejs, ale silne wiatry skłoniły de Acuna do pozostania w porcie. Na widok obcych statków don Pedro wysyła 2 galery, by sprawdziły, kim są przybysze i co ich sprowadza do Kadyksu.

Pierwszy w szyku statek zwraca się w stronę galer. Nagle jego kadłub otaczają kłęby dymu, a ciszę portu rozdziera potężny huk. Nieznany statek strzela do galer! W tej samej chwili z jego masztu i z masztów pozostałych statków opadają flagi francuskie

i niderlandzkie. W górę idą wielkie płachty płótna z krzyżem św. Jerzego. To Anglicy!

Tak, to Anglicy, na dodatek pod wodzą groźnego, zuchwałego korsarza Francisa Drake'a. Ta ekspedycja 33 angielskich okrętów przeciw hiszpańskiej flocie to mieszanina państwowej polityki i prywatnego interesu. 4 okręty pod komendą Drake'a, w tym jego flagowa „Elisabeth Bonaventura", są własnością królowej Elżbiety I i reprezentują flotę państwową. 4 kolejne zostały wystawione przez 19 kupców londyńskich, którzy oczekują wielkich zysków z łupów. Udziały w nich ma też osobiście Drake. Reszta statków została sfinansowana przez rozmaite kompanie i osoby prywatne.

Drake nie ma wyjścia – musi pogodzić ogień z wodą. Musi zatopić jak najwięcej statków hiszpańskich, by odwlec moment wyruszenia na Anglię Wielkiej Armady Filipa II. Tego żąda królowa. Musi też jednak zdobyć bogate łupy, by zaspokoić oczekiwania udziałowców wyprawy – tego też zresztą oczekuje królowa, która ma swoje prywatne udziały finansowe w niektórych okrętach floty Drake'a.

Wyjście jest tylko jedno – zdobyć hiszpański port, najpierw obrabować statki, a potem je zatopić. Jaki port? Cóż za pytanie – Kadyks! Tam zatrzymują się wszystkie statki handlowe Filipa II.

Drake zdecydował się po prostu wpłynąć do Kadyksu pod fałszywymi banderami i znienacka zaatakować Hiszpanów na wodach portu. Ten prosty plan irytuje zastępcę Drake'a wiceadm. Williama Borougha, autora cenionej rozprawy o teorii kompasu, oficera wsławionego bojowymi sukcesami na Bałtyku. Wpaść pod fałszywą banderą do portu, zrabować, podpalić – cóż to za prostactwo! Gdzie tu finezja wielkich manewrów żaglowych flot? No i co będzie, gdy po wpłynięciu na wody wewnętrznego portu

ucichnie wiatr? Wtedy unieruchomione angielskie żaglowce będą zdane na łaskę Hiszpanów.

Na zastrzeżenia te awanturnik Drake ma tylko dwa argumenty. Po pierwsze, okręty angielskie mają więcej dział niż hiszpańskie. Po wtóre zaś, atak na pewno się uda, bo Drake'owi zawsze się udają nawet najbardziej zuchwałe przedsięwzięcia.

Ostrzelane galery co sił zmykają do bezpiecznego azylu Portu św. Marii. „Elisabeth Bonaventura", flagowy okręt Francisa Drake'a, po przepędzeniu galer zwraca się w stronę głównego portu. Drake z uśmiechem przygląda się jego nabrzeżu. Tkwi przy nim 60 kupieckich żaglowców. Z niektórych statków tłumy robotników wynoszą na ląd przywiezione towary, na inne ładują towary hiszpańskie. Wszystkie statki są bezbronne – większość z nich nie ma nawet na pokładach żagli. To statki zagraniczne, które pod przymusem służą we flocie króla Filipa II. Hiszpanie obawiają się, że przy lada okazji mogłyby uciec, więc żagle wydają im jedynie na czas rejsów, pod ścisłą kontrolą swoich oficerów. Większość z tych statków czeka na artylerię, która jest transportowana drogą morską z Włoch. Uzbrojone w armaty, mają wkrótce być włączone do Wielkiej Armady i z hiszpańskimi żołnierzami na pokładach popłynąć na podbój Anglii.

Odgłos strzałów armatnich wywołuje na pokładach zacumowanych w porcie statków dziką panikę. Część marynarzy w popłochu ucieka na ląd. Inni, dzielniejsi, odcinają cumy i próbują przepłynąć swymi statkami do bezpiecznego Portu św. Marii po przeciwnej stronie wielkiego portu wewnętrznego. Nic z tego! Okręty Drake'a dopadają kolejnych bezbronnych uciekinierów. Angielscy marynarze i piechota morska wdzierają się na pokłady atakowanych jednostek, wycinają w pień załogi i ochoczą rabują co się da. Potem angielscy kapitanowie decydują, czy zdobyty statek

odholować w bezpieczny zakątek portu wewnętrznego, z dala od dział zamku, czy podpalić go.

Odgłosy walki na wodach portu budzą zażywających sjesty mieszczan. Mieszkańcy Kadyksu w panice miotają się po wąskich uliczkach, w których huk dział odbija się złowrogim echem. Wreszcie gubernator Kadyksu opanowuje zamęt. Mężczyźni zdolni do noszenia broni mają wraz z żołnierzami garnizonu pomaszerować pod wielką skałę w najwęższym miejscu kanału wejściowego do portu. Gdyby artylerii zamkowej udało się zatopić któryś statek Anglików, żołnierze i uzbrojeni cywile powinni wziąć jego załogę do niewoli.

Kobietom, dzieciom i starcom poleca gubernator schronić się w murach zamku. Ale jego komendant zatrzaskuje bramę – nie chce spanikowanych cywili w murach. Tłum szturmuje bramę. W tłoku niemal 100 ludzi zostaje zadeptanych na śmierć. Dopiero to skłania komendanta zamku do otwarcia zbawczych wrót.

Energiczny gubernator wysyła przez zatokę szybką łódź z gońcem do księcia Medina-Sidonia, który jako najważniejszy magnat w prowincji jest zobligowany do zorganizowania zbrojnej pomocy dla Kadyksu. Złe wieści nie załamują księcia. Natychmiast wysyła do Sewilli i Jerez kurierów z rozkazem natychmiastowego przysłania posiłków, sam zaś z niewielką świtą rusza konno do Kadyksu, by osobiście ocenić sytuację.

Tymczasem Pedro de Acuna, widząc pogrom statków handlowych, decyduje się zaatakować okręty Drake'a. Jego 10 galer wypływa z Portu św. Marii. Szybko jednak dopadają je 4 okręty królowej Elżbiety. Anglicy mają lepsze działa o większym zasięgu. Ich pociski trafiają w galery, zanim te zdążyły zbliżyć się na odległość skutecznego strzału. Pedro de Acuna pojmuje, że nie ma

szans – rozprasza swą eskadrę. Część galer ucieka z powrotem do Portu św. Marii, część chroni się pod murami zamku.

Na wodach wewnętrznego portu pozostał tylko jeden statek, który nie uległ panice. Wielki genueński żaglowiec o ładowności 700 t ma na pokładzie aż 40 dział. Genueńczycy chcą walczyć. W ładowniach mają bale szkutniczego drewna, więc ich statek trudno będzie zatopić. Okręty Drake'a podpływają kolejno do genueńczyka i oddają salwy. Takiej nawały ognia nie wytrzymałby żaden żaglowiec. Gdy genueńczyk, płonąc, idzie pod wodę, wiceadm. Borough nie kryje wściekłości: w falach znika skarb – 40 cennych genueńskich armat.

Zapada zmierzch. Na pokładzie flagowej „Elisabeth Bonaventure" zjawia się wiceadm. Borough. Przestrzega Drake'a przed wielkimi kłopotami, w jakich znalazłaby się ich flota, gdyby wiatr ucichł. Kolejne, unieruchomione okręty byłyby pojedynczo zatapiane przez galery de Acuny. Borough domaga się, by natychmiast odpłynąć.

Drake odmawia. Gdyby się teraz wycofał, nie mógłby przywieźć londyńskim inwestorom należnych im łupów.

Borough, regularny oficer floty królewskiej, a nie korsarz, taką postawą brzydzi się. Nie kryjąc wściekłości, wraca na pokład swego „Golden Liona".

Ciemności nocy rozświetlają dopalające się na wodzie szczątki hiszpańskich statków i ustawione na wybrzeżach portu przez ludzi księcia Medina Sidonia płonące beczki ze smołą. Hiszpanie boją się desantu Anglików. Jest zimno, mgliście, z powodu odpływu mielizny są coraz bardziej niebezpieczne. Nad ranem osiada na nich jedna z hiszpańskich galer. Hałas podniesiony przy ściąganiu jej na wodę podrywa na nogi obrońców miasta i zamku: Anglicy lądują!

Na szczęście alarm jest fałszywy. Anglicy atakują o świcie. Łodzie z marynarzami „Elisabeth Bonaventure" pod wodzą Drake'a

zdobywają jeden z nielicznych ocalałych hiszpańskich galeonów, własność markiza Santa Cruz, dowódcy Wielkiej Armady. Galeon wyładowany jest po brzegi beczkami z winem. Po zrabowaniu wina korsarze podpalają statek. Inne okręty Anglików zdobywają i podpalają 4 hiszpańskie statki z żywnością dla Wielkiej Armady.

Gdy Drake wraca na pokład okrętu flagowego, zastaje tam Borougha, który nie szczędzi mu wymówek – każda kolejna godzina rabowania może przynieść ucichnięcie wiatru. I wtedy co?

Drake wyśmiewa swego zastępcę. Nieprzyjemną kłótnię kończy zaskakujący atak hiszpańskich galer na stojącego na uboczu „Golden Liona". Okręt flagowy Borougha z opresji ratuje odsiecz 7 statków wysłanych przez Drake'a. Upokorzony Borough jest jeszcze bardziej wściekły na swego dowódcę.

Wreszcie Drake decyduje się odpłynąć. Ledwie przebrzmiały bębny wzywające do odwrotu, wiatr zamiera. Spełnia się najczarniejszy scenariusz Borougha. Galery atakują okręty Anglików jak rozeźlone osy. Hiszpanie co rusz ślą na okręty Drake'a swoje brandery, płonące wielkie łodzie wypełnione materiałami łatwopalnym. Anglików ratuje silniejsza artyleria. Noc upływa na zaciekłych potyczkach na wodach portu wewnętrznego. Wreszcie o 2.00 nad ranem zaczyna wiać. Flota Drake'a ostrożnie wypływa przez kanał wejściowy na pełne morze. Kanonada armat z zamku nie czyni statkom żadnej szkody. Drake tryumfuje nad swym oponentem Boroughem – obrabowano i spalono 60 bogato wyposażonych statków Filipa II. Anglicy stracili zaledwie 5 marynarzy wziętych do niewoli i jednego rannego w nogę artylerzystę. Francis Drake z rozkoszą spogląda na stosy zdobytych beczek z najlepszą hiszpańską maderą. Łupy dadzą wielki zysk, zaś pogrom Kadyksu musi opóźnić wypłynięcie Wielkiej Armady. Królowa będzie zadowolona.

Wielki korsarz nie wie, że opóźnienie to stanie się przyczyną klęski Hiszpanów i uratuje Anglię.

21 kwietnia 1918 ▪ niedziela

Czerwony Baron we krwi

Na niemieckim lotnisku polowym pod okupowanym Cappy nad Sommą elitarny pułk lotnictwa myśliwskiego Jagdgeschwader I szykuje się do kolejnego dnia walk z lotnictwem aliantów. Piloci nie spieszą się tego ranka ze swych polowych namiotów do stojących nieopodal 3-płatowych fokkerów Dr. 1. Podstawa gęstych chmur jest niska, nad ziemią ściele się gęsta mgła. To nie są warunki do lotów. Tylko dowódca pułku nie traci nadziei, że jeszcze tego dnia uda się wystartować do lotu bojowego. Wieje silny wschodni wiatr, który może rozpędzić mgłę i chmury.

Dowódcą, który tak pali się do walki, jest najlepszy pilot myśliwski wojny światowej Manfred Freiherr von Richthofen. 26-letni as urodził się w Borku (obecnie część Wrocławia), a do lotnictwa myśliwskiego trafił w roku 1915. Pierwszych 2 zestrzeleń dowództwo mu nie zaliczyło, bo samoloty przeciwnika spadły po wrogiej stronie frontu. Szybko jednak zdeklasował najlepsze myśliwskie asy obu walczących stron – poprzedniego dnia zestrzelił 79. i 80. samolot!

Richthofen jest oczkiem w głowie cesarskiej propagandy, rozpisują się o nim gazety, wydawane są pocztówki z jego podobizną. Konsekwentnie odrzuca propozycje przejścia na bezpieczne tyły. Nie jest wolny od próżności, pomalował swojego fokkera na jaskrawoczerwony kolor (stąd wziął się jego przydomek

– Czerwony Baron), ale w powietrzu walczy z wielką odwagą, żądzą zwycięstw i z ogromną dyscypliną taktyczną. Bywał już ranny, zestrzeliwano go, ale zawsze wracał na front. I znów zwyciężał.

O 10.15 znad pobliskiej linii frontu napływa meldunek od obserwatorów – w powietrzu pojawiły się 2 brytyjskie samoloty R.E.8. Richthofen zaciera ręce. R.E.8 to rozpoznawczy dwupłatowiec i zarazem lekki bombowiec. Choć wyposażony bywa w 2 karabiny maszynowe Lewisa na obrotowym stelażu, obsługiwane przez obserwatora, jest łatwym łupem dla myśliwców – w powietrzu manewruje niezdarnie, a trafiony w bak paliwa, błyskawicznie staje w płomieniach.

Richthofen podrywa w powietrze 2 klucze myśliwców Fokker Jagdstaffel 11. Na czele pierwszego leci sam, drugim dowodzi ppor. Hans Weiss. W składzie pierwszego klucza leci też Wolfram von Richthofen, kuzyn Czerwonego Barona. To zupełny żółtodziób, zwabiony do lotnictwa sławą mistrza Manfreda.

Niemieckie samoloty lecą na wysokości ok. 2 km. Nad Sommą fokkery Richthofena spotykają się z dwupłatowymi, nowoczesnymi myśliwcami Albatross D.V. z Jagstaffel 11. Obie formacje łączą się i wspólnie tworzą rozbudowaną w pionie formację bojową. U jej szczytu lecą fokkery Czerwonego Barona.

W chwilę później Niemcy spostrzegają lecącą wzdłuż Sommy swoją zwierzynę łowną – 2 brytyjskie R.E. 8. Australijscy piloci R.E. 8 zacieśniają szyk, obaj obserwatorzy kierują lufy karabinów maszynowych w stronę niemieckich myśliwców, ale nie mają złudzeń, co ich czeka. Przewaga przeciwnika jest miażdżąca.

Pierwszy rusza z góry do ataku Czerwony Baron, zaraz za nim pikuje w stronę Brytyjczyków ppor. Weiss. Gdy jednak Richthofen otwiera ogień, zacinają mu się oba karabiny maszynowe systemu *maxim-spandau*. Czerwony Baron wychodzi z lotu nurkowego

i wycofuje się z walki. Osamotniony ppor. Weiss dostaje się w ogień krzyżowy Australijczyków i tęgo obrywa. Pociski przecinają mu linkę steru. Z trudem odlatuje do bazy.

Rejteradę z pola walki obu niemieckich asów zręcznie wykorzystują australijscy piloci i już po chwili chowają się bezpiecznie w chmurach. Nie mija parę minut, gdy na formację niemieckich myśliwców spada z góry 15 brytyjskich dwupłatowych myśliwców Sopwith Camel.

Stacjonują one niedaleko Amiens, na lotnisku polowym odległym zaledwie o 35 km od lotniska pułku Richthofena. Od rana brytyjscy piloci, podobnie jak Niemcy, czekali, aż silny wschodni wiatr rozpędzi mgłę i chmury. I doczekali się.

Doborowa brytyjska formacja składa się z 3 liczących po 5 cameli eskadr, którymi dowodzą 3 asy myśliwstwa: Anglik kpt. Oliver William Redgate, Kanadyjczyk kpt. Arthur Roy Brown i Amerykanin kpt. Olivier Colin LeBoutillier.

I cóż za zbieg okoliczności – eskadra kpt. Arthura Browna, podobnie jak klucz Richthofena, przypomina szkółkę – wśród 5 pilotów jest zupełny żółtodziób, a przy tym kolega kpt. Browna z podstawówki, ppor. Wilfried May.

Kpt. Brown przykazał przed startem Mayowi, by trzymał się możliwie wysoko i z dala od pola walki. A gdyby został zaatakowany, ma zmykać na zachód, ile tylko koni w silniku.

Brytyjczycy są nieco mniej liczni, ale kompletnie zaskakują doborową formację niemiecką.

Fokkery i albatrossy rozpierzchają się po niebie. Bitwa zwartych formacji zamienia się w kilkanaście pojedynków. Ryczą silniki, karabiny maszynowe grzmią krótkimi seriami. Długie prowadzenie ognia nie jest możliwe, gdyż mimo silnej strugi powietrza

owiewającego podczas lotu ażurowe osłony chłodzące luf, broń łatwo przegrzewa się i zacina.

Po chwili do walki wraca klucz Czerwonego Barona. Manfred von Richthofen w towarzystwie jednego z fokkerów rzuca się wir walki kołowej. Wysoko nad obszarem bitwy powietrznej krąży kuzyn Czerwonego Barona Wolfram, któremu sławny krewniak zapowiedział – tak jak kpt. Brown Mayowi – by trzymał się powyżej walczących maszyn. A jeszcze wyżej, nad fokkerem Wolframa Richthofena, lata camel Maya. Kanadyjczyk śledzi toczące się poniżej pojedynki myśliwców i w końcu, mimo napomnień kpt. Browna, nie wytrzymuje i pikuje na samotnego fokkera. Popełnia jednak błąd. Długa, o wiele zbyt długa seria z karabinów maszynowych przegrzewa lufy jego vickersów. Broń zacina się i nie dość, że niemiecki pilot uchodzi cało, to teraz May jest w opałach. Rozsądnie robi zwrot na zachód i lekko nurkując, uchodzi z pola walki. Ale rozglądający się uważnie – mimo udziału w walce – za samolotem kuzyna Czerwony Baron dostrzega atak Kanadyjczyka. Natychmiast leci w kierunku maszyny Wolframa, by ratować go z kłopotów. Gdy spostrzega, że napastnik ucieka z pola walki, rusza za nim; teraz węszy w nim łatwy łup. Zdenerwowany Kanadyjczyk popełnia błędy w pilotażu, prowadzi maszynę bardzo niepewnie. Nie ma jednak pojęcia, kto go ściga.

Richthofen wychyla się z kabiny, ręcznie przeładowuje karabiny maszynowe, otwiera ogień. Chybia. May usiłuje urwać się prześladowcy, lecąc tuż nad wierzchołkami drzew. Potem pędzi doliną Sommy, tuż nad lustrem wody. Wszystko na nic.

Tymczasem wir walczących samolotów po kilku minutach rozpada się. Maszyny rozlatują się na wszystkie strony – pilotom brakuje amunicji, lufy karabinów są rozgrzane. Kpt. Brown dostrzega w oddali 2 samoloty pędzące jeden za drugim w dolinie

Sommy. Pojmuje, co się dzieje, i rusza na ratunek koledze. Nurkuje gwałtownie, ryzykując katastrofę, ale wykorzystując przewagę prędkości, dochodzi od tyłu do czerwonego fokkera Richthofena. Seria jego kaemów chybia, jednak zaskoczony Niemiec robi unik, dzięki któremu May odrywa się nieco od niego.

W tej chwili Richthofen ma jeszcze szansę powrócić szczęśliwie na swoje lotnisko, ale żądza 81. zwycięstwa w powietrzu zaćmiewa jego umysł. Łamiąc wszelkie zasady, pędzi dalej za samolotem Maya, w głąb terytorium przeciwnika. I dostaje się pod lufy karabinów maszynowych australijskiej piechoty na płaskowyżu Morlancourt. Najpierw strzela do niego sierż. Popkin, potem inni żołnierze. Chybiają. Fokker Richthofena oddala się już od niebezpiecznego płaskowyżu, gdy Popkin z odległości 0,5 km wysyła za nim jeszcze jedną serię. Czerwony Baron dostaje jedną jedyną kulę w prawy bok. Fokker podrywa się w górę, a potem wykonuje 2 zwroty, łagodnie opada i ląduje w polu. Gdy australijscy strzelcy podbiegają do maszyny, by wziąć pilota do niewoli, Czerwony Baron jest martwy.

Manfred von Richthofen, znany jako Czerwony Baron

22 kwietnia 1915 ▪ czwartek

Doświadczenie w plenerze

Na froncie niemiecko-francuskim pod Ypres dzień jest ciepły i słoneczny. Stłoczeni w podmokłych okopach żołnierze francuskiej brygady wojsk kolonialnych dowodzonej przez płk. Mordacqa,

w znakomitej większości Algierczycy, z rozkoszą wygrzewają się w słońcu. Po drugiej stronie frontu nie dzieje się nic niepokojącego. Przed południem niemiecka artyleria ostrzeliwuje Ypres i drogi dojazdowe, ale ogień szybko cichnie.

Na stanowisku dowodzenia niemieckiego 35. Gazowego Pułku Inżynieryjnego ulokowanym w Stampoot kilku oficerów i mężczyzna po cywilnemu od rana usiłuje odgadnąć po ruchach gałązek krzaków i drzew, skąd wieje wiatr.

Cywil w binoklach to jeden z najwybitniejszych niemieckich chemików, prof. Fritz Haber. To on znalazł receptę na kłopoty, w jakie niemiecka armia popadła na zachodzie. Rozbudowane linie obronne oplecione setkami kilometrów drutów kolczastych, nafaszerowane karabinami maszynowymi, okazały się zbyt twardym orzechem dla armii cesarskiej, ale też i dla armii francuskiej. W wojnie pozycyjnej zdobycie kilkuset metrów terenu kosztuje atakujących dziesiątki tysięcy zabitych. Prof. Haber wymyślił, by atak piechoty poprzedzić wypuszczeniem wielkiej ilości chloru. Nieco cięższy od powietrza gaz nie ulotni się, lecz stworzy przy ziemi chmurę, która popychana sprzyjającym wiatrem, wytruje w alianckich okopach wszystko, co żyje. Ani Haber, ani dowództwo niemieckiej armii nie przejmowali się, że użycia gazów trujących zabrania konwencja haska. Profesor zaprojektował stalowe, wykładane od wewnątrz ołowiem butle na ciekły chlor, długie na 3 m ołowiane rurki, przez które gaz ma się ulatniać, maski ochronne oraz aparaty tlenowe dla żołnierzy obsługujących butle.

Podstępny atak dowództwo niemieckie postanowiło wykonać pod miastem Ypres, w okupowanej części Belgii. Żołnierze utworzonego na tę okazję 35. Pułku Gazowego w ciągu 2 tygodni zakopali nocami, na przedpolu, 5700 butli zawierających 150 t skroplonego chloru.

W ciągu ostatniego tygodnia niemieckie dowództwo dwukrotnie dawało rozkazy do ataku i w ostatniej chwili odwoływało je – wiatr nagle zmieniał kierunek.

O 16.30 do sztabu niemieckiego 35. Pułku Gazowego dociera wiadomość z wojskowej centrali meteorologicznej w Brukseli, że wczesnym wieczorem wiatr będzie wiał z północnego wschodu z prędkością 2 m/s, umożliwiając gazowy atak.

O 17.24 dowódca 35. Pułku płk Petersen odbiera telefon polowy z dowództwa 4. Armii. Gen. Ilse mówi tylko: „O osiemnastej zaczynamy". Płk Petersen pośpiesznie wydaje rozkazy. Nad niemieckie okopy wznosi się balon na uwięzi. O 18.00 z kosza balonu leci w dół ognista flara.

Na ten sygnał niemiecka artyleria między Steenstrate i Poelcapelle otwiera huraganowy ogień. Operatorzy butli z chlorem odkręcają zawory. Z rurek wystających z ziemi na przedpolu niemieckich okopów wydobywa się biaława mgła. Rozpoczyna się pierwszy w historii falowy atak gazem bojowym. Po 8 minutach wszystkie butle z chlorem są już puste. Pasma mgły łączą się w potężną chmurę, która nabiera wyraźnie zielonego zabarwienia. Wiatr pcha ją w stronę francuskich okopów.

Piechurzy batalionu mjr. Villevaleix w okopach pod Poelcapelle nie zważają na ogień niemieckich armat – pociski padają daleko za nimi. Ale oto przed okopami wroga pojawia się gęsta zielona, w promieniach słońca pobłyskująca żółcią chmura. Nie jest wysoka, ma raptem 3, może 4 m, ale jest niesamowicie długa – ciągnie się przez parę kilometrów aż do Steenstrate. Wiatr pcha ją na zachód. Gdy zielonożółte kłęby docierają do francuskich okopów, żołnierze nagle tracą wzrok i oddech. Oczy, tchawice, płuca palą żywym ogniem. Strzelcy, którzy szukają ratunku, wtulając się w dno okopów, umierają pierwsi – w zagłębieniach terenu stężenie chloru

jest najsilniejsze. Duszący się, plujący krwią żołnierze rzucają broń i uciekają – prosto pod zaporowy ogień niemieckich armat.

O 18.15 w ślad za chmurą gazu rusza niemieckie natarcie. Drużyny piechurów w charakterystycznych pikielhaubach, bez żadnego zabezpieczenia przed gazem, maszerują gęsiego mniej więcej 600–700 m za zieloną chmurą. W tej odległości resztki chloru już tylko kręcą w nosie. Niemcy dochodzą do francuskich okopów. Zalegają je martwi algierscy żołnierze. Większość z nich trzyma przy twarzy chustki i ręczniki.

W ślad za piechotą jedzie otwarty samochód. To prof. Haber w asyście płk. Bauera sprawdza, jak działa jego cudowna broń. W ręku trzyma notes. Zapisuje starannie, w jakich okolicznościach umierali francuscy żołnierze. Poleca zatrzymywać się przy mijanych drzewach. Pożółkłe młode listki pokazują dokładnie, jak wysoka była chmura chloru. Prof. Haber doskonale zna francuski i osobiście przesłuchuje jeńców. Kolejne kartki w jego zeszycie pokrywają się notatkami. Z niemiłym zaskoczeniem profesor dowiaduje się, że w wioskach zabudowania rozpraszały chmurę gazu i żołnierze przetrwali tam w dużo lepszej formie niż w otwartym polu. Ci, którzy schronili się na strychach, ciągle zdolni byli do walki. Profesor stwierdza z zainteresowaniem, że zatrucie chlorem powoduje atak trudnego do opanowania pragnienia. Porażeni gazem jeńcy błagają o wodę, wychłeptują nawet brudną zawiesinę z kałuż.

W okopach 4,5 tys. francuskich i kanadyjskich żołnierzy umiera w męczarniach. Ponad 15 tys. zatrutych gazem ucieka w panice. Zbiegowie docierają do kanału pod Ypres. Nie słuchają żadnych rozkazów. Wchodzą do wody i piją. Front, o który od miesięcy rozbijały się niemieckie ataki, stoi otworem.

Ale na obu krańcach odcinka frontu, na którym Niemcy zaatakowali gazem, stężenie chloru jest na tyle niskie, że alianccy żołnierze, łzawiąc i kaszląc, przetrwali jednak na posterunkach. Do Kanadyjczyków, których chmura gazu tylko musnęła, dołączają niedobitki batalionu mjr. Villevaleix. Mimo że zatruci, biją się twardo. Wiedzą, że za nimi jest bezbronne Ypres i tabory dywizji kanadyjskich i angielskich.

Płk Mordacq organizuje w miejscowości Boesinghe punkt oporu z mniej zatrutych uciekinierów. Także w odległym o parę kilometrów St. Julien zaciekle bronią się ocalali z pogromu żołnierze mjr. Villevaleix i 2 kompanie francuskich żuawów. W środku jednak zieje pustka. Gdyby Niemcy poszli dalej, zajęliby Ypres i odcięliby wszystkie angielskie siły w tym rejonie. To byłaby katastrofa. Ale Niemcy nie mają tu rezerw, które mogliby rzucić do natarcia. Co więcej, pewni, że alianci są wytruci, o zmierzchu zatrzymują natarcie. Gdy śpią, Francuzi i Anglicy ściągają rezerwy, odtwarzają linię obrony.

Zabezpieczenie przed angielskimi atakami gazowymi

23 kwietnia 997 ▪ niedziela

Kielich wina w puszczy

Trzej misjonarze budzą się tuż przed świtem. Są zmarznięci. Spali pod gołym niebem na niewielkiej leśnej polanie. Na szczęście nie są głodni. Wczoraj wieczorem kierujący ich wyprawą biskup czeskiej Pragi Wojciech zebrał w lesie zioła i grzyby, które upiekli w popiele ogniska i zjedli przed zaśnięciem.

Radzim, zwany inaczej Gaudentym, przyrodni brat Wojciecha, pyta go, czy może opowiedzieć swój sen.

– Powiedz, jeśli coś masz – odpowiada Wojciech.

Gaudenty opowiada zatem:

– Widziałem na środku ołtarza złoty kielich, i to do połowy napełniony winem, lecz nikt go nie pilnował. Otóż gdy chciałem napić się wina, zaszedł mi drogę sługa ołtarza i z jakąś władczą powagą sprzeciwił się memu zuchwałemu zamysłowi, ponieważ ani mnie, ani żadnemu człowiekowi nie może na to pozwolić, gdyż wino dla ciebie jest zachowane na dzień jutrzejszy jako mistyczne pokrzepienie. Przy tych jego słowach pierzchnął sen z mych oczu, a drżące ze strachu członki zdrętwiały.

Wojciech zauważa:

– Mój synu, oby Bóg dał pomyślny obrót temu widzeniu! Na złudnym śnie nikt nie powinien polegać.

A przecież cała ta misyjna wyprawa oparta jest na złudnym śnie.

Długa, kręta droga wiodła syna czeskiego księcia Sławnika, udzielnego pana na Libicach, do puszczy nad bałtyckim brzegiem krainy pogańskich Prusów. W roku 956, gdy Wojciech urodził się, potęga pana na Libicach chyliła się ku upadkowi. W X wieku dominującą pozycję w Czechach zdobyła rządząca w Pradze dynastia Przemyślidów. W budowanym przez nich nowoczesnym, scentralizowanym państwie, które podbiło Śląsk, ziemię krakowską i oparło swe granice aż na Bugu, jak zadra w sercu tkwiło niezależne księstwo Sławnika.

Ukochany syn Sławnika Wojciech od najmłodszych lat przeznaczony był do stanu duchownego. Pięknego, wybitnie inteligentnego chłopca wysłał Sławnik na nauki do sławnej z wysokiego poziomu szkoły katedralnej w Magdeburgu. Po śmierci ojca, na skutek zakulisowych gier politycznych między Pragą

a rządzonymi przez Sobiesława, innego z synów zmarłego Sławnika, Libicami, Wojciech trafił w szeregi kleru katedry w Pradze. Jak większość księży na dworze pierwszego praskiego biskupa Dytmara, żył hucznie. Nawet bardziej niż jego koledzy w sutannach, bo rychło zasłużył sobie na miano *miles deliciosus* (rycerz rozkoszny).

Odmieniła Wojciecha śmierć biskupa. Od zwłok Dytmara odszedł nowy człowiek: pełen Bożej bojaźni, odwrócony od uciech doczesnych, zaprzątnięty myślami o zbawieniu duszy własnej i dusz bliźnich.

Książę praski Bolesław II doprowadził do wyboru Wojciecha na biskupa Pragi. Prawo kanoniczne wymagało, by biskup miał co najmniej 30 lat, Wojciech zaś miał lat 27. Mimo wszystko Bolesław II postawił na swoim: biskupem Pragi został syn znienawidzonego przez niego księcia Sławnika. Nominacją tą chciał najpewniej zachęcić panującego na Libicach Sobiesława do podporządkowania się Pradze – za cenę zachowania części dawnych, suwerennych praw.

Z tej subtelnej gry Bolesława II nic nie wyszło. Wierni w Pradze rychło znienawidzili bp. Wojciecha, który domagał się porzucenia wielożeństwa, potępiał powszechne podczas postu obżarstwo i zabawy. Bolesław II zniechęcił się do swego protegowanego, gdyż Wojciech namiętnie zwalczał sprzedaż chrześcijańskich niewolników kupcom arabskim i żydowskim, z którego to procederu praski książę czerpał wielkie zyski. Młody biskup był całkiem osamotniony – ufać mógł jedynie wiernemu bratu przyrodniemu Radzimowi – Gaudentemu.

Przed 9 laty Wojciech nie wytrzymał wrogości otoczenia i uciekł z nim z Pragi do Włoch.

Książę praski o Wojciechu nie zapomniał. Bolesław II obawiał się rosnącej potęgi polskiego władcy Mieszka I. A jeszcze bardziej coraz

wyraźniejszej współpracy księcia Sobiesława Sławnikowica z rosnącym w siłę polskim państwem. Bolesław II ściągnął do Pragi bp. Wojciecha Sławnikowica, by mieć go na oku. Wojciech długo jednak w swym biskupstwie nie wytrzymał. Stanął w obronie życia cudzołożnej żony jednego z czeskich możnowładców, ale mimo to zazdrosny mąż wywlókł ją sprzed ołtarza i zamordował. Wtedy Wojciech po raz drugi uciekł z Pragi.

Niedługo potem ludzie Bolesława II napadli podstępnie na Libice, puścili je z dymem, a potomków Sławnika, którzy schronili się w mury kościoła, wyrżnęli przed ołtarzem. Ocalał tylko Sobiesław, który przeszedł na służbę polskiego władcy.

Wojciech znów uciekł z Pragi. Papież Grzegorz V na prywatnej audiencji zwolnił go z powinności powrotu do diecezji, o ile biskup ruszy nawracać pogan.

Padło na Prusów. Kolejny polski władca Bolesław Chrobry chętnie otoczył misję Wojciecha opieką. Liczył, że nawrócone Prusy wpadną mu w ręce. Wojciech wraz z bratem Gaudentym i polskim duchownym Boguszą, pod osłoną wojów Chrobrego, dotarli do Gdańska. Tam ochrzcili tłumy pogan. I na tym sukcesy się skończyły.

Na ziemie Prusów misjonarze dotarli łódką, bez eskorty. Wojciech chciał nawracać dobrym słowem, nie przemocą. Pierwsze spotkanie z mieszkańcami ubranego w liturgiczne szaty, nieustannie śpiewającego psalmy Wojciecha zakończyło się smutno: jeden z Prusów uderzył go wiosłem w plecy. Później 3 misjonarze stanęli przed wiecowym sądem w Truso, ważnym grodzie targowym Prusów. Wyrok wiecu oznaczał klęskę misji: wędrowcy mieli być wypędzeni z ziemi pruskiej, w razie powrotu zaś – dać głowę. Prusowie wywieźli ich łódką poza swoją zachodnią granicę.

Podczas 5-dniowego postoju w lesie Wojciech rozpamiętywał przyczyny porażki. W końcu zdecydował się wrócić do Prus, kontynuować misję. Było jasne, że ryzykuje własną głową, a może i życiem wszystkich 3 misjonarzy. Jedyną szansą było udanie się do grodu, w którym nikt ich nie znał i nie wiedział o wyroku w Truso. Wojciech wybrał gród Cholinum.

Przed 5.00, o wschodzie słońca, Gaudenty odprawia na łące modły brewiarzowe – godziny kanoniczne. Wojciech uczestniczy w nich w pełnym stroju biskupim. Potem zdejmuje ornat i w szatach biskupich prowadzi swych towarzyszy przez graniczną rzekę w stronę Cholinum. Misjonarze śpiewają psalmy. W południe Gaudenty odprawia mszę na jednej z leśnych polan. Bp Wojciech przyjmuje komunię św. Wreszcie 3 wędrowców dociera do pruskiego grodu. Cholinum otoczone jest bardzo głębokim rowem. Panuje w nim głęboki półmrok. Wojciech podchodzi do bramy, uderza pastorałem w jej skrzydło i woła:

– Otwieraj, odźwierny! Chce wejść wysłaniec Króla chwały, Król zaś sam włada wszystkimi mocami, kieruje i rządzi machiną wszechświata!

Pruski strażnik nie widzi stojącego w półmroku fosy przybysza, więc odpowiada wyniośle:

– Nie jest naszym zwyczajem wpuszczać tu pierwszego lepszego, lecz cofnij się i pokaż na wyniosłym pagórku, który leży naprzeciw grodu, żebyśmy zobaczyli, kim jesteś. Wtedy dopiero zwierzchność grodu zapewne nie wzbroni ci wstępu.

Bp Wojciech i jego współbracia cofają się na niewielki wzgórek. Ujrzawszy charakterystyczną postać biskupa w rytualnych szatach, z włochatą mitrą na głowie, jeden ze strażników Cholinum krzyczy głośno, przenikliwie. Ten człowiek był w Truso podczas sądu nad misjonarzami. W mig u bramy zbiegają się mieszkańcy, mężczyźni

i kobiety, i przekroczywszy fosę, wspinają się na pagórek. Otaczają Wojciecha, mniej zważając na niezbyt różniących się od nich wyglądem, bo odzianych w burawe szaty zakonne, Gaudentego i Boguszę. Prusowie na wyprzódki wypytują Wojciecha, kim jest i skąd przybywa. Zanim biskupowi udaje się jednak cokolwiek wyjaśnić, ten z Prusów, który wie o wyroku ciążącym na Wojciechu, woła, że dziwacznie odziany przybysz jest niebezpiecznym czarnoksiężnikiem, który ma władzę sprawiania niszczących powodzi.

Mieszkańców Cholinum ogarnia wściekłość. Wyzywają przybysza, szturchają go. Ktoś sięga po kamień, uderza Wojciecha. Po chwili na głowę i barki biskupa spada coraz więcej ciosów rąk uzbrojonych w polne kamienie. Wojciech stoi dzielnie i modli się. Wie, że gdy upadnie, już po nim. W końcu Prusowie uznają, że niebezpieczny przybysz dostał wystarczającą lekcję, i wracają do grodu.

Zakrwawiony Wojciech, wspierany przez Gaudentego i Boguszę, z trudem schodzi z pagórka. 3 misjonarzy powoli oddala się na zachód od nieprzyjaznego grodu. Wojciech, idąc, odmawia modlitwy za zmarłych, zakłada na ramiona stułę. Bogusz odwraca się w stronę Cholinum i dostrzega 8 zbrojnych strażników grodu ścigających ich śpiesznym marszem. Skraj gęstej puszczy jest o rzut kamieniem, można by ratować się ucieczką. Wojciech nie chce jednak uciekać. Odmawia modlitwy i czeka. Strażnicy dopadają go, przewracają na ziemię. Jeden z napastników uderzeniem ciężkiego topora ścina głowę biskupa.

Gaudenty i Bogusza uciekają ile sił w nogach w stronę puszczy. Nikt ich jednak nie ściga. Wściekłość Prusów skierowana jest jedynie przeciw Wojciechowi, którego uznali za niebezpiecznego wroga.

Gdy obaj misjonarze szczęśliwie chowają się w lesie, Prusowie nabijają głowę Wojciecha na wysoki pal, ciało zaś wloką do pobliskiej rzeczki i wrzucają w jej nurt. Potem, wznosząc wesołe okrzyki tryumfu, wracają do grodu.

Przerażeni Gaudenty i Bogusz ostrożnie ruszają na zachód, w stronę ziem kontrolowanych przez Bolesława Chrobrego, z wieścią o męczeństwie Wojciecha.

Zabójstwo św. Wojciecha

24 kwietnia 1975 ▪ czwartek

Egzekucja w ambasadzie

Późny ranek. W federalnym więzieniu Stammheim w Stuttgarcie ekipa robotników nieśpiesznie wznosi ostatnie metry masywnej

ściany. Wewnątrz więziennych murów zbudowana została odosobniona hala, w której wkrótce zacznie się proces ponad 20 niemieckich terrorystów z grupy kierowanej przez Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof. Czasu do rozpoczęcia procesu nie zostało wiele, więc ramię w ramię z murarzami uwijają się akustycy, regulujący już urządzenia nagłaśniające. Nieco z boku kilkunastoosobowa ekipa sprzątaczy pucuje na wysoki połysk jaskrawożółte krzesła dla niewielu dopuszczonych na salę procesu widzów. Pomiędzy pracującymi przechadzają się policjanci z pistoletami maszynowymi pod pachą. Władze zarządziły nadzwyczajne środki ostrożności, bo i niezwyczajni przestępcy mają być tu sądzeni.

Pod koniec lat 60. młodzieżowa rewolta ogarnęła pół świata. Polityczne i obyczajowe protesty pokolenia 20-latków wstrząsały dziesiątkami, setkami miast po obu stronach żelaznej kurtyny. Jedne z najgwałtowniejszych miały miejsce w Berlinie Zachodnim. Elity polityczne Republiki Federalnej, lękające się wystawienia zachodnioniemieckiej demokracji na próbę przez radykalne protesty młodego pokolenia, zareagowały wściekłą przemocą. Demonstrujących studentów policja biła i aresztowała, na oślep, bez powodu. Policjant zastrzelił biorącego w demonstracji studenta Benno Ohnesorga, a sąd ostentacyjnie uwolnił funkcjonariusza od winy i kary. W tym klimacie radykalni aktywiści młodzieżowej rewolty: Ulrika Meinhof, Andreas Baader, Jan-Carl Raspe, Gudrun Ensslin, postanowili protestować – przede wszystkim przeciw wojnie w Wietnamie – czynnie. W kwietniu 1970 roku Baader i Ensslin podpalili 2 domy towarowe. Baader został aresztowany, ale Ulrike Meinhof zorganizowała uwolnienie go siłą z więzienia. Baader zbiegł na wolność, na miejscu napadu pozostał ciężko ranny policjant. W maju skrajnie radykalizująca grupa, którą Ulrike

Meinhof nazwała Rote Armee Fraktion (Frakcją Czerwonej Armii), dokonała zamachów na 2 bazy amerykańskie w USA w Niemczech oraz na wydawnictwo Springera. Zginęło w nich 5 osób, 17 odniosło rany. Miesiąc później niemiecka policja aresztowała czołówkę RAF, w tym Baadera i Meinhof. Ale na wolności pozostali zdeterminowani, nieznani ich towarzysze. W lutym 1974 roku uprowadzili przewodniczącego CDU w Berlinie Petera Lorenza. Władze RFN przystały na żądania porywaczy i wymieniły uwięzionych 6 terrorystów na Lorenza. W więzieniach pozostało jeszcze 26 członków RAF, w tym Andreas Baader i Ulrika Meinhof.

Dochodzi południe. W Stammheim robotnicy kończą wreszcie stawiać mur. W niemieckiej ambasadzie w Sztokholmie kłębi się tłum interesantów, głównie Szwedów i Niemców. Jest tu teraz dobrze ponad 100 osób. 6 młodych Niemców wkracza do wydziału konsularnego. To 23-letni Siegfried Hausner, piroman, który już w szkole majstrował bomby, a potem działał w lewackim Kręgu Pracy Techniki Wybuchowej Socjalistycznego Kolektywu Partyjnego w Heidelbergu; 29-letnia Hanna-Elise Krabbe, która jako studentka też przeszła przez Socjalistyczny Kolektyw Partyjny SPK, 31-letni członek SPK Lutz Taufer, 23-letni urzędnik pocztowy Karl-Heinz Dellwo, 29-letni organizator protestów studenckich Bernhard-Maria Roessner i 29-letni syn milionera Ulrich Wessel. Przybysze wyciągają z toreb pistolety maszynowe i materiały wybuchowe. Terroryzują pracownika ambasady, o którym wiedzą, że ma klucze do górnych kondygnacji budynku. Napastnicy zatrzymują 11 osób, w tym ambasadora Stoeckera i *attaché* wojskowego ppłk. barona von Mirbacha, i zaczynają strzelać w powietrze. Tłum interesantów i reszta urzędników w panice rzucają się do ucieczki. 11 zakładników terroryści wiążą, kneblują i układają na podłodze trzeciego piętra ambasady. Kilkanaście minut później zjawia się szwedzka policja

i obsadza parter. Szwedzi szykują się do szturmu z użyciem granatów z gazem łzawiącym. Jeden z napastników żąda, by policja natychmiast wycofała się, i grozi rozstrzelaniem *attaché* wojskowego. Ale policja nie opuszcza dolnych kondygnacji ambasady.

Kanclerz Helmut Schmidt, na wieść o ataku na ambasadę, natychmiast powraca do swego gabinetu w bońskim pałacu Schaumburg. Prezydent Walter Scheel skraca oficjalną wizytę we Francji, z Nadrenii-Westfalii przylatuje minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher.

O 13.17 w sztokholmskim biurze niemieckiej agencji prasowej DPA odzywa się telefon. Jeden z okupantów ambasady wygłasza komunikat: „Komando »Holger Meins« wzięło do niewoli członków ambasady, aby uwolnić jeńców w Niemczech Zachodnich. Jeżeli policja zaatakuje, budynek zostanie wysadzony za pomocą 15 kg dynamitu". (Meins był anarchistą, który po długotrwałej głodówce zmarł niedawno w zachodnioniemieckim więzieniu). Terroryści RAF nie blefują: instalują materiały wybuchowe w pokoju ambasadora Stoeckera i układają kabel zapłonowy pod dywanem. Wkrótce potem znów żądają wycofania policji – w ciągu 2 minut. Policja pozostaje na miejscu.

Terroryści rozkazują baronowi von Mirbach zejść piętro niżej. Gdy *attaché* ze związanymi rękami wchodzi do przedsionka, strzelają z góry. W plecy. Pociski trafiają Andreasa von Mirbacha w głowę, w plecy i w nogę. Po długiej zwłoce terroryści zezwalają na wyniesienie ofiary. 2 szwedzcy policjanci rozebrani do kaleson na znak, że nie są uzbrojeni, zwlekają von Mirbacha na parter. Wkrótce potem *attaché* umiera.

Jest 15.30, gdy w biurze DPA znów dzwoni telefon. Jeden z napastników przekazuje oficjalne żądania: wypuszczenie 26

terrorystów RAF, pozostających w niemieckich więzieniach, w tym Andreasa Baadera, Ulrike Meinhof, Gudrun Ensslin i Jana-Carla Raspego.

Szwedzki minister sprawiedliwości co rusz dzwoni do terrorystów, obiecuje im wolność za życie zakładników. RAF odrzuca propozycje.

Wieczorem zbiera się niemiecki sztab kryzysowy: członkowie rządu federalnego, premierzy rządów krajowych, szefowie wszystkich, także opozycyjnych, partii politycznych. Kanclerz Schmidt stwierdza: „Cały mój instynkt mówi mi, że nie wolno nam ustąpić". Wszyscy są za. O 19.00 kanclerz telefonicznie informuje o decyzji premiera Olofa Palmego. Ruszają przygotowania do planowanego na północ szturmu. Dodatkowi snajperzy zajmują pozycje, skrycie podjeżdża samochód pancerny z miotaczem gazu usypiającego K-62. O 22.30 jeden z okupujących ambasadę pyta o *attaché* gospodarczego. Podnosi się dr Hillegaart. Terroryści wyprowadzają go i przy oknie strzelają doń 3 razy. Zwłoki *attaché* zwisają z okna.

13 minut przed północą – godziną ataku – w ambasadzie rozlega się silny wybuch. To napastnicy przez nieuwagę detonują swój ładunek. Podmuch rzuca otaczających budynek policjantów na ziemię. Płomienie ogarniają trzecie piętro. Siła wybuchu wyrzuca przez okno na trawnik jednego z terrorystów. W ciągu paru minut umiera. 2 inni napastnicy RAF też wylatują przez okna, ale, choć ranni, żyją. Z morza płomieni wyłania się ciężko poparzony ambasador Stoecker, któremu udało się uwolnić z więzów. Za nim idzie 3 napastników. Porzucili broń i udają zakładników, ale policja rozpoznaje ich i aresztuje. Straż pożarna, przygotowana do asekurowania szturmu o północy, błyskawicznie wdziera się na

płonące piętro i ratuje resztę poranionych, poparzonych zakładników.

25 kwietnia 1980 ▪ piątek

Szpon w piasku

Z pokładu amerykańskiego lotniskowca USS „Nimitz” płynącego po Morzu Arabskim startują wielkie śmigłowce RH-53D Sea Stallion (Morski Ogier). Gdy ostatnia, 8. maszyna wzbija się w powietrze, zgrupowanie śmigłowców bierze kurs na północ, w stronę wybrzeża Iranu. Jest 24 kwietnia, godz. 17.50. Nad emiratem Oman leci w tym czasie 6 ogromnych samolotów transportowych C-130 Hercules. Wystartowały z amerykańskiej bazy wojskowej Kena w Egipcie, nad Morzem Czerwonym, okrążyły Półwysep Arabski i teraz znad Omanu zmierzają w stronę wybrzeży Iranu. Rozpoczęła się operacja „*Eagle Claw*” (Szpon Orła).

Orli szpon słynnej amerykańskiej jednostki specjalnej, grupy antyterrorystycznej sił lądowych Delta Force, ma oswobodzić i wywieźć z Iranu blisko 53 zakładników uwięzionych w Teheranie, w ambasadzie USA i w gmachu irańskiego MSZ.

W zeszłym roku islamska rewolucja zmiotła krwawe rządy szacha Mohammada Rezy Pahlawiego, wiernego sojusznika Stanów Zjednoczonych. W listopadzie zeszłego roku uzbrojeni irańscy studenci zajęli ambasadę USA w Teheranie i uwięzili 53 obywateli amerykańskich. Tylko 6 dyplomatom udało się uciec bocznym wyjściem i schronić w ambasadzie kanadyjskiej. Nowe władze Iranu za nic mają oburzenie świata pogwałceniem eksterytorialności ambasady. Mediacja ONZ i Międzynarodowego

Czerwonego Krzyża nie przynosi skutków. Przed 2 dniami państwa EWG nie zgodziły się na żądanie Waszyngtonu wprowadzenia sankcji ekonomicznych wobec Iranu. Świat jest bezradny wobec uporu zaciętych ajatollahów.

Już 2 dni po zajęciu ambasady w Teheranie prezydent Jimmy Carter polecił rozpocząć przygotowania do uwolnienia zakładników siłą.

Na papierze „*Eagle Claw*" prezentuje się tak efektownie jak hollywoodzki scenariusz filmu akcji. Pierwszego dnia operacji 6 herculesów ma przetransportować grupę komandosów Delty, zapasy sprzętu i paliwa dla helikopterów do punktu lądowania „*Desert one*" wyznaczonego na pustyni Dasht-i-Kavir, ok. 320 km na południowy wschód od Teheranu. W tym samym czasie do „*Desert one*" powinno dolecieć 8 helikopterów z lotniskowca. Po zmroku sea stalliony zatankować mają paliwo dostarczone przez samoloty, zabrać komandosów Delty i niezauważone, przelecieć do punktu „*Desert two*" na pustyni, wyznaczonego w odległości ok. 120 km od Teheranu. Tam komandosi i śmigłowce przeczekać powinni w ukryciu następny dzień. Podczas kolejnej nocy operacji śmigłowce mają ruszyć na Teheran i wysadzić desanty komandosów na terenie okupowanej ambasady USA oraz irańskiego MSZ. Jednocześnie na ambasadę i ministerstwo uderzyć powinni amerykańscy agenci zakonspirowani w Teheranie. Najbardziej efektowna ma być ewakuacja z Iranu. Oto komandosi z uwolnionymi zakładnikami odlatują z Teheranu na odległe o 56 km irańskie lotnisko w Manzanyeh. Zanim tam dolecą, lotnisko zajmie drugi desant, liczący ponad 100 komandosów Delta Force, wspierany przez 3 tzw. latające kanonierki, samoloty AC-130 Spectre nafaszerowane armatami, bombami i rakietami. Pod ich osłoną uratowani zakładnicy, ich wyzwoliciele z Teheranu

i zdobywcy Manzanyeh mają załadować się na płycie lotniska do 2 ciężkich transportowców C-141 Starlifter i ulecieć na wolność ubezpieczani przez samoloty myśliwskie z lotniskowca USS „Coral Sea", operującego na Morzu Arabskim wspólnie z USS „Nimitz".

Śmiałym planem rozkoszowali się sztabowcy z Kolegium Połączonych Szefów Sztabów i doradcy prezydenta Cartera. Dowódcy liniowi, którzy nieraz wąchali proch, od początku okazywali znacznie mniej entuzjazmu. Plan wymaga, by do końca akcji komandosi dysponowali co najmniej 6 sprawnymi helikopterami. A co będzie, gdy atakujący stracą więcej niż 2 śmigłowce? A jeśli pojawią się jakieś opóźnienia? Harmonogram „*Eagle Claw*" nie przewiduje choćby drobnych odstępstw.

Podczas etapu wstępnego planowania operacji gen. Vaught zagadnął płk. Charlesa Beckwitha, twórcę i dowódcę Delta Force, który ma osobiście dowodzić akcją uwolnienia zakładników:

– Jakie jest ryzyko, pułkowniku Beckwith?

– O, około 99,9 procent.

– Jaka możliwość sukcesu?

– Zero.

– No dobrze, nie możemy tego robić – przyznał gen. Vaught.

Ale zrobiono to.

Ekspedycja śmigłowców przelatuje nad irańskim brzegiem i kieruje się w głąb kraju, nad rozległą Pustynię Lota. Przed miesiącem amerykański helikopter rozpoznania przeleciał tą trasą i dotarł do punktu „*Desert one*". Oficer wywiadu objechał pustynne lądowisko lekkim motocyklem, poukrywał w piasku światła lądowania włączane z powietrza impulsem radiowym. Piloci w czasie tego rejsu stwierdzili, że radary irańskiej obrony przeciwlotniczej są skuteczne dopiero powyżej 1000 m. Ale teraz załogi sea stallionów otrzymują od kontrolera lotu na pokładzie

lotniskowca „Nimitz" niezrozumiały rozkaz obniżenia pułapu celem uniknięcia radarów przeciwnika do zaledwie 60 m. Na skutki nie trzeba długo czekać. Nad Pustynią Lota szaleje *habab*, pustynny sztorm wzbijający ogromne tumany piasku. Widoczność spada do minimum. Helikopter nr 6 omal nie uderza w poprzedzającą go maszynę. Awaryjnie ląduje w piasku. Jego załogę zabiera inny sea stallion, ale nie jest już w stanie dogonić reszty śmigłowców. Opuszczona maszyna pozostaje w piaskach. Niedługo potem 2 inne helikoptery gubią szyk. I także lądują awaryjnie na pustyni.

Jakby tego było mało, załoga śmigłowca nr 5 wykrywa poważną awarię i zawraca na południe, w stronę lotniskowca. W akcji pozostaje zatem 6 maszyn, niezbędne minimum.

Tymczasem samoloty transportowe bez kłopotu, niewykryte przez irańską obronę, docierają do „*Desert one*" na Dasht-i-Kavir. Uruchomione sygnałem radiowym ukryte w piasku lampy zapalają się i pierwsze herculesy pomyślnie lądują na pustyni. Komandosi Delta Force wyskakują z maszyn i biegiem zajmują stanowiska ubezpieczające lądowisko. Szybko okazuje się, że to nie zbytek regulaminowej ostrożności. Nocą jedzie przez pustynię irański autobus. Komandosi zatrzymują go. W środku jest 45 pasażerów. Co z nimi zrobić? Amerykanie nie mają czasu na zastanawianie się, bo w kłębach kurzu zbliżają się do nich 2 irańskie ciężarówki. Żołnierze dostali zakaz otwierania ognia, o ile nie zostaną zaatakowani przez Irańczyków, ale po ciężkim locie w piaskowej burzy i szokującej konstatacji, że o północy na środku irańskiej pustyni ruch jest jak na Manhattanie, nerwy odmawiają im posłuszeństwa. Rozlega się huk wystrzałów i nagle nad piaskami wyrasta potężny grzyb ognia. Pierwsza z ciężarówek to cysterna z benzyną. Drugi samochód błyskawicznie zawraca i znika w mrokach nocy.

Operacja „*Eagle Claw*" jest zdekonspirowana. Nikt jednak nie podejmuje decyzji o jej przerwaniu. Kolejne 2 herculesy lądują, wysadzają komandosów i pośpiesznie startują. 100 żołnierzy Delta Force okopuje się w piaskach i czeka na helikoptery. Mija północ, jest już 25 kwietnia.

Wiadomość o lądowaniu herculesów dodaje animuszu załogom śmigłowców walczących z piaskową burzą gdzieś nad Pustynią Lota. 2 maszyny przyczajone po awaryjnym lądowaniu w piaskach podrywają się i lecą za czołową czwórką. Pierwsze helikoptery pojawiają się nad „*Desert one*" krótko przed 1.00 w nocy. Z rozpoznaniem miejsca zbiórki nie mają najmniejszych kłopotów – słup ognia płonącej cysterny widoczny jest z odległości wielu kilometrów. Gdy przylatują ostatnie 2 śmigłowce, opóźnienie akcji przekracza już 2 godziny.

O 1.00 w nocy awaria pokładowej hydrauliki wyłącza z akcji helikopter nr 2 – nie można go używać w pełni obciążonego. Sprawdzają się najgorsze przypuszczenia płk. Beckwitha. Harmonogram operacji poszedł w rozsypkę, pozostało tylko 5 sprawnych śmigłowców. Płk Beckwith wydaje rozkaz przerwania akcji i wycofania się śmigłowcami na lotniskowiec.

Startujące sea stalliony wzbijają ogromne chmury kurzu. Pilot jednego z helikopterów traci orientację i jego maszyna uderza w stojącego nieopodal herculesa. Obie maszyny stają w płomieniach. Dla płonących żywcem 5 członków załogi herculesa i 3 pilotów sea stalliona nie ma ratunku. Komandosi odciągają od wstrząsanych detonacjami maszyn resztę lotników, rannych i poparzonych. Płk Beckwith rozkazuje wysadzić wszystkie śmigłowce i ewakuować się na pokładach herculesów. W zamęcie i bałaganie załogi helikopterów nie wykonują rozkazu. Komandosi i piloci sea stallionów pośpiesznie pakują się do 2 wielkich

samolotów transportowych, pozostawiając ciała poległych, 5 w pełni sprawnych, zatankowanych sea stallionów, a na ich pokładach tajne plany operacji „*Eagle Claw*”. 2 herculesy startują i kierują się na południe.

Nad ranem zjawiają się pierwsze patrole irańskich strażników rewolucji. Strażnicy fotografują się na tle zwęglonych zwłok amerykańskich lotników. Szybko znajdują w porzuconych śmigłowcach teczki z tajnymi dokumentami, a w nich dane amerykańskich agentów przyczajonych w Teheranie.

26 kwietnia 1986 ▪ sobota

Eksperymentatorzy

Punktualnie o północy dyżur w sterowni IV bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu obejmuje zmiana nr 5. Przed półkolistym pulpitem sterowniczym z setkami wskaźników, zegarów, lampek i pokręteł zasiada naczelnik zmiany inż. Aleksander Akimow. Lewa strona pulpitu przeznaczona jest do sterowania reaktorem. Tam siada st. inż. sterowania reaktorem Leonid Toptunow. Przy prawym skrzydle pulpitu, służącym do sterowania turbinami elektrowni, jest już st. inż. sterowania turbinami Igor Kirszenbaum. Między nimi miejsce zajmuje st. inż. sterowania blokiem Borys Stolarczuk.

W klimatyzowanej sterowni powinno siedzieć tylko tych 4 inżynierów. Ale dziś w nocy jest tu tłok. Z tyłu siedzi zastępca głównego inżyniera elektrowni Anatolij Diatłow, szczupły, gładko zaczesany mężczyzna w średnim wieku. Obok niego – inż. Miedlenko ze zjednoczenia „Dontechenergo”, inżynierowie

z Charkowskiej Fabryki Turbin i część zmiany nr 4. W sumie tuzin osób. Wszyscy obserwują eksperyment.

Eksperyment zaczął się przed 23 godzinami. Podjęto go, bo zbudowany w 1983 roku IV blok został wadliwie zaprojektowany i wyposażony. Wszystkie urządzenia czarnobylskiej elektrowni, w tym także służące do obsługi reaktora w wypadku awarii, zasilane są prądem z turbin napędzanych przez parę z reaktora atomowego. Gdyby para przestała dopływać do turbin, zabrakłoby prądu do awaryjnej obsługi reaktora. Na taką możliwość blok IV zaopatrzono w rezerwowy generator napędzany silnikiem Dieslowskim. Projektanci wyliczyli, że zanim turbina napędzana siłą inercji przestanie wirować, generator Diesla zdąży rozpędzić się do potrzebnych obrotów.

Ale w praktyce okazało się, że generatory rozpędzają się zbyt wolno. Do osiągnięcia pełnej mocy potrzebują 40 sekund, a moc ta potrzebna jest już po upływie kilkunastu sekund. W normalnym świecie nie byłoby wielkiego problemu – kupiono by lepsze generatory Dieslowskie. Ale w świecie komunizmu, w świecie wskaźników, rubli dewizowych, przydziałów, limitów, w tym świecie o kupieniu potrzebnego generatora (choć produkuje takie sąsiednia, też komunistyczna, Polska) nie ma mowy. Inżynierowie ze zjednoczenia „Dontechenergo" przeprojektowali zatem główny generator parowy tak, by dłużej wytracał swe parametry po odłączeniu pary. Kupno nowego generatora Diesla byłoby wielokrotnie tańsze i prostsze, ale wiadomo – komunizm.

Od wczoraj inżynierowie testują udoskonaloną turbinę. Choć przepisy wymagają, by tego typu próby prowadzić pod nadzorem głównego konstruktora reaktora oraz państwowego nadzoru atomowego, główny inżynier elektrowni Anatolij Fomin, jego zastępca Diatłow i kierownik wydziału reaktorów Aleksander

Kowalenko zdecydowali, że poeksperymentują samodzielnie. Wczoraj o godz. 14.00, w 13. godzinie prób, Diatłow polecił – zgodnie z programem eksperymentu – odłączyć system chłodzenia awaryjnego. Wkrótce eksperymentatorzy mieli przystąpić do zatrzymania turbiny. Ale nagle z kijowskiej dyspozytorni mocy przyszło polecenie, by wyłączenie wstrzymać jeszcze na parę godzin – w sieci brakło energii. Polecenie wykonano. Turbina pracowała. Zmęczeni inżynierowie zapomnieli tymczasem, że pracuje ona z wyłączonym systemem chłodzenia awaryjnego.

Kijów zezwolił na wyłączenie jej dopiero wczoraj, późnym wieczorem. Inżynierowie słaniali się na nogach, ale żądny sukcesu Diatłow zarządził kontynuowanie eksperymentu. Odłączono tzw. ŁAR, system automatycznej regulacji mocy reaktora atomowego. Od tej pory nad reaktorem zapanować mogli już tylko operatorzy, sterując ręcznie jego parametrami. To trudna sztuka. Sprostać jej będą musieli inżynierowie piątej zmiany – zmęczeni, zestresowani wcześniejszymi, długotrwałymi przygotowaniami do eksperymentu.

Jest 5 minut po północy. Piąta zmiana przejmuje sterowanie blokiem. Inż. Toptunow stopniowo, powoli obniża moc reaktora. Ma utrzymać ją ostatecznie na poziomie 1500 MW. Ale o godz. 00.28 Toptunow popełnia błąd operatorski. Moc reaktora gwałtownie spada do 30 MW. Reaktor wchodzi w stan niestabilny. Jego rdzeń zaczyna się zatruwać niebezpiecznymi izotopami, głównie ksenonem-135. Diatłow zrywa się z fotela, biega na operatorami, krzyczy: „Japońskie karaski! Nie potraficie! Analfabeci! Zerwaliście doświadczenie!". Czas płynie, reaktor niebezpiecznie zatruwa się. Co robić?

Toptunow gorączkowo naradza się z Akimowem. Za ich plecami Diatłow wrzeszczy, by natychmiast zwiększyć moc, bo nie będzie

eksperymentu. W końcu Toptunow podejmuje jedynie słuszną decyzję: „Nie będę zwiększał mocy". Popiera go Akimow. Rozwścieczony Diatłow rozkazuje mu – wbrew instrukcji obsługi reaktora – wyciągnąć wszystkie pręty sterujące ze strefy aktywnej reaktora. Toptunow odmawia. To byłoby igranie z ogniem, atomowym ogniem. Wtedy Diatłow krzyczy, że jeśli Toptunow nie wykona jego polecenia, to wykona je inż. Trehub, szef zmiany operatorów bloku IV, która skończyła pracę o północy i która z ciekawości została w sterowni. Popiera go Fomin.

Młodziutki, zaledwie 25-letni Toptunow boi się, że jeśli uprze się i jeszcze raz odmówi, Diatłow wyrzuci go z pracy. Wyciąga pręty sterujące. Nic już nie może powstrzymać eksplozji reaktora.

Ale to nie koniec szaleństw Diatłowa. Teraz każe on odłączyć automatyczny system opuszczania prętów bezpieczeństwa do strefy aktywnej reaktora. Pod presją wrzasków Diatłowa Fomin odłącza system. Jest godz. 0.43.

15 minut później Diatłow poleca włączyć dodatkowe pompy układu chłodzącego. To część planowanego eksperymentu, ale w tej krytycznej sytuacji włączenie ich pogarsza jeszcze chłodzenie reaktora. Borys Stolarczuk miota się przy swojej części pulpitu sterowniczego. Usiłuje ustabilizować niebezpiecznie spadające ciśnienie pary w newralgicznej części systemu chłodzącego. Niczym multiinstrumentalista przesuwa suwaki, kręci pokrętłami, ale wszystko na nic.

Wrzaski i wyzwiska Diatłowa odebrały operatorom bloku resztki instynktu samozachowawczego. Udziela się im histeria Diatłowa – eksperyment ponad wszystko! Aby eksperyment uratować, wyłączają ostatnie zabezpieczenie, uruchamiające proces wygaszania reaktora w wypadku przekroczenia parametrów cieplnych.

Jest godz. 1.22,5 sekundy. Toptunow zauważa katastrofalne zmiany parametrów reaktora. Wyłączyć, wyłączyć ten reaktor! Ale Diatłow niczym bokser zamroczony ciosem nie reaguje na nic, co mogłoby zakłócić wymarzony eksperyment. Poleca inż. Kirszenbaumowi odłączenie dopływu pary to turbiny. Czyste szaleństwo, ale Kirszenbaum posłusznie zamyka zawór główny. Turbina gwałtownie zwalnia, zapasowy generator dieslowski – jak było do przewidzenia – zbyt wolno wkręca się na obroty. W reaktorze nagle rośnie ciśnienie, w mgnieniu oka kilkanaście razy rośnie jego moc. Wskaźniki na pulpicie wariują, słychać złowrogie buczenie wpadających w rezonans rur obwodów chłodzenia. Od zatrzymania dopływu pary do turbiny mija 36 sekund, gdy nagle ze zbiorowego zaczadzenia wyrywa się szef piątej zmiany Aleksander Akimow.

„Lonia, włączaj AZ-5!" – krzyczy do Toptunowa.

AZ-5 to awaryjny system opuszczania do strefy aktywnej reaktora prętów bezpieczeństwa, odłączony przed 40 minutami na polecenie Diatłowa.

Toptunow zrywa osłonkę i kurczowo naciska czerwony przycisk. Ale rosnąca w reaktorze temperatura powoduje wykrzywienie cyrkonowych rur w strefie aktywnej – większość prętów jest już zablokowana. Zmartwiały ze zgrozy Toptunow zwalnia umocowania prętów, by te z nich, które jeszcze mogą się poruszać, natychmiast, pod swym ciężarem, opadły do wnętrza reaktora. Ale już żaden pręt nie ma swobody ruchu.

Ciśnienie pary rozsadza rury i wypycha ogromną płytę przykrywającą rdzeń reaktora. Do wnętrza dostaje się powietrze, wybuchają płomieniem bloki grafitu. W hali reaktorowej wodór przedostaje się do powietrza. O 1.24 potężna eksplozja targa blokiem IV. Wybuch rozrywa dach, podrzuca ważącą 400 t

ładowarkę, która spada na płonący rdzeń reaktora. Nad elektrownią wykwita gigantyczny słup ognia.

Po 10 minutach pod blok IV podjeżdżają wozy straży pożarnej elektrowni. Gigantyczny blok IV płonie co najmniej w 30 miejscach.

W sterowni siedzą otępiali eksperymentatorzy. Założyli aparaty oddechowe, zapobiegające dostaniu się do płuc radioaktywnych skażeń. Akimow przypomina sobie o preparacie jodowym, który zapobiega wchłanianiu przez organizm radioaktywnego izotopu jodu. Wyjmują ze skrytki awaryjnej preparat, rozpuszczają w wodzie, wypijają.

Strażacy w zwykłych mundurach, bez masek, gaszą pożary bloku IV.

O 1.45 dociera pod blok IV dowódca zakładowej straży pożarnej mjr Leonid Tielatnikow. Odnajduje Akimowa. Idą obejrzeć halę reaktora. Przez szczelinę w murach dostrzegają w centralnej sali dziwną, nieziemską poświatę. Tielatnikow dziwi się – a cóż tam mogłoby się palić, przecież w tej sali nie ma nic prócz reaktora.

Wysoko nad nimi strażacy gaszą pożar dachu nad reaktorem. Obsypują ich rozżarzone kawałki grafitu z wnętrza reaktora, ziejące promieniowaniem. Strażacy jeden po drugim opadają z sił, tracą przytomność.

O 2.00 w nocy szef hali reaktorów bierze 6 ludzi. Mają dotrzeć do hali reaktora atomowego, zobaczyć, co się stało. Do reaktora nie docierają, ale wypuszczają z instalacji 500 m sześc. wodoru. Gdyby eksplodował, katastrofa zamieniłaby się w apokalipsę. Wracają do sterowni. Idą bez sił, powłóczą nogami, kaszlą, wymiotują. W ciemnościach miota się inż. Akimow. Teraz chce odkupić swe wcześniejsze winy. Zagląda do najbardziej niebezpiecznych miejsc, próbuje wedrzeć się do zablokowanej hali reaktora.

Na pogotowiu w pobliskim miasteczku Pripiat dyżur ma dziś w nocy dr Walentin Białokoń. Karetki przywożą strażaków. Jacyś są dziwni. Język się im plącze jak pijakom, słaniają się na nogach, wymiotują. Doktor sprawdza – nie pili. Przyjeżdżają dziesiątki następnych – i wszyscy z takimi samymi objawami. O 6.00 przyjeżdża dozymetrysta z przyrządem pomiarowym. Krzyczy na doktora: „Dlaczego tu stoicie bez środków ochronnych? Tu jest szalony poziom skażenia!". Bada chorych strażaków – chodzące bomby promieniotwórcze. Teraz i doktorowi robi się słabo, język się plącze, zbiera na wymioty. Już wie – choroba popromienna.

W środku nocy do elektrowni dociera dyrektor Wiktor Briuchanow. Szybko orientuje się, że reaktor w bloku IV eksplodował, że płonący rdzeń wyrzuca w powietrze dużo więcej materiałów radioaktywnych, niż spadło ich na Hiroszimę po wybuchu bomby atomowej. Briuchanow ma uprawnienia, służbowy obowiązek i zwyczajną ludzką powinność, by zawiadomić załogę elektrowni o skażeniu i ewakuować ludność Pripiati. Ale Briuchanow z naczelnikiem zmiany Rogożkinem nie mają zamiaru ryzykować swych karier. Polecają pracownikom zakładowej obrony cywilnej, dokonującym pomiarów skażenia jedynym dostępnym dozymetrem, przekazywanie do Kijowa sfałszowanych, 50-krotnie zaniżonych wyników badań. Utajniają zagrożenie skażeniem przed załogą, przed mieszkańcami Pripiati, ba, wpuszczają o 8.00 następną zmianę załogi elektrowni. Byle nie zdenerwowali się towarzysze w komitecie kijowskim. O 10.00 II sekretarz kijowskiego komitetu KPZR towarzysz Małomuż zarządza, by nie zawiadamiać ludności milionowej metropolii o promieniotwórczym skażeniu miasta. Ma być jak co dzień: uczniowie w szkołach, pracownicy w fabrykach, emeryci i dzieci w parkach.

Przez cały dzień, aż do późnej nocy, do Czarnobyla docierają ściągani przez Moskwę z całego Związku Radzieckiego naukowcy, eksperci, lekarze, napływają oddziały wojskowe. Wieczorem w komitecie miejskim KPZR w Pripiati sztab kryzysowy zaczyna radzić, jak opanować atomową katastrofę. Nieziemska, malinowa poświata nad szczątkami bloku IV widoczna jest teraz z daleka.

Czarnobyl po katastrofie elektrowni jądrowej

27 kwietnia 1960 ▪ niedziela

Z krzyża zdjęci

O 8.00 pod drewnianym krzyżem stojącym na skwerku między ul. Marksa i Majakowskiego w Nowej Hucie zatrzymuje się ciężarówka. Z paki zsiada kilkunastu mężczyzn z łopatami i kilofami. Nie tracąc czasu, biorą się do podkopywania fundamentu 10-metrowego krzyża. Inni ściągają z ciężarówki na ziemię solidną linę.

Zdziwieni przechodnie zatrzymują się, pytają, co się dzieje. Robotnicy uwijają się jak w ukropie. Zatrzymuje się samochód. Kierowca pyta brygadzistę Józefa Solarza, co robią jego ludzie.

„Musimy wykopać krzyż i zawieźć proboszczowi" – słyszy w odpowiedzi.

Drewniany krzyż stoi w miejscu, gdzie ma, a raczej miał, stanąć kościół.

Gdy władze rozpoczęły budowę Nowej Huty, o kościele dla jej mieszkańców nawet nie chciały słyszeć. Nowa Huta miała być nie tylko wzorcowym socjalistycznym osiedlem robotniczym, ale i klinem rozbijającym – w znakomitej większości antykomunistyczną – społeczność mieszkańców Krakowa. Dopiero odwilż w stosunkach państwo–Kościół po dojściu do władzy Gomułki dała nadzieję na budowę świątyni. Na przełomie lat 1956 i 1957 władze krakowskie zezwoliły na budowę i wskazały wstępną lokalizację kościoła – na terenie przyległym do skrzyżowania ul. Marksa i Majakowskiego. Pół roku później powstał Komitet Budowy Kościoła, który rychło zebrał pokaźną sumę ponad 2 mln zł. Na miejscu budowy parafianie postawili drewniany krzyż.

Ale ekipa Gomułki, gdy tylko poczuła się pewniej, zaostrzyła politykę wyznaniową.

Krakowskie władze najpierw postawiły kurii ultimatum: budowa dojdzie do skutku, jeśli zostanie odwołany niewygodny proboszcz

parafii Bieńczyce ks. Stanisław Kościelny. Stawka była wysoka – ogromna rzesza wiernych nie mogła w nieskończoność pozostawiać bez kościoła parafialnego. Kuria ostatecznie wyraziła zgodę na objęcie parafii przez nowego proboszcza, ks. Mieczysława Satorę.

I tylko o to władzom chodziło.

Pół roku temu Wydział Architektury Prezydium Rady Narodowej Miasta Krakowa uchylił wcześniejszą decyzję o lokalizacji nowego kościoła. Komitet Budowy władze postanowiły pod byle pretekstem rozwiązać, a zebrane przezeń na budowę świątyni 2 mln po prostu zagrabić i przekazać na państwowy Fundusz Budowy Szkół. Na rogu Marksa i Majakowskiego zaś, na terenie oficjalnie noszącym miano pl. Teatralnego, zaplanowano wybudowanie szkoły tysiąclatki w ramach akcji „1000 szkół na tysiąclecie". Na nic zdały się protesty i interwencje proboszcza Satory i krakowskiego wikariusza generalnego bp. Karola Wojtyły.

Tydzień temu Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych jako inwestor szkoły tysiąclatki na terenie pl. Teatralnego zażądała od proboszcza Satory usunięcia drewnianego krzyża. Ostateczny termin wyznaczyła na wczoraj.

O co chodzi mężczyznom rozkopującym ziemię pod krzyżem, pierwsze orientują się kobiety. Kilka z nich podbiega do krzyża i mocno go obejmuje. Robotnicy kopią. Ktoś krzyczy: „Krzyż, krzyż wykopują!". Podbiegają kolejni przechodnie. Większość to kobiety. Z zakupami, z dziećmi. W zamieszaniu rozlewa się mleko niesione przez nie w metalowych kankach, rozsypują się zakupy. Robotnicy z ponurą determinacją kopią dalej. Wreszcie krzyż zaczyna się chylić na bok. Robotnicy biorą się za linę, by ostatecznie wyrwać go z gruntu. Widząc to, kobiety rzucają w nich grudami ziemi i kamieniami. Robotnicy uciekają. Z okolicznych bloków wybiegają mieszkańcy i znów ustawiają krzyż.

W pobliżu pojawia się milicyjna nyska i kilka patroli funkcjonariuszy. Na razie stoją bezczynnie, obserwują rozgorączkowanych mieszkańców. W tłumie są urzędnicy dzielnicowej rady narodowej. Nawołują do rozejścia się. Mieszkańcy obrzucają ich epitetami, ale nikt nie robi im krzywdy.

Mieszkająca w pobliżu Janina Drąg wraca do mieszkania. Z książeczki *Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej* przepisuje artykuły gwarantujące obywatelom wolność sumienia i wyznania. Pod spodem dopisuje wielkimi literami: „Żądamy wolności!". Wraca na plac i kartkę przypina pinezką do krzyża.

Tymczasem komendant dzielnicowy MO alarmuje komendę wojewódzką milicji. Województwo reaguje błyskawicznie. Ok. 11.00 przed budynkiem rady narodowej w Nowej Hucie pojawiają się 2 plutony ZOMO.

Pod krzyżem jest już ponad 1000 osób. Ustawiają płonące świece, rzucają kwiaty i pieniądze na budowę kościoła. Wielu klęczy i śpiewa nabożne pieśni. Milicjanci stoją w pobliżu, ale nie interweniują. Nikt ich nie zaczepia. Urzędnicy rady narodowej ciągle przechadzają się w tłumie, wzywają do opamiętania się i rozejścia. Wreszcie ktoś z wiernych nie wytrzymuje i tłucze działacza dzielnicowego komitetu partii. Potem zdrowe cięgi obrywa jeszcze kilku innych partyjnych i tajniaków SB. Na ten widok ruszają się milicjanci. Podbiegają do bitych, osłaniają ich, pomagają wymknąć się z tłumu.

O 14.30 wierni atakują przeciskających się pod krzyż 2 oficerów milicji. Funkcjonariusze rzucają się do ucieczki. Kilkadziesiąt osób z kamieniami w rękach biegnie za nimi. Na pomoc ściganym wyjeżdża milicyjna nyska. Oficerowie wskakują do radiowozu i odjeżdżają w kierunku rady narodowej. Rozjuszeni ludzie ścigają nyskę aż do gmachu rady. Tam zatrzymują się przed samochodami

z zomowcami przysłanymi przez komendę wojewódzką MO. Zaskoczony tłum nie atakuje, ale i nie ucieka. Po kwadransie pierwsi śmiałkowie sięgają po kamienie. Zomowcy wysiadają, formują szyk i ruszają na demonstrantów. Tłum ucieka, po chwili jednak wraca. O blachy samochodów ZOMO bębnią kamienie, pryskają szyby. Zomowcy znów ruszają do ataku. I tak kilka razy.

Tłum przed budynkiem rady narodowej rośnie błyskawicznie. Rośnie też determinacja demonstrantów. Gdy kilku złapanych mężczyzn zomowcy zamykają w nysce pod strażą jednego funkcjonariusza, zatrzymani biją go i uciekają.

Wśród demonstrantów krążą po cywilnemu tajniacy i robią zdjęcia. Inni tajniacy rozpuszczają pogłoskę, że to korespondenci zagraniczni fotografują. Dumni mieszkańcy uśmiechają się do obiektywów.

Kwadrans przed 16.00 2-tysięczny tłum otacza grupę zomowców przed budynkiem straży pożarnej. Przybywa odsiecz ZOMO i z trudem wyprowadza otoczonych z opresji. Milicjanci biją demonstrantów pałkami, rzucają w tłum pojemniki z gazem łzawiącym. W ich stronę lecą teraz już nie tylko przypadkowo znalezione kamienie, ale i potężne kostki brukowe wyrwane z nawierzchni ulic. Obrońcy krzyża mają pod ręką prawdziwy skład amunicji – w pierwszej godzinie zamieszek kierowca przejeżdżającej wywrotki zrzucił pod krzyżem wieziony gruz i brukowce, krzycząc przy tym: „Ludzie, krzyż wam zabierają, a wy co?".

Ok. 16.00 zamieszki rozlewają się po całej Nowej Hucie. Demonstranci docierają na pl. Centralny, rozbijają budkę milicyjną, zatrzymują tramwaje i samochody w poszukiwaniu milicjantów. Znalezionych funkcjonariuszy biją i pędzą precz. Dzielnicowy Czesław Łakota umyka przed prześladowcami do cukierni. Tam, szachując ich wyciągniętym pistoletem, wzywa przez telefon

pomoc. Demonstranci podpalają magazyn słodyczy, do którego ostatecznie wycofał się dzielnicowy. Milicyjna odsiecz przybywa w ostatniej chwili.

Do Nowej Huty napływają kolejne formacje milicji. Władze wysyłają do akcji żołnierzy miejscowego pułku KBW, blokują wszystkie drogi prowadzące do dzielnicy. Na wszelki wypadek żołnierze rozbrajają strażników przemysłowych Huty im. Lenina. Po 17.00 demonstranci pod naciskiem milicyjnych tyralier uciekają, by po chwili znów zebrać się i atakować kamieniami. Z okien i balkonów na zomowców lecą butelki i doniczki. Coraz więcej rannych, także ciężko, milicjantów odsyłanych jest do szpitala.

O 20.00 MO przystępuje do generalnego szturmu. 2-tysięczny tłum modlących się pod krzyżem atakowany jest przez ponad 300 funkcjonariuszy, w tym przez pluton milicjantów z psami i 2 armatki wodne. Mieszkańcy budują na ul. Majakowskiego barykadę z ławek. Bronią się kamieniami, butelkami. Jacyś desperaci wskakują na opancerzone samochody z armatkami wodnymi i szmatami usiłują zatkać szczeliny obserwacyjne. Słychać okrzyki: „Za wiarę! Za ojczyznę! Pachołki moskiewskie!".

Coraz więcej demonstrantów jest wyłapywanych przez milicję, bitych, kopanych i wywożonych odkrytymi ciężarówkami do aresztu na Siemiradzkiego lub do więzienia na Montelupich. Aresztowani wykrzykują do przechodniów swoje adresy, śpiewają *Boże coś Polskę* i *Mazurka Dąbrowskiego*.

Po zmroku inicjatywę przejmują demonstranci. Atakują cegłami, kamieniami i wyrwanymi gdzieś żelaznymi prętami. Złapanych zomowców biją dotkliwie, rozbierają do rosołu.

Pod gmachem rady narodowej demonstranci obrzucają butelkami z benzyną wycofującą się z ul. Marksa kolumnę samochodów ZOMO. W ogniu staje milicyjny gazik. Zomowcy zaczynają strzelać

w powietrze. Słysząc strzelaninę, milicjanci w innych miejscach ulicznych walk także sięgają po broń. Wszyscy wyposażeni są w ostrą amunicję.

O 21.30 dyrektor zakładów energetycznych dostaje od komendanta milicji polecenie wyłączenia zasilania linii tramwajowej do Krakowa. Wyłącza zaś prąd w całej Nowej Hucie.

W ciemnościach demonstranci przystępują do generalnego kontrataku. Wdzierają się do gmachu rady narodowej, podpalają go. Strażaków obrzucają cegłami. 2 milicjantów barykaduje się na trzecim piętrze. Coraz częściej słychać strzały. Kobiety opatrują rannych.

Po 23.00 postrzał w pierś dostaje 21-letni Jan Lis, pociski trafiają też inne ofiary.

Do Nowej Huty wjeżdżają kolejne oddziały milicji. Władze rzucają do akcji więcej żołnierzy KBW. Zwarte grupy walczących demonstrantów zostają rozbite dopiero koło północy. Największa, licząca 5 tys. ludzi, otaczała krzyż. Setki milicjantów i żołnierzy przeszukują dom po domu. Niezameldowanych straszliwie biją i aresztują.

Mimo wszystko w ciemnościach grupa kobiet trwa przy krzyżu. Modlą się, obejmują go. O 2.30 w nocy krzyż od świeczek zajmuje się ogniem. Kobiety gaszą pożar. Znowu trzymają się krzyża. Zomowcy biją je po palcach tak długo, aż wypuszczą go z rąk.

Obrona krzyża w Nowej Hucie

28 kwietnia 1945 ▪ sobota

Kochance nie darujemy

Benito Mussolini długo nie może zasnąć na podłodze ciasnego, zaryglowanego pokoiku na piętrze urzędu celnego w Germasino. Nie ma złudzeń – to już jego koniec.

Przed 2 laty, w lipcu 1943 roku, po wylądowaniu aliantów na Sycylii dotychczas wierna Wielka Rada Faszystowska uchwaliła w stosunku do niego wotum nieufności. *Duce* został aresztowany i osadzony w odizolowanej górskiej samotni Gran Sasso.

W brawurowej akcji uwolnili go na rozkaz Hitlera niemieccy komandosi pod dowództwem SS-Hauptsturmführera Ottona Skorzeny'ego. Mussolini utworzył potem na północy Włoch marionetkową Włoską Republikę Socjalną, której resztki właśnie rozsypują się atakowane od północy przez wojska aliantów, od wewnątrz zaś przez – w większości komunistycznych – partyzantów.

Wraz z wieloletnią kochanką Clarą Petacci Mussolini uciekał wczoraj znad jeziora Como do Szwajcarii. Przebrany za żołnierza Wehrmachtu, usiłował przemycić się w kolumnie wycofujących się w stronę Austrii Niemców. Rozpoznali go partyzanci z komunistycznej 52. Brygady im. Garibaldiego i uwięzili w urzędzie celnym w Germasino. Pochwycili też jadącą inną drogą Clarę Petacci.

O 1.30 w nocy dowódca brygady hrabia Pier Luigi Bellini delle Stellep rozkazuje przewieźć *duce* do miasteczka Blevio nad jeziorem Como. Aby nikt nie rozpoznał więźnia, partyzanci bandażują mu głowę. Po drodze dołączają do Mussoliniego jego kochankę. Nad jeziorem hrabia Bellini słyszy strzały zbliżających się amerykańskich czołgów. Za nic nie chce dopuścić, by 2 więźniów przejęli alianci – a tak było to zapisane w układzie rozejmowym z września 1943 roku między włoskim marsz. Pietro Badogliem i alianckim dowództwem – i wycofuje się z więźniami na północ, do farmy sympatyka komunistów Giacomo de Mario. Tam *duce* i Clara Petacci nad ranem idą spać w pokoju synów gospodarza.

Komunistyczni przywódcy w Mediolanie o 3.00 nad ranem wydają wyrok śmierci na dyktatora.

O 7.00 z Mediolanu wyjeżdżają na północ 2 samochody. W większym siedzi tuzin uzbrojonych komunistycznych partyzantów. Z tyłu, w czarnej lancii aprilii, prócz kierowcy jedzie 2 mężczyzn: zastępca komendanta głównego komunistycznych

brygad Garibaldiego Aldo Lampredi oraz Walter Audisio, oficer łącznikowy komunistów przy alianckich władzach w Mediolanie. Audisio, w konspiracji zwany „pułkownikiem Valerio", ubrany jest dość malowniczo – brązowy płaszcz przeciwdeszczowy przepasał szarfą we włoskich barwach narodowych, czerwono-zielono-białą. W kieszeni ma przepustkę wystawioną przez kpt. Daddario, oficera łącznikowego amerykańskiego wywiadu wojskowego OSS. Kpt. Daddario, odpowiedzialny w OSS za schwytanie i dostarczenie Mussoliniego przed aliancki trybunał, naiwnie wierzy, że włoscy komuniści wykonają za niego brudną robotę – pochwycą Mussoliniego i oddadzą *duce* w jego ręce.

Kolumna Audisia po drodze rekwiruje kolejne samochody: pomalowaną na żółto ciężarówkę i czarnego osobowego fiata 1100.

Tymczasem o 11.00 Mussolini i Clara Petacci wstają z łóżka. Żona gospodarza farmy przygotowuje im proste śniadanie. Jedzą je pod okiem wyraźnie podenerwowanych komunistycznych partyzantów – w nocy czołgi amerykańskiej 1. Dywizji Pancernej zdobyły pobliskie miasteczko Como. Po śniadaniu strażnicy odprowadzają oboje więźniów do ich pokoju.

Samochody pod dowództwem Audisia przejeżdżają przez Azzano nad jeziorem Como. Farma, na której przetrzymywany jest Mussolini, leży tylko parę kilometrów na zachód, ale Audisio nie ma o tym pojęcia. O 14.20 ekspedycja wjeżdża do miejscowości Dongo nad północną częścią jeziora Como. Partyzanci 52. Brygady im. Garibaldiego, którzy wcześniej opanowali to miasteczko, są przekonani, że 4 samochodami nadjechali faszyści, chcący uwolnić Mussoliniego. Nad włoskimi partyzantami ciąży kompleks uwolnienia *duce* w 1943 roku z miejsca odosobnienia na Gran Sasso przez spadochroniarzy i esesmanów Skorzeny'ego. Partyzanci z Dongo otwierają ogień do ekipy Waltera Audisio. Po chwili

jednak Audisio przekonuje strzelających, że jest wysłannikiem dowództwa komunistycznej partyzantki i ma za zadanie dokonać egzekucji Mussoliniego. Zastępca komisarza partyzanckiej 52. Brygady im. Garibaldiego Michele Moretti dołącza do grupy „pułkownika Valerio", która rusza z powrotem w stronę Mezzegry, gdzie więzieni są Mussolini i Petacci.

W Mezzegrze Audisio rozkazuje kierowcy zaparkować lancię w cichej, bocznej uliczce. Lamprediemu i Morettiemu zaś poleca czekać w samochodzie na jego powrót. Sam w asyście kilku partyzantów z większego samochodu rusza do farmy de Mario. Dociera tam krótko po 16.00 Walter Audisio działa z zaskoczenia. Z pistoletem maszynowym w ręku wpada do pokoju, w którym trzymani są *duce* i jego kochanka. Od progu mówi Mussoliniemu, że zjawia się, by go uratować. Popędza oboje więźniów, by szybciej się ubierali, bo trzeba natychmiast wyjechać z farmy.

W oszołomionym Mussolinim kiełkuje nadzieja – może uda się jeszcze raz, *deus ex machina*, jak w 1943 roku w Gran Sasso, uratować głowę? Mussolini nie zadaje pytań popędzającemu go Audisio, w ogóle nie ma pojęcia, kim jest ten władczy mężczyzna z krótko przyciętym wąsikiem pod nosem, w płaszczu przepasanym czerwono-zielono-białą szarfą, z pistoletem maszynowym w ręku. Wraz z Clarą zbiega wąską, brukowaną kocimi łbami dróżką z farmy w stronę drogi. Jego kochanka, w butach na wysokim obcasie, w spódnicy, z 2 torbami w rękach i płaszczem przerzuconym przez ramię, ledwo nadąża, potyka się o kamienie. Po dojściu do zabudowań Mezzegry Audisio doprowadza oboje do niewielkiego placu. 3 wieśniaczki piorą na nim bieliznę i nie zważają na 3 obcych. Na drodze stoi zaparkowana czarna lancia aprilia. Audisio nie daje ochłonąć swoim więźniom. Wpycha ich do samochodu, Lamprediemu i Morettiemu poleca stanąć na szerokim progu

nadwozia, sam zaś siada na przednim błotniku. 2 partyzantom ze swojej ekipy, Cantoniemu i Frangiemu, rozkazuje biec za samochodem i zatrzymać się po niespełna 200 m, w miejscu gdzie droga wije się gęstą serpentyną. Tam mają stanąć na posterunku i nie przepuszczać dalej nikogo.

Czarna lancia, po przejechaniu niespełna 300 m, zatrzymuje się przed ogrodzeniem Villi Belmonte. Jest pusto, na drodze nie widać nikogo. Lampredi i Moretti zeskakują z progu. Audisio, siedząc na błotniku, niedbale, przez ramię, poleca Mussoliniemu i Clarze Petacci wysiąść z samochodu. Gdy oboje stają przed murem, Audisio wyjmuje z kieszeni kartkę i odczytuje sentencję wyroku śmierci.

Petacci płacze, rzuca się na szyję *duce*, błaga o litość. Audisio odbezpiecza jednak pistolet maszynowy. Petacci zasłania sobą Mussoliniego. Audisio z zimną krwią celuje jej w plecy. Naciska spust. W ciszy jak makiem zasiał rozlega się metaliczny dźwięk. Niewypał. Petacci odwraca się i łapie za lufę automatu. Wściekły Audisio wyszarpuje z kieszeni pistolet, z odległości pół kroku celuje w Clarę i naciska spust. Znów rozlega się jedynie metaliczne uderzenie iglicy. Kolejny niewypał.

Audisio woła do Morettiego, by podał mu swój pistolet maszynowy. To rzadka, nietypowa broń, francuski automat MAS. Audisio długą serią zabija Clarę Petacci. Mussolini stoi pod murem w rozpiętym płaszczu i rozchełstanej marynarce. „Pułkownik Valerio" wystrzeliwuje resztę magazynka MAS w pierś *duce*. Mussolini osuwa się na ziemię, rzęzi. Audisio przeładowuje swój pistolet i stojąc nad konającym, wystrzeliwuje doń cały magazynek.

Po zabiciu *duce* „pułkownik Valerio" wskakuje do lancii i pędzi do Dongo. Tam rozkazuje, by sporą grupę schwytanych przez

partyzantów, do końca wiernych Mussoliniemu faszystów ustawić na skraju bulwaru, twarzą do jeziora. Osobiście wybiera spośród nich skazańców. Obok wysokich funkcjonariuszy reżimu, w rodzaju Alessandro Pavoliniego, sekretarza partii faszystowskiej, Paola Zerbino, ministra spraw wewnętrznych, Augusto Liveraniego, ministra łączności, skazuje na śmierć także brata kochanki Mussoliniego Marcello Petacciego i Bogu ducha winnego kapitana lotnictwa Pietro Calistriego. Wszystko po to by skazańców było 15 – tylu, ilu partyzantów przed 9 miesiącami rozstrzelali nieopodal faszyści.

Marcello Petacci przeskakuje barierkę i biegnie skrajem jeziora. Partyzanci Audisio paroma seriami kładą go trupem. Potem ustawiają się za plecami skazańców i zabijają ich seriami z pistoletów maszynowych. Ciała rozstrzelanych wrzucają na żółtą ciężarówkę i wiozą do Mediolanu. Po drodze partyzanci dorzucają zwłoki Mussoliniego i Clary Petacci. W Mediolanie czeka je opluwanie, masakrowanie i zawieszenie za nogi na jednym z placów przez żądny zemsty i igrzysk tłum.

Ciała Benita Mussoliniego i jego kochanki Clary Petacci wystawione na Piazzale Loreto w Mediolanie

29 kwietnia 1945 ▪ niedziela

W bunkrze wesele

Minęła północ. W bunkrze pod zburzonym gmachem Kancelarii Rzeszy Adolf Hitler wzywa najwierniejszych współpracowników do swego gabinetu. 30 zebranym oznajmia, że zdecydował się popełnić samobójstwo. Nikt nie jest zaskoczony – cóż innego bowiem mógłby zrobić Hitler, gdy Rosjanie wreszcie dotrą do Kancelarii i wedrą się do jej podziemi? Führer bierze garść mosiężnych pojemników, do złudzenia przypominających karabinowe łuski

z zakrętką zamiast pocisku. Wyjaśnia, że w środku znajduje się delikatna szklana ampułka z trucizną, którą należy rozgryźć i natychmiast połknąć. Goście Hitlera słuchają w milczeniu. Führer bez emocji wręcza każdemu po jednym pojemniku, tak jak dzieciom rozdaje się cukierki.

Po tym spotkaniu 2 sekretarki Hitlera: Traudl Junge i Gerda Christian, przychodzą na pogawędkę do pokoju Evy Braun.

Zgrabna, szczupła blondynka Eva Braun, pracująca w zakładzie fotograficznym Heinricha Hoffmana w Monachium, poznała starszego o 23 lata Adolfa Hitlera w roku 1929. Została jego kochanką, z czasem towarzyszką życia. Wysportowana, elegancka, uwielbiające podróże, fotografowanie i amatorskie kręcenie filmów, na żądanie Führera musiała zniknąć w jego cieniu. O jej istnieniu wiedział tylko krąg najbardziej zaufanych współpracowników Hitlera. Führer otoczył ją luksusem, kupował kosztowne stroje i prezenty, fundował wycieczki i wczasy za granicą, kupił dom w Monachium, ale Eva źle znosiła status ukrytej konkubiny. Dwukrotnie, w roku 1932 i 1935, próbowała popełnić samobójstwo. W końcu jednak pogodziła się z sytuacją. Pozostała wierna Führerowi do końca. 15 kwietnia, na dzień przed przełamaniem przez Armię Czerwoną frontu na Odrze, przyjechała z Monachium do Berlina i bez wahania została z Hitlerem w jego bunkrze.

Eva Braun przez chwilę gawędzi z sekretarkami, po czym mówi do pani Junge:

„Założę się, że jeszcze tego wieczoru będziecie płakać". Stenografki patrzą na siebie z przerażeniem. Zatem to już, to po to Führer rozdawał przed kwadransem ampułki z cyjankali?

Eva dostrzega ich przerażenie: „Nie, nie, to coś innego. Będziemy poruszeni tym, co się stanie, ale nie mogę niczego więcej teraz zdradzić".

Jest jednak jeszcze jedna osoba, która już wie, że Hitler dopiero co postanowił wziąć ślub z Evą Braun. To minister propagandy, od zeszłego roku także komisarz Rzeszy ds. totalnej mobilizacji, dr Joseph Goebbels. Ślub ma być dla wszystkich gości niespodzianką, ktoś jednak musi sprowadzić urzędnika stanu cywilnego. W płonącym, otoczonym przez Armię Czerwoną śródmieściu Berlina to karkołomne zadanie, ale któż lepiej się do tego nadaje niż Goebbels, który jest także komisarzem obrony Berlina?

Goebbels staje na wysokości zadania – przypomina sobie jednego z radnych dzielnicy Pankow, odpowiedzialnego za wywóz śmieci i szkolnictwo, Waltera Wagnera. Nic lepszego nie przychodzi Goebbelsowi do głowy, ale ten mistrz propagandy uznaje partyjnego prawnika Wagnera za wystarczającą namiastkę urzędnika stanu cywilnego. Wagner został zmobilizowany do Volkssturmu i walczy gdzieś niedaleko Kancelarii z sowieckimi piechurami. Goebbels wysyła patrol esesmanów z ochrony bunkra Führera na poszukiwania 38-letniego radnego.

Sprowadzenie Wagnera musi trochę potrwać, ale Hitlerowi do ślubnej ceremonii póki co się nie spieszy. Najpierw chce się rozprawić ze szwagrem swej oblubienicy. Generał SS Hermann Fegelein, oficer łącznikowy Reichsführera SS Heinricha Himmlera przy Głównej Kwaterze Hitlera, kawalerzysta, pijak, kobieciarz, w czerwcu zeszłego roku ożenił się z siostrą Evy Braun, Gretl. Na szczytach SS plotkowano, że do tego małżeństwa popychał go sam Himmler, chcąc ulokować oddanego sobie oficera w bezpośrednim otoczeniu Hitlera. W bunkrze pod Kancelarią Rzeszy zaś pracownice sztabu Führera, w zaufaniu, ostrożnymi półsłówkami, plotkują o związkach łączących kochankę Hitlera z Fegeleinem. Eva Braun uwielbia swego szwagra, lubi z nim tańczyć i przekomarzać się. Ale przed 2 dniami Hitler stwierdził, że Fegelein zniknął z bunkra.

Esesmani z załogi bunkra znaleźli go w prywatnym mieszkaniu – pijanego, w cywilnym ubraniu, z walizką pełną kosztowności. Na domiar wszystkiego do Hitlera dotarły informacje, że Fegelein jest zamieszany w zdradę Reichsführera SS Himmlera – potajemne negocjacje pokojowe za pośrednictwem szwedzkiego dyplomaty.

Los Fegeleina jest przesądzony. Ewa dowiaduje się o wszystkim od Hitlera. Ze łzami prosi, by oszczędził szwagra ze względu na jej siostrę i nienarodzone dziecko Fegeleinów. Hitler odmawia. Eva mówi posłusznie: „Jesteś Führerem", i na tym sprawa Fegeleina między nimi się kończy.

Od północy Eva szykuje się do ślubu. Ma do dyspozycji bezcenny luksus w przepełnionych, ciasnych pomieszczeniach bunkra pod Kancelarią Rzeszy – osobistą łazienkę Hitlera. Najpierw bierze kąpiel. Starannie układa sobie fryzurę, którą zbiera złotą spinką, wkłada elegancką bieliznę. Z szafy wyjmuje ulubioną przez Hitlera sukienkę z jedwabnej czarnej tafty, rozszerzaną u dołu, z różowymi ramiączkami zwieńczonymi złotymi spinkami. Do tego wybiera czarne zamszowe pantofelki Salvatore Ferragamo na słupkowych obcasach, naszyjnik z pereł i platynowy zegarek z brylantowymi cyframi. Jest spokojna, odprężona, uśmiechnięta. Wygląda olśniewająco. Gdy wychodzi z pokoju, natyka się na korytarzu na obie sekretarki Führera. Traudl Junge szepce do Gerdy Christian: „Po co się tak wystroiła, po to żeby umrzeć?".

Przed ceremonią ślubną Hitler zaprasza domowników bunkra na kolację. Przychodzą najważniejsi dygnitarze konającej III Rzeszy, Goebbels z żoną Magdą, Bormann, ale też i generałowie, oficerowie oraz pracownicy z obsługi Führera: adiutanci, oficerowie łącznikowi, sekretarki, osobista dietetyczka Hitlera. Jest dużo kanapek, w większości z wątrobianką, i mnóstwo szampana; w końcu spiżarnie bunkra przygotowane są na kilkumiesięczne oblężenie.

Do bunkra dociera odszukany na linii frontu radca Wagner. Jest przerażony perspektywą udzielenia ślubu Führerowi. Udzielanie ślubów nie było nigdy jego urzędowym obowiązkiem, na szczęście po drodze z pobliskiej linii frontu zdołał zabrać z domu dwie kartki formularza aktu małżeńskiego i przebrać się w galowy brunatny mundur partyjny z opaską Volkssturmu na ramieniu. Jeszcze większe przerażenie ogarnia Wagnera, gdy wkracza do podziemi. W bunkrze Hitlera straszliwie śmierdzi. Pod ziemią, na powierzchni ok. 700 m. kw. koczuje ponad 100 osób, dla których brakuje toalet. Personel myje się raz na kilka dni, toalety coraz częściej zapychają się. Wagner wręcz drętwieje z przerażenia, gdy Goebbels w towarzystwie Martina Bormanna przedstawia go Hitlerowi. Führer, choć ma 56 lat, wygląda jak zgrzybiały starzec. Jest mocno zgarbiony, kurtka mundurowa wisi na nim niechlujnie. Ziemista, zapadnięta twarz robi upiorne wrażenie. Hitler nie jest w stanie ukryć przed radnym Wagnerem silnego drżenia lewej ręki i lewej nogi.

Tymczasem z ustronnego pomieszczenia starej części bunkra Hitlera, tzw. bunkra przedniego, funkcjonariusz SD, Służby Bezpieczeństwa Rzeszy, wyprowadza Hermanna Fegeleina do ogrodów Kancelarii Rzeszy. Dym i kurz ograniczają widoczność do kilku metrów, co rusz eksplodują pociski sowieckiej artylerii. SD-man strzela z pistoletu w plecy Fegeleina i wraca do bezpiecznego bunkra.

Gdy wiadomość o egzekucji dociera do Hitlera, nic już nie stoi na przeszkodzie, by rozpocząć uroczystości ślubne.

Hitler polecił przygotować do tej uroczystości malutką salkę do odpraw i konferencji. Na ścianach wiszą mapy sztabowe z zaznaczoną beznadziejną sytuacją na frontach. Wokół stołu

ustawiono 4 krzesła: 2 dla nowożeńców, 2 dla świadków, Goebbelsa i Bormanna.

Eva Braun traci cierpliwość: „*Herr* Wagner, robi się późno, czy możemy zacząć ceremonię?".

Radca Wagner drżącym głosem odczytuje dane personalne Hitlera i panny młodej. Potem czyta z kartki: „Osoby wymienione potwierdzają, że są potomkami czystych Aryjczyków, a także nie cierpią na żadne choroby nieuleczalne, które wykluczałyby zawarcie małżeństwa. Biorąc pod uwagę sytuacje wojny i szczególne okoliczności, wnioskują o zawarcie związku małżeńskiego zgodnie ze specjalnym prawem wojennym. Prosili także o zaakceptowanie ustnego ogłoszenia zapowiedzi i niezważania na żadne prawne opóźnienia". Głos radcy jest słabo słyszalny – huczą wentylatory, przewodami wentylacyjnymi przedostają się stłumione odgłosy wybuchów pocisków sowieckiej artylerii.

Potem radca Wagner pyta Hitlera, czy chce pojąć Evę Braun za żonę, a Evę, czy chce poślubić Adolfa Hitlera. I jeszcze tylko podpisy nowożeńców; Eva zaczyna się podpisywać jako Braun, ale po postawieniu dużego „B" skreśla je i wpisuje z dumą „Eva Hitler". Dopięła tego, co od kilkunastu lat było ambicją jej życia. Płacze ze szczęścia. Na korytarzu sekretarkom Führera wydaje się, że i jemu szklą się oczy.

Teraz pora na przyjęcie weselne. Jest już 3.30 nad ranem. Znów są kanapki, znów z wątrobianką. I znów mnóstwo szampana. Hitler wypija łyczek tokaju. Do swej małżonki zwraca się, jak dotychczas, „*fräulein* Braun", panno Braun. Gdy impreza rozkręca się, Hitler wychodzi z Traudl Junge do gabinetu i tam dyktuje jej bałamutny, chaotyczny testament polityczny. Między 5.00 a 6.00 przyjęcie kończy się. Goście idą do swoich klitek. Wiedzą, że to ostatnia noc dla Hitlera i pani Hitler.

Adolf Hitler i jego kochanka Eva Braun

30 kwietnia 1940 ▪ wtorek

Polowanie na „Huballę”

Przez las wolno, gęsiego przesuwa się grupa 19 jeźdźców w polskich mundurach, w rogatywkach. Jest noc, ciemno, zimno, choć śniegi dawno już stopniały. Kawalerzyści starają się nie robić hałasu, ale w ciemnościach, w gęstwinie drzew, nie zawsze się to udaje. Świta, gdy oddział wjeżdża do wsi Anielin. Konie cicho stąpają między chałupami. Wieś śpi, nawet psy milczą. Jeźdźcy mijają ostatnią chałupę – Laskowskich – przekraczają pole i zanurzają się

w niewysoki, gęsty młodniak. W zagajniku rozdzielają się. Pojedynczo, po dwóch wyszukują w gąszczu niewielkie, parometrowe łysinki, na których można wygodnie ułożyć się do snu. W szarówce wstającego świtu kawalerzyści obrywają gałązki młodych sosen, na mchu i trawie moszczą z nich legowiska. Koniowodni uwiązują w młodniaku konie towarzyszy.

Na jednej z maleńkich polanek w zagajniku układa się do snu dowódca oddziału mjr Henryk Dobrzański „Hubal". Jego adiutant pchor. Henryk Ossowski „Dołęga" jest dziś oficerem służbowym. Przez chojaki przedziera się ze swojej polanki do leśnej sypialni „Hubala" po rozkazy.

– Tu nas chyba nikt nie znajdzie – mówi major do adiutanta.

– Jak znajdzie, to i tak żywy stąd nie wyjdzie – odpowiada zuchowato „Dołęga". I pyta:

– Ile posterunków, panie majorze?

– Żadnych – odpowiada „Hubal".

To nie zupacka zuchwałość przemawia przez majora, ale przede wszystkim troska o podwładnych, śmiertelnie umęczonych kilkunastogodzinną, skrytą wędrówką po lasach, której ostatnim akordem był całonocny marsz. Niech się wszyscy chociaż raz wyśpią.

„Hubal" dobrze zna te okolice, w styczniu jego oddział kwaterował w Anielinie, w zagrodzie Laskowskich. Tu major wreszcie czuje się bezpiecznie, choć świetnie zdaje sobie sprawę, że w operacji Niemców przeciwko jego oddziałowi biorą udział ogromne siły okupanta.

„Hubal" nie wie jednak, że na obszarze, na którym operuje jego oddział, hitlerowcom udało się ostatnio zorganizować siatkę konfidentów, przede wszystkim osadników pochodzenia niemieckiego, która skutecznie śledzi ruchy jego żołnierzy.

„Dołęga” wraca na swoją łysinkę w zagajniku. Żołnierski instynkt bierze jednak w nim górę nad niefrasobliwością majora. Poleca kpr. Lisieckiemu „Zemście” objąć posterunek od strony Anielina.

Wstaje świt, promienie skąpo oświetlają gałązki sosnowego zagajnika. Umoszczony w miękkiej trawie „Zemsta” zasypia, choć jest na warcie. Śpią wszyscy żołnierze mjr. „Hubala”.

Zasypia także „Hubal”.

Henryk Dobrzański do wojska – kawalerii Legionów Polskich – trafił tuż po wybuchu I wojny światowej w wieku 17 lat. W polskiej armii zapowiadał się na wybitnego dowódcę kawalerii i na wybitnego jeźdźca sportowego. W obu wypadkach coś poszło nie tak.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej awansował szybko, odznaczony został (czterokrotnie) Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari. Ale jego wojskowa kariera szybko zwolniła, ominęła go Szkoła Sztabu Generalnego, z biegiem lat przenoszono go służbowo do coraz mniej prestiżowych jednostek, na coraz mniej odpowiedzialne stanowiska. Mściły się hardość i nieutemperowany temperament majora. Pod koniec lat 30. przełożeni z ostentacją spychali mjr. Dobrzańskiego już nie na boczny tor, ale w upokarzający ślepy zaułek.

Dobrzański rekompensował sobie zawodowe niepowodzenia karierą sportową. W roku 1925 odniósł pierwszy wielki sukces – na wojskowym, hippicznym Pucharze Narodów w Nicei, w drużynie zdobył główny puchar, indywidualnie wygrał konkurs myśliwski „Monaco”. Nieco później, w wielkich zawodach jeździeckich w Aldershot pod Londynem, jedną z konkurencji Dobrzański wygrał, w dwóch zdobył drugie miejsca. Ale szybko jego sportowa gwiazda przygasła. Po 2 fantastycznych sezonach 1925 i 1926

w kolejnych latach osiągał wyniki wyraźnie słabsze niż najlepsi polscy jeźdźcy, z Królikiewiczem i Szoslandem na czele.

Latem 1939 roku zniechęcony, sfrustrowany mjr Dobrzański szykował się już do wyjścia z wojska. Wybuch wojny zatrzymał go w mundurze i przywrócił sens jego życiu.

W kampanii wrześniowej się nie bił. Mianowany zastępcą dowódcy formowanego na Grodzieńszczyźnie, już w czasie wojny, 110. Pułku Ułanów, zajmował się szkoleniem rekrutów. W trzecim tygodniu przegrywanej kampanii dowódca 110. Pułku, zasłużony w wojnie polsko-bolszewickiej zagończyk ppłk Jerzy Dąbrowski, ruszył na czele swoich ułanów na pomoc Warszawie. Nad Biebrzą ppłk Dąbrowski, nie widząc sensu dalszej walki, rozwiązał jednak pułk.

Jego zastępca zbuntował się. Mjr Dobrzański samowolnie objął dowództwo 110. Pułku. Z niemal 200 ułanami, którzy zdecydowali się pozostać pod jego rozkazami, ruszył na Warszawę. Jego oddział stał już między Wołominem a Miłosną, gdy stolica skapitulowała.

Wtedy mjr Dobrzański pociągnął ze swoim oddziałem na południe, na Kielecczyznę. Po przeprawie przez Wisłę w przypadkowej potyczce rozbił niemiecki patrol zmotoryzowany. We wsiach po kieleckich lasach, 2 tygodnie po rozbiciu na tych terenach polskich dywizji, widok ułanów w nienagannych polskich mundurach wzbudził nieprzytomny entuzjazm miejscowych. Mjr Dobrzański zrazu zajął się budowaniem siatki własnej konspiracji, wydawał mnóstwo odezw i ulotek do ludności, próbował porozumieć się z kieleckimi strukturami Służby Zwycięstwu Polsce. W listopadzie pojechał – już wtedy jako „Hubal" – do Warszawy, do dowódcy SZP gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego.

Wrócił zachwycony, ze zgodą generała na działalność Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego, jak sam nazwał swoją formację,

z pieniędzmi na utrzymanie oddziału, z awansami dla żołnierzy. W zimie oddział „Hubala" na dłuższy czas zjechał do Gałek Krzczonowskich. Zgłaszało się coraz więcej ochotników – w połowie marca OWWP liczył ponad 300 żołnierzy, w większości piechurów. Z pomocą miejscowych odkopywali broń z wrześniowych schowków – hubalczycy dysponowali potężną siłą ognia, 16 ręcznymi karabinami maszynowymi i jednym cekaemem.

W połowie marca Komenda Główna ZWZ doszła do wniosku, że tak wielki oddział partyzancki nie ma szans przetrwać w lesie przed wybuchem prawdziwych walk na froncie francusko-niemieckim, i zażądała od „Hubala", by oddział rozwiązał, a podwładnych przekazał do pracy konspiracyjnej. Mjr Dobrzański po raz wtóry odmówił wykonania rozkazu przełożonego.

Pod koniec marca, gdy spłynęły śniegi i można już było dotrzeć do leśnych ostępów, w których ukrywał się oddział „Hubala", Niemcy przeprowadzili ogromną obławę, z użyciem broni pancernej. 30 marca hubalczycy rozgromili siły okupanta w bitwie pod Huciskiem i wyszli z okrążenia, ale Niemcy znów otoczyli Oddział Wydzielony. Kawaleria pod „Hubalem" wyrwała się szarżą z kotła w nocy z 1 na 2 kwietnia. Piechota „Hubala" uległa zagładzie. Pomagające jego żołnierzom wsie także. Podczas pacyfikacji w pierwszej połowie kwietnia Niemcy wymordowali mieszkańców wsi w rejonie, w którym ukrywał się Oddział Wydzielony.

Kilkunastu kawalerzystów, z majorem na czele, ruszyło przedwczoraj do Anielina.

„Zemstę" budzi gwizdnięcie dosłownie nad jego głową. Otwiera oczy. O krok od jego legowiska stoi kompletnie zaskoczony niemiecki żołnierz. To on gwizdnął na innych Niemców z obławy.

„Zemsta” odruchowo łapie za jego karabin, wyrywa mu broń z rąk i rzuca się w głąb zagajnika. Wpada na polankę „Dołęgi”.

– Panie podchorąży, Niemcy!

„Dołęga” przeskakuje na polankę „Hubala”. Major leży, ale już się obudził.

Cisza.

„Dołęga” przyklęka, próbuje pod dolnymi gałęziami sosenek wypatrzyć, czy ktoś się nie zbliża. Widzi 2 postacie w mundurach, czołgające się w ich kierunku. Składa się do strzału z pistoletu.

– Uważaj, nie postrzel swoich – przestrzega, leżąc, „Hubal”.

Celując, „Dołęga” dostrzega, że Niemiec ma oficerskie naramienniki. Strzela. Trafiony Niemiec unosi się i pada. Drugi czołgający się żołnierz podrywa się, przyklęka i strzela do „Dołęgi” z mausera. Chybia, ale pocisk trafia w pierś mjr. „Hubala”, który właśnie podniósł się z legowiska.

„Hubal” woła:

– Heniek, ratuj teczkę – teczkę z dokumentami oddziału – i znika w gąszczu.

„Dołędze”, który nie zauważa, że major został trafiony, wydaje się, że dowódca rejteruje z pola walki. Śmiertelnie ranny „Hubal” przewraca się w gęstwie zagajnika i traci przytomność.

Zaskoczeni we śnie kawalerzyści nie myślą nawet o organizowaniu obrony, chcą tylko wymknąć się z niemieckiej obławy. „Dołęga” przeskakuje przez gąszcz na polankę, na której wachm. Józef Świda „Lech” pilnuje koni – swego i „Dołęgi”. Obaj z końmi trzymanymi za cugle przeciskają się przez gęstwę zagajnika, w którą przed chwilą wpadł „Hubal”. Na majora nie natykają się, za to wpadają na żołnierzy Wehrmachtu. W czasie chaotycznej strzelaniny „Dołęga” dostaje postrzał w but, ale pocisk ześlizguje się po pięcie.

Strzały wyrywają ze snu wachm. Józefa Alickiego (jako jedyny żołnierz Oddziału Wydzielonego nie przybrał bojowego pseudonimu). Momentalnie zrywa się z posłania i wpada w gąszcz. Rozpaczliwie szuka, nawołuje plut. Kagankiewicza, celowniczego jedynego ocalałego w oddziale – z 16 jeszcze nie tak dawno – ręcznego karabinu maszynowego. Kagankiewicza nie ma, za to po krótkiej, gwałtownej strzelaninie w głębi zagajnika, obok Alickiego, przez chaszcze galopuje i zaraz znika w gęstwinie kilku kawalerzystów oddziału. Pośród nich pędzi też koń Alickiego, ale wachmistrz nie jest w stanie go pochwycić. Alicki opanowuje nerwy. Ostrożnie, niespiesznie czołga się przez gęstwinę w stronę rzeki Pilicy.

„Dołęga" i „Lech" natykają się w zagajniku na paru kolegów z oddziału. Jedni dopytują się o majora, inni uspokajają, że już odjechał. Nie ma na co czekać – kawalerzyści dosiadają koni i w pojedynkę próbują oddalić się z anielińskiego lasu.

Na skraju lasu wachmistrz Alicki dostrzega zagrzebanych w ściółce 3 żołnierzy. Dalej, przez otwarte pole, przerwać się nie sposób. Wszyscy czterej kryją się w chaszczach. Niemcy przeczesują okoliczne lasy. Jedna z gęstych tyralier żołnierzy w mundurach *feldgrau* o kilkanaście metrów mija ukrytych 4 polskich kawalerzystów. Niemcy nie zauważają ich.

Strzelanina w lesie za polem podrywa rodzinę Laskowskich, ale przezornie nawet nie wyglądają z chałupy. Jednak gdy na podwórze wpada z tętentem kilka koni, Laskowscy wychodzą w obejście. 4 kawaleryjskich koni, osiodłanych, ale bez jeźdźców, przebiera kopytami przed stajnią. Gospodarze poznają je – to konie żołnierzy Oddziału Wydzielonego: Tatar, Brytan, Nikodem, Baśka. Po chwili konie bez jeźdźców zrywają się i pędzą dalej.

Po dłuższej chwili Laskowscy dostrzegają kilku niemieckich żołnierzy, od strony lasu dźwigających kogoś na rozciągniętym kożuchu. Parę razy Niemcy stają, rzucają kożuch na ziemię, masakrują kolbami karabinów leżącego. Na podwórzu znów rzucają niesionego mężczyznę. Gospodarze z przerażeniem poznają w leżącym „Hubala". Brodaty, ma na sobie rozpięty na piersiach mundur i nowe oficerki – wczoraj, przed południem, buty kawaleryjskie od mistrza Niedzielskiego z Warszawy przywiozły na postój 2 kurierki oddziału, „Genia" i „Ludka".

„Hubal" kona. Na koszuli, w rozpięciu kurtki mundurowej, Laskowscy widzą dużą plamę krwi. Major ma zamknięte oczy, płytki, zamierający oddech. Niemcy pytają Laskowskich, czy znają rannego. Gospodarze mówią, że widzą go pierwszy raz w życiu.

Do obejścia dochodzi z lasu grupka żołnierzy w mundurach *feldgrau*. Prowadzą pod ramiona rannego niemieckiego oficera z obandażowaną głową. Wchodzą z nim do izby Laskowskich.

Niemieccy żołnierze na podwórku wyciągają aparaty fotograficzne i, roześmiani, robią sobie pamiątkowe zdjęcia z konającym „Hubalem". Umierającego oficera traktują jak myśliwskie trofeum: stojąc w ciasnym półkręgu, unoszą kraj kożucha, by leżący na nim był lepiej widoczny.

W końcu Niemcy żądają od Laskowskiego, by przygotował konny wóz. Na utytłany gnojem – po wczorajszym nawożeniu pola – wóz Niemcy rzucają „Hubala" i polną drogą ruszają w stronę wsi Poświętne.

Przy wjeździe do Poświętnego wóz z ciałem „Hubala" i eskortujący go niemieccy żołnierze wkraczają na szosę Odrzywół–Inowłódz. Na szosie czeka już wojskowa ciężarówka. Obok niej stoi inna grupa niemieckich żołnierzy. Otaczają 2 chłopów z Poświętnego – Józefa Matuszczaka i Mariana Piaseckiego.

Przestraszeni strzelaniną, obaj niedawno uciekali ze wsi – Matuszczak był w tym roku żołnierzem w oddziale „Hubala" i teraz bał się donosu – gdy dopadli ich wracający z obławy Niemcy. Na nic zdały się zapewnienia chłopów, że idą po chrust do lasu. Żołnierze pobili ich, krzycząc, że są zbiegami od „Huballi", bo tak okupanci nazywają majora, i zabrali ze sobą. Niemcy każą Matuszczakowi i Piaseckiemu przerzucić ciało majora z wozu na pakę ciężarówki. Zakrwawieni chłopi przenoszą wychudzone, skrwawione ciało „Hubala" na ciężarówkę. Żołnierze prowadzą ich obu do lasu. Niemcy wracają z lasu bez Matuszczaka i Piaseckiego.

Samochód z martwym „Hubalem" wjeżdża do Poświętnego. Zatrzymuje się na placyku przed kościółkiem św. Anny, pod starą lipą. Niemcy spędzają chłopów ze wsi. Nie pytają, czy ktoś zna zabitego. Pokazują go tryumfalnie, jak myśliwskie trofeum.

Maj

1 maja 1960 ▪ niedziela

Komar wreszcie spadł!

Tej nocy Francis Gary Powers śpi w hangarze na leżance. Śpi krótko. Obsługa budzi go o 2.00. Właśnie kończy ubierać się w kombinezon do lotów na dużych wysokościach, gdy nadzorujący akcję oficer CIA pyta go, czy chce zabrać srebrnego dolara. Przecięta na pół moneta dolarowa skrywa igiełkę zatrutą kurarą. Pilotom biorącym udział w supertajnych lotach szpiegowskich nad Związkiem Radzieckim w razie wpadnięcia w niewolę zalecano popełnienie samobójstwa, choć nigdy nie wydawano im takiego rozkazu. Powers wsuwa monetę do kieszeni kombinezonu.

Technicy wyciągają z hangaru w pakistańskim Peszawarze jego samolot – Lockheeda U-2. Niezwykle smukły odrzutowiec z prostymi, wąziutkimi, dwa razy dłuższymi od kadłuba skrzydłami jest prawdziwym cudem techniki. Pierwszy egzemplarz zbudowano w połowie lat 50. Osiąga prędkość 700 km/h, sporą, ale nie oszałamiającą. Odrzutowe myśliwce latają teraz szybciej. Atutem U-2 jest wysokość lotu: 22 tys. 700 m. Sowieckie myśliwce Mig-15 i Su-9 z najwyższym trudem wdrapują się na wysokość 17 tys. m. Ale to nie wszystko – U-2 może bez tankowania przelecieć na tej wysokości sporo ponad 7600 km. Jego kamera jest w stanie wykonać 4 tys. par zdjęć, obejmujących pas ziemi o szerokości

200 km i długości 3,5 tys. km. Amerykanie dopiero kończą przygotowania do wystrzelenia w kosmos pierwszego szpiegowskiego satelity fotograficznego Corona. Zdjęcia sowieckich obiektów wojskowych, przede wszystkim poligonów rakietowych, wykonywane podczas lotów U-2 są więc bezcenne.

Już w czasie pierwszej misji, w lipcu 1956 roku, radziecka obrona przeciwlotnicza namierzyła U-2. Podczas kolejnych lotów Rosjanie podrywali swoje myśliwce, ale migi-15 i su-2 nie były w stanie zbliżyć się do superszpiega. Dopiero przed miesiącem, podczas lotu pilota Marty'ego Knudsena, doświadczony radziecki pilot myśliwski znalazł się w pobliżu U-2. Po wspięciu się na wysokość 17 tys. 500 m zobaczył 3 km nad sobą dziwną, przypominającą krzyż sylwetkę nieznanego samolotu. Ale chwilę później jego maszyna zaczęła gwałtownie opadać – dla radzieckiej techniki były to zbyt wysokie loty.

Radziecki dowódca lotnictwa myśliwskiego gen. Jewgienij Sawicki nie uwierzył w raport swego podwładnego. Na posiedzeniu Biura Politycznego KC poparł go główny konstruktor migów Artiom Mikojan – samoloty amerykańskie nie mogą latać na wysokości 20 km! Ale Chruszczow był innego zdania. Upokorzony przewagą amerykańskiej techniki, zagroził wojskowym, że jeśli szybko nie zestrzelą tego, jak stwierdził, „komara", polecą głowy. Generałowie wiedzą, że to nie żarty. Zreorganizowali systemy dowodzenia i naprowadzania myśliwców. Czekają.

O tym wszystkim Francis Gary Powers nie ma pojęcia, gdy w środku nocy odbiera resztę wyposażenia: małokalibrowy pistolet z tłumikiem i sporym zapasem amunicji, 7,5 tys. rubli, rulon złotych franków francuskich, dolary, dwa złote zegarki, siedem złotych obrączek, szwajcarski scyzoryk, nóż fiński. To wszystko na wypadek, gdyby musiał przetrwać na nieprzyjaznym terytorium. Pilot dopala

kenta, napoczętą paczkę chowa do kieszeni kombinezonu. O 5.20 z trudem wdrapuje się do bardzo ciasnej kabiny. O 6.26 pomalowany na czarno, pozbawiony jakichkolwiek znaków identyfikacyjnych U-2 rozpoczyna lot. Wstaje świt. Z wysokości kilkunastu kilometrów Powers widzi Chiny na wschodzie, na zachodzie zaś Afganistan.

Czeka go długa misja. W ciągu 9,5 godziny ma przelecieć 6190 km, z czego 4,7 tys. nad terytorium ZSRR. Lądowanie – w Norwegii, na lotnisku w BodØ.

Przed 7.00 przelatuje nad radziecką granicą.

Na Kremlu, w sypialni Chruszczowa, dzwoni telefon. Minister obrony ZSRR marsz. Rodion Malinowski melduje, że niezidentyfikowany samolot wleciał w sowiecki obszar powietrzny od strony Afganistanu. Chruszczow natychmiast przytomnieje i wydaje rozkaz zestrzelenia „komara" za wszelką cenę.

Powers nie niepokojony leci na północny zachód do Czelabińska, potem skręca na północ. Nagle samolot wierzga w górę, potem opada. Powers opanowuje maszynę. Stwierdza, że zepsuł się autopilot. Dalszy lot oznacza wyczerpujące sterowanie ręczne. Ale Powers decyduje się lecieć na północ, do Norwegii.

Zbliżając się do Swierdłowska na Uralu, znów włącza superkamerę. Nie wie, że od granicy namierzany jest przez radary, a radzieckie dowództwo poderwało w powietrze parę migów-15 z najlepszymi w tym rejonie pilotami. Ale koordynacja radzieckiej obrony przeciwlotniczej szwankuje. Gdy migi usiłują zbliżyć się do U-2 na odległość strzału rakietą, amerykański samolot usiłuje też namierzyć operator radiolokatora baterii najnowocześniejszych radzieckich rakiet ziemia–powietrze S-75 Dźwina. Ale myli się. Bierze na cel miga-15 por. Siergieja Safronowa. Sowiecki pilot ginie na miejscu.

Powers nie dostrzega rozgrywającej się parę kilometrów niżej tragedii, nie widzi rakietowych smug i eksplozji daleko za ogonem swej maszyny. Ale teraz bateria S-75 namierza jego U-2. Gdy o 8.53 czasu moskiewskiego Powers skręca w prawo, jego samolotem wstrząsa eksplozja. Kabinę rozjaśnia krwawopomarańczowy błysk. Samolot przechyla się w dół. Powers odruchowo sięga do specjalnego wyłącznika. Uruchomienie go powoduje eksplozję cyklonitu, piekielnie silnego materiału wybuchowego, którym nafaszerowano U-2. Wedle instrukcji po wciśnięciu przycisku niszczącego pilot ma kilkadziesiąt sekund na katapultowanie się. A jeśli to kłamstwo? Jeśli CIA zdecydowała się zniszczyć i szpiegowski samolot, i niewygodnego świadka? Powers cofa rękę. Gwałtowny wstrząs rzuca go na kokpit. To odpadają smukłe skrzydła U-2. Maszyna z dziobem zadartym w górę pędzi korkociągiem ku ziemi. Powers jest zablokowany, nie może cofnąć się w fotelu. Katapultowanie w tej pozycji musi skończyć się obcięciem nóg o podstawę kopułki.

Atak paniki i wreszcie chwila rozsądku: przecież można wyskoczyć bez katapultowania! Powers odrzuca kopułkę pilota. Skacze, ale przewody tlenowe wytrzymują szarpnięcie. Ciągną go w szaleńczym pędzie za wrakiem samolotu. Pilot ryzykuje, otwiera spadochron. Trzask! Rozkwita biało-pomarańczowa czasza, przewody tlenowe zrywają się. Niebezpiecznie blisko przelatują strzępy samolotu. Jeszcze w powietrzu Powers wyjmuje srebrną dolarówkę, wydobywa zatrutą igłę i chowa w kieszeni. Uderzenie o kołchozowe pole jest potężne, ogłusza go. Powersa odnajdują kołchoźnicy, którzy sądzą, że jest radzieckim pilotem. Wsadzają go na ciężarówkę i odwożą na najbliższe lotnisko.

W Moskwie od 10.00 trwa wielka pierwszomajowa parada wojskowa. Trzy kwadranse po jej rozpoczęciu do Chruszczowa

podchodzi marsz. Biriuzow i na ucho melduje o zestrzeleniu „komara" i schwytaniu żywego pilota. Chruszczow promienieje. Ambasador USA Thompson junior dostrzega poruszenie na trybunie honorowej – radzieccy dygnitarze zbijają się w grupki, coś sobie mówią na ucho. Dałby wiele, by dowiedzieć się co.

Prezydent Eisenhower ćwiczy w rezydencji w Camp David strzelanie do rzutków, gdy do telefonu wzywa go jego sekretarz wojskowy gen. Andrew Goodpaster: „Jeden z naszych samolotów rekonesansowych odbywających planowy lot jest spóźniony i być może stracony". Prezydent, który wydał zgodę na lot Powersa, jest przygnębiony. Za dwa tygodnie zaczyna się spotkanie na szczycie przywódców wielkich mocarstw. Mają rozmawiać o pokoju. Strącenie U-2 zapowiada wielkie kłopoty.

Powers przed samolotem Lockheed U-2, którego zestrzelenie było przyczyną kryzysu między USA a ZSRR

2 maja 1921 ▪ poniedziałek

Wojtek, powiedz be

O świcie strajk paraliżuje Górny Śląsk. Stoją wszystkie zakłady przemysłowe. Uchwałę o strajku i o rozpoczęciu w nocy powstania, trzeciego już powstania śląskiego, podjęto przedwczoraj na tajnym zebraniu przedstawicieli polskich ugrupowań politycznych, związków zawodowych i dowództwa konspiracji wojskowej. Wojciech Korfanty, polski komisarz plebiscytowy i niekwestionowany przywódca śląskich Polaków, potajemnie dowiedział się tego dnia, że Komisja Międzysojusznicza nadzorująca plebiscyt postanowiła przydzielić większość spornych terenów Niemcom.

Wyją fabryczne syreny, biją dzwony kościelne. Polscy Ślązacy wyrywają sobie z rąk wczorajszy numer „Gońca Śląskiego", organu prasowego Polskiego Komisariatu Plebiscytowego. Z wściekłością komentują informację gazety o uchwale przemysłowców niemieckich, którzy jakoby mieli postanowić, że w wypadku przyznania Polsce Górnego Śląska zniszczą tam wszystkie fabryki i kopalnie.

Choć polityczna decyzja o rozpoczęciu powstania zapadła na przedwczorajszym zebraniu kierownictw konspiracji cywilnej i wojskowej, choć podwładni ppłk. Macieja hrabiego Mielżyńskiego, naczelnego dowódcy konspiracji wojskowej na Śląsku, od ponad 20 godzin wydobywają ze skrytek broń i potajemnie przenoszą ją w rejony koncentracji oddziałów uderzeniowych, to jednak formalny rozkaz o rozpoczęciu walki zbrojnej podpisać musi Wojciech Korfanty. Późnym rankiem Korfanty wchodzi do swego gabinetu w ponurym gmachu

bytomskiego hotelu Lomnitz. Mieści się tam kwatera główna polskiego Dowództwa Obrony Plebiscytu oraz rezydują polscy politycy. Ppłk Mielżyński pojawia się na korytarzu hotelu, niesie teczkę z najważniejszym w jego wieloletniej karierze wojskowej dokumentem – rozkazem rozpoczęcia powstania. Za pułkownikiem idą szef powstańczego sztabu mjr Stanisław Rostworowski i pierwszy oficer operacyjny por. Remigiusz hrabia Grocholski.

Ppłk Mielżyński w asyście oficerów wchodzi do obszernego gabinetu Wojciecha Korfantego. Prócz gospodarza zastaje tam jednego z przyjaciół i najbliższych współpracowników Korfantego, adwokata Konstantego Wolnego. Przez dłuższą chwilę panowie rozważają, jak po wybuchu walk zmieni się sytuacja polityczna. Wreszcie ppłk Mielżyński otwiera teczkę i podaje tekst rozkazu do podpisu. Ale ciężar odpowiedzialności nieoczekiwanie paraliżuje Korfantego. Z piórem w ręku zastyga nad kartką papieru. Zaskoczony ppłk Mielżyński, który świetnie wie, że nie ma już odwrotu, poleca mjr. Rostworowskiemu i por. Grocholskiemu złożyć szczegółowy raport o przygotowaniach do walki. Korfanty nadal wpatruje się jak sparaliżowany w kartkę z rozkazem. Nieznośną ciszę przerywa Konstanty Wolny: „Wojtek, skoro powiedziałeś a, powiedz też i b!".

Korfanty składa podpis.

Godzinę później depeszuje do premiera Wincentego Witosa: „Wobec stanu rzeczy i olbrzymiego rozgoryczenia ludu nie jestem zdolny spełniać więcej naczelnego mego zadania, a mianowicie utrzymania ładu i porządku na terenie plebiscytowym. Z tej przyczyny niniejszym składam urząd komisarza plebiscytowego, podkreślając, że wszelkie usiłowania w kierunku cofnięcia mego postanowienia pozostaną bez skutku". Składając dymisję z urzędu

autoryzowanego przez Warszawę, Korfanty politycznie asekuruje władze Rzeczypospolitej.

Ale polski rząd za wszelką cenę chce uniknąć powstania. Politycy i wojskowi uważają, że powstanie jest słabo przygotowane, a rozpoczęcie walk grozi interwencją armii niemieckiej.

Telefon z Warszawy do hotelu Lomnitz. Premier Wincenty Witos przekazuje Korfantemu oficjalne stanowisko zajęte przez rząd na dzisiejszym tajnym posiedzeniu: „Rząd kategorycznie sprzeciwił się rozpoczęciu powstania". Korfanty, który chwile wahań nad kartką z rozkazem ma już za sobą, twardo odpowiada premierowi, że powstania odwołać już nie można. Nie wzrusza go nawet argument Witosa, że przeciwny walce jest także naczelnik państwa Józef Piłsudski.

Tuż przed godz. 19.00 Korfanty jeszcze raz depeszuje do Witosa. Przekazuje pomyślną informację, że głównodowodzący wojsk międzysojuszniczych na Śląsku Francuz gen. Gratier przekazaną mu poufnie przez stronę polską informację o rychłym powstaniu spokojnie przyjął do wiadomości. Prócz tego Korfanty prosi o potwierdzenie dymisji ze stanowiska komisarza plebiscytowego.

Telegram Korfantego ląduje na stole, przy którym radzą ministrowie. Co rusz wybuchają spory i kłótnie. Reprezentujący Narodową Partię Robotniczą Jan Jankowski domaga się poparcia przez rząd akcji zbrojnej na Śląsku, ale ministrowie ostatecznie podejmują uchwałę wzywającą Korfantego do zapobieżenia powstaniu. Zaraz potem premier Witos wychodzi do swego gabinetu i dzwoni do Korfantego. „Jestem niewolnikiem wypadków" – stwierdza jednak Korfanty. Witos wraca na salę obrad rządu. W tej sytuacji ministrowie przegłosowują podjęcie akcji dyplomatycznej wspierającej powstanie.

A powstańcy już gromadzą się w miejscach zbiórek. Przychodzą z nimi niezaprzysiężeni Ślązacy, domagają się broni. Za 3–4 godziny ruszą do walki, ale w wielu tajnych punktach koncentracji atmosfera przypomina niedzielne pikniki. Ochotnicy palą ogniska, śpiewają piosenki. Oficerom z trudem udaje się zaprowadzić wojskowy porządek.

W tym czasie kilkuosobowe, doborowe grupy dywersyjne Dowództwa Oddziałów Destrukcyjnych polskiej konspiracji rozpoczynają akcję „Mosty". Od jej powodzenia zależy przyszłość powstania. Chodzi o zniszczenie mostów na Odrze i odcięcie w ten sposób sił niemieckich na prawym brzegu od dostaw i wsparcia z głębi Niemiec. Kluczowe znaczenie ma liczący 200 m. długości most w Szczepanowicach pod Opolem. Dowództwo akcji w Szczepanowicach obejmuje osobiście szef Oddziałów Destrukcyjnych kpt. Tadeusz Puszczyński „Wawelberg". Po zmroku kierowani przez niego dywersanci wydobywają zakopane pod klepiskami stodół rodzin Damboniów i Biasów lonty, spłonki i 320 kg silnego materiału wybuchowego, melinitu. Dosyć, by wysadzić dwa granitowe, grube na trzy metry filary mostu.

Ale saper Wiktor Wiechaczek nieoczekiwanie odkrywa, że kilkumetrowej długości wolnopalny lont Bickforda prawie cały zamókł. Co robić? Na dwa ładunki lontu Bickforda nie starczy. „Wawelberg" decyduje, że trzeba wysadzić choć jeden filar, za to porządnie, za pomocą całych 320 kg melinitu. Ale jak? Eksplozja tak wielkiej ilości melinitu zainicjowana pojedynczym detonatorem może rozrzucić minę, zanim zostanie zdetonowana całość materiału wybuchowego. A wtedy skończy się nie na powaleniu przęsła, lecz na efektownym, ale nieszkodliwym fajerwerku. Wiechaczek, były saper armii niemieckiej, od ręki konstruuje w stodole specjalny detonator. Do blaszanej puszki wkłada cały zapas kilkuset spłonek

z piorunianem rtęci i dopycha jeszcze 10 kg melinitu. Powinno zadziałać. Jest tylko jeden kłopot – nawet najlżejszy wstrząs spowoduje wybuch spłonek i detonatora.

Oddział „Wawelberga" w ciemnościach skrada się w stronę mostu. Każdy modli się, by niosący detonator Wiechaczek nie potknął się albo nie kichnął. Kwadrans przed północą dywersanci minują środkowy filar mostu. Mocują na nim 50-kilogramowe skrzynki z melinitem, a pośrodku – wiechaczkową puszkę z piorunianem rtęci.

Gdy Wiechaczek w ciemnościach kończy mocować suchy odcinek lontu, na biurku dowódcy wojsk powstańczych płk. Mielżyńskiego dzwoni telefon. Z Warszawy. Płk Bogusław Miedziński na polecenie szefa sztabu generalnego gen. Władysława Sikorskiego próbuje wymusić odwołanie powstania.

„Powstania zbrojnego nie jestem w stanie powstrzymać" – odpowiada ppłk Mielżyński.

Na moście w Szczepanowicach Wiechaczek podpala lont. W tym momencie patrol strzegący mostu podnosi alarm. Polacy odskakują w chaszcze. Chwila oczekiwania... i nic. Cisza. „Wawelberg" wraz z Wiechaczkiem i osiemnastoletnim górnikiem Hermanem Jurzycą, uczestnikiem obu poprzednich powstań, wracają pod filar. Pół metra od detonatora zgasł lont. „Wawelberg" i Wiechaczek wycofują się, Jurzyca podpala niedopałek lontu jeszcze raz i zmyka co sił. Następuje potężny wybuch. Wielkie przęsło majestatycznie wali się na ziemię.

3 maja 1791 ▪ wtorek

Jestem przeciw, a nawet za!

Wczesnym rankiem Warszawę ogarnia nadzwyczajne podniecenie. Tłumy mieszczan ciągną na zamek. Od kilku dni po mieście rozchodzą się pogłoski, że uchwalane będzie nowe prawo, które ograniczy przywileje stanu szlacheckiego i wielkich panów. Wczoraj wieczorem stugębna plotka obiegła Warszawę: to zdarzyć się ma już jutro. Na zamku wre jak w ulu, we wszystkich salach, na gankach, w korytarzach prowadzących do fary kręci się mnóstwo rozgorączkowanych ludzi. Galerie sali sejmowej przepełnione są kobietami. Na sali, przed barierą marszałkowską, stoi książę Józef Poniatowski w towarzystwie gen. Gołkowskiego oraz jednego z adiutantów króla. Obok księcia całkiem spora grupa ułanów pod bronią groźnie popatruje na ławy poselskie. Pusty jeszcze tron otaczają oficerowie gwardii królewskiej. Wśród nich wyróżniają się brygadierowie Wielhorski, Jan Potocki oraz płk Hofman.

Nieliczni, obecni w Warszawie, posłowie przeciwni reformom, zaalarmowani plotkami, od wczesnego ranka siedzą w sali. Siedzą pod czujnym okiem ułanów księcia Józefa, by nikt nie zdołał przerwać posiedzenia Sejmu.

Parę minut po jedenastej król Stanisław August uroczyście, na czele orszaku urzędników, wkracza do sali sejmowej. Marszałek wielki koronny po trzykroć uderza laską. Zapada cisza. Marszałek Sejmu Stanisław Małachowski otwiera posiedzenie. Po nim Stanisław Sołtyk, poseł krakowski, wzywa do oficjalnego odczytania depesz zagranicznych.

To część planu uchwalenia nowej konstytucji, powziętego wczoraj wieczorem przez kierownictwo stronnictwa reformatorskiego.

Projekt konstytucji zredagował Hugo Kołłątaj. Projekt jest kompromisem między radykalnym republikanizmem samego Kołłątaja i Ignacego Potockiego a umiarkowanym monarchizmem króla. Pośród wielu zmian najbardziej zapalną, dla ogółu szlachty,

niewątpliwie być musi rezygnacja z wolnej elekcji monarchy i oddanie tronu w dziedziczne władanie elektora saskiego. Przywódcy stronnictwa reformatorskiego doskonale zdają sobie sprawę, że sejm w normalnym trybie konstytucji nie uchwali. Jej zwolennicy postanowili więc skorzystać z nieobecności wielu posłów w Warszawie z powodu zaczynających się 24 kwietnia świąt wielkanocnych – po hucznym świętowaniu posłowie z odleglejszych ziem zwykle zjeżdżali z wielodniowym opóźnieniem. Patriotyczni spiskowcy tuż przed świętami wysłali do posłów, którym ufali, wezwania do Warszawy na 5 maja. Tak zapewnili sobie większość w mocno uszczuplonym składzie izby poselskiej.

Przed paru dniami sekret, że 5 maja ma być głosowanie nad nową konstytucją, wydał się. Kierownictwo obozu reformatorów wymyśliło kolejny trik – głosowanie, bez uprzedzenia, odbędzie się już 3 maja. Na zamek ściągnięte mają być oddziały wojska, by na przeciwników konstytucji wywrzeć presję i trzymać ich w ryzach. By zaś niezdecydowanych przekonać, na początku będą odczytane depesze zagraniczne obrazujące najwyższe zagrożenie Rzeczypospolitej ze strony mocarstw ościennych.

Stanisław August potwierdza, że nadeszły ważne, niepokojące doniesienia zagraniczne, które posłowie powinni poznać. „Prosimy, prosimy!" – wołają wtajemniczeni posłowie. Lecz oto zrywa się poseł kaliski Suchorzewski i domaga się głosu. Marszałek nie zwraca nań uwagi. Suchorzewski wypada na środek sali, szarpie na sobie wstęgę Orderu św. Stanisława, rzuca się na posadzkę, czołga do tronu i woła o głos. Tego spektaklu zignorować niepodobna. Suchorzewski, gdy głos dostaje, zrywa się na nogi i krzyczy: „Mam odkryć wielkie rzeczy! Oto jest zamach przygotowany na zgubę wolności naszej!".

Na sali poruszenie. Ale dalej Suchorzewski przemawia już bezładnie, plącze wątki, gada coś o żonie Ignacego Potockiego. Część posłów niewtajemniczonych w uplanowany przez stronników króla przebieg dzisiejszej sesji traci zainteresowanie rewelacjami kaliszanina, śmieje się z niego do rozpuku.

Poseł Tadeusz Matuszewicz zdaje relację z sytuacji międzynarodowej Rzeczypospolitej. Odczytuje depesze dyplomatyczne, w których aż roi się od sugestii, że dwory ościenne palą się do zagarnięcia wielkiej części polskich ziem.

Widoczny niepokój ogarnia wielu posłów. Poruszone są także tłumy mieszczan przysłuchujących się obradom. Zapada długa cisza. Nikt nie spieszy się do głosu.

Wreszcie powstaje marszałek wielki litewski Ignacy Potocki i stwierdza, że wobec nieszczęść, jakie grożą Rzeczypospolitej, nie pozostaje nic, jak tylko prosić króla, by wskazał, co należy czynić: „Twojego światła, twej cnoty wzywamy, najjaśniejszy panie, abyś nam odkrył widoki swoje ku ratowaniu ojczyzny. Ty do tej usługi masz pierwsze prawo, chęć i zdolność niewątpliwą". Mówi to dawny, zaciekły wróg Stanisława Augusta. Wszyscy obecni czują wagę tej chwili.

Król wezwany, by wskazał drogę ocalenia, prosi marszałka sejmowego o odczytanie projektu Ustawy rządowej. „Prosimy o projekt!" – wołają posłowie.

Sejmowy sekretarz Antoni Siarczyński odczytuje tekst nowej konstytucji. Gdy kończy, na sali sejmowej zrywa się wrzawa. Większość krzyczy: „Zgoda!", ale dają się też słyszeć głosy oponentów. Poseł Korsak domaga się dyskusji, aby zadość stało się prawu, które wymaga debaty nad uchwalanymi ustawami. Posłowie wołyńscy basują, iż większość artykułów ustawy jest słuszna, jednak oni sami, związani instrukcjami swego

województwa, nie mogą zgodzić się na oddanie tronu prawem dziedziczenia elektorowi saskiemu. Niezmordowany Suchorzewski krzyczy: „Nie masz zgody!".

Ale wtajemniczona, patriotyczna większość woła na marszałka Małachowskiego, by formalnie zapytał izbę o zgodę.

Marszałek występuje na środek sali. Z powagą dziękuję królowi za chęć wzmocnienia Rzeczypospolitej, i to kosztem monarszych uprawnień i przywilejów. Projekt konstytucji marszałek wychwala jako lepszy od konstytucji angielskiej czy amerykańskiej i prosi Stanisława Augusta, by go zaprzysiągł.

Jak dotąd sekretny plan stronników reform realizowany jest bez większych trudności. Ale nadchodzi moment krytyczny. Główną zmianą ustrojową w nowej konstytucji jest wprowadzenie wreszcie w Polsce tronu dziedzicznego. Tymczasem w *pacta conventa* – umowie monarchy ze stanem szlacheckim, którą każdy polski król podpisywać musiał przy okazji elekcji, zaprzysiężonych wszak także przez Stanisława Augusta – zawarte jest przyrzeczenie, że wolna elekcja zostanie zachowana. *Pacta conventa* to sprawa śmiertelnie poważna – ich złamanie upoważnia szlachtę do wypowiedzenia królowi posłuszeństwa.

Pomysł stronnictwa patriotycznego na wymówienie *pacta conventa* jest prosty – by nie drażnić szlachty, trzeba stworzyć wrażenie, że król unieważnia swą przysięgę na prośbę izby poselskiej.

Stanisław August stwierdza uroczyście, że dotąd *pacta conventa* nie złamał, i prosi o zwolnienie go z przysięgi.

Wybucha dzika wrzawa. Starosta wałecki Mielżyński wrzeszczy przeraźliwie: „Nie pozwalam!". Protestuje wojewoda mazowiecki Antoni Małachowski, protestują i inni posłowie.

Na środek sali wypada znów imć Suchorzewski. Tym razem wlecze ze sobą sześcioletniego synka i krzyczy: „Wiem ja, że nie tylko na Rzeczpospolitę, ale na najpierwszego jej obrońcę, na mnie, na moje życie jest sprzysiężenie! Nie dbam o to i zabiję własne dziecię, tu na miejscu, wśród obrad sejmowych, aby nie dożyło niewoli, którą ten projekt krajowi gotuje!". Przerażone dziecko szarpie się i płacze.

– Ogolić głowę waryatowi i oddać go do czubków – mówi zniesmaczony bp Krasiński.

Kilku panów szlachty rzuca się na Suchorzewskiego, obezwładnia go, wyrywa z jego rąk chłopca i wyprowadza go z sali.

Protesty jednak nie słabną. Jedni posłowie krzyczą o zdradzie i spisku królewskim, o zamachu na święte prawa ojców i dziadów. Inni podnoszą przytomnie, że zwolnienie króla z *pacta conventa* to rzecz tak poważna, iż wymaga zgody całego stanu szlacheckiego. Wielu posłów chwali projekt konstytucji, ale oburza się, że ma być ona uchwalona bez uprzedniego wydrukowania tekstu, bez gruntownej dyskusji, podstępem po prostu.

Przeciwko tradycjonalistom występują zwolennicy uchwalenia konstytucji bez żadnej zwłoki. Król i jego stronnicy z wolna tracą nadzieję, że projekt uda się przeforsować. Przeciwników jest zbyt dużo i nazbyt są zdeterminowani. Na słuchaniu kunsztownych oracji mija już szósta godzina obrad. Stanisław August czuje, że jeśli nie przejmie inicjatywy, na gadaniu się skończy. Król wzywa marszałka Małachowskiego, by przeprowadził głosowanie.

Marszałek, za namową ks. Kołłątaja, zarządza, że ci, co są za konstytucją, mają wstrzymać się od głosu; ci zaś, co są przeciw, mają oświadczyć to publicznie. To niezbyt uczciwy, stawiający oponentów pod pręgierzem, ale skuteczny sposób na niezdecydowanych. Przeciw konstytucji opowiada się ledwie

jedenastu posłów. Książę Kazimierz Sapieha jest przeciw i zarazem za – wzywa do roztropności, do ponownego, uważnego przeczytania projektu ustawy przed ostatecznym głosowaniem.

Na sali znów wybucha awantura. Wreszcie po południu poseł inflancki Zabiełło przełamuje impas. Deklaruje, że jak każdy dobrze życzący ojczyźnie jest za projektem, i wzywa króla, aby jako pierwszy nową konstytucję zaprzysiągł. Nieoczekiwanie po glosie Zabiełły z miejsc zrywa się większość posłów. Cisną się wokół tronu. Marszałkowie stukają laskami, by przywrócić porządek, ale nikt na nich nie zważa. Posłowie i tłumy na galeriach krzyczą razem: „Wiwat król! Wiwat konstytucja!".

Suchorzewski także rzuca się w stronę Stanisława Augusta. Woła: „Nie przysięgaj, Wasza Królewska Mość, boś już raz Bogu i Ojczyźnie przysiągł". Jest już tylko trzy kroki od tronu, gdy ktoś w tłumie popycha go. Suchorzewski upada, zwolennicy konstytucji w straszliwym tłoku depczą po nim. Wreszcie słynący z siły poseł Kubicki roztrąca ciżbę i podnosi zmaltretowanego, ledwie żywego Suchorzewskiego z posadzki.

Stanisław August czuje, że chwila jest sposobna do przełamania impasu. Chce przemówić, ale w nieopisanym hałasie nikt go nie słyszy. Król wchodzi zatem na krzesło tronowe i ręką daje znaki, by się uciszono. Potem, z krzesła, wzywa biskupa krakowskiego Turskiego, by odebrał królewską przysięgę. Ks. Gorzeński, biskup smoleński, unosi w górę ewangeliarz. Król kładzie na niej rękę i powtarza za bpem Turskim słowa roty przysięgi. Gardła większości obecnych ściska nagłe wzruszenie. Posłowie zdejmują z głów czapki i kapelusze i unoszą je w górę. Po twarzach płyną łzy.

Stanisław August wzywa wszystkich do katedry, by wspólnie złożyć Bogu przysięgę i dziękczynienie za nową konstytucję.

W sali sejmowej zostaje 30 posłów, którzy byli przeciw. Oprócz warchołów i łajdaków na rosyjskich pensjach są tu i ludzie szlachetni, którzy duch i literę konstytucji skłonni byliby zaakceptować, ale sumienie nie pozwala im łamać przy tym prawa i dobrych obyczajów.

Katedrę św. Jana wypełnia gęsto lud. Cechy stoją pod swoimi sztandarami. Nieoczekiwanie przed przysięgą przemawia książę Kazimierz Sapieha. Mówi, że zawsze chciał tylko dobra ojczyzny, tak jak je rozumiał. W nowej konstytucji wiele artykułów nie podoba mu się, w sejmie był przeciw, ale w imię zapobieżenia podziałowi narodu przystępuje do przysięgi.

Bp Turski po raz wtóry odczytuje jej rotę. W dalszych szeregach mało kto biskupa słyszy, ale wszyscy w katedrze podnoszą ręce w górę na znak, że słowa roty powtarzają i zaprzysięgają. Bp Gorzeński intonuje *Te Deum*. Słychać salwy armatnie na wiwat. Z armat strzelają piechurzy. Na zamek nie przybyli dziś artylerzyści; w ewentualnym pacyfikowaniu przeciwników konstytucji byliby bezużyteczni.

Jan Matejko, *Konstytucja 3 maja 1791 roku*

4 maja 1187 ▪ poniedziałek

Królestwo przepadło!

Noc jest straszna. W obozie chrześcijańskiego rycerstwa pod wodzą króla Jerozolimy Gwidona nikt nie jest w stanie zmrużyć oka. Wszystkich męczy straszliwe pragnienie – od kilkunastu godzin są w marszu i w walce, w okropnym upale, bez choćby łyka wody. Chrześcijańscy rycerze starają się zdrzemnąć w swoich ciężkich kolczugach. Nie zdejmują ich, gdyż w każdej chwili muzułmanie mogą ruszyć do walnego szturmu. Ale Saladyn nie ma zamiaru atakować. Jego armia ma wody pod dostatkiem. Wielka karawana wielbłądów objuczonych bukłakami niezmordowanie krąży między nieodległym Jeziorem Tyberiadzkim a wojskami sułtana, otaczającymi obóz wojsk króla jerozolimskiego.

Od czasu gdy wojownicy pierwszej wyprawy krzyżowej zdobyli Jerozolimę i ustanowili na Bliskim Wschodzie swe państwa – Królestwo Jerozolimskie, hrabstwo Trypolisu, księstwo Antiochii i hrabstwo Edessy – minęło 90 lat. Frankijscy krzyżowcy odtworzyli w nich znaną z Europy feudalną strukturę władzy. Pobudowali na swych ziemiach najpotężniejsze twierdze ówczesnego świata. Z powodzeniem pośredniczyli w przynoszącym krociowe zyski handlu korzeniami, winem, bawełną. Nie potrafili jednak skolonizować opanowanych przez siebie ziem, które nazywali Outremer (Zamorzem); chrześcijanie, Europejczycy ciągle byli mniejszością wśród ludności muzułmańskiej. Płynąca z Europy na weneckich i genueńskich statkach rzeka pielgrzymów niczego w tej kwestii nie zmieniała. Biedacy po spełnieniu pielgrzymich ślubów wracali do Europy, rycerze byli zwykle utrapieniem władców Zamorza. Przybywali po wojenną sławę i łupy, więc przy byle

okazji bezmyślnie atakowali sąsiednich muzułmańskich władców, grabili ich ludy i ich kupców. Tymczasem kolejna, urodzona w Outremer generacja frankijskich elit pragnie ułożenia znośnego współżycia z muzułmańskimi sąsiadami. Baronowie i najważniejsi lennicy króla Jerozolimy dalej żarliwie wierzą w chrześcijańskiego Boga, ale obyczajami i stylem życia należą już do Wschodu. Niektórzy mają żony z tutejszych ludów, wszyscy powiązani są siecią towarzyskich i handlowych relacji z muzułmańskimi władcami zza miedzy. Są wśród nich i tacy jak Rajmund hrabia Trypolisu, który świetnie mówi po arabsku i rozczytuje się w uczonych arabskich księgach.

Rozsądni władcy Outremer zawsze zdawali sobie sprawę z ciągle rosnącej słabości ich świata. Jej znakiem był upadek przed 30 laty, pod ciosami Turków, hrabstwa Edessy. Muzułmańscy sąsiedzi są w stanie zmobilizować armie kilkakrotnie liczniejsze od szeregów łacinników, których od dziesiątek lat ratuje tylko ich cudowna broń – zakuta w stalowe kolczugi ciężka jazda. Frankońskich rycerzy, osłanianych przez ciężkozbrojną piechotę z kuszami, na Bliskim Wschodzie nikt nie jest w stanie pokonać. Nikt, z wyjątkiem głupoty ich własnych wodzów.

Od czasu gdy Saladyn zjednoczył muzułmańskie państwa na wschód od Outremer i wykrzesał ze swych wojsk fanatyczny religijny entuzjazm, interesem frankońskich elit jest utrzymanie pokoju, lub choćby rozejmu, z potężnym sułtanem. Ale o rozejm coraz trudniej. Po władcach wybitnych tron Królestwa Jerozolimskiego objął w wyniku małżeństwa z chorobliwie chutliwą królową wdową Sybillą przystojny, ale głupawy Gwidon de Lusignan, miernota bez krzty talentów wojskowych i autorytetu, który jedyne bitwy wygrywał w pościeli. Władcy i baronowie łacinników są ze sobą śmiertelnie skłóceni. I nikt nie jest w stanie

wymusić posłuszeństwa na panu na wspaniałym zamku Kerak de Moab, rycerzu-rabusiu Renaldzie de Chatillon. Już cztery lata temu, po jego nieodpowiedzialnym napadzie na Półwysep Arabski, Saladyn uderzył na Outremer. Na szczęście Rajmund hrabia Trypolisu przejął dowództwo wojsk frankijskich z rąk rozhisteryzowanego króla Gwidona i przeforsował pozostanie na pozycjach przy życiodajnym Źródle Goliata. Hrabia wie, że na Bliskim Wschodzie wojny wygrywa ten, kto ma co pić.

Przed czterema laty Saladyn musiał jak niepyszny zwinąć swe siły sprzed niedostępnego Źródła Goliata. Ale teraz koalicja Renalda de Chatillon i wielkiego mistrza templariuszy Gerarda de Ridefort zepchnęła armię łacinników w paszczę klęski.

Zaczął jak zwykle awanturnik Renald napadem na karawanę muzułmańskich kupców. W odpowiedzi na zerwanie rozejmu Saladyn ruszył na czele ogromnej armii na Outremer. W obliczu skrajnego zagrożenia władztwa łacinników Rajmund hrabia Trypolisu pojednał się z królem Gwidonem. Raz jeszcze możni i król posłuchali hrabiego Rajmunda i licząca 24 tys. świetnie uzbrojonych i wyszkolonych wojowników, w tym 1200 ciężkozbrojnych rycerzy, armia chrześcijańska okopała się w miejscu, w którym była praktycznie nie do pobicia – wokół zbawczych źródeł w Seforii. Saladyn robił, co mógł, by frankońską armię odciągnąć od wody. Przed dwoma dniami część jego sił obległa Tyberiadę i zdobyła miasto. Żona Rajmunda hrabina Eschiva z resztką załogi broniła się w zamku i słała do męża rozpaczliwe prośby o pomoc. Za parę dni zamek musiał paść. Baronowie królestwa postanowili iść Eschivie na pomoc, ale zaprotestował sam Rajmund: „Wolę, żeby zniszczono moją Tyberiadę, niż widzieć utratę całego królestwa".

Jednak złe duchy tej wojny, Renald de Chatillon i wielki mistrz Gerard de Ridefort, tak długo a sekretnie szczuli króla na hrabiego

Rajmunda, że poprzedniego dnia monarcha nagle podjął fatalną decyzję o wymarszu. Monarcha, bez żadnego rozumnego powodu, polecił ruszać tak śpiesznie, że rycerze nie zdążyli napoić koni ani napełnić bukłaków wodą. Jedyną szansą armii łacinników na ocalenie było dotarcie przed zmierzchem do zbawczych wód jeziora Genezaret. Dzień upłynął na marszu i odpieraniu ataków Turków, w straszliwym upale, bez kropli wody do picia. Gdy straż przednia pod wodzą hrabiego Rajmunda z powodzeniem przebijała się do nieodległego już jeziora Genezaret, król Gwidon zatrzymał pochód, by ratować zagrożoną przez Saladyna straż tylną. Potem Gwidon dał rozkaz, by rozstawiać obóz na noc.

„Boże wielki! To nasz grób! Królestwo przepadło!" – wykrzyknął na wieść o decyzji króla hrabia Rajmund.

Świt. Saladyn czeka z atakiem, aż słońce podniesie się wysoko. To zwiększy udrękę spragnionych chrześcijan.

Pierwsze uderzenie Turków na straże przednią i tylną Frankowie odpierają. Hrabia Rajmund prawie rozbija kontratakiem swej jazdy szeregi mameluków, doborowej gwardii Saladyna. Ale kolejne ataki Turków łamią szyk słaniających się z pragnienia łacinników. Hrabia Rajmund czuje, że bez wody frankijscy wojownicy zginą jak ryby wyrzucone na piasek. Nie ma już sił, by przebić się do głównej grupy wojska pod królem Gwidonem. Hrabia podrywa jazdę straży przedniej do szarży w kierunku zbawczych wód Genezaret. Mamelucy rozstępują się i szarża trafia w próżnię. Potem Turcy zwierają swe daleko liczniejsze szeregi i jazda Rajmunda wpada w pułapkę. Pod ciosami muzułmanów giną niemal wszyscy – tylko tuzin rycerzy, w tym hrabia Rajmund i czterej synowie jego żony Eschivy, wyrywa się z okrążenia i uchodzi w stronę Trypolisu.

Przerażona pogromem jazdy Rajmunda, gnana rozpaczą chrześcijańska piechota przedziera się przez szeregi muzułmanów na

północne ze wzgórz, zwanych Rogami Hattin. Pod pobliskim południowym Rogiem zbiera się rycerstwo z królem Gwidonem i najświętszą relikwią Prawdziwego Krzyża. Król wzywa piechurów na północnym Rogu, by zeszli bronić relikwii Krzyża, ale oni, odwodnieni, umęczeni, nie mają już sił. Tylko bronią się – zażarcie, do ostatniej kropli zgęstniałej krwi. Mamelucy wyrzynają większość z nich, resztę pędzą do niewoli.

Król Gwidon rozkazuje w bitewnym zamęcie rozbić namioty, by w nich ochronić konie przed chmurami strzał muzułmańskich łuczników. Udaje się ustawić tylko trzy.

Frankijscy rycerze są godnymi spadkobiercami zdobywców Jerozolimy sprzed 90 lat. Umierają z pragnienia, ale ich ostatnia szarża nieomal rozbija w puch muzułmańską armię. Saladyn w pewnej chwili blednie ze strachu jak sztuka bielonego płótna. W końcu jednak muzułmanie zdobywają w bitewnym zamęcie relikwię Prawdziwego Krzyża. Duch resztek wojowników, broniących się wraz z królem Gwidonem na południowym Rogu Hattin, upada. Ale bronią się, raz po raz kontratakują. Wreszcie muzułmanie wdzierają się po trupach obrońców na południowy Róg. Od początku bitwy nie minęło wiele więcej niż pięć godzin.

Kurdyjski wojownik Dibas chwyta króla Gwidona, który nie ma siły oddać mu swego miecza. Jakiś pośledni sługa bierze do niewoli jednego ze sprawców końca świata krzyżowców, Renalda de Chatillon. Muzułmańscy wojownicy wyłuskują pośród zabitych i ciężko rannych kolejne wielkie figury: mistrza templariuszy Gerarda de Ridefort, Onufrego z Toronu, Amalryka z Lousignan, biskupa Lyddy.

Najważniejszych jeńców muzułmanie pędzą przed oblicze Saladyna.

Sułtan siedzi w pysznym namiocie, osłaniającym go od zabójczego żaru. Doskonale zdaje sobie w tej chwili sprawę, że jego zwycięstwo oznacza koniec chrześcijańskich państw na Bliskim Wschodzie. Stać go na szlachetne gesty. Każe przynieść w złotych naczyniach wodę z syropem. Sam jej próbuje i podaje puchar królowi Gwidonowi. Ten natychmiast łapczywie wypija. Wobec rozbójnika i rabusia karawan Renalda de Chatillon Saladyn nie jest tak uprzejmy. „Pij, bo już nigdy więcej pić nie będziesz" – mówi doń wrogo. Renald, choć dureń i drań, ma swój hardy honor. „Jeśli taka jest wola Boga, nigdy nie będę ani pić, ani jeść, co należy do ciebie" – odpowiada twardo. Rozeźlony sułtan pyta go: „Jeśli miałbyś mnie w swej mocy, tak jak ja ciebie teraz, co uczyniłbyś ze mną?". Renald ani myśli upokorzyć się, kłamiąc o okazaniu Saladynowi łaski. „Ściąłbym ci głowę" – odpowiada sucho.

„Psie, jesteś moim więźniem i ośmielasz się odpowiadać tak bezczelnie!?" – woła Saladyn i z całej siły tnie jeńca szablą przez szyję. Mamelucy z gwardii przybocznej ucinają Renaldowi głowę i podają swemu władcy. Sułtan zanurza palce we krwi cieknącej z odciętej głowy Renalda i zwilża nią swe włosy. Dopełnił zemsty.

Wobec dygocącego ze strachu Gwidona nadal jest uprzejmy. „Król nie zabija króla" – uspokaja go. Także inni z baronów królestwa Jerozolimy póki co ocalają swe głowy.

Ale rycerzy zakonnych czeka straszna próba. Każdy z nich ma przejść na islam i potwierdzić konwersję przysięgą. Wszyscy, jak jeden mąż, odmawiają wyrzeczenia się Pana. I niemal wszyscy giną w strasznych mękach. Saladyn pozwala zamordować ich ulemom, muzułmańskim mędrcom i teologom, którzy mają ogromne wpływy na jego dworze. Ci jednak nie trzymali nigdy broni w ręku, ich nieudolne próby obcięcia głów przysparzają chrześcijańskim jeńcom cierpień straszliwszych od najgorszych tortur.

Jedynym, którego Saladyn ułaskawia, jest wielki mistrz templariuszy Gerard de Ridefort, główny sprawca katastrofy jerozolimskiego królestwa.

Słońce bezlitośnie pali Rogi Hattin, pod którymi dobiegają końca dzieje Outremer.

5 maja 1980 ▪ poniedziałek

Bez przebaczenia

O świcie do pokoju frontowego na drugim piętrze budynku ambasady Iranu w Londynie wpadają z krzykiem młodzi mężczyźni. Mają śniadą cerę, gęste czarne włosy, czarne wąsy. Wymachują pistoletami Browning i niewielkimi czechosłowackimi pistoletami maszynowymi Skorpion. Kilkunastu śpiących na podłodze zakładników zrywa się z dywanów.

Przed pięcioma dniami, rankiem o 11.30, chroniący irańską ambasadę przy Princess Gate konstabl brytyjskiej policji Trevor Lock ujrzał zbliżających się do głównego wejścia sześciu mężczyzn. Twarze mieli okutane arafatkami. Stojącego w foyer tuż przy głównym wejściu Locka nie zaniepokoiło to. Spora część interesantów irańskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego ostentacyjnie nosi charakterystyczne chusty.

Lock otworzył drzwi przed pierwszym z sześciu przybyszy. Mężczyzna nieoczekiwanie pchnął policjanta do środka i wyciągnął z kieszeni broń. Ale Lock, specjalnie przeszkolony funkcjonariusz Grupy Ochrony Dyplomatycznej, natychmiast zatrzasnął drzwi wejściowe i przez zawieszone przez ramię walkie-talkie zaalarmował personel ambasady i londyńską centralę Grupy.

Jeden z napastników strzelił jednak w szybę w drzwiach i z pomocą kompana zdołał je sforsować. Trzej mężczyźni w arafatkach obezwładnili konstabla Locka i zaczęli strzelać na postrach po ścianach foyer. Dwaj pracownicy ambasady przytomnie uciekli tylnymi drzwiami do ogrodu, dwaj inni Irańczycy wydostali się na zewnątrz budynku przez okno na piętrze. Jednemu szczęśliwie udało się przejść po gzymsach do sąsiedniego budynku, drugi spadł na ziemię i dotkliwie poranił się.

Tymczasem sześciu napastników opanowało cały budynek. Mężczyźni używający podczas akcji imion Faisal, Hassan, Shai, Makki, Ali oraz Salim (to dowodzący napadem Awn Ali Mohammed) są członkami Grupy Męczenników Mohieddin al Nasser, arabskiego ugrupowania dążącego do wyzwolenia leżącej nad Zatoką Perską, bogatej w złoża ropy naftowej irańskiej prowincji Chuzestan. Znaczą część ludności Chuzestanu stanowią etniczni Arabowie, a nie Irańczycy.

Zanim jeszcze napastnicy opanowali sytuację w budynku ambasady, na Princess Gate pojawiły się oddział antyterrorystyczny C 13 Scotland Yardu, elitarny oddział strzelców wyborowych – niebieskich beretów – oraz grupa negocjacyjna Scotland Yardu. Rozpoczęło się oblężenie budynku ambasady.

Na sygnał od napastników przyszło czekać aż 3 godziny. O 14.35 szef terrorystów Salim ogłosił przez telefon swoje żądania: uwolnienie z irańskich więzień 91 arabskich bojowników, autonomia dla Chuzestanu i poszanowanie praw człowieka dla jego mieszkańców. Jeśli władze w Teheranie żądań tych natychmiast nie spełnią, groził Salim, ambasada zostanie wysadzona wraz z zakładnikami nazajutrz w południe.

Irański rząd indagowany przez Londyn stwierdził, że z terrorystami negocjować nie zamierza, i dał Brytyjczykom wolną

rękę w rozwiązaniu problemu.

Nocą kilkanaście range roverów przewiozło grupę uderzeniową Special Air Service (SAS) do baraków w Regents Park, gdzie mieści się dowództwo operacyjne jednego z regimentów SAS.

Scotland Yard zaś zabrał się za negocjacje. Terrorystom dostarczono żywność oraz papierosy. Gdy uspokoili się nieco, brytyjscy negocjatorzy zaproponowali zwolnienie zakładników, a przynajmniej kobiet. Salim w końcu, z oporami, zgodził się na wypuszczenie pięciu z 26 zakładników. Wśród wypuszczonych znalazł się jeden z dwóch zatrzymanych w budynku techników dźwięku brytyjskiej BBC, Chris Cramer, który nazajutrz po napadzie poważnie się rozchorował. Był to błąd Salima. Cramer nie tylko dokładnie opowiedział policji o uzbrojeniu, nastrojach i zwyczajach napastników, ale też podał informacje, których, mimo starannego przestudiowania planów budowlanych, eksperci Scotland Yardu i SAS znać nie mogli. Na przykład: wszystkie okna w budynku ambasady od frontu są kuloodporne.

Terroryści w ogóle okazali się na wpół amatorami. Nie zorientowali się, że zespół C 7 Scotland Yardu założył w kominach i w ścianie wspólnej budynków ambasad irańskiej i etiopskiej podsłuchy. Każda rozmowa napastników jest nagrywana. Co więcej, żaden z terrorystów nie zauważył, że rezydujący w budynku ambasady Etiopii spece SAS ostrożnie, po cichu wyjęli cegłę po cegle ze wspólnego muru – pozostał tylko tynk po stronie irańskiej.

Centrum dowodzenia oblężeniem ambasady, ulokowane nieco dalej przy Princess Gate, w Królewskiej Szkole Robótek Ręcznych, ciągle jest dobrej myśli. Zgodnie z oczekiwaniami terroryści, mimo kryzysów w negocjacjach, z każdym dniem ograniczają swoje żądania. Od trzech dni myślą już raczej o uratowaniu własnej skóry. Zażądali pośrednictwa arabskich ambasadorów w negocjacjach

i prawa wyjazdu z Wielkiej Brytanii. Ale zespół uderzeniowy SAS ciągle ćwiczy szturm w makiecie budynku ambasady wybudowanej zaledwie ulicę dalej. Tym razem bez strzelaniny – zwykle komandosi SAS ćwiczą akcje uwalniania zakładników, strzelając ostrą amunicją do tarcz imitujących terrorystów, zaś otaczający ich skrępowani zakładnicy są kolegami atakujących z tego samego oddziału.

Od rana Salim, który w nocy usłyszał jakieś odgłosy na dachu, jest niespokojny i agresywny. O jedenastej idzie na obchód ambasady. Na ścianie dostrzega wybrzuszenie tynku w miejscu, w którym od strony ambasady Etiopii komandosi wyjęli cegły. Wściekły zbiega na dół i poleca przeprowadzić zakładników do pokoju teleksowego na drugim piętrze.

O 11.40 na balkonie pierwszego piętra pojawiają się dwaj zakładnicy: konstabl Lock oraz drugi z dźwiękowców BBC, Sim Harris. Przekazują policji ultimatum Salima – jeśli nie zostanie spełnione jego wcześniejsze żądanie pośredniczenia arabskich dyplomatów w rokowaniach, zacznie się zabijanie zakładników.

Policja gra na czas – przekazuje wiadomość, że po południu BBC poda informację, czy arabscy mediatorzy włączą się do rozmów. BBC informuje jednak, że rządowy komitet ds. zagrożeń COBRA nie wyraził zgody na włączenie do gry dyplomatów.

Wściekły Salim dzwoni na policyjny numer i krzyczy, że za 45 minut zacznie zabijać zakładników. O 13.45 w budynku ambasady rozlegają się trzy strzały.

Zapada dręcząca cisza. Oddział szturmowy SAS jest w pełnej gotowości do akcji. Wreszcie o 18.50 w ambasadzie słychać serię ze skorpiona. O 19.10 ktoś wyrzuca przez drzwi na zewnątrz budynku zwłoki *attaché* prasowego Abbasa Lavasani. Policja dzwoni na pierwsze piętro. Odbiera Salim. Policjant mówi, że zaraz będą podstawione dla terrorystów autobusy na lotnisko. To oczywiście

kłamstwo. Naprawdę chodzi o to, by zlokalizować Salima – jest na piętrze.

Komandosi w czarnych mundurach, kamizelkach kuloodpornych i maskach przeciwgazowych niepostrzeżenie zakładają ładunki wybuchowe na pancernych oknach ambasady. Widzi to cały świat, ukryta za samochodem ekipa BBC nadaje relację na żywo. Ale w ambasadzie telewizory nie działają – Scotland Yard dawno już odciął dopływ prądu.

O 19.23 rozlega się potężna eksplozja. Rozpoczyna się operacja „Nimrod" (wedle tradycji Nimrod był okrutnym budowniczym wieży Babel). Ambasadę szturmuje 24 komandosów SAS. Oddział „Czerwony" atakuje z dachu. Z tyłu budynku trzy pary komandosów opuszczają się na linach. Pierwsza para opada nieudolnie, uderza o okno i ląduje na trawniku. Druga para ląduje na balkonie, wyłamuje zamek w oknie i wrzuca granaty ogłuszające do pokoju, w którym telefon odebrał Salim. Komandos z trzeciej pary wikła się w linie. Fatalnie. Nie można wysadzić drzwi na balkon. Jego koledzy wciskają się do wnętrza przez uchylone okno. Inna drużyna wypycha resztki ściany od strony ambasady etiopskiej i wkracza do akcji.

Na parterze oddział „Niebieski" wybija młotami okna i wpada do hallu. Komandosi z bliska zabijają stojącego tam bezradnie, ogłuszonego terrorystę.

Tymczasem komandosi stojący na trawniku strzelają do wnętrza budynku granatami z gazem łzawiącym. Od jednego z nich w pokoju na górze wybucha pożar. Ogień ogarnia wiszącego na linach niefortunnego komandosa. Inni żołnierze w ostatniej chwili odcinają go i ratują przed usmażeniem się.

Na pierwszym piętrze szef terrorystów Salim składa się do strzału do komandosa w oknie. Dostrzega to konstabl Lock. Podbiega

i rzuca się na Salima. Po chwili koledzy uratowanego komandosa zabijają obezwładnionego już terrorystę.

W pokoju teleksowym terroryści Shai i Makki strzelają do zakładników. Zabijają jednego, drugiego ranią. Potem jednak ulegają prośbom reszty zakładników, odrzucają broń i poddają się. Kładą się twarzami do podłogi. Komandosi „Niebieskiego" chwytają ich, przyciskają do ściany i strzałami z przyłożenia zabijają.

Ostatni z napastników pilnuje kobiet w innym pokoju na drugim piętrze. Na odgłos strzałów wyrzuca broń i chce się poddać. Zakładniczki, widząc, co się dzieje z ujętymi terrorystami, odmawiają zidentyfikowania go. Na trawniku komandosi jednak orientują się, kim jest, próbują nawet zabrać go do budynku, ale w końcu trafia on w ręce Scotland Yardu.

Zakładnicy, na wszelki wypadek skuci przez komandosów kajdankami, leżą na trawniku. Budynek ambasady płonie. Zwycięzcy odjeżdżają do bazy vanami wynajętymi w firmie AVIS.

6 maja 1937 ▪ czwartek

Niebo w płomieniach

O 17.45 dziesiątki tysięcy ludzi zatrzymują się na ulicach i skwerach Nowego Jorku z głowami zadartymi do góry. Na tle bezchmurnego nieba, na wysokości zaledwie kilkuset metrów, przesuwa się długie na ćwierć kilometra srebrzyste wrzeciono. Stateczniki w tylnej części upodabniają je do gigantycznej bomby. Takim złowrogim skojarzeniom sprzyjają ogromne swastyki wymalowane na statecznikach.

Nowojorczycy śmieją się jednak, radośnie wymachują rękami. Dla nich największy na świecie sterowiec „Hindenburg" nie jest manifestacją potęgi III Rzeszy Adolfa Hitlera, lecz raczej świadectwem postępu cywilizacyjnego ludzkości, potwierdzeniem wiary, że nowoczesna nauka i technika potrafią zmienić świat na lepsze.

To samo widzą w „Hindenburgu" jego twórcy – Niemieckie Towarzystwo Budowy Statków Zeppelina. Ukończony w marcu zeszłego roku „Hindenburg" jest największym statkiem powietrznym wszech czasów. Jego kadłub ma 245 m długości i mieści w 16 ogromnych komorach 200 tys. m. sześc. lżejszego od powietrza wodoru. Cztery silniki Diesla o mocy 1100 KM każdy pozwalają sterowcowi osiągnąć prędkość podróżną 140 km/h. Blisko 100 pasażerów podróżować może w luksusowych dwuosobowych kabinach. Do dyspozycji mają wytworne, wyłożone zielonymi kaflami łazienki, jadalnię, salon wypoczynkowy, bibliotekę, palarnię, no i wspaniale przeszklone pokłady spacerowe.

„Hindenburg" ma tylko jeden mankament. Generalny konstruktor Hugo Eckener zaplanował wypełnienie zbiorników gazu niepalnym helem, ale Stany Zjednoczone, jedyny producent helu na świecie, odmówiły sprzedaży tego strategicznego surowca hitlerowskim Niemcom. Eckener zmuszony był użyć wodoru. To niebezpieczne rozwiązanie – przy najmniejszej nieszczelności komór zmieszany z powietrzem wodór eksplodować może od byle iskierki.

Brak helu to nie jedyne zmartwienie Eckenera. Wszyscy wiedzą, że jest on daleki od entuzjazmu dla narodowego socjalizmu. Przed dwoma tygodniami hitlerowska cenzura rozesłała do gazet zakaz wymieniania w artykułach nazwiska Eckenera.

Po trwającym kwadrans przelocie nad Nowym Jorkiem kpt. Ernst Lehmann wydaje rozkaz skierowania się do lądowiska sterowców

w Lakehurst w New Jersey. „Hindenburg" odlatuje powoli, majestatycznie. Pogoda z każdą minutą pogarsza się i kpt. Lehmann chce zaczekać z trudnym i niezbyt bezpiecznym manewrem przyziemienia sterowca, aż burza nad Lakehurst przesunie się dalej.

Po godzinie krążenia nad lądowiskiem ulewa ustaje, zza chmur błyska zachodzące słońce.

Ulewa przepędziła z piaszczystego terenu lądowiska większość widzów; z ponad tysiąca została ich nieopodal wieży cumowniczej nieco ponad setka. Tuż obok wieży czeka kilkudziesięciu marynarzy i żeglarzy, których tutejszy jachtklub wezwał do pomocy przy dokowaniu sterowca.

„Hindenburg" powoli zbliża się do wieży cumowniczej. Nagle sternik Helmut Lau, obsługujący ster wysokości, melduje kapitanowi, że nie jest w stanie opuścić dziobu sterowca. Wygląda na to, że jedna z rufowych komór z wodorem jest nieszczelna. Wyciek gazu spowodował, że teraz rufa jest cięższa od części dziobowej. Kpt. Lehmann wydaje rozkaz zrzucenia 5 t balastu z tylnej części sterowca. Ze zbiorników rufowych lecą w stronę ziemi kaskady wody. Wreszcie rufa powoli unosi się. „Hindenburg" jest wyważony.

Kłopotów tych nie dostrzegają pasażerowie. Niemal wszyscy wyszli z bagażami z kabin i przez panoramiczne szyby pokładów spacerowych machają rękami ku osobom na ziemi.

O 19.23 otwierają się małe drzwi trapowe w dziobie sterowca i wypadają z nich grube liny. Na dole marynarze i żeglarze łapią ich końcówki i zaczynają ściągać sterowiec ku ziemi.

Na lądowisku jest sprawozdawca radia WLS Chicago Herbert Morrison. Relację z lądowania nadaje na żywo: „Oto nadchodzi, panie i panowie, ach, co to za widok, wstrząsający, cudowny widok. Słońce opromienia okna pokładu obserwacyjnego po zachodniej

stronie i skrzy się jak błyszczące klejnoty na tle czarnego aksamitu. Oooch! Oooch! Oooch! Wybucha w płomieniach! Zejdźcie z drogi, proszę! Oooo! Oooch! To jest straszne!!! O mój.... Zejdźcie z drogi, proszęęę!!! On wybucha w płomieniach!!!".

Ciemniejące niebo rozdziera straszliwa eksplozja zbiornika wodoru nr 2. Piorunująca mieszanka wodoru i powietrza pali się płomieniami długimi na 100 m. Jedna z gondoli silnikowych odrywa się i spada z hukiem na ziemię.

Sternik Lau i członek załogi Richard Killman odwracają się natychmiast po tym, jak słyszą za plecami dźwięk, który przypomina im strzał karabinowy. Komory gazowe nr 2, 3 i 4 stoją w gigantycznych płomieniach. Chwilę potem tylne zbiorniki wodoru eksplodują niczym bomby. Siła wybuchu wyrzuca wielu pasażerów przez rozpryśnięte panoramiczne szyby pokładów spacerowych. Bezradnie machając rękami i nogami, lecą z wysokości ponad 50 m – ku śmierci.

Mechanik ogonowy Hans Freund kończy właśnie wyrzucać linę cumowniczą z części rufowej, gdy w mgnieniu oka ogarniają go płomienie. Straszliwa temperatura zwęgla jego ubranie i skórę. Skurcz mięśni wskutek udaru termicznego sprawia, że jego ramiona zaciskają się na linie. Dzięki temu nieprzytomny mechanik zsuwa się po cumie i nie rozbija o piach. Marynarze natychmiast odnoszą go na bok. Jest jedynym członkiem załogi rufowej, który uchodzi z życiem.

Kolejna eksplozja rozrywa kadłub sterowca jak zabawkę. Płonący ogon opada ku ziemi, dziób zaś unosi się jeszcze wyżej w potężnym kominie gorącego powietrza.

Sparaliżowani strachem pasażerowie patrzą, jak zbawcza ziemia oddala się. Głowy nie traci dziennikarz Leonard Adelt, który wykosztował się na dwa 400-dolarowe bilety dla siebie i żony

Gertrudy. Prócz sprawienia przyjemności żonie chciał zebrać dodatkowe informacje do książki o sterowcach, którą kończy pisać. Leonard chwyta Gertrudę za rękę i z całych sił, by przebić się przez huk płomieni, krzyczy do reszty pasażerów: „Wszyscy przez okna!". Państwo Adelt wchodzą na ramę rozbitego okna widokowego i trzymając się za ręce, skaczą w kilkudziesięciometrową otchłań. Piasek amortyzuje nieco uderzenie. Oboje mają poharatane nogi, ale żyją.

Pasażerka pani Doehner przeraźliwie nawołuje swojego męża. Chwilę przed wybuchem poszedł w stronę rufy przypilnować bagażu. Teraz widać tam tylko ścianę huczących płomieni. Pani Doehner przytula mocno swoje dzieci: dwóch małych chłopców i jedenastoletnią córeczkę. Gdy płomienie są tuż-tuż, woła: „Bądźcie dzielne!", i po kolei wyrzuca płaczące dzieci przez okno. Sama skacze ostatnia. Jeden z chłopców i dziewczynka giną, uderzając o grunt.

Jakiś członek załogi chwyta stewardesę Elsę Ernst i wysuwa ją przez luk, by mogła uchwycić się zwisającej liny cumowniczej. Gdy Elsa łapie zbawczą linę, na jej oczach płomienie zwęglają nieszczęśnika. Stewardesa zjeżdża w dół. Szorstka lina obdziera jej dłonie z ciała, wyrywa skórę z ud, ale na dole amerykańscy marynarze łapią Elsę żywą.

Dla niektórych pasażerów skok w niemal 100-metrową teraz otchłań jest straszniejszy od płomieni. Zrezygnowany starszy niemiecki biznesmen wraca do saloniku, siada w fotelu i czeka na śmierć w ogniu. Magnat okrętowy John Pannes w zamieszaniu traci z oczu żonę. Zamiast skakać, okręca głowę marynarką i idzie szukać jej prosto w ścianę ognia. Oboje giną.

Kpt. Lehmann i drugi kapitan Pruss skaczą, gdy wokół nich nie ma już żywych członków załogi. Lecą jak pochodnie – płoną ich włosy i ubrania. Dymiący czarny od zgorzelin kpt. Lehmann

podnosi się z piasku i idzie przed siebie, w pole. Jest w szoku. Powtarza jak zacięta płyta gramofonowa: „Nie rozumiem tego. Nie rozumiem tego. Nie rozumiem tego".

Dziobowa część wraku jest już w całości ogarnięta przez płomienie, ale dzięki temu opada coraz szybciej. To szansa dla tych z pasażerów, którzy sparaliżowani strachem, położyli się na podłodze kabiny pasażerskiej. Płomienie kłębią się już pod sufitem kabiny, ale silny wstrząs oznacza, że jej dno uderzyło o grunt. Płonące nad kabiną komory z wodorem wytwarzają straszliwą temperaturę, niczym hutniczy piec. Ale wynajęci do pomocy w cumowaniu amerykańscy marynarze i żeglarze nie zważają na to. Z prawdziwą pogardą śmierci skaczą przez wybite okna w piekło ognia i wynoszą kolejne ofiary. Większość z nich jest naga – płomień spalił ubrania. Skóra niektórych jest całkowicie zwęglona. Jakiś mężczyzna wychodzi z płomieni kabiny o własnych siłach. Jest w szoku. Gdy marynarze chcą go podtrzymać, odpowiada: „Nie widzicie, że jestem całkiem w porządku?", po czym pada martwy na ziemię.

Słup dymu sięga niemal kilometra wysokości. Wrak sterowca dopala się do późnej nocy. Ginie 35 pasażerów i członków załogi oraz jeden z ratujących ofiary amerykańskich marynarzy.

Moment katastrofy „Hindenburga” (fot. M. Becker)

7 maja 1915 ▪ piątek

Przynęta z błękitną wstęgą

Kapitan niemieckiej cesarskiej marynarki Wojennej Walther Schwieger stoi oparty o balustradę z metalowych prętów na kiosku dowodzonego przez siebie okrętu podwodnego U-20. Przez lornetkę uważnie lustruje zamglony horyzont w poszukiwaniu łupu. O 14.20 zauważa dym. Natychmiast zbiega do wnętrza okrętu, ogłasza alarm. U-20 zanurza się.

Schwieger jest jednym z asów podwodnej wojny Niemiec z Wielką Brytanią. Tylko kilku dowódców U-Bootów kajzera Wilhelma II zdołało zatopić statki o większym tonażu. Podczas tego rejsu nie odniósł dotychczas oszałamiających sukcesów. Przed czterema dniami atak U-20 u wybrzeży Szkocji na niewielki frachtowiec zakończył się niepowodzeniem – przy strzale torpeda zaklinowała się w wyrzutni. Przedwczoraj łupem Schwiegera padł frachtowiec „Candidate" i stary parowiec „Centurion", ale atak U-20 na tłusty kąsek, jakim jest transatlantyk „Arabic", spalił na panewce.

Niemiecki U-Boot zajmuje pozycję do ataku. Schwieger dostrzega przez peryskop wielki czterokominowy transatlantyk. Rozpoznaje go jako „Lusitanię" albo bliźniaczą „Mauretanię".

O godzinie 15.10, gdy wielki liniowiec oddalony jest od U-Boota o zaledwie 700 m, kpt. Schwieger oblicza poprawkę na szybkość 22 węzłów, z jaką płynie czterokominowy statek, i wydaje komendę: „*Torpedo, los!*". Torpeda pędzi niemal prostopadle do kursu transatlantyku.

Niemiecki oficer nie myli się. Pod wyrzutnie torpedowe U-20 podpłynęła duma brytyjskiej floty handlowej – „Lusitania".

Jej budowę rozpoczęto w 1903 roku. Miała być najszybszym transatlantykiem na świecie. Parowe turbiny osiągały moc 68 tys. KM. Projektant Leonard Peskett nie zawiódł – „Lusitania" przepłynęła Atlantyk ze średnią prędkością ponad 25 węzłów i odebrała niemieckiemu liniowcowi „Deutschland" prestiżowe trofeum Błękitnej Wstęgi dla najszybszego transatlantyku. Ale ten wspaniały okręt pasażerski potajemnie budowano z myślą o wojnie. Kosztem 75 tys. funtów, które brytyjska Admiralicja zwróciła armatorowi, firmie Cunard, wybudowano w kadłubie system grodzi wodoszczelnych stosowany rutynowo w okrętach

wojennych. Wzdłuż burt skonstruowano podłużne przegrody, tworzące ogromne bunkry na węgiel. Te i inne przeróbki sprawiły, że „Lusitania" stała się statkiem mało stabilnym. Tak mało stabilnym, że przed wojną Admiralicja zarządziła, by podobnie wyposażone jednostki nie wpływały na akweny objęte działaniami wojennymi bez eskorty okrętów wojennych. Po wybuchu wojny na transatlantyku zainstalowano dwanaście dział kalibru 152 mm. „Lusitanię" zakwalifikowano jako krążownik pomocniczy i włączono do floty wojennej. Siłą ognia przewyższała ona lekkie krążowniki Royal Navy.

Równie nieprzeciętny jak nowy krążownik był jego dowódca. Kpt. William Turner wstąpił do marynarki w wieku 13 lat. Został wtedy chłopcem okrętowym na statku dowodzonym przez swojego ojca, kapitana żeglugi wielkiej. Przed ponad 30 laty statek „Cherbourg", na którym służył, w porcie liverpoolskim, w gęstej mgle, zderzył się z barką, która zaczęła tonąć, Turner jako jedyny rzucił się na ratunek jej załodze. Ocalił marynarza i chłopca – pilot barki i czterech członków załogi utonęli. Parę lat później William Turner, gdy dostrzegł, że do portowego doku wpadł jakiś chłopiec i tonie, skoczył i uratował go. Za ten wyczyn Turner uhonorowany został Srebrnym Medalem Humane Society.

Awansował błyskawicznie. Dowodząc „Lusitanią" na trasie do Nowego Jorku zdobył pierwszą Błękitną Wstęgę za rekordowo szybki rejs. „Lusitania" przepłynęła ocean ze średnią prędkością 25,88 węzła. Potem dowodził bliźniaczą, nieco szybszą od „Lusitanii" „Mauretanią" i zdobył kolejne Błękitne Wstęgi.

W światku marynarzy kpt. Turner od lat cieszy się wielkim szacunkiem. Jego wiedza i siła charakteru stawiane są innym wilkom morskim za wzór. Armator jest trochę mniej zachwycony sławnym kapitanem. Turner lekceważy reprezentacyjne obowiązki

dowódcy transatlantyku. Ignoruje wszystkie te bale kapitańskie, obiady i kolacje celebrowane z uprzywilejowanymi pasażerami – posiłki ostentacyjnie jada sam na mostku kapitańskim. Kiedyś wręcz powiedział swoim pasażerom, że są tylko ładunkiem sakramenckich małp. Cunard musiał w tej sytuacji zatrudnić dodatkowo tzw. kapitana sztabowego, który zajmuje się życiem towarzyskim na liniowcu.

Od roku kpt. Turner znów dowodzi „Lusitanią" – ale teraz przebudowaną na krążownik pomocniczy. W czasie wojny pozornie nic się na transatlantyku nie zmieniło. Wielki liniowiec nadal pływa na trasie do Nowego Jorku, jak za dawnych dobrych lat zabiera setki pasażerów. Ale z USA do Wielkiej Brytanii „Lusitania" pływa z tajnym ładunkiem amunicji i materiałów wojennych. To wbrew amerykańskim przepisom. Pasażerowie nie są o tym informowani. Także i teraz nie mają pojęcia, że w ładowniach spoczywa ponad 170 t amunicji karabinowej, artyleryjskiej i niezwykle niebezpiecznego składnika materiałów wybuchowych – sproszkowanego aluminium. W ten sposób brytyjska marynarka łamie niemiecką blokadę wysp.

U-Booty Wilhelma II w pierwszych miesiącach wojny wojowały po rycersku. Wynurzały się, nakazywały zatrzymanie statku. Marynarze okrętu podwodnego przeszukiwali zatrzymaną jednostkę, zabierali dokumenty i wartościowe przedmioty, nadzorowali spokojne zejście załogi i pasażerów do okrętów podwodnych. Śmiertelną torpedę odpalano do pustego już statku. Od kiedy jednak Brytyjczycy zaczęli uzbrajać statki handlowe, Niemcy z konieczności zaczęli atakować bez ostrzeżenia, spod powierzchni morza. Nie dalej jak wczoraj kpt. Schwieger zanim zatopił frachtowiec „Candidate", poczekał, aż załoga zejdzie do

szalup, ale „Centuriona” posłał na dno bez ostrzeżenia, bo nie był pewien, czy nie jest on uzbrojony.

Stojący na dziobowym posterunku obserwacyjnym „Lusitanii” marynarz Leslie Morton dostrzega na powierzchni morza pędzącą białą smugę. Chwilę później statkiem wstrząsa detonacja. Torpeda eksploduje pod mostkiem. Następnie rozlega się drugi, o wiele potężniejszy, wybuch. To eksplodują pyły węglowe w bunkrach przyburtowych. Kadłub i pomost są rozerwane. Śródokręcie ogarniają dym i płomienie, walą się kominy. Kpt. Turner zarządza zwrot w lewo, w stronę dobrze widocznego brzegu południowej Irlandii. Ale „Lusitania” szybko nabiera wody, przechyla się na prawą burtę. Woda zalewa maszynownię, wewnątrz kadłuba gaśnie światło.

Na tonącym statku rozgrywają się dantejskie sceny. Druga eksplozja zmasakrowała dziesiątki pasażerów na wyższych pokładach. Mnóstwo ludzi uwięzło w kabinach i w unieruchomionych windach. Kpt. Turner zaniedbał przeprowadzenia na początku rejsu ćwiczeń alarmowych. Pasażerowie nie wiedzą, do których łodzi są przypisani, nie potrafią wkładać kamizelek ratunkowych. Nieudolnie opuszczane z kobietami i dziećmi szalupy jedna po drugiej walą się dziobami w fale i toną. Grupa palaczy, która cudem wyrwała się z piekła maszynowni, odpycha kobiety i dzieci od łodzi ratunkowych. Oficerowie nie są w stanie opanować sytuacji.

W tym pandemonium tylko nieliczni zachowują zimną krew i klasę. Kpt. Turner nieporuszony trwa na mostku. Amerykański król kolei miliarder Alfred Vanderbildt, jak zwykle nienagannie ubrany, oddaje swoją kamizelkę ratunkową jednej z płaczących pasażerek. Potem spokojnie czeka na swój los – nie umie pływać.

Po kwadransie od trafienia „Lusitania” idzie na dno. Dziób zanurza się, rufa unosi ponad fale. Dwa kominy walą się w morze, miażdżąc rozbitków.

W ostatniej chwili z idącego na dno statku skacze do wody pani Margaret Thomas.

„Lusitania” znika w odmętach i wciąga ją głęboko pod wodę. W końcu pani Thomas jednak wypływa. Ratuje ją kurczowo trzymana w ręku – dla jej ojca – kamizelka.

W zanurzonym U-20 kpt. Schwieger tak kończy opis ataku w dzienniku pokładowym: „Nie mogłem odpalić drugiej torpedy w ten tłum szamocących się ludzi”.

W sumie ginie niemal 1200 pasażerów i członków załogi.

Zmyty przez falę z mostka i wyłowiony przez jedną z szalup kpt. Turner nie ma pojęcia, że pierwszy lord admiralicji Winston Churchill i dowódca floty lord Fischer skazali „Lusitanię” na zagładę. Dzięki danym wywiadu wiedzieli, że płynie ona prosto pod torpedy niemieckiego U-Boota, ale odmówili przydzielenia jej eskorty i nie zawiadomili kpt. Turnera o niebezpieczeństwie. Wedle kalkulacji szefów marynarki zatopienie „Lusitanii” z amerykańskimi pasażerami na pokładzie miało skłonić neutralne Stany Zjednoczone do wypowiedzenia wojny Niemcom. Turner nie wie nawet, że czeka go najgorsze w karierze marynarza: cyniczne oskarżenie przez Churchilla o spowodowanie zagłady „Lusitanii”, oskarżenie, przeciwko któremu kapitan, pozbawiony dostępu do tajnych dokumentów, nie będzie mógł się bronić.

8 maja 1987 ▪ piątek

Gary tam był

Sala balowa Executive Tower Inn w Denver pęka w szwach – są politycy, śmietanka towarzyska stanu Kolorado, dziennikarze. Mnóstwo dziennikarzy z całych Stanów. I dziesiątki kamer wszystkich liczących się amerykańskich sieci telewizyjnych. Wszyscy czekają na rozpoczęcie konferencji prasowej Gary'ego Harta, byłego senatora z Kolorado, zdecydowanie prowadzącego wśród kandydatów Partii Demokratycznej w wyścigu do prezydentury. Mija termin rozpoczęcia konferencji i sieci ABC, CBS, NBC przerywają nadawanie normalnych programów. Ale bohatera dzisiejszego wieczoru nie ma. Jak zwykle spóźnia się. Tom Brokaw, Dan Rather, Peter Jennings – gwiazdy najważniejszych dzienników telewizyjnych – w studiach nerwowo zagadują widzów.

Wreszcie na sali zrywają się oklaski i po chwili wkracza Gary Hart. Obok niego żona Lee. Hart przeprasza za spóźnienie. Ci, którzy oczekiwali, że będzie dziś spięty, zdenerwowany, przestraszony, zawodzą się. Hart swobodnie opowiada, że początkowo zamierzał odczytać krótkie oświadczenie, iż rezygnuje z udziału w wyborczym wyścigu do Białego Domu i znika ze sceny politycznej, ale zmienił zdanie: „Nie mogłem spać minionej nocy, podobnie jak podczas poprzednich trzech, czterech. Między czwartą a piątą nad ranem powiedziałem sobie: »Do diabła, nie!«. Nie zrobię tego. Nie postąpię w taki sposób, ponieważ nie jest to w moim stylu, a także dlatego że jestem człowiekiem dumnym i mam prawo szczycić się tym, czego dokonałem".

Ale Ameryka jest innego zdania. Od paru tygodni dobrze poinformowani dziennikarze poszeptywali, że Hart ma romans z modelką Donną Rice. A Gary Hart od 29 lat jest żonaty z Lee. Brakowało jednak dowodu na podwójne życie Harta.

Donna Rice, dość znana, zdecydowanie przyjemna modelka, reklamująca w telewizji bieliznę i dżinsy, mieszka w Miami na

Florydzie. Redakcja dziennika „Miami Herald" wszczęła w kwietniu dziennikarskie śledztwo; na początku maja reporterzy dowiedzieli się z poufnego źródła, że Rice z koleżanką leci na weekend do Waszyngtonu na spotkanie z Hartem. Pięciu dziennikarzy wyleciało z Miami wcześniejszym lotem. Osaczyli dom Harta. Był pusty, żona Lee została w Denver. Wreszcie zjawił się Hart z Donną. Weszli frontowymi drzwiami. Na ich wyjście zmarznięci reporterzy czekali całą dobę. Następnego dnia „Miami Herald" miało piorunującą czołówkę: *Kobieta z Miami związana z Hartem*.

Tydzień, jaki upłynął od publikacji dziennika z Florydy do dzisiejszej konferencji prasowej, minął na stanowczych zaprzeczeniach Harta, który z całą powagą twierdził, że zaraz po wejściu z Rice drzwiami frontowymi wyszedł drzwiami tylnymi, niestety, niezauważony przez reporterów. Ale dziennikarze w całych Stanach poczuli już świeżą krew.

Dochodzenia innych redakcji wyciągnęły na światło dzienne zastanawiające nowinki o najpoważniejszym demokratycznym kandydacie na prezydenta. Na zdjęciu z przejażdżki jachtem Donna siedzi na kolanach Gary'ego. Okazuje się, że Hart kłamie w kwestii swego wieku – twierdzi że jest o rok młodszy. Co prawda, zauważają zjadliwie komentatorzy, pierwsza dama Ameryki Nancy Reagan też się odmładza, i to o dwa lata, ale ona przynajmniej jest byłą aktorką.

Hart kłamie też w kwestii zmiany swego nazwiska. Twierdzi, że z Hartpence na Hart skrócił je ojciec, ale dokumenty mówią co innego – to on dokonał zmiany, gdy postanowił zająć się polityką.

No i to najgorsze – seks. Gary i Lee już dwukrotnie byli w separacji. W tym czasie ona próbowała robić interesy w handlu nieruchomościami, a on szalał z szybkimi panienkami w basenie aktora Warrena Beatty w Los Angeles i w rezydencji reportera

„Washington Post", milionera Boba Woodwarda – tego, który wykrył aferę Watergate. Po sensacyjnym artykule „Miami Herald" dziennikarze błyskawicznie skompletowali listę 21 kolejnych kochanek Harta, ale w końcu nie zdecydowali się na opublikowanie jej.

Hart lekceważy powagę oskarżeń o swobodę obyczajową. Amerykańscy prezydenci przecież często prowadzili zadziwiające życie okołomałżeńskie. Thomas Jefferson miał pięcioro ciemnoskórych dzieci z czarną niewolnicą. Franklin Roosevelt i Dwight Eisenhower utrzymywali oficjalne kochanki. Posągowy Lyndon Johnson miewał nagłe napady chuci; w czasie oficjalnej podróży po Teksasie zbudził swoją sekretarkę w środku nocy: „Spójrz, kochanie, tu stoi twój prezydent".

Pozamałżeński seks w Białym Domu zainaugurował już dawno temu Grover Cleveland, ale nikt nie mógł się w tej konkurencji równać z Johnem F. Kennedym. Lista jego kochanek przypominała raczej książkę telefoniczną niż intymny kajecik. Z rozebranymi gośćmi balangował w gabinetach i w basenie. Bywalcy prywatek chwalili zwłaszcza fantazję dwóch prezydenckich sekretarek zwanych Fiddle i Faddle.

Mogli wielcy prezydenci, mogę i ja, kalkulował Hart. Nie pojął, że czasy się zmieniły. Wyborcy chcą wiedzieć o kandydatach coraz więcej i coraz większą wagę przykładają do imponderabiliów. Kończy się niepisana zasada w amerykańskich mediach, że prywatne życie przywódców jest nietykalne. W dodatku te fatalne kłamstewka Harta... W gruncie rzeczy jego pokrętne, nieprzekonujące próby wyjaśnień robią na opinii publicznej o wiele gorsze wrażenie niż sam fakt ujawnienia małżeńskiej niewierności.

W ciągu paru dni od publikacji „Miami Herald" poparcie dla niego wśród demokratów spada z 32 proc. do 17 proc. Wyjściem jest

już tylko dzisiejsza rezygnacja.

Hart podnosi głos. Grzmi, że kraj, którego dziennikarze sami mianują siebie myśliwymi, a polityków zwierzyną łowną, w końcu będzie miał takich przywódców, na jakich zasługuje. Jeśli dziennikarze będą zbyt dociekliwi, niewielu ludzi dużego kalibru zdecyduje się wejść w szranki wyborcze – całkiem serio ostrzega były kandydat.

Część dziennikarzy śmieje się. Obecni na sali zwolennicy Harta i pracownicy jego komitetu wyborczego podnoszą wrzawę, ostentacyjnie biją brawo. Ale to brawa przez łzy. Wielu z nich od lat pracowało na tę kampanię, wielu zrezygnowało dla niej z innych zajęć, z karier. Właśnie ostatecznie dowiedzieli się, że te lata zmarnowali.

Konferencja prasowa Gary'ego Harta w Atlancie, 27 lutego 1988 roku

9 maja 1671 ▪ sobota

Korona? Nie, pensja

O 7.00 u drzwi mieszkania na parterze wieży Martin Tower królewskiego zamku w Londynie, zwanego Tower, rozlega się klekot ozdobnej kołatki. Gospodarz, Talbot Edwards, śpiesznie otwiera drzwi i uprzejmie wita gości: postawnego pastora w sutannie przepasanej sznurem, okrytego długą czarną peleryną, oraz elegancko odzianego młodzieńca i dwóch mężczyzn w sile wieku. Wszyscy trzej, z wyjątkiem pastora, noszą przy boku rapiery, sztylety i po parze pistoletów.

Talbot Edwards jest strażnikiem angielskich klejnotów koronnych. Niedawno królewski dworzanin *sir* Gilbert Talbot zdecydował, że przechowywane w Martin Tower regalia powinny zostać udostępnione widzom. Strażnikiem regaliów *sir* Talbot uczynił 77-letniego Edwardsa, zaufanego służącego swego ojca. Edwards otrzymał mieszkanie nad piwnicą w podziemiach Martin Tower, w której przechowywane są skarby koronne, oraz całkowity dochód z pokazywania ich ciekawskim, zamiast stałego uposażenia z królewskiej kiesy.

Parę tygodni temu pastor, który przedstawił się jako Blood, zapukał do drzwi Edwardsa i grzecznie zapytał go, czy mógłby obejrzeć te skarby. Edwards pobrał opłatę, zszedł z gościem piętro niżej, do piwnic Tower i pozwolił duchownemu podziwiać – przez solidną kratę – koronę św. Edwarda, królewskie jabłko oraz berło. Pastor, który był miłym i elokwentnym rozmówcą, wzbudził sympatię strażnika regaliów. Tydzień później zjawił się on u Edwardsa z żoną, stateczną i skromną damą. Wyjaśnił, że zapragnęła ona zobaczyć królewskie skarby. Pod koniec wizyty w skarbcu pastorowa nieoczekiwanie dostała ostrego bólu brzucha. Edwards zaprowadził ją do swego mieszkania. Po zażyciu

przygotowanych przez panią Edwards lekarstw pastorowa całkiem doszła do siebie.

Po tej niefortunnej wizycie pastor Blood zjawił się w mieszkaniu strażnika regaliów i wręczył mu cztery pary białych rękawiczek dla jego żony, jako podziękowanie za jej uprzejmość i troskliwą opiekę nad niedysponowaną pastorową. Potem pastor odwiedził mieszkanie Edwardsów jeszcze kilka razy. Dowiedział się, że dorosły syn Edwardsów jest nieobecny – służy w armii na kontynencie, we Flandrii, u boku *sir* Johna Talbota. Przed kilkoma dniami Blood zjawił się na parterze Martin Tower kolejny raz. Po miłej pogawędce z całą rodziną gospodarza pastor zaczął prawić komplementy pani domu i w końcu oświadczył, że z zachwytem przygląda się pięknej i bardzo dobrze wychowanej córce Edwardsów. I tak się szczęśliwie składa, kusił pastor, że ma on kuzyna, gentlemana młodego, gładkiego w obejściu i, co najważniejsze, właściciela majątku ziemskiego, dającego rocznie dwieście, a może i trzysta funtów. Jeśli pani Edwards pozwoli, chętnie przyprowadzi go następnym razem, by córka mogła go poznać – kto wie, czy młodzi nie przypadną sobie do gustu?

Wiekowy Talbot Edwards był w siódmym niebie – oto szansa na wydanie córki, urodziwej, ale już nie pierwszej młodości! Pastor tymczasem kuł żelazo póki gorące; podczas poobiedniej przechadzki po pokojach gospodarza zachwycił się wiszącą na ścianie parą pięknych pistoletów i poprosił Edwardsa, by koniecznie mu je sprzedał. Strażnik koronnych skarbów był zachwycony – oho, ten pastor to nie byle kto!

Ale pastor Blood, kupując pistolety, prócz imponowania Edwardsowi swoją zamożnością, miał i inny, ważniejszy cel – chciał pozbawić gospodarza broni palnej.

W osobie pastora wszystko bowiem, z wyjątkiem nazwiska Blood i szczerego zainteresowania klejnotami koronnymi, było i jest fałszywe – i profesja duchownego, i jego kapłańskie szaty, i rzekoma żona, i rzekomy, zamożny kuzyn, i życzliwość dla familii Edwardsów oraz dwaj nobliwi przyjaciele (w rzeczywistości to zawodowi przestępcy, były żołnierz o przezwisku Parrot oraz niejaki Hunt, zięć Blooda).

Thomas Blood jest Irlandczykiem, synem dobrze prosperującego kowala. Jego dziadek był nawet deputowanym do parlamentu. W 1642 roku Blood przybył do Anglii, by walczyć po stronie króla Karola I przeciw Oliverowi Cromwellowi, ale widząc, że ten drugi zwycięża, szybko przeszedł na jego stronę. Blood jako protegowany Cromwella został sędzią pokoju i otrzymał spore majętności, jednak po powrocie Karola II na tron musiał wraz z żoną i synem uciekać z Anglii. W Irlandii Blood, urodzony awanturnik, próbował porwać dla okupu angielskiego gubernatora kraju lorda Ormonde. Plan ten odkryto i Blood uciekł do Niderlandów. Choć za jego głowę dwór wyznaczył sowitą nagrodę, odważny do szaleństwa Blood wrócił rok temu do Anglii i pod nazwiskiem Ayloffe otworzył w Romford praktykę lekarską. Leczył krótko, bo znów próbował – bez skutku – porwać lorda Ormonde. Ledwie uniknął schwytania. Jego kolejnym szalonym pomysłem jest kradzież klejnotów koronnych.

Talbot Edwards wysłuchuje w progu wyjaśnień Blooda, że do niego i jego kuzyna dołączyli dwaj ich przyjaciele, także chcący obejrzeć regalia. Edwards nie ma nic przeciwko temu – przecież żyje z opłat za pokazywanie królewskich insygniów. Blood i dwaj jego kompani wchodzą do Martin Tower, zaś młody człowiek udający kuzyna pastora pozostaje przed progiem, by – jak wyjaśnia – pozwolić córce gospodarza obejrzeć się z okna i zdecydować, czy zechce z nim rozmawiać. Dworność ta wprawia Edwardsa

w zachwyt. Biedny ojciec córki na wydaniu nie wie, że to tylko wybieg – rzekomy kuzyn pastora ma pozostać przed wejściem do wieży na czatach.

Córka gospodarza, wystrojona już w najlepszą suknię, wysyła z piętra służącą, by oceniła powierzchowność i maniery młodego człowieka.

Trzej goście schodzą z Edwardsem do podziemia. Opiekun regaliów na gorącą prośbę pastora otwiera potężną kratę chroniącą królewskie skarby. Nie zauważa, że w tym czasie Blood zdejmuje pelerynę duchownego. Złoczyńcy zarzucają ją na głowę Edwardsa i przez tkaninę wpychają biedakowi w usta drewniany knebel. Edwards wypluwa go i woła o pomoc. Blood wyciąga spod sutanny solidny drewniany młotek i uderza strażnika klejnotów koronnych w głowę. Talbot pada, ale głośno jęczy. Blood zadaje mu pchnięcie mieczem, groźne, ale nie śmiertelne. Królewskie jabłko jeden z napastników chowa w obszernej kieszeni swoich spodni. Blood spłaszcza koronę potężnymi uderzeniami drewnianego młotka i wpycha ją do niewielkiego saka. Berło jest za długie, by się tam zmieściło. Trzeci z łotrzyków wyciąga zza pazuchy przezornie zabraną piłę i przecina berło na pół.

Gdy trzej rabusie niszczą i rabują regalia, niesamowitym zbiegiem okoliczności przed Martin Tower zjawiają się syn Talbota Edwardsa oraz jego szwagier kpt. Beckman, obaj urlopowani z armii we Flandrii. Rzekomy kuzyn pastora przestaje wdzięczyć się i zabawiać służącą Edwardsów – panna Edwards nie spieszy się z zejściem na dół, by młodzieniec od pastora nie pomyślał, że bardzo zależy jej na znajomości z nim – i zajmuje rozmową przybyszów. Po chwili, gdy Talbot junior wita się z matką i siostrą, rzekomy kuzyn pastora zbiega do podziemia i alarmuje wspólników. Wszyscy czterej

pośpiesznie wychodzą z Martin Tower. Staremu Edwardsowi tymczasem udaje się wypluć knebel.

– Zdrada! Morderstwo! Skradziono koronę! – krzyczy.

Krzyk słyszy jego córka.

Czterech rabusiów rzuca się do ucieczki. Za nimi pędzą młody Edwards i kpt. Beckman. Strażnicy Tower usiłują ich zatrzymać. Blood strzela do jednego z nich. Strażnik, choć nie trafia go kula, przewraca się ze strachu. Widząc to, drugi strażnik przy moście zwodzonym rzuca na ziemię muszkiet i pozwala bandytom wybiec poza mury. Rabusie pędzą co sił, by dopaść koni oczekujących ich przy Bramie św. Katarzyny i wrzeszczą: „Łapać drani!", chcąc odwrócić od siebie uwagę. Zanim jednak udaje im się dobiec do wierzchowców, dogania ich kpt. Beckman. Blood strzela mu w głowę z drugiego pistoletu, lecz chybia. Beckman przewraca go i po krótkiej szamotaninie obezwładnia. Podczas walki od zgruchotanej korony odpada wielka, drogocenna perła, ogromny brylant i kilka mniejszych kamieni szlachetnych. Wpadają one w nieczystości w rynsztoku.

Beckman znajduje pod sutanną Blooda zgniecioną koronę.

Czterech łotrzyków trafia pod klucz – do Tower, skąd przed chwilą zbiegli. Strażnicy ruszają ich śladem i znajdują brakujące skarby – najpierw zgubione przez nich jabłko, potem kamienie z korony.

W lochu Tower Blood odmawia zeznań i powtarza, że będzie mówił tylko przed samym królem. Tymczasem król Karol II Stuart, zawiadomiony o niesłychanej próbie rabunku, postanawia, że osobiście będzie przysłuchiwał się przesłuchaniu złoczyńców. Rabusie zostają przewiezieni z Tower do Whitehall. Na widok króla Bloodowi rozwiązuje się język. Opowiada on, ze szczegółami, jak to ongiś leżał – jako zdeklarowany wróg Karola – w trzcinach nad jeziorem, z muszkietem w ręku, i zamierzał z bliska zastrzelić

kąpiącego się monarchę, ale poniechał tego czynu, gdyż nagle ogarnął go przemożny respekt wobec majestatu króla.

Karol II jest pod wrażeniem – zrelacjonowane przez Blooda szczegóły jego kąpieli są prawdziwe. Król, który zresztą uwielbia odważnych do szaleństwa awanturników, po krótkim namyśle, w obecności zaszokowanych dworzan, ułaskawia Blooda i przyznaje mu 500 funtów rocznej pensji.

10 maja 1941 ▪ sobota

Skoczę do Szkocji, zaraz wracam

Rudolf Hess, zastępca Hitlera w nazistowskiej partii NSDAP, spędza sobotę w rodzinnych pieleszach. Jest spokojny, uśmiechnięty, trochę droczy się z żoną Ilse. W tej rodzinnej sielance nieco osobliwy jest strój Hessa: uszyty na miarę mundur kapitana hitlerowskiego lotnictwa. Hess nie ukrywa, że wkrótce wyjeżdża w sprawach służbowych. Ilse pyta, kiedy wróci. Hess obiecuje, że w poniedziałek wieczorem, i wychodzi do pokoju jedynaka, czteroletniego Wolfa Rüdigera.

Ok. godz. 15.00 sekretarz Hessa Josef Platzer zawiadamia, że podstawiono samochód. Hess żegna się i wsiada do służbowego mercedesa. W samochodzie zapowiada podwładnym, że jadą do niezbyt odległego od Monachium Augsburga-Haunstetten, na lotnisko doświadczalne tamtejszych zakładów lotniczych Messerschmitta.

Nikt w mercedesie nie jest zaskoczony. Od wielu miesięcy szef ma w zwyczaju wpadać nieoczekiwanie do Augsburga-Haunstetten i siadać za sterami dwusilnikowego myśliwca Messerschmitta Bf

110. Nikogo ze świty Hessa nie dziwi nieoczekiwany wyjazd na lotnisko w sobotę; dziś jest wyjątkowo piękna, słoneczna pogoda. Wiatry – bardzo słabe.

Hess, kombatant I wojny światowej, od lat faktycznie kieruje partią NSDAP jako zastępca Hitlera. Jest sprawnym biurokratą, któremu Führer ufa. Po zwycięstwie nad Francją Hess wymieniony był w oficjalnym komunikacie jako pierwsza spośród osobistości cywilnych, które przyczyniły się do zwycięstwa, przed Himmlerem, Todtem i Goebbelsem. Ale od kilku miesięcy owładnęła nim obsesyjna myśl, by samemu zakończyć wojnę z Wielką Brytanią i rzucić ten prezent ukochanemu Führerowi pod nogi. Hess uważa, że w Wielkiej Brytanii nieugiętej antyniemieckiej postawie premiera Churchilla przeciwstawia się wpływowe stronnictwo proniemieckie, i postanawia spotkać się z księciem Hamiltonem, którego uznaje za ważną osobistość tego stronnictwa. Ale jak spotkać się w czasie wojny? Hess wpada na iście szaleńczy pomysł. W tajemnicy poleci do księcia, do jego rezydencji Dungavel w Szkocji. Wyląduje na prywatnym lotnisku, przedłoży propozycje pokojowe i jako zwycięzca wróci do Führera. Hess realizuje ten pomysł metodycznie. Od kilku miesięcy odbywa coraz dalsze loty na myśliwcu Bf 110. Co więcej, na dyrekcji lotniska wymusza przeróbki samolotu – dodanie dwóch podskrzydłowych 900-litrowych zbiorników paliwa. Technicy dziwią się, ale w końcu zastępcy Hitlera wszystko wolno.

Mercedes zajeżdża na lotnisko. Obsługa wyciąga z hangaru Bf 110. Hess stwierdza, że zawieruszył się jego ocieplany futrem kombinezon lotniczy. Wkłada standardowy kombinezon innego pilota, Helmuta Kadena.

Swemu adiutantowi Karlowi-Heinzowi Pintschowi wręcza dwie koperty dla Hitlera. Grubsza zawiera 14-stronicowy memoriał

o potrzebie zawarcia z Wielką Brytanią pokoju. Tę przesyłkę Pintsch ma doręczyć Hitlerowi dziś wieczorem. Drugą kopertę – z listem wyjaśniającym Führerowi motywy swojej akcji, zaczynającym się od stwierdzenia, że gdy Hitler czyta te słowa, Hess jest już w Szkocji – Pintsch ma dostarczyć jutro rano.

Kwadrans po siedemnastej Hess otrzymuje pozwolenie na start. Obiera kurs na północ. O 19.28 messerschmitt Hessa pojawia się nad miasteczkiem Den Helder w okupowanej Holandii. Tam zmienia kurs na północno-wschodni. Leci nad Morze Północne. Po półgodzinnym locie dokonuje kolejnego zwrotu – na północny zachód. W ten sposób omija strefę najsilniejszej brytyjskiej obrony przeciwlotniczej na południu Anglii. O 20.52 samolot skręca prosto na zachód. Ale Hess jest niespokojny. Planował, że nad Szkocję wleci po zmierzchu. Nie przewidział, że na północy zmrok zapada później. Zawraca na wschód. Przez 20 minut lata tam i z powrotem nad Morzem Północnym. W końcu robi zwrot na zachód. Kierunek – Szkocja.

O 22.10 stacja radiolokacyjna w Ottercops Moss namierza zbliżający się znad morza cel. Leci na wysokości 4 tys. m. Kwadrans później załoga posterunku przeciwlotniczego pod Alnwick słyszy nadlatujący samolot. Obserwatorzy rozpoznają go jako Me-110 i natychmiast dzwonią do centrali obrony przeciwlotniczej w Usworth. Operator Cecil Bryant odbiera meldunek i uruchamia stosowne procedury. Nagle – zaskoczenie. Bryant dostaje od zwierzchników telefon z poleceniem, by samolotu nie atakować.

Dwa myśliwce Hurricane z 245. Eskadry RAF są już bardzo blisko lecącego tuż nad ziemią intruza, gdy wieża kontroli lotów wydaje rozkaz wstrzymania akcji i powrotu obu maszyn do bazy. Piloci – Czesi latający w barwach brytyjskich – sierżanci Vaclav Bauman

i Leopold Srom opierają się, chcą atakować, ale ich zwierzchnicy nie pozwalają.

Ok. godz. 23.00 messerschmitt jest już niedaleko Dungavel, zamku księcia Douglasa Hamiltona. Hess rozpoznaje z powietrza linię kolejową i niewielkie jezioro w pobliżu Dungavel. Po chwili jednak traci orientację w terenie. Decyduje się na skok ze spadochronem. To jego pierwszy skok w życiu. Opada na ziemię kilkadziesiąt kilometrów od Dungavel.

Szkocki parobek pracujący na farmie Floors słyszy warkot silnika lotniczego, a po chwili – wybuch. Wybiega na podwórze i w świetle księżyca dostrzega spadochron. Łapie za widły i pędzi w jego stronę. Gdy dobiega, lotnik z trudem usiłuje stanąć. Skręcił nogę w kostce.

Parobek lustruje mężczyznę. „Jesteś Niemcem?" – pyta po angielsku. „Tak, jestem Niemcem, nazywam się kpt. Alfred Horn" – odpowiada płynną angielszczyzną skoczek. „Chcę dostać się do Dungavel. Mam ważną wiadomość dla księcia Hamiltona".

Parobek prowadzi Niemca do swego domu. Jego żona proponuje filiżankę herbaty, ale rzekomy kpt. Alfred Horn woli szklankę wody. Rychło zjawiają się ochotnicy lokalnej samoobrony – Home Guard. Uzbrojeni są w wielki, prastary rewolwer i roztaczają miły zapach whisky. Przewożą Hessa do sąsiedniej wioski na posterunek Home Guard.

Wkrótce przyjeżdża tam mjr Graham Donald, asystent w Grupie Oficerskiej Królewskiego Korpusu Obserwacyjnego, który śledził lot messerschmitta Hessa i nanosił go na mapy sztabowe.

Jest pół godziny po północy, gdy Hess zawiadamia przesłuchującego go mjr. Donalda, że ma tajne wiadomości dla księcia Hamiltona. Major telefonuje do księcia, podpułkownika RAF, który akurat przebywa w bazie lotniczej. Ten nie jest zaskoczony – wie, że niemiecki pilot chce się z nim spotkać. Od

majora książę dowiaduje się, że pilotem jest naprawdę Rudolf Hess. Ale książę tę sensację ignoruje. Wraca do zamku Dungavel. Bawi w nim specjalny gość Hamiltona – brat króla książę Kentu Jerzy wraz z żoną Mariną. Książę Kentu jest znany ze swej admiracji dla Niemiec.

W kwaterze Hitlera w Berghofie noc mija spokojnie. Dochodzi 10.00 w niedzielę, gdy adiutant Hessa Pintsch przekonuje adiutantów Hitlera, że musi natychmiast z nim porozmawiać. Führer jest spokojny, odprężony. Wczoraj wieczorem gruba koperta od Hessa dotarła na jego biurko, ale Hitler nie otworzył jej. Był pewien, że zawiera partyjne nudziarstwa. Adiutant Hessa wręcza mu teraz drugą, cienką kopertę. Hitler czyta. Krew odpływa mu z twarzy. „Bormann, do mnie!" – ryczy. Zwraca wzrok na struchlałego Pintscha: „Aresztować go!".

O tej samej porze w Szkocji książę Hamilton rozmawia wreszcie z Hessem. Wieczorem książę leci do Ditchley Park, gdzie spędza weekend premier Churchill. Gdy przybywa, Churchill ogląda komedię z braćmi Marx. Obsługa zatrzymuje projektor. Premier wypytuje Hamiltona, czy skoczek to naprawdę Rudolf Hess. Książę potwierdza i prosi o rozmowę na osobności. Ale Churchill przerywa księciu: „Hess czy nie Hess, idę oglądać braci Marx!".

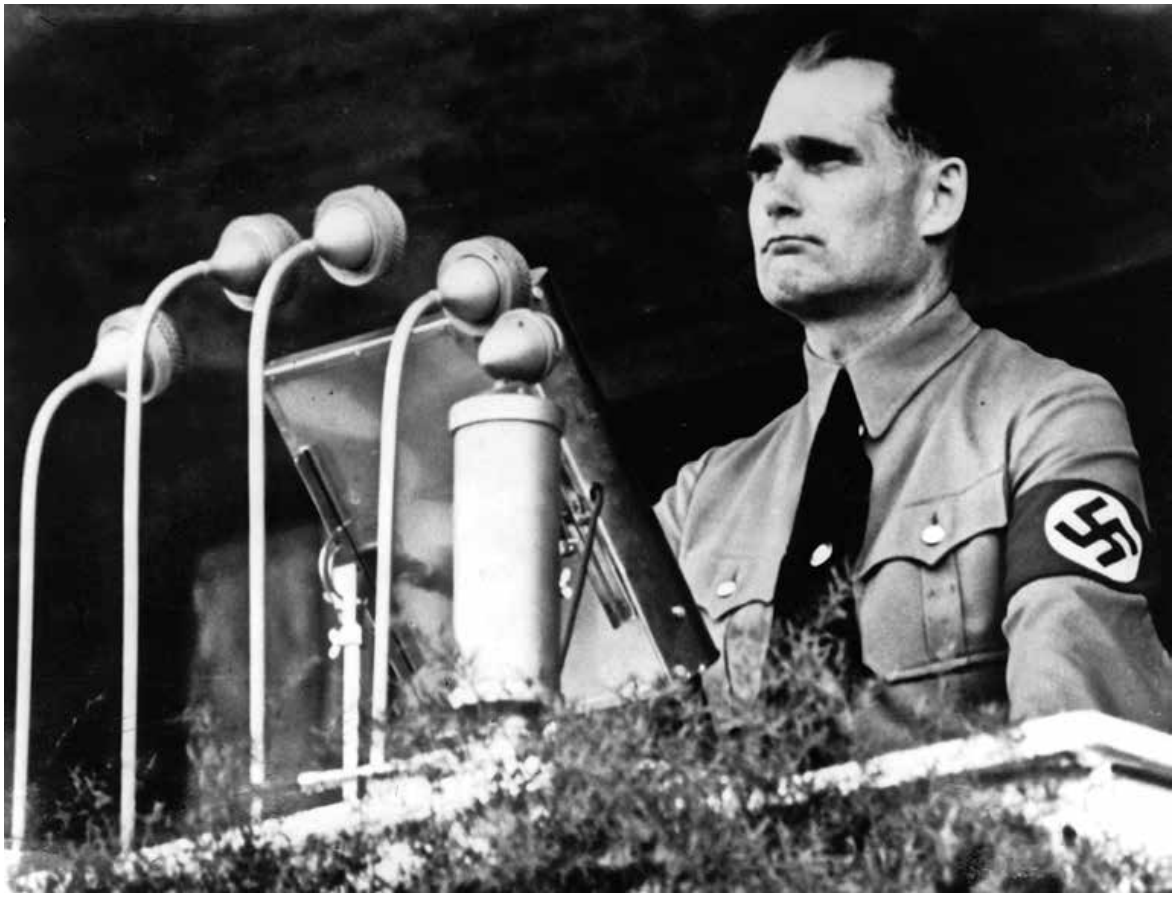

Rudolf Hess podczas jednego z licznych przemówień, 1937 rok

11 maja 1891 ▪ poniedziałek

Kataną i laską

Rosyjski następca tronu, 33-letni carewicz Mikołaj budzi się w reprezentacyjnym hotelu w Kioto, dawnej stolicy Japonii, w znakomitym humorze. Poranek jest piękny, słoneczny i dzień zapowiada się bardzo przyjemnie – zaraz po lekkim śniadaniu rozpoczyna się wycieczka rikszą.

Wizyta rosyjskiego następcy tronu w Kioto jest częścią wielkiej wyprawy. Jej program na polecenie cara Aleksandra III przez wiele miesięcy przygotowywali główny wychowawca Mikołaja gen. Daniłowicz, adm. Szestakow, akademicki geograf Aleksandr Wojejkow oraz kapitan marynarki I rangi Nikołaj Łomen, mający dowodzić fregatą „Pamiat' Azowa", na pokładzie której miał popłynąć w świat Mikołaj. Ostatecznie carewicz z niewielką świtą przez Warszawę i Wiedeń dotarł do Triestu, gdzie przeszedł na pokład fregaty. Dalej jego wielka podróż wiodła przez Grecję, Egipt, Indie, Syjam, Jawę, Chiny aż do Japonii. Ostatnim etapem ma być rosyjski Daleki Wschód.

W Grecji dołączył do carewicza grecki następca tronu książę Jerzy, spokrewniony z carewiczem Mikołajem – jego matką jest grecka królowa a przy tym rosyjska wielka księżna Olga Konstantynowna. 22-letni, grubo ponad miarę rozrywkowy książę Jerzy, zwany Dżordżi, szybko stał się złym duchem wyprawy. Popijawy, głupie żarty, niestosowne zachowanie w miejscach publicznych były chlebem powszednim utytułowanych podróżników. Nie inaczej jest w Japonii. Tylko poprzedniego dnia, już tu, w Kioto, książę Dżordżi podczas zwiedzania świątyni *shinto* opukiwał laseczką święte dzwony, czym śmiertelnie obraził wszystkich towarzyszących rosyjskim książętom japońskich dostojników i kapłanów. Dla Japończyków był to akt niebywałego świętokradztwa. Potem, w świątyni buddyjskiej, grecki książę pozwolił sobie na strojenie min do posągów Buddy i złośliwe komentarze. Wszelką miarę przebrali obaj książęta wieczorem, podczas odwiedzin tradycyjnej herbaciarni. Najpierw podpity Dżordżi ku osłupieniu gospodarzy tańczył podczas koncertu tradycyjnej muzyki japońskiej, potem obaj próbowali obmacywać konwersujące z nimi gejsze, a na koniec

grecki następca tronu szarpał się z próbującą ratować sytuację obsługą.

Plotki o tym skandalu szybko rozeszły się po mieście.

Tego dnia japońscy gospodarze zaproponowali wycieczkę nad odległe o parę kilometrów od Kioto jezioro Biwa. W maju jezioro prezentuje się szczególnie pięknie – śniegi topniejące w okalających je górach jak zwykle o tej porze podniosły poziom wód o ponad 3 m. To ogromne, o powierzchni niemal 700 km kw., jezioro jest jednym z najstarszych na świecie śródlądowych zbiorników słodkiej wody. Z racji długotrwałej izolacji żyje w nim mnóstwo niespotykanych nigdzie indziej gatunków ryb, w tym odmiana wielkiego pstrąga. Europejscy książęta mają obejrzeć te lokalne osobliwości na targu ryb i rzemiosła w leżącym na brzegu jeziora niewielkim, historycznym mieście Otsu. Będą mogli tam podziwiać – i kupić – także słodkowodne perły; w krystalicznie czystych wodach Biwa od dawna prowadzona jest na wielką skalę hodowla słodkowodnych małży perłowych.

Riksze czekają już przed hotelem. Carewicz Mikołaj i książę Dżordżi witają się z japońskimi dygnitarzami pełniącymi honory gospodarzy, na czele z księciem Arisugawa Taruhito, szefem sztabu armii cesarskiej i członkiem Najwyższej Rady Wojennej.

Obaj europejscy książęta ubrani są po cywilnemu. Mikołaj ma na sobie szary surdut i elegancki wełniany kapelusz z niewielkim rondem. Ulice Otsu są zbyt wąskie dla powozów i dlatego gospodarze zdecydowali, że każdy z uczestników wycieczki pojedzie w osobnej, jednoosobowej rikszy ciągniętej przez jednego rikszarza. Sadowienie się pasażerów trwa dłuższą chwilę. Wreszcie o jedenastej długa kolumna riksz rusza w drogę. Na jej czele jedzie riksza z Mikołajem, za nią – z Dżordżim, po niej zaś riksza z księciem

Arisugawa. Rikszarze biegną niezbyt szybko, ale wytrwale i po godzinie jazdy Mikołaj widzi ogromną połać błękitnych wód Biwa.

Wizyta w znajdującym się po drugiej stronie jeziora, otoczonym od strony lądu górami Otsu zaczyna się od śniadania. Wydaje je szef prefektury Shiga na pomoście swej rezydencji na brzegu Biwa. Potem goście wraz z japońskimi gospodarzami wsiadają na mały statek wycieczkowy. Podczas krótkiego rejsu największe zainteresowanie carewicza i jego towarzysza Dżordżiego budzi rosnąca nad brzegiem ogromna, prastara sosna. Wedle legendy posadzono ją w dniu, w którym na tronie zasiadł pierwszy japoński cesarz.

Wczesnym popołudniem rejs po jeziorze Biwa kończy się i orszak carewicza przesiada się w malutkim porcie na riksze. Kolumna zatrzymuje się przy domu prefekta Otsu. By nie fatygować tak ważnych gości na zwyczajne targowisko, w domu prefekta zaimprowizowano japoński bazar. Mikołaj i Dżordzi kupują mnóstwo pamiątek. Dżordzi zmierza do rikszy z ozdobną, solidną laską z bambusa.

Pora wracać do Kioto. Wzdłuż wąziutkich uliczek stoją szpalery policjantów. Za plecami policjantów, pod ścianami i niskimi okapami starych domów, kłębi się tłum ciekawskich. Znów jako pierwsza jedzie riksza głównego gościa, rosyjskiego następcy tronu. Przed jednym z zabytków riksze zatrzymują się.

Dochodzi 14.30. Carewicz zbiera się do wysiadania. Nagle coś silnie uderza go w głowę, tuż nad prawym uchem. Mikołaj odwraca się. Japoński policjant trzymający na ulicy honorową wartę podbiegł do rikszy, wyciągnął samurajski miecz katana i z całej siły ciął Mikołaja. Na szczęście carewicz, wysiadając z niej, pochylił się i ostrze nie uderzyło precyzyjnie. Filcowy kapelusz dodatkowo zamortyzował cios.

Krew chlusta z rany na bark. Napastnik z wykrzywioną nienawiścią twarzą, trzymając oburącz miecz, składa się do drugiego cięcia.

Mikołaj woła zaskoczony: „Co, co, czego chcesz?!".

Ale przytomności umysłu nie traci – w sekundę później zeskakuje z rikszy i trzymając się za bryzgającą krwią głowę, ucieka w stronę stojącego pod ścianami domów tłumu gapiów. Chce skryć się za ich plecami. Japończycy, przerażeni zamachem i widokiem zalanego krwią carewicza, rozpierzchają się jednak jak stadko ptaków. Carewicz gna przed siebie, byle dalej od napastnika.

Policjant pędzi ze wzniesionym oburącz mieczem za Mikołajem. Jest już tuż-tuż, gdy ze swej lektyki wyskakuje grecki następca tronu. Dżordżi także nie traci przytomności, doskakuje do napastnika dwoma susami i z całej siły wali go w głowę dopiero co kupioną bambusową laską. Oszołomiony policjant potyka się, zwalnia. W tym momencie dopadają go dwaj rikszarze ciągnący pojazdy carewicza i księcia Dżordżiego, którzy po pierwszym ciosie zadanym Mikołajowi rzucili się w pościg za napastnikiem. Mukaichata Jizaburo oraz Kitagaichi Ikitaro chwytają oszołomionego uderzeniem laski zamachowca, obalają go na ziemię i wytrącają mu z ręki katanę. Jeden z policjantów z honorowego szpaleru podnosi z ziemi katanę napastnika i zadaje mu nią cios w szyję. Cięcie nie jest zbyt mocne i nie zagraża życiu pojmanego.

Carewicz skręca za róg przecznicy i zwalnia. Nie ma sił biec dalej. Nikt go jednak nie goni. Mikołaj zagląda za narożnik. Mukaichata, Kitagaichi oraz paru policjantów ze szpaleru ciągną za nogi broczącego krwią zamachowca. Zszokowany książę Arisugawa dopiero teraz gramoli się ze swej rikszy.

Japońscy policjanci prowadzą obficie krwawiącego carewicza Mikołaja do pobliskiego dużego warsztatu krawieckiego,

wyspecjalizowanego w szyciu kimon. Właściciel ofiaruje kozetkę i przynosi biały ręcznik, którym tamuje krew płynącą z rany na głowie.

Japońscy oficjele natychmiast po zamachu rozkazują, by zawiadomić cesarza. Do cesarskiego pałacu w Tokio ich depesza dociera już o 14.30. Tenno natychmiast zwołuje wielką radę gabinetową.

W warsztacie krawieckim w Otsu zjawia się japoński lekarz. Drżącymi rękoma odwiązuje solidnie zakrwawiony ręcznik z głowy carewicza i delikatnie bada ranę. Po chwili oddycha z ulgą. Rana ma 9 cm długości, ale nie jest zbyt głęboka. Ostrze ześlizgnęło się po czaszce tak, że nawet nie naruszyło kości.

Mikołaj cały czas jest przytomny. Strach i napięcie ulotniły się. Carewicz jest bardzo osłabiony, ale w świetnym humorze. Właśnie uświadomił sobie, że choć śmierć była tuż-tuż, ocalał. Dlaczego? Mikołaj nie ma wątpliwości – Bóg chciał zachować go dla swych planów. Właśnie ta myśl sprawia, że jest w iście szampańskim nastroju. Nie uskarża się na ból, nie złorzeczy. Przeciwnie, z uśmiechem, żywo odpowiada na pytania, jest nadzwyczaj miły dla przerażonych japońskich dygnitarzy. Jego zachowanie robi wielkie wrażenie na otaczających go Japończykach, w większości potomkach walecznych samurajów, dla których stoicka odporność na ból była jedną z najważniejszych cnót.

Stan rannego jest tak dobry, że Japończycy proponują przewiezienie go do pobliskiego domu szefa prefektury, w którym jeszcze niedawno rosyjscy goście jedli śniadanie. Gdy Mikołaj pokazuje się na ulicy, tłumy Japończyków klękają i pozdrawiają go.

O trzeciej po południu lekarz zgadza się, by rannego przewieźć do jego apartamentu w hotelu w Kioto. Carewicz zasiada

w wyścielanej rikszy i wycieczkowa kawalkada wolno rusza w kierunku Kioto.

Ledwie ranny Mikołaj wyjeżdża z Otsu, w odległym Tokio cesarz wysyła do Kioto księcia Kitashirakawę z ekipą najlepszych cesarskich chirurgów. Mutsuhito jest przygnębiony kompromitacją kraju i jego osobiście przez akt zamachu na cesarskich gości i poważnie zaniepokojony możliwymi konsekwencjami międzynarodowymi. A jeśli Petersburg poczuje się obrażony i będzie chciał upokorzyć Japonię? Iść na wojenną konfrontację z Rosją niepodobna. Japonia nie jest jeszcze gotowa do wojny z rosyjskim kolosem.

W Otsu trwa pośpieszne przesłuchanie rannego w szyję i porządnie poturbowanego zamachowca. Nazywa się Tsuda Sanzo. Pochodzi z samurajskiego rodu. Od sześciu lat jest funkcjonariuszem policji, przedtem zaś był zawodowym sierżantem w cesarskiej armii lądowej. Jest jednym z tych radykalnych nacjonalistów, których rozwściecza jakakolwiek obecność ludzi Zachodu w Japonii. Na dobitkę okazuje się, że jego koledzy ze służby nie od dziś uważają go za stukniętego.

Kolejna depesza ląduje w cesarskim pałacu w Tokio. Imperator Mutsuhito oddycha z ulgą – a więc to nie rozgałęziony spisek, to tylko czyn samotnego szaleńca. Mimo to cesarz podejmuje bezprecedensową decyzję, która wprawia w osłupienie jego dwór: natychmiast wyjedzie z Tokio do Kioto, by w hotelowym pokoju złożyć ceremonialną wizytę rannemu rosyjskiemu następcy tronu.

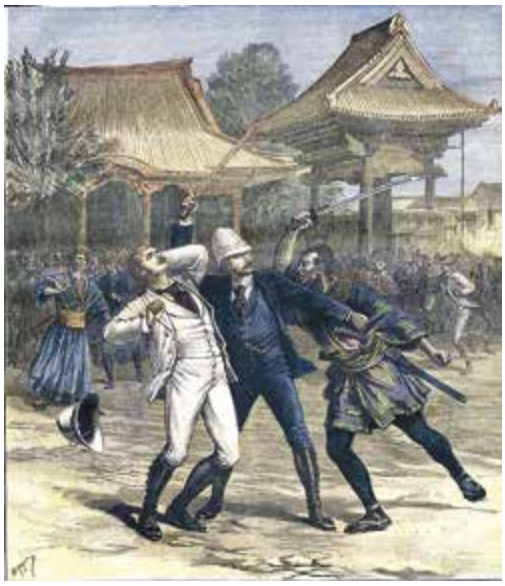

Próba zamachu na carewicza Mikołaja w Japonii

12 maja 1935 ▪ niedziela

Nie ma Ziuka

Józef Piłsudski budzi się o 6.00 w narożnym pokoju Belwederu. Marszałek spał aż 12 godzin po środku nasennym zaaplikowanym wczoraj przez lekarza dyżurnego. Przy łóżku czuwają marszałkowa Aleksandra Piłsudska i córki: 17-letnia Wanda i o trzy lata młodsza Jadwiga. Nad ranem pani Piłsudska z wyczerpania mdleje.

Już od pół roku najbliższe otoczenie Marszałka widzi, że trawi go poważna choroba. Piłsudski cierpiał na bezsenność, niewyjaśnione bóle, puchły mu nogi. Męczyły go wymioty. Nie pomagały masaże nóg ani gorące kompresy. Marszałek jadł coraz mniej. Dzięki drakońskiej diecie mdłości ustępowały, ale chory nikł w oczach.

Marszałek, choć nie wiedział, co mu jest, nie miał złudzeń co do rokowań choroby. Pod koniec kwietnia polecił się wozić na wózku

dla obłożnie chorych po swoim mieszkaniu w budynku Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Zatrzymywał się przed fotografiami. Oglądał je, wspominał. Mówił do siebie: „Był taki silny, wspaniały Ziuk, i nie ma".

Przed trzema tygodniami Piłsudski, z oporami, zgodził się na badanie przez sprowadzonego z Wiednia prof. Karela Wenckebacha. Wybitny kardiolog rozpoznał u Marszałka nienadającego się do operowania raka wątroby.

Chorego przeniesiono z budynku Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, gdzie mieszkał ostatnimi czasy, do Belwederu.

Rankiem lekarze z pomocą adiutanta Piłsudskiego w Belwederze rtm. Aleksandra Hrynkiewicza przygotowują dla Marszałka kroplówkę. Potem wychodzą na naradę. Chory miał krwotok z ust. To już kolejny. Poprzedni, późnym wieczorem, pełen był skrzepów krwi.

O 10.00 lekarze znów zjeżdżają się do Belwederu na naradę. W skład opiekującego się Piłsudskim konsylium wchodzą wyłącznie lekarze wojskowi lub legioniści: osobisty lekarz Marszałka płk dr Stefan Mozołowski, asystent kliniki Szpitala św. Łazarza płk dr Antoni Stefanowski, znany internista, ordynator Okręgowego Szpitala Wojskowego w Warszawie mjr dr Henryk Cianciara, szef Służby Zdrowia Ministerstwa Spraw Wojskowych gen. dr Stanisław Rouppert, ppłk dr Jan Czyż. Po dłuższej naradzie lekarzy dr Stefanowski prosi rtm. Hrynkiewicza, by umożliwił mu rozmowę na stronie z panią Piłsudską.

Lekarze, a zwłaszcza mający pośród nich najwyższą rangę gen. Rouppert, ukrywają przed marszałkową rzeczywisty stan chorego, optymistycznymi ogólnikami stwarzają wrażenie, że nie wszystko stracone. Nie przekazali jej diagnozy prof. Wenckebacha, lecz jedynie sugestię, że stan chorego jest bardzo poważny. Od

prawdziwych informacji odcinają także adiutantów Marszałka. Stan zdrowia chorego jest państwową tajemnicą. Do prasy nie przeciekają żadne informacje o chorobie. Teraz jednak lekarze dochodzą do wniosku, że dalsze oszukiwanie pani Piłsudskiej jest niemożliwe. Po godzinnej rozmowie w cztery oczy dr Stefanowski opuszcza pokój z nerwowymi wypiekami na twarzy. Marszałkowa płacze. Gdy jednak wychodzi do córek, stara się być opanowana.

O 10.30 do Belwederu telefonuje premier płk Walery Sławek. Jest on jednym z najbliższych przyjaciół Marszałka, jedną z paru, parunastu osób, które z Piłsudskim są na „ty". Sławek wypytuje rtm. Hrynkowskiego o zdrowie Komendanta. Adiutant wie, że stan Marszałka jest krytyczny, ale nie może dzielić się z premierem prywatnymi odczuciami. Odpowiada dyplomatycznie, że Komendant czuje się jak wczoraj, bez zmiany na lepsze. I to musi premierowi wystarczyć.

Marszałek przez kilka godzin śpi. Budzi się w południe. Jest nieprzytomny. Jęczy dziwnym, nie swoim głosem, pomstuje na francuskiego premiera Lavala. Co rusz przenikliwie krzyczy z bólu. Gen. Rouppert poleca czym prędzej sprowadzić dr. Stefanowskiego. Lekarze znów naradzają się w tajemnicy. Są przekonani, że rozpoczął się krwotok z żołądka i chory nie przeżyje tego dnia.

Rtm. Hrynkiewicz uznaje, że tak nienormalnej sytuacji jak ukrywanie stanu zdrowia Marszałka tolerować nie może. Domyśla się, że wojskowi lekarze działają na polecenie kogoś bardzo wysoko postawionego. Postanawia interweniować. Telefonuje do szefa gabinetu ministra spraw wojskowych płk. Adama Korwin-Sokołowskiego, lecz nie zastaje go. Dzwoni zatem do jednego z trzech szefów Biura Inspekcji Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych płk. Leona Strzeleckiego, ale także nie zastaje go. Gdy o dziewiętnastej stawia się w Belwederze drugi adiutant kpt.

Marian Pacholski, kpt. Hrynkiewicz natychmiast wyjeżdża służbowym samochodem po dowódcę 2. Dywizji Kawalerii w Warszawie gen. Wieniawę-Długoszowskiego. W drodze powrotnej opowiada ulubieńcowi Marszałka o sytuacji przy łożu umierającego.

O 19.20 konsylium lekarzy wojskowych postanawia, że czas najwyższy wezwać księdza. Dr Stefanowski wyjeżdża do Lasek po ks. Władysława Korniłowicza, kierownika duchowego Zakładu dla Ociemniałych w Laskach, znanego też z prowadzenia apostolstwa poszukujących wiary. Ks. Korniłowicz został nieformalnie zaakceptowany jako spowiednik Marszałka przez decydujące czynniki w państwie.

Stan Piłsudskiego jest coraz cięższy. Tętno słabe, przyspieszone, sięga 100 uderzeń. Gen. Rouppert dzwoni do podsekretarza stanu Jana Szembeka w MSZ, by natychmiast ściągnął z Wiednia prof. Wenckebacha.

Gdy tuż po dwudziestej ks. Korniłowicz przyjeżdża z Lasek do Belwederu, z Marszałkiem jest bardzo źle. Oddycha z trudem. Lekarze robią zastrzyk. Pani Piłsudska siedzi przy łóżku męża.

O 20.20 generałowie Sławoj-Składkowski, Kasprzycki, Wieniawa-Długoszowski, Rouppert wchodzą do pokoju narożnego, w którym leży nieprzytomny Marszałek. Ks. Korniłowicz rozpoczyna modły. Rtm. Hrynkiewicz idzie do pokoi prywatnych po córki Marszałka.

Słaby gwizd powietrza wydobywa się z krtani Marszałka. Ręka unosi się i opada.

Jest 20.45.

Na wieść o śmierci Marszałka do Belwederu zjeżdżają wysokiej rangi wojskowi i urzędnicy państwowi. W pałacu robi się tłoczno, panuje wyraźny chaos.

O północy przybywa prezydent RP prof. Ignacy Mościcki. Żegna Marszałka, składa kondolencje wdowie i córkom. Godzinę później zjawia się premier Sławek na czele rządu, marszałkowie Sejmu i Senatu. Płk Sławek ustala z wdową szczegóły uroczystości pogrzebowych i o wpół do drugiej w nocy odjeżdża. Zaraz potem wach. Pikiel fotografuje zwłoki Marszałka.

Gen. Wieniawa-Długoszowski wzywa rzeźbiarza prof. Jana Szczepkowskiego, by zdjąć maskę pośmiertną. O wpół do czwartej nad ranem profesor zdejmuje gipsową maskę z twarzy zmarłego.

Lekarze wojskowi przystępują do sekcji zwłok. Towarzyszą im anatom doc. Józef Laskowski i dawny znajomy Piłsudskiego, jego były lekarz przyboczny z lat tużpowojennych dr Eugeniusz Piestrzyński. Wątroba przerośnięta jest guzami raka. Lekarze mają wyjąć mózg i serce Marszałka. Serce ma być pochowane wraz z jego matką. Swój mózg sam Marszałek za życia polecił przekazać uniwersytetowi w Wilnie do zbadania.

Prowadzący sekcję były legionista I Brygady mjr dr Kaliciński otwiera czaszkę zmarłego. Dr Piestrzyński pyta się z głupia frant: „Czy Komendant miał zapalenie mózgu?". Gen. Wieniawa-Długoszowski robi Piestrzyńskiemu awanturę za niestosowne zachowanie.

Gdy przychodzi do wyjęcia mózgu, dr Kaliciński załamuje się i na dłużej przerywa pracę.

O 9.00 zaczyna się ubieranie zmarłego. Rtm. Hrynkiewicz poleca przynieść mundur marszałkowski i wszystkie części bielizny, jakie Komendant lubił nosić. Już tylko tyle adiutant może zrobić dla swego Marszałka.

Trumna z ciałem Józefa Piłsudskiego w krypcie św. Leonarda w katedrze na Wawelu

13 maja 1910 ▪ piątek

Mord w garsonierze

Dochodzi osiemnasta, gdy Feliks Zawadzki, właściciel hoteliku w kamienicy przy Marszałkowskiej 112 w Warszawie, zwanego „pokojami meblowanymi Zawadzkiego", decyduje się zapukać do pokoi nr 1 i 2. Zajmuje je od ponad dwóch miesięcy postawny mężczyzna po trzydziestce, przedstawiający się jako Stanisław Chrzanowski.

Sądząc po stroju, niewątpliwie jest zamożny i należy do dobrego towarzystwa, ale zachowuje się nader dziwnie. Osobliwe było już samo wynajęcie pokoi. Pod koniec lutego u Zawadzkiego zjawiła się

nieznajoma pani i zażyczyła sobie dwóch pokoi z osobnym wejściem, aby nikt nie mógł zobaczyć, kto z nich korzysta. Konfidencjonalnie dodała, że pokoi tych potrzebuje bogaty obywatel ziemski Stanisław Chrzanowski na dyskretne spotkania z pewną damą. Zawadzki zaproponował nieco zaniedbane pokoje nr 1 i 2, do których można dostać się dyskretnie wejściem kuchennym. Nieznajoma oba numery obejrzała, zaakceptowała i poleciła, by meble przestawić wedle jej upodobania, na podłogę zaś położyć dywanik i wstawić drzwi prowadzące z ciasnego przedpokoju na korytarz ogólny hotelu. Jako zadatek zostawiła 30 rubli. Po kilku dniach nieznajoma wróciła, dopłaciła 50 rubli, odebrała kwit na 80 rubli, klucz i więcej przy Marszałkowskiej 112 się nie pokazała.

Kilka dni później pojawił się za to awizowany przez nią pan Chrzanowski. Wysoki, przystojny szatyn z wąsem i monoklem od pierwszych chwil sprawiał wrażenie człowieka, który wie, czego chce. Od razu zażądał, by łóżko zamieniono na otomanę, a po kolejnych kilku dniach zjawił się z posłańcem dźwigającym duży, ciężki dywan. Od tego czasu, jeśli w ogóle bywał w wynajętych pokojach, to dyskretnie, nie zwracając niczyjej uwagi. Aż do wczoraj.

12 maja tajemniczy pan Chrzanowski zadzwonił po Zawadzkiego. Gdy właściciel zjawił się, gość jedynie lekko uchylił drzwi. Przez szparę podał bilet wizytowy o treści: „Stanisław Chrzanowski, właściciel majątku Tuczapy", i polecił zameldować go na noc, gdyż wyjątkowo zostanie w pokojach do jutra.

Od tej chwili gość nie daje znaku życia.

Feliks Zawadzki wzywa służącego Antoniego Siemieńskiego i poleca mu posprzątać w nr. 1 i 2. Siemieński puka, ale nikt nie odpowiada. Służący otwiera kluczem pokój nr 4, z którego wiodą

zamknięte drzwi do nr. 2. Gdy uchyla drzwi do następnego pokoju, nr 1, na podłodze między stołem a otomaną dostrzega trupa.

Młodzieniec w wieku ok. 17 lat odziany jest w kurtkę gimnazjalisty. Głowę zalaną ma zastygniętą już krwią. Ślady krwi są też na ubraniu zmarłego, na krześle, na dywanie. Pod stołem leży rewolwer.

Służący Siemieński wzywa właściciela. Przerażony Zawadzki myśli przede wszystkim o czekających go kłopotach. Nie chce, by policja domyśliła się, że wynajmował pokój na godziny, na schadzki. Na stole stoi spory bukiet bzu, który rankiem poprzedniego dnia, jeszcze przed pojawieniem się pana Chrzanowskiego, przyniósł posłaniec z poleceniem, by kwiaty ustawić w pokoju nr 1. Zawadzki zabiera bukiet i wynosi go do swego mieszkania. Nie zauważa, że jedna gałązka upada tuż obok zwłok. Później spostrzega, że lampa jest silnie okopcona, a zapas nafty całkiem wypalony. Poleca Siemieńskiemu przestawić ją do pokoju nr 2.

Teraz wysyła służącego na dół, do stróża Sobolewskiego. Ten zawiadamia rewirowego. Po kilkunastu minutach w pokojach umeblowanych Zawadzkiego zjawia się ekipa carskiej policji z naczelnikiem Kowalikiem i referentem wydziału śledczego Kurnatowskim na czele. Zawadzki lamentuje: „Co za nieszczęście, samobójstwo w moich pokojach!". W leżącym pod stołem rewolwerze Smith & Wesson, prócz dwóch naboi są dwie puste łuski. Kurnatowski jest jednak znakomitym fachowcem. Uważnie lustruje oba pokoje i szepce do Kowalika: „Panie naczelniku, uważam, że mamy tu do czynienia z mordem, a nie z samobójstwem".

„Dlaczego?" – pyta Kowalik.

Kurnatowski zauważa, że na kanapie leży zakrwawiony kołnierzyk odpięty od koszuli nieżyjącego. Jeśli to samobójstwo, to kto go odpiął? Kurnatowski żąda, by otworzono drzwi do korytarzyka, z którego można było wejść do pokoju nr 2. Zawadzki zmyśla, że klucz miał tylko gość. Śledczy przeszukuje rzeczy zabitego i szybko znajduje klucz schowany w uczniowskiej czapce. Policjanci otwierają drzwi. Za progiem, na deskach korytarzyka, widać dużą plamę zaschniętej krwi. Naczelnik Kowalik kiwa głową: no tak, chłopiec został zamordowany. Ale kim jest ofiara?

Kurnatowski przeszukuje kieszenie zabitego. Znajduje 23 ruble, kilkanaście fotosów pornograficznych, wizytówki z napisem „Stanisław Chrzanowski, właściciel majątku Tuczępy", podpisane przez Feliksa Zawadzkiego pokwitowanie na 80 rubli za wynajęcie pokoju od 9 marca do 9 kwietnia oraz list do nauczyciela Rudzkiego podpisany przez Bronisława Chrzanowskiego. List ten jest w istocie usprawiedliwieniem dwudniowej nieobecności syna Stanisława w szkole z powodu choroby. Napisany został z datą poprzedniego dnia, 12 maja.

Policjanci zauważają ułamki szkła i ślady sadzy na obrusie stołu w pokoju, w którym leżą zwłoki. Okopconą, nadtłuczoną lampę znajdują w pokoju nr 2. Kurnatowski wyszukuje w książce zabitego liścik napisany drukowanymi literami: „Po mojej śmierci. Warszawa dnia 12 grudnia 1908 roku. Powoli zrozumiałem wszystko, niedobrych mam rodziców, bez serca i sumienia. W domu naszym panuje kłamstwo i fałsz. Lepiej byłoby pozbawić się życia, bo mam ich już dosyć. Staś Chrzanowski".

Naczelnik Kowalik przez chwilę sądzi, że śledczy pomylił się – chłopiec sam targnął się na swoje życie. Zjawia się jednak wezwany przez jego podwładnych lekarz. Pobieżna obdukcja ciała ofiary nie pozostawia wątpliwości: brak rany postrzałowej, natomiast na

głowie jest co najmniej kilkanaście ran po uderzeniach jakimś tępym narzędziem. Młodzieńca zamordowano poprzedniego dnia.

Policjanci ostro zabierają się pracy. Szybko odnajdują mieszkanie Bronisława Chrzanowskiego, zamożnego obywatela ziemskiego. Państwo Chrzanowscy potwierdzają, że zamordowany to ich syn Staś.

W nocy śledczy biorą w obroty Zawadzkiego. Hotelarz zapiera się, że nieznany mu pan wynajął poprzedniego dnia oba pokoje, a dziś w jednym z nich służący znalazł trupa. Kurnatowski jest pewien, że kłamie. Nazajutrz przesłuchuje hotelarza w asyście aż czterech śledczych. Zawadzki załamuje się. Przyznaje się, że wziął pieniądze za wynajem i podpisał pokwitowanie, że widział mężczyznę z wąsem, który pojawiał się w pokojach, że zabrał z miejsca zbrodni bukiet bzu i wypaloną lampę naftową. Śledczy Kurnatowski jest pewien, że zbrodni dokonał nieznajomy mężczyzna z wąsem i binoklem, który posługiwał się nazwiskiem swej przyszłej ofiary. Nie wyklucza przy tym, że Zawadzki mógł być jego wspólnikiem. Podekscytowany referent Kurnatowski czuje, że tajemnicze morderstwo może stanowić przełom w jego karierze, nie ma jednak pojęcia, że wkrótce jego nazwisko stanie się sławne w Europie: na sensacyjny proces mordercy a zarazem szwagra ofiary, dziennikarza Bohdana hrabiego Ronikiera, zjadą korespondenci prasowi z połowy kontynentu, a sprawa zabójstwa Stasia ciągnąć się będzie przez lat bez mała trzydzieści.

14 maja 1610 ▪ piątek

Wdowa, ale w koronie

Dla monarchy noc kończy się przed czwartą nad ranem. Henryk IV, z bożej łaski arcychrześcijański król Francji i Nawarry, ma kłopoty ze snem. Zdarza się, że przez kilka nocy pod rząd nie może zmrużyć oka. Wzywa wtedy służbę, by czytała mu interesujące go dzieła. Ta noc była niewiele lepsza – król położył się w niezłym humorze, ale znów nie mógł zasnąć.

Henryk IV nie lubi ani siedzieć, ani leżeć bezczynnie. O pierwszym brzasku pośpiesznie wstaje z łoża, bez zwłoki ubiera się i przystępuje do modlitwy. Potem rzuca się w wir pracy. Przyjmuje kilku petentów, rozmawia ze swoim ambasadorem w Madrycie. Henryk IV uwielbia ruch i wysiłek fizyczny. Gdy nie może polować, namiętnie spaceruje. Teraz też, jeszcze przed śniadaniem, wymyka się na spacer do ogrodu tuileryjskiego. Bawi się trochę z delfinem Ludwikiem, synem z małżeństwa z Marią Medycejską, od wczoraj formalnie królową Francji.

Druga, niedawno poślubiona żona Henryka IV tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, aż wreszcie kazał ją uroczyście koronować. Król wybiera się na wielką wyprawę wojenną przeciw Habsburgom – zastępująca go w Paryżu Maria Medycejska po koronacji powinna mieć większy autorytet.

Wojna z niemieckimi Habsburgami o dominację w księstwach Juelich i Cleve, a zapewne w końcu i konfrontacja z rządzoną przez dynastię habsburską Hiszpanią to kolejna odsłona walki Henryka – najpierw jako króla Nawarry i lidera francuskich hugenotów, potem, po zmianie wyznania, katolickiego króla Francji – o wielkość. Henryk IV po latach pochodów i bitew w domowych wojnach religijnych zdołał spacyfikować nienawiść w kraju, skonsolidować państwo, zaprowadzić reformy i – wykorzystując swój wielki urok osobisty – niepostrzeżenie postawić zręby

monarchii absolutnej. Francja zawdzięcza mu bardzo wiele, choć Francuzi przyznają to z ociąganiem i oporami.

Po zabawach z małym Ludwikiem król idzie na mszę do nieodległej kaplicy klasztoru Feuillantów. W kaplicy wysoki rudowłosy mężczyzna z płaszczem przerzuconym przez rękę usiłuje zbliżyć się do otoczonego przez dworzan monarchy. Nie udaje mu się to. Po mszy król nie wraca do pałacu – dalej spaceruje w ogrodzie, rozmawia z Charles'em de Guise i panem François de Bassompierre. Mężczyzna z płaszczem na ramieniu idzie przed bramę Luwru. Czeka.

Henryk IV po spacerze wraca do Luwru. Ale o odpoczynku nie ma mowy. Kolejnych paru dygnitarzy dworskich i wysokich wojskowych dostępuje zaszczytu rozmowy z monarchą. Nawet wtedy, gdy król siada do spóźnionego śniadania, załatwia urzędowe sprawy. Przy stole Henryk IV pozostaje tak długo, aż nasyci swój gargantuiczny apetyt. Potem znów zaczyna spacer. Krąży po pałacowych korytarzach z rozmówcami u boku. Wreszcie Henryk IV zachodzi do komnaty królowej. Zastaje żonę w towarzystwie diuszesy de Guise. Tu wreszcie siada na dłużej. Ciepło rozmawia z obu paniami, zabawia je żartami.

Z pokoi Marii Medycejskiej król wychodzi do swego gabinetu. Tam ma konferencję z posłańcem z Wenecji. Potem wraca do salonów królowej. Rozmawia z kanclerzem, bawi się z synami. Dochodzi już trzecia po południu – monarcha od jedenastu godzin jest na nogach, nieustannie w ruchu, z małymi przerwami tylko zajęty sprawami oficjalnymi.

Król wysyła swego zaufanego dworzanina Guillaume Fouquet de la Varenne'a do Arsenału po diuka de Sully, od 30 już lat swego najbliższego współpracownika, powiernika i przyjaciela. W istocie jest on w państwie drugą osobą po monarsze. Na miejscu

La Varenne dowiaduje się, że diuk de Sully nie czuje się dziś dobrze. Odezwała się niezaleczona rana. Z tego powodu królewski minister wstał bardzo późno i dopiero teraz bierze kąpiel. Gdy jednak de Sully dowiaduje się o życzeniu władcy, daje znać królewskiemu wysłannikowi, że zaraz wychodzi z kąpieli i za godzinę będzie w Luwrze.

La Varenne wraca do pałacu i zdaje królowi relację z rozmowy z de Sullym. Henryk IV natychmiast zmienia plany. Nie chce fatygować swego przyjaciela. Wysyła La Varenne'a raz jeszcze do Arsenału, by oznajmił de Sully'emu, że może zostać w domu. Król odwiedzi go jutro o 5.00 i życzy sobie, by jego przyjaciel o tak niezwykłej porze nie czynił żadnych przygotowań, lecz przyjął go po prostu w szlafroku i szlafmycy. La Varenne przekazuje też sugestię monarchy, że chciałby on o tak wczesnej porze rozmawiać o możliwości przyspieszenia wymarszu armii na wschód o dwa dni.

De Sully zostaje w wannie. Rozpuszcza swą służbę, by mogła wyjść na miasto i obejrzeć wspaniałe popołudniowe uroczystości i festyny z okazji koronacji Marii Medycejskiej.

Król jest zmęczony, przygnębiony. Kładzie się na łóżku, by choć na chwilkę się zdrzemnąć, ale sen nie przychodzi. Henryk IV po chwili zrywa się, spaceruje po komnacie, podchodzi do okna. Zamyślony, bębni palcami w szybę. Pyta, która godzina.

– Czwarta, *sire* – odpowiada towarzyszący mu kpt. markiz Louis de l'Hopital de Vitry, dowódca pałacowej straży przybocznej. I dodaje: – Wasz majestat jest smutny i zatopiony w myślach, więc powinien zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Ma pan rację, de Vitry, proszę zaprząc moją karocę. Pojadę do Arsenału do diuka de Sully, który nie czuje się dobrze.

Królowa Maria Medycejska namawia męża, by pozostał w Luwrze, przekonuje, że rozmowa z Sullym o rychłej kampanii

wojennej przeciw niemieckim Habsburgom tylko go zdenerwuje.

Ale Henryk IV już powziął decyzję – chce na parę godzin wyrwać się z Luwru. Król schodzi w towarzystwie kilku wielkich panów do swej karocy. Diuk Jean-Louis de Nogaret d'Epernon zajmuje we wnętrzu miejsce po prawicy Henryka IV. Król zaprasza do środka także marsz. Antoine'a de Roquelaure. Po bokach karocy stają konno marsz. diuk Hercule de Montbazon, de Lavardin i markiz de la Force. Zaprząg karocy poprzedzają na koniach markiz de Mirabeau i przyjaciel króla Philippe Duplessis-Mornay. Prócz konnej eskorty wielkich panów karocy towarzyszy pieszo kilku lokajów. Henryk IV uznaje, że to dostateczna ochrona, i poleca dowódcy straży przybocznej pozostać w Luwrze. Kpt. de Vitry karnie wykonuje polecenie, choć czuje, że wraz ze swymi gwardzistami powinien towarzyszyć królowi. We Francji jeszcze tli się nienawiść rozniecona przez lata religijnych wojen domowych, jeszcze najbardziej nieprzejednani katoliccy księża wzywają do zabicia króla konwertyty, jeszcze niejeden zaciekły zwolennik Świętej Ligi słucha z uwagą wezwań do królobójstwa. Henryk IV od wielu lat żyje w cieniu zamachu na swe życie. Wielokrotnie próbowano go zamordować, ale większość zamachów była przeprowadzona nieudolnie. Raz jednak zajrzał śmierci w oczy. Przed szesnastu laty, gdy wrócił do Paryża z podróży po Pikardii, udał się późnym wieczorem do rezydencji swej metresy Gabrieli d'Estrées. Korzystając z ciemności i zamieszania, do królewskiej świty dołączył przyzwoicie odziany młody człowiek. Jean Chatel, młodzieniec z zamożnej mieszczańskiej rodziny, student prawa, pilny słuchacz związanych ze Świętą Ligą księży nawołujących do rozprawy z królem, przedostał się do salonu pani d'Estrées i z całej siły uderzył monarchę sztyletem w szyję. Na szczęście w tej samej chwili król schylił się, by podnieść jakiegoś witającego go na

kolanach szlachcica. Ostrze, zamiast w tętnicę, trafiło w usta i wyłamało Henrykowi IV ząb. Zamach wstrząsnął królem. Henryk IV przygasł, zaczął unikać tłumu, dbał o dobrą ochronę swej osoby.

Teraz jednak, niepomny historii sprzed lat, odsyła de Vitry'ego i jego gwardzistów, by nadzorowali robotników budujących dekoracje do jutrzejszych uroczystości koronacyjnych królowej.

Karoca rusza. Nie ma w niej szyb, lecz jedynie mocowane u dachu solidne skórzane zasłony. Król poleca, by je zrolowano. Chce po drodze obejrzeć w mieście przygotowania do jutrzejszych uroczystości. Stangret pyta, dokąd ma jechać. Król rzuca tylko: „Wywieźcie mnie stąd!". Potem rozkazuje jechać w stronę ulicy Saint-Denis, którą jutro królowa ma uroczyście wjechać do Paryża.

Królewska karoca mija pałac Longueville. Nikt z orszaku Henryka IV nie zauważa, że od bramy Wersalu za powoli jadącą karocą wytrwale biegnie mężczyzna z przerzuconym przez ramię płaszczem.

Król życzy sobie teraz, by zawieźć go do Croix de Trahoir. Karoca podjeżdża do jednej z pośpiesznie wznoszonych trybun. Henryk IV z uwagą przygląda się, jak robotnicy rozwijają dywany. Tłumek gapiów tarasuje drogę. Eskorta wielkich panów z braku miejsca oddala się od karocy. Na ulicy de la Ferronerie, wąskiej, pełnej bud i kramów handlarzy, z prawej strony karocy wyjeżdża ciężki wóz wyładowany beczkami z winem. Usiłuje go wyminąć drugi wóz, z sianem. Oba wozy tarasują ulicę. Królewska karoca zatrzymuje się przed domem notariusza Poutraina. Woźnica czeka, aż ładowne wozy odblokują przejazd. Jest gorąco. Król zdejmuje skórzany płaszcz, nachyla się ku diukowi d'Epernon, który głośno czyta jakiś list. Jeden z lokajów pochyla się; bezskutecznie usiłuje zawiązać sobie podwiązkę.

Mężczyzna z płaszczem na ramieniu wykorzystuje brak ochrony i nieuwagę lokaja. Wciska się między jeden z kramów i karocę. Jedną nogą wspina się na szprychę koła, podskakuje i drugą nogę opiera wyżej o występ w boku karocy. Spod płaszcza wyciąga długi myśliwski nóż i błyskawicznie uderza nim w pierś króla.

– Jestem ranny – mówi Henryk IV cichym, zdziwionym głosem.

Napastnik zadaje natychmiast drugi cios. Ostrze przebija aortę tuż obok serca. Krew bluzga królowi z ust. Diuk de Montbazon zasłania króla ramieniem. Trzeci cios nożem grzęźnie w rękawie diuka. Śmiertelnie blady Henryk IV osuwa się na pierś diuka de Montbazon.

W gęstym tłumie zamachowiec miałby wielkie szanse, by zbiec, ale stoi jak skamieniały. Widząc zbliżającego się jakiegoś szlachcica ze szpadą, diuk d'Epernon woła, że każdy, kto teraz zabije zbrodniarza, zapłaci głową. Ale pośpieszne przesłuchanie nie wyjaśnia wiele. Zamachowiec, François Ravaillac, ma 32 lata, pochodzi z Angoulême, z nieciekawej, zbankrutowanej rodziny. Najwyraźniej jest psychicznie niezrównoważony. Z tego powodu został niegdyś usunięty z nowicjatu w klasztorze Feuillantów, potem wyrzucili go jezuici. Kazania księży, zajadłych wrogów Henryka IV, zostawiły w nim ślad. Uwierzył, że król wiedzie Francję do zguby. Zrazu Ravaillac chciał uświadomić Henrykowi IV, że błądzi, skłonić króla do naprawy jego win. Nieraz próbował dostać się na posłuchanie, ale straże przepędzały go od bram Luwru. Bezskutecznie starał się o posłuchanie u dworskich osobistości. W końcu postanowił króla zabić.

Królewska kareta z opuszczonymi skórzanymi zasłonami przewozi ciało monarchy do Luwru. Przy kolacji dziewięcioletniemu delfinowi Ludwikowi, z którym ojciec rano bawił się w ogrodzie tuileryjskim, guwerner usługuje na kolanach.

Król umarł, niech żyje król.
Chłopiec wybucha śmiechem, a potem zaczyna płakać.

Charles-Gustave Housez, *Morderstwo króla Henryka IV*

15 maja 1860 ▪ wtorek

Tysiąc czerwonych koszul w winnicy

Długa kolumna ochotników od rana mozolnie maszeruje sycylijskimi drogami. Kurz pokrywa ich szpiczaste bródki i długie, podkręcane wąsy. Większość z nich, na znak swych rewolucyjnych przekonań, nosi czerwone koszule. Uzbrojeni są też dość egzotycznie. Jedni dźwigają na ramionach przestarzałe jednostrzałowe karabiny nabijane odprzodowo, inni dumnie niosą nowoczesne amerykańskie karabiny Colta. Nie brakuje i strzelb myśliwskich. Na czele wyprawy jedzie konno wódz. 53-letni Giuseppe Garibaldi to najsłynniejszy w całej Europie

rewolucjonista, jak chcą jego zwolennicy, lub awanturnik, jak wolą mówić jego wrogowie. Jego życie to gotowy scenariusz awanturniczej opery, jest w nim wszystko, co powinno być w szanującej się powieści płaszcza i szpady. Wychował się w prostej rodzinie liguryjskich marynarzy. Cały ich ród pływał u północno-zachodnich wybrzeży włoskich na niewielkich stateczkach, będących wspólną rodową własnością. W przerwach w rejsach, a pływał jako marynarz już w wieku 14 lat, chłopcem zajmował się stary weteran napoleońskich kampanii, niejaki Arena, który nauczył Giuseppe'a literackiego języka włoskiego, dziejów starożytnego Rzymu i historii Włoch. Jako 18-latek Guiseppe popłynął na statku dowodzonym przez ojca do Rzymu, gdzie trafił akurat na bajecznie pyszne obchody Roku Papieskiego. Pływał po Morzu Śródziemnym, przeżył napad greckich piratów i w końcu, podczas kolejnego rejsu, zachorował i został wysadzony przez kapitana na brzeg w Stambule. Tam poznał grecką wdowę Timoni, przy której szybko wyzdrowiał. Przez cztery lata za dnia uczył jej dzieci jako guwerner, a nocami odbierał w naturze zapłatę od pani Timoni. Wdowa miała dobry gust – jasnowłosy, brodaty, z długimi włosami, do szaleństwa odważny Garibaldi pozował na potomka germańskich rycerzy. Piękny romans przerwało poznanie przez Garibaldiego Giovanniego Battisty Cuneo, członka romantycznej, niepodległościowej konspiracji Giuseppe Mazziniego La Giovine Italia (Młode Włochy). Młody marynarz w mig przelał swe uczucia z greckiej wdowy na Włochy, o które walczyli Mazzini i Cuneo – zjednoczone, wielkie, republikańskie.

Trzy lata później Garibaldi wstąpił do kolejnej organizacji rewolucyjnej, Związku Karbonariuszy. Nie był bynajmniej jedynie kolekcjonerem rewolucyjnych biletów wizytowych – w 1834 wziął udział, u boku Mazziniego, w powstaniu sabaudzkim w Piemoncie.

Powstanie upadło, zaś skazany na śmierć Garibaldi uciekł pod przybranym nazwiskiem do Marsylii, potem do Tunezji. Gdy tylko w Brazylii, w stanie Rio Grande do Sul wybuchło powstanie o niezależność tej prowincji, Garibaldi wyruszył za morze. Podczas tej rewolty Brazylijka Ana Maria de Jesus Ribeiro da Silva rzuciła męża i związała się z Giuseppem. W rewolucyjnej armii została jego podkomendną, w domu – żoną i z czasem matką czworga dzieci. Gdy tylko rewolta w Rio Grande upadła, oboje popłynęli do Urugwaju. Tam Garibaldi szybko znużył się rolą nauczyciela i powołał z emigrantów włoskich Legion Włoski. Romantyczny wódz wymyślił dla swych ludzi sztandar z wulkanem na czarnym tle – symbolem energii drzemiącej we Włochach tonących w czarnym smutku, gdyż z braku ojczyzny rozproszonych po świecie. Nie wulkan na czarnym tle jednak, lecz czerwień koszul ludzi Garibaldiego przeszły do historii. Jego legionistów umundurował bowiem właściciel rzeźni w Montevideo, a prócz entuzjazmu dla narodowej sprawy miał on tylko czerwone, by nie brudziło się krwią, płótno na pracownicze koszule. Garibaldi i jego ludzie przez 6 lat sprawnie bronili Montevideo przed wojskami tyranów – dyktatora Argentyny i byłego dyktatora Urugwaju.

Gdy jednak w 1848 roku wybuchła rewolucja na Sycylii, Garibaldi wrócił do Włoch i z oddziałem ochotników poparł króla Sardynii Karola Alberta, który chciał zjednoczyć północne Włochy. Karol Albert szybko jednak przegrał z Austriakami. Garibaldi pokłócił się z Mazzinim, bez powodzenia organizował partyzantkę w Szwajcarii, a uciekając do Wenecji, wkroczył do Rzymu akurat wtedy, gdy w Wiecznym Mieście wybuchła rewolucja – więc stanął na czele jego zaciekłej obrony. Austriacy jednak Rzym zdobyli. Garibaldi uciekł do Stanów Zjednoczonych i na krótko zajął się pracą fizyczną w wytwórni świec woskowych, na dłużej zaś

głośnymi na pół Europy romansami (brzemienna żona Ana zmarła podczas ucieczki z Rzymu). Gdy skończył się zapał Garibaldiego do świec, przybył do Londynu, poznał Karola Marksa i wyjechał do Włoch, gdzie kupił sobie tęgi kawał wyspy Caprera.

Rok temu znów wybucha wojna o zjednoczenie Włoch. Świeżo upieczony monarcha królestwa Sardynii Wiktor Emanuel II zamierza posłużyć się popularnością Garibaldiego i mianuje go generałem legionu ochotniczego w wojnie z Austrią. Garibaldi tworzy legion Myśliwców Alpejskich, zwycięża Austriaków w niewielkich potyczkach, żeni się i natychmiast rozstaje z piękną, lecz niewierną włoską arystokratką i w końcu zieje oburzeniem na Królestwo Sardynii, które w traktacie pokojowym *de facto* odstępuje jego rodzinną Niceę i Sabaudię Francji. Garibaldi na przekór wszystkim pędzi do Genui i organizuje legion ochotniczy, z którym chce zbrojnie zająć Niceę. Cały legion liczy raptem 200 rewolucjonistów i awanturników, a w dodatku sardyński król Wiktor Emanuel II, najwybitniejszy jego polityk hrabia Camillo Cavour, Francuzi, dosłownie, wszyscy są zirytowani szaleńczym pomysłem starzejącego się Garibaldiego.

Wtem Garibaldi z dnia na dzień wymyśla woltę, o jakiej się Europie nawet nie śniło. A co tam z Niceą, płyniemy na południe, na podbój Sycylii, którą ogarnęło powstańcze wrzenie!

Jego stały partner rewolucyjnych knowań i zrywów Mazzini ostatnimi laty nieustannie podminowywał swą konspiracją Królestwo Obojga Sycylii na południu Italii. Ta stara, zakorzeniona w średniowieczu monarchia jest największym z włoskich państw, ale całkiem już zgrzybiała.

Król Wiktor Emanuel zaciera ręce – jak z nieba spada mu ten wariat Garibaldi i jego wyprawa na Sycylię. Jakiś kłopot? Skądże! Same korzyści. Garibaldi najpierw pozbiera z Królestwa Sardynii

i całych Włoch wszystkiej maści awanturników i rewolucjonistów. Sycylijski monarcha Franciszek II awanturników oczywiście pobije. I to on wyda rozkaz powywieszania, pozamykania w kazamatach włoskich patriotów. Wiktor Emanuel z uśmiechem leje krokodyle łzy nad rychłą egzekucją tego dzielnego Garibaldiego, a w zaufanym gronie zapowiada, że powieszenie go uprości sprawy w polityce i że wystawi nieszczęsnemu bohaterskiemu Giuseppe piękny pomnik. I oczywiście rozkazuje swym urzędnikom dopomóc w organizacji wyprawy. Z państwowych arsenałów potajemnie jadą do Genui przestarzałe karabiny. Broń, nowoczesną, dostarczyli też Anglicy, którym awanturnicza wyprawa jest na rękę. Werbunek odbywa się całkiem jawnie.

Przed dwoma tygodniami patriotyczna farsa osiągnęła apogeum. Spiskowy porwali z genueńskiego portu dwa parowce. Naturalnie, nikt im nie przeszkadzał, przeciwnie, urzędnicy Wiktora Emanuela i gapie bili brawo, gdy na ich pokłady ładowało się ponad tysiąc awanturników. Ochotnicy Garibaldiego sami o sobie mówią, że są Tysiącem. W rzeczywistości jest ich 1089. Większość z nich pochodzi z północy Włoch, z Bergamo, z Genui, Mediolanu, Brescii, Pawii. Najmłodszy ma 12 lat, najstarszy dobrze po sześćdziesiątce. Większość liczy sobie niewiele więcej niż 20 lat. Z wyszkoleniem wojskowym jest u nich rozmaicie, ale rozsadza ich zapał i chęć walki.

Także Garibaldi jest dobrej myśli. Brodaty, z długimi włosami odrzuconymi znad łysiejącego czoła, jedzie w sycylijskiej spiekocie w swym tradycyjnym stroju, zadziwiającym Europejczyków: na czerwoną koszulę nałożone ma przez głowę paragwajskie pasiaste poncho. To pamiątka po wyzwoleńczych bojach stoczonych w Ameryce Południowej.

Atmosfera marszu tryumfalnego kończy się przed niedużą miejscowością Calatafimi. 3 tys. dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy gen. Lanzy zajmuje dominującą pozycję na szczycie wzgórza. Garibaldi świetnie wie, że dziś zdecydują się losy jego szaleńczej wyprawy. Kto poniesie porażkę, ten zginie. Pole bitwy bowiem uważnie, z ukrycia obserwuje też trzecia strona – tutejsi wieśniacy. Ciemni, okrutni sycylijscy chłopi zawsze nieomylnie wyczuwali, kto zwycięża na polu bitwy, i bezlitośnie dobijali, grabili żołnierzy strony przegranej. Wszystkie atuty są po stronie trzykrotnie liczniejszych wojsk królewskich, ale Garibaldi uważa, że bitwy wygrywa się odwagą, a nie przewagą. Porywa swych ludzi do samobójczego, zdawałoby się, ataku pod górę. Główna przeszkoda terenowa, tarasowata winnica, nieoczekiwanie okazuje się zbawieniem. Pomiędzy salwami piechurów gen. Lanzy setki mężczyzn w czerwonych koszulach przeskakują wśród winorośli spod jednego muru pod następny. Tam są bezpieczni od kul wroga. Gdy są tuż pod szczytem, gen. Lanza nieoczekiwanie rezygnuje z krwawego starcia na bagnety i w porządku wycofuje się na wschód. Straty są podobne – Garibaldi ma 30 zabitych i 200 rannych, Lanza 36 zabitych i 150 rannych – ale do czasu. Pod osłoną mroku, tak jak przewidywał Garibaldi, wieśniacy zabijają widłami i długimi nożami każdego żołnierza wojsk królewskich, który choćby na krok odstępuje od szyku. W nocy w szeregi korpusu gen. Lanzy zakrada się zwątpienie, rezygnacja. Niewyobrażalne staje się faktem. Tysiąc awanturników w czerwonych koszulach, na czele ze starcem w dziwacznym poncho, rzuca na kolana wielkie i powszechnie szanowane królestwo. Rzekoma droga do stryczka okazuje się drogą do ostatecznego, błyskawicznego zjednoczenia Włoch.

16 maja 1657 ▪ środa

Męczeństwo duszochwata

Kilku konnych Kozaków galopem dopędza na skraju wsi Mohilno, sąsiadującej z wioską Peredył, prosty chłopski wóz z dwoma mężczyznami. Woźnica, wieśniak Jan Domanowski, rzuca lejce i zmyka co sił do pobliskiego lasu. Kozacy nie ścigają go, nie o Domanowskiego im chodzi.

Na wozie siedzi niewysoki 60-latek z pokaźnym brzuszkiem, o twarzy okrągłej, zarumienionej, okolonej siwymi włosami i siwą brodą.

Andrzej Bobola nawet nie próbuje ucieczki. Na widok zmykającego Domanowskiego mówi do siebie z rezygnacją: „Niech się dzieje wola Boża". Modli się.

Kozacy otaczają wóz, zmuszają jezuitę do zejścia. Dowodzący podjazdem Kozak Popeńko i jego kamraci uprzejmie namawiają Bobolę, by natychmiast, na miejscu, zmienił wiarę na prawosławną. Jezuita równie uprzejmie, lecz stanowczo, odmawia. Radzi Kozakom, by nawrócili się na katolicyzm i odprawili pokutę za lata tkwienia w błędach prawosławia. Uprzejmość Kozaków kończy się: zdzierają z Boboli szaty, przywiązują go do płotu i okładają nahajkami. Krew tryska na piasek drogi. Jedni z okolicznych wieśniaków uciekają przerażeni z pól, inni ostrożnie podchodzą do miejsca kaźni. Jezuita pod razami głośno jęczy, modli się.

Andrzeja Bobolę przez dziesiątki lat upominano i ganiono w zakonie za porywczość i gwałtowność charakteru. Przywary te nieraz szkodziły mu, gdy pojawiała się możliwość otrzymania

w Kościele jakichś godności. Teraz, w obliczu śmierci, zachowuje on zadziwiające opanowanie, wręcz spokój.

Andrzej urodził się w roku 1591 w Strachocinie. Ród Bobolów, wcześniej rozrośnięty znacznie na Śląsku, po części przeniósł się już podówczas do Małopolski. Spokrewnieni z licznymi wielmożami Bobolowie sami jednak do większych godności, ani majątków, nie doszli.

Andrzeja oddano do nauki w jezuickim kolegium w Braniewie, we wschodnich Prusach. Trafił tam pod opiekuńcze, nieledwie matczyne skrzydła niemieckiej sędziwej zakonnicy Reginy Protman, założycielki Sióstr św. Katarzyny Dziewicy i Męczennicy. To ona otworzyła serce młodziutkiego polskiego ucznia na dzieło miłosierdzia i pomocy upośledzonym.

Ukończywszy naukę w Braniewie, Bobola poprosił o przyjęcie do nowicjatu jezuitów w Wilnie. Tam też trzy lata studiował w Kolegium Akademickim. Nie była mu jednak pisana kariera naukowa – co rusz profesorowie krytycznie oceniali jego dorobek, nie dopuszczając do ważnych egzaminów. Zdaje się, że nie bez znaczenia była w tych wypadkach porywczość i ostry język świeżo upieczonego jezuity. W roku 1622 Bobola, po ukończeniu studiów teologicznych, trafił na tzw. trzecią probację – ostatni etap formacji młodych jezuitów. W teorii probacja miała ożywić, nadwątlone nad uczonymi księgami, religijną gorliwość i powściągliwość. W przypadku Andrzeja Boboli rzecz bez wątpienia szła też o ukrócenie jego bujnego, popychającego do polemik i kłótni, temperamentu.

Roczną probację odbył w Nieświeżu. I znów – rektor tamtejszego kolegium uznał go za jednego z najzdolniejszych probantów, ale opiekunowie zgodnie skarżyli się na popędliwość i nieopanowanie Andrzeja.

Bobola z Nieświeża, przez Bobrujsk, Płock, Warszawę, Łomżę, trafił do Pińska. Opiekował się tam katolickim szkolnictwem, bywał superiorem domu zakonnego, spowiednikiem i kaznodzieją. W Pińsku był Bobola moderatorem Sodalicji Mariańskiej tamtejszego ziemiaństwa i kierownikiem jezuickiego kolegium. Zasłynął wówczas jako nadzwyczaj skuteczny misjonarz w sferach ziemiańskich, choć po prawdzie sukcesy na tej niwie nie były tylko jego zasługą osobistą. Prawosławna szlachta często oddawała swe dzieci do słynącej z wysokiego poziomu jezuickiej szkoły, a przy tej okazji rodzice chętnie nadstawiali ucha na nauki ojca dyrektora.

Po krótkim wyjeździe do Wilna w połowie XVII w. Bobola w roku 1652 powrócił do Pińska. Zdrowie jego szwankuje od dawna, ale właśnie teraz, u schyłku żywota, wraz z utratą sił, rozkwita jego talent misjonarza, „duszochwata", czyli łowcy dusz.

O. Andrzej od lat prowadzi na Kresach nieśpieszne wyprawy misyjne na tamtejsze zapadłe wsie. Umacnia duchowo nielicznych katolików oraz unitów, rozproszonych wśród prawosławnej większości, przyjmujących siłą rzeczy cerkiewne formy kultu. Nawraca prawosławnych, zagubionych, opuszczonych przez swych kapłanów, na katolicyzm. Miejscowi ufają mu i szanują go. Pieszo lub byle okazją zmierza od chałupki do chałupki, od ziemianki do szałasu. Każdy jest godny, by o. Andrzej zaszedł doń, porozmawiał o wierze, o życiu, a gdy trzeba – wyspowiadał, udzielił sakramentu Komunii św., połączył węzłem małżeńskim, udzielił ostatniego namaszczenia.

Ostatnimi laty wyparowały z Boboli porywczość, niecierpliwość, niemożność opanowania się. Drobny, jowialny jezuita dla każdego ma czas, dla każdego jest miłym, cierpliwym słuchaczem i doradcą.

W czas wojen na kresach Rzeczypospolitej sława wielkiego misjonarza jest dla Boboli największym zagrożeniem. Szwedzki

potop i nieco późniejsze wojny z Kozakami i z Moskwą doprowadziły we wschodnich województwach do powszechnego upadku władzy państwa i do chaosu. Nienawiść uciemiężonego kozactwa obróciła się przeciw polskiej szlachcie, katolickiemu duchowieństwu i w ogóle katolickiej wierze. Kozactwo i chłopskie bandy co rusz mordują katolickich księży; z dziesiątków zabitych duchownych niemal co drugi jest jezuitą.

W pierwszych dniach maja Andrzej Bobola przygotowywał katolików i unitów w Pińsku do uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego. Na wieść, że na Pińszczyźnie pojawiły się kozackie oddziały Zdanowicza i mordują katolików, Bobola i jego towarzysz jezuita o. Szymon Maffon wyjechali z miasta na zachód. Maffon postanowił przeczekać kozacki najazd w nieodległym Horodcu. Bobola ukrył się we wsi Peredył, nieopodal odległego o 5 mil od Pińska miasteczka Janów, we dworze dzierżawcy wsi Mohilno – imć Przychockiego.

Wczoraj jednak kozacka wataha Zielenieckiego i Popeńki wpadła do Horodca i pojmała o. Maffona. Napastnicy odarli jezuitę z duchownych szat, przybili go gwoździami do drewnianej ławki. Głowę okręcili powrozami tak silnie, że kapłanowi oczy wyszły na wierzch, obdarli ofiarę ze skóry i polewali ukropem. Udręczonemu Maffonowi w końcu poderżnęli gardło.

Ok. południa Kozacy Popeńki wjeżdżają do Janowa. Torturują i mordują Żydów i katolików pospołu. Okrucieństwa budzą przerażenie prawosławnych janowian – wielu z nich ucieka do lasu.

Na wieść o męczeństwie o. Maffona i o rzezi w Janowie Bobola postanawia uciekać dalej na zachód. Pan Przychocki poleca woźnicy Janowi Domanowskiemu wywiezienie jezuity w bezpieczne miejsce. Za późno jednak. Zieleniecki, dowiedziawszy się o obecności sławnego duszochwata w Peredyle, wczesnym

popołudniem wysyła tam silny podjazd Popeńki, który pojmuje Bobolę.

Po biczowaniu nahajką oprawcy odwiązują okrwawionego Bobolę, kopią go po twarzy. Ofiara traci kilka zębów. Pobitego zakonnika oprawcy przywiązują do dwóch koni i wloką do Janowa. Co rusz katują go nahajkami. Dwukrotnie głęboko wbijają piki w jego w lewe ramię, tną szablą po lewym boku.

W Janowie podjazd oddaje jezuitę kozackiej starszyźnie.

–To ten Polak, ksiądz rzymskiej wiary, który od naszej wiary odciąga i na swoją, polską nawraca! – krzyczy janowskie pospólstwo, podjudzając do zbrodni. Kozacy doprowadzają unickiego proboszcza z Janowa ks. Jana Zaleskiego. Uwiązują go do płotu, by w oczekiwaniu na swą kaźń napatrzył się na męki o. Boboli.

Jeden z Kozaków tnie szablą Bobolę po głowie. Zakonnik odruchowo zasłania się związanymi rękami i traci trzy palce prawej dłoni. Kozak tnie szablą po raz wtóry i trafia w lewą stopę. Szczerbi kość, przecina żyłę. Jezuita przewraca się. Gapie ryczą z podekscytowania.

Któryś z janowian, wykorzystując zamęt wokół torturowanego Boboli, przecina ks. Zaleskiemu więzy. Ksiądz szczęśliwie wymyka się z rozgorączkowanego przemocą tłumu i ucieka.

Kozacy tymczasem wloką Bobolę, za ranną lewą stopę, na duży publiczny plac w Janowie, do szopy Grzegorza Hołowejczyka, stojącej nieopodal drogi wiodącej do Ohowa. Od lat służy ona za jatkę. Kozacy zamykają bramę, rzucają jezuitę na rzeźnicki stół i rozpoczynają swoją ulubioną torturę – ściskanie głowy za pomocą wieńca z młodych gałęzi dębowych, aż ofierze oczy wyjdą z czaszki.

Gdy jedni z oprawców skręcają na skroniach Boboli świeżo naciętą dębinę, inni przypiekają go żagwiami. Półprzytomny

z udręczenia jezuita powtarza modlitwy.

Miejscowi, zwłaszcza młodzi, podpatrują tortury przez szpary w ścianach z bali i dech.

Kozaków ogarnia szał okrucieństwa.

– Temi rękami przewracasz kartki ksiąg w kościele? – pyta jeden z oprawców, tnie nożem duże drzazgi i wbija je zakonnikowi za paznokcie u obu rąk.

– Ubierasz się w ornat? My cię lepiej ozdobimy – drze się inny Kozak i wraz z kompanami zdziera skórę z pleców i piersi zakonnika.

Bobola krzyczy i jęczy, ale nie błaga o zmianę wyznania.

– Masz za małą tonsurę, zrobimy ci większą! – rechoczą inni napastnicy i naciąwszy nożem skórę na karku, zdzierają mu ją aż po oczy.

Unita Rusin Jakub Szalka i jego sługa wdrapują się na wieżę sąsiedniej cerkwi. Stamtąd jak na dłoni widzą mękę o. Boboli.

Kozacy jak opętani prześcigają się w okrucieństwach. Wykłuwają nieszczęsnemu jezuicie prawe oko, zdzierają mu resztę skóry z pleców, skrwawioną ranę posypują ostrymi plewami z orkiszu, odcinają mu nos, wargi, język zaś wywlekają przez rozcięty kark i obcinają u nasady.

Jego twarz jest tak spuchnięta od uderzeń, że nie sposób odróżnić ani oczu, ani nosa, ani uszu.

Oprawcy dawno już przestali dopytywać się ofiary, czy zmieni wyznanie. W szopie Hołowejczyka jak zaczadzeni nurzają się w czystym okrucieństwie. Byle więcej krwi, więcej bólu, byle głośniejsze jęki i zawodzenia udręczonego. Wieszają Bobolę za nogi u sufitu. Jezuitę dusi ściekająca krew – szarpie się i miota w konwulsjach.

– Patrzcie, jak Lach tańczy! – wyje tłum w szopie.

Któryś z dręczycieli odcina sznur; ciało księdza bezwładnie wali się na polepę. Konającemu Kozacy dwukrotnie podcinają szablą gardło.

Tłum napastników opuszcza szopę. Zostaje w niej tylko nagie, zakrwawione ciało Andrzeja Boboli.

17 maja 1907 ▪ piątek

Rosjanin, oficer, człowiek

Na rogu ul. Przejazd i Zagajnikowej w Łodzi przed 8.00 co rusz ktoś podchodzi do stojącego nieco na uboczu mężczyzny w podniszczonym ubraniu. To „Jan", instruktor łódzkiej Organizacji Bojowej PPS. Po zamienieniu paru słów przybysze idą do niewielkiego parterowego domku w głębi ogrodu przy ul. Przejazd. W domku tym każdego z przychodzących wita jeden z dwóch oczekujących mężczyzn; przedstawia się on jako towarzysz „Zimecki".

O 8.30 w pokoju jest już 20 osób. Wszyscy są członkami łódzkiej organizacji PPS Frakcji Rewolucyjnej. „Zimecki" wychodzi z domku i sprawdza stojących na czatach bojowców PPS ubezpieczających zebranie. Potem wraca i opowiada przybyłym o czekającej ich akcji.

Czas: dziś, za pół godziny.

Miejsce: róg ul. Łąkowej i Podleśnej.

Cel: carski furgon pocztowy przewożący – jak doniósł pepeesowski wywiad – większą sumę gotówki.

Plan: gdy tylko furgon eskortowany przez tuzin Kozaków i trzech uzbrojonych funkcjonariuszy poczty wjedzie z Łąkowej w Podleśną, czterech bojowców ustawionych na Łąkowej i kolejnych czterech stojących już za rogiem, na Podleśnej otworzy ogień z browningów

do kozaków i pocztmistrzów; gdyby jednak Kozacy pod ogniem bojowców nie porzucili furgonu, lecz wraz z nim uciekli, na dalszym odcinku Podleśnej, między ul. Luizy i Zakątnej, ustawione będą dwa silne posterunki bojowców, które wezmą furgon i resztki ochrony w ogień krzyżowy pistoletów i rewolwerów. Na Zakątnej czeka już bryczka powożona przez towarzysza „Karola" z zaufanymi towarzyszami, do której przeładować należy zdobyte pieniądze.

Całą akcją dowodzi instruktor OB „Jan".

Pytania? Nie ma.

„Zimecki" z towarzyszem rozdają rewolwery i browningi.

Bojowcy wychodzą z domku po dwóch, po trzech. Łąkowa jest niemal niezabudowana i o tej porze prawie nie ma na niej przechodniów. Poinstruowani podczas pośpiesznej odprawy bojowcy zajmują wyznaczone im stanowiska. Nie czują się pewnie, cała ta akcja zorganizowana jest trochę na wariata, wbrew regułom konspiracji bojowej. Spiskowcy nie czekają długo. Łąkową zbliża się furgon pocztowy. Poprzedza go konno czterech Kozaków. Każdy trzyma karabin w prawym ręku, kolbą wsparty na udzie.

Reszta eskorty jedzie za furgonem.

„Jan" wyciąga zza pazuchy trąbkę i gra krótki sygnał. Obie czwórki bojowców, ta stojąca na Łąkowej i ta na Podleśnej, wyciągają broń i dają ognia. Strzelają salwą – stwarza to wrażenie o wiele większej siły ognia napastników, niż dysponują oni w rzeczywistości. Kozackie konie stają dęba i ponoszą jeźdźców obu części eskorty w stronę dwóch kolejnych posterunków bojowców. Kozacy opanowują konie i strzelają do czterech napastników na Podleśnej, ale w tym momencie otwierają do nich ogień bojowcy stojący nieco dalej, przy Zakątnej. Trafiają dwóch Kozaków. Postrzelony w pierś spada z siodła, lecz noga więźnie mu

w strzemieniu. Koń wlecze konającego po bruku. Reszta jeźdźców widzi, że to nie przelewki, i ucieka galopem.

Pocztmistrzowie usiłują się bronić w furgonie, ale po krótkiej kanonadzie dwaj z nich uciekają w przyuliczne chaszcze. Trzeci, ciężko ranny, leży na podłodze furgonu. Napastnicy wyrzucają ciężko rannego pocztowca na bruk. Jeden z bojowców siada na koźle furgonu, dwóch lokuje się w środku. Odjeżdżają. Reszta zamachowców rozbiega się pojedynczo we wszystkie strony.

Furgon skręca w Zakątną, gdzie bojowcy przerzucają sakwy i paki na bryczkę powożoną przez „Karola". Bryczka wjeżdża w Zieloną, dalej w Dzielną, z niej skręca w Widzewską i wreszcie w ul. Nawrot. Tam zatrzymuje się przed domem, w którym mieszkanie ma członek PPS „Stanisław". Bojowcy pośpiesznie przenoszą do mieszkania sakwy i paczki z furgonu, po czym bez zwłoki odjeżdżają. W mieszkaniu towarzysze „Zimecki" i „Jan" otwierają zdobyczne sakwy i paczki. Łup jest sowity: 2 tys. rubli w gotówce i weksle Łódzkiego Banku Państwowego na ponad 237 tys. rubli.

Kozacy, którzy uciekli z miejsca napadu, wszczynają alarm w swoich koszarach. Nieco później do koszar doczłapuje koń wlokący zabitego jeźdźca. Oficer dyżurny wzywa oddział Kozaków z placu ćwiczeń. Jeden z dwóch urzędników pocztowych, którzy uciekli z furgonu, donosi, że napastnicy zbiegli w stronę ul. Luizy. Kolumna Kozaków wjeżdża w ul. Luizy i kieruje się w stronę fabryki Kunert, Landsberg i Wojdysłowski. Na dziedzińcu Kozacy zsiadają z koni, wbiegają do hal i strzelają z dystansu paru kroków do pracujących przy maszynach, niczego niepojmujących robotników. Tych, którzy kryją się w zakamarkach fabryki, Kozacy wywlekają na dziedziniec i tam mordują szablami. Krew płynie po bruku. Po rozbiciu fabrycznego kantoru i zrabowaniu kasy Kozacy

wpadają do następnej fabryki, Metzler i Ferenbach. Także tu mordują robotników i rabują fabryczną kasę.

Na wieść o napadzie na furgon pocztowy przybywają na Podleśną rosyjscy śledczy. Chwilę później przymaszerowują wezwane przez jakiegoś urzędnika dwie kompanie piechoty. Carscy żołnierze wkraczają na dziedziniec fabryki Kunert, Landsberg i Wojdysłowski. Na widok rzezi i Kozaków ciągle mordujących niewinnych cywilów rosyjskich żołnierzy ogarnia oburzenie i wściekłość. Wrogie okrzyki sołdatów pod adresem Kozaków i manipulowanie przy zamkach karabinów zmuszają do reakcji dowódcę piechoty. Swoich żołnierzy stawia na baczność, a od oficera kozackiego żąda natychmiastowego opuszczenia terenu fabryki. Kozak agresywnie odmawia. Dowódca piechoty wyjmuje zegarek.

– Jeśli Kozacy nie usuną się z fabryki w ciągu dwóch minut, dam rozkaz strzelania do nich! – grozi i daje swoim rozkaz: „*K orużju!*" (Gotuj broń). Sołdaci wykonują rozkaz aż nazbyt ochoczo. Na ten widok Kozacy – miotając pod ich adresem obelgi – wycofują się na ulicę, zostawiając ciała 80 pomordowanych robotników i robotnic. Rosyjski oficer dowodzący piechotą wzywa pogotowie do rannych robotników.

18 maja 1944 ▪ czwartek

No to gramy!

W ciemnościach ciężarówki trzęsie ich niemiłosiernie na wybojach wąziutkiej drogi. Zespół Teatru Żołnierza Polskiego przy 2. Korpusie wraca z występów w Lucernie do swojej polowej siedziby

w miejscowości Campobasso. Na miejscu znużeni wojskowi artyści zasypiają niemal natychmiast. Tylko Feliks Konarski, przed wojną znany śpiewak operetkowy, autor i kompozytor popularnych piosenek, teraz, pod pseudonimem „Ref-Ren", gwiazdor estrady Teatru Żołnierza Polskiego, stoi przy oknie i wpatruje się w odległe błyski na horyzoncie. Aliancka artyleria ostrzeliwuje Monte Cassino. Ostrzał 2 tys. dział jest tak silny, że malutkie błyski łączą się w długie białe pasma.

Konarski kładzie się w końcu do łóżka, przysypia. Budzi się w środku nocy. Po głowie krążą mu frazy z rozkazu dowódcy 2. Korpusu gen. Władysława Andersa. „Nadeszła chwila bitwy... Zadanie, które nam przypadło, rozsławi na cały świat imię polskiego żołnierza... Idziemy naprzód ze świętym hasłem w sercach naszych: Bóg, Honor, Ojczyzna". Konarski gorączkowo układa w myślach słowa piosenki o straszliwych walkach swoich kolegów na zboczach Monte Cassino i sąsiednich wzgórz. Musi złapać jakiś dobry szlagwort, jakiś mocny rym, który ustawi cały tekst – ale nic nie przychodzi mu do głowy.

No dobrze, od początku. Co tam się dzieje? Nad polskimi żołnierzami góruje ciemny masyw niezdobytej góry klasztornej... Z sięgających chmur ruin klasztoru Niemcy zieją ogniem... Nasi wspinają się i giną... W ruinach grasują szczury...

Może więc: chmury – szczury?

Rym jest, ale bez sensu.

I nagle jasność:

„Czy widzisz te gruzy na szczycie?

Tam wróg twój się kryje, jak szczur.

Musicie... Musicie... Musicie...

Za kark wziąć i strącić go z chmur...".

Ref-Ren wyskakuje z łóżka, łapie kartkę kancelaryjnego papieru i ołówek. Notuje, czyta raz, drugi, trzeci. „Za kark wziąć i strącić go z chmur". To nie jest dobra fraza, język plącze się niemiłosiernie. To się nadaje raczej na wojskowe hasło – nie do wymówienia dla żadnej, poza Polakami, nacji.

Konarski nie zatrzymuje się nad koślawym wersem. Ma już następny.

„I poszli szaleni, zażarci,
I poszli zabijać i mścić...
I poszli jak zawsze uparci,
Jak zawsze – za honor się bić...".

To już siódma noc niesamowicie zażartych walk o Monte Cassino, w trakcie których zginęły setki żołnierzy 2 Korpusu. Polską krwią spłynęły skały masywu klasztornego i sąsiednich wzgórz. Konarskiemu przypominają się opowieści kombatantów z frontu nad Sommą z I wojny światowej, którym wszechobecna krew kojarzyła się z polami krwistoczerwonych maków.

„Czerwone maki na Monte Cassino
zamiast rosy piły polską krew...
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz silniejszy od śmierci był gniew.
Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
czerwieńsze będą – bo z polskiej wzrosną krwi".

O trzeciej w nocy Ref-Ren składa kartkę z tekstem, wybiega na ulicę i pędzi do kwatery kompozytora i dyrygenta Alfreda Schütza, teraz żołnierza 2. Korpusu.

– Fredek, wstawaj!

– Co się dzieje? Jedziemy?

– Nie, mam piosenkę. Musisz zrobić muzykę, i to zaraz, w pół godziny!

– Oszalałeś? W środku nocy mam ci pisać muzykę?! Co to, pali się?

– Żebyś wiedział. Rano jedziemy na objazd i musimy ją zaśpiewać. Pisz, a ja sprowadzę resztę zespołu i do rana nauczymy się.

Schütz w piżamie zasiada przy pianinie. Studiuje tekst, uderza w klawisze. Konarski rusza budzić kolegów z zespołu. Wrzeszczą na niego, klną, ale w końcu wstają. Nie mija pół godziny, gdy wszyscy są w kwaterze Schütza. Kompozytor ma już melodię. Konarski dyktuje tekst, koledzy notują. Wreszcie rusza próba. Brzmi nieźle. Za ścianą rozlegają się postękiwania i głosy włoskich gospodarzy, u których mieszkają Polacy. Włosi nie mają jednak odwagi, by głośno oprotestować próby chóru o wpół do czwartej nad ranem.

O wpół do piątej próba kończy się.

W ciemnościach z Monte Cassino przemykają się na północ grupki niemieckich żołnierzy. Poprzedniego dnia na wieść, że alianci są o krok od odcięcia miasteczka Cassino i góry klasztornej, niemiecki marsz. Kesselring zezwolił na wycofanie się stamtąd niedobitków obrońców. 100 niemieckich spadochroniarzy ruszyło z klasztoru prosto na południe by poddać się Brytyjczykom, a nie Polakom. W schronach i jaskiniach w zboczu góry zostają ranni i skrajnie wyczerpani Niemcy.

Wczesnym rankiem niemieccy spadochroniarze wywieszają na ruinach klasztoru białą flagę.

Płk Zygmunt Łakiński, dowódca artylerii w 3. Dywizji Strzelców Karpackich, dostrzega ją ze swojego stanowiska obserwacyjnego. Pułkownik natychmiast łączy się z dowództwem brygady dywizji karpackiej i prosi, by do klasztoru wysłać patrol z flagą narodową. W odpowiedzi słyszy, że po wielogodzinnych walkach piechota jest

zbyt wyczerpana, by ruszyć na szczyt. Płk Łakiński dzwoni do brygady kawalerii. Trzeba się pośpieszyć, jako pierwsi będą przecież chcieli zatknąć swój sztandar Brytyjczycy. Na wieść o misji ułani w biegu fastrygują proporczyk 12. Pułku Ułanów Podolskich z kawałka amarantowej chustki, jakiejś granatowej szmatki i strzępów bandaża.

O 8.00 26-letni ppor. Kazimierz Gurbiel z 12. Pułku Ułanów Podolskich dostaje rozkaz wymarszu na Monte Cassino. Nie ma czasu na odszukanie swojego hełmu. Z odkrytą głową, na czele tuzina żołnierzy, rusza przez pola minowe. Nikt do nich nie strzela. Za nimi rusza 18-osobowy patrol dowodzony przez por. Hrynkiewicza. Na szczyt ppor. Gurbiel wspina się z sześcioma ułanami. Rozgrzane powietrze przesycone jest trupim odorem.

O 9.30 patrol dociera pod zniszczone mury opactwa. Sierżant Wadas staje na ramionach kolegi i jako pierwszy wdrapuje się na dziedziniec klasztoru. Posąg św. Benedykta ma utrąconą głowę, u jego podstawy leży na wpół zasypany martwy niemiecki żołnierz. Wadas krzyczy w uchylone drzwi:

– *Haende hoch, oder ich schiesse!*

Po chwili wychodzi kilkunastu niemieckich spadochroniarzy, przerażonych, zarośniętych, w strzępach mundurów i opatrunków. Na widok polskich orzełków bledną. Są pewni, że zaraz pójdą pod mur. Ppor. Gurbiel każe przetłumaczyć Wadasowi, że nic się im nie stanie. Dowodzący spadochroniarzami chorąży prosi o pół godziny, by jego ludzie mogli ogarnąć się i godnie pójść do niewoli. Ppor. Gurbiel zgadza się.

Jeden z ułanów znajduje niewielki otwór w morzu gruzów. Gurbiel wciska się weń i trafia do krypty św. Benedykta, w której Niemcy urządzili namiastkę szpitala. Obok ołtarza na rozrzuconych ornatach leży trzech ciężko rannych spadochroniarzy. Straszliwie

śmierdzi. Gurbiel odkrywa, że plecaki i worki wypełnione są zwłokami i częściami ciał zabitych Niemców. Nie było komu wynieść ich i zakopać pod ostrzałem alianckiej artylerii. Gurbiel wysyła jednego z ułanów po noszowych, by zabrać rannych na dół.

Gdzieś zapodziała się biało-czerwona flaga. Ułan Józef Bruliński, goniec por. Hrynkiewicza, przynosi ppor. Gurbielowi sfastrygowany proporzec. Podporucznik ustępuje honoru wetknięcia go w gruzy:

– Józiu, zrób to ty.

Po chwili na dziedziniec wchodzi zdyszany major kontyngentu kanadyjskiego. Wściekły, pyta ułanów, co tu robią.

– A pan? – odpowiada pytaniem ppor. Gurbiel.

Zjawiają się oficerowie i żołnierze brytyjscy. Nad ruinami powiewają flagi polska i brytyjska. Do ruin drapie się po skałach grupa brytyjskich i amerykańskich korespondentów wojennych.

W 3. batalionie saperów od rana panuje radość. O 7.12 dotarł meldunek, że Polacy zajęli właśnie wzgórze 593, kluczowe dla obrony góry klasztornej. Zajęcie klasztoru jest teraz tylko kwestią godzin. Gdy na jego ruinach pojawia się proporczyk 12. Pułku Ułanów Podolskich, a potem biało-czerwona flaga, saperzy 3. plutonu cieszą się jak dzieci. W górę lecą hełmy i części wyposażenia. Płk Władysław Rakowski, dowódca 3. batalionu saperów, studzi entuzjazm podwładnych – to jeszcze nie koniec walk.

Po chwili wzywa plutonowego Czecha:

– Plutonowy Emil Czech, macie specjalne zadanie. Z rozkazu gen. Ducha dziś o godzinie dwunastej na ruinach klasztoru Monte Cassino odegracie hejnał krakowski. Musicie się śpieszyć. Zostały wam zaledwie 2 godziny.

– Rozkaz, panie pułkowniku. Tylko co z trąbką? Na zwykłej sygnałówce trudno będzie tę melodię wyciągnąć.

– Nie martwcie się, Czech! Za was myślą inni. Por. Woźnicki, dajcie no tę trąbkę! – komenderuje pułkownik.

Porucznik podaje plutonowemu lśniącą nowością trąbkę kornet-C. Na pytania plutonowego, jakim cudem taki rarytas znalazł się w dowództwie saperów, por. Woźnicki odpowiada tylko uśmiechem i wzruszeniem ramion. Płk Rakowski napomina jeszcze plutonowego, by sobie poćwiczył hejnał, bo jak wyjdzie z niego pianie koguta, to będzie niedobrze.

Emil Czech nie musi ćwiczyć. Przed wojną dostał przydział do orkiestry wojskowej 1. batalionu saperów kolejowych w Krakowie. Hejnał grał wtedy do znudzenia.

Plut. Czech wskakuje do ciężarówki. Maszyna z rykiem silnika pędzi krętymi serpentynami w stronę Monte Cassino. Jedzie przez miejsca jednych z najcięższych walk prowadzonych przez Polaków, przez tzw. Gardziel i dalej wzdłuż Doliny Śmierci. Na Monte Cairo ciągle trzymają się Niemcy. Pociski moździerzy padają coraz bliżej gnającego na złamanie karku samochodu. Ostre hamowanie. Ciężarówka staje przed ogromną wyrwą w drodze. Objazdu nie ma – z jednej strony pionowa skala, z drugiej strony przepaść. Czech ma do przejścia na piechotę kilkanaście kilometrów, w górach, pod niemieckim ostrzałem. W niespełna 2 godziny. Nie załamuje się jednak, rusza w stronę klasztornej góry. Po półgodzinie zza zakrętu wyjeżdża dżip. Prowadzi go znajomy plut. Czecha, lekarz por. Stanisław Szczepanek. Na wieść o misji trębacza por. Szczepanek zawraca i pędzi w kierunku Monte Cassino. Zręcznie omija rozbite czołgi, samochody, walające się trupy koni. Im bliżej szczytu, tym więcej leżących na poboczach szkieletów. To szczątki Anglików, Hindusów i Kanadyjczyków, którzy próbowali jako pierwsi. Kilkaset metrów dalej zaczynają się stosy ciał ułożonych przy drodze jak sągi drewna. Na rękawach mundurów mają biał-

czerwone kwadraciki, a na nich zielone jodełki. To żołnierze 3. Dywizji Strzelców Karpackich.

Ostatni odcinek drogi plut. Czecha to wspinaczka po skałach. Na szczyt wchodzi tuż przed dwunastą. Na jednej z pokiereszowanych ścian klasztoru trębacz dostrzega resztki potężnych organów.

Plut. Czech podchodzi z plutonowym Chomą do masztu z polską flagą. Otaczają ich angielscy i amerykańscy korespondenci. Trzaskają flesze, terkocą kamery. Pięć dźwięków rozłożonego trójdźwięku durowego niesie się ponad złomami ruin i skał. Stojący obok polscy żołnierze rękawami wycierają łzy.

19 maja 1905 ▪ piątek

Kamikadze na Miodowej

Plan jest taki: członek warszawskiej Organizacji Spiskowo-Bojowej PPS Stanisław Dzierzbicki ma rano siąść w kawiarni Trojanowskiego (Ostrowskiego) przy Miodowej 6. Tuż przed południem carski generał-gubernator Konstantin Maksymowicz powinien wyjechać z Zamku Królewskiego na niedzielne galowe nabożeństwo do cerkwi na rogu Długiej i Miodowej. Najkrótsza droga prowadzi ul. Miodową, która w dodatku jest z przyległych ulic najszersza, zatem najbezpieczniejsza. Maksymowicz pojedzie zatem Miodową. Dzierzbicki rzuci bombę w jego powóz, następnie ucieknie przez kawiarnię, przejściem na jej tyłach, na ul. Podwale i dalej w zaułki Starego Miasta. Gdyby ruszył za nim pościg stójkowych albo szpicli ochrany, zatrzymać go ma uzbrojona bojówka ubezpieczająca Dzierzbickiego w przejściu na Podwale.

Tuż przed 8.00 doświadczony bojowiec PPS Bronisław Żukowski „Harakiri", współorganizator niedawnego zamachu na oberpolicmajstra płk. barona Karla Nolkena, przychodzi do mieszkania bojowca Dawida Ajzenlista „Dawidka" przy pl. Grzybowskim 14. Jego „dziesiątka" bojowców podlega Żukowskiemu. Na miejscu są już Ajzenlist oraz dwaj inni bojowcy: Stanisław Zieliński „Sewer" i Moszek Szwarc, bojowiec z grupy pochwyconego przez ochranę Stefana Okrzei. Żukowski rozdaje każdemu z zastanych bojowców po dwa samopowtarzalne pistolety belgijskie FN Browning. Dwa browningi ma też w kieszeniach

swego eleganckiego sak-palta. Żukowski informuje trzech towarzyszy o szczegółach dzisiejszej akcji.

Bojowcy pojedynczo wychodzą z mieszkania Ajzenlista i udając, że się nie znają, ruszają w stronę Starego Miasta. Od razu przy bramie kamienicy Żukowski zauważa znanego szpicla carskiego Guryna, który jak cień rusza za czterma spiskowcami. Na pl. Teatralnym do Guryna dołączają kolejni szpicle i bojowcy maszerują już w całkiem pokaźniej asyście za ich plecami. Żukowski nie traci zimnej krwi. Pewien jest, że Guryn zna tylko jego i jakoś uda się bandę tajniaków odciągnąć od jego towarzyszy. Nie ma pojęcia, że agenci śledzą całą ich grupę. Wydał ich Ajzenlist, carski prowokator i donosiciel. Kiedy żandarmi aresztowali Szlomę Eksztajna „Chłopa", bojowca z grupy Okrzei, na jego miejsce awansował Ajzenlist, etatowy agent ochrany. Od tego czasu za Żukowskim zaczęli chodzić tajniacy dowodzeni przez szpicla Guryna. Nie potrafił ich zgubić, bo Ajzenlist donosił o wszystkich jego ruchach. Co gorsza, Ajzenlist ostrzegał, gdy tylko był w stanie, carskich policjantów i urzędników, na których szykowano zamachy. Co rusz z „dziesiątki", w której był Ajzenlist, ochrana aresztowała kolejnych bojowców oraz tych, którzy przychodzili na miejsce uwięzionych. Gdy przed niespełna miesiącem Ajzenlist został wytypowany do zasztyletowania znanego prowokatora policyjnego Kozłowskiego, zawczasu potajemnie nakręcił na ostrza sztyletów malutkie tępe nakładki. Dzięki temu Kozłowski odniósł tylko lekkie rany i po dziesięciu dniach mógł wrócić do szpiclowania. Trzy tygodnie temu Ajzenlist wskazał żandarmom kolejnych dwóch bojowców, którzy zostali aresztowani, a nazajutrz wystawił samego Żukowskiego. Na szczęście „Harakiri" i jego towarzysz mieli w kieszeniach po dwa browningi i tajniacy, czując to, bali się do

nich podejść. Po długiej ucieczce ulicami Warszawy Żukowski urwał się policyjnemu ogonowi.

Niestety, tak doświadczony konspirator jak „Harakiri" nie rozgryzł jeszcze policyjnego agenta. Nie wie, że wczoraj, zaraz po tym jak bardzo ogólnie zawiadomił Ajzenlista o dzisiejszej akcji, ten zaalarmował ochranę. Carscy żandarmi domyślili się, że chodzi o zamach na generał-gubernatora.

Żukowski idzie na Podwale, chowa się do bramy. Po chwili wchodzi tam trzech idących z nim bojowców. Ponieważ żaden nie zna właściwego wykonawcy zamachu, Żukowski dokładnie go opisuje, by przez pomyłkę nie zaczęli podczas jego ucieczki doń strzelać. Zwraca im uwagę, że Dzierzbicki jest tak samo ryży jak carski agent, który zawsze jeździ na rowerze za powozem generał-gubernatora Maksymowicza, ba, ma nawet tak jak tajniak-cyklista jasną brodę, tyle że znacznie krótszą.

Ajzenlist najchętniej natychmiast wskazałby Dzierzbickiego policyjnym szpiclom, ale pod okiem towarzyszy nie ma takiej możliwości.

Tadeusz Dzierzbicki tymczasem, w eleganckim surducie, z ozdobnym pudełkiem czekoladek pod pachą, z miną znudzonego dandysa, nieśpiesznie idzie Miodową. Do tej akcji zgłosił się sam, by pomścić swego brata Karola, studenta medycyny i członka „Spójni", zastrzelonego przez Kozaków 28 stycznia tego roku, gdy roznosił odezwy nawołujące do strajku powszechnego. Dzierzbicki pała żądzą zemsty tak bardzo, że osobiście skonstruował bombę z dynamitu przemycanego przez sympatyzujących z PPS górników kopalni Zagłębia.

Żukowski wychodzi z bramy na Podwalu i powoli idzie na Bednarską. Chce odciągnąć szpicli od trzech bojowców ubezpieczających odwrót Dzierzbickiego. Agenci ruszają za nim, ale

gdy Dzierzbicki nagle przyspiesza i znika za rogiem Bednarskiej, wydaje mu się, ze ich zgubił. W kamienicy nr 26, w mieszkaniu sympatyka partii zostawia oba browningi.

Tadeusz Dzierzbicki wchodzi do cukierni. Kręci się chwilę przy ladzie. Zamawia kawę, ciastka. Potem wychodzi na niewielką werandę kawiarni i siada przy stoliku tuż przy wejściu z chodnika. Ozdobne pudełeczko od czekoladek stawia ostrożnie na środku stolika. W środku jest bomba dynamitowa z bardzo czułym, natychmiastowym zapalnikiem.

Miodową przemykają szpicle. Mnóstwo szpicli. Dzierzbicki sądzi, że to w związku z przejazdem generał-gubernatora. Nie wie, że tajniacy szukają właśnie jego, ale nie mają rysopisu zamachowca. Rozgląda się, parę razy wychyla na Miodową i wypatruje. Uważa, że wygląda jak amant czekający na ukochaną, ale niebacznie zwraca na siebie uwagę księdza, który współpracuje z ochraną. Ksiądz dyskretnie wskazuje go policyjnym tajniakom. Dwóch cywili wchodzi do ogródka i staje przed stolikiem Dzierzbickiego. Zamachowiec z zimną krwią, spokojnie bierze ze stolika przepasane wstążką pudełko i upuszcza na ziemię, między swoje krzesło i ich nogi.

Potworny huk rozdziera poranną ciszę. Kłęby dymu natychmiast przesłaniają front kawiarni. Gdy dym wreszcie rozsuwa się, osłupiali przechodnie widzą całkiem zdarty płócienny daszek nad ogródkiem, w środku potrzaskane sprzęty, kupę poskręcanego żelastwa. Cała Miodowa w pobliżu kawiarni zasłana jest odłamkami szkła. Wszędzie krew. I trzy trupy – zamachowca i obu szpicli – z porozrywanymi wnętrznościami. Twarz Tadeusza Dzierzbickiego ocalała, tylko lewą stronę ma czarną od ognia i sadzy wybuchu.

Na ulicy leżą zwłoki czwartego mężczyzny, przypadkowej ofiary eksplozji. Wokół rozlegają się jęki kilkunastu rannych. Jednemu z nich, carskiemu stójkowemu, wybuch oberwał obie nogi. Porażającą ciszę przerywa tętent koni i przeraźliwe skrzypienie szkła rozjeżdżanego kołami. Przed kawiarnią pędzi ciągnięty przez oszalałe ze strachu konie powóz generał-gubernatora. Blady jak płótno Maksymowicz wtula się w siedzenie.

Zegary na ratuszu, na Wieży Zygmuntowskiej zamku i nad sklepem zegarmistrza Woronieckiego, naprzeciw pałacu Potockich, stają uszkodzone siłą eksplozji i wskazują godzinę 11.55.

Bronisław Żukowski słyszy eksplozję, gdy pod oddaniu browningów wychodzi na podwórze kamienicy przy Bednarskiej. Natychmiast wbiega z powrotem, po broń, ale rozmyśla się – w tej sytuacji już Dzierzbickiemu pomóc w ucieczce nie zdąży. Wybiega na Bednarską i spostrzega, że szerokim łukiem wokół bramy czyha nań aż 14 szpicli.

Nie traci głowy. Ręce ostentacyjnie wsuwa do kieszeni i przebiera palcami, sugerując odbezpieczanie browningów. Tajniacy za wszelką cenę chcą wziąć go żywcem. Nie sięgają po broń, ale ostrożnie, na ugiętych nogach skradają się za Żukowskim, zachowując bezpieczną odległość. Idą wokół niego, za nim, jeden nawet wyprzedza bojowca. Żukowski nie ma żadnych szans. Wreszcie jeden ze szpicli przyspiesza. Na palcach skrada się za plecami „Harakiri". Już jest tuż-tuż. Nagle robi zamach swą żelazną, owiniętą czarną skórą pałką i uderza Żukowskiego w prawą rękę. Drugi ze szpicli doskakuje w sekundę później i taką samą policyjną pałką potężnie uderza bojowca w żyły pod kolanem. Żukowski wali się na bruk i traci z bólu przytomność. Paru szpicli skacze mu na klatkę piersiową, inni trzymają go za ręce i nogi. Pozostali kopią butami leżącego po głowie, twarzy, bokach, nogach. Jeden z tajniaków staje

bitemu butem na gardle. Żukowski jest pewien, że to koniec, gdy stójkowy, który właśnie nadbiegł, woła:

– Nielzja bit!

– Małczi! Tajnaja policija! – wrzeszczy jeden z bijących, ale tajniacy przestają bić.

– Nu tak cztoż, czto wy tajnaja policija, tak budieteie ubiwat ludiej pa ulicam? Nużen wam, tak ariestujtie i adstawtie w uczastok – odzywa się zmasakrowany Żukowski.

Stójkowy, obserwujący bicie zatrzymanego, wrzeszczy, żeby się zamknął, bo znów oberwie. Jeden z tajniaków wzywa dorożkę. Tajniacy każą postawić budę. Wewnątrz niej agenci trzymają „Harakiri" za rozkrzyżowane ręce, przykładają rewolwery do skroni i piersi Żukowskiego i każą jechać do więzienia na Danielewiczowską.

W więzieniu, w dyżurce, tajniacy znów rozkrzyżowują ręce Żukowskiego. Pozostali biją go, szarpią za włosy. To wygląda jak samoobsługowy bar. Który z tajniaków lub żandarmów wejdzie, podchodzi do Żukowskiego, zadaje mu kilka, kilkanaście ciosów i idzie do swoich spraw.

Po półgodzinie „Harakiri" leży nieprzytomny w wielkiej kałuży krwi.

20 maja 1960 ▪ piątek

Miami pod Rzeszowem

Józef Parol kończy obiad i wychodzi przed chałupę. Z nadzieją patrzy w niebo. Pierzaste chmurki zdążyły zgęstnieć. Powietrze zrobiło się cięższe, bardziej wilgotne. Może wreszcie popada. Parol,

jak reszta gospodarzy wioski Żulice, od paru dni serio boi się o zbiory. W południowo-wschodniej Polsce ziemia jest sucha jak pieprz. Wczoraj w *Dzienniku telewizyjnym* Wicherek zapowiedział, że ochłodzi się i popada w Warszawie i na Mazowszu, zaś na południowym wschodzie nadal słonecznie i ciepło – ok. 22 stopni. Z każdą godziną robi się bardziej parno. Teraz to się chyba nie rozejdzie po kościach. Będzie padać. Do diabła, wreszcie musi popadać.

Sekretarz Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie Franciszek Kiełbicki o pierwszej wychodzi z pracy do domu. O drugiej kończy obiad – jeszcze tylko herbata i trzeba wracać do biura. Nagle robi się ciemno jak w środku nocy. Ki diabeł? Sekretarz Kiełbicki po omacku zbliża się do ściany i przekręca kontakt. Ale żarówki żyrandola nie zapalają się. Inne lampy też nie działają. Kiełbicki podchodzi do okna. Nie rozumie nic z tego, co się dzieje za szybą. Widzi ciemność. Zaraz po południu? W mieszkaniu narasta jednostajny, niski dźwięk. Ni to szum, ni to buczenie. Kiełbicki rozpoznaje w tym szumie brzęk tłuczonych szyb. Oczy przyzwyczajają się do ciemności. Sekretarz widzi za oknem coś w rodzaju gęstej ciemnej mgły. W tej mgle przerażeni przechodnie zamierają w dziwnych pozach. Inni, przeciwnie, w panice uciekają do najbliższych bram. Ściemnia się błyskawicznie. Nieliczne samochody zatrzymują się na jezdni. Za szybą fruwają potężne konary drzew, przelatują ławice dachówek. Od czasu do czasu przeleci potężny kawał jasnego gzymsu. Rozpada się szyba, odłamki szkła fruwają po mieszkaniu.

Nieoczekiwane ciemności spowodowały gęste ołowiane chmury, które nie wiadomo skąd nagle napłynęły nad Rzeszów i zawisły złowróżbnym wałem tuż nad dachami. W chwilę potem – huragan. Wichura wieje z prędkością 35 m/s, zrywa całe połacie dachów.

Chodniki i jezdnie są zasypywane odłamkami dachówek. Już pierwsze uderzenie łamie drzewa wzdłuż ulic.

W dzielnicy Staromieście trzeszczy wieża kościelna. Po chwili bezgłośnie wali się w gruzy – wichura zagłusza huk rozsypujących się murów. Wali się wykańczany nowy budynek mieszkalny. Robotnicy wyciągają spod gruzów trzech ciężko rannych elektryków-instalatorów.

Nad Żulicami błyskawicznie robi się ciemno. Józef Parol przerażony patrzy, jak niebo szczelnie zasnuwają ołowiane chmury. Chmury nagle obniżają się, dotykają niemal kominów chałup. Co rusz ciemności rozświetlają błyskawice.

Rodzina innego gospodarza z Żulic, Siemiona Juszka, pośpiesznie ucieka z pola do domu. Nowy dom jest dumą Juszków – pobudowali się nowocześnie, z pustaków. Potworne uderzenie huraganu zamienia dom w kupę gruzów. Ginie 12-letni Zbigniew, jego dwaj bracia są ciężko ranni.

W domu Edwarda Wróbla są tylko kobiety. Gdy robi się ciemno, wszystkie razem przytulają się w kącie. Głośno się modlą. Po pierwszym straszliwym uderzeniu huraganu Stefania Wróbel wstaje i podchodzi do szafki. Chce wyjąć i zapalić gromnicę. Wtedy pękają ściany domu. Dach rozstępuje się jak otwierane przez dziecko kartonowe pudełko. Spada belka stropowa. Łamie rękę Stefanii Wróbel, rani jej córkę Danutę.

Po 20 minutach w Żulicach zapada nagle cisza, wiszący tuż nad wsią sufit czarnych chmur znika, błyska słońce. Ta cisza i jasność są równie przerażające jak wcześniejsze ciemności i nawałnica. Mieszkańcy wychodzą z domów. Wieś wygląda jak po bombardowaniu. Większość domów straszliwa siła wprasowała w grunt. Gospodarze odnajdują swoje sprzęty rolnicze nawet 200 m poza obejściami. Józef Parol nie może się nadziwić, jak osobliwie

dął huragan. Jego dom ocalał, ale ze stodoły została tylko kupa desek pokrytych resztkami papy.

Nie tylko w Żulicach objawia się dziwna wybiórczość huraganu. Potrafi on miażdżyć wszystko na swojej drodze, podczas gdy kilkanaście metrów obok rozpadających się domów i wyrywanych drzew panuje zupełny spokój. W zabytkowym parku w Łańcucie wichura kładzie pokotem dziesiątki cennych drzew, ale oszczędza zabytkowy zamek. We wsi Michałów w czasie wichury piorun uderza w stodołę. Mimo że z niskich chmur leje straszliwie, wichura rozjarza ogień. W parę minut po stodole pozostaje tylko kupka rozmytego popiołu.

W Machnowie huragan wywraca kiosk. Przerażony sprzedawca odbywa w toczonym przez wichurę kiosku podróż na skraj wsi.

W Niechobrzu i Racławówce oniemiali chłopi patrzą na potężne trąby powietrzne. Wokół zwisających z nieba ciemnych lejów wirują kawałki dachów, gałęzie, drobne sprzęty gospodarskie. W PGR Liwcze trąba powietrzna porywa z pastwiska 30 owiec. Zabite zwierzęta porozrzucane są ponad 100 m za pastwiskiem.

We wsi Gorliczyna w powiecie przeworskim wichura łamie przydrożne drzewa. Za jednym z nich szuka schronienia mieszkaniec wsi. Ginie od uderzenia złamanym jak zapałka pniem.

Huragan zaskakuje w ruchu pociąg między Dynowem i Przeworskiem. Maszynista nie przejmuje się ciemnościami i wichurą. Jedzie dalej. To błąd. Huragan przewraca ostatnich 5 wagonów. Ginie ośmioletnia dziewczynka, 20 pasażerów jest rannych.

Pod Rzeszowem wichura zrywa dach z wagonu pociągu osobowego. Struchlali pasażerowie siedzą w strugach gwałtownego deszczu. Jakimś cudem nikt nie jest poważnie poraniony.

Największych zniszczeń dokonuje huragan w miejscowości Uhlówek. Niemal 300 domów idzie w gruzy. Pod uderzeniami wichury zawalają się budynki szkoły, prezydium Gminnej Rady Narodowej i magazyn Gminnej Spółdzielni.

W Rzeszowie władze miejskie usiłują wezwać pomoc z Warszawy. Bezskutecznie. Zerwane są wszelkie połączenia telefoniczne i linie energetyczne. Karetki z trudem, powoli, krążą po ulicach zasłanych odłamkami dachówek i tynków.

Wieczorem z rzeszowskiego garnizonu wyjeżdżają pododdziały żołnierzy z wojskowymi namiotami i kuchniami polowymi. Mają jak najprędzej dotrzeć do najbardziej zniszczonych wsi, rozbić namioty, nakarmić kartoflanką i przenocować bezdomnych.

O północy w części mieszkań w Rzeszowie zapala się światło. Kolejarze i żołnierze odblokowują zatarasowane pniami tory kolejowe do Przeworska. O podniesieniu przewróconych przez huragan wagonów na razie nie ma mowy. Z Warszawy napływają do miasta oficjele partyjni i wojskowi. Nowym helikopterem przylatuje szef wojsk inżynieryjnych KBW płk Szegidewicz.

Nad ranem gotowy jest wstępny bilans strat. Zginęły 3 osoby, 77 jest rannych. Straty materialne są ogromne. W województwie lubelskim huragan zniszczył 1150 domów, w rzeszowskim niemal drugie tyle. Straty materialne są astronomiczne, zapewne sięgną 250 mln zł.

Dygnitarze KC z wściekłością dopytują się, dlaczego służby meteorologiczne nie uprzedziły o katastrofie. Naukowcy w Instytucie Meteorologii nie na żarty są przestraszeni kolejną nawałnicą, tym razem partyjnych oskarżeń. A to nie koniec złych wieści: jutro – potężne gradobicia.

21 maja 1927 ▪ sobota

Z deszczu pod dach Wuja Sama

Niewielki jednosilnikowy samolot leci zaledwie 3 m nad falami północnego Atlantyku. Jest późny wieczór – wedle czasu nowojorskiego minęła dziewiętnasta. Zaczyna się ściemniać. Widoczność nie jest najlepsza. Powoli gęstnieją rzadkie dotychczas pasma mgły. Pilot jest jednak w świetnym nastroju. Silnik pracuje bez zarzutu, a z tak niewielkiego pułapu mimo rosnącego zamglenia widać wierzchołki fal, co pozwala na kontrolowanie wysokości lotu. Utrzymanie się tuż nad powierzchnią oceanu ma dla lotnika podstawowe znaczenie. Zaraz nad powierzchnią wody i ziemi znajduje się poduszka gęstszego powietrza. Lecący bardzo nisko samolot ślizga się po niej, zużywając znacznie mniej paliwa niż na dużych wysokościach.

Nagle obok płatowca wyrasta z mgły postrzępiona, jasna ściana. Samolot szczęśliwie przelatuje obok jej podstawy, o którą rozbijają się wysokie fale. To ogromna góra lodowa. Pilot Charles Lindbergh jest ryzykantem, ale pojmuje, że dalszy lot nisko nad powierzchnią oceanu jest igraniem z losem. Następnej góry lodowej może w gęstniejącej mgle nie ominąć. Ściąga stery i jego samolot wspina się na wysokość 200 stóp, czyli 60 m.

Pierwszy raz 20-letni Charles wzniósł się w powietrze w Nebrasce przed pięciu laty. Rok później za uciułane 500 dolarów kupił pierwszy samolot. Na życie zarabiał lotami spacerowymi za 5 dolarów i pokazami akrobacji w prowincjonalnych miasteczkach. Potem ukończył szkolenia na pilota wojskowego. Jako wykwalifikowany podporucznik rezerwy lotnictwa zatrudnił się

w jednej z pierwszych linii poczty lotniczej między St. Louis a Chicago.

Nawet w tych pionierskich czasach lotnictwa, gdy piloci codziennie ryzykowali głową, młody entuzjasta latania uchodził za wyjątkowego ryzykanta. W szkole wojskowej dwa razy ratował życie, skacząc na spadochronie – w St. Louis wyskoczył z samolotu na wysokości 30 m i ocalał cudem. Jako kurier pocztowy dwa razy musiał wyskoczyć z samolotu – w obu wypadkach z powodu fatalnych warunków atmosferycznych. I w obu wypadkach, najpierw latając w kółko, zużył do końca paliwo, by rozbity samolot nie stanął w płomieniach. Za punkt honoru postawił sobie bowiem, by nigdy nie stracić przewożonej poczty.

Na pomysł samotnego, dziewiczego przelotu na trasie Nowy Jork–Paryż wpadł podczas długodystansowych lotów pocztowych. Podnietą była dlań ustanowiona w maju 1919 roku przez bogatego amerykańskiego hotelarza Raymonda Orteiga nagroda 25 tys. dolarów za przelot *non stop* z Nowego Jorku do Paryża. Większość ekspertów uważała ten pomysł za niewykonalny. Krótko przed wyprawą Amerykanina podczas próby przelotu nad Atlantykiem zginęli francuscy piloci Nungesser i Coli.

Lindbergh wybrał do swej próby prosty, niewielki jednopłatowiec firmy Ryan napędzany dziewięciocylindrowym, chłodzonym powietrzem 220-konnym silnikiem Wright Whirlwind. Producent maszyn, niewielka firma Ryan Airlines z San Diego, zgodził się w ciągu dwóch miesięcy przygotować egzemplarz specjalnie przygotowany do rekordowego lotu. Pieniądze wyłożyli nań sponsorzy z St. Louis, stąd Lindbergh nazwał maszynę „Spirit of St. Louis" (Duch St. Louis).

Całkowita masa startowa samolotu wynosiła 2155 kg. Na pokładzie w przebudowanych zbiornikach mieści się aż 2038 litrów

paliwa. Aby ograniczyć wagę i zabrać jak najwięcej benzyny, Lindbergh zrezygnował z radia i przyrządów nawigacyjnych. Za całe wyposażenie wystarczyć musiały mu mapy, kompas, dwie kanapki i dwie butelki wody.

Do transatlantyckiego lotu wystartował poprzedniego dnia o 7.54 czasu nowojorskiego z lotniska im. Roosevelta w Nowym Jorku i wziął kurs na północny wschód, w stronę Nowej Szkocji i dalej – Nowej Fundlandii.

Ok. 20.15 czasu nowojorskiego nad oceanem zapada zmrok. „Spirit of St. Louis" dawno pozostawił za sobą wschodni brzeg Nowej Fundlandii. Nad wodą gęstnieje cienka warstwa mgły. Od czasu do czasu wystają z niej niesamowicie jasne wierzchołki gór lodowych. Lindbergh zwiększa wysokość do 300 m i ślizga się po szczytach chmur burzowych. Na zamglonym niebie na szczęście dobrze widoczne są gwiazdy.

„Spirit of St. Louis" zbliża się do strefy wielkich chmur burzowych. Ich szczyty kłębią się ponad kilometr nad samolotem. Lindbergh decyduje się przelecieć przez jedną z nich. We wnętrzu chmury na skrzydłach samolotu zaczyna się osadzać marznący deszcz. Pilot zawraca i leci dookoła chmury. Od tej pory starannie omija ciemne, burzowe olbrzymy.

Wreszcie o dwudziestej drugiej czasu nowojorskiego wschodzi księżyc. Lindberghowi robi się raźniej na duszy. Wkrótce jednak pojawia się kolejny kłopot – zmęczenie. Amerykanin zjada jedną kanapkę, potem następną. Wypija cały zapas wody. Wymyśla sobie różne drobne zajęcia, byle tylko nie zmógł go sen. Na szczęście na tych szerokościach geograficznych noc nie trwa długo. Słońce wschodzi o pierwszej czasu nowojorskiego. Temperatura powietrza szybko wzrasta i ze skrzydeł znikają resztki oblodzenia. Wiatr rozpędza chmury. Zmęczony, senny Lindbergh dostrzega

w porozrywanych, postrzępionych kształtach chmur linie brzegów z pagórkami i kępami drzew. Wyglądają tak naturalnie, tak kusząco, że pilot musi sobie powtarzać: „Jestem na środku oceanu, to tylko fatamorgana".

Wreszcie późnym rankiem znika mgła. Lindbergh obniża lot tuż nad fale. Znów może zmniejszyć zużycie paliwa. Poza tym obserwując lot piany zdmuchiwanej z grzbietów oceanicznych grzywaczy, określa kierunek i siłę wiatru, a zatem i znoszenie samolotu z kursu.

„Spirit of St. Louis" jest już ponad dobę w powietrzu. Lindbergh na próżno wypatruje statków. Lecąc tuż nad falami, spotyka za to od czasu do czasu delfiny i nieliczne ptaki morskie. Późnym popołudniem dostrzega małą łódź rybacką. Parę mil od niej kołyszą się kolejne. Lindbergh, ciągle lecąc parę metrów nad powierzchnią wody, okrąża pierwszą łódź. Nikt jednak nie pojawia się na pokładzie. Samolot okrąża następną. Z kabiny wychyla się rybak. Lindbergh nie jest pewien, czy podczas nocnego lotu we mgle nie zszedł z zaplanowanego kursu, i postanawia zapytać go, jak lecieć do Irlandii. Nadlatuje tuż nad wodą, redukując obroty, wycisza silnik i 3 m nad burtą łodzi krzyczy z całych sił: „Dzień dobry! Jak lecieć do Irlandii?". Zbaraniały rybak, milcząc, wytrzeszcza oczy. Lindbergh jeszcze raz nadlatuje nad łódź, wycisza silnik i wykrzykuje pytanie o drogę. Skamieniały jak żona Lota rybak nie daje znaku życia. Amerykanin pojmuje, że z tej pogawędki nic nie będzie. Leci dalej.

Godzinę później dostrzega na horyzoncie linię wybrzeża. Jest pewien, że to południowo-zachodnia Irlandia. I rzeczywiście, gdy dolatuje nad ląd, rozpoznaje zatokę Dingle. Zmienia kurs – prosto na Paryż.

Po 2 godzinach dostrzega angielski brzeg kanału La Manche. Gdy przelatuje nad Cherbourgiem, zapada zmierzch. Z nawigacją nie ma jednak kłopotu – Francuzi zapalili światła sygnałowe wytyczające trasę lotniczą Londyn–Paryż. Krótko przed dwudziestą drugą czasu europejskiego (siedemnastą czasu nowojorskiego) Lindbergh dostrzega światła Paryża. Lecąc na wysokości 1200 m, okrąża wieżę Eiffla i kieruje się w stronę lotniska Le Bourget. Światła lotniska są świetnie widoczne, jednak pilotowi wydaje się niemożliwe, by lotnisko znajdowało się tak blisko centrum wielkiego miasta. Leci dalej na północny wschód, ale tam nie ma żadnego lądowiska.

Amerykański pilot zawraca, obniża lot i dostrzega wreszcie na Le Bourget długi ciąg hangarów.

Drogi wokół lotniska są zapchane samochodami. Pozbawiony radia Lindbergh nie ma pojęcia, że w ciągu półtorej doby od startu z Nowego Jorku z niemal nikomu nieznanego młodego, awanturniczego pilota stał się bożyszczem połowy świata. Meldunki o zaobserwowaniu „Spirit of St. Louis" w miarę postępu lotu z lokalnej ciekawostki stawały się najpilniej oczekiwanymi wiadomościami w Stanach i w Europie. Na wieść o zbliżaniu się pogromcy Atlantyku dziesiątki tysięcy paryżan późnym wieczorem zmierzają w stronę Le Bourget. Tysięczne tłumy od zmroku stoją po bokach lądowiska i czekają na Lindbergha.

Amerykanin wystrzela nad lotniskiem rakietę sygnalizacyjną, przelatuje nad murawą, zawraca i o 22.21 czasu paryskiego, po 33 godzinach i 12 minutach lotu, ląduje pod wiatr. Przeleciał dystans 5800 km między Nowym Jorkiem i Paryżem. Samolot jeszcze toczy się po murawie, gdy tłum rozrywa kordon wojska i policji. Setki Francuzów pędzą w jego stronę. Lindbergh czym prędzej wyłącza silnik, by wirujące śmigło nie zabiło któregoś z biegnących. Potem z kabiny usiłuje przemówić entuzjastom do rozsądku. Prosi, by

zawrócili kolejne fale biegnących. Nikt go jednak ani nie rozumie, ani nie słucha. „Spirit of St. Louis" aż trzeszczy pod naporem kibiców. Lindbergh decyduje się wysiąść. Otwiera kabinę. Ledwie jednak przekłada nogi przez burtę, Francuzi chwytają go za stopy, wyciągają i przy akompaniamencie okrzyków „*Vive Lindbergh!*" zaczynają podrzucać w powietrze.

Po półgodzinie podrzucania Lindbergh ledwo zipie. Tłumu jednak nikt nie jest w stanie opanować. Francuscy piloci wojskowi naprędce wymyślają więc ratunkowy fortel. Spora ich grupka miesza się z tłumem. Jeden z nich nagle wkłada skórzaną czapkę pilotkę na głowę uwijającego się w tłumie amerykańskiego korespondenta. Teraz wszyscy francuscy piloci wskazują go palcami i krzyczą: „To jest Lindbergh!". Protestacyjne okrzyki dziennikarza nikogo nie wzruszają – francuscy entuzjaści nie rozumieją angielskiego. Porzucają Lindbergha na murawę i podrzucają do góry dziennikarza.

Lotnicy i policjanci prowadzą zmaltretowanego pilota do hangaru. Stamtąd przewożą go do ambasady amerykańskiej. Jest tak zmęczony, że po krótkiej kolacji zasypia.

Tuż przed północą ambasador USA Myron Herrick wysyła telegram do mieszkającej w Detroit matki pilota, pani Evangeline L. Lindbergh: „Najgorętsze gratulacje. Pani niezrównany syn uhonorował mnie, stając się moim gościem. Jest w świetnej kondycji i śpi słodko pod dachem Wuja Sama".

„Spirit of St. Louis” Lindbergha odgradzany od tłumu po udanym przelocie przez Atlantyk

22 maja 1960 ▪ niedziela

Świat ruszył z posad

W Obserwatorium Sejsmologicznym Polskiej Akademii Nauk w Pałacu Kazimierzowskim w Warszawie nagle wariują sejsmografy. O godzinie 14.30 drobniutkie zygzaki wykresu, przypominające niemal linię prostą, zamieniają się w dzikie bohomazy. Sejsmolodzy od razu wiedzą, co się stało. Po 18 minutach podróży przez wnętrze Ziemi do Polski dotarło czoło fali sejsmicznej z Chile. Niemal identyczny wykres naukowcy widzieli wczoraj, kiedy ziemia w Chile zadrżała po raz pierwszy.

Piekło na antypodach zaczęło się bowiem poprzedniego dnia o świcie. Potężny wstrząs zdemolował niżej położone dzielnice 180-tysięcznego Concepcion, głównego miasta przemysłowego Chile. Kilkaset domów legło w gruzach, grzebiąc setki mieszkańców. Tych, którzy przeżyli, ogarnęła straszliwa panika. Większość uciekła na oślep, byle dalej od zrujnowanego miasta. Trzęsienia ziemi już czterokrotnie, w latach 1570, 1730, 1751 i 1939, obracały Concepcion i okolice w perzynę, a ofiary liczono w dziesiątkach tysięcy.

Niezwykle silne wstrząsy zakończyły się po trzech minutach. Uspokoiła się ziemia, ale nie ocean. Trzęsienie ziemi wywołało fale tsunami. Długie na kilkaset kilometrów, pędziły przez wody Oceanu Spokojnego z ogromną prędkością ok. 700 km/h. Na głębokich wodach otwartego oceanu tsunami osiągały wielkie prędkości, ale niewielką wysokość, nieprzekraczającą 2 m. Zgodnie ze swą naturą, przy brzegach, wraz ze zmniejszaniem się głębokości, tsunami znacznie zwalniały i spiętrzały się nawet do 10 m wysokości. Ściany wody zalewały przybrzeżne chilijskie wsie i miasteczka, zatapiały rybackie łodzie i kutry. Tsunami popędziły też w otwarty ocean, w kierunku Australii i Hawajów.

Dzisiaj od rana sytuację w Concepcion pogarszają gwałtowne burze. Po kilku godzinach ulewy potoki wody zalewają ulice dolnych dzielnic miasta, tych najbardziej poszkodowanych wskutek wczorajszych wstrząsów, podmywają fundamenty uszkodzonych domów, które walą się jeden po drugim.

W nocy kraj sparaliżował lęk. Chile jest jednym z najczęściej doświadczanych przez trzęsienia ziemi regionów na świecie i wszyscy tu wiedzą, że wstrząsy lubią się powtarzać. 11 minut i 20 sekund po godzinie 7.00 przychodzi najgorsze. Wstrząs ogarnia ogromne połacie środkowego i południowego Chile. Jest piekielnie silny, o wiele silniejszy niż ten wczorajszy – sięga 10 stopni w skali

Richtera. Mieszkaniec Puerto Montt Juan Castillo chce uciekać spośród budynków walących się jak domki z kart, ale ziemia drży tak mocno, że nie jest w stanie ustać na nogach. W końcu, tak jak inni przerażeni mieszkańcy, pełznie na kolanach pośród chmury pyłu wznieconej przez rozpadające się mury. Ludzie znoszą rannych do ocalałego budynku szpitala, ale lekarze natychmiast wystawiają ich na ulicę. Boją się kolejnego wstrząsu.

Puerto Montt, Osorno, dziesiątki miast i miasteczek zamieniają się w pola ruin. Najgorzej jest w mieście portowym Valdivia. Nie ocalał tam ani jeden dom, są co najmniej setki zabitych. Wieczorem wojsko na wyrost melduje o 10 tys. ofiar.

Potężny wstrząs znów wywołuje tsunami – o wiele bardziej niszczycielskie niż wczorajsze. Kilkunastometrowe ściany wody wdzierają się na chilijskie wybrzeże, miażdżą wszystko na swej drodze. Tsunami zalewa Puerto Ancud, stolicę wielkiej chilijskiej wyspy Chiloe. Pod ruinami ginie kilkadziesiąt osób. Wchodzący do portu Chiloe stateczek z 30 podróżnymi po prostu rozpada się pod uderzeniem fali. Spiętrzające się tsunami miażdży na oceanie, w pobliżu Puerto Ancud, 160 barek z poławiaczami ostryg. Wszyscy giną. W pobliżu Chiloe ogromna fala rzuca chilijski statek handlowy „Santiago" na drobnicowiec „El Camelo". Oba pochłania wraz z załogami morze.

Wstrząsy i ruchy tektoniczne skorupy ziemskiej wywołują zadziwiające efekty. Pięć minut po głównym wstrząsie w Puerto Quellon, najdalej wysuniętym na południowy zachód porcie wyspy Chiloe, morze cofa się 50 m w głąb. Na jakiś czas zatrzymuje się, po czym powoli zaczyna podnosić się. Po 7 godzinach poziom wody podnosi się aż o 22 m, by potem znów, bardzo powoli, opaść.

Wybrzeże Chile na długości kilkuset kilometrów jest zrujnowane. W ziemi powstają pęknięcia długości wielu kilometrów. Niektóre

tak głębokie, że nie sposób wysondować ich dna. Na rozległych obszarach grunt obniża się, nawet i o 3 m.

Trzęsienia ziemi demolują ponad 110 tys. km kw. kraju. W gruzach leży ponad 130 tys. budynków. Dwa tysiące mieszkańców ginie, dwa razy tyle jest rannych, a dach nad głową straciły 2 mln.

Późnym wieczorem rząd Chile ogłasza stan wyjątkowy. Zapowiada konfiskatę prywatnych samolotów, bo do rejonów dotkniętych wczorajszymi wstrząsami nie sposób dostać się drogą lądową. Concepcion jest całkowicie odcięte od świata.

Straszliwa klęska budzi prastare, zapomniane obyczaje. Na południu Chile Indianie Mapuche, chcąc przebłagać bogów, których uważają za sprawców trzęsienia ziemi i gigantycznych fal tsunami, wybierają sześcioletniego chłopca i mordują go uderzeniami pałek. Wyrywają mu serce i przy akompaniamencie modlitw o spokój w morzu i na ziemi ofiarowują je falom.

Ale wzbudzone dzisiejszym straszliwym wstrząsem tsunami, nie tracąc swej niszczycielskiej mocy, pędzą z prędkością odrzutowca przez ocean. Nad ranem docierają do Hawajów. Nie zaskakują wysp. Wcześniej uderzyły w nie słabsze tsunami wywołane pierwszym wstrząsem, zresztą mieszkańców nieustannie alarmują wyjące syreny. Mimo to gigantyczne fale wywołane drugim, największym wstrząsem powodują ogromne straty. Na wyspie Hilo woda zalewa ląd do wysokości 6 m. Ginie 61 osób. Uderzenie oceanu wyrywa 20-tonowe bloki skalne i przenosi je 180 m w głąb lądu, unosi dziesięciotonowy traktor i dwa walce drogowe z salonu wystawowego, niszczy setki domów i tysiące samochodów. Gigantyczna fala mknie dalej, ku Japonii.

Mieszkaniec miasta Castro po trzęsieniu ziemi

23 maja 1871 ▪ wtorek

Na atłasie

Budzi się przed świtem. Wie, że to jego ostatni dzień. Wie, bo sam pragnie śmierci. Gen. Jarosław Dąbrowski jeszcze przedwczoraj rano był dowódcą 1. Armii Komuny Paryskiej. Od kilku tygodni

z powodzeniem bronił zrewoltowanej stolicy Francji przed wojskami wersalskiego rządu Thiersa.

Przedwczoraj jednak wersalczycy ruszyli do ofensywy i przełamali republikańskie linie obrony. W trakcie ciężkich walk odłamek kartacza uderzył generała w pierś. Dąbrowski nie był ranny, ale kontuzja wyłączyła go z walki na wiele godzin. W nocy kolumny żołnierzy rządu wersalskiego przedarły się w głąb linii obrony Komuny. Wczoraj nad ranem Dąbrowski zrezygnował z dowodzenia 1. Armią.

Nie miał złudzeń, że wersalczycy go oszczędzą. Gdy zawiodły ich próby przekupienia generała, kilkakrotnie organizowali nań skrytobójcze zamachy. Już w połowie kwietnia, gdy wracał wieczorem z Neuilly do bramy Maillot, strzelano do niego z pistoletu.

Wczoraj rano Dąbrowski, za namową swego brata Teofila, próbował ratować życie. Napisał list do dowódcy wojsk pruskich otaczających Paryż. Informował w nim o swej ciężkiej kontuzji i prosił o przepuszczenie go z przybocznym sztabem na emigrację do Belgii. Pruski gen. Pape odmówił i na marginesie listu napisał: „Mogą wisieć!".

Jeszcze 10 lat temu wydawało się, że czeka go wspaniała kariera w carskiej armii. Urodzony w 1836 roku w szlacheckiej rodzinie na Kresach, w guberni wołyńskiej, Jarosław na życzenie swego ojca ukończył Korpus Kadetów w Petersburgu. Jako chorąży rosyjskiej armii przez cztery lata walczył z czerkieskimi powstańcami na Kaukazie. Jego oddział rozbijał oddziały Czerkiesów, palił do szczętu ich pola i mieszkalne auły. Niepomny patriotycznego wychowania przez matkę Jarosław walczył w carskim mundurze z szaleńczą odwagą, nagradzany był kolejnymi orderami, z wysokim Orderem

św. Stanisława włącznie, a chwile wolne od służby spędzał z kieliszkiem i kartami w ręku.

Awansowany za bojowe zasługi do stopnia porucznika, Dąbrowski został słuchaczem elitarnej Mikołajowskiej Akademii Sztabu Generalnego – rocznie studiowało w niej jedynie 70 najlepszych rosyjskich oficerów. Właśnie wtedy, podczas nocnych rozmów z młodymi Polakami, słuchaczami carskich uczelni wojskowych, ocknęła się w nim uśpiona przez lata wyżywania się w wojnie na Kaukazie miłość ojczyzny.

W nielegalnym, petersburskim Kole Oficerów Polaków, w którym studenci carskich uczelni wojskowych sposobili się do obalenia caratu i wyzwolenia ojczyzny, szybko stał się postacią pierwszoplanową.

Dąbrowski ukończył carską Akademię z wyróżnieniem, zaraz też awansowano go na sztabskapitana. Do Warszawy, do której dostał wojskowy przydział, przybył w lutym 1862 roku. W kieszeni miał już wtedy potajemnie opracowany w Petersburgu regulamin dla dowódców przyszłych oddziałów powstańczych. Już trzy miesiące później spiskowcy powołali go do Komitetu Miejskiego i powierzyli mu stanowisko naczelnika Warszawy. Dąbrowski szybko stał się filarem podziemnego Stronnictwa Czerwonych, zainicjował powstanie Komitetu Centralnego Narodowego. Opracował błyskotliwe plany wszczęcia powstania, ale ani on, ani nikt inny ich nie zrealizował. Aresztowano go latem 1862 roku. Dwa lata później w drodze na Sybir uciekł z transportu. Do Francji.

Tam, wyczekując wielkiej wojny europejskiej, zaprzyjaźnił się z francuskimi utopijnymi socjalistami, ideowo przesunął się bardzo na lewo i w końcu wojny się doczekał – ale sromotnie przegranej przez Francję wojny z Prusami.

Wybuch rewolucji, skrajna nieudolność jej przywódców i pierwsze klęski Gwardii Narodowej paryskiej Komuny otwarły Dąbrowskiemu drogę do republikańskiego korpusu oficerskiego. Przyznano mu stopień generała, mianowano zrazu dowódcą 11. Legii Gwardii Narodowej, potem naczelnym dowódcą armii czynnej Komuny Paryskiej. Po dwóch dniach Dąbrowskiego – wskutek intryg – odwołano. Ostatecznie, aż do przedwczoraj, dowodził 1. Armią Komuny Paryskiej.

Dąbrowski czuje się źle, z trudem wstaje z łóżka. O świcie zjawia się w kwaterze jego przyjaciel, szef komisji wojny Komuny Paryskiej Charles Delescluze. Prosi, by mimo wszystko generał podjął się – teraz już beznadziejnej – obrony Montmartre'u przed nieuchronnym szturmem wersalczyków. I generał z pomocą swego brata Teofila obronę organizuje. Zbiera pod swymi rozkazami dwie kompanie wolnych strzelców i kompanię marynarzy, którzy od dobrych kilku dni, pod rozkazami Włodzimierza Rożałowskiego, jednego z adiutantów gen. Dąbrowskiego, twardo bili się z oddziałami rządowymi w wiosce Issy.

Generał zamierza obsadzić nimi barykady, na których brakuje już obrońców. Rychło jednak obrona rozsypuje się bez strzału – Teofila Dąbrowskiego z wolnymi strzelcami zwierzchnicy zabierają na jeszcze bardziej zagrożone odcinki.

Pod rozkazami Dąbrowskiego zostaje już tylko kompania marynarzy. Generał nie kryje, że o skutecznej obronie Montmartre'u nie ma mowy – chce już tylko zginąć w walce. Zbiera marynarzy do wymarszu na bulwar Ornano. Pozdrawiają go kobiety broniące barykady na ul. Delta. Do jednej z nich, Luizy Michel, przygnębiony generał mówi: „To koniec!". „Nie, nie" – protestuje Michel. Dąbrowski mocno ściska jej dłonie.

W końcu generał dosiada konia i w towarzystwie członka Rady Komuny proudhonisty Auguste'a Vermorela, także zmierzającego na front konno, oraz kilku polskich kawalerzystów, wśród których jest jego adiutant por. Edward Borniewski, rusza na bulwar Ornano. Komunardzi wznieśli tam kilka barykad, o które ostatnio toczono ciężkie walki. Jedną z nich, u zbiegu ul. Myrrha i Poissonnieres, właśnie zdobyli żołnierze rządowi.

Generał jest spokojny, zdaje się obojętny na przeciwności losu. O pierwszej po południu wydaje rozkaz odbicia barykady na Myrrha. Konno prowadzi marynarzy do ataku. Pojedynczy jeździec na ulicy to doskonały cel dla wersalskich strzelców. Por. Borniewski prosi generała, by zsiadł z wierzchowca. Na próżno.

Niemal natychmiast Dąbrowski pada trafiony. Brzuch rozszarpany karabinowym pociskiem bardzo krwawi. Czterech komunardów niesie rannego na noszach do pobliskiej apteki panów Bertrand i Batailly przy Myrrha 69. Pobieżnie opatrzony, bardzo cierpi. Wie, że umiera.

Na widok strzelców śpieszących do szturmu barykady na Ornano generał z trudem unosi się. Ściska ochotnikom ręce i prosi ich: „Nie chodźcie tam. Wszystko stracone. Zginiecie na próżno. Ja umieram, moje życie nie ma znaczenia. Myślcie tylko o ratowaniu republiki".

Komunardzi odnoszą Dąbrowskiego do dużego Szpitala Lariboisière.

Młody polski lekarz Henryk Gierszyński, pracujący w Lariboisière jako asystent ekstern, opatruje właśnie rannego komunarda, gdy szpitalny aptekarz zawiadamia go, że pół godziny temu przyniesiono jakiegoś ciężko rannego Polaka. „Nic z niego nie będzie, kula karabinowa przeszła mu na wylot w okolicy żołądka" – stwierdza aptekarz.

Gierszyński przystępuje do łóżka rannego i rozpoznaje w nim gen. Dąbrowskiego. Ranny ma zamknięte oczy, oddycha ciężko. Twarz ma wychudłą, wymizerowaną. Gierszyński bada puls – jest słaby, nieregularny; zwiastuje rychły koniec. Lekarz nachyla się, woła: „Panie Dąbrowski!".

Generał otwiera oczy, przytomnieje. Ogromnym wysiłkiem unosi ręce, chwyta Gierszyńskiego za głowę, przyciąga ją i całuje. I w tym momencie opada na materac. Gierszyński doskonale rozumie, że ten pocałunek, choć na jego ustach złożony, nie dla niego był – Dąbrowski żegnał się z Polakami, z Polską. Lekarz porzuca innych rannych i nieustannie czuwa przy posłaniu generała. Po godzinie Dąbrowski umiera.

Na wieść o śmierci byłego naczelnego wodza, który żołnierzom imponował niesamowitą odwagą, po jego ciało przychodzą francuscy oficerowie Komuny. Okrywają ciało Dąbrowskiego czerwonym sztandarem, niosą je do paryskiego ratusza. Załogi mijanych barykad stają na baczność, prezentują broń.

W ratuszu oficerowie składają ciało generała w pokoju Walentyny Haussmann, na łożu pokrytym błękitnym atłasem. Dwurzędowy mundur zapięty jest pod szyją zmarłego. Twarz oświetla duża świeca. Dwaj adiutanci pełnią wartę honorową, siedząc w kątach saloniku. Trzeci nerwowo szkicuje pośmiertny portret Dąbrowskiego. Setki żołnierzy Komuny przechodzą, oddając cześć.

Po zmierzchu ciało wodza w okrytej czerwonym sztandarem dębowej trumnie, na której Teofil Dąbrowski umieścił nazwisko i imię poległego brata w polskiej transkrypcji, żołnierze niosą na cmentarz Père-Lachaise. Na pl. Bastylii załogi licznych tamtejszych barykad zatrzymują kondukt. Składają ciało u stóp Kolumny Lipcowej. Biją werble. Obrońcy placu po ciemku, z płonącymi

pochodniami w ręku, po kolei podchodzą do martwego generała i całują go w czoło.

24 maja 1977 ▪ wtorek

Przyzwoicie, o wodzie

Choć to koniec maja, jest dość chłodno. Dochodzi dwudziesta. Do kościoła św. Marcina Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża na warszawskiej Starówce nieśpiesznie schodzą się nieliczni wierni. W kościelnych ławach siedzi ok. 30 modlących się. O ósmej zacznie się spotkanie modlitewne Ruchu Odnowy w Duchu Świętym. Spotkania takie prowadzi od kilku miesięcy, w każdy wtorek, między 20.00 a 22.00, rektor kościoła św. Marcina, a zarazem kapelan warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, ks. Bronisław Dembowski. Jest cicho, trochę sennie. Tylko kilkoro siedzących pojedynczo ludzi ukradkiem lustruje wnętrze kościoła.

O 19.50 do ks. Dembowskiego podchodzi wybitny działacz warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej Bohdan Cywiński. Informuje księdza, że dziś w kościele sześć osób rozpocznie głodówkę protestacyjną. Oświadczenie, dlaczego protestują, głodujący prześlą niezwłocznie do Rady Państwa.

Protest w postaci manifestacyjnej głodówki wymyśliła przed dwoma miesiącami współpracująca z Komitetem Obrony Robotników Bogusława Blajfer-Seweryn. Uznała, że dotychczasowe formy presji opozycji na władze – m.in. pisanie listów otwartych czy urządzanie konferencji prasowych dla zachodnich korespondentów – przestały być skuteczne. Pięciu robotników skazanych za udział w zamieszkach w Ursusie i Radomiu w czerwcu

zeszłego roku ciągle pozostawało w więzieniu. Władze ignorowały apele i protesty.

Działacze i sympatycy opozycji wahali się jednak. Uważali, że sprawdzonymi metodami nacisku na władze można jeszcze wiele osiągnąć.

Ale w maju sytuacja się zmieniła. Po zamordowaniu przez tzw. nieznanych sprawców krakowskiego studenta Stanisława Pyjasa opozycja zorganizowała marsz protestacyjny. Władze odpowiedziały aresztowaniami. Za kratki trafiło 10 osób, w tym Jacek Kuroń, Adam Michnik, Jan Lityński, Seweryn Blumsztajn, Antoni Macierewicz. W poczuciu beznadziei i bezradności pomysł głodówki wrócił z nową mocą. Bogusława Blajfer-Seweryn przekonała do niego Bohdana Cywińskiego. Oprócz nich na głodówkę zdecydowali się: Barbara Toruńczyk, Henryk Wujec, dominikanin Aleksander Hauke-Ligowski, student matematyki Jerzy Geresz oraz Danuta i Lucyna Chomickie, żona i siostra Czesława Chomickiego, jednego z przebywających w więzieniu robotników z Radomia.

Zatem głodować, ale gdzie? Dla wszystkich było jasne, że tylko w kościele mogą być w miarę bezpieczni, choć SB w tak wyjątkowej sytuacji może wtargnąć nawet do wnętrza świątyni. A skoro w kościele, to w św. Marcinie. Ksiądz rektor Dembowski jest nie tylko kapelanem, ale i życzliwym sympatykiem niepokornych inteligentów – i tych z KIK-u, i tych z KOR-u.

Misję uprzedzenia księdza o głodówce wziął na siebie Bohdan Cywiński. Wymagała ona niemałych talentów dyplomatycznych. Zapytanie wprost, czy wolno w kościele głodować, skończyć się musiało odpowiedzią księdza, że nie wolno. Kościół nie jest wszak miejscem przeznaczonym na takie protesty. Trzeba było księdza poinformować o decyzji rozpoczęcia głodówki w taki sposób, by

gospodarza świątyni nie urazić, a jednocześnie dać mu możliwość wyrażenia zgody nie wprost, niejako pod przymusem okoliczności. Bohdan Cywiński z misji tej wywiązał się znakomicie.

Ks. Dembowski zresztą wcale nie był zaskoczony. Na początku maja przyszedł do niego wyższy oficer SB, który przedstawił się jako Karczewski. Nie był księdzu całkiem obcy – przed dwoma laty załatwiał sprawę jego paszportu. Karczewski przestrzegł księdza, że jacyś ludzie przygotowują głodówkę w jego kościele. Mimo konspiracji Służba Bezpieczeństwa od co najmniej trzech tygodni wiedziała o planach ósemki protestujących.

Podobnie jak księdza rektora, Bohdan Cywiński poinformował o planach głodówki najwyższe czynniki kościelne.

Na termin rozpoczęcia protestu konspiratorzy wybrali wtorkowe spotkanie Ruchu Odnowy w Duchu Świętym, bo dzięki niemu można było późnym wieczorem wejść niezauważonym do kościoła. Zasady głodowania ustalono zawczasu. Ostre. Żadnych soków, bo zawierają cukier, tylko woda. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje z organizmami głodujących. Ktoś tylko kiedyś czytał o głodówce Mahatmy Gandhiego, pamiętał, że hinduski myśliciel i polityk miał podczas niej dramatyczne momenty, ale przeżył. Przygotowująca się do protestu ósemka założyła przytomnie, że głodówka ma trwać tydzień – ani godziny krócej, ani godziny dłużej. Na wyczucie uznano, że przez tydzień nic złego nikomu się nie stanie. Ale co ważniejsze, w ten sposób uniknięto pułapki głodowania aż do spełnienia swych żądań, co w przypadku twardej władzy i zdeterminowanych głodujących niesie ryzyko śmierci.

Pozostało jeszcze tylko załatwić formalności. Henryk Wujec, szef laboratorium badania niezawodności w fabryce półprzewodników TEWA, parę dni przed zjawieniem się u św. Marcina dostał wymówienie. Dyrekcja otrzymała takie polecenie od SB. Ale Wujec,

człowiek praktyczny, twardo stąpający po ziemi, nie miał zamiaru dać się wyrzucić z pracy dyscyplinarnie. W czasie wypowiedzenia wziął w TEWIE, całkiem legalnie, dziesięciodniowy urlop wypoczynkowy. A że spędzi go na głodowaniu, i to w kościele – to już jego prywatna sprawa, nie kadrowego TEWY.

Dominikanin o. Hauke-Ligowski, by uniknąć nacisków SB na władze swego zakonu, formalnie zwolnił się na tydzień z klasztoru.

O. Michał, prowincjał dominikanów, na ewentualne zarzuty esbeków w sprawie jego głodówki ma już na podorędziu trudny do odparcia argument: ścisły post dla osoby duchownej nie jest zakazany, przeciwnie nawet. A zresztą o. Hauke-Ligowski jest spokrewniony z rodziną Battenberg-Mountbatten, a więc z królem Szwecji i z brytyjskim księciem małżonkiem królowej Elżbiety i represje SB mogą skończyć się skandalem dyplomatycznym.

Służba Bezpieczeństwa wie, że głodówka będzie u św. Marcina, ale najwyraźniej nie ma pojęcia, że to już dziś wieczorem. Nie wyłapuje konspiratorów na ulicy, nie blokuje dostępu do kościoła. W środku jest szóstka protestujących; Panie Chomickie dojadą jutro rano. I to już wszyscy. Nikt z obecnych nie przypuszcza nawet, że gdy tylko wieść się rozniesie, w kościele stawi się kolejnych 6 osób.

Ks. Dembowski z kamienną twarzą wysłuchuje oświadczenia Bohdana Cywińskiego. Odpowiada, że wolałby widzieć głodówkę gdzie indziej, jednak uznaje ogólnoludzkie prawo do manifestowania swojej opinii. To trochę teatr dla zachowania pozorów, bo przecież ks. rektor jest uprzedzony i już – nie wprost, co prawda – zgodę wyraził. Ale wyraźne zaambarasowanie księdza nie jest udawane. Nikt nie wie przecież, do jakich prowokacji i represji wobec kościoła św. Marcina może posunąć się SB.

Ksiądz podchodzi do ołtarza.

Pod koniec spotkania wierni skupiają się w nawie bocznej. Dołączają do nich konspiratorzy. Ksiądz kończy dziś modlitwy wcześniej niż zwykle. Za kwadrans dziesiąta w nawie zostaje już tylko szóstka protestujących. Bohdan Cywiński po raz wtóry oświadcza, że rozpoczynają głodówkę. Dodaje, że głodujący poproszą Tadeusza Mazowieckiego, by zechciał być ich mężem zaufania i za jego pośrednictwem przekażą oświadczenie do Rady Państwa, do episkopatu, do Komitetu Obrony Robotników i do opinii publicznej.

Ksiądz znów odpowiada, że wolałby, żeby w kościele nie głodowano, ale uznaje ogólnoludzkie prawo do wyrażania opinii. Z troską patrzy na chcących głodować. Noc ma być zimna. Siostry franciszkanki donoszą ciepłe koce.

Rozpoczynający głodówkę w znakomitych humorach rozkładają posłania w narożnej kaplicy. Ksiądz Dembowski przygląda się temu krytycznie i zarządza, by kobiety spały w jednej zakrystii, a mężczyźni w drugiej. Głodować można nawet w kościele – ale przyzwoicie.

Uczestnicy głodówki pod kościołem św. Marcina w Warszawie

25 maja 1913 ▪ niedziela

Wolno panu poprosić o broń

O północy kilku oficerów cesarsko-królewskiej armii dzwoni do drzwi hotelu Klomser w Wiedniu. Portier jest służbistą – w nocy nieznajomych do hotelu nie wpuszcza się. Ale oficerowie brutalnie dają mu do zrozumienia, że ich takie zakazy nie dotyczą. Po chwili pukają do drzwi luksusowego apartamentu nr 1.

W saloniku apartamentu siedzi postawny mężczyzna w mundurze pułkownika. Na widok wchodzących mężczyzna wstaje i oświadcza,

że właśnie pisze listy pożegnalne. To płk Alfred Redl, zdrajca.

49-letni syn austriackiego zawiadowcy stacji zrobił w cesarsko-królewskiej armii oszałamiającą karierę.

W wieku 14 lat wstąpił do szkoły kadetów. Mimo niskiego pochodzenia awansował bardzo szybko. Przełożeni cenili go za wybitne zdolności językowe i talenty organizacyjne. W 1900 roku Redl otrzymał przydział do Biura Ewidencyjnego Cesarskiego i Królewskiego Sztabu Generalnego, gdzie został szefem austro-węgierskiego wywiadu i kontrwywiadu. W nowej roli obiecujący oficer szybko odniósł liczące się sukcesy. Głośne było zwłaszcza zdemaskowanie i skazanie kilku rosyjskich agentów. Po paru latach służby w Biurze Ewidencyjnym mjr Redl cieszył się sławą skutecznego łowcy szpiegów.

Wtedy zapolował na niego wywiad carski. Rosyjski agent Pratt, Niemiec bałtycki, przez dłuższy czas obserwował w Wiedniu mjr. Redla i odkrył, że jest on czynnym homoseksualistą. Ujawnienie tego faktu skończyłoby się natychmiastowym wyrzuceniem z armii i ostracyzmem towarzyskim w cywilu. Redl ugiął się przed szantażem carskiego wywiadu. Dostarczył Rosjanom plany wielkiej Twierdzy Przemyśl. W zamian zażądał nie tylko pieniędzy, ale i poświęcenia przez Petersburg jednego ze swych działających w Austro-Węgrzech szpiegów. Rosjanie zgodzili się. Wysłali mniej ważnego agenta z fikcyjną misją do Krakowa. Redl aresztował zdradzonego przez swych rosyjskich mocodawców szpiega. Tym samym nie tylko zamaskował skutecznie własną zdradę, ale i zasłużył na kolejne pochwały swoich przełożonych.

Rosjanie żądali od niego coraz więcej i coraz więcej dostawali. Po planach przemyskiej twierdzy Redl przekazał im plany mobilizacyjne korpusów 10. i 11., które podczas wojny miały uderzyć na armie carskie. Potem zdradził plany mobilizacyjne całej

armii, szyfry wojskowe, nazwiska austriackich agentów w Rosji (kilku z nich przypłaciło zdradę swego szefa życiem) i w końcu tajemnicę, którą znało w całości zaledwie kilka osób w monarchii – plany ataku na Rosję i Serbię na wypadek wojny. Redl konsekwentnie trzymał się swej taktyki. W zamian Rosjanie musieli wydawać mu kolejnych agentów swego wywiadu i płacili coraz większe honoraria. Dzięki pochwyceniu kolejnych rosyjskich szpiegów Redl awansował na zastępcę szefa Biura Ewidencyjnego, dostał medal i awans na pułkownika. Przed dwoma laty płk Redl przeszedł do wojsk liniowych, do dowództwa korpusu w Pradze.

W armii jest tajemnicą poliszynela, że staż w Pradze poprzedza pewny awans generalski Redla.

Wielkie sumy otrzymywane od Rosjan Redl wydawał na kochanków w mundurach. Sam też tonął w luksusie. Służbowe mieszkanie zamienił w wybity kolorowymi jedwabiami i pluszami buduar, drogą limuzynę polecił obić jedwabiem.

Pułkownik wpadł dzięki podejrzliwości młodego urzędnika wiedeńskiej Poczty Głównej. Nie spodobały mu się dwie koperty zdeponowane na *poste restante*. Opatrzono je napisami „Opera Ball 13" (Trzynasty Bal w Operze) i dziwnym nazwiskiem odbiorcy – Nikon Nizetas. Od innych kopert wyróżniały się grubością i nietypowym brązowym kolorem. Policja znalazła w nich ogromną sumę 12 tys. koron. Zapachniało aferą szpiegowską. Dwaj agenci policyjni przez wiele dni pełnili dyżur na zapleczu poczty gotowi aresztować odbiorę kopert, gdy tylko odezwie się tajny alarmowy dzwonek, który włączyć miał urzędnik wydający listy.

Poprzedniego dnia po południu, tuż przed zamknięciem poczty, dzwonek odezwał się. Agenci natychmiast wpadli do sali, ale tajemniczy odbiorca był szybszy – wskoczył do taksówki i odjechał. Agenci zanotowali jednak jej boczny numer – A 108. W końcu udało

się im zatrzymać tę taksówkę. Szofer poinformował wywiadowców, że wiezionego od poczty pasażera wysadził przed luksusowym hotelem Klomser. Na tylnym siedzeniu policjanci znaleźli luksusowe popielate etui od scyzoryka.

W hotelu wywiadowcy stwierdzili z zakłopotaniem, że goście to śmietanka towarzyska Wiednia. Gdy dowiedzieli się, że mieszka tu także płk Redl, zamierzali poinformować go, że w tym samym hotelu zapewne zatrzymał się jakiś szpieg. Właśnie deliberowali, co robić, gdy do portierni podszedł sam płk Redl i oddał klucz od apartamentu nr 1. Portier zapytał go, czy nie wie, do kogo należy popielate etui na scyzoryk, które wcześniej pokazali mu agenci policji. Redl uśmiechnął się – zguba odnalazła się. Chwilę później spostrzegł cywilnych wywiadowców. Lata napięcia nerwowego zrobiły swoje. Redl próbował uciekać, klucząc po mieście, darł i rozrzucał kompromitujące go papiery. Ale z policyjnej sieci już się nie wyrwał.

Jego los był przesądzony. Szef sztabu c.k. armii gen. baron Franz Conrad von Hötzendorf błyskawicznie podjął decyzję: grupa zaufanych oficerów ma przesłuchać Redla w hotelu, a następnie zastrzelić go i upozorować samobójstwo. Celem jest nie tylko uniknięcie gigantycznej kompromitacji, mogącej zachwiać monarchią, ale i zachowanie w tajemnicy przed Rosją zmiany austro-węgierskich planów operacyjnych.

W apartamencie nr 1 hotelu Klomser oficerowie bez specjalnych ceregieli rozsiadają się w saloniku i rozpoczynają przesłuchanie. Prowadzi je w istocie kapitan kontrwywiadu Maximilian Ronge. Zastępca szefa sztabu generalnego gen. mjr Hoefer, szef wojskowej służby wywiadowczej płk von Urbanski i mjr Wenzel Vorlicek, audytor sądu wojskowego, przysłuchują się rozmowie.

Redl wyjaśnia, że działał sam, bez wspólników. Wykręca się od szczegółowej odpowiedzi na pytanie, jakie tajemnice wojskowe przekazał Rosjanom. Nie wypiera się jednak, że były to najcenniejsze skarby cesarsko-królewskiej armii i monarchii austro-węgierskiej: plany mobilizacyjne i plany działań wojennych przeciw Rosji i Serbii. Członkowie nieformalnej komisji śledczej są tak wstrząśnięci, że zadowalają się stwierdzeniem Redla, iż szczegółowe informacje o rozmiarach zdrady znajdują się w jego mieszkaniu służbowym w Pradze, w gmachu tamtejszego dowództwa korpusu.

Teraz najtrudniejsza część misji wysłanników barona Conrada von Hoetzendorfa – zabicie Redla i sfingowanie jego samobójstwa. Gen. mjr Hoefer i płk von Urbanski wybierają jednak bardzie eleganckie rozwiązanie:

– Czy ma pan broń palną, panie Redl?

Ku ich zaskoczeniu płk Redl zaprzecza.

– Wolno panu prosić o broń, panie Redl.

– Proszę posłusznie o rewolwer – jąka się Redl.

Gdyby odmówił, kpt. Ronge musiałby go zastrzelić. W tej sytuacji jednak kapitan wręcza mu browninga małego kalibru.

Oficerowie opuszczają apartament. Dwóch z nich zostaje w antyszambrze apartamentu, dwaj wychodzą przed hotel. Redl zostaje sam. Kończy listy do swego starszego brata i do swego aktualnego przełożonego, dowódcy korpusu praskiego gen. barona Giesl von Gieslingen. Oba zakleja w kopertach. W końcu na kartce papieru pisze: „Brak rozwagi i namiętności zniszczyły mnie. Módlcie się za mnie. Własnym życiem płacę za swoje grzechy".

Mija jeden kwadrans, drugi. Dwaj oficerowie, którzy pozostali w przedpokoju, by pilnować Redla, boją się, że ktoś z hotelowej

służby zdemaskuje ich obecność, i wychodzą na ulicę. Teraz czterech oficerów pilnuje hotelu i nasłuchuje wystrzału.

Płk Redl dopisuje *post scriptum*: „Jest za kwadrans druga. Teraz umrę. Proszę, by nie dokonywano obdukcji moich zwłok. Módlcie się za mnie".

Redl staje przed lustrem i strzela sobie w usta. Pocisk przechodzi przez mózg i utyka w kości ciemieniowej. Pułkownik martwy pada na dywan.

Cichy odgłos wystrzału ani nie alarmuje hotelowej służby, ani nie dochodzi do czekających na rogu Herrngasse i Bankgasse oficerów.

Świta. Oficerowie tracą cierpliwość. Nie powinni po raz wtóry pojawiać się w hotelu, wzywają więc policyjnego detektywa i wysyłają go do apartamentu nr 1. Po chwili agent melduje, że płk Redl leży martwy obok kanapy. Oficerowie oddalają się. Ponieważ ich plan przewiduje znalezienie zwłok Redla przed upływem nocy, kpt. Ronge telefonuje do hotelu, przedstawia się zmyślonym nazwiskiem i prosi do telefonu płk. Redla.

Parę minut później szefostwo hotelu alarmuje policję. Wczesnym rankiem naczelny komisarz policji dr Tauss i lekarz okręgowy dr Schild stwierdzają samobójstwo.

26 maja 1828 ▪ poniedziałek

Obcy

Choć to już czwarta po południu, ulice Norymbergi są puste i ciche. Dziś jest drugi dzień święta Zesłania Ducha Świętego, a w święta te kto żyw tradycyjnie wyjeżdża na wieś albo chociaż na podmiejską

majówkę. Szewc Weissmann, niestety, musiał zostać w mieście. Ale dlaczego nie zrobić sobie choć spaceru? Weissmann, który przez cały dzień obijał się przed swoim domkiem przy pl. Unschlitt, nieopodal tzw. Małej Bramy Hallera, rusza w stronę miejskiej Nowej Bramy. Po drodze spostrzega małego chłopca ubranego z wiejska, w okrągłym kapeluszu i szarej kurtce. Chłopiec zachowuje się jak pijany. Usiłuje iść, ale kroki w butach na obcasie stawia z najwyższym trudem, jakby ziemia parzyła go. Najwyraźniej nie potrafi zachować równowagi i szeroko rozpostartymi ramionami usiłuje złapać balans – tak jak czynią to linoskoczkowie idący po linie.

Weissmann podchodzi do dziwnego chłopca i stwierdza, że nigdy go nie widział. Zagaduje go, a w odpowiedzi nieznajomy wręcza mu trzymany cały czas w ręce list.

Na złożonej kartce jest adres: „Do Szlachetnie urodzonego kapitana 4. szwadronu 6. Regimentu Lekkiej Kawalerii w Norymberdze".

Wiessmann prowadzi chłopca do miejskiego strażnika, który urzęduje nieopodal. Strażnik drapie się po głowie i już ma rozwiązanie zagadki: 4. szwadronem dowodzi kpt. von Wessenig i na pewno list adresowany jest do niego. Szczęśliwym trafem von Wessenig ma dom nieopodal, koło Nowej Bramy. Szewc i strażnik prowadzą chłopca do domu von Wesseniga. Dla nieznajomego to droga przez mękę: stawia nieporadnie stopy na bruku, zatacza się, jęczy z bólu. Wygląda to tak, jakby miał bardzo chore stopy lub w ogóle nie potrafił chodzić.

Strażnik dzwoni do drzwi domu kapitana. Otwiera służący. I nagle chłopiec po raz pierwszy odzywa się w zrozumiały sposób: „Chcę być taki, jaki był mój ojciec". Na wszystkie inne pytania

kapitańskiego sługi i strażnika odpowiada tylko: „Nie wiem". Wymowę ma niechlujną, wiejską.

Von Wesseniga nie ma w domu, będzie za godzinę, może dwie. Chłopiec wygląda na skrajnie wyczerpanego, głodnego i spragnionego. Służący kapitana daje mu kawałek mięsa. Gdy jednak nieznajomy przytyka do mięsa usta, nagle zaczyna się trząść jak w gorączce, a jego twarz wykrzywia grymas nieprzepartego obrzydzenia. Wypluwa mięso czym prędzej. Zdziwiony służący daje mu do popicia szklankę piwa. I znów to samo: po wypiciu malutkiego łyczka chłopiec wypluwa piwo z obrzydzeniem.

No to może chleb? Kęs ciemnego chleba dziwny przybysz pochłania z widoczną przyjemnością. A do popicia woda? Tak, czystą wodę pije łapczywie, z rozkoszą.

Służący, domownicy i strażnik miejski próbują dowiedzieć się czegokolwiek od chłopca. Ale on zachowuje się, jakby niczego nie rozumiał. Na pytania odpowiada piskliwym płaczem, chrząkaniem, chrumkaniem, przywodzącym odgłosy wydawane przez trzodę, a w ostateczności ciągle tym samym zdaniem: „Chcę być taki, jaki był mój ojciec" lub „Chcę być jeźdźcem, jak mój ojciec".

Domownicy w końcu biorą przybysza za jakiegoś dzikusa i polecają służącemu zaprowadzić go do stajni. Tam ma czekać, aż przybędzie kapitan.

W stajni nieznajomy rozjaśnia się na widok siana. Natychmiast kładzie się na pierwszej lepszej wiązce i zasypia kamiennym snem.

Kapitan wraca po dwóch godzinach. Jego dzieci na wyprzódki opowiadają mu o dziwnym, dzikim człowieku w stajni. Kapitan nawet nie siada do stołu, lecz idzie obejrzeć dziwoląga. A ten śpi. Służący potrząsa nim. Bez rezultatu. Daje mu parę kuksańców, szarpie za uszy. Nic. Kapitan i sługa stawiają śpiącego na nogi. Dalej

śpi. Puszczają go. Wali się jak kłoda na siano i śpi. Sprawia wręcz wrażenie trupa, tylko że ciepłego. No i ledwo, ledwo oddycha.

Wreszcie chłopiec otwiera oczy. Na widok kolorowego, błyszczącego munduru kapitana von Wesseniga zrywa się na równe nogi. Dotyka uniformu z podziwem, śmieje się i znów mówi, że chce być jeźdźcem, jak jego ojciec.

Strażnik podaje kapitanowi list, który chłopiec trzymał w ręku.

Von Wessenig rozkłada kartkę i czyta list napisany po niemiecku, tradycyjnym krojem liter, tzw. szwabachą:

„Od człowieka z Bawarii. Miejsce nieznane. 1828.

Do Wysoko i Szlachetnie urodzonego kapitana kawalerii!

Wysyłam Panu chłopca, który chciałby wiernie służyć swojemu królowi, o co uprasza. Chłopiec ten został mi przekazany 7 października 1812 roku, a ja sam będąc biednym robotnikiem dniówkowym posiadam dziesięcioro dzieci i sam mam już czym się zajmować, a jego matka zostawiła chłopaka po to, żeby był wychowywany, ale ja nie byłem w stanie znaleźć jego matki i również nie powiedziałem nic Sądowi Prowincjonalnemu że ten chłopiec został mi przekazany. Pomyślałem sobie, że muszę go wziąć jako mojego syna, wychowałem go na chrześcijanina i od 1812 roku nie pozwalałem mu w ogóle wychodzić z domu, po to by nikt nie znał miejsca w którym został wychowany, i on sam nie wie, jaką nazwę nosi mój dom ani nie zna nazwy miejsca, więc możecie go pytać ile chcecie, ale on nie może wam nic odpowiedzieć, czytania i pisania już go nauczyłem, może pisać moim pismem, jak ja piszę, a kiedy pytamy go kim chce zostać, mówi że chce być szwoleżerem, jak jego ojciec, gdyby miał rodziców, których nie miał, byłby wykształconym chłopcem. Wystarczy, że pokażecie mu coś raz i będzie umiał to zrobić.

Ja tylko pokazałem mu drogę do Neumark, a stamtąd on musiał iść do was samodzielnie powiedziałem mu że kiedy będzie żołnierzem przyjdę i zabiorę go do domu, w przeciwnym razie będzie w tarapatach.

Szlachetny Kapitanie: nie powinien go Pan mordować pytaniami: on nie wie gdzie ja jestem, zabrałem go stamtąd w środku nocy on nie wie jak dotrzeć do domu. Ja prawdziwie wam oddany człowiek nie chcę aby moje nazwisko było wam znane, ponieważ mógłbym być ukarany.

On nie ma przy sobie złamanego centa, ponieważ ja sam nic nie mam, więc jeśli nie możecie go zatrzymać, będziecie go musieli zarżnąć lub powiesić w kominie".

List napisano fatalną niemczyzną, z chłopskimi naleciałościami, bez znaków przestankowych.

No, dobre sobie. Domownicy i strażnik zdumieni przyglądają się to chłopcu, to znów kapitanowi. Von Wessenig czuje, że oczekują od niego wyjaśnień. Wzrusza ramionami i stwierdza, że nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, a chłopca widzi pierwszy raz w życiu.

Sługa przeszukuje kieszenie kurtki chłopca. Znajduje jeszcze jeden list, także pisany po niemiecku, ale alfabetem łacińskim, na starym papierze:

„Dziecko jest już ochrzczone nazywa się Kasper będziecie musieli sami dać mu nazwisko to dziecko będziecie musieli wychować jego ojciec był szwoleżerem kiedy będzie miał siedemnaście lat wyślijcie go do Norymbergi do Szóstego Regimentu Szwoleżerów tam był też jego ojciec proszę abyście wychowali go do siedemnastego roku życia urodził się on 13 kwietnia w roku 1812 jestem biedną małą dziewczyną nie mogę chłopca wykarmić jego ojciec nie żyje".

Podpisu pod tym liścikiem, także pozbawionym znaków przestankowych, za to z pospolitymi błędami, nie ma.

Von Wessenig poleca wezwać policjanta. Funkcjonariusz zabiera nieznajomego do siedziby miejskiej policji. I znów chodzenie sprawia chłopcu niewymowne cierpienia. Kilku policjantów zabiera się z miejsca do roboty. Pytają nieznajomego, kim jest, jak się nazywa, skąd pochodzi, jakiego jest stanu. Typowa policyjna indagacja. A on ma tylko jedną odpowiedź: „Chcę być taki, jaki był mój ojciec".

No dobrze, czasu jest dosyć. Policjanci zabierają się do niespiesznego oglądu odzieży chłopca. Pierwsze odkrycie: okrągły sukienny, wiejski z wyglądu kapelusz od wewnątrz wyścielany jest nietanim żółtym jedwabiem. Hmm....

Z półbutów na wysokim obcasie, dość zgrabnych, wystają bose stopy chłopca. Policjanci zdejmują buty i ze zdumieniem stwierdzają, że ktoś podbił je gwoździami używanymi do podkuwania koni. No, no....

Szara kurtka ma chłopski krój. Nieuważni policjanci przeoczają, że została uszyta z eleganckiego niegdyś dworskiego fraka, od którego tyłu obcięto tzw. jaskółki. Ktoś niezdarnie, ordynarnie wręcz zszył górę, zwężając oryginalny frak na miarę dziecka.

Prosta koszula z surowego lnu niczym nie różni się od chłopskich koszul z tych terenów, ale już bardzo stary, sprany płócienny podkoszulek w czerwone grochy na pewno nie pochodzi z wiejskiej chałupy.

No i spodnie. Szare, wzmocnione materiałem pomiędzy nogami, na modłę spodni jeździeckich, najpewniej należały kiedyś do jakiegoś służącego, stajennego, może leśnika, ale nie chłopa.

W kieszeni znajdują policjanci czerwoną chustę w kratkę z wyhaftowanym czerwoną nicią monogramem „KH", jakiś klucz niemieckiego wyrobu oraz niewielką kopertę. A w niej resztki złotego pyłu! A to ci dopiero...

Druga kieszeń nie kryje już takich rewelacji. Jest wypchana pisemkami religijnymi o budujących tytułach, w rodzaju *Stróż duchowy*, *Duchowa niezapominajka*, *Modlitwa do św. Krwi*, *Wyjątkowo skuteczna modlitwa, za pomocą której można uczestniczyć we wszystkich korzyściach wynikających z mszy świętej*.

Typowe broszury dewocyjne, wydane w Salzburgu, Altoettingen, Burghausen i Pradze, sprzedawane pobożnym pielgrzymom.

A do tego rogowe paciorki do modlitwy.

Policjanci oglądają ze zdumieniem stopy chłopca. Nie wykazują one żadnych śladów noszenia kiedykolwiek butów, poza świeżutkimi, dzisiejszymi pęcherzami. Dłonie ma niezwykle delikatne, palce smukłe, wręcz szlachetnego kroju. Dziwnie je trzyma: wskazujący i kciuk zawija w kółko, reszta wyprostowana. I tak u obu rąk.

Chłopiec jest krępy, ale proporcjonalnie zbudowany. Na oko wygląda, że ma 16 wiosen.

Jedni z policjantów uważają, że to jakiś dzikus trzymany w zapadłej dziurze. Inni są zdania, że raczej idiota. Ale są i tacy, którzy podejrzewają, że to bardzo zręczny oszust.

Wreszcie ktoś wpada na pomysł, by dać nieznajomemu pióro, kałamarz i kartkę papieru. Może coś ciekawego nabazgrze?

Chłopiec uśmiecha się, ujmuje pióro dość pewnym gestem i pisze: „Kaspar Hauser". To wszystko, co potrafi napisać.

Kasper Hauser – znajda z Norymbergi

27 maja 1606 ▪ sobota

Ktoś ty taki?

Krótko przed świtem przywódca rebelii kniaź Wasyl Szujski poleca spiskowcom otworzyć moskiewskie więzienie, a uwolnionym przestępcom rozdać topory i miecze. Na pl. Czerwonym pośród niezliczonych kramów, zagród i całkiem, mimo blednących ciemności, sporego tłumu handlarzy kręcą się grupki ludzi uzbrojonych w strzelby, miecze, topory, rohatyny i łuki. To także zaufani Szujskiego. Grupa zbrojnych gromadzi się w ciemnościach

przy jednej z wewnętrznych bram Kremla. Ludzie Szujskiego otaczają także pałac cara Dymitra.

O 5.00 rozlega się głos dzwonu cerkwi św. Ilji. Dla każdego moskwianina to dźwięk mrożący krew w żyłach. Dzwon od św. Ilji odzywa się tylko w czasach trwogi i wielkich nieszczęść. Spiskowcy obrali go za sygnał do ataku. Jeszcze słychać jego głos, gdy dołączają się inne moskiewskie dzwony. Zaniepokojeni mieszkańcy wybiegają z domostw. Cóż to, pożar?

Na ulicach pojawia się orszak przywódców spisku. Jako pierwsi jadą bracia Szujscy, Tatiszczew i Golicyn. Za nimi podąża ponad 200 zbrojnych. Gdy dojeżdżają pod mury Kremla, Wasyl Szujski prawą ręką dobywa miecza, w lewej zaś unosi w górę prawosławny krzyż. Woła wielkim głosem: „Biegnijcie bić Lachów i pogańską Litwę!". Jego poplecznicy krzyczą, że Polacy mordują na Kremlu bojarów. Niektórzy ze zbrojnej gawiedzi podążającej za orszakiem Szujskich usiłują forsować kremlowski mur. Niepotrzebnie, Szujscy pomyśleli o wszystkim. Spiskowcy ukryci w zakamarkach Kremla otwierają jedną z bram. Wasyl Szujski czuje, że to decydujący moment buntu. Zsiada z konia, całuje drzwi soboru Uspieńskiego i krzyczy: „Kończcie szybko ze złodziejem Griszką Otriepjewem! Jeśli go nie zabijecie – on nam wszystkim głowy poucina!".

Wiele musiało się zdarzyć w Rosji złego, by Griszka Otriepjew mógł zasiąść jako Dymitr na carskim tronie. Po śmierci Iwana IV Groźnego pozostało dwóch jego synów – starszy Fiodor i Dymitr (z siódmego małżeństwa z Marią Nagoj). W imieniu ociężałego umysłowo Fiodora realną władzę sprawowała Rada Regencyjna, której mocnym człowiekiem szybko okazał się bojar Borys Godunow. Gdy z prowincji nadeszła wieść o nagłej śmierci małego Dymitra, wielu bojarów podejrzewało, że maczał w niej ręce

Godunow. Po śmierci Fiodora, na którym wymarła dynastia Rurykowiczów, to właśnie Godunow sięgnął po władzę.

Młody, pochodzący z Litwy Jurij Otriepjew, zwany Griszką, służył u dworskiego sokolniczego Michała Romanowa – do czasu gdy Romanowowie wypadli z łask cara Godunowa. Wtedy to wymyślili legendę, że carewicz Dymitr nie umarł, lecz ocalał i jest nim... Griszka Otriepjew. Przed prześladowaniami ludzi Godunowa Griszka zbiegł do Polski i w końcu wpadł w ręce wojewody sandomierskiego Jerzego Mniszcha, tonącego w długach hulaki i utracjusza. To Mniszech wymyślił szaloną koncepcję – pomoże Griszce-Dymitrowi zdobyć carski tron, jeśli przyszły car zobowiąże się nadać rodzinie Mniszchów wielkie majątki w państwie moskiewskim i poślubi córkę wojewody Marynę.

Dymitr, bo już nie Griszka, ruszył przed dwoma laty na Moskwę z poparciem paru tysięcy Kozaków, Mniszcha i przy milczącej aprobacie polskiego króla Zygmunta III Wazy.

Szczęście sprzyjało mu. Nieurodzaje spowodowały bunty moskiewskich chłopów. Dymitr, mimo porażek w bitwach, doczekał chwili, w której bojarzy zamordowali Borysa Godunowa. Rok temu uroczyście wjechał do Moskwy i został koronowany. Przed sześciu dniami poślubił Marynę Mniszchównę.

Ufając w swą szczęśliwą gwiazdę, zlekceważył niezadowolenie bojarów ze swoich rządów i nienawiść Cerkwi oburzonej, że Maryna odmówiła przejścia na prawosławie. Nie zauważał rosnącej wrogości ludu do kilku tysięcy Polaków przybyłych za nim do Moskwy, obdarzanych przezeń kosztownościami i przywilejami. Choć wie, że rodzina Szujskich nienawidzi go, nie zrobił nic, by ich spacyfikować.

Car Dymitr wybiega na krużganek i wpada na jednego z braci Szujskich, Dymitra. Nie podejrzewa, że on także należy do spisku,

a pod drzwiami jego komnaty spędził noc, pilnując, by car nie wymknął się z pułapki.

Szujski uspokaja cara, że dzwony biją na alarm z powodu pożaru. Dymitr wraca do komnat, by uspokoić żonę Marynę. Bicie dzwonów i ryk tłumów nie cichną. Car wysyła pełniącego służbę przed jego komnatami bojara Piotra Basmanowa, by zorientował się w sytuacji. Basmanow spotyka na schodach i gankach gęsty tłum zbrojnych. Zaskoczony, pyta, co tam robią. Gdy słyszy, że ma wezwać cara Dymitra i wynosić się, pojmuje, że to bunt.

W pałacu tłuszcza rabuje co się da, wyrzuca na dwór maski i kostiumy przygotowane na wielką dworską maskaradę z fajerwerkami. Gdy napastnicy docierają do drzwi komnat cara, drogę zastępuje im zaledwie 30 halabardników uzbrojonych w broń paradną. Pozostałych 270 car odesłał wczoraj wieczorem, za poduszczeniem zdradzieckiego Wasyla Szujskiego, do kwater.

Basmanow wraca do komnat cara i zdaje relację z sytuacji w pałacu. Nie kończy, gdy przez kordon halabardzistów przeciska się jeden z bojarów, wchodzi do sypialni Dymitra i wykrzykuje: „Co to, jeszcze nie wyspałeś się, niedonoszony carze? Dlaczego nie wychodzisz wytłumaczyć się ludowi?".

Basmanow chwyta carski pałasz i jednym ciosem odrąbuje zuchwalcowi głowę.

Wyjść do tłumów czy nie? Dymitr waha się. W końcu bierze od jednego z halabardzistów paradny berdysz, wychyla się przez okno i woła: „Ja nie będę dla was taki jak Borys!".

Odpowiedzią są strzały z rusznic.

Piotr Basmanow, wojownik do szaleństwa odważny, a przy tym poważany, wychodzi do zbuntowanych bojarów na ganek. Spokojnie przekonuje ich, by nie czynili gwałtu, by zostawili cara w spokoju. Niektórzy z bojarów zaczynają się wahać, ale Michał

Tatiszczew wyciąga z fałd szaty długi nóż i wbija ostrze prosto w serce Basmanowa.

Ośmieleni spiskowcy rzucają się na stojących w sieni halabardników i odbierają im broń. Ostatnich kilkunastu gwardzistów cofa się, grożąc ostrzami, aż do drzwi sypialni cara, ale jest ich za mało, by stawić opór.

Słysząc łoskot wyłamywanych przez buntowników drzwi, car Dymitr rzuca się do ucieczki. Nawet nie zamierza ratować żony, jedynie w biegu woła w kierunku jej sypialni: „Moje serce, zdrada!".

Drzwi sypialni carycy broni młody polski szlachcic Jan Piotr Osmólski. Salwa rusznic powala go na ziemię. Jedna z kul przebija cienką ścianę i śmiertelnie rani jedną z ochmistrzyń carowej, panią Chmielnicką. Drobna Maryna Mniszchówna zrywa się z łóżka, ucieka do pokoju drugiej ochmistrzyni Kazanowskiej i chowa się pod jej rozkloszowaną suknią, ratując w ten sposób życie.

Dymitr tymczasem ucieka, nie oglądając się na nikogo. Przez łaźnię biegnie do tajemnego przejścia, prowadzącego do pomieszczeń na brzegu kremlowskiego wzgórza od strony rzeki Moskwy. Ich okna są wysoko nad ziemią. Ścigany Dymitr nie ma jednak wyjścia, musi zaryzykować. Skacze.

Upada tak niefortunnie, że łamie nogę i traci przytomność. Jego skok widzą pełniący wartę strzelcy ukrainni, pochodzący z Siewierszczyzny. Podnoszą nieprzytomnego władcę, cucą zimną wodą. Dymitr prosi ich, by bronili go przed spiskiem Szujskich, obiecuje złote góry. Chce, by zanieśli go na Łobne Miejsce, gdzie mógłby przemówić do ludu i porwać plebs za sobą. Gdy po dłuższej chwili okrężną drogą nadbiegają jego prześladowcy, ukrainni strzelcy dają do nich salwę z rusznic. Kilku zbuntowanych bojarów pada na ziemię, reszta cofa się na bezpieczną odległość. Pat. Żaden z napastników nie śpieszy się pod kule. Ale nagle któryś

z buntowników woła, że jeśli strzelcy będą dalej stać przy carze, w odwecie wymordowane zostaną ich żony i dzieci, mieszkające w Strzeleckiej Słobodzie.

Strzelcy jak niepyszni odkładają broń.

Bojarzy zabierają Dymitra z rąk strzelców do jednej z pałacowych komnat. Tam zdzierają z cara szaty i zakładają nań brudny kaftan jakiegoś sługi. Szturchają go, popychają, poniżają.

„Patrzcie, jaki to car Wszechrusi!"

„Takiego cara mam u siebie w stajni".

„Ej ty, sukinsynu, ktoś ty taki?"

Któryś z bojarów uderza Dymitra w twarz. Car zachowuje spokój. To jego jedyna broń. Domaga się zaprowadzenia na Łobne Miejsce, by mógł przemówić, albo zapytania carowej-matki Marfy, czyim jest synem.

Na pałacowym dziedzińcu Wasyl Szujski szczuje z wysokości siodła tłuszczę przeciw carowi. Znęcający się nad Dymitrem bojarzy wołają przez okno: „Przyznał się, że nie jest prawdziwym Dymitrem!".

Podjudzana przez Szujskiego czerń wrzeszczy, by zabić cara.

Jeden z bojarów strzela do Dymitra. Car pada ranny. Spiskowcy rzucają się na niego, na oślep tną szablami, dźgają ostrzami noży. Każdy chce zanurzyć ostrze w jego krwi. Broczące z 21 ran ciało cara mordercy wloką na ganek, na którym zginął Piotr Basmanow, i zrzucają na podwórzec. Upada obok zwłok Basmanowa. Gawiedź odziera zwłoki z szat i nagie wlecze na pl. Czerwony. Tam ciało Dymitra wystawiają buntownicy na widok publiczny na prostym stołku. Na drugi rzucają zwłoki Basmanowa.

Poszukiwania Maryny Mniszchówny w zakamarkach pałacu kończą się niepowodzeniem. Napastnicy gwałcą polski fraucymer carowej, ale niezbyt długo. Pora wszak ruszać w Moskwę,

wyszukiwać i mordować Polaków i innych stronników zabitego cara.

28 maja 1905 ▪ niedziela

Honor marynarza

Rosyjskie wielkie okręty wloką się w ciemnościach niczym gromada kalek. Przez głęboko zanurzoną na skutek uderzenia torpedy rufę pancernika „Nawarin" przelewają się fale. Inny pancernik, „Sisoj Wielikij" osiąga śmiesznie małą prędkość 4 węzłów. Po wybuchu torpedy ma zalaną przednią część kadłuba. Jego śruby napędowe wystają ponad fale. Krążownikowi „Adm. Nachimow" torpeda wyrwała poprzedniego dnia ogromną dziurę w dziobie. Woda zalała komory amunicyjne i magazyny węgla. Załoga założyła na dziurę plaster z desek i smołowanego płótna, ale woda przecieka przezeń i wlewa się do kotłowni. Aby zapobiec eksplozji kotłów, dowódca kmdr. Rodionow rozkazuje wykonać w tył zwrot i płynąć dalej do przodu rufą, na całej wstecz. Krążownik „Władimir Monomach", także trafiony torpedą, płynie z najwyższym trudem.

Tak po całodziennej bitwie prezentuje się wielka ekspedycja carskiej floty bałtyckiej, która wysłana na odsiecz oblężonemu portowi dalekowschodniemu Rosji – Port Arthur – miała złamać potęgę japońskiej floty wojennej i odwrócić losy przegrywanej przez Rosję wojny z Japonią na Dalekim Wschodzie.

Ta wyprawa od początku skazana była na klęskę. Ekspedycyjna flota, nazwana 2. Eskadrą Floty Oceanu Spokojnego, sformowana została z jednostek najrozmaitszych typów. Część z nich była przestarzała, część nadawała się tylko do remontu. Załogi

prezentowały żałosny poziom wyszkolenia. Dowódcą ekspedycyjnej floty został niekompetentny wiceadm. Zinowij Rożestwieński.

W ciągu siedmiu miesięcy 2. Eskadra opłynęła Europę, Afrykę, Indie i dotarła do Cieśniny Cuszimskiej między Japonią i Koreą. Tam zastąpiła jej drogę flota japońska. Poprzedniego dnia w wielkiej bitwie okręty adm. Heihahiro Togo rozgromiły fatalnie dowodzoną wielką armadę Rosji.

O drugiej w nocy woda wlewa się do maszynowni „Monomacha". Okręt przechyla się mocno na burtę i prawa maszyna pracuje teraz w wodzie, w każdej chwili grożąc eksplozją. Dowódca kmdr Popow rozkazuje skręcić w stronę Korei, by tam porzucić okręt na brzegu i uratować załogę. 10 minut później dywizjon japońskich kontrtorpedowców ścigający niedobitki rosyjskiej floty dopada „Nawarina". Okręt trafiają dwie torpedy. Krążownik przewraca się do góry dnem i tonie. Japońskie okręty nie ratują rozbitków. Z 690-osobowej załogi po 14 godzinach zostaje uratowanych trzech marynarzy.

Japończycy trafiają torpedą także w pancernik „Sisoj Wielikij". Paradoksalnie, to błogosławieństwo dla obezwładnionego rosyjskiego olbrzyma. Torpeda trafia w rufę, którą błyskawicznie zatapia wdzierająca się do kadłuba woda. Sterczące ponad falami śruby napędowe zanurzają się i pancernik pędzi teraz z prędkością 12 węzłów. Dowódca kmdr Ozierow, podobnie jak nieco wcześniej jego kolega z „Nachimowa", by zapobiec wdzieraniu się wody do wnętrza okrętu, rozkazuje płynąć rufą do przodu.

Nad ranem „Monomach", „Sosoj Wielikij" i „Nachimow" płyną zgodnie w stronę nieodległej już Korei. Dowódcy i załogi za wszelką cenę chcą uniknąć hańby poddania swych jednostek. Planują ewakuować się na koreański brzeg i zatopić okręty

własnymi rękami. Wszystkie trzy mają jednak uszkodzone kompasy i zamiast do Korei docierają do pobliskich wysp Cuszima. Gdy załoga systematycznie nabierającego wody „Nachimowa" ewakuuje się szalupami na odległą o 7,5 km wyspę, nadpływają okręty japońskie. Kmdr Rodionow poleca założyć ładunek wybuchowy w komorze amunicyjnej i przeciągnąć przewody do baterii na szalupie. Nagle japoński krążownik podpływa pod burtę i daje znaki, by poddać krążownik, w przeciwnym razie „Nachimow" zostanie zatopiony, a Japończycy nie będą ratować rozbitków. Kmdr Rodionow wypędza resztę załogi do szalup. Sam staje wyprostowany na mostku. Na pokładzie jest jeszcze oficer nawigacyjny „Nachimowa", Polak kpt. Wacław Kłoczkowski. Rodionow daje znać szalupie: „Wysadzać!". Chce zginąć wraz ze swoim okrętem. Ale mina w komorze amunicyjnej nie wybucha. Poczciwy elektryk pokładowy tuż przed zejściem do szalupy zauważył, że wzbierająca w kadłubie woda sięga już do przewodów i rozłączył je, żeby prąd nikogo nie poraził. Na pokład wchodzą japońscy marynarze z grupy abordażowej. Rodionow i Kłoczkowski chowają się za nadbudówką rufową. Japończycy stwierdzają, że okręt tonie i nie sposób go uratować. Tryumfalnie podnoszą na „Nachimowie" swoją banderę i odpływają. Wtedy Rodionow i Kłoczkowski wyskakują z ukrycia, zdzierają banderę zwycięzców. O 9.00 „Nachimow" przewraca się na prawą burtę i tonie honorowo, pod własną banderą. Wraz z nim bajeczny skarb: 5500 skrzyń wypełnionych złotymi rublami, sztabami złota i platyny. Obu oficerów wiry wciągają głęboko pod wodę, ale obaj w końcu wypływają na powierzchnię.

Na „Monomachu" na widok okrętów japońskich otwarto zawory denne. Japoński desant wchodzi na pokład, ale nie ma już czasu, by

opuścić flagę rosyjską i zawiesić własną. „Monomach" także idzie na dno honorowo, pod swoją banderą.

Japońskie krążowniki otaczają również „Sisoja". Dowódca rozkazuje mechanikowi Polakowi kmdr. Sewerynowi Borowskiemu otworzyć kingstony. Japońska grupa pryzowa w ostatniej chwili wdziera się na pokład tonącego okrętu i zawiesza banderę ze wschodzącym słońcem. Napastnicy nie są jednak w stanie opuścić bandery rosyjskiej z fokmasztu. „Sisoj" idzie na dno pod dwiema banderami.

Daleko na północny wschód od tonących przy brzegach Cuszimy okrętów rosyjskich przedziera się do Władywostoku pięć ciężkich okrętów pod dowództwem kontradm. Niebogatowa. O 9.00 otaczają je siły główne japońskiej floty. Na pokładzie pancernika „Nikołaj I" adm. ponuro wpatruje się w nadpływające potężne japońskie pancerniki. Podchodzi jego szef sztabu i mówi cicho:

– Dowódca okrętu prosił zakomunikować waszej ekscelencji, że nie pozostaje nam nic prócz poddania się.

– A co pan sądzi? – pyta Niebogatow.

– Sądzę, że dowódca okrętu ma rację – odpowiada szef sztabu.

Admirał wzywa dowódcę „Nikołaja I" na pomost bojowy. Kpt. Smirnow potwierdza: należy się poddać. Niebogatow zwołuje radę wojenną. Oficerowie jeszcze schodzą się na pomost bojowy, gdy ktoś wywiesza na formarsreji sygnał kapitulacji. Wezwani zgadzają się, że trzeba oddać okręt w ręce Japończyków. Wreszcie admirał otwiera naradę: „Panowie oficerowie, chcę poddać pancernik. Widzę w tym jedyny sposób na uratowanie was i załogi. Co o tym myślicie?". W myśl wojskowego regulaminu morskiego dowódca, chcąc kapitulować, musi zapytać o zgodę wszystkich oficerów, poczynając od najmłodszego. Sądząc, że to czysta formalność,

Niebogatow pyta zatem jako pierwszego por. Jerzego Wołkowickiego, Polaka.

–Wysadzić okręt i ratować się – nieoczekiwanie odpowiada Wołkowicki.

Konsternacja.

Za samozatopieniem jest też młody chor. Chamier. Ale starsi oficerowie przekonują się nawzajem, że tylko kapitulując, mogą uratować życie. Kłopot w tym, że na wyposażeniu pancernika nie ma białej flagi. Wreszcie ktoś biegnie do kajuty po prześcieradło, które zaraz wędruje na reję fokmasztu. Do japońskiej niewoli oddają się cztery pancerniki. W ostatniej chwili ucieka tylko krążownik „Izumrud".

Wzburzony por. Wołkowicki nawet nie chce myśleć, że dzięki haniebnej kapitulacji ocalił życie. Ani mu w głowie, że za jednym zamachem ocalił je dwa razy.

Po wojnie 1905 roku jego czyn opisze w książkowej relacji z bitwy jej uczestnik, podoficer aprowizacyjny na pancerniku „Orioł" Aleksiej Nowikow. Nazwisko Wołkowickiego stanie się w Rosji symbolem bohaterstwa i wierności na przekór wrogowi i zdradzie we własnych szeregach. W książce Nowikowa zaczytywać się będzie rewolucjonista Józef Stalin. We wrześniu 1939 roku, po przegranych bitwach z Niemcami pod Tomaszowem Lubelskim i Tarnawatką, gen. Jerzy Wołkowicki dostanie się do sowieckiej niewoli. Internowany w Kozielsku, nie trafi na egzekucję do Katynia. Na osobiste polecenie Stalina zostanie przeniesiony do obozu w Ostaszkowie. Jako emigrant w Anglii dożyje 100 lat.

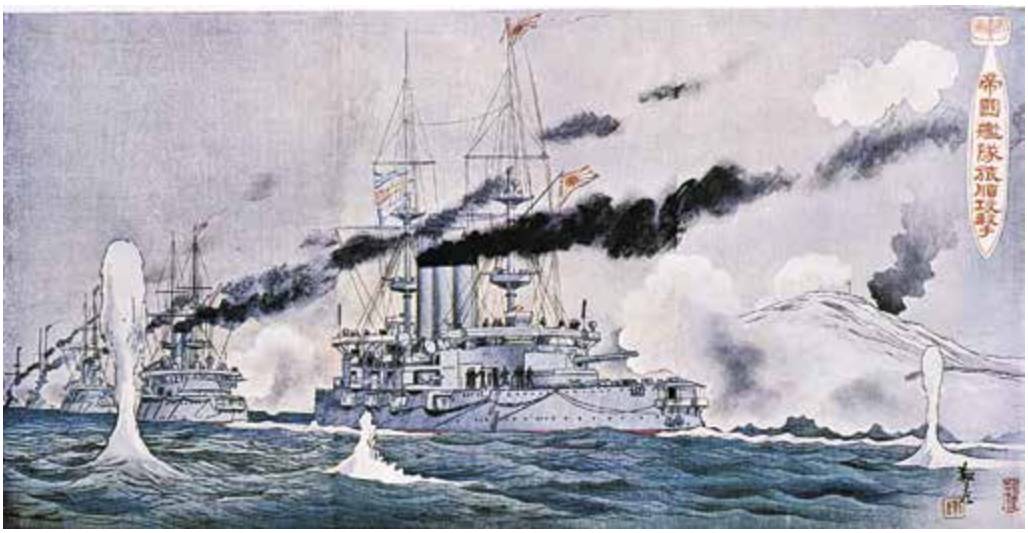

Japońska flota przygotowująca się do ataku na Port Arthur

29 maja 1985 ▪ środa

Płot i mur

Ulice w centrum Brukseli od rana wypełniają pstrokate, hałaśliwe tłumy kibiców. Wieczorem mistrz Anglii Liverpool i mistrz Włoch Juventus Turyn rozegrać mają na stadionie Heysel finałowy mecz o klubowy Puchar Europy. Od wczoraj kibice włoscy przylatują do Brukseli samolotami czarterowymi, przyjeżdżają autobusami. Brytyjscy fani mają bliżej, większość z nich płynie statkami i promami do Ostendy i Zeebrugge. Zainteresowanie meczem o tytuł najlepszej klubowej jedenastki Europy jest ogromne – chęć bezpośredniego obejrzenia finału zgłosiło niemal 400 tys. osób. Organizatorzy akredytowali ponad 300 dziennikarzy i 130 fotoreporterów, przygotowali osobne stanowiska dla 77 komentatorów telewizyjnych z całego świata. Władze belgijskie

zaś zmobilizowały rezerwy sił porządkowych – 400 policjantów i ponad 500 żandarmów.

Wszyscy boją się angielskich kibiców. Od lat są oni postrachem europejskich stadionów. Krążą po Europie za swoimi zespołami i nieodmiennie wszczynają awantury. Anglicy sprowokowali ostatnimi czasy bójki i burdy na stadionach włoskich, hiszpańskich, holenderskich. Tu, w Brukseli, lęk przed starciem Anglików z kibicami włoskimi jest szczególnie silny. W zeszłym roku Liverpool także grał w finale Pucharu Europy i także z zespołem włoskim – AS Roma. Mecz odbył się w Rzymie. Faworytami byli Włosi, ale po zaciętej grze nieoczekiwanie zwyciężyli goście. Pijani szczęściem i tanim włoskim winem Anglicy tańczyli i kąpali się w fontannie Trevi, osłupiali Włosi w milczeniu przeżuwali klęskę. Późnym wieczorem do akcji ruszyli włoscy chuligani. Na skuterach podjeżdżali do grup Anglików, bili ich i uciekali bezkarni. Liczni hotelarze, w obawie o bijatyki w hotelach, odmawiali przyjęcia angielskich gości do zarezerwowanych przez nich pokojów, taksówkarze odmawiali kursów na lotnisko. Rzymska policja, zaskoczona i bezradna, nie potrafiła skutecznie pomóc napastowanym Brytyjczykom.

Przed meczem na Heysel angielscy kibice zapowiedzieli rewanż. Do Brukseli ruszyli nie tylko fani Liverpoolu. Pod klubowymi flagami z promów w Zeebrugge wymaszerowały wczoraj wczesnym rankiem zwarte grupy kibiców Luton, West Ham, Newcastle.

Ale w Brukseli wbrew hiobowym zapowiedziom od rana trwa radosny piknik. Jest słonecznie i ciepło, wszystkie restauracje wystawiły na ulice dodatkowe stoliki. Piwo leje się strumieniami. Miasto opanowali kibice angielscy – przyjechało ich w sumie ponad 25 tys. Wczesnym południem jednak zaczynają się burdy. W czasie bójki na pl. Brouckera jednego z Anglików pchnięto nożem.

W zamieszaniu, podczas ulicznych śpiewów i tańców, wybito szybę w sklepie jubilerskim i skradziono biżuterię z wystawy.

Po południu zwarte pochody kibiców ruszają w stronę Heysel. Bramy stadionu otwarto 5 godzin przed rozpoczęciem meczu. Policjanci rewidują każdego z wchodzących, odbierają alkohol, kije, niebezpieczne przedmioty. W tłumie kibiców uwija się kilkudziesięciu policjantów angielskich i włoskich w cywilu.

Na pierwszy rzut oka imprezę zorganizowano perfekcyjnie. Ale to tylko pozory. Zbudowany przed 50 laty, obliczony na 60 tys. widzów stadion Heysel nie nadaje się do organizacji wielkich imprez sportowych. Brakuje wyjść ewakuacyjnych. Stare mury są słabe i zmurszałe. Wystarczy kopnąć któryś ze schodków na trybunach, by odłupać solidny kawał betonu. Krzesełka przymocowano na słowo honoru, wyrwanie ich nie sprawia silnemu mężczyźnie żadnego kłopotu.

A co najgorsze, organizatorzy fatalnie podzielili widownię i przeprowadzili sprzedaż biletów. Dla kibiców angielskich przeznaczono sektory X i Y, znajdujące się po lewej stronie trybuny honorowej, pod tablicą świetlną. Sektory po prawej stronie trybuny honorowej zarezerwowano dla ponad 10 tys. kibiców z Włoch. W sektorze Z, przylegającym do angielskiego sektora Y, wedle planów organizatorów zasiąść mieli kibice neutralni, głównie Belgowie. Sektory Y i Z oddzielono dwiema wysokimi metalowymi siatkami rozpiętymi na metalowych słupkach.

Ale kibice belgijscy lwią część kupionych legalnie biletów odsprzedali Włochom i Anglikom. Przedwczoraj na czarnym rynku ceny miejscówek w sektorze Z przekroczyły kilkadziesiąt razy ceny oficjalne.

Na godzinę przed rozpoczęciem meczu tłumy naparły na bramki u wejść na stadion tak mocno, że policjanci przestali rewidować

wchodzących. Nikt nie zatrzymywał zupełnie pijanych kibiców.

Tuż przed 19.30 w sektorze Z zaczynają się pierwsze awantury między kibicami włoskimi i angielskimi. Włochów jest tam więcej i szybko biorą górę, rzucając w Anglików czym popadnie. Belgijscy policjanci są bierni. Wtedy na sektor neutralny ruszają ławą awanturnicy z angielskiego sektora Y. Wyginają metalowe słupki, do których przymocowane są siatki. Metalowy płot wali się na ziemię. Pilnowało go zaledwie kilkunastu belgijskich policjantów w galowych mundurach i kaskach ochronnych. Ich pałki nie mogły powstrzymać zbrojnych w butelki, kije i kastety angielskich chuliganów. Po chwili policjanci zmykają przed napastnikami, skacząc po ławkach jak zające. Kilkuset Anglików wykonuję istną szarżę na widzów z sektora Z. Ci w panice cofają się. Za chwilę falanga angielskich awanturników rusza po raz wtóry. Naciskani kibice nie mają gdzie uciekać – sektor Z otoczony jest murem, a drogę na płytę boiska zagradza metalowa siatka. Gdy angielscy chuligani ruszają po raz trzeci, stłoczeni pod murem kibice, w znakomitej większości Włosi, wpadają w panikę. Depcząc, tratując sąsiadów, wspinają się na wysoki ceglany mur – byle dalej od wrzeszczących, bijących Anglików. Spadają z wysokości 5 m. Nagle część muru wali się pod naporem spanikowanych widzów. Ginie 39 osób, zadeptanych, uduszonych, przywalonych cegłami. Ponad 300 odnosi rany i lżejsze obrażenia.

Widzowie z innych sektorów nie dostrzegają rozmiarów tragedii. Z daleka wygląda to na niegroźne utarczki kibiców. Huk walącego się muru słyszą w szatni pod trybunami przygotowujący się do gry piłkarze Juventusu. Kilku z nich wychodzi. Widzą poranionych, oszołomionych kibiców i leżące pośród nich zwłoki ofiar.

Pomoc nadchodzi późno. Policjanci na stadionie nie mają łączności z policjantami patrolującymi teren wokół Heysel. Po

półgodzinie wokół stadionu staje kilka dużych namiotów, w których lekarze udzielają pomocy lżej poszkodowanym.

Ciężko ranni ewakuowani są helikopterem i karetkami. Po godzinie 21.00 przedstawiciele UEFA i kierownictwa obu klubów decydują, że mecz jednak odbędzie się. Zwłaszcza policja belgijska obawia się, że wypuszczenie ze stadionu blisko 60 tys. rozwścieczonych kibiców skończy się zamieszkami na niewyobrażalną skalę. O 21.35 kapitan jedenastki Liverpoolu Phil Neal zwraca się do kibiców przez boiskowe megafony: „Bądźcie rozsądni, pozwólcie nam grać". Pięć minut później o spokój prosi kapitan Juventusu Gaetano Scirea. Ale piłkarze z Turynu nie chcą grać. Drużyna Liverpoolu wybiega na boisko i przez kilka minut samotnie stoi na murawie.

Mecz rozpoczyna się blisko półtorej godziny po planowanym terminie. Zwłoki części ofiar przykryte płachtami ciemnej folii leżą jeszcze w narożniku stadionu. Teren wokół Heysel otaczają oddziały wojska, płytę boiska zaś kordon policjantów z rottweilerami na smyczy. Piłkarze obu drużyn grają twardo, bez taryfy ulgowej. W 59. minucie Zbigniew Boniek jest faulowany pół metra przed polem karnym Liverpoolu, ale szwajcarski sędzia André Daina dyktuje rzut karny. Celnie strzela Michel Platini. Sytuację, w której karny należał się Anglikom, sędzia ignoruje.

Po meczu kilku włoskich piłkarzy wykonuje rundę honorową. Prezes UEFA Jacques Georges wręcza drużynie Juventusu puchar.

Wieczorem premier Włoch Bettino Craxi, przebywający z oficjalną wizytą w Moskwie, telefonuje do premiera Belgii Wilfrieda Martensa z protestem przeciw rozegraniu meczu. Papież Jan Paweł II do późnej nocy w swej prywatnej kaplicy modli się za zabitych i za rodziny, które ciągle nie miały wiadomości o losie swoich bliskich.

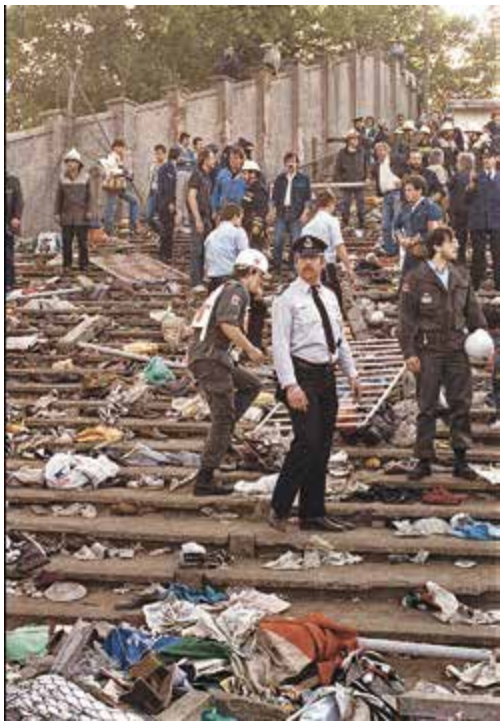

Ratownicy szukający ofiar po zamieszkach na Heysel

30 maja 1960 ▪ poniedziałek

Czyste serca, brudne ręce

O 7.00 w Komendzie Miejskiej MO w Zielonej Górze zaczyna się odprawa. Kpt. Jakubowski rozdziela zadania: 21 milicjantów ma zablokować dostęp do Domu Katolickiego przy ul. Młynarskiej, 14 tajniaków powinno wmieszać się w tłum, jeśli się taki zgromadzi, a czterech tajniaków zainstaluje się z radiotelefonem na wieży ratusza i kierować będzie grupę uderzeniową ZOMO w miejsca, w których gromadzić się będą manifestanci. Ta grupa uderzeniowa, czekająca blisko Domu Katolickiego, w KM MO przy ul. Kasprowicza, jest niewielka, liczy raptem 27 zomowców. Reszta

sił ZOMO i kompania szkolna zielonogórskiej KM MO – łącznie to nieco ponad 100 funkcjonariuszy – skoncentrowana jest przy ul. Partyzantów. O nastrojach w mieście informować mają także funkcjonariusze zainstalowani w kilku mieszkaniach oficerów MO i SB oraz w hotelu milicyjnym.

To dość skromne siły, ale władze partyjne, SB i milicja w Zielonej Górze nie spodziewają się tego dnia większych kłopotów. Mimo iż Dom Katolicki, który władze zamierzają tego dnia zająć, jest oczkiem w głowie wiernych i mimo iż zarządzający nim proboszcz parafii św. Jadwigi ks. Kazimierz Michalski od lat jest twardym orzechem do zgryzienia dla komunistycznych władz.

Od swego przybycia w 1945 roku do Zielonej Góry ks. Michalski twardo broni wiary i praw katolików, angażując się przy tym w organizowanie życia społecznego i kulturalnego miasta. Głośno protestuje, gdy władze uniemożliwiają organizowanie tradycyjnych procesji, ograniczają naukę religii w szkołach, likwidują kościelny Związek Caritas i w jego miejsce tworzą fasadowe Zrzeszenie Caritas. W 1950 roku ks. Michalskiego aresztowano, władze zmusiły go do opuszczenia probostwa i wydaliły z miasta. Powrócił dzięki odwilży w roku 1956, ale Władysław Gomułka szybko ruszył na wojnę z Kościołem.

W Zielonej Górze partyjna krucjata przeciw Kościołowi ma na celu m.in. odebranie Kościołowi Domu Katolickiego – zarządzanego przez ks. Michalskiego dużego poniemieckiego budynku dawnej parafii ewangelickiej, w którym teraz koncentruje się życie katolickich stowarzyszeń, organizacji i nauka religii dla dzieci.

Niedawno władze uchwaliły bezprawną eksmisję katolickich użytkowników. Tydzień temu zaś w kościele św. Jadwigi ks. Michalski odczytał z ambony informację o eksmisji i wezwał wiernych do pisania petycji protestacyjnej do Rady Państwa.

O 8.00 20 uczniów rozpoczyna w salce Domu Katolickiego naukę religii. Niespełna godzinę później przed drzwiami zbiera się grupka kilkunastu parafianek, należących do trzeciego zakonu św. Franciszka.

Przed 10.00 władze otrzymują informację, że zajęcia religijne dla dzieci skończyły się. I sekretarz KM PZPR Jan Gomółka decyduje, że eksmisja instytucji kościelnych zacznie się o dziesiątej, choć dzieci jeszcze budynku nie opuściły.

Dochodzi dziesiąta. Przed Domem zjawiają się urzędnicy eskortowani przez sześciu milicjantów; nieco z tyłu czeka ekipa robotników, którzy mają wynosić kościelne meble. Pod drzwiami stoi jednak grupa kilkudziesięciu starszych parafianek. Kobiety wołają do milicjantów, żeby nie mieszali się w sprawy Domu Katolickiego. Funkcjonariusze odsuwają je sprzed wejścia i wkraczają do środka. W korytarzu jednak także stoją wzburzone kobiety. Milicjanci wyprowadzają je.

Z Domu wychodzą dzieci. Milicjanci robią im miejsce. Wykorzystują to protestujące kobiety i wchodzą w korytarz. Funkcjonariusze są bezradni. Im więcej wyprowadzają ich na zewnątrz, tym więcej pojawia się znów w korytarzu – wślizgują się między milicjantami, przemykają za ich plecami. I ciągle na nich pomstują.

Przyjeżdża komendant zielonogórskiej milicji płk Stanisław Jakubowski. Gdy grozi kobietom odpowiedzialnością karną, wszystkie padają na kolana i zaczynają się głośno modlić. A na pl. Wielkopolskim przed Domem rośnie tłum wrogich milicjantom gapiów.

Czas na ZOMO: na placu zatrzymują się dwie budy. Wyskakują zomowcy i biją pałkami kogo popadnie. Pierwszych 11 aresztowanych trafia do więźniarki.

Ale to pyrrusowe zwycięstwo milicji. Wieść o biciu zwyczajnych przechodniów szybko rozchodzi się po mieście. Kwadrans po pierwszej szarży ZOMO na placu jest już tłum liczący kilkuset wzburzonych zielonogórzan.

Oficerowie KW MO przezornie wzywają posiłki z pobliskich miast powiatowych, ale myśli ich zarazem szybują wysoko, bardzo wysoko. Towarzysze oficerowie planują szybkie wydrukowanie nawołujących do zachowania spokoju ulotek i rozrzucenie ich nad placem z samolotu.

Tuż po jedenastej na tłum na placu uderzają wszystkie przygotowane do akcji pododdziały ZOMO. Liczący niemal tysiąc ludzi tłum spycha jednak 120 zomowców na obrzeża placu.

Do komendanta wojewódzkiego MO płk. Henryka Piątkowskiego dociera wreszcie, że to nie przelewki. A jeśli przepychanki na zielonogórskim placu to uwertura do powtórki krwawych wydarzeń poznańskich sprzed czterech lat? Płk Piątkowski telefonuje do Komendy Głównej MO po pomoc – obiecują wysłać posiłki z Poznania.

Płk Piątkowski chce czekać na wsparcie, ale zomowcy ruszają do akcji – wyciągają z tłumu kilka najgłośniejszych osób i wloką je do milicyjnych suk. Demonstranci krzyczą, by zatrzymanych zwolniono. Kobiety otaczają radiowóz, walą po burtach rękami. Zomowcy wystrzeliwują granaty z gazem łzawiącym, a potem hurmą ruszają na kilkutysięczny tłum. Biją pałami na lewo i prawo. Demonstranci uciekają gdzie pieprz rośnie, także do kościoła. Rozjuszeni zomowcy tłuką zdobne szyby w oknach świątyni i wrzucają do środka granaty łzawiące.

Wieść o ataku na kościół podrywa połowę mieszkańców centrum miasta. W samo południe na pl. Wielkopolskim i w przyległych ulicach *deus ex machina* pojawiają się kilkutysięczne tłumy.

Demonstranci uderzają na kordon ZOMO i spychają go aż za kościół, w Mariacką i w Żeromskiego. Akurat wtedy nadjeżdża oddział MO z Nowej Soli i pomaga rozproszyć atakujących manifestantów. Gdy zjawia się jednostka ZOMO z Gorzowa, zomowcy usiłują przebić się z Marynarskiej do placu. Ale w tłumie jest teraz sporo młodych ludzi. Wyrywają kamienie z bruku, zbierają cegły i odpierają natarcie ZOMO. Ośmiu funkcjonariuszy jest rannych, wśród cywilów także są pokaleczeni. Demonstranci wyzywają zomowców od bandytów, hitlerowców i gestapowców. Mało kto pamięta już, że chodzi o Dom Katolicki – teraz wszyscy na placu chcą po prostu dokopać niecierpianej przez nich władzy.

Przerażone władze partyjne mobilizują ormowców i tzw. aktyw robotniczy w zakładach pracy, wzywają na pomoc kompanię KBW z niedalekiego Czerwieńska.

O trzynastej paru demonstrantów wdrapuje się na wieżę kościoła i bije w dzwon. Ks. Michalski wchodzi za nimi i przegania ich.

W śródmieściu górę biorą demonstranci. Atakują komendę milicji, wrzucają do środka płonące szmaty, podpalają dwie milicyjne budy i zdobywają więźniarkę. Paru młodych ludzi rusza więźniarką, niczym wozem agitacyjnym, w objazd miasta – nawołują przechodniów, by szli do centrum bronić kościoła.

Między piętnastą a szesnastą do Zielonej Góry docierają posiłki z Poznania i pobliskich mniejszych miast – w sumie ponad 200 zomowców. Starcia uliczne są teraz rozproszone, ale o wiele bardziej zaciekłe. Demonstranci atakują ZOMO kamieniami z dachów domów, biją funkcjonariuszy, a zwłaszcza ormowców. Ale kolejne posiłki ZOMO z innych miast przechylają szalę na korzyść mundurowych. Po siedemnastej zaczyna się polowanie milicji. Przechodnie z brudnymi rękami – w domyśle: od wyrywania i rzucania kamieni – są bici, skuwani i prowadzeni do aresztu.

O tym, kto nie ma czystych dłoni, decyduje fanaberia rozwścieczonych, upokorzonych zomowców. Sporadyczne ataki kamieniami na milicję i ZOMO trwają jednak aż do zmroku.

31 maja 1669 ▪ piatek

Ostatni tajny akapit

Pan Samuel Pepys, sekretarz Urzędu Marynarki nadzorujący zaopatrywanie angielskiej floty, zarazem jeden z sekretarzy króla Anglii w kancelarii Małej Pieczęci oraz skarbnik Komisji ds. Tangeru, wstaje dziś z łoża bardzo wcześnie. Zmienia bieliznę, starannie goli twarz. Nie lubi pracować rano nieogolony, ma wtedy poczucie, że jeszcze nie do końca przebudził się. Rychło przybywa do jego londyńskiego domu oddany przyjaciel William Hewer. Wspólnie zasiadają do porządkowania osobistych rachunków i papierów pana Samuela. Trzeba to zrobić jeszcze przed rychłą podróżą Pepysa do Niderlandów. Buchalteria nie ma dla pana Samuela tajemnic – wszak od wielu miesięcy osobiście porządkował rozliczenia Komisji ds. Tangeru – ale teraz ten świetny urzędnik już nie daje sobie rady z papierami. Powodem są oczy. Przez ostatnie trzy lata eksploatował je bezlitośnie. Nieomal codziennie przez wiele godzin sprawdzał urzędowe dokumenty, wypisywał rachunki swego urzędu, pisał memoriały i listy.

Nie dość na tym. Ważniejsze sprawy urzędowe szczegółowo zwykł opisywać w prowadzonej przez siebie *Białej Księdze*, anegdoty zaś i śmiesznostki skrupulatnie notował w *Księdze Dykteryjek*. Niemało dni strawił w archiwach, szukając materiałów do spisywanych przez siebie dziejów angielskiej marynarki. Wypisy

z archiwalnych regestrów rychło rozkładał na stole i brał się do odtwarzania historii floty. Jakby i tego było mało, od dziesięciu bez mała lat, codziennie, późnym wieczorem albo i głęboką nocą brał do ręki pióro i spisywał swój dziennik. Codziennie jeszcze jedna zapisana karta, a czasem, bywało, że i kilka.

A wszystko to czynił w półmroku urzędowej kancelarii, a jeszcze częściej przy migotliwym świetle świecy. Jego oczy tego wszystkiego nie wytrzymały. Przed dwoma laty, w grudniu 1666 roku, odmówiły posłuszeństwa na serio. Od niedługiej nawet pracy przy świecach szybko zaczynały boleć. Nieznośne stawało się dla pana Samuela wychodzenie z domu – odblask światła od śniegu oślepiał go i potęgował bóle. To wtedy lord Brouncker doradził Pepysowi używanie zielonych okularów. Pomogły tylko trochę. Coraz częściej nie mógł zasnąć już nie tylko z powodu awantur urządzanych przez żonę o jego prawdziwe czy urojone miłostki na boku, ale i z nieznośnego bólu oczu promieniującego na całą głowę. Przed trzema tygodniami Pepys z wielkim żalem opuścił swoje wygrzane przez osiem z górą lat miejsce w Urzędzie Marynarki, przy stole, blisko okna. Zamienił je na krzesło w głębi sali, przy kominku. Jego oczy już nie mogły znieść dziennego światła zza szyb. Miłośnik pięknych krajobrazów gorliwie zażywający wycieczek na wieś i majówek, znawca malarstwa, namiętny kolekcjoner pięknych przedmiotów i koneser kształtów niewieścich wpadł w panikę, że rychło będzie mu dane pogrążyć się w ciemnościach ślepoty. Złożył księciu Yorku prośbę o zwolnienie na trzy albo cztery miesiące z urzędu dla kurowania oczu, a przy tym dla wyjazdu do Holandii. Lord zmartwił się stanem wzroku najlepszego urzędnika marynarki. Zgodził się na wyjazd Pepysa i nawet tydzień temu zaprowadził go do króla, po najwyższą zgodę. Monarcha także był nadzwyczaj

łaskawy. Nie dość, że na wyjazd zezwolił, to jeszcze nalegał, by pan Samuel przez całe lato dał oczom odpoczywać.

Przy stole w swoim domu Pepys nad papierami i rachunkami smutno rozmyśla nad zaniedbanym wzrokiem. Jak słabe, chore oczy zniosą podróż na kontynent? Czy w Holandii nie będzie aby musiał zajmować się papierami?

Niewesołe rozmyślania przerywa obiad. Jak zwykle w jego domu podany na nienagannie czystym i wyprasowanym obrusie, na zacnej zastawie. Wiele już ciężkich kłótni stoczył o to z żoną. Sam posiłek też zacny, podlany dobrym winem z własnej piwniczki pana Samuela. Nawet panowie lordowie na proszonych obiadach w jego domu zawsze chwalili kuchnię i zwłaszcza tęgie wina.

Po obiedzie Pepys wychodzi w urzędowych sprawach do Whitehall. Ale do urzędu zanadto mu się nie spieszy. Po drodze zagląda do oberży zaprzyjaźnionych z nim Michellów. Dawno nie był tu z wizytą. Nie wstępuje bezinteresownie. Od lat ma wielką ochotę na romans z żoną gospodarza Betty Michell, zadziwiająco podobną do jego żony. Miłe zaskoczenie: w gospodzie zastaje panią Hewlett, matkę Betty, która od razu informuje go, że jej zięć wyjechał z Londynu. Dla Samuela Pepysa te słowa są jak dźwięk trąbki dla myśliwskiego ogara. Każda okazja jest dlań dobra, by sycić się niewieścimi – nie żoninymi bynajmniej – wdziękami. A to pan Samuel, dojrzawszy byłą pannę do towarzystwa swej żony Deborę Willet, wyskoczył z kocza i pognał za nią, zaprowadził do ustronnej piwiarni i tam całował, i pieścił jej piersi; a to składając wizytę u pani Rebekki Jowles, zręcznie wyprowadził ją z pełnego gości salonu na ganek, gdzie całował gospodynię bez umiaru i łakome dłonie zapuszczał pod jej gorset; a to wstąpiwszy do kupcowej Finch po płaszcz, zaczął ją całować, po czym ruszył do domu pani Bagwell, starającej się u niego o dobrą posadę dla męża,

cieśli okrętowego, i bez skrupułów, po krótkich igraszkach, wylądował z nią w alkierzu...

A teraz – nowa okazja! Mąż Betty wyjechał! Pan Samuel ma ogromną ochotę na igraszki. Korzysta z nieuwagi otoczenia, całuje ją, ale o tej porze, w cudzym domu, pod okiem matki, wiele więcej wskórać nie jest w stanie. Nie pomaga nawet to, że oberżysta jest daleko.

Trudno. Pan Samuel rusza do urzędu.

Wieczorem wraca do domu. Zabiera żonę, znajomą i jej przyjaciela do parku, na majowy spacer. Potem zaprasza wszystkich do piwiarni Na Końcu Świata na kolację. Pan Samuel nie jest sknerą, często płaci rachunki za obiady i kolacje w gronie przyjaciół, nawet i kilkunastu. Uwielbia bankiety, a przy ich okazji muzykowanie i śpiew.

Do domu wracają państwo Pepysowie późną nocą. Żona idzie do alkierza, pan Samuel zasiada przy świecy nad kartami swego dziennika. Ogarnia go wielka melancholia. Oto przez te nieszczęsne chore oczy musi poniechać swe ukochane dzieło. Od dziesięciu lat, dokładnie od 1 stycznia 1660 roku, niemal codziennie spisywał szyfrem swoje przeżycia, obserwacje, myśli. Szyfr sam wymyślił – to pewna odmiana stenografowania, do której klucz dobrze ukrył w swoich papierach. W tych paru tysiącach kart jest całe jego dotychczasowe życie – detalicznie opisane miłostki, jasne i ciemne strony pożycia z żoną Elżbietą, zabiegi o karierę, o pieniądze, bezlitośnie krytyczne uwagi o maluczkich i możnych tego świata, króla Jakuba II nie wyłączając, panorama polityczna Anglii w czasie Restauracji, przywrócenia monarchii po latach cromwellowskiej republiki. Powierzać to wszystko papierowi bez szyfrowania byłoby rzeczą nader nierozważną.

Z ciężkim westchnieniem Samuel Pepys bierze pióro i zaczyna ostatnie dwa akapity dziennika:

„Tak tedy kończy się to wszystko, com sądził, że będę jeszcze w stanie własnych używając oczu wpisać do tego dziennika; nie mogę już dłużej czynić tego, com czynił tyle czasu, że aż popsowałem sobie oczy, szkodząc im za każdym bez mała wzięciem pióra do ręki; cokolwiek przeto będzie się działo, muszę tego zaprzestać; tedy postanowiłem odtąd dyktować dziennik zwyczajnym pismem i kontentować się wpisywaniem doń tego jedynie, co może być wiadome całemu światu, a gdyby się coś dyskretnego trafiło (czego nie może być teraz, kiedy moja miłość z Deborą się rozwiała, a moje chore oczy wzbraniają mi wszelkich bez mała uciech), to muszę się postarać, by w dzienniku zostawiano margines, na którym będę mógł tu i ówdzie dać własnoręczną zapiskę sekretnymi znakami.

I tak tedy gotuję się do przyjęcia tego krzyża, co jest prawie jakobym widział się wstępującym do grobu, do czego, jak i do wszystkich dolegliwości mających towarzyszyć mojemu oślepnięciu, racz przygotować mnie, dobry Boże!”.

1 czerwca 1987 ▪ poniedziałek

My jesteśmy krasnoludki!

Czyżby to robota krasnoludków? We wrocławskiej popołudniówce „Wieczór Wrocławia", w rubryce *Pod pręgierzem*, gdzie żurnaliści opisują tzw. zwykłe, ludzkie sprawy (na przykład: „w budynku przy ul. Legnickiej 18 nie zamykają się drzwi wejściowe"), tym razem wezwanie redakcji do zgłaszania zwykłych, ludzkich spraw brzmi dziwnie: „Przykłady złej roboty, shr shr shrd shar shr zaniedbań w funkcjonowaniu służb miejskich administracji itp. to tematy kwalifikujące się do naszej rubryki". Kto to rzęził? Krasnoludki?

Ale przecież krasnoludki mają się spotkać tego dnia o piętnastej na ul. Świdnickiej, a nie w redakcji „Wieczoru Wrocławia"! Od kilku dni po wrocławskich akademikach, zwłaszcza uniwersytetu i Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, kolportowane są odbite na powielaczu ulotki niezależnego ruchu artystycznego Pomarańczowa Alternatywa:

„Krasnale.

Krasnoludek odegrał istotną rolę w historii świata. Istota ta żyjąca w lasach, książkach, żywiąca się mchami, grzybkami i poziomkami jest nieznanym stworzeniem. Obecnie trudno stwierdzić, czy mamy tu do czynienia z ssakami i czy w przypadku krasnoludków można mówić o humanizmie. [...]

Krasnoludkowie pracujący w kopalni, przy wyrębie lasu, opiekujący się królewnami i sierotkami to autentyczny roboczy ludek. Krasnoludek, czyli krasny, znaczy czerwony od czapek ludek, albo inaczej ludek chodzący w czerwonych czapkach, stanowi bardzo aktualny problem światowy i lokalny. [...] Socjalizm w pełni docenił ideę krasnoludków. Już w czasie Wielkiej Rewolucji część Armii Czerwonej, szczególnie konnej Armii Budionnego, przebierała się w czerwone czapeczki, niektórzy dzięki nowej ideologii uwierzyli, że są krasnoludkami. [...] W PRL krasnoludki nie są czymś odosobnionym, pojawiają się często i będą widziane we Wrocławiu, na ul. Świdnickiej koło zegara o godz. 15, 1 czerwca. Krasnoludek może okazać się wielkim mecenasem i przyjacielem drugiego etapu reformy gospodarczej. Niektórzy twierdzą, że krasnoludek może być konsekwencją tej reformy. Będą cię spisywać. Przyjdź. Nie jesteś gorszy od Sierotki czy Królewny. Polska ma przyszłość. Niech żyje surrealizm. Niech rozkwitają światowe siły pokoju w cieniu sztuki wojennej.

Vivat sorbowit!

1 VI godz. 15 ul. Świdnicka k/ zegara (przy Rynku).

Ps. [...] Postaraj się przyjść z własną czapeczką".

Dołączony przepis na czapeczkę jest skromny jak zaopatrzenie sklepów, wymaga zdobycia jedynie paska tekturki, spłachetka czerwonej bibuły i czerwonego pompona lub takiegoż kutasika.

Autorem ulotki jest Waldemar Fydrych, zwany „Majorem", jeden z założycieli w środowisku studenckim, jesienią 1980 roku, Ruchu Nowej Kultury. Fydrych opublikował wtedy *Manifest surrealizmu socjalistycznego*, w którym odkrył wielką tajemnicę realnego socjalizmu: choć opresyjny i wszechwładny, jest nieodparcie surrealistyczny.

Jesienią 1981 roku, w czasie strajków studenckich, Fydrych i Wiesław Cupała, zwany „Rotmistrzem", wydawali gazetkę „Pomarańczowa Alternatywa". Awangardowy biuletyn, którego twórcy nie traktowali poważnie ani strajku, ani samego biuletynu, ani samych siebie, odniósł ogromny sukces. Był odtrutką na politykę uprawianą na studenckim poziomie, na inflację haseł serio, pełnych patosu.

Stan wojenny dla Pomarańczowej Alternatywy był raczej podnietą niż przeszkodą. Wzniosła zaciekłość protestów solidarnościowych, te wszystkie malowane na murach kotwice, generały w czarnych okularach, hasła „Wrona skona" u outsiderów o artystycznych duszach wzbudzają od pewnego czasu znużenie i niesmak.

We Wrocławiu na zamalowanych przez władze solidarnościowych napisach ktoś nocą malował krasnoludki. Bez politycznych haseł, bez ciemnych okularów na nosie. Proste, radosne, czasem z trochę głupawą miną, czasem z kwiatkiem w rączce.

To działała Pomarańczowa Alternatywa.

W 1985 roku pomarańczowi w wielkich różowych czapkach z papieru wyszli w miasto z otwartą przyłbicą. Fydrych i jego przyjaciele, w większości studenci PWSSP, spotkali się na wrocławskim Rynku z tlącymi się tubami z papieru – to była akcja *Zadymianie rynku*. W następnym roku był *Przemarsz garnków*. Rok później Fydrych przygotował *Stonogę* – grupa performerów skonstruowała obudowany kartonem wąż aktywistów, maszerujący przez miasto – do czasu, aż rozmontowała go interweniująca milicja. Na happeningach spotykali się studenci z rozmaitych środowisk opozycyjnych – na czas akcji zawieszali swe sympatie polityczne. Liczyła się sztuka i dobra zabawa.

Przed paroma tygodniami Fydrych, który właśnie kończy studia na historii sztuki, wymyślił kolejne działanie, które, jak ma nadzieję, postawi milicję w trudnej sytuacji. Manifestacja krasnoludków w czerwonych czapkach zmusi funkcjonariuszy do zdejmowania ludziom czapek z głów. Piękny przykład surrealizmu socjalistycznego!

Iwona Tiningeriu, koleżanka Fydrycha, zdobyła deficytowe prześcieradła. „Major" pociął je na trójkąty, a potem we dwójkę w kilku dużych garnkach w mieszkaniu Iwony ufarbowali je na czerwono.

Wyprodukowanie ponad 200 czerwonych czapeczek zajęło kilka dni.

Później Fydrych pracowicie obchodził kolegów po akademiku UI, w którym mieszka, w XX-Latce, i w innych domach studenckich. Przez tydzień namawiał do przyjścia na manifestację krasnali, zbierał pomysły, jak powinna ona wyglądać. Na koniec chętnym do udziału rozdawał po 10, 20 czerwonych czapeczek, by na Świdnickiej wręczyli je przechodniom.

Już o drugiej po południu na Świdnickiej i w przyległej części Rynku pojawia się polonez z tajniakami. W okolicznych zaułkach parkują wypełnione mundurowymi milicjantami nyski. Jak zwykle o tej porze na Świdnickiej jest mnóstwo przechodniów. Jest też więcej niż zwykle dwuosobowych patroli MO. Wtopieni w tłum sympatycy Pomarańczowej Alternatywy, z czapeczkami krasnali schowanymi w kieszeniach, z rozbawieniem obserwują, jak milicjanci legitymują przechodnia, który na swe nieszczęście całkiem przypadkowo włożył dziś czerwoną cyklistówkę. Tajniacy pilnie rozglądają się za prowodyrami nielegalnego zgromadzenia.

Punktualnie o 15.00 z Szewskiej wyłania się niewielki pochód. Na czele kroczy wielki miś, cały obwiązany i oklejony sztucznymi

dolarówkami. Na swoim misiowym nosie ma ciemne okulary, takie w jakich zwykł objawiać się gen. Jaruzelski. W misiu skrywa się student Dariusz Duda, znajomy „Majora", który przygotował z nim święto krasnoludków na Świdnickiej. Za misiem podąża kilka krasnali wielkości typowych studentów, odzianych dość niedbale, na szczęście ze schludnymi czerwonymi czapeczkami na głowach. Krasnale dźwigają wielką tekturową planszę, na której namalowany jest naturalnej wielkości krasnoludek z dziurą zamiast twarzy. Tego dnia na Świdnickiej każdy ma mieć szansę sfotografowania się w ciele krasnala.

Dwaj milicjanci podchodzą do pochodu z planszą. Aresztują planszę. Misio i jego koledzy zmykają w kierunku sporej grupy młodych ludzi, którzy nagle założyli sobie na głowy czerwone czapeczki i teraz wręczają czapki krasnali przechodniom. Jeden z nich rozdaje przechodniom także cukierki toffi, cenny rarytas w mało słodkim czasie II etapu reformy gospodarczej.

Coraz więcej młodych ludzi wyciąga schowane czerwone czapeczki i wkłada je. Grupa studentów z akademika XX-Latka rozdaje czapeczki krasnali w Rynku, pod pręgierzem. Pląsają, a na modłę skandowania „So-li-dar-ność!" podczas solidarnościowych demonstracji, wykrzykują: „Kras-no-ludki-są-na-świe-cie!". Student Jakubczak, w czapeczce, gra na gitarze.

Tłum krasnoludów śpiewa „O mój rozmarynie rozwijaj się...". Bez sensu, ale o to przecież chodzi – PRL jest bez sensu, to kraina surrealizmu socjalistycznego.

„Proszę się rozejść!" – krzyczą przez megafon funkcjonariusze.

Tłum klaszcze.

„Ci, co nie zdejmą czapek, będą legitymowani!!!"

Milicjanci przez krótkofalówkę pytają oficera dowodzącego w komendzie akcją, co mają robić.

Po namyśle pada rozkaz, by krasnale zwijać.

Z bocznych uliczek wyłania się coraz więcej milicjantów, coraz więcej odartych z czapeczek krasnoludków ląduje w nyskach.

Korowód kilkudziesięciu ludzi w czapkach krasnali tańczy i śpiewa: „My jesteśmy Pszczółka Maja...".

Milicjanci zatrzymują „Majora" i paru jego kolegów. Pakują ich do nyski. Ktoś otwiera drzwi nyski z zewnątrz i Fydrych wyskakuje, po czym rozrzuca cukierki. Milicjanci znów go łapią i pakują z powrotem do nyski.

Wreszcie kilka milicyjnych samochodów z zatrzymanymi studentami odjeżdża na komendę milicji. Kilku przebierańców w czapeczkach obrzuca nyski garściami krówek i toffi.

Nagle rozlega się huk.

Drętwieją wszyscy – milicjanci i studenci. Ktoś strzelał? Zamach?

Ale to tylko jeden z przebierańców strzelił z pustej papierowej torby po cukierkach.

Pada deszcz. Zabawa wygasa. Jeszcze tylko milicjanci usiłują złapać misia w ciemnych okularach. Ale miś jest szybszy, umyka pościgowi.

Wieziony na komendę milicji Fydrych jest straszliwie zmęczony i jednocześnie zachwycony akcją. Wreszcie na ulicach Wrocławia ludzie nie rzucali w milicjantów kamieniami, lecz cukierkami, nie krzyczeli: „Gestapo!", lecz „Krasnoludki są na świecie!". Wreszcie pojawiła się sztuka.

2 czerwca 1652 ▪ niedziela

Los Rzeczypospolitej u stóp Rozandy

Późno w nocy dowódcy chorągwi husarskich, chorągwi pancernych, regimentów rajtarii, dragonów, piechoty zdążają do namiotu hetmana koronnego polnego Marcina Kalinowskiego. Wcześniej przybyć nie mogli, walki z Tatarami na przedpolu polskiego obozu wygasły dopiero z nastaniem zmroku.

To już piąty rok kozackiego powstania pod wodzą Bohdana Zenobiusza Chmielnickiego. Po polskich klęskach pod Żółtymi Wodami, Korsuniem, Piławcami, po omal przegranej przed trzema laty bitwie pod Zborowem w zeszłym roku wojska pod wodzą króla Jana Kazimierza rozgromiły siły Chmielnickiego pod Beresteczkiem. Polska szlachta nie chciała jednak bić się dalej i zwycięstwo to nie zostało wykorzystane. Po nierozstrzygniętej bitwie we wrześniu zeszłego roku pod Białą Cerkwią Chmielnicki zawarł drugą już w czasie powstania ugodę z Rzecząpospolitą. Nie ma jednak zamiaru jej dotrzymać. Do wielkiej wojny przeciw Polsce potrzebuje sojuszników. Jednym z nich ma być Mołdawia.

Przed dwoma laty, jeszcze przed bitwą pod Beresteczkiem, Chmielnicki wraz z Tatarami najechał na Mołdawię i zmusił sprzymierzonego z Rzecząpospolitą hospodara Bazylego Lupula do zgody na małżeństwo jego córki, słynnej w połowie Europy z wielkiej urody Rozandy, ze swym synem Tymoszką Chmielnickim. Gdyby małżeństwo to doszło do skutku, Warszawa straciłaby – jedynego wśród sąsiadów – lojalnego sojusznika.

Na wieść o wymuszonej zgodzie Lupula krew zagotowała się w obu hetmanach koronnych: wielkim Mikołaju Potockim i polnym Marcinie Kalinowskim. Mikołaj Potocki wpadł we wściekłość, bo o rękę cudnej Rozandy bezskutecznie starał się Piotr Potocki. A Marcin Kalinowski? Choć liczy już 47 wiosen, sam marzy o ożenku z hospodarówną.

Bazyli Lupu do wydania córki Tymoszce nie kwapił się. Od wczesnej wiosny szykował się do obrony. Gdy pod koniec maja Chmielnicki ruszył z Tatarami na Mołdawię, by siłą dopełnić małżeństwa syna, hetman Kalinowski zdecydował się zlekceważyć wolę króla Jana Kazimierza i na własną rękę, na czele armii koronnej, bronić cnoty Rozandy. Prócz nadziei na jej rękę żywił też nadzieję na buławę wielką, rzecz jasna, po rozbiciu sił Chmielnickiego i ocaleniu Mołdawii.

Doborowe oddziały, które Kalinowski zabrał na wyprawę, były skrajnie wyczerpane, wygłodzone i przerzedzone. Co gorsza, hetman, żołnierz doświadczony, ale pozbawiony wszelkich talentów wodza, popełniał błąd za błędem. Fatalnie wybrał miejsce obozu na uroczysku Batoh, na szlaku wiodącym do Mołdawii. Nie dokończył koncentracji rozproszonych oddziałów koronnych, wskutek czego zebrał pod Batohem ledwie 12-tysięczne siły, dużo słabsze od armii Chmielnickiego. Wreszcie zaniechał porządnego rozpoznania. Skutek jest taki, że gdy polscy dowódcy zbierają się na nocną naradę po pierwszym, nierozstrzygniętym dniu walk z 2 tys. Tatarów pod wodzą Karaczy-beja, wielkie siły Kozaków Chmielnickiego, których Polacy się nie spodziewają, w ciemnościach, skrycie, zajmują pozycje w lesie, na zapleczu obozu Kalinowskiego.

Gen. artylerii Zygmunt Przyjemski, weteran wojny trzydziestoletniej, współtwórca, jako szef artylerii, wiktorii pod Beresteczkiem, proponuje, by hetman wraz z jazdą natychmiast wycofał się do Kamieńca, zebrał resztę wojsk koronnych i szykował odsiecz. On zaś, Przyjemski, z piechotą zmniejszy zbyt duży, praktycznie nieufortyfikowany obóz, usypie porządne szańce i będzie bronił się choćby i dwa miesiące w oczekiwaniu na odsiecz.

Plan jest dobry. To jedyna szansa na ocalenie. Ale dumny Kalinowski odrzuca go – nie będzie byle generał mówił hetmanowi,

co czynić! No i jak będzie wtedy wyglądał hetman w oczach Rozandy i jej papy!?

Na wieść o decyzji Kalinowskiego w obozie powstaje ferment. W wielu chorągwiach jazdy żołnierze postanawiają porzucić hetmana i uciekać. Buntownicy skoro świt wychodzą konno z obozu, na błonia przed rzeką Boh.

Późnym rankiem posłuszna rozkazom hetmana Kalinowskiego część jazdy także wysuwa się przed obóz. Nieopodal popasają zbuntowane chorągwie. Hetman ma nadzieję, że ta część jazdy, która wymówiła mu posłuszeństwo, na widok swoich towarzyszy, dobrych znajomych z wielu pól bitewnych, teraz o rzut kamieniem zmagających się z Tatarami, opamięta się i wspomoże ich w walce. W ten sposób bunt rozejdzie się po kościach.

Część lojalnej wobec hetmana jazdy pod wodzą 25-letniego starosty krasnostawskiego Marka Sobieskiego i doświadczonego wojownika kasztelana czernihowskiego Jana Odrzywolskiego uderza na Tatarów Karaczy-beja, stojących na tych samych błoniach co buntownicy, tylko dalej od polskich armat, a bliżej Bohu. Walka jest zaciekła, kilka setek husarzy i lżej zbrojnych jeźdźców ma spore kłopoty z nieco liczniejszymi czambułami tatarskimi.

Buntownicy stoją bezczynnie o krok od walczących. Nie mają zamiaru przyłączyć się do bitwy, przeciwnie, czekają, aż wierne hetmanowi chorągwie związą walką całość tatarskiej jazdy Karaczy-beja. Wtedy chcą rzucić się do ucieczki w stronę Bohu i wpław przeprawić się na drugi, zbawczy, jak mniemają, brzeg.

Jazda Sobieskiego i Odrzywolskiego bije się twardo i Tatarzy w końcu ustępują.

Zbuntowane oddziały jazdy pojmują, że nie ma już na co czekać, i ruszają w stronę Bohu.

Kalinowski w tej sytuacji powinien pozostawić buntowników własnemu losowi i zająć się wyłącznie obroną obozu.

Ale dumny i mściwy hetman nie myśli logicznie. Dotarły doń pogłoski o planach wydania go przez buntowników Tatarom w zamian za wolną drogę przez Boh, na zachód. Hetman opuszcza wierne mu chorągwie i przechodzi do oddziałów piechoty. Tych może być pewny – odmowa wykonania rozkazu przez żołnierza cudzoziemskiego autoramentu nieuchronnie karana jest gardłem.

Kalinowski popełnia kolejny z długiej listy swoich fatalnych błędów. Piechocie cudzoziemskiego autoramentu rozkazuje strzelać do buntowników.

Dochodzi trzecia po południu. Piechurzy otwierają ogień. Nie mają jednak ochoty na masakrowanie niedawnych towarzyszy broni, często ludzi wpływowych, cieszących się łaską możnych protektorów. Znakomita większość strzela Panu Bogu w okno. Tylko z rzadka kule trafiają któregoś z jeźdźców. Zbuntowana jazda płoszy tabun zapasowych koni wprost na ostrzeliwującą ją piechotę. Na szczęście pędzące konie rozpraszają się przed piechurami, którzy tylko dzięki temu unikają stratowania.

Strzelaninę na przedpolu i uciekające grupki polskiej jazdy Tatarzy widzą jak na dłoni. Ukryci w lesie po przeciwnej stronie obozu Kozacy słyszą tylko palbę. Czambuły tatarskie i pułki kozackie nie mają ze sobą łączności – dzieli je głęboki, niedostępny parów i gęsty las – w sumie dystans co najmniej 3 km. Kozacy jednak, słysząc strzelaninę na czole obozu, trafnie chwytają nadarzającą się okazję i niemal natychmiast rzucają swe siły do szturmu.

Dla Polaków w obozie to zupełne zaskoczenie. Kozacy?! Teraz?! Tutaj?!

Napastnicy dobiegają już do linii obrony, gdy w obozie trębacze wzywają służbę do walki. Kozacy uderzają na chroniące obóz od

strony lasu regimenty piechoty cudzoziemskiej dowodzone przez gen. Przyjemskiego. Obrońcy to zawodowcy, w mig formują szyki. Pod ich gęstym, celnym ostrzałem, wzmocnionym ogniem umiejętnie ustawionych przez Przyjemskiego armat, Kozacy załamują się, cofają, znów ruszają do szturmu, po czym odpływają zdziesiątkowani, jeszcze raz prą naprzód. Mimo trzykrotnej przewagi liczebnej, mimo zaciętości nie są w stanie przełamać linii obrońców.

Od strony rzeki sytuacja od początku wygląda gorzej. Do czambułów Karaczy-beja dołącza z marszu niemal trzykrotnie liczniejsza orda Nuradyn-sołtana. Uciekające w stronę rzeki zbuntowane chorągwie koronne dziesiątkowane są przez chmary Tatarów. Ledwie paru setkom polskich jeźdźców udaje się dotrzeć do Bohu i przedostać na zbawczy drugi brzeg.

Hetman Kalinowski, Marek Sobieski i Jan Odrzywolski na czele wiernych chorągwi wspierają piechotę broniącą linii taboru. Przez chwilę wydaje się, że mimo zaskoczenia i wielkiej przewagi liczebnej wroga obrońcy powstrzymają i Tatarów, i Kozaków. I wtedy w wielkich zapasach furażu wewnątrz linii taborów wybucha pożar. Część piechoty rzuca się do gaszenia, ale ogień przeskakuje na kolejne stosy siana. Ściana ognia oddziela cudzoziemską piechotę pod dowództwem gen. Przyjemskiego od linii taborów od strony rzeki. Żar jest tak wielki, że piechurzy Przyjemskiego muszą opuścić część stanowisk. W lukę wdzierają się Kozacy. Nie biorą jeńców, mordują poddających się i rannych, więc piechota cudzoziemskiego autoramentu bije się do ostatniego żołnierza.

Na błoniach od strony rzeki wśród Tatarów pojawiają się Kozacy. Coraz więcej grup polskiej jazdy, dotychczas stawiających opór uderzeniom Tatarów, na widok potężnego pożaru w obozie rzuca się do ucieczki. Na czele kilkuset piechurów usiłuje uciekać także,

walczący dotąd dzielnie, hetman Kalinowski. Gdy dowiaduje się, że w lesie Tatarzy pojmali jego syna Samuela, zawraca i idzie mu na odsiecz. Szybko dopadają go ordyńcy i sieką na śmierć.

Dowództwo nad frontem płonącego obozu obejmuje nieustraszony Marek Sobieski, ale nic już nie może zdziałać. Grupki jego podkomendnych otaczają Tatarzy, rozbijają i biorą szlachtę do niewoli. Tatarzy mają średniowieczne podejście do walki – pokonany przeciwnik, o ile jest znaczniejszego rodu, może liczyć na darowanie życia, nawet i troskliwą opiekę, bo okup za szlachetnie urodzonych jeńców to, oprócz zysków ze sprzedaży brańców i łupów z grabieży, jeden z najważniejszych powodów tatarskich wypraw.

Polacy, którzy usiłują przeprawić się przez Boh, mają do czynienia z Kozakami. Ci dyszą żądzą mordu, dobijają i topią uciekających. Leniwym nurtem rzeki płyną setki ciał.

Mimo rozbicia zorganizowanej obrony grupki piechoty i spieszonej jazdy bronią się przed Kozakami jeszcze ponad trzy godziny.

Szarzeje już, gdy na pobojowisku przygasają pożary i milknie szczęk oręża.

Tatarzy są szczęśliwi. Schwytali 3,5 tys. jeńców, w znakomitej większości szlachetnie urodzonych, najlepszych żołnierzy Rzeczypospolitej – okup będzie sowity.

Ale Bohdan Chmielnicki spotyka się z Karaczy-bejem. Kusi go złotem, obietnicą oddania Tatarom miasteczek nad rzeką Winogrod i przekazania im, po zdobyciu na Polakach, twierdzy Kamieniec Podolski – wszystko za wydanie mu jeńców. Karaczy chwyta przynętę i wspólnie z Chmielnickim przekonuje do kozackiej oferty Nuradyn-sołtana. Chmielnicki opłaca jeszcze Tatarów nogajskich, słynących z dzikości, by na jego zlecenie wymordowali jeńców.

Rzeź zaczyna się, gdy po bitwie wstaje świt. Nogajcy wyciągają dziesiątki, setki jeńców z tatarskich namiotów i ścinają na łąkach. Krew płynie strumieniami. Nogajcy ścinają syna hetmana Samuela Kalinowskiego, ścinają Marka Sobieskiego. Gen. Przyjemski zaklina Chmielnickiego, by wstrzymał rzeź. Za to tatarscy kaci mordują go umyślnie powoli.

Przez dwa dni giną 3 tys. jeńców. Rzeczpospolita traci kwiat kadry dowódczej wojska i najlepszych żołnierzy. Jej granice stają otworem dla najeźdźców.

3 czerwca 1968 ▪ poniedziałek

Z kogutem czy bez?

Dochodzi 9.00, gdy przed wejściem do nowojorskiego The Chelsea Hotel pojawia się niezbyt atrakcyjna brunetka z gładko zaczesanymi włosami. Dziewczyna ma długą, nieco końską twarz. Choć ranek jest ciepły, na gruby wełniany golf włożyła solidny trencz. Po chwili brunetka wchodzi do hotelu i pyta recepcjonistę o wydawcę Maurice'a Girodiasa. To stały rezydent Chelsea, malutkiej ojczyzny nowojorskich freaków, odjechanych artystów alternatywnej sceny Nowego Jorku, muzyków, malarzy, pisarzy, którzy wybrali ten przedziwny ni to hotel, ni to artystyczną komunę, by żyć i tworzyć w oparach kontestacji wszystkiego, co zwyczajne (i w oparach jointów oraz innych używek, rzecz jasna).

Girodias, mimo profesji uznawanej za szacownie konserwatywną, świetnie do koktajlu rezydentów The Chelsea Hotel pasuje. Urodził się tuż po I wojnie światowej w Paryżu jako Maurice Kahane, syn katoliczki Marcelle z domu Girodias i żydowskiego właściciela

wydawnictwa Obelisk Press Jacka Kahane. Ten bystry biznesmen wydawał w Paryżu po angielsku literaturę erotyczną dla turystów z Wielkiej Brytanii, pozbawionych przez cenzurę na Wyspach dostępu do upragnionych różowych historyjek. Cenzorów francuskich książki po angielsku, choć wydawane nad Sekwaną, nic nie obchodziły. Ten genialnie prosty pomysł uczynił z Kahane'a seniora człowieka bogatego, a z dzieciństwa jego syna raj. Jack Kahane nie był banalnym wydawcą soft porno dla pieniędzy (i autorem, bo sam pisywał niemało pieprznych historii, by nie dzielić się z innymi literatami zyskiem), miał także nosa do nowatorskiej literatury i ambicje, by również i ją wydawać – pod warunkiem że znajdzie się w niej miejsce dla pikantnego seksu. W latach 30. wydał książki Henry'ego Millera i AnaÏs Nin.

Jack Kahane zmarł młodo w 1939 roku. Maurice odziedziczył po matce katolickie nazwisko, które pomogło mu przetrwać w Paryżu okupację, po ojcu zaś wydawnictwo Obelisk Press, uwielbienie dla pornografii (w wieku 15 lat zgrabnie rysował obrazki, na widok których mocniej biły serca nie tylko starszym paniom) oraz instynkt tropiciela wartościowej literatury (pod warunkiem że znajdzie się w niej miejsce na seks).

Parę lat po wojnie Maurice Girodias, pośród historyjek o stających na baczność penisach i rozchylających się waginach, wydał jako pierwszy po francusku *Greka Zorbę* Nikosa Kazantzakisa i *Sexus* Henry'ego Millera.

Czego nie dokonali hitlerowscy okupanci, dokonały wespół dobra literatura i purytańskie władze we Francji. Oskarżony o propagowanie w *Sexusie* Millera okropnych obscenów Girodias co prawda uniknął więzienia, ale został doprowadzony do bankructwa i utracił kontrolę nad Obelisk Press. Gdy paryska policja zniszczyła mnóstwo wydrukowanych już książek i ciągle urządzała

najazdy na biura Obelisk Press, przed pięciu laty Girodias wyjechał do Danii, a wkrótce potem do Stanów. Jego odpowiedzią na kłopoty z cenzurą było stworzenie nowego wydawnictwa Olimpia Press – nie ukrywał, że tytułową Olimpią jest sportretowana przez Maneta paryska kurtyzana – a wkrótce potem kolejnych firm i osobno sygnowanych serii wydawniczych. Instynktu ani ambicji wydawniczych w Stanach nie stracił, publikował wtedy *Lolitę* Vladimira Nabokova, *Nagi lunch* Williama Burroughsa – też zresztą rezydenta The Chelsea Hotel – oraz książki Henry'ego Millera i Samuela Becketta. A także *Historię O* Pauline Reage. Przed dwoma laty jednak szczęście ostatecznie odwróciło się od Girodiasa. Został oskarżony o publikowanie literatury obscenicznej. Nowojorski sąd skazał go na rok więzienia, orzekł 20-letni zakaz prowadzenia działalności wydawniczej i 20 tys. dolarów grzywny. Szokująco surowy wyrok oznaczał bankructwo Girodiasa.

Wśród rezydentów The Chelsea Hotel Girodias jest dziś gwiazdą, męczennikiem w walce z systemem i opresyjnością sytego, zakłamanego społeczeństwa Stanów. Ciągle stwarza pozory, że prowadzi jakieś znaczące firmy wydawnicze, negocjuje nowe projekty (w których, rzecz jasna, bez ostrego seksu ani rusz), za grosze kupuje rękopisy od głodujących, awangardowych literatów. Czasami nawet, gdy czyjś tekst mu się spodoba, na pniu kupuje – za śmieszne sumy – prawa do całej przyszłej twórczości początkującego literata. To jego sprawdzony chwyt biznesowy; parę razy dotkliwie się na nim już przejechał, ale parę razy zarobił w ten sposób, w dobrych latach, fortunę.

W zeszłym roku zaproponował podobny kontrakt pewnej dziewczynie z nowojorskiego undergroundu, która wtedy także była stałą rezydentką The Chelsea Hotel. W zaprezentowanych Girodiasowi krótkich tekstach obsesyjnie obnażała niedolę kobiet

poddanych męskiej opresji, smakowicie przy tym obnażając męskie narządy opresji oraz narządy żeńskie – te od kobiecej niedoli.

32-letnia Valerie Solanas ma powody, by nie lubić mężczyzn. Gdy miała 7 lat, jej ojciec, alkoholik, zwykł zmuszać ją do seksu francuskiego; z czasem bywało jeszcze gorzej. W wieku 15 lat zaszła w ciążę z marynarzem, który na wieść, że ma być ojcem, bez zwłoki ruszył w świat. Valerie zaraz po urodzeniu oddała synka Davida do adopcji i nigdy więcej go nie widziała. Na przekór wszystkiemu zapamiętale uczyła się w *high school*, a potem studiowała na niezłym University of Maryland. Dorabiała na życie w uczelnianym laboratorium zwierzęcym i na ulicy, jako prostytutka. Paskudne przejścia w dzieciństwie z ojcem trwale odcisnęły się na jej psychice. Jako dwudziestoparolatka przestała skrywać lesbijskie preferencje erotyczne. Przed czterema laty napisała autobiograficzne opowiadanie i sztukę *Up Your Ass* (... w twój tyłek), w której kobieta-alfons morduje klienta swej podopiecznej.

Żaden z undergroundowych wydawców, którym Valerie wciskała maszynopis *Up Your Ass*, nie przejawił ochoty wydania tej gniewnej pornografii.

Ostatnią szansą na zrobienie światowej kariery literackiej był dla rozgoryczonej Valerie jej tekst *SCUM Manifesto*. Tytuł mógł intrygować – *scum* to brudna piana, kanalia albo, w nowojorskim slangu, sperma, ale zaczynał się ten manifest nieprzytomnie bełkotliwie: „Tzw. życie w tzw. społeczeństwie jest w najlepszym przypadku skończoną nudą i żaden aspekt »społeczeństwa« w żadnym stopniu nie ma znaczenia dla kobiet, to wszystko, co pozostaje kobietom o nastawieniu obywatelskim, odpowiedzialnym, które szukają wrażeń, to obalenie rządu, zniesienie pieniędzy, wprowadzenie kompletnej automatyzacji

i wyeliminowanie płci męskiej". Dalej w *Manifesto* nie było wcale lepiej.

Najpierw Valerie chciała sprzedać prawa do wydania *SCUM* Barneyowi Rossetowi z wydawnictwa Grove Press. Gdy odmówił, w kwietniu zeszłego roku zaczepiła sąsiada z The Chelsea Hotel Maurice'a Girodiasa. Ten jak zwykle zaryzykował. Ale bez przesady. Podpisał kontrakt z Valerie, nabył prawa do *SCUM Manifesto*, ale wydawać go póki co nie miał zamiaru.

A teraz ta dziewczyna pyta recepcjonistę Chelsea o Girodiasa. Recepcjonista dobrze ją zna i odpowiada, że wydawca wyjechał na cały weekend.

To prawda, ale Valerie Solanas najwyraźniej mu nie wierzy. Wychodzi na zewnątrz, opiera się o mur hotelu i czeka. W papierowej torbie ma automatyczny pistolet kalibru 7,65 mm i małokalibrowy pistolet 5,6 mm.

Niedawno Solanas ukradła znanemu artyście Andy'emu Warholowi jego obraz i wymieniła go z publicystyczną gwiazdą amerykańskiej Nowej Lewicy Davidem Joelem Horowitzem na pistolet. Radykalnie lewicowy Horowitz uznał to za dobry biznes – pytania, po co zapyziałej ultrafeministce broń, nie zadał. Parę tygodni temu Solanas pożyczyła 50 dolarów od Paula Krassnera, publicysty „The Realist" i innych undergroundowych tytułów nowojorskiej sceny artystycznej. Powiedziała wtedy Krassnerowi, że chce zastrzelić Maurice'a Girodiasa, ale on się tym nie przejął – uznał to za pretensjonalną bufonadę, mającą ukryć niewesołą prawdę, że Valerie nie ma za co kupić sobie czegokolwiek do jedzenia. Pieniądze pożyczył, a Solanas kupiła za nie drugi pistolet.

Valerie Solanas z dwoma naładowanymi pistoletami przez trzy godziny czeka przed The Chelsea Hotel na Girodiasa. Około południa traci cierpliwość i przemieszcza się do wydawnictwa

Grove Press. Pyta recepcjonistę o właściciela Grove Press Barneya Rosseta, wydawcę znanego w Nowym Jorku z walki o wolność słowa w kwestii seksu – zwyciężył w prawniczej batalii z nowojorskimi urzędami o prawo do wydania nieocenzurowanej wersji ociekającej seksem powieści D.H. Lawrence'a *Kochanek lady Chatterley* i wydał *Zwrotnik Raka* Henry'ego Millera; jego prawo do publikacji tej książki potwierdzić musiał przed czterema laty Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych.

Ale Rosseta nie ma w biurach wydawnictwa. Już drugi facet schodzi dziś z celownika Valerie.

Został jej jeszcze Andy Warhol.

40-letni artysta, syn przedwojennych łemkowskich uchodźców z północnej Słowacji, stał się ostatnio wielką postacią nowojorskiej sceny artystycznej. Po studiach na wydziale grafiki użytkowej Carnegie Mellon University w Pittsburghu Warhol przeniósł się do Nowego Jorku. Subtelne, uproszczone rysunki tuszem – w tym, po prostu, butów – przyniosły mu w latach 50. sławę świetnego ilustratora czasopism, cenionego twórcy graficznych reklam i duże pieniądze. Kilka lat temu całkiem zmienił swe podejście do tworzenia. Zaczął eksperymentować z sitodrukiem. Technika ta pozwalała realizować jego koncepcję, by masowo produkować dzieła sztuki odwołujące się do symbolicznych produktów amerykańskiej kultury masowej. Miał wyśmienite wyczucie ducha czasu – przed czterema laty jego serigrafie w konwencji pop, z puszkami popularnej zupy pomidorowej Campbell's, z coca-colą, z wizerunkami dolarowych banknotów, wreszcie z twarzą tragicznie zmarłej Marylin Monroe, stały się ikonami pop-artu, a zarazem ikonami tożsamości prostych, niezamożnych Amerykanów. Istotnym motywem w rozmaitych odgałęzieniach twórczości Warhola, który prywatnie jest gejem, są próby konfrontacji

z tradycyjną purytańską obyczajowością i seksualną tożsamością Amerykanów.

Warhol jest do bólu konsekwentny we wdrażaniu swych koncepcji. Skoro sztukę chce produkować, no to zatrudnia coraz więcej asystentów i pomocników, którzy wedle jego wskazówek wytwarzają prace, następnie sygnowane przez mistrza. Rzesza jego asystentów, pomocników, współpracowników, admiratorów zaludnia Fabrykę – artystyczne atelier Warhola. Pomagają mu w produkowaniu grafik, rzeźb, fotografii, undergroundowych filmów (do dziś zrealizował ich 60 z okładem). No i w Fabryce grała do niedawna fantastyczna kapela Velvet Underground, którą Warhol wykorzystywał w swoich projektach. Wszyscy są zafascynowani mistrzem, wręcz ubóstwiają Andy'ego.

W zeszłym roku Valerie zaczepiła Warhola przed Fabryką i wręczyła mu maszynopis *Up Your Ass*. Warhol, z typową dla siebie zjadliwą ironią, pochwalił nieznaną dziewczynę, że tekst napisała na maszynie równo, bardzo ładnie. Maszynopis wziął i obiecał przeczytać. Warhol, który zwłaszcza w swych filmach – z powodu obsceniczności często zatrzymywanych przez policję – obsesyjnie analizował wyparte przez purytańską obyczajowość aspekty seksualności, tekst Solanas uznał za tak hardkorową pornografię, podejrzewał wręcz, iż cała ta sprawa to prowokacja policyjna. I jak to już nieraz bywało, maszynopis *Up Your Ass* zaginął w hałdach papierzysk zalegających Fabrykę. Gdy Valerie, przekonana, że *Up Your Ass* to literackie i intelektualne arcydzieło, zaczęła nachodzić Warhola i żądać pieniędzy, Andy na odczepnego zaproponował jej zagranie w jego filmie *I, A Man* i za epizodyczny występ zapłacił jej raptem 25 dolarów. Gdy Solanas dalej oskarżała go o kradzież arcydzieła, dał jej niemą rolę w *Bikeboy* (Rowerzyście).

Więcej nie chciał już jej znać.

Solanas jedzie do nowej, po przeprowadzce, Fabryki Warhola przy Union Square. Opiera się o mur i stoi. Mija południe, gdy nadchodzi Paul Morrissey, undergroundowy reżyser filmowy współpracujący z Warholem. Paul pyta Valerie, co robi pod Fabryką. Dziewczyna odpowiada, że czeka na Warhola, żeby dostać odeń pieniądze. Morrissey przezornie chce się jej pozbyć i mówi, że dziś Andy'ego w Fabryce nie będzie, ale Valerie odpowiada, że poczeka. O czternastej Solanas wchodzi i wjeżdża windą na piętro, gdzie znajdują się pomieszczenia Fabryki.

Morrissey znów próbuje pozbyć się jej. Tłumaczy, że Andy nie przyjdzie, i brutalnie, nie przebierając w słowach żąda, by się wyniosła. Dziewczyna posłusznie wychodzi z Fabryki, ale dłuższy czas jeździ windą w górę i w dół, chcąc zyskać na czasie i doczekać się Warhola. Wreszcie zrezygnowana wychodzi z budynku i przystaje na rogu Szesnastej Ulicy. Po chwili, kwadrans po czwartej, przed budynkiem, w którym znajduje się Fabryka, zatrzymuje się taksówka, z której wysiada nienagannie wystylizowany Warhol: brązowa skórzana kurtka, czarny T-shirt, czarne dżinsy, czarne błyszczące sztyblety.

Od strony Broadwayu nadchodzi aktualny chłopak Warhola – Jed Johnson.

Solanas podchodzi do Andy'ego, po chwili dołącza do nich Jed i cała trójka wchodzi do budynku. W windzie Warhol zauważa, że Valerie, zawsze niechlujna, nigdy nieużywająca szminki, tym razem zrobiona jest na bóstwo: ma staranny, pełen makijaż.

W pierwszej, niejako biurowej, sali Fabryki za czarnym biurkiem siedzi menedżer Warhola Frederick Hughes. Szczupły, o młodzieńczej, wręcz nieco dziecięcej twarzy, nienagannie ubrany w konserwatywny garnitur z białą poszetką w butonierce, białą koszulę i wąski czarny krawat, 25-letni Hughes sprawia w Fabryce

wrażenie arystokraty, który zabłąkał się do domu wariatów. I po trosze tak jest. Pochodzący z wyższej klasy średniej Frederick w zeszłym roku ukończył historię sztuki na University of St. Thomas w Houston, ale dyplomu nie ma – na ostatnim roku położył kurs teologii. Ta wpadka nie zraziła bajecznie bogatego małżeństwa barona Jeana i Dominique de Menil (z domu Schlumberger), dziedziców teksańskiej naftowej fortuny Schlumbergera. Baronostwo de Menil od lat finansują wydział sztuki uniwersytetu St. Thomas i podczas wizyty na uczelni poznali czarującego studenta Hughesa. Zaprzyjaźnili się z nim, załatwili prestiżową pracę w Alexander Iolas Gallery w Paryżu, która reprezentuje interesy wielkich malarzy Maksa Ernsta i René Magritte'a, i traktując go jako swego artystycznego doradcę, nauczyli nieoczekiwanych, kompulsywnych zakupów wybitnych dzieł sztuki. A za co? Za ich pieniądze. Hughes ma w środowisku amerykańskich kolekcjonerów sztuki ksywkę „Delfin", bo baronostwo de Menil traktują go jak dziedzica swej fortuny.

W zeszłym roku Frederick poznał Andy'ego Warhola na przyjęciu z okazji wernisażu. Obaj wysmakowani kolekcjonerzy od razu przypadli sobie do gustu. Pracę menedżera traktuje Hughes jako życiową przygodę z niezwykłymi artystami – Andym i jego tzw.supergwiazdami.

Frederick właśnie robi notatki z rozmowy telefonicznej, gdy siedzący za identycznym, jak hughesowe czarnym biurkiem Paul Morrissey, znudzony, wysłuchuje przez telefon słowotoku jednej z supergwiazd Warhola – Vivy (czyli Janet Hoffman – aktorki, która zdążyła zagrać w paru undergroundowych filmach wyprodukowanych przez Andy'ego). Viva, szykując się do roli w kolejnej produkcji Warhola, chce ufarbować włosy i siedząc w salonie fryzjerskim, zamęcza przez telefon Morrisseya pytaniami

o kolor fryzury. Udręczony Morrissey robi wściekle znudzone miny, zdesperowany kręci dredy ze swej lwiej czupryny. Między biurkami przechadza się amerykański krytyk Mario Amaya, wydawca pism o sztuce i autor cenionych książek o *art nouveau*. Amaya przebywa od 10 lat w Londynie i ostatnio przygotowuje tam retrospektywną wystawę Warhola. Teraz czeka na Andy'ego, chcąc uzgodnić szczegóły retrospektywy.

Drzwi windy otwierają się i Warhol wkracza do Fabryki. Za nim wchodzą, gawędząc, Valerie i Jed. Fred Hughes wstaje na powitanie zza biurka, Morrissey żartuje z Valerie, że wygląda bosko, ta odcina się dowcipnie i wszyscy się śmieją. W miłej atmosferze Morrissey podaje słuchawkę Warholowi i sam rejteruje do toalety. Teraz Andy wysłuchuje banialuk Vivy. Szybko go nudzą i pokazuje Hughesowi, by podniósł swoją słuchawkę i dalej męczył się z natrętną supergwiazdą.

Wtedy Solanas wyjmuje z papierowej torby trzydziestkę dwójkę. Gdy Warhol odkłada słuchawkę na widełki, Valerie strzela do niego.

Pudłuje.

Amaya krzyczy: „Na ziemię!". Jest pewien, że strzela do nich snajper z innego budynku. Hughes myśli, że w lokalu amerykańskiej partii komunistycznej, dwa piętra nad Fabryką, wybuchła bomba. Tylko Warhol, który widzi Solanas z pistoletem w dłoni, rozumie, co się dzieje. Andy wyskakuje zza biurka i krzycząc: „Nie! Nie! Valerie, nie rób tego!", idzie prosto na nią.

Solanas strzela po raz drugi. I znów pudłuje. Huk drugiego strzału otrzeźwia Warhola, który rzuca się na podłogę i próbuje wczołgać pod biurko Morrisseya. Solanas podchodzi do biurka, papierową torbę, w której przyniosła broń, spokojnie odkłada na blat i uważnie, niemal z przyłożenia, strzela w prawy bok Warhola.

Pocisk przeszywa ukosem klatkę piersiową Andy'ego, krew tryska z ran wlotowej i wylotowej po lewej stronie pleców.

Solanas jest pewna, że zabiła Warhola. Podchodzi do leżącego na podłodze Amayi i strzela z odległości 2 m. Chybia. Mario patrzy w oczy Valerie, gdy ona po raz wtóry pociąga za spust. Pocisk przeszywa mu bok tuż nad biodrem. Ból stawia krytyka na nogi. Amaya wybiega przez podwójne drzwi do kolejnej sali Fabryki. Próbuje zasunąć zasuwkę, ale w panice łamie ją. Blokuje więc drzwi własnym ciałem.

Solanas całkiem spokojnie podchodzi do drzwi pokoju biurowego Warhola, w którym skrył się jego chłopak Jed. Muskularny Jed z całych sił przytrzymuje ozdobną gałkę zastępującą klamkę i Valerie nie jest w stanie sforsować drzwi. Na szczęście nie wpada na pomysł, by strzelić poprzez cienką sklejkę. Paul Morrissey i fotograf Fabryki, bezgranicznie oddany Warholowi Billy Name wybiegają z ciemni i widzą spanikowanego Jeda ściskającego gałkę.

– Valerie zastrzeliła Andy'ego! – krzyczy Jed.

Na odgłos dobijania się Valerie do drzwi Name rzuca się na pomoc Jedowi. Morrissey zmyka do filmowej kabiny projekcyjnej.

Solanas odwraca się i dostrzega następną ofiarę – wypisz, wymaluj z kart jej *Manifesto*. Frederick Hughes jest elegancki, utalentowany, zamożny, ironiczny, no i jest mężczyzną – dosyć powodów, by go zastrzelić. Solanas podchodzi do Fredericka i z odległości metra celuje w jego głowę. Hughes błaga ją o życie.

– Muszę cię zastrzelić – odpowiada spokojnie feministyczna Erynia.

Hughes pada przed nią na kolana.

– Nic ci nie zrobiłem, jestem niewinny. Proszę, nie strzelaj do mnie, po prostu wyjdź.

Nic z tego. Valerie przykłada mu lufę do czoła i pociąga za spust. Broń zacina się. Valerie podbiega do biurka, na którym w papierowej torbie leży pistolet .22. W tej chwili jednak nadjeżdża winda i jej drzwi rozsuwają się automatycznie.

– Jest winda. Valerie, po prostu wyjdź – błaga Hughes.

Valerie wbiega do windy i zjeżdża na dół.

Wszyscy rzucają się do Warhola i krzyczą jeden przez drugiego. Tylko Frederick Hughes zachowuje zimną krew. Na widok zakrwawionego, jęczącego z bólu Andy'ego, zgodnie z naukami z kursów ratowania życia ofiar strzelanin, robi Warholowi sztuczne oddychanie. Daremny trud. Powietrze wdychane do płuc Andy'ego uchodzi przez obie przestrzeliny, powodując ogromny ból.

– Boli – jęczy Warhol.

Hughes rzuca się do telefonu i wzywa pogotowie i policję.

– Nie mogę oddychać – rzęzi Andy.

To agonia i Billy Name wybucha płaczem.

– Billy, nie rozśmieszaj mnie, to za bardzo boli – charczy rozweselony łzami fotografa Warhol.

Reszta obecnych biega po Fabryce jak owce porażone kołowacizną, popłakuje lub wykrzykuje bezsensowne rady.

Dzwoni telefon, odbiera Hughes. To Viva z salonu fryzjerskiego. Rozmawiając przed chwilą z Andym, usłyszała przez telefon wystrzał i dzwoni dowiedzieć się, o co chodzi. Hughes wyjaśnia, że Solanas strzelała do Warhola, że wszędzie jest pełno krwi, i odkłada słuchawkę. Viva uznaje to za typowy dla Fabryki żart i poirytowana, samodzielnie podejmuje jakże trudną decyzję – przed farbowaniem jednak skróci włosy.

Winda nadjeżdża, otwierają się drzwi. Wszyscy zastygają z przerażenia – znowu Solanas? Na szczęście to tylko Gerard Malanga, a z nim Angus McLise, perkusista z pierwszego

składu Velvet Underground, i jego żona. Przyjechali pożyczyć 40 dolarów. Gerard wpada na pomysł, by sprowadzić matkę Warhola Julię. Starsza pani mieszka z synem i prowadzi mu gospodarstwo domowe.

Billy Name układa głowę Warhola na swoich kolanach. Andy dusi się, coraz mniej kontaktuje z otoczeniem. Ranny Mario Amaya zjeżdża windą na parter w poszukiwaniu pomocy.

O 16.15 znów otwierają się drzwi windy i do pierwszej sali Fabryki wbiega dwóch sanitariuszy Emergency Medical Service z noszami na kółkach. Ignorują prośby ludzi Fabryki, by Andy'emu podać środek znieczulający. Przy postrzałach to należy do lekarzy. Nosze nie mieszczą się w windzie i sanitariusze znoszą je wąską klatką schodową częściowo złożone, z jęczącym Warholem w pozycji siedzącej. Po drodze obijają rannego o ściany. Gdy przekładają go do ambulansu, w którym już leży Amaya, Warhol traci przytomność. Kierowca karetki rusza do szpitala. Po chwili mówi do rannego Amayi, że szybciej pojechałby z włączoną syreną i że za 15 dolców mógłby ją włączyć. Mario prosi, by włączył sygnał, i obiecuje mu piętnastkę. Ambulans z wyciem i błyskającym kogutem pędzi jak rakieta.

W Columbus Hospital zespół lekarzy kierowany przez dr. Giuseppe Rossiego o 16.45 rozpoczyna oględziny rannego. Puls zanika, EKG jest niedobre. Lekarze mówią do siebie: „Nie ma szans". Słyszy to leżący w tej samej sali, na stole operacyjnym za przepierzeniem, Mario Amaya. Krzyczy: „Nie wiecie, kto to jest! To Andy Warhol! Jest sławny i bogaty! Stać go na zapłacenie za każdą operację! Ratujcie go!".

Warhol zapada w śmierć kliniczną, ale krzyki Amayi robią swoje. Lekarze w końcu biorą się za operację. Dr Rossi rozcina klatkę piersiową rannego. Ukazuje się istny krajobraz po bitwie: pocisk

przebił na wylot płuco, przełyk, woreczek żółciowy, wątrobę, śledzionę, porozrywał jelita.

Chirurdzy wyciągają Andy'ego ze śmierci klinicznej, zszywają przełyk, jelita, woreczek żółciowy, usuwają rozerwaną śledzionę. Po pięciu i pół godzinach kończą operację. Szanse na przeżycie Andy'ego do rana, wedle lekarzy, są jednak niewielkie.

Po zabraniu Andy'ego przez ambulans w Fabryce zjawia się policja. Tajniacy z 13. posterunku ze smakiem oglądają i komentują porozrzucane wszędzie gejowskie akty młodych mężczyzn. Fred Hughes namolnie dopomina się, by raczej poszukali i aresztowali Valerie Solanas, i w końcu dostaje za swoje – policjanci najpierw tłumaczą mu, że zbierają dowody na miejscu zbrodni, zanim zostaną zadeptane, a potem aresztują go jako podejrzanego. Jako drugiego podejrzanego zatrzymują zapłakanego Jeda Johnsona. W takim miejscu i niesłychanie elegancki mężczyzna, i mężczyzna zanoszący się od płaczu są w wysokim stopniu podejrzani. A co do płci zamachowczyni, to przecież licho wie, co naprawdę skrywa się w majtkach gwiazd nowojorskiej bohemy. Tajniacy, odwaliwszy kawał dobrej roboty, wracają do oglądania aktów.

Wiadomość o zamachu na Warhola podaje radio, zanim jeszcze karetka zajeżdża pod drzwi Columbus Hospital. Dziennikarze i artyści rzucają się do szpitala. W niedużej poczekali kłębią się akolici Warhola, wielkie postacie nowojorskiej sceny artystycznej i reporterzy. Ultra Violet w kostiumie od Chanela, w nienagannym makijażu, wygłasza dziennikarzom swój komentarz: „Przemoc wszędzie wisi dzisiaj w powietrzu". Ingrid Superstar karmi swymi refleksjami innego reportera: „Strzały w stronę Andy'ego były z całą pewnością uderzeniem w rewolucję kulturalną". Supergwiazdy Warhola wywiadów udzielają pod wiszącym na ścianie poczekalni obrazem Najświętszego Serca Jezusowego. Na środku poczekalni

tłumek znużonych artystów Fabryki zajada się kanapkami. Fotoreporterzy trzaskają zdjęcia, łokciami bezceremonialnie wypychają z salki oszołomionych całym tym spektaklem policjantów 13. posterunku.

O 20.00 na Times Square do młodziutkiego policjanta z drogówki podchodzi młoda kobieta w trenczu i mówi: „Poszukuje mnie policja". Z jednej kieszeni wyciąga pistolet .32, z drugiej dwudziestkę dwójkę. Oddaje broń policjantowi i oświadcza, że zastrzeliła Andy'ego Warhola, ponieważ miał zbyt wielką władzę nad jej życiem. Funkcjonariusz skuwa jej ręce na plecach i przez walkie-talkie pyta oficera, co ma dalej robić z takim pasztetem.

Oficer dyżurny działa sprawnie – zanim skuta Valerie wkroczy na 13. posterunek, ustawi się z uśmiechem do zdjęć tłumu fotoreporterów i ogłosi dziennikarzom, że dowiedzą się, o co jej chodziło, dopiero wtedy gdy przeczytają jej *SCUM Manifesto*, tajniacy zwalniają Fredericka Hughesa i Jeda Johnsona.

4 czerwca 1989 ▪ niedziela

Dzień krwi i chwały

O północy czasu lokalnego w szpitalu w Teheranie na atak serca umiera ajatollah Ruhollah Chomeini. Lekarze zdecydowali się operować go, mimo że skończył 89 lat. Wiadomość o śmierci ojca islamskiej rewolucji, który doprowadził do upadku cesarstwa i przez 10 lat sprawował w Iranie właściwie absolutne rządy, rozchodzi się błyskawicznie. O pierwszej w nocy na ulice wychodzi coraz więcej mieszkańców Teheranu. Słychać żałobne zawodzenia i okrzyki: „Dlaczego nas teraz zostawiłeś?!". O drugiej w nocy silne patrole

uzbrojonych po zęby tzw. strażników rewolucji islamskiej zajmują najważniejsze place i skrzyżowania w mieście. W tłumach narasta żałobna histeria.

Późnym rankiem w Teheranie zbiera się irański parlament. Przewodniczący odczytuje duchowy i polityczny testament imama Chomeiniego. Naród zostanie zapoznany z tym dokumentem później, gdy jego przesłanie przeanalizują islamskie elity.

Po południu Rada Mędrców – 70 duchownych szyickich – wybiera nowym przywódcą Iranu prezydenta Alego Chamenei.

Rozgłośnia w Teheranie podaje wspólny komunikat irańskiej armii i strażników rewolucji o gotowości przeciwstawienia się siłą wszelkim spiskom wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Ale prawdziwym problemem dla władz stają się zrozpaczeni po śmierci imama Irańczycy. Ludzie kładą się na chodnikach, krzyczą, zawodzą. Miliony szykują się do udziału w pogrzebie Chomeiniego, za dwa dni, na teherańskim cmentarzu ofiar wojny iracko-irańskiej. Nieokiełznana histeria wybuchnie właśnie wtedy: na oczach 10 mln żałobników rozszaleli fanatycy w walce o całun grobowy imama wyrzucą jego półnagie ciało z trumny na ziemię.

* * *

O pierwszej w nocy czasu lokalnego w Pekinie, w rejonie na zachód od pl. Tiananmen, tłum cywilów cofa się w stronę zachodniego końca alei Nan Chizi i gromadzi się wokół głównej bramy Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Od wschodniej strony miasta nadjeżdża autobus ze znakami Czerwonego Krzyża. Wolontariusze zabierają rannych i autobus rusza dalej. Chwilę później grupa żołnierzy bez ostrzeżenia ostrzeliwuje go z kałasznikowów. Ranni i wolontariusze rzucają się na podłogę. Pociski rozbijają wszystkie szyby. Jeden z wolontariuszy wystawia flagę ze znakiem

Czerwonego Krzyża. Żołnierze przestają strzelać. Jednak gdy tylko autobus rusza, pociski znów dziurawią karoserię. Kierowca ostrożnie, powoli wycofuje pojazd do tyłu. W szpitalu Xicha, na wschód od pl. Tiananmen, jest tylu rannych, że brakuje środków opatrunkowych. Lekarze mówią, że wojsko zabroniło wyjeżdżać karetkom na miasto. Wolontariusze pomagają opatrzyć rannych i ruszają pieszo z powrotem na plac.

Od trzech godzin przez Pekin przebijają się zmotoryzowane kolumny wojska, zmierzając koncentrycznie w stronę opanowanego przez studentów pl. Tiananmen. Trzy godziny temu premier Li Peng rozkazał armii, by do świtu 4 czerwca zajęła plac i usunęła protestujących studentów. W razie stawiania oporu zezwolił na użycie broni bez ostrzeżenia. Chińscy żołnierze już w pierwszych minutach inwazji zmasakrowali tłumy w pobliżu mostu Muxidi, kilka kilometrów na zachód od pl. Tiananmen. Natarcie czołgów i transporterów idzie jednak dość powoli. Ulice Pekinu poprzecinane są barykadami. Zdesperowani cywile obrzucają wojsko kamieniami i butelkami z benzyną.

Tak kończy się siedmiotygodniowa epopeja pokojowej walki chińskich studentów o demokratyczne reformy. 15 kwietnia pierwsi z nich przyszli na pl. Tiananmen, by uczcić pamięć zmarłego tego dnia byłego sekretarza partii, zwolennika reform – Hu Yaobanga. Po trzech dniach studenci rozpoczęli okupację placu pod hasłami demontażu tyranii komunistów. Podjęta parę dni później przez władze próba usunięcia demonstrantów nie powiodła się. W połowie maja studenci na placu rozpoczęli głodówkę. Do ich ruchu dołączać zaczęli inteligenci, pojawili się też robotnicy. Fala demonstracji rozlała się niemal po wszystkich wielkich miastach Chin. Przed dwoma tygodniami władze wprowadziły stan

wyjątkowy, do Pekinu skierowały silne jednostki wojskowe. Demonstranci zatrzymali je jednak na przedmieściach stolicy.

Zmęczenie, poczucie braku szans na zwycięstwo, spory między przywódcami studenckiego protestu przerzedziły szeregi demonstrujących. Ciągle jeszcze wielotysięczne rzesze pozostających na placu z dnia na dzień stawały się coraz bardziej radykalne w swych żądaniach, coraz bardziej zdesperowane. Przed tygodniem studenci Akademii Sztuk Pięknych wyrzeźbili w styropianie kilkumetrową kopię amerykańskiej Statui Wolności. Rzeźba nazwana Boginią Wolności, ustawiona na wprost portretu Mao Zedonga, zawieszonego na bramie Tiananmen, dodała otuchy demonstrantom. Przed dwoma dniami tłumy na placu jeszcze bardziej zelektryzowała i podniosła na duchu wiadomość, że intelektualista Liu Xiaobo, znany piosenkarz z Tajwanu Hou Dejian, socjolog Zhou Duo i dziennikarz Gao Xin rozpoczęli solidarnościową głodówkę.

O 1.15 nad południową częścią pl. Tiananmen robi się widno jak w dzień. Ciężkie karabiny maszynowe prowadzą ogień wysoko nad płytą placu, używając amunicji smugowej. Gdy ta strzelanina na pokaz kończy się, na Qianmen oddziały wojsk lotniczych ruszają ciasną tyralierą w stronę restauracji sieci Kentucky Fried Chicken. Przed restauracją stoi gęsty tłum. W stronę żołnierzy lecą kamienie i butelki z koktajlem Mołotowa. Nikt nie zważa na wycelowane w tłum lufy kałasznikowów. Lotnicy strzelają z odległości kilkudziesięciu kroków. Padają dziesiątki zabitych i rannych. W pawilonie Kentucky Fried Chicken pocisk rozrywa głowę jakiegoś mężczyzny. Jego mózg obryzguje stoliki i ladę.

Nad placem chrypią rozwieszone na szczycie Wielkiej Hali rządowe megafony o wielkiej mocy. O 1.30 władze nadają przez nie *Dekret nr 1 Ludowego Rządu Miasta Pekinu* i *dowództwa stanu*

wyjątkowego. W dekrecie stwierdza się, że „zamieszki przekształciły się w kontrrewolucyjną rebelię", a pl. Tiananmen stał się targowiskiem bzdurnych plotek. Spiker żąda, by wszyscy znajdujący się na placu natychmiast opuścili go. Kto się nie podporządkuje, zostanie usunięty za pomocą wszelkich środków.

Nikt z 30 tys. obecnych na placu protestujących cywilów nie ma cienia wątpliwości, co oznaczają owe „wszelkie środki". Ale na Tiananmen ciągle przychodzą tłumy mieszkańców Pekinu, by wesprzeć studentów.

Przed trybuną, z której władze odbierały oficjalne parady, pojawia się duży oddział piechoty. 18-letni student Szkoły Wychowania Fizycznego Zhang Jian, jeden z członków pikiety broniącej części placu, gdzie znajdowała się trybuna, podchodzi do dowodzącego oddziałem oficera i głośno mówi: „Armia Ludowa kocha lud!". Oficer wyciąga pistolet i z odległości 10 m trzy raz strzela studentowi w nogę. Koledzy odciągają rannego i zanoszą do autobusu linii 121, by odwieźć go do szpitala. Autobus jest teraz właściwie czymś w rodzaju ambulansu. Na podłodze leżą ciężko ranni. W drodze do szpitala umiera trzech z nich.

Ciężkie walki toczą się wokół placu, także w dalszych dzielnicach i na przedmieściach. Żołnierze strzelają to cywilów jak do kaczek; celują tak, by zabić. Giną setki ludzi. Rozwścieczeni cywile atakują ich, używając kamieni i butelek z benzyną. Gdy rzucają je z okien domów, wojsko strzela z karabinów maszynowych po oknach i balkonach. Gdzieniegdzie cywilom udaje się w ciemnościach, w zamęcie walki dopaść grupkę żołnierzy, podpalić czołg, transporter opancerzony. Tej nocy nie ma litości. Kilkudziesięciu żołnierzy i oficerów zostaje żywcem spalonych.

W szpitalach pojawiają się patrole wojskowe. Władze chcą zapobiec prowadzeniu przez lekarzy spisów zabitych i rannych.

W szpitalu Tongren lekarze nie wykonują poleceń wojskowych – ci otwierają do nich ogień z kałasznikowów.

Na pl. Tiananmen ciągle jest w zasadzie spokojnie. O trzeciej w nocy czworo głodujących przywódców protestów zdaje sobie sprawę, że plac otoczyło wojsko. Tylko południowa strona nie jest zablokowana. Zewsząd dochodzą odgłosy gwałtownej strzelaniny. Przywódcy przekonują demonstrantów, że kontynuowanie oporu nie ma sensu, skończy się nadaremnym rozlewem krwi. Liu Xiaobo perswaduje: „Dzieciaki, nie ma powodu ponosić dalszych ofiar".

Ale niektórzy ze studentów nie chcą się poddawać. W czasie kłótni wychodzi na jaw, że przy pomniku Bohaterów kąpani w gorącej wodzie studenccy rebelianci schowali karabin, kilka pistoletów, ręczne granaty domowej roboty zrobione z puszek po piwie. Czworo głodujących przywódców odbiera ten arsenał i ukrywa w zalegających wszędzie śmieciach.

Hou Dejian i Zhou Duo konsultują się z lekarzami z ambulansu – który dotarł pod pomnik Bohaterów jeszcze przed zablokowaniem ulic przez wojsko – jak uchronić tysiące studentów przed masakrą. Lekarze radzą, by rozmawiać z dowódcą oddziałów otaczających tłumy wokół pomnika. Hou Dejian i Zhou Duo wsiadają z dwoma lekarzami do ambulansu. Karetka wolno rusza w stronę szpalerów żołnierzy.

Obaj przywódcy studentów wysoko w górze trzymają białą chustkę. Żołnierze grożą, że ich zastrzelą, ale na szczęście zbliża się oficer z trzema gwiazdkami na mundurze. Oficer żąda, by natychmiast przerwano strajk głodowy. Hou i Zhou oświadczają, że strajk właśnie został zakończony. Proponują oficerowi, że wszyscy studenci wyjdą z placu pod warunkiem otrzymania gwarancji bezpieczeństwa. Wojskowy telefonuje do zwierzchnictwa i uzyskuje zgodę na warunki parlamentariuszy.

Hou Dejian wraca pod pomnik Bohaterów. Większość studentów karnie ustawia się w kolumny, które ruszają w stronę nieobsadzonego przez wojsko południowo-wschodniego krańca placu. Część studentów śpiewa *Międzynarodówkę*.

Wielu żądnych walki, nielękających się śmierci protestujących ociąga się jednak z wymarszem. Punktualnie o czwartej gasną światła wokół Tiananmen. Wojsko liczy, że studenci nie wytrzymają tej psychologicznej presji. Po 40 minutach światła zostają włączone i od północnego krańca placu rusza w kierunku pomnika szpaler żołnierzy. Za nimi posuwają się transportery opancerzone i czołgi. Miażdżą wszystko, co pozostało na placu: puste już namioty, kartony, śpiwory. Jeden z czołgów obala i miażdży Boginię Wolności.

Ale kilka tysięcy najbardziej zdeterminowanych studentów nie chce odejść od pomnika. Hou Dejian nadaremno przekonuje ich, że to jedyna sensowna decyzja.

O piątej nad ranem dowódca jednostek operujących na placu daje ostatnim okupującym otoczenie pomnika Bohaterów studentom ultimatum. Mają w ciągu trzech minut odmaszerować w stronę alei Qianmen. Studenci z południowej strony pomnika wychodzą w zwartej grupie. Na Qianmen usiłują, tak jak przed dwoma godzinami tysiące ich kolegów wychodzących jako pierwsi, rozproszyć się i ukryć przed oprawcami w mundurach. Nic z tego. Żołnierze biją ich kijami, wyłapują część z nich, do niektórych strzelają.

Większość z liczącej ok. 3 tys. osób grupy studentów po północnej stronie pomnika nie chce odejść. Słychać tam krzyki i pojedyncze strzały, które szybko przechodzą w trwającą pół godziny huraganową kanonadę broni maszynowej.

O 6.00 nad placem zapada cisza. Widać tylko wojsko. Odgłosy zaciętych walk dochodzą za to z innych części miasta.

Po opanowaniu placu przez armię rzecznik rządu Yuan Mu ogłasza oficjalnie: „Nikt nie zginął na Tiananmen!".

* * *

W Baszkirskiej Republice Autonomicznej w Federacji Rosyjskiej mija północ. Pociąg osobowy z Nowosybirska na Syberii do uzdrowiska Adler nad Morzem Czarnym zbliża się do miejscowości Ulu-Tajak. Większość pasażerów to dzieci jadące na kolonie letnie. Maszynista pociągu widzi przed sobą światła pośpiesznego relacji Adler–Nowosybirsk. Oba pociągi mijają się właśnie tu, niedaleko Ulu-Tajak, w wąskiej dolinie między szczytami gór. Wychylony maszynista pociągu z Nowosybirska już ma się schować do wnętrza lokomotywy, gdy wyczuwa w powietrzu dziwny zapach. To... to przecież gaz! Ale gaz tu, daleko od fabryk, od dużego miasta? Maszynista zaczyna hamować, daje znaki kolegom z pociągu z Adlera, by się zatrzymali. Oba składy zwalniają, zbliżają się do siebie, zaczynają się mijać. Wtedy ciemności nocy rozświetla straszliwa eksplozja o mocy 10 kiloton trotylu.

W odległości 1300 m od torów przebiega nitka gazociągu. Z uszkodzonej rury od pewnego czasu wydobywał się płynny gaz ziemny. Nikt z obsługi tego nie zauważył. Silny wiatr rozwiewał odparowany gaz. Ale od kilku dni pogoda jest bezwietrzna. Gaz zbierał się w dolinie tak długo, aż zasnuł gęstym welonem całe jej dno. Wystarcza jedna iskra z któregoś z pociągów.

Straszliwa fala uderzeniowa kładzie wszystkie drzewa w promieniu 4 km. Oba pociągi zamieniają się w kupy poskręcanego od wielkiej temperatury żelastwa. Płonie kilkadziesiąt hektarów lasu. Nad doliną rośnie ogromny grzyb dymu i pyłu – jak

po wybuchu atomowym. Z 1198 pasażerów obu pociągów 137 ginie w eksplozji. W dymiących zgliszczach umierają następni.

Jako pierwsze nadlatują na ratunek śmigłowce z pomocą medyczną z Czelabińska. Gdy z miast Asza i Sim na miejsce katastrofy docierają karetki, ofiar śmiertelnych jest już dwa razy więcej niż chwilę po eksplozji. W helikopterach i w karetkach umierają kolejne 53 osoby. Do szpitali trafia ponad tysiąc ciężko poparzonych ofiar. Mimo pomocy lekarskiej w szpitalnych łóżkach umierają kolejni ranni. Eksplozja gazu w sumie pociąga niemal 600 ofiar śmiertelnych. To druga co do wielkości katastrofa kolejowa w historii świata.

Sekretarz generalny KPZR Michaił Gorbaczow jeszcze w nocy wylatuje do Ulu-Tajak.

Nad ranem z całego świata nadchodzą do Moskwy propozycje pomocy medycznej i humanitarnej dla ofiar. W epoce Chruszczowa czy Breżniewa takie oferty pomocy z Zachodu Kreml odrzuciłby z powodów ambicjonalnych. Na szczęście teraz jest czas pierestrojki. Moskwa przyjmuje każdą pomoc. Do Baszkirii lecą nawet specjaliści od leczenia oparzeń korpusu medycznego armii izraelskiej.

Katastrofa w Ulu-Tajak nie przerywa obrad Rady Związku Rady Najwyższej ZSRR, jednej z dwóch izb nowo wybranego sowieckiego parlamentu. Wczoraj Michaił Gorbaczow stwierdził na posiedzeniu Rady Związku: „Teraz, gdy pierestrojka przekładana jest na język praktyki, napotykamy wiele poważnych problemów".

Mało powiedziane.

Przedwczoraj z trybuny zjazdu sowieckich deputowanych akademik prof. Andriej Sacharow nazwał wojnę w Afganistanie „przestępczą awanturą":

„Nie wiadomo, kto ponosi odpowiedzialność za to ogromne przestępstwo naszej ojczyzny. Była prowadzona wojna na wyniszczenie przeciw całemu narodowi, zginął milion ludzi. To nasz straszliwy grzech. Występowałem przeciw wprowadzeniu naszych wojsk do Afganistanu i dlatego zostałem zesłany do Gorkiego".

Prof. Sacharow upomniał się też o sowieckich jeńców pozostających w rękach Afgańczyków. Gdy zażądał, by ZSRR jako wstęp do rozmów o uwolnienie jeńców uznał afgańskich partyzantów za pełnoprawnych obrońców swojej ojczyzny, z trybuny zaatakowali go deputowani, oficerowie armii, z marsz. Siergiejem Achromiejewem na czele.

Katastrofa w Baszkirii, spory i awantury na pierestrojkowym zjeździe deputowanych to nie jedyne zmartwienia Gorbaczowa. Gdy generalny sekretarz KC odwiedza nad ranem ciężko poparzonych w szpitalu w Czelabińsku, w kilku miastach obwodu fergańskiego Uzbeckiej SSR wybuchają zamieszki i walki między Uzbekami i Turkami meschetyńskimi. Rozjuszeni mieszkańcy obu narodowości napadają na siebie, podpalają domy, samochody, sklepy. Część napastników jest uzbrojona. W strzelaninach ginie kilku milicjantów, są zabici wśród cywilów. Lokalne władze są zupełnie bezradne.

* * *

Za oknami polskiego konsulatu w Nowym Jorku robi się jasno. Na dywanie, w sali na piętrze, leży mąż zaufania Solidarności Piotr Stasiński. Leży, bo nie ma siły liczyć głosów na stojąco. Na nogach jest od ponad 30 godzin.

Stasiński, adiunkt w Instytucie Badań Literackich, w podziemiu był współtwórcą i dziennikarzem tygodnika „Wola". W styczniu tego roku przyjechał do redakcji wychodzącego w Nowym Jorku

„Nowego Dziennika” jako stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej. Na wieść o wyborach w kraju zorganizował, wraz z przebywającymi w Stanach dziennikarzami Józefem Ruszarem i Andrzejem Krajewskim, komitet wyborczy Solidarności. Przez wiele dni aktywiści komitetu objeżdżali skupiska Polonii w stanach Nowy Jork, New Jersey, Connecticut i Pennsylvania. Na dziesiątkach wieców rozdawali wydane przez siebie znaczki V*ote Solidarity*, opowiadali o zmianach w Polsce, zachęcali do głosowania. Trafili do wszystkich polonijnych agencji turystycznych, sklepów, restauracji. Szefowie polonijnych firm turystycznych za darmo, bez żadnej biurokracji, zorganizowali wyborcze linie autobusowe z Greenpointu na Brooklynie i z Connecticut.

Stasiński dostał z Warszawy podpisane przez Zbigniewa Bujaka zaświadczenie, że jest mężem zaufania Solidarności w komisji wyborczej w Nowym Jorku.

Gdy był już pewien, że na głosowanie do konsulatu przyjedzie nie kilkudziesięciu Polonusów – jak dotychczas bywało – lecz zjawią się ich tysiące, wystarał się, mimo obstrukcji przysłanego z Warszawy przewodniczącego komisji wyborczej, o powołanie drugiej komisji w gmachu konsulatu. Gdyby pracowała tylko jedna komisja, setki ludzi nie zdążyłyby zagłosować. Przedstawicielem Solidarności w drugiej komisji została Celina Imielińska, naukowiec pracujący na jednym z amerykańskich uniwersytetów.

W konsulacie, jak i w innych placówkach dyplomatycznych, na statkach, w misjach wojskowych, głosowano dzień wcześniej.

Wczoraj już wczesnym rankiem przed konsulatem rozwinął się wąż setek Polonusów. Dla nowojorczyków kilometrowa kolejka była czymś tak szokującym, że wkrótce zjawili się reporterzy lokalnych stacji telewizyjnych. Na zewnątrz, w kolejce, panowała atmosfera radosnego pikniku. Gorzej było w środku. Przed obliczem

obu komisji pojawiali się Polonusi, którzy jako jedyny dokument potwierdzający ich polskość pokazywali dipisowskie papiery z Niemiec z końca lat 40. albo jakieś przedwojenne zaświadczenia ich rodziców. Urzędnicy konsulatu zasiadający w komisji na takie dowody polskości mocno się krzywili, ale Stasiński i Imielińska twardo postawili na swoim – choćby jeden polski kwitek poparty szczerą chęcią bycia Polakiem wystarczał, by można było głosować.

Była to zapewne najszybsza i najbardziej liberalna weryfikacja narodowościowa na świecie.

Ci, którzy oddali głos, szli na wielki festyn wyborczy Solidarności w nieodległych salach New York University. Uczelnia udostępniła je za darmo. Na festynie wystawiali swe prace polscy plastycy z nowojorskiej kolonii artystycznej, w tym Andrzej Dudziński i Janusz Kapusta, grali polscy muzycy z pianistą Adamem Makowiczem na czele. Było swojsko i radośnie, także dlatego że po kątach zdrowo lała się wódka.

Głosujących przyszło tylu, że komisje przedłużyły pracę o godzinę, do dwudziestej trzeciej.

Jako jeden z ostatnich głosujących zjawił się były sekretarz KC PZPR Stefan Olszowski, teraz emeryt mieszkający w Queens. Olszowski liczył na to, że w godzinę po zamknięciu lokalu wyborczego zdoła dyskretnie, niezauważony, oddać głos na Jerzego Urbana, do niedawna rzecznika rządu, teraz prezesa Radiokomitetu. Urban kandyduje w śródmieściu Warszawy. Kandydatom w tym okręgu zaś przypadały głosy Polaków za granicą.

Piotr Stasiński leży na konsulatowym dywanie i przekłada głosy na dwa stosy. Karty z głosami na kandydatów Solidarności to istna papierowa góra. Malutki stosik głosów oddanych na Jerzego Urbana wygląda przy niej żałośnie.

* * *

W Gdańsku, po porannym głosowaniu, Lech Wałęsa spotyka się z dziennikarzami. Na pytanie, jaki przewiduje wynik wyborów, szacuje, że prawdopodobnie będzie to 25 proc. w Sejmie i 60–70 proc. w Senacie.

– Za mało było czasu na kampanię – wyjaśnia.

Pytany, jak będzie wyglądał w przyszłości system polityczny w Polsce, odpowiada, że trudno ocenić, jaki komunizm będziemy mieć za 20 lat.

* * *

Dziennikarz prasy podziemnej Konstanty Gebert, formalnie nigdzie niezatrudniony, na głosowanie wychodzi z całą rodziną: żoną Małgosią, jedenastoletnim Jasiem, dziesięcioletnią Zosią i czteroletnim Szymkiem. Gebert nie wyklucza, że zaraz po wyborach na ulice znów wyjadą czołgi. Dzieci zabiera, bo chce, żeby miały jasne, ważne wspomnienie z dzieciństwa.

Cała piątka ma przypięte znaczki *S* – resztki ze zbieranej pracowicie przez sześć lat przez Geberta kolekcji znaczków podziemnej Solidarności. Przed pięcioma miesiącami, po tragicznym trzęsieniu ziemi w Armenii, znajomi i nieznajomi znieśli do mieszkania Gebertów górę ubrań i butów jako dary dla Ormian. Gebertowie pakowali je w paczki i wysyłali. W ostatniej chwili Konstanty zaczął w zakamarki ubrań upychać znaczki ze swojej kolekcji, by obdarowani wiedzieli, że to od Solidarności.

Ostatnią garść znaczków Gebert bierze teraz ze sobą – dla znajomych, którzy znaczków nie będą mieli.

Ale znajomi jakby się umówili. Wszyscy paradują ze znaczkami.

Po drodze Gebert z dumą ogląda porozlepiane na murach plakaty wyborcze Solidarności. Wczoraj późnym wieczorem dowiedział się, że właśnie z drukarni we Włoszech przyjechały plakaty – wariacja na temat słynnej sceny z Gary Cooperem z westernu *W samo południe*. Teraz Cooper jako szeryf zamiast rewolweru trzyma kartkę wyborczą Solidarności.

Gebert razem z kolegami rozlepił w nocy pokaźny pakiet plakatów na Okólniku, o krok od swojego mieszkania. Jeden nakleił na budynku, w którym ulokowany jest lokal wyborczy. Przez chwilę nawet myślał, że tak nie wypada, przecież było już po północy, obowiązywał zakaz agitacji, ale w końcu machnął ręką.

Na ulicy wszyscy są uśmiechnięci. Nieznajomi kłaniają się sobie, ustępują miejsca.

Na ten widok Geberta opuszczają złe myśli.

– O kurczę, my to wygramy – zaczyna wierzyć.

* * *

Wczesnym rankiem w krakowskim hotelu Forum kończy śniadanie sześciu Amerykanów. Pięciu z nich to senatorowie oraz członkowie Izby Reprezentantów. Szósty, James Denton, jest prezydentem National Forum Foundation, organizacji pozarządowej zajmującej się wspieraniem demokracji w Europie i w Azji. To nieformalna misja amerykańskiego Senatu i Izby Reprezentantów, mająca skontrolować przebieg wyborów w Polsce. Zaprosiła ją kierowana przez Zbigniewa Romaszewskiego Komisja Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność".

Amerykanie i opiekujący się nimi emigrant z roku 1985 Wojciech Modelski mieli przylecieć przed trzema dniami, ale żaden z nich nie dostał peerelowskiej wizy. Po interwencji na wysokim szczeblu

Warszawa wizy przyznała – na trzy godziny przed odlotem samolotu ze Stanów.

Po śniadaniu goście dzielą się na trzy grupy. W każdej jest dwóch Amerykanów, polski tłumacz, kierowca z samochodem, w razie potrzeby jeszcze student lub dwóch do pomocy. Jedna ekipa rusza kontrolować lokale wyborcze w Mielcu i Tarnobrzegu, dwie pozostałe rozpoczynają objazd komisji wyborczych w Krakowie. Pobyt amerykańskich parlamentarzystów przygotowali krakowscy studenci, działacze ruchu Wolność i Pokój. Kontrole przebiegają ściśle wedle ustalonego planu. Po wejściu do lokalu wyborczego tłumacz przedstawia gości przewodniczącemu komisji, potem Amerykanie wypytują go o przebieg głosowania, upewniają się dokładnie, czy nie było żadnych incydentów.

Tylko James Denton zna Polskę. Ale i on, i pozostali Amerykanie są zszokowani uprzejmością i otwartością członków komisji wyborczych. Spodziewali się szykan, awantur, kto wie, czy nie próby aresztowania, a tu nic z tego. Po każdej wizycie w komisji wyborczej senatorowie i deputowani zatrzymują się przed wyjściem. Z pomocą tłumacza pytają wychodzących, czy głosowali zgodnie ze swym sumieniem, czy nikt nie naciskał na nich, nie sugerował, kogo mają skreślać, czy mogli dokonywać skreśleń w ustronnym miejscu. Indagowani z uśmiechami odpowiadają, że wszystko było OK, radośnie pokazują znaczki *S* w klapach i rozstawiają palce w znaku V, zwycięstwa.

W mieszkaniu Zbigniewa Fijasa przy telefonie czuwa Wojciech Modelski. W razie jakichkolwiek trudności bezpośredni opiekunowie Amerykanów mają dzwonić do niego, a on powinien interweniować w amerykańskim konsulacie.

Ale żadnych kłopotów nie ma.

Jest tak radośnie i tak poprawnie, że aż nudno. Studenccy opiekunowie wpadają na szatański pomysł – a gdyby tak amerykańscy senatorowie spróbowali skontrolować komisję wyborczą w jednostce ZOMO w krakowskich Toniach? To duża jednostka, kilkuset głosujących i władze powołały tam zamknięty obwód wyborczy. W koszarach ZOMO wreszcie musi wybuchnąć jakaś grubsza draka!

Wartownicy ZOMO senatorów nie wpuszczają. Są jednak ujmująco grzeczni. Tłumaczą, że to jednostka zmilitaryzowana, obwód zamknięty, więc sami panowie rozumieją – obcokrajowców wpuszczać nie można. Tak jest przecież w każdym kraju.

Amerykanie kiwają głowami i wracają do taksówki.

* * *

W Gdańsku dwaj studenci, bracia Jacek i Jarosław Kurscy, wsiadają rano do swoich samochodów. Jacek do zdezelowanego fiata 125 kombi w charakterystycznym kremowym kolorze. Kiedyś była to karetka pogotowia. Jacek Kurski kupił ją w zachodnioniemieckim szrocie za marki zarobione na saksach. Jarosław wsiada do białego pordzewiałego małego fiata. Obaj mają w kieszeni zaświadczenia, że są dziennikarzami wydawanego przez Region Gdański „S" „Tygodnika Wyborczego".

Ruszają na objazd komisji wyborczych w Trójmieście. Ale nie dzieje się nic godnego uwagi, żadnych sensacji, żadnych incydentów.

Po południu bracia ruszają razem dużym fiatem do Skarszew. Chcą zobaczyć, jak głosują Kaszubi. Ale tu też nie ma sensacji. Kaszubi, katolicy, od kilkuset lat wrośnięci w tę ziemię, głosują na „S". Wszędzie spokój. Prawdę mówiąc, nie ma o czym pisać.

Bracia Kurscy wpadają na pomysł, by odwiedzić powiatową komendę milicji. Nie ma tam żadnej komisji wyborczej, ale oni mają z milicją swoje porachunki. Podczas poprzednich, oficjalnych wyborów, zbojkotowanych przez podziemną „S", obaj kupili mnóstwo drobnych monet i obrzucali nimi głosujących idących do lokalu wyborczego przy ul. Karłowicza. Skończyło się to zgarnięciem do nyski i zatrzymaniem do nocy na komendzie.

Teraz chcą, zbrojni w papier z pieczątką „S", wejść do jaskini przeciwnika. Jeśli milicjanci ich nie wpuszczą albo zrobią awanturę – będzie o czym pisać. Ale funkcjonariusze miło zapraszają do środka. Pod ścianami stoją pleksiglasowe tarcze do użytku przy zwalczaniu demonstracji, na stołach leżą długie pały. A milicjanci w tej scenerii ze zrozumieniem kiwają głowami nad zaświadczeniem gości, uprzejmie odpowiadają na pytania dwóch studentów.

Kurscy wychodzą oszołomieni. Czują, że nic już nie będzie tak jak dawniej.

* * *

Amerykańscy obserwatorzy wyborów kończą w Krakowie swą pracę o dziewiętnastej i wracają do hotelu. Chcą się porządnie wyspać. Jutro wraz z Wojciechem Modelskim lecą z powrotem do Stanów. Ale Modelski nie kładzie się spać. W mieszkaniu Zbigniewa Fijasa wraz z działaczem pacyfistycznego Ruchu Wolność i Pokój Bartłomiejem Sienkiewiczem pogryza kanapki i pije czystą toasty za pomyślność w wyborach.

Jan Rokita i Fijas objeżdżają w nocy obwodowe komisje wyborcze w Krakowie i zbierają wstępne informacje o wynikach. Gdy wracają do Modelskiego i Sienkiewicza, Rokita jest przekonany, że Solidarność odniosła wielkie zwycięstwo. Tak wielkie, że władza za żadne skarby go nie uzna.

Rokita dzwoni do zastępcy redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego" Krzysztofa Kozłowskiego. Alarmuje: zwycięstwo w wyborach jest tak wielkie, że wszyscy czterej powinni szykować szczoteczki do zębów. Ani chybi jeszcze tej nocy wszystkich zgarnie milicja.

* * *

W nocy w redakcji „Neues Deutschland" we wschodnim Berlinie do druku idzie tylko neutralna, malutka notatka o odbyciu się w Polsce wyborów parlamentarnych. Ani słowa o ich przebiegu, o przewidywanych rezultatach. O rzeczywistym sensie wyborów mówi tylko zdanie, że 35 proc. miejsc w Sejmie przeznaczonych jest dla kandydatów organizacji innych niż PZPR, w tym kandydatów OPZZ i Komitetu Obywatelskiego „Solidarności". Relacje enerdowskich korespondentów z Polski przeznaczone są tylko do wiadomości władz.

* * *

Propagandyści w redakcji „Rudeho Prava" w Pradze mają wieczorem ten sam orzech do zgryzienia co ich koledzy z „Neues Deutschland" – jak zgrabnie nie zauważyć polskich wyborów. Notkę *Wybory w Polsce* dają na 7 stronę. „W Polsce odbyły się wybory. Ich główną cechą charakterystyczną jest bardzo mała frekwencja. Jak donoszą z Polski, opozycja wyłącznie prze do konfrontacji. Korespondent Pavel Minarik pisze, że rozmawiał przed komisjami z wyborcami: starsi wybierają sami, ale młodzi dają sobą manipulować".

W Warszawie już po południu nie ma wątpliwości, że frekwencja jest dość wysoka i zapewne przekroczy 60 proc. Z drugiej strony jednak, te 60 proc. to bardzo mało dla kogoś, kto brał udział

wyłącznie w wyborach komunistycznych, w których frekwencja oficjalnie nie spadała nigdy poniżej 98 proc.

* * *

W moskiewskiej „Prawdzie" inaczej – do druku idzie wieczorem całkiem spory materiał o wyborach podpisany przez warszawskiego korespondenta Staruchina.

Sowiecki dziennikarz odnotowuje, że w wyborach, nazywanych „demokratycznymi" i „konkurencyjnymi", rzeczywiście może startować każdy, kto zdoła zebrać 3 tys. podpisów na swej liście, i że nikt nie ma gwarancji miejsca w parlamencie. Opisuje kampanię wyborczą i przyznaje, że najskuteczniej zabiegała o poparcie dla swoich kandydatów Solidarność. Skrupulatnie odnotowuje, że najwięcej, bo 16, kandydatów na jeden mandat przypada w okręgu nr 42 w Kielcach.

Sowiecki dziennikarz przytacza opinię przewodniczącego komisji wyborczej na warszawskiej Ochocie o tym, że zgodnie współpracują w niej członkowie PZPR, OPZZ i ludzie Solidarności. Opisuje, bez agresji i złośliwości, jak przed jedną z komisji młodzi ludzie instruują idących do urn, jak trzeba głosować na kandydatów Solidarności. Sowiecki korespondent jest bardzo dobrze poinformowany – zauważa, że zlekceważenie kampanii przedwyborczej przez dotychczasowe partyjne autorytety może je drogo kosztować.

Na koniec dodaje garść rytualnych oskarżeń pod adresem Stanów Zjednoczonych i Francji o pomoc dla Solidarności i tym samym mieszanie się w wewnętrzne sprawy Polski.

* * *

Przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji Jerzy Urban nie ma zbyt wiele do roboty i po głosowaniu zostaje w domu. W dniu wyborów w telewizji nie ma drażliwych tematów, które wymagałyby jego osobistego nadzoru. O swój wynik wyborczy jest spokojny. Jako jeden z nielicznych kandydatów partyjnych naprawdę przyłożył się do kampanii wyborczej. Do wszystkich emerytów w dzielnicy Warszawa Śródmieście wysłał listy zachęcające do głosowania na siebie. Poza tym serio liczy na głosy partyjnych pracowników placówek dyplomatycznych na całym świecie i Polaków zatrudnionych na budowach w ZSRR, Libii, Iraku, NRD.

Z upływem godzin dociera do niego coraz więcej niepokojących informacji o rozmiarach klęski kandydatów PZPR. Gdy dowiaduje się, że w Nowym Jorku poniósł katastrofalną porażkę, że nawet w ambasadzie w Tiranie uzyskał jedynie minimalną większość, nie ma już wątpliwości – przegrała PZPR i przegrał on sam.

Urban, rasowy polityk, od razu pojmuje, że nieoczekiwana klęska przeznaczonej dla czołowych działaczy partii Listy Krajowej i opanowanie przez ludzi Solidarności Senatu może wywrócić porozumienie Okrągłego Stołu i spowodować nieobliczalne konsekwencje. Nad ranem Urban szkicuje treść oświadczenia władz, że akceptują wyniki wyborów. O dziewiątej zjawia się na naradzie Sekretariatu KC. Wstępne wyniki są już znane. Partyjni przywódcy, w grobowym nastroju, milczą. Urban przekazuje teksty oświadczenia gen. Jaruzelskiemu, który odczytuje je. Nikt nie zabiera głosu. Jaruzelski przekazuje oświadczenie rzecznikowi PZPR Janowi Bisztydze, by je opublikował.

5 czerwca 1942 ▪ piątek

Skorpiony na dnie

Ledwie mija północ, nad potężnym japońskim lotniskowcem „Hiryu" („Latającym Smokiem") pojawiają się amerykańskie latające fortece, startujące z lotniska na wyspie Midway. Nie muszą długo szukać przeciwnika. Noc jest księżycowa, widoczność doskonała, a cesarski okręt od dziobu do rufy trawią pożary – to skutek ataku dokonanego poprzedniego dnia, 10 godzin temu, przez bombowce nurkujące z amerykańskiego lotniskowca „Yorktown". Cztery ciężkie bomby zamieniły „Hiryu" w płonący wrak. Do kadłuba wdarło się kilka tysięcy ton wody i lotniskowiec przechylił się aż 15 stopni na burtę. Pompy przestały pracować, ster także. Rozpaczliwe próby drużyn awaryjnych dotarcia do odciętej, unieruchomionej maszynowni spełzły na niczym. Piloci amerykańskich superfortec mają sytuację tak komfortową jak na ćwiczeniach. Bombardują doskonale widoczny, nieruchomy cel, którego nikt nie broni – pozbawione amunicji stanowiska armat przeciwlotniczych na lotniskowcu stoją w płomieniach.

Potężne gejzery eksplozji podnoszą się z oceanu wokół płonącego okrętu. Tylko jedna bomba trafia w cel – rozrywa działo przeciwlotnicze i kilku marynarzy jego obsługi. Ale to już i tak nie ma znaczenia, „Hiryu" skazany jest na zagładę.

W ciągu niespełna siedmiu godzin Amerykanie zamienili cztery wielkie lotniskowce cesarskiej floty w gigantyczne pochodnie, zniszczyli niemal 300 samolotów z najlepszymi japońskimi pilotami. Decydująca bitwa wojny na Pacyfiku zakończyła się katastrofalną klęską Japonii.

Do tego gigantycznego starcia dążyli Japończycy. Gdyby Amerykanie nie złamali szyfru cesarskiej floty i gdyby nie błędy japońskiego dowództwa w planowaniu operacji pod Midway,

strategiczne zwycięstwo cesarskiej floty było bardzo prawdopodobne.

Po zaskakującym ataku na Pearl Harbor japońskich samolotów startujących z lotniskowców w grudniu zeszłego roku i zniszczeniu lwiej części stacjonujących tam ciężkich okrętów amerykańskich flota lotniskowców wiceadm. Nagumo zdemolowała przed dwoma miesiącami siły brytyjskie na Oceanie Indyjskim. Potem Japończycy uderzyli na południe. Przed miesiącem starli się z Amerykanami na Morzu Koralowym. To była bitwa pod dwoma względami przełomowa. Po raz pierwszy w historii ciężką walkę stoczyły dwie floty, których żaden marynarz nie dostrzegł z pokładu okrętu przeciwnika. Śmiertelne ciosy zadawały na dystans samoloty startujące z lotniskowców. Amerykanie i Japończycy stracili po jednym wielkim lotniskowcu. Nierozstrzygnięta bitwa na Morzu Koralowym w istocie była porażką floty cesarskiej. Jej naczelny dowódca adm. Isoroku Yamamoto zdecydował się zmiażdżyć flotę Stanów Zjednoczonych w wielkiej walnej bitwie. Jego plan przewidywał uderzenie ogromnej Połączonej Floty, w skład której wchodziła flota lotniskowców i okrętów liniowych, na amerykański atol Midway, najbardziej na zachód wysuniętą część łańcucha Wysp Hawajskich. Od Tokio dzieli Midway 4060 km, od San Francisco – 6850. Midway, określane też jako „strażnik Hawajów", ma dla Stanów Zjednoczonych tak wielkie znaczenie strategiczne, że japońskiego ataku nie mogła zignorować amerykańska Flota Pacyfiku. I o to chodziło adm. Yamamoto. Miażdżąca przewaga jego Połączonej Floty, w której znalazł się świeżo wprowadzony do służby, największy na świecie superpancernik „Yamato", mogący ostrzeliwać wszystkie okręty świata, pozostając poza zasięgiem ich dział, dawała nadzieję na zniszczenie wywabionych z Pearl Harbor amerykańskich lotniskowców. Japońskie siły morskie wydzielone

do tej operacji liczyły 200 okrętów o łącznym tonażu 1,5 mln ton – ich załogi to ponad 100 tys. marynarzy. Przed bitwą na lotniskowcach znajdowało się 700 samolotów.

Wszystko jednak poszło całkiem inaczej, niż planował adm. Yamamoto. Amerykanie, znając plany floty cesarskiej, przerzucili w rejon atolu Midway trzy duże lotniskowce: „Yorktown", „Hornet" i „Enterprise". Przed dwoma dniami rozpoznawczy wodnosamolot US Navy wykrył skradającą się w stronę Midway flotę wroga. Natomiast dowódca japońskich lotniskowców wiceadm. Nagumo nie miał żadnych informacji o położeniu i zamiarach Amerykanów. Zaryzykował i nakazał atak bombowców na Midway. Po zbombardowaniu instalacji wojskowych na atolu japońskie lotniskowce – zaskoczone w trakcie tankowania i uzbrajania własnych, wracających z akcji samolotów – nie sprostały atakom amerykańskich bombowców. W płomieniach stanęła duma cesarskiej floty, ogromne „Kaga" i „Akagi", mające po 90 samolotów. Eskadra bombowców nurkujących z USS „Yorktown" w parę minut zamieniła w płonący wrak nieco mniejszy lotniskowiec „Soryu".

Japońskiej flocie pod Midway pozostał tylko jeden lotniskowiec – „Hiryu".

Zanim amerykańskie samoloty pojawiły się nad lotniskowcami wroga, Japończycy ustalili położenie „Yorktowna" i w jego kierunku wystartowało kilkadziesiąt samolotów z czerwonymi kołami wschodzącego słońca na skrzydłach. Gdy japońscy piloci zaatakowali „Yorktowna", bombowce amerykańskie właśnie zamieniały ich macierzyste okręty w płonące wraki. Dwie torpedy i trzy bomby, z których jedna wleciała do komina i zdemolowała kotłownię, obezwładniły amerykański okręt. „Yorktown" był pochylony bardzo mocno na burtę, unieruchomiony, pozbawiony

energii elektrycznej, spowity dymami pożarów, ale w powietrzu znajdowało się jeszcze 10 jego bombowców. Wraz z tuzinem maszyn z innego lotniskowca nadleciały one nad „Hiryu", tuż po tym, gdy wylądowały na nim samoloty, które zbombardowały „Yorktowna".

Parę minut później ich bomby zamieniły „Hiryu", ostatni lotniskowiec wiceadm. Nagumo, w stos ofiarny.

„Yorktown" i „Hiryu", które niczym walczące skorpiony zadały sobie wzajem śmiertelne ciosy, skazane są na zagładę.

Wczoraj, po godz. 15.00, 2270 marynarzy opuściło pokład płonącego „Yorktowna". Amerykanom, którzy wiedzieli już, że wygrali decydującą bitwę, dopisywał humor. Marynarze, unosząc się na falach, podnosili kciuki w charakterystycznym nowojorskim geście i krzyczeli do łodzi ratunkowych: „Taxi! Taxi!". Opuszczony „Yorktown", pochylony pod kątem 25 stopni, wbrew wszelkim przewidywaniom nie przewrócił się jednak. Pożary wygasły i ciemny olbrzym dryfował przez noc.

Krótko po północy przyszedł czas na opuszczenie płonącego „Hiryu". O wpół do trzeciej w nocy kontradm. Tamon Yamaguchi, dowodzący dywizjonem lotniskowców składającym się z „Hiryu" i siostrzanego „Soryu", poleca dowódcy okrętu zebrać wszystkich ocalałych członków załogi. Przed bitwą adm. Yamaguchi jako jedyny wysoki oficer floty krytykował plan ataku na Midway, a w czasie bitwy bezskutecznie domagał się podjęcia decyzji, które zapewne pozwoliłyby pokonać Amerykanów. Żaden ze zwierzchników go jednak nie posłuchał. Teraz przez megafony ogłasza: „Jako dowódca tego dywizjonu lotniskowców jestem wyłącznie odpowiedzialny za stratę »Hiryu« i »Soryu«. Pozostanę na pokładzie do końca. Wam rozkazuję opuścić okręt i nadal lojalnie pełnić służbę dla Jego Cesarskiej Mości". Potem kontradm.

Yamaguchi zdejmuje czapkę admiralską i wręcza ją na pamiątkę swemu adiutantowi kmdr. Ito. Kmdr Ito w rewanżu podaje admirałowi kawałek płótna, którym jego dowódca ma przywiązać się do pomostu. Niedobitki marynarzy opuszczają banderę. Samurajski obyczaj wymaga wypicia przed honorowym samobójstwem pożegnalnego toastu czarką sake. Na płonącym od wielu godzin lotniskowcu próżno by szukać sake i czarek. Adm. Yamaguchi wypija toast z oficerami sztabu zwykłą wodą z kubka. Uwielbiającym go oficerom sztabu, którzy proszą o zgodę pójścia z nim na dno oceanu, kontradmirał rozkazuje ratować się. Pozostaje przy nim dowódca „Hiryu" kmdr Tomeo Kaku – dowódcy tonącego okrętu nawet admirał nie może odmówić prawa do popełnienia honorowego samobójstwa.

Oficerowie sztabu bardzo szanują kontradm. Yamaguchi – prawdę mówiąc, w korpusie oficerskim floty jest on powszechnie uważany za najwybitniejszego japońskiego dowódcę morskiego wysokiego szczebla – i jeszcze raz próbują go namówić, by ocalił swe życie.

– Księżyc tak jasno świeci na niebie – odpowiada kontradmirał.

To zamyka usta proszącym oficerom.

Niedobitki załogi opuszczają pokład. Krótko po 5.00 dwa japońskie niszczyciele wystrzeliwują w stronę „Hiryu" salwę torped – to cios łaski. Ale „Hiryu" nie chce tonąć. Przez cztery godziny stoi nieruchomo, z kontradm. Yamaguchi i kmdr. Kaku przywiązanymi do pokładu bojowego. O 9.00 idzie wreszcie na dno.

Dwie godziny wcześniej adm. Yamamoto otrzymuje wiadomość od pilota samolotu rozpoznawczego o dryfującym, opustoszałym „Yorktownie" i wysyła okręt podwodny, by go zatopił.

6 czerwca 1867 ▪ czwartek

Cesarstwo za konia!

Tuż przed 6.00 szczupły 20-letni mężczyzna o pociągłej twarzy wstaje z łóżka w malutkim pokoiku w kamienicy przy ulicy Mercadet 210 w Paryżu. W pokoju, choć umeblowanym nędznie, na stoliku i na szafce stoją książki historyczne, filozoficzne, opracowania literackie – w sumie ponad 30 tomów. Ale lokatora nie interesują teraz ani książki, ani nawet śniadanie. Odwija z opakowania dwulufowy pistolet, pięć ołowianych kul oraz niewielki zapas czarnego prochu. Wczoraj, o drugiej po południu, kupił ten pistolet i dodatkowo kule u rusznikarza Bruneville'a za 8 franków. Proch dokupił wczoraj wieczorem. Nie miał nań już ani grosza, więc najpierw musiał zastawić w lombardzie swój surdut.

Mężczyzna wsypuje proch do luf, delikatnie przybija go przysposobionym wcześniej stalowym prętem. Aby broń była bardziej skuteczna, dosypuje trochę więcej prochu niż zwyczajowa miarka. Z kulami ma jednak wielki kłopot. Ponieważ pistolet jest stary i ma nietypowy kaliber, kule, jakie sprzedał mu Bruneville, są za małe. Mężczyzna nie poddaje się. Po kolei kładzie ołowiane pociski na łyżce do zupy i podgrzewa je nad płomieniem świecy. Potem powoli zbija młotkiem po dwie rozgrzane kule w jedną masę. Ołów łatwo poddaje się uderzeniom. Mężczyzna formuje dwa mniej więcej dwucentymetrowej długości walce ołowiane o średnicy z grubsza odpowiadającej kalibrowi luf pistoletu. Nożem docina je po bokach, by lepiej pasowały do luf, i za pomocą stalowego pręta ostrożnie wbija od przodu w lufę.

W końcu otwiera jedną z książek leżących na stole. To *Etudes sur la Pologne* (Studia o Polsce) autorstwa Kazimierza Wołowskiego, wydane w Paryżu przed czterema laty. Mężczyzna otwiera książkę na stronie 80, którą wskazuje umyślnie załamana karta. Ślad po

złożeniu stronicy pokazuje na niej fragment powstańczej przysięgi insurgenta kościuszkowskiego, warszawskiego szewca Jana Kilińskiego: „Obowiązuję się przykładać wszelkiemi siłami do zwycięstwa powstania i pomścić się na wrogu nieszczęść, których jeden z nas mógłby paść ofiarą".

Antoni Berezowski czyta – któryż to już raz! – słowa przysięgi Kilińskiego, zamyka książkę i chowa ją do kieszeni. Do drugiej kieszeni wkłada pomysłowo nabity przez siebie pistolet i wychodzi ze swego pokoiku.

Jako 16-latek Berezowski poszedł do powstania styczniowego – bez wiedzy rodziny, za to z własnoręcznie wykutą lancą. Trafił do powstańczej partii Jazdy Wołyńskiej pod Różyckim. Bił się znakomicie w kilku potyczkach i bitwach, w tym podczas zdobywania miasteczek Połonne i Miropol oraz w zwycięskiej bitwie pod Małą Saliną. Wraz z całym oddziałem Berezowski trafił potem do Austrii, a stamtąd na emigrację do Francji. W Paryżu szybko nauczył się języka francuskiego, znalazł pracę jako mechanik w fabryce maszyn parowych braci Gouin (zarabia jednak tak nędznie, że co rusz musi starać się o zasiłek), wieczory zaś spędza w czytelni, nad gazetami z Królestwa Polskiego i z Petersburga. Śledzi pilnie życie w kraju i na carskim dworze. Marzy.

O zemście. Za klęskę powstania, za cierpienia rodaków i za własne zmarnowane życie.

Teraz ma szansę marzenie swe zrealizować. Z okazji wystawy powszechnej do Paryża zjechali europejscy monarchowie, w tym i car Aleksander II.

Berezowski zaraz po wyjściu z domu wstępuje do kawiarni przy Mercadet i zjada skromne śniadanie. Płaci ostatnimi monetami, jakie mu w kieszeniach zostały. Potem rusza w stronę ul. des Cascades. Tam czeka na przejazd kawalkady powozów z carem.

Ale intuicja zawodzi go. Aleksander II pojechał na rewię wojskową w Lasku Bulońskim inną trasą. Berezowski idzie w stronę dworca kolei. Po drodze wstępuje do winiarni, którą prowadzi polski emigrant. Zamawia wermut. Nie ma pieniędzy, więc w zastaw zostawia palto. Pistolet przekłada do kieszeni spodni, książkę Wołowskiego zostawia w palcie.

Gdy przybywa do Longchamps, rewia już trwa. Odbierają ją cesarz Napoleon III Bonaparte oraz jego goście: król pruski Wilhelm I, car Aleksander II i jego synowie, wielcy książęta rosyjscy. Berezowski przesuwa się w gęstym tłumie gapiów w stronę wodotrysku. Stamtąd, ponad głowami widzów, obserwuje uroczystość. Gdy rewia kończy się, Berezowski dostrzega, że goście wsiadają do otwartych powozów. W pierwszym jedzie Wilhelm I, w drugim – Napoleon III z Aleksandrem II i wielkimi książętami rosyjskimi.

Orszak powozów zbliża się do wodotrysku, ale odległość jest zbyt duża, by oddać celny strzał.

Powozy skręcają w prawo, w ulicę de la Vierge. Jadą bardzo powoli, co chwilę woźnice, siedzący – w galowych strojach – wierzchem na koniach z zaprzęgów, muszą przepędzać gapiów z drogi. Berezowski biegnie ile sił w płucach przez Lasek Buloński i dopada skrzyżowania ulic de la Vierge i des Reservois, zanim pojawiają się tam powozy z monarchami. Staje za jednym z gapiów, kamienicznikiem Bonneau, i dysząc ciężko, opiera dłonie na jego ramieniu. Francuz, widząc zziajanego, potężnie umęczonego biegiem mężczyznę, nie dziwi się i nie protestuje – dziś wszyscy biegną jak szaleni za powozami, by lepiej zobaczyć trzech monarchów.

Gdy drugi powóz jest tuż-tuż, Berezowski wyciąga z kieszeni pistolet i opiera łokieć o bark kamienicznika Bonneau. Francuz nie zwraca na to uwagi – widać nieznajomy za nim jeszcze nie doszedł

do siebie po biegu za kawalkadą powozów. Berezowski krótko celuje. Powóz zbliża się i siedzący na tylnej kanapie car jest teraz idealnym celem dla strzelca – praktycznie nieruchomym, za to z każdą sekundą coraz większym. Zamachowiec jednocześnie ściąga oba cyngle i krzyczy: „*Vive la Pologne!*".

Mgnienie oka wcześniej siedzący wierzchem na koniu z zaprzęgu, najbliższy drzwiczkom powozu, od strony, gdzie siedzi Aleksander II, Raimbaux, koniuszy francuskiego cesarza, dostrzega nad tłumem przedmiot z krótką lufą. Instynktownie wbija ostrogi w boki konia. Zwierzę wierzga z bólu głową w bok.

Huk! Bryzgi krwi zalewają cara i jego synów. Ale car żyje, jest cały i zdrowy. Pocisk trafia spiętego przez koniuszego konia w głowę, pod lewym okiem. To końska, a nie błękitna krew zalewa cara.

Drugi pocisk nie doleciał. Berezowski nasypał do drugiej lufy za dużo prochu i strzał lufę rozerwał, dotkliwie raniąc dłoń zamachowca.

Ogłuszony kamienicznik Bonneau jest nad wyraz przytomny. Odruchowo łapie Berezowskiego za ramię i przewraca na ziemię. Stojący o krok dalej sierżant policji zamiast łapać zamachowca za ręce, zatyka mu dłońmi usta. Rozsądny policjant wie, że słowa mogą być groźniejsze od kul.

Tłum, przekonany, że to zamach na Napoleona III, rzuca się na rannego. Rozwścieczeni Francuzi biją go pięściami, kopią. Przez samosądem ratują Berezowskiego oficerowie gwardii paryskiej. Zasłaniają rannego sobą, wloką do dorożki i odwożą do prefektury policji.

Zamach na cara Aleksandra II

7 czerwca 1982 ▪ poniedziałek

Podziemiem do podziemia

O 10.00 w dyżurce kliniki gastroenterologii warszawskiego szpitala klinicznego Akademii Medycznej przy ul. Banacha dzwoni telefon.

„Prosimy pana Narożniaka na zabieg" – odzywa się męski glos.

Dla dyżurujących lekarzy nie ma w tym nic osobliwego. Tak właśnie koledzy ze szpitalnego bloku operacyjnego wzywają pacjentów na operacje.

Osobliwie za to wygląda przewiezienie pacjenta Narożniaka na blok. Za pchanym przez dwie pielęgniarki szpitalnym wózkiem transportowym idzie dwóch zomowców z kałasznikowami na

ramieniu. Narożniak jest w tej chwili najlepiej pilnowanym pacjentem w PRL.

Jan Narożniak, z wykształcenia matematyk, w opozycji działał już od ponad trzech lat – w 1977 roku był jednym ze współzałożycieli niezależnego wydawnictwa NOWA. Po sierpniu 1980 roku zorganizował poligrafię Regionu Mazowsze Solidarności. W październiku 1980 roku otrzymał od przewodniczącego Solidarności w warszawskim Teatrze Wielkim Krzysztofa Łozińskiego tekst zdobytej przezeń tajnej instrukcji prokuratora generalnego PRL Lucjana Czubińskiego *Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej*, zalecającej zwalczanie opozycji politycznej metodami niezgodnymi z prawem. Narożniak powielił na kserokopiarce Regionu Mazowsze tekst instrukcji Czubińskiego. Opublikowanie przez Solidarność treści instrukcji prokuratora generalnego skompromitowało władze i wywołało polityczny skandal. Władze odpowiedziały aresztowaniem pracowników poligrafii Regionu Mazowsze – Narożniaka i Piotra Sapełły. Kierownictwo mazowieckiej Solidarności zażądało uwolnienia ich oraz aresztowanego parę tygodni wcześniej szefa Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego. W ich obronie strajkowało coraz więcej mazowieckich zakładów pracy. Warszawa oblepiona była plakatami: „Dziś Narożniak, jutro Wałęsa, pojutrze Ty!" oraz „Uwolnić Narożniaka!". Gdy realna stała się groźba, że akcja solidarnościowa na Mazowszu z trzema aresztowanymi przekształci się w ogólnopolski strajk generalny, niegotowe jeszcze do rozprawy z Solidarnością władze ustąpiły. Prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Stefan Bratkowski, negocjując z władzą i Solidarnością, tuż przed generalną konfrontacją doprowadził do kompromisu – pod koniec listopada 1980 roku Narożniak i Sapełło zostali uwolnieni.

Narożniak stał się postacią publiczną, emblematyczną dla walki z nadużyciami organów ścigania i walki o wolność słowa. Władze znienawidziły go.

Uniknął aresztowania w czasie pierwszych godzin stanu wojennego. Ukrywał się – nie miał wątpliwości, że jest na liście do internowania; w dodatku było więcej niż prawdopodobne, że władze, po ujęciu go, zemszczą się za upokorzenie sprzed roku.

Przed niespełna dwoma tygodniami w parku Żeromskiego na warszawskim Żoliborzu przypadkowo zatrzymał go patrol ZOMO. Dwaj zomowcy rutynowo zażądali dokumentów. Narożniak dowód osobisty miał, ale bez aktualnego potwierdzenia zatrudnienia. Mogło to oznaczać, że posiadacz dowodu ukrywa się, ale znacznie bardziej prawdopodobne było, że nie pracuje na posadzie, bo jest żyjącym z dnia na dzień lumpem, albo wręcz przeciwnie, że zarabia, i to znakomicie, handlując na czarnym rynku. Zomowcy patrolujący park Żeromskiego doszli do wniosku, że wpadł im w ręce czarnorynkowy kombinator, i postanowili skorzystać z okazji i dorobić łapówką. Za puszczenie legitymowanego wolno zażądali niezbyt wiele, bo 5 tys. zł, równowartość 13 dolarów; tydzień temu w obiegu pojawił się banknot o nominale 5 tys. zł, z Chopinem. Na swe nieszczęście Narożniak miał przy sobie tylko 1200 zł. Zomowcy uznali, że to za mało, i poprowadzili go do milicyjnej nyski. Narożniak rzucił się do ucieczki. Jeden z zomowców otworzył ogień z kałasznikowa. Strzelał, by zabić. Jeden pocisk przeszył biodro, drugi trafił w prawą dłoń i urwał mały palec. Wezwana przez zomowców karetka przewiozła rannego do szpitala na Banacha.

Przyjmujący postrzelonego lekarz – dr Krasnodębski – sfałszował w dokumentacji medycznej jego stan, by uniemożliwić przewiezienie go do szpitala więziennego. SB zostawiła rannego w szpitalu na Banacha. Tak cennego więźnia pilnowało dwóch

uzbrojonych w kałasznikowy zomowców przed drzwiami sali chorych oraz liczna grupa milicjantów i tajniaków, myszkujących po korytarzach i pilnujących wszystkich wejść do szpitala.

W szpitalu na Banacha ranny był dwukrotnie operowany. Najpierw lekarze z nocnego dyżuru w klinice gastroenterologii zoperowali mu biodro, potem ściągnięty w nocy z domu chirurg plastyczny dr Andrzej Sankowski przeprowadził operację dłoni.

Ranny po operacjach leżał w kilkuosobowej sali.

Przewodniczący podziemnej Solidarności w szpitalu anestezjolog dr Jerzy Siwiec postanowił zorganizować ucieczkę rannego więźnia. W końcu przecież podleczony Narożniak musiał trafić na Rakowiecką. Dr Siwiec wiedział, że jedynym miejscem całkowicie niedostępnym dla obstawy zomowców – z powodu konieczności zachowania aseptyki – jest szpitalny blok operacyjny, składający się z 15 sal. Na Banacha blok ma jeszcze jedną zaletę – długie półkilometrowe podziemne przejście, prowadzące do szpitalnego prosektorium. Położone na uboczu, pozornie izolowane od zabudowy szpitala, nie jest obstawione przez milicję.

Dr Siwiec ściągnął na Banacha swą koleżankę lekarkę Ewę Kunicką, pracującą w stacji krwiodawstwa, która w podziemiu była łączniczką działacza solidarnościowego Zbigniewa Romaszewskiego. Podczas fikcyjnego prześwietlenia dr Kunicka w swoim lekarskim kitlu weszła do szpitalnej pracowni rtg. Pilnujący Narożniaka przed drzwiami pracowni zomowcy nie robili jej trudności. Dr Kunicka zaproponowała rannemu zorganizowanie ucieczki. Narożniak, który zna dr Kunicką, po namyśle zgodził się.

Dr Siwiec spotkał się z Romaszewskim i zrelacjonował mu warunki minimum powodzenia akcji odbicia Narożniaka: dwóch ludzi do wywiezienia rannego z bloku operacyjnego, samochód do

ewakuacji i bezpieczna, umożliwiająca kontynuowanie leczenia, meta na mieście.

Z dwoma wykonawcami akcji, ukrywającym się działaczem „S" z Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Elektrycznych Adamem Borowskim i Jerzym Bogumiłem z Centrum Naukowo-Produkcyjnego Materiałów Elektronicznych, dr Siwiec kilkakrotnie przećwiczył przejście całej trasy ucieczki.

Niezależnie od przygotowań ekipy zmontowanej przez dr. Siwca do uwolnienia Narożniaka przymierza się inna grupa działaczy solidarnościowego podziemia kierowana przez Krzysztofa Łozińskiego. Obie grupy nic o sobie nie wiedzą. Konspiratorzy Łozińskiego na skutek donosu tajnego agenta są pod obserwacją SB. O grupie dr. Siwca SB nie ma pojęcia.

Na bloku operacyjnym na pacjenta czeka dr Sankowski, który operował dłoń Narożniaka, a potem wiele razy zmieniał mu opatrunek. Dr Sankowski z kamienną twarzą znów zmienia bandaże. Do akcji wkraczają udający pielęgniarzy Adam Borowski i Jerzy Bogumił. Wywożą go z bloku tylnymi drzwiami do windy. Tam przekładają rannego na charakterystyczny wózek do wywożenia zwłok i nakrywają, wraz z głową, prześcieradłem. Narożniak nie może się poruszyć ani głębiej westchnąć – udaje przecież nieboszczyka. Zjeżdżają z nim do podziemi i pędem ruszają niekończącym się korytarzem w stronę prosektorium. Tam wszystko jest przygotowane. Borowski z Bogumiłem zawijają porwanego w koc i układają na podłodze nyski kierowanej przez działacza podziemnej „S". Po drodze Borowski z Bogumiłem przesiadają się do bmw jednego z sympatyków „S", które w razie potrzeby ma staranować milicyjną blokadę i sforsować drogę ucieczki nysce z Narożniakiem.

Ale nyska bez przeszkód dociera na ul. Staffa. Borowski i Bogumił, starając się nie zwracać uwagi przechodniów, przenoszą rannego do mieszkania działaczki „S" Małgorzaty Jastrzębskiej.

Na Banacha eskorta ZOMO orientuje się, że coś na bloku operacyjnym nie gra, dopiero ok. 13.00. Tłum milicjantów i esbeków przeszukuje szpital. Zaglądają do szafek i najmniejszych schowków. Po czternastej zjawia się mroczna postać komunistycznych organów ścigania, naczelnik wydziału śledczego prokuratury wojewódzkiej Wiesława Bardonowa. Pod jej nadzorem natychmiast rozpoczynają się aresztowania personelu szpitalnego. Jednymi z pierwszych zatrzymanych są dr Sankowski, znieczulająca Narożniaka lekarz anestezjolog i szef bloku operacyjnego. Ale sam Narożniak jest już bezpieczny.

8 czerwca 1967 ▪ czwartek

Przyjacielska masakra

Dochodzi 11.45, gdy załoga USS „Liberty" kończy lunch. Łagodna bryza wiejąca z zachodu słabnie i jest coraz bardziej gorąco. Kapitan USS „Liberty" William L. McGonagle wraz z kilkoma oficerami wychodzą z mesy na pokład i na wpół rozebrani kładą się na leżakach, zapobiegliwie rozstawionych przez poranną wachtę. Jest cicho, idyllicznie.

A przecież niedaleko stąd, na Synaju, trwa wojna. Przed czterema dniami Izrael zaatakował Egipt. Lotnictwo izraelskie zaskakującymi atakami praktycznie zniszczyło egipskie siły powietrzne, zaś izraelskie wojska pancerne pobiły Egipcjan na Synaju. Wczoraj wieczorem izraelskie czołgi zdobyły strategiczne przełęcze Mitla

i Gidi. Wielkie egipskie siły pancerne znalazły się w okrążeniu. Dziś muszą przebić się do Kanału Sueskiego – inaczej zostaną zniszczone na pustyni. Przed paroma godzinami w okolicach przełęczy Mitla oraz lotniska Bir Gifgafa, 90 km na wschód od Kanału Sueskiego, rozpoczęła się gigantyczna bitwa pancerna z udziałem, po obu stronach, ponad 1100 czołgów – największa od czasów II wojny światowej.

USS „Liberty" śledzi postępy izraelskiej ofensywy. To statek rozpoznania elektronicznego US Navy. „Simmons Victory", jeden z masowo wytwarzanych podczas wojny światowej transportowców klasy Liberty, w grudniu 1964 roku został skierowany do przebudowy na okręt szpiegowski. Nad pokładem wyrosły dziwne asymetryczne anteny, w ładowniach urządzono laboratoria do rejestracji, dekryptażu i wstępnej analizy wszelkiej komunikacji w eterze. Koszt przebudowy „Simmons Victory" na AGTR, pomocniczy okręt rozpoznania technicznego, przekroczył milion dolarów, sumę bardzo poważną.

Marynarka wojenna przechrzciła „Simons Victory" na USS „Liberty". Na czele załogi, liczącej 294 marynarzy US Navy oraz cywilnych specjalistów łączności, stanął kmdr William L. McGonagle. Za młodu McGonagle, by wyrwać się z biedy i beznadziei pracy jako robotnik rolny w południowej Kalifornii, zaciągnął się do marynarki wojennej. Walczył na okrętach bojowych podczas II wojny światowej i podczas wojny koreańskiej. Wśród marynarzy cieszy się opinią doskonałego, zdecydowanego dowódcy.

Po wybuchu wojny Izraela z Egiptem, Jordanią i Syrią dowództwo US Navy wysłało USS „Liberty" do wybrzeży Półwyspu Synaj, by monitorować radiową łączność izraelskiej armii. Okręt pływa na otwartych wodach Morza Śródziemnego

w rejonie Gazy, kilka mil poza wodami terytorialnymi Egiptu. USS „Liberty", oznakowany jako okręt amerykański, pod amerykańską banderą, podlega taktycznie dowództwu operującej na Morzu Śródziemnym VI Floty Stanów Zjednoczonych.

Kmdr McGonagle zrelaksowany opala się na leżaku, mimo że od wczesnego ranka nad jego okrętem co rusz przelatują izraelskie samoloty. Zaczęło się o 5.45 przelotem francuskiego myśliwca „Mirage III" w barwach lotnictwa Izraela. Potem jeszcze kilka razy pojawiły się mirage, a raz nad USS „Liberty" dostojnie przeleciał francuski dwusilnikowy samolot transportowy „Nord Noratlas", wykorzystywany przez lotnictwo izraelskie także w wersji rozpoznawczej. Jeden z myśliwców przeleciał nad pokładem tak nisko, że marynarze dokładnie widzieli twarz pilota i pomachali mu rękami. Izraelski pilot odpowiedział gestem na pozdrowienia Amerykanów.

Leżakujący kapitan jest spokojny: jego okręt pływa na wodach międzynarodowych, pod amerykańską banderą, a Stany Zjednoczone są przecież sojusznikiem Izraela. No i ten przyjazny gest pilota mirage'a...

McGonagle nie wie, że izraelskie dowództwo za wszelką cenę chce ukryć przed amerykańskim sojusznikiem swoje wywiadowcze i operacyjne tajemnice, a także przypadki łamania prawa wojennego przez swych żołnierzy. Tuż po wybuchu wojny szef izraelskiego sztabu generalnego gen. Icchak Rabin przestrzegł amerykańskiego *attaché* morskiego w Tel Awiwie kmdr. Ernesta Castle'a, że Izrael będzie chronił swoje wybrzeże, zatapiając znajdujące się w jego pobliżu niezidentyfikowane statki, i zażądał, by Stany Zjednoczone trzymały swe jednostki daleko na zachód od linii brzegowej. Pierwszego dnia wojny kmdr McGonagle na wszelki wypadek zwrócił się do wiceadm. Williama Martina ze

sztabu VI Floty o przydzielenie niszczyciela jako osłony dla USS „Liberty". Ale adm. Martin odpowiedział nazajutrz, że USS „Liberty" jest oznakowana jako statek amerykański, pływa po wodach międzynarodowych i nie jest prawdopodobnym obiektem ataku jakichkolwiek sił. A gdyby nawet USS „Liberty" znalazł się w niebezpieczeństwie, w ciągu 10 minut mogą przylecieć mu z pomocą myśliwce z pokładów lotniskowców VI Floty.

Przed kilkunastoma godzinami amerykańska Narodowa Agencja Bezpieczeństwa wysłała rozkaz do dowództwa VI Floty, by USS „Liberty" przesunąć na zachód, co najmniej 100 mil morskich od wód przybrzeżnych Izraela i półwyspu Synaj. Z niejasnych powodów rozkaz ten wysłany został na częstotliwościach, których nie nasłuchiwali radiotelegrafiści USS „Liberty". Amerykański okręt pływa w odległości 12,5 mili od brzegu Synaju.

Oficerowie i kmdr McGonagle nadal opalają się na pokładzie. O dwunastej z mostka zbiega młodszy oficer John Scott i melduje, że na linii horyzontu dostrzegł dym, najwyraźniej skutek bombardowania. Na pokładzie okrętu wywiadowczego panuje senna atmosfera.

Znów przelatują w pobliżu myśliwskie mirage. O czternastej oficer pokładowy Lloyd Painter spotyka komandora na prawej burcie. McGonagle z niepokojem obserwuje krążące w pobliżu myśliwce Mirage. Niewiarygodne, ale nie mają one żadnych znaków rozpoznawczych! Painter melduje, że USS „Liberty" z niezrozumiałych powodów zboczył z kursu o 3,5 mili. Kapitan nie zwraca uwagi na meldunek, rzuca przez ramię: „To nie wygląda dobrze, zawołaj lepiej strzelców, bo oni chyba zaraz zaatakują".

USS „Liberty" ma na pokładzie tylko kilka przeciwlotniczych karabinów maszynowych Browninga kalibru 12,7 mm. Gdy strzelcy odbezpieczają je, kilka mirege'ów nagle nadlatuje lotem koszącym

nad okręt. Samoloty otwierają ogień z pokładowych działek i karabinów maszynowych, odpalają rakiety. Kadłub okrętu dygoce od eksplozji rakiet. Pociski rozrywają na strzępy dwóch strzelców przy karabinach maszynowych. Seria pocisków przecina na pół protokolanta Spichera. Pokładowy lekarz, najwyraźniej w szoku, usiłuje reanimować rozszarpane zwłoki.

Na mostku grad odłamków i kawałków szkła zasypuje kwatermistrza III klasy Pollarda i młodszego oficera pokładowego O'Malleya. Obaj padają na podłogę.

Nalot kończy się błyskawicznie. Okręt spowity jest dymami eksplozji.

Dopiero teraz włącza się sygnał alarmu bojowego. Pollard i O'Malley wstają. Pollard chwieje się – trafił go odłamek szkła. Na mostek wchodzi kmdr McGonagle. Utyka, ale nie zwraca uwagi na pokrwawioną nogę, w której tkwi spory kawał szkła z rozbitego iluminatora.

Kmdr McGonagle mianuje będącego pod ręką ppor. Lucasa swoim asystentem. Painter biegnie do mesy, w której kłębią się marynarze pośpiesznie ubierający kombinezony bojowe. Po chwili kapitan wzywa go na mostek. Gdy Painter przybiega, McGonagle z upływu krwi traci przytomność.

Po paru minutach jednak, choć krwotok z nogi jest coraz silniejszy, McGonagle odzyskuje świadomość i leżąc na noszach, dalej dowodzi okrętem. O 14.20 obserwator melduje, że od północnego wschodu z pełną prędkością bojową 30 węzłów zbliżają do trzy duże łodzie. Kmdr McGonagle dostrzega, że napastnicy płyną w szyku klinowym, typowej formacji używanej przy ataku torpedowym. Na jednej z jednostek widzi flagę Izraela. To izraelskie kutry torpedowe! Gdy kutry podpływają na odległość 2 km, strzelec jednego karabinów maszynowych na pokładzie USS

„Liberty” puszcza do czołowego z nich krótką serię. Do ostrzału przyłącza się burtowy karabin przeciwlotniczy. Izraelczycy wystrzeliwują 5 torped.

Powolny USS „Liberty” rozpoczyna zwrot w kierunku napastników, ale nie ma szans na uniknięcie wszystkich torped. O 14.35 kapitan ostrzega przez głośniki załogę, że za chwilę torpeda uderzy w okręt. Eksplozja wyrywa w burcie ogromną, 12-metrową dziurę. Ginie niemal 30 marynarzy i techników pracujących w laboratorium telekomunikacyjnym urządzonym w dawnym luku towarowym.

USS „Liberty” szybko nabiera wody. Załoga powinna opuścić okręt, ale kmdr McGonagle nie może zdecydować się na wydanie rozkazu. Wszystkie szalupy i dinghy są poszatkowane przez izraelskie pociski. Dowódca ostrzega załogę przed kolejnym atakiem torpedowym. Zamiast kutrów nadlatują jednak mirage i ponownie ostrzeliwują płonący, silnie przechylony okręt. Kapitan rzuca rozkaz: „Kryj się!”. Odłamki zabijają kwatermistrza pokładowego.

Rannych jest tak wielu, że nie starcza dla nich noszy. Marynarze z poświęceniem zatykają dziurę w burcie materacami i sprzętami w mesy. Radiotelegrafiści ciągle wzywają w eterze pomocy.

Nad dymiący USS „Liberty” nadlatuje izraelski helikopter i daje znaki, że chce zabrać rannych. Amerykanie odmawiają i pokazują, by natychmiast odleciał. Po chwili helikopter odlatuje. W oddali krążą kutry torpedowe, czekając, aż okręt zatonie. Ale „Liberty” cudem utrzymuje się na powierzchni. Mechanicy uruchamiają uszkodzony silnik i okręt pomału rusza na zachód, na spotkanie z płynącym na ratunek niszczycielem VI Floty.

Amerykański okręt pomocniczy USS „Liberty”

9 czerwca 1927 ▪ czwartek

Dwudziestu białych za jednego czerwonego

O 6.00 cztery kompanie piechoty z pułków 21., 30. i 36., w hełmach, z bronią na ramieniu, maszerują ul. Poznańską w Warszawie w stronę kamienicy nr 17, w której mieści się poselstwo ZSRR. Część żołnierzy staje w zwartym szyku przed poselstwem, reszta ustawia się w dwa długie szpalery, ciągnące się Poznańską i dalej, aż do dworca kolejowego. Ok. 7.00 na Poznańską przychodzą pierwsi gapie, ale muszą stanąć za kordonem piechoty.

W sali recepcyjnej, w otwartej trumnie, spoczywają zwłoki posła ZSRR Piotra Wojkowa. Honorową wartę przy katafalku pełnią urzędnicy poselstwa i czterech polskich oficerów piechoty z dobytymi szablami.

Piotr Wojkow przedwczoraj wczesnym rankiem wyjechał nowiutkim, świeżo zakupionym przez sowieckie poselstwo mercedesem, na warszawski Dworzec Główny. Na peronie miał się spotkać z wydalonym przez rząd brytyjski *chargé d'affaires* ZSRR w Londynie Arkadijem Rozenholcem. Niedawno policja angielska dokonała rewizji w siedzibie sowieckiego towarzystwa spółdzielczego ds. handlu z Wielką Brytanią Arcos. Znaleziono wówczas niezbite dowody, że misja handlowa Arcosu była tylko przykrywką do prowadzonej na wielką skalę działalności szpiegowskiej. Rząd brytyjski zerwał stosunki dyplomatyczne z ZSRR, a Rozenholc musiał wyruszyć z powrotem do Moskwy. Pociąg, którym jechał, miał godzinny postój w Warszawie, więc poseł Wojkow zjawił się na dworcu, by dotrzymać towarzystwa swojemu koledze. Gdy po wypiciu kawy w dworcowym bufecie obaj spacerowali po peronie, nieznany młody mężczyzna wyjął z kieszeni rewolwer i oddał do Wojkowa sześć strzałów. Sowiecki poseł, choć trafiony trzykrotnie w pierś, zdołał wyszarpnąć z kieszeni swój pistolet i trzy razy strzelić w kierunku napastnika. Niecelnie.

Ciężko rannego Wojkowa natychmiast przewieziono do szpitala. O 10.45, godzinę po zamachu, podczas rozpoczętej bez zwłoki operacji sowiecki poseł zmarł.

Zamachowiec uciekał w kierunku ul. Żelaznej, ale został ujęty. Zeznał, że nazywa się Borys Kowerda, jest Rosjaninem, mieszkańcem Wilna. Jego rodzina wyjechała z Rosji do Polski; ojciec był białogwardyjskim oficerem i bił się z bolszewikami.

W Polsce Borys Kowerda zaangażował się w działalność organizacji białych Rosjan. Ostatnio dla wydawanego w Wilnie antybolszewickiego „Białoruskiego Słowa" przygotowywał wyciągi z prasy sowieckiej. Z dość wysokiej pensji utrzymywał matkę.

Podczas przesłuchania Kowerda zeznał, że zamachu dokonał z powodów politycznych. Opowiadał, że zamierzał po zastrzeleniu Wojkowa popełnić samobójstwo, ale wystrzelał wszystkie kule. W jego kieszeni znaleziono jednak cztery pociski. Gdy fotoreporter Marian Fuks chciał na posterunku zrobić zdjęcia dla prasy, Kowerda wyciągnął z kieszeni kilka fotografii i wyjaśnił, że na nich wygląda najlepiej.

Polski rząd dołożył wszelkich starań, by wyrazić oburzenie z powodu zbrodni i oddać hołd zmarłemu.

Pierwsza reakcja Moskwy była bardzo umiarkowana. Wczorajsza nota Komisariatu Spraw Zagranicznych winą za zamach obciąża... Wielką Brytanię. Polskim władzom zarzuca jedynie tolerowanie emigracyjnych organizacji białych Rosjan, z szeregów których wywodzi się zabójca Wojkowa.

O wpół do 8.00 przez kordon piechoty na Poznańskiej przejeżdża długa kawalkada limuzyn. Do poselstwa przybywają wicepremier Kazimierz Bartel, minister spraw wewnętrznych gen. Felicjan Sławoj Składkowski, minister przemysłu i handlu Eugeniusz Kwiatkowski, ministrowie oświaty, komunikacji oraz reform, szef

kancelarii cywilnej prezydenta RP. Po przedstawicielach rządu do budynku poselstwa wkracza korpus dyplomatyczny pod wodzą ambasadora Francji Jules'a Laroche'a i posła włoskiego Maioniego. Są także wojewoda Władysław Sołtan, prezydent Warszawy Władysław Jabłoński, wojskowy komendant stolicy gen. Władysław Jaxa-Rożen.

Uroczystość eksportacji zwłok rozpoczyna się o 7.45. Dwaj sowieccy urzędnicy w czarnych garniturach lutują metalową trumnę. Sześciu członków poselstwa bierze ją na ramiona, wynosi przed budynek i umieszcza na sześciokonnym karawanie. Stojące na Poznańskiej oddziały wojskowe prezentują broń.

Kondukt rusza na dworzec. Na jego czele jedzie konno komendant uroczystości płk Więckowski. Za nim postępuje kompania 36. Pułku Piechoty, reprezentacyjny szwadron szwoleżerów i artyleryjskie zaprzęgi 1 Dywizjonu Artylerii Konnej. Orkiestra pułkowa gra żałobne marsze.

Za orkiestrą posuwają się dwa ozdobne wozy wypełnione górami wieńców i kwietnych wiązanek. Za wozami jedzie karawan szczelnie otoczony wartą honorową polskich żołnierzy i oficerów. W kondukcie, jako pierwsza, idzie wdowa po pośle Wojkowie. Trzyma za rękę synka byłego już *chargé d'affaires* ZSRR w Londynie Arkadija Rozenholca.

Tuż za nimi – polski rząd, korpus dyplomatyczny, przedstawiciele władz miejskich, pracownicy sowieckiego konsulatu. Kondukt zamyka kompania 21. Pułku Piechoty, szwadron szwoleżerów i półbateria artylerii konnej.

Polskie władze przygotowały iście królewską uroczystość eksportacji zwłok zamordowanego posła.

Na dworcu sowieccy urzędnicy przenoszą trumnę do pociągu specjalnego złożonego z pięciu wagonów. W jednym z nich aż do

granicy jedzie asysta honorowa plutonu 36. Pułku Piechoty.

Premier Bartel składa kondolencje pani Wojkow. Kompania honorowa na peronie oddaje honory wojskowe. O 8.45 pociąg żegnany marszem żałobnym rusza na wschód.

Tego ranka w moskiewskim więzieniu OGPU na Łubiance funkcjonariusze czerezwyczajki mordują strzałami w tył głowy 20 więźniów, wybitne osobistości rosyjskie z czasów sprzed rewolucji.

Wczesnym popołudniem Rada Komisarzy Ludowych wydaje deklarację, że w odwecie za zamordowanie w Warszawie posła Wojkowa zostało rozstrzelanych 20 inicjatorów nielegalnych organizacji monarchistycznych i angielskich szpiegów. Sowieckie władze bez żenady, oficjalnie przyznają, że egzekucji dokonano bez wyroku sądowego, w akcie zemsty i w celu zastraszenia przeciwników komunistów. Na czele opublikowanej listy straconych widnieje nazwisko księcia Pawła Dołgorukowa.

Potomek dynastii Rurykowiczów, jeden z najbogatszych ludzi w carskiej Rosji, przed wojną światową uchodził za zdeklarowanego polonofila. W Partii Konstytucyjno-Demokratycznej jako jeden z nielicznych na długo przed rewolucją wypowiadał się za niepodległością Polski. Był jednym z głośnych europejskich pacyfistów; przed wojną założył w Moskwie Towarzystwo Przyjaciół Pokoju. Po przechwyceniu władzy w Rosji przez bolszewików książę stracił swe bajecznie wielkie majętności, ale mimo podeszłego wieku z pogodą ducha znosił na emigracji radykalną i dotkliwą odmianę fortuny. Przed kilku laty przyjechał do Polski, by odebrać kufer z bielizną i rzeczami osobistymi pozostawiony w czasie wojny w jego apartamencie w jednym z warszawskich hoteli – w nowej sytuacji rzecz dlań bezcenną.

Widok tonącej w śniegu Warszawy pobudził wtedy tęsknotę księcia za ojczyzną. Przebrany za wiejskiego dziada, nielegalnie

przekroczył granicę polsko-sowiecką. W pasie pogranicznym aresztowali go sowieccy strażnicy. Nikt go jednak nie rozpoznał i starca deportowano z powrotem do Polski. Książę wrócił do Paryża, lecz wiosną tego roku znów nielegalnie przekradł się przez sowiecką granicę. Tym razem nikt go nie zauważył. Książę dotarł aż pod Kursk, na tereny swoich byłych majątków ziemskich. Tam rozpoznano go, aresztowano i aż do dzisiejszego ranka przetrzymywano na Łubiance.

Masowa egzekucja w Moskwie to tylko początek nowej fali bolszewickiego terroru. W Swierdłowsku czekiści rozstrzeliwują byłego carskiego oficera Obuchowa, w Tyflisie ginie dziś kilkunastu więźniów. W Odessie, Charkowie i Mikołajewie OGPU aresztuje ponad 600 osób. Przedstawiciele sowieckich władz nie kryją przed zachodnimi dyplomatami, że w najbliższych dniach ogłaszane będą kolejne listy skazanych na śmierć.

Wieczorem w Moskwie, na wiecach protestacyjnych z powodu zabójstwa Piotra Wojkowa, zbiera się ponad 100 tys. ludzi. Największe grupy gromadzą się przed gmachem Komisariatu Spraw Zagranicznych. Tłum dziką wrzawą i oklaskami przyjmuje deklarację przygotowaną przez urzędników sowieckiego MSZ, obciążającą odpowiedzialnością za zamach Kowerdy rządy brytyjski i polski i domagającą się surowego ukarania zamachowca oraz likwidacji wszystkich organizacji białych Rosjan w Polsce. Po rozwiązaniu wiecu ludzie ruszają na ul. Worowskiego, gdzie mieści się polskie poselstwo. Milicjanci nie dopuszczają demonstracji do gmachu poselstwa.

Piotr Wojkow

10 czerwca 1930 ▪ wtorek

Na wolność ze scyzorykiem

Gdy taki ranny wyraża życzenie złożenia zeznań, fatygują się do niego najwyższe władze. W izolatce Szpitala św. Karola Boromeusza w Białej Podlaskiej zjawiają się delegat wojewody lubelskiego Kazimierz Hauke, nadkomisarz Policji Państwowej Stanisław

Ruciński i komisarz Tarbowski. Izolatki dzień i noc pilnuje posterunkowy policji.

Ranny ma się dobrze. Choć cały korpus ma obandażowany, jest w stanie sam podciągnąć się na łóżku. Niezbyt głębokie rany nie stanowią zagrożenia dla życia.

Pacjent z izolatki przed trzema dniami o 10.16 wyskoczył z ruszającego już w stronę granicy polsko-sowieckiej pociągu pośpiesznego Warszawa–Moskwa. Widząc wyskakującego i przewracającego się niemal pod koła pociągu pasażera, konduktor zatrzymał skład i sam wyskoczył na peron. Leżący tam mężczyzna wykrzykiwał, że jest śledzony przez agentów sowieckiej policji politycznej GPU, którzy eskortują go do Moskwy, by tam go zastrzelić. Konduktor wezwał sygnałem gwizdka posterunkowego, który zażądał od nieznajomego pasażera dokumentów. Wtedy mężczyzna wyciągnął z kieszeni nieduży scyzoryk, otworzył go i w zapamiętaniu zadał sobie kilkanaście ran w brzuch i piersi.

Choć zbroczony krwią, ranny pozostał przytomny. Policjant wylegitymował go. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni sowiecki paszport na nazwisko Michaił Naumow. Wezwany lekarz stwierdził, że rany nie są groźne, ale na wszelki wypadek zdecydował przewieźć mężczyznę do szpitala. Pociąg do Moskwy odjechał bez Michaiła Naumowa.

Wczoraj Naumow złożył na ręce starosty prośbę o pozostawienie go do czasu wyleczenia w Polsce lub o odesłanie go do Francji. Wyraził też chęć złożenia wyjaśnień przedstawicielom władzy.

I rzeczywiście, chętnie opowiada siedzącym na krzesłach obok jego łóżka delegatowi wojewody i komisarzom o swojej karierze w partii bolszewickiej. Zaczął w niej aktywnie działać w 1918 roku. Jako zaufany członek partii, a przy tym wykwalifikowany kuśnierz, został skierowany do pracy w Pusznosyndykacie, centrali zajmującej

się handlem futrami. Przed czterema laty awansował: został delegowany do Paryża jako kierownik przedstawicielstwa handlowego.

Wygodne życie w Paryżu skończyło się pół roku temu, 3 października 1929 roku. Tego dnia przybyły z Moskwy członek kolegium GPU Roisenmann wezwał radcę ambasady sowieckiej w Paryżu Grigorija Zinowiewicza Biesiedowskiego i oznajmił mu, że ma natychmiast wracać wraz z rodziną do Związku Radzieckiego. Biesiedowski, który do bolszewików trafił z eserowskiej opozycji, od kilku lat służył w sowieckiej dyplomacji, m.in. w Warszawie, ale co rusz zgłaszał zastrzeżenia do działalności terrorystycznej i dywersyjnej, jaką notorycznie prowadzili agenci GPU i wywiadu wojskowego z sowieckimi paszportami dyplomatycznymi w kieszeni. W tej sytuacji wezwanie do Moskwy mogło oznaczać tylko proces, a potem łagier albo egzekucję. Biesiedowski nie miał co do tego złudzeń i otwarcie odmówił powrotu. Roisenmann kusił go perspektywą dostatniej emerytury wypłacanej dożywotnio w niemieckich markach w kurorcie na południu Związku Radzieckiego. Biesiedowski nie dał się nabrać. Wrócił do swego mieszkania, ale był w pułapce: kamienica, w której mieszkali sowieccy dyplomaci i urzędnicy, przypominała twierdzę strzeżoną przez uzbrojonych enkawudzistów. Biesiedowski uciekł jednak przez mur ogrodu, wystąpił o azyl polityczny i jeszcze tego samego wieczoru wrócił w asyście francuskich policjantów po żonę i dziecko.

Pół roku później napisał wspomnienia, demaskujące kulisy działania sowieckiej dyplomacji. Wydano je natychmiast w Niemczech, w Polsce i we Francji. Czytelnicy mogli się z nich dowiedzieć, że długa seria tajemniczych zamachów bombowych, nękających Warszawę w 1923 roku, w tym i wielki wybuch

w warszawskiej cytadeli w październiku 1923 roku, została zaplanowana przez sowieckiego „dyplomatę", w istocie zaś rezydenta wywiadu wojskowego Łoganowskiego i jego następcę Jeleńskiego, wykonana zaś przez ich agentów z KPP.

Biesiedowski ujawniał także kompromitujące drobiazgi. Zaproszeni w 1923 roku na pogrzeb prezydenta Gabriela Narutowicza sowieccy dyplomaci w przeddzień uroczystości, na której obowiązywały stroje dyplomatyczne, dostali z Moskwy bezwzględny zakaz przywdziania burżujskiego rekwizytu – cylindra. By uniknąć skandalu dyplomatycznego, pojechali na pogrzeb w czapkach z czarnego baranka, którym wcisnęli denka do środka. Wprawili tym wszystkich w osłupienie, ale formalny wymóg pojawienia się w czarnych uroczystych nakryciach głowy spełnili i w pogrzebie brali udział.

Po ucieczce Biesiedowskiego zaczęła lawinowo rosnąć liczba sowieckich pracowników przedstawicielstw zagranicznych odmawiających powrotu do Moskwy. Europejskie gazety rozpisywały się ostatnio o ponad 200 nieposłusznych dyplomatach i urzędnikach.

Naumow opowiada z łoża szpitalnego, że w związku z faktycznym buntem części sowieckich pracowników w Komisariacie Spraw Zagranicznych odbyła się narada z udziałem szefa GPU Jagody, podczas której ustalono środki zapobiegawcze: zmniejszenie do minimum personelu sowieckich placówek i bezwzględne zatrzymywanie rodzin w kraju, w charakterze zakładników.

Sytuacja w sowieckiej placówce w Paryżu stała się nie do zniesienia po tym, jak ostatnio urzędnik misji handlowej Krukow odmówił powrotu i ogłosił w prasie rewelacje kompromitujące sowiecki rząd. Naumow zeznaje, że przed tygodniem otrzymał nagłe

wezwanie do Moskwy. Powodów mu nie podano. Mimo wątpliwości ruszył w drogę. Już jednak na granicy belgijskiej zauważył, że śledzi go dwóch agentów GPU.

„Zrozumiałem, co czeka mnie w Moskwie. Resztek wątpliwości pozbyłem się, gdy po odjeździe pociągu z Warszawy do mojego przedziału wszedł jakiś nieznajomy mężczyzna, który zaczął ze mną rozmawiać po rosyjsku. Po czasie próbował dowiedzieć się, co sądzę o władzach sowieckich" – opowiada Naumow.

Gdy pociąg dojechał do Białej Podlaskiej, miał zamiar wysiąść i na piechotę wrócić do Warszawy, by tam oddać się w ręce polskich władz. Bał się, że lokalne władze w Białej Podlaskiej osobnika z sowieckim paszportem, bez ważnej wizy pobytowej, po prostu od razu odeślą do Związku Radzieckiego. Pociąg jednak ruszył już po półminutowym postoju. Gdy Naumow próbował wybiec na peron, tajemniczy rozmówca dopadł go na wagonowej platformie i usiłował zatrzymać. W końcu Naumow wyrwał się i karkołomnym susem wylądował na peronie.

Komisarz Tarbowski pyta uciekiniera, dlaczego sam poranił się scyzorykiem. Naumow wyjaśnia, że nie był pewien, czy Polacy nie wsadzą go z powrotem do pociągu. Samookaleczenie i kuracja w szpitalu wydały mu się najlepszym sposobem na pozostanie w Polsce i zyskanie na czasie.

Komisarz Ruciński prosi o złożenie zeznań na piśmie. Naumow po namyśle odmawia – o ile to możliwe, wolałby nie zostawiać śladów swojej ucieczki.

Następnie sowiecki zbieg podaje panu Hauke wniosek o zezwolenie mu na sześciotygodniowy pobyt w Polsce. Potem chciałby wyjechać do Francji.

Rozmawiający w szpitalu nie mają pojęcia, że właśnie w tym samym czasie moskiewski Sąd Najwyższy wydaje na paryskiego

zbiega Krukowa zaoczny wyrok: kara śmierci, utrata wszelkich praw i konfiskata majątku.

11 czerwca 1977 ▪ sobota

Biegunka antyterrorystyczna

Dochodzi trzecia w nocy. Ciemności i gęste mgły unoszące się z bagien spowijają żółte wagony stojącego na niewysokim nasypie pociągu osobowego. Podmokłe, porośnięte krzakami pustkowie wygląda na wymarłe, ale na bagnach otaczających tory kolejowe czają się dwa tysiące holenderskich żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. Korzystając z mgły i ciemności, 30 komandosów Bijzondere Bijstands Eenheid, elitarnej jednostki antyterrorystycznej holenderskiej armii, powoli, ostrożnie zbliża się do unieruchomionego pociągu. Wreszcie zamierają w odległości kilkudziesięciu metrów od torów.

O 3.50 rozlega się potworny ryk. Sześć starfighterów, odrzutowych myśliwców holenderskiego lotnictwa, doleciało w pobliże pociągu niemal bezgłośnie, na minimalnym ciągu silników. Nad celem pilot pierwszej maszyny w szyku dodaje gazu i przelatuje zaledwie pięć metrów nad dachami wagonów. W nocy, we mgle to prawdziwy majstersztyk pilotażu. Tuż za pierwszą maszyną przelatuje z ogłuszającym rykiem następna. Gdy ostatni, szósty w szyku starfighter przelatuje na minimalnej wysokości nad pociągiem, pierwsza maszyna wraca nad cel i znów nadlatuje, niemal szorując podwoziem po dachach wagonów. Huk odrzutowych silników ma ogłuszyć, obezwładnić zabarykadowanych w pociągu porywaczy.

Terroryści zamknięci wraz z zakładnikami w pierwszym wagonie są członkami organizacji Vrije Zuidmolukse Jongeren (Młodzież Południowych Moluków).

Uzbrojeni członkowie VZJ to spadek po kolonialnej historii Holandii. Archipelag Wysp Korzennych, zwanych też Wyspami Moluckimi, odkryli przed pięcioma wiekami Portugalczycy, ale 100 lat później opanowali go na dobre Holendrzy. Dostarczające gałki muszkatołowej, goździków, pieprzu i innych cennych przypraw Moluki przez ponad trzy i pół wieku były perłą kolonialnego imperium Holandii. Po II wojnie światowej, po wyparciu okupantów japońskich z wysp dawnych Holenderskich Indii Wschodnich, jawajski ruch wyzwoleńczy proklamował w 1945 roku niepodległą Republikę Indonezji. Odmienni etnicznie i kulturowo mieszkańcy Moluków chcieli jednak przekształcić swe wyspy w niepodległe państwo, a nie w indonezyjską prowincję. Na domiar złego, w wojnie, jaką w 1945 i 1946 prowadziły przeciw Indonezji Wielka Brytania i Holandia, dawna kolonialna metropolia wykorzystywała żołnierzy z Moluków. W holenderskiej armii niezwykle bitni Molukańczycy pełnili taką funkcję, jak Gurkhowie w armii brytyjskiej. Walczyli w interesie Holendrów na wielkich wyspach Indonezji, daleko od swych rodzinnych Moluków, zaskarbiając sobie niechęć, czasem nienawiść rdzennych Indonezyjczyków. Po przegranej wojnie kolonialnej Holendrzy, wycofując się ze swych byłych Indii Wschodnich, oddali Molukańczykom jeszcze jedną niedźwiedzią przysługę: aby utrudnić sytuację Indonezji, w czasie kończącej wojnę konferencji okrągłego stołu w Hadze postawili warunek, że każda z 16 prowincji ma prawo do autonomii lub niepodległości.

Molukańczycy uwierzyli w tę deklarację, ale rząd indonezyjski nie zamierzał wypuszczać Moluki z rąk. W kwietniu 1950 roku

Molukańczycy chwycili za broń. Indonezja krwawo stłumiła powstanie. Cztery tysiące molukańskich powstańców wyemigrowało wraz z rodzinami do Holandii. Uchodźcy zamieszkali w Westerbork, szybko zamieniając je w namiastkę państwa molukańskiego na holenderskiej ziemi. 35-tysięczna społeczność molukańska rządziła się swoimi prawami. Jej członkowie nie przyjęli obywatelstwa holenderskiego ani indonezyjskiego – pozostali bezpaństwowcami. W Westerbork utrzymywali własną służbę porządkową, modlili się we własnym Kościele protestanckim, który już w 1934 roku odłączył się od Kościoła holenderskiego.

Spokój skończył się w 1970 roku, gdy władze holenderskie zlikwidowały enklawę w Westerbork. Młodzi Molukańczycy, bojąc się, że ich rozproszona społeczność zacznie się asymilować, ruszyli do walki. Uważali, że Holandia powinna zrealizować swe zobowiązania z konferencji w Hadze i doprowadzić do powstania niepodległego państwa na Molukach.

W 1970 roku, przed wizytą prezydenta Indonezji Suharto w Holandii, grupa molukańskich terrorystów zajęła ambasadę indonezyjską w Hadze i wzięła ośmiu zakładników. Napastnicy domagali się niepodległości dla Moluków Południowych. Przed trzema laty aktywiści VZJ zorganizowali pod tym hasłem gwałtowne demonstracje uliczne swych rodaków w wielu miastach Holandii. Wiosną 1975 roku policja holenderska rozbiła molukańską konspirację, planującą uprowadzenie królowej Juliany, a jesienią tego roku siedmiu uzbrojonych terrorystów VZJ napadło na pociąg z Amsterdamu do Beilen, zaś inna ekipa Molukańczyków zajęła konsulat indonezyjski w Amsterdamie. Mimo że terroryści zamordowali dwóch zakładników, rząd holenderski nie zdecydował się ich zaatakować. W końcu Molukańczycy poddali się.

Przed trzema tygodniami, 23 maja, dziewięcioosobowa grupa terrorystów porwała lokalny pociąg elektryczny jadący do Groningen. Spośród ponad 100 podróżnych napastnicy wybrali 56 zakładników. Pociąg zatrzymali na bagiennych pustkowiach. W tym samym czasie czterech innych terrorystów VZJ opanowało szkołę w miejscowości Bovensmilde, biorąc jako zakładników 106 dzieci i 4 nauczycieli.

Wojsko i policja otoczyły pociąg i szkołę. Terroryści zażądali zwolnienia z więzień swych kolegów – w przeciwnym razie grozili zmasakrowaniem zakładników. Rząd chciał rozwiązać kryzys pokojowo, ale na wszelki wypadek w pobliżu oblężonej szkoły i porwanego pociągu pojawili się komandosi BBE, jednej z najlepszych na świecie formacji antyterrorystycznych utworzonej w Holandii po masakrze izraelskich sportowców na olimpiadzie w Monachium. Policja holenderska zdecydowała się na zagranie *va banque* – do żywności dla uwięzionych w szkole dzieci dodała środek wywołujący silną biegunkę. Policyjni lekarze poinformowali przestraszonych terrorystów, że rozpoczęła się epidemia bardzo niebezpiecznej grypy żołądkowej i dzieci bez hospitalizacji będą umierać. Molukańczycy zwolnili wszystkich uczniów, ale nadal więźli pasażerów w pociągu. I nadal nie chcieli słyszeć o kapitulacji.

Po trzech tygodniach oblężenia szef BBE doszedł do wniosku, że terroryści są dostatecznie znużeni i zobojętniali, by móc bezpiecznie uderzyć.

Gdy pierwszy starfighter kończy lot tuż nad dachami wagonów, z mokradeł podnosi się 30 komandosów BBE i szybkim krokiem rusza w stronę pociągu. Mają za zadanie dopaść nasypu kolejowego, zanim Molukańczycy otrząsną się z zaskoczenia. Od pociągu dzieli komandosów zaledwie 15 m, gdy któryś z terrorystów dostrzega ich z okna przedziału maszynisty. Molukańczycy otwierają do żołnierzy

ogień z pistoletów maszynowych. W tym samym momencie na bagnach zapalają się dziesiątki ogników. To ukryci na mokradłach strzelcy wyborowi rozpoczynają huraganowy ostrzał pierwszego wagonu z karabinów automatycznych FN FAL. Terroryści rzucają się na podłogę.

Komandosi są już przy schodkach do wagonu, w którym przetrzymywani są zakładnicy. Jeden z atakujących wskakuje na schodki, szarpie drzwi. Bez efektu – są zamknięte od wewnątrz. Komandos błyskawicznie przylepia ładunek plastiku do drzwi, wtyka weń zapalnik, podpala króciutki lont. Ledwo odskakuje, a już wagonem wstrząsa potężna detonacja. Przez wyrwane drzwi komandosi wpadają do wagonu. Krzyczą: „Na ziemię!". W tej samej chwili otwierają ogień pilnujący zakładników Molukańczycy. Komandosi odpowiadają ogniem z pistoletów maszynowych Uzi. Dwoje pasażerów, 19-letnia dziewczyna i 40-letni mężczyzna, zamiast paść na podłogę, wstaje z miejsc. Komandosi nie mają czasu na zadawanie pytań – w mroku nie są w stanie odróżnić porywaczy od ofiar. Seriami z uzi ścinają oboje pasażerów z nóg. Molukańczycy usiłują się bronić: ranią jednego z leżących zakładników. Huraganowy ogień Holendrów masakruje ich w mgnieniu oka.

Dokładnie w chwili gdy pierwszy starfighter przelatuje na pociągiem, w Bovensmilde 13 transporterów opancerzonych rusza na pełnym gazie na budynek szkoły. Czterej zabarykadowani w środku Molukańczycy, zmęczeni, apatyczni, nawet nie sięgają po broń, gdy transporter rozwala drzwi wejściowe. Komandosi BBE nie strzelają – leżący na podłodze terroryści bez oporu pozwalają się wyprowadzić i skuć. Czworo nauczycieli jest całych i zdrowych.

W pociągu komandosi BBE liczą straty. Żaden ze szturmujących nie jest ranny. Dwoje pasażerów, którzy nie zastosowali się do okrzyków antyterrorystów, nie żyje. Komandosi zastrzelili sześcioro

porywaczy, w tym ich dowódcę, 24-letniego Maksa Papilayę, i jedyną kobietę w ich grupie – Hansinę Autosię. Z trzech pochwyconych Molukańczyków dwóch jest rannych.

Grupa uderzeniowa BBE świętuje swój tryumf. W telewizji specjalne orędzie wygłasza premier Joop den Uyl: „Jest to gorzkie zwycięstwo. Kosztowało ono życie dwojga pasażerów pociągu. Może też wzbudzić gniew czterdziestu tysięcy Molukańczyków, którzy stracili w tym starciu sześciu młodych ludzi, poległych pod sztandarem sprawy nacjonalistycznej. Ale innej możliwości nie było. Nie mogliśmy pozwolić im wyjechać za granicę, gdyż oznaczałoby to zachętę do dalszych aktów przemocy".

Odbicie porwanego pociągu pasażerskiego

12 czerwca 1979 ▪ wtorek

Pedałując nad falami

Tak, to może zdarzyć się już dzisiaj. Prognozy pogody są bardzo dobre. Nad niespokojnym zwykle kanałem La Manche ma być bezwietrznie. To najważniejsze.

O świcie z niewielkiego brytyjskiego portu Folkestone wypływa mała flotylla motorówek. Zapuszczają się na kilkanaście mil w stronę odległego o 35 km brzegu Francji. Ich meldunki także brzmią optymistycznie – ani tchnienia wiatru, pogoda idealna!

Kończy się kilkudniowe oczekiwanie. Technicy wyciągają z hangaru pod Folkestone przedziwną konstrukcję. Ogromne, przezroczyste jak u ważki i jak u ważki prążkowane wzmacniającym użebrowaniem skrzydła mają rozpiętość niemal 30 m. Do pionowej antenki w środku urządzenia przymocowane są liczne linki, biegnące do końców skrzydeł – to wzmocnienie delikatnej jak puch konstrukcji. Z daleka całość wygląda jak jeden z pionierskich samolotów z epoki braci Wright. Ale oto młody, szczupły mężczyzna w spodniach od dresu i T-shircie kończy rozgrzewkę i sadowi się w pionowej, wąziutkiej, przezroczystej kabinie pod skrzydłami. Znajduje się w niej coś na kształt stacjonarnego roweru. Tyle tylko że od pedałów biegnie świetnie widoczny system przekładni – aż do umocowanego z tyłu wielkiego śmigła. Młody człowiek w dłoniach dzierży coś na kształt małego koła sterowego nowoczesnego samolotu.

Jest 4.50. Obserwatorzy na łodziach meldują przez krótkofalówki, że nadal nie ma choćby najsłabszego wiatru. To zakrawa niemal na cud. Trzeba się spieszyć. Młody człowiek zaczyna pedałować. Podtrzymywana przez kilka osób przezroczysta konstrukcja nabiera prędkości na dwóch maleńkich kółkach schowanych w dolej obudowie kabiny. Gdy wielka przezroczysta ważka pędzi już

w tempie rodzinnej rowerowej wycieczki, pedałujcy mężczyzna ściąga dźwignię i całość majestatycznie unosi się w powietrze, płynie nad brzegiem i rychło pojawia się nad motorówkami. Witają ją okrzyki radości. Załoga jednej z łodzi gratuluje starszemu mężczyźnie z nogą w gipsie. Amerykanin dr Paul MacCready jest ojcem tego osobliwego przedsięwzięcia. To on skonstruował dziwny pojazd latający napędzany wyłącznie siłą ludzkich mięśni.

MacCready od dzieciństwa budował nietypowe konstrukcje latające. Zaczął od miniaturowych modeli. W wieku 20 lat projektował i budował szybowce. W połowie lat 70., już jako inżynier aeronautyki zatrudniony w laboratoriach lotniczych w Pasadenie, podjął jedno z najosobliwszych wyzwań w technice – postanowił zdobyć Nagrodę Kremera. Brytyjski przemysłowiec Henry Kremer w 1958 roku przeznaczył 50 tys. funtów dla konstruktora cięższej od powietrza maszyny latającej napędzanej wyłącznie siłą ludzkich mięśni. Przelot musiał odbyć się na trasie o kształcie ósemki pomiędzy słupkami odległymi o 800 m. Pilot miał wystartować samodzielnie, a cały przelot winien był odbyć się na wysokości co najmniej 3 m. MacCready zabrał się do dzieła naukowo. Najpierw wraz z fizjologami sportu ustalił, że wytrenowany sportowiec o wadze 70 kg może rozwinąć maksymalną moc mięśni rzędu 700 watów (równą zatem mocy siedmiu raptem żarówek setek), ale tylko przez kilkanaście sekund. W czasie dłuższego, godzinnego wysiłku średnia moc sportowca spaść musi do 250–300 watów. Tymczasem najmniejszy spalinowy silniczek rowerowy, doczepiany do przedniego widelca ramy roweru i napędzający koło, ma moc 1200 watów. MacCready nie stracił animuszu. Obserwując szybujące nad pustynią kondory, postanowił zbudować maszynę bardzo lekką, a przy tym ogromnych rozmiarów i tym samym o znacznej zdolności do

szybowania, tak by utrzymywała się w powietrzu niemal bez wysiłku ze strony napędzającego ją pilota. Za pomocą komputerów kalifornijskich laboratoriów lotniczych zaprojektował giganta zdolnego do lotu przy zastosowaniu napędu o mocy 300 watów. Wraz z 20 przyjaciół i pracowników własnej firmy zbudował machinę o rozpiętości skrzydeł 29,3 m. Szkielet z nadzwyczaj lekkich rurek aluminiowych pokryli oni cienką jak pajęczyna powłoką z mylaru, najnowszego tworzywa sztucznego produkowanego przez chemiczny koncern DuPont. Bez pilota całość ważyła 34 kg. Napędzało ją, znajdujące się z tyłu, śmigło poruszane siłą mięśni pedałującego pilota. Po 430 próbach MacCready 12 razy zmieniał konstrukcję mięśniolotu nazwanego „Gossamer Condor". Do obsługiwania go zaprosił młodego, 24-letniego amerykańskiego kolarza Bryana Allena. I w końcu udało się. W 1977 roku Allen przeleciał po trasie ósemki 2200 m ze średnią prędkością 5 m/s. Konstruktor i pilot zainkasowali po 25 tys. funtów i natychmiast zabrali się za kolejne wyzwanie – tzw. Wielką Nagrodę Kremera: 203 tys. dolarów za przelecenie mięśniolotem nad kanałem La Manche.

MacCready zbudował nową, sprawniejszą machinę. „Gossamer Albatross", bo tak ją nazwano, z wymiarów i wyglądu łudząco przypomina poprzednika, „Gossamera Condora". Tajemnica tkwi w konstrukcji. Koncern DuPont, wietrząc świetną okazję do promocji swych osiągnięć, dostarczył nieodpłatnie swój najnowszy skarb – rurki z włókien węglowych, dwukrotnie wytrzymalsze od aluminiowych i trzy razy od nich lżejsze, oraz jeszcze wytrzymalsze od poprzednich powłoki z ultracienkiego mylaru. Jedynymi elementami z metalu są pedały, wał korbowy napędu, łańcuch napędowy i podstawa siedzenia pilota. Przy zbliżonych wymiarach „Albatross" jest o 9 kg lżejszy od „Condora".

Pół godziny po starcie warunki nadal są idealne. Bryan Allen pedałuje rytmicznie, jest w dobrej formie. Ale pogoda szybko psuje się. Lekki boczny wiatr jest ogromnym utrudnieniem dla tak wielkiej i zarazem lekkiej jak piórko maszyny. Allen mocniej naciska na pedały, wyrównuje lot. Zwiększony wysiłek wzmaga pragnienie. Allen pije więcej wody, niż było zaplanowane. A jej zapas z powodu limitu wagi całości „Albatrossa" jest niewielki. W drugiej godzinie lotu woda kończy się i Allena męczy coraz bardziej pragnienie. Słabnie. 30 m niżej koledzy płynący na motorówkach dopingują go machaniem rękami. Mija druga godzina lotu, wzmaga się boczny wiatr. Allen nie daje rady, „Gossamer Albatross" leci już tylko 1,5 m ponad falami. Pilot podejmuje ostatnią, rozpaczliwą próbę. Przyspiesza, wspina się na wysokość ponad 30 m i tam szczęśliwie znajduje nieco ciszy. Może lecieć dalej. Ale ten rozpaczliwy wysiłek bez choćby łyczka wody odbiera resztki sił. Nogę łapią kurcze i parę razy przez kilka minut pilot musi pedałować tylko drugą, sprawną nogą. „Albatross" opada wtedy dosłownie na centymetry ponad fale. Za każdym razem jednak Allen, który widzi już francuski brzeg, nadludzkim wysiłkiem ratuje sytuację i odzyskuje wysokość. Wreszcie po 2 godzinach i 49 minutach lotu „Gossamer Albatross" ląduje na przylądku Griss Nez. Wykończony Allen nie ma siły, by się cieszyć. Za to MacCready, mimo gipsu na nodze, skacze w łódce z radości. Budując „Albatrossa", zaciągnął wraz ze wspólnikiem kredyt w wysokości 100 tys. dolarów. Krótko potem wspólnik uciekł z gotówką. Połówka wielkiej Nagrody Kremera jest dla genialnego konstruktora jedynym ratunkiem przed zlicytowaniem.

„Gossamer Albatross” – mięśniolot Paula MacCready’ego nad kanałem La Manche

13 czerwca 1982 ▪ niedziela

Rozmowy przy zaprowadzaniu porządku

Dziś mija szósty miesiąc stanu wojennego. Wrocławska Solidarność czeka na koniec niedzielnych mszy w kościołach św. Elżbiety i św. Klemensa Dworzaka. Ok. 12.30 zaczną się demonstracje. Godzinę wcześniej ZOMO uruchamia stanowisko łączności radiowej z radiowozami i grupami funkcjonariuszy. Każda grupa ma swój kod cyfrowy.

11.35: „Meldować co pół godziny, jak wygląda sytuacja”.

12.35: „Wydać środki chemiczne!”

12.50: „Tam jest grupa agresywna około 40 osób, która rozrzuca ulotki. Staraj się jak najwięcej zatrzymać!”

13.03: „Otoczyć zajezdnię, wkroczyć do zajezdni. Kto jest dziś niezatrudniony, wszystkich zatrzymać”.

13.09: „047, tu 148, pod kościołem zaprowadziłem porządek, część schowała się do kościoła”.

„Nie używaj teraz gazów!”

13.27: „Więźniarka, zgłoś się, gdzie jesteś!?”

„Wzdłuż chodników nie polewaj, ale żeby się nie zatrzymywali!”

13.37: „097, tu 148, brakuje nam już środków chemicznych!”

13.40: „Mercedes żółty jedzie ulicą Grabiszyńską, WRG 4450, robi zdjęcia akcji, zatrzymać, wylegitymować. Tramwajarz celowo uderzył w naszego stara, niewielkie straty, ale uderzył!”

14.47: „Na Grabiszyńskiej kamieniami rzucają!”

14.34: „Ulica Spiżowa, tam obrzucili nasz radiowóz, jedź tam, tam jest dwóch agresywnych braci nazwiskiem Nawrot”.

15.05: „38 z prawej strony, pod tymi blokami, ognia!”

15.10: „Brzoza do dwunastej – ty nie rozgarniaj, zajdź z dwóch stron i zatrzymaj jak najwięcej!”

15.15: „Pereca róg Grabiszyńskiej rzucają butelki na jezdnię, żeby pojazdy sobie opony poprzebijały!”

„Przejeżdżajcie chodnikiem. 097, tu 047, pamiętaj, że wszystkie środki są dozwolone oprócz broni”.

16.40: „Na Pereca, jak my tam podjeżdżamy, to tak jakby kij wkładał w mrowisko, jak nas nie ma, jest spokój”.

17.00: „097, tu 047, zorganizuj sobie tę akcję, abyś dał im duże lanie i zatrzymał ich, bo będziesz miał z nimi kłopoty do nocy”.

„Jedź z Grabiszyńskiej w Pereca i pałowanie, i jak najwięcej zatrzymać”.

„Idziemy takim szykiem jak do zakładów pracy: my przodem, za nami wojsko i ROMO".

17.09: „Z butelkami lecą, okna obstawić, naprzód!"

17.12: „Uwaga, bo lecą doniczki!"

„250, podaj sytuację".

„Uwaga na okna, nie strzelać do okien z rakietnic!"

„Nie da rady inaczej, bo walą tymi doniczkami!"

17.15: „250, zgłoś się, jak u ciebie?"

„Wszyscy pouciekali, na dachy powchodzili i rzucają".

17.30: „148, tu 049, weź tych swoich dowódców, żeby dowódca operacji ich nie szukał, bo nie wiadomo, kto prowadzi wojsko, kto ROMO".

„Kto tam jest dowódcą, do czorta jasnego, proszę się wziąć w karby!"

17.48: „Brzoza, z jakich przyczyn został ranny załogant wyrzutni?"

„Po prostu cegła spadła, został trafiony w rękę, jeden i drugi, inny trafiony butelką po mleku".

18.23: „058, ilu masz zatrzymanych?"

„Chwileczkę, policzę dokładnie, sześciu".

„Czy ten prowodyr też?"

„Tak, teraz go dostarczyli".

„A powiesić go!"

„Nie bądź taki mądry".

19.10: „Grabiszyńską nie można przejechać, jak jedzie radiowóz, ludzie wyskakują, rzucają i wycofują się na podwyższenie".

„Ten tłum już liczy około 2000".

19.46: „Brzoza do radiowozów, jeśli zauważycie samochody osobowe z kirem na antenach, zapisać numery i złożyć notatki".

20.28: „Na Piaskowej stoi radiowóz MO bez załogi, zbliża się do niego grupa z katedry!"

„097, działaj według swego uznania, najlepiej rozpieprzyć tłum".

20.53: „Kiedy nas zmienią? Ja tylko śniadanie jadłem".

20.58: „Zatrzymać autobus, niech kierowca wyczyści prawy bok »Solidarność zwycięży«".

21.45: „Mamy informacje, że na Grabiszyńskiej kieruje facet z brodą i łysiną, lat około 40".

21.48: „Nie pchać pojazdów pod wiadukt, bo nam spalą".

„720, zabezpiecz z prawej strony!"

„Benzyną oblali, wycofuj! Jeden funkcjonariusz ranny w nogę, kamieniem dostał, nogi nie czuje, przyślij sanitarkę, czeka pod mostkiem poparzony, ciężko ranny!"

„Tutaj leży!"

22.29: „Przygotować środki chemiczne!"

23.02: „Nie strzelać w okna!"

„091, podaj, kiedy czołgi wyjadą".

„Ile ludzi jest na barykadach?"

„Robimy następny dach, bo z góry strasznie tłuką".

23.13: „Wojska nie dostaniesz, nie ma decyzji Warszawy, próbuj sam".

23.46: „136, nie używać środków chemicznych, bo cały gaz idzie na nas!"

„Pododdziały w sile batalionu w akcji, barykadę palimy".

„Jak palimy – ogniem!?"

„Tak!"

„Dobra, spalić wszystkich!"

Walki kończą się o 3.05 w nocy.

14 czerwca 1956 ▪ czwartek

Do komuny, ale z maszyną

Wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich Jerzy Putrament zamiast jak zwykle ostatnio wypłynąć rankiem łódką na szczupaka, nagle musi pakować się i jechać z leśniczówki Pranie do Warszawy. Właśnie przyjechał po niego samochód ZLP z wiadomością, że Stanisław Mackiewicz „Cat" nieoczekiwanie przyspieszył powrót z Londynu do Polski.

Putrament ma swój sekretny udział w tym powrocie. Jego zwierzchnicy z KC PZPR chcą, by osobiście powitał Mackiewicza na lotnisku.

Dla niewtajemniczonych przylot Mackiewicza do komunistycznej Polski to wielkie zaskoczenie, choć nic już nie powinno dziwić po ucieczce w maju zeszłego roku, do Warszawy, Hugona Hankego, premiera emigracyjnego rządu RP, zresztą następcy Mackiewicza na tym stanowisku.

Stanisław Mackiewicz nigdy nie skrywał swej wrogości do komunizmu. Pochodził z ziemiańskiej rodziny, podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1919 i 1920 roku wstąpił ochotniczo do partyzanckiego oddziału kawalerii Samoobrony Ziemi Wileńskiej mjr. Władysława Dąbrowskiego, który śmiałymi, dalekimi rajdami budził popłoch w bolszewickich szeregach. W 1922 roku 26-letni Mackiewicz brał udział w zakładaniu w Wilnie dziennika „Słowo", gazety konserwatywnej, finansowanej przez kresowe ziemiaństwo. Od pierwszego numeru został jej naczelnym. Wybitny, niezależny, analityczny umysł, błyskotliwy erudyta, świetny stylista, znawca historii Francji i Rosji – dzięki tym cechom uczynił z prowincjonalnego pisemka wileńskich „żubrów" dziennik czytany przez elity całej Polski. Każdy szanujący się przedwojenny intelektualista sięgał po jego komentarze w „Słowie" podpisywane

wziętym z kart Rudyarda Kiplinga pseudonimem „Cat", mającym symbolizować jego intelektualną niezależność i chodzenie własnymi drogami. Także redaktorem był znakomitym – w „Słowie" stworzył dla młodych literatów dodatek „Żagary" (co na Wileńszczyźnie oznaczało chrust zbierany na podpałkę), w którym debiutowali Czesław Miłosz, Jerzy Zagórski, Ksawery Pruszyński, Karol Zbyszewski.

W 1931 roku odbył podróż po ZSRR. Po powrocie napisał książkę publicystyczną *Myśl w obcęgach*, bezlitośnie obnażającą sowieckie mity i krytykującą realia bolszewickiego państwa.

Choć uważał się za monarchistę – a może właśnie dlatego – podczas zamachu majowego poparł Piłsudskiego, a potem doprowadził do głośnego spotkania Marszałka z arystokracją w Nieświeżu. Dwa razy piastował mandat poselski z ramienia sanacyjnego BBWR, ale po śmierci Marszałka krytykował sanacyjne władze. W 1939 roku za krytykę polityki obronnej Becka trafił na 17 dni do obozu w Berezie Kartuskiej.

Na wojennej emigracji we Francji był członkiem Rady Narodowej, w Londynie zwalczał Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka. W latach 1954–1955 był premierem emigracyjnego rządu. Zaraz po wojnie, skłócony niemal ze wszystkimi, cierpiący niedostatek, wręcz biedę, skłonny był wracać do komunistycznej Polski. Już w 1947 roku rozmawiał o powrocie z Jerzym Borejszą, który sondował w tej sprawie wybitnych twórców emigracji. Wieści o tych spotkaniach skompromitowały w polskim Londynie „Cata", ale nie zniechęciły do rozmów z komunistycznymi dygnitarzami i agentami bezpieki o powrocie. Jeszcze w 1947 roku spotkał się w Paryżu z ambasadorem Warszawy Jerzym Putramentem, potem kontaktował się z Bernardem Singerem, londyńskim dziennikarzem i zarazem agentem MBP

„Rex", oraz z konsulem Warszawy w Londynie – i rezydentem komunistycznego wywiadu – Marcelem Reichem-Ranickim. Od roku, z własnej inicjatywy, znów kontaktował się z Putramentem i agentem wywiadu Jerzym Klingerem „Oskarem". Mackiewicz opowiadał im o kulisach życia emigracji, brał gotówkę jako pożyczki i zaliczki na wydanie broszury potępiającej agenturalne związki uchodźczych radykałów z amerykańskim wywiadem, ale stanowczo odmówił pisania raportów. Kapryśny, nerwowy, długo nie potrafił się dogadać z mocodawcami swych rozmówców – gdy on chciał jechać do Warszawy, oni go wstrzymywali, gdy znów oni ponaglali do wyjazdu, on hamletyzował. Stracił wiarę w Zachód, w sens emigracji, ale wracać zawsze chciał na swoich warunkach. Upierał się, że zjawi się bez deklaracji lojalności dla komunistycznej władzy, a w kraju pozostanie niezależnym pisarzem.

Na krajowego czytelnika i na krajowe honoraria od dawna bardzo liczy.

Gdy przed paru dniami „Cat" ogłosił w londyńskim „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza", że wraca do kraju, emigracyjny publicysta Tadeusz Żenczykowski wszczął wobec niego postępowanie upadłościowe – „Cat" dotąd nie zapłacił ogromnej sumy 4 tys. funtów odszkodowania za zniesławienie przed laty Żenczykowskiego. Gdyby został uznany za bankruta, nie mógłby opuścić Wielkiej Brytanii.

„Cat" gwałtownie przyspieszył wyjazd. Na lotnisko odprowadzali go peerelowski konsul i wynajęty przezeń adwokat.

Samolot LOT-u z Mackiewiczem na pokładzie ma lądować w Warszawie wczesnym popołudniem. Samochód z Putramentem pędzi z Prania na złamanie karku i zajeżdża na Okęcie przed lądowaniem. Władze starannie wyreżyserowały przybycie byłego premiera emigracyjnego rządu. Zamiast w hali przylotów powitanie

odbędzie się na płycie lotniska, jak w przypadku głów państw albo bardzo znanych artystów. Na płytę wpuszczone mają być bliska rodzina „Cata", polscy i zagraniczni dziennikarze, kilku urzędników z przedstawicielem pełnomocnika rządu PRL ds. repatriacji.

Putrament przyjechał o czasie, ale samolot wystartował z Londynu ze sporym opóźnieniem. Mija godzina, druga, trzecia. Jest bardzo ciepło. Rodzina, dziennikarze, oficjele i spory tłumek dawnych przyjaciół, znajomych oraz wielbicieli Mackiewicza są coraz bardziej zmęczeni czekaniem.

Wreszcie wczesnym wieczorem nadlatuje douglas DC-3 z Londynu. Po wylądowaniu i wyłączeniu silników obsługa lotniskowa podtacza pod drzwi wąskie ośmiostopniowe metalowe schodki. Szybkim krokiem podchodzą do nich żona „Cata" Wanda i ich dwie córki. 35-letnia Barbara Rzepecka, były żołnierz AK na Wileńszczyźnie, do 1948 roku więziona w sowieckich łagrach w republice Komi, przyszła z nastoletnim synem Ryszardem. Młodszej córce „Cata" Aleksandrze Niemczykowej towarzyszy jej siedmioletnia córka Teresa. Są też siostra „Cata" Seweryna z Mackiewiczów Orłosiowa i jej 21-letni syn Kazimierz Orłoś, student pierwszego roku prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Za nimi tłoczą się dziennikarze i znajomi sławnego reemigranta.

Stewardesy otwierają drzwi i jako pierwszy ukazuje się w nich „Cat". Ubrany jest zaskakująco, jak na niemal upalny polski czerwiec: ma na sobie ciemny garnitur z kamizelką, gruby, ciemny, mocno podniszczony płaszcz i nieco jaśniejszy, solidny zimowy kapelusz. Dość otyłą twarz ma mocno zaczerwienioną, lekko posapuje. Nawet z odległości paru metrów widać, ze jest zarazem wzruszony i mocno podenerwowany.

W prawej ręce trzyma walizeczkę z maszyną do pisania. Jest w tym zarazem troska o swoje narzędzie pracy, ale i polityczna

ostentacja – oto przybywa z emigracji nie przegrany polityk, premier, ale pisarz, który bynajmniej nie ma zamiaru zamilknąć. „Cat" z uśmiechem, powoli, posapując, schodzi na płytę lotniska. Pozostali pasażerowie taktownie pozostają w samolocie; ta chwila jest tylko dla niego. Ledwie staje na ziemi, wnuczka Tereska, w jasnej, letniej sukience i białej kokardzie wplecionej w upięte wysoko warkocze, wręcza mu bukiet dziewięciu czerwonych goździków. Obok niej stoi wnuk Ryszard w białej koszuli z krótkim rękawem.

„Cat" ściska się z najbliższymi.

– Dlaczego wróciłeś? – pyta go, ot tak, po prostu, córka Aleksandra, nieprzejednanie, podobnie jak jej starsza siostra, wroga komunistom.

– Dla zademonstrowania, że emigranci na żadne dotrzymanie umów przez aliantów albo pomoc w innej formie z ich strony nie mogą liczyć – odpowiada „Cat", który czuje, że żaden motyw osobisty jej nie przekona.

Przez zwarty krąg rodziny przeciskają się dziennikarze i otaczają półkolem Mackiewicza. Z tyłu pośpiesznie przepycha się Putrament. Michał Sumiński, reporter rozgłośni radiowej Kraj, powołanej przed rokiem i kierowanej przez zaufanego politruka Wiktora Grosza, której celem jest zachęcanie wojennej emigracji na Zachodzie do powrotu nad Wisłę, podsuwa mikrofon pod nos „Cata". Mackiewicz składa oświadczenie:

– Jestem niesłychanie wzruszony, stojąc na ziemi polskiej. Reprezentowałem zawsze kierunek polityczny, który był odwrotny temu, jaki reprezentuje dziś rząd obecnej Polski. W tym, że jestem tu tak uprzejmie witany, widzę, że Polska nie dzieli się na zwyciężonych i zwycięzców, a tylko na Polaków.

Stylistyka tej deklaracji nie jest zbyt fortunna, ale chodzi przecież tylko o sens polityczny.

Jeszcze kilka pytań dziennikarzy, dość zdawkowych, bo nazajutrz rano ma się odbyć konferencja prasowa Mackiewicza, jeszcze tylko uściski dłoni z przyjaciółmi z dawnych lat, i do akcji wkracza Putrament. Proponuje odwiezienie Mackiewicza tam, gdzie sobie życzy. „Cat" nie zważa na ledwie skrywane niezadowolenie żony i córek, które komunistycznego dygnitarza szczerze nie cierpią i wolałyby zabrać Mackiewicza zamówioną taksówką. Cała rodzina spotyka się w malutkim, jednopokojowym, ocienionym starymi drzewami za oknem, mieszkaniu Aleksandry przy ul. Raszyńskiej. Na stole czekają zrobione przez panią Wandę i córkę kołduny, rozkosz dla podniebienia Mackiewicza, smakosza i maniakalnego miłośnika litewskiej kuchni. Teraz czas na skromne prezenty: lalkę dla wnuczki, drobiazgi dla wnuka, butelkę wina. Skromne, bo też i sytuacja materialna opuszczającego Londyn „Cata" była rozpaczliwa.

Rozmowa przy stole jest chaotyczna. Mackiewicz tłumaczy powody powrotu, opowiada londyńskie anegdoty. Trzy panie relacjonują sytuację polityczną w kraju, wspominają wspólnych znajomych.

Późnym wieczorem goście rozchodzą się. „Cat", którego małżeństwo słabo wytrzymało próbę tylu lat rozłąki, zostaje na pierwszą po powrocie noc u córki na Raszyńskiej.

Powrót Stanisława Cata-Mackiewicza do Polski

15 czerwca 1934 ▪ piątek

Czerezwyczajka, ale na rok

Przed Klubem Towarzyskim przy Foksal 3 niedbale przechadza się młody jasnowłosy mężczyzna w jasnozielonym trenczu. Płaszcz ma rozpięty, pod spodem widać ciemny garnitur. Po pachą trzyma niewielką paczkę owiniętą szarym papierem. Nieznajomy już od samego rana regularnie pojawia się przed wejściem do Klubu, ale portier nie zwraca na niego uwagi.

Blondyn w trenczu to Grigori Maciejka, członek OUN, Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, o pseudonimie „Gonta". W owiniętym papierem kartonowym pudełku jest bomba. Podłużna, ręcznie lutowana puszka z blachy wypełniona jest żółtym kwasem pikrynowym. W denku znajduje się zapalnik w kształcie litery T. Pocisk powinien detonować zaraz po zgnieceniu szklanej rurki wypełnionej w jednej części kwasem azotowym, w drugiej zaś cukrem i pioruniańem rtęci – wystarczy nacisnąć metalowy tłok zapalnika.

Dochodzi 15.00, gdy przed klubem zatrzymuje się limuzyna z premierem prof. Leonem Kozłowskim. Stołeczny Klub Towarzyski to tradycyjne miejsce popołudniowych spotkań elity władzy: ministrów, polityków obozu belwederskiego, generalicji. Kilka minut później przed klubem zatrzymuje się samochód ministra opieki społecznej Paciorkowskiego.

Zaraz przed 15.30 na Foksal pojawia się służbowa limuzyna ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego. Szofer Witulski zatrzymuje auto tuż przed bramą klubu.

Pieracki, legionista, uczestnik walk z Ukraińcami we Lwowie, jest wybitnym politykiem sanacyjnym. Ukraińcy widzą w nim autora policyjnych represji wobec swojej mniejszości w Polsce. Na zeszłorocznym zjeździe OUN w Berlinie zdecydowano, że w rewanżu za aresztowanie przez policję uczestników nieudanego napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim ma być dokonany zamach na ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego Janusza Jędrzejewicza lub na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego. Niedawno Pieracki zaczął szukać porozumienia z umiarkowanymi kręgami mniejszości ukraińskiej. Radykalni działacze OUN poczuli, że zagraża to ich polityce

ustawicznego konfliktowania społeczności ukraińskiej z władzami państwowymi, i na celownik wzięli właśnie jego.

Minister idzie w stronę wejścia.

Maciejka energicznie rusza za nim. Dogania ministra przed drzwiami klubu. Tuż za plecami Pierackiego Maciejka nerwowo naciska paczkę. Przygląda się temu zdumiony woźny. Bomba jednak nie wybucha. Pirotechnik OUN Jarosław Karpyniec, który skonstruował pocisk, użył rurki ze zbyt grubego szkła, którego tłok zapalnika nie jest w stanie zmiażdżyć.

Maciejka przekłada bombę do lewej ręki, wyjmuje z kieszeni rewolwer Hispan kalibru 7,65 i z najbliższej odległości trzy razy strzela do przekraczającego próg klubu Pierackiego. Trafiony dwukrotnie w tył głowy minister pada w przedsionku. Zszokowany portier bez słowa patrzy, jak zamachowiec spokojnie wychodzi na ulicę i skręca w lewo, w stronę Nowego Światu.

Szoferzy czekający w limuzynach na gości klubu nie zwracają uwagi na stłumione odgłosy strzałów. Maciejka spokojnym krokiem mija kamienicę przy Foksal 8. Stojący tam na służbie policjant nie ma pojęcia, co się stało. Zamachowiec mija go, gdy z Klubu Towarzyskiego wreszcie wybiega portier i krzyczy: „Zbrodniarz! Trzymajcie zbrodniarza!".

Maciejka rzuca się do ucieczki. Przed następną kamienicą, w której mieści się poselstwo japońskie, stoi woźny poselstwa Franciszek Wywrocki. Maciejka mija go pędem. Wywrocki biegnie za nim. Na rogu Kopernika Maciejka odwraca się i strzela. Chybia.

Tymczasem szofer ministra Pierackiego zawraca limuzyną w ciasnej uliczce i rusza w pościg za zamachowcem. Policjant stojący przed kamienicą nr 8 wskakuje na stopień auta. Na Kopernika samochód Pierackiego z policjantem na progu dopędza zamachowca. Maciejka strzela do szofera. Chybia, ale szofer uchyla się i przez

chwilę nie widzi ulicy. Wykorzystuje to zamachowiec, który raptownie skręca w wąską, boczną ul. Szczyglą. Szofer Witulski cofa limuzynę i także skręca w Szczyglą. Policjant ciągle stoi na progu samochodu. Maciejka jest już jednak daleko. Zbiega schodkami na Okólnik. Niezauważony, wpada w bramę domu nr 5.

Gdy policjant zbiega na Okólnik, czekający tam wspólnik Maciejki informuje go, że zamachowiec pobiegł w stronę ogrodów. Maciejka porzuca w bramie płaszcz i paczkę z bombą. Wychodzi na ulicę jedynie w marynarce i nierozpoznany, spokojnie oddala się.

Pogotowie zjawia się przed Klubem Towarzyskim parę minut po zamachu. Bronisław Pieracki umiera podczas operacji w Szpitalu Ujazdowskim.

Premier Leon Kozłowski natychmiast po otrzymaniu wiadomości o śmierci ministra szkicuje projekt powołania „miejsc odosobnienia" – obozów, w których władze administracyjne mogłyby więzić bez wyroku sądowego niewygodne osoby, przede wszystkim przeciwników politycznych.

Godzinę później Kozłowski referuje ów projekt marsz. Piłsudskiemu.

Po szesnastej w gabinecie marszałka Piłsudskiego melduje się jego adiutant Mieczysław Lepecki.

– A to jakieś świnie... – zaczyna Lepecki rozmowę o zamachu.

– Pamiętacie wy Priwislinje? – przerywa mu Piłsudski.

– Mało, panie marszałku – odpowiada adiutant.

– Dziesięć priwislinskich guberni i 13 milionów Priwislincew. *Gławnyj gorod* Warszawa, *wieroispowiedanije rimsko-katoliczeskoje*. Priwislinje, a w nim Priwisloncy, łapówki i konspiracje – mówi Piłsudski z wielkim rozdrażnieniem.

Gdy Lepecki zauważa, że fatalna spuścizna zaborów to już niechlubna przeszłość, Marszałek wybucha:

– Mądrala! To już przeszłość... to już przeszłość... Gdzie wy w tej teraźniejszości widzicie koniec przeszłości?

Piłsudczycy nie mają wątpliwości – Pieracki padł ofiarą zbrodniarza z szeregów Narodowej Demokracji. Motyw? Przed pięcioma dniami minister Pieracki zdelegalizował Obóz Narodowo-Radykalny.

Po południu aktywiści Strzelca, Legionu Młodych, Organizacji Młodzieży Pracującej zbierają się przed Szpitalem Ujazdowskim. Po przemówieniach piętnujących endecję i bratobójcze metody walki politycznej spory pochód rusza w stronę Nowego Światu. Aktywiści wkraczają do restauracji, kawiarń, kin i żądają opuszczenia lokali na znak żałoby. Ociągających się gości szturchają i wyrzucają na ulicę. O dwudziestej pierwszej kilkuset manifestantów zbiera się przed redakcją endeckiej „Gazety Warszawskiej". Nie są w stanie sforsować ustawionego wcześniej kordonu policji, poprzestają więc na zrzuceniu lokalnego wydania gazety z ciężarówki Ruchu na bruk. Potem manifestanci tłuką neon reklamowy „Gazety" i wybijają szyby w mieszczącej się nieopodal administracji dziennika „ABC". Dopiero o jedenastej wieczorem silne oddziały policji rozbijają manifestantów.

O północy Lepecki melduje się na dyżurze jako adiutant Marszałka. Piłsudski, zamyślony, mówi o projekcie obozów odosobnienia:

– Ja nic nie mam przeciw tej waszej czerezwyczajce, ja się na tę waszą czerezwyczajkę na rok zgodziłem.

Bronisław Pieracki

16 czerwca 1904 ▪ czwartek

W stronę Ringsend

Jest wczesny wieczór. Ciepło. Niebo nad Dublinem tylko gdzieniegdzie znaczą chmury. Jasna poświata gasnącego, pogodnego dnia wprawia spacerujących dublińczyków w dobry nastrój. Młody, niewysoki, szczupły mężczyzna, stojący na rogu Merrion Square, jest w nastroju więcej niż dobrym. Czeka go randka z ekscytującą nieznajomą.

Przed sześcioma dniami James Joyce, idąc ul. Nassau, dostrzegł nagle wyprostowaną jak świeca sylwetkę dziewczyny oraz imponujących rozmiarów kok gęstych rudych włosów. I to wszystko. Joyce ma poważne kłopoty ze wzrokiem i za radą okulisty stara się jak najwięcej chodzić bez okularów – ma to pomóc zwłaszcza jego lewemu oku. Na Nassau nie był więc w stanie dostrzec rysów twarzy wyprostowanej dziewczyny. Dojrzał jednak coś jeszcze – nieznajoma przechadzała się z podniesioną głową, energicznym, dumnym krokiem kobiety świadomej swej nieprzeciętnej wartości.

Joyce zaś przywiązuje wielką wagę do sposobu poruszania się ludzi. Zafascynowany, podniecony widokiem idącej po królewsku dziewczyny, James po prostu zaszedł jej drogę i zaczepił typową odzywką młodych podrywaczy, od których aż roi się w centrum Dublina.

Gdy przed Norah Barnacle stanął szczupły, dziwacznie odziany w biały, sięgający ziemi płócienny płaszcz oraz słomkowy kapelusz z szerokim rondem młodzian i śmiało, niezobowiązująco ją

zagadnął, była pewna, że to jakiś marynarz. Któż inny nosiłby się tak dziwacznie? No i jeszcze ta szczupła, wyciągnięta twarz, wystający podbródek, jasne oczy – może to Szwed?

Norah była ostatnią osobą, którą onieśmieliłaby zaczepka nieznajomego. Zgrabnie odcięła się. To był już znakomity pretekst do nawiązania rozmowy. Joyce wykorzystał okazję i po krótkiej pogaduszce zaproponował dziewczynie spotkanie. Norah mogła wyjść na miasto dopiero za cztery dni – pracuje jako pokojówka, kelnerka i barmanka w dość eleganckim Finn's Hotel przy Leinster Street, wschodnim przedłużeniu Nassau Street, i wychodne dostaje od wielkiego dzwonu.

Podekscytowany, zachwycony urodą Norah James odliczał dni do spotkania. Nie zauważył podczas pierwszej randki, że jej szeroka twarz jest nieco pospolita. Dostrzegł tylko burzę ślicznych rudych włosów, wystające kości policzkowe, ciemnoniebieskie oczy w nietypowej oprawie czarnych długich rzęs i gęstych brwi. Ostry, ironiczny wzrok łagodziła opadająca powieka.

Joyce'a nie odstręczał głos Norah, niski, silny, nieledwie męski. Z sympatią dostrzegł za to akcent, zdradzający, że dziewczyna pochodzi z Galway na zachodnim wybrzeżu Irlandii.

No i to imię! Norah to jak Nora z dramatu Ibsena, którym Joyce jest oczarowany. Napisał już szkic o twórczości skandynawskiego dramaturga, wymienił z nim nawet listy. Tak, dla Jamesa to kolejny dowód, prócz nagłego, nieodpartego magnetyzmu serca, że ta dziewczyna nie pojawiła się na jego drodze przypadkiem. Była mu przeznaczona.

Zauroczony Joyce nawet nie podejrzewa, jak bardzo Norah – mimo oczywistych różnic wynikających z pochodzenia obojga – jest do niego podobna. Mniejsza już o to, że James i Norah pochodzą z rodzin wielodzietnych – w ultrakatolickich irlandzkich domach to

w końcu nic wyróżniającego. Ale przytłaczająca większość rodzeństwa Norah i Jamesa to siostry. Ich ojcowie, ongiś zaradni, dobrze prosperujący, w końcu pogrążyli się w nieopanowanym pijaństwie. I w rodzinie Norah, i w rodzinie Jamesa pijani ojcowie zwykli terroryzować otoczenie. Obaj przepili wszystko, co mieli do przepicia, a ich rodziny wylądowały w końcu w wynajętych nędznych klitkach dla najbiedniejszych.

Z powodu nałogów ojców oboje w dzieciństwie często zmieniali miejsca zamieszkania – James nawet kilkanaście razy. Brak stabilizacji, oparcia w rodzinnym gnieździe odcisnął się na obojgu.

Norah ma 20 lat i mocny, samodzielny charakter, odziedziczony po matce, która w końcu przepędziła z domu męża pijaka. Jest wyjątkowo bystrą, pełną autoironicznego humoru, twardą kobietą, która od najmłodszych lat musiała radzić sobie sama. I wtedy gdy matka oddała ją w wieku sześciu lat do babci, i wtedy gdy w wieku 12 lat zaczęła pracować jako portierka w klasztorze Objawienia Pańskiego w Galway, i wtedy gdy porzuciła beznadzieję egzystencji jako praczka w Galway i wyjechała do Dublina, by tu, z trudem, wiązać koniec z końcem, pracując od świtu do ciemnej nocy w hotelu Finn's. Potrafi kląć jak szewc, potrafi zwinąć ze sklepu ciasteczko.

Ojciec Norah, Tom Barnacle, piekarz z dziada pradziada, zanim skapitulował przed nałogiem, zadbał o stosunkowo przyzwoite wykształcenie córki. Do 12. roku życia Norah uczęszczała do szkół – to było wszystko, co w dziedzinie bezpłatnej edukacji dziewcząt można było osiągnąć w Irlandii.

Wykształcenie jest niewątpliwym atutem 22-letniego Jamesa Joyce'a. Zanim jego ojciec pogrążył się w niemal codziennych dzikich pijaństwach, James pobierał nauki w świetnych dublińskich liceach. W Belvedere był prymusem, a jego wypracowania z języka

angielskiego zdobywały najwyższe lokaty. Joyce właśnie kończy dubliński University College; zdążył już zdobyć licencjat z języków francuskiego i włoskiego. Za sobą ma kilkumiesięczny pobyt w Paryżu, gdzie próbował studiować medycynę i prawo i gdzie kupił modny długi biały płaszcz, w którym zaczepił Norah na Nassau Street. Jego otoczenie nie wątpi, że James jest wybitnie utalentowany literacko; najmniej wątpi w to on sam. I ma ku temu solidne powody. Zdążył już opublikować w lokalnych gazetach i pismach literackich pierwsze utwory i szkice. Od paru miesięcy Joyce solidnie pracuje nad powieścią, w znacznej mierze autobiograficzną, którą za sugestią swego młodszego brata Stanislausa zatytułował *Stephen Hero* (*Stefan bohater*).

Skoncentrowany na sobie i własnym, nieco osobliwym, nadwrażliwym postrzeganiu świata James przepędza dnie na dyskusjach i pijaństwach z przyjaciółmi z uniwersyteckiego kręgu, na próbach zrobienia kariery śpiewaczej – jest nieźle wyedukowany muzycznie i dysponuje rokującym wielkie nadzieje nauczycieli tenorem – oraz na wykonywanej bez entuzjazmu pracy wychowawcy w szkole prywatnej. Z trudem wiąże koniec z końcem – tak naprawdę od dawna żyje z naciągania przyjaciół i znajomych na pożyczki; w tej dziedzinie jest prawdziwym mistrzem.

Rudowłosa nieznajoma naprawdę go zafascynowała. Na spotkanie jednak nie przyszła. Joyce wiedział, gdzie pracuje. Napisał do niej elegancki, dowcipny liścik:

„Być może jestem ślepy. Wpatrywałem się długo w czyjeś rudobrązowe włosy i stwierdziłem, że nie należą do Ciebie. Przygnębiony wróciłem do domu. Chciałbym, żebyśmy się spotkali, ale nie wiem, czy byś tego chciała. Mam nadzieję, że zechcesz mnie zobaczyć. Jeśli jeszcze nie zapomniałaś. James A. Joyce".

Nie zapomniała, chciała. I oto jest przed nim: zachwycająca jak przed sześcioma dniami, roztaczająca aurę erotyzującej kobiecości. Oboje przerzucają się dowcipnymi uwagami i ripostami, nie widzą poza sobą świata. James kieruje się nie w stronę eleganckiego centrum miasta, ale na wschód. Mijają port, doki i powoli wkraczają na podmiejskie dzikie pola zwane Ringsend. James tu już bywał. To miejsce schadzek młodych dublińczyków i marynarzy ze statków zatrzymujących się w porcie z tańszej kategorii, biorącymi tylko pół pensa za spotkanie, pannami lekkich obyczajów – oczywiście w wypadku gdy dziewczęta nie pracują w Kips, dublińskiej dzielnicy burdeli. Joyce ma już za sobą kilka spotkań z nierządnicami. Ostatnie, przed dwoma miesiącami, skończyło się kłopotliwą infekcją; James czuł się zmuszony pisać do przebywającego w Oxfordzie swego przyjaciela Oliviera St. Johna Gogarty'ego z prośbą o przesłanie nazwiska lekarza, który mógłby go uleczyć z dyskretnej choroby.

Norah nie protestuje przeciw obranemu przez Jamesa kierunkowi przechadzki. Ona też zna Ringsend. Nadzwyczaj atrakcyjna, pełna temperamentu, a przy tym popadająca ciągle w kłopoty finansowe, mieszkająca kątem dziewczyna już tu trafiła. Norah ma za sobą nieszczęśliwe dziewczęce miłości i całkiem dorosłe przygody z mężczyznami. Potrafi zaspokoić kochanka, nie tracąc ani ciętego poczucia humoru, ani cnoty.

W trawie pośród chaszczy, nie tracąc czasu na kontynuowanie dowcipnej konwersacji, rozpina młodemu pisarzowi spodnie i żywo zabiera się do rzeczy. James jest tak oszołomiony, że szturmowi rudowłosej piękności ze starannie przystrzyżoną dolną fryzurką poddaje się z bezradnością pensjonarki. Oboje mają na siebie wielką ochotę i spełnienie zalewa ich dreszczem rozkoszy. W świeżą trawę Ringsend kładli się rozpaleni namiętnością; wstają z niej zakochani.

Chcą dalej być z sobą. I będą. Przez 37 lat. Ona da mu dwoje dzieci, on jej nieśmiertelność Molly Bloom.

James i Norah Joyce

17 czerwca 1885 ▪ środa

Pomnik niezamożnych

Francuska fregata „Isere” rzuca kotwicę na redzie nowojorskiego portu. Na pokładzie i na rejach uwijają się marynarze. Płynącą z Francji „Isere” dopadł na Atlantyku sztorm tak potężny, że kapitan i załoga nie byli pewni, czy ujdą z życiem. Ciężkie przejścia widać na pokładzie na każdym kroku, tymczasem czasu pozostało niewiele. O, już płyną! Od strony portu widać coraz wyraźniej potężnie dymiący, bocznokołowy holownik. Na jego pokładzie zamiast kilku wysmarowanych marynarzy w roboczych bluzach stoi spory tłumek dżentelmenów w eleganckich surdutach, w kapeluszach. Holownik dobija do burty „Isere”, dżentelmeni przechodzą na pokład fregaty. Prowadzi ich emerytowany generał Charles Pomeroy Stone.

Francuski kapitan wita gości i zaprasza do swojej kabiny, by przywieziony przez „Isere” ładunek uroczyście przekazać narodowi Stanów Zjednoczonych.

Pomysł, by taki ładunek wysłać do Stanów, pojawił się 20 lat wcześniej, na letnim przyjęciu w domu francuskiego pisarza Éduarda René de Laboulaye w podwersalskim Clotigny. De Laboulaye, który sił próbował także w polityce, był zafascynowany Ameryką. Uwielbiał amerykańską rewolucję, George’a Washingtona i amerykańskich abolicjonistów walczących o zniesienie niewolnictwa.

Sam zresztą był przewodniczącym Francuskiego Towarzystwa Antyniewolniczego. Podczas przyjęcia, na które zaprosił kilkunastu francuskich intelektualistów, artystów i polityków, rozmowa zeszła na temat wdzięczności między narodami. Któryś z gości przypomniał, że podczas rewolucji amerykańskiej wielu Francuzów walczyło o niepodległość Amerykanów. De Laboulaye zauważył wtedy, że gdyby kiedykolwiek miał powstać w Stanach pomnik

niepodległości, powinien zostać zbudowany wspólnymi siłami Amerykanów i Francuzów.

Tej górnolotnej rozmowie przy stole uważnie przysłuchiwał się jeden z gości, 31-letni rzeźbiarz Frederic Bartholdi. Od dłuższego czasu pracował nad popiersiem de Laboulaya i stał się niemal jego domownikiem. Bartholdiemu od czasu młodzieńczej wyprawy do Egiptu chodził po głowie pomysł zbudowania gigantycznej rzeźby nawiązującej do jednego z cudów starożytności, Kolosa Rodyjskiego. Zafascynowany gigantycznymi rzeźbami i architekturą faraonów oraz iście faraońskim projektem przekopania Kanału Sueskiego przez Ferdynanda wicehrabiego de Lessepsa, po skończeniu popiersia de Laboulaya zaprojektował gigantyczną rzeźbę egipskiego fellacha, mającą stanąć u wejścia do kanału. Z turbanu i z pochodni w wyciągniętej w niebo ręki miało bić światło niczym z morskiej latarni.

Egipski kedyw Ismail Pasza w 1867 roku odrzucił pomysł Bartholdiego. Ten nie dawał za wygraną. Dwa lata później zmodyfikowany projekt znów trafił do kosza kedywa.

Wtedy Bartholdi przypomniał sobie o de Laboulaye. W 1871 roku odwiedził go w Clotigny i zaproponował, by zaoferować Amerykanom pomnik wolności swego autorstwa. De Laboulaye zapalił się do pomysłu. Bartholdi pożeglował do Ameryki.

W Nowym Jorku naszkicował akwarelę z projektem statui. Ciągle pozostawał pod wrażeniem monumentalnej sztuki starożytnego Egiptu. O statui pisał: „Powierzchnie powinny być szerokie i proste, zdefiniowane przez śmiałe i jasne zarysy...".

W 1875 roku de Laboulaye doprowadził do powstania towarzystwa budowy statui. Ponieważ miał to być dar narodu francuskiego dla narodu amerykańskiego, towarzystwo wykluczyło dotacje od francuskiego rządu. Przez następnych siedem lat

mozolnie zbierano pieniądze, organizując pikniki, loterie, benefisy teatralne. Kompozytor Charles Gounod napisał pieśń dla towarzystwa, którą uroczyście wykonywano podczas zbiórek funduszy. W biednej Francji ofiarodawcy nie ociągali się, ale wpłacali niewielkie kwoty. W końcu od tysięcy ofiarodawców prywatnych, 181 miast i 10 izb handlowych zebrano równowartość 250 tys. dolarów.

Bartholdi tymczasem pracował nad projektem statui. Nie chciał honorarium, ale praca wymagała zatrudnienia wielu odlewników, cieśli, sztukatorów. Opłacano ich z funduszy zebranych przez towarzystwo. Rzeźbiarz namówił zdolnego inżyniera Aleksandra Gustawa Eiffla, by zaprojektował żelazną konstrukcję nośną statui.

To, że Bartholdi odmówił zapłaty, nie znaczyło wcale, że nie miał zamiaru na tym przedsięwzięciu zarobić. Rzeźbiarz myślał niezwykle nowocześnie. W 1876 roku zarejestrował w amerykańskim urzędzie patentowym dwa małe brązowe modele statui. Trzy lata później otrzymał na statuę, nazwaną Miss Liberty, amerykański patent nr D 11.023. Bartholdi zastrzegł sobie wyłączność na zyski ze sprzedaży małych kopii statui.

Rzeźbiarz nie stronił też od reklamowania swej pracy. Na podwórze paryskiej siedziby firmy Gaget, Gauthin et Cie, gdzie z wolna montowano odlewy kolejnych części rzeźby, zapraszał paryżan i wielkich tego świata. Plac budowy statui odwiedzili m.in. były amerykański prezydent Grant i pisarz Victor Hugo. Pośród tłumów ciekawskich szybko rozeszła się wieść, że zgodnie z zapowiedziami rzeźbiarz dał twarzy statui rysy swej matki, to już biust Miss Liberty wzorował na wdziękach swojej kochanki.

Bartholdi okazał się geniuszem reklamy. W 1876 roku wysłał na wystawę stulecia do Filadelfii ramię statui trzymające pochodnię. Obejrzało je tam 9 mln zwiedzających. Potem ramię pojechało do

nowojorskiego Madison Square Garden. Dopiero w zeszłym roku wróciło do Paryża, celem dopasowania do korpusu Miss Liberty.

Naród francuski miał dać figurę, naród amerykański – podstawę. Ostatecznie na miejsce ustawienia statui wybrano nowojorską wyspę Bedloe. Przed ośmiu laty Amerykański Komitet Statui Wolności zaczął zbierać datki na budowę postumentu. Budowa ruszyła parę lat później. Głównym inżynierem mianowano Charlesa Pomeroya Stone'a, niefortunnego dowódcę wojsk Unii w wojnie secesyjnej. Pobity w bitwie pod Ball's Bluff Stone został aresztowany i spędził pod kluczem ponad pół roku. Potem wrócił do sił zbrojnych Północy, krótko służył w armii Potomaku, ale kariery wojskowej już nie zrobił. Chyba że za taką uznać późniejszą służbę w armii egipskiego kedywa Ismaila zwieńczoną otrzymaniem przez Stone'a tytułu Ferika Paszy.

Kapitan „Isere" w swej kabinie uroczyście wręcza gen. Stone'owi i przedstawicielom amerykańskiego komitetu akt przekazania Statui Wolności narodowi amerykańskiemu. W ładowniach fregaty spoczywa 220 pak zawierających ponad 350 części monumentu. Stone wygłasza podniosłe przemówienie dziękczynne, ale minę ma nietęgą. W Ameryce zbiórka na budowę granitowego postumentu wysokości 89 stóp skończyła się w zeszłym roku klapą. Funduszy starczyło na wzniesienie zaledwie 15 stóp budowli. Cała nadzieja w rzutkim właścicielu nowojorskiego dziennika „The World" Josephie Pulitzerze, który od zeszłego roku z niezwykłą energią wzywa do zbierania datków na budowę. Redakcja ofiarowała na ten cel 1000 dolarów i codziennie publikuje wezwania do wpłat oraz wzruszające listy ofiarodawców, takie jak list dziewięcioletniej dziewczynki: „Chcę posłać wam parę moich ulubionych karłowatych kogutków, jeżeli pieniądze za nie przeznaczycie na statuę". Na szczęście akcja Pulitzera daje efekty. Już 100 tys.

Amerykanów ofiarowało datek na statuę. Trzy czwarte wpłat to mniej niż jeden dolar.

18 czerwca 1969 ▪ środa

Uchylone drzwi

Dochodzi 5.00. Już jasno. W warszawskiej rządowej klinice przy ul. Emilii Plater kończy się szpitalna noc. Chorzy jeszcze śpią, drzemią dyżurni lekarze, podrzemują pielęgniarki. Ostatnie chwile spokoju i ciszy przed początkiem dnia: rytualnymi pobudkami chorych, mierzeniem temperatury, podawaniem pierwszych leków, przygotowaniami do lekarskiego obchodu. Z pokoju wysuwa się drobna postać. Jerzy Zawieyski porusza się z trudem, nienaturalnie sztywno. Przed dwoma miesiącami doznał wylewu krwi do mózgu. Leczenie w rządowej klinice nie przywróciło mu zdrowia. Odwiedzający chorego konstatują raczej jego powolną agonię. Zawieyski nie może mówić, nierzadko wykazuje braki świadomości, nie orientuje się, gdzie się znajduje, co się z nim dzieje. Często płacze. Mimo bardzo złego stanu psychicznego chorego lekarze nie podejmują żadnych środków ostrożności. Zawieyski bez opieki chodzi po pokoju i po całym szpitalu.

Teraz znów jest sam. Idzie do łazienki, po dłuższej chwili wraca i zamyka się w pokoju.

Jerzy Zawieyski jest pisarzem, ale od 1956 roku jego pasją stała się polityka. Październikowy przełom sprawił, że – jako jeden z przedstawicieli katolickiej grupy Znak – wszedł do Sejmu PRL. Został też członkiem Rady Państwa. Do polityki wkroczył, by rozszerzyć październikowe reformy; marzyło mu się państwo, co

prawda rządzone przez komunistów, bo takie były geopolityczne realia, ale możliwie demokratyczne, państwo, w którym wierzący nie byliby obywatelami drugiej kategorii, a Kościół mógłby bez przeszkód realizować swoją misję. Rozczarowanie przyszło szybko. Gomułka rozprawił się z październikowymi nadziejami społeczeństwa i wkroczył na drogę konfrontacji z Kościołem i prymasem Stefanem Wyszyńskim osobiście.

Politykowanie z ekipą Gomułki wiele Zawieyskiego kosztowało. I jako twórcę i po prostu jako człowieka wrażliwego, delikatnego wręcz.

Wierzył, że mimo wszystko, jako mediator między komunistami a Kościołem, odgrywa pożyteczną rolę. W poczuciu obowiązku utwierdzał go prymas Wyszyński. Ale politykować z komunistami było coraz trudniej. Do głębi oburzyło Zawieyskiego zerwanie przez rząd PRL stosunków dyplomatycznych z Izraelem po wojnie sześciodniowej na Bliskim Wschodzie. Zamierzał nawet złożyć w tej sprawie w Sejmie interpelację, ale w końcu zrezygnował.

Gdy w marcu 1968 roku milicja brutalnie pobiła studentów, Zawieyski wspólnie z innymi posłami Koła Znak napisał tekst interpelacji poselskiej w ich obronie. Miesiąc później odpowiedział na nią premier Józef Cyrankiewicz.

Po przemówieniu premiera posłów Znaku ordynarnie zaatakowali z trybuny Józef Ozga-Michalski i prawa ręka Gomułki Zenon Kliszko.

Zawieyski odpowiedział wspaniałą, godną mową. Wziął w obronę ofiary politycznej nagonki ostatnich miesięcy: studentów, posłów Koła Znak i pisarzy, a zwłaszcza pobitego przez „nieznanych sprawców" Stefana Kisielewskiego. Gdy skończył, na sejmowej sali rozpętała się burza. Posłowie z komunistycznego nadania nie szczędzili mu najgorszych obelg, nikczemnych pomówień,

obrzydliwych wrzasków. Zdruzgotany, zrezygnował z funkcji członka Rady Państwa.

Władze odebrały mu służbowy samochód, który przysługiwał mu od 12 lat, i poczyniły przygotowania do odebrania mandatu poselskiego. W ówczesnych realiach utrata diety poselskiej, w połączeniu z cenzorskim zakazem druku, w praktyce oznaczała dla 67-letniego pisarza brak środków do życia. Do tego doszła obawa o przyszłość ruchu Znak, w którym wyraźna stała się możliwość rozłamu na tle zaostrzającego się kursu partii.

11 września zeszłego roku zanotował w swym dzienniku: „Za długo żyję. I boję się panicznie dalszego życia".

Przed trzema miesiącami Zenon Kliszko za plecami Zawieyskiego poinformował polityków Znaku, że partia nie zgadza się, by pozostał on posłem następnej kadencji. Zawieyski boleśnie odczuł, że jego koledzy ze Znaku nie stanęli murem w obronie jego kandydatury.

Szarpany coraz to nowymi afrontami, udręczający się troskami, usiłujący skupić się na twórczości, ale niepotrafiący ostatecznie wywikłać się z polityki pisarz z dnia na dzień gasł w oczach. Nie pomagało wsparcie najbliższych przyjaciół ze Znaku, dobre słowa od prymasa. Dziesięć dni po wecie partii wobec jego kandydatury na posła, pisarz dostał wylewu.

Zawieyski wchodzi do pomieszczenia z toaletami w kabinach, przez duże podwójne drzwi wychodzi na taras ogrodzony dość wysoką balustradą. Drobna sylwetka bezgłośnie leci z czwartego piętra na bruk.

Parę godzin później wieść o śmierci rozchodzi się po Warszawie. Stefan Kisielewski notuje w dzienniku: „Przyszła wiadomość straszna: Zawieyski nie żyje [...] Czy wyskoczył rozmyślnie, czy

wypadł w zamroczeniu – tego się nigdy nie dowiemy [...] Straszny koniec tego człowieka, któregośmy w końcu tak wszyscy kochali".

Dla wszystkich intelektualistów, którym z komunistami nie po drodze, śmierć Jerzego Zawieyskiego natychmiast staje się symbolem opresji inteligencji i katolicyzmu pod gomułkowskimi rządami.

Jerzy Zawieyski

19 czerwca 1574 ▪ środa

Śmieszny golas

W oknach Wawelu gasną ostatnie, słabe światła. Królewski zamek pogrąża się w nocnych ciemnościach. Zda się, że czuwają tylko straże. Ale oto do komnaty króla Henryka Walezego skradają się czterej mężczyźni. Nicolas de Larchant, oficer gwardii królewskiej, lekarz przyboczny Marc Miron, de Souvre, mistrz garderoby króla, i du Halde, zaufany dworzanin króla, dyskretnie wślizgują się do pokoju Henryka. Monarcha żywo zrywa się z łoża i z pomocą de Souvre'a przywdziewa strój podróżny. Du Halde pomaga królowi wciągnąć długie buty do konnej jazdy. Walezy wraz z czterema dworzanami cicho przechodzi przez uśpiony zamek do bocznej furty, wychodzącej w stronę Wisły. Śpiesznym marszem idą na Zwierzyniec. Tam, przy opuszczonej kaplicy, ukrywa się kilku służących z końmi. Mały orszak rusza z kopyta. W umówionych miejscach czekają konie na zmianę. Król z dworzanami pędzi w ciemnościach, jakby ścigało go stado diabłów. W środku nocy, zgodnie z planem, Henryk Walezy miał się spotkać w umówionym miejscu z Guy de Faur de Pibracem, nadwornym profesorem wymowy, i René de Villequierem, swym dawnym wychowawcą, teraz dworzaninem i powiernikiem. Obaj Francuzi mieli czekać na orszak króla z przewodnikami i tłumaczami. Ale Pibraca i Villequiera nie ma. W ciemnościach zgubili drogę. Trudno, Henryk każe jechać dalej. Nocą, w gęstym lesie, w którym powalone drzewa przegradzają wątłe dukty, bez przewodnika, Francuzi gubią drogę. Na szczęście w końcu Larchant i Souvre dostrzegają w ciemnościach nikłe światełko. To chatka drwala. Budzą gospodarza, żądają, by

przeprowadził ich przez las. Drwal jest przerażony, ale parę sztuk złota zachęca go do pomocy.

Królewski orszak pędzi galopem. Byle prędzej, byle dalej od Krakowa. Henryk Walezy ucieka z Polski.

Zaledwie przed pięcioma miesiącami w krakowskiej katedrze prymas Jakub Uchański włożył na jego głowę koronę polskich królów. Henryk, młodszy brat aktualnie panującego króla Francji Karola IX, nie miał wtedy nawet 23 lat, ale na europejskich dworach był postacią świetnie znaną. Jeszcze jako młokos osobiście poprowadził do zwycięstwa jazdę króla Francji w dwóch ważnych bitwach wojny domowej z hugenotami. Ciążyła na nim współodpowiedzialność za zorganizowanie rzezi hugenotów podczas nocy św. Bartłomieja. Prócz talentów wojskowych miał i inne zalety. Dobry administrator, wykazywał także niemałe zdolności dyplomatyczne. Przekonali się o tym polscy posłowie. Henryk zaprzysiągł Artykuły henrykowskie i *pacta conventa*, potwierdzając tym samym zasadnicze prawa szlacheckie, ale zachował kontrolę nad wielkimi sumami, które winien był wpłacać co roku do polskiego skarbu, i wykpił się od spłaty lwiej części długów poprzedniego króla, Zygmunta Augusta. W Polsce obyczaje Henryka i jego francuskiego otoczenia raziły szlachtę, podobnie jak jego mało entuzjastyczny stosunek do ustroju Rzeczypospolitej, lecz króla szanowano. W ciągu pięciu miesięcy pokazał, że jest władcą zręcznym, roztropnym, ale i zdecydowanym.

Przed pięcioma dniami Henryk otrzymał list od matki. Zawiadamiała go o śmierci jego brata, króla Francji Karola IX, i histerycznie domagała się odeń powrotu. Francuska korona czekała. Henryk zdecydował się wracać, ale nie chciał rezygnować z polskiego tronu. Poprosił pozostających u jego boku polskich senatorów o zgodę na wyjazd. Gdy odpowiedzieli, że zgodę może

mu dać tylko Sejm, król udał, że werdykt ten akceptuje. Potajemnie zaś kierował przygotowaniami do ucieczki do Francji.

Ktoś potrząsa ramieniem śpiącego kuchmistrza koronnego Alamaniego. To kucharz Antoni. Przed chwilą przypadkiem rozpoznał króla wśród kilku Francuzów wychodzących z Wawelu boczną furtą. Kuchmistrz natychmiast zawiadamia podkomorzego koronnego, kasztelana wojnickiego Jana Tęczyńskiego. Podkomorzy w lot pojmuje powagę sytuacji i każe budzić wojewodę krakowskiego Piotra Zborowskiego oraz biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego. Uradzają we trzech, że Tęczyński powinien sprawdzić, czy król powrócił do swych komnat. Straż nie chce go wpuścić, zasłania się rozkazem Henryka, by do południa pod żadnym pozorem nie przerywać mu snu. W końcu Tęczyński przystępuje do drzwi. Zamknięte. Stuka, długo, coraz głośniej. Nikt nie odpowiada. Słudzy podkomorzego wyłamują je. W środku gromadka przestraszonych paziów błaga o wybaczenie – Henryk zabronił im otwierać. Króla nie ma.

Tęczyński nie traci ni chwili. Każe siodłać konie i z kilkoma Tatarami ze swej służby rusza w pościg. Nie wątpi, że król ucieka najkrótszą drogą do granicy, przez Zator i Oświęcim. Podczas nocnej pogoni szybko natrafia na ślady kawalkady Francuzów.

Wieść o zniknięciu monarchy błyskawicznie rozchodzi się po Krakowie. Tłumy mieszczan, szlachty i zwyczajnej gawiedzi śpieszą pod Wawel. Od tysięcy pochodni robi się jasno jak w dzień. Rychło w ślad za podkomorzym Tęczyńskim ruszają w pościg na czele swych sług i dworzan marszałek koronny Andrzej Zborowski i marszałek litewski Mikołaj Krzysztof Radziwiłł. Ich orszaki jadą różnymi drogami. W ciemnościach wiele razy gubią drogę i dystans dzielący je od uciekającego króla rośnie z godziny na godzinę.

Całkiem bez szans jest bp Karnkowski, który w pościg rusza po nocy swą wielką karetą.

Tatarzy Tęczyńskiego są świetnymi jeźdźcami i szybko zbliżają się do uciekinierów. Dopadliby ich jeszcze przed Zatorem, ale gubią trasę i czas jakiś błąkają się po lasach.

Świta już, gdy orszak Henryka dociera do Zatoru. Do cna wyczerpany król zarządza krótki odpoczynek. Wypija trochę wina, choć opiekujący się nim Miron od lat zaleca mu wstrzymanie się od trunków. Resztkę wina Walezy wylewa na dłoń, naciera sobie skronie i już każe ruszać dalej.

W tłumie pod Wawelem narasta tymczasem zamęt, przerażenie, wzburzenie. Co rusz rozjuszeni Polacy biją w ciemnościach cudzoziemców. Wojewoda Zborowski obawia się wybuchu zamieszek i pośpiesznie układa uniwersał, w którym oznajmia, iż król uciekł, zaś pogoń, która za nim ruszyła, najpewniej uciekającego monarchy nie zdoła zawrócić. To rozsądne. Ale Zborowski dodaje też przestrogę, by wszyscy w mieście na wszelki wypadek byli gotowi do czynu. Uwaga o gotowości wywołuje w Krakowie najdziksze obawy i spekulacje. Plotkuje się o rzezi wszystkich Francuzów, rzezi na kształt nocy św. Bartłomieja w Paryżu, o podpalaczach sposobiących się do podłożenia ognia w mieście, o knowaniach obcych posłów. Przerażony nuncjusz papieski przebiera się w strój pontyfikalny, który – ma nadzieję – powstrzyma tłum przed atakiem.

W Oświęcimiu uciekający co koń wyskoczy orszak królewski znajduje zagubionych Pibraca i Villequiera.

Chwilę później jednak Pibrac znów się gubi i wpada w lesie na gromadę chłopów. Włościanie rabują go i chcą zabić – życie ocali mu jeden z polskich magnatów.

Gdy król wyjeżdża śpiesznie z Oświęcimia w stronę bliskiej już granicy, z drugiej strony wpada do miasta Jan Tęczyński na czele pościgu. Podkomorzy pędzi do dworu starosty oświęcimskiego, każe piorunem zmieniać zajeżdżone konie. Spiesznie opowiada o ucieczce monarchy. Zanim słudzy skończą siodłać nowe wierzchowce, starosta wybiega pieszo na łąki za miastem. Na skróty pędzi w stronę Wisły. Do mostu granicznego dobiega przed ludźmi Tęczyńskiego, ale jednak o włos za późno. Orszak króla przejechał właśnie na drugi brzeg i już jest za granicą, na cesarskim Śląsku. Francuzi ze świty Henryka kończą rąbać drewniany most i puszczają z prądem jego ułomki.

Starosta, widząc króla na drugim brzegu i zniszczony most, zrzuca strój i nagi, z okrzykiem „*Serenissima Majestas, cur fugis?* (Najjaśniejszy Panie, dlaczego uciekasz?)", wskakuje do Wisły. Walezy, dostrzegłszy zrozpaczonego, gołego szlachcica w rzece, wybucha homeryckim śmiechem. Francuzi ruszają dalej na zachód.

Ale Jan Tęczyński nie poddaje się. Przeprawia się ze swoimi Tatarami przez Wisłę i już poza granicami Rzeczypospolitej nadal ściga króla. Dopada go przed Pszczyną. Dworzanie Henryka zawracają konie, dobywają szpad i pistoletów. Tatarzy podkomorzego porywają się za łuki, ale w starciu z Francuzami nie mieliby żadnych szans. Tęczyński każe im schować broń, prosi o chwilę rozmowy z królem. Dworzanie chowają szpady, Walezy zawraca i podjeżdża do Tęczyńskiego. Podkomorzy błaga monarchę, by wracał. Henryk jest nieugięty. Oświadcza, że musi jechać do Francji, a z tronu polskiego wcale nie rezygnuje. Gdy opanuje sytuację w swej ojczyźnie, wróci na Wawel. W tym czasie w Polsce reprezentować go będzie ambasador Francji Danzay. Walezy dodaje, że swe motywy i dalsze plany starannie wyłuszczył w listach, które pozostawił w nocy na stoliku w swej komnacie.

Jan Tęczyński nieoczekiwanie dobywa szabli. Przerażeni Francuzi sięgają po szpady. Ale podkomorzy nie ma zamiaru mścić się na królu. Tnie się w rękę i na swą krew przysięga wierność Henrykowi.

Król każe ruszać w drogę.

Artur Grottger, *Ucieczka Henryka Walezego z Polski*

20 czerwca 1945 ▪ środa

Potworny polonez

Spali nerwowo, źle. Po blisko trzech miesiącach aresztu i śledztwa nauczyli się spać z rękami ułożonymi starannie wzdłuż ciała, na kocu. Taki był wymóg regulaminu w więzieniu śledczym na moskiewskiej Łubiance. Kto przez sen chował ręce pod koc, tego budził strażnik zaglądający co parę minut przez judasza. 2 czerwca w Moskwie skończyły się niezwyczajne chłody i trzymanie rąk na kocu w nieogrzewanej celi przestało być udręką.

15 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, trzymanych osobno, w pojedynczych celach, czeka trzeci dzień procesu. Sprawa jednej z 16 polskich osobistości, zwabionych pod koniec marca przez NKWD do Pruszkowa, na rzekome rozmowy polityczne, aresztowanych i wywiezionych do Moskwy, socjalisty Antoniego Pajdaka, została wyłączona z procesu. Rzekomo z powodu ciężkiej choroby więźnia; w rzeczywistości NKWD zdecydowało się wywieźć go z Łubianki do Włodzimierza i tam urządzić mu tajny proces w celi więziennej.

O 6.00 jak zwykle budzi ich zgrzyt zamka. Kucharz wydaje w celach śniadanie. To nie są, jak w śledztwie, dwie cieniutkie kromki czarnego chleba. Na kilka dni przed procesem skończyło się głodzenie więźniów. Muszą nabrać lepszego wyglądu – teraz dostają bułki paryskie, duże porcje kaszy, kiełbasę, nawet czerwony kawior.

Kalifaktor przynosi do cel pastę do butów. Więźniowie dostają polecenie odświeżenia zniszczonych trzewików tak, by lśniły. Więzienny fryzjer goli każdego z nich i obficie spryskuje rosyjską wodą kolońską. Tych, którzy po śledztwie wyglądają najgorzej, starannie pudruje. Potem w celach pojawia się rzecz na Łubiance niesłychana – drugie śniadanie. Są konserwa, omlet i krakersy. Tuż przed wyprowadzeniem z cel strażnicy wydają paski do spodni, sznurowadła i krawaty. Od tej chwili nie spuszczają już z więźniów oka. Niektóre paski i krawaty przyniesione z magazynów Łubianki nie należą do żadnego z przywódców Polski Podziemnej. Socjaliście Kazimierzowi Pużakowi enkawudziści wiele razy przynoszą do przymiarki obce krawaty, także bardzo eleganckie, z paryskimi metkami. Pużak upiera się jednak i w końcu dostaje ten, w którym go aresztowano.

Po jedenastej więźniowie wychodzą na podwórze Łubianki. Każdego pilnuje dwóch strażników. Zamienienie choćby słowa jest surowo zabronione. Funkcjonariusze NKWD kolejno ładują ich do ogromnego, opancerzonego wozu więziennego i zamykają pojedynczo w malutkich, ciemnych celkach. Buda rusza z Łubianki w dół, w stronę dawnego Domu Zgromadzeń Szlachty na pl. Teatralnym. Na miejscu więźniowie wyprowadzani są pojedynczo, tak by nie tylko nie słyszeli się nawzajem, ale nawet nie widzieli z bliska. Każdego eskortuje z przodu i z tyłu strażnik. Enkawudziści idą tak blisko swych więźniów, że plecami i brzuchami ocierają się o nich przy każdym kroku. Kazimierzowi Pużakowi kojarzy się to z jakimś potwornym polonezem. Więźniowie kolejno mijają na parterze rzeźbę Stalina słuchającego wykładu Lenina. Na piętrze z brudnego *foyer* wprowadzani są po dwóch–trzech do klatek aresztanckich. Do wielkiej kolumnowej sali rozpraw przeprowadzani są na krótko przed południem. Tam rozmieszcza się ich na podium, w dwóch rzędach krzeseł. Przed więźniami, twarzą w twarz, stają strażnicy. W ręku trzymają karabiny z nastawionymi bagnetami. Sądowi przewodniczy gen. Ulrich, niski, krępy, nieustannie jowialnie uśmiechnięty pod krótkim wąsikiem. W latach 1936–1938 w tej samej sali przewodniczył sądom, które skazywały masowo na śmierć tysiące starych bolszewików tępionych w wielkiej czystce Stalina. Przed Ulrichem leży kilkanaście luksusowo oprawionych tomów śledztwa. O dwunastej, gdy ostatni z kilkuset starannie dobranych widzów zajmują miejsca na sali, rozpoczyna się rozprawa.

Głos zabierają oskarżyciele. Zarzucają AK, i powołanej pod koniec wojny na gruzach AK organizacji „Nie", walkę z Armią Czerwoną. Prokurator Afanasjew mówi o oskarżonych: „To organizatorzy zabójstw i dywersji, to spiskowcy, to oszczercy i prowokatorzy, to

podli oszuści i złośliwi gwałciciele praw o ochronie tyłów Armii Czerwonej".

Wystąpienia sowieckich obrońców z urzędu wprawiają niektórych podsądnych w osłupienie. Adwokaci, mówiąc o swych klientach, bisują oskarżeniu. „Zakrawające na anegdotę uroszczenia, mysia bieganina w podziemiu, całkowite niezrozumienie interesów państwa polskiego" – mówią o działalności podsądnych. A jednak bronią ich naprawdę, tyle że wedle sowieckich standardów. Zapewniają o skrusze swych zbrodniczych klientów i proszą sąd o okazanie prawdziwie sowieckiej wielkoduszności.

Trzech Polaków broni się samodzielnie. Ostatni dowdca AK gen. Leopold Okulicki wygłasza długie przemówienie, w którym, zaprzeczając głównym zarzutom, przyznaje się do części win. Delegat Rządu RP na Kraj Jan Jankowski mówi krótko. Przyznaje się do politycznej odpowiedzialności za zarzucane mu działania.

Zbigniew Stypułkowski, działacz obozu narodowego, polityczny zwierzchnik Narodowych Sił Zbrojnych, jako jedyny w śledztwie nie przyznał się do niczego. Teraz, w ostatniej mowie, odrzuca wszelkie oskarżenia. Żąda uniewinnienia. Gdy wraca na miejsce, jego sąsiad na ławie oskarżonych, a w kraju zaciekły przeciwnik polityczny, ludowiec Kazimierz Bagiński wyprowadza w pole strażników i publicznie całuje go w policzek.

W tym samym czasie w Warszawie żona Adama Bienia kończy robić paczkę dla męża. Do kartonu wkłada cukier, czekoladę, sucharki, herbatę, słoninę. Na adresie pomocniczym wypisuje: „*le sucre, le chocolat, le the...*". Kilka dni wcześniej urząd celny zażyczył sobie, by zawartość paczek dla moskiewskich więźniów opisywana była po francusku.

Późnym wieczorem w Moskwie więźniowie zaczynają wygłaszać swe ostatnie słowa. Mija północ. Na wyrok mają zaczekać do rana,

w bocznej salce sądu.

Kadr z filmu dokumentalnego *Szesnastu* w reżyserii Włodzimierza Dusiewicza

21 czerwca 1982 ▪ poniedziałek

Zrobili wariata

Poniedziałek, ranek. 12 przysięgłych budzi się w oddanych do ich dyspozycji pokojach w gmachu sądu w Waszyngtonie. Siedem kobiet i pięciu mężczyzn. Woźny, pracownik kafeterii, garażowy, pracownica Pentagonu, hotelowy asystent bankietowy – wszyscy, prócz jednego, czarni. To już czwarty dzień ich narad

w odosobnieniu, podczas których usiłują ustalić winę człowieka, który próbował zamordować prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Cała dwunastka jest rozdrażniona, w złym humorze. Przysięgli czują, że problem, jaki mają rozstrzygnąć, przerasta ich. Na domiar złego prowadzący rozprawę sędzia Barrington D. Parker, chcąc zmusić ich do efektywnej pracy, zakazał im ukochanej rozrywki – gapienia się w ekran telewizora.

Po śniadaniu spotykają się w oddanej do ich dyspozycji niewielkiej sali rozpraw. Wylosowany na pierwszej naradzie przewodniczący ławy Roy Jackson, emerytowany woźny (jako jedyny miał kapelusz, więc karteczki ciągnięto z jego kapelusza), rezygnuje. Na swego przewodniczącego przysięgli wybierają teraz Lawrence'a Coffeya, asystenta bankietowego. I znów, jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak przed dwoma dniami, muszą zmierzyć się z pytaniem, czy prezydenta chciał zabić z premedytacją opanowany morderca, czy zamachu dokonał osobnik niepoczytalny.

30 marca zeszłego roku młody, otyły mężczyzna koło południa wrócił ze śniadania do pokoju w hotelu przy Osiemnastej Ulicy w Waszyngtonie. O 12.45 zasiadł do pisania listu na poliniowanej kartce papieru: „Droga Jodie. Jest bardzo prawdopodobne, że zostanę zabity w zamachu na Reagana". Po kwadransie napisał ostatnie zdania: „Jodie, proszę Cię, abyś wejrzała w swoje serce i abyś w końcu dała mi szansę zyskania przez ten mój historyczny czyn twojego szacunku i miłości. Kocham Cię na zawsze". I podpis: „John Hinckley".

Mężczyzna zakleił list w kopercie i zaadresował ją do Jodie Foster, 18-letniej studentki pierwszego roku uniwersytetu Yale i zarazem aktorki, która przed pięciu laty zagrała młodocianą prostytutkę w filmie Martina Scorsese *Taksówkarz*. Hinckley, który nigdy nie spotkał osobiście Foster, po wielokrotnym obejrzeniu

filmu popadł na jej tle w patologiczną obsesję. Główny bohater, grany przez Roberta De Niro, tytułowy nowojorski taksówkarz, zanim zdobył uczucie nastoletniej prostytutki, usiłował w filmie dokonać zamachu na senatora. Hinckley uznał, że zabicie prawdziwego prezydenta to niezły wstęp do zainteresowania swoją osobą realnej Jodie Foster.

List do Foster pozostawił Hinckley w pokoju hotelowym. Poszedł piechotą do hotelu Hilton, w którym wybrany przed 70 dniami prezydent Ronald Reagan miał uroczyste spotkanie z 3500 przedstawicielami związków zawodowych. W przemówieniu na tym mityngu Reagan zauważył: „Gwałtowne przestępstwa wzrosły o 10 proc., czyniąc sąsiednie ulice niebezpiecznymi". Przed wejściem dla VIP-ów do Hiltona spacerował w tym momencie, w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym, John Hinckley. Nie rzucał się w oczy w tłumie reporterów stacji telewizyjnych z kamerami, spóźnionych, niewpuszczonych do hotelu związkowców oraz gapiów kłębiących się za plastikową taśmą, którą ochrona wytyczyła drogę od drzwi Hiltona do miejsca zaparkowania prezydenckiego, opancerzonego lincolna. Po spotkaniu ze związkowcami Reagan wyszedł wejściem dla VIP-ów, podszedł do lincolna, odwrócił się i pomachał ręką do reporterów. W tym momencie Hinckley wyjął kupiony wcześniej w lombardzie za 47 dolarów małokalibrowy rewolwer Saturday Night Special załadowany pociskami eksplodującymi Devastator i szybko wystrzelił sześć razy. Jeden z pocisków przeszył lewe płuco prezydenta, niebezpiecznie blisko serca. Inny trafił w głowę sekretarza prasowego Białego Domu Jamesa Brady'ego. Agent służb specjalnych Timothy McCarthy w chwili gdy zasłonił prezydenta, otrzymał postrzał w brzuch. Policjant Delahanty dostał ciężki postrzał w szyję.

Po dłuższej bijatyce agenci ochrony ujęli Hinckleya. Wszyscy czterej postrzeleni przeżyli. James Brady, z ciężkimi uszkodzeniami mózgu, stał się bezwładnym kaleką.

Hinckley strzelał do prezydenta przed włączonymi kamerami telewizyjnymi, na oczach 125 mln Amerykanów. Procesem zamachowca pasjonuje się dosłownie cała Ameryka. Ojciec Johna Hinckleya, milioner naftowy z Colorado, w zeszłym roku, kilka tygodni przed zamachem na prezydenta, wyrzucił syna darmozjada z domu, ale w czasie procesu sfinansował najlepszych adwokatów. Obrona od początku starała się doprowadzić do uznania zamachowca za niepoczytalnego.

W wielu stanach USA to obrona musi udowodnić, że podsądny był niepoczytalny. Ale w sprawach federalnych ciężar dowodu, że oskarżony był poczytalny w chwili popełnienia zbrodni, spoczywa na oskarżeniu. Sędzia Parker, chcąc utrudnić obronie apelacje w kwestii formalnej, przychylił się w procesie Hinckleya do rygorystycznej wykładni – to prokuratorzy musieli dowieść, że w chwili oddania strzałów był w pełni władz umysłowych.

Długi, wyczerpujący dla stron proces, który kosztował podatników 2,5 mln dolarów, wcale nie ułatwił rozstrzygnięcia tej kwestii przez 12 przysięgłych. Eksperci z tytułami uniwersyteckimi, wzywani przez obronę i oskarżenie, wydawali całkowicie sprzeczne opinie.

Przez ostatnie trzy dni zamknięci w odosobnieniu przysięgli usiłowali, tak jak potrafili, na zdrowy rozum, ocenić stan umysłu Hinckleya.

Dla woźnej na American University, 42-letniej Glynis Lassiter, fakt, że Hinckley krótko przed zamachem poleciał za ciężkie pieniądze samolotem na drugi koniec Stanów po to tylko, by powałęsać się bez celu przez jeden dzień i wrócić – też samolotem –

był niepodważalnym dowodem, że to wariat. Starsza o osiem lat przysięgła Meryland Copelin uważała jednak, że jeśli stać kogoś na kupienie biletu lotniczego bez wyraźnego powodu, nie znaczy to, że zwariował. Pracownica firmy energetycznej Natalia Brown przekonywała innych przysięgłych, że człowiek, który dał radę dojechać do Waszyngtonu, zameldować się samodzielnie w hotelu i jeszcze celnie strzelić parę razy, musi być zdrów na umyśle.

Sporym problemem dla przysięgłych była poetycka twórczość Johna Hinckleya. A zwłaszcza wiersz napisany przezeń krótko przed zamachem:

„Męczennik we mnie grał gry
A ja byłem młodym, wyalienowanym samotnikiem
[...] stałem się tym, czym chciałem
By być cały czas psychopatycznym poetą".

Przysięgły George Blyther jako pierwszy zauważył: „Czy poczytalna osoba mogła to napisać? To przecież jasne, że coś jest z Hinckleyem nie tak!". Ale Belinda Drake, sekretarka w Pentagonie, nie była tego tak pewna: „Ten człowiek jest pisarzem, a pisarze są dziwni". Przysięgli pomni, że podczas rozprawy oskarżyciel Roger Adelman, zakłopotany treścią poetyckiego wynurzenia Hinckleya, przekonywał ławę, iż poezja ze swej natury jest fikcją, poprosili o słownik, by sprawdzić definicje poezji i fikcji. Ale rozeźlony ich bezproduktywnym gadulstwem sędzia Parker odmówił dostarczenia słownika.

Tak minęły trzy dni narad. Zmęczeni, poirytowani przysięgli jeden po drugim uznawali, że jedynym wyjściem z sytuacji, w jakiej się znaleźli, jest uznanie Hinckleya za niepoczytalnego.

Dziś świeżo wybrany nowy przewodniczący ławy przysięgłych Roy Jackson przechodzi do obozu zwolenników niepoczytalności oskarżonego. Już tylko panie Copelin i Brown twardo obstają przy

zdrowiu psychicznym, zatem i winie, zamachowca. Późnym popołudniem, po wielu godzinach sporów, znużona Copelin ulega naciskom: „OK, jest niepoczytalny i niewinny". Natalia Brown broni swego zdania jeszcze przez 10 minut. W końcu podnosi ramiona w geście kapitulacji i krzyczy: „Do diabła z tym!".

Coffey zarządza przerwę na kolację. Dziś – żeberka z grilla. Coffey pożera ze smakiem kolejne porcje. Brown z nerwów nie może przełknąć nawet kęsa. Ktoś modli się.

O 19.54 w sali rozpraw nr 19 sędzia Barrington D. Parker rozpoczyna odczytywanie werdyktu przysięgłych odnośnie do 13 zarzutów stawianych Hinckleyowi. Oskarżony, w beżowym garniturze i brązowym krawacie, stoi na środku sali. Kołysze się na obcasach, twarz ma pustą, nieobecną.

Sędzia czyta: „Co do pierwszego zarzutu – niewinny z powodu niepoczytalności".

Na galerii liczni słuchacze jęczą i syczą z zaskoczenia.

Sędzia czyta dalej: „Co do zarzutu piątego – niewinny z powodu niepoczytalności [to dotyczy postrzelenia w brzuch agenta Timothy'ego MacCarthy'ego] [...] co do zarzutu siódmego – niewinny z powodu niepoczytalności... [to o postrzeleniu w głowę sekretarza Jamesa Brady'ego]...".

Gdy sędzia odczytuje uniewinnienie z ostatniego, 13. zarzutu, sala wrze z oburzenia. Obrońcy uśmiechają się szeroko. Matka oskarżonego Jo Ann Hinckley płacze z radości. Po chwili obejmuje męża i radośnie uśmiecha się. Sam John Hinckley słucha werdyktu z obojętną miną. Sala huczy od okrzyków protestu. Zirytowany sędzia Parker woła do szeryfa: „Jeśli nie potrafi pan utrzymać porządku, to niech pan znajdzie kogoś, kto to potrafi!". Strażnicy wyprowadzają Hinckleya. Przysięgli po raz ostatni wychodzą do swojej sali obrad. Kilkoro z nich płacze.

Zszokowany Biały Dom odmawia komentarza. Ameryka nie jest w stanie pojąć, jak można uniewinnić człowieka, który chciał zabić jej prezydenta.

22 czerwca 1933 ▪ czwartek

Na wsi strzelają

Wieczorem w kościele pod wezwaniem św. Barbary w Grodzisku Dolnym w powiecie łańcuckim tłoczy się kilkuset wiernych; odprawiane są nieszpory w oktawę Bożego Ciała. Grodzisko to spora, licząca 2 tys. mieszkańców miejscowość, siedziba gminy. Prócz szkoły ludowej, kasy zapomogowo-pożyczkowej Stefczyka, spółdzielni mleczarskiej i kółka rolniczego grodziszczanie mają osobliwy, dawny obyczaj fetowania szczególnych świąt kościelnych kanonadą z prymitywnych, domowej roboty moździerzy oraz armatek.

Niewielkie moździerze i puszki stoją w równym szeregu nieopodal wejścia do kościoła. Wśród nich krząta się miejscowy grabarz Jakub Golenia, analfabeta, który jednak ma smykałkę do samopałów. Poprzedniego dnia grodziski komitet kościelny postanowił, że w tym roku, jak zawsze, w chwili gdy w kościele skończą się nieszpory w oktawę Bożego Ciała, da ognia miejscowa honorowa bateria obsługiwana przez Golenię. Decyzja przyszła członkom komitetu tym łatwiej, że nie pociągała za sobą żadnych kosztów – po zeszłorocznej palbie na wiwat zostało jeszcze sporo czarnego prochu i w tym roku nie było potrzeby kupowania go.

Był jeszcze jeden powód, dla którego ochoczo postanowiono, że chłopskie moździerze dadzą honorową salwę. Od kilku tygodni we

wsiach województwa kieleckiego i zachodnich powiatów województwa lwowskiego trwają krwawe rozruchy chłopskie. Kryzys rzucił wieś na kolana. Chłopi straszliwie głodują, nie mają grosza na zapłacenie podatków. Co rusz państwowi sekwestratorzy zajmują ich gospodarstwa za niezapłacone podatki, co rusz interweniująca policja i straż leśna atakowane są przez gromady uzbrojonych chłopów nielegalnie wycinających drzewa w lasach prywatnych i państwowych. Wieś w Małopolsce jest tak straszliwie biedna, że jednym z powtarzających się postulatów chłopskich jest... obniżenie cen zapałek.

Oliwy do ognia dolewają działacze Stronnictwa Ludowego, zachęcający chłopów w tej części Polski do stanowczych protestów.

I chłopi protestują.

W ciągu ostatnich trzech tygodni w Trzcianie, Łapanowie i Grabiu policja otworzyła ogień do demonstrujących chłopów. Kilku zginęło, kilkunastu jest rannych.

Policjanci strzelali do chłopów w Pogwizdowie, Wulce pod Lasem, Kozodrzy, Grabinach. Wszędzie padli zabici i ranni.

Przedwczoraj we wsi Nockowa tysięczny tłum zaatakował interweniującą policję. Funkcjonariusze użyli karabinów – zginęło sześciu demonstrantów, kilkunastu jest ciężko rannych.

Właśnie dlatego że policja krwawo pacyfikuje chłopskie protesty, kościelny komitet w Grodzisku postanowił urządzić tradycyjną honorową palbę.

Golenia biega od moździerza do moździerza i przytyka płomień do zapałów. Huk wystrzałów wywabia kilkunastu wiernych z kościoła jeszcze przed końcem nabożeństwa.

Wystrzały słychać też na nieodległym posterunku Policji Państwowej. Komendant posterunku przodownik Franciszek Bienkiewicz natychmiast wysyła policjantów Ignacego Srokę

i Feliksa Ścisłowskiego, by zorientowali się, kto tak strzela i dlaczego. Obaj posterunkowi idą w stronę kościoła. Gdy spostrzegają chłopską baterię honorową, skręcają w jej stronę. Kanonier Golenia przezornie zmyka precz. Wychodzący z kościoła chłopi widzą, że bateria milczy, Goleni przy moździerzach nie ma, a zamiast niego stoją dwaj policjanci. Pierwsza myśl w głowach chłopów: policjanci zaaresztowali ich moździerze i puszki. Ktoś z tłumu woła: „Bij policję!". Odpowiadają mu krzyki: „Bij! Zabij!". Któryś z chłopów wyrywa z płotku okalającego kościół sztachetę. Po nim drągi wyrywają kolejni wierni. Ktoś schyla się po walające się wokół kościoła kamienie, inny sięga po przygotowane do murarskich napraw półcegłówki.

Rozgorączkowany tłum biegnie w stronę policjantów. Obaj funkcjonariusze przytomnie rzucają się do ucieczki. Ale droga w stronę posterunku policji jest już odcięta przez atakujących chłopów. Pościg pędzi za posterunkowymi na dystansie niemal 1,5 km. W końcu chłopi doganiają ściganych. Policjanci wyciągają z kabur pistolety. Ale ostrzegawcze strzały w powietrze to zły pomysł, one tylko jeszcze bardziej podniecają rozjuszonych chłopów. Ktoś rzuca kamieniem w policjantów. Sroka i Ścisłowski strzelają w tłum. Pocisk rani w nogę jednego z napastników.

Półcegłówka trafia posterunkowego Srokę w głowę. Policjant upada i natychmiast kilku napastników okłada go po głowie i po plecach grubymi sztachetami. Inni kopią leżącego, wskakują na jego plecy. Po chwili tłum odstępuje – policjant Sroka leży martwy. Miał 33 lata, osierocił córkę.

Kilkanaście metrów dalej grupa chłopów bije drągami 26-letniego posterunkowego Ścisłowskiego. Napastnicy odstępują, gdy leżący przestaje się poruszać. Myślą, że zakatowali go na śmierć.

Ścisłowski jednak żyje, choć jego stan jest beznadziejny. Kona przez kilka godzin.

Chłopi, którzy zakatowali obu policjantów, tryumfalnie wracają pod kościół. Dołączają do śpiewającej nabożne pieśni procesji, opowiadają o zabiciu posterunkowych. Procesja uroczyście idzie dalej.

Ktoś rzuca hasło: „Na posterunek!". Coraz więcej okrzyków: „Na posterunek!", „Na policję!", przebija się przez śpiew. Gromada mężczyzn odłącza od procesji i idzie w stronę posterunku. W budynku jest tylko czterech policjantów – w tym komendant Bienkiewicz. Chłopi dobijają się do drzwi, żądają wpuszczenia ich do środka. Przodownik Bienkiewicz przez okno wzywa tłum do rozejścia się. Odpowiedzią są tylko wyzwiska, okrzyki antyrządowe, domaganie się chleba, sprawiedliwości, podwyżek cen skupu zboża. Bienkiewicz ostrzega, że liczne policyjne posiłki są już w drodze ze Lwowa. W końcu grozi użyciem broni.

Chłopi są jednak coraz bardziej agresywni. Przodownik Bienkiewicz rozkazuje dać salwę ostrzegawczą przez okna. Ale cztery wystrzały nie robią wielkiego wrażenia na tłumie rozwścieczonych chłopów. Komendant daje rozkaz strzelania do szturmujących posterunek. Policjanci nie mogą chybić z odległości paru metrów. Kilku ciężko rannych chłopów pada na ziemię.

Tłum cofa się, krąży wokół budynku policji. Kilku co bardziej zapalczywych chłopów, w większości tutejszych działaczy Stronnictwa Ludowego, wysyła gońców do sąsiednich wsi po posiłki.

Zapada zmierzch. Wokół posterunku krążą gromady chłopów zbrojnych w widły, siekiery, drągi. Coraz więcej z oblegających ma w rękach karabiny. Przed kilku laty chłopi zebrali je z okolicznych pobojowisk wojny światowej i pochowali po stodołach. Część

z chłopów kłusuje. W zapadającym zmierzchu co rusz słychać wystrzał. Jan Karaś, Wojciech Bichta, Wierzbicki i kilkunastu innych włościan z Grodziska i przyległych wiosek strzelają do obleganego budynku.

Kilku chłopów dźwiga spod Domu Ludowego pod posterunek policji naręcza chrustu, kopki siana, puszki z naftą. Za chwilę oblegany budynek stanie w płomieniach. Interweniuje Józef Puciak i inni gospodarze. Jest dość wietrznie, iskry mogą polecieć na kryte strzechami dachy grodziskich chat i pożar strawi całą miejscowość.

To przemawia do wyobraźni atakujących. Od tej pory ograniczają się do ostrzeliwania posterunku.

Prezes grodziskiego koła Stronnictwa Ludowego Jan Kula był jednym z pierwszych, którzy wzywali krajan do pójścia pod posterunek i rozbrojenia funkcjonariuszy, a potem zwołania wielkiego chłopskiego wiecu protestacyjnego. Teraz, gdy słyszy, że z bliższych i dalszych wsi nadchodzą już uzbrojeni w karabiny chłopi, że rano, pod zdobyciu posterunku i zabiciu policjantów, uzbrojone chłopstwo ma zamiar ruszyć na Przeworsk, a po zdobyciu miasta dalej, na Jarosław, pojmuje, że konsekwencje tego krwawego buntu mogą być nieobliczalne. Kula biega od tłumu oblegającego posterunek do Urzędu Gminnego i z powrotem. Uspokaja oblegających, gra na zwłokę. Kilka razy telefonuje do starosty powiatowego i prosi o przybycie urzędników, którzy opanowaliby sytuację, przekonaliby chłopów do rozejścia się. Ale słyszy tylko, że policyjna odsiecz ze Lwowa jest już blisko.

Zapada zmrok. Chłopskie bojówki, w których pierwsze skrzypce grają aktywiści Stronnictwa Ludowego, docierają do wsi odległych nawet o trzy godziny marszu. W nocy w Opaleniskach, Kosinie i innych wsiach grodziscy emisariusze budzą śpiących gospodarzy, prośbą i groźbą zniszczenia zasiewów zmuszają ich, by, uzbrojeni,

ustawiali się czwórkami i maszerowali do Grodziska. Większości chłopów nie trzeba zachęcać, sami biorą widły, siekiery, wyciągają ze schowków karabiny.

Dla otuchy opowiadają sobie, że nie ma się co bać policji, a nawet policyjnego samochodu pancernego, bo chłopi z Grodziska wyciągnęli z ukrycia dwa karabiny maszynowe i każdemu da się radę. Trzeba przepędzić ze wsi urzędników-krwiopijców nasłanych z miast, bo dalej tak żyć się nie da.

Gdy w nocy do Grodziska wkracza kolumna 150 policjantów ze Lwowa pod komendą komisarza Nowakowskiego, zastaje ponad 5 tys. w większości uzbrojonych chłopów czekających na znak. Jaki znak? Kto ma dać znak? Nie mają pojęcia, ale wiedzą, że ktoś da znak i ruszą na miasta.

Komisarz Nowakowski woła do ogromnego tłumu, by się rozszedł. Odpowiedzią są wyzwiska chłopów.

Pierwsza karabinowa salwa policyjnej tyraliery idzie w powietrze.

Odpowiedzią jest parę strzałów ze strony chłopów.

Następna salwa idzie w tłum. Pada sześciu zabitych, kilkudziesięciu jest rannych. Chłopi rozbiegają się między zabudowaniami. Policjanci w silnych, kilkuosobowych patrolach aresztują każdego, kto się napatoczy. Od razu katują pojmanych kolbami karabinów, wiążą ich i zakuwają w kajdanki.

23 czerwca 1936 ▪ wtorek

Czyn narodowy

Mija północ, gdy z lasu obok Chorowic koło Skawiny wyłania się kilkudziesięcioosobowa grupa mężczyzn. Na szosie do Myślenic,

w ciemnościach, formują szyk. Najpierw jako zwiadowcy jadą rowerzyści. Za nimi maszeruje szczupły, 30-letni mężczyzna z krótko przyciętymi włosami. Niesie plecak, cywilne ubranie przepasane ma pasem oficerskim, do którego przytroczone są dwa rewolwery. Za prowadzącym idą karnymi czwórkami cywile w najrozmaitszym wieku. Obok młodzieży maszerują nawet 60-latkowie.

Mężczyzna na czele kolumny to inż. Adam Doboszyński, działacz Stronnictwa Narodowego, autor kilku głośnych książek. Powieść *Słowo ciężarne* wywołała przed ośmiu laty dyskusję o roli radia w kształtowaniu postaw społecznych i poglądów politycznych. Jego *Gospodarka narodowa* uznawana jest w kręgach młodych narodowców za wzorcową syntezę polskiego nacjonalizmu i nauki społecznej Kościoła.

Doboszyński od lat mieszka w rodzinnym majątku w Chorowicach i z pasją działa w krakowskim okręgu Stronnictwa Narodowego: zakłada biblioteki objazdowe z literaturą narodową, publikuje broszury swojego autorstwa. Policja uważa go za polityka niebezpiecznego; często konfiskuje firmowane przez Doboszyńskiego druki, rozpędza zebrania, aresztuje jego współpracowników.

Sfrustrowany inż. Doboszyński stworzył z lokalnych aktywistów ruchu narodowego, małorolnych chłopów, robotników i drobnych rzemieślników nielegalną formację paramilitarną. Nazywa ją drużynami ochronnymi albo milicją. W czerwcu na własną rękę zdecydował się dokonać spektakularnego najazdu na liczące 7 tys. mieszkańców powiatowe miasteczko Myślenice, aby, jak twierdził, obudzić w kraju narodowego ducha. Z myślą o napaści na Myślenice za własne pieniądze kupił dla swoich ludzi 140 kg chleba, 70 kg kiełbasy, 140 paczek tytoniu fajkowego i 100 sztuk amunicji.

Zbiórkę przed akcją wyznaczył na wczoraj – na 10 w nocy w chorowickim lesie.

W pobliżu mostu na Rabie Doboszyński zatrzymuje kolumnę. Poleca przepakować część zapasów z furmanek do plecaków. Podwody zawracają.

Tylko jeden wóz z żywnością ma czekać na powracających z akcji.

Kilka kilometrów przed Myślenicami Doboszyński zatrzymuje kolumnę. Wódz oznajmia uczestnikom wyprawy, że jej celem jest rozbrojenie w Myślenicach posterunku Policji Państwowej i zniszczenie sklepów żydowskich.

W środku nocy kolumna cicho wchodzi do miasta. Doboszyński dzieli podwładnych na dwie grupy. Pierwsza – z nim na czele – rusza w stronę posterunku. Reszta, zbrojna w siekiery i drągi, ma ruszyć w miasto i demolować żydowskie sklepy. Trzem podwładnym poleca Doboszyński podpalenie bożnicy.

Napastnicy wyłamują drzwi. Do środka wpada Doboszyński z rewolwerem w ręku, a za nim 20 jego podkomendnych. Służbę w nocy pełni jeden dyżurny – posterunkowy Stefan Małecki. Najbliższy pretorianin Doboszyńskiego Tomasz Płonka nieoczekiwanie uderza go w głowę. Reszta napastników przyłącza się do bicia policjanta. Powstrzymuje ich dopiero głośna reprymenda Doboszyńskiego: „Koledzy, nie wolno bić!".

Na jego rozkaz napastnicy otwierają drzwi pokoju komendanta posterunku. Z szaf wyciągają osiem karabinów Mauser, sześć przestarzałych karabinów Mannlicher, sześć bagnetów, trzy pistolety i dwa rewolwery, ponad 200 naboi, granaty łzawiące, pałki policyjne, pięć toreb z kajdankami i opatrunkami osobistymi, cztery lampki elektryczne i szkło powiększające. Kilku narodowców postanawia wypróbować broń jeszcze na posterunku. Padają strzały, z sufitów sypie się tynk.

Reszta świeżo dozbrojonych napastników strzela na postrach w rynku i dołącza do kolegów demolujących żydowskie sklepy. Na bruk leci szkło witryn. Milicjanci Doboszyńskiego niszczą sklepy Olgi Weizman, Rozy Goldstein, Hirscha Westreicha, Feli Zenker i Beckera. Tłuką wyroby szklane i ceramikę, drą pościel, żywność i ubrania polewają przygotowaną zawczasu naftą.

Trzech podpalaczy synagogi nie przykłada się do swego zadania. W przedsionku świątyni układają stos gazet, oblewają je dwiema butelkami benzyny, podpalają i zadowoleni, wracają do kamratów buszujących w żydowskich sklepach. Ognisko wypala w podłodze synagogi dziurę i w końcu gaśnie.

W ciemnościach rozlega się gwizdek. To Doboszyński wzywa podkomendnych na zbiórkę. Swoich ludzi uzbrojonych w zrabowaną na posterunku broń prowadzi w luźnym szyku pod dom starosty powiatowego Antoniego Basary, który administracyjnymi szykanami dał się Doboszyńskiemu mocno we znaki.

Kilkunastu członków bandy wyłamuje drzwi i demoluje mieszkanie starosty siekierami i drągami. Łamią meble, tłuką zastawę stołową. Adam Doboszyński i jego przyboczny Jan Kusiak z bronią w ręku wyważają drzwi do komórki obok kuchni. Tam znajdują starostę z gospodynią Turkową.

Napastnicy nie znają starosty. Pytają Basarę, kto zacz. Ten przytomnie kłamie, że pan starosta wyjechał, a on jest tylko jego krewnym.

–Żałuję, że nie zastałem pana starosty, proszę mu powiedzieć, że przyszliśmy mu podziękować za opiekę nad narodowcami – mówi sarkastycznie Doboszyński.

Basara może tylko głęboko odetchnąć i dziękować sobie za przytomność umysłu.

Napastnicy są głodni. Siekierami rozbijają sklep spożywczy Józefa Hopfenberga i wpychają do plecaków zrabowaną żywność.

Dochodzi 4.30 nad ranem. Doboszyński daje sygnał do odwrotu. Jego ludzie natykają się na miejskiego strażnika. Porywają go ze sobą i zmierzają w stronę Poręby.

Pod miastem kolumna robi krótki biwak. Uczestnicy napadu wcinają zabrane ze sklepu Hopfenberga wędliny i opowiadają o swych wyczynach. Pokrzepiwszy się, puszczają strażnika miejskiego wolno. Świetny nastrój ulatnia się, gdy wszyscy ruszają w kierunku Drogini. Doboszyński przemyślnie ogłasza, że czeka tam furmanka z żywnością, ale nawet to nie jest w stanie wykrzesać entuzjazmu w szeregach zdobywców Myślenic.

Koło mostu na Rabie czeka furmanka z żywnością. Milicjanci Doboszyńskiego uzupełniają zapasy. Wódz wyprawy ogłasza, że każdy z jej uczestników ma teraz przedostać się do domu na własną rękę, pojedynczo. Dziewięciu ochotników wraz z Doboszyńskim ma nadal maszerować w zwartej grupie, by ściągnąć na siebie uwagę policji. Co chwila ktoś odłącza od kolumny i znika w lesie.

Tymczasem policja nie zasypia gruszek w popiele. Wczesnym rankiem tropem napastników ruszają trzy grupy pościgowe pod dowództwem komisarza Królikiewicza, st. przodownika Polaka i st. przodownika Szafrańskiego.

Późnym rankiem mocno przerzedzona wyprawa zatrzymuje się na biwak w lasach w pobliżu Poręby. Doboszyński wysyła dwa patrole na rozpoznanie. Reszta jego oddziału zasiada do posiłku.

O piętnastej nadbiega jeden z patroli z meldunkiem, że zbliża się oddział policji. To licząca 12 funkcjonariuszy grupa pościgowa st. przodownika Polaka. Wybucha strzelanina. Policjanci nie są jednak w stanie rozbić słabo wyszkolonych ochotników Doboszyńskiego. Odgłosy walki słyszą policjanci komisarza

Królikiewicza. Komisarz rozkazuje im przejść szybkim marszem przez niewielkie bagno i oskrzydlić bandę. Ale ludzie Doboszyńskiego nie dają się zaskoczyć. Silnym ogniem karabinowym powstrzymują funkcjonariuszy Królikiewicza.

Doboszyński planuje okrążenie policjantów. Z trzema ludźmi przekrada się na skrzydło grupy komisarza Królikiewicza. Gdy jednak reszta członków bandy zauważa, że szef zniknął, wybucha panika. Większość z nich porzuca broń i usiłuje ukradkiem zbiec z pola walki.

Doboszyński zbiera dziewięciu najwierniejszych i na ich czele rusza lasami w stronę gminy Łysina. Policjanci chwilowo rezygnują z pościgu, przeszukują okolicę. Komisarz Królikiewicz osobiście odnajduje ukrytego w zbożu Władysława Wlazłę, który odrzuca karabin i poddaje się. Inni funkcjonariusze zatrzymują kolejnych uczestników napadu na Myślenice. Dwóch z nich jest rannych. Żaden z policjantów nie odnosi w potyczce obrażeń.

Grupka Doboszyńskiego przemyka polami wsi Kraśniki na wzgórze Lubogoszcz. Wodzowi marzy się narodowa partyzantka, ale jest oczywiste, że lada dzień wszystkich wyłapać musi policyjny pościg.

24 czerwca 972 ▪ środa

Bagnem i mieczem

Mimo ciemności w chaszczach na łagodnych zboczach wzgórz aż roi się od ludzi. O pnie drzew stukają topory, grupki mężczyzn dźwigają kłody i wycięte krzewy na pas ziemi u podnóża wzgórz, na którym ich towarzysze palą ogniska. Wielkie nocne poruszenie

nie jest jednak kupalnocką, a liczne, ogromne ogniska to nie wielkie ognie sobótkowe. Ta noc nie będzie czasem wicia wianków przez niewinne dziewczęta, puszczania ich na wodę, łowienia wianków przez młodzieńców i wspólnego szukania z wybrankami kwiatu paproci. Ta noc jest czasem trwożnego wyczekiwania. O świcie kilka tysięcy wojów Mieszka I stanie do bitwy z paroma tysiącami rycerstwa i piechoty margrabiego saskiej Marchii Wschodniej Hodona.

Opanowanie przez księcia Polan Mieszka ujścia Odry skłoniło margrabiego Hodona do zorganizowania przeciw niemu wyprawy wojennej. Decyzję o inwazji za Odrę podjął Hodon sam, bez zgody przebywającego w Italii cesarza.

Zrazu nie było jasne, gdzie siły margrabiego będą forsować Odrę. Na ziemiach Lubuszan oczekiwały najazdu siły pod dowództwem brata Mieszka Czcibora. Sam Mieszko na czele głównych sił Polan pustoszył i pacyfikował buntujących się Pomorzan. Gdy Hodon ruszył w stronę przeprawy przez Odrę w pobliżu silnie umocnionego grodu Cedynia, Mieszko i jego wojsko forsownym marszem chcieli zabiec mu drogę i zablokować przeprawę. Margrabia był szybszy, szczęśliwie sforsował niebezpieczną Odrę i zatrzymał się na nocleg parę kilometrów przed Cedynią. Tuż przed nim rozlokowali się woje Mieszka. Nocą, o czym nie ma pojęcia Hodon, zdążyli nadejść wojownicy Czcibora.

Książę Mieszko nie kładzie się spać. Obmyślony przezeń wieczorem plan bitwy z wojskami Hodona wymaga precyzyjnego zgrania w czasie manewrów jego podzielonych sił. Przy wielkim ognisku Mieszko wyobraża sobie przebieg przyszłego starcia, naradza się ze swoimi dowódcami. Niczego nie zostawia przypadkowi. Jego plan zasadza się na podstępie. Siły główne – jazda i piechota zbrojna w łuki, włócznie, proce – na drodze

wiodącej do Cedyni mają udawać, że przystępują do walnej bitwy w rycerstwem niemieckim. Szybko jednak siły Mieszka mają zacząć wycofywać się w stronę Cedyni. Gdy w pościg za nimi ruszy wojsko Hodona, szczupłość miejsca między wzgórzami i bagnami wymusi na Niemcach sformowanie długiej kolumny. A gdy znajdzie się ona w wąskim przesmyku między wzgórzami i mokradłami, ze wzgórz ruszy na wyciągniętą kolumnę zaskakujący atak ukrytych tam wojsk Czcibora.

Jeszcze przed świtem obozowiska wojsk Hodona i Mieszka budzą się. Nie ma czasu na warzenie spyży, tylko szczęśliwcy, którzy mają cokolwiek w sakwach, szybko przeżuwają kęsy i popijają zimną wodą. Przeciwnicy nie widzą się wzajem – przed świtem z bagien podniosła się gęsta mgła.

Piesi i jazda Czcibora, ukryci za wzgórzami górującymi nad drogą i rozpościerającymi się tuż za nią bagnami, jeszcze nie wstają z mchów i ciągnących się wokoło łanów wrzosów. Wszelki ruch i hałas na wzgórzach obudziłby czujność rycerzy Hodona.

Mimo mgły siły margrabiego sprawnie ustawiają szyki. Na swym lewym skrzydle, od strony bagien, Hodon stawia hufiec ciężkiej jazdy sformowany naprędce z posiłkowych pocztów rycerskich przysłanych z innych marchii cesarstwa. W większości są to Sasi. Dowódcą tego hufca margrabia czyni grafa Zygfryda von Walbeck. Na prawym skrzydle, od strony wzgórz, stają rycerze i piesi z marchii Hodona. Ten hufiec margrabia pozostawia pod swoim dowództwem. Za szeregami jazdy ustawiają się zwarte szyki piechoty.

We mgle niewiele widać, jest chłodno i wilgotno. Wreszcie margrabia wydaje rozkaz marszu w stronę wroga. Po przejściu niespełna kilometra zwiadowcy alarmują, że szyki Mieszka są już niedaleko. Walka we mgle jest wielce ryzykowna, więc Hodon

wstrzymuje swe wojska i nakazuje całkowitą ciszę. We mgle słychać tylko parskanie koni.

Wreszcie mgła podnosi się. Słońce jest już dość wysoko, oślepia skierowane ku wschodowi szyki niemieckie. Polscy jeźdźcy zaś widzą przeciwnika jak na dłoni. Jaskrawe opończe, wielobarwne tarcze, skrzące się ostrza broni i okucia sprawiają imponujące wrażenie. Mieszkowych wojów ta manifestacja potęgi nie przeraża, przeciwnie, raczej zagrzewa ich serca – będzie z czego obdzierać trupy poległych rycerzy Hodona.

Mieszko rozpoczyna swoją grę. Najpierw, zgodnie z rycerskimi obyczajami, wysyła przed swe linie harcowników. Na ich spotkanie wyjeżdżają rycerze Hodona. Potyczki wybrańców na oczach stojących w bitewnym szyku wojsk to rytuał pilnie obserwowany przez wszystkich na polu bitwy. Zwycięstwo własnych harcowników to dobry omen przed bitwą.

Hodon dostrzega Mieszka, w zbroi, w pozłacanym hełmie, na białym koniu. I dostrzega, że lewe skrzydło Mieszka zaczyna się wycofywać. Ach, sprytny ten Mieszko! Gdy ujrzał potęgę Hodonowych wojsk margrabiego, postanowił zmykać pod osłonę wałów Cedyni, zaś harcowników wyprawił jako osłonę. Hodon błyskawicznie podejmuje decyzję: uderzać na cofających się Polan! Pierwszy ruszyć ma hufiec Zygfryda. Rycerze śpiewają *Kyrie eleison* i ruszają.

Mieszko natychmiast wstrzymuje pozorowany odwrót. Fala saskich jeźdźców z impetem uderza na skrzydło Polan, spycha ich do tyłu, w wąski przesmyk między bagnami i najwyższym z ciągnących się wzdłuż drogi wzgórz. Hodon dostrzega szansę zniszczenia całości sił Polan. Gdyby uderzyć na ich lewe skrzydło, w wąskiej gardzieli pod wzgórzem kłębiliby się bezładnie jak ryby w więcierzu.

Hufiec Hodona uderza zatem na lewe skrzydło dowodzone przez samego Mieszka. Tysiąc jeźdźców sunie pancerną ławą na Polan. Ale ludzie Mieszka nieoczekiwanie sprawnie cofają się w stronę Cedyni. Rycerze margrabiego nie mogą ich dopaść i wyciąć, gdyż teren szybko się zwęża i muszą chaotycznie, w pędzie zacieśniać szyki. Za rycerstwem biegną piechurzy.

Mieszko wjeżdża konno na trzecie, licząc od zachodu, wzgórze. Stamtąd daje znak Czciborowi. Na zbocza pierwszego wzgórza, pod które przeciska się niemiecka jazda, wylegają setki łuczników i procarzy. Chmura strzał spada na rycerzy margrabiego. Mieszko przewidział i to, że rycerze trzymają tarcze w lewej ręce, zaś łucznicy razić ich będą z prawej, nieosłoniętej strony. Na ziemię walą się konie i jeźdźcy. Gdy chaos w niemieckich szeregach sięga zenitu, w dół zbocza ruszają tarczownicy z włóczniami. W bok niemieckiej jazdy uderza oddział jazdy ukrytej za wzgórzami

Hodon z Zygfrydem i najdzielniejszymi rycerzami wyrąbują sobie drogę przez polską linię i pędzą w stronę Cedyni. Reszta jazdy Polan zamyka niemieckie siły w okrążeniu. Rycerstwo i piechota Hodona giną pod ciosami wojów Mieszka albo toną w mokradłach.

Hodon, Zygfryd i garść ich towarzyszy przebijają się przez podgrodzie Cedyni na wschód i uciekają do lasów na południu. Czeka ich jeszcze przeprawa przez Odrę, powrót do bezbronnej, pozbawionej wojska marchii i wytłumaczenie się z samowoli i nieudolności przed cesarzem.

25 czerwca 1937 ▪ piątek

Oddaj Wawel!

Rankiem podnieceni gazeciarze wykrzykują na ulicach Warszawy: „Ooobrażone uczucia naroduuu!", „Dziś wieeelka demonstracjaaa na pl. Marszałka Piłsudskiegooo!". Przechodnie wyrywają im z rąk gazety. Pisma sprzyjające rządzącemu obozowi sanacyjnemu pełne są sensacyjnych tytułów: *Falą protestów odpowiada opinia społeczna na wybryk księcia Sapiehy*, *Postępek księcia Sapiehy napełnił goryczą i żalem serca wierzących katolików, Powszechne oburzenie* w *Lublinie*. Pisma opozycyjne wzywają do łagodzenia emocji. Uwagi krytyczne wobec kampanii przeciw metropolicie krakowskiemu księciu Adamowi Sapiesze cenzura konfiskuje. Taki los spotkał artykuł wstępny w krakowskim „Czasie".

Konflikt władz z księciem Sapiehą zaczął się przed dwoma laty, w dniu śmierci Józefa Piłsudskiego. Rząd postanowił pochować Marszałka po królewsku, na Wawelu. Od początku sprzeciwiał się temu metropolita krakowski. Po poufnych negocjacjach ustąpił i zgodził się na złożenie trumny Marszałka w krypcie św. Leonarda, pośród grobów królewskich. Uważał jednak, że jest to miejsce tymczasowe, i naciskał na władze, by zgodziły się na przeniesienie trumny do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Rząd nie wyraził zgody. Tydzień temu książę Sapieha zawiadomił Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka Piłsudskiego, że postanowił przenieść trumnę. Prezydent Mościcki napisał do księcia list z prośbą o zmianę decyzji. Metropolita odpisał, że postanowienia swego nie zmieni, i w nocy z 23 na 24 czerwca jedna z krakowskich firm kamieniarskich w obecności obserwatorów z ramienia Kościoła i władz przeniosła trumnę Marszałka.

Kilkanaście godzin przed tą operacją do dymisji ostentacyjnie podał się premier gen. Felicjan Sławoj Składkowski. Uzasadnił ją tym, że jako szef rządu nie potrafił zapobiec obrazie Majestatu Rzeczypospolitej przez krakowskiego metropolitę.

Prezydent dymisji nie przyjął. Ruszyła wspierana przez władze kampania sprzeciwu wobec decyzji księcia Sapiehy.

Szef sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego płk Adam Koc wysyła do prasy oświadczenie: „Silniejsza niż śmierć miłość żołnierzy do Wodza została głęboko obrażona. Cześć Narodu dla pamięci największego w dziejach Polaka została boleśnie dotknięta. Dziś – w co uwierzyć trudno – samowola osobista jednostki wywyższyła się ponad wolę i prawo Rodziny Zmarłego, wojska, którego był Twórcą i Wodzem [...] Z bolesnym oburzeniem, w zupełnej pewności, że daję wyraz uczuciom szerokich rzesz społeczeństwa – zakładam protest przeciw niedopuszczalnemu postępkowi jednostki, naruszającemu głęboki kult Narodu dla Nieśmiertelnego Wodza".

Wieczorem w Krakowie, pod Wawelem, rozpoczyna się manifestacja protestacyjna zorganizowana przez Federację Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Kilkuset demonstrantów zbiera się pod Wawelem. Przemawiają wicemarszałek Senatu Kwaśniewski i prezydent Krakowa Kaplicki, po czym organizatorzy odczytują rezolucję protestującą przeciw przeniesieniu trumny Marszałka, które nazwane jest w niej aktem samowoli księcia Sapiehy. Rezolucja zostaje przyjęta przez aklamację. Pochód rusza na Wawel. Na czele kroczy poczet sztandarowy krakowskiego Związku Legionistów, potem posłowie i senatorowie obozu rządowego, dygnitarze krakowscy, zarząd Związku Legionistów, delegacje peowiaków, powstańców 1863 roku, Związku Strzeleckiego. Za nimi maszerują oddziały przysposobienia wojskowego i rezerwiści. Na końcu – grupa mieszkańców Krakowa.

Pochód w milczeniu przechodzi przed kryptą w Wieży Srebrnych Dzwonów, pochylając sztandary. Na stopniach krypty delegaci składają kwiaty. Z Wawelu demonstracja przemaszerowuje pod

gmach Urzędu Wojewódzkiego. Organizatorzy manifestacji wręczają wojewodzie rezolucję. W imieniu wojewody senator Lipiński zawiadamia manifestantów, że rezolucję wojewoda przekaże do władz w Warszawie. Zrywają się burzliwe oklaski. Manifestanci śpiewają *Pierwszą Brygadę*.

W Warszawie zapada już zmrok, gdy rozpoczyna się zorganizowana przez władze manifestacja na pl. Marszałka Piłsudskiego. Tysięczne tłumy wypełniają plac. Nad głowami biało-czerwone flagi, transparenty: „Pan Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje!", „Żądamy wyłączenia grobów wawelskich spod jurysdykcji metropolity krakowskiego!". Na trybunę wchodzi pierwszy mówca, sanacyjny senator i dyrektor Polskiego Banku Komunalnego Artur Śliwiński: „W Polsce, dłońmi Józefa Piłsudskiego dla nas wywalczonej, odżyły w zaraniu jej nowego bytu państwowego te wszystkie wady, które ongiś się stały przyczyną naszej tragedii dziejowej. Już zapomnieliśmy nieomal o tym, z jakimi trudnościami przychodziło mu zmagać się w tych latach, zapomnieliśmy przez niego nauczeni wreszcie sprawy prywatne podporządkowywać publicznym i stać na baczność przed majestatem Rzeczypospolitej. Ale oto znowu, w dwa lata po jego śmierci, uderza w nas taki właśnie dawny, warcholski wybryk. Uderza tym silniej i tym boleśniej, że ten, który go uczynił, jest strażnikiem naszego sanktuarium narodowego – Wawelu, iż strojny jest w szaty wysokiego dostojnika Kościoła, a na piersi jego błyszczy najwyższe odznaczenie Rzeczypospolitej: Order Orła Białego. Nie pozwolimy, aby znowu zapanować u nas miały najgorsze wady Polski przedrozbiorowej, nie pozwolimy, aby widzimisię warcholskiej jednostki miało decydować o sprawach, które cały naród obchodzą i dla całego narodu są święte!".

Nad placem zrywa się burza oklasków i okrzyków: „Nie pozwolimy!".

Poseł Walewski odczytuje tekst deklaracji organizacji kombatanckich i niepodległościowych: „Byli obrońcy i obrończynie ojczyzny, żołnierze Wielkiego i Nieśmiertelnego Marszałka Piłsudskiego, wraz z organizacjami młodzieżowymi, oraz wszystek lud stolicy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, wzburzeni do głębi serc i sumień niesłychaną samowolą ks. metropolity krakowskiego Sapiehy, który znieważył majestat Rzeczypospolitej i obraził naszą najwyższą świętość narodową – pamięć Wielkiego Marszałka, protestują ze wszystkich sił przeciwko temu postępowaniu ks. metropolity krakowskiego. Zebrani żądają, aby Wawel, jako Panteon narodowy, został oddany we władanie polskich władz państwowych. Lud stolicy domaga się stanowczo, aby w stosunku do ks. metropolity zostały wyciągnięte wszelkie konsekwencje za jego niecny postępek przeciwko państwu i narodowi polskiemu".

Znów oklaski, znów okrzyki: „Nie pozwolimy!", „Precz z Sapiehą!". Poseł Walewski odczytuje teksty depesz do prezydenta Mościckiego, marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej i premiera gen. Felicjana Sławoja Składkowskiego. „Wierzymy, że obronisz majestat Rzeczypospolitej oraz że boleśnie dotknięty naród polski otrzyma pełne zadośćuczynienie" – głosi depesza do szefa rządu.

Prezes Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny gen. Roman Górecki wzywa do wymarszu pod Belweder. Ogromny pochód rusza Krakowskim Przedmieściem. W pochodzie maszerują i grają orkiestry wojskowe. Tłumy śpiewają *Mazurka Dąbrowskiego* i *Pierwszą Brygadę*. W przerwach słychać, jak jacyś cywile wzywają idących do skandowania: „Precz z Sapiehą!".

Przed gmachem Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych wojskowi idący w pochodzie uciszają okrzyki. Orkiestry milkną.

Tylko dobosze głucho biją w bębny.

Pochód dociera do Belwederu. Straż na dziedzińcu pełnią weterani i rezerwiści. Zapalają się reflektory, snopy światła wydobywają z półmroku dziedziniec i fasadę pałacu. Tłumy zapełniają ulicę i chodniki przed bramą. Na dziedziniec wkracza gen. Górecki i składa przed schodami wieniec z ciemnych liści, owity wstęgami orderowymi Virtuti Militari i Krzyża Walecznych. Na szarfach jest tylko data: „25.VI.1937".

Teraz na dziedziniec wkraczają delegacje organizacji kombatanckich i społecznych. Przed wejściem do Belwederu rośnie wzgórek wieńców i bukietów. Wreszcie znieruchomiała przed bramą manifestacja rusza dalej. Kolejne szeregi demonstrantów rzucają przez bramę belwederską wiązanki kwiatów. Porządkowi rezerwiści przenoszą je na schody pałacu. Gdy w ciemnościach przechodzą ostatni manifestanci, wał kwiecia na stopniach Belwederu sięga już piersi układających go żołnierzy.

26 czerwca 1948 ▪ sobota

Uciekający pościg

Budzą ich strzały. Dochodzą z oddali, ale kogoś przez kilka lat ukrywającego się i walczącego w partyzantce nawet słabe echo wystrzału stawia na nogi. Jest czwarta nad ranem. Gospodyni mieszkająca w izbie przy ich pokoju też nie śpi. Nasłuchują razem z gaździną – strzały nie milkną, z minuty na minutę są coraz bliższe. Zygmunt siada na zydlu, po chwili przenosi się na okutą skrzynię. W góralskiej chacie skrzynia służy za szafę; Zygmunt i jego żona Lidia trzymają w niej swoje rzeczy. Pośród nich pistolet i granaty.

Strzały padają już blisko domu. Słychać także krzyki: „Tędy, minął dom, wpadł w ogród!". Wtem rozlega się łomot do drzwi kuchennych. Gospodyni otwiera, wpada nieznany cywil. Zdyszany prosi, by go ukryć. Gospodyni pokazuje na strych. Cywil chowa się na górze. Chwilę później żołnierze otaczają zabudowania. Zygmunt uspokaja się. Milicja ściga kogoś innego, to jeszcze nie po niego. Mają z żoną dobre papiery, nie powinni mieć kłopotów. Zatrzaskuje uchylone wieko skrzyni.

Do izby wbiegają żołnierze. Spędzają domowników do pokoju zajętego przez Zygmunta i Lidię, ustawiają wszystkich pod ścianą. Krzyczą, żądają, by wskazać, gdzie skrył się uciekinier. Po chwili znajdują go na strychu i sprowadzają ze związanymi rękami. Do izby wchodzi oficer. Wygląda na rozluźnionego udanym pościgiem. Niedbale pyta: „Wy kto?". Gaździna wyjaśnia: „Jo tutejsza, a ten pan urzędnik z Gdyni z żoną, chory na suchoty". Tak Zygmunt przedstawił się góralom, wynajmując u nich na dłużej pokój.

Oficer żąda dowodów osobistych, przegląda je. Wreszcie mówi: „W porządku", i robi gest, jakby chciał je oddać. W tym momencie do izby wchodzi jakiś cywil. Rzecz dziwna – oficer staje przed nim na baczność. Cywil pyta, kim jest stojący pod ścianą z dwoma kobietami mężczyzna. „Chory na gruźlicę z Wybrzeża" – wyjaśnia oficer. „Zrewidowaliście go?". Oficer wyjaśnia, że nie było potrzeby.

Cywil na to, że na wszelki wypadek trzeba zrewidować, i myszkuje po izbie. Zygmunt lekko, nieznacznie unosi ręce do góry. W tuż powojennych czasach to gest niemal automatyczny. Zanim jednak żołnierz rozpocznie obszukanie, cywil, udając, że czegoś szuka w izbie, zachodzi Zygmunta od tyłu. Nagle rzuca się na niego, wykręca do tyłu ręce i zatrzaskuje na nich kajdanki. Zygmunt i jego żona są tak zaskoczeni, że nie próbują stawiać oporu. Najwyraźniej zaskoczony jest także oficer, który nie wie, że noszący się po

cywilnemu oficer UB właśnie aresztował legendę antykomunistycznego podziemia, mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę".

We wrześniu 1939 roku porucznik kawalerii Zygmunt Szendzielarz został dowódcą szwadronu w 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich. Słynący w szkole podchorążych kawalerii z gwałtownego charakteru, ale i wybitnych talentów dowódcy polowego, wspaniale sprawdził się w walce. Dowodzony przez niego szwadron wsławił się w kilku potyczkach, a zwłaszcza w trakcie trudnej przeprawy pułku przez Wisłę pod Magnuszewem. W powszechnym chaosie i bałaganie ułani por. Szendzielarza nie stracili koni, przeprawili na drugi brzeg nawet działko przeciwpancerne i ciężkie karabiny maszynowe. Bili się twardo od drugiego dnia wojny aż do 23 września. Por. Szendzielarz za walki we wrześniu odznaczony został orderem Virtuti Militari i otrzymał awans na rotmistrza. Uniknął niewoli niemieckiej i sowieckiej, skrył się we Lwowie, potem pieszo doszedł do Wilna. Tam przez dwa lata ukrywał się, by wreszcie w 1943 roku objąć dowództwo na niedobitkami oddziału AK „Kmicica". Polskich partyzantów rozbroili podstępem i wymordowali partyzanci sowieccy. Rtm. Szendzielarz, teraz już „Łupaszka", okazał się wybitnym dowódcą partyzanckim. Stworzona przezeń V Wileńska Brygada AK skutecznie biła Niemców i sowieckich partyzantów. Sama była nieuchwytna. „Łupaszka" z wielkim powodzeniem stosował wymyśloną przez siebie taktykę operowania brygadą w rozproszeniu i łączenia sił tylko z rzadka. Za głowę „Łupaszki" Sowieci wyznaczyli sowitą nagrodę, 5 tys. rubli, ale nie mieli okazji jej wypłacić. Coraz częściej też dochodziło do starć z policją litewską. Po wymordowaniu przez Litwinów polskiej ludności w Glinciszkach partyzanci wzięli udział w odwetowym, krwawym rajdzie pacyfikacyjnym.

V Brygada nie brała udziału w operacji „Ostra Brama", szturmie sił AK na Wilno wespół z siłami sowieckimi, zakończonym aresztowaniem polskich partyzantów; przedarła się na zachód. Na Białostocczyźnie, na czele swego oddziału partyzanckiego, „Łupaszka" poprowadził bezlitosną walkę z nową władzą. Atakował posterunki, grupy sowieckich żołnierzy. Konfidentów, funkcjonariuszy UB i NKWD z reguły rozkazywał rozstrzeliwać. Osaczony przez wojsko, przeszedł dalej na zachód, na Pomorze. Ukrywał się w Gdańskiem i w końcu wrócił na leśną ścieżkę – ofensywa odtworzonego oddziału „Łupaszki" na Pomorzu i w Olsztyńskiem wzbudziła panikę władz. Partyzanci zdobywali posterunki, zatrzymywali pociągi, blokowali drogi. Bez litości rozstrzeliwali funkcjonariuszy nowej władzy i sowieckich doradców. Sami byli nieuchwytni. Pod koniec 1946 roku zdesperowany minister bezpieczeństwa Stanisław Radkiewicz przez pośredników wysłał list do „Łupaszki". W zamian za rozwiązanie i ujawnienie oddziału proponował paszport i bezpieczny wyjazd do Anglii. „Łupaszka" odmówił, ale wkrótce musiał złożyć broń. Wojsko i UB deptały jego ludziom po piętach.

Od wiosny 1947 roku ukrywał się wraz z żoną Lidią Lwow, sanitariuszką i łączniczką „Lalą" w V Brygadzie. UB było blisko, coraz bliżej. Szendzielarzowie zatrzymali się u górali w Osielcu koło Makowa Podhalańskiego. Czuli się bezpieczni. Zygmunta nie zaniepokoił ani krążący przedwczoraj w okolicy wojskowy samochód, ani nagły, dziwny wyjazd gospodarza, rzekomo do syna w Poznańskiem.

Żołnierze wyprowadzają „Łupaszkę" i „Lalę" do osobnych pokoi. Po pewnym czasie przyjeżdża major wojsk wewnętrznych i oboje pod silną eskortą jadą do Myślenic, a stamtąd do Krakowa, do Urzędu Bezpieczeństwa. W trakcie przesłuchania „Łupaszka"

dowiaduje się, że wszystko było ukartowane. Rzekomy uciekinier to żołnierz w cywilu, który biegł wedle dokładnie opracowanej marszruty. Legendy niepokonanego dotąd „Łupaszki" UB obawiało się tak bardzo, że biorącym w akcji żołnierzom wojsk wewnętrznych nie powiedziano, kogo mają pochwycić. Dowódcy okłamali ich, że łapać mają dwóch niedobitków bandy „Ognia". Żołnierzom kategorycznie nakazano ująć poszukiwanych żywcem. Strzelać mieli, mimo zagrożenia, wyłącznie nad głowami ściganych.

W celi w podziemiach WUBP Zygmunt Szendzielarz leży skuty kajdankami. Przez całą noc siedzi przy nim potężnie zbudowany strażnik. Drugi stoi przed drzwiami z pepeszą w ręku. Rankiem „Łupaszka" pod silną eskortą jedzie na lotnisko. Tam czeka już specjalny samolot do Warszawy.

Dowództwo V. Wileńskiej Brygady AK, 1944 rok

27 czerwca 1978 ▪ wtorek

Po twarożku do gwiazd

Rano, po przebudzeniu, lekarze przez trzy kwadranse badają obu kosmonautów: ciśnienie, puls, EKG, EEG. Po toalecie porannej ostatnie przed startem śniadanie: twarożek ze szczypiorkiem, miód i gotowany ryż na słodko. Podają te same, od kilkunastu dni, kelnerki. Na dwa tygodnie przed startem, z obawy o infekcje, ograniczono liczbę ludzi stykających się z pilotami. Mirosław Hermaszewski i Piotr Klimuk mogą poruszać się wyłącznie osobnymi korytarzami.

Po śniadaniu – przedstartowy rytuał sowieckich kosmonautów: projekcja filmu *Białe słońce pustyni*. Dlaczego akurat *Białe słońce...*, nikt dziś tego nie wie. Film opowiada historię rewolucji w azjatyckiej części ZSRR.

Zaraz po filmie lekarze robią pilotom lewatywę. Po dwunastej, gdy już mają wyjeżdżać na kosmodrom, do ich apartamentu wchodzą instruktorzy i szef szkolenia gen. Leonow, który zagaja krótko i konkretnie:

– *Po tradycji otkrojem szampanskoje*.

Potem generał wyjmuje flamaster i piloci podpisują się, jak każdy z ich poprzedników, na wewnętrznej stronie drzwi swoich sypialni. Teraz mogą jechać.

W autobusie kosmonauci, Leonow i lekarz siadają w przedniej części. W tyle autobusu, za hermetyczną szybą, jedzie reszta ekipy.

Piloci wysiadają przed ogromnym budynkiem kompleksu startowego. W laboratorium Hermaszewski zdejmuje mundur polskiego lotnika, Klimuk rozbiera się z munduru radzieckiego. Po kąpieli obsługa zakłada im pasy z aparaturą do kontroli pracy serca

i ubiera obu w bieliznę z otworami na wszelkie niezbędne w kombinezonie kosmicznym przewody.

Do sali wchodzi lekarz Reznikow i proponuje, by coś zjedli. Gdy otwiera termosy, Polak ze zdumienia nie może wykrztusić ani słowa. To jego ulubione przysmaki, których nie jadł od wielu miesięcy: rosół z kury z domowym makaronem i podsmażana kura. Hermaszewski przypomina sobie, że dawno temu, w czasie kursu, ktoś go zapytał, niby przypadkiem, co lubi jeść najbardziej.

To o to wtedy chodziło!

Podczas posiłku zapada klamka co do składu załogi – dublerzy obu lotników przechodzą do sektora dla gości.

Potem kosmonauci wchodzą do sali, w której leżą częściowo nadmuchane skafandry kosmiczne. Dopiero po włożeniu ich, w czasie testów, Hermaszewski spostrzega, że jedna ze ścian laboratorium jest przeszklona. Za nią, w półmroku, stoi w milczeniu spory tłum oficjalnych gości i dziennikarzy. Polak dostrzega gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Po przetestowaniu kombinezonów – czas na przemówienia oficjeli. Po gospodarzach głos zabiera Jaruzelski. Zaczyna sztywno, o patriotyzmie, misji, honorze, ale kończy osobiście, ciepło. Hermaszewski gorączkowo zastanawia się, czy nie wypadałoby dać swemu zwierzchnikowi jakiegoś symbolicznego drobiazgu. Ale co to mogłoby być? Na lewym przedramieniu kombinezonu kosmicznego Hermaszewski ma lusterko do kontrolowania zapięcia hełmu. Zdejmuje je, poleca swemu pomocnikowi od ubierania się zanieść generałowi, a sam prosi o zapasowe.

Autobus wiezie pilotów do odległej o 3 km rakiety „Sojuz". Gigantyczny, wymierzony w niebo pocisk ma ponad 50 m wysokości. Średnica u podstawy – 9 m. Jest już zatankowany zmrożonym ciekłym tlenem i paliwem.

Piloci od wyjścia z centrum trzymają w rękach walizeczki z urządzeniami klimatyzacyjnymi, które wentylują wnętrza kombinezonów. Ostatnie 40 kroków po ziemi, z autobusu do podnóża rakiety, przechodzą pieszo.

Przed windą żegna ich szef sowieckiego programu kosmicznego. Generał tak utajniony, że nie wolno nigdy robić mu fotografii.

Z windy obaj wchodzą do śluzy o wymiarach 2 × 3 m. Jest trzecia po południu. Do startu pozostało jeszcze trzy i pół godziny. Przez ten czas kosmonauci sprawdzają aparaturę, składają meldunki centrali.

O 18.00 dostają zgodę na położenie się w fotelach startowych. 20 minut przed startem zaczynają odjeżdżać ogromne wieże okalające rakietę. Dygot ziemi wprawia ogromnego „Sojuza" w sporą wibrację.

Na kwadrans przed startem obsługa włącza SAS, awaryjny system ratunkowy. Kosmonauci leżą w milczeniu. Nagle centrala puszcza przez interkom *Kolorowe jarmarki* w wykonaniu Maryli Rodowicz.

Potem ostatni rytuał, zawsze towarzyszący startom z Lenińska-Bajkonuru. *Nadieżdę* (przed laty ulubioną pieśń sowieckich geologów, potem zawłaszczoną przez kosmonautów) śpiewa Anna German.

Do odliczania przed startem zostały już tylko ostatnie oświadczenia. Polak nauczył się swojego na pamięć, ale na wypadek gdyby z nerwów czegoś zapomniał, miał pod ręką ściągawkę. Klimuk też.

Generalny konstruktor radzieckich rakiet składa życzenia dobrego lotu i zaczyna się pięciominutowe odliczanie.

Z jego końcem rakieta wpada w drżenie. Po 15 sekundach kosmonauci czują, że uniosła się leciutko nad ziemię. Jest 18.26 i 43

sekundy czasu moskiewskiego. Przeciążenie szybko narasta aż do 6,5 g. Kosmonauci nie mogą wykonać najmniejszego ruchu.

Silniki „Sojuza" z potwornym rykiem spalają 1,5 t paliwa na sekundę. Na pierwszym, największym stopniu napędowym „Sojuz" leci 120 sekund. W tym czasie osiąga wysokość 80 km. Tam odpada pierwszy stopień z czterema blokami napędowymi i przeciążenie znika. Tylko na sekundę. Odpalony drugi stopień błyskawicznie przyśpiesza rakietę. Kosmonautów znów paraliżuje ogromne przeciążenie. W 157. sekundzie lotu „Sojuz" odrzuca wieżę ratowniczą, dwie sekundy później z rakiety odpadają osłony balistyczne.

Gdy statek osiąga pierwszą prędkość kosmiczną, odpala ostatni człon napędowy, gaśnie na chwilę światło, wyje syrena i rusza zegar pokładowy. Są w kosmosie. Statek mknie zasłonięty przez Ziemię, w strefie nocy. Silniki „Sojuza" pracowały w sumie 528 sekund. Kosmonauci biorą się do pracy. Po kilkunastu minutach ciemna noc zaczyna jaśnieć, na horyzoncie pojawia się coraz więcej niebieskiego, czerwieni. Lecą w kierunku Słońca. Dzień wybucha nagle, w jednej sekundzie. Okrążyli kulę ziemską w 90 minut.

Na drugim okrążeniu luzują skafandry. Włączają dodatkowe radiostacje KF. Przebijają się strzępki audycji radiowych z całego świata. W pewnej chwili słyszą swoje nazwiska.

Na trzecim okrążeniu mają lecieć nad Polską. Nad Hiszpanią jest jeszcze jasno, ale Polskę zaczynała już spowijać wieczorna szarość. Poznań skrył się pod czapą chmur; Bydgoszcz, Gdańsk, Warszawa widoczne są jednak jak na dłoni.

To jedyna przerwa w pracy, na jaką sobie pozwalają. Obaj mają jeszcze wiele do zrobienia: manewr podwyższenia orbity, niezliczone testy urządzeń pokładowych. Gdy kończą, jest już 3.30 następnego dnia.

Kosmonauci Piotr Klimuk i Mirosław Hermaszewski

28 czerwca 1914 ▪ niedziela

Smok znieruchomiał

Pierwsze dni wizyty następcy tronu i generalnego inspektora sił zbrojnych monarchii austro-węgierskiej arcyksięcia Franciszka

Ferdynanda d'Este w prowincji Bośni i Hercegowinie upłynęły w deszczu. Dziś jednak – w dniu przybycia do Sarajewa – niebo nieoczekiwanie wypogodziło się. Noc spędził arcyksiążę, wraz z żoną Zofią i liczną świtą, w uzdrowisku Ilidża, w hotelu Bośnia. Po śniadaniu dostojni goście przechodzą do jednego z pokoi hotelowych przebudowanego tylko na ten jeden ranek ogromnym kosztem – 40 tys. koron w złocie – na kaplicę. Księżna Zofia modli się żarliwie. Od kilku dni ma złe przeczucia. Nie ona jedna.

Zaanektowana przez Austro-Węgry Bośnia i Hercegowina jest niespokojna i niebezpieczna. Groźni są zwłaszcza tutejsi serbscy nacjonaliści marzący o niepodległej Wielkiej Serbii.

O 9.25 z Ilidży rusza do Sarajewa pociąg specjalny z salonką dla pary arcyksiążęcej. W tym czasie przed dworzec sarajewski zajeżdża oliwkowozielony kabriolet z numerem rejestracyjnym A-III-118. To luksusowy samochód wyprodukowany w zakładach Wiener Automobil Fabrik A.G. Na dzisiejszy objazd Sarajewa wybrał go dla arcyksiążęcej pary podpułkownik wojsk transportowych hrabia Franz Harrach. Pogoda jest słoneczna, więc hrabia polecił szoferowi, byłemu dragonowi Leopoldowi Lojce, złożyć dach.

Z salonki wychodzi arcyksiążę. Prezentuje się imponująco w galowym niebieskim mundurze austriackiego generała kawalerii, w czarnych spodniach z czerwonymi lampasami, szablą u lewego boku, w wysokim dwugraniastym kapeluszu z jasnozielonym pióropuszem. Księżna wygląda bardzo ładnie w śnieżnobiałej jedwabnej sukni ozdobionej kwiatami, okrytej gronostajową etolą, i w wielkim białym kapeluszu z woalką. W ręku trzyma złożony ciemny wachlarz. Arcyksiążę niesie jej białą parasolkę.

Na peronie wita ich namiestnik gen. Potiorek. Kompania honorowa prezentuje broń i goście wraz ze świtą podchodzą do czekających na nich samochodów. Arcyksiążę podaje ramię żonie,

pomaga jej wsiąść na prawe tylne siedzenie i zajmuje miejsce obok niej. Naprzeciwko siada gen. Potiorek. Miejsce obok szofera Lojki zajmuje ppłk Franz hrabia Harrach. Przy reszcie samochodów – bałagan. Do pierwszego, zamiast – jak planowano – ekipy agentów bezpieczeństwa, przybyłych z Wiednia wraz z arcyksięciem, nieoczekiwanie wciska się szef ochrony wraz z trzema wysokimi oficerami policji z Sarajewa.

Para arcyksiążęca jest właściwie bezbronna.

Poranna mgła unosi się, Sarajewo skąpane jest w słońcu. Arcyksiążę rozkoszuje się widokiem miasta, a zwłaszcza dość licznymi czarno-żółtymi flagami habsburskimi. O 10.10 kolumna mija nowe koszary 15. Korpusu. Gen. Potiorek pokazuje je arcyksięciu z nieskrywaną dumą. W tym momencie wysoki młodzieniec w czarnym płaszczu i kapeluszu, stojący w niezbyt gęstym tłumie, pyta pilnującego trasy agenta ochrony, w którym samochodzie jedzie Jego Wysokość. Agent uprzejmie informuje, że w trzecim. Młodzieniec wyjmuje z kieszeni niewielką bombę, uderza zapalnikiem o słup latarni i rzuca na oliwkowozielony kabriolet. Szofer Lojka błyskawicznie dodaje gazu. Dzięki jego przytomności bomba nie wpada do wnętrza auta, lecz na opuszczony dach kabrioletu. Zimnej krwi i refleksu nie traci też arcyksiążę. Obejmuję żonę i lekko przygina do dołu. Bomba spada z dachu i eksploduje pod tylnym kołem kolejnego samochodu.

Na chodniku leży i krzyczy co najmniej 20 rannych gapiów. Ale nikt nie zginął.

Arcyksiążę, znany z zimnej krwi, dysponuje: „To był jakiś szaleniec. Panowie, kontynuujemy nasz program".

Następny punkt tego programu to uroczyste powitanie w ratuszu. Na schodach stoją dwa szeregi radnych. W pierwszym rzędzie są muzułmanie w fezach i tureckich strojach, w drugim chrześcijanie

we frakach, z cylindrami. Burmistrz Curczić zaczyna przemowę. Z nerwów jąka się. Arcyksiążę przerywa mu w pół słowa: „Panie burmistrzu, co mi po pańskich przemówieniach? Przybywam do Sarajewa z przyjacielską wizytą, a tu we mnie rzucają granatami!". Księżna mityguje męża, szepcąc mu coś do ucha. Arcyksiążę po chwili łaskawie pozwala burmistrzowi dokończyć mowę. Ze swoją odpowiedzią Franciszek Ferdynand ma kłopot – tekst przemowy jest pochlapany krwią rannych oficerów.

Po uroczystości arcyksiążę pyta gen. Potiorka, czy będzie jeszcze jakiś zamach na niego. Potiorek odpowiada: „Proszę jechać spokojnie. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność".

Arcyksiążę przed ustalonym w planie przybyciem do muzeum chce odwiedzić w szpitalu wojskowym rannego ppłk. von Merizziego.

O 10.45 kolumna pięciu samochodów rusza spod ratusza. Kabriolet następcy tronu znów jedzie jako trzeci. Na rogu Wybrzeża Appela i ul. Franciszka Józefa pierwszy samochód, w którym jedzie szef ochrony, skręca w stronę muzeum, a nie do szpitala. Za nim jedzie drugi samochód. Szofer Lojka karnie skręca kabrioletem za nimi, ale gen. Potiorek krzyczy: „Stój! Nie tędy! Mamy jechać prosto!". Zdezorientowany Lojka hamuje i staje na rogu, przed sklepem Schillera z winami. Niewysoki młodzieniec z wąsikiem, w ciemnym garniturze, wyciąga z kieszeni pistolet. To 17-letni serbski gimnazjalista Gavrilo Princip, wspólnik Nedeljko Czabrinovicia, który przed niespełna godziną rzucił bombę.

Princip mierzy do arcyksięcia, zamyka oczy i dwa razy naciska spust browninga. Księżna krzyczy: „Co się stało!?", i nagle pada na podłogę. Jej głowa opiera się na kolanach męża. Arcyksiążę zaklina ją: „Zosiu, Zosiu, nie umieraj! Żyj dla moich dzieci!". Nagle i jego głowa zaczyna opadać. Lojka naciska gaz do deski i kabriolet pędzi

do rezydencji namiestnika. To błąd. Rezydencja jest daleko, rozpędzone auto podskakuje na kocich łbach. Oboje ranni bardzo krwawią.

Gavrilo Princip leży na bruku. Tajniacy i rozszaleli gapie biją go, kopią. Princip wkłada do ust kapsułkę z trucizną, ale ta nie działa. Chce strzelić sobie w skroń, ale tajniak w ostatniej chwili wyrywa mu browninga. Policjanci wloką go do ambulansu, który rusza do aresztu. Siedzi tam już ujęty wcześniej Czabrinović.

Żołnierze wnoszą bezwładnego arcyksięcia i jego żonę do rezydencji namiestnika. Księżna umiera niemal natychmiast. Jest 11.30. Lekarz podwija rękawy munduru arcyksięcia, sposobiąc się do zastrzyków. Nadaremnie. Lewa ręka arcyksięcia z wytatuowanym kolorowym chińskim smokiem opada bezwładnie.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand Habsburg z żoną Zofią na chwilę przed zamachem

29 czerwca 1936 ▪ poniedziałek

Generał zmyka przed ludem

We wsi Nowosielce w powiecie przeworskim tuż po północy ruch taki jak rankiem w dniu jarmarku. Szosą z Przeworska maszerują na przemian oddziały wojskowe i zwarte kolumny odświętnie odzianych chłopów – większość pieszo, część na furmankach, na rowerach, konno. Jest już dobrze po północy, gdy sołtys Nowosielec Karol Zmora poleca rozstawić chłopską straż porządkową. Pięć tysięcy chłopów z zielonymi opaskami i znaczkami staje w ciemnościach gigantycznym szpalerem po obu stronach gościńca z Przeworska do Nowosielec. Nad ranem porządkowi meldują sołtysowi Zmorze, że przybyło już ponad 50 tys. chłopów, w tym kilka tysięcy konno. W sadach wzdłuż gościńca obozują jeszcze tysiące chłopów i ich rodzin, które przybyły wczoraj z daleka.

Polscy chłopi przybyli do Nowosielec na manifestację w rocznicę wyczynu wójta Nowosielec Michała Pyrza, który od 9 do 11 czerwca 1624 roku skutecznie dowodził obroną wsi i kościoła przed tatarską hordą twórcy chanatu nogajskiego bejlerbeja Kantymira Murzy. Dla upamiętnienia tamtej chłopskiej wiktorii syn nowosieleckiego nauczyciela Tadeusz Opioła zorganizował usypanie kopca Michała Pyrza. Mieszkańcy Nowosielec i okolicznych wsi zwieźli nań ponad 2 tys. wozów ziemi. Dziś kopiec będzie uroczyście poświęcony.

Chłopskie święto ma zaszczycić swą obecnością, połączoną z wielką wojskową paradą, generalny inspektor sił zbrojnych gen. Edward Śmigły-Rydz. Skutecznie walczący o poszerzenie zakresu swej władzy wewnątrz obozu sanacyjnego Śmigły-Rydz, za radą swego głównego doradcy politycznego posła Wojciecha

Stpiczyńskiego, postanowił wykorzystać ludową manifestację w Nowosielcach do przeciągnięcia chłopów na swą stronę.

To posunięcie efektowne, ale amatorskie. Chłopi są wściekli za represje władzy wobec czołowych działaczy ludowych, zaś ani Stpiczyński, ani sam Śmigły-Rydz nie poczynili przed wiecem żadnych wstępnych uzgodnień politycznych z ludowcami.

5 km od Nowosielec, we wsi Grzęska, także w ciemnościach nocy, zbiera się ponad 150 tys. uczestników politycznego wiecu zorganizowanego przez działaczy SL. Rankiem na wysoką trybunę zbitą z bali i desek wspinają się jeden z głównych organizatorów dzisiejszej manifestacji, prezes Stronnictwa Ludowego w Małopolsce i na Śląsku Bruno Gruszka, prof. Stanisław Kot i Eugeniusz Bielenin z Zarządu Okręgowego SL, były kapelan II Brygady Legionów, działacz ruchu ludowego ks. płk Józef Panaś oraz kilku działaczy powiatowych. Ks. Panaś niesie pod pachą urnę z ziemią z pobojowiska spod Bukaczowiec, gdzie w roku 1624 Stanisław Koniecpolski w ciężkiej bitwie rozbił liczniejsze wojska Kantymira Murzy. Z wysokości trybuny działacze z dumą spoglądają na morze głów ich zwolenników. Ale ci są niecierpliwi. Krzyczą: „Zaczynać! Zaczynać!".

Takiego chłopskiego wiecu jeszcze w odrodzonej Polsce nie było. Przemawia Bruno Gruszka:

„Przybyliście tu, aby upomnieć się o prawa chłopskie, jakie wam się należą! [...] Zeszliśmy się z okazji oddania hołdu chłopu wójtowi, hołdu krwi polskiej, przelanej za polską sprawę, przelanej z własnej woli, gdy chłop w Polsce nie miał żadnych praw. Krwi przelanej na równi ze szlachtą, posiadającą wszystko w swoim ręku, która następnie kraj zaprzepaściła. Jeżeliśmy te śluby z polską ziemią, z państwem już wtedy zawarli, to my, w chwili gdy generalny

inspektor armii Rydz-Śmigły wzywa do apelu całe społeczeństwo dla obrony państwa, byliśmy na to od dawna gotowi!".

Dalej Gruszka zapowiada, że chłop nie będzie szczędził krwi dla ojczyzny, ale pod jednym warunkiem: „Muszą nam być przywrócone wszystkie prawa, któreśmy utracili w ostatnim dziesiątku lat!". Przemówienie kwituje entuzjastyczny krzyk ogromnych tłumów.

Teraz pora na uchwalenie rezolucji. Zaczyna się ona od stwierdzenia, iż „zebrani na polach Grzęski w dniu 29 czerwca 1936 roku w liczbie 150 tysięcy członkowie Stronnictwa Ludowego stwierdzają, że nie opuszczą ani nie wyprą się emigrantów politycznych: Wincentego Witosa, Władysława Kiernika i Kazimierza Bagińskiego, którzy cierpią nie za swoje czyny osobiste, lecz za działalność stronnictw, które współdziałały pod hasłem »Obrony prawa i wolności«".

Dalej chłopi żądają demokratycznej konstytucji, zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu, rozwiązania, jako kompletnie skompromitowanych, obu izb parlamentu, a także wszystkich ciał samorządowych i przeprowadzenia niezwłocznie nowych wyborów, przytemperowania samowoli administracji i odpolitycznienia wymiaru sprawiedliwości.

To prawdziwy policzek dla rządzącego obozu sanacji. Las rąk i głuchy, jednostajny krzyk poparcia nie pozostawiają wątpliwości co do nastrojów polskich chłopów.

Gdy w Grzęsce zaczyna się gigantyczny wiec, w Nowosielcach chłopi kończą wznosić przed wjazdem do wsi bramę powitalną. Drewnianą konstrukcję oplatają zielenią, ozdabiają legionowymi orłami, obwieszają biało-czerwonymi flagami. Bramę wieńczy napis „Witaj nam Naczelny Wodzu". Po jednej stronie bramy stoi chłopska banderia konna, po drugiej – szwadron strzelców konnych.

Generał Edward Śmigły-Rydz wysiada ze służbowej limuzyny przed bramą. Sprawia świetne wrażenie: szczupły, elegancki, pełen energii. Towarzyszą mu dowódca legionowej kawalerii, dziś lwowski wojewoda Władysław Belina-Prażmowski i gen. Wacław Wieczorkiewicz. Wokół nieogarnione morze głów. Gościa wita sołtys Zmora i wręcza na tacy bochen czarnego chleba oraz sól. Śmigły-Rydz całuje bochen, rozgląda się. Nie bardzo wie, co ma dalej robić. Podbiega adiutant, odbiera tacę.

Generał uśmiecha się: „Ten chleb będziemy jedli w Warszawie".

Wójt zaprasza Śmigłego-Rydza do chłopskiego wozu, umajonego świeżymi gałązkami, wymoszczonego sianem. Generalny inspektor sadowi się w sianie, ramię w ramię z najstarszym mieszkańcem gminy 92-letnim Adamem Wąsaczem. Miejscowy woźnica zacina czwórkę wybranych we wsi siwych koni i wóz pomyka jarem, w otoczeniu chłopskiej banderii konnej, w stronę wzniesionego na błoniach ołtarza polowego. Po drodze mija ogromny, 150-tysięczny pochód, zmierzający z wiecu w Grzęsce na nowosieleckie błonia. Idącym w pełnym słońcu chłopom towarzyszy ponad 3 tys. motocyklistów. Wrażenie – imponujące.

Gdy umajony wóz z gen. Śmigłym-Rydzem mija maszerujących chłopów, tylko z rzadka zrywają się okrzyki na cześć generalnego inspektora sił zbrojnych.

O 9.30 pod ołtarz dociera biskup przemyski ks. Barda. Pod ołtarzem gen. Śmigły-Rydz odbiera raport od dowódców jednostek wojskowych. Potem podchodzi doń Bruno Gruszka.

„Witam pana, panie generale, na terenie mojego okręgu!" – mówi hardo.

O jedenastej, po przeglądzie oddziałów wojskowych, rozpoczyna się msza celebrowana przez bpa Bardę. Śmigły-Rydz siedzi na krześle w pierwszym rzędzie, ale częściej niż na ozdobiony prostym

brzozowym żołnierskim krzyżem ołtarz i kapłana zerka na nieogarnione tłumy na błoniach, na wielokilometrową, poczwórną kolumnę chłopstwa ciągle idącego z Grząski.

Po mszy Śmigły-Rydz odjeżdża na chłopskim wozie w stronę sporego, 9-metrowej wysokości kopca ku czci bohaterskiego Michała Pyrza usypanego przez 14 tys. ochotników w pobliżu miejscowego kościoła. Tłum przerywa kordon żandarmerii, chłopi wygrażają generalnemu inspektorowi sił zbrojnych pięściami, krzyczą: „Niech Witos wróci! Żądamy amnestii dla więźniów brzeskich!". Śmigły-Rydz zachowuje kamienną twarz, ale jest wyraźnie poirytowany. Jadący w limuzynach za jego wozem generałowie i pułkownicy wołają do rozgorączkowanych chłopów: „No, dajcie spokój, dajcie spokój, wróci!".

Bp Barda z wysiłkiem wspina się na kopiec, kropi głaz pamiątkowy na jego szczycie. Teraz gen. Śmigły-Rydz w asyście dwóch oficerów wchodzi na szczyt i składa wieniec z szarfami o barwach wstążki Krzyża Virtuti Militari. Generalny inspektor armii bierze od ks. Panasia urnę z ziemią z pola zwycięskiej bitwy Koniecpolskiego z Tatarami Kantymira i rozsypuje ją na szczycie kopca. Armaty oddają salut 21 salw. Nie milknie jeszcze ostatnia z nich, gdy Śmigły-Rydz pojawia się w asyście gen. Beliny-Prażmowskiego i bpa Bardy na polowej trybunie obok kopca.

Grają orkiestry wojskowe, rusza parada oddziałów wojska. Nad kopcem przelatują eskadry myśliwców i bombowców. Do parady szykują się chłopi. Prof. Kot uwija się pośród pocztów sztandarowych, surowo napomina, jakie okrzyki wolno wznosić.

Idą. I rzeczywiście, pierwsze grupy wołają: „Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska! Niech żyje Armia Polska!". Ale im dłużej chłopi maszerują, tym więcej okrzyków: „Niech żyje Witos! Niech żyje rząd ludowy!".

Jakby tego było mało, nagle pochód zatrzymuje się i na trybunę wchodzi delegacja ruchu ludowego, z Bruno Gruszką na czele, i wręcza uchwaloną rano w Grząsce rezolucję. Gen. Śmigły-Rydz z kamienną twarzą przyjmuje jej tekst i odpowiada: „Dobrze, dziękuję". Po czym zaprasza na trybunę posła Gruszkę.

Pochód rusza. Okrzyków na cześć Witosa, z żądaniem amnestii dla więźniów brzeskich i nowych wyborów, jest coraz więcej. W końcu Śmigły-Rydz nie wytrzymuje tego, bez słowa schodzi z trybuny wsiada do samochodu i odjeżdża.

Na trybunie Bruno Gruszka do późnego popołudnia, niczym zwycięski wódz, odbiera chłopską defiladę.

30 czerwca 1934 ▪ sobota

Po prostu zastrzel ich!

Mija północ, gdy w apartamencie kanclerza Rzeszy Adolfa Hitlera, w jego ulubionym hotelu Rheinhotel Dreesen w kurorcie Bad Godesberg koło Bonn, dzwoni telefon. To melduje się SS-Gruppenführer Sepp Dietrich, twórca i dowódca Leibstandarte „Adolf Hitler", doborowego pułku ochrony osobistej Führera, któremu Hitler kilka godzin wcześniej rozkazał udać się do Monachium. Teraz Hitler poleca Dietrichowi zabrać rankiem dwie kompanie Leibstandarte i przed jedenastą zjawić się na ich czele w uzdrowisku Bad Wiessee.

W tamtejszych hotelach bawi elita Sturmabteilungen, wielkiej organizacji paramilitarnej, dzięki której Hitler zdobył władzę. Założona w 1920 roku SA miała chronić zebrania NSDAP, ale z czasem rozrosła się do ponad 3 mln członków. SA-mani rozbijali

wiece komunistów i socjalistów w czasie walki wyborczej do parlamentu, w zeszłym roku dokonywali masowych pogromów ludności żydowskiej. Formalnie naczelnym dowódcą SA jest Hitler, ale w praktyce rządzą nią szef sztabu Ernst Röhm i jego kamaryla. SA zawsze była w osobliwy sposób lewicowa – bicie i mordowanie przeciwników politycznych oraz Żydów setki tysięcy bojowców zgrabnie łączyły z niechęcią do wielkiego kapitału, arystokracji i marzeniami o „drugiej rewolucji" – zaprowadzeniu socjalistycznego ładu w nazistowskich Niemczech.

Ostatnio dołączyły do tego żądania kierownictwa SA, by to ich organizacja, a nie dużo mniej liczne regularne siły zbrojne, odpowiadała za obronę kraju.

Hitler, który szturmowcom zawdzięcza bardzo wiele, przed kilkoma dniami postanowił rozprawić się z niewygodnym, coraz bardziej niezależnym od niego kierownictwem SA. W jego planach podboju świata ma dokonać regularna niemiecka armia. Niedawno Führer wysłał całą SA na miesięczny urlop. Nic niepodejrzewające dowództwo szturmowców wyjechało na wypoczynek do Bad Wiessee.

O drugiej w nocy Hitler w asyście ministra propagandy Josepha Goebbelsa, prezydenta policji w Hanowerze, zaufanego Obergruppenführera SA Viktora Lutzego, szefa prasowego NSDAP dr. Otto Dietricha oraz trzech adiutantów jedzie na lotnisko, na którym czekają już dwa gotowe do startu pasażerskie junkersy Ju 52. Oba samoloty z Führerem i jego świtą lądują w Monachium o brzasku. Przed samolotem witają Hitlera gauleiter Górnej Bawarii Adolf Wagner oraz dwaj oficerowie Reichswehry. Informują oni Hitlera, że wczoraj wieczorem przez monachijskie Oberwiesenfeld przemaszerował 3-tysięczny pochód SA-manów wznoszących okrzyki: „Führer jest przeciwko nam, Reichswehra jest przeciwko

nam, SA-mani, wychodźcie na ulice!". Sygnał do protestów dał dowódca śląskiej SA Heines, który przyleciał wczoraj do Monachium z wiadomościami, że Reichswehra wespół z SS postawione są w stan gotowości i szykują fizyczną rozprawę ze szturmowcami. Gauleiter Wagner zdołał jednak przekonać szefa bawarskiej SA Schneidhubera, że to nieprawda, i ten odwołał demonstracje.

Hitler trzęsie się z wściekłości, podejrzewa, że za wieczornymi demonstracjami SA stoi Röhm. Rozkazuje, by ruszać do miasta, do bawarskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Idący do pracy chłopi, a na przedmieściach Monachium – robotnicy, ze zdumieniem rozpoznają siedzącego w otwartej limuzynie kanclerza Hitlera. W gmachu ministerstwa przed obliczem Führera zjawiają się szefowie bawarskiej SA – Obergruppenführer Schneidhuber i gruppenführer Schmid. Hitler zrywa im z ramion dystynkcje i wrzeszczy: „Jesteście aresztowani i zostaniecie rozstrzelani!".

Esesmani z Leibstandarte odwożą obu sparaliżowanych ze strachu generałów SA do monachijskiego więzienia Stadelheim.

Dwóch kompanii Leibstandarte, które SS-Gruppenführer Dietrich miał przyprowadzić do Bad Wiessee, jeszcze tam nie ma, ale Hitler, który wręcz trzęsie się z wściekłości, daje rozkaz natychmiastowego wyjazdu, jedynie w asyście kilku esesmanów osobistej ochrony. Trzy limuzyny podjeżdżają pod hotel Hanselbauer, w którym zatrzymali się dowódcy SA. Wszyscy śpią po ostrej pijatyce, która przeciągnęła się do późnej nocy. W jej trakcie nadjechał z Monachium szef śląskiej SA Heines z ostrzeżeniem, że Hitler szykuje rozprawę z ruchem szturmowców, ale zlekceważono jego rewelacje. W końcu uspokojony Heines sam przyprowadził do sypialni Röhma jasnowłosego, przystojnego szturmowca SA.

Hitler z pistoletem w ręku delikatnie puka do pokoju Röhma.

– Wiadomość z Monachium – mówi zmienionym głosem.

– Proszę wejść, drzwi są otwarte – woła Röhm, który już oddalił młodego kochanka i leży w pościeli sam.

Hitler wpada do środka, chwyta Röhma za gardło i wrzeszczy:

– Jesteś aresztowany, ty świnio!

W sąsiednim pokoju Hitler zastaje Heinesa z nagim, młodym szturmowcem w łóżku. Rozespani, skacowani dygnitarze SA nie stawiają oporu i jeden po drugim lądują w hotelowej piwnicy.

W pewnej chwili jednak przed hotelem zatrzymuje się ciężarówka wypełniona uzbrojonymi SA-manami, którzy przybyli na zapowiedzianą wcześniej konferencję z Hitlerem. Führer nie traci zimnej krwi. Nie wpuszcza ich do hotelu, lecz wychodzi przed drzwi wejściowe. Ogłasza, że przejął bieżące dowództwo SA, i poleca im jechać do swych jednostek i oczekiwać na rozkazy. Kilkakrotnie silniejsi od obstawy Führera przybysze potulnie wsiadają na pakę ciężarówki i odjeżdżają.

Dwóch kompanii Leibstandarte pod dowództwem Seppa Dietricha ciągle nie ma. Nadjeżdża za to wezwany z Monachium autobus i aresztowani oficerowie SA odjeżdżają pod eskortą paru esesmanów do więzienia Stadelheim. Hitler niemal sam pochwycił dowództwo SA.

Prosto z Bad Wiessee Hitler z towarzyszami i kilkuosobową ochroną jedzie do Monachium. W południe przemawia w Brunatnym Domu, monachijskiej siedzibie NSDAP, do wezwanych naprędce bawarskich liderów nazistowskich i dowódców SA. Jest niebywale podniecony, zachłystuje się krzykiem. Oskarża Röhma i innych przywódców SA o zdradę, szpiegostwo na rzecz Francji i spisek. Zapowiada, że zostaną rozstrzelani.

Wszyscy słuchacze czują, że to chwila decydująca w ich karierach, a dla członków SA być może nawet chwila decydująca o ich życiu. Na wyprzódki potępiają swoich towarzyszy, oskarżanych przez Führera o zdradę. Zastępca Hitlera w NSDAP Rudolf Hess prosi z mównicy, by mógł osobiście zastrzelić Röhma.

Ale w sprawie Röhma, swego byłego wiernego towarzysza walki z początków ruchu nazistowskiego, Hitler ciągle się waha.

Po spotkaniu z działaczami nazistowskimi Führer zaszywa się w swoim gabinecie. Przegląda listy uwięzionych SA-manów i przy sześciu nazwiskach stawia znaczki. W więzieniu Stadelheim ludzie Seppa Dietricha natychmiast po telefonie z Brunatnego Domu wyprowadzają tych sześciu i rozstrzeliwują.

Gdy tylko ekipa Hitlera wróciła trzema limuzynami z Bad Wiessee do Monachium, towarzyszący Führerowi Goebbels chwycił za słuchawkę, zadzwonił do Berlina, do Hermanna Göringa i przekazał mu hasło „Koliber". W całych Niemczech ruszają aresztowania i pospieszne egzekucje elit SA, przy okazji zaś w ogóle przeciwników i oponentów nazistowskiego reżymu. W pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Göring urzęduje w swoim gabinecie wespół z Heinrichem Himmlerem. W wielkim holu przed gabinetem stoją grupki oficerów policji i SS – niektórzy są w paradnych mundurach i hełmach bojowych – w oczekiwaniu na rozkazy aresztowania i egzekucji. Między nimi krążą służący w ozdobnych liberiach, z tacami z wykwintnymi kanapkami. Co chwilę przez hol przebiegają umundurowani kurierzy z listami osób do rozstrzelania. Uśmiechnięty, rozradowany wręcz Göring w śnieżnobiałym, paradnym mundurze, szaroniebieskich spodniach z lampasami i śnieżnobiałych oficerkach – stroju, który sam dla siebie zaprojektował – przegląda i zatwierdza listy proskrypcyjne. Co rusz w gabinecie Göringa dzwonią telefony. To oficerowie SS

i Gestapo z prowincjonalnych miast chcą zapytać, czy aby kogoś z ułożonych lokalnie list do rozstrzelania nie powinni ułaskawić.

Z gabinetu Göringa wybiega w hełmie bojowym major policji Jacobi. Jest już w holu, gdy Göring woła za nim:

– Zastrzel ich. Weź całą kompanię i zastrzel ich! Zastrzel! Po prostu zastrzel ich! Zastrzel!

Grupy likwidacyjne SS nie patyczkują się z ofiarami. Gen. Kurta von Schleichera esesmani zabijają kilkoma strzałami za biurkiem w jego mieszkaniu. Gdy żona generała wbiega do gabinetu, esesmani zabijają także i ją. Ericha Klausenera, szefa organizacji Akcja Katolicka, a przed przejęciem władzy przez Hitlera – szefa pruskiej policji, nazistowski szwadron śmierci zabija w jego biurze. Gregora Strassera, przywódcę lewicowego skrzydła SA, pięciu gestapowców aresztuje w domu podczas obiadu. W kwaterze głównej Gestapo, po przesłuchaniu, Strasser ląduje w celi nr 16. Kładzie się na łóżku. O 16.30 świeżo mianowany szef Gestapo w Berlinie Reinhard Heydrich strzela przez judasza w drzwiach z pistoletu do leżącego Strassera. Rannego pozostawia, by się wykrwawił na śmierć. Esesmani zabijają także konserwatywnego polityka gen. Kurta von Schleichera, ostatniego kanclerza Republiki Weimarskiej, który w swoim czasie usiłował doprowadzić do rozłamu w ruchu nazistowskim.

Przez cały dzień SS i Gestapo przeprowadzają egzekucje w więzieniach i siedzibach Gestapo. Wiele z ponad 400 ofiar, w tym paru znanych konserwatywnych polityków, wywożonych jest za miasto i tam zabijanych. Zwłoki znajdowane będą później w przydrożnych rowach.

Niektórzy giną przez pomyłkę. Esesmani zabijają krytyka muzycznego Wilhelma Eduarda Schmida, którego mylą z dr. Ludwigiem Schmittem, sympatykiem Ottona Strassera.

Kończy się doba krwawej rozprawy z SA i prawicową opozycją, którą sami hitlerowcy nazywają Nocą Długich Noży. O dziesiątej wieczorem na berlińskim lotnisku Tempelhof ląduje junkers z Hitlerem. Witają go Göring, Himmler i warta honorowa SS. Już na lotnisku Goering i Himmler urabiają Führera, by dał zgodę na egzekucję Röhma. Hitler ciągle waha się, ale los jego dawnego towarzysza walki jest już przesądzony.

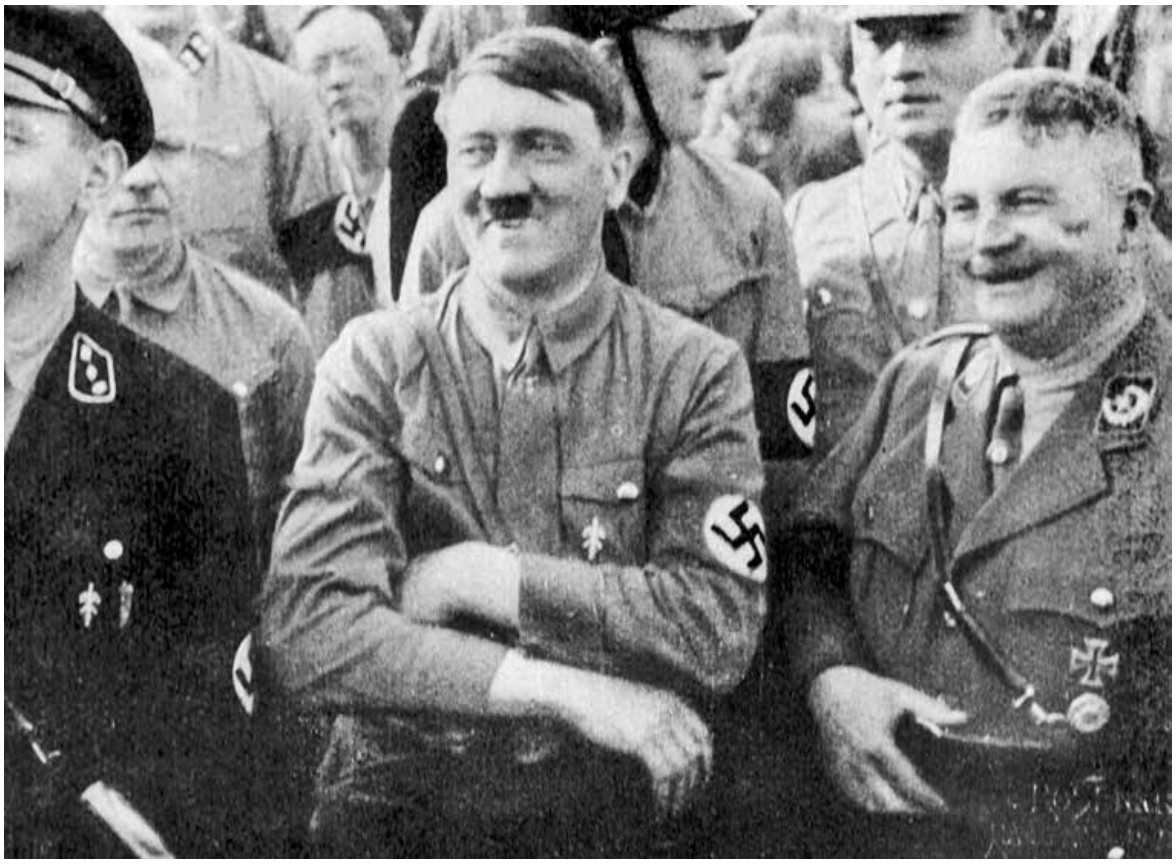

Adolf Hitler i Ernst Röhm

1 lipca 1916 ▪ sobota

Mecz wspaniały, choć przegrany

Wreszcie w miarę spokojna noc. Po sześciu dobach nieustannego huraganowego ostrzału niemieckich pozycji angielskie i francuskie działa prowadzą tej nocy tylko ogień nękający. Wreszcie można usłyszeć, co mówią koledzy w okopie, można nawet zdrzemnąć się.

Ale to tylko cisza przed prawdziwą burzą. O 7.00 1537 angielskich dział, w tym niemal 500 ciężkich, zgromadzonych na wąskim, zaledwie 25-kilometrowym brytyjskim odcinku frontu we Francji, nad Sommą, pomiędzy miejscowościami Maricourt i Serre, wznawia huraganowy ostrzał z niespotykaną siłą. Angielscy artylerzyści przez całą noc ciężko pracowali. W strugach deszczu rozładowywali transporty amunicji i układali pociski w stosy w pobliżu swych dział. Teraz uwijają się jak w ukropie: ładują armaty, ryglują zamki, odpalają, ładują, ryglują, odpalają... Prędzej, prędzej, jeszcze prędzej. O 8.00 ostrzał zamienia się w artyleryjską nawałnicę. Tak wiele dział strzela tak szybko, że nie słychać już ani pojedynczych wystrzałów, ani nawet eksplozji, tylko potworny, apokaliptyczny grzmot. Nad liniami niemieckich okopów wznosi się rozświetlany wybuchami gigantyczny wał dymu i kurzu, który zamienia dzień w noc. Nigdy dotąd w dziejach wojen ostrzał artylerii nie był równie intensywny.

Tak właśnie wyobrażał sobie wstęp do ofensywy nad Sommą jej pomysłodawca, francuski generał Joseph Joffre. Alianckie sztaby uważają ją za najważniejszą operację w trzecim roku wojny światowej. Co prawda, na tym obszarze nie ma żadnych celów strategicznych, ale prawdziwe cele tej ofensywy leżą daleko stąd. Przełamanie niemieckiego frontu tu, nad Sommą, ma odciążyć francuską armię, od lutego tego roku wykrwawiającą się w straszliwych walkach pod Verdun. Powinno ono także zmusić Niemców do wycofania znacznych sił z frontu wschodniego i do rzuceniach ich nad Sommę. W ten sposób alianci pomogliby rosyjskiemu sojusznikowi. Rozpoczęta bowiem przed miesiącem wielka ofensywa carskiego generała Brusiłowa po początkowych, błyskotliwych sukcesach została zatrzymana przez armie niemiecką i austro-węgierską.

Pół roku temu gen. Joffre miał wielkie plany. Niemiecką obronę zamierzał przełamać na froncie o długości ponad 100 km ogromnymi siłami dwóch armii francuskich i jednej brytyjskiej. Ale francuskie rezerwy nieustannie pożera bitwa pod Verdun. Z przeznaczonych do szturmu nad Sommą 40 dywizji piechoty w ciągu kilku miesięcy 24 zostały zmielone pod Verdun. Nad Sommę dotarło tylko 5 dywizji francuskich piechurów w charakterystycznych niebieskawych płaszczach, z połami zapinanymi wysoko na guziki i w nie mniej charakterystycznych hełmach z niewielkim daszkiem. Cały ciężar francuskiej ofensywy mają udźwignąć Brytyjczycy.

A jest to ciężar niemały. Nad Sommą nie było poważniejszych walk od jesieni 1914 roku. Przez ten czas Niemcy zamienili ten odcinek frontu w prawdziwą twierdzę. Ich obrona to dwa systemy ciągłych pozycji, składających się z rozbudowanych na głębokość kilometra głębokich transzei i bunkrów. Między transzejami ciągną

się już nie linie, ale szerokie na kilkadziesiąt metrów pola drutów kolczastych. Każda kępka drzew, krzewów, każda wieś i pojedyncza farma zamienione zostały w umocnione punkty oporu. Ale to jeszcze nic. Niemcy zajmują kredowe wzgórza, z których mają doskonały wgląd w pozycje aliantów. Przez półtora roku w twardej kredowej glebie tych wzgórz wyryli na głębokości ok. 10 m gigantyczną sieć podziemnych korytarzy, galerii i rozległych komór. Mieszczą się tam bunkry dla piechoty, kuchnie polowe, pralnie, szpitale, ogromne magazyny zapasów i amunicji. Podziemne miasteczko oświetlane jest lampami elektrycznymi zasilanymi przez podziemne elektrownie dieslowskie – tymczasem oświetlenie elektryczne w europejskich miastach to ciągle jeszcze rzadkość. Nawet najcięższe francuskie działa kolejowe kalibru 40 cm, wystrzeliwujące ważące tonę pociski, nie są w stanie zagrozić niemieckim podziemiom.

Głównodowodzący brytyjskimi siłami we Francji gen. *sir* Douglas Haig z grubsza zdaje sobie sprawę z trudności, jakie nad Sommą czekają jego żołnierzy. Wcześniej proponował przeprowadzenie ofensywy raczej we Flandrii, ale gen. Joffre zakrzyczał go. Gen. Haig, który pozostaje pod wpływem swego charyzmatycznego francuskiego kolegi, zgodził się na Sommę.

Ale gen. Haig ma też swoje atuty. W styczniu brytyjski rząd wprowadził obowiązkowy pobór. Do armii napłynęły setki tysięcy rekrutów, także z Kanady, Nowej Zelandii, Afryki Południowej, Jamajki, Indii. Brytyjczycy w największej tajemnicy pośpiesznie produkują kolejne egzemplarze nowej, cudownej broni – tanku. Opancerzony pojazd na gąsienicach, uzbrojony w armaty i karabiny maszynowe, niewrażliwy na ogień lżejszej artylerii, ma zmiażdżyć niemiecki opór.

Cały kłopot gen. Haiga w tym, że brakuje mu czasu. Tanki napływają powoli, bo ich produkcja jest bardzo skomplikowana. Rekruci nie mają pojęcia o wojnie: strzelają Panu Bogu w okno, jak na majówce wychodzą z okopów, by popatrzyć na niemieckie pozycje, nie mają zielonego pojęcia o kryciu się w terenie podczas ataku. Dlatego gen. Haig poprosił gen. Joffre o rozpoczęcie ofensywy 15 sierpnia. „W żadnym wypadku! Pierwszego lipca! Tylko pierwszego lipca!" – histerycznie krzyczał w odpowiedzi Joffre.

Haig znów ustąpił.

6 dni temu zaczęło się artyleryjskie przygotowanie aliantów. W parę dób wystrzelono 1,5 mln pocisków – tyle, ile brytyjski przemysł zdołał wyprodukować przez pierwszych 11 miesięcy wojny. Po kilku dobach spędzonych pośród morza wybuchów niemieccy piechurzy zaczęli tracić słuch. Na domiar złego lunęły ulewne deszcze. Gdzieś na dnie zalanego błotnistą breją okopu, w opadających po eksplozjach grudach ziemi, szczątkach drewnianych umocnień, resztkach ciał zabitych czaił się wraz z kolegami i psem łącznikowym gefrajter Adolf Hitler.

Dzisiejsza poranna nawałnica pocisków nie ma sobie równej. Feerii wybuchów pośród niemieckich pozycji i gigantycznej ścianie dymu przyglądają się znad swoich okopów dziesiątki tysięcy brytyjskich oficerów i żołnierzy. Są wśród nich poeci Edmund Blunden, Robert Graves, John Masfield i obiecujący zawodowi wojskowi Bernard Law Montgomery i Archibald Wavell.

Od wielu tygodni najlepsi francuscy i brytyjscy górnicy po cichutku ryli w kredzie 300-metrowe korytarze – aż pod niemieckie podziemne miasteczka na wzgórzach. Komory na końcu korytarzy wypełnili tonami materiałów wybuchowych. Teraz odpalają te

gigantyczne podziemne miny. Kratery po ich eksplozjach mają ponad 50 m średnicy i blisko 20 m głębokości.

Pośród huku dział rozlegają się gwizdki angielskich oficerów. Z zalanych wodą okopów gramolą się brytyjscy piechurzy. Każdy dźwiga tornister – a w nim 220 naboi i suchy prowiant, karabin, dwa granaty i jakiś dodatkowy sprzęt: kilof, łopatę, worek z piaskiem, klatkę z gołębiami pocztowymi. W sumie co najmniej 50 kg. 120 tys. żołnierzy idzie w gęstych falach, ramię przy ramieniu. Na ich czele maszerują młodzi, także nieostrzelani oficerowie. Trzymają stary dobry brytyjski fason. Wielu niesie nad głowami parasolki – deszcz co prawda przestał w tym momencie padać, ale wyszło palące słońce. Inni wymachują laseczkami, kopią przed sobą futbolowe piłki. Widząc to, żołnierze nabierają otuchy i dziarsko maszerują pod lufy niemieckich karabinów maszynowych.

Tydzień artyleryjskiej nawały nie zdołał zniszczyć ich stanowisk. Udało się przetrwać także niemieckiej artylerii. Do południa pod ogniem pada 20 tys. zabitych Brytyjczyków i 40 tys. rannych – co drugi z atakujących. Zdobycze terytorialne nie przekraczają kilometra.

Wieczorem gen. Rees, dowódca 94. Brygady Piechoty, zapisuje w raporcie:

„Szli szereg za szeregiem, ubrani jak na paradę, i ani jeden żołnierz nie próbował się skryć przed ciężkim ogniem artylerii i karabinów maszynowych, który kładł ich trupem. [...] Raporty, jakie otrzymywałem od tych nielicznych, którzy przeżyli to wspaniałe natarcie, potwierdzają to, co widziałem. Nikt z naszych żołnierzy nie dotarł do linii frontu".

2 lipca 1961 ▪ niedziela

Tylko strzelba

Jest wczesny niedzielny ranek. W domu na stoku wzniesienia nad rzeką Wood River w miasteczku Ketchum w stanie Idaho, w pobliżu kurortu Sun Valley, panuje cisza jak makiem zasiał. W pokoju na parterze, w tylnej części domu, budzi się Ernest Hemingway. Zawsze budzi się wcześnie rano. Obok jego łóżka przez całą noc paliła się mała lampka nocna, ale teraz jej światło niknie w promieniach słońca. Dzień wstaje bezchmurny i gorący. Jego żona Mary śpi jeszcze w sypialni na piętrze, od frontu domu. Goszczący w domu Hemingwayów przyjaciel gospodarza George Brown śpi w małym domku gościnnym w ogrodzie.

Hemingway spał w niebieskiej piżamie. Teraz wkłada na nią włoski czerwony szlafrok. Razem z żoną Mary nazywają go „czerwoną szatą cesarza". Boso schodzi do kuchni. Na parapecie okna nad zlewem znajduje klucz do sutereny. Zostawiła go tu Mary. Hemingway schodzi do sutereny. Jest 7.00.

Pisarz wybiera spośród stojących tu strzelb angielską dwururkę, którą kupił w firmie Abercrombie and Fitch. To jego ulubiona broń, wiele razy strzelał z niej do gołębi. Ze strzelbą w dłoni wraca na górę, do przedpokoju. Z kieszeni wyjmuje dwa naboje, wcześniej ukryte przed żoną. Oba wsuwa do luf. Siada w przedpokoju pod ścianą, przytyka lufę do czoła, tuż nad brwiami. Duży palec od nogi wsuwa w kabłąk otaczający język spustowy.

Parę lat wcześniej, w swoim domu Finca na Kubie, Hemingway w rozmowach z przyjaciółmi mówił o samobójstwie. Opowiedział nawet ze szczegółami, jak będzie wyglądało: usiądzie boso, kolanami obejmie strzelbę Mannlicher 256, przytknie lufę do ust, dużym palcem u nogi naciśnie spust. Taki sposób skończenia ze sobą nazwał harakiri popełnionym przy użyciu strzelby.

Obsesyjna, powracająca myśl o samobójstwie popełnionym za pomocą strzelby towarzyszy Hemingwayowi od młodości. Jako nastolatek napisał opowiadanie *The Judgment of Manitou*, wydane w 1916 roku w roczniku jego szkoły średniej. Schwytany w pułapkę bohater nie czeka, aż zostanie zagryziony przez wilki – woli się sam zastrzelić. Samobójstwo dokonane z użyciem strzelby odpalonej dużym palcem bosej stopy opisał też w jednym z wczesnych opowiadań zebranych w 1924 roku w tomie *In Our Time*. Ten sposób odbierania sobie życia Hemingway miał okazję obserwować w latach 1 wojny światowej, gdy jako nastoletni ochotnik sanitariusz trafił na front włoski. Zwykli żołnierze nie dysponowali poręczniejszą dla samobójczych celów bronią krótką. Kończyli ze sobą, zdejmując z jednej stopy buty, odwijając onuce i strzelając sobie w usta z własnego karabinu.

Samobójcza śmierć czai się w rodzinie pisarza. Przed 30 laty jego ojciec spalił w piwnicy papiery osobiste, żonie Grace powiedział, że czuje się bardzo zmęczony i do obiadu poleży w łóżku, po czym poszedł do sypialni i strzelił sobie w serce z zabytkowego, pochodzącego z czasów wojny secesyjnej rewolweru Long John, który odziedziczył dwa lata wcześniej po własnym ojcu. Stłamszony, upokarzany przez dominującą matkę Ernesta dr Clarence Hemingway bał się, że silne bóle stopy, które zaczęły mu dokuczać, mogą zwiastować gangrenę i konieczność jej amputacji. Wolał śmierć niż bycie człowiekiem niepełnosprawnym, zdanym na łaskę żony.

Ernest zajął się pogrzebem. Wydawało się, że tragiczna śmierć ojca odsunęła odeń fascynację śmiercią samobójczą. Na pogrzebie powiedział, że nigdy by nie odebrał sobie życia. Podczas nabożeństwa żałobnego naraził się na gniew matki, oświadczając jej, że wedle religii katolickiej samobójstwo jest ciężkim grzechem

i wobec tego ojciec na wieczność pozostanie w piekle. Już jednak dwa lata później, w pierwszej napisanej po śmierci ojca książce *Śmierć po południu*, Hemingway wyznał, że bardzo interesuje się samobójstwami.

Jego przyjaciel gen. Charles T. Lanham, w latach 50. nieraz rozmawiał z nim o samobójstwie. W tych pogwarkach generał deklarował, że jeśli już by miał ze sobą skończyć, to po prostu palnąłby sobie w łeb z colta kalibru .45. Hemingway zawsze powtarzał, że strzeliłby w usta z dubeltówki. I zawsze dodawał: „Nigdy tego nie zrobię".

To samo powiedział przed laty swojemu pierworodnemu synowi Johnowi, którego nazywał Bumby, gdy ten po odejściu z wojska popadł w depresję. Po paru drinkach Ernest przyjrzał się uważnie synowi i powiedział: „Nie rób tego – to głupie. Jedno musisz mi obiecać: że nigdy tego nie zrobisz, i ja obiecam ci to samo".

Od tamtego czasu wiele się jednak w życiu Ernesta zmieniło. Zawsze narażał życie i szafował swoim zdrowiem. Z czasem postawa ta stała się w oczach czytelników jego znakiem firmowym. Doznane przez niego rany, oparzenia, złamania kości, ciężkie wstrząsy mózgu, wyjęte z jego ciała odłamki pocisków trudno zliczyć. W dodatku przez znakomitą większość życia pił. I to ostro. Praktycznie w każde popołudnie był na solidnym rauszu. Jego noce zaś niepokojąco często zamieniały się w pijaństwa gruntowne, czasem do utraty kontroli nad sobą. Tak jak w styczniu 1945 roku, gdy Hemingway w pijanym widzie biegał po paryskim hotelu ze zdobycznym niemieckim pistoletem podarowanym mu przez gen. Lanhama i szukał skradających się wrogów. Gdy uznał, że czają się w kominku, chciał strzelać do kominka. Później wrzucił zdjęcie swej przyszłej żony Mary do muszli klozetowej i rozstrzelał je wraz z muszlą.

Z tamtych eskapad nie zostało teraz nic. Zdemolowana pijaństwami wątroba Ernesta odmówiła posłuszeństwa. Jej ciężkie stany zapalne z najwyższym trudem udało się wyleczyć antybiotykami. Latami wystawiana na słońce tropików skóra od pewnego czasu rewanżuje się przewlekłymi zapaleniami i nieestetycznymi zmianami, z którymi lekarze nie potrafią sobie dać rady. Od dawna cierpiał na nadciśnienie, ale dopiero przypadkowe badanie przez lekarza ujawniło, że osiąga ono 250 na 125 i w dodatku ma tendencję do nagłych zmian. Fatalne wysoki jest też jego poziom cholesterolu.

Co najgorsze jednak, Hemingway cierpi na hemochromatozę. To rzadka choroba polegająca na nadmiernym wchłanianiu z pokarmów żelaza i gromadzeniu się go we krwi. Hemochromatoza nie jest śmiertelna, powoduje jednak poważne zaburzenia poziomu elektrolitów we krwi. Pogłębiły one i tak silną skłonność Hemingwaya do depresji. Pisarz nawet nie stara się ukryć, że nie potrafi dać sobie rady z sytuacją, gdy nie jest w stanie pisać. O całkowitej utracie weny twórczej mówił przyjaciołom, płacząc jak dziecko. Nasiliły się jego obsesje – lęk przed inwigilacją przez FBI, obawa, że podatki zrujnują go, że skończą się pieniądze. Nie potrafił nad nimi zapanować. Przed paroma dniami, po wyjściu z kliniki, gdy żona kupiła butelkę wina na przydrożny piknik, długo denerwował się, że zostanie aresztowany przez policję pod zarzutem przewożenia napojów alkoholowych. Poprzedniego wieczoru, podczas kolacji z Mary i George'em Brownem, w każdej grupce biesiadujących w restauracji gości dopatrywał się śledzących go agentów FBI.

Hemingway odmówił kuracji w klinice psychiatrycznej. Zgodził się natomiast na znaną klinikę Mayo, w której leczono rozmaite choroby. W listopadzie zeszłego roku trafił do szpitala w Rochester

w Minnesocie. Tam dr Howard Rome leczył pisarza elektrowstrząsami. Bez skutku. Przejściowe zaburzenia pamięci, częste po elektrowstrząsach, pogłębiły tylko niepokój i depresję Hemingwaya. Przed kilkoma dniami dr Rome oświadczył żonie pisarza, że jego drugi pobyt w klinice zakończył się powrotem do zdrowia. Nie była to prawda, optymistyczną diagnozę wymógł na nim sam pacjent, ale Mary zabrała męża samochodem do domu w Ketchum.

Lekarz przestrzegł ją przed nasilaniem się samobójczych myśli u pacjentów po elektrowstrząsach. Każdy zresztą, kto choć trochę zna Hemingwaya, wie, że ten miłośnik mocnego, twardego, pełnego niebezpieczeństw, twórczego życia nie jest w stanie zaakceptować własnej słabości i bezradności. Mary wie to jak mało kto. W połowie kwietnia zastała Ernesta w przedpokoju z jedną z ulubionych strzelb w ręku. Na parapecie leżały dwa naboje. Tak długo, aż nie nadeszli lekarze, przekonywała go, by nie popełniał samobójstwa. Strzelbę mu odebrano.

Po tym incydencie Mary zamknęła wszelką broń w suterenie. Klucz zostawiła jednak na parapecie w kuchni. Powiedziała, że żona nie ma prawa pozbawiać męża jego własności.

I teraz mąż siedzi ze swoją własnością ściśniętą kolanami. Nie pamięta o obietnicy danej Bumby'emu. Palcem stopy naciska na spust.

Ernest Hemingway w swoim domu na Kubie, ok. 1950 roku

3 lipca 1863 ▪ piątek

Bardzo smutny dzień

Noc przynosi ulgę. Wreszcie ustępuje duszna spiekota, od wielu godzin dręcząca żołnierzy obu stron. Na polach i wzgórzach pod Gettysburgiem opada kurz drugiego dnia bitwy. W ciemnościach zewsząd słychać rozdzierające krzyki i jęki setek rannych, na przedpolu żołnierze obu stron szukają swoich towarzyszy broni. Wre gorączkowa praca w lazaretach po obu stronach frontu. Konne ambulanse zwożą setki rannych. Sanitariusze jednym rzutem oka rozstrzygają ich los. Ranni w ręce lub nogi, w paskudnych warunkach polowych rokujący na przeżycie trafiają na długie drewniane stoły. Nie ma czasu na dezynfekcję ani choćby obmycie ran. Sanitariusze skrapiają rannym twarz eterem, zbryzgani krwią po białka oczu chirurdzy w świetle świec bez ceregieli amputują kończyny. Ranni w głowę, płuca lub brzuch układani są nieco dalej. Na nich szkoda czasu lekarzy; muszą umrzeć.

Nieludzko zmęczeni żołnierze śpią, ale ich dowódcy aż do świtu naradzają się i studiują mapy. Generałowie obu stron świetnie zdają sobie sprawę, że dzisiejsze starcie zakończy bitwę, a wynik bitwy przesądzi losy wojny i rozstrzygnie kwestię najważniejszą: czy w północnej Ameryce będą dwa wielkie anglojęzyczne państwa czy tylko jeden gigant – Stany Zjednoczone.

Wojna domowa bowiem jest finałem długiego procesu oddalania się południowej części Stanów Zjednoczonych Ameryki od Północy. Stany południowe to przede wszystkim rolnictwo, bawełna, niewolnictwo, to kultura ziemiańska. Na Południu przemysł i wielkie finanse są w powijakach, dominują wieś i małe miasteczka. Północ jest gospodarczym tygrysem ówczesnego świata, rozwija się w oszałamiającym tempie. Tu rosną wielkie miasta, nowoczesne fabryki. Amerykanie z miast Północy mówią o sobie z dumą, że są społecznością mechaników. Różnice między Północą i Południem są tak wielkie, że narasta swoisty patriotyzm

południowców, poczucie, iż tutejsi biali Amerykanie są odrębnym narodem.

Detonatorem konfliktu stało się niewolnictwo – oczywistość dla białych południowców, kamień obrazy dla abolicjonistów z Północy – ale w istocie szło o sprawę fundamentalną. Czy Południe może wyłamać się ze wspólnoty Stanów Zjednoczonych i pójść własną drogą jako odrębne państwo związkowe wolnych stanów, czy jednak Północ utrzyma jedność USA? Przed trzema laty Karolina Południowa, a w ślad za nią kolejne stany Południa wystąpiły ze Stanów Zjednoczonych Ameryki i powołały nowe państwo – Stany Skonfederowane Ameryki. Wojna domowa stała się nieuchronna.

Północ jest silniejsza. Ma więcej ludzi, dużo więcej fabryk zbrojeniowych i kapitału. Żołnierze Unii, w porządnych niebieskich mundurach, są świetne zaopatrzeni. Przed atakiem często porzucają nieporęczne koce i płaszcze – po bitwie dostaną przecież nowe! Strzelcy Konfederacji noszą zgrzebne szare kurtki z samodziału. Nierzadko walczą boso – do czasu, aż zdejmą buty z nóg zabitych federalnych. Są jednak groźnym przeciwnikiem – dobrze strzelają, walczą jak lwy, ale karnie. Obie strony biją się zaciekle, ponosząc ogromne straty. Południowcy walczą o wolność, tak jak ją rozumieją, i o niepodległość. Żołnierze Unii walczą o jedność państwa.

Dwa lata wojny nie przyniosły rozstrzygnięcia. Czas gra na niekorzyść Federacji, więc najlepszy dowódca Południa gen. Robert E. Lee postanowił przenieść walki na tereny przeciwnika. Na czele niemal 80-tysięcznej armii wkroczył do federalnej Pensylwanii. W ślad za nim cofnęła się na północ licząca 100 tys. żołnierzy federalna Armia Potomaku. Do decydującego starcia doszło pod Gettysburgiem. Przez dwa dni konfederaci gen. Lee nacierali na

pozycje unionistów dowodzonych przez gen. George'a G. Meade. Uporczywie, metr po metrze spychali ich za miasto, na południe. Obie strony poniosły ogromne straty. Błędy wybitnego skądinąd gen. Lee spowodowały, że ani pierwszego, ani drugiego dnia, mimo realnych szans, konfederaci nie rozstrzygnęli bitwy na swą korzyść. Teraz, choć słabsi od przeciwnika, po raz trzeci mają ruszyć do szturmu.

Jest dobrze po pierwszej w nocy, gdy gen. Lee kończy opracowywać logistykę ewakuacji rannych w dzisiejszym starciu i rusza do swego najlepszego dowódcy polowego, zarazem doradcy i przyjaciela, gen. Jamesa Longstreeta. Zwany przez żołnierzy Południa „Old Pete", proponuje Longstreeet rozsądny manewr oskrzydlający albo wręcz odstąpienie od zajętych przez wroga wzgórz i poszukanie lepszego miejsca do stoczenia bitwy, ale Lee wybiera uderzenie frontalne na umocnione przez unionistów wzgórze Cmentarny Grzbiet.

O 3.45 nad ranem zaczyna się. Piechota i artyleria Unii uprzedza ogniem atak lewego skrzydła konfederatów na Wzgórze Culpa. Z wielkimi stratami południowcy zostają odparci. Teraz atakują unioniści. Ale konfederaci to twardzi żołnierze, nie poddają się panice w chwili porażki – ukryci w okopach, w parę minut masakrują ogniem karabinów pułki federalne. Obie strony liżą rany aż do 10.00. Wtedy na umocnione Wzgórze Culpa rusza kolejny, samobójczy w istocie, atak konfederatów. 20 kroków przed linią okopów federalnych nawałnica ognia kosi południowców niczym łan zboża. Z 400 ludzi z pułku z Maryland w mig ginie ponad połowa, z 300 żołnierzy pułku z Karoliny pozostaje 77. Wzgórze Culpa to rzeźnia, w której próżno szukać zwycięstwa.

Konfederaci jednak mają jeszcze szanse. Gen. Lee poleca gen. Stuartowi zaatakować tyły Armii Potomaku. Korpusowi kawalerii

Stuarta zastępuje drogę kawaleria Północy. Raz atakują południowcy, raz federalni. Wreszcie naprzeciw szarżującym dwóm brygadom konfederatów rusza pułk Północy dowodzony przez gen. Custera. Jak w średniowiecznej bitwie ścierają się z łoskotem dwie linie jazdy. Kawaleria Unii ponosi większe straty, ale zatrzymuje korpus Stuarta.

Armia konfederatów tkwi w impasie. Gen. Lee postanawia, tak jak planował nad ranem, uderzyć całą mocą w centrum, na Cmentarny Grzbiet. Jego generałowie są przeciw. Lee powtarza tylko: „Ten atak musi się udać". O 13.07 w straszliwym upale 135 armat konfederatów rozpoczyna piekielny ostrzał umocnień wzgórza. Żołnierze i oficerowie Południa pełni są najgorszych przeczuć, ale kiedy kończy się kanonada, 11,5 tys. piechurów w nienagannym szyku schodzi ze swych okopów w dolinę pod Cmentarnym Grzbietem. Huraganowy ogień obrońców kładzie pokotem żołnierzy w szarych bluzach, nadchodzą jednak następni. W wielu miejscach zabici leżą jeden na drugim, w trzech warstwach. Konfederaci wdzierają się na szczyt, pod kamienny wał, zza którego strzelają do nich żołnierze Północy. Zwycięstwo, zdaje się, jest na wyciągnięcie ręki. Ale unioniści walczą z równą zaciekłością i w końcu spychają niedobitki szarych mundurów w dolinę. W trawach podejścia do Cmentarnego Grzbietu pozostaje ponad 5 tys. żołnierzy Południa.

Zbryzgany krwią gen. George Pickett melduje się u gen. Lee, który rozkazuje mu przeformować szyki dywizji.

– Generale, ja już nie mam dywizji – odpowiada Pickett.

To koniec. Na kolejny atak konfederaci nie mają sił. Gen. Lee pociesza swoich generałów, roztrzęsionych i zrozpaczonych: „Wina jest wyłącznie moja".

Nikomu nie przynosi to ulgi. Wszyscy czują, że Gettysburg jest końcem nadziei na niepodległość Południa. Wie o tym także gen. Lee. O północy odszukuje go jeden z dowódców kawalerii, gen. Imboden. Pociesza głównodowodzącego: „Był to dla pana ciężki dzień, generale". Lee na to: „Tak, to był smutny, bardzo smutny dla nas dzień".

Przez chwilę roztrząsa utracone dziś szanse i kończy załamany: „Niedobrze! Niedobrze! Och, jak niedobrze!".

Gen. Robert E. Lee – dowódca wojsk Konfederacji

4 lipca 1941 ▪ piątek

Ojcowie i synowie

Mija północ, gdy przed domem przy ul. Romanowicza we Lwowie zatrzymuje się ciężarówka z paką krytą brezentową plandeką. Po chwili na schodach rozlega się ciężkie walenie podkutych butów. Ktoś łomocze do drzwi mieszkania prof. Franciszka Groëra, kierownika kliniki pediatrycznej wydziału lekarskiego lwowskiego uniwersytetu. Otwiera żona profesora. Do środka wchodzą Niemcy w szarozielonych mundurach Gestapo. Dowodzący oficer legitymuje profesora, po czym poleca swym podwładnym, SS-Unterscharführerowi Gerhardowi Hackerowi i SS-Scharführerowi Kurtowi Koellnerowi, obszukanie go. Zaczyna się szczegółowa rewizja w mieszkaniu. Hitlerowcy są nieprzyjemnie zaskoczeni – widać po nich, że spodziewali się tu złota, biżuterii, może obcych walut, tymczasem w mieszkaniu profesora nie mogą znaleźć żadnych kosztowności. To zasługa żony profesora, Cecylii z domu Cuming, która parę dni temu, w oczekiwaniu na nieuchronne wkroczenie Niemców do pozostającego od końca kampanii wrześniowej 1939 roku pod sowieckimi rządami Lwowa, większość kosztowności i przedmiotów wartościowych poukrywała w mieszkaniach lwowskich znajomych. Na żądanie Niemców profesorowa oddaje im pozostawioną w domu resztę osobistej biżuterii.

Z mieszkania Groërów Niemcy zabierają jedynie aparat fotograficzny, paczkę tytoniu fajkowego i gruby plik kart wizytowych, które w pokojowych czasach goście profesorostwa, zgodnie z dobrymi obyczajami, podczas odwiedzin zostawiali przy wejściu, na ozdobnej tacce. Oficer SS aresztuje prof. Groëra. Przed domem, obok ciężarówki pełnej aresztowanych tej nocy Polaków, profesor spotyka mieszkającego na tej samej klatce schodowej,

w mieszkaniu naprzeciwko, prof. Jana Greka z kliniki chorób wewnętrznych wydziału lekarskiego lwowskiego uniwersytetu oraz znanego literata, od niedawna kierownika uniwersyteckiej katedry historii literatury francuskiej, prof. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Prof. Grek jest szwagrem Boya-Żeleńskiego. Obaj ożenili się ze sławnymi w młodopolskim Krakowie z urody siostrami Marią i Zofią Pareńskimi, uwiecznionymi przez Stanisława Wyspiańskiego jako Maryna i Zosia w *Weselu*. Boy uciekł przed Niemcami z Warszawy do Lwowa i zamieszkał w sporym mieszkaniu u swego szwagra. Teraz inna ekipa Niemców w mundurach Gestapo zagarnia go z mieszkania prof. Greka.

Ok. 1.00 Niemcy kończą rewizję i aresztowania w domu profesorskim przy Romanowicza, w którym mieszkają profesorowie Grek, Boy-Żeleński i Groër. Ciężarówka, wypełniona naukowcami wywleczonymi z ich mieszkań, rusza i niedługo potem zajeżdża na Wzgórza Wuleckie, na podwórze tzw. Bursy Abrahamowiczów. Tam Niemcy wyprowadzają profesorów z samochodu na korytarz. Aresztowani nie mają pojęcia, że znaleźli się w budynku bursy. Na korytarzu stoi już kilkunastu uwięzionych. Wszyscy na baczność, frontem do ściany, z nisko opuszczonymi głowami. W tej samej pozie esesmani rozkazują stanąć pod ścianą Polakom przywiezionym ciężarówką, w tym i trzem profesorom z ul. Romanowicza.

Co rusz słychać, jak na dziedziniec wjeżdżają kolejne samochody, a po chwili następni aresztowani stają na korytarzu bursy, frontem do ściany, z nisko opuszczonymi głowami. Niemcom chodzi, rzecz jasna, o to, by uwięzieni nie mogli zorientować się, kto jeszcze tej nocy podzielił ich los.

Tej nocy nic nie dzieje się przypadkiem.

Po aresztowaniu w 1939 roku w Krakowie niemal 200 polskich profesorów oraz pracowników naukowych i po zesłaniu 169 z nich do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen rodziny uwięzionych zaalarmowały Międzynarodowy Czerwony Krzyż oraz Watykan i przedstawicielstwa dyplomatyczne krajów niewciągniętych w wojnę. Pełne oburzenia artykuły w prasie zagranicznej i interwencje dyplomatyczne zmusiły III Rzeszę do zwolnienia w lutym 1940 roku z KL Sachsenhausen niemal wszystkich żyjących naukowców, którzy ukończyli 40 lat. Ponieważ kampania prasowa na świecie i protesty dyplomatyczne nie ustały, resztę uwięzionych Niemcy ciągle jeszcze, niewielkimi grupami, zwalniają do domu.

Przed dwoma miesiącami generalny gubernator Hans Frank, na spotkaniu z kierownictwem sił policyjnych w GG, wyrzekał: „Zawracanie głowy, jakie mieliśmy z profesorami krakowskimi, było okropne. Gdybyśmy tu na miejscu załatwili tę sprawę, miałaby ona inny przebieg. Dlatego usilnie proszę panów, aby nikogo więcej nie odstawiać do obozów do Rzeszy, lecz tu przeprowadzać likwidację lub wymierzać odpowiednie kary".

Reichsführer SS Heinrich Himmler także wyciągnął wnioski z akcji w Krakowie przed niespełna dwoma laty. Polscy profesorowie we Lwowie mają być zamordowani natychmiast po wkroczeniu niemieckich oddziałów do miasta, i to po kryjomu.

Zadanie to otrzymało, utworzone z inicjatywy dowódcy Policji Bezpieczeństwa Sipo i SD – Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS w Krakowie – SS-Oberführera dr. Eberhardta Schöngartha – Einsatzkommando zur besonderen Verwendung, oddział operacyjny szczególnego przeznaczenia. Ta samodzielna formacja, niezależna od mającej operować na tyłach niemieckiej Grupy Armii „Południe" – a zatem we Lwowskiem – Einsatzgruppe C, ma to samo co Eisatzgruppe C, zadanie – „oczyszczać teren" na zapleczu atakującej

na wschód Grupy Armii „Południe”, czyli mordować przeciwników nazizmu, Żydów, polskich inteligentów, funkcjonariuszy sowieckiej partii i komisarzy Armii Czerwonej. Dr Schöngarth zawczasu przygotował się do eliminacji polskich intelektualistów – od ukraińskich studentów przebywających w Krakowie, aktywistów ruchu nacjonalistycznego, otrzymał spis polskich profesorów pracujących na lwowskich uczelniach. Ukraińscy informatorzy, słabo zorientowani w uczelnianych realiach Lwowa poza swoimi wydziałami, wskazali przede wszystkich polskich profesorów medycyny oraz naukowców z Politechniki Lwowskiej.

W skład Einsatzkommanda SS-Oberführera Schöngartha weszło 150 funkcjonariuszy SD i rozmaitych formacji policyjnych z Krakowa, dalszych 50 z Warszawy, 30 z Lublina i kilkunastu z Radomia.

Sam Schöngarth wraz z osobistym sztabem zjawił się we Lwowie już przedwczoraj, ok. 16.00. Zaraz po przyjeździe członkowie jego oddziału przeprowadzili pierwsze egzekucje cywilnych Żydów. Wczoraj funkcjonariusze EZBV wymordowali już 500 lwowskich Żydów.

To za dnia. Wieczorem SS-Oberführer Schöngarth podzielił część swoich ludzi na niewielkie patrole, z reguły w składzie oficer i dwóch podoficerów, czasem i paru szeregowców. Każdy patrol dostał nazwiska polskich naukowców, wraz z datami ich urodzenia i adresami zamieszkania, z listy przygotowanej przez ukraińskich studentów. Rozkaz Schöngartha był jasny: we wskazanych mieszkaniach aresztować wszystkich mężczyzn powyżej 18. roku życia.

W wielu mieszkaniach wraz z profesorami funkcjonariusze grupy Schöngartha aresztują ich synów, nierzadko obiecujących młodych naukowców.

Dom prof. dr. Romana Longchamps de Berier, kierownika uniwersyteckiej katedry prawa cywilnego, otacza grupa czterech oficerów w mundurach Gestapo oraz kilku szeregowców w furażerkach, uzbrojonych w karabiny. Podczas brutalnego aresztowania, głośno wrzeszcząc, oficerowie zrzucają na podłogę radio, wytrącają profesorowi z ręki papierośnicę. Nie pozwalają ani seniorowi, ani żadnemu z trzech jego synów – 25-letniemu Bronisławowi, 23-tniemu Zygmuntowi, obu absolwentom politechniki, i 18-letniemu Kazimierzowi, absolwentowi liceum – zabrać płaszczy i pożegnać się z profesorową Anielą Longchamps de Berier. Podczas aresztowania Niemcy rabują maszynę do pisania i brylantowy pierścionek.

Kierownika katedry miernictwa politechniki prof. Kaspra Weigla funkcjonariusze oddziału Schöngartha zabierają z mieszkania wraz z 33-letnim synem Józefem, prawnikiem.

Na ul. Nabielaka SD-mani Schöngartha aresztują prof. dr. Włodzimierza Stożka, kierownika katedry matematyki politechniki, oraz jego dwóch synów: asystenta politechniki, 29-letniego Eustachego i absolwenta wydziału chemii, 24-letniego Emanuela. Najmłodszemu synowi profesora, 18-letniemu Tadeuszowi, hitlerowcy każą się najpierw ubierać, ale w końcu go zostawiają, razem z mieszkającym u profesorostwa Stożków jego nastoletnim kolegą.

Przy ul. Kampiana jedna z ekip Schöngartha aresztuje prof. dr. med. Witolda Nowickiego, dwukrotnego dziekana wydziału lekarskiego, oraz jego syna Jerzego, również lekarza. Także wybitnego pediatrę prof. Stanisława Proguskiego Niemcy wyprowadzają z domu wraz z synem, 29-letnim inż. Andrzejem. Drugi syn na szczęście jest nieobecny.

Los osób zastanych przez patrole Einsatzkommanda w mieszkaniach naukowców zależy od widzimisię dowodzących oficerów.

W mieszkaniu prof. dr. Włodzimierza Sieradzkiego, kierownika katedry medycyny sądowej uniwersytetu, w latach 20. zaś rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza, Niemcy aresztują sublokatora Wolischa, 45-letniego właściciela lwowskiego magazynu konfekcyjnego Beier i S-ka. Z polską nauką nieszczęśnik ten nie ma nic wspólnego.

Przygotowane przez ukraińskich studentów listy polskich naukowców nie są aktualne. Gdy wdowa po kierowniku uniwersyteckiej kliniki okulistycznej prof. Adamie Bednarskim wyjaśnia siepaczom Schöngartha, że mąż zmarł przed niespełna trzema miesiącami, dowodzący patrolem oficer pyta, kto jest jego następcą w klinice. Nie spodziewając się nawet konsekwencji swych wyjaśnień, profesorowa Bednarska odpowiada, że doc. Jerzy Grzędzielski. Niedługo potem Niemcy wywlekają go do paki.

Podczas aresztowania liczącego 82 lata prof. dr. Adama Sołowija, emerytowanego ordynatora oddziału ginekologiczno-położniczego lwowskiego Szpitala Powszechnego, SS-Untersturmführer Viktor Gurth pyta córkę profesora, panią Mięsowiczową, czy ma jeszcze inne dzieci, poza obecnym w mieszkaniu jej 19-letnim synem Adamem. Pani Mięsowiczowa prostodusznie odpowiada, że ma jeszcze córkę. SS-Untersturmführer Gurth uprzejmie dopytuje się, czy może widywać córkę. Gdy odpowiada ona twierdząco, Gurth rozkazuje zabrać jej syna wraz z aresztowanym profesorem.

Za to gdy oficer dowodzący patrolem dokonującym aresztowania prof. dr. Antoniego Cieszyńskiego, kierownika kliniki stomatologicznej uniwersytetu – zaprzyjaźnionego zresztą z metropolitą greckokatolickim Andrzejem Szeptyckim – pyta jego

20-letniego syna Tadeusza, ile ma lat, profesorowa Cieszyńska natychmiast odpowiada za niego, że 17. Gestapowiec zostawia młodzieńca w domu.

Niemieccy oficerowie starannie rewidują mieszkania aresztowanych. Nie chodzi o kompromitujące dokumenty – szukają złota, biżuterii, gotówki, wartościowych przedmiotów. Znalezionym łupem wypychają sobie kieszenie mundurów. Niemcy wiedzą, że właściciele już nigdy o zrabowane dobra nie upomną się.

Ofiarami złodziejskich planów oficerów SD padają wyjątkowo kobiety w mieszkaniach profesorów Jan Greka i Tadeusza Ostrowskiego, kierownika kliniki chirurgicznej. Obaj znani są we Lwowie z pasji kolekcjonerskich i z posiadania bardzo cennych zbiorów dzieł sztuki. Los rodzin obu naukowców przypieczętowuje Pieter Nicolaas Menten, Holender osiadły w latach 20. w Galicji, przed wojną aferzysta i handlarz antykami, od zeszłego roku dobrowolny współpracownik hitlerowców, treuhënder pożydowskich antykwariatów w Krakowie, ostatnio zaś w Einsatzkommando Schöngartha – tłumacz w mundurze Gestapo. Menten świetnie zna zbiory profesorów Greka i Ostrowskiego. Już podczas aresztowania obu profesorów SD-mani z wcześniejszego poduszczenia Mentena rabują bardzo wiele cennych przedmiotów. Z mieszkania prof. Ostrowskiego Niemcy zabierają, prócz gospodarza, jego przyjaciela dr. Stanisława Ruffa, ordynatora chirurgii lwowskiego Szpitala Żydowskiego, jego syna inż. Adama Ruffa oraz ks. Stanisława Komornickiego, wykładowcę nauk biblijnych i greki na uniwersytecie.

Ale to tylko wstęp.

Dwie godziny po zatrzymaniu w mieszkaniach obu profesorów wszystkich mężczyzn Niemcy wracają i aresztują wszystkie znajdujące się tam kobiety; u prof. Greka – jego żonę Marię oraz

służącą i kucharkę, u prof. Ostrowskiego – prócz szofera, żonę dr. Stanisława Ruffa Annę oraz Amerykankę, nauczycielkę języka angielskiego, Kathy Demkow i pielęgniarkę Marię Rejmanową. Pieter Menten zza kulis dba o usunięcie świadków planowanej już przezeń grabieży kolekcji obu profesorów.

Na korytarzu Bursy Abrahamowiczów liczba więźniów ok. 1.00 przekracza 40. Niemcy biją stojących po głowach, wyzywają. Co chwila wywołują gdzieś kolejnych aresztowanych.

W końcu prof. Groër trafia z korytarza do jednego z pokoi na przesłuchanie. Jest tam dwóch niemieckich oficerów. Wyższy, z opuchniętą twarzą, lekko pijany, wyzywa profesora od psów, za to, że zdradził niemiecką ojczyznę. Prof. Groër wyjaśnia spokojnie, że choć ma niemiecko brzmiące nazwisko, choć skończył niemiecki uniwersytet i w czasie wojny światowej pracował na uniwersytecie w Wiedniu, jest Polakiem. Gestapowiec pyta o zarekwirowane w mieszkaniu Groërów wizytówki gości – dlaczego tak dużo jest wśród nich biletów obywateli Wielkiej Brytanii? Profesor wyjaśnia, że jego żona jest Angielką i brytyjscy konsulowie we Lwowie zawsze składali im grzecznościowe wizyty. Niemcy są zaskoczeni, wyraźnie im nie w smak możliwość międzynarodowych poszukiwań tak ustosunkowanego rodzinnie i towarzysko profesora; może i spędzone przezeń w Niemczech lata też działają na jego korzyść.

Gestapowiec z obrzękniętą twarzą wychodzi z pokoju, zapowiadając, że zobaczy, co da się w sprawie profesora zrobić. Drugi Niemiec wyjaśnia wtedy, że oficer, który wyszedł, jest tu najwyższym dowódcą dzisiejszej akcji i nie ma nad sobą żadnego bezpośredniego zwierzchnika.

W końcu dowodzący gestapowiec oznajmia Groërowi, że jest wolny; rozkazuje mu, by wyszedł na podwórze, spacerował i nie

robił wrażenia aresztowanego, a o 6.00, gdy skończy się godzina policyjna, będzie mógł iść do domu. Gdy profesor zapala na dziedzińcu papierosa, jeden z trzech przechodzących gestapowców bije go z całych sił po twarzy – za bezczelność. Groër wyjaśnia, że na rozkaz dowodzącego tu oficera ma udawać niearesztowanego, i na uderzeniu w twarz incydent się kończy. Profesor wyczekuje zbawczej 6.00.

Z budynku Bursy Abrahamowiczów Niemcy wyprowadzają grupkę kilkorga kobiet, które podobnie jak prof. Groër zatrzymują się na podwórzu. To służba profesorów Ostrowskiego i Greka, która ma być zwolniona przez gestapowców do domu. Niemiecki dowódca pyta, czy wszyscy są służbą. Kathy Demko odpowiada, że nie, że jest nauczycielką. Niemiec każe jej przejść pod ścianę, do grupy naukowców którzy – nie wiedząc o tym – czekają na rozstrzelanie.

Po kilkunastu minutach z budynku wychodzi grupa ok. 20 polskich profesorów eskortowana przez funkcjonariuszy Einsatzkommando. Czterech profesorów – Witold Nowicki z Instytutu Medycznego, Włodzimierz Krukowski i Stanisław Pilat z politechniki oraz prof. Włodzimierz Stożek – niesie okrwawione ciało inż. Adama Ruffa, aresztowanego wraz z jego ojcem i matką w mieszkaniu prof. Ostrowskiego. Podczas wstępnego przesłuchania w budynku bursy inż. Ruff dostał na tle nerwowym ataku epileptycznego. Wtedy gestapowiec zastrzelił go.

Gdy grupa profesorów skręca pod eskortą za róg budynku i zmierza w stronę zbocza Wzgórza Wuleckiego, w bursie funkcjonariusze Einsatzkommando zmuszają profesorową Jadwigę Ostrowską i Annę Ruff, matkę zastrzelonego Adama Ruffa, by zmywały krew ze schodów, którymi polscy profesorowie znosili jego ciało.

Niedługo po wyjściu z terenu bursy grupy naukowców Niemcy wyprowadzają z niej kolejną grupę ok. 20 aresztowanych. Najpierw każą im ustawić się na dziedzińcu bursy, w dwóch rzędach, twarzami do muru. Prof. Groër rozpoznaje wśród nich prof. ginekologii Stanisława Mączewskiego. Potem naukowców tych – w tym profesorów Łomnickiego i Stożka – Niemcy załadowują na ciężarówkę i wiozą okrężną drogą, by jazda trwała dłużej, na ul. Kosynierską na szczycie Wzgórza Wuleckiego, dosłownie o rzut kamieniem od Bursy Abrahamowiczów.

O 3.30 nad ranem, gdy nocne niebo zaczyna się na wschodzie już trochę rozjaśniać, w niewielkim zagłębieniu terenu na zboczu Wzgórza Wuleckiego żołnierze w niemieckich mundurach zaczynają kopać dół. Tuż przed 4.00 Niemcy sprowadzają gęsiego, od strony bursy, pierwszych 4 polskich naukowców. Ustawiają ich na skraju dołu, twarzami do wznoszącego się w górę stoku. Czterech Niemców w stalowych hełmach staje tuż po drugiej stronie dołu. Na komendę dowodzącego egzekucją oficera strzelają w plecy ofiar. Z powodu nachylenia gruntu cztery ciała zabitych wpadają do dołu. Niemcy sprowadzają ze szczytu Wzgórza Wuleckiego, spod bursy, kolejne czwórki ofiar. Padają kolejne salwy i kolejne ciała osuwają się do dołu. Potem doprowadzają czwórkami tych aresztowanych, których na Wzgórze Wuleckie dowieźli okrężną drogą ciężarówką. Kopanie grobu i przebieg egzekucji obserwują Polacy mieszkający w domach odległych o 300–400 m. Niektórzy patrzą z okien przez lornetki.

Prof. Włodzimierz Stożek staje nad dołem, pełnym zakrwawionych ciał znajomych naukowców, w swej charakterystycznej pozie, z rękami założonymi z tyłu. Gdy nad dołem śmierci rozstrzeliwane są kolejne cztery ofiary, w tym synowie prof. Stożka, po salwie trzy ciała wpadają do dołu, jedynie

stojący na prawym skrzydle Emanuel stoi nadal. Dopiero po kolejnym strzale osuwa się do grobu.

Jedna z czwórek naukowców schodzi na egzekucję, dźwigając ciało inż. Adama Ruffa.

Inna czwórka ofiar schodzi bardzo powoli, bo doc. Jerzy Grzędzielski mocno utyka.

Prof. Cieszyński, doskonale mówiący po niemiecku, stojąc już nad jamą, odwraca się i żywo gestykulując rękami, coś mówi. Pada salwa i profesor z innymi ofiarami osuwa się do dołu.

Jeden z rozstrzeliwanych tuż przed salwą wskakuje do dołu, potem wyskakuje i próbuje uciekać. W tej samej chwili Niemiec strzela i nieszczęśnik przewraca się do jamy.

Profesorowa Maria Łomnicka obserwuje z okna domu egzekucję męża, ale nie dopuszcza myśli, że to mógłby być on.

Niemcy sprowadzają nad jamę śmierci i zabijają także trzy kobiety. Profesorową Grekową, pół wieku wcześniej jedną z bohaterek *Wesela* Wyspiańskiego, dwóch żołnierzy niemieckich wlecze nad skraj grobu. Tam trzeci z Niemców strzela jej w plecy.

W jamie na zboczu wzgórza leży 21 profesorów, żony trzech z nich, synowie dziewięciu i jeden wnuk – prof. Sołowija – i ksiądz, oraz trzech mężczyzn niebędących pracownikami naukowymi.

Niemcy nie dobijają postrzelonych. Gdy żołnierze zdejmują płaszcze, zakasowują rękawy i zasypują jamę, część ofiar jeszcze żyje.

5 lipca 1982 ▪ poniedziałek

A niech pan szuka!

Późnym popołudniem z mieszkania aktora Wojciecha Machnickiego w bloku na warszawskim Ursynowie wychodzi Joanna Szczęsna. Machnicki, mąż zmarłej tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego przyjaciółki Szczęsnej ze studiów na polonistyce, oddał to mieszkanie na potrzeby redakcji podziemnego „Tygodnika Mazowsze". W torebce Szczęsna ma dowód osobisty nr BJ 7245966 na nazwisko Monika Celina Niedźwiecka-Grunland oraz wielki pęk kilkunastu kluczy do najrozmaitszych mieszkań konspiracyjnych na terenie całej Warszawy. Klucze nie są opisane – doskonale pamięta, który pasuje do której mety. Dowód osobisty jest autentyczny. Wzięła go dla Szczęsnej od swojej znajomej redaktorka „Tygodnika" Helena Łuczywo. Monika Niedźwiecka-Grunland zgłosiła 1 marca na milicji jego zaginięcie i wystąpiła o nowy. Odtąd jej stary dowód dobrze służy Joannie Szczęsnej.

Redaktorka „Tygodnika" jedzie autobusem na Saską Kępę. Zaprosił ją na konspiracyjne spotkanie Zbigniew Romaszewski, przed stanem wojennym członek KSS „KOR", potem działacz „S", teraz ukrywający się twórca i szef podziemnego Radia Solidarność.

Szczęsna wchodzi do wysokiego bloku na Saskiej Kępie. Rozgląda się – nie dostrzega niczego niepokojącego. Wjeżdża windą na jedno z ostatnich pięter. Drzwi do mieszkania, w którym ma spotkanie z Romaszewskim, są przy schodach. Przez chwilę nasłuchuje: w mieszkaniu panuje cisza.

Dzwoni. Drzwi otwiera Romaszewski, prosi do środka. Mieszkanie to właściwie większa kawalerka z balkonem. Szczęsna przechodzi przez wąski korytarzyk z wieszakiem z ubraniami. W pokoju jest Zofia Romaszewska. I niespodzianka. Na stole bukiet pięknych róż, obok butelka koniaku i rozstawione kieliszki. Romaszewski wyjaśnia Szczęsnej, że dziś jest rocznica ich ślubu, i zaprasza na lampkę.

Przy koniaku omawiają najpierw sprawy służbowe dotyczące kontaktów Radia Solidarność z resztą podziemia. Potem rozmowa robi się czysto towarzyska.

Dzwonek u drzwi. Romaszewski otwiera. Na korytarzu stoi Anna Owczarska, łączniczka i tłumaczka Belga o imieniu Noël, który właśnie przemycił z Zachodu do Polski potężny nadajnik dla radia Romaszewskich. Przerzut ten zorganizował na emigracji Mirosław Chojecki. Owczarska jest ostrożna – najpierw przyszła sprawdzić, czy wszystko w porządku, i schodzi po czekającego na nią Noëla.

Jednoczesne spotkanie w lokalu kontaktowym z redaktorką „Tygodnika Mazowsze" oraz dźwigającym radiostację Belgiem to ciężkie sprzeniewierzenie się konspiracyjnemu bhp, ale Romaszewski nie ma wyboru. Noël uparł się, że musi przekazać radiostację osobiście szefowi podziemnego radia. Romaszewski miał się z nim zobaczyć w innym mieszkaniu kontaktowym na Saskiej Kępie, na Ateńskiej, ale gdy tam dziś dotarł, nie mógł otworzyć drzwi. Właściciel przekazał mu w swoim czasie klucze, jednak jego babcia, która podlewa kwiatki, miała w pęku jeszcze jeden, praktycznie nieużywany klucz, którego nie ma Romaszewski – i akurat na ten klucz zamknęła drzwi.

No trudno, Belg za swą odwagę i poświęcenie napije się koniaku w świetnym konspiracyjnym towarzystwie.

Dzwonek. Zbigniew Romaszewski jest pewien, że to Owczarska z Noëlem. Podchodzi do drzwi. Nieoczekiwanie słyszy za nimi głos swego znajomego ze studiów Zbigniewa Kobylińskiego, właściciela tego mieszkania. Kobyliński przed paru miesiącami przekazał je Romaszewskiemu na lokal konspiracyjny.

Romaszewski otwiera drzwi. Ktoś z zewnątrz przyciąga je jednak z powrotem i z powrotem zamyka na klucz. To Kobyliński orientuje

się, że Romaszewski – bo tylko on ma jeszcze klucze – jest w środku i usiłuje opóźnić moment wejścia.

Ma powód. Za nim stoi kapitan SB Tadeusz Celewski w asyście milicjanta po cywilnemu – Jerzego Jurka.

Kpt. Celewski to bystry i gorliwy esbek. Niedawno ujęty przez SB współpracownik Radia „S" zeznał w śledztwie, że nadajnik radiowy odbierał w mieszkaniu na Gąbińskiej. Esbecy zjawiali się tam wiele razy, ale nigdy nikogo nie zastali. Od mieszkańców dowiedzieli się, że właściciel wyjechał za granicę.

Kpt. Celewski zadał sobie jednak trud przeczytania ogłoszeń spółdzielni mieszkaniowej wiszących na klatce schodowej. Jedno z nich zawiadamiało mieszkańców, by 5 lipca w godzinach popołudniowych byli obecni w mieszkaniach w związku z wymianą kaloryferów. Celewski z milicjantem Jurkiem zaczaili się dziś na klatce schodowej. Doczekali się. Zjawił się wysoki mężczyzna i otworzył wreszcie drzwi.

Zbigniew Kobyliński, bo on był tym mężczyzną, tłumaczył się wiarygodnie: brat – o czym SB już wiedziała – jest za granicą, on sam zjawił się tu tylko w sprawie kaloryferów.

Brzmiało to całkiem przekonująco. Podczas rewizji kpt. Celewski niczego trefnego nie znalazł. Na wszelki wypadek zażądał jednak, by pojechać do mieszkania na Saskiej Kępie, w którym Kobyliński jest zameldowany.

Ten, całkiem spokojny, pojechał z milicjantem i esbekiem na Saską Kępę. Szansa, że zastaną tam Romaszewskiego, była nikła, a możliwość, że tak doświadczony konspirator jak Romaszewski zostawił tam cokolwiek kompromitującego – znikoma.

Kobyliński, esbek i milicjant wchodzą do pokoju.

„Boże, jaki on podobny do Frasyniuka, wzięłabym od niego dowód dla Władka" – myśli Szczęsna na widok Kobylińskiego.

– Dokumenciki proszę! – odzywka nieznajomego mężczyzny stojącego za Kobylińskim sprowadza ją na ziemię.

„Wpadka!" – przelatuje jej przez głowę.

Funkcjonariusze są mili, wręcz kordialni. W końcu jak dotąd nic nie wzbudza w nich podejrzliwości, przeciwnie, weszli do mieszkania, w którym dwie panie piją koniak z jednym panem. Po prostu życie.

Pierwszy przytomnieje Romaszewski. Gdy przychodzi na niego kolej okazania dowodu, z doskonałą obojętnością mówi, że ma go w kurtce, i wychodzi do przedpokoju. Tam otwiera drzwi i pędem ucieka po schodach.

Celewski i Jurek rzucają się w pogoń.

Teraz przytomnieje Szczęsna. Cicho, na paluszkach wychodzi na klatkę schodową. Słyszy, jak pędzący w dół Romaszewski, nie mogąc wyhamować, co rusz z impetem wali ciałem o ściany na półpiętrach. Słychać go coraz niżej. Dobra nasza, to znaczy, że i pościg jest już daleko w dole.

Szczęsna schodzi na dół. Nagle słyszy, że obaj funkcjonariusze wracają. Są tuż-tuż! Zrozumieli, że nie dopadną Romaszewskiego, i nie chcą dopuścić, by reszta towarzystwa wymknęła się z pułapki. Szczęsna zawraca w nadziei, że ucieknie na wyższe piętro, ale Celewski z kompanem są szybsi. Dopadają ją niedaleko drzwi. Gdy wchodzą z powrotem, Zofia Romaszewska i Zbigniew Kobyliński wyrzucają przez balkon jakieś kompromitujące drobiazgi.

Jakby tego było mało – dzwonek do drzwi. To Anna Owczarek prowadzi Noëla. Przyjechali windą i nawet nie zauważyli ucieczki i pościgu. Belg dźwiga wielką torbę z radiostacją. Celewskiemu wystarcza rzut oka do środka. Przez krótkofalówkę wzywa wsparcie. Nie mija pół godziny i do pokoju wpada co najmniej 10 tajniaków.

Po kolei, pojedynczo, wywożą zatrzymanych do Pałacu Mostowskich.

Jedną z pierwszych wywiezionych jest Joanna Szczęsna. Zamiast wysłać ją na noc do celi „na dołku", czyli w piwnicach, esbecy zaczynają przesłuchanie.

– Pani Moniko, co pani robiła w tym mieszkaniu?

– Proszę o protokołowanie przesłuchania – odpowiada Szczęsna.

Esbek wyciąga papier i protokołuje.

– No to, co pani tam robiła?

– Odmawiam odpowiedzi.

– To proszę podpisać protokół.

– Odmawiam podpisania protokołu.

– To po co chciała pani, żeby spisywać protokół?

– Bo z SB nie rozmawiam bez protokołu.

Przesłuchanie w tym stylu ciągnie się do świtu. Tuż przed szóstą esbecy oznajmiają:

– Pani Moniko, jedziemy do pani na rewizję.

Prowadzą Szczęsną do samochodu. „No nie, nie mogę nieznanym ludziom zafundować takiej pobudki" – myśli Szczęsna. I oświadcza:

– To nie jest mój dowód, nie nazywam się Monika Niedźwiecka. Nazywam się Joanna Szczęsna.

Esbecy wracają z nią na górę. W końcu jednak zabierają ją na rewizję do jej mieszkania na Zakrzewskiej. Redaktorki „Tygodnika Mazowsze" nie było tam od 13 grudnia zeszłego roku, kiedy to pod jej nieobecność włamało się do niej ZOMO. Administracja wstawiła prowizoryczny zamek i zatrzymała klucze.

Nie ma jeszcze 7.00, gdy esbek próbuje otworzyć drzwi na Zakrzewskiej pierwszym z kilkunastu kluczy z zarekwirowanego Szczęsnej pęku. Pudło. No to kolejny. I kolejny, i jeszcze jeden. Szczęsna patrzy na coraz bardziej zdenerwowanego esbeka, ale

wcale jej nie do śmiechu. Jest zmęczona i marzy o pryczy „na dołku" w Pałacu Mostowskich.

– Żaden z tych kluczy nie pasuje do tego mieszkania – oświadcza.

– Ach tak! – woła esbek triumfującym głosem kogoś, kto złapał nowy trop. – W takim razie od jakich mieszkań są te klucze?

– Niech ich pan poszuka – odpowiada zatrzymana, ziewając.

6 lipca 1885 ▪ poniedziałek

Wierny Józef

O 8.00 w sporym antyszambrze laboratorium Ludwika Pasteura zjawia się skromnie ubrana kobieta. Za rękę trzyma 9-letniego, pochlipującego chłopca. Oboje są onieśmieleni, niepewnie rozglądają się po jasnym pomieszczeniu z wysokimi oknami, które Ludwikowi Pasteurowi i jego asystentom służy za miejsce przyjęć licznych interesantów.

Laboratorium chemii w paryskiej Ecole Normale, niekwestionowane królestwo Pasteura, jest jego dziełem. To on je zaprojektował, on wymyślił wyposażenie. Przed 18 laty uczony wystosował do cesarza Napoleona III memoriał, w którym domagał się sfinansowania przez rząd budowy laboratorium chemii organicznej z prawdziwego zdarzenia: „Najjaśniejszy Panie! Moje studia nad fermentacją i nad znaczeniem organizmów mikroskopowych otworzyły chemii fizjologicznej nowe horyzonty [...]. Jakżeż jednak można poświęcić się badaniu gangreny i jadów, robić doświadczenia nad zakażaniem, nie dysponując lokalem dla pomieszczenia zarówno żywych, jak i martwych zwierząt laboratoryjnych". Rząd fundusze przyznał, potem je cofnął. Pasteur

nieustępliwie walczył o pieniądze dla nauki, w wystąpieniach i memoriałach nazywał laboratoria naukowe świątyniami przyszłości, bogactwa, dobrobytu. Walkę o państwowe dotacje dla badań doświadczalnych przypłacił ciężkim wylewem i paraliżem, który powalił go na wiele tygodni i którego skutki odczuwa jeszcze teraz.

Kobieta, która przybyła do laboratorium z chłopcem, oddaje asystentowi Pasteura list. Chwilę później Pasteur wychodzi do obojga. Drobny starszy pan z pełną brodą, w okularach w drucianej oprawie, w ciemnym, tradycyjnym surducie, z nieco staromodną chustką zawiązaną wokół wysokiego kołnierzyka, z uwagą wysłuchuje historii nieszczęścia syna i matki.

Oboje pochodzą z zapadłej alzackiej wioski. Przed dwoma dniami mały Joseph Meister jak zwykle wyszedł do szkoły. Po drodze zaatakował go wściekły pies. Rozszalałe zwierzę obaliło Josepha na ziemię, usiłowało dopaść jego gardła. Chłopiec bronił się rozpaczliwie, tarzając się, zasłaniał rękami szyję i głowę. Pies zagryzłby go, gdyby walki Josepha o życie nie dostrzegł z daleka wiejski murarz. Mężczyzna pochwycił jakiś żelazny drąg i natychmiast rzucił się na pomoc. Musiał nim tęgo okładać psa, zanim ten wreszcie porzucił ofiarę.

Joseph miał na rękach 14 głębokich ran od ukąszeń.

Lekarz dotarł do ich wioski dopiero po 12 godzinach. Jak zwykle czyniono w takich wypadkach, wypalił rany chłopca kwasem karbolowym. Ale doktor nie był dobrej myśli. W przypadku pokąsania przez wściekłe zwierzęta najniebezpieczniejsze są rany zadane kłami w głowę i właśnie w ręce. Joseph miał ich na rękach aż 14, na domiar złego były one bardzo głębokie i poszarpane. Zdaniem lekarza chłopiec raczej nie miał szans na przeżycie.

Na szczęście prowincjonalny doktor był człowiekiem światłym i doskonale znał najnowsze osiągnięcia słynnego prof. Pasteura. Napisał list polecający do profesora i poradził nieszczęsnej matce: „Pojedziecie oboje do Paryża. Tam pójdziecie do człowieka, który nie jest lekarzem, ale który z pewnością lepszą niż lekarz da radę".

Ludwik Pasteur uczciwie zapracował we Francji na swą sławę. Chłopiec urodzony w 1822 roku w rodzinie małomiasteczkowego garbarza, a przy tym kombatanta napoleońskiej epopei, od najmłodszych lat był niepospolicie poważny i pracowity. Uczył się i jednocześnie zarabiał jako korepetytor na życie. Gdy w Paryżu dostał się na wymarzone studia w Ecole Normale, z wdzięczności dla losu zaczął udzielać bezpłatnych korepetycji uczniom w stancji, w której do niedawna mieszkał. W wieku 22 lat dokonał odkrycia z dziedziny krystalografii, które stało się podstawą jego tezy doktorskiej. Pięć lat później był już profesorem uniwersytetu w Strasburgu. W 1857 roku opublikował zaledwie parokartkową pracę o fermentacji kwasu mlekowego, która ostatecznie miała go doprowadzić do odkryć rewolucyjnych. Pasteur ustalił, że drożdże obecne w winie podczas jego wytwarzania nie są produktem fermentacji, jak powszechnie uważano, lecz jej przyczyną. Ustalił, że kuliste szlachetne drożdże wino produkują, a drożdże podłużne je psują. I wynalazł sposób ochrony wina przed kwaśnieniem, poprzez powolne podgrzanie go do temperatury 60 stopni. W Austrii nazwano tę metodę od imienia wynalazcy – pasteryzacją. We Francji uwolniła ona wytwórców popularnych win stołowych od gigantycznych strat. Jego prace nad fermentacją piwa pozwoliły wreszcie zmniejszyć dystans dzielący jakość piwa francuskiego od niemieckiego, a browarom, także poza granicami Francji, przysporzyły gigantycznych zysków.

Pasteur zawsze dbał, by z jego badań płynęły korzyści społeczne i ekonomiczne. Jego sławę ugruntowało odkrycie istoty masowej choroby jedwabników – pieprznicy – pustoszącej hodowle na południu Francji. Setki tysięcy francuskich rolników i robotników stanęły przed widmem bezrobocia. Pasteur dowiódł, że pieprznica jest chorobą zakaźną, i opracował skuteczną metodę eliminowania zarażonych jaj jedwabników. Jeszcze głośniejszym sukcesem zakończyła się walka Pasteura z wąglikiem, straszliwą chorobą wyniszczającą stada owiec. Profesor w trakcie mozolnych badań odkrył, że podczas hodowania – w bulionie odżywczym – nitek lasecznika wąglika można zapobiec powstawaniu zarodników, które są odporne na działanie powietrza, podgrzewając hodowlę do 43 stopni. Potem Pasteur ustalił, że kontakt z powietrzem osłabia hodowane laseczniki – im kontakt dłuższy, tym stają się one mniej zjadliwe. Stąd już był krok do opracowania przez Pasteura szczepionki, za którą mieli go w przyszłości błogosławić chłopi.

Wiele zdrowia kosztowała profesora walka o uznanie, że powszechna teoria samorództwa, głosząca, że drobnoustroje powstawać mogą po prostu z materii nieożywionej, jest fałszywa. Łapiąc w sterylne kolby powietrze w Paryżu, na wsi, na szczytach Alp, dowiódł, że mikroby są wszechobecne i że to one odpowiadają za rozprzestrzenianie się chorób zakaźnych.

Przed paru laty Pasteur zajął się badaniem choroby od wieków zbierającej śmiertelne żniwo i budzącej powszechną grozę – wścieklizny. Uznał, że skoro towarzyszą jej halucynacje i paraliż, musi ona działać na układ nerwowy. I rzeczywiście, rdzenie kręgowe i mózgi zakażonych królików zaszczepione zdrowym zwierzętom wywoływały wściekliznę. Pasteur odkrył, że zakażone rdzenie królicze przechowywane w suchym powietrzu z każdym dniem tracą na zjadliwości, a po upływie 2 tygodni – już nie

zakażają. Szczepionka była gotowa. Zwierzęta pokąsane przez chore psy po podaniu, dzień po dniu, serii coraz bardziej zjadliwych wyciągów z rdzeni zakażonych królików przeżywały.

Alzacka chłopka kończy opowieść. Pokąsany Joseph wybucha głośnym płaczem. Pasteur uspokaja chłopca. Profesor jest w głębokiej rozterce. Nie ma wątpliwości, że wynaleziona przezeń metoda leczenia sprawdziła się w przypadku świeżo zakażonych wścieklizną zwierząt. Ale wstrzykiwać wyciągi z zarazkami wścieklizny człowiekowi – i to bez żadnych wcześniejszych studiów, przygotowań, prób? A jeśli chłopiec mimo zastrzyków umrze? Pasteur jest przekonany, że wtedy rzuci się nań tradycyjnie usposobiona część francuskich lekarzy i odsądzi od czci i wiary.

Rany małego Josepha wyglądają fatalnie. Pasteur widział dostatecznie wiele ran zadanych przez zakażone wścieklizną zwierzęta, by żywić złudzenia co do losu chłopca.

Profesor poleca asystentowi znalezienie matce i synowi kwatery, z własnej kieszeni daje pani Meister trochę pieniędzy. Samodzielne przeżycie w Paryżu paru tygodni to zbyt wielki wydatek dla chłopki z prowincji.

Pasteur prosi o radę dwóch lekarzy, których zdaniu ufa. Obaj niezwłocznie przybywają do laboratorium profesora i wnikliwie badają Josepha.

Dr Vulpian słynie z otwartej głowy, ale i z krytycyzmu w ocenie nowych metod leczenia. Bezpieczeństwo pacjenta zawsze stawia na pierwszym miejscu. Po wysłuchaniu profesora z namysłem rozważa sytuację. Rany Josepha wypalono kwasem karbolowym zbyt późno, by mogło to cokolwiek pomóc. Pozostawione sobie dziecko bez wątpienia umrze. Kuracja Pasteura, choć niesprawdzona na ludziach, to jedyna szansa na wyrwanie chłopca z objęć śmierci. Zatem, konkluduje dr Vulpian, Pasteur nie tylko może, ale wręcz ma

moralny obowiązek zaryzykować i wstrzyknąć dziecku wyciągi z osłabionymi zarazkami wścieklizny.

Prof. Grancher wykłada na fakultecie medycznym i jest admiratorem odkryć i nowatorskich metod leczenia wymyślanych przez Pasteura. Często wpada do jego laboratorium na pogaduszki. Sam ma wielkie osiągnięcia w leczeniu gruźlicy dziecięcej. Także i on nie ma wątpliwości – trzeba szczepić!

Pasteur poleca asystentowi poprowadzić Josepha do klatek z doświadczalnymi królikami i świnkami morskimi. Przyglądanie się zwierzętom powinno uspokoić wiejskiego chłopca.

Sam idzie do pokoju, w którym stoją długie rzędy butli laboratoryjnych z dwoma otworami – u góry i tuż nad dnem – w których, nad wchłaniającymi wilgoć z powietrza zamkniętego w butlach kryształami wodzianu potasu, wiszą na nitkach rdzenie kręgowe wypreparowane z zakażonych królików. Wyszukuje butlę z rdzeniem wiszącym najdłużej, bo równe 14 dni. Wyciąga podsuszony, nitkowaty króliczy rdzeń, mieli go i przygotowuje zeń wodny wyciąg. Czasu nie ma za wiele. Po południu Pasteur wstrzykuje chłopcu pierwszą dawkę szczepionki. Profesor, choć stara się okazywać spokój i pewność siebie, jest przy tym bardzo zdenerwowany. Argumenty obu wybitnych lekarzy przekonały go, ale dusza perfekcjonisty buntuje się – przed wstrzyknięciem szczepionki człowiekowi powinno się przecież przeprowadzić próby, mnóstwo prób!

Późnym popołudniem Pasteur przygotowuje rdzeń króliczy, który wisi nad wodzianem chloralu już tylko 12 dni. Jutro ten rdzeń będzie miał dni 13. Profesor zmieli go, przygotuje wyciąg, który następnie wstrzyknie chłopcu. I tak po kolei, przez 2 tygodnie, codziennie będzie wstrzykiwał choremu o jeden dzień młodsze wyciągi, z coraz bardziej zjadliwymi wirusami.

Gdy wieczorem znękany niepewnością Ludwik Pasteur wraca do domu, nie może sobie wyobrazić ostatecznego finału tego dnia. Mały Joseph Meister przeżyje, ocaleje też następny pacjent, bohaterski pastuszek Jupille, który zasłoni sobą kilkoro młodszych dzieci przed wściekłym psem i w ciężkiej z nim walce zostanie straszliwie pogryziony. Ale trzecia pacjentka, dziewczynka, przywieziona zbyt późno, mimo kuracji szczepionkami umrze. Pasteur będzie musiał stawić czoła brutalnym atakom wrogów, oskarżających go o spowodowanie jej śmierci. Ostatecznie jednak jego metoda pozwoli uratować wiele dziesiątek tysięcy ludzkich istnień i odpędzi grozę niemal nieuchronnej, strasznej śmierci po pokąsaniu przez wściekłe zwierzęta. Rzeźba dzielnego Jupille'a stanie przed Instytutem Pasteura, a Joseph Meister zostanie woźnym w laboratorium Pasteura. Pracować tam będzie jeszcze długo po śmierci profesora, aż do końca swoich dni.

Ludwik Pasteur z dziećmi pogryzionymi przez psy chore na wściekliznę

7 lipca 1938 ▪ czwartek

Tu będzie trawa

Rzemieślnik Stanisław Snitko od rana nerwowo przechadza się po swojej posesji przy ul. Kolejowej 3-b w Wilnie. Przeciera szmatką każde przybrudzenie, jakie dostrzeże na tynku parterowego, murowanego domu. Przylegający doń także parterowy, nieco starszy dom drewniany nie wygląda zbyt elegancko, bo jest w trakcie remontu. Drewniane ściany obite są łuczynką, siatką połupanych leszczynowych prętów, na którą nakłada się wapienne tynki. Snitko

tynku na łuczynkę jeszcze nie położył. No trudno. Stara się przynajmniej dopieścić spory sad za obu domami. Zbiera liście, drobne gałązki. Psa zamyka do budy i zastawia jej wejście – lepiej, żeby nie zdenerwował komisji.

Komisja z Urzędu Wojewódzkiego ma przybyć dzisiaj, ale o której godzinie – nie wiadomo. Komisja wojewódzka nie musi się ani zapowiadać, ani z niezapowiadania tłumaczyć. Komisja może wszystko, może nawet zburzyć dom Stanisława Snitki. Dziś los domu się rozstrzygnie.

Stanisław Snitko oszczędzał przez całe swe życie, bo od niepamiętnych czasów marzył o spokojnej starości we własnym domu. Przed trzema laty, gdy odłożył wreszcie 3 tys. zł, kupił przy Kolejowej 2 parterowe domy z ładnym sadem, na sporej, liczącej 3500 m kw. działce.

Ale spokoju tu nie zaznał. Już po roku urzędnicy z magistratu poinformowali gospodarza, że drewniany płot okalający posesję przy Kolejowej 3-b jest tak brzydki, że urąga poczuciu estetyki. Jeśli Snitko nie chce zarobić potężnego mandatu, niech lepiej weźmie się do odmalowania płotu. Na biało, bo ma być czysto i schludnie.

Snitko złapał za pędzel. Wiedział, że z premierem Rzeczypospolitej się nie wygra.

Premier gen. Felicjan Sławoj Składkowski, ubezwłasnowolniony w sprawowaniu urzędu przez prezydenta Ignacego Mościckiego, generalnego inspektora sił zbrojnych marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza, ministra spraw zagranicznych Józefa Becka i ministra gospodarki inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego, od 2 lat jednym z celów głównych swego urzędowania uczynił polepszenie warunków zdrowotnych społeczeństwa i poprawę estetyki kraju. Premier zarządził m.in. skanalizowanie wszystkich osiedli robotniczych, budowę znormalizowanych wychodków, przez lud

z miejsca ochrzczonych „sławojkami", kontrolę sanitarną targowisk, obowiązek sprzedawania masła w sklepach wyłącznie ze szklanych pojemników wypełnionych wodą i nakrytych czystą tkaniną. Zarządził też wielkie malowanie Polski – wszystkie płoty, bramy, fasady domów miały być pomalowane na jednolite, ustalone dla danej miejscowości kolory. Budowle szczególnie brzydkie należało estetycznie uzdatnić – przebudować i pomalować. Gorliwość lokalnych urzędników sprawiła, że – jak interpelowali w tym roku posłowie – wymalowane na jeden kolor miasteczka zamieniły się w koszary. Tradycyjne wiejskie płoty z plecionej wikliny na polecenie urzędów albo pobielano wapnem, jak w czasach zarazy, albo niszczono i domagano się od biednych gospodarzy instalowania kosztownych ogrodzeń z siatki metalowej. Często gorliwi urzędnicy doprowadzali do malowania żywopłotów, które operacji tej, rzecz jasna, nie mogły przeżyć. A wszystko na koszt właścicieli gospodarstw i posesji.

Przed rokiem Stanisław Snitko, zgrzytając zębami, znów pobielił płot, odmalował w domu drzwi. Farby kosztowały spory grosz, ponad 10 zł, pracy nie licząc. W tym roku, nawet nie czekając na magistracką komisję, znów pobielił płot, pomalował drzwi.

Komisja pod wodzą jakiegoś inżyniera przybyła na Kolejową w maju. Urzędnicy nawet nie sprawdzali, jak to czynili w latach poprzednich, czy farba jest równo położona na sztachetach. Od razu wręczyli gospodarzowi pisemną decyzję nr L. B. 1174/3-b. Stanisław Snitko wyczytał w niej, że ma rozebrać oba swe domy, a na ich miejscu założyć zieleniec.

– Jak to – rozebrać?

– No, zburzyć – wyjaśnił inżynier. – A ziemię wyrównać i zieleniec zrobić.

– Dlaczego?

– Domy walą się. I są nieestetyczne – cierpliwie objaśniał inżynier.

– Ale to moje domy!

– No i co z tego, jak są nieestetyczne.

– A te zieleńce, ki diabeł?

– Zieleńce jak zieleńce – wzruszył ramionami inżynier. – Trzeba grunt wyrównać, posiać trawę, posadzić krzewy. W grupach. Estetycznych.

– Ale jakim prawem? – nie wytrzymał Snitko.

– Oooo, prawa się zachciewa? – inżynier zdenerwował się. – Ja panu pokażę, co to znaczy sabotować wykonanie urzędowych decyzji! Ja sam to rozbiorę, a pan zapłaci!

Snitko jeszcze układał treść podania do wileńskiego magistratu o uratowanie domów, gdy 27 maja znów zjawiła się na Kolejowej komisja. W tym samym składzie. Tym razem inżynier nakrzyczał na gospodarza, że ignoruje rozporządzenia premiera Składkowskiego o estetycznym podniesieniu kraju.

– Jak pan maluje front?! Dom trzeba najpierw porządnie otynkować, a później malować na jednolity kolor z sąsiednim budynkiem!

Snitko wysłuchał tyrady inżyniera kornie i jeszcze się radośnie uśmiechał. Każą tynkować, każą malować, znaczy nie będą już kazać rozbierać i zakładać ozdobnego trawnika.

Radość Snitki trwała 3 dni. Komisja z magistratu pojawiła się po raz trzeci. Inżynier zarządził natychmiastowe przerwanie robót remontowych. Nie ma sensu remontować, bo trzeba będzie domy rozebrać, wyjaśnił. Gdy Snitko przypomniał, że nakaz remontowania dostał od niego przed trzema dniami, urzędnik nawet się nie speszył – tak, kazał remontować, bo zapomniał zabrać z magistratu dokumentację sprawy, w której stoi jak byk, że na

miejscu domów Snitki mają być estetyczne zieleńce. I będą, bo wedle decyzji magistratu, powziętej w odpowiedzi na wytyczne pana premiera, przy ul. Kolejowej mają być zieleńce, a innego niż posesja Snitki miejsca na zieleńce nie ma.

Wieczorem dzielnicowy przyniósł Snitce nakaz wstrzymania remontu. A po dwóch tygodniach listonosz dostarczył pismo zatytułowane *Decyzja Główna*: „[...] wzywam pana jako właściciela do rozbiórki murowanego i drewnianego budynku po uprzednim opuszczeniu zajmowanego lokalu oraz uporządkowanie terenu poprzez założenie zieleńców [...]. Uzasadnienie: zniszczone budynki zagrażają bezpieczeństwu publicznemu oraz zeszpecają wygląd otoczenia".

Snitko odwołał się do sądu. Biegli sądu grodzkiego inżynierowie architekci Trojan i Smorgoński napisali w ekspertyzie: „Ściany nie posiadają żadnych pęknięć i rysów. Więźba dachowa lekka, lecz zastosowana do wylotu w stanie zupełnie dobrym. Belki stropowe zbadane przy oględzinach okazały się zupełnie zdrowe i wymiarów należytych. Podłogi w obu budynkach, malowane olejno, w stanie dobrym. Okna i drzwi w porządku. Okna dubeltowe. Tynki w stanie dobrym. Mieszkanie posiada instalację świetlną w rurkach. Posesja skanalizowana. Oba budynki pod każdym względem mogą być uznane za zadowalające".

Przed posesją Snitki zatrzymuje się samochód z Urzędu Wojewódzkiego. Czterech urzędników w milczeniu, z powagą obchodzi posesję. Mimo uszu puszczają uniżone wyjaśnienia gospodarza. Po godzinie zmierzają ku furtce. Snitko pyta, co z jego domami. Szef komisji rozkłada ręce: może i one nie są w tragicznym stanie technicznym, ale są brzydkie. Niestety, nie da się ich uratować. Tylko zieleniec w ich miejscu podniesie estetycznie ul. Kolejową.

Wizyta premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego na procesji Bożego Ciała na Kresach

8 lipca 1936 ▪ środa

Zabić dyrektora

Pierwsi interesanci zjawiają się przed gmachem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przy ul. Czerniakowskiej w Warszawie już przed 7.00. Jest wśród nich dość porządnie odziany mężczyzna koło czterdziestki. Po siódmej interesanci wchodzą do budynku. Mężczyzna zostaje na zewnątrz. Najwyraźniej bez celu krąży przed schodami prowadzącymi do gmachu.

O 8.00 mężczyzna wchodzi do budynku i zbliża się do okienka, w którym jest płatny telefon dla interesantów. Rozmawia z kimś

z miasta, płaci należne 15 gr i wraca na ulicę, przed wejście do ZUS.

Po raz drugi nieznajomy pojawia się w budynku ubezpieczalni ok. 9.00. Znów korzysta z telefonu, płaci zań i wychodzi na ulicę, gdzie rozpoczyna nerwowy spacer przed schodami. Po godzinie wraca po raz trzeci. Pracownica podająca mu kolejny raz telefon zauważa, że jest bardzo zdenerwowany. Sprawia wrażenie, jakby na kogoś czekał.

I rzeczywiście, Aleksy Szymik od rana czeka na wicedyrektora ZUS dr. Wiktora Gosiewskiego.

Znają się od 3 lat. Dr Gosiewski był wówczas dyrektorem, a Szymik – urzędnikiem ubezpieczalni w Sosnowcu. Jako pracownik manipulacyjny zarabiał całkiem przyzwoicie, bo 200 zł miesięcznie, ale nie cieszył się najlepszą opinią. Zwierzchnicy uważali, że nie przykłada się do pracy, wręcz lekceważy swe obowiązki. Przed 2 laty dyrekcja sosnowieckiego ZUS przystąpiła do redukcji zatrudnienia. Jednym z pierwszych na liście do zwolnienia był Aleksy Szymik. Po wyrzuceniu na bruk Szymik nadal pojawiał się w ubezpieczalni. Nachodził swego byłego bezpośredniego przełożonego dr. Reissego i prosił o przywrócenie do pracy. Opowiadał, że ma na utrzymaniu liczną rodzinę, w tym żonę i 2 dzieci. Reisse o tym wiedział, lecz decyzji nie zmienił.

Wtedy Szymik zaczął mu grozić zemstą. Wyproszony z biura, wysłał do niego list z pogróżkami. Dr Reisse wytoczył agresywnemu natrętowi sprawę sądową.

Wiktor Gosiewski krótko po przeprowadzeniu redukcji w sosnowieckiej ubezpieczalni awansował na zastępcę naczelnego dyrektora Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie.

Wśród piłsudczyków jest postacią znaną i lubianą. Już w czasie strajku szkolnego w 1905 roku za udział w uczniowskiej konspiracji został aresztowany przez carską policję i dostał wilczy bilet do szkół

państwowych. Jako student konspirował w organizacjach oświatowych i w ruchu strzeleckim. Po wybuchu wojny światowej wstąpił do Legionów – najpierw służył jako lekarz, potem jako porucznik artylerii. Przeszedł ciężkie walki podczas kampanii karpackiej, besarabskiej i wołyńskiej. Potem konspirował w POW i rozbrajał Niemców jesienią 1918 roku.

40-letniego lekarza z taką kartą w ruchu niepodległościowym czeka piękna kariera. Jedynym zgrzytem są kłopoty ze zredukowanym w Sosnowcu pracownikiem manipulacyjnym.

Szymik bowiem po aferze sądowej z dr. Reissem nie uspokoił się. Przeciwnie, list z pogróżkami wysłał także do Wiktora Gosiewskiego. Ten nie stracił zimnej krwi – list odesłał do Sosnowca z uwagą, by w miarę możności pomóc jego dawnemu podwładnemu.

Naczelnemu dyrektorowi nie odmawia się w prowincjonalnym Sosnowcu – wicedyrektor tamtejszej ubezpieczalni wezwał Szymika i zaproponował mu posadę pomocnika administracyjnego przy lekarzu domowym dr. Niepielskim z gażą 100 zł miesięcznie. Szymik zrazu propozycję przyjął, ale nazajutrz zrezygnował z niej. Oświadczył, że to posada zbyt mizerna.

Przed miesiącem dyr. Gosiewski wizytował sosnowiecką ubezpieczalnię. Dotarł wtedy do niego Szymik i uprosił o kolejną interwencję w sprawie pracy. Dr Gosiewski jeszcze raz skłonił dyrekcję tamtejszego ZUS do zajęcia się sprawą zredukowanego urzędnika. Dyrektor ubezpieczalni obiecał Szymikowi, że czeka na zwolnienie się etatu z gażą 150 zł i rychło będzie mógł go na nim zatrudnić. Bezrobotny nie ufał jednak dyrektorowi. Nachodził prezesa lokalnego związku zawodowego pracowników ubezpieczalni. Ten w końcu potwierdził, że zwolniony etat ma przypaść Szymikowi, ale trzeba jeszcze poczekać.

Szymik jednak oświadczył, że czekać nie zamierza: „Pojadę do Warszawy i tam dam sobie radę. A w razie jak co wyniknie, niech pan zezna, że tak do pana powiedziałem".

Zabrzmiało to groźnie. Zaniepokojony prezes przed tygodniem pojechał do Warszawy, złożył wizytę dyr. Gosiewskiemu i opowiedział mu o dziwnym zachowaniu Szymika. Gosiewski wyraźnie przejął się groźbą swego byłego pracownika. Miał powód.

Przed trzema tygodniami dyrektor ZUS w Łodzi Michał Wąsowicz został zastrzelony przez zwolnionego z pracy inkasenta łódzkiej ubezpieczalni. Chwilę potem zdesperowany zabójca, 47-letni Aleksander Macander, strzelił z sobie w skroń. Uroczystości pogrzebowe Wąsowicza odbyły się w łódzkiej katedrze z udziałem władz państwowych. Późniejszy o 2 dni pogrzeb Macandra stał się wielką manifestacją polityczną. Pod sztandarami PPS zabójcę odprowadziło na cmentarz ponad 25 tys. osób. Protestowano w ten sposób przeciw redukcjom zatrudnienia w ubezpieczalniach, przeciw obniżkom płac, odbieraniu nabytych uprawnień pracowniczych.

Michał Wąsowicz był poprzednikiem Gosiewskiego na stanowisku dyrektora ZUS w Sosnowcu. Obaj dobrze się znali.

Informację o słabo zawoalowanej pogróżce zredukowanego Szymika potraktował Gosiewski bardzo poważnie. Przed paru dniami wziął większą zaliczkę i uregulował swoje zobowiązania finansowe. Zapłacił też zaległe składki ubezpieczenia na życie. Zaczął przyjeżdżać do pracy w różnych godzinach. Do gmachu ZUS wchodził bocznym wejściem. Zaczął nosić przy sobie rewolwer.

Dziś także wchodzi bocznym wejściem. Szymik nie zauważa jego przybycia. O 14.20 Gosiewski kończy konferencję finansową z dyrektorem finansowym ZUS i informuje sekretarkę, że wyjeżdża załatwić sprawy w mieście. Bierze kapelusz i schodzi na parter. Tam

przez chwilę rozmawia z jednym z urzędników, kupuje gazetę od stojącego w holu chłopca i schodzi po schodach do służbowego samochodu.

Gdy szofer otwiera mu drzwi, zza prawego węgła budynku wychodzi Aleksy Szymik. Wyciąga z kieszeni rewolwer i zaczyna strzelać. Po pierwszych dwóch wystrzałach trafiony Gosiewski rzuca się w stronę schodów, jakby chcąc uciekać do budynku, ale po paru krokach przewraca się na stopnie. Szymik z bliska wystrzeliwuje doń cały bębenek.

Zamach widzą przejeżdżający akurat tuż obok tramwajem policjant i wywiadowca policji po cywilnemu. Wyskakują w biegu i rzucają się na mordercę. Szymik nie broni się, nie próbuje uciekać. Odrzuca pusty rewolwer i pozwala się aresztować.

Pogotowie przewozi dającego słabe oznaki życia Gosiewskiego do Instytutu Chirurgii Urazowej Szpitala im. Marszałka Piłsudskiego. O 17.00 dr Chorupski rozpoczyna operację. Jeden z pocisków trafił Gosiewskiego w lewą skroń. Chirurg wydobywa z paskudnej rany cztery spore odłamki kości, które uciskały mózg. W tym czasie inni lekarze tamują krwawienie z uszkodzonej tętnicy.

Policjanci przewożą Aleksego Szymika taksówką do urzędu śledczego. Aresztowany spokojnie składa obszerne zeznania. Wyjaśnia, że do Gosiewskiego strzelał z zemsty i że myśl o zastrzeleniu go powziął przed dwoma laty, tuż po wyrzuceniu go z pracy w sosnowieckiej ubezpieczalni. Sędzia śledczy słucha tego ze zdumieniem. Przyznając, że zbrodnię planował od dawna, Szymik w praktyce sam zakłada sobie stryczek na szyję – za zabójstwo z premedytacją grozi kara śmierci.

O 22.00 lekarze przeprowadzają Gosiewskiemu operację klatki piersiowej. Stan pacjenta poprawia się i lekarze nabierają nadziei, że

ranny ma szanse przeżyć. Po godzinie przychodzi jednak kryzys. O północy Wiktor Gosiewski umiera.

9 lipca 1982 ▪ piątek

Wizyta u starszej pani

Tuż przed 6.00 do muru o wysokości niemal 6 m, okalającego ogrody pałacu Buckingham w Londynie, rezydencji brytyjskich monarchów, zbliża się młody mężczyzna. Irlandczyk Michael Fagan ma 31 lat, czworo dzieci i poważne kłopoty z własną psychiką. Od dawna za to nie ma pracy. Jest boso, ma na sobie dżinsy i brudny, wymiętoszony podkoszulek. Wykorzystując szczeliny i nierówności, sprawnie wspina się na mur. Na szczycie zręcznie prześlizguje się pod zwojami drutu kolczastego i sterczącymi spośród cegieł stalowymi szpikulcami. Przeszkody te zna doskonale – po raz pierwszy sforsował je niezauważony przed miesiącem, 6 czerwca. Przedostał się wtedy do wnętrza pałacu Buckingham i skradł pół butelki wina wartego 6 dolarów.

Tym razem jego wspinaczkę dostrzega wracający z nocnej służby w mieście policjant. Jest za daleko, by powstrzymać intruza. Policjant biegnie więc do bramy wjazdowej, by zaalarmować gwardię pałacową.

Gwardziści królowej ruszają na spacer ogrodowymi alejkami. Nikogo obcego jednak nie spotykają i spokojnie powracają na posterunek przy bramie. Alarmem podniesionym przez policjanta nie przejmują się. Do ogrodów pałacu Buckingham co rusz przedostają się osobliwi goście. Przed miesiącem w ogrodzie wokół pałacu kręcił się jakiś mężczyzna z nożem w ręku. W zeszłym roku

zatrzymano tu troje niemieckich turystów, którzy rozbili namiot nieopodal pałacu. Byli przekonani, że są w Hyde Parku.

Fagan tymczasem idzie boso wzdłuż południowej elewacji pałacu, potem skręca i posuwa się wzdłuż ściany zachodniej. Uważnie obserwuje przy tym pałacowe okna. Jedno z nich jest uchylone. Intruz wspina się po murze, chwyta się okiennicy i po parapecie wchodzi do środka. Nie zauważa, że system alarmowy zainstalowany w oknie wzbudza się. Na pulpicie w specjalnym posterunku policji, znajdującym się na terenach pałacowych, zapala się lampka sygnalizacyjna. Pełniący dyżur policjant uznaje jednak alarm za awarię systemu przeciwwłamaniowego.

Fagan jest teraz w tzw. Pokoju Znaczków, w którym znajduje się kolekcja znaczków pocztowych króla Jerzego V o wartości ponad 20 mln dolarów. Skarby jednak nie interesują go. Próbuje przejść dalej, ale drzwi są zamknięte.

Intruz wychodzi z Pokoju Znaczków, tak jak wszedł – przez okno. System alarmowy w oknie wzbudza się po raz wtóry i po raz wtóry dyżurujący policjant uznaje to za awarię.

Michael Fagan przez nikogo nieniepokojony wędruje teraz wzdłuż wschodniej elewacji pałacu. Kolejny raz dostrzega w górze uchylone okno. Wspina się do niego po rynnie. Wysoko nad ziemią odciąga i wyrywa umocowany tam specjalny rodzaj drutu kolczastego, mającego zapobiegać siadaniu gołębi i zanieczyszczaniu przez nie murów. Akrobatyczne manewry kończy wślizgnięciem się przez uchylone okno do biura wiceadm. *sir* Petera Ashmore'a, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo królowej Elżbiety II. Admirała nie ma jeszcze w pracy, za to drzwi do jego pomieszczeń są otwarte. Intruz wychodzi na korytarz. Wędruje nieśpiesznie, oglądając wiszące na ścianach obrazy i zaglądając do mijanych pokoi. Nagle z bocznego korytarza wychodzi królewski kamerdyner. Fagan

zachowuje zimną krew, idzie dalej z doskonale obojętnym wyrazem twarzy. Kamerdyner mówi uprzejmie „dzień dobry" i oddala się. Bosy facet w brudnym podkoszulku wędrujący o 6.00 po pałacu królewskim nie wydaje mu się kimś na tyle szczególnym, by okazać niestosowne zainteresowanie.

Fagan znajduje na jednym ze stolików masywną kryształową popielniczkę. Tłucze ją. Przy okazji rozcina sobie rękę. Krew spływa mu po dłoni, kapie na podłogę, ale on nie zwraca na to uwagi. O 6.15 zatrzymuje się przed drzwiami do sypialni królowej Elżbiety II.

Każdej nocy, aż do 6.00 przed sypialnią królowej pełni dyżur uzbrojony oficer policji. Punktualnie o 6.00 zmienia go kamerdyner królowej, oczywiście bez broni. Dziś jednak kamerdyner nieco później wyprowadził na poranne siusiu stadko ukochanych piesków królowej rasy corgie. Pieski ciągle jeszcze hasają po trawnikach pałacowego ogrodu. Przed drzwiami sypialni nie ma nikogo.

Fagan otwiera je, wchodzi. W półmroku dostrzega śpiącą na reprezentacyjnym łożu królową Elżbietę II. Monarchini jest sama. Od ponad 20 lat Elżbieta II i jej małżonek książę Edynburga Filip mają osobne sypialnie, łazienki i garderoby.

Fagan energicznym ruchem odsuwa z okna ciężkie kotary. Hałas i światło budzą królową. Unosi się i siada w pościeli. W tym samym momencie intruz przysiada na skraju jej łoża i konwersacyjnym tonem informuje, że chciałby porozmawiać o miłości.

Wyrwana ze snu Elżbieta II nie krzyczy, nie próbuje uciekać. Jest chłodna, opanowana, racjonalna. W końcu już w wieku 11 lat, tuż po koronacji, została zastępczynią drużyny skautek założonej w pałacu królewskim, a jedną z ustawicznie ćwiczonych wtedy cnót było

opanowanie i samokontrola. Małej Elżbiecie nie wolno było płakać nawet wtedy, gdy się pokaleczyła. W 1945 roku zaś następczyni tronu trafiła w szeregi Auxiliary Territorial Service, Armii Rezerwowej. Jako Elżbieta Aleksandra Maria Windsor ukończyła w Aldershot szkolenie mechanika samochodowego i kierowcy wojskowego.

Zimna krew i opanowanie szybko miały się jej przydać. Podczas ślubu najpierw stary służący schował jej wiązankę ślubną do chłodnego kredensu, a potem o niej zapomniał. Wiązankę odnaleziono w ostatniej chwili przed początkiem ceremonii. Kosztowna tiara od królowej Marii pękła podczas wkładania na głowę Elżbiety. Paniki dopełniła wiadomość, że wspaniały, podwójny sznur pereł, dar ślubny od rodziców panny młodej, zniknął. Jak się okazało, ktoś ze służby pomyłkowo dołączył go do innych darów ślubnych wystawionych na widok publiczny w odległym o pół mili zamku St. James. Prywatny sekretarz panny młodej Jock Colville o 11.55 rzucił się po perły z taką determinacją, że tylko królewska uprzejmość i poczucie humoru króla Norwegii Haakona VII uratowały dwór od skandalu. Colville otóż wybiegł z pałacu Buckingham i wskoczył do pierwszej z brzegu luksusowych limuzyn stojących sznurem na głównym dziedzińcu pałacu Buckingham. Nie zważając na siedzącego z tyłu starszego, obwieszonego orderami dżentelmena, krzyknął do kierowcy: „Do pałacu St. James, natychmiast!". Haakon VII zauważył wtedy z tylnej kanapy royal daimlera: „Widzę, że bardzo się śpieszysz, młody człowieku. Oczywiście możesz wziąć mój samochód, ale pozwól, że najpierw wysiądę".

Jedną z nielicznych osób, które pośród ogólnej histerii zachowały wtedy spokój, była księżniczka Elżbieta.

W zeszłym roku zaś królowa pokazała, że nie brak jej zimnej krwi także podczas zagrożenia życia. Dosiadając swej ulubionej czarnej klaczy Burmese, brała udział w uroczystej zmianie warty. Jeden z widzów wymierzył w nią rewolwer i oddał 6 strzałów. Klacz stanęła dęba, ale Elżbieta II opanowała ją i poleciła, by ceremonii nie przerywać. Napastnik strzelał ślepymi nabojami, królowa jednak o tym przecież nie wiedziała.

Siedząc na łóżku, Elżbieta II stara się błyskawicznie ocenić sytuację. Krew ze zranionej ręki nieproszonego gościa plami rozbitą popielniczkę, spływa na dywan. Akcent zdradza intruza, że jest Irlandczykiem. Niedobrze. To może być terrorysta Irlandzkiej Armii Republikańskiej. IRA ma długie ręce. Przed 3 laty, w sierpniu 1979 roku, irlandzcy terroryści wysadzili jacht bliskiego jej lorda Mountbattena. Lord, dwoje z jego gości i członek załogi zginęli.

Na szczęście młody, krwawiący człowiek gada jak najęty o potrzebie miłości. Królowa podnosi słuchawkę wewnętrznego telefonu stojącego na nocnym stoliku przy łóżku. Zgłasza się operator centrali. Elżbieta II prosi go, by wezwał do niej policję. Operator dzwoni do pałacowego posterunku policji, ale nikt nie odpowiada. Policjanci na chwilę wyszli.

Królowa pyta uprzejmie intruza o jego rodzinę. Fagan połyka haczyk. Opowiada o swoich dzieciach, tłumaczy Elżbiecie, że to nadzwyczajny zbieg okoliczności, iż i ona, i on mają czworo potomstwa. Królowa dyskretnie naciska guzik dzwonka służącego do przyzywania pokojówek. Żadna z nich jednak dzwonka nie słyszy. Wreszcie po 10 minutach tej dziwnej rozmowy wchodzi pokojówka. Na widok Fagana panna krzyczy: „Cholera jasna, co on tu robi?!". Wybiega z sypialni, budzi jednego z kamerdynerów, a ten, w dezabilu, obezwładnia intruza. Dopiero wtedy, 12 minut po

pierwszym telefonie królowej, przybiegają policjanci z pałacowego posterunku.

Królowa jest blada, wściekła, ale zachowuje spokój. Na pytanie o najście wyjaśnia: „Opowiadał takie same głupstwa jak ludzie w trakcie moich spacerów pośród tłumu. Z takimi sprawami umiem sobie radzić".

10 lipca 1873 ▪ czwartek

Na mnie, na ciebie, na cały świat!

Poeta Paul Verlaine późnym rankiem schodzi ze swego pokoju w brukselskim Hotel de Courtrai przy ulicy Brasseur do kawiarni na dole. Jego śniadanie to parę kęsów chleba, piwo, kilka szklaneczek wina i absyntu. Potem idzie do Galerii św. Huberta, do sklepu rusznikarza Montigny'ego. Za 23 franki kupuje sześciostrzałowy rewolwer kalibru 7 mm i pudełko z 50 nabojami. Verlaine w ogóle nie zna się na broni. Prosi sprzedawcę, pana Leroy, by wyjaśnił mu, jak działa rewolwer. Nieporadnie nabija go trzema nabojami i wraca do swego pokoju w Hotel de Courtrai, do swego przyjaciela, poety Arthura Rimbaud. Gdy pokazuje mu broń, Rimbaud pyta: „Po co ci to?". Verlaine krzyczy histerycznie: „To jest na mnie, na ciebie, na cały świat".

Przed dwoma laty, w sierpniu 1871 roku, 17-letni genialny poeta Arthur Rimbaud dusił się w prowincjonalnej atmosferze rodzinnego Charleville. Miał kłopoty z wydawaniem swych poematów, brakowało mu pieniędzy, łaknął sławy. Jeden z przyjaciół zasugerował mu, że jego znajomy, poeta Paul Verlaine, mógłby mu pomóc. Młodziutkiemu Arthurowi nie trzeba było tego powtarzać

dwa razy. Natychmiast napisał do Verlaine'a list, do którego dołączył kopie kilku swych poematów. Odpowiedź nie nadchodziła, więc niecierpliwy Rimbaud wysłał list z ponagleniem i kolejnymi poematami, po czym zasiadł do pisania *Statku pijanego*, ekstatycznej apoteozy przygody i wolności – w istocie poetyckiej, intelektualnej i duchowej, autobiografii. List od Verlaine'a w końcu nadszedł, a w nim zaproszenie do Paryża i pieniądze na podróż, zebrane od znajomych poetów.

W czasie pierwszego spotkania nastolatek Rimbaud był wyniosły i arogancki, wobec swego dobroczyńcy demonstrował pozę butnego chłopaka z prowincji. Ale Verlaine nie zwracał uwagi na marsowe miny Arthura i jego irytujące odpowiedzi monosylabami na każde pytanie. Dla niego liczyły się tylko wspaniały talent chłopca, niesforna szopa brązowawych kręconych włosów nad jego przenikliwymi oczami, zmysłowe usta. Po pierwszym spotkaniu zaprosił Rimbauda, by zamieszkał u niego.

Verlaine zakochał się. 27-letni poeta, mieszkający w domu teściów wraz z będącą w ósmym miesiącu ciąży żoną Matyldą, stracił dla Arthura głowę. Gdy Matylda zaczęła wymawiać mu namiętną zażyłość z chłopcem, wynajął mu pokój na Montparnasse. Dręczony poczuciem winy, zaczął pić ponad miarę, zresztą w towarzystwie Rimbauda. Miewał alkoholowe deliria, w trakcie których kłócił się z żoną; raz nawet mocno ją uderzył.

W styczniu zeszłego roku sytuacja finansowa państwa Verlaine wyraźnie się pogorszyła. Matylda, coraz bardziej oburzona bezczelnym wdarciem się Rimbauda w jej małżeństwo, wyjechała z Paryża. Zapowiedziała stanowczo, że wróci z dzieckiem dopiero wtedy, gdy Rimbaud zostanie odesłany do domu w Charleville.

W związku obu mężczyzn to nastoletni Rimbaud był bardziej zdecydowany, wręcz agresywny. W wyrafinowany sposób

podburzał Paula przeciw wszelkiej stabilizacji w życiu, towarzyszył mu w pijackich wędrówkach po kawiarniach i destylarniach absyntu. Verlaine pracował w firmie ubezpieczeniowej i spotykał się z Rimbaudem tylko wieczorami. Arthur zaś całymi dniami włóczył się po knajpach i przepuszczał kieszonkowe od Paula. W lipcu zeszłego roku Rimbaud nagle oświadczył, że jest znudzony Paryżem i udaje się do Brukseli. Verlaine rzucił wszystko i wyjechał z nim.

Za obu poetami podążyła do Belgii Matylda Verlaine. Próbowała odzyskać męża, ale Paul szczerze oświadczył jej, że przedkłada Arthura nad nią. Matylda wszczęła kroki rozwodowe.

W styczniu tego roku Verlaine, mieszkający wtedy samotnie w Londynie, zachorował. Z natury hipochondryk, wpadł w przygnębienie i przerażenie zarazem. Wezwał z Charleville Rimbauda. Matka Paula wysłała Arthurowi pieniądze na koszty podróży. W Londynie Rimbaud pozostał aż do wyzdrowienia przyjaciela, po czym wyjechał do Francji i zabrał się do pracy nad kolejnym wielkim dziełem – *Sezonem w piekle*. Pod koniec maja obaj spotkali się we Francji i znów wyjechali do Londynu.

W Anglii Verlaine z nadzieją przywitał dawno niewidziane w tym związku spokój i stabilizację. Rimbaud regularnie chadzał do British Museum. Sporo czytał, dalej pracował nad *Sezonem w piekle*. Obaj dawali lekcje języka francuskiego, ale to nie wystarczało na życie. Pieniądze regularnie dosyłała matka Verlaine'a.

Po paru tygodniach wróciło jednak napięcie, sprzeczki, awantury. Rimbaud publicznie upokarzał Verlaine'a. Zwracali uwagę otoczenia. Pojawiły się plotki o niemoralnej naturze ich kontaktów. Zaczęli być obserwowani przez tajnych agentów policji.

Tydzień temu Verlaine wracał do wynajętego pokoju z londyńskiego targu rybnego. W jednej ręce niósł siatkę z rybami, w drugiej olej. Na ulicy spotkał Arthura, który na widok obładowanego jak gospodyni domowa przyjaciela wybuchł śmiechem i złośliwie skomentował jego zapał w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Verlaine rzucił zakupy na bruk, odwrócił się na pięcie i odszedł. Gdy nie pojawiał się w pokoju przez dłuższy czas, tknięty przeczuciem Rimbaud pobiegł do odległych o 5 km Doków św. Katarzyny. Nie mylił się – na pokładzie odbijającego od brzegu promu do Belgii dostrzegł Paula. Verlaine zostawił w ich londyńskim pokoju wszystkie swoje rzeczy, ubrania, nawet swoje manuskrypty. Z Belgii wysłał do Londynu list, w którym ostatecznie zerwał z Arthurem.

Ale pogrążony w depresji Verlaine długo nie wytrzymał w tym postanowieniu. Trzy dni później wysłał do Rimbauda depeszę wzywającą do przyjazdu. Arthur zjawił się wczoraj po południu. Zamieszkał z Paulem, nie zważając, że sąsiedni pokój wynajęła matka Verlaine'a. Cały wieczór obaj poeci ostro pili, chcąc uczcić powrót, ale też zagłuszyć swą niepewność co do najbliższych dni.

Dziś rano Arthur dał do zrozumienia, że wyjeżdża do Paryża.

Verlaine uspokaja się i chowa nabity rewolwer do kieszeni. Po chwili obaj poeci wraz z matką Paula schodzą do restauracji. Przy obiedzie Rimbaud potwierdza, że wyjeżdża do Paryża pociągiem o 15.40. Verlaine milczy, zamawia kolejne absynty. O 14.00 wszyscy wracają na górę. Artur pakuje bagaże, Paul usiłuje odwieść go od pomysłu wyjazdu. Co chwila zbiega na dół, na kolejną szklaneczkę. Arthur idzie do pokoju pani Verlaine i przekonuje ją, by pożyczyła mu pieniądze na bilet. Gdy wraca, Paul nagle zamyka drzwi na klucz. Ustawia naprzeciwko Arthura krzesło, siada, wyjmuje

rewolwer. Strzela dwa razy, krzycząc: „Ja ci jeszcze pokażę, co to znaczy chcieć odjechać!".

Pierwszy pocisk trafia Rimbauda w lewy nadgarstek. Arthur pada na podłogę. Drugi pocisk trafia w ścianę tuż za nim, na wysokości 30 cm nad podłogą. Huk wystrzałów i widok krwi sprawiają, że Verlaine trzeźwieje. Wybiega do pokoju matki i rzuca się na jej łóżko. Gdy wchodzi ranny Rimbaud, Verlaine wręcza mu rewolwer i prosi, by go zastrzelił. Wtedy wszyscy troje uspokajają się. Pani Verlaine tamuje krew. Obaj poeci i pani Verlaine postanawiają ukryć aferę. Na szczęście rana nie jest groźna. We troje idą do Szpitala św. Jana, gdzie medyk prowizorycznie opatruje ranę, nie wyjmując z niej pocisku.

Po powrocie do domu Verlaine wciąż wyrzuca Arthurowi chęć wyjazdu i prosi, by go nie opuszczał. Rimbaud postanawia jednak jechać do swojej matki we Francji i tam się kurować. Pani Verlaine daje mu 20 franków na drogę i ofiarowuje się, że odprowadzi go na dworzec. Paul upiera się, że pójdzie z nimi. Po drodze wyraźnie coś go męczy. Rękę trzyma w kieszeni z rewolwerem. Nagle przyspiesza i po paru krokach odwraca się w stronę Arthura. Przerażony Rimbaud biegnie do stojącego niedaleko policjanta i prosi o pomoc. Posterunkowy Auguste Michel o 20.00 doprowadza całą trójkę na komisariat i składa meldunek inspektorowi Josephowi Delhalle: „Złapałem za rewolwer, który był jeszcze nabity". Inspektor przesłuchuje kolejno zatrzymanych. Pani Verlaine broni syna, uskarża się na niecny charakter Rimbauda, który żyje na koszt Paula. Rimbaud i Verlaine sucho relacjonują wydarzenia, podkreślając, że Paul był pijany, a cała afera jest w istocie nieszczęśliwym przypadkiem. Ale pewne drobiazgi budzą czujność inspektora Delhalle: telegram zapraszający przyszłą ofiarę, zakup rewolweru, pogróżki na krótko przed oddaniem strzału, zamknięcie drzwi na

klucz. To wygląda na zbrodnię z premedytacją, sprawę bardzo poważną. Delhalle każe Verlainowi opróżnić kieszenie i zatrzymuje go tymczasowo w areszcie tuż za ratuszem. Paul ma przy sobie gotówkę, kupuje sobie zatem przysługujące mu litr piwa, kawałek chleba i sera. Rimbaud i pani Verlaine w ponurym nastroju wracają do Hotel de Courtrai. Jest gorąco, duszno. Nie przychodzi im na myśl, że w zarekwirowanych przez policję z kieszeni Verlaine'a listach i papierach są jednoznaczne dowody ich intymnego związku. A obraza moralności to sprawa grubo poważniejsza od postrzelenia.

11 lipca 1931 ▪ sobota

Przejechał się

Późnym wieczorem postawny mężczyzna w cywilnym ubraniu idzie nieśpiesznie w stronę Pola Mokotowskiego w Warszawie. Niewielki wąs ocienia jego wydatne usta. W ręku mężczyzna trzyma wypchaną skórzaną teczkę.

Mężczyzna nie ma pojęcia, że jest obserwowany przez trzech cywilnych agentów referatu kontrwywiadowczego Samodzielnego Referatu Informacyjnego Dowództwa Okręgu Korpusu. Przy ul. Polnej wsiada do stojącej przy chodniku czarnej limuzyny.

Agenci kontrwywiadu rozpoznają zaparkowany nieopodal limuzyny, do której wsiadł ubrany po cywilnemu mjr dypl. Piotr Demkowski, oficer IV Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego, nieoznakowany samochód Policji Państwowej i spacerującego obok niego wywiadowcę policyjnego. Tajniak daje wywiadowcom wojskowym dyskretny znak – nie ma cienia wątpliwości, że Demkowski wsiadł do samochodu ambasady sowieckiej.

Nie pierwszy zresztą raz.

Przed sześcioma tygodniami agent „Grabczyk" z referatu kontrwywiadowczego, śledzący krążącego po mieście sowieckiego dyplomatę Grebienszczykowa, zauważył, że spotkał się on z nieznanym mężczyzną. Agent zaczął śledzić rozmówcę Grebienszczykowa i stwierdził, że jest to mjr Demkowski. Dwa dni później szef Sztabu Głównego gen. Tadeusz Piskor podpisał zgodę na inwigilację Demkowskiego.

W życiorysie majora oficerowie śledczy nie znaleźli niczego szczególnie podejrzanego. Urodzony w roku 1895 roku we wsi Gorbaczewo w powiecie orszańskim, Demkowski podczas I wojny światowej zgłosił się ochotniczo do armii rosyjskiej. Przez 4. miesiące był słuchaczem skróconego, wojennego kursu Szkoły Przygotowania Chorążych Piechoty w Tyflisie, a potem trafił na front austriacki, w szeregi 47. Pułku Piechoty. W maju 1917 roku ożenił się z Rosjanką Antoniną Miedwiediew. Ambitny służbista Demkowski został zauważony przez przełożonych i w roku 1917 wysłany do Francji na kurs obsługi broni gazowej. Po stażu na froncie francusko-niemieckim wrócił do Rosji i został przydzielony do 8. Armii.

W 1918 roku, gdy załamywały się struktury carskiego imperium, Demkowski wstąpił do 4. Dywizji Strzelców Polskich gen. Lucjana Żeligowskiego. Deklarował, że jego ojciec był Polakiem, katolikiem; sam mówił poprawnie po polsku, choć z silnym rosyjskim akcentem. Takich jak on, obyczajowo nieco zruszczonych Polaków, było w szeregach dywizji wielu. Liczyło się tylko to, że czuli się Polakami i chcieli się bić za Polskę.

W 1919 roku w dowództwie 4. Dywizji Piechoty odrodzonego Wojska Polskiego objął Demkowski stanowisko oficera broni gazowych. Wojenny kurs gazów bojowych we Francji okazał się

nieocenionym kapitałem – w latach 20. zeszłego wieku w europejskich armiach, w polskiej także, silna była psychoza masowych ataków gazami bojowymi i specjaliści z praktyką frontową byli na wagę złota. Wiosną 1920 roku Demkowski został przeniesiony do dowództwa 7. Armii, na stanowisko oficera gazowego, rzecz jasna.

Podczas wojny bolszewickiej na froncie nie był – pracował w sztabach, kończył kursy wojskowe. W maju 1922 roku zweryfikowany został w stopniu kapitana, a 3 lata później, po służbie w sztabach jednostek piechoty, rozpoczął naukę w Wyższej Szkole Wojennej. Po uzyskaniu dyplomu oficera dyplomowanego przydzielono go do Dowództwa Okręgu Korpusu Nr 1 w Warszawie, do niezwykle ważnego referatu mobilizacyjnego. Nadzwyczajnie pilny i pracowity, szybko awansował. Po roku został szefem swej sekcji, a wkrótce potem szefem Oddziału Ogólnego Sztabu.

W listopadzie zeszłego roku przeniesiono go do Wydziału Etapowego Oddziału IV Sztabu Głównego WP.

Śledczy nie znaleźli w życiorysie Piotra Demkowskiego żadnej informacji świadczącej, że miał on wcześniej jakiekolwiek związki z obcymi wywiadami, a zwłaszcza z wywiadem sowieckim.

Wygląda zatem na to, że Demkowski współpracuje z rezydenturą wywiadowczą w sowieckim poselstwie w Warszawie od niedawna.

Na powody współpracy z Sowietami sporo światła rzuciła obserwacja trybu życia podejrzanego. W mieszkaniu przy ul. Franciszkańskiej, gdzie mieszka jego żona z dwiema córkami, jest Demkowski raczej rzadkim gościem. Mnóstwo czasu spędza w sztabie, ale niewiele mniej na hulankach. Przystojny major jest niepoprawnym kobieciarzem, jednocześnie utrzymuje stałą kochankę i kilka kochanek przelotnych. Na kobiety i knajpiane

schadzki wydaje ogromne pieniądze – wywiadowcy podliczyli, że w niespełna dwa miesiące przehulał ogromną sumę 2 tys. zł. To sporo więcej niż jego oficjalne dochody, które zresztą są bardzo duże – Demkowski poza służbą dorabia, za znaczne honoraria, jako autor i redaktor haseł wojskowych do encyklopedii Trzaski, Everta i Michalskiego.

Agenci śledzący mjr. Demkowskiego zaobserwowali, że najczęściej spotyka się on z pomocnikiem sowieckiego *attaché* wojskowego mjr. Wasilijem Grigoriewiczem Bogowojem, najprawdopodobniej jego oficerem prowadzącym. Bogowoj zwykł przyjeżdżać na spotkania samochodem poselstwa. Podczas przejażdżki ubrany po cywilnemu Demkowski przekazywał mu wyniesione ze Sztabu Głównego dokumenty. Bogowoj zawoził je do poselstwa, sprawdzał ich autentyczność, fotografował, a potem oddawał szpiegowi. Następnego dnia Demkowski odnosił je do sztabu.

Agenci kontrwywiadu nie czekają, aż Bogowoj zapali silnik swego samochodu. Doskakują z obu stron, szarpią za klamki i otwierają drzwi limuzyny na oścież. Pokazują legitymacje służbowe. Bogowoj, choć zszokowany, recytuje wyuczoną formułkę, że jest sowieckim dyplomatą i chroni go immunitet. Spanikowany Demkowski rzuca się na tylne siedzenie, by złapać przyniesioną teczkę. Ale agenci są szybsi. Przejmują teczkę, wywlekają Demkowskiego na jezdnię i prowadzą do policyjnego samochodu. Trzeci z agentów legitymuje Bogowoja i – chcąc nie chcąc – pozwala mu odjechać.

Agenci kontrwywiadu wiozą aresztowanego prosto do urzędu śledczego. Przesłuchanie zaczyna się prosto z marszu, gdy zatrzymany nie zdążył jeszcze zebrać myśli. Demkowski jest załamany. Odpowiada na wszystkie pytania. Wyjaśnia, że nie został zwerbowany, lecz wiosną tego roku sam zgłosił się do sowieckiego

poselstwa z propozycją współpracy. Dlaczego? Z powodów ideowych. „Jestem z przekonań komunistą" – twierdzi Demkowski. „Wynosiłem Bogowojowi tajne dokumenty Sztabu Głównego" – dodaje. Cóż zresztą ma powiedzieć, skoro w jego teczce, porwanej z tylnego siedzenia sowieckiej limuzyny, prócz mniej ważnych papierów i notatek jest 13 tajnych dokumentów sztabowych. Zatrzymany stanowczo zaprzecza, by jego żona, z pochodzenia Rosjanka, wiedziała cokolwiek o jego procederze.

Inna ekipa śledczych prowadzi w tym czasie rewizję w mieszkaniu zatrzymanego przy Franciszkańskiej. Nic jednak nie znajduje – ani tajnych dokumentów, ani znaczących sum, jedynie 10 dolarów i polisę ubezpieczeniową PKO na 4 tys. zł.

Nie zmienia to jednak sytuacji zdrajcy, któremu trudno będzie się wywinąć od kary śmierci.

12 lipca 1704 ▪ sobota

Do koronacji – wystąp!

Dziś dzień elekcji, ale w Warszawie nic zgoła na to nie wskazuje. Zwykle w dni wyboru króla już rankiem na polu elekcyjnym między Warszawą a Wolą zbierały się tłumy szlachty. Panowie bracia gardłowali za swoimi kandydatami, spierali się, pociągali gorzałkę. Dziś na polu nie ma kolorowych tłumów, tylko zwarty kordon szwedzkiej piechoty i z boku oddział dragonów. W samej Warszawie też nie znać elekcyjnego poruszenia. Na obwołany termin elekcji przyjechało wyjątkowo mało szlachty. Miasto jest dziwnie spokojne, przyjezdni pochowali się po domach przyjaciół, po zajazdach i gospodach. Po mieście od rana krąży płk. Arvid Horn,

któremu król Szwecji Karol XI zlecił przeprowadzenie elekcji wyznaczonego przez siebie kandydata na króla Rzeczypospolitej. Dziś upływa ostateczny termin elekcji wyznaczony Hornowi przez szwedzkiego monarchę. Horn, pułkownik i dyplomata w jednej osobie, odwiedza senatorów, namawia do wymarszu na pole elekcyjne. Wszyscy wymawiają się. Do prymasa Michała Radziejowskiego w ogóle nie sposób się dostać – zamknął się w swoim pałacu. Także hetman wielki koronny Hieronim Lubomirski wybierać króla nie ma zamiaru. Wszyscy wiedzą, że do Warszawy zmierzają pułki wojska koronnego. Nikt nie ma wątpliwości, że Lubomirski czeka na przybycie podległych mu wojsk. Wtedy regimenty szwedzkich piechurów, stojące przed Wolą, nie będą już dyktować warunków.

Wszyscy czekają, co będzie dalej. Ten, który ma być obrany królem, też czeka.

Wszystko zaczęło się przed 4 laty. Car Rosji Piotr I, August II, występujący wtedy jedynie w roli elektora saskiego, ale nie króla polskiego, oraz król Danii Fryderyk IV wypowiedzieli wojnę Szwecji. Wydawało się im, że będzie to raptem spacerek po przepiękne łupy – szwedzkie posiadłości nad Bałtykiem. Król Szwecji Karol XII miał wtedy 18 lat. Napastnicy byli pewni, że ten chłystek nie będzie w stanie stawić silniejszego oporu. Bardzo się rozczarowali. Ojciec Karola XII zostawił synowi zreformowaną, silną armię, a sam Karol XII okazał się czystym geniuszem wojskowym. Upokorzył Duńczyków, przegnał spod Rygi armię saską, zadał straszliwą klęskę Rosjanom pod Narwą. I wtedy wkroczył do formalnie neutralnej Polski, którą zamienił w scenę swej, przeciągającej się, konfrontacji z Augustem II.

Elektor saski i zarazem król Polski okazał się bowiem dość twardym orzechem do zgryzienia. Sasi zręcznie wymykali się

wojskom szwedzkim i Karol XII ciągle nie mógł pokonać Augusta II na polu bitwy. Czego nie był w stanie osiągnąć muszkietem, spróbował dojść intrygą. Prostą intrygą. Chciał zdetronizować Augusta II i na tronie polskim osadzić powolnego sobie Jakuba Sobieskiego, najstarszego syna króla Jana III, zwycięzcy spod Wiednia. Karol XII wystawił mu już nawet w zeszłym roku dyplom asekuracji, gwarantujący polski tron.

Ale August II nie był w ciemię bity. Gdy tylko szpiedzy donieśli mu o szwedzkich planach, wysłał na Dolny Śląsk podjazd swych żołnierzy, którzy pod Wrocławiem porwali Jakuba Sobieskiego, a na dokładkę – także jego brata Konstantego. Obaj wylądowali w końcu w saskiej twierdzy Kënigstein. No to może koronować trzeciego z braci Sobieskich, Aleksandra? Ale ten do zostania polskim królem ze szwedzkiego rozkazu się nie palił. Wtedy wzrok Karola XII spoczął na 27-letnim Stanisławie Leszczyńskim.

Wywodził się on z potężnego wielkopolskiego rodu. Jego protoplaści nie najpiękniej zasłużyli się ojczyźnie. Dziad Bogusław, podskarbi koronny, miał walny udział w katastrofie Rzeczypospolitej; pod Ujściem wziął na siebie kapitulację szlacheckich wojsk i otworzył tym samym wrota kraju przed szwedzkim potopem. Stryj Bogusława, wojewoda łęczycki Jan, w czasie potopu wytrwał dzielnie przy królu Janie Kazimierzu, ale potem z poduszczenia ościennych dworów zażarcie bronił *liberum veto*. Ojciec za to Stanisława Leszczyńskiego, warchoł i stronnik obcych dworów, jako marszałek Sejmu miał walny udział w doprowadzeniu do odsieczy wiedeńskiej Jana III Sobieskiego.

A Stanisław? Młodzieniec piękny, starannie wykształcony, kulturalny, choć w owym czasie posługujący się francuszczyzną fantazyjno-rozpaczliwą, jednak o wybitnie ujmującym obejściu, osiągający ogromne dochody ze wspaniale zagospodarowanych

majątków w Wielkopolsce, od lat trawiony był ambicjami politycznymi. Rodowe koneksje, majątek, a także zamęt w Rzeczypospolitej sprzyjały błyskawicznej karierze. Już przed 5 laty 22-letni młodzieniaszek został wojewodą poznańskim i senatorem.

W zeszłym roku Stanisław Leszczyński przystąpił do konfederacji wielkopolskiej szlachty w Środzie, wymierzonej w znienawidzonego tam króla Augusta II. Konfederacja rychło przeniosła się do Warszawy, ogłosiła się generalną i zażądała od Szwedów zaprzestania okupacji i rabunków neutralnej formalnie Polski. Aby obłaskawić króla-żołnierza Karola XII, konfederaci wysłali do szwedzkiej kwatery głównej w Lidzbarku Warmińskim kulturalnego, uroczego i równie jak szwedzki monarcha młodego Stanisława Leszczyńskiego. Udało się. Obaj rozmówcy w niczym do siebie nie byli podobni, ale bardzo przypadli sobie do gustu. Bystry Karol XII, prócz ogłady i erudycji natychmiast dostrzegł w polskim magnacie brak pewności siebie, chęć podobania się rozmówcy i ogromne polityczne ambicje. Potwierdziły to listy Stanisława, tchnące bezgranicznym oddaniem.

Na początku tego roku szwedzki król na serio zabrał się do osadzenia na polskim tronie powolnego sobie magnata. Wskazania stosownego kandydata zażądał od prymasa Radziejowskiego. Ten zrazu podsuwał książęta obcej krwi. Szwedzki monarcha chciał jednak Polaka. Prymas podszepnął chytrze związanego z nim hetmana Lubomirskiego, pierwszego pana w Koronie, zasłużonego towarzysza wiedeńskiej wiktorii Jana III Sobieskiego. Karol XII chciał jednak kandydata słabego, łatwego do kierowania, a nie doświadczonego polityka i żołnierza, w dodatku mającego pod sobą liczące się koroniarskie wojsko.

Wtedy Karol XII przypomniał sobie o Leszczyńskim.

Młody magnat, tak jak jego rodzina, związany jest z rodem Sobieskich. Przyjmować koronę w chwili gdy Jakub Sobieski siedzi w saskiej twierdzy, było mu nieswojo. Stanisław Leszczyński wydał więc pokrętną deklarację, że monarchą będzie w gruncie rzeczy tymczasowym – gdy tylko Jakub Sobieski odzyska wolność, zwróci mu koronę. Ale nie zjednało mu to nikogo, prócz zadeklarowanych i zaprzedanych stronników Szwedów.

Mija południe, a z Warszawy nikt w stronę pola elekcyjnego nie ma zamiaru ruszać. W zajazdach leje się piwo, gorzałka, miód. Wreszcie późnym popołudniem marszałek konfederacji, wierny stronnik Szwedów, wyciąga z gospód garstkę konfederackiej, w dym pijanej szlachty. W asyście biskupa poznańskiego Święcickiego, zaprzedanego Szwedów stronnika, o którym płk Horn powiada, że to rzetelnie szwedzki biskup, prowadzi zataczających się szlachciurów w stronę Woli. Długi przemarsz na świeżym powietrzu robi swoje, marszałek nieco trzeźwieje i na polu elekcyjnym nieoczekiwanie ogłasza potrzebę odwleczenia elekcji. Bp Święcicki krzyczy, że wybierać trzeba zaraz, takoż krzyczy garstka szlachty, której pilno z powrotem do szynkwasów. Dookoła uwijają się konni stronnicy Karola XII pod wodzą starosty z Nakła Gębiskiego, oddanego Szwedom duszą i ciałem.

W elekcyjnym kole na Woli ciągle brakuje senatorów, w tym najważniejszego – prymasa. Tylko prymas może przecież obwołać nowego króla. Podskarbi Benedykt Sapieha, na którego Szwedzi zawsze mogą liczyć, chodzi po senatorskich domach i pałacach, przekonuje, by iść na pole. Bez skutku.

Na polu elekcyjnym zjawia się nagle spora gromada szlachty z Podlasia. Chorąży bielski Jeruzalski, szlachcic bez większego w polityce znaczenia, wielkim głosem woła: „Nie zostawiajmy

potomności przykładu wyboru króla wśród obcej siły zbrojnej, według woli obcego mocarstwa!".

Stronnicy Szwedów protestują, wrzeszczą, wreszcie jeden z poznańskich posłów obwołuje Stanisława Leszczynskiego królem. W ogólnym zamęcie bp Święcicki uzurpuje sobie prerogatywy prymasa i nominuje Stanisława monarchą. Protesty Podlasian giną w tryumfalnych salwach szwedzkiej piechoty i artylerii.

Na czele orszaku pijanych zwolenników król Stanisław zmierza do katedry św. Jana. Ulice warszawskie iluminowane są na rozkaz płk. Horna. Mszę i uroczystość koronacyjną celebrować winni – wedle zwyczaju i prawa – prymas oraz marszałek koronny. Zamiast prymasa Radziejowskiego do ołtarza samozwańczo przystępuje biskup poznański. Rolę marszałka koronnego odgrywa w tym spektaklu jeden z kanoników.

Stanisław Leszczyński siedzi ponuro, bez uśmiechu. Ale siedzi. Wokół rozgrywa się złowieszcza farsa, ale to on będzie królem.

Jean Batiste van Loo, *Portret Stanisława Leszczyńskiego*

13 lipca 1900 ▪ piątek

Ocalony dla Nobla

O 10.15 przed dworcem Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Warszawie zatrzymuje się dorożka. Wysiada z niej pisarz Władysław Stanisław Reymont i prowadzony przez bagażowego, idzie do pierwszego z wagonów 1. klasy. Za towarzyszy podróży ma redaktora „Gazety Polskiej" Jana Gadomskiego, jego siostrę Teofilę oraz jeszcze jednego, znanego warszawskiego dziennikarza, kierownika literackiego i artystycznego „Tygodnika Ilustrowanego", dobrego znajomego Gadomskiego – Ignacego Matuszewskiego.

Punktualnie o 10.40 osobowy pociąg nr 17 rusza w kierunku Łodzi. Choć to piątek i trzynastego, Reymont jest w doskonałym humorze. Do Warszawy przyjechał po odbiór od wydawcy honorarium za tom nowel *W jesienną noc*. Bardzo potrzebuje tych pieniędzy. Jego osobiste finanse leżą w ruinie – by móc pojechać do Warszawy, musiał pożyczyć od brata Franciszka parę rubli srebrem. Pisarz ma nadzieję, że dzięki honorarium za nowele będzie mógł wreszcie spokojnie, bez problemów z nerwami, do których przyczyniają się też jego finansowe kłopoty, dokończyć powieść *Chłopi*. A poza tym Reymont lubi jeździć pociągiem; minęło raptem 7 lat od czasu, gdy dzięki protekcji ojca znalazł zatrudnienie właśnie na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, na stacji w Rogowie, jako pomocnik dozorcy plantowego.

Humoru Reymonta nie psuje nawet świadomość, że podróże koleją nie są bezpieczne. Ot, przed trzema dniami z pociągu jadącego przez warszawski most na Wiśle wypadł student drugiego roku prawa Józef Szybowski. Lekarz Towarzystwa Ratunkowego mógł tylko stwierdzić śmierć wskutek zmiażdżenia czaszki.

Wypadek był skutkiem powszechnego tego lata obyczaju podróżowania na otwartych platformach na końcach wagonów. Także i dziś mnóstwo podróżnych, wskutek tężejącego z każdym kwadransem upału, zamiast siedzieć wewnątrz wagonów, stoi na platformach, na których mile chłodzi ich pęd powietrza. Reymont i Gadomski przepraszają pannę Teofilę i wychodzą ochłodzić się na odkrytą platformę.

Nie mija 5 minut podróży, gdy konduktorzy rozpoczynają kontrolę biletów. Pociąg dojeżdża do stacji Włochy. Tuż przed stacją znajduje się elektryczna zwrotnica łącząca tor prowadzący z Warszawy z torem do Warszawy. O 10.48 parowóz pociągu nr 17 przejeżdża zwrotnicę. Za nim mijają ją tender i pierwsze wagony. Maszynista dostrzega jadący po drugim torze, po swej lewej stronie, pociąg osobowo-towarowy nr 74 do Warszawy. Jak przewiduje regulamin, pociąga za linkę gwizdka. Przeciągłemu świstowi odpowiada stłumiony sygnał pociągu do Warszawy. Lokomotywa pociągu do Warszawy wjeżdża na zwrotnicę, ta jednak na skutek awarii przekaźnika elektrycznego jest wadliwie nastawiona i skład nr 74 z całym impetem wbija się w pociąg, w którym podróżuje Reymont. Potężny wstrząs, któremu towarzyszy przeciągły huk, zwala podróżnych w obu składach z nóg, z ławek i kanap. W chwili uderzenia pociągu do Warszawy w pociąg nr 17 parowóz, tender i cztery pierwsze wagony tego ostatniego odrywają się od reszty składu i pędzą naprzód. Resztki zmiażdżonych środkowych wagonów 1. i 2. klasy pociągu z Warszawy zsuwają się z nasypu do rowu. Całe są tylko ostatnie 4 wagony 3. klasy.

Po 40 sekundach huku i rozdzierającego zgrzytu żelastwa zapada cisza. W miejscu zderzenia wznosi się rumowisko drewna, stalowych belek i blach, nad którym wisi tuman gęstego kurzu.

Ciszę rozdzierają rozpaczliwe krzyki rannych i oszołomionych.

W momencie zderzenia Reymont i Gadomski stoją przy wyjściu na platformę. Uderzenie pociągu do Warszawy zrywa dach ich wagonu i wyrzuca obu ponad ścianą boczną do rowu przy nasypie kolejowym.

Ogłuszony, zszokowany pisarz odruchowo przedziera się przez kłębowisko szczątków wyposażenia i zmiażdżonych elementów konstrukcji wagonów. W rozbitym przedziale znajduje zmiażdżone ciało Teofili Gadomskiej.

Gdy z powrotem wygrzebuje się z rowu obok nasypu, z jego obu pokaleczonych przez odłamki szkła dłoni obficie kapie krew.

W pobliżu rozlega się niezbyt głośny huk. To eksploduje zbiornik gazu w jednym ze zmiażdżonych wagonów. Płomienie ogarniają wrak.

Gadomski leży nieprzytomny na skraju rowu.

W wagonie, w którym jechał Reymont, podróżowali jeszcze m.in. lekarz dr Maksymilian Flaum, przemysłowiec Majer-Wolanowski i inżynier wydziału mechanicznego Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej Karol Vorbrodt z córką. Dr Flaum, mimo złamanej nogi, sam wyczołguje się spod rumowiska. Majer-Wolanowski ma złamaną goleń i bardzo silne obrażenia głowy. Inż. Vorbrodt leży martwy pod szczątkami konstrukcji.

W chwili odjazdu konduktorzy zwyczajowo zamknęli wagony od zewnątrz na klucz. Teraz większość konduktorów jest ranna, klucze gdzieś się zapodziały. Pasażerowie, którzy w wypadku nie ucierpieli, wyciągają przez okna mniej uszkodzonych wagonów zszokowane kobiety i dzieci.

Lekarze pogotowia Zawadzki, Cykowski, Jasiewicz, Łazarowicz, Balicki, Witwiński, Zaborowski, Gromadzki, Garsztyński oraz prezes Gustaw hrabia Przeździecki i sekretarz zarządu dr Józef Zawadzki na pierwszą wiadomość o katastrofie pędzą dwiema dorożkami

w kierunku rogatek wolskich. Przy tunelu kolejowym spostrzegają jadący w stronę miejsca katastrofy parowóz. Zatrzymują go. Część lekarzy przesiada się na tender i jedzie do miejsca tragedii. Pozostali parę minut później zatrzymują kolejny parowóz i na nim docierają do uwijających się już wśród rannych kolegów lekarzy w charakterystycznych niebieskich czapkach pogotowia.

Wśród szczątków wagonów chyłkiem krzątają się też trzy kobiety i kilku wyrostków z pobliskiej wsi. Rabują bagaże pasażerów, poduszki z kanap, zrywają obicia.

Lekarze zbierają poduszki z potrzaskanych wagonów, układają je w wagonach towarowych, które jeszcze jedna lokomotywa przyciągnęła z Warszawy, i przenoszą na nie rannych. Zaimprowizowany skład sanitarny przewozi niemal 40 rannych do warszawskich szpitali.

Z czasem na miejsce katastrofy docierają konne karetki. Jedną z nich Matuszewski odwozi do szpitala ciągle nieprzytomnego Jana Gadomskiego.

Reymont krąży po rumowisku, pomaga wyciągać rannych. Po godzinie jednak nagle słabnie. Jest potłuczony, ma złamane dwa żebra. Lekarze czym prędzej ekspediują go do Szpitala Praskiego kierowanego przez dr. Jana Rocha Rauma.

Po południu Majer-Wolanowski umiera w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Lekarze w tym szpitalu nie dają szans na przeżycie ciężko rannemu konduktorowi Ludwikowi Wiśniewskiemu.

Dr. Flauma wczesnym wieczorem chirurdzy operują w znieczuleniu chloroformowym.

Władysławem Reymontem zajmuje się osobiście dyrektor dr. Raum, który jest wielbicielem jego powieści *Ziemia obiecana*. Dr Raum, choć obrażenia pisarza nie są wielkie, traktuje go jak srodze poszkodowanego – poleca ściśle unieruchomić pacjenta

bandażami. Kto wie, może panu Reymontowi uda się wyrwać od Kolei sowite odszkodowanie?

Władysław Reymont, ok. 1902 roku

14 lipca 1789 ▪ wtorek

Nic

Ranek jest pogodny i spokojny. Gubernator zamku Bastylia na paryskim przedmieściu St. Antoine Bernard René Jourdan de Launay w cywilnym fraku wdrapuje się na mury zamku. Zza kamiennych blanków gubernator spoziera na domy St. Antoine, na odległy o 200 m od zamku arsenał. Jest cicho, spokojnie, gdzieniegdzie widać krzątających się, zajętych swoimi sprawami mieszkańców. De Launay oddycha z ulgą – powzięte przezeń przygotowania do obrony Bastylii dziś nie będą potrzebne.

Monarchia grzęźnie w kryzysie finansowym i politycznym. Bierny, ospały król Ludwik XVI od dawna nie panuje nad sytuacją w państwie. Od paru tygodni, na jego rozkaz, pod Paryżem koncentrują się oddziały wojska. Król zamierza rozpędzić Stany Generalne, Paryż zaś odciąć od dostaw chleba. To powinno, zdaniem monarchy, złamać sfrustrowanych, buntujących się paryżan. Gdy jednak przed trzema dniami Ludwik XVI zdymisjonował popularnego ministra finansów Jacques'a Neckera, lud Paryża wyszedł na ulice. Od dwóch dni pospólstwo stacza potyczki z oddziałami wojsk królewskich, pali komory celne, rozbija więzienia, zbroi się, tworzy milicję. Król tą ruchawką się nie przejmuje.

Gubernator Bastylii, XIV-wiecznego zamku na planie prostokąta, o ośmiu wieżach połączonych dorównującymi im wysokością murami, z dobudowanym później przedzamczem, bardzo się zamieszkami w mieście przejmuje. Bastylia, ongiś ważna twierdza paryska, a od półtora stulecia więzienie królewskie, lata świetności ma dawno za sobą. Od dawna nikt nie zagraża Paryżowi, a w celach, zamiast wielkich, sławnych więźniów stanu, w rodzaju tajemniczego człowieka zwanego Żelazną Maską, generalnego intendenta Nicolas'a Fouqueta, twórcy cudnej rezydencji Veaux le Vicomte, czy Woltera, siedzi raptem 7 skazanych za przestępstwa pospolite.

Gubernator de Launay ostatnimi dniami rozkazał odkurzyć stare, zabytkowe armaty, polecił wykuć w murach nowe ambrazury, no i wymógł na zwierzchności uzupełnienie załogi zamku; 95 starych, schorowanych, kalekich inwalidów wojennych wzmocniono 32 Szwajcarami, żołnierzami z krwi i kości. Przed paru dniami, dla bezpieczeństwa, przewieziono z paryskiego arsenału do Bastylii ogromny zapas 250 beczek prochu strzelniczego.

Gubernator de Launay na szczycie murów medytuje nad sytuacją zamku. Prochu jest w bród, pocisków jednak niezbyt wiele. A już żołnierzy – zwłaszcza tych z prawdziwego zdarzenia – tyle, co kot napłakał. Równie kiepsko przedstawia się sprawa z zapasami żywności. Nikt przecież nie przewidywał, że Bastylia może być oblężona. De Launay pozwala kilkunastu inwalidom wyjść za mury. Niechaj ze swoich domostw przyniosą tyle prowiantu, ile tylko będą w stanie.

O 9.00 z zamku wyjeżdża zięć gubernatora hrabia d'Aguay. Na przedmieściu St. Antoine panuje spokój.

Spokoju nie ma w ogrodach Palais Royale. Gromadzą się tam tysięczne, zrewoltowane tłumy. Kamile Desmoulins, 26-letni dziennikarz, wzywa je do akcji: „Obywatele! Nie ma czasu do stracenia! Tej nocy niemieckie i szwajcarskie oddziały wyjdą z Pola Marsowego, by nas zmasakrować!". 30-tysięczny tłum rusza na arsenał na pl. Inwalidów.

Gdy uzbrojony plebs paryski maszeruje na arsenał, przed pierwszym mostem zwodzonym na przedzamczu Bastylii pojawia się oficjalna deputacja stałego komitetu paryskiej milicji, a za nią liczące kilkaset osób zbiegowisko mieszkańców okolicznych ulic. Wartownicy zatrzymują deputację i tłum. Po chwili zjawia się gubernator w otoczeniu oficerów swego sztabu. De Launay poleca podnieść kratę w bramie wjazdowej. Za trzema wysłannikami milicji, oficerem miejskiej straży Bellonem, starszym sierżantem artylerii Belleforte'em, i byłym sierżantem pułku gwardii Chatonem za bramę wciska się spory tłumek pospólstwa. W takich warunkach gubernator królewski rozmawiać nie będzie. Po krótkich negocjacjach tłum opuszcza teren Bastylii. De Launay zaś wyznacza zakładników, którzy gwarantować mają bezpieczeństwo deputacji. Czterej wyznaczeni na nich podoficerowie inwalidów wychodzą

z zamku w świetnych nastrojach. Cały ten tłum to ich znajomi z przedmieścia, z którymi można będzie spokojnie poplotkować po dniach spędzonych w murach zamku.

De Launay zaprasza deputację do swego salonu, częstuje śniadaniem. Choć przybyła ona z prowokacyjnym, wobec królewskiego majestatu, żądaniem, by armaty zdjęto ze szczytów wież, podlewana obficie winem rozmowa jest bardzo miła. Gubernator tłumaczy, że armaty zdjąć z murów może tylko na rozkaz króla, ale uprzejmie obiecuje, że cofnie je na 4 stopy od blanków, by lud poczuł się bezpiecznie. I rzeczywiście, o 11.00 lufy armat znikają z oczu stojącego przed Bastylią tłumu.

Gdy w salonie gubernatora Bastylii delegacja milicji popija wino, 30-tysięczny tłum z Palais Royale dociera do pl. Inwalidów. Gubernator arsenału de Sombreuil i tamtejsza załoga inwalidów nie stawiają oporu. Napastnicy rabują ponad 32 tys. karabinów i kilkanaście armat. Tyle że bez prochu. Na wieść, że proch przewieziono do Bastylii, część uzbrojonych zdobywców arsenału rusza w jej kierunku.

Pod zamkiem zjawiają się o 11.00. To całkiem inni ludzie niż ci z przedmieścia St. Antoine, cierpliwie czekający u wrót przedzamcza na powrót deputacji z rozmowy z gubernatorem. Przybysze spod arsenału to biedacy ze wszystkich dzielnic Paryża, są uzbrojeni, podnieceni, radykalni, wszędzie węszą spiski. Miejskie władze przedmieścia St. Antoine czują, że przybycie uzbrojonego tłumu może skończyć się przypadkową strzelaniną, na którą odpowiedzą armaty z zamku – a to oznaczałoby pożar dzielnicy. Wysyłają więc do Bastylii swoją deputację, na czele której stoi popularny adwokat Thuriot de la Rosière. Wygadany, pewny siebie Thuriot de la Rosière przekonuje wartowników z formacji inwalidów, pełniących straż przy bramie, by go wpuścili na przedzamcze. Inwalidzi, wbrew

rozkazom gubernatora, otwierają bramę. Adwokat zastaje pierwszą deputację przy stole z de Launayem, ale nie ma zamiaru przyłączyć się do biesiady. Wymusza na oszołomionym jego wymową gubernatorze, by wpuścił go za mury właściwego zamku, a następnie żąda zwołania całej załogi na dziedziniec. De Launay spełnia także i to żądanie. Thuriot de la Rosière wzywa żołnierzy do kapitulacji, grozi straszliwymi konsekwencjami w razie stawiania oporu ludowi. Inwalidzi wahają się – no, właściwie to można by się poddać.

Gubernator wreszcie wyzwala się spod uroku wyszczekanego adwokata.

– Nadużywasz pan tytułu parlamentariusza! Zdradziłeś mnie! – krzyczy.

Adwokat rozkazuje mu milczeć, grozi wyrzuceniem do fosy. Ale inwalidzi są niezdecydowani, a nieznający francuskiego Szwajcarzy stoją nieporuszeni – z butnych przemówień Thuriota de la Rosière nie rozumieją ani słowa.

Dochodzi godz. 14.00, gdy obie deputacje opuszczają Bastylię. Tłum zwalnia czterech zakładników i wiwatuje na cześć delegatów. Paryżanie stojący przed zwodzonym mostem przedzamcza są przekonani, że załoga Bastylii poddaje się. Thuriot de la Rosière przezornie oddala się, bez słowa wyjaśnień, do ratusza. Żegnają go gwizdy. Gdy członkowie pierwszej deputacji przyznają, że uzyskali tylko cofnięcie armat, a nie kapitulację zamku, rozgorączkowani zdobywcy arsenału tłuką ich ile wlezie.

Chwilę potem ruszają do ataku na przedzamcze. Kilkudziesięcioma napastnikami uzbrojonymi w karabiny i szable dowodzi kupiec korzenny Pannetier. To on wpada na pomysł, by po dachach przedostać się za mur przedzamcza. Czterech śmiałków wdrapuje się na dach stojącej przy murach przedzamcza perfumerii,

stamtąd na dach kordegardy i zeskakuje za murem. Nie mogąc znaleźć klucza do mechanizmu pierwszego mostu zwodzonego, rąbią łańcuchy. Drewniany most z hukiem opada na kamienne łoże.

Gubernator przytomnie rozkazuje wszystkim inwalidom, by wycofali się do właściwego zamku. Przedzamcze jest w rękach pospólstwa.

Napastnicy rabują siedzibę gubernatora, z poddasza wynoszą jedyną cenną rzecz w Bastylii – kolekcję starej broni białej i dawnych sztandarów. Wymachując nimi, ruszają w stronę mostów zwodzonych właściwego zamku. Wtedy gubernator rozkazuje oddać kilka strzałów karabinowych na postrach.

Jedna z kul rani szturmującego Bastylię wraz z pospólstwem żołnierza gwardii. Tłum rozprasza się, wszyscy krzyczą: „Zdrada!". Część atakujących strzela w stronę zamku z bram okolicznych domów, ktoś wdrapuje się na dach wysokiej kamienicy i zza komina rani kilku inwalidów stojących na szczycie murów Bastylii. Piwowar Antoine Santerre podpala kilka wozów z sianem stojących przed zamkiem, by dymem osłonić przedmieście przed ostrzałem z armat.

Tymczasem adwokat Thuriot de la Rosière w ratuszu zdaje sprawę z sytuacji w Bastylii. Wyjaśnia, że ze strony zamku nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Członkowie komitetu właśnie wychodzą z ratusza, by uspokoić lud, gdy od strony Bastylii dają się słyszeć strzały. Komitet wysyła do de Launaya trzecią już tego dnia deputację z żądaniem podporządkowania zamku. To postulat umiarkowany – gubernator, jego podwładni i zapasy prochu mają pozostać w Bastylii. Ale deputacja nie ma dobosza ani chorągwi, więc oblegający zamek w bitewnym zapale nie zwracają na nią uwagi. Delegaci jak niepyszni cofają się do ratusza.

Komitet wysyła czwartą deputację, jak należy, ze sztandarem i bębniącym z całych sił doboszem. Oblegający przestają strzelać, inwalidzi na murach podnoszą karabiny kolbami do góry na znak, że respektują rozejm. Gdy jednak deputacja niosąca biały sztandar zjawia się tuż przed mostem zwodzonym do wysokiego zamku, gubernator zauważa, że towarzyszy jej kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi. To podnieceni sytuacją gapie, ale de Launay węszy podstęp i rozkazuje Szwajcarom strzelać. Salwa rani kilku delegatów. Wszyscy w panice uciekają pod osłonę domów. Wściekły tłum najpierw bije członków deputacji, w bezsilnym, absurdalnym paroksyzmie gniewu oskarżając ich o zdradę i podstęp, potem rzuca się do niszczenia domu gubernatora na podzamczu. W trakcie rabunku tłuszcza znajduje tam córkę komendanta placu Bastylii. Napastnicy biorą ją za latorośl gubernatora, przywiązują do wozu z sianem i krzyczą, że dziewczynę spalą, jeśli jej ojciec nie podda zamku. Na szczęście jeden ze szturmujących przekonuje swych towarzyszy, by pannę puścić wolno.

Gubernator widzi ze szczytu murów, jak pospólstwo rabuje jego dom. Wściekły, każe Szwajcarom strzelać. Od ich ognia pada kilkudziesięciu paryżan na przedzamczu.

Pod Bastylię dociera oddział gwardzistów wysłany przez paryski komitet milicji. Dowodzeni przez ppor. Hulina i chor. Elie gwardziści ciągną ze sobą pięć starych armat, używanych już tylko do wiwatów. Hulin i Elie zaprowadzają trochę porządku: odbierają butelki wina z rąk oblegających, w sporej części kompletnie już pijanych, rozkazują odtoczyć z przedzamcza płonące wozy z sianem i gnojem i ustawiać armaty. Obsługują je cywile. Jednemu koło miażdży nogę, inny, nie wiedząc, że strzelające działo ma odrzut, zostaje przez nie przy pierwszym strzale znokautowany. Dwie armaty ustawione na przedzamczu w odległości 60 m od murów

zamku oddają kilkanaście strzałów, ale żaden pocisk nie trafia w bramę wjazdową.

Chaotyczna i niegroźna strzelanina z armat całkiem załamuje morale inwalidów. Widząc to, gubernator świadom, że pospólstwo nie daruje mu masakry pod murami, wyrywa inwalidzie z obsługi działa zapalony lont i biegnie do bastionu, w którym złożono beczki z prochem. Pilnujący wejścia strażnik Ferraud i inwalida Becard bez ceregieli odpędzają swego dowódcę. Oni nie chcą bohatersko umierać.

W ogóle nie chcą umierać. Inwalidzi wołają z murów: „Bastylia poddaje się!". Widząc, co się dzieje, dowódca Szwajcarów por. de Flue oświadcza przez dziurę w uniesionym zwodzonym moście, że załoga skapituluje, jeśli będzie mogła odejść z bronią. Oblegający nie zgadzają się. W końcu jednak chor.Elie woła: „Oficerskie słowo, zgadzamy się!".

Gubernator z rezygnacją oddaje klucze do kołowrotu. Most zwodzony, skrzypiąc, powoli opada. Hulin i Elie wysyłają gwardzistów, by zablokowali bramę i nie wpuścili tłuszczy do Bastylii, ale pospólstwo jest szybsze. Tłum dobiega do przedostatniej zapory, zamkowej furty. Wszyscy walą w nią kolbami. Po paru minutach judasz uchyla się.

– Czego to chcą? – pyta flegmatycznie stary inwalida.

– Aby poddano Bastylię!

Furta uchyla się, inwalidzi opuszczają ostatni most zwodzony.

W zamku Szwajcarzy i inwalidzi stoją osobno, w dwóch szeregach. Inwalidzi liczą na łaskę ziomków i sąsiadów. Ale rozgorączkowane pospólstwo bierze Szwajcarów za więźniów twierdzy, a inwalidów za ich oprawców. Paryżanie biją ich do nieprzytomności. Becarda, który uratował Bastylię przed wysadzeniem, zabijają. Ktoś szablą obcina trupowi dłoń, ktoś inny

ruszą z nią na ulice Paryża i pokazuje przechodniom „rękę, która targnęła się na lud".

Dowodzący gwardzistami Elie i Hulin bronią gubernatora przed linczem i pod eskortą wysyłają go do ratusza. Przed ratuszem tłum wrzeszczy: „Obciąć mu głowę! Powiesić na latarni!". De Launay nie wytrzymuje stresu. Krzyczy, by go dobić, szarpie się. Niechcący kopie w przyrodzenie stojącego obok uczestnika szturmu Bastylii kucharza Desnots'a. Ten wrzeszczy, że jest ranny. Tłum szlachtuje gubernatora bagnetami i szablami i domaga się, by Desnots obciął mu głowę. Ktoś wręcza kucharzowi szablę. Ten niewprawnie uderza nią w szyję zabitego. Bez skutku. Tłum denerwuje się. Przerażony zdobywca Bastylii pracowicie urzyna głowę de Launaya nożem i nabija ją na usłużnie podsunięte przez kogoś trójzębne chłopskie widły. Inne grupki gawiedzi mordują oficerów inwalidów i Szwajcarów.

Tymczasem w Bastylii pozostali zdobywcy uwalniają więźniów z cel. Wyzwolicieli spotyka podwójna konsternacja: więźniów jest tylko siedmiu, zajmują pokoje, o jakich większość wyzwolicieli może tylko pomarzyć i są w dobrej formie, pięknie odżywieni. Tłuszcza odzyskuje szybko kontenans, pośród wiwatów zabiera więźniów na ratusz. Czterej z nich, fałszerze weksli, grzecznie wymawiają się od zaszczytu i znikają w uliczkach St. Antoine. Tłum zatem prowadzi na ratusz dwóch więźniów tkniętych obłędem, którzy z przyjemnością przyjmują należne ofiarom królewskiego terroru hołdy ludu.

Ludwik XVI przez cały dzień bawi pod Paryżem na polowaniu. Wieczorem rozmawia z życzliwym mu diukiem de Liancourt, gdy przychodzi wieść o upadku Bastylii. „To wielka rewolta" – zauważa beznamiętnie król. „Nie, *sire*, to wielka rewolucja!" – odpowiada de Liancourt.

Ale monarchy to nie porusza. Późnym wieczorem Ludwik XVI zapisuje w dzienniku pod datą 14 lipca: „*Rien*" (Nic). Nic się nie wydarzyło.

Jean-Louis Prieur, *Zdobycie Bastylii*

15 lipca 1410 ▪ niedziela

Ach, gdybyż Jagiełło zjawił się pod Grunwaldem

W mrok nocy niesie się szczęk broni i obozowych sprzętów, skrzypienie osi 1,5 tys. wozów, parskanie koni, nawoływania wozaków. Nieliczne, dogasające w rzęsistej ulewie ogniska nie są w stanie rozjaśnić ciemności, ale 15 tys. zbrojnych jeźdźców i tysiące

taborowych ciurów sprawnie składają ociekające wodą namioty, pakują sprzęty. W końcu i rycerze zakonu, i ich goście, rycerze przybyli z zachodu Europy, by wesprzeć zakon w wielkiej wojnie z Litwą i wspomagającym ją Królestwem Polskim, sporą część życia spędzili w wojennych pochodach i myśliwskich wyprawach w knieje; rozłożyć i zwinąć obozowisko potrafią z zawiązanymi oczami w parę chwil.

Każda z 51 chorągwi wielkiej armii zakonnej zajmuje swoje miejsce i o trzeciej w nocy długa kolumna w ciemnościach rozpoczyna marsz ku wsi Stębark. Panuje miły, nocny chłód, mokra ziemia nie kurzy się pod kopytami koni. To przyjemna odmiana po przemarszu sprzed dwóch dni, w upale i dławiącym kurzu wzbijanym przez dziesiątki tysięcy końskich kopyt, ale nocny marsz nie jest łatwy. Wielki mistrz zakonu Ulryk von Jungingen zarządził, by posuwać się tak szybko, jak tylko to możliwe.

Von Jungingen spieszy się. Przewiduje, że armia króla Władysława Jagiełły spróbuje szerokim łukiem obejść od wschodu obszar, na którym operują główne siły zakonu, i pomaszeruje na stolicę państwa krzyżackiego Malbork. Przewiduje trafnie.

Ulrich von Jungingen na polu walki jest całkiem niezłym taktykiem, ale jako strategowi daleko mu do wielkości. Najsłabiej prezentuje się na niwie polityki. W niczym nie przypomina poprzedniego wielkiego mistrza a jego rodzonego, starszego brata Konrada von Jungingena. Ten był urodzonym politykiem (choć w roku 1398 potrafił też wyprawić wielki, zwycięski desant morski na duńską Gotlandię): latami umiał skutecznie waśnić książęcych braci na Litwie – Witolda i Świdrygiełłę, zręcznie, bez wielkich wypraw wojennych i wielkich strat zyskał strategicznie ważną Żmudź, kupił od Brandenburczyków, a nie wywalczył z mieczem w ręku, Nową Marchię, a gdy konflikt o Gotlandię z Danią

połączoną unią kalmarską ze Szwecją i Norwegią stał się niebezpieczny dla całego państwa zakonnego, przed sześcioma laty odstąpił królowi Władysławowi II ziemię dobrzyńską i zawarł z Koroną pokój.

Ulryk tymczasem to władca dumny i porywczy, skłonny raczej szukać rozstrzygnięć na polu walki, niż podczas poufnych negocjacji. Starszy brat przed trzema laty na łożu śmierci przestrzegał wysokich braci zakonnych przed jego wyborem na wielkiego mistrza. Nazwał wtedy Ulryka głupcem.

Nie posłuchali.

Wielki mistrz Ulryk głupcem jednak nie jest. Rozumie, że konflikt z Litwą i Królestwem Polskim jest dla zakonu walką na śmierć i życie. Potrafił zdobyć się, krótko po wyborze na wielkiego mistrza, na oddanie Duńczykom Gotlandii, której zajęcie i ufortyfikowanie wiele państwo zakonne kosztowało. Koncentruje się na rozprawie z Litwinami i Polakami.

Ale w rozgrywce politycznej z Władysławem Jagiełłą dał się wyprowadzić w pole. Przed rokiem wysłannik Jagiełły abp Mikołaj Kurowski zdołał podczas posłuchania na zamku malborskim sprowokować wielkiego mistrza do niemal natychmiastowego wypowiedzenia wojny. Choć wojska zakonne zdołały szybko odnieść znaczące sukcesy, zdobywając ważne zamki w ziemi dobrzyńskiej oraz strategicznie istotną Bydgoszcz, Ulryk stracił możliwość zaskakującego wypowiedzenia wojny Jagielle w najbardziej dogodnym momencie.

Z porywczości i pychy Ulryka biorą się kolejne błędy krzyżackiej obrony. Wielkie zamki zakonne, z Malborkiem na czele, to cuda techniki fortyfikacyjnej. Von Jungingen mógłby zamknąć w nich swoje siły i skutecznie bronić się, dopóki zarazy i głód nie zdziesiątkują polskich i litewskich rycerzy. Ale wydanie na

spustoszenie dużych połaci kraju byłoby ciosem dla prestiżu zakonu i Ulryka osobiście. Znacznych sił pozostawionych dla osłony wschodnich i zachodnich krańców państwa zakonnego brak teraz w głównej armii Ulryka maszerującej w ciemnościach ku Stębarkowi.

Polski król tak poważnych błędów nie popełnił. Przez lata usilnie i skutecznie nakłaniał polskie rycerstwo, do wojny z zakonem wcale nieskore, by ruszyło w pole. Strategiczny plan Jagiełły i jego doradców jest znakomity. Nie ma mowy o mozolnym zajmowaniu ziem wroga, zdobywaniu twierdz. Armia ma pomaszerować na stolicę państwa zakonnego. Siły główne wielkiego mistrza muszą zastąpić jej drogę. Rozstrzygnięcie nastąpi w walnej bitwie, w której siły podległe Jagielle będą miały znaczną przewagę.

Ulryk von Jungingen w salach malborskiego zamku jest porywczym bufonem; w polu jednak staje się wojownikiem ostrożnym, kalkulującym każdy ruch. Czekał długo, by Jagiełło odkrył karty. Gdy stało się jasne, że Polacy i Litwini połączyli się, nieoczekiwanie sprawnie przeprawili główne siły, liczące ponad 25 tys. rycerstwa, niewiele mniej ciurów obozowych i niemal 3 tys. wozów, przez most pontonowy na prawy brzeg Wisły, zablokował i umocnił przeprawę przez Drwęcę pod Kurzętnikiem. Jej forsowanie było zbyt trudne i ryzykowne dla wojsk Jagiełły, nie pozwalało przy tym wykorzystać znacznej przewagi liczebnej jazdy. Wielka armia polsko-litewska szybkim marszem odskoczyła przez Lidzbark i Działdowo na wschód i przedwczoraj zdobyła i spaliła Dąbrówno, umocnione miasto na szlaku na Ostródę, położone między dwoma ciasno przylegającymi do siebie jeziorami. Polacy wyrżnęli jak bydło niemal wszystkich obrońców i mieszkańców, garstka ich jednak zdołała umknąć przez jeziora i zaalarmować maszerującą nieco na północ od sił Jagiełły armię zakonną.

Von Jungingen spodziewa się, że po ostygnięciu popiołów Dąbrówna chorągwie polsko-litewskie przejdą przez przesmyk i ruszą w stronę Grunwaldu, ostatecznie kierując się na Malbork. Tam właśnie, pod Grunwaldem, chce wydać Jagielle walną bitwę.

Świta. Ogromna kolumna zakonnej jazdy od dawna forsownie maszeruje na wschód.

W obozach polskim i litewskim, rozłożonych na błoniach pod Dąbrównem, królewski trębacz o pierwszym brzasku dmie w trąbę. To sygnał do zwijania obozowisk. Na drugi dźwięk trąby zaczyna się siodłanie koni. Trąba rozbrzmiewa po raz trzeci – liczące po kilkuset jeźdźców chorągwie powoli zajmują miejsca w marszowym szyku i obie armie ruszają na wschód. Jagiełło szóstym zmysłem wyczuwa, że przemarsz przez popioły Dąbrówna byłby ryzykowny. Dymy pożarów widoczne były z daleka, spod mieczy zbiegło też trochę mieszkańców. Marsz przez zgliszcza byłby zbyt łatwy do odczytania przez wielkiego mistrza. Wojska polsko-litewskie ruszają zatem na wschód, by obejść wielkim łukiem ruiny Dąbrówna oraz dwa dąbrównieńskie jeziora, i przez Turowo, zostawiając po lewej ręce jezioro Łubień, pomaszerować na Olsztynek i potem na Ostródę. Ich szlak znaczą płonące wsie i osady. Polscy i litewscy rycerze nie przepuszczają nikomu. Rżną i palą bezlitośnie.

Dochodzi 8.00, gdy między Stębarkiem i Grunwaldem, obok drogi górującej nad rozległą, ale płytką, przeciętą strumieniem dolinką, wielki mistrz zarządza postój armii zakonu. Jazda ustawia szyk w stronę drogi z Dąbrówna przez Samin i Grunwald. Stamtąd ma nadejść armia Jagiełły. To tu-tuż pod Grunwaldem, gdzie Ulryk von Jungingen chce zmierzyć się z armią polsko-litewską. Obozowe ciury pośpiesznie biorą się za wznoszenie lekkich umocnień polowych zwróconych na zachód. Wielki mistrz planuje najpierw

przyjąć atak wojsk Jagiełłowych, a potem rozbić je potężnym kontruderzeniem.

O tej samej porze wojska Jagiełły docierają do południowego krańca jeziora Łubień. To tylko 6 km od obozowiska głównych sił zakonu, ale przeciwnicy nic o sobie nie wiedzą. Król także zarządza postój. Większa część jego wojsk rozlokowuje się wzdłuż drogi na Mielno, już po wschodniej stronie jeziora. Zaczynają krzątać się kucharze i ich pomocnicy. To samo dzieje się w obozie krzyżackim; obie armie wyruszyły bez porannego posiłku.

Zakonni rycerze czekają pod Grunwaldem w gotowości bojowej, ale nikt z zachodu nie nadchodzi. Gdzie jest ten Jagiełło? Wielka armia polsko-litewska zapadła się jak kamień w wodę. Ale hen na horyzoncie, za linią lasów, koło jeziora Łubień, widać jakieś dymy. Chyba płoną tamtejsze wsie. Ulryk czym prędzej wysyła na rozpoznanie 2 chorągwie. Po przekroczeniu doliny ze strumieniem, rozciągającej się między Łodwigowem i Stębarkiem, rozpoznanie zakonne natyka się na silny podjazd wojsk Jagiełłowych.

Kończy się chmarami wystrzelonych z kusz bełtów i pośpiesznym powrotem do własnych obozów z niemiłymi nowinami.

Cieśle kończą zbijać polową kaplicę dla króla na wyniosłym pagórku nad brzegiem jeziora, gdy do Jagiełły podjeżdża wściekłym galopem Hanko herbu Ostoja z ziemi chełmskiej i woła, iż dostrzegł blisko nieprzyjaciela. Chwilę później przybywa na spienionym koniu Dersław Włostowski i z dala oznajmia to samo. Jeszcze chwila i w pełnym galopie zjawiają się kolejni czterej rycerze z zaskakującą nowiną.

Jagiełło pozostaje nieporuszony. Pyta o liczbę jazdy zakonnej. Gdy dowiaduje się, że to dwie chorągwie, poleca marsz. Zbigniewowi z Brzezia wziąć kilka polskich chorągwi, odrzucić jazdę

krzyżacką i utrzymać skraj lasów, osłaniając całkiem niegotowe do bitwy siły główne.

Zaskoczeni są obaj wodzowie. Von Jungingen uszykował się do bitwy pod Grunwaldem, a tu trzeba obracać się niemal w tył i walczyć między Łodwigowem i Stębarkiem. Jagiełło jest w dużo gorszej sytuacji. *Gros* jego sił wypoczywa w szyku marszowym za południowym końcem jeziora. Zanim je ściągnie na skraj lasków na brzegu doliny ze strumieniem, na której drugim brzegu stoją wojska zakonne, musi minąć sporo czasu. Jedyne, co może teraz zrobić król, to zachować ostentacyjny spokój. Jagiełło zatem wydaje rozkazy, by koncentrować armię, a potem na oczach swych rycerzy flegmatycznie słucha mszy.

Wojska zakonne przegrupowują się szybko i skutecznie. Przed wielkim mistrzem staje wielkie pytanie: uderzać od razu, w ciemno, licząc, że skryte za linią lasów wojska Jagiełłowe są rozproszone i nieprzygotowane do stawienia oporu, czy poczekać, aż gotowe do bitwy, wyjdą na rozległe pola między Łodwigowem i Stębarkiem?

Ulryk von Jungingen nagle mięknie, lęka się wielkiego ryzyka. Gdyby skryci za laskami Polacy i Litwini byli uszykowani do bitwy, atak zakonnej jazdy w ciemno mógłby skończyć się katastrofą. Ulryk postanawia czekać. Możliwość pobicia dwukrotnie liczniejszych i silniejszych wojsk polsko-litewskich bezpowrotnie znika.

Jan Matejko, *Bitwa pod Grunwaldem*

16 lipca 1945 ▪ poniedziałek

Portret zbiorowy fizyków z Trójcą w tle

Ciemne chmury szczelnie wyścielają niebo. Nie widać ani jednej gwiazdy. O 22.00 sierżant żandarmerii budzi z krótkiego snu Kennetha Bainbridge'a, fizyka doświadczalnego z Uniwersytetu Harvarda: już czas uzbroić bombę. Kierujący operacją zdetonowania jej Bainbridge zbiera swój zespół: chemika rosyjskiego pochodzenia George'a Kistiakowskiego, fizyka Josepha McKibbena oraz głównego meteorologa eksplozji bomby Jacka Hubbarda i dwóch pomagających mu podoficerów. Ruszają samochodem w stronę tzw. Punktu Zero – miejsca, gdzie stoi zbudowana ze stalowych szyn wieża wysokości 30 m. Na jej szczycie, na drewnianej platformie, naukowcy od kilku dni montują pierwszą na świecie bombę atomową – pękatą stalową kapsułę wysokości człowieka, oplecioną grubymi przewodami. Po drodze samochód Bainbridge'a zatrzymuje się w tzw. punkcie S-10000, oddalonym na południe od Punktu Zero dokładnie o 1 km. Znajduje się tam potężny żelbetowy bunkier o wysokości dwóch pięter, od strony Punktu Zero obsypany wałem ziemi. Z bunkra tego ma być sterowana eksplozja. Bainbridge blokuje w bunkrze główne przełączniki. Klucz chowa do kieszeni.

Na wieży w Punkcie Zero pracuje Donald Hornig, młody fizyk z Uniwersytetu Harvarda. To on skonstruował zespół specjalnych kondensatorów, który ma uruchomić wszystkie detonatory bomby w tym samym momencie. Gdy samochody zespołu Bainbridge'a podjeżdżają pod wieżę, Hornig kończy montaż ważącej ponad 200 kg baterii kondensatorów swojego projektu. Potem schodzi na

dół. Jest ostatnim człowiekiem, który dotyka bomby przed eksplozją.

Kenneth Bainbridge jest jednym z nielicznych obecnych w Los Alamos konstruktorów bomby, którzy tego wieczoru zdrzemnęli się przed jej zdetonowaniem. Większość, mimo wielkiego zmęczenia i nieprzespanych ostatnich nocy, nie kładzie się do łóżek. Fizyk Robert Oppenheimer, dyrektor pustynnego laboratorium Los Alamos, w którym zbudowano bombę, gawędzi z metalurgiem Cyrilem Smithem o swojej rodzinie. Amerykański fizyk Isidor Rabi, który długo ociągał się przed przyłączeniem do prac nad bombą, bo uważał, że jego badania nad radarem pozwolą szybciej wygrać wojnę, gra w pokera. Fizyk Emilio Segre, emigrant z faszystowskich Włoch, do późnej nocy czyta *Fałszerzy* André Gide'a; zasypia dopiero krótko przed drugą w nocy. Enrico Fermi, drugi uciekinier spod władzy Mussoliniego, przyjmuje zakłady od innych fizyków, czy eksplozja bomby zapali atmosferę ziemską czy nie. Jeśli zaś zapali, to czy zniszczony zostanie jedynie stan Nowy Meksyk, czy też diabli wezmą cały świat. Jego czarny humor irytuje naukowców i wojskowych, ale to właśnie nakręca włoskiego noblistę. Z całą powagą tłumaczy, że jeśli bomba w ogóle nie wybuchnie, będzie to i tak bardzo pożyteczny eksperyment dowodzący, że skonstruowanie broni atomowej jest niemożliwe.

Zakłady o wynik pierwszej w dziejach próby zdetonowania bomby atomowej to od kilku dni ulubiona rozrywka naukowców w Los Alamos. Kistiakowski np. założył się z Oppenheimerem o 10 dolarów, że bomba eksploduje.

Przed trzema laty, w czerwcu 1942 roku, prezydent Franklin Delano Roosevelt polecił rozpocząć gigantyczny program budowy bomby atomowej tak szybko, jak to tylko możliwe. Nadano mu kryptonim „Manhattan". Zarządzanie programem oddano wojsku.

W grudniu 1942 roku Enrico Fermi uruchomił pod trybunami stadionu piłkarskiego w Chicago pierwszy stos uranowy. Jego koledzy z programu „Manhattan" projektowali już w tym czasie stosy uranowe do produkcji plutonu. Amerykanie w szaleńczym tempie wybudowali gigantyczne zakłady separacji plutonu i uranu U235. Hale produkcyjne miały powierzchnie dziesiątek hektarów.

W pierwszych miesiącach 1943 roku dowodzący programem „Manhattan" gen. Leslie R. Groves zorganizował wielkie laboratorium na terenie byłej szkoły z internatem Los Alamos na pustkowiach Nowego Meksyku. To tu zostały zaprojektowane i zbudowane pierwsze bomby atomowe. Plutonowa ma być użyta do próbnej eksplozji na pustyni Jornada del Muerto (Szlak Zmarłych). Tej pierwszej na świecie eksplozji atomowej nadano kryptonim „Trinity" (Trójca Święta).

Parę kroków od wieży, w Punkcie Zero, Hubbard dokonuje pomiarów meteorologicznych. Tej nocy meteorolog jest ważniejszy od wszystkich fizyków i chemików: jeśli stwierdzi, że warunki atmosferyczne będą niekorzystne, próba nie odbędzie się. Pięciu ludzi w Los Alamos posiada prawo samodzielnego wstrzymania eksplozji: szef projektu gen. Leslie Groves, jego zastępca gen. Thomas Farrell, Oppenheimer, Bainbridge i właśnie Hubbard. Wypełnione helem balony wypuszczone przez jego pomocników potwierdzają, że warunki meteo nie są najgorsze: radioaktywne pyły po eksplozji powinny dość szybko opaść na piaski pustyni. Nieznośna duchota zwiastuje burzę.

Mija północ, zaczyna się dzień próby – 16 lipca. Pierwsza bomba atomowa ma zostać zdetonowana za 4 godziny.

O 2.00 wojskowe autobusy przywożą dziesiątki obserwatorów na wzgórze Compania oddalone od Punktu Zero o 32 km. Jest wśród

nich wielu wybitnych naukowców, których badania przyczyniły się do powstania bomby, i sporo amerykańskich oficjeli.

Gdy obserwatorzy rozlokowują się na Companii, nad pustynią rozpętuje się gwałtowna burza. Wichura osiąga prędkość 50 km/h, deszcz zalewa obozowisko naukowców w Los Alamos. W ośrodku meteo w obozie zbierają się ci, którzy mają zadecydować o uruchomieniu zapalników: gen. Groves, Oppenheimer, Hubbard i 3 innych meteorologów. Zdenerwowany uniemożliwiającą przeprowadzenie próby burzą gen. Groves pokrzykuje na Hubbarda, który rewanżuje mu się uwagą, że wymuszony przez generała termin 16 lipca od początku uważał za poroniony. Wiszącą w powietrzu awanturę zażegnuje konkluzja Hubbarda, że o świcie burza wygaśnie. Groves pół żartem, pół serio grozi meteorologowi, że jeśli nawałnica nie ucichnie, to go powiesi. W końcu generał przesuwa termin eksplozji o półtorej godziny, na 5.30 tuż przed świtem. Chwilę po tej rozmowie wichura przewraca jeden z namiotów w obozie Los Alamos. Przed czwartą nad ranem burza zaczyna jednak słabnąć.

O 3.45 kuchnia obozu naukowców w Los Alamos wydaje śniadanie: jajecznicę ze sproszkowanych jaj, grzanki, kawę.

Kenneth Bainbridge od pierwszych minut burzy stoi w Punkcie Zero pod wieżą z bombą. Klucz do zablokowanych detonatorów ma w kieszeni, ale niepokoi się przekazywanymi przez telefon wiadomościami – z odległego o 14,5 km obozu – o ulewie i błyskawicach. Brakuje tylko tego, by w bombę atomową na szczycie wieży rąbnął grom! Jednak burza omija Punkt Zero – kropi tu tylko niegroźny deszczyk.

O 4.40 Hubbard opracowuje najświeższą prognozę: o godz. 5.30 warunki atmosferyczne będą wystarczająco dobre, by przeprowadzić eksplozję. Meteorolog telefonuje do Bainbridge'a tkwiącego ciągle

pod wieżą z bombą. Bainbridge uznaje, że próba może się odbyć, i dzwoni do Oppenheimera oraz gen. Farrella. Obaj zgadzają się na dokonanie eksplozji za niecałą godzinę.

Bainbridge ze swoimi ludźmi wraca do bunkra S-10000.

Na wzgórzu Compania wojskowi polecają naukowcom, by położyli się nogami w stronę Punktu Zero, twarzą do piasku. Oburzeni współtwórcy bomby protestują. Chcą patrzyć. Edward Teller, który uważa, że eksplozja i wynikłe z niej promieniowanie będą silniejsze, niż wynika z wcześniejszych szacunków, wyjmuje płyn do opalania się i smaruje twarz. Jego koledzy w ciemnościach także nacierają się olejkiem.

Obok nich skrzeczy radio krótkofalowe, przez które obserwatorzy na Companii mogą słuchać kolejnych komend przygotowań do „Trinity". Nagle radio milknie. Naprawia je wybitny fizyk Richard Feynman, który w młodości był radioamatorem. Gdy jednak krótkofalówka psuje się po raz drugi, Feynman macha ręką. W ciemnościach rozlegają się ostrzegawcze buczenia syren, w różnych punktach Jornada del Muerte co rusz wzlatują w niebo rakiety rozmaitych kolorów.

Robert Oppenheimer wraz z bratem Frankiem decydują się wyjść z bunkra S-10000. Razem z nimi postanawia obserwować próbę na zewnątrz George Kistiakowski.

O 5.29 odpalona zostaje ostatnia rakieta sygnalizacyjna. Od tej chwili już tylko jeden człowiek, zawiadujący baterią kondesatorów Donald Hornig, może wstrzymać eksplozję.

Wśród obserwatorów napięcie sięga zenitu. Tych w obozie chronią tylko płytkie okopy i część z nich boi się o własne życie. W bunkrze w punkcie S-10000 wychudzony jak szczapa Oppenheimer, by nie upaść, trzyma się z całej siły słupa nośnego i mamrocze: „Boże, te sprawy źle robią na serce".

Obserwujący próbę zakładają na twarze okulary spawalnicze.

W bunkrze S-10000 słychać głośne odliczanie sekund: „... cztery, trzy, dwa, jeden, zero".

Czerń nocy w mgnieniu oka przeszywa oślepiające białożółte światło. Po upływie pół minuty w Punkcie Zero rośnie gigantyczny, spłaszczony od spodu pączek ognia. Płomienista kula unosi się, a z jej wnętrza wyrasta na wielką wysokość kolumna ognia, na końcu której formuje się gigantyczny grzyb nieziemskiego, gorejącego błękitu. Wszystko dzieje się w przeraźliwej ciszy. Dopiero później rozlega się potworny huk.

Potem w chłodne powietrze nad pustynią uderza z ogromną energią gorący podmuch eksplozji. Atomowy grzyb błyska teraz różnymi odcieniami czerwieni i purpury.

Gorący wicher przewraca George'a Kistiakowskiego na piasek. Kistiakowski wstaje, otrzepuje się, podchodzi do Oppenheimera i klepie go po ramieniu: „Oppie, jesteś mi winien 10 dolarów". Oppenheimer zagląda do portfela i kręci przecząco głową: „Pusty, musisz poczekać".

Kenneth Bainbridge gratuluje każdemu z obecnych w bunkrze S-10000 naukowców. Na końcu mówi Oppenheimerowi: „Teraz wszyscy jesteśmy skurwysynami".

W tej samej chwili portowy dźwig w bazie marynarki wojennej w Zatoce San Francisco przenosi na pokład ciężkiego krążownika USS „Indianapolis" ważącą 4,5 t skrzynię z mechanizmem detonującym drugiej z amerykańskich bomb atomowych, „Little Boya". Dwaj marynarze wchodzą na pokład, dźwigając zawieszone na żelaznym łomie wiadro z ołowiu. W środku jest uranowy ładunek bomby. Cztery godziny później krążownik wypływa w stronę wyspy Tinian na Pacyfiku. Z lotniska na Tinianie już od

tygodni startują bombowce strategiczne B-29 do nalotów na Japonię.

17 lipca 1925 ▪ piątek

Czerwone Chicago

Wczesnym rankiem zastępca kierownika stołecznego urzędu śledczego Kurnatowski wydaje polecenie wzmożenia akcji patrolowej policji na warszawskich ulicach.

Jednym z dodatkowych patroli jest dwóch wywiadowców z 10. komisariatu: Kazimierz Lesiński i Antoni Klimasiński. Krótko przed godz. 11.00 przed witryną banku na ul. Zgoda 1 wywiadowcy spotykają trzech młodych mężczyzn. W podniszczonych ubraniach, sporych kaszkietach na głowach, nie zwracają na siebie uwagi, ale funkcjonariusze postanawiają wylegitymować ich. Podchodzą, pokazują legitymacje i polecają wejść do bramy.

Najmłodszy z zatrzymanych, 22-letni Henryk Rutkowski, choć w 1919 roku odznaczył się pośród „Orląt" broniących Lwowa, od czterech lat działa w Związku Młodzieży Komunistycznej. Przed dwoma laty aresztowany za kolportaż komunistycznej bibuły, skazany został na 2 lata domu poprawczego w Łomży. Na wolność wyszedł przed 4 miesiącami.

Starszy o rok od Rutkowskiego Władysław Kniewski w czasie wojny światowej służył w korpusie gen. Dowbora-Muśnickiego, a w 1920 roku wstąpił na ochotnika do polskiego wojska i dzielnie walczył z bolszewicką inwazją; został ciężko ranny pod Ostrołęką. Wiosną 1922 roku przystał do komunistów, działał w ich młodzieżówce. Przed dwoma laty aresztowany podczas rozklejania

na murach Warszawy odezw Związku Młodzieży Komunistycznej, skazany został na 2 lata domu poprawczego. Podobnie jak Rutkowski, także Kniewski wyszedł na wolność przed 4 miesiącami.

Najstarszy z trzech mężczyzn zatrzymanych przez policyjnych wywiadowców to Władysław Hibner. Ma 32 lata i bogaty życiorys partyjny. Już w 1918 roku działał w KPRP, był jednym z szefów łódzkiej Rady Delegatów Robotniczych. W 1919 roku został skazany za działalność komunistyczną na 5 lat więzienia. Przed czterema laty polskie władze wymieniły go z ZSRR na więźniów politycznych. W Moskwie Hibner razem z Juliuszem Marchlewskim organizował Międzynarodową Organizację Pomocy Rewolucjonistom, potem krótko reprezentował Polskę w Komitecie Wykonawczym MOPR. W październiku zeszłego roku został nielegalnie przerzucony do Polski. Jako Olimpiusz Turowicz wszedł do Komitetu Warszawskiego KPP.

Trzech młodych komunistów nie przypadkiem stało przed domem na początku ul. Zgoda. Podczas okręgowej konferencji Związku Młodzieży Komunistycznej Kniewski i Rutkowski zgłosili się na ochotnika do likwidacji Józefa Cechnowskiego, policyjnego konfidenta w ruchu komunistycznym. Dowództwo grupy likwidacyjnej powierzono doświadczonemu Władysławowi Hibnerowi. Trzech zamachowców od rana czekało na ul. Zgoda na Cechnowskiego.

Wywiadowcy żądają okazania dokumentów. Hibner zamiast papierów wyciąga z kieszeni browninga i z najbliższej odległości strzela do policjanta Lesińskiego. Trafia go w pierś i w lewe ramię. Kniewski i Rutkowski także strzelają, ale niecelnie. Kazimierz Lesiński pada na ziemię, a trzech zamachowców rozbiega się na cztery wiatry.

Kniewski pędzi Bracką w stronę ul. Widok. Gonią go przechodnie i wywiadowca Klimasiński. Po chwili do pościgu dołącza konny policjant Henryk Igielski. Przed domem nr 7 celny strzał Klimasińskiego trafia Kniewskiego w udo. Ale Kniewski, mimo ogromnego bólu, nie poddaje się. Leżąc na bruku, strzela do nadjeżdżającego posterunkowego Igielskiego. Trafia w pierś jego wierzchowca. Martwy koń pada na bruk, Igielski czołga się do najbliższej bramy. Pociski Kniewskiego uderzają w mur tuż nad jego głową. Ostrzeliwujący Igielskiego komunista nie zauważa, że wywiadowca Klimasiński z innym policjantem zachodzą go od tyłu. Po krótkiej szamotaninie obezwładniają słabnącego z upływu krwi Kniewskiego.

Hibner z Rutkowskim uciekają Chmielną, Marszałkowską, Złotą. Ściga ich spora grupa przechodniów i policjantów. Obaj niedoszli zamachowcy gęsto ostrzeliwują się z pistoletów. Dwaj przechodnie dostają ciężkie postrzały w brzuch, jeden w lewe ramię, inny ma przestrzeloną dłoń. Na Chmielnej komunistom zastępują drogę student uniwersytetu Aleksander Kempner i 20-letni przechodzień Józef Eichenkaum. Obaj padają ciężko ranni od postrzałów z najbliższej odległości. Na rogu Chmielnej i Zielnej Hibner i jego towarzysz dziurawią jak rzeszoto kiosk warzywny. Terrorystów usiłuje zatrzymać przechodzący Chmielną kupiec Aleksander Gurewicz. Łapie jednego z nich za rękę, wykręca ją. Ale zatrzymywany wyrywa się i strzela Gurewiczowi prosto w serce. Notes i grubo wypchany banknotami portfel zatrzymują komunistyczną kulę.

Na rogu Wielkiej i Złotej uciekinierzy wskakują do konnej dorożki nr 1065. Dorożkarz przytomnie daje nura do najbliższego sklepu. Hibner łapie za lejce, zacina konie i strzela przed siebie, spędzając z ulicy przechodniów i gapiów. Rutkowski kuca w dorożce

i strzela do ścigających. Obaj raz za razem zmieniają magazynki. Na Sosnowej zamachowcy niemal wpadają na taksówkę samochodową. Powściągają konie, krzyczą do szofera, by stanął. Szofer Jan Samulski nie zwalnia. Strzelają do niego, ale trafiają tylko w liczniki na pulpicie samochodu. Kierowca zakręca, zatrzymuje się. Czterej zziajani policjanci wskakują do samochodu i ruszają w pościg za dorożką.

Na rogu Złotej i Twardej Hibner i Rutkowski wyskakują z dorożki i uciekają w stronę torów. Nagle zawracają i próbują przemknąć w stronę Żelaznej. Drogę zastępuje im starszy posterunkowy policji Feliks Witman. Strzelają. Pocisk trafia Witmana w serce.

Zamachowcy pod gradem pocisków policjantów dopadają domu przy Żelaznej 21. Chowają się w składzie węgla firmy Borkowski SA. Za nimi wbiegają policjanci. Hibner i Kniewski ładują nowe magazynki i otwierają gorączkowy ogień. Przodownik Skrzynecki z 28. komisariatu trafiony w nogę pada na pryzmę węgla. Policjant Władysław Zimnowłocki z 8. komisariatu dostaje postrzał w udo, posterunkowemu Galewskiemu pocisk rozrywa kolano, a posterunkowego Galińskiego inna kula trafia w biodro. Po chwili nadjeżdża pogoń w taksówce. Hibner z Kniewskim strzelają celnie – posterunkowy Kaczmarski ma rozerwaną dłoń. Hibner z najbliższej odległości strzela do posterunkowego Janiszewskiego, ten odpowiada ogniem. Hibner trafia Janiszewskiego w głowę i oba ramiona, ale dwaj pozostali policjanci ranią obu zamachowców w nogi.

Postrzelonych zamachowców policjanci przewożą do 8. komisariatu. Potem karetka przewozi ich pod eskortą do szpitala więziennego. Po południu umierają z powodu odniesionych ran wywiadowca Kazimierz Lesiński i student Aleksander Kempner.

Posterunkowy Witman umiera wieczorem w Szpitalu Dzieciątka Jezus.

18 lipca 1937 ▪ niedziela

Z panem Biegankiem w Świdrach Małych

Wojciech Bieganek wkłada rano nowy garnitur, nowe trzewiki i czapkę z daszkiem. Jak na chłopskiego syna, przyodziany jest z wyzywającą elegancją.

Biegankowie mieszkają we wsi Różopole w powiecie krotoszyńskim. Ojciec Wojciecha siedział w więzieniu za krzywoprzysięstwo. W więzieniu przebywał też brat Wojciecha i jego zamężna siostra. Kolejni dwaj bracia parę lat wcześniej zostali przymusowo wysiedleni z Francji. Teraz trochę pomagają matce na gospodarstwie, trochę kombinują, podkradają co się nadarzy.

30-letniego Wojciecha Bieganka przed laty podejrzewano o morderstwo w celach rabunkowych, ale zbrodni mu nie udowodniono. Później odsiedział 1,5 roku za kradzież. Znany był z tego, że nigdy nie miał gotówki, ale dla jej zdobycia zrobiłby wszystko. Elegancki garnitur i nowe buty kupił przed paroma dniami za pieniądze matki. Pożyczyła 100 zł na weksel.

Wychodząc z domu, Bieganek zapowiada matce, że wróci pojutrze, we wtorek, i odda jej wszystkie długi. W sumie niemałe. Na rowerze w dwie godziny jedzie do Krotoszyna. Stamtąd koleją rusza do Warszawy, a potem do letniskowych Świdrów Małych.

W słynnej warszawskiej restauracji Adria późnym popołudniem zjawia się płk Adam Koc.

Pułkownik jest w świetnym humorze, ale wszyscy wiedzą, że to nie jest dla niego dobry czas. Prominentny polityk sanacji przed kilkoma miesiącami został szefem założonego w lutym 1937 roku Obozu Zjednoczenia Narodowego. W teorii miała być to organizacja masowa, dająca społeczne oparcie sanacji. W praktyce dwa lata zabiegów płk. Koca skończyły się klapą. OZN solidarnie bojkotowały wszystkie polskie stronnictwa polityczne. Na domiar wszystkiego płk Koc jako szef OZN zaczął ryzykowny polityczny romans ze skrajnymi odłamami ruchu narodowego.

Ostatnimi tygodniami w kręgach zwolenników Adama Koca głośno mówiono, że grozi mu zamach. Władze przyznały pułkownikowi wzmocnioną ochronę osobistą. Przeciwnicy szefa OZN szeptali, że popularność pułkownikowi mógłby przywrócić tylko zamach na jego życie. Naturalnie, nieudany.

Siedzący przy sąsiednim stoliku dziennikarz gazet „czerwonych", czyli popularnej prasy prorządowej, Jan Zbrożek zauważa, że do stołu płk. Koca kelnerzy co rusz donoszą szampana. Późno w nocy redaktor Zbrożek ze zdumieniem dostrzega, że do płk. Koca podchodzą dwaj panowie i coś żywo mu tłumaczą, ale on najwyraźniej nie chce wstawać od stołu. Po dłuższej chwili wreszcie nieznajomi wyprowadzają go pod rękę.

Gdy służbowy samochód z pułkownikiem i ochroną dojeżdża do Świdrów Małych, w których szef OZN ma dom letniskowy, miejscowością wstrząsa potężny wybuch. Jest 22.25.

Przed domem pułkownika błyskawicznie zjawia się policja. Brama wjazdowa jest zdemolowana. Wielki lej w piaszczystym podłożu nie pozostawia wątpliwości, że eksplodowała zakopana bomba. W ciemnościach policjanci znajdują odrzucone na 5 m dalej

zwłoki zamachowca. Twarz ma zmasakrowaną, urwaną prawą rękę i lewą dłoń. Jego szczątki rozrzucone są w promieniu kilkudziesięciu metrów. Ale z identyfikacją nie ma kłopotów. W marynarce funkcjonariusze znajdują książeczkę wojskową na nazwisko Bieganek, rozkład jazdy PKP i bilety z Krotoszyna do Świdrów Małych.

Sąsiad Adama Koca w chwili wybuchu był w ogrodzie. Niczego nie widział. Niczego nie zauważył też pilnujący rejonu bramy do posesji Adama Koca policjant. Jeszcze przed północą na miejsce wybuchu dociera wiceminister spraw wewnętrznych. Policjanci znajdują w krzakach kapelusz z inicjałami niepasującymi do Bieganka. Czapki, w której wyjechał z Różopola, nie ma.

19 lipca 1937 ▪ poniedziałek

Pożegnanie ze sztuką

Od rana przed budynkiem gospodarczym monachijskiego muzeum rośnie kolejka.

Dziwna kolejka. Pospołu stoją naziści w mundurach partyjnych, służbowych lub wojskowych i zwyczajni monachijczycy. Wreszcie wpuszczają. Na zwiedzających czekają pośpiesznie wydrukowane katalogi *Zdegenerowana „sztuka". Przewodnik*. Na okładce reprodukcja nowoczesnej rzeźby: zdeformowana, pełna ekspresji twarz.

Przewodnik to dziełko jedyne w swoim rodzaju. Zamiast komplementów pod adresem eksponowanych dzieł – wyłącznie obelgi, kąśliwe epitety, złośliwości. Prace Dixa i Grosza to „sztuka będąca narzędziem marksistowskiej propagandy przeciwko służbie

wojskowej". Twórczość Kirchnera dokumentuje „barbarzyńskie metody przedstawiania". Abstrakcyjne malarstwo Schwittersa to „kompletne szaleństwo". Zawartość jednej z sal skwitowana jest jako „reprezentatywny zbiór nieustającej żydowskiej tandety, której żadne słowa nie są w stanie odpowiednio opisać".

Wszystko to spuentowane cytatami z wypowiedzi Adolfa Hitlera na temat sztuki.

Zaczęło to się przed 4 laty. W styczniu 1933 roku Hitler został kanclerzem Niemiec, a już w październiku położył kamień węgielny pod Haus der Deutschen Kunst, Dom Sztuki Niemieckiej. Narodowi socjaliści do sztuki przywiązywali wielkie znaczenie, choć początkowo mieli bardzo mętne pojęcie, jak powinna wyglądać twórczość prawdziwie niemiecka, prawdziwie nordycka, którą z maniakalnym uporem wychwalali w swych teoretycznych rozprawach. Przez ostatnie 4 lata nazistowskie kryteria artystyczne wypracowywano metodą prób i błędów, a instancją ostateczną był gust Adolfa Hitlera. Gdy minister propagandy Joseph Goebbels zlecił nadwornemu architektowi Führera Albertowi Speerowi urządzenie swojego domu, Speer pożyczył od dyrektora berlińskiej Nationalgalerie kolekcję kilku akwarel Emila Noldego. Goebbels i jego żona Magda byli nimi zachwyceni – ale tylko do chwili gdy odwiedził ich Hitler. Führer surowo zganił obrzydliwe, jego zdaniem, akwarele i Nolde ostatecznie trafił na nazistowski indeks twórców zakazanych. Podczas kompletowania kolekcji Domu Sztuki Niemieckiej okazało się, jak trudno o sztukę prawdziwie niemiecką, w rozumieniu narodowych socjalistów, rzecz jasna. Skończyło się na konwencjonalnych pejzażach wiejskich i scenach chłopskich, pompatycznych scenach bitewnych i odmalowywanych z medyczną dokładnością aktach.

Dużo łatwiej było nowym władcom Niemiec zidentyfikować sztukę wrogą, rozkładową, ideologicznie szkodliwą, słowem – zwyrodniałą. Nazistowski ideolog Alfred Rosenberg już na początku lat 30. nazwał ekspresjonizm sztuką syfilityczną, infantylną, nieczystą rasowo. Hitler każdą sztukę różną od dosłownego realizmu traktował wrogo; dla niego eksperymenty z formą były zawsze „pracami niedokończonymi". Prace niedokończone i zwyrodniałe produkowali wszelcy kubiści, impresjoniści, ekspresjoniści, dadaiści, futuryści.

Parę lat temu Hitler grzmiał pod ich adresem: „Mylili się, sądząc, że twórcy nowej Rzeszy są na tyle głupi lub na tyle niekompetentni, by dać się zbałamucić, a cóż dopiero zastraszyć ich bełkotem". W zeszłym roku czas polemik minął. Goebbels ogłosił zakaz uprawiania krytyki artystycznej: „Po przejęciu przez nas władzy dałem niemieckim krytykom cztery lata na dostosowanie się do zasad narodowego socjalizmu [...]. Ponieważ rok 1936 upłynął bez zadowalających oznak poprawy w dziedzinie artystycznej, niniejszym zakazuję, począwszy od dnia dzisiejszego, uprawiania tej krytyki".

Półtora miesiąca temu zaś Goebbels oznajmił: „[...] przykłady artystycznego bolszewizmu zostały mi przedstawione. Teraz atoli w to wkroczę [...] chcę urządzić wystawę sztuki okresu upadku, dzięki której społeczeństwo nauczy się dostrzegać i rozpoznawać, co w sztuce jest dobre i wartościowe, a co złe i zdegenerowane".

Minister propagandy upoważnił nowo wybranego, zaufanego szefa oddziału Izby Kultury Rzeszy Adolfa Zieglera do wybrania ze zbiorów państwowych, landów i miast dzieł niemieckiej sztuki zwyrodniałej powstałych po roku 1910. Przygotowania do wystawy sztuki zwyrodniałej stały się pretekstem do gigantycznej czystki w niemieckich zbiorach publicznych. Urzędnicy Ministerstwa

Kultury, najwyraźniej nierozumiejący ducha nowych czasów, potajemnie dzwonili do muzeów i ostrzegali przez nalotem Zieglera i jego ludzi. Dyrektorzy i kustosze masowo odsyłali dzieła zdegenerowane ich twórcom i ofiarodawcom w nadziei, że je ukryją i ocalą. Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nationalgalerie baron von der Heydt w ostatniej chwili ewakuował dzieła Braque'a, Dufy'ego, Muncha i Picassa do skarbca banku Thyssenów.

Przed 10 dniami do Nationalgalerie wmaszerował Ziegler na czele orszaku nazistowskich krytyków sztuki. Po lustracji zbiorów wstępnie „aresztowano" 60 obrazów olejnych, 7 rzeźb i 3 grafiki. W bremeńskiej Kunsthalle udało się uratować 9 obrazów Liebermanna. Prof. Waldmann stwierdził, że obrazy tego Żyda dawno już usunięto i schowano przed oczami niemieckiej publiczności tak głęboko, że teraz nie sposób ich znaleźć. Z muzeów w Karlsruhe wywieziono 47 obrazów. Wszędzie tam jednak gdzie dyrekcje muzeów były w rękach zdeklarowanych nazistów, straty były ogromne. Z samego tylko muzeum Folkwang w Essen, kierowanego przez hitlerowskiego dyrektora, wywieziono ponad 1200 prac.

Ziegler w ekspresowym tempie wybrał spośród „zaaresztowanych" dzieł te najbardziej zdegenerowane i w ostatniej chwili zdążył porozstawiać je w pobieżnie odświeżonym budynku gospodarczym. Przedwczoraj rozpoczęło się w Monachium trzydniowe hitlerowskie święto sztuki. Na uroczystym posiedzeniu Izby Kultury Rzeszy dr Goebbels krzyczał z trybuny, że sztuka zwyrodniała to śmiertelna choroba. Wtórował mu Ziegler.

Wczoraj świętowano w Monachium dzień Sztuki Niemieckiej. Ulicami kroczył 7-tysięczny pochód przebierańców – wikingów, mitycznych wieszczów, rycerzy, wielkich malarzy, władców. Potem otwarto podwoje Domu Sztuki z ekspozycją sztuki słusznej

i oszołomiona publiczność ujrzała największą ilość pompatycznego kiczu, jaką kiedykolwiek zgromadzono pod jednym dachem.

Skoro tak ma wyglądać przyszłość niemieckiej sztuki, monachijczycy tłumnie przyszli dziś obejrzeć jej piękną, zdegenerowaną przeszłość. I pożegnać ją.

Wystawę sztuki zdegenerowanej otwiera jej twórca Adolf Ziegler. Grzmi zachrypniętym głosem, że odtąd przedstawianie na obrazach czegokolwiek, co nie jest spotykane w naturze, będzie karane. Malować można dokładnie to, co widać. Nieposłusznymi artystami zajmą się psychiatrzy i sędziowie.

Dzieciom wstęp wzbroniony. Sztuka zdegenerowana może zaszkodzić przyszłości III Rzeszy.

Tłumy wlewają się do sal. Na ścianie nad drzwiami napis: „Mieli cztery lata". W ogóle dużo tu napisów nabazgranych przez organizatorów na ścianach, obok eksponowanych dzieł. Na ścianie, nad grupą ekspresjonistycznych rzeźb, napis: „Jak sami mówią: »Działamy tak, jak gdybyśmy byli malarzami, poetami i czym tam jeszcze, ale w istocie jesteśmy po prostu ekstatycznie bezczelni. W naszej bezczelności fruniemy przez świat i pielęgnujemy snobów, którzy liżą nam buty«". Cytat ze świadomie prowokacyjnego manifestu artystycznego z 1915 roku w roli koronnego dowodu aktu oskarżenia.

Przed arcydziełem Franza Marca *Turm der blauen Pferden* (Wieża błękitnych koni) przewodnik opowiada publiczności wyuczoną anegdotę: „Kiedyś ostatni król bawarski zapytał Marca: – Dlaczego maluje pan błękitne konie? – Ponieważ tak je widzę, Wasza Wysokość – odpowiedział Marc. – No to dlaczego został pan malarzem? – skończył rozmowę król".

Wokół naziści wybuchają śmiechem.

Monachijczycy przepychają się w ogromnym tłumie. Każdy chce zobaczyć wspaniałe, zdegenerowane prace 113 niemieckich twórców. Mało kto ma nadzieję, że zobaczy je jeszcze raz.

Przygotowania do *20th Century German Art Exhibition* w londyńskiej New Burlington Galleries

20 lipca 1934 ▪ piątek

Wielka woda

Od świtu na wałach wiślanych w Warszawie i okolicach gęsto, w zasięgu wzroku, stoją posterunki policji i służb miejskich. Mniej więcej co kilometr rozlokowane są brygady robotników z łopatami.

Żołnierze instalują reflektory lotnicze do oświetlania brzegów Wisły: jeden na moście Poniatowskiego, drugi na Pelcowiźnie. Trzeci, zamontowany na ciężarówce, ma być rzucony do akcji w miejscu przerwania wałów.

Przy ul. Toruńskiej dyrekcja PKP ustawiła na torach 20 wagonów kolejowych dla tych, którzy stracą swe domy i mieszkania. W schroniskach miejskich ścieśniono stałych bywalców i uzyskano ponad 200 posłań dla oczekiwanych uchodźców. W pobliżu Pelcowizny skoncentrowano 20 łodzi ratunkowych, dalszych 10 zacumowano opodal Siekierek – wszystko na wypadek gdyby wał koło wsi Augustówka nie wytrzymał. Setki robotników pośpiesznie podwyższają wał w pobliżu Augustówki. Na Pelcowiźnie wał jest ukończony tylko w połowie – robotnicy wznoszą na jego szczycie mur z worków wypełnionych piaskiem.

Atak nastąpi ok. godz. 18.00. Tak obliczają specjaliści – wczoraj wieczorem wielka fala powodziowa minęła Puławy.

Zaczęło się w ostatnich dniach czerwca. Deszcze, które lunęły wówczas w Krakowskiem, padały nieprzerwanie przez 3 tygodnie. Powódź była nieuchronna, ale nikt nie przewidział, że zacznie się ona tak nagle. Przed czterema dniami między godz. 20.00 a 22.00 niemal jednocześnie rozlały wszystkie rzeki i strumienie powiatów gorlickiego i nowosądeckiego. Szczególnie gwałtownie wystąpiły z koryta rzeki Biała i Dunajec, tworząc wielkie jezioro. Biała w niewiele godzin zniosła wszystkie mosty, a koło Bobowej przerwała tory kolejowe. Łączna długość mostów, które Biała i Ropa zniosły w powiecie gorlickim, przekracza 600 m. W ciągu doby rozlane wody rzek i strumieni zniszczyły w powiecie gorlickim połowę, a w nowosądeckim – trzy czwarte zasiewów, uszkodziły lub zniszczyły wszystkie drogi.

Takiej powodzi nie było na ziemiach polskich od 120 lat. W Nowym Sączu najwyższy poziom wody zaobserwowano w roku 1887 – było to 411 cm ponad normalny poziom. Teraz woda sięgnęła 480 cm. Pod miastem całe wodowskazy znikły we wzburzonej toni wielkiego powodziowego jeziora.

Na lewym brzegu Wisły, naprzeciw ujścia Dunajca, brygady robotników od tygodnia pośpiesznie wznosiły wał ochronny wysokości 4,5 m. Zdążyły go zbudować. Cóż z tego, skoro wody Wisły podniosły się tak bardzo, że dziś w południe nad wałem tym swobodnie żeglują statki pasażerskie żeglugi rzecznej z Krakowa z żywnością dla odciętych miejscowości.

W zalanym Nowym Sączu z żywiołem walczą żołnierze 1. Pułku Strzelców Podhalańskich. W czasie ewakuowania rodziny z zalanego domu prąd wody porwał kpr. Klimczaka. Kapral uchwycił się szczęśliwie konarów wyrwanego z korzeniami drzewa. Prąd zniósł Klimczaka niemal 8 km dalej, zanim koledzy zdołali go uratować.

Ocalał też poseł na Sejm pan Łobodowski, który w nocy uciekał w domu aż na komin. Woda zalała niemal cały dach i poseł w ciemnościach siedział na kominie niczym Szymon Słupnik. Na swoje szczęście nie rozstaje się z pistoletem. Strzały zaalarmowały żołnierzy, którzy o świcie wybawili go z pułapki.

Na letnisku w Klęczanach zginęło 10 wypoczywających tam osób z rodziny gen. Teodora Bałłabana ze Lwowa. Sam emerytowany generał przebywał we Lwowie i ocalał.

Na południu kraju powódź objęła ogromny obszar, poczynając od ziem na wschód od Sanoka i Rzeszowa przez Sandomierz, Tarnów, Kraków, Zakopane po Bielsko i Żywiec.

Teraz przesuwa się w dół Wisły.

Zalane są tysiące domów, tysiące hektarów obsianych pól jest pod wodą.

To gospodarcza katastrofa.

Masy wód rwą z ogromną siłą. Most pod Ciężkowicami, o długości ponad 100 m, wody Białej uniosły ze sobą niczym dziecięcą zabawkę. Pod Szymbarkiem wezbrane wody niosły zerwany w mieście most, który uderzył w kolejny most, zamieniając go w rumowisko.

Najgroźniejsza sytuacja jest dziś pod Szczucinem, gdzie od dwóch dni przemakały w połowie wysokości wały wiślane. Poziom Wisły przekracza tam poziom normalny o ponad 5 m. Dziś w nocy wały pękły. Wsie Żabno, Gręboszów, Wieruszowa, zalane wraz z kominami, znikły z krajobrazu.

Lotnicy wojskowi meldują koło południa, że w rejonie Tarnobrzega 20 wiosek zalanych jest po strzechy.

A co gorsza, po krótkiej przerwie dalej pada.

Dziesiątki miejscowości są całkowicie odcięte od reszty kraju. Na zalanych terenach starostowie wydali zarządzenia, by wszyscy posiadacze odbiorników radiowych zorganizowali przy nich nieprzerwane dyżury członków rodziny lub sąsiadów. Odbiorniki mają być chronione za wszelką cenę. Obowiązkiem dyżurnych jest zapisywanie na kartkach komunikatów władz i zawiadamianie o nich okolicznych mieszkańców.

Na zalanych terenach od dwóch dni panuje głód. Tysiące ewakuowanych powodzian gnieżdżą się byle gdzie, na wiązkach siana. Całym ich dobytkiem są mokre ubrania, w jakich uciekli z zalewanych domostw.

Warszawskie gazety pełne są dziś włamanych w artykuły redakcyjnych ogłoszeń w ozdobnych ramkach: „Nieszczęście ludzi, których klęska powodzi zepchnęła na dno rozpaczy, nie może być obojętne tym, którzy mają kęs chleba i dach nad głową”, „Jeśli 7 miljonów obywateli i 7 miljonów dzieci złoży na powodzian po 50

groszy – to uratuje od głodu i nędzy nieszczęśliwe ofiary straszliwej powodzi", „Warszawo! Okaż swe serce czułe i śpiesz z ofiarami! Każdy pracodawca i każdy pracownik winien spełnić dług sumienia wobec ludzi bez dachu i chleba".

„Kurier Poranny" wzywa warszawskie firmy do złożenia jednodniowego dochodu na rzecz powodzian (dziennikarze „Kuriera" ofiarowują od razu 250 zł, pracownicy drukarni i administracji – drugie tyle). Jako pierwsza zgłasza się wielka hurtownia tekstylna Tkaniny AGB SA i deklaruje na rzecz poszkodowanych 5 proc. dziennego przychodu osiągniętego we wszystkich filiach, w Warszawie, Łodzi, Poznaniu i we Lwowie, w ciągu trzech następnych dni: 21, 22 i 23 lipca. Biuro inżynierskie Zygadło i Legotke przekażą 20 proc. obrotu firmy przez trzy dni, poczynając od dziś.

„Kurier Poranny" publikuje za darmo reklamy firm, które składają ofiary na powodzian.

Teatr Kameralny przeznacza na ofiary powodzi 5 proc. brutto od wpływów z przedstawień od jutra aż do 4 sierpnia. Inne teatry warszawskie ofiarowują 10 proc. dochodu z przedstawień w ciągu najbliższego tygodnia. Kolejowe Przysposobienie Wojskowe ofiarowuje 3 wagony bydła, które miało iść do kotła PW. Dwudziestu kelnerów stołecznej restauracji Żywiec (a miasto Żywiec zostało potężnie zdemolowane przez powódź) ofiaruje po 1 zł.

Złapani złodzieje, których na zalanych terenach jest niestety niemało, idą natychmiast pod sąd. Władze nie patyczkują się z nikim, kto uchyla się od udzielenia pomocy. Dzierżawca majątku Wierzchosławice Wacław Radwan rano odmawia przyjęcia do stajni uratowanych z powodzi chłopskich koni, a po południu już

jedzie policyjną karetką do obozu internowania w Berezie Kartuskiej.

W Warszawie przez cały dzień poziom wody w Wiśle podnosi się o 6 cm na godzinę. Po zmroku tłumy gapiów obserwują groźny żywioł pięknie oświetlony wojskowymi reflektorami. O pierwszej w nocy słychać rozpaczliwe krzyki gdzieś ze środka wzburzonego nurtu. Odpowiadają im okrzyki przerażenia nocnych gapiów. Środkiem szeroko rozlanej Wisły bardzo szybko płynie niewielka tratwa, której kurczowo trzyma się kilkoro powodzian. Skąd tu się wzięli? Jak długo już walczą o życie? Wojskowa ciężarówka z reflektorem jedzie Wałem Miedzeszyńskim i oświetla nieszczęśników. W końcu jednak tratwa znika w ciemnościach.

Wielka powódź 1934 roku – widok na pałac w Wilanowie

21 lipca 1944 ▪ piątek

Z myśliwego zwierzę łowne

Wszystko poszło nie tak.

Przed niespełna 12 godzinami płk von Stauffenberg zapytał mjr. von Freyenda, adiutanta feldmarszałka Keitela, czy mógłby się odświeżyć i zmienić koszulę. Von Stauffenberg przyleciał rankiem do kwatery Hitlera w Gierłoży koło Kętrzyna i nie miał tam gdzie się ogarnąć po podróży. Von Freyend zaproponował swoją skromną kwaterę. Pułkownik zamknął się w niej ze swoim adiutantem, por. Wernerem von Haeftenem, bo sam nie był w stanie się ubrać. W kwietniu 1943 roku, w czasie walk w Tunezji, von Stauffenberg został ranny; stracił lewe oko, prawą rękę aż do łokcia i dwa ostatnie palce lewej ręki.

W pokoju von Freyenda por. von Haeften wypakował przemycone do kwatery Hitlera w służbowych aktówkach dwa ładunki plastiku o wadze kilograma każdy. Von Stauffenberg specjalnie dogiętymi do jego trzech ocalałych u lewej ręki palców kombinerkami nastawił pierwszy z dwóch zapalników i wetknął go do jednego z ładunków plastiku. Obaj spiskowcy musieli się śpieszyć – z powodu niespodziewanej wizyty Mussoliniego odprawa u Hitlera została przesunięta na 12.30. Na uzbrojenie bomb pozostało zaledwie pół godziny.

I wtedy drzwi malutkiej sypialni otworzyły się i uderzyły w plecy składającego bomby Stauffenberga. To sierż. Vogel, adiutant von Freyenda, przyszedł z informacją, że szef wywiadu gen. Fellgiebel prosi Stauffenberga, by ten zatelefonował do Berlina. Sierżant zauważył, że okaleczony pułkownik ze swym adiutantem

majstrują przy dziwnym przedmiocie leżącym na łóżku, ale na szczęście nie skojarzył tego urządzenia z bombą.

Wytrącony z równowagi płk von Stauffenberg nie uzbroił zapalnikiem czasowym drugiego ładunku plastiku. Co gorsza, nie włożył drugiego kęsa plastiku do swej aktówki. Bomba, którą miał zgładzić Hitlera, była o połowę mniejsza, niż planowali spiskowcy.

Ironią losu gen. Fellgiebel, który bez żadnej potrzeby domagał się od von Stauffenberga telefonu do Berlina, także należy do spisku na życia Führera.

Von Stauffenberg z aktówką, w której znajdowała się uzbrojona bomba, pod pachą pomaszerował do parterowego domu o lekkiej konstrukcji, do którego z powodu upału przeniesiono naradę z potężnego betonowego bunkra. Gdy mjr von Freyend chciał pomóc mu nieść aktówkę, nie pozwolił jej sobie odebrać. Mimo spóźnienia zdołał przepchać się do końca konferencyjnego dębowego stołu, gdzie nad mapami frontu wschodniego pochylał się Hitler. Von Stauffenberg wsunął aktówkę z bombą pod stół. Nie zauważył jednak, że koniec blatu wsparty był na masywnej dębowej nodze. O połowę mniejszą, niż planowali spiskowcy, bombę oddzielał od Hitlera ciężki kloc drewna.

Gdy eksplozja wstrząsnęła sztabowym barakiem, von Stauffenberg oraz jego adiutant von Haeften wsiedli do samochodu i pojechali na polowe lotnisko do Kętrzyna.

Siedmiu wojskowych, siedzących w baraku sztabowym po tej stronie wspornika blatu, po której leżała aktówka, odniosło ciężkie ranny; czterech z nich krótko po zamachu zmarło. Siedemnaście osób znajdujących się po drugiej stronie wspornika, w tym Hitler, zostało tylko lekko rannych lub odniosło powierzchowne skaleczenia.

Po wylądowaniu w Berlinie von Stauffenberg szybko przekonał się, że rozgałęziona, licząca setki spiskowców wojskowych i po części cywilnych konspiracja przeciw Hitlerowi nie zdołała porządnie przygotować i przeprowadzić zamachu stanu.

Wciągnięci w spisek generałowie powinni natychmiast po 12.00 rozpocząć realizację planu „Walkiria" – zmobilizować podlegające im oddziały Wehrmachtu, opanować w Berlinie kluczowe budynki ministerialne, radiostację, dworce, zneutralizować wiernych Führerowi dygnitarzy, SS, Gestapo. Tymczasem większość wtajemniczonych w spisek czekała na potwierdzenie, że Hitler nie żyje. Stracono dwie bezcenne godziny.

Na domiar złego dowódca Wojsk Zapasowych na terenie III Rzeszy gen. Friedrich Fromm odmówił wydania rozkazu do akcji „Walkiria".

Spiskowcy wiedzieli, że kompetentny, ambitny gen. Fromm popadł w niełaskę u Hitlera po tym, jak wygłosił w obecności Führera referat wzywający do oddania dowodzenia wojskiem fachowcom z generalicji. Spiskowcy zdawali sobie też sprawę, iż gen. Fromm wie, że jego zastępca gen. Olbricht należy do spisku, a jednak nie uczynił niczego, by go zadenuncjować. Liczyli więc, że w godzinie próby stanie po ich stronie.

Gdy gen. Olbricht zjawił się w gabinecie gen. Fromma w budynku Dowództwa Wojsk Lądowych przy Bendlerstrasse z informacją, że Hitler zginął w zamachu, i zażądał wydania rozkazu „Walkiria", Fromm zatelefonował do kwatery Führera w Gierłoży. Na wieść, że Hitler jest tylko lekko ranny, gen. Fromm rozkazu do przeprowadzenia zamachu stanu nie podpisał.

Zamiast gen. Fromma uczynił to samowolnie jeden z jego podwładnych, szef sztabu gen. Olbrichta, płk Mertz von Quirinheim.

Płk Stauffenberg dotarł wraz ze swoim adiutantem na Bendlerstrasse dopiero o 15.45. Natychmiast wkroczył w towarzystwie współspiskowca gen. Olbrichta do gabinetu gen. Fromma. Przekonywanie go do udziału w zamachu stanu nie miało jednak sensu – gen. Fromm zdecydował się stanąć po stronie silniejszego. Po stronie Hitlera.

Na rozkaz Stauffenberga por. Haeften aresztował generała i zamknął w jednym z pomieszczeń służbowych.

Ale nic już nie mogło uratować zamachu stanu. Rozkazy spiskowców były chaotyczne i niezdecydowane. Ściągnięte przez nich na berlińskie ulice oddziały wojskowe nie opanowały ani kluczowych ministerstw, ani budynku radiostacji. Osadzonemu w areszcie domowym ministrowi propagandy Goebbelsowi nawet nie wyłączono telefonu – kierował więc zza swego biurka walką z zamachowcami. Kolejne rozkazy zamachowców unieważniane były depeszami z kwatery Hitlera w Gierłoży.

Gdy zniechęcenie i apatia ogarnęły niemal wszystkich spiskowców, nie poddał się tylko von Stauffenberg. Od popołudnia do późnej nocy telefonował do dowództw okręgów i poszczególnych oficerów, przekonywał, zaklinał, rozkazywał, krzyczał. Wszystko na próżno. Godzina po godzinie ludzie Hitlera odzyskiwali kontrolę na stolicą Niemiec.

Dochodzi północ. Grupa młodszych oficerów Sztabu Generalnego po godzinach wysłuchiwania sprzecznych, mętnych wyjaśnień i rozkazów spiskowców decyduje się wystąpić po stronie Hitlera. Oficerowie zbroją się w broń ręczną i granaty i pod wodzą por. Herbera biegną do gabinetu gen. Olbrichta. Por. Herber celuje w Olbrichta i pyta:

– Panie generale, jest pan za czy przeciw Führerowi?

Za ścianą słyszy to rozmawiający przez telefon ze spiskowcami w Paryżu płk von Stauffenberg.

– Oprawcy walą już do drzwi korytarza. To koniec – mówi Stauffenberg i odkłada słuchawkę. Potem wkracza przez wewnętrzne drzwi do gabinetu Olbrichta. Młodsi oficerowie rzucają się nań i usiłują obezwładnić. Płk Stauffenberg, mimo kalectwa, wyrywa się im i ucieka przez gabinet jednego ze spiskowców, płk. Mertza von Quirinheim. Wpada do swego gabinetu, wyrywa z kabury służbowy belgijski pistolet FN i wyskakuje na korytarz. Jeden z oficerów spiskowców strzela do oficerów chcących aresztować Stauffenberga. Sam Stauffenberg z trudem trzyma pistolet trzema palcami, ale strzela do nich także. Jeden z pocisków rani go w lewe przedramię. Pistolet wypada mu z palców. Wierni Hitlerowi oficerowie obezwładniają spiskowców, zamykają ich w jednym z gabinetów i uwalniają gen. Fromma. Płk von Stauffenberg zdejmuje z głowy czarną opaskę. Pusty krwawy oczodół robi przerażające wrażenie. Przygnębiony pułkownik mówi:

– Wszyscy zostawili mnie na lodzie.

Jest już północ, gdy gen. Fromm wkracza do gabinetu, w którym przetrzymywani są spiskowcy: generałowie Beck, Höpner, Olbricht, pułkownicy Stauffenberg i Mertz von Quirinheim oraz por. von Haeften.

– Teraz, moi panowie, zrobię z wami to, co wy dzisiaj w południe zrobiliście ze mną – mówi z satysfakcją gen. Fromm.

Gen. Beck prosi, by pozostawiono mu pistolet. Do prywatnego użytku, wyjaśnia. Wszystko jest jasne. Gen. Fromm rzuca szorstko:

– Proszę to zrobić zaraz.

Beck strzela sobie w głowę. Potem jeszcze raz. Mimo ran głowy nie upada, chwieje się tylko. Von Stauffenberg podbiega, podtrzymuje generała i sadza na krześle.

Gen. Fromm daje aresztowanym kwadrans na napisanie ostatnich listów. W ciszy jak makiem zasiał skrzypią stalówki piór generałów Höpnera i Olbrichta. reszta podtrzymuje na krześle nieprzytomnego Becka.

Gen. Fromm popędza piszących i w końcu ogłasza, że w imieniu Hitlera sąd doraźny skazał aresztowanych na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Von Stauffenberg protestuje:

– Wszyscy działali jako żołnierze i jako moi podwładni. Całkowitą odpowiedzialność ponoszę wyłącznie ja!

To już nie ma znaczenia. O północy w radioodbiornikach słychać przemówienie Hitlera, pierwsze po nieudanym zamachu. W jego akompaniamencie jeden z sierżantów dobija z pistoletu gen. Becka. Podoficerowie batalionu „Grossdeutschland", który miał być jednym ze zbrojnych ramion zamachu, wyprowadzają von Stauffenberga, Olbrichta, Mertz von Quirinheima i Haeftena na jedno z wewnętrznych podwórzy. Dziesięciu podoficerów „Grossdeutschland" tworzy pluton egzekucyjny. Samochody włączają reflektory i oświetlają pryzmę piasku, którą zostawili robotnicy budowlani. Przed nią ustawiani są następni z rozstrzeliwanych. Gdy kolej przychodzi na płk. von Stauffenberga, przed salwą krzyczy jeszcze:

– Niech żyją Niemcy!

22 lipca 1955 ▪ piątek

Tańcz, ludu, tańcz

Decyzja Komitetu Centralnego PZPR nie pozostawia wątpliwości – w 11. rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN w Lublinie, od 10 lat obchodzonego przez władze komunistyczne jako Święto Odrodzenia, lud pracujący Warszawy ma się bawić. Tańczyć i radować się powinien nieprzerwanie przez 4 doby. I choć to już 4.00 nad ranem, tłumy warszawiaków tańczą dziarsko na wielkiej całonocnej zabawie na pl. Dzierżyńskiego.

Zabawowy maraton zaczął się poprzedniego dnia, wczesnym wieczorem. Zanim na pl. Dzierżyńskiego, udekorowanym nie wiedzieć czemu chińskimi lampionami, nie zagrała z drewnianej prowizorycznej estrady popularna dixielandowa orkiestra Jana Cajmera, w czekające na tańce tłumy wjechało 800 kolarzy. To ogólnopolska sztafeta kolarska, która – jak głosi oficjalne przesłanie – wiezie ze wsi, miast i miasteczek podziękowania społeczeństwa dla radzieckich budowniczych za wzniesienie przekazanego wczoraj Polsce Ludowej Pałacu Kultury i Nauki. Kolarzom podziękował inż. Konstantin Pczelnikow. Sztafety z odleglejszych zakątków Polski przejechały w ciągu 2–3 dni po kilkaset kilometrów. Nielegalnie. W zapale przygotowań organizatorzy przeoczyli, że wedle przepisów turyści rowerowi mogą przejeżdżać w ciągu doby nie więcej niż 40 km. A niemal żaden z 800 kolarskich sztafetowiczów nie ma licencji sportowej.

Teraz, o 4.00, gąszcz rowerów stoi za estradą. Eleganckie dziewczęta tańczą z amantami w sportowych koszulkach i przykrótkawych, kolarskich galotach. Nikt na to nie zważa, nastrój jest znakomity. Wódka leje się strumieniami, ale nieoficjalnie, w zakamarkach przy placu. Oficjalnie bufet restauracji Smok, należącej do Warszawskich Zakładów Gastronomicznych, otwarty pod pomnikiem Dzierżyńskiego, serwuje tylko wodę sodową, przekąski i najnowsze osiągnięcie stołecznej socjalistycznej

gastronomii – lemoniadę Fruktowit. W tymczasowej restauracji na tarasie za corazziańską kolumnadą można zjeść i napić się czegoś mocniejszego, ale do każdego stolika czeka długa kolejka. Stolików jest kilkadziesiąt, bawiących się – ciągle jeszcze kilka tysięcy.

Ostatni balowicze opuszczają plac dobrze po 7.00. Wielu nawet nie fatyguje się do domów – za niecałe 3 godziny na pl. Józefa Stalina przed Pałacem Kultury i Nauki im. Józefa Stalina rozpoczyna się wielka świąteczna defilada.

Na gigantycznej trybunie honorowej, wzniesionej na placu, miejsca zajmuje śmietanka komunistycznej władzy. Jest Bolesław Bierut, są Hilary Minc, Franciszek Jóźwiak, Zenon Nowak, Aleksander Zawadzki, Józef Cyrankiewicz. Na trybunę zaproszono też setki gości: członków Rady Państwa i rządu, generalicji, działaczy społecznych, naukowców, artystów, przodowników pracy. Władza chce, by jej 10-lecie świętowali wszyscy. Wzdłuż placu i dalej, wzdłuż Marszałkowskiej, zebrało się kilkadziesiąt tysięcy widzów.

O 10.00 I sekretarz KC PZPR Bolesław Bierut wygłasza rocznicowe przemówienie. Zaczyna się defilada. Przez ogromny plac maszerują wielkie czworoboki piechoty z bagnetami na lufach karabinów. Grają orkiestry wojskowe. Potem znad Ogrodu Saskiego nadlatuje odrzutowy bombowiec w eskorcie czterech myśliwców. Za nimi wielka tafla dwusilnikowych bombowców. Paradę lotnictwa kończy przelot trzech odrzutowych myśliwców prowadzonych przez zastępcę dowódcy Wojsk Lotniczych gen. Jana Frey-Bieleckiego. Za sobą ciągną smugi białego dymu. Nad placem samoloty podrywają się i ulatują stromo w niebo.

Tłumy zachwyconych widzów wiwatują.

Potem defilują wojska zmotoryzowane i pancerne. Po kolumnie wysłużonych T-34 ze straszliwym rykiem silników toczą się najcięższe czołgi „Józef Stalin". Przed tygodniem, podczas próby

generalnej, giganty te pokruszyły, powyrywały świeżo położoną na placu kamienną kostkę. Robotnicy układali ją od nowa dzień i noc – skończyli wczoraj nad ranem.

Na pl. Stalina wkracza 500-sobowa orkiestra organizacji Służba Polsce. Po niej pojawiają się sportowcy. Pierwszy idzie z wielką biało-czerwoną flagą wybitny bokser, dwukrotny mistrz Europy w wadze lekkopółśredniej, Leszek Drogosz. Obok niego najlepsza polska gimnastyczka Helena Rakoczy i koszykarka Olesiewicz-Gruszczyńska. Po nich maszeruje wielki czworobok dziewcząt w strojach sportowych. Dźwigają mnóstwo biało-czerwonych szturmówek i ogromne portrety Bieruta, przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego, premiera Cyrankiewicza i sowieckiego marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego. Wszyscy czterej są na trybunach, kontemplują swoje podobizny. Po dziewczętach na plac wmaszerowują sportowcy pod gigantycznym transparentem: „Święto 22 Lipca witamy sprawni do pracy i obrony ojczyzny".

Dziarsko maszerują przez plac reprezentacje zrzeszeń i związków sportowych. W straszliwym upale defilujący ledwie trzymają się na nogach. Jęk współczucia widzów budzi ekipa Zakopanego i Nowego Targu: narciarze w kożuszkach i ciepłych rękawicach dźwigają długie narty.

Po bruku telepie się socjalistyczne UFO: metalowa płyta o średnicy 5 m, osadzona na kilkunastu kołach samochodowych. Na niej aż do wysokości 6 m spoczywaj 3 coraz mniejsze, okrągłe platformy, z których w malowniczych pozach zwieszają się gimnastycy. Całość zwieńczona jest sporą kulą, na której – nie wiedzieć czemu, na jednej nodze – stoi gimnastyk z wielką biało-czerwoną flagą.

Coraz częściej symbolika występów bywa niejasna. Czołowi polscy gimnastycy ćwiczą na jadących motocyklach, za to krótkofalowcy w tężejącym upale ledwie dźwigają na piechotę ciężkie radiostacje; tłum dziewcząt w jedwabnych niebieskich tunikach prezentuje walkę na maczugi, zawodnicy Ludowych Zespołów Sportowych przebrani w cygańskie stroje galopują, stojąc na grzbietach dwójek koni.

Ale widzom to się podoba.

Wczoraj, 21 lipca, odbyło się oficjalne przekazanie Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina narodowi polskiemu. Radzieckie ekipy skończyły budowę pałacu już w maju, ale dla większego efektu propagandowego oficjalne zakończenie prac ogłoszono dopiero teraz.

Po zakończeniu defilady widzowie mogą zwiedzić Pałac Kultury. Organizacje partyjne w zakładach pracy i związki zawodowe rozprowadziły 18 tys. zaproszeń. Tłum napiera tak bardzo, że pęka kordon milicji. Porządkowi i bileterzy w drzwiach wejściowych kapitulują. Do wnętrza wlewa się ponad 30 tys. proszonych i nieproszonych gości. Wędrują po amfiladach sal, podziwiają ogród zimowy, Salę Kongresową. W pałacu kasy biletowe sprzedają bilety do tutejszych teatrów i kin. Teatr Domu Wojska Polskiego wystawia dziś *Wesele* Wyspiańskiego, Teatr Młodej Warszawy widowisko dla dzieci i młodzieży *Farfurka królowej Bony* Anny Świrszczyńskiej, Teatr Lalka zaś bajkę Andersena. W kinach Przyjaźń i Młoda Gwardia na widzów czekają filmy radzieckie *Ojcowizna* i *Świadectwo dojrzałości*.

Od 15.00 ogromne tłumy ciągną z całej Warszawy na Pragę. Dziś uroczyste otwarcie świeżo ukończonego Stadionu Dziesięciolecia. Zbudowano go według projektu Jerzego Hryniewieckiego, Marka Leykama i Czesława Rajewskiego na wielkim wysypisku gruzu

zniszczonej stolicy. Na widowni jest 71 tys. miejsc, ale w ciągu niespełna godziny koronę stadionu zaludnia 100 tys. Przewodniczący Prezydium Stołecznej Rady Narodowej Jerzy Albecht oficjalnie otwiera stadion, bokser Leszek Drogosz wciąga biało-czerwoną flagę na maszt. Jeszcze tylko pokazy gimnastyczne, polonez odtańczony na murawie przez 400 par i zaczyna się wyczekiwany przez warszawskich kibiców mecz piłki nożnej Stalinogród (dawniej: Katowice) – Warszawa. Ekipa gości to tak naprawdę II reprezentacja Polski – nie godzi się przecież, by reprezentacja miasta noszącego imię wielkiego Stalina nie pokonała, i to efektownie, reprezentacji stolicy Polski. Po 18 minutach Stalinogród prowadzi 2:0. Obie drużyny grają beznadziejnie, podają niecelnie, strzelają w niebo. Bramki padają po fatalnych błędach stołecznego bramkarza Stefaniszyna. Jeszcze w pierwszej połowie gospodarze zmniejszają rozmiary porażki, ale gigantyczna widownia i tak buczy i gwiżdże. W przerwie wychodzi ponad 20 tys. widzów niezadowolonych z gry i z wyniku.

Wieczorem warszawiacy znów ruszają do tańca. Władze zorganizowały siedem wielkich, centralnych zabaw tanecznych: na pl. Dzierżyńskiego, pl. Konstytucji, na Mariensztacie, w Centralnym Parku Kultury obok Pałacu im. Stalina, w parku na Bielanach, w Powsinie grają orkiestry warszawskich zakładów pracy. Na pl. Stalina grają dwie orkiestry. Stołeczne restauracje prowadzą całodobowe ogródki. Zapasy jadła i picia gromadzono na tę okazję już od kilku miesięcy.

Oprócz zabaw centralnych każda dzielnica obowiązkowo musiała zorganizować zabawy taneczne. Zabawy z tańcami zorganizowano w każdy mieście Polski, w każdej większej wsi. Jubileusz władzy komunistów każdy obywatel ma obowiązek uczcić, wesoło pląsając.

Obchody święta 22 Lipca w Warszawie, 1955 rok

23 lipca 1792 ▪ poniedziałek

Pozwól, książę, że będę twym kasjerem

Sesja Komisji Skarbowej trwa w najlepsze, gdy na salę wślizguje się posłaniec od króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wywołuje podskarbiego nadwornego litewskiego Antoniego Dziekońskiego –

król wzywa na nadzwyczajną naradę. Umyślni rozjeżdżają się po Warszawie z zaproszeniami monarchy na Zamek Królewski do wszystkich obecnych w Warszawie dostojników najwyższych władz Rzeczypospolitej. Wezwania króla zaskakują ich, choć nie powinny. Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie. Wojna z Rosją w obronie Konstytucji 3 maja idzie kiepsko. W Warszawie wszyscy upatrują szansy dla kraju w negocjacjach z Katarzyną II. Król niedawno wysłał do niej list z propozycjami kompromisu. Polscy politycy od miesiąca czekają na odpowiedź carycy.

Tylko garstce zaufanych polityków Stanisław August wyjawił poprzedniego dnia, że list Katarzyny II właśnie do niego dotarł. Caryca za nic ma propozycje króla – żąda, by niezwłocznie przystąpił on do konfederacji targowickiej i wspólnie ze zdrajcami zniweczył Konstytucję 3 maja.

Załamany, przerażony król postanowił bezwarunkowo skapitulować.

W gabinecie Stanisława Augusta na Zamku Królewskim na wezwanych czekają już monarcha i jego dwaj bracia: ksiądz prymas Michał Poniatowski i były podkomorzy koronny Kazimierz Poniatowski.

Naradę zaczyna Stanisław August, odczytując list od Katarzyny II.

Wrażenie jest piorunujące.

Stanisław August kuje żelazo, póki gorące. Kategorycznie stwierdza, że wojna jest przegrana, Rosjanie lada dzień zmiażdżą nasze wojska w polu, a jeśli nawet nie, to nieunikniona a rychła interwencja wielkiej armii pruskiej zmiecie polskie oddziały. Na dobitkę w skarbie pustki zupełne. Jedyna zatem szansa – zdać się na łaskę Katarzyny II, nie czynić niczego, co mogłoby wprawić ją w zły humor.

Wszystko to nieprawda.

W trakcie niezbyt udanej kampanii ostatnich miesięcy polscy dowódcy z wolna nabierali doświadczenia, świetnie sprawowała się artyleria. Polskie armie, choć rozproszone na wielkich przestrzeniach, nie pozwoliły się pokonać – zadając w kilku bitwach dotkliwe straty Rosjanom, wycofały się pod Warszawę. Żołnierze ogarnięci patriotycznym zapałem chcą się bić. Teraz skoncentrowane wojsko ma wręcz przewagę nad podzieloną na dwa zgrupowania armią rosyjską. Co więcej – Katarzyna II nie ma strategicznych rezerw, które mogłaby szybko rzucić na Warszawę. Król pruski zaś właśnie przed kilkoma godzinami przekroczył Ren i w Koblencji czeka na ofensywę swej armii przeciw rewolucyjnej Francji. Prusy nie mają teraz sił, by serio zagrozić Polsce.

Polska ma szanse na zwycięstwa w polu i na umiarkowany sukces w negocjacjach pokojowych z Katarzyną II. Ale Stanisław August stchórzył i za wszelką cenę chce kapitulować.

Zdradziecki zamiar Stanisława Augusta wspierają prymas i marszałek wielki koronny Michał Mniszech.

– Nie znam innej konfederacji nad warszawską i przeto, chociażby druga jakowa miała poparcie pięciu monarchów, nie jest legalna – broni gniewnie konfederacji warszawskiej, czyli sejmowej, jeden z przywódców obozu reform marszałek nadworny litewski Ignacy Potocki.

Ripostuje mu kanclerz Jacek Małachowski, potem także podskarbi wielki litewski Ludwik Tyszkiewicz i minister spraw zagranicznych Joachim Chreptowicz – wszyscy oni są przeciw obronie Konstytucji 3 maja, a za przystąpieniem króla do Targowicy.

Gdy głos zabiera podkanclerzy Hugo Kołłątaj, jeden z przywódców stronnictwa patriotycznego, wszyscy obecni w gabinecie królewskim oczekują namiętnej obrony konstytucji i ataku na Targowicę. Kołłątaj tymczasem wzywa króla: „Dziś

jeszcze, Miłościwy Panie, przystąpić potrzeba do konfederacji targowickiej, nie jutro: każdy moment jest drogi, bo krew go Polaków oblewa".

Nieoczekiwane zaprzaństwo Kołłątaja wprawia w osłupienie zwolenników obrony konstytucji, ale nie poddają się łatwo. Podskarbi nadworny koronny Tomasz Ostrowski prosi Stanisława Augusta, by poszedł w ślady króla Jana Kazimierza w czasach szwedzkiego potopu: najpierw niech zorganizuje partyzantkę przeciw rosyjskim najeźdźcom, a w razie klęski ostatecznej niechaj uchodzi na emigrację do Austrii. Król mętnie wywodzi, iż nie jest to teraz możliwe.

W końcu Stanisław August zauważa histerycznie:

– Co tu mówić, imperatorowa przypomina mi *pacta conventa*, których ostatni artykuł najuroczyściej zastrzega, że najmniejsze naruszenie praw uwalnia poddanych moich od przysięgi. *Eo ipso* może mię nie uznać królem.

– Naród uznaje Waszą Królewską Mość swym panem – odpowiada poważnie podskarbi Ostrowski.

– A konfederacja targowicka czy się także nie mieni być narodem? – wtrąca się prymas Poniatowski.

– Buntownicy nie należą do narodu – ucina ze wzgardą milczący do tej pory marszałek Kazimierz Nestor Sapieha. Obecni spoglądają na siebie z zaskoczeniem. Sapieha, będąc siostrzeńcem jednego z przywódców Targowicy Ksawerego Branickiego, uchodzi za człowieka zaprzedanego Rosji. Nieraz opinię tę utwierdzał praktycznie, głosując w Sejmie przeciw reformom uznawanym przez siebie za sprzeczne z duchem narodu polskiego.

Ani spięcie z Sapiehą, ani prośby i zaklinania Ignacego Potockiego, marsz. Stanisława Małachowskiego, podskarbiego Ostrowskiego, marsz. Stanisława Sołtana, by nie poddawać się

haniebnie, nie zdawać na wolę carycy, lecz walczyć, a dopiero walcząc, negocjować z Katarzyną II, nie zdają się na nic. Król twardo optuje za przystąpieniem do konfederacji zdrajców. Wreszcie zaczyna się głosowanie. Za przystąpieniem króla do konfederacji targowickiej są oczywiście prymas, Mniszech, Tyszkiewicz, Jacek Małachowski, Chreptowicz – pozbawione elementarnego rozumu posłuszne popychle carskiego posła Bułhakowa w Warszawie – oraz Dziekoński. I ten, którego w obozie haniebnych kapitulantów nikt się nie spodziewał ujrzeć – Hugo Kołłątaj.

Przeciw są Potocki, Sołtan, Ostrowski, Stanisław Małachowski. I Sapieha!

Ten karciarz, hulaka, obrońca sarmackiego ducha, krytyk Konstytucji 3 maja mówi do króla wzruszonym, łamiącym się głosem: „Wasza Królewska Mość często nazywałeś mię niepoprawnem ladaco. Zobaczymy, czy słusznie. Nadto kocham moją ojczyznę i szanuję świętość przysięgi, ażebym się mógł łączyć z tą konfederacyą dążącą do obalenia tej Ustawy konstytucyjnej, którąśmy wszyscy uchwalili i zaprzysięgli".

Szlachetny sprzeciw Sapiehy niczego jednak nie zmienia, zwłaszcza że dzięki zdradzieckiej zmianie frontu przez Kołłątaja siedmiu uczestników narady jest za kapitulacją i przystąpieniem króla do Targowicy, przeciw zaś – jedynie pięciu.

Stanisław August wynik głosowania przyjmuje z ulgą. Król jest politykiem marnym, ale inteligentnym – świetnie rozumie, że głosowanie to będzie mógł spożytkować dla wybielania swej haniebnej zdrady. Oto najważniejsi dostojnicy byli za zdaniem się na łaskę carycy, monarcha zaś tylko zastosował się do ich rady...

Goście wychodzą z gabinetu w ponurym nastroju. Wszyscy rozumieją, że to dzień największej w polskich dziejach hańby: przed chwilą głosami samych Polaków ojczyzna przestała być

suwerennym państwem. Marsz. Ignacy Potocki jeszcze przy drzwiach powtarza królowi, że nie wolno poddawać się, trzeba walczyć, ale sam już nie wierzy w te perswazje: w progu oddaje Stanisławowi Augustowi laskę marszałkowską i zapowiada, że jutro złoży formalną dymisję z urzędu marszałka wielkiego litewskiego.

Marsz. Stanisław Małachowski nieraz publicznie wypominał Kazimierzowi Nestorowi Sapiesze jego niecną postawę i ciasne poglądy, nie utrzymywał z nim stosunków towarzyskich. Teraz jednak, przy drzwiach królewskiego gabinetu, podchodzi do Sapiehy, wyciąga dłoń i mówi: „Mości książę, szlachetny twój postępek przed chwilą stawia cię w rzędzie prawych obrońców konstytucji i do nas należysz, a należąc, będziesz musiał – podobnie jak i my – kraj opuścić. Powiedz mi bez ogródki, w jakim stanie Twoja kasa? Czy masz jakie fundusze, żeby się utrzymać za granicą?".

Czcze pytanie – wszyscy przecież wiedzą, iż Sapieha od dawna po uszy tonie w karcianych długach.

– Goły jestem jak święty turecki – przyznaje książę.

– W takim razie pozwolisz mi, ażebym zastąpił twego kasyera? – prosi Małachowski.

24 lipca 1969 ▪ czwartek

Gdzie ci Obcy?

Statek kosmiczny „Apollo 11" zbliża się do Ziemi z prędkością niemal 11 km/s, czyli 39 600 km/h. Apollo to teraz jedynie kabina załogi, stożek o wysokości 3,2 m i średnicy podstawy 3,9 m. Tylko tyle zostało ze 110-metrowego giganta, składającego się z rakiety nośnej „Saturn V" i statku „Apollo", który przed ośmioma dniami

wystartował z Centrum Lotów Kosmicznych im. Kennnedy'ego na Florydzie. Dwa pierwsze człony rakiety odrzucone zostały po wejściu „Apolla" na orbitę okołoziemską, trzeci po osiągnięciu orbity okołoksiężycowej. Na Księżycu pozostał lądownik modułu księżycowego, a sam moduł porzucono po powrocie na „Apollo". Ostatni człon rakiety, dzięki któremu „Apollo" opuścił orbitę księżycową i poleciał z powrotem ku Ziemi, odczepiony został przed niecałą godziną.

Astronauci, dowódca wyprawy Neil Armstrong, który jako pierwszy człowiek stanął na Księżycu, pilot „Apolla 11" Michael Collins i pilot lądownika księżycowego Buzz Aldrin, drugi Ziemianin, który chodził po Srebrnym Globie, leżą w stożkowej kapsule załogowej przymocowani pasami.

Jest późne popołudnie, gdy rozpoczyna się etap lądowania. Komputer pokładowy steruje manewrem odwrócenia stożkowatej kabiny załogi lekko wypukłą podstawą w stronę Ziemi. Podstawa chroniona jest przez osłonę termiczną z kompozytu wprasowanego w metalowy szkielet w kształcie plastra miodu. Niewielkie silniczki rakietowe korygują trajektorię „Apolla" tak, by na wysokości 122 km jej nachylenie ku Ziemi wynosiło 6,5 stopnia. Gdyby było większe, tarcie atmosfery zniszczyłoby osłonę termiczną i kabina załogi spłonęłaby. Gdyby nachylenie trajektorii lotu było mniejsze, „Apollo" odbiłby się od atmosfery ziemskiej i powróciłby do niej w nieprzewidzianym miejscu.

Ale wszystko idzie dokładnie według planu. „Apollo" wchodzi w atmosferę pod przewidzianym kątem. Ciągnie za sobą kilkusetmetrowy warkocz ognia. Osłona termiczna powoli wypala się, ale spełnia swoje zadanie – wewnątrz kabiny temperatura nie przekracza 24 stopni. Gdy prędkość wskutek tarcia rozrzedzonego powietrza spada do 100 m/s, na wysokości 7 km rozwija się para

niedużych spadochronów w kształcie worków. Wyhamowują kabinę na tyle, że zmienia ona poziomy lot na pionowy. Na wysokości 3 km workowate spadochrony zostają automatycznie odrzucone, zaś odpalone zostają trzy malutkie spadochrony pilotujące. Rozwijają one trzy wielkie spadochrony o średnicy 25 m każdy. Prędkość kapsuły załogowej spada z 280 km/h do 35 km/h. „Apollo" majestatycznie opada na fale Pacyfiku w rejonie Hawajów po 195 godzinach 18 minutach i 21 sekundach lotu. Ma zaledwie 45 sekund spóźnienia.

Amerykańska marynarka wojenna od dawna przygotowywała się do operacji wyłowienia astronautów i ich statku. W rejonie lądowania znajduje się lotniskowiec „Hornet" i sporo mniejszych jednostek U.S. Navy. Ostatnie manewry sprzed dwóch dni nie wypadły zachęcająco. Wskutek silnego wiatru i wysokich fal helikoptery z „Horneta" długo nie mogły odnaleźć zrzuconej z samolotu transportowego makiety kapsuły kosmicznej. Gdy wreszcie śmigłowce zrzuciły obok niej ekipę płetwonurków, pojawiło się stado rekinów i płetwonurkowie, którzy mieli ubezpieczać kabinę, w panice wdrapali się na nią, wzywając pomocy.

Teraz jednak wszystko idzie jak z płatka. Kabina załogi woduje niejako do góry nogami i nad falami unosi się jej płaska część, ale konstruktorzy przewidzieli taką sytuację. W żargonie NASA nazywa się to „pozycją stabilną nr 2". Czujniki uruchamiają kompresor, który nadmuchuje trzy balony w sześciokątne łatki umocowane u szczytu stożka. „Apollo" przewraca się stożkiem do góry. Kosmonauci odpinają pasy, uruchamiają radio. Nadlatuje śmigłowiec z „Horneta", nawiązuje łączność z kabiną załogi. Na stanowisku dowodzenia na lotniskowcu chwila ulgi – trzej zdobywcy Księżyca są cali i zdrowi.

Helikoptery zrzucają do wody kilku płetwonurków. Mają nietypowe kombinezony i maski chroniące przed zainfekowaniem drobnoustrojami. NASA obawia się, że „Apollo" mógł przywlec z Księżyca nieznane, groźne formy życia. Płetwonurkowie nadmuchują ponton sprężonym powietrzem, potem opasują kabinę kauczukowym rękawem i nadmuchują go. Teraz „Apollo" nie zatonie, choćby nawet nabrał wody. Rekiny nie zorientowały się, co się dzieje, i ocean jest pusty.

Otwiera się właz i astronauci po raz pierwszy od ośmiu dób oddychają świeżym powietrzem. Ale ta rozkosz trwa krótko. Płetwonurkowie podają im sterylne plastikowe kombinezony wyposażone w filtry wydychanego powietrza. Dopiero tak zabezpieczeni astronauci mogą wyjść przez właz i ześlizgnąć się do pontonu. Helikopter wciąga ich na linie. Na lotniskowcu z miejsca lądowania śmigłowca z astronautami prowadzi szczelny plastikowy rękaw do specjalnie zbudowanego na tę okazję pojemnika mieszkalnego. Przypomina on kształtem i urządzeniem wnętrza dużą kabinę kempingową. Wewnątrz są przedziały do spania, kuchnia, pomieszczenie do odpoczynku i pracy, sanitariat z prysznicem. Powietrze dociera do wewnątrz i jest usuwane przez system filtrów.

Tymczasem na oceanie płetwonurkowie obficie zlewają „Apolla" silnymi środkami dezynfekującymi i podczepiają go pod drugi helikopter. Potem zatapiają ponton i wciągają się na pokład śmigłowca.

Na „Hornecie" astronauci przez rękaw wchodzą do kabiny izolacyjnej. Kwarantanna potrwać ma trzy tygodnie – jeśli tylko specjaliści nie wyhodują niczego groźnego z próbek pobranych ze sprzętów „Apolla", zaś zdrowie zdobywców Księżyca nie będzie budzić zastrzeżeń. Wraz z astronautami do kabiny izolacyjnej

wkraczają lekarz i technik, odziani w szczelne kombinezony z własnymi systemami filtrów. Przez najbliższe dni będą obsługiwać Armstronga, Aldrina i Collinsa.

Astronauci podchodzą do tylnej, szklanej ściany ich kabiny. Za szybą jest prezydent Nixon ze świtą i kilka kamer telewizyjnych.

Nixon pozdrawia ich przez mikrofon: „Neil, Buzz i Mike. Chciałbym, abyście wiedzieli, że uważam się za najszczęśliwszego człowieka na świecie". Prezydent opowiada o gratulacjach płynących z całego świata, o swojej rozmowie telefonicznej z żonami astronautów i zaprasza ich z rodzinami na wielkie przyjęcie powitalne 13 sierpnia, po zakończeniu kwarantanny, na którym będą gubernatorzy wszystkich 50 stanów USA. Na koniec pyta: „Chciałbym wiedzieć – przyjdziecie?".

Armstrong: „Zrobimy wszystko, co pan zechce, panie prezydencie. Doprawdy wszystko".

Nixon: „Jedno pytanie, jakie, jak sądzę, wszyscy tu chcielibyśmy zadać. Widzieliśmy, jak podskakujecie w tej łódce. Czy nie był to najuciążliwszy moment wyprawy? Czy to... czy żaden z was nie dostał morskiej choroby?".

Armstrong: „Nie, żaden. Była to jedna z gorszych chwil, ale też i jedna z najprzyjemniejszych, z całą pewnością".

Nixon opowiada o rozgrywkach futbolu amerykańskiego, zdawkowo pyta, komu kibicują. Armstrong wiernopoddańczo ubolewa, że z powodu konieczności przywitania ich na pokładzie „Horneta" pan prezydent nie obejrzał ostatniego meczu. Nixon zapewnia zdobywców Księżyca, że na uroczystym bankiecie 13 sierpnia nie będą musieli przemawiać.

„Jeśli powiecie po prostu »fantastyczne« czy »wspaniałe«, to też wystarczy" – oznajmia łaskawie pan prezydent.

Kapelan „Horneta” pastor Plirto odmawia modlitwę dziękczynną. Collins kończy ją: „Amen”. Orkiestra gra hymn.

O 19.00 w hotelu Marriott w Houston zaczyna się oficjalny bankiet dla 2 tys. oficjeli wydany przez 25 firm kooperujących z NASA w ramach programu księżycowego. Są pasztety z gęsich wątróbek, pieczone prosięta w słodkim cieście, krewetki, pieczyste z antylopy, przysmaki z melonów i ogonów delfinów. Kelnerzy uwijają się z setkami drinków, ale przyjęcie jest bardzo formalne – o 21.30 bar zostaje zamknięty.

Szeregowi pracownicy NASA bawią się w Nassau Bay, motelu przy tzw. autostradzie nr 1 na terenach NASA. To miejsce dla normalnych ludzi: befsztyk z rożna podają za 1,5 dolara, a drinki za 1,15. Łóżka są okrągłe, pokryte czerwonym pluszem. O 19.30 zabawa rozkręca się na dobre. Dwóch panów wrzuca do basenu posągową blondynkę, potem do wody skacze jakiś poważny naukowiec. Nawet nie zdejmuje krawata. Sześcioosobowa czarna kapela Astronauci przystępuje do roboty. W trzy tysiące gości wstępuje duch radosnego szaleństwa. Jakieś panie robią striptiz na trampolinie, grupki naukowców i techników obrzucają się puszkami po piwie, rozwiniętymi rolkami papieru toaletowego, butami, pośpiesznie ściąganymi częściami garderoby. W basenie aż gęsto od facetów w garniturach i pań w daleko mniej kompletnych strojach. W motelu wykidajło z gaśnicą w ręku ściga pijanych w dym twórców programu „Apollo”. Za pomocą motelowej windy symulowali start rakiety „Saturn V”. Niestety, winda okazała się bardziej zawodna od rakiety.

O czwartej nad ranem Astronauci przestają grać. Kilkaset ludzi, dzięki którym człowiek stanął na Księżycu, śpi w krzakach i między stolikami w najdziwniejszych pozach.

Płetwonurkowie U.S. Navy ratujący pierwszych ludzi, którzy stanęli na Księżycu

25 lipca 1909 ▪ niedziela

Do spółki z deszczem

O północy wiatr nadal potężnie szarpie wojskowymi namiotami rozstawionymi niedaleko wioski Sangatte koło Calais, na francuskim wybrzeżu kanału La Manche. Wichura szaleje od wieczora poprzedniego dnia. W dwóch odległych od siebie o niespełna 100 m obozowiskach na skraju pastwiska, nieopodal opadającego ku morzu klifu, śpi kilkudziesięciu mężczyzn. W największych namiotach w każdym z obozów ukryte są przed wichurą i przelotnymi deszczami dwa samoloty – Blériot XI oraz

Antoinette VII. W namiotach tuż obok tych zaimprowizowanych hangarów śpią dwaj konkurenci, głośni francuscy piloci – Louis Blériot i Hubert Latham.

Od pierwszego w dziejach lotu Amerykanina Orville'a Wrighta maszyną cięższą od powietrza, którą skonstruował on wspólnie ze swym bratem Wilburem, upłynęło tylko 5,5 roku. A od dziewiczego lotu samolotem w Europie – lotu Alberta Santos-Dumonta, syna brazylijskiego plantatora kawy, który na skraju Lasku Bulońskiego przeleciał dystans 220 m w ciągu 21,2 sek. – minęły zaledwie 3 lata.

Lotnictwo zawdzięcza błyskawiczny rozwój wielkim nagrodom fundowanym przez zafascynowanych nim mecenasów. Wkrótce po locie Santos-Dumonta adwokat Ernest Archdeacon i przemysłowiec Henri Deutsch de la Meurthe ufundowali nagrodę 50 tys. franków dla pilota, który przeleci więcej niż kilometr po obwodzie zamkniętym. W styczniu zeszłego roku Francuz Henri Farman po pokonaniu dystansu 0,5 km okrążył czerwoną chorągiewkę powiewającą na pięciometrowej tyczce i pomyślnie powrócił do linii startu – 50 tys. franków wylądowało w jego kieszeni.

W październiku lord Northcliffe, właściciel dziennika „Daily Mail", zaoferował 5 tys. funtów dla pilota, który jako pierwszy przeleci kanał La Manche. W tym roku lord podniósł wysokość nagrody do 10 tys. funtów. Tak wielka nagroda skusiła Wilbura Wrighta (tym bardziej że lord Northcliffe potajemnie zaoferował mu dużo wyższe honorarium, jeśli współtwórca pierwszego samolotu sam dokona pionierskiego przelotu nad kanałem), ale Orville, kurujący się po ciężkim wypadku, przekonał brata, że silnik, jakim dysponują, jest zbyt zawodny, by ryzykować lot nad morzem.

Na placu boju pozostało więc dwóch Francuzów – liczący już 37 lat Louis Blériot i młodszy o 11 lat Hubert Latham. Obaj są konstruktorami maszyn, na których chcą pokonać kanał. Model XI

Blériota jest konstrukcją nowatorską. Konstruktor wymyślił i po raz pierwszy zastosował w samolocie jeden drążek, którym pilot steruje wznoszenie i opadanie maszyny, oraz pedał, którym lotnik steruje kursem w locie poziomym.

Hubert Latham w swoim jednopłatowcu Antoinette IV też zastosował nowatorskie rozwiązania, m.in. skrzydła zaopatrzone w lotki. I właśnie Latham przed sześcioma dniami, gdy ekipa Blériota nie zdążyła się jeszcze zainstalować w Sangatte, podjął pierwszą próbę przelotu do Wielkiej Brytanii. Pokonał nawet trzecią część drogi do Dover, ale wtedy odmówił posłuszeństwa silnik. Latham szczęśliwie wodował i został wyłowiony przez francuski kontrtorpedowiec, ale Antoinette IV nie nadawała się do użytku.

Nowy samolot, Antoinette VII, z mocniejszym silnikiem, nadszedł do Sangatte przed trzema dniami.

O 2.30 w nocy wiatr nieoczekiwanie słabnie. Jeden z pomocników Blériota przez całą noc czuwający przy aparaturze meteorologicznej budzi go. Pilot sprawdza siłę wiatru i zasiada do telegrafu. Wysyła na francuski kontrtorpedowiec kotwiczący na wodach między Calais i Dover w Wielkiej Brytanii depeszę, że zamierza startować do lotu przez kanał. Okręt ten ma wskazywać drogę do Dover, a w razie potrzeby ratować pilotów; Lathama już raz wyłowił z kanału.

Mechanicy pośpiesznie szykują samolot Blériota. O 4.15 odpalają silnik. Blériot startuje i po paru minutach lotu nad klifem siada na łące. Test wypada pomyślnie – silnik pracuje bez zarzutu, a wiatr także na wysokości kilkudziesięciu metrów jest na tyle słaby, by podjąć próbę pokonania kanału.

O 4.25 Blériot startuje do lotu do Wielkiej Brytanii. Terkotanie silnika budzi Huberta Lathama, który wypada z namiotu na dwór w chwili, gdy maszyna Blériota niknie nad horyzontem. Wściekły

Latham budzi swoją ekipę. Jego mechanicy pośpiesznie szykują Antoinette do lotu. Już, już ma startować, gdy wiatr nad łąką nagle wzmaga się. W tych warunkach lot byłby zbyt ryzykowny. Latham jest rozsądny – rezygnuje.

Blériot leci na wysokości 75 m. Po kilku minutach przelatuje nad kontrtorpedowcem, szczęśliwie stojącym na kotwicy w przerwie w gęstej mgle. Na pokład okrętu wyszli zaalarmowani depeszą pilota jego żona, kilku francuskich dziennikarzy i spora grupa członków załogi. Wszyscy machają do niego.

Dla Blériota to krótka chwila radości pośród kłopotów. Samolot leci nad kanałem, pilot nie widzi ani Francji, ani Wielkiej Brytanii. Silnik wypluwa spaliny prosto w nos pilota. Ale to nic – znacznie gorzej, że się przegrzewa.

Blériot zamontował w swoim samolocie silnik od motocykla francuskiej firmy Anzani. Co prawda, nie jest to motor banalny, przeciwnie, to wyjątkowa, trzycylindrowa, gaźnikowa konstrukcja w układzie litery W o mocy aż 25 KM, ale ma on słaby punkt – chłodzenie. Silnik Anzani chłodzony jest powietrzem. Gdy zamontowany jest w motocyklu, rzadko kiedy pracuje na pełnej mocy, więc nie przegrzewa się. W samolocie bez przerwy pracuje na maksymalnych obrotach i mimo intensywnie opływającego go powietrza łatwo się grzeje i traci moc. Dlatego Louis Blériot przed każdym swym lotem uważnie studiował komunikaty meteorologiczne. W upalne dni nie latał.

Teraz też wystartował w szarówce świtu, gdy powietrze jest najchłodniejsze.

Po kwadransie silnik jednak słabnie. Blériot obniża lot, tak by samolot ślizgał się po powierzchni kożucha mgły. Wilgotna mgła lepiej od suchego powietrza chłodzi cylindry silnika i motor

odzyskuje wigor. Blériot oddycha z ulgą. Gdyby nie pomysł lotu we mgle, runąłby w fale kanału.

Po kilku minutach lotu dywan mgły kończy się jednak. Pilot wznosi maszynę na wysokość 75 m i lekko zmienia kurs, bardziej na północ. Motor z minuty na minutę słabnie, wreszcie – przegrzany – milknie. No to koniec!

Samolot lotem ślizgowym powoli zbliża się ku falom kanału, silnik za nic nie chce odpalić. Nagle niebo ciemnieje i po chwili o skrzydła bębni rzęsisty deszcz. Przelotna ulewa schładza silnik, który tuż nad wodą zaskakuje i zaczyna równo, mocno pracować. Blériot zwiększa pułap lotu do 75 m. I znów silnik grzeje się, traci moc, przerywa pracę. Przed katastrofą ratuje pilota kolejna ulewa.

Od startu minęło niemal pół godziny. Na horyzoncie Blériot widzi mocną białą krechę – to słynne śnieżnobiałe klify koło Dover. Tuż przed brytyjskim brzegiem pilot orientuje się, że skierował samolot za bardzo na północ. Skręca na zachód i leci wzdłuż klifów. Wreszcie dostrzega mury średniowiecznego, położonego na wzgórzu zamku w Dover. Nieopodal, na rozległej łące, przygotowano lądowisko dla pierwszego lotnika, który pokona kanał La Manche. Na skraju łąki, pośród tysiąca gapiów, dwóch dziennikarzy francuskiego dziennika „Le Matin" macha sporą trójkolorową flagą, wskazując Blériotowi miejsce lądowania. Francuski pilot nie ma szczęśliwej ręki do lądowań. Tym razem też przyziemia się wyjątkowo niezgrabnie, na granicy katastrofy. Twarde uderzenie o grunt łamie podwozie i śmigło. Ale to bez znaczenia – to on jest pogromcą kanału!

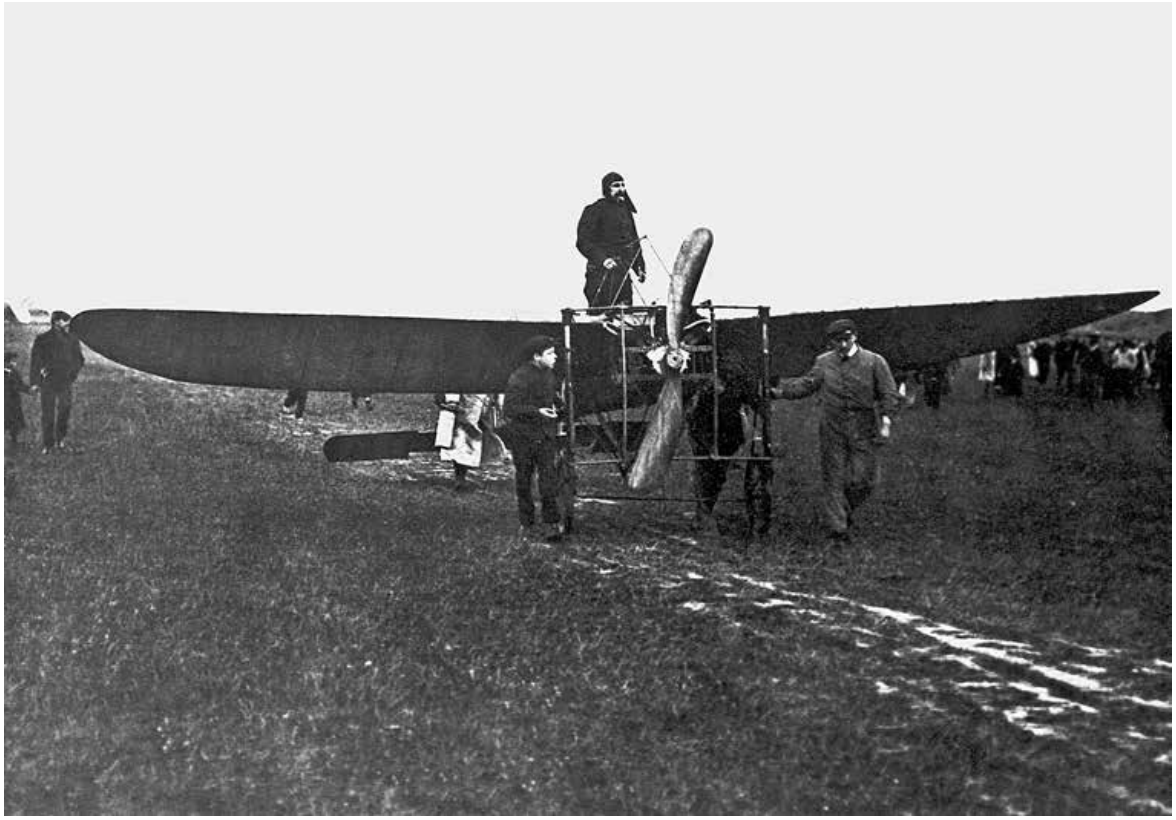

Louis Blériot przed lotem nad kanałem La Manche

26 lipca 1953 ▪ niedziela

Pierwszy krok – Moncada

Mija północ – termin zbiórki. Do niewielkiego domku w miejscowości Siboney, odległej o kwadrans jazdy samochodem od Santiago, drugiego co do wielkości miasta Kuby, ukradkiem schodzą się młodzi ludzie. Większość z nich przyjechała pociągiem z Hawany. Co chwila podjeżdżają samochody. Wśród stłoczonych do niemożliwości 165 młodych mężczyzn są urzędnicy państwowi, literaci, prawnicy, ale i prości robotnicy, chłopi. Mario Munoz jest lekarzem, Jesus Montane Oropesa ma świetną posadę w kubańskiej

filii General Motors, a Armando Mestre i Juan Almeida są murarzami. W tłumie mężczyzn są też dwie dziewczyny – Haydee Santamaria i Melba Hernandez. Haydee jest siostrą Abela, który leży na sienniku i z neoficką ostentacją czyta jeden z tomów dzieł Lenina.

Rej wodzi młody, przystojny adwokat z bardzo dobrej, bogatej, ziemiańskiej rodziny – Fidel Castro Ruz. Krótko po północy, gdy nikogo już nie brakuje, wydaje polecenie, by wydobyć broń ze skrytki. Za parę godzin zebrani w domu w Siboney zaczną na Kubie powstanie przeciw dyktaturze Batisty.

Generał Fulgencio Batista w zeszłym roku dokonał na Kubie zamachu stanu. Już raz, przed II wojną światową, zdobył przemocą władzę w tzw. rewolcie sierżantów przeciwko autorytarnym rządom prezydenta Machado. Sprawował ją dyktatorsko aż do 1944 roku. Usunięty, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, ale teraz znowu udało mu się podporządkować sobie kraj.

Od pierwszych dni rządów Batisty jego reżym był solą w oku 25-letniego, radykalnego adwokata Fidela Castro. Parę tygodni po zamachu stanu złożył on w sądzie w Hawanie memoriał, w którym udowadniał, że Batista i jego wspólnicy za łamanie prawa powinni być skazani na łączną karę 108 lat więzienia.

Następnym krokiem Castro była konspiracja. Szybko zebrał wokół siebie krąg młodych, sfrustrowanych idealistów, w większości studentów i świeżo upieczonych absolwentów hawańskiego uniwersytetu. Chcieli postępu i oświecenia dla ludu, zrzucenia zależności od Amerykanów. Castro sprzedał swój elegancki samochód i bibliotekę. Na skraju Siboney wraz ze swoimi towarzyszami wynajął dom. Konspiratorzy dla niepoznaki założyli tam fermę kurzą. W studni urządzili skrytkę na broń, którą kupowali potajemnie za resztki gotówki ze sprzedaży samochodu Fidela.

Młodzi spiskowcy idą do studni, opuszczają się na linie i wyciągają powstańczy arsenał. Zbieranina wszelkich różności, jakie można było dostać na czarnym rynku. Są rewolwery i pistolety różnych kalibrów, karabinki sportowe i myśliwskie dubeltówki, jest nawet karabin maszynowy argentyńskiej produkcji.

W kręgu najbardziej zaufanych Fidel Castro wydaje ostatnie rozkazy. Atak na Santiago ma zacząć się o 5.15 nad ranem, kiedy miasto i garnizon zasną ciężkim snem po szaleńczej nocnej zabawie i pijatyce – dziś przecież dzień św. Anny, gdy karnawałowe orgie sięgają zenitu! Abel Santamaria na czele kilkunastu spiskowców ma zająć gmach szpitala, leżący naprzeciwko umocnionych koszar Moncada. Raul Castro, brat Fidela, ma na czele swego oddziału zagarnąć Pałac Sprawiedliwości i osłaniać ogniem główną grupę dowodzoną przez Fidela. Jej zadaniem jest zdobycie koszar obsadzonych przez ponad tysiąc żołnierzy, wyposażonych w broń maszynową, moździerze, samochody pancerne. Plan jest taki: po zdobyciu broni w Moncada rewolucjoniści rozdają ją chłopom i robotnikom wraz z wydrukowanym potajemnie manifestem do narodu i programem reform społecznych. A potem powstańcy ruszą na drugi koniec Kuby, na stolicę.

Zupełne szaleństwo, ale młodych spiskowców nie opuszcza dobry nastrój. Wkładają mundury wojskowe, by zmylić wartowników w koszarach. Do samochodów ładują broń, ulotki, wreszcie wciskają się sami. O 4.30 ruszają.

Na ulicach Santiago jeszcze tańczą podpici balowicze. Nikt nie zwraca uwagi na kolumnę samochodów. Nagle jeden z kierowców pośród karnawałowego bałaganu, tych wszystkich serpentyn i baloników, myli drogę i skręca w złą stronę. Za nim podążają kolejne samochody, niemal połowa kolumny. Jadą w nich najlepiej

uzbrojeni powstańcy, którzy mają wesprzeć atak oddziału Fidela Castro na koszary.

Samochody z ludźmi Fidela podjeżdżają do tylnego wjazdu do twierdzy. Strzeże go tzw. posterunek nr 3. Pierwszy samochód spiskowców dowodzony przez Renato Guitarta zatrzymuje się przed wartownikami. Kierowca i Guitart mają wojskowe mundury z dystynkcjami sierżantów. Wartownicy salutują i przepuszczają auto. Ale w chwili gdy samochód zatrzymuje się przed koszarowymi barakami, dowódca posterunku nr 3 zaczyna coś podejrzewać. Włącza syrenę alarmową i sięga po broń. Trzej spiskowcy z pierwszego samochodu są od niego szybsi. Wpadają do pierwszego baraku. 50 żołnierzy śpi jak zabitych. Napastnicy pod lufami karabinów zapędzają żołnierzy pod łóżka. Wszystko idzie jak w zegarku, zgodnie z planem.

W tym momencie powinny nadjechać kolejne samochody z 50 bojownikami z grupy Fidela Castro i sterroryzować załogi pozostałych baraków. Ale kolumnę Castro tuż przed koszarami zatrzymuje jakiś zabłąkany patrol wojskowy. Jeden z żołnierzy wolno podchodzi do czołowego samochodu. Siedzący w nim Fidel poleca jednemu z podwładnych, by wysiadł i zagadał, zatrzymał żołnierza. Zdenerwowany rewolucjonista wyskakuje z auta, potyka się i przewraca. Leżąc, nieoczekiwanie strzela do żołnierza. Reszta patrolu pada na ziemię i z pistoletów maszynowych dziurawi samochód Fidela jak rzeszoto. Rewolucjoniści z pozostałych samochodów, pewni, że koszary Moncada już wzięte, wyskakują z samochodów i pędzą w stronę posterunku nr 3. Tam czeka ich niemiła niespodzianka – lawina ognia. Otrzeźwiali od strzałów żołnierze obsadzili wyższe piętra głównego gmachu koszar. Napastnicy chowają się za murkiem okalającym ogródki dwóch willi naprzeciw posterunku nr 3.

Tymczasem siódemka Raula Castro wdziera się do Pałacu Sprawiedliwości, rozbraja 9 wartowników i – zgodnie z planem – rozpoczyna ze strychu pałacu ostrzał koszar. 20-osobowa grupa Abla Santamarii, tego, który w nocy rozczytywał się w Leninie, zajmuje szpital Saturnino Lora i także wspiera ogniem grupę Fidela Castro. Wraz z Ablem są obie dziewczyny, Haydee i Melba.

Po półgodzinie strzelaniny jest już jasne, że Moncady nie da się zdobyć. Fidel rozkazuje wycofać się w góry, w grupkach po kilka osób.

Rozkaz Castro o wycofaniu się ma przekazać grupom w Pałacu Sprawiedliwości i w szpitalu Fernando Chepar. Udaje mu się dotrzeć do pałacu i ludzie Raula Castro wycofują się. Ale w drodze do szpitala Chepar dostaje śmiertelny postrzał. Grupa Abla Santamarii o odwrocie dowiaduje się za późno. Szpital jest otoczony. Rewolucjoniści porzucają broń, przebierają się w szpitalne piżamy i szlafroki i kryją się w tłumie podnieconych, gestykulujących chorych. Ale w szpitalu jest policyjny szpicel. Wkraczają żołnierze, szpicel po kolei wskazuje przebranych. Doktora Mario Munoza zabijają strzałem w plecy. Resztę biją, pakują do ciężarówek i wywożą do koszar Moncada.

Już jasno. Fidel Castro z osiemnastoma niedobitkami dociera do domu w Siboney. Stamtąd grupa wyrusza w stronę gór w okręgu San Piedra. W Moncada żołnierze na oczach Haydee i Melby kolejno torturują i zabijają ich towarzyszy. Do wieczora wymordują ich wszystkich. W nocy wojsko zaczyna zaciskać blokadę wokół Gran Piedra.

27 lipca 1841 ▪ wtorek

Poeta umiera w deszczu

Jest późne przedpołudnie, gdy w domu panny Katarzyny Bychowiec w Żeleznowodsku na Kaukazie zjawia się jej daleki kuzyn Michał Lermontow. Wybitny poeta, porucznik pułku tengińskiego, idzie z panną Katarzyną na długi spacer do lasu.

Dogasa skwarne popołudnie. Nieruchome, ciężkie powietrze zwiastuje rychłą burzę. Pannie Bychowiec podczas uroczej przechadzki zsuwa się z czoła złota przepaska na włosy. Poeta bawi się nią, obraca w palcach. W końcu chowa do kieszeni. Gdy żegna się z panną i jej ciocią, Katarzyna prosi o zwrot przepaski. Lermontow z uśmiechem odmawia.

– Jeśli będę żył, sam ją pani przyniosę.

Wstaje, wychodzi. Panie nie wiedzą, że Lermontowa czeka wieczorem pojedynek.

Przedwczoraj na wieczorku tanecznym u państwa Wierzilinów w Piatigorsku, na którym bawiło się towarzystwo młodych oficerów walczących z powstaniem ludów Kaukazu pod wodzą Szamila, Lermontow zażartował sobie z dawnego kolegi ze szkoły podchorążych gwardii Mikołaja Martynowa. Pół roku temu Martynow, złapany na oszustwie karcianym, został zmuszony do opuszczenia wojska, ale nadal chadza w czerkieskiej kurtce mundurowej i z wielkim kindżałem u boku. I właśnie z tych akcesoriów zjadliwie zażartował Lermontow.

Martynow po wyjściu na ulicę zażądał satysfakcji w pojedynku.

Pojedynki są w imperium surowo zakazane, a ich uczestnicy karani. Ale Lermontow zgodził się. Choć groziły mu poważne represje – w zeszłym roku za pojedynek sprowokowany przez syna francuskiego ambasadora został zesłany na Kaukaz, pod kule

powstańców – nie miał wyjścia. W gwardii kodeks honorowy obowiązuje wbrew oficjalnemu prawu.

Wczoraj pojedynkowicze wybrali sekundantów. Lermontow poprosił o to swego przyjaciela Stołypina-Mongo i księcia Trubieckiego. Martynow – księcia Wasilczykowa i, o dziwo, przyjaciela Lermontowa Michała Glebowa. Wszyscy są oficerami.

Sekundanci ustalili miejsce pojedynku i jego warunki, Stołypin-Mongo przyniósł wczoraj nawet swoje pojedynkowe pistolety, ale nikt z przyjaciół poety nie przejął się aferą.

Ot, jeszcze jedna pretensjonalna poza nieudacznika i grafomana Martynowa, Lermontow przeprosi go i wszyscy pojadą na bankiet. Nie wiedzą, że Martynowa szczuje na poetę kółko arystokracji i generalicji bawiącej tu na kuracji. Temu liberałowi i arogantowi Martynow ma przytrzeć nosa. Albo go postrzeli, albo Lermontow za udział w kolejnym pojedynku trafi za kraty.

Po obiedzie z przyjaciółmi, w niemieckiej kolonii Karras, Lermontow jedzie konno za miasto, w stronę góry Maszuk. Po dwóch wiorstach skręca w lewo, w stronę starego cmentarza na zboczu Maszuka. Poeta jedzie między gęstymi kępami suchych krzaków, po świeżych śladach koni. Jego przeciwnik i sekundanci są już na miejscu.

Pojedynek ma się odbyć na niewielkiej polanie między dwoma dużymi krzewami, na mocno pochylonym zboczu.

Twarz Martynowa wykrzywia grymas nienawiści. Lermontow podchodzi do niego. Kłaniają się sobie poprawnie, ale Martynow natychmiast, zanim ze strony sekundantów zdąży paść przewidziane w honorowych obyczajach pytanie, czy przeciwnicy nie mają zamiaru się w ostatniej chwili pojednać, stwierdza, że czas już najwyższy, by Lermontow dał mu satysfakcję. Lermontow nie może odmówić. Kłopot w tym jednak, że jego sekundanci spóźniają się.

W takich warunkach pojedynek nie powinien się odbyć. Ale Martynow nalega. Jak tu się jednak strzelać bez sekundantów? A z drugiej strony, jeśli Lermontow odmówiłby, mogłoby to wyglądać na ukartowane przez niego i jego sekundantów umyślne spóźnienie, by pojedynku uniknąć. A to już byłaby niezmywalna plama na honorze Lermontowa.

Aleksander Wasilczykow rzuca myśl: idzie burza, dalej czekać na przyjaciół Lermontowa nie sposób, trudno, niech się strzelają z dwoma sekundantami, ja będę sekundował Martynowowi, Glebow – Lermontowowi.

To niedopuszczalne nadużycie, bo przecież tak naprawdę obecni są sekundanci tylko jednego z pojedynkowiczów, ale młodziutki, ledwie 22-letni kornet Michał Glebow nie ma dość autorytetu, by zaprotestować. Nie zdaje sobie sprawy, że księciu Wasilczykowowi nie chodzi o znalezienie honorowego wyjścia dla Lermontowa, lecz o zabicie go.

Lermontow ułożył niedawno zgrabny epigramat, w którym Wasilczykowowi wypomniał świeży tytuł książęcy osiągnięty za paskudne zasługi ojca, głupotę krewnych i ordynarne obyczaje matki, prostej Kozaczki. Wasilczykow na pozór zniewagę puścił płazem, tak że nawet Lermontow nie podejrzewa w nim wroga, ale zaprzysiągł poecie zemstę.

I teraz czas zemsty nadszedł.

Zrywa się gwałtowna burza. Biją pioruny, leje jak z cebra. To nie są warunki do pojedynkowania się, ale Wasilczykow z fałszywą troską kontynuuje moralny szantaż wobec Glebowa: trudno i darmo, burza, nie burza, sekundanci, nie sekundanci, ale honor najważniejszy, więc bić się trzeba, i to zaraz. Nie dając Glebowowi ochłonąć, książę Wasilczykow wyciąga z pochwy szablę szaszkę i wbija ostrzem w pochyły stok.

– Oto i granica – mówi do Glebowa.

Ten czuje, że nie ma wyjścia. Odlicza 15 kroków i rzuca w mokrą trawę swoją czapkę wojskową, w ten sposób wyznacza pas neutralny. Potem otwiera drewnianą skrzynkę, w której znajdują się powierzone mu przez Stołypina-Mongo dwa pojedynkowe pistolety Küchenreuter. Obaj pojedynkowicze wybierają broń.

Wasilczykow odlicza jeszcze po 10 kroków od wyznaczonego przez szaszkę i czapkę pasa neutralnego i ustawia tam obu przeciwników.

Wcześniej sekundanci obu stron uzgodnili, że z tak małej odległości pojedynkowicze mają się strzelać trzy razy.

Leje straszliwie.

Komendy wydaje Glebow.

– Naprzód!

Martynow rusza pod górę. Lermontow stoi nieporuszony. Wreszcie odwodzi kurek, powoli podnosi lufę pistoletu i strzela w niebo.

W takim momencie sekundanci muszą przerwać pojedynek i skłonić strzelca, który sam się ostentacyjnie rozbroił, do powtórnego nabicia broni. Ale w ulewie i rozgardiaszu Glebow traci głowę i nie przerywa pojedynku. Martynow podchodzi do linii strefy neutralnej i – rzecz straszna, niehonorowa – przekracza ją! Z bliska strzela do bezbronnego Lermontowa.

Kula przebija klatkę piersiową poety tuż obok serca. Lermontow pada jak rażony gromem. Wasilczykow i Glebow podbiegają do leżącego. Z rany w piersi tryska krew. Glebow siada w trawie przy Lermontowie, kładzie jego głowę na kolanach. Osłania martwego przyjaciela od deszczu własnym płaszczem.

Spóźnieni, z trudem jadący wierzchem w ulewie pod górę sekundanci Lermontowa oraz przyjaciel poety oficer Rufin

Dorochow słyszą dwa strzały w dużym, jak na pojedynek, odstępie czasu. Popędzają konie.

Na miejscu skamieniali ze grozy patrzą na Glebowa obejmującego martwego Lermontowa. Jego zabójca Martynow mamrocze coś o konieczności oddania się w ręce komendanta garnizonu i odchodzi do swojej dorożki. Książę Wasilczykow także szybko się ulatnia – jedzie szukać lekarza. Niewtajemniczeni w zamysł zabójstwa poety przyjaciele nawet nie pomyśleli o przyprowadzeniu na miejsce pojedynku lekarza – byli pewni, że w ich gronie honorowe swary rozejdą się po kościach. W końcu Lermontow nie krył, że strzelać się nie zamierza i ma zamiar przeprosić Martynowa, jeśli ten do końca będzie czuł urazę.

Ale żaden z nagabywanych przez Wasilczykowa lekarzy na miejsce pojedynku jechać nie chce. Żaden nie chce być zamieszany w aferę pojedynkową, nie chce popaść w niełaskę u cara. W domu to co innego, w domu mogą opatrzyć rany.

Ok. 22.00 Stołypin-Mongo zdobywa chłopską podwodę. Na niej przyjaciele poety wiozą jego ciało na miejski odwach. Rozeźlony wieścią o pojedynku komendant garnizonu rozkazał osadzić obu pojedynkowiczów na odwachu. Martynow trafia pod klucz. Lermontowa wacha każe zabierać dalej. Przyjaciele wiozą go na przedmieścia, do małego domku, jaki zajmował wraz ze Stołypinem-Mongo. Tam układają ciało poety na dywanie, a sami, milcząc, czuwają przy nim do świtu.

28 lipca 1794 ▪ poniedziałek

Tylko krzyk

O północy zaczyna padać, robi się chłodno. Oddziały Komuny, rewolucyjnej, radykalnej władzy ludowej miasta Paryża, stoją na placu obok ratusza w coraz większym nieładzie. Głodni, przemoczeni, zziębnięci żołnierze łamią szyki, wymykają się w ciemność. To źle wróży tym, których mają strzec – Maksymilianowi Robespierre'owi i innym przywódcom jakobinów.

Po ostatnich zwycięskich bitwach z armiami interwentów zewnętrznych rewolucja francuska była bezpieczna, a jednak jakobiński terror nie słabł. W Konwencie urosła w siłę opozycja wobec dyktatury jakobinów i symbolizującego wielki terror Robespierre'a. Przedwczoraj „Nieprzekupny" wyprzedził atak opozycji, ale popełnił fatalny błąd – ogłosił, że zdrajcy są wszędzie, i zapowiedział, ze nazajutrz ogłosi ich nazwiska. Każdy z deputowanych czuł, że może znaleźć się na tej liście – w nagłym wybuchu odwagi zakrzyczeli Robespierre'a i doprowadzili do aresztowania go i jeszcze czterech innych jakobińskich przywódców. „Nieprzekupnego" i kompanów uwolnił jednak sprzyjający mu mer Paryża Jean-Baptiste Fleuriot.

Teraz, pod osłoną oddziałów Komuny, Robespierre i inni jakobini nieudolnie szykują skierowany przeciw Konwentowi zamach stanu.

O drugiej w nocy wieści o rozejściu się obrońców ratusza dochodzą do stale obradującego w Tuileriach Konwentu. Paul François Barras i Leonard Burdon pojmują, że nadarza się wyborna okazja do szturmu ratusza, zanim – być może – jakobińscy przywódcy rano znów zmobilizują obrońców. Na czele niewielkiej grupy żandarmów, piechurów i żołnierzy artylerii, wiernych Konwentowi, Barras i Burdon docierają do ratusza. Plac przed nim jest już pusty, za to w budynku jarzą się setki świec i lamp. Żandarmi Bourdona znają hasło obrońców ratusza, których ulewa przegnała do domów i szynków. W drzwiach podają je strażnikom,

wołając przy tym: „*Vive* Roberspierre!”. Bez kłopotu wchodzą na piętro.

Kaleki Georges Couthon, autor ustawy o wielkim terrorze, niezdarnie rzuca się do ucieczki. Spada ze schodów i paskudnie kaleczy sobie głowę.

Augustyn Robespierre, brat „Nieprzekupnego”, wychodzi przez okno na wąski gzyms, zrzuca płytkie pantofle i usiłuje przejść po gzymsie ponad placem. Stopa ześlizguje się z mokrego tynku. Augustyn spada niemal na głowy tych, którzy po niego przyszli. Łamie kość udową. Żandarmi półżywego z bólu Augusta sadzają na krzesło i niosą do ratusza.

Hanriot wybiera do ucieczki okno od strony podwórza. On też ześlizguje się z wilgotnego gzymsu i spada na bruk podwórza. Żandarmi znajdują go połamanego, leżącego na kupie nawozu.

Philippe-François Le Bas ma przy sobie dwa pistolety. Jeden wręcza Maksymilianowi Robespierre’owi, z drugiego strzela sobie w łeb. Robespierre nieporadnie usiłuje powtórzyć czyn Le Bas, ale miast w skroń strzela sobie w szczękę. Kula miażdży kość szczękową, przeszywa lewy policzek. Nieprzytomny, opada na stół, przy którym jeszcze przed chwilą pracował.

Tylko Antoine Saint-Just obojętnie czeka na aresztowanie.

Robespierre’a, odzianego w elegancki niebieski kaftan, poplamiony teraz krwią, oraz nankinowe spodnie, zwycięzcy układają na stole. Ciężko ranny, odzyskuje przytomność, zasłania prawym ramieniem strzaskaną szczękę. Kilku artylerzystów zdejmuje blat stołu i na nim znosi „Nieprzekupnego” na parter. Przy drzwiach tymczasem zebrał się spory tłum paryżan. Któryś z gapiów bezceremonialnie podnosi ramię rannego, odsłaniając straszliwą ranę twarzy. „Jeszcze niezabity”. „Zupełnie ciepły”. „Trzeba by go wrzucić do rynsztoka”.

Wśród tych agresywnych pogwarek zanosi się na lincz, ale niosący rannego artylerzyści odpychają wrogich gapiów, a nawet troskliwie podtrzymują głowę Robespierre'a jak najwyżej, by krew nie udusiła go. Uosobienie rewolucyjnej tyranii ma umrzeć tak jak jego ofiary – pod ostrzem gilotyny.

Żołnierze niosący na blacie stołu Robespierre'a maszerują w stronę Tuilerii. Jest jeszcze ciemno, gdy do Konwentu docierają wieści o wzięciu ratusza i o ranie Robespierre'a. Przewodniczący toczących się nieprzerwanie obrad pyta deputowanych: „Ten tchórz Robespierre jest tutaj, czy chcecie, aby go wniesiono?". Odpowiadają mu okrzyki: „Nie! Nie!". Współprzewodniczący obradom Konwencji Jacques-Alexis Thuriot de la Rosière oświadcza, że wniesienie na salę obrad rannego tyrana byłoby haniebnym popsuciem dnia uczciwej pracy deputowanych – właściwym miejscem dla Robespierre'a jest pl. Rewolucji. To oczywiście metafora – gilotynę przeniesiono niedawno z pl. Rewolucji na przedmieścia.

Kilku żołnierzy i mieszczan ze straży obywatelskiej zabiera blat z rannym i zanosi go do Komitetu Ocalenia Publicznego. Składają Robespierre'a w przedpokoju, na stole, wokół którego natychmiast zbiera się tłum gapiów. Ktoś litościwie podkłada mu pod głowę żołnierski worek z sucharami. Robespierre wydłubuje z ust duże skrzepy krwi utrudniające oddychanie. Kilku ze stojących tuż przy blacie gapiów podaje mu kartki kancelaryjnego papieru. „Nieprzekupny" składa je wpół i osusza nimi z krwi jamę ustną. Uważnie przygląda się otaczającym go ludziom, nie reaguje na zaczepki i obelgi niektórych z nich.

Jakiś urzędnik w geście miłosierdzia rozpina rannemu podwiązki i zsuwa z łydek uciskające żyły białe pończochy.

Przybywa chirurg. Otwiera narzędziami szczękę rannego, stwierdza złamanie lewej kości, usuwa trzy wybite zęby, opatruje

ranę, związując bandaż, szarpie na czubku głowy i zostawia obok pacjenta miskę z wodą.

Gdy zainteresowanie gapiów na chwilę słabnie, Robespierre ześlizguje się ze stołu i osuwa na krzesło. Jest śmiertelnie blady. Nie jęczy, nie skarży się, lecz uważnym wzrokiem patrzy na obecnych w sali.

Koło 11.00 żołnierze odnoszą Robespierre'a do więzienia Conciergerie. Jest już tam kilkunastu aresztowanych jego towarzyszy. Kolejni doprowadzani są po południu.

W celi Robespierre domaga się na migi papieru i ołówka, ale strażnik odmawia.

Po południu 19 wyjętych spod prawa jakobinów staje przed Sądem Rewolucyjnym; trzech – bracia Robespierre i Couthon – leży na noszach. Rozprawa jest farsą, podobnie jak wcześniejsze rozprawy wrogów Robespierre'a. Tak naprawdę ogranicza się do odczytania nazwisk podsądnych i oddania ich katu.

O 18.00 skazańcy wyprowadzeni zostają do trzech wózków katowskich, które ruszają w stronę pl. Rewolucji. Na placu na tę okazję znów pośpiesznie zainstalowano gilotynę. Wózki powoli jadą przez śródmieście, pośród nieprzebranych tłumów. Paryski lud raduje się, za to wytworne damy z okien kamienic miotają na głowy milczących, zobojętniałych skazańców najgorsze, rynsztokowe obelgi.

Obok domu małżeństwa Duplay, u których Robespierre wynajmował pokój, wózki zatrzymują się. Ulicznicy tańczą przed drzwiami, ale to spóźniona obelga – Duplay dopiero co zostali aresztowani.

Na przepełnionym pl. Rewolucji pierwszy wchodzi na szafot Couthon. Robespierre ponad pół godziny leży pod szafotem i słucha łoskotu gilotyny i kolejnych, radosnych ryków ludu.

„Nieprzekupnego” wnoszą jako przedostatniego. Kat brutalnie zrywa mu opatrunek z głowy. Robespierre straszliwie ryczy z bólu. Pomocnik kata szybko wiąże go do deski, przechyla ją do poziomu. Mistrz zwalnia ostrze.

29 lipca 1890 ▪ wtorek

Żegnaj, smutku

Polowe łóżko i krzesło zajmują całą przestrzeń. Bielona wapnem izba na poddaszu jest tak wąska, że przypomina celę. Wrażenie to pogłębia małe, skośne okienko. Ale to pokój gościnny w kawiarni Gustave'a Ravoux w Auvers-sur-Oise. Na łóżku, oparty o poduszki, w na wpół leżącej pozycji spoczywa nieruchomo niewysoki rudawy mężczyzna z krótką brodą. Słychać kroki na schodkach. Do pokoju wchodzi szczupły mężczyzna o wymizerowanej, zdradzającej chorobę i wielkie zmęczenie twarzy. Obejmuje czule leżącego, całuje go w policzki. Płacze.

„Nie płacz, zrobiłem to dla dobra nas wszystkich” – mówi cicho rudzielec.

Zrobił to poprzedniego popołudnia. Vincent van Gogh, 37-letni malarz, wynajmujący mansardę w domu państwa Ravoux, wyszedł tego dnia wcześnie. Zawsze wstawał skoro świt i rankiem brał się do pracy przy sztalugach. Popołudniami pracował w tylnej sali oberży, udostępnionej mu przez pana Ravoux na atelier. Tej niedzieli był jednak zaproszony na wczesne popołudnie na rodzinny obiad u państwa Ravoux.

Mimo to van Gogh po południu wyszedł z oberży ze sztalugami pod pachą. Ustawił je przy stogu siana, na polu za zamkiem.

Spacerował w lipcowej spiekocie po okolicznych polach. Mówił do siebie. Jednemu z wieśniaków zdawało się, że mijając malarza, usłyszał: „Nie, to niemożliwe, niemożliwe!". Późnym popołudniem wyciągnął rewolwer. Dał mu go oberżysta, bo van Gogh usilnie prosił go, że chce sobie postrzelać do wron.

Holender przyłożył lufę do piersi i pociągnął za spust. Upadł, ale nie stracił przytomności. Żył. Pocisk przeszedł poniżej serca. Właściwie nie wiadomo, dlaczego po raz drugi nie pociągnął za spust. Na pewno nie chciał żyć, ratować się. Raczej poczucie niemocy, bezsensu, braku nadziei, niechęci do samego siebie, które od kilku dni zatruwało van Gogha, nie pozwoliło mu unieść lufy raz jeszcze.

Po dłuższej chwili poczuł, że może się ruszać. Wstał i powoli, krok za krokiem, ruszył w stronę rynku. Po drodze trzykrotnie tracił siły, przewracał się, ale wstawał i szedł dalej.

Państwo Ravoux czekali na niego z obiadem, ale w końcu zasiedli sami do stołu. Gdy trzymając się za bok, pojawił się na rynku, przy którym stała ich kawiarnia, gospodarze siedzieli przed domem. Minął ich bez słowa, wszedł do kawiarni i po schodach poczłapał na mansardę, do swej klitki. Pani Ravoux zauważyła, że z Holendrem jest coś nie tak, i wysłała męża w ślad za nim. Może chory?

Van Gogh nie odpowiedział na pukanie. Gospodarz usłyszał jego głośne jęki i wszedł bez zaproszenia. Van Gogh leżał zakrwawiony na łóżku, z twarzą przy ścianie. Na natarczywe pytania oberżysty odpowiedział z irytacją, że chciał się zabić, ale niestety, chybił. Oberżysta pobiegł do miejscowego lekarza doktora Mazery. Doktor zjawił się bez zwłoki, założył opatrunek. Van Gogh poprosił, by sprowadzono jego dobrego znajomego doktora Gachet. Ale Gachet

był nad rzeką na rybach – w pokoju rannego zjawił się dopiero o 21.00.

Zbadał van Gogha i skonstatował, że rana jest poważna. Pocieszał malarza, ale ten najwyraźniej nie oczekiwał słów otuchy. „Ach, tak? Znowu więc będę musiał to powtórzyć" – mruknął i poprosił o fajkę i tytoń. Doktor chciał natychmiast wzywać z Paryża brata Vincenta Thea. Van Gogh odmówił podania adresu.

Obaj lekarze po naradzie postanowili nie wyjmować kuli. Uznali, że to zbyt niebezpieczne.

W nocy Vincent van Gogh nie spał. Leżał nieruchomo, nie zważając na czuwającego przy łóżku syna doktora Gachet. Palił fajkę. Milczał.

Rankiem zjawiają się policjanci. Oznajmiają, że prowadzą dochodzenie w sprawie użycia broni. Malarz zbywa ich opryskliwie: „To nikogo nie obchodzi!". W końcu strzelał do siebie.

Dr Gachet pisze list do Thea i młody holenderski malarz Anton Hirsing, mieszkający w Auvers, jedzie z nim do paryskiej galerii, w której pracuje Theo. Szczęśliwie brat Vincenta tego dnia w południe wrócił do Paryża z Amsterdamu. Na wieść o nieszczęściu rzuca wszystko i oto jest w klitce Vincenta.

Stara się pocieszać rannego brata, jak zawsze być dla niego opoką w świecie zmiennym i często nieprzyjaznym.

Vincent od dzieciństwa z trudem przystosowywał się do społecznych rygorów i konwencji. Długo szukał swego miejsca w życiu. W młodości uważał, że jako syn pastora powinien zostać wychowawcą, potem bezskutecznie próbował zostać kaznodzieją misyjnym. Z poświęceniem otaczał opieką biednych i pokrzywdzonych. Niezrozumiany przez otoczenie i najbliższych, daremnie łaknący bliskości, miłości, przyjaźni, odtrącany przez kobiety, które obdarzał uczuciem, znalazł się na społecznym

marginesie. Stracił stałą pracę w firmie handlującej sztuką, na pewien czas związał się z ciężarną kobietą lekkich obyczajów. Ukojenie znalazł w sztuce.

Skupiony, samotny, odkrywał w swych płótnach szlaki i krainy, których inni malarze nie przeczuwali nawet. Pracował zajadle, niesamowicie intensywnie. W Auvers malował więcej niż jeden obraz dziennie – w ciągu 10 lat pracy stworzył ponad 800 dzieł. Jego twórczość doceniali jedynie brat i nieliczni z przyjaciół. Po spowodowanym załamaniem nerwowym pobycie w zakładzie psychiatrycznym w St. Rémy van Gogh pozostawił tam mnóstwo swoich prac. Większość posłużyła synowi tamtejszego lekarza dr. Peyrona za tarcze, do których strzelał z dubeltówki. Także zegarmistrz Vanel lubił sobie postrzelać do płócien van Gogha. A miejscowy fotograf pracowicie zeskrobywał farbę z olejów van Gogha, by zyskać darmowe płótna dla własnych malowideł.

Do dziś Vincent sprzedał tylko jedno płótno – przepiękną *Czerwoną winnicę w Arles*, którą kupiła Anna Bloch, siostra belgijskiego malarza Eugène'a Blocha. Nie miał nigdy środków do życia. Od dawna utrzymuje go comiesięcznymi przekazami w wysokości 150 franków brat Theo.

Namiętne pragnienie życia na osobności i jednocześnie bliskości innych ludzi, pragnienie pogodzenia się ze światem poprzez swoją twórczość, wyrzuty sumienia, że zmusza ukochanego brata do utrzymywania go, gorycz niedocenienia nasilały psychiczne kłopoty Vincenta. Ataki splecionych w niemożliwym do rozsupłania węźle melancholii, depresji, szaleństwa, autoagresji zmuszały go do podejmowania kuracji, także w zakładach zamkniętych. Po ostatniej, w St. Rémy, wyjechał do Auvers, by pod okiem dr. Gachet, lekarza, erudyty, artysty amatora i melancholika w jednej osobie, dochodzić do siebie. Van Gogh ocenił go jako

drugiego, po nim samym, osobnika muśniętego miękkim skrzydłem szaleństwa, ale bardzo polubił.

Szczęśliwe dni w Auvers przerwane zostały wieściami o chorobie i kłopotach w pracy brata, zapewne także i jakimś nieostrożnym wyrzutem ze strony Thea podczas ostatniej rozmowy w Paryżu. Egzystencjalne cierpienie, wzmocnione poczuciem winy wobec brata, ostatnio borykającego się z chorobami żony i małego synka, także z własnymi niedomaganiami, stało się nie do zniesienia.

Vincent pali fajkę i cichym głosem rozmawia po holendersku z Theo. Robi się późno. Theo w nocy schodzi do kawiarni na kolację. Pisze list do żony, która pozostała z synkiem w Amsterdamie: „Dziś rano holenderski malarz, który też mieszka w Auvers, przyniósł mi list od doktora Gachet ze złymi wiadomościami dotyczącymi Vincenta i z prośbą, abym przyjechał. Rzuciłem wszystko i zjawiłem się, znalazłem go w stanie trochę lepszym, niż się spodziewałem. Nie będę pisał szczegółów, są zbyt smutne, musisz jednak wiedzieć, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. [...] Był zadowolony, że się zjawiłem, jesteśmy razem cały czas... Biedak, nie zaznał wiele szczęścia i stracił już wszelkie złudzenia. Przygniata go zbyt wielki ciężar, jest tak samotny. Często pyta o Ciebie i dziecko, mówi, że nie możesz sobie wyobrazić, ile w życiu jest smutku. Ach, gdybyśmy mogli dać mu nowej otuchy do życia! Nie niepokój się za bardzo; bywał już wcześniej w sytuacji równie beznadziejnej, jego silna konstytucja wyprowadzała lekarzy w pole".

Ale nie tym razem. Vincent jest coraz cichszy, mówi coraz mniej. I tylko nieustannie ssie fajkę, której nie pozwolił sobie odebrać.

Mija północ. Theo nie odstępuje łóżka Vincenta. Pociesza brata, że rano może ujrzy go w lepszym stanie. Vincent odpowiada: „Smutek trwać będzie zawsze. Tak bardzo chciałbym odejść". Parę chwil

później zaczyna się dusić. Fajka upada na pościel. Agonia nie trwa nawet minuty. Wykrwawiony Vincent gaśnie cicho, spokojnie.

Rankiem dr Gachet rysuje twarz swego podopiecznego na łożu śmierci.

Zgon zostaje zgłoszony w merostwie. Theo i znajomi Vincenta załatwiają druk zawiadomień o pogrzebie nazajutrz, w Auvers. Ale to na nic. Ksiądz odmawia parafialnego karawanu i odprawienia nabożeństwa, bo Vincent był samobójcą. Na szczęście sąsiednia gmina zgadza się na użyczenie karawanu.

30 lipca 1936 ▪ czwartek

Ikar nad Oksywiem

Po płaskiej wyniosłości Kępy Oksywskiej pod Gdynią powoli toczy się wojskowa ciężarówka. Na pace siedzą podchorąży i 10 żołnierzy, oficer zaś zajmuje miejsce obok kierowcy. Dowodzący plutonem por. Rybicki wydaje rozkaz zatrzymania się. Niewielka łąka jest, jak na niekorzystne warunki terenowe na Kępie, w miarę przyzwoicie zasłonięta od wiatru.

Dochodzi 9.00. Żołnierze sprawnie wyładowują wielką stertę nagumowanego płótna. To czasza wojskowego balonu obserwacyjnego o pojemności 900 m sześc. Tkanina balonu uszczelniona jest gumą. Niedawno w Polsce opatentowano nowatorską technologię gumowania, dzięki której balonowa powłoka jest szczelniejsza i lżejsza od powłok identycznych rozmiarów wytwarzanych w innych krajach. Polska jest dziś prawdziwym potentatem w produkcji balonów sportowych.

Por. Rybicki uważnie lustruje przez lornetkę niebo. Rano dostał od przełożonych z dowództwa Marynarki Wojennej rozkaz przeprowadzenia ćwiczebnej obserwacji akwenu Zatoki Puckiej. Kłopot w tym, że w tych dniach niebo nad Polską jest tak wrogie lotnikom jak właściwie nigdy dotąd.

Przed dwoma dniami, o godz. 13.00, w Pomorze uderzył straszliwy huragan połączony z ulewnymi deszczami i potężnym gradobiciem. W Chełmży woda zalała część miasta i niemal wszystkie piwnice w domach w centrum. W Grzywnie nieopodal Torunia trąba powietrza uniosła w górę i rozerwała na strzępy wiejską chałupę. Na szczęście nikogo wtedy w środku nie było. Natomiast w Rychnowie, gdzie trąba także wyrwała z posad chłopski dom, zginęła gotująca obiad kobieta.

Huragan obalił tysiące drzew. W powiecie toruńskim ponad 300 domów zostało zniszczonych lub poważnie uszkodzonych. W Łążynie zawalił się kościół, w Dębinie z kościoła zostały tylko mury. Ogromne straty ponieśli rolnicy. Grad wielkości kurzego jajka zniszczył sady, wbił w ziemię zboża, powybijał okna w setkach domostw. Lekarze udzielili pomocy blisko 200 poranionym przez grad, kilkanaście osób trafiło do szpitali. Od uderzeń pioruna zginęła jedna osoba, cztery zostały ciężko poparzone.

Huragan zdemolował przedwczoraj także Wolne Miasto Gdańsk.

Wczoraj huragany targały niemal całą Polską. Na Łemkowszczyźnie niebywałe oberwanie chmury zatopiło trzy wioski. Na rzece Ropie w ciągu trzech godzin poziom wody poniósł się o ponad 3 m. W Piotrkowie Trybunalskim wichura zerwała kilkanaście dachów, od uderzeń piorunów wybuchły trzy groźne pożary. W Częstochowie huragan zerwał kilkadziesiąt dachów, zaś grad, znów wielkości kurzego jaja, pokaleczył kilkanaście osób i wybił ponad 500 szyb. W Kielcach przez cały dzień temperatura

przekraczała 40 stopni w cieniu, w nocy zaś oberwanie chmur zamieniło ulice miasta w rwące strumienie o głębokości 0,5 m. Woda zalała piwnice w setkach domów. Pioruny spowodowały kilka poważnych pożarów, zniszczyły linie energetyczne i trakcji tramwajowej.

Tam gdzie nie uderzyły jeszcze huragany i burze, temperatury sięgają 40 stopni, w wilgotnym powietrzu zaś panuje złowróżbna, lepka cisza.

To stanowczo nie są okoliczności do lotów balonem, nawet na uwięzi.

Wszyscy polscy baloniarze, cywilni i wojskowi, mają w pamięci tragedię podczas międzynarodowych zawodów balonowych o Puchar Gordon-Bennetta w roku 1923. Od uderzeń piorunów spłonęły wtedy w powietrzu trzy balony, pięciu pilotów zginęło, jeden został ciężko ranny.

A przecież balony wojskowe napełniane są nie gazem świetlnym, jak balony sportowe, lecz o wiele bardziej palnym, wybuchowym wręcz wodorem.

Ale rozkaz to rozkaz. Zresztą teraz wszyscy baloniarze obowiązkowo wyposażeni są w spadochrony, mają więc wielką szansę, by nawet w razie największych kłopotów uratować życie.

Por. Rybicki poleca napełnić czaszę. Żołnierze sprawnie mocują linę cumowniczą do podwozia ciężarówki, podłączają przewody gazowe i po chwili z ciężkich stalowych butli leżących na pace samochodu zaczyna płynąć gaz.

Czasza nadyma się i wkrótce nad łąką pojawia się zgrabny grzyb balonu. Do gondoli wsiadają dowódca balonu por. Rybicki i jego pilot obserwator, niedawno wezwany z cywila do odbycia ćwiczeń, pchor. rezerwy Wiaderny. Balon powoli unosi się w górę. Zatrzymuje się na wysokości 600 m.

Niebo jest czyste.

Por. Rybicki lustruje przez lornetkę wody zatoki i lasy wokół Gdyni.

Dochodzi południe. Wkrótce koniec ćwiczebnej misji. Na niebie nie widać nic niepokojącego. Ot, raptem jedna jedyna chmura, nieduża, leniwie płynie od strony Gdyni.

Gdy chmura ta przepływa wysoko nad balonem, nagle uderza z niej potężny grom i trafia w czaszę statku powietrznego, która w mgnieniu oka zamienia się w gigantyczną pochodnię. Piorun pędzi po linie cumowniczej dalej, w dół. Uderza w ciężarówkę. Jedenastu żołnierzy odrzuca na bok jak piłki. Wszyscy są poparzeni, ogłuszeni. Samochód staje w płomieniach. Siedzący w szoferce kierowca szer. Kojtek, rażony piorunem, ciężko poparzony, nie ma sił, by wydostać się na zewnątrz. Gdy ogłuszeni żołnierze wreszcie dochodzą do siebie, Kojtek zwija się w płomieniach. Wyciągają kolegę, gaszą płonące ubranie, ale jego stan jest beznadziejny.

Z gondoli balonu nie od razu widać płomienie najpierw ogarniające górę powłoki, ale charakterystyczny huk gwałtownie spalającego się wodoru nie pozostawia wątpliwości.

– Skacz! – krzyczy porucznik do podchorążego.

W tej chwili płomienie ogarniają czaszę balonu. Zdenerwowany podchorąży, zamiast skoczyć i dopiero w powietrzu pociągnąć za rączkę wyzwalającą spadochron, pociąga ją natychmiast, stojąc jeszcze w gondoli. Z tornistra wypada mu część spadochronu, służąca do wyciągnięcia, podczas swobodnego spadania skoczka, całej płachty. Por. Rybicki nie traci zimnej krwi. Nie bacząc na huczące nad głową płomienie, na paraliżujący żar, drżącymi rękami przepisowo składa rozwiniętą część płachty spadochronu podchorążego. Płonie cała czasza, balon coraz szybciej opada w dół. Nie ma ani sekundy do stracenia. Porucznik nie ma czasu, by

włożyć złożoną część spadochronu do tornistra podchorążego – wkłada mu ją pod pachę i krzyczy, by skakał.

Patrzy, jak pchor. Wiaderny wspina się na burtę kosza i rzuca się w dół. Zaraz potem sam skacze między linami łączącymi kosz z czaszą balonu. Por. Rybicki leci w powietrzu, ale nie przestaje myśleć o podwładnym. Wykręca się w górę i z przerażeniem widzi, że podchorąży zaplątał się w linki podtrzymujące gondolę.

Porucznik nie może mu już pomóc. Ziemia jest coraz bliżej. Sięga na prawe ramię po rączkę spadochronu. Ale rączki nie ma na regulaminowym miejscu. Co się dzieje!?? Por. Rybicki, spadając jak kamień w dół, stara się myśleć chłodno, logicznie. Sabotaż? Nie, raczej niechlujstwo składających spadochron. Jeśli jednak pomylili się, to rączka powinna być przecież widoczna. Tylko gdzie? Na drugim ramieniu! I jest!!!

Rybicki szarpie ją i w odpowiedzi czuje potężne szarpnięcie otwierającego się spadochronu. Wiatr przez chwilę znosi go nad morze, ale potem spycha na łąki.

Niedaleko od niego o ziemię uderza płonący balon z uwięzionym pod kulą płomieni podchorążym.

Próbny lot balonu „Toruń” znak SP-ANK przed lotem do stratosfery

31 lipca 1914 ▪ piątek

Trochę ołowiu do głowy

To kolejna ciężka, zła noc. Europie lada chwila grozi wielka wojna. Gdy przed miesiącem młodociany Serb Gavrilo Princip zamordował w Sarajewie austro-węgierskiego następcę tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę, zrazu wydawało się, że

wywołany zamachem kryzys polityczny uda się opanować. Po kilku nerwowych dniach politycy i ambasadorowie najważniejszych mocarstw wyjechali na wakacje, niemiecki cesarz Wilhelm II wypłynął w długi morski rejs. Ale Wiedeń parł do konfrontacji. Austro-węgierskie ultimatum przedstawione rządowi Serbii, który zresztą zamachu nie popierał, było na dobrą sprawę nie do przyjęcia. Polubowną odpowiedź Belgradu władze CK monarchii uznały za niedostateczną i przed czterema dniami wypowiedziały Serbii wojnę. Potyczki pod Belgradem to jeszcze nie konflikt powszechny, ale w gabinetach europejskich polityków coraz częściej mówi się o konieczności wielkiej wojny.

Do wymarszu w pole prą dowódcy większości europejskich armii. Co gorsza, próbują na własną rękę politykować. Nad ranem szef niemieckiego sztabu generalnego von Moltke wysyła telegram do szefa sztabu austro-węgierskiego hrabiego von Hoetzendorfa, w którym domaga się natychmiastowej mobilizacji przeciw Rosji i odrzucenia planu pokojowej mediacji ogłoszonego przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych *sir* Edwarda Greya!

W Paryżu przywódca francuskich socjalistów Jean Jaurès budzi się wyjątkowo wcześnie. Po śniadaniu czyta gazety. Zaczyna od „L'Humanité", w której codziennie publikuje polityczny artykuł. W ostatnich dniach pisuje prawie wyłącznie o groźbie wojny. Jaurès jest płomiennym obrońcą pokoju, najgłośniejszym pacyfistą we Francji i w międzynarodowym ruchu socjalistycznym. Przed dwoma tygodniami usiłował przeforsować uchwałę zobowiązującą socjalistów wszystkich krajów europejskich do zorganizowania jednoczesnego strajku generalnego w proteście przeciw wojnie. Wobec oporu socjaldemokratów austriackich i niemieckich domaga się ostatnio, by chociaż frakcje socjalistyczne w parlamentach głosowały przeciw kredytom wojennym.

Francuska prawica nienawidzi Jaurèsa. Nacjonalistyczne gazety wyzywają go od sprzedawczyków i niemieckich agentów. Przed dwoma tygodniami „Paris-Midi" pisał: „Czy nie uważacie, że generał, który w przededniu wojny da rozkaz kapralowi i czterem żołnierzom postawić przed ścianą obywatela Jaurèsa, aby wpakować mu do głowy trochę ołowiu, wypełni jedynie swój podstawowy obowiązek?".

Po śniadaniu Jaurès przegląda w „L'Humanité" swój dzisiejszy komentarz *Konieczna zimna krew*. Napisał go po wczorajszej poufnej konsultacji z premierem Francji René Vivianim, który przekonywał go o pokojowych intencjach rządu. Jaurès nawołuje w artykule do przyjęcia propozycji brytyjskiego ministra *sir* Edwarda Greya, by zlokalizować walki austriacko-serbskie, zaś konflikt Wiednia z Belgradem oddać przed Trybunał Międzynarodowy w Hadze. To rozsądne, ale lektura kolejnych artykułów pokazuje, że mało realne. Gazety pełne są relacji o wojennych przygotowaniach kolejnych rządów europejskich.

Ok. 9.00 Jaurèsa odwiedza przyjaciel, Lèvy--Bruhl. Długo dyskutują o sytuacji politycznej i dochodzą do wniosku, że inicjatywa pokojowa *sir* Edwarda Greya to za mało – potrzeba wspólnej akcji mediacyjnej Anglii i Francji. Jaurès chce jeszcze dziś przekonać do tego pomysłu premiera Vivianiego. Nie wie, że właśnie w tej chwili rząd Austro-Węgier ogłasza powszechną mobilizację.

W Berlinie tymczasem kanclerz Bethmann-Hollweg, który nie ma pojęcia o nocnym telegramie szefa niemieckiego sztabu generalnego, podjudzającym austriackich wojskowych do wojny europejskiej, wysyła do Wiednia telegram wzywający do rozsądku i unikania ryzyka wojny. Austriacy odpowiadają, że walk z Serbią nie przerwą. O 14.00 ukazuje się w Berlinie nadzwyczajny dodatek

do „Berliner Lokal-Anzeiger", gazety kojarzonej z niemieckim rządem, który donosi o niemieckiej mobilizacji. Rząd ogłasza, że to kaczka dziennikarska i nakazuje konfiskatę pisma, ale wiadomość idzie w świat. Dociera też do Rosji. Car Mikołaj II ustępuje przed żądaniami armii i wbrew opinii swego ministra spraw zagranicznych ogłasza powszechną mobilizację. Niemcy natychmiast wprowadzają stan zagrożenia wojennego. Pokoju ocalić się już nie da.

W Paryżu Jaurès ok. 14.30 dociera do Izby Deputowanych. W pustych kuluarach spotyka kilku socjalistycznych deputowanych. Wymieniają się informacjami. Na chwilę wpada minister marynarki Victor Augagneur z wiadomością, że wojna jest nieuchronna. Po nim w kuluarach zjawia się minister spraw wewnętrznych Malvy. Podchodzi do grupki socjalistów i potwierdza najgorsze – wielka wojna jest przesądzona. Jaurès kipi z oburzenia. Głośno peroruje, że gdyby francuski rząd nie słuchał wojennych podszeptów ambasadora Rosji Izwolskiego, a od razu poparł inicjatywę brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, pokój można było uratować. Mimo wszystko nie traci nadziei. Oznajmia swym kolegom, że ma jeszcze jeden pomysł, który zapobiegnie wojnie, i musi go natychmiast przedstawić premierowi. Prosi, by pojechali z nim na Quai d'Orsay, do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie przebywa Viviani. W kuluarach ministerstwa Jaurès nieoczekiwanie dostrzega carskiego ambasadora Izwolskiego i krzyczy na całe gardło: „To ta kanalia Izwolski! To on przyspieszył wybuch wojny!".

Premier konferuje z ambasadorem niemieckim i wobec tego socjalistów przyjmuje podsekretarz stanu Abel Ferry. Wysłuchuje z uwagą żądań Jaurèsa, by premier Viviani natychmiast z całą stanowczością poparł pokojowe starania Londynu, i nieoczekiwanie

oświadcza: „Jaka szkoda, panie Jaurès, że nie jest pan wśród nas, żeby nam pomóc swą radą w tak dramatycznych chwilach".

Ok. 20.00 Jaurès reflektuje się, że już najwyższa pora napisać swój codzienny artykuł do „L'Humanité". Jedzie do redakcji, zasiada do pracy, ale nie może się skupić. Nagle oświadcza redaktorom, że wkrótce napisze coś takiego jak słynne *Oskarżam* Emila Zoli w sprawie Dreyfusa i napiętnuje wszystkich odpowiedzialnych za wybuch wojny. Koledzy uspokajają rozgorączkowanego Jaurèsa – już późno, pora coś zjeść. Idą do pobliskiego baru Croissant. Jest duszno. Jaurès siada na kanapie między redakcyjnymi kolegami, Philippem Landrieu i Pierre'em Renaudelem, plecami do otwartego, przysłoniętego firanką okna. Dosiadają się kolejni redaktorzy. O 21.40 do stolika podchodzi młody socjalistyczny dziennikarz René Dolie. Rozmawia z Jaurèsem, pokazuje mu fotografię swej córeczki. Ten wpatruje się w zdjęcie, uśmiecha się. Ktoś z zewnątrz odsuwa firankę i przystawia do głowy Jaurèsa rewolwer. Huk wystrzału, zaraz drugi. Jaurès zastyga i powoli przewraca się na lewy bok. Wybucha nieopisany zamęt. Wreszcie redaktorzy „L'Humanité" kładą Jaurèsa na zestawionych stolikach. Między srebrnymi puklami włosów płynie strumyk krwi, ale wydaje się, że ofiara oddycha. Nadbiega jakiś lekarz i po chwili stwierdza zgon.

Przechodnie zatrzymują zabójcę. Po paru minutach przybywa policja. Aresztuje mordercę i otacza bar kordonem. Wokół Croissanta błyskawicznie rośnie tłum paryżan wykrzykujących: „Jaurès zabity!". Nadjeżdża konny ambulans. Woźnica ustawia go tyłem do drzwi baru. Po chwili wychodzi czterech sanitariuszy z noszami. Zwłoki Jaurèsa nakryte są obrusem z baru. Tłum rozstępuje się, tworząc żałobny szpaler. Gdy ambulans otoczony przez policjantów na rowerach rusza, tłum krzyczy: „Niech żyje Jaurès! Niech żyje Jaurès!".

Na posterunku policjanci przesłuchują zabójcę. Chętnie odpowiada na pytania. Nazywa się Raoul Villain, ma 29 lat, pochodzi z Reims. Jest zwolennikiem nacjonalistycznej organizacji domagającej się odebrania Niemcom utraconych Alzacji i Lotaryngii. W prasie nacjonalistycznej od pewnego czasu czytywał artykuły o wrogu ojczyzny, niemieckim agencie Jeanie Jaurèsie. „Ponieważ zbliża się wojna – opowiada nie bez dumy Villain – postanowiłem uwolnić ojczyznę od zdrajcy, pożyczyłem od kolegi rewolwer i przyjechałem do Paryża zastrzelić Jaurèsa. Spełniłem tylko swój patriotyczny obowiązek" – dodaje zadowolony.

Tłum zebrany przed Café du Croissant po zamachu na Jeana Jaurèsa

Sierpień

1 sierpnia 1966 ▪ poniedziałek

Ból głowy

Tuż po północy, liczący 25 lat Charles Whitman, młody, postawny, krótko ostrzyżony blondyn o miłej powierzchowności, parkuje samochód przed budynkiem nr 1212 przy Guadalupe Street w Austin, w stanie Teksas. W budynku tym mieszka jego matka Margaret. Po krótkiej serdecznej rozmowie Charles wbija jej nóż w serce. Ciało matki układa na łóżku, przykrywa prześcieradłami i siada z długopisem w ręku nad kartką papieru. Pisze:

„Właśnie odebrałem życie mojej matce. Jestem bardzo wzburzony tym, co uczyniłem, jednak czuję, że jeśli istnieje niebo, to ona tam teraz na pewno jest [...]. Niech nie powstaną żadne wątpliwości w waszych umysłach, że kochałem tę kobietę z całego serca".

Charles zostawia kartkę przy zwłokach matki i wraca do samochodu.

Jedzie do swego domu przy Jewel Street. Wchodzi cicho. Jest już dobrze po 2.00. Jego młodziutka żona Kathy śpi. Whitman z całej siły uderza nożem w jej serce. Potem zadaje drugi cios, trzeci. Ciało Kathy przykrywa pościelą.

Wyciąga z ukrycia kartki, na których wczoraj, ok. 7.00 po południu, spisywał swój ostatni list.

„Wygląda na to, że brutalnie zabiłem te, które kochałem. Ja tylko próbowałem w pełni wykonać swoją robotę" – kontynuuje chaotyczne zapiski sprzed bez mała 12 godzin.

Potem jednak pisze trzeźwo, precyzyjnie. Prosi, by z jego ubezpieczenia na życie, o ile nie zostanie unieważnione, spłacić długi. Gdyby zaś została jeszcze jakaś gotówka, domaga się darowania jej anonimowo instytucjom zdrowia psychicznego w nadziei, że ich badania pozwolą w przyszłości zapobiec takim czynom, jakich on sam już dokonał i jakie jeszcze planuje dokonać.

Charles żąda też w liście pośmiertnej autopsji swego ciała, która wyjaśniłaby, czy istnieje medyczna przyczyna jego coraz silniejszych, nie do zniesienia bólów głowy.

Intuicja nie zawodzi Charlesa Whitmana. Cierpi na spory guz mózgu, o rozmiarach 6 na 3 cm, ze sporymi zmianami martwiczymi.

Jako dziecko Charles był nad podziw spokojny i uprzejmy. I nieprawdopodobnie inteligentny. W wielu 6 lat uzyskał w testach szkolnych na IQ znakomity wynik 139 punktów. W wieku 12 lat świetnie grał na fortepianie, zapowiadał się wręcz na wybitnego pianistę. Gdy postanowił zostać skautem, w ciągu 15 miesięcy zdobył równo 20 odznak skautowskich. Był najmłodszym w historii amerykańskiego skautingu chłopcem, który osiągnął najwyższy stopień – Orła.

Kto wie, do czego by doszedł w życiu, gdyby nie choroba i ojciec.

Jego ojciec, wychowany w sierocińcu, jest chorobliwym perfekcjonistą. Zawsze popierał edukację syna, nagradzał jego sukcesy, ale najdrobniejsze nawet porażki w szkołach surowo, brutalnie i boleśnie karał. Sam nauczył Charlesa i jego 2 braci tylko jednego – strzelania i konserwacji broni. Charles od najmłodszych lat polował i jest fenomenalnym strzelcem.

Strzeleckie umiejętności bardzo mu się przydały, gdy zapisał się do US Marine Corps. Jako snajper szybko zdobył odznakę strzelca wyborowego; wybitnie strzelał na bardzo duże dystanse i do poruszających się celów. Świetne wyniki na strzelnicy bardzo pomogły mu w staraniach o stypendium naukowe amerykańskiej armii. Na teksańskim uniwersytecie studiował inżynierię mechaniczną, a przy tym, jako żołnierz *marines*, dostawał pełen żołd. Ten świetny układ Charles z hukiem zmarnował.

Najpierw przyłapano go na kłusowaniu na sarny.

Korpus *marines* cofnął mu stypendium i przywrócił do czynnej służby.

Przed 3 laty przełożeni odkryli, że popełnił ciężkie wykroczenie – na terenie bazy wojskowej ukrył prywatną broń.

Sąd wojenny zdegradował go i relegował ze służby.

Wraz z żoną Kathleen nagle znalazł się w kiepskiej sytuacji finansowej. Ona zarabiała niewiele jako telefonistka w Bell Systems, on łapał tymczasowe roboty – a to przy badaniach natężenia ruchu drogowego, a to jako poborca drobnych opłat, a to jako wychowawca skautów.

I coraz częściej narzekał na okropne bóle głowy.

I łykał coraz więcej pigułek amfetaminy.

Tuż obok ciała żony Whitman spisuje kolejne listy: do braci, do ojca. W dodatkowej notatce poleca, by wywołać 2 rolki filmu, których wywołać nie zdążył, i oddać ulubionego szczeniaka teściom. Dzwoni do pracy żony i wyjaśnia, że zachorowała i nie przyjdzie. Potem tak samo usprawiedliwia w pracy zamordowaną przez siebie matkę.

Rankiem Charles jedzie do banku. Podejmuje sporą sumę 250 dolarów za sfałszowane przez siebie czeki. Potem wynajmuje

w wypożyczalni ręczny wózek na ciężkie przedmioty, wciąga go do samochodu i jedzie do sklepu z bronią.

Kupuje uniwersalny karabinek M1, 2 dodatkowe magazynki do niego i 8 pudełek amunicji. Kasjerowi wyjaśnia, że zamierza polować na dzikie świnie. To wystarcza.

W następnym sklepie z bronią staje się posiadaczem 4 karabinków, 6 pudełek amunicji, puszki rozpuszczalnika do czyszczenia broni. Wreszcie jedzie do marketu Sears, gdzie kupuje półautomatyczną strzelbę śrutową.

Większość zakupów zrobił wcześniej. W zamykanej na kluczyk, dużej skrzynce na narzędzia, leżącej w bagażniku jego samochodu, są już myśliwski karabin Remington 700 z celownikiem optycznym, strzelba tzw. pompka, parę karabinków szturmowych, pistolety Luger i Brescia, rewolwer Smith & Wesson Magnum, 70 sztuk amunicji do broni krótkiej, zapasy jedzenia i wody do picia, kawa, witaminy, zatyczki do uszu, liny, ciemne okulary, maczeta, 3 noże, zapałki, radio tranzystorowe, papier toaletowy, amfetamina, brzytwa i butelka dezodorantu.

Późnym rankiem Whitman bierze kąpiel, starannie goli się, na dżinsy i białą koszulkę polo wkłada kombinezon khaki.

O 11.45 zatrzymuje swój samochód przed wjazdem na zamknięty teren Uniwersytetu Teksasu. Strażnikowi Jackowi Rodmanowi pokazuje własnoręcznie sfałszowany identyfikator uczelnianego asystenta i tłumaczy, że przywiózł wyposażenie laboratoryjne. Rodman wypisuje mu tymczasowe zezwolenie na parkowanie. Whitman zatrzymuje się przed głównym budynkiem uniwersytetu, wypakowuje wózek, na który kładzie skrzynkę. W holu usiłuje uruchomić windę, ale ta nie działa. Pracowniczka uczelni Vera Palmer informuje go, że winda jest nieczynna, ale specjalnie dla niego uruchamia ją i ściąga na dół.

„Nie masz pojęcia, jak mnie to uszczęśliwia, nie masz pojęcia” – dziękuje jej Whitman.

Wjeżdża na 27. piętro. Z wysiłkiem targa skrzynkę na wyższą kondygnację – to już poziom tarasu widokowego na uniwersyteckiej wieży. Na górze Whitman natrafia na recepcjonistkę Ednę Townsley. Bez słowa przewraca ją na podłogę i uderza w głowę kolbą strzelby. Potem uderza jeszcze raz. Gdy Whitman chowa za kanapę ciało recepcjonistki, z tarasu widokowego wracają do wnętrza turyści Cherryl Botts i Don Walden. Na ich widok Whitman prostuje się za kanapą. W obu rękach trzyma strzelby. Botts zauważa dużą ciemną plamę krwi koło biurka recepcjonistki, ale uznaje, że to rozlany pokost. Walden sądzi, że gość w uniformie moro strzela do gołębi. Oboje wymieniają zdawkowe uprzejmości z nieznajomym facetem ze strzelbami i nieniepokojeni, schodzą niżej, do windy.

Whitman barykaduje klatkę schodową prowadzącą na taras widokowy. Wychodzi już na zewnątrz, gdy zauważa, że na niższym piętrze kilka osób dochodzi do jego barykady. Gdy 16-letni Mike Gabour i jego 2 lata starszy brat Mark wyglądają zza zwału sprzętów, Whitman strzela do nich ze strzelby śrutowej. Mark, trafiony w głowę i kark, pada martwy. Mike dostaje postrzały w głowę, ramię i w lewą nogę, traci przytomność. Ciała obu chłopców turlają się po schodach na dół.

Whitman wychyla się mocniej i raz po raz strzela do 4 dorosłych stojących u podnóża schodów. Trafia w głowę i zabija 56-letnią Margueritę Lamport, ciotkę postrzelonych przed chwilą chłopców, zaś ich matkę Mary ciężko rani – również postrzałem w głowę.

Po tym Whitman strzela z bliska w głowę Edny Townsley, zamyka i dodatkowo barykaduje drzwi do recepcji tarasu widokowego.

Na tarasie wypakowuje ze skrzynki broń i żywność. Spokojnie, metodycznie mości sobie stanowisko strzeleckie. Z 70-metrowej wieży ma wspaniały widok na teren uniwersytetu i przyległe ulice.

O 11.48 strzela do przechodniów z karabinu z lunetą po raz pierwszy.

Pocisk przeszywa brzuch ciężarnej studentki antropologii Claire Wilson. Gdy nad leżącą przed centrum handlowym Claire pochyla się jej narzeczony Thomas Eckman, Whitman jednym strzałem kładzie go trupem.

Potem strzałem w plecy zabija uniwersyteckiego matematyka Roberta Boyera. Następny pocisk trafia w ramię przechodzącego obok studenta. Upada on pod żywopłotem. Młoda sekretarka Charlotte Darehshori podbiega, by pomóc leżącym mężczyznom, i dostaje się pod ogień snajpera. Pociski rykoszetują o beton obok niej. Charlotte przytomnie chowa się za solidną betonową podstawą amerykańskiej flagi i pozostaje tam tak długo, aż strzelanina ucichnie.

Whitman poluje na nią przez chwilę, ale Darehshori nie wychyla się.

Na widok padających pod kulami studentów jeden z profesorów uniwersytetu, parę minut po pierwszych strzałach, telefonuje na policję.

Kilka minut później policjant Billy Speed przyjeżdża wraz z partnerem na teren uniwersytetu. Obaj policjanci kryją się za kamienną kolumnadą i usiłują wypatrzyć, co się dzieje. Celny strzał snajpera trafia, przez szczelinę kolumnady, Speeda w głowę.

Snajper wybiera nowe cele.

Zabija młodego elektryka Thomasa Ashtona, małżeństwo Adriana i Brendę Littlefieldów. Rani 2 młode kobiety przed centrum handlowym – jedna z nich jest w ciąży.

Teraz Whitman wybiera ofiary na Guadalupe Street. Zabija nastoletniego dostarczyciela gazet, 17-latkę Karen Griffith i wracającego ze zdanego egzaminu Thomasa Karra.

Whitman wykorzystuje swą umiejętność prowadzenia ognia na dalekie dystanse. Z odległości 460 m trafia i ciężko rani trenera koszykówki Billy'ego Snowdena.

Skraca dystans i ostrzeliwuje Guadalupe Street. 2 studentki, student, studentka, 2 kadetów Korpusu Pokoju, sprzedawca, 2 studentki, stolarz.

Ciężko ranne ofiary padają co rusz, jak na wojnie.

I właśnie z wojną kojarzy się sytuacja na uniwersyteckim kampusie Nealowi Spence, reporterowi stacji KTBC, który ostrzega mieszkańców Austin: „Trzymajcie się z daleka od obszaru uniwersytetu, tam strzela snajper z wieży uniwersyteckiej, to jest scena jak na wojnie!".

Whitman kontynuuje swe krwawe łowy; zabija doktoranta Walchuka, elektryka Schmidta, który bezskutecznie próbuje schować się za zaparkowanym samochodem.

Ale czas bezkarności snajpera kończy się. To jest Teksas, tu obywatele nawet na spacer chadzają z rewolwerami za paskiem. I zwykli przechodnie, widząc, co się dzieje, zaczynają strzelać do szczytu wieży uniwersyteckiej. W pobliże campusu zjeżdża coraz więcej policyjnych wozów, kolejni policjanci przyłączają się do ostrzału.

Ogień cywilów jest, o dziwo, bardzo celny i zmusza Whitmana do krycia się i prowadzenia ostrzału przez odpływy wody przy podłodze tarasu widokowego. Bardzo zmniejsza to celność jego strzałów.

Nad wieżą pojawia się niewielki samolot policyjny. Z jego kabiny policyjny snajper Marion Lee doskonale widzi samotnego strzelca

na tarasie wieży. Strzela do niego przez uchylone okienko samolotu, ale turbulencje sprawiają, że chybia. W jednej chwili zamienia się z myśliwego w zwierzynę łowną. Whitman strzela do samolotu. Pilot ostrym skrętem ratuje się z opresji i odlatuje na bezpieczny dystans.

3 policjanci, Ramiro Martinez, Houston McCoy i Jerry Day, wcześniej zaalarmowani komunikatami radiowymi, wbiegają do wieży uniwersyteckiej. Po drodze przyłącza się do nich przypadkowy przechodzień, cywil Allen Crum. Policjanci pożyczają mu jedną z swych gładkolufowych strzelb. Wszyscy czterej, wbrew zasadom bezpieczeństwa, jadą na szczyt wieży windą. Zatrzymują się jednak przezornie już 26. piętrze. Tam policjanci zastają rozpaczającego nad ciężko ranną Mary Gabour jej męża. Pan Gabour próbuje wyrwać Jerry'emu Dayowi strzelbę i zabić snajpera, ale w końcu daje się uspokoić i odprowadzić w bezpieczne miejsce. Policjanci odwracają ranną panią Gabour, by nie udusiła się własną krwią, i wkraczają na taras.

Podzieleni na dwie dwójki, ostrożnie okrążają taras. Słyszą strzały snajpera, który właśnie trafia w nogę kierowcę ambulansu medycznego, próbującego z ul. Zachodniej ewakuować licznych rannych. Nagle nieudolnie niesiona przez Cruma policyjna strzelba wypala. Whitman, na wszelki wypadek ustawiony tak by móc się bronić przed ewentualnym atakiem z obu stron tarasu, odwraca się w stronę, z której, za rogiem, padł strzał.

Wykorzystuje to policjant Martinez. Wyskakuje zza północno-wschodniego narożnika wieży i z odległości 15 m, z krzykiem, strzela 6 razy do Whitmana. Wszystkie strzały idą Panu Bogu w okno.

Ale zza Martineza wyskakuje McCoy. Ze swej strzelby strzela tylko 2 razy, ale bardzo celnie. Trafia Whitmana w głowę i w szyję oraz w prawy bok. Martinez rzuca rewolwer na cement tarasu,

wyrywa strzelbę McCoyowi, podbiega do martwego Whitmana, przykłada lufę do jego ramienia, strzela, rzuca broń i biega po tarasie, krzycząc: „Dorwałem go!”.

Ratownicy zbierają jego ofiary: 16 zabitych, 32 rannych.

Charles Whitman – amerykański masowy morderca

2 sierpnia 1990 ▪ czwartek

Saddamie, na pomoc!

Pierwsze irackie czołgi przejeżdżają przez granicę Kuwejtu zaraz po 2.00 lokalnego czasu. W Warszawie wybija właśnie północ. 30 tys. żołnierzy doborowej Gwarii Republikańskiej Saddama Husajna, w tym 3 brygady pancerne, szybko posuwają się w ciemnościach przez pustynię. Czołgi i transportery opancerzone pędzą na południe, w kierunku odległej o mniej więcej 150 km stolicy. Jej zajęcie jest równoznaczne z opanowaniem kraju, bo Kuwejt to praktycznie miasto-państwo okolone pustynią. Roponośną pustynią.

Napastnicy mają ogromną przewagę nad obrońcami. Gwardia Republikańska, zahartowana w 8-letniej zaciekłej wojnie Iraku z Iranem, jest dobrze wyszkolona, doświadczona w walkach pustynnych, bitna. Na wyposażeniu ma przestarzały już sprzęt radziecki, ale 350 czołgów T-72, T-55 i T-54 prących na Kuwejt to w rękach sprawnych załóg ogromna siła. Armia kuwejcka liczy tylko 20 tys. żołnierzy, wyposażonych i wyszkolonych przez Brytyjczyków, ale bez większego doświadczenia bojowego.

Kuwejtczycy bronią się jednak twardo. Im bardziej irackie kolumny pancerne zbliżają się do stolicy, tym silniej ostrzeliwuje je kuwejcka artyleria. Od głównej kolumny pancernej Gwardii Republikańskiej odłącza się mniejsza grupa, skręca na północ i niemal bez walki zajmuje obszar Abdali, 150 km na północ od stolicy.

Nad rozległymi, lecz niezamieszkanymi wyspami Bubiyan i Warbah pojawiają się irackie helikoptery szturmowe. Wysadzają desanty komandosów Gwardii. Wyspy, zapewniające kontrolę nad dostępem do irackich portów wojennych w Zatoce Perskiej, jeszcze przed świtem są w rękach żołnierzy Saddama Husajna.

Jego komandosi lądują także na plażach i w kuwejckim porcie. Irackie okręty ostrzeliwują z morza miasto.

Władca Kuwejtu emir Jaber al-Sabah na wieść o czołgach irackich przekraczających granicę nie zastanawia się długo. Przez radio wzywa śmigłowce do swego głównego pałacu. Żołnierze pospiesznie pakują do helikopterów mnóstwo bardzo ciężkich skrzyń. Załadowane po brzegi maszyny lecą na kuwejckie lotnisko międzynarodowe na południowych przedmieściach. Razem z szejkiem leci następca tronu książę Saad al-Sabah. Odrzutowiec szejka startuje natychmiast po przeładowaniu skrzyń z helikopterów. Niedługo po starcie irackie mirage bombardują lotnisko.

Samolot szejka zmierza do Bahrajnu. Po krótkim postoju szejk, następca tronu i ich bajeczne skarby lądują na lotnisku Ad Damman w Arabii Saudyjskiej.

W Kuwejcie dochodzi 8.00. Waszyngton potępia agresję Iraku. 20 minut później rząd brytyjski oświadcza, że atak wojsk Saddama Husajna jest poważnym zagrożeniem dla pokoju i stabilności w Zatoce Perskiej. Światowe stolice nie kryją zaskoczenia. Prezydent George Bush przeglądał raporty CIA, wykluczające możliwość konfliktu zbrojnego między Irakiem a Kuwejtem, w chwili gdy pierwsze czołgi Gwardii Republikańskiej pędziły już przez kuwejcką pustynię.

Ale wojna od dawna wisiała na włosku. Bilans konfliktu Saddama z Iranem był dla Iraku straszliwy: 100 tys. zabitych, 200 tys. rannych, 150 mld dolarów kosztów zniszczeń i ponad 70 mld dolarów długów. Gospodarka iracka nie mogła unieść takiego ciężaru. Przyparty do muru Saddam zaczął oskarżać sąsiedni Kuwejt o nadmierny eksport ropy, a przez to o zaniżanie jej ceny na rynku światowym. Swoje straty z tego tytułu ocenił na 89 mld dolarów. Z czasem doszło oskarżenie sąsiada o wysysanie pod granicą lądową ropy naftowej z irackich pól Rumajla, ciągnących się wzdłuż granicy

w Kuwejtem (tu Saddam poczuł się okradziony na kwotę 2,5 mld dolarów), potem jeszcze oskarżenie władz kuwejckich o budowanie instalacji naftowych i militarnych na terytorium irackim i dość zabawny w ustach Saddama zarzut, że władcy Kuwejtu opływają w dostatki, a lud żyje w nędzy. Ostatnim, rytualnym niejako w świecie arabskim, akordem kampanii nienawiści Bagdadu było oskarżenie brata emira a zarazem ministra spraw zagranicznych Kuwejtu, że jest agentem amerykańskim.

Za słowami poszły czyny. W ostatnich dniach lipca Irak skoncentrował na granicy z Kuwejtem 100-tysięczną armię złożoną z najlepszych jednostek. Ale dyplomaci ciągle uważali, że Saddam blefuje, chcąc zmusić arabskich pożyczkodawców do umorzenia ogromnych długów wojennych Bagdadu.

Irackie czołgi otaczają miasto, blokują drogi na południe, którymi mieszkańcy Kuwejtu uciekają do odległej o godzinę jazdy Arabii Saudyjskiej. Iraccy żołnierze na głównej kuwejckiej drodze szybkiego ruchu Fahd Salem wyrywają kluczyki ze stacyjek samochodów i odbierają uciekinierom telefony komórkowe.

Spiker Radia Kuwejt powtarza apel do świata arabskiego z prośbą o pomoc. Krótko po wschodzie słońca apele radia stają się coraz bardziej desperackie. Spiker woła: „Jak arabska krew może być rozlewana przez arabskie ręce? Jak Arab może okupować ziemie brata Araba?". Wkrótce potem radio milknie.

O 8.45 bagdadzkie radio ogłasza, według najlepszych sowieckich wzorów, że grupa patriotów kuwejckich rozpoczęła walkę z niereprezentującym interesów narodowych rządem emira Jabera al-Sabaha i zwróciła się do Iraku z prośbą o braterską pomoc.

Kwadrans później, tuż po otwarciu sesji giełdy w Tokio, japońskie akcje gwałtownie tracą na wartości. Równie gwałtownie drożeją ropa i złoto.

Nad stolicą Kuwejtu unoszą się słupy dymu. Iraccy komandosi, wspierani przez czołgi, zajmują gmach telewizji i bank centralny. Niedobitki sił kuwejckich bronią się zaciekle. Najważniejszymi punktami oporu są gmachy ministerstw i oba pałace emira. Pałac nadmorski Dasman po ciężkim ostrzale z czołgów i zbombardowaniu przez irackie samoloty Mirage zajmują komandosi Saddama. Głównego pałacu broni elitarny batalion Gwardii Narodowej emira wyszkolony przez brytyjskie siły specjalne SAS. Iracka artyleria ostrzeliwuje pałac przez 2 godziny. W ostatecznym szturmie komandosów agresora wspiera 50 czołgów.

O 11.00 miasto Kuwejt jest w rękach irackich. Wiele budynków płonie. Gwardziści Saddama w kilkunastu miejscach rozstrzeliwują grupki wziętych do niewoli obrońców. Płonie brytyjska ambasada, trafiona pociskami hellfire wystrzelonymi przez irackiego mirage'a.

Jeszcze trwają walki o oba pałace emira, gdy rusza machina dyplomatyczna mocarstw. Amerykański sekretarz stanu James Baker oficjalnie informuje radzieckiego ministra spraw zagranicznych Eduarda Szewardnadze o inwazji i prosi o wstrzymanie dostaw broni dla Iraku. Godzinę później zbiera się Rada Bezpieczeństwa ONZ. Po 3 godzinach obrad Rada potępia napaść Iraku i żąda bezwarunkowego wycofania się jego wojsk. Prezydent Bush zamraża cały kapitał i własność rządów irackiego i kuwejckiego oraz kieruje w stronę zatoki lotniskowiec USS „Independence" eskortowany przez 2 krążowniki i 3 mniejsze okręty. Ale w sprawie interwencji wojskowej w obronie Kuwejtu prezydent odpowiada wymijająco. Przywódcy zachodni nie kryją, że liczą na opamiętanie się Saddama Husajna i wycofanie jego wojsk. Wczesnym popołudniem Związek Radziecki oficjalnie

wzywa Bagdad do natychmiastowego i bezwarunkowego zaprzestania agresji.

Na odpowiedź Saddama nie trzeba było czekać nawet pół godziny. Opanowane przez agresorów Radio Kuwejt ogłasza, że patrioci kuwejccy powołali zaprzyjaźniony z Irakiem rząd, który zdetronizował emira. Radio ogłasza nieograniczoną godzinę policyjną.

Saddam Husajn modlący się na pustyni w Kuwejcie

3 sierpnia 1914 ▪ poniedziałek

Wyszła piechota, wróciła kawaleria

Mija północ, ale w krakowskiej restauracji U Hawełki w najlepsze trwa dziwny bankiet. Kilkunastu oficerów w mundurach Strzelca gęstym pierścieniem otacza niewielki stolik, przy którym siedzi 7 młodych mężczyzn w osobliwych cywilnych strojach. Każda z ich marynarek, każda z par spodni, w które są przyodziani, każdy kapelusz jest z innej parafii. Wyglądają na hałastrę cyrkowych przebierańców i, prawdę powiedziawszy, gdy późnym wieczorem się U Hawełki zjawili, zrazu tak właśnie zostali potraktowani przez kelnerów. Cywile i otaczający ich oficerowie Strzelca raz za razem wznoszą głośne toasty. Za wojnę, za wolną Polskę, za Komendanta.

Ostro pijący U Hawełki cywile tak naprawdę są także żołnierzami paramilitarnego Strzelca, ale parę godzin wcześniej musieli zdjąć mundury.

Wybuch wojny między Austro-Węgrami i Serbią, potem wypowiedzenie wojny Rosji przez Niemcy zelektryzowały kierowaną przez Józefa Piłsudskiego organizację strzelecką w zaborze austriackim. Poprzedniego dnia rano komendant Piłsudski polecił Władysławowi Prażmowskiemu „Belinie", świeżo upieczonemu absolwentowi Akademii Górniczej w Leoben w Niemczech, wybranie 5–6 ludzi i poprowadzenie pierwszego, od powstania styczniowego 1863 roku, patrolu bojowego polskiego żołnierza. Patrol „Beliny" miał ruszyć do zajętego jeszcze przez Rosjan Jędrzejowskiego, celem uniemożliwienia wybrania przez Moskali rekruta. Na koniec Piłsudski dodał, że jest w 90 proc. pewne, iż patrol Rosjanie złapią i wszystkich jego uczestników powieszą.

„Belina" nie dał się zbić z pantałyku. Zażądał tylko, by mógł zabrać więcej żołnierzy. Piłsudski, który do dyspozycji miał ledwie

kompanię kadrową, skoszarowaną w Oleandrach, a sam przecież lada dzień musiał ruszyć na jej czele na front, zgodził się, by „Belina" zabrał nie 5, lecz 6 podwładnych. Imiennie wyznaczył przy tym jednego jeszcze uczestnika patrolu: Zygmunta Karwackiego „Bończę", pochodzącego spod Jędrzejowa studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, oficera Drużyn Strzeleckich. „Belina" natychmiast wrócił do Oleandrów i zebrał swoich kandydatów do wyprawy: studenta uniwersytetu lwowskiego Antoniego Jabłońskiego „Zdzisława", studenta akademii handlowej w Sankt Gallen w Szwajcarii Stanisława Skotnickiego „Grzmota", studenta uniwersytetu w Liège w Belgii Janusza Głuchowskiego „Janusza", studenta politechniki w Gandawie w Belgii Stefana Kuleszę „Hankę" i studenta uniwersytetu w Nancy we Francji Ludwika Skrzyńskiego „Kmicica". Tylko Głuchowski ma w Strzelcu stopień oficerski, reszta to podoficerowie. „Belina" każdemu na osobności krótko wyjaśnił, na czym polega misja, i zapytał, czy idzie wraz z nim. Żaden nie odmówił.

Piłsudski rozkazał, by do granicy austriacko-rosyjskiej patrol dojechał w ubraniach cywilnych, a dopiero na terenie zaboru carskiego przebrał się w strzeleckie mundury. Ba, ale żaden z jego podwładnych nie miał swego ubrania, od wielu dni wszyscy strzelcy dumnie paradowali w mundurach. „Belina" posłał gońców w miasto, by od znajomych pozbierali co się tylko da. W niedopasowanych garniturach 7 żołnierzy prezentowało się jak banda obwiesiów, ale nikt się tym nie przejmował. Światełko, podoficer broni Strzelca, wyfasował dla każdego z nich długolufowy karabin Mannlichera, bagnet, tornister i zapas amunicji – po 150 nabojów dla każdego śmiałka. Do tego dołożył kilkanaście wiązek dynamitu, puszkę ekrazytu, spłonki i sznur Bickforda do detonowania bomb. Lekarz Strzelca dr Stanisław Rouppert wydał

ochotnikom szczodry zapas bandaży, gazy, jodyny, gum do przewiązywania ran oraz wielkie nożyczki chirurgiczne – tak jakby byli co najmniej pododdziałem sanitarnym. Doktor najwyraźniej nie wierzył, że uratują swą skórę.

O 18.00 członkowie patrolu zjawili się w Oleandrach u swego bezpośredniego dowódcy „Beliny". Przyjął ich wtedy komendant Piłsudski. Jeszcze raz przedstawił im niebezpieczeństwa wyprawy i dał 4 godziny do namysłu.

– Komendancie, my już raz zdecydowaliśmy się i już nie chcemy się namyślać, bo przez 4 godziny myślenia moglibyśmy tylko osiwieć, a decyzji nie zmienimy – odpowiedział mu Janusz Głuchowski.

Wieczorem „Belina" zarekwirował elegancką bryczkę swojemu koledze uniwersyteckiemu Leonowi Kozłowskiemu, który akurat tego dnia przyjechał do Krakowa z rodzinnego majątku Przybysławice. Do tego wynajął jeszcze krakowską dorożkę.

O 22.00 na Oleandrach odbyła się ostatnia odprawa bojowa patrolu „Beliny". Prowadził ją szef sztabu Strzelca Kazimierz Sosnkowski.

– Choć będziecie wisieć, ale za to spełnicie pięknie swój obowiązek żołnierski i historia o tym nie zapomni – pożegnał ich na koniec Sosnkowski.

Po tym wszystkim żołnierze pierwszego patrolu polskiego wojska udali się do Hawełki na wódkę.

Dochodzi godz. 00.30, gdy „Belina" wstaje od stolika i zarządza wymarsz na front. Patrol jedzie w ciemnościach dorożką i bryczką Kozłowskiego w stronę Goszyc. „Belina" zamierza przemknąć w ciemnościach między oddziałami rosyjskimi, przekraść się do Jędrzejowa i bombami dynamitowymi wzbudzić panikę w mieście. To wszystko, o czym może marzyć 7-osobowy patrol.

O 2.00 w nocy wyprawa przekracza granicę austriacko-rosyjską. Carskiej straży granicznej nie widać. Żołnierze zdejmują cywilne ubrania, wkładają mundury, ostrzą tępe bagnety.

O 5.00 bryczka i dorożka zajeżdżają przed dwór w Goszycach, należący do Zofii Zawiszanki, członkini Drużyn Strzeleckich z Krakowa. Pani Zofia informuje, że Rosjanie cofnęli się znad granicy na wschód, zaprasza na śniadanie. Służba dworska zmienia konie u bryczki i dorożki. „Belina" wysyła gospodynię przez granicę do Krakowa z meldunkiem do Piłsudskiego, a swym żołnierzom daje rozkaz ponownego przebrania się w cywilne ciuchy. Potem poleca goszyckiej służbie rozpuszczać wieści, że jego oddział to tylko szpica dużych sił Strzelca maszerujących z Krakowa na Jędrzejów.

W Działoszycach patrol natrafia na rosyjskiego strażnika granicznego pilnującego kilku kawaleryjskich koni przed Urzędem Gminnym. Mannlichery leżą na dnie bryczki i dorożki, przykryte kocami i szmatami. Zanim strzelcy zdążyliby je wyciągnąć, strażnik mógłby postrzelić któregoś z nich. „Belina" i „Bończa" ściskają w kieszeniach swoje prywatne pistolety Browning. Strażnik patrzy uważnie na dziwną wyprawę jeszcze dziwniej odzianych młodych mężczyzn i szybko, rozsądnie odwraca głowę.

Patrol rusza dalej, na Jędrzejów. 10 km przed miastem beliniacy spotykają uciekających cywilów, którzy opowiadają, że żydowscy handlarze przywieźli już do Jędrzejowa wieść o wielkich siłach Strzelca idących na miasto. Przerażony rosyjski komendant rozpuścił niemal 4 tys. polskich rezerwistów i czym prędzej czmychnął podwodami, wraz z całą żandarmerią i wojskiem, do Kielc.

Zadowolony „Belina" uznaje, że zadanie rozbicia rosyjskiej administracji w Jędrzejowie wykonał. A że za pomocą plotki, a nie bomb dynamitowych, to tym lepiej. Zarządza odwrót na Słomniki.

Gdy bryczka i dorożka docierają pod Słomniki, robi się już ciemno. „Belina" wysyła bryczką, udających okolicznych ziemian, „Janusza" i „Bończę" na rozpoznanie. Wracają szybko. Udało im się przejechać przez rynek, na którym sposobiła się do wymarszu kompania piechoty rosyjskiej straży granicznej, i wyłgać się patrolowi Kozaków, który ich zatrzymał do kontroli. „Belina" postanawia zaatakować carskich pograniczników bombami dynamitowymi z zasadzki na drodze do Jędrzejowa. To szaleństwo, Rosjan jest zbyt wielu. Gdy jednak beliniacy przystępują do montowania bomb, okazuje się, że po drodze zgubili zapalniki.

Patrol cofa się pod wieś Prędocin. Tam w zbożu żołnierze drzemią do świtu. „Belina" znów wysyła bryczkę z „Januszem" i „Bończą" na zwiady. Po powrocie meldują oni, że w Prędocinie stacjonuje szwadron rosyjskich pograniczników, którzy już wiedzą o polskim patrolu. „Belina" z ułańską fantazją wydaje komendę „Bagnet na broń! Tyralierą marsz!".

7 strzelców maszeruje mikroskopijną tyralierą przez złociste zboże w stronę Prędocina. Gdy dochodzą do wioski, stojący przed kościołem w promieniach wschodzącego słońca proboszcz ks. Wiadrowski błogosławi ich znakiem krzyża. Rosjan już nie ma, uszli pod osłoną nocy.

„Belina" wycofuje swój patrol w kierunku Krakowa. Po drodze, w majątku ziemskim Skrzeszowice, brat właściciela Edward Kleszczyński przyłącza się do beliniaków. Wychodząc ze Skrzeszowic, „Belina" rekwiruje 5 koni z siodłami. Dzięki temu jego patrol staje się pierwszym, od 60 lat, oddziałem polskiej kawalerii.

Władysław Belina-Prażmowski

4 sierpnia 1936 ▪ wtorek

Panowie uciekają paniom?

Czwarty dzień Igrzysk Olimpijskich w Berlinie zapowiada się ekscytująco. Wczoraj, w obecności 100 tys. widzów i kanclerza Adolfa Hitlera w loży honorowej, czarnoskóry amerykański sprinter

Jesse Owens, we wspaniałym biegu na 100 m, pokonał innego Murzyna, swojego rodaka Ralpha Metcalfe'a i jednego z faworytów tej konkurencji, Niemca Ericha Borchmeyera. Owens wygrał z czasem 10,3 s., lepszym od rekordu świata, ale z powodu wiejącego w plecy wiatru nowego rekordu nie uznano. Niemiecka publiczność, tak jak jej Führer kibicująca Borchmeyerowi, na widok wspaniałego biegu Owensa wpadła w zaskakujący, nieopisany entuzjazm. Ku konsternacji Hitlera dziesiątki tysięcy Niemców skandowały po biegu z trybun: „Jes-se O-wens! Jes-se O-wens!".

Dziś Owens ma przed sobą jeszcze trudniejsze zadanie. Musi wygrać odbywające się w tym samym czasie eliminacje biegu na 200 m i eliminacje oraz półfinały skoku w dal.

Pierwszy bieg Owens wygrywa w cuglach. Ale na skoczni dzieje się z nim coś dziwnego. Każdy z zawodników ma 3 próby na zaliczenie odległości 7,15 m. Dla Owensa to pestka – jego najlepszy wynik, z powodu silnego wiatru nieuznany jednak za rekord świata, wynosi 8,13 m. Zziajany atleta prosto z mety biegu na 200 m truchta na skocznię. Rozpędza się bez przygotowania i... spalony.

Owens nie przejmuje się. Ale po drugim skoku sędzia znów podnosi do góry czerwoną chorągiewkę – spalony! Jeszcze jeden błąd i rekordzista świata wypadnie z konkursu. Przez trybuny przechodzi pełen niedowierzania jęk zawodu. Kilka tysięcy amerykańskich kibiców nie może uwierzyć, że pewne olimpijskie złoto oddala się od Owensa. Dziesiątki tysięcy Niemców zaś nie chcą stracić wspaniałego widowiska: pojedynku zwycięzcy fascynującego wczorajszego sprintu z ich rodakiem Carlem Longiem, który skacze tylko minimalnie bliżej od Owensa. Tych dwóch od reszty zawodników dzieli istna przepaść.

Wreszcie trzeci skok. Teraz Owens dla bezpieczeństwa odbija się aż 15 cm przed belką, ale i tak ląduje na 7 m i 50 cm. Na trybunach

słychać westchnienie ulgi.

W loży honorowej Hitler wyraźnie ożywia się – rozpoczyna się rzut dyskiem kobiet. To będzie pojedynek 2 najlepszych atletek świata – Niemki Mauermayer i Polki Jadwigi Wajsówny, byłej mistrzyni świata. Reszta zawodniczek powinna być tylko bladym tłem. Ponieważ do konkursu zgłosiło się niezbyt wiele pań, eliminacje i finały prowadzone są jednego dnia.

W pierwszym rzucie Wajsówna posyła dysk na zawrotną odległość 44,69 m – to nowy rekord olimpijski. Poprzedni, ustanowiony przez Amerykankę Copeland przed 4 laty, na igrzyskach w Los Angeles, wynosił 40,56 m. 3 minuty później na rzutni pojawia się Mauermayer. Jej dysk ląduje na 47 m i 63 cm! Niewyobrażalna odległość.

Na widowni zrywa się huragan braw. Hitler z zadowolenia klepie się urękawicznioną ręką po udzie.

Ale Wajsówna nie poddaje się. W kolejnej próbie rzuca 46,22 m. Publiczność szaleje. Potem rzuty nie wychodzą ani Niemce, ani Polce. Złoto dla Mauermayer, srebro dla Wajsówny. Brązowa medalistka Niemka Molenhauer ledwo przekracza 38,5 m.

Teraz czas na finał 100 m pań. O elicie sprinterek krążą wśród sportowców, działaczy olimpijskich i dziennikarzy niepochlebne plotki. Faworytka Amerykanka Helen Stephens ma potężną męską sylwetkę i niesamowicie niski, ochrypły, bardzo męski głos. Powszechnie uważa się ją za mężczyznę. Polski dziennikarz obserwujący finał 100 m pań dopisuje do swej korespondencji: „Ogólnie mówi się w Berlinie o skandalu, do jakiego dopuścili Amerykanie, pozwalając na start mężczyzny w konkurencji pań". Ale o największej rywalce Stephens Polce Stanisławie Walasiewiczównie, złotej medalistce w sprincie na olimpiadzie w Los Angeles, w Berlinie też mówi się, że jest mężczyzną.

W każdym razie Walasiewiczówna jeszcze mniej przypomina kobietę niż Helen Stephens: ma twarde, typowo męskie rysy twarzy z wydatną szczęką, męską budowę ciała i – jak Amerykanka – bardzo niski męski głos. Jakby tego było mało, wielu sportowców uważa za mężczyznę jedną z trzech sprinterek niemieckich w finale – Kathe Krauss. Rzeczywiście, ona także słabo przypomina kobietę. Jej rywalka z niemieckiej drużyny Marie Dollinger nie ma wątpliwości, że Krauss jest facetem, ale w hitlerowskim ruchu sportowym mówienie o tym głośno to doskonały sposób na napytanie sobie wielkich kłopotów.

Po strzale startera na czoło wyskakuje Stephens. Za nią pędzą Niemki Krauss i Dollinger oraz Amerykanka Rogers. Walasiewiczówna startuje słabo, jest piąta. Ale na 40. m mija Rogers i zbliża się do Niemek. Widownia dopinguje je straszliwym rykiem, który przypomina grzmot schodzącej z gór lawiny. Siłowo biegnąca Walasiewiczówna przyspiesza i na 70. m zrównuje się ze świetnie biegnącymi Niemkami. Na finiszu wyprzedza je i zbliża się do Stephens, ale braknie jej czasu. Stephens wygrywa, Walasiewiczówna ma srebro. Brąz bierze Krauss.

Na podium zwycięska trójka prezentuje się bardzo męsko.

O 17.45 zaczynają się 2 najważniejsze finały dnia – 800 m mężczyzn i skok w dal mężczyzn. W loży honorowej robi się tłoczno – Hitlera otacza kilkudziesięciu najważniejszych dygnitarzy III Rzeszy.

Skoki zaczynają się anemicznie; uwaga widowni skupia się na bieżni. Najlepsi na świecie średniodystansowcy kończą rozgrzewkę, kopią sobie dołki startowe. Strzał. Za sekundę drugi. To Włoch Lanzi popełnia falstart.

Drugi start jest doskonały – wszyscy biegacze wychodzą do przodu idealnie równo. Faworyt biegu Amerykanin Woodruff od

razu narzuca bardzo mocne tempo i ucieka reszcie na kilka metrów. Polak Kucharski biegnie na końcu stawki. Amerykańscy kibice skandują: „Woo-druff! Woo-druff!". Ale na stadionie jest też dużo Polaków. Przez wrzawę trybun przebija się donośne: „Ku-char-ski! Ku-char-ski!". Na drugie miejsce wychodzą Kanadyjczyk Edwards i Argentyńczyk Anderson.

Kucharski ciągle biegnie ostatni.

Edwards nieoczekiwanie atakuje Woodruffa. Amerykanin przez chwilę broni prowadzenia, ale w końcu rezygnuje i przepuszcza Kanadyjczyka. Na widowni widać poruszenie, słychać gwar.

Na 100. m do ataku rusza Kucharski. W szaleńczym tempie wyprzedza kolejnych zawodników i już jest trzeci. Tysiące widzów biją brawa.

Po 150 m Kucharski przyspiesza jeszcze bardziej. Zaskoczony Woodruff tylko przez chwilę próbuje kontratakować. Kucharski mija go i oddala się w oszałamiającym tempie. Pięknym, długim krokiem zmniejsza dystans dzielący go od prowadzącego Edwardsa. Po 350 m Polak rozpoczyna atak. Kanadyjczyk nie ma mocnego finiszu, jego taktyka to zamęczanie rywali bardzo szybkim tempem na całym dystansie i oderwanie się od nich na bezpieczną odległość. Ale teraz to jego zamęcza niesamowitym tempem Kucharski. Polak dochodzi do Kanadyjczyka. Długo biegną ramię w ramię. Tysiące widzów na trybunach wstają z miejsc, narasta nieopisana wrzawa. Kucharski wychodzi na prowadzenie. Sensacja!

Stadion cichnie. Dla kibiców jest jasne, że Polak stawia wszystko na jedną kartę: albo wytrzyma narzucone przez siebie mordercze tempo i wygra, ustanawiając nowy rekord świata, albo straci siły i być może w ogóle nie dobiegnie do mety. Za Kucharskim jak cienie pędzą Edwards i Woodruff. Na widowni Amerykanie machają chorągiewkami.

Na 400. m Edwards atakuje Kucharskiego. Polak przyspiesza, broni pierwszego miejsca. Ale po kolejnych kilkudziesięciu metrach Kanadyjczyk atakuje znów. Przez dłuższą chwilę biegnie ramię w ramię z Polakiem. Kucharski nadludzkim wysiłkiem zostawia go jednak krok za sobą.

Na 500. m zrywa się Lanzi. Szalonym pędem mija Woodruffa i Edwardsa, zrównuje się z Kucharskim i wyprzedza straszliwie zmęczonego Polaka. Chwilę potem rusza do walki Woodruff. Wydłuża krok, dogania Edwardsa, zostawia go w tyle, dochodzi do Polaka i jego także wyprzedza. Na ostatnim wirażu mija Lanziego i wychodzi na prowadzenie.

Na trybunach już nikt nie siedzi. Wszyscy krzyczą wniebogłosy.

Na mecie pierwszy jest Woodruff, drugi – Lanzi. Brązowy medal zdobywa Edwards, który o metr wyprzedza bohatersko finiszującego Kucharskiego. Publiczność długo bije brawo. To jeden z najpiękniejszych biegów w historii średnich dystansów. I wielki sukces Polaka.

Wreszcie uwaga widzów skupia się na skoku w dal. Wzmaga się wiatr, zrywa kapelusze, targa flagami, podnosi z bieżni tumany czerwonego kurzu.

W półfinałach najlepszy wynik, 7,87 m, uzyskał Owens. Ale Niemiec Long skoczył tylko 3 cm bliżej.

Gdy jako piąty w kolejce skacze Long, Hitler z emocji wychyla się z loży. Skok jest dobry, ale Niemcowi brakuje do wyniku Amerykanina 13 cm.

Swój pierwszy skok w finałach Owens spala.

W drugiej turze Long po świetnym rozbiegu odbija się mocno i ląduje w odległości 7,87 m. Jest teraz *ex aequo* z Owensem. Stadion szaleje: „Luz Long! Luz Long!". Luz to sportowy przydomek Longa.

Owens podbiega do Niemca, ściska go i po rycersku składa gratulacje.

Wreszcie sam staje na rozbiegu. Rozpędza się w niesamowitym tempie. Wybicie nie jest jego silną stroną, podobnie jak technika, ale wyciągnięty w powietrzu jak struna Amerykanin skacze 7,94 m.

Long nie może w to uwierzyć. Teraz jego ostatnia próba. Stadion skanduje jego nazwisko. Hitler z lornetką przy oczach nerwowo kołysze się w przód i w tył, Goebbels i Hess wstają z miejsc. Long rozpędza się, ale przy odbiciu traci równowagę i uzyskuje wynik zaledwie 6,5 m.

Owens ma już złoto w kieszeni, w ostatni skok wkłada jednak wszystkie siły. Chce pokazać, kto tu jest mistrzem. W powietrzu leci niczym ptak. Ląduje na 8,06 m. To nowy, fantastyczny rekord świata!

Hitler i najbliższa świta pośpiesznie wychodzą ze stadionu. Dla Führera zwycięstwo Owensa to skandal. Nazistowscy ideolodzy nie ukrywają, że Murzynów uważają za zwierzęta, więc zwycięstwo Owensa nad Longiem dla nich się nie liczy – to tak jakby chart wygrał z człowiekiem.

Wychodząc, Hitler oszczędza sobie widoku Owensa i Luza Longa obchodzących wspólnie stadion i odbierających frenetyczne owacje w znakomitej większości niemieckiej publiczności.

Stanisława Walasiewicz gratulująca Helen Stephens

5 sierpnia 1962 ▪ niedziela

Wszystko zostało wyprane

Mija północ, gdy ktoś wzywa karetkę do domu przy 12305 Fifth Helena Drive w zachodnim Los Angeles. Karetka dojeżdża do South Helena, ale wtedy zostaje odwołana – na miejscu jest już podobno jakiś lekarz.

Jest 4.25, gdy na biurku sierż. Jacka Clemmonsa, który tej sobotniej nocy pełni obowiązki szefa posterunku policji w zachodnim Los Angeles, dzwoni telefon. Clemmons podnosi słuchawkę. Nieznany mężczyzna mówi: „Marilyn Monroe nie żyje, popełniła samobójstwo".

Clemmonsowi nie trzeba wyjaśniać, kim jest gwiazda – w Los Angeles zna ją niemal każdy. Sierżant nie może oprzeć się pokusie osobistego zajęcia się tą sprawą. Zamiast wysłać patrol szeregowych policjantów, sam jedzie do domu aktorki przy 12305 Fifth Helena Drive.

10 minut później Clemmons wchodzi do domu Monroe. W dużym pokoju, który cierpiąca na bezsenność aktorka zamieniła w swoją sypialnię, zastaje 2 lekarzy: psychoanalityka Marilyn dr. Ralpha Greensona i współpracującego z nim internistę dr. Hymana Engelberga. Martwa Marilyn Monroe leży na dużym łóżku na brzuchu, z twarzą w przyciągniętym do ciała prześcieradle. Jest naga. W ręce trzyma słuchawkę telefoniczną. Sierżant zauważa ze zdziwieniem, że oprócz obu najwyraźniej przejętych lekarzy trzecia obecna w domu osoba, gosposia Eunice Murray, najspokojniej w świecie robi pranie. W takiej chwili!?

Policjant zbiera całą trójkę w pokoju zmarłej i prosi o opowiedzenie, co się stało. Eunice Murray, schludna pani ok. pięćdziesiątki, wyjaśnia, że znalazła ciało aktorki ok. północy.

Clemmons z zimną uprzejmością pyta, dlaczego tak długo, przez niemal 3,5 godziny, nie zawiadomiła policji. Zanim zaskoczona pani Murray jest w stanie coś odpowiedzieć, dr Greenson usłużnie wyjaśnia: „My, lekarze, musimy mieć pozwolenie wydziału prasowego studia filmowego, żeby kogokolwiek powiadomić". Jest to tłumaczenie bezsensowne, bo wewnętrzne zarządzenia w studiach filmowych Fox nie mogą być nadrzędne wobec

przepisów prawa. Sierżant zapamiętuje tę odpowiedź, ale sprawy nie drąży dalej.

Pyta jeszcze dr. Greensona o przebieg wydarzeń tej nocy. Lekarz podtrzymuje zeznania gosposi.

Informację o śmierci gwiazdy funkcjonariusze policji przekazują sobie przez radio. Na wieść o takiej sensacji policjanci – nieważne, czy na służbie, czy nie – zjeżdżają na Fifth Helena Drive. Przed domem Marilyn parkuje coraz więcej radiowozów. Przybywają także oficerowie policji i detektywi. Jeden z nich, detektyw sierż. Robert E. Byron, przejmuje prowadzenie sprawy od Jacka Clemmonsa. Dochodzenie ma prowadzić wspólnie z Donem Marshallem, wywiadowcą z komisariatu w zachodnim Los Angeles.

Do domu Marilyn przyjeżdża jej adwokat Milton Rudin.

Sierż. Byron jeszcze raz przesłuchuje gosposię. Eunice Murray płynnie zmienia swe wcześniejsze zeznanie i wyjaśnia, że tak naprawdę obudziła się w małym domku dla gości, w którym spała, o 3.00, sama nie wie dlaczego. Potem zauważyła światło pod drzwiami sypialni aktorki. Wstała i próbowała je otworzyć, ale były zamknięte na klucz. W tej niepokojącej sytuacji nie wiedziała, co ma robić, ale na szczęście właśnie wtedy zadzwonił zaniepokojony dr Greenson. Detektyw nie pyta jednak, skąd także u niego wystąpiły tej nocy zdolności telepatyczne. Murray wyjaśnia, że dr Greenson polecił jej wziąć z saloniku pogrzebacz, wyjść z domu, rozsunąć pogrzebaczem zaciągnięte story w sypialni Marilyn i zobaczyć, czy śpi i czy wszystko jest z nią w porządku. Gosposia opowiada policjantowi, że zrobiła tak i ujrzała nagą Marilyn leżącą na łóżku. Gdy powiedziała o tym przez telefon Greensonowi, ten natychmiast przyjechał. Rozbił pogrzebaczem nieokratowane okno z boku domu i przez nie wszedł do pokoju aktorki. Po chwili otworzył od wewnątrz drzwi i powiedział do pani Murray: „Straciliśmy ją".

Detektyw Byron nie zna obyczajów Marilyn i stosunków panujących w jej domu. Nie wie, że aktorka obsesyjnie bała się zamykać drzwi na klucz. Nie ma też pojęcia, że zamek w drzwiach Marylin zawsze był zepsuty i nigdy nie został naprawiony. Nie wie, że przed 2 tygodniami w sypialni Marilyn położono nowy, gruby biały dywan, tak gęsty i wysoki, że do niedawna nie sposób było domknąć drzwi – w tej sytuacji dostrzeżenie światła pod drzwiami było niemożliwe. Nie wie też, że niemożliwe było rozsunięcie z zewnątrz, za pomocą pogrzebacza, stor w oknie sypialni. Na żądanie aktorki, wkrótce po wprowadzeniu się jej do domu, zostały one przybite od góry i po bokach do ściany, dokładnie tak by nie przedostawał się najmniejszy promyk światła. Detektyw nie wie także, że w chwili przybycia sierż. Clemmonsa Eunice Murray z zimną krwią robiła pranie. Nie mając o tym wszystkim pojęcia, policjant podczas przesłuchania nie przyciska zbytnio gosposi. Ale Byron jest bystrym detektywem. Nie podobają mu się niejasności, niedopowiedzenia Murray. W oficjalnym raporcie notuje: „Zdaniem funkcjonariusza, pani Murray dawała niejasne i możliwie wymijające odpowiedzi na pytania o to, co panna Monroe robiła w tym czasie".

Wywiadowca Marshall przeszukuje dom w poszukiwaniu listu Marilyn. Skoro wzywając policję, zgłoszono, że popełniła samobójstwo, powinna zostawić list pożegnalny. Choć przeszukuje papiery gwiazdy przez kilka godzin, listu nie znajduje. Ale hipoteza o samobójstwie wygląda w oczach policjantów na wysoce prawdopodobną. Na stoliku, obok łóżka zmarłej, Marshall dostrzega mnóstwo opakowań po rozmaitych lekarstwach. Wśród nich puste opakowanie po 25 100-miligramowych kapsułkach nembutalu, przepisanych przez dr. Engelberga, i 10 kapsułek pozostałych z opakowania zawierającego 50 500-miligramowych kapsułek

z wodzianem chloralu, zaordynowanego przez dr. Greensona. Policjanci, o dziwo, nie dostrzegają jednak nigdzie szklanki niezbędnej, by popić mnóstwo pigułek.

Gdy Don Marshall przeszukuje dom, detektyw Byron przesłuchuje obu lekarzy. Dr Greenson podtrzymuje swoje wcześniejsze zeznania. Co najbardziej zaskakujące, i on, i gosposia uważają, że Marilyn raczej nie mogła popełnić samobójstwa – zmarła wskutek nieświadomego przedawkowania. Dlaczego zatem, wzywając policję przez telefon, podano samobójstwo jak przyczynę śmierci?

Dr Greenson jest bardzo przygnębiony. Mecenas Rudin słyszy, jak psychiatra szepce do siebie: „Niech to szlag! Hy dał jej receptę, a ja nic o tym nie wiedziałem!". Hy to internista dr Hyman Engelberg.

Policjanci są jak najdalsi od podejrzeń, że śmierć Marilyn mogła spowodować inna osoba. Ich zdaniem gwiazda albo nieświadomie przedawkowała środki uspokajające i nasenne, albo popełniła samobójstwo.

Mętne wyjaśnienia dr. Greensona, że aktorka miała skłonność do nadużywania tych środków, utwierdzają policjantów w ich domniemaniach.

Śledczy nie wiedzą jednak, że Marilyn, która łykała rozmaite prochy od dawna, miała nie tylko znacznie podwyższoną tolerancję na dawki tak duże, że normalnego człowieka zwaliłyby z nóg, ale też świetnie wiedziała, także z wcześniejszych kryzysów przy braniu proszków, na ile kapsułek może sobie pozwolić.

Policjanci nie mają bladego pojęcia, że Marilyn nie miała najmniejszego powodu do targnięcia się na życie. Przeciwnie, w ostatnich tygodniach z podziwu godną determinacją, z powodzeniem dźwigała się z poważnego kryzysu psychicznego

i życiowego. Wytwórnia Fox, która zerwała z nią kontrakt na występ w filmie *Something's Got to Give* i usiłowała obciążyć Marilyn ogromną karą umowną, w końcu ugięła się i przyjęła warunki aktorki. Po latach chaotycznych, destabilizujących ją psychicznie romansów gwiazda znów zbliżyła się do największej, jak się okazało, miłości jej życia – byłego gwiazdora baseballu, swego eksmęża, z którym rozwiodła się przed laty, Joego DiMaggio. Teraz znów planowali życie we dwoje, nawet powtórny ślub – ostatnimi dniami Marilyn przymierzała elegancką suknię, uzgadniała szczegóły przyjęcia dla przyjaciół z tej okazji, a w sobotę, na kilka godzin przed śmiercią, nadzorowała sadzenie nowych kwiatów wokół basenu – na cześć DiMaggio.

Co najważniejsze, gwiazda właśnie uwolniła się od psychicznego uzależnienia i podporządkowania swojemu psychoanalitykowi dr. Greensonowi. Poprzedniego dnia Marilyn zwolniła z pracy gosposię Eunice Murray, narzuconą przez Greensona jego zausznicę, kontrolującą każdy jej krok. Wczoraj, w trakcie 2 długich rozmów, z których druga trwała do późnej nocy, powiedziała Greensonowi, że zaczyna nowe życie – bez jego nieustającej, codziennej kontroli.

O 5.30 nagie ciało Marylin, przykryte różowym kocem, pracownicy kostnicy przenoszą do podniszczonego forda kombi. O 8.00 zwłoki trafiają do kostnicy miejskiej Los Angeles – trzeba przeprowadzić sekcję. Zastępca koronera dr Thomas Noguchi przez lupę ogląda każdy skrawek ciała denatki. Nie znajduje najmniejszych nawet śladów przemocy ani ukłuć igły. W żołądku nie ma żadnych śladów po niestrawionych kapsułkach, które musiałyby tam pozostać, gdyby Marilyn połknęła ich wielką dawkę i wskutek tego zmarła. Koroner nie dostrzega także żadnych uszkodzeń po przedawkowaniu leków. Za to badanie jelit daje rezultat zaskakujący: na wielkiej powierzchni okrężnicy, głęboko

wewnątrz ciała, widać przekrwienie i sine zabarwienie, objaw typowy dla lewatywy z barbituranów lub wodzianu chloralu.

Ale dr Noguchi chce jak najprędzej zamknąć sprawę, która staje się ogólnonarodową sensacją. Nie zadaje sobie trudu szczegółowego zbadania swego odkrycia. Nie podpowiada policjantom, że jeśli Marilyn przyjęła lewatywę z wodzianu chloralu podaną przez osobę, która nie wiedziała, że aktorka wcześniej przez pół dnia łykała nembutal, to koktajl ten musiał być śmiertelny. Nie podpowiada też, że po śmierci część lewatywy z wodzianu chloralu musiałaby wypłynąć z odbytnicy i zabrudzić pościel.

Gosposia dzwoni po swego siostrzeńca, który wstawia wybitą szybkę. Potem rozwiesza pranie. Dom jest w idealnym porządku.

Marilyn Monroe

6 sierpnia 1910 ▪ sobota

Trzeba iść

Przed 6 godzinami, o 18.00, przewodnik tatrzański i ratownik Klemens Bachleda, przez wszystkich nazywany Klimkiem, spotkał na zakopiańskich Krupówkach zaprzyjaźnionego pisarza i wydawcę Ferdynanda Hoesicka. Po kilku dniach ulewnych deszczy pogoda zaczęła się poprawiać, między granatowymi burzowymi chmurami pojawiły się skrawki czystego nieba. Hoesick zapytał Bachledę, co z ich umówioną wcześniej wyprawą na Kozi Wierch. Klimek przyjrzał się ciężkim, zwartym chmurom na zachodzie i odrzekł: „Nie wiem, jak tam będzie z tą pogodą, ale gdyby w niedzielę było ładnie, to może by w poniedziałek dało się pójść".

Hoesick poznał Klimka Bachledę ponad 25 lat temu, gdy jego ojciec Ferdynand Wilhelm Hoesick wynajął na wakacje Klimkowy dom na zakopiańskim Kasprusiu. Klimek, ponad 30-letni góral, cieszył się już wtedy wielkim poważaniem jako tatrzański przewodnik II klasy. Wyjątkowo troskliwie opiekował się wędrowcami. Pod koniec zeszłego wieku Bachleda, już posiadacz blaszanej odznaki przewodnika I klasy, uznany został za najlepszego znawcę gór i najlepszego wspinacza po tej stronie Tatr. Z Klimkiem wędrowały największe warszawskie sławy, z Tetmajerem i Sienkiewiczem na czele. Gdy przed rokiem Mariusz Zaruski powołał Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, liczący już 60 lat Klimek od razu stał się jego podporą.

Ale drobny, jakby zasuszony Klimek ma niemało kłopotów. Często choruje na zapalenia płuc. Po chorobach jest tak osłabiony, że wspinaczka przychodzi mu z trudnością. Co gorsza, ciągle musi chodzić z turystami w góry, dla zarobku. Zaprzyjaźniony z nim właściciel zakopiańskiego pensjonatu namówił go na podpisanie weksla na znaczną sumę 6 tys. koron. To, co miało być nic nieznaczącą przysługą, okazało się katastrofą. Właściciel pensjonatu

pieniędzy nie chciał oddać i zwrócić musiał je Bachleda. Poszły na to wszystkie jego oszczędności na starość oraz posagi dla córek.

O północy z planów wycieczki z Hoesickiem na Kozi Wierch nie ostało się nic. Wichura szarpie gałęziami drzew. Przez ścianę deszczu ledwo przebijają się chybotliwe światełka latarni. Klimek Bachleda siedzi na jednej z góralskich furek sprowadzonych z Zakopanego przez Mariusza Zaruskiego, kierownika tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Wraz z nim w stronę Łysej Polany jadą w ciemnościach Zaruski i skrzyknięci przez niego najlepsi tatrzańscy ratownicy. Wśród nich zdobywca południowej ściany Zamarłej Turni Stanisław Zdyb oraz wybitni wspinacze Roman Kordys i Aleksander Znamięcki.

W ciemnościach, na ścianie Małego Jaworowego Szczytu, ranny, unieruchomiony taternik czeka na ratunek.

Gdy na Krupówkach Klimek Bachleda rozważał z Hoesickiem szanse wyprawy na Kozi Wierch, w dalekiej Dolinie Jaworowej młody taternik Jan Jarzyna czym prędzej schodził w dół. Spieszył do odległego schroniska w Morskim Oku, by podnieść alarm i zorganizować pomoc dla swojego towarzysza. Ranny, unieruchomiony wspinacz Stanisław Szulakiewicz został sam na smaganej deszczem ścianie Małego Jaworowego Szczytu.

Obaj taternicy wczesnym rankiem 5 sierpnia ruszyli na podbój dziewiczej ściany Małego Jaworowego. Nikt dotąd nawet nie próbował sforsować 300-metrowej ściany, w dolnej partii skał zwietrzałych, niebezpiecznie kruchych, w partii górnej – gładkich, przykrytych przewieszonymi zerwami. Do połowy ściany wspinaczkę prowadził wybitnie utalentowany Szulakiewicz. Potem zamienił go Jarzyna. To jemu przypadły do sforsowania żółtawe groźne płyty najwyższych partii Małego Jaworowego. Nie znajdując innej drogi, przemieścił się w poprzek ściany w prawo

i tam odkrył stosunkowo wygodną platformę zasypaną piargiem i skalnymi blokami. Z niej zaatakował najtrudniejszy, finalny odcinek: pozbawione szczelin i występów pionowe płyty skalne. Gdy wspinał się, zaczepiając palcami niczym szponami o najdrobniejsze nieregularności ściany, zmęczone wielogodzinną, ekstremalnie ciężką pracą mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Odpadł.

Znajdujący się niemal 30 m niżej Szulakiewicz asekurował go z ręki, bez wbijania w ścianę haków i zakładania karabinków. Nie utrzymał przelatującego Jarzyny. Szarpnięcie pociągnęło go w dół. Od śmierci uratował ich przypadek. Lina asekuracyjna jakimś cudem nie zerwała się i zaczepiła o blok na skalnej platformie, z której rozpoczęli atak na najwyższą partię ściany. Jarzyna przeleciał ponad 50 m, ale jedynie lekko się potłukł. Szulakiewicz spadał przez 20 m, jednak odniósł daleko poważniejsze obrażenia. Gdy obaj wciągnęli się na skalną platformę, o którą zaczepiła lina, okazało się, że Szulakiewicz nie jest w stanie poruszać się. Po 2 godzinach prób zejścia z towarzyszem, Jarzyna podjął jedynie słuszną, choć bardzo ciężką decyzję – ruszył sam w dół, po pomoc. Do schroniska w Morskim Oku dotarł straszliwie zmęczony o 22.00.

Jest już dobrze po północy, gdy ekspedycja ratunkowa TOPR dociera na góralskich furkach do Jaworzyny. Dalej, do Doliny Jaworowej, ratownicy idą pieszo. Warunki są coraz cięższe. Choć to środek lata, deszcz przechodzi w mokry śnieg pomieszany z gradem. W ciemnościach rozświetlanych tylko błyskawicami, po śliskich głazach i skałach, Zaruski, Bachleda i ich koledzy idą tak szybko, jak tylko mogą. Ranny Szulakiewicz w tych warunkach długo nie pociągnie.

Jeszcze przed świtem grupa Zaruskiego dociera pod ścianę Małego Jaworowego. Czekają tam od kilku godzin przemarznięci na kość

Jarzyna i górale z Morskiego Oka. Jarzyna opowiada Zaruskiemu, co się stało. Szef TOPR decyduje się ruszać na ścianę niemal z marszu. Każda minuta jest bezcenna. Przy tej okazji popełnia jednak błąd. Mały Jaworowy spowija gęsta mgła. Tylko Jarzyna zna drogę przebytą wraz z Szulakiewiczem, wie najlepiej, gdzie pozostawił rannego kolegę. Jarzyna jest jednak od ponad 20 godzin na nogach, ma w kościach wielogodzinną, piekielnie trudną wspinaczkę. Zaruski pozostawia go u podnóża Małego Jaworowego.

We mgle, w ciemnościach i w topniejącej śnieżycy ratownicy mozolnie wspinają się na ścianę. Są rozproszeni, by nie przegapić rannego. Na czele idą Zaruski i Bachleda. I to oni jako pierwsi słyszą, poprzez wichurę i szum wody, słabe wołanie Szulakiewicza o pomoc. Trud wspinaczki w tak ciężkich warunkach wykrusza kolejnych ratowników. Mijają godziny błąkania się po ścianie i bezradnych nawoływań do rannego. W końcu Szulakiewicz milknie.

Po 8 godzinach wspinaczki na ścianie pozostają tylko 2 zespoły. Pierwsi prą w górę związani jedną liną Klimek Bachleda, Mariusz Zaruski i Stanisław Zdyb. Za nimi podążają Roman Kordys i Aleksander Znamięcki.

O 16.00 zaczyna się ściemniać. We mgle, w lodowatym deszczu ze śniegiem nie sposób wypatrzyć dojścia do skalnej platformy, na której leży Szulakiewicz. Straszliwie zmęczeni ratownicy boją się, że za chwilę na tej arcytrudnej ścianie zastanie ich noc. Wtedy do rana może być więcej ofiar.

Ale Klimek, mimo 61 lat na karku, ciągle prze w górę. Wspinają się za nim, bo nikt nie ma odwagi głośno powiedzieć tego, co musi być powiedziane: trzeba wracać.

Lina łącząca Bachledę i asekurującego go Mariusza Zaruskiego zaczepia się o skałę. Szarpią ją, każdy ze swej strony, ale bez skutku.

Klimek odwiązuje się i wspina dalej, już sam, bez żadnej asekuracji.

„Wracajcie, Klimku!" – woła za nim Zaruski.

Klimek tylko macha ręką i wspina się dalej, w prawo, ku majaczącej niewyraźnie grzędzie skalnej. W gęstej mgle, bez asekuracji, wdziera się na skalną platformę, ale nie dostrzega wciśniętych między głazy zwłok Szulakiewicza.

Zaruski i Zdyb, mimo zmęczenia i błyskawicznie ciemniejącej szarówki, ruszają za Bachledą. Po pewnym czasie gubią Klimka z oczu, skręcają w lewo, do rynny. Tam dopada ich ostateczny kryzys. Mają przywidzenia, omdlenia, zawodzi koordynacja ruchów. Decydują się wracać. Nie wiedzą, że są tylko kilkadziesiąt metrów poniżej skalnej platformy, na której leży Szulakiewicz.

Cofają się na skalne żebro, z którego skręcili w lewo. Wypatrują Klimka. I dostrzegają go. Stoi kilkadziesiąt metrów od nich na skalnej grzędzie, wsparty ręką o skałę. Nawet przez mgłę i ulewę widzą, że jest bardzo zmęczony.

„Klimku, wracajcie!" – woła znów Zaruski.

Bachleda odwraca się, coś krzyczy, ale słowa zagłusza wichura. Klimek macha 2 razy ramieniem, wskazując grań pomiędzy Małym Jaworowym a sąsiednią turnią. Rusza w górę. Zaruski woła jeszcze raz, by zawrócił, ale Klimek już nie słyszy tego okrzyku. Stary, doświadczony taternik uparcie szuka drogi, którą mogliby iść Jarzyna z Szulakiewiczem. Dostrzega wąziutką, skośną półeczkę skalną. Wchodzi na nią, po chwili czołga się pod przewieszonymi tuż nad półeczką skałami. Pod nim zieje 200-metrowa przepaść. Wreszcie drogę zagradza mu gładka, silnie pochylona płyta. Klimek na brzuchu próbuje przepełznąć przez nią. Ręka nie znajduje jednak oparcia, Klimek zsuwa się w dół. Serdak i bluza zaczepiają o ostry skalny szpikulec, ale drobny Klimek wyślizguje się z nich i w koszuli leci 200 m w dół.

Czekający na ścianie Zaruski i Zdyb słyszą we mgle grzmot kamiennej lawiny.

Klemens Bachleda, ratownik Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego

7 sierpnia 1947 ▪ czwartek

Norweg w raju

Do świtu daleko, ale Thor Heyerdahl budzi się niespokojny. Pnie tratwy poruszają się w dziwnym rytmie, jak nigdy wcześniej w czasie 100 dni rejsu przez Pacyfik. Powód może być tylko jeden – niedaleko jest ląd i kołysanie oceanicznych fal delikatnie zakłóca

fala odbita od brzegu. Wyprawa tratwy „Kon-Tiki” najwyraźniej dobiega końca.

Początkujący norweski zoolog i zarazem antropolog amator przed rokiem zamarzył sobie udowodnienie własnej teorii, że mieszkańcy wysp Pacyfiku pochodzą z Ameryki Południowej. Świat nauki wyśmiał jego pomysł – niby jak bowiem prymitywne ludy amerykańskie miałyby przepłynąć dziesiątki tysięcy mil wzburzonego oceanu? Heyerdahl postanowił powtórzyć podróż przodków Polinezyjczyków przez Pacyfik. Znalazł sponsorów i zbudował z 9 pni bardzo lekkiego drewna balsa tratwę – dokładnie taką, jakie budowali Inkowie do chwili inwazji Hiszpanów. Pnie połączył jedynie ściętymi w puszczy lianami. Z bambusa zaś sklecił pokład i szałas. Na maszt wciągnął rejowy żagiel z wizerunkiem patrona tratwy, polinezyjskiego boga-wodza Kon-Tiki. Na pokład zabrał tylko sprzęty, jakich mogli używać żeglarze sprzed niemal 1000 lat, oraz radiostację.

Heyerdahl zebrał pięcioosobową załogę. Jej członkowie nie byli żeglarzami, lecz po prostu ludźmi żądnymi przygód, zaradnymi i szaleńczo odważnymi. Knut Haugland przed 4 laty wysadził w Norwegii zakłady produkujące ciężką wodę i uniemożliwił hitlerowcom budowę bomby atomowej. Torstein Raaby przez 10 miesięcy ukrywał się z nadajnikiem radiowym w skalnej szczelinie nad fiordem, w którym stał największy niemiecki pancernik „Tirpitz”. Jego meldunki pozwoliły brytyjskiemu lotnictwu wreszcie zatopić niemieckiego giganta.

„Kon-Tiki” wyruszyła w drogę z Callao w Peru. Sprawowała się świetnie. Żeglarze przeżyli mnóstwo przygód. Żywili się głównie złowionymi makrelami, tuńczykami i rekinami. Ale teraz, po przepłynięciu w ciągu 100 dni niemal 8 tys. km, dziwne falowanie oceanu zapowiada kres wyprawy.

Dochodzi 6.00, świta. Torstein Raaby ześlizguje się ze stanowiska obserwacyjnego na szczycie masztu. Opowiada, że na horyzoncie dostrzegł małe wysepki koralowe za wielką rafą Raroia. Na kursie „Kon-Tiki" leży, co prawda, ostatnia w łańcuszku wysp, południowa, ale tratwa dryfuje wprost na wielki mur rafy koralowej. Przekrzywione miecze pod belkami „Kon-Tiki" uniemożliwiają ominięcie niebezpieczeństwa. Heyerdahl i koledzy chcą zanurkować pod pokład i naprawić miecze, ale nagle dostrzegają znajome, wielkie cienie tuż za tratwą. Rekiny.

Pozostaje tylko czekać. 6 żeglarzy pospiesznie pakuje dokumenty i filmy do wodoszczelnych worków. Norwegowie ściągają wielki żagiel z wizerunkiem boga-wodza Kon-Tiki i nakrywają nim szałas. Wyciągają na pokład nieszczęsne miecze. To okropna praca, bo w ciągu 100 dni obrosły one gęstym kożuchem pąkli. Tratwa zanurza się teraz głębiej, co bardzo niepokoi żeglarzy. Cała ich nadzieja w tym, że któraś z wielkich fal przyboju okaże się na tyle wysoka, by „Kon-Tiki" wynieść na wierzch rafy, a nie rozbić o jej ścianę. Żeglarze pospiesznie konstruują kotwicę – puste bańki na wodę wypełniają zużytymi bateriami do radiostacji i wszelkimi kawałkami metalu, jakie znajdują na pokładzie.

„Kon-Tiki" powoli, nieubłaganie zbliża się do rafy. Fale są coraz wyższe, coraz mniej przewidywalne. Torstein Raaby wywołuje przez radiostację świat, ale świat milczy. Heyerdahl robi to, co w takiej sytuacji powinien czynić każdy kapitan: wolny czas wykorzystuje na prowadzenie zapisków w dzienniku pokładowym. O 8.45 notuje: „Na pokładzie żadnej nerwowości, oprócz gorączkowych przygotowań. Na rafie przed nami leży coś, co wygląda jak wrak żaglowca".

Żeglarze po raz pierwszy od 100 dni wkładają buty; ostre występy koralowe w mig pocięłyby gołe stopy do kości.

O 9.45 Heyerdahl pisze: „Bengt częstuje nas właśnie krzepiącym, gorącym posiłkiem – ostatnim przed wielkim wydarzeniem! Wewnątrz rafy leży jednak wrak".

Radiotelegrafista Raaby łączy się z jakimś radioamatorem z Polinezji. Huk wielkich fal bijących o rafę utrudnia rozmowę. Heyerdahl śpieszy się: „9.50. Jesteśmy już bardzo blisko. Dryfujemy wzdłuż rafy. Już tylko ok. 100 m. Muszę już pakować dziennik. Sytuacja przedstawia się groźnie, ale damy sobie radę".

Żeglarze rzucają swoją kotwicę. Tratwa obraca się rufą do rafy i tak dryfuje. Raaby w szalonym pośpiechu nadaje ostatni komunikat. Uprzedza, że „Kon-Tiki" pędzi na rafę Raroia, i prosi o nasłuch na jego fali co godzinę. Gdyby przez 36 godzin nie dał znaku życia, prosi o zorganizowanie ekspedycji ratunkowej. I ostatnie uderzenia kluczem Morse'a: „Zostało 50 m. Idziemy naprzód. Do widzenia".

Knut Haugland chowa radiostację do gumowego worka. Każdy z 6 członków załogi ma własny sposób na przetrwanie. Erik Hesselberg, który zgubił gdzieś buty, wpełza do szałasu. Herman Watzinger, Bengt Danielsson i Raaby wdrapują się na skrzynie przed szałasem i mocno chwytają liny od masztu. Heyerdahl z Knutem Hauglandem łapią się mocno sztagu, liny łączącej dziób tratwy ze szczytem masztu.

Fala przyboju chwyta „Kon-Tiki" i unosi w powietrze. Tratwa przyspiesza dryf w kierunku ściany z koralowca. Ciężkie, nasiąknięte wodą pnie nie unoszą się, lecz nurkują w lśniącej toni wielkiej fali przyboju. Ogromna ściana wody wali się na pokład. Żeglarze nadludzkim wysiłkiem utrzymują w dłoniach liny. Pnie balsy i liny wiążące je skrzypią przeraźliwie, ale wytrzymują. Kolejna fala jest jeszcze wyższa. Ale w wodnej kipieli nikt nie daje się oderwać od swej liny. Wreszcie nadchodzi ściana wody wielka jak wieżowiec.

Tratwa po prostu nurkuje w oceanie. Nad pokładem jest 6 m wody. „Kon-Tiki" wynurza się z trudem. Maszt jest złamany, jego koniec przebił dach szałasu. Takielunek zwisa z burty. Bambusowy pokład woda zdarła i niczym papier przylepiła do ściany zmiażdżonego bambusowego domku. Z sosnowego dziobu zostały drzazgi, ster jest rozbity. Ale w tych ruinach niczym wodne zwierzątka tkwią wszyscy żeglarze!

Kolejne wielkie fale porywają tratwę, ale są za małe, by wynieść ją na grzbiet rafy. „Kon-Tiki" niczym taran wali w koralowy mur. Belki i wiązania trzeszczą, lada chwilę tratwa się rozpadnie i wszyscy zginą zmiażdżeni o ścianę rafy. Norwegowie nie mają już sił. Pokiereszowane solą oczy nic nie widzą, ręce mdleją. Heyerdahl leży na skraju tratwy. Po kolejnym gigantycznym uderzeniu fali dostrzega nagle, że woda obok pnia robi się rdzawa. Wytrzeszcza oczy – tak, to jest koral! Zdemolowana „Kon-Tiki" osiadła na wierzchu rafy. Każda z fal przesuwa tratwę nieco w głąb. Wreszcie osiada ona 20 m od skraju rafy. Tu jest bezpieczna. Wszyscy są w niezłej formie, tylko Bengt, uderzony złamanym masztem, doznał wstrząsu mózgu.

Załoga „Kon-Tiki" rusza na odległą o 0,5 km wysepkę. Duża nie jest, ma tylko 200 m średnicy. Po 100 dniach przeżytych we wszechobecnej wilgoci dotknięcie gorącego piasku wprawia Norwegów w euforię. Watzinger wspina się na palmę, strąca orzechy kokosowe i częstuje kolegów świeżym, chłodnym mlekiem. Wyspa jest bezludna i wielkie kraby podchodzą na wyciągnięcie ręki, by przyjrzeć się dziwnym gościom. Erik Hesselberg, nie ruszając się z miejsca, łapie je i gotuje z nich zupę. Żeglarze rozpinają żagiel z obliczem Kon-Tiki na kwitnących, oszałamiająco pachnących krzakach, z liści palmowych układają wygodne legowiska. Bengt Danielsson zauważa, że 100-dniowy czyściec był

odrobinę zbyt wilgotny, ale raj wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażał przed rejsem.

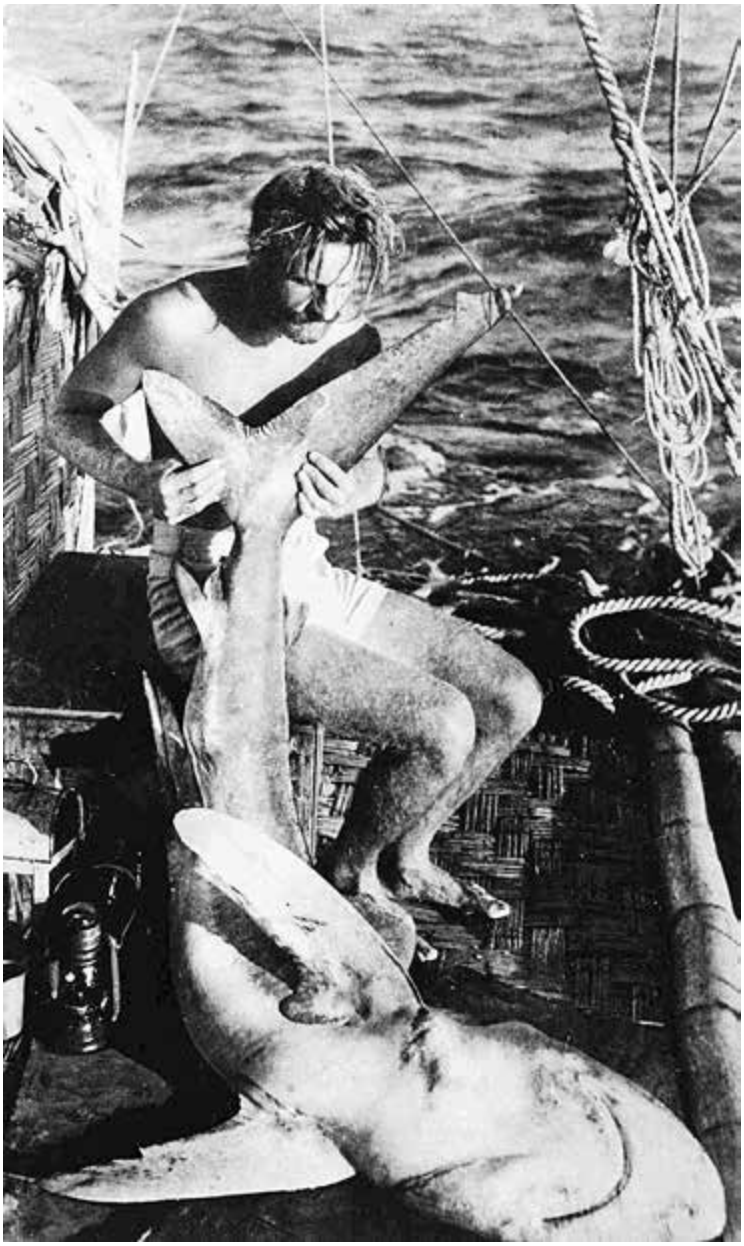

Norweski podróżnik Thor Heyerdahl na tratwie „Kon-Tiki”

8 sierpnia 1963 ▪ czwartek

Wielki skok

Tuż po północy gangsterzy wyruszają wojskową ciężarówką z farmy Leatherslade. Nie jadą daleko. Od farmy do miejscowości Cheddington jest tylko 40 km. Parę kilometrów dalej ciężarówka zatrzymuje się na szosie pod wiaduktem kolejowym. Ubrani w kombinezony maskujące gangsterzy wdrapują się na tory i ruszają w noc. Po przejściu 1,5 km przygotowują zasadzkę. Jeden przełącza światła semafora na czerwone, inny przecina biegnący wzdłuż torów kabel telefoniczny. Potem ukrywają się w rowie. Czekają. Jest gorąco, parno.

15-osobową ekspedycją gangsterów dowodzi trzydziestoparoletni londyński antykwariusz Bruce Reynolds. Rok wcześniej oskarżony o paserstwo, trafił do policyjnego aresztu. Tam nawiązał kontakt z informatorem, który za 10 proc. przyszłego łupu zdradził mu tajemnicę pociągu pocztowego Glasgow–Londyn. Nie figuruje on w żadnym rozkładzie jazdy, nie zabiera pasażerów. W 9 wagonach 75 pocztowców przez całą drogę pracowicie sortuje przesyłki. Na długiej trasie ze Szkocji do Londynu pociąg widmo staje tylko parę razy, na największych dworcach, by wyładować pocztę. Na mniejszych stacjach zwalnia, a worki z pocztą wyrzucane są przez okno. Pociąg przewozi także pieniądze do londyńskich central brytyjskich banków.

Reynolds najpierw zwerbował właściciela paru salonów fryzjerskich Douglasa Goody'ego i byłego boksera prowadzącego nocny klub Ronalda Edwardsa. We trzech ułożyli precyzyjny plan napadu. Fryzjer zajął się logistyką, dawny bokser zaś werbunkiem ekipy rabusiów. Edwards najpierw wciągnął do niej znajomych: hurtownika warzyw, 43-letniego Jamesa White'a i byłego komandosa, 28-letniego kierowcę rajdowego Roya Jamesa,

w półświatku znanego jako „Łasica". Ponieważ werbunek szedł Edwardsowi niesporo, zaproponował udział w skoku jednemu z londyńskich gangów.

Na bazę treningową i wypadową gangsterzy kupili farmę Leatherslade. Ćwiczyli napad przez kilka miesięcy. Na farmie nikomu nie wolno było zdjąć rękawiczek. Nawet w toalecie. Ale 2 przestępcom zdarzyły się chwile zapomnienia. Znany londyński włamywacz pewnego dnia machinalnie chwycił nagą dłonią solniczkę, a sam szef, Reynolds, przesunął pionek na planszy gry Monopol.

Tuż po 3.00 8 sierpnia ukryci gangsterzy słyszą ciche posapywanie lokomotywy. O 3.15 maszynista Jack Mills dostrzega czerwone światło na semaforze. Posłusznie stosuje się do znaku „stop". Jego pomocnik zeskakuje z lokomotywy, by zadzwonić z wiszącego na słupie telefonu kolejowego na najbliższą stację. Ale telefon milczy. Gdy pomocnik wraca do pociągu, spomiędzy wagonów wychyla jakiś człowiek i woła: „Chodź tu!". Chwilę później spycha kolejarza z nasypu. Inny napastnik knebluje go i wiąże.

Kiedy maszynista Mills widzi 2 ludzi idących po torach, myśli, że to pracownicy kolejowi naprawiają semafor. Po chwili obaj, z pałkami owiniętymi białymi szmatami, pojawiają się w lokomotywie. Mills rzuca się na pierwszego z napastników. Walczy dzielnie. Jest już bliski obezwładnienia go, gdy drugi rabuś uderza go w tył głowy. Ogłuszonego kolejarza napastnicy masakrują drewnianymi pałkami jeszcze przez kilka minut.

Bandyci odłączają lokomotywę i 2 wagony. Zestawem tym przejeżdżają aż do wiaduktu. Siekierami wyłamują drzwi wagonów z pieniędzmi, terroryzują 4 nieuzbrojonych strażników. 120 worków z banknotami 1- i 5-funtowymi zrzucają na dół, prosto do

ciężarówki. O 4.55 nad ranem gangsterzy wrzucają związanych strażników i kolejarzy do wagonu i odjeżdżają.

Ciężarówkę prowadzi mistrz kierownicy „Łasica". Na farmie od razu przystępują do dzielenia łupu. Jest ogromny: 2 mln 631 tys. funtów, prawie połowa w zużytych banknotach, przeznaczonych do zniszczenia, zatem nigdzie niezarejestrowanych.

W porzuconych 7 wagonach pocztowcy, pracowicie sortujący przesyłki, w ogóle nie zauważają napadu. Brak lokomotywy stwierdza dopiero ok. 4.00 strażnik, który wychodzi w pole za potrzebą. Telefon nie działa, zatem – niczym współczesny biegacz spod Maratonu – strażnik rusza pędem do Cheddington. Tyle tylko że biegnie na dystansie 3,5 km i z bardzo kiepskimi wieściami. Telefony w Cheddington także milczą. Lokalna policja o napadzie dowiaduje się dopiero o 5.00.

Wczesnym rankiem władze hrabstwa Buckinghamshire wzywają na pomoc Scotland Yard. Z Londynu natychmiast wyrusza ekipa śledcza, z gwiazdą Scotland Yardu inspektorem Geraldem McArthurem na czele. Wieczorem może on stwierdzić tylko tyle, że rabunek pod Cheddington jest „napadem stulecia".

9 sierpnia 1945 ▪ czwartek

Cel zapasowy

Dochodzi 2.30 nad ranem. Nad amerykańską bazą lotniczą na wyspie Tinian w archipelagu Marianów na Pacyfiku szaleje tropikalna burza. Błyskawice biją tak często, że mimo ściany deszczu jest zupełnie jasno. Mjr Charles B. Sweeney daje załodze bombowca strategicznego B-29, od nazwiska jego dowódcy Fredericka Bocka

zwanego „Bock's Car", rozkaz rozgrzania silników. Ta misja bombowca jest tak ważna, że dowodzi nią mjr Sweeney, a nie dowódca samolotu.

Poprzedniego dnia do komory bombowej „Bock's Cara" podniesiono potężnym siłownikiem hydraulicznym 4,5-tonowe stalowe jajo o długości 2 m, zakończone pudełkowym statecznikiem ze stalowej blachy. To „Fat Man" (Grubas), pierwsza w historii bomba atomowa z plutonu, silniejsza od bomby z uranu zrzuconej przed 3 dniami na Hiroszimę. Nalot na Hiroszimę, zakończony całkowitym zniszczeniem miasta i z pewnością ogromną – choć na razie nieznaną – liczbą ofiar, amerykańskie władze chcą wykorzystać do zmuszenia Japonii do bezwarunkowej kapitulacji. Natychmiast po otrzymaniu potwierdzonej wiadomości o gigantycznym wybuchu nad Hiroszimą Biały Dom przekazał do prasy komunikat, w którym nazwał bombę atomową „największym w historii osiągnięciem zorganizowanej nauki", i zagroził „takim deszczem ruin z powietrza, jakiego na ziemi nigdy nie widziano". Na zajętych przez Amerykanów Marianach nazajutrz po pierwszym ataku atomowym zabrano się do druku 6 mln ulotek w języku japońskim, opisujących skutki wybuchu bomby atomowej i zapowiadających dalsze ataki, jeśli Japonia natychmiast nie skapituluje. Tekst sugeruje Japończykom, by natychmiast zaczęli pisać do swego cesarza petycje z prośbą o zakończenie wojny. Ulotki mają być rozrzucone z samolotów nad 47 japońskimi miastami, liczącymi powyżej 100 tys. mieszkańców.

Kłopot jednak w tym, że druk opóźnia się, a w magazynach US Air Force na Marianach brakuje specjalnych bomb T-3 przeznaczonych do rozrzucania ulotek.

Tymczasem Waszyngton i najwyżsi dowódcy wojskowi od 2 dni naciskają, by kolejną bombę zrzucić jak najszybciej, żeby w Japonii

powstało wrażenie, że amerykańskie magazyny pełne są nowej, straszliwej broni.

Z przyspieszeniem drugiego atomowego nalotu było jednak mnóstwo trudności. Zaplanowano go pierwotnie na 11 sierpnia, ale kpt. William Parsons i fizyk Norman F. Ramsey, którzy od ponad roku brali udział w konstruowaniu podzespołów bomb, a w końcu oddelegowani zostali na Mariany, by kierować ich montażem, przed 2 dniami poinformowali ppłk. Paula W. Tibbetsa, dowódcę 393. Eskadry Bombowej przeznaczonej do zrzucania bomb atomowych, że termin drugiego nalotu da się przesunąć na 10 sierpnia. Tibbets jednak marudził – prognozy pogody przewidują czyste niebo nad Japonią do 9 sierpnia, a potem 5-dniowe silne zachmurzenie. Ostatecznie Tibbets postawił na swoim – nalot z użyciem „Fat Mana" przyspieszono.

O włos jednak skończyłby się on kompromitującym niewypałem. Przed 2 dniami w pośpiechu dokończono montaż bomby i uzbrojenie jej. W nocy z 7 na 8 sierpnia, gdy spoczywała w klimatyzowanym pomieszczeniu montażowym, młodziutki członek zespołu uzbrajającego podporucznik marynarki Bernard J. O'Keefe jeszcze raz sprawdził kable łączące zainstalowany z przodu zapalnik z 4 radarami do ustalania wysokości lecącej bomby. Przerażony O'Keefe odkrył, że technicy w pośpiechu zamienili kable. Ich powtórna zamiana wymagałaby rozmontowania bomby i oznaczała co najmniej dzień spóźnienia. O'Keefe zaryzykował i wbrew najsurowszym zakazom instrukcji uzbrajania bomby rozlutował tuż przy zapalniku końcówki kabli, zamienił je i powtórnie przylutował.

O 3.47 przeciążony „Fat Manem" i maksymalnym zapasem paliwa B-29 startuje z Tinianu. Cel – arsenał w mieście Kokura na północnym brzegu Kiusiu. Dystans do celu – 2400 km.

Lot jest spokojny, wręcz nudny. Mjr Sweeney włącza automatycznego pilota. Godziny płyną leniwie. Wreszcie widać brzegi Kiusiu. Sweeney odkrywa nieprzyjemną niespodziankę – nie działa pompa obsługująca 2300-litrowy zbiornik paliwa zamontowany w tylnej komorze bombowej. To znaczy, że nie będzie można dłużej kołować nad celem. Niedługo potem – kolejna niemiła niespodzianka. 2 obserwacyjne B-29, z którymi „Bock's Car" miał się spotkać nad Yakushimą, nie nadleciały. Bombowiec przez godzinę, do 8.50, krąży na wysokości 5200 m nad Yakushimą w oczekiwaniu na meldunki meteo. W dole szaleje szkwał, po skrzydłach B-29 skaczą ognie św. Elma. Wreszcie rozpoznawczy samolot znad Kokury nadaje, że trzecią część nieba zakrywają tam niskie chmury, a pogoda stale się poprawia. Sweeney skręca w kierunku Kokury. Na miejscu okazuje się, że miasto zasłania gęsta mgła pomieszana ze smogiem.

Na niebie wykwitają obłoczki wybuchów pocisków dział przeciwlotniczych.

Sweeney decyduje się natychmiast: „Lecimy nad cel zapasowy!".

To Nagasaki.

Paliwa jest tak mało, że „Bock's Car" może przelecieć tylko raz nad Nagasaki, a i tak na Tinianie czeka go lądowanie awaryjne.

O 10.50 zbrojmistrz „Fat Mana" kmdr ppor. Frederick L. Asworth wyjmuje zielone wtyczki z zapalnika bomby i wkłada w gniazda wtyczki czerwone. „Fat Man" jest ostatecznie uzbrojony.

Nagasaki spowija gęsta otulina chmur. Mjr Sweeney może wartą kilkaset milionów dolarów bombę wyrzucić do morza albo zrzucić niemal na oślep, wedle bardzo nieprecyzyjnych wskazań radaru. Wtedy może ona eksplodować nad polami pod miastem. Zbrojmistrz Asworth nalega, by atakować wedle radaru. B-29 leci nad nieprzeniknioną równiną niskich chmur. Nagle ukazuje się

w nich dziura. W dole widać miasto. Bombardier ma tylko 20 sekund, by otworzyć luk bombowy i naprowadzić maszynę nad cel widoczny w szybko zasklepiającej się dziurze w chmurach.

„Fat Man" leci w dół, a pozbawiony obciążenia samolot w tej samej chwili podrywa się w górę. O 11.02 bomba eksploduje 500 m nad położoną na zboczu góry dzielnicą Nagasaki.

Uczennica liceum dla dziewcząt Iwanaga Setsuko pracuje w wydziale śrub do torped fabryki broni Mitsubishi. Siedzi na drugim piętrze drewnianego baraku. Gdy słyszy wycie syren przeciwlotniczych, zbiega do prowizorycznego schronu pod pobliską świątynią shinto. Wyraźnie słyszy warkot silników B-29. Za okienkiem schronu rozpala się straszliwy jaskrawożółty błysk. Setsuko rzuca się pod biurko. Świątynia wali się w gruzy, w schronie robi się straszliwie gorąco, w powietrzu latają kawałki desek i metalowych prętów. Przez okno Setsuko widzi młodego robotnika z rozerwanym torsem, który nie wiadomo jakim cudem stoi nieruchomo jak posąg. Gdy wraz z koleżanką wygrzebuje się z zawalonego bunkra, wkracza w morze płonących ruin, poparzonych, zdeformowanych zwłok. Ranni są całkiem otępiali, spalona skóra schodzi z nich wielkimi płatami. Wołania o pomoc mieszają się z rykiem rannych i błaganiem poparzonych o łyk wody.

Na Marianach, w wojskowej drukarni, kończy się druk ulotek ostrzegających Japończyków przed bombami atomowymi. Wedle planu na Nagasaki mają być zrzucone następnego dnia.

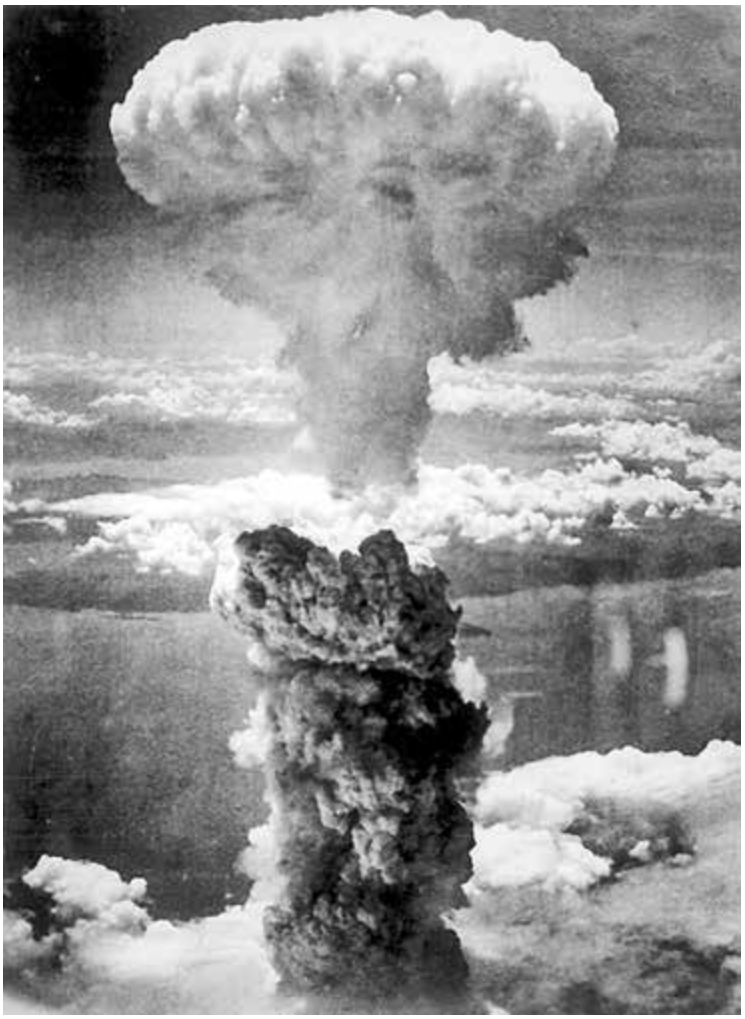

Grzyb atomowy po wybuchu bomby w Nagasaki

10 sierpnia 1628 ▪ czwartek

Najkrótszy rejs

Ok. południa na nabrzeżach Sztokholmu zbierają się tłumy. Dzień jest ciepły, słoneczny, wieje słaby wiatr. Po godz. 14.00 na Skeppsbron i Soedermalm tłoczą się już tysiące gapiów. W każdym oknie kamienic mieszczańskich na Skeppsbron widać mrowie głów.

Wkrótce będzie co oglądać – „Vasa”, największy na Bałtyku okręt wojenny, z którym żadna jednostka bojowa w tej części Europy nie może się równać, wyruszy spod pałacu królewskiego w swą dziewiczą podróż. „Vasa” to tzw. okręt królewski – największy okręt w szwedzkiej flocie.

Jest co oglądać. 57-metrowy dębowy kadłub wygląda jak skrzyżowanie twierdzy ze wspaniałym pałacem. Lufy najcięższych, 24-funtowych, odlanych z brązu dział wystają z furt artyleryjskich dwóch najniższych pokładów działowych. Na każdej z pomalowanych na czerwono pokryw furt znajdują się złote maski zastygłych w przerażającym grymasie lwich pysków. Ale najwspanialszy lew czai się do skoku na galionie – wielka figura z rozwianą grzywą symbolizuje cnoty okrętu i jego załogi: siłę oraz odwagę.

Ale gapie wpatrują się przede wszystkim w rufę. Wysoka, wąska pawęż z dwoma szeregami ozdobnych okien, od szczytu do linii pokładu pokryta szczelnie wspaniałymi płaskorzeźbami, przypomina raczej patrycjuszowską kamienicę – tylko gdzie znaleźć domy tak wspaniale zdobione? Na szczycie pawęży wszystko jest jasne: pod ogromną latarnią widać z daleka skromny snopek zboża pod królewską koroną podtrzymywaną przez 2 cherubiny. To herb Wazów. Ale niżej, pomiędzy ozdobnymi drewnianymi pilastrami, kłębi się tłum rzeźbionych postaci: to Tryton, syn greckiego boga Posejdona, grecki heros Herkules z lwią skórą na biodrach i pokonanym strażnikiem Hadesu Cerberem, dalej 9 bohaterów: mityczny grecki Hektor, biblijny Dawid, Aleksander Macedoński, Juliusz Cezar, starotestamentowy Jozue i Juda Machabeusz, król Artur, Karol Wielki i krzyżowiec Godfryd de Bouillon. Obok wspaniała płaskorzeźba smoka z rozdziawioną paszczą, dalej odrąbana ogromna ludzka głowa z napisem „Tiberius”, deptana

sandałem mężczyzny w rzymskiej tunice, uwieńczonego liśćmi laurowymi. I jeszcze grecki bóg morza Nereus, Tetyda, mityczna matka Achillesa, oraz straszliwa głowa topielca z węgorzami wypełzającymi z pustych oczodołów, nosa i ust. A do tego niezliczone mrowie mniejszych i większych tarcz herbowych, snopów Wazów, delfinów, wielorybów i najważniejszych – lwów, lwic, lwiąt i lewków. Lew to ulubione zwierzę tego, co „Vasę" raczył zamówić – króla Szwecji Gustawa II Adolfa Wazy, a to dlatego że w Europie coraz częściej nazywany jest on „Lwem Północy".

Miłościwie panujący król Gustaw II Adolf zasłużenie cieszy się sławą utalentowanego wojownika. Od czasu gdy wstąpił na tron w roku 1611, w wieku 16 lat, udało mu się zakończyć wojnę z Rosją, gruntownie zreformować system polityczny w państwie oraz armię i uderzyć na polskie posiadłości nad Bałtykiem. Zwycięsko zakończył kampanię w Inflantach i Kurlandii w latach 1621–1626. Przed 2 laty znów ruszył do boju. Potężna flota 125 okrętów i statków transportowych przewiozła jego 14-tysięczną armię do Pilawy. Szwedzi zdobyli wkrótce kilkanaście mniejszych miast, w tym Elbląg, Malbork, Tczew, i oblegli Gdańsk. Jesienią zeszłego roku Gustaw Adolf pobił pod Gniewem armię króla polskiego Zygmunta III Wazy. Sukcesy odnosili Szwedzi także w Inflantach, gdzie Litwini pod wojewodą smoleńskim Aleksandrem Gosiewskim nie byli w stanie stawić im czoła. Dopiero pojawienie się na Pomorzu wojsk kwarcianych hetmana Stanisława Koniecpolskiego poprawiło sytuację Rzeczypospolitej. W zeszłym roku inicjatywa przeszła w ręce wojsk polskich – Szwedzi wyparci zostali na wschód od dolnego biegu Wisły.

Powodzenie wojny z Polską zależy w równym stopniu od wyszkolenia, dyscypliny, siły ognia batalionów szwedzkiej piechoty, co od potęgi szwedzkiej floty. Panowanie okrętów

Gustawa Adolfa na Bałtyku umożliwia skuteczne zaopatrywanie armii walczącej z Rzeczpospolitą i wysadzanie zaskakujących Polaków desantów morskich – tak właśnie zdobyli Szwedzi Oliwę i Puck. Doskonale rozumie to szwedzki monarcha, który lubi powtarzać wymyśloną przez siebie maksymę: „Losy Szwecji zależą od Boga, a zaraz po nim od jej floty".

A tymczasem świeżo rozbudowana flota polska poczyna sobie coraz śmielej. Wiosną zeszłego roku polskie okręty walnie przyczyniły się do odbicia Pucka z rąk Szwedów, potem koło Łeby stoczyły potyczkę z silniejszą eskadrą szwedzką, bez strat własnych, pomyślnie przerwały jej blokadę i dopłynęły do Gdańska. A w listopadzie zeszłego roku polska flota adm. Arenda Dickmanna rozgromiła szwedzką eskadrę wiceadm. Nilsa Stiernskoelda pod Oliwą i uwolniła blokowany od morza Gdańsk.

To poważne ostrzeżenie dla Szwecji, ale Gustaw II Adolf już przed 3 laty przewidział konieczność radykalnego wzmocnienia swej floty. W styczniu 1625 roku wezwał do siebie głównego budowniczego Stoczni Królewskiej Henrika Hybertssona, z pochodzenia zresztą Holendra, i zlecił mu zbudowanie 4 okrętów wojennych. Największy miał nosić imię dynastii panującej – „Vasa".

Król zażądał zbudowania okrętu tak wielkiego i tak szybkiego, jaki jeszcze po Bałtyku nie pływał. Stosunek jego długości do szerokości miał wynieść 4:1, podczas gdy normą są proporcje 3:1. Hybertsson pokazał monarsze model smukłego okrętu zbudowanego niedawno w Holandii dla francuskiego księcia de Guise. Gustaw Adolf zaakceptował jego kształty, zażądał jednak, by wymiary jego okrętu znacznie powiększyć, zaś nadbudówki wzmocnić.

Jesienią 1625 roku drwale zaczęli ścinać specjalnie, przez dziesiątki lat kształtowane dęby na konstrukcję kadłuba. Ostatnich kilka

tygodni trwało wyposażanie okrętu. Żurawie przenosiły na pokład amunicję, żywność: 350 beczek chleba, 50 beczek suszonego dorsza i śledzia, 30 beczek suszonego węgorza, 30 beczek zboża, 100 beczek suszonego i solonego mięsa, 50 beczek mąki, 30 beczek grochu i podstawę diety marynarzy – 1300 beczek piwa. Na dno okrętu załadowano balast – 120 t sporych kamieni.

Z tym balastem jest problem. Przed paru tygodniami dowódca królewskiej floty adm. Klas Fleming zarządził próbę stateczności „Vasy". 30 ludzi przebiegało wtedy z jednej burty na drugą. Po pierwszym przebiegnięciu okręt przechylił się na głębokość jednej klepki poszycia kadłuba, po drugim – na głębokość 2 klepek, po trzecim – na głębokość 3 klepek. W tym momencie admirał przerwał próbę, bo okręt by zatonął. Obecny przy tym nawigator Joeran Matsson powiedział admirałowi, że to skutek błędów konstrukcyjnych. Obsesyjna chęć króla posiadania okrętu najszybszego na świecie zaowocowała zbudowaniem jednostki za wąskiej, o wyraźnie zbyt smukłej części podwodnej. Na domiar złego rozbudowana, obciążona ozdobami i niebotycznie wysokimi masztami część nawodna okrętu jest cięższa od części podwodnej. Admirał nie przejął się tym i doradził dołożenie balastu.

Ale balastu dołożyć już nie można. Dolne furty dział wystają ledwie 3,5 stopy nad powierzchnię wody! Admirał znalazł tylko jedną radę: „Będzie dobrze, nie przejmować się!".

Na nabrzeżu kłębi się coraz gęstszy tłum. Króla nie ma w Sztokholmie, walczy z Polakami w Prusach, ale i tak panuje tu nastrój radosnego podniecenia. Nowy okręt ogromnie wzmocni flotę, która i bez niego, miesiąc temu, rozbiła na Wiśle, pod Latarnią, polską flotę – tę samą, która wcześniej zwyciężyła pod Oliwą. Widzowie z trudem odgadują z wybrzeża zawikłane, alegoryczne znaczenie płaskorzeźb, symbolizujących wielkość króla, siłę, odwagę,

grzechy, nieuchronność śmierci i niebezpieczeństwa morskich żywiołów.

Na pokład przepychają się marynarze, ich rodziny oraz oddział piechoty morskiej. Krótko po 15.00 kapitan Soefring Hansson daje rozkaz odbicia od nabrzeża. Spora szalupa wywozi kotwicę okrętu i zatapia ją, po czym marynarze na „Vasie" wielkim kabestanem wybierają linę. Okręt powoli, majestatycznie sunie wzdłuż nabrzeża z wiwatującymi tłumami. Ale coś niepokoi dowódcę artylerii kpt. Erika Joenssona. Gdy kilkudziesięciu marynarzy przechodzi na burtę od strony nabrzeża, by pomachać zostającym tam bliskim, okręt niebezpiecznie przechyla się. Joennson natychmiast zbiega pod pokład – jest pewien, że urwało się któreś z najcięższych dział i na swoim wózku przetoczyło się na drugą burtę. Ale nie, na pokładzie artyleryjskim wszystko jest w porządku. Ki diabeł?

Na wysokości Stadsgarden kpt. Hansson obraca dziób „Vasy" na wschód, tam gdzie okręt ma popłynąć. Marynarze wybierają obie kotwice, stawiają fokmarsl, grotmarsl, fok i bezanżagiel. Lekki wiatr wypełnia żagle. Po rzuceniu rufowej cumy „Vasa" dostojnie sunie po gładkiej jak lustro wodzie. Tę część akwenu zasłaniają od wiatru wysokie skały Soeder.

Kpt. Hansson jest coraz bardziej zafrasowany. Okazuje się, że „Vasa" kiepsko słucha steru. 2 działa okrętu oddają salut pożegnalny. „Vasa" wypływa za skały Soeder. W żagle uderza nagły podmuch z prawej burty. Okręt nieoczekiwanie kładzie się mocno na burtę zawietrzną, ale wiatr słabnie i „Vasa" wraca do pionu. Po chwili jednak wiatr dmie znów. „Vasa" pochyla się, bardzo niebezpiecznie, bo do otwartych furt działowych brakuje falom już tylko 2 stóp.

Gdy wiatr cichnie, okręt prostuje się, a kapitan poleca zluzować szoty. Ale liny zacinają się w blokach – właśnie dlatego że wiatr jest

tak słaby. Gdy marynarze przeciągają liny rękoma, po raz trzeci w prawą burtę uderza silny podmuch. Okręt pochyla się tak bardzo, ze woda sięga niemal furt działowych. Kpt. Joensson w mgnieniu oka pojmuje, że „Vasa" sam nie podniesie się. Krzyczy: „Przeciągnąć działa na nawietrzną!". Marynarze zwalniają wózki dział z mocowań i ze straszliwym wysiłkiem pchają i ciągną je w poprzek silnie pochylonego pokładu. Nagle kilka dział na prawej burcie urywa się z mocowań i stacza na prawą, miażdżąc wszystko po drodze. Wybucha panika, marynarze rzucają się do wyjść. Woda wlewa się przez furty armatnie. W kilka minut wspaniały okręt na oczach tłumów znika pod wodą. Asystujące „Vasie" łodzie ratują dziesiątki rozbitków, ale na dno idzie ponad 50 członków załogi.

11 sierpnia 1956 ▪ sobota

Zbyt wielki ciężar

Wilgotna, lepka mgła otula okolice miejscowości Springs na Long Island. Świta. Na żwirowej drodze przed domem zatrzymuje się spory pickup. Po całonocnej pracy Jeffrey Potter wpada na farmę. Zaraz ma jechać do następnej roboty, ale chce chwilę odsapnąć i zatelefonować w kilka miejsc.

Żwir znów skrzypi pod kołami. We mgle widać zarys dużego kabrioletu oldsmobil. Z samochodu z trudem gramoli się postawny, łysy mężczyzna z niezbyt gęstą bródką. To dobry znajomy gospodarza, malarz Jackson Pollock. Gość wygląda źle. Brodę ma niechlujną, pod oczami ciężkie worki. Pollock pożyczał już wcześniej rozmaite narzędzia potrzebne mu w pracy. Teraz przyjechał po duży budowlany podnośnik. Malarz tłumaczy, że potrzebuje go, by

swojej dziewczynie Ruth zademonstrować coś ciekawego w jego studiu malarskim.

Potter stwierdza, że nie ma sprawy – podnośnik akurat leży w pace jego pickupa. Chwyta ważące niemal 50 kg urządzenie i zestawia je na żwir. Czeka, aż Pollock pomoże mu wstawić je do bagażnika oldsmobila, ale malarz bełkotliwie odmawia. Przewraca się na wznak na żwir drogi i dłuższą chwilę bezładnie przeklina. Jest kompletnie pijany.

Gospodarz usiłuje mu pomóc wstać, ale artysta odpowiada stekiem wyzwisk. Mimo wszystko napomina Pollocka, że wielki kawał żelastwa leżący luzem w bagażniku kabrioletu w razie nagłego hamowania, nie mówiąc o stłuczce, zamieni się w śmiercionośny pocisk. Pollock dalej przeklina go. Potem z trudem wstaje i próbuje sam podźwignąć podnośnik. Bez rezultatu.

Gospodarz bez ceregieli odpycha Jacksona, podnosi urządzenie i wrzuca je do bagażnika oldsa. Huk uderzenia i skrzypienie kabrioletu nieco trzeźwią Pollocka. Malarz przez chwilę z pijackim skupieniem namyśla się, a potem bełkoce, że zamierza odebrać na stacji kolejowej East Hampton 2 superdziewczyny, ale nie zaproponuje mu, by się dołączył do towarzystwa, bo ma nadzieję, że to oduczy Pottera rozwalać innym samochody.

Pollock kończy swą kwestię i bierze zamach, by zdzielić Pottera solidnym sierpowym, ale zawadza o drzwi i łapiąc rozpaczliwie równowagę, wykonuje tylko osobliwą pantomimę. Malarz przez chwilę ze zbolałym grymasem na twarzy patrzy na swego rozmówcę. W końcu mówi, że gdyby dostał od niego naprawdę duży kamień i potężną łopatę, to może zniknąłby mu z oczu pod tym głazem na dłuższą chwilę.

– Naprawdę byś zniknął, i to na długo? – pyta głupio Potter.

– Do jasnej cholery, tak! – wykrzykuje Pollock.

Jego usta wykrzywia nerwowy tik. Gospodarz zna go jak zły szeląg. Wie, że malarz – już nie pamięta, który to raz – jest pijany w dym i że nie wolno mu prowadzić samochodu. Ale wie też, że Jackson nie pozwoli się powstrzymać i jak zawsze postawi na swoim.

Pollock z trudem wpełza do kabrioletu. Ze środka krzyczy:

– Myślałem, że jesteś moim przyjacielem, a ty jesteś gównem w najlepszym gatunku!

Odjeżdża w mgłę z piskiem opon.

Potter tylko wzrusza ramionami. Taki jest ten Pollock – podobno świetny artysta, ale jako człowiek dość nieznośny.

Nowojorska bohema zaczyna podziwiać jego osobliwą sztukę. Pollock szybko odszedł od malarstwa figuratywnego. Pod wpływem pradawnych malowideł z grot Altamira w Hiszpanii i Lascaux we Francji, także malarstwa piaskiem północnoamerykańskich Indian, obrazów Picassa, Miró tuż po wojnie światowej wypracował nowatorską koncepcję i technikę malowania. Na rozłożone na podłodze pracowni płótna wielkiego formatu chlapał, bryzgał strugi farby. Czasem prosto z puszki, czasem posługiwał się rękami, czasem najdziwniejszymi przedmiotami zamiast pędzla. Do farb dodawał niekiedy piasek, tłuczone szkło, ziemię. Nacieknięte struktury ściśle wypełniają płótna; Pollock uważa, że każdy fragment jego obrazu jest równie ważny i znaczący jak pozostałe. Jego obrazy stawały się czymś więcej niż zamalowanym płótnami – miały swoją fakturę, ukryte w niej tajemnice, własne, nieuchwytne dla obserwatora życie. Swoją technikę Pollock nazywa drippingiem, kapaniem. Malowanie w jego wydaniu to szamański spektakl, który kończy się kadrowaniem najciekawszej części, wycinaniem jej i niszczeniem reszty malowidła.

Ta radykalna metoda zaprowadziła go na skraj sztuki, a przynajmniej na granicę, na której kończy się malarstwo rozumiane jako zamierzony akt twórczy. Pollock od wielu miesięcy intuicyjnie czuje to, wyczuwa, że dalej tą drogą podążać nie sposób. A innej drogi nie widzi. Próby powrotu do malarstwa figuratywnego nie spełniają jego oczekiwań.

Od roku właściwie nie maluje. Pije. Pije całymi dniami i nocami, awanturuje się w barach, obraża kompanów od szklaneczki, wszczyna bójki z silniejszymi od siebie robotnikami. Zdarza mu się wyjść bez słowa wyjaśnienia z domowej kolacji do baru, a także rzucanie cegłą w okno knajpy. Eleganckiej starszej pani, właścicielce nowojorskiej galerii, po pijanemu potrafił powiedzieć na wernisażu: „Wszystko, czego potrzebujesz, to dobre rżnięcie". Nagminnie jeździ na bani swoim wielkim kabrioletem. Jeździ jak wariat. Ale szczęście nie opuszcza go. Ze stłuczek wychodził, jak dotąd, jedynie z siniakami.

Sypie się jego małżeństwo z Lee Krasner, także wybitną malarką. Jako artyści oboje sobie wiele zawdzięczają, ale dobre lata tego związku dawno minęły. Ostatnio Jackson dał się wciągnąć w romans z Ruth Klingman, młodą, piękną, seksowną pracownicą nowojorskiej galerii sztuki. Ruth chciała poznać sławnych artystów i gdy przyjaciółka powiedziała jej, że najbardziej szanowanymi z żyjących są de Kooning, Franz Klein oraz Jackson Pollock, zapisała ich nazwiska na kartce papieru. Zapytała jeszcze, który z nich jest najważniejszy, i poprosiła o narysowanie, jak dojechać do pracowni Jacksona. Krótko potem była jego kochanką.

Pollock nie potrafi znaleźć u jej boku spokoju. Szamoce się między żoną Lee a Ruth, raz roi sobie, że obie się zaprzyjaźnią i utworzą zgodny trójkąt, raz chce się rozwodzić i wiązać z Ruth, czasem dostaje panicznego ataku strachu, że porzucą go obie.

Nie pomaga psychoterapia, nie pomaga ostre picie. W napadach depresji malarz mówi o sobie, że jest tylko pieprzoną fałszywką, zwykłym gównem.

Sąsiedzi ze Springs nie mają złudzeń – ten chłop sam się wykończy.

Gdy pociąg zatrzymuje się na stacji w East Hampton, Pollock już czeka na peronie. Ruth jeszcze przez okno dostrzega, w jakim jest stanie, i natychmiast zaczyna żałować, że na ten weekend zaprosiła swoją koleżankę Edith Metzger. W świetle poranka nieświeży, po przebalowanej nocy, zapuchnięty od alkoholu Pollock w pobrudzonej czarnej koszuli i szarych wymiętych spodniach prezentuje się przy dziewczętach jak ćma przy pięknych motylach. Ruth Kligman jak zwykle ma nienaganny makijaż, szałowe ciuchy i elegancką biżuterię. Jej młodziutka, śliczna ciemnowłosa koleżanka Edith Metzger ma na sobie uroczą białą sukienkę w duże niebieskie wzory i naszyjnik z niebieskich oczek. Nieliczni podróżni na peronie nie mogą oderwać oczu od obu dziewcząt, ale Pollock zdaje się nimi nie przejmować. Wsadza je do swego oldsa i zamiast do domu, wiezie je do baru Cavagnaro's. Jedynymi gośćmi jest paru całonocnych pijaków, którzy w świetle poranka sączą „otwieracze oczu", drinki mające wyrwać ich ze szponów kaca. Właściciel, Al Cavagnaro, podaje dziewczętom kawę. Pollock zamawia duże piwo.

Cavagnaro lubi malarza. Niejeden raz przyprowadzał on tu swoich kolegów artystów i przyjaciół. Wszyscy bez wyjątku byli potężnymi pijakami, co, rzecz jasna, było miłe sercu właściciela baru.

Teraz Al rzuca okiem to na Jacksona, to na dziewczęta. Pollock trzyma się nieźle i choć Cavagnaro podejrzewa, że ma za sobą – jakżeby inaczej – ciężką noc, to teraz wygląda raczej na zmęczonego niż pijanego.

Dobrze po 10.00. Jackson z Ruth i Edith jadą do domu przy Fireplace Road. Korzystając z ostatniego wyjazdu żony Pollocka Lee do Europy, Ruth zadomowiła się w ich posiadłości. Zostawiła tu ulubioną kotkę Blanche, w szufladach i szafkach żony malarza poupychała sporo swoich rzeczy. Po przyjeździe do domu Ruth stwierdza, że Blanche zniknęła. Urządza histeryczne poszukiwania, ale bez rezultatu. W końcu pociesza się, że może kotka gdzieś sobie poszła.

Pollock w tym czasie popija jeden gin z tonikiem za drugim.

Ruth bierze się do przygotowywania lunchu.

Pollock sączy gin. Po bardzo późnym lunchu wypija jeszcze szklaneczkę i idzie na górę zdrzemnąć się. Namawia Ruth, by poszła razem z nim, ale ona odmawia. Razem z Edith idzie do studia oglądać prace Pollocka.

W końcu Ruth zagląda do sypialni na piętrze. Jackson nie śpi. Siedzi na łóżku i szlocha. Tłumaczy dziewczynie, że zabija go wielki wszechogarniający smutek. Schodzi jednak na wczesną kolację. Do steków szybko przyrządza sobie gin z tonikiem.

Po kolacji Jackson i Ruth zaczynają długą dyskusję, czy warto iść na wieczorny kameralny koncert zorganizowany przez znajomego Pollocka. Jackson sam nie wie, czego chce, ale w końcu telefonuje i zapowiada, że przyjedzie z przyjaciółkami, lecz spóźni się. Już po 21.00 potężnie zawiany malarz wyjeżdża swoim oldsem z domu. Ruth siedzi na przednim siedzeniu, przy prawych drzwiach, Edith w środku, między nią i Jacksonem. Pędzą mocno spóźnieni na koncert, ale w końcu Pollock rozmyśla się. Niedaleko od celu zatrzymuje się na poboczu. Akurat przejeżdża samochodem jego znajomy ze Springs. Zatrzymuje się i pyta malarza, czy coś się stało. Pollock wyjaśnia, że czuje się kiepsko i chyba w ogóle nie pojedzie na koncert.

Mija 22.00, gdy Pollock decyduje się wracać. Oldsmobil zawraca z piskiem opon. Jackson pędzi po Fireplace Road jak oszalały, zakręty ścina z dzikim piskiem opon. Edith krzyczy ze strachu. Obie dziewczyny proszą malarza, by zwolnił. Pollock tylko szatańsko śmieje się i dodaje gazu. Z wielką prędkością dojeżdża do Springs. Na zakręcie, na którym kończy się betonowa droga hrabstwa, a zaczyna asfaltowa droga miasteczka, traci panowanie nad kierownicą. Ciężki podnośnik w bagażniku zmienił środek ciężkości samochodu. Olds zarzuca tyłem, wszystkie koła tracą przyczepność i auto, jak wielki pocisk, przemyka przez drugi pas ruchu, uderza o przydrożne drzewa, odbija się, przewraca w powietrzu i z hukiem opada kołami do góry z powrotem na drogę.

Reflektory przewróconego kabrioletu świecą w korony drzew. Klakson wyje.

Najbliższy sąsiad, mechanik samochodowy, mieszka niespełna 100 m od zakrętu. Słyszy huk, widzi dziwne światło w liściach drzew. Łapie latarkę, wybiega z domu. 10 kroków przed kabrioletem dostrzega czołgającą się po asfalcie kobietę. To Ruth Kligman. Z głowy cieknie jej krew. Jest w szoku, nieustannie obrzuca mechanika obelgami. Mężczyzna nie traci opanowania, pyta, czy w samochodzie jest ktoś jeszcze.

– Jackson tam jest! Jackson tam jest! – krzyczy nagle oprzytomniała Ruth. Potem dodaje, że jest tam też kobieta.

Drugi sąsiad, operator buldożera, jadł z przyjaciółmi kolację. Nadjeżdżają minutę później. Ranną Ruth okrywają kocem. Kolejny sąsiad, spawacz, o mało co nie przejeżdża leżącej na asfalcie Ruth. Straszliwie krzyczącą z bólu dziewczynę zasłania swoim samochodem, by kolejny kierowca nie wpadł na nią.

Nie mija 10 minut, gdy wokół przewróconego oldsa zbiera się mały tłumek mieszkańców Springs. Mężczyźni zaglądają pod

samochód. Jedna noga Edith wyciągnięta jest wzdłuż samochodu, druga oparta o siedzenie, stopa przysypana jest przydrożnym żwirem i pyłem. Dziewczyna wygląda, jakby spała. Któryś z mężczyzn obciąga jej białą sukienkę w niebieskie wzory – podmuch podczas kraksy zadarł ją wysoko za kolana.

Z rozbitego zbiornika leje się na asfalt benzyna. Niemal wszyscy stojący wokół palą papierosy. Wreszcie któryś idzie po rozum do głowy i każe je zgasić.

Cały czas wyje klakson. Nikt nie potrafi go wyłączyć.

I nikt nie ma pojęcia, co się stało z kierowcą.

Mężczyźni świetnie znają Pollocka, wiedzą, że to jego kabriolet. Wchodzą między drzewa, przeszukują trawy. Nic.

Nadjeżdża policjant Earl Finch. Z silną latarką szuka kierowcy coraz dalej w lesie. Wreszcie znajduje go. Jackson Pollock leży w ściółce niemal 20 m od drogi. Uderzenie wyrzuciło go jak rakietę. Leciał w powietrzu, aż trafił głową i szyją w drzewo. Uderzenie zmiażdżyło mu czaszkę, ale w ciemnościach tego nie widać.

Pollock ma otwarte oczy, spokojną twarz. Wygląda, jakby położył się w mchu, by wreszcie odpocząć.

Artysta Jackson Pollock podczas pracy

12 sierpnia 1794 ▪ wtorek

Okazać prymasa!

Prymas książę Michał Poniatowski leży na łóżku w swoim apartamencie w warszawskim pałacu prymasowskim na Senatorskiej. Oddycha ciężko, z trudem. Jest nieprzytomny. Zgromadzeni wokół jego łoża infułat ks. Grzegorz Zachariaszewicz, kanonik gnieźnieński Franciszek Malewski, ks. Grodzicki, proboszcz warszawskiej parafii św. Andrzeja, oraz opiekujący się chorym dr Dunker i lekarz króla dr Beckler nie mają wątpliwości, że zaczęła się agonia.

Ksiądz prymas choruje od 2 tygodni. Na początku sierpnia poczuł się słaby i zmęczony. Przeniósł się z Zamku Królewskiego, w którym w niespokojny czas kościuszkowskiej insurekcji zamieszkał u boku swego brata króla Stanisława Augusta Poniatowskiego do swej rezydencji przy Senatorskiej. Odtąd do zamku chodził już tylko na obiady. Tydzień temu siostra króla Elżbieta Branicka, zwana powszechnie „Panią Krakowską", wysłała do chorego dr. Dunkera, swego lekarza domowego. Doktor stwierdził u prymasa gorączkę i podejrzewał febrę. Kolejne dni rozpoznanie to wykluczyły. Książę Michał Poniatowski słabł z godziny na godzinę. Nie potrafił oprzeć się chorobliwej senności. Przed 5 dniami zasnął podczas wizyty u wojewodziny Podlaskiej, 2 dni później zasnął, modląc się podczas mszy i ze splecionymi dłońmi tkwił długo, samotnie przed ołtarzem. Widząc, że z prymasem źle, codziennie odwiedzali go król, Elżbieta Branicka, inni członkowie familii, ministrowie, przyjaciele. Rzadko kiedy jednak mieli okazję zamienić z nim choć parę słów. Przymuszony do najmniejszego choćby wysiłku chory chwilę później zasypiał.

Poprzedniego dnia rano prymas obudził się w dobrej formie i przytomnie odpowiadał na pytania. Domownicy natychmiast powiadomili króla. Stanisław August po porannej toalecie wyjechał z Zamku Królewskiego. Na Senatorską miał 2 kroki, ale nie zdążył. Nim zjawił się w apartamentach brata, prymas zasnął. Do wieczora nieustannie przybywał do pałacu prymasowskiego ktoś z familii Czartoryskich, ale książę Michał już się nie przebudził.

Wieczorem, widząc, że stan chorego nie rokuje nadziei, domownicy posłali po ks. Grodzickiego od św. Andrzeja, który bez zwłoki opatrzył nieprzytomnego prymasa sakramentami.

Dochodzi 1.00. Oddech chorego staje się coraz płytszy, przechodzi w rzężenie, cichnie.

Domownicy nie mają wątpliwości, że za śmierć liczącego 58 lat prymasa odpowiedzialna jest zrewoltowana warszawska ulica. Zabił go strach przed samosądem pospólstwa.

Nigdy nie był lubiany.

Sarmackich wiernych raziły jego powściągliwość, skrytość i intelektualne ambicje. Powszechnie uważany za najmądrzejszego z braci Poniatowskich, uchodził także za faktycznego szefa stronnictwa królewskiego. Winy króla obciążały także konto prymasa.

A przecież był całkiem niezłym arcypasterzem, no, może pominąwszy stałe metresy i 2 synów naturalnych, ale to akurat rubasznej szlachty zanadto nie oburzało. Podczas sejmu rozbiorowego walczył o Komisję Edukacji Narodowej. To on nieomal szantażem wymusił na posłach ustawę o KEN i przelanie na Komisję władzy nad majątkiem pojezuickim. Od tej pory zawsze hojnie wspierał KEN i sprawę oświaty darami z majątku osobistego i sam często kierował jej pracami.

Ochronił ks. Bogucickiego, który chwalił Husa, a potępiał decyzje soboru w Konstancji. Popierał Józefa Wybickiego. Wspaniale zarządzał diecezją płocką – stworzył liczący parę tysięcy stron zestaw światłych zaleceń i norm życia diecezjalnego. Zwalczał przesądy, zakazywał przymusowego chrzczenia Żydów, zezwolił na spożywanie w dni postne nabiału, zalecał duchowieństwu instalowanie piorunochronów – zamiast dotąd powszechnych modłów błagalnych mających odwrócić uderzenie pioruna.

Patrioci nie lubili go od dawna, uważając za człowieka zaprzedanego Rosji. Niesłusznie – prymas o Moskalach miał zdanie jak najgorsze, ale obawiał się nagłego ostentacyjnego zerwania z Rosją. Kraj reformować chciał ostrożnie i powoli, by nie prowokować ani rodzimych kołtunów, ani ościennych dworów.

Wybuch powstania kościuszkowskiego uważał za nieszczęście, bo nie widział żadnych szans na sukces.

Zapamiętano mu ten brak ostentacyjnego, patriotycznego entuzjazmu. Książę Michał Poniatowski od dwóch miesięcy żył w cieniu szubienicy. Warszawę obiegały plotki o zdradzie prymasa, który jakoby wysłał paczkę planów umocnień Warszawy królowi pruskiemu. Dowodów zdrady nikt jednak nie pokazał.

Przed pałacem prymasowskim 27 czerwca warszawskie pospólstwo wystawiło szubienice, na których następnego dnia powieszono zdrajców. Odtąd codziennie gawiedź dobijała się do bram pałacu, żądała głowy jego lokatora, śpiewała: „My, krakowiacy, mamy guz u pasa, powiesiem sobie króla i prymasa".

Księcia Michała Poniatowskiego zżerał strach o swój los. Bezskutecznie próbował wyjechać na stałe za granicę. W końcu, w obawie przed aresztowaniem, przeniósł się do króla, na zamek. Czuł jednak, że gdy przyjdzie do powtórki wieszania zdrajców, król zapewne nie będzie w stanie go obronić.

Lekarz stwierdza zgon prymasa. Księża i medycy opuszczają apartamenty zmarłego, pieczętują wszystkie pokoje. Choć to noc, wysyłają umyślnego na Zamek Królewski, by powiadomił króla o zgonie brata.

Wieść o śmierci znienawidzonego prymasa mimo nocnej pory rozchodzi się po mieście. Nad ranem przed bramą w ogrodzeniu pałacu prymasowskiego gromadzi się grupka pospólstwa. Z czasem rozrasta się ona w całkiem spory tłum. Gawiedź zawzięcie plotkuje o śmierci księcia Michała. Zdrajca, plany obrony Warszawy przesłał królowi pruskiemu, nie ominęłaby go szubienica, więc zażył truciznę, wołają jedni. A skąd miał truciznę? Ano miał, jako zdrajca nie mógł być pewien dnia ani godziny, więc z trucizną się nie rozstawał. Ale ktoś znów słyszał, że są świadkowie, co opowiadają,

jak to poprzedniego dnia dostarczył ją prymasowi sam król. Król? A czy czasem nie osobiście naczelnik Tadeusz Kościuszko, który wręczywszy księciu Michałowi truciznę, okazał mu zarazem nieodparte dowody winy? W rozgorączkowanym tłumie krąży jadowity wierszyk o zmarłym: „Zwąchał linę, wolał proszek niż drabinę". Wolał proszek, czyli truciznę, od drabiny, która dla warszawskiego ludu jest symbolem wieszania zdrajców – szubienice budowane na warszawskich ulicach przez wzburzoną gawiedź są tak wysokie, że ofiary muszą wspinać się na nie po drabinach.

W tłumie przed bramą pałacu prymasowskiego ciągle jednak wraca pytanie: a kto martwego prymasa widział? A może to wszystko kłamstwo, podstęp, może na wieść o śmierci księcia Michała Poniatowskiego lud miał o nim zapomnieć, a tymczasem sam prymas, żywy i zdrowy, wymknął się z pałacu albo ukrył w jego podziemiach i w ten sposób ujdzie sprawiedliwości?

W pałacu tymczasem trwają przygotowania do złożenia zwłok prymasa na marach. Słudzy dekorują salę na parterze, po prawej stronie od wejścia, czarnymi i czerwonymi kotarami, montują bardzo wysoki katafalk i obijają go kirem. Wokół ustawiają 6 wielkich lichtarzy. Okna zasłaniają, tak że w sali, mimo wczesnej pory, panuje głęboki półmrok, rozjaśniany jedynie płomieniami gromnic. W końcu otwarta trumna z ciałem prymasa trafia na wyniosły katafalk. Wokół gromadzą się rezydenci pałacu prymasowskiego, duchowni z pobliskich kościołów, zakonnicy. Modły trwają nieustannie.

Król na wieść o śmierci brata popada w wielkie przygnębienie. Wygląda źle, jego pobladła twarz przypomina maskę. Ale szybko bierze się w garść i trzeźwo analizuje sytuację. Śmierć brata oznacza wakat w metropolii gnieźnieńskiej, od roku znajdującej się w granicach Prus. Król Prus może spróbować obsadzić

arcybiskupstwo wedle swego uznania i rozporządzać arcybiskupimi dobrami. Temu niebezpieczeństwu trzeba czym prędzej zaradzić.

Ale o dużo większym kłopocie donoszą królowi z Senatorskiej. Przed bramą pałacu prymasowskiego gromadzi się coraz większy tłum, który domaga się pokazania zwłok prymasa na dowód, że naprawdę w nocy umarł. W normalnych czasach do takiego skandalu, w istocie do zhańbienia powagi zmarłego, nikt by nie dopuścił, ale Stanisław August sam żyje w cieniu szubienicy. Warszawska ulica ciągle rozprawia o pieniądzach, jakie brał od rozbiorowych dworów. Król godzi się na wpuszczenie do obitej kirem sali pałacu warszawskiego pospólstwa, tak by każdy mógł z bliska obejrzeć zwłoki prymasa, a może i ich dotknąć.

13 sierpnia 1911 ▪ niedziela

Pirat nad Marszałkowską

Upał. Europa kolejny dzień smaży się w słońcu. W Paryżu termometr wskazywał poprzedniego dnia 37 st. w cieniu, w Rzymie – aż 47 stopni! W Hiszpanii od wielu dni temperatura nie spada poniżej 40 stopni C. Woda w morzu w miejscowości Carber osiągnęła 34,8 stopnia C. We Francji przypadki porażenia słonecznego liczone są już w setkach. Codziennie umiera wskutek upałów kilka osób, zwłaszcza dzieci i starców. W departamencie Puy bp Boutay zarządził powszechne modły publiczne o deszcz i ochłodzenie. W Paryżu kilka osób od gorąca zwariowało.

Straszliwe żniwo zbierają upały w Niemczech. Temperatura w Berlinie jest najwyższa od roku 1848. W ubiegłym tygodniu wskutek przegrzania zmarło 305 niemowląt. Najwyższą

śmiertelność małych dzieci odnotowano w Lipsku. W Nadrenii władze ogłaszają w prasie sposoby zapobiegania przegrzaniu dzieci. Dorośli berlińczycy ratunku szukają w wodzie – codziennie miejskie kąpieliska sprzedają rekordową ilość 60 tys. biletów. W Muzeum Germańskim w Norymberdze od gorąca popękała farba na olejnych obrazach starych mistrzów.

Niesamowite upały są przyczyną masowych zatruć pokarmowych. W Paryżu ponad 100 chorych trafiło do szpitali po zjedzeniu nieświeżych lodów serwowanych przez ulicznego sprzedawcę.

Niemal całą Europę, od Polski aż po Hiszpanię, trawią pożary lasów. Płoną zwłaszcza lasy wzdłuż linii kolejowych. W Niemczech wojsko bezskutecznie próbuje opanować ogromne pożary pod Lipskiem, w Grünewaldzie i w rejonie Tegel pod Berlinem oraz gigantyczny pożar wyschniętych, wskutek upałów, torfowisk na granicy prusko-belgijskiej. Płoną lasy wokół Paryża, płoną w Rzeszowskiem, w ogniu stoi od kilku dni 1500 mórg starodrzewia w Lubostroniu w Poznańskiem.

Upały udręczyły warszawiaków nie mniej niż mieszkańców innych europejskich miast. Tego ranka jednak najważniejszym tematem rozmów w Warszawie nie jest lejący się z nieba żar. „Kurjer Poranny" anonsuje na pierwszej stronie: „Dziś, jutro, we wtorek i środę na polu Wyścigowem Mokotowskiem WZLOTY. Uczestniczą: hr. Scipio del Campo, Segno, Jankowski i Lerche. Początek o godz. 18.00".

Samolot w powietrzu warszawiacy już widzieli. W zeszłym roku na Polu Mokotowskim odbył się pierwszy „tydzień awjatyczny". Prawdę mówiąc jednak, zeszłoroczne popisy lotników przyniosły widzom spore rozczarowanie. Gwiazda tygodnia rosyjski pilot Utoczkin co prawda latał nieprzerwanie na dwupłatowcu Farmana

przez 1 godzinę i 5 minut, ale zaledwie na wysokości kilkunastu metrów, parę razy tylko osiągając pułap 30 m.

Mimo zawodu przed rokiem i nieznośnego upału mnóstwo widzów zjawia się na trybunach wyścigów konnych na Polu Mokotowskim już późnym popołudniem.

Pokazy rozpoczynają się o 19.00, z godzinnym spóźnieniem. Jako pierwszy zasiada za sterami swej maszyny, jednopłatowca konstrukcji Etricha z silnikiem Eulera, Michał hrabia Scipio del Campo.

24-letni pilot jest w prostej linii potomkiem gubernatora księstwa Bari we Włoszech Piotra del Campo, zwanego Scipio, który w 1518 roku przybył do Polski z zaślubioną królowi Zygmuntowi Staremu księżniczką Boną Sforzą jako marszałek jej dworu. Dziś hrabiowie Scipio del Campo to sarmaccy do szpiku kości, zamożni ziemianie kresowi. Młody Michał skończył studia politechniczne w Kijowie, we Francji i w Belgii. 1,5 roku temu w jednym z kijowskich iluzjonów przypadkowo obejrzał króciutki film o pionierskich lotach Wrighta i połknął bakcyla latania. Latem zeszłego roku panicz Michał z portfelem wypchanym ojcowskimi rublami pojechał do Francji, do Reims, gdzie odbywał się wielki międzynarodowy mityng lotniczy. Tam kupił sobie samolot Hanriot nazwany „Libellule" (Ważka), a na dokładkę sportowy samochód, by mieć czym dojeżdżać na lotnisko. Po krótkim kursie pilotażu przez rok objeżdżał mityngi lotnicze od Nicei po Moskwę, Taszkient i Samarkandę. Zdobył w nich kilka liczących się nagród. W Samarkandzie cudem przeżył, gdy po urwaniu się śmigła jego samolot runął w górski wąwóz. Na szczęście śnieg zamortyzował upadek i skończyło się tylko na połamaniu nóg, żeber i obojczyka. Del Campo o kulach pojechał do Paryża, kupił sobie następny samolot i wiosną tego roku wziął udział w serii mityngów

lotniczych w Rosji oraz w prestiżowym wyścigu Moskwa–Peterburg. Zajął w nim 7. miejsce i otrzymał 2700 rubli nagrody, ale musiał uznać wyższość innego polskiego pilota, Jerzego Jankowskiego z Warszawskiego Towarzystwa Lotniczego Awjata, który zdobył 2. miejsce i zgarnął 7500 rubli. Podczas tego wyścigu del Campo poznał księcia Konstantego Lubomirskiego z Awjaty, który zaprosił go na pokazy lotnicze do Warszawy.

Francuski mechanik Gilbert uruchamia silnik. Michał Scipio del Campo czeka, aż się zagrzeje, i zwiększa obroty. Rozbieg trwa zaledwie 15 sekund. Pilot ściąga stery wysokości i jednopłat unosi się w powietrze. Del Campo dwukrotnie okrąża lotnisko na Polu Mokotowskim, szybko nabierając przy tym wysokości. Gdy jego etrich nadlatuje nad trybuny na zawrotnej wysokości 500 m, publiczność zrywa się z miejsc i bije brawo.

Del Campo skręca ku Rakowcowi. Ciągle przy tym nabiera wysokości. Nad trybuny wraca na pułapie ponad 600 m. Widzów ogarnia nieopisany entuzjazm. Pilota też. Choć lot nad zabudową Warszawy jest przez carskie władze najsurowiej zabroniony, del Campo leci w stronę Wisły i nad Marszałkowską skręca w lewo. Konny patrol kozacki spostrzega samolot. Jeźdźcy pędzą Marszałkowską, ścigając odlatujący tajemniczy aparat. Kilku Kozaków strzela w pędzie z karabinów, ale pociski nie trafiają w etricha. Del Campo na wszelki wypadek skręca w prawo, nad Ogród Saski. Potem leci nad Starym Miastem, skręca nad Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat. Dalej kieruje się wzdłuż Alej Jerozolimskich i zaraz leci na południe. Na ulicach Warszawy pojawienie się wysoko, na rozpalonym, bezchmurnym niebie samolotu wzbudza ogromną sensację, czasem nawet strach.

Del Campo tymczasem przelatuje nad gmachem politechniki, okrąża budynki towarzystwa Awjata, obniża lot, wykonuje jeszcze

okrążenie nad trybunami na Polu Mokotowskim i płynnie ląduje na murawie. Od startu mija 18 minut. Publiczność bije brawa na stojąco. Pierwszy Polak przeleciał nad Warszawą.

Tuż po del Campo ląduje Jerzy Jankowski. Zdobywca 2. nagrody w locie Petersburg–Moskwa wystartował chwilę po Scipio del Campo na jednopłacie Blériota z silnikiem Guoma. On także parę razy okrążył Pole Mokotowskie, ale nie odważył się złamać zakazu władz i polecieć nad miasto. Wzleciawszy na wysokość 700 m, wyłączył silnik i poszybował w stronę Rakowca. Tam silnik włączył i odtąd krążył wysoko nad trybunami, oczekując na pojawienie się etricha Scipio del Campo.

Rozentuzjazmowana publiczność ledwie zauważa start trzeciego lotnika, występującego w barwach warszawskiej Awjaty Maksymiliana von Lerchego, na jednopłacie Etricha. Nieco więcej uwagi przykuwa lot pilota Segno. Po pierwsze, jego wielki dwupłatowiec „Awiatic" prezentuje się przy zgrabnych, delikatnych etrichach jak słoń w otoczeniu wyścigowych rumaków. Po wtóre zaś, Segno zabiera na pokład samolotu panią Mrozińską. Razem z odważną damą pilot parę razy okrąża lotnisko, leci w stronę Rakowca i po 10 minutach ląduje.

Publiczność tymczasem ciągle wiwatuje na cześć Michała Scipio del Campo. Widzom podoba się śmiały lot i fakt, że polski pilot złamał zakaz carskich władz. Del Campo udziela wywiadów dziennikarzom warszawskich gazet. Opowiada, że wskutek zapadającego zmroku i silnego kurzu wzbijanego przez warszawskie dorożki nie był w stanie dojrzeć przechodniów na ulicach. Z dumą zaznacza jednak, że lecąc nad rynkiem Starego Miasta i nad Zamkiem Królewskim mimo zawrotnej wysokości 600 m wyraźnie zobaczył Wisłę.

14 sierpnia 1994 ▪ niedziela

Zgubne pragnienie whisky i ojcostwa

Słońce zaszło już dawno, ale obezwładniający upał wciąż daje się we znaki. W klimatyzowanej, 2-piętrowej willi na przedmieściach Chartumu panuje miły chłód. W jednym z pokoi otyły mężczyzna po pięćdziesiątce popija whisky. Jest już nieźle wstawiony – to nie pierwsza jego butelka dzisiejszego wieczoru.

Mimo iż od lat żyje w konspiracji, jego słabość do whisky jest znana służbom specjalnym połowy świata.

Władze francuskie od wielu lat uporczywie usiłują dopaść Ilicha Ramireza Sancheza, amatora dobrych alkoholi, luksusowych hoteli, szybkich kobiet i najbardziej poszukiwanego terrorysty na świecie w jednej osobie.

Sanchez urodził się w 1949 roku w Caracas w Wenezueli, w rodzinie zamożnego prawnika José Altagracii Ramireza Navasa. Matka Elba Maria Sanchez zamierzała dać mu na imię Carlos, ale ojciec, z przekonań komunista, przeforsował imię Ilich – na cześć wodza bolszewików Lenina. Nie był to jednorazowy wyskok salonowego komunisty – dwaj młodsi bracia Ilicha, urodzeni w 1951 i 1958 roku, dostali imiona Vladimir oraz Lenin.

Ilich nie sprzeniewierzył się swojemu imieniu i nadziejom ojca – jako nastolatek wstąpił do Wenezuelskiej Partii Komunistycznej, kierował jej młodzieżową przybudówką. W roku 1966 pojechał do Hawany. Kuba Fidela Castro była wówczas istną lewicową wieżą Babel – rewolucjoniści i terroryści z Ameryki Łacińskiej, Azji i Europy Zachodniej szkolili się tam wojskowo i ideologicznie. Na Kubie Ilich spędził wakacje w obozie w prowincji Matanzas, gdzie kubańska tajna służba DGI, z udziałem ekspertów sowieckich

i enerdowskich, szkoliła przyszłych bojowników guerilli i terrorystów z krajów Ameryki Łacińskiej i arabskich. Tam młodziutki Ilich poznał rezydenta KGB w Hawanie gen. Wiktora Siemionowa, a przez niego – arabskiego terrorystę, byłego oficera armii libańskiej Fouada Awada.

Po kubańskiej przygodzie Ilich pojechał wraz z matką do Londynu, rozpoczął naukę w kensingtońskim Stafford House College, studiował w London School of Economics. Pod koniec 1966 roku jego rodzice rozwiedli się, a on sam, pod wpływem zachęt ojca (który proponował synowi także paryską Sorbonę, ale akurat ten pomysł Ilichowi nie spodobał się), ruszył do Moskwy. Studiował tam na Uniwersytecie Patrice'a Lumumby, na którym hasały oddziały rekrutacyjne sowieckich tajnych służb. A Ilich zwracał uwagę nie tylko swoim imieniem – zasłynął z organizowanych przez siebie balang, na których nie bardzo było wiadomo, czego jest więcej: wódki czy wesołych panienek. W 1970 roku został ze studiów usunięty. Ci wszyscy, którzy później uważali, iż była to zasłona dymna sowieckich służb, budujących legendę swemu przyszłemu agentowi, mogli się mylić – Ilich Ramirez Sanchez już za młodu był osobnikiem hardym, samolubnym, nieobliczalnym, o wybitnie lewackich skłonnościach.

KGB i GRU wolały mieć podopiecznych bezgranicznie posłusznych.

Latem 1970 roku, podczas wyjazdu do Libanu, Ilich związał się z Ludowym Frontem Wyzwolenia Palestyny Georges'a Habasza i Wadi Haddada. Kurs bojowy dla zagranicznych sympatyków LFWP pod Ammanem zaliczył tuż przed jordańskim Czarnym Wrześniem. W sam raz, by wziąć udział w krwawych walkach z jordańską armią.

Po nieudanej próbie wywołania przez LFWP rewolucji w Jordanii i spartaczonym przez Palestyńczyków zamachu na życie króla Husajna I we wrześniu 1970 roku jordańska armia uderzyła na obozy palestyńskich uchodźców i szybko złamała opór obrońców. Działacze i bojówki palestyńskie musieli ewakuować się do Libanu.

W walkach podczas tego tzw. w narodowej mitologii Palestyńczyków Czarnego Września Ilich Ramirez Sanchez występował już pod pseudonimem „Carlos". Zyskał wtedy opinię twardego fightera, ze skłonnością do wielkiego ryzyka i do nie mniejszego okrucieństwa.

W 1973 roku objawił się jako zabójca. 30 grudnia, na polecenie szefów LFWP, zadzwonił do drzwi londyńskiego domu Josepha Sieffa, szefa brytyjskiej sieci sklepów Mars & Spencer i honorowego wiceprezydenta brytyjskiej Federacji Syjonistycznej. Służącej polecił zaprowadzić się do gospodarza. Wewnątrz domu odepchnął ją, odszukał Sieffa w łazience – brał akurat w wannie kąpiel. „Carlos" strzelił mu w twarz z tokariewa 7,62 mm. Po pierwszym strzale pistolet zaciął się, zamachowiec porzucił go i uciekł.

Sieff, choć trafiony w policzek u nasady nosa, przeżył.

Zamach na niego LFWP ogłosiła zemstą za zabicie w Paryżu, przez izraelski Mossad, swego przywódcy, Mohameda Boudii.

Odtąd „Carlos" nieodmiennie przyodziewał się w szaty bojownika o sprawę Palestyny.

Każdy zamach, każde zabójstwo, każde porwanie – choćby okup za zakładników zniknąć miał w jego kieszeni – były aktami walki o niepodległe państwo palestyńskie. I seria zamachów bombowych w Paryżu w rok po ataku na Sieffa, i porwanie francuskiego ambasadora w Hadze, i atak rakietowy przed 19 laty na

podparyskim lotnisku Orly na samoloty izraelskich linii lotniczych El Al.

Zdradził go ujęty pół roku później arabski terrorysta z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, który był zamieszany w zamach na Orly. Palestyńczyk doprowadził francuskie służby specjalne do paryskiego mieszkania „Carlosa". Francuzi wybrali się na akcję aresztowania groźnego terrorysty jak na piknik w Lasku Bulońskim. Oficerowie DST, Wydziału Bezpieczeństwa Krajowego, Raymond Dous i Jean Donatini oraz komisarz Hernandez zostawili swą broń w biurze i pojechali łapać zamachowca gołymi rękami. „Carlos" już wtedy słynął z zimnej krwi. Nie przerwał przyjęcia wyprawianego wspólnie z rodakami, wenezuelskimi studentami paryskich uczelni, przeciwnie, udając niewiniątko, namawiał francuskich agentów na drinka. Gdy jednak w drzwiach pojawił się palestyński zdrajca i wskazał na „Carlosa", ten zniknął w kuchni i po chwili wrócił z pistoletem w ręku. Obu bezbronnych funkcjonariuszy DST i Palestyńczyka zastrzelił na miejscu, komisarza Hernandeza ciężko ranił.

Zabójstwo 2 francuskich policjantów i ich świadka terrorysta dopisał do dość długiej listy swych wyczynów. Ale „Carlos" nie miał zamiaru spocząć na laurach. Po ucieczce z Francji oddał się na usługi Waddi Haddadowi, przywódcy terrorystycznego Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, Na jego zlecenie w kilka miesięcy po zabójstwie francuskich agentów opracował i przeprowadził atak na centralę OPEC, Organizacji Państw Eksporterów Ropy Naftowej, w Wiedniu. W trakcie zajmowania sali, w której obradują ministrowie państw OPEC, podwładni „Carlosa" zabili austriackiego policjanta, irackiego agenta ochrony i libijskiego doradcę. W zamian za zwolnienie zakładników Sanchez zainkasował kilkadziesiąt milionów dolarów.

Odtąd byt swój dzielił między kolejne zamachy terrorystyczne dokonywane na zlecenie i luksusowe, rozrywkowe życie pędzone za honoraria od zleceniodawców międzynarodowego terroru.

Rok po ataku na urzędników OPEC zorganizował, wraz ze starym znajomym z Kuby Fouadem Awadem, porwanie samolotu Air France z Aten do stolicy Ugandy Kampali. W latach 80. rezydował w Berlinie Wschodnim, Budapeszcie, Bukareszcie, pojawiał się w Warszawie. Komunistyczne służby specjalne organizowały mu pobyty, finansowały je, ochraniały terrorystę. A on bankietował, handlował bronią i materiałami wybuchowymi ze śmietanką światowego terroru – zachodnioniemiecką RAF (Frakcją Czerwonej Armii) oraz z ekstremistami baskijskimi. No i przygotowywał to, na czym zależało jego gospodarzom – zamachy na ich przeciwników politycznych.

Nie dał zapomnieć o sobie przez wiele lat. W 1981 roku zaatakował siedzibę Radia Wolna Europa w Monachium.

W 1982 francuska policja aresztowała, dość przypadkowo, niemiecką wspólniczkę i kochankę „Carlosa", Magdalenę Kopp. Skazano ją w końcu na 4 lata więzienia.

„Carlos" wypowiedział Francji prywatną wojnę. Po aresztowaniu Kopp napisał list do francuskiego ministra spraw wewnętrznych, domagając się jej natychmiastowego uwolnienia. Minister Deffere skłonny był negocjować serio, ale służby specjalne stanowczo się sprzeciwiły. „Carlos" odpowiedział zamachami. Najpierw bomba zdemolowała salon dla VIP-ów w ekspresie relacji Paryż–Tuluza. Zginęło 5 osób, ale nie ta, która miała zginąć – mer Paryża Jacques Chirac w ostatniej chwili zmienił plany i do Tuluzy nie pojechał. Potem były jeszcze zamach na redakcję libańskiego pisma „Al-Watan Al-Arabi" w Paryżu, wysadzenie francuskiego centrum kulturalnego w Paryżu, znów zamachy na francuskie pociągi i znów

wysadzenie francuskiego centrum kulturalnego, tym razem w Berlinie Zachodnim. I morze krwi. Służby specjalne Paryża oszacowały, że w tym antyfrancuskim cyklu zamachów „Carlos" winien jest śmierci 83 osób, w tym 15 Francuzów.

Prezydent Mitterrand polecił stworzyć podległą mu osobiście utajnioną grupę antyterrorystyczną. W światku tajnych służb nie było tajemnicą, że specgrupa dostała licencję na zabijanie. I jedno zadanie – dopaść „Carlosa". Ale najpierw trzeba było go znaleźć. Ostatnimi laty komunistyczny grunt usunął się „Carlosowi" spod nóg i terrorysta skrył się na Bliskim Wschodzie. W końcu pojawił się w Sudanie, w Chartumie. Udając ideowego muzułmanina, oddał się pod opiekę wpływowego szejka Hassana al Turabiego. Porzucił swą żonę, niemiecką terrorystkę Kopp, która odbyła karę we francuskim więzieniu i z którą miał później córkę. W Chartumie „Carlos", nie przeprowadzając rozwodu z Kopp, ożenił się z jordańską muzułmanką Abdel Salam Laną.

Ale o jego sielance dowiedziało się CIA. Amerykanie zawiadomili Francuzów. Sławny agent kontrwywiadu Philippe Rondot, spec od krajów arabskich, przyjechał do Sudanu. Rondot wiedział, że „Carlos" pije ponad miarę, zwykle 3 butelki dziennie. Jak zdobywa zakazany w muzułmańskim kraju alkohol? Francuski as śledził sklepiki w ambasadach i wpadł na trop „Carlosa". Do akcji wkroczyli dyplomaci. Paryż zaoferował rządowi w Chartumie należące do NATO zdjęcia satelitarne pozycji zajmowanych na południu Sudanu przez chrześcijańskich rebeliantów i kredyty na zakup airbusów. Sudańczycy wahali się, więc Francuzi dorzucili obietnicę pożyczki z MFW. Został jeszcze szejk al Turabi. Ale niedawno dotarła do niego kaseta wideo z nagraniem orgii „Carlosa" w Chartumie: dużo whisky, dużo panienek. Dla pobożnego muzułmanina tego było już za wiele. Rozgniewany al Turabi zdecydował się wydać pijaka.

„Carlos” popija whisky i stęka. Wczoraj w chartumskim szpitalu przeszedł zabieg udrożnienia nasieniowodów. Terrorysta chce mieć dziecko z nową żoną. Jego pragnienie zostania ojcem ułatwia robotę dotychczasowym protektorom. Wczoraj w szpitalu nagle zjawiła się policja i przekonała „Carlosa”, że musi się ukryć w szpitalu wojskowym, bo wykryto spisek na jego życie. Zamiast do szpitala terrorysta trafia jednak do obszernej willi z rozległymi balkonami położonej niedaleko posiadłości szejka al Turabiego. Tu nie ma swej prywatnej ochrony i arsenału pod ręką. Ubezpieczają go ochroniarze szejka.

Mija północ, gasną światła. „Carlos” zasypia. Budzi go szczęk kajdanek zatrzaskujących się na nadgarstkach i kostkach nóg. Ochroniarze al Turabiego wpuszczają francuskich agentów, którzy szybko dają „Carlosowi” usypiający zastrzyk. Na bezwładnego terrorystę naciągają duży, ciemny worek, znoszą do samochodu i pędzą na lotnisko, gdzie czeka już nieoznakowany samolot.

15 sierpnia 1831 ▪ poniedziałek

Ucho szpiega

Jest słonecznie, bardzo ciepło. Wymarzona pogoda do świętowania Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Ale w Warszawie nie ma nastroju do celebrowania kościelnego święta. Od rana na ulicach gromadzą się grupki cywilów i wojskowych, kawiarnie przepełnione są rozgorączkowanymi, perorującymi warszawiakami, rozeźlonymi, że polskie wojsko, zamiast bić się z Rosjanami, cofa się na Warszawę, a siedzących za kratkami rosyjskich szpiegów i zdrajców ciągle jeszcze nie osądzono. Na pl. Zamkowym gęstnieje

tłum, w którym działacz Towarzystwa Patriotycznego, radykalny rewolucjonista ks. Aleksander Kazimierz Pułaski nawołuje do usunięcia z armii nieudolnego wodza gen. Skrzyneckiego.

Założone przez uczestników sprzysiężenia Piotra Wysockiego Towarzystwo Patriotyczne nieustannie domaga się wzmożenia działań wojskowych przez generalicję powstania. Po klęskach ostatnich miesięcy i widocznej gołym okiem nieudolności wodza naczelnego oraz popierającego go prezesa Rządu Narodowego księcia Adama Jerzego Czartoryskiego Towarzystwo domaga się – tak jak warszawska ulica – dymisji gen. Skrzyneckiego oraz ukarania szpiegów i zdrajców.

O 17.00 rozpoczyna się zebranie Towarzystwa Patriotycznego w sali redutowej Teatru Narodowego. Przewodniczy adwokat z Lublina Jan Czyński, wiceprezes Towarzystwa. Już na wstępie emocje na sali sięgają zenitu. Kilku członków Towarzystwa ostentacyjnie wnosi na noszach do sali redutowej chorego działacza Towarzystwa Cyryla Grodeckiego – w tak ważnej chwili przybywają nawet powaleni ciężką niemocą.

Za ścianą, w sali teatralnej, schodzą się w tym czasie melomani na prawdziwą muzyczną ucztę – premierowe przedstawienie najnowszej opery *Fra Diavolo* Daniela François-Esprit Aubera. Rewolucyjny duch przeniknął do świątyni sztuki – elegancko odzianym gościom wręczane są programy z dorysowanymi szubienicami, na których dyndają naczelny wódz gen. Skrzynecki i prezes Rządu Narodowego książę Adam Jerzy Czartoryski

Na zebraniu Towarzystwa jako pierwszy zabiera głos ks. Pułaski. Oburza się na odwrót wojska spod Bolimowa, na opieszałość władz w osądzeniu aresztowanych generałów, żąda usunięcia z armii gen. Skrzyneckiego. Na sali redutowej zrywa się burza okrzyków: „Zdrada!", „Idźmy do zamku, wymierzmy sprawiedliwość!".

A za ścianą, w szczelnie wypełnionej sali teatralnej, zachwycona operą Aubera publiczność żąda powtórzenia uwertury.

Przewodniczący zebraniu Towarzystwa Jan Czyński zręcznie, ale i z niemałym trudem powstrzymuje obecnych przed marszem na zamek i samosądem. W końcu zgromadzeni uchwalają wysłanie do rządu delegacji z żądaniem wyjaśnień. Krótko przed godz. 20.00. do Pałacu Namiestnikowskiego ruszają pieszo Czyński, ks. Pułaski, Płużański i Nikodem Boski. Przyłącza się do nich tłum czekający przed teatrem na rezultaty zebrania w sali redutowej. Po drodze dołączają przechodnie. Na dziedziniec przed Pałacem Namiestnikowskim, w ślad za delegacją Towarzystwa, wkraczają ponad 3 tys. wzburzonych warszawiaków. Warta nie chce wpuścić delegatów Towarzystwa na salony rządowe, ale groźny pomruk tłumu robi swoje i strażnicy otwierają jednak drzwi. Do salonu, w którym właśnie obradują prezes książę Czartoryski, ministrowie – brakuje tylko ministra spraw zagranicznych Teodora Morawskiego – oraz gubernator Warszawy gen. Emilian Węgierski i dowódca Gwardii Narodowej hrabia Antoni Ostrowski, wkraczają Nikodem Boski, za nim reszta delegacji Towarzystwa Patriotycznego oraz uzbrojona pani Dembińska jako przedstawicielka ludu Warszawy. Mecenas Czyński domaga się ukarania uwięzionych już zdrajców, dymisji gen. Skrzyneckiego oraz prowadzenia wojny z większą niż dotąd energią. Książę Czartoryski, jak zawsze opanowany i powściągliwy, zapewnia iż władza panuje nad sytuacją. Książę wyjaśnia, że opieszałość sądu wojennego w kwestii zdrajców wynikała z ogromu dokumentów, które sędziowie musieli przejrzeć, i obiecuje, że ponagli ich, by procedowali śpieszniej. Na koniec prezes rządu wzywa Towarzystwo Patriotyczne do spacyfikowania nastrojów wzburzonego ludu.

W odpowiedzi Czyński uprzejmie zapewnia, że uczyni wszystko, by nie doszło do gwałtów. Gdy porozumienie rządu z Towarzystwem Patriotycznym wydaje się na wyciągnięcie ręki, nieoczekiwanie wstaje szef Wydziału Wojny i zaopatrzenia Stanisław Barzykowski, brutalnie przerywa Czyńskiemu i oznajmia, że rząd nie będzie przed byle kim zdawać rachunku ze swych działań, lecz tylko przed Sejmem. Jakby tego było mało, Barzykowski podkreśla, że armia i generalicja są w porządku, i w niezbyt parlamentarnych słowach gromi prezesa Czartoryskiego i resztę ministrów za usprawiedliwianie się przed wysłannikami ulicy.

Oburzeni delegaci Towarzystwa opuszczają salon rządu. Mimo to do tłumu na dziedzińcu Pałacu Namiestnikowskiego przemawiają spokojnie; zapewniają, że rząd postulaty ludu spełni, i wzywają do rozejścia się. Jedynie Boski podżega do rozprawienia się ze zdrajcami. Tłum rozchodzi się.

Działacze Towarzystwa, w tym i Czyński, udają się się do domów.

Rząd kończy obrady. Książę Czartoryski wraca do swych apartamentów w Pałacu Sapieżyńskim. Wkrótce jednak książę dowiaduje się, że w mieście jest niespokojnie. Przed ogród ukradkiem przedostaje się do pałacu Zamoyskich przy ul. Senatorskiej. Hrabia Zdzisław Zamoyski radzi mu, by w przebraniu oficera uciekał z Warszawy. Książę odziewa się w wojskowy mundur i w asyście koniuszego Zamoyskich wyjeżdża na Elektoralną. Tam jednak wzniesiono właśnie barykadę. Gdy prezes rządu z towarzyszem przejeżdża przez nią, ktoś go rozpoznaje i daje ognia. Kula trafia koniuszego, książę Czartoryski galopem uchodzi ze zrewoltowanego miasta.

Resztki tłumu sprzed Pałacu Namiestnikowskiego przechodzą na pl. Zamkowy. Z minuty na minutę tłum pod zamkiem gęstnieje –

zewsząd ciągnie obdarta warszawska biedota, przyzwoicie odziani kupcy, oficerowie, nawet szeregowi żołnierze. Jacyś ludzie perorują i przemawiają w tej ciżbie, co rusz zrywają się okrzyki: „Wieszać zdrajców! Wieszać szpiegów!". Tu i ówdzie ktoś strzela z pistoletu w powietrze.

Ale w tej ciżbie stoją też 2 oddziały Gwardii Narodowej, każdy niemal w sile batalionu: jeden nieopodal bramy zamkowej, drugi niedaleko kolumny Zygmunta. To aż nadto żołnierza, by tłum rozpędzić. Przy tym drugim oddziale, na koniu, w otoczeniu oficerów, stoi dowódca Gwardii Narodowej hrabia Antoni Ostrowski.

Zamku strzeże ledwie 60 gwardzistów. O 22.00 na pomoc zamkowej straży przybywa 1. Batalion 18. Pułku Piechoty Liniowej. Gdy jednak gwardziści uchylają żołnierzom bramę, wbiega przez nią na dziedziniec wymieszany z żołnierzami, rozgorączkowany tłum. Dowodzący batalionem wojska major na ten widok oświadcza, że nie będzie przelewać krwi współobywateli, każe żołnierzom ustawić karabiny w kozły.

Gwardziści stoją w tyralierze na dziedzińcu, celują w pospólstwo, ale nie strzelają. Ktoś z gawiedzi woła, że lud chce tylko wieszać zdrajców. „Aaa, skoro tak – odpowiadają oficerowie Gwardii Narodowej – to dobrze". Gwardziści na ich rozkaz opuszczają karabiny.

Kilkunastu napastników wbiega po schodach na górę, wpada na korytarz, na który wychodzą pokoje zamienione doraźnie w więzienne cele, wyłamuje zamki. Jako pierwszego z więźniów prowadzą na dziedziniec, w koszuli tylko, gen. Jankowskiego. Tam ktoś z czerni krzyczy, by krwią zdrajcy nie plamić zamku polskich królów. Kilku napastników wlecze Jankowskiego na plac przed zamkiem i opodal kolumny Zygmunta wiesza go na latarni. Hak na

jej szczycie łamie się pod ciężarem ciała i Jankowski wali się na bruk. Czerń siecze go szablami jak befsztyk i wiesza zwłoki za nogę, na uszkodzonym latarnianym słupie. Następnego, gen. Hurtiga, napastnicy zarąbują szablami i toporami na dziedzińcu zamkowym. Potem wieszają trupa za nogi na latarni przed zamkiem.

Pod kolumną Zygmunta dowódca batalionu Gwardii pyta hrabiego Antoniego Ostrowskiego, czy jego żołnierze mają rozpędzić tłuszczę i przerwać mordowanie więźniów.

„Z obywatelami trzeba obchodzić się grzecznie" – odpowiada Ostrowski. Po chwili dodaje, że wzburzony lud jest siłą wielką i wielce niebezpieczną. I odjeżdża Krakowskim Przedmieściem.

Niewielka grupka napastników wywleka z zamku generałów Sałackiego i Bukowskiego, który na próżno próbował schować się u zamkowego ogrodnika, szambelana Fenshave, którego uwięziono głównie za to, iż jego brat sprawował funkcję szefa tajnej policji wielkiego księcia Konstantego, i panią Bazanow. Gen. Bętkowski wyskakuje przez okno na balkon i łamie nogę. Napastnicy rąbią szablami i siekierami Bętkowskiego oraz Bukowskiego; pozostałych wieszają na latarniach.

Mordują kilkunastu, może kilkudziesięciu napastników. Wielotysięczny tłum przygląda się temu w świetle ulicznych latarni, ręcznych lamp i pochodni.

Gdy przed zamkiem nie ma już kogo ćwiartować ani wieszać, część tłumu rusza na Stare Miasto, do więzień w Starej Prochowni oraz w klasztorach Dominikanów i Franciszkanów. Tam siedzą aresztowani w pierwszych dniach powstania szpiedzy wielkiego księcia Konstantego. O 2.00 napastnicy wywlekają z cel u franciszkanów i wieszają głośnego agenta Józefa Mateusza, *alias* Joela Birnbauma, oraz Kozaka Dietkę, który chłopkom wyrywał piersi, chcąc wymusić informację o ukrytych pieniądzach. Obaj idą

na sznur. Godzinę później czerń wkracza do więzienia śledczego w Prochowni i wiesza byłego majora Antoniego Petrykowskiego, który denuncjował studentów, oraz szpiega Balona. Z rozpędu pospólstwo wiesza też Stanisława Łubę, który za kratki trafił za jakieś błahe przestępstwo.

Od dominikanów wywlekają gen. Hankiewicza, którego biją i wieszają.

Ponad 600 ludzi maszeruje spod zamku aż do rogatek wolskich, do Domu Przytułku i Pracy. Straż więzienna nie chce otworzyć bramy, ale napastnicy wdzierają się siłą. Wywlekają z sal niemal 20 szpiegów i pospolitych złoczyńców. Jednych szatkują na śmierć od razu, innych wloką na ulicę i wieszają na latarniach. Szley, szpieg wielkiego księcia, prześlizguje się na strych. Gdy napastnicy pytają z dołu, kto zacz, odpowiada, że swój, sprawdza tylko, czy aby na strychu nie schował się... Szley. Ktoś przypomina sobie, że szpieg ma jedno ucho nienormalnie duże i każe mu zejść na dół, zdjąć czapkę.

Po chwili Szley wisi na latarni.

O 4.00 zmęczone mordowaniem pospólstwo idzie spać.

16 sierpnia 1936 ▪ niedziela

Dwie minuty złota

Na głównym stadionie olimpijskim w Berlinie nie ma wolnego miejsca. 90 tys. widzów przyszło oklaskiwać zwycięstwo niemieckiej drużyny w najbardziej prestiżowej konkurencji jeździeckiej, drużynowym konkursie wszechstronności konia, zwanym także *military*. W loży honorowej jest kanclerz Rzeszy Adolf Hitler i tłum oficjeli III Rzeszy.

Dziś ostatnia część trzydniowych zmagań – konkurs skoków. Drużynowy konkurs wszechstronności konia jest oczkiem w głowie gospodarzy igrzysk i Hitlera osobiście. Znakomita większość startujących w nim jeźdźców to zawodowi wojskowi, a sport jeździecki jest szczególnie kultywowany we wszystkich europejskich armiach. Stąd zwycięstwo w drużynowym konkursie *military* ma dla hitlerowskich władz szczególne znaczenie.

Niemcy przygotowali w tym roku fantastyczną ekipę jeździecką. Koneserzy tego sportu zgodnie uważają, że tak mocna drużyna nigdy dotąd na igrzyskach nie startowała. Ale konkurencja jest silna. Niemcy szczególnie obawiają się świetnych Polaków, choć wysłaniu ekipy *military* do ostatniej chwili sprzeciwiało się wielu polskich działaczy olimpijskich; przeważyło szalę dopiero wzięcie za jej wyjazd do Berlina osobistej odpowiedzialności przez szefa wyszkolenia polskich kawalerzystów płk. Tadeusza Komorowskiego.

Przedwczoraj odbył się konkurs ujeżdżania. Rtm. Zdzisław Kawecki na Bambino, rtm. Henryk Leliwa-Roycewicz na Arlekinie III i rtm. Seweryn Kulesza na Tosce zajęli dobre, 4 miejsce.

Wczoraj zawodnicy wystartowali do najtrudniejszej próby – wytrzymałości terenowej zwanej *cross-country*. Organizatorzy przygotowali 8-kilometrową trasę o morderczym wręcz, niespotykanym dotąd w sporcie jeździeckim stopniu trudności. Dla konkurentów miała być zaskoczeniem. Niemieccy jeźdźcy od dawna specjalnie przygotowywali się na niej do walki. Jedną z przeszkód organizatorzy podstępnie zamienili w groźną pułapkę. Za niewinnie wyglądającą drewnianą żerdzią do skoków płynie nieduża struga. Na wprost środka żerdzi, tam gdzie zwykle jeździec i koń pokonują przeszkodę, wykopano głębię z grząskim dnem. Tylko z lewej strony pozostał wąski pasek leżącego płytko twardego dna. I właśnie na lewo skakali wszyscy 3 jeźdźcy niemieccy.

Trudnej trasy z pułapkami nie ukończyło mnóstwo zawodników. Zdekompletowaniu i dyskwalifikacji uległo aż 10 reprezentacji narodowych: Bułgarii, Danii, Francji, Holandii, Japonii, Szwecji, Szwajcarii, Węgier, Włoch i USA. Takiej sytuacji na igrzyskach nigdy jeszcze nie było.

Rtm. Leliwa-Roycewicz jechał wczoraj na Arlekinie III wprost znakomicie. Aż do przeszkody-pułapki. Dopiero w chwili gdy jego Arlekin odbijał się do skoku, któryś z polskich kibiców krzyknął: „Lewą stroną, lewą!". Było jednak już za późno. Arlekin nie złapał równowagi, konia i jeźdźca przykryła woda. Koń błyskawicznie zerwał się na nogi, ale rtm. Roycewicz wygrzebał się z mulistego dna dopiero po dłuższej chwili. Sędziowie niesłusznie zaliczyli mu upadek bez konia i dodali 80 punktów karnych. Za upadek z koniem powinien dostać tylko 40.

To nie był koniec manipulacji. Niemieccy sędziowie, widząc, że Polacy mogą zagrozić ekipie gospodarzy, oszukańczo nakazali rtm. Roycewiczowi powtórzenie przejazdu części trasy. Dodatkowych 5 km piekielnie trudnego crossu wykończyło Arlekina.

Nie mniejsze kłopoty miał wczoraj rtm. Kawecki. Jego Bambino skaleczył się w piętkę przedniej nogi i zaczął kuleć. Gdyby zauważyli to sędziowie, musieliby wykluczyć konia z konkursu, a dyskwalifikacja choć jednego zawodnika oznacza w konkursie wszechstronności konia wierzchowego dyskwalifikację drużyny. Ale udało się. Bambino jechał coraz lepiej. Rtm. Kawecki upadł jednak na 23. przeszkodzie, uderzył o drąg i złamał 2 żebra. Mimo ogromnego bólu wstał i pojechał dalej. Na ostatniej, 35. przeszkodzie znów upadł, tym razem z koniem, ale zataczając się z bólu i zmęczenia, dosiadł Bambino i bieg ukończył. Co więcej, w próbie tej zajął 2. miejsce.

Dziś jako jeden z pierwszych zawodników startuje rtm. Kulesza. Dla koni trenowanych wyłącznie do skoków *parcour* jest stosunkowo łatwy, żadna z 12 przeszkód nie ma więcej niż 115 cm. Ale dla wszechstronnych koni wojskowych, umęczonych wczorajszym crossem, to kolejna droga przez mękę. Po wczorajszym wyczynie rtm. Kaweckiego polska drużyna jest na 3. miejscu, zaledwie 40 punktów za Bułgarami. Jest szansa na medal. Może nawet srebrny. Rtm. Kulesza jedzie znakomicie. Tosca bardzo dobrze zniosła trudy wczorajszego biegu terenowego, nie peszy się obcym otoczeniem. Jest tak pełna temperamentu, że jeździec musi często z całych sił powściągać wodze. Klacz przechodzi *parcour* bezbłędnie w świetnym czasie 111,2 s. To 2. czas przejazdu, po 110 s. Duńczyka Grandjeana. Doskonale!

Teraz startuje Bułgar mjr Semow. Myli kolejność przeszkód, kilka z nich wyłamuje. Wreszcie rozlegają się dzwonki sędziów. Dyskwalifikacja Semowa oznacza dyskwalifikację drużyny bułgarskiej. Polska jest już na 2. miejscu!

Na stadionie zapada śmiertelna cisza. Niemcy mają po wczorajszym dniu wielką przewagę nad Polską, ale by wziąć złoto,

muszą ukończyć konkurs skoków w komplecie. Tymczasem por. Konrad von Wangenheim upadł wczoraj na crossie ze swego Kurfuersta, koń przygniótł go i paskudnie złamał mu prawe przedramię. Wangenheim jedzie powoli, po każdym skoku grymas bólu wykrzywia mu twarz. Po 7. przeszkodzie regulamin wymaga osadzenia konia na miejscu i rozpoczęcia jazdy w odwrotnym kierunku. Tymczasem von Wangenheim złamaną ręką ściąga wodze za słabo. Kurfuerst ślizga się i pada na ziemię. Płyną sekundy, a koń nie daje znaku życia. W tej chwili Polska ma złoty medal w kieszeni. Za chwilę na *parcour* wjedzie samochód sanitarny i wywiezie biedne zwierzę. Mija druga minuta, sędziowie już dają znaki, by konia usunąć, gdy nagle Kurfuerst budzi się z omdlenia, z trudem wstaje na nogi. Von Wangenheim kończy przejazd. Otrzymuje co prawda 36,75 punktu karnego, ale ratuje Niemcy od dyskwalifikacji i utraty złotego medalu. Stadion wstaje z miejsc, zrywa się ogłuszająca owacja.

Teraz w opałach są Polacy. Arlekin rtm. Roycewicza jest zmordowany po wczorajszej, niesprawiedliwej rundzie karnej. Wprawdzie sędziowie, po proteście, odliczyli mu rano 15 minut z wczorajszego czasu, ale sił koniowi to nie wróciło. Arlekin jedzie coraz wolniej, w połowie dystansu powłóczy nogami. Rtm. Roycewicz czuje, że koń nie ma sił, by skoczyć trudną przeszkodę z wodą. Z zimną krwią zsiada z Arlekina, bierze go za uzdę i prowadzi tak, że koń piersią rozbija barierę i przeprawia się przez wodę. 90 tys. widzów patrzy na to w całkowitym osłupieniu, ale formalnym wymogom regulaminu staje się zadość i przeszkoda musi być zaliczona. Polska drużyna jest uratowana od dyskwalifikacji. Roycewicz zarabia 20 punktów karnych, ale nie ma to już znaczenia.

Zatem medal? Nie, jeszcze nie. Wczoraj na crossie Bambino uszkodził sobie chorą piętkę przedniej nogi i paskudnie kuleje. Takiego konia sędziowie mają obowiązek wykluczyć. Od 3.00 polscy luzacy nieustannie przez 7 godzin biegali z koniem po wybiegu i masowali mu nogę – wszystko po to by zwierzę zapomniało o bólu i stąpało normalnie. Bambino pod rtm. Kaweckim wyjeżdża na *parcour* na tyle płynnie, że sędziowie nie dostrzegają kontuzji. Pierwsze przeszkody bierze bardzo dobrze. Ale z czasem noga dokucza coraz bardziej. Przed łatwą przeszkodą odmawia skoku, wpada do rowu.

Na szczęście teraz sędziowie nie są zbyt surowi. Kończy się na 40 punktach karnych.

Jest srebro!

Nocą na tym samym stadionie zaczyna się uroczystość zakończenia igrzysk. Potężne reflektory rozświetlają wypełnione po brzegi trybuny, potem strzelają w niebo. Jeden z nich rozświetla wypisany na murze wielkimi literami cytat z barona de Coubertina. Poczty sztandarowe wkraczają na murawę stadionu. Szef MKOl hrabia Baillet-Latour dziękuje organizatorom, a szczególnie osobiście Hitlerowi. Chóry śpiewają pieśń Beethovena. Pięciu ubranych na biało niemieckich olimpijczyków opuszcza z masztu flagę olimpijską i wynosi ze stadionu. Reflektory wydobywają teraz z ciemności wielką tablicę z napisami: „Ateny 1896, Berlin 1936, Tokio 1940". Megafony grzmią: „Wzywam młodzież świata do Tokio!".

17 sierpnia 1969 ▪ niedziela

Drinkujący z Camille

Późnym rankiem do sklepu ze sprzętem rybackim i myśliwskim w Pass Christian, na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej w stanie Missisipi, wchodzi biały mężczyzna. Sklepikarz zna go słabo, ten facet mieszka tu od niedawna. Podekscytowany klient pyta, co powinien kupić, by przygotować się na nadejście huraganu.

– To będzie twój pierwszy? – pyta dobrotliwie sklepikarz.

– Tak, jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

– No to kup sobie flaszkę dobrego bourbona, usiądź wygodnie i zrelaksuj się. Zobaczysz, będzie świetnie.

Tu, w Missisipi, miejscowi nauczyli się żyć z huraganami. Choć każde ich uderzenie przynosi zniszczenia i straty materialne, choć czasem giną ludzie – najsilniejsze huragany zabierają dziesiątki, a bywało, że i kilkaset ofiar śmiertelnych – i choć dezorganizują one wszystkim życie, dla wielu swojaków są one niemałą rozrywką. W Missisipi popularne są *hurricane parties*, sąsiedzkie imprezy z chowanymi pod wodoszczelnymi kurtkami flaszkami bourbona, puszkami piwa i sandwichami (lekkie grille odfrunęłyby w straszliwej wichurze jako pierwsze). Lokalni twardziele, zamiast ewakuować się lub chować do przeciwhuraganowych schronów, jak zalecają władze, radosnym popijaniem witają wściekłe ataki natury.

Sklepikarz, który odesłał szukającego sztormiaka, latarki, lin, myśliwskich noży i Bóg wie jeszcze czego żółtodzioba po whiskey, nie jest tego dnia wyjątkiem. Tu, w Pass Christian, w niedawno zbudowanym tuż przy plaży eleganckim apartamentowcu Richelieu Apartments, którego skrzydła okalają zadbany ogród ze sporym basenem, kilkunastu mieszkańców umawia się na *hurricane party* w saloniku na najwyższym piętrze, skąd będą mieć najlepszy widok na szalejące żywioły. Kilkanaście grupek mieszkańców nadbrzeżnych miast i osad zbiera się na *hurricane party* po prostu na plaży. Za nic mają dramatyczne apele Billa Tilsona, głównego

meteorologa z Mobile, który w lokalnych stacjach radiowych i telewizyjnych zaklinał mieszkańców Missisipi, Luizjany, Kentucky i Florydy, by nie lekceważyli nadchodzącego huraganu.

Narodowe Centrum Huraganów w Miami na Florydzie nadało mu imię Camille – tradycyjnie huragany, czyli cyklony tropikalne, szalejące na północnym Atlantyku, otrzymują imiona żeńskie. Camille narodziła się przed 12 dniami u zachodnich brzegów Afryki, dobrze ponad 500 km na północ od równika. Rozgrzana do niemal 30 stopni C oceaniczna woda, niezbyt silne wiatry w tym rejonie i obecność wypiętrzonych chmur burzowych na ogromnym obszarze spowodowały powstanie fali tropikalnej, która ruszyła przez Atlantyk na zachód. 4 dni później fala ta była już wyraźnie widoczna na zdjęciach amerykańskich satelitów. Ciągle jednak nie było pewności, czy to naprawdę cyklon, czyli z wolna przesuwający się układ niszczycielskich wiatrów szalejących z rosnącą prędkością w zamkniętym kręgu wokół ogromnego, liczącego kilkadziesiąt, a czasem i kilkaset kilometrów, układu niskiego i z początku dalej obniżającego się ciśnienia.

Przed 4 dniami ta gigantyczna fala tropikalna przeszła nad południowym wybrzeżem Jamajki i rozprzestrzeniła się na północ, nad Bahamy. Amerykańscy meteorologowie ciągle jednak nie mieli pewności, czy cyrkulacja powietrza wokół rozległej strefy niskiego ciśnienia jest domknięta – brakowało zatem dowodów, że powstał tropikalny cyklon. Przed 3 dniami, 14 sierpnia, z Florydy wystartowały nad ocean, w kierunku nadciągającej meteorologicznej niewiadomej, 2 Hurricane Hunters (Łowcy Burz), 4-silnikowe samoloty WC-130 z 53. Eskadry Rozpoznania Pogodowego USAF. Hurricane Hunters to samoloty z załogą doświadczonych pilotów, które wlatują w środek cyklonów, by zbadać ich wielkość, panujące tam ciśnienie i prędkość okrążających

je wiatrów. Teraz Hurricane Hunters miały przede wszystkim sprawdzić, czy zamknął się gigantyczny krąg cyrkulacji wiatrów wokół kolistej strefy silnie obniżonego ciśnienia. Raport Łowcy znad Bahamów był uspokajający – nie stwierdził domykania się fatalnego kręgu cyrkulacji wiatrów. Ale drugi Łowca, krążący nad Kajmanami i wielokrotnie przelatujący przez falę burzową, donosił, że jego zdaniem tworzy się ośrodek niskiego ciśnienia atmosferycznego, który obiegają wiatry z prędkością 50 km/h. Były one na tyle silne, że wieczorem Narodowe Centrum Huraganów nadało cyklonowi nad Kajmanami najniższy status – sztormu tropikalnego. I imię Camille.

15 sierpnia Hurricane Hunters nie miały po co startować – Camille przetaczała się nad zachodnim krańcem komunistycznej Kuby. Na Kubą bardzo się wzmogła, ciśnienie w strefie centralnej spadło do 964 hPa, zaś wiatry szalały wokół centrum z prędkością przekraczającą 100 km/h. Camille stała się małym cyklonem tropikalnym o średnicy podmuchu wiatrów na obwodzie ok. 160 km, posuwającym się na północ z prędkością kilkunastu kilometrów na godzinę. Na Kubie władze zarządziły alarm huraganowy, z wyspy Sosen i północnego krańca Kuby ewakuowano mieszkańców i ponad 10 tys. sztuk bydła. Camille wyrządziła tam wiele szkód.

Hurricane Hunters mogły wystartować dopiero wczoraj, gdy Camille opuściła tereny Kuby i wyszła na wody międzynarodowe Zatoki Meksykańskiej. Wczesnym popołudniem załoga WC-130 z Florydy zameldowała, że strefa niskiego ciśnienia, tzw. oko cyklonu Camille, skurczyła się w ciągu nieco ponad doby ze 160 km do 13 km. Wiatry przyspieszyły do 185 km/h. Camille opuściła Kubę już jako duży huragan. Po południu, podczas drugiego lotu w środek Camille, Hurricane Hunter odnotował w oku cyklonu niebywale

niskie ciśnienie 908 hPa, najniższe, jakie kiedykolwiek zmierzono z pokładu samolotu meteorologicznego. Wokół oka wiatry szalały z prędkością 250 km/h.

Specjaliści z Narodowego Centrum Huraganów wiedzieli już, że Camille to jeden z najsilniejszych cyklonów w historii Stanów. Nie mieli jednak pojęcia, w którym miejscu wtargnie na ląd. Większość meteorologów uważała, że Camille skręci nad Zatoką na wschód i uderzy gdzieś w połowie Florydy. Tylko Bill Tilson z Mobile od 15 sierpnia bombardował władze stanowe Missisipi i Waszyngton przestrogami, że huragan uderzy o wiele bardziej na zachód, gdzieś w rejonie ujścia rzeki Missisipi. Dziesiątki tysięcy słuchaczy potraktowały jego przepowiednie serio i wyjechało ze swych domów już 15 i 16 sierpnia.

Dziś jest już jasne, że dzięki Tilsonowi uratowały się tysiące ludzi. Camille niczym gigantyczny buldożer prze z prędkością 12 km/h nad wodami Zatoki Meksykańskiej na północ, ku brzegom Missisipi. Wiatry na obwodzie oka cyklonu osiągnęły prędkość 314 km/h. To najgroźniejszy huragan w historii Stanów, ma już najwyższą, piątą kategorię.

Wieczorem Hurricane Hunter z Florydy znów próbuje wlecieć w środek Camille. Huragan na jej obwodzie uszkadza jednak jeden z silników. WC-130 z trudem wraca do bazy. Dzięki temu lotowi wiadomo jednak, że Camille ma nietypowe proporcje zwiastujące gigantyczne wiatry i ogromne fale na Zatoce Meksykańskiej. Władze stanów nad Zatoką mobilizują Gwardię Narodową, wzywają ludność do natychmiastowej ewakuacji, w głębi lądu organizują obozy dla uchodźców. Turyści w mig wykupują żywność ze sklepów. Z nadbrzeżnych hrabstw ucieka ponad 200 tys. ludzi. Burmistrz Gulfport nakazuje wypuścić więźniów na wolność, ale

żaden z nich nie decyduje się na opuszczenie solidnych, betonowych murów tutejszego więzienia.

Na parę godzin przed uderzeniem huraganu z wielkich bagien masowo wypełzają węże i uciekają do miasteczek. W swoim ogródku za domem w Pensacola Anna Mansfield widzi scenę jak z kiepskiego telewizyjnego horroru: spod setek węży black water moccasins i cottonmouth nie widać trawnika. Rodzina Mansfield ucieka z krzykiem, ale wszędzie, nawet na trawnikach, spanikowani sąsiedzi natykają się na gady.

O 23.30 Camille uderza w wybrzeże Missisipi w rejonie Christian Pass. Dosłownie roznosi w drzazgi, do piwnic, stare, 100-letnie rezydencje nad morzem w pasie od Christian Pass do Biloxi, które wytrzymały już ataki dziesiątki huraganów. Wysoka na 8 m fala pływu zmiata z powierzchni ziemi 3-piętrowy kompleks Richelieu Apartments, zbudowany tak solidnie, że w planach obrony cywilnej przeznaczony był na schronienie podczas bombardowań wrogich samolotów. Z *hurricane party* na 3. piętrze uchodzi z życiem tylko jeden z gości, Ben Duckworth. Na plaży pod Christian Pass ulokowało się kilkanaście sporych grupek uczestników *hurricane party*, którzy ten sposób witania nawałnicy nazywają „ujeżdżaniem huraganów". Policjanci jeszcze przed 5 godzinami namawiali uczestników, by czym prędzej wynieśli się z plaży. Teraz porywa ich 8-metrowa ściana wody. Z największej, 24-osobowej grupy „ujeżdżaczy" uchodzi z życiem tylko trzech.

Fale i wichura wyrzucają na brzeg 24 statki, w tym kilka wielkich oceanicznych frachtowców. W pobliżu Gulfport huragan unosi w górę dom, który przeleciawszy w powietrzu kilkadziesiąt metrów, opada bez widocznych uszkodzeń na tory kolejowe.

Z betonowej stacji benzynowej kapryśna Camille zostawia tylko 3 samotne dystrybutory paliwa, zaś na zalanej wodą autostradzie 90

usypuje ogromną stertę lodówek, mebli i odkurzaczy.

Huraganowi towarzyszy biblijna ulewa. W ciągu paru godzin spada ponad 60 cm deszczu. Całe połacie pól zalewa woda o głębokości 4,5 m.

Największy dziw natury sprawia Camille w centralnym obozie dla uchodźców w Camp Shelby. Jego dowódca płk Preston L. Jackson za nic ma praktykowaną na Południu segregację rasową. W 50-osobowych barakach z piętrowymi łóżkami, bez ścianek działowych, lokuje pospołu białych i czarnych. Choć to niewiarygodne, nikt nie protestuje, nie awanturuje się. Białe i czarne dzieciaki zgodnie bawią się na placu. W obliczu straty dorobku życia kolor skóry nie ma znaczenia.

Msza przed ruinami St. Thomas Catholic Church w Long Beach

18 sierpnia 1906 ▪ sobota

Trzy damy z bombą

Porucznik lejbgwardii książę Gagarin wychodzi na balkon swojego warszawskiego apartamentu przy ul. Natolińskiej nr 12. Książę mieszka na pierwszym piętrze narożnej eleganckiej kamienicy na rogu Natolińskiej i Koszykowej. Na brukowanej kocimi łbami ulicy prawie nie ma przechodniów, tym chętniej więc książę Gagarin rzuca okiem na sąsiedni balkon. Siedzi tam na małym foteliku młoda, ładna blondynka w jasnej sukni. Panienka nie odwzajemnia spojrzenia oficera, wypatruje czegoś na pustej ulicy. W dole przejeżdża powóz otoczony eskortą 12 Kozaków. Panna znika i po chwili wraca. Na balustradzie książę dostrzega spore pudełko owinięte eleganckim żółtym papierem z takąż wstążeczką. Panna znów kryje się w mieszkaniu, więc książę wraca do swego salonu.

Elegancka panienka to Wanda Krahelska. Jej ojciec Aleksander jako młody chłopak poszedł z Krakowa do powstania styczniowego, do oddziału jazdy płk. Kurowskiego. Jako jeden z nielicznych przeżył starcie z Kozakami w Miechowie. Córki Aleksandra, Maria i Wanda, wychowane w poczuciu patriotycznego obowiązku, obrały w życiu odmienne drogi. Maria zaangażowała się w pracę oświatową dla ludu; Wanda trafiła do PPS.

Najpierw pełniła obowiązki „wielbłąda” – rozwoziła po kraju partyjną bibułę. Miesiąc temu jednak porzuciła pracę w tajnym kolportażu i zgłosiła się do działalności bojowej. Początkowo brała tylko udział w planowaniu i przygotowywaniu akcji. W czasie narad konsekwentnie sprzeciwiała się prowadzeniu przez Organizację Bojową akcji ekspropriacyjnych, czyli napadów na banki i kasy, celem zdobycia pieniędzy na potrzeby partii. Wedle

niej to niebezpiecznie zbliżało działalność ideową do zwykłego bandytyzmu.

Pierwszą akcją bojową Wandy ma być zamach na carskiego generał-gubernatora Gieorgija Antonowicza Skałona. Dopóki premierem w Petersburgu był stosunkowo liberalny hrabia Sergiusz Witte, Skałon musiał w stosunku do rewolucjonistów i ludności cywilnej trzymać się ściśle przepisów rosyjskiego prawa. Gdy jednak na miejsce Wittego mianowany został znany z bezwzględności Piotr Stołypin, generał-gubernator mógł nad Wisłą pokazać, na co go stać. Najpierw ogłosił „stan wzmożonej ochrony", potem „stan oblężenia", w końcu „stan wojenny". Dzięki temu mógł zastąpić sądownictwo cywilne sądami polowymi. To Skałon zarządził masowe wyprowadzenie carskiego wojska na ulice polskich miast, nieustanne rewizje na ulicach i w mieszkaniach, masowe aresztowania, przetrzymywanie aresztowanych bez sądu, egzekucje po parodiach procesów przed sądami polowymi.

OB PPS w końcu wydała na niego wyrok. Ale dopadnięcie generał-gubernatora nie jest proste. 2 zamachy bombowe spaliły na panewce, a Skałon wprowadził nadzwyczajne środki ostrożności; prawie nie opuszcza Belwederu.

Gdy wśród niemal 5 tys. bojowców PPS rozeszła się pocztą pantoflową wieść o przygotowaniach do trzeciego zamachu, chęć dokonania go zgłosiły setki konspiratorów. Władze bojówki PPS wybrały Krahelską. Młoda kobieta mniej zwraca uwagę szpicli ochrany.

Ciemnowłosa Wanda w blond peruce zjawiła się 1 sierpnia w narożnej kamienicy na Natolińskiej. W tym rejonie miasta mieszkają w większości Rosjanie. Wanda przedstawiła się administratorowi domu jako Antonina Iwanowna Kozłowska i dała do zrozumienia, że jest krewną znanego i wpływowego ordynata

Zamoyskiego, a mieszkania szuka dla swej cioci. Zachowywała się stosownie do tak wysokich koligacji: szukała mieszkania z balkonem wychodzącym na Natolińską, na najbardziej prestiżowym, pierwszym piętrze, z wszelkimi wygodami, za to bez modnych lamp gazowych – mają przecież tak irytujące światło. I żeby jeszcze w podwórzu nie było żadnych psów, bo ich poranne szczekanie byłoby nie do wytrzymania.

Krahelska zapowiedziała administratorowi, że meble, naturalnie z fortepianem na czele, przyjadą wkrótce. Po wręczeniu bardzo wysokiego zadatku Wanda wprowadziła się na Natolińską. Sprowadziła ze sobą komplecik eleganckich mebelków, stos zeszytów z nutami i przybory malarskie. Wyposażenie to oraz zaliczka były sporą wyrwą w finansach Organizacji Bojowej.

W końcu „panna Kozłowska" przyjęła służbę. Pokojówkę i kucharkę rzekomo znalazła w kantorze pośrednictwa pracy. Naprawdę były to jej towarzyszki partyjne Albertyna Helbertówna i Zofia Owczarek. Wszystkie trzy posługiwały się sfałszowanymi paszportami na fikcyjne nazwiska. Wytworny sposób bycia eleganckiej „panny Kozłowskiej" sprawił, że administrator nie dostrzegł nic niepokojącego w odwlekaniu przez nią zameldowania się w policyjnym cyrkule.

Co więcej, przed 2 tygodniami nad wyraz urodziwa Zofia Owczarek – nie na darmo w konspiracji nazywano ją laleczką – wpadła w oko mieszkającemu parę domów dalej młodemu, przystojnemu urzędnikowi, a i sama nie pozostała obojętna na jego zaloty. No, samo życie, tak to z ładną kucharką zawsze bywa, komentowano w kamienicy.

Jedynie dozorca dziwił się, że panna z dobrego towarzystwa jest na „ty" z ledwo co przecież poznanymi służącymi, a one wołają na nią „Harna".

3 zajęte swoimi sprawami panny w rzeczywistości czekały na przejazd pod balkonem ich mieszkania eleganckiego ekwipażu generał-gubernatora.

Zamach na Skałona mógł powieść się tylko pod warunkiem, że uda się go wywabić z Belwederu. Ale jak? Mieczysław Mańkowski, bojowiec PPS, weteran ruchu robotniczego, w 1886 roku skazany w wielkim procesie partii „Proletariat" na 16 lat katorgi, a przy tym przyjaciel i mentor Wandy Krahelskiej, znalazł sposób.

Przed paroma dniami postawny, przystojny pepeesowiec Michał Trzos, przebrany w mundur rosyjskiego oficera, podszedł do idącego, jak co dzień, z niemieckiego konsulatu przy ul. Jasnej 1 do klubu myśliwskiego przy ul. Erywańskiej, niemieckiego wicekonsula barona Gustawa Lerchenfelda. Na oczach przechodniów uderzył dyplomatę w twarz i krzyknął: „*Wot tiebia, mać twoja, za interwenciju!*". Wyglądało na to, że na Lerchenfelda napadł jakiś oficer nacjonalista, mszcząc się za interwencję polityczną rządu kazjera w Petersburgu w interesie prowadzącej wojnę z Rosją Japonii. Trzos perfekcyjnie odegrał rolę butnego rosyjskiego oficera. Gdy chwilę po incydencie wskoczył do dorożki, wrzasnął na całe gardło na woźnicę: „*Walaj, durak!*".

Jak przewidzieli bojowcy PPS, wicekonsul zameldował o incydencie Ministerstwu Spraw zagranicznych w Berlinie. Międzynarodowy skandal mogły zażegnać tylko przeprosiny najwyższego przedstawiciela carskiej władzy w Warszawie generał-gubernatora Skałona. Zgodnie z dyplomatycznym protokołem, przepraszający musiał złożyć osobistą wizytę przepraszanemu.

Baron Lerchenfeld mieszka na Natolińskiej, pod nr. 9. Za tą kamienicą, w stronę Nowowiejskiej, Natolińska jest zagrodzona z powodu robót kanalizacyjnych. Jeśli powóz Skałona wjedzie w ul. Natolińską, to tylko pod oknami mieszkania zajętego przez

Krahelską i jej towarzyszki. Wyjechać może też tylko pod ich balkonem.

Przed paroma dniami kurier OB PPS dostarczył do mieszkania na Natolińskiej 4 bomby, 2 nafaszerowane dynamitem, 2 – melinitem. Wyprodukowano je ponad rok wcześniej w konspiracyjnym warszawskim laboratorium braci Mieczysława i Pawła Dąbkowskich. Materiały wybuchowe ofiarowali na potrzeby PPS górnicy Kopalni Kazimierz koło Strzemieszyc (samego dynamitu udało się im zaoszczędzić podczas prac pod ziemią ponad 650 kg). Mimo eksperymentowania, udoskonalania pocisków wytwórnia braci Dąbkowskich ciągle borykała się z niską skutecznością zapalników własnej konstrukcji. Często zawodzą podczas akcji, ale lepszych w konspiracji nie ma.

Wiadomość, że Skałon złoży dziś o 16.00 wizytę Lerchenfeldowi, Krahelska, Helbertowna i Owczarkówna dostały wczoraj wieczorem. Od rana porządkowały swoje rzeczy, paliły korespondencję i papiery, które mogłyby naprowadzić ochranę na ich ślad. Ta misja wygląda na samobójczą i wszystkie 3 panny o tym wiedzą, ale nie można przecież wykluczyć, że ucieczka po zamachu jednak się powiedzie.

Dwukonny powóz Skałona otoczony przez tuzin Kozaków na koniach, z karabinami na ramieniu, zatrzymuje się przed kamienicą nr 9. Generał-gubernator w asyście swego adiutanta rotmistrza gwardii barona Karla Kruedener-Struvego wchodzi do bramy.

Krahelska kładzie bombę dynamitową na balustradzie balkonu, drugą, melinitową, trzyma w dłoniach. Owczarkówna też bierze bombę. Skałon ze względów bezpieczeństwa nie zapowiedział swej wizyty i teraz nie zastaje Lerchenfeda w domu. Już po upływie 2 minut generał-gubernator w towarzystwie adiutanta wychodzi

z bramy i wsiada do powozu, który bardzo wolno rusza w stronę Koszykowej.

Gdy powóz jest mniej więcej 10 kroków przed balkonem, Krahelska rzuca bombę trzymaną w dłoniach. Ważący 5 kg pocisk uderza z hukiem o bruk, ale nie eksploduje. Krahelska natychmiast rzuca bombę leżącą na balustradzie; równocześnie Owczarkówna ciska trzeci ładunek. Jadący konno tuż przy powozie Kozak Koźlikin dostrzega lecący wprost na niego przedmiot. Odruchowo zasłania się ręką. Bomba uderza go w przedramię, kaleczy je i odbita, leci w bok. 2–3 sekundy później eksploduje. Błysk i huk ogłuszają Kozaków z eskorty. Spłoszone konie ponoszą powóz, dym wypełnia ulicę. Ogłupiali Kozacy zeskakują z koni, z karabinami w rękach usiłują wedrzeć się do kamienic. Ale rozporządzenia policyjne nakazują dozorcom zamykanie bram po to, by demonstranci i rewolucjoniści nie mogli nigdzie znaleźć schronienia. Kozacy biją kolbami w odrzwia, mijają bezcenne minuty.

Krahelska zdejmuje blond perukę, przebiera się z jasnej sukni w skromne, ciemne ubranie. Jej towarzyszki także zmieniają sukienki. Schodzą na dół. Dozorca już otworzył bramę, ale Kozacy teraz miotają się po bruku i wypatrują czegoś na dachach. Któryś z nich krzyknął, że bomby rzucał z dachu brodaty mężczyzna.

3 dziewczyny, przez nikogo nieniepokojone, spokojnym krokiem dochodzą do alei Róż i wsiadają do dorożki.

Krahelska jest w kiepskim nastroju. Domyśla się, że Skałon przeżył. I rzeczywiście, ani generał-gubernator, ani baron Kruedener-Struve nawet nie został ranny. Skałon jedynie nie dosłyszy na jedno ucho. Rany odnieśli 2 Kozacy z eskorty i stojący przed kamienicą rewirowy.

Ale, co gorsza, dziewczęta nie mają pojęcia, że Krahelska, paląc swe listy, nie dopilnowała, by nie pozostawić żadnych śladów. Na

Natolińskiej z każdą minutą przybywa żandarmów i żołnierzy. Wkrótce otaczają cały kwartał domów i zaczynają rewidować mieszkanie po mieszkaniu. W mieszkaniu „panny Kozłowskiej", na podłodze przed drzwiami balkonu, znajdują ciężki pakunek. Oficerowie ostrożnie znoszą paczkę na dół, kładą na bruku i powoli rozwijają papier. Bomba!

Sędzia śledczy Blius znajduje w łazience kupkę popiołu, a pod nią niedopalony list. Odczytuje: „... ponieważ, zanim ten list otrzymasz, może się stać coś decydującego o moich losach...", i odcyfrowuje fragment podpisu: „Krah...".

19 sierpnia 1981 ▪ środa

Major Maeena zwycięża sześć razy

Na liczącym niemal 80 m pokładzie startowym amerykańskiego lotniskowca atomowego USS „Nimitz" od świtu krzątają się dziesiątki żołnierzy obsługi lotniczej. Na mundurach mają kamizelki w jaskrawych kolorach, na głowach – wielkie hełmy i słuchawki chroniące uszy przed hałasem samolotowych silników.

Samoloty rozpędzane są na pokładzie przez parowe katapulty. Straszliwie ryczą silniki. Jeden po drugim myśliwce F-14A Tomcat odrywają się od pokładu i od razu ostro nabierają wysokości. Oba samoloty należą do dywizjonu VF-41 Black Aces stacjonującego na USS „Nimitz". Samolot prowadzący z kodem taktycznym Fast Eagle 102 pilotują mjr Henry Martin Kleemann, przez kolegów nazywany „Hank", i por. David J. Venlet. Skrzydłowy Fast Eagle 107 pilotowany jest przez por. Lawrence M. Muczynskiego „Music" i ppor. Jamesa Phillipa Andersona „Amosa".

Parę minut po starcie oba tomcaty na wysokości 20 tys. stóp rozpoczynają bojowy lot patrolowy nad zespołem okrętów amerykańskiej VI Floty.

To nie będzie spokojna misja.

Płk Muammar Kaddafi, który w 1969 roku dokonał przewrotu wojskowego i przechwycił władzę w Libii, od początku zaprezentował się jako twardy przeciwnik Zachodu. Zlikwidował amerykańskie i brytyjskie bazy wojenne, znacjonalizował przemysł naftowy, wziął pod swoje skrzydła liczne ruchy narodowowyzwoleńcze i grupy terrorystyczne. W 1973 roku Kaddafi, niezgodnie z prawem międzynarodowym, ogłosił rozszerzenie strefy libijskich wód terytorialnych z 12 mil morskich do 300 mil. Libijski dyktator zaczął sobie rościć prawa do wód zatoki Wielka Syrta u wybrzeży Libii, rozciągającej się na 465 km ze wschodu na zachód i na 115 km z południa na północ. Na wodach Wielkiej Syrty od lat przeprowadzała wielkie manewry amerykańska VI Flota, operująca na Morzu Śródziemnym. Uzurpacja płk. Kaddafiego początkowo niczego nie zmieniła – Amerykanie nadal urządzali manewry na wodach zatoki. Dopiero po uwięzieniu amerykańskich zakładników w budynku ambasady w Teheranie prezydent Jimmy Carter zabronił VI Flocie prowadzenia ćwiczeń na wodach Wielkiej Syrty. Prezydent nie chciał drażnić Kaddafiego, który wspierał rewolucję islamską w Iranie.

Ale gdy prezydentem Stanów Zjednoczonych został Ronald Reagan, a zakładnicy w Teheranie zostali zwolnieni i wrócili do domu, marynarka wojenna poprosiła Waszyngton o zgodę na wznowienie manewrów na wodach Syrty. Przed 5 dniami zapadła decyzja przeprowadzenia ćwiczeń. Dowódca VI Floty adm. Bowden

otrzymał instrukcję, że jego piloci w żadnym wypadku nie mogą niesprowokowani otworzyć ognia do samolotów libijskich.

Przedwczoraj potężna armada składająca się z 14 krążowników i niszczycieli oraz 2 lotniskowców, USS „Nimitz" i USS „Forrestal", niosących w sumie 150 samolotów, wpłynęła na wody Wielkiej Syrty. W ciągu 2 dni ćwiczeń libijskie samoloty ponad 70 razy usiłowały przedostać się bezpośrednio nad lotniskowce i swoimi manewrami zakłócić amerykańskie ćwiczenia. Za każdym razem intruzi przechwytywani byli przez patrolujące myśliwce F-14A Tomcat, które nie używając ostrej amunicji, spychały Libijczyków w przestrzeń powietrzną nad Afryką.

Mija 7.00. Radar na lotniskowcu namierza 2 libijskie samoloty szturmowe produkcji radzieckiej Su-22M-2, które wystartowały z lotniska w byłej amerykańskiej bazie lotniczej Wheelus koło Trypolisu. Krótko po tym oba Su-22 pojawiają się na ekranie radaru samolotu rozpoznawczego Hawkeye, krążącego nad lotniskowcami na wysokości 21 km.

Libijskie szturmowce szybko zbliżają się do amerykańskich okrętów.

Kontrola przechwytywania lotniczego na pokładzie „Nimitza" poleca tomcatom ruszyć naprzeciw libijskim intruzom. Dwa tomcaty i dwa Su-22 lecą teraz wprost na siebie. Dzieli je 20 mil.

Tomcaty rozluźniają szyk, lecą w odległości 1600 m jeden od drugiego. Piloci są spokojni. Czeka ich jeszcze jedna procedura przechwycenia intruzów i zmuszenia gwałtownymi manewrami w powietrzu do powrotu na libijskie lotnisko.

Niespełna minutę później Kleeman melduje:

– Mówi 102. Intruzi mają nas na swoim nosie, teraz 8 mil.

10 sekund później nadaje:

– Mówi 102. Jesteśmy na wysokości 20 tys. stóp, 6 mil.

W eterze aż gęsto od meldunków, rozkazów, wskazówek pilotów obu tomcatów, pilotów innych maszyn znajdujących się w powietrzu, kontroli przechwytywania na USS „Nimitz".

Amerykańscy piloci widzą już nadlatujących Libijczyków. Za kilka sekund miną się. Nagle jeden z Su-22 z minimalnej odległości 300 m odpala w ich stronę rakietę R-13 powietrze-powietrze. Dziwny to atak, bo radzieckiej konstrukcji R-13 jest naprowadzana na ciepło samolotowego silnika, więc raczej nie ma szans, by namierzyć i trafić cel nadlatujący z przodu.

Zwinne tomcaty gwałtownym manewrem uchylają się przed rakietą. Libijskie Su-22 przelatują tuż pod nimi.

– Dwa Fittery strzelają w mojego dowódcę – nadaje „Music" Muczynski. W lotniczym kodzie NATO Fitter oznacza radzieckiego Su-22.

Zszokowany Kleeman coś bełkocze.

– Tu 102, wystrzelono do nas – kończy.

W eterze rozpętuje się piekło. Kontrolerzy z „Nimitza" dopytują się, co się stało, piloci jakichś samolotów tłumaczą im, co usłyszeli od załóg zaatakowanych tomcatów.

Libijczycy zawracają w stronę Afryki i uciekają z maksymalną prędkością. Ale tomcaty są nie tylko zwrotniejsze od radzieckich szturmowców, ale i dużo szybsze. Amerykanie błyskawicznie siadają na ogonach napastników.

Przepisy amerykańskiego lotnictwa wojskowego dają każdemu pilotowi biorącemu udział w akcji bojowej, także w czasie pokoju, wolną rękę w sytuacji, gdy zostanie ostrzelany. Kleeman nie zastanawia się długo. Namierza skrzydłowego Su-22 i wystrzeliwuje rakietę Sidewinder. Trafia ona w tylną część kadłuba Su-22. Libijski samolot płonie jak pochodnia, ale pilot szczęśliwie katapultuje się. Po chwili w powietrzu rozwija się biała czasza spadochronu.

Ktoś pyta przez radio Kleemana:

– Czy zestrzeliłeś jednego z nich?

– To był czysty cel – odpowiada na luzie Kleeman.

– Chcesz, żebym zestrzelił mojego gościa? – pyta „Music" Muczynski.

– Potwierdzam, strzelaj, zestrzel go! – nawołuje Kleeman.

Samolot Muczynskiego jest już bardzo blisko Libijczyka. Tak blisko, że gdy jego sidewinder trafia ściganego Su-22, Muczynski musi wyrwać w górę, by nie zostać trafionym odłamkami libijskiego samolotu.

– Fox 2 zabity przez Music. Fox 2 zabity – nadaje tryumfalnie.

– Dorwałeś go? – pyta Kleeman.

– Tak jest, zabiłem go – wyjaśnia „Music" Muczynski. I zaraz dodaje: – Fox 2 zabity, jego spadochron się nie otwiera, spada swobodnie.

Pół minuty później zupełnie zdezorientowane dowództwo USS „Nimitz" nadaje poniewczasie:

„102, 107, macie pozwolenie na bronienie się, przekazuję z okrętu".

Oba tomcaty podchodzą do lądowania na „Nimitzu".

Godzinę później libijskie helikoptery ratunkowe nadlatują nad akwen, nad którym doszło do walki. Amerykańskie samoloty patrolowe krążą nieopodal, rejestrując przebieg akcji ratunkowej.

Wykorzystując zaabsorbowanie Amerykanów helikopterami, od strony Libii nadlatują z wielką prędkością 2 libijskie myśliwce Mig-25. Usiłują przeprowadzić symulowany atak na „Nimitza", ale para patrolujących tomcatów przechwytuje je i agresywnymi manewrami zmusza do powrotu na południe. Gdy tomcaty przestają się nimi interesować, Libijczycy zawracają i próbują postraszyć lotniskowiec. Znów interweniują tomcaty, Libijczycy zawracają, a potem próbują nadlecieć nad „Nimitza". Wreszcie

kończą zabawę w kotka i myszkę, włączają dopalacze i zmykają na zachód.

Wieczorem libijska telewizja emituje wywiad z pilotem mjr. Khaledem Maeeną, który pilotował jeden z migów usiłujących przedostać się w pobliże „Nimitza". Major oznajmia, że osobiście odpędził 6 bombowców F-14 amerykańskiej marynarki w stronę ich lotniskowca. Amerykańskie samoloty były w drodze, by zaatakować wiele libijskich miast, wyjawia Maeena. Potem major dziękuje płk. Kaddafiemu, a także ludowi Rosji, za zaopatrzenie go w samolot Mig-25, który pozwolił mu bronić ojczyzny przed samolotami amerykańskiego agresora poprzez zestrzelenie wszystkich 6, które próbowały wylądować i ukryć się na swoich lotniskowcach.

20 sierpnia 1940 ▪ wtorek

Wykończ go, synku

Późnym rankiem, zaraz po śniadaniu, Lew Dawidowicz Trocki wychodzi z domu do ogrodu. Jak co dzień karmi swoje króliki. W otoczonym wysokim murem ogrodzie stoi kilku uzbrojonych po zęby ochroniarzy. Po drugiej stronie muru, na ulicy, willi strzeże 10 umundurowanych meksykańskich policjantów. Nieprzypadkowo sympatycy Trockiego nazywają jego willę przy Avenida Viena w Coyoacan, rezydencjonalnej dzielnicy stolicy Meksyku, małą twierdzą.

Jeden z przywódców rewolucji bolszewickiej, twórca Armii Czerwonej i pomysłodawca systemu sowieckich obozów koncentracyjnych, przegrał walkę o władzę ze Stalinem i w 1929 roku wyjechał z ZSRR na emigrację. Ani w Turcji, ani w Norwegii

i we Francji nie udało mu się osiąść na stałe. Znany malarz meksykański Diego Rivera załatwił z zaprzyjaźnionym z nim prezydentem Meksyku Lazaro Cardenasem zgodę na przyjęcie Trockiego. Przez 2 lata Rivera i jego żona Frida Kahlo gościli w swym domu rodzinę Trockiego. Gościna skończyła się skandalem – Trocki zaczął romans z Kahlo. Na początku 1939 roku kupił niedaleko domu Rivery, także w dzielnicy Coyoacan, własny dom.

Wygnaniec nie miał złudzeń, że Stalin o nim zapomni. Willi strzegli uzbrojeni trockiści i meksykańscy policjanci.

Stalin nie zapomniał. Przed 3 miesiącami, świtem 23 maja, grupa kilkudziesięciu stalinowskich opryszków, chłopów i górników dowodzonych przez znanego malarza Davida Alfaro Siqueirosa, zaatakowała dom Trockiego. Napastnicy ostrzelali z pistoletów maszynowych willę i wrzucili do niej butelki z benzyną. Napad okazał się zupełną fuszerką: Trocki schował się pod tapczanem i nie został nawet draśnięty, zaś jego żona odniosła lekkie oparzenia. Po tym ataku ochrona willi została przez meksykańską policję wzmocniona. W oknach założono kraty, opancerzono drzwi, a w rogach ogrodu wybudowano niewielkie wieżyczki strażnicze.

Trocki kończy karmić króliki i sypie ziarno stadku kur. Ta hodowla to jedna z nielicznych jego rozrywek w małej twierdzy przy Avenida Viena. Inną są kaktusy. Gospodarz czasem wyjeżdża z ochroną w góry, w poszukiwaniu rzadkich okazów.

Choć to ranek, jest już bardzo ciepło. Zapowiada się kolejny upalny dzień.

Gospodarz wraca do willi, do swojego gabinetu. Siada do pracy przy ustawionym na środku pokoju, dużym, prostym, zawalonym papierami i bibelotami stole. Pracę przerywa mu wkrótce wizyta niezapowiedzianego gościa. Adwokat Rigalt, jeden z nielicznych ludzi, których Trocki darzy pełnym zaufaniem, pełni funkcję

łącznika ze światem zewnętrznym. Dziś przybywa z niepokojącymi nowinami: meksykańscy zwolennicy Stalina, niewątpliwie na polecenie Moskwy, rozpoczęli w prasie zmasowaną kampanię oczerniającą Trockiego. Gość kładzie na stole plik gazet z artykułami dowodzącymi, że zamach bandy Siqueirosa w istocie rzeczy był prowokacją zorganizowaną przez samego Trockiego, by oczernić jego przeciwników politycznych, uczciwych komunistów-stalinowców.

Rozmowa nie trwa długo. Wzburzony Trocki z pasją zabiera się do pisania polemiki do meksykańskich gazet.

O 17.00 nierzucający się w oczy samochód osobowy parkuje przecznicę dalej od Avenida Viena. Wysiada z niego młody, przystojny mężczyzna. Mimo upału niesie przerzucony przez lewą rękę płaszcz. W samochodzie pozostają kobieta i mężczyzna w średnim wieku: Caridad Mercader, matka mężczyzny z płaszczem, Leonid Eitingon, jeden z najlepszych ekspertów NKWD od mokrej roboty poza granicami Związku Radzieckiego.

Urodziwa Caridad pochodzi z bardzo bogatej hiszpańskiej arystokracji. Jednym z jej przodków był hiszpański gubernator Kuby, zaś jej dziadek był ambasadorem króla Hiszpanii na dworze cara. Caridad jako żona hiszpańskiego magnata kolejowego opływała w luksusy, ale dostatnie salonowe życie znudziło ją. Z 4 dzieci uciekła od męża do Paryża. Na życie zarabiała tam robótkami na drutach. Po wybuchu wojny domowej w Hiszpanii wróciła do Barcelony i wstąpiła w szeregi anarchistów. Jej najstarszy syn zginął na froncie. Średni syn Ramon, po przeszkoleniu dywersyjnym, walczył na tyłach wojsk frankistowskich w grupie partyzanckiej. Ona sama podczas nalotu została ranna.

W Hiszpanii Caridad Mercader i jej syn poznali rezydenta NKWD płk. Leonida Eitingona, który występował tam jako gen. Kotow, doradca brygad międzynarodowych. Choć wytyczne zagranicznej służby NKWD zabraniały oficerom wywiadu romansowania ze swoimi agentami, słynący z erotycznych podbojów Eitingon szybko zaciągnął ją do łóżka. W 1938 roku Caridad i jej syn wyjechali do Paryża i tam formalnie zostali zwerbowani przez Eitingona, który skierował Ramona do infiltrowania środowiska trockistów. Romansowy enkawudzista zabójca Eitingon miał specyficzne poczucie humoru – Ramonowi nadał pseudonim „Matka". Młody Mercader za pieniądze NKWD udawał bogatego przemysłowca, dla kaprysu wspierającego finansowo trockistów. W Paryżu Ramon poznał sympatyczkę ruchu trockistowskiego Sylvię Ageloff i błyskawicznie ją uwiódł. Nie było to trudne – bardzo przystojny, niezwykle inteligentny, władający kilkoma językami, wysportowany Mercader był w Paryżu obiektem westchnień wielu młodych lewicujących dam. O jego inteligencji świadczyło choćby uporczywe odmawianie Eitingonowi przedstawienia mu Sylvii – Ramon nie zapominał, że urokowi sowieckiego wywiadowcy nie oparła się jego matka.

W październiku 1939 roku, po upadku republiki hiszpańskiej, na polecenie NKWD Ramon Mercader przeniósł się do Nowego Jorku i jako Kanadyjczyk Frank Jackson założył na Brooklynie firmę eksportowo-importową. W ślad za nim przyjechała, nieświadoma prawdziwej roli Ramona, jego narzeczona Sylvia Ageloff. Później przeniósł się on do Meksyku i rozpoczął pracę w filii swej fikcyjnej firmy. Sylvia także pojechała do Meksyku. Została sekretarką Trockiego. Mercader często przyjeżdżał pod dom Trockiego i zabierał ją po pracy. Oswajał w ten sposób ochronę ze sobą.

Po spartaczonym napadzie bandy Siqueirosa Stalin osobiście dał zgodę na dokonanie zabójstwa przez jednego samotnego zamachowca. 5 dni po strzelaninie przy Avenida Viena Ramon Mercader pierwszy raz przekroczył próg małej twierdzy Trockiego. Starał się zrobić jak najlepsze wrażenie – 30-letniemu Estebanowi, synkowi Zinaidy, najstarszej córki Trockiego z jego pierwszego małżeństwa, podarował model samolotu. W ciągu 3 miesięcy od pierwszej wizyty Mercader odwiedził dom Trockiego jeszcze 11 razy. Ostatnio ochrona uznała go za zaufanego gościa i przestała rewidować przy wejściu.

Eitingon zrobił wszystko, by zamach się udał. Ściągnął do Meksyku matkę Ramona. Caridad najpierw przekonywała syna, by podjął się zabójstwa, teraz zaś towarzyszy mu w samochodzie, pilnując, by w ostatniej chwili nie zawiódł. Ramon ma w kieszeni rewolwer, nóż oraz list podyktowany przez Eitingona i opatrzony dzisiejszą datą. Tłumaczy w nim, że postanowił zabić Trockiego, gdyż ten rzekomo wielki rewolucjonista nie wiadomo za czyje pieniądze kupił dom w Coyoacan i dostatnio go wyposażył. Mało tego, Trocki namawiał go do misji terrorystycznej w Związku Radzieckim, a na dobitkę sprzeciwił się jego planom poślubienia Sylvii. Ten pokrętny elaborat ma na celu przekonanie śledczych, że zabójca działał samotnie, z powodów osobistych i że nic nie łączy go z sowieckimi tajnymi służbami. Ale to tylko ubezpieczenie na wypadek porażki – plan przewiduje, że Ramon zabije Trockiego po cichu, nie używając rewolweru, zdoła wyjść z willi, zanim ochrona podejmie pościg, i ucieknie samochodem z Eitingonem i Caridad.

Trocki wita Franka Jacksona, czyli Ramona Mercadera, w ogrodzie i prowadzi do gabinetu. Mercader wyjaśnia, że napisał artykuł krytykujący amerykańskich trockistów Schachtmana i Burnhama za ideologiczne odstępstwo, i prosi o naniesienie poprawek. Trocki

siada do stołu, zachęca gościa, by usiadł po drugiej stronie blatu, i zaczyna czytać tekst. Mercader staje za plecami gospodarza, po jego lewej ręce. Wie, że przycisk alarmowy zamocowany jest z lewej strony blatu. Spod przewieszonego przez ramię płaszcza wyjmuje alpinistyczny czekan, którego używa podczas wypraw w góry. Trzonek wcześniej skrócił, by czekan można było łatwiej ukryć. Trocki kątem oka dostrzega za sobą gwałtowny ruch i szybko obraca się. Dzięki temu potężne uderzenie czekana trafia nie w czubek głowy, lecz nieco z boku. Trocki, straszliwie krzycząc, zasłania się przed kolejnymi ciosami. Mercader uderza go czekanem w twarz, ramię, bark, ale ciosy są słabe. Wreszcie Trocki wpija się zębami w jego rękę. Wpadają strażnicy, wyrywają napastnikowi czekan, obalają go na podłogę. Teraz oni biją i kopią Mercadera. Zakrwawiony Trocki woła: „Nie zabijać go! Musi powiedzieć, kto go przysłał".

Ze szkoły wraca do domu mały Esteban. W jadalni dostrzega kilkunastu członków ochrony Trockiego, jego współpracowników i żonę Natalię Siedową. Chłopiec przekrada się do gabinetu: dziadek leży na dywanie, z głowy płynie mu krew.

Rana w czaszce zadana czekanem przez Mercadera ma 7 cm głębokości, ale Trocki, o dziwo, nie traci przytomności. Przychodzi dr Dutrem, lekarz, emigrant z Katalonii, przyjaciel Trockiego. Stwierdza z ulgą, że rana nie jest zbyt poważna. Później przyjeżdża ambulans meksykańskiego Zielonego Krzyża i zabiera rannego do szpitala Ruben Remero.

W nocy ranny śpi spokojnie, nad ranem następnego dnia czuje się całkiem dobrze. Prosi o dostarczenie danych statystycznych o francuskiej gospodarce. Po południu jego stan gwałtownie pogarsza się. Trocki umiera o 19.25.

Ciężko ranny Lew Trocki

21 sierpnia 1968 ▪ środa

Bratnia pomoc

Wczoraj, 20 minut przed północą, gen. Florian Siwicki otrzymał ze sztabu sowieckiego marszałka Iwana Jakubowskiego zgodę na wydanie rozkazu polskiej 2. Armii do przekroczenia granicy z Czechosłowacją.

10 minut później ze strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza w Lubawce wyszło 9 polskich komandosów z Samodzielnego Batalionu Szturmowego. Na głowach mieli czerwone berety, w ręku karabinki szturmowe ze składanymi kolbami.

Tuż po północy komandosi, jako pierwsi polscy żołnierze, przekraczają granicę. Skradają się w ciemnościach w kierunku czeskiej strażnicy. Teren znają dobrze – 2 dni wcześniej dowodzący grupą szturmową por. Wróbel przeprowadził misję rozpoznawczą. Przebrany w mundur szeregowego, udawał brata dowódcy strażnicy WOP w Lubawce. Obaj poszli do czeskich kolegów pograniczników na piwo, pogadać o służbie. Szef polskiej strażnicy powiedział im, że brat dostał urlop w swojej jednostce i wpadł na parę dni. Czesi niczego nie podejrzewali, byli bardzo serdeczni – poczęstowali, oprowadzili po swojej placówce.

Polscy komandosi wbiegają do głównego pomieszczenia czeskiej strażnicy. Nikogo w niej nie ma, światło jest zgaszone. Przez chwilę myślą, że to zasadzka, ale nikt nie strzela. W sąsiednim pomieszczeniu słyszą jakiś głos. Por. Wróbel puka. Otwiera czeski pogranicznik. Polacy wpadają do pokoju, biorą czeskich kolegów pod lufy. Zszokowani Czesi odkładają broń. Plut. Chojnacki wywala drzwi do łazienki i aresztuje w kąpieli dowódcę strażnicy.

Napastnicy nadają przez radio sygnał, że granica jest otwarta. Skoty i czołgi z białymi pasami wymalowanymi na burtach wapnem rozrobionym z wodą, z numerami taktycznymi zasłoniętymi pokrowcami z brezentu, przetaczają się z chrzęstem obok czeskiej strażnicy. Długa kolumna wozów bojowych zmierza w kierunku Hradec Kralove.

Polska armia, wespół z oddziałami bułgarskimi, węgierskimi i NRD (choć jednostki wschodnioniemieckie nie przekraczają granicy), wspiera sowiecką interwencję, mającą spacyfikować odwilż w Czechosłowacji.

W Pradze destalinizacja zaczęła się późno, właściwie dopiero na początku tego roku. Wybrane w styczniu nowe kierownictwo partii, z Aleksandrem Dubczekiem na czele, zapoczątkowało reformy

gospodarcze i polityczną liberalizację. Wkrótce gorączka odnowy ogarnęła znaczną część społeczeństwa. Praska Wiosna, ze słynnym manifestem *2000 słów*, ze zniesieniem cenzury, z tworzącymi się nowymi partiami politycznymi, dla Kremla oznaczała utratę kontroli nad CSRS. Plany interwencji wojskowej sowieccy sztabowcy przygotowywali już od marca. Prącym do interwencji kremlowskim jastrzębiom basowali Władysław Gomułka i Walter Ulbricht. Kreml ostatecznie zdecydował się na inwazję dzisiejszej nocy, by uprzedzić rozpoczęcie obrad XIV Nadzwyczajnego Zjazdu KPCz. Zjazd najpewniej uprawomocniłby demokratyzację partii i politycznie utrudnił zbrojną interwencję.

Moskwa potrzebowała tylko pretekstu, który na arenie międzynarodowej usprawiedliwiłby inwazję. Dostała go przed 3 tygodniami, w trakcie spotkania kierownictw 6 partii komunistycznych w Bratysławie. Podczas redagowania wspólnego oświadczenia, po długich sporach, Rosjanie przeforsowali zdanie: „Poparcie, ochrona i umocnienie zdobyczy, które narody osiągnęły dzięki swym bohaterskim wysiłkom, ofiarnej pracy ludu każdego kraju, stanowią wspólny internacjonalistyczny obowiązek wszystkich krajów socjalistycznych". Dla gospodarzy była to tylko mętna, rytualna nowomowa. Dla Kremla – jak się miało okazać – formalna, choć wstępna, zgoda kierownictwa czeskiego na interwencję wojskową.

Jeszcze ważniejszy pretekst sowieccy goście dostali w ubikacji Starego Ratusza w Bratysławie. Vasil Bilak potajemnie, nad pisuarem, przekazał Piotrowi Szelestowi list stalinowskiej grupy we władzach KPCz do kierownictwa sowieckiego z prośbą o „internacjonalistyczną pomoc".

Od początku sierpnia Kreml, chcąc uśpić czujność Czechów i Słowaków, przyhamował napaści i kampanię propagandową.

Przed 3 dniami nadeszła do Moskwy odpowiedź amerykańskiego prezydenta Lyndona Johnsona na list Leonida Breżniewa z zapytaniem, czy Waszyngton nadal w pełni uznaje ustalenia jałtańskie i poczdamskie. Johnson potwierdził, że odnośnie do Czechosłowacji i Rumunii uznaje Jałtę bez zastrzeżeń. Armia Radziecka mogła ruszać na Pragę.

Z inspiracji Kremla promoskiewska grupa w Prezydium KC KPCz zamierzała przeforsować wieczorem 20 sierpnia, tuż przed inwazją, odezwę władz czeskiej partii wzywającą ZSRR do udzielenia pomocy wojskowej. Ale stalinowscy spiskowcy działali bez głowy. Zapomnieli, że między czasem moskiewskim, wedle którego działali najeźdźcy, a czasem praskim są 2 godziny różnicy, i na dodatek dali się wciągnąć w dyskusję na temat materiałów na zjazd KPCz. Gdy rosyjscy komandosi o 23.00 znienacka opanowali praskie lotnisko w Rużynie, na którym zaraz zaczęły lądować ciężkie samoloty transportowe AN-12 z sowiecką piechotą, lekkimi czołgami i transporterami, spiskowcy ciągle jeszcze nie zdołali dojść do głosu. 20 minut przed północą prezydium KC KPCz dowiedziało się o wylądowaniu sowieckich spadochroniarzy. W tej sytuacji staliniści nie mieli szans – prezydium KC wydało odezwę potępiającą interwencję. Społeczeństwo, armię i organy bezpieczeństwa wezwano w odezwie do niestawiania czynnego oporu.

O północy w eterze rozlega się melodia *Po ten kwiat czerwony*. Rozpoczyna się operacja „Dunaj" – polskie dywizje pancerne 10. i 11. przekraczają granicę Czechosłowacji. Do interwencji skierowano w sumie 26 tys. polskich żołnierzy. Sowieckie siły inwazyjne liczą łącznie niemal 600 tys. Polacy zajmować mają część Czech północno-zachodnich. Po drodze – rozbrajać czeskie oddziały.

W ślad za czołgami do akcji wkraczają wopiści. Opanowują i rozbrajają 14 czeskich strażnic granicznych. Dowódca strażnicy w Mezimesti oświadcza Polakom, że postępują jak Niemcy w 1939 roku, ale składa broń. Nie obywa się jednak bez tragedii. Tuż za granicą, niedaleko Mezimesti, na wąskim mostku nad wąwozem, czeski policjant przebiega przed czołgiem z 42. Pułku. Kierowca nagle przyhamowuje, czołg rozbija barierkę i spada z mostu. Dowódca kpr. Kucharczyk ginie zmiażdżony, reszta załogi jest ranna.

Polscy komandosi opanowują lokalne nadajniki radiowe i unieruchamiają je.

O 2.00 Radio Praga nadaje odezwę KC KPCz wzywającą do niestawiania oporu. Nasłuch WP nagrywa ten komunikat o 2.15. W tej sytuacji o 2.30 w nocy gen. Siwicki zakazuje rozbrajania wojsk czechosłowackich.

Czesi są zaskoczeni inwazją. Nieliczni cywile nie rozumieją, co się dzieje, przyjaźnie machają do wozów bojowych przetaczających się nocą przez miasteczka.

W Pradze o 4.00 nad ranem sowieccy spadochroniarze 11. Dywizji Leningradzkiej docierają do budynku KC. KGB już wcześniej odkrył tajne wyjście z gmachu KC i kierownictwo czeskiej partii jest osaczone. Promoskiewscy funkcjonariusze bezpieki aresztują Dubczeka i innych członków władz KPCz.

O 5.40 na fali 220 m odzywa się nieznana dotąd radiostacja Wełtawa i ogłasza komunikat TASS w języku czeskim i słowackim o zwróceniu się władz czechosłowackich do 5 państw Układu Warszawskiego o udzielenie pomocy wojskowej. To operacja KGB. Rzekoma Wełtawa nadaje z terytorium NRD.

O 6.00 polskie czołgi są już ponad 60 km w głębi CSRS. Tempo marszu spada. Zaalarmowana komunikatami radiowymi ludność wychodzi na drogi i blokuje je. Cywilne ciężarówki i traktory

wjeżdżają w środek kolumn wojska i spowalniają marsz. W górach Czesi ścinają drzewa i staczają głazy na wąskie drogi. Obok szos układają stosy opon i podpalają je. Blokuje to ruch cystern z paliwem. Najdotkliwsze jest jednak nieustanne przekręcanie drogowskazów, zrywanie tablic z nazwami miejscowości. Teraz mści się obsesja tajności – polscy dowódcy niższego szczebla nie otrzymali przed operacją map z naniesionymi marszrutami, lecz jedynie karteczki z nazwami miejscowości na trasie przemarszu.

W Nowym Jorku na wniosek m.in. USA, Wielkiej Brytanii, Francji zaczyna się nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa. Delegat ZSRR wyjaśnia, że nie ma podstaw do debaty o sprawie Czechosłowacji, bo wojska radzieckie interweniowały na prośbę władz. Delegat USA nazywa to oczywistym kłamstwem. Prezydent Johnson składa oświadczenie, że inwazja na bezbronny kraj jest otwartym pogwałceniem karty Narodów Zjednoczonych.

Wieczorem Czechosłowacja jest zajęta przez wojska interwentów. Armia CSRS nie podejmuje obrony. Coraz mocniejszy jest za to spontaniczny ruch oporu ludności cywilnej. Nie poddaje się też czeska partia komunistyczna. Do Pragi zjeżdżają setki delegatów na nadzwyczajny, konspiracyjny XIV Zjazd KPCz.

Praska Wiosna – sowieccy żołnierze przedzierający się przez tłum

22 sierpnia 1831 ▪ poniedziałek

Wolność we krwi

W lesie nieopodal miasteczka Jerusalem w hrabstwie Southampton w stanie Wirginia 7 czarnoskórych siedzi wokół ogniska, popija brandy z niewielkiej beczułki, leniwie ogryza kości pieczonego prosiaka. Dawno już minęła północ, a biesiadnicy ciągle uzgadniają szczegóły planu powstania niewolników – będą szli od domu do domu plantatorów (rozrzucone są one pośród pól w sporej odległości od siebie) i zabijać wszystkich białych mieszkańców, nie oszczędzając ani dzieci, ani kobiet, ani starców.

Spiskowcy bankietują już od wczoraj rana.

Późnym rankiem spotkali się tutaj 2 z nich: Hark i Henry. Hark przyprowadził ze sobą świnię skradzioną z plantacji swojego pana, Henry przydźwigał beczułkę brandy, także wyniesioną z gospodarstwa swojego właściciela. Po krótkim czasie dołączyli do nich kolejni Murzyni, należący do okolicznych plantatorów – Sam, Nelson, Will i Jack. Wszyscy niewolnicy w tych stronach używają jedynie imion, oficjalne nazwiska czarnoskórych to po prostu nazwiska ich pierwszych białych właścicieli.

Hark i Henry zabili świnię, upiekli ją na ognisku. O 15.00 w lesie zjawił się Nat Turner, niewolnik pana Samuela Turnera. Zaczęła się tęgo zakrapiana biesiada. Nat wypytał Willa, który na takim potajemnym spotkaniu w lesie pojawił się pierwszy raz, dlaczego przyszedł. Will wyjaśnił, że chce być człowiekiem wolnym i dla zdobycia wolności jest gotów oddać życie. W takim razie, odpowiedział Nat Turner, przyszedł czas wolności, i wtajemniczył go w swoje plany.

Nat od dawna nazywany jest przez niewolników na okolicznych plantacjach prorokiem. Jest bardzo inteligentny, sam, bez niczyjej pomocy, nauczył się czytać i pisać. Od dzieciństwa jest religijny, często i długo modlił się, czytał Biblię, potajemnie wygłaszał kazania dla innych niewolników i chrzcił ich dzieci. Nat od dawna miewa religijne widzenia. Przed 3 laty, po kolejnym widzeniu, Nat uznał, że Wszechmogący wybrał go dla dokonania jakiegoś wielkiego dzieła. Pół roku temu, po kolejnych widzeniach, boskie zamiary stały się dla Nata całkiem jasne – ma poprowadzić czarnoskórych niewolników do walki o wolność. Znakiem do powstania miały być nadzwyczajne zdarzenia w naturze. Niebiosa dały mu taki znak 12 lutego tego roku; w Wirginii doszło do całkowitego zaćmienia Słońca. Nat Turner w zaćmieniu dostrzegł

symbol wzywający do walki – oto czarnoskóry człowiek sięga po słońce wolności.

Podczas ewangelizacyjnych spotkań Nat długo rozmawiał o życiu niewolników i o wolności. W czasie tych rozmów wyłowił kilku najbardziej niezadowolonych czarnoskórych mężczyzn i wtajemniczył ich w swe plany.

Wybuch powstania zaplanował na Dzień Niepodległości, 4 lipca, ale najpierw jego podkomendni pokłócili się między sobą, potem on sam zachorował. Z powstania nic nie wyszło.

Tydzień temu znów doszło do zaćmienia Słońca, tym razem częściowego, podczas którego słoneczna tarcza przybrała zielonkawą barwę. Nat odczytał to jako ostatecznie ponaglenie przez Wszechmogącego.

O 2.00 spiskowcy idą po kolejnego wtajemniczonego, czarnoskórego niewolnika – Austina. Potem razem udają się do tłoczni cydru. Piją cydr, planują atak. Zamierzają zabijać siekierami i drągami, bez jednego wystrzału, by nie zaalarmować innych domostw. Jedynym, który nie pije, jest Nat Turner.

W końcu ruszają do domu pana Josepha Travisa, obecnego właściciela Nata Turnera. Hark znajduje w ciemnościach drabinę, opiera ją o komin. Nat Turner wchodzi po niej do środka, wyjmuje z szafki 4 strzelby pana Travisa i odryglowuje drzwi wejściowe. Potem z toporem w ręku wchodzi do pokoju Travisa. To nic osobistego, pan Travis jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, niewolników traktuje dobrze, ale Nat rozumie, że to on musi, jako pierwszy, rozlać krew białego człowieka. W ciemnościach uderza siekierą w głowę śpiącego. Ostrze ześlizguje się po czaszce, pan Travis podskakuje w łóżku i woła do żony o pomoc. W tym momencie Will roztrzaskuje mu głowę swoją siekierą. Kilka sekund później powstańcy zabijają siekierami panią Travis i 2 dzieci.

Powstańcy wychodzą już z obejścia, gdy któryś z nich przypomina sobie, że Travisowie mają jeszcze jedno, malutkie dziecko. Henry i Will wracają, znajdują niemowlaka w kołysce i zabijają.

Następny cel to odległy o 0,5 km dom Salathula Francisa. Sam i Will podchodzą do drzwi wejściowych, pukają. Pan Francis, który mieszka sam, budzi się, pyta, co się stało. Sam odpowiada, że przyniósł pilny list. Francis otwiera i ginie od ciosu siekierą.

Powstańcy cicho skradają się do domu pani Reese. Tu drzwi nie są zaryglowane. Pani Reese i jej syn giną w łóżkach zaszlachtowani siekierami. Milę dalej znajduje się dom pani Turner. Gdy powstańcy docierają doń, zaczyna już świtać. Przed domem natykają się na pana Peeblesa. Austin zabija go jednym strzałem. Mieszkańcy zamykają drzwi, ale Will uderzeniem siekiery rozwala zamek. Na środku salonu stoją przerażone białe kobiety, panie Turner i Newsome. Will zabija panią Turner uderzeniem siekiery. Nat bierze panią Newsome za rękę i z całej siły uderza ostrzem kordelasa w jej głowę. Ale ostrze jest tępe, kobieta nadal żyje. Will kończy z nią uderzeniem siekiery.

Do ludzi Nata przyłącza się kilku tutejszych niewolników. Powstańczy oddział liczy już 15 ludzi. Byli niewolnicy grabią domostwo, piją znalezione trunki.

Nat Turner rozdziela siły. Część jego podkomendnych rusza, by wymordować rodzinę Whiteheadów, reszta – by uśmiercić białych domowników w posiadłości pana Bryanta. Po zabiciu wszystkich w obu domostwach powstańcy spotykają się, opowiadają sobie, kto padł pod ich ciosami, i znów dzielą się na 2 oddziały. Jeden, pod wodzą Nata Turnera, rusza do domu pana Portera. Powstańcy jadą na koniach zrabowanych zabitym plantatorom, uzbrojeni są w zagarniętą w obrabowanych domach broń.

W domu pana Portera – niespodzianka. Biali mieszkańcy w pośpiechu uciekli. Nat Turner pojmuje, że plan zabijania po cichu białych w kolejnych domostwach zawiódł. Gdy wjeżdża do posiadłości Johna Barrowa, spotyka tam grupę ponad 40 czarnoskórych powstańców, na koniach, z bronią w ręku. Większość przyłączyła się do jego oddziału przed paroma kwadransami, podczas mordowania przez wysłanników Nata Turnera rodzin Howellów, Harrisów i Doylesów.

Turner formuje ze swoich ludzi kolumnę. Na czele galopuje 15 najbardziej zaufanych, najlepiej uzbrojonych powstańców, za nimi reszta. Na polecenie Nata pędzą od posiadłości do posiadłości, wrzeszcząc i strzelając na postrach – przywódca powstania chce teraz zastraszyć, sterroryzować białych ludzi. W domu pani Wallace mordują właścicielkę i 10 jej dzieci, potem zabijają rodziny Jacoba Williamsa, pani Vaughan i jeszcze parę innych.

Przed bramą wjazdową posiadłości Jamesa W. Parkera Nat zatrzymuje się z 7 zaufanymi podwładnymi. 50 pozostałych wysyła, by rozprawili się z białymi mieszkańcami. Powstańcy nie wracają przez dłuższy czas i Nat rusza po nich do rezydencji. Gdy razem wracają na drogę, zamiast 7 swych kompanów zastają tyralierę 18 uzbrojonych w karabiny i strzelby białych mężczyzn pod dowództwem byłego wojskowego, kpt. Alexandra P. Peete'a. Nat poleca swoim oddać salwę i uderzyć na nich. Ludzie kpt. Peete'a także strzelają, ale szybko zaczynają się wycofywać. Powstańcy chwytają kilku z nich i na miejscu zabijają siekierami. Upojeni zwycięstwem czarnoskórzy podwładni Nata Turnera pędzą za niedobitkami i nagle wpadają na kolejny oddział białej milicji. Potężna salwa rozprasza powstańców. W panice uciekają gdzie pieprz rośnie. Kilku jest rannych.

W bezpiecznej odległości Nat Turner zbiera ludzi. Zostało przy nim 20 powstańców. Są przestraszeni, zdezorientowani, zrezygnowani. Muszą ukrywać się przed przeważającymi siłami białych. To już koniec snu o wolności.

23 sierpnia 1927 ▪ wtorek

Tą samą ręką

Deszcz leje jak z cebra. Gmachu więzienia w Bostonie strzeże 800 policjantów wyposażonych w karabiny maszynowe i granaty z gazem łzawiącym. Mury więzienne otoczone są w pewnej odległości grubą liną. Za nią nikt nie ma wstępu. Władze obawiają się masowych demonstracji, rozruchów, nawet prób uwolnienia więźniów, którzy mają być straceni zaraz po północy. Przed więzieniem, od wielu godzin, demonstruje w milczeniu kilka tysięcy osób. Nad nimi transparenty: „Nie powinno się to zdarzyć". Po zmierzchu na przedmieściu Bostonu zbiera się ponad 1000 Włochów. Chcą przemaszerować pod pomnik Bunker Hill i tam demonstrować w chwili egzekucji. Oddziały policji konnej brutalnie rozpraszają demonstrację. Jest wielu pobitych i rannych.

Przed 23.00 7 demonstrantów przedziera się za linę otaczającą więzienie. Rozwijają transparenty: „Elita świata schyla głowę przed bohaterami!". Policjanci rzucają się na nich, biją. Jeden z demonstrantów traci przytomność.

Główny elektrotechnik więzienia kończy próby krzesła elektrycznego. Działa bez zarzutu. Dochodzi północ. Kapelan więzienny o. Murphy odwiedza cele śmierci. Skazani odmawiają przyjęcia katolickiej posługi, sprzecznej z ich anarchistycznymi

poglądami. O. Murphy wychodzi do klubu straży więziennej, zamienionego dzisiejszej nocy na klub dziennikarski, i mówi do blisko 100 czekających na egzekucję reporterów: „Zdaje się, że obejdzie się tu beze mnie".

W niewielkiej sali kaźni strażnicy rozstawiają pod ścianą, naprzeciw krzesła elektrycznego, rząd krzeseł dla świadków egzekucji.

O 23.45, niecałe pół godziny przed egzekucją, z gabinetu gubernatora Massachusetts Allana Fullera wychodzi znany adwokat William Thompson. Jego desperacka próba przekonania gubernatora, że straceni mają być ludzie niewinni, skazani po stronniczym procesie, spaliła na panewce. Thompson oświadcza dziennikarzom, że wedle jego najgłębszego przekonania za chwilę zginą niewinni ludzie.

Ale to nie koniec prób ratowania skazanych. Były prokurator sądu federalnego Pensylwanii Francis Kane, po 2 godzinach oczekiwania, dosłownie za pięć dwunasta uzyskuje krótkie posłuchanie u gubernatora. Informuje Fullera, że specjalna komisja, która przed 2 miesiącami badała sprawę skazanych na śmierć, zlekceważyła istotne dokumenty z tajnego archiwum Departamentu Stanu. Adwokat dowiedział się o tym parę godzin wcześniej. Fuller ignoruje rewelacje adwokata.

Gdy Kane wychodzi, w biurze gubernatora dzwoni telefon. Do egzekucji pozostał raptem kwadrans. 2 nowojorscy adwokaci dzwonią z motelu. Jadą do Williamstown, do domu sędziego Andersona, by przełożył wykonanie wyroku do czasu rozpatrzenia złożonego dziś przez nich odwołania do sądu federalnego. Gubernator odpowiada, że wszystkie sprawy związane z procedurą prawną rozpatruje tej nocy prokurator stanowy Reading. Adwokaci

dzwonią do jego gabinetu, ale sekretarz odpowiada, że Reading właśnie wyszedł do gubernatora.

Nic już nie może uratować Nicola Sacca i Bartolomea Vanzettiego.

Dwaj włoscy imigranci przybyli do Stanów przed 21 laty. Byli zdeklarowanymi anarchistami. Od początku organizowali strajki i protesty robotników. Sacco pracował w fabryce obuwia, Vanzetti usiłował utrzymać się z dorywczych zajęć: zmywał naczynia, łupał kamienie, pracował trochę w hucie, trochę na kolei. Głodował, spał na chodnikach. W 1920 roku nieznani sprawcy napadli na niosących 2 metalowe skrzynki z 16 tys. dolarów strażników fabryki obuwia Slater & Morrill w South Braintree. Napastnicy zastrzelili obu strażników i zrabowali gotówkę. Jednym z zabitych był Włoch Berardelli. Porzucony samochód sprawców doprowadził policję do Sacca i Vanzettiego. Znaleziono przy nich broń i amunicję o identycznym kalibrze jak użyte w napadzie. Podczas procesu doszło do wielu uchybień formalnych, przez salę przewinęli się wątpliwi świadkowie oskarżenia, a przedstawione ekspertyzy balistyczne były nieudolne i niepewne.

Ława przysięgłych skazała jednak Włochów na śmierć. Proces i walka o ocalenie życia obu anarchistów trwały 7 lat. W Stanach Zjednoczonych lewicowi działacze związkowi i intelektualiści zorganizowali kampanię dla ocalenia Sacca i Vanzettiego. Ułaskawienia ich żądał od władz Massachusetts niemiecki Reichstag, parlament francuski, brytyjska Partia Pracy, Benito Mussolini. Łaski domagali się sławni pisarze: Romain Rolland, George Bernard Shaw, John Galsworthy, Herbert George Wells, John Dos Passos. Na całym świecie w obronie skazanych demonstrowano, wybuchały strajki generalne, amerykańskie ambasady obrzucano kamieniami i bombami.

Wszystko na próżno.

O północy na krzesłach w celi straceń zasiadają świadkowie: naczelnik więzienia, znany bostoński chirurg, lekarz więzienny, ekspert sądowy powiatu Suffolk, szeryf powiatu Norfolk. Przy telefonie wiszącym na ścianie staje reporter Associated Press, jedyny dziennikarz, któremu zezwolono na asystowanie przy egzekucji. Przez telefon ma relacjonować jej przebieg dziennikarzom zgromadzonym w sali strażników.

Pierwszego wprowadzają strażnicy więźnia Madeirosa, skazanego na śmierć za zamordowanie kasjera podczas napadu na bank. Ubrany jest w niebieską koszulę z krótkim rękawem i w krótkie szare spodnie z rozprutymi na dole nogawkami, by ułatwić mocowanie elektrod. Strażnicy wiążą go silnymi rzemieniami, sprawnie mocują elektrody na rękach i nogach, na głowę skazańca zakładają kask z elektrodą. Oczy skazańca zawiązują przepaską. Naczelnik więzienia daje znak, kat przekręca przełącznik. Słychać syczenie prądu, roznosi się dławiący zapach palonej skóry i włosów. Jest 10 minut po północy.

Strażnicy układają zwłoki na jednej z trzech stojących za zasłoną drewnianych ław i idą po Sacca. Jest blady, wychudzony, ale spokojny. Łagodnie siada na krześle. Gdy strażnicy krępują go rzemieniami, krzyczy: „*Viva l'anarchia!*". Strażnicy kończą mocować elektrody. Sacco woła: „Żegnaj, żono, żegnajcie, dzieci i moi przyjaciele!".

Naczelnik podnosi rękę, by dać katu znak. Sacco krzyczy w ostatniej chwili: „Dobranoc, panowie, żegnaj, matko!".

Gdy strażnicy wchodzą do celi Vanzettiego, skazany żegna ich mocnym uściskiem dłoni. W sali śmierci ujmuje obie dłonie zastępcy naczelnika więzienia Hogsetta: „Żegnam pana i dziękuję za okazywane mi względy". Potem podchodzi do naczelnika więzienia: „Panie naczelniku, chcę panu podziękować za wszystko, co pan dla

mnie uczynił". Ściska jego dłoń. Gdy strażnicy wiążą go, oświadcza głośno, że jest niewinny.

Po egzekucji świadkowie przechodzą do sali z reporterami. Dziennikarz Associated Press wchodzi na krzesło. Opowiadając o śmierci Włochów, stwierdza, że było dość bezbarwnie, nie zdarzyło się nic szczególnego.

Naczelnik więzienia wygląda na lekko oszołomionego. „Jezu Chryste – mówi do reporterów – Vanzetti uścisnął mi rękę, a ja sekundę później musiałem nią dać sygnał".

Na wieść o egzekucji rano w Paryżu wybuchają manifestacje i zamieszki. W walkach ulicznych rany odnosi ponad 200 osób, w tym 122 policjantów. Manifestanci demolują ze szczętem luksusową kawiarnię Vipler na Montmartre, w której bywają Amerykanie. W sumie straty są gigantyczne, przekraczają milion franków. Wieczorem demonstracje i starcia z policją wybuchają w całej Europie, w Argentynie, nawet w Indiach i Australii.

Nicola Sacco i Bartolomeo Vanzetti przed egzekucją

24 sierpnia 79 n.e. ▪

Gorący śnieg

Szczekają psy, beczą owce, osły szarpią się na uwięzi. Już od kilku dni wszystkie zwierzęta w mieście są niespokojne, od czasu do czasu drży grunt pod stopami, ale mieszkańcy nie wpadają w panikę. Trzęsienia ziemi to nie pierwszyzna w Pompejach. Jak ludzka pamięć sięgała, zawsze było tu spokojnie. Wszystko zmieniło się przed 17 laty. 5 lutego 62 roku okolicami Wezuwiusza targnął potężny wstrząs. Ziemia w mieście falowała, gdzieniegdzie unosiła się w górę niczym cielsko mitycznego stwora. Mury rozsypywały

się, kolumny pękały jak suche patyczki. Przewrócone lampy oliwne spowodowały mnóstwo pożarów, które błyskawicznie ogarnęły ruiny domostw. W płomieniach zginęło stado 600 owiec. Pękająca ziemia unicestwiła wielki zbiornik pitnej wody. W gruzach legła większa część miasta, zginęło wielu mieszkańców. Jeszcze gorszy był los Herkulanum, leżącego na północny zachód od Pompejów, także nad brzegiem Zatoki Neapolitańskiej, ale 3 km bliżej Wezuwiusza. Całe miasto zostało zniszczone.

Trzęsienie ziemi ani nie wystraszyło, ani nie załamało mieszkańców Pompejów. Natychmiast przystąpili do odbudowy. Jeszcze wspanialsze domy prywatne wznoszono w ogromnym tempie. Cesarz Wespazjan natychmiast przysłał z Rzymu urzędnika Suediusa Clemensa, by sprawdził księgi własności, zapobiegł zawłaszczaniu, w chaosie po katastrofie, gruntów prywatnych i obiektów publicznych.

Także Herkulanum podniesiono z gruzów.

Tak szybka, solidna odbudowa możliwa była tylko tu, u podnóży Wezuwiusza. Nadzwyczajnie urodzajne, bogate w minerały, potrafiące długo zachować wilgoć ziemie wulkaniczne dają nawet i kilka plonów rocznie. Ogromny Wezuwiusz pokryty jest, aż po sam wierzchołek, wspaniałymi winnicami, rodzącymi jak nigdzie indziej gajami oliwnymi, polami uprawnymi. Wygasły wulkan jest prawdziwą matką karmicielką miast leżących u jego stóp.

Przed 9 laty wstrząsy wróciły. Nie były tak rujnujące jak wielkie trzęsienie w 62 roku, ale dostatecznie silne, by przestraszyć mniej odważnych. Wielka ucieczka trwała parę lat. Piękne wille i majątki ziemskie sprzedawano grubo poniżej ich niedawnej wartości. Kto miał brzęczącą monetę i mężne serce, ten kupował. Po paru latach ryzykanci, którzy zdecydowali się pozostać na niepewnej, choć tak

żyznej ziemi, obrośli bogactwem, zamienili się w prawdziwych latyfundystów.

Coś się jednak w mieście od czasu katastrofy zmieniło. Pompejańczycy, od niepamiętnych czasów słynący z zaradności, pracowitości i bogactwa, z jeszcze większą energią rzucili się do robienia interesów. Nie tracili czasu i pieniędzy na wznoszenie z ruin budowli publicznych, a w swych wspaniałych, odbudowanych willach często zamiast drogocennych rzeźb i innych dzieł sztuki rozstawiali sprzęty dla zatrudnianych przez siebie rzemieślników. W mieście, od wieków nieprzeciętnie bogatym, teraz bardziej niż kiedykolwiek liczy się pieniądz.

Dochodzi 10.00. Ktoś, kto rzucił okiem na odległą o 7 km, majestatyczną bryłę Wezuwiusza, dostrzega przedziwne zjawisko: na zboczu najwyraźniej rośnie, niczym guz, gigantyczne wybrzuszenie. Nagle skalny bąbel pęka ze straszliwym hukiem. Błyskawicznie rośnie ogromny czarny słup. To chmura drobin roztopionej magmy i gazów. Gdy osiąga wysokość 20 km, przybiera kształt gigantycznego grzyba, którego kapelusz przesłania niebo nad Pompejami. Na wysokości kilkunastu kilometrów wieją silne wiatry, które chmurę materiału wulkanicznego nawiewają nad miasto. Miliony małych, spalonych, porowatych kamyczków lapilli, popiół i pył opadają na Pompeje.

Czarna chmura zasłania niebo, robi się coraz ciemniej. Z nieba sypią się teraz białe lekkie okruchy pumeksu. Wygląda to tak, jakby późnym wieczorem zaczął padać śnieg. Gorący śnieg.

Nie ma paniki. Nikt nie podejrzewa, że wybuch Wezuwiusza mógłby zagrozić miastu. Tylko co bardziej bojaźliwi lękają się, że w ślad za ogromnym słupem dymu, wyrzuconym przez wulkan, mogą nadejść wstrząsy ziemi. Ale ziemia nie drży.

Mija godzina, dwie. Biała warstwa leciutkiego popiołu sięga już pod kolana przechodniów. Dzieci korzystają z niezwykłej okazji – bawią się, ślizgają. Marmury pokryte białym pyłem są śliskie, jakby ktoś rozlał na nich oliwę.

Po południu chmura na niebie gęstnieje tak bardzo, że w ciemnościach nie widać nic, choćby na 2 kroki. Jedynie straszliwe, ogromne błyskawice, rozdzierające chmurę, oświetlają tonące w białym puchu miasto. Wielu gospodarzy rozkazuje niewolnikom zapalić oliwne lampy.

Wszystkich dręczy pytanie: uciekać czy zostać, by chronić dobytek przed złodziejami? Ci, którzy podczas poprzednich trzęsień ziemi uciekali jako pierwsi, wracali później do całkowicie ogołoconych willi. Większość mieszkańców, na przekór przerażającym ciemnościom i padającemu gorącemu pumeksowi, decyduje się zostać.

W Herkulanum nie jest tak ciemno jak w Pompejach. I nie pada biały popiół. Mieszkańcy ze zgrozą patrzą na spływającą nieśpiesznie po zboczu Wezuwiusza, z ich strony, wysoką na 20 m ścianę wrzącego błota. Nie ma wątpliwości – lawina błota pochłonie miasto. Wszyscy gorączkowo pakują dobytek, wypędzają z obór zwierzęta. Błoto sunie tak wolno, że gdy zaczyna wlewać się do domostwa z jednej strony, z drugiej zdesperowani mieszkańcy jeszcze przez jakiś czas wynoszą drobne sprzęty.

W Pompejach nie przestają padać biały pył i duże kamienie. Późnym popołudniem jego warstwa ma już metr grubości. Pod jej ciężarem załamują się dachy, przewracają oliwne lampy. Wybuchają pierwsze pożary.

Część pompejan wpada w panikę. Pakują co się da, okrywają głowy poduszkami i uciekają z miasta. Ale to nie takie proste. Biały popiół, choć lekki, sięga już powyżej pasa. Wozy grzęzną w nim

i trzeba je porzucić. W krępującym ruchy popiele, w tumanach gryzącego pyłu uciekinierzy idą noga za nogą, co chwila porzucając co cięższe pakunki.

Ci, którzy zostali, starają się zachować spokój. Strażnik miejski niewzruszenie stoi przed świątynią. Mieszkańcy szukają bezpiecznego schronienia przed padającym drobnym pumeksem i kamieniami w najniższych częściach domostw. I czekają. Wszak ten kataklizm musi się przecież skończyć.

Na przeciwległym brzegu Zatoki Neapolitańskiej, w Misenum, ogromny słup dymu nad Wezuwiuszem mieszkańcy dostrzegają dopiero o 19.00. Z powodu silnego wiatru wiejącego w stronę wulkanu huku wybuchu nikt nie słyszał. O niezwykłym zjawisku natychmiast dowiaduje się dowódca floty wojennej stacjonującej w Misenum, przy tym historyk, przyrodnik, encyklopedysta, Pliniusz Starszy. Po kąpieli i lekkim posiłku spoczywa na łożu i pisze, ale na wieść o wielkim słupie dymu każe podać sobie sandały. Dusza naukowca bierze górę nad ostrożnością żeglarza – Pliniusz każe natychmiast przygotować do drogi lekką, szybką, zwinną liburnę z jednym rzędem wioseł. Już ma wyruszać w stronę wschodniego brzegu zatoki, tam gdzie są Herkulanum i Pompeje, gdy przybiega goniec z listem. Znajoma Pliniusza Rektyna, mieszkająca w willi nieopodal Wezuwiusza, prosi o ratunek; lądem uciekać nie sposób z powodu grubego całunu popiołów. Pliniusz natychmiast zmienia rozkazy. W morze wychodzą największe, najcięższe czterorzędowce, zdolne pomieścić najwięcej uciekinierów. Wyprawa ratownicza zbliża się do wybrzeża na wysokości Wezuwiusza, ale nie jest w stanie dopłynąć do lądu. Zbocze wulkanu osunęło się i nieoczekiwana płycizna zagradza dostęp.

Pliniusz nie traci kontenansu. Poleca sternikowi płynąć do Stabiów, parę kilometrów dalej na południe od Pompejów. Tam

willę ma jego przyjaciel Pomponian. W deszczu rozpalonych kamieni i pumeksowego śniegu okręty przybijają do Stabiów. Pliniusz ściska Pomponiana, dodaje mu odwagi. Ale o odwagę trudno – Wezuwiusz pokryty jest słupami ognia i mniejszymi wypryskami płomieni.

Nie ma mowy o dotarciu z pomocą do Pompejów. I nie można odpłynąć. Silny zachodni wiatr dociska okręty do brzegu. Trzeba czekać. Pliniusz zasiada z Pomponianem do obiadu. Potem niewzruszony dodaje otuchy swoim ludziom, dyktuje opisy katastrofy sekretarzowi. Robi się późno. Pliniusz udaje się na spoczynek.

Pomponian i oficerowie budzą go nad ranem. Nieustannie padający pumeksowy śnieg za chwilę całkiem zablokuje wejście z dziedzińca do sypialni Pliniusza. Admirał czuje, że ziemia drży, domy przesuwają się tam i z powrotem niczym zabawki. W tej sytuacji Pliniusz zarządza, że wszyscy mają wyjść na dwór. Dla bezpieczeństwa kładą poduszki na głowy i obwiązują je chustami.

W Pompejach drgania ziemi budzą trwogę wśród mieszkańców. Kolejne grupy próbują ujść z miasta. Ale jak? Pumeksowy pył pada z nieba od 19 godzin. Grubość białego całunu na ziemi sięga 3 m. Uciekinierzy, często rodziny z dziećmi, grzęzną w gorącym pyle, dławią się, duszą, umierają.

O 7.30 nad ranem złowrogą ciszę rozrywa potężny grzmot. Ze szczytu Wezuwiusza z prędkością 300 km/h stacza się w dół obłok rozgrzanych, trujących gazów i pyłów. Nie ma przed nim ratunku. Uciekający w stronę Stabiów zakrywają sobie usta szmatami, ale to nie pomaga. Ci, którzy przeżyli w piwnicach, w zakamarkach walących się domów, teraz duszą się w konwulsjach. Jedni giną szybko, agonia innych, lepiej schowanych, przeciąga się do kilku godzin. Ginie ponad 2 tys. mieszkańców.

Na plaży w Stabiach Pliniusz Starszy uważnie obserwuje drugi wybuch wulkanu. Pliniusz jest mężczyzną otyłym, ma kłopoty z oddychaniem. Słudzy ścielą w pumeksowym pyle płachtę płótna. Pliniusz kładzie się, prosi co chwila o wodę. Pierwsze podmuchy znad Pompejów przynoszą przejmujący smród siarki i siarkowodoru. Stojący wokół Pliniusza oficerowie i przyjaciele rzucają się do ucieczki. Sam Pliniusz wspiera się na 2 niewolnikach, wstaje i pada martwy.

Z nieba bez przerwy sypie się pył. Ale to już nie biały pumeks, lecz ciemne popioły wulkanu.

25 sierpnia 1968 ▪ niedziela

Posiedzieć w Moskwie

Niedziela. Dochodzi południe. W Moskwie jest piękny, słoneczny dzień, ale w powietrzu czuć jeszcze wilgoć – wczoraj potężnie lało. Mimo upału na pl. Czerwonym jest mnóstwo ludzi. Do mauzoleum Lenina ciągnie się tak długa kolejka zwiedzających, że z jej powodu pół placu zamknięto dla zwykłych przechodniów.

Tłumy wycieczek i moskwian czekają, aż kremlowski zegar wybije południe i przed mauzoleum odbędzie się widowiskowa zmiana warty.

Od strony domu towarowego GUM nadchodzi kilkoro młodych ludzi, kobiet i mężczyzn. Idą osobno. Nikt nie zwraca na nich uwagi. Od tej strony nadchodzi też kobieta pchająca przed sobą wózek z malutkim chłopczykiem.

Młodzi ludzie wchodzą na kamienny krąg nieopodal narożnika pl. Czerwonego i ul. Kujbyszewa. To średniowieczne miejsce straceń.

Kobieta z wózkiem siada na kamiennym kręgu miejsca straceń. To 32-letnia poetka Natalia Gorbaniewska, już od czasu studiów związana z opozycją demokratyczną w ZSRR. Gorbaniewska wstała tej niedzieli o świcie. Wypisała transparenty: „Za waszą i naszą wolność", po rosyjsku, oraz „Niech żyje wolna i niepodległa Czechosłowacja" – ten po czesku.

Przed 4 dniami Armia Radziecka, wspierana przez oddziały innych państw Układu Warszawskiego, wkroczyła do Czechosłowacji, by stłumić Praską Wiosnę, radykalną destalinizację tamtejszej partii komunistycznej i całego państwa.

Gorbaniewska oba transparenty zwinęła i schowała do wózka 3-miesięcznego synka.

Gdy Gorbaniewska siada na miejscu straceń, natychmiast przysiadają się kolejni młodzi ludzie, którzy przyszli od strony Bramy Spasskiej. To siwowłosa Łarisa Bogoraz, pracownik naukowy Instytutu Informacji Technicznej; Paweł Litwinow, fizyk pozostający bez zatrudnienia; Konstantin Babicki, młodszy asystent w Instytucie Językowym Akademii Nauk ZSRR; Wadim Delone, Władimir Driemluga, Wiktor Fajnberg, Tania Bajewa.

Gorbaniewska wyciąga z wózka oba transparenty. Jeden rozkłada nad głową sama, drugi unoszą jej towarzysze. Oni też nie przyszli z pustymi rękami. Udało się im przynieść własne transparenty, z ręcznie wypisanymi hasłami: „Ręce precz od CSRS!", „Precz z okupantami!", „Niech żyje niepodległa Czechosłowacja!", „Wolność dla Dubczeka!". I jeszcze małe flagi Czechosłowacji. Podnoszą transparenty i flagi do góry. Litwinow trzyma „Za waszą i naszą wolność", Łarisa Bogoraz – „Ręce precz od Czechosłowacji".

Demonstranci siedzą ciasno obok siebie.

Przechodnie i turyści natychmiast dostrzegają transparenty i otaczają demonstrantów. Mija kilka chwil. Gapie czytają hasła.

Wreszcie dociera do nich, o co chodzi siedzącym manifestantom. Ktoś z tyłu woła, że to pewnie demonstrują jacyś Czesi. Przechodnie wyrywają z rąk siedzących transparenty, drą je na kawałki. Co rusz ktoś szturcha któregoś z siedzących, uderza po głowie, bije po twarzy. 8 demonstrantów nie broni się.

Tłum wokół miejsca straceń gęstnieje błyskawicznie. Stojący dalej od centrum zbiegowiska nie mają pojęcia, o co chodzi, dopytują się tych, którzy są bliżej. Kilka osób woła: „Co oni tu robią?!", inni wrzeszczą: „Niech lepiej wracają do domu!", „Na milicję z nimi!", „Bić antysowietczyków!".

Jakiś mężczyzna uderza Wiktora Feinberga pięścią w twarz. Krew kapie na koszulę demonstranta. Inny mężczyzna i nieznana kobieta szarpią się z Litwinowem. Wyrywają mu teczkę i walizkę, w których przyniósł transparenty. Dwaj inni biją go do krwi.

Pozostali z siedzących spokojnie głośno tłumaczą, że występują przeciwko sowieckiej okupacji Czechosłowacji. W rozgardiaszu na miejscu straceń słyszy ich mało kto. Ale niektórzy z tłumu pytają się ze zdziwieniem: „Jaka znowu okupacja?". Ktoś woła: „Wszyscy wiedzą, dlaczego weszliśmy!".

Ci z gapiów, którzy sądzą, że demonstranci są Czechami, też nie szczędzą gniewnych okrzyków: „Żywimy was i tak się odpłacacie?", „Wyzwalając was, straciliśmy 200 tys. żołnierzy", „Mamy was oddać Amerykanom, tak?".

Ktoś z tłumu chce złamać trzymaną przez Gorbaniewską małą flagę czechosłowacką. Gorbaniewska pyta ostro: „Chcecie zniszczyć oficjalną flagę Czechosłowacji?". Zdezorientowany napastnik daje fladze spokój. Ale po chwili podchodzi chudy mężczyzna z pociągłą twarzą, wyrywa flagę i łamie małe drzewce na kawałki.

Rozgwar i krzyki przerywa przenikliwy gwizdek milicjanta rozpędzającego tłum. Od strony Bramy Spasskiej podjeżdża czarna

wołga, za którą biegnie kilku tajniaków. W miarę zbliżania się wołgi do miejsca straceń z tłumu wyskakują kolejni mężczyźni po cywilnemu i dołączają do orszaku truchtającego za samochodem.

Wołga zatrzymuje się, tajniacy chwytają 5 demonstrantów i wpychają do środka. Ciągnięty do samochodu Feinberg krzyczy na całe gardło: „Niech żyje Czechosłowacja!". Tajniacy, wpychając zatrzymanych do wołgi, umyślnie uderzają ich głowami o ramę od drzwi. Po chwili nadjeżdża druga wołga.

W samochodach zabrakło miejsca dla wszystkich demonstrantów. Na placu zostaje Natalia Gorbaniewska z wózkiem – synek budzi się, ale nie płacze. Tłum wyzywa ją od chuliganów: „Dostajesz od nas chleb, a ty co?". Gorbaniewska odpowiada, że ktoś zniszczył jej flagę Czechosłowacji, i stoi twardo na miejscu demonstracji. Nie może być tak, że jej towarzyszy aresztowano, a ona wymknie się cichcem milicji. Ktoś z tłumu prosi ją, chyba z dobrego serca, żeby stąd czym prędzej poszła. Ale Gorbaniewska zacina się i stoi dalej. Wreszcie czarna wołga wraca. Tajniacy wysiadają i wyrywają Gorbaniewską z tłumu. Jakaś kobieta w ostatniej chwili wpycha w drzwi wołgi wózek z dzieckiem – gdyby nie ona, pewnie chłopczyk zostałby na pl. Czerwonym. Wsiadając do samochodu, Gorbaniewska woła do tajniaków, że żąda zabrania świadka. W porządku, stwierdza jeden z nich i wskazuje jakiegoś mężczyznę w tłumie. Wyznaczony na świadka także wsiada do wołgi.

Gdy samochód rusza, Gorbaniewska przysuwa się do okna, odkręca szybę i woła: „Niech żyje Czechosłowacja!". Świadek bije ją w twarz i zakręca okno. To też milicyjny tajniak.

Oficer rozkazuje kierowcy jechać na 50. komisariat przy ul. Puszkina, obok teatru cygańskiego Romen, zwanego przez moskwian Półrublówką, od biletów za 50 kopiejek. Słysząc to,

Gorbaniewska znów próbuje odkręcić okno. Rzekomy świadek drugi raz bije ją po twarzy.

Na komisariacie okazuje się, że przywieziono nie tylko demonstrantów, ale i 3 wspierających ich z tłumu przyjaciół. Wypatrzyli ich tajniacy.

Przez 3 godziny nie dzieje się nic. Najwyraźniej zatrzymani mają zmięknąć przed rozpoczęciem przesłuchań. Gdy mija trzecia godzina od zatrzymania, Władimir Dremliuga bez słowa wstaje z miejsca i cicho idzie do drzwi wejściowych. Gdy rozwścieczony strażnik rzuca się w jego kierunku, Dremliuga spokojnie wyjaśnia, że bez nakazu zatrzymania nie można przetrzymywać go dłużej niż przez 3 godziny. Pozostali zatrzymani głośno go popierają.

Ze zmiękczania przez czekanie nici. Śledczy zaczynają przesłuchania.

Gorbaniewska odmawia składania zeznań o przygotowywaniu i przebiegu demonstracji, bo jak wyjaśnia, była to typowa pokojowa demonstracja siedząca i tylko ludzie, którzy demonstrantów zaatakowali, naruszyli porządek publiczny.

Dremliuga nie odpowiada na żadne pytanie przesłuchującego go mjr. Karakaniana. Na koniec odmawia złożenia podpisu pod stwierdzeniem śledczego, że odmówił zeznań. Major sam wpisuje do protokołu: „Odmówił złożenia podpisu".

Pozostali też uchylają się od zeznań. Na nic klasyczne sztuczki śledczych: „Twoi towarzysze mówią nam już wszystko!".

Późnym wieczorem z Półrublówki ruszają wołgi z zatrzymanymi do ich domów – na rewizje. W 8 mieszkaniach śledczy szukają dowodów antysowieckiej działalności zatrzymanych. Ale łup jest marny. U Dremliugi zabierają Kodeks karny ZSRR, u Gorbaniewskiej – przepisane przez nią na maszynie wiersze Mandelsztama, u Delone – prawosławny krzyż. Śledczy bardzo

starają się, by znaleźć coś poważnie obciążającego, przeszukania trwają do późnej nocy, ale bez rezultatów. Podczas wcześniejszych rewizji inni śledczy zabrali już wszystkie trefne materiały.

26 sierpnia 1928 ▪ niedziela

Włościanie zlani

Od świtu przez lasy w Spale maszerują tysiące chłopów w odświętnych ludowych strojach. Leśnymi duktami ciągną tradycyjne chłopskie wozy, załadowane sianem i wymyślnymi wieńcami uplecionymi z kłosów zbóż, kwiatów, z girlandami owoców. Większość wozów obsiadły gospodynie i wiejskie dziewczęta. Chociaż tyle odpoczną. Przed nimi dzień stania i tańcowania w coraz większym upale. A potem jeszcze nocna zabawa.

Zmierzający do pałacu chłopi mijają rozbite w lasach namioty, wozy, suszące się na sznurach gacie. Wielu włościan dojechało z odległych województw wcześniej i rozbiło obozowiska w okolicznych lasach. Pośród nich stoją eleganckie limuzyny i kabriolety, motocykle, a nawet rowery setek gości z Warszawy.

Prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki zaprosił do swej rezydencji delegacje ludu z całego kraju na dożynki.

Mościcki pochodzi z rodziny ziemiańskiej. W młodości należał do Ligi Narodowej. Gdy studiował chemię na politechnice w Rydze, zorganizował wśród polskich studentów i polskich żołnierzy garnizonu ryskiego kółka oświatowe, które prócz pracy samokształceniowej prowadziły działalność spiskową, niepodległościową. Potem związał się z II Proletariatem,

spadkobiercą tradycji socjalistycznych Wielkiego Proletariatu Ludwika Waryńskiego. W 1892 roku, w obawie przed aresztowaniem za przygotowywanie zamachu na generał-gubernatora warszawskiego Hurkę, wyjechał do Londynu. Tam pracował, studiował. I poznał Józefa Piłsudskiego.

Wydawało się, że spotkanie to nie będzie miało istotnych konsekwencji w życiu młodego inżyniera. Na emigracji Mościcki całkiem porzucił działalność polityczną i z całą energią zajął się pracą naukową. W ciągu 15 lat dokonał wielu znaczących okryć w dziedzinie elektrochemii i elektrofizyki. Opublikował blisko 60 prac naukowych, uzyskał liczne patenty. W środowiskach naukowych najwyżej ceniona jest opracowana przezeń w latach 1903–1904 przemysłowa metoda otrzymywania kwasu azotowego z powietrza poprzez syntezę tlenków azotu w łuku elektrycznym.

Na 2 lata przed I wojną światową Mościcki przeniósł się do Lwowa. Na politechnice został wykładowcą w katedrze elektrotechniki. Zainteresował się problemami technicznymi przemysłu naftowego w nieodległym zagłębiu borysowskim. Opracował metodę rozdzielania emulsji wodno-olejowych, metodę destylacji zachowawczej ropy naftowej i nową technologię wytwarzania gazoliny.

W II Rzeczypospolitej jego pasją stała się odbudowa zniszczonego podczas wojny i rozbudowa przemysłu chemicznego. Przyczynił się do uruchomienia zdewastowanych fabryk w Chorzowie i Jaworznie, a w 1922 roku został dyrektorem naczelnym chorzowskiej Państwowej Fabryki Związków Chemicznych.

Po zamachu majowym i po spacyfikowaniu przez zwycięskiego Józefa Piłsudskiego nastrojów w kraju rozpisane zostały wybory prezydenckie. Zgromadzenie Narodowe wybrało Piłsudskiego, ale

Marszałek nieoczekiwanie zrezygnował z prezydentury i jako swojego kandydata wskazał Mościckiego.

Powszechnie ceniony, szanowany, zamożny, dobiegał Mościcki sześćdziesiątki, gdy jego uporządkowane życie zburzył, o północy 31 maja 1926 roku, telefon premiera Kazimierza Bartla. W imieniu Piłsudskiego Bartel proponował mu kandydowanie na prezydenta.

Po nieprzespanej nocy Mościcki zgodził się i jeszcze tego dnia, 1 czerwca 1926 roku, został wybrany przez Zgromadzenie Narodowe na prezydenta RP.

Zaraz po zaprzysiężeniu Rada Ministrów na żądanie Piłsudskiego przyjęła uchwałę radykalnie wzmacniającą uprawnienia prezydenta.

Formalne poszerzenie zakresu władzy głowy państwa wcale nie oznaczało więcej realnej władzy dla Mościckiego. Politykę w jego imieniu mieli prowadzić 2 zaufani ludzie Marszałka: Stanisław Car, mianowany na szefa kancelarii cywilnej prezydenta, i jego zastępca Kazimierz Świtalski.

Co zatem robić, naturalnie prócz celebrowania rautów i przyjmowania od obcych dyplomatów listów uwierzytelniających? Ignacy Mościcki w zeszłym roku zainicjował budowę wielkich, najnowocześniejszych w Europie zakładów syntezy azotowej w Tarnowie. I stworzył nową prezydencką tradycję – wielkie, ogólnopolskie dożynki w letniej rezydencji prezydentów RP w Spale.

Dożynki miały być takie, jakich świat jeszcze nie widział. I są. Na potrzeby dożynkowych uroczystości wzniesiono pośrodku spalskich lasów drewniany stadion mieszczący 30 tys. widzów. Niemal każdy powiat ma niepisany obowiązek przysłania delegacji chłopów w ludowych strojach.

O 8.00 dożynkowy stadion zaczyna się zapełniać, ale z lasów ciągle wychodzą tysiące chłopów. Nad tłumami powiewają flagi, kołyszą się transparenty z państwowotwórczymi napisami. Porządku pilnuje 500 strażaków w złotych paradnych hełmach.

Na honorowej trybunie pojawiają się goście prezydenta: marszałkowa Aleksandra Piłsudska, premier prof. Bartel, ministrowie, akredytowani w Warszawie dyplomaci, generalicja, z gen. Kazimierzem Sosnkowskim i gen. Stachiewiczem. Marszałka Piłsudskiego nie ma. Od tygodnia bawi na długim urlopie w Rumunii.

O 8.15 nadjeżdżają limuzyny. To prezydent Mościcki z żoną, ze świtą i w otoczeniu adiutantów. Grają fanfary. Ledwo Mościcki zajmuje miejsce w swoim fotelu, osobisty kapelan prezydenta ks. Bojanek przystępuje do celebrowania mszy. Ołtarz ustawiono na tle loży prezydenckiej.

Po mszy Mościcki ze świtą natychmiast jedzie z powrotem do prezydenckiego pałacu. Na ganku oczekuje na pochód dożynkowy. Chłopskie delegacje formują go na trakcie inowłodzkim przez prawie godzinę. Wreszcie są! Na czele maszeruje orkiestra strażacka z Tomaszowa, za nią kroczy starosta dożynek Jędrzej Cierniak. Potem konie ciągną symbole pracy rolnika: pług i bronę. Za nimi postępują 4 siewcy udający, że rzucają ziarno w glebę. Po tej pantomimie jedzie wielki chłopski wóz ze snopami wszystkich gatunków zbóż uprawianych w Polsce. Za wozem postępują dziewczęta z sierpami, żeńcy z kosami i wreszcie krąg włościan dźwiga wielki, oficjalny, ogólnopolski wieniec dożynkowy. Za nim, pod stosownymi szyldami, postępują delegacje organizacji rolniczych. Na końcu maszerują reprezentacje chłopstwa wszystkich ziem Rzeczypospolitej. Idą Mazurzy, krakowiacy, górale, Wołynianie. Od

barwnych strojów łowiczan odbijają szare, jakby ziemią przybrudzone świtki Poleszuków.

Poznaniacy maszerują, grając na ustnych harmonijkach. Adiutanci meldują prezydentowi, że największa harmonijka ma 0,5 m długości, najmniejsza zaś – ledwie 2 cm. Prezydent kiwa głową z aprobatą. Adiutanci przekazują poznaniakom, że pan prezydent pochwalił małą harmonijkę.

W południe zaczyna się uroczysty obiad dla przedstawicieli władz i osobistych gości prezydenta. Na stadionie 30 tys. zgłodniałych chłopów czeka na jego koniec.

Po obiedzie goście honorowi prezydenta wychodzą na ganek, skąd obserwują inscenizację barwnego wesela krakowskiego. Inscenizacja kończy się przejazdem występujących na wozach. Gnają całym pędem, o mały włos nie łamią dyszli.

O 14.00 nadchodzą chmury, zaczyna siąpić. Chłopi na stadionie martwią się – czy pan prezydent zechce przybyć do nich w deszcz? Ale prezydent zjawia się. Pada coraz mocniej. Gdy dożynkowy starosta Cierniak zaczyna przemowę, jego słowa giną w łoskocie niebywale gwałtownej ulewy: „Najdostojniejszy nasz Gazdo i Wy, Nadobno i Kochana Gaździno!". Przemowę kończy słowami: „Widzicie między kłoseckami i drobne serduszka, żebyście wiedzieli, że was kochają wszystkie polskie serca, boście strasznie dobrzy i dla ludzkiego biedowania niezmiernie miłosierni". Ulewa uniemożliwia należyte odśpiewanie przyśpiewek. Przed rokiem śpiewano tu pani prezydentowej: „Świetna brunetka olśniewająca/ jakby różyczka rozkwitająca/ Niby słoneczko złote jaśnieje/ Pani Prezydentowa do nas się śmieje".

Ach, ta okropna ulewa...

Zmoknięte delegacje składają dary i z trudem chrypią parę przyśpiewek o „Kochanym gaździe, kochanym prezydencie".

Krakowiacy ofiarowują Mościckiemu białą sukmanę i czapkę. Prezydent wkłada je. Chłopi wiwatują.

O 19.00 pod namiotami na dziedzińcu pałacyku rozpoczyna się obiad dla kierownictw chłopskich delegacji. Biesiaduje 500 wybrańców, w większości lokalnych urzędników, 29 tys. solidnie już głodnych chłopskich gości dożynek przygląda się temu, stojąc w strugach deszczu.

Góralska kapela rżnie i tańczy zbójnickiego.

Poznaniacy ofiarowują prezydentowi, pochwaloną przez niego, 2-centymetrową harmonijkę ustną.

Potem prezydent wygłasza mętne przemówienie, w którym ostrzega chłopów przez fantastami psującymi ich państwowotwórczą pracę. Na koniec przeprasza za ewentualne braki w organizacji dożynek i zapowiada, że przyszłoroczne święto będzie daleko bardziej imponujące.

Po kolacji starosta dożynek ogłasza, że z powodu ulewy całonocna uczta i zabawa dla wszystkich uczestników zostają odwołane. Można już wracać do domu. Na czczo.

Ignacy Mościcki podczas dożynek w Spale

27 sierpnia 1939 ▪ niedziela

Uśmiech rudego

Na granicach nie ma spokoju. Tuż po północy niemiecki patrol koło Gorzenia ostrzeliwuje z karabinów polskie statki płynące na Wiśle. O 2.45 grupa niemieckich dywersantów wkracza do Szczygłowic w powiecie rybnickim. Po krótkiej strzelaninie z polską strażą graniczną obok fabryki Lignoza napastnicy wycofują się. O 2.30

granicę polską koło miejscowości Dziewierznia przekracza konno niemiecki artylerzysta. Polscy pogranicznicy otwierają ogień i zabijają intruza. O 4.45 nieznani sprawcy ostrzeliwują z niemieckiej strony granicy strażnicę KOP Czarne Beskidzkie. O 6.00 w powiecie mławskim niemieckie karabiny maszynowe ostrzeliwują pełniących służbę kaprala straży granicznej Feliksa Grabowskiego i strażnika Wojciecha Wiśniewskiego. Obaj giną na miejscu, 200 m w głębi polskiego terytorium.

Poranne dzienniki pełne są informacji o niemieckich prowokacjach granicznych z poprzedniego dnia. W ciągu 2 dni doliczono się 34 przypadków naruszenia polskiej granicy przez niemieckie samoloty.

W Warszawie od świtu tysiące mieszkańców kopią rowy przeciwlotnicze.

Ale dziś stolica żyje czymś innym niż prowokacje graniczne i spekulacje na temat wojny. Teraz najważniejsza jest piłka nożna. Po południu zacznie się mecz reprezentacji Polski z Węgrami.

Sytuacja międzynarodowa jest tak napięta, że węgierski trener Warty Poznań Fogl porzucił swych podopiecznych i pośpiesznie wyjechał z Polski. Węgierska federacja lekkoatletyczna odwołała zaplanowany na 3 września międzypaństwowy mecz kobiet z Polską w Bydgoszczy. Dzisiejszy mecz futbolowy Węgrzy też najchętniej by odwołali, ale polskie władze państwowe rzuciły na szalę swój autorytet i ostatecznie przekonały węgierski rząd, by piłkarska reprezentacja Madziarów przyjechała do Warszawy. To spotkanie ma być przede wszystkim manifestacją solidarności Budapesztu z zagrożoną agresją Hitlera Polską.

Węgrzy mieli i inne, prócz grożącej lada chwila wojny, powody, by uchylić się od konfrontacji z polskimi graczami. Drużyna wicemistrzów świata jest bez formy. Do ostatniej chwili ważył się

start piłkarskiej gwiazdy reprezentacji Węgier, 26-letniego doktora prawa, napastnika Györgiego Sárosiego.

Wczoraj na Okęciu wylądował samolot z piłkarzami z Węgier. Ponieważ w maszynie było tylko 15 miejsc, trener József Takács i dr Sárosi przyjechali z Budapesztu pociągiem.

Polacy traktują mecz niesłychanie poważnie. Po sukcesach w mistrzostwach świata w 1938 roku, w których Polacy w słynnym meczu przegrali zaledwie 5:6 z Brazylią, zostało tylko wspomnienie. Drużyna biało-czerwonych mozolnie wydobywa się z kryzysu. W lipcu sprowadzono do Polski sławnego piłkarza londyńskiego Arsenalu, Szkota Alexa Jamesa. Przez 6 tygodni, do 11 sierpnia, uczył polskich graczy angielskiego systemu gry z 3 obrońcami.

Polacy ćwiczyli przed meczem na specjalnym obozie treningowym. Ale najważniejsze, że zagra Ernest Wilimowski.

Niski, brzydki, rudy Ślązak, zwany przez kibiców Ezi, jest czarodziejem piłki. Godzinami, codziennie ćwiczy na hałdach zwody i dryblingi. Na boisku potrafi z piłką u nogi mijać kilku rywali, bramkarza i dosłownie wpychać ją do siatki. Nie jest szybki, ale cudowną techniką ośmiesza wręcz przeciwników. Uwielbia strzelać z bliska, z pola karnego, Przy strzałach podkręca piłkę tak silnie jak nikt inny: bramkarze są bezradni. I wściekli, bo z twarzy rudzielca nie schodzi złośliwy uśmieszek.

21-letni król boisk jest też królem życia. Uwielbia bankiety i kobiety. Pije mocno, do utraty tchu. Przed 3 laty działacze piłkarscy oskarżyli go o przepicie premii za wygrany mecz z Wisłą. Nazajutrz jego Ruch przegrał z Cracowią 0:9. Podobno Ezi ledwo trzymał się na nogach. Zawieszono go, na igrzyska do Berlina nie pojechał. Polska drużyna niczego w Berlinie nie zwojowała. Po odwieszeniu zagrał w zeszłym roku w meczu z Brazylią na mistrzostwach świata, przegranym 5:6. Ezi strzelił wtedy 4 bramki.

Ciągle jednak niechętni mu działacze piłkarscy publicznie oskarżają go o alkoholizm.

Na stadionie Wojska Polskiego przy Łazienkowskiej już o 16.00 niemal wszystkie miejsca są zajęte. Wielu kibiców siedzi po prostu na niewysokiej koronie stadionu.

Przed trybunami kierujący polską reprezentacją kapitan związkowy Józef Kałuża spotyka Istvána Pluhára, który w 1921 roku grał w reprezentacji Węgier w meczu z Polską. W drużynie biało-czerwonych wystąpił wtedy Kałuża. Był to pierwszy w historii występ polskiej reprezentacji narodowej. Teraz Pluhár ma komentować mecz dla radia węgierskiego. Kałuża serdecznie obejmuje się z Pluhárem. Rozmawiają dłuższą chwilę. Po niemiecku, bo to jedyny język obcy, który obaj znają.

Gdy Pluhár przechodzi do stanowiska komentatorskiego, okazuje się, że Niemcy, okupujący Czechosłowację, blokują przechodzący przez Pragę kabel, którym ma być przesyłana transmisja Istvána Pluhára. Polskie władze błyskawicznie podejmują decyzję: Polskie Radio przerywa normalny program i oddaje swoją częstotliwość komentatorowi. Węgrzy mogą słuchać relacji po węgiersku na falach Polskiego Radia.

Krótko przed 16.30 na murawę wbiegają obie drużyny. Polacy w białych strojach i czerwonych getrach, Węgrzy w wiśniowych koszulkach, białych szortach i zielonych getrach. Orkiestra gra hymny państwowe. 30 tys. widzów wstaje z miejsc i na całe gardło śpiewa *Mazurka Dąbrowskiego*. Wrażenie jest piorunujące.

Na środku boiska fiński sędzia Esko Pekkonen w obecności obu kapitanów rzuca monetę. Grę rozpoczynają Polacy. Tuż przy murawie uwija się ponad 20 fotoreporterów, co rusz błyskają flesze. Po paru minutach zdecydowaną przewagę uzyskują goście. Nie grają szybko, ale bardzo dobrze technicznie, swobodnie. Ich częste,

krótkie, dokładne podania wyraźnie sprawiają kłopoty Polakom. W 14. minucie dr Sárosi precyzyjnie rozgrywa akcję z Gezą Toldim. Piłkę dostaje na polu karnym Gyula Zselengér i z kilku metrów pakuje ją do siatki Polaków. Bramkarz Krzyk jest bezradny.

Po strzale pierwszego gola Węgrzy nadal grają swoją piłkę. Zbliża się 30. minuta meczu. Piłkę dostaje Sándor Ádam i rusza do przodu prawym skrzydłem. Po pięknym rajdzie ogrywa tuż przy polu karnym bezradnego Edmunda Giemsę i strzela drugą bramkę.

Na trybunach cicho jak makiem zasiał. Kałuża przeprowadza zmianę. Za prawoskrzydłowego Polonii Henryka Jaźnickiego na murawę wchodzi Stanisław Baran. W polską drużynę wstępuje nowy duch. Kapitan Szczepaniak uspokaja, porządkuje grę obrony. Piątek i Dytko podrywają kolegów do ataku. Już 3 minuty po strzeleniu drugiej bramki przez Węgrów piłkę dostaje Wilimowski. Tym razem nie wjeżdża z nią, jak zwykle, na pole karne przeciwnika. Nieoczekiwanie uderza ją zza linii pola i... gol! Za to jak zawsze po strzeleniu bramki niepozorny rudzielec z odstającymi uszami szczerzy do pokonanego bramkarza zęby w krzywym, szyderczym uśmiechu.

Widownia szaleje z radości. Kontaktowa bramka uskrzydla Polaków. Grają coraz szybciej, coraz składniej. Coraz częściej są przy piłce w pobliżu bramki Węgrów.

Sędzia Pekkonen odgwizduje przerwę.

Po zmianie stron gospodarze jeszcze mocniej przyciskają Węgrów. Niewysoki pomocnik Edward Dytko przejmuje ciężar gry. Większość akcji ofensywnych Polaków zaczyna się od jego podań. W 64. minucie Wilimowski pięknym rajdem mija węgierskich obrońców i z szatańskim uśmiechem strzela z bliska – nie do obrony. Widownia jest w euforii.

9 minut później Ezi Wilimowski dostaje piłkę w głębi pola. Mija zwodem pomocnika Szalaya, przechodzi Turaya, ogrywa asekurującego go Kissa i już jest sam na sam z bramkarzem Ferencem Sziklaiem. W pełnym pędzie markuje strzał i mija węgierskiego bramkarza. Już, już ma wepchnąć piłkę do pustej bramki, gdy leżący Sziklai łapie go za nogę. Ezi wali się jak długi na murawę. Pekkonen odgwizduje karnego. Widzowie wrzeszczą wniebogłosy.

Piłkę ustawia Leonard Piątek. Na widowni narasta potężny ryk. Piątek patrzy na prawą rękę Sziklaia, podbiega i strzela silnie półgórną piłkę tuż obok lewego słupka. 3:2. Widownię ogarnia euforia. Dorośli skaczą jak dzieci, wymachują marynarkami.

Po dłuższej chwili stadion uspokaja się. Wilimowski leży na boisku. Koledzy znoszą go z murawy. Podbiega masażysta. Wreszcie Ezi podnosi się i utykając, wbiega na murawę. Wita go huragan braw. 2 minuty później ogrywa pomocnika i 2 obrońców, fantastycznym zwodem mija Sziklaia, wtacza piłkę do pustej bramki. I uśmiecha się.

Po utracie czwartej bramki Węgrzy przechodzą do defensywy. Polacy grają jak z nut, Wilimowski dwoi się i troi, ale Sziklai wyłapuje wszystkie strzały. Gwizdek Pekkonena. Koniec! Zwycięstwo!

Tłum młodych kibiców zbiega z trybun, wdziera się na boisko. Młodzież bierze na ramiona Wilimowskiego i kapitana drużyny Władysława Szczepaniaka, tryumfalnie odnosi ich do szatni.

Piłkarze węgierscy w swojej szatni siedzą w milczeniu. Żaden nawet nie sięga po przygotowane dla nich szklanki z herbatą, zimną wodą i przekrojone na pół cytryny. Wzburzony trener József Takács mówi polskiemu reporterowi: „Piłkarze nasi absolutnie nie chcą mówić na temat meczu. Są jednomyślni co do tego, że przegraliśmy

niezasłużenie! Byliśmy drużyną lepszą i co najmniej należał nam się remis. Sędzia skrzywdził nas wyraźnie. Widział urojoną jedenastkę u nas, nie widział jednak rzutu karnego, który nam się należał".

Potrójny kordon porządkowych otacza szatnię Polaków. Nie wpuszczają nikogo. Wreszcie piłkarze wychodzą. Nie mają zbyt wiele do powiedzenia, szybko wsiadają do taksówek. Ernestowi Wilimowskiemu taksówka ucieka sprzed nosa. Czekając na następną, Ezi woła do dziennikarza: „Panie redaktorze, jeśli chce pan dla mnie coś dobrego zrobić, to niech pan tak dosłownie napisze: Ernest Wilimowski pozdrawia wszystkich tych na Śląsku, którzy z takim uporem chcą z niego zrobić alkoholika i którzy starają się go za wszelką cenę wykończyć. Wilimowski tym właśnie wszystkim pokaże, jak się gra w piłkę. Pokaże to we wszystkich meczach reprezentacyjnych".

Wychodzący ze stadionu kibice mówią, że będzie dobrze. Nie bardzo wiadomo, czy myślą o meczu z Bułgarią, za tydzień, 3 września, czy o grożącej wojnie.

Na oficjalnym bankiecie po meczu goście prawie nie jedzą i nie piją. Obawiają się, że niemiecki atak na Polskę może nastąpić w każdej chwili. Węgierscy działacze nie chcą nawet czekać na wypłatę przewidzianego w kontrakcie honorarium za mecz. Pośpiesznie wyjeżdżają z piłkarzami na Okęcie, by jak najszybciej wylecieć z Polski.

Fragment meczu Polska – Węgry

28 sierpnia 1935 ▪ środa

Król sportu

Po śniadaniu w zajmowanej przez siebie na czas szwajcarskich wakacji willi Haslihorn w pobliżu Lucerny królewska para belgijska Leopold III i jego żona Astrid przechodzą z jadalni do garderoby wierzchniej. Jak zwykle oboje wyglądają olśniewająco. Szczupli,

przystojni, eleganccy. Belgowie uwielbiają parę królewską, a zwłaszcza królową Astrid. I to od początku ich znajomości.

W 1926 roku następca tronu książę Leopold bawił na letnich wywczasach w alpejskim kurorcie Spa i poznał tam księżniczkę Astrid, trzecią córkę szwedzkiego księcia Karola i duńskiej księżniczki Ingeborgi. Od pierwszego wejrzenia zakochał się w pięknej księżniczce. W niczym nie przypominała młodych, rozpieszczonych, zblazowanych arystokratek, skoligaconych z europejskimi domami panującymi. Jej matka, księżniczka duńska, siostrzenica króla Szwecji Gustawa V, wychowała ją bardzo nowocześnie i w duchu demokratycznym. Astrid uczęszczała do zwykłej szkoły powszechnej w Sztokholmie. Potem skończyła szkoły gospodarstwa domowego i pielęgniarską. Na półroczne praktyki w sztokholmskim szpitalu codziennie o 5.30 jechała z pałacu na rowerze. Księżniczka zachwyciła belgijskiego następcę tronu, melomana znanego z pasji sportowych, nie tylko swym nieprzeciętnym oczytaniem, świetną znajomością muzyki klasycznej, ale i uprawianiem kilku dyscyplin sportu na poziomie niemal wyczynowym.

Jak na zwyczaje domów panujących, zaręczyny odbyły się w ekspresowym tempie, zaledwie parę miesięcy po poznaniu się księcia i księżniczki. Pobrali się w listopadzie 1926 roku w katedrze św. Guduli w Brukseli.

Rok po ślubie urodziła się córeczka Józefina Charlotta, a 3 lata później – upragniony następca tronu Baudouin Albert. W zeszłym roku na świat przyszedł drugi syn Leopolda i Astrid – Albert Felix. Teraz Astrid jest w ciąży po raz czwarty.

W lutym ubiegłego roku Belgią wstrząsnęła straszna wiadomość – powszechnie uwielbiany i szanowany król Albert I, ojciec Leopolda III, zginął pod skałą Grand Bon Dieu w belgijskich

Ardenach. Znany z pasji alpinistycznych monarcha po południu w sobotę 17 lutego wyjechał sam, w sportowym samochodzie (automobilizm był jego drugą wielką sportową namiętnością), w stronę skał Marche-les-Dames. Gdy nieobecność Alberta I przedłużała się, wszczęto poszukiwania. Ze względu na wspinaczkową obsesję króla wiadomo było, że szukać trzeba w skałkach Ardenów. I rzeczywiście, o 2.00 znaleziono martwego Alberta I w stroju alpinisty, z głęboką raną głowy, pod arcytrudną 32-metrową skałą Grand Bon Dieu, na którą wspinał się bez należytej asekuracji.

Belgowie uwielbiali Alberta I za jego postawę podczas I wojny światowej. 2 sierpnia 1914 roku otrzymał on od niemieckiego cesarza Wilhelma II ultimatum, żądające przepuszczenia niemieckich wojsk przez terytorium neutralnej Belgii. Dla broniącej się przed Niemcami Francji byłaby to militarna katastrofa. Kajzer przypominał w ultimatum Albertowi I, że pochodzi on z niemieckiej dynastii Koburgów.

Dwie odpowiedzi Alberta na niemieckie naciski i szantaże przeszły do historii:

„Koburg – tak, ale również Orleański, a nade wszystko Belgijski".

„Rządzę narodem, nie drogą".

Gdy Niemcy zaatakowały Belgię, Albert I osobiście dowodził armią belgijską. W wielkiej bitwie nad rzeką Izerą jego wojska obroniły skrawek Belgii u ujścia Izery właśnie i utrzymały go do końca wojny. Dla Belgów Albert I był królem bohaterem.

Część tego uwielbienia poddanych spłynęła na starannie wychowywanego przez Alberta I następcę tronu i jego piękną, uroczą żonę – od roku króla Leopolda III i królową Astrid.

Leopold III i Astrid zostawiają 3 dzieci pod opieką bony. Dziś zamierzają wybrać się na wycieczkę samochodową tylko we dwoje.

Na polecenie króla szofer przesiada się na tylne siedzenie limuzyny. Królowa zajmuje miejsce z przodu, obok kierowcy. W wycieczce królewskiej parze ma nie towarzyszyć żaden samochód. Oboje chcą zakosztować odrobiny prywatności.

Wyruszają o 10.00. Leopold III jedzie szybko. Uwielbia ostrą jazdę, szczególnie wąskimi, krętymi drogami. Tuż przed wioską Küssnacht Astrid na prośbę męża wyjmuje mapę okolic i rozkłada ją. Król pochyla się lekko w stronę żony, by popatrzeć na układ dróg na mapie. Usiłuje odczytać niewielkie napisy i nie zauważa, że samochód skręca z drogi. Szurgot szutru, samochód uderza o przydrożne drzewo. Huk, zgrzyt miażdżonej blachy.

Siła uderzenia jest tak potężna, że wyrzuca królową przez zbitą przednią szybę. Astrid uderza prawą skronią w pień i upada na trawę z rozbitą czaszką. Król, także wyrwany z fotela, leci bezwładnie aż pod następne przydrożne drzewo. Jest nieprzytomny. Szofera zatrzymują w samochodzie oparcia przednich foteli. Jest oszołomiony, nie wie, co się z nim dzieje.

Hałas uderzenia zwabia chłopów z Küssnacht. Kilku z nich cuci Leopolda III. Król wraca do przytomności, pyta, gdzie jest królowa. Gdy dowiaduje się, że pod drugim drzewem, z pomocą chłopów wstaje i podchodzi do rozbitego samochodu. Klęka przy żonie. Astrid jest nieprzytomna. Leopold III woła królową po imieniu, ale Astrid nie reaguje. Leopold bierze ją na ręce. Z wioski pośpiesznie maszeruje tutejszy proboszcz. Gdy dostrzega, że okropnie ranna w głowę kobieta nie daje znaków życia, czym prędzej udziela jej ostatniego namaszczenia. Gdy na miejsce wypadku dociera wreszcie lekarz z Lucerny, może już tylko stwierdzić zgon.

Na miejscu wypadku zjawia się policja z Lucerny. Karetka odwozi ciało Astrid do willi Haslihorn. Wczesnym popołudniem

w przybranej kirem największej sali willi królewska służba układa zwłoki Astrid na łożu śmierci. Król klęczy przy nich aż do wieczora.

Po południu w willi zjawia się zawiadomiony o tragedii premier Belgii Paul van Zeeland. Królewski sekretarz baron Capelle wprowadza go do sali, w której modli się król. Premier uzgadnia z królem i jego sekretarzem treść oficjalnego komunikatu. Panowie ustalają też, że królewskie dzieci powinny jak najrychlej wrócić do Brukseli.

Kierowca i bona przewożą Józefinę i Alberta na dworzec kolejowy w Lucernie. Osierocone królewskie dzieci w asyście urzędników dworu dojeżdżają wieczorem do Brukseli. Nikt nie ma odwagi powiedzieć im, że ich matka nie żyje.

29 sierpnia 1931 ▪ sobota

Morderstwo podczas burzy

Tadeusz Hołówko wstaje o 6.00. Czeka go kolejny, niewymownie nudny dzień kuracjusza w Truskawcu. Za chwilę marsz na czczo do Naftusi, słynnego truskawieckiego źródła z leczniczą szczawą, potem kąpiel solankowo-gazowa, śniadanie i jedyne prócz spacerów wytchnienie – lektura świeżo wydanego trzeciego tomu *Dziejów Polski* w *zarysie* Michała Bobrzyńskiego. A potem, o 14.00, kolejny marsz do Naftusi w tłumie kuracjuszy z dumą dzierżących sanatoryjne kubki. I znów: spacer, obiad, spacer, Naftusia, kolacja, powrót do pokoju nr 5 na piętrze nowo wybudowanego pensjonatu greckokatolickich sióstr służebniczek.

Nie powinno go tu być. Gdy miesiąc wcześniej, w czasie lipcowych upałów, Hołówko zasłabł, lekarz rozpoznał chorobę serca

i zalecił wyjazd do uzdrowiska toskańskiego Montecatini. Ale Hołówki, wybitnego polityka obozu rządowego, byłego naczelnika wydziału wschodniego MSZ, teraz posła i eksponowanego działacza Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, na kurację w ukochanej przezeń Toskanii nie było stać. Parę lat wcześniej rozwiedziony, utrzymywał 2 dzieci z pierwszego małżeństwa, drugą żonę z małą córeczką, matkę i chorą na płuca siostrę. Pozostał mu więc tańszy Truskawiec koło Drohobycza.

Ale tu, w Truskawcu, nie powinien mieszkać w ukraińskim pensjonacie, u greckokatolickich sióstr. Hołówko od dawna jest ekspertem piłsudczyków ds. ukraińskich. A sprawy te stoją źle. W drugiej połowie 1930 roku OUN przeprowadziła w województwach południowo-wschodnich akcję terrorystyczno-sabotażową. Jej celem bezpośrednim była destabilizacja terenów zamieszkanych przez Ukraińców. Rząd odpowiedział pacyfikacją: aresztowano ukraińskich przywódców, zamykano szkoły i organizacje społeczne.

Hołówko, jako jeden z nielicznych polskich polityków, próbował zapobiec konfliktowi. Układał plany kompromisu, potajemnie negocjował z umiarkowanymi parlamentarzystami ukraińskimi, zabiegał o zwolnienie aresztowanych. Ale właśnie dlatego OUN upatruje w nim groźnego wroga, mogącego pokrzyżować jej wywrotowe plany.

Na wieść, że Hołówko zamieszkał w ukraińskim pensjonacie, komendant policji w Truskawcu wpadł w panikę. Mimo że Hołówko nie zgodził się na ochronę osobistą, policja oddelegowała jednego z truskawieckich funkcjonariuszy do dyskretnego pilnowania posła w czasie spacerów.

Zamieszkanie u greckokatolickich sióstr było polityczną manifestacją. Ale było też koniecznością: nawet tu, w polskim

uzdrowisku, nie stać go na nieco droższy, polski pensjonat. 2 dni wcześniej, 27 sierpnia, napisał do żony z prośbą o natychmiastowe podjęcie diety poselskiej i przesłanie jej telegraficznie – nie miał czym zapłacić za kurację i pensjonat.

Ale dziś, 29 sierpnia, kłopoty się kończą. Hołówko spotyka w uzdrowisku socjalistę Tomasza Arciszewskiego, który szanuje go jako polityka rozsądnego, umiarkowanego. Arciszewski pożycza mu gotówkę. Żegnają się o 18.00. Hołówko wraca do pensjonatu i pośpiesznie pakuje bagaże, by natychmiast wyjechać.

Nad Truskawiec napływają jednak nagle ciężkie burzowe chmury. Poseł odkłada wyjazd do jutra. Prosi przełożoną sióstr służebniczek o rachunek. Siostra podsuwa mu księgę pamiątkową. Hołówko pisze w niej: „Pobyt w pensjonacie zachowam w miłej pamięci. Jestem bardzo wdzięczny za opiekę, troskliwość i życzliwość, której tyle dowodów miałem ze strony siostry przełożonej i całego zgromadzenia". Jako datę wpisuje 30 sierpnia, gdyż wyjechać ma przecież nazajutrz rano.

Po kolacji kładzie się i czyta. Na dworze szaleje wichura, ulewa, biją pioruny. O 20.20 ktoś puka. „Proszę" – woła Hołówko, by przekrzyczeć burzę.

Wchodzą 2 młodzi, nieznajomi mężczyźni w mokrych prochowcach. Wyciągają pistolety.

Tadeusz Hołówko zasłania się rękoma. Huk 6 strzałów z browninga i belgijskiego pistoletu FN wtapia się w odgłosy burzy. Ostatni strzał jeden z morderców oddaje, przykładając lufę do szczęki ofiary. Dwaj truskawieccy aktywiści OUN, 20-letni Wasyl Biłas i 23-letni Dmytro Danyłyszyn, wychodzą nieniepokojeni. Na dworze co chwila grzmią pioruny.

30 sierpnia 1918 ▪ piątek

Ślepa strzela celnie

Po południu Maria Iljiniczna, siostra Włodzimierza Iljicza Lenina, prosi brata, by nie opuszczał dziś Kremla. Do Moskwy docierają pierwsze wieści o śmiertelnym zamachu w Piotrogrodzie na szefa tamtejszej Czeka Moisieja Urickiego. Także członek Biura Politycznego KC partii bolszewików Nikołaj Bucharin doradza zmianę dzisiejszych planów. Ale Lenin jest w dobrym nastroju i żadne argumenty doń nie docierają. Ma dziś wygłosić w Moskwie dwa przemówienia: na dziedzińcu dawnej Giełdy Zbożowej i w fabryce Michelsona. Zależy mu zwłaszcza na tym drugim wiecu. W fabryce Michelsona przemawiał już do robotników przed miesiącem, 2 sierpnia, i bardzo miło wspomina tamten wieczór.

Lenin ignoruje przestrogi siostry i Bucharina. W znakomitym humorze wsiada do służbowego samochodu. Towarzyszy mu tylko osobisty szofer Stiepan Gil. Ochrona Lenina zostaje na Kremlu. To w tych miesiącach obowiązkowy fason przywódców bolszewików. Ich partia głosi, że jednostka jest niemalże niczym wobec kolektywu. Otaczanie zatem jednostki specjalną opieką, choćby osobą tą był ważny działacz, jest w złym stylu. Latem 1918 roku Lenin niemal codziennie pokazuje się na ulicach Moskwy praktycznie bez żadnej ochrony, choć już bywał w poważnych opałach.

Pół roku wcześniej, po wygłoszeniu w maneżu Michajłowskim mowy do wyjeżdżających na front oddziałów, Lenin wraz z siostrą Marią i niemieckim socjalistą Fritzem Plattenem wsiadł do samochodu i wyjechał do Smolnego. Ujechali niecały kilometr, gdy huknęły strzały. Platten przewrócił Lenina na podłogę i nakrył

sobą. Pociski zamachowców dziurawiły karoserię jak rzeszoto, w kilku miejscach przebiły przednią szybę. Platten został ranny w rękę, Leninowi nic się nie stało.

Samochód z Leninem zajeżdża przed Giełdę Zbożową. W fabrycznym gmachu czeka na niego spory tłum; wstęp jest wolny. Lenin przemawia ze swadą, jest w bardzo dobrej formie.

W świetnym nastroju Lenin jedzie do fabryki Michelsona. Hasło wiecu to: „Dwie władze". Robotnicy przyjmują mówcę bardzo życzliwie, bo spodziewają się, że ogłosi poprawę zaopatrzenia. Lenin jednak wygłasza długą, namiętną filipikę przeciw burżuazyjnej demokracji. Zapewnia, że tylko zniesienie prywatnej własności ziemi doprowadzi do prawdziwego zjednoczenia proletariatu miast i wsi. Gromkim głosem ostrzega: „Tam gdzie rządzą demokracje, wszystko sprowadza się do jawnej, najzwyklejszej grabieży. Znamy prawdziwą naturę tak zwanych demokracji!". Wreszcie kończy: „Mamy tylko jeden wybór: zwycięstwo albo śmierć!". Macha ręką do słuchaczy i kieruje się do wyjścia.

Zapada zmrok. Na dziedzińcu drogę zastępują mu 2 kobiety. Skarżą się na wojskową blokadę miasta. Chłopi nie mogą wjechać do Moskwy ze swoimi produktami. Lenin obiecuje im poprawę zaopatrzenia i kieruje się do samochodu. Szofer Gil zapala silnik. Lenina dzielą od drzwiczek 2 kroki, gdy rozlegają się trzy wystrzały. Pada twarzą do ziemi. Nie rusza się. Na dziedzińcu zamęt, rwetes. Krzyczy kobieta, którą dosięgnął jeden z pocisków. Robotnicy rozbiegają się w rozmaite strony. Kilku bolszewickich aktywistów osłania postrzelonego. Lenin usiłuje coś powiedzieć. Gil układa go w samochodzie, zakazuje mu mówić i na własną odpowiedzialność rusza w stronę Kremla, a nie najbliższego szpitala.

Na Kremlu Lenin okazuje się zadziwiająco dziarski. Mimo że obficie broczy krwią, sam wysiada z samochodu i bez niczyjej

pomocy, choć mocno chwiejnym krokiem, idzie po schodach do swojej sypialni. Tam ciężko opada na fotel. Na Kremlu nie ma lekarza. Bolszewiccy działacze gorączkowo dopytują się wzajem, czy któryś nie ma aby jakichś doświadczeń medycznych. Zgłaszają się Wiera Wieliczkina, żona osobistego sekretarza Lenina, Boncz-Brujewicza, i Wiera Krestinska, żona członka KC Mikołaja Krestinskiego.

Siostra Lenina Maria histerycznie szuka czegoś do jedzenia. Koniecznie chce zrobić pokrwawionemu Leninowi kolację. Usiłuje wysłać służbę do sklepu po cytryny. Przerażona gospodyni Lenina zamyka się w swoim pokoju na klucz.

Wieliczkina i Krestinska badają rannego. Dostał 2 postrzały. Jeden pocisk wszedł pod lewą łopatką, lekko uszkodził górny płat płuca i utkwił w prawej stronie szyi, nad prawym obojczykiem. Drugi przebił lewy bark, strzaskał kość i utkwił pod skórą.

Domownicy zagotowują wielki garniec wody do sterylizacji bandaży i sprzętów medycznych. Czekają na specjalistów z moskiewskich szpitali, których wezwała już ochrona Kremla.

Pierwsi profesorowie przybywają dopiero po kilku godzinach, nad ranem.

Tuż po strzałach na dziedzińcu fabryki Michelsona obecny na wiecu zastępca komisarza wojskowego 5. Moskiewskiej Sowieckiej Dywizji Piechoty S.N. Batulin nie traci głowy. Z krzykiem: „Łapać zabójcę towarzysza Lenina!", wybiega na ulicę. Sierpuchowką biegną w ciemnościach grupki przestraszonych uczestników wiecu. Pod drzewem Batulin dostrzega stojącą spokojnie kobietę w średnim wieku, z teczką i parasolem w ręku. Nie wygląda na przestraszoną, pali papierosa. Podchodzi do niej i pyta, co tu robi. Nieznajoma odpowiada pytaniem: „A po co chce pan to wiedzieć?". Dla bolszewika to odpowiedź w najwyższym stopniu podejrzana.

Batulin od razu rewiduje ją. Niczego nie znajduje, ale aresztuje nieznajomą. Dwóch przechodniów pomaga ją prowadzić. Skoro tłum spostrzega, że kobietę aresztowano, podnoszą się okrzyki, że to ona strzelała do Lenina. Batulin doprowadza ją do komisariatu wojskowego rejonu zamoskworieckiego. Na jego kolejne pytanie nieznajoma nieoczekiwanie przyznaje się do zamachu.

Na posterunku czekistka Udotowa z koleżanką rozbierają zatrzymaną do naga. Skrupulatnie przeglądają jej rzeczy. Stebnowania i szwy oglądają pod światło, badają buty. Niczego nie znajdują. Przeczesują włosy zatrzymanej. Też nic.

Nieznajoma oświadcza, że nazywa się Fania Kapłan.

Czekiści przewożą ją na Kreml. Zostaje zamknięta w piwnicy pod mieszkaniem sekretarza KC Jakowa Swierdłowa. Przesłuchania zaczynają się zaraz po tym, gdy zjawiają się czołowi funkcjonariusze bolszewickiego aparatu bezpieczeństwa: ludowy komisarz sprawiedliwości Dmitrij Kurski, Nikołaj Skrypnik i Jakow Peters. Czekiści sprawdzają jej życiorys.

Przedwcześnie postarzała, bardzo chuda kobieta o dużych uszach i bardzo długiej szyi, siedzi na krześle na środku piwnicy. Beznamiętnym głosem zeznaje, że urodziła się w żydowskiej rodzinie jako Fania Rojtman. Od 1906 roku jest anarchistką. Za usiłowanie zamachu bombowego na carskiego generał-gubernatora Kijowa została skazana na dożywotnią katorgę. Do zamachu po prawdzie nie doszło. Kapłan, która wtedy zachwycała otoczenie swą nieprzeciętną urodą, i kilka młodziutkich jak ona anarchistek, szykując zamach, wynajęły pokój w kijowskim hotelu. Przeznaczona dla generał-gubernatora bomba eksplodowała w tym pokoju, w trakcie uzbrajania jej przez dziewczęta. Odłamki raniły Fanię w lewą rękę, prawy policzek i lewą goleń.

Dostała karę śmierci, którą zamieniono na dożywotnią katorgę w Nerczyńsku – obowiązkowo w ciężkich kajdanach na nogi i na ręce, bez prawa zdejmowania, nawet podczas choroby.

Na katordze, jednej z najcięższych w carskiej Rosji, niemal całkiem oślepła, zapadła na wyniszczającą migrenę. Była tak ciężko chora, że nerczyńskie władze zamierzały nawet skierować ją przymusowo do jakiegoś żeńskiego klasztoru, gdzie mogłaby bez skrajnych cierpień dożyć swych dni.

Na wolność wyszła dzięki amnestii po rewolucji lutowej 1917 roku. Z Syberii wróciła ze zrujnowanym zdrowiem i nienaruszonym zapałem rewolucyjnym. Jej rodzina, która podczas wojny światowej wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, wzywała z Chicago, by Fania wyjechała na Zachód, obiecywała pieniądze na bilet. Ale ona wybrała rewolucyjną robotę w Rosji. Przyjaciółka Aniczka Pigit przyjęła ją do swego mieszkania, wynajmowanego na Bolszoj Sadowoj. Latem 1917 roku Kapłan wyjechała do sanatorium w Eupatorii, założonego – zaraz po obaleniu caratu – przez lutowy rząd dla byłych katorżan. W sanatorium poznała Dmitrija Uljanowa, który, z pomocą przyjaciół, załatwił jej operację u sławnego chirurga doktora Gerszwina. Zabieg udał się – Fania częściowo odzyskała wzrok, choć minus 15 dioptrii kwalifikowało ją raczej do niewidomych.

Politycznie identyfikowała się z eserami. Na aktywną działalność brakło jej u schyłku wojny sił, ale dość trzeźwo obserwowała, co się w kraju dzieje. Co do bolszewików nie miała złudzeń – dążą tylko do władzy, w istocie za nic mając i samych robotników, i ich potrzeby.

Podczas przesłuchania w piwnicach Kremla Kapłan przyznaje się do postrzelenia Lenina, zapewnia, że nie miała żadnych wspólników. Śledczy aresztują jednak jej znajomych, prawych

eserów Lidię Konoplewą i Wasyla Nowikowa, biorą ich w krwawe obroty.

Niby wszystko jasne. Tylko dlaczego Kapłan nie potrafi opisać przesłuchującym broni, z jakiej strzelała, nie wie, ile padło strzałów? No i jeszcze jeden kłopot: jest prawie ślepa.

Ale przyznała się. To wystarczy.

Fania Kapłan – wykonawczyni zamachu na Lenina

31 sierpnia 1939 ▪ czwartek

Babcia umarła bez komunikatu

O 16.00 szef SD, Służby Bezpieczeństwa SS Gruppenführer Reinhard Heydrich telefonuje ze swego biura w Berlinie do hotelu Haus Oberschlesien w Gliwicach. Telefon odbiera SS-Sturmbannführer Alfred Naujocks, jeden z najlepszych speców SD od sabotażu i dywersji.

– Proszę o telefon – mówi tylko Heydrich.

Naujocks natychmiast oddzwania.

– Babcia umarła – mówi Heydrich i rozłącza się.

To sygnał do rozpoczęcia wymyślonej przez Heydricha akcji dywersyjnej w przededniu ataku III Rzeszy na Polskę. Przebrani za polskich powstańców, mówiący po polsku esesmani mają zaatakować 3 obiekty na przygranicznym terytorium Niemiec: leśniczówkę w Byczynie, Urząd Celny w Stodołach i radiostację w Gliwicach. Operację tę zaakceptował Hitler, a Reichsführer SS Heinrich Himmler niedawno osobiście, *incognito* wizytował miejsce akcji w Stodołach.

Pierwotne plany przewidywały pozostawienie na miejscu prowokacji zabitych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych jako rzekomo zastrzelonych w walce polskich napastników. Heydrich nazwał ich „konserwami". Ostatecznie zdecydowano, że w budynku radiostacji w Gliwicach ma być zabita tylko jedna ofiara. Gestapo wytypowało na nią Franza Honioka, obywatela i mieszkańca Niemiec, ale sympatyka Polski. Honiok brał udział po stronie polskiej w III powstaniu śląskim. Do 1925 roku mieszkał w Polsce, ale z powodu biedy przeprowadził się do Niemiec.

Poprzedniego dnia został podstępnie, niemal bez świadków, aresztowany we wsi Łubie, w której mieszkał, i przewieziony do

pojedynczej celi w więzieniu policyjnym w Gliwicach.

Ok. 18.00 przed gmachem prezydium policji w Gliwicach zatrzymuje się czarna limuzyna. Oprócz kierowcy siedzą w niej 3 mężczyźni – jeden w mundurze SS, pozostali dwaj po cywilnemu. Esesman wysiada i wchodzi do gmachu policji. Tam czeka na niego oficer SS. Obaj idą prosto do policyjnego punktu sanitarnego. Oficer SS nie przedstawia się szefowi punktu sanitarnego – po prostu żąda wydania białego kitla. Ani jednym słowem nie wyjaśnia, do czego kitla potrzebuje. Na korytarzu wręcza kitel drugiemu esesmanowi. Obaj przechodzą do przyległego więzienia policyjnego. Po drodze do esesmanów dołącza komisarz bytomskiej policji. Esesman wkłada lekarski kitel na mundur. Teraz wygląda jak sanitariusz. Rzekomy sanitariusz wchodzi z komisarzem policji do jednej z cel. Siedzi w niej drobny, niepozorny mężczyzna w tanim, zniszczonym już ubraniu. To Franz Honiok. Komisarz rzuca doń, że po osadzeniu w więzieniu, jeszcze przed rozpoczęciem śledztwa, musi zostać z powodów sanitarnych zaszczepiony.

Esesman w białym kitlu wyjmuje z kieszeni strzykawkę i jakąś ampułkę. Honiok bez protestu odwija rękaw koszuli. Po zastrzyku świat zaczyna mu wirować przed oczami. Narkotyk sprawia, że więzień traci kontakt z rzeczywistością. Komisarz policji zapina mu rękaw, potem bierze pod ramię i wyprowadza go na wewnętrzny dziedziniec więzienia. Stoją tam już 2 samochody. Przed chwilą podjechał nieoznakowany samochód policyjny. Sekretarz kryminalny Karl Nowak miał się stawić o tej porze przed więzieniem wraz z policyjnym kierowcą.

Inspektor prowadzi zupełnie oszołomionego Honioka do samochodu policyjnego. Sekretarz Nowak ma przesiąść się na tylne siedzenie. Komisarz wtłacza Honioka na miejsce obok kierowcy. Więźniowi opada głowa. Oddycha ciężko.

Oba samochody natychmiast odjeżdżają. Kierowca policyjny ma rozkaz trzymania się czarnej limuzyny SS.

Jest już po 19.00, gdy w pokoju nr 7 hotelu Haus Oberschlesien zbierają się esesmani grupy uderzeniowej. Naujocks wyjaśnia im, że mają upozorować atak polskich powstańców na budynek radiostacji w Gliwicach. Podczas napadu wolno porozumiewać się wyłącznie po polsku, wolno też po polsku kląć i przeklinać Niemców. Na koniec ma być odczytana na antenie, po polsku, antyniemiecka odezwa. Inna grupa podrzuci do radiostacji zwłoki człowieka, które mają udawać jednego z zabitych polskich napastników.

O 19.45 7 esesmanów Naujocksa opuszcza w cywilnych ubraniach Haus Oberschlesien. Przed hotelem czekają na nich 2 samochody osobowe. Kierowcą jednego z nich jest Fedor Jansch. Około 20.00 samochody zatrzymują się przed wejściem do budynku gliwickiej radiostacji. Przed radiostacją nie ma żadnej straży – na rozkaz SS została wcześniej usunięta. Naujocks zostawia 2 ludzi przed drzwiami wejściowymi i podaje im hasło oraz odzew dla grupy mającej dostarczyć „konserwę", zabitego rzekomego polskiego powstańca. Reszta wchodzi do budynku.

Napastnicy przechodzą przez maszynownię i kierują się do oddzielonej 2 szklanymi ścianami sali nadawczej. Siedzą w niej główny telegrafista Nawroth, dyżurny maszynista Kotz, dozorca Foitzik, urzędnik pocztowy oraz dowódca warty policyjnej.

Foitzik dostrzega gości, wychodzi z sali nadawczej i pyta, czego sobie życzą. Przybysze wyciągają pistolety i krzyczą po polsku: „Ręce do góry!".

Pierwszy podnosi ręce dowódca policyjnej warty, po nim pozostali pracownicy. Napastnicy, klnąc po polsku, przyniesionym ze sobą cienkim sznurkiem krępują im ręce na plecach. Pętle zakładają wiązanym na gołe szyje. Jedynie policjantowi podkładają

pod sznurek kołnierz munduru. Skrępowanych pracowników radiostacji ludzie Naujocksa sprowadzają do piwnicy i tam każą ustawić się twarzami do ściany. Przy każdym ruchu sznurek mocniej wpija się im w szyje i dusi.

Jeden z napastników, doktor nauk technicznych, próbuje uruchomić mikrofon. Bez skutku. Naujocks rozkazuje przyprowadzić z piwnicy telegrafistę Nawrotha. Bity kolbą pistoletu Nawroth powtarza, że radiostacja w Gliwicach nie nadaje własnego programu, lecz transmituje program radiostacji wrocławskiej. Przygotowane tu audycje przesyłane są do silnej, regionalnej radiostacji we Wrocławiu i nadawane stamtąd. Gliwice mogą lokalnie emitować przez łącza urzędu telegraficznego jedynie to, co w tym samym czasie nadaje Wrocław.

To kompletna klapa przygotowanej pospiesznie, bez należytego rozpoznania, akcji. Naujocks wpada we wściekłość. Każe sprowadzić z piwnicy Kotza i Foitzika, ale ci, mimo bicia, powtarzają, że o technice stacji nie mają pojęcia.

Radiotechnik z grupy Naujocksa wpada jednak na pomysł, który może uratować całą operację. Wysokim masztom radiowym grozi podczas niepogody uderzenie pioruna. Dlatego buduje się je z drewna, a gdy zbliża się burza, przerywa się nadawanie audycji i uziemia maszt, a przez awaryjny mikrofon, tzw. mikrofon burzowy, słuchacze zawiadamiani są o przerwie w nadawaniu.

Esesmani Naujocksa rzucają się do szukania mikrofonu burzowego. Znajdują go w szafce z narzędziami. Technik Naujocksa odłącza od wzmacniacza przewód z emitowanym przez Wrocław programem i podłącza mikrofon burzowy.

„Uwaga! Tu Gliwice! Radiostacja znajduje się w polskich rękach...” – jeden z napastników odczytuje po polsku prowokacyjny komunikat. Na rozkaz Naujocksa w tym czasie jego koledzy

wykrzykują po polsku pogróżki pod adresem Niemców i strzelają w sufit. Słuchacze powinni odnieść wrażenie, że podczas wygłaszania komunikatu w radiostacji ciągle trwa walka z napastnikami.

Mieszkający nieopodal kierownik gliwickiej radiostacji z zawodowego przyzwyczajenia słucha wieczornej audycji. Gdy słyszy pierwsze słowa komunikatu o napadzie, nie zastanawiając się, w koszuli wybiega z domu. Po chwili z okrzykiem „Co tu się dzieje!?", wpada do budynku radiostacji. Esesmani Naujocksa głupieją. Do diabła, kto to? Wreszcie jeden z napastników przystawia mu do piersi pistolet. Ale kierownik Klose nie traci rezonu. Pięknym sierpowym nokautuje grożącego mu bronią faceta i wybiega z budynku. Pędzi do swego domu i już po chwili wydzwania, gdzie się tylko da, z alarmem, że Polacy napadli na radiostację.

Zaskoczony esesman przed mikrofonem nagle kończy komunikat okrzykiem: „Niech żyje Polska!".

Naujocks jest równie zszokowany jak jego podwładni, ale szybko wraca do siebie. Przytomnie zauważa, że przypadkowa interwencja nieznanego Niemca tylko uwiarygodni rzekomo polski napad. Całkiem zadowolony z takiego obrotu sprawy, zarządza odwrót.

Z czarnej limuzyny zaparkowanej na polnej drodze, z boku budynku radiostacji, 2 gestapowcy po cywilnemu niosą pod ramiona nieprzytomnego Franza Honioka. Podają hasło pilnującym drzwi ludziom Naujocksa i wchodzą do środka. Kładą Honioka na podłodze zaraz za drzwiami wejściowymi.

Naujocks opuszcza budynek jako ostatni. Wychodząc, strzela Honiokowi w głowę.

Zadowoleni napastnicy wracają samochodami do hotelu. Nie zdają sobie sprawy, że ich komunikatu nie retransmitowała

radiostacja we Wrocławiu, więc zamiast ćwierci Europy słyszeć go mogli jedynie mieszkańcy okolic Gliwic. Mogli, ale nie słyszeli, bo w trakcie odczytywania nastąpiło zwarcie obwodu z mikrofonem burzowym. W eter poszły tylko pierwsze słowa o polskim napadzie.

Z hotelu rozentuzjazmowany Naujocks natychmiast dzwoni do Berlina, do SS-Gruppenführera Heydricha, który bezskutecznie nasłuchuje w radiu komunikatu napastników z Gliwic. „Wszystko przebiegło bez zarzutu, *Herr Gruppenführer*" – melduje Naujocks.

„Pan kłamie! Ja cały czas czekałem!" – ryczy na to wściekły Heydrich.

Wrzesień

1 września 1972 ▪ piątek

Chce mi się spać

O 12.50 w pokoju hotelowym niemieckiego arcymistrza szachowego Lothara Schmida, sędziego w 2. meczu o szachowe mistrzostwo świata, brzęczy telefon. Dzwoni radziecki arcymistrz szachowy, ciągle jeszcze mistrz świata, Borys Spasski. Matowym, zdradzającym ogromne zmęczenie głosem Spasski oficjalnie informuje Schmida, że nie pojawi się dziś na odłożonej od wczoraj partii. Sędzia jest zaskoczony. Rezygnacja Spasskiego oznacza, że mistrzem świata jest od tej chwili jego przeciwnik, Amerykanin Robert Fischer. Ale zwykle jeśli któryś z szachistów w meczach o mistrzostwo świata poddaje partię odłożoną z poprzedniego dnia, czyni to osobiście na sali. Skonsternowany Schmid dzwoni do holenderskiego arcymistrza Maxa Euwego, byłego mistrza świata, od 2 lat prezydenta Światowej Federacji Szachowej, nadzorującego mecz Fischer–Spasski, i pyta go, czy Spasski może prawomocnie złożyć rezygnację z gry przez telefon. Euwe potwierdza. Niezwykły mecz o mistrzostwo świata toczony przez niezwykłych kandydatów w niezwykłym miejscu kończy się w niezwykły sposób.

Główną atrakcją islandzkiego meczu gigantów jest Bobby Fischer. Od najmłodszych lat jego życie biegło krętym, osobliwym szlakiem. Nigdy nie poznał swego ojca. Matka Regina Fischer formalnie

wpisała do świadectwa urodzenia syna nazwisko pewnego niemieckiego biofizyka. Pochodząca z rodziny polskich Żydów Regina zawsze była kobietą twardą, zaradną, inteligentną. I zawsze była w kłopotach finansowych. Na utrzymanie rodziny zarabiała jako scenograf teatralny, spawacz okrętowy w stoczni, pielęgniarka. Gdy Bobby miał 6 lat, przyniosła do domu szachy. Wspólnie uczyli się zasad gry. Szachy zawładnęły chłopcem. Dzięki staraniom matki trafił pod opiekę prezydenta Brooklyńskiego Klubu Szachowego, który traktował go jak syna (nie było w tym nic dziwnego, gdyż jego rodzony syn nie chciał grać w szachy). Namiętność Bobby'ego do szachów szybko przerodziła się w obsesję. Całe dni nie wychodził z domu; od rana do nocy grał sam ze sobą. Zaniepokojona matka zgłosiła się z nim na oddział psychiatrii dziecięcej Brooklyńskiego Szpitala Żydowskiego, ale lekarz odprawił ją z kwitkiem. Stwierdził, że dzieci miewają gorsze nałogi niż nieustanna gra w szachy.

W 1956 roku 13-letni Bobby, jako najmłodszy gracz w historii, został szachowym mistrzem USA juniorów.

Przepustką do sławy stało się zaproszenie szachowego wunderkinda do gry w prestiżowym Turnieju Rosenwalda. Wygrana przez Bobby'ego partia z Donaldem Byrne'em została okrzyknięta przez amerykańskich komentatorów szachowych grą stulecia.

14-letni Fischer grał jak bóg, ale poza stolikiem szachowym zachowywał się jak lichwiarz Ebenezer Scrooge z *Opowieści wigilijnej*. Za swe występy żądał pieniędzy, coraz więcej pieniędzy. Ani ich jednak nie wydawał na własne potrzeby, ani nie pomagał finansowo matce. On po prostu pieniądze chciał mieć, rozkoszował się ich posiadaniem, prestiżem i władzą, jaką dawało mu rosnące

konto. Pieniądze były najlepszym lekiem na dręczące go poczucie, że otoczenie, ba, cały świat, niedocenia go, wręcz lekceważy.

Regina Fischer przez cały ten czas usiłowała pełnić funkcję menadżera swego syna. W 1957 roku napisała list do Nikity Chruszczowa, w którym prosiła szefa radzieckiej partii komunistycznej o zaproszenie Bobby'ego na Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów do Moskwy. Zaproszenie w końcu przyszło, ale za późno, by można było zeń skorzystać.

Jednak Kreml bynajmniej nie ignorował nastoletniej amerykańskiej gwiazdy. Gdy Bobby w wieku 15 lat zdobył mistrzostwo Stanów Zjednoczonych seniorów, radziecka federacja szachowa zaprosiła go, wraz z siostrą, do Moskwy. Chłopiec dostał od gospodarzy apartament w reprezentacyjnym hotelu Rossija, limuzynę z kierowcą i osobistego tłumacza. Szachy w Związku Radzieckim były sprawą śmiertelnie poważną: zorganizowanym państwowym przemysłem, jednym z fundamentów propagandy, oczkiem w głowie KGB. Radzieccy szachiści od czasu wojny bez przerwy zdobywali mistrzostwo świata. Kreml mógł głosić, że dominacja w tej wyszukanej intelektualnie grze jest najlepszym dowodem na wyższość ustroju komunistycznego.

Zapraszając Bobby'ego, elita radzieckich szachów chciała zorientować się, czy wunderkind mógłby zagrozić pozycji ich mistrzów. Wizyta skończyła się jednak katastrofą. Bobby zamiast grać, nieustannie domagał się pieniędzy i wyrażał zdziwienie, że radzieccy szachiści dają się wykorzystywać i grają za darmo. Kilka razy obraził swoich opiekunów i gospodarzy. W końcu wyjechał jak niepyszny, z jak najgorszą opinią o ZSRR.

W następnych latach systematycznie rosła siła gry Fischera i jego żądania finansowe. Oraz przekonanie, że światowymi szachami rządzi spiskowy układ radzieckich graczy i oficjeli.

Od połowy lat 60. finansowe żądania Fischera przekroczyły możliwości organizatorów turniejów. Bobby żądał ogromnych kwot już za samo pojawienie się na turnieju. Ale jego sława szachowego geniusza i kapryśnego, niedobrego chłopca przyciągała widzów i dodatkowych sponsorów, wykładających gotówkę wyłącznie na jego honoraria.

Fischer związał się w tym czasie ze Światowym Kościołem Boga, sektą założoną przez gazetowego grafika Herberta Armstronga. Guru sekty, który życie strawił na atrakcyjnym łamaniu gazetowych ogłoszeń, na stare lata zafundował swym zwolennikom religijny bigos, w którym wymieszał elementy judaizmu i chrześcijaństwa z restrykcyjnymi zasadami moralnymi. M.in. surowo zakazał uprawiania wszelkich gier planszowych.

Fischer brał z doktryny Armstronga to, co mu opowiadało. W szachy grał dalej aż miło, a obowiązkowy szabas obchodził tylko wtedy, gdy nie kolidowało to z dobrze płatnymi turniejami.

Równie elastycznie traktował amerykańskie prawo.

Gdy w 1965 roku zaproszono go na Turniej im. Capablanki do Hawany, Departament Stanu odmówił zezwolenia na wyjazd. Obowiązywała całkowita blokada Kuby. Fischer zagrał w turnieju, wysyłając swe posunięcia teleksem.

W ZSRR Borys Spasski był równie białym krukiem jak Fischer w Stanach Zjednoczonych. Jego ojciec rozwiódł się z matką w 1944 roku, gdy chłopiec miał 14 lat, ale Borys był nieodmiennie dumny z religijnego taty i dziadka popa, w 1916 roku wybranego do carskiej Dumy. Spasski co rusz przyprawiał radzieckich opiekunów politycznych o ból głowy. Pytany przez dziennikarzy, podkreślał, że jest patriotą rosyjskim. W 1970 roku na olimpiadzie szachowej w Niemczech Zachodnich ostentacyjnie witał się z każdym członkiem ekipy czechosłowackiej. Obserwatorzy potraktowali ten

gest jako manifestację solidarności z narodem zniewolonym 2 lata wcześniej w wyniku radzieckiej inwazji. W rok później Spasski odmówił podpisania zbiorowego listu radzieckich sportowców w obronie amerykańskiej lewackiej aktywistki Angeli Davis. Na spotkaniu z robotnikami w Szachtach powiedział zaś, że wywodzi się z rodziny popów i gdyby nie udało mu się zostać mistrzem szachów, z przyjemnością zostałby popem.

Ale wszystko to radzieccy nadzorcy sportu musieli tolerować, bo mistrz świata Spasski nie miał sobie równych.

Aż do czasu meczu w Reykjaviku. Po protestach pretendującego do mistrzowskiego tytułu Fischera rozgrywkę przeniesiono z Moskwy do stolicy Islandii. Spasski przyjechał ze swą ekipą w zapowiedzianym terminie i zamieszkał w apartamencie prezydenckim reprezentacyjnego hotelu Saga. Do złoconych kurków nad wanną i srebrnej zastawy przyzwyczaił się błyskawicznie.

Miał czas rozkoszować się luksusem, bo Fischer w zapowiedzianym terminie nie zjawił się. Zaszył się w swoim mieszkaniu w Stanach, nie odbierał telefonów, nie wpuszczał nikogo. Za to jego prawnicy szaleli. Domagali się więcej i więcej pieniędzy. Gdy prócz udziału w zyskach z transmisji telewizyjnych zażądali udziału z wpływów za bilety, Islandczycy powiedzieli „nie!". Wtedy prawnicy Fischera zaczęli naciskać, wręcz szantażować administrację w Waszyngtonie: dajcie pieniądze rządowe, bo gdy Fischer odwoła mecz, reputacja Stanów Zjednoczonych dozna uszczerbku. Biały Dom odmówił, ale nie mógł ignorować zaniepokojenia rządu islandzkiego, który w organizację meczu szachowego zainwestował duże pieniądze. Dla Islandczyków odwołanie gier o mistrzostwo świata byłoby poważnym problemem finansowym. A na Islandii Stany Zjednoczone mają kluczową bazę wojskową Kevlavik.

Sekretarz stanu Henry Kissinger zadzwonił do Fischera i poprosił go o start. Dał do zrozumienia, że walka o złamanie radzieckiego monopolu szachowego jest patriotycznym obowiązkiem Amerykanina. Brytyjski milioner dołożył ekstrapieniądze do puli nagród. Tego właśnie było trzeba Bobby'emu, by ruszyć do Reykjaviku.

Pierwszą grę 11 lipca wygrał Spasski. W następnej Rosjanin podwyższył wynik do 2:0. Ale w 5. starciu, 21 lipca, Fischer wyrównał i odtąd powoli, systematycznie powiększał przewagę. Gdy wczoraj zasiedli do 21. gry, Fischer prowadził 11,5:8,5 punkta. Do zdobycia tytułu mistrza świata brakowało mu 1 punktu.

Spasski zaczął białymi obronę sycylijską. Fischer odpowiedział rzadkim, nieoczekiwanym ruchem. Jego kolejne posunięcia tak zaskoczyły Spasskiego, że drżącą ręką rozlał na stoliku kawę i nie bacząc na odliczający jego czas zegar, zabrał się do jej wycierania.

Po 41. ruchu wyczerpany psychicznie Spasski tylko przez 6 minut zastanawiał się nad kolejnym posunięciem i poprosił o przerwę. Zaplanowany ruch zapisał na kartce papieru, którą sędzia Schmid zalakował w kopercie.

Fischer, eksperci, kibice mieli całą noc na zgadywanie posunięcia mistrza świata i kolejnych ruchów. Spasski i jego sekundanci wiedzieli, że ruch mistrza zapisany w kopercie to błąd. Mecz był przegrany.

Około 15.00 tłumy islandzkich kibiców zaczynają się schodzić do hali sportowej Laugardalsholl w Reykjaviku. Do rozpoczęcia meczu są jeszcze 2 godziny, ale kibice czują, że dziś jest przełomowy dzień w zmaganiach radzieckiego i amerykańskiego giganta szachów, i chcą zająć dobre miejsca na widowni. Wszyscy, nawet ci, którzy grają w szachy od święta, do późna w nocy analizowali pozycje na szachownicy zapisane wczoraj wieczorem, w chwili gdy Spasski

poprosił o przerwę. Rzecz jasna, nikt nie ma pojęcia, jaki ruch mistrz świata zgłosił sędziemu na dziś. Większość kibiców jest zdania, że dzisiejsze dokończenie partii skończy się remisem.

W hotelu Saga fotoreporter Harry Benson z tygodnika „Life" wraca po lunchu do pokoju. Gdy przechodzi obok apartamentu zajmowanego przez Borysa Spasskiego, drzwi uchylają się i pojawia się w nich mistrz świata. Benson nie traci okazji. Przystaje i zaczyna pogawędkę. Wyraźnie zmęczony Spasski właśnie wychodzi na spacer, ale zatrzymuje się i rozmawia z Amerykaninem. Nieoczekiwanie wyjawia mu, że podjął decyzję rezygnacji z dalszej gry, oficjalnie przekazał ją sędziemu, a teraz po prostu idzie odetchnąć świeżym powietrzem.

Benson pędzi do swego pokoju, dzwoni do redakcji „Life", potem do Fischera mieszkającego w amerykańskiej bazie wojskowej.

Amerykański arcymistrz jest oszołomiony. Zamiast cieszyć się ze zwycięstwa i zdobycia mistrzostwa świata, węszy jakiś proceduralny podstęp strony radzieckiej. Natychmiast dzwoni do sędziego Schmida i składa protest przeciw telefonicznej rezygnacji Spasskiego. Domaga się rezygnacji na piśmie. Schmid chwilę namyśla się, notuje coś na hotelowym bloczku i odpowiada, że tak czy siak, Fischer musi pojawić się w hali Laugarsdalsholl o ustalonej godzinie.

Ale amerykański szachista nie byłby sobą, gdyby się trochę nie spóźnił. Na widowni nikt nie ma pojęcia o zakulisowych rozstrzygnięciach. Wszyscy czekają na wielką dogrywkę. Nieobecność Spasskiego nie niepokoi kibiców – pewnie wreszcie mistrz świata postanowił zagrać kartą Fischera i sam spóźni się na rozpoczęcie pojedynku.

Wreszcie Fischer zjawia się na scenie. Zawsze ubrany starannie, w wyszukaną elegancją, w klasyczne garnitury, tym razem jest

w czerwonej wymiętej marynarce.

Lothar Schmid wychodzi na przód sceny i wygłasza oświadczenie: „Panie i panowie, pan Spasski zrezygnował telefonicznie".

Cisza, potem powściągliwy aplauz. Każdy z widzów zapłacił za bilet wstępu na dzisiejszą grę 5 dolarów. Słono. Nikt jednak nie oburza się, nie protestuje, że został nabity w butelkę. Za te 5 dolarów Islandczycy mogą sobie obejrzeć najwyżej czerwoną marynarkę nowego mistrza świata.

Schmid dyskretnie proponuje Fischerowi, by się ukłonił. Mistrz świata odmawia. Sztywno macha ręką i natychmiast bocznymi drzwiami wychodzi z hali. Na parkingu, obok islandzkich samochodów rządowych i samochodu amerykańskiego ambasadora stoi niepozorny żółto-czarny ford maverick pracownika ambasady USA Victora Jackovicha. Gdy tylko Fischer wsiada, Jackovich rusza pędem w stronę bazy Kevlavik.

Fischer nie odzywa się słowem. W bazie w milczeniu idzie do stołówki, zamawia wielki stek i szklankę mleka. Jackovich zauważa, że nowy mistrz świata dygoce z napięcia nerwowego. Po kolacji centrala łączy Fischera z Waszyngtonem. Prezydent Richard Nixon składa gratulacje nowemu mistrzowi świata.

W hotelu Saga Spasski nie unika dziennikarzy. Udziela kilku krótkich wywiadów. Co chwila powtarza w nich: „Chce mi się spać, tylko spać".

2 września 31 p.n.e. ▪

Patrzący na fale

Wichura słabnie krótko po północy. Wzburzone od 4 dni Morze Jońskie wygładza się. To znak, że tego dnia 2 gigantyczne floty ruszą do decydującej bitwy. Jest jeszcze ciemno, gdy z namiotu w warownym obozie swych wojsk na wzgórzu Mikalitzi wychodzi Oktawian August. Natychmiast otaczają go oficerowie i niewielki orszak rusza w ciemnościach wąską ścieżką w stronę odległego o 2 km wybrzeża zatoki Gomaros, w której stacjonują główne siły floty Oktawiana. W ciemnościach grupka wojskowych wpada na greckiego wieśniaka prowadzącego osła. Spytany, kto zacz, chłop wyjaśnia, że nazywa się Eutychos, zaś jego osioł wabi się Nikon. Oktawian August, polityk zimny, wyrachowany, bezwzględny, jako nieodrodny Rzymianin we wszystkim jednak doszukuje się znaków od bóstw. Teraz wpada w świetny humor – wszak po grecku *eutychos* to szczęściarz, zaś *nikon* – zwycięzca. To dobra wróżba przed bitwą.

Na brzegu panuje gorączkowy ruch. Łodzie przewożą ostatnich żołnierzy piechoty z długiego drewnianego mola, zbudowanego przez marynarzy Oktawiana, na przeznaczone im okręty. W nocy na ponad 400 okrętów i statków załadowano niemal 40 tys. rzymskich żołnierzy. Oktawian także wsiada do niewielkiej łodzi i płynie w stronę stojącej u brzegu ogromnej floty. Podbudowany dobrą wróżbą, za jaką poczytuje spotkanie na ścieżce Eutychosa z Nikonem, z pasją przemawia do marynarzy i żołnierzy.

Choć starcie, które zacznie się już wkrótce, jest odsłoną wojny domowej pomiędzy Oktawianem i Markiem Antoniuszem, w której obu nieprzebierającym w środkach stronom chodzi tylko o władzę, Oktawian w swej mowie zwraca się do podwładnych jako do obrońców ojczyzny. Zawsze był zręcznym retorem. Swego przeciwnika Antoniusza nazywa opętanym przez czary królowej Egiptu Kleopatry człowiekiem, który przywiązanie dla prastarych

republikańskich obyczajów złożył na ołtarzu interesów państwa swej kochanki. W ten sposób zmniejsza dyskomfort rzymskich żołnierzy – będą przecież walczyć nie ze swoimi braćmi, lecz z armią reprezentującą interesy obcego mocarstwa.

W prowadzonej od paru lat propagandowej kampanii pomówień i oszczerstw wobec Marka Antoniusza Oktawian nie cofał się przed żadnym kłamstwem, ale teraz akurat mówi prawdę. Obaj wodzowie ongiś byli bliscy wielkiemu Cezarowi. Antoniusz towarzyszył mu w kampaniach w Galii i w wojnie domowej z Pompejuszem. Młodziutkiego Oktawiana Cezar ustanowił swym spadkobiercą. Antoniusz próbował zająć w państwie rzymskim miejsce Cezara, ale nie miał na to dość sił. Podzielił się władzą z Oktawianem oraz Markiem Lepidusem. II triumwirat rządził terrorem i proskrypcjami, wyrokami śmierci wydawanymi bez sądu. Antoniuszowi w podziale stref wpływów przypadł Wschód. Tam rychło związał się z dawną kochanką Cezara królową Egiptu Kleopatrą. Co prawda, później, by umocnić triumwirat, ożenił się z Oktawią, siostrą Oktawiana, ale po powrocie na Wschód wrócił w ramiona Kleopatry, swej faktycznej żony. W dobiegającej z wolna czterdziestki królowej Egiptu, kobiecie fascynującej urodą, sztuką miłosną i przenikliwą inteligencją, zakochał się bez pamięci. Wielkimi kampaniami wojennymi i decyzjami politycznymi tworzył zręby potężnego imperium na Wschodzie, którego dziedzicem miałby zostać Cezarion, syn Kleopatry i Cezara.

Zakochany w królowej Antoniusz przed rokiem rozwiódł się z Oktawią. W Rzymie przewagę zdobył oczerniający go na wszelkie sposoby Oktawian. Na jego żądanie senat wypowiedział Kleopatrze wojnę. Dwie wielkie armie lądowe i potężne floty spotkały się na zachodnim wybrzeżu Grecji, koło przylądka Akcjum. Antoniuszowi przez cały czas lojalnie towarzyszy Kleopatra. To jej okręty są

istotną częścią sił Antoniusza, to za jej pieniądze napływały z Egiptu żywność, zaopatrzenie i posiłki. Po kilku miesiącach podjazdowych starć i desantów Oktawian osaczył i zablokował, w Zatoce Ambrakijskiej i na jej brzegach, flotę oraz armię Antoniusza. Trzeba przystąpić do walnej bitwy.

Kleopatra wymogła na mężu, że starcie rozegra się na morzu. Więcej, przekonała go, że jego prawdziwym celem nie może być zwycięstwo, na które ich flota nie ma szans, lecz wyrwanie się z okrążenia, uratowanie okrętów i odbudowa floty w Egipcie. Armia lądowa Antoniusza ma się cofać do Azji na własną rękę.

Skoro świt Marek Antoniusz schodzi do łódki i płynie w stronę swej floty zakotwiczonej w Zatoce Ambrakijskiej. Nie wchodzi jednak na pokłady okrętów. Mija je na łódce, nieustannie przemawiając swym stentorowym głosem. Ma, niestety, trudniejsze zadanie – jego siły są o połowę mniej liczne od armady Oktawiana, liczą 230 okrętów, na które zaokrętowano nad ranem przeszło 20 tys. żołnierzy piechoty. Antoniusz nie bawi się, jak jego przeciwnik, w polityczne subtelności – to zresztą praktycznie niemożliwe w obliczu floty złożonej z okrętów rzymskich i egipskich, z egipskimi, rzymskimi i greckimi marynarzami, z żołnierzami rzymskimi oraz egzotycznymi sojusznikami z Azji i Afryki na pokładach. Antoniusz przemawia krótko, po żołniersku – wyłącznie o czekającej walce. „Zwyciężymy! Przeciwnik ma mniejsze, niższe okręty. Najważniejsze zadanie to za wszelką cenę wytrzymać pierwsze uderzenie falangi okrętów Oktawiana, zachować szyk".

Pod koniec Marek Antoniusz napomina oficerów, by ostrożnie manewrowali przy wychodzeniu w morze przez wąskie, pełne niebezpiecznych mielizn gardło Zatoki Ambrakijskiej. Jego słowa

pełne są siły, energii, wiary w zwycięstwo. Podbudowane nimi załogi żywo biorą się do przygotowań do wyjścia w morze.

Pierwsze zjawiają się płynące z odległej o kilkanaście kilometrów zatoki Gomaros forpoczty floty Oktawiana. Jak nakazuje sztuka wojenna, na wszystkich okrętach zdemontowano maszty i ożaglowanie, pozostawiając je na brzegu. Do boju okręty ruszają napędzane jedynie wiosłami. Uniezależnia je to od kaprysów wiatru i zapobiega pożarom. Nic nie płonie tak gwałtownie jak żagle, a okręty obu flot nafaszerowane są rozmaitymi urządzeniami zapalającymi, od pojemników z żarem, dyndających na długich wysięgnikach, po katapulty wyrzucające buchające ogniem pociski.

Marynarze Oktawiana są lepiej wyszkoleni i w lepszej kondycji fizycznej od załóg okrętów Antoniusza, dziesiątkowanych przez głód, choroby i uzupełnianych ludźmi przypadkowymi, nieznającymi się ani na żegludze, ani na wiosłowaniu. Okręty Oktawiana sprawnie ustawiają się na wprost wąskiego ujścia Zatoki Ambrakijskiej w długiej na kilka kilometrów tyralierze. Na jej lewym skrzydle dowodzi Marek Agrypa, znakomity dowódca, który opracował dla Oktawiana plan tej bitwy, na prawym zaś sam Oktawian.

Tymczasem flota Antoniusza zachowuje się tak, jakby nie zamierzała stanąć do walki. Na wszystkich okrętach stoją maszty i żagle. Oktawian dostrzega jednak na pokładach ciężkozbrojną piechotę i pojmuje, że przeciwnik czeka na pomyślne wiatry. Rzeczywiście, plan Antoniusza przewiduje wykorzystanie wiejącej z północnego zachodu, dość silnej bryzy, która w tym rejonie pojawia się codziennie między 14.00 a 15.00. Część jego floty ma związać walką armadę Oktawiana, większość zaś uderzyć w centrum, przerwać jej szyki, wypłynąć na pełne morze, tam złapać zbawczą bryzę i pożeglować na południe. Pościgu

uciekinierzy nie muszą się obawiać, gdyż niemal wszystkie okręty Oktawiana złożyły swe maszty i żagle na plaży koło mola w zatoce Gomaros, a ich wioślarze nie są w stanie dopędzić okrętów płynących na żaglach z korzystnym wiatrem.

Antoniusz czeka więc na wiatr, Oktawian zaś na wypłynięcie floty Antoniusza.

O 11.00 na pokładach jednostek Antoniusza zaczyna się ruch. Jeden po drugim poruszane wiosłami okręty pojawiają się w wąskiej, liczącej niewiele ponad 2 km, gardzieli Zatoki Ambrakijskiej. Antoniusz wyprowadza swą flotę naprzeciw niewielkich tiburn, okrętów bojowych Oktawiana. Masywne jednostki floty Antoniusza powoli zajmują miejsca w ciasnym szyku. Nie mieszczą się w gardzieli Zatoki Ambrakijskiej i muszą ustawiać się w 2 liniach. Za nimi, w głębi zatoki, skrywa się eskadra egipskich okrętów Kleopatry. Ona sama jest na pokładzie królewskiej galery „Antonia".

Antoniusz obejmuje dowództwo prawego skrzydła, naprzeciw najsilniejszej eskadry przeciwnika dowodzonej przez niebezpiecznego Marka Agrypę.

Oktawian nie ma zamiaru czekać, aż wróg spokojnie uformuje i uporządkuje swe szyki. Rozkazuje, by jego prawe skrzydło rzuciło się do pozorowanej ucieczki. Antoniusz połyka haczyk. Jego okręty wysuwają się w morze. Wtedy na znak Oktawiana jego lekkie tiburny sprawnie robią zwrot i nie łamiąc formacji, płyną naprzeciw jednostek przeciwnika. To prawdziwy majstersztyk. Ciężkie okręty Antoniusza nie są w stanie sprawnie zawrócić i obie floty uderzają na siebie. Najgroźniejszą bronią zwinnych, szybkich tiburn Oktawiana są wystające z dziobów tarany. Nawet jedno uderzenie w burtę wrogiej jednostki może doprowadzić do jej zatonięcia. Ale okręty Antoniusza mają burty wzmocnione grubymi drewnianymi

belkami i potężnymi płatami blachy. Co gorsza, zanim tiburny oktawiańskie są w stanie zbliżyć się do ich burt, żołnierze Antoniusza z wysokich pokładów zasypują przeciwników setkami strzał, kamieni miotanych przez ciężkie katapulty i szczególnie niebezpiecznymi naczyniami z płonącą smołą. Przez chwilę może się wydawać, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę Antoniusza, ale niezmordowany Agrypa, mimo morderczego ostrzału, nakazuje atakować w grupach po kilka tiburn. Jego okręty niczym ogary rzucają się na pojedyncze jednostki Antoniusza: jedne gruchocą im wiosła, inne próbują jednak wbijać tarany, po kilka razy w to samo miejsce burty, aż pękną osłony i jej drewniana konstrukcja. Łucznicy Antoniusza rozdzielają swe siły – muszą przecież razić parę tiburn jednocześnie. Ostrzał jest przez to dużo mniej skuteczny.

Jakby tego było mało, Agrypa zarządza manewr oskrzydlający. By mu zapobiec, okręty Antoniusza muszą wydłużać swą linię ku północy. Ich szyk staje się coraz rzadszy, aż wreszcie w centrum pęka. Po 2 godzinach heroicznych zmagań, w których żadna ze stron nie zdobywa miażdżącej przewagi, w centrum floty Antoniusza wybucha panika. W bitewnym zamieszaniu widać niewiele i części załóg zdaje się, iż wróg bezapelacyjnie zwycięża. Gdy jedne z okrętów Antoniusza zaciekle walczą, inne nieoczekiwanie podnoszą wiosła do góry na znak poddania się.

Kleopatra, uważnie obserwująca z tyłu zmagania floty męża, uznaje, że czas najwyższy przerwać blokadę i uciekać. W przerwie w szykach Antoniusza pojawia się niebiorąca dotychczas udziału w walce eskadra królowej Egiptu. Kilkadziesiąt jednostek Kleopatry w ciasnym szyku, jak taran, pędzi w lukę w formacjach Antoniusza. Egipskie okręty są wytrzymałe i szybkie, zaś ich załogi mają wielkie doświadczenie. Przerzedzone w tym miejscu okręty Oktawiana nie są w stanie ich zatrzymać. Eskadra Kleopatry, przepływając przez

pole bitwy, podnosi już żagle. Na maszcie „Antonii" pojawia się królewski żagiel w kolorze purpury. Na ten widok walczące jeszcze rzymskie okręty Antoniusza pośpiesznie stawiają żagle i usiłują uciec z pola walki. Udaje się to zaledwie 50 jednostkom. Wśród nich jest flagowy okręt Antoniusza. Uciekinierzy gorączkowo spychają z pokładów do morza zawadzające podczas żeglugi drewniane wieże obronne. Pokiereszowany w walce okręt flagowy płynie wolno. Antoniusz poleca podpłynąć mniejszej, szybszej jednostce, zabiera z jej pokładu insygnia pretora i rusza w pościg za flotą żony. Kleopatra dostrzega z tyłu okręty floty jej męża. Wywiesza znak nakazujący zatrzymanie eskadry.

Antoniusz wchodzi na pokład „Antonii". Nawet nie patrzy w stronę Kleopatry. Idzie na dziób, siada i obejmuje głowę rękoma. Milczy. Wie, że to koniec. Przegrał bitwę, stracił większość floty, stracił dobre imię, haniebnie porzucając swych walczących żołnierzy. Pozostawione na brzegu wojska lądowe bez wsparcia utraconej właśnie floty muszą przegrać.

Mija godzina. 100 ocalałych okrętów Kleopatry i Antoniusza ucieka na południe. Antoniusz bez słowa siedzi na dziobie „Antonii" i patrzy w fale. Nagle z tyłu pojawia się grupa tiburn. To pościg floty Oktawiana. Antoniusz budzi się z odrętwienia, każe formować szyk obronny. Tiburny dopadają uciekinierów, ale nie kwapią się do ataku. Jest ich za mało. Tylko jeden okręt płynie dalej, prosto na obronną linię Antoniusza. Na jego dziobie stoi samotnie młody dowódca, dzierżąc w dłoni włócznię. Poruszony tym widokiem Antoniusz także wychodzi na dziób i swym potężnym głosem pyta napastnika, kim jest. Ten odpowiada śmiało, że zwie się Eurykles, jest przywódcą buntu Spartan przeciw Antoniuszowi i szuka pomsty za wyrok śmierci wykonany na jego ojcu z rozkazu Antoniusza. Eurykles nie poznaje w swym rozmówcy Antoniusza. Uderza na

jego dawny okręt flagowy, z którego niedawno Antoniusz uciekł na mniejszej jednostce. Gwałtownym atakiem Eurykles zdobywa go, a potem jeszcze jeden statek, wyładowany po brzegi kosztowną zastawą. Antoniusz nie ma zamiaru tracić czasu na walkę z szaleńczo odważnym Grekiem. Rozkazuje płynąć dalej.

Znów siada na dziobie i – nadal ignorując Kleopatrę – w milczeniu, aż do zmroku, patrzy na fale.

Kleopatra i Marek Antoniusz podczas bitwy pod Akcjum

3 września 1967 ▪ niedziela

Łoś spojrzał w drugą stronę

Tej nocy ulice szwedzkich miast wyglądają jak wymarłe. W niedzielę od 1.00 obowiązuje zakaz poruszania się pojazdów prywatnych. Stoi 250 tys. samochodów osobowych. W Sztokholmie ruch wstrzymano już w sobotę o 10.00. Kursują jedynie autobusy, nieliczne taksówki, karetki pogotowia, patrole policyjne i wojskowe. W sobotę o 10.00 sztokholmskie tramwaje zjechały do remiz. Wielu mieszkańców żegnało je z łezką w oku. Wszystkie stołeczne tramwaje lada dzień pójdą na złom.

Dziś o północy w Szwecji zaczyna się Dagen H – dzień wprowadzenia na drogach ruchu prawostronnego (*hoegertrafik* to po szwedzku ruch prawostronny).

Ruch lewostronny obowiązuje w Szwecji od 2,5 wieku, ale przez pomyłkę. Król Karol XII, wielki wódz, który aż do klęski poniesionej w roku 1709 z wojskami rosyjskimi pod Połtawą trząsł północną i środkową Europą, w jednej z nielicznych chwil, gdy urzędował w swym gabinecie, a nie na polu walki, wydał rozporządzenie dotyczące mijania się 2 królewskich ambulansów pocztowych. Doradcy zarekomendowali monarsze wprowadzenie – jako bardziej logicznego – ruchu prawostronnego. Karol XII zgodził się z nimi, ale gdy już dyktował tekst rozporządzenia, po prostu pomylił się. Powiedział, że każdy z mijających się ambulansów musi zjechać na lewą stronę. Żaden z urzędników nie miał odwagi zwrócić ambitnemu i impulsywnemu władcy uwagi na tę pomyłkę. I tak już zostało.

Pierwszą próbę zmiany ruchu na prawostronny podjęto w roku 1718, tuż po śmierci Karola XII, podczas oblężenia norweskiej

twierdzy granicznej Fredrikshald. Nic z tego nie wyszło. Konserwatywni Szwedzi przywiązali się do ruchu lewostronnego. Dopiero rozwój motoryzacji sprawił, że na drogach zrobiło się niebezpiecznie. Szwedzi produkowali samochody z kierownicą po prawej stronie, przystosowane do ruchu lewostronnego. Takie same importowano z Wielkiej Brytanii. Ale z innych krajów sprowadzano samochody z kierownicą po lewej stronie. Dziś znakomita większość pojazdów na szwedzkich drogach ma kierownice zainstalowane na europejską modłę. Pojazdy te są niebezpieczne, zwłaszcza przy szybkiej jeździe – kierowca siedzący po lewej stronie nie widzi drogi przed wyprzedzanym pojazdem.

Dodatkowym argumentem za zmianą jest wielka polityka. Za kilka miesięcy Szwecja będzie oficjalnie starać się o wejście do EWG. Europejskie instytucje nie kryją, że dopasowanie ruchu drogowego do europejskiego standardu jest jednym z istotnych kryteriów w ocenie kandydatury Sztokholmu.

Studia nad zmianą organizacji ruchu rozpoczęto już w roku 1927. Szwedom pomysł ten nie spodobał się. W 1955 roku zagłosowali w referendum za starym porządkiem. Ruch lewostronny chciało zachować aż 82,9 proc. głosujących. Za prawostronnym było tylko 15,5 proc. Kierowcy bali się siedzieć bliżej środka jezdni.

O wszystkim zdecydował jednak parlament. Przed 5 miesiącami uchwalił zmianę organizacji ruchu drogowego. Głosowała za nią miażdżąca większość posłów. Szczególnie skwapliwie popierali ją deputowani Szwedzkiej Partii Pracy. Rządzący od 35 lat socjaldemokraci ostatnio systematycznie tracą poparcie wyborców. Tymczasem kampania wyborcza rozpoczęła się przed 2 tygodniami. Premier Erlander i jego partyjni koledzy liczą, że sukces starannie przygotowanej zmiany ruchu drogowego uratuje notowania Partii

Pracy. Szwedzi dowcipkują, że przed wyborami lewica ostro skręca w prawo.

Dzień H wymagał gigantycznych inwestycji. W całym kraju przebudowano ronda, wybudowano nowe przystanki autobusowe. W miastach trzeba było odwrócić układ ulic jednokierunkowych. Na każdym skrzyżowaniu zamontowano dodatkową sygnalizację świetlną i nowe znaki drogowe, które na razie owinięto pokrowcami z czarnej ceraty. Obok dotychczasowych żółtych linii na jezdniach i drogach pojawiły się nowe, białe. Państwowa Komisja Ruchu Prawostronnego zakupiła 1000 autobusów z drzwiami po prawej stronie, a w ponad 3,5 tys. autobusów drzwi przełożono z lewej na prawą burtę. Jest i jedno ułatwienie. Samochody z kierownicą po lewej stronie, fabrycznie wyposażone w asymetryczne światła mijania przystosowane do ruchu prawostronnego, muszą mieć reflektory zalepione paskami maskującymi. Dziś będzie je można zerwać.

Miliony koron wydano na akcję propagandową i informacyjną. Od kilku miesięcy kraj zalewają broszury i gadżety z literą H. Furorę robią damskie majtki z H na honorowym miejscu.

O 4.50 radio nadaje sygnał zmiany ruchu. Wszystkie pojazdy w Szwecji zatrzymują się, po czym powolutku zjeżdżają na prawą stronę i znów nieruchomieją. W radiu trwa odliczanie. Kierowcy wysiadają i zrywają z reflektorów taśmy maskujące.

Pracownicy służb drogowych wspomagani przez 10 300 policjantów i żołnierzy ściągają czarne ochraniacze z nowych znaków drogowych i zasłaniają znaki stare, lewostronne. Przy każdym przejściu dla pieszych w kraju stoi patrol przeszkolonych ochotników, który aż do nocy ma pilnować, by przechodnie wypatrywali zagrożenia na jezdni z właściwej strony. Do tej akcji zmobilizowano ponad 100 tys. osób.

Punktualnie o 5.00 radio daje sygnał: można jechać! Byle powoli. Dopuszczalną prędkość w miastach zmniejszono z dotychczasowych 50 km/h do 40 km/h.

W Sztokholmie i Helsingborgu zlikwidowano tramwaje – przełożenie torów na drugą stronę ulic kosztowałoby zbyt wiele. Władze miejskie Göteborga tramwaje postanowiły uratować. Na ulice ruszają tam osobliwe zestawy: do nielicznych przebudowanych wagonów z drzwiami po prawej stronie podczepiane są tyłem stare wagony, z drzwiami po lewej. I jakoś to jedzie.

O 15.00 w Sztokholmie włączają się do ruchu prywatne samochody. Jest ich dużo więcej, niż przewidywano – zwłaszcza młodzi kierowcy chcą od razu spróbować jechać po prawej.

Szwedzi jeżdżą po zmianie zadziwiająco bezpiecznie. Najczęstszym błędem kierowców jest odruchowe zjeżdżanie na lewy pas przy skręcie w lewo. Na szczęście ograniczenie prędkości do 40 km/h pozwala uniknąć groźnych wypadków. Do nocy policja odnotowuje jedynie kilkadziesiąt niegroźnych stłuczek. Przewidywanych przez malkontentów dziesiątek ofiar śmiertelnych – ani śladu.

Kierowcy zachodzą w głowę, dlaczego zmienił się znak „Uwaga na łosia". Dotąd ten symbol Szwecji na znakach ostrzegawczych wkraczał na jezdnie z lewej strony. Teraz nadchodzi z prawej. Czyżby urzędnicy o zmianach organizacji ruchu zawiadomili także łosie?

Wieczorem wszystko się wyjaśnia. Producenci znaków drogowych skrupulatnie zrealizowali urzędową dyrektywę, by wszystkie znaki drogowe w nowej wersji były lustrzanym odbiciem starych znaków.

Okulary przypominające o zmianie organizacji ruchu

4 września 1929 ▪ środa

Pętla pod gazem

Od wczesnego ranka na polach obok gigantycznego hangaru dla sterowców we Friedrichshafen tkwi kilkudziesięciotysięczny tłum. Wokoło zaparkowano byle jak mnóstwo samochodów, motocykli, rowerów. Ciekawscy przyjechali tłumnie z Augsburga, Monachium,

nawet z Berlina. Jest też sporo Szwajcarów i Austriaków – z Friedrichshafen do Szwajcarii i Austrii są raptem 2 kroki.

Dźwięki orkiestry zagłusza szum fal Jeziora Bodeńskiego. Jest dość wietrznie.

Nieopodal hangaru na niewielkiej trybunie zainstalowali się sprawozdawcy radiowi. Niemieckie radio bezpośrednio transmituje dzisiejszą uroczystość.

Spiker zawiadamia przez megafony, że zdobywca świata jest tuż-tuż. Wreszcie podniecony rozgwar zamienia się w potężny, przeciągły wrzask radości. Na zachodzie, tuż nad horyzontem, pojawia się okrągławy ciemnoszary obiekt. „Graf Zeppelin", sterowiec, który pierwszy obleciał świat.

Niemiecki konstruktor Ferdinand hrabia Zeppelin pierwsze sterowce wypełnione lżejszym od powietrza wodorem i napędzane silnikami spalinowymi budować zaczął przed 30 laty. Tuż przed I wojną światową jego podniebne cygara regularnie kursowały między Berlinem, Düsseldorfem, Gothą, Frankfurtem, Hamburgiem, Dreznem. W czasie wojny konstrukcji hrabiego Zeppelina cesarska armia i flota używały jako środków dalekiego rozpoznania i jako bombowców strategicznych. Z marnym skutkiem – samoloty sprzymierzonych, choć prymitywne, łatwo trafiały w olbrzymie, długie na ponad 100 m kadłuby i jeszcze łatwiej zapalały ukryte w nich wielkie zbiorniki wodoru. Bilans 4 lat walk niemieckich sterowców był fatalny: w 186 nalotach na Wielką Brytanię od bomb zginęły i odniosły rany 1894 osoby. Niemcy stracili zaś 77 niezmiernie kosztownych zeppelinów.

Po wojnie traktat wersalski zakazał Niemcom posiadania sterowców, także w służbie cywilnej. Dopiero przed 3 laty, w wyniku zmiany ustaleń traktatu, we Friedrichshafen znów zaczęto budować zeppeliny. Najnowszy, największy z nich, LZ-127,

nazwano na cześć nieżyjącego już twórcy niemieckich sterowców – „Graf Zeppelin".

Ta imponująca konstrukcja gotowa była do lotu w lipcu zeszłego roku. „Graf Zeppelin" ma długość 236,6 m, a średnicę – 30,5 m. Prawdę mówiąc, jest za cienki, ale zmniejszenie średnicy do 30 m wymusiły rozmiary hangaru we Friedrichshafen. W górnej części kadłuba ukryte są wielkie zbiorniki z gazem nośnym – wodorem. W części dolnej – zbiorniki z gazem służącym do napędzania 5 wielkich silników Maybacha o mocy 530 KM każdy, umieszczonych w wystających poza kadłub gondolach. Dzięki nim „Graf Zeppelin" może osiągać prędkość do 128 km/h. Zasięg LZ-127 przekracza 11 tys. km. Kabina załogi i pasażerska zarazem podwieszona jest w przedniej części kadłuba. Obszerna przeszklona sterownia przypomina mostki kapitańskie na wielkich statkach. W otoczeniu mnóstwa zegarów i przełączników 2 członków załogi stoi za kołami sterowymi. W głębi, nad stołami zasłanymi mapami i przyrządami nawigacyjnymi, pochylają się dowódca sterowca dr Hugon Eckener i jego oficerowie.

„Graf Zeppelin" zabiera na pokład 40 członków załogi. 22 pasażerom oferuje luksusy jak w najlepszych hotelach: własne kajuty, prysznic, urządzoną stylowymi meblami jadalnię. W maleńkiej kuchni uwija się znany berliński kucharz o przydomku „Manz". Do spiżarni przylega latająca piwniczka z najlepszymi winami.

Od dawna marzeniem dr. Eckenera był lot dookoła świata. LZ-127 „Graf Zeppelin" był w stanie podołać tej trudnej, dziewiczej ekspedycji.

Ale kto miał sfinansować piękną przygodę? Kosztorys wyprawy opiewał na ogromną sumę miliona marek. Niemiecki rząd, mimo oczywistych korzyści propagandowych, odmówił dotacji. Minister

komunikacji von Guerard poradził Eckenerowi, by sprzedał niemieckiej agencji informacyjnej DNB prawo do relacji dziennikarskich w zamian za 10 tys. marek. Eckener podobne umowy zawarł jeszcze z kilkunastoma niemieckimi dziennikami. W końcu lwią część kosztów zdecydował się pokryć amerykański magnat prasowy Hearst, ale w zamian za to zażądał, by pierwszy lot wokół świata zaczął się i zakończył w Stanach Zjednoczonych, na lotnisku Lakehurst niedaleko Nowego Jorku. Ten prestiżowy policzek dla Niemiec zręcznie ominął dr Eckener. LZ-127 miał polecieć najpierw do Lakehurst, a potem zawrócić na wschód i z 4 lądowaniami – znów we Friedrichshafen, potem w Tokio, Los Angeles i jeszcze raz w Lakehurst – wrócić do Friedrichshafen. W ten sposób dla Amerykanów lot odbyłby się od Lakehurst do Lakehurst, a dla Niemców – od Friedrichshafen do Friedrichshafen.

Wystartowano 1 sierpnia o 3.00. Z przygodą. Podczas wysuwania sterowca z hangaru spod dachu na korpus zeppelina skoczył jakiś człowiek. Poszukiwania nie dały rezultatu, więc dr Eckener wydał rozkaz do startu. Dopiero nad Francją załoga znalazła ukrytego wewnątrz korpusu, między zbiornikami wodoru, nastolatka z Zagłębia Ruhry. Chciał oblecieć świat na gapę. Za karę Eckener kazał zamknąć go w schowku na narzędzia. W Lakehurst na pokład wsiedli amerykańscy dziennikarze, wysadzono zaś niefortunnego gapowicza. Powrót przez Atlantyk do Friedrichshafen zajął zeppelinowi tylko 55 godzin.

Rankiem 15 sierpnia kapitan Schiller wywołał z tłumu widzów 20 pasażerów – obywateli Niemiec, Japonii, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji oraz przedstawiciela rządu sowieckiego. Potem podniesiono trap i na dobre zaczęła się wielka przygoda. Lot wrażliwego na warunki atmosferyczne, zwłaszcza silne wiatry, sterowca przypomina żeglugę siedemnastowiecznym

żaglowcem. Eckener z oficerami pilnie studiowali mapy pogody i tak obierali kurs, nadkładając czasem setki kilometrów, by ominąć wichury, nawałnice i wpłynąć w pasma stabilnych, korzystnych wiatrów. Dlatego po przelocie nad Toruniem zamiast, jak zaplanowano, obrać kurs na Moskwę, zdecydował się lecieć nad Leningradem. Syberię pokonał Eckener wzorowo, wykorzystując niemal każde tchnienie zachodnich wiatrów. Zaoszczędził przy tym tyle paliwa, że „Graf Zeppelin" mógł bez lądowania dotrzeć do Los Angeles! Ale w Tokio na zaplanowane lądowanie czekały setki tysięcy Japończyków, zapas paliwa i dowiezione tam z Niemiec 15 tys. m sześc. wodoru na uzupełnienia wycieków (w Japonii nie wytwarzano bowiem tego gazu w dostatecznych ilościach). Tokio osiągnięto w 101. godzinie lotu.

W ekspedycji „Grafa Zeppelina" nie brakło trudnych chwil. Hangar w Tokio był tak mały, że między grzbietem sterowca a stropem pozostawało jedynie 18 cm. Spowodowało to złamanie jednego z żeber kadłuba. Nad Los Angeles zaś powietrze było tak chłodne, że zwiększyła się wyporność zeppelina. Eckener musiał wypuścić ze zbiorników część wodoru. Po wylądowaniu załogę i pasażerów czekał wielki, wystawny bankiet z udziałem polityków i gwiazd Hollywood. Niemcy ze zdumieniem zaglądali do kieliszków z wodą mineralną – w Stanach obowiązywała prohibicja. Do czasu. W nocy Charlie Chaplin sięgnął do tylnej kieszeni po piersiówkę, po nim uczyniła to reszta sław wielkiego ekranu. Bawiono się pysznie do białego rana. Ale rano okazało się, że po wypuszczeniu części wodoru „Graf Zeppelin" jest za ciężki, by pofrunąć nad rozgrzanymi pustyniami Ameryki. Część pasażerów odesłano więc koleją do Lakehurst, ale i tak przy starcie sterowiec zawadził o linie wysokiego napięcia. Na szczęście uszkodzenia nie były groźne. Groźnie zapowiadała się za to afera po wylądowaniu

w Lakehurst. Amerykański fotograf nazwiskiem Hilling, który mimo rezerwacji nie został dopuszczony do lotu dookoła świata, zaskarżył Towarzystwo im. hrabiego Zeppelina o 125 tys. dolarów odszkodowania i uzyskał od władz sądowych stanu Nowy Jork nakaz aresztu na sterowiec do czasu otrzymania wypłaty. Rejs dookoła świata uratował komendant lotniska, który przypomniał sobie, że jego teren podlega władzom federalnym, a nie stanowym. „Graf Zeppelin" mógł polecieć dalej.

I właśnie nadlatuje. Lot wokół świata trwał 300 godzin i 20 minut. Tysiące gardeł śpiewa z całych sił *„Deutschland, Deutschland über alles"*. Komentatorowi berlińskiego radia głos łamie się ze wzruszenia. Nikt w Niemczech nie ma mu bezładnej jąkaniny za złe. Od przegranej wojny to pierwszy wielki sukces Niemiec, sukces, który podziwia świat.

Ale niezbliżony do sfer rządowych w Warszawie „Kurier Poranny". Dziś rano donosi o... ogromnych sukcesach sterowców amerykańskich i dodaje zgryźliwie: „Sterowiec Zeppelina zdobył sobie wszechświatową sławę swymi wielkimi wyprawami, które jednak często z powodu tandetnego, typowo niemieckiego wykonania kończyły się całkowitym niepowodzeniem".

5 września 1972 ▪ wtorek

Zajączek do ataku

Mija 4.00, gdy do ogrodzenia otaczającego wioskę olimpijską w Monachium podchodzi 8 młodych mężczyzn. Niemal wszyscy mają dość ciemną karnację, ubrani są w dresy, dźwigają spore sportowe torby. Niemiecki listonosz Hans Gottlieb patrzy, jak

młodzi mężczyźni zbliżają się do ogrodzenia – najwyraźniej mają zamiar je przeskoczyć, ale listonosza to w ogóle nie niepokoi. Młodzieńcy w dresach i z treningowymi torbami tuż obok wioski olimpijskiej mogą być przecież tylko olimpijczykami. A że jest 4.00? Cóż, olimpijczycy to też ludzie, mają prawo pójść co miasta, napić się piwa w Hofbraeuhaus, piwiarni nad piwiarniami, albo zaszaleć na Schwabingu. Tym bardziej że bawarskie władze oficjalnie dawno już proklamowały tę olimpiadę świętem młodości, luzu i tolerancji. Słowem – olimpiadą inną niż wszystkie. A zwłaszcza niż jedna z nich.

Albowiem czy tego Bawarczycy chcą, czy nie chcą, tegoroczne letnie igrzyska olimpijskie odbywają się w symbolicznym cieniu letnich igrzysk w 1936 roku w Berlinie.

Od zakończenia II wojny światowej minęło 27 lat. Tylko 27 lat. Zapewne większość spośród mówiących po niemiecku widzów z pięćdziesiątką na karku, pojawiających się na pięknym stadionie olimpijskim, przed niespełna 30 laty nosiła mundury z charakterystycznym orłem z nazistowską swastyką.

Jeśli wyjść z parku olimpijskiego, wystarczy parę minut, by dojść do Max Born Strasse. Potem, po skręcie w lewo, po krótkim spacerze, Max Born Strasse przechodzi w Dachauer Strasse. A na jej końcu jest Dachau. To Dachau, które na zawsze pozostanie w pamięci Europy jako miejsce pierwszego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Park olimpijski dzieli od muzeum KL Dachau niespełna 16 km. A sam park olimpijski zbudowany został na miejscu przedwojennego lotniska Oberwiesenfeld, na którym we wrześniu 1938 roku wylądował brytyjski premier Neville Chamberlain, by spotkać się z Hitlerem, wziąć udział w konferencji monachijskiej i w końcu podpisać haniebny układ monachijski – wstęp do wojny światowej.

Władze Bawarii i Niemiecki Komitet Olimpijski świetnie zdają sobie sprawę, że cokolwiek w Monachium, drobiazg choćby, skojarzy się w zbiorowej pamięci świata z tamtymi igrzyskami Hitlera, które od wojny światowej dzieliły zaledwie 3 lata, to brunatny cień padnie na całą monachijską imprezę. A przecież igrzyska mają być manifestacją, że po tamtych Niemczech ze swastyką dziś nie pozostał nawet ślad!

No i jeszcze sprawa igrzysk poprzednich, w Meksyku – wtedy wojsko i policja zmasakrowały setki demonstrujących pokojowo studentów, a same igrzyska odbywały się za kordonem uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Przede wszystkim więc w Monachium – precz z mundurami i bronią! Tym bardziej że niektóre oddziały operacyjne Bundesgrenzschutzu (Federalnej Straży Granicznej), formacji pełniącej – prócz dość szeroko rozumianej ochrony granic Republiki Federalnej – także zadania czysto policyjne wewnątrz zachodnich Niemiec (przed 3 miesiącami funkcjonariusze BGS wzięli walny udział w ogólnokrajowej obławie na członków terrorystycznej Rote Armee Fraktion), używają ciągle hełmów kojarzących się ze stahlhelmem III Rzeszy. Na rozkaz szefa policji w Monachium Manfreda Schreibera siły porządkowe na terenie wioski olimpijskiej ograniczone zostały do 2 tys. nieuzbrojonych policjantów. Przeszkolono ich nie w zwalczaniu zagrożeń terrorystycznych, lecz w pokojowym rozwiązywaniu konfliktów obyczajowych i politycznych. Konflikty obyczajowe, np. paradowanie w stroju topless, stróże prawa mają przede wszystkim ignorować, zaś konflikty polityczne, w rodzaju nielegalnych manifestacji, powinny być neutralizowane przez policjantki wręczające demonstrantom kwiaty.

Na czas olimpiady skoncentrowano w Monachium ponad 15 tys. żołnierzy Bundeswehry i funkcjonariuszy bawarskiej policji. Tyle tylko że są oni nieumundurowani i nieuzbrojeni; jako kelnerzy, kierowcy, pracownicy szczególnie przeciążonych służb miejskich, w razie ataku terrorystycznego nie mogą w niczym pomóc.

Żadnego ataku zresztą – jak założyli bawarscy notable – po prostu być nie może. Gdy policyjny psycholog Georg Sieber przed 7 miesiącami stworzył listę możliwych zagrożeń igrzysk, pod nr. 21. uwzględnił atak Organizacji Wyzwolenia Palestyny na drużynę izraelską. Szef monachijskiej policji Manfred Schreiber publicznie stwierdził, że autorów tak absurdalnych pomysłów powinno się karać chłostą.

Olimpijska ekipa Izraela także nie czuje się zagrożona. Większość izraelskich sportowców mieszka na terenie wioski olimpijskiej – w budynku nr 31 przy Connollystrase zajmują oni 5 apartamentów. Budynek ten nie jest specjalnie chroniony, a sami sportowcy – po wczorajszym wieczornym zbiorowym wyjściu do teatru w Monachium na spektakl *Skrzypka na dachu* – nawet nie zamykają tej nocy drzwi wejściowych.

8 ludzi w dresach, z torbami sportowymi, czeka pod wysokim na 2 m płotem z drutu, otaczającym wioskę olimpijską, na jakichś sportowców wracających z nocnej balangi w mieście. Wreszcie nadchodzi grupa podchmielonych Amerykanów. Ludzie w dresach przyłączają się do nich. Patrzą na to niemieccy listonosze roznoszący w wiosce pocztę. Z logicznym myśleniem pracowników Deutsche Post jest kiepsko. Nie zastanawia ich, kto wypuszcza się na nocną zabawę w dresie i z wielką torbą. Tymczasem 8 ludzi w dresach zmieszanych z grupą Amerykanów przechodzi przez płot – podpici amerykańscy sportowcy podsadzają ludzi z torbami na ogrodzenie.

Jest jeszcze ciemno, gdy przybysze w dresach, już bez asysty Amerykanów, pewnie, jak po sznurku, docierają do budynku Conollystrasse 31. Przed wejściem przebierają się z dresów w cywilne ubrania, na głowy wciągają kominiarki, z toreb wyciągają kałasznikowy, krótkie pistolety Makarow i granaty.

8 intruzów z bronią w ręku to członkowie palestyńskiej organizacji terrorystycznej Czarny Wrzesień. Powstała rok temu jako bojowa odnoga Al-Fatah, wpływowej palestyńskiej partii politycznej, jednej z kluczowych frakcji Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Czarny Wrzesień powołali palestyńscy radykałowie, by pomścić pogrom fedainów i zwykłych uchodźców dokonany we wrześniu 1970 roku w Jordanii przez armię królewską – po nieudanym zamachu OWP na życie króla Husajna I i próbie wywołania przez OWP rewolucji w Jordanii. Po odwetowej akcji wojsk królewskich działacze OWP, fedaini Al-Fatah i tysiące uchodźców musiały uciekać z Jordanii do Libanu.

Dowódca Czarnego Września Ali Hassan Salameh, zwany przez swych towarzyszy Abu Hassan, wespół z szefem logistyki Czarnego Września Mohammedem Oudehem, zwanym Abu Daoudem, zaplanowali spektakularne uderzenie na kwatery sportowców Izraela w monachijskiej wiosce olimpijskiej, wzięcie Izraelczyków jako zakładników i wymuszenie, w zamian za ich uwolnienie wypuszczenia na wolność z izraelskich więzień 234 Palestyńczyków. Plany wioski olimpijskiej i opis ochrony oraz zwyczajów jej mieszkańców dostarczył Salamehowi 27-letni Muhammad Masalha, Palestyńczyk urodzony w Hajfie, ale – po ukończeniu studiów w Zachodnich Niemczech – pracujący, jako wzięty architekt, w Monachium. Masalha był zatrudniony przy budowie wioski olimpijskiej i znał wiele jej tajemnic. Brakujące informacje

przekazali Salamehowi działacze sportowi olimpijskiej ekipy NRD – w rzeczywistości funkcjonariusze Stasi.

Przed 2 tygodniami, 23 sierpnia, samolotem Lufthansy przyleciała z Bejrutu do Kolonii para kurierów Czarnego Września. Młodzi, atrakcyjni ludzie, ubrani wyzywająco elegancko i drogo, na lotnisku Koeln-Wahn, z 3 wielkimi bagażami, stawili się przed przekupionym niemieckim celnikiem. Urzędnik polecił otworzyć tylko pierwszą walizę. Była w niej damska bielizna. Niemiec z udaną obojętnością machnął ręką i 2 pozostałe walizy, wypełnione kałasznikowami i granatami, wylądowały bezpiecznie w bagażniku samochodu kuriera Czarnego Września, a wieczorem znalazły się już w skrytce na Dworcu Głównym w Monachium. Wkrótce do Monachium przyleciało pojedynczo, przez Rzym i Belgrad, 8 członków uderzeniowego komanda. Dwóch z nich Masalha oprowadził po wiosce olimpijskiej.

O 4.30 jest jeszcze ciemno. W jednym z mieszkań w domu Connollystrasse 31, izraelskiego sędziego sportowego Josefa Gutfreunda budzą hałasy na klatce schodowej. Uchyla drzwi. Na widok postaci w kominiarce, z kałasznikowem w ręku, zatrzaskuje drzwi.

– Chłopaki, uciekajcie! – krzyczy z całych sił do śpiących kolegów.

Ilja Sokolski, choć wyrwany ze snu, reaguje jak komandos: w piżamie, na oślep rzuca się do okna, bez namysłu skacze w półmrok i z całych sił ucieka, zygzakiem, w głąb wioski, aż wpada na niemieckiego policjanta. Naturalnie, nieuzbrojonego.

Trener zapaśników Moshe Weinberg, ufny w swą siłę i umiejętności, rzuca się na zamaskowanego terrorystę, ale ten strzela mu w usta. Potem Palestyńczyk przystawia lufę pistoletu do głowy ciężko rannego Weinberga i zmusza go do pokazania reszty pokoi, w których mieszkają izraelscy sportowcy. Półprzytomny,

zszokowany Weinberg rozumuje jednak logicznie – omija drzwi pokoju szermierzy i chodziarzy, drobnej budowy ciała, i prowadzi terrorystów do pokoju potężnych zapaśników i ciężarowców. Liczy, że siłacze jakoś dadzą radę zamachowcom. Nic z tego. Sportowcy śpią i – zaskoczeni – pod lufami kałasznikowów nie stawiają oporu. Jednak gdy prowadzeni są na parter, do obezwładnionych trenerów, ranny Weinberg nieoczekiwanie tarasuje ciałem drzwi. Dzięki temu jeden z trenerów, Gad Zabari, wyskakuje z domu na zewnątrz i ucieka. Terroryści strzelają do niego z broni automatycznej, ale nie trafiają. Strzałami z paru kroków Palestyńczycy zabijają Weinberga.

Wykorzystując zamieszanie, ciężarowiec Yossi Romano rzuca się na jednego z Palestyńczyków i próbuje wyrwać mu kałasznikowa. Terrorysta nie daje się zaskoczyć – odpycha go i strzela doń 4 razy. Ostatni raz strzela w krocze izraelskiego sportowca. Wyjącego z bólu, ciężko rannego Romano terroryści zostawiają na podłodze, jako przestrogę dla reszty zakładników. Romano wykrwawia się na śmierć.

Izraelscy szermierze i chodziarze, uratowani dzięki przytomności umysłu ciężko rannego Weinberga, śpią i nie zdają sobie sprawy z zagrożenia.

Parę minut po 5.00 do budynku Connollystrasse 31 podchodzi oficer niemieckiej policji. Jeden z terrorystów, Issa, wyrzuca przez okno na ulicę list wyjaśniający cele akcji Palestyńczyków i warunki uwolnienia izraelskich sportowców. Lista osób, które mają być zwolnione z izraelskich więzień, wydłużyła się. Teraz są na niej nazwiska 6 oficerów syryjskich i libańskich, przed 3 miesiącami wziętych do niewoli na granicy przez Izraelczyków, do tego 2 kobiety, które brały udział w organizowaniu terrorystycznego ataku na izraelskie lotnisko Lod, podczas którego wynajęci przez

Palestyńczyków terroryści japońscy zastrzelili 26 osób, oraz jeszcze jeden uczestnik akcji na Lod, ranny podczas tego zamachu psychopata i morderca, Japończyk Kozo Okamoto. I jeszcze – to policzek dla Republiki Federalnej – na liście przestępców do uwolnienia figurują nazwiska Niemców, terrorystów Rote Armee Fraktion – Andreasa Badera i Ulrike Meinhof, siedzących w zachodnioniemieckim więzieniu.

Terroryści grożą w liście, że jeśli ich żądanie nie zostaną spełnione do godz. 9.00, będą co godzinę publicznie zabijać jednego zakładnika.

Rankiem w Tel Awiwie zbiera się izraelski rząd. Premier Golda Meir jest nieugięta.

– Jeśli poddamy się, to żaden Izraelczyk na świecie nie będzie mógł czuć się bezpiecznie – oświadcza.

Zszokowani oficjele niemieccy chcą jednak negocjować z porywaczami. Władze monachijskie, w porozumieniu z Bonn, niezwłocznie wysyłają do budynku Connollystrasse 31 3 policjantów i policjantkę – obecność kobiety ma uspokajać porywaczy.

Szaul Ladany, izraelski chodziarz na 50 km, śpi ekstremalnie zmęczony – w swej wyczerpującej konkurencji startował ledwie przedwczoraj. Jego pokój ominął postrzelony w usta Moshe Weinberg. Teraz chodziarza budzi kolega z sąsiedniego łóżka i mówi, że słyszał w radiu, iż w ich budynku arabscy terroryści wzięli jako zakładników 11 izraelskich sportowców. Ladany ostrożnie otwiera drzwi na korytarz i pod drzwiami do sąsiedniego apartamentu widzi 4 niemieckich policjantów rozmawiających z mężczyzną o bardzo śniadej cerze, ubranym w garnitur, w kapeluszu na głowie. Izraelski sportowiec słyszy, jak policjantka prosi mężczyznę w kapeluszu, by do zakładników dopuszczono przedstawicieli

Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Mężczyzna odmawia. Policjantka napomina go, że powinien zachowywać się humanitarnie.

– Żydzi też nie są humanitarni – odpowiada tamten.

W tym momencie dopiero Ladany pojmuje, kim jest mężczyzna w kapeluszu, i ostrożnie, cicho zamyka drzwi. Żadna z negocjujących na korytarzu osób nie zauważa go.

Po policjantach na negocjacje z porywaczami przybywa minister spraw zagranicznych RFN Hans Dietrich Genscher w asyście bawarskiego ministra spraw wewnętrznych Bruno Merka i szefa policji w Monachium Manfreda Schreibera. Tego samego, który możliwość napadu Palestyńczyków na wioskę olimpijską nazwał przed igrzyskami pomysłem idiotycznym. Teraz Genscher i Schreiber przekonują terrorystów, że swoje cele już osiągnęli, cały świat zobaczył ich w telewizorach, cały świat już wie o niedoli narodu palestyńskiego, więc dalsze przetrzymywanie zakładników nie ma już sensu, tym bardziej że rząd niemiecki oferuje im nieograniczony okup finansowy, gwarancję odlotu gdzie tylko zechcą i gwarancję, że nie będzie później ich ścigał. Terroryści odrzucają propozycje Genschera. Zgadzają się tylko na przesuwanie terminu upływu ich ultimatum.

Terroryści w budynku Connollystrasse 31 z nudów polecają izraelskim zakładnikom opowiedzieć o sobie. Ci chętnie mówią, o swych zwykle skomplikowanych, często niebezpiecznych losach, przed znalezieniem się w Monachium. Dowódca Palestyńczyków nagle, brutalnie przerywa te zwierzenia – takie rozmowy uczłowieczają dotąd anonimowe, przyszłe ofiary w oczach oprawców i zmiękczają terrorystów.

O 6.00 o ataku policja informuje przewodniczącego MKOl Avery Brundage'a. Obsesyjnie dbający o apolityczność olimpiady

Amerykanin nakazuje wznowienie olimpijskich rozgrywek, jak gdyby nigdy nic się nie stało. O 8.15 zaczyna się pierwsza konkurencja. Zwłoki 2 zastrzelonych sportowców leżą w tym momencie w wiosce olimpijskiej. Sportowcy innych krajów wcale nie zachowują się lepiej od Brundage'a: od rana opalają się na skarpie przed Connollystrasse 31, z której świetnie widać w oknach okupowanego budynku postacie w kominiarkach, z kałasznikowami w ręku. Część sportowców innych ekip gra przed okupowanym budynkiem w ping-ponga.

Gorączkowe negocjacje z porywaczami prowadzone przez Niemców, przez przedstawiciela Ligi Arabskiej w Bonn Muhammada Chatiba oraz ambasadora Tunezji w Niemczech nie dają nic.

Niemiecki rząd podejmuje decyzję, że porywacze nie mogą bezkarnie opuścić Niemiec. Tylko kto ma im w tym przeszkodzić? Policja w Monachium jest rozbrojona, w RFN nie istnieje żadna jednostka antyterrorystyczna, a użycia armii wewnątrz kraju w akcji bojowej zabrania konstytucja. Dowództwo monachijskiej policji zbiera na łapu-capu policjantów, którzy na ostatnim strzelaniu kontrolnym osiągnęli na strzelnicy najlepsze wyniki. Żaden z nich nie jest przeszkolonym strzelcem wyborowym. Ani obecny w niemieckim sztabie kryzysowym izraelski agent Mossadu Victor Cohen, ani jego szef, który do Monachium przyleciał z Izraela natychmiast na wieść o ataku terrorystów, nie mają realnego wpływu na decyzje niemieckiego sztabu kryzysowego. Niemieckie władze postanawiają uderzyć na pomieszczenie z zakładnikami jak najszybciej.

Grupa szturmowa powstaje z 28 ochotników z bawarskiej policji i Grenzschutzu. Większość z nich, uzbrojona w pistolety Heckler & Koch MP5, powoli skrada się po dachu zajętego przez

Palestyńczyków budynku i wspina się po ścianach. 2 niemieckich ochotników z pistoletami maszynowymi czai się na dachu przy wylocie szybu wentylacyjnego – mają opuścić się na linie do szybu, aż na parter i zaatakować terrorystów od tyłu. Na dachach sąsiednich budynków sadowią się funkcjonariusze, którym wydano zwykłe karabiny automatyczne G3, jaskrawe sportowe dresy i masywne stahlhelmy. Cała akcja jest całkowitą improwizacją – funkcjonariusze grupy szturmowej mają udawać na dachu sportowców (najwyraźniej wedle niemieckich policjantów sportowcy uwielbiają przed zawodami spędzać noce na dachach), ale nie otrzymali jednej choćby radiostacji; ich dowódcy mają wydawać im rozkazy za pomocą... zajączków puszczanych lusterkiem.

Gdy dowódcy bawarskiej policji uświadamiają sobie, że przygotowania do ataku od dawna są pokazywane przez ekipy telewizyjne, które już przed południem rozstawiły kamery przy Connollystrasse 31, odwołują atak. Terroryści mają telewizor w saloniku pojmanych sportowców i zapewne widzieli gotujących się do szturmu policjantów.

O 17.00 Palestyńczycy żądają wypuszczenia ich z zakładnikami do Egiptu. Drugie żądanie: w locie mają towarzyszyć im niemieccy dygnitarze.

W odpowiedzi Niemcy żądają, by przedstawiciele ich władz mogli osobiście sprawdzić, czy izraelscy zakładnicy zgadzają się na lot do Kairu. Palestyńczycy wyrażają zgodę. Do apartamentu, gdzie leżą zwłoki wykrwawionego na śmierć Romano i siedzi związanych razem 9 zakładników, wokół których miota się 8 porywaczy, wchodzą minister Genscher i burmistrz wioski olimpijskiej Walther Tröger.

Niemiecki plan B to atak na porywaczy na lotnisku, podczas rzekomego ich wylotu wraz z zakładnikami do Egiptu.

Szefów bawarskiej policji nie powstrzymuje relacja Genschera i Trögera, że terrorystów nie jest 4, jak do tej pory sądzono, lecz co najmniej dwa razy tyle.

O 22.06 przed budynkiem zajętym przez Palestyńczyków zatrzymuje się autobus, do którego wsiada 8 zamaskowanych porywaczy i 9 zakładników. Chwilę później terroryści przywiązują do siedzeń w pierwszym helikopterze 4 Izraelczyków, w drugim – pozostałych 5. Sami też wsiadają do obu tych maszyn. W trzeciej lecą przedstawiciele władz Republiki Federalnej i Bawarii, którzy brali udział w negocjowaniu warunków wylotu.

Tuż przed 22.30, gdy 3 helikoptery podchodzą do lądowania na wojskowym lotnisku w bazie Fuerstenfeldbrueck, 12 uzbrojonych policjantów, przebranych w uniformy Lufthansy, mających zlikwidować wsiadających do podstawionego samolotu terrorystów, jednomyślnie przegłosowuje wycofanie się z akcji. Wszyscy po prostu wychodzą z samolotu i idą w mrok lotniska. Kluczowy element zasadzki przestaje istnieć. Nie ma też samochodów pancernych – utknęły w korkach. Na bieżąco informowani o rozwoju sytuacji przez stacje radiowe i telewizyjne Bawarczycy jadą masowo do Monachium, by na własne oczy zobaczyć krwawy dramat.

Pozostaje 3 policjantów z karabinami pod wieżą kontrolną i 2 leżących na płycie lotniska.

2 Palestyńczyków wysiada z helikoptera i idzie do samolotu. Tu niespodzianka. Nie ma niemieckich dygnitarzy, których spodziewali się zastać. Ale też nie ma niemieckich policjantów, którzy mieli ich zastrzelić. Palestyńczycy biegną z powrotem do helikopterów. Wtedy, o 22.35, niemieccy policjanci otwierają ogień z odległości

zaledwie 30 m. Ale nie wszyscy – jeden z nich akurat zmienia stanowisko, bo helikoptery nie wylądowały w wyznaczonych miejscach i na linii jego strzałów znalazł się inny policjant z zasadzki – ten strzelec w pierwszych, decydujących minutach nie oddaje ani jednego strzału.

2 terroryści, pilnujący obu pilotów helikopterów, padają z przestrzelonymi głowami. Reszta Palestyńczyków chowa się za helikoptery i otwiera ogień z kałasznikowów. Klaus Bechler, pilot jednego z helikopterów, wyskakuje z maszyny i ucieka na płytę lotniska. Dostaje postrzał, pada, ale przytomnie udaje zabitego. Nikt do niego już nie strzela. Pilot drugiego śmigłowca udaje martwego pod swoja maszyną.

W chaotycznej strzelaninie ginie jeszcze 2 terrorystów i niemiecki strzelec Anton Neumann. 2 inni policjanci odnoszą rany od strzałów swoich kolegów z policji.

Terroryści rozbijają ogniem kałasznikowa reflektory oświetlające pas startowy. Zapada ciemność, w której pozbawieni noktowizorów policjanci są bezradni. Kolejna seria z karabinka Palestyńczyków rozbija radiostację na wieży kontrolnej. Na lotnisku zapada cisza.

O 22.50 towarzyszący policji agent Mossadu Cohen wzywa terrorystów po arabsku, by się poddali. Ci nie odpowiadają. Po godzinie impasu, słysząc ryk nadjeżdżających wreszcie wozów pancernych, jeden z terrorystów wrzuca do helikoptera granat. 4 związanych razem zakładników ginie. Drugi terrorysta z najbliższej odległości strzela z kałasznikowa do 5 spętanych sportowców w drugim helikopterze. Maszyny stają w ogniu. Z 9 zakładników egzekucje przeżywa tylko 28-letni ciężarowiec (poza stadionami adwokat) Dawid Berger. Ciężko ranny, przez pół godziny krzyczy, dusząc się od dymu płonącego helikoptera. Nikt nie potrafi mu pomóc. W końcu umiera. Wreszcie, już po północy, niemieccy

policjanci ruszają do szturmu. Od ich ognia ginie dowódca terrorystów, ciężkie rany odnosi jeden z niemieckich strzelców i pilot helikoptera.

Policjanci aresztują 3, udających zabitych, terrorystów.

6 września 1831 ▪ wtorek

Dwie reduty

Wstaje świt. Gęsta mgła otula łąki. Obrońcy południowych szańców Warszawy całkiem już gotowi do boju czekają na szturm Rosjan. Wszyscy spodziewają się, że bataliony feldmarsz. Iwana Paskiewicza uderzą od południa.

O 5.30 od strony Woli dochodzi potężny huk rosyjskich armat. Polskie dowództwo podejrzewa jednak, że jest to atak pozorujący, po którym nastąpi wielki szturm od południa. Tam też pozostają główne siły polskie.

Tymczasem Rosjanie chcą się wedrzeć do Warszawy, przełamując polskie umocnienia na Woli. To silna, dobrze pomyślana pozycja, składająca się z 3 linii obrony. Główną tworzy tzw. Wał Newachowskiego, usypany jeszcze za czasów wielkiego księcia Konstantego. Już w czasie powstania listopadowego ok. 400–600 m przed nim usypano drugą linię obronną. Przed nią zaś wzniesiono liczącą 17 km długości linię czołową. Składa się z szeregu redut odległych od siebie o 300, a czasem o ponad 400 m. Mogą one prowadzić ogień czołowy i flankowy, bijący z boku w szturmujących żołnierzy. Bez zajęcia redut szturm linii głównej nie wchodzi w rachubę.

Kluczową pozycją linii czołowej jest zamykająca szosę kaliską reduta nr 56. Obsadzona jest przez 2 bataliony 8. Pułku Piechoty Liniowej z 12 działami. Dowodzi nią gen. Józef Longin Sowiński, wychowanek Szkoły Rycerskiej w Warszawie, żołnierz powstania kościuszkowskiego i armii Księstwa Warszawskiego. W kampanii rosyjskiej Napoleona stracił pod Możajskiem nogę, ale nie porzucił wojska. Od tego czasu posługuje się drewnianą kulą.

By dobrać się do reduty gen. Sowińskiego, Rosjanie muszą zdobyć mniejszą, pobliską redutę nr 54. Bronią jej 2 kompanie piechoty wsparte 6 działami pod podporucznikiem artylerii Julianem Konstantym Ordonem. Dziesiątki rosyjskich armat zasypują redutę pociskami. Ginie dowódca placówki, zastępuje go por. Feliks Nowosielski. Wreszcie na zasnutą dymami eksplozji redutę rusza potężne uderzenie rosyjskiej dywizji gen. Gejsmara. 3 kolumny rosyjskiej piechoty docierają do szańca, ale zatrzymuje je ogień karabinów obrońców i 6 dział por. Ordona. Kontratak na bagnety odrzuca sołdatów. Ale Rosjanie wkrótce uderzają z 3 stron. Mogą otaczać redutę, gdyż polska piechota pobliskiej drugiej linii obrony z niezrozumiałych powodów stoi bezczynnie i tylko obserwuje tragedię reduty Ordona.

Gońcy wysłani z Woli pędzą na ul. Kredytową. Tam, z dachu kościoła ewangelickiego, dowódca polskiej artylerii gen. Józef Bem na próżno wypatruje szturmu od południa. Gdy pojmuje wreszcie, że szturm generalny już dawno się rozpoczął na Woli, jest za późno na słanie Ordonowi odsieczy. Na reducie nr 54 trwa zacięta, bezlitosna walka na bagnety. Rosjanie wdzierają się do wnętrza. Wtem do magazynka prochowego wbiega z ogniem jeden z Polaków. W gęstym dymie jednym z żołnierzy wydaje się, że to por. Nowosielski, innym – że kanonier Nakrut, jeszcze innym – że ppor. Ordon. Podnosi się ogromny słup ognia. Koń rosyjskiego por.

Aleksandra Seelanda, stojący na zewnątrz reduty, pada na ziemię jak ścięty. Po chwili na przygniecionego zwierzęciem jeźdźca walą się z powietrza uniesione eksplozją zwęglone i straszliwe okaleczone ciała żołnierzy rosyjskich i polskich.

Ciężko ranny Ordon leży pośród dziesiątków zabitych.

Prócz szturmu na redutę Ordona Rosjanie rozwijają natarcie na pomocniczą redutę nr 57, osłaniającą od zachodu główną redutę Sowińskiego. 100 armatom rosyjskim przeciwstawiają się tu 4 działa polskie. O 9.00 jest już po wszystkim. Z 2,5 setki obrońców 160 ginie, 80 odnosi ciężkie rany, a ledwo kilkunastu przedziera się do polskich linii.

Teraz carscy generałowie przenoszą wzrok na redutę gen. Sowińskiego. Pierwszy szturm 3 batalionów na jej południowy narożnik obrońcy krwawo odpierają. Rosjanie podtaczają kolejne dziesiątki armat. Strzela ich teraz tak wiele, że gęsta dotąd kanonada przechodzi w przeciągły, jednostajny grzmot.

Gen. Bema już nie uświadczy się na dachu kościoła przy Kredytowej. Szef polskiej artylerii pędzi konno na czele 16 armat z odsieczą Sowińskiemu. Bateria staje w polu, tuż za redutą Sowińskiego, i otwiera niezwykle celny ogień. W ostatniej chwili. Właśnie zwarte kolumny rosyjskiej piechoty docierają do umocnień. Pociski armat Bema masakrują pierwsze szeregi sołdatów niosących kosze z ziemią, drabiny i plecionki ze słomy. Atak Rosjan załamuje się.

Od wschodu na szańce gen. Sowińskiego wkraczają posiłki. To mjr Piotr Wysocki, słynny przywódca spisku, który wszczął to powstanie, śpieszy na czele batalionu piechoty. W obrońców wstępuje nowy duch. Uważają, że batalion Wysockiego to forpoczta większego wsparcia. Niestety, Rosjanie podciągają kolejne dziesiątki

dział. Ich ogień blokuje redutę. Ale kolejne szturmy Rosjan obrońcy ciągle, krwawo odpierają.

Bój obserwuje naczelny wódz rosyjskiej armii feldmarsz. Paskiewicz. Irytuje go twardy opór żołnierzy gen. Sowińskiego. Rzuca do ataku 20 nowych batalionów piechoty, siłę ogromną. Część obrońców reduty Sowińskiego na widok zwartych, potężnych kolumn piechoty wroga wpada w panikę. 3 kompanie w popłochu porzucają redutę. Na tyłach zatrzymuje ich gen. Kazimierz Małachowski, wojownik zasłużony w powstaniu kościuszkowskim pod Racławicami, w Legionach Dąbrowskiego, na San Domingo, w kampaniach Napoleona, a od paru dni zastępca naczelnego wodza gen. Krukowieckiego. Sędziwy generał przemawia do uciekinierów: „Ilu was haniebnie uciekło, nie pytam. Wyście odbiegli swojego generała i całą może zgubili Wolę. Do was należy odebrać ją albo zginąć do ostatniego". Wespół z gen. Bogusławskim Małachowski organizuje improwizowaną grupę zaczepną liczącą w sumie 3 tys. uciekinierów i niedobitków z innych pułków. Grupa trzykrotnie uderza, chcąc odblokować redutę nr 56. W straszliwych walkach wręcz Rosjanie odrzucają natarcia. Dla reduty Sowińskiego nie ma już ratunku.

Ale jednonogi generał i jego żołnierze nie upadają na duchu. Gdy ginie dowódca artylerii reduty kpt. Krzywicki i większość jego kanonierów, gen. Sowiński przejmuje dowództwo, sam, kuśtykając o kuli, lontem odpala kolejne armaty. Wreszcie milknie ostatnie polskie działo. Na wały wdzierają się carscy sołdaci, otaczają resztkę obrońców. Samotny gen. Sowiński podnosi karabin zabitego piechura i oparty o armatę, broni się bagnetem. Sołdaci otaczają go zewsząd. Rosyjski oficer ofiaruje generałowi pardon. Sowiński odmawia i ginie przeszyty rosyjskimi bagnetami. Drewniana kula

wbita w ziemię nie pozwala zwłokom przewrócić się i skrwawiony trup generała groźnie patrzy na zwycięzców.

Rosyjscy grenadierzy dowiadują się, że w obronie reduty walczy znienawidzony przez Moskali Piotr Wysocki. Po zajęciu reduty Sowińskiego wpadają do kościoła z krzykiem: *„Kuda Wysockij!? Kuda Wysockij!?”*. Polacy strzelają z chóru, ale ulegają przewadze. Wysockiego nie ma.

Po południu, po zmasakrowaniu i odparciu przez artylerię gen. Bema kolejnego wielkiego szturmu na drugą linię szańców, w rosyjskich szeregach rozchodzi się pogłoska, że Wysocki jest wśród rannych jeńców. Feldmarsz. Paskiewicz poleca go odnaleźć. Szef sztabu artylerii rosyjskiej baron Korff idzie do chlewu świńskiego na plebanii, w którym leżą ranni polscy jeńcy. Uważnie lustruje ich. Pyta blondyna, przykrytego oficerskim płaszczem, jak się nazywa. „Wysocki” – odpowiada tamten.

Krótko potem do chlewa wpadają rosyjscy grenadierzy i zabierają rannego Wysockiego w nieznane.

7 września 1936 ▪ poniedziałek

Ostatnia

Nad ranem tuż przy ziemi trzyma lekki mróz. W pierwszych promieniach wschodzącego słońca, w sporej klatce z metalowych prętów w ogrodzie zoologicznym w Hobart na Tasmanii, widać skulone, zdrętwiałe zwierzę wielkości bardzo dużego psa. Zwężające się ku brzuchowi ciemniejsze pręgi na sierści tylnej części wychudzonego grzbietu i dziwny, trochę psi, trochę koci pysk nie przypominają żadnego ze znanych w Europie zwierząt. Zaniedbany,

przemarznięty, ledwo żywy stwór to ostatni na świecie przedstawiciel wilka workowatego, jednego z najdziwniejszych, najwspanialszych drapieżników żyjących na Ziemi w XX wieku.

Workowaty wilk jest torbaczem, spokrewnionym z kangurami. Gdy przed milionami lat Australia oddzieliła się od prakontynentu Gondwany, na jej terenie znalazły się wyłącznie torbacze. Niezagrożone przez konkurencję sprawniejszych ssaków łożyskowych australijskie torbacze rozwinęły się w zdumiewającą faunę. Prócz kangurów, workowatych niedźwiedzi, wombatów pojawiły się także ważące tonę workowate nosorożce. Polowały na nie wielkie lwy workowate i największe z 6 gatunków workowatych wilków. Klimatyczne zmiany nie służyły wielkim drapieżnikom z torbami na brzuchach. Wyginęły workowate lwy i największe workowate wilki – przed 8 mln lat żyły ich już tylko 3 gatunki. Gdy przed 40 tys. lat do Australii dotarli pierwsi ludzie, na równinach polował już tylko jeden gatunek wilka; jego ostatni przedstawiciel dygoce w śmiertelnym chłodzie klatki w Hobart.

Z pierwszymi ludźmi przybyły na kontynent australijski także psy. Z czasem zdziczały i jako dingo dokonały masakry torbaczy. Z ich powodu przed 4 tys. lat wymarły także australijskie wilki workowate.

Ale wilki te ocalały na odległej od Australii o 200 km dużej wyspie Tasmanii. Psy dingo nie dotarły tu, a prymitywny lud ciemnoskórych Tasmańczyków na wilki workowate nie polował.

Zamknięty w klatce zoo w Hobart workowaty wilk nazywany jest przez pracowników ogrodu i zwiedzających Benjaminem. Nikt nie wie, że to młoda, ale w pełni już dojrzała samica. Gdyby żyła na wolności, jej ciało wraz z głową osiągnęło by ponad metr długości. Gdy wilczyca ziewała w klatce, gapie mogli podziwiać jej niesamowitą paszczę – dzięki niezwykle ruchomym stawom

łączącym żuchwę z kośćmi skroniowymi workowate wilki mogły rozewrzeć swój długi pysk pod kątem niemal 180 stopni! Miały najsilniejszy zgryz spośród wszystkich żyjących torbaczy. Jeszcze bardziej osobliwie wilczyca, zwana Benjaminem, poruszałaby się na wolności. Zrośnięte, grube kręgi umięśnionego ogona pozwalałyby jej, tak jak kangurom, korzystać z niego przy odbijaniu się tylnymi łapami. Dzięki temu workowate wilki mogły skakać na wysokość 3 m. Benjamin – zabiedzona, wycieńczona – skakać nie może, bo jej klatka zakryta jest z góry drucianą siatką.

Workowate wilki polowały nocami na kangury i wombaty, zaś nocne chłody i mrozy, a także południowe upały spędzały ukryte w jaskiniach, głębokich wykrotach i norach.

Choć do czasu przybycia Europejczyków workowate wilki nie miały groźnych wrogów, na Tasmanii ich populacja nigdy nie była liczna, nie przekraczała znacząco 6 tys. osobników.

Na początku XIX wieku brytyjscy osadnicy odkryli, że na wyspie świetnie można hodować owce. Pierwsze 30 owiec przywieziono z Wielkiej Brytanii w 1803 roku. W 1830 na Tasmanii pasło się już milion owiec. Szybko jednak stada zaczęły ponosić straty. Prymitywni farmerzy oskarżyli o zabijanie owiec workowate wilki i autochtonów, Aborygenów. Już w 1830 roku zaczęła się wielka wojna osadników z pasiastymi wilkami. Rząd kolonii wypłacał wysokie premie za skalp każdego wilka. W roku 1886 farmerzy zażądali rządowych dotacji dla każdego, kto zabije wilka workowatego. Myśliwi zabijali wilki średnio co 2 dni – strzelali do nich, łapali we wnyki, rozstawiali trutki. Ale na początku XX wieku, mimo horrendalnie wysokich premii, nie udało się zabić ani jednego wilka. Do masowego zabijania przez myśliwych i farmerów dołączyła przywleczona z Europy epidemia nosówki. Workowate wilki niemal znikły z lasów Tasmanii.

Wtedy zaczęła się kolejna wilcza histeria – zwierzę tak rzadkie chciało mieć każde zoo na świecie. Masowe zabijanie przeszło w masowe wyłapywanie ocalałych w leśnych ostępach resztek wilków, przy czym w klatkach i we wnykach zwykle ginęło więcej tych zwierząt, niż trafiało do ogrodów zoologicznych.

Wilczycę zwaną Beniaminem złapał w 1933 roku drwal i stawiacz sideł Elias Churchill w dolinie Florentine. W ciągu ostatnich kilkunastu lat Churchill dopadł z kompanami 8 dorosłych wilków – 2 z nich sprzedał żywe, pozostałe albo udusiły się we wnykach, albo były tak zmasakrowane, że trzeba było je dobić. Ocalały 2 wilczyce. Pierwszą, z 3 młodych w torbie brzusznej, kupił od Churchilla niejaki Walter Mullins i przez kilka lat obwoził w skrzyni po tasmańskich wsiach i miasteczkach. W końcu sprzedał ją do zoo w Hobart, w którym cała czwórka dość szybko zdechła. Ostatnią żywą wilczycę workowatą Churchill złapał w skrzynkową pułapkę, z kawałkiem mięsa jako przynętą, daleko za miejscowością Tyenna. Spętaną wilczycę, którą uważano za wilka, przewiózł na grzbiecie konia jucznego do Tyenny, a stamtąd przewieziono ją w klatce, koleją, do Hobart. W zoo nazwano ją Beniaminem.

Krótko po umieszczeniu wilczycy w klatce sfilmował ją z bliska David Fleay. Wilczyca nie była tym zachwycona i ugryzła filmowca w łydkę. Rozeźlony Fleay nawet nie zdawał sobie sprawy, jakiego dostąpił zaszczytu – jest ostatnim człowiekiem ugryzionym przez workowatego wilka tasmańskiego.

W zoo w Hobart Beniamin trafił do klatki o wymiarach 8 na 4 m, na końcu ogrodu, za domkiem kuratora, naprzeciw zagrody z pospolitymi kangurami i europejskimi jeleniami. Wilczycę o 10.00 pracownicy zoo wypędzać powinni na wybieg, zaś po 16.00 mają wpuszczać ją do zamykanej nory, szerokiej na 1 m, długiej na 3 m. Dla zwierzęcia trwanie przez 6 godzin na otwartym terenie, na

oczach publiczności, pod palącymi promieniami słońca, to prawdziwa męczarnia. Ale to nie wszystko. Ekonomiczny kryzys sprawił, że wydział finansowy Hobart zwolnił wszystkich fachowych pracowników zoo i na ich miejsce zatrudnił mężczyzn, którzy za prawo do zasiłku mają obowiązek wykonywania prac publicznych. Żadnego z nich nie interesuje los zwierząt. Bardzo często tym przypadkowym pracownikom nie chce się otwierać na noc drzwi do schronienia wilczycy i zostaje ona pod gołym niebem. A zimy potrafią być w Hobart nawet mroźne.

Dobrym duchem ogrodu zoologicznego w Hobart byli do niedawna Arthur i Alison Reid, kurator zoo i jego dorosła córka. Mieszkali w domu koło klatki wilczycy. Słysząc wycie pozostawionych na noc zwierząt, Arthur i Alison zawsze wychodzili ze swego domku i otwierali im drzwi do schroniska.

Ale Beniamin nie może już doświadczać życzliwości Reidów. Przed 6 laty kurator usłyszał hałasy na terenie zoo i nakrył złodzieja rzadkich ptaków, niejakiego Fishera z Battery Point. Podczas bójki Fisher uszkodził Reidowi lewe oko. Wdał się nowotwór i, mimo wyłuskania gałki ocznej, stan zdrowia Fishera pogarszał się. W grudniu zeszłego roku kurator zmarł.

Jego córka przejęła obowiązki. Choć jednak przez 12 miesięcy pracowała wzorowo (i za połowę pensji ojca), departament finansowy rady miejskiej Hobart nie mógł ścierpieć, że kobieta może zajmować jakieś kierownicze stanowisko. Nowy superintendent Bruce Lipscomb, który stanowisko przejął po swym ojcu (a ten po swym ojcu), zaprotestował – nie godzi się, by córka przejęła stanowisko po ojcu, to pachnie nepotyzmem! Lipscomb okazał się nie tylko obłudnikiem, ale i zwykłym draniem. Najpierw pozbawił Alison Reid pensji i wykorzystując jej fatalną sytuację życiową, zmusił do pracy w zoo tylko za bezpłatne użyczenie

domku obok klatki Beniamina. Pozbawiona pensji Alison głodowała wraz ze swą matką, ale nadal wzorowo opiekowała się zwierzętami. Nie mogąc znieść rozpaczliwego wycia workowatej wilczycy i innych zwierząt, pozostawianych przez zdemoralizowanych pracowników na noc pod gołym niebem, panna Reid wielokrotnie prosiła superintendenta Lipscomba o zestaw kluczy do klatek, by sama mogła otworzyć zwierzętom ich nocne kryjówki. Klucze te miał jej ojciec, ale pannie Alison je odebrano – kobieta nie jest przecież godna posiadać symbolu władzy, jakim jest pęk kluczy.

Lipscombe odmówił jej dostępu do klatek. Nie może przecież być tak, że kobieta pokazuje, iż pełni swe obowiązki staranniej od mężczyzn. Alison odwołała się do burmistrza Hobart, ale i on uznał za niedopuszczalne przyznanie, że kobieta może być lepszym pracownikiem niż mężczyźni. Kluczy nie dostała.

We wrześniu Lipscombe wyrzucił pannę Reid i jej matkę z domku.

Wilczyca straciła w zoo ostatniego protektora.

O 15.00 pracownik zoo rzuca do klatki wilczycy kawał mięsa. Godzinę później nie chce już mu się fatygować i otwierać drzwi do nocnej kryjówki. Beniamin rozpaczliwe wyje z zimna. Nikt nie reaguje.

Rano robotnicy chcą przepędzić wilczycę do jej nory, by zamieść brudny wybieg. Zwierzę nie reaguje na szturchnięcia. Na świecie nie ma już wilków workowatych.

Wilk workowaty (*Thylacinus cynocephalus*)

8 września 1514 ▪ wtorek

Ja to wam namaluję!

Dziesiątki pochodni i płonących beczek ze smołą rzucają migotliwe blaski na czarne wartkie wody Dniepru. Mija właśnie północ. W ciemnościach ledwo tylko rozjaśnionych pełgającymi światełkami uwija się kilkuset mężczyzn. Jedni toczą puste beczki po wodzie pitnej, piwie i winie, inni sprawdzają szczelność szpuntów, wiążą beczki linami. To szancchłopi, żołnierze polskiej armii przeznaczeni do budowy i naprawy umocnień, dróg, mostów. Najtrudniejsze zadanie mają ci z nich, którzy w ciemnościach opuszczają do wody pęta powiązanych ze sobą beczek i wzdłuż przeciągniętych przez szeroką rzekę lin wiążą je w coraz dłuższy, coraz bliższy drugiemu brzegowi pływający jęzor. Obok, w podobnym tempie, powstaje drugi jęzor pustych, powiązanych beczek. Połączona armia polsko-litewska, idąc na wschód, w stronę litewskiego Smoleńska, zajętego przez wojska moskiewskiego władcy Wasyla III, nie wyrzucała opróżnionych beczek. Teraz postają z nich cuda wojskowej techniki, 2 mosty beczkowe. Wymyślił je i zaprojektował Jan Baszta, mieszczanin z Żywca. Szancchłopi na długich jęzorach beczek pospiesznie układają w poprzek i także wiążą linami solidne drewniane bale.

Nocy zostało już niewiele, gdy oba mosty wreszcie spinają brzegi Dniepru. Gdzieś niedaleko, w ciemnościach, czai się potężna 50-tysięczna armia moskiewska. Tuż po zapadnięciu zmroku na wschodni brzeg przeprawił się wpław silny oddział polskiej jazdy wyposażonej w łuki i przez całą noc ubezpiecza on prace inżynieryjne. Gdyby jednak moskiewskie pułki uderzyły, zmiotłyby Polaków do rzeki.

Nocną ciszę zakłócają tylko stłumione odgłosy budowy mostów.

Przed 2 laty moskiewski władca Wasyl III uderzył na Litwę. Jego celem było zdobycie Smoleńska, wielkiego, świetnie ufortyfikowanego miasta o ogromnym znaczeniu strategicznym.

Pierwsze uderzenia na Smoleńsk obrońcy odparli, ale przed miesiącem, po 2-miesięcznym oblężeniu, wojska moskiewskie pod Wasylem III wkroczyły do miasta. Odsiecz polsko-litewska spóźniła się i z armią moskiewską spotkała się na zachód od Smoleńska, oddzielona od niej łukiem Dniepru nieopodal miasta Orsza.

Świta. W szarzejących ciemnościach dostrzec można stłoczone nad brzegiem, nieopodal wjazdu na beczkowe mosty, ogromne masy jazdy, piechoty, liczne armaty. To 35-tysięczna armia polsko-litewska czeka na sygnał do rozpoczęcia przeprawy.

Wśród żołnierzy uwija się brodaty, niestary mężczyzna w czarnym kubraku, czarnej czapce, jasnych, obcisłych rajtuzach i czarnych, niskich butach. Nie ma broni. To mistrz z Niemiec, nadworny malarz Jego Królewskiej Mości Zygmunta I Starego. Król wysłał go na wielką wojnę z moskiewską Rusią, by namalował najważniejszą i, da Bóg, zwycięską bitwę.

Mistrz dostrzega na niewielkim wzniesieniu na zachodnim, zajętym przez polską armię brzegu, pod samotną, potężną sosną, grupkę kilku jeźdźców. Starszy mężczyzna z rozłożystą siwą brodą, w czerwonej szacie i złotolitym czepcu na głowie to wódz polsko-litewskiej armii, hetman litewski, książę Konstanty Ostrogski.

Hetman daje znak, umyślni pędzą do czekających oddziałów.

Jazda ostrożnie wjeżdża w wody Dniepru w miejscu, gdzie wczoraj wysondowano bród. Husarskie konie parskają i powoli prą naprzód. W świetle poranka lśnią napierśniki rycerskich zbroi i rozmaitego typu hełmy, pomiędzy którymi nie brakuje pysznych, zdobnych czapek.

Na mosty wkracza piechota. Żołnierze idą w rzadkim szyku. Mosty są chybotliwe, niebezpieczne. Nie mają barierek. Kiedy przetaczają się przez nie armaty, beczki pod nimi zanurzają się głębiej i nawierzchnia z belek mocno ugina się. Armaty ciągną sami

artylerzyści. Na kołyszących się mostach konie z pewnością by się spłoszyły i poleciały wraz armatami w wody Dniepru.

Wczoraj polska jazda manewrowała tuż pod nosem rozłożonej na naddnieprzańskiej wysoczyźnie przeważającej armii moskiewskiej dowodzonej przez Wasylowego koniuszego Iwana Andriejewicza Czeladnina. Ta demonstracja miała go przekonać, że przeprawa mieć będzie miejsce przed frontem jego oddziałów.

Czeladnin nie dał się wywieść w pole. Gdy oddziały polskie wychodzą na wschodni brzeg Dniepru, dowódcy z otoczenia moskiewskiego wodza przekonują go, by uderzyć na nieprzygotowane do walki oddziały Ostrogskiego. Ale Czeladnin odmawia: „Jeśli pobijemy tę część wojska, z którą następnie połączą się dalsze oddziały, zagrozi nam większe niebezpieczeństwo. Zaczekajmy więc do czasu, póki nie przejdą wszystkie siły. My posiadamy dostatecznie wielkie siły i bez trudu możemy znieść to wojsko albo okrążyć je i pognać do Moskwy jak bydło. A po zwycięstwie możemy zająć całą Litwę".

Nie ma w tym za grosz sensu, mnóstwo za to pychy. Czeladnin nie jest dobrym dowódcą, nie pojmuje, że trzeba korzystać z okazji, gdy polskie oddziały są stłoczone i pomieszane, nie pojmuje, że liczebna przewaga jego sił może niewiele znaczyć wobec lepiej wyszkolonej i wyposażonej armii hetmana Ostrogskiego.

Moskiewskie pułki zostają na swych pozycjach.

Dochodzi 9.00. Lwia część polsko-litewskich sił jest już na wschodnim brzegu.

Jeśli przed oblicze króla ma trafić obraz bitwy akuratnie przedstawiający najważniejsze jej epizody, artysta powinien je sam zobaczyć, a nie zdawać się tylko na opowieści rycerstwa po walce. Mistrz przechodzi z piechurami po moście na wschodni brzeg. Zostaje jednak nad Dnieprem ukryty w gęstej kępie nadbrzeżnych

krzaków. Nie ma co przesadzać. Od bicia Moskali są żołnierze, artysta ma tylko obserwować. A stąd akurat widok jest całkiem niezły.

Polskie i litewskie wojska stoją na wschodnim brzegu rzeki, w głębokim, przypominającym worek zakolu rzeki. Hetman Ostrogski natychmiast po zakończeniu przeprawy wydaje rozkazy, jak ustawić się do bitwy. Obok litewskiego hufca jazdy pod osobistym dowództwem Ostrogskiego staje polski hufiec czelny pod hetmanem nadwornym Wojciechem Sempolińskim. Między obiema formacjami jazdy Ostrogski umieszcza część piechoty. Siły główne, czyli hufce walne, ustawiają się z tyłu: litewski pod wojewodą kijowskim Jerzym Radziwiłłem, zwanym Herkulesem, polski zaś pod starostą trembowelskim Januszem Świerczowskim. Ukryty w krzakach mistrz z daleka rozpoznaje Herkulesa po pięknej zielonej wysokiej czapce.

Resztę piechoty oraz artylerię hetman Ostrogski poleca skrycie przesunąć hen, aż za prawe skrzydło polskiej jazdy. Manewr udaje się doskonale – ukrytych w laskach i gęstych zaroślach polskich armat i piechurów przeciwnik w ogóle nie zauważa.

Czeladnin swą armię rozstawił bez polotu: w pierwszej linii Pułk Straży Przedniej, w tyle, na prawym skrzydle, pod wsią Pugajłowo, Pułk Prawej Ręki, na skrzydle lewym zaś, przed wioszczyną Ruklino, Pułk Lewej Ręki. W centrum stanął Pułk Wielki. Odwód, zwany w moskiewskiej armii Pułkiem Zasadzki, Czeladnin rozlokował z tyłu, na wzgórzu. Tam też sam stanął ze swymi przybocznymi.

Przed linie wojsk występują harcownicy. Niewielkie oddziałki doskakują do siebie i odskakują niczym psy. Nic zasadniczego z tych starć nie wynika.

Dochodzi południe. Czeladnin postanawia wreszcie uderzyć. Jego plan jest tak prosty jak ustawienie jego wojsk. Chce oskrzydlić

przeciwnika i zepchnąć go na zachód, prosto w fale Dniepru. Jeśliby manewr ten powiódł się, polsko-litewską armię czeka nie klęska, ale wręcz zagłada.

Jako pierwszy uderza moskiewski Pułk Prawej Ręki. Ma rozbić litewską jazdę posiłkową i oskrzydlić siły polsko-litewskie. Hetman Ostrogski nie daje się zaskoczyć. Rozkazuje hetmanowi Sempolińskiemu uderzyć na lewe skrzydło nacierającego Pułku Lewej Ręki. Ciężka jazda polskiego hufca czelnego pędzi z łomotem przed czołem hufca litewskiego i z ogromnym impetem uderza w szyk jazdy moskiewskiej. Pękają kopie, w ruch idą miecze, szable i koncerze. Moskwianie walczą zażarcie, nie oddają pola ani trzymającym się twardo Litwinom, ani napierającym Polakom. Pułk Prawej Ręki jest liczniejszy od atakujących go rycerzy Sempolińskiego i lekkiej jazdy litewskiej. Jagiellońska jazda zaczyna się cofać.

Co gorsza, na drugim skrzydle uderza Pułk Lewej Ręki. Tam jednak Polacy radzą sobie o wiele lepiej i w pierwszym starciu zatrzymują jazdę Moskwian. Widząc to, hetman Ostrogski rzuca do walki litewski hufiec czelny. Pułk Prawej Ręki nie wytrzymuje i cofa się w nieładzie.

Carski wódz z zadowoleniem patrzy ze wzniesienia na pole bitwy. Wydaje mu się, że częścią swych sił związał w walce wszystkie formacje hetmana Ostrogskiego; teraz może uderzyć głównymi siłami i rozgromić wojska jagiellońskie.

Ale Ostrogski ma jeszcze asa w rękawie. Polska jazda bijąca Pułk Lewej Ręki nagle wpada w panikę i w kompletnym chaosie salwuje się ucieczką. Czeladnin już czuje smak zwycięstwa – rzuca na rejterujących Pułk Wielki. Pułk Lewej Ręki odzyskuje animusz i także pędzi za umykającymi polskimi rycerzami. Pędzi, jak

przewidział to hetman Ostrogski, szerokim łukiem. I wpada pod laskiem wprost na lufy ukrytych tam polskich armat.

Straszliwy huk, błyski, chmura dymu płoszą moskiewskie, nienawykłe do strzelaniny konie. Kule żłobią krwawe bruzdy w moskiewskich szykach. Ogarnięty paniką Pułk Lewej Ręki wpada na atakujący tuż obok Pułk Wielki. Najgroźniejsze formacje Czeladnina zamieniają się w kupę spanikowanych, szalejących koni i ludzi.

W krzakach na wzniesieniu nad brzegiem Dniepru mistrz z zapartym tchem obserwuje pole walki. Na szczęście teren bitwy jest wilgotny i bitewny kurz nie przesłania walczących. Widać wszystko, nawet tęgą łysinę hetmana Ostrogskiego, kierującego pościgiem za rozbitym Pułkiem Wielkim. W bitewnym zamęcie hetman zgubił gdzieś swój złotolity czepiec. Ucieczka polskiej jazdy była tylko zapożyczonym od Tatarów podstępnym manewrem. Teraz rzekomi uciekinierzy wracają w najlepszym porządku i gromią jazdę moskiewską.

Mistrz dostrzega jednak, że bitwa wcale nie jest skończona. Czeladnin nie opuszcza rąk. Zbiera rezerwowe pułki straży przedniej, sam staje na ich czele i uderza na prawe skrzydło wojsk koronnych. Litewski hufiec walny pod Herkulesem Radziwiłłem i część koronnego hufca walnego pod dowódcą polskich kopijników Świerczowskim zwartą szarżą rozbijają luźny szyk jazdy moskiewskiej. Dochodzi 18.00, gdy jest już po bitwie. Czeladnin idzie do niewoli, za moskiewskimi uciekinierami rusza lekka jazda litewska i polska. Nikt nie daje pardonu, bezbronnych uciekinierów rżnie się bez litości.

Mistrz opuszcza swą kępę krzaków. Pora obejrzeć pole bitwy, porozrzucaną wszędzie broń, zbroje i szaty na ciałach poległych wojowników. Kiedyś trzeba będzie to namalować.

9 września 1901 ▪ poniedziałek

Polowanie na muchy

Chory leży w zaciemnionej sypialni niewielkiej, zgrabnej rezydencji wiejskiej Malrome, własności jego matki Adèle. Jest wychudzony, wręcz wyniszczony. Jego jeszcze niedawno okrągła, obrzmiała twarz, z charakterystycznymi, nienaturalnie rozszerzonymi nozdrzami, z dziwnie grubymi, wywiniętymi wargami, których nie były w stanie przysłonić wąsy i czarna broda, teraz jest wymizerowana, wyciągnięta. Krótkie, za to bardzo grube ramiona, wielkie dłonie i przypominające kiełbaski palce schudły i już nie rzucają się tak w oczy. Pościel skrywa najdotkliwszą deformację ciała chorego – krótkie, słabe, powykręcane nogi, szczególnie rażące w zestawieniu z normalnej wielkości korpusem.

Spoczywający w łóżku wiejskiej rezydencji matki karłowaty 35-letni mężczyzna to Henri Marie Raymond Montfa wicehrabia de Toulouse-Lautrec. Pochodzi z bocznej gałęzi jednego z najstarszych i najświetniejszych rodów Francji – hrabiów Tuluzy. We wczesnym średniowieczu swą potęgą byli równi królom Francji. Ich włości obejmowały m.in. Langwedocję i Prowansję, a oni sami zapisali się w kartach historii Francji, Europy, chrześcijaństwa. Rajmund z St. Gilles, hrabia Tuluzy, był jednym z wodzów pierwszej krucjaty do Ziemi Świętej. Jego rycerze jako pierwsi w lipcu 1099 roku zaatakowali mury Jerozolimy. Po zwycięskim szturmie krzyżowców Rajmund przyjął kapitulację wodza muzułmańskich obrońców Świętego Miasta Iftichara al-Dauli. Inny z hrabiów Tuluzy, Rajmund VI, stał się w tym czasie w swych włościach na południu Francji protektorem heretyckich katarów i jednym z głównych aktorów okrutnych wojen religijnych. Niemal 100 lat po zdobyciu

Jerozolimy langwedoccy hrabiowie de Toulouse połączyli się z innym wybitnym rodem de Lautrec. Z tej gałęzi wywodzi się w prostej linii wicehrabia Henri.

Imponujące rodowe dziedzictwo było w jego przypadku powodem do dumy i zarazem źródłem kalectwa. Jego arystokratyczni rodzice, Adèle i Alphonse, są ciotecznym rodzeństwem. Tak bliskie pokrewieństwo małżonków jest wśród starej arystokracji francuskiej nierzadkie – zapobiega rozpraszaniu majątków ziemskich, przejmowaniu rodowych gniazd przez obcych. Kościół chętnie przymyka oko na takie mariaże. Ale praktyka ta ma swoją cenę. W pokoleniu Henriego, w rodzinie de Toulouse-Lautrec, są jeszcze 2 młode osoby dotknięte podobnym upośledzeniem genetycznym, przejawiającym się w dzieciństwie bólami stawów, kości oraz zębów, coraz silniej uciskanych przez nieprawidłowo rozwijające się kości w rejonie zatok. U Henriego choroba powodowała zahamowanie rozwoju zakończeń kości kończyn. Ręce i nogi, wyraźnie zbyt krótkie w stosunku do korpusu, choć masywne, pozostały zdeformowane i słabe. W dzieciństwie Henri dwukrotnie, w odstępie roku, doznał poważnych złamań kości udowych obu nóg. Okres dojrzewania przyniósł kolejne zmiany w wyglądzie nieszczęsnego wicehrabiego – usta i nos rozrosły się karykaturalnie. Odtąd z wywiniętej dolnej wargi Henriego nieustannie miała się sączyć strużka śliny. Jakby tego było mało, słaby wzrok wymagał odeń noszenia *pince-nez*.

Przy łożu chorego czuwa jego matka Adele. Jest przy nim od 3 tygodni, od chwili gdy wyniszczony syn wreszcie dojechał do jej domostwa. Opiekuje się Henrim i nieustannie modli się za niego. Jak zawsze.

Adèle z domu Imbert du Bosc wniosła w małżeństwo z Alphonse de Toulouse-Lautrekiem spore kapitały, pozwalające mężowi żyć na

wysokiej stopie i zaspokajać kosztowne zachcianki, ale w zamian otrzymała bardzo mało. Alphonse, jak większość mężczyzn ze swego rodu, był niesamowitym snobem, nieodpowiedzialnym dziwakiem, który uważał, że z racji wielkiego nazwiska niemal wszystko mu wolno, a w szczególności wolno mu spędzać całe życie na polowaniach. Przy tym zaś był mężczyzną wielce witalnym, niepozbawionym artystycznych talentów.

W tydzień po ślubie Alphonse wyjechał do Paryża. Tam, na bankiecie w restauracji, zagadnął go znajomy, prosząc o przedstawienie świeżo poślubionej Adèle. Alphonse zbladł i wykrzyknął: „O Boże, muszę natychmiast wracać! Na śmierć zapomniałem, że się ożeniłem!". I tak już miało być w tym niedobranym, nieszczęśliwym małżeństwie. Pan de Toulouse-Lautrec mieszkał sam w leśnych dworach i pałacykach, nieustannie polując i uwodząc dziewczęta niższego stanu. Do małżeńskich pieleszy wpadał bardzo rzadko, z reguły po miesiącach nieobecności, tylko po to by apodyktycznie wydać mnóstwo nietrafnych poleceń i natychmiast wracać do swych psów, koni, naganiaczy i stajennych. Wyjąwszy krótki okres, gdy u małego Henriego ujawniła się choroba i ojciec stanął u boku matki, by wspólnie leczyć i opiekować się synem, Alphonse był nieobecny w jego życiu.

W tej trudnej, upokarzającej sytuacji Adèle pociechę i sens życia znalazła w dewocji i opiece nad Henrim. Jej zaborcza miłość była tym łatwiejsza, że kaleki chłopiec nie uskarżał się na swój los. Mimo dzieciństwa naznaczonego nieustannymi bólami i zwracającą powszechną uwagę ułomnością, mimo tygodni i miesięcy spędzanych w łóżku lub w zamknięciu zakładów leczniczych Henri swe cierpienie maskował żartem, autoironią. Wybitnie inteligentny,

refleksyjny, od najmłodszych lat jednał ludzi serdecznością, czułym zrozumieniem dla cierpienia innych.

Szybko okazało się, że Henri jest także uzdolniony plastycznie. Nauka rysunku pod okiem utalentowanego wuja była dlań ucieczką od bólu i ograniczeń życia naznaczonego kalectwem; malarskie studia w Paryżu, w prywatnych klasach Bonnata i Cormona, okazały się drogą do samodzielnego życia, z dala od wszechobecnej kontroli matki. Na końcu tej drogi pojawił się karłowaty, ze zniekształconym ciałem artysta, król paryskiego Montmartre'u, który po odłożeniu palety przebierał się w malutkie, starannie wyprasowane spodnie, nienaganną koszulę, kamizelkę, surdut i melonik. Czas dzielił między malowanie i bankietowanie w knajpach Montmartre'u. Przyciągał skrzącym się dowcipem, niewyczerpaną energią w przewodzeniu kółku przyjaciół malarzy, brzydotą kontrastującą z jego wewnętrznym ciepłem i wrażliwością.

Rodzice zgodnie uznali jego życie za haniebny skandal. Adèle mimo to, jak potrafiła, wspierała i finansowała syna. Alphonse zabronił mu podpisywania obrazów nazwiskiem Toulouse-Lautrec, a w końcu ostentacyjnie sprzedał rodową siedzibę i w ten symboliczny sposób wydziedziczył swego jedynego żyjącego syna.

Podczas nauki u Bonnata Henri cały zanurzył się w malarstwie akademickim. Na nowinki impresjonistów nawet nie chciał patrzeć. Ale niezwykły talent i otwartość na artystyczne osiągnięcia innych sprawiły, że szybko przyswoił niektóre osiągnięcia uwielbianych przez siebie Degasa, Foraina i innych twórców; uprościł formy malarskie, wyrazistą plamę barwną ograniczał wyraźnym ciemnym konturem. Tworzył zachłannie, niemal w każdej chwili. W swych obrazach olejnych, akwarelach, pastelach, rysunkach portretował sceny i postacie z paryskich kawiarń, kabaretów, wyścigów

konnych, domów publicznych, szpitali, sal sądowych. Nie jest artystą niedocenionym, choć mimo nieustannej finansowej pomocy matki całe życie tonął w długach. Antreprenerzy i wydawcy chętnie zamawiali projekty plakatów, od niedawna zaś obrazy znajdują nabywców płacących przyzwoite ceny.

Ale to już nie ma znaczenia. Henri umiera. Od lat pił jak smok, codziennie, bez przerwy. Najważniejszym meblem w jego mieszkaniach i pracowniach zawsze był wielki stół zastawiony lasem butelek i szklanek. Wszystko dlań było godne wchłonięcia: toksyczny absynt, nowinkarskie amerykańskie koktajle, wino, piwo, brandy. Picie nakręcało go w życiu, w twórczości i łagodziło cierpienia kaleki, także to najboleśniejsze – niemożność założenia normalnej rodziny. Szybko stał się bywalcem paryskich burdeli, w których szukał drobnych męskich przyjemności i tematów do obrazów. Pijaństwo i kiła, skutek wizyt w domach publicznych, doprowadziły Henriego do fizycznej degrengolady: ostatnio cierpiał na krwotoki z nosa, dopadły go ciężkie wylewy. Po drugim, sprzed 3 tygodni, jego stan gwałtownie się pogorszył i Henri pojechał do domu matki. Nie miał złudzeń, wiedział, że jedzie tam umrzeć.

Bezwładny po ostatnim wylewie Henri rzadko budzi się z letargu. Ma trudności z oddychaniem. Na widok kuzynów Gabriela Louisa i Josepha Pascala, przyjaciół z dzieciństwa, mówi z wysiłkiem: „Diabelnie ciężko się umiera".

O 22.00 do Malrome przyjeżdża Alphonse de Toulouse-Lautrec. Na jego widok Henri mówi: „Dobrze, papo, wiedziałem, że zechcesz być obecny przy dobiciu zwierzyny".

Adèle modli się przy łóżku.

Przychodzi ksiądz z ostatnim namaszczeniem. Gdy kapłan opuszcza sypialnię, Alphonse, chcąc wreszcie zrobić coś dla syna, nieoczekiwanie proponuje, by obciąć mu brodę. Na widok konfuzji

Adèle i najbliższych tłumaczy bez sensu, że taki zwyczaj obowiązuje w krajach arabskich. Wreszcie daje sobie spokój. Nie potrafi jednak usiedzieć spokojnie. Wyciąga z butów gumki, które zastępują mu sznurowadła, i strzela z nich do przelatujących much. Henri z wysiłkiem mówi do Gabriela Pascala: „Stary dureń".

Więcej mówić nie ma już sił. Po północy robi się bardzo duszno i Henri oddycha coraz ciężej. Przychodzi zakonnica i razem z Adèle odmawiają różaniec. Henri umiera o 2.15.

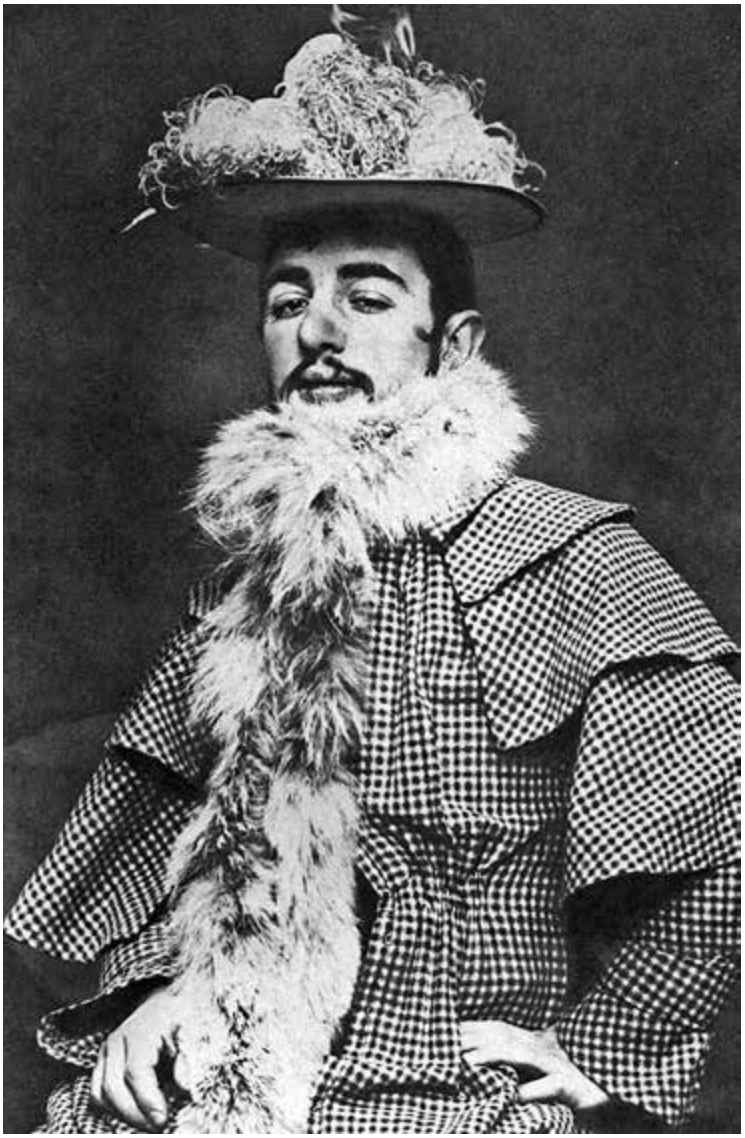

Henri de Toulouse-Lautrec

10 września 1930 ▪ środa

Droga do Brześcia

Kwadrans przed północą Wincenty Witos żegna się na peronie z odprowadzającym go, znajomym zarządcą bufetu na krakowskim dworcu Tadeuszem Lubelskim. Wsiada do wagonu 3. klasy. Witos kładzie się na drewnianej ławce, pod głowę wsuwa teczkę. Pociąg z Krakowa do Tarnowa rusza o 23.50. Gdy wjeżdża na most na Wiśle, do przedziału wchodzi komisarz policji w towarzystwie tajniaka, policjanta i żandarma wojskowego. Tajniak każe Witosowi wstać. Były premier odmawia. Tajniak grozi, że użyje siły. Gdy Witos wstaje, policjanci i żandarm rewidują go. Zabierają teczkę, portfel, scyzoryk, zegarek i prywatne listy znalezione w kieszeni. O północy na stacji w Podgórzu policjanci wysiadają i pakują Witosa do czekającego tam samochodu.

Zaczyna się przygotowywana od dawna na polecenie Marszałka Józefa Piłsudskiego akcja pacyfikacji i zastraszenia partii opozycyjnych. W maju, za pomocą nieczystego triku, władze nie dopuściły do otwarcia sesji sejmowej, na której miała być omawiana sprawa kompromitującej obóz sanacyjny defraudacji 8 mln zł z państwowej kasy na fundusz wyborczy BBWR. Opozycyjny Centrolew odpowiedział w czerwcu wielkim kongresem w obronie prawa i wolności. W sierpniu Piłsudski stanął na czele rządu i doprowadził do rozwiązania Sejmu. Byłych posłów przestał chronić parlamentarny immunitet. Listę exparlamentarzystów, którzy mieli być uwięzieni, układał osobiście sam Marszałek. Aresztowania mają być przeprowadzone bez nakazu sądu, jedynie na podstawie polecenia ministra spraw

wewnętrznych gen. Składkowskiego, wystawionego bez daty i bez podania przyczyn.

Kolejnym złamaniem prawa jest miejsce uwięzienia cywilnych polityków – w więzieniu wojskowym, w twierdzy w Brześciu nad Bugiem.

O 3.00 do hotelu sejmowego przy Wiejskiej wkracza kilku policjantów i żandarmów. Portier prowadzi ich na 4. piętro i wskazuje pokój zajmowany przez byłego posła PPS Norberta Barlickiego. Policjant dobija się do drzwi. Barlicki przytomnie rygluje drzwi hotelowymi meblami, otwiera okno i krzyczy na całe gardło: „Ratunku! Na pomoc! Napad!". Policjanci drą się pod drzwiami: „Otwierać! Policja!". W końcu aresztują go i sprowadzają do samochodu.

W tym samym czasie 2 inne ekipy policyjne aresztują w hotelu sejmowym byłych posłów PSL „Wyzwolenie": Kazimierza Bagińskiego i Józefa Putka. Obaj zostają aresztowani i wyprowadzeni do samochodu.

Przed kamienicą nr 22 w warszawskich Alejach Ujazdowskich z samochodu osobowego wysiadają 3 umundurowani mężczyźni. Budzą dozorcę kamienicy i każą prowadzić się do mieszkania byłego posła PPS Hermana Libermana. Wyrwana ze snu służąca szarpie śpiącego Libermana: „Proszę pana, policja żąda wpuszczenia jej!". „A kto jest z policją?" – pyta gospodarz. „Jest dozorca". „No to ich wpuść".

Do sypialni byłego posła błyskawicznie wdziera się komisarz policji, a za nim policjant uzbrojony w karabin z nasadzonym bagnetem oraz żandarm wojskowy. „Czy to pan Liberman?" Gospodarz przytakuje, ale komisarz każe wejść do sypialni stróżowi i potwierdzić tożsamość leżącego. Dopiero wtedy oznajmia, że były poseł jest aresztowany. Liberman żąda, by pokazano mu

odpowiednie dokumenty. Komisarz macha mu przed nosem nakazem aresztowania podpisanym przez ministra spraw wewnętrznych gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego, ale ręką zakrywa górną część kartki, na której znajduje się jego własne nazwisko. Zapytany przez Libermana, jak się nazywa, w odpowiedzi stwierdza sucho: „Ma pan 10 minut na ubranie się". „A co się stanie, jeśli będę ubierał się 11 minut?" – pyta Lieberman. „Zobaczy pan, co się stanie".

Przy wyjściu każe byłemu posłowi zabrać przybory toaletowe i ciepły płaszcz. Liberman tylko macha ręką. Jest przekonany, że Piłsudski właśnie dokonał drugiego, po majowym, zamachu stanu i że tym razem Marszałek nie cofnie się przed krwawą rozprawą z opozycją. Choć jest pewien, że przed świtem przyjdzie mu stanąć przed plutonem egzekucyjnym, Liberman spokojnie żegna się z domownikami. Przed bramą policjanci tworzą gęsty szpaler aż do nieoznakowanego samochodu. Gdy auto rusza, z domu ukradkiem wymyka się Szczepan Gozdek, mąż służącej Libermana, a przy tym członek PPS. Jakimś cudem łapie taksówkę i rusza za samochodem policyjnym. Po minięciu paru przecznic komisarz dostrzega jednak taksówkę. Zatrzymuje samochód, razem z policjantem uzbrojonym w karabin wyciągają Gozdka z taksówki i na środku ulicy biją do nieprzytomności.

Także o 3.00 ktoś dzwoni do mieszkania byłego posła Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast" Władysława Kiernika, przy ul. Przekop 2.

Komisarz policji, 2 policjanci w mundurach, żandarm i jakiś cywil odsuwają służącą i wchodzą do sypialni gospodarza. Komisarz oświadcza byłemu posłowi, że jest aresztowany. Kiernik nie chce wstać z łóżka, tłumaczy, że ma 38 stopni gorączki. Zza pleców

komisarza wysuwa się nieznany cywil, pobieżnie bada leżącego i oświadcza, że chory nadaje się do podróży.

W Tarnowie policja zjawia się w domu przy ul. Matejki, w którym mieszka były poseł PPS Adam Ciołkosz, także punktualnie o 3.00. Żona Lidia wyjaśnia, że mąż wyszedł i jeszcze nie wrócił. Ekipa policyjna wzywa posiłki. Mundurowi otaczają szczelnym kordonem kamienicę, po czym zaczynają skrupulatnie rewidować piwnice, strychy i mieszkania pozostałych lokatorów domu. W trakcie rewizji wraca Adam Ciołkosz. Policja natychmiast aresztuje go i wsadza do samochodu osobowego z zasłoniętymi numerami rejestracyjnymi.

Herman Liberman ukradkiem spogląda przez szparę w opuszczonych roletach policyjnego samochodu: w świetle latarń dostrzega na ulicach Warszawy dziesiątki patroli policyjnych uzbrojonych w karabiny. Samochód wyjeżdża z miasta. Jest już jasno, gdy komisarz poleca zatrzymać się. Eskorta wysiada. Po dłuższej chwili policjant każe wysiąść aresztowanemu i iść w stronę lasu. Liberman odmawia, ale policjant szturcha go kolbą w plecy. W głębi lasu stoją komisarz i żandarm. Liberman dostrzega obok nich niewielką pryzmę wykopanej ziemi. Czuje, że to jego ostatnie chwile, ale stara się mówić spokojnie: „Panie komisarzu, pańskim obowiązkiem jest wykonać rozkaz gen. Składkowskiego i zawieźć mnie na miejsce przeznaczenia, a chyba nie do tego lasu". Komisarz doskakuje do niego i uderza z całej siły w kark. Liberman pada jak rażony na ziemię. Żandarm zdziera z niego płaszcz, okręca wokół jego głowy i dociska ją do ziemi. Komisarz ściąga z ofiary ubranie. Żandarm bije Libermana metalowym prętem przy akompaniamencie okrzyków komisarza: „Niech żyje Józef Piłsudski! Piłsudski przelewał za nas krew swoją, a ty będziesz oskarżał go przed Trybunałem Stanu. Zdechniesz i zaraz cię zakopiemy!".

Policjant z żandarmem ubierają nieprzytomnego, zakrwawionego posła i wloką do samochodu.

Samochód z Wincentym Witosem jedzie przez całą noc z Krakowa w stronę Warszawy. Mgła opóźnia podróż. Przed Warszawą auto skręca na wschód. Kilka kilometrów przed Brześciem komisarz policji każe zatrzymać się na środku mostu i proponuje aresztowanemu ostatnią przechadzkę, bo za chwilę dojadą do celu – wojskowego więzienia w Brześciu. Witos spaceruje po moście. Przypomina sobie, że już na nim kiedyś był. We wrześniu 1920 roku miejscowa ludność ustawiła na tym moście bramę tryumfalną i witała premiera Witosa po zwycięstwie nad bolszewikami.

O 15.00 samochód wjeżdża do twierdzy brzeskiej i zatrzymuje się przed budynkiem więzienia wojskowego. Były premier dostrzega kilka samochodów przed wejściem i domyśla się, że uwięziono nie tylko jego. Nie wie jednak, że dzisiejszej nocy aresztowano 19 byłych posłów opozycji. Witos postawiony zostaje przed obliczem szefa więzienia płk. Kostka-Biernackiego, sadysty znanego z okrucieństwa w Legionach; lubił na ochotnika wykonywać wyroki śmierci.

Po kolejnej rewizji Witos trafia do celi nr 17. Strażnicy wpychają do niej także młodego człowieka. To były poseł mniejszości ukraińskiej Aleksander Wisłocki. Po krótkiej rozmowie obaj kładą się spać. Nagle wpadają z wrzaskiem strażnik i kapitan żandarmerii: spać nie wolno. Więźniowie muszą natychmiast posłać łóżka. Oficer rozkazuje Witosowi wynieść z celi kubeł pełen ekskrementów. Były premier, kawaler najwyższego polskiego odznaczenia, Orderu Orła Białego, stoi osłupiały. Wisłocki, choć jest politycznym przeciwnikiem Witosa, chwyta kubeł, by oszczędzić szacownemu współwięźniowi upokorzenia. Strażnicy obrzucają go obelgami i zmuszają Witosa, by wyniósł fekalia. W drodze do latryny

eskortują go major i kapitan żandarmerii. Wisłocki musi iść za nimi jako widownia. Co drugi krok żandarm kopie go z tyłu w nogi albo pośladki.

Karol Popiel, były poseł Narodowej Partii Robotniczej, trafia do jednej celi z Hermanem Libermanem. Socjalistyczny poseł jest śmiertelnie blady, ma zawroty głowy. Popiel ostrożnie zdejmuje mu koszulę. Na plecach znajduje 22 rany – większość w okolicy nerek.

O 17.30 w Warszawie rozpoczyna się posiedzenie Rady Ministrów. Przewodniczy Józef Piłsudski. Marszałek wygłasza do ministrów krótkie przemówienie: „Ja walczę z systemem, że były poseł znaczy jeszcze cokolwiek na świecie. Druga rzecz, proszę panów, jest to, że na szczęście panowie prokuratorzy zastosowali ściganie byłych posłów. Co do mnie, też przygotowałem część tej pracy, bo chcę, by byli karani. Nie mogę znieść, by taka banda byłych posłów była niekarana i psuła moralność Polski. Ta bezkarność tego bydła przeklętego psuje całe państwo".

11 września 1933 ▪ poniedziałek

Fatalny lot

Czeski wieśniak sprzątający siano z łąki pod miejscowością Górne Cierlicko, 14 km od czeskiego Cieszyna, słyszy warkot lotniczego silnika. Jest 8.15. Chłop podnosi głowę. Nisko nad ziemią, na wysokości niewiele większej od 100 m, leci mały, jednosilnikowy samolot. Aeroplan to ciągle jeszcze wielka rzadkość, więc szofer przejeżdżającej drogą obok łąki ciężarówki zatrzymuje się i patrzy w niebo zaciągnięte ciężkimi, burzowymi chmurami, którymi targają silne porywy wiatru. Samolot zbliża się. Nagle zaczyna się dziwnie kołysać i po chwili jak kamień leci w dół na zbocze góry Kościelec. Silnik milknie w locie. 2 świadkowie oniemiali patrzą, jak samolot z oderwanym skrzydłem, z wielką prędkością, uderza w rozłożyste drzewo.

Pierwszy do miejsca katastrofy dobiega wieśniak. Drzewo jest całkiem strzaskane, maszyna rozbita. 100 m dalej chłop dostrzega leżące w odległości 15 m od siebie zwłoki dwóch pilotów.

Po chwili dobiega kierowca ciężarówki. Rzuca okiem i pędem wraca do samochodu. Po niespełna kwadransie jest już na posterunku żandarmerii w Cierlicku Dolnym. Czechosłowaccy żandarmi natychmiast ruszają z szoferem w stronę miejsca katastrofy. Pierwszą rzeczą, jaką zauważają, są resztki nietypowych oznaczeń na zmasakrowanym wraku. Zawiadamiają o tym dowódcę czechosłowackiego garnizonu w Cieszynie. Kwadrans później jest

już jasne, że pod Cierlickiem zginęli dwaj najsłynniejsi piloci w Europie: por. Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura.

37-letni por. Żwirko przygodę z lotnictwem zaczął jeszcze w carskiej armii. W 1917 roku został obserwatorem lotniczym, ale po utworzeniu w Rosji korpusu polskiego, natychmiast wstąpił w jego szeregi. Na początku lat 20. ukończył polskie szkoły pilotów i przez kilka lat był oficerem łącznikowym w warszawskim aeroklubie akademickim. Latający studenci uwielbiali go. Niesamowicie opanowany, powściągliwy, delikatny w obejściu, nie miał w sobie krzty wyniosłości typowej dla zawodowych oficerów.

Popularność w Polsce zdobył przed 4 laty, dokonując wraz z inż. Wigurą efektownego przelotu dookoła Europy na maszynie RWD-2. Odtąd Żwirko i Wigura latali zawsze razem. Inż. Wigura był kimś więcej niż tylko znakomitym mechanikiem pokładowym. Wraz z inżynierami Rogalskim i Drzewieckim skonstruował samolot RWD-2, nazwany tak od pierwszych liter ich nazwisk, a później także kolejne jego wersje, na których latał z Wigurą.

W ostatnich latach obaj, na maszynach RWD, zwyciężyli w kilku najważniejszych imprezach lotniczych w kraju. Ale wielką sławę przyniosły im zawody Challenge International de Tourisme, międzynarodowe zawody samolotów sportowych, urządzane co 2 lata pod patronatem Fédération Aéronautique Internationale (FAI, Międzynarodowej Federacji Lotniczej). Od pierwszego Challenge'u w roku 1929, w Paryżu cała Europa z zapartym tchem śledziła wielodniowe zmagania najnowszych konstrukcji lotniczych i najlepszych pilotów.

W 1930 roku challenge'owego rajdu Żwirko i Wigura nie ukończyli. Na skutek defektu silnika musieli przymusowo lądować w Hiszpanii. Ale przed dwoma tygodniami na III Challenge'u, kończącym się w Berlinie, polscy mistrzowie pilotażu na maszynie

RWD-6 do ostatnich minut toczyli pasjonującą walkę z załogą niemiecką. Na oczach kilkudziesięciu tysięcy widzów o włos wyprzedzili faworyzowanych lotników gospodarzy. Na berlińskich błoniach rozbrzmiał *Mazurek Dąbrowskiego*, a do Polski pojechał puchar FAI. Polska oszalała z radości i dumy. Żwirkę i Wigurę podczas tryumfalnego objazdu kraju wszędzie witały tłumy, ich nazwiska długo nie schodziły z pierwszych stron gazet. Zwycięstwo było tym świetniejsze, że lotnictwa niemieckie i włoskie są nieporównanie silniejsze od polskiego.

Żwirko i Wigura stali się medialnymi gwiazdami i nieoficjalnymi ambasadorami polskiego lotnictwa. Ciągle na spotkaniach, ciągle w rozjazdach, ciągle zmęczeni. Mimo znużenia nie odrzucili zaproszenia Aeroklubu Czechosłowacji do wzięcia udziału w międzynarodowym mityngu lotniczym w Pradze.

W Warszawie żona por. Żwirki idzie na poranne nabożeństwo do kościoła Zbawiciela. Pod koniec kazania ks. prałat Nowakowski dostaje od kleryka karteczkę. Przerywa kazanie i ogłasza z ambony, że por. Żwirko i inż. Wigura przed kilkoma kwadransami zginęli śmiercią lotnika.

Późnym rankiem na miejsce katastrofy przyjeżdża dowódca garnizonu czechosłowackiego w Cieszynie i polski konsul z morawskiej Ostrawy. Chłopi z Cierlicka Górnego przewożą ciała pilotów do pobliskiego kościoła. Okoliczna ludność znosi wiązanki polnych kwiatów i wystawia honorowy posterunek przy marach sławnych Polaków. Żwirko i Wigura byli w Czechosłowacji bardzo popularni. Po południu przed kościółkiem stoją już ponad 2 tys. mieszkańców okolic chcących oddać im ostatni hołd.

Na lotnisku w Brnie od rana czeka na Żwirkę i Wigurę kpt. Halewski, lecący na mityng lotniczy w Pradze maszyną RWD-4. Żwirko umówił się tu z Halewskim dziś o godzinie 10.00.

W południe do Brna dochodzi wiadomość o katastrofie. Halewski dostaje samochód od szefa lotniska i jedzie do Cierlicka.

W Warszawie sportowym wydarzeniem dnia jest mecz piłkarski Legii z krakowską Wisłą. Flaga państwowa na stadionie przy Myśliwieckiej opuszczona jest do połowy. Flagi klubowe także. Gracze obu drużyn wybiegają na murawę w koszulach przepasanych czarnymi szarfami. Publiczność i sportowcy minutą ciszy oddają hołd poległym lotnikom.

W Pradze, na wieść o katastrofie, władze natychmiast powołują komisję wojskowych ekspertów lotnictwa i lekarzy. Do Cierlicka dociera ona po południu. Czescy lekarze stwierdzają, że zwłoki inż. Wigury są zupełnie zmasakrowane. Por. Żwirko ma złamaną lewą nogę i lewą rękę oraz rozległe obrażenia wewnętrzne, które spowodowały śmierć. Eksperci dochodzą do wniosku, że samolot musiał wpaść w burzową trąbę powietrzną i stracił zdolność lotu. Gdy stało się jasne, że maszyna uderzy o ziemię, w ostatniej chwili por. Żwirko wyłączył silnik. Zapewne po to by zapobiec wybuchowi paliwa. Czeskich lekarzy zastanawiają obrażenia porucznika, zasadniczo odmienne od obrażeń inż. Wigury. Wysuwają hipotezę, że inż. Wigura, widząc zbliżającą się ziemię, w ostatnich sekundach wyskoczył z samolotu i spadł obok maszyny. Ale tego nie jest w stanie nikt potwierdzić. Szofer i chłop zbierający siano niczego takiego nie zauważyli.

Czescy wojskowi znajdują w szczątkach samolotu portfel inż. Wigury. Są w nim dokumenty osobiste, 500 zł i 10 francuskich franków. W zmiażdżonej walizce por. Żwirki są jego mundur galowy, dokumenty, fotografia żony z dzieckiem i 3 obrazki Matki Boskiej Ostrobramskiej.

O 22.30 z Warszawy bliscy poległych lotników wyjeżdżają pociągiem do Katowic. O 8.00 pojadą dalej, do Cierlicka,

samochodami oddanymi do dyspozycji przez ministra komunikacji.

Na miejscu katastrofy co rusz wybuchają scysje i szarpaniny. Czescy żandarmi na polecenie władz konfiskują aparaty fotoreporterom usiłującym robić zdjęcia rozbitej maszyny. W nocy w Cierlicku honorową wartę przy zwłokach zaciągają żołnierze czeskiego 8. Pułku Piechoty.

Zdjęcie wykonane po katastrofie lotniczej pilotów Żwirki i Wigury

12 września 1943 ▪ niedziela

We trzech w przepaść

Mija 14.00. Benito Mussolini gapi się przez okno pokoju na drugim piętrze hotelu górskiego Campo Imperatore, w którym jest internowany. Nagle widzi osłupiały, że na skrawku łąki przed hotelem ląduje wielki szybowiec z czarnym krzyżem w białej obwódce. Niemcy! Do pokoju Duce wpada dowodzący włoskimi

strażnikami por. Faiola i krzyczy, by natychmiast odsunął się od okna.

1,5 miesiąca wcześniej, po wylądowaniu aliantów na Sycylii, król Włoch Wiktor Emanuel z pomocą włoskich wojskowych i części członków dotychczas posłusznej Mussoliniemu Wielkiej Rady Faszystowskiej obalił reżim Duce. Władzę objął marsz. Pietro Badoglio, Mussolini został aresztowany, miejsce jego uwięzienia było pilnie strzeżoną tajemnicą. Z obawy przed próbą odbicia Duce przez Niemców jego włoscy strażnicy często zmieniali miejsce uwięzienia. Badoglio potajemnie szykuje się do kapitulacji przed aliantami, a oficjalnie deklaruje lojalność wobec III Rzeszy. Hitler nie ufa mu; tuż po włoskim zamachu stanu wydał rozkaz uwolnienia Mussoliniego.

Niemcy zlokalizowali w końcu kolejne miejsce uwięzienia Duce: hotel na majestatycznym, płaskim szczycie Gran Sasso (2200 m n.p.m.) w Apeninach. Strzeże go tam ponad 200 włoskich policjantów i żołnierzy. Na szczyt można się dostać tylko kolejką linową. Bezpośrednio strzegący Duce porucznicy Gueli i Faiola mają rozkaz zastrzelenia go, gdyby uznali, że może zbiec lub zostać odbity przez Niemców.

Hitler osobiście wybrał oficera, który ma uwolnić duce. To kpt. Otto Skorzeny, dowódca elitarnej jednostki komandosów SS, batalionu „Friedenthal".

Plan ataku jest tak śmiały, że aż szalony: tuzin szybowców ma wylądować na malutkiej, nieznanej Niemcom łączce na szczycie Gran Sasso. 80 spadochroniarzy Luftwaffe obezwładni ochronę Duce, zaś 15 komandosów SS odbije Mussoliniego i odtransportuje w bezpieczne miejsce. Komandosi SS mają po raz pierwszy użyć w akcji najnowszej broni strzeleckiej III Rzeszy –

spadochroniarskiego, szturmowego karabinka automatycznego FG 42.

Aby Włosi podczas desantu nie zastrzelili Mussoliniego, Niemcy zwabiają na rzekome rozmowy włoskiego generała Soletiego i pod bronią pakują rankiem do szybowca Skorzeny'ego.

Tuż po wylądowaniu Niemiec przykłada generałowi do boku lufę karabinka szturmowego FG 42. Soleti krzyczy głośno: „Nie strzelać! Nie strzelać!". I włoscy strażnicy nie strzelają.

Skorzeny porzuca niepotrzebnego już Soletiego i pędzi do tylnego wejścia hotelu. Na widok strażnika ryczy: „*Mani in alto*!" (Ręce do góry!), i wbiega do środka. Drugi strażnik siedzi przed radiostacją. Kapitan przewraca go wraz z krzesłem, rozbija kolbą radiostację – co jest trochę ryzykowne, bo automatyczny FG 42 ma dość delikatną konstrukcję, zwłaszcza metalowej kolby – szuka przejścia do pokoju Mussoliniego. Ale żadnego przejścia nie ma. Wypada na dwór, obiega hotel, wpada na wielki taras widokowy. Przed głównym wejściem, obsadzonym przez włoskich karabinierów, którzy odbezpieczyli broń, stoi grupka Niemców i gen. Soleti. Na szczęście Soleti woła do rodaków: „Jestem włoskim generałem, nie widzicie? Nie strzelać! Nic się nie stało!".

Zdezorientowani karabinierzy nie strzelają.

Scenę tę, mimo zakazu por. Faioli, obserwuje z okna Mussolini. Skorzeny dostrzega go i woła: „Duce, niech pan się odsunie od okna!".

Pędzi do głównego wejścia. W drzwiach wpada na grupę karabinierów. Robi wszystko, by nie padły strzały – trzymając swój *sturmgewehr* za lufę, przepycha się przez uzbrojonych Włochów jak w kolejce po mięso. 2 spadochroniarze wspinają się po piorunochronie do okna Duce. Gdy Skorzeny wpada do pokoju

Mussoliniego, pierwszy ze wspinających się Niemców właśnie wybija z zewnątrz szybę.

Od wylądowania szybowca minęło niespełna 5 minut; ostatnie z niemieckich DFS 230 dopiero teraz siadają na mikroskopijnym, usianym sporymi skałkami lądowisku. Maszyny są pogruchotane, ale żaden ze spadochroniarzy nawet nie jest ranny.

Jeden tylko szybowiec – nr 8 – ma poważne kłopoty. Dostaje mocny podmuch bocznego wiatru, zrywa się z holu i jak kamień spada, uderza w skałki. Ale po chwili z wraku wyczołguje się pilot i 10 spadochroniarzy. Wszyscy są ranni, żaden nie zginął.

Po chwili Niemców jest wokół budynku wystarczająco wielu, by mogli rozbroić – ciągle dwakroć od nich liczniejszą – włoską załogę.

Spadochroniarze wywieszają z okien białe prześcieradła. To znak dla kołującego wysoko samolotu łącznikowego Fieseler Storch (Bocian) pilotowanego przez kpt. Heinricha Gerlacha. Storch ląduje. Daje pokaz mistrzostwa lotniczego – Gerlach najpierw schodzi w przepaść, a potem podciąga do góry maszynę, jednocześnie radykalnie tracąc prędkość. Niemcy przed hotelem widzą, jak samolocik nagle wyłania się dosłownie zza traw, zawisa niemal nieruchomo w podmuchach przeciwnego wiatru i opada na łączkę.

Skorzeny wraca do hotelu. – Duce, Führer przysłał mnie, żebym uwolnił pana – oświadcza patetycznie. Ale w kwestii patetycznych fraz Mussolini jest bezkonkurencyjny. – Wiedziałem, że mój przyjaciel Adolf mnie nie opuści.

Prosi Niemca, by nie rozstrzeliwano żadnego z pilnujących go włoskich żołnierzy.

Pozostaje już tylko wywiezienie Mussoliniego z pułapki na szczycie Gran Sasso. Nie jest to trudne, bo niemiecka kolumna zmotoryzowana przebiła się tymczasem do podnóża góry i zajęła dolną stację kolei linowej. Nic nie stoi na przeszkodzie, by Duce

zwieźć na dół i ewakuować w niemieckim transporterze opancerzonym. Skorzeny jednak chce wykiwać spadochroniarzy i zgarnąć laury za brawurową akcję. Oznajmia kpt. Gerlachowi, że musi dowieźć Duce do niemieckiego lotniska Pratica di Mare.

Gerlach nie jest zachwycony, ale gdy Skorzeny dodaje, że on też poleci, lotnikowi odbiera mowę. Zwalisty, mierzący 195 cm kapitan to ogromne obciążenie dla malutkiego samolotu ze śmiesznie słabym, 240-konnym silnikiem. Skorzeny nie ustępuje – przywożąc Mussoliniego, stanie się dla Hitlera prawdziwym bohaterem. Wściekły Gerlach macha ręką. Duce i kapitan pakują się do trzyosobowej kabiny. Silnik wchodzi na najwyższe obroty. Storch podskakuje na kamienistym terenie i toczy się w stronę przepaści. Nagle pilot dostrzega przed sobą wąską szczelinę skalną, którą wcześniej wszyscy przeoczyli. Ściąga wolant i storch przeskakuje przez nią. Traci jednak prędkość i na skraju urwiska wali się w dół niczym worek kartofli. Obserwujący start zamierają z przerażenia. Ale kpt. Gerlach świadomie opada lotem niemal nurkowym w dół ściany urwiska. Dopiero gdy storch nabiera prędkości, wyprowadza go do lotu poziomego, a następnie podrywa w górę i przeskakuje nad przeciwległą ścianą przepaści. Tego dnia Skorzeny'emu udaje się wszystko.

13 września 1982 ▪ poniedziałek

Z córką w przepaść

Poniedziałek jest dziś wyjątkowo piękny: na niebie żadnej chmurki, łagodny wiatr, niezbyt gorąco. W Roc Angel, letniej rezydencji książąt Monaco w Alpach Nadmorskich, dopiero teraz kończy się

weekend. O 8.15 wyjeżdża do odległego o niecałą godzinę jazdy Monako książę Rainier. Jego samochód prowadzi kierowca. Tuż po 9.00 księżna Grace wraz z pokojówką zaczyna znosić do swego samochodu, 11-letniego brązowego Rovera 3500, torby z sukniami i pudła z kapeluszami. Po kwadransie pakunki na tylnych siedzeniach samochodu sięgają sufitu. Szofer księżnej patrzy na to z rosnącym niepokojem. Grace ma przecież jechać do Monako wraz z córką księżniczką Stefanią, a w roverze pozostały tylko 2 miejsca. Wreszcie nie wytrzymuje i prosi Grace, by zostawiła sukienki – po odwiezieniu księżnej może wrócić po nie do Roc Angel i za 2 godziny dostarczy wszystkie do pałacu w Monako. Księżna nie zgadza się. Chce prowadzić sama. Szofer ostro protestuje. Wszak książę Rainier surowo zakazał jej prowadzenia samochodu. I nie bez powodu. Grace jest bardzo kiepskim kierowcą. Przed kilkoma laty, prowadząc taksówkę przerobioną na limuzynę, pojazd dość osobliwy jak na księżną, ale za to zdolny przewieźć mnóstwo pakunków z jej strojami, z własnej winy uderzyła w bok samochodu włoskich turystów. Włoski kierowca nie poznał jej i Grace musiała przeżyć paskudne upokorzenie, wysłuchując wrzasków skierowanych do tłumu gapiów i zarazem jej poddanych: „Ta suka wjechała we mnie!".

Od tej pory księżna zostawiała kierownicę zaufanemu szoferowi. Ale nie teraz. Teraz chce porozmawiać z córką w cztery oczy.

17-letnia Stefania zakochała się w starszym o 2 lata Paulu, synu aktora Jeana-Paula Belmondo. Dla niego chce rzucić naukę w prestiżowym Instytucie Modniarstwa w Paryżu, do którego przyjęto ją wyłącznie dzięki interwencjom monakijskiego pałacu, i wraz z ukochanym startować w wyścigach samochodowych. Przed dwudziestu paru laty księżna Grace, wtedy Grace Kelly, sławna, nagrodzona Oscarem amerykańska aktorka, romansowała ze

wszystkimi wybitnymi amantami Hollywood, z gwiazdami estrady Bingiem Crosbym i Frankiem Sinatrą, z szachem Iranu. Także po głośnym ślubie z księciem Rainierem szukała szczęścia w ramionach młodszych przyjaciół, ale córkę postanowiła wychowywać surowo. Przez cały weekend usiłowała wybić jej z głowy niewczesne pomysły. Bez skutku. Rozmowa w czasie jazdy do pałacu jest ostatnią okazją – jutro Stefania powinna polecieć do szkoły do Paryża.

Grace siada za kierownicą rovera, obok niej sadowi się Stefania. Szofer po raz ostatni prosi księżną, by nie jechała. Górska droga do Monako pełna jest niezabezpieczonych zakrętów. Księżna, wyraźnie bardzo zdenerwowana czekającą ją rozmową z córką, uśmiecha się do szofera i żartuje: „Jak się tak upierasz, to możesz za nami pobiec". Zapala silnik, odjeżdża. Szofer nie zauważa, że Grace zapomina przestawić automatyczną skrzynię biegów z pozycji „normalne" na „góry". Po 10 minutach rover jedzie krętą szosą CD 37, prowadzącą z wioski La Turbie do Monako. Księżna nie jedzie szybko. Przed miasteczkiem Cap d'Ail, 2 km przed Monako, dogania ją duża ciężarówka prowadzona przez Yvesa Phily. Zaczynają się ostre zakręty. Brązowy rover dojeżdża do ostrego skrętu w lewo, obok leżącego przy drodze toru wyścigowego dla zdalnie sterowanych modeli samochodów. 0,5 km dalej z roverem dzieje się coś dziwnego. Samochód zarzuca na boki, zjeżdża na lewy pas i zahacza o skalną ścianę. Przerażony Phily naciska klakson. Rover wraca na swój pas jazdy. Phily bezskutecznie usiłuje dojrzeć, co dzieje się w kabinie jadącego przed nim samochodu. Przed następnym zakrętem w prawo rover zamiast zwolnić, systematycznie przyspiesza. Francuski kierowca ciężarówki uświadamia sobie, że jadący przed nim kierowca nie ma szans na wzięcie tego skrętu. Rover z prędkością 80 km/h nawet nie próbuje skręcać. Rozrywa

symboliczną barierkę z cienkiej blachy, majestatycznie wylatuje z szosy i leci prosto w przepaść. Po drodze ścina wierzchołek drzewa. 30 m niżej uderza w pień kolejnego drzewa i lecąc kołami do góry, opada na ziemię. Kilka razy koziołkuje i zatrzymuje się parę metrów od ściany domu kierownika hotelu Loew w Monako Jacques'a Provence'a. Jest 9.54.

Wrak ma całkowicie zmiażdżony przód, potężnie wgnieciony dach.

Provence pije poranną kawę z żoną Josette i znajomym Jeanem-Claude'em Corneveau, gdy za oknem rozlega się huk uderzającego o ziemię samochodu. Wszyscy troje wyskakują do ogrodu. W tej samej chwili dobiega Michel Pierre, sąsiad Provence'ów. Pierre znajduje jakiś łom i wyważa drzwi kierowcy, jedyne niezmiażdżone. Z podłogi, przed fotelem pasażera obok kierowcy, powoli podnosi się zwinięta w kłębek Stefania. Jest wyraźnie oszołomiona, chwiejnie, ale bez pomocy wychodzi z wraku. Zakrwawiona księżna leży bezwładnie na fotelu. Obie nie były zapięte pasami. Na silniku pojawiają się iskry i mały płomyk. Provence i Corneveau biegną do domu po wodę, polewają silnik i wzywają francuską straż pożarną. Fatalny zakręt leży na terytorium Francji, tuż przed granicą księstwa. Strażacy natychmiast zawiadamiają francuską policję.

Żandarm Frédéric Mouniama przezornie wzywa przez radio oficera łącznikowego między policją francuską i policją Monako kpt. Rogera Bencze. Oględnie informuje, że w wypadek drogowy zamieszane są 2 nadzwyczaj ważne osobistości.

Rainier od lat toczy walkę z Paryżem o utrzymanie możliwie szerokiego zakresu niezależności swego księstwa od Francji. Policja Monako rutynowo podsłuchuje francuskich kolegów. Monakijczycy słyszą rozmowę żandarma Mouniama z kpt. Bencze i natychmiast zawiadamiają pałac księcia. Na miejscu wypadku Rainier zjawia się

0,5 godziny po tragedii, 5 minut przed kpt. Bencze. Pogotowie właśnie zabiera nosze z nieprzytomną Grace. Bencze sprawdza hamulce rovera. Są sprawne.

Na miejscu wypadku gapie powtarzają pogłoskę, że samochód prowadziła – wbrew przepisom – nieletnia Stefania. Bencze sprawdza odciski na kierownicy, szuka na szosie miejsca, w którym księżna mogłaby oddać córce prowadzenie samochodu. Dochodzi do wniosku, że kierowcą była jednak księżna.

O 13.00 pałac Grimaldich ogłasza komunikat, że przyczyną katastrofy były niesprawne hamulce. Chwilę potem rzecznik pałacu dzwoni do kpt. Bencze i żąda potwierdzenia komunikatu. Kapitan odmawia. O 18.00 monakijska policja doręcza kpt. Bencze oficjalną notę przypominającą, że zawarte przez Francję i Monako umowy zabraniają francuskiej policji przesłuchiwać i rewidować członków rodziny książęcej. Przesłuchania księżniczki Stefanii nie będzie.

Nieprzytomna Grace trafia na salę operacyjną szpitala swego imienia krótko po 11.00. Naczelny chirurg prof. Chatelin świeci jej lampką w oczy. Jedna źrenica reaguje prawidłowo, druga jest nieruchoma. Źle. Mózg księżnej najwyraźniej odniósł poważne obrażenia. Chatelin wzywa z Nicei francuskiego neurochirurga prof. Duplaya. Ten natychmiast zarządza badanie tomograficzne mózgu. Ale w Szpitalu Księżnej Grace tomografu nie ma. Karetka przewozi nieprzytomną na drugi koniec Monako, do prywatnej kliniki, w której tomograf jest. Okazuje się jednak, że nie ma windy dla chorych. Podłączoną do butli tlenowej i kroplówki Grace pielęgniarze na rękach niosą po schodach. Badanie wykazuje 2 uszkodzenia mózgu. Głębokie to ślad po lekkim udarze, który spowodować mógł przejściowe omdlenie. Jeśli zdarzył się podczas jazdy, był przyczyną katastrofy. Drugie uszkodzenie to ciężki uraz mechaniczny, efekt wypadku.

Po 24 godzinach lekarze informują, że stan chorej gwałtownie pogarsza się. Książę Rainier i jego pełnoletnie dzieci Karolina i Albert polecają wyłączyć urządzenia podtrzymujące życie ich matce.

Miejsce tragicznego wypadku księżnej Grace Grimaldi

14 września 1927 ▪ środa

Szal z niebieskimi astrami

Poranek jakich ostatnio na lekarstwo: Isadora Duncan budzi się w pokoju w hotelu Negresco w Nicei w znakomitym humorze. Wczoraj, wczesnym wieczorem, do jej drzwi zapukał młody, przystojny mężczyzna w poplamionym kombinezonie mechanika samochodowego. Isadora spała, więc służąca zaanonsowała

przybysza jej nieodłącznej przyjaciółce Mary Desti: „Następny młody człowiek do *miss* Duncan".

Młodzi mężczyźni i szampan z najlepszego, 1911 rocznika, a w miarę narastania kłopotów finansowych szampan z każdego rocznika, no, prawdę mówiąc, każdy alkohol, wody toaletowej nie wyłączając (ale tylko jako składnik robionych z niedopitych resztek koktajli), to największe pasje i pocieszenia 50-letniej artystki, która odmieniła oblicze tańca scenicznego.

Duncan zerwała z kanonami tańca akademickiego. Wbrew tradycji, swą sztukę tańca zespoliła z muzyką poważną; Bacha, Beethovena, Chopina, Schuberta, Czajkowskiego. Stworzyła własny system ruchu tanecznego oparty na wzorach zaczerpniętych z antycznej sztuki greckiej, tańców ludowych i towarzyskich, a nawet na ruchach sportowców. Boso, w stylizowanej greckiej tunice, z której od czasu do czasu wypadała jej naga pierś, z rozpuszczonymi włosami, swą niesamowitą witalnością i uczuciowością odrodziła taniec sceniczny jako sztukę wysoką. Teraz świat uważa Duncanowską rewolucję za oczywistość, za wspólne dobro ludzi kulturalnych, ale twórczyni tego przewrotu schodzi ze sceny pokonana przez czas.

Otyła 50-latka zachwyca w tańcu już tylko najwierniejszych przyjaciół. Z szalonych lat *belle époque* zostało jej tylko zamiłowanie do luksusu. Jest bez grosza przy duszy, wierni przyjaciele wykupują ją z hoteli, w których nie płaci za apartamenty, często chodzi głodna.

Ale nie spuszcza z tonu. Mieszka w eleganckim hotelu Negresco w Nicei, porusza się taksówkami, pije i romansuje.

Isadora rozpaczliwie potrzebuje miłości, akceptacji, bliskości, seksu. Miewa romanse z kobietami, ale przede wszystkim z mężczyznami. Miejsce wielkich artystów i wielkich panów,

składających u jej stóp swą sławę i ogromne majątki, zajęli teraz młodzi marynarze, kelnerzy, fryzjerzy, sprzedawcy sklepowi. Duncan wypatruje ich w tłumie i całkiem otwarcie wzywa do swego apartamentu – na jedną noc. Nazywa ich swoimi serafitami albo po prostu smacznymi kąskami. Niedawno w Marsylii, podczas kolacji w większym towarzystwie, pokłóciła się z poetą i dramaturgiem Jeanem Cocteau o zwabionego do stolika przystojnego marynarza. Przyjaciele ze śmiechem rozsądzili spór: ten młodzieniec należy się Isadorze. I Duncan bez krzty wstydu zabrała go do siebie.

Fascynacja Isadory mechanikiem samochodowym zaczęła się, jak niemal każde jej zauroczenie kolejnym serafitą, w knajpie. Parę dni wcześniej Isadora i Mary Desti ruszyły późnym wieczorem na 10-kilometrową, pieszą wędrówkę nadbrzeżną drogą z Nicei do kąpieliska Juan-les-Pins. Tam znalazły restaurację dla miejscowych w malutkim domku nad wodą. Nazywała się, od nazwiska właścicielki, Tetu. Przyjaciółki jadły wspaniałą bouillabaise. Gdy Mary popijała czerwone wino, zauważyła, że Isadora uśmiecha się do kogoś za jej plecami. Odwróciła się i wykrzyknęła zniesmaczona:

– Dobry Boże, przepijasz do jakiegoś szofera!

Isadora nie dała się zbić z pantałyku. Pół żartem, pół serio wyjaśniła przyjaciółce, że młody mężczyzna to nie szofer, lecz grecki bóg w przebraniu, a na zewnątrz stoi jego rydwan.

No i stał. Francuski wyścigowy kabriolet amilcar grand sport, z długą maską, z przypominającymi skrzela rekina otworami wentylacyjnymi po bokach, niezwykle ciasną kabiną i wielkimi, opływowymi błotnikami nad przednimi i tylnymi kołami, miał z tyłu kadłuba wymalowane czerwone, białe i niebieskie koła, wariację na temat narodowych barw Francji. Na masce sportowego cacka dumnie prężyła się spora figurka pegaza.

Duncan była na równi zafascynowana młodym kierowcą, jak i jego sportowym rydwanem. Jej zachwyt dla amilcara był tym większy, że właśnie zmuszona była sprzedać swoje wysłużone renault kierownictwu hotelu Negresco, by oddać długi i móc nadal tam mieszkać. Tancerce wydawało się, że sportowy kabriolet przed knajpką Tetu to bugatti i tak też ochrzciła na swój użytek jego kierowcę.

Przed czterema dniami Isadora przypadkiem spotkała w barze hotelu Carlton w Cannes malarza i poetę, a nadto jej byłego kochanka, Francisa Picabię. Zaprosiła Francisa i jego żonę na przepyszne bouillabaise do baru Tetu w Juan-les-Pins. W barze zostawiła pani Tetu swój adres z prośbą, by przekazała go „greckiemu bogowi Bugattiemu" przebranemu za szofera.

Poprzedniego popołudnia Bugatti zjawił się w apartamencie Duncan, wyjaśniając, że *madame* Tetu dała mu adres hotelu i powiedziała, że pani Duncan chce kupić bugatti. Mary Desti bezceremonialnie spławiła młodego człowieka, ale jego wizytówkę lojalnie przekazała Isadorze.

Jak się okazało, Bugatti to mechanik samochodowy Benoit Falchetto, z mieszanej, włosko-francuskiej rodziny.

Isadora wraz z przyjaciółką wychodzą rankiem przed hotel Negresco, biorą taksówkę i jadą do miejsca pracy Falchetta – Helvetia Garage. Tam okazuje się jednak, że Falchetto musiał wyjechać do zleconej na mieście naprawy.

Isadora o 16.00 jest umówiona w swojej pracowni ze swym dawnym, wieloletnim kochankiem Parisem Singerem, synem arcybogatego króla maszyn do szycia Isaaka Singera. Przed wojną światową Paris, ojciec jej tragicznie zmarłego w wypadku synka Patricka – który wraz ze starszą o parę lat siostrzyczką i nianią utopił się w Sekwanie – otaczał Isadorę bajecznym luksusem. Egzotyczne

podróże, najlepsze hotele, rezydencje, przyjęcia i festyny na kilkaset osób – to wszystko było mało. Dla Isadory Paris rozpoczął budowę luksusowego teatru nieopodal Champs Élysées, zdobionego płaskorzeźbami z wizerunkami Duncan dłuta Bourdelle'a. Na krótko przed wybuchem wojny Singer, nie mogąc znieść niezliczonych, właściwie jawnych romansów Isadory, porzucił ją. Potem założył rodzinę, ale zawsze żywił do Isadory wielką sympatię. Teraz umówił się z byłą ukochaną w jej pracowni, by wręczyć czek na pokaźną sumę i wybawić ją, choć na krótko, z rozpaczliwych kłopotów finansowych.

Isadora sprytnie kombinuje – o 16.00 spotka się z Singerem, weźmie czek i już może ruszać w miasto z Bugattim. Zostawia w garażu kartkę dla Falchetta, by przyjechał do jej pracowni o 17.00.

Po powrocie do hotelu Isadora kąpie się i poleca ułożyć sobie włosy. Jak mówi, chce wyglądać pięknie dla nich obu, dla starego i dla nowego kochanka. Jest w świetnym humorze, zapewnia przyjaciółkę, że czas okropnej, poniżającej biedy zaraz się skończy, że pieniądze za spisywaną przez siebie autobiografię pozwolą im ułożyć sobie dostatnie życie.

Grubo przed 16.00 Isadora i Mary wychodzą z hotelu Negresco i idą pieszo do pracowni na końcu promenady des Anglais. To spora otynkowana szopa, stojąca frontem do plaży, o ścianach w osobliwym łososiowym kolorze, z malutkimi, pomalowanymi na niebiesko drzwiami. Okna zabite są deskami – tancerka nie cierpi światła dziennego podczas ćwiczeń i występów.

Isadora jest w promiennym humorze. W pracowni co chwila tańczy od ściany do ściany. Najwyraźniej podniecają ją oba spotkania – z Singerem i Bugattim.

Pukanie do drzwi i... niespodzianka. To Bugatti-Falchetto. Przyszedł godzinę z okładem za wcześnie. Mary taktownie

wychodzi do hotelu. Gdy Duncan zatopiona jest w intymnej rozmowie z mechanikiem, wkracza Singer. Jeden rzut oka i nie ma wątpliwości, co robi tu młody przystojniak.

– Widzę, że się nie zmieniłaś – zauważa zgryźliwie Singer.

Isadora zupełnie nieprzekonująco zmyśla, że młodzieniec znalazł się w jej pracowni, bo Mary chce kupić odeń samochód.

Falchetto jest trochę przestraszony sytuacją. Gdy Duncan mówi mu, by przyjechał tu z powrotem swoim samochodem o 21.00, natychmiast wychodzi.

Znużony jej wykrętami Singer oznajmia, że musi jechać, bo jest spóźniony, ale jutro wpadnie jeszcze raz, by dać Isadorze czek. Za drzwiami słychać klakson – to samochód Singera. Na odchodnym Singer macha przyjaźnie ręką – cóż tam miłostki Isadory, żar dawnych uczuć ciągle tli się w jego sercu.

Duncan wraca do hotelu Negresco. W apartamencie hamletyzuje, że utraciła i Singera (z jego czekiem), i Bugattiego z jego bugattim (a w istocie amilcarem).

Przychodzi rosyjski filmowiec Iwan Nikolenko, który od pewnego czasu zabiega o zgodę Duncan na sfilmowanie jej tańca. Isadora, właściwie już przekonana do tego projektu, decyduje się zjeść z Nikolenką kolację. Wychodzi z nim i z Mary do taniego baru Chez Henry naprzeciwko Negresco. Szyję owija wielkim batikowym szalem z ciężkiego krepdeszynu, z wymalowanymi wielkim żółtym ptakiem, niebieskimi chińskimi astrami i czarnymi chińskimi hieroglifami; same frędzle z obu końców mają po 0,5 m długości. Szal ten zaprojektowała Mary jeszcze w Nowym Jorku.

Francis Rose niedawno namalował w manierze kubistycznej jej portret w tym szale owiniętym wokół szyi. Na widok obrazu Isadora zawołała: „Francis, przeciąłeś mi szyję!”.

Po kolacji Isadora i Mary wracają spacerkiem do pracowni. Isadora tańczy i nuci pod nosem: „Znów jestem zakochana!".

Gdy Falchetto podjeżdża pod drzwi, Duncan natychmiast wybiega z pracowni. Nie słucha Mary, która woła, że jest już chłodno, i chce jej dać swój kapelusz.

– *Adieu, mes amis, je vais à la gloire*! (Żegnajcie przyjaciele, odjeżdżam ku sławie!) – woła rozochocona Isadora, sadowiąc się w ciasnym kokpicie amilcara.

Jej szal spływa malowniczo po karoserii, frędzle muskają tylną lewą oś. Widzi to Mary i woła:

– Isadora! Isadora, szal! Zabierz szal!

Słowa giną w ryku silnika. Amilcar rusza ostro. Frędzle nawijają się na tylną oś i gwałtownie zadzierzgnięty szal łamie kark Isadory. Szarpnięcie jest tak silne, że jej ciało wylatuje z kokpitu i spada na drogę. Głowę Isadory ściągnięty przez oś samochodu szal wciąga między karoserię i koło.

Falchetto zatrzymuje samochód dopiero po 30 m. Biega jak porażona kołowacizną owca wokół samochodu i woła: „Zabiłem Madonnę! Zabiłem Madonnę!".

Tancerka Isadora Duncan

15 września 1830 ▪ środa

Ofiara postępu

Pogoda jest fatalna – ciężkie chmury, mocno siąpi. Ale widzów to nie odstrasza. Wzdłuż świeżo zbudowanej linii kolejowej, łączącej Liverpool z Manchesterem, od wczesnego ranka gromadzi się kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców obu miast i pobliskich miasteczek, osiedli, wsi. Dziś uroczyste otwarcie pierwszej w świecie linii kolejowej łączącej dwa duże miasta: Liverpool i Manchester.

Największą uwagę gapiów przyciąga lokomotywa „Rocket", najnowsze dzieło budowniczego parowozów George'a Stephensona

i jego syna Roberta. Z jej podwójnych tłoków, ustawionych pod kątem z każdej strony kotła, buchają ogromne kłęby pary. Lokomotywa przypomina gapiom biblijnego potwora: ciężko sapie, parska, a wysunięte na boki tłoki jako żywo przywodzą na myśl uda gigantycznego zwierza.

Kolej, a zwłaszcza same parowozy, fascynuje Brytyjczyków, choć od skonstruowania przez Richarda Trevithicka pierwszego parowozu i uruchomienia pierwszej przemysłowej linii kolejowej minęło niedawno ćwierć wieku.

Rankiem dziennikarze odwiedzają w Liverpoolu członka brytyjskiego parlamentu Williama Huskissona. To polityk w Liverpoolu bardzo popularny. Przed 7 laty był prezydentem Rady Handlu. Dał się poznać jako niezłomny orędownik reform służących rozwojowi gospodarki. Obniżył taryfy handlowe i niezłomnie zabiegał o przywrócenie związkom zawodowym prawa do legalnego działania.

George Stephenson nie musiał go długo przekonywać do pomysłu połączenia Liverpoolu i Manchesteru linią kolejową. Huskisson natychmiast pojął ogromną przewagę nowego, jeszcze niesprawdzonego w praktyce, środka transportu nad powolnymi barkami pływającymi po gęstej sieci prywatnych kanałów wodnych czy nad jeszcze wolniejszymi wozami konnymi.

Niemało z jego najbogatszych liverpoolskich zwolenników ma udziały w lokalnych kanałach. Czuli oni, że ich kwitnące interesy transportowe podetnie szybsza od barek kolej, i wszelkimi sposobami naciskali na Huskissona, by zastopował projekt Stevensona. Ale Huskisson, który zaprzyjaźnił się ze Stephensonem, niezmordowanie przekonywał do kolei deputowanych w parlamencie. To dzięki niemu parlament w końcu zaaprobował

budowę pierwszej publicznej linii kolejowej z prawdziwego zdarzenia, łączącej 2 duże przemysłowe miasta.

Po przejeździe kilku pociągów do Manchesteru i ich powrocie wieczorem będzie wydana uroczysta kolacja. Zaszczyt wygłoszenia mowy powitalnej przypadł Huskissonowi. Tekst przemówienia przygotowuje już od paru dni. Dziś nie oparł się pokusie odczytania dziennikarzom kilku najważniejszych fragmentów, by gazety zdążyły je opublikować razem z relacjami z jazdy pociągów.

„Zasadą kolei jest sam handel. To pomnaża radość ludzkości ze wzrostu przedsiębiorstw i zmniejszania koniecznej pracy, przez którą środki niezbędne dla tej radości są produkowane i rozprowadzane na cały świat" – czyta z namaszczeniem Huskisson.

Największy tłok panuje na początku trasy, na dworcu w Liverpoolu. Na torze północnym stoi, jedna za drugą, 7 lokomotyw zbudowanych przez rozmaitych konstruktorów: „Rocket", „Meteor", „Comet", „Dart", „Arrow", „Phoenix", „North Star". Asystent George'a Stephensona John Locke prowadzi „Rocket"; „Feniksa" obsługuje syn George'a Stephensona Robert. Do każdej lokomotywy doczepiono wagony. „Phoenix" i „North Star" mają po 5 wagonów, „Rocket" tylko 3, a pozostałe lokomotywy – po 4.

Zaproszeni członkowie parlamentu, oficjalni goście władz miejskich Liverpoolu i Manchesteru, kilku dziennikarzy i wszyscy odważni, którzy wykupili na ten przejazd bilety, wsiadają do wagonów. Każdy jest inny. Różnią się liczbą drzwi, usytuowaniem kanap. Są wagony całkiem zabudowane, są też przykryte tylko lekkimi markizami.

Drugi, równoległy, południowy tor jest oddalony od północnego o 125 cm. Na nim czeka tylko jedna lokomotywa, „Northumbrian", prowadzona osobiście przez George'a Stephensona. Doczepiono do niej tylko jeden wagon – 4-osiowy, długi na 10 m, wyposażony

w luksusowe miękkie sofy, piękne obicia, ozdobne okucia, dywany na podłodze. Zaprojektowaną na tę okazję salonką pojedzie dziś do Manchesteru Arthur Wellesley, książę Wellington, angielski premier.

Jego szczupła postać budzi dużo większe zainteresowanie publiczności niż uwijający się na „Northumbrianie" Stephenson. Wellington to bohater Anglii. Pod koniec zeszłego wieku prowadził zwycięskie walki z państwem Marathów w Indiach, potem objął dowództwo wojsk koalicji antynapoleońskiej na Półwyspie Pirenejskim. W świetnej kampanii pobił Francuzów i wyparł ich z Hiszpanii. Właśnie za tę błyskotliwą kampanię otrzymał tytuł książęcy i stopień feldmarszałka. Książę brał udział w kongresie wiedeńskim, a po ucieczce Napoleona z Elby wespół z marszałkiem pruskim Blücherem w 1815 roku ostatecznie pobił cesarza Francuzów pod Waterloo.

Wellington przed 15 laty porzucił żołnierskie rzemiosło i odtąd zajmuje się polityką. Od 3 lat jest premierem. Jego gwiazda na politycznym firmamencie Londynu ostatnio nieco przygasła, zwłaszcza po poparciu przezeń ustawy o równouprawnieniu katolików, ale w społeczeństwie cieszy się ogromnym szacunkiem.

Książę wsparł George'a Stephensona już na początku jego starań o zgodę na budowę linii kolejowej. Teraz, stojąc przed wagonem, uprzejmie wysłuchuje wyjaśnień konstruktora dotyczących najnowszych usprawnień w lokomotywach.

Dochodzi 11.00. Ostatni pasażerowie zajmują miejsca. Jako pierwszy rusza „Northumbrian". Dzięki temu, że reprezentacyjna salonka porusza się na południowym torze samotnie, książę Wellington może zatrzymać swój pociąg gdzie tylko zechce. 7 pociągów jadących jeden za drugim po torze północnym będzie musiało dostosować się do ruchu czołowego „Rocketa".

Dwie stacjonarne maszyny parowe wyciągają pociągi, jeden po drugim, przez pnący się stromo pod górę Wapping Tunnel, w którym Stephenson kazał ułożyć na dystansie ponad 2 km tylko jeden tor. Wspinaczka w kłębach duszącego dymu ciągnie się przez niemal 2 mile. Potem tor ten znów rozwidla się na północny i południowy. We wzgórzu Olive Mount Stephenson polecił wydrążyć głęboki wykop na oba tory. Nad całą, liczącą ponad 50 km, trasą przerzucono 63 mosty i wiadukty. W połowie drogi zaczynają się rozległe mokradła, przez które wybudowano solidną groblę. Jeszcze przed bagnami, po minięciu stacji Kendricks-Cross, zaczyna się najbardziej ekscytująca część trasy. Tory łagodnie opadają na dystansie 11 mil, aż do leżącej wśród trzęsawisk stacji Barton Moss. Na tym odcinku można osiągnąć wielką prędkość. George Stephenson planuje, by lokomotywy rozpędzić dziś aż do ponad 43 km/h. Ogromne tłumy gapiów pofatygowały się aż tu, by być świadkami tak niewiarygodnie szybkiej jazdy. Wielu z pasażerów na myśl o szaleńczym zjeździe z Kendricks-Cross dostaje gęsiej skórki. Niektórzy lekarze do ostatniej chwili przestrzegali, że przy szaleńczej prędkości 43 km/h osobom jadącym pociągiem mogą zapaść się płuca.

Amatorów mocnych wrażeń czeka jednak rozczarowująca niespodzianka. Na południowym torze „Northumbrian" z salonką premiera wyraźnie wyprzedza kolumnę pociągów na torze północnym. Książę Wellington poleca zatrzymać się w połowie drogi, w miejscowości Parkside. Zamiast rekordowego pędu premier funduje kolumnie pociągów postój. Reprezentacyjny wagon Wellingtona natychmiast otacza tłum gapiów.

Po chwili nadjeżdża konwój pociągów na drugim torze. Gapie, którzy nie mogli docisnąć się blisko „Northumbriana", podchodzą do pozostałych składów. Książę Wellington, przywódca

konserwatystów *sir* Robert Peel oraz William Huskisson wysiadają z wagonu premiera. Przechadzają się w otoczeniu gapiów po północnym torze, dyskutują o wielkich zmianach, jakie przynieść musi budowa linii kolejowych, łączących wielkie miasta Zjednoczonego Królestwa.

Nagle rozlega się okrzyk: „Maszyna się zbliża, dżentelmeni, uważajcie!".

John Locke, prowadzący „Rocket", początkowo zatrzymał lokomotywę nieco z tyłu, za stojącym na południowym torze wagonem Wellingtona, i uzupełniał zapas węgla i wody. Teraz rusza, by stojące za nim pociągi mogły zrównać się z wagonem premiera. Książę Wellington i *sir* Robert Peel pospiesznie wsiadają do salonki.

„Lepiej niech pan wsiądzie!" – woła książę do Huskissona, który pośród gromadki gapiów ciągle jeszcze stoi na wąskim pasku żwiru pomiędzy torami. Większość gapiów przeskakuje przez północny tor i wbiega na nasyp. Huskisson zostaje pomiędzy torami. Dokładnie na środku pasa żwiru jest bezpieczny. Niestety, w ostatniej chwili, gdy „Rocket" jest tuż-tuż, Huskisson traci nerwy. Raptownie wyciąga rękę i chwyta drzwi wagonu księcia. Drzwi pod jego ciężarem gwałtownie otwierają się, prosto na przód nadjeżdżającego „Rocketa", i rzucają Huskissona pod koła lokomotywy. Prowadzący ją Locke nie ma żadnych szans, by zatrzymać machinę. Jej koła miażdżą lewą nogę Huskissona. Krew bryzga na lokomotywę i salonkę księcia Wellingtona.

Przez zmartwiały z przerażenia tłum przeciska się George Stephenson. Z pomocą przypadkowych obserwatorów parady wyciąga ciężko rannego, zszokowanego przyjaciela spod lokomotywy. Na jego polecenie pomocnicy przenoszą rannego do salonki księcia Wellingtona. Ktoś przytomnie zaciska pasy na

zmiażdżonej nodze i tamuje upływ krwi. Stephenson chce jak najszybciej wieźć Huskissona dalej, do Manchesteru, do lekarza. Premier oponuje, ma dość podróży, ale wobec stanowczych nalegań Stephensona zgadza się na dalszą jazdę.

Stephenson wskakuje na tender i łapie za łopatę. W szaleńczym tempie wrzuca na palenisko jedną szuflę węgla za drugą. Za nic ma ryzyko przegrzania kotła, awarii, może i wybuchu. „Northumbrian" wraz z książęcym wagonem porusza się z niewiarygodną prędkością 57 km/h: 4 razy szybciej niż najlepsze dyliżanse pocztowe.

W Manchesterze Stephenson przenosi rannego przyjaciela do powozu, który natychmiast rusza do domu najlepszego chirurga. Amputacja nogi daje niewiele. Ranny stracił zbyt dużo krwi. Jest bardzo słaby, ogromnie cierpi. Lekarz miłosiernie podaje mu kolejne końskie dawki laudanum – opium rozpuszczonego w alkoholu.

W ślad za „Northumbrianem" jadą, po północnym torze, pozostałe pociągi. Do Manchesteru przybywają 2 godziny po wyjeździe z Liverpoolu.

Postój w Manchesterze przeciąga się. Wreszcie wszystkie pociągi ruszają w drogę powrotną. Wypadek zepsuł nastrój radosnego, ekscytującego święta. Jakby mało było nieszczęścia, teraz wzdłuż torów pojawiły się duże grupy trapionych przez klęskę głodu chłopów. Nieszczęśni krzyczą z całych gardeł, domagają się chleba, pomocy. Większość pasażerów kieruje wzrok ponad chłopów, na wysokie drzewa za ich plecami.

Powrotna podróż trwa 1,5 godziny.

Wczesnym wieczorem Huskisson umiera. Jest pierwszą w historii ofiarą wypadku na kolei. Uczestnicy kolacji nic o zgonie nie wiedzą. Punktualnie o 23.00 wznoszą toast za Williama Huskissona: „Niech jego cierpienie szybko ustanie i niech powróci do zdrowia!".

16 września 1979 ▪ niedziela

Czy to Zachód?

W niewielkim domu 2 młodych ludzi w pośpiechu rozwija kolorowe bele jedwabiu. Kilkunastometrowe wstęgi materiału zszywają na maszynie w ogromną płachtę o powierzchni ponad 50 m kw. Potem wszywają ją w bok gigantycznego, różnokolorowego kokonu, zszytego z mnóstwa długich, szerokich na ponad 1 m pasów tafty, nylonu i jedwabiu. To bardzo trudna praca – w pokoju miejsca jest mało i łatwo pomylić się, doszywając pasy do zwiniętego kokonu. Dziwni krawcy kończą tę pracę późnym popołudniem. Gospodarz, młody, szczupły brunet z krótką brodą, nastawia odbiornik radiowy na stację Bayern 3. Spiker potwierdza prognozę z poprzedniego dnia: parno, burze z piorunami, wiatr północny. To doskonała pogoda na ucieczkę balonem wypełnionym ogrzewanym powietrzem przez południową granicę Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Błyskawice zamaskują płomień palnika, a północny wiatr powinien ponieść balon z Turyngii prosto na południe, do RFN, do Bawarii.

W marcu zeszłego roku zamieszkały w Pössneck w Turyngii, w Niemieckiej Republice Demokratycznej, technik tworzyw sztucznych Peter Strelzyk i pracujący w tym samym co on zakładzie pracy jego przyjaciel murarz Günter Wetzel podczas przerwy śniadaniowej zaczęli się ostrożnie zastanawiać, jak by tu uciec na Zachód. Forsowanie granicy lądowej, zablokowanej minami, zasiekami, automatycznymi urządzeniami strzelającymi i patrolami strażników, uznali za zbyt niebezpieczne. Przeprawa łodzią przez

dokładnie patrolowane morze wydala się im zbyt ryzykowna. Podkop teoretycznie możliwy byłby w Berlinie, blisko Muru, ale tu, w Turyngii, na zapadłej prowincji? Wzdłuż granicy ciągnie się szeroka na 5 km strefa bezpieczeństwa, w której nie wolno osiedlać się ani przebywać bez zgody Stasi. Pozostała tylko ucieczka drogą powietrzną.

Nie oni jedni wpadli w Turyngii na ten pomysł. Przed 4 laty 23-letnia nauczycielka, szkoląca się na lotnisku w Lipsku, wystartowała samolotem do akrobacji lotniczych i zamiast ćwiczyć obowiązkowe figury w powietrzu, poleciała w stronę miasta Eisenberg. Wylądowała na podmiejskiej łące, zabrała na pokład zaprzyjaźnionego mechanika samochodowego. Potem oboje pomyślnie przelecieli nad enerdowską granicą i wylądowali w Bawarii.

Po tej ucieczce wschodnioniemieckie władze zaostrzyły nadzór nad młodymi ludźmi starającymi się o zgodę na uczestniczenie w kursach lotniczych i spadochronowych organizowanych przez GST (Towarzystwo Sportu i Techniki). Także dostęp do samolotów na enerdowskich lotniskach został obwarowany dodatkowymi procedurami bezpieczeństwa.

„A gdyby tak zbudować balon?" – zastanawiali się nad kanapkami Strelzyk z Wetzelem. Obaj mieli po 2 synów. Odpowiednio duży balon powinien unieść obie rodziny w komplecie, w sumie 8 osób.

Po śniadaniu postanowili, że o pomyśle potajemnej budowy balonu porozmawiają z żonami.

One też chciały uciekać na Zachód. Choć obie rodziny, jak na warunki wschodnioniemieckie, były nieźle sytuowane i żyły dość wygodnie, doskwierały im niemożność podróżowania po świecie, powszechne zakłamanie, donosicielstwo i strach, że kiedyś zainteresuje się nimi Stasi. A jednak panie pomysłem mężów nie

były zachwycone. Bały się, że zbudowany domowym sposobem balon zawiedzie i runie na ziemię. Poza tym tak wielki i tak powolny statek powietrzny to wymarzony cel dla enerdowskich strażników granicznych

Peter Strelzyk nie dał za wygraną. Przekonał najpierw swoją żonę Doris, potem żonę przyjaciela. Kupił i przestudiował dostępną w księgarniach literaturę fachową. W końcu przystąpił do obliczeń. Wyszło mu, że ogrzewany palnikiem na gaz propan-butan balon powinien mieć objętość 2800 m sześc. To oznaczało, że do jego budowy potrzeba 850 m kw. tkaniny wysokiej jakości – lekkiej, nieprzepuszczającej powietrza.

Tymczasem w NRD na dobre zagościła już gospodarka niedoborów. Sklepy były pustawe, atrakcyjniejsze towary – w tym i wysokogatunkowe tkaniny – pojawiały się rzadko i szybko je wykupywano. Szczęście uśmiechnęło się jednak do Strelzyków. W jednym z domów towarowych w Gerze udało im się kupić 460 m kw. tkaniny bawełnianej pod pozorem, że na zamówienie klubu kempingowego, którego byli członkami, mają uszyć firanki i obrusy.

Za dnia 4 spiskowców chodziła, jak zwykle do pracy. Nocami w swoich domach zszywali pasy materiału w większe partie powłoki balonu. Peter Strelzyk ze starszym synem, nastoletnim Frankiem, konstruował wyposażenie techniczne: palnik zasilany z baterii kilku turystycznych butli z propanem-butanem, dmuchawę napędzaną silnikiem do motoroweru, która gorące powietrze znad palnika wtłaczać miała w powłokę balonu, barometr wskazujący wysokość lotu.

Przed 4 miesiącami, w połowie maja, budowniczych zelektryzowała wiadomość, że młody pilot szybowcowy z GST, podczas lotu na polskim szybowcu Jastrząb w rejonie nieodległego

Suhl, wywindował się na znaczną wysokość w kominach termicznych, po czym skierował się na południe. Udało mu się szczęśliwie przelecieć przez granicę i wylądować w rejonie Koburgu w bawarskiej Górnej Frankonii. Strelzyk i Wetzel przyspieszyli nocne prace i pod koniec czerwca balon był gotów. Nieoczekiwanie jednak w ostatniej chwili państwo Wetzel zrezygnowali z lotu. Uznali, że nie mogą narażać swoich paroletnich synków na tak wielkie niebezpieczeństwo.

Po kilku dniach nasłuchiwania prognoz pogody i nocnych ćwiczeń w składaniu balonu Peter Strelzyk uznał, że 3 lipca północny wiatr będzie wystarczająco silny, by balon doleciał do Bawarii. W nocy małżonkowie zapakowali balon i jego wyposażenie do przyczepki swojego wartburga, zabrali synów i pojechali na leśną polanę położoną około 12 km od granicy. Po rozciągnięciu na trawie czaszy i zamontowaniu prymitywnej gondoli Peter zapalił palnik, uruchomił silniczek dmuchawy. Wypełniona gorącym powietrzem czasza uniosła się w górę. Rodzina Strelzyków weszła do gondoli, Peter zwolnił kotwicę. Balon unosił się w szybkością 3 m/s. Po 25 minutach osiągnął pułap 1900 m. Potem kolorowa czasza zanurzyła się w gęstą warstwę burzowych chmur. Nieimpregnowany materiał szybko chłonął wilgoć, czasza robiła się coraz cięższa. Mimo płonącego palnika balon zaczął opadać. W końcu runął w las. Wysoki świerk rozpruł powłokę, prymitywna gondola potężnie uderzyła o ziemię. Nikt jednak nie został ranny. Strelzykowie byli pewni, że są na wyśnionym Zachodzie. Ale ich radość trwała krótko – starszy syn Frank znalazł w trawie opakowanie po batoniku z napisem: „*VEB Nahrungs- und Genussmittel Werigerode*”. Byli w NRD.

Po przymusowym lądowaniu Strelzykom udało się uciec do domu. Stasi szybko odkryła wrak balonu. W lokalnych gazetach

ukazały się zdjęcia balonu na drzewie oraz znalezionego w trawie barometru wraz z wezwaniami, by policji kryminalnej w Gerze przekazywać wszelkie informacje mogące pomóc w ustaleniu tożsamości niedoszłych uciekinierów. Tydzień po odkryciu resztek balonu Stasi przeprowadziła w Turyngii masową akcję rewizji w domach obywateli podejrzewanych o chęć ucieczki. Strelzyków na policyjnej liście potencjalnych zbiegów nie było, ale Doris uświadomiła sobie, że przy uderzeniu gondoli o ziemię wypadło jej z kieszeni wykupione na receptę lekarstwo. Strelzykowie obawiali się, że Stasi uda się dojść po numerach serii, kto je kupił.

Tym pilniej zabrali się do budowania drugiego, większego balonu. To była szaleńcza praca. Wartburgiem i pociągiem objeżdżali NRD, poszukując i kupując możliwie lekkie, ale gęste materiały. Nigdy więcej niż kilka metrów i nigdy więcej niż kilkadziesiąt szpulek nici, by nie zwracać na siebie uwagi. Peter zamontował w maszynie do szycia nowy, wydajniejszy silnik. Kilka dni później w jego domu pojawili się państwo Wetzel. Zmienili zdanie, chcieli pomóc w budowie drugiego balonu i uciekać razem ze swoimi dziećmi. Od razu zabrali się do szycia powłoki. Pasy materiałów zszywała cała czwórka, ale rekordy pracowitości bił Peter Strelzyk. Popędzany strachem, że za chwilę wpadnie Stasi, po dniu spędzonym w zakładzie pracy szył powłokę z reguły aż do ranka, przez 16 godzin. I tak dzień po dniu, noc po nocy. W sumie budowniczowie balonu zużyli na zszycie jego powłoki 6 km nici, a szwy osiągnęły długość 2,2 km.

Przed kilkunastoma dniami Peter i Frank Strelzykowie zawieźli nowy palnik, 7 dużych, kilkunastokilogramowych butli kuchennych z propanem-butanem i wydajniejszą dmuchawę skonstruowaną z silnika i podzespołów motoroweru na ustronną łąkę pod miejscowością Liebschwitz. Próba generalna wypadła dobrze, nowe

wyposażenie grzało dużo wydajniej niż utracone w katastrofie poprzedniego balonu.

Wieczorem u Strelzykow pojawiają się Wetzelowie z oboma synami. Wszyscy ciepło ubrani. Peter i Frank Strelzykowie krótko po północy pakują zwiniętą, ważącą 175 kg czaszę balonu do przyczepki. Na wierzchu układają butle i resztę wyposażenia. Przeładowany do granic możliwości wartburg ledwie się toczy. Po 1.00 docierają w ciemnościach na łąkę między miejscowościami Unterleummnitz i Heinersdorf. O 1.30 4 dorosłych z pomocą Franka Strelzyka kończy wypakowywać powłokę i osprzęt. Peter kotwiczy w ziemi podłogę gondoli i wiąże z lin prowizoryczną barierkę mającą zapobiec wypadnięciu lotników. Mimo ciemności uciekinierzy sprawnie, szybko rozkładają na trawie powłokę. Peter i Frank montują baterię butli, palnik, dmuchawę, unoszą krawędź czaszy balonu tak, by uchylić otwór prowadzący do jej wnętrza. Peter zapala palnik. Strzela potężny, 2-metrowy huczący płomień. Dmuchawa kieruje go w stronę otworu. Wielka, kolorowa szmata faluje, puchnie, staje się coraz grubsza, Wreszcie przyjmuje kształt maczugi, unosi się w powietrze. 8 uciekinierów wchodzi do malutkiej gondoli, której środek zajmuje 7 dużych butli z gazem. Wszyscy łapią się za ręce i mocno obejmują butle. Nad ich głowami huczy trzymany przez Petera palnik. Gigantyczna czasza balonu, o wysokości 28 m i szerokości 20 m, powoli unosi się w powietrze. Wbrew zapowiedziom, nie pada. Nocne niebo jest czyste, ale wiatr na szczęście wieje z północy. Balon wznosi się na wysokość 2500 m. Nie mija 0,5 godziny, gdy płomień słabnie, cichnie, wreszcie gaśnie. Butle są puste. Balon coraz szybciej opada, widać światła pojedynczych domów. Wreszcie z hukiem uderza o łąkę. Czasza powoli flaczeje i w końcu układa się na trawie. Oszołomieni aeronauci są cali, tylko lekko potłuczeni. Peter Strelzyk i Günter

Wetzel ostrożnie idą w stronę pobliskiej drogi. Nadjeżdża samochód. Zdenerwowali uciekinierzy nie zauważają, że to radiowóz zachodnioniemieckiej policji z bawarską rejestracją. Peter Strelzyk zatrzymuje samochód i ze ściśniętym gardłem pyta: „Czy jesteśmy na Zachodzie?". „Nie – odpowiada osłupiały policjant. – W Górnej Frankonii!"

17 września 1939 ▪ niedziela

Weszli!

O 1.30 wezwany nagłym telefonem niemiecki ambasador w Moskwie Friedrich Werner von der Schulenburg jedzie na Kreml. Punktualnie o 2.00 przyjmuje go w swym gabinecie Stalin, któremu towarzyszą ludowy komisarz spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow i ludowy komisarz obrony Klimient Woroszyłow. Po ciepłym powitaniu Stalin oświadcza, że dziś o 6.00 czasu moskiewskiego Armia Czerwona przekroczy granice Polski na całej linii od Połocka po Kamieniec Podolski. Sowieckie lotnictwo rozpocznie bombardowanie terenów na wschód od Lwowa. Stalin prosi, by w celu uniknięcia incydentów niemieckie samoloty nie latały dalej na wschód niż do linii Białystok–Brześć nad Bugiem–Lwów. Potem odczytuje niemieckiemu ambasadorowi treść noty, która za niecałą godzinę ma być wręczona ambasadorowi Polski w Moskwie Wacławowi Grzybowskiemu.

O 2.15 w Ambasadzie RP w Moskwie dzwoni telefon. Dyżurujący radca Ignacy Jankowski podnosi słuchawkę. Urzędnik z sekretariatu zastępcy ludowego komisarza spraw zagranicznych Władimira Potiomkina domaga się rozmowy z ambasadorem Wacławem

Grzybowskim. Wyrwany ze snu ambasador słyszy, że komisarz Potiomkin wzywa go na godz. 3.00 w celu przekazania bardzo ważnego oświadczenia sowieckiego rządu. Grzybowski uprzedza, że nie spodziewał się nocnego spotkania i może się trochę spóźnić. Przez chwilę deliberuje nad stosownym na tę porę strojem – to przecież już nie wieczór, gdy obowiązuje strój wieczorowy, ale jeszcze nie rano. W końcu wybiera tużurek. Gdy samochód wyjeżdża z bramy ambasady, Grzybowski dostrzega, że zaskoczony milicjant pełniący służbę przed ambasadą pędzi do budki z telefonem. Wezwanie jest naprawdę nagłe, skoro nie zdążono go uprzedzić. Wszystko to nie nastraja ambasadora optymistycznie. Od kilku dni sowiecka prasa, z „Prawdą" na czele, brutalnie atakuje Polskę, zarzucając władzom prześladowanie Białorusinów i Ukraińców.

Potiomkin oczekuje Grzybowskiego w swoim gabinecie. Sztywno wita ambasadora i odczytuje notę sowieckiego rządu. „Wojna polsko-niemiecka ujawniła bankructwo państwa polskiego. W ciągu 10 dni działań wojennych Polska utraciła wszystkie swoje ośrodki przemysłowe i kulturalne. Warszawa nie jest już stolicą Polski (...) rząd radziecki nie może dłużej obojętnie patrzeć na to, jak pokrewne mu narody ukraiński i białoruski, które żyją na terytorium Polski, zostały w stanie bezbronnym pozostawione swojemu losowi. W tych okolicznościach rząd radziecki nakazał dowództwu Armii Czerwonej wydać rozkaz do przekroczenia granicy w celu wzięcia w obronę życia i mienia ludności zachodniej Ukrainy i Białorusi".

Grzybowski kategorycznie protestuje przeciw formie i treści noty i oświadcza, że jest to jednostronne zerwanie istniejących i obowiązujących oba państwa układów, w szczególności zaś zawartego w 1932 roku paktu o nieagresji, którego ważność upływa dopiero w 1945 roku.

– Gdzie jest wasza słowiańska solidarność, o której mówił pan tyle razy? – pyta Potiomkina i od razu dodaje, że w Polsce swój legion do walki z Niemcami formują Czesi, także Słowianie. Napoleon był już kiedyś w Moskwie, ale póki biła się armia Kutuzowa, nikomu nie przyszło do głowy ogłaszanie upadku Rosji, argumentuje dalej Grzybowski.

– Panie ambasadorze, weźmie pan na siebie ciężką odpowiedzialność przed historią w razie nieprzyjęcia dokumentu tak wielkiej wagi – przerywa poirytowany Potiomkin.

– Gdybym zgodził się na przekazanie tej noty swojemu rządowi, byłoby to dowodem braku szacunku nie tylko dla niego, lecz także dowodem, że straciłem szacunek dla rządu sowieckiego – replikuje Grzybowski.

Polskie wojska bronią się przed Wehrmachtem wzdłuż linii Augustów–Białystok–Białowieża–Brześć nad Bugiem–Łuków–Dęblin–Kraśnik–Zamość–Tomaszów Lubelski–Rawa Ruska–Lwów–Borysław–Turka, a na zachód od frontu polsko-niemieckiego ciągle bronią się Warszawa, Hel, Oksywie oraz – nad Bzurą – prawie 140 tys. żołnierzy armii „Poznań" i „Pomorze".

Pod polską kontrolą ciągle pozostaje jedna trzecia powierzchni kraju. Na tym terenie znajduje się ponad 200 tys. żołnierzy, tylko częściowo uzbrojonych i umundurowanych, pozostających nie w składzie regularnych jednostek bojowych, lecz improwizowanych zgrupowań.

Niemal nikt z polskich władz nie spodziewa się sowieckiej inwazji. Wojna z Niemcami spowodowała osłabienie sił broniących wschodniej granicy Rzeczypospolitej. Zgodnie z rozkazem naczelnego wodza wszystkie zmobilizowane na Kresach jednostki bez zwłoki wysyłano na front, przeciwko Niemcom. Bataliony Korpusu Ochrony Pogranicza są przetrzebione ustawicznym

wyciąganiem na front najlepszych żołnierzy i broni maszynowej Na liczącej ponad 1400 km granicy z ZSRR znajduje się tylko 18 batalionów KOP. Wraz z dodatkowymi jednostkami to niespełna 20 tys. żołnierzy. Przeciwko nim Stalin rzuca niemal milion żołnierzy, ponad 4 tys. czołgów i samochodów pancernych, niemal 1000 samolotów. Kilometra granicy bronić ma średnio 10 żołnierzy. I broni.

Pod Husiatynem o 3.00 wybucha gwałtowna strzelanina. Pełniący nocną służbę w strażnicy sierż. Kolendo wysyła w stronę granicy kilka patroli z erkaemami. Tuż przed 4.00 na strażnicę, w której zostało tylko kilkunastu żołnierzy, sypie się lawina strzałów z broni maszynowej i ręcznej. Żołnierze KOP strzelają celnie. Co rusz któryś z napastników pada w trawę i nie podnosi się. Kim są napastnicy? Obrońcy podejrzewają, że mogą to być bandyci albo dywersanci nasłani przez Sowietów. Po 6.00 sierż. Kolendo wraz z 2 żołnierzami schodzi na parter i obrzuca napastników granatami. Po chwili wraca ranny w rękę, ale z sowiecką czapką wojskową i karabinem. A więc to regularne wojska sowieckie!

Opór strażnic KOP rozrzuconych wzdłuż granicy trwa kilka godzin. Potem w głąb kraju wlewają się ogromne kolumny sowieckich wojsk.

Sztab naczelnego wodza marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza stacjonuje w jednej ze szkół na południowym krańcu Kołomyi. O 4.45 do sztabu dociera meldunek mjr. Józefa Bieńkowskiego z placówki wywiadu wojskowego w Czortkowie na Podolu: „Od godz. 3.00 w rejonie Podwołoczysk, Husiatyna i Załucza jakieś nierozpoznane z powodu ciemności oddziały usiłują przekroczyć granicę. W chwili obecnej trwa tam walka oddziałów KOP". 10 minut później kpt. Jerzy Fryzendorf z szefostwa wywiadu KOP alarmuje: „O godzinie 4.20 rozpoznano, że są to regularne oddziały

bolszewickie. Za nimi słychać szum motorów". Szef sztabu Naczelnego Wodza poleca zbudzić marsz. Śmigłego-Rydza, a sam telefonicznie uzgadnia z ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem wysłanie parlamentariusza z pułku KOP „Podole" do najbliższego dowództwa sowieckiego z pytaniem o intencje.

Późnym rankiem intencje Kremla są jasne – to inwazja na wielką skalę, prowadzona podstępnie, pod pozorem niesienia pomocy.

Marsz. Śmigły-Rydz zachowuje kamienny spokój. W pierwszym odruchu chce się bić, rozważa warianty ustawienia obrony przeciw nowemu wrogowi. Potem pojmuje, że słabo uzbrojone oddziały tyłowe i zapasowe nie mają żadnych szans. Najważniejsze teraz to ratować ludzi. Po konsultacjach z rządem wydaje po południu rozkaz dla całego wojska: „Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie się na Węgry i Rumunię najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba że w razie natarcia z ich strony albo prób rozbrojenia oddziałów. Zadania Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami, bez zmian".

W majątku w Różanie na Polesiu Maria Sapieżyna, żona księcia Jana Sapiehy, niespiesznie kończy śniadanie. Jej mąż został w sierpniu zmobilizowany. Jest ciepło, słonecznie. Potem, właściwie bez powodu, Maria Sapieżyna telefonuje do starosty.

– Jeżeli pani stoi, proszę usiąść. Dziś o świcie sowiecka armia wkroczyła do Polski – słyszy. Pospiesznie naradza się ze swoim ojcem Jerzym Zdziechowskim. Oboje postanawiają wyjechać jeszcze dziś z 2 synkami Marii na Litwę, a stamtąd dalej, na Zachód. Do Rumunii jest zbyt daleko. Maria przytomnie zauważa, że jedynym samochodem, osobowym Fiatem (wszystkie samochody z majątku polskie wojsko zarekwirowało jeszcze w styczniu), trzeba wyruszyć po zmroku, by uniknąć ataków niemieckich samolotów. Potem usiłuje przygotować się do wyjazdu, ale nie może się skupić. Błąka

się po pokojach, popatruje na piękne meble i przedmioty, wygładza fałdy obić. Wie, że tu nigdy nie wróci.

Dochodzi południe. Jerzy Zdziechowski wpada zdyszany do saloniku.

– Musimy wyjechać natychmiast! – krzyczy.

Wyjaśnia, że gdy wyszedł na główną drogę, spostrzegł grupki ludzi pokazujących na ich dom. To znak, że szykuje się coś złego.

Biegnąc do stojącego przy bocznym wejściu fiata, Zdziechowski zgarnia ze stołu 2 czerwone porcelanowe kaczuszki, które ongiś podarował córce. Gdy wsiada do samochodu, nadbiegają mężczyźni z pistoletami. Krzyczą, żeby wysiadać, grożą śmiercią za nieposłuszeństwo.

– Cokolwiek zrobicie, zostawcie dzieci w spokoju, nie rozstrzeliwuje się dzieci – prosi głośno Maria Sapieżyna. W niezręcznej ciszy inicjatywę przejmuje kucharz. Zaprasza napastników do domu, na poczęstunek, zachęca, by brali wszystko, od ubrań po broń myśliwską. Wahają się wyraźnie skuszeni perspektywą biesiady na pańskich salonach, ale wciąż celują w fiata. Maria Sapieżyna powoli zbliża się do samochodu, wsiada na miejsce szofera, odsuwa go od kierownicy. Przekręca kluczyk, ale silnik krztusi się i gaśnie. Uciekając w pierwszych dniach wojny na wschód, do Różany, z braku benzyny zatankowała w Brześciu trochę spirytusu metylowego. Za drugim razem samochód zapala. Sapieżyna odjeżdża spod domu. Napastnicy patrzą osłupiali, ale nie strzelają. Po dłuższej chwili uciekinierzy spostrzegają przed sobą spory tłum. Odległość zmniejsza się i Maria Sapieżyna dostrzega strzelby w rękach idących na przedzie mężczyzn. Z tyłu idą kobiety, niektóre z dziećmi na rękach. Rozpoznaje ich twarze. To tutejsi. To dla nich zakładała ochronkę, jeszcze wczoraj na wiejskim zebraniu

obrony cywilnej słuchała z nimi instrukcji, jak zachowywać się podczas bombardowań. A teraz idą ich zabić.

Powrót nie wchodzi w rachubę. Sapieżyna nie zdejmuje nogi z gazu. Ludzie rozstępują się, ciekawie zaglądają do środka. Nagle ktoś rozpoznaje pasażerów. Rozlega się huk wystrzału ze strzelby, potem drugi i kolejne. Na szczęście samochód przeciska się przez gęsty tłum i chłopi muszą strzelać nad głowami ziomków. Wreszcie sprzed maski odskakują ostatni maruderzy. Na szczęście żadnemu z napastników nie przyszło do głowy, by strzelić w oponę. Zdrętwiała z napięcia Maria Sapieżyna odwraca się. Ani jej ojciec, ani dzieci nie są draśnięte. Szofer i bona schowali się na podłodze. Obaj chłopcy są zachwyceni, że właśnie odbyła się zabawa w polowanie. Pan Zdziechowski na pytanie córki, jak się czuje, oznajmia, że został tylko „ukaczony". Ukaczony? A tak, czuł się jak kaczka, do której zewsząd strzelają myśliwi.

Ppor. Włodzimierz Miksa ze 114. Eskadry Myśliwskiej wczesnym rankiem dostaje rozkaz rozpoznania granicy polsko-sowieckiej. W czasie lotu dostrzega olbrzymie kolumny sowieckich czołgów i kawalerii. Ich czołówki są ponad 50 km w głębi Polski. Strzelać nie może, ale zawsze da się ich postraszyć. Ppor. Miksa 4 razy nadlatuje na sowiecką kawalerię lotem koszącym, kilkanaście metrów nad ziemią. Konie płoszą się, zrzucają jeźdźców. Sprzężone poczwórnie i poszóstnie przeciwlotnicze karabiny maszynowe zainstalowane na taczankach zanoszą się ogniem. Ppor. Miksa szczęśliwie jednak wraca na lotnisko. Składa raport swemu dowódcy płk. Stefanowi Pawlikowskiemu, potem dowódcy lotnictwa gen. Józefowi Zającowi.

Późnym rankiem policjant Stefan Pelc obserwuje przez lornetkę z balkonu posterunku Policji Państwowej w Nadwórnej, jak 3 sowieckie samoloty bombardują odległą o parę kilometrów stację

kolejową Tarnowica Leśna. Nagle zza chmur wyskakuje polski myśliwiec. Zestrzeliwuje 2 sowieckie bombowce. Trzeci ucieka na wschód. Komisarz policji Nickles jedzie samochodem do Tarnowicy. Po godzinie wraca z 2 rannymi sowieckimi lotnikami. Odwozi ich do szpitala powiatowego w Nadwórnej.

Po południu gen. Zając wydaje rozkaz odlotu wszystkich maszyn do Rumunii.

W domu rodzinnym pisarza Stanisława Vincenza w Słobodzie Rungurskiej na Huculszczyźnie domownicy codziennie słuchają radia. O wejściu Armii Czerwonej Vincenz dowiaduje się już rankiem. Niemal natychmiast podejmuje decyzję: wraz ze starszym synem, pracującym w Anglii nad doktoratem z fizyki, który niedawno przyjechał na wakacje, oraz z goszczącymi tu przyjaciółmi – literatem z Warszawy i oficerem wojska polskiego, najdalej jutro przekroczą nieodległą granicę z Węgrami. Vincenz wychodzi na spacer do parku. Długą aleją idzie w stronę kościółka. Kończy się msza i ze świątyni wysypują się dzieci, za nimi dorośli. Nikt z nich jeszcze nie wie.

Vincenz wraca do domu, do swego 80-letniego ojca. Tłumaczy, dlaczego musi wyjechać. Uspokaja. Staruszek ofukuje go:

– Mnie to nic! Hunowie stąd, Hunowie stamtąd, a ja gwiżdżę! – plany syna komentuje krótko: – Szkoda, ale trzeba. A nie spaceruj przez granicę tędy i owędy.

Stanisław żegna się z nim.

– No, czekaj jeszcze chwilkę – prosi ojciec, ale zaraz dodaje: – Nie, nie, idź, bo późno.

Tuż przed wymarszem Vincenz zabiera się do palenia swoich książek. Czuje, że kolekcja emigracyjnych książek ukraińskich i rosyjskich, wydawanych głównie w Niemczech, może napytać kłopotów. Niektórzy z domowników odradzają palenie: przecież nie

jesteśmy obywatelami sowieckimi, więc nawet jeśli Sowieci będą okupować nasz kraj, nie mają do nas żadnego prawa.

Z majątku Ignatowo koło Rakowa w pogodne noce widać łunę nad odległą tylko o 40 km stolicą sowieckiej Białorusi – Mińskiem. O świcie właściciela Ignatowa Stefana Kurbskiego budzi strzelanina i warkot silników. Kurbski czym prędzej jedzie do Rakowa zorientować się w sytuacji. Ale tam jest już czołówka sowieckiego oddziału zmotoryzowanego. Sołdaci aresztują go. Na szczęście sowiecki dowódca pyta mieszkańców, czy Kurbski to dobry człowiek. Ludzie lubią go tu i czym prędzej zbierają podpisy na petycji o uwolnienie. Oddział operacyjny NKWD jeszcze się nie pojawił i petycję dostaje dowodzący tu *komandir*. Zwalnia Kurbskiego i na stronie pyta go, czy ma tu majątek. Kurbski potwierdza. *Komandir*, patrząc mu w oczy, radzi, by zabrał stąd rodzinę. Kurbski wszystko rozumie w lot, ucieka z najbliższymi na zachód.

W majątku Nowosiółki koło Oszmiany wiesza się hrabia Franciszek Czapski. Doskonale zna bolszewizm z czasów rewolucji i wojny 1920 roku i nie ma złudzeń, co go czeka.

W miasteczku Dokszyce, w powiecie Dzisna, zajętym przez Sowietów już o 4.00, po paru godzinach NKWD aresztuje sędziego grodzkiego Sergiusza Stankiewicza, burmistrza Jana Górę, kapitana KOP Waligórskiego. Wszędzie po wkroczeniu sowieckich oddziałów zaczynają się aresztowania policjantów, żandarmów, urzędników, funkcjonariuszy KOP. Ci z branych do niewoli oficerów WP, którzy pamiętają okrucieństwa bolszewickie w 1920 roku, odpruwają naszywki, wyrzucają dokumenty i udają szeregowców. NKWD pilnie tropi ukrywających się oficerów, sprawdza dłonie. Białe, delikatne to pewne aresztowanie.

Do Tarnopola sowieckie oddziały wkraczają późnym południem. W urzędzie wojewódzkim od rana trwają gorączkowe narady. Zwycięża pogląd, że trzeba zachować ciągłość polskiej władzy administracyjnej i wystąpić przed Armią Czerwoną jako gospodarz. Do tej misji urzędnicy wybierają radcę Czesława Oleszę, który pochodzi z Wileńszczyzny i świetnie mówi po rosyjsku. Radca po namyśle wkłada frak, cylinder i służbowym samochodem wyjeżdża do Borków Wielkich, 20 km na wschód od Tarnopola, kwatery dowódcy Frontu Ukraińskiego komandarma I. rangi Siemiona Timoszenki. Ale Olesza okazuje się rogatą duszą: składa oficjalny protest przeciwko pogwałceniu przez ZSRR polsko-sowieckiego paktu o nieagresji. Timoszenko rozkazuje zamknąć bezczelnego radcę w chlewie. Ale nie w ciemię bity Olesza uprasza eskortujących go sołdatów, by pojechali z nim do mieszkania w Tarnopolu przy ul. Tarnowskiego. Tłumaczy, że chce się przebrać, i daje do zrozumienia, że eskorta będzie miała co brać. Idzie do toalety, przeciska się przez okienko, wyskakuje na ulicę i czym prędzej ucieka na zachód.

18 września 1970 ▪ piątek

W czerwonym winie

Jimi Hendrix i jego narzeczona Monika Danneman nie zauważają, że mija północ. Zajęci są sobą. Za nimi całkiem niezły dzień: włóczenie się godzinami po Londynie, przesiadywanie w kafejkach, zakupy. Wrócili do mieszkania Moniki w dzielnicy Notting Hill wieczorem, o 20.30. Hendrix mieszka u Moniki, ale w trasy koncertowe wyrusza sam. Niebieskooka blondynka z Niemiec, była

łyżwiarka figurowa, miała czekać na jego powrót. I czekała cierpliwie, choć o nieustannych, grupowych damskich podbojach słynnego wirtuoza gitary krążyły po świadku muzycznym niesamowite, smakowite opowieści.

Teraz ma go jednak tylko dla siebie. Po powrocie Monika ugotowała spaghetti. Wypili butelkę wina, rozmawiali o przyszłości, o małżeństwie. Potem przygotowali kąpiel i zanurzyli się w wannie. Jimi umył Monice włosy i przenieśli się do łóżka.

Czas płynie leniwie, oboje nieustannie popijają. Dochodzi 2.00, Hendrix zbiera się w garść i oznajmia Monice, że musi wyjść na spotkanie ze znajomymi. Prosi ją, by go odwiozła. Na miejscu umawia się z Moniką, że wróci po niego za mniej więcej godzinę. Ze znajomymi Hendrix popala marihuanę, zażywa amfetaminę, pije wino. O umówionej porze Monika przyjeżdża i zabiera Jimmiego do domu. Hendrix pokazuje jej fiolkę z jakimiś narkotykami, które dostał od znajomych, i wyrzuca je. Monika przygotowuje mu kanapkę z tuńczykiem. Popijają wino i idą do łóżka. Potem słuchają muzyki, znów piją wino. Do snu zbierają się dopiero o 7.00. Monika bierze proszki nasenne i zasypia od razu. Z Hendrixem nie jest tak prosto. Pobudzony amfetaminą, nie może zasnąć. Łyka 9 pigułek środka usypiającego vesparax i poprawia pigułką innego barbituratu, seconalu. Wreszcie zasypia.

Monika budzi się o 10.20. Nie ma już papierosów i zbiera się do wyjścia. Wie jednak, że Jimi nie cierpi, gdy wychodzi z domu ukradkiem. Wraca do niego, by powiedzieć, że wyskakuje tylko na chwilkę. Hendrix śpi. Monika budzi go, ale bezskutecznie. Dostrzega ślady wymiocin w jego ustach i w nosie. Jimi rzęzi. Monika potrząsa nim, ale Jimi jest nieprzytomny. Spanikowana, dzwoni do przyjaciela Hendrixa piosenkarza Erica Burdona. Potem do kolejnych przyjaciół i znajomych. Radzą jej, by czym prędzej

usunęła z mieszkania narkotyki Jimiego i wezwała pogotowie. Monika niezbornie miota się w poszukiwaniu prochów, wreszcie dzwoni po karetkę.

Lekarz zjawia się w mieszkaniu o 11.20. Przy łóżku zauważa opakowanie po środku nasennym, w którym brakuje 9 pigułek. Sanitariusze i Monika wyprowadzają konającego muzyka jak człowieka w pełni przytomnego, w pozycji pionowej, trzymając go pod ramionami. Jest prawie nagi, tylko na biodrach ma jakąś bieliznę, a dookoła szyi owiniętą bluzę. Głowa Hendrixa bezwładnie opada. Karetka jedzie do St. Mary Abbots Hospital na Kensingtonie 25 minut. W szpitalu sanitariusze przekładają Jimiego na wózek i wiozą do wielkiego pomieszczenia na wydziale przyjęć.

Doktor John Bannister nie wyczuwa tętna. Zauważa ślady wymiocin w ustach i w nosie. Gdy próbuje usta i nos oczyścić, wylewa się z nich czerwone nieprzetrawione wino. Dr Bannister, jeszcze jeden lekarz i zespół pielęgniarek biorą się do roboty. Metalową ssawką długości 46 cm lekarze usiłują oczyścić drogi oddechowe, ale zaraz zalewa je czerwone wino z żołądka Jimiego. Podłączają monitor i stwierdzają, że akcja serca ustała.

Po półgodzinie lekarze poddają się. Nie mają pojęcia, że leżący przed nimi niespełna 30-letni, półnagi, martwy Murzyn z kędzierzawą fryzurą afro był geniuszem gitary, być może najwybitniejszym gitarzystą rockowym wszech czasów, artystą, który zrewolucjonizował grę na tym instrumencie. Konstatują, że nieznany mężczyzna nie zmarł wskutek zażycia tabletek nasennych; 9 pigułek to dawka duża, ale nie śmiertelna. Dr Bannister uznaje, że po wzięciu tabletek zmarły musiał dostać odruchu wymiotnego. Ale wskutek działania tabletek był bardzo senny i nie koordynował swych odruchów – w czasie wymiotowania czerwonym winem

wykonywał jednoczesne wdechy. Udusił się własnymi wymiocinami.

O śmierci gwiazdy szybko dowiadują się londyńscy reporterzy. Wieczorem stateczny „The Times" kończy przygotowywać do druku artykuł *Główna figura w rozwoju muzyki pop*: „Jimi Hendrix, muzyk pop, zmarł wczoraj w Londynie. Jeżeli Bob Dylan był człowiekiem, który zliberalizował muzykę pop werbalnie do granicy, poza którą można mieć do czynienia tylko z afektacją nastolatków, to Jimi Hendrix był daleko bardziej odpowiedzialny za wszelką muzyczną metamorfozę, którą przeszła ona w ostatnich trzech latach [...]. Jego gra była zakorzeniona w bluesowym podejściu B.B. Kinga, ale została unowocześniona przez użycie wzmacniacza jako narzędzia muzycznego. Często komponował swą grę z pasm dźwięków sprzężenia zwrotnego, splatających się nad swobodnie ulatującym basem i perkusją. Cały dźwięk grupy Hendrixa, luźny, improwizowany i boleśnie głośny, był całkowicie rewolucyjny i natychmiast zderzył się z graniem współczesnych gitarzystów. Jako śpiewak i kompozytor był jednym z pierwszych czarnych muzyków, którzy spożytkowali urządzenia elektroniczne oferowane przez muzykę rockową, a jego pieśni i głos, będące pod poważnym wpływem Dylana, stworzyły być może pierwszą skuteczną fuzję bluesa i białego popu".

Pogrzeb Jimiego Hendrixa

19 września 1454 ▪ wtorek

Zabieramy króla i w nogi!

Wielki obóz wojsk polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka budzi się o świcie. To praktycznie całe miasto, tyle że ruchome. Wokół ponad 2 tys. wozów taborowych i niewielu mniej namiotów krzątają się słudzy i obozowe ciury, dymią już setki ognisk. Wszędzie stoją rozkulbaczone konie – 16 tys. jazdy dysponuje niemal 20 tys. wierzchowców, do tego jeszcze parę tysięcy koni

pociągowych, do wozów. Szczęk szykowanej broni, kotłów do gotowania miesza się z rżeniem koni i nawoływaniami ludzi. Ale w polskim obozie nie ma ani radosnego podniecenia, jakie rycerstwu, zawodowym zabijakom, towarzyszy zawsze przed bitwą. Nie ma też poczucia, wielkiego i uskrzydlającego, że niedługo przyjdzie zmierzyć się z wrogiem w słusznej walce o wszystko – o swego króla, o ziemie królestwa, o rodzinę i rodzinne włości – uczucia, które nie tak znowu dawno temu, bo przed 44 laty, niczym rwąca rzeka niosło pod Grunwaldem do boju ojców i dziadów krzątających się teraz wokół swych wozów zbrojnych. Ba, ale na polskich ziemiach od grunwaldzkiej bitwy minęło po prawdzie dużo więcej czasu niż te odkreślone w kalendarzach 44 lata – minęła cala epoka. Gdzieś znikły rycerskie ideały, teraz najważniejsza jest nie wojaczka pod królewskimi sztandarami, ale liczą się pilne doglądanie swych pól i pilnowanie, czy leniwi kmiecie aby nie uchylają się od pracy. Rycerze niepostrzeżenie zamienili się w szlachtę – niepostrzeżenie także dla samych siebie, bo wierzą święcie, że od zwycięzców spod Grunwaldu nie różni ich zaiste nic.

Ale różni, różni. W domu, w wolnych chwilach, już nie ćwiczą się w wojennym rzemiośle, teraz myślą o plonach. Nie śnią się im dalekie zwycięskie wyprawy, lecz intratna sprzedaż ziarna z ostatnich zbiorów. Dla swego interesu potrafią nawet w obliczu wroga zaszantażować swego monarchę.

Przed 0,5 rokiem z okładem, w lutym, szlachta i mieszczaństwo Państwa Zakonnego, od dawna buntujące się przeciw uciskowi zakonu, zerwały się do powstania i poprosiły króla Polski Kazimierza Jagiellończyka o włączenie Prus do Korony. 2 tygodnie później polski monarcha zagrał *va bavque*: wypowiedział zakonowi wojnę, a chwilę później podpisał akt inkorporacji Prus. Pruscy powstańcy też nie zasypiali gruszek w popiele: w ciągu miesiąca

opanowali niemal cały kraj – w rękach rycerzy zakonnych pozostają już tylko Malbork, Sztum i Chojnice.

Dziarski Kazimierz Jagiellończyk jest w istocie słaby. Królewski skarb świeci pustkami (Kazimierza nie stać nawet na utrzymanie swego dworu), więc z braku pieniędzy na wyszkolone, zdyscyplinowane wojska zaciężne król musi polegać na niekarnym, nędznie wyszkolonym pospolitym ruszeniu. Gdy zakon zmobilizował w krajach niemieckiej Rzeszy 2 świetnie wyszkolone i wyposażone armie zaciężne, większą, liczącą 9 tys. jazdy i 6 tys. piechoty, pod wspólnym dowództwem wybitnych wodzów Bernarda Szumborskiego i księcia żagańskiego Rudolfa, oraz mniejszą, pod wodzą mistrza zachodniej gałęzi zakonu Josta von Venningena, król Kazimierz Jagiellończyk nie miał wyboru – musiał zwołać pospolite ruszenie z Wielkopolski. Z braku czasu monarcha nawet nie próbował, wbrew obowiązującemu zwyczajowi, uzyskać zgody na mobilizację pospolitego ruszenia na sejmikach ziemskich i na sejmie prowincjonalnym. Oderwana od żniw szlachta wielkopolska, co prawda, przybyła do obozu w Cerekwicy tłumnie, ale zaraz wykorzystała fatalną sytuację króla – a tym samym swego królestwa! – i przed 5 dniami wymogła na monarsze przywilej dopuszczający sejmiki do stanowienia nowych ustaw i zwoływania pospolitego ruszenia.

Pod presją rozjuszonej szlachty król popełnił tamtego dnia poważny błąd – dowództwo nad podzieloną na 7 hufców armią powierzył głównie możnym wielkopolskim, słabo doświadczonym w rzemiośle wojennym, a pominął kilku obecnych u jego boku świetnych dowódców z Małopolski.

Przedwczoraj polska armia dotarła spod Cerekwicy pod nieodległe Chojnice, od pewnego już czasu oblegane przez oddziały

Związku Pruskiego, wsparte przez niewielkie posiłki króla Kazimierza.

Niekompetentni wielkopolscy dowódcy, na wieść o zbliżaniu się od zachodu krzyżackiej odsieczy, rozbili obóz na wschodnim brzegu długiej kotliny, w której leżą Chojnice, otoczone od północy Jeziorem Zielonym, od południa zaś – Jeziorem Zakonnym i dalej ku północy bagnem Heebruch. Obóz wojsk królewskich leży nad jedyną, poza murami miasta, groblą łączącą przez skraj Jeziora Zakonnego oba brzegi kotliny. Na wczorajszej radzie wojennej wielkopolscy dowódcy, dufni w swe siły, przekonali króla, by nie wzywał na pomoc swych oddziałów nadwornych spod Malborka i by odrzucił przytomną radę czeskich oficerów oddziałów zaciężnych, żeby pozwolić wejść armii krzyżackiej do Chojnic, a potem zamknąć pierścień oblężenia i zagłodzić kilkanaście tysięcy żołnierzy w niewielkim, pozbawionym prowiantu mieście. Co gorsza, dowódcy wielkopolscy zwinęli oblężenie Chojnic i pozostawili polski obóz nieosłonięty od strony miasta.

Miary ich nieudolności dopełnia nędzne rozpoznanie przeciwnika. Polscy dowódcy nie wiedzą, że armia Bernarda Szumborskiego i księcia Rudolfa jest jeszcze daleko, i wczesnym rankiem ustawiają swe szyki pod bronią na prawym brzegu Jeziora Zakonnego, naprzeciw wjazdu na groblę. W pierwszej linii staje liczący 500 jeźdźców ciężki hufiec czelny, mający przełamać linie zakonne. Mija godzina, druga, trzecia, czwarta, a wroga jak nie było, tak nie ma. Konie i opancerzeni jeźdźcy ledwie zipią.

Wreszcie o 15.00, po wielu godzinach bezsensownego czekania w szyku bojowym, udręczeni, otępiali ze zmęczenia koronni rycerze dostrzegają pierwsze oddziały zakonne pojawiające się na wysokim brzegu za drugim końcem grobli. Na ich czele jedzie Bernard Szumborski. Znakomity wojownik od razu dostrzega rozgardiasz

w szeregach wojsk królewskich i choć do zmierzchu zostały niepełne 2 godziny, decyduje się bić. Zamierza wciągnąć polskie wojska w pułapkę – rozkazuje markować swej nielicznej jeździe niepewność i niekarność. Polscy dowódcy, choć w szeregach pospolitego ruszenia na widok jazdy zakonnej pojawiły się nastroje paniki, połykają haczyk: dają rozkaz do frontalnego uderzenia, przez groblę. Król nie oponuje. Pierwsi ruszają zaciężni Czesi pod Wojciechem z Postupic, potem hufiec czelny i kolejne hufce. Szumborski nie kontratakuje, pozwala Polakom przejść przez wąską groblę, by później nie mieli gdzie uciekać. Krzyżacy stoją w górze w równych szeregach i śpiewają bojową pieśń zakonu *Krist ist erstanden* (Chrystus zmartwychwstał). Czują, że dziś czeka ich wielki tryumf.

Ale co się dzieje? Polski hufiec czelny ciężko galopuje pod górę, po zboczu kotliny, ledwie zipie, ale mimo to rozbija hufiec czelny zakonu, otacza go. Polscy rycerze dokonują rzeczy niemożliwej: mimo że wspinają się po stromym zboczu, na szczycie rozbijają także pierwszą linię wroga. Pod ciosami polskich rycerzy giną 3 dowódcy krzyżaccy: kontyngentu austriackiego – Bernard Aschpan, czeskiego – Wischkowitz, oraz głównodowodzący książę Rudolf Żagański. Rtm. Mikołaj Skalski bierze do niewoli samego Bernarda Szumborskiego, skądinąd swego krewniaka. Część jazdy krzyżackiej rzuca się do ucieczki.

Zwycięstwo! Drugi Grunwald!

No, jednak nie. Po drugiej stronie Jeziora Zakonnego z Bramy Gdańskiej Chojnic wyjeżdża galopem 500 rycerzy zakonnych załogi miasta. Wpadają do niebronionego polskiego obozu, bezkarnie sieką czeladź, łupią.

Łupią!

Gdy wieść ta przemyka jak błyskawica przez groblę do zwyciężających już królewskich hufców, panów szlachtę ogarnia bezbrzeżne przerażenie. Krzyżacy rabują nasz obóz? Rabują mój wóz, z moim dobytkiem!?

Setki jeźdźców miast dobić pierzchającego, pozbawionego dowódców wroga, po prostu zawracają w zamęcie bitwy i pędzą w stronę grobli ratować swój obozowy majątek. Tak po prostu porzucony Bernard Szumborski wsiada na konia i znów obejmuje dowództwo nad zakonnymi. Teraz Krzyżacy rżną swych pogromców sprzed paru minut, teraz tysiące Polaków uciekają gdzie pieprz rośnie, dosłownie w 4 strony świata. A na ich czele jeden z głównodowodzących – wojewoda Stanisław Ostroróg z całym swym hufcem i chorągwią. Krzyżacy kładą trupem królewskiego podkanclerzego Piotra ze Szczekocin, zdobywają przy nim królewski sygnet do pieczętowania oficjalnych pism. Setki Polaków uciekają na bagna, gdzie w zapadającym zmroku toną.

Ludzie Szumborskiego przeprawiają się fatalną groblą i wyrzynają niedobitki w okolicach obozu. Giną ponad 3 tys. podwładnych polskiego monarchy, w tym syn sławnego rycerza Zawiszy Czarnego – starosta kolski Jan z Rożnowa. Do niewoli dostaje się zaś ponad 300 rycerzy m.in. 2 nieudolni wielkopolscy dowódcy: Mikołaj Szarlejski i Łukasz Górka.

Jednym z nielicznych, którzy biją się twardo, jest sam król. W zapadających ciemnościach królewski podkomorzy Dominik Kazanowski łapie królewskiego rumaka za ogłowie, wyciąga z zamętu bitwy i wraz z monarchą ucieka w mrok. Jeśli naprawdę w tej bitwie ma chodzić przede wszystkim o ratowanie majątku, to majątkiem największym Korony jest przecież Kazimierz Jagiellończyk.

20 września 1926 ▪ poniedziałek

Polski zajazd w Chicago

Krótko po 12.00 wokół restauracji Hawthorne w miasteczku Cicero, nieco na zachód od Chicago, zaczyna się dyskretny ruch. W pobliżu parkuje parę samochodów, na chodniku przed knajpą pojawiają się mężczyźni w kapeluszach i w luźnych płaszczach. Kilku z nich wchodzi do restauracji i zajmuje miejsca za stolikami. Wreszcie pojawia się 2 najważniejszych gości – rozglądają się uważnie i zajmują stolik pod ścianą, daleko od okien na ulicę. Siadają plecami do ściany, twarzą do drzwi wejściowych. To Al Capone i jego osobisty ochroniarz Frank Rio. Capone przyszedł na lunch; potem ma spotkanie z gangsterem Louisem Barko.

Cicero w świecie chicagowskiej mafii to tereny gangu Capone'a. Przed 3 laty mafijna organizacja kierowana wtedy jeszcze przez Torrio i Capone'a zawładnęła Cicero i odtąd w miasteczku nielegalnie leje się tylko whisky dostarczana przez jej ludzi. Gang Capone'a zainwestował w Cicero w nieruchomości – należy doń m.in. hotel Anton przy szerokim bulwarze West 22nd Street, przy którym, w tej samej pierzei domów o numerze 4800, znajduje się restauracja Hawthorne. Hotel Anton to nie tylko świetna pralnia pieniędzy, ale i dobry biznes, bo nieopodal, w parku Hawthorne, znajduje się znany i popularny tor wyścigów konnych. Właśnie zaczyna się na nim sezon gonitw.

Choć to poniedziałkowe południe, w restauracji Hawthorne jest prawie pełno – w sali siedzi ponad 60 gości.

Hawthorne to ulubiona knajpa Capone'a, a Rio to jego ulubiony ochroniarz. Reszta mężczyzn, którzy się tu właśnie pojawili, to też

ochroniarze Capone'a – ci na ulicy skrywają pod płaszczami pistolety maszynowe Thompson i śrutowe strzelby.

Nikt z ochrony Capone'a nie zwraca uwagi na niepozornego mężczyznę, o 13.10 wchodzącego do budki telefonicznej nieopodal restauracji Hawthorne. Nieznajomy dzwoni krótko i znika.

W chwilę później na bulwarze pojawia się samochód wyglądający jak auto policyjne. Zamontowana na dachu syrena hałasuje donośnie. Nagle buczenie policyjnego alarmu zagłusza seria z pistoletu maszynowego Thompson. Potem, bliżej, druga.

Frank Rio jednym ruchem ramienia przewraca Capone'a wraz z krzesłem na podłogę. Rozlane drinki i zupa ściekają ze stołu na garnitur Capone'a. Rio wyciąga rewolwer i czeka, co dalej.

Jest czujny i nieufny, bo w Chicago od 2 lat trwa krwawa wojna rodzin mafijnych.

Dodanie w roku 1920 18. poprawki do amerykańskiej konstytucji, wprowadzającej w kraju całkowitą prohibicję, otworzyło przed dość słabymi do tamtej pory i niezbyt bogatymi grupami przestępczymi oszałamiające perspektywy. Nielegalna produkcja whisky i piwa oraz ich sprzedaż w potajemnych knajpach przynosiły zyski, o jakich wcześniej lokalnym bandytom, zarabiającym na prostytucji, wymuszeniach, nielegalnym hazardzie, nawet się nie śniło. Po wprowadzeniu prohibicji przestępcy w mig zdobywali fortuny, które umożliwiały ekspansję ich gangów, opłacanie policji, sędziów i lokalnych polityków, wreszcie inwestowanie w legalne, poważne interesy.

Jeden z głównych graczy chicagowskiego podziemia, Johny Torrio, pojawił się na początku prohibicji jako przyboczny potężnego włoskiego mafiosa Big Jima Colosimo. Torrio sprowadził do pomocy z Brooklynu początkującego gangstera Alfonso Capone. Ich mafijna rodzina szybko zdobyła w Chicago dominującą pozycję.

Ale miała też niebezpiecznych konkurentów. Włoska dzielnica miasta, zwana Little Italy, stała się twierdzą gangu braci Angelo, Antony'ego i Mike'a Gennów. Byli to gangsterzy mściwi i nawet jak na standardy mafijnego podziemia – brutalni. Byli także bogaci – Little Italy szybko stało się zagłębiem wielkich nielegalnych gorzelni i browarów, bo włoska społeczność w Chicago potrafiła milczeć przed ludźmi z zewnątrz.

Trzecim liczącym się graczem w chicagowskim podziemiu stał się gang North Side.

Stworzył go charyzmatyczny irlandzki łobuziak i rzezimieszek Dean O'Banion. Zaczynał jako herszt niezależnej grupy zbirów wynajmujących się do niszczenia towaru albo pobicia konkurencji. Zdemolowanie kiosku z gazetami, straganu z bułkami czy warzywami albo sklepu z odzieżą to był ich żywioł. Kto wie, czy O'Banion zaszedłby wysoko w podziemnym światku, gdyby nie zaprzyjaźnił się z nastoletnim polskim chłopakiem Earlem Wojciechowskim.

Rodzice Earla pochodzili z Buffalo w stanie Nowy Jork. On sam urodził się już po ich przeprowadzce do Chicago. Później ojciec Earla zmienił nazwisko na Weiss. Gdy chłopak już serio terminował w młodzieżowym półświatku na ulicach Chicago, koledzy obdarzyli go przydomkiem Hymie – dla najbliższych pozostał jednak Earlem.

Hymie Weiss brzmiało bardzo po żydowsku, ale Wojciechowski pozostał żarliwym katolikiem, co dodatkowo zbliżało go do O'Baniona.

Starszy o 6 lat Dean stał się opiekunem i przyjacielem Wojciechowskiego. Polak odwdzięczał mu się bezgranicznym przywiązaniem. Przed 10 laty ekipa O'Baniona zarabiała, przede wszystkim wynajmując się innym gangom do rabowania kas pancernych. Specem od wysadzania sejfów nitrogliceryną stał się

Wojciechowski. Dopiero prohibicja otworzyła przed młodzieniaszkami O'Baniona oszałamiające perspektywy finansowe. North Side nabrał wiatru w żagle.

30-letni O'Banion miał styl i klasę. Jako jeden z pierwszych rzezimieszków odkrył, że z thompsonem pod pachą można skutecznie przekonać wyborców, by głosowali na tego, kogo się im wskaże. Tak zbudował sieć uzależnionych od siebie chicagowskich polityków. Od innych gangsterów odróżniał się lojalnością wobec swoich ludzi – to było dlań zawsze najważniejsze, ważniejsze nawet niż pieniądze. To dlatego nie tylko Wojciechowski, ale wszyscy gangsterzy z North Side za swoim szefem skoczyliby w ogień.

Po nocnych dostawach gorzały i krwawych rozprawach O'Banion relaksował się w roli prostego kwiaciarza. Kupił reprezentacyjną kwiaciarnię przy North State Street i osobiście obsługiwał klientów, układając im gustowne wiązanki.

Wielką wojnę rodzin mafijnych zaczęli bracia Genna, zmuszając knajpiarzy w dzielnicach kontrolowanych przez North Side do kupowania od nich nielegalnego alkoholu. O'Banion odpowiedział porwaniem jednego z transportów whiskey Gennów.

W listopadzie 1924 roku do kwiaciarni O'Baniona wszedł z 2 kompanami Mike Genna po odbiór kwiatów na grób zmarłego sycylijskiego bossa mafijnego. O'Banion podał mu rękę, Genna przytrzymał ją, uniemożliwiając sięgnięcie po broń, a jego towarzysze zastrzelili Irlandczyka.

Po śmierci O'Baniona na czele gangu North Side stanął Polak. Wojciechowski zaczął od Capone'a. W styczniu 1925 roku samochód z Wojciechowskim, Druccim i „Bugsy" Moranem podjechał do auta, z którego dosłownie chwilę wcześniej wysiadł Capone i wszedł do jednej ze swych firm. Rewolwerowcy North Side nie zauważyli tego i z bliska ostrzelali samochód z thompsona. Dwaj ochroniarze

Capone'a uratowali się, przytomnie padając na podłogę auta; kierowca został ciężko ranny. Capone mógł mówić o ogromnym szczęściu.

Ten zamach był charakterystyczny dla North Side – jego szefowie, inaczej niż reszta mafijnych wielkich szych, nie wysługiwali się zawodowymi zabójcami, lecz sami, z ochotą, brali udział w zamachach.

2 tygodnie po akcji na Capone'a trio Wojciechowski, Drucci, Moran uderzyło w Johna Torrio. Gdy wracał z żoną z zakupów, 3 szefów North Side czekało już w samochodzie przed domem, w którym Torrio miał luksusowy apartament. Wojciechowski z obrzynem i „Bugs" Moran z pistoletem w ręku ruszyli za idącym do domu Torrio. Wojciechowski po drodze paroma strzałami rozniósł ochroniarza ofiary w samochodzie. Torrio nie dobiegł do drzwi wejściowych – kilka razy trafiony, padł na bruk. Moran przystawił mu lufę do głowy i nacisnął spust, ale skończyły mu się naboje. W tym momencie ubezpieczający zamachowców za kierownicą Vincent Drucci na widok jakiegoś nadjeżdżającego auta nacisnął klakson – był to znak, że niezależnie od sytuacji trzeba natychmiast zmykać. Torrio ciężko ranny przeżył i nawet nie stracił rozsądku – gdy tylko pozbierał się ze zdrowiem i zaliczył niezbyt długą odsiadkę za stare grzeszki, wyjechał na stałe do Europy.

Po paru miesiącach trójca aniołów zagłady z North Side dopadła Angelo Gennę i poszatkowała go z pistoletów maszynowych.

Rodzina Genna, chcąc pomścić brata, wciągnęła ludzi Wojciechowskiego: Morana i Drucciego, w pułapkę. Obu gangsterom z North Side udało się, gęsto ostrzeliwując, uciec. Samochód z ekipą uderzeniową gangu Genna zaczęli ścigać policjanci. Gangsterzy zastrzelili 2 oficerów policji, ale w końcu jeden z funkcjonariuszy zagonił Mike'a Genna na podwórko bez

wyjścia. Genna z bliska wycelował ze strzelby w jego głowę, ale nie strzelił – skończyła mu się amunicja. Prześladująca chicagowskich mafiosów plaga braku amunicji w decydujących momentach kosztowała Gennę życie – ocalony policjant spokojnie strzelił mu w tętnicę.

Trzeciego z Gennów zastrzelili wkrótce potem likwidatorzy Capone'a, który przejął gangsterskie imperium zbiegłego Johna Torrio.

Wojciechowski i Capone podzielili się terytorium rodziny Genna.

Wtedy przyszedł czas na rozprawę między nimi.

Pierwszy krok zrobił, w stylu Borgiów, Wojciechowski. Porwał szefa kuchni ulubionej włoskiej knajpy Capone'a i zażądał, by dosypał na jego talerz truciznę. Włoch odmówił. Jego lojalność, a może i zawodowy honor kosztowały go gardło. Wojciechowski nie cierpi ludzi, którzy odmawiają oddania mu przysługi.

W rewanżu ekipa rewolwerowców Capone'a pod wodzą Louisa Barko miesiąc temu dopadła Wojciechowskiego idącego pieszo z Druckim, by wręczyć łapówkę miejskim urzędnikom. Napastnicy strzelali z samochodu, szefowie North Side bronili się zza jakiegoś zaparkowanego pojazdu. Gdy walczącym gangsterom – który to już raz?! – nagle skończyła się amunicja, przyjechali policjanci i bez problemów zgarnęli całe towarzystwo.

Nie na długo. Po południu matka Wojciechowskiego przydźwigała na posterunek policji 5 tys. dolarów kaucji.

Po ruchu Capone'a przyszedł czas na posunięcie Wojciechowskiego.

Na bulwarze samochód policyjny mija z dużą prędkością restaurację Hawthorne i pędzi dalej, w stronę nieodległej granicy między Cicero a Chicago. Serie z thompsona słychać coraz ciszej, wreszcie milkną.

Capone, tak jak i inni goście, unosi głowę. Szyby knajpy są całe, więc do restauracji nikt nie strzelał.

Ci z gości, którzy nie dali od razu nogi bocznymi drzwiami, wstają z podłogi i podchodzą do witryn restauracji, by zobaczyć, o co chodziło w tym rajdzie samotnego wozu policji. Podnosi się też i Capone, strząsa brudy z garnituru i podchodzi do drzwi Hawthorne. Już, już ma wyjrzeć na bulwar, gdy Rio jednym susem dopada go, przewraca na podłogę i wciąga pod stół. Potem ochroniarz kładzie się na swoim szefie.

Instynkt podpowiedział Frankowi Rio, o co chodzi z tym dziwnym przejazdem policji i strzelaniną nie wiadomo do kogo.

To fortel wymyślony przez Vincenta Drucciego. Z samochodu strzelano ślepymi nabojami właśnie po to, by zaintrygowany Capone wyjrzał z knajpy na bulwar.

Teraz bulwarem podjeżdża niespiesznie kolumna 10 solidnych samochodów osobowych. W każdym siedzi co najmniej 4 mężczyzn. W każdym szyby są opuszczone. Pierwsze auto zatrzymuje się przed wejściem do Hawthorne. Przez otwarte okna limuzyny wysuwają się lufy strzelby śrutowej i pistoletów maszynowych Thompson. Huk wystrzałów ogłusza przechodniów, którzy w jednej sekundzie, niczym świetnie wyszkoleni zawodowi żołnierze, jak jeden mąż rzucają się na chodnik. Szyby Hawthorne pryskają, sypie się tynk ze ścian na zewnątrz i wewnątrz knajpy, trafiane pociskami stoły co rusz rozlatują się w drzazgi, wszędzie latają okruchy rozbitej zastawy.

Gdy w pierwszym samochodzie kończy się amunicja, kolumna aut przesuwa się o parę metrów i morderczy ostrzał rozpoczyna załoga drugiego samochodu. Pociski ogromnego kalibru 55 mm, z gładkolufowych strzelb automatycznych, prawdziwej artylerii w gangsterskich arsenałach, dziurawią nawet cienkie ściany knajpy.

Potem kolej na trzeci samochód i na następne. Przypomina to trochę bitwę morską dawnych okrętów żaglowych, walczących w szyku liniowym.

Tylko że przed knajpą Hawthorne zionąca ogniem kolumna samochodów ludzi Wojciechowskiego-Weissa nie ma przeciwnika. Bardzo silna ochrona Capone'a leży na chodnikach, pośród przypadkowych przechodniów i pod poszatkowanymi stołami w knajpie. Żaden z ostrzeliwanych gangsterów nawet nie śmie odpowiedzieć choć jednym strzałem.

Tuż przed rozpoczęciem kanonady niedaleko od drzwi knajpy parkuje swój samochód Louis Barko. Gangster ma już wejść do Hawthorne, gdy pierwszy samochód gangu North Side rozpoczyna strzelaninę. Barko dostaje w ramię, upada pośród leżących przechodniów i nie rusza się. Więcej nikt do niego nie strzela.

W innym samochodzie, zaparkowanym obok wejścia do Hawthorne, siedzi rodzina Clyde Freemana z Luizjany. Jej auto w parę chwil zamienia się w blaszane sitko o dużych oczkach. Pan Freeman to porządny obywatel, z mafią nie ma nic wspólnego. Żądny jest emocji na otwarciu sezonu wyścigów konnych i dostaje gratis więcej przeżyć, niżby mógł wyśnić: sam zostaje postrzelony w kolano, jego 5-letni syn – w głowę, a żona – w ramię. Jakimś cudem jednak, biorąc pod uwagę karoserię auta zamienioną w durszlak, wszystkie te trafienia to niegroźne draśnięcia.

Ostrzał z 9. w kolumnie samochodu nagle kończy się i otwierają się tylne drzwi. Wysiada przez nie mężczyzna w brązowych spodniach i pogniecionej koszuli khaki. W ręku trzyma pistolet maszynowy Thompson. To George „Bugs" Moran. Z ostatniego auta wychodzi 4 uzbrojonych mężczyzn i osłania „Bugsa".

Moran powoli podchodzi do rozbitych drzwi Hawthorne, klęka, wtyka przez nie lufę thompsona i jedną serią wystrzeliwuje

wszystkie 100 pocisków. Po tej demonstracji wstaje i niespiesznie wraca do swego auta. Ubezpieczający go kompani wskakują do ostatniego samochodu. Jego kierowca trąbi 3 razy i cała kolumna rusza pędem do Chicago.

Napastnicy strzelali z rozmachem. Ściany Hawthorne, ale też i kilku sąsiednich restauracji i hoteli oraz parkujące przed nimi ponad 30 samochodów, są dziurawe jak rzeszoto.

Frank Rio podnosi z podłogi zszokowanego, pokrytego resztkami lunchu Capone'a, wyprowadza na zaplecze bocznym wyjściem i pełnym gazem uwozi do bezpiecznej kryjówki w Chicago.

Policyjne wozy, tym razem prawdziwe, z wyciem syren zjawiają się z Chicago dobrych kilka minut po strzelaninie. Szef ekipy policyjnej William Shoemaker twarze chicagowskich gangsterów zna na pamięć. Rzut oka wystarcza, by ranny Barko zamiast do ambulansu, po pobieżnym opatrzeniu, trafił z chodnika do wozu policyjnego. Po południu na posterunku siedzą zwinięci niemal wszyscy uczestnicy napadu na Hawthorne: Earl Wojciechowski, Vincent Drucci, bracia Peter i Frank Gusenberg, George Moran. Wszystkich gangsterów North Side funkcjonariusze zatrzymali w idyllicznych okolicznościach: w knajpach, w domu, na przechadzce. Policjanci nie mają wątpliwości, że to oni strzelali – ale nie mają też żadnych dowodów.

Jedyną szansą stróżów prawa jest konfrontacja zatrzymanych z Louisem Barko. Ale Barko uśmiecha się tylko głupawo – żadnego ze swoich znajomych nie poznaje.

Po południu policja kończy inwentaryzowanie skutków kanonady – przed Hawthorne wystrzelono ponad 1000 pocisków.

21 września 1976 ▪ wtorek

Nogi ministra. I asystentka też

Wczesnym rankiem bardzo wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej, ozdobionej wąsem twarzy wychodzi z budynku mieszkalnego przy cichej, eleganckiej ulicy w Bethesda i wsiada do zaparkowanego przy krawężniku potężnego jasnobłękitnego sedana – chevroleta chevelle. Orlando Letelier uruchamia samochód i jedzie do mieszkania swojej asystentki Ronni Karpen Moffitt. Jej poślubionemu przed 4 miesiącami mężowi Michaelowi zepsuł się samochód i Ronni zadzwoniła do swego szefa, by zabrał ich oboje do pracy.

Letelier zatrzymuje się przed domem, w którym mieszkają Moffittowie. Michael siada na tylnej kanapie chevelle, jego żona sadowi się obok kierowcy. Letelier rusza i Michael Moffitt melancholijnie stwierdza z tylnego siedzenia, że szef jego żony jeździ niespiesznie, wręcz asekurancko.

44-letni Chilijczyk Orlando Letelier jest przeciętnym kierowcą, ale wybitnym prawnikiem, ekonomistą i dyplomatą. Studia zaczął w akademii wojskowej, ale ostatecznie skończył prawo. Przez lata pracował jako analityk w chilijskim górnictwie miedzi, ale w 1959 roku, po tym jak poparł marksistę Salvadora Allende w – przegranych przez niego – wyborach prezydenckich, wyrzucono go z pracy. Gdy Allende wygrał wybory w roku 1970, Letelier został jednym z najbardziej zaufanych współpracowników nowego prezydenta Chile. Allende mianował go ambasadorem w Stanach Zjednoczonych – było to stanowisko kluczowe, gdyż Letelier miał w Waszyngtonie wynegocjować rozsądne odszkodowania dla amerykańskich kompanii górniczych, których kopalnie miedzi w Chile zostały znacjonalizowane przez nowe władze w Santiago.

W roku 1973, gdy w Chile narastał kryzys polityczny i groźba prawicowego zamachu stanu, Allende mianował Leteliera ministrem spraw zagranicznych, potem ministrem spraw wewnętrznych, a w końcu ministrem obrony.

Po zamachu stanu gen. Pinocheta pierwszym ministrem obalonego rządu, aresztowanym przez zbuntowanych wojskowych, był Orlando Letelier.

Przez 12 miesięcy torturowano go w rozmaitych obozach koncentracyjnych. Dopiero interwencje przyjaciół Leteliera z kręgów dyplomatycznych niektórych krajów Ameryki Południowej oraz poznanych przezeń w Waszyngtonie polityków amerykańskich spowodowały uwolnienie go przez chilijską juntę. Wyjechał z rodziną do Waszyngtonu i tam podjął pracę naukową w lewicowym, niezależnym think tanku – Institute for Policy Studies. Jego asystentką i researcherką w IPS została 25-letnia Ronni Moffitt; jej mąż Michael także pracuje w IPS.

Dopiero na uchodźstwie w Waszyngtonie Letelier okazał się prawdziwie groźnym przeciwnikiem junty gen. Augusto Pinocheta. Uroczy, charyzmatyczny, świetnie wykształcony Letelier przekonał wielu liberalnych waszyngtońskich polityków, w tym Edwarda Kennedy'ego, Huberta Humphreya i George'a McGoverna, do obcięcia amerykańskiej pomocy gospodarczej i wojskowej dla torturującego i mordującego tysiące przeciwników politycznych reżymu Pinocheta. Niedawno Letelierowi udało się przekonać rząd holenderski do wstrzymania olbrzymich inwestycji w Chile.

Wściekły gen. Augusto Pinochet rozkazał zamordowanie Leteliera. Operacja ta jest o tyle ułatwiona dla służby bezpieczeństwa DINA, że od paru lat prawicowe rządy Ameryki Południowej wspólnie realizują, z poparciem Stanów Zjednoczonych, operację „Kondor", której celem jest gromadzenie danych wywiadowczych o opozycji

politycznej oraz mordowanie przeciwników politycznych, także tych przebywających na emigracji.

Ani Letelier, ani Moffittowie nie dostrzegają, że za ich chevroletem jedzie szary sedan. Kierowca sedana za wszelką cenę usiłuje utrzymać się na ogonie chevelle.

Orlando rozmawia z Ronni o książce, którą oboje czytali w dzieciństwie.

Chevrolet Leteliera dojeżdża do Massachusets Avenue w Waszyngtonie.

Kierowca jadącego za nim samochodu uspokaja jazdę i zwiększa dystans do śledzonego chevelle. Stojąc w korku, prowadzący szarego sedana 24-letni Virgilio Pablo Paz Romero, nienawidzący Fidela Castro uchodźca z Kuby, członek militarnych konspiracji Kubańczyków w Stanach, rozkłada na kolanach mapę Waszyngtonu z wyrysowaną trasą dojazdów Orlando Leteliera do pracy w IPS. Nieoczekiwany wyjazd Orlando po Moffittów wprawił Romero w panikę – po wielu dniach śledzenia rozkładu jazdy Leteliera tej trasy nie miał zaznaczonej na mapie. Teraz już, na Massachussets Avenue, Paz jedzie za błękitnym chevelle jak po sznurku.

Letelier zapala papierosa, wjeżdża na Embassy Row – waszyngtończycy tak nazywają część Massachussets Avenue, przy której jest aż gęsto od ambasad i rezydencji wpływowych think tanków.

Virgilio Paz wyjmuje z torby niewielkie pudełko z blachy, z końcówką do ładowania imitującą samochodową zapalniczkę do papierosów. Wtyka końcówkę do gniazda zapalniczki w sedanie.

Pudełko zawiera ręcznie zmajstrowany z części pospolitej *walkie-talkie* nadajnik radiowy. Odbiornik skonstruowany ze zwyczajnego, często używanego przez lekarzy, pagera oraz połączony z nim detonator znajdują się pod podłogą chevroleta Orlando Leteliera.

Pod podłogą chevelle, z przodu, po lewej stronie wału napędowego, tkwi także, przymocowany taśmą klejącą, ładunek kostek trotylu zlepionych materiałem wybuchowym C-4 w sporą bułę w kształcie ciastka.

Instalację zapłonową oraz ładunek wybuchowy skonstruował Michael Townley. On też osobiście zamontował je pod dnem samochodu Leteliera.

O mało przy tym nie został ujęty przez patrol policji, który pojawił się obok chevroleta w chwili, gdy Townley, leżąc pod samochodem, umieszczał pod jego podłogą ładunek wybuchowy.

Wysoki, szczupły Townley od młodości miał do czynienia z Ameryką Łacińską i z tajnymi służbami. Urodził się w amerykańskim Waterloo, w stanie Iowa, w roku 1942. Był przeciętnie zapowiadającym się nastolatkiem, gdy jego ojciec Vernon Townley został mianowany szefem przedstawicielstwa Ford Motor Company w Chile i jego rodzina przeniosła się do Santiago.

W nominacji tej maczały palce waszyngtońskie tajne służby – Vernon Townley od kilku już lat, od czasu gdy pracował w przedstawicielstwach amerykańskich korporacji na Filipinach, był agentem CIA. W Chile, w roku 1958, Vernon dostał odpowiedzialne zadanie potajemnego finansowania z funduszów CIA prezydenckiej kampanii konserwatysty Jorge Alessandriego. Jego przeciwnikiem w wyborach był marksista Salvador Allende. Tę tajną operację Vernon Townley mógł zaliczyć do swych sukcesów – Alessandri minimalnie pokonał Allende.

Młody Michael szybko opanował płynnie hiszpański.

Przed 15 laty Michael ożenił się z Marianą Callejas, na pozór aktywistką Chilijskiej Partii Socjalistycznej, a tak naprawdę wtyczką chilijskiego wywiadu wojskowego w środowisku socjalistów

w Santiago. Znajomość z nią zaaranżował synowi Vernon Townley. Michael poszedł w ślady ojca i krótko po ślubie nawiązał współpracę z CIA. Po przeprowadzce do Stanów Michael Townley na polecenie agencji przystał do Chicago Junty, tajnej grupy antycastrowskich emigrantów kubańskich. Grupa ta rozwiązała się dosłownie w przeddzień zamachu na prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, ale Townley pozostał w bliskich związkach z jednym z liderów Chicago Junty, Frankiem Sturgisem, i z założoną przez niego kolejną antycastrowską konspiracją – Secret Army Organization (Organizacją Tajnej Armii). Pod szumną nazwą kryło się kilkunastu zdolnych do wszystkiego uchodźców z komunistycznej Kuby oraz kontakty i spore fundusze z CIA. Sturgis wprowadził Townleya w środowisko byłych agentów CIA, którzy na terenie czynnej w czasie wojny bazy lotnictwa marynarki wojennej w Fort Lauderdale na Florydzie przejęli wojskowe laboratorium i zakłady elektroniczne. Tam Townley jr przeszedł kurs konstruowania bomb i zapalników, także tych odpalanych zdalnie.

Pierwszym zadaniem po tych kursach, którym patronowała CIA, było zainstalowanie bomby pod samochodem emigrantów kubańskich w Miami, zawadzających Sturgisowi i jego SAO.

W 1969 roku CIA wysłała Townleya jr. na tajny front walki z komunizmem w Chile. Pod kryptonimem „Kenneth W. Enyart" wszedł on do konspiracyjnego zespołu agentów, który miał zapobiec zwycięstwu Salvadora Allende w kolejnych wyborach prezydenckich. Operacja ta skończyła się blamażem agencji – w 1970 roku marksista Allende został prezydentem.

CIA grała bardzo ostro. Szef sztabu chilijskiej armii gen. Rene Schneider odmówił żądaniom CIA, by zorganizował zamach stanu i obalił rząd Allende. Wkrótce potem zginął. Napadnięty w swoim samochodzie, zdołał wyciągnąć broń, ale zabójcy byli szybsi –

niemal z przyłożenia oddali kilka strzałów w jego głowę. Zabójstwa dokonali członkowie 2 prawicowych, konspiracyjnych grup finansowanych przez CIA.

Townley nie brał w tym udziału. Na rozkaz CIA zorganizował wtedy paramilitarne grupy prawicowych bojówkarzy, którzy wzniecali pożary w stolicy Chile i – instruowani przez Waszyngton – prowadzili kampanię oczerniającą szefa armii gen. Carlosa Pratsa. Z powodzeniem. Latem 1973 roku gen. Prats zrezygnował z szefowania chilijskiej armii. Na jego stanowisko awansował gen. Augusto Pinochet.

4 miesiące później gen. Pinochet dokonał zamachu stanu, w którym zginął legalny prezydent Allende. Bezpośrednio po zamachu szef nowo powołanej tajnej policji DINA gen. Juan Manuel Contreras Sepulveda zwerbował Townleya. Od tej pory Michael Townley był agentem 2 tajnych służb, CIA i DINA. Z czasem coraz bardziej wiązał się z mocodawcą z Chile.

Gen. Contreras żądał odeń śledzenia i likwidowania przebywających na emigracji przeciwników reżymu gen. Pinocheta i rozpętanego przezeń w kraju antylewicowego terroru.

Townley skompletował z 5 kubańskich emigrantów ekipę morderców na zlecenie; jednym z nich był Virgilio Paz Romero.

Pierwszą ofiarą był gen. Carlos Prats, który na emigracji w Argentynie pisał niewygodne dla Pinocheta pamiętniki. Townley pojechał do Buenos Aires i tam 28 września, ubezpieczany przez wspólników, zakradł się w nocy do garażu wynajmowanego przez Pratsa. Osobiście zamontował pod skrzynią biegów fiata 125 gen. Pratsa zdalnie odpalaną bombę skomponowaną z trotylu i materiału wybuchowego C-4; instalację inicjującą eksplozję skonstruował, wykorzystując 2 przenośne odbiorniki radiowe i elementy *walkie-talkie*. Przez 2 dni Townley wraz ze swą żoną

Marianą Callejas jeździł za swą ofiarą i w końcu, gdy gen. Prats i jego żona Sofia Cuthbert wracali fiatem do domu, odpalił ładunek. Potężna eksplozja rozrzuciła strzępy rozerwanego samochodu i ciał ofiar na wysokość 9. piętra i w promieniu ponad 50 m.

Po zamordowaniu państwa Pratsów gen. Contreras potajemnie awansował Michaela Townleya – ciągle obywatela amerykańskiego – na stopień majora chilijskiej policji.

Latem 1976 roku o Townleya upomniała się CIA. Na jej żądanie wziął on udział w montowaniu Coordination of United Revolutionary Organizations (CORU – Koordynacji Organizacji Rewolucyjnych). W połowie lat 70. w Stanach Zjednoczonych rozmaite tajne i półjawne organizacje oraz grupy kubańskich uchodźców, w większości weteranów nieudanego desantu w Zatoce Świń, sfrustrowanych i pozbawionych środków do życia, imały się nielegalnego handlu bronią i narkotykami, prania brudnych pieniędzy, a nawet zabójstw na zlecenie mafii. CORU miała, w zamyśle CIA, kontrolować niebezpieczny żywioł sierot po niesławnej inwazji na Kubę.

W sprawie CORU Townley wiele nie zdążył zdziałać. Jego chilijski mocodawca gen. Contreras zażądał odeń jak najszybszego zamordowania Orlando Leteliera. Rozkaz zabicia Leteliera wydał osobiście szef chilijskiej junty gen. Augusto Pinochet.

Na użytek tego zabójstwa Townley skonstruował bombę, która ma tylko urwać obie nogi ofiary, ale nie rozrzucać jej szczątków na ogromnym obszarze, tak jak ładunek użyty w zamachu na gen. Pratsa; skutki tamtej eksplozji wyglądały fatalnie w dziennikach telewizyjnych.

Chevrolet Leteliera mija po lewej ambasadę Chile i wjeżdża na rondo Sheridan Circle. Jest duszno, chmurno, sennie. W jadącym z tyłu szarym sedanie Romero naciska przycisk na pudełeczku

podłączonym do ładowarki zapalniczki papierosów. Zaraz potem naciska drugi guzik.

W chevrolecie Michael Moffitt słyszy dziwny, syczący dźwięk przypominający mu syk kawałka rozpalonego metalu wrzuconego do zimnej wody. Sekundę później głowę siedzącej przed nim żony otacza niezwykła jasność, a głośny syk zamienia się w ogłuszający łoskot miażdżonych metalowych blach. Eksplozja wyrzuca chevroleta w powietrze. Jadący tuż za Letelierem waszyngtoński prawnik William Hayden osłupiały patrzy, jak otoczony płomieniami sedan opada na asfalt tuż przed maską jego samochodu.

Chevelle uderza z rozpędu w nieprawidłowo zaparkowanego przed ambasadą rumuńską volkswagena garbusa.

Funkcjonariusz policji ochrony ambasad – a jest tych ambasad przy Sheridan Circle 9 – w czarnym eleganckim mundurze pędzi przez rondo do wraku samochodu. Parę metrów przed wrakiem zwalnia – asfalt jest poplamiony krwią, zasłany ułamkami samochodu i strzępami ludzkiego ciała.

Michael Moffitt przytomnieje. Eksplozja zrzuciła go z tylnego siedzenia na podłogę, na kolana. Wokół siebie prawie nic nie widzi. Wnętrze chevroleta wypełnia gęsty, straszliwie cuchnący dym. Co gorsza, Michael nic nie czuje poniżej pasa. Moffitt wypycha drzwi i wypełza na asfalt. Traci przy tym but.

Kilka łyków świeżego powietrza przywraca go do przytomności. Dostrzega swą żonę, jak zataczając się, idzie w kierunku krawężnika Sheridan Circle. Uznaje, że Ronni jest OK, i rusza dookoła chevroleta, by zobaczyć, co z Letelierem. Pierwsze, co dostrzega w miejscu kierowcy, to potężna dziura w podłodze. Eksplozja obróciła Leteliera na resztce jego fotela twarzą do tyłu samochodu.

Głowa Orlando opada do tyłu, ale on sam próbuje co chwilę pochylić ją w przód.

– Orlando, to ja, Michael, słyszysz mnie? – woła do niego Moffitt.

Letelier nie reaguje, Michael klepie go po policzkach. Letelier przytomnieje, usiłuje coś powiedzieć, ale nie daje rady.

Moffitt wsuwa się do wraka chevroleta i wtedy dostrzega, że wybuch urwał nogi Leteliera. Umierający Orlando chwyta Michaela za nadgarstki i za ramię, ale ranny jest bardzo ciężki i Moffitt mimo rozpaczliwych wysiłków nie jest w stanie wyciągnąć go z wraka. W końcu wywlekają go z dymiącego chevroleta jakiś oficer policji i ratownicy z karetki.

Ronni Moffitt po przejściu paru kroków pada na wypielęgnowany trawnik przed rumuńską ambasadą. Krew tryska z jej ust. Jakaś elegancko ubrana kobieta próbuje zatrzymać krwotok i wykręca głowę Ronni we wszystkie strony. Krew bluzga z ust rannej coraz mocniej.

Wezwany przez radio oficer policji metropolitalnej Walter Johnson z piskiem opon hamuje swój radiowóz przed wrakiem chevroleta. Podbiega bliżej i dostrzega, że w miejscu kierowcy dosłownie nie ma podłogi. Na chodniku siedzi Letelier. Johnson widzi, że mężczyzna ma obie nogi urwane powyżej kolan. Okaleczony patrzy na policjanta i lekko kiwa głową. Johnson słyszy krzyki, szlochania, wycie syren, patrzy na kałuże krwi, na urwane nogi leżące nieopodal Leteliera i 5 m od samochodu jego oderwaną stopę, jeszcze w skarpetce i w bucie. To za dużo naraz – policjant odchodzi parę kroków na bok i wymiotuje.

Ratownicy w gorączkowym pośpiechu zakładają blokady na rozerwane tętnice i żyły nóg Leteliera. Wszystko na nic. Orlando Letelier umiera w karetce, zanim ambulans dociera do odległego o niespełna kilometr George Washington Hospital.

Ambulans z Ronni odjeżdża z piskiem opon bez jej męża – policjant zabrania mu towarzyszenia żonie. W szpitalu Waszyngtona chirurdzy wyjmują z mostka Ronni odłamek metalu. Ronni umiera chwilę później: inny odłamek metalu przeciął jej tętnicę szyjną i krew zalewała płuca Ronni.

Znikają ostatnie karetki, ich miejsca zajmują samochody agentów FBI. Agent specjalny Carter Cormick organizuje zbieranie przez policjantów i innych agentów szczątków z całego Sheridan Circle. Wkrótce zjawia się najwyższy rangą w waszyngtońskim biurze FBI agent specjalny Nicholas Stames. Przez *walkie-talkie* dowiaduje się o tożsamości Leteliera i od razu oczami wyobraźni widzi polityczne uwikłania śledztwa, naciski zwierzchników i prasy. Stames podchodzi do Cormicka i mówi doń przyjaźnie:

–To twoja sprawa. Bierz się za nią.

22 września 1937 ▪ środa

Przesyłka dyplomatyczna

Gen. Jewgienij Karłowicz Miller, przewodniczący ROWS, Rossijskowo Obszcze-Woinskowo Sojuza, skupiającego wszystkie organizacje rosyjskich antybolszewickich kombatantów na Zachodzie, o 9.00 wychodzi ze swego skromnego mieszkania przy ulicy Jean Baptiste Clement na paryskim przedmieściu. Jedzie koleją do Paryża. Na Gare de l'Est gen. Miller kupuje bilety na pociąg do Belgradu. Żona i córka generała mają wkrótce ruszyć na wczasy do Jugosławii. Potem Miller jedzie metrem do biur ROWS, znajdujących się pod nr. 29 przy ulicy du Colysée. Do sekretariatu biura wkracza o 10.30. Jest wyraźnie zatroskany. Nie zaczyna, jak

zwykł to czynić, towarzyskiej pogawędki ze współpracownikami. Z nieobecną miną pozdrawia obecnych i wchodzi do swego gabinetu. Od razu siada za biurkiem i zabiera się do czytania korespondencji.

W carskiej Rosji Jewgienij Miller ukończył Nikołajewską Szkołę Kawalerii i wojskową służbę zaczął w huzarskim pułku lejbgwardii, ale szybko przesiadł się z siodła na fotel. Po ukończeniu Akademii Sztabu Generalnego w roku 1898 mianowano go *attaché* wojskowym w Belgii i Holandii. Potem reprezentował Rosję na konferencji w Hadze i znów został *attaché* wojskowym – tym razem we Włoszech. Ten elegancki sztabowiec i dyplomata wojskowy po wybuchu I wojny światowej nieoczekiwanie błysnął wielkim wojskowym talentem. Dowodząc rosyjską 5. Armią na froncie galicyjskim, nie dopuścił do przerwania frontu przez przeważające siły austro-węgierskie, a potem pobił je. W 1915 roku świetnie sprawił się w bitwie z armiami niemieckimi pod Łodzią.

Bolszewicka rewolucja zastała go we Włoszech, gdzie był przedstawicielem rosyjskiego naczelnego dowództwa przy dowództwie armii włoskiej. Po rozpoczęciu w 1919 roku interwencji aliantów przeciw bolszewikom gen. Miller został gubernatorem wojskowym zajętych przez aliantów i ich rosyjskich sojuszników północnej części Rosji.

Bił się twardo przeciw bolszewikom, nawet wtedy gdy jego opuszczone przez Brytyjczyków oddziały nie miały cienia szansy na sukces. Udało mu się ewakuować z Archangielska na Zachód tysiące białych żołnierzy i ich rodzin.

Na emigracji w Paryżu włączył się w działalność kierowanego przez gen. Kutiepowa ROWS. Po porwaniu w 1930 roku Kutiepowa przez sowieckie tajne służby gen. Miller, jako najstarszy stopniem carski wojskowy, został przewodniczącym ROWS.

To nie był dobry wybór. Miller powierzył fundusze ROWS szwedzkiemu finansiście Ivarowi Kreugerowi, ówczesnemu europejskiemu „królowi zapałek". Kreuger, spekulant i ryzykant, szybko, z wielkim hukiem splajtował. Fundusze ROWS przepadły.

Gen. Miller musiał przenieść biura w tańsze miejsce. Z pomocą przyszedł mu rosyjski emigrant Siergiej Tretiakow. Za symboliczny czynsz wynajął ROWS pomieszczenia na parterze swej kamienicy przy ulicy du Colisée 29. Gen. Miller nie wiedział, że Tretiakow, krewny założyciela słynnej galerii malarstwa, jest agentem NKWD. Sowieccy agenci umieścili w każdym pokoju biura mikrofony. W swoim mieszkaniu na piętrze Tretiakow codziennie słucha rozmów w biurach ROWS i pisze tasiemcowe sprawozdania dla Moskwy.

NKWD ma jeszcze jednego agenta w pobliżu gen. Millera. Jego zastępca w ROWS gen. Skoblin, wybitny dowódca carskiej armii podczas wojny światowej, na emigracji nie miał środków na wystawne życie, do którego przywykł. Zwerbowała go znana emigracyjna pieśniarka Plewicka. Ona także poszła na służbę NKWD dla pieniędzy. Skoblin ożenił się z nią – występy popularnej pieśniarki, mistrzyni rosyjskich romansów, otwierały każde drzwi białogwardyjskiej emigracji.

Szef Wydziału Zagranicznego NKWD Abram Słucki obmyślił szatańską intrygę. Gdyby gen. Millera porwać – tak jak przed 7 laty porwano jego poprzednika gen. Kutiepowa – następny w kolejce do przywództwa ROWS byłby gen. Skoblin. Największa emigracyjna organizacja antysowiecka kierowana byłaby przez agenta NKWD!

Przynętą, która wywabi gen. Millera z biura ROWS, ma być spotkanie z niemieckimi oficerami dysponującymi tajnymi materiałami o kluczowych postaciach w sowieckich władzach. Pośrednikiem jest gen. Skoblin.

O 11.00 gen. Skoblin telefonuje z hotelu Pax przy alei Victor Hugo do swego dawnego adiutanta kpt. Grigula. Skoblinowie mieszkają na przedmieściu Paryża, gdy zaś przyjeżdżają do centrum, zatrzymują się zawsze w tym samym pokoju w hotelu Pax. Skoblin prosi Grigula, by pojechał na Gare du Nord i kupił bilety do Brukseli dla państwa Chaperon, rodziny córki gen. Korniłowa. Skoblin wyjaśnia, że pociąg do Brukseli odchodzi o 14.15, ale on sam odwiezie swoim samochodem rodzinę Chaperon na dworzec o 13.30.

Potem Skoblin wychodzi do rosyjskiego bistra Serdeczny. Je śniadanie, zapija je wódką. Krótko przed południem dociera do garażu, w którym stoi jego samochód.

Dochodzi 12.10, gdy w siedzibie ROWS gen. Miller wzywa do swego gabinetu swego współpracownika gen. Pawła Kusońskiego. Wręcza mu zaklejoną kopertę.

– Niech pan nie sądzi, że zwariowałem. Mam spotkanie na mieście, ale jeśli bym z niego nie wrócił, proszę otworzyć tę kopertę i przeczytać moją notatkę – prosi Miller. Potem wkłada płaszcz przeciwdeszczowy i wychodzi.

Skoblin zajeżdża przed hotel Pax i zabiera Plewicką. Zawozi ją do magazynu mód Karolina przy alei Victor Hugo 3. Plewicka niespiesznie przymierza eleganckie kreacje. Jej usta nie zamykają się. Opowiada personelowi, że przywiózł ją mąż gen. Skoblin, że mąż czeka w samochodzie i czyta gazety. Po półgodzinie Plewicka zmienia ton swojej paplaniny: teraz niepokoi się, że mąż czeka w samochodzie tak długo i pewnie jest już zły. Ale nadal powoli, jak mucha w smole, przymierza kolejne suknie.

Skoblin tymczasem po wysadzeniu żony przed Karoliną pędzi autem na ulicę Jasmin, gdzie jest umówiony z gen. Millerem. Generał wsiada do samochodu. Skoblin jedzie teraz na spotkanie rzekomych niemieckich oficerów. W rzeczywistości obaj są agentami

sowieckiego wywiadu wojskowego. Przysłał ich z Niemiec szef tamtejszej siatki wywiadu Walter Kriwicki.

Do samochodu wsiada agent wywiadu, udający niemieckiego *attaché* wojskowego w Paryżu, chcącego nawiązać kontakt z organizacją białogwardyjskich Rosjan. Tłumaczy, że jego kolega, także wysokiej rangi niemiecki oficer, oczekuje na spotkanie w dyskretnym miejscu. Skoblin jedzie na bulwar Montmorency. Tam ambasada ZSRR wynajmuje sporą willę, w której znajduje się szkoła dla dzieci pracowników licznych sowieckich przedstawicielstw i firm. Gen. Miller nie ma o tym pojęcia.

Teraz willa jest pusta – dzieci mają wakacje. Skoblin zatrzymuje samochód. Gen. Miller nie ma ochoty wchodzić do domu, Skoblin, zamaszyście gestykulując, zaprasza go do środka. Wewnątrz na przewodniczącego ROWS czeka nie tylko drugi rzekomy niemiecki dyplomata, ale i nadzorujący całą operację szef wydziału zagranicznego NKWD Abram Słucki i jego zastępca Michaił Szpigelglas. Napastnicy rzucają się na Millera i po krótkiej szamotaninie obezwładniają go. Pomni, że przed 7 laty, oszołomiony podczas porwania chloroformem poprzedni przewodniczący ROWS gen. Kutiepow dostał zawału serca i zmarł, teraz nie używają żadnych środków chemicznych. Słucki naprędce przesłuchuje Millera. Generał, choć zaskoczony, trzyma się dzielnie. Napastnicy wiążą go sznurami jak baleron, kneblują. Obok willi stoi lekka ciężarówka z sowieckimi numerami dyplomatycznymi. Niedawno kupił ją i zarejestrował na swoje nazwisko sowiecki poseł Potiomkin. Oprawcy wrzucają niebędącego w stanie się poruszać gen. Millera do przygotowanej zawczasu dużej drewnianej skrzyni z wywierconymi otworami do oddychania i zabijają jej wieko. Słucki, Szpigelglas i 2 rzekomi Niemcy przenoszą skrzynię na pakę ciężarówki, wsiadają do kabiny i natychmiast ruszają w drogę.

Porwanie trwało dłużej, niż planowano. Spóźniony Skoblin nie ma szans odwieźć na pociąg państwa Chaperon. Pędzi więc bezpośrednio na dworzec.

Państwo Chaperon przywozi na dworzec przytomny kpt. Grigul, który nie widząc o umówionej godzinie Skoblina i jego samochodu, zamówił taksówkę.

Plewicka, gdy orientuje się, że mąż się spóźnia, wybiega z magazynu mód Karolina, łapie taksówkę i także zjawia się na dworcu. Skoblin jest bardzo zdenerwowany, ale co rusz opowiada dowcipy.

Po odjeździe państwa Chaperon Skoblin odwozi Plewicką do hotelu Pax, sam zaś wraz z kpt. Grigulem jedzie do mieszkania gen. Millera przy ulicy Jean Baptiste Clement. Drzwi otwiera żona gen. Millera. Skoblin ceremonialnie całuje ją w rękę i pyta o męża. Pani Miller wyjaśnia, że generał jeszcze nie wrócił do domu. Skoblin prosi ją, by powiadomiła męża o jego wizycie. Potem odwozi kpt. Grigula na zebranie białogwardyjskich kombatantów, zabiera z hotelu Plewicką i jedzie do ich mieszkania pod Paryżem. Tam oboje sprawdzają, czy nie pozostawili jakichś kompromitujących ich notatek albo drobiazgów.

Ciężarówka z wielką skrzynią na pace nieniepokojona pędzi w stronę portu Hawr.

O 17.00 grupa byłych oficerów carskiej armii zjawia się w biurze ROWS. Są umówieni na rozmowę z gen. Millerem. Ale szefa ROWS nie ma. Oficerowie czekają. O 20.00 wzywają stróża Asmołowa i polecają mu dzwonić do domu Millera. Generała tam też nie ma.

O 20.15 do Paryża wracają Skoblin i Plewicka. Skoblin zajeżdża na kończące się już zebranie rosyjskich kombatantów i zaprasza kilku z nich na zakrapianą kolację. Jest teraz całkiem opanowany, tryska wyśmienitym humorem. Opracowany przez NKWD plan

zbudowania sobie alibi zrealizował niemal w 100 procentach, zaś porwany gen. Miller za parę godzin znajdzie się na pokładzie sowieckiego statku.

Około 23.00 w biurze ROWS gen. Kusoński przypomina sobie o dziwnej kopercie, którą w południe wręczył mu gen. Miller. Miał ją otworzyć, gdyby generał nie wrócił ze spotkania. No i nie ma go.

Kusoński rozrywa kopertę, znajduje w niej list:

„Jestem dziś umówiony o godz. 12.30 z gen. Skoblinem na rogu ulic Jasmin i Raffet. Ma zabrać mnie na spotkanie z dwoma niemieckimi oficerami. Jeden z nich, pułkownik Strohmann, jest *attaché* wojskowym w sąsiednim kraju, drugi, Werner, został oddelegowany do tutejszej ambasady Niemiec. Obaj mówią dobrze po rosyjsku. To spotkanie jest zaaranżowane z inicjatywy Skoblina.

Możliwe, że to pułapka, dlatego zostawiam wam tę notatkę".

W notatce jest świadectwo typowego dla enkawudowskiego poczucia humoru. „Strohmann" oznacza w Niemczech wspólnika firmy, dającego jedynie swe nazwisko, lecz niemającego żadnego udziału w interesie.

Gen. Kusoński natychmiast dzwoni do adm. Kiedrowa, zastępcy gen. Millera w ROWS, i prosi, by ten natychmiast przyjechał. Wieść o zniknięciu Millera w emigranckim światku rozchodzi się szybko. Po 23.00 do biura ROWS przyjeżdża jeden z działaczy kombatanckich, płk Siergiej Macylew. Gen. Kusoński poleca mu sprowadzić gen. Skoblina.

Płk Macylew jedzie do hotelu Pax. Skoblin udaje kompletnie zaskoczonego. Wstaje z łóżka, ubiera się i jedzie z Macylewem. W gabinecie gen. Kusońskiego czekają na niego gospodarz i adm. Kiedrow. Płk Macylew zostaje w poczekalni wraz z żoną adm. Kiedrowa.

– Gdzie Miller? – pyta Kusoński.

– Nie wiem.

– Kiedy się rozstaliście?

– Rozstałem się? Po prawdzie nie widziałem się z nim od trzech dni, od czasu niedzielnego bankietu.

Adm. Kiedrow traci cierpliwość:

– To nie pan zorganizował dziś spotkanie Millera z jakimiś zagranicznymi agentami?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Mamy świadectwo, że pan się z nim spotkał.

– Powtarzam, że to jakieś nieporozumienie – upiera się Skoblin.

Kiedrow pokazuje Skoblinowi notatkę gen. Millera. Skoblin blednie, głos łamie mu się, ale powtarza, że to jakieś nieporozumienie. Adm. Kiedrow wstaje:

– Dobrze, w takim razie idziemy na policję.

Osaczony w gabinecie gen. Kusońskiego Skoblin dostrzega swoją szansę:

– Tak, tak, koniecznie na policję.

Skoblin wychodzi do poczekalni. Tuż za nim idą Kusoński i Kiedrow. W poczekalni Kusoński mówi szeptem do admirała:

– Dziwne te jego wyjaśnienia, nieprawdaż?

Obaj cofają się do gabinetu, by na stronie omówić, co robić dalej. Wykorzystuje do Skoblin i po prostu wychodzi na klatkę schodową. Płk Macylew, który nie wie o notatce gen. Millera, nie zatrzymuje go. Skoblin pędem rzuca się na pierwsze piętro, do mieszkania Siergieja Tretiakowa, także agenta NKWD. Tretiakow wpuszcza go i zamyka drzwi.

Kusoński i Kiedrow wracają z gabinetu.

– Gdzie Skoblin? – pyta Kiedrow.

– Czeka na nas na ulicy – wyjaśnia Macylew.

Kusoński i Kiedrow w jednej chwili wybiegają z biura na ulicę. Dziwne – jest pusta. Konsjerżki pozamykały na noc bramy, Skoblin musiałby biec ulicą. A tymczasem jakby wyparował. Oficerowie wracają do biura.

– Podlec, zdrajca! – krzyczy Kiedrow.

O 3.00 Kusoński rusza na policję, Macylewa zaś wysyła do hotelu Pax. Plewicka jest w pokoju. Na wieść o zdemaskowaniu i ucieczce męża wytrawna agentka nie traci głowy. Lamentuje, że niesłusznie posądzony Skoblin w obronie swego honoru na pewno popełni samobójstwo i być może nawet nikt nie znajdzie jego ciała.

W tym samym czasie na redę portu w Hawrze zajeżdża ciężarówka na sowieckich numerach dyplomatycznych i zatrzymuje się obok sowieckiego statku handlowego „Maria Uljanowa". 4 mężczyźni pospiesznie przenoszą na pokład wielką skrzynię. Słucki i Szpigelglas zostają na pokładzie, 2 agenci wywiadu wojskowego natychmiast ruszają ciężarówką z powrotem do Paryża. Kapitan nieoczekiwanie zgłasza w kapitanacie portu, że natychmiast wychodzi w morze. Chwilę później „Maria Uljanowa" rzuca cumy i bierze kurs na Leningrad. Słucki zabiera się do przesłuchiwania Millera.

Generał, choć wie, co go czeka, zachowuje się dzielnie i z wielką godnością.

23 września 1934 ▪ niedziela

„Toruń" ucieka do Rembertowa

Na lotnisku na warszawskim Polu Mokotowskim, mimo ciemności, krząta się 600 żołnierzy i mnóstwo cywilów. Oddział

200 piechurów pozostaje w rezerwie, na wypadek nieprzewidzianych trudności z pogodą. Żołnierze rozwijają długie węże z gumowanego płótna. Jest ich 18. Z murawy wystaje w dwóch liniach, oddalonych od siebie o 50 m, 18 masywnych metalowych zaworów. Pomiędzy sąsiednimi zaworami dystans wynosi 15 m. Przy każdym z nich jest tabliczka z nazwą kraju: Polska, Niemcy, Francja, Belgia, USA, Włochy, Czechosłowacja, Szwajcaria. To wyprowadzenia gazu z podziemnego gazociągu zbudowanego niedawno przez wojsko specjalnie na potrzeby tego dnia. 2 wielkie tablice ostrzegają: „Nie palić! Gaz świetlny!".

Inni żołnierze znoszą z ciężarówek ważące po 12 kg worki z piaskiem. Naziemna obsługa balonów będzie obciążać nimi czasze w miarę napełniania gazem. Żołnierze mają wiązać worki do siatek okrywających czasze każdego balonu. Po napełnieniu czasz przytrzymywać przy ziemi będzie je po ok. 100 takich worków. Woreczki balastowe, używane podczas lotu, są mniejsze i lżejsze.

O 5.15 zjawiają się pierwsi zawodnicy. Amerykanie mają na mundurach wiatrówki, na plecach których wymalowane są napisy „US Navy" i ich nazwiska. Niektóre ekipy noszą mundury. Światowa czołówka baloniarzy to niemal bez wyjątku zawodowi wojskowi.

Niebo jest bezchmurne. Ale szykujących się do startu zawodników interesuje tylko układ wiatrów, wyży i niżów barycznych. Polska po raz pierwszy jest gospodarzem zawodów balonowych o Puchar Gordona Bennetta. To najważniejsza w świecie impreza baloniarska, a sam puchar ufundowany przez Jamesa Gordona Bennetta jest najstarszą nagrodą lotniczą. Reguły gry są proste: napełniane zwykłym gazem świetlnym balony o pojemności czaszy do 2200 m sześc., z 2-osobową załogą, startują kolejno z tego samego miejsca. Zwycięża ten, kto doleci najdalej –

liczy się odległość w linii prostej od punktu startu. Czas lotu nie gra żadnej roli.

Polsce przypadł zaszczyt organizowania kolejnej edycji zawodów dzięki zwycięstwu w zeszłym roku, w zawodach o Puchar Gordona Bennetta w Chicago. Nasi mistrzowie kpt. pilot balonowy Franciszek Hynek i kpt. pilot balonowy Zbigniew Burzyński na balonie „Kościuszko" przelecieli wtedy 1361 km w 39 godzin i 32 minuty.

Polskie władze wojskowe przywiązują do sportu balonowego duże znaczenie – ma on być przedsionkiem i szkołą nawigacji dla pilotów lotnictwa wojskowego. Ma też propagować potęgę państwa. Dlatego zawody w Warszawie zorganizowano z rozmachem, angażując w przygotowania setki żołnierzy pułku balonowego i stołecznego garnizonu.

Żołnierze mocują płócienne szlauchy o średnicy 15 cm do wyznaczonych zaworów gazociągu. Ich końcówki doprowadzają do pozbawionych gazu powłok balonów, które leżą na płachtach rozłożonych na trawie. Obok stoją kosze i instrumenty nawigacyjne. Punktualnie o 6.00 technik stołecznych zakładów gazowniczych wkłada w gniazdo głównego zaworu na podziemnym gazociągu wielką korbę i przekręca zawór główny. Nad pierwszym zaworem do napełniania balonów pochyla się inżynier z gazowni. Aparatem Schylinga bada skład gazu. Gdy jego strumień wydmuchuje resztki powietrza z rurociągu i gaz osiąga regulaminowy ciężar właściwy, kierownik zawodów ppłk Sielewicz daje ręką znak i żołnierze przystępują do napełniania czasz. Z powodu zagrożenia wybuchem ulatniającego się gazu technicy z gazowni obsługują balony w specjalnych kapciach z miękkiego filcu, zaś pomagający im żołnierze, mimo przejmującego porannego zimna, chodzą boso. Przed przystąpieniem do pracy wszyscy musieli

zostawić w namiotach obsługi technicznej papierosy, zapałki i paski z metalowymi sprzączkami.

Choć to blady świt, tysiące warszawiaków kibicują przygotowaniom do zawodów. Gaz tłoczony do powłok balonów pod ciśnieniem 9 atm huczy tak głośno, że w pobliżu trudno rozmawiać. Czuć dławiący zapach. Eleganckie damy, spacerujące pośród oklapniętych jeszcze czasz, skarżą się na ból głowy. Piloci doradzają uprzejmie, że na zapach gazu i mdłości najlepsze są popularne tabletki „z kogutkiem".

Mija godzina i płaskie jak naleśniki powłoki balonów zaczynają pęcznieć. Po kolejnych 2 godzinach publiczność może już podziwiać tkwiące w trawie, niczym kapelusze gigantycznych grzybów, barwne, półsferyczne czasze 18 balonów biorących udział w konkursie i 3 startujących poza konkursem.

W tym roku zwycięzcy z Chicago rozdzielili się. Kpt. Burzyński leci z por. Zakrzewskim jako drugim pilotem na balonie „Warszawa". Kpt. Hynek wraz z por. Pomaskim stanowi załogę wsławionego chicagowskim tryumfem „Kościuszki". Pierwszym pilotem „Polonii" jest kpt. pilot balonowy Antoni Janusz.

Ale to nie jedyne w konkursie balony polskiej produkcji. Od niedawna jesteśmy światowym potentatem w produkcji wyczynowych balonów gazowych. Polscy inżynierowie opracowali nowatorską metodę gumowania tkanin używanych do szycia powłok balonowych. Srebrnoszare szwajcarski „Zurich III" i francuski „Toruń" zostały skonstruowane w Polsce.

Największe zainteresowanie kibiców budzi balon „Belgica" sławnego pilota belgijskiego Demuytera. Jest niezwykle lekki, gdyż jego powłokę uszyto z jedwabiu. Doświadczeni piloci balonowi na belgijską nowinkę patrzą ze sceptycyzmem. Na sukces w sporcie balonowym składają się przede wszystkim odporność czaszy balonu

na uszkodzenia mechaniczne i na przepuszczanie gazu oraz umiejętności nawigacyjne załogi. Powłoka jedwabna wydaje się zbyt delikatna, by mogła długo wytrzymać trudy wielogodzinnego lotu, często w bardzo silnych wiatrach, pośród deszczu, czasami marznącego na powierzchni czaszy.

Jeśli chodzi o umiejętności, to Polacy teoretycznie są na straconych pozycjach. Każdy z nich ma na koncie po 50–60 lotów. Zagraniczni rywale zaś zaliczyli po 300–400 lotów. Zeszłoroczny sukces w Chicago i jakość polskich balonów sprawiły jednak, że załogi „Warszawy" i „Kościuszki" uważane są za faworytów.

W południe obwieszone startowymi workami balastowymi balony są już prawie całkowicie wypełnione gazem. Żołnierze z obsługi naziemnej pakują do ich koszy przyrządy nawigacyjne, zapasy żywności i wody, dodatkowe ubrania, gumowe pływaki ratunkowe na wypadek przymusowego wodowania na jeziorze lub w morzu. Wstawiają też małe kozetki, na których można będzie się zdrzemnąć. Wyposażenie wypełnia niewielkie kosze tak szczelnie, że piloci mieszczą się tam z najwyższym trudem. Na zewnątrz koszy zwisają girlandy małych woreczków balastowych z piaskiem używanych podczas lotu.

Walka zaczyna się jeszcze przed startem. Na skutek protestów jednej z ekip zagranicznych sędziowie dyskwalifikują załogę hiszpańskiego balonu „14 de Avril".

Lotnicy przyglądają się pracy obsługi naziemnej, po czym co chwila wpadają do polowej stacji meteorologicznej zaaranżowanej w wielkim wojskowym namiocie. Wiatr na wysokości 1000 m wieje z południowego zachodu, na wys. 2 i 3 tys. – z zachodu. Wskutek utraty gazu nośnego balony mogą lecieć najwyżej przez 2–3 dni. Lecąc na niższym pułapie, balony powinny dotrzeć w rejon Leningradu, na wyższym zaś – w okolice Moskwy.

Na Polu Mokotowskim jest już ponad 50 tys. widzów. Nagle nad ich głowami pojawia się wypełniona tylko w części gazem powłoka bez kosza. Na wietrze przybiera rozmaite kształty, to wydłuża się niczym cygaro, to znów spłaszcza się. Wznosi się szybko i wkrótce jest ledwie widoczna. Powłoka francuskiego balonu „Toruń" podczas napełniania gazem wyślizgnęła się z obwieszonej workami balastowymi siatki i samodzielnie pofrunęła w świat. Francuzi Ravaigne i Deguy nie mają na czym lecieć. Widząc ich rozpacz, polscy organizatorzy proponują pechowym pilotom wypożyczenie balonu „Syrena", który ma wystartować poza konkursem, by przewieźć okolicznościową pocztę i reportera Polskiego Radia. Francuzi proszą hiszpańskich lotników o udostępnienie ich wykluczonego z konkursu „14 de Avril".

Niestety, komisja sędziowska stwierdza, że lot na balonie innym niż zgłoszony do konkursu spowodować musi dyskwalifikację.

O 15.30 obsługa naziemna przypina kosze do czasz balonów. Tuż przed 16.00 zaczynają przybywać oficjele. Na trybunie honorowej pojawiają się m.in. premier Leon Kozłowski, były premier Aleksander Prystor, politycy, generalicja, arystokraci, z księciem Januszem Radziwiłłem na czele. O 16.00 orkiestra gra *Mazurka Dąbrowskiego*, w niebo wzbija się kilkaset gołębi. Wiceminister komunikacji inż. Piasecki wygłasza przemówienie i otwiera zawody. Żołnierze przeciągają na linach „Warszawę", białą, z charakterystycznym poziomym czerwonym pasem, przed trybunę honorową. Minister Piasecki i żona komisarycznego prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego chrzczą balon. Pani Starzyńska rozbija o krawędź kosza butelkę szampana. Piloci dostają kwiaty i ryngrafy. O 16.08 orkiestra gra ponownie *Mazurka Dąbrowskiego* i „Warszawa" wzbija się w powietrze. Kpt. Burzyński i por. Zakrzewski pozdrawiają wiwatującą publiczność. Potem jest hymn

niemiecki i w niebo wznosi się „Stadt Essen”. Po nim hymn czechosłowacki i startuje „Bratislava”. Czescy piloci zrzucają na tłumy widzów małe spadochrony z paczkami cukierków.

O 18.00 posterunek policji w Rembertowie zawiadamia, że „Toruń” nieuszkodzony spadł na pobliskie pola.

Wieczorem rolnik Kryszczuk spod Drohiczyna znajduje w polu meldunek zrzucony przez kpt. Hynka. „Kościuszko” i „Polonia” lecą na wyższym pułapie i kierują się na Moskwę. Tę taktykę obrała jeszcze „Belgica” Demuytera. „Warszawa” wraz z resztą balonów leci na niskim pułapie. Silny wiatr pcha ją w stronę Finlandii. Zanosi się na ogromny sukces – z 3 polskim balonami walkę nawiązała jedynie „Belgica”.

Międzynarodowe zawody balonowe o Puchar Gordona Benneta w Warszawie

24 września 1976 ▪ piątek

Potraktowałem panią jak dorosłą

W Sali Ceremonialnej budynku federalnego w San Francisco są 183 miejsca. W styczniu tego roku, gdy rozpoczynał się proces, ponad 400 dziennikarzy walczyło o 111 krzeseł przeznaczonych dla sprawozdawców. Władze wydały także 66 kart wstępu dla publiczności. 6 miejsc w 1. rzędzie zarezerwowano dla najbliższej rodziny oskarżonej.

Dziś, w ostatnim dniu procesu, do sali wtłoczyło się ponad 250 osób; władze sądowe ugięły się i wydały dodatkowe karty wstępu dla reporterów.

W 1. rzędzie, naprzeciw fotela sędziego, siedzą rodzice oskarżonej i jej 4 siostry. Ojciec Randolph A. Hearst jest spadkobiercą prasowego imperium miliardera Williama Randolpha Hearsta sr. W 1898 roku Hearst sr za pomocą swych gazet sprowokował wybuch wojny Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią – skończyło się ona zwycięstwem Stanów i objęciem przez nie władzy na Filipinach, Puerto Rico oraz uzyskaniem niepodległości przez Kubę. Wpływy i majątek Williama A. Hearsta nie mogą się równać z osiągnięciami ojca, ale ciągle zaliczany jest do 10 tys. najbogatszych Amerykanów, a perłami w jego prasowym imperium pozostają bardzo popularne „Cosmopolitan" i „Harpers Bazaar".

Urzędnik sądowy w marynarce w drobną pepitkę wprowadza na salę oskarżoną – Patricię Campbell Hearst. 22-letnia podsądna jest wychudzona, waży zaledwie 40 kg. Ciemnozielona suknia wisi na niej jak na wieszaku. Patricia ma ściągniętą, zmęczoną twarz, ale wyraźnie jest w nie najgorszym nastroju.

Jej epopeja, którą pasjonuje się cała Ameryka, zaczęła się 4 lutego 1974 roku. Do apartamentu w Berkeley wpadło 2 czarnoskórych mężczyzn i kobieta. Uzbrojeni napastnicy pobili kolbą pistoletu maszynowego 26-letniego doktoranta filozofii na Berkeley Stevena Weeda i uprowadzili okrytą jedynie płaszczem kąpielowym, krzyczącą wniebogłosy jego przyjaciółkę Patricię Hearst. Porwaną wrzucili do bagażnika samochodu i uciekli.

8 dni później kidnaperzy przesłali ojcu porwanej wstępny warunek rozpoczęcia negocjacji – miał rozdać biednym mieszkańcom Kalifornii żywność o wartości 400 mln dolarów. Szef porywaczy o pseudonimie „Cinque", tytułujący się wielkim marszałkiem polnym Symbionese Liberation Army (Symbionicznej Armii Wyzwolenia), w nagraniu na taśmie magnetofonowej zagroził, że jeśli żywność nie zostanie rozdana, Patricia umrze.

Pospieszne śledztwo FBI zaczęło ujawniać tajemnice nikomu nieznanej dotychczas SLA. Wylęgła się w stanowym więzieniu w Vacaville w Kalifornii, w którym władze penitencjarne zezwoliły na powstanie Kulturalnego Stowarzyszenia Czarnych. Zamiast się wzajem reedukować, czarni więźniowie palili haszysz przemycany przez instruktorów więziennych, czytali *Czerwoną książeczkę* Mao Tse-tunga i planowali miejską wojnę przeciw amerykańskiemu establishmentowi. Na wolności SLA liczyła raptem 2 tuziny dziwaków i wykolejeńców. Program podziemnej armii przewidywał wywłaszczenie kapitalistów, likwidację więzień oraz „zniszczenie rasizmu, seksualizmu, kapitalizmu, faszyzmu, indywidualizmu, własności i konkurencji". Jej herszt, czarnoskóry, niezrównoważony psychicznie brutal i gwałciciel Donald DeFreeze, miał za sobą 3 odsiadki za produkowanie bomb i napady z bronią w ręku. To on brał udział w porwaniu Patricii Hearst.

DeFreeze zawsze chętnie otaczał się kobietami z problemami. Nancy Perry po anglistyce badała pobudzanie świadomości narkotykami, potem zatrudniła się jako kelnerka topless i wreszcie stała się wywiadowcą SLA. Patrycja Sołtysik rzuciła studia w Berkeley dla kariery w ruchu feministycznym. W końcu została kochanką Kamili Hall, parkingowej, uważającej się za poetkę. W SLA obie awansowały do przybocznych marszałka polnego Cinque. Do 9-osobowego oddziału uderzeniowego SLA, do którego należało 3 porywaczy panny Hearst, FBI zaliczyło także Thero Wheelera, przestępcę z 2 udanymi ucieczkami z więzień na koncie, i Williama Wolfe'a, wykolejonego syna dobrze prosperującego lekarza z Pensylwanii. Porwanie nie było pierwszą akcją SLA. W listopadzie 1973 roku 2 podkomendni Cinque zamordowali Marcusa Fostera, czarnoskórego superintendenta szkół w Oakland. Strzelali do niego pociskami zatrutymi cyjankiem potasu.

Randolph A. Hearst, choć bardzo bogaty, nie jest miliarderem. Rozdanie 6 mln mieszkańców Kalifornii paczek żywnościowych wartości 70 dolarów każda, czego żądała SLA, jako pokuty za kierowanie przezeń „faszystowskim imperium informacyjnym", było poza zasięgiem możliwości finansowych ojca Patrycji. Jego odpowiedzią była akcja rozdawnictwa potrzebującym paczek z żywnością o łącznej wartości 2 mln dolarów. Akcja szybko przekształciła się w farsę. Kilku kalifornijskich biedaków, potencjalnych odbiorców paczek, ostentacyjnie przesłało ojcu porwanej czeki o wartości 70 dolarów jako znak solidarności. Edward Peet, przewodniczący liczącej milion członków organizacji kalifornijskich emerytów, złożył prasie oświadczenie: „Wolimy być głodni, niż przyjmować żywność za cenę terroru". Rozdawnictwo paczek zakończyło się skandalem. W East Oakland oczekujący od

nocy chętni zaatakowali nadjeżdżające ciężarówki z paczkami. Doszło do szarpaniny z rozdającymi paczki, interweniowała policja.

W innych punktach paczki rozdano w miarę sprawnie. Ostatecznie Hearst wydał na ten cel 7 mln dolarów. Mimo to SLA nie uwolniła Patricii. Porywacze przez 57 dni trzymali ją ze związanymi rękami i z przepaską na oczach w obitej kocami szafie. Jej podłoga miała rozmiary 2 m na 60 cm. W tym czasie wielokrotnie gwałcili ją, pozorowali egzekucję i wygłaszali ideologiczne tyrady. W końcu dziewczyna uległa terrorowi i praniu mózgu. Radio w Berkeley otrzymało taśmę z nagraniem, w którym Patricia oznajmia rodzicom, że przyłączyła się do armii feldmarszałka Cinque, a ich samych nazywa świniami. Jedna z kalifornijskich gazet zaś otrzymała fotografię panny Hearst w rewolucyjnym berecie na głowie, z pistoletem maszynowym z rękach – a wszystko na tle logo SLA, dziwacznie poskręcanej, 7-głowej kobry. Wątpliwości co do autentyczności nagrania i zdjęcia rozwiał w kwietniu 1974 roku napad na Hibernia Bank w dzielnicy Zachodzącego Słońca w San Francisco. Dowodzący nim DeFreeze rozbroił strażnika przy wejściu i kazał wszystkim klientom i obsłudze położyć się na podłodze. Patty Hearst i Kamila Hall wzięły sterroryzowanych na celowniki swoich automatów, po czym Patty Hearst i Patrycja Sołtysik odebrały kasjerom klucze, otworzyły kasy i zrabowały 10 960 dolarów. Wszystko nagrały kamery filmowe, przytomnie uruchomione przez menedżera banku. Napastnicy nie ukrywali tożsamości panny Hearst. Jedna z napastniczek, wskazując ją, zawołała do leżących na podłodze: „To jest Tania Hearst!". Rewolucyjne imię Tania nadano w SLA nawróconej na rewolucję porwanej na cześć jednej z podwładnych Che Guevary (niedouczeni gorliwcy z SLA nie mieli pojęcia, że prawdziwa Tania, Tamara Bunke, była agentką enerdowskiej Stasi).

Na koniec feldmarszałek Cinque bez powodu ostrzelał przechodniów na ulicy i ciężko zranił w brzuch dwoje z nich.

Potem były jeszcze liczne napady z bronią w ręku i niekończąca się, wielomiesięczna obława, prowadzona przez ponad 300 agentów FBI. W maju zeszłego roku FBI zaatakowało domek na południowych przedmieściach Los Angeles. Marszałek polny Cinque i jego 5 najwierniejszych pretorianów zostało zabitych. We wrześniu, po 19 miesiącach od porwania Patricii, agent FBI i policjant weszli do mieszkania przy Morse Street 625. Patricia Hearst, stojąca na środku pokoju, krzyknęła: „Nie strzelać! Idę z wami!". W pokoju policja znalazła 6 rewolwerów i 2 strzelby śrutowe.

Oskarżenie obejmuje zarzuty rabunku z bronią w ręku i używania broni palnej do popełnienia innych, ciężkich przestępstw federalnych. Obrona pod wodzą mecenasa F. Lee Baileya od początku procesu stara się udowodnić, że Patricia Hearst padła ofiarą porwania i prania mózgu. Uciec zaś nie mogła, bo uzbrojeni prześladowcy nieustannie mieli ją na oku. Prokurator James F. Browning ma jednak w ręku mocne argumenty. Różni świadkowie zeznali, że panna Hearst wielokrotnie znajdowała się poza kontrolą kompanionów z SLA; była wtedy uzbrojona i mogła bez trudu zbiec. Na początku napadu na Hibernia Bank wypadł jej na ulicy magazynek od karabinu M1. Podniosła go i spóźniona, weszła do banku. Niejednokrotnie brała udział w aktach przemocy, np. w porwaniu należącego do Franka Suttera samochodu, działając bezwzględnie, wyraźnie z własnej inicjatywy.

Celem ustalenia stanu jej świadomości podczas przebywania w SLA sędzia Oliver Carter nakazał przeprowadzenie wielomiesięcznych badań psychiatrycznych. Nie wypadły one po myśli obrony. Sędzia Carter wstępnie orzekł, że oskarżona będzie

podlegać karze do 35 lat więzienia. Oczywiście to teoria. Wszyscy, nie wyłączając oskarżenia, spodziewają się wyroku 6 lat. Komentatorzy prawni są zdania, że sędzia zastosuje tzw. Ustawę o młodocianych przestępcach, która przewiduje, że podsądni w wieku do 26 lat mogą otrzymać wyroki nie wyższe niż 6 lat więzienia i – co ważne – mogą starać się o zwolnienie warunkowe już nazajutrz po skazaniu.

Ostateczny wyrok zapadnie za chwilę. Wszyscy obecni w sali ceremonialnej wstają. Wchodzi sędzia William Horsley Orrick. Prowadzący sprawę panny Hearst sędzia Carter zmarł niedawno na zawał serca. Sędzia Orrick, który nie był na żadnej z rozpraw i nigdy nie widział Patricii Hearst, orzeka tylko w oparciu o akta sprawy. Orrick wcześniej sprawdził się jako dyrektor i menedżer opery w San Francisco, słynie z energii i pryncypialności.

Prokurator James Browning jr w końcowym wystąpieniu podtrzymuje zarzut dobrowolnego uczestnictwa porwanej w przestępczej SLA. Jego zarzuty są jednak stonowane, sam przypomina, że podsądna współpracowała z władzami. Wszyscy są zaskoczeni łagodnością wyroku, jakiego żąda prokurator – tylko 6 lat!

Obrona w swym ostatnim wystąpieniu przedstawia pannę Hearst jako ofiarę od początku do końca jej 19-miesięcznej epopei i domaga się uniewinnienia. Mecenas Albert Johnson woła z emfazą: „Wysoki Sądzie! Moja przyjaciółka Pat Hearst była terroryzowana, zastraszana, brutalnie traktowana, bita pięściami i przedmiotami. Ona była poniżana, torturowana, wyszydzana. Wysoki Sądzie! Ona dostała już dosyć!”.

Sędzia Orrick ogłasza wyrok: 7 lat więzienia! Ojcu oskarżonej szczęka opada ze zdumienia i Hearst siedzi z szeroko otwartymi ustami. Zaskoczona publiczność długą chwilę milczy. Potem zrywa

się dziki gwar, który cichnie, gdy sędzia przystępuje do uzasadniania wyroku. Podkreśla, że już nie uważa jej za zagrożenie dla społeczeństwa, ale nie będzie też traktował jej jako skrzywdzonej młodocianej: „Równość prawa musi być szanowana. Odpowiednia długość kary więzienia musi być zastosowana jako odstraszenie dla innych i jako kara dla pani. Mniejsza kara pomniejszyłaby wagę pani przestępstwa".

Patricia Hearst podczas napadu na bank

25 września 1953 ▪ piątek

Internowanie

O 7.00 prymas Polski kard. Stefan Wyszyński odprawia mszę dla alumnów seminarium duchownego. Potem wraz z księżmi profesorami idzie na akademię inaugurującą nowy rok nauki w warszawskim seminarium. Po obiedzie prymas przez 2 godziny pracuje nad kazaniem ku czci patrona Warszawy bł. Władysława z Gielniowa. Ma je wygłosić wieczorem w kościele św. Anny.

Prymas jest spokojny, jak zwykle skrupulatnie wykonuje swe obowiązki, ale spodziewa się najgorszego. Przed 3 dniami zakończył się pokazowy proces bp. Czesława Kaczmarka, którego skazano na 12 lat więzienia. Wczoraj prymasa odwiedził Bolesław Piasecki, szef PAX-u, współpracujący z komunistycznymi władzami, nieformalnie pośredniczący między komunistami i Kościołem. Doradzał potępienie skazanego biskupa. Kard. Wyszyński wysłał jednak protest z powodu procesu. Dzisiejsza „Trybuna Ludu" przynosi kolejny atak na bp. Kaczmarka, którego oskarża o płatne w dolarach szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych.

Wieczorem do Bolesława Piaseckiego dzwoni dyrektor Departamentu Politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Luna Brystygierowa. Zapowiada, że jeszcze dziś zdarzy się coś bardzo ważnego. Piasecki zawiadamia swych politycznych zauszników z PAX-u i razem czekają przy telefonie na dalsze wieści.

Prymas przechodzi z rezydencji na Miodowej do kościoła św. Anny. Kazanie wygłasza w przepełnionej świątyni. Panuje niezwyczajna cisza, czuje się napięcie. Prymas błogosławi zgromadzonych relikwiami św. Władysława. Gdy wychodzi z kościoła, drogę zastępują mu wierni. Prymas mówi do nich:

–Znacie obraz Michała Anioła *Sąd Ostateczny*. Anioł Boży wyciąga człowieka z przepaści na różańcu. Mówcie za mnie różaniec.

Kardynał przechodzi do mieszkania ks. rektora Kamińskiego na kolację. Na Miodową wraca o 21.30. Przed kościołem św. Anny ciągle stoją wierni. Jedni wznoszą okrzyki, inni ich uciszają. W rezydencji na Miodowej prymas idzie do swoich pokoi, kładzie się do łóżka. Światła gasną.

O 22.00 do drzwi kard. Wyszyńskiego puka ks. Goździewicz z prymasowskiego sekretariatu. Mówi, że przyszli jacyś ludzie z listem od ministra Antoniego Bidy do bp. Baraniaka i żądają otwarcia bramy. Prymas dziwi się – listy od ministra przekazywane są zawsze do sekretarza Episkopatu bp. Choromańskiego. Ks. Wyszyński czuje, że to nie pomyłka, lecz coś o wiele poważniejszego. Natychmiast wstaje, ubiera się. Poleca zapalić wszystkie światła w Pałacu Prymasowskim, by Warszawie dać znak, że władze przyszły po niego. Oświetlenie pałacu w chwili zagrożenia zadysponował współpracownikom jeszcze wczoraj.

Z dołu dochodzą hałasy. Kard. Wyszyński schodzi na parter i poleca otworzyć bramę. Chwilę potem wchodzi bp Baraniak otoczony przez grupkę oficerów bezpieczeństwa w cywilu i tłumaczy, że musiał ich wpuścić – grozili, że będą strzelać.

–A szkoda, wiedzielibyśmy, że to napad, a tak to nie wiemy, co sądzić o tym nocnym najściu – mówi prymas.

Jeden z przybyłych odpowiada, że przyszli w sprawie urzędowej, i dziwi się, że nikt nie otworzył im bramy. Kardynał replikuje, że bramy otwarte są w godzinach urzędowania, a te dawno minęły. Oficer na to, że państwo ma prawo zwrócić się do obywateli, kiedy chce. Prymas z zimną krwią odpiera: także państwo ma obowiązek przyzwoitego zachowywania się wobec obywateli.

Kardynał wychodzi na dziedziniec, by odszukać dozorcę Cabanka. Ubecy wychodzą za nim. Pies Baca rzuca się na jednego z nich i gryzie go do krwi. Prymas wraca do przedsionka. S. Maksencja przynosi jodynę. Prymas osobiście opatruje ranę funkcjonariuszowi i uspokaja go, że pies nie jest wściekły. Potem ks. Wyszyński przechodzi do Sali Papieży. Oficerowie wprowadzają tam bp. Baraniaka. Jeden z funkcjonariuszy znów zgłasza pretensje, że nie wpuszczono ich. Prymas cierpliwie wyjaśnia, że ciągle jeszcze nie wie, czy ma przed sobą przedstawicieli władzy czy jakichś napastników. Szef XI Departamentu MBP płk Karol Więckowski zdejmuje palto, wyjmuje z teczki list, odpieczętowuje go i wręcza kard. Wyszyńskiemu. Jest to decyzja prezydium rządu – prymas ma być natychmiast usunięty z miasta i internowany w wyznaczonym przez władze klasztorze. Nie wolno mu sprawować żadnych czynności związanych z jego funkcjami kapłańskimi.

Płk Więckowski prosi, by prymas odnotował na piśmie, że przyjął ją do wiadomości. Prymas odmawia. Wyjaśnia, że nie widzi podstaw prawnych do takiej decyzji, przypomina, że spotykał się z prezydentem Bierutem i odpowiedzialnym w partii za politykę wyznaniową Franciszkiem Mazurem i mieli oni dość sposobności, by przekazać swoje pretensje.

Pułkownik prosi, by prymas chociaż podpisał list na znak, że go czytał. Ks. Wyszyński pisze: „Powyższe przeczytałem", i składa podpis.

Prymas idzie teraz na górę, do prywatnych apartamentów. Za nim podąża kilku oficerów. Płk Więckowski pyta, jakie rzeczy osobiste ks. Wyszyński każe sobie zapakować. Prymas odpowiada, że niczego mu nie potrzeba.

– Jak to nie potrzeba? Nie rozumiem – dziwi się pułkownik.

–To nic nie szkodzi, że pan nie rozumie, wystarczy, że ja rozumiem – ucina kardynał. Po chwili dodaje: – Przyszedłem tu z pustymi rękami i tak odejdę.

Przychodzi s. Maksencja i z dobrego serca prosi prymasa, by wziął choć rzeczy najpotrzebniejsze. Ks. Wyszyński odpowiada:

–Siostra składała ślub ubóstwa i wie, co to znaczy. – Po czym zwraca się do stojącego pod ścianą por. Opary: – Ja mówię panom zupełnie szczerze, że nie mam do was pretensji, przecież wszyscy jesteśmy Polakami.

Porucznik zakłopotany kaszle i zaczyna spacerować pod ścianą. Funkcjonariusze są zdenerwowani. Jeden z nich bierze walizę i wchodzi do sypialni prymasa. Ks. Wyszyński pozostaje w swym gabinecie.

Ubecy przyprowadzają bp. Baraniaka. Pytają prymasa, kto jest tu gospodarzem. Odpowiada, że podczas jego nieobecności zawsze bp Baraniak. Kard. Wyszyński korzysta z okazji i oświadcza biskupowi w obecności tajniaków, że wszystko, czego jest świadkiem, uważa za gwałt. Prosi biskupa, by nikt nie organizował mu obrony, nie szukał adwokatów. W razie procesu będzie się bronił sam.

W gabinecie ks. Wyszyński porządkuje książki, zbiera z biurka papiery i wkłada do szafy. Zauważa kilka prymasowskich dokumentów złożonych wcześniej na biurku przez sekretarza. Podpisuje je.

Wychodząc, zabiera brewiarz i różaniec. W przejściu s. Maksencja podaje mu palto i kapelusz. Prymas nie zauważa, że palto nie jest jego. To pamiątka po zamordowanym przez hitlerowców w Dachau bp. Michale Kozalu.

Prymas skręca jeszcze do kaplicy. Drogę zastępuje mu płk Paszkowski, ale płk Więckowski zezwala:

– Na chwilę można.

Po chwili oficerowie sprowadzają go na dół. Na progu prymas jeszcze raz protestuje przeciw gwałtowi i wychodzi na dziedziniec. Tuż przed drzwiami czeka osobowy samochód z zachlapanymi błotem szybami. Wraz z prymasem wsiada do niego 3 oficerów. Jest już po północy, gdy samochód wyjeżdża z bramy rezydencji prymasowskiej. Na Miodowej otacza go 6 samochodów wypełnionych tajniakami. Kawalkada przejeżdża koło pałacu Mostowskich i skręca w nowo wybudowaną Trasę W-Z, potem pędzi przez most Śląsko-Dąbrowski na wschód ku Jabłonnie.

Bolesław Piasecki nadaremnie, aż do świtu, czeka na wieści. Nikt z Urzędu Bezpieczeństwa nie dzwoni.

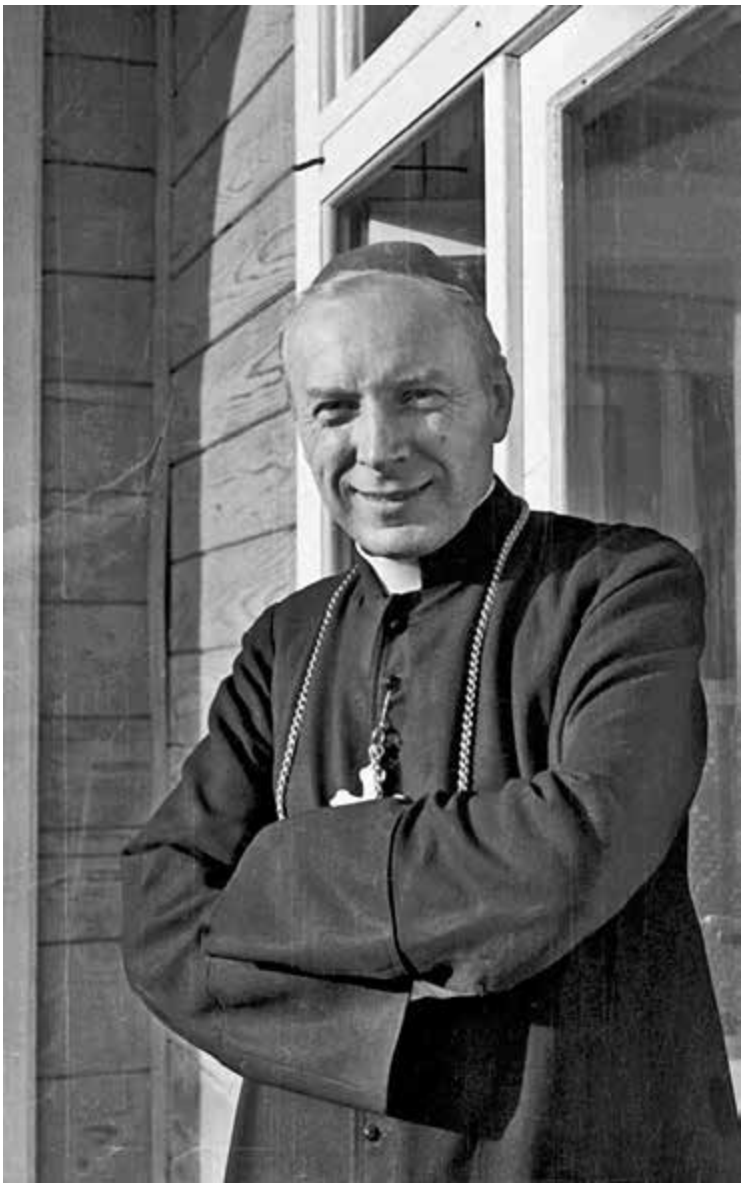

Ks. kard. Stefan Wyszyński

26 września 1908 ▪ sobota

Nocny eks płk. Dąbka

Tym razem akcja musiała się udać. Po rewolucji 1905 roku PPS sparaliżowały carskie represje i brak gotówki. Rewolucjoniści z Organizacji Bojowej PPS wegetowali w nędzy, nie było pieniędzy na zakup broni. Józef Piłsudski i Aleksander Prystor opracowali więc plan napadu, czyli, jak rewolucjoniści mawiali, eksa (od ekspropriacji) na pociąg pocztowy z Wilna do Petersburga. Raz w tygodniu przewożono w nim pieniądze zebrane przez carskie urzędy skarbowe na Wileńszczyźnie do banku centralnego w Petersburgu. Spiskowcy z OB PPS zamierzali zatrzymać pociąg w Bezdanach, niedaleko Wilna, unieszkodliwić eskortę, a pieniądze wywieźć za granicę, do Galicji. W skomplikowanej akcji miało wziąć udział 19 bojowców.

Pierwsza próba, w nocy 19 września, nie powiodła się. Spiskowcy wyruszyli z Wilna za późno, pobłądzili nocą w lesie, grupy pogubiły się.

26 września na polecenie Piłsudskiego wyruszono przed południem. Bojowcy otrzymali przed wymarszem mauzery, browningi, paczuszki z żywnością i koniak. Podzieleni na grupki po 2–3, dojeżdżali na Antokol tramwajami i osobno ruszali piechotą w stronę Bezdan. Jadący w ostatniej grupie Aleksander Lutze-Birk był sanitariuszem wyprawy. Gdy siadał w tramwaju, lufa ukrytego pod kamizelką mauzera zgniotła ukrytą w kieszonce flaszeczkę ze skoncentrowanym amoniakiem. Lutze-Birk wysiadł natychmiast z Piłsudskim. Miał popalony, skrwawiony cały bok. Piłsudski kazał mu wracać, ale Lutze-Birk ruszył dalej. Oddał tylko towarzyszowi broń. Nie miał siły dźwigać pistoletu. Do punktu zbornego obok stacji w Bezdanach bojowcy dotarli ponad godzinę przed czasem. Byli tak zmęczeni, że na rozkaz Piłsudskiego, by przynieść wodę do lamp karbidowych, nikt się nie ruszył. Piłsudski poszedł sam. Tuż przed nadejściem pociągu spiskowcy poczęli osobno zjawiać się na

peronie. W pociągu, zmieszani z pasażerami, nadjeżdżali Walery Sławek, Czesław Świrski, Józef Kobiałka i Jan Fijałkowski.

Pociąg zaczyna hamować, gdy Arciszewski, Balaga i Gibalski biegiem ruszają wzdłuż wagonu z eskortą. Balaga usiłuje wybić okno kijem, ale bez skutku. Żandarm Borysow z eskorty wyskakuje na platformę wagonu i strzela do biegnących. Gibalski odpowiada strzałem. Ranny w nogę Borysow spada na peron, ale chwyta się schodków wagonu i w biegu wciąga się na platformę. Zdyszany Balaga wybija wreszcie okno i Gibalski wpycha do wagonu bombę. Wybuch odrzuca ich na płot, ranny żandarm Borysow ląduje na torach. Gibalski po chwili rzuca drugą bombę w wybite okna. Do wagonu z eskortą wpada Arciszewski. Na podłodze leży zabity żandarm. 3 żołnierzy z karabinami stoi ogłuszonych eksplozją. Reszta ochrony uciekła.

Poparzony Lutze-Birk ma za zadanie wysadzić tory przed lokomotywą. Miota się po torach, kopie jamkę pod szyną, zagrzebuje dynamit, ale spłonka nie wybucha. Zdesperowany, syczący z bólu spiskowiec strzela do obsługi lokomotywy, a sterroryzowanych kolejarzy odprowadza do budynku stacji, gdzie napastnicy gromadzą osoby postronne. Pilnuje ich jeden z bojowców, od czasu do czasu dla podtrzymania posłuszeństwa strzelający w sufit. Lutze-Birk wraca na peron, ale zapomina odzewu – „komuna". Uczestnik akcji Hellman strzela doń z 4 kroków. Na szczęście chybia.

Tymczasem napastnicy wdzierają się do przedziału z przesyłkami. Cała ściana zastawiona jest drewnianymi skrzynkami i skórzanymi sakwami. Przesyłki pocztowe przeszukuje Piłsudski. Czasem trafia na gotówkę, częściej na weksle, których spieniężyć nie sposób. W kopercie z napisem „Połtora miliona rublej" znajduje dwa banknoty 500-rublowe i imienne weksle na tę kwotę. Carski

urzędnik pocztowy Józef Majewski prosi bojowców: „Panowie, bierzcie wszystko, tylko błagam, odkładajcie koperty na miejsce, nie róbcie bałaganu!”.

W drugim wagonie, tzw. pakunkowym, zabarykadowali się konduktorzy. Lutze-Birk wysadza dynamitem drzwi. Pod groźbą drugiej bomby konduktorzy poddają się. W świetle lampy Lutze-Birk widzi potężną przyspawaną do podłogi skrzynię. Wysadza ją. W środku są drewniane skrzynki. Bojowcy rozbijają je i znajdują małe żelazne skrzyneczki. W kłębach dymu nie zauważają leżącego w kącie stosu złotych monet. Biorą je w ostatniej chwili. W kasetkach znajdują sumy spore, ale nie oszałamiające – po kilkaset, kilka tysięcy rubli.

O 23.40 Piłsudski wydaje rozkaz: „Za pięć minut kończymy!”. Pociąg dojeżdża do Wilna. Gibalski łapie worek ze srebrem, którego nie powinien zabierać – za mało wart w stosunku do wagi. Tuż przed północą Piłsudski dmie w trąbkę dróżnika. To sygnał do odwrotu. Nieniepokojeni bojowcy uchodzą z łupem w mrok.

27 września 1605 ▪ wtorek

Jestem, jestem i już mnie nie ma

Wąskim traktem przez gęsty las, tuż po północy, w strugach deszczu pomału przesuwa się gigantyczny wąż ludzi. W błocie grzęzną buty piechurów i kopyta rumaków rajtarii, w egipskich ciemnościach co rusz ktoś potyka się, upada, pociąga za sobą sąsiadów. Przekleństwa tłumi tylko wielkie znużenie. Szwedzcy żołnierze nawet nie zdążyli się na dobre ułożyć do snu, gdy o 21.00 usłyszeli królewski rozkaz do wymarszu.

Karol IX zdecydował się poderwać swe wojsko do straszliwie męczącego nocnego marszu chwilę po zakończeniu przesłuchania polskiego jeńca Pawła Krajewskiego. Towarzysz chorągwi husarskiej Szczęsnego Niewiarowskiego został pochwycony przez Szwedów wczoraj, gdy brał udział w podjeździe w stronę ich obozów pod murami Rygi.

Krajewski podczas przesłuchania prowadzonego osobiście przez Karola IX zachowywał się dumnie, ale język miał stanowczo za długi. A szwedzki monarcha od polskiego jeńca oczekiwał akurat nie pokory, lecz informacji. I dostał, czego chciał. Dowiedział się zatem, że hetman polny litewski Jan Karol Chodkiewicz, prowadzący ze sobą litewskie wojska, w znakomitej większości jazdę, pospiesznym marszem przybył przed niewieloma godzinami pod miasteczko Kircholm nad Dźwiną, raptem 13 km od szwedzkich obozów. Przybył zaś po to, by ratować Rygę, oblężoną przez Szwedów od strony lądu i blokowaną przez szwedzką flotę na morzu. Najważniejszy bałtycki port Litwy bronił się resztkami sił i bez pomocy z zewnątrz rychło musiał upaść. Ta pomoc nadchodziła, tyle że trzykrotnie mniej liczna od wojsk Karola IX. Szwedzki monarcha wieściami o wyprawie Chodkiewicza bardzo się zaniepokoił. Nie, Litwinów wcale się nie bał, zląkł się tylko, że w ostatniej chwili Chodkiewicz pójdzie po rozum do głowy i ze swą jazdą pośpiesznie zrejteruje z pola bitwy, uniemożliwiając Karolowi IX odniesienie świetnego zwycięstwa. A okazja, by mieć nad wojskami Rzeczypospolitej aż trzykrotną przewagę w polu, już się pewnie bardzo długo nie powtórzy.

Zaraz po przesłuchaniu Krajewskiego Karol IX dał rozkaz wymarszu w stronę Kircholmu części oblegających Rygę sił. Dopiero szwedzcy dowódcy – gen. Anders Lennartsson, pułkownicy: Henrik Brandt, Joachim von Mansfeldt i Reinhold von Engels – pomni

klęsk zadanych ostatnimi czasy Szwedom przez husarię pod Kokenhausen i pod Białym Kamieniem, ubłagali monarchę, by do bitwy z najlepszą jazdą w Europie raczył zabrać wszystkie oddziały. Przed wymarszem król osobiście obszedł niemieckie regimenty zaciężne, obiecując podwójną zapłatę za nocny marsz i stoczenie bitwy w polu. Niemieccy piechurzy na walkę w otwartym polu z husarią w ogóle nie mieli ochoty.

Mija godzina za godziną nocnego marszu Szwedów. Czołowe oddziały na pokonanie w fatalnych warunkach 13 km potrzebowały ponad 5 godzin. Gdy pierwsi, słaniający się ze zmęczenia żołnierze Karola IX zajmują pozycje na wzgórzach obok Kircholmu, ostatnie oddziały dopiero ruszają w drogę z obozowisk pod murami Rygi.

Nocne czaty Litwinów o świcie zauważają zbliżanie się nieprzyjaciela. Wyrwany ze snu Chodkiewicz rozkazuje budzić wojsko i odprawić mszę św.

Wojsko budzi się niechętnie. Przemarsz pod Kircholm był nie lata wyczynem. Obciążeni setkami wozów taborowych, które teraz, spięte łańcuchami, 3 obronnymi kręgami otaczają obóz wojsk hetmana, jeźdźcy i piechurzy w 2 dni przeszli 125 km. Teraz i konie, i ludzie, straszliwie wymęczeni, równie kiepsko nadają się do boju jak żołnierze Karola IX.

Mszy słucha hetman w stroju bitewnym. Na żupanie z karmazynowego safianu ma kaftan z miękkiej skóry łosia, na kaftan zaś założony kirys z hartowanej na błękitno stali z rytowanym herbem Gryf. Szpakowata broda modlącego się hetmana kładzie się miękko na sinobłękitnej stali.

Po mszy Chodkiewicz dosiada swego słynnego wierzchowca, arcyrzadkiej na Litwie karej maści półkrwi araba ze znakomitej stadniny Radziwiłłów w Taurogach. Pierś i zad hetmańskiego rumaka chroni kropierz ze stalowej blachy. Siodło nabijane

turkusami, ze srebrnymi strzemionami, spoczywa na skórze rysia rozłożonej na końskim grzbiecie. Wielki wódz, wielki pan.

Polski obóz oparty jest plecami o brzeg Dźwiny. Przed nim, na niewidocznym dla Szwedów zboczu wzgórza, Chodkiewicz rozstawia swoich 2400 jeźdźców i nieco ponad 1000 piechurów: lewe skrzydło pod doświadczonym weteranem rtm. Tomaszem Dąbrową, prawe – pod dowództwem Jana Piotra Sapiehy. W centrum hetman stawia własny pułk, pod dowództwem Wincentego Wojny. Z tyłu – odwód pod swym ulubionym oficerem, ogromnego wzrostu emigrantem z Moskwy Teodorem Lackim, synem bojara Iwana. Hetman gęsto ustawia szyki, by oddziały częściowo wzajem się zasłaniały, przez co stwarzały wrażenie, że są mniej liczne. Wszystko po to by Karol IX całkiem zlekceważył jego malutką armię.

Chodkiewicz niespiesznie objeżdża swe oddziały, w ogłuszającym akompaniamencie trąb, surm, kotłów. Gdy zgiełk wreszcie cichnie, rozmawia z oficerami, krzepi ducha. „*Inde hostis premit, hinc nos Duna coercet*" – mówi do oficerów i towarzyszy pancernych. Z jednej strony wróg, z drugiej Dźwina, nie ma więc innego wyjścia, jak bić się i zwyciężyć.

Szwedów tymczasem ciągłe przybywa. Są na widoku, tuż pod szczytem równoległego pasma wzgórz, po prawej ręce mając Kircholm i Dźwinę. 11 tys. piechurów i 3 tys. jazdy szwedzcy dowódcy ustawiają w misterną szachownicę. W pierwszym i trzecim rzucie stają zwarte regimenty piechoty, w rzutach drugim i trzecim, wpasowane między czworoboki piechurów, zajmują miejsca oddziały rajtarów.

Chodkiewicz poleca swej armii wstąpić na szczyt wzgórza.

Gdy obie strony są już niemal uszykowane do bitwy, na drugim brzegu Dźwiny pojawia się 300 jeźdźców. To rajtarzy wiernego

lennika Rzeczypospolitej księcia Kurlandii Fryderyka Kettlera. Książę miałby dobrą wymówkę, by uniknąć bitwy – od uszykowanych do walki szeregów dzieli go potężna rzeka. Ale Fryderyk odnajduje znany mu stary bród i pod okiem Szwedów jego jeźdźcy w pełnym uzbrojeniu przeprawiają się przez Dźwinę. Woda jest tak głęboka, że końskie łby ledwie z niej wystają. Rtm. Dąbrowa posyła dla osłony rajtarom Kettlera chorągiew tatarską, ale Karol IX nie interweniuje. W swej pysze cieszy się nawet, że jeszcze jeden oddział wroga dostanie się pod kule i rapiery jego armii.

Szwedzki król objeżdża swe oddziały i wygłasza mowy. Lży i ośmiesza przeciwnika, głosi, że zwycięstwo pewne, a problem w tym tylko, by tchórzliwi husarze nie zdążyli uciec spod szwedzkich kling.

Dowodzący drugą linią piechoty Fryderyk książę Braunschweig-Lueneburg, a przy tym zięć Karola IX, odważa się w obecności żołnierzy przeciwstawić teściowi – husarzy nigdy nie wolno lekceważyć. Król upokarza zięcia, podając w wątpliwość jego odwagę. Oburzony książę zsiada ze swego rumaka, ostentacyjnie odpina i wyrzuca w trawę ostrogi, zdejmuje hełm i oddaje któremuś z prostych piechurów, zabiera mu za to pikę. Oświadcza, że będzie się bił tego dnia jak prosty żołnierz, i staje w szeregu swych podwładnych. Król próbuje go mitygować, ale dumny Fryderyk ignoruje go.

Karol IX odjeżdża pospiesznie na szczyt wzgórza i staje pod swym monarszym, błękitnym sztandarem z wyhaftowanymi złotą nicią słowami: „*Sum, Sum, sum*". Jestem, jestem, jestem. To aluzja do słów Jahwe: „Jestem, który jestem".

Już zaczęły się harce przed bitwą. Po kilkudziesięciu najlepszych jeźdźców z obu stron pędzi ku sobie poprzez płytką dolinkę, strzela

z pistoletów, krzyżuje ostrza. Obie armie wiwatują na cześć swoich harcowników. Wygląda to jak malownicza zabawa, ale co rusz martwy albo ranny spada z konia. Potężny jak dąb szwedzki rajtar celnie strzela do litewskiego petyhorca. Pocisk trafia w hełm i ogłusza Litwina. Szwed podjeżdża do nieprzytomnego przeciwnika, schyla się z konia i przerzuca przez siodło nieprzytomnego niczym upolowaną sarnę. Gdy dumnie wraca z pochwyconym do swoich, wytrząsany przez konia jeniec przytomnieje, wyciąga nóż, przecina popręg. Obaj walą się na ziemię niczym snopy, koń ucieka. Przeciwnicy nie mają broni prócz noży, więc dają sobie spokój. Kłaniają się i na piechotę wracają do swoich linii.

Mija południe. Karol IX niecierpliwi się. Chodkiewicz poleca chorągwiom Dąbrowy pozorować odwrót ze wzgórza. Na ten widok Karol IX, wbrew radom i prośbom swych dowódców, rozkazuje wojsku opuścić doskonałe, bezpieczne pozycje na szczytach wzgórz i zejść w kotlinkę.

Chodkiewicz daje znak buławą. Do ataku rusza słabe litewskie centrum Tomasza Wojny – 300 husarzy i 300 rajtarów kurlandzkich księcia Fryderyka, jeszcze mokrych po przeprawie przez Dźwinę. Taktyka husarska jest skomplikowana. Jeźdźcy zawsze zbliżają się do szeregów wroga w luźnym szyku, stępa, dopiero w zasięgu strzału przeciwnika nagle przyspieszają i zgęszczają szyk. Gdy dowódca uznaje, że wróg trzyma się mocno, na jego znak husarze w galopie niemal w miejscu zawracają – takie zwroty ćwiczą oni latami – by potem znów ruszyć stępa do kolejnego ataku. I następnego, aż do chwili gdy naprawdę uderzą swymi kopiami długości 370 cm w szyk wroga.

Szwedzi tę taktykę znają aż za dobrze. Tym razem jednak rtm. Dąbrowa postanawia uderzyć od razu. 300 husarzy, za nimi 300

rajtarów, uderza jak taran w czworoboki szwedzkiej piechoty. Każdy z nich liczy więcej żołnierzy od atakujących, ale linie Szwedów wyginają się, wyginają, wreszcie pękają pod naporem husarzy. Znów hetman daje znak buławą. Dąbrowa prowadzi lewe skrzydło do ataku po łuku, by nacierać z wiatrem, który pędzi kurzawę spod husarskich kopyt prosto w oczy szwedzkich strzelców. Niemal w tej samej chwili szwedzkie lewe skrzydło, pewne, że zwycięstwo tuż-tuż, uderza skośnie ku rzece, by domknąć pierścień okrążenia. Pułk Sapiehy powstrzymuje ich, a odwodowe chorągwie Teodora Lackiego przełamują rajtarskie szyki.

Po kwadransie bitwa jest wygrana przez Litwinów: czworoboki szwedzkiej piechoty – rozbite, jazda – rozproszona. Tomasz Dąbrowa w zamęcie walki nie rozpoznaje księcia Fryderyka Braunschweig-Leueneburg dzielnie walczącego pieszo, piką. Tnie go potężnie szablą. Książę kona w męczarniach. Jego teść król Karol IX w otoczeniu świty z dziką odwagą zmaga się z husarzami Lackiego. Kilku z nich rani, któryś z towarzyszy pancernych potężnie uderza go nadziakiem w ramię. Koń Karola IX krwawi obficie, wreszcie wyrywa się z zamętu walki i pada martwy. Husarze ruszają w stronę bezbronnego króla Szwecji, lecz szybszy jest jego dworzanin Hendrik Wrede. Osadza konia przy Karolu IX, zeskakuje z siodła i woła: „Najjaśniejszy Panie! Nie pora narażać życie!".

Karol IX szczęśliwie ucieka na jego koniu z pola bitwy. Gdy ogląda się przez ramię, spostrzega, jak Litwini dobijają próbującego powstrzymać pogoń za królem wiernego Wredego.

Chodkiewicz wolno wjeżdża na pobojowisko. Litwinów zginęło niespełna 100, w tym ledwie 13 husarzy i towarzyszy pancernych. Szwedów – znacznie ponad 6 tys.

28 września 480 p.n.e. ▪

Będzie Grecja, będzie Europa!

Lśniące od oliwy brodate twarze wyglądają dziko w płomieniach rzucanych przez wielkie ogniska. Władczy mężczyźni o twarzach spalonych słońcem, pooranych wiatrami z pasją wykrzykują swoje racje. Narada dowódców greckiej floty ciągnie się od paru godzin, północ już blisko, ale końca sporów nie widać. Większość domaga się, by zjednoczona flota greckich państw jak najspieszniej odpłynęła z cieśniny między grecką Attyką a wyspą Salaminą.

Nocna kłótnia dowódców przy ogniskach jest coraz ostrzejsza. Tylko Ateńczycy, dowódcy okrętów z leżącej na lądzie stałym po drugiej stronie Salaminy, Megary i flota Eginy chcą zostać w cieśninie i tu stoczyć z Persami walną bitwę. Za wycofaniem się najgłośniej gardłują wodzowie z państw położonych na południe od Aten. Uważają oni, że stoczenie bitwy morskiej między Salaminą i Pireusem będzie walką w interesie Ateńczyków, że flota powinna odpłynąć na południe, w pobliże Przesmyku Istmijskiego, jedynej drogi lądowej na Peloponez. Zjednoczona armia państw greckich ma bronić przesmyku do upadłego.

Wódz floty Koryntu także domaga się wycofania spod Salaminy. W polemicznym zapale nazywa wodza floty ateńskiej Temistoklesa człowiekiem bez własnego miasta. To podły chwyt. Aten nie dało się ocalić przed Persami. Garstka obrońców, która umocniła się na Akropolu, została wymordowana przez wojowników Kserksesa, zaś Ateńczycy, którzy uszli z miasta, służą teraz we flocie i w armii lądowej na Przesmyku Istmijskim.

Podnosi się mężczyzna w średnim wieku, z krótkimi włosami, o okrągławej twarzy okolonej mocno przystrzyżoną brodą.

Temistokles spokojnie odpowiada, że jego miasto jest większe od państwa Koryntu, póki Ateńczycy mają pod stopami pokłady swoich 200 okrętów bojowych, trier. Ateński wódz zapowiada, że jeśli zjednoczona flota odpłynie na południe, jego 200 okrętów porzuci ją, popłynie do Italii, gdzie ich załogi osiedlą się w mieście Siris.

Blady strach pada na naczelnego wodza zjednoczonej greckiej floty Eurybiadesa. On wie, że Temistokles nie rzuca słów na wiatr. A gdyby okręty ateńskie odpłynęły, reszta greckiej floty nie miałaby żadnych szans w starciu z dużo liczniejszą flotą Kserksesa. Eurybiades łagodzi spór, zachęca do pozostania u brzegów Salaminy, ale południowcy dalej chcą odpływać. Wtem Grecy spostrzegają sowę nadlatującą bezgłośnie nad ich okręty. Ptak dolatuje od prawej strony do triery Temistoklesa i siada na maszcie. Sowa jest symbolem Ateny, bogini wojny i zwycięstwa, a nadlatując z prawej strony, zwiastuje nadzwyczajny sukces. W obozie wybucha żywy gwar. Dziesiątki głosów radośnie komentują tak pomyślną wróżbę.

Eurybiades i Temistokles uznają spory za zakończone, Dowódcy rozchodzą się do swych namiotów.

Ale nie wszyscy. Nieprzejednani przeciwnicy bitwy u brzegów Salaminy znów zwołują wiec. Potępieńcze swary wybuchają na nowo. Temistokles widzi, że jeśli sprawy pójdą tak dalej, Greków czeka katastrofalna klęska i zagłada. Na poczekaniu obmyśla piekielną intrygę. Powoli odsuwa się coraz dalej od pierwszego kręgu kłócących się wodzów i znika w ciemnościach. Pędzi do ateńskich namiotów. Tam budzi swego niewolnika, z pochodzenia Persa, i powierza mu wielki sekret: oto on, Temistokles, zrozumiał, że w obliczu zajadłych kłótni w obozie greckim niepodobna pokonać floty Kserksesa. W imieniu Ateńczyków doradza Persom

natychmiastowy atak. Sam wraz ze swą flotą w momencie rozpoczęcia walki przejdzie na stronę Kserksesa, w zamian oczekując łaski i dobrego traktowania.

Perski służący nie ma powodu wątpić w słowa Temistoklesa. Nieraz greckie państwa przechodziły na stronę Persów – alboż to Artemizja nie jest zaufaną sojuszniczką i doradczynią Kserksesa? A wrzaski i wzajemne groźby greckich dowódców tej nocy słychać daleko poza obozem.

Służący Temistoklesa cichcem wymyka się z obozu, wsiada do małej łodzi i rusza czym prędzej w stronę stałego lądu. W środku nocy dworacy budzą Kserksesa – przybył zbieg z obozu Greków! Perski władca wysłuchuje go i w mgnieniu oka podejmuje decyzję – cała flota natychmiast, w środku nocy, ma ruszać do boju!

Kserkses nie waha się, bo wie już od szpiegów, że z wyspy Korkyry po drugiej stronie Grecji płynie silne wsparcie dla Eurybiadesa – 60 nowiutkich, świetnie wyposażonych trier. To siła, której lekceważyć nie wolno.

29 września 1938 ▪ czwartek

Pusty kałamarz

Pociąg specjalny z Hitlerem przyjeżdża do Monachium o 6.00. Kilkanaście minut poźniej – ekstrazug marsz. Hermanna Göringa. Od świtu SA-mani dekorują monachijski dworzec i centrum miasta morzem flag hitlerowskich. Po krótkim odpoczynku Hitler jedzie swym pociągiem na spotkanie pociągu Mussoliniego, przybywającego z Rzymu. Spotykają się o 9.24 w Niemczech, na dworcu w Kufsteinie. Hitler wsiada do pociągu Mussoliniego

i razem wracają do Monachium. Na dworcu są o 11.00. Tłumy monachijczyków gotują im owacje. Entuzjazm jest szczery – większość Niemców nie chce wojny, w Mussolinim widzi męża opatrznościowego, który ratuje pokój.

Hitler od kilku miesięcy domaga się przyłączenia do Niemiec zachodniej części Czechosłowacji, w której tzw. Niemcy sudeccy stanowią większość ludności. Praga jest osamotniona. Wielka Brytania nie jest gotowa do wojny z Niemcami, Francja zaś za słaba, by samotnie wystąpić w obronie czechosłowackiego sojusznika. Przedwczoraj polski rząd przesłał do Pragi notę z żądaniem przekazania Polsce terenów Zaolzia zamieszkanych przez większość polską. Dziś polska prasa rozpisuje się o krwawych prześladowaniach Polaków w Czechosłowacji i o irytującej zwłoce Pragi z odpowiedzią na żądania Warszawy. Bliskie rządowi gazety przedstawiają żądania Berlina neutralnie, niekiedy wręcz z nutą życzliwości.

Ciężar obłaskawiania Hitlera wziął na siebie premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain. Latał do Niemiec, wysłuchiwał impertynencji Führera, cierpliwie negocjował. Nie bronił Pragi, bronił pokoju za cenę wymuszenia ustępstw na Czechach. Ale Hitler w ostatniej chwili zwiększył żądania, a prezydent Benes odrzucił je. Hitler odpowiedział ultimatum upływającym wczoraj o 14.00 – albo Czesi przystają na jego dyktat i za parę dni Wehrmacht bez strzału wkroczy do Sudetów, albo wojna. W Niemczech zapowiedziano mobilizację. Świat stanął na krawędzi wojny, ale na 2 godziny i 20 minut przed upływem niemieckiego ultimatum na prośbę Londynu Benito Mussolini zaproponował swoją mediację. Hitler przyjął ją i przesunął mobilizację o 24 godziny. Europa odetchnęła – będą rozmowy. I to błyskawicznie. Hitler zaprosił

Mussoliniego oraz premierów Wielkiej Brytanii i Francji na rozmowy do Monachium. Początek dziś o 15.00.

Gdy Hitler wita Mussoliniego, w Monachium ląduje samolot z premierem Francji Eduardem Daladierem. Francuzi jadą z lotniska do hotelu Vier Jahreszeiten (Cztery Pory Roku). Tam w południe Daladierowi składa kurtuazyjną wizytę marsz. Hermann Göring, premier Prus. Premier Chamberlain jest spóźniony. Jego dwusilnikowy lockheed ląduje o 11.57. Chamberlain pospiesznie odświeża się na lotnisku i jedzie prosto do Führerhaus, nowej, oficjalnej rezydencji Hitlera przy Koenigsplatz. Tam o 12.30 zaczyna się oficjalne śniadanie dla uczestników konferencji. Czeski poseł Masaryk wezwany został za zgodą Chamberlaina do Monachium, ale nie ma prawa uczestniczyć w obradach na temat losu swego kraju. Ma czekać w sąsiednim pokoju na wypadek, gdyby potrzebne były jakieś wyjaśnienia strony czeskiej.

Po śniadaniu, krótko przed 14.00, uczestnicy konferencji – Hitler, Chamberlain, Mussolini, Daladier, niemiecki minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop i włoski Galeazzo Ciano, najbliższy, osobisty doradca premiera Chamberlaina *sir* Horace Wilson oraz sekretarz stanu we francuskim MSZ Alexis Léger – przechodzą do nowocześnie urządzonego salonu na pierwszym piętrze pałacu Führera i zasiadają za dużym okrągłym stołem. Konsternacja – stół jest za niski. Goście Hitlera muszą siedzieć nienaturalnie wyprostowani. Gdy chcą rzucić okiem w dokumenty, muszą dziwacznie garbić się nad blatem albo trzymać kartki papieru w ręku.

Mussolini jest sojusznikiem Hitlera, ale wszyscy udają, że widzą w nim neutralnego, bezinteresownego rozjemcę, obrońcę europejskiego pokoju. Każdy z uczestników krótko przedstawia punkt widzenia swego kraju na kryzys sudecki. Wszyscy

opowiadają się przeciwko rozwiązaniom polegającym na użyciu siły. 4 szefowie rządów w atmosferze wzajemnego zrozumienia dyskutują o konieczności odebrania Sudetów Czechosłowacji. Wczoraj wieczorem premier Chamberlain w brytyjskim radiu mówił przecież o absurdzie wojny, która mogłaby wybuchnąć „z powodu kłótni w odległym kraju, między ludźmi, o których nic nie wiemy". Miłą atmosferę 2 razy zakłóca Hitler, który na wzmiankę o Beneszu wpada w niepohamowaną wściekłość; czeskiego premiera i Czechosłowację w ogóle obrzuca niewyszukanymi inwektywami. Przeciwstawia mu się wtedy Daladier. Niski, krępy premier Francji najwyraźniej nie czuje się dobrze w roli kata dobijającego swego czechosłowackiego sojusznika. Na napaści Hitlera pod adresem Benesa replikuje ostro i stanowczo. Hitler, o dziwo, natychmiast uspokaja się i nie ciągnie awantury. W przerwie na kawę podchodzi do Daladiera i opowiada mu o swoich przeżyciach frontowych z czasów wojny światowej. Chwilę później o francuskim polityku mówi do Mussoliniego z nieukrywaną sympatią: „Mogę się bardzo dobrze porozumieć z Daladierem, był żołnierzem frontowym, jak my, dlatego można z nim gadać rozsądnie".

Krótko przed 15.00 Mussolini przedkłada zebranym, jak mówi, własną, bezstronną propozycję rozwiązania konfliktu. Jedyny tłumacz na konferencji, Niemiec, dr Paul Schmidt, ma natychmiast przełożyć dokument na angielski i francuski. Schmidt rzuca okiem na tekst i ze zdumieniem orientuje się, że już raz go tłumaczył. Wczoraj w Berlinie, w najcięższym momencie kryzysu, tuż przed ogłoszeniem przez Mussoliniego chęci mediacji w konflikcie, gdy postronnym obserwatorom wydawało się, iż wojna jest nieunikniona, sekretarz stanu w niemieckim MSZ Ernst von Weizsäcker wręczył ten dokument Schmidtowi z poleceniem, by

błyskawicznie przetłumaczył go z niemieckiego na francuski, gdyż natychmiast musi otrzymać go ambasador Włoch.

Rzekome włoskie propozycje mediacyjne napisali wczoraj marsz. Göring oraz dyplomaci von Neurath i von Weizsäcker. Schmidt z kamienną twarzą tłumaczy je teraz z powrotem na niemiecki i na angielski.

Krótko po 3.00 uczestnicy konferencji rozjeżdżają się do swoich hoteli na odpoczynek. Spotykają się o 16.30. Los Czechosłowacji tak naprawdę jest przesądzony, szefowie rządów dyskutują już tylko o technicznych szczegółach przejęcia Sudetów przez III Rzeszę. W premierze Chamberlainie nagle odzywa się były minister finansów. Uparcie, kilkakrotnie dopytuje się, czy Berlin wypłaci rządowi czeskiemu odszkodowania za budynki i urządzenia państwowe w Sudetach. Hitler z rosnącą irytacją odpowiada, że nawet nie ma o tym mowy – wedle niego wszystko w Sudetach zbudowane zostało z podatków sudeckich Niemców. Chamberlain nie daje za wygraną. W końcu pyta, czy bydło pasące się w Sudetach ma pozostać na pastwiskach, czy może być przepędzone w głąb Czech. Hitler wpada we wściekłość. „Szkoda naszego czasu, by zajmować się takimi drobiazgami!" – ryczy na całe gardło.

W obrady wkrada się bałagan. Na salę wchodzą ukradkiem Göring, francuski ambasador François Poncet, dyplomaci brytyjscy, włoscy, niemieccy, jacyś doradcy prawni, sekretarze, adiutanci. Tłumacz dr Schmidt przestaje panować nad rozmówcami. Musi przekładać wypowiedzi z jednego z 3 języków – niemieckiego, francuskiego i angielskiego – na 2 pozostałe. Premierzy wpadają sobie w słowo, replikują w pół zdania. Próbując opanować chaos, dr Schmidt grzecznie przerywa dygresje, polemiki i nieoczekiwanie faktycznie przejmuje prowadzenie obrad.

O 21.00 Hitler proponuje kolację, która okazuje się uroczystym bankietem. Chamberlain i Daladier nie mają ochoty świętować rozbioru Czechosłowacji. Wymawiają się koniecznością pilnych telefonów do swoich rządów i wyjeżdżają do hoteli. Przy długim, pustym stole bankietowym siedzi kilkunastu Niemców i Włochów. Hitler i Mussolini snują opowieści kombatanckie.

Po godzinie wracają Anglicy i Francuzi. Eksperci dopracowują tezy rozbiorowej propozycji Mussoliniego, czyli tak naprawdę propozycji niemieckiej, aż do godz. 00.30. Po 12-godzinnym maratonie 4 uczestnicy konferencji monachijskiej zasiadają do podpisania porozumienia. Ale tych 3 kartek maszynopisu podpisać nie mogą – okazuje się, że reprezentacyjny kałamarz Hitlera jest pusty! Adiutant przynosi inny kałamarz i 4 szefowie rządów wreszcie mogą podpisać wyrok na Czechosłowację.

30 września 1955 ▪ piątek

Pierwszeństwo dla bękarta

James Dean wstaje wcześnie. wkłada zwykłe, jasne, luźne spodnie i biały T-shirt z wycięciem pod szyją. Nie siada do stołu – na śniadanie umówił się w Hollywood ze swoim ojcem i wujem, w którego rodzinie wychowywał się jako młody chłopak. Wychodząc ze swego domu przy Sutton Street 14611 w kalifornijskim Sherman Oaks, wkłada jeszcze miękkie skórzane rękawiczki.

Zaraz po śniadaniu Dean jedzie do firmy Competition Motors. Jej właściciel John von Neuman, z pochodzenia Austriak, jest dawnym kierowcą fabrycznym Porsche. Competition Motors importuje do

Stanów sportowe wozy Porsche, sprzedaje je w eleganckim salonie firmowym przy hollywoodzkiej Vine Street, prowadzi ich serwis i doradztwo wyścigowe. W Stanach wzbiera gorączka amatorskich wyścigów samochodowych. Na Zachodnim Wybrzeżu tysiące młodych ludzi ścigają się na niezliczonych wyścigach organizowanych najczęściej na płytach lokalnych lotnisk. Dla bogatych amatorów ścigania się szczytem marzeń są samochody europejskie: mocne, szybkie brytyjskie MG, zachodnioniemieckie Mercedesy i Porsche. John von Neuman wyczuł koniunkturę. Z Europy ściągnął niespełna 30-letniego kierowcę fabrycznego i zarazem mechanika w dziale sportu firmy Porsche Rolfa Wüthericha, by służył on radą i pomocą w startach właścicielom wozów tej marki kupionych w Competition Motors.

Niedawno von Neuman sprowadził z Zachodnich Niemiec 5 ekskluzywnych porsche 550 spyder. To najlepsze na świecie samochody wyścigowe dopuszczone do normalnego ruchu drogowego. Porsche wyprodukowało ich tylko 75 sztuk. Malutki roadster, 2-miejscowy wóz bez dachu, zachwyca aerodynamiczną karoserią z aluminiowych blach osadzoną na ramie zbudowanej ze spawanych rur. Inżynierskim cackiem jest silnik. Jego konstruktor, Ernst Fuhrmann zastosował w nim 4 wałki rozrządu i z chłodzonej powietrzem, 4-cylindrowej jednostki o pojemności 1,5 l wycisnął 140 KM. To wystarcza by, lekki, zaledwie 550-kilogramowy spyder rozpędzał się do 225 km/h. Ten silnik stał się zresztą tematem rozprawy doktorskiej Fuhrmanna.

Jeden z 5 spyderów sprowadzonych przez von Neumana do Stanów jest od 9 dni własnością aktora Jamesa Deana.

Niskiemu chłopakowi w okularach droga z zapadłej prowincji w stanie Indiana na szczyty sławy zajęła raptem 6 lat.

Matka Jamesa Deana zmarła, gdy miał 9 lat. Nigdy niepogodzony z jej śmiercią, emocjonalnie odtrącony przez ojca, nieustannie walczył o akceptację i miłość. Aktorska kariera i sława miały być ich gwarancją. Od dzieciństwa marzył, by stać się gwiazdą ekranu. Do zawodu aktora dążył własną ścieżką. Studia porzucił, gdyż uznał, że akademicka wiedza nie przyda się przed kamerą ani na deskach teatru. Przez 4 lata, najpierw w Hollywood, potem w Nowym Jorku, grywał drobne rólki i przymierał głodem. Ryzykowna metoda uczenia się zawodu aktora niemal od zera poprzez uprawianie go w przypadku Jamesa jednak nie zawiodła. Miał ogromne braki w wykształceniu ogólnym i aktorskim, miał elementarne braki w ogładzie, ale miał też niezwykły talent. Potrafił instynktownie znaleźć niebanalny klucz do granych przez siebie postaci, magnetycznie przyciągał uwagę na scenie i w filmie.

W prywatnym życiu grał bezkompromisowego indywidualistę, wręcz buntownika. Z tego powodu często jego potencjalni pracodawcy wyrzucali go za drzwi. Ale gdy uznał, że to potrzebne, umiał roztoczyć nieodparty czar, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Do sukcesu dążył, nie przebierając w środkach. Nieraz godził się na homoseksualne związki w zamian za utrzymanie oraz za poparcie w karierze; gdy wreszcie osiągnął sukces, od jednego ze swych erotycznych sponsorów, któremu zawdzięczał przetrwanie w aktorskim zawodzie, odwrócił się w niełądnym stylu.

Sława i pieniądze przyszły niespodziewanie. Po mozolnym zdobywaniu doświadczeń i uznania w sztukach realizowanych dla nowojorskiej telewizji wrócił do Hollywood. W zeszłym roku Dean dostał szansę od Elii Kazana, reżysera ekranizacji powieści Johna Steinbecka *Na wschód od Edenu*. Zagrał w nim Cala Traska, młodego, zbuntowanego człowieka, walczącego o miłość swego ojca. Następne role w filmach *Buntownik bez powodu* i *Olbrzym*,

zrealizowanych w tym roku, ugruntowały jego sławę buntownika, skłóconego z rodziną i z całym światem. Amerykańska młodzież dostrzegła w nim symbol swego pokolenia.

Dla Deana sukces oznacza koniec z głodowaniem, romanse z najpiękniejszymi aktorkami, kupno prywatnego wierzchowca i szybkie samochody. Hollywood huczy od plotek o jego związkach z hollywoodzkimi ślicznotkami, zwłaszcza Pier Angeli i Ursulą Andress. Za zaliczkę na honorarium za *Na wschód od Edenu* sprawił sobie czerwony kabriolet MG. W marcu tego roku kupił w Competition Motors porsche speedstera. Swymi samochodami jeździ jak szalony po Hollywood Hills. Wiele razy ryzykował życie swoje i innych, jak wariat pędząc przez skrzyżowania na czerwonych światłach. Przyjaciele dostrzegają w tym skłonność Jamesa do autodestrukcji. Konsekwentną – wcześniej, w czasie chudych miesięcy, ryzykował życiem, szalejąc na motocyklach. Ale Dean ma ambicje i talent kierowcy wyścigowego. Pół roku temu, tuż przed rozpoczęciem zdjęć do *Buntownika bez powodu*, po raz pierwszy w życiu wystartował na speedsterze w otwartych zawodach na lotnisku w Palm Springs. Ku zaskoczeniu widowni Dean wygrał wyścig dla początkujących, a w klasyfikacji generalnej był drugi. W maju w wyścigu na Minter Field zajął wśród doborowej stawki zawodowych kierowców 3. miejsce. W kolejnych zawodach w Santa Barbara jechał doskonale i tylko przepalony tłok w zbyt słabym silniku speedstera wyeliminował go z walki o miejsce na podium.

Rozeźlony Dean, gdy tylko ujrzał w salonie von Neumana jedno z pięciu nowiutkich porsche spyder, w jednej sekundzie zdecydował się oddać speedstera i z dopłatą wziąć najnowszy, wyczynowy model porsche. Zaprzyjaźnionemu mechanikowi Wütherichowi

polecił namalowanie na masce i na burtach spydera numeru 130, a z tyłu nadanej przez siebie nazwy: „Little Bastard" (Mały Bękart).

W warsztatach Competition Motors na Deana czeka już Rolf Wütherich. James zawarł z nim umowę: Wütherich ma być jego prywatnym mechanikiem rajdowym i szykować spydera do wyścigów. Jednak tego dnia ani „Little Bastard", ani jego kierowca nie są należycie przygotowani do startu. Samochód ma niedotarty silnik, Dean ciągle jeszcze nie czuje swego małego bolidu. To dlatego Wütherich doradził Jamesowi, by niemal 300 mil z Hollywood do Salinas przejechał spyderem, zamiast wieźć go na przyczepie.

Dean zaprosił na wyścig w Salinas tych ze swych przyjaciół, którzy akurat byli w Kaliforni. Teraz przed warsztatami Competition Motors czekają nań jednak tylko kaskader Bill Hickman i znany fotograf Sanford Roth pracujący na planie *Olbrzyma*. „Little Bastard" grzeje silnik na wolnych obrotach. Po krótkiej rozmowie Dean siada wraz z Wütherichem do spydera, Hickman z Rothem zajmują miejsca w fordzie z przyczepą, na której porsche ma wrócić po wyścigu w Salinas. James bierze rękę Rolfa, unosi ją do góry w geście zwycięstwa i woła: „Hej, my to wygramy!".

O 14.30 ruszają.

Pierwsze jedzie porsche, za nim ford. Dean wyjeżdża z Hollywood i autostradą nr 99 pędzi na północ, przez Grapevine do doliny San Joaquin. Od początku niemiłosiernie depcze pedał gazu i ford już na starcie zostaje z tyłu. Koło Grapevine jego „Little Bastarda" zatrzymuje patrol policji drogowej. Dean płaci mandat za przekroczenie prędkości, wysłuchuje pouczenia policjanta. Tak naprawdę jednak nic sobie z tego nie robi. Po chwili dalej gna na złamanie karku. Na północ od Bakersfield Dean skręca na drogę do Paso Robles. Po drodze tankuje. W barze przy Blackwell's Corner

James i Rolf zatrzymują się na odpoczynek. Spotykają tam Lance'a Reventlova, znajomego Jamesa, który swym mercedesem 300 także jedzie do Salinas, by wziąć udział w wyścigu. Reventlov i Dean umawiają się na obiad w Paso Robles.

Ford z Hickmanem i Rothem dojeżdża wreszcie do Blackwell's Corner. Dean przejeżdża przez przełęcz Polonio i gna doliną w stronę Cholame. Droga jest niemal prosta. Jest pusto. Spyder pędzi z prędkością dochodzącą do 160 km/h. Jest 17.45, na horyzoncie widać już Cholame. Porsche zbliża się do skrzyżowania z lokalną drogą 41. Dean dostrzega przed sobą jakiś samochód osobowy, który najwyraźniej szykuje się do skrętu w lewo. Dean woła: „Zobaczył nas! Zatrzymał się!".

Ale to nieprawda. 23-letni Donald Turnupseed jedzie kilkuletnim fordem tudorem. Jest trzeźwy, słońce ma za plecami, ale mimo to nie dostrzega jadącego z wielką prędkością niskiego, małego szarosrebrnego roadstera. Turnupseed skręca w lewo, w drogę 41. Dean w swoim porsche nie ma szans na skuteczne hamowanie. W ostatniej chwili usiłuje przemknąć przed masywnym przodem forda, ale „Little Bastard" z wielką prędkością uderza lewą przednią częścią w furgonetkę Turnupseeda. Siła uderzenia wyrzuca Rolfa Wüthericha z fotela. Mechanik ląduje kilkanaście metrów od miejsca zderzenia, pod przydrożnym ogrodzeniem. Jest w szoku, połamany, ale żyje. Kierownica spydera przyciska Jamesa Deana do fotela. Potężne uderzenie miażdży delikatne, aluminiowe blachy karoserii, zbiornik paliwa. Dean ma wgniecioną czaszkę na czole, złamane kręgi szyjne, zmiażdżoną klatkę piersiową.

Kwadrans po wypadku zjawia się karetka pogotowia i policja z Cholame, a chwilę później nadjeżdża ford z Hickmanem i Rothem. Hickman zauważa, że z nozdrzy Deana wydobywa się powietrze.

Ma nadzieję, że jego 24-letniego przyjaciela uda się uratować. Lekarze w karetce stwierdzają jednak zgon.

Policjanci przesłuchują Turnupseeda. Uznają, że jest niewinny, i nie zatrzymują go.

Wiadomość o śmierci gwiazdora rozchodzi się po Stanach błyskawicznie. Gdy dociera do Hollywood, na galowe przyjęcie związku filmowych charakteryzatorów, goście krzyczą, płaczą, mdleją. Wszyscy ze zgrozą komentują podziękowania Jamesa Deana dla jego charakteryzatora z Warner Brothers umieszczone w programie przyjęcia. Gwiazdor wyciął z fotografii swoje oczy i tylko one widnieją w programie z podpisem: „Wielkie dzięki, Hank".

James Dean kilka godzin przed tragicznym wypadkiem

Październik

1 października 1975 ▪ środa

Nieudana kolacja

W stronę Quezon City, jednego z przedmieść stolicy Filipin Manili, od świtu ciągną sznury samochodów i rowerowych riksz. Na widownię Araneta Coliseum chce się dostać ponad 28 tys. kibiców. Dziś wielka gratka dla miłośników boksu: Muhammad Ali będzie bronił tytułu mistrza świata, walcząc z Joe Frazierem.

Choć to dopiero ranek, słońce grzeje bezlitośnie. Temperatura sięga 40 stopni C, powietrze jest zabójczo wilgotne. Koszule widzów kleją się do spoconych ciał. W loży honorowej prezydent Filipin Ferdinand Marcos i jego sławna z urody i zamiłowania do bajecznego luksusu żona Imelda popijają mrożoną herbatę.

Zaczyna się *show* z prezentacją bohaterów pojedynku.

33-letni Ali ma za sobą zdobycie tytułu mistrza świata wszechwag w 1967 roku, przejście na islam i zmianę nazwiska z Cassius Clay na Muhammad Ali, wyrok 5 lat więzienia i odebranie tytułu mistrza świata za odmowę służby wojskowej w Wietnamie, wielki powrót i odzyskanie w zeszłym roku tytułu mistrza świata po dramatycznej walce z George Foremanem w Kinszasie w Kongu, nazwanej walką stulecia albo „Łomotem w dżungli".

Frazier to druga legenda boksu. W 1970 roku zdobył mistrzostwo świata, a rok później obronił je, gromiąc niepokonanego dotąd

Muhammada Alego. W zeszłym roku Ali zrewanżował mu się w Nowym Jorku. Dziś czeka ich 3. pojedynek.

Ali na ringu jest mistrzem techniki, poza ringiem zaś – mistrzem wojny psychologicznej. Od przyjazdu do Manili publicznie obraża Fraziera. Przezywa go małpą, i to tak obrzydliwą, że nawet ślepcy odwracają się od niej, a jej smród czuć w sąsiednich krajach. Na konferencje prasowe przychodzi z kukłą goryla i okłada ją pięściami. Ta ofensywa nienawiści robi swoje – Frazier jest roztrzęsiony, ale i wściekły. Przed walką prosi trenera Eddiego Futcha, by nawet w najcięższych opałach nie poddawał go – to będzie prawdziwa walka na śmierć i życie. Sam rewanżuje się przeciwnikowi, konsekwentnie nazywając go starym nazwiskiem Clay. Alego, który swoją konwersję na islam traktuje bardzo serio, doprowadza to do szału.

Punktualnie o 10.45 gong oznajmia początek 1. rundy.

Ali wychodzi na ring rozluźniony. Choć przed tą walką nie trenował tak solidnie jak przed innymi, zaczyna pojedynek na środku ringu swobodnie, z wielkim animuszem. Porusza się na nisko ugiętych nogach, nęka Fraziera seriami ciosów z obu rąk, bitymi szybko, w zmiennym tempie. Frazier jest wolniejszy, inkasuje sporo uderzeń. Dwukrotnie po kombinacjach ciosów z obu rąk Frazier chwieje się, plączą mu się nogi. Rozlega się gong. Dla wszystkich jest jasne, że pierwsze starcie wygrał Ali.

Widownia jest podekscytowana. Wszyscy czują, że to będzie wielka walka.

W 2. rundzie obraz starcia nie zmienia się. Ali jest szybszy, dokładniejszy. Nęka przeciwnika prawnymi prostymi. Frazier nie potrafi znaleźć na nie recepty, ale widać, że jest niesłychanie odporny. Bundini Brown z ekipy Alego wrzeszczy z narożnika na całe gardło:

– Już nigdy więcej nie będzie cię nazywał Clay!

W 3. starciu Frazier jest w wyraźnych opałach. Ali bezkarnie bije weń serie ciosów. Frazier usiłuje klinczować, by złapać oddech, ale sędzia nie toleruje takich sztuczek i natychmiast rozdziela walczących. Frazier inkasuje atomowe uderzenie w głowę. Jego mięśnie wiotczeją, wyprostowuje się, lekko zatacza, ale instynktownie bierze się w garść. Cofa się do lin, zasłania głowę rękawicami i jakoś – na wyraźnie drżących nogach – przetrzymuje.

Jest coraz goręcej i coraz duszniej. Po obu bokserach pot spływa, jakby stali pod prysznicem. Każdemu ciosowi towarzyszy lecąca z ramion fontanna kropel.

Po 4. gongu walka nieoczekiwanie wyrównuje się. Frazier łapie oddech, wracają mu siły. Zadaje potężne ciosy, których Ali nie jest w stanie blokować.

– Weź się w garść, mistrzu! – wrzeszczą ludzie z jego ekipy, siedzący obok narożnika.

Ali czuje, że jego przeciwnik odżył, i na koniec rundy krzyczy na niego z wyraźną nienawiścią:

– Ty głupia pało, ty!

Obelga zamiast zdeprymować Fraziera, mobilizuje go. 5. rundę zaczyna wyraźnie wściekły od zapędzenia Alego do jego narożnika. Tam okłada go seriami ciosów.

– Wyłaź z tego cholernego rogu! – wydziera się Angelo Dundee, trener Alego, ale jego podopieczny nie ma na to siły. Frazier bije go po nerkach tak potężnie, że pomimo wrzawy na widowni wyraźnie słychać odgłosy uderzeń. W przerwie ekipa usiłuje zmobilizować mistrza.

– Przestań się bawić! Weź się w garść! – skwierczą nad uchem sekundant i pomocnicy.

Po 6. gongu naprzeciw Alego staje całkiem odmieniony Frazier. W zabójczej duchocie Araneta Coliseum czuć, że odrodził się w nim wielki wojownik. Jego potężne ciosy na przemian trafiają w głowę Alego i w jego korpus. Po chwili zwolnienia tempa straszliwy lewy sierpowy Fraziera uderza go w szczękę. Głowa Alego bezwładnie odskakuje w tył, nogi plączą się. Prezydent Marcos jak oparzony podskakuje w fotelu, Imelda opuszcza nisko głowę, byle nie patrzyć na ring. Ale to nie jest koniec. Mistrz jakoś wytrzymuje trafienie i na chwilę przykleja się do Fraziera.

– Mówili mi, że Joe Frazier jest spłukany – warczy w ucho swego pogromcy.

– Ktoś cię okłamał, lalusiu – odpowiada mu Frazier.

Kolejne 3 rundy to przewaga Fraziera. Bije mocno w żebra, nerki i wątrobę. Po trafieniu Alego w twarz z jego ust lecą jakieś krwawe strzępy. Wygląda na to, że z Alego powoli uchodzi życie.

– Trzymaj się! Weź się w garść! – błagają w przerwach ludzie w jego narożniku. Jednak na Fraziera nie ma sposobu. W 9. rundzie spycha Alego w liny i nieprzerwanie okłada go straszliwymi ciosami. Po gongu Ali, chwiejąc się, wraca do swego narożnika.

– Do diabła, co tego rżnącego swoją matkę głupka trzyma jeszcze na nogach? – wścieka się w swoim narożniku Frazier.

W kolejnej rundzie Ali inkasuje tyle ciosów, że w pewnym momencie wydaje się, iż musi runąć na deski. Lecz jakoś wytrzymuje to starcie. Następne też. Po 12. gongu widownia przeciera oczy. Ali odradza się. Człowiek, który zainkasował tyle niszczących uderzeń, że dawno powinien leżeć bez życia, coraz częściej trafia prawymi prostymi w twarz Fraziera. Bez litości poluje na jego lewe, zapuchnięte od uderzeń oko.

– Mój Boże, mistrzu, on już nie ma siły! – zagrzewa Alego trener Dundee.

Rzeczywiście, z Frazierem jest źle. Potężne krwiaki wokół lewego oka zamykają mu powieki. Prawe zalewa mu krew nieznacznie sącząca się z okaleczeń łuku brwiowego. W 13. rundzie Frazier ma już trudności z dostrzeganiem w porę ciosów przeciwnika. Ali bezkarnie masakruje mu twarz. Po jednym z uderzeń ochraniacz wylatuje z ust Fraziera i leci jak pocisk w widownię. Trener Eddie Futch próbuje go poddać, ale Frazier chce się bić dalej.

Przedostatnie, 14. starcie. Ali z całą mocą 30 razy trafia Joego w lewe oko. Frazier ślepnie.

W przerwie rozanielony Angelo Dundee mówi do Alego:

– Już jest twój!

Ali jest jednak straszliwie zdemolowany. Czuje się tak, jakby za chwilę miał umrzeć. Prosi, by rozwiązać mu rękawice i poddać go. Dundee nie chce o tym słyszeć.

W przeciwległym narożniku trener Eddie Futch mówi zrezygnowany do Fraziera:

– Joe, kończę to.

– Nie, nie, Eddie, nie możesz mi tego zrobić – rzęzi z trudem Frazier. Opuchnięty od uderzeń język zapycha mu usta. Menedżer tłumaczy jak dziecku: – Nie widziałeś nic na oczy przez ostatnie 2 rundy. Niby dlaczego miałbyś coś widzieć w 15.?

Frazier nie poddaje się:

– Chcę go, szefie.

Jednak gdy podnosi się ze stołka, Futch przytrzymuje go za bark: – Siadaj, synu. Już po wszystkim. Nikt nigdy nie zapomni, czego tu dziś dokonałeś.

Ali jest zwycięzcą. Do tego momentu zresztą u wszystkich 3 sędziów prowadził na punkty: 66:62, 66:60 i 67:62. Widownia szaleje. Wszyscy mają uczucie, że byli świadkami walki, która przejdzie do historii.

Ekipa wyprowadza pod ramiona oślepłego Fraziera. Ali pośród dzikich wiwatów schodzi sam, ale po chwili słabnie i opada na nosze. Na konferencji prasowej mówi tylko:

– Jestem zmęczony tą całą grą. Niech inni chłopcy się biją. Możecie już nie zobaczyć Alego na ringu.

Lekarz i masażysta przez cały dzień usiłują zreanimować mistrza. Wieczorem czeka go przecież uroczyste przyjęcie w pałacu prezydenckim.

I oto przyjęcie zaczyna się. Drobna, piękna Imelda Marcos w oszałamiającej sukni prowadzi mistrza po czerwonym dywanie do wielkiego bufetu oświetlonego ciężkimi kandelabrami ze świecami. Ali w wizytowym stroju nie wygląda dobrze. Prawe oko ma tak spuchnięte, że z trudem widzi Imeldę. Popękana, okropnie spuchnięta dolna warga przypomina zgniłego banana. Poszarzała, poplamiona krwawymi wylewami skóra twarzy kontrastuje z nienaganną bielą kołnierzyka koszuli. Trzymana przez Imeldę ręka nieustannie drży.

Pani Marcos radośnie bawi mistrza rozmową. Ali odpowiada chrapliwie, z kłopotami. Usiłuje nałożyć coś na talerz, ale nie trafia drżącą ręką. Imelda pomaga mu. Mistrz z najwyższym trudem unosi widelec z przekąską. Nie jest jednak w stanie przeżuć jej porozbijanymi szczękami. Z pełnymi ustami usuwa się w cień.

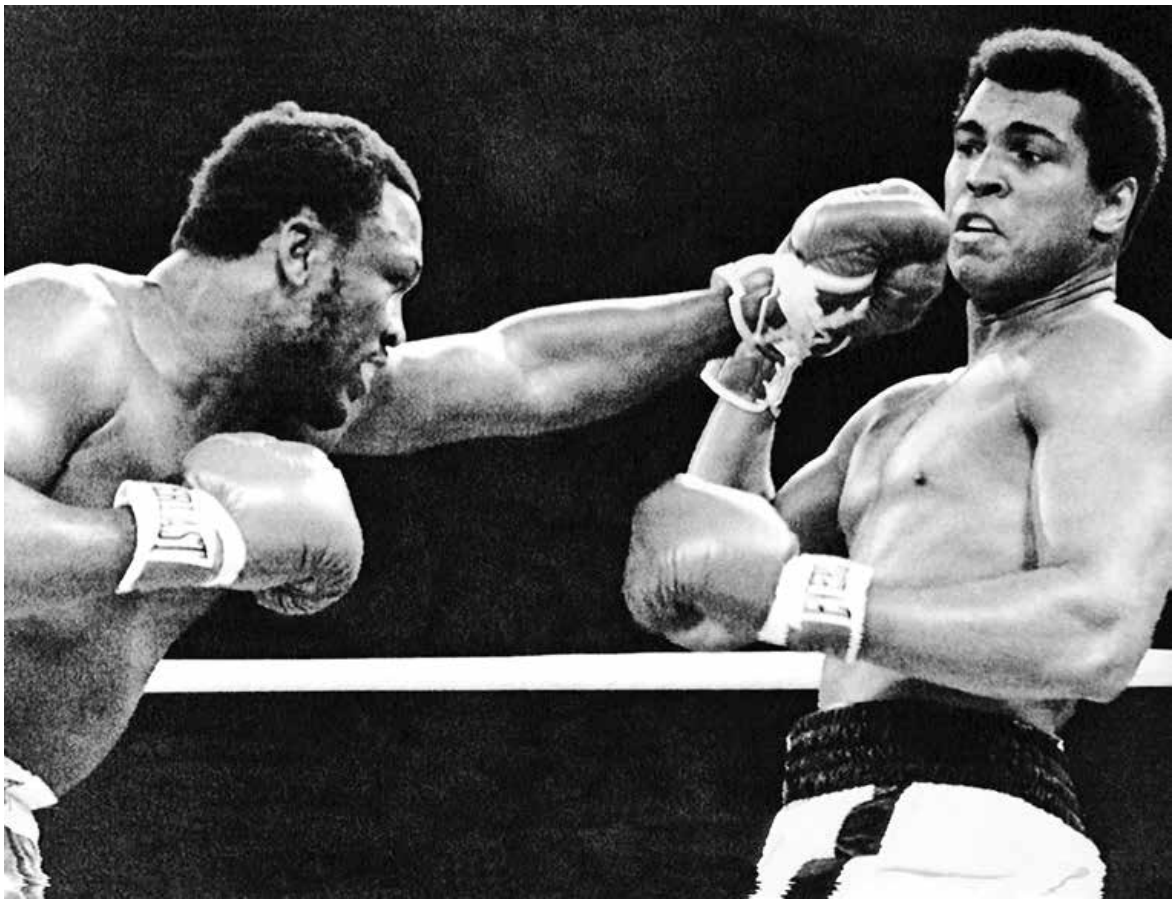

Walka Joego Fraziera z Muhammadem Alim

2 października 1944 ▪ poniedziałek

Kapitulacja

Tuż po północy Niemcy rozpoczynają huraganowy ostrzał ostatniej broniącej się jeszcze dzielnicy Warszawy – Śródmieścia. W kwaterze głównej dowodzącego siłami powstańczymi gen. Antoniego Chruściela „Montera” przy ul. Złotej meldują się szef Oddziału II (wywiadu) Komendy Głównej AK płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller”, ppłk Zygmunt Dobrowolski „Zyndram”, ppłk Franciszek

Herman „Bogusławski" i por. Alfred Korczyński „Sas". Przy akompaniamencie eksplozji pocisków najcięższej artylerii przez całą noc opracowują tekst umowy kapitulacyjnej powstania. Nad ranem sprawdza go pod względem prawnym por. „Sas". O świcie płk Iranek, płk „Bogusławski" i płk „Zyndram", wyposażeni w pisemne pełnomocnictwo gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora", wyruszają w asyście por. „Sasa", jako tłumacza, na rozmowy kapitulacyjne. Delegaci przedzierają się ruinami ul. Śniadeckich w stronę niemieckiej barykady przy Szpitalu im. Marszałka Piłsudskiego. Wyglądają fatalnie: wychudzeni, z poszarzałymi od niewyspania twarzami, w wymiętych, zakurzonych ubraniach. Na rękawach mają podniszczone biało-czerwone opaski.

Ppłk „Zyndram" i por. „Sas" nawiązali wstępne kontakty w sprawie kapitulacji z dowódcą sił niemieckich na obszarze Warszawy SS-Obergruppenführerem Erichem von dem Bachem przed 2 dniami. Ustalono wówczas, że dziś od 8.00 do 20.00, na czas rozmów, obowiązuje rozejm.

O 8.00 na polskich parlamentariuszy czeka przy barykadzie niemiecki oficer łącznikowy SS-Sturmbannführer Fischer. Podejrzliwie lustruje pułkowników i przez tłumacza pyta ich, czy są uzbrojeni. Wyjaśnia, że konwencja haska zabrania parlamentariuszom posiadania broni. Potem zaprasza parlamentariuszy do otwartych samochodów osobowych. Jadą przez Wolę i Ochotę. Oficerowie AK ze zgrozą obserwują martwe ulice: nie widać ani jednego mieszkańca, na okopconych fasadach wypalonych domów nie ma śladów po pociskach. Niemcy unicestwili tę część miasta już po zakończeniu walk.

Pół godziny później samochody zatrzymują się w starym parku w Ożarowie, przed gankiem nieco zaniedbanego dworku. W pierwszych latach okupacji mieścił się w nim konspiracyjny

magazyn broni „Obroży”, VII Obwodu AK w Ożarowie. Właścicielka dworku Maria Reicher od 1943 roku ukrywa się przed Niemcami z powodu swego pochodzenia; jej syna Kazimierza Niemcy w zeszłym roku, wskutek zdrady, ujęli i zamordowali. Teraz w dworku mieści się niemieckie dowództwo sił walczących w Warszawie. Von dem Bach wita parlamentariuszy w saloniku umeblowanym stylowymi meblami. Na ścianach mnóstwo jasnych plam po obrazach – w pierwszych dniach wojny pani Reicher przewiozła je do Muzeum Narodowego w Warszawie i złożyła jako depozyt. Polacy i Niemcy przez dłuższą chwilę bacznie się obserwują. Von dem Bach jest wysoki, zażywny, krótko ostrzyżony. Nosi okulary w złotej oprawce. Polscy delegaci, niemiecki dowódca i jego tłumacz zasiadają przy dużym, okrągłym stole. Przy sąsiednim biurku zajmuje miejsce szef sztabu Bacha SS-Standartenführer Goltz i SS-Sturmbannführer Fischer. Polacy wręczają von dem Bachowi pełnomocnictwa podpisane przez gen. „Bora”. Gdy tylko tłumacz kończy je czytać, podniecony von dem Bach zrywa się zza stołu i zaczyna pospieszną przemowę. Przyznaje w niej, że gen. „Bór” jest wybitnym dowódcą, oddaje powstańcom ich niebywałą bitność, chwali dowództwo AK za decyzję przerwania walki. Niemiecki tłumacz usiłuje coś tłumaczyć, ale von dem Bach nie przerywa tyrady. Napomina Polaków, że nie mają co liczyć na ofensywę Rokossowskiego, że niemiecki front został odbudowany i sowiecki marsz na zachód skończył się właśnie na Wiśle. Nagle generał przerywa w pół zdania, prosi o przerwę i poleca adiutantowi połączyć go z Reichsführerem SS Heinrichem Himmlerem. W obecności parlamentariuszy tryumfalnie melduje mu, że właśnie rozpoczęły się rozmowy kapitulacyjne.

Potem niemiecki dowódca domaga się, by Polacy czym prędzej przemyśleli możliwe dla nich ustępstwa, gdyż chce doprowadzić do

jak najszybszego podpisania porozumienia. Powstańcze siły są bowiem cierniem w niemieckiej linii obrony, cierniem, który ułatwia Rosjanom przełamanie w tym miejscu frontu. Płk Iranek łapie się w tym momencie na myśli, że właśnie powstańcy są najlepszą polisą bezpieczeństwa dla Niemców – póki walczą, póty Stalin nie rozpocznie ofensywy. Ale, rzecz jasna, nie może tego powiedzieć hitlerowskiemu generałowi.

Tymczasem von dem Bach żąda, by powstańcy natychmiast wydali cały zapas amunicji, rozebrali wszystkie barykady i uwolnili jeńców. Dla AK to warunki niemożliwe do przyjęcia. Każdy, nawet przypadkowy, strzał po wydaniu amunicji i rozebraniu barykad byłby dla Niemców pretekstem do zerwania umowy i rozpoczęcia rzezi Śródmieścia. Bezowocny spór ciągnie się przez 2 godziny. Wreszcie płk Iranek wpada na świetny koncept. Tłumaczy von dem Bachowi, że skoro nie wie on, ile amunicji mają jeszcze powstańcy, to zawsze mogą oni oddać tylko niewielką jej część i twierdzić, że wydali wszystko. Niemiecki generał uznaje ten argument, ale zarazem usiłuje złapać Polaków w polityczną pułapkę: proponuje, by zamiast wydania amunicji gen. „Bór", właśnie mianowany naczelnym wodzem Polskich Sił Zbrojnych, zobowiązał się, że w razie ofensywy sowieckiej AK pozostanie neutralna. Płk Iranek zasłania się brakiem pełnomocnictw. W końcu polscy delegaci i von dem Bach uzgadniają, że powstańcy złożą broń na swoim terenie i zaczną wychodzić z Warszawy za 2 dni.

Niemiecki generał proponuje teraz wspólne spisanie umowy kapitulacyjnej. Polacy niczym białego królika z cylindra wyjmują opracowany w nocy projekt umowy. Von dem Bach jest zupełnie zaskoczony, ale zgadza się dyskutować o polskim dokumencie; bardzo zależy mu na pośpiechu. Nieoczekiwanie jednak proponuje, by AK zaprzestała walki nie tylko w Warszawie, lecz w całej Polsce.

Naiwnie dowodzi, że skoro gen. „Bór" jest dowódcą sił zbrojnych w kraju, zatem kapitulacja powinna dotyczyć całej AK. W długiej tyradzie kusi polskich parlamentariuszy wizją wspólnej walki z Sowietami. Płk Iranek oznajmia sucho, że pełnomocnictwa udzielone przez gen. „Bora" nie upoważniają go do dyskusji na tematy polityczne.

Kolejne spięcie dotyczy NSZ, PAL i AL. Niemiec domaga się, by parlamentariusze odstąpili od stwierdzenia w opracowanym nocą projekcie umowy kapitulacyjnej, iż prawami kombatanckimi objęci są także żołnierze tych formacji. Delegaci gen. „Bora" stanowczo odmawiają.

Dochodzi 14.00. Von dem Bach poleca podać do stołu kanapki i kawę. Szczególnie zachwala kawę, rarytas z amerykańskich zrzutów dla walczącej Warszawy, które wpadły w ręce Niemców.

W niezobowiązującej pogawędce w przerwie rokowań von dem Bach sugeruje, by gen. „Bór" jeszcze dziś przyjechał do Ożarowa. „Przygotuję obok wygodną willę i oddam do dyspozycji generała" – kusi naiwnie.

Polscy oficerowie pomijają tę sugestię milczeniem. Von dem Bach nie ukrywa, że już zna tożsamość gen. „Bora". Wspomina, że wielu oficerów niemieckich, w tym dowódca dywizji pancernej SS gen. Köllner i oficer łącznikowy Himmlera w sztabie Hitlera SS-Gruppenführer Hermann Fegelein znali Tadeusza Komorowskiego jeszcze z armii austriackiej, z czasów I wojny światowej, a potem – jako wybitnego zawodnika – z najważniejszych międzywojennych konkursów hippicznych.

Późnym południem ppłk „Zyndram" wyjeżdża do Warszawy na konsultacje z gen. „Borem".

Po 6 godzinach rozmów robocza wersja umowy jest gotowa. Von dem Bach wychodzi do sąsiedniego pokoju i telefonuje do kwatery

głównej Hitlera z prośbą o zgodę na wynegocjowane z Polakami warunki. Zgłasza się SS-Gruppenführer Hermann Fegelein. Przed wojną był znanym jeźdźcem sportowym, właścicielem Bawarskiej Ujeżdżalni w Monachium. Teraz, jako szwagier Hitlera, jest wpływową osobą w najbliższych otoczeniu Führera. Von dem Bach relacjonuje ustalenia z negocjacji. Fegelein wpada we wściekłość, krzyczy na von dem Bacha, że oszalał, idąc na tak wielkie ustępstwa wobec polskich bandytów. W końcu pyta:

– A co to za facet, ten „Bór"?

– Ach – odpowiada von dem Bach. – Nie wie pan tego? To jest przecież ten znany skoczek konny, hrabia Komorowski.

– O, to ten!!! Oczywiście, znam go. Fantastyczny facet. Jeśli tak, to co innego, chwileczkę, proszę – wykrzykuje podniecony Fegelein. Po kilku minutach oddzwania i przekazuje zgodę Hitlera na warunki kapitulacji.

Do stołu podają zupę ugotowaną przez Brońcię, kucharkę Reicherów. Von dem Bach zatrzymał ją po zajęciu dworku. Za pracę płaci jej drobiazgami zdejmowanymi ze ścian. Po kawie i biszkoptach amerykańskich, ze zrzutów płk „Bogusławski" z por. „Sasem" zasiadają z Goltzem w sąsiednim pokoju do dopracowywania tekstu umowy. Przez wiele godzin walczą o każde sformułowanie. Goltz nieustannie próbuje przemycić w niemieckim tekście kruczki niekorzystne dla powstańców. W tym czasie, w salonie, von dem Bach opowiada płk. Irankowi o sobie i długo, z podziwem peroruje o udziale kobiet w walkach powstańczych.

W nocy wraca z Warszawy płk „Bogusławski" ze zgodą gen. „Bora" na tekst umowy.

Dobrze po 20.00 Goltz melduje, że gotowe są czystopisy umowy kapitulacyjnej. Gen. von dem Bach poleca nakryć stół w jadalni zielonym suknem, ustawić na nim 2 zapalone świece i położyć obok

nich teksty umowy kapitulacyjnej – jeden w języku polskim, drugi w niemieckim. Zapowiada, że przed dworkiem polską delegację mają pożegnać pluton honorowy i orkiestra. Gdy negocjatorzy wchodzą z von dem Bachem i oficerami jego sztabu do jadalni, przed stołem kłębi się tłumek niemieckich dziennikarzy, trzaskają aparaty fotograficzne. Po złożeniu podpisów pod *Układem o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie* von dem Bach wygłasza przemówienie. Niejasno sugeruje, że Polacy powinni stanąć u boku Niemców przeciw Stalinowi. Odpowiada płk Iranek. Dziękuje von dem Bachowi za konstruktywne negocjacje i życzy, by los oszczędził mu – jak to nazywa – bezwzględnych ewentualności narzucanych przez zwycięzcę, których dziś uniknęli powstańcy. W tej chwili czoło niemieckiego generała pokrywa się perlistym potem.

Powrót do Warszawy przedłuża się – spóźnia się niemiecka orkiestra. Von dem Bach proponuje kolację. Jest już dobrze po 2.00 w nocy, a orkiestry ciągle nie ma. Poirytowany płk Iranek domaga się natychmiastowego powrotu. Pluton honorowy prezentuje broń, polscy delegaci odjeżdżają do Warszawy.

Moment podpisania układu w Ożarowie Mazowieckim

3 października 1963 ▪ czwartek

Na koniec organistów – dzwony

O 9.00 przed budynkami należącymi do salezjańskiej parafii pw. św. Józefa, na Zasaniu w Przemyślu, pojawiają się dziesiątki uzbrojonych milicjantów i setki ściągniętych z zakładów pracy partyjnych aktywistów. Otaczają budynek Salezjańskiej Średniej Szkoły Organistowskiej i internat dla uczniów, znajdujące się na terenie parafii. Tuż po godz. 9.00 przed salezjańskim zakładem wychowawczym dla chłopców, znajdującym się nieopodal szkoły, zatrzymuje się kilka samochodów. Wysiadają z nich sekretarz prezydium miejskiej rady narodowej Stanisław Jabłoński,

kierownik wydziału lokalowego prezydium MRN Stanisław Spryński, kierownik wydziału spraw wewnętrznych MRN Jan Cichobłaziński. Dołączają do nich milicjant z krótkofalówką i 2 funkcjonariuszy SB po cywilnemu.

Urzędnicy w asyście funkcjonariuszy wkraczają do biura parafialnego. Od dyrektora zakładu ks. Władysława Chmiela żądają, by oddał klucze od obu budynków szkoły – większego, wybudowanego jeszcze na początku wieku, oraz mniejszego, oddanego do użytku zaledwie przed 3 laty. Jak stwierdzają, powstanie tu państwowa szkoła muzyczna – Salezjańska Szkoła Organistowska została zlikwidowana.

Szkoła wyjątkowa, jedyna w Polsce. Gdy w roku 1907 biskup przemyski Stanisław Pelczar sprowadził z Oświęcimia do Przemyśla ojców salezjanów i przekazał im zakupione wraz z zabudowaniami grunty orne na Zasaniu, u zbiegu ul. św. Jana Nepomucena i bp. Jakuba Glazera, pierwszym przełożonym nowego zgromadzenia został ks. August Hlond, późniejszy kardynał, zasłużony prymas Polski. W nowo utworzonym domu zakonnym salezjanie już w 1911 roku ukończyli budowę zakładu wychowawczego i zarazem sierocińca dla chłopców. Jego dyrektorem został brat ks. Augusta Hlonda – ks. Antoni Chlondowski; rodowe nazwisko zmienił w latach 20., by nie kojarzono go z bratem prymasem. Ks. Antoni, znany kompozytor, dyrygent i muzykolog, tworzący pieśni liturgiczne, msze i preludia, w roku 1916 zorganizował w domu oo. salezjanów szkołę organistowską. Kompozytorzy i pedagodzy, w tym ks. Augustyn Piechura i ks. Idzi Ogierman Mański, uczyli śpiewu wielogłosowego i gregoriańskiego, gry na fortepianie i na organach, teorii muzyki, dyrygowania, prowadzenia chórów, języka polskiego, niemieckiego, rachunków, kaligrafii. Absolwenci, choć dobrze wyedukowani, w parafiach jako organiści zarabiali kiepsko,

więc uczono ich też ogrodnictwa, pszczelarstwa, krawiectwa i rachunkowości, by mogli dorobić.

Szkoła wznowiła działalność w 1946 roku i działała pod nadzorem Ministerstwa Kultury. Cieszyła się wielką renomą. Przez niespełna pół wieku ukończyło ją 1053 absolwentów.

Mimo że już w sierpniu władze próbowały bezprawnie przejąć budynki, ks. Chmiel jak zawsze przygotował szkołę do kolejnego roku nauki. Interwencje episkopatu i posła Stefana Kisielewskiego na nic się jednak zdały – już przedwczoraj salezjanie dostali poufne informacje o koncentracji w Przemyślu dużych sił milicji z innych miast.

Ks. Chmiel odmawia urzędnikom oddania kluczy – szkoła podlega wszak ministrowi kultury, a nie miejskiej radzie narodowej – i próbuje dodzwonić się do Sekretariatu Episkopatu w Warszawie oraz do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nic z tego – telefony właśnie zostały odcięte. Jabłoński rzuca na biurko księdza pismo z decyzją o zajęciu budynku szkoły. Czekający przed wejściem funkcjonariusze rozbijają bramę wejściową, obalają parkan otaczający szkołę i wyrywają zamki w drzwiach.

Ale salezjanie przygotowali się na najście. Zakonni dzwonnicy zamykają się od wewnątrz w wielkiej, 62-metrowej wieży kościelnej, zbudowanej wraz ze świątynią w 1923 roku na wzór wieży Mariackiej w Krakowie, i zaczynają bić w dzwony: w sygnaturkę „Najświętsze Serce Jezusa", w „Józefa", w „Bonifacego" i w „Św. Franciszka Salezego". Głos dzwonów słychać w całym Przemyślu. Przed wejściem do kościoła zbiera się tłum wiernych. Esbecy usiłują wyłamać drzwi do dzwonnicy, ale te są tak solidne, że nie dają im rady.

Dzwony biją kwadrans, pół godziny, godzinę. Milicja rusza na tłum, by go rozpędzić; część wiernych chroni się w kościele.

Zakonnicy prowadzą bocznymi przejściami wiernych i obecnych w kościele uczniów do budynku szkoły. Gdy zaimprowizowana procesja wkracza do szkoły, urzędnicy rady narodowej właśnie wyrywają drzwi do sal i wybijają okna. Wierni i uczniowie próbują ich powstrzymać, ale do szkoły wpadają milicjanci i wyprowadzają ich.

Esbecy przekonują groźbami ks. Chmiela, by dzwonnicy przestali bić. 4 dzwony milkną.

Wierni i uczniowie zbierają się na schodach kościoła i śpiewają nabożne pieśni. O 10.00 przyjeżdża przewodniczący prezydium MRN i wzywa ich do rozejścia się. Wierni gwiżdżą. Pluton ZOMO rozpędza śpiewających.

Wezwani murarze zamurowują boczne przejście z kościoła do budynku szkoły i stawiają nowe ogrodzenie, tak by budynki szkoły i internatu były wydzielone i zajmowały jak najwięcej terenu. Do kościoła i do domu parafialnego prowadzić będzie teraz tylko wąziutki przesmyk między płotami. Dzieci biegają między robotnikami, usiłują zasypywać dołki pod słupki nowego ogrodzenia. Milicjanci gonią za dzieciakami.

O 15.30 profesorowie stawiają się na spotkanie z dygnitarzem z Warszawy – przedstawicielem Urzędu ds. Wyznań Józefem Siemkiem, który wydaje im polecenie odprawiania wieczornej mszy, jak gdyby nic się nie stało. I księża rozpoczynają mszę. Młodzi wierni wymykają się jednak z kościoła i próbują wedrzeć się do opieczętowanej szkoły. Milicjanci usiłują ich zatrzymać, młodzieńcy rzucają w nich kamieniami. Po mszy przed kościołem manifestuje 1,5 tys. wiernych. Do akcji wkracza zapobiegliwie sprowadzone z Rzeszowa ZOMO. Na zomowców lecą kamienie i przygotowane zawczasu przez wiernych papierowe worki z solą; z okien domów przy Salezjańskiej i Marchlewskiego zaś doniczki

i cegły. Zomowcy strzelają granatami z gazem łzawiącym, na tłum rusza pododdział z psami. Zamieszki ogarniają całe miasto. Na rogu Marchlewskiego i Grunwaldzkiej demonstranci budują barykadę, blokują most na Sanie. Zomowcy zdobywają barykadę o 20.30. Ulice miasta opanowują dopiero w nocy.

4 października 1957 ▪ piątek

Biip, biip, biip!

Siergiej Korolow, główny konstruktor rakiety R-7, zatrzymuje samochód na parkingu obok bunkra dowodzenia ośrodka rakietowego niedaleko od kazachskiej wsi Tiuratam nad Syr-Darią. Jest późny wieczór, ciemno. Korolow ma grypę, trzęsą nim dreszcze. Podnosi kołnierz swego ciężkiego, podniszczonego, zimowego płaszcza. Niewiele pomaga. Silny, zimny wiatr przeszywa do szpiku kości.

Niedaleko od bunkra dowodzenia stoi w świetle reflektorów przeciwlotniczych rakieta R-7. Wydaje się dużo większa, niż jest w rzeczywistości. Srebrnoszary kadłub wspiera się na 4 potężnych członach z silnikami głównymi i zbiornikami paliwa.

Korolow wchodzi do bunkra dowodzenia, wita się z przewodniczącym państwowej komisji ds. lotów w kosmos Wasylem Riabikowem, z profesorami Akademii Nauk ZSRR współtworzącymi program kosmiczny, ze współpracownikami. Szefowie służb przygotowawczych składają mu meldunki.

Z megafonów rozlega się zgrzytliwy głos:

– Uwaga, za minutę kontrola czasu. Przygotować się do tankowania.

Tłoczony do zbiorników R-7 ciekły tlen gwałtownie paruje przez zawory odpowietrzające i okrywa rakietę białą chmurą. Przez zainstalowane w szczelinie obserwacyjnej bunkra peryskopy wyraźnie widać, jak od spodu rakiety, od dna zbiornika tlenowego, pełznie ku górze biały kożuch szronu. Warstwa szronu sięga na kadłubie rakiety aż do wysokości, na której kończą się zbiorniki tlenu. W świetle reflektorów wygląda to bardzo pięknie. Nagle rozlega się głośny hurgot metalu. To lokomotywa odepchnęła puste cysterny po paliwie.

Szef stanowiska startowego melduje Korolowowi zakończenie tankowania rakiety. Pełna waga: 272 830 kg.

Czy za kilka godzin ZSRR pokona USA w wyścigu o podbój kosmosu? Programy rakietowe w obu krajach są rozwinięciem niemieckiej broni rakietowej V-2. Obaj konkurenci przechwycili niemieckich specjalistów, wyniki ich prac, gotowe pociski V-2 i osprzęt. Amerykanie teoretycznie mieli przewagę – namówili do współpracy twórcę V-2, Wernhera von Brauna. Rosjanie wywieźli na wschód pomniejszych specjalistów. Ale amerykański program utonął w sporach kompetencyjnych różnych rodzajów sił zbrojnych. Rosjanie zaś skoncentrowali wysiłki, a co ważniejsze – na czele projektu stanął utalentowany inżynier i organizator Siergiej Korolow. Jego ostatnia konstrukcja R-7 jest o wiele większa od rakiet amerykańskich i ma dużo większy ciąg. Pierwszy raz wystartowała 8 miesięcy temu. Po 100 sekundach lotu eksplodowała. Ale już 3. próba, przed 6 tygodniami, powiodła się. R-7 ma przenosić bomby atomowe na kontynent amerykański, ale Korolow od początku zamierzał z jej pomocą wysłać w kosmos potężnego, ważącego ponad tonę satelitę. Gdy Rosjanie dowiedzieli się, że w marcu przyszłego roku USA planuje wystrzelenie pierwszego satelity w kosmos, podjęli wyzwanie. Zamiast wielkiego

satelity nafaszerowanego aparaturą naukową szybko zbudowali – jak go oficjalnie nazwali – Prostiejszego Sputnika (Prostszego Satelitę), ważącą 84 kg kulę o średnicy 58 cm z grubej, wypolerowanej aluminiowej blachy z pękiem 4 anten na zewnątrz i paroma bateriami i nadajnikiem radiowym wewnątrz. To on jako pierwsze dzieło ludzkich rąk ma znaleźć się w kosmosie.

Ekipa Korolowa, mieszkająca w wojskowych barakach ustawionych w stepie, nieustannie słuchała Głosu Ameryki. Dzisiaj też. Wszyscy boją się, że Amerykanie wystartują w kosmos pierwsi.

Mija 22.00 czasu moskiewskiego. Korolow skulony siedzi w fotelu, przy swoim osobistym peryskopie.

– Zero minus jedna! Powtarzam: zero minus jedna minuta! – chrypi megafon.

Kierujący procedurą startu, czyli w żargonie poligonowym „strzelający", Jewgienij Ostaszow nie odrywa wzroku od swego peryskopu. Biała chmura parującego tlenu znikła znad kadłuba rakiety. To znak, że zamknięto zawory odpowietrzające.

Obsługa techniczna melduje przez głośniki:

– Silniki pomocnicze pod ciśnieniem!

– Silniki główne pod ciśnieniem!

Ostaszow wydaje rozkaz:

– Obsługa, wycofać!

Potężna wieża z instalacjami pomocniczymi wolno odjeżdża od kadłuba rakiety.

I wreszcie pada ostatni rozkaz:

– Zapłon!

2 siedzący przy głównym pulpicie operatorzy, lejtn. Borys Czekunow i starszy technik Anatol Koriew, przekręcają klucz zabezpieczający na pozycję startową i przyciskają niewiele mniejszy od talerzyka guzik z napisem: „Start". Gdzieś pod kadłubem pojawia

się niewielki błysk, szybko rośnie brunatna chmura dymu i kurzu. Nagle cały dół kadłuba ogarnia wielka, oślepiająca plama śnieżnobiałego ognia. Ale R-7 ani drgnie. Mijają długie sekundy. Operatorzy zamierają z przerażenia. Są pewni, że rakietę ogarnął pożar i zaraz oślepi ich potężna eksplozja. Ale nie. Kadłub wreszcie drgnął i powolutku ruszył w górę. W bunkrze wszyscy krzyczą:

– Leci! Leci!

Jest 22.28.

R-7 błyskawicznie nabiera prędkości i pędzi w rozgwieżdżone niebo. Płomień startowy zalewa step białym światłem. W bunkrze wszyscy skaczą, krzyczą, całują się. Korolow nie odrywa się od okularu peryskopu. Wreszcie nadchodzą najważniejsze meldunki:

– Wszystkie systemy stabilne! Lot przebiega prawidłowo!

Niedaleko od stanowiska startowego stoi w stepie mały biały domek – to stacja radiotelemetryczna. Dzisiejszej nocy zaparkował obok niego ciężarowy furgon. W środku, przy radioodbiornikach nastrojonych na częstotliwość nadajnika radiowego sputnika, siedzą 2 budowniczowie satelity. Ze słuchawkami na uszach czekają na radiowy sygnał z kosmosu – znak, że sputnik wyswobodził się spod kopuły rakiety i nieuszkodzony, szybuje w przestrzeni. Mijają długie minuty. Cisza. Przed furgonem zatrzymują się kolejne samochody, coraz więcej ciekawskich pracowników ośrodka rakietowego otacza ciężarówkę. Podniecone głosy mieszają się z okrzykami:

– Cisza! Cisza! Nic nie słychać!

Nagle w słuchawkach rozlega się znajome z prób technicznych „Biip! Biip! Biip!". Sygnał nadajnika.

– Hurrraaa! – wszyscy wrzeszczą jak opętani.

Ktoś dzwoni z domku telemetrystów do bunkra i krzyczy do Korolowa:

– Jest! Jest sygnał!

Strzelają szampany, wódka leje się strumieniami. Ale główny konstruktor nie potrafi cieszyć się jak jego podwładni. Ciągle nie daje mu spokoju pytanie, czy aby tam wysoko, gdzie teraz leci sputnik, nie ma jednak resztek atmosfery na tyle gęstych, że ich opór rozgrzeje cienką blachę satelity i spali go. Postanawia zaczekać z meldunkiem dla I sekretarza KC Nikity Chruszczowa do chwili, gdy satelita szczęśliwie obleci Ziemię i jego sygnał znów pojawi się w słuchawkach. Korolow i wszyscy oficjele z bunkra jadą do furgonu nasłuchowego. Mija 1,5 godziny i znów słychać znajome: „Biip!". Balistycy pośpiesznie kończą wstępne obliczenia. Wszystko w porządku. Satelita krąży po eliptycznej, wysokiej orbicie. Apogeum: 939 km, perigeum: 215 km. Przewodniczący Riabikow decyduje się zawiadomić o sukcesie Chruszczowa. Dzwoni do Kijowa, gdzie bawi I sekretarz, ale czeka go gorzki zawód. Dyżurny sekretarz odmawia zbudzenia Chruszczowa i sam przyjmuje meldunek.

Po kilku okrążeniach Ziemi moskiewskie radio nadaje meldunek o sukcesie. Komunikat podaje sfałszowane dane techniczne orbity sputnika.

W tym czasie w Stanach Zjednoczonych, w Huntsville nowy sekretarz obrony Neil McElroy odwiedza amerykańskich budowniczych rakiet von Brauna i gen. Medarisa. Podczas uroczystego koktajlu wbiega oficer i niegrzecznie przerywa oficjelom w pół słowa:

– Panie generale, właśnie ogłosili w radiu, że Rosjanom udało się wynieść na orbitę satelitę!

Von Braun wściekły woła na całą salę:

– Wiedzieliśmy, że to zrobią! Panie McElroy, jesteśmy w stanie wysłać satelitę w ciągu 60 dni! Proszę nam dać zielone światło!

W Teksasie lider republikańskiej większości w Senacie Lyndon Johnson bryluje na przyjęciu wydanym na swym ranczo. Nagle goście słyszą przez radio wiadomość o sowieckim satelicie. Po obiedzie wszyscy w kiepskich nastrojach idą na spacer nad rzekę Pedernales. Johnson zauważa, że niektórzy bojaźliwie zerkają w niebo. Rosjanie już tam są.

5 października 1930 ▪ niedziela

Sen w płomieniach

Stewardzi uwijają się żywo pomiędzy 20 ciasno ustawionymi mahoniowymi stolikami. Minęła już 1.00 w nocy. Wytworna kolacja w pięknej, przeszklonej sali jadalnej brytyjskiego sterowca R 101 już dawno się skończyła, ale 40 pasażerów od 3 godzin raczy się tu wyśmienitymi drinkami. Jest po temu znakomita okazja – ten lot R 101 otworzy przecież nowy rozdział w historii komunikacji powietrznej!

W roku 1926 brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa zdecydowało się rzucić rękawicę niemieckiemu przemysłowi lotniczemu, od lat z powodzeniem konstruującemu wielkie sterowce, i zbudować sterowiec największy na świecie, z którym niemieckie konstrukcje nie byłyby w stanie konkurować. Imperial Airship Scheme (Królewski Plan Lotniczy) z roku 1924 przewidywał zbudowanie sterowca zdolnego pomieścić 200 plutonów wojska, czyli ponad 2 tys. żołnierzy, albo 5 samolotów myśliwskich. W tej drugiej wersji brytyjski gigant byłby pierwszym na świecie latającym lotniskowcem. Brytyjskie imperium potrzebowało takiego środka

transportu przede wszystkim do zapewnienia sprawnej komunikacji z rozrzuconymi po całym globie państwami imperium.

Prace projektowe nad 2 prototypami rozpoczęto w roku 1926. Pierwszy z gigantów, oznaczony jako R 100, zbudowany został w Airship Guarantee Company w Howden, Yorkshire. Drugi, R 101, zbudowały Royal Airship Workshops (Królewskie Warsztaty Lotnicze) w Cardington, w hrabstwie Bedfordshire. Prace nad R 101 ukończono dokładnie przed rokiem, ale sterowiec ten nie spełnił oczekiwań konstruktorów. Przede wszystkim miał znacząco mniejszą nośność niż zakładana przez budowniczych. Ostatecznie sterowiec przecięto na pół i wmontowano dodatkowy zbiornik na gaz nośny – wodór. W ten sposób napędzany 5 silnikami benzynowymi wielkiej mocy gigant osiągnął niesamowitą długość 250 m, zachowując jednak imponującą prędkość maksymalną 113 km/h.

Ogromnie kosztowny statek powietrzny, którego szkielet wykonany jest z drogiego aluminium, a powłoki zbudowano z najwyższej jakości klejonego i impregnowanego jedwabiu, brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa postanowiło eksploatować także komercyjnie. W tym celu w gondoli sterowca, ale częściowo także w jego wnętrzu, zbudowano dla podróżnych luksusowe 1- i 2-osobowe kabiny z łazienkami, przepiękną jadalnię i palarnię tytoniu. Wielką gondolę konstruktorzy otoczyli przeszklonymi tarasami spacerowymi. W pokładowej kuchni zatrudniono najlepszych londyńskich kucharzy; obsługa na pokładzie największego sterowca świata jest równie znakomita jak w luksusowych hotelach.

Prace konstrukcyjne i wyposażeniowe skończono w pośpiechu zaledwie 2 tygodnie temu. Ministerstwo za wszelką cenę chciało, by właśnie sterowcem gigantem udał się w planowaną od dawna

oficjalną podróż do Indii imperialny minister lotnictwa lord Thomson.

Lot R 101 zaczął się w atmosferze zagrożenia. Przed 2 dniami na Poczcie Głównej w Londynie eksplodowała przesyłka, która, jak błyskawicznie ustalił Scotland Yard, miała polecieć do Indii na pokładzie sterowca. Brytyjskie władze spodziewają się prób zamachu na sterowiec w samych Indiach. Wicekról Indii alarmował nawet Ministerstwo Lotnictwa, że nie jest w stanie zapewnić powietrznemu statkowi bezpieczeństwa. Dlatego też Londyn wyekspediował do Indii dodatkowe oddziały służby lotniczej, by strzegły R 101 na ziemi, a cały pobyt sterowca w Indiach zredukowano do 4 dni.

Przed 5 dniami R 101 wystartował o 16.30 z Cardington w pierwszy lot próbny po modernizacji. Najpierw wziął kurs na Londyn, potem wzdłuż Tamizy poleciał nad Morze Północne, nad którym krążył przez całą noc. Test pozostawił niepokojące znaki zapytania. Pogoda była idealna, zatem lot nie wyjaśnił niczego w kwestii sprawności sterowca w trudnych warunkach atmosferycznych. Na dobitkę uszkodzeniu uległa chłodnica prawego przedniego silnika, więc R 101 nie przeszedł testu lotu z maksymalną mocą silników.

Mimo to w jadalni sterowca panuje wyśmienity nastrój. Pasażerowie, w znakomitej większości oficjele Ministerstwa Lotnictwa i Ministerstwa Kolonii, z ministrem lotnictwa lordem Thomsonem i szefem lotnictwa cywilnego *sir* Seftonem Branckerem na czele, wesoło bankietują i nie zwracają uwagi, że po starcie, który nastąpił w Londynie w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych, pogoda z każdą godziną lotu się pogarsza.

Po 1.30 bankiet się kończy, pasażerowie z wolna rozchodzą się do kabin. Sterowiec przeleciał już nad kanałem La Manche, nad Rouen

i wziął kurs na Bordeaux. O 1.50 radiotelegrafista nadaje do Londynu depeszę: „W chwili obecnej po doskonałej kolacji i dobrych cygarach pasażerowie udają się na spoczynek".

Sterowiec zbliża się do pasma wysokich wzgórz w rejonie miasta Beauvais. Szaleje burza, pioruny rozjaśniają ciemności nocy. Siedzący za sterami naczelny mechanik sterowca inż. Leach ma kłopoty z silnikami. Ich moc słabnie, w końcu jeden z nich odmawia posłuszeństwa.

Sieczony ulewą, targany wiatrem sterowiec zniża lot, nad Beauvais nadlatuje na wysokości co najwyżej kilometra. Buczenie motorów wywabia z domów sporo mieszkańców. Nagle dostrzegają płomienie na poszyciu olbrzyma. Zaraz potem rozlega się potężny wybuch. Na wieś Allonne spada jeden z silników.

Ogarnięty ogniem R 101 zniża systematycznie lot. Inż. Leach widzi zbliżającą się szybko ziemię i usiłuje poderwać olbrzyma, ale płonący R 101 nie reaguje na ruchy sterów wysokości. Majestatycznie płynie w stronę wysokiego wzgórza i o 2.10 uderza w jego zbocze.

Potężna eksplozja wodoru w uszkodzonych zbiornikach rozrywa wielki zbiornik wody, która zalewa kabinę sterowniczą R 101. Woda działa niczym płaszcz ochronny izolujący pozostających na służbie członków załogi od płomieni. 5 mechaników pokładowych wybuch wyrzuca przez rozbite szyby na ziemię, 3 kolejnych wyskakuje w ostatniej chwili i odciąga na bok ciężko rannych mechaników pokładowych, inżynierów Radcliffe'a, Savory'ego i Cooka.

Uratowani natychmiast wracają do płonącego olbrzyma, jednak nawet nie mają szans zbliżyć się do morza płomieni, w jakie zamienił się sterowiec. Po kwadransie nadbiegają przerażeni mieszkańcy Beauvois, ale nie mogą pomóc. Wyrwani z łóżek pasażerowie w piżamach miotają się po wąskim korytarzu zewsząd

otoczonym ogniem. W płomieniach ginie 46 pasażerów i członków załogi.

Po południu w szpitalu umiera inż. Radcliffe. Wrak sterowca dopala się przez wiele godzin.

To koniec brytyjskiej rywalizacji w budowie sterowców z Niemcami, koniec snu o powietrznych gigantach, większych i bardziej luksusowych niż największe morskie transatlantyki.

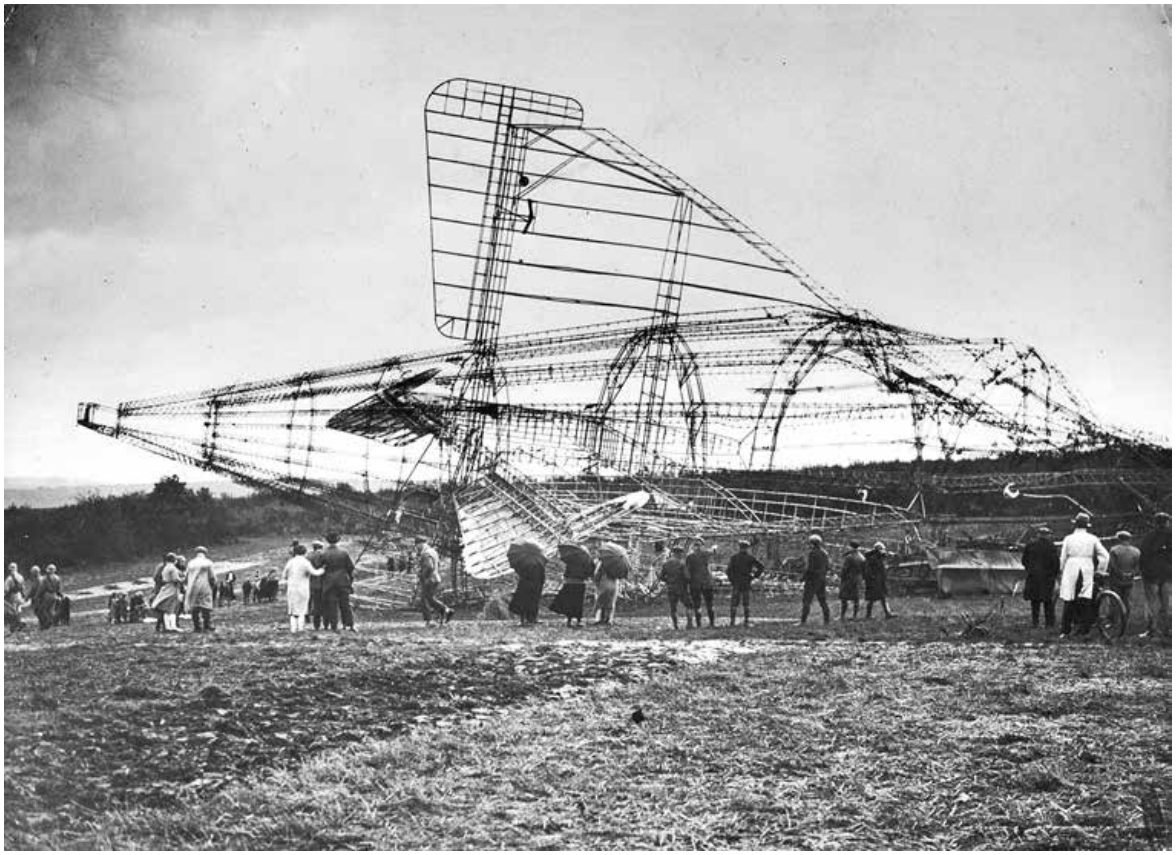

Szczątki rozbitego sterowca R101

6 października 1933 ▪ piątek

W hołdzie prochom króla

O 2.00 w nocy w kilkunastu podkrakowskich wsiach trębacze grają pobudkę. 12 pułków kawalerii rusza w stronę Krakowa. Dziś odbędzie się hołd armii polskiej w 250-lecie odsieczy wiedeńskiej. Scenariusz obchodów wymyślił i w najdrobniejszych szczegółach opracował marszałek Józef Piłsudski. Rano na krakowskich Błoniach wielka rewia polskiej kawalerii. Po południu – oddanie hołdu prochom króla Jana III Sobieskiego.

Do rewii kawalerii, największego takiego widowiska w nowożytnej Europie, wyznaczono 12 z ponad 40 pułków polskiej jazdy. Wzdłuż południowej linii Błoni firma ciesielska Franciszka Peterka z pomocą wojska wzniosła drewnianą trybunę o długości 500 m i szerokości 20 m. Za trybuną, na całej jej długości, stanął rząd owiniętych girlandami masztów, na których powiewają flagi państwowe i proporce wszystkich pułków kawalerii. Bilety na miejsca siedzące na trybunach kosztują, w zależności od sektora, 7 i 5 zł, wejściówki zaś – 3 i 2 zł. Zamawiały je organizacje społeczne i osoby prywatne. Hrabia Artur Potocki złożył zamówienie na 40 biletów, znany malarz Wojciech Kossak – na 10.

Ponieważ święto wypadło w piątek, metropolita krakowski książę Sapieha udzielił na dzisiejszy dzień dyspensy od postu dla miasta Krakowa i tych wsi, w których stacjonują biorące udział w rewii pułki.

W ramach przygotowań zmieniono nazwę ul. Wolskiej na ul. Józefa Piłsudskiego.

Pułki kawalerii ciągną w ciemnościach w stronę Krakowa.

Leje. Fatalnie.

Ale przed 9.00, gdy pierwsze pułki wkraczają do miasta, wiatr rozpędza chmury. Wychodzi słońce. Oficerowie i żołnierze oddychają z ulgą.

Przy ulicach, na trasach przemarszu kawalerii, stoją tłumy. Od wczoraj do Krakowa co rusz przychodzą dodatkowe pociągi z całego kraju. Na Błoniach jest już niemal 200 tys. widzów. Wzgórze Sikornika, Salwator i kopiec Kościuszki są oblepione gapiami.

Na osi Błoni pułki ustawiają się w idealnie równych czworobokach.

O 10.30 z Małych Błoni wjeżdża konno inspektor armii gen. Gustaw Orlicz-Dreszer. Obok niego galopuje adiutant. Gen. Dreszer zatrzymuje się przed każdym z 12 pułków i odbiera meldunek od dowódcy.

Nad Błoniami zrywają się potężne wiwaty. Od 3. mostu na Rudawie wjeżdża otoczony konnymi adiutantami odkryty samochód osobowy. Z tyłu siedzi marszałek Piłsudski w towarzystwie płk. Warthy, szefa Departamentu Dowodzenia Ogólnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, byłego dowódcy 1. Pułku Strzelców Podhalańskich. Marszałek ma siwy mundur marszałkowski przepasany wielką wstęgą Orderu Virtuti Militari i maciejówkę z orzełkiem w koronie. Płk Wartha prezentuje się wspaniale w pelerynie i w wojskowej wersji góralskiego kapelusza z orlim piórem. Samochód zatrzymuje się – to Marszałek przesiada się z płk. Warthą, by podczas przeglądu siedzieć od strony pułków.

Po przeglądzie samochód podjeżdża do parku Juvenii, gdzie Marszałek wydaje polowe śniadanie pod namiotami dla korpusu dyplomatycznego, *attachés* wojskowych, generalicji, duchowieństwa i władz miejskich. Są kanapki, polędwica na gorąco, słodycze, wódka.

Po śniadaniu, o 12.20, Piłsudski w asyście płk. Warthy podchodzi do swej trybuny, wysuniętej niczym reduta przed linię głównych trybun. Marszałek wchodzi powoli na obite czerwonym jedwabiem podniesienie, z wielkim orłem wojskowym od frontu. Tłumy

wiwatują, ale Piłsudski nagle robi się całkiem nieobecny. Patrzy nieruchomo na linię drzew na skraju Błoni. To tam, za tymi drzewami, 6 sierpnia 1914 roku ruszała do walki o wolną Polskę jego 1 Kompania Kadrowa.

Po kilku minutach Marszałek wraca do rzeczywistości. Przybywa samochód z prezydentem Mościckim. Prezydent w towarzystwie marszałkowej Piłsudskiej zajmuje miejsce w loży honorowej. Gen. Orlicz-Dreszer konno składa Marszałkowi meldunek o gotowości do parady. Marszałek daje znak.

Rozlega się głuchy, przejmujący tętent. W niewyobrażalnym porządku płyną rozwinięte plutonami fale setek wspaniałych jeźdźców z lancami zdobnymi barwnymi proporcami. Dziesiątki tysięcy widzów śmieją się, krzyczą, płaczą ze wzruszenia. To jest Polska z ich marzeń i snów, wielka, piękna, niepokonana.

Marszałek podchodzi do *attachés* wojskowych. Najdłużej rozmawia z oficerem tureckim.

Przygotowania do 2. części rocznicowej uroczystości – złożenia hołdu prochom Jana III Sobieskiego – zaczęły się jeszcze latem.

Marszałek Piłsudski przemyślał wszystkie szczegóły uroczystości w krypcie. Przed 3 dniami w Warszawie zaprosił do Belwederu na konferencję w tej sprawie prezydenta Ignacego Mościckiego i premiera Janusza Jędrzejewicza. Marszałek rozłożył dokładny plan krypty i szczegółowo objaśnił, jak i z kim ma Mościcki wejść do wawelskich podziemi i gdzie stanąć. Na koniec przyjrzał się uważnie prezydentowi i powiedział: „Ale ty może zapomnisz, uważaj, bo to jest skomplikowane". I jeszcze raz powtórzył przebieg ceremoniału.

Krótko przed 14.00 na dziedziniec wawelski wjeżdża długi wąż kawalerii. O 14.00 na dziedziniec wkraczają oficjele: członkowie rządu, duchowieństwo, korpus dyplomatyczny, *attachés* wojskowi.

Tuż przed schodami prowadzącymi do katedry zbiera się 24 generałów i wyższych dowódców kawalerii. Są inspektorowie armii generałowie Osiński i Berbecki oraz wiceministrowie spraw wojskowych generałowie Fabrycy i Sławoj-Składkowski, jest gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Wszyscy stają w równym szeregu, wedle starszeństwa.

O 14.10, tak jak zaplanował Piłsudski, na dziedziniec przyjeżdża prezydent Mościcki z premierem Jędrzejewiczem. Wita ich abp Sapieha i wprowadza do katedry. Prezydent, premier i arcybiskup wchodzą do krypty św. Leonarda. Chór śpiewa *Bogurodzicę*.

Kwadrans później na dziedziniec wjeżdża odkryty samochód z Piłsudskim i płk. Warthą. Kawaleria prezentuje broń. Marszałek przechodzi przed frontem generałów. Potem zbiera ich w grupę i niezbyt głośno, leciutko zaciągając z wileńska, instruuje: „Będziecie, panowie, tworzyli oddział, maszerujący dwójkami, zwarty oddział wojska, bo macie reprezentować całe wojsko. Macie zapiąć podpinki u czapek, jak oddział na służbie. Musicie maszerować równym krokiem. Uważajcie. Ja was prowadzę. Musicie przejść przez nawę katedry, wybijając krok. Do krypty z prochami króla Jana wiedzie 16 schodów. Aby móc maszerować sprawnie, musicie między jedną parą a drugą zostawić jeden stopień wolny. Inaczej będziecie się potrącali. Nastąpi zamęt. Na dziesiątym schodzie jest skręt na prawo, idący po prawej ręce musi mieć na względzie ten fakt, pamiętać o nim, by na wąskich z powodu zakrętu schodach nie przewrócić się. Krypta z prochami króla jest tak płytka, że czoło oddziału stanie już przed sarkofagiem, podczas gdy ogon będzie jeszcze zstępował ze schodów. Czoło zatem musi maszerować w miejscu aż do mej komendy »stój!«. Na mój rozkaz »baczność!« salutujecie wszyscy. Wraz ze mną odejmujecie palce od daszków. Potem wyprowadzam was z krypty. Oddział

rozwiążę w nawie kościelnej komendą »czapki zdjąć!«. Służba wasza skończona, rozchodzimy się, ja na swoje miejsce, wy na wasze dla wysłuchania *Te Deum*. Zrozumieli panowie?".

Marszałek patrzy na zegarek. „Zaczynamy – rzuca niezbyt głośno, po czym już pełnym głosem dodaje: Naprzód marsz!"

Oddział generałów i pułkowników kawalerii rusza dwójkami za Marszałkiem. Siwe wąsy Piłsudskiego i idącego w pierwszej dwójce gen. Osińskiego sprawiają wrażenie, że kroczy oddział weteranów. Podkute oficerki równo łomocą o kamienne płyty, brzęczą ostrogi.

Marszałek zatrzymuje oddział tuż przed potężnym sarkofagiem króla.

„Panie prezydencie Rzeczypospolitej – zwraca się do stojącego obok Mościckiego. – W imieniu wojska składam hołd królowi polskiemu Janowi III Sobieskiemu, wielkiemu wodzowi, który odnosił wspaniałe zwycięstwa".

Daje generałom komendę: „Baczność!".

Marszałek w postawie na baczność salutuje. Trwa nieruchomo. Płynie minuta, druga.

W ciszę krypty wdziera się daleki pogłos wystrzału. To wypaliła pierwsza z ciężkich haubic 155 mm, ustawionych nad Wisłą, obok Wawelu. Podczas przygotowywania uroczystości Marszałek nie zgodził się na planowane przez wojskowych salwy honorowe armat polowych 75 mm ustawionych na Wawelu. Stwierdził, że polówki mają zbyt szczekliwy głos, za to haubice – niski, potężny. Ponieważ w Polsce nie wytwarza się ślepych naboi do ciężkich haubic, zostały one wyprodukowane specjalnie na okazję krakowskiego święta.

Do artyleryjskich grzmotów dołącza potężny dźwięk Zygmunta.

Nagle od bogato zdobionego sarkofagu króla Władysława IV odrywa się kawał pozłacanej blachy i z metalicznym, nieprzyjemnym dźwiękiem uderza o posadzkę.

Obecni w krypcie ani drgną, ale każdy myśli o tym samym – czego symbolem jest to nieoczekiwane zdarzenie?

Ostatni, 21. wystrzał. Prezydent Mościcki wychodzi z krypty jako pierwszy. W prezbiterium katedry czeka nań fotel pod baldachimem. Po nim Marszałek wyprowadza dwójkami oddział generalicji. Ustawia go w nawie bocznej i wydaje komendę: „Czapki zdejm!".

Metropolita ks. Sapieha intonuje *Te Deum*.

O 17.00 prezydent Krakowa dr Kaplicki wydaje w pałacu Larischa uroczysty obiad dla najważniejszych gości. Jest premier Jędrzejewicz, ministrowie, jest marszałek Sejmu Świtalski, marszałek Senatu Raczkiewicz, metropolita Sapieha.

W tym samym czasie samochód z Józefem Piłsudskim zajeżdża pod kasyno oficerskie. Marszałek będzie gościem na śniadaniu dla generalicji i oficerów pułków biorących udział w rewii.

7 października 1571 ▪ czwartek

Z kurą zamiast ręki

Miguel Cervantes de Saavedra leży w półmroku na dolnym pokładzie wielkiej galery „Marques". Od tygodnia 24-letnim hiszpańskim szlachcicem trzęsie febryczna gorączka. Choroba zdaje się przechodzić, lecz Cervantes jest bardzo osłabiony. O 7.30 budzą go z porannej drzemki okrzyki: „Do broni! Do broni!", i przeciągłe nawoływania bosmanów: „Naprzód! Rzęęę-dem!". Wioślarze ciągną wiosła w rytm bosmańskich zaśpiewek, drży i skrzypi z nagła wprawiony w ruch kadłub „Marquesa". Cervantes z trudem wspina się po drabince. Gdy wychodzi przez luk na górny pokład, od

świeżego powietrza aż kręci mu się w głowie. Oficerowie piechoty z niepokojem patrzą na rozczochranego młodzieńca w przekrzywionym hełmie, w zastępującej zbroję kamizelce z kilku warstw twardej wołowej skóry, z racji lekkości chętnie używanej w walkach na morzu. Cervantes zasłania ręką oczy, po kilku dniach spędzonych w półmroku oślepione jasnością poranka, i chwiejąc się, woła, by podano mu jego arkebuz. Oficerowie Gabriel de Castaneda i Santiesteban tłumaczą rozgorączkowanemu Cervantesowi, że nie nadaje się do walki. Chory i słaby, stanowiłby wręcz zagrożenie dla towarzyszy broni.

Ale rozegzaltowany Cervantes krzyczy na całe gardło: „Co!? Co inni powiedzą o mnie!? Powiedzą, że nie wypełniłem swojego obowiązku! Wolę umrzeć, walcząc za Boga i mojego króla, niż cackać się ze swoim zdrowiem!". Kpt. Diego de Urbino klaruje Cervantesowi, że powinien powrócić pod pokład. Ale Miguel gwałtownie oponuje – nie po to przed kilkoma miesiącami wstąpił pod sztandary Świętej Ligi, by w chwili decydującej bitwy z Turkami chować się pod pokładem

Tysiące szlachetnie urodzonych Hiszpanów, Włochów i poddanych cesarza Maksymiliana II Habsburga, podobnie jak Miguel Cervantes, zaciągnęło się do armii Świętej Ligi, by powstrzymać zagrażającą południowej Europie ekspansję imperium tureckiego pod berłem Selima II. Turcy od początku stulecia zajmują kolejne przyczółki w akwenie Morza Śródziemnego. Co prawda, przed 6 laty wielka wyprawa floty Sulejmana Wspaniałego na Maltę została krwawo odparta przez chrześcijańskich obrońców, ale w zeszłym roku Turcy zerwali rozejm i zaatakowali należący do Wenecji Cypr. Wenecka Signoria zwróciła się do państw chrześcijańskich o pomoc. Wsparł ją Pius V. W krótkim czasie, dzięki swemu ogromnemu autorytetowi, surowy, nieprzejednany papież

pogodził sprzeczne interesy potężnej Wenecji i innych państw włoskich, Hiszpanii, Portugalii, Zakonu Kawalerów Maltańskich i zorganizował Ligę Świętą do walki z tureckim zagrożeniem. Ogromnym wysiłkiem państwa należące do Ligi wystawiły wielką flotę wojenną. Po długich sporach sponsorów Ligi wodzem chrześcijańskiej armady został Don Juan d'Austria, nieślubny syn Karola V – króla Hiszpanii i cesarza niemieckiego.

Hiszpański monarcha ukrywał swoje ojcostwo. Kazał nazywać chłopca Jeromino i chował jako pazia na swym dworze. Prawowity syn Karola V poznał prawdę o przyrodnim bracie dopiero wtedy, gdy jako Filip II objął tron hiszpański. Zachował się szlachetnie – zatrzymał Don Juana na dworze i powierzył mu dowództwo hiszpańskiej floty na Morzy Śródziemnym.

Don Juan d'Austria ma dopiero 24 lata, ale uważany jest za wybitnego wodza. Przed 2 laty, w bardzo trudnej kampanii w górach, krwawo stłumił powstanie Morysków, arabskich i berberyjskich potomków dawnych Maurów, którzy formalnie przyjęli chrześcijaństwo, lecz potajemnie wyznawali islam.

Młodziutki hiszpański wódz także na morzu pokazuje lwi pazur. Stłumił ambicjonalne spory dowódców flot, wchodzących w skład armady, i zmusił ich do zaakceptowania jego decyzji: nie będzie długotrwałej wojny morskiej na rozmaitych akwenach, wszystko ma się rozstrzygnąć w jednej wielkiej bitwie.

I oto gigantyczna chrześcijańska armada ponad 200 ciężkich wiosłowych galer i galeonów (nie licząc pomniejszych okrętów i mrowia statków), na pokładach których znajduje się ponad 12 tys. marynarzy i 25 tys. żołnierzy, wczesnym rankiem ostrożnie wpływa z Morza Jońskiego do greckiej zatoki Patras. Niedaleko portu Lepanto marynarze dostrzegają żagiel. Po chwili ich oczom ukazuje się w całej krasie potężna turecka flota – ponad 220

galer i galeot, na których zaokrętowanych jest 13 tys. marynarzy, ponad 41 tys. wioślarzy, w większości niewolników i chrześcijańskich więźniów, i blisko 30 tys. żołnierzy.

Armada Ligi Świętej zatrzymuje się. Dowódcy eskadr i kapitanowie poszczególnych okrętów pospiesznie przypływają na flagowy okręt Don Juana „Reala". Narada wojenna jest krótka. Don Juan zawczasu przygotował szczegółowy plan bitwy, w którym dokładnie przewidział miejsce w szyku i bitewne zadania dla każdego z ponad 200 okrętów. Kapitanowie otrzymują od wodza plany z zadaniami dla swych jednostek. Niektórzy sprzeciwiają się wydawaniu walnej bitwy i stawianiu losów Europy na jedną kartę, ale wódz ucina protesty: „Panowie, czas narad się skończył, nadszedł czas bitwy!". Don Juan opracował wszystko, nawet rozkaz do załóg. Marynarzy i żołnierzy nie trzeba zresztą zachęcać do walki. Przed 3 dniami do floty Ligi dotarły wieści o upadku Famagusty, ostatniej twierdzy Wenecjan na Cyprze, o złamaniu przez Turków warunków honorowej kapitulacji obrońców, wymordowaniu kilkunastu tysięcy jeńców i obdarciu żywcem ze skóry weneckiego wodza Bragadina. Chrześcijanie dyszą chęcią zemsty. Kapelani pospiesznie odprawiają na pokładach msze, spowiadają żołnierzy, udzielają im rozgrzeszenia.

Na rozkaz Don Juana załogi odrzucają z galer tarany. Dzioby okrętów zanurzają się głębiej, przez co pociski armat będą trafiać w okręty wroga płaskim torem, z większą siłą. Właśnie artylerii przeznaczył wódz floty Ligi rozstrzygającą rolę w tym starciu. Na pokładach jego okrętów znajduje się ponad 1800 armat. Turcy mają ich tylko 750. Galery chrześcijańskie są większe, mocnej zbudowane. Tureckie za to szybsze i zwrotniejsze. Ale bitwa rozegra się w wąskim przesmyku. Tu nie ma miejsca na subtelne manewry,

decydujące znaczenie ma za to odporność kadłubów na ogień dział i na uderzenia taranów wroga.

Wódz floty tureckiej Muezzinzade Ali Pasza jest zaskoczony nieoczekiwanym pojawieniem się chrześcijańskiej armady, ale szybko opanowuje się i wydaje rozkazy. Marynarze smarują pokłady łojem i smołą, by utrudnić giaurom abordaż. Okręty obu flot ustawiają się naprzeciw siebie. Galery Ligi stoją tak gęsto, że linie ich wioseł są odlegle raptem o parę metrów.

O 9.30 na okrętach chrześcijańskich zrywa się wielki okrzyk „Jezus! Maria!". Turcy wołają „Allach akbar!" (Allach jest wielki). Obie floty ruszają do walki. Armaty okrętów Ligi pustoszą muzułmańskie galery, ale i tak ostateczne rozstrzygnięcie przynoszą abordaże i walki wręcz na pokładach tureckich jednostek. Bitwa rozpada się najpierw na 3 osobne starcia centrów i skrzydeł obu flot, w końcu zaś na ponad 100 pojedynków na wodzie. Ok. południa Wenecjanie na lewym skrzydle floty Ligi rozbijają szyk muzułmańskiej floty, palą i zdobywają w walce dziesiątki tureckich galer. W centrum, gdzie walczą najlepsze okręty obu stron, bój jest szczególnie zacięty. Na lewym skrzydle centrum znajduje się „Marques". Na jego pokładzie Miguel Cervantes z arkebuzem w ręku dowodzi 12 piechurami. Jedna z tureckich galer jest tuż-tuż. Huczą wystrzały, od dymu prochowego robi się ciemnawo. Kula z tureckiego muszkietu przebija skórzany ochraniacz. W piersi Cervantesa zieje krwawa dziura. Miguel upuszcza arkebuz na pokład, utrzymuje się jednak na nogach. Wyciąga z pochwy rapier i rzuca się z towarzyszami na pokład tureckiej galery. Drugi pocisk masakruje jego lewą rękę. Zbryzgany krwią Miguel walczy dalej. Dopiero po zdobyciu tureckiego okrętu towarzysze odnoszą go pod pokład „Marquesa". Cervantes jest dumny i szczęśliwy – przelał

krew za wiarę i króla. Postrzelona ręka jest bezwładna, ale to nic, to nie przekreśla literackich marzeń – do pisania wystarczy jedna ręka.

Chrześcijanie i muzułmanie walczą w religijnym uniesieniu ze straszliwą zajadłością. Nie daje się pardonu pokonanemu przeciwnikowi, nie zważa się na własne życie.

Okręty flagowe obu flot, ogromny „Real" z Don Juanem na pokładzie i niewiele mniejszy „Sułtan" z wodzem tureckim Muezzinzade Ali Paszą, uderzają na siebie.

Grzmią setki arekebuzów i rusznic, trup ściele się gęsto. Turcy w walce wręcz bronią się zaciekle. Don Juan rozkazuje uwolnić galerników i dać im broń. Obiecuje im wolność i nagrody. Dopiero to i pomoc innych okrętów Ligi przeważa szalę zwycięstwa. Tylko co dziesiąty marynarz i żołnierz na „Realu" nie odniósł ran.

Na pokład galery „Doncella" upada turecki granat. Kapitan artylerii króla Hiszpanii Filipa II Federigo Venusta chwyta pocisk, chcąc wyrzucić go za burtę. W tej samej chwili granat eksploduje i urywa mu lewą rękę. Dłoń dynda jedynie na skrawku skóry i ochłapie mięsa. Venusta wyciąga z buta marynarski nóż i prosi jednego z podkomendnych, by uciął mu dłoń do reszty. Artylerzysta mdleje. Venusta odcina ją sam. W ogniu walki nikt nie ma czasu bandażować buchającego krwią kikuta. Venusta schodzi pod pokład, łapie kurę, która stanowi żywy prowiant, jednym cięciem noża zabija ją, drugim rozcina jej podbrzusze. Krwawiący kikut wciska w trzewia kury, wraca na pokład, każe opatrunek z kury przywiązać paskiem do ramienia i już chwilę później z rapierem w prawicy rzuca się na Turków.

Markiza Munoza, zaokrętowanego na galerze „San Juan", podobnie jak Cervantesa, trawi silna gorączka. Ale markiz także zrywa się do walki. Gdy galera uderza w burtę tureckiego okrętu, Munoz jako pierwszy rzuca się do abordażu. W tłumie

muzułmańskich marynarzy walczy jak lew. Jednego po drugim kładzie trupem, ale sam także inkasuje ciosy. Raz po raz trafiają go strzały, pocisk armatni urywa mu nogę. Do głównego masztu tureckiej galery doskakuje, tnąc Turków rapierem na jednej, ocalałej nodze, z 9 kulami tkwiącymi w ciele. Osuwa się na pokład i woła do swych towarzyszy broni: „Panowie, niech każdy z was zrobi wszystko, na co go stać". Chwilę później nie żyje.

Z pola walki zręcznie wymyka się tylko jedna eskadra Ułudż Alego. Gdy wczesnym popołudniem wiatr zwiewa znad zatoki dymy, zwycięzcom ukazuje się dantejski widok: woda po horyzont usłana się gęsto resztkami okrętów, trupami i setkami tonących.

Zginęło niemal 25 tys. walczących, w tym 7600 chrześcijan. Morska potęga Turcji została złamana.

8 października 1943 ▪ piątek

Kubek z czekoladą

O godz. 00.45 operator radaru na niszczycielu ORP „Orkan" dostrzega na ekranie płynący na powierzchni morza niemiecki okręt podwodny. Dziobowe wieże dział 120 mm zwracają się w stronę wroga. Pierwsze strzela działo przeciwlotnicze 102 mm. Nad hitlerowskim U-Bootem robi się jasno. „Orkan", jak nakazuje instrukcja, najpierw ostrzeliwuje wynurzony okręt podwodny pociskami oświetlającymi, a potem próbuje nakryć wroga pierwszą salwą. Teraz pora na artylerię główną. Ciemność polarnej nocy rozdzierają jaskrawe ognie wylotowe. Ale U-Boot szybko znika z ekranów. Zanurzył się. „Orkan" natychmiast robi zwrot i płynie na miejsce zanurzenia. Za rufę z dwóch konstrukcji przypominających

taśmociągi staczają się spore stalowe beczki. Bomby głębinowe. Po chwili za niszczycielem z głuchym stęknięciem podnoszą się potężne, bielejące w ciemnościach gejzery. Kilka minut później z pełną prędkością nadpływają brytyjskie niszczyciele HMS „Oribi", HMS „Orwell" i HMS „Musketeer". Zaczynają się igrzyska. Pociski oświetleniowe niszczycieli zamieniają polarną noc w dzień. Co chwilę eksplodują bomby głębinowe. Tu już nie chodzi o to, by trafić i zatopić U-Boota, lecz by eksplozją nawet z dalszej odległości wytargać go, być może uszkodzić, a przynajmniej zastraszyć i zmusić do pozostania na dłużej w zanurzeniu. Tak długo, aż powolny konwój SC 143, osłaniany m.in. przez 4 harcujące niszczyciele tworzące grupę wspierającą, zdoła oddalić się od miejsca zagrożenia.

A zagrożenie jest duże, bardzo duże. Konwój SC 143, zmierzający z Halifaxu w Kanadzie do Liverpoolu w Wielkiej Brytanii, składa się z 39 statków rozmaitych bander. Prócz brytyjskich i amerykańskich są w nim statki norweskie, jugosłowiańskie, greckie, duńskie, holenderskie i inne. Transportują materiały strategiczne: amerykańską i australijską stal, paliwo, zboże, cukier, ciężarówki. Pod pokładem belgijskiego „Belgian Sailora" znajduje się ładunek pulpy fosforowej.

Konwój osłaniany jest przez niezbyt silną morską grupę eskortową C-2, składającą się z lotniskowca pomocniczego HMS „Rapana", niszczyciela, fregaty i 5 kanadyjskich korwet. 4 niszczyciele grupy wspierającej, w tym HMS „Orkan", bardzo są konwojowi potrzebne. Do rozbicia i zniszczenia go bowiem niemiecki dowódca okrętów podwodnych adm. Karl Dönitz utworzył tzw. wilcze stado, czyli grupę U-Bootów ściśle ze sobą współdziałających, wymieniających się informacjami i przeprowadzających wspólne ataki. Adm. Dönitz rozwiązał inne wilcze stado nazwane „Leuthen", które niedawno rozgromiło

2 alianckie konwoje, i sformował stado nowe, „Rossbach". W jego skład włączył 12 okrętów podwodnych pozostałych ze stada „Leuthen" oraz 9 U-Bootów zdążających na północny Atlantyk z baz w Niemczech i we Francji. Na szczęście alianckie bombowce operujące z lotnisk na Islandii zdołały jeszcze w trakcie formowania wilczego stada zatopić 4 okręty podwodne, a 4 kolejne uszkodziły tak mocno, że musiały one wrócić do bazy.

Adm. Dönitz jednak natychmiast skierował w pobliże Grenlandii kolejne dwa U-Booty jako uzupełnienie. Na trasie konwoju SC 143 czai się więc 15 niemieckich okrętów podwodnych. Potężna siła, która zmiotłaby konwój wraz z jego eskortą z powierzchni oceanu, gdyby nie 4 niszczyciele grupy wspierającej.

Najaktywniejszy z nich jest ORP „Orkan".

Tak naprawdę jest to brytyjski niszczyciel HMS „Myrmidon" (Zbir). Ponad rok temu brytyjska Admiralicja, cierpiąca na brak wyszkolonych załóg, zdecydowała się oddać go w użytkowanie Polakom, którzy marynarzy mają w nadmiarze. Przejmowanie okrętu trwało aż pół roku, gdyż jego dowódca, kmdr por. Stanisław Hryniewiecki nieustannie zgłaszał uwagi i poprawki do stanu wyposażenia okrętu. Nie dlatego bynajmniej że to kiepski okręt. Przeciwnie, „Myrmidon" to jeden z najlepszych, najsilniejszych brytyjskich niszczycieli. Przy długości 110 m i szerokości 11,3 m rozwija prędkość niemal 34 węzłów. Miał silną artylerię – 6 dział 120 mm w 3 całkowicie zabudowanych – to rzadkość wśród brytyjskich niszczycieli – wieżach. Jak na standardy brytyjskiej marynarki wojennej „Myrmidon" nafaszerowany był elektroniką, i to elektroniką najwyższej jakości: radary, asdic, czyli urządzenie do lokalizacji zanurzonych okrętów podwodnych, radiowe systemy komunikacji z innymi okrętami oraz z dowództwem na lądzie, system komunikacji wewnętrznej oraz zupełną nowość – tak zwany

Huff-Duff, krótkofalowy radionamiernik, pozwalający namierzyć nadające meldunki radiowe U-Booty. Ponieważ taktyka wilczego stada zakłada złożenie przed atakiem torpedowym meldunku radiowego do dowództwa w Niemczech, Huff-Duff jest nieocenionym środkiem zapobiegania atakowi dosłownie w ostatniej chwili.

Braki w ekwipunku „Myrmidona", a właściwie już „Orkana", dotyczyły głównie wyposażenia typowo brytyjskiego, np. pokładowej kuchni, w której trudno było przyrządzać polskie potrawy, czy rozmiarów marynarskich butów i rękawic, za małych dla rosłych Polaków. W końcu 18 listopada podniesiono polską banderę na „Orkanie". Dość marne wyszkolenie specjalistyczne załoga „Orkana" uzupełniła w rejsach bojowych, gdyż szkolenie w bazie Scapa Flow zostało przedwcześnie przerwane i okręt popłynął jako eskorta alianckiego konwoju do Murmańska. Rejsy bojowe w osłonie konwojów do sowieckiej Rosji, w ciemnościach nocy polarnej, w straszliwych mrozach i sztormach, w nieustannym zagrożeniu atakiem torpedowym, były najcięższą próbą dla ludzi i okrętów. W trakcie dziewiczego rejsu „Orkan" wykrył asdikiem torpedę płynącą w stronę brytyjskiego okrętu liniowego HMS „Anson". Ostrzeżony w porę pancernik wykonał skuteczny unik. W podzięce załoga „Ansona" zaprosiła po rejsie na pokład całą załogę „Orkana" na ceremonialną herbatę.

Podczas kolejnych rejsów w osłonie konwojów do Murmańska „Orkan" odpierał ogniem artylerii ataki niemieckiego lotnictwa, tropił U-Booty i rzucał bomby głębinowe. Czasem tylko w polarnych mrokach jaśniały weselsze dni, jak wtedy gdy niszczyciel w pobliżu Murmańska spotkał się z sowieckim kutrem rybackim, którego załogę stanowiły wyłącznie kobiety; zapas rumu

wymieniono z nimi na mnóstwo świeżych ryb, a sowiecka załoga złożyła w kajutach niszczyciela radosną wizytę.

Potem okręt przeniesiony został do ochrony konwojów na północnym Atlantyku. „Orkan" znów ostrzeliwał niemieckie samoloty, namierzał i okładał bombami głębinowymi U-Booty, ale najbardziej spektakularne sukcesy odniósł w ratowaniu ludzi. W czerwcu tego roku, w drodze na spotkanie konwoju, napotkał tratwę ratunkową z Hindusem i Japończykiem, z załogi zatopionego przez U-Boota statku „Fort Concord". Obaj cudem przeżyli na Atlantyku 47 dni!

Na Biskajach „Orkan" uratował ponad 30 niemieckich marynarzy z załogi U-Boota U-459 zatopionego przez wellingtona 172. Eskadry w bodaj najdziwniejszy, podczas całej wojny, sposób.

Wellington podczas ataku został trafiony z niemieckiego działka i uderzył w U-Boota. Cudem przeżył jego tylny strzelec, wyrzucony z wieżyczką w morze. Gdy Niemcy sprzątali wrak bombowca z pokładu, znaleźli 3 bomby głębinowe. Mało sprytnie wyrzucili je za burtę, gdzie – jak to zwykle bomby głębinowe – wybuchły i zatopiły U-Boota.

5 lipca ORP „Orkan" otrzymał w Plymouth rozkaz popłynięcia do Gibraltaru po zwłoki gen. Władysława Sikorskiego. Dowódca „Orkana" nie chciał zgodzić się na tę misję – dla marynarza trumna na pokładzie to zapowiedź rychłego zatonięcia – ale rozkaz był rozkazem. Od tego czasu załoga okrętu jest wyraźnie cichsza i mniej skora do żartów. Gdy przed tygodniem „Orkan" wyruszał z Londonderry w Irlandii w ten rejs, kpt. Stanisław Pohorecki zauważył wyskakujące z okrętu na ląd szczury. Nikomu nic do dziś nie powiedział.

Mija 4.00 nad ranem. Na pokładzie „Orkana" następuje zmiana wachty bojowej. Adsic łapie kolejny meldunek radiowy U-Boota.

Niszczyciele grupy wspierającej ruszają w stronę niemieckiego okrętu podwodnego, przeszukując akwen. Ale kontaktu z nim nie łapią.

4 niszczyciele biorą kurs z powrotem na konwój. Jest bardzo ciemno, „Orkanem" rzucają dość wysokie fale. Na mostku bojowym opada napięcie. Dowódca okrętu kmdr Hryniewiecki skarży się kpt. Pohoreckiemu, że po rejsie musi iść do szpitala podleczyć wrzody żołądka. Dochodzi 6.00. Operator Huff-Duffa łapie kontakt z nadającym przez radio U-Bootem. Kmdr Hryniewiecki wzywa na mostek ppor. Daaba i rozkazuje podanie dokładnej pozycji „Orkana". To konieczne przy namierzaniu okrętu podwodnego. O 6.03 operator Huff-Duffa składa meldunek: „Namiar 87 stopni. Łódź bardzo blisko".

W tym czasie dowódca U-Boota U-378 kpt. Erich Mäder naciska urządzenie spustowe i odpala torpedę akustyczną, kierującą się samoczynnie na odgłos pracujących śrub okrętu. Po 3 minutach i 48 sekundach torpeda trafia w lewą burtę niszczyciela nieopodal rufowej wieży artylerii 120 mm. Eksplozja rozpruwa na poły puste zbiorniki ropy. Opary ropy eksplodują i zbiorniki zamieniają się w ogromne miotacze ognia. Płonąca ropa zalewa niemal cały pokład, zaledwie 20 m dziobu jest wolnych od ognia. Wybuch zabija wszystkich marynarzy w części rufowej okrętu, w tym i kilkunastu marynarzy brytyjskich przewożonych przez „Orkana". Oficerowie na pomoście bojowym zalani ścianą ognia nawet nie mają czasu krzyknąć. Giną w płomieniach. Jedynie ppor. Eryk Sopoćko, oszołomiony, poparzony, jak w transie usiłuje zejść po drabince. W końcu ginie. St. marynarz Kęsik nadaje przez radio: „Eksplozja na okręcie". Potem wychodzi na pokład. Wszystko stoi w ogniu, kadłubem wstrząsają eksplozje zapasów amunicji. Wraca do kabiny i nadaje: „Toniemy". Angielski operator na „Orkanie"

także nadaje sygnały. Potem wszyscy 3 radiooperatorzy zamykają ogarniętą płomieniami kabinę na klucz, by z tonącego okrętu nie wypłynęły przypadkiem księgi szyfrowe, i skaczą za burtę. St. marynarz Władysław Dworzecki odkręca zawory bezpieczeństwa w kotłowni. Dzięki temu nie dochodzi do eksplozji kotłów, która mogłaby rozerwać okręt na strzępy. Potem Dworzecki ginie w płomieniach.

Marynarze usiłują skakać przez ogień do morza. Ale tam często trafiają w dopalające się plamy ropy. Inni, ranni i poparzeni, szybko toną. Okręt przechyla się na lewą burtę, dziób szybko unosi się do góry. Z pokładu ciągle skaczą marynarze. Kpt. Pohorecki, miotany falą, dostrzega niesamowity widok – na unoszącym się w górę dziobie „Orkana" stoi zastępca dowódcy okrętu kpt. Michał Różański. Cały, długi kożuch, którym jest okryty, płonie wielkim, jasnym płomieniem. Ale kpt. Różański spokojnie trzyma w dłoni kubek, w jakich na wachcie podaje się gorącą czekoladę, drugą ręką coś wskazuje. I tak, w aureoli płomieni, popijając czekoladę, idzie na dno. Agonia płonącego okrętu trwa raptem 5 minut. Z wnętrza tonącego „Orkana" słychać straszliwe krzyki kilkudziesięciu zatrzaśniętych w nim marynarzy.

Większość z 80 marynarzy, zalewanych przez lodowate fale, nie ma ani kamizelek ratunkowych, które można nadmuchać tylko na podkładzie, ani tratw ratunkowych. Część z rozbitków zbiera się wokół jedynej dużej metalowej tratwy, część – wokół małej korkowej; wielu chwyta się belek i pływających resztek osprzętu. Ale lodowata woda szybko wychładza ich. Co chwila ktoś puszcza uchwyty i znika w Atlantyku. Kpt. Pohorecki dla podtrzymania nastroju zarządza chóralny śpiew. Nad lodowatymi falami niesie się *Chwalcie łąki umajone*.

Dopiero po upływie 1,5 godziny zjawia się HMS „Muskeeter”. Anglicy polowali na pogromcę „Orkana”. Nieopodal 2 niszczyciele ciągle, na chybił trafił, rzucają bomby głębinowe. Fala rzuca kadłubem niszczyciela i kilku rozbitków, rzuconych na burtę, tonie. Inni, skostniali, nie są w stanie złapać się lin. Widząc to, 2 oficerów i 7 marynarzy „Musketeera” owija się linami i skacze w morze. Ich bohaterstwo ratuje życie wielu rozbitkom. Jest ich tylko 44. Zginęło na pewno 177 marynarzy, a zapewne nawet ok. 200 i co najmniej kilkunastu marynarzy brytyjskich. To połowa strat polskiej flory wojennej w całej wojnie.

9 października 1967 ▪ poniedziałek

Pożegnanie z katem

O 7.00 kpt. Felix Rodriguez wsiada do śmigłowca na niedużym trawiastym lotnisku w boliwijskim miasteczku Vallegrande. Ten dawny uchodźca z Kuby jest agentem CIA. Od kilku miesięcy jest kluczowym amerykańskim szpiegiem w Boliwii – przebywa w pobliżu wielkiej obławy wojsk rządowych na grupę partyzantów dowodzoną przez Ernesto Che Guevarę i ma za zadanie niezwłocznie zawiadomić Waszyngton o pochwyceniu sławnego rewolucjonisty. Już w zeszłym roku CIA dowiedziała się, że w zapadłym boliwijskim interiorze Ernesto Che Guevara usiłuje zorganizować antyrządowy ruch partyzancki. Che marzył o sprowokowaniu Stanów Zjednoczonych do wysłania *marines* w boliwijskie góry i o uwikłaniu Waszyngtonu w drugą, obok Wietnamu, beznadziejną interwencję wojskową. Ale Pentagon, nauczony wietnamskim doświadczeniem, wyekspediował do

Boliwii jedynie 30 oficerów sił specjalnych – zielonych beretów – jako instruktorów wojskowych i kilkunastu agentów CIA. Jednym z nich jest Rodriguez. Swą misję zaczął od przeszkolenia oficerów wywiadu boliwijskiej 8. Dywizji Piechoty kontrolującej tereny, na których, jak podejrzewano, Che założył swą bazę. Później Rodriguez doradzał oficerom 8. Dywizji, jak tropić partyzantów i jak organizować na nich zasadzki.

Przed 2 miesiącami oddział partyzantów dowodzony przez kubańskiego kapitana o imieniu Joaquin wpadł w taką zasadzkę podczas przeprawy przez Rio Grande. Ocalał jedynie Boliwijczyk José Chavez, zwany „Chaco". Boliwijscy żołnierze chcieli go zastrzelić, ale w ostatniej chwili interweniował Rodriguez. Umiejętnie przesłuchując jeńca i analizując notatki znalezione przy zabitych partyzantach, dowiedział się, że od miesiąca oddziały „Joaquina" i Guevary nie miały ze sobą łączności, że grupa Guevary podzielona jest na straż przednią pod dowództwem Miguela, oddział główny z Che, maszerujący kilometr za strażą przednią, i straż tylną, zaś partyzanci są schorowani, wygłodzeni, rozczarowani.

Przed 3 tygodniami w dzikiej głuszy niedaleko wioski La Higuera, leżącej pół godziny lotu helikopterem od Vallegrande, w zasadzkę 8. Dywizji wpadli kolejni partyzanci. Wśród 3 zabitych Rodriguez rozpoznał dowódcę straży przedniej Miguela. Agent CIA już wiedział, że Che jest bardzo blisko La Higuera. I że nie ma już sił, by wymknąć się z sieci.

Za radą Rodrigueza oddziały 8. Dywizji tydzień temu otoczyły szerokim kołem rejon La Higuera. Przedwczoraj kilku wieśniaków wypatrzyło w niskich chaszczach grupę partyzantów. Skuszeni wysokimi nagrodami chłopi donieśli żołnierzom, że w gęstwinie zieleni zwanej Quebrada del Yuro słychać jakieś głosy, a nawet

widać obcych. Wczoraj rano 2 kompanie boliwijskich komandosów, tzw. *boinas verdes* (zielonych beretów), otoczyły oddział Che w rzadkim zagajniku u zbiegu 3 wąwozów – największy z nich nazywano Yuro. 17 wycieńczonych partyzantów nie miało szans. Bronili się przez niespełna 1,5 godziny. Komandosi ostatecznie złamali ich opór ostrzałem z moździerzy. Che został ranny w nogę, chwilę później seria z karabinu szturmowego roztrzaskała jego karabin typu M2. Został mu tylko rewolwer bez amunicji i nóż myśliwski. Zszokowany Che, zamiast uciekać w zarośla, spokojnie zajął się opatrywaniem rannej nogi. Po chwili komandosi celowali doń z odległości paru kroków.

– Jestem Che. Nie zabijajcie mnie – powiedział zrezygnowany.

Wczoraj wieczorem do sztabu 8. Dywizji dotarł zaszyfrowany meldunek radiowy: „500 zmęczony". To znaczy, że ujęto Che.

W podłym hoteliku w Vallegrande oficerowie rządowej 8. Dywizji oblewali sukces. Między toastami Rodriguez poprosił dowodzącego tu płk. Zenteno o zgodę na towarzyszenie mu rano w locie do La Higuera jedynym helikopterem, jaki armia ma w tym rejonie do dyspozycji.

Po półgodzinnym locie śmigłowiec ląduje w środku wsi, na małym placyku, za 3-izbową lepianką, która od lat służy za szkołę. Guevara, lekko ranny w nogę, leży związany w większej izbie. Obok niego żołnierze rzucili 3 zabitych partyzantów: Aniceta, „Antonia" i „Pacho". W sąsiednich izbach przetrzymywani są wzięci do niewoli 2 podwładni Guevary: „Willy" i „El Chino".

Rodriguez, płk Joaquin Zenteno Anaya i pilot śmigłowca mjr Nino de Guzman wchodzą do izby bez okien, w której leży Che. Panuje w niej nieznośny zaduch od rozkładających się ciał partyzantów. Najbardziej poszukiwany rewolucjonista świata jest wychudzony, brudny. Potargane włosy opadają na podartą kurtkę,

narzuconą na straszliwie brudną bluzę z kapturem. Stopy owinięte ma kawałkami skóry, udającymi mokasyny. Ma skrępowane sznurem nogi i ręce związane na plecach. Z rany na nodze – od wczorajszego postrzału – cieknie mu na klepisko szkolnej izby krew.

Boliwijscy oficerowie i agent CIA wychodzą przed chałupę. Płk Zenteno wzywa dowodzącego tu mjr. Ayoroa i na stronie mówi mu, że ich zwierzchnicy zdecydowali, iż Che ma być bez zwłoki rozstrzelany. Pułkownik pyta majora, czy chciałby osobiście zastrzelić Guevarę. Zaskoczony Ayoroa ma tyle rozsądku, że odmawia, i sugeruje, że spośród komandosów, którzy wczoraj walczyli z partyzantami w Quebrada del Yuro, i widzieli, jak giną ich koledzy, znajdą się chętni do wykonania egzekucji. Po tej rozmowie obaj oficerowie oraz kpt. Gary Prado Salmon, dowódca kompanii B II Batalionu *boinas verdes*, której żołnierze wzięli do niewoli Che Guevarę, na czele niewielkiej grupy komandosów ruszają w stronę Quebrada del Yuro. Trwa tam obława na kilku partyzantów, którzy wczoraj jakimś cudem ocaleli i ciągle ukrywają się w chaszczach. Oficerowie na nic się tam nie przydadzą, ale obława to doskonały pretekst, by podczas egzekucji Che być daleko od wiejskiej szkoły w La Higuera.

Kpt. Rodriguez zabiera się do roboty. W lepiance szkoły znajduje koślawy stół. Wynosi go przed drzwi. Rozkłada na nim swoją radiostację polową RS-48. Spisuje w 100 słowach meldunek o ujęciu Che, szyfruje go i nadaje do szefostwa CIA – jeszcze przed ustalonym na 10.00 czasem łączności. Potem na stole fotografuje, strona po stronie, wszystkie notatki znalezione przy Che. Jeden z boliwijskich komandosów przytrzymuje mu kartki notatników rewolucjonisty.

W przerwie w fotografowaniu znużony agent CIA zachodzi do ciemnej izby, w której leży związany Guevara. Che od razu

zapowiada, że nie będzie zeznawał. Rodriguez uspokaja go, że chce tylko pogawędzić. Jeniec zgadza się. Che przyznaje, że przegrał tę kampanię, ale nie obwinia za to siebie, lecz prowincjonalną świadomość komunistów boliwijskich, którzy opuścili go w godzinie próby. Za nic nie chce powiedzieć nic krytycznego o Fidelu Castro; wszystkie pytania Rodrigueza o wodza kubańskiej rewolucji ignoruje.

Rozmawiają po hiszpańsku. Che stwierdza, że Rodriguez nie jest Boliwijczykiem. Agent CIA przyznaje, że urodził się na Kubie, a potem, po emigracji do Stanów, był członkiem zorganizowanej przez CIA tzw. Brygady 2506, która brała udział w nieudanej inwazji w Zatoce Świń.

– A więc już się spotkaliśmy – zauważa Che, który walczył wtedy z antycastrowską interwencją w Zatoce Świń.

– Wiem, ale teraz to ja jestem po stronie zwycięzców – odpowiada Rodriguez.

Agent CIA wraca do fotografowania dokumentów Che. Dzwoni radiotelefon boliwijskich komandosów. Rodriguez, jako teraz najstarszy rangą oficer w wiosce, podnosi słuchawkę. Nieznany mu boliwijski oficer skanduje wyraźnie:

– 500, 600.

Rodriguez zna szyfr *boinas verdes* obowiązujący podczas tej obławy.

„500" to kryptonim Che. „600" – kryptonim egzekucji.

Rodriguez bez słowa wraca do fotografowania dokumentów na placyku przed szkołą.

Wraca płk Zenteno. Rodriguez relacjonuje mu telefoniczny szyfrogram z – jak się domyśla – dowództwa armii boliwijskiej. Mówi jednak także pułkownikowi, że CIA chce mieć Guevarę żywego, i deklaruje, że chce go osobiście, gruntownie przesłuchać.

W końcu domaga się wstrzymania egzekucji. Ale Zenteno nie chce o tym słyszeć. Zgadza się tylko łaskawie:

– Upoważniam cię do przesłuchania go, ale przed drugą po południu masz mi przynieść jego trupa.

Zenteno w towarzystwie podpułkownika saperów Andresa Selicha pospiesznie odlatuje helikopterem do Vallegrande.

Tuż przed 13.00 do Rodrigueza podchodzi nauczycielka Julia Cortez i pyta, kiedy odbędzie się egzekucja Guevary; mówi, że właśnie usłyszała w radiu, że Che został zabity w walce.

Rodriguez pojmuje, że los Guevary został przesądzony. Wraca do Che. Agent CIA na widok uwięzionego wroga odczuwa coś w rodzaju szacunku. Guevara porzucił bezpieczną egzystencję i władzę na porewolucyjnej Kubie, gdzie był ministrem i prawą ręką Castro, i z własnej woli, w wieku niemal 40 lat, ruszył z bronią w ręku w dziki interior.

– Bardzo mi przykro, *Comandante*, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, ale takie są rozkazy – mówi agent CIA.

Guevara od razu pojmuje, o co chodzi. Blednie, zapada się w siebie.

– Tak będzie lepiej. Nigdy nie powinienem zostać złapany żywcem – mówi cicho, jakby do siebie.

Rodriguez pyta go, czy ma do przekazania jakieś wiadomości dla rodziny. Guevara, nie bacząc na groteskowość swego życzenia, prosi agenta CIA, by powiedział Fidelowi Castro, że wkrótce ujrzy zwycięstwo rewolucji w Ameryce Łacińskiej. Potem, całkiem już rozsądnie, prosi go, by przekazał jego żonie Aleidzie, mieszkającej na Kubie, że powinna ponownie wyjść za mąż i spróbować być szczęśliwą.

Guevara, ciągle związany, mówi Rodriguezowi, że chce jeszcze raz porozmawiać z nauczycielką Julią Cortez.

Wygląda to tak, jakby chciał zyskać parę chwil życia.

Rodriguez nie odmawia.

Che przekomarza się z Cortez, czy w napisanym kredą na szkolnej tablicy słowie *angulo* (kąt) powinien być akcent nad „a". W końcu zgadza się, że Julia ma rację, akcent nie jest konieczny.

Pod koniec rozmowy jeden z boliwijskich oficerów prosi Rodrigueza o zrobienie mu wspólnego zdjęcia ze słynnym jeńcem. Żołnierze wyprowadzają Che przed szkołę. Agent CIA bierze aparat oficera, ale wiedząc, że Che musi zaraz zostać zabity, niepostrzeżenie zmienia czas naświetlania tak, by fotografia nie mogła się udać. Pstryka. Potem staje po prawej stronie związanego Che i prosi nauczycielkę z tutejszej szkoły Julię Cortez o zrobienie fotografii jego pentaxem. Jedyne zdjęcia żywego Guevary dostanie CIA.

Związany prosi, by mógł podarować swoją fajkę żołnierzowi, który był wobec niego uprzejmy. Sierż. Mario Teran wyciąga rękę i woła:

– Ja, ja ją chcę!

– Nie, tobie nie – odmawia Che.

Dochodzi 13.30. W lepiance szkoły rozlega się strzał z pistoletu. Rodriguez wpada z placyku do największej izby. Che leży i patrzy nań bez słowa. W sąsiedniej izbie stoi komandos Bernardino Huanca z dymiącym jeszcze pistoletem. Za nim, na ławce, kona towarzysz Guevary „Willy". Chwilę później Huanca zabija drugiego z podwładnych Che – Juana Pabla Changa „Chino".

Na placyku przed szkołą agent CIA poleca sierż. Mario Teranowi zastrzelić jeńca. Poucza go, by nie strzelał w głowę, lecz od szyi w dół. Teran pożycza od któregoś z komandosów karabin, wchodzi do szkoły i każe Che usiąść. Guevara wie, co go czeka. Siada. Teran nie potrafi jednak nacisnąć na spust. Wychodzi.

Rodriguez daje mu przed szkołą szklankę whisky.

Teran wchodzi do izby Che. I znów nie jest w stanie strzelić.

Komandosi stojący przed szkołą naigrawają się z sierżanta. Dla nich jest on skończonym mięczakiem.

Przed lepianką Rodriguez daje mu dla kurażu puszkę coli. Teran wypija ją, wraca do izby, w której siedzi Che. Z odległości 4 kroków wystrzeliwuje z belgijskiego karabinu szturmowego serię 6 pocisków w pierś rewolucjonisty.

Rodriguez zapisuje w swoim notesie: „godzina 13.10, 9 października 1967 r.".

Po południu do Vallegrande przylatuje z La Paz dakota z dowódcą boliwijskiej armii gen. Alfredo Ovando i jego sztabem. O 18.00 ląduje helikopter z La Higuera. Do płozy ma przytroczone owinięte w brezent zwłoki Che. Generałowie polecają umyć je i pokazać dziennikarzom. Myją je pracownicy Szpitala Matki Boskiej Maltańskiej i układają w szpitalnej pralni. Na obnażonym torsie Che widać w okolicy serca ranę postrzałową. Późnym wieczorem gen. Ovando poleca obciąć Guevarze obie dłonie i zalać je formaliną. Ciało zakopują żołnierze w bezimiennej, zbiorowej mogile partyzantów na skraju trawiastego lotniska.

Ciało Ernesta Che Guevary

10 października 1794 ▪ piątek

Po bitwie noc

9 tys. polskich żołnierzy śpi w obozie w pobliżu wsi Maciejowice. Ich przeciwnicy, Rosjanie, pod dowództwem gen. Iwana Fersena pod osłoną ciemności przegrupowują szyki. Obaj wodzowie, naczelnik Tadeusz Kościuszko i gen. Fersen, wiedzą, że od losów tej bitwy zależy przyszłość polskiej insurekcji.

Rosyjski wódz postawił wszystko na jedną kartę. Poprzedniego dnia, po przeprawieniu się na zachodni brzeg Wisły koło Maciejowic, kazał rozebrać most. Jego żołnierze zrozumieli – odwrotu nie będzie. Ale Fersen ma miażdżącą przewagę liczebną nad Polakami.

Do świtu rosyjskie oddziały przedarły się przez bagna i lasy, które naczelnik Kościuszko uważał za bezpieczną zasłonę. Polskie zgrupowanie znalazło się w potrzasku.

O 5.45 Rosjanie ruszają do ataku. W zaciekłych walkach, godzina po godzinie, wykrwawiają się powstańcze bataliony broniące pozycji między maciejowickim zamkiem a wsią Oronne. Kościuszko zapewnia o rychłym nadejściu dywizji Ponińskiego.

Ok. południa Rosjanie rozpoczynają decydujący szturm na prawe polskie skrzydło oparte o zamek. Polacy walczą zaciekle, ale nie mają szans. Cofają się do zamku. Na dziedzińcu Rosjanie dobijają obrońców, krzycząc: „To za Warszawę!". Tak mszczą się za niedawną klęskę. Niedobitki zstępują do zamkowych piwnic i tam bronią się jeszcze dobre 2 godziny – do ostatniego żołnierza.

Po klęsce prawego skrzydła i utracie zamku rosyjska piechota wspomagana przez dragonów i Kozaków rozbija lewe skrzydło. Przed 13.00 płk Krzycki podrywa zdziesiątkowanych piechurów i rusza do kontrataku na bagnety. Ale artylerzyści gen. Chruszczowa pospiesznie ustawiają armaty i kartaczami masakrują grenadierów. Płk Krzycki ginie. Do szarży rusza rosyjska kawaleria. Miażdży resztki krakowskich grenadierów. Sekretarz Kościuszki Julian Ursyn Niemcewicz pędzi do ułanów brzeskich, krzyczy, by kontratakowali. Ułani stoją. Niemcewicz dla przykładu wyjeżdża przed linie jazdy i wtedy rosyjska kula rani go w rękę. Krwawiąc, galopuje z meldunkiem o klęsce do Naczelnika. Kościuszko rozkazuje zebrać resztki jazdy i z paroma oficerami sztabu na czele chce ruszyć do samobójczej szarży. Ale polska kawaleria rzuca się do ucieczki. Kościuszko miota się, próbuje zawrócić uciekinierów. W końcu ulega i ucieka pośród spanikowanych ułanów.

Piechota tymczasem broni się wspaniale. Żołnierze 7. i 10. regimentów, rozbici na niewielkie grupki, walczą do końca. Rosjanie

wybijają ich niemal do szczętu.

Kościuszko i ułani przedzierają się przez rosyjskie okrążenie. Kilka kilometrów dalej, pod wsią Krępa, dopada ich rosyjska pogoń. Polacy bronią się rozpaczliwie, Kozacy ich masakrują. Kościuszko usiłuje wymknąć się w zamęcie potyczki, jednak Kozacy ranią go pikami. Nieprzytomny, wali się na ziemię. Zwycięzcy odrzucają piki, zsiadają z koni i rabują pokonanego. Wtem nadjeżdża kornet charkowskiego pułku jazdy Łysenko i znienacka z całej siły tnie pałaszem w głowę nieprzytomnego i zbroczonego krwią Kościuszkę. Na ten widok leżący obok – i ze strachu przed dobiciem udający martwego – żołnierz z 5. Pułku Ułanów Mirowskich zrywa się i krzyczy, że zabito Najwyższego Naczelnika. Przerażeni Kozacy uciekają.

Wkrótce powracają na pobojowisko. Szukają polskiego wodza. Wzięty do niewoli płk Drzewiecki i rosyjski dowódca hrabia Tołstoj rozpoznają niedającego znaku życia Kościuszkę. Kozacy cucą rannego, obwiązują mu rany. Naczelnik przez chwilę odzyskuje przytomność. Szepce: „Jam Kościuszko, wody".

Jest dopiero późne popołudnie, gdy w rejon bitwy dociera dywizja księcia Ponińskiego. Wieści od uciekinierów nie pozostawiają złudzeń – wszystko stracone! Poniński się wycofuje.

Na zamku gromadzeni są wzięci do niewoli polscy dowódcy: Sierakowski, Kamieński, Kniaziewicz, ranny Kopeć. Wkrótce dołącza do nich ranny Niemcewicz. Odwiedzają ich rosyjscy generałowie – posyłają po swoich lekarzy.

Ok. 17.00 Kozacy przynoszą nieprzytomnego Kościuszkę. Rosyjski lekarz nie daje mu szans, ale porządnie opatruje rany. Gen. Fersen poleca przenieść Naczelnika i towarzyszącego mu Niemcewicza do najlepszej izby na piętrze zamku. Wieczorem zwycięzcy wyrzucają ich na parter. Sale na piętrze przygotowują na ucztę triumfalną.

Naczelnik jest nieprzytomny. Nie musi słuchać, tak jak wzięci do niewoli jego oficerowie, potępieńczych jęków swoich żołnierzy. Rannym obrońcom zamku zwycięzcy nie opatrzyli ran ani nie podali wody. W mękach konają przez całą noc.

11 października 1830 ▪ poniedziałek

Pożegnanie przed burzą

Dziś rano Warszawa miała już być wolna od Moskali. Przed 2 tygodniami kierowani przez podporuczników Wysockiego i Zaliwskiego konspiratorzy w Szkole Podchorążych i stowarzyszeni z nimi spiskujący studenci wyznaczyli na wczoraj termin wybuchu powstania. Wszystko zacząć się miało od zabójstwa wielkiego księcia Konstantego. Zamachu zamierzano dokonać na pl. Saskim, podczas parady grenadierów gwardii. Gdyby plan ten okazał się niewykonalny, Konstanty miał dać głowę w napadzie na ul. Szpitalnej. Kilka wynajętych dorożek winno zajechać drogę powozowi wielkiego księcia, zaś z licznych na Szpitalnej szynków wypaść mieli kierowani przez dziennikarza Ludwika Nabielaka i poetę Seweryna Goszczyńskiego zamachowcy i z najbliższej odległości otworzyć ogień.

Zamach i wybuch powstania odwołano niemal w ostatniej chwili z powodu opóźnienia emisariuszy wysłanych do Galicji. Następny termin zamachu obrany przez spiskowców – za 4 dni.

Zapowiada się przyjemny poniedziałek. Rankiem jest 6 stopni, dużo cieplej niż wczoraj o tej porze. Warszawa, zda się, żyje powszednimi troskami. Komissya Woiewództwa Mazowieckiego zawiadamia, iż w ramach porządkowania stawek celnych między

Królestwem Polskim i Rosją wszelkie obicia malowane na płótnie wyceniane będą jak obicia papierowe, zaś trociczki i kadzidła zaliczane będą odtąd do towarów aptekarskich. „Kurier Warszawski" zachęca do kupna przy trakcie raszyńskim w Okęciu 90 młodych, ale już kotnych owiec – tyle że bez wełny, którą zastrzegł sobie niejaki pan Schönlank. Przy Mostowej licytować będą czyjeś meble, a szafy, łóżka oraz kopersztychy, czyli miedzioryty, i landszafty licytowane będą przy Smoczej.

Uwagę lepszego towarzystwa Warszawy przykuwa dziś Teatr Narodowy.

Przed południem przed Trybunałem Handlowym zaczyna się ostatnia rozprawa skandalicznego procesu przeciwko dyrekcji Teatru Narodowego. Przed 7 miesiącami przyobiecała ona aktorowi Nowakowskiemu natychmiastową podwyżkę. Skończyło się na obietnicach. W końcu rozeźlony Nowakowski podpisał dwukrotnie wyższy kontrakt z teatrami krakowskimi. Dyrekcja Narodowego odmówiła mu jednak poświadczenia niezbędnego do uzyskania paszportu i zażądała pozostania na warszawskiej scenie przez następny sezon – na dotychczasowych warunkach.

Trybunał obraduje krótko. Uznaje artystę za zwolnionego od wszelkich zobowiązań wobec Teatru Narodowego, a dyrekcji nakazuje pokrycie kosztów utrzymania aktora w Warszawie do czasu wydania poświadczenia paszportowego.

Wieczorem zaś w Teatrze Narodowym muzyczne wydarzenie – koncert młodego, utalentowanego pianisty i kompozytora Fryderyka Chopina. Wczoraj „Kurier Warszawski" zaanonsował występ Chopina. To jego pożegnalny koncert przed wyjazdem za granicę.

Chopin denerwuje się, że publiczność nie dopisze. Na sali zjawia się w końcu ok. 700 słuchaczy. Niezbyt wielu, ale

podekscytowanemu młodemu wirtuozowi zdaje się, że widownia pełna jest po brzegi.

Pomysł zorganizowania tego wieczoru narodził się raptem przed 3 tygodniami. Chopin zagrał wtedy w domu, z pełną orkiestrą, swe najnowsze dzieło – *Koncert e-mol*. Wśród zaproszonych melomanów byli hrabia Fryderyk Skarbek, Wojciech Grzymała i Stefan Witwicki, którzy napisali potem entuzjastyczne recenzje. Zachęcona publiczność warszawska zaczęła domagać się publicznego wykonania dzieła młodego, ale cenionego kompozytora. Chopin, od dawna, choć ślamazarnie, sposobiący się do wyjazdu za granicę, uległ i termin wyjazdu znów przesunął. Co więcej, dojrzał szansę wystąpienia wspólnie ze swą ukochaną, młodą śpiewaczką Opery Warszawskiej Konstancją Gładkowską. Doprosił także jej koleżankę, obiecującą śpiewaczkę Anettę Wołkow.

Perspektywa wspólnego występu z Konstancją dodała Chopinowi skrzydeł. Żywo wystarał się o zgodę na koncert u ministra spraw wewnętrznych i dyplomatycznie uprosił Karola Kurpińskiego o odstąpienie przywileju prowadzenia orkiestry Evasio Carlo Solivie, nauczycielowi śpiewu w warszawskim konserwatorium, profesorowi Konstancji Gładkowskiej. Wszystko dla ukochanej!

Przypływ energii przed występem w Teatrze Narodowym sprawił, że Chopin wreszcie serio zabrał się do przygotowań do wyprawy na Zachód: kupił kuferek, nowe ubrania i przepisał na czysto swoje partytury. Klamka zapadła.

Koncert zaczyna orkiestra *Symfonią* imć Görnera, muzyka orkiestry Teatru Narodowego. Wreszcie czas na Chopina. Na fortepianie Streychera gra *Koncert e-mol*. Soliva przygotował się starannie. Orkiestrę prowadzi powoli, dba, by rozochocony, podekscytowany Chopin nie popędził na złamanie karku. Fryderyk

czuje, że dyrygent ma rację. Gra bez lęku, swobodnie, jakby ćwiczył w domu. Tak dobrze jeszcze mu się z żadną orkiestrą nie grało.

Po *Allegrze* na scenie zjawia się w niebieskiej sukni Anetta Wołkow. Śpiewa pięknie arię z chórem. Chopin jest w znakomitym nastroju. Jak dotąd jego benefisowy koncert idzie znakomicie. Na zakończenie pierwszej części wieczoru gra *Adagio* i *Rondo* z *Koncertu e-moll*. I znów świetnie rozumie się z Solivą.

Ostatnie akordy i huczne brawa.

Soliva nie ukrywa zadowolenia.

Podczas przerwy, w bufecie, muzycy z orkiestry gratulują Chopinowi świetnego występu.

Część 2 wieczoru rozpoczyna uwertura do *Wilhelma Tella*. Soliva wspaniale prowadzi orkiestrę. Na scenie zjawia się młodzieńcza miłość Chopina Konstancja Gładkowska. W śnieżnobiałej sukni, z ciemną fryzurą uwieńczoną różami, wygląda bosko. Jej *cavatina* z opery *La donna del lago* Gioacchina Rossiniego w uszach Chopina brzmi niczym chóry anielskie. Sam odprowadza ją ze sceny, po czym gra *Fantazję na tematy polskie*. Soliva znów miarkuje tempo. Po ostatnim mazurze wybuchają gromkie brawa. Chopin stoi za kulisami i nasłuchuje odgłosów z sali. Ulga – ani jednego wrogiego okrzyku, ani jednego niezadowolonego syknięcia. Mało tego, przygasające oklaski nagle potężnieją. Słuchacze wywołują go na scenę. Chopin kłania się, wraca za kulisy. Ale brawa nie milkną. Wychodzi do ukłonów jeszcze trzy razy.

Późnym wieczorem recenzent „Kuriera Warszawskiego" siada do pisania recenzji.

„Nader przyiemny był wczorajszy wieczór dla lubowników muzyki; słuchaczów znajdowało się około 700. Nowy *Koncert E.mol* skomponowany i wykonany pierwszy raz publicznie przez J.P. Szopena znawcy uważają za jedno z szczytnych dzieł

muzycznych, osobliwie *Adagio* i *Rondo* powszechne sprawiło zadowolenie. Autor i Wirtuoz został powitany rzęsistymi oklaskami, okrywany niemi po każdem solo, a w końcu przywołany. Również obecni okazali zadowolenie z śpiewów wykonanych przez nasze młode artystki Gładkowską i Wołkow".

Późnym wieczorem Chopin porządkuje papiery. Do wyjazdu z Polski zostało już tylko kilka dni.

12 października 1960 ▪ środa

Obcasem i młotkiem

Późnym popołudniem sala Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku wypełnia się. Dziś w debacie na temat likwidacji systemu kolonialnego przemawiać będzie premier ZSRR Nikita Siergiejewicz Chruszczow.

Sowiecki przywódca już rok wcześniej, podczas swej pierwszej wizyty w Stanach Zjednoczonych, pokazał się Zachodowi jako twardy, niedający się zbić z pantałyku orator i polemista, skłonny do niekonwencjonalnych, wręcz dziwacznych zagrywek. Nie ukrywał się za kordonem podwładnych, nie wysługiwał się rzecznikiem prasowym. Chętnie rozmawiał na każdy temat z każdym napotkanym Amerykaninem, wygłaszał komentarze, aforyzmy, pouczał. Ale potrafił też zaatakować. Gdy w waszyngtońskim klubie prasowym dziennikarze zanadto przycisnęli go do ściany, pogroził: „Jeśli będziecie mi podrzucać zdechłe szczury, to ja mogę wam podrzucić stertę zdechłych kotów!".

Jeszcze barwniej przebiega jego druga wizyta w Nowym Jorku.

Na początku września Kreml ujawnił, że delegacji sowieckiej na Zgromadzenie Ogólne przewodniczyć będzie osobiście Chruszczow. Wiadomość ta stała się światową sensacją. Rządy wielu państw natychmiast dostosowały składy swych delegacji do rangi sesji Zgromadzenia Ogólnego. Do Nowego Jorku przybyli przywódcy i szefowie rządów z całego świata. Amerykańskie władze, pod pozorem zachowania środków bezpieczeństwa, ograniczyły strefę pobytu sowieckiego przywódcy do Manhattanu. Ale Chruszczow nic sobie z tego nie robi. Wychodzi na balkon siedziby sowieckiej delegacji przy 680 Park Avenue i odpowiada na pytania dziennikarzy tłumnie stojących na chodniku. Zwołał konferencję prasową na ulicy (blokując przy tym ruch samochodów). Pod koniec września dwukrotnie, podczas przemówień sekretarza generalnego ONZ Daga Hammarskjölda i brytyjskiego premiera Harolda Macmillana, walił rękami w blat swojego stolika.

Wczesnym wieczorem przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego, stały przedstawiciel Irlandii Frederick H. Boland, otwiera posiedzenie i zaprasza na mównicę Nikitę Chruszczowa.

Dreszcz emocji przebiega przez wielką salę. Będzie się działo!

Ale nic z tego. Sowiecki premier przemawia spokojnie. Domaga się natychmiastowego przyznania niepodległości wszystkim koloniom i terytoriom zależnym na świecie. Kolonializm nazywa niesprawiedliwością i zagrożeniem dla światowego pokoju. Na koniec żąda, by to Zgromadzenie Ogólne, a nie Komitet Polityczny, zajęło się kwestią sowieckiego wezwania do likwidacji kolonializmu.

Po Chruszczowie głos zabiera przedstawiciel Filipin, senator Lorenzo Sumulong. Długo, szczegółowo przedstawia korzyści gospodarcze i polityczne, jakie stały się udziałem Filipin w czasie, gdy były one faktyczną kolonią USA.

Na twarzach delegatów krajów socjalistycznych rysuje się słabo skrywana wściekłość.

Sumulong przechodzi do spraw Europy Wschodniej.

– Ludzie wschodniej Europy zostali połknięci przez Związek Radziecki, są pozbawieni praw politycznych i obywatelskich – stwierdza Filipińczyk.

Ze swego miejsca zrywa się minister spraw zagranicznych komunistycznej Rumunii Eduard Mezincescu. Uniesioną ręką daje znak, że chce natychmiast replikować. Przewodniczący Boland udaje, że tego nie widzi.

Mezincescu wytrwale stoi z uniesioną ręką. W końcu, rozzłoszczony, siada.

Na pomoc rumuńskiemu towarzyszowi rusza sam Chruszczow. Zrywa się ze swego fotela, nieproszony przez przewodniczącego Bolanda, podchodzi do mównicy i unosi ramię w geście, jakim sowieccy obywatele zwykli rozpychać się w kolejkach. Oszołomiony tą interwencją senator Sumulong odsuwa się od mikrofonu. Na to tylko czeka sowiecki premier.

– Czemu, kiedy reprezentanci niektórych krajów chcą się wypowiedzieć, nie są dopuszczani do głosu, podczas gdy ta służalcza kreatura amerykańskiego imperializmu ma prawo głosu? Czemu przewodniczący, który wyraźnie sympatyzuje z kolonialną dominacją, nie powstrzymuje go? Czy to jest sprawiedliwe? – pyta retorycznie Chruszczow.

Sala zamiera, słychać byłoby lot muchy, gdyby oczywiście muchy dopuszczono na obrady.

– Nie, to nie jest sprawiedliwe! – odpowiada sam sobie Nikita Siergiejewicz i zadowolony, uśmiechnięty wraca na swoje miejsce.

Oficjalny tłumacz ONZ z rosyjskiego najwyraźniej nie jest przygotowany na przekładanie obelg. Przez dłuższą chwilę próbuje

rozgryźć znaczenie nieznanych słówek. Głośno zastanawia się: „Gnojek”? Może: „Lizus”? „Klakier”?

Filipińczyk Sumulong słucha tych dywagacji jak skamieniały. Oszołomiony, rozważa w myślach obelgi sowieckiego premiera. Zadaje przez mikrofon kilka pytań tłumaczowi. Przewodniczący Boland obawia się nieprzewidzianej reakcji Filipińczyka i prosi go, by w imię powagi obrad za wszelką cenę zachował spokój. Senator Sumulong z wysiłkiem wraca do swego przemówienia.

Chruszczowa opuszcza dobry humor.

Siedzący z tyłu Jewgienij Litoszko, szef amerykańskiej redakcji „Prawdy”, ze zdumieniem spostrzega, że głowa i barki Chruszczowa znikają pod stojącym przed sowieckim premierem stolikiem, a nad blatem unoszą się jego tęgie pośladki. Po kilku sekundach jednak głowa Chruszczowa pojawia się na wierzchu. Sowiecki premier ma czerwoną z wysiłku twarz. W ręku triumfalnie trzyma but. Jasny, na grubej podeszwie.

Chruszczow najpierw zamierza się butem, jakby chciał nim cisnąć w przemawiającego Sumulonga. Filipińczyk nieco zwalnia, ale mówi dalej. Chruszczow z całej siły wali obcasem o pulpit swego stolika. Sumulong nie przerywa. Chruszczow wali butem dalej. W końcu odkłada go na brzeg blatu i zaczyna uderzać pięściami. Prawą, lewą, obiema naraz i znów prawą, lewą. Wygląda to jak występ perkusisty. Pozostali członkowie sowieckiej delegacji jeden po drugim przyłączają się do bębnienia pięściami w blaty. Część delegatów zachodnich śmieje się, część komentuje sowiecki występ z oburzeniem.

W końcu Chruszczow znów nurkuje pod stolikiem. Po dłuższej chwili wyłania się jego dziecinnie rozradowana twarz. Udało się zawiązać sznurówkę.

Lorenzo Sumulong kończy swe wystąpienie. Nieoczekiwanie opowiada się za procedurą debatowania o kolonializmie zaproponowaną przez Chruszczowa. Najwyraźniej lekcja z butem odniosła skutek.

Sowiecki premier natychmiast wyskakuje na mównicę i z zadowoleniem konstatuje, że szanowny przedstawiciel Filipin nie był jednak tak beznadziejny, jak się początkowo wydawało.

– Na szczęście możemy mieć nadzieję, że w końcu dorośnie i zrozumie te sprawy – kończy Chruszczow.

Audytorium bije brawo, Nikita Siergiejewicz kiwa głową publiczności jak iluzjonista po udanym występie. Frederick Boland zarządza przerwę.

W foyer gmachu ONZ sowiecki premier naprędce organizuje konferencję prasową. Pytany przez amerykańskiego dziennikarza o rozbrojenie, wzrusza ramionami, obmacuje kieszenie, wyciąga futerał na okulary i malutki scyzoryk do temperowania ołówków.

– To moja jedyna broń. – Po chwili dodaje: – No, mam to, ale czy da się tym przebić taki wór, jakim jest Wadsworth?

James J. Wadsworth, stały przedstawiciel USA w ONZ, zaszedł Chruszczowowi za skórę podczas poprzednich posiedzeń Zgromadzenia Ogólnego.

Wieczorem, po przerwie, wcale nie jest lepiej. Propozycję ZSRR w sprawie debaty o kolonializmie popierają Gwinea, Ghana i Indie, ale zjadliwie polemizują z nią minister stanu Wielkiej Brytanii David Ormsby-Gore i przedstawiciel Nowej Zelandii Ross Shanahan.

Asystent sekretarza stanu USA Francis O. Wilcox prawdziwym problemem kolonialnym nazywa sytuację we wschodniej Europie. Natychmiast zrywa się z protestami Rumun Mezincescu. Chruszczow znów ściąga but, wali obcasem i pięściami w pulpit,

grozi palcem Wilcoxowi. Teraz także inne delegacje krajów komunistycznych wymachują rękami, biją dłońmi w stoliki, wrzeszczą.

Frederick Boland ignoruje żądania delegatów komunistycznych, by natychmiast dopuścił ich do głosu, wzywa do zachowania powagi i spokoju.

Mezincescu wreszcie dopada do mównicy. Krytykuje Bolanda za sposób, w jaki prowadzi on sesję. W końcu Rumun uderza w czułe miejsce Irlandczyka – podział jego wyspy na Irlandię i część brytyjską.

– Irlandzki naród, w nie mniejszym stopniu niż inne narody, ma prawo do wolności – głosi Mezincescu.

Boland tak silnie uderza młotkiem przewodniczącego o podstawkę na swym pulpicie, że łamie trzonek. Obuszek frunie nad jego głową. Irlandczyk jest tak zdenerwowany, że natychmiast przerywa obrady i odracza sesję, nie podając nawet terminu jej wznowienia.

Sowiecka delegacja z triumfującymi minami opuszcza gmach ONZ. Chruszczow mówi w przejściu oblegającym go dziennikarzom, że dzisiejszy incydent pokazał, jak rozdygotana jest sytuacja Narodów Zjednoczonych.

– To początek końca – macha ręką w stronę sali Zgromadzenia Ogólnego.

Ktoś z dziennikarzy pyta, czy fakt, że sowiecka propozycja debaty antykolonialnej nie była dziś przegłosowana, nie jest porażką ZSRR.

Chruszczow szczerzy zęby w szerokim uśmiechu:

– A jakaż to porażka? Główne narzędzie przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego jest złamane. On walił młotkiem tak, że go złamał. Jak on mógł później prowadzić posiedzenie? Bez młotka?

Nikita Chruszczow podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ

13 października 1917 ▪ sobota

Objawienie

W górach Sierra de Aire, 130 km od Lizbony, przez całą noc dziesiątki tysięcy ludzi ze wszystkich stron wędrują w stronę

niewielkiego miasteczka Fatima. Leje jak z cebra. Pośród pieszych skrzypi mnóstwo charakterystycznych wozów portugalskich chłopów, zdarzają się eleganckie powozy ludzi zamożnych, czasem nawet błyskają światła automobili portugalskiej elity. Wielu wędruje już drugą dobę – idą z najdalszych zakątków Portugalii. Cały kraj bowiem poruszony jest tym, co 13. dnia każdego miesiąca zdarza się w dzikim wąwozie zwanym Cova da Iria, niecałe 3 km od Fatimy.

Zaczęło się półtora roku wcześniej. 3 pastuszków z Fatimy – 10-letnia Lucia dos Santos i jej kuzyni: 9-letni Francisco Marto i 7-letnia Jacinta Marto, w miejscowości Loca de Cabreco ujrzały wysłannika nieba. Przedstawił się im jako Anioł Pokoju. 3 pobożnych dzieci zaczęło od tej pory wiele czasu spędzać w kościele na modlitwach. Pół roku temu, 13 maja, w Cova da Iria objawiła się im tajemnicza postać. 3 pastuszków – analfabetów – opisywało później przebieg widzenia z niezwykłą pewnością i zgodnością w najdrobniejszych szczegółach. Dzieci przeraził niespodziewany błysk. Po chwili na szczycie młodego dębu ujrzały płonącą kulę, na której stała zjawa – kobieta okryta białą szatą. Zjawa, którą dzieci nazywały Panią, rozmawiała z najstarszą Lucią. Francisco widział Panią i słyszał jej rozmowę z kuzynką, ale sam nie mógł rozmawiać. Jacinta jedynie ją widziała, rozmowy nie słyszała. Dzieci opowiedziały, że Pani wezwała je do odmawiania codziennie różańca, aby Wielka Wojna skończyła się i na świecie zapanował pokój. Poprosiła 3 pastuszków, by przez następne pół roku przychodzili w to miejsce każdego 13. dnia kolejnego miesiąca, o tej samej godzinie.

Rewelacje 3 malców z Fatimy podzieliły ludność okolicy. Wielu wiernych zareagowało niedowierzaniem i wrogością, ale przekonanych i entuzjastów objawienia szybko przybywało. 13 lipca do Cova da Iria ściągnęły ponad 4 tys. ciekawskich i obserwowało

klęczące, zasłuchane dzieci. W pewnej chwili Łucja krzyknęła: „Ojej!". Później wyjaśniła, że Pani zapowiedziała jej wtedy, iż w październiku powie, kim jest i czego sobie życzy, oraz da znak, który przekona wszystkich niedowiarków. Sława dziecięcych objawień obiegła Portugalię. 13 września w wąwozie zjawiło się 30 tys. przybyszów z całego kraju i znów obserwowało milczące, przejęte dzieci pod dębem, przeżywające kolejne, 5. objawienie.

Dziś zapowiedź cudownego znaku ściąga ponad 70 tys. ciekawskich. Rankiem nocny deszcz jeszcze się wzmaga. Na łąkach i zboczach wąwozu gęstnieją tłumy. Nad nimi rozciąga się mrowie dużych czarnych parasoli. Stoją pospołu entuzjaści objawienia i sceptycy, Portugalczycy i cudzoziemcy zwabieni ogólnokrajową sławą zdarzeń w Cova da Iria. Dno wąwozu zamieniło się w błotne bajoro, ale setki wiernych klęczą tam i modlą się.

Wczesnym rankiem 3 pastuszków wyrusza z domu w stronę wąwozu. Lucię prowadzi za rękę ojciec. Tuż za dziewczynką idzie przestraszona matka. Od kilku dni jacyś żądni sensacji ludzie przychodzili do nich i grozili, że jeśli cudu nie będzie, dziewczynkę może spotkać najgorsze. Obie rodziny mozolnie przepychają się w deszczu przez gęsty tłum. Dzieci wchodzą na coś w rodzaju wysokiej ambony z drewnianych bali. Niedawno nad dębem, w którym Pani się objawiała, zbudowali ją entuzjaści objawień niemający wątpliwości że w Fatimie ukazuje się Matka Boska.

Na podwyższeniu dzieci klękają i modlą się. Dokładnie w południe Lucia patrzy w górę, robi zaskoczoną minę i woła:

– Ona jest tam! Ona jest tam! O, teraz zabłysło!

Pani dos Santos napomina z dołu córkę:

– Przypatrz się dobrze, moje dziecko, uważaj, żebyś się nie pomyliła!

Ale Lucia już nie słucha matki. W ciszy jak makiem zasiał prowadzi bezgłośny, wewnętrzny dialog z ujrzaną tylko przez siebie, Francisca i Jacintę Panią:

– Czego chcesz ode mnie?

– Chcę, aby zbudowano tutaj kaplicę na moją część. Chcę, abyś odmawiała różaniec każdego dnia. Wojna wkrótce się skończy i żołnierze powrócą do domów.

– Powiesz mi swoje imię?

– Jestem Matką Boską Różańcową.

– Mam wiele próśb do Ciebie od wielu ludzi. Spełnisz je?

– Niektóre spełnię, innych muszę odmówić. Ludzie muszą poprawić swoje życie i prosić o odpuszczenie grzechów. Niech nie znieważają więcej swego Pana, bo już i tak bardzo został znieważony.

W oczach dzieci Matka Boska wznosi się ku wschodowi i zwraca dłonie w stronę ołowianego deszczowego nieba. 70 tys. przybyszów z napięciem obserwuje 3 przejętych, milczących dzieci na drewnianym podeście. Gdy Lucia, Francisco i Jacinta zwracają się w stronę wschodu, deszcz ustaje jak nożem uciął.

Dzieci widzą, jak Matka Boska Różańcowa nagle zwraca się ku nim. Lucia słyszy:

– Patrzcie na słońce! – i sama woła głośno: – Patrzcie, słońce!

W tym momencie chmury nieoczekiwanie rozstępują się i tysięczne tłumy widzą słońce. Ale słońce jest dziwne, wręcz niesamowite. Ma ostry zarys, lecz kolor niezwykły, perłowy. W powietrzu nie ma przy tym ani śladu mgły. Na obserwatorach perłowy krąg sprawia nieodparte wrażenie gwiazdy w uroczystej aureoli. Patrzenie na nią w ogóle nie męczy oczu.

Nagle słońce zaczyna wirować wokół własnej osi. Szybko, coraz szybciej, wreszcie z ogromną prędkością. Wirujący dysk rozrzuca

wokół siebie zielone, żółte, czerwone, niebieskie wiązki promieni. Na oczach zamarłych ze zdumienia tłumów po 2 minutach wirujący, skrzący się barwnymi promieniami dysk nagle zatrzymuje się i znów zaczyna wirować. I znów zatrzymuje się. Teraz zmienia barwę na ciemnoczerwoną. Wtem nad wąwozem i okolicznymi łąkami rozlega się wielotysięczny krzyk przerażenia. Krwawoczerwony dysk słoneczny, nie przestając wirować, obrywa się z firmamentu i z rosnącą prędkością spada na ziemię. Dziesiątki tysięcy obserwatorów są pewne, że za chwilę słoneczny dysk zmiażdży wszystko pod sobą. To już koniec świata. Tłumy rzucają się na kolana w błoto. Jedni wypowiadają głośno akt skruchy, inni krzyczą, płaczą, zasłaniają głowy ramionami w absurdalnym geście obrony. Dokładnie to samo widzą i przeżywają opóźnieni pielgrzymi w odległości 3–4 km od Cova da Iria i mieszkańcy wiosek odległych o 40 km.

I nagle pędzący ku ziemi krwawy dysk zatrzymuje się i znika. Sekunda absolutnej ciszy i wrzawa okrzyków:

– Cud! Cud! Wierzę w Boga! *Ave Maria*!

3 pastuszków na rampie w tym czasie ukazuje się Święta Rodzina błogosławiąca świat, potem Chrystus i Matka Boska pod postacią Matki Bolesnej. Ale dzieci nie mają czasu na kontemplacje kolejnych wizji. Tłumy rzucają się ku drewnianej rampie, odtrącają ich rodziców. Przestraszony Francisco łokciami broni się przed zgnieceniem. Młody, bardzo wysoki mężczyzna porywa Lucię na ręce, unosi wysoko na głową i kroczy przez tłum, niosąc dziewczynkę niczym chorągiew. Nagle potyka się, upada. Lucię w powietrzu chwytają inni i dalej niosą w powietrzu, aż do domu rodzinnego.

Nawet tu Lucia nie ma chwili wytchnienia. Przez całą noc do największej izby wpychają się dziesiątki, setki

rozentuzjazmowanych świadków cudu i od nowa każą sobie opowiadać przebieg objawienia.

Lucia Dos Santos (w środku) z kuzynostwem Jacintą i Francisco Marto

14 października 1943 ▪ czwartek

Dzień siekier

Dochodzi 14.00, gdy na teren tzw. lagru I obozu zagłady Żydów w Sobiborze wchodzi SS-Unterscharführer Walter Ryba. W otoczonym drutami kolczastymi sektorze znajdują się baraki mieszkalne i kuchnia dla żydowskich więźniów oraz warsztaty pracujące dla niemieckiej załogi obozu. Ryba ma przewieszony przez

ramię pistolet maszynowy. Wchodzi do warsztatu stolarskiego i żąda, by obecnych tam 4 więźniów i kapo Pożycki natychmiast poszło za nim.

Przerażenie paraliżuje więźniów obecnych w warsztacie. Na co dzień żaden z 30 esesmanów, stanowiących kadrę zarządzającą obozem, ani żaden ze 120 ukraińskich strażników nie nosi broni maszynowej. Co więcej, godzinę wcześniej kapo Pożycki przeniósł 5 więźniów z ich stałych miejsc pracy w obozie do stolarni w lagrze I. Czyżby któryś z więźniów zdradził i Ryba przyszedł aresztować 5 konspiratorów?

Ponad 600 więźniów pod ścisłą kontrolą Niemców i ich ukraińskich pomocników obsługuje machinę śmierci i jej nadzorców. Więźniowie pod czujnym okiem Niemców uspokajają wyładowywanych z pociągu Żydów, pomagają im przy rozbieraniu się, sortują ich rzeczy, obcinają kobietom włosy. Grupa więźniów na terenie lagru III, odizolowana od reszty, obsługuje komory gazowe i krematoria. W lagrze I, w warsztatach krawieckich, szewskich, mechanicznych więźniowie szyją Niemcom mundury i kostiumy dla ich żon, robią im buty, zabawki dla ich dzieci.

W Sobiborze mordowani są nie tylko Żydzi z transportów z całej Europy. Więźniowie giną od bicia i w egzekucjach – na miejsce zabitych Niemcy wybierają następców z transportów przeznaczonych do natychmiastowej zagłady.

Żaden z żydowskich więźniów nie ma złudzeń, że po tym, co w Sobiborze zobaczył, Niemcy pozwolą mu przeżyć. Jedyną szansą jest ucieczka. Ale z Sobiboru uciec jest bardzo trudno. Obóz położony w kompleksie leśnym nad Bugiem, między Włodawą i Chełmem, otoczony jest potrójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego pod napięciem. Wzdłuż części ogrodzenia ciągnie się głęboki rów z wodą, a teren wokół obozu jest zaminowany.

Udało się nielicznym. 3 Żydzi prowadzeni w tłumie nagich ofiar do komór gazowych w zamieszaniu schowali się w krzakach. Nocą prześlizgnęli się pod drutami kolczastymi i uciekli do lasu.

W grudniu zeszłego roku 2 ukraińskich strażników zdezerterowało, zabierając ze sobą 3 więźniów. 2 Żydów uratowało się. Żydówkę i obu Ukraińców, zadenuncjowanych przez chłopa, zastrzelili granatowi policjanci. Przed 4 miesiącami 2 więźniom udało się nocą przeciąć druty kolczaste, przeczołgać przez strefę obserwacji strażników, przez pole minowe i uciec.

W lipcu zbuntowali się polscy Żydzi z walkommanda, którzy w okolicznych lasach wycinali drzewa. Używano ich potem do spalania zwłok zagazowanych. 2 więźniów poderżnęło gardło ukraińskiemu strażnikowi, a reszta rzuciła siekierami w pozostałych strażników i pobiegła w głąb lasu. Kilku zginęło, kilku udało się jednak zbiec.

Masowa ucieczka do niedawna wydawała się jednak czystą fantazją. Pół roku temu Niemcy odkryli tunel prowadzący od baraku więźniarskiego w najbardziej strzeżonym lagrze III, pod drutami, do lasu. Wszystkich więźniów strażnicy rozstrzelali.

Mimo terroru w obozie powstała konspiracja. Kieruje nią 33-letni syn rabina, młynarz z Żółkiewki Leon Feldhendler. Gdy do obozu trafiła grupa rosyjskich Żydów, wziętych do niewoli oficerów Armii Czerwonej, Felhendler zrozumiał, że zawodowi wojskowi są jedyną szansą konspiratorów. Przed 2 tygodniami ostrożnie wciągnął por. Aleksandra Aronowicza Peczerskiego do współpracy.

Przed 5 dniami jeden z więźniów, przyjaciel Peczerskiego, powiadomił go, że w Sobiborze istnieje jeszcze jedna konspiracja: ucieczkę planuje niewielka grupa rosyjskich Żydów. Peczerski natychmiast włączył ich do organizacji Feldhendlera. Nie tylko ich. Przed paru dniami 2 kapo, Pożycki i Bunio, domyślili się, że

w obozie szykowana jest ucieczka. Mimo ogromnego ryzyka, że zdradzą, Feldhendler zaproponował im przyłączenie się do ucieczki. Nie pomylił się. Kapo byli więźniami uprzywilejowanymi, ale wiedzieli, że w końcu podzielą los pozostałych.

Nerwową naradę w stolarni, po wyprowadzeniu przez esesmana Rybę 5 konspiratorów, przerywa wejście drugiego wtajemniczonego kapo. Bunio wyjaśnia, że Ryba nic o planach powstania nie wie – po prostu przyszedł po ludzi do układania drewna w innej części obozu. Peczerski decyduje, że czas zaczynać.

SS-Untersturmführer Niemann zastępuje nieobecnego komendanta obozu. Krawiec Mundek zaprosił go na godz. 16.00 na przymiarkę nowego munduru. Niemann zajeżdża przed barak na białym koniu. Mundek ubiera go, obraca, udaje, że zaznacza poprawki. Z ukrycia wyskakują z siekierami w rękach Arkadij Wajspapier i Jehuda Lerner. Pierwszy uderza Wajspapier, Lerner poprawia siekierą. Czapnik Mensce niespodziewanie zrywa się znad stołu i kłuje nożyczkami zwłoki Niemanna, wykrzykując imiona swej żony i dzieci zagazowanych w Sobiborze. Nie można go uciszyć. Konspiratorzy kneblują go i zamykają w komórce. Wajspapier odnosi Peczerskiemu pierwszy zdobyczny pistolet.

Kwadrans później do przymiarki nowych oficerek zjawia się u szewców szef ukraińskich strażników esesman Graetschutz. Mistrz Icchak udaje, że ściąga mu buty, i silnie łapie za nogi. Wajspapier i Lerner sierkierami rozłupują głowę hitlerowca. Toivi Blatt w tym czasie zawiadamia esesmana Josefa Wolfa, że komando ubraniowe odłożyło mu z rzeczy zagazowanych nowiutki czarny skórzany płaszcz. Gdy Niemiec wkłada ręce do rękawa, jest bezbronny. Więzień Cybulski tnie go siekierą, inni dobijają nożami. W garażach śmiertelny cios siekierą inkasuje esesman Walter Ryba, który napędził konspiratorom tyle strachu. Pod ciosami siekier padają

kolejni, zwabiani w ustronne miejsca, esesmani. Przed 17.00 rosyjski Żyd Szubajew przecina obozowy kabel telefoniczny.

Szlomo Szmajzner zakrada się do baraku Ukraińców. W ich pokojach znajduje karabiny i pasy z kilkoma nabojami. Niemcy nie ufają Ukraińcom, wydają im na służbę tylko po parę naboi. Szmajzner szamoce się z karabinami – nie umie zabezpieczyć ich zamków. W końcu 2 chowa do blaszanej rury, trzeci owija kocem i wychodzi. Szczęśliwie mija wewnętrzny posterunek Ukraińców i przynosi karabiny do stolarni.

Zbliża się pora wieczornego apelu. Zewsząd maszerują na plac apelowy grupy nieświadomych niczego więźniów. Każda śpiewa jakąś piosenkę. Załoga SS dotrze na plac dopiero po sformowaniu przez więźniów równych szeregów. Nieoczekiwanie przed rozpoczęciem apelu na placu pojawia się SS-Unterscharführer Gaulstich. To uniemożliwia konspiratorom powiadomienie 600 współwięźniów, że powstanie właśnie się zaczęło. Jeden z konspiratorów nie traci zimnej krwi. Prosi Gaulsticha do baraku, rzekomo w sprawie uszkodzonej pryczy. W baraku jedno uderzenie siekierą załatwia sprawę.

Peczerski poleca kapo Pożyckiemu gwizdać na apel. Wśród ustawiających się więźniów wieść o powstaniu rozchodzi się błyskawicznie. Wielu zszokowanych Żydów nie wierzy w szansę ocalenia. Wracają do baraków, wyciągają ukryte przed Niemcami białe szale modlitewne znalezione w bagażach zagazowanych i zaczynają odmawiać kadisz, modlitwę za zmarłych – czyli za siebie.

Ale większość jest gotowa walczyć pod rozkazami Peczerskiego.

Jeden z Ukraińców przypadkiem wchodzi do obozowego biura i dostrzega jednego z zabitych esesmanów. Strażnik podbiega do esesmana Bauera i krzyczy: „*Deutsche kaputt!*”. Bauer bez namysłu

wyciąga pistolet i strzela do 2 więźniów wyładowujących z ciężarówki skrzynki z wódką.

Strzały słyszą w obozie wszyscy: więźniowie, Niemcy i strażnicy ukraińscy. Peczerski pojmuje, że już nie ma mowy o zaskoczeniu reszty obozowej załogi. Nie traci jednak zimnej krwi. Występuje przed szereg. Mówi, że większość Niemców w obozie została zabita, że nie ma odwrotu, a oni sami, czy przeżyją czy nie, zostaną pomszczeni przez Związek Sowiecki. Na koniec woła tak, jak go uczono w Armii Czerwonej: „Naprzód, towarzysze! Za Stalina! Śmierć faszystom!".

Większość więźniów rzuca się w kierunku głównej bramy obozu. Niestety, esesman Frenzel, który pół godziny wcześniej szczęśliwie uniknął ciosu siekierą, sprawnie gromadzi ocalałych Niemców i zszokowanych Ukraińców. Po chwili ich ogień masakruje biegnących w stronę bramy. Padają dziesiątki zabitych i rannych.

W miotającym się tłumie więźniów spokój zachowuje Szlomo Szmajzner. Spokojnie celuje ze zdobycznego karabinu i pięknym strzałem strąca Ukraińca z centralnej wieży.

Spora grupa więźniów mimo ostrzału strażników obchodzi 2 linie ogrodzenia z drutu kolczastego, rów z wodą i łopatami rozrywa drut ostatniego, 3. ogrodzenia. Wokół ziemia aż gotuje się od uderzeń pocisków. Tłum więźniów rzuca się w dziurę, inni, nie chcąc czekać pod kulami, wspinają się na ogrodzenie, które wali się pod ich ciężarem. Plan Peczerskiego przewidywał wysadzenie szerokiego na 15 m pola minowego rzucaniem cegieł, ale nikt nie ma na to czasu. Więźniowie biegną co sił. Co chwila eksplozja rozrywa któregoś z nich.

Padające ogrodzenie przygniata jednego z konspiratorów: Toiviego Blatta. Drut kolczasty wbija się w jego płaszcz i unieruchamia go. Po plecach Blatta biegną dziesiątki

spanikowanych więźniów. Blatt bezradnie patrzy, jak rozrywają ich miny, jak jeden po drugim padają od kul Ukraińców. Z zazdrością widzi, że dziesiątki więźniów dobiegają do zbawczego lasu.

Zrozpaczony Blatt wpada na zbawczy pomysł. Rozpina guziki i po prostu wyślizguje się z okręconego drutem płaszcza. Omija leje po minach, przebiega pod kulami łąkę za ogrodzeniem i dołącza do 300 więźniów, którym udało się wyrwać z piekła Sobiboru.

15 października 1930 ▪ środa

Rewizor mazowiecki

Tak eleganckiego gościa dawno już we wsi Zaręby Kościelne, zapadłej dziurze w pobliżu Ostrowia Mazowieckiego, nie widziano. W ubogiej kancelarii Urzędu Gminy przybysz czuje się jak u siebie w domu. Pochyla się konfidencjonalnie nad sekretarzem gminnym Florianem Gierałtowskim i wyjmuje z kieszeni garnituru legitymację policyjną w charakterystycznej zielonej oprawie. Gierałtowski widzi, że to nie przelewki. Przed nim stoi pan Bolesław Pilich, funkcjonariusz 5. Komisariatu Policji Państwowej w Warszawie. Gminny sekretarz zrywa się z krzesła, odbiera od gościa płaszcz, usadza go przy stole, proponuje herbatę, kanapki. Może coś mocniejszego? Nie. No, oczywiście, że nie. Służba. Ale czym skromne Zaręby Kościelne mogłyby łaskawemu panu służyć?

Pan Pilich wyjaśnia sekretarzowi Gierałtowskiemu, że przybywa w sprawach służbowych i politycznych związanych z wyborami do Sejmu i Senatu. Każe natychmiast wezwać wójta i sołtysa.

Wiejscy dygnitarze zjawiają się natychmiast. Ładna historia! W sprawie wyborów pofatygował się tu tak ważny funkcjonariusz

policji z Warszawy!

Pan Pilich opowiada zawile o przygotowywanych przez rząd pożyczkach wewnętrznych, o konieczności wspierania dalszego rozwoju państwa. Żąda przedłożenia mu natychmiast spisu wszystkich wsi w gminie oraz spisów zamożniejszych gospodarzy w każdej z tych wsi. Gdy listy te w końcu lądują na stole, Pilich poleca sekretarzowi Gierałtowskiemu migiem rozesłać wszystkim sołtysom polecenie, by udzielili gościowi wszelkiej pomocy.

Gdy w Zarębach Kościelnych Pilich uważnie studiuje listy najzamożniejszych włościan, w Warszawie kilkunastu policjantów łamie sobie głowę, gdzie Bolesław Pilich się teraz znajduje i co zamierza. A właściwie to nie Bolesław Pilich, lecz Stanisław Długokęcki ze wsi Wiszniewo w gminie Jabłonna.

Ruchliwość, fantazja i graniczą z bezczelnością zuchwałość Długokęckiego przyprawia bezradnych policjantów o ból głowy. Grasuje on po Warszawie i Mazowszu, podszywając się pod sędziego śledczego, wywiadowcę policji, rewidenta, kontrolera i Bóg jeszcze wie kogo. Oszukuje, naciąga, okrada, rabuje.

O Długokęckim zaczęło być głośno przed 3 tygodniami, po aferze na stacji kolei elektrycznej Warszawa–Młociny. O godz. 22.00 Długokęcki wkroczył do kancelarii kasjera i zawiadowcy stacji Aleksego Zatancewa. Przedstawił się woźnemu Stanisławowi Cieplickiemu jako wywiadowca policji politycznej Bolesław Pilich i polecił sprowadzić zawiadowcę w niecierpiącej zwłoki sprawie służbowej. Gdy Zatancew zjawił się, Długokęcki oznajmił mu: „W imieniu prawa aresztuję pana!”.

Na nic zdały się wyjaśnienia przerażonego zawiadowcy. Długokęcki surowo poinformował go, że działa z polecenia władz bezpieczeństwa i ma nakaz aresztowania go za działalność antypaństwową. Zatrzymany poprosił o okazanie legitymacji.

Długokęcki-Pilich pokazał perfekcyjnie sfałszowaną legitymację służbową z własnym zdjęciem i wezwał woźnego Cieplickiego, by asystował mu przy dalszych czynnościach służbowych. Następnie zrewidował Zatancewa w poszukiwaniu dowodów działalności antypaństwowej i zabrał mu służbowy rewolwer z 14 nabojami. Gdy rzekomy wywiadowca policji stwierdził, że musi odprowadzić podejrzanego na komisariat, zawiadowca zatelefonował do domu naczelnika stacji Celkowskiego, prosząc, by go natychmiast zastąpił na służbie. W trakcie rozmowy Długokęcki-Pilich odebrał zawiadowcy słuchawkę i stwierdził bez ogródek: „Nie da rady! Zatancew jest aresztowany!", po czym odłożył słuchawkę i powiedział Zatancewowi, że naczelnik Celkowski przez telefon polecił otworzyć kasę pancerną i wydać mu całą gotówkę.

Nieprzytomny ze strachu Zatancew kasę otworzył i wręczył rzekomemu policjantowi 3 tys. zł utargu. Długokęcki nie czekał na naczelnika stacji. Na ulicy zatrzymał taksówkę, wsiadł do niej razem z Zatancewem i zawiózł go do biura komisariatu policji. Tam oświadczył dyżurnemu przodownikowi, że jest funkcjonariuszem policji politycznej i właśnie dostarczył aresztowanego zawiadowcę stacji Warszawa–Młociny.

Zatancew trafił do pudła, Długokęcki zaś z jego rewolwerem i 3 tys. zł w walizce ruszył taksówką w miasto. Noc przehulał w knajpie Sabinka przy Ciepłej.

Policja odnalazła i przesłuchała właścicieli wszystkich 87 warszawskich taksówek w jasnych kolorach oraz ich 200 szoferów. Śledztwo ujawniło zdumiewające kulisy działalności Długokęckiego. Od dłuższego czasu ten 26-letni oszust posługiwał się legitymacją policyjną skradzioną swemu byłemu już teściowi, posterunkowemu 5. komisariatu Bolesławowi Pilichowi, do której wkleił swoje zdjęcie, oraz skradzionymi blankietami Ministerstwa

Sprawiedliwości i rozmaitych sądów. Dowiadywał się w sekretariatach sądowych o grzywnach i mandatach nałożonych na firmy i osoby prywatne. Zjawiał się u ukaranych, zanim dotarli do nich prawdziwi egzekutorzy, i pobierał grzywny – do własnej kieszeni. Często podszywając się pod kontrolera skarbowego, sprawdzał koncesje i zezwolenia. Za solidne łapówki przymykał oko na nieprawidłowości. W ten sposób 13 września oskubał Szmula-Bera Sukiennika, właściciela sklepiku spożywczego pod Franciszkańską 29. Grożąc aresztem za niezapłaconą grzywnę za handel w godzinach niedozwolonych, wyłudził od niego 30 zł, na które wydał fałszywe pokwitowanie, na blankiecie Ministerstwa Sprawiedliwości.

Kilkakrotnie udając funkcjonariusza policji politycznej, przeprowadził w prywatnych mieszkaniach rewizje, rekwirując pieniądze i dokumenty.

Policja poznała tożsamość oszusta i jego wspólnika, prowadziła śledztwo, gazety rozpisywały się o jego wyczynach, ale on sam pozostawał nieuchwytny. Długokęcki zdawał sobie jednak sprawę, że udając policjanta Pilicha, szybko wpadnie. Postanowił zmienić tożsamość. Dowiedział się o śmierci niespełna 30-letniego syna Heleny Prueffnerowej, właścicielki kamienicy przy Kredytowej. Przed 10 dniami zjawił się u niej, okazał swą fałszywą legitymację policyjną i zażądał wydania dowodu osobistego zmarłego i książeczki wojskowej, rzekomo niezbędnych dla władz wojskowych. Matka nieboszczyka dokumenty wydała. Długokęcki umówił się, że odniesie je po 5 dniach.

2 dni później Długokęcki próbował dokonać niebywałego przekrętu – zarekwirować wagon pocztowy w pociągu Warszawa–Brześć nad Bugiem. Na stacji Stara Miłosna, znów udając funkcjonariusza policji politycznej Pilicha, zgłosił się do dyżurnego

ruchu i zażądał pomocy w przeprowadzeniu rewizji wagonu pocztowego. Naiwny dyżurny wraz z Długokęckim dobijał się do wagonu pocztowego – bezskutecznie. Przytomny kierownik odmówił wpuszczenia ich. Długokęcki nie dał za wygraną. Zatelefonował na posterunek policji w Rembertowie i zażądał wsparcia. W Rembertowie obsługa wagonu także nie otworzyła drzwi przed tamtejszymi naiwnymi policjantami i Długokęckim. Oszust podniósł stawkę. Do Mińska jechał na stopniach tylnego wagonu, pilnując wagonu pocztowego. Na peronie w Mińsku złapał policjanta i domagał się pomocy w przeprowadzeniu rewizji wagonu pocztowego. Posterunkowy wykręcił się jednak sianem. Gdy pociąg ruszył, Długokęcki kazał mu jeszcze zaalarmować posterunek w Siedlcach – rewizja zlecona przez najwyższe władze musi być przecież przeprowadzona. Przed Siedlcami jednak zrezygnował i skoczył w pole.

Tydzień temu Długokęckiego opuściło szczęście. Na dworcu wileńskim rozpoznał go jeden z kolejarzy. Oszust nie stracił jednak zimnej krwi. Głośno wołał, że to nieporozumienie, bo nazywa się Prueffner i wymachiwał wyłudzonymi od matki zmarłego Prueffnera dokumentami. Wezwany policjant pojechał z zatrzymanym na Kredytową do pani Prueffnerowej. Długokęcki od progu zaczął z nią serdeczną rozmowę. Poprowadził ją tak zręcznie, że policjant nie zorientował się, iż zatrzymany nie jest synem gospodyni, przeprosił za nieporozumienie i wyszedł.

Długokęcki-Pilich popija herbatę, zajada się kanapkami i notuje sobie na boku nazwiska co bogatszych mieszkańców Zarębów Kościelnych. Jedyną osobą, która nie nadskakuje przybyszowi, jest komendant tutejszego posterunku policji, st. przodownik Stanisław Górski. Kiedyś służył w Warszawie, poznał obyczaje tamtejszej policji i wizyta samotnego stołecznego wywiadowcy policji

politycznej na wsi wydaje mu się podejrzana. Przodownik Górski zachodzi do kancelarii Urzędu Gminy i wypytuje gościa, dlaczego najpierw nie zameldował się u niego. Długokęcki wyjaśnia, że jego misja jest tajna. Widzi niedowierzanie w oczach przodownika, dodaje więc szybko, że nie przyjechał sam, lecz z aspirantem Dobrowolskim, z którym wczesnym rankiem zameldował się na komendzie w Ostrowiu Mazowieckim. Teraz Dobrowolski wykonuje inne, tajne zadanie.

Przodownik Górski nadal ma wątpliwości. Telefonuje do komendy w Ostrowiu. Tam jednak nikt o policjantach Dobrowolskim i Pilichu nie słyszał. Długokęcki zdenerwowany krzyczy, że przodownik przeszkadza mu w czynnościach służbowych, a w ogóle, to na komendzie w Ostrowiu jest bałagan, bo wszyscy tam piją wódkę.

Przodownik Górski żąda pokazania legitymacji policyjnej.

Na oko dokument jest w porządku. Górski spostrzega, że wystawiony został przez 5. komisariat w Warszawie, w którym kiedyś on sam służył. Wypytuje zatem tajemniczego przybysza o swoich znajomych ze służby. Rzekomy policjant Bolesław Pilich plącze się i myli w wyjaśnieniach. Górski zamawia rozmowę z 5. komisariatem. Opowiada o dziwnym policjancie Pilichu. Po chwili Warszawa oddzwania. Górski słucha, wstaje i mówi: „Panie Pilich! Pan jest aresztowany!". „To trudno – odpowiada z uśmiechem Długokęcki. – Wiedziałem, że to się musi kiedyś skończyć".

16 października 1906 ▪ wtorek

Kładę areszt na tę kasę

Wczesnym rankiem starszy, szczupły mężczyzna w zniszczonym ubraniu wygrzebuje się z kryjówki w zakamarkach berlińskiego Dworca Śląskiego. Pod pachą dźwiga sporej wielkości paczkę obwiązaną sznurkiem. Mężczyzna wsiada do pociągu i jedzie na dworzec na Beusselstrasse. Tam pośpiesznie biegnie na podmiejskie łąki Jungferheide. W chaszczach rozwija papier paczki i wyciąga oficerski mundur.

Mężczyzna przez ostatni tydzień szukał takiego uniformu w berlińskich sklepach ze starzyzną. W końcu szczęśliwie znalazł mundur kapitana pruskiej gwardii, starego, nieużywanego wzoru, ale jeszcze w znośnym stanie. I co najważniejsze – w rozmiarze pasującym na niego jak ulał.

Mężczyzna szybko przebiera się w mundur. Wygładza fałdy kurtki, prostuje się jak struna. Po raz pierwszy w życiu jest naprawdę kimś.

Wilhelm Voigt urodził się przed 57 laty w Tylży w Prusach Wschodnich w rodzinie kiepsko prosperującego szewca. Skończył 3 klasy szkoły podstawowej i zaczął naukę w szkole realnej. Wtedy został złapany na kradzieży. W wieku 14 lat stanął przed sądem w Tylży. Skazano go na 2 tygodnie aresztu. Jako karany musiał opuścić szkołę. Ojciec wyuczył go szewstwa, ale małemu Wilhelmowi w tym fachu szło kiepsko. Z biegiem lat coraz częściej wchodził w kolizję z prawem. Między rokiem 1864 a 1871 sześciokrotnie aresztowano go i skazywano za kradzieże

i fałszowanie dokumentów. W sumie spędził za kratkami niemal 30 lat. Ostatni wyrok 15 lat więzienia skończył odsiadywać w lutym tego roku. Po wyjściu na wolność Voigt pojechał do Wismaru, ale jako wielokrotnie karany złodziej rychło został wydalony z Wielkiego Księstwa Mecklenburg-Schwerin. Gdy pojechał do Malborka, tamtejsze władze miejskie także wydaliły go. To samo spotkało Voigta w Grudziądzu. Gdzie tylko się ruszył, wszędzie odmawiano mu – jako zdeprawowanemu recydywiście – wydania dokumentów tożsamości i prawa pobytu. Bez tego zaś nie mógł dostać pracy. Wpadł w błędne koło marginesu społecznego w cesarskich Niemczech.

W końcu Voigt dotarł do niewielkiej miejscowości Rixdorf pod Berlinem i zamieszkał u swojej siostry przy Kopfstrasse 27. Stabilizacja trwała krótko. Prezydent policji w Rixdorf 24 sierpnia wydalił go z miasta. Powód: „osoba niebezpieczna dla publicznego bezpieczeństwa i moralności". Tydzień później Voigt wyruszył w stronę Hamburga. Nigdy tam jednak nie dojechał. Parę stacji za Rixdorf wysiadł i skierował się do Berlina. W stolicy zaszył się, bez meldunku, przy Lange Strasse 22.

Ostatnie kilka tygodni Voigt rozmyślał o beznadziei swego położenia. Nie miał szans na meldunek i na dostanie pracy – to było jasne. Pozostawało mu jedynie to, na czym znał się najlepiej – kradzież. Tyle że dotychczasowe doświadczenia jako kieszonkowca i włamywacza były zniechęcające: małe łupy, ryzyko wielkie. Ale gdyby tak wymyślić naprawdę wielki przekręt...

Pomysł przyszedł, gdy wspominał swoją młodość. Wielki książę pruski nakazał ongiś swoim gwardzistom wkroczyć w nocy do gabinetu burmistrza Królewca, bez sądowego nakazu aresztować go i dostarczyć do więzienia. Burmistrz po prostu popadł w niełaskę księcia.

Bystry Wilhelm Voigt w tamtej historii zauważył to, co najważniejsze: w zmilitaryzowanym, ogarniętym kultem wojskowego munduru społeczeństwie pruskim żadne bezprawie, byle tylko dokonane w mundurze i w imieniu najwyższej władzy, nie budzi ani protestu, ani nawet zdziwienia.

Wilhelm Voigt w mundurze kapitana sprężystym krokiem wychodzi z chaszczy i wraca na dworzec. Jedzie do Stralau-Rummelsberg, a stamtąd pociągiem podmiejskim do leżącego pod Berlinem niewielkiego miasteczka Köpenick. Tu rozpoznaje teren, zwłaszcza w okolicy ratusza. Przed 11.00 wraca pociągiem obwodnicy północnej do Berlina. Wysiada na dworcu przy Pulitzstrasse. Przez dłuższy czas spaceruje tam i z powrotem po Seestrasse. W południe dokonywane są zmiany wart. Wreszcie Voigt dostrzega pododdział fizylierów gwardii, składający się z 4 żołnierzy i podoficera. Skończyli służbę wartowniczą przed wojskowym basenem Ploetzensee. Voigt zatrzymuje patrol. Podoficer służbiście woła: „Baczność!", i składa meldunek. Z przejęcia nie zauważa, że mundur kapitana ma stary fason. Voigt robi marsową minę i stentorowym głosem oznajmia, że z rozkazu najwyższych władz natychmiast podporządkowuje sobie patrol. Zwalnia jedynie podoficera, by ten mógł zameldować o przejęciu pododdziału. Wygląda to logicznie – przecież zwierzchnicy w koszarach fizylierów gwardii mogliby uznać zaginiony patrol za bandę dezerterów. W rzeczywistości sprytny szewc w mundurze kapitana pozbywa się podoficera, który mógłby dostrzec coś niezwykłego albo podejrzanego w starym kapitanie albo prowadzonej przezeń akcji. Niczym przy tym nie ryzykuje – zanim oficerowie pułku fizylierów gwardii sprawdzą w cesarskich urzędach, że nikt nie wysyłał żadnego kapitana z misją specjalną na Seestrasse, minie z pewnością wiele godzin.

Po chwili Voigt na czele 4 fizylierów zatrzymuje na ulicy kolejną wartę schodzącą ze służby na pobliskiej strzelnicy. 6 żołnierzy 4. Pułku Piechoty Gwardii włącza do swego oddziału. Z 10 podkomendnymi maszeruje Voigt na dworzec przy Pulitzstrasse. Pociągiem podmiejskim jadą do Köpenick. Żołnierze w 3. klasie, Voigt, jak na oficera przystało, w 2. Na dworcu w Köpenick jeden z gefrajtrów z 4. Pułku nieśmiało zauważa, że po wielu godzinach służby żołnierze są głodni. Voigt nie zastanawia się ani chwili. Rozkazuje ustawić karabiny w kozły i poleca szefowi sali w restauracji dworcowej podanie obiadu dla swoich podkomendnych. Pilnuje, by każdy dostał duże piwo. Niedbale dorzuca, że rachunek ureguluje wieczorem kancelaria cesarska.

Po obiedzie każdemu żołnierzowi wręcza po jednej marce. Najedzeni piechurzy dziarsko maszerują za kapitanem w stronę ratusza.

Po drodze oddział zachodzi na miejską pocztę. Z rozkazu cesarskiego Voigt zakazuje łączenia przez najbliższą godzinę jakichkolwiek rozmów z Berlinem. Teraz Voigt rozkazuje załadować karabiny amunicją i założyć bagnety. Bezdomny szewc jest bystrym obserwatorem wojskowych zwyczajów. Rozkazy wydaje gefrajtrowi, temu, który upomniał się o obiad, a on przekazuje je żołnierzom. W cesarskiej armii nie uchodzi, by oficer zwracał się bezpośrednio do zwykłego żołnierza.

Przed ratuszem Voigt rozkazuje pełniącym tam wartę żandarmom przekazać posterunek swoim żołnierzom. Żandarmi zaś mają ruszyć w miasto i dbać o porządek – kapitan ma bowiem informacje, że na ulicach Köpenick pojawiły się elementy zagrażające bezpieczeństwu publicznemu. Gdy żandarmi znikają za rogiem, Voigt poleca 2 żołnierzom obsadzić główne wejście. Przy bocznych drzwiach pozostawia po jednym podkomendnym. Nikt, pod żadnym

pozorem, nie może wejść do środka. Sam wkracza na czele 6 szeregowców. W pierwszym pokoju siedzi nadsekretarz miejski Rosenkranz. Voigt aresztuje go w imieniu cesarza i zostawia pod strażą. Następnie wkracza do gabinetu burmistrza dr. Georga Langerhansa. Z burmistrzem jednak gorsza sprawa. Jest oficerem rezerwy i uważa akcję kapitana za całkowite bezprawie. Żąda połączenia go telefonicznie z urzędem starostwa. Voigt nie traci rezonu: „Nie ma pan tu zupełnie nic do telefonowania, a jeśli będzie się pan jeszcze dłużej stawiał, każę zamknąć pana w celi". Burmistrz milknie. Teraz Voigt wzywa skarbnika von Wittberga, któremu poleca dokonać podliczenia miejskiej kasy. Po kwadransie von Wittberg melduje: „Jest 4 tys. marek i 37 fenigów". Smakowita suma. Voigt wypisuje pokwitowanie i rekwiruje pieniądze, które sam pakuje do torby. Potem rozkazuje żołnierzom odtransportować koleją burmistrza i skarbnika do Berlina i przekazać strażom w Neue Wache. Na dworcu w Köpenick czeka, aż jego oddział z aresztowanymi wsiądzie do wagonu. Parę minut później wskakuje do następnego pociągu. Myśli tylko o tym, jak zmylić tropy. Ani mu się śni, że prawdziwa sława czeka go po aresztowaniu: wrzawa w prasie całej Europy, proces, wyrok 4 lata więzienia, ułaskawienie przez rozbawionego aferą cesarza Wilhelma II, tryumfalne tournée po Europie i Ameryce, w czasie którego opowiadać będzie o uprowadzeniu kasy, woskowa figura w Gabinecie Madame Tussauds, ostentacyjne nadanie mu dowodu osobistego przez Wielkie Księstwo Luksemburga, sztuka teatralna, filmy i pomnik na grobie.

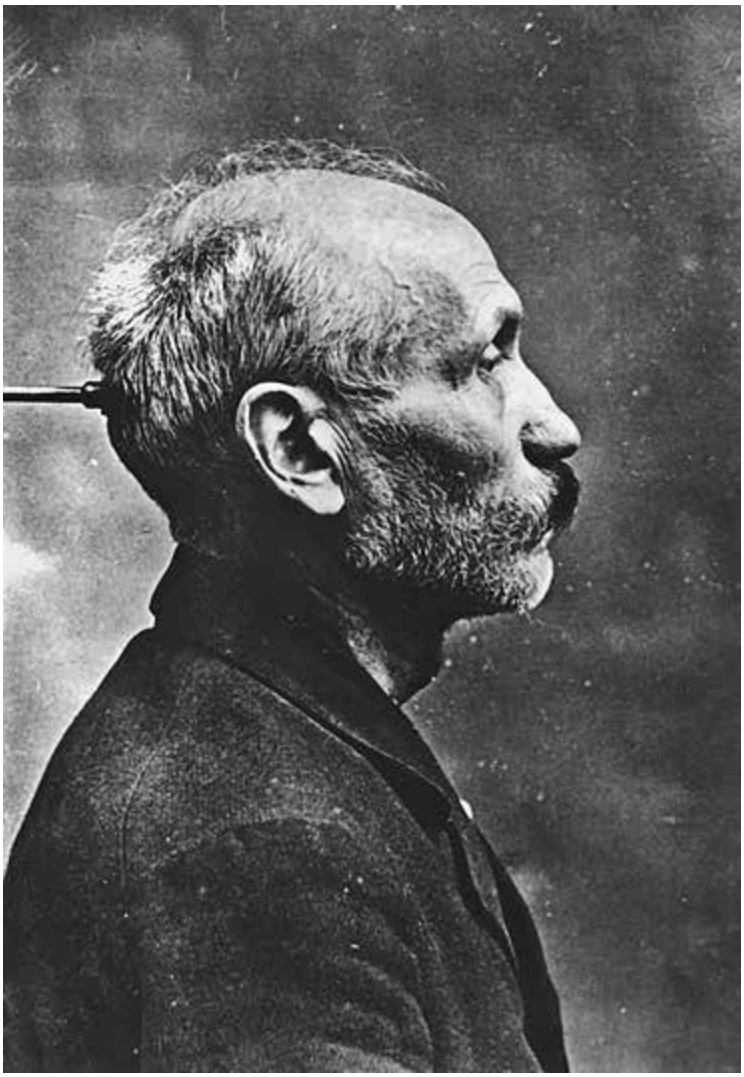

Kapitan z Köpenick – Friedrich Wilhelm Voigt

17 października 1948 ▪ niedziela

Nietoperz

Noc spędza Andrzej Pronaszko na wąskiej, twardej ławce wagonu pociągu jadącego z Krakowa do Warszawy. Nasłuchując stukotu kół, artysta powoli uspokaja skołatane nerwy. Poprzedniego dnia

zadzwonił telefon i nieznoszący sprzeciwu głos zażądał: „Tu sekretarz KC PZPR. Jutro ma się pan stawić o godzinie siedemnastej w Belwederze".

Czego może od niego chcieć komunistyczny prezydent Bolesław Bierut?

Andrzej Pronaszko to przecież scenograf teatralny i malarz.

Studia malarskie ukończył w pierwszych latach XX wieku w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, m.in. w pracowni Leona Wyczółkowskiego. Potem studiował w Monachium i w Paryżu. Jeszcze przed I wojną wraz z bratem Zbigniewem i Tytusem Czyżewskim organizował w Krakowie wystawy Niezależnych, artystów zwalczających ciągle dominującą w polskim malarstwie młodopolszczyznę.

W 1917 roku związał się z formacją Ekspresjoniści Polscy, która rychło przepoczwarzyła się w grupę Formiści. Czerpał wtedy niemało z dorobku kubizmu, próbował jednak te inspiracje pogodzić z ekspresją motywów narodowych, polskich. Pronaszko nieustannie w swym malarstwie eksperymentował, poszukiwał nowych inspiracji. U schyłku lat 20. skłaniał się ku koloryzmowi, w latach 30. – ku konstruktywizmowi.

Od bez mała 40 lat bodaj bardziej znany jest jako teatralny scenograf niż malarz. Dla teatru projektował oprawy sceniczne już przed I wojną światową. W czasach II Rzeczypospolitej przygotowywał głośne inscenizacje w Teatrze Miejskim we Lwowie, w krakowskim Teatrze Miejskim im. Słowackiego oraz w warszawskim Teatrze im. Bogusławskiego.

W czasie okupacji Pronaszko działał w podziemnej Radzie Teatralnej i w Biurze Informacji i Propagandy Armii Krajowej.

Po wojnie wrócił do teatru. W 1945 roku został kierownikiem artystycznym i dyrektorem Starego Teatru w Krakowie. Pracownik

BIP AK u steru najważniejszego polskiego teatru – tego było dla nowych władz za wiele.

W 1946 roku Pronaszko przestał pełnić oficjalne funkcje w Starym, ale z teatrem tym, oraz z katowickim Teatrem Śląskim im. Wyspiańskiego, współpracuje jako scenograf do dziś.

Dochodzi 17.00. Pronaszko punktualnie wchodzi do belwederskiego holu. Wita go Wanda Górska, w godzinach pracy prezydenta Bolesława Bieruta jego sekretarka, po godzinach – żona. Prowadzi scenografa do bocznego korytarza i częstuje wybornym papierosem. Pronaszko, znany smakosz, zaciąga się z rozkoszą i obserwuje z boku kolejnych gości obsługiwanych w holu przez kamerdynerów. Śmietanka polskich twórców i ludzi nauki. Po kilkunastu minutach pani Górska prowadzi gości z korytarza do wielkiej sali narad. Przy stole, obok Pronaszki, siada wybitny reżyser Leon Schiller. W 1924 roku, do reżyserowanej przez Schillera w warszawskim Teatrze im. Bogusławskiego Szekspirowskiej *Opowieści zimowej*, Pronaszko wymyślił nowoczesną, uproszczoną scenografię – użył wyłącznie czarnych i białych kotar, podestów i schodów, aktorów zaś odział w stylizowane, sztywne, przypominające rury kostiumy. Podobne rurowate kostiumy z latami stały się znakiem firmowym w scenograficznej twórczości Pronaszki.

Wspólnie z Schillerem w 1932 roku scenograf stworzył we Lwowie sławną inscenizację *Dziadów* Mickiewicza. Wymyślone przez nich, rzeźbiarsko potraktowane, kubistyczne kostiumy, nowatorskie operowanie światłem, zastępującym kurtynę, scenografia stapiająca się w organiczną jedność z przebiegiem akcji dramatu były przełomem w polskim teatrze.

Schiller schyla się ku swemu wieloletniemu współpracownikowi i przyjacielowi. Szeptem tłumaczy, że znów idzie o *Dziady* – partia

chce z okazji 150. rocznicy urodzin Mickiewicza wystawić je w warszawskim Teatrze Polskim, w reżyserii Schillera, w scenografii Pronaszki, ale po uprzednim dostosowaniu dramatu do nowych realiów politycznych.

Wkracza prezydent Bolesław Bierut ze świtą. Obok prezydenta zasiadają członek Biura Politycznego PPR Jakub Berman, premier Józef Cyrankiewicz, wysoki dygnitarz zwasalizowanej przez komunistów PPS Henryk Jabłoński. Po kilku wystąpieniach Pronaszko zdaje sobie sprawę, że solą w oku władzy jest koncepcja inscenizacji *Dziadów* z 1932 roku. Cyrankiewicz pokrótce omawia ją i orzeka, iż nawet najbardziej genialne pomysły tracą po pewnym czasie na aktualności. „Nie czas na mistycyzmy" – kończy.

Schiller robi się purpurowy. Prosi o głos. Wyjaśnia, że mistycyzmy to pamiętne 3 wielkie krzyże wznoszące się nad sceną, ale to nie jego, to Pronaszki, pomysł: „Trzeba przyznać, że ta znakomita myśl inscenizacyjna należy do mego druha i starego towarzysza broni Andrzeja Pronaszki".

Dla Pronaszki to chwila życiowego tryumfu: Schiller wielekroć przywłaszczał sobie jego pomysły sceniczne. Ale nie ma czasu na ciche tryumfy, bowiem Schiller szybko deklaruje gotowość do zmian, np. do przesunięcia *Widzenia Księdza Piotra* z pierwszego planu na dalszy.

Kamerdynerzy wnoszą kawę i ciastka. Pronaszko jest podwójnie zniesmaczony: kawa niedobra, a kolejne wystąpienia dyskutantów jeszcze gorsze. Ktoś proponuje, by do *Dziadów* wprowadzić postać Puszkina. Mógłby komentować niewygodne passusy pióra Mickiewicza. Schiller deklaruje, że dramat romantyczny ma luźną budowę i dołożenie doń jakiejś całkiem nowej cegiełki nie jest problemem. Od roku już osuwający się w otchłań partyjnej niełaski twórca Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik Jerzy Borejsza proponuje

scenę w Moskwie; w rosyjskim salonie rozprawialiby dekabryści. Poprawne politycznie sceny dopisać miałby Mieczysław Jastrun.

Ten jednak stanowczo protestuje. Zdenerwowanego poetę nieoczekiwanie bierze w obronę sam Bierut. Mówi, że tekst dramatu Mickiewicza winien być nietykalny.

Pronaszko dostrzega latającego pod sufitem nietoperza. Zacietrzewieni dyskutanci nie zauważają cichego świadka narady. Tylko rozradowana Wanda Górska śledzi jego ewolucje i wymienia uśmiechy z Pronaszką. Wreszcie nietoperz gdzieś się chowa, ale po chwili pod plafonem pojawia się wielki czarny motyl. Pronaszce wydaje się, że ma zwidy, ale najwyraźniej nowego gościa z uwagą śledzi ze swej kanapy także pani Górska.

Natchniony widokiem motyla Pronaszko zabiera głos. Sprzeciw nie ma sensu, więc artysta lisio kluczy: przyznaje, że coś trzeba stworzyć, ale na owo coś trzeba czasu, dużo czasu. Wstaje Bierut i zgadza się, że kwestię inscenizacji trzeba odłożyć na parę miesięcy.

Wanda Górska oferuje oszołomionemu Pronaszce odwiezienie prezydencką limuzyną Bieruta. Ten zgadza się i jedzie do swej kuzynki, mieszkającej wraz z mężem płk. Janem Rzepeckim, twórcą Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, świeżo zwolnionym z więzienia.

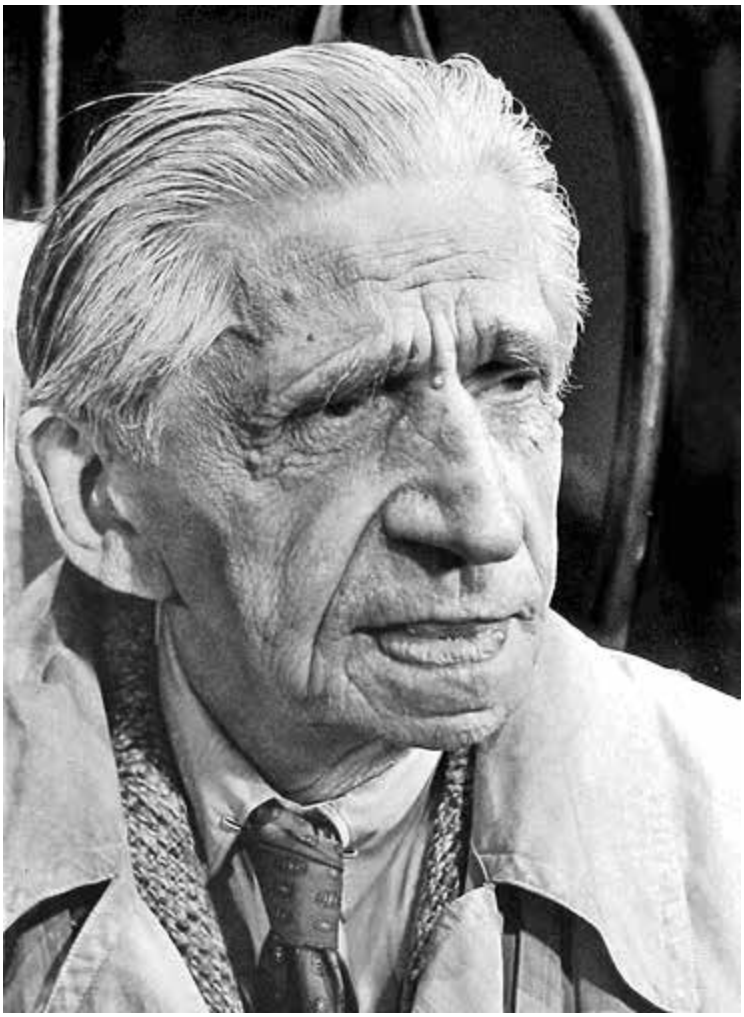

Andrzej Pronaszko

18 października 1977 ▪ wtorek

Och, Gaby!

Pasażerskiego boeinga 737 niemieckiej Lufthansy skrywają ciemności. Samolot od kilkunastu godzin stoi na uboczu lotniska w stolicy Somalii Mogadiszu. Wewnątrz 4 palestyńskich porywaczy więzi 86 wycieńczonych, spragnionych pasażerów, pilota i trzy

stewardesy. Samolot jest zaminowany. Dowódca porywaczy, zawodowy międzynarodowy terrorysta Zohair Youssef Akache, od początku akcji skrywający się pod pseudonimem „Kapitan Mahmoud", jest w świetnym humorze. Zachodnioniemiecki minister stanu Hans Jürgen Wischnewski poinformował go przez radio, że Bonn zgodziło się na żądania porywaczy i niemieckie władze zwolniły z więzienia w Stammheim 11 niemieckich terrorystów z Rote Armee Fraktion (Frakcji Czerwonej Armii) zwanej też Grupą Baader–Meinhof, odpowiedzialnych za liczne zamachy i zabójstwa w RFN.

Tragedia niemieckich turystów zaczęła się przed 5 dniami na lotnisku Palma na Balearach. Do boeinga noszącego w Lufthansie nazwę „Landshut" prócz niemieckich urlopowiczów wracających z tanich, posezonowych wakacji wsiadło 4 Palestyńczyków – 2 mężczyzn i 2 kobiety. Wszyscy ubrani byli w T-shirty z podobiznami Che Guevary, kupione parę godzin wcześniej w Palma de Mallorca. Po starcie Palestyńczycy wyciągnęli z bagaży osobistych broń i materiały wybuchowe. „Kapitan Mahmoud" sterroryzował załogę i polecił zmienić kurs na Rzym. Tam zagroził, że w razie oporu wysadzi samolot, i zażądał zatankowania go. „Landshut" odleciał do Larnaki na Cyprze. Znów zatankowano go i porywacze polecili pilotom wziąć kurs na Bliski Wschód. W Bejrucie odmówiono zgody na lądowanie i zablokowano pasy startowe, więc „Landshut" poleciał do Bahrajnu. Tam potraktowano go identycznie. W Dubaju również zablokowano wojskowymi pojazdami pasy startowe. Ale tu pilot Jürgen Schumann nie miał wyboru – paliwa pozostało na parę minut. W pewnym momencie silniki straciły moc, temperatura w kabinie wzrosła do ponad 50 stopni i pasażerów ogarnęła panika. W chwili zamieszania obaj piloci zdołali przekazać przez radio informację, że na pokładzie jest

4 porywaczy. Schumann z najwyższym trudem wylądował. Podczas tankowania wojsko otoczyło samolot. Wściekły „Kapitan Mahmoud" oświadczył, że jeśli żołnierze się nie wycofają, zastrzeli drugiego pilota Jürgena Vietora. Niemiecki pilot z przystawionym do głowy pistoletem płakał i błagał o życie. Wreszcie żołnierze wycofali się.

Przedwczoraj „Landshut" znów wystartował i ruszył w upiorną wędrówkę po bliskowschodnich lotniskach. W Omanie zablokowano pas startowy i porywacze kazali pilotom lecieć do Adenu. Tam władze także zablokowały pasy startowe, ale zdesperowany Vietor na resztkach paliwa zdołał wylądować na drodze dojazdowej dla taksówek. „Mahmoud" pozwolił pilotowi Schumannowi wyjść na zewnątrz i sprawdzić stan silników. Gdy Schumann nie wracał, Palestyńczyk zapowiedział przez radio, że wysadzi samolot. Schumann wrócił na pokład po godzinie. „Kapitan Mahmoud" zamordował go w kabinie pasażerskiej strzałem w głowę.

Już kilka godzin po porwaniu w ślad za „Landshut" wystartowały w Niemczech 2 duże samoloty pasażerskie. W jednym leciał minister stanu Wischnewski, psycholog Wolfgang Salewski i 30 komandosów elitarnej niemieckiej grupy antyterrorystycznej GSG-9: Grenzschutz Gruppe 9, Oddziału Straży Granicznej nr 9. Samolot ten prowadził pilot Rüdiger von Lutzau, narzeczony stewardesy Gaby Dillman z porwanego boeinga „Landshut". W drugiej maszynie znajdowało się kolejnych 30 komandosów GSG-9 i drugie tyle lekarzy z pomocniczym personelem medycznym.

Wczoraj w Mogadiszu, wkrótce po porwanym boeingu, dyskretnie wylądowały oba niemieckie samoloty i ustawiły się poza zasięgiem wzroku porywaczy. „Kapitan Mahmoud" zapowiedział, że jeśli do 16.00 nie zjawią się uwolnieni terroryści

z RAF, wysadzi samolot. Krótko przed 16.00 minister Wischnewski zablefował: przez radio zapewnił, że porywacze są już na wolności i startują do Afryki. „Kapitan Mahmoud" przedłużył termin wysadzenia boeinga do 2.45 nad ranem następnego dnia. Terrorystka Souhaila Andrawes zapowiedziała wtedy stewardesie Gaby Dillman, że przed wysadzeniem samolotu osobiście zastrzeli ją i wszystkie znajdujące się na pokładzie dzieci.

O 2.05, pół godziny przed upływem ultimatum porywaczy, somalijscy żołnierze wszczynają gwałtowną strzelaninę przed dziobem boeinga. To część planu opracowanego przez dowódcę GSG-9 płk. Ulricha Wegenera. „Kapitan Mahmoud" i jego podwładny o pseudonimie „Numer 18" biegną do kabiny pilotów. Ale w ciemnościach nie dostrzegają nic groźnego. Strzelanina jest chaotyczna, wyraźnie na oślep, prowadzona z dala od samolotu. Wieża kontroli lotów zgłasza się przez radio. Niemieccy negocjatorzy nie przywiązują do strzałów żadnej wagi i żądają uzgodnienia szczegółów rychłej wymiany niemieckich terrorystów z RAF na porwanych pasażerów. Obaj palestyńscy porywacze uspokajają się – może ktoś usiłował w nocy przedrzeć się przez kordon somalijskich żołnierzy otaczający ich boeinga?

Gdy 2 Palestyńczycy wypatrują zagrożenia przed kabiną pilotów i dyskutują z wieżą kontrolną, do ogona samolotu bezszelestnie zbliża się w ciemnościach grupa mężczyzn. Mają czarne ochronne hełmy, czarne mundury i kamizelki kuloodporne. Twarze wysmarowali czarną szminką. Szturmowy oddział GSG-9 błyskawicznie ukrywa się pod skrzydłami. Komandosi ostrożne przystawiają do tylnych drzwi przeznaczonych do ewakuacji pasażerów drabinki szturmowe wyłożone miękką gumą. Teraz spod skrzydeł ruszają ku dziobowi samolotu 2 zamaskowane postacie. To Brytyjczycy, mjr Alistair Morrison i sierż. Barry Davies, żołnierze

Brytyjskiej CRW – Counter Revolutionary Warfare Wing, grupy sił specjalnych SAS wyspecjalizowanej w akcjach antyterrorystycznych, wypożyczeni do pomocy Niemcom przez rząd brytyjski. Morrison i Davies rzucają w okna kabiny pilotów skonstruowane przez SAS granaty ogłuszająco-oślepiające wielkiej mocy. Błysk i huk paraliżują na parę sekund obu terrorystów w kabinie. Niemieccy komandosi ukryci w tyle kadłuba wysadzają drzwi ewakuacyjne. Wdzierają się do wnętrza boeinga. Z całych sił wrzeszczą po niemiecku: „Wszyscy na podłogę! Kryć się!". Gdy w ciemnościach dostrzegają jedną z terrorystek, w mgnieniu oka rozlega się ogłuszająca kanonada. Palestynka pada jak ścięta. Druga terrorystka, Suahila Andrawes, ucieka do toalety. Strzela przez zatrzaśnięte drzwi. Jeden z pocisków niegroźnie rani niemieckiego komandosa w szyję. Jego koledzy nie bawią się w pertraktacje. Serie z pistoletów maszynowych Heckler & Koch dziurawią drzwi toalety jak rzeszoto. Ciężko ranna terrorystka leży skulona na podłodze.

W tym czasie druga grupka szturmujących prowadzona przez płk. Wegenera błyskawicznie dopada kabiny pilotów. Pierwszy z komandosów dostrzega „Kapitana Mahmouda". Strzela do niego z rewolweru Smith & Wesson. Terrorystę trafiają kolejne pociski kalibru 9,65 mm o podwyższonej zdolności rażenia, ale na Zohairze Youssefie Akache nie robią żadnego wrażenia. To wygląda jak niedobry film sensacyjny: wstrząsany kolejnymi trafieniami terrorysta ostrzeliwuje się, po czym spokojnie wyjmuje 2 granaty, odbezpiecza je i jeden po drugim rzuca do wnętrza kabiny pasażerskiej. Na szczęście turlają się pod puste fotele i eksplozje nikogo nie ranią. Komandos odrzuca rewolwer i bierze od ubezpieczającego go kolegi pistolet maszynowy Heckler & Koch. Seria ścina „Kapitana Mahmouda" z nóg.

Do lekko rannego „Numeru 18”, ostatniego z 4 terrorystów, doskakuje płk Wegener i z bliska strzela mu w głowę. Koniec akcji. Płk Wegener poleca podwładnemu nadać przez radio sygnał „Wiosna” – to znak, że udało się.

Żaden z zakładników nie zginął, tylko 3 odnieśli niegroźne rany. Komandosi ignorują krzyki radości i uściski porwanych. Nie mają pojęcia, czy teroryści nie włączyli ukrytych zapalników czasowych. Przez drzwi, którymi wdarli się na pokład, błyskawicznie ewakuują pasażerów. Uratowanymi zajmuje się natychmiast 30-osobowa ekipa medyczna, która przyleciała z Niemiec. Gaby Dillman pada w ramiona narzeczonego pilota von Lutzau.

19 października 1813 ▪ wtorek

Ostatni brzeg

W oknach hotelu Zum König von Preussen w Lipsku błyskają łuny pożarów. Płoną wsie wokół miasta. Na Napoleonie Bonaparte nie robi to wrażenia. Cesarz dyktuje rozkazy odwrotu dla swojej armii, książę Bassano spisuje je w świetle świec i pożarów.

Skończył się 3. dzień bitwy pod Lipskiem. Napoleon wydał ją przeważającym siłom koalicji Prus, Austrii, Rosji i Szwecji. Geniusz opuścił jednak Napoleona – plan bitwy, nieprzemyślany, nie przewidział wznoszenia dodatkowych mostów na rzekach Pleissie i Elsterze, odcinających jego armii drogę odwrotu. Na Elsterze Francuzi dysponują tylko jednym kamiennym mostem.

Polski VIII Korpus księcia Józefa Poniatowskiego przyjął na siebie w tej bitwie główne uderzenie wroga i związał jego siły.

Nadaremno. Napoleon nie potrafił oskrzydlić unieruchomionego wroga. Jest już jasne, że przegrał.

Cesarz kończy dyktowanie rozkazów dobrze po północy. Wzywa adiutanta i żąda sprowadzenia księcia Poniatowskiego. Książę przybywa o 3.00 w nocy. Wygląda fatalnie. Lewą rękę, dwukrotnie ranioną w walkach, trzyma na temblaku. Szare spodnie są uwalane błotem i krwią. Generalski mundur polowy okrywa szarobrunatna niekształtna burka. Na głowie ma czarny kapelusz.

Cesarz oznajmia księciu, że ma osłaniać odwrót jego armii od strony południowych przedmieść Lipska – Borna i Pegau. Wyraźnie zobojętniały książę podrywa się z irytacją. Tłumaczy, że większość jego oddziałów przeszła już na zachodni brzeg Elstery, reszta jest zdziesiątkowana; z 8 tys. żołnierzy zostało mu niespełna 800.

– I cóż z tego? 800 odważnych żołnierzy starczy za innych 8 tysięcy – ripostuje nieznoszącym sprzeciwu głosem cesarz.

Książę reaguje jak stary wojak – zapewnia, że przedmieścia będzie bronić do ostatniego żołnierza.

Poniatowski wychodzi w mglistą noc. W ciemnościach zaczyna się wielki ruch. Tłumy wyczerpanych piechurów, kolumny kawalerii i rozbite tabory z wolna wycofują się na zachód. Tak wygląda odwrót pokonanej armii.

Na pozycjach zajmowanych przez Polaków też panuje wielki ruch. Gen. Michał Sokolnicki, dowodzący jazdą IV Korpusu, 2 pułkami ułanów gen. Jana Krukowieckiego i pułkiem krakusów, odbiera rozkaz wycofania się na zachód. Przy księciu Poniatowskim zostają tylko szwadron kirasjerów pod płk. Kazimierzem Dziekońskim, resztki oddziału krakusów kpt. Puzyny i garść ułanów. Kolejne formacje wycofującej się polskiej kawalerii znikają w gęstej jak śmietana mgle.

O 7.00 mgła zaczyna rzednieć. Książę Józef wycofuje resztki VIII Korpusu, wszystkiego ledwie 2 tys. żołnierzy, na południowe przedmieście Lipska. Polacy są znużeni 3-dniowymi walkami. Głodni, przemoczeni, zmarznięci, niewyspani. Ale najgorsze, że tracą ducha. Napoleon przegrywa, a wraz z jego klęską na dno idzie sprawa ojczyzny, o ich własnym losie nie mówiąc.

Tylko stara gwardia Napoleona jest jak skała. W alejach między bramami Peterstor i Grimmtor gwardziści dwóch batalionów: polskiego pod płk. Stanisławem Kurcyuszem i westfalskiego, bladym świtem wyjmują z plecaków lusterka, przytwierdzają je do miejskich lip i z kamiennym spokojem golą się. Pociski artylerii pruskiej przelatują tuż nad ich głowami, ścięte gałęzie sypią się na mundury i na włosy, a gwardziści wygładzają przemoczone nocną ulewą harcapy i opylają je pudrem. Gdy bębny uderzają na apel, gwardia, zda się, w jednej chwili staje w ciasnych, równych szeregach i... wycofuje się ku jedynemu kamiennemu mostowi na Elsterze.

Książę wzywa do siebie adiutanta Szumlańskiego i przekazuje mu resztę pieniędzy, jaką ma przy sobie, by niezwłocznie dostarczyć je rannym polskim oficerom, leżącym w kwaterach w centrum Lipska. Poniatowski jest jak odmieniony. Znikła jego nocna apatia i znużenie. Gorączkowo pędzi wierzchem od batalionu do batalionu, podtrzymuje żołnierzy na duchu, osobiście wprowadza do walki kolejne bataliony. Uwija się w pierwszej linii, pod gradem kul i odłamków. Gdy pruskie bataliony naciskają mocniej, książę idzie z piechurami w pierwszej linii do ataku. Dostaje postrzał w prawą rękę. Pozwala opatrzyć ranę, wsiada na konia i kierując nim jedną, ranną ręką, rusza na pierwszą linię.

Polacy dokonują cudów w obronie, ale tak ogromnej przewadze nie można opierać się w nieskończoność. Ok. 10.00 kolumny

pruskie spychają resztki polskich pułków do miasta, na bulwary. Tam czeka na Prusaków odwód księcia Józefa – 2 bataliony płk. Malczewskiego.

Polacy stoją w ciasnym szyku najeżonym bagnetami. Prusacy podchodzą powoli na 20 kroków. Z tak morderczo bliskiego dystansu pruscy piechurzy oddają salwę. Dopiero teraz Polacy strzelają i ruszają do ataku na bagnety. Pokiereszowana kolumna pruska cofa się. W tej samej chwili z zaułków wyłania się kolejna, potężna kolumna wrogiej piechoty – to Austriacy! Na ten widok kompania badeńska, walcząca w szeregach polskich, przechodzi na stronę wroga i kieruje bagnety w niedawnych towarzyszy broni.

Ginie płk Malczewski, resztki jego rozbitych pułków chaotycznie przemykają w stronę rzeki. Książę Józef zwołuje uciekających do ogrodów Reichela nad Pleissą. Na bulwarach, w okolicy fontanny Wasserkunst, organizuje nowy ośrodek obrony. Książę objeżdża oddziały, przekonuje, by nie tracić ducha. Żołnierze są załamani. Prawdę mówiąc, walczą tylko dlatego, że oczekuje tego ich ukochany wódz.

O 11.00 wrzawa i dzikie wrzaski od strony bram Peterstor i Windmühlentor zwiastują, że zbliżają się Rosjanie.

Sytuacja jest rozpaczliwa. Poniatowski wzywa na pomoc marszałków Augereau i MacDonalda. Ich oddziały stoją w drugiej linii, ale Francuzi pozostawiają Polaków własnemu losowi.

Co gorsza, nieduży oddział pruskich piechurów przenika przez linie obrony w okolice jedynego kamiennego mostu na Elsterze. 2 zbudowane naprędce mosty drewniane nieco wcześniej rozpadły się pod ciężarem uciekających. Francuski saper kpr. Lafontaine, widząc blisko wroga, traci głowę. Nie dostrzega, że to tylko mały patrol pośród francuskich batalionów, bez namysłu podpala lont. Most wylatuje w powietrze.

Wieść o wysadzeniu mostu rozchodzi się błyskawicznie. Panika ogarnia Francuzów i Polaków. Książę Poniatowski jeszcze raz objeżdża swe oddziały, schrypnięty, krzyczy do żołnierzy:

– Koledzy, zaklinam was na imię naszej ojczyzny, abyście nie splamili naszego charakteru narodowego. W najświetniejszych wypadkach i niebezpieczeństwach to sobie hasło powtarzajcie, że jesteście Polakami.

Jeszcze raz prowadzi piechurów do kontrataku na bagnety. Kula karabinowa dużego kalibru przebija na wylot pierś, ledwie na szerokość dłoni powyżej serca. Książę jest blady, ledwie przytomny z bólu.

Polscy generałowie namawiają go, by się poddał i zachował swą osobę dla ojczyzny.

– Trzeba umrzeć mężnie – odpowiada.

W końcu jednak zgadza się, by wyprowadzono go na tyły.

Ale jak?

Wraz z garstką kirasjerów i krakusów książę szarżuje na pruską piechotę i przebija się na brzeg Pleissy. Rzeka jest błotnista, silnie wezbrana po ostatnich ulewach. Gen. Mikołaj Bronikowski nalega, by książę Poniatowski przeprawił się wpław. Książę waha się, w końcu wysyła eskortę do ostatniego kontrataku, sam zaś wjeżdża w rzekę. Nurt jest silny, unosi konia, który nie ma siły dopłynąć do drugiego brzegu. Adiutanci Ludwik Kicki i Francuz Hipolit Blechamps rzucają się na pomoc. Wyciągają z rzeki księcia. W tejże chwili Kicki dostaje postrzał.

Poniatowski idzie błotnistymi ogrodami w stronę kolejnej przeszkody – Elstery. Towarzyszą mu adiutanci i mastalerz, prowadzący konie za uzdy. Gdy napotykają grupy spanikowanych polskich żołnierzy, Książę słabnącym głosem dodaje im otuchy, wzywa do walki.

Kula trafia go w bok. Poniatowski pada na ziemię. Adiutanci podnoszą go, wsadzają na konia i wycofują się. Na opatrunek nie ma czasu.

W zamęcie walki Polacy natykają się na francuskiego generała z adiutantem. Francuz krótko rozmawia z Poniatowskim i dołącza doń. Oficerowie wyłamują w jakimś murze furtkę i już widzą brzeg Elstery. Idą ku niej, prowadząc konie, by nie zwracać na siebie uwagi. Ale po chwili obok ich głów świszczą kule. To patrol 7 pruskich strzelców skrył się za klombem i strzela do nich jak do kaczek. Książę Józef pyta oficerów, czy mają pałasze. Chce najpierw uderzyć na pruski patrol, a potem się przeprawić. Ale białą bronią dysponuje tylko francuski generał i 3 oficerów.

Książę wsiada na konia jednego z adiutantów i rusza z resztą towarzyszy w stronę Elstery. Brzegi Elstery są ujęte w dość wysokie mury. Wreszcie książę znajduje wyrwę i skacze w nurt rzeki. Za nim rzucają się w wodę pozostali.

7 pruskich strzelców nadbiega nad brzeg. Daje salwę. Kula trafia kpt. Blechampsa, który zsuwa się z konia i tonie. Książę Józef na koniu dopływa do zachodniego brzegu i znajduje w tamtejszym murze zbawczą wyrwę po pocisku. Koń dziarsko wdrapuje się na ląd.

Jeden z francuskich tyralierów obsadzających zachodni brzeg spostrzega wyłaniającego się z rzeki pokrwawionego jeźdźca w brudnej burce, dziwacznym, zdeformowanym nakryciu głowy. Ki diabeł, Kozak?

Bez namysłu naciska na spust. Uderzenie kuli kalibru 19 mm jest tak silne, że książę odruchowo ściąga jedną ręką cugle. Koń staje dęba i wali się wraz z jeźdźcem do rzeki. Po chwili dzielny rumak wdrapuje się jednak na brzeg. Książę znika w falach.

Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego

20 października 1957 ▪ niedziela

Jeszcze Polska!

W środku nocy dworce PKP w Katowicach i Chorzowie wyglądają jak w czasach wojny. Tysięczne tłumy koczują w halach pasażerskich, na peronach. Zmęczeni mężczyźni, często z dalekich krańców Polski, w byle jakich płaszczach kulą się i usiłują choć przez chwilę zdrzemnąć w chłodzie jesiennej nocy.

O świcie ruszą w stronę nowego, zbudowanego ledwie przed 15 miesiącami Stadionu Śląskiego w Chorzowie, największej areny sportowej w kraju. W samo niedzielne południe zacznie się sensacyjny mecz piłkarskich reprezentacji Polski i ZSRR.

W eliminacjach piłkarskich mistrzostw świata w grupie VI spotkały się reprezentacje Polski, ZSRR i Finlandii. Biało-czerwoni zaczęli je marnie. Pierwszy mecz rozegrali w czerwcu z drużyną radziecką, na stadionie na Łużnikach w Moskwie. Piłkarze radzieccy byli faworytami – przed rokiem, na igrzyskach olimpijskich w Melbourne, zdobyli złoty medal. Gospodarze zrobili wszystko, by z Polakami wygrać. Rozpoczęcie gry wyznaczyli na godz. 19.00 lokalnego czasu. Mecz miał się odbyć przy sztucznym oświetleniu. To światowa nowinka, a polscy piłkarze zetknęli się z nią właśnie w Moskwie po raz pierwszy. Mecz rozpoczął się przy paraliżującym dopingu 90 tys. sowieckich kibiców. Pierwszą bramkę strzelił Tatuszyn jeszcze przed przerwą. Po przerwie wynik podwyższyli Simonian i Iljin.

A elektryczne światło? Reflektory włączono tylko na 8 minut, między 52. a 60. minutą meczu. Zdezorientowani polscy piłkarze 4 minuty później stracili drugiego gola, i w tym momencie było już po meczu. Później kierownictwo polskiej ekipy złożyło z tego powodu protest. Gest odważny, ale bez znaczenia. Protest został odrzucony.

Drugi mecz biało-czerwoni rozegrali w lipcu w Helsinkach. Fantastycznym hat trickiem popisał się Jankowski – trafił do siatki gospodarzy w 19., 56. i 65. minucie. Po zwycięstwie na Finlandią 3:1 o wszystkim zadecydować ma dzisiejszy mecz w Chorzowie.

Przygotowaniom kibicowała, z niepokojem, cała Polska. Przed 2 tygodniami reprezentacja była w rozsypce. Tydzień temu piłkarska Kadra A rozegrała towarzyski mecz z Cracovią. Wygrała 2:0, ale trener reprezentacji Tadeusz Foryś, a zwłaszcza *de facto* rządzący reprezentacją jej kierownik sportowy płk Henryk Reyman, przez piłkarzy nazywany „Kapitanem”, nie mieli się z czego cieszyć. Na wysokości zadania stanął jedynie znakomity bramkarz

Szymkowiak. Do reprezentacji powrócił jeden z najlepszych piłkarzy Gerard Cieślik z Ruchu Chorzów, który w przegranym meczu w Moskwie nie grał z powodu braku formy. Cieślik i jego partnerzy w ataku, Lucjan Brychczy oraz Henryk Kempny z warszawskiej Legii, wspaniale technicznie rozgrywali piłkę, ale notorycznie pudłowali. W troszkę lepszej formie strzeleckiej był tylko Cieślik, który kilka razy uderzył piłkę bardzo mocno, a raz trafił do bramki.

Obrońcy grali niepewnie, z upływem czasu wyraźnie słabli fizycznie i tylko marnej grze ataku Cracovii oraz fantastycznym paradom Szymkowiaka Kadra A zawdzięczała czyste konto.

Na 5 dni przed meczem, na zgrupowaniu kadry w Katowicach, nie stawili się 4 gracze Górnika Zabrze. Po awanturze „Kapitana" Reymana dojechali z Zabrza taksówkami.

Ostateczny skład jedenastki na ZSRR kapitanat PZPN ustalił dopiero późnym wieczorem w środę 16 października. Stoperem miał zostać Korynt, na skrzydłach wystawiono Baszkiewicza i Jankowskiego, a Gerarda Cieślika nie dość, że powołano na mecz, to jeszcze został mianowany kapitanem drużyny biało-czerwonych.

W czwartek rano Cieślik, który zawodowo pracuje przy obrabiarce, jak w każdy roboczy dzień obudził się przed 5.00. Na 6.00 szedł do roboty. Przy śniadaniu usłyszał w radiu, że został powołany na niedzielny mecz. Mecz ważny, prawda, ale robota jeszcze ważniejsza, na hali maszyna nie może stać wyłączona i kłóć w oczy. Ledwie rozpoczął pracę, przybiegł majster, który też słuchał porannych wiadomości.

– Co wy tu, Cieślik, robicie!? Za trzy dni mecz!

– Panie majster, pierwsze, co mam robić, to pracować, a jak pan mówi, że mam iść do domu, to pójdę – odpowiedział Cieślik.

I pojechał do domu. Ale tam żadnej wiadomości o powołaniu do kadry nie było. Czekał więc. Wieczorem, gdy jadł kolację, przyjechał

taksówką asystent trenera Forysia Ewald Cebula.

– No, zbieraj się, trzeba jechać na zgrupowanie do Katowic, grasz przecież – powiedział Cieślikowi.

A teraz, po śniadaniu w stołówce hotelu robotniczego, w którym nocowała reprezentacja Polski, gracze w pokojach przebierają się w piłkarskie stroje. Na nie wkładają dresy i wszyscy schodzą do jelcza, który ma ich zawieźć na Stadion Śląski.

Przed stadionem kłębią się ogromne tłumy kibiców, którzy nie dostali wejściówek. I dużo milicji.

Ten mecz to wielki kłopot dla władz. Ledwie rok minął od październikowego przełomu, a już w społeczeństwie górę biorą rozgoryczenie i frustracja. Gomułka wyraźnie porzucił październikowe idee praworządności i samorządności. Trwa przykręcanie śruby: ubezwłasnowolniono samorządy pracownicze, spacyfikowano prasę. Niedawno w Warszawie zakończyły się krwawe zamieszki po likwidacji reformatorskiego tygodnika „Po Prostu". Mecz z ZSRR to wyśmienita okazja do politycznych manifestacji tłumów, a nawet antyradzieckich zamieszek. Co prawda, służby bezpieczeństwa wysłały na trybuny setki cywilnych agentów, ale to kropla w morzu 100 tys. kibiców.

Na trybunach jest taki ścisk, że trudno się nawet obrócić. Nad dywanem głów unosi się mgła, siąpi. Nad jednym z sektorów powiewają gęsto klubowe flagi ŁKS. To matecznik kibiców z Łodzi. O 11.00 na płycie boiska pojawia się orkiestra górnicza pod batutą Augustyna Kozioła. W trakt tradycyjnych marszów kilka razy obchodzi murawę. Potem następują krótkie popisy kolarzy w wyścigach sprinterskich.

W szatni Polaków zjawia się szef reprezentacji Henryk Reyman. Zwołuje piłkarzy i oznajmia im, że za zwycięstwo dostaną, tak po

cichu, po 500 zł. Większość z nich zarabia od 1000 do 1300 miesięcznie, ta pięćsetka to byłoby już coś.

Polacy wybiegają w dresach na murawę. To rozgrzewka przed oficjalną prezentacją. Gdy kilka minut później wybiegają, także w dresach, gracze radzieccy, na trybunach zrywa się potężne, wrogie buczenie i gwizdy. Piłkarz Lechii Gdańsk obrońca Roman Korynt nieopodal rozgrzewających się gości prezentuje śmieszne wyskoki, salta i łamańce. 100-tysięczna widownia nagradza go oklaskami i śmiechem.

Punktualnie o 12.00 nad stadionem rozbrzmiewa przez megafony sygnał z wieży Mariackiej w Krakowie. Tłumom wzruszenie ściska gardło. Z tunelu wynurzają się gracze obu drużyn. Poprzedza ich angielski arbiter John Harold Clough. Polacy w białych koszulkach i czerwonych spodenkach, gracze radzieccy w czerwonych koszulkach i białych spodenkach. Stają na murawie. Orkiestra gra hymny państwowe. Gdy zaczyna *Mazurka Dąbrowskiego*, 100 tys. kibiców wstaje i na całe gardła śpiewa „Jeszcze Polska...". Na trybunach jedni ocierają łzy, inni cieszą się jak dzieci. Ten stadion jest ich, pełen jest wielkiej, porywającej mocy.

Tym razem nie ma żadnej ceremonii powitalnej drużyn. Gracze od razu ustawiają się na murawie i już słychać pierwszy gwizdek sędziego Clougha.

Polacy atakują pierwsi. Korynt, mimo że osłabiony po chorobie, pędzi z piłką na połowę przeciwnika, podaje do bohatera meczu w Helsinkach Jankowskiego. Ten dośrodkowuje, ale Kempny strzela nad poprzeczką. Na trybunach rozlega się wielki jęk zawodu.

Odpowiedź piłkarzy radzieckich jest błyskawiczna. Isajew dopada dryblującego w kółeczku Gawlika, odbiera mu piłkę, ciągnie do przodu. W ostatniej chwili piłkę wybija wybiegający z bramki Szymkowiak. W polskiej drużynie robi się nerwowo. W 7. minucie

Zientara podaje niecelnie bramkarzowi i piłka nieuchronnie, zda się, zmierza do siatki. Szymkowiak wyłapuje ją z cyrkową paradą.

Minutę później Szymkowiak wybija z linii bramkowej atomowy strzał Strelcowa. Jeszcze chwila i znów niemal cudem broni celny, piekielnie silny strzał Iwanowa.

Źle, źle, źle. Gdy wydaje się, że utrata bramki jest kwestią niewielu minut, Kempny urywa się prawoskrzydłowym obrońcom radzieckim, dośrodkowuje dokładnie na głowę nadbiegającego Cieślika. Malutki Cieślik jest świetnym technikiem i piłka leci dokładnie pod poprzeczkę radzieckiej bramki. Ale w tym meczu jest 2 fantastycznych bramkarzy. Lew Jaszyn interweniuje odruchowo i wybija strzał Cieślika.

Ta akcja odblokowuje biało-czerwonych. Grają coraz szybciej, coraz składniej. 100 tys. gardeł drze się, gdy tylko Polacy zdobywają piłkę i ruszają do przodu. Co z tego jednak, skoro Lentner, Brychczy, Cieślik i Kempny w doskonałych sytuacjach pudłują. W 31. minucie po rzucie rożnym, wykonywanym przez Lentnera, Cieślik strzela tuż obok słupka. Rosjanie rewanżują się 2 groźnymi akcjami. Każdej towarzyszą potężne, paraliżujące gwizdy widowni.

W 43. minucie piłkę przejmuje Lentner i zaraz przerzuca ją górą do Cieślika. Ten ładnie ogrywa Paramonowa i już jest sam na sam z Jaszynem. Cieślik ma piłkarski instynkt – łapie Jaszyna na kroku i interweniujący radziecki bramkarz tylko bezradnie może patrzyć, jak piłka ląduje w długim rogu bramki.

„Goooool!!!" – wrzask radości wzbija się ponad trybuny.

Gdy piłkarze wybiegają po przerwie na murawę, widzowie nerwowo liczą polskich graczy. O co chodzi!? Jest ich tylko dziesięciu! Dopiero po chwili z szatni wybiega spóźniony Gawlik i dołącza do rozgrywających już piłkę kolegów. Zasiedział się w toalecie.

Minutę później Jaszyn z najwyższym trudem broni groźny strzał.

W 50. minucie piłkę ma przy nodze Lucjan Brychczy. Zawzięcie dryblując, przebiega połowę boiska. Między radzieckim obrońcami ucieka na prawe skrzydło i miękko dośrodkowuje – prosto na głowę nadbiegającego Cieślika.

2:0. I ekstaza. Obcy ludzie na trybunach padają sobie w objęcia. Łódzki sektor intonuje „Sto lat!".

Ale mecz toczy się dalej. Uskrzydleni biało-czerwoni atakują, ale Jaszyn broni bezbłędnie. Na 20 minut przed końcem meczu Polacy słabną. Teraz grę dyktują lepiej przygotowani kondycyjnie gracze radzieccy. W 78. minucie Szymkowiak broni w sytuacji sam na sam z Iljinem. W chwilę później Strelcow pudłuje w stuprocentowej sytuacji, z odległości 6 metrów. Niedobrze. Zmęczony obrońca Florenski, dotąd grający niemal bezbłędnie, zostawia bez opieki Iljina, który dośrodkowuje precyzyjnie do Iwanowa. Ten strzela potężnie. Szymkowiak w pięknej paradzie sięga piłki, ale wyłamuje mu ona palce. 2:1. 100 tys. kibiców marzy tylko, by biało-czerwoni zamurowali swą bramkę, by nie dali wbić sobie wyrównującego gola. A tu niespodzianka – Polacy ruszają nagle do ataku. W 84. minucie Kempny w sytuacji, w której nie strzelić bramki nie sposób, nie trafia butem w piłkę. Na 2 minuty przed końcem meczu strzał Brychczego niemal ociera się o słupek bramki Jaszyna.

Długi gwizdek sędziego. Na trybunach wielki krzyk. Kibice wynoszą Cieślika na rękach do szatni. A potem, do białego rana, wielkie kolejki przed knajpami w Chorzowie, Katowicach, na całym Śląsku, w całej Polsce.

Mecz Polska – ZSRR w Chorzowie

21 października 1963 ▪ poniedziałek

Ostatni

Tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa w Lublinie Stanisław Mazur „Michał” o 8.30 telefonuje do swojego oficera prowadzącego porucznika SB Kazimierza Mikołajczuka. Chce się natychmiast z nim spotkać. Gdy godzinę później „Michał” zjawia się w jednym z mieszkań operacyjnych lubelskiej SB o kryptonimie „Weranda”, czekają tam nań zastępca komendanta wojewódzkiego SB ppłk Bolesław Dudek i naczelnik Wydziału III lubelskiego SB ppłk Świta. Chcą osobiście wysłuchać wyjaśnień „Michała” z wczorajszej

akcji. Nieudanej akcji. Lubelscy esbecy mieli zabić ostatniego partyzanta z czasów II wojny światowej, akowca, który nie złożył broni przez 18 powojennych lat.

Józek Franczak, syn gospodarza z Kozic Górnych na Lubelszczyźnie, po ukończeniu szkoły powszechnej wstąpił na ochotnika do Podoficerskiej Szkoły Żandarmerii w Grudziądzu. W roku 1939 służył w żandarmerii na Wołyniu. Po 17 września Sowieci aresztowali go w Równem. Pędzony przez funkcjonariuszy NKWD w kolumnie jeńców, oficerów WP i żandarmów, zdołał uciec. Podczas czerpania wody ze studni wykorzystał chwilę nieuwagi eskorty i błyskawicznie zdjął mundur. W koszuli i gaciach wyglądał na wiejskiego obdartusa. Enkawudziści pognali dalej kolumnę jeniecką, a na stojącego wśród chłopów Franczaka nie zwrócili uwagi.

Wrócił w rodzinne strony i od razu wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. Został dowódcą placówki AK, potem tamtejszego plutonu. W konspiracji wsławił się dbałością o wygląd, wręcz elegancją. Właśnie dlatego koledzy nazywali go „Lalusiem". Przezwisko przyjął za pseudonim (na zmianę z „Lalkiem"). Po wkroczeniu w sierpniu 1944 roku Armii Czerwonej zgłosił się do organizowanej 2. Armii Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Karola Świerczewskiego. Chciał bić się z Niemcami. Zamiast tego jednak w Kąkolewnicy koło Radzynia, gdzie stacjonował do stycznia 1945 roku, był świadkiem masowych rozstrzeliwań byłych żołnierzy AK. Gdy dowiedział się, że w rodzinnych stronach poszukuje go NKWD, zdezerterował. W trakcie obławy na jednego z ukrywających się partyzantów poakowskich Franczak został aresztowany. Funkcjonariusze UB nie rozpoznali go i dołączyli do grupy zatrzymanych podczas obławy mężczyzn. Po drodze aresztowani zaatakowali eskortę. Zastrzelili 4 funkcjonariuszy i uciekli. Kilka tygodni później w powiecie

krasnostawskim „Lalek" znów został ogarnięty przez obławę milicji i KBW. Podczas przebijania się z okrążenia zastrzelił komendanta posterunku MO w Rybczewicach.

Komunistyczne władze, nie mogąc zniszczyć poakowskiej partyzantki w lasach, w 1947 roku ogłosiły amnestię. „Lalek" poważnie rozważał ujawnienie się, ale adwokat, którego radziła się jego siostra, uznał, że komuniści zemszczą się na nim za współudział w zastrzeleniu 5 funkcjonariuszy.

Józef Franczak został w podziemiu.

Od stycznia 1947 roku „Lalek" dowodził kilkuosobowym patrolem w oddziale partyzanckim kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka". Operował w stronach rodzinnych. W maju 1948 roku jego patrol wpadł w zasadzkę UB – zginęło 2 partyzantów. W grudniu 1948 roku „Lalek" został ranny.

Od tego czasu działał samotnie – ukrywał się na własną rękę, z rzadka kontaktował się i spotykał z innymi partyzantami. W 1950 roku uczestniczył w wykonaniu wyroku śmierci na zdrajcy „Hardym", który wydał UB szefów lubelskiej partyzantki. Rok później zlikwidował tajnego współpracownika UB. Ostatnią wspólną akcję działający w pojedynkę lubelscy partyzanci przeprowadzili w lutym 1953 roku. „Wiktor" i Zbigniew Pielak „Felek" zaatakowali kasę Gminnej Spółdzielni w Piaskach. Z zewnątrz ubezpieczał ich „Lalek". Kasjer zdążył jednak włączyć alarm. W walce z milicjantami zginął „Wiktor", „Felek" i ranny „Lalek" zbiegli.

W kwietniu 1956 roku, gdy Sejm uchwalił kolejną amnestię dla żołnierzy podziemia, zmęczony 16 latami konspiracji „Lalek" gotów był się ujawnić, akceptował nawet kilkuletni wyrok więzienia, ale w końcu uświadomił sobie, że nieuchronnie czeka go dożywocie. Został w lesie.

Od 7 lat stara się już tylko przeżyć – w leśnych schowkach, w zagrodach zaufanych gospodarzy. Ciągle cieszy się mirem wśród wrogich komunistycznej władzy chłopów. Pomaga mu niemal 200 osób. Ukrywa się w rodzinnych stronach. Stara się nie nadużywać gościnności, zostaje u gospodarzy dzień, dwa, góra trzy, póki ma czym, płaci za żywność (jesienią 1956 roku napadł na samochód pocztowy ze 108 tys. zł). Starszym gospodarzom pomaga w rewanżu przy gospodarstwie. Często porusza się w przebraniu kobiety. Coraz częściej, coraz poważniej choruje. Jego pomocnicy nieraz ściągali z Lublina zaufanych lekarzy. Od kilku lat związany jest z Danutą Mazur z Wygnanowic. Przed 6 laty urodził im się syn. Wtajemniczeni pomocnicy „Lalka" traktują ich jako małżeństwo.

Ale SB zaciska wokół niego sieć konfidentów. Najcenniejszy wśród nich to „Michał", stryjeczny brat narzeczonej „Lalka" Danuty Mazur. Na polecenie SB spotykał się z ufającą mu Danutą i samym „Lalkiem". Wczoraj poszedł do Wygnanowic na umówione przez Danutę spotkanie z „Lalkiem". W ubraniu miał ukryte radiowe urządzenie nadawcze. Po skończonej rozmowie z „Lalkiem" miał zaalarmować funkcjonariuszy SB ukrytych z odbiornikiem w pobliżu gospodarstwa Danuty. Ci zaś mieli przekazać sygnał do czającej się w pobliżu wsi grupy likwidacyjnej, liczącej aż 70 zomowców i oficerów SB.

Urządzenie nadawcze zepsuło się, SB odwołała akcję. „Michał" zauważył jednak, że „Lalek" odjeżdża motocyklem. Zapamiętał numery rejestracyjne.

I teraz, w mieszkaniu kontaktowym, przekazuje je oficerom SB.

Milicjanci ustalają w wydziale komunikacji, że właścicielem motocykla jest Wacław Beć ze wsi Majdan Kozic Górnych.

Pułkownicy Dudek i Świta pośpiesznie organizują grupę operacyjną złożoną z 35 funkcjonariuszy SB i ZOMO. Jest w niej

także milicyjny przewodnik z psem tropiącym. O 14.30 ekipa ta wyjeżdża samochodami z Lublina. W pobliżu Majdanu Kozic Górnych funkcjonariusze opuszczają auta. Dwaj esbecy, którzy znają rozkład obejść w Majdanie, prowadzą ekspedycję w stronę gospodarstwa Wacława Becia. Esbecy i zomowcy otaczają zabudowania. Po chwili z gospodarstwa wychodzi mężczyzna. Znajdujący się najbliżej zabudowań przewodnik psa usiłuje go aresztować, ale nieznajomy rzuca się pędem do stodoły. To Józef Franczak. Po 2 minutach wypada z drugiej strony stodoły. W ręku ma pistolet. Strzela do przewodnika psa i ucieka w stronę lasu. Tam jednak są zomowcy z obławy. Krzyczą, żeby rzucił broń i podniósł ręce do góry. „Lalek" zawraca, wpada w krzaki wokół zabudowań. Tam ma schowaną torbę z resztą broni. Gdy po chwili wybiega z chaszczy, w obu rękach trzyma pistolety. Strzela z nich w biegu. Pędem mija porucznika SB Ludwika Taracha i jednego z zomowców, którzy ostrzeliwują go z niewielkiej odległości. Wszyscy trzej pudłują. „Lalek" wpada do sąsiedniego obejścia i chowa się pod nawisem dachu wozowni. Po krótkiej strzelaninie biegnie do kolejnego gospodarstwa. Taracha i zomowiec strzelają do niego. „Lalek" skręca do ogródka, między bzy i jaśminy. Tam opada na kolana i strzela do nadbiegających z drugiej strony zomowców. Ci strzelają w jego kierunku. „Lalek" pada twarzą do ziemi. Obok jego prawej ręki leży pistolet TT. Obok kolan – teczka i wyjęty z niej uzbrojony granat obronny, którego nie zdążył rzucić. Milicjanci podchodzą do leżącego, biorą za ręce i przewracają twarzą do góry. Po chwili „Lalek" umiera.

22 października 1930 ▪ środa

Przedsionek piekieł

Od świtu nad miejscowością Alsdorf pod Akwizgranem krążą małe jednosilnikowe samoloty. Z pokładu jednego z nich przedstawiciele władz usiłują ocenić rozmiar katastrofy. Pozostałe maszyny zostały wynajęte przez redakcje największych niemieckich dzienników.

Z lotu ptaka rejon wokół Kopalni „Anna II" wygląda jak po ciężkim bombardowaniu. Poskręcane stalowe konstrukcje leżą w gruzach kopalnianych budynków. W otaczającej „Annę" górniczej kolonii mieszkalnej położone najbliżej szybu ulice zasypane są metrową warstwą gruzu. To pozostałość po 20 domach górników, które eksplozja zdmuchnęła z powierzchni ziemi. Domy stojące nawet w odległości 300 m od szybu nie mają dachów. Zerwał je podmuch. Na gruzach krzątają się setki strażaków, ratowników górniczych, lekarzy, zmobilizowanych doraźnie robotników. Otacza ich kilkusetosobowy tłum, w większości kobiet i dzieci. Do rozległego rumowiska nieustannie podjeżdżają karetki pogotowia i ciężarówki ze sprzętem ratowniczym.

Rankiem poprzedniego dnia, jak zwykle, 667 górników dziennej szychty zjechało do kopalni. Tuż po 7.00 rozległ się potworny huk. Ci z pracowników, którzy znajdowali się na obrzeżach kopalni, usłyszeli, jak łoskot wybuchu przechodzi w kaskadę podziemnych grzmotów. Z szybu „Wilhelm" strzelił w niebo gigantyczny słup ognia i dymu. Szyb i gmach kopalni, w którym mieściły się biura, dosłownie wyleciały w powietrze. Kilka innych budynków biurowych i magazynów siła eksplozji zdmuchnęła z powierzchni ziemi. Po chwili na Alsdorf spadły kawałki murów, wielkie belki stalowe i drewniane, ławica cegieł i dachówek.

Niecałe pół godziny po eksplozji zrujnowany teren kopalni został otoczony przez kordon policjantów. Rodziny górników, które

natychmiast przybiegły pod kopalnię, ze zgrozą obserwowały sanitariuszy zbierających okaleczone zwłoki i szczątki zabitych rozrzucone przez eksplozję w odległości nawet 250 m od szybu. Ekipy strażaków usiłowały stłumić pożar szalejący w szybie.

Początkowo nikt nie potrafił odpowiedzieć na 3 najważniejsze pytania: ilu ludzi zginęło, ilu ocalałych górników pozostaje odciętych pod ziemią i co się tu właściwie stało?

Część górników, w chwili eksplozji znajdujących się w korytarzach położonych dalej od szybu „Wilhelm", przeżyła katastrofę i przedostała się do sztolni sąsiednich szybów. Po usunięciu uszkodzeń urządzeń wyciągowych, szczęśliwcy ci wyjechali na powierzchnię.

O 14.15 urząd górniczy w Bonn poinformował, że spod gruzów szybu „Wilhelm" wydobyto 45 zabitych i ok. 100 rannych, zaś wszystkich 400 odciętych pod ziemią górników sprowadzono już na powierzchnię. Nie była to prawda. Komunikat miał uspokoić nastroje w tłumach otaczających ruiny kopalni. Zwłoki ofiar wydobywano ze zgliszcz aż do zmroku, gdy przerwano akcję ratowniczą.

Boński urząd górniczy zasugerował, że przyczyną katastrofy była zapewne eksplozja dynamitu zgromadzonego w kopalnianym magazynie materiałów wybuchowych, znajdującym się 252 m pod ziemią, obok szybu „Wilhelm". Wedle różnych wersji w chwili wybuchu znajdować się w nim miało 2000 lub nawet 5000 kg dynamitu. Prowadzący śledztwo znaleźli w przewodach wentylacyjnych kopalni gazy pochodzące z eksplozji materiałów wybuchowych.

Nad ranem komisja rządowa, nadzorująca akcję ratowniczą i śledztwo w sprawie katastrofy, sporządza prowizoryczny bilans strat. Do tej pory doliczono się 243 zabitych. W szpitalach w samych

Alsdorf, w Akwizgranie i ok. leży ok. 90 rannych. W szpitalach w Bardenbergu znajduje się 35 ofiar poparzonych tak bardzo, że nikt nie potrafi ich rozpoznać. Z szacunkowych wyliczeń wynika, że odciętych pod ziemią powinno być jeszcze co najmniej 100 górników.

Wszyscy mają nadzieję, że przynajmniej część z nich żyje.

Późnym rankiem zdarza się cud. Choć siła eksplozji była tak wielka, że wybiła szyby i zerwała kable telefoniczne w całym Alsdorf, ocalał jeden z kabli łączących poziom 460 kopalni z powierzchnią. Ranny, zatruty gazami górnik dzwoni z dna „Anny II" i błaga o pomoc.

70 górników z nocnej zmiany zjeżdża pod ziemię w sąsiedniej kopalni „Anna I". Do tej akcji wybrano najlepszych, doświadczonych pracowników. Na dole odblokowują zaślepione korytarze i przedostają się na teren „Anny II". Mają ominąć zawały i gruzowiska, które blokują dostęp ratownikom opuszczanym przez szyby „Anny I". Posuwają się jednak bardzo powoli. Nieoczekiwanie niższe korytarze zaczyna zalewać woda. Odpompowanie jej idzie niesporo, gdyż prawie wszystkie urządzenia kopalniane są zniszczone.

Ratownicy ze zdwojoną energią wyrywają gruz z zawałów, stawiają prowizoryczne stemple. Niestety, w kolejnych sztolniach znajdują tylko zwłoki. Najpierw 6, w następnej sztolni – 10. Wywożą je taczkami i wózkami, służącymi do transportu urobku.

W południe jednak spod gruzów ratownicy wyciągają 4 górników. Są zatruci gazami, nieprzytomni, ale żyją.

Nadzieja wstępuje w tłum od 30 godzin czekający na wiadomości o losie górników. Resztki nadziei tracą natomiast bliscy kopalnianych urzędników. W momencie katastrofy w budynku zarządu kopalni, przylegającym do szybu, odbywało się posiedzenie

rady kopalni. Po południu ratownicy stwierdzają, że pod gruzami budynku zarządu nie ma żywych. To znaczy, że zginęło 30 członków rady kopalni i co najmniej drugie tyle kopalnianych oficjalistów.

Eksperci rządowej komisji śledczej badają rumowisko skał w miejscu, gdzie znajdował się podziemny skład materiałów wybuchowych. Podejrzewają, że jeden z górników strzałowych, przygotowujących ładunki do kruszenia skał, nieostrożnie spowodował detonację zapalnika, która zainicjowała eksplozję 5 t dynamitu.

Po południu ratownicy dokonują na dole zaskakującego odkrycia. Drzwi i zapory oddzielające od siebie poszczególne części kopalni podczas katastrofy zostały wyłamane nie od wewnątrz, od strony szybu „Wilhelm" i wielkiego składu dynamitu, lecz od zewnątrz. Komisja śledcza zastanawia się, czy jednak katastrofa nie zaczęła się od wybuchu metanu albo pyłu węglowego. Dopiero ten wybuch miałby spowodować eksplozję magazynu dynamitu, która dokończyła dzieła zniszczenia w podziemiach kopalni i obróciła w perzynę zabudowę na powierzchni.

Niektórzy z ekspertów w rozmowie z dziennikarzami sugerują, że zniszczenia są tak wielkie, iż być może stuprocentowe ustalenie przyczyn katastrofy będzie niemożliwe.

Pewne są dwie rzeczy.

To jedna z największych katastrof w dziejach górnictwa.

Niewątpliwą winę za rozmiary tragedii ponosi kierownictwo kopalni. Zmagazynowanie w jednej podziemnej komorze aż 5 t dynamitu było sprzeczne z górniczymi przepisami bezpieczeństwa i ze zdrowym rozsądkiem. Co gorsza, duży zbiornik z wybuchowym benzolem znajdował się w piwnicy budynku biurowego. Eksplozja benzolu spowodowała dodatkowe zniszczenia i pożary na powierzchni.

Zmęczeni ratownicy opowiadają, że korytarze 460 m pod ziemią wyglądają jak przedsionek piekła.

Ale przedsionek piekła naprawdę wygląda dużo bardziej elegancko: to stół nakryty zielonym suknem, za nim członkowie komisji wyborczej w odświętnych garniturach, na honorowym miejscu urna wyborcza. Przed pięcioma tygodniami NSDAP Adolfa Hitlera powiększyła swój stan posiadania w Reichstagu z 12 miejsc do 107 i stała się drugą co do wielkości partią w Niemczech.

23 października 1956 ▪ wtorek

Stalin bez butów

Wczesnym rankiem mieszkańcy Budapesztu wyrywają sobie z rąk partyjny dziennik „Szabad Nep". Dziś centralny organ Węgierskiej Partii Pracujących publikuje przemówienie nowego I sekretarza PZPR Władysława Gomułki wygłoszone przed trzema dniami na VIII Plenum KC PZPR. Gomułka zapowiedział w nim likwidację bezprawia okresu stalinowskiego i ogłosił program polskiej drogi do socjalizmu. Od wczoraj Polska i Gomułka są w Budapeszcie na ustach wszystkich.

Październikowa odwilż w Warszawie wyraźnie wyprzedza odwilż na Węgrzech. Od lata na wszystkich węgierskich uczelniach powstawały opozycyjne kluby dyskusyjne. W ostatnich dniach madziarska prasa, sprzyjająca odwilży, publikuje kolejne listy postulatów studentów domagających się już nie tylko destalinizacji, ale wręcz zmiany systemu.

Idolem burzących się studentów jest były premier Imre Nagy, który w węgierskiej partii reprezentuje linię podobną do linii

Gomułki. W zeszłym roku wskutek intryg stalinowskiego I sekretarza WPP Matyasa Rakosiego pozbawiono Nagya wszelkich stanowisk i wyrzucono go z partii. Przed 3 miesiącami nowy przywódca partii Ernoe Geroe, też zatwardziały stalinista, przystał jedynie na przywrócenie Nagyemu legitymacji partyjnej.

Na wczorajszych wiecach na wyższych uczelniach Budapesztu młodzież postanowiła zorganizować dziś demonstrację pod pomnikiem gen. Bema. To ma być znak solidarności z polskimi reformami, ale znak szczególny: Polak Józef Bem w 1849 roku poprowadził Węgrów do zwycięskich bitew z wojskami Habsburgów i rosyjskiego cara.

Władze zakazały demonstracji, ale studenci nie mają zamiaru odwoływać wiecu.

Rankiem do Budapesztu przyjeżdża znad Balatonu Imre Nagy. Przywódca partyjnej opozycji, mimo narastającego napięcia w stolicy, ostatnie 2 dni spędził błogo na winobraniach nad Balatonem.

Dziś także wraca z urlopu szef stołecznej milicji płk Sandor Kopacsi. Czeka na niego wezwanie na odprawę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Minister Piros, zatwardziały stalinista, żąda od płk. Kopacsiego wyjaśnień, co zamierza zrobić milicja, gdy demonstracja, mimo zakazu, rozpocznie się. Kopacsi tłumaczy, że przed wojną policja wyposażona była w ciężkie pałki, dysponowała też silnymi formacjami konnymi do rozpraszania tłumów. Socjalistyczna milicja nie ma sprzętu do zwalczania demonstracji – ma jedynie broń palną. W razie najmniejszego zamieszania padną strzały i zabici.

Płk Kopacsi domaga się, by kryzys rozwiązały metodami politycznymi władze partii. O dziwo, wiceministrowie biorą stronę szefa budapeszteńskiej policji. Wściekły minister telefonuje do

I sekretarza Geroe. Dowiaduje się, że biuro polityczne jednak uchwaliło zniesienie zakazu demonstracji. Informację tę właśnie podało radio.

Studenci maszerują w stronę pomnika Bema bulwarem naddunajskim. Większość z nich udekorowana jest czerwono-biało-zielonymi kokardkami, w barwach narodowych. Nad kolumną powiewa mnóstwo transparentów: „Chcemy stypendiów, z których można wyżyć!", „Język rosyjski nie jako język obowiązkowy!", „Zdemokratyzować partię!", „Imre Nagy do władzy!", „Solidarność z polskim narodem!", „Rosjanie do Rosji!".

Gdy studenci dochodzą do koszar szkoły oficerskiej, stojący w oknach kursanci, przyszli oficerowie komunistycznej armii, biją brawo. Nad koszarami powiewa wielka flaga w węgierskich barwach narodowych z wielką dziurą w środku. Oficerowie wycięli emblemat ludowej republiki, osobiście zaprojektowany, wedle sowieckiego wzorca, przez szefa partii Rakosiego. Z każdą minutą przybywa na fasadach domów narodowych flag z dziurą po wyciętym komunistycznym emblemacie.

Płk Kopacsi wraca do komendy policji. Tam otrzymuje meldunek z posterunku przy miejskim parku, że pod wielkim pomnikiem Stalina na pl. Bohaterów samorzutnie zebrał się tłum i usiłuje zdemolować monument. Kopacsi dzwoni na ten posterunek. Jego dowódca młodziutki por. Kiss melduje, że dysponuje 25 policjantami, a tłum wokół pomnika liczy ok. 100 tys. ludzi. Kopacsi pyta go protekcjonalnie: „Chyba nie macie zamiaru rozpędzać 25 ludźmi stutysięcznego tłumu?".

Ale porucznik melduje dziarsko, że ma 40 karabinów. Czeka tylko na rozkaz, by zacząć strzelać. Płk Kopacsi z trudem przekonuje go, by dał sobie spokój i został na posterunku.

25-metrowy Stalin z brązu jest ciężkim orzechem do zgryzienia. Robotnicy przywożą z pobliskich fabryk sprzęt spawalniczy i mozolnie, przez godzinę, odcinają mu nogi nad butami. Wreszcie ciężarówki napinają kilka grubych lin zarzuconych na szyję. Wielka statua powoli, majestatycznie wali się na ziemię i rozpada na kawałki.

Po obaleniu pomnika Stalina demonstranci idą pod gmach parlamentu. Docierają tam także studenci spod pomnika Bema. Tłum potężnieje z każdą minutą.

Na dachach domów w pobliżu parlamentu pojawiają się funkcjonariusze służby bezpieczeństwa AVH, zwani awoszami. Uzbrojeni są w pistolety maszynowe.

200 tys. Węgrów skanduje: „Nagy, Nagy!". Imre Nagy tymczasem w swoim domu budzi się z popołudniowej drzemki i kontynuuje polityczne rozmowy ze swoimi zwolennikami. Z placu przed gmachem parlamentu przyjeżdża delegacja studentów. Ale Nagy za nic nie chce jechać na wiec. Obawia się tłumów; wolałby negocjować zmiany w zaciszu partyjnych gabinetów.

Tuż przed 20.00 Biuro Polityczne wzywa Nagya, by pojechał przed parlament i opanował sytuację.

Nagy pisze krótkie wystąpienie. Potem czyta je w gabinecie swoim przyjaciołom. Wszyscy są rozczarowani: tekst jest pełen partyjnej nowomowy, mętny, pusty. Na poprawki nie ma czasu – czeka samochód. O 21.00 Nagy pojawia się w oknie na głównym piętrze budynku parlamentu. Przed nim morze głów. Postanawia improwizować.

– Towarzysze! – zaczyna.

Odpowiedzią są ogłuszające gwizdy i skandowanie: „Nie jesteśmy towarzyszami!".

Nagy poprawia się:

– Mili młodzi przyjaciele!

Odpowiadają mu okrzyki „Tu jest cały Budapeszt! Tu jest naród!”.

Nagy nie potrafi porwać wielosettysięcznego tłumu. Gdy mówi o demokratycznej dyskusji w partii, o dalszym rozwoju, przerywają mu protesty.

Na koniec rozlegają się gwizdy, ale w końcu tłum rozchodzi się do domów.

Na placu przed teatrem także demonstrują nieprzebrane tłumy. Nieoczekiwanie otwierają do nich ogień ukryci na dachach funkcjonariusze bezpieki. Przerażeni cywile chowają się po bramach. Chwilę potem przez plac przejeżdża kolumna ciężarówek z rekrutami z prowincji. Demonstranci zatrzymują je, proszą o karabiny do obrony przed awoszami. Prości żołnierze nie zastanawiają się długo – oddają cywilom 30 karabinów i drugie tyle pistoletów maszynowych, wszystko, co mają. Za moment cywile odpowiadają ogniem na ostrzał funkcjonariuszy bezpieki.

Przed gmachem radia rozgrywają się podobne sceny. I tu demonstranci, ostrzelani znienacka przez ukrytych na dachach awoszy, zdobywają broń i odpowiadają ogniem.

Po zmroku 2 doborowe oddziały wojska, wysłane na pomoc funkcjonariuszom bezpieki, przechodzą na stronę cywilów. Żołnierze ramię w ramię z uzbrojonymi demonstrantami szturmują gmach radia. Policjanci, wysłani na pomoc strażnikom oblężonym w budynku radia, szybko zostają zawróceni przez swego dowódcę do koszar – jeszcze chwila i przejdą na stronę tłumu, który mieli powstrzymać i rozpędzić.

O północy na ulicach i placach, jak grzyby po deszczu, rosną barykady. Obsadzają je pospołu uzbrojeni cywile i żołnierze. Wszyscy radośnie podnieceni, wszyscy mówią o wolności. Zaczyna się powstanie.

W gmachu KC tymczasem trwają obrady. Stalinowscy wyjadacze pod wodzą Geroe przeprowadzają chytry manewr. Wybierają Imre Nagya do politbiura, odwołują twardogłowego premiera Hegedusa i premierostwo powierzają Nagyemu.

Tyle tylko że Nagya stalinowcy w praktyce uwięzili w areszcie domowym: nie może brać udziału w obradach, nie może opuścić gmachu, nie może przyjmować nikogo z zewnątrz.

Partyjny beton obradujący w KC nie czuje się zagrożony buntem społeczeństwa ani jawnym poparciem części wojska i policji dla powstańców. Zaufani towarzysze już wiedzą, że stalinowskie kierownictwo wezwało na pomoc sowieckie wojska.

O 1.30 mieszkańców południowo-zachodniej części Budy podrywa na nogi potężny huk. Do Budapesztu wtaczają się najcięższe czołgi JS-2 sowieckiej armii rozlokowanej nad Balatonem, raptem godzinę drogi od stolicy. Dziesiątki, setki maszyn jadą w długich kolumnach. Załogi w środku, zatrzaśnięte włazy. Od czasu do czasu przejeżdżają seriami karabinów maszynowych po fasadach domów.

Mieszkańcy Budapesztu zebrani wokół zniszczonego pomnika Stalina

24 października 1956 ▪ środa

Wiec

Rano warszawiacy na pierwszych stronach „Trybuny Ludu" i „Życia Warszawy" czytają: „Dziś o 15.15 przemawia tow. Wł. Gomułka".

Przed paroma dniami Gomułka wrócił z politycznego niebytu na stanowisko I sekretarza PZPR. Uspokoił przybyłego do Warszawy Chruszczowa, maszerujące na stolicę wojska sowieckie wróciły do koszar. Miał władzę, nie miał za to ochoty stawać oko w oko

z tłumem rozognionych październikowymi zmianami warszawiaków. Komitet Warszawski PZPR naciskał jednak: trzeba zrobić wiec i odzyskać kontrolę nad nastrojami. Gomułka wykręcał się. Codziennie dzwonił do I sekretarza KW Stefana Staszewskiego i pytał, czy zaręczy, że wiec nie skończy się rozruchami.

Gomułka zdecydował się 23 października – nagle, po wiadomościach z Budapesztu o kolejnych zamieszkach, kolejnych ofiarach.

Już grubo przed 13.00 warszawiacy maszerują pod Pałac Kultury: idą w zimowych płaszczach, podekscytowani, uśmiechnięci. Załogi fabryk trzymają się pod ręce, niosą sztandary. 4 robotników dźwiga trumnę z napisem „Natolin". To symboliczna nazwa frakcji w PZPR, której przywódcy spotykają się w rządowym pałacyku w Natolinie pod Warszawą. Tzw. natolińczycy, w większości o generację młodsi od pokolenia działaczy stalinowskich, zwalczają liberalizację kursu w partii, brutalnie prą do władzy, władzy w dawnym, stalinowskim stylu.

O 15.00 tłum szczelnie wypełnia pl. Defilad. Może 400 tys. ludzi, może i 0,5 mln.

Gomułka wkracza ze świtą na trybunę. W jasnym, świetnie skrojonym płaszczu wygląda młodo i energicznie. W prawej ręce trzyma bukiet białych i czerwonych goździków, w lewej kapelusz.

Tłumy ruszają w jego stronę. Pęka wątły kordon milicji. Wybucha spontaniczne „Sto lat!". Ale Gomułka jest zdenerwowany: dostrzega nad głowami transparenty popierające walkę Węgrów o wolność.

Tłum skanduje: „Wiesław! Wiesław!".

Na trybunie do przodu przepycha się znienawidzony marsz. Konstanty Rokossowski, kremlowski namiestnik w polskiej armii. I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Stefan Staszewski, który formalnie jest gospodarzem wiecu, boi się, że lud marszałka

wygwiżdże, zelży. Przez mikrofon prosi uczestników wiecu, by się cofnęli. Ale gigantyczny tłum prze do przodu. W tej sytuacji Staszewski gra z sowieckim namiestnikiem w otwarte karty: „Ja was proszę, towarzyszu Rokossowski, jednak się cofnijcie, to nie jest dla was audytorium!".

Marszałek blady, z zaciśniętymi ustami, odchodzi w tył.

Gomułka przemawia. Odchyla lewą połę płaszcza, wkłada rękę do kieszeni. W klapie marynarki błyska wieczne pióro. Mówi o zmianach politycznych ostatnich dni, o obietnicach Chruszczowa ułożenia stosunków z Polską na równoprawnych zasadach, o możliwości odesłania na Wschód sowieckich doradców wojskowych. Tłum wiwatuje. Ale Gomułka mówi też: „Towarzysze! Nie pozwólmy reakcyjnym podżegaczom i chuliganom stawać w poprzek naszej drogi". Nad placem zalega cisza. Tylko klakier krzyczy: „Brawo!".

Gomułka kończy nieoczekiwanie: „Dość wiecowania i manifestacji!".

Ściemnia się. Rozczarowany tłum skanduje: „Wy-szyń-ski! Wy-szyń-ski!". Prymas ciągle jest więziony w Komańczy. Blady Gomułka każe Staszewskiemu natychmiast zakończyć wiec, zbiega z trybuny. Tłum pozostaje na placu. Dopiero kiedy ludowy bohater październikowych przemian robotnik fabryki samochodów na Żeraniu Lechosław Goździk przez megafony prosi o rozejście się, plac powoli pustoszeje.

Ale nie wszyscy idą do domu. Tłumy maszerują w stronę gmachu KC. Tam żądają dymisji Rokossowskiego. Demonstranci idą też pod ambasadę sowiecką. Krzyczą: „Uwolnić Wyszyńskiego! Zwolnić Rokossowskiego!". Ochraniający ambasadę oddział KBW ustawia kordon.

Sekretarz Staszewski boi się wybuchu zamieszek; ściąga ciężarówkami robotników z fabryki na Żeraniu. W ostatniej chwili robotnicy stają przed kordonem uzbrojonych żołnierzy i przekonują demonstrantów do rozejścia się. Jest już ciemno, gdy tłum pod KC uspokajają pośpiesznie zmobilizowani zetempowcy.

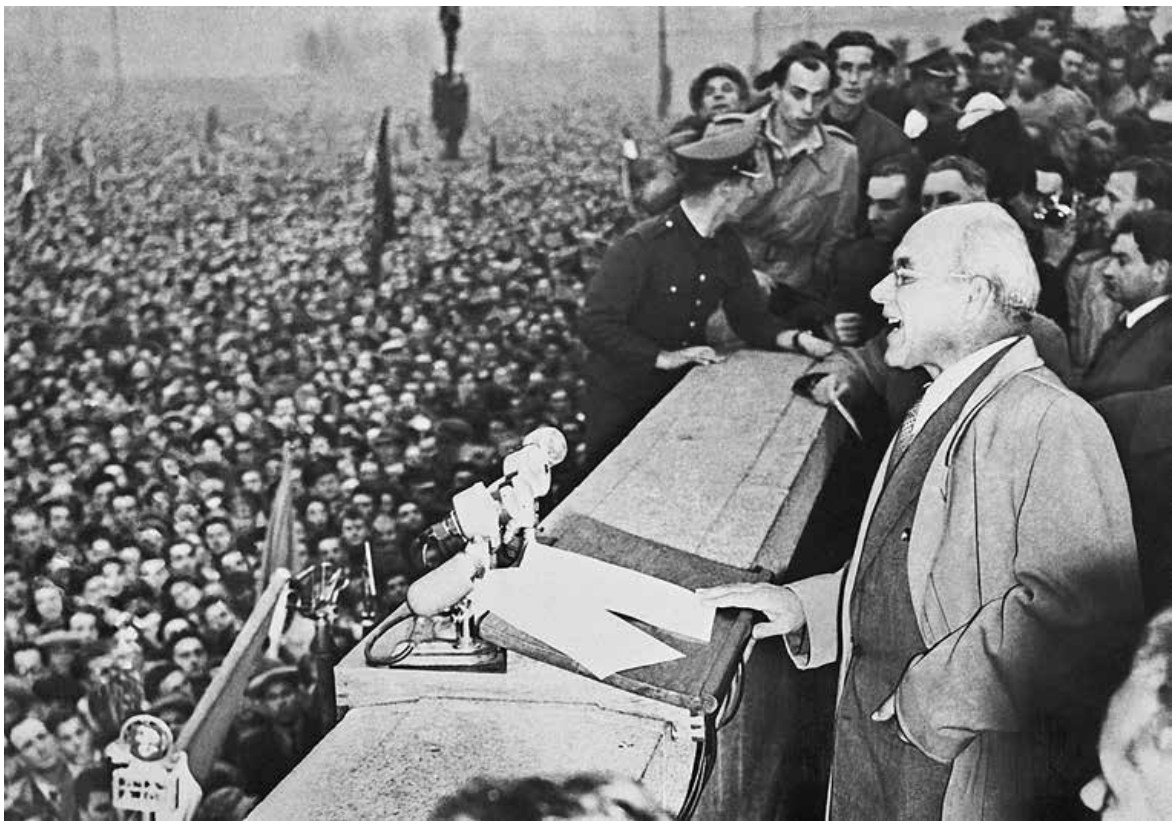

Przemówienie Władysława Gomułki

25 października 1854 ▪ środa

Cienka czerwona wstęga

Przenikliwe zimno, wilgotne, mgliste powietrze i stały głód robią swoje – żołnierze angielskiego 4. Pułku Lekkich Dragonów, stojący

na wysuniętej pikiecie wywiadowczej w wiosce Kamara, najbardziej wysuniętej placówce sojuszników nad rzeką Czarną, jeden po drugim zapadają w głęboką drzemkę. A przez ciemną szarówkę przedświtu cichutko skrada się do Kamary duża grupa carskich kozaków. Na szczęście jest jeszcze oficer dyżurny 4. Pułku kpt. Alexander Low, człek obowiązkowy, który zawsze punktualnie objeżdża pikiety. Low dzikimi okrzykami budzi swoich dragonów. Anglicy w ostatniej chwili uciekają przed pikami i szablami kozaków.

Za kozackimi watahami wyłaniają się z mgły rosyjskie pułki. Dużo pułków, piechoty i jazdy. Krótko po 6.00 potężny huk dziesiątek rosyjskich armat obwieszcza wojskom antyrosyjskiej koalicji, oblegającym Sewastopol na Krymie, że carskie pułki przystąpiły do kontrofensywy.

Po zaatakowaniu w zeszłym roku przez Rosję Turcji Wielka Brytania i Francja zawarły sojusz antymoskiewski. Miesiąc temu 60 tys. żołnierzy brytyjskich, francuskich i tureckich wylądowało na Półwyspie Krymskim i przystąpiło do oblężenia wielkiej twierdzy morskiej w Sewastopolu. Bazą flot i wojsk sprzymierzonych jest niewielki port Bałakława w pobliżu Sewastopolu. Jego utrata byłaby dla sprzymierzonych katastrofą. I właśnie dlatego na rozkaz cara Mikołaja I silna armia rosyjska gen. por. Pawła Liprandiego dziś o świcie rozpoczyna atak na port w Bałakławie.

Rosyjskie wojska, po przejściu rzeki Czarnej, sprawnie rozwijają szyki i wdrapują się na tzw. Wzgórza Fiediuchina. Przed nimi rozciąga się równina Bałakława, w połowie podzielona linią Wzgórz Nasypowych na 2 doliny – bliższą północną, i dalszą – południową. Dostępu do Wzgórz Nasypowych broni linia 6 prowizorycznych redut obsadzonych przez piechotę turecką, wzmocnioną 9 armatami i brytyjskimi kanonierami. Za Wzgórzami,

w południowej dolinie, dostępu do portu Bałakława bronią jedynie dwie zapory: 550 Szkotów ze sławnego 93. Pułku Highlanders, a w dali za nimi – linia żołnierzy Królewskiego Korpusu Piechoty Morskiej wzmocnionych garścią tureckich piechurów.

Gdy robi się jasno, rosyjska piechota atakuje reduty na szczycie Wzgórz Nasypowych. Wielokrotnie mniej liczni tureccy piechurzy bronią ich zaciekle, przez 1,5 godziny, ale w końcu fale Rosjan zalewają niewielkie reduty. Niedobitki 500 bohaterskich Turków uciekają w głąb doliny południowej, ale tam dopadają ich kozacy i straszliwie masakrują. Szarża garści brytyjskiej jazdy mogłaby uratować uciekających nieszczęsnych obrońców redut, ale Brytyjczycy nieporuszeni patrzą na dobijanie ich przez kozaków.

Na zachodnim krańcu Wzgórz Nasypowych swe białe okrągłe namioty rozbiła brytyjska Dywizja Kawalerii lorda Lucana, składająca się z Lekkiej Brygady i Ciężkiej Brygady. Dowódcy Lekkiej, lorda Cardigana, rankami nie ma przy żołnierzach, głodujących i marznących w letnich mundurach, w lekkich namiotach. Lord Cardigan, jako jedyny wyższy oficer, dowódca wojsk sprzymierzonych, nie mieszka w namiocie pośród swych żołnierzy – on bawi na swoim luksusowym jachcie „Driada", w wytwornej kabinie, z pokładową piwniczką najlepszych szampanów i z francuskim kucharzem. Jego jacht zajmuje stanowisko przy niewielkim nabrzeżu Bałakławy – tak potrzebne statkom zaopatrzeniowym, czekającym na redzie, aż zwolni się miejsce w porcie.

Lordowie Lucan i Cardigan są spowinowaceni, ale serdecznie się nie lubią i często nawzajem poniżają się w obecności podwładnych. Na swoje stanowisko dowodzenia lord Cardigan przybywa zwykle dopiero po 10.00 – dziś wyjątkowo zjawia się już o 7.45, w sam raz,

by popatrzyć na masakrę tureckich sojuszników, obrońców redut, oraz utratę 9 angielskich armat.

Z wysokiej skarpy Sapun na dolinę Bałakławа spoziera naczelny dowódca brytyjskich sił ekspedycyjnych lord Raglan. Przy boku ma liczny sztab oraz wpływowego londyńskiego reportera, korespondenta „The Times" Williama Howarda Russella. Tuż przed 8.00 do głównodowodzącego dołącza konno Fanny Duberly, żona kpt. Henry Duberly'ego z 8. Pułku Huzarów. Z wieloma oficerami, a nawet prostymi żołnierzami, przypłynęły na Krym ich żony, by tu troszczyć się o mężów. Najbardziej znaną z żołnierskich żon jest pani Duberly, która swą urodą i skłonnością do flirtów zawróciła w głowach ćwierci korpusu oficerskiego, panów lordów nie wyłączając.

Naczelny dowódca lord Raglan nie wydaje żadnych rozkazów, więc w końcu lord Lucan traci cierpliwość. By choć trochę wesprzeć masakrowanych Turków, uciekających ze straconych redut, rusza na czele swej ciężkiej brygady do pozorowanego ataku. Ale Rosjanie nic sobie z tej demonstracji nie robią, przeciwnie, dalej dobijają Turków i co więcej, przenoszą ogień swych armat na brytyjską dywizję kawalerii.

Pociski nadlatują z gwizdem i w ostatnich sekundach lotu są dobrze widoczne; doskonali jeźdźcy są w stanie w ostatniej chwili poderwać konia i uniknąć trafienia. W szeregach lekkiej brygady oficerowie krzyczą: „Uwaga, milordzie!", i zastępujący ciągle nieobecnego lorda Cardigana lord Paget uskakuje swym rumakiem o metr w bok. Armatnia kula przelatuje między nogami jego konia. Śmiechy i żarty towarzyszy broni kończą się, gdy kolejny 12-funtowy pocisk z charakterystycznym pluskiem rozrywa brzuch kawalerzysty w pierwszej linii 4. Pułku Lekkich Dragonów. Z każdą minutą takich straszliwych plusków słychać coraz więcej.

Rosyjska kawaleria przemierza dolinę północną i nieoczekiwanie dla Brytyjczyków wjeżdża na grzbiet Wzgórz Nasypowych. Tam carska jazda dzieli się na 2 grupy. Mniejsza, licząca ok. 500 kawalerzystów, rusza prosto na najważniejszy cel bitwy – port w Bałakławie. Na jej drodze stoją szkoccy górale z 93. Pułku Highlanders: potężni, w znakomitej większości rudobrodzi mężczyźni, w tartanowych kiltach, białych owijaczach, imitujących tradycyjne szkockie podkolanówki, w futrzanych bermycach na głowach i czerwonych, biało szamerowanych kurtkach. Cudów nie ma – pędząca rosyjska kawaleria musi zmieść i rozrąbać górali. Dowodzący Szkotami generał *sir* Colin Campbell ma za mało żołnierzy, by sformować czworobok, regulaminowy szyk obronny przed atakiem kawalerii. Ustawia górali ciasno, ramię w ramię, w podwójnej linii – Szkoci stojący z tyłu celują spomiędzy głów towarzyszy z pierwszego szeregu.

–Żołnierze, stąd nie ma odwrotu! Musicie zginąć tam, gdzie stoicie! – woła *sir* Campbell.

–Tak jest, *sir*, skoro tak trzeba, to tak będzie! – odkrzykuje szer. John Scott.

W koszarach samowolne odezwanie się szeregowca to skandaliczne złamanie dyscypliny i skończyłoby się paką, ale teraz *sir* Campbell tylko lekko skłania głowę. Za chwilę i tak wszyscy zginą.

Z wysokości skarpy Sapun patrzą na cienki, rozciągnięty szyk górali oniemiali lord Raglan, oficerowie jego sztabu, francuski generał Pierre Bosquet, pani Duberly. Reporter William Russell gorączkowo notuje: „Rosjanie rzucają się na górali. Ziemia umyka im spod kopyt, nabierają z każdym krokiem coraz większej prędkości, pędząc na cienką czerwoną wstęgę, obramowaną od góry lśniącą stalą".

Cienką, długą linię Szkotów spowija dym pierwszej salwy. Potem drugiej, trzeciej. Żadnemu z brodatych górali nie drży ręka. W nieustannym łoskocie salw, w kłębach dymu nagle objawia się cud – zmasakrowane ogniem górali w czerwonych kurtkach szyki rosyjskiej jazdy załamują się. Pędzący kozacy tuż przed góralami skręcają, chcąc ominąć tę piekielną czerwoną wstęgę. Krewcy Szkoci co rusz wyskakują z szyku, próbując dosięgnąć bagnetami pędzących tuż przed nimi rosyjskich jeźdźców.

– Dziewięćdziesiąty trzeci, stać i nie wariować! – krzyczy *sir* Colin Campbell.

Dym rozwiewa się. Ze skarpy Sapun widać niewzruszoną czerwoną wstęgę szkockich mundurów i przedpole gęsto zasłane zabitymi i rannymi jeźdźcami i ich wierzchowcami.

Notujący jak natchniony Russell nie może przypuszczać, że jego fraza o cienkiej czerwonej wstędze, którą po południu zamieszcza w artykule do „The Times", później już jako „cienka czerwona linia", wejdzie do anglosaskiej kultury jako synonim heroicznej walki brytyjskiego żołnierza z przeważającym wrogiem – i zwycięstwa.

26 października 1881 ▪ środa

Trzech pchniętych w wieczność

W zadymionym saloonie jednego z 60 lokali z wyszynkiem, otwartych do ostatniego gościa, w niespełna 8-tysięcznym miasteczku Tombstone w Arizonie, 4 porządnie ubranych mężczyzn gra przy stojącym na uboczu sali stoliku w pokera.

Młody mężczyzna o charakterystycznych, szeroko wykrojonych ustach, z czarną grzywką opadającą na czoło, to Tom McLaury, jeden

z rozrośniętego klanu McLaurych.

Jego sąsiad, blondyn z długimi jasnymi wąsami i szpiczastą bródką, to Joseph Isaac Clanton, powszechnie zwany „Ike", jeden z młodej generacji familii Clantonów.

Słusznej postury mężczyzna w dobrze skrojonym surducie to John Harris Behan, polityk partii demokratów, szeryf wiejskich terenów wokół Tombstone. To zręczny demagog, który świetnymi wystąpieniami publicznymi przykrywa swe nieczyste powiązania z przestępczymi grupami działającymi na tym terenie.

Czwartym graczem jest Virgil Earp, zastępca szeryfa na obszarze miasta Tombstone i formalny przywódca osiadłego w Tombstone klanu braci Earpów. Naprawdę jednak pierwsze skrzypce w klanie gra najmłodszy z Earpów – Wyatt.

Obserwując ojca, nauczył się on, że najważniejsza jest rodzina i walka o to, w co naprawdę się wierzy – nawet jeśli ma się przeciw sobie większość. I rzeczywiście, rodziny braci Wyatta, Virgila, Morgana, Warrena i Jima Earpów, zawsze trzymały się razem.

Wyatt zawsze ciężko pracował: jako policjant na ulicy, kelner, łowca nagród.

Dopiero w Tombstone, burzliwie rozwijającym się miasteczku, w którego okolicach jak grzyby po deszczu rosły niewielkie kopalnie srebra, bracia Earp znaleźli szansę na dostatnie życie.

Virgil został zastępcą szeryfa w mieście, Warren pomagał Virgilowi, Jim otworzył bar i dom gry Happy-Go-Lucky. Wyatt prosperuje najlepiej: spekuluje działkami górniczymi, wykupił licencje na hazard w saloonach Tombstone i po cichu ochrania interesy firmy przewozowej Wells Fargo.

W razie potrzeby Virgil powoływał Wyatta i Morgana na zastępców szeryfa.

Ale od paru lat nad klanem Earpów gromadzą się chmury.

Właściciele wielkich rancz są okradani z bydła przez bandę kowbojów. To ogromny biznes, w który potajemnie zaangażowani są lokalni politycy, z szeryfem Behanem na czele – górnicze miasto potrzebuje wielkich ilości wołowiny. Bandy kowbojów dostarczają skradzione bydło przede wszystkim na wielkie rancza Clantonów i McLaurych, którzy zmieniają wypalane na skórze znaki właścicieli i sprzedają bydło do Tombstone.

Virgil, z pomocą braci, nieraz już łapał złodziei bydła i koni, ale skorumpowany szeryf Behan i lokalni sędziowie zawsze ich wypuszczali.

W czasie jednej z takich akcji Virgil zastrzelił seniora rodu Clantonów.

Kowboje mają jeszcze jeden powód, by nienawidzić Earpów. Bracia otaczają opieką Johna Henry'ego Hollidaya, wykształconego w Filadelfii dentystę, który porzucił wiertło na rzecz colta i talii kart. Zwany z racji wyuczonej profesji „Doc" Holliday jest niebezpiecznie szybkim rewolwerowcem i wybitnym pokerzystą. Od miesięcy ogrywa w saloonach kowbojów z bandy Clantonów i McLaurych, a ci nienawidzą go, uważając, że oszukuje. „Doc" jest śmiertelnie chory na gruźlicę, którą leczy whisky, i uwielbia Virgila i Wyatta za to, że jako jedyni w mieście nie boją się od niego zarazić i traktują jak zdrowego człowieka.

Na domiar złego Wyatt odbił niedawno szeryfowi Behanowi kobietę, piękną tancerkę i śpiewaczkę Josephinę „Sadie" Marcus.

Już od wczoraj wiadomo, że coś złego musi się zdarzyć. Grupa młodych Clantonów i McLaurych przyjechała z innymi kowbojami do miasta i zaczęła ostre pijaństwo. Przy barze przybysze od kilku godzin zapowiadają, że jak się już dobrze napiją, to skończą z braćmi Earp.

Za oknem robi się jasno, ale w saloonie nadal panuje tłok. Mija 11.00 gdy od stołu wstaje zawiany Ike Clanton. Lekko zataczając się, cedzi w stronę Virgila Earpa:

– Mam wiadomość dla Hollidaya, będę czekał na niego na głównej ulicy i lepiej, żeby „Doc" przyszedł i walczył ze mną.

Virgil słucha tego z kamienną twarzą.

W południe na głównej ulicy rozlegają się dzikie krzyki. Na środku stoi Ike Clanton ze strzelbą w ręku i miota na Hollidaya straszliwe obelgi.

Virgil Earp podchodzi do Ike'a od tyłu i ogłusza go kolbą rewolweru. Po chwili zabiera go do sędziego. Ten na miejscu nakłada na niego karę 25 dolarów za zakłócanie spokoju publicznego.

Chwilę później szukający swojego kompana Ike'a Tom McLaury wpada na Wyatta Earpa. Z punktu obrzuca go stekiem przekleństw. Wyatt potężnym ciosem zwala McLaury'ego z nóg i odbiera mu broń. Zostawia go pokrwawionego, leżącego w końskich odchodach na środku ulicy.

Wszyscy obecni w mieście Clantonowie i McLaury idą do miejscowego sklepu z bronią. Kupują pudełka amunicji i dodatkowe rewolwery. Virgil Earp wyprowadza swoich braci na ulicę. Idą ramię przy ramieniu do biura Wells Fargo, w którym Virgil zostawił strzelbę. Dozbrojony, wraca na czele braci i oświadcza kowbojom, że mają natychmiast opuścić miasto.

Dochodzi 14.00, gdy Clantonowie i McLaury odchodzą w stronę O.K. Corral, wielkiej starej zagrody dla bydła i koni, w której mają uwiązane wierzchowce.

Earpowie wracają do saloonu.

Tymczasem na głównej ulicy, wśród gapiów, pojawia się coraz więcej uzbrojonych górników. To ludzie twardzi i gwałtowni. Lincz

to dla nich nieledwie chleb powszedni. I teraz coraz głośniej powtarzają, że Clantonowie i McLaury nie odjechali z O.K. Corral, zostali w mieście, łamiąc nakaz szeryfa Earpa, i jeżeli szeryf teraz cofnie się i nie zrobi z kowbojami porządku, to oni, górnicy, załatwią sprawę po swojemu.

Virgil słyszy pogróżki i pojmuje, że to nie przelewki. Decyduje się rozprawić z kowbojami.

O 14.30 Virgil, Wyatt i Morgan Earpowie wychodzą z saloonu.

Jak spod ziemi wyrasta przed nimi szeryf John Behan. Domaga się od Virgila, by zostawił kowbojów w spokoju. Virgil w rewanżu wzywa go, by asystował przy rozbrajaniu kowbojów.

Behan odmawia.

Earpowie ruszają dalej. Parę kroków dalej drogę zachodzi im „Doc" Holliday. Wyatt mówi mu, by się trzymał od nich z daleka – tę sprawę trzeba załatwić czysto. Ale „Doc" krzyczy, żeby się nie wygłupiał, że to także jego sprawa. Wyatt zastanawia się przez chwilę. W końcu nie wiadomo, ilu kowbojów czeka w O.K. Corral. A jeśli to zasadzka Clantonów? Zawodowy rewolwerowiec w rodzaju Hollidaya to wielkie wzmocnienie dla Earpów.

Wyatt kiwa głową i „Doc" dołącza do braci. Nie ma jednak przy sobie broni. Virgil wręcza mu swoją strzelbę. „Doc" chowa ją pod połę długiego płaszcza.

Earpowie i Holliday dostrzegają stojących przed O.K. Corral szeryfa Behana, Ike'a i Billy'ego Clantonów oraz Toma i Franka McLaurych.

Na widok Earpów 4 kowbojów cofa się w głąb O.K. Corral. Szeryf Behan podbiega do braci Earp i krzyczy, że nie pozwoli na żadną przemoc. Bracia w milczeniu mijają go jak uschnięty pień drzewa i równym krokiem zmierzają do O.K. Corral. Behan chowa się za rogiem ulicy.

Gdy Earpowie wchodzą na teren pustej zagrody, kowboje szykują się do odjazdu. Tom McLaury łapie za siodło swego konia.

– Chłopcy, podnieście ręce do góry! – woła Virgil.

Ike Clanton i jego kumpel Billy Claiborne rozglądają się, szukając drogi ucieczki. Tom McLaury odciąga kurek swojego colta. Słysząc to, Wyatt Earp wyrywa z kieszeni płaszcza rewolwer i bez namysłu strzela. W jednej sekundzie strzelają wszyscy.

Ike Clanton, wymachując uniesionymi wysoko do góry pustymi rękami, podbiega do Wyatta. Jest bezbronny, więc nikt do niego nie strzela. Ike próbuje złapać Wyatta za ramię, ten jednak odpycha go i krzyczy:

– Idź do nich i walcz albo wynoś się stąd! – I strzela dalej do jego brata Billy'ego i obu McLaurych.

Ike ucieka w stronę centrum Tombstone.

Pół minuty później gwałtowna strzelanina cichnie jak nożem uciął. Billy Clanton, Tom i Frank McLaury leżą pokrwawieni na ziemi. Konają. Virgil Earp kuleje – dostał postrzał w łydkę. Morgan Earp zainkasował postrzał między łopatki, ale jakoś trzyma się. Kula nie uszkodziła tętnic ani ważnych narządów. „Doc" Holliday krwawi z biodra, ale rana jest dość powierzchowna. Też się wyliże.

Tylko Wyatt wychodzi ze strzelaniny bez szwanku.

Bracia Earp i Holliday, podtrzymując się wzajem, powoli wloką się do centrum. Drogę zastępuje im szeryf Behan i próbuje ich aresztować. Wyatt znacząco kładzie dłoń na kolbie swego colta i Behan odstępuje jak niepyszny.

Gdy ranni opatrywani są w hotelu, Wyatt znajduje czas na parę słówek z reporterem miejscowej republikańskiej gazety „Daily Epitaph". Najmłodszy z braci wie doskonale, że prawnicy, ludzie Kościołów i prasa to potęgi, o których względy trzeba stale zabiegać.

Earp barwnie opowiada przebieg strzelaniny, reporter pilnie notuje. Do drukarni artykuł idzie pod tytułem: *Trzech mężczyzn pchniętych w wieczność w jednej chwili*.

Jutro o strzelaninie w O.K. Corral napiszą gazety stanowe, a potem – gazety w całych Stanach.

27 października 1962 ▪ sobota

Obciąć misiowi jaja?

Tuzin zmęczonych mężczyzn ślęczy nad papierami w sali posiedzeń Białego Domu. Są wśród nich prezydent Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy i jego młodszy brat senator Robert Kennedy. To Komitet Wykonawczy do Skutecznego Zarządzania Działaniami Agend Władzy Wykonawczej w Warunkach Kryzysu. Tasiemcową nazwę wszyscy skracają na Ex-Com.

Kryzys zaczął się pół roku temu. W odpowiedzi na amerykańską operację „Mangusta", przygotowania do obalenia siłą rządów Castro, Kreml w największej tajemnicy wysłał na Kubę liczące 43 tys. żołnierzy siły ekspedycyjne i rakiety z ładunkami atomowymi. W ich zasięgu znalazły się wielkie amerykańskie miasta. Pod koniec sierpnia lotnictwo USA sfotografowało budowy sowieckich instalacji rakietowych. Prezydent John F. Kennedy zarządził ścisłą blokadę Kuby. Ruszyły przygotowania do gigantycznej inwazji wojsk amerykańskich.

Choć Biały Dom nie wiedział, że Kreml scedował decyzję o użyciu taktycznych rakiet atomowych sowieckiemu dowódcy na Kubie, Kennedy czuł, że wojna atomowa wisi na włosku. Dlatego wczoraj z ulgą przeczytał osobisty list wysłany przez Chruszczowa.

Propozycja Chruszczowa brzmi dobrze: my usuwamy rakiety z Kuby, wy likwidujecie blokadę i gwarantujecie, że nigdy wyspy nie będziecie atakować.

Wygląda na to, że wojny atomowej da się uniknąć. W środku nocy członkowie Ex-Comu w niezłych nastrojach jadą do domów zdrzemnąć się choć trochę.

W tym czasie samolot szpiegowski U-2 lotnictwa amerykańskiego leci wysoko nad Arktyką. Ma pobrać próbki powietrza w poszukiwaniu radioaktywnych śladów sowieckich prób atomowych. Już niedaleko do świtu. Pilot mjr Charles Maultsby jest przekonany, że leci bezpiecznie nad wodami międzynarodowymi. Ale zorza polarna uniemożliwia mu nawigację wedle gwiazd. Maultsby w rejonie Półwyspu Czukockiego zbacza z kursu i wlatuje głęboko w przestrzeń powietrzną ZSRR. Z Wyspy Wrangla podrywają się sowieckie myśliwce. Rozkaz – bezwzględnie zestrzelić intruza. Maultsby w ostatniej chwili orientuje się, w co się wpakował, zawraca i alarmuje bazę. Dowództwo lotnicze na Alasce wysyła na pomoc myśliwce uzbrojone w atomowe rakiety powietrze-powietrze. Piloci mają ich użyć, gdy zostaną zaatakowani przez rosyjskie myśliwce. Rosjanie rezygnują z pościgu za U-2, gdy do spotkania z eskadrą amerykańską pozostał zaledwie kwadrans.

Nad ranem Roberta Kennedy'ego budzi z króciutkiej drzemki kurier Federalnego Biura Śledczego. Szef FBI J. Edgar Hoover przesyła tajną notatkę – wczoraj wieczorem otrzymał meldunek, że w sowieckich placówkach dyplomatycznych rozpoczęto przygotowania do niszczenia tajnych dokumentów. To oznacza tylko jedno – Moskwa przewiduje wybuch wojny w ciągu najbliższych godzin.

W samochodzie senator Kennedy usiłuje rozwiązać łamigłówkę: dlaczego dyplomaci sowieccy szykują się do wojny, skoro wczoraj

Chruszczow dał sygnał, że dąży do pokojowego rozwiązania kryzysu? O 10.00 rozpoczyna się rutynowe posiedzenie Ex-Comu. Na wieść o atomowej odsieczy dla zagubionego nad Czukotką U-2 sekretarz obrony Robert McNamara blednie i krzyczy histerycznie: „To początek wojny".

Prezydent Kennedy klnie na cały głos: „Zawsze znajdzie się jakiś sukinsyn, do którego nic nie dociera!".

Wszyscy zgromadzeni w sali posiedzeń wiedzą, o kogo chodzi. Szef sztabu amerykańskiego lotnictwa gen. Curtis LeMay jest jastrzębiem nad jastrzębiami; na każdej odprawie w Białym Domu domaga się rozpoczęcia bombardowań Kuby i konfrontacji z Sowietami. Kennedy'emu działa na nerwy zwłaszcza ulubiona ocena gen. LeMaya obecności sowieckich wojsk na Kubie: „Teraz można rosyjskiemu niedźwiedziowi uciąć łapę aż po jaja, a właściwie to jaja też mu możemy uciąć".

Wczesnym rankiem do prezydenta wpływa kolejny list od Chruszczowa. Jest o wiele bardziej formalny niż list wczorajszy. Eksperci szybko analizują tekst i dochodzą do wniosku, że tego pisma nie napisał osobiście Chruszczow. Najpewniej powstało ono wczoraj w moskiewskim MSZ. List stawia nowy warunek: „Usuniemy rakiety z Kuby, jeśli wy usuniecie wasze pociski z Turcji [...]. Związek Radziecki ogłosi, że nigdy nie zaatakuje Turcji i że nie będzie ingerował w jej sprawy wewnętrzne, a Stany Zjednoczone uczynią to samo wobec Kuby".

Amerykanie mają w Turcji przestarzałe rakiety Jupiter z głowicami atomowymi. Kennedy już wcześniej chciał je wycofać, ale Turcy domagali się pozostawienia atomowego parasola. Teraz wszyscy uczestnicy posiedzenia Ex-Comu zgadzają się, że ewakuacja pod sowiecką presją jest wykluczona. Waszyngton straciłby twarz. Co więcej, nikt nie ma wątpliwości, że podjęcie operacji

wojskowych przeciw Kubie spowoduje atak Sowietów na Turcję i nieuchronne wejście do akcji broni atomowej. Jakby tego jeszcze było mało, sekretarz obrony Robert NcNamara przynosi informację wywiadu, że na Kubie Rosjanie przyspieszyli budowę kolejnych wyrzutni i montaż bombowców Ił-28. Pracują w szaleńczym tempie, 24 godziny na dobę.

W czasie gdy Ex-Com obraduje w Białym Domu, z amerykańskiej bazy Guantanamo na Kubie startuje wywiadowczy samolot U-2 pilotowany przez mjr. Rudolfa Andersona. Ma dokładnie sfotografować instalacje rakietowe. Wkrótce po starcie namierza go stacja radiolokacyjna sowieckiego dywizjonu przeciwlotniczego dowodzonego przez mjr. Gierczenowa. U-2 mjr. Andersona Rosjanie kodują jako „Cel 33". Amerykański samolot fotografuje sowieckie wyrzutnie rakiet SS i zawraca do bazy. Gen. lejtn. Greczko, dowódca sowieckich sił przeciwlotniczych na Kubie, samodzielnie podejmuje decyzję o zestrzeleniu U-2. Mjr Gierczenow wydaje rozkaz: „Zniszczyć cel 33 – trzema, kolejno". Ale sowieckie instalacje rakietowe zawiodły. Zamiast salwy 3 rakiet w odstępach 3-sekundowych w powietrze idzie jedna. Eksploduje tuż obok lecącego w odległości 12 km samolotu, ale U-2 wytrzymuje cios. Leci dalej. Rosjanie po pewnym czasie odpalają drugą rakietę. Ta rozrywa samolot na strzępy.

Wiadomość o śmierci mjr. Andersona natychmiast dociera do Białego Domu. Prezydent Kennedy zauważa, że dalsze loty zwiadowcze nad Kubą wymagają likwidacji sowieckich baterii rakiet przeciwlotniczych. Wszyscy członkowie Ex-Comu są za rozpoczęciem bombardowań już jutro o świcie. Ale prezydent studzi zapał współpracowników: „Obie strony będą eskalować, po pierwszym kroku podejmą drugi, trzeci... Szóstego nie będzie, bo nikt już nie zostanie". Mijają kwadranse, godziny sporów. Większość

doradców jest za atakiem na Kubę i odparciem ewentualnego uderzenia Sowietów na Turcję. Naturalnie, z użyciem broni atomowej. Departament Stanu przysyła projekt odpowiedzi na poranny list Chruszczowa. Tekst jest twardy, konfrontacyjny: nie ma mowy o wycofaniu rakiet z Turcji.

Przeciwko takiej odpowiedzi Kremlowi protestuje senator Robert Kennedy. Popiera go doradca prezydenta i główny autor jego przemówień, Theodore „Ted" Sorensen. Członkowie Ex-Comu ze zmęczenia i pod wpływem stresu tracą nerwy. Dyskusja zamienia się w kłótnię. Zirytowany prezydent poleca bratu i Sorensenowi przejść do Gabinetu Owalnego i napisać własną wersję odpowiedzi. Zapowiada, że wybierze lepszą.

Robert Kennedy w gabinecie starszego brata wpada na świetny pomysł – niech prezydent zachowuje się, jakby dzisiejszego listu Chruszczowa w ogóle nie było, i życzliwie odpowie na list wczorajszy. Szybko szkicuje tekst, w którym prezydent w zamian za wycofanie rakiet i gwarancję, że nie wrócą one na Kubę, obiecuje natychmiastowe zniesienie blokady i udzielenie gwarancji, że USA nigdy nie dokonają inwazji na Kubę.

John F. Kennedy postanawia wysłać do Chruszczowa list napisany przez Roberta. Na zakończenie narady Ex-Comu mówi: „No, teraz może być tylko wóz albo przewóz". Gdy list przepisywany jest na czysto, prezydent i sekretarz stanu Dean Rusk wpadają na pomysł, by Robert Kennedy poufnie spotkał się z sowieckim ambasadorem Dobryninem i przekazał mu osobiste posłanie od prezydenta.

Robert dzwoni do Dobrynina o 19.15. Pół godziny później spotyka się z nim w swoim biurze w Departamencie Sprawiedliwości. Rozmowa jest uprzejma i konstruktywna. Po wstępnych wyjaśnieniach Dobrynin pyta wprost, co Kennedy ma

do zaoferowania. Robert streszcza właśnie wysyłany list do Chruszczowa. Ambasador pyta o rakiety Jupiter w Turcji. Robert Kennedy obiecuje, że jeśli Moskwa dochowa tajemnicy i nikt się o tym nie dowie, to za jakiś czas, po cichu, zostaną one wycofane; żąda odpowiedzi Kremla najpóźniej jutro rano. Pojutrze ma ruszyć inwazja na Kubę.

Późnym wieczorem sowieckie kierownictwo zbiera się rządowej willi pod Moskwą. W nocy zapada decyzja o przyjęciu amerykańskich propozycji. Wojny atomowej nie będzie.

28 października 1950 ▪ sobota

Na pociechę schabowy i piwo

Przedpołudniowa sesja sejmu przebiega wedle zapowiedzianego porządku. Po powołaniu sekretarzy wicemarszałek Wacław Barcikowski odczytuje krótkie wspomnienia o zmarłych niedawno posłach. Potem Sejm stwierdza wygaśnięcie mandatów kilku posłów, którzy formalnie z mandatów zrezygnowali. Wicemarszałek, w sennej atmosferze, informuje izbę o ratyfikacji konwencji z Węgierską Republiką Ludową o ochronie roślin uprawnych przed szkodnikami, o mianowaniu Juliana Tokarskiego ministrem przemysłu ciężkiego. W końcu przedpołudniowej sesji zaczyna się pierwsze czytanie rządowego projektu ustawy dotyczącej ratyfikacji układu między Polską a NRD o wytyczeniu ustalonej polsko-niemieckiej granicy państwowej.

Pisarka Maria Dąbrowska wychodzi z domu do Banku Rzemiosł i Handlu, by podjąć 300 tys. zł na pożyczki i większe zakupy

domowe. W banku, zwykle w sobotnie przedpołudnie sennym, tym razem kłębi się wielki tłum.

W innych bankach jest tego dnia podobnie. Pisarka nie ma pojęcia, o co chodzi.

Wieczorem, po długiej przerwie, posłowie wracają na obrady.

Najpierw zaskakuje ich widok wzmocnionych posterunków KBW przy wejściach do Sejmu. Domysły, że za chwilę rozegra się tu coś nieoczekiwanego i ważnego, zamieniają się w pewność: w kuluarach rozchodzi się poufna informacja o odcięciu wszystkich telefonów w gmachu Sejmu.

Przybywa rząd z premierem Józefem Cyrankiewiczem, wicepremierami Mincem, Chełchowskim i Korzyckim oraz z ministrem obrony narodowej marsz. Konstantym Rokossowskim. Po chwili okazuje się, że do czasu zakończenia posiedzenia posłowie ani nie mogą opuścić gmachu Sejmu, ani telefonować do miasta.

Ścisła tajemnica, utrzymywana do ostatniej chwili także przed posłami PZPR, wyjaśnia się szybko. Wicemarszałek zapowiada wniesienie pod obrady ustawy projektu Rady Państwa i rządu o zmianie systemu pieniężnego.

Na mównicę wychodzi minister finansów Konstanty Dąbrowski. Kompletnie zaskoczeni posłowie dowiadują się, że rząd przedkłada niniejszym projekt wprowadzenia do obiegu nowego pieniądza, a mianowicie nowego złotego, równego 0,222168 g czystego złota. W ustach ministra nowy pieniądz prezentuje się nader atrakcyjnie: „Kurs nowego złotego w stosunku do walut obcych będzie ustalony na zasadzie parytetu złota i będzie wynosić 1 złoty równa się 1 rubel, 1 dolar równa się cztery złote". Minister ze swadą przedstawia okoliczności, które wedle rządu uzasadniają wymianę złotego: przekroczenie planu 3-letniego, pomyślny początek planu

6-letniego, udane zbiory w tym roku i w ubiegłym, zniesienie przed 2 laty systemu kartkowego w miastach. Ale to nie wszystko.

„Elementy kapitalistyczne zostały wyparte z handlu hurtowego i skupu podstawowych artykułów rolnych oraz znacznie ograniczone w handlu detalicznym" – ogłasza z dumą minister Dąbrowski.

Tak wielkie sukcesy gospodarcze wymagają wprowadzenia odpowiadającego im pieniądza, grzmi z trybuny Dąbrowski. Gdy mówi on o nowym złotym, zawsze dodaje, że jest to złoty wysokowartościowy, równy najsilniejszej walucie świata – radzieckiemu rublowi.

Wreszcie mówca przechodzi do rzeczy najważniejszej – zasad wymiany pieniądza. Ceny i płace mają być przeliczone w stosunku 3 zł nowe za 100 starych, zaś stare banknoty pozostające w obiegu mają być wymieniane w proporcji 1 nowy zł za 100 starych. Oznacza to, że oszczędności trzymane przez ludność w złotówkach z dnia na dzień stracą dwie trzecie swej wartości.

Minister rozwodzi się szeroko nad staraniami władzy, by wymiana pieniądza była jak najmniej dolegliwa dla ludzi pracy. Wymiana zacznie się za 2 dni, w poniedziałek 30 października, zatem w dniu przed największymi wypłatami zarobków w zakładach przemysłowych. Ci z pracowników, którzy pensję w tym miesiącu już wzięli, dostaną jednorazową rekompensatę w wysokości dwóch trzecich zarobków za każdy dzień między początkiem wymiany pieniędzy a następnym dniem wypłaty. No i oszczędności na rachunkach w PKO i kasach pracowniczych przeliczone zostaną w stosunku 1:100. Na otarcie łez studenci dostaną zasiłek wysokości 70 zł – tyle, ile w nowych cenach warte będzie 12 kg cukru. Chłopi – ale tylko małorolni – będą mogli zapłacić starym pieniądzem, wedle starych stawek, zaległe podatki.

Wymiana pieniędzy ograbia społeczeństwo z dwóch trzecich zasobów gotówki. Władza każe się jednak cieszyć, że są tacy, którzy stracą bardzo dużo.

„Przeprowadzenie reformy walutowej pozbawi elementy spekulacyjne poważnej części nagrabionych przez nie kapitałów" – głosi tekst uchwały. To oczywiście nieprawda, spekulanci i prywatna inicjatywa trzymają oszczędności w dolarach, złocie, kamieniach, dziełach sztuki. Ta wymiana pieniądza ograbia przede wszystkim zwykłych robotników, chłopów, urzędników, inteligentów. Minister Dąbrowski dodaje nie bez żalu: „W stosunku do elementów kapitalistycznych w mieście i na wsi reforma walutowa oznacza ograniczenie ich spekulacyjnej działalności, ale nie jest równoznaczna z ich likwidacją".

Po malutkiej marchewce czas na kolejne kije dla społeczeństwa. Wymiana pieniędzy ma być prowadzona od 30 października do 8 listopada. Minister Dąbrowski tego z sejmowej trybuny nie mówi, ale planowana liczba punktów wymiany banknotów jest niewystarczająca, zwłaszcza na wsi i w małych miasteczkach. Kto do 8 listopada starych banknotów nie wymieni, ten nie wymieni ich już nigdy.

Ustawa o zmianie systemu pieniężnego wprowadza całkowity zakaz posiadania przez osoby prywatne walut obcych, złotych monet oraz złota i platyny w sztabkach. Ci, którzy je mają, muszą w ciągu najbliższego tygodnia odsprzedać je państwu, naturalnie, po cenach przez państwo wyznaczonych. Za posiadanie walut i szlachetnych kruszców grożą kary wieloletniego więzienia; za handel nimi – nawet kara śmierci.

Na koniec minister zapowiada podwyżkę cen wódki o 50 proc. Podwyżka wchodzi w życie z dniem rozpoczęcia wymiany pieniędzy. Oczywiście w trosce o zdrowie społeczeństwa.

Po ministrze finansów głos zabierają przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych Wiktor Kłosiewicz oraz poseł Ozga-Michalski z ZSL. Obaj gorąco popierają wymianę pieniądza. Pozory dyskusji są zachowane, ale żaden z posłów nie ma cienia wątpliwości, że rzecz jest przesądzona i jakiekolwiek nieuzgodnione uwagi z sali mogą się tylko skończyć źle dla ich autora. Cała operacja została przygotowana w niewielkim kręgu wtajemniczonych – nie mają o niej pojęcia nawet eksponowani pracownicy NBP i innych banków ani kierownictwa zwasalizowanych przez PZPR partii politycznych. Nowe banknoty emisji z 1 lipca 1948 roku od dawna już czekają w wojskowych magazynach. Zaprojektował je uznany twórca prof. Wacław Borowski. Władze zażądały, by banknoty ozdobiły wizerunki ludzi pracy. Na 100-złotówce znalazł się więc portret kierowcy warszawskiej Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, na 10-złotówce – wizerunek gisera Jóźwiaka z PWPW w Łodzi. Pierwszy projekt banknotu 50-złotowego władze odrzuciły. Przedstawiał on górala, a góral najwyraźniej, wedle komunistów, człowiekiem pracy nie jest. Ostatecznie na banknot trafił rybak.

Posiedzenie Sejmu kończy się późno w nocy. Słuchaczy Polskiego Radia niepokoją dziwne nocne komunikaty na falach eteru: prezydia oraz pracownicy etatowi rad narodowych wszystkich szczebli, pracownicy centrali Narodowego Banku Polskiego oraz wszystkich pozostałych banków i instytucji oszczędnościowych mają się zgłosić do pracy w niedzielę o 8.30. Kierownicy wszystkich placówek handlowych mają zgłosić się do pracy w niedzielę o 10.00.

W niedzielny ranek przed kioskami ustawiają się długie kolejki. Władze zmobilizowały w nocy zetempowców, by roznosili po

ulicach niedzielne wydanie gazet z informacjami o wymianie pieniędzy, ale to niewiele pomaga.

Maria Dąbrowska o 7.30 włącza radio i słyszy komunikaty dla pracowników banków. Martwi się, że ludowa władza uczyniła ją bankrutką. Niedawno podjęła w wydawnictwie „Czytelnik" połowę swych pokaźnych honorariów autorskich i ulokowała je w banku.

Wybitny matematyk prof. Hugo Steinhaus tego ranka, po przeglądnięciu gazet, jak na naukowca przystało, liczy: kilogram jabłek ma po wymianie kosztować 8 nowych zł, to znaczy – wedle nowego parytetu – 2 dolary, zatem 4 razy więcej niż w Stanach Zjednoczonych... Gdzie więc ten kryzys, to gnicie kapitalizmu, o którym opowiadał w Sejmie minister Dąbrowski, wychwalając wymianę złotówki?

W miastach i na wsiach od świtu panuje wielki ruch. Ci, którzy już wiedzą i którym stara gotówka parzy palce, biegną czym prędzej do zaspanych, nierozgarniętych i niewiedzących jeszcze nic o wymianie pieniądza. Kupują po starych cenach wszystko, co się da: ubrania, książki, rowery, krowy, świniaki, kury.

W miastach czytelnicy prasy szybko odkrywają, że tego dnia starym pieniądzem i po starych cenach można płacić za autobusy i za taksówki, za wizyty lekarzy, za bilety do teatrów i na imprezy sportowe oraz za jedzenie i piwo w restauracjach. W miastach wszystkie knajpy mają być otwarte – we wsiach, przeciwnie, nakazano zamknięcie restauracji i klubokawiarni. Zetempowcy pilnują w miastach godzin otwarcia prywatnych knajp – dla nich sprzedaż dziś to czysta strata i właściciele pod byle pozorem usiłują je zamykać. W całej Polsce w restauracjach panuje straszliwy tłok. Piwo leje się strumieniami. Polacy obrabowani z oszczędności jedzą i piją jak szaleni – w tę jedną niedzielę jadło i piwo serwowane jest w knajpach tak naprawdę za jedną trzecią ceny.

Wymiana pieniędzy w Banku Narodowym w Warszawie

29 października 1931 ▪ czwartek

Do śmierci, najukochańsza

Cisza. Pl. Katedralny w Wilnie spowija szarówka jesiennego poranka i dojmująca cisza. Mija już 5 tygodni od chwili, gdy władze wstrzymały wszelki ruch kołowy na placu przed katedrą. Eksperci

orzekli, że przejazdy samochodów, zwłaszcza ciężarowych, oraz chłopskich fur powodują wstrząsy, które szkodzą świeżo odkrytej w podziemiach katedry krypcie. Krypcie z zaginionymi trumnami królewskimi.

Przed 5 tygodniami, 21 września, w głębokim wykopie w nawie głównej katedry, tuż przed prezbiterium, paru robotników uwijało się pod okiem architekta Jana Pększy. W tym roku ogromna powódź podmyła fundamenty katedry. Gdy wody gruntowe opadły, pod nadzorem profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie Juliusza Kłosa rozpoczęto prace nad odsłonięciem, dokładnym ustaleniem położenia i głębokości oraz zabezpieczeniem fundamentów świątyni.

W poszukiwaniu litego muru fundamentów robotnicy zdjęli posadzkę z większej części nawy głównej. Kopali i wygarniali ziemię, schodząc coraz niżej. Architekt Pększo, doświadczony specjalista od budowli średniowiecznych, dostrzegł, że odkopany płaski fragment muru, który robotnicy już zaczęli z powrotem zasypywać, ma trochę inny dukt cegły niż obnażone mury stopy fundamentowej. Nie zastanawiał się ani chwili – polecił robotnikom mur ten rozbić. Kolejne uderzenie kilofa trafiło w pustkę. Pększo zawiadomił władze kościelne i państwowe o odkryciu nieznanych nikomu podziemi. O godz. 13.00 do krypty zeszli po drabinie członkowie nieformalnie powołanej komisji: rektor bazyliki prałat ks. Sawicki, kierownik prac prof. Juliusz Kłos, wileński konserwator zabytków dr Stanisław Lorentz, znany malarz, profesor USB Ferdynand Ruszczyc, historyk sztuki z USB prof. Marian Morelowski i architekt Pększo. Dno było zalane kilkucentymetrową warstwą wody. W wysokiej na kilka metrów, pozbawionej jakichkolwiek wejść i otworów krypcie, dosłownie niemal pod wybitym otworem, członkowie komisji natknęli się na

szczątki króla Aleksandra Jagiellończyka. Trumna całkiem rozpadła się od wilgoci. Tuż obok dziwnej ciemnozielonej barwy czaszki króla leżała korona pogrzebowa.

Obok, po prawej stronie, stała bardzo dobrze zachowana trumna królowej Barbary Radziwiłłówny.

Bliżej ściany, trochę na prawo, członkowie komisji ujrzeli szczątki pierwszej żony króla Zygmunta Augusta, nieszczęsnej, zaraz po ślubie odtrąconej przez niego, zmarłej za młodu Elżbiety Rakuszanki. Jej trumna także się rozpadła, ale obok zwłok, o wyciągnięcie ręki, na występie muru krypty, leżała lśniąca czystym złotem pogrzebowa korona królowej. Tuż obok kości Elżbiety leżały złoty łańcuszek i srebrna tabliczka z wygrawerowanym jej imieniem i długą listą oficjalnych tytułów.

2 dni później w katedrze odprawione zostało uroczyste nabożeństwo żałobne celebrowane przez arcybiskupa wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego, podczas którego uderzono we wszystkie dzwony Wilna, a stosownie oddalone, by nie powodować wstrząsów fundamentów katedry, baterie artylerii konnej oddały 21 strzałów.

Miejsce, w którym wybito wejście przez sklepienie do krypty, otoczono drewnianym płotkiem. Nad wejściem do krypty rozpięto zaprojektowany błyskawicznie przez Ferdynanda Ruszczyca purpurowy drapowany baldachim, którego nasadę zdobią Orzeł Biały i Pogoń. Płotek od miesiąca już tonie w kwiatach i ozdobnych krzewach w donicach znoszonych przez mieszkańców Wilna. Samo wejście od razu zostało zamknięte solidną kratą.

Badania prowadzone przez powołane do tego celu komisje techniczną oraz historyczno-artystyczną niemal codziennie przynosiły nowe odkrycia. Pierwotnie w krypcie położona była solidna podłoga z drewnianych bali. Upływ czasu i zwłaszcza

wilgoć doprowadziły do niemal całkowitego rozpadu drewna. Podczas oględzin szczątków króla Aleksandra znaleziono wśród nich berło. Przy prawym boku monarchy zaś miecz pogrzebowy i szczątki pochwy. Pod czaszką króla członkowie komisji odkryli 2 pozłacane pierścienie, pod szczątkami Elżbiety medalion z wizerunkiem króla Zygmunta Augusta.

Prof. Juliusz Kłos ustalił, dlaczego szczątki króla Aleksandra oraz 2 żon Zygmunta Augusta znalazły się w średniowiecznej, zapomnianej krypcie. Otóż król Zygmunt III Waza po kanonizacji św. Kazimierza, jednego z 6 synów króla Kazimierza Jagiellończyka, postanowił wybudować własną kaplicę w wileńskiej bazylice, gdyż dotychczasowa kaplica królewska była już zbyt ciasna. Król zawarł porozumienie z bp. Wołłowiczem, na mocy którego odstąpił biskupowi swoją kaplicę (obecnie kaplicę Niepokalanego Poczęcia), a w zamian otrzymał kaplicę narożną, dziś św. Kazimierza. Wtedy to szczątki królowych Elżbiety i Barbary oraz króla Aleksandra tymczasowo przeniesiono do średniowiecznej krypty pod podłogą nawy głównej. Zwłoki ich znajdowały się w drewnianych trumnach, gdyż w krypcie miały pozostać tylko przejściowo, do czasu powtórnego pochówku w budowanych przez króla Zygmunta III Wazę podziemiach pod kaplicą narożną. Podczas kopania tych podziemi pojawiła się jednak woda gruntowa i król musiał swój projekt zarzucić. Tymczasowe trumny Aleksandra, Elżbiety i Barbary pozostawiono w starej gotyckiej krypcie, którą zamurowano i zasypano. Potem pamięć o niej zaginęła.

Wczesnym rankiem w katedrze spotykają się członkowie komisji mający otworzyć trumnę i zbadać szczątki królowej Barbary Radziwiłłówny. Prałat ks. Adam Sawicki otwiera kratę. Prof. medycyny sądowej Sergiusz Leonard Schilling-Siengalewicz, onkolog prof. Kazimierz Opoczyński, historyk sztuki z USB prof.

Marian Morelowski, wybitny specjalista z dziedziny chemii nieorganicznej prof. Marian Hłasko, anatom z USB prof. Michał Reicher i historyk sztuki dr Stanisław Lorentz, poprzedzani przez ks. Sawickiego, schodzą po chybotliwej drabinie do krypty. Za nimi podążają robotnicy. Krypta jest jaskrawo oświetlona elektrycznymi lampami.

Obok trumny królowej Barbary ustawiono drewniany stół wyłożony w połowie grubą warstwą waty. To na niej będą układane w należytym porządku kości Barbary.

Kiedy umierała 8 maja 1551 roku, czuwający przy jej łożu, zawsze kochający król Zygmunt August obiecał, że pochowa ją w Wilnie. Ale ciało królowej, wycieńczone, zniekształcone przez raka narządów rodnych, nie nadawało się do balsamowania. Tymczasem miały minąć tygodnie, zanim orszak pogrzebowy dotrze w letnim skwarze do Wilna. Zwłoki musiały być zatem jakoś zakonserwowane. Tylko jak?

Robotnicy oczyszczają z brudu leżące na zmurszałym wieku trumny kawałki złotogłowiu. W świetle latarek złote nitki lśnią jak nowe. Okazuje się, że złotogłów nie pokrywał całej trumny – wykonano z niego jedynie duży krzyż, którzy złożono na wieku. Robotnicy ostrożnie zdejmują górną część drewnianego wieka. Miejscami ocalały jeszcze fragmenty skóry, którą było ongiś obite. Szczątki królowej pokrywa gruba skorupa przypominająca zaprawę wapienną. Dokładny jej skład pozostaje jednak nieznany. Wylano ją wprost na zwłoki okryte cienką tkaniną. Skorupa ta dawno już rozpadła się na kilkanaście fragmentów rozmaitej wielkości.

Robotnicy ostrożnie zdejmują odłamki znad głowy zmarłej. Ukazuje się czaszka królowej z pozłacaną koroną pogrzebową. Na kręgach szyi leży szczerozłoty łańcuch. Robotnicy i kierujący nimi profesorowie pracują bardzo powoli. Płynie godzina za godziną. Ok.

19.00 wszyscy są już bardzo zmęczeni. Robotnicy unoszą kolejny kęs przedwiekowej zaprawy mumifikacyjnej, spoczywający na piersiach królowej. Nagle oczom pochylonych nad trumną profesorów i robotników ukazują się małe srebrne jabłko insygnialne i srebrna tabliczka. Otwory w niej wskazują, że ongiś przyszyto ją do tkaniny, którą w trumnie okryto zwłoki. Oschły napis informuje, że tu leży Barbara, druga żona Zygmunta, króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego, ryskiego, pruskiego.

Za życia niekochana, odtrącona przez króla Elżbieta zaraz po śmierci doczekała się tytułu „najukochańszej żony Zygmunta Augusta". Barbarę, dla której król gotów był poświęcić wszystko, także tron, której trumnie towarzyszył z Krakowa do Wilna, w każdym mieście po drodze schodząc z konia i idąc za nią pieszo, na tabliczce złożonej na piersi zmarłej i zalanej wapienną zaprawą, umieszczono tylko suchy, formalny tytuł drugiej żony władcy.

30 października 1938 ▪ niedziela

Nalot ośmiornic

W niedzielny wieczór miliony Amerykanów słuchają programu radiowego emitowanego przez Columbia Broadcasting System. O 20.00 zacznie się kolejna audycja bardzo popularnego Radiowego Teatru Mercury. Zespół Teatru Mercury, założony przez 23-letniego reżysera i aktora Orsona Wellesa oraz przez Johna Housemana, od niespełna 4 miesięcy przygotowuje co tydzień kolejną radiową adaptację jakiejś powieści.

W radiowych głośnikach słychać głos spikera: „Columbia Broadcasting System i afiliowane stacje prezentują Orsona Wellesa

i Radiowy Teatr Mercury w *Wojnie światów* według Herberta G. Wellsa". I po muzycznej zajawce: „Panie i panowie, dyrektor Teatru Merkury i gwiazda tej audycji, Orson Welles".

Teraz Welles opowiada z emfazą: „Wiemy już dziś, że we wczesnych latach XX wieku nasz świat był z bliska obserwowany przez inteligencje większe od ludzkiej [...], obserwowały tę Ziemię zazdrosnymi oczami i powoli przygotowywały plany przeciwko nam". Tylko niewielu słuchaczy zauważa przemyconą przez Wellesa w jednym zdaniu uwagę, że rzecz dzieje się pod koniec listopada przyszłego, 1939 roku, zatem jest literacką fikcją, a wszystkie pojawiające się postacie to w istocie zawodowi aktorzy.

Potem, po rutynowej prognozie pogody, spiker zaprasza do transmisji programu muzycznego z najwyższego piętra nowojorskiego hotelu Park Plaza. Orkiestra Ramona Raquello gra *La Cumparsitę*. Nagle muzyka cichnie.

„Panie i panowie, przerywamy nasz program muzyki tanecznej, aby podać specjalny komunikat z serwisu Międzykontynentalnych Wiadomości Radiowych. Dwadzieścia minut przed godziną dwudziestą profesor Farrell z obserwatorium Mount Jennings w Chicago donosi o zaobserwowaniu licznych eksplozji rozżarzonego gazu, zdarzających się w regularnych odstępach czasu na planecie Mars. Spektroskop wskazuje, że gaz jest wodorem i porusza się w kierunku Ziemi z ogromną prędkością. Profesor Pierson z obserwatorium w Princeton potwierdza wystąpienie tego zjawiska i określa je jako, cytuję, »podobne do strumienia niebieskiego płomienia wystrzelonego z działa«. Wracamy teraz do muzyki Ramona Raquello" – informuje inny spiker.

Po chwili spiker łączy się ze studia z reporterem radiowym Carlem Phillipsem, który w obserwatorium Princeton przeprowadza wywiad o niezwykłych efektach na Marsie z prof. Piersonem.

Najpierw słychać niepokojące echo w pustawym pokoju i tykanie zegara.

Reporter: „Jest pan jako naukowiec całkiem przekonany, że na Marsie nie istnieje żyjąca inteligencja?".

Profesor: „Szanse, że nie ma tam inteligencji, oceniam na tysiąc do jednego".

Reporter dziękuje profesorowi, lecz w ostatniej chwili nieoczekiwanie przedłuża relację. Opowiada, że prof. Piersonowi w tej chwili doręczono ważną depeszę. Pyta, czy może ją odczytać. I czyta: „Sejsmograf zarejestrował wstrząs o sile niemal trzęsienia ziemi, który wystąpił w promieniu około 20 mil od Princeton. Podpisano: Lloyd Gray, szef działu astronomicznego".

Reporter Phillips pyta prof. Piersona, czy wstrząs ma coś wspólnego z tajemniczymi wybuchami na Marsie. Profesor uspokaja, że w rejonie Princeton upadł meteoryt i zbieżność z eksplozjami marsjańskimi jest przypadkowa.

Przez chwilę rozbrzmiewa poważna muzyka fortepianowa, ale nagle cichnie i spiker donosi, że właśnie na farmę w pobliżu Grovers Mill w New Jersey spadł ogromny, płonący obiekt. Zapowiada też, że na miejsce upadku jedzie już grupa reporterów, z Carlem Phillipsem na czele, i wkrótce nada on korespondencję na żywo.

I już po chwili beztroska muzyka taneczna nadawana z hotelu Martinet na Brooklynie milknie; rozlega się zaaferowany głos reportera. Carl Phillips donosi, że wraz z prof. Piersonem dojechał w ciągu 10 minut do farmy niejakiego Wilmutha w Grovers Mill, gdzie spadł tajemniczy obiekt. „Sądzę, że jest to rzecz bezpośrednio przede mną, do połowy spalona w ogromnym dole. To wygląda jak wielki cylinder. Metal powłoki jest... tak, nigdy nie widziałem

czegoś podobnego do tego" – opisuje radiosłuchaczom swoje wrażenia.

„Ciekawi widzowie cisną się teraz blisko do obiektu. Moglibyście stanąć na stronie?" – pyta na żywo reporter. W tle słychać głos policjanta polecającego gapiom odsunąć się.

Miliony ludzi w całej Ameryce zamieniają się w słuch, gdy reporter odpytuje świadków na temat okoliczności upadku tajemniczego obiektu. Niewielu słuchaczy pamięta, że to tylko słuchowisko radiowe, zresztą większość włączyła odbiorniki już po wstępnych zapowiedziach Orsona Wellesa i jest pewna, że to prawdziwe relacje na żywo. Podczas niedawnego kryzysu monachijskiego w Europie, kiedy wojna wisiała na włosku, amerykańskie stacje radiowe często przerywały programy, by informować o postępach negocjacji z Hitlerem.

Cała Ameryka słucha, jak reporter Phillips pyta profesora, co sądzi o dziwnym obiekcie. „Nie wiem, co myśleć. Pokrywa metalowa jest niewątpliwie pozaziemskiego pochodzenia" – odpowiada skonfundowany uczony.

Nagle reporter krzyczy, że pokrywa się odkręca. Słychać odgłos spadającego wielkiego kawału metalu. Phillips krzyczy: „Panie i panowie, to najbardziej przerażająca rzecz, jakiej kiedykolwiek byłem świadkiem... Momencik! Ktoś się gramoli z pustego czubka. Ktoś... albo coś. Widzę wychylające się z czarnej dziury dwa błyszczące dyski. Byłyby to oczy?".

W tle słychać okrzyki przerażenia tłumu. Phillips relacjonuje dalej: „Wielkie nieba, coś wijącego się wychodzi z cienia, jak szary wąż. Teraz jest następny i kolejny, i jeszcze jeden! Wyglądają mi na macki. Teraz widzę ciało tej rzeczy. Jest duże, duże jak niedźwiedź. Ale ta twarz, to... Panie i panowie, to jest nie do opisania... Oczy są czarne, usta są w kształcie litery V i ślina ścieka z warg bez brzegów".

Reporter dramatycznym tonem relacjonuje, jak kordon policji otacza dół, jak ośmiornicowaty stwór z Marsa unosi się na mackach i wąską wiązką światła uderza w policjantów. „Wielki Boże! Oni stają w płomieniach! Całe pole jest w ogniu! Lasy, stodoły, baki samochodów!" – krzyczy reporter Phillips.

Miliony słuchaczy zamierają z przerażenia przed głośnikami. Z każdą minutą w dramatycznej oprawie specjalnych efektów dźwiękowych przybywa straszliwych szczegółów. Promienie śmierci Marsjanina zabiły na polu w Grover Hill 40 ludzi. Gubernator New Jersey zarządził wprowadzenie stanu wojennego. 8 batalionów piechoty uzbrojonych w karabiny maszynowe otacza dół z Marsjaninem na dnie.

„Panie i panowie! Muszę złożyć oświadczenie. Te dziwne istoty, które wylądowały na rolniczym obszarze Jersey, to straż przednia armii inwazyjnej z planety Mars... Bitwa, która miała miejsce wieczorem koło Grover Hill, zakończyła się najbardziej wstrząsającą klęską, poniesioną przez jakąkolwiek armię nowożytnych czasów; 7 tys. ludzi z karabinami i karabinami maszynowymi zmagało się z jedną maszyną bojową najeźdźców z Marsa. Przeżyło tylko 120... Potwór kontroluje teraz środkową część New Jersey... Nie ma obrony, nasza armia jest... zmieciona... Artyleria, siły powietrzne, wszystko zmiecione... Cylindry Marsjan spadają na cały kraj. Jeden koło Buffalo, jeden koło Chicago, koło St. Louis... Stalowa głowa maszyny jest równa szczytom wieżowców... Wydobywa się z niej dym, czarny dym.... Osiąga Times Square. Ludzie próbują uciekać od tego, ale nadaremnie. Padają jak muchy..." – donoszą na przemian reporter i spikerzy.

Ta po mistrzowsku poprzetykana efektami dźwiękowymi audycja wywołuje w całych Stanach Zjednoczonych paroksyzm paniki. Tysiące słuchaczy opuszczają domostwa i rzucają się z rodzinami do

ucieczki. Tysiące chowają się w piwnicach, ładują broń, by drogo sprzedać swe życie. W Nowym Jorku tysiące mieszkańców uciekają z domów do parków. W Harlemie komisariaty policji przy Ulicy Sto Dwudziestej Trzeciej Wschodniej oraz Sto Trzydziestej Piątej Wschodniej oblężone są przez spakowanych uciekinierów domagających się informacji, dokąd mają być teraz ewakuowani. Łącznica telefoniczna redakcji „New York Timesa" w krótkim czasie przyjmuje 875 alarmów od przerażonych czytelników. Część z nich chce się dowiedzieć od dyżurnego redaktora, o której godzinie nastąpi koniec świata. W Newark ponad 20 rodzin z bloku przy alei Hawthorne'a rusza do ucieczki na prowincję. Wszyscy mają głowy owinięte mokrymi ręcznikami dla ochrony przed marsjańskim gazem. Linia autobusowa Dixy Bus zawiesza kursy. Niedoszła pasażerka Dorothy Brown dzwoni z pretensjami do dyspozytora. W odpowiedzi słyszy: „Zbliża się koniec świata, a ja mam jeszcze parę spraw do załatwienia".

W całym kraju stanowe komendy policji co rusz rozsyłają do wszystkich posterunków dalekopisy z informacją, że audycja jest tylko fantastycznym słuchowiskiem. Policjanci starają się opanować panikę, tłumaczą, że inwazji nie ma.

O 20.48 agencja Associated Press nadaje depeszę: „Nota do wydawców gazet: alarmy od radiosłuchaczy w całych Stanach Zjednoczonych w sprawie upadku meteorytu, który zabił pewną ilość mieszkańców Jersey, są rezultatem inscenizacji w studio".

O 21.00 audycja Orsona Wellesa kończy się krzepiącą informacją, że marsjańskie potwory, które pokonały amerykańską armię, konają zainfekowane przez ziemskie bakterie, na które najeźdźcy nie są uodpornieni.

Wkrótce po zakończeniu audycji CBS emituje oświadczenie, w którym podkreśla, że nie chciała wprowadzić słuchaczy w błąd,

przeciwnie, gdy zorientowano się, że uważają oni inscenizację za prawdziwą relację z pozaziemskiej inwazji, czterokrotnie informowano na antenie o fikcyjnym charakterze audycji. Potem głos zabiera na żywo Orson Welles. Tłumaczy się, że zainscenizował powieść H.G. Wellsa w taki sposób, bo obawiał się, że przy tradycyjnej aranżacji historii, w oczywisty sposób nieprawdopodobnej, słuchacze umrą z nudów.

Orson Welles podczas nagrania słuchowiska *Wojna światów*

31 października 1984 ▪ środa

Zabójczy ochroniarze

Beant Singh, funkcjonariusz ochrony premier Indii Indiry Gandhi, budzi się w Delhi ok. 4.00. Starannie dokonuje wszystkich tych zabiegów, od których zaczyna dzień każdy pobożny Sikh: rozczesuje

brodę, misternie układa długie włosy, wpina w nie srebrny grzebień, zawiązuje turban, zapina na nadgarstku rytualną bransoletę i w końcu wkłada za pas ozdobny sztylet. Do rezydencji pani premier jedzie taksówką. Wcześniej na taki luksus sobie nie pozwalał.

O 6.00 oficer dyżurny w rezydencji Indiry Gandhi wywiesza grafik posterunków. Beant Singh i jego partner, także Sikh – Satwant Singh – dostali stanowisko przy bramie. Panią Gandhi zobaczą dziś tylko z daleka. Satwant Singh biegnie do oficera i kłamie, że ma biegunkę, a od bramy jest daleko do toalety. Oficer mięknie i przenosi obu na posterunek do ogrodu. Tam pani premier przejdzie tuż obok swych ochroniarzy.

Indira Gandhi budzi się o 7.00. Długo wybiera sari. Za 1,5 godziny ma w ogrodzie udzielić wywiadu irlandzkiej telewizji. Rozmowę poprowadzi znany aktor Peter Ustinov. W końcu decyduje się na sari pomarańczowe.

Indira była jedynym dzieckiem pierwszego premiera niepodległych Indii Jawaharlala Nehru; młodszy brat Indiry Nehru zmarł. Smutne, samotne dzieciństwo upłynęło jej w cieniu polityki – ojciec, jeden z czołowych działaczy indyjskiego ruchu niepodległościowego, co rusz trafiał do więzienia, matka zaś poświęcała swój czas obłożnie chorym. Rodziców lepiej znała z listów niż z osobistych rozmów. Podczas studiów w Wielkiej Brytanii, w Oksfordzie, poznała przyszłego męża Feroze Gandhiego.

W wieku 33 lat, w roku 1950, została nieoficjalnym asystentem swego ojca – wówczas premiera Indii. 5 lat później wybrano ją do władz Indyjskiego Kongresu Narodowego, największej partii politycznej Indii. Po śmierci ojca w 1964 roku przywódcy Kongresu nakłonili ją, by poświęciła się polityce. Premierem została 2 lata później.

Od tego czasu pani Gandhi tylko w latach 1977–1980 nie była premierem. Pod jej rządami Indie wygrały wojnę z Pakistanem, potem, podczas pakistańskiej wojny domowej, interweniowały we Wschodnim Bengalu i doprowadziły do powstania niepodległej republiki Bangladeszu, wchłonęły himalajskie państewko Sikkim, skonstruowały broń atomową.

W polityce wewnętrznej Indira Gandhi znacjonalizowała banki, hutnictwo, górnictwo, system ubezpieczeniowy, przeprowadziła lewicowe reformy socjalne, odmieniła rolnictwo kraju tzw. Zieloną Rewolucją, która radykalnie złagodziła w Indiach deficyt żywności.

Pod rządami pani Gandhi Indie stały się regionalnym mocarstwem.

Pani premier wkłada pomarańczowe sari. Na dobrą sprawę powinna założyć na nie kamizelkę kuloodporną. Jest jednym z najbardziej zagrożonych zamachem przywódców na świecie. Policja nieustannie wykrywa spiski na jej życie.

Co gorsza, przed 5 miesiącami Indira Gandhi wydała armii i policji polecenie zaatakowania świętego miejsca Sikhów Złotej Świątyni w Amritsarze. W jej wyłożonych szczerozłotymi blachami murach schronił się Jarnail Singh Bhindrwale, najbardziej radykalny z przywódców tej osobliwej, czerpiącej zarówno z hinduizmu, jak i islamu religii. Bhindrwale wzywał swych zwolenników do walki o przekształcenie indyjskiego Pendżabu w niepodległe państwo Sikhów o nazwie Chalistan. Jego zwolennicy rozpętali w Pendżabie krwawy terror. Osaczeni przez wojsko, schronili się wraz ze swoim przywódcą w Złotej Świątyni. W nakazanym przez Indirę Gandhi ataku 6 lipca 1984 roku pod gruzami zginęli Bhindrwale i jego 600 zwolenników. Sikhowie zaprzysięgli pani premier zemstę.

Wysoki oficer policji napisał po ataku w Amritsarze wniosek o usunięcie Sikhów z osobistej ochrony Indiry Gandhi. Decyzję

o usunięciu ich anulował jednak osobisty sekretarz pani premier Rajinder Kumar Dawan.

Wywiad ma się rozpocząć o 8.30. Pani Gandhi odkłada kamizelkę kuloodporną – we własnej rezydencji nie będzie potrzebna. Ekipa telewizji irlandzkiej jest gotowa: kamery na statywach rozstawiono na trawniku, na bambusowym stole czekają filiżanki z herbatą. Ale 2 sikhijscy agenci ochrony nie zajęli jeszcze stanowiska przy żywopłocie. Sekretarz Dawan dostrzega to i przesuwa termin rozpoczęcia rozmowy na 9.00.

O 9.08 Indira Gandhi wychodzi do ogrodu, na wybetonowaną ścieżkę o szerokości nieco ponad 2 m, łączącą jej rezydencję z biurem zajmującym 2 połączone ze sobą pawilony. Przed drzwiami czeka na nią jej zaufany *bodyguard* Bhatt. Na terenie rezydencji, zamiast zasłaniania jej własnym ciałem od niebezpieczeństw, ma obowiązek zasłaniać ją parasolem od słońca. Idą w trójkę: najpierw Indira Gandhi, tuż za nią Bhatt z parasolem, parę kroków dalej sekretarz Dawan. Przed żywopłotem Dawan zwalnia i zostaje kilkanaście metrów w tyle. Mijając obu sikhijskich ochroniarzy, pani premier pozdrawia ich. Satwant Singh zagaduje idącego z parasolem Bhatta. Gdy Bhatt odwraca głowę, Beant Singh wyszarpuje z kabury rewolwer i strzela z odległości 3 m do pani Gandhi. Nie chybia. Pani premier przewraca się na beton alejki. Wtedy Satwant Singh pochyla się i z najbliższej odległości długą serią ze stena masakruje ciało rannej. Na odgłos strzałów nadbiega kilku komandosów. Zamachowcy rzucają broń, podnoszą ręce i krzyczą: „Poddajemy się!". Ale komandosi – dziwna rzecz – zamiast ująć całych i zdrowych zamachowców, z paru kroków strzelają do nich jak do tarcz. Beant ginie na miejscu, Satwant jest ciężko ranny.

W rezydencji wybucha panika. Gdzieś zapodział się osobisty lekarz pani premier. Do premierowskiego ambulansu z aparaturą

reanimacyjną komandosi wrzucają obu Sikhów – martwego i rannego – i na sygnale ich wywożą. Nieprzytomnej pani premier nie ma czym przetransportować do szpitala. W końcu ochroniarze i synowa Indiry Włoszka Sonia Gandhi przewożą ją starym samochodem osobowym. Zwykłe auto musi stać w korku. Dociera do szpitala dopiero po 20 minutach. Pielęgniarze kładą nosze z konającą panią Gandhi na końcu kolejki do izby przyjęć. Nikt w rezydencji nie pomyślał, by telefonicznie uprzedzić szpital. Sonia tłumaczy lekarzom, że najważniejsza kobieta w Indiach leży ranna na korytarzu. Jeden z nich popada w osłupienie, inny z wrażenia mdleje. Najpierw cuci się lekarzy, dopiero potem otrzeźwieni zajmują się ranną. Na stół operacyjny trafia o 10.19, 71 minut po zamachu.

Indira Gandhi ma niesamowicie odporny organizm. Otrzymała co najmniej 23 postrzały. W trakcie operacji lekarze wydobywają 8 pocisków. Od ponad godziny jest bez tlenu, bez wspomagania akcji serca – i żyje. Ale to już koniec. Pani premier gaśnie. Gdyby nie zabrakło minut straconych w korkach, w starym aucie, na korytarzu pod izbą przyjęć, można było ją uratować. Gdy pani Gandhi umiera, jej sekretarz Dawan łączy się ze szpitala przez radio z szefem ochrony i dopytuje o los zamachowców. O 10.30 ktoś dzwoni do indyjskiej agencji prasowej PTI: „Indira Ganhi nie żyje. Zemściliśmy się. Niech żyje Chalistan!”.

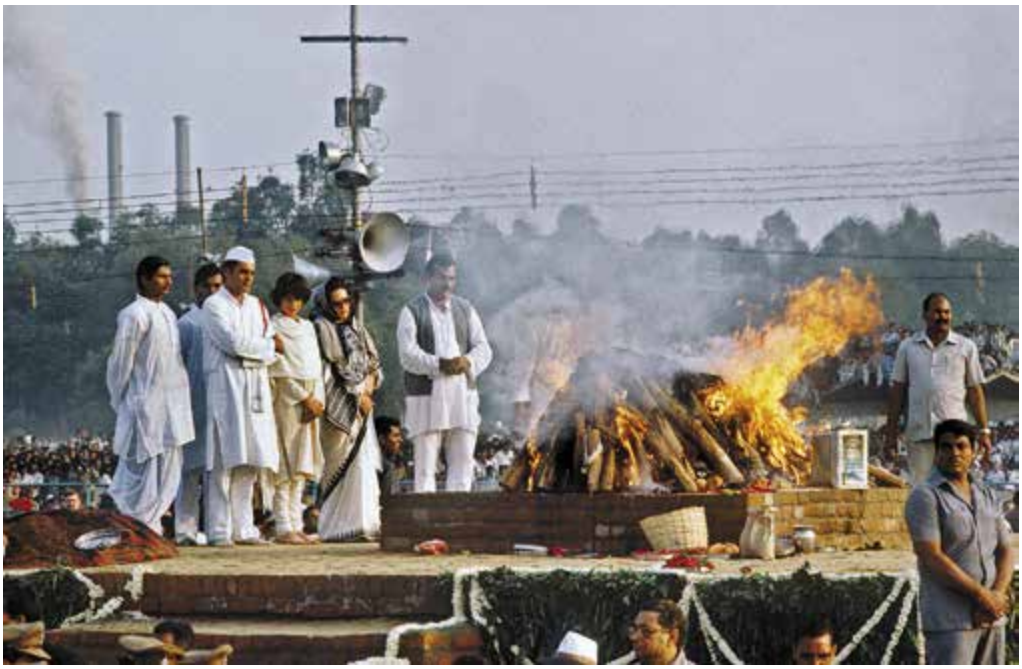

Pogrzeb Indiry Gandhi

Listopad

1 listopada 1950 ▪ środa

My strzelamy, a on śpi

Prezydent Stanów Zjednoczonych Harry Truman, jak co dzień, przechodzi rankiem, w towarzystwie agentów ochrony, parę kroków ze swej prezydenckiej rezydencji Blair House przy Pennsylvania Avenue do Białego Domu. Blair House jest oficjalną rezydencją gościnną amerykańskich prezydentów, w której zwykle zatrzymują się składające wizyty w Stanach głowy państw, ale od pewnego czasu służy za prywatną rezydencję Trumana. W murach głównego korpusu Białego Domu eksperci znaleźli poważne uszkodzenia konstrukcji i na czas przebudowy Harry Truman zatrzymał się z rodziną w Blair House.

Prezydent wkracza do zachodniego skrzydła Białego Domu, które na czas przebudowy służy mu za miejsce urzędowania. Ociera chusteczką czoło – tego dnia w Waszyngtonie jest 29,5 stopni C w cieniu, temperatura, jak na początek listopada, iście piekielna. Mimo upału Truman wygląda nienagannie w ciemnym garniturze i z charakterystyczną muszką zamiast tradycyjnego krawata. O 10.00 przez chwilę rozmawia z personelem, omawia porządek dnia.

Potem przechodzi do Gabinetu Owalnego. Czas na oficjalne spotkania. Pierwszym gościem jest hollywoodzki kompozytor Rudolf Friml, specjalista od muzyki do komedii romantycznych,

twórca wielkich hitów lat 30.: *Rose-Marie* i *The Vagabond King*. Prezydent uwielbia jego przeboje i Friml już od dawna ma obiecane, że gdy tylko pojawi się w Waszyngtonie, ma natychmiast zadzwonić. Zadzwonił i jest. Prezydent rozmawia z Frimlem o jego najnowszych kompozycjach, o starych mistrzach – Mozarcie, Mendelssohnie, Beethovenie, Chopinie, Bachu. Truman jest melomanem, spotkanie z kompozytorem wprawia go, mimo okropnego upału, w znakomity nastrój.

Po Frimlu w Gabinecie Owalnym zjawia się miliarder Nelson A. Rockefeller, od niedawna szef International Development Advisory Board, a w ślad za nim prezes Rady Lotnictwa Cywilnego Delos W. Rentzel. Po rozmowach z nimi prezydent Truman zabiera się za lekturę raportu nowego szefa CIA gen. Waltera Bedella Smitha. Najnowsze ustalenia wywiadu są deprymujące: w szeregach armii komunistycznej, walczącej w Korei Północnej z wojskami ONZ, w których Amerykanie grają pierwsze skrzypce, bez cienia wątpliwości pojawiły się oddziały chińskie, i to liczące co najmniej 15–20 tys. żołnierzy.

Zaniepokojony prezydent wychodzi do Ogrodu Różanego, gdzie odbywa się podniosła ceremonia dekoracji Medalem Honoru pułkownika Korpusu Piechoty Morskiej Justice Chambersa za bohaterską postawę podczas walk z Japończykami na Iwo Jimie. Prezydent nie zważa na nienormalny upał, jest wyraźnie wzruszony, w świetnym humorze.

Po dekoracji w pośpiechu wraca do Gabinetu Owalnego na spotkanie z brytyjskim premierem *sir* Anthonym Edenem. Jeszcze krótka rozmowa z politykiem z Missouri Stuartem Symingtonem i wreszcie prezydent, w asyście 4 ochroniarzy, spacerkiem udaje się do Blair House na lunch z żoną Bess.

Jest tak gorąco, że trudno złapać oddech. Po lunchu Truman otwiera w sypialni na piętrze okno, zdejmuje garnitur i muszkę i ucina sobie drzemkę na wielkim małżeńskim łożu z baldachimem. O 15.00 ma jechać na cmentarz Arlington, by przemówić na pogrzebie brytyjskiego marszałka *sir* Johna Dilla.

Bess Truman z teściową prezydenta idą do innego pokoju, by nie przeszkadzać w wypoczynku. W Blair House zapada cisza, jak w lipcu, w domu na wsi. Słychać tylko bzyczenie owadów, niezwykłe o tej porze. Na parterze, w małym biurze przylegającym do hallu, walczą z sennością główny woźny Howell Crim i jego asystent J.B. West. W hallu jest tylko agent Secret Service Stuart Stout. Może uważać się za szczęściarza, jest tu stosunkowo chłodno. Policjanci z obsady Białego Domu, strzegący rezydencji prezydenta, właśnie wyfasowali zimowe mundury i teraz, stojąc w upale i ostrym słońcu przed Blair House, przeżywają istne katusze. W budce strażniczej po lewej stronie, na wschód od Lafayette Square, siedzi szer. Joseph Davidson. Obok budki przystanął agent Floyd Boring i leniwie plotkuje z Davidsonem. W budce po prawej stronie, odległej od budki Davidsona o niespełna 30 m, właśnie odbywa się zmiana: miejsce znużonego upałem policjanta Josepha Downsa zajmuje szer. Leslie Coffelt. Downs przechodzi na stanowisko przy schodach prowadzących do Blair House. Downs stoi twarzą do ulicy i przygląda się spacerującym pod oknami prezydenckiej rezydencji przechodniom. Na tarasie rezydencji stoi oficer ochrony, potężnej postury Donald Birdzell.

Do wejścia do Blair House zbliżają się chodnikiem, z przeciwnych kierunków, 2 młodzi mężczyźni w ciemnych garniturach i kapeluszach. Policjanci i agenci ochrony patrzą na nich obojętnie, młodzieńcy wyglądają nobliwie jak pastorzy. 25-latek Griselio Torresola i o 11 lat starszy Oscar Collazo są fanatycznymi

nacjonalistami portorykańskimi. Chcą w samobójczym ataku zabić prezydenta, by zwrócić uwagę świata na sytuację Puerto Rico, od ponad pół wieku zajmowanego i rządzonego przez Amerykanów.

Torresola podchodzi pierwszy do budki szer. Coffelta i głośno pyta go o drogę. Odwraca tym samym uwagę policjanta od swego kolegi, który idzie wprost w kierunku tarasu Blair House. Birdzell gapi się na ulicę i nagle słyszy szczęknięcie metalu. Ten dźwięk pozna zbudzony w środku nocy – ktoś odbezpiecza pistolet. Odwraca się i widzi młodego mężczyznę celującego doń z pistoletu z odległości 3 m. Birdzell sięga po broń i w tym momencie Collazo strzela z niemieckiego parabellum. Stalowy pocisk o zwiększonej sile penetracji trafia policjanta w nogę. Birdzell nie strzela, wyskakuje na Pennsylvania Avenue. Collazo biegnie za nim, strzela raz po raz. Trafia go znów. Birdzell upada obok torów tramwajowych, obraca się i strzela do napastnika.

Jego strzały giną w gwałtownej kanonadzie. Po pierwszym strzale Collaza jego wspólnik Torresola wyrywa zza paska od spodni niemieckiego policyjnego walthera i z odległości metra pakuje pół magazynka w piersi i brzuch siedzącego w budce Coffelta. Zalany krwią policjant osuwa się na ziemię.

Collazo odwraca się i strzela do Josepha Downsa. Trafia go 3 razy. Ciężko ranny Downs ostatkiem sił przeczołguje się przez próg rezydencji i wzywa pomocy.

Agent Boring i policjant Davidson z drugiej budki, nieabsorbowani wymianą ognia, spokojnie celują do Collaza. Ich pierwszy strzał rani zamachowca w ucho, drugi zrywa z jego głowy kapelusz. Boring mierzy starannie i trafia Collaza w plecy. Napastnik przewraca się w drzwiach wejściowych; jego głowa i ramiona leżą już wewnątrz Blair House.

Torresola w tym czasie strzela do Birdzella, który mimo ran wstał na nogi i celuje w niego. Już drugi strzał Torresoli trafia agenta. Birdzell pada na bruk. Nie ma siły unieść rewolweru, więc opiera rękojeść o bruk i strzela trochę na wiwat.

Torresola zwraca walthera przeciwko Boringowi i Davidsonowi. W tej samej chwili Coffelt odzyskuje na chwilę przytomność, wyciąga broń i strzela Torresoli prosto w głowę. Zamachowiec pada martwy. Bohaterski Coffelt umiera w tej samej chwili; rewolwer wypada mu z ręki na próg budki.

W Blair House agent Stout miota się po parterze w poszukiwaniu pistoletu maszynowego. Gdzie on jest, do diabła?!

Strzelanina budzi prezydenta. Truman podbiega do okna, wygląda.

– Cofnij się! Cofnij się! – krzyczy do niego z chodnika agent Boring.

Przed wejściem do rezydencji leży martwy zamachowiec Torresola i zabity policjant Coffelt. Drugi napastnik, Collazo, oraz 2 policjanci są ciężko ranni.

Truman błyskawicznie ubiera się.

– Co teraz? – pyta go sekretarz.

– Jedziemy na cmentarz Arlington. Za chwilę mam przecież przemawiać na pogrzebie *sir* Dilla – odpowiada zimno Truman.

2 listopada 1925 ▪ poniedziałek

Dwa razy pochowani

O 6.00 jest jeszcze ciemno. Na tonącym w zieleni i biało-czerwonych flagach Dworcu Głównym stoją tłumy warszawiaków.

Mnóstwo ludzi czeka na placu przed dworcem. Przed wejściem stoi w otoczeniu kompanii honorowej 30. Pułku Piechoty laweta armatnia z 1. Pułku Artylerii Najcięższej. Zaprzężona jest w 6 siwych koni, przybrana zielenią i barwami narodowymi. Na peronie – wyprężona kompania honorowa 36. Pułku Piechoty, spieszony pluton konnego „Sokoła", poczty harcerzy. I oficjele: minister spraw wojskowych gen. Władysław Sikorski w otoczeniu generalicji oraz minister spraw wewnętrznych Władysław Raczkiewicz, władze Warszawy, duchowieństwo.

O 6.05 na peron wtacza się złożony z 6 wagonów pociąg specjalny. Kompania honorowa prezentuje broń, orkiestra gra *Mazurka Dąbrowskiego*. Wysiada komendant pociągu gen. Marjański i składa ministrowi Sikorskiemu raport. Następnie z ostatniego wagonu-kaplicy 8 podoficerów, kawalerów krzyża Virtuti Militari, bierze na ramiona trumnę, dostojnym krokiem wynosi ją przed budynek dworca, składa na lawecie. To trumna Nieznanego Żołnierza.

Uroczystości złożenia zwłok Nieznanego Żołnierza w Warszawie rozpoczęły się przed 4 dniami we wsi Zadwórze, 33 km od Lwowa.

To tam, podczas wojny polsko-bolszewickiej, żołnierze odrodzonego po zaborach polskiego wojska stoczyli najbardziej heroiczną z wielu bitew o niepodległość.

17 sierpnia 1920 roku batalion młodych lwowskich ochotników, w większości uczniów, studentów i inteligentów, maszerował wzdłuż linii kolejowej na Lwów. Gdy mijał Zadwórze, został ostrzelany ze wsi przez bolszewickie karabiny maszynowe. Zadwórze obsadzone było przez oddziały 6. Dywizji Konnej armii Budionnego, uderzającej na bezbronny, pozbawiony polskiego wojska Lwów.

Gdy bolszewicy zaczęli ostrzeliwać młodych lwowiaków także ze skrzydeł, dowódca batalionu kpt. Bolesław Zajączkowski uznał, że otoczony oddział może uratować się jedynie, atakując. Rozwinął batalion w 3 tyraliery i uderzył na Zadwórze i przyległe do wsi wzgórza. Mimo liczebnej przewagi bolszewików, mimo silnego ostrzału ich artylerii, mimo szarży czerwonej jazdy Polacy stację kolejową i wzgórza zdobyli.

Osamotniony batalion lwowiaków bronił się na tych wzgórzach przez 11 godzin. Młodzi, niewyszkoleni żołnierze odparli 6 zmasowanych ataków kawalerii Budionnego. O zmierzchu zaczęło im brakować amunicji. Polacy zbierali ją z patrontaszy zabitych i ciężko rannych towarzyszy broni. Gdy brakło nabojów, młodzi inteligenci z orzełkami na czapkach szli do kontrataków na bagnety.

O zmierzchu niedobitki batalionu wycofały się do tzw. lasu barszczowickiego. Polacy, otoczeni nieopodal budki dróżnika, bronili się do ostatniego, z braku nabojów walcząc na bagnety. Rozwścieczeni oporem i własnymi dużymi stratami bolszewicy dobijali rannych kolbami, szablami obcinali obrońcom kończyny i głowy. Polscy oficerowie nie szli do niewoli – ostatnimi pociskami odbierali sobie życie. Na polach wokół Zadwórza zostały ciała 318 lwowskich żołnierzy, w większości okaleczone i zbezczeszczone przez bolszewików.

Obrona Zadwórza była tak zaciekła, że Budionny zrezygnował z marszu na bezbronny Lwów i skręcił na północ, na Warszawę.

Lwowscy inteligenci, jak Spartanie w wąwozie termopilskim, bez żadnej przesady, walczyli do ostatniej kropli krwi. Lwów uratowali. I już zaraz po wojnie z bolszewikami Zadwórze zyskało powszechnie miano polskich Termopil.

Przed 2 dniami, po południu, na cmentarzu obrońców Lwowa, w asyście pocztów honorowych wojska, rozkopano 3 wybrane

losowo groby, na których widniały krzyże z napisami: „Żołnierz nieznany". Na wykopanych trumnach nie było jednak żadnych znaków potwierdzających, że pochowani w nich byli polskimi żołnierzami. Gdy otwarto trumny, okazało się, że zwłoki odziane są w ubrania cywilne, i nie ma przy nich dokumentów, zatem nie można ustalić przynależności zmarłych do polskiego wojska. Dla komisji ekshumacyjnej nie było to zaskoczeniem – w 1918 roku walczyło o Lwów wielu ochotników, z braku mundurów w cywilnych ubraniach, często bez żadnych odznak wojskowych. W tej sytuacji komisja rozkopała kolejne 3 groby. Tym razem okazało się, że na każdej z trumien znajdują się znaki identyfikacyjne wojska polskiego. Wówczas oficerowie garnizonu lwowskiego poprosili panią Jadwigę Zarugiewiczową o wskazanie jednej z trumien.

Jej syn, 19-letni Konstanty Zarugiewicz, uczeń 7. klasy szkoły realnej, obrońca Lwowa z 1918 roku, zginął w ostatnich minutach bitwy koło budki dróżnika, gdy większość z 30 ostatnich żołnierzy batalionu odbierała sobie życie, by nie wpaść w łapy bolszewików. Jego ciała nie rozpoznano – pochowany został jako nieznany żołnierz.

Po otwarciu trumny okazało się, że spoczywają w niej zwłoki szeregowca wojsk polskich, odzianego w bluzę, cywilną marynarkę oraz maciejówkę z polskim orłem. Lekarze stwierdzili na miejscu, że nieznany szeregowiec miał złamaną nogę, zginął zaś od postrzału w głowę. Jego zwłoki przeniesiono do trumny drewnianej, którą następnie włożono do trumny metalowej, ofiarowanej przez warszawskiego przedsiębiorcę Łopackiego. Po szczelnym zalutowaniu złożono ją do trzeciej, dębowej, trumny. Wieczorem żołnierze przenieśli ją do kaplicy cmentarnej i złożyli na pięknie ozdobionym barwami narodowymi katafalku przed Kaplicą Orląt.

Nazajutrz trumnę ze zwłokami Nieznanego Żołnierza uroczyście przeniesiono do lwowskiej katedry. O godzinie 15.00 prałat ks. Zajchowski odprawił w cmentarnej kaplicy egzekwie i uroczysty kondukt ruszył przez odświętnie przybrane i oświetlone miasto. Za orkiestrą wojskową i kompanią honorową postępowali harcerze i młodzież szkolna. Po nich wolno jechał rydwan wypełniony wieńcami i wreszcie trumna na lawecie, ozdobiona srebrnymi orłami, wielkim Krzyżem Virtuti Militari, wstęgami w barwach miasta i w barwach narodowych.

Trzeciego dnia uroczystości trumna ze zwłokami Nieznanego Żołnierza, po odprawieniu w lwowskiej katedrze mszy św., przewieziona została na lawecie najcięższej armaty na dworzec kolejowy. Gdy trumnę wynoszono z katedry, zagrzmiały armaty Cytadeli, biły dzwony we wszystkich kościołach. Na pl. Marciackim bezimiennego towarzysza pożegnało wojsko. Przed gmachem poczty na Słowackiego żegnali go lwowscy pocztowcy. U zbiegu ul. Kopernika i Leona Sapiehy Nieznanego Żołnierza pożegnali lwowscy tramwajarze.

Na dworcu trumnę powitali kolejarze. W chwili zdejmowania jej z lawety zagwizdały wszystkie lokomotywy. W salonie recepcyjnym na dworcu do wieczora żegnali nieznanego obrońcę miasta i ojczyzny jego mieszkańcy. O 20.00 10 podoficerów wzięło trumnę na ramiona. Znów zagwizdały wszystkie lokomotywy, kompania honorowa sprezentowała broń, orkiestra pułkowa zagrała *Mazurka Dąbrowskiego*. Podoficerowie złożyli trumnę w specjalnym wagonie-kaplicy, w którym ongiś przywieziono do polski zwłoki Henryka Sienkiewicza. Na trumnie złożono wieńce od wojska, od kombatantów, obrońców Szkoły im. Sienkiewicza w 1918 roku oraz tarczę z herbem Lwowa, miasta zawsze wiernego. O 20.48 pociąg powoli ruszył do Warszawy. Aż do dworca w Kleparowie po

obu stronach torów stały dwa gęste szpalery kolejarzy z pochodniami. W każdym mieście na trasie pociąg witany był uroczyście przez władze, wojsko i mieszkańców.

W jaśniejącej z każdą minutą listopadowej szarówce kondukt z trumną podąża ulicami Warszawy do katedry. Mimo wczesnej pory na jego trasie stoją, za gęstymi szpalerami wojska, ogromne tłumy. W katedrze na trumnę oczekują najwyższe władze Rzeczypospolitej, z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim na czele. Kawalerowie Virtuti Militari przenoszą trumnę na królewski katafalk, otoczony przez las sztandarów pułkowych. Wartę przy trumnie pełnią szwoleżerowie, kawalerowie Virtuti Militari. U stóp katafalku czuwa 3 młodocianych obrońców Lwowa. Jeden z nich dzierży wykuty na Śląsku, na tę okazję, symboliczny miecz.

Metropolita warszawski rozpoczyna mszę żałobną. Ksiądz kanclerz Szlagowski wchodzi na ambonę: „Kto ty jesteś – nie wiem. Gdzie dom twój rodzinny – nie wiem. Kto twoi rodzice – nie wiem i wiedzieć nie chcę, i wiedzieć nie będę aż do dnia sądnego. Wielkość twoja w tem, żeś nieznany. Ty jesteś odwieczny geniusz bojowy Narodu, zowiesz się Męstwo. Ty jesteś niespożyta, niezmożona moc ideałów narodowych, zowiesz się Poświęcenie. Ty jesteś wszechzwycięska niepodległość ducha narodowego, zowiesz się Wolność. Nazywasz się Miljon, bo miliony złożyły w tobie swoje ukochanie i swoje katusze. Imię twoje czterdzieści i cztery, a życie twoje – trud trudów. Sława, sława, sława!”.

Pochylają się sztandary, podoficerowie z krzyżami VM na piersiach wynoszą trumnę. Tuż za nią idzie para sierot wojennych, dalej 2 wdowy po poległych bezimiennie żołnierzach, 2 matki poległych. Za nimi 4 inwalidów, niedoszłych Towarzyszy Nieznanego Żołnierza w śmierci. Potem dopiero prezydent i długi sznur dostojników, duchowieństwa, generalicji. Na pl. Saskim

trumna płynie na ramionach bohaterów wojennych w stronę mauzoleum, pośród szpaleru sztandarów. Minister spraw wojskowych gen. Władysław Sikorski wkłada do grobu akt wieczysty o złożeniu zwłok Nieznanego Żołnierza. Punktualnie o 13.00 trumna dotyka dna. Rozlega się jeden strzał armatni. W tej chwili zamiera cała Polska. Na baczność stają przechodnie i sklepikarze, stają tramwaje i samochody.

Delegacje składają wieńce aż do późnego wieczora. W tym czasie do Sulejówka dociera delegacja 7 generałów i kilkunastu pułkowników. Meldują się w willi Józefa Piłsudskiego. Marszałek jest w bardzo silnym konflikcie politycznym z rządem i z gen. Sikorskim osobiście. Piłsudski, wódz naczelny w tygodniach odzyskiwania niepodległości i w miesiącach wojny bolszewickiej, na uroczystościach złożenia ciała Nieznanego Żołnierza nie był obecny.

Wyprowadzenie zwłok Nieznanego Żołnierza z katedry pod wezwaniem św. Jana

3 listopada 1771 ▪ niedziela

Porwali króla? I cóż z tego...

Wkrótce po obiedzie król postanawia, że dziś wyjątkowo do teatru nie pojedzie. Stanisław August Poniatowski chce odwiedzić chorego wuja kanclerza Michała Czartoryskiego. Nie wiedzieć czemu, zwalnia tego wieczora eskortę gwardzistów. Kareta królewska wyjeżdża z Zamku Królewskiego o 20.30. Poprzedza ją 2 pachołków z pochodniami, kilku dyżurnych oficerów, 3 dworzan – wszyscy konno. Wewnątrz karety towarzyszy królowi adiutant i 2 paziów. Za karetą idzie 2 lokajów z latarniami i 2 hajduków.

Ledwie królewski orszak niknie w ciemnościach, przy Miodowej i Kapitulnej zaczyna się osobliwy o tej porze ruch. W bliskiej od siebie odległości stają 3 kilkunastoosobowe grupki uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich poleca towarzyszom mówić tylko po rosyjsku i strzelać w ostateczności.

Po chwili pojawia się jakiś rosyjski oficer z moskiewskiego garnizonu w Warszawie. Dostrzega zbrojnych i chce ich aresztować. Nieznajomi zrazu pokornie słuchają jego poleceń. Nagle zarzucają mu na głowę ciężki płaszcz, walą po nim czym popadnie i bezwładny tłumok odnoszą do stojących nieopodal wierzchowców.

Mija chwila, pojawia się nocny ront ułanów królewskich. W ciemnościach ułani biorą zbrojną grupkę za rosyjskich kozaków i oddalają się.

O 21.30 król wyjeżdża od księcia Michała. Gdy kareta wjeżdża między pałace biskupa krakowskiego i hetmana Branickiego, znienacka otaczają ją 3 czatujące oddziałki. Stangret usiłuje zaciąć konia, ale napastnicy już chwytają za uzdy. Królewscy lokaje i paziowie natychmiast rzucają się do ucieczki. Dworzanie Ośniałowski i Bachmiński strzelają do napastników z pistoletów i dobywają szabel. Spiskowcy odpowiadają z bliska ogniem pistoletów. Zasypani gradem pocisków Ośniałowski, Bachmiński i trzeci dworzanin, Przeuski, uciekają konno. Koń Ośniałowskiego dostaje kulę w kark. Za dworzanami umykają królewscy lokaje i paziowie. Lokaje Ichnowski i Chmielewski są lekko ranni.

Dostępu do królewskiej karety bronią już tylko hajducy. Napastnicy gęsto strzelają z pistoletów i muszkietów. Hajduk Jerzy Henryk Butzow umiera przeszyty 2 kulami. Drugi hajduk Szymon Mikulski pada ciężko raniony pałaszem. Kula muszkietowa przeszywa płaszcz siedzącego w karecie króla. Dostępu do monarchy broni w drzwiach karety już tylko adiutant. Uderzony szablą w głowę, pada nieprzytomny.

Król w ciemnościach i zamęcie napadu niepostrzeżenie otwiera drugie drzwi i chyłkiem biegnie do pałacu Czartoryskich. Ale brama jest zamknięta. Stanisław August rozpaczliwie łomoce kołatką i zwraca tym uwagę napastników. Dopadają doń, wytrącają mu szpadę z ręki i obezwładniają.

Pomysł porwania króla od dawna nurtował konfederatów barskich. Wielu przyjeżdżało z tą propozycją do Kazimierza Pułaskiego, ale on odprawiał ich z kwitkiem, uznając, że do tak trudnej akcji nie są zdolni. W sierpniu do Częstochowy dotarł konfederat Stanisław Strawiński. Pułaski spotkał się z nim w kościele. Strawiński szczegółowo opowiedział o sytuacji w Warszawie, o upodobaniu Stanisława Augusta do wieczornych

przejażdżek i zadeklarował chęć porwania króla. Pułaski zrazu nie zlecił mu wprost porwania monarchy. Początkowo polecił zabrać gotówkę zdeponowaną w pałacu Brühlowskim i w magazynach na Solcu oraz porwać rosyjskiego generała Bibikowa. W końcu jednak zgodził się na porwanie króla i dostarczenie go do Częstochowy. Zastrzegł tylko, żeby pod żadnym pozorem nie narażać jego życia, porwanego zaś traktować przyzwoicie.

Strawiński dostał listy polecające do Walentego Zembrzuskiego, dowódcy barzan w Zakroczymiu, i sprzyjającemu konfederacji marszałka ziemi wyszogrodzkiej Józefa Czachorowskiego. Obaj mieli dostarczyć ludzi do akcji. U Czachorowskiego Strawiński poznał Jana Kuźmę, zwanego też Kosińskim, lokaja, który do konfederatów przystąpił po wyrzuceniu go ze służby. Owego Kuźmę zachęcił Strawiński do udziału w tajemnej misji obietnicą awansu.

Przed 4 dniami Strawiński i oddani do jego dyspozycji zbrojni spotkali się w Małej Wsi pod Zakroczymiem. Tam Strawiński wybrał 26 uczestników akcji i ujawnił plan porwania króla. Nazajutrz spiskowcy przebrali się za fornali i flisaków, swe konie wierzchowe zaprzęgli do wozów z sianem, w których ukryli broń, i ruszyli do Warszawy. W mieście zajęli się nimi zwolennicy konfederacji barskiej; ukryli ich w stajniach dominikańskich na Nowym Mieście. Wczoraj Strawiński rozeznał miejsce akcji, ułożył szczegółowy plan napadu. Dziś pozostało już tylko czekać na sygnał z zamku, od zakonspirowanego w otoczeniu króla zwolennika konfederacji, o wieczornym wyjeździe monarchy.

W ciemnościach pośród prochowego dymu widać niewiele. Pojmanie Stanisława Augusta nie kończy zamętu. Spiskowiec Jan Wołyński, nie rozpoznawszy obezwładnionego króla, tnie go lekko pałaszem w głowę. Chwilę później Kuźma strzela do króla z pistoletu. Chybia. Nadbiega Strawiński. Poleca wsadzić monarchę

na konia. Stanisławowi Augustowi zapowiada, że jeśli będzie spokojny i posłuszny, ocali głowę. Kuźmie zaś oddaje pod komendę 10 zamachowców i porucza zadanie dostarczenia porwanego do Częstochowy. Spiskowcy w egipskich ciemnościach pędzą w stronę Arsenału i dalej, aż do warszawskich okopów. Jeden z porywaczy trzyma za uzdę konia Stanisława Augusta, reszta popędza monarchę z tyłu, tnąc szablami jego wytworną pelisę. W okopach koń pod królem łamie nogę. Stanisław August ląduje w błocie, gubi pelisę i trzewik. Od jednego z porywaczy dostaje nowego konia i jakiś przyduży bucior.

Rozproszeni przez napastników słudzy króla podnoszą alarm na zamku. Komenda, z obawy o powszechne rozruchy, wytacza na przyległe ulice armaty i stawia pod broń wszystkie stacjonujące w Warszawie pułki. Straż zamkowa, wysłana na miejsce napadu, znajduje tylko martwego hajduka Butzowa, postrzelaną karetę i kapelusz króla.

Tymczasem na polecenie Strawińskiego porywacze rozdzielają się. Król pozostaje pod 7-osobową strażą kierowaną przez Kuźmę. Mała kawalkada błąka się w ciemnościach, gdzieś po drodze gubią się kolejni jeźdźcy. Wreszcie, dobrze już po północy, na jakimś popasie na obrzeżach Bielan, 2 ostatni podwładni Kuźmy zabierają wszystkie konie i rejterują.

Kuźma zmusza króla do marszu pieszo. Nie traci nadziei, że jakoś odnajdzie lasek z ukrytą karetą, którą ma wywieźć Stanisława Augusta do Częstochowy. W czasie marszu po lesie, w ciemnościach, popychany przez Kuźmę król rozwija swój sławny dar wymowy, by przeciągnąć go na swą stronę. A to straszy, jak ciężką zbrodnią jest porwanie króla, a to obiecuje puścić wszystko w niepamięć i sowitą nagrodę. Gdzieś tak po 4 godzinach przekonywania Kuźma załamuje się. Pada do nóg Stanisławowi Augustowi, prosi o wybaczenie. Król

wysyła go na poszukiwanie schronienia. Kuźma odnajduje nieopodal jakiś młyn z wiatrakiem. Młynarz bierze za dobrą monetę opowieść króla, że jest on szlachcicem niedaleko stąd napadniętym przez zbójców. Młynarzowa obmywa ranę króla, opatruje płócienną chustą. Stanisław August popija gorące mleko i szybko kreśli list do płk. Coccei, dowódcy gwardii pieszej koronnej: „Cudem uszedłem z rąk morderców, pospiesz po mnie ze 40 ludźmi do Marymontu. Jestem raniony, ale nie niebezpiecznie".

W Warszawie tymczasem wieść o porwaniu króla przyjęto z niejakim lekceważeniem. Nikt nie ma zamiaru wszczynać żadnych tumultów. Tłum zebrany na miejscu napadu wyraźnie sympatyzuje z konfederatami. Miast wyrazów współczucia i oburzenia w ciemnościach częściej słychać niepochlebne epitety pod adresem monarchy. Kanclerz Czartoryski na wieść o zamachu każe tylko lepiej zatarasować bramę wjazdową do swego pałacu i siada do wieczerzy. Rosyjski poseł Saldern wysłuchuje obojętnie relacji szambelana Pernigottiego i odpowiada, że ma teraz pilniejsze sprawy do załatwienia niż pomoc dla porwanego monarchy. Rosyjski generał Bibikow, zamiast wysłać patrol za porywaczami, gromadzi pospiesznie sołdatów dla ochrony swej własnej osoby.

Na zamku marszałek koronny Stanisław Lubomirski wraz z sędzią marszałkowskim pieczętują szafy w gabinecie króla i sam gabinet.

Gdy parobek młynarza dociera z listem Stanisława Augusta do płk. Coccei, świta już. Gwardia z powozem rusza do młyna natychmiast. I natychmiast marszałek Lubomirski zdejmuje pieczęcie z królewskich szaf. Gdy odsiecz dociera do młyna, król śpi. W drzwiach izby jego bezpieczeństwa strzeże nawrócony Kuźma.

4 listopada 1794 ▪ wtorek

O jeden most za mało

Mija północ i staje się jasne, że pomoc uzbrojonego mieszczaństwa Warszawy zza Wisły nie nadejdzie. Praga musi się bronić sama. Najwyższy naczelnik insurekcji Tomasz Wawrzecki nie ma złudzeń, że ta obrona ma szansę zakończyć się sukcesem.

Po klęsce pod Maciejowicami i wzięciu naczelnika Tadeusza Kościuszki do niewoli, we władzach insurekcji zapanował zamęt. Stronnictwa umiarkowanych i jakobinów usiłowały przeforsować własne koncepcje dalszego prowadzenia wojny. Pierwsi liczyli na narodową zgodę w obliczu rosyjskiego zagrożenia i odłożenie sporów politycznych na czas po zwycięstwie. Drudzy ratunek widzieli tylko w rewolucyjnym terrorze, który wszystkich Polaków zmusiłby do walki z Rosją, bez pardonu, na śmierć i życie.

Jakobini odnieśli sukces, wysuwając na naczelnika Tomasza Wawrzeckiego, ale umiarkowani nie zasypiali gruszek w popiele – w skład Rady Wojennej przy Naczelniku, z jednym jedynym wyjątkiem gen. lejtn. Józefa Zajączka, weszli przeciwnicy rozwiązań radykalnych. Spowodowało to fatalny paraliż decyzyjny.

W obliczu nieuchronnego marszu armii gen. Aleksandra Suworowa na Warszawę Tomasz Wawrzecki, uznając obronę Pragi za niemożliwą, zaproponował całkowite opuszczenie prawego brzegu Wisły, zablokowanie jej wojskiem regularnym i rzucenie licznych oddziałów nieregularnych do Wielkopolski, celem wyrzucenia z niej Prusaków. Ten rozsądny plan Rada Wojenna odrzuciła, podnosząc absurdalny argument, że po zajęciu Pragi Rosjanie będą mogli ostrzeliwać z dział Warszawę.

Także gen. lejtn. Jan Henryk Dąbrowski był za oddaniem Pragi bez walki. Dąbrowski chciał, by całe wojsko z królem i Radą Wojenną uderzyło na Wielkopolskę i przezimowało

w wyzwolonym zaborze pruskim. Także i ten zamysł został odrzucony przez fatalnie kunktatorską Radę Wojenną.

Pozostał wariant najgorszy – obrona Pragi.

Cała Praga to wszystkiego nieco ponad 500 domów, z czego zaledwie parę murowanych, i 7 tys. mieszkańców, głównie rybaków, rzemieślników, mieszczan podlejszej kondycji. Tadeusz Kościuszko, rozumiejąc jej strategiczne znaczenie, już w pierwszych miesiącach insurekcji nakazał sypać wokół niej umocnienia. Z braku ludzi, narzędzi i pieniędzy szło to jednak niesporo.

Nadzorowanie ostatniej fazy budowy praskich umocnień powierzono gen. Józefowi Zajączkowi. On też, co logiczne, miał dowodzić ich obroną. Maciejowicka klęska niezbyt przyczyniła się do wzmożenia prac. Przysłano jedynie więcej rosyjskich jeńców do robót. Jeszcze przed 3 tygodniami kwatermistrz korpusu inżynierów ponaglał zwierzchników o pomoc dla harujących na Pradze żołnierzy – od dawna nie dostawali ani żołdu, ani pożywienia, ani opału.

W ten sposób nie można było zdążyć przed Suworowem. Gdy przed 9 dniami pierwsze oddziały rosyjskie pojawiły się na przedpolach Pragi, do ukończenia szańców brakowało sporo.

Umocnienia mają kształt trójkąta, którego wierzchołkiem jest Piaskowa Góra, a podstawą Wisła. Praskie szańce zaprojektowane zostały tak, że konieczne jest obsadzenie ich silną artylerią. Armat tymczasem jest rozpaczliwie mało, niespełna 90. Brakuje też żołnierzy. Do solidnego obsadzenia wałów potrzeba ich 45 tys. Gen. Zajączek ma pod swymi rozkazami niespełna 14 tys. żołnierzy i 3200 uzbrojonych warszawskich mieszczan. Co gorsza, gen. Zajączek nie wierzy w możliwość obrony Pragi. To nie grzech, to realistyczna ocena sytuacji wojskowej. W końcu w utrzymanie Pragi nie wierzą ani naczelnik Tomasz Wawrzecki, ani gen. Jan Henryk Dąbrowski.

Ale gen. Zajączek, nadzorując prace fortyfikacyjne, dopuścił się straszliwego zaniedbania. Wiedząc, że Pragi nie utrzyma i prędzej czy później jego podkomendni będą musieli wycofać się do Warszawy, zaniechał umocnienia podejścia do jedynego mostu przez Wisłę i dokończenia budowy drugiego. Tym samym zamienił Pragę w śmiertelną pułapkę dla obrońców.

Oddziały gen. Suworowa stoczyły 25 października walkę z tylną strażą uchodzącej z Litwy grupy gen. Mokronowskiego. Jeszcze tego samego dnia armia rosyjska założyła w pobliżu Kobyłki obóz i zaczęła przygotowania do szturmu. Suworow osobiście przeprowadził rozpoznanie polskich umocnień i ułożył plan niespodziewanego, generalnego szturmu. Jego żołnierze zaczęli klecić drewniane drabiny do wspinania się na szańce, gromadzili faszynę i wiklinowe plecionki do rzucania na rowy i wilcze doły. Przed kilkunastoma godzinami Suworow wydał rozkaz swym żołnierzom. W prostych słowach pouczył ich, jak mają zachowywać się podczas szturmu:

„Kiedy ruszymy – idźcie cicho, nie mówić ni słowa, nie strzelać. Zbliżywszy się do umocnień, rzucić się szybko naprzód na rozkaz, krzyczeć: »ura!«. Po dojściu do rowu nie zwlekać, rzucać do niego faszynę, stawać i opierać o wał drabiny. Ochotnicy niech strzelają do wroga nad głowami. Szybko, sprawnie, para za parą – leź. Krótka drabina? Bagnet w wał i leź po nim, i drugi, i trzeci. Stanąwszy na wale, obalaj bagnetem nieprzyjaciela i natychmiast formuj się za wałem. Na strzelanie nie trać czasu, bez potrzeby nie strzelaj, bić w gnaty wroga bagnetem, robić szybko, sprawnie, odważnie, po rosyjsku!".

Rosyjska artyleria aż do zmierzchu ostrzeliwała szańce. To był podstęp Suworowa, który chciał przekonać obrońców, że powoli zabiera się do żmudnego oblężenia.

Gen. Zajączek dał się na ten fortel nabrać.

Dochodzi 2.00, gdy naczelnik Tomasz Wawrzecki, który ciągle zamyśla o przeniesieniu walki do Wielkopolski, w tajemnicy przed Radą Wojenną podpisuje rozkaz o przeniesieniu korpusu gen. Dąbrowskiego z Pragi przez Nadarzyn i Tarczyn do Starej Wsi.

Godzinę później 30-tysięczna armia rosyjska, podzielona na 7 kolumn, w ciszy zaczyna skradać się w stronę polskich umocnień. Płynące nocnym niebem chmury przysłaniają księżyc i obrońcy nie dostrzegają przemarszu. O 5.00 nad ranem czołowe oddziały rosyjskie są już zaledwie 100 m przed polskimi szańcami. Polacy niczego nie zauważają – tej nocy większość wart grzeje się przy ogniskach.

O 5.00 w ciemnościach eksploduje rakieta. To sygnał do szturmu. Rosyjskie kolumny atakują na całej długości umocnień. Zaskoczeni obrońcy często strzelają Panu Bogu w okno, ale walczą jak lwy. Polska kawaleria próbuje kontratakować w ciemnościach. Odrzucają ją kijowscy konni jegrzy.

O 6.00, na pół godziny przed świtem, jako pierwsi wdzierają się na wały grenadierzy fanagoryjscy.

Załoga Piaskowej Góry, najsilniej umocnionego odcinka fortyfikacji, dowodzonego sprężyście przez gen. Jakuba Jasińskiego, nie daje się zaskoczyć. Polskie armaty ryją w szykach Rosjan głębokie dziury. W końcu jednak atakujący wdzierają się na wał. Naczelnik Wawrzecki zbiera rozproszone oddziały i rzuca do kontrnatarcia. Carscy jegrzy odrzucają je i maszerują w stronę zabudowań Pragi.

Druga z kolumn atakujących Piaskową Górę ponosi od kartaczy obrońców najcięższe straty. Po jej zdobyciu Rosjanie atakują praski Zwierzyniec. Tam gen. Jakub Jasiński zbiera niedobitki obrońców. Z prawego skrzydła umocnień spieszą na pomoc inne polskie

oddziały. Walka w Zwierzyńcu jest niesamowicie zażarta. Gen. Jasiński wraz z adiutantami bije się w pierwszej linii.

W tym czasie odłamek lekko rani w rękę gen. Zajączka. Zamiast walczyć, dowódca obrony Pragi zmyka konno w stronę mostu. Wkrótce potem jest już na lewym brzegu Wisły.

2 kolumny rosyjskie otaczają Zwierzyniec. Gen. Jasiński nie chce się poddać. Ginie z większością swych żołnierzy. Giną generałowie Grabowski i Korsak. Płk. Berek Joselewicz i jego żydowski pułk ułanów także walczą w Zwierzyńcu do ostatniej kropli krwi. Pod rosyjskimi bagnetami padają niemal wszyscy z 500 jego podkomendnych.

Rozbite polskie oddziały powoli spływają w stronę jedynego mostu. Tłoczą się na nim cywile i wojskowi. W panicznej ucieczce, w dzikim tłoku kilkuset wojskowych i cywilów spada i tonie w Wiśle. Wśród tłumów pędzących do zbawczego mostu jest także Tomasz Wawrzecki. Jakiś oficer i 2 mieszczan przeprowadzają naczelnika insurekcji na koniu na drugi brzeg. Krótko po tym Rosjanie odcinają dojście do zbawczego mostu. Tragicznie mści się brak umocnień na jego przedpolu.

Wawrzecki, który podczas odwrotu popadł w głęboki stupor, na widok carskich jegrów wbiegających na most odzyskuje werwę. Z pobliskiego domu własnoręcznie wywleka ukrywającego się tam kanoniera, każe mu obracać na most porzucone działo i strzelać. Wkrótce most płonie. Praga jest odcięta.

Rosyjskie kartacze masakrują tysiące obrońców otoczonych na nadrzecznych piaskach.

Choć Suworow rozkazał poprzedniego dnia, by „do domów nie wbiegać, nieprzyjaciół proszących łaski oszczędzać, bezbronnych nie zabijać, z babami nie walczyć, małoletnich nie ruszać”, carscy jegrzy wpadają do domów Pragi i bagnetami mordują kogo popadnie.

O 9.00 niedobitki polskich oddziałów poddają się. W szturmie zginęło, zostało wymordowanych w domach, utopiło się w czasie ucieczki przez Wisłę kilkanaście tysięcy obrońców i mieszkańców. Rosjanie stracili 500 zabitych żołnierzy.

Rosyjskie armaty jeszcze przez 2 godziny ostrzeliwują lewy brzeg Wisły. Warszawę ogarnia panika. To koniec insurekcji.

5 listopada 1901 ▪ wtorek

Wznieśliśmy pomnik!

O 12.30 na ul. Jasnej przed wejściem głównym do nowo zbudowanego gmachu filharmonii zatrzymuje się powóz biskupa sufragana warszawskiego Kazimierza Ruszkiewicza. Biskup przez chwilę podziwia efektowną fasadę filharmonii: 5 arkad na parterze, wielką, ciągnącą się przez całą centralną część fasady loggię, przysłoniętą parami kanelowanych kolumn korynckich, wreszcie na górze attykę zdobną dekoracyjnymi wazonami, zwieńczoną dumnym napisem: „Philharmonia". Biskup przez chwilę podziwia zdobiące fasadę rzeźby przedstawiające Mozarta, Beethovena, Chopina i Moniuszkę. Sprzed wejścia dość marnie widać monumentalne grupy rzeźbiarskie na 3. kondygnacji fasady: *Apoteozę muzyki*, złożoną z postaci uskrzydlonej Muzy, siedzącej u jej stóp dziewczyny i młodzieńca z laurowym wieńcem, wykonaną w cemencie przez Józefa Jasińskiego, osadzoną w centralnej części attyki, oraz wieńczące ryzality wielkie, kamienne, wielopostaciowe alegorie rzeźbiarskie dłuta Stanisława Romana Lewandowskiego – *Muzyka klasyczna* i *Muzyka narodowa*.

Bez wątpienia to jeden z najświetniejszych gmachów publicznych Warszawy.

Biskup wkracza po 6 granitowych schodach do wnętrza. Zaraz za drzwiami wejściowymi mija 2 marmurowe tablice. Na jednej wyryto nazwiska członków, założycieli filharmonii, na drugiej – nazwiska członków komisji budowlanej i budowniczych.

Wszyscy dobrze zasłużyli na ten honor.

Warszawa na przełomie wieków nie miała godziwej sali koncertowej. Rzutki właściciel składu nut, redaktor „Echa Muzycznego, Teatralnego i Artystycznego" Aleksander Rajchman, po niezbyt udanym koncercie Ignacego Paderewskiego w wynajętej, dusznej sali hotelu Bristol, rzucił hasło budowy wielkiego gmachu filharmonii, o najwyższych, światowych standardach estetycznych i akustycznych. Przed 2 laty powstało Towarzystwo Akcyjne Filharmonia Warszawska, którego udziałowcami zostało niemal 300 przedstawicieli najświetniejszych polskich rodów ziemiańskich i sfer przemysłowo-handlowych. Ale kapitały akcyjne nie wystarczyły. Gmach wzniesiono i wyposażono dzięki ogromnym dotacjom i darom barona Leopolda Juliana Kronenberga, jednego z synów i dziedziców wielkiego finansisty i przemysłowca Leopolda. Baron Leopold Julian, wielki protektor i dobroczyńca polskiej kultury, kupił własnym sumptem działkę pod budowę filharmonii i rozebrał znajdujący się na niej szpital. Później znacznym kosztem zaopatrzył filharmonię w organy oraz w wielki zbiór nut, kupowanych po całej Europie.

Wspaniały gmach z ogromną salą koncertową zaprojektowali architekci Karol Kozłowski i Izydor Pianko. Tę wielką, skomplikowaną technicznie, bogato ozdobioną budowlę budowniczowie wznieśli i kompletnie wyposażyli w ciągu, bagatela, niespełna 19 miesięcy.

W ogromnym, liczącym 140 m kw. westybulu biskupa oczekuje zarząd filharmonii z prezesem baronem Leopoldem Julianem Kronenbergiem i wiceprezesem księciem Stefanem Lubomirskim, administracja z dyrektorem zarządzającym Aleksandrem Rajchmanem oraz dyrektorem muzycznym Feliksem Młynarskim, projektanci i budowniczowie gmachu, część członków orkiestry oraz 16 księży diecezji warszawskiej z wiceregensem seminarium duchownego ks. Stanisławem Gallem. Po powitaniu księża prowadzą biskupa marmurowymi schodami na piętro. Tam, w 2-kondygnacyjnym *foyer* o długości ponad 30 m, szerokości zaś 7 m, którego sufit udekorował malarz Zdzisław Jasiński wielkim plafonem *Muzyka ludowa*, z postacią starca-lirnika otoczonego przez zasłuchany lud, urządzono na dzisiejszą okazję skromny, tymczasowy ołtarzyk. Bp Ruszkiewicz przy pomocy księży przywdziewa przed ołtarzykiem uroczyste szaty i po krótkiej modlitwie święci wielkie *foyer*. Potem rusza na obchód gmachu filharmonii. Poprzedza go 16 śpiewających psalmy księży. Najpierw idą do sali koncertowej. To prawdziwe arcydzieło architektury, którego zazdrościć będzie Warszawie cała Europa, ba, świat cały: sala o długości 36 m, szerokości 20 m i wysoka na ponad 15 m mieści niemal 2 tys. słuchaczy. Sześcioro prowadzących do niej drzwi ma amerykańskie zawiasy z wewnętrznymi sprężynami, dzięki którym zamykają się bezszelestnie. Każde z niemal 2 tys. krzeseł składa się automatycznie, a całe rzędy krzeseł można za pomocą skomplikowanego „systemu śrubowego" składać i chować pod podłogę. Na czołowej ścianie dominują wielkie, 42-głosowe organy koncertowe, wykonane w fabryce Walckera w Ludwigsburgu – dar barona Leopolda Kronenberga. Organy ozdobione są dębowymi popiersiami wybitnych muzyków, cała sala zaś – malowidłami wybitnych artystów. Nad łukami arkady

zamontowane są namalowane przez Henryka Siemiradzkiego wielkie, dopasowane do kształtu miejsca płótna *Musica sacra* i *Musica profana*. To hojny dar wybitnego i bardzo drogiego malarza. Sufit, zdobny alegorycznymi malowidłami, odwołującymi się do muzyki, jest autorstwa Jana Strzałeckiego.

Bp Ruszkiewicz dokonuje poświęcenia sali i orszak rusza do drugiej, mniejszej sali koncertowej z 425 miejscami. Potem biskup święci spore pomieszczenia na piętrze, przeznaczone dla Towarzystwa Śpiewaczego Lutnia, niezbyt wielkie biuro zarządu filharmonii, mieszkanie dyrektora Rajchmana.

Orszak wraca do *foyer*. Biskup modli się przed ołtarzem, potem wygłasza przemówienie do zebranych.

Dyrektor Rajchman wręcza obecnym udziałowcom filharmonii i zasłużonym dla jej budowy pamiątkowe medale. Odlała je firma Gerlach i Meissner. Na ich awersie widnieje fronton gmachu filharmonii oraz imienny grawerunek, na rewersie zaś napis „Pamiątka budowy Filharmonji Warszawskiej 1900/1901". Najbardziej zasłużeni otrzymują medale złote, pozostali – pozłacane.

Ci z akcjonariuszy, którzy posiadają nie mniej niż 10 sztuk akcji filharmonii (akcje są bardzo drogie, sprzedawano je po 500 rubli), otrzymują z rąk dyrektora Rajchmana złote trójkątne żetony z widokiem gmachu filharmonii i odlanym nazwiskiem właściciela, dające prawo dożywotniego zajmowania własnego miejsca na widowni. Baron Kronenberg otrzymuje żeton na krzesło 12 b w III rzędzie.

Ale to nie wszystko. Architekci Karol Kozłowski i Izydor Pianko wręczają baronowi Kronenbergowi na atłasowej poduszce symboliczny brązowy klucz do gmachu filharmonii. Klucz jest właściwie rzeźbą – złocony brąz przedstawia syrenę grającą na harfie, zaś jego pióro to stylizowana litera F.

F jak filharmonia.

Po pożegnaniu biskupa i jego świty dyrektor Rajchman wraca do swego służbowego mieszkania. Tam czeka nań niespodzianka. Budowniczowie filharmonii, inżynierowie, technicy, nawet kilku przedstawicieli prostych robotników z okazji jej otwarcia wręczają dyrektorowi dwa artystycznie wykonane, metalowe postumenty zwieńczone brązowymi rzeźbami wróżki kwiatów i nimfy leśnej. Do tego dołączają adres z 20 podpisami, który sławi jego niespożytą energię i zasługi.

Wytworna Warszawa szykuje się teraz na wieczorny koncert inauguracyjny. Dzień otwarcia filharmonii jest świętem wykształconych Polaków we wszystkich zaborach. Zewsząd nadchodzą adresy i telegramy z gratulacjami (telegram z życzeniami sukcesów nadszedł także z petersburskiego Cesarskiego Towarzystwa Muzycznego).

Dla osób niezwiązanych z budową gmachu zdobycie biletu graniczyło z niemożliwością. W prasie publikowano nawet ostatnio na poły złośliwe, na poły proszalne wierszyki w tej sprawie.

„Filharmonia – nie maruda,
Ogłosiła już swe cuda:
Śród koncertów (to nie figa!)
Będzie miała nawet Griega!
Filharmonio! Pełna mocy!
Czcić cię będziem w dzień i w nocy!
Wielbić będziem cię na wylet
Ale daj nam także bilet!”

Ci, którym bilet na koncert inauguracyjny udało się zdobyć, przybywają do filharmonii grubo przed 19.00. W ogromnej, liczącej ponad 400 m kw., urządzonej w stylu neogotyckim szatni gości

czeka postępowa niespodzianka. Po raz pierwszy w Królestwie Polskim odpowiedzialną funkcję szatniarzy powierzono kobietom!

W *foyer* kręci się i gawędzi „cała Warszawa". Uwagę zwracają słynny wynalazca Jan Szczepanik, zwany „polskim Edisonem", znany pisarz Henryk Sienkiewicz i przede wszystkim honorowy gość uroczystości – światowej sławy wirtuoz Ignacy Paderewski. Są wybitne osobistości z Krakowa i Galicji, niemało gości przyjechało z Poznania i z zaboru pruskiego. Sfery muzyczne Moskwy reprezentuje dyrektor Cesarskiego Towarzystwa Muzycznego Wasyl Safonow. Z Berlina przybył sławny fabrykant fortepianów Edwin Bechstein.

Koncert pod batutą Emila Młynarskiego zaczyna się punktualnie o 20.00. To też niespodzianka. W Warszawie nawet najważniejsze imprezy rozpoczynane są z reguły ze sporym opóźnieniem.

Połączone chóry Lutni z Warszawy i Łodzi śpiewają specjalnie skomponowaną na tę okazję kantatę Żyj *pieśni* Władysława Żeleńskiego. Słowa napisał, też na tę okazję, Or-Ot, popularny warszawski poeta Artur Oppman. Publiczność doskonale wychwytuje wszystkie patriotyczne aluzje w tekście pieśni:

„Jak złoty dzwon z niebiańskich stron
Z tych murów pieśń powieje
Na światła plon, na zmroku zgon,
Na miłość i nadzieję.
Bo gdy jak upiór krąży tęsknota,
Gdy smutek truje w światowej głuszy,
Ty jedna tylko, o harfo złota,
Umiesz przemawiać do ludzkiej duszy!".

Więcej powiedzieć było nie sposób. Na honorowych miejscach siedzą przecież główny naczelnik Kraju Przywiślanskiego gen. Michaił Iwanowicz Czertkow z żoną i córkami (niedawno zamknął

on za nieprawomyślność Towarzystwo Muzyczne w Łodzi), gen. Puzyrewski, komendant miasta Warszawy gen. lejtn. Komarow, prezes komitetu cenzury radca Emmausski i oberpolicmajster warszawski płk Lichaczew.

Po kantacie rozbrzmiewa *Symfonia d-moll* mieszkającego w Paryżu młodego pianisty i kompozytora Zygmunta Stojowskiego. Pierwszą część koncertu kończy uwertura *Bajka* Moniuszki. Akustyka sali jest zachwycająca. W ostatnim rzędzie krzeseł słychać szelest przewracanych kart z nutami.

Po przerwie występuje sam Paderewski. Gra własny *Koncert fortepianowy a-moll*.

Teraz czas na poemat symfoniczny *Step* Zygmunta Noskowskiego.

Gdy potem znów pojawia się Paderewski, publiczność wstaje z miejsc i nagradza go frenetyczną owacją. Mistrz gra utwory Chopina. Nie szczędzi bisów. Gdy kończy, zachwyceni i zdumieni słuchacze stwierdzają, że jest już po północy.

A przecież baron Kronenberg wydaje jeszcze uroczysty bankiet w swoim pałacu przy Mazowieckiej. Zaproszonych jest 500 osób. Z filharmonii na Mazowiecką są dwa kroki i już kwadrans po północy salony, biblioteka i czytelnia barona Kroneneberga zaczynają się zapełniać. O 00.30 do wielkiej sali pałacu wkracza Ignacy Paderewski. Zrywają się oklaski, natychmiast otacza go tłum wielbicieli. Paderewski w towarzystwie barona wychodzi na środek salonu. Mistrz wygłasza toast:

„Z radością witało przed niedawnym czasem społeczeństwo nasze powstanie pałacu sztuki plastycznej, dlatego też z wielkim zainteresowaniem się śledziło ono za nowym przybytkiem jej siostrzycy w duchu, świątyni tonów. Ale świątynia bez kapłanów martwą jest. Panowie! Wznoszę ten kielich na cześć polskich artystów! Na cześć sztuki polskiej!”.

Pośród oklasków baron Kronenberg obejmuje i ściska Paderewskiego. Potem gospodarz zaprasza do 3 ogromnych stołów: „Teraz, po nasyceniu ducha, posilcie panowie ciało". Przyjęcie jest *a la fourchette*.

Towarzystwo szybko się rozkręca. Dyrektor konserwatorium warszawskiego wznosi toast na cześć barona Kronenberga, potem toast ten powtarza Paderewski, zaczem goście jeden za drugim wznoszą toasty za mistrza i za gospodarza. Ci rewanżują się, później pije się za zdrowie artystów, nie raz, bo ich zdrowie bardzo tego potrzebuje, i znów za głównych bohaterów tego dnia. Dawno już w Warszawie nie bawiono się tak radośnie.

Filharmonia Narodowa w Warszawie

6 listopada 1923 ▪ wtorek

Na krakowskim bruku

W nocy agenci policji pilnie obserwują willę Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Marszałek wycofał się z życia publicznego, jest osobą prywatną, ale policja dyskretnie go inwigiluje. Wrogi Piłsudskiemu rząd endecji i PSL „Piast" kierowany przez Wincentego Witosa obawia się, że przy pierwszej nadarzającej się okazji Marszałek wróci do władzy.

I właśnie okazja taka może się lada moment nadarzyć. Hiperinflacja i nieudolność rządu Witosa zdezorganizowały kraj. Od kilku tygodni co rusz wybuchają strajki. Rząd postanowił je złamać siłą. Kilka dni temu zmilitaryzował koleje i zaczął powoływać do wojska strajkujących kolejarzy. W sparaliżowanym akcją strajkową Krakowie tamtejszy dowódca wojskowy gen. Czikiel wprowadził sądy doraźne dla opornych kolejarzy. W odpowiedzi poprzedniego dnia, 5 listopada, PPS proklamowała strajk generalny.

W willi w Sulejówku większa grupa gości naradza się z Marszałkiem niemal do świtu. W godzinach rannych agenci policji stwierdzają, że zwolennicy Piłsudskiego, posłowie Miedziński, Polakiewicz i Wędziagolski, wyruszają rankiem do Krakowa.

Dochodzi 8.00, gdy do Komitetu Okręgowego PPS w Warszawie, w Alejach Jerozolimskich 6, wbiega 7-letni chłopczyk. To synek woźnego komitetu Mariana Tymińskiego. Chłopiec już z daleka woła do taty, że na schodach leży dziwna, dymiąca paczka. Tknięty przeczuciem Tymiński zatrzymuje syna, a sam wybiega na klatkę. Komitet mieści się na 1. piętrze solidnej mieszczańskiej kamienicy. Na schodach, tuż poniżej drzwi do siedziby PPS, dostrzega dymiący i syczący pakunek sporych rozmiarów. Parę stopni niżej stoi 37-letni stróż domu Jan Trzpiel. Tymiński w lot pojmuje, że paczka to bomba, i bez słowa rzuca się ku drzwiom. Rozlega się potworny

huk, kłęby gęstego dymu wypełniają klatkę schodową. Na parterze, przysypane gruzem wyrwanym ze ścian i resztkami balustrady, leżą zmasakrowane, pozbawione nóg zwłoki stróża Trzpiela. Ogłuszony, poraniony woźny Tymiński leży niemal nagi na progu lokalu PPS. Wybuch zerwał z niego ubranie. Klatka schodowa jest kompletnie zdemolowana aż do 3. piętra, wszędzie poniewierają się odłamki marmurowych płyt, którymi była wyłożona.

Zwolennicy PPS w Warszawie są oburzeni, chcą zwoływać wiece, marsze, ale socjalistyczni działacze szybko pacyfikują bojowe nastroje. Boją się, że zamach miał sprowokować socjalistów do konfrontacji z policją i wojskiem, konfrontacji, która musiałaby skończyć się masakrą.

W Krakowie władze przedłużają wczorajszy zakaz gromadzenia się pod gołym niebem. Policja skoro świt obsadza kluczowe punkty miasta. Wzmocnione patrole z karabinami maszynowymi instalują się w gmachu Syndykatu Rolniczego, na wieżach kościoła Reformackiego i kościoła na Piaskach, w domu nad kawiarnią Bizanca, w Hotelu Krakowskim i na ul. Szewskiej. Późnym rankiem tłum robotników gromadzi się przed Domem Robotniczym przy Dunajewskiego. Drzwi są zamknięte, przed nimi stoi kordon policjantów z karabinami i nałożonymi na nie bagnetami. Zapowiedziany przez PPS wiec w Domu Robotniczym także został zakazany przez władze. Robotnicy podchodzą bliżej kordonu. Wtedy jeden z policjantów ulokowanych w Hotelu Krakowskim strzela do tłumu. Rozwścieczeni demonstranci rzucają się na policjantów przed Domem Robotniczym. Część rozbrajają, reszta funkcjonariuszy ucieka w stronę kawiarni Bizanca.

Wówczas na Plantach pojawia się maszerujący na odsiecz policji oddział piechoty. Robotnicy wznoszą okrzyk: „Niech żyje Piłsudski!”.

Słysząc to, uwielbiający byłego wodza naczelnego żołnierze opuszczają broń. Po chwili demonstranci rozbrajają ich.

Mija parę minut i rozlega się łomot końskich kopyt na bruku. Na odsiecz policji ruszyli ułani 8. Pułku. Uzbrojeni robotnicy, w znakomitej większości świetnie wyszkoleni kombatanci wojny polsko-bolszewickiej, rozsypują się na Plantach w luźną tyralierę. Część z nich wbiega do okolicznych domów i zajmuje pozycje strzeleckie w oknach. Inni wytaczają z sieni beczki z wodą, polewają bruk. Dowódca oddziału ułanów, rtm. Bochenek, wielokrotnie honorowany najwyższymi odznaczeniami bojowymi bohater wojny polsko-bolszewickiej, wydaje rozkaz do szarży na tłum. Na mokrym bruku konie ślizgają się jednak, więc zwalniają. Wtedy robotnicy otwierają ogień. Rtm. Bochenek pada martwy. Resztę zaskoczonych, bezradnych ułanów robotnicy rozbrajają.

Chwilę po rozbiciu oddziału rtm. Bochenka nadjeżdżają 2 szwadrony ułanów pod dowództwem ppłk. Bzowskiego. Robotnicy znów strzelają. Celnie. Ppłk Bzowski ciężko ranny w obie nogi spada z konia, obok niego wali się na bruk zabity adiutant por. Niesiołowski. Po paru minutach strzelaniny ginie jeszcze kilku ułanów. Zabici są także wśród walczących robotników. Nagle broniący się demonstranci wznoszą gromki okrzyk: „Niech żyje Józef Piłsudski!". Ułani przerywają ogień. Robotnicy mieszają się z kawalerzystami i odbierają im broń.

Na polecenie gen. Czikiela akcją policji i wojska kieruje płk Becker. Nie ma pojęcia, co się dzieje w obrębie Plant, rozkazy wydaje przez telefon. Na wieść o niepowodzeniu szarży ułanów płk Becker rzuca do akcji w wąskich uliczkach wokół Rynku oddziały piechoty z Katowic i Galicji wschodniej, które nocą ściągnięto do Krakowa. Piechotę wspierają 3 samochody pancerne. To musi się skończyć porażką. Żołnierze zjednani okrzykami tłumu na cześć

Józefa Piłsudskiego opuszczają karabiny. Po chwili karabiny te są już w rękach robotników. Demonstranci blokują koło samochodu pancernego „Dziadek" i z bliska strzelają do szczelin obserwacyjnych pancerki. Kierowca ginie, 2 żołnierzy załogi jest ciężko rannych. Pozostałe 2 samochody wycofują się na Rynek, gdzie zaciekle broni się duża grupa policjantów. Gdy na Rynek wdzierają się nacierający robotnicy, prócz policjantów strzelają do nich z okien mieszkańcy kilku kamienic.

O 12.30 śródmieście Krakowa jest w rękach oddziałów robotniczych. Wojsko utrzymuje silne pozycje jedynie wokół dworca kolejowego i wokół budynku władz województwa. W mieście rozchodzą się wieści, że władze pośpiesznie ściągają do Krakowa wielkie ilości piechoty i artylerię. Krakowscy działacze PPS są przerażeni – zanosi się na masakrę robotniczych insurgentów.

W Warszawie rząd także jest w najwyższym stopniu zaniepokojony rozwojem sytuacji na południu kraju. Strzały do robotników padły tego dnia nie tylko w Krakowie. Są zabici w Borysławiu, walki z policją toczono także w Tarnowie. Politycy endeccy i piastowcy obawiają się zwłaszcza bratania się żołnierzy z robotnikami w Krakowie. To pachnie rychłym wybuchem prawdziwej rewolucji. Ale nie mniej lękają się marszałka Piłsudskiego i jego zwolenników. Jeśli walki ze strajkującymi rozleją się po kraju, Piłsudski może wystąpić jako mąż opatrznościowy ratujący ojczyznę – spacyfikuje rozruchy, ale przy okazji zmiecie prawicowy rząd i weźmie władzę.

Premierowi Witosowi nie uśmiecha się żaden z tych scenariuszy. Wczesnym popołudniem chętnie korzysta z pośrednictwa marszałka Sejmu Macieja Rataja i spotyka się z 5 posłami PPS. Oferują oni Witosowi zaniechanie strajku generalnego oraz odwołanie strajku kolejarzy i pocztowców, w zamian za uchylenie rozporządzenia

o sądach doraźnych, zwolnienie powołanych do wojska kolejarzy, nierepresjonowanie strajkujących i walczących oraz rozpatrzenie postulatów ekonomicznych robotników. Witos zgadza się na ten kompromis. PPS ogłasza, że jutro w całym kraju robotnicy idą rano do pracy.

W Krakowie socjalistyczny poseł Marek ustala z wojewodą Gałeckim szczegóły rozejmu. Policja wycofuje się z ulic w centrum, które do rana mają prawo patrolować wyłącznie uzbrojeni robotnicy. W szpitalach lekarze pracują bez odpoczynku. Bilans walk tego dnia: zginęło 3 oficerów i 11 szeregowców, rannych jest 101 żołnierzy i 31 policjantów. Zabito także 18 robotników i postronnych cywilów, 10 odniosło ciężkie rany. Ale rewolucji i wojny domowej nie będzie.

Manifestacja pod gmachem Poczty Głównej w Krakowie przy ul. Wielopole

7 listopada 1917 ▪ środa

Pudła z „Aurory”

Jest w końcu ta rewolucja czy jej nie ma? Wczesnym rankiem tramwaje jak co dzień krążą po zamglonym Piotrogrodzie. Jak zawsze zwieszają się z nich grona pasażerów na gapę. Sklepy są otwarte. Jest jakby spokojniej niż w ostatnich dniach. A przecież od wczoraj w stolicy toczą się walki. Wczoraj rano legalny Rząd Tymczasowy pojął, że ze spiskiem bolszewików musi rozprawić się siłą.

Tymczasem w Pałacu Smolnym pod Piotrogrodem bez przerwy obradował sztab kiełkującej rewolucji – Komitet Centralny partii bolszewików i kierujący działaniami wojskowymi Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Co robić? Wszczynać rewolucję czy nie? Bolszewicy wahali się. Zaraz rozpocznie się II Zjazd Rad, może niech on zadecyduje? Zadecydował Lenin. Wsiadł wczoraj wieczorem do tramwaju, przyjechał do Smolnego i zarządził na dzisiaj ostateczną rozprawę z Rządem Tymczasowym.

Mija północ. W Piotrogrodzie huczy od strzałów. 7 tys. zwolenników bolszewików, w tym 2,5 tys. marynarzy z Kronsztadu, walczy z 2 tys. obrońców legalnego rządu. Kilkadziesiąt razy liczniejszy od sił obu stron wojskowy garnizon Piotrogrodu smacznie śpi – żołnierze ogłosili neutralność. W Smolnym Lenin miota się, wypisuje dziesiątki karteczek z ponagleniami i prośbami do bolszewickich dowódców: zajmijcie Centralny Telegraf, elektrownię, most Mikołajewski! Kartki gdzieś przepadają, bolszewicy zajmują miasto niezależnie od próśb i zaklęć swego wodza. O drugiej w nocy „Aurora” w towarzystwie trałowca nr 14 cicho podpływa do mostu Mikołajewskiego na Newie – ostatniego,

który pozostaje w rękach żołnierzy rządowych. Marynarze z krążownika po krótkiej walce zajmują go. Nad ranem walki cichną. O świcie bolszewicy kontrolują kluczowe punkty stolicy: dworce, mosty, elektrownie, banki.

Rząd i premier Aleksander Kiereński znajdują się w Pałacu Zimowym nad Newą chronieni przez blisko tysiąc wiernych żołnierzy. To ostatni skrawek stolicy zajmowany przez legalne władze.

O 10.00 w Smolnym Lenin triumfuje. Pisze odezwę *Do obywateli Rosji* o obaleniu Rządu Tymczasowego. Potem roześmiany mówi do Trockiego: „Przejście od podziemia do władzy, *es schwindelt*" (z niemieckiego: to oszałamiające).

Szybko pisze notatkę do Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego nakazującą natychmiastowy szturm na Pałac Zimowy. Opieszałym grozi natychmiastowym rozstrzelaniem.

W tym czasie ministrowie w Pałacu Zimowym jeszcze nie wiedzą, że w istocie stracili władzę. Telegraf nie działa, na ulicach spokój, oddziałki bolszewików nikną w tłumie piotrogrodzian. Kiereński ucieka z Piotrogrodu.

Przed 12.00 budzi się amerykański dziennikarz John Reed, kibicujący bolszewickiej rewolucji. Spotyka wartę kilku żołnierzy. Pyta, czy są po stronie rządu, a ci ze śmiechem odpowiadają, że rządu już nie ma. Obok przechodnie czytają gazety. Wydrukowane wieczorem, są beznadziejnie nieaktualne. „Izwiestia" przestrzegają bolszewików przed wplątaniem się w „bezmyślną awanturę", „Nowaja Żizń" dobrotliwie radzi im, by nie strzelali jako pierwsi.

Radiostacja „Aurory" nadaje poranną odezwę Lenina. Po ulicach jeździ kilka samochodów pancernych z czerwonymi flagami, samozwańcze patrole bolszewików, mienszewików i licho wie kogo

jeszcze kontrolują przechodniów. W restauracjach panuje tłok. Przy herbacie ludzie spekulują, co będzie dalej.

II Zjazd Rad wybiera tymczasowy rząd robotniczo-chłopski, z Leninem na czele.

Wczesnym popołudniem w Pałacu Zimowym wszyscy już wiedzą, co się stało. Pałacu broni teraz 850 żołnierzy, w tym batalion kobiecy. Mają samochód pancerny, 2 armaty, 9 karabinów maszynowych i nadzieję, że stojące niedaleko Piotrogrodu oddziały rządowe przebiją się z pomocą. Obrońcy nie chcą się poddać. Bolszewicy szykują się do szturmu. Sygnałem ma być strzał z „Aurory". Ale armaty krążownika milczą. Zawiodła sygnalizacja. Już po ustalonym czasie pada wreszcie strzał z twierdzy. Zdezorientowane oddziały czerwonogwardzistów i zbolszewizowanych marynarzy ruszają do nieskoordynowanych ataków. W chaotycznej strzelaninie padają pierwsi zabici. Ogromny pałac nie jest zaciemniony, otwarte jest mnóstwo bocznych drzwi. Grupki bolszewików co rusz wpadają do środka, gdzie aresztują ich junkrzy i żołnierki z batalionu kobiecego. Po północy jeńców jest dużo, dużo więcej niż pilnujących, i role nagle się odwracają – bezbronni bolszewicy biorą do niewoli nielicznych uzbrojonych strażników. Ale junkrzy nadal bronią rozległego gmachu. Artyleria pobliskiej Twierdzy Pietropawłowskiej usiłuje wesprzeć ataki. Mizernie. Z 30 strzałów w pałac trafiają 2. Armaty „Aurory" strzelają niewiele skuteczniej, jej załoga przyłącza się do szturmu w charakterze piechoty. Niedaleko pałacu marynarze zatrzymują kilkusetosobowy pochód zamożnych obywateli Piotrogrodu idących podtrzymać obrońców rządu. Pochód zawraca.

O 2.00 do pałacu wdziera się grupa 300 czerwonogwardzistów. Junkrzy rzucają broń. Zdobywcy rozbiegają się po gmachu, szukają rządu. Kamerdyner pokazuje pokój, w którym schowali się

ministrowie. Bolszewicy wśród obelg biorą ich pod straż. O 2.04 dowodzący atakiem Antonow-Owsiejenko wysyła telegram do Lenina: „Pałac wzięto!”.

Jedni zdobywcy rabują, inni krzyczą: „Towarzysze, nie brać! To własność ludu!”. Przy wyjściach wszyscy nawzajem rewidują się, odbierają sobie zawartość kieszeni. W tym czasie na poddaszu przy telegrafie siedzi zapomniany młody oficer wojsk rządowych i spokojnie wysyła w Rosję odezwy i wezwania do walki z bolszewikami. Gdy orientuje się wreszcie, że bolszewicy zdobyli pałac i odmaszerowali z aresztowanymi, nakłada czapkę i nieniepokojony przez nikogo, spokojnie wychodzi do miasta.

Rewolucja październikowa

8 listopada 1923 ▪ czwartek

Fatalny unik

W wielkiej monachijskiej piwiarni Bürgerbräukeller przy Rosenheimerstrasse, tuż nad brzegiem rzeki Izary, jest ciemno od dymu z papierosów. 3 tys. mężczyzn, zbitych jak śledzie w beczce, siedzi w milczeniu nad kuflami piwa. To nie jest *Stammtisch*, wieczorne towarzyskie spotkanie przy piwie, lecz polityczny wiec prawicowych nacjonalistów i monarchistów. W sali obecna jest śmietanka władz bawarskich. Dochodzi 20.30. Przemawia Gustaw von Kahr, przywódca monachijskich monarchistów, do niedawna premier bawarskiego rządu, dziś komisarz krajowy Bawarii, dysponujący niemal dyktatorską władzą. Von Kahr donośnie odsądza komunistów od czci i wiary. Nagle przy drzwiach wejściowych robi się zamieszanie, słychać jakieś krzyki. Von Kahr przerywa przemówienie. Do sali wpychają się mężczyźni w jakichś nieregulaminowych mundurach, w stalowych hełmach. Wśród nich są Hermann Göring i Rudolf Hess. Kilku napastników wtacza ciężki karabin maszynowy. Zza ich pleców wyłania się mężczyzna z charakterystycznym szczotkowatym wąsikiem i starannie ulizanym przedziałkiem na głowie. Ma na sobie jasny prochowiec przepasany paskiem. To Adolf Hitler, przywódca radykalnej Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, NSDAP. Hitler przeciska się na środek sali. Tuż przy nim idą 2 osobiści ochroniarze w mundurach SA. W podniesionych rękach trzymają pistolety. Uczestnicy wiecu włażą na stoły, by lepiej to wszystko zobaczyć. Przewracają kufle, piwo leje się na podłogę.

Hitler zaczyna przemawiać, ale jego głos ginie w tumulcie. Wchodzi na krzesło, ale nadal nikt go nie słyszy. Wyciąga pistolet i strzela w sufit. Zapada cisza jak makiem zasiał. Hitler oznajmia, że właśnie wybuchła w Bawarii narodowa rewolucja. Bawarski rząd

został usunięty, a wkrótce zostanie powołany nowy, prawdziwie narodowy rząd Rzeszy. Gdyby ktoś próbował tu, w Bürgerbräukeller, stwarzać narodowej rewolucji jakieś kłopoty, to niech wie, że piwiarnię otacza 600 uzbrojonych bojowców, a zresztą na galerię wciągnięty zostanie karabin maszynowy, grozi z krzesła Hitler.

O prawicowym zamachu stanu plotkowano w Bawarii od dawna. Niemcy są gotowi wyjść na ulice. Przed 2 tygodniami siły rządowe stłumiły lokalne powstanie komunistyczne w Hamburgu. W Saksonii wojsko strzelało do demonstrantów – zginęły 23 osoby. W Bawarii radykalna prawica od dawna sposobiła się do marszu na Berlin. Inflacja pędzi jak meteor, ludzie z dnia na dzień tracą wszystko. Głodują. Dziś rano za egzemplarz hitlerowskiego dziennika „Völkischer Beobachter" zapłacić trzeba było 5 mld marek.

Hitler zdecydował się na zamach stanu nagle – przedwczoraj w nocy. Plan akcji z braku czasu naziści zaimprowizowali. Organizacja akcji kuleje, ale Hitler wierzy w swoją gwiazdę i w pomoc wielkiego autorytetu Niemiec – bohatera wojny światowej gen. Ludendorffa, który popiera plany radykalnej prawicy.

Hitler podchodzi do stołu, przy którym siedzi 3 dostojników rządzących Bawarią: von Kahr, szef bawarskiej policji płk von Seisser i dowódca Reichswehry w Bawarii gen. von Lossow. Uprzejmie prosi ich do sąsiedniego pomieszczenia. Trzej mocni ludzie Bawarii chwilę wahają się, ale wychodzą. W końcu Hitler ma w ręku browninga. W tej chwili w sali głównej wybucha nieopisany harmider. Opanowuje go tubalnym głosem Göring. Krzyczy na całe gardło, że narodowa rewolucja nie jest wymierzona w von Kahra, nie ma też złych zamiarów wobec wojska i policji.

„Pijcie swoje piwo!" – krzyczy na koniec Göring i poleca kelnerom roznosić piwo na koszt partii narodowosocjalistycznej.

W sąsiedniej sali tymczasem Hitler wymachuje pistoletem przed nosem von Kahra. Krzyczy, że nikt stąd bez jego pozwolenia nie wyjdzie. Po chwili uspokaja się i informuje 3 osłupiałych słuchaczy, że powstaje nowy rząd Rzeszy Niemieckiej z nim, Hitlerem, na czele. Gen. Ludendorff obejmie w nim dowództwo nad armią, von Lossow zostanie ministrem spraw wojskowych, von Sesser – ministrem policji. Von Kahr zaś obejmie namiestnictwo Bawarii. Nagle Hitler robi się uprzejmy, przeprasza za użycie siły, ale – sami panowie rozumiecie – odrobina przemocy jest niezbędna, by rozpocząć dzieło narodowych zmian i zmusić was do działania. Na koniec równie uprzejmie informuje, że ma w pistolecie 4 naboje. Gdyby akcja się nie powiodła, wychodzi po jednym na każdego z nich. „Ostatni zachowam dla siebie" – zapewnia czarująco Hitler.

Pozostawia ich w osłupieniu i wraca na salę główną. Tam znów narasta tumult, słychać krzyki niezadowolenia. Hitler zapewnia, że wystąpił na czele bojowców wyłącznie przeciwko żydowskiemu rządowi w Berlinie i komunistycznym zbrodniarzom. To uspokaja monarchistów. Wtedy Hitler stwierdza, że w sąsiedniej sali von Kahr, von Lossow i von Sesser mają się zdecydować, czy przyłączają się do narodowej akcji. „Czy mogę im powiedzieć, że staniecie za nimi?" Ryk aprobaty dociera do 3 dygnitarzy siedzących za ścianą. Chwilę potem do piwiarni wkracza gen. Ludendorff wystrojony w galowy mundur. Harmider sięga zenitu. Hitler wprowadza 3 polityków rządzących Bawarią do głównej sali, wchodzi z nimi oraz z Ludendorffem na podium. Kuje żelazo póki gorące. Wypycha przed siebie bladego jak ściana von Kahra, który oznajmia, że zgadza się służyć Bawarii jako regent monarchii. Gen. Ludendorff jest zakłopotany, nie ukrywa, że o zamachu stanu dowiedział się

całkiem niedawno i ledwo do piwiarni zdążył. Hitler ściska mu rękę, potem rękę von Kahra. Okrzyki entuzjazmu mieszają się z nawoływaniem kelnerów. Piwo leje się strumieniami.

Monachijski korespondent Polskiej Agencji Telegraficznej jest na miejscu. Pracuje wzorowo. Jeszcze przed północą nadaje do Warszawy, że 600 zwolenników Hittlera – tak wtedy bowiem pisano nazwisko awanturnika z Bawarii – zajechało przed Bürgerbräukeller na 8 ciężarówkach. Polski dziennikarz jest świetnie poinformowany o tym, co się stało w piwnicy, kogo „Hittler" zaprosił do rządu. Telegrafuje do Warszawy, że wedle plotek wojsko brata się z „oddziałami hittlerowskimi".

To akurat nieprawda. Wojsko pozostaje w koszarach.

Po mieście maszerują bojówkarze SA i rozlepiają plakaty z podobizną Hitlera jako kanclerza Rzeszy. W drugiej wielkiej monachijskiej piwiarni, Löwenbräukeller, trwa tryumfalny wiec oddziałów Kampfbundu.

Hitler dowiaduje się, że żołnierze z koszar saperów wyrzucili agitatorów NSDAP. I popełnia katastrofalny błąd. Wychodzi z Bürgerbräukeller do koszar, by osobiście skłonić żołnierzy do poparcia puczu. Korzystając z jego nieobecności von Kahr, von Lossow i von Seisser proszą Ludendorffa, by puścił ich na oficerskie słowo honoru do domu. Stary pruski generał nie wyobraża sobie, by oficerowie mogli złamać słowo, i zgadza się. Bawarscy dostojnicy zmykają pod opiekę wojska. Krótko przed 3.00 wszystkie niemieckie radiostacje informują, że 3 przywódców Bawarii odcina się od zamachu stanu, a co do ich słowa honoru, to jako dane pod przymusem – nie jest ważne.

W Bürgerbräukeller atmosfera jest coraz gęściejsza. Nad ranem znużeni piwem zamachowcy układają się na stołach i pod stołami do snu. Pod głowy kładą niezjedzone bułki. Hitler gorączkowo

naradza się ze swoim sztabem i z Ludendorffem. To chce gdzieś jechać, szukać politycznych protektorów, to znów zamierza bronić się do ostatniej kropli krwi. Generał jest coraz bardziej zniesmaczony chaosem w szeregach spiskowców i ich amatorszczyzną. Co gorsza, szef Bürgerbräukeller zaczyna coś mówić o rachunku za piwo i kiełbaski skonsumowane tej nocy.

O 8.00 Hitler podejmuje wreszcie pierwszą decyzję. Wysyła patrol uzbrojonych SA-manów do drukarni, aby ukradli trochę gotówki. Prosto spod pras drukarskich biorą paczki banknotów po 50 mld marek. Hitler poleca wypłacić szturmowcom zaległe pobory.

Dochodzi południe, gdy z Bürgerbräukeller wychodzą na światło dzienne potwornie skacowani zamachowcy. W końcu zbiera się ich ok. 2 tys. Długa kolumna rusza w stronę centrum miasta. Na jej czele kroczą chorążowie ze sztandarami, przywódcy NSDAP z pistoletami w ręku oraz Ludendorff. Plakaty z Hitlerem jako kanclerzem są już pozaklejane porannymi rozporządzeniami von Kahra. Bawarczycy nie szczędzą zamachowcom złośliwości. „Czy mama pozwoliła wam tak bawić się na ulicy?" – krzyczy jakiś robotnik do podwładnych Hansa Franka, ustawiających karabin maszynowy.

Kolumna trafia na słaby kordon policji i z rozpędu go rozprasza. Ale na końcu Residenzstrasse puczyści dochodzą do dużo silniejszego kordonu policjantów. Są już bardzo blisko, gdy z kolumny pada strzał. W jednej chwili rozpoczyna się gwałtowna kanonada. Pada 14 zabitych zamachowców, wśród rannych jest Göring z postrzałem w nogę. I już po puczu.

Hitler, idący z pistoletem w ręku w drugim szeregu, tuż za chorążymi ze sztandarami, na widok lufy karabinu wymierzonej w siebie rzuca się gwałtownie na ziemię. Pocisk trafia i zabija

nazistę Erwina von Scheubner-Richtera. Hitler leży na bruku z wybitym barkiem. Ale żyje.

9 listopada 1888 ▪ piątek

Piekło pod trzynastym

Mary Ann Cox, kobieta lekkich obyczajów, tuż przed północą skręca z Commercial Street w Dorset Street i zauważa majaczącą, w nocnych ciemnościach i gęstej mgle, swoją znajomą i nieledwie sąsiadkę, Mary Kelly. Cox mieszka w pokoju nr 5 obskurnego domu na zapleczu frontowej kamieniczki przy Dorset Street 26. Mieszkania w nim to paskudne klitki, w większości pojedyncze pokoje, które właściciel tego ponurego domostwa sklepikarz John McCarthy wynajmuje biedakom. Komu zresztą innemu mógłby je wynajmować w siedlisku nędzy, chorób, występku i zbrodni, jaką jest obszar londyńskiej dzielnicy East End przylegający właśnie do Dorset Street? Londyńska policja uważa ten rejon East Endu za najbardziej niebezpieczne miejsce w stolicy, zwłaszcza po zmroku. Mary Kelly mieszka pod numerem 13 i Mary Ann Cox zna ją dobrze z widzenia.

A teraz Cox obserwuje, jak Mary Kelly szczęśliwie ciągnie klienta do swego pokoju pod trzynastką. Jegomość jest niewysoki, dość zażywny, ma znoszony długi płaszcz i melonik. Mary Cox wydaje się, że w ciemnościach i we mgle dostrzega nastroszone, rude wąsy i duże krosty albo plamy na twarzy tego mężczyzny. Na oko ma on nie więcej niż 35 lat. W ręku trzyma pintowy kufel piwa.

Cox ze zdziwieniem dostrzega, że tej nocy Mary Kelly jest najwyraźniej mocno podpita. Zatacza się, co chwilę wspiera na

swym kliencie. Kelly znana jest w okolicy jako osoba niepijąca, a to tutaj naprawdę rzadkość. No, ale ma ona też wystarczająco dużo kłopotów, by się napić.

Mary Kelly jest 24-letnią brunetką o ślicznej, uderzająco jasnej cerze, z zachwycająco smukłą talią. Urodziła się w Irlandii, ale w dzieciństwie jej rodzina przeniosła się do południowej Walii. Tam były kopalnie węgla i praca. Bardzo młodo wyszła za mąż za górnika nazwiskiem Davies. Mąż zginął jednak zaraz po ślubie w wypadku w kopalni i młodziutka Mary została bez środków do życia. Wyjechała do kuzynki w Cardiff, a ta wprowadziła ją w świat prostytucji. Urodziwa dziewczyna nie wylądowała jednak na ulicy, lecz obracała się w lepszym, zamożnym towarzystwie. Szybko przeniosła się do Londynu, gdzie widywano ją w powozach dżentelmenów. W końcu trafiła na obskurny West End, ale do w miarę wytwornego domu publicznego dla bogatych klientów. Po pewnym czasie zgodziła się na wyjazd do domu publicznego w Paryżu, ale nie zagrzała tam miejsca. Do Paryża zresztą wyjeżdżała jeszcze kilka razy, z rozmaitymi klientami i opiekunami, wracała jednak bardzo szybko do Londynu. Obracając się wśród zamożnych klientów, mieszkając w tzw. lepszym domu publicznym, Mary nabrała towarzyskiej ogłady. Ubiera się elegancko, choć odzież ma nieco podniszczoną, zachowuje się skromnie i z umiarem, mówi bez wulgaryzmów typowych dla mieszkańców nędznych przedmieść Londynu.

Ale coś w jej życiu poszło nie tak. W okolicach Dorset Street plotkowano, że zaszła w ciążę, urodziła synka i zanim go odchowała i schowała daleko od West Endu, u dalszych krewnych, zdążyła, jak to mawiają ludzie ulicy – wypaść z interesu. Faktem jest, że ostatnimi czasy z miesiąca na miesiąc popijała coraz częściej, miewała coraz gorszych klientów, przemieszkiwała w coraz gorszych

miejscach, aż wreszcie na dobre wylądowała w norze przy Dorset Street, a po zmierzchu – na krawężniku.

Ostatnio wydawać się mogło, że złapała nieco wiatru w żagle. Związała się z węglarzem Josephem Barnettem, który sprowadził się do jej klitki. Popijał tęgo, ale Mary traktował dobrze. Zabraniał wychodzić na ulicę, dawał pieniądze na czynsz i na życie. Do czasu, aż na początku września stracił pracę. Mary przygarnęła do pokoju bezdomną prostytutkę Marię Harvey i zaczęła wymykać się z nią nocami na zarobek. Przed 5 tygodniami wściekły Barnett po dzikiej awanturze z Mary wyprowadził się, zostawiając jej do zapłacenia funta i 9 szylingów zaległego czynszu.

I teraz Mary Kelly znów jest na ulicy. Ciągnie mało urodziwego klienta do swego pokoiku na parterze, pod trzynastym.

Gdy Mary Ann Cox, idąc na nocny łów, mija ich, mówi uprzejmie do Mary: „Dobry wieczór". „Dobry wieczór – odpowiada Mary. – Zaraz pani coś zaśpiewam".

I rzeczywiście, Mary zatrzymuje się przed wejściem do swojego pokoiku i zaczyna śpiewać sentymentalną irlandzką piosenkę *Słodkie fiołki*: „Zerwałem fiołek z grobu mojej matki, gdym jeszcze chłopcem był".

Ann Cox idzie w ciemność, w której co rusz trafia na snujące się, podpite typy i zagadujące ich tutejsze koleżanki po fachu. Mary nie przestaje śpiewać. Jej głos płynący z ciemności dodaje jakoś otuchy Ann Cox. Na East Endzie jest niebezpiecznie nocami, ale i za dnia, ciągle giną ludzie od ciosów nożem, cięć brzytwą, pobicia. Ale teraz jest już wręcz strasznie: wszyscy tu przecież wiedzą, że po East Endzie, a dokładniej: po Whitechapel, od kilku tygodni grasuje nocami straszliwy, zboczony morderca, który morduje kobiety i masakruje ich ciała. Ostatniego dnia sierpnia około 3.00 zbrodniarz dwukrotnie poderżnął gardło młodej kobiety lekkich

obyczajów Mary Ann Nichols, a potem zadał nożem długą ranę na brzuchu. Tydzień z okładem później morderca również dwukrotnie podciął gardło Annie Chapman. Tej ofierze sprawca rozciął brzuch, wyciągnął zeń jelita i ułożył je obok ciała, wyciął macicę i górną część pochwy oraz przednią część pęcherza moczowego. Macicę zabrał ze sobą z miejsca zbrodni. W niedzielę 30 września zamordował Elizabeth Stride i Catharine Eddowes. Sprawca podciął Stride gardło, ale nie okaleczył zwłok; być może został spłoszony. Za to po podcięciu gardła Catherine Eddowes zbrodniarz wyciął z jej brzucha sporą część macicy i lewą nerkę, a jelita znów wyciągnął na zewnątrz.

Do policji, władz i prasy nadeszło do dziś ponad 700 mniej lub bardziej drastycznych listów od osób podających się za mordercę. List wysłany 27 września podpisano: „Jack the Ripper" (Kuba Rozpruwacz). 4 dni później do prasy dotarła kartka pocztowa podpisana „Zuchwały Kuba". Z powodu ich treści Scotland Yard uznał je za prawdziwe listy od mordercy i 2 dni później opublikował w londyńskich gazetach, licząc, że ktoś rozpozna charakter pisma autora. Teraz cały Londyn mówi o zbrodniczym Kubie Rozpruwaczu.

Mary Kelly sięga przez zbitą szybkę w jednym z dwóch okien i odciąga sprężynową zasuwę drzwi. Już dawno temu zgubili, albo ona sama, albo jej kochanek Barnett, klucz, ale rychło odkryli, że drzwi można otwierać i zamykać przez zbitą szybkę w oknie i tym samym zaoszczędzić na dorabianiu klucza.

Mary wchodzi z wąsatym klientem do swego niewielkiego kwadratowego pokoju o wymiarach 3,9 na 3,9 m, zapala niedawno kupiony w sklepie ogarek. Ciągle śpiewa o fiołku. Sąsiadka, kwiaciarka Catherine Picket, chce iść do Kelly i uspokoić ją, ale pan Picket powstrzymuje żonę – nie chce awantury.

O 1.00 przed domem, w którym mieszka Mary Kelly, przystaje ulicznica Elisabeth Prater. Przez pół godziny bezskutecznie czeka na jakiegoś klienta. W oknach Kelly i w ogóle w całym domu jest ciemno, panuje cisza.

O 3.00 wraca pod piątkę Mary Ann Cox. Też nie złapała klienta i teraz chce się w swoim wyrku rozgrzać i choć na chwilę zdrzemnąć.

Przed 4.00 mieszkająca tuż nad pokoikiem Kelly Elizabeth Prater budzi się. Jej kot Diddles skoczył jej na szyję. Zrzuca go na podłogę. I wtedy słyszy słaby krzyk: „Och! Morderstwo!". Ktoś wołał z bardzo bliska. Ale skąd? Prater nasłuchuje. Nic, tylko cisza. Okrzyk ten słyszy też mieszkająca tuż obok Sara Lewis. Nawet zdaje się jej, że to może być z mieszkania Mary Kelly. W końcu jednak obie sąsiadki nie robią nic, zasypiają.

Dochodzi 8.00. Catherine Picket wychodzi z mieszkania kupić, jak co dzień, kwiaty na targu. Jest chłodno. Macha ręką na urazę do Kelly o nocne śpiewy i puka do niej – chce pożyczyć szal. Odzewu nie ma. Pickett idzie bez szala.

O 10.45 John McCarthy, właściciel podłej czynszówki na tyłach Dorset Street, uznaje, że miarka w czekaniu na czynsz od Mary Kelly przebrała się. Wysyła do niej pomocnika Thomasa Bowyera. Na jego pukanie Kelly nie odpowiada. Drzwi są zamknięte. Ale Bowyer ma już wprawę z ukrywającymi się dłużnikami. Zagląda przez dziurkę od klucza, nic jednak nie widzi. Rozgląda się i dostrzega zbitą szybkę w oknie. Wsuwa rękę, odsuwa muślinową zasłonę na okno. W półmroku widzi na łóżku wielką masę krwawego mięsa. Jak w rzeźni. Ale nogi, które z tej masy wystają, to nogi ludzkie.

Bowyer pędzi po pryncypała. Gdy John McCarthy zagląda przez okno, czuje się, jakby dostał obuchem w pierś. Bowyer biegnie na

posterunek na Commercial Street. Wraz z nim przychodzą inspektor Beck i sierż. Betham. Po chwili policja zamyka otoczenie domu. O 11.15 zjawia się lekarz dr George Bagster Phillips. Drzwi do mieszkania Mary Kelly nadal są zamknięte. Policyjny fotograf robi zdjęcie przez okno. O 11.30 przybywa inspektor Abberline. Na jego polecenie McCarthy próbuje otworzyć drzwi trikiem lokatorki – przez dziurę w szybie odciągnąć zasuwkę. Ale, o dziwo, drzwi są zamknięte na klucz. Ki diabeł?

McCarthy wyważa drzwi kilofem – uderzają o zniszczony stolik nocny. Nagie zwłoki leżą na łóżku. Głowa spoczywa na lewym policzku, nogi są szeroko rozsunięte; lewe udo tworzy z ciałem kąt prosty. Z brzucha i z całych ud morderca ściągnął skórę. Obie piersi są odcięte. Gardło jest rozcięte bardzo głęboko. Zbrodniarz pokaleczył ostrym narzędziem twarz ofiary, wyciął nos, policzki, brwi i uszy. Z rozciętego brzucha wyciągnął trzewia. Macicę, nerki i jedną z piersi starannie umieścił pod głową zamordowanej. Drugą z piersi ułożył obok stopy ofiary, wątrobę – między stopami. Jelita ułożył po prawej stronie korpusu, śledzionę – po lewej. Serce morderca zabrał z miejsca zbrodni.

Ciało ofiary nosi jeszcze mnóstwo innych okaleczeń. Pościel w prawym roku łóżka przesiąknięta jest krwią, na podłodze stoi kałuża krwi, ściana nad łóżkiem pokryta jest krwawymi rozbryzgami.

Dr Phillips zauważa, że róg prześcieradła z lewej strony głowy ofiary jest przecięty i nasiąknięty krwią. Czyżby Mary Kelly spała, gdy zboczeniec ją zaatakował? Ale czy jednak nie broniła się? Drobne ranki i wybroczyny na dłoniach taki wniosek czynią dość prawdopodobnym. A może zbrodniarz, obezwładniwszy kobietę, nakrył jej głowę przed zadaniem śmiertelnego cięcia w szyję? Dr

Phillips wyklucza, by po tym cięciu ofiara mogła wydać jakikolwiek głos.

Policjanci asystujący doktorowi mają poszarzałe ze zgrozy twarze. Jeśli gdzieś istnieje piekło, musi tak właśnie wyglądać.

George Hutchinson opisujący okoliczności zniknięcia Mary Jane Kelly

10 listopada 1871 ▪ piątek

Doctor Livingstone, I presume?

Ranek wstaje świeży i chłodny. Henry Morton Stanley myje się długo i starannie. Swojemu czarnemu słudze Selimowi poleca wyjąć z kufra nowe flanelowe ubranie, wyczyścić wysokie buty, pobielić pastą kredową tropikalny hełm i zawiązać na nim nową pugarę, rodzaj szala z delikatnego muślinu chroniącego przed

moskitami. Dziś przecież wielki finał 236-dniowego marszu przez dziewicze dżungle i sawanny środkowej Afryki. Radosne podniecenie udziela się murzyńskim tragarzom. Ze śpiewem podejmują niezliczone kufry i pakunki, zawierające niezbędny ekwipunek dziewiętnastowiecznego podróżnika. Amerykański reporter Henry Morton Stanley zabrał na wyprawę nawet wielką blaszaną wannę, którą dźwiga najsilniejszy z czarnych tragarzy. Długa karawana wędruje wzgórzami nad rzeką Mkuti. Na szczycie jednego ze wzgórz Stanley dostrzega w oddali błękitny błysk. To wody jeziora Tanganika.

Karawana schodzi na równinę. Mija małe wioski otoczone starannie utrzymanymi polami uprawnymi. Wreszcie Stanley dostrzega brzeg jeziora, przystań między palmami i zabudowania miasta Udżidżi. Tu powinien znajdować się najbardziej poszukiwany dziś na świecie człowiek – David Livingstone.

Wyprawa Stanleya zaczęła się przed rokiem w paryskim Grand Hotelu. Rzutkiego 28-letniego reportera wezwał do swego salonu James Gordon Bennett junior, dyrektor słynnego amerykańskiego dziennika „New York Herald". Polecenie miał krótkie: odszukać Livingstone'a!

Tajemniczy los Davida Livingstone'a pasjonował wówczas cały cywilizowany świat. Młody brytyjski pastor z lekarskim wykształceniem pierwszy raz pojawił się w Afryce przed 30 laty. Wysłany przez Londyńskie Towarzystwo Misyjne do południowej Afryki, przemierzył piechotą nieznane wnętrze Czarnego Kontynentu. W sumie przeszedł niemal 47 tys. km, zanim rozpoczął pracę na misji. Po 10 latach, sfrustrowany brakiem nawróceń wśród Murzynów, odesłał żonę – a córkę innego słynnego misjonarza brytyjskiego – i 6 dzieci do Anglii.

Sam postanowił wykorzystać w służbie Bogu inne swe talenty – do badania i przenoszenia na mapy ogromnego, tajemniczego wnętrza Afryki. Wyobrażał sobie, że jego mapy otworzą drogi dla handlu, zachodniej cywilizacji i w końcu dla chrześcijaństwa. W 1852 roku jako pierwszy Europejczyk przemierzył Afrykę z zachodu na wschód. Odkrył wtedy wspaniałe, majestatyczne wodospady na Zambezi, które na cześć swej królowej nazwał Wodospadami Wiktorii. Po powrocie do Anglii i tryumfalnej audiencji u królowej Wiktorii stał się bohaterem narodowym, a rychło i bohaterem opinii publicznej Europy i Ameryki. Przed 13 laty, w 1858 roku, Królewskie Towarzystwo Geograficzne zleciło mu odnalezienie źródeł Nilu. W wieku 52 lat Livingstone znów pożeglował do Afryki. Na poszukiwanie początków Nilu ruszył z 50 tragarzami. Większość z nich rychło uciekła. Wycieńczony przez głód, choroby, nękany depresją w obliczu eksterminacji ludności murzyńskiej dokonywanej przez arabskich handlarzy niewolników, przez 13 lat uporczywie tropił źródła wielkiej rzeki. Ostatnią wiadomość o swym istnieniu dał światu przed 5 laty.

Gordon Bennett junior za wyjaśnienie losów Livingstone'a obiecał Stanleyowi sowite honorarium i pokrycie wszelkich wydatków. Po drodze do Afryki Stanley miał jeszcze tylko – by zwróciły się koszty podróży – przysłać korespondencję z otwarcia Kanału Sueskiego, napisać dla amerykańskich turystów przewodnik po Dolnym Egipcie oraz reportaż z głośnych w owym czasie wykopalisk archeologicznych w okolicach Jerozolimy, wpaść do Konstantynopola i nadać stamtąd korespondencję, przepłynąć przez Morze Czarne, na Krym, i przesłać relacje z bitew, toczącej się właśnie wojny krymskiej, przez Persję pojechać do Indii, naturalnie nieustannie wysyłając depesze i większe artykuły z podróży.

Wreszcie przez Ocean Indyjski mógł przeprawić się do Afryki i ruszyć na poszukiwanie Livingstone'a.

Z Zanzibaru Stanley ruszył na czele olbrzymiej karawany tragarzy w głąb Afryki. Amerykanin był twardym i bezlitosnym reporterem. Po drodze umierał z głodu i pragnienia, na długo tracił przytomność wskutek ataków febry, drogę pośród wrogich plemion murzyńskich torował sobie batem i ogniem karabinowym. Po przejściu 3,2 tys. km, tydzień drogi od miasta Udżidżi, dowiedział się, że dotarł tam właśnie jakiś biały człowiek.

A teraz do glinianych murów i słomianych strzech Udżidżi jest niespełna kilometr. Stanley rozkazuje swoim Murzynom rozwinąć sztandary. Na czele karawany powiewa flaga amerykańska, na końcu zaś – flaga Zanzibaru. Stanley rozkazuje nabić wszystkie karabiny i dać salwę na wiwat. Huk 50 wystrzałów alarmuje miasto. Karawanę otaczają ciekawscy, życzliwie uśmiechnięci tubylcy. Stanley przepycha się przez tłum i nagle słyszy: – *Good morning, sir*.

– Ktoś ty, u licha? – pyta rosłego Murzyna z ogromnymi wąsami.

– Jestem Suzi, w służbie doktora Livingstone'a – odpowiada Murzyn.

Po chwili po angielsku wita Stanleya drugi Murzyn, tęgi i przysadzisty sługa Czuma. Amerykanin poleca mu uprzedzić misjonarza o swym przybyciu i z wolna rusza na czele swych tragarzy w stronę domu Livingstone'a. Karawana wkracza na wielki plac targowy. Przed największym z glinianych domów stoją poważni arabscy kupcy w powłóczystych białych szatach, w wysokich turbanach. Pomiędzy nimi – biały człowiek. Siwowłosy, średniego wzrostu, blady, wyraźnie zmęczony i schorowany. Odziany jest w brązowy surdut z czerwonymi rękawami, szare spodnie i całkiem wyblakłą czapkę wojskowego

kroju. Stanley w pierwszym odruchu chce podbiec do niego i serdecznie uściskać, ale uświadamia sobie, że to przecież Anglik. A w Anglii, w towarzystwie, rozmawia się wyłącznie z osobami, którym zostało się osobiście przedstawionym. Stanley opanowuje emocje, podchodzi umyślnie wolnym krokiem, zdejmuje kapelusz i pyta:

– Doktor Livingstone, jak sądzę?

– Tak jest – odpowiada powściągliwie brytyjski misjonarz i uchyla kaszkietu.

Mężczyźni podają sobie dłonie.

– Dziękuję Bogu, iż pozwolił mi spotkać pana – mówi Stanley.

– Szczęśliwy jestem, iż znajduję się tu, by przyjąć pana – odpowiada Livingstone, po czym ceremonialnie przedstawia mu lokalnych arabskich dostojników.

Obaj mężczyźni siadają na werandzie domu, w którym mieszka misjonarz. Powściągliwie rozmawiają o swoich przeżyciach ostatnich miesięcy, lat. Tysiąc mieszkańców tłoczy się przed werandą, by obejrzeć dziw nad dziwy: dwóch niesamowitych ludzi o białej skórze, którzy przybyli z przeciwnych stron, by spotkać się w ich miasteczku! Stanley podaje misjonarzowi worek z pocztą do niego. Najświeższy list napisany został dobrze ponad rok temu. Livingstone przegląda koperty, znajduje 2 listy od dzieci. Uśmiecha się radośnie, ale lekturę odkłada na później.

– Czekałem tyle lat, teraz parę godzin spóźnienia nic nie znaczy – tłumaczy gościowi.

Prosi o nowiny ze świata. Zdumiony wysłuchuje rewelacji Stanleya: otwarto Kanał Sueski, na Krecie wybuchło powstanie, Stany Zjednoczone uruchomiły kolej transkontynentalną, Grant został prezydentem USA, armia pruska okupuje Paryż, Napoleon jest obalony przez Bismarcka.

Kucharka Livingstone'a imieniem Halima prosi na posiłek. Wzruszony spotkaniem misjonarz odzyskuje apetyt; dotąd zwykle za posiłek starczała mu filiżanka herbaty. Nad solidną porcją pieczeni Stanley przypomina sobie o kupionej w Paryżu na tę okazję butelce szampana Sillery. Dziennikarz i misjonarz wznoszą toasty. Rozmawiają do późnej nocy. Dopiero gdy Stanley idzie spać, Livingstone zasiada do lektury listów.

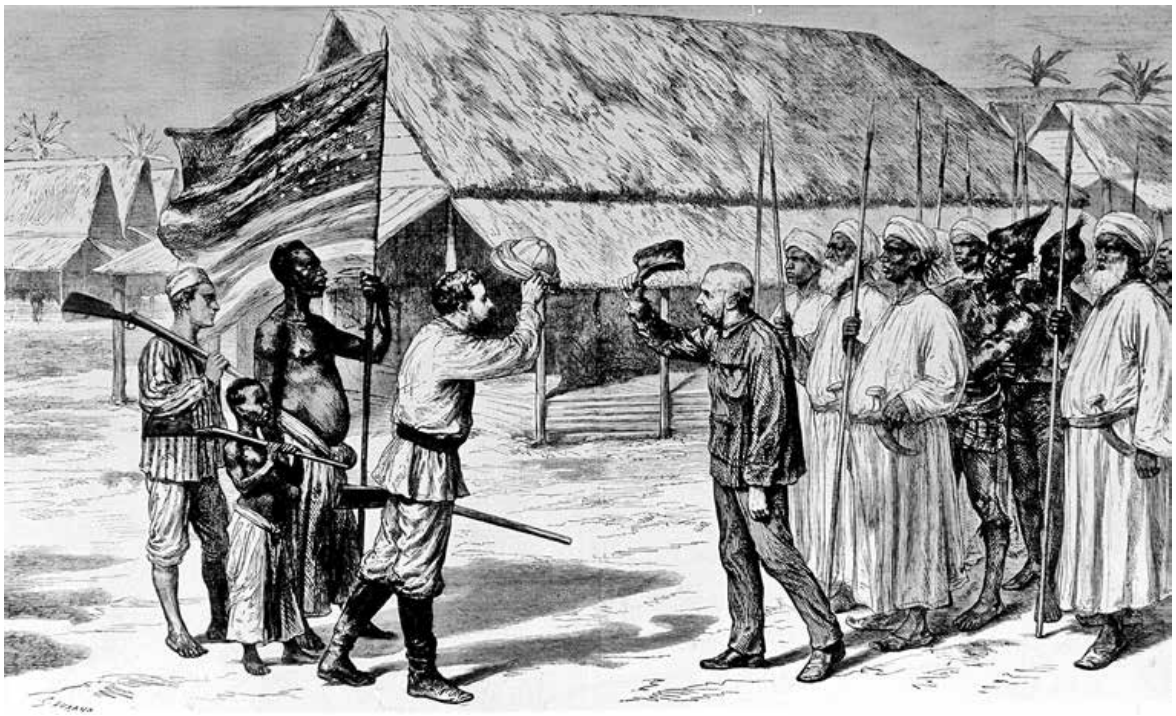

Spotkanie Henry'ego Mortona Stanleya z Davidem Livingstone'em w Udżidżi

11 listopada 1918 ▪ poniedziałek

Pierwszy dzień wolności

Dochodzi północ, gdy Wanda Romanówna puka do drzwi po prawej stronie saloniku. Józef Piłsudski budzi się od razu. Kazimierz

Sosnkowski, były szef sztabu I Brygady Legionów, wyjaśnia, że sprawa jest bardzo ważna – przybyła delegacja Soldatenratu, rady żołnierskiej zrewoltowanych oddziałów niemieckich okupujących Warszawę.

Komendant pospiesznie wciąga zniszczony mundur legionowy.

O 4.00 22 lipca zeszłego roku Piłsudski i Sosnkowski zostali aresztowani przez Niemców w domu przy Służewskiej 5. Po krótkim pobycie w kilku więzieniach Piłsudskiego osadzono w twierdzy w Magdeburgu. Uwięzienie skończyło się przed 3 dniami. W Niemczech już na dobre walił się stary ład, lada moment groził wybuch rewolucji.

Przed 3 dniami w magdeburskiej twierdzy zjawili się po cywilnemu wysłannik niemieckiego rządu hrabia Harry Kessler, oficer pruskiej gwardii kawalerii, który w czasie walk na Wołyniu w 1915 roku był oficerem łącznikowym przy komendzie Legionów i stąd dobrze znał Piłsudskiego, oraz rtm. Paul von Guelpen. Goście przewieźli Piłsudskiego i Sosnkowskiego samochodem do Berlina. Gdy wyjeżdżali z Magdeburga, w mieście właśnie wybuchła rewolucja. Niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zarezerwowało pokoje dla wczorajszych więźniów stanu i ich 2 opiekunów w eleganckim hotelu Continental. Nazajutrz rano hrabia Kessler zaprosił Piłsudskiego i Sosnkowskiego na śniadanie. Piłsudski miał na sobie mundur legionowy, więc poprosił o szablę, by nie wyglądać niepoważnie. Kessler sprezentował mu swój bagnet oficerski.

Po dłuższym spacerze po spokojnych ulicach Berlina, na których nie było widać śladu rewolucyjnego niepokoju, panowie zasiedli do śniadania w luksusowej restauracji Hillera na Unter den Linden. Prócz hrabiego Kesslera zjawili się rtm. Guelpen i książę Hatzfeldt, referent spraw polskich w berlińskim MSZ. Choć jedzenie podano

świetne, atmosfera przy stole była ciężka. Niemcy oczekiwali od Piłsudskiego opanowania sytuacji na ziemiach polskich, zapobieżenia rewolucji w Polsce i powstrzymania rewolucji bolszewickiej, gdyby rozpoczęła marsz na zachód. Komendant milczał. W połowie śniadania księcia Hatzfeldta poproszono do telefonu. Wrócił z wiadomością, że w Berlinie właśnie wybuchła rewolucja i Piłsudski z rozkazu kanclerza Rzeszy ma natychmiast być wysłany pociągiem do Warszawy. Niedokończone śniadanie zostało na stole.

Następne śniadanie zjadł Piłsudski w Warszawie, w pensjonacie sióstr Haliny, Wandy i Marii Romanówien. 3 siostry konspirują w POW, a ich pensjonat na 6. piętrze kamienicy przy Moniuszki 2a jest w gruncie rzeczy kwaterą dla ludzi Komendanta. Przez cały dzień Piłsudski spotykał się z przyjaciółmi i politykami. Po południu pojechał na Mińską 25 zobaczyć swą ukochaną Aleksandrę Szczerbińską i córkę Wandę, która urodziła się podczas uwięzienia go w Magdeburgu. Spać poszedł przed 2 godzinami i zapowiedział, by go w żadnym wypadku nie budzić.

O północy Piłsudski w towarzystwie Sosnkowskiego przyjmuje w saloniku pensjonatu delegatów warszawskiego Soldatenratu. Tak ważnych gości trzeba czymś podjąć, ale żadna z sióstr Romanówien nie ma w kieszeni ani grosza. Siostry posyłają służącą do Hotelu Angielskiego z prośbą o dostarczenie kolacji dla 10 osób – na kredyt. Gdy szefostwo hotelu dowiaduje się, że to dla gości Piłsudskiego, wysyła kolację natychmiast i odmawia przyjęcia zapłaty.

Tymczasem niemieccy delegaci wojskowi za poczęstunek dziękują. W tej sytuacji Piłsudski i Sosnkowski dziękują także. Nieoczekiwaną kolację zjadają inni goście pensjonatu, bez wyjątku podwładni Piłsudskiego.

Poufne rozmowy w pokoju Komendanta toczą się do 2.00. Delegaci deklarują, że uważają Piłsudskiego za żołnierza przyjaciela, który rozumie ich sytuację. Oczekują, że umożliwi swobodny przejazd do Niemiec 30 tys. niemieckich żołnierzy stacjonujących w Warszawie. Zgadzają się na warunki Komendanta: wydanie lokomotyw, wagonów i sprzętu łączności. Co do wydania broni, odpowiadają, że nie są upoważnieni do podejmowania takiego zobowiązania. Obiecują, że z odpowiedzią wrócą o 8.00.

Jest już dobrze po 2.00, gdy Piłsudski znów idzie spać.

Noc jest niespokojna. Co rusz w rozmaitych punktach miasta wybucha strzelanina.

O 8.00 Komendant idzie w asyście Ignacego Boernera na Krakowskie Przedmieście. W gmachu byłego okupacyjnego generał-gubernatorstwa urzęduje teraz Soldatenrat. Piłsudski przemawia po niemiecku na wiecu niemieckich żołnierzy. Prawie każdy z nich do munduru ma przypiętą czerwoną kokardę. Komendant żąda zachowania spokoju i obiecuje: „Ja, jako przedstawiciel narodu polskiego, oświadczam wam, że naród polski za grzechy waszego rządu nad wami mścić się nie chce i nie będzie".

Gdy Komendant przemawia, u zbiegu Nowego Światа i Alei Jerozolimskich wybucha gwałtowna strzelanina między grupą żołnierzy niemieckich strzegących biur dyrekcji kolei i oddziałem legionistów. Postrzelony w głowę przechodzień, szewc Czesław Baniak, umiera w szpitalu.

W tym samym czasie inna grupa żołnierzy polskich z pomocą zrewoltowanych żołnierzy niemieckich po gwałtownej strzelaninie rozbraja wiernych rządowi berlińskiemu żołnierzy Reichswehry, którzy obsadzają Dworzec Wiedeński. Na ziemię lecą niemieckie napisy, na wieżyczce dworca ktoś wiesza biało-czerwoną flagę.

Gdy Piłsudski wychodzi z wiecu Soldatenratu, na Krakowskim Przedmieściu czeka na niego wielotysięczny tłum warszawiaków. Komendant ogłasza, że wziął Soldatenrat pod swoją opiekę i ani jednemu ze zrewoltowanych niemieckich żołnierzy nie śmie się stać najmniejsza krzywda.

Na ulicach od rana tłumy obserwują spektakl rozbrajania niemieckich żołnierzy. Rozbrajają ich peowiacy, legioniści zwolnieni z obozów w Beniaminowie i Szczypiornie, żołnierze ze stworzonej przez okupanta tzw. Polnische Wehrmacht.

Niemcy zwykle oddają broń bez protestu, zwłaszcza że po mieście jeździ coraz więcej ciężarówek pełnych polskich żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału. Ale na Kolejce Grójeckiej niemieccy żołnierze strzelają do usiłujących rozbroić ich Jana Sikory i Kazimierza Woźniaka. Obaj Polacy odnoszą rany. Na ul. Kolejowej Niemiec rani w nogę 36-letnią Józefę Skonecką. Podczas zajmowania koszar na Zakroczymskiej niemiecki żołnierz rzuca granat w tłum cywilów. 4 osoby są ranne. Zabici i ranni padają w kilkunastu strzelaninach w różnych punktach miasta. Warszawski półświatek rabuje niektóre magazyny wojskowe i kolejowe. Milicjanci ostrzeliwują rabusiów.

Na ulicach, tak jak poprzedniego dnia, pojawiają się robotnicze pochody pod czerwonymi sztandarami. Manifestanci śpiewają rewolucyjne pieśni i skandują hasła w rodzaju: „Chcemy republiki rad!", „Precz z polskim wojskiem!".

O 11.00 żołnierze i kolejarze obsadzają Dworzec Kowelski. Pomniejsze stacje kolejarze wzięli w swe władanie już w nocy. Batalion wojska dowodzony przez mjr. Szyndlera rusza na warszawską Cytadelę. Niemiecka załoga po krótkiej strzelaninie składa broń i odchodzi w stronę dworca. Polacy przejmują wielką

ilość broni, zaprzęgów, amunicji i żywności. Gwałtowna strzelanina wybucha też przy zajmowaniu ratusza.

Na Nadbrzeżnej przechodnie znajdują zwłoki elegancko ubranego młodego mężczyzny. Zginął od strzału w głowę. Do marynarki ktoś przyczepił kartkę: „Szpieg niemiecko-austriacki".

Piłsudski wraca na Moniuszki 2a. W południe melduje się u niego wysłannik rządu lubelskiego Bogusław Miedziński. Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim jako premierem powołany został przez Konwent Organizacji A, konspirację podległą Piłsudskiemu. Ale Piłsudski jest wściekły na ludzi z Konwentu i na ich rząd, który zdążył już proklamować zapowiedź radykalnych reform społecznych i politycznych. Komendant najpierw w ogóle nie chce rozmawiać z Miedzińskim, w końcu robi mu awanturę, że ten cały ich lewicowy rząd pozbawia go swobody działania w krytycznym dla polskiej sprawy momencie.

Do pensjonatu panien Romanówien od rana pielgrzymują dziesiątki wojskowych, polityków, działaczy gospodarczych. Dozorca Stanisław Kusztal nieustannie wozi ich windą na 6. piętro. Silnik coraz bardziej grzeje się i w końcu odmawia posłuszeństwa. Kusztal okłada go mokrymi szmatami i winda na szczęście rusza. Wszyscy goście, niezależnie od politycznych przekonań, proszą Piłsudskiego, by zechciał wziąć władzę w swoje ręce.

O 17.00 Piłsudski udaje się do mieszkania Józefa Ostrowskiego, członka Rady Regencyjnej, najwyższej władzy powołanej przez okupanta. Są tam też pozostali członkowie rady: abp Aleksander Kakowski i książę Zdzisław Lubomirski. Ostrowski jest chory, więc posiedzenie odbywa się w jego mieszkaniu. Długa dyskusja z Komendantem kończy się deklaracją: Rada przekazuje Piłsudskiemu pełnię władzy wojskowej, naczelne dowództwo nad

powstającą armią i wzywa go, by utworzył rząd narodowy. Członkowie Rady Regencyjnej późnym wieczorem redagują stosowny dekret.

O 19.30 jak zwykle zaczynają się spektakle w warszawskich teatrach. Królują lekkie farsy. W Teatrze Wielkim w ostatniej chwili następuje zmiana repertuaru – zamiast *Żydówki* z Korolewicz-Waydową i Dygasem idzie *Halka*. Orkiestra gra *Mazurka Dąbrowskiego*. Publiczność domaga się bisów.

W teatrach frekwencja jest umiarkowana. Co innego w restauracjach. Mimo powszechnego głodu i kartek w najelegantszych lokalach szampan leje się strumieniami (w Maximie przy Nowym Świecie od niedawna podają nowość, koktajle amerykańskie).

O 21.00 koło hotelu Polonia wybucha gwałtowna strzelanina.

O północy, gdy Piłsudski wraca do pensjonatu Romanówien, na pl. Teatralnym rozpoczyna się regularna bitwa pomiędzy oddziałem polskim a silnym oddziałem niemieckim, strzegącym prezydium niemieckiej policji. Terkot karabinów maszynowych i huk granatów nie pozwalają warszawiakom zasnąć aż do świtu. Piłsudski śpi jak zabity.

12 listopada 1931 ▪ czwartek

Wstęp do pogrzebu

Na ulicach Wilna od świtu pełno mundurowych. Wojsko i zmobilizowane w ostatnich dniach oddziały przysposobienia wojskowego z karabinami patrolują centrum miasta. Na każdej ulicy widać mundury policjantów. Poprzedniego dnia władze

ściągnęły dodatkowych funkcjonariuszy ze wszystkich powiatów województwa wileńskiego. W dzielnicy żydowskiej Wilna, w obawie przed zamieszkami, policja obsadziła wszystkie ulice.

Jest spokojnie.

Przed kościołem św. Jakuba w Wilnie od świtu gromadzą się tłumy. W kościele panuje straszliwy tłok. Ławy w świątyni zarezerwowane są dla profesorów i studentów, ale z braku miejsca większość akademików stoi na zewnątrz. Wielu z nich ma na rękawach zielone wstążki – znak rozpoznawczy sympatyków endecji, dążących do wyrzucenia z uczelni wszystkich Żydów. Przed 9.00 do kościoła wkraczają poczty korporacji akademickich ze sztandarami owiniętymi kirem. Przed ołtarzem stoi katafalk, tuż przed nim – sztandar Uniwersytetu Stefana Batorego. Obecni w kościele plotkują, że władze uczelni długo nie chciały się zgodzić na obecność sztandaru na pogrzebie. Senat uniwersytetu podjął poprzedniego dnia decyzję, że w pogrzebie studenta pierwszego roku wydziału prawa Stefana Wacławskiego udziału nie weźmie. Profesorowie mogą w nim uczestniczyć z własnej inicjatywy.

Jest zatem prorektor ks. Falkowski, są profesorowie Ehrenkreutz, Kościałkowski, Orłowski, Oko. Z własnej inicjatywy na mszę przybył wileński biskup Michalkiewicz.

Nie ma natomiast nikogo z rodziny zmarłego. Jego bliscy nie zdążyli dojechać z Sanoka.

Wacławski jest jedyną ofiarą śmiertelną zajść, które niemal od początku roku akademickiego kładą się cieniem na całej Polsce. Endeccy studenci usiłują wyrzucić z uczelni wszystkich studiujących Żydów. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Michalski, po niedawnych bijatykach wywołanych przez prawicowych korporantów, zawiesił wykłady. Ekscesy przybrały na sile 3 listopada w Warszawie. Na uniwersytecie, podczas wyborów

syndyka pierwszego roku prawa, doszło do bójki studentów. W szamotaninie wybito 2 szyby, połamano kilka krzeseł, i na tym się skończyło. Błahy w istocie incydent wykorzystali jednak działacze Młodzieży Wszechpolskiej i endeckich korporacji akademickich. Wezwali swoich akolitów do marszu na uniwersytet i wyrzucenia na ulicę wszystkich studiujących tam Żydów. Podczas tej akcji korporanci pobili laskami kilkadziesiąt żydowskich studentek i studentów. Po interwencji rektora, proszącego o niedeprecjonowanie powagi uczelni, prawicowi studenci utworzyli pochód i z okrzykami „Bić Żydów!" pomaszerowali w stronę prosektorium zakładu medycyny. Tam zorganizowali wiec, na którym uchwalili, że „ćwiczenia żydowskich studentów medycyny na trupach chrześcijańskich są pogwałceniem najświętszych uczyć narodowych".

Sprawa trupów w uczelnianych prosektoriach od dawna jest oczkiem w głowie wszechpolskich demagogów. Głośno, zajadle domagają się, by gminy i szpitale żydowskie dostarczały do prosektoriów zwłoki zmarłych Żydów, by na nich mogli ćwiczyć studenci żydowscy – naturalnie do czasu wyrzucenia ich ze studiów.

Od tego dnia codziennie na uczelniach Warszawy, Krakowa, Lwowa dochodziło do ataków korporantów na Żydów. W Warszawie 5 listopada endeccy akademicy pobili bawiące się w Ogrodzie Saskim dzieci żydowskie, a potem zaatakowali żydowskie sklepy w halach za Żelazną Bramą. Do walki z napastnikami stanęła pospiesznie skrzyknięta samoobrona żydowskich tragarzy. Rannych zostało kilkadziesiąt osób, policja aresztowała ponad 50 endeckich awanturników. Nazajutrz ataki endeków na studentów żydowskich tak przybrały na sile, że zajęcia na warszawskim uniwersytecie zawieszono. W następnych dniach w szpitalach przybywało rannych, zawieszono wykłady w Szkole

Handlowej. Także w Krakowie niemal codziennie wszechpolacy atakowali studentów żydowskich.

W Wilnie 9 listopada endeccy studenci uchwalili na wiecu usunięcie wszystkich Żydów z Uniwersytetu Stefana Batorego. Następnego dnia rano bojówki wszechpolaków zaatakowały na dziedzińcu Piotra Skargi studentów żydowskich idących na zajęcia. Po interwencji rektora Januszkiewicza napastnicy, wymachując laskami, pomaszerowali do zakładu chemii w gmachu Śniadeckich przy ul. Słowackiego. Na ich widok przerażeni studenci żydowscy wyskoczyli przez okna i pobiegli na pobliski targ drzewny, wzywając na pomoc żydowskich tragarzy. Chwilę później endeccy studenci i żydowscy robotnicy starli się pod gmachem Śniadeckich. Pierwsi bili laskami, drudzy rzucali kamieniami. Któryś z nich trafił w głowę jednego z prawicowych napastników, 21-letniego studenta pierwszego roku prawa Stanisława Wacławskiego. Przewieziony dorożką do Szpitala św. Jakuba, mimo zabiegu chirurgicznego, zmarł godzinę później. Zamieszki błyskawicznie rozlały się na całe Wilno. Po 16.00 demonstrujący studenci ruszyli do wybijania szyb w żydowskich sklepach. Towarzyszące im rzezimieszki z wileńskich przedmieść rabowały sklepy, z których uciekli przerażeni właściciele. Zdemolowano i rozgrabiono dziesiątki obiektów przy ul. Mickiewicza, Trockiej, Jańskiej, Wielkiej. Policja interweniowała nieudolnie, z reguły zbyt późno. Dopiero wieczorem kilkakrotne szarże konnego oddziału policji rozproszyły bandy rabusiów. Studenci po wiecu na pl. Łukiskim i uczczeniu pamięci Stanisława Wacławskiego o 19.00 rozeszli się do domów.

Nazajutrz, w dniu święta 11 Listopada, władze wysłały na ulice Wilna tyle wojska i policji, że do żadnych zajść nie doszło.

Pogrzeb opóźnia się. Krótko przed przywiezieniem zwłok Wacławskiego z kaplicy szpitalnej w kościele pojawiają się

pogłoski, że władze administracyjne w ostatniej chwili postanowiły zakazać konduktowi żałobnemu przemarszu w stronę cmentarza św. Piotra i Pawła na Antokolu przez śródmieście, ul. Mickiewicza, i skierować go w ul. Pierwszej Baterii i Zygmuntowską. Oburzeni studenci głośno protestują. Działacze akademickiej Bratniej Pomocy, która pokryła koszty pogrzebu, i koledzy zmarłego udają się do wojewody, by przywrócił pierwotną trasę przemarszu. Wojewoda odmawia przyjęcia delegacji studentów. Na wieść o tym szanowany profesor praw Stefan Ehrenkreutz wychodzi z kościoła i sam idzie do gmachu Urzędu Wojewódzkiego. W krótkiej rozmowie przekonuje wojewodę, by zezwolił na przemarsz ul. Mickiewicza.

W tym czasie we Lwowie pikiety uzbrojonych w laski prawicowych studentów i bojówkarzy Młodzieży Wszechpolskiej zatrzymują przed nowym gmachem uniwersytetu studentów pochodzenia żydowskiego. Gdy ci jednak usiłują przedrzeć się na zajęcia, bojówkarze z zielonymi wstążeczkami w klapach i na rękawach biją ich laskami. Żydzi odpowiadają kamieniami. Interweniuje policja. Gdy podobne zamieszki wybuchają przed gmachem politechniki, rektor politechniki zawiesza wykłady – do odwołania.

W Wilnie, w kościele św. Jakuba, ks. prefekt Rymkiewicz rozpoczyna nabożeństwo żałobne o 10.00, z godzinnym opóźnieniem. W południe koledzy zmarłego wynoszą trumnę z kościoła i ogromny, liczący co najmniej 10 tys. osób, kondukt żałobny, z ks. Rymkiewiczem i licznymi księżmi na czele, rusza ul. Mickiewicza. Wśród idących jest wielu gapiów, którzy z uniwersytetem nie mają nic wspólnego. Przyszli w oczekiwaniu na jakiś skandal, na nowe antyżydowskie ekscesy. Żałobnicy idą jednak w ciszy i powadze.

Grób na cmentarzu przygotowano w pobliżu kaplicy. Najpierw przemawia alumn seminarium duchownego, którego zmarły jeszcze niedawno był studentem; Wacławski wystąpił z wydziału teologicznego i zapisał się na prawo przed kilkoma tygodniami. Potem ks. Rymkiewicz odmawia ostatnią modlitwę za zmarłych.

Nieoczekiwanie endeccy studenci stojący przy trumnie ogłaszają, że ponieważ rodzina zmarłego nie dojechała, przerywają pogrzeb – do jutra. Interweniuje obecny na cmentarzu starosta grodzki Wacław Iszora. Staje na sąsiednim grobowcu i przemawia do studentów. Przekonuje, że skoro rodzina Wacławskiego nie dojechała, to trudno, zmarłego trzeba pochować bez jej obecności. Nad otwartym grobem wybucha tumult. Akademicy z prawicowych korporacji wygrażają staroście, krzyczą o obrazie, o prowokacji, o nieposzanowaniu uczuć. Wreszcie kilku z nich zabiera trumnę znad grobu i przenosi do kaplicy. Potem studenci kaplicę zamykają, a klucz oddają proboszczowi Zawadzkiemu. Po długich kłótniach studentów i starosty ks. Zawadzki ogłasza wreszcie, że pogrzeb odbędzie się jutro o 10.00.

Rozemocjonowani akademicy jeszcze ponad półtorej godziny spierają się wśród grobowców. Wreszcie o 15.00 spokojnie opuszczają cmentarz.

Ale na mieście spokoju nie ma. Endeccy podżegacze, nie mogąc się przedostać na teren uniwersytetu i nie mogąc demonstrować na patrolowanych przez wojsko i policję ulicach, ruszają do gimnazjów. Wileńskie kuratorium reaguje natychmiast: w porozumieniu z komendą policji wydaje uczniom gimnazjów i szkół zawodowych zakaz przebywania na mieście po godzinie 18.00.

W Krakowie endeccy studenci organizują demonstrację na mieście, ale tym razem policja interweniuje błyskawicznie: demonstrację rozprasza i aresztuje 25 jej uczestników. Wieczorem, po

interwencji rektora ks. Michalskiego, policja zwalnia ich z aresztu. Ks. Michalski ogłasza obwieszczenie, w którym wzywa studentów do zachowania spokoju.

Późnym wieczorem minister spraw wewnętrznych wydaje zarządzenie, że wileński starosta grodzki Wacław Iszora, który rano nie potrafił zapobiec przełożeniu pogrzebu Wacławskiego na dzień jutrzejszy, zostaje ze skutkiem natychmiastowym odwołany ze stanowiska. Minister zawiesza także w czynnościach służbowych zastępcę komendanta policji na miasto Wilno nadkomisarza Wacława Dąbrowskiego i zarządza postępowanie dyscyplinarne przeciwko niemu za nie dość energiczne tłumienie rozruchów antyżydowskich, w których zginął Wacławski.

13 listopada 1904 ▪ niedziela

Słowo oberpolicmajstra

Bladym świtem mieszkańców pl. Grzybowskiego w Warszawie i okolicznych ulic zrywa z łóżek stukot końskich kopyt i podkutych wojskowych butów. Ok. 200 policjantów oraz carskich żandarmów konnych i pieszych maszerują przez plac, dzielą się na mniejsze oddziałki i chowają po bramach. Wszyscy w Warszawie wiedzą o zwołanej przez Polską Partię Socjalistyczną na godz. 13.00 na pl. Grzybowski manifestacji przeciw mobilizacji polskiego rekruta na wojnę z Japonią. Socjaliści wydali 3 odezwy – do robotników, do uczniów i do ogółu obywateli – wzywające do udziału w proteście. „Demonstracja nasza stać się powinna imponującym wyrazem głębokiej nienawiści ludu polskiego względem całego gniotącego

nas ustroju politycznego" – głosiła rozrzucana wczoraj po ulicach ulotka Warszawskiego Komitetu Robotniczego PPS.

Przed niespełna 2 tygodniami przez warszawskie Leszno przemaszerowała pepeesowska manifestacja przeciw mobilizacji. Sotnia Kozaków i kilkudziesięciu pieszych policjantów rzucili się z szablami na bezbronnych robotników. Zamiast uderzać płazem, cięli ostro. Na bruku zostało blisko 80 rannych. Jednemu z demonstrantów Kozak odrąbał rękę.

Po tej tragedii zebrała się w konspiracyjnym mieszkaniu na Pradze konferencja 100 warszawskich działaczy PPS. Kierował nią Józef Kwiatek. Jednogłośnie uchwalono, że PPS nie będzie więcej manifestować bez broni. Podnieceni socjaliści, nie bacząc na groźbę dekonspiracji, krzyczeli na całe gardło: „Dawajcie broni! Odpłacimy im za Leszno!".

Wysłannik warszawskiej PPS Walery Sławek, zaopatrzony w pokaźną kwotę 600 rubli, usiłował kupić broń w Kijowie. Nie udało mu się, ale w końcu nielegalnie kupił większą partię rewolwerów w Winnicy, zaś inny konspirator, Zahorski, dokupił nieco broni w Połtawie. Przed 2 dniami Sławek z transportem 34 rewolwerów i 2 pistoletów Browning, przez konspiratorów nazywanych pieszczotliwie „bronkami", dotarł do Warszawy. Broń rozdano tzw. starym bojowcom PPS, którzy od początku roku brali udział w manifestacjach ulicznych. Na własną rękę zbroili się też studenci i starsi uczniowie prywatnych szkół technicznych.

Już od wiosny tego roku, na prośbę Józefa Kwiatka, student warszawskiej politechniki eksperymentował z wytwarzaniem materiału wybuchowego. Do jesieni wyprodukował go 2 kg. Środkiem tym wypełnił 2 bomby własnej konstrukcji. Organizujący demonstrację Kwiatek zdecydował, że obie mają być użyte na pl.

Grzybowskim. Wczoraj dostali je do ręki bojowcy PPS Józef Ratke i Władysław Gawroński.

Zamiar podjęcia walki z policją przy okazji demonstracji organizatorzy zachowali w tajemnicy. Jeden z browningów dostał jednak prowokator ochrany w PPS Dawid Ajzenlist, który zawiadomił oberpolicmajstra Karla Nolkena. Wskutek jego donosu jeszcze wczoraj ochrana aresztowała jednego z żydowskich bojowców.

O 8.00 pl. Grzybowski wypełnia się robotnikami i młodzieżą. Dziesiątki tysięcy ludzi stoją w takim ścisku, że trudno przejść do kościoła. Policyjne patrole przepytują stojących, po co przyszli. Wszyscy odpowiadają z powagą, że na niedzielną mszę, ale ścisk dziś taki, że do kościoła wejść nie sposób. Około 11.00 pomocnik komisarza VIII cyrkułu wchodzi na schody kościoła i grozi zgromadzonym, że jeśli nie rozejdą się do domów, zarobią po 3 miesiące więzienia albo 3 tys. rubli kary. Tłum ani drgnie. O 11.30 policjanci zatrzymują tramwaje i powozy na całym Grzybowie. O 12.15 pierwsi wierni wychodzą po mszy z kościoła. W tłumie niemal każdy zerka na zegarek. Wszyscy czekają na 13.00. Po prawej stronie kościelnych schodów zbiera się grupa 60, w większości uzbrojonych bojowców. Napięcie jest tak wielkie, że kierujący akcją decydują: „Zaczynamy przed czasem!".

O 12.20 siostra Stefana Okrzei wyjmuje spod bluzki małe czerwone zawiniątko i wręcza bojowcowi „Zdunowi". Jeden z szefów demonstracji Nejman woła wówczas: „Płachta w górę!", i na schodach zapada cisza jak makiem zasiał. Obok „Zduna" stają Stefan Okrzeja, jego siostra i inni bojowcy. Wszyscy intonują *Warszawiankę*. Przy pierwszych słowach nieprzebrany tłum, zapychający plac, zdejmuje kapelusze. I wtedy nad głową Okrzei

i „Zduna" rozwija się niezbyt wielki czerwony sztandar z napisem: „PPS Precz z wojną i caratem! Niech żyje Wolny Polski Lud!".

Czoło pochodu ze sztandarem rusza w stronę ul. Bagno. Już minutę później z bramy na rogu ul. Bagno i pl. Grzybowskiego wysypuje się 800 ukrytych tam od rana policjantów. Pomocnik komisarza wykrzykuje komendę: „*Szaszki won!*", i w ich rękach pojawiają się szable. Pierwszy policjant dobiega do „Zduna" i chce pochwycić drzewce sztandaru, ale „Zdun" wyciąga browninga i znienacka strzela napastnikowi w usta. Pierwszy trup wali się na bruk placu. Chwilę potem strzela Okrzeja i już grzmi kanonada ponad 30 rewolwerów. Wielu socjalistów z góry upatrzyło sobie znienawidzonych policjantów i teraz strzela tylko do nich. Bronisław Żukowski 3 razy strzela do pomocnika komisarza VIII cyrkułu, ale chybia. Gawroński rzuca bombę, ta jednak nie wybucha. Policjanci wycofują się, w zamieszaniu porywają z sobą część bojowców i gapiów.

Wokół sztandaru pozostaje kilkunastu bojowców. Nie zważają na ostrzeliwujących ich z daleka żandarmów, idą dalej ul. Bagno. W połowie ulicy gęstą strzelaniną odpierają szarżę kilkunastu konnych żandarmów. Jednego z nich miażdży zabity koń. Na Świętokrzyskiej grupę wokół sztandaru usiłują rozproszyć dragoni, ale 2 rewolwerowe salwy odpędzają ich. Chwilę potem pepeesowcy chowają sztandar i rozpraszają się w tłumie gapiów.

Tymczasem wezwane na pomoc wojsko otacza plac. Przerażeni gapie i rozproszeni w tłumie bojowcy uciekają do kościoła. W zatłoczonej świątyni stary ksiądz odprawia właśnie sumę. Kilka policyjnych kul wpada do kościoła. Wierni chowają się za ławami. Ksiądz prosi z ambony, by śpiewać „Kto się w opiekę...", ale wpośród krzyków przerażenia tłumu pieśni nie słychać.

Policja i wojsko otaczają kościół na pl. Grzybowskim. Kilkuset osaczonych w nim wiernych i grupka bojowców już nie mają dokąd uciekać.

Na ul. Bagno ktoś zza parkanu rzuca kamieniem w oficera dragonów. W odwecie oficer ten każe dragonom strzelać w tłum przechodniów. Po 3 salwach na bruku leży 8 zabitych i kilkunastu rannych.

O 14.30 pod oblężony kościół przyjeżdża oberpolicmajster Nolken. Namawia wiernych, by wyszli. Ci odpowiadają przez uchyloną bramę, że policja bije wychodzących. Nolken daje słowo honoru, że od tej chwili nikt bity nie będzie. W asyście księdza wychodzi 200 osób. Żandarmi odprowadzają je na bok, Nolken każe zamknąć drzwi kościoła, tak by z wewnątrz nie było widać placu, i policjanci masakrują kolbami wszystkich, w tym kobiety, starców i dzieci. Potem pokrwawionych prowadzą do aresztu. Ostatnią partię osaczonych w kościele żandarmi wyprowadzają o 22.30. W sumie do aresztu w ratuszu i na Pawiaku trafia 618 osób. Wtedy policjanci przeszukują kościół. Znajdują w nim 14 porzuconych rewolwerów.

Ulice śródmieścia do wieczora zapchane są podnieconymi tłumami. Jedni z warszawiaków wyrzekają na zbezczeszczenie kościoła i ofiary wśród cywilów, inni promienieją z dumy – Polacy po raz pierwszy od upadku powstania styczniowego strzelają do carskich oprawców.

14 listopada 1945 ▪ środa

Sądny dzień

Sędziowie Międzynarodowego Trybunału Wojskowego budzą się w paskudnych humorach. Trzeci dzień leje. Norymberga, zrujnowana w czasie alianckich bombardowań zamieniła się w gigantyczne bagno, nad którym hula lodowaty wiatr. Sędziów czeka poranna toaleta przy świecach; na przedmieściach Norymbergi i w podmiejskich wsiach, gdzie ich zakwaterowano, wyłączono prąd. Śniadanie skomponowane jest z wojskowych konserw, gdyż na południu Niemiec nawet dla zwycięzców nie ma świeżej żywności. Najgorsza jest cuchnąca herbata. Wodę pitną odkaża się przed gotowaniem tabletkami chloru. Pod ruinami miasta pozostały tysiące zwłok i jad przesącza się do wód powierzchniowych.

Po śniadaniu główny oskarżyciel amerykański sędzia Robert Houghwout Jackson wsiada do opancerzonego mercedesa. Miejsce obok zajmuje jego osobisty ochroniarz Moritz Fuchs. Za mercedesem rusza jeep pełen uzbrojonych żołnierzy. Amerykańskie władze wojskowe ciągle boją się aktów dywersji.

Za chwilę rozpocznie się pierwsze oficjalne, choć zamknięte dla publiczności, posiedzenie Międzynarodowego Trybunału Wojskowego, a prokuratorowi Jacksonowi nie udało się skompletować ławy oskarżonych. Od kilku tygodni usiłował dołączyć do podsądnych jakichś przedstawicieli sztabu generalnego Wehrmachtu oraz hitlerowskiej policji, ale niedawno brytyjscy prawnicy trybunału norymberskiego zaprotestowali przeciwko temu pomysłowi. Ich zdaniem uzupełnianie listy oskarżonych tuż przed rozpoczęciem procesu ośmieszyłoby trybunał. Prokurator Jackson nie daje jednak za wygraną.

Dręczy go inny wakat na ławie oskarżonych. Brakuje tam przedstawicieli wielkiego niemieckiego przemysłu, a przecież bez nich Hitler nie miałby szans rozpętać wojny światowej. Co więcej, Jackson obiecał prezydentowi Trumanowi, że przed trybunałem

staną też niemieccy przemysłowcy. Symbolem niemieckiego przemysłu zbrojeniowego jest firma Krupp, osobiście zaś jej nestor Gustav Krupp von Bohlen und Halbach. Niestety, Krupp senior jest ciężko chory. Lekarz Walter Pick z amerykańskiego 232. Pułku Piechoty stwierdził: „Nie jest świadom swego stanu i sytuacji oraz nie jest w stanie prowadzić jakichkolwiek rozmów ani podążać za ich tokiem".

Rozpoczyna się pierwsza, niejawna rozprawa trybunału norymberskiego. Prowadzi ją brytyjski sędzia, przewodniczący trybunału *sir* Geoffrey Lawrence. Prokurator Jackson, korzystając z faktu, że inauguracyjna rozprawa jest utajniona, próbuje wepchnąć na ławę oskarżonych Gustava Kruppa. A może na ławie oskarżonych posadzić chociaż jego syna Alfreda?

Sir Lawrence pyta amerykańskiego kolegę chłodno:

– Czy uważa pan, że interesowi sprawiedliwości dobrze przysłuży się skazanie człowieka, który z powodu choroby nie jest w stanie przeprowadzić własnej obrony zgodnie z przepisami?

Jackson milczy.

Sir Lawrence z lodowatą uprzejmością mówi:

– Dziękuję panu.

Teraz *sir* Lawrence pyta oskarżyciela brytyjskiego *sir* Hartleya Shawcrossa, który także chciałby widzieć Kruppa na ławie oskarżonych:

– Czy zgadza się pan ze mną, że zgodnie z prawem obowiązującym w Wielkiej Brytanii, podobnie zresztą jak w Stanach Zjednoczonych, człowiek znajdujący się w dyspozycji fizycznej i psychicznej Gustava Kruppa zostałby uznany za niezdolnego do udziału w rozprawie?

– Tak jest – odpowiada rozeźlony Shawcross.

– Czy proponuje pan, aby biorąc pod uwagę przedłożone nam orzeczenie lekarskie, przeprowadzić rozprawę pod nieobecność Gustava Kruppa? – docieka *sir* Lawrence.

– Zgadzam się, że według prawa angielskiego nie byłby on zdolny do wzięcia udziału w rozprawie – musi przyznać Shawcross.

– A czy tamto prawo służy sprawiedliwości? – drąży *sir* Lawrence.

– Nie mogę temu zaprzeczyć, panie przewodniczący – kapituluje jego brytyjski kolega.

Sir Lawrence bez słowa zabiera się do studiowania jakichś papierów.

W tym czasie gdy *sir* Lawrence oddala wnioski oskarżycieli w sprawie Kruppów, w Warszawie na roboczym posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej członek prezydium KRN Roman Zambrowski zgłasza wniosek o natychmiastowe powołanie w Polsce sądów doraźnych.

– Musimy, bo inaczej zginiemy – przekonuje towarzyszy. – Muszą one zacząć działać natychmiast. Ich uproszczona i skrócona procedura, ograniczenie toku instancji, surowe, bezkompromisowe sankcje karne, włącznie z karą śmierci, muszą oczyścić atmosferę naszego życia i pracy.

Sędzia Geoffrey Lawrence odczytujący wyrok podczas procesów norymberskich

15 listopada 1969 ▪ sobota

Czarne baloniki

Od rana dziesiątki tysięcy demonstrantów ciągną ze wszystkich dzielnic Waszyngtonu na miejsce zbiórki. Przyjezdni spali w motelach, u znajomych, u działaczy i sympatyków organizacji antywojennych. W ostatniej chwili kilkanaście tysięcy demonstrantów znalazło dach nad głową w wielu kościołach rozmaitych wyznań i w prywatnych szkołach. O otwarcie drzwi dla przeciwników wojny w Wietnamie zwrócił się do nich burmistrz

Waszyngtonu Walter E. Washington. Jest zimno, ok. 0 stopni C. Demonstranci niosą plakaty i transparenty z hasłami przeciwko wojnie wietnamskiej, przeciwko prezydentowi Nixonowi. Jest sporo flag amerykańskich i flag Wietkongu.

Manifestacja zaczyna się właściwie spontanicznie – jeszcze trochę brakuje do 12.00, o której organizatorzy zaplanowali początek demonstracji, gdy ruszają pierwsze grupy. Ogromna masa ludzi maszeruje ramię przy ramieniu Pennsylvania Avenue. Większość to młodzież. Co rusz długie włosy, fryzury afro, koraliki, kolorowe kurtki; wśród sympatyków hipisów hasła pacyfistyczne mają ogromne wzięcie.

Mimo zimna wszyscy są w dobrych nastrojach. Maszerujący skandują okrzyki przeciw wojnie. Po kwadransie widać już monument Waszyngtona – cel pochodu.

Dzisiejszy marsz jest kulminacyjnym akordem wielkich 3-dniowych manifestacji antywojennych w Waszyngtonie i większości wielkich miast Stanów Zjednoczonych. Zorganizował je MOBE, Nowy Komitet Mobilizacji dla Zakończenia Wojny w Wietnamie, skupiający pacyfistycznych, lewicowych i klerykalnych, radykałów studenckich i związkowych, komunistów i liberałów. To już kolejna seria masowych wystąpień antywojennych organizowanych przez MOBE – poprzednie miały miejsce przed miesiącem. Ale teraz 80 strategów z komitetu wykonawczego planuje demonstrację, jakiej Stany Zjednoczone nie widziały – pod pomnikiem Waszyngtona ma się zgromadzić pół miliona Amerykanów. Nie było łatwo doprowadzić do takiej manifestacji. MOBE targany jest przez nieustanne kłótnie i spory wewnętrzne. Trockiści zwalczają komunistów i na odwrót. Radykałowie z tzw. Nowej Lewicy nie mają za grosz zaufania do Starej Lewicy, do której zalicza się m.in. trockistów i komunistów,

a obie te lewice uznawane są za formacje podejrzanego autoramentu przez antywojennych liberałów. Na posiedzeniach komitetu wykonawczego MOBE ostatnimi czasy dochodziło nawet do bijatyk na pięści. Ale przed dzisiejszą manifestacją działacze zawarli rozejm: między wszystkie orientacje polityczne skrupulatnie rozdzielili honorowe miejsca na nieformalnej trybunie pod pomnikiem Waszyngtona (w innych miastach też), opracowali kompromisowy grafik przemówień.

Władze zrobiły wiele, by pomniejszyć znaczenie demonstracji. Przed 4 dniami, 11 listopada, w Dniu Weterana, Biały Dom zorganizował w Waszyngtonie pod kolumną Waszyngtona wiec poparcia dla wojennej polityki prezydenta Nixona. Przyszły raptem 2 tys. zwolenników wojny. Klapą skończyła się też wymyślona przez doradców Nixona kampania poparcia dla wojny za pomocą jazdy za dnia samochodami z zapalonymi światłami. Dziennikarze oszacowali, że w Waszyngtonie zapaliło reflektory nie więcej niż kilka procent pojazdów. Od wielu dni władze prowadziły kampanię zastraszania mieszkańców stolicy zapowiedziami rzekomo nieuchronnych zamieszek i walk ulicznych. Do Waszyngtonu ściągnięto 9 tys. żołnierzy, zmobilizowano Gwardię Narodową, postawiono w stan gotowości bojowej kilka tysięcy policjantów, 82. Dywizję Spadochronową, 2. Dywizję Marines, 6. Pułk Pancerny US Army.

Zaczęło się przedwczoraj od symbolicznego „marszu przeciw śmierci". O 18.00 z Mostu Pamięci, w pobliżu bramy narodowego cmentarza Arlington, ruszył sznur 40 tys. demonstrantów. Na czele szło – jeden za drugim – 7 muzyków wybijających na bębnach żałobny rytm. Za nimi – też jeden za drugim – maszerowali demonstranci. Prawie każdy miał zawieszoną na piersi tabliczkę z nazwiskiem amerykańskiego żołnierza poległego w Wietnamie.

Pierwsza szła drobna 23-letnia brunetka Judy Droz. Niosła tabliczkę z nazwiskiem Donald G. Droz. Por. Droz poległ w Wietnamie w kwietniu tego roku. Jednym z pierwszych demonstrantów był jeden z przywódców ruchu antywojennego, znany lekarz dr Benjamin Spock, walczący o wychowanie dzieci bez bicia, bez stresów. Niósł tabliczkę z nazwiskiem Jimmiego B. Taylora z Alabamy. Dr. Spocka otaczało 3 młodych ludzi w buddyjskich szatach. Tuż za nim szedł inny z liderów ruchu pokojowego, pastor William Sloane Coffin jr. Reszta demonstrantów maszerowała karnie jeden za drugim. Każdy ze stanów USA reprezentowało w pochodzie tylu protestujących, ilu żołnierzy z tego stanu straciło życie w Wietnamie. Najliczniejsza była reprezentacja Kalifornii. Liczyła 3703 osób.

Pod Białym Domem każdy wywoływał głośno nazwisko ze swojej tabliczki. Potem pochód ruszył w dół Pennsylvania Avenue, w stronę Kapitolu. Pierwsi demonstranci dotarli tam po 2 godzinach i 40 minutach marszu. Przed Kapitolem składali tabliczki z nazwiskami żołnierzy do jednej z 12 trumien z surowego drewna przyniesionych z Arlington przez demonstrantów i ustawionych u stóp pomnika gen. Granta.

Ostatni uczestnicy marszu wyruszyli w drogę ponad dobę po Judy Droz. Niesione przez siebie tabliczki złożyli do trumien pod Kapitolem dziś w nocy.

A teraz, po raptem paru godzinach snu, idą znów – pod monument Waszyngtona. Przemarszu pilnują służby porządkowe MOBE. Policjanci z nieskrywaną sympatią przyglądają się dziesiątkom tysięcy młodych ludzi, idących w idealnym porządku. Problemy są tylko dwa. W pobliżu rozstawiono za mało przenośnych toalet. Co rusz któryś z manifestantów pędzi gdzieś w bok, rozpaczliwie szukając ustronnego zakątka. Zaskoczeniem,

zwłaszcza w zestawieniu z życzliwością policji, jest jawna wrogość okazywana przez tłumy stojących wzdłuż Pennsylvania Avenue mieszkańców Waszyngtonu. Stołeczni biurokraci, urzędnicy, wojskowi są za wojną.

Po 3 godzinach wszyscy są już pod monumentem Waszyngtona. Nie udało się zebrać pół miliona przeciwników wojny, ale ćwierć miliona manifestantów w sercu Waszyngtonu to i tak największa demonstracja pokojowa w historii Stanów Zjednoczonych. Przemawia senator Charles Goodell, szefowa studenckiego komitetu antywojennego, trockistka Carol Lipman, senatorzy George McGovern i Eugene McCarthy, były kandydat w wyborach prezydenckich, Coretta King, wdowa po przywódcy murzyńskim dr. Martinie Lutherze Kingu, działacze związkowi, pastorzy, studenci. Lewicowi poeci recytują wiersze, piosenkarze i kapele rockowe urozmaicają czas oczekiwania na kolejne przemówienie. Mijają godziny. Późnym popołudniem demonstranci zaczynają się rozchodzić. Pod wieczór kilkutysięczna grupa lewaków rozbija kamieniami szyby w Ministerstwie Sprawiedliwości. Policja atakuje ich gazem łzawiącym, aresztuje 80 osób. To dziś jedyny incydent.

Ogromne marsze i wiece odbywają się równolegle w San Francisco i w Nowym Jorku. Podczas wiecu w parku Centralnym demonstranci wypuszczają w powietrze 40 tys. czarnych baloników. Symbolizują one poległych w Wietnamie. Po chwili unosi się kilka tysięcy baloników białych. To symbol tych, którzy za oceanem polegną wkrótce.

Wieczorem dziennikarze telewizyjni zachwycają się wzorowym porządkiem podczas manifestacji. Niechętnie, półgębkiem, przyznają to także przedstawiciele władz.

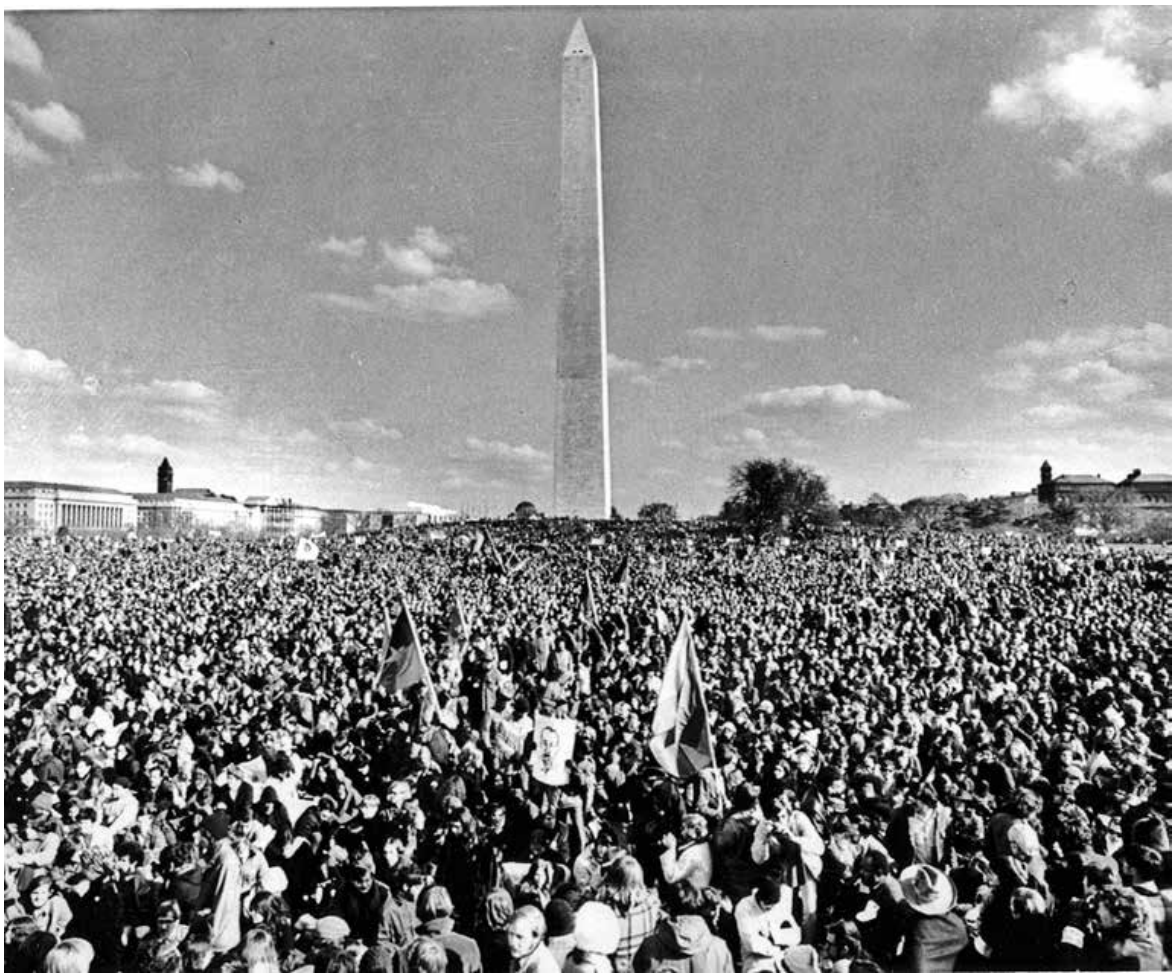

Mieszkańcy Waszyngtonu demonstrujący przeciwko wojnie w Wietnamie

16 listopada 1532 ▪ środa

Imperium upada w pół godziny

Niespełna 200 hiszpańskich żołnierzy trwożliwie rozgląda się, tkwiąc na posterunkach na murach wokół inkaskiego miasta Cajamarca. Boją się. Boją się tak bardzo, że wielu z nich w paroksyzmie strachu narobiło w spodnie pod pancerzami i teraz okropnie cuchnie. Ale jest się czego bać.

Przed 2 laty hiszpański szlachcic Francisco Pizarro, który uzyskał od Korony hiszpańskiej przywilej na objęcie w jej imieniu nowych terytoriów na południowym krańcu kontynentu południowoamerykańskiego, zwerbował w Panamie zaledwie 180 ludzi, w tym 37 konnych, i ruszył morzem na południe. W lipcu tego roku wyprawa wylądowała na wybrzeżu ekwadorskim. Tam dotarły do niej skąpe posiłki pod dowództwem Hernana de Soto. Po zwycięskich walkach z plemieniem Puna i po kilku miesiącach marszu wyprawa dotarła do miasta Cajamarca w głębi imperium Inków. Na rozkaz inkaskiego władcy Atahualpy 10-tysięczną Cajamarcę opuścili wszyscy mieszkańcy. To manifestacja potęgi i władzy monarchy – oto skinieniem palca opróżnia miasta.

Hiszpanie zajęli pustą Cajamarcę, liczący zaś kilkanaście tysięcy osób orszak Atahualpy stanął obozem nieopodal miasta. Dziesiątki tysięcy indiańskich wojowników obozowały na zboczach nieodległych gór.

Wczoraj po południu Francisco Pizarro wysłał do obozu Atahualpy pod wodzą de Soto wszystkich jeźdźców. Ich konie miały przerazić Indian, którzy nigdy takich zwierząt nie widzieli.

Atahualpa pozostał nieporuszony, a 300 dworzan, którzy uciekli na widok szarżującego na postrach de Soto, natychmiast kazał udusić.

Powracający tuż przed nocą z jeźdźcami de Soto przywiózł jednak zbawczą dla Hiszpanów wiadomość – Atahualpa zgodził się przybyć jutro do Cajamarki na spotkanie z Pizarrem.

W ciemnościach, niczym duch, krąży po Cajamarce wódz konkwistadorów. Jest spokojny, wyrozumiały, ojcowski. Wie, że jego ludzie są śmiertelnie przerażeni przewagą indiańskiej armii. Każdego ze swoich żołnierzy pyta o jego kłopoty, pokrzepia dobrym słowem. Opowiada o złocie i pięknych kobietach z haremu Atahualpy, które już rankiem padną ich łupem.

Przy ogniskach na placu modlą się księża.

W nocy Pizarro wzywa oficerów na radę wojenną. Tuż przed świtem ustalają, że podczas powitania w mieście znienacka uderzą na orszak Atahualpy i porwą go.

Pizarro w blednących ciemnościach nadzoruje ustawianie dwóch lekkich działek wyprawy – falkonetów. Sam też wybiera stanowiska dla trzech arkebuzerów, tak by każdy strzał wyrządził jak największe straty w szykach Indian.

Wstaje chłodny, słoneczny dzień. Śnieg pokrywa wielkie góry wokół Cajamarki. Hiszpanie po nieprzespanej nocy dygocą z zimna, ledwie trzymają się na nogach. Piekącymi oczami wypatrują nadchodzącego orszaku inkaskiego władcy.

Ale nikt nie nadciąga.

Późnym popołudniem konkwistadorów podrywa potężny hałas. W obozie Atahualpy dudnią setki bębnów, niesie się dźwięk niezliczonych fletni Pana. Powoli formuje się tam ogromny pochód. Na przedzie idą dziesiątki niewolników zamiatających miotełkami ziemię przed wojownikami władcy. Po nich majestatycznie kroczą setki wojowników. Poszczególne oddziały uzbrojone są we

włócznie, w łuki, proce i wielkie kolczaste maczugi wojenne. 2,5 tys. doborowych wojowników śpiewa przejmującą pieśń, która budzi w Hiszpanach dreszcz grozy. Potem idą dworzanie władcy w strojach śnieżnobiałych i w biało-czerwone szachownice.

Nad głowami tego przepysznie odzianego tłumu płynie na ramionach tragarzy królewska lektyka. Obłożona płytami z polerowanego złota, lśni jak słońce. Atahualpę okrywa płaszcz z najpiękniejszych piór ptaków – tak długi, że ciągnie się po ziemi. Na jego szyi wisi naszyjnik z ogromnych szmaragdów, chwieją się barwne ptasie pióra wszyte w opaskę na czoło.

Lektyka otoczona jest przez odzianych na niebiesko gwardzistów władcy, rekrutowanych ze słynącego z waleczności plemienia górskiego z południowego Ekwadoru. Wokół nich kroczą dworzanie z najbliższego kręgu władcy, odziani w bajeczne płaszcze z ptasich piór, połyskujący masywnymi obręczami ze szczerego złota na ramionach i 3-calowymi krążkami złota doczepionymi do uszu.

Za tym barwnym pochodem maszerują tysiące nieuzbrojonych ludzi. To mieszkańcy Cajamarki, którzy na rozkaz władcy musieli opuścić miasto, i ludność prowincji zwabiona plotkami o białoskórych, brodatych przybyszach.

W głodnych, słaniających się z niewyspania, śmierdzących moczem i ekskrementami konkwistadorów na widok złotych błysków w pochodzie Indian wstępuje nowy duch.

Gigantyczna procesja postępuje niesłychanie powoli. Mija godzina, druga, trzecia. To część planu Atahualpy. Władca zamierza olśnić białych przybyszów swą potęgą, bogactwem i powagą. Jest już dobrze po południu, gdy niewolnicy z miotełkami dochodzą do przedmieścia Cajamarki. Tam nieoczekiwanie pochód zatrzymuje się. Atahualpa wysyła do Pizarra dworzanina z wieścią, że tutaj rozbije teraz obóz i do miasta wkroczy uroczyście nazajutrz. Pizarro wie, że

jego ludzie są wykończeni, że kolejnej nocy oczekiwania już nie wytrzymają. Odsyła wysłannika Atahualpy z odpowiedzią, że w mieście wszystko jest już gotowe na powitanie władcy i hiszpański wódz bardzo liczy na spożycie z nim kolacji.

Przybędzie czy nie? W walce na podmiejskiej równinie Hiszpanie nie mają wielkich szans z tysiącami indiańskich wojowników. Nieznośnie dłużące się oczekiwanie przerywa ryk instrumentów w kolumnie Indian. Do bębnów i fletni Pana dołączają teraz trąbki wypalane z gliny i przenikliwie gwiżdżące morskie muszle. Kilkanaście tysięcy inkaskich wojowników, dworzan, a i sporo pospólstwa powoli wypełnia część dużego czworobocznego placu, który otaczają masywne, choć w większości niskie, budowle z kamienia. W końcu w tłum poddanych wpływa złota lektyka władcy. Poddani padają na powitanie Syna Słońca.

Ale na placu są sami. Nikt nie wychodzi na powitanie Atahualpy, nie widać żadnego z białoskórych przybyszów.

– Co się stało z tymi brodaczami? – pyta wreszcie zaskoczony Atahualpa.

– Ukryli się – odpowiada jeden z jego dworzan.

Wreszcie z portalu jednego z niskich budynków po przeciwnej stronie wyłania się pojedyncza sylwetka w straszliwie brudnym habicie. To dominikanin Vicente Valverde. W prawej ręce niesie brewiarz, w lewej, wyciągniętej przed siebie, dzierży krucyfiks. W promieniach chylącego się ku zachodowi słońca połyskuje jego tonsura.

Za nim śpieszy tłumacz Hiszpanów Felipillo, jedyny wśród nich, który włada językiem keczua. Valverde staje przed obliczem Atahualpy i rozpoczyna przemowę. Objaśnia gruntownie zasady i historię chrześcijańskiej wiary, poczynając od stworzenia świata aż po ukrzyżowanie. Felipillo, mimo chłodu spocony z wysiłku, usiłuje

przetłumaczyć te abstrakcyjne wywody na język keczua. Na próżno. W keczua subtelne rozważania o naturze Trójcy Świętej wyglądają na rojenia kogoś niespełna rozumu.

Valverde przechodzi do dziejów papiestwa. Nie stroni przy tym od anegdot i dygresji. W kolejnej godzinie swej przemowy zawile informuje, że decyzją Rzymu imperium Atahualpy z góry zostało oddane na własność Koronie hiszpańskiej. W końcu dominikanin podsuwa pod nos władcy krucyfiks i wzywa go do przyjęcia jedynej prawdziwej, chrześcijańskiej wiary i uznania się za wasala hiszpańskiego króla Karola I.

Atahualpa wysłuchuje niekończących się wywodów Valverde bez słowa, z kamienną twarzą. Ale wzbiera w nim gniew. Z całego przemówienia rozumie tyle, że ma wyrzec się wiary dla jakiejś figurki na patyku, a swą władzę i bogactwo oddać obcemu władcy zza morza. Wreszcie zabiera głos. Dziwi się, dlaczego miałby oddawać cześć zabitemu bogu.

– Mój bóg wciąż żyje – mówi z dumą i pokazuje zachodzące słońce. – W czyim imieniu stawiasz mi te żądania? – pyta w końcu dominikanina.

W odpowiedzi Valverde kładzie na dłoniach inkaskiego władcy brewiarz. Atahualpa otwiera księgę, ogląda bez zainteresowania. Nie rozumie, że to pismo – Inkowie używają przecież pisma węzełkowego. Rzuca brewiarz na ziemię i krzyczy, że biali ludzie będą zmuszeni zapłacić za wszystkie szkody, jakie wyrządzili w jego imperium.

Valverde porywa księgę i z Felipillem u boku pospiesznie oddala się na drugą stronę placu, do bramy, w której kryje się Francisco Pizarro. Dominikanin wykrzykuje, że uprzejmość i dobre maniery są na nic, że Atahualpa to dumny pies.

– Atakuj, rozgrzeszam cię! – woła do Pizarra.

Jego wezwanie nie ma żadnego znaczenia – atak jest dawno postanowiony i przygotowany.

Pizarro wybiega z bramy i wymachuje białą szarfą. To znak do walki. Huczą obie armaty, grzmią trzy arkebuzy. Indianie drętwieją z przerażenia. Plac wypełnia prochowy dym. Gdy rzednie, widać długie rzędy powalonych przez pociski Indian. 100 piechurów i 60 jeźdźców, podzielonych na kilka oddziałów, wypada z bram z bojowym okrzykiem: „*Santiago! Santiago!*". Hiszpanie tną mieczami, leją się strumienie krwi. Jeźdźcy koncentrycznie przedzierają się do lektyki władcy. Jego ochrona ledwie podnosi do góry włócznie i maczugi, już pada pod ciosami mieczy. Tragarze porzucają lektykę. Atahualpa wypada z niej, koziołkuje. W tym momencie Miguel de Estete chwyta skraj pysznej szaty władcy, inny jeździec łapie za szmaragdowy naszyjnik. Francisco Pizarro krzyczy, że każdy, kto zrani władcę, zapłaci za to głową. Konkwistadorzy wywlekają Atahualpę na środek placu.

Na placu leży 7 tys. zarąbanych Indian. Uciekający w panice tłum naparł na mury miasta tak bardzo, że runęły. Pod gruzami śmierć znalazły kolejne setki Indian. Wielkie imperium Inków upadło w pół godziny.

Z uwięzionym Atahualpą Hiszpanie obchodzą się uprzejmie. Do czasu, aż opanują kraj, jest on ich gwarancją bezpieczeństwa. A potem jego życie nie będzie już miało żadnej wartości.

Po zmroku Pizarro zaprasza Atahualpę na kolację. Byli przecież umówieni. Dłoń Hiszpana jest owinięta szmatką. Zadrapał się, łapiąc na placu za ramię Atahualpy. To jedyna rana odniesiona przez zwycięzców.

Spotkanie Francisca Pizzara z Atahualpą

17 listopada 1869 ▪ środa

Płyniemy przez piaski!

Rozbawione tłumy nawet nie zauważają, że mija północ. Na 78 obwieszonych barwnymi lampionami i flagami okrętach bawią się monarchowie, ministrowie, ambasadorzy, arystokraci z całej Europy. Najlepsze orkiestry wojskowe przygrywają do modnych tańców, leją się strugi szampana. Lampiony zdobią też nadbrzeża. Tam trwa wielki festyn dla ludu. Dziesiątki tysięcy oczu wpatrują się we wspaniały pokaz ogni sztucznych. Europejska śmietanka i egipski lud świętują niebywały tryumf zachodniej cywilizacji – ukończenie

budowy wielkiego kanału łączącego Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym i dalej z Oceanem Indyjskim.

Zaczyna się drugi, najważniejszy dzień uroczystości inauguracji Kanału Sueskiego. Zorganizowali ją kedyw Ismail, jako gospodarz Egiptu, i francuskie Towarzystwo Kanału Sueskiego kierowane przez budowniczego Ferdynanda wicehrabiego de Lessepsa. Przez wiele miesięcy organizatorzy drukowali w prasie całej Europy anonse o uroczystości otwarcia. Rozesłano po całym świecie kilkanaście tysięcy imiennych zaproszeń. Nie zapomniano nawet o dworach Chin i Japonii. Niezależnie od pisemnych zaproszeń w podróż po dworach europejskich ruszył sam kedyw Ismail.

W Aleksandrii, Kairze i Ismailii, gdzie mają się odbyć główne ceremonie, wybudowano mnóstwo luksusowych hoteli. Kedyw sprowadził z całej Europy setki najlepszych kucharzy, tysiące pokojówek i kelnerów. Z Kairu do piramid Ismail zbudował luksusową szosę, tak by goście mogli je zobaczyć bez nadmiernego zmęczenia. W Ismailii zaś, gdzie postanowił oficjalnie podjąć tysiące gości, zbudowano przepyszny, ogromny pałac. U wybitnego włoskiego kompozytora Giuseppe Verdiego kedyw zamówił operę opartą na motywach z historii Egiptu. Jej światową prapremierę Ismail zaplanował właśnie na dzisiejszy wieczór. Specjalnie na tę okazję zbudował w Kairze wspaniały teatr. Niestety, Verdi zawalił sprawę i *Aidy* nie skończył na czas. Żeby uniknąć kompromitacji, wczoraj wystawiono w kairskim teatrze jego *Rigoletta*.

Od kilku tygodni wszystkie miejsca na statkach regularnej żeglugi między Europą a Egiptem były zarezerwowane. Towarzystwa okrętowe uruchomiły dziesiątki specjalnych rejsów.

Przed 4 dniami do Port Saidu przypłynęła holenderska para panująca – Zofia i Wilhelm. Na pokładzie swego jachtu „Marussah" osobiście powitał ich kedyw. A potem niemal co godzinę do Port

Saidu wpływał kolejny reprezentacyjny jacht albo okręt wojenny; uroczyste salwy oznajmiły przybycie cesarza austriackiego Franciszka Józefa, księcia Walii, kronprinza pruskiego Fryderyka Wilhelma, wielkiego księcia Michała, reprezentującego cara Aleksandra II, i innych szlachetnie urodzonych wysłanników każdej z europejskich dynastii panujących. Przybywali także reprezentanci wszystkich krajów muzułmańskich, zwykle w otoczeniu ogromnych świt i tłumów służby. Wczoraj o godz. 11.00 do portu wpłynął cesarski jacht Francji „Aigle" z żoną Napoleona III cesarzową Eugenią. Wszystkie okręty po kolei witały cesarzową uroczystym salutem. Przybyła jako ostatnia, ale była gościem najważniejszym. Wedle przepisów dworskiej etykiety jej osoba miała rangę równą osobie cesarza Franciszka Józefa, ale oficjalne pierwszeństwo przypadło jej jako damie i jako reprezentantce Francji, kraju, który w istocie Kanał Sueski zbudował. Z 6 tys. oficjalnie zaproszonych z Europy gości, którzy do dziś zjawili się w Port Saidzie, największą ciekawość ponad 100 dziennikarzy i reporterów wzbudza przybyły z emigracji w imperium ottomańskim algierski emir Abd el-Kader. To najwybitniejsza postać w całym świecie arabskim. Do 1847 roku był legendarnym przywódcą walki Algierczyków z wojskami francuskimi. Następne 5 lat był internowany we Francji. Pojawienie się emira w Egipcie, na uroczystościach firmowanych przez Francję, jest ogromnym sukcesem politycznym i propagandowym Paryża. Władze francuskie świadomie tak ułożyły scenariusz uroczystości otwarcia kanału, by przedstawić to wielkie dzieło jako symbol nowego przymierza Zachodu ze Wschodem, Europy ze światem muzułmańskim. Na plaży nad brzegiem kanału zbudowano ogromną trybunę dla gości honorowych, zaś po obydwu jej stronach 2 ołtarze do modłów – katolickich i muzułmańskich. Wczoraj cesarzowa Eugenia w towarzystwie cesarza Franciszka

Józefa zasiadła na trybunie w otoczeniu setek oficjeli. Najpierw wysłuchała modłów muftiego Kairu, potem jej osobisty kapelan odśpiewał *Te Deum*, a legat papieża przemówił uroczyście, sławiąc dzieło Francji i jej syna Ferdynanda de Lessepsa.

Bo też Kanał Sueski jest dziełem niemającym sobie równych. Od kwietnia 1859 roku, gdy de Lesseps uroczyście wykopał pierwszą łopatę piasku, najpierw dziesiątki tysięcy fellachów z motykami, a potem, po zniesieniu w Egipcie pracy przymusowej, fantastycznie wielkie, konstruowane i budowane we Francji koparki, pogłębiarki i taśmociągi, wykopały w piaskach pustyni, bagnach i skałach 173-kilometrową rynnę szerokości 22 m, głębokości 8 m. Dzieło to stworzyli inżynierowie wielu nacji, także Polacy, pod kierownictwem Ferdynanda de Lessepsa.

Twórca budowy stulecia na pokładzie „Aigle" patrzy na tańce cesarzowej i jej gości, popija szampana, ale jest wyraźnie nieobecny duchem. Gdy tylko fajerwerki na niebie zajmują uwagę gości, dyskretnie odpływa łodzią na brzeg i pędzi do swego biura. O 2.00 nadchodzi wiadomość, na którą czekał od kilku dni – skały wybrano! Przed 2 tygodniami na ukończonym już odcinku kanału nieoczekiwanie runęły doń skały z brzegu, zatopiły pogłębiarki i zatarasowały tor wodny. Lesseps zataił przed gośćmi i prasą nieszczęście. Polecił potajemnie za wszelką cenę odblokować kanał. I udało się – na 6 godzin przed pierwszym, uroczystym przepłynięciem go przez jachty i okręty gości.

Zmęczony Lesseps wychodzi o 3.00 z biura, gdy przybiega goniec z kolejną hiobową wieścią. 3 mile dalej fregata kedywa „Latif", płynąca z Ismailii, zawadziła o brzeg i utknęła, blokując kanał. Holownik nie daje rady oswobodzić fregaty. A więc jednak za kilka godzin gospodarzy czeka niebotyczna kompromitacja? Zdenerwowany kedyw rozkazuje wysadzić swój reprezentacyjny

okręt w powietrze. Może goście wezmą eksplozję za kolejną fajerwerkową atrakcję? Lesseps sprzeciwia się – wrak może przysporzyć więcej kłopotów niż cały okręt. Kedyw wysyła na pomoc tysiąc marynarzy z linami, i ten tysiąc okazuje się skuteczniejszy od holownika. „Latif" płynie dalej.

Jest już jasno, gdy na pokładach kończy się zabawa. Goście drzemią godzinkę, dwie, zmieniają toalety i znów wychodzą na pokłady. Punktualnie o 8.00 grzmią setki armat okrętowych, orkiestry grają marsze i „Aigle" uroczyście wpływa na wody kanału. Za nim, kolejno, 77 okrętów. Nad mostkiem kapitańskim „Aigle" rozpięto wielki namiot. Pod nim siedzi cesarzowa Eugenia w towarzystwie Lessepsa. Rzecz charakterystyczna – cesarzowa nie zaprosiła na pokład kedywa Ismaila.

Brzegi pokrywają tłumy robotników, którzy zbudowali kanał, turystów z Europy, Beduinów na wielbłądach. Wiwaty, pozdrowienia. Na pokładzie pruski następca tronu arcyksiążę Fryderyk Wilhelm notuje w swym dzienniku: „Stoimy wobec cudownego dzieła naszego stulecia [...]. Oby i Niemcy mogły się wkrótce poszczycić podobnymi osiągnięciami na polu komunikacji".

Na jeziorze Timsah kolumnę okrętów z Port Saidu spotyka grupa okrętów egipskich płynących z Suezu. Wszyscy zatrzymują się na noc w Ismailii. O zmroku kedyw wydaje ogromny bal w swym nowym pałacu. Najpierw są pokazy folkloru, jest też przejażdżka na wielbłądach po piaskach pustyni. W pałacu okazuje się, że połowa z 6 tys. honorowych gości nie ma na czym siedzieć. Nie szkodzi, i tak wszyscy muszą wstać. Słudzy wnoszą płaskie skórzane pudła i cesarzowa Eugenia dekoruje najbardziej zasłużonych budowniczych. Lesseps otrzymuje Wielki Krzyż Legii Honorowej. Wśród odznaczonych Legią Honorową jest też Polak inż. Stanisław Janicki.

Bal trwa do białego rana.

Uroczyste otwarcie Kanału Sueskiego

18 listopada 1956 ▪ niedziela

Kino akcji

Przed kinem „Bałtyk” przy alei 1 Maja w Bydgoszczy stoi długa kolejka po bilety. Do rozpoczęcia seansu koreańskiego filmu *Zwiadowcy* pozostało jeszcze niemal pół godziny, ale atmosfera w kolejce jest bardzo nerwowa. Młodzi ludzie tłoczą się w długim korytarzu przed kasami, przepychają się. Wśród stojących jest sporo żołnierzy służby zasadniczej. Ich najbardziej irytuje perspektywa

odejścia sprzed kasy z pustymi rękami – przepustki kończą się dzisiaj.

Tłum przypiera do okienka kasy szczęśliwca, któremu udało się kupić bilet. Jego okrzyki, by się odsunąć, mieszają się z krzykami stojących za nim kolejkowiczów. Rozeźlona kasjerka Teresa Koszuda prosi biletera Franciszka Rogiewicza, by wezwał milicję – w takich warunkach pracować dalej nie będzie!

Gdy bileter dzwoni na milicję, poirytowani kolejkowicze stojący na chodniku przed kinem wzywają przechadzający się po alei 1 Maja patrol oficerski MO. Podporucznicy Józef Kukulski i Edward Mazurek wkraczają o 17.45 do korytarza przed kasą, ale w podnieconym tłumie nikt nie słucha ich wezwań do zachowania porządku.

Po chwili zjawia się 3-osobowy patrol z Komendy Dzielnicowej Śródmieście. Milicjanci szybko zaprowadzają spokój. Wypychają mężczyzn awanturujących się w holu kina na ulicę. Gdy 10 minut później przed kino zajeżdża gazik z 3 milicjantami wezwanymi telefonicznie przez biletera, i w Bałtyku, i przed kinem panuje spokój.

Ale plut. Roman Ginter koniecznie chce się tego wieczoru wykazać. Wyławia z tłumu 18-letniego chłopca i prowadzi do gazika. Gapie są oburzeni. Wyrywają chłopaka z rąk milicjanta, otaczają samochód i podnoszą go do góry. Gdy auto jest już stopę nad jezdnią, puszczają je. Gazik uderza o ziemię, a gapie znów go podnoszą. Milicjanci Doliński i Ginter próbują uwolnić samochód. Wyciągają pałki – nową broń, na którą funkcjonariusze MO zaledwie kilka dni temu wymienili regulaminowe karabiny – i okładają nimi stojących najbliżej mężczyzn. Zbiegowisko wokół gazika rozprasza się nieco i milicjanci odjeżdżają.

4 funkcjonariuszy, którzy pozostali w tłumie, salwuje się ucieczką do restauracji Rybna naprzeciwko kina. Tłum rusza za nimi, ale kierownik knajpy Stanisław Zengier barykaduje drzwi. Milicjanci alarmują przez telefon komendę i uciekają tylnym wyjściem.

Z pobliskiego kościoła wychodzą wierni. Przed kinem jest już ponad tysiąc osób. Atmosferę podgrzewają wykrzykiwane w tłumie plotki: o zabiciu 3 kolejarzy, którzy odmówili jazdy do ZSRR, w domyśle z polskimi towarami zabieranymi przez Moskwę za darmo, o interwencji milicji przed innym bydgoskim kinem – Orzeł, o biciu przez milicję kobiet.

Jeden z demonstrantów, Tadeusz Gulcz, odwija bandaż z poparzonej przed kilku dniami ręki i woła, że to rany od milicyjnych pałek. Chwilę później Gulcz krzyczy: „Dość już nas gnębią! Idziemy protestować pod komendę!".

Na czele kilkutysięcznego już tłumu idzie Gulcz w jasnym, widocznym z dala, mimo szybko zapadającego zmroku, trenczu. Towarzyszą mu Ryszard Kosik i Tadeusz Lewandowski. Maszerujący za nimi wznoszą chaotyczne okrzyki przeciw PZPR i za Gomułką, śpiewają *Mazurka Dąbrowskiego*. Potem znów skandują: „Precz z Ruskimi!", „Niech żyje wolna Polska!", „Niech żyją Węgry!", „Niech żyje Poznań!".

Na rogu alei 1 Maja i Śniadeckich przez demonstracje przepychają się karetki pogotowia ratunkowego. Ryszard Kosik zatrzymuje jedną z nich. W środku siedzi kilku milicjantów. Karetka zawraca i odjeżdża.

Przed rozgłośnią Polskiego Radia przy al. 1 Maja demonstranci śpiewają *Mazurka Dąbrowskiego*, ale nie próbują wdzierać się do budynku. Za to chwilę później jeden z idących wybija kijem szybę w tramwaju linii nr 4. O 18.10 demonstracja dociera do kasyna milicyjnego. Manifestanci nie atakują kasyna, ale zatrzymują

przejeżdżający tramwaj, szukają milicjantów wśród pasażerów. W końcu próbują przewrócić drugi wagon jako barykadę, ale tramwaj jest zbyt ciężki.

O 18.25 demonstracja dociera pod komendę wojewódzką MO. Idący ciągle na czele Tadeusz Gulcz zachęca, by nikt się nie cofał, gdyby milicjanci zaczęli strzelać. Demonstranci obrzucają kamieniami budkę dyżurnego przy bramie, potem otwierają bramę. Ok. 30 manifestantów wbiega na dziedziniec. Obok dyżurki stoi kpt. Henryk Stasiak. Gulcz woła do niego, że w mieście milicja pobiła dziecko. Kpt. Stasiak nie traci głowy. Odpowiada, że winni zostaną ukarani, i zapewnia: „To my milicjanta wyrzucimy, a ciebie, Czapajew, przyjmiemy".

Żart funkcjonariusza wywołuje śmiech wśród demonstrantów, ale po chwili zabierają się oni do wyważania drzwi do budynku. Oficerowie milicji przekonują atakujących, by się opamiętali. Drzwi nie ustępują i po kwadransie zmęczeni demonstranci rezygnują ze zdobywania komendy. Tadeusz Gulcz woła: „Wiara, idziemy na radiostację!".

I wiara maszeruje za nim. W tłumie jest wielu żołnierzy służby zasadniczej na przepustkach. Po drodze manifestanci rzucają kamieniami w przejeżdżające tramwaje, uderzają w nie kijami. Wołają: „Chodźcie z nami!". Do pochodu ciągle dołączają przechodnie. Ogromna kolumna dociera na pl. Findera, przed gmach komitetu miejskiego PZPR. Tam demonstranci biją milicjanta kpr. Aleksandrzaka i odbierają mu służbowy pistolet.

Ogromna kolumna bydgoszczan kieruje się na Wzgórze Dąbrowskiego. Tam, na zajętym przez kwaterunek parterze prywatnego domu rodziny Głowińskich przy ul. Na Wzgórze Dąbrowskiego 12, władze ulokowały stację zagłuszającą audycje Wolnej Europy, Głosu Ameryki i BBC. Na działce Głowińskich

wzniesiono także drewniany maszt o wysokości 25 m, na którym zainstalowano antenę zagłuszarki.

Demonstracja dociera do domu Głowińskich o 19.30. Działka otoczona jest siatką drucianą rozpiętą na żelbetowych słupach i zwieńczoną drutem kolczastym. Pod naporem setek demonstrantów siatka odrywa się i leci w trawę. Strażnik Ignacy Bielak strzela z karabinu na postrach, ale po chwili tłum dopada go, wyrywa mu broń. Ktoś rozbija kolbę karabinu, ktoś z tego obłomka strzela w powietrze aż do opróżnienia magazynka. Ktoś pożycza w sąsiednich domach siekiery, łomy i stolarskie łapki.

Przybysze wyłamują drzwi, wdzierają się na parter domu, do pomieszczeń zagłuszarki. Ze służbowej szafki wyciągają 4 karabiny, ale gubią ich zamki. Broń nie nadaje się do użytku, zresztą nikt jej używać nie zamierza. Swą wściekłość tłum wyładowuje nie na załodze stacji, ale na jej urządzeniach technicznych. Demonstranci wynoszą z pomieszczeń zagłuszarki meble i drobne drewniane przedmioty. Układają je pod masztem, oblewają znalezionym w podręcznym magazynku stacji olejem transformatorowym. Dorzucają papę. Potem na stos rzucają podpalone szmaty. Ogień długo nie chce chwycić stosu pod masztem, ale gdy już bucha, to na wysokość 10 m. Tłum śpiewa *Mazurka*, *Boże coś Polskę*, *Rotę* i *I Brygadę*. Jeden z demonstrantów, pracujący w zakładzie energetycznym Tadeusz Gozdecki, przytomnie zauważa, że przepalony maszt może zwalić się na sąsiedni dom. Gozdecki pokazuje towarzyszom, które z lin odciągowych mają rąbać. Płonący maszt wali się na trawnik przy ul. Filareckiej, nie czyniąc szkód.

Kilku demonstrantów podpala willę, w której mieszczą się urządzenia zagłuszające.

Gdy przyjeżdżają pierwsze wozy straży pożarnej, drewniana konstrukcja masztu jeszcze płonie. Demonstranci rzucają kamieniami. Strażacy wcale się do gaszenia zagłuszarki nie palą. Po niemrawej próbie dotarcia do masztu i domu odjeżdżają.

Ktoś wzywa tłum do marszu na więzienie. Ale większość demonstrantów, syta tryumfu, powoli schodzi w kierunku centrum miasta.

Po drodze, przy ul. Podgórnej, jacyś cywile obrzucają demonstrantów świecami dymnymi, granatami z gazem łzawiącym i petardami. To zmobilizowani przez komendanta wojewódzkiego MO tajniacy.

Przy pl. Findera drogę demonstracji zagradza tyraliera milicjantów z pałkami, wzmocniona samochodami MO i wojska. Manifestanci ruszają na milicjantów, ale teraz karta się odwraca. Tyraliera milicji bije demonstrantów i rozprasza ich. Niedobitki atakują jednak w różnych miejscach – znów obrzucają kamieniami milicyjne kasyno przy alei 1 Maja, wybijają szyby w nieodległym gmachu komendy dzielnicowej MO, demolują milicyjny samochód i motocykl. Dopiero o 22.00 milicja i jednostki KBW pacyfikują miasto, a strażacy, pod osłoną kordonu KBW, gaszą pożar na Wzgórzu Dąbrowskiego.

19 listopada 1942 ▪ czwartek

Zabiłem twojego Żyda

W ten czwartek, jak każdego dnia w drohobyckim getcie, pierwsi Żydzi pojawiają się na ulicach tuż po końcu godziny policyjnej. Śpieszą do niewolniczej pracy. Hübner, jeden z esesmanów

stacjonujących w Drohobyczu, zatrzymuje na ulicy aptekarza Kurtza-Reinesa. Aptekarz zdecydował się uciekać na Węgry, zdobył nawet pistolet. Spanikowany Kurtz-Reines wyciąga broń i strzela. Rani gestapowca w palec. Chwilę później ginie zastrzelony.

Przechodnie nie wpadają w panikę. Tu często słychać strzały. Esesmani czasem bez najmniejszego powodu potrafią zastrzelić kogoś na ulicy.

Postrzelenie esesmana to incydent tak niesłychany, że drohobyccy funkcjonariusze SS natychmiast kontaktują się ze zwierzchnikami we Lwowie. Dostają zgodę na akcję odwetową i natychmiast ruszają do getta. Nie bawią się dziś w spędzanie ofiar w jedno miejsce, wywożenie ich, kopanie grobów, egzekucję. Idą ulicami getta i po prostu strzelają do każdego napotkanego Żyda. Niektórzy zachowują się jak na polowaniu – upatrują sobie ofiarę i ścigają ją, mijając innych nieszczęśników, aż dopadną w zaułku lub na klatce schodowej.

Pisarz i malarz Bruno Schulz wychodzi na ulicę późnym rankiem.

Liczy, że nie stanie się mu nic złego. Jest przecież protegowanym wpływowego gestapowca w Drohobyczu, SS-Hauptscharführera Felixa Landaua.

Niemcy wkroczyli do Drohobycza latem 1941 roku. Jesienią utworzyli getto. Bruno Schulz i jego najbliżsi musieli opuścić rodzinny dom przy Floriańskiej 10. Zamieszkali w nędznym domku przy ul. Stolarskiej 18. Schulz stracił wtedy nawet te niewielkie możliwości zarobkowania, jakie miał do niedawna pod okupacją sowiecką, kiedy uczył rysunków w 2 gimnazjach, a do pensji dorabiał malowaniem dla instytucji propagandowych okolicznościowych plakatów i obrazów.

Pod okupacją niemiecką pisarz wysłał do Judenratu podanie o przyznanie mu kategorii użytecznego pracującego Żyda, która

dawała nie tylko prawo do nędznego przydziału chleba, ale też pewną ochronę przed aresztowaniem i wywózką. Do podania dołączył rysunki. Judenrat nie kwapił się do ratowania artysty. Pomocną dłoń wyciągnął do Schulza wpływowy inż. Branicki. Był to w istocie Naftali Backenroth, któremu udało się zalegalizować na sfałszowanych aryjskich papierach. To on zwrócił uwagę na rysunki Schulza SS-Hauptscharführerowi Felixowi Landauowi.

31-letni Landau pochodzi z Wiednia, z rodziny stolarza. Krępy osiłek już w wieku 15 lat trafił do austriackich narodowych socjalistów. W 1934 roku wstąpił do SA i brał udział w zamachu na kanclerza Engelberta Dollfussa. Tuż przed wojną trafił do SS i Gestapo. Najpierw stacjonował w Radomiu, potem przeniesiono go do Lwowa i ostatecznie został szefem sekcji ds. żydowskich Gestapo w Drohobyczu. W szeregach Einsatzkommando ochoczo brał udział w masowych rozstrzeliwaniach Żydów. Jest prymitywnym okrutnikiem, często morduje Żydów z byle powodu. Gdy opalając się na balkonie swojego domu, dostrzegł, że pracujące naprzeciwko 3 żydowskie dziewczęta na chwilę przerwały kopanie grządki, poszedł do mieszkania po karabin i po kolei je zastrzelił.

Landau, któremu sam Hitler gratulował udziału w zamachu na Dollfussa, ma o sobie wielkie mniemanie i równie wielkie aspiracje. W SS otarł się o licznych, w szeregach gwardii Himmlera, przedstawicieli niemieckiej elity intelektualnej i społecznej: młodych doktorów prawa, arystokratów. Chce być taki jak oni: jeździ konno, pozuje na konesera sztuki. Zatrudnił Schulza jako w istocie prywatnego niewolnika. Artysta malował portrety esesmana, zrobił także jego portret w trudnej technice intarsji – szczególnie przez Landaua ceniony. Na polecenie gestapowca Schulz wykonał też w jego willi malowidła ścienne; ściany sypialni synka Landaua pokrył barwnymi ilustracjami bajek. Pozujący na

humanistę morderca z SS okazuje artyście szczególne względy – dokarmia go, a nawet bawi rozmową. Protekcja szefa Gestapo przyniosła Schulzowi dalsze profity. Dostał rozkaz namalowania fresków w szkole jeździeckiej SS oraz w siedzibie Gestapo.

Schulz nie miał złudzeń, jaki los go czeka, gdy tylko przestanie być potrzebny Landauowi. Dlatego przedłużał zlecone prace, jak tylko się dało. Artystę dręczył też lęk o siebie i swoich najbliższych, gdy zabraknie Landaua. Już raz, przed miesiącem, gdy esesman wyjechał na jeden dzień do Lwowa, Schulz w ataku paniki ukrył się z siostrą i siostrzeńcem w pustej willi w aryjskiej części miasta.

Intuicja nie zawodzi Schulza. Na jego życie poluje inny gestapowiec z Drohobycza, SS-Scharführer Karl Günther. Starszy od Landaua o 5 lat, rywalizuje z nim na każdym polu. Też utrzymuje prywatnych żydowskich niewolników. Niedawno Landau upokorzył Günthera – zastrzelił na ulicy jego protegowanych: dentystę Löwa oraz stolarza Hauptmana.

Przed 10.00 Schulz zjawia się w należącym do Gestapo gospodarstwie ogrodniczym przy ul. św. Jana 27. W biurze gospodarstwa pracuje jego były uczeń i przyjaciel Emil Górski. Schulz wygląda źle, bardzo źle. Twarz ma chudą i poczerniałą, zapadnięte oczy. Górski spostrzega, że są zgaszone, bez zwykłego blasku. Schulz jest bardzo zdenerwowany. Nie ukrywa, że przychodzi się pożegnać, bo dziś zamierza uciec z drohobyckiego getta.

Zwierza się, że dostał już aryjską kenkartę sfałszowaną przez AK. Od pewnego czasu przyjaciele Schulza w Warszawie, Zofia Nałkowska, Tadeusz Sturm de Sztrem, starają się zorganizować mu ucieczkę. Niedawno na adres Zbigniewa Moronia, drohobyckiego Polaka i przyjaciela Schulza, który od dawna odbiera przeznaczoną dla pisarza korespondencję, nadeszły fałszywe aryjskie papiery. Ale

dla Schulza podróż nawet z dobrymi dokumentami to ogromne ryzyko. Pisarz ma wybitnie semicki wygląd, a udręka egzystencji w getcie jeszcze te rysy twarzy wyostrzyła. W jego wypadku podróż to ruletka – albo uda się, albo wpadnie w oko zawodowym szmalcownikom czy choćby przygodnym draniom. Zofia Nałkowska zamierza wyrwać swego przyjaciela z drohobyckiego getta, wzorując się na akcji, jaką w roku 1906 przeprowadził jej późniejszy drugi mąż gen. Jan Jur-Gorzechowski. Podczas rewolucji dowodził on bojowcami PPS, którzy przebrani za carskich żandarmów, przybyli do więzienia na Pawiaku i wywieźli 10 skazanych na śmierć partyjnych towarzyszy.

Do Drohobycza ma pojechać żołnierz AK w przebraniu oficera Gestapo i pod jakimś urzędowym pretekstem przewieźć Schulza jako więźnia do Warszawy. Znajomy Schulza literat Kazimierz Truchanowski załatwił już w lasach koło Spały, w których teraz pracował, bezpieczne mieszkanie i utrzymanie.

Schulz nie zamierza jednak czekać, chce uciekać z Drohobycza jeszcze dziś. Jest jednak pełen najgorszych przeczuć. „Boję się, że mnie rozpoznają i na jakiejś małej stacyjce wywloką z pociągu, i zastrzelą w najbliższym lesie. Słyszałem o tym, to się często zdarza" – mówi ponuro Górskiemu.

Niewesołe pożegnanie pisarz kończy uwagą, że idzie do Judenratu po chleb. Po drodze Schulz spotyka Izydora Friedmana. Strzelanina uspokoiła się, wydaje się, że jest bezpieczniej. Idą Czackiego, gdy strzelanina znów wybucha. Przechodnie rzucają się do ucieczki. Friedman jest silniejszy, ucieka szybciej i ratuje życie. Schulza dostrzega SS-Scharführer Günther i dogania obok niskiego murku miejskiego parku na ul. Czackiego. Z jadowitą radością oznajmia artyście, że jego protektora Landaua nie ma

w Drohobyczu, a ponieważ w getcie trwa akcja, może go bezkarnie zastrzelić.

„*Dreh um*!" (Obróć się!) – rozkazuje. Schulz zrezygnowany obraca się. Günther 2 razy strzela mu w potylicę. Schulz przewraca się na wznak. Leży w kałuży krwi na jezdni, tuż przy krawężniku.

Potem Günther może powiedzieć triumfująco Landauowi: „Zastrzeliłem twojego Żyda!".

20 listopada 1910 ▪ niedziela

Milczeć!

Łóżko stoi na środku izby. To najlepsze pomieszczenie w domku Ozolina, naczelnika stacji kolejowej Astapowo. Hrabia Lew Tołstoj leży podparty poduszkami. Wspaniała siwa broda rozłożona jest na podciągniętej wysoko kołdrze. Wokół łóżka rozstawiono kilkanaście krzeseł. Siedzą na nich lekarze i córka hrabiego Aleksandra Lwowna.

Przed trzema tygodniami Tołstoj wyjechał ze swego domu w Jasnej Polanie. Właściwie uciekł. O 3.00, w szlafroku i pantoflach, zjawił się w pokoju zaprzyjaźnionego lekarza domowego, Słowaka dr Duszana Makowickiego, i znienacka oznajmił, że postanowił wyjechać, a ukochana córka Aleksandra Lwowna i doktor mają ruszać w drogę wraz z nim.

Wielki pisarz i moralista od lat przemyśliwał o porzuceniu luksusowego domu w Jasnej Polanie. Doskwierała mu myśl, że głosząc idee ubóstwa, sam korzysta ze zbytku w swym majątku. Od dawna też czuł się osaczony przez najbliższych. Drogi hrabiego i żony rozeszły się. Zofia Andriejewna kochała go, ale sama

rozmiłowana w luksusie, chcąc przy tym zapewnić licznym dzieciom dostatnie życie, twardo, bezwzględnie walczyła z mężem o majątek.

Spośród dzieci tylko Aleksandra Lwowna podzielała poglądy ojca i była mu bliska. Reszcie chodziło przede wszystkim o udział w spadku. I właśnie sprawa spadku stała się bezpośrednim powodem ucieczki z Jasnej Polany.

Prawa autorskie do dzieł Tołstoja były fortuną. *Wojnę i pokój* czy *Annę Kareninę* nieustannie wznawiano w Rosji w wielkich nakładach, tłumaczono na wiele języków. Najbliższy przyjaciel Lwa Tołstoja, zarządzający sprawami wydawniczymi pisarza Włodzimierz Czertkow, nakłonił hrabiego do pozbawienia rodziny praw autorskich i przekazania ich społeczeństwu. Ostateczny testament, z inicjatywy Czertkowa, spisano przed 4 miesiącami w tajemnicy, w gęstym lesie. Zofia Andriejewna domyśliła się jednak, że mąż pozbawił rodzinę praw autorskich. Przez ostatnie tygodnie kłóciła się o dochody z honorariów z hrabią, żądała ujawnienia testamentu, groziła samobójstwem, robiła awantury przy gościach w domu. Dwukrotnie symulowała zamachy samobójcze, nocami rewidowała rzeczy hrabiego w poszukiwaniu testamentu. Do nagonki na ojca przyłączyła się większość wydziedziczonych dzieci. W domową wojnę ochoczo rzucił się dbający o utrzymanie swych wpływów Czertkow. Lwa Tołstoja we własnym domu najbliżsi wyzuli z resztek prywatności. Na polecenie Czertkowa stenografowano nawet kłótnie hrabiego z żoną.

Nocna ucieczka była wybawieniem. 3 uciekinierów – hrabia, dr Makowicki i Aleksandra Lwowna – w konspiracji jechało koleją na południe, w gruncie rzeczy bez planu i wyraźnego celu. Ale marna to była konspiracja. Wkrótce podróżni rozpoznali Lwa Nikołajewicza. Był przecież najsławniejszym pisarzem Rosji i jej największym autorytetem moralnym. Jego powieści i rozprawy

moralne czytały miliony. Cały kraj i pół świata wiedziało o jego akcji pomocy ofiarom głodu czy walce o prawa prześladowanych przez władze innowierców. Popularności i autorytetowi Tołstoja nie zaszkodziły ani jego utopijna doktryna niesprzeciwiania się złu, ani wyklęcie hrabiego w 1901 roku przez Cerkiew prawosławną.

Uciekinierzy po krótkich pobytach w klasztorze Pustelnia Optina i w Szamordinie ruszyli w dalszą podróż. Jazda w czasie fatalnej jesiennej słoty, w zatłoczonym wagonie 3. klasy, skończyła się dla hrabiego zapaleniem płuc. Tołstoj słabł w oczach. Na malutkiej stacji Astapowo dr Makowicki zarządził przeniesienie hrabiego do parterowego drewnianego domku zawiadowcy.

Nie minęło kilkanaście godzin, a w Astapowie zaczęły się zjawiać tłumy: Czertkow, żona, dzieci, lekarze z Petersburga zaalarmowani przez władze, żandarmi z bagnetami na karabinach i ostrą amunicją, tak na wszelki wypadek, korespondenci gazet, okoliczni chłopi, tajni agenci policji, wiceminister spraw wewnętrznych Charłamow (*incognito*), gubernator riazański książę Oboleński, igumen Warsonofij – ten z tajną misją nawrócenia Lwa Tołstoja na prawosławie.

Lekarze nie dopuszczali do chorego nikogo z rodziny – z wyjątkiem Aleksandry Lwowny. Nie dopuszczali żadnego dziennikarza, urzędnika, nawet igumena Warsonofija. Sfrustrowani synowie hrabiego pili wódkę z korespondentami prasy. Charłamow na zmianę z Warsonofijem słali do władz tajne raporty. Lew Tołstoj z dnia na dzień stawał się słabszy, nieobecny duchem.

Przed paroma godzinami stan ciężko chorego Tołstoja nagle się poprawił. Wieczorem poprzedniego dnia hrabia poprosił o coś do jedzenia, wypił też sporo mleka. Był całkowicie przytomny. Kiedy córka Aleksandra Lwowna spytała, czy poprawić mu poduszki, mocnym głosem odrzekł: „Nie. Proszę pamiętać, że na świecie jest

wielu ludzi oprócz Lwa Tołstoja, a wy troszczycie się tylko o jednego Lwa". Potem zapadł w drzemkę, a czuwający wokół niego poszli spać.

Kryzys zaczął się o 22.00. Tołstoj podniósł się z pościeli, opuścił nogi na podłogę i z najwyższym trudem łapał oddech. „Ciężko oddychać" – westchnął po chwili. Służba obudziła lekarzy i najbliższych. „Pójdę gdziekolwiek, żeby nikt nie przeszkadzał. Zostawcie mnie w spokoju" – wyszeptał z trudem po kolejnym ataku duszności.

Mija północ. Od 2 godzin kilkanaście osób z niepokojem wsłuchuje się w płytki, rzężący oddech chorego. Wargi, nos i dłonie hrabiego posiniały, twarz jakby zapadła się. Lekarze z niepokojem badają puls. Serce bije słabo, nierówno. Choremu coraz bardziej brakuje powietrza. Rzuca się w pościeli, wyraźnie się dusi. Lekarze decydują się podać mu tlen i morfinę. Potem jeszcze robią zastrzyk kamfory. Lew Tołstoj wyraźnie czuje się lepiej.

„Sierioża!" – wzywa syna Siergieja Lwowicza. Kiedy poproszony do izby syn podchodzi do łóżka, hrabia szepce z trudem: „Prawda... kocham wiele... wszyscy oni...". I to wszystko. Na więcej nie ma już sił.

O 2.00 przychodzi kolejny kryzys. Tętno jest słabo wyczuwalne. Organizm nie reaguje na kolejne zastrzyki kamfory. Hrabia z trudem wypija parę łyków wody. O 6.00 przestaje oddychać.

– Przerwa – mówi głośno dr Usow. Konający łapie oddech, ale po chwili znów cichnie.

– Druga przerwa – stwierdza dr Usow. Ale po raz drugi oddech się nie pojawia. To koniec. Jest 6.05. Dr Duszan Makowicki zamyka zmarłemu oczy.

Dziennikarze pędzą do telegrafu nadać najważniejszą wiadomość dnia. W całej Rosji ci, którzy już wiedzą, mówią napotkanym

nieznajomym po prostu: „Umarł".

Władze wstrzymują pociągi, którymi można by dostać się z Petersburga i z Moskwy do Astapowa i do Jasnej Polany. Pogrzeb wyklętego przez Cerkiew krytyka samodzierżawia ma być jak najskromniejszy.

W Astapowie zatrzymuje się pociąg z Tuły. Wysiada tłum pielgrzymujących do Lwa Tołstoja. Wysiada także tulski archijerej Parfienij. Prawosławny duchowny już wie, że hrabia nie żyje. Odszukuje w tłumie rtm. żandarmerii Sawickiego i melduje mu, że przybywa z delikatną misją, wydelegowany przez Najświętszy Synod Cerkwi na osobiste życzenie jego cesarskiej mości Mikołaja II. Ma otóż ustalić, czy w trakcie choroby i agonii w Astapowie hrabia Tołstoj nie uczynił czegokolwiek, co można by uważać za chęć okazania skruchy za błędy i pojednania z Cerkwią albo czy choćby nie dał znaku, że nie sprzeciwia się pochowaniu go wedle obrządku prawosławnego. Po rozmowie z Sawickim Parfienij prosi o spotkanie z synem hrabiego Tołstoja Andrzejem Lwowiczem, o którym w Cerkwi i w sferach żandarmeryjnych wiadomo, że krytycznie odnosił się do poglądów religijnych i moralnych ojca.

– Nie wie pan, czy Lew Nikołajewicz nie pojednał się z Cerkwią albo czy nie wyrażał takiej chęci? – pyta archijerej.

– Nie wiem – odpowiada Andrzej Lwowicz.

– Widział pan Lwa Nikołajewicza? – pyta dalej archijerej.

– W stanie świadomości nie widziałem, ponieważ wszystkich nas poproszono do niego o północy, po zastrzyku z morfiny, i ojciec nie odzyskał już świadomości.

– A może wie pan coś o tym, że jakaś osoba duchowna rozmawiała z nim o tej sprawie? – drąży Parfienij.

– Nic o tym nie wiem.

– A czy ktoś z rodziny słyszał od Lwa Nikołajewicza o chęci pojednania się z Cerkwią?

– Tego nie mogę stwierdzić.

– A może ktoś z rodziny mógłby to potwierdzić? – męczy Parfienij.

– Jestem wierzący, prawosławny i życzyłbym sobie, by ojciec pojednał się z Cerkwią, ale kłamać nie mogę – odpowiada twardo Andrzej Lwowicz.

Archijerej nie daje jednak za wygraną. Opowiada, że synod Cerkwi przejęty jest troską, by hrabia mógł mieć chrześcijański pogrzeb, ale byłoby to możliwie jedynie wtedy, gdyby udało się dowieść, że do Lwa Nikołajewicza nie dopuszczono żadnego katolickiego księdza, a ludzie otaczający chorego zataili wyjawioną przezeń chęć pojednania się z Cerkwią.

– Czy nie mógłby pan potwierdzić, że wszyscy otaczający chorego Lwa Nikołajewicza byli niewierzący? – kusi na początek Parfienij.

– To mogę potwierdzić – przyznaje Andrzej Lwowicz.

Ale to jednak wszystko, co archijerejowi udaje się od niego i innych dzieci Lwa Tołstoja wyciągnąć. Zrezygnowany Parfienij najbliższym pociągiem wraca do Tuły.

Od wczesnego ranka do domku zawiadowcy przychodzą pożegnać Lwa Tołstoja wszyscy obecni w Astapowie. Przed izbą stoi długa kolejka pracowników kolejowych, chłopów, dziennikarzy, prostych żołnierzy. Przy łóżku czuwają rodzina i bliscy. Za ich plecami, w strasznym ścisku, wolno przechodzą żałobnicy. Wielu płacze. Jakiś wiejski nauczyciel przemawia nad wezgłowiem: „Ja, syn narodu, kłaniam ci się do ziemi w imieniu narodu. Byłbyś szczęśliwy, gdybyś wiedział, że umarłeś tu pośród chłopów, którzy cię kochają i będą cię kochać jeszcze bardziej".

Tak mija dzień.

Po zmroku stojące pod ścianami izby chłopki intonują pieśń *Wiecznaja pamiat'*. Z hukiem otwierają się drzwi. Wpada kilku żandarmów z szablami. Krzyczą nad zwłokami Tołstoja: „Przestać śpiewać!". Zapada cisza, żandarmi wychodzą. Cerkiew nie zezwala na odśpiewanie pieśni nad ekskomunikowanym zmarłym. Po kwadransie kobiety znów intonują pieśń żałobną. Wpadają żandarmi, wrzeszczą: „Milczeć!". Znów cisza, żandarmi wychodzą i po dłuższej chwili znów śpiew. I znów żandarmi. I tak przez całą noc, do rana.

21 listopada 1934 ▪ środa

Apollo i Ella

Ella denerwowała się od rana. Od wielu dni marzyła, że ten występ odmieni jej los. Paskudny los młodej czarnej dziewczyny ze slumsów. 2 lata wcześniej nagle zmarła na zawał jej ukochana matka Tempie. Wkrótce potem 15-letnią Ellę zabrała ciotka, mieszkająca w Nowym Jorku przy Sto Czterdziestej Piątej Ulicy Zachodniej. Ojczym Joe bił dziewczynkę i wykorzystywał.

Ale w nowym domu Ella też nie znalazła oparcia. Choć była jedną z najlepszych uczennic, porzuciła szkołę. Grała na nielegalnych ulicznych loteriach liczbowych, dorabiała, stojąc na czatach przed drzwiami burdeli i wypatrując policji.

Uważała się za niezłą tancerkę. Gdy żyła mama, razem ze szkolnym kolegą przekradała się do klubu w Harlemie. Za parę centów uczyli się najmodniejszych kroków. Potem zaczęli zarabiać tańcem w murzyńskich klubach. Ich popisowym numerem był *Susie Q*, szaleństwo harlemowych parkietów.

Ella uwielbiała też śpiew. Nigdy nie zdarzyło się, by w chórze kościelnym zaśpiewała choćby jeden fałszywy dźwięk. Słuchała płyt coraz popularniejszego jazzmana Louisa Armstronga i najpopularniejszej czarnej grupy wokalnej Boswell Sisters. Naśladowała ich.

17-letnia Ella wyprowadziła się od ciotki i zamieszkała na ulicy. Występowała w popularnych w Harlemie konkursach młodych talentów. Któryś z nich wygrała i w nagrodę dostała prawo uczestnictwa w konkursie poważniejszym. Wybrała Apollo Theatre.

To wielka szansa. Cotygodniowy *Wieczór amatorów* w Apollo to najlepsza tego typu impreza w Harlemie. Właściciele klubu, do towarzyszenia amatorom, zatrudnili najlepsze czarne orkiestry i najlepszych czarnych muzyków: Counta Basiego, Duke'a Ellingtona, Jimmiego Lunceforda, Louisa Armstronga. Ale najwspanialsza jest nagroda za zwycięstwo: tygodniowy kontrakt na śpiewanie w Apollo. Do następnego *Wieczoru amatorów*.

Już wieczór, dobrze po 22.00. Amatorzy siedzą w pokoju pod sceną. Rywale odsuwają się od Elli. Po tygodniach spania na ulicy, pod kartonami, dziewczyna po prostu śmierdzi. Wygląda fatalnie: brudna, w pożyczonej, zniszczonej sukience i za dużych męskich butach. Te buty to teraz największa zgryzota Elli. Będzie w nich tańczyć swój ulubiony numer.

Punktualnie o 23.00 zaczyna się przesłuchanie. Ella czeka na swą kolej i przypatruje się występom konkurentów. Nagle robi się jej słabo. Na scenę wychodzą 2 siostry Edwards, jazzowe duo, popularne w klubach Harlemu. Od lat trenuje je ojciec, zawodowy tancerz.

Zrozpaczona Ella decyduje w jednej chwili – nie tańczę, będę śpiewać!

Słyszy zapowiedź swego występu: „Panie i panowie, Ella Fitzgerald!".

Wychodzi na scenę. Patrzy na jarzące się światła, ciemniejący tłum na widowni. Wie, że akompaniuje jej popularna orkiestra Benny'ego Cartera. Jest spięta, gardło wyschło na wiór. Próbuje tanecznego wejścia, ale potyka się i omal nie przewraca. Publiczność syczy. Ella zaczyna śpiewać standard Connee Boswell *Object of My Affection*. Głos łamie się jej, skrzypi. Na widowni narasta złowrogie buczenie. Animator imprezy Ralph Cooper decyduje się wkroczyć na scenę. Przerywa Elli w pół taktu, krzyczy: „Ludzie, spokojnie! Ta dama ma talent i chce się nim z wami tej nocy podzielić. Dajcie jej jeszcze jedną szansę!".

I czarna harlemowa widownia daje jej tę szansę. Ella śpiewa jeszcze raz *Object of My Affection*, potem drugi hit Boswell – *Judy*. Gdy kończy, na widowni zrywa się ryk. Dawno już nie zgotowano w Apollo Theatre tak entuzjastycznej owacji. Dziś wszystko jest jasne w połowie konkursu. Zwycięża bezapelacyjnie ta duża niezgrabna dziewczyna z niesamowitym, sięgającym aż do trzewi słuchaczy głosem. Ella stoi w świetle reflektorów, słucha radosnego ryku widowni, łzawią jej oczy. Nie wie, że Ralph Cooper patrzy w tej chwili na jej żałosną postać i postanawia, że takiemu obszarpańcowi nie da obiecanej, wymarzonej nagrody – tygodniowego kontraktu w Apollo. Ale to i tak nie ma znaczenia. Harlem już wie – tej nocy narodziła się gwiazda.

Ella Fitzgerald

22 listopada 1963 ▪ piątek

Obrączka

Prezydencki Air Force One ląduje w Dallas. W tylnych drzwiach samolotu jako pierwsza pojawia się Jacqueline Kennedy. To odstępstwo od oficjalnego protokołu. Pierwszy powinien wyjść prezydent, ale John Kennedy pozwala żonie wyprzedzić go. Jest jej wdzięczny, że po raz pierwszy zgodziła się towarzyszyć mu

w podróży politycznej po Stanach Zjednoczonych. W trudnej podróży – w konserwatywnym Teksasie Kennedy ma stosunkowo niewielu zwolenników, za to wielu zdeklarowanych wrogów.

Ktoś wręcza pani Kennedy wielki bukiet czerwonych róż. Prezydencka para ściska dłonie gapiom stojącym za ogrodzeniem lotniska. Wreszcie John odrywa się od tłumu zwolenników i idzie do masywnego ciemnoniebieskiego kabrioletu marki Lincoln. W środku czekają już gospodarze wizyty, gubernator Teksasu John Conally i jego żona Nellie. Siedzą na rozkładanych fotelach w środku samochodu. Z tyłu siada para prezydencka. John po prawej stronie, Jacqueline, w bladoróżowym kostiumie, po lewej. Na siedzeniu między sobą kładą bukiet czerwonych róż. Niebo dziś rano przejaśniło się, niedawno wyszło słońce. Plastikowy dach kabrioletu jest złożony. John nie zgadza się, by agenci ochrony stali na stopniach wzdłuż samochodu. Agenci prezydenta i osobni agenci ochrony pani Kennedy zajmują miejsca wewnątrz i na stopniach drugiego kabrioletu – cadillaca. Za nim ustawia się kolejny kabriolet, lincoln, w którym siedzą wiceprezydent Lyndon Johnson i jego żona. Prezydenckiego lincolna otaczają miejscowi policjanci na motocyklach i o 11.55 kawalkada rusza w stronę miasta. Za niecałą godzinę Kennedy ma wygłosić przemówienie podczas lunchu w Trade Mark.

Teksańczycy stoją przy drodze z lotniska do miasta. W centrum jest niesamowity tłok. Na Main Street tłum wszedł na jezdnię. Nie ma miejsca dla policyjnych motocykli. Te od strony Jacqueline zwalniają i jadą za prezydenckim lincolnem. Agenci zeskakują z cadillaca i biegną obok samochodu z prezydentem. Osobisty ochroniarz Jacqueline Clint Hill wbrew wcześniejszemu zakazowi Kennedy'ego, wskakuje na lewy tylny zderzak lincolna.

Kawalkada skręca w prawo, w Houston Street. Pani Conally odwraca się do Kennedy'ego i zauważa: „Panie prezydencie, chyba nie może pan powiedzieć, że Dallas pana nie kocha". Samochody jadą z prędkością 17,5 km/h w stronę tunelu drogowego.

Nagle słychać z daleka stłumiony huk. Agenci ochrony rozglądają się, nie są pewni, czy ktoś nie rzucił petardy. Pocisk karabinowy trafia prezydenta w plecy, na prawo od kręgosłupa, poniżej podstawy szyi, i wylatuje z przodu szyi, tuż pod jabłkiem Adama. Kennedy unosi obie ręce, dłońmi chwyta się za szyję.

Inny zamachowiec strzela z karabinu dużego kalibru z nasypu nad wjazdem do tunelu. Chybia. Wystrzelony przez niego pocisk wybija sporą dziurę w tablicy drogowej. Trzeci pocisk – karabinowy, małego kalibru – wystrzelony z budynku znajdującego się za kawalkadą samochodową, trafia gubernatora Conally'ego w prawy bark, wychodzi po prawej stronie klatki piersiowej, przebija nadgarstek i kciuk prawej ręki i w końcu wbija się w lewe udo.

„Boże, pozabijają nas wszystkich" – jęczy Conally.

Jego żona przytomnie obejmuje go i ściąga na podłogę. Tam jest bezpieczny. Jacqueline Kennedy w białych rękawiczkach szamoce się z rannym Johnem. Nie mijają 3 sekundy i pocisk karabinowy dużego kalibru, wystrzelony przez zamachowca na nasypie, trafia prezydenta w głowę. Siła uderzenia jest tak wielka, że ciało Kennedy'ego odskakuje niemal metr do tyłu. Krew i strzępy mózgu bryzgają na wszystkie strony. Kawałek czaszki leci na tył samochodu. Zszokowania Jacqueline krzyczy: „Odstrzelili mu głowę!", i wypełza na czworakach na bagażnik. Agent Hill chwyta panią Kennedy, ściąga na tylne siedzenie, potem kładzie się na bagażniku, w poprzek samochodu, jako żywa tarcza.

Ale nikt więcej nie strzela.

Jacqueline trzyma głowę Johna na kolanach. Z tyłu jego czaszki zieje ogromna dziura. Jacqueline zatyka ją dłonią, starając się powstrzymać wypływanie strzępów mózgu. Obok pęku róż leży kawałek czaszki z kępką włosów. Wszystko wokół zbryzgane jest krwią.

Samochody pędzą na sygnale do Memorial Hospital. Jacqueline powtarza: „Jack, Jack, co oni ci zrobili?". Cały czas mówi do męża, dopytuje się, czy ją słyszy, powtarza, że go kocha.

Po 6 minutach lincoln hamuje przed szpitalem. Kilkunastu agentów ochrony otacza samochód. Niektórzy płaczą, inni proszą panią Kennedy, by wysiadła. Nie reaguje. Agenci wynoszą rannego gubernatora i jego żonę. Potem agent Roberts prosi Jacqueline, by pozwoliła mu zabrać prezydenta. Zszokowana Jacqueline nie wypuszcza głowy Johna z dłoni. Agenci miotają się na podjeździe. Część ochrony otacza wiceprezydenta Johnsona. Wreszcie agent Hill bierze Jacqueline pod ramię i wyprowadza z lincolna. Potem zdejmuje swoją marynarkę i kładzie na głowie prezydenta. Któryś z dziennikarzy pyta: „Mocno dostał?". „Nie żyje" – odpowiada Hill.

Gdy Hill i inni agenci wynoszą Kennedy'ego z samochodu, do marynarki i spodni prezydenta przyczepia się kolcami kilka czerwonych róż z bukietu, który Jacqueline dostała na lotnisku. Pani Kennedy sama układa głowę Johna na szpitalnym wózku. Wszyscy biegną teraz do sali reanimacyjnej. Dr Charles Carrico wyczuwa słabe uderzenia serca, ale nie potrafi znaleźć tętna. Młody lekarz nie zważa na dziurę w czaszce Kennedy'ego, na brak dużej części mózgu. Podaje tlen.

Pani Kennedy uspokaja się. Jest pewna, że mąż nie żyje. Agenci ochrony wyprowadzają ją na korytarz, tutejszy policjant przynosi składane krzesełko. Jacqueline prosi o wezwanie księdza. Ale w tym momencie wybiega pielęgniarka i prosi o podanie grupy krwi

prezydenta. Po chwili wybiega z sali następna i mówi, że Kennedy wciąż oddycha. W Jacqueline wstępuje nadzieja. Wraca do sali reanimacyjnej. Pod wózkiem, na którym leży półnagi prezydent, jest tyle krwi, że pielęgniarki rozkładają na podłodze prześcieradła. Któryś z lekarzy prosi panią Kennedy, by wyszła, ale osobisty lekarz prezydencki adm. Burkley mówi: „Ma prawo tu być".

Pani Kennedy klęka na zakrwawionym prześcieradle i modli się. Nad nią stoi z rewolwerem w dłoni agent Clint Hill.

Na sali pojawia się chirurg dr Perry. Decyduje się zrobić tracheotomię. Rozcina ranę postrzałową szyi i wprowadza rurę do tchawicy. Lekarze kontynuują akcję reanimacyjną. Przy masażu serca po każdym ucisku klatki piersiowej z czaszki Kennedy'ego wylewa się fala krwi. Wreszcie neurolog dr Charles Baxter mówi głośno to, co w skrytości wiedzą tu wszyscy – ranny z takimi ubytkami mózgu nie może żyć. Lekarze jeszcze kilka minut prowadzą masaż serca, ale w końcu opuszczają ręce.

Pani Kennedy całuje Johna w wystający spod prześcieradła palec stopy i w usta.

O. Oskar Huber przystępuje do ostatniego namaszczenia. Jacqueline trzyma Johna za rękę.

Potem pani Kennedy wydaje polecenie, by trumnę ze zwłokami męża niezwłocznie wyekspediować do Waszyngtonu. To złamanie prawa, zwłoki powinny pozostać do dyspozycji lokalnego koronera, ale nikt nie śmie się przeciwstawić jej żądaniu.

Tuż przed zamknięciem trumny i przewiezieniem jej na lotnisko Jacqueline wraca na salę reanimacyjną. John Kennedy leży nagi, obok, w 2 papierowych torbach na zakupy, jego pokrwawiona odzież. Jacqueline postanawia założyć mu na palec swoją ślubną obrączkę. Ale nasiąknięta krwią rękawiczka nie chce się zsunąć. Pani

Kennedy prosi o pomoc stojącego na korytarzu miejscowego policjanta.

Zakłada Johnowi obrączkę i wychodzi na korytarz.

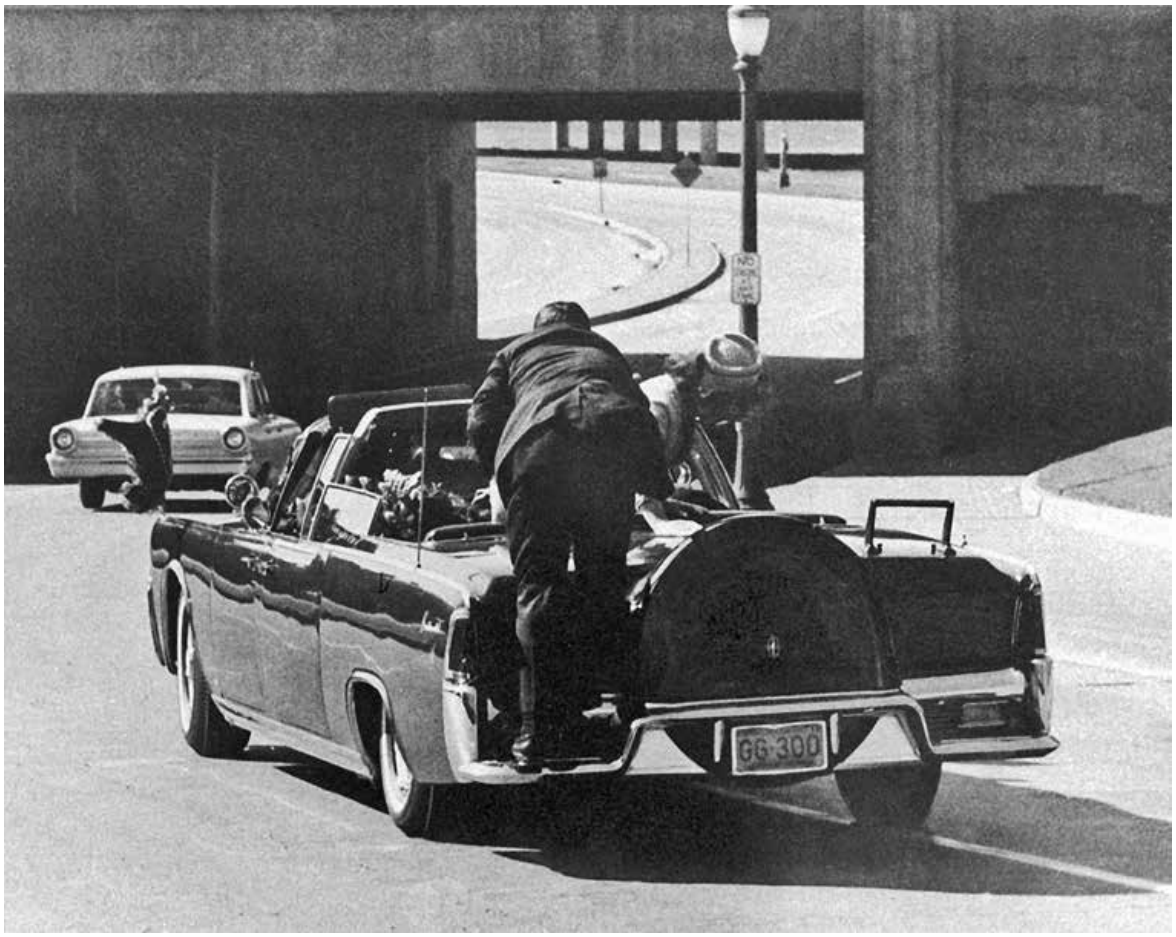

Zamach na J.F. Kennedy'ego w Dallas

23 listopada 1928 ▪ piątek

Pierścionek został

Franciszka Anczewska od świtu biega jak fryga. Najpierw robi solidne zakupy: wędliny, śledziki, grzybki, rozmaite zakąski, ciastka,

kilka butelek wódki, likier. Potem w kuchni luksusowego siedmiopokojowego mieszkania na 4. piętrze kamienicy przy ul. Foksal 17 w Warszawie, szykuje przyjęcie. Czemu nie w jadalni? Anczewska jest służącą rodziny właściciela mieszkania, i całej kamienicy nr 17, znanego finansisty Henryka Lowenfisza. Tego dnia jest w domu sama, ale przyzwyczajenie robi swoje – nie śmie urządzać kolacji w pokojach państwa.

O 15.00 stół jest zastawiony. Franciszka Anczewska idzie do fryzjera. Potem w domu przebiera się na przyjęcie. Wkłada ciemną spódnicę, białą bluzkę, wzorzysty żakiecik. Na szyi wiesza swą dumę i najpoważniejszy kapitał – długi sznur hodowlanych pereł. Po 16.00 do drzwi mieszkania Lewenfiszów dzwoni dozorca Stanisław Strzyga. Gdzieś zapodział swój klucz na strych. Panna Franciszka zaprasza go do kuchni, częstuje kieliszkiem wódki i zakąską. Opowiada mu o tym, o czym i tak już wszyscy w kamienicy wiedzą – ma narzeczonego, poważnego, chcącego się żenić. Dziś wieczorem przychodzi do niej ze swoim wujkiem, by się oficjalnie oświadczyć. Wujek bardzo go kocha i zamierza odpisać obojgu kilkanaście mórg gruntu ze swojego gospodarstwa. Dozorca z przyjemnością patrzy na 30-letnią Franciszkę: ta wyjątkowo zgrabna, zadbana brunetka o ślicznych czarnych oczach i wydatnych ustach zawsze cieszyła się zainteresowaniem mężczyzn, ale dziś, radosna i promienna, jest wyjątkowo piękna. Dochodzi 17.00. Rozlega się dzwonek. Panna Franciszka wychodzi do drzwi i wraca z młodą, elegancko ubraną kobietą w palcie z długim futrzanym kołnierzem, w modnym zielonym kapeluszu. Obie panie świetnie się znają, na powitanie całują się policzki, są na „ty".

Strzyga dopija wódkę i wraca do obowiązków.

Po godzinie znajoma wychodzi.

Szczęśliwa Franciszka nie wie, że zaręczynowe przyjęcie, które przygotowała, ma być zarazem jej stypą.

Kilka tygodni temu wśród mieszkańców ul. Foksal rozeszły się plotki, że Henryk Lowenfisz zamierza sprzedać swą kamienicę. Pogłoski szybko przeciekły do warszawskiego półświatka i dotarły do mieszkającej na Ząbkowskiej 3 Marii Krasnodębskiej. To żona zawodowego włamywacza ze sławnej bandyckiej rodziny Krasnodębskich, odsiadującego wieloletni wyrok w Czechosłowacji. Pod nieobecność męża Krasnodębska, znana jako „Mańka", zorganizowała 11-osobową bandę doświadczonych, zdecydowanych na wszystko przestępców, bez wyjątku recydywistów. Na wieść o planach sprzedaży kamienicy przy Foksal, jednej z droższych kamienic w Warszawie, „Mańka" sama ruszyła do akcji. Elegancko ubrana, tak długo krążyła po Foksal, aż niby przypadkiem spotkała Franię Anczewską i nawiązała z nią znajomość. Spotykały się często, niemal codziennie. Służącej imponowało, że polubiła ją – jak sądziła – pani z towarzystwa. Przy kawie i ciastkach Frania wygadała się pewnego razu, że jej gospodarz podjął w domu pana, który ma kupić kamienicę, i udało się jej usłyszeć, że dogadali się co do ceny – 172 tys. amerykańskich dolarów. Zręczna „Mańka" wyciągnęła od Anczewskiej i to, że gospodarz ma w domu kasę ogniotrwałą.

„Mańka" nie zasypiała gruszek w popiele. Pomysł napadu na mieszkanie Lowenfisza nadała „Hipkowi Wariatowi", Hipolitowi Rytterowi, doświadczonemu, wielokrotnie karanemu bandycie. „Hipek Wariat" jeszcze w zeszłym roku odsiadywał wyrok bezterminowego ciężkiego więzienia za morderstwo, ale w sierpniu 1927 roku, w podejrzanych okolicznościach, został zwolniony na podstawie opinii lekarskiej na półroczny urlop. Z urlopu tego nie wrócił, lecz ukrył się w gospodarstwie innego, wielokrotnie

skazywanego bandyty, Antoniego Gutaszewskiego, „Antka Chama", w Zakręcie pod Miłosną.

„Hipek Wariat" błyskawicznie skompletował ekipę do napadu na mieszkanie Lowenfiszów. Jako wspólników dobrał sobie Mariana Staszkiewicza, przed paru miesiącami zwolnionego z więzienia członka słynnej bandy rabunkowej Wiktora Zielińskiego, kasiarza Mieczysława Dobieckiego „Mietka" i rodzeństwo Frelków: Bolesława, Eleonorę i Marcjannę. Siostry Frelek zasłużyły sobie na zaufanie „Hipka Wariata" głównie tym, że sypiają z bandytami (Marcjanna jest żoną włamywacza Sikuta).

Bolesław Frelek, pochodzący ze znanej na Kresach rodziny koniokradów, żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza, oddelegowany do sztabu w Warszawie w charakterze woźnego, po służbie praktykował w złodziejskim fachu pod okiem „Hipka Wariata". Właśnie budzący zaufanie mundur sprawił, że „Hipek" włączył Frelka do akcji na mieszkanie przy Foksal. „Mańka" niby przypadkiem poznała Franciszkę Anczewską z Frelkiem. Trzaskający obcasami szeregowiec, choć miernej urody, szybko oczarował Franciszkę: nie żałował grosza (który dostawał od „Hipka Wariata") na słodycze, kawę, wino, wzdychał, całował, snuł plany wspólnego życia.

Przed 2 tygodniami plotka o sprzedaniu kamienicy na Foksal za bajońską sumę 172 tys. dolarów była już w warszawskich kawiarniach tajemnicą poliszynela. Kupcem jest warszawianin Lieberman, który w ciągu ostatnich kilku lat zarobił w Paryżu ogromną fortunę.

Gdy Frelek romansował ze służącą, bandyci radzili w mieszkaniu kasiarza Dobieckiego, jak dobrać się do 172 tys. dolarów, biżuterii i innej gotówki, które spoczywają – tego byli pewni – w kasie ogniotrwałej w mieszkaniu Lowenfisza. Do mieszkania zdecydowali

się wedrzeć, aranżując w dniu, w którym nie będzie w domu gospodarzy, przyjęcie z okazji oświadczyn Frelka. Postanowili ostatecznie rozpruć kasę „na zimno", czyli za pomocą wiertarek i „raka", urządzenia do cięcia kas pancernych, działającego na zasadzie otwieracza do konserw, a nie „na gorąco", czyli z użyciem palnika acetylenowego. A co z Franciszką Anczewską? Przecież po rabunku z pewnością dokładnie opisałaby policji swego wiarołomnego narzeczonego. Bandyci z zimną krwią postanowili ją zabić podczas rabunku.

Przed paru dniami naiwna panna Frania opowiedziała narzeczonemu, że sprzedaż kamienicy została szczęśliwie sfinalizowana i państwo Lowenfiszowie wyjeżdżają na wypoczynek do Sopotu.

O 17.00 cała banda spotyka się przed pomnikiem Kopernika. Grupie elegancko ubranych mężczyzn towarzyszy nieco z boku Eleonora Frelkówna z wielką teczką. W środku jest broń i sprzęt do prucia kas.

Bandyci rozdają sobie role podczas napadu. Wujka narzeczonego ma odgrywać „Hipek Wariat", a jego przyjaciela – „Antek Cham".

O 17.15 Frelek w mundurze wyjściowym i „Hipek Wariat" dzwonią do mieszkania Lowenfiszów. Frania otwiera i prowadzi gości do kuchni. Po chwili przychodzi jeszcze „Antek Cham". Na ulicy, przed bramą, czekają Staszkiewicz i Dobiecki. Przyjęcie rozpoczyna się. Frelek oświadcza się i wręcza Frani pierścionek zaręczynowy. Szczęśliwa, wkłada go na palec. „Wujcio" Rytter wznosi toast za toastem. W pewnym momencie stwierdza, że na stole nie ma piwa. Wychodzi z mieszkania rzekomo do sklepu. Wraca ze Staszkiewiczem i Dobieckim, którzy ukrywają się w przedpokoju. Bankiet trwa nadal. Podchmielona Frania pokazuje

narzeczonemu i „wujkowi” wmurowaną w ścianę sypialni, ukrytą za toaletką pani domu, niewielką kasę pancerną.

Bandyci wiedzą już wszystko. „Wujcio” wstaje i krzyczy:

– Dosyć zabawy! Teraz forsa!

Oszołomiona wódką Frania Anczewska widzi wycelowane w siebie lufy 3 rewolwerów.

Jeden z bandytów pilnuje służącej, reszta rusza pomagać Dobieckiemu w pruciu kasy. Bandyci rozkładają przed kasą ogniotrwałą dywany i poduszki, by stłumić odgłosy wiercenia i prucia stalowych ścian.

Nikt w budynku nie słyszy nic niepokojącego. Także piętro niżej, w mieszkaniu zajmowanym przez dr. Adolfa Koenigila, zięcia właściciela kamienicy, nikt nie nabiera podejrzeń, że w mieszkaniu teściów dzieje się coś niepokojącego. Oprócz dr. Koenigila w mieszkaniu są jego dziecko, bona Julia Hryncewiczówna oraz służąca Aniela. Jest dobrze po 18.00, gdy panna Hryncewiczówna wychodzi, by w mieszkaniu teściów dr. Koenigila uszyć na maszynie ubranko dla dziecka swego pryncypała.

Puka, drzwi otwierają się i elegancki pan zaprasza do środka. To pewnie narzeczony Frani Anczewskiej. Gdy Julia wchodzi do środka, z salonu wyskakują uzbrojeni bandyci. Prowadzą ją do jednego z pokoi. Tam wiążą ręcznikami i rzucają na łóżko. Przykazując, by nie odwracała się, jeśli jej życie miłe.

Dobiecki z pomocą kompanów rozpruwa wreszcie kasę ogniotrwałą. Szok: wewnątrz leży tylko garść papierów i bezwartościowych banknotów sprzed wojny.

Ale w ścianie sypialni oprócz niewielkiej kasy ogniotrwałej tkwi także pokaźna kasa pancerna.

Bandyci biorą się do wykuwania kasy pancernej ze ściany. Mija druga godzina napadu.

U drzwi znów rozlega się dzwonek.

To służąca dr. Koenigila Aniela przychodzi zawołać Julię. Dr Koenigil chce wyjść na miasto i nie ma z kim zostawić dziecka.

– Julia zaraz wróci! – woła przez drzwi jeden z napastników.

Mija kwadrans, a Julia nie wraca. Zirytowany dr Koenigil idzie do mieszkania teściów po niesforną bonę. Dr Koenigil to znana postać w Warszawie: współzałożyciel klubu sportowego Legia, prezes krajowego związku sportowego urzędników państwowych, kierownik wydziału bezpieczeństwa w województwie warszawskim. Z racji swej pracy nigdy nie rozstaje się z pistoletem. Teraz też trzyma go w kieszeni marynarki.

Puka. Otwiera wysoki, elegancko ubrany młody mężczyzna. To „Antek Cham". Dr Koenigil domyśla się, że nieznajomy jest narzeczonym służącej teścia.

„Frania ma dobry gust" – przemyka mu przez głowę. W tej samej chwili z drzwi pokojów z okrzykiem „Ręce do góry!" wyskakuje 3 mężczyzn. W ręku mają rewolwery. Dr Koenigil przez sekundę waha się – rękę trzyma w kieszeni marynarki, na kolbie browninga. Strzelać? Jednak nie. Napastników jest zbyt wielu. Jeden z nich w korytarzyku za kuchnią rewiduje Koenigila, odbiera mu broń. Potem zabiera znalezione w kieszeni 100 zł i klucze do mieszkania.

Bandyci są uprzejmi, zwracają się do dr. Koenigila *per* „pan". Pytają, gdzie są klucze od szafy pancernej w ścianie sypialni.

– Nie wiem – odpowiada Koenigil i kątem oka dostrzega w kuchni siedzącą za stołem Franciszkę Anczewską. Wygląda na oszołomioną alkoholem. Jeden z napastników indaguje ją o klucze od skrytki.

– Nie wiem, gdzie są, czego wy ode mnie chcecie? – zawodzi służąca.

Jeden z napastników ściąga Koenigilowi z palca pierścionek z drogim kamieniem. Właściciel przekonuje go, że to błyskotka bez wartości. Napastnik daje spokój.

Za ścianą słychać uderzenia łomów i młotka. Bandyci bezskutecznie usiłują wykuć szafę pancerną z muru.

Minęła już 20.00. Od paru chwil nieustannie dzwoni telefon. To Henryk Lowenfisz dzwoni z Sopotu do panny Frani, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ma powód do niepokoju – 172 tys. dolarów leżą w szafie pancernej w jego małżeńskiej sypialni. Dzwonki telefonu coraz bardziej denerwują bandytów. W końcu wyprowadzają oni dr. Koenigila do sąsiedniego pokoju, wiążą ręcznikami i rzucają na łóżko. Obok leży związana bona jego dziecka.

Bandyci wyprowadzają Anczewską z kuchni do jednego z pokoi. Służąca słabnie. Jeden z napastników elegancko podaje jej krzesło. Po chwili wchodzą „Antek Cham" i „Hipek Wariat". „Antek Cham" okręca ręcznik wokół szyi dziewczyny i dusi ją. Anczewska broni się, drapie, ale „Hipek Wariat" przytrzymuje ją za ręce.

Bandyci rezygnują z prucia szafy pancernej w sypialni. Pospiesznie sprzątają mieszkanie, wycierają swoje odciski palców i ulatniają się. Parę minut później dr Koenigil wyswobadza się z więzów, wzywa lekarza i policję. Doktor może tylko stwierdzić śmierć Franciszki Anczewskiej. Zamordowana ma na palcu zaręczynowy pierścionek od Bolesława Frelka.

Policjanci zjawiają się 4 minuty po telefonie Koenigila. Badają każdy drobiazg. Na pustej butelce wódki w koszu na śmieci znajdują odciski palców. Na framudze służbówki Anczewskiej zaś numer telefonu sztabu KOP z dopiskiem – Bolek. Bandyci nie ujdą sprawiedliwości.

O 22.00 na Foksal gromadzi się ogromny tłum. Warszawa wstrząśnięta jest zbrodnią.

24 listopada 1971 ▪ środa

Dan Cooper

Na lotnisku w Portland w amerykańskim stanie Oregon trwa odprawa pasażerów lotu nr 305 kompanii Northwest Airlines do Seattle. Na liniach krajowych nie robi się przesadnych ceregieli z kontrolą pasażerów. Chodzi raczej o to, by sprawnie i szybko przeprowadzić wszystkich na pokład samolotu. Każdy z 36 pasażerów lotu 305, kupując bilet, podawał imię i nazwisko. Ani w kasie, ani teraz, podczas *check in*, nikt tych nazwisk nie sprawdza z dokumentem tożsamości, czyli z prawem jazdy. Kompanii lotniczej nic do tego, pod jakim nazwiskiem pasażer chce lecieć. Obsługa przymyka też oczy na zabieranie ze sobą większych bagaży. Pasażerowie nie lubią przecież po wylądowaniu czekać nieco dłużej na wydanie toreb i walizek, które leciały w luku bagażowym.

Dobrze zbudowany, 45-letni biały mężczyzna o pociągłej, latynoskiej twarzy nie wyróżnia się niczym szczególnym wśród pasażerów. Ubrany jest w czarny garnitur, białą koszulę i wąski czarny krawat. Podczas odprawy przedstawia się jako Dan Cooper. Na pokład boeinga 727 Northwestern Airlines wnosi sporych rozmiarów walizkę. Siada na miejscu 18 E. Jest wczesne popołudnie, gdy samolot startuje z Portland. Dan Cooper zaraz po starcie zapala raleigha z filtrem i zamawia u stewardesy Tiny Mucklow szklaneczkę burbona. Płaci gotówką. Po chwili zamawia drugą szklaneczkę i jeszcze jedną, i jeszcze kolejną. Nie przestaje palić

papierosów. Zaciąga się głęboko, z widoczną przyjemnością. Na stewardesie pasażer Dan Cooper sprawia wrażenie człowieka bardzo spokojnego i inteligentnego.

Od startu minęło może kilkanaście minut. Dan Cooper wyjmuje z kieszeni i zakłada ciemne, mocno przylegające do twarzy okulary. Z walizki wyjmuje zapisaną kartkę papieru. Wzywa do siebie stewardesę Mucklow. Spokojnym, niskim głosem wyjaśnia jej, że ma natychmiast zanieść notatkę kapitanowi samolotu, i wręcza jej kartkę.

Potem lekko uchyla walizkę. Nie ma wątpliwości – w środku jest potężny ładunek wybuchowy i detonator. Osłupiały kapitan odczytuje w kabinie pilotów ultimatum: mam bardzo silną bombę w walizce, jeśli nie będziecie wykonywać poleceń, zdetonuję ją. Kapitan nie zamierza się sprzeciwiać, tym bardziej że pierwsze żądanie nie jest wygórowane. Ma lecieć do Seattle, jak gdyby nic się nie stało.

Dan Cooper od tej pory przestaje zamawiać u stewardesy burbona, ba, w ogóle przestaje się do niej odzywać. Porozumiewa się z nią wyłącznie za pomocą poleceń spisanych zawczasu na kartkach papieru. Ma ich cały stosik.

O 17.30 boeing 727 ląduje w Seattle. Zgodnie z żądaniem Coopera nie kołuje pod budynek lotniska, lecz pozostaje daleko na pasie startowym. Cooper wręcza Tinie Mucklow kolejną kartkę. Żąda 200 tys. dolarów w używanych 20-dolarówkach i 4 sprawnych spadochronów. W zamian oferuje zwolnienie przed ponownym startem wszystkich 36 pasażerów i części załogi.

Porwanie samolotu jest przestępstwem federalnym i kierowanie akcją na lotnisku w Seattle przejmuje FBI. Zaatakować Dana Coopera? Agentów FBI niepokoi porywacz, ukrywający swą tożsamość pod tym nazwiskiem. To nie amator. Jest

zdeterminowany, spokojny i najwyraźniej porwanie planował długo, precyzyjnie. Skoro chce spadochronów, to najwyraźniej zamierza wyskoczyć z okupem w czasie lotu. To sprytny, ale i bardzo ryzykowny sposób na pozbycie się pościgu. Ryzyko skoku w ciemnościach w nieznanym terenie podjąć może tylko bardzo dobrze wyszkolony skoczek. Agenci FBI dochodzą do wniosku, że Dan Cooper musiał być pilotem wojskowym albo żołnierzem sił specjalnych, więc lepiej nie próbować go obezwładnić. Wątpliwe, czy uda się go zaskoczyć. Co prawda, samolot stoi na płycie lotniska, ale bomba jest tak potężna, że straty wśród pasażerów mogłyby być ogromne.

A co ze spadochronami? Może dać mu niesprawne? FBI odrzuca taki pomysł jako zupełnie niedorzeczny. Po pierwsze, Dan Cooper może wypróbować spadochron, każąc skoczyć najpierw jednemu z pilotów. Ale bardziej prawdopodobne jest, że nad jakimś odludziem wypchnie na spadochronie jednego z pilotów, by na ziemi na wszelki wypadek mieć jeszcze zakładnika. Mimo to z powodu nerwowego bałaganu panującego na lotnisku, wśród spadochronów dostarczonych FBI przez pracowników naziemnych jeden jest niesprawny.

Zebranie gotówki zajmuje prawie 1,5 godziny. Paczka z banknotami waży całkiem sporo, prawie 10 kg. Na pasie startowym przed boeingiem rozpoczyna się wymiana. Pasażerowie wychodzą pojedynczo. Gdy po trapie schodzi ostatni z dwóch zwolnionych członków załogi samolotu, Cooper, milcząc, wyjmuje kolejną kartkę i wręcza Tinie Mucklow, którą zatrzymał na pokładzie: żąda startu i lotu na południe, do Reno w Nevadzie. Tam samolot ma zatankować i polecieć do Meksyku. Samolot startuje o 19.30. Cooper żąda teraz, by pilot leciał z minimalną prędkością na wysokości nieprzekraczającej 3 km. Klapy do lądowania mają być

opuszczone. Ok. godz. 20.00 Cooper wręcza stewardesie ostatnią kartkę: ma przejść do przedniej części samolotu. Teraz Cooper zamyka się w części tylnej. Po kilku minutach światełko alarmowe na konsoli kabiny daje znać pilotom, że Cooper otwiera tylne drzwi bagażowe i opuszcza schodki. Na zewnątrz jest bardzo zimno. Silny wiatr chłoszcze kadłub boeinga natychmiast przymarzającym deszczem. Dan Cooper w czarnym garniturze, białej koszuli, czarnym krawacie, ze spadochronem na plecach i pakunkiem z banknotami na piersiach schodzi niepewnie po śliskich schodkach i rzuca się w ciemność.

25 listopada 1970 ▪ środa

Długi cień bushido

Pisarz Mishima Yukio wstaje wcześnie rano. Starannie goli się, bacząc, by na policzkach nie pojawiło się najmniejsze choćby draśnięcie. Bierze prysznic. Po toalecie wkłada tradycyjną białą bawełnianą przepaskę na biodra, *fundoshi*. Następnie wdziewa elegancki brązowy mundur Tate-no-kai, Towarzystwa Tarczy, prywatnych oddziałów szturmowych, które sam wymyślił, założył i których jest dowódcą.

Żona Yoko odprowadza do szkoły córkę 11-letnią Noriko i młodszego o 2 lata synka Ichiro. Mishima schodzi do obszernego hallu i kładzie na stoliku grubą kopertę zaadresowaną do jego japońskiego wydawcy. W środku jest dokończenie jego ostatniej powieści, nad którą pracował od 6 lat.

O 10.00 zaczyna dzwonić do zaprzyjaźnionych reporterów tokijskich gazet. Uprzedza ich, by czekali na sygnał od niego, bo dziś

zdarzy się coś bardzo ważnego.

Mishima naprawdę nazywa się Hiraoka Kimitake. Jego rodzina jest daleko spokrewniona z rodem szogunów Tokugawa, ale on z tego powodu nie rości sobie żadnych pretensji. Odebrał świetne wykształcenie – w elitarnej szkole uczył się z członkami rodziny cesarskiej. Po studiach dostał świetną pracę w Ministerstwie Finansów, ale sukces finansowy poświęcił dla kariery pisarskiej. Swoimi powieściami psychologicznymi zdobył sławę wybitnego twórcy, wnikliwie analizującego konflikt jednostki ze społecznymi konwencjami. Nieprzeciętny erudyta, kultywował w twórczości tradycje japońskie i europejskie. Trzykrotnie był brany pod uwagę do Nagrody Nobla.

Ostatnimi czasy uznał jednak, że tożsamości Japonii zagrażają kulturowe wpływy Zachodu. Założył Tate-no-kai, w której kilkudziesięciu młodych, prawicowych studentów wychowywał w duchu *bushido*, tradycyjnego etosu samurajów. Eleganckie mundury zaprojektował dla nich Pierre Cardin.

45-letniego Mishimę ostatnio coraz bardziej fascynuje *seppuku*, tradycyjne, honorowe samobójstwo samuraja. Przekonany, że wkrótce władzę w Japonii przejmie lewica, przygotował plan zamachu stanu ze sobą w roli głównej. Sam jednak nie bardzo wierzy w jego powodzenie. Czy nieprzygotowani, zaskoczeni żołnierze Jieitai, powojennej namiastki armii, po wysłuchaniu jego manifestu ruszą na rząd? Dużo bardziej prawdopodobne, że go zignorują i przyjdzie mu popełnić *seppuku*.

Jest na to przygotowany.

Mishima odkłada słuchawkę. Przez frontowe przeszklone drzwi dostrzega studenta Chibi-Kogę w paradnym mundurze Tate-no-kai. Wręcza mu 3 koperty. Zaadresowane są do Chibi-Kogi, drugiego zaufanego studenta z organizacji Furu-Kogi, oraz do chor. Tate-no-

kai Ogawy. Potem poleca Chibi-Kodze wrócić do samochodu. Tam wszyscy trzej mają przeczytać listy.

Sam wraca do domu. Do pasa munduru przypina po lewej stronie samurajski miecz. Tę bardzo cenną broń wykuł w XVII wieku mistrz Sekino Magoroku. Mishima bierze jeszcze elegancką dyplomatkę. W środku, w papierach, są ukryte 2 sztylety.

Pisarz wsiada do białej toyoty corona zaparkowanej na ulicy. W środku, prócz 3 adresatów listów Mishimy, jest jeszcze Morita Masakatsu, wysoki, lekko otyły młodzieniec, jak wszyscy w galowym mundurze Tate-no-kai. W organizacji jest zastępcą Mishimy. Prywatnie – jego bliskim, bardzo bliskim przyjacielem.

Mishima dopytuje się, czy wszyscy przeczytali listy.

–Zgadzacie się? Wy nie macie się zabić. Zajmijcie się generałem. Dopilnujcie, by nie popełnił samobójstwa. Naprzód! – komenderuje.

4 jego młodych towarzyszy już wie, co ma dziś robić. Hasłem do rozpoczęcia akcji będą słowa Mishimy: „Koga, chusteczkę!". Wszyscy wiedzą już także, że Mishima i Morita podczas dzisiejszej akcji mają popełnić *harakiri*, rytualne samobójstwo. Mishima dokłada do każdej z kopert po 120 dolarów i 10 tys. jenów na pokrycie wydatków sądowych. Ocalała trójka ma przed sądem propagować zasady Tate-no-kai.

O 11.00 toyota zajeżdża przed bramę bazy wojskowej Ichigaya w centrum Tokio. Mieści się w niej także dowództwo Wschodniej Armii Sił Samoobrony. Wartownik poznaje Mishimę, częstego gościa w sztabie, i przepuszcza samochód. Przed budynkiem sztabu na gości czeka już zawiadomiony przez wartownika mjr Sawamoto i prowadzi ich do gabinetu gen. Mashity, dowódcy Armii Wschodniej. Mishima ceremonialnie wita generała i przedstawia swoich podkomendnych. Wyjaśnia, że niedawno Tate-no-kai

zakończyła ćwiczenia na górze Fuji, podczas których kilku szeregowców odniosło rany, a ci, których ze sobą przyprowadził, wyróżnili się w akcji. Potem Mishima odpina miecz i opiera go tak, by gen. Mashita mógł zobaczyć jego wysadzaną brylantami i perłami rękojeść. 57-letni generał chwyta przynętę. Pyta o pochodzenie miecza. Mishima podaje mu broń, prosi, by wyciągnął miecz. Generał wstaje, wyciąga broń z pochwy. Klinga pokryta jest smarem.

– Koga, chusteczkę! – rozkazuje Mishima.

Chibi-Koga zrywa się z krzesła i podchodzi do stołu. W ręku ma cienki ręcznik z mocnej tkaniny, *tenugui*. Plan Mishimy przewiduje, że jego podwładny zaknebluje ręcznikiem generała. Ale nic z tego, generał odchodzi od biurka po coś do wytarcia ostrza. Student daje ręcznik Mishimie i wraca na miejsce. Generał wspólnie z Mishimą podziwia faliste dymne cienie na ostrzu, ślad po wielokrotnych przekuwaniach klingi przez mistrza. Mishima znów daje znak. Chibi-Koga zachodzi generała od tyłu i niezdarnie chwyta go za szyję. Reszta szturmowców Tate-no-kai przywiązuje Mashitę do krzesła. Zaskoczony generał nie opiera się. Prawdę mówiąc, jest przekonany, że to kolejne ćwiczenia Tate-no-kai wymyślone przez sławnego, ale lekko nawiedzonego pisarza.

Morita ma teraz zablokować drzwi. Wyjmuje drut i kombinerki, ale klamki nie da się zablokować. Zamachowcy podsuwają pod drzwi biurko i krzesła.

Tymczasem ze swego biura obok pokoju generała wychodzi na korytarz mjr Sawamoto. Przez pas szkła obok generalskich drzwi dostrzega, co się dzieje, i podnosi alarm. Oficerowie sztabu zbierają się w biurze gen. Yamazaki i debatują, co robić. W końcu decydują się uwolnić generała. Płk Hara, wychodząc, łapie za zabytkowy ćwiczebny miecz z drewna.

Jest 11.20, gdy łomocą do drzwi jego gabinetu gen. Mashity. Któryś z nich naciska klamkę i pcha drzwi barkiem. Ustawiona w gabinecie barykada ustępuje i oficerowie wchodzą do środka.

– Precz! – wrzeszczy Mishima i zastępuje im drogę z uniesionym w górę mieczem. Większość oficerów cofa się, ale płk Hara z jednym z podoficerów podchodzi bliżej. Mishima uderza. Hara uchyla się i Mishima rani go w plecy. Drugi cios trafia pułkownika w korpus. Krew tryska wokół. Sierżant rzuca się na pomoc, ale pisarz tnie go w rękę tak silnie, że niemal odrąbuje mu dłoń. Mishima atakuje resztę oficerów. Kolejnego pułkownika ciężko rani 3 zamaszystymi cięciami. Ranny Hara zasłania się swym drewnianym mieczem i zbryzgana krwią grupa oficerów wypada na korytarz.

Nadbiegają kolejni oficerowie sztabowi. Gorączkowo radzą, co czynić. Paskudna sytuacja – cywil poniża i masakruje kwiat japońskich sił zbrojnych! Ze strachu przed kompromitacją gen. Yamazaki wybiera najgorszy wariant – powtórną próbę obezwładnienia Mishimy. 7 oficerów nagle wdziera się do gabinetu uwięzionego gen. Mashity. Mishima staje przed nimi z zakrwawionym mieczem nad głową. Gen. Yamazaki wzywa pisarza, by się uspokoił, ten zaś krzyczy, by oficerowie wynieśli się precz, i grozi zabiciem zakładnika. Nagle pisarz atakuje Yamazakiego. Generał uchyla się i ostrze trafia go w plecy. 3 pułkowników rzuca się na Mishimę. Pisarz zadaje ciosy jak wytrawny samuraj. Wszyscy trzej z ciężkimi ranami, zakrwawieni, wycofują się.

– Precz! – wrzeszczy znów Mishima i rani kolejnego pułkownika.

Oficerowie zmykają na korytarz.

Ranny płk Hara przez rozbite drzwi pyta Mishimę, czego właściwie chce. Pisarz wręcza mu spisane zawczasu żądania. Wszyscy żołnierze garnizonu mają przybyć na plac przed

budynkiem sztabu. Mishima ma wygłosić do nich przemówienie. Nikomu nie wolno mu w tym przeszkadzać.

Po krótkich negocjacjach z Mishimą i konsultacji z kwaterą główną Jietai gen. Yoshimatsu zgadza się. Wzywa jednak policję.

Mishima tymczasem poleca 4 swoim szturmowcom zawiązać na czołach *hachimaki*, opaski, które ongiś zakładali samurajowie sposobiący się do *seppuku*.

Żołnierze, wzywani komendami przez głośniki, gromadzą się na placu. Z wyciem syren zajeżdżają karetki i samochody policji. Policjanci mają broń, ale ograniczają się do zajęcia pozycji na schodach i w korytarzu.

Dochodzi 12.00, gdy na balkon wychodzą 2 szturmowcy Mishimy i wywieszają transparent z żądaniem, by jego przemówienia wysłuchano w ciszy. Potem rozrzucają ulotki. Młodzi, zdezorientowani żołnierze czytają: „Odbudujmy Japonię jako prawdziwe państwo i umrzyjmy [...], Precz z wolnością, precz z demokracją". Patrzą na sanitariuszy wynoszących ich poranionych oficerów i nic z tego nie rozumieją.

Wreszcie Mishima wychodzi na balkon.

– Sądziłem, że Jietai jest ostatnią nadzieją Japonii, ostatnią twierdzą japońskiej dumy, ale zostaliśmy zdradzeni przez Jietai!

Nad balkonem wiszą helikoptery policji i tokijskich gazet. Huk silników zagłusza Mishimę. Ci z żołnierzy, którzy go słyszą, rozumieją, że obraża ich armię. Z tłumu sypią się protesty i przekleństwa.

– Nie zgadzamy się!

– Złaź na dół!

– Pocałuj się w dupę!

Im głośniej Mishima wyklina siły samoobrony i pacyfistyczną konstytucję, tym głośniej wyzywają go stojący najbliżej żołnierze.

Wreszcie pisarz poddaje się. Wznosi okrzyk „*Tenno Heika Banzai!*" na cześć cesarza i wraca do gabinetu gen. Mashity.

Poleca zdjąć generałowi knebel. Potem powoli, starannie zdejmuje mundur. Nagi do pasa, rozpina i opuszcza na kostki spodnie munduru. Dzięki temu po *seppuku* jego nogi nie będą rozrzucone w nieładzie, czego zabraniała etykieta samurajów.

– Stop! To niczemu nie służy! – woła przywiązany do krzesła generał.

– Byłem zobowiązany to zrobić – odpowiada Mishima. Bierze krótki sztylet *yoroidoshi*. Morita ujmuje jego samurajski miecz i wznosi ostrze nad głową swego przyjaciela. Mishima trzykrotnie woła „*Tenno Heika Banzai!*", bierze głęboki oddech i wbija sztylet w brzuch. Targany paroksyzmami straszliwego bólu, rozcina brzuch poziomo, potem pionowo. Krew tryska na śnieżnobiałą przepaskę na biodrach. Mishima pochyla głowę pod cios Mority. Ale studentowi drżą ręce. Potężne uderzenie chybia, ostrze spada na dywan.

– Jeszcze raz! – krzyczą jego koledzy.

Morita tnie powtórnie. Znów chybia. Ostrze rozcina plecy Mishimy. Trzecie uderzenie niemal odcina głowę pisarza. Krew tryska fontanną na dywan.

Furu-Koga odbiera Moricie miecz i odcina głowę Mishimy.

Skrępowany generał krzyczy, by przestali.

Po krótkiej buddyjskiej modlitwie do *seppuku* przystępuje Morita. Nie ma siły, by sztylet wbić głęboko w brzuch. Kaleczy się dość płytko i woła: „Gotowe!". Furu-Koga, były zawodnik kendo, sprawnie odcina mu głowę, która toczy się po dywanie.

Szturmowcy uwalniają Mashitę. Generał rozciera zdrętwiałe dłonie. Nie traci przytomności umysłu.

– Doprowadźcie ciała do przyzwoitości – poleca swym niedawnym strażnikom.

Tak, teraz to najważniejsze. Nieład ciał zniweczyłby moralny i estetyczny wymiar *seppuku*.

Studenci układają ciała na czerwonym dywanie nogami do drzwi. Torsy nakrywają mundurami. Odcięte głowy stawiają szyjami na dywanie, poprawiają na nich *hachimaki*. Modlą się i otwierają drzwi. Oficerowie i policjanci patrzą na to bez ruchu, milczą.

Przemówienie Yukio Mishimy

26 listopada 1796 ▪ sobota

Jak pół-Polak z Polakiem

Z petersburskiego Pałacu Zimowego w otoczeniu eskorty wyjeżdża kawalkada carskich powozów i kieruje się do Pałacu Marmurowego Grzegorza Orłowa. Przed pałacem czeka już służba – przybywa przecież nowy samodzierżca Rosji car Paweł I. Zaledwie przed 10 dniami jego matka caryca Katarzyna II na wieść o zerwaniu małżeństwa jej wnuczki Aleksandry z królem szwedzkim doznała udaru mózgu. Konała przez 36 godzin. Katarzyna II nie cierpiała Pawła – z wzajemnością zresztą. Niedawno spisała dekret odbierający mu prawo dziedziczenia tronu na rzecz jego syna a ulubionego wnuka carycy – Aleksandra. Planowała ogłoszenie dekretu w Nowy Rok, ale wcześniej powaliła ją apopleksja.

Otoczenie Katarzyny II, wiedząc o jej niechęci do syna, długo nie powiadamiało go o fatalnym stanie matki. Paweł zjawił się w ostatniej chwili przed jej śmiercią i 2 godziny po zgonie przyjął wiernopoddańczą przysięgę dworzan w pałacowej cerkwi. W wieku 42 lat został samodzierżcą. I od razu zaczął zmieniać ustalony przez Katarzynę ład w imperium. Jedną z podstawowych zmian, które zaplanował, jest zwrot w stosunku do Polaków.

Paweł I nie ma zamiaru restytuować Polski w przedzaborowych granicach, choćby i pod rosyjską dominacją – oznaczałoby to wojnę z Prusami i Austrią, a wojen chce uniknąć. Za to zamierza całkowicie zmienić stosunek do Polaków żyjących w granicach imperium, do tej pory gnębionych przez Katarzynę II.

Paweł jest polonofilem. Ciągle pamięta, jak wiele życzliwości doświadczył w Rzeczypospolitej, gdy w młodości anonimowo, jako hrabia du Nord, podróżował przez polskie ziemie. Co ważniejsze jednak, car jest przekonany, że w istocie jego ojcem nie był obalony z tronu i uwięziony przez Katarzynę II jej mąż car Piotr III, lecz

jeden z kochanków carycy – polski król Stanisław August. Słusznie czy nie, Paweł I czuje się półkrwi Polakiem.

Od lat otacza się Polakami.

Pierwszą jego decyzją po przejęciu władzy było wezwanie lekarza dr. Rogersona, który opiekuje się więźniem stanu Tadeuszem Kościuszką.

Po klęsce pod Maciejowicami w październiku 1794 roku ciężko ranny Naczelnik został wzięty do niewoli przez żołnierzy gen. Fersena. Osadzony został w Twierdzy Pietropawłowskiej. Ponieważ jego stan zdrowia budził obawy, Katarzyna II zezwoliła mu zamieszkać w dwóch pokojach w mieszkaniu komendanta twierdzy, a do posługi wolno mu było zatrzymać lokaja i kucharza. Opłacić ich musiał już sam.

Zaraz po osadzeniu w twierdzy carski prokurator rozpoczął śledztwo w sprawie polskiej insurekcji. Schorowany Kościuszko z najwyższym napięciem intelektu i woli unikał pułapek zastawianych przez przesłuchującego, który chciał uzyskać od więźnia zeznania obciążające uczestników insurekcji. Po zakończeniu śledztwa Kościuszko wpadł w głęboką depresję. Od początku uwięzienia dręczyły go silne bóle głowy. Symulując przez dłuższy czas bezwład zranionej nogi, rzeczywiście nabawił się poważnych trudności z chodzeniem. Podjął nawet próbę samobójstwa – usiłował stopniowo zagłodzić się na śmierć.

Przeżył, gdyż był potrzebny Katarzynie II. Caryca wysłała do Kościuszki, pochodzącego z Anglii, lejbmedyka dworu Iwana Samojłowicza Rogersona. Dr Rogerson zdiagnozował u chorego skręcenie się z głodu lub skurczenie się jelit i zaaplikował skuteczną kurację. Kościuszko od razu polubił lejbmedyka i szybko się z nim zaprzyjaźnił. Pod wpływem alarmujących raportów dr. Rogersona caryca przeniosła Kościuszkę z twierdzy do wygodniejszego domu

Sztegelmana, a potem do pomieszczeń w Pałacu Marmurowym. Więzień zatrzymał swą służbę – czarnoskórego kamerdynera Jeana Lapierre'a i francuskiego kucharza. Kościuszko nie wie tylko, że obaj donoszą o każdym jego kroku carskim urzędnikom.

Dr Rogerson, wezwany przez Pawła I, złożył carowi sprawozdanie o stanie zdrowia Kościuszki. Car napomknął, że rychło zamierza odwiedzić polskiego więźnia. Lekarz uprzedził Kościuszkę.

Jakoż i car wkracza na czele świty do Pałacu Marmurowego. Jest niewysoki, dość krępy. Niesamowite wrażenie czyni jego nieproporcjonalnie wielka, okolona blond lokami głowa. Szeroko rozstawione oczy i mały zadarty nos sprawiają, że głowa cara wydaje się nawet większa, niż jest w rzeczywistości. Gdy wchodzi do komnaty zajmowanej przez Kościuszkę, uśmiecha się szeroko. Za monarchą do pokoju wkracza tłum dworzan. Wśród nich jest syn Pawła I carewicz Aleksander. Mimo że uprzedzony, na widok cara Kościuszko doznaje tak silnego wzruszenia, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. Milcząc siedzi przy stole.

– Przyszedłem, mój generale, przywrócić ci wolność! – mówi po francusku Paweł I. Widząc, że więzień siedzi jak sparaliżowany, car bierze krzesło i siada u boku Kościuszki.

– Czyli nie poznajesz, kim jestem? – pyta car.

– Uznaję w tobie Pawła imperatora, a w darze przywróconej mi wolności, wyższego nad zaszczyt tronu, który posiadasz – Kościuszko jest wyraźnie wzruszony, ale odpowiada po francusku, nader dyplomatycznie, zręcznie odwołując się do szlachetnych przymiotów władcy.

– Ubolewałem zawsze nad losem wielmożnego pana, ale za rządów mojej matki nic mu pomóc nie mogłem. Teraz zaś wziąłem za najpierwszy mej władzy obowiązek udarować wielmożnego pana wolnością. Wolny już pan jesteś! – ogłasza z emfazą car.

Kościuszko, siedząc, kłania się.

– Najjaśniejszy panie, nigdy bym nie ubolewał nad losem własnym, ale nigdy ubolewać nie przestanę nad losem ojczyzny mojej – odpowiada powściągliwie.

– Zapomnij pan o ojczyźnie, przyszła na nią kolej, jaka spotkała tyle innych państw, których pamięć tylko w dziejach została, a w tych wielmożny pan zawsze piękne wspomnienie mieć będziesz.

– Obym był raczej zapomniany, a ojczyzna moja wolna została. Upadło zapewne państw wiele, ale upadek Polski nie ma podobnego przykładu – replikuje gwałtownie Kościuszko.

– Dlaczego, mój generale? Wszakże greckie i rzymskie państwa podzielone zostały – zauważa ze zdziwieniem Paweł I.

Kościuszko odpowiada, że antyczne państwa padły ofiarą swej imperialnej polityki, a Polska od dawna prowadziła politykę pokojową.

– Ale przyznasz waćpan, że to wasza polska wolność nie zgadzała się z interesem państw sąsiedzkich i że wasi rodacy sami służyli za narzędzie do zguby swej ojczyzny – przypomina trzeźwo car.

Na wspomnienie targowiczan Kościuszkę ogarnia silne wzburzenie. Prosi cara, by nie rozmawiać dalej o upadku Polski, i wygłasza płomienną pochwałę ojczyzny i insurekcji. Paweł I obraca się do stojących wokół dworzan i generałów.

– Patrzcie, co za żywość!

Kościuszko miarkuje się, przeprasza swego dobrodzieja. Paweł I dwornie zauważa, że Kościuszko mówił wszak z porywu serca. Prosi byłego więźnia, by dbał o zdrowie.

– Szacunek najwyższy i najczulsza wdzięczność będą zawsze moim obowiązkiem – mówi Kościuszko.

– Dodaj i przyjaźń, *adieu*, do widzenia – kończy car.

Wielki książę Aleksander na pożegnanie ciepło obejmuje Kościuszkę.

Po wyjściu cara i jego orszaku Kościuszko siedzi wyczerpany, bez słowa. Jego czarnoskóry kamerdyner, francuski kucharz i inni służący z Pałacu Marmurowego w kącie komnaty żywo piją za zdrowie uwolnionego.

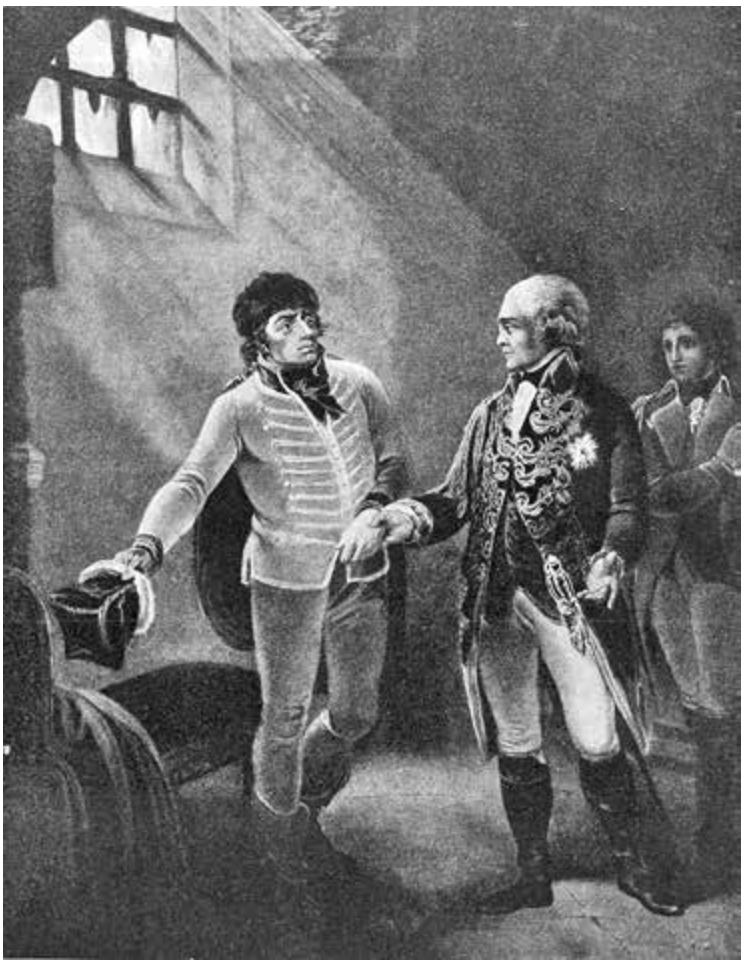

Cesarz Paweł I uwalnia Tadeusza Kościuszkę

27 listopada 1942 ▪ piątek

Z resztką honoru na dnie lec

Żandarm pełniący nocną wartę przed koszarami policji nieopodal skrzyżowania szos Marsylia–Tulon i Meounes–La Ciotat słyszy wyraźnie zbliżające się, potężne dudnienie silników. Jest 1.45. Ki diabeł? W ciemnościach nie jest w stanie niczego dostrzec, ale po chwili obok ryku silników wyraźnie rozpoznaje chrzęst gąsienic. To czołgi. Ale kadłubowe państwo Vichy, powstałe po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 roku, którego żandarm jest funkcjonariuszem, nie dysponuje oddziałami pancernymi. To mogą być tylko Niemcy! Po chwili samotny wartownik nie ma wątpliwości – kolumna czołgów zmierza do miejscowości Le Beausset. A niecałą godzinę drogi dalej leży Tulon, główna baza francuskiej marynarki wojennej. Żandarm telefonuje do dyżurnego w koszarach i zawiadamia go, że szosą na Tulon jadą niemieckie czołgi. Dyżurny usiłuje zaalarmować prefekturę w Tulonie, ale centrala telefoniczna odpowiada, że ktoś przerwał linie telefoniczne. Przed koszarami zatrzymują się motocykle bez świateł, wyskakują z nich niemieccy żołnierze. Aresztują vichystowskich żandarmów.

Teraz niemieccy motocykliści pędzą do miasteczka Le Beausset. Zanim francuscy policjanci orientują się, co się dzieje, Niemcy przecinają kable telefoniczne na ścianie posterunku policji. Gdy czołgi przejeżdżają przez Le Beausset, w Tulonie nikt nie ma pojęcia o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

O 3.30 w nocy pancerna kolumna dociera w pobliże miejscowości Ollioules. Stąd do tulońskiego portu jest już tylko 5 km. Tu czołgi rozdzielają się na 3 grupy, które mają jednocześnie zająć wybrzeże portu wojennego i baterię ciężkich dział w miejscowości St. Mandrier, panującą nad wyjściem z tulońskiego portu.

Od wschodu tymczasem pędzi w stronę Tulonu inna grupa niemieckich czołgów. Ich zadaniem jest opanowanie fortu Lamalque, którego działa także kontrolują wejście do portu. O 4.45

niemieccy grenadierzy pancerni zeskakują z czołgów pod bramą fortu. Zaskoczona, sterroryzowana warta otwiera bramę. Niemcy zajmują umocnienia, aresztują żołnierzy i oficerów. Korzystając z chwili nieuwagi napastników, którzy wychodzą do sąsiedniego pomieszczenia, zerwany z łóżka w bieliźnie kontradm. Robin podnosi słuchawkę telefonu. Z ulgą stwierdza, że łączność z portem nie jest przerwana. Żąda połączenia z szefem sztabu kontradm. Dornonem.

–Tu Robin. Niemcy zajęli fort. Zaalarmuj jednostki floty – mówi szybko.

Chwilę później, gdy pospiesznie wkłada mundur, terkoce jego telefon. To adm. de Laborde, dowódca francuskiej floty, znajdujący się na pokładzie okrętu liniowego „Strasbourg". Kontradm. Robin melduje, że Niemcy jego zdaniem chcą przechwycić okręty w porcie. W połowie zdania w słuchawce rozlega się trzask i zapada cisza. Niemieccy saperzy przecinają kable łączące fort z miastem.

Ale adm. de Laborde już wie, co się święci. O 5.20 od strony basenów, w których zacumowane są okręty podwodne, dobiega kanonada broni maszynowej. Admirał poleca nadać rozkaz: „Natychmiast zatapiać okręty!". Pancernik „Strasbourg" rozbłyskuje migocącymi reflektorami sygnałowymi jak choinka. Od burty odbijają motorówki z łącznikami wiozącymi rozkazy.

Po klęsce Francji i powołaniu kadłubowego, zależnego od III Rzeszy państwa francuskiego kierowanego przez marsz. Philippe'a Pétaina ze stolicą w uzdrowisku Vichy potężna francuska flota wojenna, czwarta flota świata, opuściła Francję. Część okrętów trafiła do Wielkiej Brytanii, większość – do portów francuskiej Afryki Północnej. Ta potężna siła, podporządkowana Vichy i formalnie neutralna, nęciła Hitlera i Churchilla. W brytyjskim premierze dodatkowo budziła obsesyjny lęk – gdyby francuska flota

wpadła w ręce Niemców, Wielka Brytania byłaby zagrożona. Przed rokiem Anglicy z zaskoczenia zajęli francuskie okręty stacjonujące w ich portach, zaś brytyjska flota znienacka ostrzelała okręty niedawnych sojuszników w afrykańskich portach. Po tej masakrze sprawne okręty francuskie przepłynęły do Tulonu.

Przed z tygodniami Anglicy i Amerykanie wysadzili desanty we francuskiej Afryce Północnej, wiernej Vichy. Hitler odpowiedział 10 dni temu zerwaniem rozejmu zawartego z Pétainem – Wehrmacht wkroczył do francuskiej Tunezji i zajął nieokupowaną dotychczas Prowansję. Ale w obawie, by nie wypłoszyć francuskiej floty z tulońskiej bazy, niemieckie czołgi zatrzymały się kilkadziesiąt kilometrów przed Tulonem. Hitler obłudnie zapewnił kolaboracyjny rząd w Vichy, że w żadnym wypadku Niemcy nie wkroczą do portu, Wehrmachtowi zaś wydał rozkaz do operacji zajęcia Tulonu. Dowódca francuskiej floty adm. de Laborde, zamiast wyjść w morze, obietnice Hitlera wziął za dobrą monetę, pozostał w porcie, kazał wygasić kotły i nawet nie zarządził wzmożonych środków bezpieczeństwa.

Strzelanina w rejonie bramy do portu alarmuje załogi okrętów podwodnych. Przed kilkoma dniami dowódca dywizjonu podwodników zawarł tajne porozumienie z dowódcami poszczególnych jednostek: jeśli Niemcy zaatakują, wszyscy odmówią wykonania rozkazu adm. de Laborde o samozatopieniu i spróbują wyrwać się z portu na pełne morze. Żaden z wyższych oficerów francuskiej marynarki o tym sekretnym pakcie nie ma pojęcia. Młodzi oficerowie uważają, że ich miejsce jest raczej u boku znienawidzonych przez dowództwo marynarki Vichy Anglików. Na każdym z sześciu okrętów podwodnych marynarze rzucają się do cum. Jako pierwszy odbija „Venus" dowodzony przez kpt. Crescenta. Powoli nabiera prędkości. Wyjście z basenu zagrodzone jest jednak

siecią z solidnych stalowych lin. „Venus" taranuje sieć. Bezskutecznie. Lina okręca śrubę. Okręt cofa się i szczęśliwie wyplątuje się z pułapki. Teraz w sieć uderza idąca jako druga, dwukrotnie większa od „Venus" „Casabianka". Przeraźliwy trzask lin trących o kadłub i sieć pęka z hukiem. W wyrwaną dziurę wpływa teraz „Venus", za nią kolejne 2 okręty podwodne. Ostatni wychodzi „Glorieux". Z kłopotami. Z brzegiem łączą go przewody sprężonego powietrza i kable elektryczne do doładowywania akumulatorów. Dowódca kmdr Meynier każe odpływać i zerwać przewody. Gdy okręt powoli wykonuje przy nabrzeżu zwrot, na keję wpadają niemieccy grenadierzy. Widząc, że zdobycz wymyka się im z rąk, z odległości kilkunastu metrów otwierają ogień do krzątających się po pokładzie marynarzy. Kmdr Meynier reaguje jak szeryf z westernu: wyrywa pistolet z kabury i strzela z wolnej ręki do napastników. „Glorieux" wpływa w wyrwę w sieci i dogania resztę okrętów. Ale to nie koniec kłopotów. Nad portem pojawiają się niemieckie samoloty i zrzucają flary. Robi się jasno jak w dzień. Okręty zwalniają przed ostatnią przegrodą oddzielającą je od pełnego morza – kolejną stalową siecią. Ta jest tak potężna, że okręty podwodne nie mają cienia szansy na rozerwanie jej taranem. Dowódca „Casabianki" woła do szypra holownika, który zwija i rozwija sieć, by otworzył drogę. Szyper nie zgadza się – nie ma rozkazu z dowództwa portu. Nie przekonują go argumenty, że dowództwo jest już aresztowane przez Niemców. Dopiero gdy nad okręty nadlatuje bombowiec nurkujący Ju 87 Stuka i zrzuca bombę, która wybucha tuż za rufą „Casabianki", holownik rusza. Okręty podwodne już są na wielkiej redzie, tu jest już na tyle głęboko, że będą mogły się zanurzyć. I wtedy nadlatuje druga fala stukasów. Jedna z bomb uderza w „Venus". Na szczęście nie wybucha, ale i tak przedziurawiony okręt szybko nabiera wody. Załoga opuszcza

pokład. Pozostałe 4 okręty podwodne wreszcie zanurzają się w bezpieczną toń zatoki.

Nad wyjście z portu nadlatuje kolejna fala niemieckich bombowców. Spod ich kadłubów odrywają się białe spadochrony. To miny magnetyczne. Port jest zablokowany, nie ucieknie już zeń żadna jednostka.

Czołgi rozjeżdżają się po wybrzeżach skomplikowanej sieci basenów portowych. Niemieccy oficerowie usiłują czym prędzej dostać się na pokłady okrętów i zapobiec ich zniszczeniu. Ale Francuzi, którzy nie mają dość ducha, by walczyć z Niemcami, nie mają też zamiaru oddawać im swej oceanicznej floty. Marynarze zatrzaskują włazy, by napastnicy nie mogli im przeszkodzić w dziele zniszczenia. Rozpalają kotły – zalane wodą, ulegną rozerwaniu. Rozlewają w pomieszczeniach ropę i podpalają ją, zakładają ładunki wybuchowe w lufach dział i magazynach amunicji. Zewsząd rozlegają się potężne eksplozje, słupy ognia i dymu biją w niebo. Potężny, nowoczesny pancernik „Strasbourg", 3 ciężkie krążowniki, 2 lekkie, 10 potężnie uzbrojonych, najszybszych na świecie wielkich niszczycieli, okręty podwodne, mniejsze niszczyciele idą na dno. W porcie jest płytko, woda nawet nie zalewa pokładów większych jednostek, ale to już tylko wraki. Podobnie jak płonący w suchym doku pancernik „Dunquerque". W ciągu godziny Francja przestaje być mocarstwem morskim.

28 listopada 1626 ▪ sobota

Na jednym pokładzie

O 6.00 znad Zatoki Gdańskiej uniosły się mgły i marynarze polskiej floty ujrzeli eskadrę wroga pod pełnymi żaglami. Spod Helu zmierzały w stronę ujścia Wisły okręty szwedzkie, od wielu tygodni blokujące port w Gdańsku. Potężny flagowy „Tigern", a za nim kolejne 4 galeony ciężko halsowały pod wiatr. Polska flota, pierwsza w dziejach królestwa flota wojenna, od wielu dni kotwiczyła tuż pod murami twierdzy Wisłoujście. Zbudowano ją i wyszkolono załogi niemałym wysiłkiem na polecenie króla Zygmunta III Wazy. Najsilniejsze galeony: „Rycerz Święty Jerzy" i „Król Dawid", uzbrojone są w 31 dział. Polska flota dysponowała co najmniej 170 sprawnymi armatami na 10 jednostkach. 5 lat wcześniej, podczas słynnej obrony Chocimia, oblegający sułtan turecki dysponował 61 działami, zaś hetman Chodkiewicz – tylko 28.

Słońce jest coraz wyżej i dowódca polskiej floty adm. Arndt Dickmann spostrzega, że okręty szwedzkie łamią szyk i płyną w nieładzie. Admirał postanawia zaatakować Szwedów. Ale przecież nie może być mowy o bitwie bez mszy. Nabożeństwa na pokładach trwają bite 2 godziny. Wreszcie na wody zatoki wypływają „Król Dawid", za nim admiralski „Rycerz Święty Jerzy" i pozostałych 8 mniejszych. Na rufowe flagsztoki marynarze pospiesznie wciągają karmazynowe bandery wojenne, na których z niebieskiego obłoku wysuwa się różowa ręka dzierżąca srebrny miecz.

Obie floty zbliżają się szybko. Adm. Dickmann widzi kiepsko, prosi więc swych ludzi, by wskazali mu nieprzyjacielski okręt flagowy. Rozkazuje płynąć w jego kierunku. Jeszcze chwila i na pokładzie „Tigerna" dostrzega szwedzkiego admirała Nielsa Goeranssona Stiernskoelda strofującego marynarzy. Dickmann rozkazuje dać ognia z 4 dział dziobowych. 2 szwedzcy marynarze padają zabici. Adm. Dickmann nie bawi się w pojedynki artyleryjskie na dystans. „Rycerz Święty Jerzy" ustawia się burtą

przy burcie „Tigerna". Huczą wystrzały dział i muszkietów. Oba okręty okrywa chmura dymu, spoza której niewiele widać. Kula muszkietowa trafia szwedzkiego admirała w szyję, za chwilę następna przebija mu plecy, a pocisk armatni odrywa lewe ramię. Ordynans chce je podnieść i w tej chwili kule urywają mu obie ręce. Ciągle przytomny adm. Stiernskoeld każe trąbić hasło poddania się. Trębacz podnosi trąbkę do ust, ale polska kula urywa mu nogę i masakra trwa dalej. Kapitan „Tigerna" Simon Steward, ciężko postrzelony w szyję, z krzesiwem i hubką czołga się do prochowni. Chce wypełnić przysięgę złożoną admirałowi przed bitwą i w chwili klęski wysadzić okręt. W ostatniej chwili obezwładnia go nawigator.

Na pokład „Tigerna" skacze polski kwatermistrz Frans Wessel, za nim por. Heinrich Oloffson. Wessel chybia, wpada do morza, ale łapie liny i wdrapuje się na okręt wroga. Bystry kwatermistrz zbiera walające się pod pokładem pojemniki z lontami i wyrzuca je do morza, po czym bierze do niewoli szwedzkiego konstabla, odbiera odeń klucz do prochowni i tam się barykaduje. „Tigerna" już nikt nie wysadzi w powietrze. Tymczasem por. Oloffson wbiega do kajuty, w której kona Stiernskoeld. Dzielny szwedzki admirał przed śmiercią unosi jeszcze ocalałą rękę na znak, że się poddaje.

Załoga „Rycerza", z adm. Dickmannem na czele, walczy wręcz na pokładzie sczepionego z polskim okrętem „Tigerna". Wreszcie Szwedzi się poddają. Adm. Dickmann przysiada na rufie zdobytego szwedzkiego okrętu admiralskiego. Wtem zabłąkana kula armatnia urywa mu obie nogi. Dickmann umiera po kwadransie.

Nieco dalej ze szwedzkim „Solenem" zmaga się „Wodnik" kpt. Hermana Wittego. Walka przebiega podobnie jak na „Tigernie": najpierw masakrują się ogniem z najbliższej odległości, potem do abordażu przystępuje załoga polskiego okrętu. Na „Solenie" toczy

się zaciekła walka wręcz, obie strony obrzucają drewniane pokłady przeciwnika nasmołowanymi, płonącymi wieńcami. Nagle kpt. Witte dostrzega szwedzkiego szypra zbiegającego do komory prochowej z zapaloną pochodnią. Krzyczy do swoich i natychmiast odbija od burty wroga. W ostatniej chwili na pokład „Wodnika" przeskakują polscy marynarze walczący na „Solenie" i ponad 30 widzących, co się święci, Szwedów. Jeszcze chwila i potężna eksplozja rozrywa okręt. Ocalałe statki szwedzkie uciekają na pełne morze. Po raz pierwszy w dziejach Polska zwycięża na morzu.

29 listopada 1830 ▪ poniedziałek

Już krótki nos nie żyje!

Przywódcy sprzysiężenia, porucznicy Piotr Wysocki, Zaliwski, Urbański i Szlegel, schodzą się ok. godz. 14.00 w Koszarach Aleksandryjskich. Decydują się rozpocząć powstanie dziś o 17.00. Po podpaleniu browaru na Solcu przez pchor. Wiktora Tylskiego oddziały wojskowe pod wodzą oficerów z konspiracji Wysockiego mają otoczyć i zmusić do złożenia broni oddziały rosyjskie, zdobyć Arsenał, zająć mosty i w końcu opanować miasto. A co z rezydującym w Belwederze wielkim księciem Konstantym? Por. Wysocki wcześniej, po długich wahaniach co do wojskowego honoru i przysięgi, dał milczącą zgodę na zamach – tyle tylko że nie wojskowi mieli go dokonać, lecz wciągnięci do spisku studenci. Dziś Wysocki zdania swego nie zmienia.

Zamachowcy, którzy mają atakować Belweder, sami cywile, ok. 17.00 pod wodzą poety Ludwika Nabielaka zbierają się w lasku

w Łazienkach. Jest ich 30, miało być niemal 2 razy tyle. Czekają na Wysockiego. Ale Wysocki nie nadchodzi.

Część spiskowców jest zniechęcona. 10 z nich skrycie wymyka się z Łazienek. O 18.30 zdesperowany Nabielak pojmuje, że jeśli natychmiast nie zacznie działać, rozejdą się wszyscy. Idzie do Szkoły Podchorążych Piechoty i wypytuje o przywódcę spisku. Nikt go nie widział. Wraca do spowitego mgłą lasku łazienkowskiego, zdaje sprawę spiskowcom i zaraz znów rusza do szkoły. Wysockiego nadal nie ma. Ale wracając do Łazienek, nieoczekiwanie spotyka Wysockiego pospiesznie idącego od strony miasta z grupką wojskowych konspiratorów. Nabielak pędzi do Łazienek po swoich cywilów. Dołączają do Wysockiego i jego oficerów.

Przed budynkiem szkoły podchorążych porucznicy Dobrowolski i Szlegel rozbrajają 2 zaskoczonych wartowników. Wysocki wchodzi do sali wykładowej na piętrze. Zajęcia z podchorążymi prowadzi nienależący do spisku pchor. Józef Kowacz.

– Skończyłeś już? – pyta go Wysocki.

– Nie.

– Zostaw resztę na potem.

Wygłasza do słuchaczy krótkie przemówienie:

– Wybiła godzina zemsty! Czas zemścić się na wrogach naszych! Niech piersi wasze będą Termopilami dla nich! Idźcie na dół rozbierać broń. Ładunki znajdziecie w sali jadalnej.

Podchorążowie z okrzykami radości biegną na parter. Wysocki wchodzi do sąsiedniej sali. Wykładowca pchor. Apolinary Nyko na jego widok starannie składa notatki i woła:

– Do broni, koledzy!

Na parterze podchorążowie wydają każdemu ze studentów Nabielaka karabin ćwiczebny i 20 naboi. Część karabinów jest niesprawna. Podchorążowie pośpiesznie uczą studentów podstaw

posługiwania się bronią. Grupka kilkunastu cywilów nieporadnie wymachujących karabinami wygląda tak żałośnie, że prócz doradców, podchorążych Konstantego Trzaskowskiego i Karola Kobylańskiego do zamachowców dołączają jako wzmocnienie podchorążowie Wiktor Tylski, Stanisław Poniński i Karol Paszkiewicz oraz cywil Rottermund.

Jest 19.00, gdy Nabielak wyrusza ze swą grupą w stronę Belwederu. Dowodzenie przejmuje w marszu pchor. Trzaskowski. Idą drogą pod górę, między ogrodem botanicznym a parkiem belwederskim. Pchor. Trzaskowski woła do towarzyszy:

– Czy prawda, że nas za mało, abyśmy brali kogo bądź do niewoli?

– Prawda! – odkrzykują zgodnie.

– To... – Trzaskowski robi ręką wymowny gest koło szyi.

Poleca 6 zamachowcom pod wodzą Kobylańskiego uderzyć na pałac od ogrodu. Reszta okrąża ogrodzenie i nieśpiesznie nadchodzi przed główne wejście.

O 19.15 Kobylański strzela z karabinu do wartownika, inwalidy wojennego pilnującego Belwederu od ogrodu. Ranny wartownik pada w trawę. Spiskowcy biegną w stronę pałacu, ale czeka ich niemiła niespodzianka. Studenci, którzy mieli tę akcję przygotować, nie uznali za potrzebne dokonać wcześniej rozpoznania terenu. I teraz szóstka Kobylańskiego bezradnie zatrzymuje się przed niedostępnym ceglanym murem oporowym pałacowego tarasu, o wysokości którego zamachowcy nie mieli pojęcia.

Do ataku rusza zatem jedynie 18 konspiratorów grupy dowodzonej przez Trzaskowskiego. Wbiegają na dziedziniec, obezwładniają stojących na warcie 2 uzbrojonych jedynie w szable inwalidów. Służba w pałacu rzuca się do barykadowania drzwi

wejściowych, ale jest na to za późno. Trzaskowski odpycha służących, wbiega z 9 studentami do holu.

– Śmierć tyranowi! – krzyczą napastnicy.

Któryś z zamachowców strzela do jednego ze służących. 2 studenci z karabinami w ręku ruszają do bocznych salonów, ale pchor. Trzaskowski wie, że prywatne apartamenty księcia są na piętrze, zaś o tej porze Konstanty zwykł ucinać sobie poobiednią drzemkę w gabinecie.

– Panowie, na górę! – woła podchorąży i pierwszy wbiega na schody. Za nim ruszają studenci.

W poczekalni, oddzielonej od gabinetu księcia garderobą, siedzą gen. Aleksiej Gendre i wiceprezydent tajnej policji Mateusz Lubowidzki. Są tam też kamerdynerzy księcia, majordomus Kochanowski i kamerlokaj Bartłomiejew. W garderobie siedzi służący Friese. Wszyscy czekają na przebudzenie księcia. Gendre i Lubowidzki przyszli z najświeższymi informacjami o spisku i kolejnymi nazwiskami konspiratorów ustalonymi przez tajną policję. Słysząc strzał, Lubowidzki podbiega do oszklonych drzwi na klatkę schodową. Po schodach pędzą Trzaskowski i studenci z karabinami w rękach. Lubowidzki wbiega przez garderobę do gabinetu z okrzykiem:

– Źle, mości książę! Ratuj się! – po czym zawraca na pięcie do poczekalni i chowa się za skrzydłem drzwi wejściowych.

Gen. Gendre i kamerdynerzy zmykają do tzw. kawiarni, salonu, w którym pija się kawę, a stamtąd na strych. Friese nie traci głowy. Wyciąga z gabinetu obudzonego już strzałem księcia i wbiega z nim do malutkiej, wewnętrznej klatki schodowej, prowadzącej na strych, do niedużego pokoiku dla służby. Chwilę później napastnicy wpadają do poczekalni, zauważają schowanego za drzwiami Lubowidzkiego. Rozpoznaje go Nikodem Rupniewski i uderza

bagnetem w plecy. Inni studenci także dźgają znienawidzonego szefa policji. Lubowidzki traci przytomność, ale żyje. Studenci wdzierają się do gabinetu, kłują bagnetami pościel, zasłony. Nie zwracając uwagi na niepozorne drzwi do wewnętrznej klatki, przeszukują kolejne pokoje na piętrze. Tymczasem Konstanty z Friesem bezpiecznie przycupnęli w pokoiku na strychu.

Gen. Gendre przedostaje się na ganek od apartamentów żony Konstantego księżnej łowickiej. Nie zważając na ostrzeżenia kamerdynera Kochanowskiego, zeskakuje z ganku na dziedziniec. Biegnie do stajni, by wezwać stajennych na pomoc. Dostrzega go Seweryn Goszczyński. Poeta dogania generała, wbija mu w plecy bagnet. Potem kilkoma pchnięciami dobija leżącego. Studenci, sądząc, iż zabitym był Konstanty, wołają triumfalnie:

– Już krótki nos nie żyje!

„Krótki nos" to popularne przezwisko niezbyt urodziwego wielkiego księcia.

Słyszą to zamachowcy przeszukujący pokoje na piętrze pałacu. Pewni, że księcia zabili spiskowcy przy bramie, zbiegają na dół. Ale na dziedzińcu czeka ich niemiła niespodzianka. Kilkunastu belwederskich służących uzbrojonych w łopaty, widły, grabie rzuca się na studentów. Ci bronią się bagnetami. Jeden służący ginie, dwóch odnosi rany.

Trzaskowski ogląda zwłoki w generalskim mundurze i orientuje się, że to nie Konstanty. Ale na powrót do pałacu nie ma już czasu. W oddali słychać strzały walczących w mieście podchorążych. Lada chwila do Belwederu dotrze rosyjska odsiecz. Zamachowcy uciekają Bagatelą do pl. Unii Lubelskiej.

W pałacu tymczasem książę Konstanty i Friese schodzą ze strychu do gabinetu. Friese ubiera Konstantego.

Pod murem tarasu od strony ogrodu ciągle stoi 6 spiskowców Kobylańskiego. Bezradni, nasłuchują tylko odgłosów akcji, krzyków i strzałów. Teraz, widząc w oknach pałacu cienie Friesego i Konstantego, strzelają. Friese gasi światło i kończy odziewać księcia po omacku.

Nagle słychać stukot podków. Parkową aleją pędzi do Belwederu odsiecz – szwadron kirasjerów podolskich. 6 spiskowców ucieka w gęstwinę krzaków, w mgłę.

30 listopada 1938 ▪ środa

W pętli

Ok. 21.00 przed bramą więzienia w Ramnicu Sarat, niewielkim miasteczku na wschodnich stokach Karpat Mołdawskich w Rumunii, zatrzymuje się ciężarówka z paką pokrytą brezentową plandeką. Za kierownicą siedzi oficer policji mjr Dinulescu. Szef policji Królestwa Rumunii gen. lejtn. Ioan Bengliu uprzedził naczelnika więzienia o jego przyjeździe i strażnicy bez formalności otwierają bramę. Mjr Dinulescu idzie prosto do gabinetu naczelnika. Przedstawia mu listę więźniów przeznaczonych do przewiezienia do więzienia w Jilavie, tuż na południe od Bukaresztu. Strażnicy po kolei wyprowadzają aresztantów z cel, skuwają im ręce kajdankami i prowadzą na dziedziniec, do ciężarówki.

Nicolae Constantinescu, Ion Caranica i Doru Belimace odbywają bezterminową karę więzienia za udział w zabójstwie premiera Rumunii Iona Gheorge Ducy.

Ion Caratanase, Iosif Bozanatan, Stefan Curca, Ion Pele, Ion State, Ion Atanasiu, Gavrila Bogdan i Radu Vlad także zostali skazani na

bezterminowe więzienie, ale za udział w spektakularnym zabójstwie byłego działacza rumuńskiej faszyzującej Żelaznej Gwardii Mihaila Stelescu. Stefan Georgescu i Ion Trandafir za udział w tej samej zbrodni zostali skazani na 10 lat twierdzy.

Wszyscy są młodzi, to 20- i ledwo 30-latkowie. Wszyscy są członkami Żelaznej Gwardii.

Ostatnim z 14 wywożonych więźniów jest Corneliu Zelea Codreanu, charyzmatyczny przywódca Żelaznej Gwardii.

Codreanu, fanatyczny nacjonalista rumuński, urodził się w 1899 roku jako najstarszy syn w rodzinie polsko-niemieckiej. Jego dziadek po mieczu nazywał się Mikołaj Zieliński, nazwiska Zieliński używał też, do czasu ślubu z pochodzącą z Bawarii panną Braun, ojciec wywożonego właśnie z więzienia Corneliu; człon Zelea w jego nazwisku to pozostałość po polskim Zielińskim.

Nastoletni licealista Corneliu czuł się Rumunem z krwi i kości; pod koniec I wojny światowej ogarnęła go, jak wielu jego rówieśników, patriotyczna gorączka. W wieku 17 lat ukończył kurs podoficerski i wkrótce potem założył swą pierwszą patriotyczną konspirację. Wespół z innymi uczniami zbierał na pobojowiskach wojny światowej broń, uczył swych nastoletnich podwładnych strzelania i czekał na następną wojnę – z sowiecką Rosją o Bukowinę, zdobytą w listopadzie 1918 roku przez rumuńską armię na Rosjanach. Sowieci jednak nie uderzyli i Codreanu musiał znaleźć innego wroga prawdziwych Rumunów. Znalazł go w komunistach i w Żydach.

Na początku lat 20. w szeregach prawicowych bojówek zwalczał organizowane przez komunistów strajki (wsławił się porwaniem z kompanami lokomotywy na stacji w Nikolinie i staranowaniem nią bramy fabryki okupowanej przez strajkujących). Jako student prawa wraz z jednym towarzyszy zablokował drzwi do

uniwersytetu w Jassach w proteście przeciw wycofaniu uroczystości religijnych z uczelni. Ciężko pobity przez liberalnych studentów, doprowadził jednak do przywrócenia mszy na otwarciu roku akademickiego.

Podczas podróży do Niemiec na początku lat 30. młody prawicowy radykał Codreanu poznał rzemieślnika szyjącego dla ruchu niejakiego Adolfa Hitlera opaski ze swastykami. Zapamiętał ten symbol i potem wprowadził go także na swoje sztandary.

Po powrocie do Rumunii Codreanu wspomagał prawicowego ideologa prof. Cuzę w zakładaniu Ligi Narodowo-Chrześcijańskiej, w której szybko stał się czołowym działaczem (jej członkiem był też ojciec Corneliu). Antysemickie awantury i zajścia z policją Codreanu zakończył z wielkim hukiem: broniąc w sądzie w Jassach prawicowego studenta, wyciągnął z kieszeni rewolwer i zastrzelił znienawidzonego przez siebie prefekta policji Manciu, ciężko zranił 2 kolejnych policjantów, komisarza oraz inspektora, i z rewolwerem przyłożonym do skroni zakładnika uciekł i ukrył się w domu swych sympatyków.

Aresztowany, postawiony wraz z kilkoma kompanami z Ligi przed sądem, został... uniewinniony. Za Codreanu wstawili się rektorzy rumuńskich uczelni, którzy w liście otwartym oskarżyli zastrzelonego prefekta o łamanie prawa.

W roku 1927 Corneliu założył Legion Archanioła Michała, organizację, która miała wychować nowego, prawdziwego Rumuna, odrodzić duchowo naród rumuński. Wrogami niezmiennie pozostawali Żydzi i demokracja. Codreanu roił sobie, że buduje system polityczny całkiem odmienny od dyktatury faszystowskiej we Włoszech i od narodowego socjalizmu Hitlera – on nie będzie narzucającym swą wolę dyktatorem, gdyż posiada intuicję zdolną odczytywać prawdziwą wolę narodu. Legioniści Archanioła Michała

odziewali się w ludowe długie białe koszule, białe portki i haftowane serdaki, manifestowali, organizowali marsze, ale nie mieli żadnego znaczenia na politycznej mapie kraju. W 1930 roku Codreanu założył Garda de Fier, Żelazną Gwardię, paramilitarne ramię Legionu Archanioła Michała. Uniformem Gwardii stała się zielona koszula, pas z koalicyjką, buty oficerki, symbolem zaś – podpatrzona w Berlinie swastyka, później zastąpiona potrójnym krzyżem na zielonym tle.

W latach 30. liczący kilka tysięcy zwolenników ruch Codreanu ciągle jeszcze był tylko częścią politycznego folkloru. Zdesperowany lider z mizernym powodzeniem próbował sił w wyborach parlamentarnych – wpadł na pomysł, że najlepszym motorem kampanii będzie jego nazwisko, i zarejestrował partię Ugrupowanie Corneliu Z. Codreanu, ale nie weszła ona do parlamentu. Kolejne rządy rumuńskie, niezależnie od politycznej orientacji, brutalnie trzymały w narożniku ruch Codreanu, już to delegalizując Gwardię i Legion, już to nękając ich aktywistów aresztowaniami i procesami.

Odpowiedzią był terror. W 1934 roku 3 członków Żelaznej Gwardii zastrzeliło premiera Iona Ducę przygotowującego ostateczną rozprawę z ruchem Codreanu (a teraz 3 zamachowców żandarmi prowadzą na więzienny dziedziniec).

Gdy Mihail Stelescu, prawa ręka Codreanu w rumuńskim parlamencie, oskarżył założyciela Legionu i Gwardii o pyszałkowatość, sprzeniewierzanie funduszy i wydanie rozkazu zamordowania premiera Ducy, gwardziści wykonali na nim iście mafijną egzekucję. 8 morderców, których teraz żandarmi sprowadzają skutych po schodach więzienia w Ramnicu Sarat, weszło do szpitala, w którym leżał Stelescu, wpakowało weń 120 pocisków rewolwerowych, a następnie rozrąbało siekierami jego ciało.

Przed 4 laty wreszcie zła karta odwróciła się. Administracja rządowa przestała prześladować ruch Codreanu, z każdym miesiącem jego szeregi rosły o tysiące członków (zaraz po procesie zabójców premiera Ducy do Żelaznej Gwardii zapisał się cały skład sędziowski, z generałem służby czynnej na czele).

Za tym nagłym powodzeniem ruchu Codreanu stał król Karol II, który z szatańską przebiegłością dążył do pochwycenia władzy absolutnej i prawicowych ekstremistów postanowił użyć do zdemolowania sceny politycznej kraju.

Corneliu Codreanu, zajęty utrzymywaniem spoistości błyskawicznie rozrastającej się Gwardii, utrzymaniem bezpiecznego dystansu do faszyzmu Mussoliniego i nazizmu Hitlera, w końcu też ideologicznymi dziwactwami, w rodzaju kampanii zbierania złomu, organizowania sprzedaży płodów rolnych taniej niż u kupców żydowskich czy wręcz otwierania knajp z prawdziwie narodowym, rumuńskim jedzeniem, nie przejrzał gry króla. Odrzucił propozycję dworu sformowania rządu w oparciu o kadry Legionu Michała Archanioła. Co więcej, otwarcie rzucił monarsze rękawicę, postponując go osobiście oraz jego wpływową kochankę panią Elenę Lupescu.

Codreanu był pewien, że jego czas właśnie nadchodzi. Przebudzenie było bolesne.

Najpierw, rok temu, jego ruch nieoczekiwanie, z kretesem przegrał wybory parlamentarne.

Przed 7 miesiącami Codreanu został aresztowany pod pretekstem obrazy urzędującego ministra. To był tylko wstęp – po niechlujnym, stronniczym procesie (choć akurat uczciwie przeprowadzony proces musiałby skończyć się ciężkim wyrokiem dla lidera Żelaznej Gwardii) sąd wojskowy skazał go na 10 lat więzienia. Aresztowano także niemal 300 czołowych działaczy Legionu i Gwardii.

A przed tygodniem król Karol II spotkał się w Berchtesgaden z Hitlerem, który niezbyt zręcznie interweniował w sprawie uwolnienia Codreanu.

Rozjuszony rumuński monarcha natychmiast polecił ministrowi spraw wewnętrznych Armandowi Calinescu zlikwidować Codreanu, a na dokładkę gwardzistów winnych 2 najbardziej spektakularnych morderstw politycznych. Minister zlecił zabójstwo gen. Bengliu, ten zaś wyznaczył do przeprowadzenia likwidacji zaufanego oficera od brudnej roboty mjr. Dinulescu.

Major miał raptem kilka godzin na zaplanowanie zbiorowego zabójstwa. W policyjnej ciężarówce polecił zamocować 2 długie ławy z desek wzdłuż paki, tak by między ławami a burtami zostało trochę miejsca. Do akcji wybrał 15 zaufanych żandarmów.

Na dziedzińcu skuci więźniowie pakowani są do ciężarówki i sadzani na ławkach, plecami do burt. Za każdym z nich staje żandarm, który natychmiast zakłada na szyję każdego więźnia pętlę z cienkiego stalowego drutu. Kierowana przez mjr. Dinulescu ciężarówka wyjeżdża z więzienia i rusza w stronę Ploeszti. Droga jest marna, ciężarówka jedzie powoli. Z Ploeszti wyjeżdża na szosę do Bukaresztu, szumnie zwaną autostradą, już po północy. Gdy przejeżdża przez las, mjr Dinulescu świeci przez okienko w tyle kabiny latarką. Na ten znak każdy z żandarmów zaciąga drucianą pętlę. Po paru minutach agonii na dnie paki leży 14 trupów. Dinulescu zatrzymuje ciężarówkę. Żandarmi kolejno wynoszą zwłoki i na poboczu strzelają im w plecy. Oficjalna wersja, którą dziś rano ma podać agencja Rador, to napaść bandy terrorystów Żelaznej Gwardii na transport jeńców, ich ucieczka i w końcu zastrzelenie – wszystkich, co do jednego – podczas ucieczki.

Jeszcze przed świtem ciężarówka z zabitymi zajeżdża do więzienia fortecznego Predeal, gdzie żandarmi zrzucają zwłoki do uprzednio

przygotowanego dołu i zasypują go. W ciągu dnia zwierzchnicy mjr. Dinulescu dochodzą do wniosku, że ciała trzeba ukryć gdzie indziej. Ci sami żandarmi, którzy udusili więźniów, wykopują ich zwłoki, przewożą do więzienia w Jilavie. Tam polewają je kwasem, wrzucają do głębokiego dołu, zalewają grubą warstwą betonu i zasypują ziemią.

Corneliu Zelea Codreanu

Grudzień

1 grudnia 1934 ▪ sobota

Charlotta Corday strzela do Kirowa

Niepozorny mężczyzna koło trzydziestki, ze skórzaną teczką, leciutko utykając, zmierza w stronę klasycystycznego portyku pałacu. W czasach cara pałac nazywał się Smolny i mieściła się tu szkoła dla panien z arystokratycznych domów. W czasie rewolucji zainstalował się tu Lenin ze swym sztabem i stąd kierował zdobyciem władzy przez bolszewików. Teraz, gdy zaprowadzili oni w Rosji nowe porządki, gdy Petersburg przemianowali na Leningrad, dawny Smolny jest siedzibą leningradzkiego sowietu.

Jest późne popołudnie, zapada zmierzch. Wszędzie biało, prószy śnieg. Przed głównym wejściem pusto. O dziwo, nie ma stojącej tam zawsze warty. Mężczyzna bez przeszkód wchodzi do Smolnego. Idzie na 3. piętro, na którym mają biura i gabinety najważniejsi funkcjonariusze leningradzkiej organizacji partii komunistycznej i tutejszego sowietu. Przybysz nie błądzi. Idzie prosto do toalety. Zamyka się i przez okienko obserwuje podjazd. Leonid Wasiliewicz Nikołajew wszystko, co robi, od dawna starannie zaplanował.

Do partii bolszewickiej Nikołajew wstąpił w roku 1920. Po wojnie z Polską dostał pracę w jednej z petersburskich fabryk. Uważał się jednak za stworzonego do wielkich zadań i domagał się od partii zdecydowanie bardziej prestiżowego zajęcia. W końcu otrzymał

posadę w administracji, ale niecały rok temu partia skierowała go do pracy fizycznej na kolei. Odmówił i w marcu wyrzucono go z WKP(b) za złamanie dyscypliny partyjnej. W maju legitymację odzyskał. Ale pracy nie. Bezrobotny, sfrustrowany, coraz głośniej narzekał wśród znajomych na znieczulicę partyjnej biurokracji. I coraz częściej dawał do zrozumienia, że zaskorupiałymi bolszewickimi układami wstrząsnąć może tylko zabójstwo eksponowanego działacza partii. O dziwo, nie tylko on tak uważał. Pewien nieznajomy, poznany przez Nikołajewa kilka miesięcy temu, życzliwie wysłuchiwał jego planów i przechwałek, że wkrótce stanie się sławny jak najsłynniejsi zamachowcy w historii, w rodzaju Charlotty Corday. Ba, miły nieznajomy nawet ćwiczył z Nikołajewem pod miastem strzelanie z rewolweru Nagant i życzliwie podsuwał konkretny pomysł zabicia szefa leningradzkiej organizacji partyjnej Siergieja Mironowicza Kirowa, a nie jednego z urzędników komisji kontroli, co najpierw zamierzał uczynić Nikołajew. W sowieckiej rzeczywistości roku 1934 życzliwe wysłuchiwanie planów zabicia jednego z partyjnych liderów przez tajemniczego nieznajomego, wysłuchiwanie, które nie kończy się w lochach NKWD, ale na potajemnym treningu strzelania, to prawdziwy cud. Niejedyny to cud, jaki ostatnio spotkał Nikołajewa. 2 razy usiłował dostać się z nagantem w kieszeni do Smolnego i dwukrotnie aresztowały go straże. Jakiś niezwykły anioł stróż czuwał jednak nad sfrustrowanym zamachowcem. Za każdym razem NKWD szybko go zwalniało.

Dochodzi 16.00. Przed pałacem zatrzymuje się samochód osobowy. Wysiada zeń postawny mężczyzna. Siergiej Mironowicz Kirow, sekretarz komitetu leningradzkiego partii komunistycznej. Komunista zasłużony podczas rewolucji i wojny domowej, bolszewik lojalny wobec generalnego sekretarza partii Stalina, ale

pozwalający sobie na niebezpieczny luksus zachowywania własnego zdania. W ciągu ostatnich 3 lat kilkakrotnie sprzeciwił się gensekowi, gdy ten żądał kary śmierci dla opozycyjnych działaczy partyjnych. Co więcej, Kirow niedawno doprowadził do otwartej konfrontacji ze Stalinem, domagając się lepszego wyżywienia dla leningradzkich robotników. A gdy latem tego roku Stalin zaproponował, by Kirow przeniósł się do Moskwy, pod jego bezpośrednią kuratelę, ten odmówił. Od roku w partii mówi się o „linii Kirowa" jako o leciutko liberalniejszej od bezwzględnej linii Stalina. To niebezpieczne, o takich konkurentach Stalin nigdy nie zapomina.

Kirow szybkim krokiem wchodzi do Smolnego. Nie zauważa nienormalnej sytuacji – nie ma żadnego wartownika! Z samochodu Kirowa wysiada także szef jego osobistej ochrony, ale zamiast towarzyszyć sekretarzowi do jego biur na 3. piętrze, zostaje na dole. Dotąd nigdy tak się nie zachowywał.

Kirow wchodzi na 3 piętro, idzie do swego biura, rozmawia ze współpracownikami i z jednym z sekretarzy leningradzkiej organizacji partyjnej, Michaiłem Czudowem. Potem wychodzi. Idzie korytarzem do swego gabinetu. Gdy skręca w lewo, zza rogu wyłania się Nikołajew i z najbliższej odległości strzela z tyłu do Kirowa. Z biura wybiega Czudow i inni urzędnicy. Krwawiący, nieprzytomny Kirow leży na korytarzu. Obok niego Nikołajew. Po strzale zamachowiec zemdlał. Nieprzytomnego Nikołajewa osobiście aresztuje zastępca szefa leningradzkiego NKWD Fiodor Fomin.

Przybiegają lekarze. Szybko robią zastrzyki z adrenaliny, eteru, kamfory, kofeiny. Ale Kirow umiera.

Czudow telefonuje do Moskwy, do Stalina. Nie mija parę godzin, gdy Kreml wydaje nadzwyczajny dekret:

„I. Władzom śledczym poleca się prowadzić w trybie przyspieszonym sprawy oskarżonych o przygotowanie lub dokonanie aktów terroru.

II. Organom sądowym poleca się nie wstrzymywać wykonywania wyroków śmierci w związku z prośbą przestępców tej kategorii o zastosowanie prawa łaski.

III. [...] Poleca się wykonywać wyroki śmierci na przestępcach wymienionej wyżej kategorii natychmiast po wydaniu wyroków".

Jednocześnie Stalin zapowiada przyjazd do Leningradu na jutro rano.

NKWD znajduje w teczce zamachowca oświadczenia w związku z zamachem. Są adresowane do różnych sowieckich instytucji. Późnym wieczorem enkawudziści przeszukują mieszkanie Nikołajewa. Znajdują dziennik i kolejne dokumenty potwierdzające, że zabójstwo Kirowa było zemstą życiowego nieudacznika. W jednym z pomieszczeń na 3. piętrze Smolnego Fiodor Fomin z własnej inicjatywy przesłuchuje zabójcę. Nikołajew jest zdrowo podpity, wymiotuje, często płacze. Prosi, by znalezione w jego mieszkaniu pieniądze przekazać żonie i matce. W czasie nocnego przesłuchania Nikołajew spostrzega wśród enkawudzistów nieznajomego, z którym ćwiczył strzelanie z naganta i omawiał szczegóły zamachu. Zabójca chciał być sowiecką Charlottą Corday. Nagle pojmuje, że był tylko pionkiem w rękach NKWD.

Józef Stalin i Siergiej Kirow

2 grudnia 1789 ▪ środa

Faceci w czerni

O 8.00 przed ratusz Starej Warszawy zjeżdżają się powozy delegatów bez mała 200 wolnych miast Rzeczypospolitej. Wszyscy, od stóp do głów, odziani są w czerń. O 9.00 długa kolumna pojazdów powoli rusza w stronę Zamku Królewskiego. Po drodze

gromadzą się tłumy plebsu. W stolicy wszyscy już wiedzą, że doszło do rzeczy niesłychanej – mieszczanie domagają się praw! Gawiedź głośno komentuje czarne stroje delegatów. W zamku prowadzą przybyszów do sali mozaikowej z 32 marmurowymi kolumnami. Pochód 200 ubranych na czarno mężczyzn robi wstrząsające wrażenie.

Przybysze karnie ustawiają się w długim szeregu. Na początku, tuż przy drzwiach, którymi ma wejść król, staje z memoriałem w ręku prezydent miasta Stara Warszawa Jan Dekert.

Prezydent stolicy pochodzi z Wielkopolski. Za młodych lat najął się do pracy w sklepie sukiennym Kazimierza Martynkowskiego. Ożenił się z córką pryncypała Różą, zainkasował sowity posag i żywo zabrał się do spekulacji finansowych. Dzięki smykałce do polowań poznał wielu ludzi szlachetnie urodzonych i wpływowych, nabrał towarzyskiej ogłady. Przed 20 z okładem laty do spółki z możnymi partnerami założył kompanię manufaktur wełnianych, potem wziął w dzierżawę monopol tabaczny, dzierżawił warszawski teatr, handlował drewnem, zaopatrywał carskie wojska, kupował i odsprzedawał z intratą majątki ziemskie. Dorobił się kamienicy na Świętojańskiej i pałacu w podwarszawskich Faworach. Nie zapominał przy tym o służbie publicznej. Udzielał się zrazu jako starszy konfraterni kupieckiej. Z czasem obdarzano go coraz poważniejszymi obowiązkami. Przed 5 laty pojechał jako wysłannik warszawskiego mieszczaństwa na sejm grodzieński.

Prezydentem Starej Warszawy 50-letni Dekert jest od lutego tego roku. Od pierwszych dni urzędowania dokładał starań, by uporządkować zrujnowane finanse miasta i powiększyć znikomy zakres praw stanu mieszczańskiego.

Przed kilkoma tygodniami, za radą Hugona Kołłątaja i marszałka Sejmu Stanisława Małachowskiego, zwołał do Warszawy zjazd

przedstawicieli wolnych miast Rzeczypospolitej. Odzew zaskoczył pomysłodawców – przybyło 300 delegatów z niemal 200 miast. Przed tygodniem reprezentanci miast podpisali w ratuszu memoriał do króla i stanów.

Stanisław August po wstępnej lekturze zażądał, by usunięto postulaty o powołaniu związku miast oraz o utworzeniu dodatkowej izby sejmowej – miejskiej. Pomysł ten zbytnio kojarzył się ze stanem trzecim francuskich zrewoltowanych Stanów Generalnych.

Wczoraj przed południem, na kolejnej sesji delegatów miast w magistracie Starej Warszawy, Dekert przedstawił poprawiony wedle oczekiwań króla tekst memoriału oraz projekt konstytucji o miastach. Memoriał bardzo się delegatom spodobał. Reprezentanci Kamieńca Podolskiego stwierdzili nawet, iż powinien on uszczęśliwić wszystkie miasta. Odczytanie dokumentów zajęło aż 2 godziny. Podpisywanie ozdobnie wydrukowanych egzemplarzy memoriałów dla króla, dla marszałka koronnego konfederacji sejmowej Stanisława Małachowskiego oraz dla marszałka litewskiego konfederacji sejmowej księcia Kazimierza Sapiehy rozpoczęto po południu, a skończono dopiero późnym wieczorem.

Dekert do późna w nocy omawiał z delegatami miast dzisiejsze wystąpienie. Uzgodniono każdy szczegół, strojów nie pomijając. Delegaci ubrani mają być od stóp do głów na czarno, na znak żałoby z powodu utraty przez miasta dawnych praw.

W memoriale mieszczanie żądają, by miastom przywrócono wszystkie prawa i przywileje, jakimi cieszyły się one przed sejmem unii lubelskiej. Dalej domagają się prawa (które od dawna dane jest szlachcie), by nie mogli być uwięzieni, póki nie zostanie udowodniona im wina. Chcą także móc nabywać, bez żadnych ograniczeń, dobra ziemskie. Dalej – pragną uchylenia konstytucji

odbierającej szlachectwo temu, kto podda się prawom miejskim. W końcu żądają także zniesienia ograniczeń w oficerskich awansach mieszczan służących w wojsku i ograniczenia dozoru starostów nad podatkami miast i miejskimi władzami. Ostatnie postulaty dotyczą dopuszczenia przedstawicieli miast do rozmaitych szczebli władz wykonawczych w państwie i – na równych prawach ze szlachtą – do najwyższego sądu ds. miejskich.

Mija kwadrans, pół godziny, a króla nie ma. Wreszcie, po przeszło godzinie zwłoki, Stanisław August zjawia się w sali mozaikowej. Spóźnienie nie jest przypadkowe – król zamierza zrobić wszystko, by zdystansować się od posłania mieszczan.

Dekert przemawia krótko i wręcza memoriał monarsze. Stanisław August przyjmuje dokument i odpowiada: „Wiecie z doświadczenia, że nikt nade mnie bardziej nie życzy wzrostu i pomyślności miastom i mieszczanom. Ale strzeżcie się tych wszystkich wystawień okazałych i zbyt śmiałej elokwencyi w pismach i mowach, bo te wam zawsze bardziej zaszkodzą, niż pomogą. Z uniżonością wyrażajcie prośby i racye. Tą drogą możecie tylko dojść dobrego skutku".

Król jest zadowolony, że jego przemowy słucha także kilku panów szlachty, obserwujących mieszczańską delegację – za wszelką cenę nie chce dopuścić, by stan szlachecki postrzegał monarchę jako inspiratora buntowniczej akcji mieszczan. Także dlatego przyjmuje reprezentantów wolnych miast, ot tak, od niechcenia, podkreślając, że spotyka się z nimi po drodze do pracowni malarskich.

Stanisław August przechodzi do malarni przez salę mozaikową i łaskawie zezwala delegatom na całowanie swej dłoni.

Dekert zachowuje kamienną twarz. Rozumie królewską grę i prawdę powiedziawszy, nie ma do monarchy żalu.

Delegaci wychodzą z zamku, wsiadają do karet i jadą do marszałka Stanisława Małachowskiego. Marszałek sprzyja aspiracjom stanu mieszczańskiego, wszak to on sam, wraz z Kołłątajem, podsunął Dekertowi myśl zwołania do Warszawy zjazdu delegatów wolnych miast. Małachowski z miejsca woła na służbę, by podawała czekoladę i kawę, ale delegaci w czerni powściągliwie dziękują. Marszałek zapewnia solennie gości, że mogą zawsze liczyć na jego życzliwość i że już nazajutrz, gdy tylko Sejm zakończy obrady nad ustawą o rekrutach, wniesie memoriał miast na forum sejmowe.

Od Stanisława Małachowskiego kolumna powozów udaje się do rezydencji marszałka Kazimierza księcia Sapiehy. Wzdłuż trasy przejazdu gromadzą się wiwatujące tłumy. Warszawski plebs już wie, z czym krąży po mieście 200 delegatów. Marszałek Sapieha przyjmuje mieszczan życzliwie.

Teraz czas na wizytę u kanclerza Jacka Małachowskiego. Dekert wie, że kanclerz bawi w sądach asesorskich, i tam właśnie ruszają delegaci. To trudna wizyta. Kanclerz jest nieprzychylny aspiracjom miast, uważa, że ich narzekania na ucisk i krzywdy są mocno przesadzone. Zjazd delegatów uznaje – po prawdzie i słusznie – za czyn zuchwały, nielegalny i samowolny, bo zwołany za jego plecami, zaś samego Dekerta postrzega jako rewolucjonistę, gdyż poważył się ominąć kanclerza jako zwierzchnika miast i udał się ze skargami bezpośrednio do króla i Sejmu.

Czarna procesja zjawia się w Pałacu Rzeczypospolitej przed obliczem kanclerza, który nieporuszony siedzi przy stoliku i na dzień dobry stwierdza wrogo: „Jam kanclerzem przy tronie, tu sędzią, w domu Małachowskim".

Dekert wręcza mu memoriał. Jacek Małachowski odpowiada dyplomatycznie: „Kiedy Najjaśniejszy Pan łaskaw jest na miasta

i na delegatów z tychże, za cóż kanclerz ma odmawiać Waść Panom swoję łatwość, który to czyni, co Najjaśniejszy Pan pragnie. Upewniam, że będę miastom asystował, jak najmocniej będę mógł".

Wśród obecnej w Warszawie szlachty błyskawicznie rozchodzą się wieści o treści memoriału. Co prawda, autorzy dyplomatycznie pomieścili w nim wzniosłe przypomnienie zasług stanu szlacheckiego dla ojczyzny i zapewnienie, że nowe prawa miast obrócą się i na pomyślność szlachetnie urodzonych, ale wśród szlachty żądania mieszczan budzą oburzenie i wściekłość. A zwłaszcza przypomnienie rewolucyjnych rozruchów we Francji i podniesionej tam kwestii praw człowieka.

3 grudnia 1917 ▪ poniedziałek

Tym włosom mówię: nie!

Katalog wernisażu jest skromny, ale intrygujący. Napis na okładce dumnie głosi: „Wystawa malarstwa i rysunków Modiglianiego, od 3 grudnia do 30 grudnia 1917". Okładkę zdobi rysunek Amedeo Modiglianiego – akt kobiety z głową nieco przechyloną w prawo, okoloną długimi włosami. Dłonie modelki są złożone między piersiami. Między udami wyraźnie widać trójkąt włosów. Przyjaciele malarza rozpoznają w modelce byłą kochankę Amedea, angielską dziennikarkę i pisarkę Beatrice Hastings.

Za cały wstęp do katalogu służy wiersz poety Blaise Cendrarsa:

„Na portrecie Modiglianiego
wewnętrzny świat
ludzkie serce z
jego 17 poruszeniami

w duchu
i miotanie się
namiętności".

Wernisaż organizuje Berthe Weill, właścicielka znanej i bardzo prestiżowej galerii sztuki. Wcześniej, w swej poprzedniej, ciasnej galerii przy ulicy Victor Masse, organizowała wystawy tak świetnych malarzy, jak Picasso, Utrillo, Vlaminck, van Dongen, Pascin, Dufy, Othon Friesz, Marquet, Girieud. Z braku miejsca wpadła na pomysł, by obrazy wieszać jak suszącą się bieliznę, na drutach przeciągniętych w poprzek salki. Niska, szczupła Bethe Weill słynie wśród paryskiej bohemy z twardego, czasem bezwzględnego podejścia do handlu sztuką. Kiedyś Picasso podczas wizyty w jej galerii zgubił swój długi hiszpański sztylet *navaja*, z którym lubił zadawać szyku w kawiarniach. Weill podniosła go niepostrzeżenie. Nazajutrz wręczyła go Othonowi Frieszowi zamiast gotówki za jeden z jego obrazów.

– Nie jadam drewna. Nie jestem połykaczem noży, nawet jeśli są to hiszpańskie sztylety. Potrzebuję pieniędzy – odpowiedział zimno Friesz.

Weill bez słowa odwróciła się, zakasała spódnicę, wyciągnęła jeden ze schowanych za pończochą banknotów i wręczyła malarzowi.

Jeszcze bardziej niż Friesz potrzebuje pieniędzy Amedeo Modigliani. Piękny jak Bóg, odziany z fantazją i nonszalancką finezją, 33-letni włoski artysta, pochodzący ze statecznej żydowskiej rodziny, jest prawdziwym królem Montmartre'u. To nic, że pije nieustannie, że zabija go gruźlica, że obraża się i awanturuje z byle powodu. Otacza go aura niezwykłej osobowości, artysty oddanego sztuce bez najmniejszych kompromisów, aż do samozatraty. W odróżnieniu od wielu swych kolegów, z Picassem na czele, nie

zrobił kariery, ba, nawet trudno mu sprzedać swe obrazy po godziwych cenach. Ciągle brakuje mu pieniędzy na farby i na jedzenie. Głodny Modi – tak zwą go przyjaciele – w Paryżu czasu wojny ratuje się poczęstunkami przyjaciół, czasem talerzem pysznego barszczu za jedyne 50 centymów w taniej jadłodajni prowadzonej przez malarkę Marię Wasiliewą, gdzie nieraz mija się z innymi głodomorami bez grosza: Soutinem, Braque'em, Picassem, Włodzimierzem Leninem, Lwem Trockim.

W sprawach sztuki jest bezkompromisowy. Po zaniechaniu rzeźbiarstwa maluje – wyłącznie portrety i akty. Właśnie u schyłku wojny wreszcie odnajduje swój styl. Deformacje, uproszczenia są pozorne – służą one odkrywaniu tajemnicy modela. Modigliani z pogardą odrzuca życzliwe rady kolegów, by zabrał się za martwe natury i pejzaże; kulturalni mieszczanie takie malarstwo kupują najchętniej.

Zbawieniem dla Amedea jest Leopold Zborowski, młody polski Żyd z Zaleszczyk, który w Paryżu odkrył w sobie żyłkę marszanda. Byłby marszandem świetnie prosperującym, gdyby nie zakochał się w sztuce i w osobowości Modiglianiego. Zbo, jak go nazywają przyjaciele, jest aniołem opiekuńczym Amedea. Choć ze swą żoną Hanką (także zapatrzoną w Modiego) klepie często biedę, wypłaca malarzowi stałą dniówkę, toleruje jego kaprysy, humory i napady wściekłości, za ostatni grosz kupuje mu grappę i koniak, bez których Amedeo nie potrafi malować. Toleruje nawet jego nielojalność. Modi, rzadko, bo rzadko, sprzedaje swoje prace za jego plecami. Niczym niezrażony Zborowski całymi dniami przemierza Paryż z płótnami Modiglianiego pod pachą, narzucając się marszandom, krytykom i kolekcjonerom, znosząc niezliczone upokorzenia.

To Zbo tak długo męczył sceptyczną Berthe Weill, aż zgodziła się urządzić wystawę Modiego.

Wernisaż Modiglianiego jest jednocześnie inauguracją jej nowej galerii przy ulicy Taitbout 50, w IX paryskim *arrondissement*.

Rozmieszczanie obrazów trwało wczoraj aż do wieczora. Zborowski jeszcze dziś po południu, tuż przed otwarciem galerii, poprawia ustawienie dzieł. Od sukcesu wystawy zależy wszak przyszłość jego przyjaciela. 2 najefektowniejsze kobiece akty Zborowski umieszcza w witrynie galerii.

Wernisaż zaczyna się o zmierzchu. Zjawia się mnóstwo gości. Prócz oficjeli, jak minister kolonii Henri Simon, i przedstawicieli paryskiej socjety w rodzaju Marcela Sembty i pani Aguttes, jest mnóstwo malarzy, poetów i gwiazd paryskiej cyganerii.

Są Blaise Cendrars, Picasso, przyjaciółka Zborowskich i Modiego Lunia Czechowska, jest Moise Kisling,

Jest też chuda, 19-letnia dziewczyna o długiej szyi, zadziwiającej, jasnej karnacji skóry kontrastującej z kasztanowoognistymi długimi włosami. To z ich powodu Jeanne Hebuterne, studentkę malarstwa w Académie Colarossi, przyjaciele Modiego nazywają Orzechem Kokosowym. Amedeo i Orzech są w sobie bez pamięci zakochani.

Parę minut po otwarciu wernisażu na chodniku przed witryną zatrzymuje się przechodzień zaintrygowany wielkim aktem Modiglianiego. Po chwili obok gapia zatrzymują się następni. Gdy uzbierał się ich już spory tłumek, wchodzą nieproszeni do środka – może tu jest więcej golizny? I jest! Poczciwe paryskie mieszczuchy stoją w tłumie artystów i ironicznie komentują akty Modigianiego. Gapie tłoczący się przed witryną są mniej powściągliwi: złośliwym komentarzom towarzyszą wulgarne okrzyki.

Po drugiej stronie ulicy Taitbout znajduje się dzielnicowy komisariat policji. Komisarz Rousselot z niepokojem obserwuje tłum rosnący przed drzwiami nowo otwartej galerii. Wzywa agenta policji w cywilu i poleca mu sprawdzić, co się dzieje po drugiej

stronie ulicy. Tajniak najpierw uważnie ogląda akt w witrynie, potem na wernisażu odnajduje w tłumie drobną Berthe Weill w eleganckim angielskim kostiumie i okularach na nosie.

– Pan komisarz poleca zdjąć z wystawy akt – informuje właścicielkę galerii.

– Dlaczego? – pyta Berthe.

– Pan komisarz rozkazuje pani zdjąć ten obraz! – powtarza tajniak podniesionym głosem.

Ba, ale który? Na wystawie jest mnóstwo aktów. Gdy pani Weill wreszcie pojmuje, że chodzi o ten z wystawy, posłusznie ściąga go, przy akompaniamencie śmiechów i żartów zaproszonych na wernisaż artystów.

Agent policji z marsową miną wraca na komisariat.

Tłum przed galerią nie rozchodzi się. Przeciwnie, jest coraz większy. Nowi gapie wysłuchują opowieści o bezeceństwach wiszących w środku i wywrzaskują swoje oburzenie jeszcze głośniej od tych, którzy zdjęty akt Modiglianiego widzieli.

Zgromadzenie cywilów na ulicy, podczas wojny, bez zgody władz, to rzecz niedopuszczalna! Komisarz Rousselot wysyła agenta po raz drugi.

– Pan komisarz wzywa panią na rozmowę do swego biura – oznajmia pani Weill naburmuszony policjant.

– Przecież widzi pan, że jestem zajęta. Nie mam czasu – perswaduje Berthe.

Tajniak nalega i w końcu właścicielka galerii wychodzi z nim. Witają ją sprośne, wredne okrzyki tłumu.

Pani Weill z godnością przechodzi na drugą stronę ulicy Taitbout. Liczni z wyzywających ją gapiów wchodzą za nią do komisariatu. Rousselot nie reaguje na ich obecność.

– Pan mnie wzywał?

– Tak, i rozkazuję pani, żeby zdjęła wszystkie te plugastwa!

Weill domyśla się, że agent opowiedział Rousselotowi o innych aktach wiszących we wnętrzu galerii.

– Jest jednak wielu znawców, koneserów, którzy nie podzielają pana opinii. Co pan widzi złego w tych aktach? – próbuje dyskutować.

Komisarz czerwienieje i wybałusza oczy.

– Te akty mają w-w-w-w-włosy!!! – krztusi się z oburzenia.

Motłoch za plecami Berthe Weill wyzywa ją i wyśmiewa na całe gardło. Rousselot przyjmuje przed tą niewybredną widownią teatralną pozę i z afektowaną godnością wygłasza ostateczną decyzję:

– A jeżeli mój rozkaz nie zostanie natychmiast wykonany, poślę oddział policji i skonfiskuję wszystkie obrazy.

Zdruzgotana Weill wraca do galerii. Oficjalni goście, z ministrem Simonem na czele, przezornie zdążyli się już ulotnić. Rozeźlona Berthe zamyka galerię, rygluje drzwi, opuszcza żaluzje i ogłasza koniec wystawy. Uwięzieni w środku artyści pomagają zdejmować obrazy ze ścian. Modigliani i jego przyjaciele popijają ostro i dowcipkują na temat aktów w areszcie domowym. Ale paru osobom nie jest do śmiechu. Zborowski liczył, że wystawa będzie sukcesem komercyjnym, który Modiglianiemu pozwoli wreszcie zdobyć należną mu sławę, a im obu przyniesie większe pieniądze, jest załamany. W całym tym zamęcie Berthe sprzedaje tylko 2 rysunki, po 30 franków każdy. Nie mogąc patrzeć na zbolałego Zborowskiego, Weill sama kupuje 5 obrazów olejnych. Uwięzieni w galerii, z powodu godziny policyjnej, artyści piją ostro do białego rana.

Gdy komisarz Rousselot ratuje Paryż przed ohydą aktów z włosami łonowymi, raptem niecałe 140 km od Paryża, pod

Cambrai, kończy się niepowodzeniem kolejna brytyjska ofensywa, w której Anglicy po raz pierwszy w historii masowo używają czołgów. Niemiecka grupa armii księcia Rupprechta Bawarskiego kontratakuje i spycha aliantów na zachód. W błotach pod Cambrai ginie w tym tygodniu ponad 20 tys. żołnierzy, Niemcy biorą 9 tys. jeńców.

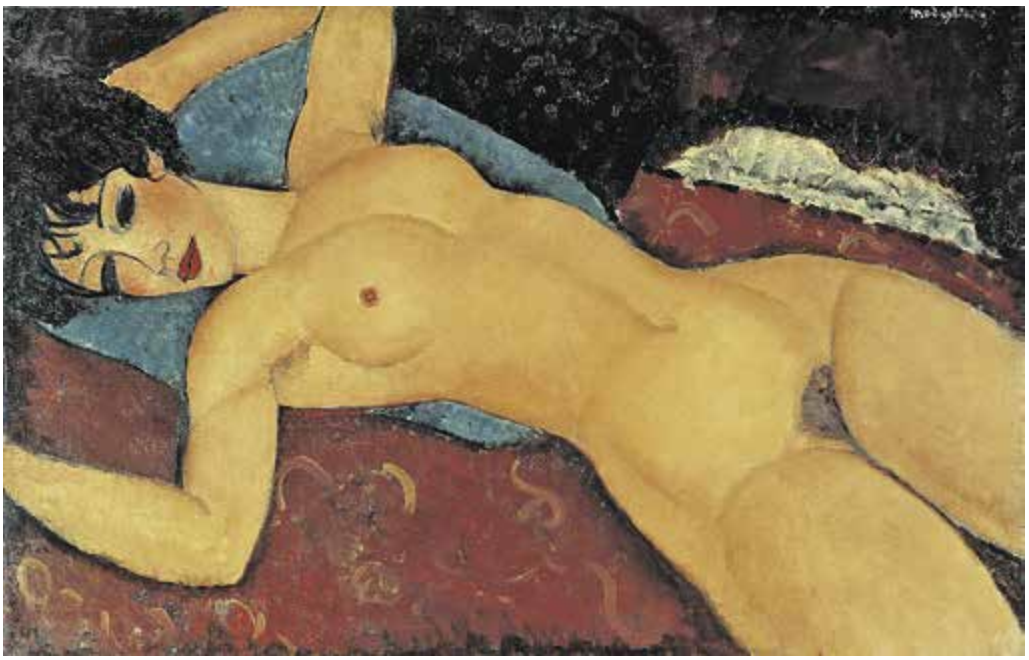

Amadeo Modigliani *Czerwony akt*

4 grudnia 1872 ▪ środa

Nie ostał się choćby kot

O godz. 13.30 kpt. David Morehouse, dowodzący płynącą pod amerykańską flagą brygantyną „Dei Gratia", dostrzega w odległości ok. 6 mil żaglowiec. „Dei Gratia" żegluje przez Atlantyk ze Stanów Zjednoczonych do Gibraltaru. Właśnie znajduje się mniej więcej 370

mil morskich na północ od Azorów i 590 mil na zachód od Gibraltaru. Napotkany żaglowiec to także 2-masztowa brygantyna. Płynie na wschód. Płynie osobliwie: nie dość, że zygzakiem, to jedynie pod 3 żaglami masztu przedniego: 2 kliwrami i marslem. Pozostałe żagle fokmasztu wyglądają na zwinięte albo podarte – podobnie jak wszystkie żagle gaflowe masztu głównego. Po 1,5 godziny z „Dei Gratia" dostrzec można nazwę: „Mary Celeste". Cóż za traf! To także amerykański statek, a jego kapitanem jest stary przyjaciel dowódcy „Dei Gratia" – Benjamin Spooner Briggs. Jakby nie dość tych przypadków, miesiąc temu, 4 listopada, kpt. Morehouse jadł w Nowym Jorku z kpt. Briggsem kolację. Briggs opowiedział mu wtedy, że za 3 dni wychodzi w morze na „Mary Celeste" z ładunkiem 1701 beczek ze spirytusem, które ma dostarczyć do Genui. Briggs miał więcej do opowiadania o swym statku. Brygantyna ta do niedawna nazywała się „Amazon". Zbudowana została przed 11 laty na Spencer Island w Nowej Szkocji. To solidny, choć niezbyt wielki statek, o długości 30 m, szerokości 8 m i wyporności 198 t. Na nadmiar szczęścia w żegludze narzekać nie mógł: staranował i zatopił w rejonie Dover jakiś inny mały żaglowiec, a przed 4 laty, u wybrzeży Nowej Szkocji, osiadł na mieliźnie. Pierwszy właściciel sprzedał wówczas „Amazona" za 1700 dolarów, naprawdę za grosze, amerykańskiemu armatorowi, który przebudował go, zmienił nazwę na „Mary Celeste" i odsprzedał z niemałym zyskiem spółce 3 armatorów; jednym z nich był kpt. Briggs. „Mary Celeste" najpierw pływała pod kpt. Rufusem Fowlerem, a przed paroma dniami rządy na niej objął Briggs.

To była dobra zamiana. Wśród marynarzy Nowej Szkocji Briggs cieszył się doskonałą opinią jako doświadczony żeglarz i – co wcale nie było częste – przyzwoity człowiek, który na morzu podwładnych traktował jak ludzi, a nie jak robocze zwierzęta.

Podczas kolacji Briggs opowiedział Morehouse'owi o trasie swego rejsu do Genui, przewidywanym tempie żeglugi, o 7-osobowej załodze. Drugi oficer Albert G. Richardson i trzeci oficer Andrew Gilling okazali się kompetentnymi żeglarzami. Steward Edward Head z Nowego Jorku i 4 marynarzy, Niemców z Wysp Wschodniofryzyjskich, też sprawiało dobre wrażenie. Podczas tego rejsu sprawność załogi miała dla kpt. Briggsa znaczenie szczególne – w podróż do Genui zabierał swoją żonę 30-letnią Sarę i 2-letnią córeczkę Sophię Matildę.

„Dei Gratia" zbliża się do burty „Mary Celeste". Jednak ani kpt. Morehouse, ani żaden z jego podwładnych nie widzi na jej pokładzie żywej duszy. Nie pomagają nawoływania. Morehouse poleca swojemu drugiemu oficerowi Oliverowi Deveau i trzeciemu oficerowi Johnowi Wrightowi przeprowadzenie rekonesansu na pokładzie „Mary Celeste". Do szalupy wchodzi z nimi marynarz Johnson. Po przybiciu do burty „Mary Celeste" oficerowie wdrapują się na jej pokład, Johnson zaś zostaje w łodzi.

Na fokmaszcie dostrzegają podarte żagle. Szyba w oknie sterówki jest zbita, kompas uszkodzony. Koło sterowe z wolna kręci się raz w lewo, raz w prawo, ustępując pod naporem zmiennych podmuchów wiatru. I ani śladu załogi. Deveau sprawdza, czy ładownia nie jest zalana. Chlupoce w niej bajoro głębokie na metr, ale statek nie jest zagrożony. Pompy są sprawne. Deveau sprawdza luki. Ten na rufie jest otwarty, podobnie jak świetlik do pomieszczeń kapitana, drugiego oficera i mesy. Największy luk, środkowy, jest nienaruszony, ale drzwiczki prowadzące do kambuza otwarte są na oścież. Luk na dziobie sprawia niepokojące wrażenie. Jego pokrywę nieznana siła wyrwała z zawiasów. Teraz pokrywa leży na pokładzie w odległości metra od luku.

Deveau i Wright opuszczają się przez otwarty świetlik do kajuty kapitana Briggsa. Pomieszczenie zalane jest sięgającą do połowy łydki wodą. Poza tym jednak sprawia dość zwyczajne wrażenie. Na koi kapitana leżą rozbebeszone koce i prześcieradła, w mniejszej koi widać wyraźnie ślad, jaki na pościeli odcisnęło malutkie dziecko. Rzeczy kapitana i meble są na swoich miejscach i nie noszą śladów gwałtownych wydarzeń. Pancerna szkatuła Briggsa nie jest uszkodzona. Oficerowie z „Dei Gratia" rozbijają zamek i znajdują w niej całą sumę powierzoną Briggsowi przez armatora. Deveau szuka dziennika okrętowego. Znajduje go w kabinie drugiego oficera. Ostatniego wpisu dokonano w nim pod datą 24 listopada – 11 dni temu.

Obaj oficerowie znajdują w mesie fisharmonię z otwartą partyturą na pulpicie, pod kanapą zaś maszynę do szycia należącą do żony kpt. Briggsa. Na stole leży złożona na pół mapa morska. Deveau rozkłada ją i zauważa wykreślony kurs „Mary Celeste". Ostatnią pozycję zaznaczono na mapie pod datą 24 listopada, mniej więcej w odległości 30 mil na zachód od Santa Maria, najbardziej na południowy wschód wysuniętej wyspy archipelagu Azorów. Teraz Deveau zachowuje się bardzo dziwnie: ściera zapisaną kredą na podręcznej tablicy pozycję „Mary Celeste" z następnego dnia, 25 listopada. Nie zauważa przy tym, że na tablicy wyryte są dyskretnie słowa: „*Fanny my dear wife. Frances M.R.*" (Fanny, moja żono, Frances M.R.). Frances M. Richardson to nazwisko żony drugiego oficera „Mary Celeste" Alberta Richardsona.

Oficerowie przeszukują zakamarki kabin kapitana i oficerów oraz mesy w poszukiwaniu niezbędnych do nawigacji sekstansu i chronometru. Nie znajdują ich jednak. Nie znajdują także ani ksiąg nawigacyjnych, ani dokumentów przewozowych ładunku, czyli

1701 beczek ze spirytusem. Pod koją Briggsa natykają się na jego szablę w pochwie. Nie widać, by niedawno była używana.

W końcu obaj oficerowie „Dei Gratia" wchodzą do pomieszczeń na dziobie. Tam także chlupie woda i także nie ma śladów gwałtownych zdarzeń. Koje marynarzy są porządnie zasłane, nie brakuje ich ekwipunku: ceratowych płaszczy, butów, fajek. W kambuzie Deveau znajduje bardzo duży zapas żywności, który 10 osobom mógłby starczyć nawet na pół roku. Na statku brakuje łodzi ratunkowej oraz pokładowej maskotki – kota.

Deveau i Wright wracają szalupą na pokład „Dei Gratia". Po krótkiej naradzie z kpt. Morehouse'em Deveau postanawia obsadzić opuszczoną „Mary Celeste" i odprowadzić do Gibraltaru. Zgodnie z prawem morskim, ci, którzy znaleźli i uratowali statek, mogą liczyć na nagrodę w wysokości połowy wartości samego statku i jego ładunku. W wypadku nafaszerowanej beczkami ze spirytusem „Mary Celeste" premia do podziału między załogę „Dei Gratia" powinna być ogromna, rzędu kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Morehouse zgadza się i daje mu za pomocników 2 zaufanych marynarzy z „Dei Gratia": Charlesa Lunda i Augusta Andersona.

Oba statki ruszają w stronę Gibraltaru. Ich szczątkowe załogi rozmyślają o losie załogi i pasażerów „Mary Celeste" i o wysokości nagrody, jaka czeka w Gibraltarze. Nie mają pojęcia, że przed brytyjskim sądem morskim czekają ich posądzenia o wymordowanie 10 ludzi z pokładu „Mary Celeste", że w końcu dostaną tylko ułamek formalnie przysługującej im nagrody, zaś zniknięcie załogi „Mary Celeste" stanie się największą z mrocznych tajemnic w dziejach żeglugi.

5 grudnia 1953 ▪ sobota

Niedokończone zakupy

Z berlińskiej kolejki podziemnej wysiadają 2 mężczyźni w średnim wieku. W zimowych płaszczach, kapeluszach, na ulicach francuskiej strefy okupacyjnej Berlina nie rzucają się w oczy. Szybko dochodzą do budki, w której mieści się kantor wymiany marek wschodnich na zachodnie. Niższy, krępy mężczyzna wchodzi do środka, drugi pozostaje na ulicy. Ten w budce wymienia trochę marek, wychodzi na zewnątrz. Wtedy do budki wchodzi drugi mężczyzna. Spokojnie wyciąga portfel. Jest pewien, że jego towarzysz czeka przed drzwiami. Ma prawo tak sądzić. Szef X Departamentu polskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego płk Anatol Fejgin z natury rzeczy ufać musi swemu zastępcy, płk. Józefowi Światle. X Departament jest był kluczowy w strukturze MBP. Zajmuje się inwigilacją członków partii. Tu prowadzi się tajne śledztwa przeciw działaczom komunistycznym wysokiego szczebla, tu montuje się najważniejsze procesy polityczne. Być może stojący przed drzwiami budki we francuskim sektorze Berlina płk Światło w pewnym sensie cieszy się nawet większym zaufaniem najwyższych władz w Warszawie niż jego szef, właśnie wymieniający marki wschodnie na zachodnie. Jest on człowiekiem I wiceministra bezpieczeństwa Romkowskiego. Do Światły osobiście dzwonił w tajnych, poufnych sprawach Bolesław Bierut. Na biurku Światły stał bezpośredni telefon linii specjalnej do Berii. Płk. Światle zlecano misje wymagające maksymalnej dyskrecji. To on osobiście aresztował w Krynicy Władysława Gomułkę. Także teraz, w Berlinie, znalazł się ze swym szefem w tajnej misji specjalnego znaczenia.

Kilka dni wcześniej obu pułkowników wezwał drugi człowiek w polskiej partii Jakub Berman i polecił natychmiast jechać do

wschodniego Berlina. Mieli przeprowadzić rozmowy z szefem wschodnioniemieckiej bezpieki gen. Erichem Mielkem. Konsultacje dotyczyć miały „wyciszenia", czyli zabójstwa, byłej przedwojennej komunistki Wandy Pampuch-Brońskiej mieszkającej w zachodnich Niemczech. Na pieńku miał z nią sam Bierut. W 1949 roku, dzięki jego interwencjom, Brońską wypuszczono z sowieckich łagrów, w których przesiedziała kilkanaście lat. Po powrocie do Polski uciekła na Zachód i odtąd często występowała w demaskatorskich audycjach Radia Wolna Europa.

3 grudnia 1953 roku Światło w drodze na dworzec zaszedł do mieszkania swego protektora gen. Romkowskiego. Generał obchodził imieniny. Światło tęgo napił się z solenizantem, na pożegnanie serdecznie go wycałował.

Następnego dnia w Berlinie – wraz z Fejginem – spotkał się z gen. Mielkem. Rozmowie przysłuchiwał się jego sowiecki doradca, który zażądał przetłumaczenia na rosyjski najważniejszych dokumentów. Umówiono się więc na drugie spotkanie nazajutrz, 5 grudnia.

Fejgin ze Światłą pojechali berlińskim U-bahnem do hotelu. Było już ciemno, pomylili perony i wysiedli we francuskiej strefie okupacyjnej. Zaskoczeni, oglądali rozświetlone, pełne towarów witryny wielkich sklepów. Szybko postanowili wspólnie złamać bezpieczniacką dyscyplinę: potajemnie wrócić nazajutrz do strefy francuskiej, wymienić marki i zrobić świąteczne zakupy.

W nocy Światło podejmuje ostateczną decyzję. Od kilku miesięcy obawia się, że zmiany w sowieckim systemie władzy po śmierci Stalina zwiastują czystkę w aparacie bezpieczeństwa. Nie ma złudzeń, że może mu się upiec – zna za wiele wstydliwych tajemnic ruchu komunistycznego, ma zbyt wielu wpływowych wrogów w partii. A Wolna Europa co rusz informuje o sensacyjnych

ucieczkach funkcjonariuszy sowieckiego wywiadu, których tajne służby Zachodu witają z otwartymi ramionami.

5 grudnia, po drugiej naradzie u Mielkego, obaj pułkownicy jadą do francuskiej strefy. Światło nie ma wątpliwości, że Fejgin, gdy zrozumie, o co chodzi jego zastępcy, w każdej sytuacji będzie strzelał. Po drodze wymyśla fortel umożliwiający bezpieczne uwolnienie się spod kurateli swego szefa – najpierw sam wymieni w kantorze marki, a Fejgin będzie go ubezpieczał na zewnątrz. Potem zamienią się rolami.

Gdy Fejgin wychodzi z budki, Światły nie ma. Miota się po ulicy, w końcu wraca do strefy wschodniej. Czeka. Może Światło zaraz wróci? W końcu podnosi alarm. Ale nikt nie ma pojęcia, co się stało z zastępcą szefa X Departamentu. Może jest ranny, a może zginął w napadzie rabunkowym? Może został porwany przez któryś z zachodnich wywiadów? A może, choć to nieprawdopodobne, jednak uciekł?

Światło tymczasem przechodzi piechotą do amerykańskiego sektora Berlina i zgłasza się na posterunku żandarmerii. Prostoduszni GI wytrzeszczają z niedowierzaniem oczy, gdy niespodziewany gość mówi, kim jest, i prosi o azyl. Gdy Światło kładzie na stole służbowy automatyczny pistolet i legitymację służbową MBP, Amerykanie błyskawicznie zabierają go w bezpieczne miejsce. Jeszcze tej nocy przygotowują wylot do Frankfurtu, a stamtąd do Waszyngtonu.

Józef Światło czyta swoją książkę w RWE

6 grudnia 1933 ▪ środa

Czaszka predestynowana do idei komunistycznej

Sędziowie zasiadają na podwyższeniu, na prawo od ozdobnych drzwi do sali rozpraw, ukosem do ław dla publiczności. Za nimi wisi

na ścianie wielki plan pomieszczeń Reichstagu. Przed podwyższeniem sędziowskim, przy niskim stoliku, pracują 4 protokolanci. Ławę oskarżonych ustawiono pod ścianą, na prawo od drzwi. Dziś w Lipsku Najwyższy Trybunał Rzeszy Niemieckiej kończy postępowanie dowodowe w procesie o podpalenie Reichstagu.

Poranna część rozprawy zaczyna się sensacyjnie. Nadzwyczaj małomówny dotąd oskarżony Marinus van der Lubbe nieoczekiwanie prosi o głos. Zaniedbany, rozczochrany młodzieniec kategorycznie domaga się jak najszybszego zakończenia procesu i ogłoszenia wyroku. Dziwne to żądanie, jeśli zważyć, że nikt nie ma wątpliwości, iż van der Lubbe osobiście podłożył ogień pod gmach niemieckiego parlamentu. Niezależnie od tego, czy współoskarżeni zostaną uznani za winnych współdziałania z van der Lubbem, on sam nie ma szans przed hitlerowskim sądem na urato-wanie życia.

Zaskakujące oświadczenie oskarżonego ożywia na widowni spór między zagranicznymi obserwatorami procesu. Dziennikarze i prawnicy, sympatyzujący z lewicą, upierają się, że podpalenie Reichstagu to prowokacyjna akcja hitlerowców pod wodzą premiera Prus Hermanna Göringa. Wedle nich van der Lubbe jest tylko bezpośrednim wykonawcą, marionetką zmuszaną do milczenia w sądzie rozpuszczanymi w jedzeniu narkotykami. Prawicowi obserwatorzy uważają podpalacza za osobnika niespełna rozumu.

Marinus van der Lubbe, syn holenderskiego robotnika, podpalił gmach Reichstagu 27 lutego tego roku. Bystry, sfrustrowany 24-letni odludek od dawna uważał, że robotnicy są wyzyskiwani i prześladowani przez kapitalizm; przez pewien czas należał nawet do organizacji młodzieżowej Holenderskiej Partii Komunistycznej. W końcu postanowił dokonać samotnego, spektakularnego aktu

protestu przeciw nowemu niemieckiemu rządowi kanclerza Adolfa Hitlera i w ten sposób poderwać niemieckich robotników do walki przeciw represjom. Policja pochwyciła go w płonącym Reichstagu. Osmalony, oszołomiony van der Lubbe od razu oświadczył, że to on jest podpalaczem. Berlińskie Gestapo nie miało wątpliwości, że Holender działał sam, ale Hermann Göring jeszcze tego wieczoru przekonał Hitlera, że pożar jest skutkiem komunistycznego zamachu. Zaskoczony pożarem, rozwścieczony Hitler z miejsca zapowiedział radykalną rozprawę ze spiskiem podpalaczy i z niemieckimi komunistami w ogóle. Nazajutrz rano gotowy był już, sklecony naprędce przez ministra spraw wewnętrznych Rzeszy Wilhelma Fricka, dekret nadzwyczajny o ochronie narodu i państwa, zawieszający bezterminowo wszystkie swobody obywatelskie gwarantowane przez Konstytucję weimarską. Dodatkowo dekret ograniczał autonomię landów na rzecz rządu Rzeszy. Droga do pełni totalitarnej władzy stanęła przed nazistami otworem.

W ciągu 2 miesięcy tylko w Prusach aresztowano 25 tys. komunistów, socjalistów, sympatyków lewicy. W więzieniach, zaimprowizowanych w koszarach SA i SS, bito ich, torturowano.

O współpracę z van der Lubbem hitlerowskie władze oskarżyły szefa parlamentarnej frakcji komunistycznej Ernsta Torglera. W pierwszych dniach marca Gestapo aresztowało wielu komunistów zagranicznych przebywających w Niemczech. Trzech z nich, Bułgarów – działacza Międzynarodówki Komunistycznej Georgi Dymitrowa, Błagoja Popowa i Wasila Tanewa – oskarżono o współdziałanie z podpalaczem. Komuniści zorganizowali w Londynie kontrproces przed zaimprowizowanym społecznym trybunałem antyhitlerowskim. Jako świadków przesłuchiwano politycznych uciekinierów z Niemiec.

Proces van der Lubbego, Dymitrowa i towarzyszy, nagłośniony w całej Europie przez komunistyczną Międzynarodówkę, stał się wielką sensacją polityczną. Sala w Lipsku od pierwszego dnia wypełniona była zagranicznymi korespondentami, prawnikami, dyplomatami.

Trybunał odrzucił wnioski kilkudziesięciu znanych adwokatów, niemieckich i zagranicznych, o dopuszczenie ich do obrony komunistów. Przydzielił oskarżonym obrońców z urzędu. Dymitrow nie ufał im i bronił się sam. Bronił się inteligentnie, ze swadą, wyłapując i ośmieszając niezliczone fałszerstwa aktu oskarżenia. Zamienił proces w polityczny spektakl ze sobą w roli gwiazdy – zawsze opanowany, elegancki, z zaczesanymi do tyłu długimi włosami. Reszta oskarżonych jest tylko tłem dla wielkiego solisty. Wczoraj zażądał wezwania przed hitlerowski trybunał, jako świadków, 3 członków władz Międzynarodówki Komunistycznej, by kompetentnie wyłożyli zasady moralne i polityczne, jakimi kieruje się ruch komunistyczny. Jego drwiny z hitlerowskich władz, policji i aparatu sprawiedliwości doprowadzają nazistów do szału. Zagraniczni obserwatorzy kwitują je śmiechem, życzliwymi okrzykami i oklaskami. Wezwany jako świadek premier Prus Göring przed trybunałem zachowywał się zrazu jak na partyjnym wiecu: ujął się pod boki i wygłosił pompatyczną, antykomunistyczną tyradę. Potem jednak złośliwe pytania Dymitrowa wyprowadziły go z równowagi. Lżył bułgarskiego komunistę, odgrażał się, że zawiśnie on na szubienicy. Nie lepiej skończyło się przesłuchanie jako świadka ministra propagandy Rzeszy Josepha Goebbelsa.

Ale też hitlerowcy prominenci mieli poważniejsze powody do zdenerwowania niż złośliwości Dymitrowa. Szczegółowo relacjonowany przez całą europejską prasę pokazowy proces komunistycznych podpalaczy dawno już zamienił się w pokazową

kompromitację hitlerowskiego wymiaru sprawiedliwości. Rozpaczliwe wysiłki przewodniczącego trybunału i prokuratora nie zdały się na nic. Przed sądem okazywało się, że kolejni świadkowie oskarżenia to osobnicy nienormalni psychicznie, kryminaliści zmuszeni do współpracy z policją; kolejne dowody – niewarte funta kłaków, następne hipotezy śledcze – z sufitu wzięte.

Dziś żaden z obserwatorów procesu nie ma wątpliwości, że oskarżenie komunistów o podpalenie Reichstagu to hitlerowska prowokacja.

Dymitrow do ostatniej chwili stara się ośmieszyć oskarżenie i policję.

– W związku z zeznaniami świadka Grothego proszę o dodatkowe przesłuchanie komisarza policji Heissiga na okoliczność, jakie istotne powody wpłynęły na odnalezienie tego idiotycznego świadka – żąda.

– Wypraszam sobie podobne uwagi. To kolejna obraza sądu – oburza się przewodniczący trybunału.

– Dziwię się tylko, że taki psychopata, człowiek chory umysłowo, został odszukany aż przez samego pana nadprokuratora. Pytam się raz jeszcze: co skłoniło komisarza policji Heissiga do tego znamiennego kroku? – upiera się Dymitrow.

– To bezczelność! Pan znów zaczyna obrażać! To niesłychane! – sędzia krzyczy, bije pięścią w stół.

– Panie przewodniczący! Pan jest nerwowy! – ripostuje Bułgar.

– Milczeć! Ja osobiście całkiem spokojnie prowadzę tę rozprawę i nerwowy nie jestem – groteskowo usprawiedliwia się hitlerowski sędzia.

– Oskarżyciele publiczni mają wyraźnego pecha ze swoimi świadkami, którzy albo są morfinistami, albo psychopatycznymi

kryminalistami, względnie złodziejami najprzedniejszego gatunku – szydzi Dymitrow.

Sędzia odbiera mu głos i zarządza naradę trybunału w sąsiedniej sali. Po powrocie ogłasza, że jeśli oskarżony znów obrazi trybunał, zostanie wyprowadzony z sali.

Jeden z sędziów na wniosek nadprokuratora odczytuje teraz wyroki na komunistów zapadłe ostatnio przed hitlerowskimi sądami. Zagraniczni obserwatorzy buczą – co to ma wspólnego ze sprawą podpalenia? A Dymitrow nieoczekiwanie zgłasza wniosek o odczytanie wyroku sądu na Hitlera i jego towarzyszy po puczu w listopadzie 1923 roku w Monachium. Hitlerowskim sędziom zapiera dech w piersiach. Po długiej chwili milczenia trybunał odczytywanie wyroków na komunistów odracza.

Na posiedzeniu popołudniowym ostatnie już punkty postępowania dowodowego. Tajny radca medyczny dr Bonhoeffer składa oświadczenie o stanie władz umysłowych van der Lubbego:

– Szczególny kształt czaszki Lubbego wskazuje na przemożne dążenie do popełniania wykroczeń dyscyplinarnych i do zakłócania porządku oraz na fanatyczne przejęcie się ideami komunistycznymi.

Tego już za wiele nawet dla korespondenta, dalekiego od sympatii dla lewicy, krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Relację z 52. dnia procesu lipskiego opatruje tytułem: *Czaszka predystynowana do idei komunistycznej*.

Płonący budynek Reichstagu w lutym 1933 roku

7 grudnia 1724 ▪ czwartek

I jeszcze rękę

Późną nocą w domu toruńskiego poczmistrza Jakuba Rubinkowskiego zjawia się sekretarz burmistrza Torunia Johanna Gottfrieda Roesnera z prośbą o wstawienie się u królewskich komisarzy, by przysłali doń, bez zwłoki, w środku nocy, jakichś księży katolickich, ale nie jezuitów – by mógł zaraz przejść

z protestantyzmu na katolicyzm i tym samym ocalić głowę. Rychło w otoczonym przez straże domu burmistrza zjawiają się 2 bernardyni. Roesner oświadcza im jednak, że się rozmyślił.

Idzie już ku końcowi nocy, gdy burmistrz znów wzywa bernardynów, by przejść na katolicyzm. Gdy zakonnicy przybywają i szykują się do obrzędów, Roesner wzdraga się i znów wymawia się od konwersji.

Katowski topór zawisł nad jego głową z powodu tumultu, do jakiego doszło w Toruniu 16 lipca tego roku. Podczas uroczystej procesji katolickiej w święto Matki Boskiej Szkaplerznej uczeń kolegium jezuickiego Stanisław Lisiecki podszedł do grupki ewangelickich uczniów toruńskiego gimnazjum akademickiego i zażądał, by zdjęli czapki i uklękli. Gdy odmówili, strącił im czapki z głów, a jednego z gimnazjalistów uderzył w twarz. Po krótkiej bijatyce Lisiecki pobiegł za procesją, ale po południu, gdy wychodził z kościoła św. Jakuba, znów ujrzał protestantów i rzucił się do bójki. Tłukących się młodzieńców usiłował uspokoić i rozdzielić mieszczanin Dawid Heyder, ewangelik, ale bijatykę, niebezpieczną, bo szlacheccy w większości uczniowie chadzali przy szablach, zakończyła dopiero interwencja zbrojnej straży miejskiej i aresztowanie krewkiego Lisieckiego – na rozkaz burmistrza Roesnera.

Nazajutrz od rana działo się źle. Uczniowie jezuiccy po bezskutecznej interwencji u burmistrza rzucili się na ulicy na przechodzącego Heydera. Straż miejska znów ich powstrzymała i aresztowała kolejnego jezuickiego wychowanka. Studenci kolegium wieczorem porwali z ulicy ewangelickiego ucznia gimnazjum. Rozeźlony tym występkiem Roesner cofnął właśnie wydane polecenie zwolnienia Lisickiego. Tymczasem wieczorem

tłum ewangelickich torunian otoczył budynek kolegium. Kamieniami zaatakowali ich katoliccy studenci.

Dopiero gdy straż miejska na rozkaz burmistrza dała 2 salwy z muszkietów w powietrze, zamieszki ustały. Zakładników obu stron rychło uwolniono. Cóż z tego, skoro nocą buchnęła plotka, że w jezuickim kolegium więziony jest jeszcze jeden ewangelicki uczeń. Tłum wzburzonych luteran zdemolował budynek kolegium, zniszczył sprzęty, bibliotekę, sprofanował święte obrazy i kaplicę.

A to już była zbrodnia gardłowa.

Burmistrz Roesner mógł szybkim dochodzeniem i surowym ukaraniem sprawców zamieszek i zniszczeń w budynku kolegium jezuitów kwestię tumultu zamknąć, ale liczył, że sprawa ta, jak wiele wcześniejszych religijnych awantur, w których nie było śmiertelnych ofiar, jakoś rozmyje się w dochodzeniach i procedurach sądowych i w końcu przyschnie. Burmistrz nie docenił jednak siły właśnie wzbierającej w Rzeczypospolitej fali nietolerancji. I nie przewidział, że król August II zechce wykorzystać tumult w polityce wewnętrznej. Plan króla był prosty – w Toruniu karać tak surowo, jak tylko prawo dopuszcza, a przy okazji na sejmie zwyczajnym przepchnąć w cieniu sprawy toruńskiej miłe sobie uchwały.

Sąd asesorski rozpatrywał sprawę toruńskiego tumultu od 26 października do 16 listopada.

Wyrok był nadspodziewanie dla torunian surowy. Na śmierć skazano burmistrza Roesnera i wiceburmistrza Zerneckego. Obaj mieli być ścięci. Za najście cmentarza św. Jana i kolegium jezuitów na śmierć pod toporem skazani zostali mieszczanie Heyder, Mohaupt, Hertel, szewcy Mertz i Wunsch, rzeźnik Karwiese, piernikarz Hafft, iglarz Schulz, cieśla Gutbrod, guzikarz Becker, mularczyk Hans Christoph. 50 uczestników tumultu dostało kary więzienia i publicznej chłosty. Na dobitkę użytkowany przez

ewangelików kościół Maryi Panny miał być przekazany franciszkanom, a połowa rajców odtąd miała być koniecznie katolicka.

Nadejścia z Warszawy poczty z wyrokiem tłumy torunian oczekiwały na ulicach do później nocy 18 listopada z pochodniami i latarniami. Nazajutrz dowódca straży miejskiej mjr d'Argellez na rozkaz z Warszawy postawił warty przed domami burmistrza Roesnera i wiceburmistrza Zerneckego; pozostali skazani dawno już siedzieli w miejskich lochach.

Przedwczoraj komisja złożona z 21 przybyłych do Torunia komisarzy, pośród których byli: wojewoda pomorski Działyński, podkomorzy koronny Lubomirski, wojewoda chełmiński Rybiński, stolnik poznański Poniński, raz jeszcze przesłuchała skazanych i utrzymała wyrok sądu asesorskiego, dodając jedynie, że ci, którzy dobrowolnie przejdą na katolicyzm, będą ułaskawieni.

Konwersję wybiera Dawid Heyder, który pierwszego dnia tumultu rozdzielał zwaśnionych uczniów i studentów. Mularczyk Hans Christoph ucieka z więzienia i ukrywa się gdzieś na wsi.

Wczoraj komisarze zawiadomili wiceburmistrza Zerneckego, że jego egzekucja ma być odłożona, na razie do soboty 9 grudnia, bo wstawiło się za nim wielu wpływowych torunian i dworzan królewskich.

O 5.00 nad ranem oddział dragonów podkomorzego koronnego Jerzego Lubomirskiego zatrzymuje się przed schodkami u drzwi domu burmistrza Roesnera. Spieszeni dragoni w obecności dwóch królewskich komisarzy, w tym Lubomirskiego, wyprowadzają Roesnera i wiodą go na wewnętrzny dziedziniec ratuszowy.

Po drodze burmistrz, widząc, że to nie przelewki, głośno oświadcza, że rozmyślał tej nocy o zmianie wiary na katolicką, i prosi, by bez zwłoki przyprowadzono doń bernardynów, których

ledwie parę godzin temu ze swego domu odprawił. Tylko zmiana konfesji może go teraz ocalić. Ale komisarze nie chcą już z nim dyskutować, twardo odmawiają wezwania zakonników i każą straży prowadzić skazanego dalej.

Na ratuszowym dziedzińcu, rozświetlonym pochodniami i latarniami, czeka już kat sprowadzony z Płocka. Toruński mistrz nie powinien przecież wykonać wyroku na burmistrzu, który go do pracy najmował.

Mistrz z Płocka wszystko już przygotował.

Jest katowski pień, jest naostrzony topór, jest korytko z piaskiem do zasypania kałuży krwi. Obok, pod murem, czeka trumna. Żołnierze otaczają pień ciasnym czworobokiem. Pomocnik kata szybko rozbiera Roesnera do koszuli, wiąże mu ręce na plecach. Potem zdejmuje perukę i nagina burmistrza do katowskiego pnia. Skazaniec opada na kolana, układa szczękę w stosownym wycięciu. Drewno po nocy jest wilgotne, dreszcz przeszywa ciało burmistrza. Kat unosi masywny topór z szerokim ostrzem. Potężne uderzenie, obrzydliwe mlaśnięcie. Głowa Roesnera spada do koszyka. Kat wraz z pomocnikiem składają bezgłowe ciało do trumny, dokładają do niej głowę.

Burmistrz Roesner ścięty został bladym świtem, tylko w obecności żołnierzy i komisarzy. Uniemożliwienie gawiedzi gapienia się na egzekucję jest wyrazem szacunku komisarzy dla godności burmistrza – tak jak i ich polecenie, by o godzinie 10.00 odnieść trumnę Roesnera do jego domu.

Przed 11.00 jednak ratuszowy dziedziniec pełen jest już gapiów. Żołnierze prowadzą 5 skazańców: Mohaupta, Hertla, Beckera, Mertza i Wunscha. Na ich zwłoki czeka wóz zaprzęgnięty w konie. Kat ścina ich sprawnie. Umierają przy akompaniamencie głośnych komentarzy i okrzyków gawiedzi. Żołnierze wiodą teraz do zalanego

krwią pnia katowskiego jeszcze 4 skazańców. Karwiese, Gutbrod, Schulz i Hafft po kolei przed śmiercią muszą położyć na pniu prawe ręce, które kat ucina toporem – to kara za sprofanowanie jezuickiej kaplicy – a dopiero potem położyć swoje głowy na zalane krwią drewno. Kat z pomocnikiem wywożą zwłoki ostatnich 4 ściętych pod miasto. Obok szubienicy miejscy pachołkowie ułożyli zawczasu potężny stos – spalenie zwłok to reszta dodatkowych kar za sprofanowanie kaplicy. Mistrz i pomocnik układają na nim 4 ciała i 4 głowy. Na koniec podpalają drewno.

8 grudnia 1980 ▪ poniedziałek

Właśnie zastrzeliłem Lennona

Mark David Chapman budzi się w nowojorskim hotelu Sheraton. Po śniadaniu niespiesznie rusza w stronę luksusowego budynku mieszkalnego Dakota House przy Siedemdziesitej Drugiej Zachodniej Ulicy, obok Central Parku. Ten stary gmach ma pseudogotycki wystrój i cieszy się pewną sławą: tu Roman Polański kręcił sceny do *Dziecka Rosemary*, tu mieszkają gwiazdy show-biznesu: Lauren Bacall, Roberta Flack, Gilda Radner, Leonard Bernstein, John Lennon z Yoko Ono. Codziennie przed masywną bramą z kutego żelaza gromadzi się grupka fanów Lennona. Wiedzą, że ich idol zwykle nie odmawia autografów.

Mark Chapman dołącza do kilku osób wyczekujących przed bramą. W ręku trzyma *Double Fantasy*, najnowszy album wydany przez Lennona wspólnie z Yoko. Carol Miller, która jak co dzień przechodzi właśnie koło nieco mrocznego wejścia do Dakoty,

przygląda mu się podejrzliwie. Otyły, podstarzały, na oko 30-letni facet nie wygląda na fana.

Jeszcze bardziej zaniepokoiłaby ją zawartość kieszeni Chapmana. W jednej jest powieść J.D. Salingera *Buszujący w zbożu*, w drugiej 5-strzałowy rewolwer.

Życiorys Chapmana wprawiłby panią Miller wręcz w panikę. W dzieciństwie Mark był fanatycznym miłośnikiem Beatlesów. Ich fotografiami wykleił ściany pokoju, całymi dniami grywał na gitarze ich piosenki. Trochę eksperymentował z LSD. Wszystko to wprawiało we wściekłość ojca, sierżanta lotnictwa wojskowego, zwolennika jeżyka na głowie i prostych recept na życie. Ale wojskowe metody wychowawcze ojca sierżanta niewiele pomagały.

W wieku 15 lat Chapman znienacka z miłośnika Beatlesów stał się żarliwym wyznawcą Jezusa. Ostrzygł się, założył białą koszulę, czarny krawat, a na piersiach zawiesił duży drewniany krzyż. Nawracał kolegów w szkole. Zasłynął wtedy z nieprzejednanej niechęci do broni palnej. Gdy wylano go po pierwszym semestrze studiów i rzuciła go narzeczona, zapałał uczuciem do broni. Zapisał się na kurs dla ochroniarzy. Trenował tak zapamiętale, że testy strzeleckie zdał z wyróżnieniem. Wtedy wróciła mu fascynacja Beatlesami, a konkretnie: Johnem Lennonem. Zapuścił włosy, znów zaczął zbierać płyty Beatlesów. Ich utworów słuchał niemal bez przerwy. Przeprowadził się na Hawaje i tam ożenił z Japonką. Tak jak Lennon. Pracował w szpitalu jako dozorca i strażnik. Na służbowe tabliczki ze swoim nazwiskiem naklejał taśmę z napisem „John Lennon".

Od pewnego czasu Chapman zaczytywał się w *Buszującym w zbożu* J.D. Salingera. Ciągle wracał do monologu bohatera powieści Holdena Caulfielda: „Wyobrażam sobie tych wszystkich

malców, bawiących się wśród ogromnych pól zboża... tysiące, tysiące malców i nikogo dorosłego w okolicy – z wyjątkiem mnie. Jeśli oni dokądś pobiegną, nie wiadomo dokąd... trzeba, żebym ich zatrzymał". Przed kilkoma tygodniami zwrócił się do sądu na Hawajach o zmianę nazwiska z Mark Chapman na Holden Caulfield. Nie udało się. Chapman za 169 dolarów kupił rewolwer i przed 2 dniami przyleciał do Nowego Jorku. Zatrzymał się w domu YMCA, 9 kamienic od Dakota House. 2 dni wystawał przed bramą z innymi fanami Lennona. Wreszcie wczoraj przeprowadził się do Sheratona i zamówił luksusową kolację. Zjadł ją sam.

Mijają godziny, a Lennon nie opuszcza mieszkania. Chapman cierpliwie czeka przed drzwiami Dakoty. Wreszcie o 17.00 pojawiają się Lennon i Yoko Ono. Chapman podchodzi, podsuwa płytę *Double Fantasy* i pyta:

– John, możesz podpisać?

– Jasne – odpowiada Lennon i składa na okładce autograf: „John Lennon 1980". Obok stoi fan Lennona Paul Goresh i naciska migawkę aparatu fotograficznego.

– Czy to wszystko? – pyta uprzejmie Lennon.

– Tak. Dzięki, John – odpowiada Chapman.

Lennon z Ono wsiadają do wynajętej limuzyny. Jadą do studia nagraniowego The Record Plant. Tam z producentem Jackiem Douglasem zabierają się do pracy nad nagraniem piosenki *Walking on Thin Ice* (Spacerując po cienkim lodzie). W czasie nagrania reporterom z San Francisco udaje się dostać do studia. Lennon nie udziela wywiadów, ale teraz nieoczekiwanie zgadza się na rozmowę. Mówi o synu Seanie i Yoko: „Najważniejszą sprawą w moim życiu jest Sean. Mam obecnie więcej powodów niż dawniej, aby starać się zachować zdrowie i jasność umysłu. Chcę także być z moim najlepszym przyjacielem. A jest nim moja żona.

[...] Wierzę, że nie przestanę pracować aż do dnia, w którym umrę i zostanę pochowany, a mam nadzieję, że mam przed sobą jeszcze dużo, dużo czasu".

W bramie Dakoty Mark Chapman chroni się przed przejmującym, zimnym wiatrem. Czyta *Buszującego w zbożu*.

Nagranie w The Record Plant kończy się o 22.30. Lennonowie mieli jechać na kolację, ale zmieniają zdanie. Wsiadają do limuzyny i jadą prosto do domu. Pod Dakotą są o 22.50. Yoko wysiada pierwsza, John idzie kilka kroków za nią. Gdy wchodzi do bramy, ktoś woła za nim: „*Mr*. Lennon!". Odwraca się i dostrzega w mroku mężczyznę z rewolwerem. Chapman trzyma broń oburącz, stoi na lekko ugiętych nogach. Tak jak uczono go na kursie dla ochroniarzy. Wystrzeliwuje wszystkich 5 pocisków. Trafia czterokrotnie. Lennon krzyczy rozpaczliwie: „Zastrzelił mnie!". Słaniając się na nogach, dochodzi do schodów, pokonuje 6 z nich i pada tuż pod dyżurką strażnika.

Chapman rzuca broń. Strażnik podbiega, kopnięciem odrzuca rewolwer i pyta:

– Czy wiesz, co zrobiłeś?

– Właśnie zastrzeliłem Johna Lennona – odpowiada spokojnie Chapman. Składa ręce na podołku i spokojnie czeka na policję. Po chwili wyciąga *Buszującego w zbożu* i czyta go w świetle lampy.

Yoko trzyma w ramionach rzężącego, plującego krwią Johna. Zdenerwowany portier wzywa policję. Zapomina powiedzieć, kto padł ofiarą zamachu. Policjanci nadjeżdżają dość szybko. Ranny bardzo krwawi, więc nie czekają na karetkę, przenoszą go do swego wozu i układają na tylnym siedzeniu. Pędem ruszają do pobliskiego Szpitala Roosevelta. Lennon jest przytomny. Jeden z policjantów boi się, że straci przytomność, i ciągle zagaduje go. Pyta, czy wie, jak

się nazywa. Lennon wydusza z najwyższym trudem: „*Yeah*”. Tuż przed szpitalem umiera.

Lekarze z Roosevelta to zawodowcy, nie poddają się tak szybko. Ofiara trafia na stół reanimacyjny. Natychmiastowa kroplówka, masaż serca. Ale postrzelony nie ma szans, stracił aż 3 l krwi. Po półgodzinie lekarze rezygnują. Jeden z policjantów przeszukuje kieszenie ubrania zmarłego.

– Jezu Chryste, to John Lennon! – krzyczy.

Wiadomość o śmierci rozchodzi się natychmiast. Przed północą stacje radiowe na całym świecie przerywają programy i nadają muzykę Beatlesów oraz Johna i Yoko. Nawet Radio Moskwa poświęca mu półtoragodzinną, improwizowaną audycję. W USA w całodobowych sklepach z płytami koło północy zaczyna się szaleńczy ruch – wszyscy kupują płyty Beatlesów. Już godzinę po śmierci Johna przed Dakota House gromadzi się kilka tysięcy nowojorczyków. Płonących świec jest tak wiele, że trudno wejść do budynku.

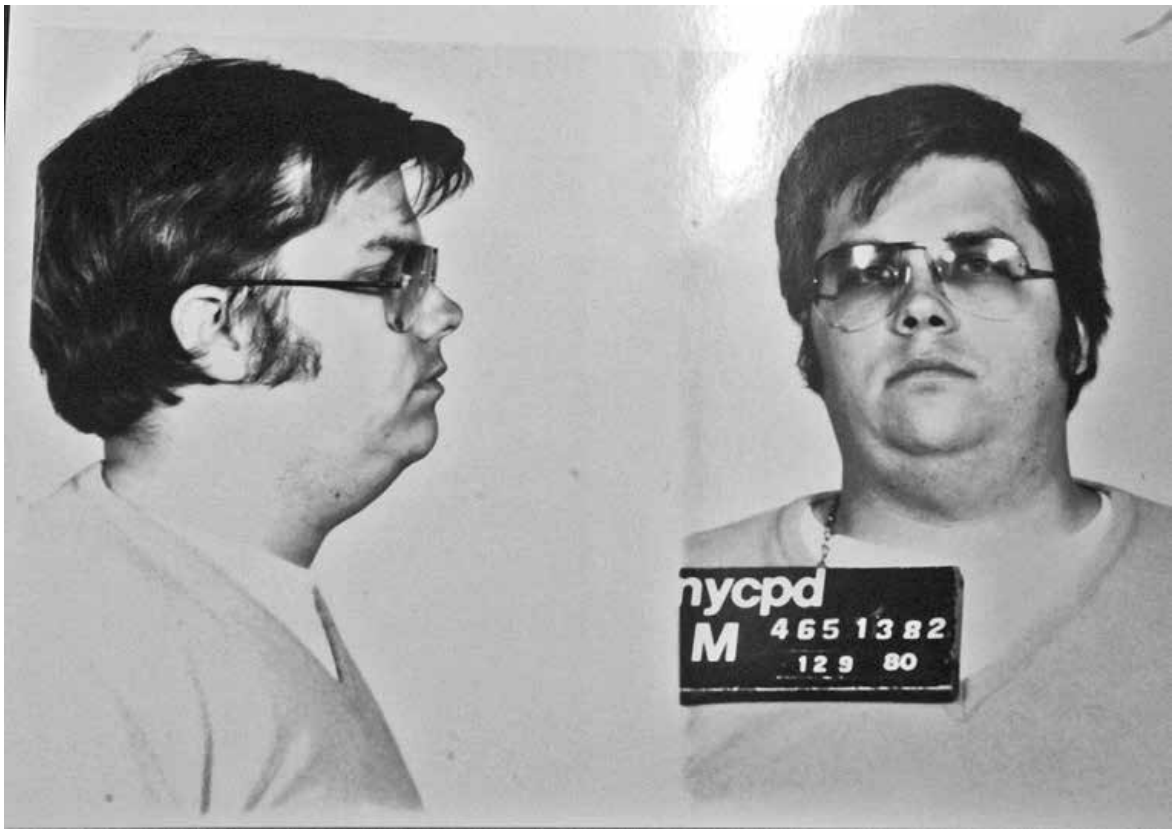

Policyjna fotografia Marka Davida Chapmana

9 grudnia 1922 ▪ sobota

Jak fala

Przed gmachem Sejmu już przed 8.00 gromadzi się tłum. Ton nadają studenci prawicowych korporacji akademickich i sympatycy Narodowej Demokracji. Wszyscy czekają na wejściówki.

O 9.00 jest już jasne, że dodatkowych wejściówek nie będzie, ale tłum czeka.

W Sejmie wre jak w ulu. Za kilka godzin po raz pierwszy Zgromadzenie Narodowe wybierze prezydenta niepodległej

Rzeczypospolitej. Posłowie i senatorowie zapamiętale dyskutują w kuluarach.

Jest nad czym debatować. Po wyborach parlamentarnych, które odbyły się miesiąc temu, żadne z ugrupowań nie zdobyło w Sejmie zdecydowanej większości. Nie widać także zdecydowanego faworyta w wyborach prezydenckich. Przed 5 dniami naczelnik państwa Józef Piłsudski nieoczekiwanie ogłosił, że nie będzie ubiegał się o ten urząd. Piłsudski, którego misja jako naczelnika skończy się z chwilą wybrania prezydenta, stwierdził, że konstytucja przyznaje głowie państwa zbyt małe kompetencje.

Marszałek dyskretnie popierał kandydaturę przywódcy PSL „Piast" Wincentego Witosa, ale ten pomysł jest już nieaktualny. Prezes PSL „Wyzwolenie" Stanisław Thugutt podczas dramatycznej nocnej rozmowy z Witosem w mieszkaniu redaktora „Kuriera Porannego" Ludwika Fryzego odmówił zgody na proponowany przez gospodarza układ „wasz prezydent, nasz premier" – Witos na prezydenta, Thugutt na premiera. Thugutt przestraszył się, że autorytet Witosa jako prezydenta przyciągnie chłopów z „Wyzwolenia" do „Piasta".

Tego ranka w Sejmie nikt nie ma pojęcia, czym skończą się głosowania.

O 9.30 PSL „Wyzwolenie" zaprasza na spotkanie przedstawicieli wszystkich partii lewicowych oraz „Piasta". Szybko jednak okazuje się, że jakiekolwiek porozumienie w sprawie wspólnej kandydatury na prezydenta jest niemożliwe. Poseł Jędrzej Moraczewski z PPS proponuje, by po 11.00 spotkali się wyłącznie posłowie klubów lewicy i mniejszości narodowych.

O 11.00 klub posłów żydowskich ogłasza, że skoro nie został osobno, zaproszony przez Moraczewskiego, to nie weźmie udziału w spotkaniu lewicy i wystawi dziś własną kandydaturę. Posłowie

mniejszości żydowskiej zamierzają zgłosić kandydaturę – jak sami mówią, „demonstracyjną" – prof. Jana Badouin de Courtenay, wybitnego językoznawcy, wolnomyśliciela i pacyfisty. Do koniecznych dla zgłoszenia 50 głosów brakuje posłom żydowskim jednak 6. Poseł Thon rusza do klubu posłów białoruskich, by uzyskać brakujące głosy.

O 11.15 zaczyna się konferencja klubów lewicy. Po półgodzinie chaotycznej dyskusji staje się jasne, że wspólnego kandydata nie będzie. Kluby postanawiają głosować na swoich kandydatów. PPS na zasłużonego działacza socjalistycznego Ignacego Daszyńskiego. Narodowa Partia Robotnicza, podobnie zresztą jak PSL „Piast" – na Stanisława Wojciechowskiego, współzałożyciela PPS, który później z partią socjalistyczną zerwał i poświęcił się organizowaniu spółdzielczości.

PSL „Wyzwolenie" decyduje się głosować na prof. Gabriela Narutowicza.

Urodzony w szlacheckiej rodzinie na Żmudzi (dalekie powinowactwo łączy go z Józefem Piłsudskim), od 20. roku życia przebywał Narutowicz w Szwajcarii. Na politechnice w Zurychu został profesorem inżynierii wodnej. W Szwajcarii, a od 1911 roku także na ziemiach Polski, zaprojektował szereg zapór i elektrowni wodnych. W 1920 roku wrócił do kraju. Rychło został przewodniczącym Państwowej Rady Odbudowy, potem ministrem robót publicznych i w końcu – spraw zagranicznych. Narutowicz słynie z powagi, godności i uczciwości.

Narada stronnictw lewicy i mniejszości kończy się jedynie postanowieniem, że w kolejnych turach głosowań kluby lewicy opowiedzą się solidarnie za tym z kandydatów, który w pierwszej turze uzyska najwięcej głosów.

Na prawicy panuje zamęt nie mniejszy niż na lewicy. Marszałek Sejmu Wojciech Trąmpczyński nieoczekiwanie oświadcza, że rezygnuje z kandydowania, i prosi, by posłowie „bloku narodowego" głosowali na hrabiego Maurycego Zamoyskiego. To zadziwiający zwrot sytuacji. Politycy prawicy powinni przecież rozumieć, że kandydatura wielkiego posiadacza ziemskiego, ordynata zamojskiego hrabiego Zamoyskiego nie ma w Zgromadzeniu Narodowym szans, gdyż jest nie do przyjęcia dla obu partii ludowych. W kuluarach dezorientacja i podniecenie posłów wszystkich klubów sięgają zenitu.

O 12.05 rozlegają się dzwonki wzywające na salę obrad.

Tuż przed wejściem szefowie klubów mniejszości żydowskiej, niemieckiej i białoruskiej zawiadamiają swych posłów, by w pierwszym głosowaniu wpisywali na karty nazwisko prof. Badouin de Courtenay.

O 12.10 marszałek Maciej Rataj ujmuje laskę i ogłasza: „Otwieram posiedzenie Zgromadzenia Narodowego".

Loże dyplomatyczna i dla publiczności pękają w szwach.

Po wyborze sekretarzy i złożeniu ślubowania przez 4 posłów i 2 senatorów, którzy tego obowiązku dotąd nie dopełnili, marszałek wzywa do składania kandydatur. Do sejmowej trybuny podchodzą przedstawiciele klubów poselskich z kartkami. Po chwili marszałek oficjalnie ogłasza, że kandydatami są Jan Badouin de Courtenay, Ignacy Daszyński, Gabriel Narutowicz, Stanisław Wojciechowski i Maurycy Zamoyski.

Sekretarz poseł Sołtyk odczytuje regulamin głosowania. W tym czasie urzędnicy biura sejmowego ustawiają 2 urny wyborcze na zdobnych kolumnach poniżej trybuny.

O 12.17 sekretarz Sołtyk zaczyna odczytywać imienną listę uprawnionych do głosowania. Pierwszy wrzuca kartę do urny

senator Ernest Adam. Głosowanie trwa nieco ponad kwadrans.

Podczas liczenia głosów posłowie i senatorowie szczelnie wypełniają sejmowy bufet i korytarze. W kuluarach krąży plotka, że prawica jednak poufnie dogadała się z „Piastem" i prezydentem będzie hrabia Zamoyski. Korespondent Associated Press nie chce dać się ubiec konkurencji i zagrywa *va banque* – wysyła do Stanów depeszę, że prezydentem został Zamoyski.

O 14.05 dzwonki wzywają na salę. Sekretarz poseł Sołtyk odczytuje wyniki. Głosowało 541 posłów i senatorów. Głosów nieważnych oddano 4, ważnych – 541. Wymagana bezwzględna większość – 271 głosów. Zamoyski otrzymał 222 głosy; Wojciechowski – 105, Badouin de Courtenay – 103, Narutowicz – 62, Daszyński – 69.

Marszałek Rataj ogłasza, że nikt nie uzyskał wymaganej większości, i zarządza drugie głosowanie.

Socjaliści i posłowie mniejszości narodowych do ostatniej chwili gorączkowo naradzają się na korytarzu. PPS decyduje się przerzucić swe głosy na Wojciechowskiego, mniejszości zaś na Narutowicza.

W drugim głosowaniu hrabia Zamoyski dostaje 228 głosów, Wojciechowski – 152, Narutowicz – 151, Daszyński – 1, Badouin de Courtenay – 10.

Znów nikt nie ma koniecznej większości. Zgodnie z regulaminem Zgromadzenia Narodowego, z gry odpada Ignacy Daszyński.

Trzecie głosowanie kończy się o 16.15. Hrabia Zamoyski znów ma 228 głosów. Wojciechowski – 150, Narutowicz – 158. Najmniej, bo tylko 5 głosów, uzyskuje Badouin de Courtenay i teraz to on odpada.

Czwarte głosowanie kończy się o 17.30. Pół godziny później sekretarz poseł Sołtyk ogłasza, że Zamoyski otrzymał 224 głosy, Narutowicz – 171, zaś Wojciechowski 146. Elektorzy z podnieceniem

komentują wyniki głosowania. 4 posłów prawicy musiało przerzucić swe głosy na Narutowicza! Także 4 głosujących wcześniej na Wojciechowskiego teraz poparło Narutowicza.

Marszałek Rataj stwierdza, że wymaganej większości znów nikt nie uzyskał i z kolejnego głosowania odpada Stanisław Wojciechowski.

Piąte, rozstrzygające starcie zaczyna się o 18.30.

PPS decyduje się poprzeć Narutowicza.

Liczenie głosów przedłuża się. Posłowie prawicy skandują: „Wynik! Wynik!".

Marszałek Rataj wyjaśnia, że głosy już policzono, ale komisja spisuje jeszcze oficjalny protokół. Wreszcie są wyniki: Zamoyski – 227 głosów, Narutowicz – 289.

Posłowie „Piasta" i NPR w tej rundzie w większości głosowali za Narutowiczem, ale wielu z nich oddało białe kartki.

Głos zabiera marszałek Rataj: „Na podstawie tego wyniku głosowania stwierdzam, że bezwzględną większość otrzymał pan Gabriel Narutowicz, i ogłaszam, że pan Gabriel Narutowicz został wybrany prezydentem Rzeczypospolitej".

Rozlegają się oklaski. Prawa strona sali siedzi nieruchomo.

Na wieść o wyborze Narutowicza tłum sympatyków endecji stojący przed Sejmem skanduje: „Nie chcemy takiego prezydenta! Nie znamy go! Precz z Żydami!". Ktoś wspina się na podmurówkę i gardłuje nad głowami: „Nie chcemy prezydenta wybranego głosami Żydów, Niemców i innych mniejszości!".

Przed 21.00 na Krakowskim Przedmieściu i na Nowym Świecie zbiera się demonstracja zwolenników Narodowej Demokracji. Kilka tysięcy ludzi przechodzi pod Sejm i dalej, w Aleje Ujazdowskie, przed mieszkanie idola prawicy gen. Józefa Hallera. Tłum wiwatuje na jego cześć.

Haller nie daje na siebie długo czekać. Zjawia się wśród manifestantów i przemawia: „Rodacy i towarzysze broni! Wy, nie kto inny, swoją piersią bohaterską osłanialiście, jakby twardym murem, granice Rzeczypospolitej, rogatki Warszawy. [...] W dniu dzisiejszym Polskę tą, o którą walczyliście, sponiewierano. Odruch wasz jest wskaźnikiem, iż oburzenie narodu, którego jesteście rzecznikiem, rośnie i wzbiera, jak fala".

Odpowiedzią są chóralne okrzyki: „Precz z Żydami!", „Precz z prezydentem!".

Kilkunastu rozhisteryzowanych demonstrantów rzuca się całować dłonie Hallera.

Tłum rośnie z minuty na minutę. Po przemówieniu gen. Hallera demonstracja przechodzi na ul. Zgoda, przed redakcję prawicowej „Gazety Warszawskiej". Poprzedniego dnia, na pierwszej stronie, w redakcyjnym komentarzu przed wyborem prezydenta „Gazeta" grzmiała o możliwej koalicji lewicy i posłów mniejszości narodowych: „Państwo polskie stoi dziś wobec nowej, niemal jawnej i otwartej próby inwazji żydowskiej". Teraz do tłumu przemawia redaktor „Gazety" Mieczysław Trajdos. Po nim głos zabiera poseł endecki Antoni Sadzewicz. Narutowicza nazywa on „żydowskim elektem", a wynik wyborów – potwornością.

W końcu Sadzewicz wzywa tłum do rozejścia się i wznowienia demonstracji nazajutrz, ze zdwojoną siłą.

Inny pochód sympatyków endecji maszeruje w tym czasie przed gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym do niedawna urzędował Gabriel Narutowicz. Kordon policji zatrzymuje demonstrację.

Policja nie jest jednak w stanie powstrzymać jeszcze jednej endeckiej demonstracji, która dociera pod okna redakcji „Kuriera Porannego". Prawica oskarża ostatnio „Kurier" o sympatie dla

mniejszości narodowych i socjalistów. 5-tysięczny tłum krzyczy: „Precz z Żydami! Precz z żydowskim prezydentem!”. Policja rozprasza tłum. Demonstranci umawiają się na następny dzień.

Prezydent Narutowicz tuż po zaprzysiężeniu

10 grudnia 1956 ▪ poniedziałek

Za co?

Na rogu al. Wojska Polskiego i pl. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Szczecinie, przed winiarnią Mascotte, zatacza się obywatel. Pomocnik murarski Stanisław Bartosik popijanie rozpoczął dziś już wczesnym popołudniem. Teraz, o 18.30, jest w świetnym humorze. Ledwie wychodzi delikatnym zygzakiem z Mascotte i przyjaźnie

zagaduje najbliższych przechodniów, zauważają go 2 milicjanci. Szer. Władysław Kurkowski i kprl Matyszek z Kompanii Operacyjnej Komendy Miejskiej MO wracają po służbie do domu. Na widok nietrzeźwego obywatela odzywają się w nich dusze służbistów i natychmiast przystępują do legitymowania. Mężczyzna bez protestu podaje dokumenty. Milicjanci postanawiają doprowadzić Bartosika do najbliższego komisariatu MO, ale to kawał drogi – dokładnie 1200 m. Zatrzymany, zamiast dziarsko maszerować do paki, powłóczy nogami, marudzi, opóźnia pochód. W końcu zaczyna się użalać: „Za co mnie zamykacie? Za to, że jestem Polakiem? Zawsze piłem i będę pił!". Im żałośniej zawodzi nietrzeźwy pomocnik murarski, tym więcej przechodniów zatrzymuje się w pobliżu. Milicjanci idą z Bartosikiem na postój taksówek. Ale taksówki stoją na postojach tylko w filmach; w Szczecinie na postoju czeka dziś jedynie kolejka niedoszłych pasażerów. Jeden z milicjantów idzie do budki telefonicznej, by wezwać samochód pogotowia MO. Telefon działa, jednak dyżurny milicyjnego pogotowia ma złe wieści: wszystkie samochody są w mieście. Trzeba czekać.

Na postój zajeżdża w końcu taksówka. Milicjanci zajmują ją poza kolejnością. Coraz więcej przechodniów przystaje i przysłuchuje się żałosnym okrzykom zatrzymanego. Atmosfera w mieście jest napięta. Nadzieje na odwilż polskiego Października coraz wyraźniej są płonne: w zeszłym miesiącu milicja i wojsko brutalnie rozpędziły manifestacje i lokalne zamieszki w Płocku, Warszawie, Olecku i Bydgoszczy. Tematem dnia ciągle jest dramatyczna sytuacja po stłumieniu antykomunistycznego i antysowieckiego powstania na Węgrzech: trwają tam aresztowania, Budapeszteńska Rada Robotnicza proklamowała na jutro i pojutrze strajk generalny, a w odpowiedzi promoskiewski rząd Jánosa Kádára zerwał

wszystkie połączenia telefoniczne Węgier z zagranicą. O tym wszystkim informuje nawet „Trybuna Ludu".

Szer. Kurkowski wpycha Bartosika na tylne siedzenie, wsiada i usiłuje zamknąć drzwi. W tym momencie z tłumu wyskakuje mężczyzna i chwyta za drzwiczki. Grupa młodzieży otacza taksówkę, uderza dłońmi w karoserię, woła: „Puśćcie go! Za co go zamykacie?!".

Szer. Kurkowski wysiada i wzywa tłum do rozejścia się. W odpowiedzi ktoś krzyczy: „Bić blacharzy!".

Kilku mężczyzn chwyta szer. Kurkowskiego, szarpie nim. Kurkowski resztką sił przytrzymuje kaburę, którą usiłują odpiąć rozwścieczeni przechodnie.

Tłum przewraca na bok taksówkę z taksówkarzem, zatrzymanym i drugim milicjantem.

15-letni na oko chłopak, widząc nadjeżdżający tramwaj linii nr 1, woła: „Zatrzymamy tramwaj!", i staje na szynach. Gdy motorniczy wyhamowuje, ktoś z tłumu oblegającego przewróconą taksówkę wskakuje do tramwaju, wypędza pasażerów. Tłum wybija szyby w przepełnionym tramwaju, zrywa kable. Tory są zablokowane. Pasażerowie „jedynki" dołączają do zbiegowiska. Za „jedynką" z konieczności zatrzymują się kolejne tramwaje. Z jednego z nich wysiada powracający ze służby milicjant chor. Stychlarz i próbuje osłaniać przewróconą taksówkę. Przyłącza się do niego przechodzący obok inny milicjant, ppor. Matuszewski.

Do tłumu podjeżdża pędem milicyjny gazik. Stychlarz i Matuszewski z pomocą kaprl. Matyszka wyszarpują Stanisława Bartosika z przewróconej taksówki. Wpychają go do gazika i czym prędzej odjeżdżają.

Mija 19.00. Ulice w centrum miasta należą bezapelacyjnie do demonstrantów. Szczecinianie wołają: „Milicja morduje ludzi! Bić blacharzy!".

Tłum liczy już 3 tys. osób. Część demonstrantów rusza w stronę I. Komisariatu MO. 3 milicjantów barykaduje się wewnątrz. Skutecznie. Demonstranci usiłują wyważyć drzwi, ale nie dają rady. Sfrustrowani, wybijają tylko szyby. O 19.30 druga grupa manifestantów dociera pod budynek Komendy Dzielnicowej MO Śródmieście. Ale i tu szturm pali na panewce.

Mężczyzna, który pierwszy szarpnął drzwi zajętej przez milicjantów taksówki, staje na podmurówce i woła: „Bracia rodacy! Idziemy na więzienie, tam są nasi koledzy, trzeba ich wypuścić!". Tłum rusza pod więzienie. Drogę zagradza mu kilku oficerów milicji pod wodzą zastępcy komendanta wojewódzkiego MO kpt. Ruminkiewicza, ale demonstranci rozpędzają ich bez trudu.

W komitecie wojewódzkim PZPR i komendzie wojewódzkiej MO panika. O 19.20 dowódca lokalnego pułku Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego otrzymuje rozkaz wysłania żołnierzy na odsiecz oblężonemu więzieniu. Spanikowani funkcjonariusze partyjni wydają polecenie doraźnego zorganizowania milicji studenckiej i rzucenia jej przeciw demonstrantom. Kilka grup aktywistów studenckich rusza z akademików w stronę centrum. Na jedną z nich wpada kolumna ciężarówek z żołnierzami KBW, jadąca w stronę więzienia. Cywile maszerujący w zwartym szyku? Żołnierze KBW bez namysłu obrzucają studenckich aktywistów granatami z gazem łzawiącym, tłuką ich kolbami karabinów.

Tymczasem nad tłumem szturmującym więzienie pojawia się transparent z protestem przeciw sowieckiej agresji na Węgrzech, ale to wszystko, na co stać demonstrantów. Ich kolejne szturmy są nieporadne i więzienni strażnicy odpierają je z łatwością.

80 żołnierzy KBW desantuje się przed więzieniem z ciężarówek. Ich dowódca jest jednak niewolnikiem regulaminów. Zamiast z marszu rzucić żołnierzy do ataku i rozproszyć zaskoczonych

cywilów, ustawia podwładnych w porządny dwuszereg. Zaskoczenie z powodu pojawienia się regularnej jednostki wojskowej mija i demonstranci spokojnie mogą wydłubywać z jezdni kostki brukowe. Gdy kompania KBW rusza do natarcia, zatrzymuje ją lawina kamieni. Demonstranci otaczają żołnierzy i atakują stojące za nimi ciężarówki. Przed całkowitą klęską ratuje KBW pojawienie się oddziału transporterów opancerzonych. Tłum przed więzieniem rozprasza się.

Ale na odtrąbienia zwycięstwa przez władze jest jeszcze za wcześnie. Część demonstrantów wybija szyby w nieodległym gmachu prokuratury, reszta znów zbiera się w alei Wojska Polskiego.

O 21.30 sekretarz komitetu wojewódzkiego PZPR wydaje KBW rozkaz zabezpieczenia najważniejszych obiektów w mieście. Ale dowódca KBW nie ma pojęcia, że w Szczecinie jest konsulat ZSRR. O 23.00 duża grupa demonstrantów rusza z alei Wojska Polskiego w stronę sowieckiego konsulatu przy ul. Piotra Skargi. Na widok kilkutysięcznego tłumu 2 milicjantów strzegących konsulatu zmyka ile sił w nogach. Demonstranci wdzierają się do budynku, demolują go, palą jakieś papiery. Gdy transportery opancerzone KBW docierają na Piotra Skargi, niemal pusty konsulat wygląda, jakby przeszedł przezeń huragan. Żołnierze zatrzymują tylko tuzin maruderów spośród demonstrantów.

Miasto jest w rękach szczecinian. Ulicami przeciągają pochody skandujących: „Żądamy podwyżki płac! Bić blacharzy! Pracy i chleba! Wolność dla Węgier!". O północy milicja i KBW zyskują przewagę nad demonstrantami. Ich grupki są coraz mniejsze, coraz szybciej rozpraszane są przez mundurowych. I coraz więcej cywilów z kajdankami na rękach trafia do milicyjnych nysek i na wojskowe ciężarówki. O 2.00 w nocy komuniści znów panują w Szczecinie.

11 grudnia 1913 ▪ czwartek

To u nas nie wisiało

Dwaj eleganccy dżentelmeni w ciemnych garniturach siedzą w biurze znanego florenckiego antykwariatu Galleria d'Arte Antica e Moderna. Gościem właściciela szanowanego marszanda Alfreda Geriego jest prof. Giovanni Poggi, od niedawna dyrektor sławnej Galerii Uffizi. Mija 15.00. Z każdą minutą obaj panowie są coraz bardziej zdenerwowani. Mężczyzna, na którego czekają, poprzedniego dnia zapowiedział Geriemu, że zjawi się o 15.00 i pokaże mu najsłynniejszy obraz świata, *Monę Lisę* Leonarda da Vinci.

Niemal 2,5 roku temu, w poniedziałek 22 sierpnia 1911 roku, w paryskim Luwrze odkryto, że najsłynniejsze dzieło Leonarda zostało skradzione. Śledztwo wyjaśniło niewiele. Nieznany sprawca, doskonale orientujący się w obyczajach panujących w ponoć najlepiej strzeżonym spośród francuskich muzeów, po prostu zdjął obraz ze ściany, wyjął go z ram, sforsował boczne, nieużywane drzwi i wyniósł arcydzieło zawinięte w płótno. Kradzieżą pasjonowała się cała Europa. Francuska prasa prześcigała się w rzucaniu podejrzeń: raz bulwarówki donosiły, że złodzieje z pewnością byli Niemcami, innym razem, że kradzieży dokonano na zlecenie słynnego amerykańskiego milionera Johna Pierponta Morgana. Płótno Leonarda zniknęło bez śladu.

Przed niespełna 2 tygodniami do antykwariatu Alfreda Geriego nadszedł list podpisany przez jakiegoś Vincenza Leonardiego z propozycją sprzedaży *Mony Lisy*. Leonardi pytał w nim, ile florencki antykwariusz mógłby zapłacić za skradzione arcydzieło. Geri uznał, że list napisał ktoś umysłowo chory, ale na wszelki

wypadek zasięgnął opinii prof. Poggiego. Ten doradził, by podtrzymać kontakt, i Geri odpisał na *poste restante*, że jeśli obraz jest autentyczny, gotów jest zapłacić każdą cenę. Tajemniczy Leonardi najpierw wezwał Geriego na rozmowę do Paryża, a gdy antykwariusz odmówił, nieoczekiwanie zaproponował w kolejnym liście, że osobiście zjawi się 10 grudnia w jego biurze. I rzeczywiście się zjawił. Niski, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna z małym wąsikiem zażądał za *Monę Lisę* pół miliona franków. Geri zgodził się, ale pod warunkiem że nazajutrz obraz obejrzeć będzie mógł jego ekspert. Spotkanie wyznaczono na godz. 15.00.

Leonardi zjawia się w biurze antykwariatu spóźniony o kwadrans. Geri przedstawia mu prof. Poggiego. Po chwili 3 panowie udają się pieszo do zapuszczonego, taniego hoteliku Tripoli-Italia. To przystań robotników, drobnych handlarzy, nieudanych artystów i osobników utrzymujących się z niejasnych źródeł. Portier podejrzliwie taksuje zatem 2 eleganckich gości prowadzonych przez lokatora, którego stać było jedynie na wynajęcie najtańszego pokoiku – malutkiej klitki na mansardzie 3. piętra.

Pokój nr 20 jest zagracony. Rozmaite utensylia malarskie świadczą, że lokator jest związany ze sztuką. Leonardi wyciąga spod łóżka dużą płaską drewnianą skrzynię. Pomalowana jest białą olejną farbą i zamknięta na zwykłą kłódkę. Leonardi bez pośpiechu otwiera kłódkę: skrzynia pełna jest pomazanych palet, niezbyt czystych pędzli malarskich, tubek po farbach i werniksie, malarskich szablonów ze skóry, poplamionych olejnymi farbami gałganów. W tym kłębowisku tkwi owinięta poplamionym ubraniem roboczym mandolina. Leonardi wykłada zawartość skrzyni. Gdy oczom jego gości ukazuje się puste dno, obaj nagle czują, że nieznajomy Włoch nabił ich w butelkę. Ale nie – Leonardi

manipuluje przy dnie walizki, unosi je i ze skrytki wyjmuje duży, płaski przedmiot owinięty miękkim czerwonym aksamitem. Bez słowa podaje go prof. Poggiemu. Dyrektor Galerii Uffizi rozwija aksamit i ukazuje się wyraźny kształt ramy starannie owiniętej w papier i oklejonej lnianymi taśmami. Teraz Poggi nie potrafi ukryć zdenerwowania. Ręce mu drżą, gdy przecina taśmy i odwija papier. Gdy obraz ukazuje się oczom Geriego i Poggiego, obaj wydają *unisono* bezwiedne okrzyki. To naprawdę wygląda na *Monę Lisę*! Goście oglądają odwrocie. Są tam wszystkie znaki, które powinny się znajdować na arcydziele Leonarda: pieczęć Luwru z koroną, burbońskimi liliami i inicjałami M.R. oznaczającymi muzea królewskie oraz numer katalogowy 316.

Ba, ale co teraz? Geri i Poggi nie ustalili zawczasu, jak mają się zachować, gdy tajemniczy Leonardi pokaże im prawdziwą *Monę Lisę*. Jeden fałszywy krok może wzbudzić u Leonardiego podejrzenia i skradzione arcydzieło zniknie. Więcej nawet, gdyby dziwny posiadacz obrazu nabrał wobec antykwariusza i dyrektora podejrzeń, ich życiu może zagrażać niebezpieczeństwo.

Pierwszy odzyskuje zimną krew prof. Poggi. Z udaną obojętnością proponuje – jakby było to coś najzupełniej oczywistego – że w tej sytuacji zabiera obraz do Uffizi, by tam przeprowadzić fachowe badania i ewentualnie potwierdzić autentyczność dzieła. Ku jego zdziwieniu Leonardi bez chwili wahania wyraża zgodę. Z powrotem zawija obraz w aksamit i uprzejmie proponuje, że oszczędzi im fatygi i sam odniesie *Monę Lisę* do Uffizi.

Wszystko idzie jak z płatka do chwili, gdy 3 panowie zjawiają się obok portierni na parterze. Czujny portier zatrzymuje ich i podejrzliwie dopytuje się, co tam dźwigają. Rad nierad, Leonardi rozwija aksamit i pokazuje *Monę Lisę*. Portier badawczo,

podejrzliwie wpatruje się w płótno Leonarda. W końcu mówi: „Nie, ten obraz w hotelu nie wisiał. Możecie iść".

W Galerii Uffizi Poggi i Geri odbierają obraz z rąk Leonardiego i obiecują mu, że nazajutrz po południu zjawią się u niego w hotelu z pieniędzmi. Leonardi, o dziwo, nie chce gwarancji ani pokwitowań.

Gdy tylko wychodzi z gmachu Uffizi, prof. Poggi zawiadamia policję i rezydującego w Rzymie generalnego dyrektora Komisji Sztuki i Starożytności Corrada Ricciego. Potem wraz z Alfredem Gerim uważnie ogląda obraz. Na szczęście nie widać uszkodzeń mechanicznych płótna, odprysków farby, śladów zanieczyszczeń, insektów ani grzybów.

Gdy obaj wybawcy *Mony Lisy* z ulgą stwierdzają, że obraz jest w doskonałym stanie, florencka policja puka do drzwi pokoju nr 20 w hotelu Tripoli-Italia. Jego lokator nie stawia oporu. Policjanci rewidują pokój, zabierają wszystkie przedmioty, które mogą łączyć się ze sprawą *Mony Lisy*. Natychmiast po aresztowaniu Leonardiego przesłuchuje osobiście prefekt florenckiej policji.

– Naprawdę nazywam się Vincenzo Perugia – oznajmia zatrzymany. Jest malarzem, specjalizuje się w lakiernictwie. Próbował sił jako artysta, ale w końcu na życie zarabiał jako rzemieślnik. Przed 6 laty wyruszył z rodzinnej miejscowości Dumenza w świat za chlebem. W końcu, przed paru laty, trafił do Paryża.

Gdy prefekt pyta, jak obraz trafił w ręce ubogiego lakiernika, Perugia milknie na dłuższą chwilę. Ale w końcu przyznaje się: „No tak, ja jestem rzeczywiście tym, który go zrabował". Wyjaśnia, że podczas pobytu w Paryżu zatrudnił się w Luwrze jako dekorator i często oglądał arcydzieło Leonarda.

– Pewnego dnia, gdy stałem przed obrazem, obudziła się we mnie myśl, że zwrócenie Włochom tego arcydzieła byłoby pięknym czynem. Porwanie obrazu nie nastręczało większych trudności, gdyż w Luwrze nie było surowego nadzoru. Wystarczyło wybrać moment, gdy sala była pusta. Najpierw sprawdziłem, w jaki sposób obraz był umocowany, i stwierdziłem, że wystarczy jeden prosty chwyt, aby go zdjąć. Wkrótce powziąłem decyzję. Udałem się do Luwru, gdzie spotkałem przy pracy kilku zaprzyjaźnionych ze mną malarzy dekoratorów i przez pewien czas spokojnie z nimi rozmawiałem. Potem wykorzystałem dogodny moment, by się niepostrzeżenie oddalić, i wszedłem wprost do sali, w której wisiała *Mona Lisa*. Sala była pusta. W mig zdjąłem obraz ze ściany – opowiada z niejaką dumą przebieg kradzieży.

Prefekt indaguje Perugię o motywy rabunku. Złodziej ciągle wraca do sprawy włoskich arcydzieł, które *per fas et nefas* trafiły do paryskich muzeów, i użala się nad ograbieniem włoskich zbiorów. Opowiada, że najpierw planował ukraść kilka dzieł Mantegny, ale w końcu zdecydował się na płótno Leonarda.

– Próby sprzedania obrazu były zbyt niebezpieczne i wkrótce przestałem o nich myśleć – zeznaje nieoczekiwanie. Ale już po chwili zaprzecza, że ukradł z chęci zysku. Próbę sprzedaży Geriemu skradzionego dzieła z tupetem nazywa wynagrodzeniem za niebezpieczeństwa podczas kradzieży. Ale ta chytra linia obrony odwołująca się do narodowych uczuć Włochów ma słaby punkt. W zarekwirowanych w hotelu Tripoli-Italia papierach złodzieja są notatki dowodzące, że już przed 3 laty, na wiele miesięcy przed kradzieżą, Perugia gromadził adresy bogatych amerykańskich, niemieckich i włoskich kolekcjonerów, którym zamierzał zaoferować obraz Leonarda. Na szczęście *Mona Lisa* była zbyt sławnym dziełem, by ktokolwiek zaryzykował jej kupno.

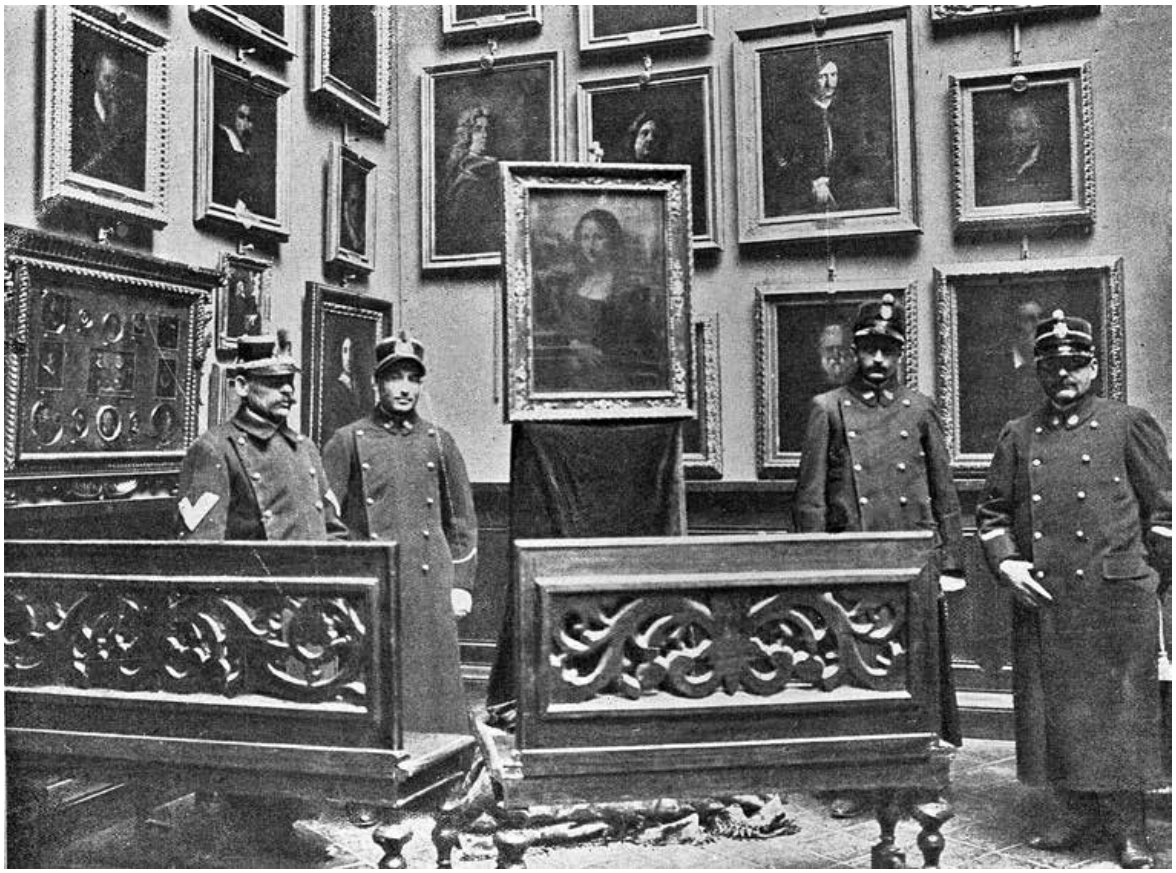

Ochroniarze i bariera z ław pilnujący *Mony Lisy*

12 grudnia 1970 ▪ sobota

Rajstopy dla wszystkich

Pierwsze strony gazet nie pozostawiają wątpliwości: na świecie dzieje się źle. W Czechosłowacji w katastrofie ekspresu zginęły 32 osoby, w zderzeniu pociągów pod Lizboną – ponad 30. Trzęsienie ziemi w Peru i Ekwadorze pociągnęło 52 ofiary śmiertelne i 600 rannych. Dania wpadła w kłopoty gospodarcze. W Jordanii wybuchły starcia zbrojne, w Brazylii uprowadzony ambasador szwajcarski nadal znajduje się w rękach porywaczy. USA stosują

w Wietnamie środki chemiczne, Bonn dofinansowuje przesiedleńców, a Izrael buduje przemysł wojenny. Patriotom baskijskim grozi śmierć, a prezydent Nixon grozi eskalacją nalotów na Wietnam.

Na świecie źle, ale w Polsce – dobrze. Technicy zapowiadają na naradzie „realizację węzłowych problemów". Spis powszechny dobiega końca dziś w samo południe, ale już jest jasne, że udało się spisać 99 proc. ludności. Pomyślnie obradują komisje sejmowe. Lepiej jest już tylko na Księżycu. *Ćwierć kilometra w ciągu dziewięciu godzin. Śmiałe manewry Łunochoda* – krzyczą nagłówki na pierwszych stronach. Rozradowane „Życie Warszawy" donosi: „Kierowcy nawigatorzy nabrali pewności i śmiałości. O ile poprzednio drugi bieg używany był zaledwie parę razy i tylko przez kilkadziesiąt sekund, to w nocy z 10 na 11 grudnia Łunochod pokonał na »dwójce« znaczną część drogi".

Nie wszyscy Polacy jednak potrafią cieszyć się z księżycowych sukcesów. W Gdańsku od rana we wszystkich sklepach mrowią się ogromne kolejki. Ze sklepowych półek znikają mąka, cukier, makaron, konserwy, alkohol. W sklepie MHD nr 74 tłum kolejkowiczów wypycha szybę z drzwi wejściowych.

Tajniacy raportują komendantowi miejskiemu MO płk. Stasiakowi, że widzieli, jak kupowano mąkę i cukier na worki, że kupowanie wódki za całą pensję jest bardzo częste, a jeden osobnik nabył nawet 50 butelek.

Podobne sceny rozgrywają się w całym kraju. W Krakowie i województwie od rana wykupuje się wszystko, od mąki po meble i złote pierścionki. Polska już zna największą tajemnicę Władysława Gomułki – dziś wieczorem będzie podwyżka cen.

Władze przygotowywały się do niej od wielu miesięcy, ale ostateczne decyzje zapadły poprzedniego dnia wieczorem. Biuro

Polityczne zatwierdziło podwyżkę i list do podstawowych organizacji partyjnych, który ma być odczytany na zebraniach nazajutrz po południu. Po zamknięciu sklepów. Władza nie spodziewa się wielkich trudności. Wojsko, prócz rutynowych uzgodnień logistycznych, nie podejmuje nadzwyczajnych przygotowań. Przepustki wydawane są jak co dzień. Na nogi postawiono za to milicję. Od 6.00 w pogotowiu są grupy interwencyjne MSW. Na pozycjach wyjściowych w pobliżu dużych miast czekają gotowe do akcji oddziały ZOMO, ROMO, grupy ze szkół podoficerskich i oficerskich MO i SB. W każdej jednostce milicji oczekuje na wezwanie do interwencji co najmniej połowa funkcjonariuszy.

Po południu w całej Polsce zaczynają się zebrania podstawowych organizacji partyjnych. Wybrani działacze odczytują list Biura Politycznego. Władze zapowiadają w nim podwyżki cen żywności i pewnych towarów przemysłowych oraz jednoczesne obniżki cen wybranych artykułów przemysłowych i leków. Biuro przyznaje, że łączna kwota podwyżek będzie wyraźnie większa od kwoty obniżek, ale przekonuje, że „dotychczasowe ceny na podstawowe artykuły żywnościowe były bądź niższe od rzeczywistych kosztów produkcji, bądź też ledwie pokrywały te koszty". Celem zmiany cen jest wedle listu unowocześnienie struktury spożycia w kraju, pobudzenie zapotrzebowania na artykuły przemysłowe. „Niski jest u nas poziom spożycia dzianin i wyrobów pończoszniczych" – ubolewa Biuro Polityczne i deklaruje, że pończochy stylonowe staniejąz 51 do 30 zł.

Partyjni kolejarze z Poznania wysłuchują listu w grobowej ciszy. Złowrogo milczą także zebrani w fabrykach Krakowa. W Łodzi robotnice wybuchają śmiechem po informacji o wysokości dodatków na dzieci – od 15 do 25 zł, mniej niż ma kosztować para

pończoch. W fabryce im. Harnama jedna z partyjnych robotnic krzyczy: „Dosyć już tych podwyżek, nie mamy siły pracować, bo przymieramy głodem", i wychodzi z sali. We wrocławskiej cukrowni Klecina przewodniczący rady zakładowej oddaje legitymację partyjną.

Najgorzej jest w Gdańsku. Szeregowi członkowie partii po wysłuchaniu listu zadają kłopotliwe pytania. Za co mają kupić coś do jedzenia młodzi robotnicy, skoro z 1200 zł pensji muszą wydawać po 600 na wynajęcie kwatery? Dlaczego rząd opiera się tylko na milicji i wojsku? Kto doprowadził do takiego kryzysu? Co będziemy kładli do lodówki, chyba żaby i szczury?

Na zamkniętym zebraniu na wydziale K-3 Stoczni im. Lenina pojawia się wicepremier Stanisław Kociołek. Czytaniu listu towarzyszą wrogie okrzyki stoczniowców i jakichś nieznanych nikomu osobników spoza stoczni. Rozwścieczony Kociołek zapowiada, że każdy, kto ma jakiekolwiek wątpliwości, łamie partyjną dyscyplinę. Wypomina stoczniowcom, że i tak są finansową elitą wśród robotników. Rozeźleni członkowie partii przekrzykują się, awanturują. Zebranie kończy się ogólnym tumultem. Wieczorem w komitecie wojewódzkim premier Kociołek stwierdza zaskoczony, że po raz pierwszy w życiu nie miał dobrego kontaktu z salą.

O godz. 20.00 Gomułka w telewizji i radiu zapowiada podwyżki. Rusza akcja „dotowarowienia" sklepów czynnych w niedzielę i zmian cenników.

Zmobilizowane na całą noc sprzedawczynie z wypiekami na twarzach odczytują nowe ceny. Żywność drożeje od kilkunastu do ponad 40 proc. Tanieją sprzęt gospodarstwa domowego, niektóre (brzydkie) kozaczki ze skaju, żyletki Polsilver, zapałki, żarówki

rowerowe i – tak jak obiecało Biuro Polityczne – pończochy, rajstopy, skarpetki, podkolanówki.

13 grudnia 1981 ▪ niedziela

Prosimy z nami

W wielkiej sali Stoczni Gdańskiej kończą się obrady Komisji Krajowej Solidarności. Jest godz. 00.30. Jako ostatni zabiera głos Henryk Wujec:

– Według informacji kolegów z prasy telefony i teleksy są odcięte od Gdańska.

– Dobrze. Życzę państwu w związku z tym dobrej nocy – prowadzący obrady wiceszef Komisji Krajowej Mirosław Krupiński jest zmęczony 3-dniowym maratonem obrad i szybko kończy posiedzenie.

Wszyscy na sali są zmęczeni. Autobusy rozwożą ponad 150 najważniejszych działaczy Solidarności do hoteli. W Warszawie szef MSW gen. Kiszczak dostaje wiadomość: „Wszyscy wyszli". Wojsko i milicja rozpoczynają operację „W". Do hoteli wkraczają ekipy złożone z funkcjonariuszy SB i przywiezionych spoza Trójmiasta milicjantów. Po kolei aresztują działaczy. Powód: stan wojenny, internowanie.

Helena Łuczywo, szefowa Agencji Informacyjnej Solidarności AS, i jej mąż Witold, szef poligrafii AS-a, po 23.00 wychodzą z warszawskiego kina Luna. Oglądali film *Dreszcze* Wojciecha Marczewskiego. Spacerkiem idą na Mokotowską, by rzucić okiem do siedziby regionu Mazowsze Solidarności. Gdy zauważają, że faksy i telefony są wyłączone, Helena Łuczywo decyduje

natychmiast: uciekamy! 20 pracujących o tej porze młodych ludzi słucha nawoływań do ucieczki jak bajki o żelaznym wilku. Na parterze rozlega się huk. To zomowcy rąbią drzwi wejściowe. Oboje wybiegają tylnymi drzwiami. Mają szczęście – tu, na Natolińskiej, ZOMO dopiero wysiada z ciężarówek. Biegną do furtki w ogrodzeniu. Ale przy niej ktoś stoi.

– Esbek – mówi Helena.

Witold podchodzi do furtki i pyta grzecznie:

– Przepraszam, czy pan jest z SB?

– A skądże, jestem dozorcą, tu, z sąsiedztwa.

Dozorca zabiera ich do mieszkania, gasi światło. ZOMO wyprowadza 20 pracowników regionu. Dookoła budynku krąży patrol. Oboje obliczają, jak długo trwa okrążanie domu przez milicjantów, i szczęśliwie uciekają. W nocy, u znajomych, Witold Łuczywo pożycza maszynkę i goli brodę.

W Gdyni znany działacz demokratycznej opozycji Bogdan Borusewicz jedzie do klubu Bursztynek Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem" w Gdyni. Zwołał tam zebranie tworzonego przez siebie nowego ruchu politycznego. Krótko przed 23.00 zaprzyjaźniony z Borusewiczem szef Solidarności w tutejszym „Społem" pan Trzciński, były milicjant, wywołuje go na stronę. Opowiada, czego dowiedział się od kolegów z MO. Tej nocy wprowadzony będzie stan wyjątkowy, od paru dni paliwo dostarczane jest w Trójmieście tylko na jedną, wybraną stację benzynową, która w stanie wyjątkowym obsługiwać ma wyłącznie milicję i pogotowie ratunkowe. Borusewicz kończy zebranie o 23.00. Jego kolega Krzysztof Dowiałło zabiera go swoim samochodem do Sopotu. Na ulicach jest mnóstwo samochodów milicyjnych. 4-piętrowy blok, w którym mieszka Borusewicz, stoi w niedużej dolince, tuż pod lasem. Parę bloków dalej widać milicyjną nyskę.

Zaniepokojony Borusewicz wysiada, obchodzi swój dom, by wejść tylnymi drzwiami. Brnąc w głębokim śniegu, dostrzega przez okna oświetlonej klatki schodowej, że z jego mieszkania na 4. piętrze wychodzi nieznany mężczyzna. Uciekać? A jeśli to przypadek, jeśli nic się nie dzieje? Postanawia ostrożnie sprawdzić, co się stało. Na korytarzu 2 sąsiadki z 1. piętra opowiadają, że przed chwilą po korytarzach biegał jakiś esbek z pistoletem w ręku i krzyczał, żeby gapie zamykali drzwi, bo jest wojna. Z opisu tajniaka Borusewicz poznaje, że to kpt. Protasewicz z Wydziału III – jego „opiekun" w SB. Sąsiadki wciągają Borusewicza do swojego mieszkania. Zostawia u nich ciężką torbę z książkami i próbuje wyślizgnąć się z domu. Ale przy wejściu stoją już tajniacy. Otwiera okno i zsuwa się po piorunochronie. Pręt głośno trzeszczy i sekundę później Borusewicz słyszy trzask zmrożonego śniegu pod czyimiś stopami. Nie zastanawia się. Skacze w zaspę i nie oglądając się za siebie, pędzi do pobliskiego lasu. Za nim gna kilku esbeków. Borusewicz wbiega między drzewa. Esbecy, z Protasewiczem na czele, bez ostrzeżenia otwierają ogień z pistoletów. Borusewicz wpada w głąb lasu, gubi pogoń. Ale boi się, że prześladowcy wrócą z psami. Zatacza koło, wraca do miasta, ukrywa się w mieszkaniu matki swojego kolegi. Po pół godzinie w tym rejonie jest aż gęsto od patroli. Milicjanci doszli po śladach na śniegu, że się tu przedostał, ale nie są w stanie przeszukać dzielnicy. Borusewicz wysyła 2 mieszkające u gospodyni studentki do swej znajomej i do brata. Niosą im kartki z ostrzeżeniami i adresami ludzi, których trzeba przestrzec. Znajoma nie kiwa nawet palcem, brat raniutko pędzi pod wskazany adres. Za późno. Lecha Kaczyńskiego aresztowali tuż po północy.

Kinga Dunin i jej mąż Sergiusz Kowalski wieczorem 12 grudnia kończą w swoim warszawskim mieszkaniu pakowanie nielegalnych

wydawnictw. Kowalski zamierzał schować dziś bibułę, ale wieczorem postanawia, że zrobi to w niedzielę. Nagły huk podrywa domowników. Przez rozwalone drzwi wpadają tajniacy i milicjant. Aresztują Kowalskiego. Już chcą wychodzić, gdy pod drzwi podbiegają jacyś cywile. Odsiecz dla aresztowanego? Nie, wszystko się wyjaśnia. To druga ekipa, po Kingę Dunin, która do Warszawy sprowadziła się niedawno z Łodzi i znalazła się na innej liście do internowania. Esbecy zauważają paczkę z bibułą. Skoro jest już poręcznie zapakowana, zabierają ją. Ale nie mają pojęcia, co zrobić z paromiesięcznym Stasiem. Kinga Dunin prosi, by zawieźli go do jej kuzynki. Esbecy są dość uprzejmi, biorą dziecko w koszu od wózka i jadą tam. Ale kuzynka, czując, że dzieje się coś niedobrego, gasi światło i udaje, że dom jest pusty. Esbecy odwożą Stasia do domu dziecka na Nowogrodzkiej.

W Katowicach, o 2.00 w nocy, rysownika i satyryka Andrzeja Czeczota budzi dzwonek do drzwi. Jakiś mężczyzna mówi, że przyniósł depeszę. Czeczot od razu wie, że przyszli po niego.

Po pierwsze – dostarczanie telegramów do domów od dawna już przekracza możliwości realnego socjalizmu.

Po wtóre – władza, zwłaszcza ta śląska, bardzo nie lubi Czeczota. W latach 70. dostał zakaz publikacji swych rysunków w prasie; teraz pracuje w solidarnościowym tygodniku w Jastrzębiu.

Nie otwiera drzwi. Odruchowo łapie za pistolet gazowy. Dostał go kilka dni temu w prezencie od zaprzyjaźnionego zespołu muzycznego Dwa plus Jeden. Oczywiście nie ma zezwolenia na broń. 2 cywilów z SB i milicjant sprawnie wyłamują łomami drzwi. Żona artysty wali na odlew w twarz pierwszego tajniaka. Czeczot uświadamia sobie, że jeśli złapią go z nielegalną bronią, choćby i gazową, to katastrofa. Ucieka do swojego pokoju. Tajniak pędzi za

nim. Artysta łapie koszulę, w biegu owija rewolwer, rzuca zawiniątko w kąt i ucieka dalej. Tajniacy obezwładniają go.

Jeden z nich zamierza się na Czeczota łomem.

– Jakbym nie miał rozkazu, to już byś tu leżał z rozwalonym łbem! – syczy nienawistnie. I dodaje: – Jak taki jesteś, to pójdziesz, jak stoisz.

Nie pozwalają mu wziąć butów ani skarpetek. Boso, tylko w spodniach i koszuli, wyprowadzają na 18-stopniowy mróz. Milicyjną „suką" jadą na komendę miejską MO. Czekają w samochodzie: pół godziny, godzinę. Czeczot zamarza. Wreszcie pyta milicjanta siedzącego obok kierowcy:

– Co wy tutaj Amerykę Południową robicie?

– Jakby tu była Ameryka Południowa, to już byś nie żył.

– Za co? – pyta artysta.

– Że żyjesz.

Wreszcie wpychają go do wielkiej więziennej karetki. Poszturchiwania, przekleństwa. W środku panuje tłok. Czeczot z dławiącym napięciem czeka, gdzie ciężarówka skręci. Jeśli w lewo, na glinianki, tzn., że wszystkich rozstrzelają. Skręcają w prawo, na Mikołów. Po drodze milicjanci stają w lesie, wysiadają. Więźniowie są pewni, że zaraz rozpocznie się egzekucja. A to tylko milicjanci zapragnęli ich postraszyć.

Czeczot rozpoznaje wśród aresztowanych sąsiada z klatki schodowej Andrzeja Kowalskiego. Sąsiad daje mu swój długi szalik. Czeczot okręca nim bose stopy.

W obozie pracy dla więźniów w Jastrzębiu-Szerokiej aresztowanych wita szpaler milicjantów z psami rzucającymi się na smyczach. Między nimi artysta niezdarnie powłóczy bosymi stopami związanymi szalikiem. Więźniów zapędzają do lodowatych cel w barakach. Z zimna obcy mężczyźni tulą się do siebie jak

kurczęta. Nad ranem budzi ich nadawane przez głośniki przemówienie gen. Jaruzelskiego.

W Warszawie ktoś po północy dobija się do mieszkania Krzysztofa Śliwińskiego na Litewskiej. Po chwili zaczyna się rąbanie drzwi. Pewien, że to napad, Śliwiński wyskakuje drugimi, kuchennymi drzwiami, zbiega na dół. Ulga – akurat stoją tu jacyś milicjanci.

– Panowie, ktoś na górze włamuje się do mojego mieszkania!

– Czy to pan Krzysztof Śliwiński? – pytają całkiem uprzejmie.

– Tak.

– A, to my się włamujemy po pana.

Na warszawskim Ursynowie o 1.00 w nocy ktoś dzwoni do drzwi Andrzeja Celińskiego, młodego socjologa, członka KOR. Przez wizjer Celiński widzi milicjanta. „Proszę otworzyć!" Nie otwiera. Milicjanci odchodzą. Celiński próbuje zadzwonić. Telefon nie działa. Po 3 kwadransach milicjanci wracają z łomami. Drzwi huczą od uderzeń. Celiński wybiega na balkon, przeraźliwie krzyczy. Na ursynowskim blokowisku zapalają się światła. Parę osób wychodzi z domów. Mijają się z idącymi po nich tajniakami. Milicjanci wpadają do mieszkania Celińskiego, ale zachowują się dość poprawnie. To Warszawa, nie Śląsk, nie Sopot.

Pod Warszawą, w Nowej Wsi, Joanna Szczęsna redaguje z korespondentem zachodnioniemieckim Ludwigiem Zimmererem jego książkę. Od kilku lat pracuje u niego jako sekretarz. Kończą dobrze po północy. Przed snem optymistycznie gawędzą sobie o rosnącej potędze Solidarności. W tym czasie do domu Joanny Szczęsnej w Warszawie wpadają esbecy. W spisie lokatorów pierwszej z brzegu klatki schodowej widnieje nazwisko: „Szczęsny". To kierowca rajdowy, z Joanną nie ma nic wspólnego. Tajniacy śpieszą się, nie sprawdzają, że jej mieszkanie jest w następnej klatce.

Wpadają, biorą żonę rajdowca Danutę. W ostatniej chwili dostrzega on na nakazie internowania imię: Joanna. Ratuje żonę. Nie puszcza pary z ust, że Joanna Szczęsna mieszka w sąsiedniej klatce.

Jacka Kuronia aresztują w gdańskim Novotelu. Po drodze milicjant pyta:

– Panie Kuroń, czy to było warto?

– Trzy lata temu przyjechaliście w Gdańsku po mnie w cztery fiaty. A dziś, widzi pan sam, ile czołgów i wojska musieliście wyprowadzić na ulice, żeby mnie wziąć.

Transportery opancerzone przed hotelem Victoria

14 grudnia 1911 ▪ czwartek

Triumf w brudzie

4 mężczyzn budzi się w niezbyt wielkim spiczastym namiocie. Przez chwilę leżą jeszcze odrętwiali w grubych śpiworach. Potem jeden po drugim wysuwają się z ciepłych kokonów. Spali, nie zdejmując futrzanych kurt ani polarnych butów. Namiot wypełnia straszliwy smród. Od 2 miesięcy żaden z nich się nie mył. Każdy z nich cierpi na bolesne, ropiejące otarcia skóry na całym ciele, spowodowane przez zesztywniałą od brudu wełnianą bieliznę. Noszą ją, bez zmiany, pod wełnianą i futrzaną odzieżą wierzchnią. W czasie marszu mróz trzyma brud w ryzach, ale w nocy, rozgrzani w śpiworach, zaczynają potężnie śmierdzieć.

Towarzysze norweskiego odkrywcy Roalda Amundsena podczas wyprawy na wciąż dziewiczy biegun południowy muszą zapomnieć o higienie. Jedyny zabieg higieniczny, którego dokonują podczas tego marszu, to podstrzyganie bród. Tak zadecydował Amundsen. Zabrał nawet w drogę maszynkę fryzjerską. W długich brodach szybko rosną sople lodu powodujące bolesne naderwania włosów i zapalenia skóry. Krótki zarost zaś, niczym futro zwierząt, całkiem nieźle chroni twarze od odmrożeń.

Zabranie ciężkiej maszynki fryzjerskiej zamiast lekkich nożyczek to tylko jeden ze znaków, że w tej wyprawie władcą absolutnym jest 39-letni Amundsen.

Od młodzieńczych lat marzył o wielkich odkryciach na terenach polarnych. Najpierw pracował na pokładzie statku handlowego w Arktyce, potem zaciągnął się jako pierwszy oficer na „Belgicę", pierwszy statek, który u schyłku zeszłego wieku przezimował w Arktyce. W 1903 roku Amundsen dokonał wyczynu, o którym marzyły pokolenia żeglarzy. Na malutkim, lecz krzepkim statku „Goya" z 6-osobową załogą przepłynął Przejście Północno-Zachodnie, przesmyk arktyczny łączący Europę z Azją na północ od kontynentu północnoamerykańskiego.

Wtedy wzrok Amundsena spoczął na niezdobytym dotąd biegunie północnym.

Amundsen wymusił na sławnym norweskim polarniku Fridtjöfie Nansenie wypożyczenie jego statku „Fram", przystosowanego do dryfowania w lodach. Na „Framie" miał zbliżyć się do bieguna północnego tak dalece, jak tylko to możliwe, a resztę drogi przejść na nartach po stałym lodzie polarnym. Żywność i sprzęt miały pociągnąć eskimoskie psy na saniach.

Nieoczekiwanie jednak porucznik marynarki amerykańskiej Robert Peary i drugi Amerykanin Frederick Cook 7 kwietnia 1909 roku zdobyli biegun północny. Dla żądnego sławy Amundsena była to klęska. Także finansowa – aby sfinansować wyprawę na biegun północny, Norweg zaciągnął duże pożyczki i zastawił swój dom. Długi zamierzał oddać z dochodów z książek i odczytów po zdobyciu bieguna.

Amundsen w tajemnicy postanowił, że zamiast północnego zaatakuje biegun południowy. Dlatego też zaokrętował na „Frama" 100 grenlandzkich psów pociągowych, które – gdyby naprawdę zamierzał, tak jak ogłosił, płynąć wokół Afryki do Cieśniny Beringa, a stamtąd maszerować po lodzie na północ – łatwo można było kupić na Alasce albo na wschodnich krańcach Syberii.

W sierpniu 1909 roku norweska wyprawa pożeglowała na „Framie" na południe.

Amundsen postawił wszystko na jedną kartę. Nie bacząc, że w stronę Antarktydy płynie już z zamiarem zdobycia bieguna południowego brytyjska wyprawa Roberta Falcona Scotta, w tajemnicy przed Nansenem, przed norweskim parlamentem i rządem, także przed sponsorami, którzy jego wyprawę na biegun północny sfinansowali, skierował się w stronę Antarktydy.

Kalkulował, że jeśli jako pierwszy zdobędzie biegun południowy, nikt nie będzie go pytał o nadużycie zaufania.

Załogę o zmianie celu wyprawy poinformował dopiero na Maderze.

Stamtąd też wysłał depeszę do Scotta z wiadomością, że staje z nim do rywalizacji o zdobycie bieguna południowego.

Na Antarktydzie Amundsen założył obóz w Zatoce Wielorybów, Scott zaś w zatoce McMurdo, po przeciwnej stronie Morza Rossa. Pierwsze miesiące obu ekspedycjom zajęło zakładanie coraz odleglejszych od nadmorskich obozowisk składów z zapasami żywności i nafty. Podczas jednej z tych wypraw Amundsen wpadł w panikę – porzucił swych zmęczonych towarzyszy i sam jako pierwszy wrócił do bazy. Nawet gdy odpoczął, nie ruszył po nich z powrotem. Gdy właściwie skazani na zagładę polarnicy nadludzkim wysiłkiem uratowali się i wypomnieli mu niegodne zachowanie, Amundsen zachował się jeszcze podlej – wyrzucił ich z grupy mającej szturmować biegun.

Tylko karność członków wyprawy i wielki autorytet Amundsena uratowały ekspedycję od buntu i rozpadu.

Rywalizacji ze Scottem Amundsen podporządkował wszystko, łącznie ze strategią marszu. Udało mu się wyruszyć z 3 doświadczonymi polarnikami: 40-letnim Helmerem Juliusem Hanssenem, 37-letnim Olafem Bjaalandem i 35-letnim Sverre Helge Hasselem – na 10 dni przez startem wyprawy brytyjskiej. Myśl o możliwości przegranej ze Scottem doprowadzała go na skraj paranoi. Norwegowie lepiej od Brytyjczyków jeździli na nartach, ich psy lepiej sprawdzały się od szetlandzkich kucyków Scotta. Motorowe sanie Brytyjczyków wszyscy znający jako tako Antarktydę uznawali za niewypał, ale Amundsen zakazał rozmów

o nich. Na sam dźwięk słowa „motor” wpadał w szał, krzyczał, groził pobiciem.

4 wędrowcy na spirytusowym prymusie gotują czekoladę. Gorąca czekolada w namiocie to najwspanialsza chwila każdego dnia. Wszyscy są straszliwie zmęczeni, wygłodzeni, odwodnieni. Pragnienie doprowadza ich niemal do szaleństwa. Śnią o strumieniach pełnych wody, o górskich wodospadach, opowiadają sobie, jak smakuje woda z jeziora, a jak z rzeki. Za dzbanek ciepłej wody do picia każdy z nich oddałby wiele, bardzo wiele.

Po śniadaniu trzeba wyjść na zewnątrz, na trzydziestokilkustopniowy mróz. Dziś to straszliwa męka. Każdy z polarników ma na prawym policzku potężny, sączący się krwią i surowicą strup. Ostatnio przez 3 dni musieli maszerować w śniegowej burzy. Wiatr dął niezmiennie z prawej strony. Gnane wichurą płatki śniegu i drobinki lodu jak tarka ścięły skórę z ich prawych policzków.

Jeden z Norwegów otwiera konserwę i wydziela kilkunastu wychudzonym, słabym psom mikroskopijne porcje mięsa.

Teraz pora wypróżnić się. Na Antarktydzie to wielka sztuka. Wszyscy długo ćwiczyli siusianie i kucanie za potrzebą na 40-stopniowym mrozie, w podmuchach lodowatej wichury. Każdy ruch musi być precyzyjny, chwila nieuwagi może kosztować paskudne odmrożenia.

Czas ruszać. Biegun jest tuż-tuż.

Idą przez rozległą lodową równinę. 4 polarników powoli maszeruje obok sań, nerwowo pogania psy. Nikt nie chce dać po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowany. A może Scott ich jednak wyprzedził? A jeśli za chwilę ujrzą brytyjską flagę, namiot i uśmiechniętych, triumfujących, przeklętych Anglików?

Nagle Amundsen zauważa, że jeden z psów z uwagą zaczyna węszyć w kierunku południa. Amundsen wpada w dziką wściekłość. Usiłuje uderzyć zwierzę kijkiem narciarskim, potem podbiega, kopie je i depcze.

Zmasakrowany pies nie przestaje. Teraz i inne psy zwracają nozdrza w tamtą stronę. Bjaaland podchodzi do zwierzęcia pobitego przez Amundsena, drapie je za uchem, odwraca jego łeb na północ, prosi:

– Nie rób mi tego, nie rób.

Ale pies ciągle usiłuje wywęszyć coś na południu. Czyżby jednak...

Bjaaland wpada we wściekłość, wyzywa psa, wrzeszczy, że za to durne węszenie zatłucze na śmierć.

Norwegowie patrzą z napięciem w kierunku południa. Oczy mają zaczerwienione od wichru i ostrego światła. Co chwila któremuś wydaje się, że dostrzega ciemny punkt, ale to tylko złudzenie, tylko wzrok odmawia posłuszeństwa. Nie widać nic prócz idealnej błękitnawej bieli.

Ruszają dalej. Po godz. 13.00 graniczące z histerią napięcie powoli ustępuje. Z obliczeń Amundsena wynika, że idąc swoim normalnym tempem, powinni dotrzeć dziś na biegun ok. godz. 15.00. Już blisko, bliziutko i na szczęście nic nie zakłóca idealnej bieli równiny i ciszy przestworzy.

Co chwila spoglądają na przyrząd zamocowany na saniach wskazujący przebytą drogę. O 15.00 wszyscy jak jeden mąż krzyczą: „Stać!".

To tu.

Są sami.

Pierwsi. Anglicy przyjdą po nich.

Patrzą wokół siebie oszołomieni, jakby przebudzeni z wielkiego snu. Bieguna nie ma, to tylko punkt na mapie. Nic, żadna zmarszczka, żaden ślad nie zakłócają idealnie równego obrusa śniegu.

W pierwszym odruchu rzucają się po przytroczoną do sań norweską flagę na drzewcu. We czterech, przeszkadzając sobie wzajem, wbijają ją w lód, umacniają linkami.

W milczeniu ściskają sobie dłonie. Przez chwilę jak dzieci lepią śnieżki i obrzucają się nimi, ale zaraz przestają. Tyle tygodni marzyli o tej chwili, a teraz nie potrafią się cieszyć. Z powagą informują siebie nawzajem, że wykonali kawał dobrej roboty. I tyle.

Z ulgą wracają do swych niezmiennych, rutynowych obowiązków. Rozbijają namiot, karmią psy, rozpalają prymus i gotują wieczorną gorącą czekoladę.

Amundsen oznajmia, że równinę wokół bieguna nazwał Równiną Króla Haakona VII. Potem zarządza wyjątkowy, świąteczny obiad – każdy dostanie dziś po malutkim kawałku podgrzanego foczego mięsa.

Rano wszyscy czterej rzucają się do pomiarów. Amundsen chodzi bardziej milczący niż zwykle. Wreszcie odkrywa karty. Nie można ryzykować, by ktokolwiek mógł im później zarzucić, że nie byli dokładnie na biegunie. Trzeba wyznaczyć jego położenie tak precyzyjnie, jak to tylko możliwe. Amundsen poleca 3 swoim podwładnym, by natychmiast ruszyli na nartach w 3 kierunkach. Nie wolno im zabrać ani śpiworów, ani namiotów, tylko przyrządy pomiarowe. Gdy oddalą się o 20 km, mają przeprowadzić pomiary, a potem obejść obóz wielkim łukiem. Wszystko po to by choć jeden z Norwegów na pewno okrążył obszar, na którym leży biegun.

Hanssen, Hassel i Bjaaland słuchają w milczeniu. Świetnie wiedzą, że jeśli zerwie się śnieżyca, zginą.

Ruszają bez pożegnań.

Co godzinę przeprowadzają pomiary. Gdy wracają, okazuje się, że w tym czasie Amundsen, drżącą ze zmęczenia ręką, napisał 2 listy. W pierwszym zawiadamia norweskiego króla Haakona VII o zdobyciu bieguna. Drugi list zaadresowany jest do Scotta. To wykalkulowana obelga, wręcz tortura dla angielskiego konkurenta. Amundsen z pozorną uprzejmością stwierdza, że w drodze powrotnej czyha nań wiele niebezpieczeństw i wszystko może się zdarzyć, więc na wszelki wypadek prosi Scotta, by zabrał list do Haakona i przekazał norweskiemu monarsze. Oczywiście Amundsenowi nie chodzi o przekazanie ostatnich słów najbliższym. Wtedy zaadresowałby przecież list do swego brata Leona, który wspiera go we wszystkich wyprawach. Ten list ma upokorzyć, skompromitować rywala, nad którym już przecież odniósł zwycięstwo. Jeśli Scott nie zabierze go, to straci twarz. Jeśli zabierze i odda Haakonowi, stanie się piewcą triumfu Amundsena.

Oba listy w skórzanym woreczku Amundsen kładzie w namiocie, który Norwegowie, odchodząc, pozostawią na biegunie.

Na koniec prawdziwe święto funduje kolegom Bjaaland. Z zakamarków swego futra wyciąga przemycone przez całą Antarktydę pudełko cygar. Wszyscy zaciągają się z rozkoszą. Dym wypełnia namiot wśród lodowych pustkowi.

Roald Amundsen, zdobywca bieguna południowego

15 grudnia 1944 ▪ piątek

Zatopiony lot

Pogoda jest obrzydliwa: pada, mgła, nisko wiszące chmury, temperatura 1 stopień C. Jak to w Wielkiej Brytanii w grudniu. Na niewielkim lotnisku wojskowym Twinwood mechanicy kończą

przygotowywać do lotu niewielki jednosilnikowy górnopłat UC-64 Norseman o numerze bocznym 44-70 285, należący do amerykańskich sił powietrznych. Samolot może zabrać na pokład 9 osób i jest używany przez amerykańskie lotnictwo jako maszyna łącznikowa, coś w rodzaju powietrznej taksówki. To dobra konstrukcja, ma jednak pewną wadę, dotkliwą zwłaszcza tu, w Europie, w zimie – nie ma instalacji przeciwoblodzeniowej.

Tego dnia norseman pilotowany przez chorążego lotnictwa Johnny'ego Morgana ma polecieć do niedawno wyzwolonego spod hitlerowskiej okupacji Paryża z zaledwie 2 pasażerami. Obaj są już na trawiastej płycie lotniska.

Płk Norman F. Baesell leci do Paryża na polecenie swojego zwierzchnika gen. Goodricha, by skombinować na święta parę skrzynek francuskiego szampana.

Drugi pasażer, szczupły mężczyzna w jasnych lotniczych spodniach, skórzanej kurtce pilotce i okularach, przyjechał wojskowym jeepem z odległej o kilka kilometrów XIX-wiecznej rezydencji Milton Ernest Hall, która od niespełna 2 lat wykorzystywana jest przez amerykańskie siły powietrzne w Wielkiej Brytanii jako hotel dla pilotów i lokalne centrum dowodzenia.

Przybyłym z Milton Ernest Hall pasażerem jest wybitny i szalenie popularny w Stanach muzyk jazzowy Glenn Miller.

Jest puzonistą, aranżerem, kompozytorem i liderem jazzowego Army Air Force Band. Cała Ameryka zna i kocha jego wielkie przeboje: *Moonlight Serenade*, *Pennsylvania 6-5000*, *Chattanooga Choo Choo*, *A String of Pearls*, *Tuxedo Junction* czy *Little Brown Jug*.

Sukces osiągnął Miller dopiero w 1939 roku, gdy miał 35 lat. Wcześniej szło mu kiepsko. Prawdę mówiąc, uchodził za urodzonego pechowca. Grywał już jako nastolatek (i już pod drugim

imieniem Glenn, bo imienia Alton, wynalazku rodziców, nie cierpiał) – w wieku 11 lat za pieniądze zarobione na dojeniu krów kupił swój pierwszy puzon. Za młodu przewinął się przez sporo kapel, ale w żadnej nie zagrzał miejsca. Na studiach na Uniwersytecie Colorado w Boulder też nie, wylano go za brak postępów w nauce. Ale bo też Glenn skoncentrowany był na postępach w grze na puzonie i postępach w romansie z koleżanką z roku – urodziwą Helen Burger. No i w najważniejszych sprawach należyty postęp w końcu osiągnął. Z Helen ożenił się w 1928 roku.

Puzon też ostatecznie mu uległ. Po latach bezowocnego grania w zespołach innych liderów, po rozpadzie pierwszego własnego zespołu Glenn zrozumiał, że musi dorobić się oryginalnego, niepowtarzalnego dźwięku tego instrumentu. Ćwiczył i próbował miesiącami, aż wreszcie udoskonalił odkrywczy koncept, by klarnet grał linię melodyczną z saksofonem tenorowym, trzymającym tę samą nutę, podczas gdy trzy inne saksofony harmonizowały w graniu pojedynczej oktawy.

To było to. Wiosną 1938 roku, gdy jego kapela grała w kasynie w New Rochelle w Nowym Jorku, przyszło 1800 słuchaczy. Rok później tygodnik „The Time" napisał, że „w każdej z 300 tys. szaf grających w USA, w których jest od 12 do 24 płyt, dwie do sześciu, to płyty Glenna Millera".

Płyta 1730702254 *Tuxedo* 1730702254 *Junction* sprzedała się w 115 tys. egzemplarzy. W 1939 roku Miller i jego band zagrali w Carnegie Hall, a w roku następnym Glenn zarobił bajeczną sumę 800 tys. dolarów. Na początku wojny Miller był bogaty, zagrał w filmach z Sonją Henie, był bożyszczem młodych Amerykanów, ale nie stracił poczucia humoru.

„Inspiruje mnie patrzenie ze sceny na siedem tysięcy kołyszących się głów. Zwłaszcza że z każdego tysiąca zarobionego na biletach

dostaję 600 dolców" – powiedział dziennikarzowi.

W 1942 roku Miller postanowił włączyć się do amerykańskiego wysiłku wojennego. Miał 38 lat i nie przyjęto go do armii. Poprosił brygadiera Charlesa Younga, by pozwolono mu poprowadzić jazzowy zespół grający dla żołnierzy na froncie. Przed 2 laty trafił do niewielkiej tanecznej kapeli sił powietrznych Rhythm-Aires. Był popularny, ale gdy zaczął przerabiać wojskowe marsze i inne szacowne militarne standardy na kawałki jazzowe, Amerykanie w mundurach oszaleli na jego punkcie. Na początku tego roku Miller dostał zgodę na skompletowanie 50-osobowego jazzowego Army Air Force Band, z którym do wczoraj zagrał dla amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Anglii ponad 800 koncertów.

Gdy zapadła decyzja o zorganizowaniu koncertu świątecznego w Paryżu, było oczywiste, że muzycy i ich sprzęt odlecą z najbliższego lotniska polowego. Wczoraj jazzmani zapakowali się do transportowych dakot i odlecieli do Francji. Miller postanowił, że poleci sam dzień później. Na szczęście trafił mu się lot płk. Baesella po szampana.

Na lotnisko odwozi Millera jego osobisty asystent Don Haynes. Miller jest zdenerwowany, bardzo nie lubi latać. A teraz dodatkowo niepokoi go fatalna pogoda. Johnny Morgan jest doświadczonym pilotem i niepokoje Millera zbywa: „Powinno być dobrze". Jednak Miller nakręca się coraz bardziej. Dopytuje Morgana, czy aby na pewno samolot jest bezpieczny. Po chwili przypomina sobie o spadochronach.

– Gdzie, do cholery, są spadochrony?! – krzyczy. To już za dużo dla wyluzowanego płk. Baesella.

– Jakie to ma znaczenie? Chcesz żyć wiecznie, Miller? – odpowiada.

Muzyk uspokaja się trochę. Obaj pasażerowie wspinają się do kabiny i zajmują miejsca. Don Haynes, który do Francji ma lecieć dopiero jutro, macha ręką do Millera:

– Szczęśliwego lądowania i powodzenia! Zobaczymy się jutro w Paryżu!

– Dzięki, Haynes! Będziemy go potrzebować – odkrzykuje Miller.

Morgan dodaje gazu i norseman po krótkim rozbiegu podrywa się i szybko niknie we mgle.

Na dużej wysokości nad kanałem La Manche leci znad Francji w kierunku Wielkiej Brytanii formacja 138 brytyjskich bombowców Avro Lancaster. Wskutek trudnych warunków atmosferycznych odwołano ich rajd na Niemcy. Pilotom nie uśmiecha się jednak lądowanie z lukami pełnymi bomb. Akurat nad kanałem chmury i mgła się rozstępują i lotnicy mogą bezpiecznie zrzucić bomby do morza. Fred Shaw, bombardier, z ulgą zwalnia niebezpieczny ładunek. Zwłaszcza cieszy się, że pozbywa się z luku tzw. ciasteczka, ciężkiej bomby burzącej o wadze 4 tys. funtów. Shaw z nudów patrzy w ślad za opadającymi w wody kanału bombami. Nagle z przerażeniem dostrzega sylwetkę małego jednosilnikowego samolotu na minimalnej wysokości. Nie jest jednak w stanie mu się przyjrzeć – „ciasteczko" eksploduje po uderzeniu w fale. Słup wody podnosi się w górę i pochłania samolocik. Gdy opada, z góry widać tylko spienione morze. Po samolocie ani śladu.

Shaw mówi reszcie załogi przez interkom o tym, co widział. Wszyscy dochodzą do wniosku, że lepiej o sprawie milczeć, jeśli nie chce się mieć poważnych kłopotów.

W Paryżu na wojskowym lotnisku Amerykanie bez skutku czekają na przylot Millera i płk. Baesella. W obsłudze lotniska ciągle kołacze nadzieja, że norseman wylądował gdzieś awaryjnie. Z każdą godziną nadzieja ta jednak maleje.

16 grudnia 1922 ▪ sobota

Zawada usunięta

Mimo mrozu i śniegu na ulicach prezydent Rzeczypospolitej Gabriel Narutowicz wyjeżdża późnym rankiem z Belwederu reprezentacyjnym, otwartym powozem. Ma na sobie ciepłe futro, niezbędne w tych okolicznościach. Towarzyszą mu szef kancelarii cywilnej Stanisław Car i adiutant por. Ignacy Sołtan.

6 dni, które upłynęły od wyboru prezydenta, to najgorszy czas w życiu Gabriela Narutowicza. Już w dniu wyboru endecja zorganizowała manifestację protestacyjną z udziałem gen. Józefa Hallera. 2 dni później, w dniu zaprzysiężenia prezydenta, narodowcy zorganizowali w Warszawie masowe zamieszki. Endeckie bojówki sprawdzały legitymacje idących do Sejmu posłów – tych z lewicy lżyły, biły i zawracały z drogi. Bojówkarze obrzucili jadącego do Sejmu prezydenta kulami śniegu i bryłkami zamarzniętego błota. Policja nie interweniowała nawet wtedy, gdy uzbrojeni pepeesowcy ruszyli swoim posłom na odsiecz i na pl. Trzech Krzyży starli się z także uzbrojonymi bojówkarzami prawicy. W strzelaninie zginął robotnik, zwolennik PPS, ranni byli po obu stronach. Zamieszki nie ukróciły kampanii prawicy przeciw prezydentowi. Czołowi publicyści: Antoni Sadzewicz w „Gazecie Warszawskiej", Stanisław Stroński w „Rzeczpospolitej" i Władysław Rabski w „Kurierze Warszawskim", pisali o Narutowiczu jako „żydowskim elekcie", „zaporze" i „zawadzie".

Powóz rusza w stronę rezydencji prymasa kard. Aleksandra Kakowskiego. Prezydent jedzie do prymasa z oficjalną rewizytą.

W czasie jazdy adiutant prezydenta por. Sołtan przypomina, że do otwarcia dorocznego Salonu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych pozostały niespełna 2 godziny. Kancelaria prezydenta otrzymała od Zachęty zaproszenie na otwarcie Salonu, ale Narutowicz dotąd nie zdecydował się, czy się tam pojawi. Prezydent także teraz waha się. W końcu pyta por. Sołtana, czy Józef Piłsudski, jako naczelnik państwa, bywał na otwarciu Salonów. Porucznik wyjaśnia, że bywał, choć nie było to regułą.

– Wobec tego jedziemy do Zachęty! – decyduje Narutowicz.

Kurtuazyjna rozmowa z prymasem jest dość przyjemna, wizyta przeciąga się. O 11.55 prezydent żegna się z gospodarzem. Prezydencki powóz rusza w stronę pobliskiej Zachęty.

W jej hallu już od 11.30 publiczność czeka na otwarcie wystawy. Tuż przed 12.00 stojący na schodach artysta malarz i urzędnik Jan Skotnicki spostrzega wchodzącego do gmachu Eligiusza Niewiadomskiego. To barwna postać: malarz, krytyk sztuki, zagorzały zwolennik endecji. Carska ochrana w 1901 roku osadziła go na parę miesięcy w Cytadeli. Po wojnie zgłosił się do kontrwywiadu. Wszędzie węszył komunistyczne spiski, więc został zwolniony. Bił się jako ochotnik w wojnie bolszewickiej, krótko był wysokim urzędnikiem Ministerstwa Kultury. Niewiadomski jest ceniony jako artysta, krytyk, nawet jako ministerialny urzędnik, ale powszechnie nielubiany za oschłość, arogancję i porywczy charakter. Ma na koncie napaść i pobicie redaktora „Gazety Porannej" Przemysława Mączyńskiego.

Niewiadomski z charakterystyczną dla siebie bezceremonialnością przedziera się przez tłum eleganckich gości, przeciska przez grupę stojących przy schodach dyplomatów. Wchodzi na schody, wita się ze Skotnickim i pyta, na kogo wszyscy tak czekają. Skotnicki wyjaśnia, że wszyscy czekają na prezydenta.

Krótko po 12.00 Gabriel Narutowicz wysiada z powozu przed gmachem Zachęty. W westybulu wita się z prezesem Kozłowskim, premierem prof. Julianem Nowakiem, ministrem oświecenia publicznego prof. Kumanieckim.

Eligiusz Niewiadomski spogląda ze schodów na dół, uśmiecha się zjadliwie i pyta Skotnickiego: „To ten jest Narutowicz?".

Skotnicki potwierdza i prosi go, by usunął się na bok, stoi bowiem obok wstęgi otwarcia, którą ma przeciąć prezydent.

Niewiadomski obchodzi wstęgę i szybkim krokiem idzie do sal wystawowych. Nikogo to nie dziwi, jest przecież jednym z pięciu członków komitetu organizacyjnego tej wystawy. Zresztą wcześniej wstęgę ominęło kilkunastu malarzy wystawiających obrazy na Salonie. Jest w zwyczaju Salonów, że artyści oczekują na publiczność przy swoich dziełach.

Prezydent Narutowicz dziękuje za powitanie. Prezes Zachęty przestrzega, że w salach wystawowych jest zimno. Narutowicz decyduje się nie zdejmować futra. Przecina wstęgę i na czele orszaku oficjeli wchodzi na wystawę. Po jego lewej ręce kroczy prezes Zachęty, po prawej – premier prof. Nowak i Jan Skotnicki. Z tyłu – poseł amerykański i szef protokołu dyplomatycznego Stefan Przeździecki. Prezes Kozłowski udziela wyjaśnień. W pewnej chwili zauważa, że równie dobrze przewodnikiem mógłby być premier Nowak, wybitny znawca malarstwa. W trakcie oglądania pierwszych obrazów do prezydenta podchodzi poseł angielski Max-Mueller. Przeprasza Narutowicza, że z powodu choroby nie mógł być obecny w Zamku Królewskim na uroczystości przedstawienia korpusu dyplomatycznego nowo wybranej głowie państwa. Max-Mueller składa prezydentowi gratulacje.

– Dziękuję, ale raczej kondolencje mi się należą, panie pośle – odpowiada Narutowicz po angielsku, z wyraźną nutą melancholii.

Po obejrzeniu obrazów na pierwszej ścianie Narutowicz zwraca uwagę na płótno Bronisława Kopczyńskiego na ścianie przeciwległej. Przedstawia ono gmach Zachęty ze stojącym przed nim sznurem pojazdów. Narutowicz żartuje, że pewnie w tej chwili Zachęta wygląda tak jak na obrazie.

Prezydent przechodzi do następnego obrazu, *Szronu* Teodora Ziomka. Rozlegają się, jeden po drugim, 3 stłumione ni to detonacje, ni to trzaski. Skotnickiemu wydaje się, że dochodzą z sąsiedniej sali. Wspina się na palce i woła, by zamknąć drzwi. Kątem oka dostrzega, jak Narutowicz patrzy na niego ze zdumieniem, chwieje się i upada na podłogę. Tuż przed upadkiem prezydenta chwytają Skotnicki i Przeździecki, trochę amortyzują uderzenie ciała o parkiet. Narutowicz patrzy na nich gasnącym wzrokiem, w milczeniu.

Stojący parę kroków za Narutowiczem malarz Edward Okuń spostrzega, że do prezydenta strzelał z tyłu Eligiusz Niewiadomski. Chwyta zamachowca za rękę z małokalibrowym browningiem i odbiera mu broń. Niewiadomski nie stawia oporu.

Jan Skotnicki i Stefan Przeździecki pospiesznie przenoszą prezydenta na kanapę stojącą pod ścianą.

W sali rozlegają się rozdzierające szlochy pań. Poseł Max-Mueller mdleje. Nadbiegają 2 lekarze obecni wśród gości. Dr Śniegocki i dr Rostkowski, widząc, że nogi Narutowicza zwisają z kanapy, polecają przenieść go na podłogę. Jan Skotnicki zdejmuje z Narutowicza futro i podkłada nieprzytomnemu pod głowę. Gdy rozpina jego kamizelkę, dostrzega na koszuli 3 małe czerwone plamy.

Blady Niewiadomski stoi nieruchomo pośrodku sali. Adiutanci prezydenta odprowadzają go na kanapę, na której przed chwilą leżał ranny Narutowicz. Stają ciasno przy zamachowcu gotowi obezwładnić go przy próbie ucieczki, ale ten siedzi nieruchomo.

Przerażony premier Nowak ukradkiem ucieka z sali.

Na parterze wybucha panika. Tłum gości napiera na drzwi wejściowe. Portier zamyka je na klucz.

Brat malarza Stanisława Witkiewicza pyta zamachowca:

– Jak mogłeś podnieść rękę na pierwszego obywatela Polski?

– Za pieniądze żydowskie wybranego! – krzyczy Niewiadomski.

Głowę prezydenta podtrzymuje klęcząca na podłodze poetka Kazimiera Iłłakowiczówna. W czasie wojny była sanitariuszką, ale jej pomoc na nic się nie zdaje. Narutowicz kona. Obecny wśród zwiedzających ks. Malinowski udziela prezydentowi absolucji *in articulo mortis*.

Dr Łepkowski, zastępca szefa kancelarii cywilnej, rzuca się do telefonu, by wezwać pogotowie. Telefony nie działają. Widząc to, piłsudczyk Marian Zyndram-Kościałkowski, major WP, redaktor „Polski Zbrojnej", wybiega do miasta w poszukiwaniu sprawnego telefonu. Przed Zachętą natyka się na tłumek zwolenników endecji, z gen. Józefem Hallerem na czele.

– Krew ta spada na pańską głowę!!! – krzyczy Kościałkowski. Słyszy to spieszący do Zachęty komisarz policji i chce Kościałkowskiego aresztować. Ten jednak okazuje policjantowi gwarantującą nietykalność legitymację poselską i biegnie do gmachu sztabu generalnego.

Do sali, w której leżą zwłoki prezydenta, wchodzi wezwany po zamachu p.o. ministra spraw wewnętrznych Ludwik Darowski. Skotnicki pyta go, czy posłano już po marszałka Sejmu Macieja Rataja, który w tej sytuacji jest konstytucyjnym następcą prezydenta. Minister wyjaśnia, że posłano, ale marszałek będzie mógł objąć rządy jedynie na podstawie urzędowego aktu zgonu prezydenta.

Chwilę później przyjeżdża karetka pogotowia. Młody lekarz pogotowia spisuje akt zgonu. Urzędnicy państwowi obecni przy zmarłym uświadamiają sobie, że właśnie ma miejsce demonstracyjny pogrzeb robotnika zabitego przed pięcioma dniami w pepeesowskim pochodzie na pl. Trzech Krzyży. Wszyscy zdają sobie sprawę, że wiadomość o zamordowaniu prezydenta może sprowokować tłumy idące w kondukcie do wzięcia krwawego odwetu na endecji. Minister Darowski poleca przeciąć kable telefoniczne w Zachęcie, nadal nikogo nie wypuszczać z gmachu, zwłoki zaś dyskretnie wywieźć w karetce pogotowia. Nieoczekiwanie młody lekarz staje okoniem – regulamin pogotowia nie zezwala na przewóz zmarłych.

– Ależ panie, to są zwłoki prezydenta Rzeczypospolitej! – mówi podniesionym tonem Skotnicki.

– Przewożenia zwłok prezydenta regulamin też nie przewiduje – odpowiada uparty doktor.

– Bałwan! – wrzeszczy Skotnicki. Adiutanci prezydenta rekwirują lekarzowi nosze, a jego samego przeganiają precz. Potem wzywają otwarte lando z Belwederu oraz reprezentacyjny szwadron szwoleżerów.

Ciało prezydenta przenoszą do landa ministrowie Darowski, Car i członkowie komitetu Zachęty. Tam okrywają je biało-czerwonym sztandarem. Lando w otoczeniu szwoleżerów jedzie wolno, pośród prószącego śniegu, do Belwederu. Przechodnie na Nowym Świecie i w Alejach Ujazdowskich zatrzymują się, zdejmują nakrycia głowy.

17 grudnia 1903 ▪ czwartek

Zawsze pod wiatr

Poranek nie jest przyjemny. Lodowaty wiatr z północy wieje z prędkością 12 m/s. Bracia Wilbur i Orville Wright budzą się skostniali w baraku na wydmach w pobliżu niewielkiej miejscowości Kitty Hawk w hrabstwie Dare w Karolinie Północnej. Stojące obok baraku wiadra z niezbędnym na wydmach zapasem wody dziś pełne są lodu. Stanowczo nie są to warunki do podjęcia pierwszego w dziejach ludzkości lotu machiną napędzaną silnikiem. Bracia Wright aż do 10.00 pozostają w prymitywnym *living room* swojego baraku. W metalowej beczułce po karbidzie rozpalają ognisko i starają się rozgrzać. Ale o 10.00 pogoda nie jest ani o jotę lepsza. Święta obiecali zaś spędzić w rodzinnym domu. Jeśli nie dziś, to próbę lotu podjąć będą mogli dopiero na wiosnę.

Bracia zastanawiają się nad warunkami lotu. W tak silnym wietrze ich samolot może zostać poderwany przez podmuch wysoko w górę, a wtedy upadek może się skończyć śmiercią. Ale z drugiej strony, pod silny wiatr maszyna powinna łatwiej wystartować, a i lądowanie pod wiatr na piaskach wydm, na płozach, powinno być łatwiejsze.

Bracia wywieszają znak – białą flagę – i ściągają w ten sposób umówioną pomoc, ratowników z pobliskiej stacji ratownictwa nadbrzeżnego: *Kill Devil* J. Danielsa, W. Dougha i A. Etheridge'a, a także W. Brinkleya z Manteo oraz Johnny'ego Moore'a, chłopaka pracującego na nieodległej farmie. Z ich pomocą ustawiają w odległości 100 kroków od baraku, pod wiatr, stalową szynę startową o długości 14 m. Szynę powlekają smarem. Potem z drewnianego hangaru wyciągają dzieło swego życia – samolot „Flyer I" (Lotnik I).

Wcześniej Wilbur i Orville utrzymywali się z rozmaitych zajęć. Wydawali tygodnik drukowany na własnoręcznie skonstruowanej prasie. Prowadzili warsztat naprawy rowerów. I czytali wszystko, co

dotyczyło latania, zwłaszcza doniesienia o lotach szybowcowych Otto Lilienthala. W 1899 roku postanowili skonstruować maszynę cięższą od powietrza, która poleci napędzana własnym silnikiem. Najpierw przestudiowali wszystkie doniesienia o próbach lotów w Ameryce i w Europie. W następnym roku przenieśli się do Kitty Hawk. Wybrali to miejsce ze względu na wysokie wydmy, z których można było dokonywać lotów ślizgowych. Tam skonstruowali prymitywny szybowiec do badań i eksperymentalnych lotów. Pokrycie skrzydeł z satyny uszyła im żona zaprzyjaźnionego mieszkańca Kitty Hawk. Po skończonych lotach satynę lojalnie oddali właścicielce, która uszyła z niej sukienki dla swych córeczek.

Bracia Wright zawsze byli twardymi i honorowymi facetami. Mieszkali w Kitty Hawk w fatalnych warunkach, w namiocie zasypywanym piaskiem wydm, często przymierając głodem. Dopiero po roku postawili przy wydmie drewniany barak. Odmawiali przyjęcia pomocy finansowej od znajomych, a wszystkie pieniądze z warsztatu rowerowego wydawali na badania lotnicze. Krok po kroku odkrywali podstawowe prawa lotu i zachowania się konstrukcji lotniczych w powietrzu. Dla zbadania rozmaitych profili skrzydeł sami zbudowali z desek prototyp tunelu aerodynamicznego. Ma niecałe 2 m, napędzany jest starym wentylatorem z dołączonym doń silnikiem samochodowym. Wypróbowali w nim 200 modeli rozmaitych kształtów skrzydeł.

Kolejny szybowiec skonstruowali w zeszłym roku, uwzględniając wyniki prób modeli w swoim tunelu aerodynamicznym. Ale nowy model płatał im w powietrzu psikusy. Walcząc z jego narowami, w nocy 2 października 1902 roku odkryli, że do sterowania niezbędny jest pionowy ruchomy ogon połączony linkami

z mechanizmem wichrującym skrzydła. Tej nocy wynaleźli uniwersalną zasadę sterowania maszynami powietrznymi.

Nie mieli jednak silnika. Rozesłali do producentów silników spalinowych na całym świecie listy z zapytaniem, czy mogą dostarczyć im silnik o mocy 9 KM, ważący nie więcej niż 82 kg, a przy tym niewywołujący wibracji. Nikt takiego silnika nie produkował.

Zbudowali go więc sami. Projekty części rysowali kredą na podłodze baraku. Na starej tokarce i wiertarce wytoczyli wał korbowy, blok i tłoki. W sześć tygodni skonstruowali silnik, który ważył założone 82 kg. Miał 12 KM.

Potrzebowali jeszcze śmigieł. I znów uratowała ich genialna intuicja. Po prostu założyli, że śmigło jest wirującym skrzydłem. Badania modeli śmigieł wystruganych z drewna w ich tunelu aerodynamicznym potwierdziły, że mieli rację. Do napędu śmigieł użyli łańcuchów rowerowych i kół zębatych z zapasów swego warsztatu. Umocowane z tyłu skrzydeł śmigła miały pchać samolot.

Pozostało już tylko zbudowanie dwupłatowca. Zaczęli od nazwy „Flyer I". Budowali go przed sklepem rowerowym w rodzinnym Dayton. Analizowali każdy szczegół konstrukcji i sprawdzali na pomniejszonym modelu w swoim tunelu aerodynamicznym. Ażurową drewnianą konstrukcję skrzydeł znów oblekli muślinem – tym razem z obu stron, z góry i od spodu. Skrzydła usztywnili linkami naciągowymi. By mieć pewność, że nie zawiodą, wykosztowali się na najlepsze linki wielożyłowe firmy Roebling, takie same, jakich użyto do budowy mostu w Brooklynie. Silnik ulokowali poziomo, żeby zmniejszyć opór powietrza. Prawe skrzydło, na którym leży silnik, dla zachowania równowagi przedłużyli o 10 cm. Również dla zmniejszenia oporu powietrza pilot ma leżeć w specjalnym uchwycie na dolnym płacie.

Z powodu kłopotu ze stabilnością dodatkowo zastosowali wymyślone przez siebie małe skrzydełko, znajdujące się przed skrzydłami i pilotem.

Niedawno bracia zmontowali w swej małej bazie w Kitty Hawk przywiezionego w skrzyniach „Flyera I". Podczas prób nieustannie coś się w ich machinie psuło. Wreszcie przed 3 dniami bracia rzucili monetę. Padło na starszego Wilbura. Za sterami zasiadł po raz pierwszy. Po odpaleniu silnika ściągnął stery zbyt mocno i „Foyer I" poderwał się w górę na 5 m, po czym zarył w piach, łamiąc sobie płozy. To nie był lot kontrolowany, lecz trwający tylko 3 s żabi skok.

Naprawa potrwała 2 dni.

Orville i Wilbur odpalają silnik. „Flyera I" trzyma na uwięzi mocna lina. Młodszy, Orville, zdejmuje melonik i wkłada skórzaną obcisłą czapeczkę z daszkiem. Pod szyją zapina ją na agrafkę. Bracia długo ściskają sobie ręce na pożegnanie. Orville wczołguje się na samolot i kładzie w uchwycie dla pilota. Reszta ekipy chóralnym okrzykiem dodaje mu odwagi. O 10.35 jeden z ratowników zwalnia cumę i „Flyer I" rusza po szynie. Pod wiatr leci tak wolno, że Wilbur, podtrzymujący prawe skrzydło, jest w stanie nadążyć, biegnąc obok maszyny. Na końcu szyny startowej „Flyer I" unosi się w powietrze. Jeden z ratowników robi w tym momencie zdjęcie. Samolot jest nadmiernie wrażliwy na ruchy sterem wysokości. Niemający wyczucia Orville ściąga ster zbyt nerwowo. Samolot w ciągu 12 s przelatuje dystans 100 kroków, uderza w wydmę i łagodnie zsuwa się po jej zboczu.

Bracia Wright i ich pomocnicy przenoszą ważącego 250 kg „Flyera I" z powrotem na szynę startową. Wszyscy co chwila chowają się do baraku, by choć trochę się ogrzać. O 11.20 Orville

startuje. Wiatr jest trochę słabszy i choć lot trwa o sekundę krócej, samolot pomyślnie ląduje o 25 m dalej.

Po 20 minutach „Flyer I" jest gotowy do 3. lotu. Za sterami siada Wilbur i wyrównuje wynik brata z poprzedniego lotu. Nagły podmuch wiatru obraca „Flyera I", który zawadza o wydmę prawym skrzydłem.

Dokładnie w południe Wilbur startuje do 4. dziś lotu. Tuż po starcie maszyną rzuca w powietrzu, ale po 30 m pilot wyrównuje lot. W ciągu 59 s Wilbur Wright przelatuje niespełna 300 m. Nagle w silniejszym podmuchu wiatru maszyna traci stabilność i uderza w wydmę. Straty nie są wielkie – raptem złamana przednia płoza. Ale kolejny podmuch wiatru podrywa samolot z piasku. Bracia Wright i ratownicy z Kill Devil przytrzymują dziób i ogon, wiatr przewraca jednak maszynę, która przygniata Danielsa. Jego obrażenia nie są groźne, poraniły go tylko łańcuchy napędowe, niestety motor „Flyera I" jest uszkodzony, łańcuchy powyginane, żebrowania kadłuba połamane. Naprawa potrwa wiele tygodni. Ale to bez znaczenia. Liczy się tylko fakt, że po raz pierwszy człowiek wzbił się w powietrze machiną napędzaną silnikiem.

18 grudnia 1976 ▪ sobota

Wymiana

Północ chyba już dawno minęła, a Władimir Bukowski ciągle nie może zasnąć. Leży na pryczy w celi moskiewskiego więzienia Lefortowo i rozpamiętuje zdarzenia minionego dnia.

Coś takiego nie przytrafiło się chyba żadnemu sowieckiemu więźniowi. A Bukowski na sowieckich więzieniach zna się jak mało

kto. Już w 1959 roku 17-letniego Wołodię wyrzucono ze szkoły za udział w wydaniu rękopiśmiennego samizdatu. 4 lata później skazano go na 2 lata więzienia za próbę wydania zakazanej książki. Trafił wtedy przymusowo do szpitala psychiatrycznego. W 1965 roku, zaraz po wyjściu na wolność, przeprowadził demonstrację w obronie dysydentów Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela; znów został uwięziony w szpitalu psychiatrycznym.

Po wyjściu na wolność natychmiast zorganizował protest w obronie innego dysydenta, Aleksandra Ginzburga. Za to trafił do obozu karnego. W 1971 roku, mimo protestów na Zachodzie, został skazany za działalność antysowiecką na 7 lat więzienia i 5 lat zsyłki. W sowieckich więzieniach i psychuszkach spędził w sumie 12 lat.

Poprzedniego dnia Bukowskiemu, siedzącemu w celi nr 10 specjalnego więzienia dla politycznych we Władymirze, nagle kazano zabrać wszystkie rzeczy i w towarzystwie oficerów KGB po cywilnemu wsadzono do mikrobusa. W kapciach.

– Buty nie będą potrzebne – usłyszał od obstawy.

W czasie jazdy zastanawiał się, czy nie zostanie zastrzelony „podczas próby ucieczki", ale dowieziono go całego i zdrowego do moskiewskiego więzienia Lefortowo. Tam odebrano mu więzienny drelich i wydano nowy garnitur. Wkładając marynarkę, Bukowski zauważył, że metka jest francuska.

Gdy mikrobus ze skutym kajdankami Bukowskim jechał do Moskwy, na drugiej stronie globu, w Chile, na lotnisku w Santiago, agenci tajnej policji usunęli wszystkich widzów z tarasu widokowego. Pod ich eskortą do rejsowego samolotu niemieckiej Lufthansy wsiadł z żoną Luis Corvalan, sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Chile – od zamachu stanu gen. Pinocheta więziony i torturowany.

Bukowski siedzi na pryczy, pali papierosa za papierosem. Ciągle nie może pojąć, o co chodzi w tym nagłym przewiezieniu go do Lefortowa, a potem w przymusowej zamianie więziennego waciaka na garnitur z francuską metką. Gdy zmęczony układa się wreszcie do snu, strażnik z hałasem uchyla klapę w drzwiach i woła:

– Pobudka!

Bukowski rozmyślał całą noc.

Zaraz po śniadaniu strażnik komenderuje:

– Zbierać się na spacerek!

Z oddziałowym idą do tzw. przejściówki, na oddział, gdzie przyjmuje się nowych więźniów. Po drodze Bukowski upomina się o jakieś palto, bo poprzedniego dnia zabrano mu więzienny waciak. Oddziałowy jest milutki niczym kelner:

– Zaraz, zaraz, niech pan idzie ze mną, będzie paletko.

I rzeczywiście – w przejściówce leżą już na stole nowe palto i kapelusz. Więzień wkłada palto. Wtem oddziałowy doskakuje do niego, wykręca ręce do tyłu i zatrzaskuje na nich kajdanki. Bukowski instynktownie rzuca się w bok. To stary trik oprawców w sowieckich więzieniach. Zakładają więźniom amerykańskie automatyczne kajdanki, które przy każdym szarpnięciu zaciskają się mocniej, sprawiając straszliwy ból, a potem biją ofiarę. Ale tym razem nic z tego.

– Spokojnie, spokojnie, tak trzeba – uspokaja oddziałowy. I nie bije. Z przymilnym uśmiechem wiąże na szyi Bukowskiego krawat, zapina na nim palto. W końcu wkłada mu na głowę kapelusz. Zadowolony, przygląda się swojemu dziełu:

– Ot, jak elegancko.

Wystrojonego więźnia wyprowadza na dwór. Przed budynkiem czekają już mikrobus, którym Bukowski wczoraj przyjechał do Moskwy, i grupka kagebistów po cywilnemu. Bukowski nie ma

pojęcia, że to nie są zwykli funkcjonariusze. Wczorajsze przewiezienie go z więzienia we Władymirze do moskiewskiego Lefortowa to pierwsza akcja nowo utworzonej jednostki do zadań specjalnych KGB – Alfa.

Kagebiści są uprzedzająco uprzejmi. Co rusz pytają, czy kajdanki nie uwierają: „Jak się zacisną, proszę powiedzieć".

Po półtorej godziny jazdy mikrobus zatrzymuje się przy jakimś wielkim, ośnieżonym polu. To lotnisko wojskowe. Jest 9.00. Kagebiści nie pozwalają więźniowi wyjść, ale sami ciągle wyskakują na zewnątrz rozprostować nogi. Bukowski odnosi wrażenie, że na coś czekają. Wsiada jeden z eskortujących go oficerów.

– No tak. Wsadzimy was do samolotu. Polecą z wami wasza matka, siostra, siostrzeniec – mówi.

Bukowski sam się sobie dziwi: ta szokująca nowina nie jest dla niego wstrząsem ani nawet zaskoczeniem. Tak jakby podświadomie się tego spodziewał. Wysiada. Oczy bolą od światła odbitego od śniegu. Po miesiącach spędzonych w ciemnej celi wzrok odzwyczaił się od normalnego oświetlenia. Z rękami skutymi na plecach niezdarnie wchodzi po trapie do pasażerskiego samolotu. W kabinie pasażerskiej nie ma żywego ducha. Bukowski siada w fotelu, obok sadowi się tuzin kagebistów obstawy. Prosi ich, by zdjęli mu kajdanki, ale naczelnik grupy odpowiada, że na razie nie wolno. Bukowski prosi o papierosa. Naczelnik jest łaskawy: „Dajcie mu zapalić". Jeden z kagebistów wkłada więźniowi do ust papierosa, zapala. Potem co chwila wyjmuje papierosa i strząsa popiół.

Po papierosie – niespodzianka. Zdenerwowani oficerowie wyprowadzają Bukowskiego z powrotem na trap. Jego matka, węsząc jakiś podstęp, odmawia wejścia do samolotu, póki nie zobaczy syna. Więzień wraca z eskortą na tył samolotu. Na pokład

kagebiści wprowadzają matkę, siostrę, wnoszą na noszach chorego siostrzeńca Miszę. Oficer siedzący po prawej ręce Bukowskiego zabawia go opowieściami o katastrofach lotniczych.

Po starcie w przedniej części kabiny wybucha dzika awantura. Matka Bukowskiego dowiedziała się jakoś, że syn jest nadal skuty.

– Jesteście przestępcy, bandyci po prostu, nawet tu, w samolocie, się nad nim pastwicie! – krzyczy.

Naczelnik prosi ją, by się opanowała, w końcu dla świętego spokoju zgadza się, by mogła podejść do Władimira. Od niej Bukowski dowiaduje się, że mają być wymienieni w Szwajcarii na więzionego przez gen. Pinocheta chilijskiego komunistę Luisa Corvalana.

Od lat na Zachodzie protestowano w obronie Bukowskiego, na Wschodzie zaś – w obronie Corvalana. Wreszcie pomysł wymiany ich, zgłoszony przez sowieckich dysydentów z Komitetu Helsińskiego i Grupy Inicjatywnej Obrony Praw Człowieka, podchwyciła amerykańska administracja. Pinochet zgodził się od razu, Kreml zastanawiał się ponad pół roku.

Bukowski pyta kagebistę, jakim prawem jeszcze jest skuty. Przecież leci na wolność. Oficer krzywi się:

– No dobrze, powiem wam. Nadal jesteście więźniem.

Bukowski nie daje się zbić z pantałyku. Nie po tylu latach składania protestów i skarg w sowieckich więzieniach.

– A co zrobicie, gdy już przelecimy nad sowiecką granicą? Czy nad Austrią też będę więźniem? – pyta.

Stropiony oficer idzie do kabiny pilotów i przez radio konsultuje się z Moskwą. Wraca z decyzją: „Zdejmijcie mu kajdanki". A więźnia surowo napomina, by się zachowywał właściwie. Kagebista rozkuwa Bukowskiego i pokazuje mu kajdanki: „Nawiasem mówiąc, są amerykańskie".

20 minut później do kabiny wchodzi szef obstawy i uroczyście informuje Bukowskiego:

– Przekroczyliśmy granicę sowiecką i mam obowiązek oświadczyć panu oficjalnie, że został pan wydalony z terytorium ZSRR.

– Ma pan jakiś dekret, postanowienie? – pyta wydalony.

Oficer wyjaśnia, że niczego takiego nie ma. Bukowski dopytuje się, co w takim razie z jego wyrokiem. Czy pozostałych do odsiadki 6 lat zostało uchylonych? Nie, wyrok pozostaje w mocy, wyjaśnia oficer.

– Zatem jestem więźniem na wakacjach? – pyta ironicznie Bukowski.

Oficer uśmiecha się kwaśno:

– Niby tak. Otrzyma pan sowiecki paszport ważny na 5 lat. Nie zostaje pan pozbawiony obywatelstwa.

Bukowski pojmuje, że nawet na gruncie sowieckiego prawa wyekspediowanie go do Szwajcarii jest całkowitą samowolą, ale już tego nie komentuje.

Samolot zniża lot. Za chwilę wyląduje na lotnisku w Zurychu. Kagebiści z ożywieniem komentują ciągnące się po horyzont dzielnice willowe: „Co się dziwić, tu sami prywaciarze".

Bukowski świetnie rozumie ich radosne podniecenie – po uwolnieniu go ruszą do szwajcarskich sklepów po świąteczne zakupy dla swoich żon i dzieci. Taka okazja w tym fachu nie przydarza się często.

Samolot ląduje, kołuje pod budynek lotniska. Nagle jak spod ziemi pojawiają się samochody pancerne, wybiegają szwajcarscy żołnierze. Kordon otacza maszynę Aerofłotu. Kagebiści są wściekli: „No tak, koniec. Nawet na lotnisko nie wyjdziesz".

Podjeżdża karetka. Sanitariusze zabierają nosze z siostrzeńcem Miszą, siostrę Bukowskiego i odjeżdżają do szpitala. Teraz zaczyna

się ostatnia odsłona wymiany więźniów. Sowieckie politbiuro przez pół roku starannie opracowywało każdy jej szczegół. Moskwie bardzo zależało na stworzeniu pozorów, że nie jest to wymiana, lecz niezależne, jednoczesne ich uwolnienie. Dlatego odrzuciła propozycję Amerykanów, by Bukowskiego i Corvalana wymienić na berlińskim moście Glienicke, tradycyjnym miejscu nocnych, amerykańsko-sowieckich wymian ujętych szpiegów i innych więźniów.

Bukowski z matką wychodzą z samolotu. Pod trap podjeżdża samochód sowieckiego ambasadora. W tym czasie do stojącego w oddali samolotu Lufthansy zbliża się samochód ambasadora chilijskiego. Corvalan z żoną wsiadają do niego. Teraz podjeżdża limuzyna ambasadora USA Daviesa. Corvalan z żoną przesiadają się z samochodu chilijskiego do amerykańskiego, a ten odwozi ich do samolotu, którym przyleciał Bukowski. Gdy drobna postać Corvalana niknie w drzwiach, Bukowski z matką przesiadają się do samochodu ambasadora Daviesa, który odwozi ich do budynku lotniska. Czeka tam już tłum dziennikarzy. Przed paroma kwadransami Corvalan odmówił udziału w konferencji prasowej. Powiedział tylko, że nie interesuje go żaden Bukowski, interesuje go tylko los Chile.

Na pierwsze pytanie Bukowski odpowiada w błyskach fleszów:

– Cieszę się, że dwaj więźniowie odzyskali dziś wolność.

19 grudnia 1806 ▪ środa

Serdecznie witamy

„Niech z was żaden nie zostaje

Bierzcie z sobą orły, słupy,
Na ostatnie pożegnanie
Całujcież nas wszystkich w…”

–śpiewa rozradowana warszawska ulica. Prusacy odchodzą! Wynoszą się znienawidzeni zaborcy, którzy w ciągu kilkunastu lat zamienili stolicę w brudne, zapyziałe, prowincjonalne miasteczko.

Warszawę ogarnia napoleoński bzik. Codziennie nadchodzą wieści o kolejnych niemieckich miastach zajętych przez francuskich generałów. Ulica i salony po stokroć powtarzają fragmenty mowy wygłoszonej przez cesarza 19 listopada na poznańskim zamku do polskiej deputacji, a 2 grudnia opublikowane w „Gazecie Warszawskiej”: „Nigdy Francya nie uznała podziału Polski; nigdy nie było iey interesem, ażeby ten podział nastąpił. A gdy uyrzę 30 do 40 000 ludzi pod broń zebranych, ogłoszę w Warszawie niepodległość waszą; skoro zaś ią ogłoszę, niewzruszoną będzie”. Napoleona nie wolno zawieść – w województwach wielkopolskich pospiesznie tworzone są kolejne regimenty nowego polskiego wojska, rusza pobór żołnierza na Mazowszu. Cesarz lada dzień ma przybyć do Warszawy i ogłosić niepodległość.

Najzacniejsi obywatele stolicy, z prezesem Najwyższej Rady Wojennej i Administracji Publicznej Kochanowskim na czele, podkomorzym wielkim litewskim Gutakowskim i szefem milicji miejskiej ks. Poniatowskim, patronują pośpiesznym przygotowaniom do triumfalnego wjazdu. Czasu mają niewiele – przybycie Bonapartego z Poznania do Warszawy cesarska kancelaria zapowiedziała na 19 grudnia. Na wolskich rogatkach zbudowano wspaniałą bramę triumfalną. Jeszcze pyszniejszą wzniesiono przy kolumnie Zygmunta. Przy obu rozstawiono baterie armat, by salwami czcić Najjaśniejszego Cesarza. Między salwami warszawscy

dygnitarze wygłoszą kunsztowne mowy, lud zaś odśpiewa okolicznościowy hymn:

„Już Wielki Napoleon Polaków
Bożyszcze,
Zgromił, skruszył tak liczne
Prusaków szeregi,
Potężny iego oręż po nad Wisłą
błyszcze,
Zwróci nam Sali, Elby, Wisły,
Dniepru brzegi
Niech żyie Cesarz, Oyciec Polski
ukochany
Niech żyie, wszystkie społem
niech wołają stany".

Po salwach i przemowach odziane na biało dziewczęta umają kwiatami drogę do katedry, gdzie czeka cesarza uroczysta msza sprawowana przez bp. Albertrandiego, z orkiestrą i chórem stołecznego teatru, po czym znów salwy – w południe i o 17.00. Warszawa ma być iluminowana przez całą noc, do białego rana. Po zmroku zaczną się bale. Najważniejszy – w zamku, z udziałem cesarza. W Teatrze Wielkim aktorzy polscy i francuscy wystawią 2 opery w narodowych językach z dopisanymi na tę okazję piosenkami. Na koniec tancerze wyniosą na scenę ogromne litery i stworzą napis: „*Vive l'Empereur des Français*". Tańce w salach redutowych i napitki będą, rzecz jasna, za darmo.

Cesarska kancelaria nie kłamała. 18 grudnia Napoleon w asyście generalicji i eskorty kirasjerów pędzi konno do Warszawy. O 15.30 orszak wpada do Łowicza. Po krótkim zamieszaniu cesarz staje w domu pana Kosierkiewicza. Obiad zjada pospiesznie. Wszyscy sądzą, że po całym dniu spędzonym w siodle, na siarczystym

mrozie, zostanie tu na noc, ale Bonaparte rozkazuje pędzić dalej. O 22.00 śmiertelnie znużony orszak wjeżdża do Błonia. Cesarz zsiada przed pocztą, każe wezwać komisję powiatową i podać sobie trochę wody z winem. Wypytuje urzędników o rozmaite lokalne sprawy. Błońscy notable nerwowo szykują nocleg – do Warszawy wszak bliziutko, a uroczyste powitanie Napoleona ma się rozpocząć w stolicy jutro o 9.00. Cesarz wysłuchuje opisów czekającej go fety i nieoczekiwanie wydaje rozkaz: „Na koń!". O 1.00 w nocy orszak cesarski przemyka przez puste ulice, mija obok kolumny Zygmunta bramę triumfalną z przyprószonymi śniegiem pozłacanymi figurami Marsa, Minerwy i Cerery. Przemarznięty na kość kirasjer stuka do bramy Zamku Królewskiego. Cesarz kładzie się spać bez kolacji.

Rano wszystko jest jasne – uroczyste powitanie diabli wzięli. Cesarz nie ma zamiaru wychodzić z zamku. Po śniadaniu łaskawie przyjmuje hołd księcia Józefa Poniatowskiego, gen. Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego. Nie ma przemówień, hymnów, dziewcząteк z kwiatami, mszy. Tyle tylko że huknęły salwy armatnie. O 15.30 cesarz udaje się konno do swego warszawskiego namiestnika marsz. Murata, po czym jedzie obejrzeć strategiczny most na Wiśle. Wraca do zamku i od 19.00 daje krótkie audiencje.

Wieczorem ruszają spektakle w teatrze i bale. Wino leje się strumieniami. Warszawiacy nie mają cesarzowi za złe potajemnego wjazdu. Na Krakowskim Przedmieściu, na jednej z kamienic, właściciel rozwiesza ogromny transparent: „Wznosić upadłe Państwa, wracać im imiona dziełem jest tylko Boga lub Napoleona".

20 grudnia 1989 ▪ środa

Dorwać ananasową gębę!

Do wybrzeży Panamy zbliżają się od wschodu dwa kanciaste, bardziej przypominające gigantyczne flądry niż samoloty bojowe, bombowce F-117 A Stealth. To pierwszy bojowy lot nowej, cudownej broni amerykańskiego lotnictwa wojskowego – samolotów niewidocznych dla radarów przeciwnika. Obie maszyny wystartowały z bazy Eglin na Florydzie i teraz zmierzają w kierunku koszar armii panamskiej w Rio Hato. Piloci z ulgą stwierdzają, że nie zostali namierzeni. Nie wiedzą, że jedyny w Panamie radar wojskowy jest nieczynny z powodu braku części zamiennych. Nad koszarami oba F-117 A zrzucają po bombie o wadze 908 kg naprowadzanej laserowo na cel. Potężne eksplozje wyrywają ze snu żołnierzy elity panamskiej armii, batalionu Sił Obrony Narodowej nr 2000. Zaraz po nalocie na Rio Hato tuzin amerykańskich samolotów szturmowych nadlatuje nad kolejne cele w Panamie. Bomby lecą na garnizony w Colon, David, a w stolicy i na garnizon, i na willę pani Vicky Amado. Amerykańskim pilotom nie chodzi o życie pięknej Peruwianki – chcą zlikwidować jej kochanka. Na wypadek gdyby dzisiejszej nocy bawił on gdzie indziej i ocalał, myśliwce F-16 blokują obszar powietrzny Panamy. Teraz nie wyleci z kraju nawet mały samolot sportowy. O 1.30 z potężnych samolotów transportowych wysypują się setki amerykańskich spadochroniarzy.

Wszystko po to by dopaść jednego człowieka – gen. Manuela Antonio Noriegę.

To twardy, sprytny i niezbyt urodziwy przeciwnik. W młodości, spędzonej w nędzy panamskich slumsów, zachorował na ospę. Z powodu pokrytej ospowymi bliznami twarzy nazywany jest „ananasową gębą", albo po prostu „Ananasem".

Dla takich jak on jedyną drogą awansu była armia. Noriega okazał się pilnym słuchaczem Akademii Wojskowej w Chorillos

w Peru. Po godzinach donosił szefowi delegatury CIA w Limie na swoich kolegów z akademii. Dostawał za to raczej napiwki niż tajną pensję – co miesiąc 100 dolarów. Ale skalkulował sprytnie, że od gotówki ważniejsze są rekomendacje amerykańskich tajnych służb. Wkrótce na koszt Waszyngtonu ukończył w Fort Gullick kursy prowadzenia walk w dżungli oraz – w Fort Bragg – kurs wywiadu, kontrwywiadu i wojny psychologicznej.

3 lata później charyzmatyczny przywódca Panamy gen. Omar Torrijos mianował go szefem służb wywiadowczych armii panamskiej. „Ananasowa gęba" szybko pokazał, do czego jest zdolny. Od oficerów amerykańskiego wywiadu stacjonujących w Panamie kupił taśmy z podsłuchami rozmów telefonicznych panamskich polityków, rozmów dotyczących rokowań na temat przyszłości i statusu Kanału Panamskiego. Niektóre z taśm przekazał gen. Torrijosowi, inne sprzedał wywiadowi kubańskiemu. Wewnętrzne śledztwo CIA prowadzone pod kryptonimem „Pieśni Kantonu" nie pozostawiało wątpliwości – Noriega ma szpiegowskie interesy z Hawaną. Na domiar złego na polecenie gen. Torrijosa Noriega zorganizował serię zamachów bombowych na firmy i obywateli amerykańskich w Panamie – wszystko po to by zmiękczyć Waszyngton w trakcie rokowań o przyszłym statusie Kanału Panamskiego.

Odpowiedzią CIA było... podniesienie szpiegowskich poborów „Ananasa" do 110 tys. dolarów rocznie. Amerykański wywiad doszedł do wniosku, że przekazywane przez Noriegę szpiegowskie informacje o Kubie są ważniejsze od jego kombinacji z wywiadem Fidela Castro i od terrorystycznych wyskoków.

Przed 8 laty gen. Torrijos zginął w tajemniczej katastrofie lotniczej, a 2 lata później Noriega przechwycił faktyczną władzę w kraju. Namówił szefa sztabu armii gen. Paredesa do zajęcia się polityką

i zajął jego miejsce. Odtąd to jego słowo, a nie prezydenta, stało się w Panamie decydujące.

Nadal współpracował z CIA. Po przechwyceniu władzy w Nikaragui przez lewicowych sandinistów zgodził się na szkolenie w Panamie oddziałów *contras*. Zorganizował sieć zaopatrzenia dla *contras*, walczących z rządem sandinistów. Wyładowane bronią i amunicją awionetki startowały z kontrolowanych przez zauszników Noriegi lotnisk w Panamie i lądowały w nikaraguańskiej dżungli. Z czasem coraz częściej jednak awionetki zbaczały z kursu i docierały aż do Stanów Zjednoczonych. Zamiast broni ładowano do nich paczki z kokainą. Noriega stał się w praktyce szefem transportu narkotykowego kartelu z Medellin w Kolumbii.

Na wielką skalę zorganizował przerzut przez swój kraj nielegalnych imigrantów z Chin do USA. W Meksyku był udziałowcem wielkiej, tajnej fabryki fałszywych lekarstw i anabolików dla sportowców.

W latach 80. ostatecznie zerwał się ze smyczy amerykańskiego wywiadu. Odmówił uczestnictwa żołnierzy panamskich w amerykańskiej inwazji na Grenadę, na własną rękę zaczął sprzedawać broń sandinistom, wreszcie zaczął wygłaszać antyamerykańskie hasła i zapowiedział, że wkrótce odbierze Waszyngtonowi kontrolę na strefą Kanału i wyrzuci stacjonujące tam jednostki US Army. „Ananasowa gęba" z jego znajomością amerykańskich tajnych operacji stał się zagrożeniem dla Białego Domu.

Półtora roku temu prokurator federalny w Miami formalnie oskarżył Noriegę o współpracę z kokainowym kartelem z Medellin.

„Ananas" ostrzeżenie to zlekceważył.

2 zamachy stanu w Panamie, dyskretnie wspierane przez Amerykanów, nie powiodły się. Tydzień temu Noriega złożył operetkowe oświadczenie, że Panama jest w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Jego żołnierze zastrzelili nazajutrz amerykańskiego żołnierza stacjonującego w strefie kanału. Ale mimo wszystko „Ananasowa gęba" aż do dzisiejszej nocy nie wierzył, że prezydent Bush odważy się zaatakować.

A teraz amerykańscy komandosi zajmują panamskie lotniska, na których zaraz po 2.00 w nocy lądują ciężkie samoloty transportowe z lekkimi czołgami i transporterami. W Rio Hato Nikaraguańczycy stawiają twardy opór. Dopiero silne bombardowanie z powietrza pozwala amerykańskim komandosom zająć koszary. Na tamtejszym lotnisku zdobywają panamski samolot wojskowy wyładowany po brzegi nowiutkimi kałasznikowami i inną bronią wyprodukowaną w bloku komunistycznym. Spadochroniarze strzegą zdobyczy jak oka w głowie – to dowód, że Noriega współdziałał z Fidelem Castro przy „eksporcie rewolucji" do innych krajów Ameryki Środkowej.

Ale sam „Ananas" jest nieuchwytny. Nie śpi ani u swej kochanki Vicky Amado, na co liczyli Amerykanie, ani u żony Felicidad Siero (obie panie znają się od dawna i od dawna wybuchają między nimi dzikie awantury). Dziś w nocy pracuje w budynku sztabu sił zbrojnych. Obok jego biurka unosi się balon w kształcie serca z napisem „*I love you*", prezent od Vicky Amado. Na pierwszą wieść o bombardowaniu Rio Hato Noriega chwyta za pistolet i natychmiast wybiega z gabinetu. Cywilnym samochodem ucieka do miasta. Chwilę później na budynek spadają amerykańskie bomby.

O świcie panamska armia jest obezwładniona, 20 tys. amerykańskich żołnierzy kontroluje wszystkie ważne punkty w kraju. Noriega pojmuje, że przegrał. Pozostaje mu tylko ucieczka.

Albo szukanie azylu. Amerykanie przewidzieli to. Komandosi zaraz po wkroczeniu do stolicy otoczyli ambasady krajów bloku wschodniego.

„Ananasowa gęba" ukrywa się w mieście. Jego zaufani ludzie rozpuszczają pogłoski, że uciekł samolotem i wylądował bezpiecznie na kolumbijskiej wyspie Andres.

W Stanach Zjednoczonych, w bazie lotniczej Howard, zostaje zaprzysiężony nowy prezydent Panamy – Guillermo Endaro. Był faworytem w ostatnich, unieważnionych przez Noriegę wyborach i od tego czasu przebywa na emigracji w Stanach.

Noriega błąka się po stolicy Panamy, wreszcie puka do ambasady Stolicy Apostolskiej. Oniemiałemu księdzu wręcza swój pistolet i prosi o udzielenie azylu.

Gen. Manuel Antonio Noriega przemawia w Panamie

21 grudnia 1927 ▪ środa

Pamięć w płomieniach

Fala okropnych mrozów skuła Europę. W Rzymie śnieg sięga do kostek, a w Nicei i Cannes, niemal 1,5 m; palmy na nadbrzeżnych bulwarach uginają się pod białymi czapami. W Polsce wskutek potężnych mrozów Wisła, od Krakowa aż do Gdańska, skuta jest 20-centymetrową skorupą lodu, ale w Polsce południowej i centralnej za dnia odnotowano wczoraj w miarę znośne −23 stopnie Celsjusza.

W starych murach należącego do rodu hrabiów Tarnowskich zamku w Dzikowie pod Tarnobrzegiem jest straszliwie zimno i nie ma wody – rury wodociągowe zamarzły kilka dni temu.

Pan na Dzikowie hrabia Zdzisław Jan Tarnowski bawi akurat w swojej kamienicy w Krakowie, ale w zamku mieszka jego 90-letnia matka hrabina Zofia z Zamoyskich Tarnowska.

Po południu w piecu centralnego ogrzewania dzikowskiego zamku lądują kolejne łopaty węgla. Wszystko na nic. Lód nadal zatyka rury wodociągowe, szczególnie na nieogrzewanym strychu. Późnym wieczorem służba zaczyna rozgrzewać lampami benzynowymi zamarznięte rury. W końcu pracownicy pojmują, że tego dnia udrożnić się ich nie da, i idą spać.

Zaraz po północy służący obchodzi cały zamek. Niczego niepokojącego nie zauważa. Tymczasem w stropie strychu od kilku już godzin niepostrzeżenie tli się zaprószony podczas rozgrzewania rur ogień. Strop żarzy się jak torfowisko – nie widać płomieni ani nawet nie czuć dymu.

Zamek, skarbnica narodowej kultury, zasypia. Od czasu gdy w roku 1522 Jan Spytek Tarnowski z Wielowsi kupił Dzików od Andrzeja Ossolińskiego z Ossolina, ród Tarnowskich zbudował na miejscu starego dworu solidnie ufortyfikowany zamek i wypełnił go bajecznymi skarbami. W bibliotece jest ponad 30 tys.

woluminów, w tym takie narodowe cymelia jak najstarszy druk krakowski z roku 1475, *Statuty* Łaskiego z 1506 roku, najrzadsze wydania Reja, Paprockiego, Orzechowskiego, prócz tego ponad 250 najstarszych druków polskich, zachowanych tylko w jednym, dzikowskim egzemplarzu. Większość kolekcji obrazów znajduje się teraz w domu hrabiego Tarnowskiego w Krakowie, ale w zamku pozostały imponujące zbiory archiwaliów, cennych mebli i narodowych pamiątek.

– Panie profesorze, pali się! – woła służąca o 3.00 w nocy, budząc mieszkającego w zamku, wraz z rodziną, bibliotekarza Michała Marczaka. Niezależnie od pracy w zamku uczy on też w gimnazjum w odległym o 2 km Tarnobrzegu; stąd wszyscy w Dzikowie tytułują go profesorem.

Michał Marczak w jednej chwili odziewa się i biegnie do piętrowej sali biblioteki. Ogień niby jest jeszcze daleko – płoną strychy i dach zamku – ale lada chwila może ogarnąć wysoki strop sali. Profesor odnajduje klucze do 3-kondygnacyjnych szaf bibliotecznych, szamoce się z nimi, usiłując dopasować do zamków. Wokół niego zbierają się zamkowi służący. Bibliotekarz woła, by wyjmowali stare księgi i wynosili z zamku, ale większość służących ratuje to, co dla nich jest wartościowe – krzesła, lampy, nawet popielniczki. Na szczęście, usłyszawszy alarm, przybywają mieszkający w Dzikowie uczniowie Marczaka. Sprawnie wynoszą księgi wskazywane przez profesora.

Na schodach za głównym wejściem do sali bibliotecznej pojawia się ogień. Tamtędy przejść już nie sposób. Marczak kieruje uczniów, dźwigających wydobyte z szaf inkunabuły, do obu bocznych drzwi do biblioteki. Na dworze chłopcy rzucają drukowane skarby na zasypany śniegiem gazon.

Jakby mało było kłopotu z ogniem w głównych drzwiach, pod ciężarem wspinających się do górnych półek uczniów łamie się jedyna sosnowa drabinka biblioteczna. Gimnazjaliści czepiają się framug, otwartych drzwiczek bibliotecznych i wspinają do najwyższych kondygnacji, skąd zrzucają książki. Pod sufitem czuć, jak z każdą chwilą robi się coraz goręcej.

Do zamku zbiegają się z pomocą prawie wszyscy mieszkańcy Dzikowa. Prof. Wyrostek, zajmujący się w zamku opracowywaniem archiwum majątkowego, ratuje 90-letnią hrabinę Zofię Tarnowską. Wyrwana ze snu starsza pani straciła w dymie orientację i właśnie szła przez amfiladę pokoi ku głównemu źródłu pożaru.

Straż pożarna z Dzikowa zjawiła się po pierwszych alarmach, jednak wszystkie hydranty przeciwpożarowe pałacu są zamarznięte. Zdesperowani strażacy usiłują wnosić na piętro śnieg, ale to tylko pogarsza sytuację – ogień nie maleje, za to parkiety stają się niebezpiecznie śliskie.

Marczak ocenia, że jego uczniowie świetnie radzą sobie z ratowaniem książek, i na czele paru gimnazjalistów biegnie do swej pracowni, by ratować owoc 10-letniej pracy – katalogi zbiorów dzikowskich. Instruuje chłopców, jak mają wynosić karty katalogowe, po czym wraca do głównej sali bibliotecznej.

W zamku gaśnie światło. Salę biblioteczną rozświetlają jedynie buzujące pod zamkniętymi głównymi drzwiami płomienie oraz spadające za oknami żagwie. W ciemnościach cały czas ratuje książki 18 osób, w większości uczniowie, ale także oficer por. Mastalski oraz Alfred Freyer, 26-letni syn koniuszego dóbr dzikowskich. Freyer jest bożyszczem kibiców lekkiej atletyki, ośmiokrotnym mistrzem kraju na długich dystansach, z maratonem włącznie; 14 razy bił rekordy Polski, jest największą nadzieją na olimpijskie złoto.

W końcu pęka nadpalony od góry sufit biblioteki, podmuch spadającego stropu wyrzuca Marczaka do sąsiedniego pokoju. Gimnazjaliści Krasoń i Lewek cucą profesora i boczną klatką wyprowadzają na dwór. Z 18 pracujących w sali bibliotecznej osób tylko 6 wypełza spod płonących gruzów, 4 wyciągają jeszcze ich towarzysze. Młodszemu z braci Gilów tląca się belka przygniata nogi. Por. Mastalski usiłuje dźwignąć ją, ale to niemożliwe. Ktoś wpada na pomysł, by chłopcu odrąbać nogi i choć ratować mu życie, ale nigdzie nie można znaleźć siekiery. Gil woła, by go zostawić, by reszta uciekała z sali.

Po chwili płonące belki zasypują go, cichnie jego krzyk. Pod płonącymi gruzami ginie 8 osób, w tym Alfred Freyer, 3 uczniów gimnazjalnych – panna Kocznerówna, Gil i Mastalerczyk – córka nauczycielki, 3 robotników dóbr dzikowskich. Kilkoro rannych, w bardzo ciężkim stanie, zabiera do szpitala w Tarnobrzegu karetka.

10 minut po runięciu stropu w sali bibliotecznej wali się sufit w pokoju z katalogami. Michał Marczak próbuje jeszcze ratować bezcenne zamkowe archiwum i na czele kilkorga uczniów włamuje się do sali. Uczniowie bohatersko wynoszą z otoczonej płomieniami sali prastare rękopisy. Zabierają także rzeźbę Berniniego. Po chwili interweniuje jednak komendant policji – z dachu nad archiwum lecą już płonące deski. Jeszcze parę minut i cały zamek, ciągle pełen bezcennych skarbów i narodowych pamiątek, płonie jak stodoła.

22 grudnia 1894 ▪ sobota

Wyrok w kopercie

Ktoś puka do drzwi. Przynosi 2 dokumenty. Robią one na sędziach piorunujące wrażenie

Przed bramą pałacu przy Cherche-Midi, w którym znajduje się paryski sąd wojskowy, stoi gęsty, podwójny szpaler żołnierzy uzbrojonych w karabiny z nasadzonymi bagnetami. Jest wczesne popołudnie, zimno, leje jak z cebra.

Na ulicy kłębią się tłumy paryżan. Nikt nie stoi, wszyscy pospiesznie maszerują w różne strony, zawracają i pędzą z powrotem. To skutek zakazu wystawania na ulicy Cherche-Midi obowiązującego dziś od godz. 13.00. Policjanci odpędzają przechodniów od wielkiej bramy gmachu sądu. Ok. 17.00 w pobliskiej kawiarni, w której zebrali się sprawozdawcy sądowi, rozchodzi się plotka, że rozprawa skończyła się i sąd wojskowy poszedł na finalną naradę. Tłumek dziennikarzy wypada z kafejki i biegnie w stronę bramy. Policjanci każą im odejść, ale reporterzy targują się. W końcu dostają zgodę na pozostanie, do czasu otwarcia bramy, między dwoma szpalerami wojska. Dziennikarze negocjują dalej i po półgodzinie dowiadują się, że na ogłoszenie wyroku mogą czekać na wewnętrznym dziedzińcu, przed schodami prowadzącymi do sali obrad.

Nagle rozlega się komenda: „Odsunąć wszystkich!". Szerokimi kamiennymi schodami schodzi kordon gwardzistów, torując drogę oskarżonemu otoczonemu przez 4 żołnierzy. Kpt. Alfred Dreyfus, dość wysoki, szczupły, jest bardzo blady i wyraźnie garbi się. Przez dziedziniec eskorta przechodzi tak szybko, że zmusza Dreyfusa do biegu.

Wszystko zaczęło się przed 3 miesiącami. Francuska sprzątaczka w niemieckiej ambasadzie w Paryżu, niejaka pani Bastian, opłacana przez francuski kontrwywiad, znalazła w koszu na śmieci list napisany przez anonimowego francuskiego oficera. Autor oferował

niemieckiemu *attaché* wojskowemu płk. Schwartzkoppenowi 5 tajnych dokumentów, w tym notatkę o hamulcu hydraulicznym do dział 120 mm i najnowszy podręcznik nauki strzelania dla artylerii polowej. Kontrwywiad, ukrywający się pod szyldem „Sekcji statystyki", zacieśnił krąg podejrzanych do oficerów sztabu generalnego. Ale który z nich zdradził? Kontrwywiad dedukował: to musi być artylerzysta, bo sprzedaje głównie dokumenty dotyczące artylerii, i zarazem stażysta w sztabie generalnym, bo tylko stażyści mają dostęp do innych wydziałów sztabu. Winnego znajduje się szybko: kpt. Alfred Dreyfus. Oficer artylerii, stażysta w sztabie generalnym. Co go obciąża? Po pierwsze – Żyd. Żydzi to, jak każdemu uczciwemu oficerowi wiadomo, naturalni zdrajcy ojczyzny. Po wtóre – pochodzi z zajętej przez Niemcy Alzacji. Często jeździ tam do rodziny. Po trzecie – zna kilka języków obcych, w tym niemiecki. Po czwarte – jest zdolny, pracowity, zabiega o awans, ignoruje zaś typowe rozrywki oficerów sztabu: karty, wino i wieczorne gadanie o polityce.

No i dowód kluczowy – list znaleziony w koszu niemieckiego *attaché*. Wedle śledczych charakter pisma jego autora był identyczny z charakterem pisma Dreyfusa.

Prowadzący na początku śledztwo mjr du Paty de Clam wciskał Dreyfusowi do ręki rewolwer i usiłował zmusić go do samobójstwa. Dreyfus odtrącił broń, zapewniał, że jest niewinny. Eksperci grafolodzy w swych opiniach podzielili się – jedni za autora listu uważali Dreyfusa, inni twierdzili, że to niemożliwe. Ale francuscy dygnitarze wojskowi potrzebowali szybkiego sukcesu – Dreyfusa postawiono przed trybunałem wojskowym.

Rozprawa rozpoczęta przed 3 dniami była niebywałą farsą. Jej przebieg zaraz na początku został utajniony. Oskarżyciel stwierdził, że nie ma pojęcia, dlaczego kpt. Dreyfus miałby zdradzić, ale że

zdradził, to rzecz pewna. Jedynym dowodem oskarżenia była kartka papieru znaleziona przez sprzątaczkę w niemieckiej ambasadzie. Ale 2 z 5 przesłuchiwanych ekspertów grafologii wykluczyli oskarżonego jako autora listu. Dreyfusa obciążali świadkowie oskarżenia, w większości oficerowie kontrwywiadu. Najważniejszy, mjr Henry z „Sekcji statystyki", stwierdził, że od osoby zasługującej na zaufanie dowiedział się, iż jeden z oficerów sztabu generalnego jest szpiegiem. Wezwany przez adwokata do ujawnienia informatora, zasłonił się tajemnicą wojskową. Obecny na sali płk Picquart z kontrwywiadu wiedział, że tą „godną zaufania osobą" jest osobnik całkiem niewiarygodny, hiszpański dyplomata opłacany przez francuski wywiad, ale zataił to.

Jest sporo po 17.00. Trybunał naradza się. Wojskowi sędziowie mają spore wątpliwości co do winy Dreyfusa. Zanosi się na uniewinnienie oskarżonego. Wtem ktoś puka do drzwi. To mjr du Paty de Clam. Przynosi pismo od ministra wojny do przewodniczącego trybunału. Na kopercie dopisek: „Otworzyć w czasie narady sądu". W środku 2 dokumenty, mające potwierdzić winę Dreyfusa. Pierwszy to przechwycony przez wywiad list *attaché* Schwartzkoppena, w którym pisze on o jakiejś „kanalii D.", szpiegu, który zaczął żądać zbyt wiele. Schwartzkoppenowi chodzi o niemieckiego agenta Dubois, ale minister dołącza osobistą notatkę: „Fakty, o których wspomina ten list, mogą odnosić się do kapitana Dreyfusa". Drugi dokument to przechwycona depesza włoskiego *attaché* w Paryżu Panizzardiego. Przechwycona i cynicznie sfałszowana przez francuski kontrwywiad tak, by świadczyła o winie Dreyfusa.

Dokumenty ministra robią na sędziach piorunujące wrażenie. Prezes trybunału płk Maurel stwierdza, że o ich istnieniu nie może się dowiedzieć ani oskarżony, ani jego adwokat. To niebywałe

bezprawie, ale żaden z sędziów nie protestuje. Trybunał kończy obrady.

Na korytarzu żołnierze gwardii sprawdzają skrupulatnie przepustki i rewidują każdego wchodzącego. Woźny pojedynczo wpuszcza korespondentów na salę rozpraw, niedużą, na planie kwadratu, zastawioną ławeczkami i mnóstwem niskich drewnianych barierek. Na niewielkim podwyższeniu znajduje się nakryty zielonym suknem stół sędziowski. Na prawo – niewielka trybunka dla obrońcy. Po lewej – stół oskarżyciela i sekretarza trybunału. Między miejscami dla świadków a ławkami publiczności stoi szereg żołnierzy gwardii, dzierżących karabiny z bagnetami. Jedynymi ozdobami ponurej sali są wielki piec i ogromne płótno wiszące za stołem sędziowskim. Na czarnym tle wymalowano na nim Ukrzyżowanego.

Punktualnie o 19.00 drzwi sali narad otwierają się. Woźny wzywa donośnym głosem: „Baczność! Prezentuj broń!". Wchodzą sędziowie. Pierwszy – prezes trybunału płk Maurel. Po jego prawej stronie zasiada płk. Echemann ze 154. Pułku Piechoty, po lewej – płk Florentin ze 113. Pułku. Dalej płk Patron z pułku 154., płk Gallet z 5. Pułku Strzelców Konnych, kpt Roche z 39. Pułku Piechoty i kpt Freysttveter z piechoty marynarki wojennej. Potem miejsca zajmują oskarżyciel, mjr Brisset, sekretarz Valecalle i jeden z najlepszych francuskich obrońców – mecenas Demange. W sali sądu jest bardzo duszno. Odczytanie werdyktu trybunału w zgodzie z przepisami następuje pod nieobecność oskarżonego. Płk Maurel donośnym głosem ogłasza: „Wyrok!". Członkowie trybunału kłaniają się. Przewodniczący oznajmia, że trybunał wojenny, po zbadaniu sprawy przy drzwiach zamkniętych oraz po otrzymaniu od przewodniczącego pytania, czy kpt. Alfred Dreyfus winien jest sprzedania mocarstwu zagranicznemu, lub jego pełnomocnikom,

dokumentów dotyczących obrony narodowej, jednogłośnie orzekł winę podsądnego. W zupełnej ciszy płk Maurel wylicza paragrafy, na mocy których zapadł wyrok. I to już wszystko. Dziennikarze pospiesznie wybiegają do swych redakcji. Nieliczni zatrzymują się na dziedzińcu. O 19.15 zaczyna się ceremonia odczytania wyroku oskarżonemu. Wedle tradycji winna odbyć się w obecności oddziału wojska. Podoficer ustawia pluton piechoty pod bronią, oficer dyżurny doprowadza kpt. Dreyfusa. Siąpi, nieliczne lampy gazowe słabo rozjaśniają zimowe ciemności. Sekretarz Valecalle odczytuje wyrok: degradacja i bezterminowe zesłanie do zamorskiej twierdzy. Dreyfus wysłuchuje wyroku w milczeniu i bez słowa pozwala się wyprowadzić do więzienia.

Na ulicy tłum rozchodzi się. Ktoś krzyczy: „Śmierć zdrajcy!", ktoś zauważa: „Koniec sprawy". Nikt nie przeczuwa, że to dopiero początek.

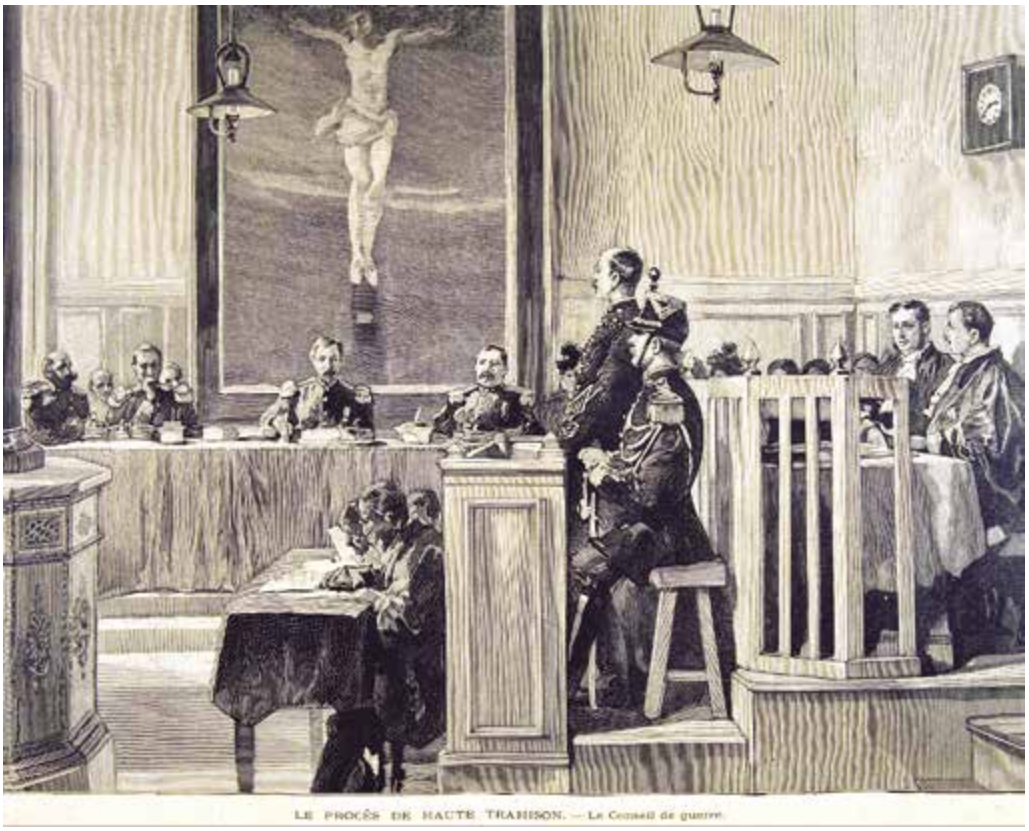

LE PROCÈS DE HAUTE TRAHISON. — Le Conseil de guerre.

Alfred Dreyfus podczas procesu o zdradę stanu

23 grudnia 1953 ▪ środa

Ponieśli i wilka

Były szef NKWD Ławrentij Pawłowicz Beria, aresztowany na Kremlu pół roku temu, może posmakować, jaki los wcześniej zgotował setkom tysięcy swych ofiar.

W stosunku do nich jest i tak w luksusowej sytuacji. Po aresztowaniu nie był torturowany ani bity. Najpierw osadzono go w więzieniu Lefortowo, ale wkrótce, ze względów bezpieczeństwa, został przewieziony do podziemnego bunkra sztabu dowództwa Moskiewskiego Okręgu Wojskowego przy ul. Komisariackiej, niedaleko od brzegu rzeki Moskwy. Uwięziono go tam w pojedynczej celi. Zajmuje się nim mjr Chiżniak, komendant sztabu obrony przeciwlotniczej Moskwy. Chiżniak osobiście odpowiada za bezpieczeństwo więźnia. Sam gotuje i zanosi mu jedzenie, co godzina wchodzi do celi i sprawdza, co się z Berią dzieje.

Za zgodą przełożonych Chiżniak dostarczył Berii papier i ołówek. W ciągu kilku dni po osadzeniu w bunkrze były szef NKWD napisał 3 listy do najwyższych władz partyjnych świadczące, że przeszedł w celi drogę większości swych dawnych ofiar – od szoku po aresztowaniu, przez nadzieję, że w gruncie rzeczy pobyt w celi to pomyłka, że wystarczy ogólna samokrytyka, by wyjść na wolność, po paraliżujący strach, gdy staje się jasne, że na końcu może być tylko egzekucja.

Żonę Berii Nino i 28-letniego syna Sergo najpierw zatrzymano w areszcie domowym w podmoskiewskiej daczy, potem osadzono

w 2 różnych więzieniach, Lefortowie i Butyrkach.

Krótko po aresztowaniu Berii zaczęło się polowanie na jego współpracowników i protegowanych. Większości z nich polecono, wedle najlepszych wzorców z czasów beriowskiego NKWD, najpierw samodzielne opisanie zbrodni swojego pryncypała. Jeśli opisy te okazywały się nieprzydatne dla aktu oskarżenia Berii, ich autorzy trafiali do więzień. Ostatecznie wraz z Berią przed Kolegium Specjalne Sądu Najwyższego ZSRR trafili wysocy funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: Kobułow, Mierkułow, Dekanozow, Mieszkow, Włodzimirski, Goglidze.

Tydzień po aresztowaniu Berii odbyło się tajne plenum KC, na którym zwycięzcy – Malenkow, Chruszczow i Mołotow – przekonywali członków KC o konieczności uwięzienia go. Chcąc ratować skórę, do pogromców Berii dołączyli na plenum jego najbliżsi zausznicy – wszyscy zgodnie go potępili, dorzucając kolejne oskarżenia. Komitet Centralny jednogłośnie uchwalił rezolucję wzywającą do usunięcia Berii z partii i postawienia go przed sądem za przestępstwa kryminalne.

Sąd ten skomponowany został osobliwie. Przewodniczącym Kolegium Specjalnego Sądu Najwyższego ZSRR został marsz. Iwan Koniew, członkami zaś: dowódca Moskiewskiego Okręgu Wojskowego gen. Kirił Moskalenko, pierwszy zastępca ministra spraw wewnętrznych K. Łuniew, przewodniczący Wszechzwiązkowej Rady Związków Zawodowych Nikołaj Szwernik, przewodniczący Rady Związków Zawodowych Gruzińskiej SRR M. Kuczawa, pierwszy zastępca przewodniczącego Sądu Najwyższego ZSRR E. Zejdin, sekretarz komitetu partyjnego obwodu moskiewskiego N. Michajłow, przewodniczący sądu miejskiego w Moskwie L. Gromow. Nie jest to zatem ani trybunał wojskowy, w skład którego musieliby wchodzić oficerowie, ani

właściwa instancja radzieckiego sądu cywilnego. Gen. Moskalenko brał aktywny udział w aresztowaniu Berii, potem nadzorował śledztwo, by w końcu go osądzić. Tylko 2 członkowie Kolegium Specjalnego są prawnikami.

Po tym jak podczas lipcowego plenum KC oskarżono Berię o szpiegostwo w latach 20. na rzecz burżuazyjnego gruzińskiego rządu musawatystów oraz o konsekwentną działalność kontrrewolucyjną, jest jasne, że wyrok może być tylko jeden – kara śmierci.

Przed tygodniem moskiewskie gazety nieoczekiwanie doniosły, że prokurator generalny ZSRR zakończył półroczne śledztwo i przekazał akt oskarżenia w sprawie Berii i jego 6 pomocników do Sądu Najwyższego. Zarzucono im m.in. współpracę z musawatystami, usiłowanie sparaliżowania systemu kołchozowego, sianie nienawiści wśród narodów ZSRR, udział w kontrrewolucyjnym spisku. O głównej winie oskarżonych, masowych represjach wobec obywateli ZSRR, oskarżenie milczało. W akcie wspomniano raptem o zamordowaniu Ordżonikidzego i czekisty Kiedrowa.

Beria i kompani osądzeni mieli być zgodnie z kodeksem postępowania karnego z 1934 roku, który w przypadkach „terroryzmu" wykluczał obecność na sali rozpraw oskarżonego i jego obrońców.

Proces trwał 6 dni.

Wczesnym popołudniem członkowie Kolegium Specjalnego zatwierdzają wyroki śmierci i opuszczają budynek sztabu Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. W 4 narożnikach rozległego wewnętrznego dziedzińca stoją czołgi w pełnej gotowości bojowej. Strzegą niewielkiego, niepozornego pagórka w rogu dziedzińca – wejścia do wielkiego schronu, w którym więziony jest Beria.

Z zewnątrz budynek sztabu chroniony jest przez zmotoryzowany pułk piechoty.

Gen. Moskalenko wzywa do siebie mjr. Chiżniaka. Rozkazuje mu pojechać do domu Berii na ul. Kaczałowa 28, róg Wspólnego Zaułka, i przywieźć dla niego nowy, świeży garnitur oraz czystą koszulę i bieliznę. Chiżniak zastaje tam jedynie opiekującą się domem kobietę. Przedstawia się, wyjaśnia, po co przyjechał. Kobieta daje mu elegancki czarny garnitur i komplet bielizny osobistej.

Chiżniak wraca do bunkra dowództwa obrony Moskwy.

Gen. Moskalenko rozkazuje mjr. Chiżniakowi przygotowanie drewnianej tarczy i metalowego kółka, do którego ma być przywiązany Beria. 2 stolarze zbijają z grubych desek prostokątną tarczę o wymiarach 2 na 3 m. Żołnierze pod kierunkiem Chiżniaka ustawiają ją w bunkrze. W jej środek wkręcają stalowe kółko.

Teraz kolejne polecenie szefa – trzeba natychmiast dostarczyć do bunkra płachtę brezentu i mocny sznurek.

Jest już dobrze po 19.00, gdy Chiżniak dostaje polecenie przebrania Berii w nową bieliznę i garnitur. Więzień domyśla się, że egzekucja jest już bliska. Chiżniak chowa stary szary garnitur. Po egzekucji ma go spalić. Rozkazy przełożonych są czytelne – po Berii nie powinna zostać żadna pamiątka związana z jego ostatnimi godzinami.

O 19.50 żołnierze prowadzą skutego Berię do głównej sali. Kat sowieckiej Rosji i połowy Europy trzyma się dobrze. Jest blady, nerwowy tik szarpie mu prawą połowę twarzy, ale poza tym całkowicie panuje nad sobą. Na sali są już gen. Moskalenko, jego I zastępca gen. Paweł Fiodorowicz Baticki, adiutanci obu generałów, kilku wyższych oficerów Moskiewskiego Okręgu Wojskowego i generalny prokurator ZSRR Rudenko. Przepisy wymagają

obecności przy egzekucji lekarza, który powinien urzędowo potwierdzić zgon skazanego, ale żadnego medyka tu nie ma.

Chiżniak przywiązuje Berię do tarczy. Chce przewiązać mu oczy żołnierskim ręcznikiem.

– Po co zawiązujesz?! Niech to widzi na własne oczy! – krzyczy gen. Baticki i występuje nieco przed stojącą w niewielkiej odległości grupkę oficerów. Wyciąga z kabury niemiecki *trofiejny* pistolet Parabellum i bez ceregieli strzela Berii prosto w twarz. Do martwego Berii po kolei strzelają z bliska pozostali oficerowie.

Chiżniak z pomocą żołnierzy zawija zwłoki w brezent, obwiązuje sznurkiem. Żołnierze wynoszą je z bunkra i ładują do samochodu, który odwozi je do krematorium.

Gen. Baticki spisuje jednozdaniową oficjalną notatkę o wykonaniu wyroku. Oprócz niego podpisują ją Rudenko i gen. Moskalenko.

Pół godziny później inna ekipa przystępuje do rozstrzeliwania reszty skazanych: Kobułowa, Mierkułowa, Dekanozowa, Mieszika, Włodzimirskiego i Goglidzego.

Ta egzekucja także bardziej przypomina mafijne porachunki niż wykonanie wyroku najwyższego sądu światowego mocarstwa. Do skazanych strzelają z pistoletów pierwszy zastępca ministra spraw wewnętrznych ZSRR Łuniew i zastępca głównego prokuratora wojskowego ZSRR Kitajew. Łuniew jako członek Kolegium Specjalnego Sądu Najwyższego najpierw 6 ludzi Berii skazał na śmierć, a potem osobiście rozstrzelał. Podczas tej egzekucji obecni są 3 generałowie, Getman, Bakieejew i Sopilnik, ale oni tylko przyglądają się rozstrzeliwaniu. Łuniew przed wojną był zaledwie naczelnikiem działu kadr w Ministerstwie Przemysłu Tekstylnego; po wojnie, podczas której jakimś cudem wywinął się od służby na froncie, został zastępcą działu kadr w moskiewskim komitecie partii

komunistycznej. Tam zauważył go Malenkow i awansował na szefa działu administracyjnego. Po aresztowaniu Berii Malenkow przeforsował kandydaturę tego podrzędnego aparatczyka na stanowisko pierwszego ministra spraw wewnętrznych ZSRR, odpowiedzialnego za ochronę rządu. Teraz Łuniew z pistoletem w ręku spłaca dług wdzięczności.

Uczestnicy egzekucji spisują jeszcze jednozdaniowy protokół wykonania wyroku śmierci, który podpisuje lekarz.

Ostatnie zdjęcie Ławrientija Berii, 1953 rok

24 grudnia 1938 ▪ sobota

Atom pęka na śniegu

Późnym rankiem Lise Meitner schodzi ze swego pokoju na parter, do malutkiej hotelowej kawiarenki. Siada sama przy stoliku. Nie czuje się najlepiej. Wychudła jak szczapa, cierpi na bezsenność. Pierwsza dama austriackiej fizyki teoretycznej źle znosi wygnanie.

Urodziła się przed 60 laty w Wiedniu, w rodzinie Philippa Meitnera, prawnika, wolnomyśliciela i znakomitego szachisty. Była cudownym dzieckiem – w ciągu 2 lat skończyła 8 klas gimnazjum i liceum. Po obronie doktoratu w 1905 roku zajęła się badaniem radioaktywności. 30 lat temu rozpoczęła współpracę z niemieckim chemikiem Ottonem Hahnem. Tworzyli świetnie uzupełniający się duet – dzięki opracowanym przez nią charakterystykom promieniotwórczości Hahn mógł izolować w stanie czystym nieznane, naturalne izotopy promieniotwórcze. Wówczas ona badała ich właściwości radiacyjne, on – chemiczne. Wspólnie odkryli kilka nowych izotopów. W czasie I wojny światowej Meitner zgłosiła się na ochotnika do armii austriackiej, jako specjalista rentgenolog. Prześwietliła tysiące rannych żołnierzy, w większości Polaków. Hahn jako oficer rezerwy został powołany do armii niemieckiej. Oboje brali urlopy w tym samym czasie, by móc choć przez kilka dni wspólnie pracować w laboratorium. W czasie jednego z takich naukowych urlopów z frontu odkryli nowy pierwiastek – protaktyn.

Po wojnie Meitner, wspólnie z Hahnem, rozpoczęła pracę w Instytucie Chemii Cesarza Wilhelma w Berlinie Dahlem. Hahn został z czasem dyrektorem instytutu, Meitner – szefem wydziału fizyki. Wśród fizyków jądrowych na całym świecie cieszyła się ogromnym szacunkiem. Einstein nazywał ją „naszą panią Curie". Nie na wiele się to zdało, gdy władzę objął Hitler. Po Anschlussie Austrii w marcu tego roku Meitner, Żydówka z pochodzenia, stała się poddaną III Rzeszy. W każdej chwili oczekiwała zwolnienia. Jej podanie o wizę wyjazdową zostało odrzucone – Himmler nakazał, by naukowców nie wypuszczać za granicę. Holenderski fizyk Dirk Coster przemycił ją do Holandii. Stamtąd trafiła do Szwecji, gdzie

wielki duński fizyk Niels Bohr załatwił jej pracę naukową w Instytucie Fizycznym Akademii Nauk w Sztokholmie.

Hahn pozostał w Berlinie.

Pisują do siebie nieustannie. O wynikach swych badań, o kłopotach ze zdrowiem, o najbliższych. Hahn uporczywie stara się odzyskać skonfiskowane przez hitlerowców meble i inne przedmioty z mieszkania Lise i przesłać je do Szwecji. Przed 5 dniami odegrał nawet w urzędzie skarbowym atak lekkiej histerii i uzyskał mglistą obietnicę zwolnienia rzeczy Lise. O 23.00 tego dnia napisał do niej list z tą pocieszającą nowiną. Opisał w nim też irytujące problemy, na jakie on i jego współpracownik Fritz Strassman natknęli się w swoich doświadczeniach z bombardowaniem atomów uranu neutronami.

Wedle obowiązującej teorii powinni otrzymać w wyniku tego bombardowania sztuczne izotopy radu. Tymczasem z ich subtelnych doświadczeń wynika niezbicie, że pozostałość po bombardowaniu jąder uranu zachowuje się nie jak rad, ale jak całkiem inny pierwiastek – bar. Czyste wariactwo! Jądro baru jest prawie dwukrotnie mniejsze od jądra uranu i radu! Skąd więc ten bar?! Przecież każdy fizyk wie, że żaden atom nie może się rozpaść na mniejsze atomy, to absolutnie wykluczone. „Może znasz jakieś fantastyczne wyjaśnienie? Rozumiemy, że uran nie może rozpaść się na bar. Spróbuj więc wymyślić jakąś inną możliwość [...]. Jeśli możesz wymyślić coś, co nadawałoby się do opublikowania, to figurowalibyśmy wszyscy troje w tej pracy" – prosił zdesperowany Hahn.

Lise Meitner powoli je śniadanie i czyta list. A to dopiero historia! Zamyślona, nawet nie zauważa, że do stolika dosiada się jej siostrzeniec Otto Frisch. Z Niemiec Otto wyjechał przed 4 laty do Kopenhagi. Pracuje tam w Instytucie Nielsa Bohra. Hitlerowcy

uwięzili jego ojca w obozie w Dachau, jego matka a siostra Lise Meitner czeka na swój los w Wiedniu. Osamotniona na emigracji Lise ściągnęła Ottona na święta do szwedzkiej wsi Kungaelv, 16 km od Göteborga. Jej szwedzka przyjaciółka Eva von Bahr-Bergius ma w Kungaelv dom letniskowy i zaprosiła Lise wraz z siostrzeńcem na wigilię.

Meitner przyjechała poprzedniego dnia i wynajęła pokoik w hoteliku przy Vaestra gatan, ul. Zachodniej. Otto przyjechał późnym wieczorem. Teraz radośnie wita ciotkę i zasiada do śniadania. Otto bada w Kopenhadze magnetyczne właściwości neutronów i zamierza w tym celu wybudować potężny magnes wedle własnego projektu. Z entuzjazmem opowiada ciotce o magnesie, ale Lise nie słucha go. Podaje siostrzeńcowi list Hahna. Otto czyta.

– Bar. Nie wierzę. Gdzieś jest jakiś błąd – odpowiada lekceważąco.

List nie daje jednak Lise spokoju. Zamierza iść z siostrzeńcem na spacer i przedyskutować go. Ale Otto przywiózł narty biegowe, chce korzystać ze śniegu i pojeździć. Lise proponuje, że on pojedzie na nartach, a ona pieszo pomaszeruje obok niego. 34-letni Otto zauważa, że prawie dwukrotnie starsza od niego ciotka takiego marszobiegu nie wytrzyma, ale skarcony jej spojrzeniem, wraca do pokoju po biegówki. Siostrzeniec nie wie, że Lise codziennie spaceruje co najmniej po 15 km. Idą przez malutki rynek, schodzą ku zamarzniętej rzece, przekraczają ją i już są w lesie. Słońce pięknie świeci, ale oni tego nie dostrzegają. Pędzą przez las i kłócą się o wynik doświadczenia Hahna i Strassmanna. Bar? Jaki znowu bar! To niemożliwe. Nigdy nikomu nie udało się oderwać od jądra atomu fragmentów większych od protonu czy jądra helu. Jądro uranu nie może po prostu pęknąć jak uderzony młotkiem kamień!

Przecież Niels Bohr powtarza, że jądro bardziej przypomina elastyczną kroplę cieczy niż sztywną bryłę.

Zaraz, zaraz! Kropla cieczy? Lise, która od pół godziny bez zadyszki dotrzymuje kroku Ottonowi, przysiada na ośnieżonej kłodzie, wyjmuje z torebki skrawek papieru i ołówek. Rysuje dwa kółka. Nie, to nie tak, przerywa jej Otto i sam rysuje okrągłe jądro atomu uranu, a obok to samo jądro, ale przypominające biszkopt, z przewężeniem w środku. Frisch w mgnieniu oka pojmuje, że jeśli potraktować jądro jak kroplę cieczy, to można przyjąć, że zachowa ono kształt dzięki napięciu powierzchniowemu. Ale im cięższe jądro, tym silniej działa odpychanie elektryczne jego protonów. Oboje szybko przeliczają te siły i stwierdzają, że przy jądrze dostatecznie dużym, w przybliżeniu o liczbie atomowej 100, odpychanie jest tak duże, że siły te równoważą się. Tym samym Meitner i Frisch odkrywają, dlaczego nie istnieją naturalne pierwiastki o liczbie atomowej większej niż liczba uranu.

Siedzą na kłodzie i wyobrażają sobie, jak powolny neutron uderza w jądro uranu. Jądro zaczyna drgać jak grudka budyniu, wydłuża się w kształt biszkopta i wreszcie przewężenie w środku pęka. Jądro dzieli się tak, jak dzieli się bakteria w akcie rozmnażania się.

Mija godzina, druga, trzecia. Oboje liczą jak w natchnieniu, nieoczekiwanie przypominają się im skomplikowane wzory, współczynniki, hipotezy i teorie. Meitner zauważa, że nowe, lżejsze jądra wskutek odpychania elektrycznego muszą oddalić się od siebie z ogromną prędkością. Razem odkrywają, że w trakcie rozpadu jądra uranu wydziela się gigantyczna ilość energii. W wigilijne popołudnie na pniaku w lesie pod Göteborgiem powstaje spójna koncepcja rozszczepienia jądra uranu.

Możliwość reakcji łańcuchowej, możliwość zastosowania uranu do produkcji bomby, nie przychodzi im do głowy, ale i tak są oszołomieni jak po dużym drinku – właśnie obalili niepodważalny, zdawałoby się, fundament fizyki jądrowej.

Między ośnieżonymi koronami drzew zaczyna szarzeć. Zrobiło się późno. Meitner i Frisch wracają do Kungaelv na wigilię do Bergiusów.

25 grudnia 1926 ▪ sobota

Po drabinie na święta

Józefina Zdziarska o 8.00 spotyka się w Warszawie ze swoją znajomą z komunistycznej konspiracji Sabiną Owsianko. Wchodzą do kamienicy przy Dzielnej, dzwonią do mieszkania na 3. piętrze. Gospodyni uśmiecha się:

– Długo pani nie było. A braciszek czekał, ciągle w moje okno patrzył.

Zdziarska wchodzi do pokoju, którego okna wychodzą na więzienny spacerniak Pawiaka, otwiera okno i wyjmuje chusteczkę.

Gospodyni nie ma zielonego pojęcia, co naprawdę dzieje się w jej mieszkaniu.

Mężczyzna, który ponad więziennym murem tęsknie spoglądał w okna kamienicy przy Dzielnej, nie jest braciszkiem, lecz mężem Józefiny. Mirosław Zdziarski „Mirski” to warszawski robotnik, od wielu lat jeden z czołowych działaczy związkowych w Warszawie.

Józefina ma kierować ucieczką swego męża i jego towarzyszy.

Nie Zdziarski jednak jest najważniejszym uciekinierem. KC KPP za wszelką cenę chce wyrwać z Pawiaka Leona Purmana, jednego ze

swych najwybitniejszych działaczy. 33-letni Purman, syn zamożnego kupca żydowskiego z Włocławka, absolwent dwóch uniwersyteckich fakultetów, także przez policję polityczną uznawany jest za pierwszego intelektualistę w kompartii.

Purman już w roku 1920 był dla partii tak ważny, że gdy podczas bolszewickiego najazdu władze aresztowały go prewencyjnie wespół z innymi działaczami, komuniści zorganizowali 2 próby zbrojnego odbicia go. Najpierw pod Skierniewicami rozkręcili tory i próbowali wykoleić pociąg wiozący go do Krakowa, potem grupa uzbrojonych napastników zaatakowała straże w krakowskim forcie Mydlniki, gdzie osadzono Purmana i innych internowanych.

Purman, który po zwolnieniu z więzienia zniknął w konspiracji, wpadł w maju zeszłego roku. Policyjny prowokator w szeregach KPP Cechnowski naprowadził policję na partyjnego skarbnika, członka KC Aleksandra Tomaszewskiego. 6 maja od rana tajniacy śledzili Tomaszewskiego. Obserwowali, jak w Ogrodzie Saskim najpierw spotkał się z innym znanym komunistą Franciszkiem Grzelszczakiem, a potem z kolejnymi, nieznanymi mężczyznami.

Gdy Tomaszewski odszedł, wywiadowcy poszli za grupą mężczyzn prowadzoną przez Grzelszczaka, która klucząc po zaułkach, dotarła w końcu do mieszkania w oficynie kamienicy przy Dzielnej 59. Po chwili u wylotu Dzielnej ukazał się Tomaszewski z wypchaną teczką. Rozpoznał tajniaków wśród przechodniów i rzucił się do ucieczki, ale funkcjonariusze byli szybsi. Na posterunku w teczce znaleziono 6 tys. zł partyjnej kasy.

Tymczasem w oficynie przy Dzielnej odprawa sekretariatu KC z delegatami z terenu przedłużała się. Wszyscy czekali na Tomaszewskiego z gotówką. Zarządzony przez komisarza Suchenka szturm policji na mieszkanie, w którym – jak w międzyczasie ustalili funkcjonariusze – przebywał komunista Josek Zysblum, był tak

gwałtowny, że całkowicie zaskoczył zebranych. Choć mieszkanie Zysbluma było przebudowane tak sprytnie, że jedne z drzwi wychodziły na inną posesję, zebrani nie zdążyli uciec. Wywiadowcy policji pochwycili nawet ich rozłożone na stole materiały partyjne i odręczne notatki.

Sukces policji był ogromny. Aresztowano sekretariat krajowy KC KPP, w tym Leona Purmana, Franciszka Grzelszczaka, Henryka Muszkata, oraz 5 delegatów okręgowych KPP. Na dokładkę zaś gospodarza i jego żonę.

Proces ujętych na Dzielnej komunistów nie wzbudził w tej sytuacji wielkiego zainteresowania opinii publicznej. Odbył się przed 2 miesiącami. Prokurator oskarżał ich o przynależność do nielegalnej KPP i usiłowanie obalenia przemocą ustroju Rzeczypospolitej. 3 głównych oskarżonych: Purman, Grzelszczak i Gustaw Reicher, przyznało się, że są członkami KPP, i w długich przemówieniach broniło programu i działalności swojej partii. Zręcznie zarazem, za radą sprzyjającego komunistom wybitnego adwokata Teodora Duracza, wszyscy trzej przekonywali sąd, że zebranie na Dzielnej poświęcone było nie kwestii zdobycia władzy, lecz niesieniu pomocy więźniom politycznym.

Sąd wydał wyrok po północy 30 października. Purman, Grzelszczak, Tomaszewski i Reicher dostali po 6 lat więzienia. Pozostali otrzymali wyroki od 1,5 roku do 5 lat.

W więzieniu Purman od razu został wybrany na starostę oddziału, na którym go osadzono.

Niemal natychmiast po zapadnięciu wyroku władze KPP rozpoczęły przygotowania do ucieczki skazanych członków sekretariatu KC.

Zdziarska regularnie odwiedzała męża w celi i nader często przynosiła mu zmiany bielizny. Przekupiony przez komunistów

dozorca więzienny Jóźwiak przymykał oko na tę kolidującą z regulaminem dbałość o świeże gatki, podkoszulki i prześcieradła. Zdziarski wraz z towarzyszem z celi rwał je na paski o szerokości 3 cm. Z 3 pasków splatał wąziutki sznurek, a następnie z 3 takich sznurków cienką linkę. Więźniowie potajemnie zaostrzonymi łyżkami odłupali od nóg stołów w celach mocne drewniane wióry, które przymocowali do linek z prześcieradeł jako stopnie drabinki sznurowej.

Po prawej stronie bramy wejściowej na Pawiak stoi stara, przylegająca do muru więziennego, szopa. Gdyby wejść na nią za pomocą drabinki sznurkowej, już bez kłopotu można wspiąć się na mur i – za pomocą sznura – zsunąć się na ulicę. Ściana szopy tworzy wraz z załomkiem więziennego muru ustronny kąt, niewidoczny dla strażników nadzorujących więźniarski spacer. W więzieniu przygotowaniami do ucieczki zajął się skazany na wiele lat odsiadki komunista Zygmunt Zieliński. To on miał zarzucić zakończoną drucianym hakiem drabinkę na dach szopy.

Na zewnątrz, na Dzielnej, miał podczas ucieczki spacerować udający fircyka sympatyk KPP z laseczką w ręku. Laska położona niedbale na ramieniu miała być sygnałem dla obserwującej go z okna Józefiny Zdziarskiej, że ulica jest bezpieczna – nie ma policji ani tajniaków. Wtedy Zdziarska powinna podnieść do oczu białą chusteczkę, udając, że płacze. Dla obserwujących ją z więziennego spacerniaka wtajemniczonych to sygnał, że mogą zarzucać drabinkę i uciekać.

Ucieczki próbowano już kilka razy. I za każdym razem coś akcję uniemożliwiało – a to drabinka nie chciała się zaczepić o dach szopy, a to strażnik zainteresował się, co się dzieje w załomku murów, a to spacer zakończono wcześniej niż zwykle.

Dziś na 10.00 zaplanowano decydujące podejście.

Sabina Owsianko, stateczna matrona, pospiesznie zagaduje gospodynię i wyprowadza ją z pokoju – niech biedna dziewczyna płacze nad losem brata w samotności.

Pod murem Pawiaka zatrzymuje się taksówka. Fordem kieruje komunista Adolf Bazylewski. Wynajął samochód od znajomego i założył mu fałszywe taksówkarskie oznakowanie oraz numery rejestracyjne – takie same, jakie ma jedna z prawdziwych warszawskich taksówek. W bramie po drugiej stronie ulicy stoi jego żona Stanisława. Jej zadaniem jest kierowanie najważniejszych, zsuwających się z muru uciekinierów do samochodu męża. Reszta z kilkunastu zbiegów będzie musiała radzić sobie sama.

Laseczka wędruje na ramię spacerującego Dzielną eleganta. Zdziarska natychmiast przykłada chustkę do twarzy. Na dziedzińcu Pawiaka wtajemniczeni więźniowie dostrzegają ten znak. Ale nadzorujący ich spacer dozorca Jóźwiak dziś nie przysypia, jak zazwyczaj na krześle, lecz czujnie spaceruje wokół dziedzińca. W końcu kilku komunistów zaczyna drażnić policyjnego psa uwiązanego po drugiej stronie spacerniaka. Dozorca Jóźwiak idzie w tamtą stronę. Do kącika za szopą natychmiast wbiega dziwnie dziś gruby Zieliński. Zdejmuje kurtkę, odwija z klatki piersiowej drabinkę i długi pojedynczy sznur. Zieliński używa swego wynalazku – długiego niczym wędka kija zmajstrowanego z kilku patyków – i zaczepia drabinkę na belce dachu szopy. Leon Purman wskakuje na ramiona Zielińskiego i po drabince wspina się na dach szopy. Odbiera pojedynczą linę, przerzuca przez mur, jej koniec mocuje do belki dachowej. Bez kłopotu przechodzi przez mur, zsuwa się po linie i już jest na zaśnieżonym chodniku Dzielnej. Bazylewska wskazuje mu z bramy taksówkę. Purman jak gdyby nigdy nic sadowi się na tylnym siedzeniu.

Po nim na dach wspina się Zdziarski. Choć idzie za nim sława wybitnego uciekiniera, teraz ma sporą nadwagę, jest niesprawny fizycznie. Ciężko sapiąc, wdrapuje się na dach szopy. Gdy przechodzi przez mur i zaczyna zjeżdżać na chodnik, lina z prześcieradeł nie wytrzymuje i pęka. Zdziarski ląduje z hukiem na chodniku, łamie obie nogi w kostkach.

W samochodzie Bazylewski i Purman denerwują się – co ten Zdziarski wyrabia na chodniku?! Drzemki mu się zachciało?

Bazylewski w końcu cofa forda. Podbiegają: z bramy obok jego żona i 2 uzbrojonych komunistów osłaniających akcję z bramy sąsiedniej kamienicy. Wespół pakują Zdziarskiego do samochodu.

Na dziedzińcu kolejny uciekinier, działacz komunistycznej młodzieżówki Maks Lapon, wskakuje za mur szopy tak nerwowo i niezdarnie, że zwraca uwagę dozorcy Jóźwiaka. Przenikliwy sygnał gwizdka przerywają 2 strzały z pistoletu. Lapon pozostaje na dziedzińcu.

Dla stojących wokół forda strzały są znakiem, że więcej uciekinierów nie będzie.

Bazylewski wiezie obu do kamienicy przy Marszałkowskiej 83, należącej do sanacyjnego dygnitarza Stanisława Cara. Wynajmuje w niej mieszkanie Jerzy Wieniawski, dobrze zakonspirowany członek KPP. Jeszcze zanim zjawi się zaufany lekarz i unieruchomi w gipsie nogi Zdziarskiego, obaj uciekinierzy wznoszą pierwszy świąteczny toast.

26 grudnia 1825 ▪ poniedziałek

Powstanie

Północ z 25 na 26 grudnia – wedle starego rosyjskiego kalendarza – minęła już dawno, ale dla każdego obserwatora musi być jasne, że skuty lodem, przysypany śniegiem Petersburg nie śpi. Przez miasto co i rusz pędzą sanie z otulonymi futrami mężczyznami. Gdyby zajrzeć pod te futra, ujrzeć by można wojskowe mundury. Oficerowie w środku nocy odwiedzają koszary stacjonujących w stolicy pułków. To żadne inspekcje służbowe – oficerowie krążący nocą po koszarach są spiskowcami. Rano mają zamiar zabić cara i wywołać w rosyjskim imperium rewolucję. Teraz, w środku nocy, agitują oszołomionych żołnierzy. Oficerowie nie ryzykują wyjawiania prostym sołdatom swoich prawdziwych planów – wprowadzenia w imperium ustroju republikańskiego i innych reform politycznych. Wyjaśniają, że wielki książę Konstanty bynajmniej nie zrzekł się – jak oficjalnie głosi petersburski dwór – swoich praw do carskiego tronu, a nawet obiecał wszystkim żołnierzom skrócenie służby wojskowej. To wielki wabik dla mężczyzn wyrwanych ze swych domostw na 25 lat do armii.

Przywódcy oficerów agitujących po nocy żołnierzy zebrali się tej nocy w petersburskim mieszkaniu – w budynku Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej – swych towarzyszy ze spisku: dymisjonowanego ppor. Kondratija Rylejewa i Aleksandra Bestużewa, sztabskpt. pułku dragonów lejb-gwardii.

Najważniejsi spiskowcy-rewolucjoniści radzą tam nad szczegółami porannego powstania.

Spiskować zaczęli prawie 8 lat temu. Synowie rodzin arystokratycznych i ziemiańskich, świetnie wykształceni, mówiący po francusku, służący w elitarnych pułkach rosyjskiej armii, po wojnach z Napoleonem służyli w zachodniej Europie – najczęściej stacjonowali w okupowanej, ponapoleońskiej Francji. Osobiste doświadczenie dziedzictwa francuskiego oświecenia i rewolucji

uświadomiło im nieznośne zacofanie i ograniczenie systemu politycznego Rosji. Najpierw spiskowali, by móc budzić nowoczesną, obywatelską świadomość swych rodaków. Od kiedy jednak car Aleksander I obrał w sprawach publicznych kurs skrajnie konserwatywny, szlachetnie urodzeni spiskowcy, konspirujący w 2 szeroko rozgałęzionych, podziemnych Towarzystwach Północnym i Południowym, postanowili zabić go, przejąć władzę w imperium drogą przewrotu i dopiero wtedy reformować Rosję.

Ale car zmarł nieoczekiwanie przed 3 tygodniami. Imperium wstrząsa odtąd kryzys dynastyczny. Tron powinien objąć najstarszy brat Aleksandra – Konstanty, ale przed 5 laty zawarł on morganatyczne małżeństwo z polską hrabianką Joanną Grudzińską i potajemnie zrzekł się tronu na rzecz młodszego brata Mikołaja, co – również w tajemnicy – zatwierdził wówczas car Aleksander I. Otaczanie tajemnicą rezygnacji z tronu przez Konstantego sprawiło, że spiskujący oficerowie Towarzystwa Północnego postanowili wykorzystać szansę od losu – przyspieszyli wybuch powstania, uznali za cara wielkiego księcia Konstantego i postanowili w obronie jego praw wyprowadzić dziś wojsko na petersburski pl. Senacki.

Jednak plany powstania już tej nocy przestają być aktualne.

Kpt. Aleksander Iwanowicz Jakubowicz służył kilka lat temu w Ułańskim Pułku Lejb-Gwardii, ale potem został wydalony do pułku dragonów na Kaukazie. Latem tego roku przyjechał do Petersburga, by zabić cara Aleksandra I i tym samym pomścić wojskowe zesłanie na Kaukaz. Gdy poznał spiskowców z Towarzystwa Północnego, zgodził się zabić cara na znak i w interesie konspiratorów. Po śmierci Aleksandra I jego następcy już zabić nie chce, ale od udziału w przewrocie nie uchyla się. Przez pół nocy na konspiracyjnym spotkaniu namawia oficerów piechoty

morskiej, by zechcieli wydać swoim żołnierzom buntownicze rozkazy i poprowadzić ich na Pałac Zimowy. W pałacu mają aresztować rodzinę cara. O 3.00 nad ranem Jakubowicz wraca do swego domu. Nie może zasnąć – targają nim obawy, że zdobycie pałacu musi być okupione potężnym rozlewem żołnierskiej krwi – a krwi dworzan najpewniej także. Wreszcie nad ranem informuje sztab powstania w mieszkaniu Rylejewa, że rozkazu spiskowców szturmu Pałacu Zimowego nie wykona.

Co gorsza, o 7.00 nad ranem drugi z kluczowych zamachowców, Piotr Grigoriewicz Kachowski, zawiadamia spiskowy sztab, że nie znajduje w sobie siły, by zabić cara Mikołaja I. To potężny cios zadany planom rewolucjonistów. Niezależnie od wątpliwości uporczywie nękających wielu Rosjan, czy Mikołaj jest legalnym monarchą rosyjskim, obecność cara w otoczeniu świty oficerów musi wywoływać hipnotyzujący wpływ na prostych żołnierzy – i na wahających się oficerów.

Szybko trzeba wydać rozkazy, łatające nieoczekiwane dziury w planach porannego wystąpienia. Ale zgodnie z niedawnym porozumieniem przywódców spisku, rozkazy takie może wydać tylko dyktator powstania płk Aleksander książę Trubecki.

Wczesnym rankiem zjawia się on u Rylejewa. Znużeni po nieprzespanej nocy oficerowie rewolucyjnego sztabu meldują mu niepomyślne nowiny. Książę z marsową miną przyjmuje meldunki do wiadomości i wychodzi w petersburską zimową mgłę, zostawiając ufających mu spiskowców z przekonaniem, że panuje nad sytuacją.

Dochodzi 9.00, gdy większa część związanych ze spiskiem oficerów opuszcza mieszkanie; rozchodzą się do rozrzuconych po całym Petersburgu koszar rozmaitych pułków. W koszarach kontynuują agitację prowadzoną w nocy przez swych towarzyszy ze

spisku: trzeba wystąpić, i to już, zaraz, w obronie praw legalnego monarchy Konstantego, trzeba odmówić złożenia przysięgi Mikołajowi, a nagrodą będzie wcześniejszy o całe lata powrót do domu.

Barierę lęku pierwsi przełamują żołnierze elitarnego Lejb-Gwardyjskiego Pułku Moskiewskiego stacjonującego nad Fontanką. 800 gwardzistów w nienagannym szyku wymaszerowuje z koszar pod komendą oficerów-spiskowców: sztabskpt. dragonów lejb-gwardii Aleksandra Bestużewa, Michała Bestużewa z pułku siemionowskiego i kniazia Szczepina-Rostowskiego. O 11.00 pułk wkracza na ogromny pl. Senacki w centrum stolicy, nieopodal którego wznoszą się m.in. od lat nieukończony, od lat w ustawicznej budowie-przebudowie sobór św. Izaaka i świeżo przebudowany, majestatyczny gmach Admiralicji. Nieopodal pomnika Piotra I na koniu żołnierze sprawnie formują czworobok, umożliwiający pułkowi bronić się przed atakiem z każdej strony. I w każdą stronę atakować.

Ale o ataku nie ma mowy. Czworobok stoi nieporuszony. Otacza go coraz gęstszy tłum petersburżan idących na plac, by popatrzyć na uroczystości składania przysięgi nowemu carowi Mikołajowi I.

Car Mikołaj I dowiaduje się o buncie swej militarnej opoki, pułku lejb-gwardii, zanim jeszcze zrewoltowani żołnierze pojawiają się na pl. Senackim. Nie jest w stanie uwierzyć w bunt, natychmiast rusza z Pałacu Zimowego w stronę placu, by naocznie przekonać się, co się wydarzyło. Po drodze carski orszak spotyka sanie generał-gubernatora Petersburga, generał-adiutanta Michała hrabiego Miłoradowicza.

–Sprawa źle idzie, maszerują do Senatu, ale ja z nimi pomówię – mówi carowi wzburzony gen. Miłoradowicz, dla którego bunt

w podlegającym mu garnizonie jest niewyobrażalnym upokorzeniem w obliczu carskiego majestatu.

Mikołaj nie chce zdawać się na żadne pogaduszki generał-gubernatora z buntownikami – rozkazuje mu wyprowadzić z koszar oddziały gwardii konnej, które zdążyły już złożyć przysięgę na wierność nowemu carowi. Gen. Miłoradowicz wraca do sań, które z trudem przeciskają się przez tłumy gapiów na placu i w przyległych ulicach w stronę Fontanki, gdzie znajdują się koszary gwardyjskich pułków kawalerii. Na miejscu gen. Miłoradowicz miota się, wykrzykuje na przemian rozkazy i groźby. Kawalerzyści zbierają się bez animuszu; nikt nie sprzeciwia się otwarcie rozkazom generał-gubernatora stolicy, ale niemal wszyscy wykonują je ospale, bez śladu choćby werwy i animuszu. To rezultat nocnych rozmów z oficerem-spiskowcem Odojewskim.

Rozwścieczony gen. Miłoradowicz bierze gwardyjskiego wierzchowca, dosiada go i wraca zaśnieżonymi ulicami na pl. Senacki. W czasie wojen z Turcją w roku 1787 i z Polską w roku 1794, i zwłaszcza wojen z Napoleonem, wykazał się odwagą i talentem dowódczym – teraz liczy, że szacunek, jakim darzą go prości żołnierze, wystarczy, by zmusić ich do uległości wobec Mikołaja I.

Generał-gubernator podjeżdża do czworoboku moskiewskiego pułku lejb-gwardii.

–Żołnierze! Kto z was był ze mną pod Austerlitz, pod Bukaresztem, Turbate, Obileszti i Giurgiu, pod Borodino i Tarutino, pod Kulm, Luetzen, Bautzen, Warszawą, Dreznem, Rochlitz, Bischofswerdą, Lipskiem, La Rothiere.....? – Długa lista zwycięskich bitew, kolejnych gwiazd do wojennej sławy Miłoradowicza, wykrzykiwana przezeń na mrozie, przed frontem zbuntowanej gwardii, czyni raczej niepoważne niźli podniosłe wrażenie.

Żołnierze – choć niejeden z nich w bitwach tych brał udział – milczą.

– Dzięki Bogu! Tu nie ma ani jednego żołnierza rosyjskiego! – wykrzykuje, przeżegnawszy się, generał-gubernator.

Tę obelgę 800 weteranów także zbywa milczeniem.

Miłoradowicz podjeżdża do grupy zbuntowanych oficerów i po raz wtóry wykrzykuje arcydługą litanię bitew, w których zwyciężał. Teraz jego tyrada brzmi wręcz żałośnie. Zderminowani oficerowie-spiskowcy kwitują ją wzgardliwym milczeniem.

– Boże mój, dzięki ci! Tu nie ma ani jednego oficera rosyjskiego! Nie, tu są tylko smarkacze, warchoły, rozbójnicy, nikczemnicy, którzy zhańbili mundur rosyjski, honor wojskowy, imię żołnierza! Jesteście hańbą Rosji! Jesteście zbrodniarzami wobec cara, ojczyzny, świata i Boga! Powinniście natychmiast paść na kolana przed Mikołajem! – wykrzykuje oszalały z wściekłości generał-gubernator.

W końcu porucznik gwardii Eugeniusz książę Oboleński decyduje się przerwać ten spektakl – a nuż Miłoradowicz porwie jednak za sobą jakichś sołdatów? Książę Oboleński podchodzi do generał-gubernatora i żąda, by niezwłocznie odjechał. Bez skutku. Porucznik jeszcze 2 razy wzywa generała, by oddalił się. Ale ten z wysokości wierzchowca ignoruje go.

– Precz! – krzyczy książę, wyrywa karabin z rąk najbliżej stojącego gwardzisty i uderza bagnetem konia generał-gubernatora, trafiając przy tym jeźdźca w nogę. W tym samym momencie Piotr Kachowski strzela z pistoletu w pierś Miłoradowicza. Ten wali się z siodła w śnieg. Na bieli pl. Senackiego szybko rośnie czerwona plama, ale nikt z tłumu nie kwapi się, by pomóc ciężko rannemu. Wreszcie jeden ze zbuntowanych oficerów gwardii, Baszucki, dopada postrzelonego generała i wlecze go na skraj placu. Na śniegu pozostaje szeroki szkarłatny ślad. Zmęczony Baszucki porzuca

rannego, skacze w tłum gapiów, kopie ich, okłada pięściami, wyzywa od najgorszej swołoczy. Kilku przechodniów chwyta wreszcie generał-gubernatora i niesie go do koszar gwardii konnej. Tam składają konającego dygnitarza w pustym akurat pokoju urlopowanego oficera.

W stojącym na pl. Senackim czworoboku pułku gwardii zbuntowani oficerowie postanawiają wysłać jednego ze spiskowców na zwiady, do obozu carskiego. Na ochotnika zgłasza się Aleksander Jakubowicz, drugi ze spiskowców, którzy w nocy odmówili wykonania swego zadania. Miał on na czele pułku gwardii morskiej aresztować carską rodzinę. Choć wymówił się od poprowadzenia o świcie żołnierzy na Pałac Zimowy, to jednak na pl. Senackim stawił się bez wahania. Zbuntowani oficerowie chętnie powierzają mu zwiadowczą misję – najwyraźniej chce się on zrehabilitować po nocnej klapie.

Jakubowicz maszeruje w stronę pałacu. Po drodze, w bocznych ulicach, mija lojalną wobec Mikołaja gwardię konną. Gdy dociera do Pałacu Zimowego, w rezydencji carów panuje nieopisany bałagan. Wysłannik buntowników bez trudu dostaje się przed oblicze Mikołaja.

– Ja byłem z nimi, ale gdy usłyszałem, że oni są za Konstantym, rzuciłem ich i stawiam się przed Waszą Cesarską Mością – oświadcza Mikołajowi.

– Dziękuję, widzę, że zna pan swój obowiązek – odpowiada poruszony car i wylewnie ściska jego rękę. Potem proponuje mu kontynuowanie misji, ale już w monarszym imieniu; oficer ma zaproponować swym zbuntowanym kolegom natychmiastowe złożenie broni. W zamian mogą liczyć na łaskę cara i uniknięcie kar.

Jakubowicz wraca na pl. Senacki.

–Trzymajcie się, boją się was bardzo – krzepi oficerów ze spisku, ale nie dodaje, że przed Mikołajem wyrzekł się powstańców.

Zrewoltowani oficerowie, słysząc, że rozmawiał z carem, żądają, by wykorzystał sytuację i podczas następnej rozmowy zastrzelił Mikołaja.

Znów zatem maszeruje do Pałacu Zimowego. I znów widzi się z carem, któremu tłumaczy, że zbuntowani żołnierze za nic nie zrezygnują z uznania wyłącznie Konstantego za legalnego władcę.

Mikołaj I rozkazuje swemu adiutantowi Durnowo, by poszedł na pl. Senacki i wyjaśnił powstańcom, że wielki książę Konstanty dobrowolnie zrezygnował ze swych praw do korony. Durnowo z duszą na ramieniu idzie na plac, staje 4 kroki przed czworobokiem pułku moskiewskiego gwardii i zaczyna swoją kwestię, ale w tej samej chwili jeden ze zrewoltowanych oficerów krzyczy doń, by wynosił się precz, bo zginie. Nie czekając na odpowiedź, ten sam oficer rozkazuje 2 żołnierzom, by zakłuli Mikołajowego wysłannika. Dwaj sołdaci ruszają pędem, dzierżąc przed sobą karabiny z wąskimi, długimi bagnetami, ale Durnowo ze strachu niemal dostaje skrzydeł, jak oszalały gna, lawirując między gapiami, i w końcu gubi pościg.

Z Pałacu Zimowego wraca na pl. Senacki Jakubowicz. Jeden z 3 dowódców stojącego tu, zbuntowanego moskiewskiego pułku gwardii, kniaź Szczepin-Rostowski, na wieść, że współspiskowiec znów zawiódł, policzkuje go. Widząc to, stojący najbliżej gwardziści z okrzykami: „Zdrajca!”, już, już chcą Jakubowicza wziąć na bagnety, ale ten głośno sumituje się, coś wyjaśnia. Krwiożerczy zapał w pierwszym szeregu gwardzistów opada, zaś kapitan usiłujący w zamęcie powstańczego buntu przeprowadzić swoją niejasną grę, przezornie znika w gęstych tłumach otaczających czworobok pułku gwardii.

Co tam gęstych! Na pl. Senackim późnym rankiem kłębi się już pół Petersburga – mieszczanie, zdezorientowani oficerowie, służba dworska, rzemieślnicy, przyjezdni chłopi. Wszyscy chciwi nowin, dopytujący się sąsiadów, czasem perorujący w tłoku jak prorocy, to znów zażarcie kłócący się w mniejszych grupkach. Po 11.00 czerń na placu coraz częściej słychać okrzyki na cześć zbuntowanego moskiewskiego pułku gwardii, coraz więcej rąk wyciąga się po kamienie leżące pod śniegiem na ciągle przebudowywanym placu. Co i rusz ktoś rzuca kostkę brukową w stronę stojących na uboczu placu oddziałów wiernych Mikołajowi I. Robotnicy na budowie soboru św. Izaaka miotają w mikołajowskich sołdatów deski z rusztowań. Wielu ludzi w tłumie na placu ma strzelby i pistolety. Z rzadka słychać strzały, świst kul.

Poza tym nie dzieje się nic.

Car wzdraga się przed rozlewem krwi w bratobójczej walce swych doborowych oddziałów. Ciągle ma nadzieję, że moskiewski pułk gwardii, stojący już ładnych kilka godzin bez ruchu, na mrozie, bez kęsa chleba, bez łyczka choćby gorącej wody, w końcu złamie się przed carskim majestatem. Tym bardziej że na skraju pl. Senackiego z każdą godziną rosną szeregi pułków petersburskiego garnizonu, które zaprzysięgły już wierność Mikołajowi I. Choć pod swymi rozkazami monarcha ok. południa ma na placu ponad 10 tys. piechurów i kawalerzystów, ciągle wzdraga się przed wydaniem rozkazu do ataku.

Zrewoltowany pułk lejb-gwardii i dowodzący nim oficerowie także nie mają zapału do działań ofensywnych. By ruszyć do ataku, ktoś z autorytetem musi dać rozkaz. Dlatego spiskujący oficerowie zawczasu wybrali na dyktatora powstania płk. Aleksandra księcia Trubeckiego. Ale Trubecki po rannej wizycie w sztabie powstańczym w mieszkaniu Rylejewa w ogóle nie pojawia się na placu Senackim.

Oficerowie towarzyszący na placu zbuntowanemu pułkowi lejb-gwardii są oszołomieni zdradą dyktatora powstania. Żaden z nich nie ma ani dostatecznego autorytetu u żołnierzy, ani wewnętrznej siły, by z marszu, samowładnie objąć dowództwo nad powstaniem.

Ale jest na placu i trzecia siła, która wyraźnie chce przerwania tego pata. I to siła potężna – tłumy na placu są nieprzebrane, pewnie liczą i z 200 tys. luda. Czerń petersburska nie tylko ciska kamienie i deski w szeregi pułków Mikołaja I, lecz coraz natarczywiej żąda od zbuntowanych oficerów broni. Gdyby twardy, stołeczny lud uzbroić, carskie pułki nieoczekiwanie znalazłyby się w okrążeniu. Ale przed tym posunięciem wzdragają się szlacheccy rewolucjoniści. To ich bunt, rewolucja oświeconych ziemian. Gdyby uzbroili pospólstwo, szlachetna rewolucja szlachetnie urodzonych zamieniłaby się w kolejny dziki, okrutny, krwawy bunt rosyjskiego ludu. Zbuntowani oficerowie odpędzają od żołnierzy pułku moskiewskiego cywilów żądających broni.

Carska świta i sam monarcha dostrzegają nienawiść pospólstwa do ich pułków. Wiedzą, że gdy lud na placu dostanie do ręki broń, wszystko może się zdarzyć. Mikołaj I wydaje rozkaz szarży lojalnej gwardyjskiej kawalerii na zbuntowany pułk.

Konie gwardii ślizgają się na ośnieżonym bruku placu, a ich jeźdźcy wcale nie kwapią się do skrzyżowania swych pik i szabel z bagnetami zbuntowanych żołnierzy gwardii. Ci także ostentacyjnie chcą uniknąć krwawej rozprawy. Na komendę oficerów-spiskowców oddają salwę karabinową, ale celują wysoko ponad głowami udających, że szarżują, gwardzistów. Po kanonadzie piechoty jazda bez strat wycofuje się.

Mikołaj I zaczyna się bać. Rozkazuje natychmiast przygotować sanie i powozy dla swojej rodziny, by w każdej chwili móc ją ewakuować do Carskiego Sioła. Potem car wysyła do buntowników

metropolitę petersburskiego, nowogrodzkiego, estońskiego i fińskiego Serafina, żeby przekonał ich, iż przysięga złożona wielkiemu księciu Konstantemu, w sytuacji gdy złożył on rezygnację z praw do tronu, już nie obowiązuje. Serafin, pomny końca misji adiutanta Durnowo na pl. Senackim, nie kwapi się przemówić do czworoboku zbuntowanego pułku. W końcu, wraz z przydanym mu dla większej powagi Eugeniuszem, od 3 lat metropolitą kijowskim, i grupą diakonów w liturgicznych szatach, wychodzi na środek placu. Nim jednak dochodzi do czworoboku zrewoltowanej piechoty, słyszy świst wystrzelonych z tłumu pospólstwa na wiwat paru kul. Przestraszeni metropolici zawracają i ze świtą zmykają w stronę murów cerkwi św. Izaaka. Ze skraju pl. Senackiego Mikołaj I obserwuje misję duchownych i widząc, że rejterują, pcha w ich stronę gen. Wasilczykowa. Generał błaga metropolitę petersburskiego o wypełnienie rozkazu cara.

– Ba, ale z kimże tam pójdę? – retorycznie pyta przerażony Serafin.

– Z Bogiem! – odpowiada generał, ale jego logiczny respons wcale nie podnosi na duchu metropolity.

W końcu obaj patriarchowie unoszą krzyże wysoko nad głowy i powoli kroczą przez śniegi placu. Przed czworobokiem gwardii Serafin przekonuje żołnierzy o legalności przysięgi Mikołajowi I, wzywa ich do zaniechania rozlewu rosyjskiej krwi. Sołdaci nie chcą go słuchać, przerywają okrzykami: „Co z ciebie za metropolita, jak w ciągu dwóch tygodni dwóm cesarzom przysięgasz? Jesteś zdrajca, mikołajowski służalec! Nie wierzymy wam!".

Czując, że zlekceważenie i znieważenie metropolity byłoby mało roztropne, por. Piotr Kachowski występuje przed szereg i zaczyna uprzejmą rozmowę z patriarchą. Serafin przekonuje, że Konstanty naprawdę zrzekł się prawa do tronu.

–Wy też możecie być okłamani, tak jak i inni – odpowiada spokojnie Kachowski.

Metropolita przysięga na krzyż, że Konstanty wyrzekł się tronu, i zręcznie podsuwa rozmówcy krucyfiks do ucałowania. Oficer krzyż całuje. Patriarcha kuje żelazo póki gorące, przekonuje, by nie rozlewać bratniej krwi. Porucznik dyplomatycznie odpowiada, że powstańcy też obawiają się rozlewu krwi, ale lękają się, że pułki mikołajowskie do tego ich zmuszą. Kachowski dodaje, że metropolita mógłby przekonać cara do zaniechania ataku, a wtedy zrewoltowani oficerowie przedstawiliby swe żądania Senatowi.

Jeszcze 2–3 godziny temu byłaby to propozycja dla Mikołaja I wymarzona. Senat dziś o 7.00 zaprzysiągł mu wierność i mediacja senatorów musiałaby wypaść po myśli cara. Ale w trakcie rozmowy z metropolitą Serafinem na plac wkraczają następne zbuntowane oddziały: Lejb-Gwardyjski Pułk Grenadierów i piechota marynarki wojennej. Siły rewolucjonistów wzrastają nagle z 800 do ponad 3 tys. bagnetów.

Metropolita Serafin i jego orszak pędem, z krzyżami pod pachą, wracają do soboru św. Izaaka.

W powstańców wstępują optymizm i energia. Żaden ze zbuntowanych oficerów nie ma już wątpliwości, że dyktator książę Trubecki zdradził. Na pl. Senackim, pośród zrewoltowanych żołnierzy, wybierają zatem następnego dyktatora – Mikołaja Bestużewa. Ten jednak wymawia się brakiem doświadczenia w dowodzeniu dużą formacją piechoty – jest oficerem piechoty morskiej. Ostatecznie dyktatorem powstania zostaje porucznik lejb-gwardii Eugeniusz książę Oboleński.

Wszystko to jednak za późno. Czas ofiarowany przez powstańców Mikołaj I wykorzystał na ściągnięcie na plac artylerii. Co więcej, jego pułki powoli, ale nieubłaganie zamykały pierścień wokół

szyku rewolucjonistów i wreszcie ich otoczyły, zresztą razem z paroma tysiącami gapiów.

Ale układ sił na pl. Senackim to istny przekładaniec. Na zewnątrz okrążających zbuntowane pułki oddziałów Mikołaja I zbierają się wielotysięczne tłumy wrogiego pospólstwa. Jest już po południu, a o 15.00 zapada zmierzch. Car boi się ciemności – trudno wtedy o utrzymanie dyscypliny w wiernych mu pułkach. Mikołaj I jeszcze raz próbuje przekonać zrewoltowane oddziały do kapitulacji. Ale dowódca artylerii gwardii gen. Iwan Suchozanet wraca do cara z niczym – groźba użycia armat nie robi na zbuntowanych gwardzistach wrażenia.

– Ogień działami po kolei, prawe skrzydło zaczynaj... – Mikołaj I rozkaz otwarcia ognia wydaje osobiście.

Odpowiada mu cisza. Kanonierzy bez ruchu tkwią z lontami przy działach. Tuż przed lufami stoją przecież rosyjscy żołnierze.

Sztabskpt. lejb-gwardii Bakunin wyrywa lont z ręki kanoniera i przytyka do zapału. Huk wystrzału przechodzi w łoskot kul rozpryśniętego kartacza, rykoszetujących od bruku placu. Część kul trafia bezpośrednio. Z tak małej odległości po każdym strzale wali się co najmniej kilkunastu śmiertelnie rażonych powstańców i cywilów, z hukiem sypią się szkła z okien gmachu Senatu i przyległych domów.

Po 7 strzałach zalega cisza. Krew płynie na placu i topi wcale grubą warstwę śniegu. Zrewoltowani żołnierze gwardii uciekają na skutą lodem Newę.

Na środku Newy zatrzymuje ich Michał Bestużew. Chce uformować kolumnę uderzeniową i zdobyć Twierdzę Pietropawłowską, obsadzić jej artylerię i kontynuować rewolucję. Co chwila jednak w formowaną przezeń kolumnę piechoty uderzają kule mikołajowskich armat ustawionych na moście Isakowskim.

Gdy mimo ciężkich strat kolumna jest gotowa do ataku na twierdzę, pod uderzeniami kul armatnich i pod ciężarem żołnierzy powstania załamuje się lód na Newie.

Powstańcy, skacząc po krach, przechodzą na brzeg i tam, podczas próby odtworzenia szyku, do szczętu rozbija ich szarża carskich kawalergardów.

27 grudnia 1979 ▪ czwartek

Ostatnia wieczerza

Zapada już zmrok, gdy do pałacu Tadż-bek w centrum Kabulu zaczynają zjeżdżać samochody z dygnitarzami Biura Politycznego Ludowo-Demokratycznej Partii Afganistanu, członkowie rządu, generalicja i wszyscy, którzy się liczą w afgańskiej polityce. Rządzący Afganistanem twardą ręką Hafizullah Amin zaledwie wczoraj postanowił wydać ucztę – na wieść, że Moskwa przychyliła się do jego prośby i dla wsparcia jego władzy wprowadzi do Afganistanu kontyngent wojskowy.

Na razie w Afganistanie znajdują się tylko sowieccy doradcy wojskowi.

Amin nie skrywa swego uwielbienia dla Stalina i jego metod rządzenia, ale Kreml ma już go dosyć.

Do władzy Amin doszedł przed 10 tygodniami. Jego ludzie dokonali zamachu stanu i aresztowali poprzedniego przywódcę, promoskiewskiego Nur Mohammada Tarakiego. Zanim zaambarasowana Moskwa zdecydowała, co począć, na rozkaz Amina jego oficerowie bezpieki udusili Tarakiego poduszką.

W dodatku Amin nie panuje nad armią – przed 11 dniami ledwie ocalał w zamachu zorganizowanym przez zwolenników zamordowanego Tarakiego. Ideolog KPZR Michaił Susłow przekonał genseka Leonida Breżniewa, że trzeba wprowadzić do Afganistanu kontyngent wojsk i posadzić u władzy kogoś z bardziej umiarkowanej ideologicznie partyjnej frakcji Parczam. Padło na przebywającego w Moskwie Babraka Karmala.

Sowiecki sztab generalny kilka miesięcy wcześniej polecił płk. Wasilijowi Kolesnikowowi, oficerowi specnazu, sformowanie batalionu składającego się wyłącznie z żołnierzy znających języki urdu i farsi – zatem z Tadżyków, Turkmenów i Uzbeków. Ten tzw. batalion muzułmański miał być oddany do dyspozycji ówczesnego afgańskiego przywódcy Tarakiego jako jego osobista gwardia. Teraz ma być użyty w zamachu stanu i obaleniu Hafizullaha Amina. Do szturmu na pałac Tadż-bek i likwidacji Amina oraz jego najbliższych współpracowników KGB utworzyło przed kilkunastoma dniami grupę uderzeniową Kaskada, w której skład weszły oddziały Zenit (30 ludzi) i Grom (także 30 ludzi). Dowodzi nią płk Bojarinow. Zamach stanu ma być upozorowany na kolejny rozdział krwawych porachunków afgańskich.

Skuteczna likwidacja Amina i jego popleczników możliwa będzie jedynie wówczas, gdy wszyscy oni znajdą się w tym samym miejscu. KGB inscenizuje podstęp – wczoraj wrócił z Moskwy jeden z członków KC Ludowo-Demokratycznej Partii Afganistanu i przywiózł Aminowi poufną wiadomość z Kremla, że dziś rozpocznie się sowiecka interwencja mająca wesprzeć jego reżim. Znając obyczaje Amina, spece KGB założyli, że na wieść o wojskowym wsparciu Kremla Amin wyda dla swoich ludzi triumfalną ucztę w pałacu. I nie pomylili się. Na dobitkę dezinformacja ta usprawiedliwia wkraczanie sowieckich wojsk do

Afganistanu – a 108. Dywizja Zmotoryzowana przekroczyła graniczną Amu-Darię już 2 dni temu.

Od 2 tygodni do afgańskiej bazy lotniczej Bagram, obsadzonej przez oddziały moskiewskich doradców, napływają po cywilnemu grupy sowieckich sił specjalnych, mających wziąć udział w szturmie pałacu i w ubezpieczaniu ataku (do Bagram przewieziono w tajemnicy także Babraka Karmala).

Zadanie jest niełatwe. Piękny pałac Tadż-bek stoi na wzgórzu o stromych zboczach, które zabudowano niedostępnymi z zewnątrz tarasami.

Pałacu i wzgórza strzeże gwardia przyboczna, której żołnierze pochodzą z plemienia Amina. Są świetnie uzbrojeni, noszą inne niż reszta afgańskich wojsk mundury, z białymi czapkami, białymi mankietami i kaburami. Wokół wzgórza rozciąga się zewnętrzna linia obrony obsadzona przez batalion czołgów i 3 bataliony piechoty zmotoryzowanej, wzmocnione przez armaty i działka przeciwlotnicze. Na szczęście dla sowieckich sił specjalnych, Amin bezgranicznie ufa Moskwie i sam zaproponował, by sowiecki oddział w sile batalionu utworzył trzeci pierścień obrony pałacu Tadż-bek, wewnątrz zewnętrznej linii obrony sił afgańskich. Linię tę, odległą od pałacu o ok. 500 m, obsadzają od kilku dni „batalion muzułmański" oraz oddziały szturmowe Zenit i Grom – wszyscy żołnierze w mundurach afgańskiej armii.

Dochodzi 14.00. Hafizullah Amin rozpoczyna w pałacu wielką kolację, która ma trwać do północy. Wczesnym wieczorem w sali bankietowej zaczyna jednak dziać się coś dziwnego. Co rusz któryś z biesiadników chwyta się za brzuch i w straszliwych bólach zsuwa się pod stół. Niektórzy, w tym i sam Amin, tracą przytomność. Żona Amina wzywa Dżandada, komendanta prezydenckiej gwardii. Ten natychmiast rozkazuje wysłać próbki jedzenia oraz soku z granatów

do laboratorium i dzwoni do afgańskiego szpitala wojennego Harsad Bistar. Wzywa na pomoc afgańskich lekarzy, ale po chwili zmienia zamiar – próba otrucia Amina i jego ludzi to pewnie robota zwolenników Tarakiego i nie można mieć pewności, że lekarze z Harsad Bistar nie są zamieszani w tę akcję.

Dżandad dzwoni do polikliniki sowieckiej ambasady. Sowieccy lekarze wojskowi, pułkownicy Wiktor Kuznieczenkow i Anatolij Aleksiejew, nie mają pojęcia o spisku Kremla ani o rychłym szturmie specnazu na pałac prezydencki i natychmiast ruszają w drogę do Tadż-bek. W sali bankietowej pałacu zastają Amina leżącego na podłodze z zapadniętymi w głąb oczodołów oczami, niedającego znaku życia. Wokół leżą inni uczestnicy bankietu – wszyscy w podobnym stanie. Kuznieczenkow i Aleksiejew nie mają wątpliwości – to masowe otrucie. Intubują Amina, aplikują mu masaż serca i sztuczne oddychanie. Potem przenoszą go, ciągle nieprzytomnego, do łazienki z pozłacaną armaturą i płuczą mu żołądek. Na koniec przeprowadzają transfuzję krwi.

Dochodzi 18.00, gdy otruty zaczyna sam oddychać i oddawać mocz. Sowieccy lekarze ocierają z ulgą pot z czoła – udało się im go uratować. Natychmiast zabierają się do ratowania jednej z trzech córek Amina.

O 18.00 dowodzący misją specnazu w Kabulu płk Kolesnik dostaje rozkaz, by nie czekać do godz. 21.00, lecz atakować natychmiast. Sowieckie dowództwo zorientowało się, że w pałacu dzieje się coś dziwnego, i w rezultacie afgańska ochrona będzie postawiona w stan alarmu. Płk Kolesnik pośpiesznie wydaje nowe rozkazy. Zanim dochodzą one do kompanii specnazu, mającej obezwładnić afgański batalion czołgów T-55, specnazowcy dostrzegają, że załogi czołgów wybiegają z koszar i ustawiają się do zbiórki. To wygląda na alarm! Komandosi nie zastanawiają się ani

sekundy – bez rozkazu wskakują na ciężarówkę, wjeżdżają pełnym gazem na środek placu, porywają dowódcę afgańskiego batalionu i dowódców kompanii i uciekają. Afgańscy czołgiści po chwili przytomnieją i biegną za ciężarówką. Specnazowcy otwierają do nich ogień z 3 karabinów maszynowych. W tym czasie ich koledzy, korzystając z pościgu czołgistów, zakradają się do czołgów i wysadzają je.

Słysząc strzelaninę, płk Kolesnik wydaje rozkaz ataku. „Batalion muzułmański" ostrzeliwuje pozostałe grupy afgańskich czołgów z automatycznych granatników i uniemożliwia załogom dojście do maszyn. Z szyłek, samobieżnych działek przeciwlotniczych kalibru 23 mm, sowieccy żołnierze ostrzeliwują fasadę pałacu. Ale gwardziści Amina to naprawdę twardzi żołnierze. Gdy kolumna transporterów opancerzonych z sowieckimi komandosami rozbija posterunki ochrony u podnóża wzgórza i wjeżdża na jedyną drogę prowadzącą na szczyt, gwardziści otwierają ogień z okien pałacu. Pierwszy wóz pancerny traci wszystkie koła, drugi staje w płomieniach. Specnazowcy grup Grom i Zenit za pomocą drabinek szturmowych wspinają się na tarasy wzgórza, lecz co rusz któryś spada trafiony przez gwardzistów Amina. Dopiero ogień szyłek odpędza obrońców od okien i wywołuje pożar na piętrze pałacu.

Specnazowcy z wielkim stratami wdzierają się do pałacu. Na parterze trwa zaciekła walka. Sala po sali napastnicy wrzucają granaty i dobijają obrońców. Sowieccy komandosi dostają się na piętro. Obaj lekarze orientują się po krzykach, że atakują ich rodacy. Porzucają nieprzytomną córkę Amina i chowają się za barem. Nagle dostrzegają Amina idącego korytarzem. Na sobie ma tylko białe spodenki. W wysoko uniesionych dłoniach trzyma naręcza plastikowych pojemników z płynem fizjologicznym, który spływa

do igieł wbitych w żyły. Spod wenflonów cieknie krew. Sowieccy lekarze oniemiali patrzą na swego pacjenta.

Aleksiejew wyskakuje zza baru, wyciąga z żył Amina igły, tamuje krew po nakłuciach. Amin chce iść dalej, ale nagle rozlega się płacz. Z bocznego pokoju wychodzi jego 5-letni synek i kurczowo chwyta się nóg ojca. Amin wraca za bar, siada pod ścianą i obejmuje chłopczyka.

Gdy pojawia się jego adiutant, Amin rozkazuje mu zaalarmować sowiecką ambasadę. Powtarza jak mantrę: „Sowieccy pomogą". Adiutant wyjaśnia, że atakują właśnie oddziały sowieckie. Amin sam próbuje zadzwonić do sztabu swej brygady pancernej, ale łączności nie ma – specnaz wysadził centralę telefoniczną.

Piętro pałacu zasnute jest gęstym dymem. Specnazowcy nie potrafią odnaleźć Amina. Ukryta gdzieś za meblami żona Amina krzyczy do męża. Kurbanow, jedyny znający język farsi w grupie Zenit, rusza z Jakowem Siemionowem w stronę kobiecego głosu. Po chwili obaj dostrzegają przez dym Amina leżącego za barem. Kilka serii i Siemionow melduje dowództwu przez *walkie-talkie*: „Pałac wzięty, dużo zabitych i rannych, z głównym koniec".

Flaga nad bramą pałacu prezydenckiego w Kabulu

28 grudnia 1944 ▪ czwartek

Z sąsiedzką wizytą

Dochodzi wieczór, ale we wsi Łozowa w powiecie tarnopolskim nikt nie myśli o spaniu. Dorośli mieszkańcy są zaniepokojeni, rozważają, co przyniesie najbliższa przyszłość. Prawdę mówiąc, mają powody nie do niepokoju, ale do strachu, wielkiego strachu.

Wszyscy już wiedzą przecież o masowej rzezi Polaków, zgotowanej przez ukraińskich nacjonalistów, wespół z ukraińskimi sąsiadami ofiar, latem zeszłego roku na Wołyniu. Nikt w Łozowej nie ma pojęcia, że półtora roku temu Ukraińcy wymordowali ponad 60 tys. polskich Wołyniaków, ale wszyscy dorośli mieszkańcy wiedzą, że napastnicy otaczali wtedy wołyńskie wsie i zabijali pospołu Polaków, ich ukraińskich małżonków – małżeństw mieszanych nie było tam wcale mało – a nawet rdzennych Ukraińców, nieskoligaconych z Polakami, którzy sprzeciwiali się tym straszliwym zbrodniom.

Krew Polaków leje się już nie tylko na Wołyniu, ale i po sąsiedzku. Późną jesienią, już po zbiorach, mordercy napadli na gospodarstwo Michała Snihura na kolonii koło pobliskiej wsi Stechnikowce – zabili jego żonę i 2 córki. Snihur ocalał, mało tego, widział twarze morderców. To byli jego znajomi spod Łozowej – Ukraińcy Wasyl Kłos i Bohdan Cybulski.

– No, zaciukali obie Snihurowe, ale nas zostawią w spokoju, my nikomu nic nie zawiniliśmy – powtarzali wtedy ludzie w Łozowej. Nikt nie łączył tej zbrodni z ulotkami, jakie we wsi ktoś porozrzucał latem, zaraz po tym jak przeszedł front: „Lachy, wynoście się za Sian z naszej ziemi – inaczej czeka was śmierć". „Sian" to ukraińska nazwa rzeki San.

Łozowianie nie wpadają w panikę, bo nie wierzą, że ktoś im zrobi krzywdę. We wsi, liczącej teraz, po wojnie, niemal 800 mieszkańców, w kilkunastu domach mieszkają rodziny ukraińskie, ale co trzecia rodzina polska jest spokrewniona z Ukraińcami. Tutejszym polskim chłopom nie sposób zrozumieć, że ukraińscy nacjonaliści mogą napaść na Łozową – przecież z ich rodakami Polacy żyją tu bez konfliktów. 4 dni temu prawosławni

łamali się we wsi katolickim opłatkiem z polskimi krewnymi i przyjaciółmi – jak zawsze w Wigilię, od wielu już lat.

Mieszkańcy Łozowej czują się bezpiecznie także dlatego, że w ich wiosce stacjonuje oddział kilkudziesięciu uzbrojonych czerwonoarmistów. Sowieccy piechurzy mają niezłe rozeznanie w sytuacji, sami wiedzą, że pierścień Ukraińskiej Powstańczej Armii zaciska się wokół Łozowej, ale od paru dni zuchowato zagadują do gospodarzy, że miejscowym nic nie grozi, bo już oni w razie jakiegoś napadu popędzą banderowców precz.

Dlatego tutejsi, wbrew rozsądkowi, ignorują napad upowców, przed 4 dniami, w katolicką Wigilię, na odległą o 15 km od Łozowej wioskę Ihrowica, w której bestialsko wymordowali oni blisko 90 polskich mieszkańców.

Dlatego udają łozowianie, że nic nie wiedzą o pojawieniu się ostatnio w sąsiedzkich wioskach Stechnikowce i Dubowce w sumie ponad 100 obcych ludzi.

Dlatego we wsi nie zorganizowano samoobrony, choć w wielu chałupach gospodarze chowają poniemiecką broń i amunicję. Wielu z nich jednak nie potrafi porządnie strzelać.

Dlatego nikt nie reaguje, gdy dziś, parę razy, przejeżdża galopem przez Łozową Bohdan Cybulski. Jeździ konno między Szlachcińcami i Kurnikami, gdzie też od rana gromadzą się obcy. A przecież wszyscy tu wiedzą, kim jest Cybulski i co zrobił w domostwie Snihura.

I dlatego też nikt się nie przejmuje, gdy do Staszka Pączyka i jego brata Franka przychodzi Ukrainiec z nieodległych Kurnik, Piotr Chomicki, i ostrzega ich, że dziś Łozowa ma być napadnięta.

Nikt dziś ze wsi nie ucieka, tylko niektórzy z gospodarzy kładą się spać w ubraniach.

Jeśli nawet zasypiają, wieczorem budzi ich silny wybuch w odległym od wsi o 2 km lesie Czahary. Wszyscy zostają w domach, tylko niektórzy gospodarze czuwają na zewnątrz.

Dochodzi 23.00. Od południa, drogą od Szlachcińców, skrada się po cichu spora grupa ludzi. Zatrzymują się jakieś 200 m od pierwszych domostw Łozowej. Zza krzaków obserwuje ich kilku łozowskich Polaków, w tym 2 Józefów: Zarudzki i Cieśla. Patrzą, co się szykuje, ale alarmu, nie wiedzieć czemu, nie podnoszą.

Wieś śpi.

Banderowcy wdzierają się do domu Bronisława Mościpana na skraju Łozowej. Siekierami, nie wszczynając alarmu, mordują śpiące babcię i matkę Mościpana.

Noc już jest głęboka, gdy drogą od Kurnik zbliża się do wsi druga, jeszcze większa grupa Ukraińców.

Mieszkańców Łozowej zrywa z posłań bicie kościelnego dzwonu. Karol Mazurkiewicz orientuje się, że dzieje się coś złego, biegnie do kościoła i bije na alarm. Obudzeni Polacy próbują chować się na strychach, w oborach, nieliczni uciekają w mrok.

Gdy napastnicy od strony Kurnik dochodzą do skraju Łozowej, wystrzeliwują czerwoną rakietę. W odpowiedzi ci czający się od strony Szlachcińców wystrzeliwują rakietę zieloną. Obie grupy, w sumie dobrze ponad 600 napastników, wkraczają do wsi. Rzeź Łozowej zorganizowała sotnia Ukraińskiej Powstańczej Armii „Burłaky" pod dowództwem Iwana Szymczyszyna „Czornego". Jej matecznikiem jest powiat skałacki. Przed wojną Szymczyszyn służył w Wojsku Polskim. W 1940 roku zbiegł spod okupacji sowieckiej do Niemiec, gdzie przeszedł szkolenie dywersyjne. W 1941 roku służył w niemieckim batalionie „Nachtigal", który dokonał w Lwowskiem wielu masowych zbrodni na Żydach i Polakach.

Na czele napastników idą ostrzelani banderowcy z Wołynia i ze Skałatu. Niektórzy jadą konno. Oni mają broń. Z nimi idą też miejscowi, najczęściej bez karabinów, za to z siekierami, widłami, sierpami, młotkami. Trochę z tyłu jedzie kilkadziesiąt furmanek pełnych młodych ukraińskich kobiet z sąsiednich wsi – po pogromie mają zbierać i wywieźć łupy.

Niektórzy napastnicy, przede wszystkim ci z Wołynia, ze Skałatu, są zagubieni. Banderowscy organizatorzy pogromu – część z nich rozjeżdża się po mrokach napadniętej wsi konno – wskazują im chałupy. Kilku, kilkunastu bandytów wali kolbami i siekierami w drzwi, wybija okna, wrzeszczy, żeby mieszkańcy wyszli na zewnątrz. Rzecz jasna, nikt nie wychodzi. Wtedy napastnicy wyważają drzwi i w środku zaczyna się straszna rzeź.

Tych Ukraińców, którzy przyszli z sąsiednich wsi, nikt kierować nie musi. Sami napadają na bogatsze polskie domostwa – albo wybierają takie, z których mieszkańcami mieli kiedyś zatargi.

Przez wieś niesie się straszny krzyk ludzi szlachtowanych siekierami, tłuczonych na śmierć młotkami, dźganych widłami.

W środku wsi zbiega się kilkunastu gospodarzy i starszych chłopaków. Część z nich ma broń, pochowaną od czasu przejścia frontu. Kłócą się, co robić, jak się bronić. Nikt nie zdobywa się na to, by krzyknąć: „Ja tu dowodzę!".

W końcu rozchodzą się, zdezorientowani, zrezygnowani, do swoich obejść. Tylko Adam Garbas i Antoni Drop, obaj uzbrojeni – Antek ma nawet ruską pepeszę – wściekli na nieporadność swych ziomków, ruszają w stronę obejść Jana i Antoniego Cieślów. Tam kwaterują sowieccy żołnierze. Obaj łozowianie nie wiedzą, że po pierwszych strzałach zakwaterowani we wsi czerwonoarmiści, którzy jeszcze za dnia butnie ogłaszali, że biorą tutejszych Polaków w opiekę, dali jak jeden mąż nogę do okopów wokół pobliskiego

mostu. Stamtąd histerycznie strzelają na postrach – po próżnicy, bo ukraińscy napastnicy nie mają zamiaru atakować uzbrojonych żołnierzy. Garbas i Drop przed obejściem Cieślów dostrzegają żołnierza w sowieckim mundurze.

– *Towariszcz*, we wsi banderowcy! – wołają.

Towariszcz mierzy do nich z mosina i rozkazuje:

– *Łożyś!* Kładź się!

Garbas i Drop karnie kładą się na ziemi. Rzekomy sowiecki bojec, a naprawdę upowiec w mundurze czerwonoarmisty, morduje ich 2 strzałami w głowę.

Po prawdzie, banderowcy boją się jednak kogo bądź, byle tylko miał w ręku broń i strzelał.

Michał Snihur, któremu banderowcy na kolonii koło Stechnikowców zamordowali jesienią żonę i 2 córki, tej nocy śpi w Łozowej u swej siostry Ołenki. Snihur po zamordowaniu żony i córek zaopatrzył się w karabin. Teraz wychodzi przed dom i strzela do każdego cienia majaczącego w mroku. Bandyci omijają chałupę Ołenki z daleka.

Feliks Kłos i jego 2 sąsiedzi, Franciszek Stocki i Franciszek Dubiel, mają sowiecki karabin snajperski SWT i 2 mausery. Wychodzą przed domy i strzelają do Ukraińców. Niezbyt celnie, ale to wystarczy – napastnicy omijają ich obejścia. Do tej reduty przekrada się coraz więcej polskich rodzin – tu są naprawdę bezpieczne.

Niektórych łozowian ratuje zimna krew. Gdy mordercy dobijają się do chałupy Polki Pauliny Kanasowej, gospodyni zza zawartych drzwi przekonuje ich po ukraińsku, że jest Ukrainką, a jej 2 synów przed wojną siedziało w polskim obozie w Berezie Kartuskiej – jeden z nich zmarł w Berezie, drugi służy w UPA. Na szczęście napastnicy nie są miejscowi, nie znają Kanasów i ich

nadzwyczajnego przywiązania do polskości. No i w zamęcie nocnej rzezi zapominają zapytać o hasło.

Dzisiejszej nocy tajne hasło „ćwiach" to przepustka do życia. Wcześniej banderowcy przekazali je swoim zaufanym rodakom w Łozowej. Kto go nie zna, dostaje kulę albo idzie pod siekierę, choćby był najczystszej krwi Ukraińcem. Hasła nie dostał – znaczy żyje za blisko z Polakami.

Władomirko Markowicz z Czernichowiec hasło, rzecz jasna, zna. Gdy mordercy wybijają już szyby w domu jego ciotki Anny Dubiel, w którym tej okropnej nocy jest także jego synowa Sabina, Wołodymirko wyłamuje się z szyków i w ostatniej chwili ratuje kobiety.

Wasyl Bałaban stoi w bramie obejścia swojej teściowej Nastki Anczurowskiej i powtarza „ćwiach" jak pacierz. Mordercy idą szukać innych ofiar.

Syn jednej z trzech sióstr Dropówien, Polek, zamężnej z Ukraińcem, ratuje ciocię Marię po mężu Zagrobelną. U drugiej cioci banderowcy mordują jej męża Tomasza Cieślę, a w obejściu wujka Dropa zarzynają jego żonę, 2 córki i 2-letnią wnuczkę.

Hasła nie zna żona Kiriłła Diaczuna, rodowita Ukrainka. Nie zna, więc choć błaga o życie, banderowcy mordują i ją, i jej synów – chłopca 15-letniego, jego o 8 lat młodszego braciszka i roczne niemowlę.

Dla banderowskich zbrodniarzy mieszane małżeństwo to nie ułaskawienie polskiego współmałżonka, ale wyrok śmierci na współmałżonka ukraińskiego. Bandyci dobijają się do drzwi Ukraińca Stefana Płaksa, ożenionego z Polką Anną Starycką.

Płaks nie otwiera.

– Otwieraj, my od ciebie nic nie chcemy, przyszliśmy po nią – krzyczą napastnicy.

Gospodarz rozwiera drzwi, staje w progu.

– Jak chcecie przejść, to po moim trupie – odpowiada dumnie.

Bandyci strzelają mu w czoło. W tym czasie jego żona szczęśliwie ukrywa się w gospodarstwie.

U nieobecnego w domu Pawła Kowala banderowcy zabijają matkę gospodarza, biją jego żonę, Ukrainkę. Katowana kobieta przewraca się tak zręcznie, że nakrywa ciałem małe dziecko. Dzięki temu mordercy nie zabiją go, chwytając za nóżki i rozbijając główkę o framugę – jak półroczne niemowlę w domu Władysława Makucha.

Osłaniająca swym ciałem dziecko Kowalowa widzi, że wśród ukraińskich kobiet plądrujących dom jest jej rodzona siostra.

Za mordercami postępują grupy rabusiów. Kobiety biorą ubrania i sprzęty kuchenne, mężczyźni wypędzają konie i bydło ze stajni i obór, szlachtują świniaki i tusze wrzucają na wozy. Bandyci nawołują się – zaraz podpalą wieś.

W nieodległych Szlachcińcach słychać najpierw nocne bicie w dzwon, potem strzały i straszliwe krzyki mordowanych. Na szlachcinieckiej stacji kolejowej dyżur tej nocy pełni Polak z Łozowej Władysław Kanas. Od razu pojmuje, co się dzieje, i dzwoni do zawiadowcy stacji w Zbarażu. Zawiadowca pędzi do dowódcy stojącego na stacji sowieckiego pociągu pancernego. Ten się ociąga – nie ma rozkazu. Dopiero na wieść, że banderowcy atakują też stacjonujących w Łozowej czerwonoarmistów, pociąg rusza, zaś ze Zborowa wymaszerowuje oddział sowieckiej piechoty. Starcza, że niedaleko Łozowy pancerka oddaje na wiwat parę strzałów armatnich i kilka serii z maksimów, by spanikowani ukraińscy napastnicy rzucili się do ucieczki ze wsi. Ale ścigać ich już Rosjanie nie mają zamiaru.

Wstaje świt. Przed chałupami i w obejściach leży 130 zamordowanych.

Nielicznych zabitych napastników nie widać – kamraci unieśli ich ze sobą.

29 grudnia 1890 ▪ poniedziałek

Rewanż kawalerzystów

Jak okiem sięgnąć, biało. Śnieg zdążył przyprószyć wigwamy Siuksów. Indianie rozstawili je wczoraj na żądanie amerykańskich kawalerzystów. To miejsce nazywa się Wounded Knee (Zranione Kolano). W obozowisku jest 230 kobiet i dzieci, mężczyzn zaś tylko 120. Każde wyjście z wigwamów przypomina im, że są kimś pomiędzy jeńcami a internowanymi. Obozowisko otoczone jest przez 7. Pułk Kawalerii USA, liczący niemal 500 żołnierzy. Kawalerzyści wycelowali w wigwamy 4 lekkie armaty Hotchkissa.

O 8.00 żołnierze wkraczają do obozu Siuksów. Żądają, by Indianie oddali broń palną. W wigwamach trwają gorączkowe narady. Szaman zwany Żółtym Ptakiem radzi, by nie poddawać się; kule kawalerzystów nie zrobią wojownikom Siuksów krzywdy, bo odbiją się od magicznych koszul. Indianie noszą uszyte przez ich kobiety wdzianka z materiału zrabowanego białym żołnierzom. Wierzą, że pokryte piórami orła i metalowymi ozdobami magiczne koszule odbiją każdą kulę skierowaną w pierś właściciela.

Niektórzy z Indian niechętnie, ale jednak oddają swoje strzelby.

2 żołnierzy podchodzi do Indianina trzymającego w rękach broń. Czarny Kojot jest głuchy, nie rozumie, co się do niego mówi. Gdy

żołnierz zabiera mu jego nowiutki karabin, Czarny Kojot wyrywa go.

350 zabiedzonych, schorowanych Siuksów obozujących pod przymusem w Wounded Knee to niedobitki dumnego plemienia Dakota-Teton, zwanego też Lakota, panującego w drugiej połowie XVIII wieku nad wielkimi amerykańskimi nizinami między Missouri i Górami Skalistymi. W wieku następnym biali osadnicy systematycznie zajmowali ziemie Siuksów. Wielki wódz Czerwona Chmura, mądry, przenikliwy polityk, w 1865 roku doprowadził do zawarcia układu swego ludu z rządem Stanów Zjednoczonych. Waszyngton zagwarantował granice tzw. terytoriów indiańskich. Ale w 1871 roku poszukiwacze złota znaleźli na Czarnych Wzgórzach w Dakocie Południowej, świętej ziemi Siuksów, bajeczne pokłady złota. Tam gdzie dotąd w spokoju mieszkały duchy przodków, tysiące awanturników ryły złotodajne szyby, chlały w knajpach, kasynach i burdelach. Czerwona Chmura pojechał do Waszyngtonu, przemawiał przed Kongresem, rozmawiał z politykami. Na próżno. Biali nie mieli zamiaru dotrzymać układu. Zdesperowani Indianie ogłosili świętą wojnę. Przed 14 laty nad rzeką Little Big Horn dowodzeni przez Siedzącego Byka, wycięli w pień ekspedycyjny oddział gen. George'a Custera. Sam Custer stracił nie tylko życie, ale i skalp.

Nie mogąc pokonać Indian w otwartej walce, Amerykanie uciekli się do sprawdzonych metod – zawarli z nimi kolejne układy pokojowe, których nie dotrzymali. Rok po roku odbierali Siuksom kolejne prawa, kolejne ziemie, zabijali kolejnych niewygodnych wodzów.

Odpowiedzią bezbronnych, poniżonych Indian był taniec ducha. Szaman imieniem Wovoka ogłosił, że miał widzenie. Stara, zbrukana ziemia zostanie wkrótce zniszczona, a na nowej Indianie

będą mogli żyć jak w czasach ich pradziadów. Apokalipsę starej ziemi zaś przeżyją tylko ci, którzy wykonywać będą taniec ducha i związane z nim ceremonie. Indiański mesjanizm Wovoki był ruchem pokojowym, ale gdy dotarł do Lakotów w Dakocie Południowej, szybko stał się dla nich podnietą do kolejnej świętej wojny z białymi. Urzędnicy federalni mieli w rezerwatach wielu szpiegów i dowiedzieli się o nowym ruchu. Miesiąc temu zakazali tańca ducha w rezerwacie Siuksów. Ale Indianie tańczyli nadal. Wezwano wojsko – słynny 7. Pułk Kawalerii USA, odtworzony po wycięciu go w pień pod Little Big Horn.

Wtedy wodzowie Krótki Byk i Siedzący Niedźwiedź powiedli swoich zwolenników w północno-zachodni narożnik rezerwatu Pine Ridge. Stamtąd wezwali do siebie Siedzącego Byka, legendarnego pogromcę Custera. Ale przed 2 tygodniami rannego w nogę Siedzącego Byka i jego 17-letniego syna zmasakrowali indiańscy renegaci, oficerowie rządowego Biura ds. Indian. Płk William F. Drum dowodzący oddziałami w forcie Yates odebrał 12 grudnia rozkaz gen. Milesa, by „zabezpieczyć osobę Siedzącego Byka". Nazajutrz tuż przed świtem oddział 43 kolaborujących z białymi indiańskich policjantów otoczył zbudowaną z belek chatę Siedzącego Byka. Ubezpieczał go ukryty milę dalej szwadron rządowej kawalerii. Dowodzący oddziałem indiańskich policjantów por. Głowa Byka zastał wodza Siedzącego Byka śpiącego na podłodze chaty.

– Jesteś moim więźniem. Musisz iść ze mną do Agencji – powiedział Głowa Byka, budząc sławnego wodza.

Siedzący Byk ziewnął i poprosił policjanta, by osiodłał mu konia – sam był przecież ranny.

Gdy obaj wyszli z chaty, przed wejściem oczekiwał ich już tłum blisko 200 indiańskich tancerzy duchów. Jeden z nich zawołał do

Głowy Byka: „Myślisz, że go zabierzesz? Nie zrobisz tego!”.

Siedzący Byk zatrzymał się, ale Głowa Byka i jego pomocnik Czerwony Tomahawk popychali go w stronę osiodłanego konia. Jeden z tancerzy duchów, Złap Niedźwiedzia, odrzucił koc i wyciągnął strzelbę. Od razu strzelił i trafił Głowę Byka w bok. Wtedy Czerwony Tomahawk strzelił Siedzącemu Bykowi w głowę i zabił go na miejscu. Przbycie odwodu kawalerii zamieniło masakrę indiańskich policjantów w wybijanie do nogi tancerzy duchów.

Dowodzący wojskiem gen. Nelson Miles, weteran walk z Indianami, postanowił aresztować także wodza Lakotów Wielką Stopę, który ze swoimi zwolennikami żył gdzieś nad Rzeką Czejenów w Dakocie Południowej. Ale Wielka Stopa, mimo że ciężko chory na zapalenie płuc, ruszył ze swoimi ludźmi w drogę do Pine Ridge na spotkanie z innymi wodzami. Czuł się zagrożony przez armię i liczył na ich mediację w rozmowach z rządem federalnym. Wczoraj jednak grupa Wielkiej Stopy została przechwycona przez oddział kawalerzystów i doprowadzona do obozowiska 7. Pułku w Wounded Knee. Dowódca płk James W. Forsyth polecił im rozbić obóz pod flagą pokoju, a swoim oficerom wydał rozkaz rozbrojenia Indian nazajutrz wczesnym rankiem.

Karabin wyrywany Czarnemu Kojotowi przez 2 kawalerzystów wypala w powietrze. Obaj żołnierze nie namyślają się długo – spod pachy, z 2 kroków, strzelają do Indianina. Słysząc to, zaczynają strzelać żołnierze otaczający obozowisko. Ogień armat masakruje Indian. Mimo wszystko, ginąc, bronią się. Wielka Stopa, trafiony kilka razy, upada w śnieg. Podbiega doń córka, podnosi ojca. Wtedy oboje dostają kilka śmiertelnych postrzałów z najbliższej odległości. Na wielkim mrozie ciała sztywnieją niemal natychmiast. Wielka Stopa zamarza w pozycji, w jakiej dźwigała go ze śniegu córka.

Żołnierze strzelają z bliska do uciekających spod ognia mężczyzn, kobiet, dzieci. Po półgodzinie w śniegu leży 246 zabitych Lakotów. Kawalerzystów ginie 25, w większości od chaotycznego ognia swoich kolegów w mundurach. Kończy się ostatnia w Stanach Zjednoczonych walka z Indianami. Lekarz wojskowy dr Charles Eastman ogląda pobojowisko i siada nad notatnikiem: „To było straszne, potworne, niewiarygodne. Widziałem grupy leżących kobiet i dzieci, pomordowanych. Niektóre młode dziewczęta miały twarze zakryte szalami – myślę, że zrobiły to same, widząc zbliżających się z bronią żołnierzy i nie chcąc zaglądać śmierci w oczy. Daleko od obozu znalazłem dwoje maleńkich dzieci, jedno miało chyba roczek, dalej troje innych twarzami do ziemi, a około 30 jardów od nich leżała kobieta. Wszyscy byli zarąbani".

7. Pułk Kawalerii wziął haniebny odwet za przegraną bitwę pod Little Big Horn.

Wódz Wielka Stopa zamarznięty na polu rzezi

30 grudnia 1905 ▪ sobota

Jak Francuzi

O świcie dowodzony przez płk. Rimana pluton egzekucyjny żołnierzy semenowskiego pułku gwardii, przysłanego na rozkaz cara z Petersburga do Moskwy, wyprowadza z aresztu w budynku stacji Moskwa-Gołutwin na Kolei Kazańskiej maszynistę Uchtomskiego. Ten były podoficer carskiej armii jest znakomitym kolejarzem. Poprzedniego dnia dowodzona przez płk. Rimana kompania semenowców otoczyła stację i zastawiła pułapkę na pociągi podmiejskie dowożące do Moskwy robotników i urzędników z podmoskiewskich osiedli i miasteczek. Uchtomski, rano prowadzący pociągi do Moskwy, wieczorem zaś jadący na prowincję, od kilku dni dowoził w swoim składzie na Dworzec Kazański kilkudziesięciu uzbrojonych powstańców. Po całym dniu walk wsiadali oni do pociągu prowadzonego przez Uchtomskiego i wracali do domów, by kolejnego ranka, wyspani i nakarmieni, z browningami pod pazuchami jechać na front powstania.

Poprzedniego dnia Uchtomski w ostatniej chwili przytomnie zorientował się, że na stacji Gołutwin jest zasadzka, dodał pary i pociąg odjechał dziurawiony kulami dziesiątek żołnierzy. Wieczorem jednak, gdy wracał po dniu powstańczych walk, został w pociągu rozpoznany i aresztowano go.

Cesarstwo rosyjskie od roku trawią płomienie rewolucji. Zaczęło się niespełna 12 miesięcy temu od „krwawej niedzieli” – masakry przez wojsko gigantycznej, pokojowej manifestacji robotników Petersburga prowadzonej przez popa Hapona. Pod kulami sołdatów zginęło niemal tysiąc manifestujących, rannych było dużo więcej. Odpowiedzią rewolucjonistów był udany zamach Iwana Kalajewa

stryja cara Mikołaja II – wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowicza. Kalajewa powieszono już tydzień po zamachu, a nowy generał-gubernator stołecznego Petersburga, dotychczas szef policji w Moskwie, gen. Dmitrij Trepow wydał sławny rozkaz do policji wysłanej do rozpędzania robotniczych demonstracji: „Nabojów nie żałować!".

Przez cały 1905 rok cesarstwo stało się areną gorączkowej walki z władzą. Na wsi rosyjscy chłopi podpalali dwory. Rosyjscy robotnicy w setkach miast imperium ogłaszali strajki, wychodzili na ulice, masakrowani przez policję i żandarmerię, ustawiali barykady, chwytali za rewolwery. W Petersburgu powstała Rada Delegatów Robotniczych, namiastka drugiej, obok carskiej, władzy. Zradykalizowali się inteligenci – najsilniej ogarnięci rewolucyjną gorączką, rzucali bomby w terrorystycznych zamachach na przedstawicieli władzy, znakomita większość na wiecach i zgromadzeniach żądała zwołania Zgromadzenia Narodowego i wprowadzenia monarchii konstytucyjnej zamiast samodzierżawia. Powstańcze w istocie walki ogarnęły kresy imperium – od Królestwa Polskiego i Pribałtyki po Syberię, Kaukaz, środkową Azję.

Po miesiącach manifestacji, ulicznych walk, ofiar car zmiękł. Mikołaj II podpisał 17 października manifest, który nadawał ograniczone swobody obywatelskie i zwoływał Dumę – pierwszy rosyjski parlament.

Ale do spełnienia żądań robotników ciągle jeszcze było daleko. Miesiące strajków, pochodów, starć z policją zamiast spektakularnego zwycięstwa przyniosły robotnikom w końcu znużenie i zniechęcenie.

9 grudnia ochrana aresztowała przewodniczącego petersburskiej Rady Delegatów Robotniczych, a tydzień później większość członków RDR. Ocaleli z policyjnego pogromu członkowie Rady

wezwali robotników do strajku powszechnego. W Petersburgu znużenie ciągłymi strajkami i zamieszkami ulicznymi było tak wielkie, że kolejne fabryki i zakłady stawały powoli, z ociąganiem, a do protestu przystępowały tylko części załóg.

W Moskwie od początku było inaczej. Już 21 grudnia stanęła większość wielkich fabryk; strajkowało 130 tys. robotników. Urzędnicy zarządu gminnego i ziemstw zawiesili pracę, nie kursowały tramwaje elektryczne, zamknięto biura pocztowe, teatry i wszystkie drukarnie, więc też nie ukazał się żaden dziennik. Z jednym wyjątkiem – zecerzy uwięzili wydawcę pisma „Russokoje Słowo" i sami wydali pierwszy numer gazety robotniczej z rewolucyjnymi odezwami. Wieczorem miasto pogrążyło się w ciemnościach – stanęła elektrownia.

2 dni później rozpędzany przez Kozaków tłum robotników wzniósł na Twerskiej barykadę ze słupów telegraficznych, sań, wyrwanych z murów bram i jakichś skrzyń. Kozacy ostrzelali ją z karabinów, robotnicy odpowiedzieli ogniem rewolwerów. Po południu piechota i kawaleria zdobyły plac. Wieczorem tłum zbudował na rogu Sadowej i Twerskiej potężną barykadę, którą wojsko przejęło w nocy, po zaciekłych walkach. Nazajutrz w robotniczych dzielnicach zaczęły tworzyć się uzbrojone drużyny powstańcze. Ich członkowie, zwani powszechnie „drużynnikami", wieczorem zdobyli 2 wielkie sklepy z bronią w centrum miasta. Na ul. Sadowej robotnicze barykady wojsko rozbijało ogniem z armat. Na pl. Strastnoj żołnierze ostrzeliwali z dział kamienice. 25 grudnia drużynnicy uderzyli na największy moskiewski sklep broni Brabetza; wojsko odparło ich ogniem karabinów maszynowych. Na Łobkowskiej wojsko otoczyło ponad 300 cywilów, w znacznej części kobiet, i otwarło do nich ogień z armat i karabinów maszynowych.

Wedle rozporządzeń moskiewskiego generał-gubernatora wiceadm. Dubasowa wojsko bez ostrzeżenia otwiera ogień do każdej grupy liczącej więcej niż 2 przechodniów. Obowiązuje godzina policyjna. Już nie tylko strzał z okna, ale nawet czerwona flaga powodują ostrzał kamienicy z armat.

Coraz liczniejszy moskiewski garnizon zdobył i spacyfikował większość dzielnic miasta. Trzyma się już tylko ostatnia powstańcza reduta – robotnicza dzielnica Prześnia.

Ustawiony przed plutonem egzekucyjnym maszynista Uchtomski wygłasza płomienną mowę. Wzywa kilkunastu żołnierzy, by strzelając do niego, pamiętali o krzywdzie ludu, w którego się przecież wywodzą. Płk Riman daje rozkaz: „Ognia!". Pada salwa. Uchtomski przewraca się, ale jest jedynie ranny. Tylko jeden żołnierz z całego plutonu doborowego gwardyjskiego pułku, żelaznej podpory tronu, skierował broń w pierś maszynisty. Płk Riman podchodzi do rannego i dobija go strzałem z rewolweru w głowę.

Gdy żołnierze płk. Rimana rozstrzeliwują kolejnych ze 150 zatrzymanych robotników i powstańców – konających osobiście dobija pułkownik – 10 kompanii pułku semenowskiego i cały pułk ładogski, ściągnięty poprzedniego dnia carskim rozkazem z Polski, otaczają w porannej szarówce Prześnię. Artylerzyści rozstawiają na ulicach i placach baterie dział polowych, na skrzyżowaniach sołdaci układają się za tarczami maszynowych maksimów.

Poprzedniego dnia te same oddziały usiłowały zdobyć Prześnię z marszu, ale zostały przepędzone przez powstańców.

Dowodzący operacją dowódca pułku ładogskiego płk Min daje rozkaz do otwarcia ognia. Kanonada trwa 6 godzin. Tylko podczas pierwszej godziny armaty wystrzeliwują ponad 400 pocisków. Tuż przed południem poprzez dymy i zgliszcza kilka tysięcy żołnierzy

rusza do natarcia. Wśród obrońców zdecydowanie przeważają eserzy, zwolennicy Partii Socjalistycznych Rewolucjonistów. Kilku preśnieńskich drużynników, w tym Michaił Frunze, po latach zrobi karierę w partii bolszewickiej. Wyróżniający się dowódca powstańczych drużyn Piotr Załomow stanie się prototypem bohatera powieści Maksyma Gorkiego *Matka*, Pawła Własowa.

Wiele domów preśnieńscy drużynnicy zamieniają w twierdze. Walczą w nich do ostatka. Żołnierze rozbijają ogniem armat i podpalają wielki, 5-piętrowy dom Kurnowa. Większość obrońców ginie w płomieniach. Ranni i poparzeni dobijani są przez sołdatów na miejscu. Obowiązuje rozkaz dowodzącego szturmem płk. Mina: „Nie aresztować, postępować bezwzględnie".

Gorzej idzie elitarnym pułkom ze zdobywaniem dużych fabryk bronionych przez kilkuset powstańców. Poddają się nieliczne, zwłaszcza te, w których spory odsetek załogi stanowią kobiety i nieletni. Jedną z nich jest fabryka mebli Nikołaja Schmidta. Żołnierze doprowadzają Schmidta przed oblicze płk. Mina. Pułkownik żąda, by podał on nazwiska robotników uczestniczących w powstaniu i wskazał schowki z bronią. Szmidt odmawia. Ciężko pobity, trafia do więzienia, żołnierze ostrzeliwują z armat i podpalają fabrykę.

Po całym dniu walk żołnierze w zapadających ciemnościach docierają wreszcie do murów wielkiej fabryki Prochorowa, najważniejszej reduty powstańczej w Preśni. W głębokim śniegu odprzodkowują kilkadziesiąt armat. Za radą właściciela część robotników udaje się z białymi chorągwiami do płk. Mina i prosi go, by nie strzelać do hal fabrycznych, w których schroniły się kobiety i dzieci z połowy dzielnicy. Pułkownikowi bardzo zależy na szybkim zwycięstwie – wszak w tradycyjnym kalendarzu do końca roku pozostał tylko jeden, jutrzejszy dzień. Wyraża zgodę. Gdy

niedługo przed północą żołnierze wkraczają do fabryki, dziesiątki powstańców uciekają po dachach hal na teren sąsiedniej cukrowni i tam budują umocnienia.

Płk Min rozkazuje artylerzystom otworzyć ogień na hale. Fabryka Prochorowa płonie jak pochodnia, podobnie jak większa część zabudowy Preśni. Łuna oświetla Moskwę jak w czasie wielkiego pożaru po wkroczeniu wojsk Napoleona.

– Jakby napadli na nas Francuzi – mówią moskwianie na rozświetlonych łuną ulicach.

Powstańcza barykada w Moskwie

31 grudnia 1943 ▪ piątek

Zabawa parlamentarna

Wczesnym wieczorem Antoni Korzycki, konspiracyjny działacz radykalnego odłamu ruchu ludowego, spotyka się z Polą Ester ze Związku Robotników Żydowskich. Udając parę, idą na ul. Twardą. Do 20.00, o której zaczyna się godzina policyjna, zostało niespełna półtorej godziny.

Dokładnie o wyznaczonej porze Korzycki z Elster wchodzą do zdewastowanej kamienicy nr 22. Idą na 2. piętro. Drewniane schody skrzypią niemiłosiernie. Korzycki puka do mieszkania nr 14. Otwiera gospodarz, warszawski rymarz Czesław Blicharski, członek Polskiej Partii Robotniczej. Korzycki wita się z nim serdecznie – wcześniej już bywał w jego mieszkaniu na zebraniach konspiracyjnych.

W dużym pokoju za stołem siedzi Bolesław Bierut „Janowski" w towarzystwie oficerów ochrony Gwardii Ludowej: Jerzego Fonkowicza „Andrzeja" i Zbigniewa Dłubaka „Bogdana".

Co parę minut pojawiają się kolejni konspiratorzy. Przed 20.00 przychodzi ostatni, dziewiętnasty. Podziemny komunistyczny parlament może przystępować do obrad.

Sekretarz KC PPR Władysław Gomułka zdecydował się powołać namiastkę kadłubowego parlamentu, gdyż komunistyczna konspiracja w Polsce znalazła się w niebezpiecznej próżni. Konspiracja wierna rządowi w Londynie szykuje się do przejmowania władzy administracyjnej po wkroczeniu Armii Czerwonej. W Moskwie zaś Stalin przymierza się do utworzenia z przebywających w ZSRR polskich komunistów zalążka przyszłej władzy w Warszawie – Polskiego Komitetu Narodowego. Powstanie Krajowej Rady Narodowej, podziemnego parlamentu kontrolowanego przez PPR, dałoby krajowym komunistom mocny atut w walce o władzę – także wobec Kremla.

Tylko skąd wziąć reprezentację posłuszną PPR?

Z kłopotu tego KC PPR wybrnęło zręcznie, do swoich delegatów dopraszając działaczy Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, 2 radykalnych ludowców ze Stronnictwa Ludowego oraz kilkoro sympatyków komunizmu, których z racji zawodu mianowano przedstawicielami spółdzielców, lekarzy, inteligencji pracującej, nauczycieli, a nawet oficerów, jak to określono w partyjnych papierach, „byłego wojska polskiego".

Na zebranie na Twardej ze względów bezpieczeństwa nie przyszło 12 członków „parlamentu", w tym Gomułka. Przygotowaniem zebrania i zapewnieniem bezpieczeństwa zajmuje się Marian Spychalski „Marek".

Na stole w dużym pokoju gospodyni rozkłada talerze z kanapkami, szklanki z kompotem, kieliszki. Panowie ustawiają rządki butelek monopolowej wódki. Gdyby przypadkowo trafili tu policjanci lub żandarmi, zastaliby typową scenerię noworocznej biesiady. Inscenizacja ta ma jednak słabą stronę. Panów jest 4 razy więcej niż pań. W składzie komunistycznego parlamentu prócz Poli Elster są też przedstawicielka Związku Walki Młodych, członkini PPR Helena Jaworska „Janta" oraz Halina Kuczkowska „Halina" i Janina Święcicka „Alina", obie z RPPS, obie formalnie reprezentujące spółdzielców.

Gdyby doszło do wsypy, oficerowie ochrony „Andrzej" i „Bogdan" mają na czele kilku przydzielonych im doświadczonych gwardzistów z GL stawić zbrojny opór.

Spychalski zrobił wszystko, by nawet w razie policyjnego nalotu i strzelaniny uczestnicy zebrania mieli szansę ujść cało. Michał Motylewski, elektryk spod Rawy Mazowieckiej, tuż przed godziną policyjną uszkadza instalację elektryczną i wygasza latarnie uliczne w całym kwartale. W ciemnościach trudniej będzie znaleźć adres

i łatwej zgubić ścigających Niemców. Kilku gwardzistów zajmuje pozycje na klatce schodowej.

Krótko po 20.00 Bierut rozpoczyna posiedzenie.

Zebrani wstają i oddają cześć poległym w walce z okupantem. Potem Bierut odczytuje referat sekretarza KC PPR Gomułki *Walka i samoobrona narodu w związku z terrorem okupanta*. Gomułka postuluje, by wszystkie siły społeczne i polityczne w okupowanej Polsce zjednoczyły się pod kierownictwem KRN. To figura czysto retoryczna, konspiracja komunistyczna przy podziemiu londyńskim wygląda jak zabiedzony kot przy tygrysie.

Po wysłuchaniu referatu zaczynają się przemówienia. W końcu Bierut zarządza ślubowanie członków KRN. Potem obecni uchwalają statut i *Deklarację KRN*. Idzie to sprawnie, bo wszystkie dokumenty polityczne zostały już wcześniej przygotowane przez organizatorów.

Po 23.00 przerwa na kanapki i toasty. Tylko tańców brak.

Po złożeniu sobie wzajem życzeń noworocznych Bierut zakazuje dalszych toastów i wznawia obrady. Wódka jednak zrobiła swoje. Jeden z dyskutantów domaga się odłożenia sprawy powołania Armii Ludowej do czasu skonsultowania się z lewicową Polską Armią Ludową, która ma wejść w skład AL. Bierut jest wściekły – utworzenie AL to kluczowy punkt programu zebrania. Gromi niefortunnego wnioskodawcę tak ostro, że ten pospiesznie wycofuje swój postulat.

Do rana zebrani jeszcze wiele razy podnoszą ręce. Przegłosowują przygotowane wcześniej przez KC PPR dekrety, wybierają prezydium KRN, z Bierutem na czele.

Zebranie kończy się o świcie. Teraz można dopić wódkę. Członkowie KRN kończą bal i pojedynczo ruszają w miasto.

Podziękowanie

W kwietniu 2002 roku redaktor „Magazynu Gazety Wyborczej" Małgorzata Szejnert zaproponowała mi publikowanie w nim zwięzłych not historycznych, odnotowujących, co ciekawego działo się na świecie w tym samym dniu i miesiącu, którymi opatrzone było kolejne wydanie „Magazynu". Chciałbym podziękować jej za ten pomysł. Noty historyczne szybko znacznie się rozrosły, do rozmiarów kompletnych opowieści o wyjątkowych zdarzeniach z przeszłości.

Opowieści te poddałem szczególnym rygorom.

Opisywane historie muszą zdarzyć się jednego dnia. Relacjonuję je tak, jakbym na gorąco spisywał relację naocznego świadka.

Konsekwencją tego pomysłu jest brak, zawsze obecnej w ściśle naukowych tekstach historycznych, analizy źródeł, porównywania sprzecznych relacji, konstruowania możliwych, odmiennych scenariuszy zdarzeń, dla których brakuje w miarę kompletnej dokumentacji. Po zapoznaniu się ze źródłami i po rozważeniu biegu wydarzeń, w obliczu sprzeczności w przekazach, arbitralnie wybieram jedyną, prawdziwą – dla mnie – wersję tego, co się stało.

Jeśli w tekstach pojawiają się dialogi, to są one zawsze zaczerpnięte z przekazów historycznych.

Chęć, by opisać w ten sposób wszystkie dni w roku, by stworzyć coś na kształt współczesnej, porządnie ociosanej sylwy, sprawiła, iż pisałem te teksty przez dziesięć lat, tydzień w tydzień, z jedną – bodaj – zawinioną przeze mnie przerwą, gdy banalna, a nie twórcza, gorączka nie pozwoliła mi usiedzieć za biurkiem.

Z biegiem lat wynajdywanie i opisywanie kolejnych „dni" stało się stylem życia – tej pasji podporządkowałem resztę pracy dziennikarskiej i spory szmat życia prywatnego (najbliżsi pamiętają mi zwłaszcza dziesięć letnich i tyleż zimowych rodzinnych urlopów, wypełnionych nerwową krzątaniną nad walizką pełną papierów i nad laptopem, z obowiązkowym odsypianiem pracowitych nocy za dnia).

Mojej partnerce Ewie Sarnowicz i naszym dzieciom dziękuję za cierpliwe współżycie z zaborczą pasją: trzystu sześćdziesięcioma sześcioma niezwykłymi historiami – na każdy dzień.

Wszelka pomoc w poszukiwaniu ciekawych zdarzeń w przeszłości, w kwerendzie i zwłaszcza w tłumaczeniu tekstów, była nie do przecenienia – dzięki niej zapewne udało mi się tę pracę ukończyć.

Zwłaszcza dziękuję Joannie Szczęsnej – za wsparcie w kwerendzie, za udostępnienie biblioteki, za wnikliwe uwagi redaktorskie i za wytrwałe, bezkompromisowe zabiegi, by wśród tych tekstów znalazło się jak najmniej opisów bitew – przede wszystkim morskich, choć starcia na lądzie raczej też nie mogły liczyć na taryfę ulgową.

Mojemu Ojcu i synom Konstantemu i Ksaweremu zawdzięczam nieocenioną pomoc w tłumaczeniach tekstów źródłowych, i to w chwilach najważniejszych – gdy brak czasu i znużenie stawiały pod znakiem zapytania możliwość kontynuowania *Zdarzyło się* bez przerw i luk.

Dziękuję wszystkim, którym zawracałem głowę prośbami o tłumaczenia z egzotycznych języków, w tym Magdalenie Grochowskiej – za przekład z języka bułgarskiego.

Włodzimierz Kalicki

Źródła ilustracji

AFP/East News: 12, 18 II
AKG Images/BE&W: 9 II; 23 IV
AKG Images/East News: 31 I; 4, 31 III; 5, 14 IV; 2 VII; 16, 19 X; 23 XII
Alan Greth/AP/East News: 8 IV
Albert Harlingue/Roger-Viollet/East News: 30 VI; 31 VII
Album/East News: 3, 22 XII
Allied Museum Berlin/AP/East News: 1 V
Andrzej Rybczyński/PAP: 2 I
AP/East News: 23 III; 21 IV; 25 VII; 7 VIII; 15, 30 XI
Archiwum Filmu/FORUM: 20 VI
Archiwum Henryka Wujca: 24 V
Arpad Hazafi/AP/East News: 23 X
Barry Sweet/AP/East News: 18 IX
BDL/FORUM: 13 VII
BE&W: 17, 24 II; 15 III; 3, 28 V; 16 VI; 14 VII
Bettmann/Corbis/Fotochannels: 8 I; 18 III; 15 IV; 28 VI; 1 VIII; 24, 30 IX; 1 X; 21, 25 XI; 29 XII
Carlos Guardia/AP/East News: 20 XII
Cart T. Gossett/The New York Times/East News: 12 X
Corbis/Fotochannels: 6 XII
Dave Waltes/NHPA/BE&W: 7 IX
De Agostini/East News: 12 VI
Design Pisc/East News: 21 I
Dmitri Baltermants/Corbis/Fotochannels: 5 III

Dominique Faget/AFP/East News: 29 V
East News: 12 V; 6, 18 VI
Edward Dulewicz/NAC: 15 VI
EPA/East News: 13 X
Ernest Sisto/New York Times Co./Getty Images: 2 III
Eugeniusz Warmiński/East News: 20 X
Fox Photos/Hulton Archive/Getty Images: 4 VIII
Gabriel Duval/AFP/East News: 31 X
Gamma-Keystone/Getty Images: 11 VI
Granger Collection/BE&W: 1, 29 II; 9 IX; 16 XI
Henri Martine/Roger-Viollet/East News: 21 V
Hulton Archive/Getty Images: 1, 15, 17 I; 6, 28, 29 IV; 10 V; 8 VI; 23 VIII; 5 X
Hulton-Deutsch Collections/Corbis/Fotochannels: 26 I; 20 VIII; 3 IX
Ian Bery/Magnum Photos/FORUM: 21 III
Independent Polish Agency/Fundacja Ośrodka KARTA: 19 III
Istvan Bajzat/Corbis/Fotochannels: 13 IX
Jack Thornell/AP/East News: 17 VIII
James W. Ike Altgens/AP/East News: 22 XI
Joe Hollov/AP/East News: 8 V
Keystone/Getty Images: 17 XI
Keystone/Hulton Archive/Getty Images: 14 XI
Kolekcja Stefana Bałuka/NAC: 18 V
Krzysztof Miller/Agencja Gazeta: 6 II
LASKI DIFFUSION/East News: 27 I; 24 X
Leemage/East News: 22 I
Luke Frazza/AFP/East News: 21 II
Manuel Pérez Barriopedro/Bettmann/Corbis/Fotochannels: 23 II
Marc Hutten/AFP/East News: 9 X

Mariusz Szyperko/PAP: 30 I; 22 VII
Martha Holmes/The LIFE Picture Collection/Getty Images: 11 VIII
Mary Evans Picture Library/BE&W: 22 IV
Mary Evans Picture Library/East News: 14 III; 26 V; 9 XI; 30 XII
Mathew Brady/Getty Images: 3 VII
Melchior Wańkowicz/Muzeum Literatury/East News: 7 VI
Mikołaj Sprudin/Zbiór zdjęć Janusza Chorążaka nr 50/Fundacja Ośrodka KARTA: 26 VI
Murray Backer/AP/East News: 6 V
Muzeum Historyczne Miasta Krakowa: 6 XI
Muzeum Narodowe w Warszawie: 14 VII
Muzeum Warszawy: 23 I
Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie: 19 VI; 11 IX
NAC: 7 II; 7 III; 2 IV; 9 VI; 20, 30 VII; 3, 6, 26, 27 VIII; 10, 23, 25 IX; 2 XI; 5 XII
NASA/AFP/East News: 24 VII
New York Public Library/East News: 10 III
PAP: 20, 28 III; 14 VI; 2, 28 X; 9 XII
Peter Kemp/AP/East News: 12 VI
Ralf-Finn Hestoft/Corbis/Fotochannels: 3 IV
Reprodukcja: FoKa/FORUM: 5 I
Reprodukcja: Marzena Hmielewicz/Agencja Gazeta: 17 X
Reprodukcja: Mieczysław Karlicki/East News: 3 II
Reprodukcja: Mieczysław Michalak/Agencja Gazeta: 13 I
Reprodukcja: Piotr Mecik/FORUM: 26 XI
Ria Novosti/East News: 4 II; 1 XII
Richard Peter Sen/AP/East News: 13 II
Robert Miller/Polaris Images/East News: 8 XII
Roger-Viollet/East News: 11 II; 9, 30 VIII; 20 IX; 11 XII

Rue des Archives/FORUM: 11 I; 11, 14 V; 6 VII; 30 X; 14 XII
S. Sobolev/AFP/East News: 27 XII
SA-kuva: 6 III
Science Photo Library/East News: 12, 26 IV
Shaw Archiv/FORUM: 5 VIII
Sommlung Rauch/Interfoto/FORUM: 2 IX
Sovfoto/UIG/Getty Images: 21 VIII
Sygma/Corbis/Fotochannels: 2 VIII
Tadeusz Zagoździński/PAP: 27 VI
Time Life Pictures/Getty Images: 10 XI
Topical Press Agency/Getty Images: 19 VII
Ullstein Bild/BE&W: 14 IX; 5 XI
Universal History Archive/FORUM: 7 XI
W. Parker: 5 II
William J. Smith/AP/East News: 22 V
Wojciech Kondracki/PAP: 20 I
Wojtek Łaski/East News: 13 XII
Zdjęcie z materiałów operacyjnych Milicji/Archiwum Gazeta: 27 IV